

Ze ściśniętym sercem całe lata powstrzymywałem się od publikacji tej Książki, dawno już gotowej: poczucie odpowiedzialności wobec żywych przeważało nad poczuciem obowiązku wobec umarłych. Ale teraz, kiedy bezpieczeństwo państwowe i tak już dostało ten tekst, nie mam innego wyjścia, jak niezwłocznie go wydrukować.

A. SOŁŻENICYN

Wrzesień 1973

Aleksander Solżenicyn

ARCHIPELAG GUŁag

Tom 1

*Autoryzowany przekład z rosyjskiego:
Jerzy Pomianowski*

POŚWIĘCAM

wszystkim, którym życia nie starczyło aby o tym opowiedzieć. I niechaj mi wybaczą że nie wszystko dostrzegłem, nie wszystko sobie przypomniałem, nie wszystkiego się domyśliłem.

OD AUTORA

W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym trafiliśmy z przyjaciółmi na zastanawiającą notatkę w czasopiśmie Akademii Nauk *Przyroda*. Pisano tam drobną czcionką, że nad rzeką Kołymą, w trakcie prac wykopaliskowych została znaleziona podziemna tafla lodu – zamarty, prehistoryczny potok – a w niej zamrożone (kilkadziesiąt tysięcy lat temu) okazy fauny kopalnej. Ryby te, czy może płazy, zachowały się tak dobrze, wydawały się tak świeże – informował uczony korespondent – że obecni przy tym, po rozbiciu lodu, zjedli je zaraz z OCHOTĄ.

Nielicznych swoich czytelników pismo zapewne wprowadziło w niemłe zdziwienie wiadomością o tym, jak długo można rybie mięso trzymać w lodzie. Ale tylko niewielu z nich mogło wniknąć w iście epicki sens ryzykownej notatki. Myśmy zrozumieli od razu. Cała scena zarysowała się nam ostro, do najdrobniejszych szczegółów: jak owi obecni z pośpieszną zawziętością rąbali lód, jak mając za nic szlachetne cele ichtiologii i roztrącając się łokciami, wrywali sobie wzajem kęsy tysiącletniego ścierwa, wlekli je do ogniska, aby tam odtajało, i aby można było się nim nasycić.

Zrozumieliśmy to od razu, ponieważ sami należeliśmy do tych OBECNYCH, do tego jedyne w świecie, niezliczonego plemienia zeków, które samo jedno tylko było zdolne zjeść z OCHOTĄ płaza.

Kołyma zaś była największą i najdalej słynącą wyspą, lutym biegunem tego zadziwiającego kraju GUłag, który wolą geografii rozdarty był na kształt archipelagu, ale psychologia spajała go w kontynent – kraju prawie niewidzialnego, prawie nieuchwytnego dla zmysłów, tego właśnie, który zamieszkiwał lud zeków.

Archipelag ten rozrzutem swoich plam pobryzgał i upstrzył kraj, z którego się wynurzył, werznął się w granice jego miast, zasmużył cieniem jego drogi, a jednak ten i ów w ogóle nie domyślał się jego istnienia, bardzo wielu coś ledwie słyszało, a wiedzieli wszystko tylko ci, co tam niegdyś byli.

Ale milczeli tak, jakby na wyspach Archipelagu utracili mowę.

Nieoczekiwany zwrot w naszych dziejach sprawił, że ujawniła się jakaś drobna, znikomo mała część prawdy o Archipelagu. Ale te same ręce, które nakładały nam kajdany, teraz wystawiają dłonie pojednawczym gestem: „Nie trzeba!... Dajcie spokój przeszłości!... Kto starą złość wspomni bodaj oko stracił!”. Ale to porzekało ma ciąg dalszy – „A kto ją zapomni – bodaj obu nie miał!”.

Mijają dziesięciolecia – i niepowrotnie zlizują blizny i szramy przeszłości. Niejedna wyspa przez ten czas rozpadła się, rozpułnęła, polarny ocean zapomnienia przetacza się nad nią. I kiedyś, w wiekach co nadejdą, Archipelag ten, jego aura i kości jego mieszkańców, wmarznęte w taflę lodu – wydadzą się potomkom resztkami jakiegoś nieprawdopodobnego płaza.

Nie ośmielę się pisać tu historii Archipelagu: nie udało mi się dotrzeć do dokumentów. Ale czy ktokolwiek zdoła je/kiedykolwiek przeczytać?... Ci, co to nie mają chęci na WSPOMNIENIA, dość już mieli (i mieć jeszcze będą) czasu, aby zniszczyć je do szczętu.

Te lat jedenaście, którem tam spędził, rozumiem niejako hańbę, nie jako przeklęty sen; nie, zdążyłem polubić prawie ten pokraczny świat; teraz zaś na dobitkę stałem się przez szczęśliwy przypadek powiernikiem wielu późniejszych opowiadań i przekazów pisemnych – może zatem potrafię dowlec do innych choć trochę tych kości i mięsa – zresztą żywego, bo i płaz jeszcze dziś jest żywy.

*

Napisanie tej książki przekraczało miarę sił jednego człowieka. Prócz tego, co wyniosłem z Archipelagu sam – w oczach i uszach, w pamięci, na własnej skórze – materiał do tej książki dali mi w postaci opowiadań, wspomnień i listów

(tu następuje spis 227 nazwisk)

Nie wyrażam im tu mojej prywatnej wdzięczności: to ma być wspólnie przez nas wzniesiony pomnik dla wszystkich zamęczonych i zabitych.

W tym spisie chciałbym szczególnie wyróżnić tych, którzy wiele się napracowali, pomagając mi, aby ta rzecz oparta była na bibliograficznych danych, wziętych z książek, już dawno usuniętych ze współczesnych bibliotek i zniszczonych tak, że odnalezienie zachowanego jakoś egzemplarza wymagało wielkiej wytrwałości; jeszcze bardziej zaś tych, którzy pomogli ukryć ten rękopis w trudnych momentach, a później go przepisać.

Ale jeszcze nie nadszedł czas, w którym ośmieliłbym się wymienić ich nazwiska.

Dawny więzień sołowiecki, Dymitr Piotrowicz Witkowski miał być redaktorem tej książki. Jednak pół życia, które TAM spędził (jego wspomnienia obozowe tak się też nazywają – *Pół życia*) odbiło się na nim w postaci przedwczesnego paraliżu. Już pozbawiony mowy – mógł on przeczytać tylko kilka zakończonych rozdziałów i przekonać się, że o wszystkim BĘDZIE POWIEDZIANE.

A jeśli długo jeszcze nie przetrze się światło wolności w naszym kraju, to i przekazywanie tej książki z rąk do rąk będzie bardzo niebezpieczne – tak, że również przyszłym czytelnikom powinienem pokłonić się z wdzięcznością – w imieniu tamtych, co zginęli.

Kiedy zaczynałem pisać tę książkę w 1958 roku, nie znałem jeszcze niczych wspomnień, ani utworów literackich o obozach. W ciągu lat pracy, zakończonej w 1967 roku, stopniowo poznałem *Opowiadania kołymskie* Warłama Szałamowa i wspomnienia D. Witkowskiego, J. Ginzburg, O. Adamowej – Sliozberg, na które powołuję się w książce, jako na fakty literackie ogólnie znane (tak też koniec końców będzie!).

Wbrew swoim zamiarom, wbrew własnej chęci – dostarczyli nieocenionych materiałów do tej książki, dali pojęcie o wielu ważnych faktach, a nawet cyfrach i wreszcie o atmosferze, którą oddychali: czekista M. Sudrab-Łacis i N. W. Krylenko – naczelny oskarżyciel publiczny w ciągu długich lat; jego następca – A. J. Wyszynski, ze swoimi współnikami-prawnikami, wśród których nie sposób nie wyróżnić J. L. Awerbacha.

Materiałów do tej książki dostarczyło także TRZYDZIESTU SZEŚCIU sowieckich pisarzy z MAKSYMEM GORKIM na czele – autorów haniebnej książki o Kanale Białomorskim, pierwszego w rosyjskiej literaturze dzieła, sławiącego pracę niewolniczą.

W tej książce nie ma zmyślonych osób, ani zmyślonych wydarzeń. Ludzie i miejscowości noszą swoje własne imiona. Jeśli użyte są inicjały, to tylko z prywatnych powodów. Jeśli imion brak zupełnie, to tylko dlatego, że ludzka pamięć ich nie zachowała – wszystko zaś właśnie tak było.

CZĘŚĆ PIERWSZA
PRZEMYSŁ WIĘZIENNY

„W okresie dyktatury, otoczeni ze wszech stron wrogami, przejawialiśmy niekiedy zbytnią miękkość, przesadną łagodność”.

Krylenko,
przemówienie na procesie „Prompartii”.

I. ARESZTOWANIE

Jak trafia człowiek na ten tajemniczy Archipelag? O każdej porze dnia lecą tam samoloty, płyną okręty, turkoczą pociągi – ale żaden napis na nich nie wskazuje, dokąd jadą. A kasjerzy na dworcach i pracownicy agencji Sowtunist i Intunist będą zdumieni, jeżeli poprosicie ich o odpowiedni bilecik. Ani Archipelagu w ogólności, ani żadnej z jego niezliczonych wysepek ci ludzie nie znają, nie słyszeli o niczym.

Ci, którzy jadą na Archipelag, żeby nim rządzić – trafiają tam poprzez uczelnie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Ci, którzy jadą, żeby Archipelagu pilnować – trafiają tam z poboru, przez komendy uzupełnień.

Ci zaś, którzy jadą tam umierać, tak jak my, czytelniku, ci trafiają tam wyłącznie i koniecznie – poprzez aresztowanie!! Czy warto mówić, że to chwila, co łamie całe twoje życie? Że to piorun, co z nóg wali? Że to wstrząs duchowy nie do pojęcia, z którym nie każdy może się oswoić i często nabawia się pomieszania zmysłów?

Wszechświat ma właśnie tyle punktów centralnych, ile w nim żywych istot. Każdy z nas – jest osią świata i świat rozpada się na kawałki, gdy człowiek słyszy syknienie: „Jesteście aresztowani!”.

Skoro! ciebie już aresztowano – to czy w ogóle coś się uchowało w tym trzęsieniu ziemi?

Ale – nie potrafiąc zaćmionym nagle umysłem pojąć rozmiarów tego przewrotu, zarówno najprzemysłniejsi, jak najbardziej prostoduszni z was, nie umieją w tej chwili wycisnąć z całego zapasu swoich doświadczeń nic więcej, jak te oto słowa:

– Ja?! Za co?!

Pytanie to miliony i miliony razy już było zadawane i nigdy nie doczekało się odpowiedzi.

Aresztowanie – to nagły i rażący przerzut, przewarstwienie, przeskok, z jednego życia do całkiem innego.

Po długiej, krętej ulicy naszego życia pędziliśmy szczęśliwie, albo brnęliśmy smutno wzdłuż jakichś płotów, płotów, płotów ze zgniłych desek, suchej gliny, wzdłuż murów z cegieł, betonu, żelaza. Nie zastanawialiśmy się – co kryje się za nimi? Ani okiem, ani domysłem nie staraliśmy się ich przeniknąć – a tam właśnie zaczynał się kraj GUŁag, ręką dotknąć, dwa metry stąd. A ponadto nie dostrzegaliśmy w tych płotach niezliczonej ilości szczelnie dopasowanych, dobrze zamaskowanych drzwiczek, furtek. Wszystkie, wszystkie te furtki czekały na nas! – i oto szybko otworzyła się jedna z nich, ta fatalna, i cztery białe, męskie dłonie, nie zgrubiałe od pracy, ale chwytlive, łapią nas za nogę, za rękę, za kołnierz, za czapkę, za ucho – wciągają jak tłumok, a furtka za naszymi plecami, furtka do dawnego życia, zatrzaskuje się na zawsze.

To wszystko. Jesteś aresztowany!

I niczego innego nie umiesz wymyślić w odpowiedzi prócz jagnięcego beknienia:

– Jaa?? Za co??

Oto czym jest aresztowanie: to blask oślepiający i cios, które sprawiają, że teraźniejszość nagle staje się przeszłością, zaś to, co niemożliwe, zaczyna być pełnoprawną codziennością.

I to wszystko. I niczego więcej nie jesteś w stanie pojąć – ani w ciągu pierwszej – godziny, ani nawet w trakcie całej pierwszej doby.

Jeszcze tylko błysnie ci w twojej desperacji cyrkowy, papierowy księżyc: „To pomyłka! Zaraz się połapią!”.

Cała zaś reszta, która składa się teraz na tradycyjny i literacki poniekąd obraz aresztowania, zgromadzi się i ułoży już nie w twojej zmagconej pamięci, tylko w pamięci twojej rodziny i sąsiadów.

To – ostry nocny dzwonek albo szorstkie pukanie do drzwi. To – dziarskie postukiwanie niewycieranych butów czujnych agentów operacyjnych. To – przestraszony świadek za ich plecami. (A po co ten świadek? – ofiary ani o tym pomyślą, agenci już nie pamiętają, ale przewidziane to jest w instrukcji, więc musi facet całą noc przesiedzieć, a rano dać podpis. Dla wyrwanego z pościeli świadka to też męka: noc po nocy chodzić i pomagać w areszcie swoich sąsiadów i znajomych).

Tradycyjne aresztowanie – to jeszcze zbieranie drżącymi rękoma rzeczy dla porywanego: zmiana bielizny, kawałek mydła, coś do jedzenia i nikt jeszcze nic nie wie: co potrzeba, co wolno, jaka odzież najlepsza, agenci zaś poganiają i przeszkadzają: „Niczego nie trzeba. Tam go nakarmią. Tam ciepło”. (Wszystko łgarstwo. A poganiają – na postrach).

Tradycyjne aresztowanie – to jeszcze później, już po zabraniu nieboraka, wielogodzinne gospodarowanie w mieszkaniu szorstkiej, obcej, przemożnej siły. To – wyłamywanie, patroszenie, ściąganie i zrywanie ze ścian, wyrzucanie na podłogę z szaf i szuflad, wytrząsanie, rozsypywanie, rwanie – i góry rzeczy nagrane na ziemi, i chrzęst pod podszewkami. I nic świętego podczas rewizji! Przy aresztowaniu maszynisty kolejowego Inoszyina, stała w pokoju trumienka z jego dopiero co zmarłym dzieckiem. Stróżę prawa wyrzucili dziecko z trumny, tam też szukali. Wyrzucają też chorych z pościeli, zdejmują bandażę.¹

I nic w trakcie rewizji nie może być uznane za głupstwo! U historyka-amatora Czetwieruchina zabrano „tyle a tyle arkuszy carskich dekrétów” – a mianowicie dekrét o zakończeniu wojny z Napoleonem, o zawarciu Świętego Przymierza i tekst litanii przeciw cholerze z 1830 roku. U naszego najlepszego znawcy Tybetu, Wostrikowa, skonfiskowano bezcenne, starożytne rękopisy tybetańskie (uczniowie zmarłego zdołali wydostać je z czeluści KGB dopiero po 30, latach!). Przy areszcie orientalisty Newskiego zabrano manuskrypty tanguckie (a po 25. latach za ich odcyfrowanie Newski otrzymał nagrodę lenińską pośmiertnie). Z Kargera zaharapczono archiwum jenisejskich Ostiaków, zakazano stosowania ułożonego przezeń alfabetu i elementarza – i tak już musiał się cały ludek obejść bez piśmiennictwa.

W języku inteligentów wszystko to wymagałoby drogich jeszcze opisów, a nasz lud tak powiada o rewizji: tego szukają, co nie schowane.

Skonfiskowane rzeczy wywożą, a czasem każą nieść aresztowanemu – i Nina Aleksandrowna Palczyńska musiała nieść na plecach wór z papierami

¹ Kiedy w 1937 roku rozgromiony został instytut doktora Kazakowa naczynia z lizatami jego wynalazku „komisja” rozbijała, chociaż dookoła skakali wyleczeni i leczeni jeszcze kalecy ludzie błagając, żeby nie niszczone cudownego leku. (Według wersji oficjalnej, lizaty uznane zostały za truciznę - czemu więc nie zachowano ich jako dowodów rzeczowych?).

i listami swego niestrudzonego męża – nieżyjącego już wielkiego inżyniera i Rosjanina – IM w paszczę, na zawsze, niepowrotnie.

A dla tych, co zostają w domu – długa kolej porujnowanych, spustoszonych dni. I próby przekazywania paczek. Ale ze wszystkich okienek tylko poszczekiwanie: „Nie ma w rejestracji”, „nie ma tu takiego!”. A jeszcze zanim podejdzie do okienka, trzeba – jak to było w Leningradzie, w złą godzinę, przez pięć dni i nocy tłoczyć się w kolejce. I dopiero może za pół roku czy za rok, sam aresztant się odezwie – albo też ci powiedzą: „Bez prawa korespondencji” – a to już prawie na pewno znaczy, że rozstrzelany.

Jednym słowem – „żyjemy w przeklętych warunkach, w których człowiek może zginąć bez wieści i najbliżsi mu ludzie, żona i matka... całe lata nie wiedzą, co się z nim stało”. Prawda to? A może nie? Napisał to zaś Lenin w 1910 roku, w nekrologu Babuszkina. Tylko trzeba powiedzieć jasno: Babuszkina wiozł transport broni dla celów powstania, za to też został rozstrzelany. Wiedział, co ryzykuje. Nie da się tego powiedzieć o nas, nieszczęsnych królikach.

Tak wyobrażamy sobie zwykle aresztowanie.

I rzeczywiście, nocne aresztowania opisanego tu typu przeprowadza się u nas najchętniej, bo mają one ważne zalety. Wszyscy obecni w mieszkaniu obezwładnieni są przez strach już od pierwszego dzwonka. Przyszły aresztant wyrwany jest z ciepłej pościeli, cały jest jeszcze w mocy półsennego bezwładu, rozsądek jego jest przyćmiony. Przy nocnym areszcie agenci mają przewagę liczebną: przyjeżdża ich kilku, są uzbrojeni, a mają przeciw sobie pojedynczego człowieka w niedopiętych portkach; podczas rewizji i przygotowań do drogi na pewno nie zbierze się pod bramą tłum ewentualnych stronników ofiary. Niespieszna stopniowość tych wizyt, – naprzód w jednym mieszkaniu, potem w drugim, jutro w trzecim i czwartym – daje możliwość racjonalnego wykorzystania kadry operacyjnej i umieszczenia pod kluczem liczby obywateli wielokrotnie większej od całej tej kadry razem wziętej.

Jeszcze tę zaletę mają nocne areszty, że ani sąsiednie domy, ani miejskie ulice nie widzą ilu w ciągu nocy wywieziono. Najbliższych sąsiadów postraszone, a dla dalszych rzecz nie miała miejsca. Jak gdyby nigdy nic. Tą samą asfaltową trasą, którą nocą śmigały karetki więzienne, suki, – za dnia kroczy młode pokolenie ze sztandarami i kwiatami, śpiewając pełne pogody pieśni.

Ale ci, co *łapią*, ci których cała praca polega tylko na przeprowadzeniu aresztów, dla których objawy strachu u aresztowanych są czymś nudnym i dokuczliwym – mają o wiele szersze pojęcie o całej operacji. Mają całą swoją teorię, nie trzeba naiwnie sądzić, że jej nie ma. Aresztowanie – to ważny rozdział w kursie wiedzy więziennej i ma za podstawę pewną solidną teorię społeczną. Istnieje klasyfikacja zatrzymań według rozmaitych cech: są nocne i dzienne, są domowe, służbowe i drogowe, są pierwiastkowe i powtórne, są indywidualne i grupowe. Aresztowania różnią się od siebie w zależności od stopnia pożądanego zaskoczenia, od stopnia oczekiwanego oporu (ale w dziesiątkach milionów wypadków żaden opór nie był oczekiwany, ani go też nie było). Aresztowania różnią się zależnie od ważności zaplanowanej rewizji; zależnie od konieczności (czy jej braku) spisywania skonfiskowanych przedmiotów, opieczętowania izby lub całego mieszkania; zależnie od potrzeby uwięzienia również żony w ślad za mężem

i oddania dzieci do sierocińca, bądź zesłania całej reszty najbliższej rodziny, albo wreszcie – wtrącenia do obozu także dziadków.

A jeszcze istnieje osobna REWIZJOLOGIA (udało mi się przeczytać broszurę dla adeptów Studium zaocznego z Ałma-Aty). Bardzo tam chwalą tych prawników, którzy przy rewizji nie lenili się i przetrząsnęli 2 tony nawozu, 6 metrów polan, dwa wozy siana, oczyścili ze śniegu całą działkę przyzagrodową, rozebrali kaflowy piec, rozgrzebali gnojówkę, skontrolowali miski klozetowe, spenetrowali psie budy, kurniki, domki dla szpaków, poprzekłuwali materace, zrywali plastry z ran, a nawet wrywali metalowe zęby, żeby znaleźć w nich mikrodokumenty. Studentom radzi się gorąco, aby zaczynali od rewizji osobistej i nią też sprawę kończyli (bo a nuż rewidowany coś capnął w trakcie) i żeby jeszcze raz odwiedzili to samo mieszkanie, ale o innej porze – i powtórzyli rewizję.

O, nie, nie, aresztowania są bardzo różnorodne w formie. Irma Mendel, Węgierka, dostała któregoś dnia w biurze Kominternu (1926) dwa bilety do Teatru Wielkiego, do pierwszych rzędów. Śledczy Klegel zalecał się do niej, więc go zaprosiła. Całe przedstawienie minęło im na czułych spojrzeniach, po czym Klegel zawiózł Irmę... prosto na łubiankę. A jeśli chcecie wiedzieć dlaczego pewnego promiennego, czerwcowego dnia w 1927 roku na Kuźnieckim Moście krągłolicej, rudowłosej i pięknej Annie Skrypnikowej, która dopiero co kupiła sobie materiał na granatową suknię, jakiś młody frant grzecznie pomógł wsiąść do dorożki (a dorożkarz już się potapał i cały się chmurzy: Organy nie zapłacą mu za kurs) – to musicie zrozumieć, że nie chodzi o randkę, że to też jest aresztowanie: za chwilę skręcając na łubiankę i wjadąc w czarną czeluść bramy. Jeśli zaś (22 wiosny później) komandor-podporucznik Borys Burkowski, w białym frenczu marynarskim pachnący drogą wodą kolońską – będzie kupował w cukierni tort dla pewnej panienki – to nie sądzicie, że tort trafi do rąk tej panny, bo w istocie zaraz zostanie posiekany nożami przy rewizji i w tym stanie wniesiony przez komandora do jego pierwszej celi.

Nie, nigdy nie był u nas w pogardzie żaden sposób zatrzymania, ani w biały dzień, ani w podróży, ani wśród tłumu. Idzie to gładko i – tu właśnie trzeba się dziwić! – same ofiary w świętej zgodzie z agentami zachowują się jak najtaktowniej, tak żeby pozostali przy życiu nie zwrócili nawet uwagi na zagładę upatrzonego.

Nie każdego można aresztować w domu, po sakramentalnym zapukaniu do drzwi (a jeśli już ktoś puka, to z "administracji", „listonosz”), nie każdego można aresztować w miejscu pracy. Jeśli przyszły aresztant jest człowiekiem przebiegłym, to lepiej wziąć go w oderwaniu od jego zwykłego otoczenia – rodziny, kolegów, stronników, z dala od możliwych schowków: nie powinien zdążyć niczego zniszczyć, ukryć przekazać.

Ludziom ze szczytów wojskowych czy partyjnych czasem dawano jakieś nowe stanowisko, podstawiano salonkę na dworzec, i aresztowano w drodze. Zwykły zaś, szary śmiertelnik, ogłuszony masowymi aresztami i już od tygodnia zgębiony złowróżbnymi spojrzeniami zwierzchników – wzywany bywał naraz do miejscowej organizacji związkowej, gdzie mu z ciepłym uśmiechem wręczano skierowanie do sanatorium w Soczi. – Królik wpadał w rozczulenie – obawy okazały się bezpodstawne! Wyraża więc wdzięczność, w tryumfie wraca do domu, spakować walizkę. Do pociągu wszystkiego dwie godziny, łaje więc żonę za opieszałość. Jest nareszcie na dworcu! Ma jeszcze trochę czasu, W poczekalni albo przy kiosku z piwem, kłania mu się jakiś przemiły młody człowiek: „Nie poznajecie mnie, Piotrze Iwanyczu?” Piotr Iwanycz ma chwilę wahania: „Chyba nie... Chociaż...”. Młó-

dzian tryska braterską sympatią: „Ależ, jak to, jak to, ja wam przypomnę...” i z szacunkiem kłania się żonie Piotra Iwanycza: „Proszę wybaczyć, my z małżonkiem tylko na minutkę...”. Żona nie ma nic przeciwko temu, nieznajomy zaś trzymając Piotra Iwanycza konfidentycznie za łokieć, uprowadza go – na zawsze, albo na dziesięć lat.

A dworzec wiruje dookoła i niczego nie widzi... Obywatele podróżni! Nie zapominajcie, że na każdym większym dworcu jest posterunek; GPU i kilka więzionych cel.

Natarczywość tych rzekomych znajomków jest tak zaczepna, że człowiek pozbawiony obozowej, wilczej wprawy jakoś nie potrafi się opędzić. Nie myśl, że będąc nawet pracownikiem amerykańskiej ambasady, nazwiskiem, dajmy na to Aleksander Dołgan, nie zostaniesz aresztowany w biały dzień, na ulicy Gorkiego, obok centralnego telegrafu. Nieznajomy twój przyjaciel rzuci się w twoją stronę, przepychając się przez tłum, szeroko otwierając zaborcze ramiona: „Sasza! – krzyknie z niczym się nie kryjąc – stary byku! Ileż to lat, ile zim!... A chodźmyż bok, żeby ludziom nie włązić w paradę”. A na boku, przy samym chodniku, już zatrzymuje się auto... (minie kilka dni i TASS z gniewem stwierdzi we wszystkich gazetach, że koła zbliżone nic nie wiedzą o zniknięciu Aleksandra Dołgana). A co to za sztuka? Nasi mołojcy łapali w ten sposób ludzi w Brukseli (tak schwywano Żorę Blednowa), cóż dopiero w Moskwie!

Trzeba jednak wyrazić ORGANOM zasłużone uznanie: podczas gdy dziś przemówienia i sztuki teatralne wydają się – podobnie jak konfekcja damska – dziełem jednej sztancy, rodzaje aresztowań cieszą swoją różnorodnością. Odprowadzają cię na bok w fabrycznej portierni, gdzie dopiero co pokazałeś przepustkę – i już jesteś złapany, biorą cię ze szpitala wojskowego z temperaturą 39° (Ans Bernsztejn) i lekarz nie sprzeciwia się temu (a spróbowałby się sprzeciwić!); biorą cię wprost ze stołu operacyjnego, po operacji rany żołądka (N.M. Worobiew, inspektor okręgowego wydziału oświaty – 1936) i ledwie żywego, okrwawionego, pakują do celi (Wspomnienia Karpunicza); starasz się (Nadia Lewicka) o widzenie ze skazaną już matką, dają ci je! – a okazuje się, że to konfrontacja i aresztowanie! Zapraszają cię w sklepie „Gastronom” do działu zamówień – i tam cię aresztują: zostajesz aresztowany przez wagabundę, który na wszystkie świętości zaklinał cię, żebyś mu pozwolił przenocować pod twoim dachem; zostajesz aresztowany przez montera, który przyszedł sprawdzić licznik; aresztuje cię rowerzysta, który potrącił cię na ulicy: konduktor w pociągu, kierowca taksówki, rachmistrz kasy oszczędności i bileter w kinie – każdy z nich cię aresztuje, i dopiero po niewczasie możesz sobie obejrzeć głęboko schowaną legitymację koloru bordo.

Czasem aresztowanie wydaje się jakąś grą – tyle zainwestowano w nie zbędnej pomysłowości i sytej energii, a przecież ofiara i tak by nie stawiała oporu. Czy agenci operacyjni chcą w ten sposób uzasadnić potrzebę swoich funkcji i swojej liczebności? Jak się zdaje, wystarczyłoby rozstać wszystkim upatrzonym króliczkom po wezwaniu – a już one same o wyznaczonej godzinie, co do minuty, pokornie staną z tłumoczkami pod czarną bramą urzędu bezpieczeństwa, aby zająć swoją część powierzchni mieszkalnej we wskazanej celi. (Zresztą – kołchoźników tak właśnie bierze się pod klucz; czy to warto jechać nocą i szukać jakiejś chaty po bezdrożach? Wzywa się jednego z drugim do rady gromadzkiej i tam go się już zabiera, jak swojego. Czarnoroboczych wzywa się do fabrycznego kantoru).

Rzecz jasna, każda maszyna ma swoją zdolność przepustową, nie przetłknie więcej, niż potrafi. W trakcie pękających w szwach od nadmiaru lat, 1945–46, kiedy ciągnęły jeden za drugim kolejowe eszelony het, z Europy, i trzeba było je wszystkie naraz pochłonąć i wyprawić do GUŁagu – nie było już miejsca na tę luksusową grę, sama teoria porządnie wyleniała, powyłaziły rytualne piórka i uwięzienie dziesiątków tysięcy wyglądało jak mizerny apel: stoją sobie ichmoście żel spisami, z jednego pociągu wywołują, pakują do drugiego – i to wszystko.

W ciągu kilku dziesięcioleci aresztowania polityczne miały u nas tej osobliwą cechę, że podlegały im osoby, które nie popełniły żadnej winy – i właśnie dlatego nie myślące o żadnym oporze. Wytworzyło się i powszechne poczucie osaczenia, szerzyło się przekonanie (w warunkach; systemu paszportów i meldunków – dosyć słuszne zresztą), że przed GPU–NKWD nie sposób uciec. I nawet kiedy epidemie aresztowani dochodziły do zenitu, kiedy ludzie idąc do pracy co dzień żegnali się z rodziną, bo nie byli nigdy pewni, czy wrócą wieczorem – nawet wtedy prawie nie próbowali uciekać (w rzadkich tylko wypadkach wybierali samobójstwo). O to właśnie chodziło. Bezrogi baran wilkowi najmilszy.

Powodem tego było też niezrozumienie mechanizmu epidemii. ORGANY nie miały zwykle ściślejszych kryteriów wyboru – kogo aresztować, kogo oszczędzić; chodziło tylko o wykonanie planu ilościowego. Wykonać go można było w zawczasu przewidzianym trybie, można też było korzystać z zupełnego przypadku. W 1937 roku do kancelarii NKWD w Nowoczerkasku przyszła jakaś kobieta z pytaniem, co zrobić z nienakarmionym niemowlęciem – dzieckiem jej aresztowanej sąsiadki. „Poczekajcie tu, obywatelko – powiedziano jej – zaraz wyjaśnimy”. Po dwóch godzinach czekania zabrano ją z kancelarii do celi; trzeba było osiągnąć zaplanowaną cyfrę, nie starczało już agentów na rozjazdy po mieście, a ta się sama zgłasza! I odwrotnie – po Andrzeja Pawła, Łotysza mieszkającego pod Orszą, przyszło NKWD: Pawło nie otworzył, wyskoczył przez okno, udało mu się uciec i pojechał prosto na Syberię. I chociaż mieszkał tam pod własnym nazwiskiem, a z dokumentów wynikało jasno, że meldowany jest w Orszy, jednak NIGDY nie siedział, nigdy nie był wzywany przez Organy, nigdy nie padło nań podejrzenie. Istnieją przecież trzy zakresy ścigania: ogólnopaństwowy, republikański i okręgowy. Prawie połowa aresztowanych w trakcie epidemii nie doczekałaby się rozestania listów gończych dalej niż do granic okręgu. Człowiek, włączony do planu z przyczyn przypadkowych, np. w wyniku sąsiedzkiego donosu, łatwo mógł być zastąpiony przez kogoś innego. Jak Andrzej Pawło, tak samo inni, którzy przypadkiem natrafili na obławę, albo na kociot w którymś mieszkaniu, a mieli dość odwagi by zaraz uciec, jeszcze przed pierwszym przesłuchaniem – nigdy nie byli ścigani, ani pociągani do odpowiedzialności, kto zaś czekał sprawiedliwości, nie ruszając się z miejsca, ten dostawał wyrok. I prawie wszyscy – przytłaczająca większość – tak się właśnie zachowywali: małodusznie, bezradnie, jak skazańcy.

Z drugiej strony, jest prawdą, że NKWD pod nieobecność poszukiwanego dawało jego bliskim zakaz wyjazdu – nic nie kosztowało, rzecz jasna, zaliczyć sobie obecnych w zamian tego, co uciekł.

Powszechny brak winy rodzi powszechną beczynność. A może cię wcale nie wezmą? Może jakoś cię to ominie? A. J. Ładyżyński był wychowawcą klasy w szkole, w prowincjonalnym miasteczku Kołogriw. W 1937 roku podszedł do niego na rynku jakiś chłop i przekazał mu czyjeś słowa takiej treści: „Aleksandrze Iwanowiczu, wyjedź stąd, jesteś na liście!”. Ale Ładyżyński został: przecież cała szkoła

na mnie się trzyma i ich własne dzieci u mnie się uczą – przecież nie mogą mnie aresztować?... (Po kilku dniach już był za kratą). Nie każdemu jest dane, jak Wani Lewickiemu, rozumieć już w wieku lat 14, że „każdy uczciwy człowiek powinien pójść w końcu do więzienia. Teraz siedzi tatuś, a jak dorosnę, to mnie też wsadzą”. (Wsadzili go, gdy miał 23 lata). Większość gnuśnieje, wpatrzona w isierkę nadziei. Skoro jesteś niewinny – to za co mogą cię w ogóle wsadzić? To BYŁABY OMYŁKA! Już cię wloką za kołnierz, a ty wciąż sam się zaklinasz: „To omyłka! Na pewno się zorientują – i wypuszczą mnie!” Innych wsadzają w masie, to też zdaje się nie mieć sensu, ale i tu u każdego oddzielnie jest miejsce na podejrzenia: „a może tam – ten właśnie trafił nie z przypadku...?” Bo ty! – to już bezwzględnie jesteś bez winy! Wciąż jeszcze uważasz Organy za instytucję podporządkowaną ludzkiej logice: jak się zorientują, to wypuszczą.

Po co więc próbować ucieczki?!. Na co więc opór?... Przecież pogorszysz tym tylko swoją sytuację, sam im nie pozwolisz pojąć ich własnej omyłki. Co tam opór! – nawet ze schodów zbiegasz na paluszkach, bo tak ci kazano, żeby sąsiedzi nie słyszeli.

Jak to potem w obozie człowieka piekło: a co, gdyby każdy agent idąc nocą łapać ludzi, nie był pewien, czy wróci żywy i musiał zawsze żegnać się z rodziną? Gdyby podczas masowych obław, na przykład w Leningradzie, kiedy za kraty szło ćwierć miasta, ludzie nie siedzieli po swoich norach, mdlejąc z lęku przy każdym trząśnięciu bramy, przy każdym kroku na schodach – gdyby zrozumieli, że teraz nie mają już nic więcej do stracenia i zabrali się żwawo do urządzania w sieniach swoich domów zasadzek – z siekierami, młotkami, pogrzebaczami, z czym popadło? Wiadomo przecież, że te nocne gacki nie przychodzą w dobrych zamiarach – więc nie omyli się człowiek dając w łeb zbójowi. Albo taka suka z samotnym szoferem, co już czeka na ulicy – odstawić by ją jak najdalej albo przebić gumy.

I wreszcie – czemu tu się właściwie sprzeciwiać? Że zabrano ci pasek? Albo, że kazano stanąć w kącie? Albo – że musisz wyjść za próg swojego domu? Aresztowanie składa się z drobnych wypadeczek, z rozlicznych drobnostek – żadna z nich nie jest jakby warta sporu (a nadto myśli aresztowanego krążą dookoła wielkiego problemu: „za co?”) – a dopiero wszystkie te drobnostki razem składają się nieubłagane na proces aresztowania.

Zresztą – bo to mało. się dzieje w duszy świeżego aresztanta! – Już to jedno warte jest całej książki. Mogą tam być uczucia, których nigdy byśmy się nie domyśleli. Kiedy w 1921 roku aresztowano 19-letnią Eugenię Dojarenko i trzech młodych czekistów grzebało w jej pościeli i w komodzie z bielizną, dziewczyna zachowywała się spokojnie: nic tam nie ma, niczego więc nie znajduje. I nagle wzięli w ręce jej intymny pamiętnik, którego nawet matce nie mogłaby pokazać – otóż czytanie jej zwierzeń przez obcych, wrogo nastawionych chłopaków boleśniej ją zraniło niż cała łubianka z jej kratami i lochami. I u wielu innych ludzi te prywatne uczucia i skłonności, którym aresztowanie zadaje cios, mogą okazać się silniejsze niż lęk przed więzieniem albo względy polityczne. Człowiek, nieprzygotowany wewnętrznie na gwałt, zawsze jest słabszy, od gwałciciela.

Nieliczni tylko mają. tyle rozumu i śmiałości, aby zorientować się z punktu. Dyrektor Instytutu Geologicznego Akademii Nauk, Griegoriew, gdy przyszli po niego w 1948 roku, zabarykadował się i dwie godziny palił papiery.

Czasami aresztowany czuje przede wszystkim ulgę i nawet... RADOŚĆ, ale to zdarzało się głównie w okresie epidemii aresztowań: kiedy naokół zabierają jednego po drugim, jednego po drugim, takich ja ty, a ciebie omijają, wciąż jakoś zwlekają, przecież to wyczerpuje, to dręczy człowieka – i nie tylko wątłego duchem – gorzej Od wszelkiego więzienia.

Organy rychło nie doliczyłyby się kupy agentów i środków transportu – i wbrew najlepszym chęciom Stalina, przekłeta maszyna musiałaby się zatrzymać! ZASŁUŻYLIŚMY sobie po prostu na wszystko, co później nastąpiło.

Wasyli Własow, nieustraszony komunista, którego tu nieraz jeszcze wymienimy, odmówił ucieczki, jaką mu proponowali jego bezpartyjni pomocnicy, a zadręczał się tym, że wyaresztowano już całe kierownictwo Kadyjskiego powiatu (1937), on zaś wciąż jeszcze był wolny, wciąż wolny. Mógł wytrzymać tylko cios frontalny – cios nastąpił i Własow zaraz się uspokoił, a przez kilka pierwszych dni w więzieniu czuł się doskonale. Duchowny, ojciec Iraks Boczarow w 1934 roku wyjechał do Ałma-Aty, żeby tam nieść pociechę zesłanym wiernym. W tym czasie agenci trzykrotnie nachodzili jego mieszkanie w Moskwie z nakazem aresztowania. Kiedy wrócił, parafianki czekały już na dworcu z ostrzeżeniem. Osiem lat przeczucali go Wierni z jednej kryjówki do drugiej. To koczowanie tak zadręczyło popa, że kiedy go nareszcie w 1942 roku aresztowano, zaczął z radości głośno chwalić Pana.

W tym rozdziale wciąż mówimy o podstawowej masie, o królikach, nie wiado-
mo za co wsadzanych za kraty. Ale w tej książce będziemy musieli jeszcze poru-
szyć sprawy tych, którzy także w naszym ustroju mogli być uznani za politycz-
nych. Wiera Rybakowa, studentka, socjaldemokratka, *marzyła* na wolności o
więzieniu izolacyjnym w Suzdalu: jedynie tam mogła liczyć na spotkanie ze star-
szymi towarzyszami (nikogo już nie było na swobodzie) i lepsze ugruntowanie swo-
jego światopoglądu. Eserka Katarzyna Olickaja w 1924 roku uważała się nawet za
niegodną siedzenia w więzieniu: przeszli przez nie przecież najlepsi ludzie Rosji,
ona zaś była jeszcze młoda i nic jeszcze dla Rosji nie zdążyła zrobić. Ale wolność
też już jej nie wabiła. Tak też obie one poszły do więzienia – z dumą i radością.

„A gdzie opór? Czemużście się nie opierali?” – robią teraz wyrzuty ofiarom
ci, których zostawiono w spokoju.

A tak, sprzeciw powinien był zacząć się do razu, od samego aresztowania...
Ale się nie zaczął.

*

I oto – już cię *prowadzą*. Jeśli to dzień, to nadchodzi teraz nieuchronnie ta
krótka, niepowtarzalna chwila, kiedy – bez ostentacji, z twoją tchórzliwą zgodą,
albo ostentacyjnie, z pistoletami w rękę – *prowadzą* cię przez tłum, między set-
kami takich samych niewinnych i osaczonych. Ust nikt ci nie zamknął. I teraz po-
winienbyś KRZYCZEĆ; krzyczeć, że jesteś aresztowany! Że poprzebierane łotry wy-
łapują ludzi! Że łapią ich na podstawie kłamliwych donosów! Że trwa głuche po-
lowanie na miliony obywateli! I słysząc takie krzyki wiele razy dziennie i we wszyst-
kich dzielnicach miasta może by twoi współobywatele nastawili uszu? może aresz-
towanie przestałoby być taką łatwą robotą?

W 1927 roku, kiedy potulność jeszcze nie tak bardzo rozmiękczyła nasze mó-
zgi, na placu Sierpuchowskim, w biały dzień, dwóch czekistów próbowało zaaresz-
tować kobietę. Kobieta uczepiła się słupa latarni, zaczęła krzyczeć, nie chciała

ustąpić. Zebrał się tłum. (Trzeba było takiej kobiety, ale też trzeba było takiego tłumu! Nie wszyscy przechodnie odwracali oczy, nie wszyscy woleli przemknąć się cichcem!) Dziarscy chłopcy od razu stracili rezon. Bo nie potrafili pracować przy ludziach. Wsiedli do auta i ulotnili się. (A kobieta powinna była od razu wsiąść w pociąg i wyjechać! Ale wołała przenocować w domu. Więc w nocy odwieziono ją na Łubiankę).

Ale z twojego zaschniętego gardła nie wyrывa się żaden krzyk, a przechodzący obok tłum bierze i ciebie, i twoich oprawców za grupę przyjaciół na przechadzce.

Ja sam nieraz miałem okazję do krzyku.

Jedenastego dnia po aresztowaniu trzech agencji SMIERSZ-a, zajęci trzema walizkami trofeów bardziej niż mną (po długiej podróży już na mnie polegali), przywieźli mnie do Moskwy, na Dworzec Białoruski. Nazywało się to *speckonwój*, ale w istocie automaty przeszkadzały im tylko w dźwiganiu bardzo ciężkich kufrów: był to łup na-grabiony w Niemczech przez nich samych i przez ich naczelników z kontrwywiadu SMIERSZ II Frontu Białoruskiego. Konwojowanie mojej osoby dało im pretekst do przekazania łupów rodzinom w głębi ojczyścgo kraju. Czwartą walizkę dźwigałem sam bez żadnej ochoty; były w niej moje dzienniki i utwory: dowody rzeczowe w mojej sprawie. Nikt z tej trójki nie znał miasta, moim zadaniem więc był wybór najkrótszej drogi do więzienia. Ja sam miałem zaprowadzić ich na Łubiankę, gdzie dotąd nigdy nie byli (myliłem ją zresztą z ministerstwem spraw zagranicznych).

Po dobie spędzonej w kontrwywiadzie mojej armii; po trzech dobach w kontrwywiadzie frontu, gdzie współwięźniowie już mnie oświecili (po do oszustw i pułapek śledztwa, grózb, bicia, co do tego, że kogo zamkną, tego już nigdy nie wypuszczą; co do nieuchronnego przydziału *dychy*) cudem wyrwałem się na świat boży i oto już cztery dni rozjeżdżam jak *wolny* i otoczony *wolnymi*, chociaż grzbiet mój leżał już na zgniłej słomie obok kubła, chociaż oczy moje widziały już sponiewieranych i pozbawionych snu, uszy słyszały już słowa prawdy, usta kosztowały już więziennej bryi. Czemu więc milczę? Czemu nie powiem wszystkiego oszukanym ludziom w ostatniej mojej chwili, gdy jeszcze, mogę otwarcie z nimi gadać?

Milczałem w polskim mieście Brodnicy – ale tam może nikt nie rozumie po rosyjsku? Nie krzyczałem ani razu na ulicach Białegostoku – ale może to wszystko Polaków nie obchodzi? Ani słowa nie wymówiłem na stacji Wołkowysk – ale ludzi tam było przymało., Jak gdyby nigdy nic maszerowałem z tymi rozbójnikami po peronach Mińska – ale dworzec tam był jeszcze rozbity. A teraz prowadzę za sobą agentów SMIERSZ-a do krytego białą kopułą, górnego, okrągłego westybulu stacji Białoruska-Średnicowa moskiewskiego metra; stacja zalana jest elektrycznym blaskiem i z dołu w górę płyną ku nam dwoma równoległymi ciągami ruchomych schodów dwa gęste rzędy mieszkańców Moskwy. Wydaje się, że wszyscy oni patrzą na mnie! Nieskończonym łańcuchem stamtąd, z głębin nieświadomości pną się, pną się aż pod lśniącą kopułę, tu, do mnie, po jedno chociaż słowo prawdy, czemuż to więc milczę??!...

A każdy ma zawsze dobry tuzin gładkich powodów, żeby się nie poświęcać i uważać, że to słuszne.

Ludzie mają jeszcze nadzieję, że wszystko jakoś się łoży i boją się swoim krzykiem pogorszyć sprawę (przecież z tamtego, innego świata nie dochodzą do nas

wieści, nie wiemy więc, że od chwili aresztowania nasz los jest przesądzony w najgorszy z możliwych sposobów i że pogorszyć go prawie nie można). Inni jeszcze nie dojrżeli do tych pojęć, które układają się w krzyk wśród tłumu. Przecież tylko rewolucjonista ma swoje hasła zawsze na wargach, same rwą mu się z ust, a skąd ma je wziąć potulny, trzymający się na uboczu zjadacz chleba? On NIE WIE PO PROSTU, co ma krzyczeć. Jest wreszcie rodzaj ludzi, których pierś zbyt jest pełna, których oczy zbyt wiele widziały, aby można było dać upust temu jezioru w kilku beładnych okrzykach.

A ja – ja milczę z jeszcze jednego powodu: bo tych ludzi wjeżdżających po stopniach dwóch wyciągów wciąż mi jeszcze za mało – za mało! Tu mój lament usłyszają dwie setki, dwa razy po dwie setki ludzi – a co z dwiema setkami milionów?... Roi mi się mgliście, że kiedyś jeszcze coś krzyknę tym całym dwustu milionom...

A tymczasem wyciąg nieubłagane niesie mnie w dół, do piekieł, mnie, człowieka który nie otworzył ust.

Milczę jeszcze, gdy idziemy przez Ochotny Riad.

Ani krzyknę koło „Metropolu”.

Nie poderwę ręk na Golgocie placu Łubiańskiego...

*

Moje aresztowanie miało charakter chyba najłżejszy z możliwych. Nie wyrwało mnie ono spośród bliskich, nie oderwało od miłego sercu życia domowego. Był chlerawy, zachodni luty, kiedy areszt zagarnął mnie z wąskiej mierzei nad Bałtykiem, gdzie nasi oblegali Niemców, a może Niemcy naszych – i pozbawił tylko znajomego dywizjonu oraz obrazu trzech miesięcy wojny.

Dowódca brygady wezwał mnie na punkt dowodzenia, poprosił ni stąd ni zowąd o pistolet; oddałem mu go, nie podejrzewając żadnego podstępu. Nagle spośród oficerskiej świty, stojącej w napiętym bezruchu w kącie, wybiegło dwóch z kontrwywiadu, kilkoma susami przemierzyło izbę i czworgiem rąk naraz sięgnąwszy do gwiazdki na czapce, do epoletów, do pasa i do torby polowej – zakrzyczało:

– Jesteście aresztowani!

Pałący sztych przebił mnie od ciemienia do pięt i nie znalazłem mądrzejszej odpowiedzi, jak:

– Ja?! Za co?!...

Chociaż to pytanie pozostaje zawsze bez odpowiedzi, rzecz niestychana – dostałem ją! Warto o tym wspomnieć, bo to zbyt już niepodobne do naszych obyczajów. Kiedy ci ze SMIERSZ-a przestali mnie obmacywać, gdy zabrali mi razem z torbą moje pisemne wynurzenia polityczne i – zafrasowani, że szyby drżą od niemieckiej kanonady – już mnie popychali z przynagleniem do drzwi, nagle rozległ się twardy głos zwrócony do mnie – tak! przez tę głuchą brzdę wrytą między tymi co zostali a mną, wyciosaną ciężarem słowa „aresztowany”, przez tę dźwiękoszczelną żonę, dzielącą zadżumionych od reszty świata – przebiły się nieprawdopodobne słowa kombryga!

– Sołżenicyn, Wróćcie tu.

Zrobiłem w tył zwrot na miejscu, wyrwałem się z rąk agentów i już stałem przed kombrygiem. Znałem go mało, nigdy nie zniżał się do zwykłej rozmowy ze mną. Wyraz jego twarzy kojarzył mi się zawsze z rozkazem, zleceniem, gniewem,

Ale teraz ta pełna skupienia twarz rozjaśniła się – czy wstydem za swój wymuszony udział w brudnej sprawie? czy porywem, aby wznieść się ponad wieczną rutynę żałosnego posłuchu? Przed dziesięciu dniami, z worka, gdzie został jego, dywizjon artyleryjski, dwanaście ciężkich dział, wyprowadziłem w stanie prawie nienaruszonym moją baterię zwiadu – i oto teraz on miałby mnie się wyrzec przez jakiś świstek papieru z pieczątką?

– Czy macie... – zapytał z naciskiem – przyjaciela na Pierwszym Froncie Ukraińskim?

– Nie wolno!... Nie macie prawa! – krzyknęli na pułkownika kapitan i major kontrwywiadu. Sztabowa świta w kącie skuliła się z przestachu, jakby bojąc się podzielić ciężar niestychanej nieostrożności kombryga (a panowie z politwydziału – szykując się już do zestawienia materiału na temat dowódcy). Ale ja już domyśliłem się, ile trzeba: zrozumiałem od razu, że aresztowany jestem za korespondencję z moim szkolnym kolegą i wiedziałem, skąd mi grozi niebezpieczeństwo.

I gdyby Zachar Grigoriewicz Trawkin na tym poprzestał! Ale skąd! Coraz bardziej prostując się wewnątrz, coraz czystszy we własnych oczach, wstał zza biurka (w tamtym, poprzednim życiu nigdy nie wstawał na mój widok!), wyciągnął do mnie rękę ponad zoną zarazy (póki byłem wolny, nigdy mi jej nie podawał!) i nie puszczając mojej dłoni, podczas gdy świta nie miała ze zgrozy, z nagłym ciepłem w surowej zwykle twarzy, powiedział – nieulękły, dzieląc słowa:

– Życzę wam – szczęścia – kapitanie!

Nie byłem już kapitanem, lecz zdemaskowanym wrogiem ludu (każdy bowiem aresztowany jest u nas już w chwili ujęcia całkowicie zdemaskowany). A więc życzył szczęścia – wrogowi?...

Dygotały szyby. Niemieckie pociski szarpały ziemię dwieście metrów od nas, przypominając tym, że coś podobnego nie mogło się zdarzyć tam, w głębi kraju, pod pokrywą uregulowanego bytowania, że to możliwe tylko w zasięgu bliskiej i równającej wszystkich śmierci.²

Nie jest to księga moich prywatnych wspomnień. Dlatego nie będę opowiadał o bardzo zabawnych szczegółach mojego zupełnie nietypowego aresztowania. Tej nocy agencji SMIERZ-a wpadli w desperację po daremnych próbach znalezienia kierunku na mapie (nigdy zresztą tej sztuki nie znali) i grzecznie mi ją wręczyli prosząc o wskazanie szoferowi drogi do kontrwywiadu armii. Dowiozłem ich i siebie do tego więzienia i w nagrodę natychmiast zostałem wsadzony nie do celi, tylko karceru. Tej rupieciarni niemieckiego, chłopskiego obejścia, która pełniła obowiązki karceru, pominąć jednak nie można.

Miała ona długość ludzkiego ciała, szerokość zaś taką, że trojgu już było ciasno, czwarty ledwo się mieścił. Ja byłem właśnie czwartym, wepchnięto mnie tam po północy, trzech śpiący na ziemi, skrzywili się na mój widok, wyrwani ze snu przez światło naftowej lampy, ale się posunęli pozwalając mi przylgnąć na boku i stopniowo, siłą ciężkości, wciskać się między nich. Tak więc, na starej słomie leżały teraz cztery pary długich butów podeszwami ku drzwiom i cztery wojskowe płaszcze: tamci spali, a mnie zżerała gorączka. Im zarozumialszym byłem kapitanem jeszcze parę godzin temu, tym ciaśniej mi było gnieść się na dnie tej komórki.

² Zdziwiałe: MOŻNA jednak być człowiekiem! - Trawkin wcale nie poniósł szwanku. Niedawno doszło pomiędzy nami do serdecznego spotkania, zawarliśmy wreszcie znajomość. Jest generałem w stanie spoczynku i rewidentem związku łowieckiego.

Raz czy drugi chłopcy budzili się, bo człowiek drętwiał, i obracaliśmy się równocześnie na drugi bok.

Rankiem pobudzili się, ziewnęli, postękali, podciągnęli nogi, siedli po kątach i zaczęło się zawieranie znajomości.

– A ty za co?.. .. Ale mglisty wietrzyk podejrzliwości już mnie musnął w trującym cieniu SMIERSZ-a, więc odparłem z całą prostotą:

– Nie mam pojęcia. Albo to coś powiedzą, gady?

Jednak moi współwięźniowie, czołgiści w ciasnych, miękkich hełmach nic nie ukrywali. Były to trzy rzetelne, niezawite żołnierskie serca, rodzaj ludzi, do których przywiązałem się podczas wojny, będąc od nich człowiekiem i bardziej skomplikowanym, i gorszym. Wszyscy trzej byli oficerami. Epolety im też zerwano z tą samą wściekłością, tu i tam sterczało jeszcze niciane mięso. Jasne plamy na zielonych bluzach – to były znaki po zdartych orderach, ciemne i czerwone plamy na twarzy i rękach – pamiątki po ranach i oparzeniach. Ich dywizjon nieszcześnie przybył na remont tu właśnie, do tej samej wsi, gdzie stacjonował kontrwywiad SMIERSZ 48 Armii. Ochłonawszy po bitwie, która odbyła się onegdaj, popili sobie wczoraj i za opłotkami wsi wtargnęli do łaźni, gdzie, jak spostrzegli, poszły się kąpać dwie żwawe dziewczuchy. Nie bardzo trzymali się na nogach, więc dziewczuchy zdołały uciec, choć półgołe. Ale okazało się, że jedna z tych dziewczuch jest nie byle czyja – tylko naczelnika kontrwywiadu armii.

No tak! Już trzy tygodnie wojna toczyła się na terenie Niemiec i tośmy już dobrze wiedzieli: gdy dziewczuchy były Niemkami, to można je było zgwałcić, potem rozstrzelać i uszłoby to niemal za wyczyn bojowy; gdyby to były Polki albo nasze, ruskie, z wywózek – to można by w każdym razie pouganiać się za nimi po warzywniku klepiąc po tyłkach – niewinny żart i tyle. Ale skoro poszło o "polową żonę" naczelnika kontrwywiadu – to trzem frontowym oficerom jakiś tyłowy sierżant zerwał ze złością epolety, z dystynkcjami, nadanymi rozkazem dowództwa frontu, zdał order, przyznane im przez Prezydium Rady Najwyższej – i teraz tych wojaków, co walczyli całą wojnę i przedarli się przez niejedną, być może, linię nieprzyjacielskich okopów, oczekiwał sąd wojenny, którego skład nie dojechałby zapewne do tej wsi, gdyby nie ich czołg.

Zdmuchnęliśmy kaganek, bo i tak wypalił już wszystko, czym można było oddychać. W drzwiach wycięte było lipko wielkości widokówki i stamtąd tylko padało odbite światło z korytarza. Obawiając się jakby, że z nadejściem dnia karcer wyda nam się zbyt przestronny, podrzucano nam teraz piątego partnera. Miał na sobie nowiutki płaszcz czerwonoarmisty, równie nową czapkę i gdy tak stał naprzeciw lipka okazało się, że ma zadarty nos, świeżą cerę, i policzki całe w rumieńcach.

– Skąd się wziąłeś, bracie? Ktoś ty taki?

– Aż tamtej, strony – odparł dziarsko. – Szpieg.

– Żartujesz? – zdrętwieliśmy aż. (Szpieg – i żeby sam o tym mówił! – nigdy w ten sposób o tym nie pisał Szejnin ani bracia Tur!³)

– Żarty na wojnie? – westchnął rezolutny chłopak. A jak inaczej z niewoli do domu wrócić? Macie sposób?

Zaczął nam opowiadać, jak zeszłej doby Niemcy przerzucili go przez front, żeby mógł tu szpiegować i wysadzać mosty, on zaś natychmiast poszedł do naj-

³ Autorzy szeroko kolportowanych w ZSSR powieści kryminalnych.

blіszszego batalionu, ęby się poddać a niewyspany, znuęony komendant w ęaden sposób mu nie chciał wierzyć, ęe jest szpiegiem i posyłał do pielęgniarki, ęby dała lekarstwa – ale zaraz nowe wrażenia przeszkodziły nam w słuchaniu.

– Do wychodka! Ręce do tytu! – wołał przez otwarte drzwi chorężypała, który całkiem łatwo sam jeden podźwignęby lufę 122–milimetrowej armaty.

Dookoła całego obejścia, ustawiony już był łańcuch fizylierów, strzegących wskazanej nam ścieęki, prowadzącej za stodołę. Kipiałem z oburzenia, ęe jakiś bęcwat–choręży śmie rozkazywać nam – oficerom: „ręce do tytu”, ale czołęści spleli dłonie za plecami i ruszyłem w ślad za nimi.

Za stodołą był mały, kwadratowy zagonik – pokryty jeszcze niestopniałym, zdeptanym śniegiem i cały zawałony ludzkim kałem tak gęsto i nieporządnie, ęe niełatwe to było zadanie – znaleźć miejsce dla stóp i przykucnąć: Jakoś sobie jednak poradziliśmy i kucnęliśmy całą piątką, Jeden blięej, drugi dalej. Dwóch strzelców z ponurą miną wycelowało Automaty w nas, przypadłych do ziemi, choręży zaś już po jakiejś minucie zaczął poganiać:

– No, szybciej, nie zwlekać! U nas prędko idzie robota! Niedaleko ode mnie kucał jeden z czołęistów, chłopak z Rostowa, wysoki, pochmurny, starszy lejtnant. Twarz miał czarniawą od ęelaznego nalotu albo od dymu, ale duża czerwona szrama przez cały policzek dobrze była widoczna.

– Gdzie to tak – u was? – zapytał cicho, nie spiesząc się bynajmniej do cuchnącego naftą karceru.

– W kontrwywiadzie SMIER SZ! – z dumą i z większym niż trzeba naciskiem zawołał choręży. (Ci z kontrwywiadu bardzo lubili tę niezdarną zbitkę wyrazów: „Śmierć szpiegom!” Uważali, ęe budzi grozę, działa na postrach).

– A u nas – powoli! – z namysłem odparł starszy lejtnant. Hełm zadartł mu się na głowie i widać było, ęe czupryna jeszcze nie strzyęzona. Jego frontowy, garbowany tyłek muskał teraz łagodnie chłodny wietrzyk.

– Gdzie to – u was? – głośniej niż trzeba szczeknął choręży.

– A w Armii Czerwonej – bardzo spokojnie odparł starszy lejtnant siedzący w kucki i z tej pozycji mierząc wzrokiem niedoszętego kanoniera.

Takie były pierwsze „hausty moęego więziennego powietrza.

II. DZIEJE NASZEJ KANALIZACJI

Kiedy teraz wyrzeka się na nadużycia epoki kultu, to rozmowa sprowadza się w końcu zawsze do oślawionych lat 37–38. Zaczyna to już być tak stałym odruchem pamięci, jakby nie wsadzano Judzi ani PRZEDTEM, ani PÓŹNIEJ, a tylko w 37 i 38.

Nie boję się jednak omyłki, gdy powiadam, że potok 37–38 ani nie był jedynym, ani nawet głównym. Był chyba tylko jednym z trzech największych potoków, jakie zostały wtłoczone do mrocznych, cuchnących rur naszej więziennej kanalizacji.

PRZED nim był potok lat 1929–30, szeroki i długi jak co najmniej Ob,⁴ który wpędził w tundry i tajgi z piętnaście milionów chłopów (a może i więcej). Ale chłopci – głosu nie mają, piórem nie władają, nie pisali więc ani skarg, ani memuarów. Panowie śledczy też nocy na nich nie tracili, ani nie ślęczeli nad protokołami – dość było decyzji rady gromadzkiej. Potok ten przepłynął, wsiąkł w obszar wiecznego lodu i nawet najgorętsze głowy prawie już go nie wspomną. Wygląda na to, że nie zostawił nawet ran na sumieniu Rosji. A tymczasem – wśród zbrodni Stalina (i naszych, naszych wspólnych) ta była najcięższa.

PÓŹNIEJ zaś był potok lat 1944–46, rozmiarami przenoszący Jenisej: spływały do rur ściekowych całe *narody*, a nadto miliony i miliony tych, co namęczyli się (także z naszej winy!) w niewoli, wywiezionych do Niemiec i wracających stamtąd (Stalin przyżegał rany, żeby zasklepiły się czym prędzej, żeby ciało narodu czym prędzej pokryło się strupem i żeby nie dać całemu temu ciału odetchnąć, odsapnąć, wydobreć). Ale ludzie z tego potoku też byli raczej prości i memuarów nie pisywali.

Potok zaś 37. roku porwał i poniósł na Archipelag także ludzi na stanowiskach, ludzi z partyjną przeszłością, ludzi wykształconych, przy tym wielu z ich otoczenia zostało w miastach, a ilu wśród nich władało piórem! – i wszyscy oni teraz piszą, mówią, snują wspomnienia: trzydziesty siódmy! Wołga nieszczęścia narodowego!

A spróbuj powiedzieć Tatarowi, Kałmukowi albo Czeczeńcowi – „trzydziesty siódmy” – tylko ramionami wzruszy. A co znaczy dla Leningradu trzydziesty siódmy, kiedy wcześniej już był tam trzydziesty piąty? A dla tych, co dostali *repetę* wyroku, albo dla mieszkańców krajów nadbałtyckich – czy nie cięższe były lata 48–49? A jeśli fanatycy stylu i geografii wytkną mi, pominięto tu wiele jeszcze innych rosyjskich rzek, toć nie wyliczyłem jeszcze wcale wszystkich, cierpliwości! Te potoki na całą resztę się same złożą.

Wiadomo, że każdy organ ulega atrofii, jeśli nie jest stale używany.

Skoro zatem wiemy, że Organy (same siebie lubią zwać one tym wstydliwym imieniem), tak opiewane i tak bardzo górujące nad wszystkim, co żyje, nie mogą skarżyć się na atrofię najnędniejszej nawet ze swoich macek, że przeciwnie – mogą pochlubić się ich rozrostem i muskularnością, to łatwo domysleć się, że były w STAŁYM użyciu.

Rury wciąż pulsowały – ciśnienie bywało faz wyższe od projektowanego, raz niższe, ale więzienne kanały nigdy nie ziały pustką. Krew, pot i uryna, w których się

⁴ Największa z rzek syberyjskich.

pławiliśmy, tętniły w nich nieustannie. Historia tej kanalizacji – to są dzieje ciągłego dopływu i przepływu, tylko że raz prąd wzbierał, raz tworzył łachy, potem znów przychodziła powódź, dopływy bywały raz niniejsze, raz obfitsze, a jeszcze ze wszystkich stron sączyły się strugi, strużki, ścieki z rynien – i po prostu pojedyncze krople, gdy się trafiły.

Wykaz zestawiony według następstwa czasowego, przytoczony na następnych stronicach, uwzględnia zarówno dopływy, składające się z milionów aresztowanych, jak strumyczki, na które złożyły się zwykłe, niepozorne dziesiątki ludzi – ale bynajmniej nie jest zupełny, jest wręcz ubogi, ograniczony przez moje możliwości badań historycznych. Tu potrzeba wielu jeszcze uzupełnień ze strony ludzi znających przedmioty, a pozostałych przy życiu.

*

Ten wykaz najtrudniej ZACZAĆ. Po pierwsze – dlatego, że im głębiej w dziesięciolecie, tym mniej pozostało świadków – wieść gminna przygłuchła, zacięła się – a kronik albo nie ma, albo – za siedmiu zamkami. Po drugie – dlatego, że nie byłoby sprawiedliwie omawiać tu, jednakowym tonem zarówno lata wyjątkowo zawziętych starć (wojna domowa) – i pierwsze lata pokoju, kiedy można było już oczekiwać miłosierdzia.

Ale jeszcze zanim doszło do wojny domowej, już byli tacy, co wiedzieli, że Rosja, przy istniejącym składzie ludności, nie nadaje się oczywiście do żadnego socjalizmu. Że jest w ogóle zanieczyszczona. Jeden z pierwszych ciosów dyktatura zadała kadetom, konstytucyjnym demokratom (za cara byli rozsadnikami rewolucyjnej zarazy, po zwycięstwie władzy proletariackiej – rozsadnikami zarazy reakcyjnej). W końcu listopada 1917 roku, w dniach gdy miała się odbyć pierwsza, niedoszła do skutku, sesja Konstytuanty, partia kadetów oficjalnie została postawiona poza prawem i zaczęły się aresztowania. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęto zamykać członków „Związku Zwolenników Konstytuanty” i sieci „uniwersytetów żołnierskich”.

Znając sens i ducha rewolucji, łatwo – się domyśleć, że w ciągu tych miesięcy pietrogradzkie Kresty, moskiewskie Butyrki i liczne inne, podobne im więzienia prowincjonalne zapełniły się wielkimi bogaczami, znanymi działaczami, generałami i oficerami, a także pracownikami ministerstw i całego aparatu państwowego, nie chcącymi wykonywać rozkazów nowej władzy. Jedną z pierwszych operacji Czeki było aresztowanie komitetu strajkowego Wszechrosyjskiego Związku Urzędników. Oto jeden z pierwszych okólników NKWD, z grudnia 1917 roku: „W związku z sabotażem ze strony urzędników okazać trzeba w terenie maksimum inicjatywy, NIE WYŁĄCZAJĄC konfiskat, środków przymusu i aresztowań”.⁵

I chociaż W. I. Lenin w końcu 1917 roku w celu „umocnienia rewolucyjnego porządku” żądał „bezlitosnego dławienia prób szerzenia anarchii przez pijaków; chuliganów, kontrrewolucjonistów itp.”⁶ – a to znaczy, że głównym niebezpieczeństwem dla Rewolucji Październikowej byli według niego pijacy, zaś kontrrewolucjonistów umieszczał gdzieś w trzecim dopiero rzędzie – jednak stawiał on sprawę także znacznie szerzej. W artykule „Jak organizować współzawodnictwo” (7 i 10 stycznia 1918 roku) W. I. Lenin proklamował jako wspólny cel „oczyszczenie ro-

⁵ Wiestnik NKWD, 1917, Nr I, str. 4.

⁶ 2 Lenin, Dzieła zebrane, wyd. V (ros.), tom 35, str. 68.

syjskiej ziemi z wszelkich szkodliwych insektów". Za insekty uważał on nie tylko wszystkie obce klasowo elementy, lecz także „robotników, uchylających się od pracy”, na przykład – zecerów; piotrogrodzkich drukarni partyjnych. (Oto, co znaczy upływ czasu: trudno nam teraz zrozumieć, że robotnicy – ledwie stali się dyktatorami, zaraz zaczęli uchylać się od pracy dla siebie samych). A dalej: „...w jakiej dzielnicy wielkich miast, w jakiej fabryce, w jakiej, wsi... nie ma... sabotażystów, zwących się inteligentami?” Co prawda, Lenin; w tym artykule przewidywał rozmaite formy uwalniania się od insektów: jednych się wsadzi, innych pośle do czyszczenia wychodków, jeszcze innym „po odsiadce w karczerze wyda się żółte paszporty; tu i ówdzie trzeba rozstrzelać trutnia. Do wyboru ma się – więzienie albo karne roboty przymusowe najcięższego rodzaju” – Wskazując i sugerując zasadnicze linie polityki karnej, Włodzimierz Iljicz proponował, aby o najlepsze metody tej czystki współzawodniczyły ze sobą „komuny i gminy”.

Kto zaliczany był do tej pojemnej kategorii insektów, tego dziś; nie sposób zbadać do końca: zbyt niejednorodny był skład ludności Rosji i należały do niej także izolowane, zgoda nikomu niepotrzebne, a teraz całkiem już zapomniane małe grupy. Insektami byli, oczywiście, ziemcy, działacze samorządu terytorialnego. Insektami byli spółdzielcy. Wszyscy właściciele domów. Niemala ilość insektów była wśród nauczycieli gimnazjalnych. Insekty oblażyły gęsto komitety parafialne, insekty, śpiewały w chórach cerkiewnych. Insektami byli wszyscy duchowni, ja tym bardziej – zakonnicy i zakonnice. Także ci zwolennicy Tołstoja, którzy przystępując do pracy w sowieckiej instytucji albo, powiedzmy, na kolei, nie podpisywali obowiązującego orzeczenia, że bronić będą sowieckiej władzy z bronią w ręku – również demaskowali się jako insekty (i jeszcze spotkamy się z wypadkami – oddawania się pod sąd), i Była mowa o kolejach – otóż bardzo wiele insektów ujawniono wśród kolejarzy i trzeba było je wyskubywać, a tego czy owego nawet pacyfikować. Telegrafici zaś, nie wiedząc czemu, z reguły okazywali się zjadłymi insektami, bez żadnego zrozumienia dla sprawy Sowietów, Nic dobrego nie da się powiedzieć o związku kolejarzy – WIKŻEL i o innych związkach zawodowych, łąjących się od insektów, wrogo nastawionych do klasy robotniczej.

Już tylko te grupy, któreśmy tu wyliczyli, dają w sumie ogromną liczbę – robota zapowiadała się na kilka lat.

A iluż to jeszcze plugawych inteligentów, rozwyrzanych studentów, rozmaitych dziwaków, poszukiwaczy prawdy i bożych opętańców, z których jeszcze Piotr Pierwszy daremnie chciał oczyścić Rosję i którzy zawsze są przeszkodą dla uładowanego, surowego reżymu? I nie – sposób byłoby przeprowadzić tej dezynfekcji, tym bardziej podczas wojny, gdyby stosowane były stare metody procedury sądowej i normy prawne. Ale przyjęto zupełnie nową metodę: represję pozasądową – i tej niewdzięcznej pracy podjęta się z całym poświęceniem WCZK⁷ – Strażnik Rewolucji, jedyny w historii ludzkości organ ścigania łączący w jednym ręku funkcje: inwigilacji, aresztu, śledztwa, prokuratury, sądu i wykonania decyzji.

W 1918 roku w celu przyspieszenia zwycięstwa rewolucji również na froncie kultury, zabrano się do patroszenia i wytrząsania z relikwiarzy szczątków świętych i patronów oraz do rekwizycji sprzętu liturgicznego. W obronie pustoszonej cerkwi i klasztorów wybuchły ludowe powstania. Tu i ówdzie bito w dzwony i wierni

⁷ Wszechzwiązkowa Komika Nadzwyczajna Tzw. Czerezwyczajka, Czeka.

zbiegali się, ten i ów z kijaszkiem. Jasne, że trzeba było jednego z drugim na miejscu rozdzielić na drobne, a niejednego wziąć pod klucz.

Rozmyślając teraz nad historią lat 1918–1920 trudno powiedzieć – czy wolno zaliczyć do potoku więziennego tych wszystkich, którzy zostali rozwaleni nie dojeżdżając do celu? I w jakiej rubryce odnotować tych, których kombiedy⁸ załatwiały za węglem rady gromadzkiej albo w opłotkach? Czy zdążyli choćby postawić stopę na ziemi Archipelagu uczestnicy spisków, wykrywanych całymi bukietami w każdej guberni (dwa w Riazaniu, po jednym w Kostromie, w Wyszniem Wołocku i Wieliziu, kilka na Kijowszczyźnie, i pod Moskwą, spisek sarałowski, czernihowski, astrachański, seligierski, smoleński, bobrujski, tambowski, czembarski, wielkohlcki, mściłowski, spisek kawalerzystów i inne) – czy nie zdążyli i dlatego nie mogą być przedmiotem niniejszego opisu? Pominąwszy dzieje tłumienia znaczniejszych buntów (jarosławski, rybirski, muromski, arzamaski), niektóre wypadki znamy tylko z nazwy – wiemy na przykład o egzekucjach w Kołpinie w czerwcu 1918 roku – ale o co poszło?... Kogo rozstrzelano?... I gdzie to odnotować?

A jak rozstrzygnąć inną niemałą trudność: czy wliczyć do fali więziennej, czy też wpisać na konto wojny domowej dziesiątki tysięcy zakładników, tych o nic osobiście nie oskarżonych i nawet nie spisanych najędźniejszym ołówkiem, nie wymienionych z nazwiska spokojnych obywateli, pojmanych i zabitych na postrach, albo gwoili zemsty na zbrojnym nieprzyjacielu czy na zbuntowanych masach?

Po wydarzeniach 30 sierpnia 1918 roku NKWD wystął w cały teren zlecenie, aby „natychmiast aresztować wszystkich, prawych eserów, a spośród burżuazji i warstwy oficerskiej wziąć znaczną liczbę zakładników. (No, a gdyby tak na przykład po za machu grupy Aleksandra Ulianowa⁹ wyaresztowano nie tylko tę grupę, lecz również wszystkich studentów w Rosji oraz znaczną liczbę „ziemców”?).

Tak to też deklarowano zupełnie otwarcie (Łacis, gazeta „Krasnyj terror”, 1 listopad 1980 rok): „Nie wojujemy z poszczególnymi osobnikami. Likwidujemy burżuazję jako klasę. W czasie śledztwa nie szukajcie materiałów i dowodów mających wykazać, że oskarżony czynem albo słowem walczył przeciw władzy Rad. Pierwsze pytanie, jakie powiniście mu zadać, to – do jakiej klasy się zalicza, jakiego jest pochodzenia, jakie ma wykształcenie, jaki zawód. Te kwestie powinny właśnie decydować o losie oskarżonego. Na tym polega sens i treść czerwonego terroru”.

Decyzją Rady Obrony z 15 lutego 1919 roku – zapewne pod przewodnictwem Lenina⁹ – zalecało się Czerezwycajce i NKWD brać jako zakładników chłopów z tych miejscowości – gdzie zaśnieżone tory kolejowe oczyszczane są „niezupełnie zadawalająco” z tym, że „jeśli śnieg z torów nie zostanie usunięty – zakładnicy będą rozstrzelani”¹⁰. Decyzją Sownarkomu z końca 1920 roku zezwolono brać również socjaldemokratów jako zakładników.

Ale ograniczając się tylko do zwykłych aresztowań, musimy zauważyć, że już od wiosny 1918 roku zaczęła, płynąc nieprzerwana, wieloletnia fala zdrajców-socjalistów. Wszystkie te partie: socjal-rewolucjonistów, mienszewików, anarchistów, ludowych socjalistów, przez dziesiątki lat tylko udawały, że walczą o rewolucję, nosiły maskę – i nawet idąc za to na katorgę, uprawiały obłudną symulację.

⁸ Komitety biedoty wiejskiej.

⁹ Brat Lenina, narodowolec, skazany na śmierć za próbę zamachu na cara.

¹⁰ Dekrety Rządu Sowieckiego, tom IV, Moskwa 1968, str. 627.

I dopiero gwałtowny rozwój wypadków rewolucyjnych od razu ukazał światu burżuazyjne oblicze tych socjalzdrajców, Trzeba więc było zacząć ich zamykać, to naturalne! Wkrótce po kadetach, po rozpędzeniu Konstytuanty, po rozbrojeniu pułku Preobrażeńskiego i innych, zaczęto wyłapywać po trochu – z początku bez rozgłosu – również eserów i mieniszewików. Począwszy od 14 czerwca 1918 roku, kiedy to usunięto ich ze wszystkich rad delegatów, te areszty stały się coraz częstsze i coraz bardziej masowe. Od 6 lipca dodano do kompletu także lewicowych eserów, którzy dłużej niż inni i z większą jeszcze przewrotnością udawali sojuszników jednej konsekwentnej partii proletariatu. Od tej chwili wystarczało, że w jakiejś fabryce albo miasteczku wybuchły rozruchy robotnicze, zaburzenia, strajki (wiele ich było latem 1918, w marcu zaś 1921 roku wstrząsnęły one Piotrogradem, Moskwą, później – Kronsztadtem i zmusiły rząd do wprowadzenia NEP-u) by – podczas gdy nawoływano do spokoju, robiono ustępstwa, i zaspokajano słuszne żądania robotnicze – Czeka już zabierała się po cichu do nocnych aresztów mieniszewików i eserów, jako właściwych winowajców takiej ruchawki. Latem 1918 roku, w kwietniu i w październiku 1919 zamykano gromadnie anarchistów. W 1919 roku aresztowano tę część eserowskiego KC, która była w zasięgu ręki: siedziała ona w Butyrkach aż do procesu, który odbył się w 1922 roku. W tym samym roku 1919 wybitny czekista Łacis takimi słowami pisał o mieniszewikach: „Że tacy ludzie nam przeszkadzają, to za mało powiedziane. Dlatego usuwamy ich z naszej drogi, żeby nie pętali się nam pod nogami... Lokujemy ich w dobrze strzeżonym miejscu, w Butyrkach, gdzie każemy im siedzieć dopóty, dopóki nie skończy się walka pracy z kapitałem”¹¹ W tymże roku 1919 zostali uwięzieni także delegaci bezpartyjnego zjazdu robotniczego (przez co nie mógł on się odbyć).

Już w 1919 roku rozumiano, jak bardzo podejrzani są nasi rodacy, wracający zza granicy (a po co? z jakimi zleceniami?) – w ten sposób pakowani byli za kraty powracający z Francji oficerowie rosyjskiego korpusu ekspedycyjnego.

W 1919 roku, przy nader zamaszystej likwidacji prawdziwych i rzekomych spisków („Centrum Narodowe”, Spisek Wojskowy) w Moskwie, Piotrogradzie i innych miastach, rozstrzeliwano według listy (to znaczy, że stawiano ludzi pod ścianką od razu, bez śledztwa) i pakowano do więzień bez wyboru tzw. inteligencję kadetopodobną. A co to znaczy? Nie monarchistyczną i nie socjalistyczną, a więc – wszystkie kręgi naukowe, artystyczne, literackie, a także całe środowisko inżynierskie. Prócz pisarzy-radykałów, prócz teologów i teoretyków socjalizmu, cała pozostała masa inteligencji, około 80% istotnie była „kadetopodobna”. Zaliczał się do niej – zdaniem Lenina – także taki Korolenko – „nędzny mieszczuch, nie umiejący uwolnić się z pęt przesądów burżuazyjnych”, a „talenty tego rodzaju spokojnie mogą posiedzieć jakiś tydzień w areszcie”. O niektórych grupach aresztowanych wiemy z protestów Gorkiego. 15 września 1919. Włodzimierz Iljicz odpowiada mu tak: „... zdajemy sobie sprawę.) że tu też zdarzały się omyłki”, ale „też mi nieszcześnie, pomyślałby kto! Też mi niesprawiedliwość!” – i radzi Gorkiemu „nie trwonić swego czasu na lamentey zginiętych inteligentów”.

W styczniu 1919 roku wprowadzono obowiązkowe kontyngenty w produkcji rolnej i dla ich ściągania formuje się oddziały żywnościowe. Napotykają one wszędzie na opór – to bierny, to burzliwy. Tłumienie tego oporu także spowodowa-

¹¹ M. J. Łacis, 2 lata na froncie wewnętrznym. - Popularny Szkic działalności CzK.

to (nie licząc rozstrzelanych na miejscu) znaczny przybór fali aresztowanych w ciągu dwóch lat.

Świadomie pomijamy tu całą tę wielką część przerobu Czeki, Wydziałów Specjalnych i Rewwojentrybunatów, która związana była z przesuwaniem się linii frontu i zdobywaniem miast oraz okręgów. Wspomniana już dyrektywa NKWD z 30 lipca 1918 roku zalecała ogniskować się na zadaniu „bezwzględного rozstrzeliwania wszystkich zamieszanych w białogwardyjską robotę”. Ale czasem człowiek się gubi: jak przeprowadzić linię podziału? Latem 1920 roku, kiedy wojna domowa jeszcze nie całkiem i nie wszędzie wygasła, ale nad Donem już było po wszystkim, stamtąd, z Rostowa i z Nowoczerkaska dużymi partiami wysyłano oficerów do Archangielska i dalej, kryptami na wyspy Sołowieckie (podobno kilka krypt zatopiono na morzu Białym, identyczne wypadki zdarzały się także na morzu Kaspijskim) – otóż – czy składać to na karb wojny domowej, czy zaliczać już do okresu pokojowej odbudowy? Jeżeli w tym samym roku w Nowoczerkasku zostaje rozstrzelana kobieta w ciąży, żona oficera, za to, że ukrywała męża – to do jakiej kategorii ją wliczyć?

W maju 1930 roku ogłoszono rezolucję KC „O działalności dywersyjnej na zapleczu”. Z doświadczenia wiemy, że każda taka rezolucja jest bodźcem do nowego, generalnego dopływu aresztowanych, jest kierunkowskazem dla nowego potoku.

Szczególną przeszkodą (ale i szczególną pomocą!) w dziele organizacji tych wszystkich potoków był aż do 1922 roku brak Kodeksu Karnego, jakiegokolwiek systemu prawa karnego. Sama tylko rewolucyjna świadomość (zawsze zresztą nieomylna!) dostarczała wskazówek i łapaczom, i kanalizatorom – kogo mają brać i co z nim robić.

W tym przeglądzie nie będą rozpatrywane fale kryminalistów i przestępców pospolitych; dlatego przypomnimy jedynie, że ogólne kłopoty i braki związane z przebudową urzędów, instytucji i wszystkich praw mogły tylko sprzyjać znacznemu zwiększeniu ilości kradzieży, napadów, gwałtów, łapówek i spekulacji. Choć nie tak groźne dla istnienia Republiki, te przestępstwa kryminalne też były częściowo ścigane i przez dopływ aresztowanych z tego tytułu wzbierał potok uwięzionych kontrrewolucjonistów. Istniała też spekulacja o zdecydowanie politycznym charakterze, jak stwierdza? dekret Sownarkomu, firmowany przez Lenina z 22 lipca 1918 roku: „winni sprzedaży, skupu, albo przekazywania dla sprzedaży zarobkowej tych produktów żywnościowych, które są przedmiotem monopolu państwowego (chłop produkuje ziarno – na sprzedaż, na handel, a jak inaczej może zarobkować?? – A.S.)... podlegają uwięzieniu na okres *nie mniejszy* niż 10 lat w połączeniu z *najcięższymi* robotami przymusowymi i konfiskatą całego majątku”.

Poczynając od tego lata wieś, z przekraczającym jej siły napięciem, rok po roku oddawała swoje zbiory za darmo. Wywołało to powstanie chłopskie,¹² a zatem – ich tłumienie i nowe aresztowania. Wiemy (niewiele wiemy...) o procesie – „Syberyjskiego Związku Chłopskiego” w 1920 roku. W końcu tegoż roku ma miejsce zapobiegawcze zdławienie tambowskiej chłopskiej rebelii. (Bez żadnego procesu sądowego).

¹² „Najpracowitsza część ludu podlegała zdecydowanemu wytępieniu” - Korolenko, list do Gorkiego z 10. VIII. 1921).

Ale największą masę ludzi z tambowskich wsi zabrano w czerwcu 1921 roku. Cała ta gubernia pokryta była siecią obozów koncentracyjnych dla rodzin chłopów, którzy brali udział w powstaniu. Szmat pustego pola otoczony był drutem kolczastym, od słupa do słupa, i przez trzy tygodnie trzymano tam każdą, rodzinę podejrzaną o to, że ma jakiegoś męskiego przedstawiciela wśród powstańców. Jeżeli w ciągu trzech tygodni chłop nie pojawiał się, by wykupić rodzinę za cenę swojej głowy – krewniaków deportowano.¹³

Jeszcze wcześniej, w marcu 1921 roku na wyspy Archipelagu, po przejściu przez Trubecki Bastion Twierdzy Piotra wystąpi zostali marynarze ze zbuntowanego Kronsztadtu, wyjąwszy tych, których już rozstrzelano.

Rok 1921 rozpoczął się od rozkazu WCZK nr 10 (z 8 stycznia 1921 roku): „Wzmoc represje w stosunku do burżuazji!” Teraz, kiedy wojna domowa miała się ku końcowi, postanowiono represji nie osłabiać, lecz właśnie ją wzmocnić! Jak to wyglądało na Krymie – możemy się domyśleć, z niektórych wierszy Maksymiliana Wołoszyna.

Latem 1921 roku wyaresztowany został społeczny Komitet Pomocy Głodującym (Kuskowa, Prokopowicz, Kiszkin i in.), próbujący powstrzymać szerzenie się w Rosji niebywałego głodu. Chodziło o to, że te dobroczynne ręce były nie tymi rękoma, którym można było pozwolić na karmienie głodujących. Pozostawiony na wolności przewodniczący tego Komitetu, umierający Korolenko, nazwał pogrom Komitetu „najgorszym aktem politykierstwa, politykierstwem państwowym” (list do Gorkiego z 14 września 1921 roku).¹⁴ (Korolenko przypomina nam też ważną cechę więzień 1921 roku: „są całe przesiąknięte tyfusem”. Potwierdza to Skrypnikowa i inni ówcześni więźniowie).

W tym samym 1921 roku już praktykowane były aresztowania studentów (na przykład – Akademia im. Timiriazjewa, grupa E. Dojarenko) za „krytykę panujących porządków” (nie publiczną, ale ograniczoną do prywatnych rozmów). Wypadków takich było chyba jeszcze niewiele, bo wymienioną grupę przestłuchiwał sam Mienżyński z Jagodą. Ale też wcale nie mało. Czym jeżeli nie aresztowaniami, mógł zakończyć się nieoczekiwany, śmiały strajk studentów Moskiewskiej Wyższej Szkoły Technicznej (MWTU) wiosną 1921 roku? Od czasów tak surowej stołypińskiej reakcji w uczelni tej przestrzegano tradycji, aby rektor wybierany był spośród jej ciała akademickiego. Tak się stało z profesorem Kalinnikowem (spotkamy go jeszcze na ławie oskarżonych), ale władza rewolucyjna przystąpiła na jego miejsce jakiegoś przeciętnego inżynierka. Zdarzyła się to w trakcie sesji egzaminacyjnej. Studenti przerwali zdawanie egzaminów, zwołali na dziedzińcu burzliwe zebranie, nie zgodzili się na przywiezionego w teczce rektora, żądając zachowania samorządowego statutu uczelni. Później wszyscy zebrani ruszyli piechotą na ulicę Mochową, aby tam spotkać się ze studentami uniwersytetu.

Oto zagadka: jak ma się zachować w takim wypadku władza? Żadna to zagadka dla komunistów. Za czasów cara nobliwa prasa, całe inteligenckie środowisko zawrzałoby oburzeniem: precz z rządem! precz z carem! Ale teraz inne czasy – odnotowano nazwiska mówców, pozwolono zebraniom rozejść się, przerwano sesję egzaminacyjną, ale za to w czasie letnich wakacji powybijano po

¹³ 17 Czasopismo „Wojna i rewolucja”, 1926, nr 7, 8. Tuchaczewski: „Walka z powstaniami kontrewolucyjnymi”.

¹⁴ 18 Korolenko pisał Gorkiemu (29. VI. 1921): „Historia kiedyś zwróci uwagę na fakt, że ze szczerymi rewolucjonistami i socjalistami rewolucja rozprawiła się tymi samymi metodami, co carski reżym”.

jednemu w rozmaitych miejscowościach wszystkich, kogo należało. Reszta zaś manifestantów nigdy nie zobaczyła inżynierskiego dyplomu.

Również w tym samym 1921 roku wzmożyły się i nabrały zdecydowanego kierunku aresztowania członków innych partii. Właściwie już wszystkie partie dawnej Rosji zakończyły swój żywot, wyjąwszy partię zwycięzców. (O, kto pod kim dołki kopie!...)

Ale po to, by rozpad uczynić nieodwracalnym, trzeba było widocznie, aby rozpadowi ulegli członkowie tych partii, ich kształty cielesne.

Ani jeden obywatel państwa rosyjskiego, który kiedykolwiek wstąpił do jakiegś innej partii poza bolszewicką, nie zdołał uniknąć swego losu, był z góry skazany (chyba, że zdążył – jak Majski i Wyszyński – uciec z tonącego okrętu do komunistów). Mógł uniknąć pierwszych aresztowań, mógł dożyć (zależnie od stopnia swojej potencjalnej szkodliwości) do 1922, do 1932, nawet do 1937 roku, ale spisy były wciąż aktualne, kolejka posuwała się naprzód, dochodziła w końcu do niego, zamykano go, albo po prostu – grzecznie zapraszano gdzie należy i zadawano tylko jedno pytanie: czy należał...od...do? (Pytano też o jego wrogą działalność, ale o wszystkim decydowało pierwsze pytanie, jak to widzimy jasno teraz, po upływie całych dziesięcioleci). Dalszy jego los mógł układać się rozmaicie. Niektórzy trafiali od razu do jednego ze słynnych carskich więzień centralnych (szczęściem – wszystkie te więzienia nieźle się zachowały i niektórzy socjaliści trafiali do tych samych cel i pod nadzór tych samych strażników, z którymi zawarli już kiedyś znajomość). Innym znów proponowano wyjazd na zesłanie, o, nie na długo, na dwa, na trzy lata. Albo jeszcze lepiej: tzw. minus (zakaz zamieszkania w tyłu, a tyłu miastach): możesz nawet wybrać sobie samemu miejsce pobytu, tylko tam już, bardzo przepraszamy, ani kroku dalej – i czekaj, człowieku, dalszych rozporządzeń GPU.

Operacja ta rozciągnęła się na długie lata, bo głównym warunkiem jej powodzenia było skrupulatne oczyszczenie Moskwy, Piotrogradu, miast portowych, ośrodków przemysłowych, a następnie również miast powiatowych, z socjalistów wszelkiego obrzędku. Był to kolosalny, cichy pasjans, zasady którego były zupełnie niezrozumiałe dla współczesnych: zarys tego przedsięwzięcia dziś dopiero możemy ocenić. Czyjś dalekowzroczny umysł wszystko zaplanował, czyjeś lubiące precyzję ręce brały bez chwili zwłoki kartę, która trzy lata przeleżała na jednej kupce, i miękkim ruchem przekładały ją do drugiej. Ten, kto posiedział już sobie w centralniaku – przerzucany był na zesłanie (i to jak najdalej), kto miał za sobą „minus” – również na zesłanie (ale już poza zasięgiem „minusa), z zesłania – na dalsze zesłanie, później znów do centralniaka (ale już innego): ileż cierpliwości mieli ludzie, co rozkładali ten pasjans! I bez hałasu, bez lamentów, stopniowo zapodziewali się ci z innych partii, tracili wszelkie kontakty z ludźmi i miejscowościami, gdzie znano – dawniej ich rewolucyjną działalność – i tak oto, niepostrzeżenie i niewzruszenie, przygotowywano pełne unicestwienie tych, którzy niegdyś perorowali na studenckich wiecach i dumnie dzwonili carskimi kajdanami.

W trakcie operacji Wielki Pasjans zlikwidowano fizycznie większość dawnych katorżników politycznych – bowiem właśnie eserzy i anarchistów, nie zaś socjaldemokrati, obrywali najcięższe wyroki od carskich sędziów, właśnie ich było najwięcej na dawnej katordze.

Kolejność procesu likwidacji miała jednak w sobie coś sprawiedliwego: w latach 20. tym ludziom proponowano podpisywanie deklaracji, wyrzeczenie się swoich partii i swojej ideologii. Niektórzy odmawiali – i w naturalny sposób szli na

pierwszy ogień, inni podpisywali – i zyskiwali przez to kilka lat życia. Ale ich kolej nieubłaganie nadchodziła i nieubłaganie spadały także ich głowy.¹⁵

Wiosną 1922 roku Nadzwyczajna Komisja do walki z kontrrewolucją i spekulacją, dopiero co przemianowana na GPU zdecydowała się na ingerencję w życie cerkwi. Trzeba było przeprowadzić także „cerkiewną rewolucję” – zmienić skład hierarchii, mieć tam ludzi, którzy jednym uchem nasłuchiwaliby głosu niebios, drugim zaś – głosu łubianki. Takie nadzieje można było łączyć z członkami tzw. ruchu Żywej Cerkwi, ale bez pomocy z zewnątrz nie mieli oni szans owdładnienia aparatem kościoła. W tym celu aresztowany został patriarcha Tichon i przeprowadzono dwa hulaśliwe procesy, zakończone egzekucjami: w Moskwie – sprawę kolporterów orędzia patriarchalnego, w Piotrogradzie – sprawę metropolity Beniamina, który stał na przeszkodzie próbom przekazania władzy w ręce działaczy Żywej Cerkwi. W guberniach i powiatach, to tu, to tam, aresztowano metropolitów i archijerejów, a już za grubymi, rybami, jak to zwykle, szły ławice drobniacy: – protojereje, zakonnicy i diakoni, o których gazety nie pisały. Wsadzano tych, którzy przeciwstawiali się nowinkarskim zapędom ruchu Żywej Cerkwi.

Duchowni stanowili stałą część codziennego poławu, srebro ich siwizny migało w każdym transporcie sołowieckim.

Wpadały – poczynając od wczesnych lat 20. grupy teozofów, mistyków, spirytystów (grupa profesora Pahlana zawiniła tym, że prowadziła protokoły rozmów z duchami), stowarzyszenia religijne, filozofowie z kółka Mikołaja Bierdiajewa. Mimochodem zostali też rozgromieni i wyaresztowani „wschodni katolicy” (zwolennicy Włodzimierza Sołowiowa), grupa A. J. Abrikosowej. Rozumie się samo przez się, że pakowano za kraty także tych, co byli katolikami *par excellence* – polskich księży.

Jednak pełne wykorzenienie religii w kraju, które w latach 20. i 30. stanowiło jeden z ważniejszych celów działalności GPU–NKWD, mogło być osiągnięte tylko drogą masowych aresztowań samych wierzących prawosławnych. Intensywnie chwymano zatem, wsadzano i zsyłano zakonników i zakonnice, którzy tak bardzo zaczerniali obraz dawnego rosyjskiego życia. Wyłapywano i sądzono aktyw parafialny. Kręgi rozchodziły się coraz szerzej – i oto już garściami chwymano po prostu wiernych – starych ludzi, zwłaszcza kobiety, które z większym uporem trzymały się wiary i które teraz, w etapowych więzieniach i w obozach” długie lata nosiły przezwisko mniszek.

To prawda, mówiło się, że aresztują i sądzą ludzi nie za samą wiarę, tylko za głoszenie swoich przekonań i wychowywanie dzieci w tym duchu. Jak to pisała Tania Chodkiewicz:

*„Modlić się nikt ci nie zabrania,
Lecz tak... by słyszał tylko Bóg”.*

(Za ten wiersz dostała dziesięć lat). Człowiek, wierzący że „dane mu było poznać prawdę, zmuszony jest ukrywać ją... przed własnymi dziećmi!! Wychowanie

¹⁵ Czasem przeczyta człowiek artykuł w gazecie i aż głową trzęsie z podziwu. Izwiestia z 24. V. 1959: w Niemczech w rok po dojściu Hitlera do władzy Maksymilian Hauke został aresztowany za przynależność do... nie do byle jakiej partii, tylko do komunistycznej. Czy go zlikwidowano? Nie, dostał dwa lata. Po zakończeniu kary - oczywiście nowy wyrok? Nie, puścili go na wolność. Myśl człowieku, co chcesz! Żył sobie później spokojnie, po cichu zajmował się podziemną robotą - i stąd właśnie ten artykuł, poświęcony jego bohaterstwu.

dzieci w duchu religijnym zaczęto w latach 20. kwalifikować według artykułu 58-10, to znaczy jako agitację kontrrewolucyjną! Co prawda, jeszcze w trakcie rozprawy pod sądny mógł zaprzeć się wiary. Niezbyt często, ale zdarzało się czasem, że ojciec deklarował odstępstwo i zostawał na wolności, aby móc dzieci wychowywać: matka zaś szła na Solówki (przez wszystkie te dziesięciolecia kobiety przejawiały o wiele większą stałość i żarliwość).

Wszystkim skazanym za religię dawano dychę, najcięższy w tych czasach wyrok.

(Czyszcząc z brudów większe miasta, by przygotować teren dla przyszłego, czystego społeczeństwa – w tych właśnie latach, zwłaszcza w 1927 roku, razem z "mniszkami" przysyłano na wyspy Sołowieckie również prostytutki. Miłośniczki lekkiego życia i ziemskich uciech dostawały z lekkiego paragrafu po trzy lata. Warunki istniejące w więzieniach i punktach etapowych oraz w samym obozie Sołowieckim nie przeszkadzały im w ciągnięciu zysków ze swego rzemiosła od nadzorców i konwojentów, toteż po trzech latach z wypchanymi walizkami wracały do punktu wyjścia. Skazanym zaś za wiarę odcięto wszelką możliwość powrotu do dzieci i ojczystych stron).

Już we wczesnych latach 20. pojawiły się potoki o jednolitym składzie narodowym – chwilowo nieduże nawet jak na peryferie, skąd płynęły, a cóż dopiero – mierząc rosyjskim łokciem: mussawatystów z Azerbejdżanu, dasznaków z Armenii, gruzińskich mienszewików i Turkmenów – „basmaczy”,¹⁶ sprzeciwiających się ustanowieniu łowieckiej władzy w Azji Środkowej (pierwsze środkowoazjatyckie sowiety deputatów składały się w znacznej większości z Rosjan i widziano w nich instytucje rosyjskie). W 1928 roku wyaresztowano pełny skład organizacji syjonistycznej „Hechaluc”, jako że nie potrafiła wykazać się należnym pędem do internacjonalizmu.

Wśród następnych pokoleń ustaliło się przekonanie, że lata 20. były okresem niczym nie skrępowanej, rozpasanej wręcz wolności. W tej książce natkniemy się jeszcze na ludzi, którzy inaczej lata 20. widzieli. Bezpartyjni studenci w tych czasach walczyli o "autonomię wyższych uczelni", o prawo do zebrań, o zmniejszenie w programie studiów nadmiernego balastu wychowania politycznego. Odpowiedzią były aresztowania. Mnożyły się w okresach przedświątecznych (np. przed 1 maja 1924 roku). W 1925 roku studenci lenigradzcy (było ich około setki) dostali po trzy lata więzienia w politizolatorze za czytanie emigranckiego pisma Socjalistyczny Wiestnik i studiowanie dzieł Plechanowa (za swoich młodych lat sam Plechanow za demonstrację antyrządową pod soborem Kazańskim wykpił się znacznie łżejszą karą). W 1925 roku zaczęto już aresztować pierwszych (bardzo młodych) trockistów. (Dwóch naiwnych żołnierzy Czerwonej Armii, pomnych na rosyjską tradycję, zaczęto zbierać pieniądze na rzecz aresztowanych trockistów – i też trafiło do politizolatora).

Rozumie się, że ciosy wcale nie omijały klasy byłych wyzyskiwaczy. Przez całe lata 20. trwało nękające polowanie na (byłych oficerów, którzy się jakoś uchowali, i białych, co nie zasłużyli sobie na rozstrzelanie podczas wojny domowej, i białoczerwonych – którzy mieli za sobą służbę w obu armiach po kolei, i carsko-czerwonych, którzy jednak nie cały czas spędzili w Armii Czerwonej, albo mieli

¹⁶ 19 Mussawatysty - (mussawat = równość) ruch narodowy o odcieniu panturańskim w Azerbejdżanie. Dasznacy - członkowie demokratyczno-niepodległościowej ormiańskiej partii Dasznakcutiun. Basmacz - po uzbecku: zbójnik.

w przebiegu kariery służbowej jakieś luki, nie wyjaśnione czarno na białym. Było to nękanie, wyrok bowiem nie zapadał od razu, tylko ciągnęły się bez końca – to też był pasjans! – wciąż nowe kontrole, kłopoty z pracą, z meldunkiem: zamykano ich, potem puszczano na wolność, znów ich zamykano – ale stopniowo prawie wszyscy znaleźli się w obozach, skąd nigdy już nie mieli wrócić.

Jednakże wysłanie oficerów na Archipelag bynajmniej sprawy nie załatwiło, problem tu się dopiero zaczynał: były przecież jeszcze matki, żony i dzieci oficerów. Poddając rzecz społecznej analizie, jak zwykle nieomyłnej, łatwo było sobie wyobrazić jakie nastroje panują w tych rodzinach po aresztowaniu ojca. Tym samym ci ludzie zmuszali wręcz władze, by ich także aresztować! Więc ten potok także popłynął.

W latach 20. ogłoszono amnestię dla kozaków, którzy uczestniczyli w wojnie domowej. Z wyspy Lemnos wrócili do Rosji, na Kuban, dostali ziemię. Później wszystkich wsadzono za kraty.

Przycupnęli w ukryciu i stopniowo byli wytłapywani także wszyscy byli urzędnicy państwowi. Maskowali się chytrze, korzystając z tego, że nie wprowadzono jeszcze w Republice ani systemu paszportowego, ani jednolitych książeczek pracy – i wkręcali się do sowieckich instytucji. Ratowały sprawę w takich razach jakieś przejęzyczenia, przypadkowe spotkania, sąsiedzkie donosy... to znaczy – raporty bojowe. (A czasem – zupełny przypadek. Niejaki Mowa przechowywał u siebie spis wszystkich byłych pracowników aparatu sprawiedliwości pewnej guberni. W 1925 roku znaleziono ten spis przypadkowo – i wszystkich wymienionych w nim rozstrzelano).

W ten sam sposób płynęły rzeki aresztowanych „za ukrywanie, pochodzenia społecznego”, „za pochodzenie społeczne”. Były to szerokie pojęcia. Zamykano potomków rodów szlacheckich – jako szlachetnie urodzonych. Zamykano ich rodziny. I wreszcie – nie bardzo wiedząc o co chodzi – zamykano też tych, którym przyznano niegdyś tzw: szlachectwo osobiste – tzn. po prostu każdego, kto otrzymał swego czasu dyplom uniwersytecki. A skoro już zamknięto, to nie ma drogi powrotnej, sprawa nie do odrobienia. Strażnik Rewolucji nie może się mylić.

Nie, jednak istnieje droga powrotna! – są to wątle, chuderlawe prądy przeciwbieżne – ale czasem wyrrywają się one na powierzchnię. Tu przypomnimy pierwszy z nich. Wśród szlacheckich i oficerskich żon czy córek trafiały się nierzadko kobiety wyjątkowych zalet osobistych i dużej urody. Niektóre z nich potrafiły wrócić do dawnego życia przebojem, wąskim korytem wiodącym wstecz – pod prąd. Były to te, które dobrze zapamiętały, że żyje się tylko raz i że nie ma nic droższego nad własne życie. Zaofiarowały więc swoje usługi GPU–NKWD w charakterze informaterek czy współpracowniczek, jak tam która: te, które komuś wpadły w oko – zostawały przyjęte – i były to najwydajniejsze z informaterek! Okazywały GPU ogromną pomoc – i cieszyły się pełnym zaufaniem „byłych ludzi”. Wymienia się wśród nich ostatnią księżnę Wiazemską, wybitną porewolucyjną donosicielkę (donosicielem był także jej syn na Sołówkach) i Konkordię Nikołajewnę Josse, niewiastę wyjątkowych zapewne zalet; męża jej, oficera, rozstrzelano w jej obecności, ją samą zesłano na Sołówki, ale zdołała wybłagać sobie powrót i w pobliżu Wielkiej Łubianki prowadziła później salon, który odwiedzany był chętnie przez dygnitarzy tej Instytucji. Po raz wtóry wsadzono ją dopiero w 1937 roku – razem z jej klientami z paczki Jagody.

Śmieszne to, ale mocą niedorzecznej jakiejś tradycji został nam w spadku po dawnej Rosji Polityczny Czerwony Krzyż. Miał trzy oddziały: moskiewski (Pieszkowa,¹⁷ Winawer), charkowski (Sandomirska) i piotrogrodzki. Moskiewski oddział był grzeczny – i aż do 1937 roku nie rozpędzono go. Piotrogrodzki zaś (stary ludowiec Szewcow, kulawy Hartman, Koczerowski) zachowywał się nieznosnie, beczelnie wtrącał się do politycznych Spraw, szukał poparcia u starych więźniów Szlisselburga (jak Noworusski, współoskarżony w procesie Aleksandra Ulianowa) i pomagał nie tylko socjalistom, lecz również kaerom (kontrrewolucjonistom). W 1926 roku oddział został rozwiązany, zaś jego działacze poszli na zesłanie.

Mijają lata i zaciera się w pamięci to, czego się nie odświeża wspomnieniem. W dalekiej perspektywie lat wspominamy 1927 rok jako bezpieczny i syty rok jeszcze nie skróconego o głowę NEP-u. Tymczasem był to rok pełen napięcia, dygotał od gazetowych eksplozji i uważany był u nas – bo tak sugerowano – za przedświt rewolucji światowej. Zamordowaniu pośła sowieckiego w Warszawie, którego opisy zalewały całe kolumny czerwcowych dzienników, Majakowski poświęcił cztery wiersze pełne piorunów.

Ale, masz ci kłopot: Polska składa wyrazy żalu, samotnego zabójcę pośła Wojkowa¹⁸ pakują tam do więzienia – jak tu więc i wobec kogo zastosować dyrektywę poety:

*„Spójnij, pracą i hartem w pomście
Naszczonej sforze ukręcić karki!”*

Na kim tu mścić się? Komu ukręcać karki? Otóż tu właśnie zaczęła się tzw. wojskowa branka. Jak zawsze, jak przy każdej ruchawce i w każdej chwili napięcia, idą pod klucz byli ludzie, idą anarchiści, eserzy, mienszewicy. albo po prostu *inteligencja*. Bo faktycznie – kogo tu aresztować w ośrodkach miejskich? Przecież nie klasę robotniczą! Ale inteligencja „kadetopodobna” już była nieźle przetrzebiona po 1919 roku. Czy nie czas zatem zabrać się do inteligencji, która wmawia sobie, że jest postępową? Wziąć pod lupę studentów. Tu też Majakowski zgłasza się w samą porę:

*„Myśl o komsomole przez dni i tygodnie
Własnych szeregów nie spuszcza z oka
Czy wszyscy komsomolcy tej nazwy są godni.
Czy może to tylko komsomolcy na pokaz?”*

Wygodny światopogląd rodzi wygodny termin prawny: profilaktyka społeczna. Wchodzi on w użycie, zostaje zaakceptowany – jest zrozumiały dla wszystkich. (Jeden z szefów budowy Kanału Białomorskiego, Łazarz Kogan, już wkrótce tak powie: „Wierzę, że osobiście jest pan zupełnie niewinny. Ale jako wykształcony człowiek powinien pan przecież rozumieć, że prowadzona była szeroka, zapobiegawcza akcja społeczna!”). I rzeczywiście, kiedyż wziąć pod klucz tych wszystkich niepewnych popułczyków, całą tę chwiejną i przegniłą inteligencję

¹⁷ Pierwsza żona Maksyma Gorkiego.

¹⁸ Jak się zdaje, ten monarchista Borys Kowerda godził osobiście w Wojkowa: komisarz do spraw żywienia okręgu uralskiego, P.L. Wojkow w lipcu 1918 roku odpowiadał za egzekucję rodziny carskiej i usunięcie śladów rozstrzelania (poćwiartowania zwłok, ich spalenie i rozsypanie prochów).

– jeżeli nie w przededniu wojny o rewolucję światową? Kiedy wielka ta wojna się zacznie – będzie już za późno.

I zaczyna się w Moskwie planowe przeczesywanie dzielnicy za dzielnicą. Wszędzie ktoś musi być aresztowany. Hasło brzmi: „Tak huknąć pięścią w stół żeby świat wzdrygnął się ze zgrozy!” Do Łubianki i Butyrek ciągną nawet we dnie suki, samochody osobowe, ciężarówki kryte plandeką, otwarte dorożki. Korek w bramie, zator na dziedzińcu, nie można nadążyć z wyładunkiem i rejestracją zatrzymanych. (To samo w innych miastach. W Rostowie nad Donem, w piwnicach Domu Numer Trzydzieści Trzy, podłoga tak już była zatłoczona, że aresztowana Bojko ledwie znalazła miejsce siedzące).

Typowy przykład tej samej fali: kilkudziesięciu młodych ludzi urządza sobie jakieś wieczorki muzyczne – nie uzgodnione z GPU. Słuchają muzyki, później piją herbatę: pieniądze na tę herbatę, jakieś kopiejki, zbierają sami składkowym sposobem, też tego z nikim nie uzgadniając jasne że muzyka to tylko parawan, za którym kryją się kontrrewolucyjne nastroje, składki zaś zbierane są nie na żadną herbatę, tylko na pomoc dla zdychającej burżuazji międzynarodowej. Będą więc wszyscy aresztowani, obrywają od trzech do dziesięciu lat (Anna Skaypnikowa – pięć), zaś podżegacze, uporczywie nie przyznający się: do winy (Iwan Nikołajewicz Warientow i inni) zostają ROZSTRZELANI!

Albo znowu – w tym samym roku – gdzieś w Paryżu zwołany zostaje emigrancki zjazd koleżeński byłych wychowanków „puszkinowskiego” Liceum w Carskim Siole. Piszę się o tym w gazetach. Jasne, że to intryga śmiertelnie ranego imperializmu. I oto zostają aresztowani WSZYSCY byli licealiści pozostali jeszcze w ZSSR, a dla kompletu – także wychowankowie innej, podobnie uprzywilejowanej uczelni o profilu prawniczym.

Jedynie umiarkowana pojemność SŁON-a (*Sołowieckij Łagier Osobowo Naznaczenija* – Sołowiecki Obóz Specjalny) ogranicza chwilowo rozmiary wojkowskiej branki. Ale już rozpoczął się rakowaty rozrost Archipelagu GUłag i wkrótce przerzuty pokryją cały kraj.

Nowy przysmak spodobał się i wzbudził nowe apetyty. Pora już zadać mocny cios inteligencji technicznej, zbyt dufnej, przekonanej że jest niezastąpiona, i nienawykłej do chwywania w łot rozkazów.

Właściwie to nigdyśmy nie mieli zaufania do inżynierów – na tych fabrykancich lokajów i pucybutów od pierwszych chwil Rewolucji dawaliśmy zdrowe, robotnicze baczenie i trzymaliśmy ich pod kontrolą. Jednak w okresie odbudowy pozwalaliśmy im pracować w naszych zakładach, całą siłę klasowego natarcia kierując przeciw reszcie inteligencji. Ale w miarę jak dojrzewało nasze kierownictwo gospodarcze, WSNCh i GOSPLAN,¹⁹ w miarę jak zwiększała się ilość planów, w miarę jak te plany ścierały się wzajemnie i spychały – jaśniejsza stawała się szkodnicza istota starej warstwy inżynierskiej, jej obłuda, przebiegłość i sprzedajność. Strażnik Rewolucji zerknął na nich czujniejszym okiem – i gdziekolwiek je obrócił, tam zaraz znajdował gniazdo szkodników.

Uzdrowiająca ta działalność przeszła na pełne obroty poczynając od 1927 roku – i dzięki niej proletariąt z całą wyrazistością ujrzał przyczyny naszych gospodarczych niepowodzeń i braków. W resorcie transportu (koleje!) – szkodnictwo (dlatego tak trudno dostać się do pociągu, stąd właśnie nieregularność dostaw).

¹⁹ Wszechzwiązkowa Rada Gospodarki Narodowej i Państwowy Komitet Planowania.

W elektrowni moskiewskiej – szkodnictwo (kłopoty ze światłem). W przemyśle naftowym – szkodnictwo (nie uświadczysz nafty). W przemyśle włókienniczym – szkodnictwo (człowiek pracy nie ma co na grzbiet włożyć). W kopalnictwie węglowym – kolosalne szkodnictwo (dlatego człowiek marznie!). W metalurgii, w przemyśle zbrojeniowym, w zakładach budowy maszyn, w stoczniach, w przemyśle chemicznym, w kopalniach rudy, złota i platyny, w gospodarce wodnej – wszędzie ropiejące wrzody szkodnictwa! Ze wszystkich stron – watahy wrogów z suwakami logarytmicznymi! GPU urobiło sobie ręce po łokcie, wytapując tych. szkodników. W stolicach i na prowincji pracowicie zasiadały kolegia OGPU i sądy proletariackie, babrząc się w tym lepkim gnoju – i masy pracujące, słupiejąc ze zgrozy, co dzień z gazet dowiadywały się (albo i nie) o wciąż nowych podłych sprawkach. Dowiedziały się tak o Palczyńskim, von Mecku, Wieliczce²⁰ – a iluż było bezimien-nych. Każda gałąź produkcji, każda fabryka i spółdzielnia pracy miała obowiązek szukania u siebie dowodów szkodnictwa – a ledwo zaczynano ich szukać, zaraz się znajdowały (z pomocą GPU). Jeśli jakiś inżynier przedrewolucyjnego chowu nie został nawet zdemaskowany jako zdrajca, to z pewnością wolno go było zaliczyć do podejrzanych.

I jacyż to perfidni złoczyńcy byli z tych starych inżynierów, jak szatańsko różnorodnie sposoby stosowali, byle tylko szkodzić! Mikołaj Karłowicz von Meck w Ludowym Komisariacie Transportu udawał fachowca oddanego bez reszty sprawie nowej gospodarki, potrafił długo i z zapałem mówić o ekonomicznych aspektach budowy socjalizmu – i lubił udzielać rad. Jedną z tych rad, najbardziej szkodliwą, była taka: wydłużyć składy pociągów towarowych, nie bać się pewnego przeciążenia. Z pomocą GPU von Meck został zdemaskowany (i rozstrzelany): celem jego było przedwczesne zużycie szyn, wagonów i parowozów po to, aby pozbawić republikę kolei żelaznych w momencie napadu interwentów. Kiedy zaś niedługo potem nowy narkom transportu, tow. Kaganowicz, zlecił, by uruchomić właśnie składy dłuższe, super-przeciążone, nawet w dwój – i trójnasób (za to odkrycie i on i inni naczelnicy dostali order Lenina) – to przewrotni inżynierowie wystąpili teraz w roli bałwochwalców norm – robili krzyk, że to przekracza dopuszczalne normy, że zgubnie działa na trwałość taboru; zostali więc sprawiedliwie rozstrzelani za brak wiary w możliwości socjalistycznego transportu.

Tych – bałwochwalców biliśmy przez szereg lat, pełno ich we wszystkich dziedzinach; wymachują swoimi wykalkulowanymi formułkami i nie chcą zrozumieć, jak bardzo entuzjazm personelu pomaga mostom i maszynom. (Są to lata wywracania na nice całej ludowej psychologii: obrócono w śmiech rozsądną sentencję ludową – że co nagle, to po diable i podważono sens starego przysłowia mówiącego, że „kto pomału jedzie, ten – dalej zajedzie”). Jedyną rzecz, która niekiedy odwleka aresztowanie starego inżyniera, to brak kompetentnego następcy. Mikołaj Iwanowicz Ładyżenski, naczelnik inżynier zakładów przemysłu wojskowego w Łzewsku, z początku aresztowany został za „teorię o nieprzekraczalności norm technicznych”, za „ślepą wiarę w granice wytrzymałości” (w związku z czym uważał za niewystarczające sumy, przydzielone przez narkoma Ordżonikidze na rozbu-

²⁰ K. F. Wieliczko, inżynier wojskowy, były profesor akademii wojskowej Sztabu Generalnego, generał-lejtnant, w carskim ministerstwie Spraw Wojskowych kierował Centralnym Zarządem Komunikacji, Rozstrzelany. Och, jakby też się przydał w 1941 roku!

dowę zakładów.²¹⁾ Ale później zamieniają mu karę na areszt domowy – i każą objąć dawne stanowisko (bo bez niego produkcja uległa dezorganizacji). Ładyżenski robi porządek. Ale kredyty były i są dalej niewystarczające – więc Ładyżenski znów idzie za kraty „za nieprawidłową gospodarkę kredytami”: dlatego właśnie ich nie starczało, że naczelnym inżynier źle nimi gospodarował! W przeciągu roku Ładyżenski umiera przy wyrębie lasu.

Tak oto w ciągu kilku lat złamano kręgosłup starej rosyjskiej kaście inżynierskiej, chlubię naszego kraju, ulubionym bohaterom utworów Garina, Michajłowskiego i Zamiatina.

Rozumie się samo przez się, że ten potok, jak to zawsze, porywał także innych ludzi, bliskich, czy związanych ze skazanymi, więc również... nie ma człowieka chęci plamić spiżowego, jasnego wizerunku Strażnika, ale cóż, kiedy trzeba... więc również tych, którzy nie chcieli zostać donosicielami. Ten najgłębiej ukryty, nigdzie nie występujący jawnie potok więźniów prosimy zawsze mieć na uwadze przy lekturze tej książki – zwłaszcza, gdy mowa o pierwszym dziesięcioleciu po rewolucji: ludzie byli wtedy jeszcze nie pozbawieni dumy, wielu jeszcze wcale nie uważało, że moralność – to pojęcie względne i że ma tylko wąskoklasowy sens: ludzie tacy mieli dość odwagi, by odrzucić propozycję podobnej współpracy – i wszyscy zostali za to bezlitośnie ukarani. Pewnego razu zaproponowano młodziutkiej Magdalenie Edżubowej śledzenie pewnej grupy inżynierów. Dziewczyna nie tylko odmówiła, lecz nadto opowiedziała o wszystkim swemu opiekunowi (jego właśnie kazano jej śledzić w pierwszym rzędzie): inżynier i tak został wkrótce aresztowany i podczas śledztwa wyśpiewał wszystko. Edżubową, która była w ciąży, zamknęto „za zdradę tajemnicy operacyjnej” i skazano na śmierć przez rozstrzelanie (skończyło się zresztą na 25-letnim cyklu kilku kolejnych wyroków). W tym samym okresie (1927), chociaż w zupełnie innym środowisku, bo wśród wybitnych charkowskich działaczy partyjnych – tak samo odmówiła donoszenia i szpiegowania członków rządu Ukrainy niejaka Natalia Witaliewna Surowcew, za co została aresztowana przez GPU i dopiero po 25. latach, ledwie żywa, wychynęła gdzieś na Kołymie. Kto zaś nie wychynął – o tym w ogóle nie wiemy.

W latach 30. ten nurt niepokornych zupełnie zanika: skoro żądają informacji, to widać nie ma rady – bo i gdzie się człowiek podzieje? „Siła złego na jednego”. „Nie ja – to kto inny”. „Niechaj już lepiej ja, porządny człowiek, zostanę konfidentem, niż jakiś drań”. Zresztą, już się na ochotnika tylu pcha, że aż tłoczno: bo to i korzyść, i bojowa zasługa.

W 1928 roku toczy się w Moskwie słynny Proces Szachtyński – słynny ze względu na rozgłos, jaki mu nadano, na zapierające dech zeznania i samobiczowanie oskarżonych (chwilowo – jeszcze nie wszystkich). Mijają dwa lata i we wrześniu 1930 roku sądzeni są z hałasem organizatorzy głodu (to oni! oni! właśnie oni!) – 48. szkodników z branży spożywczej. W końcu 1930 roku z jeszcze większym zgiełkiem wytacza się proces Prompartii, wyreżyserowany już zupełnie nienagannie: tu już wszyscy podsądni, co do jednego, sami na siebie zwalają najobrzydliwsze idiotyzmy – i oto przed oczyma mas pracujących, jak pomnik nareszcie odstłonięty, staje cały olbrzymi, przemysłny splot wszystkich dotąd

²¹⁾ 24 Ordżonikidze natomiast rozmawiał podobno ze starymi inżynierami w ten sposób, że kładł na biurku dwa pistolety, jeden po prawej, drugi po lewej ręce.

ukrytych aktów szkodnictwa, wspólnym, szatańskim węzłem złączony z Milukowem, Riabuszynskim, Deterdingiem i Poincare.²²

Wniknąwszy już trochę w istotę naszej praktyki sądowej, domyślamy się, że jawne procesy – to tylko widoczne na powierzchni krecie kopczyki, najważniejsza zaś część roboty odbywa się pod powierzchnią ziemi. Na rozprawie pojawia się tylko niewielka część aresztowanych – ci tylko, którzy zgodzili się obciążyć, w sposób przeciwny naturze, i siebie i innych, spodziewając się złagodzenia wyroku. Większość zaś inżynierów – ci, którzy mieli dość odwagi i rozsądku, aby odrzucić bzdury, wmawiane im w śledztwie – sądzona jest w trybie tajnym. Ale kolegia GPU wlepią im – chociaż się nie przyznali – te same d y c h y, jakie dostały się tamtym.

Potoki spływają rurami pod ziemię, w ten sposób kanalizowane jest życie kwitnące na powierzchni.

Właśnie w tym okresie zrobiony został ważny krok, mający na celu wciągnięcie całego społeczeństwa w proces kanalizacji przez równomierne rozłożenie odpowiedzialności zadań na każdego obywatela: ci, którzy nie zapchali jeszcze swoimi ciałami ścieków kanalizacyjnych, kogo rury nie poniosły jeszcze na Archipelag – powinni byli maszerować na powierzchni ze sztandarami, piejąc hymny pochwalne na cześć sądów i radując się z każdego wyroku. (Był to dowód przezorności! – miną dziesięciolecia, historia przetrze oczy – ale pracownicy śledczy, sędziowie i prokuratorzy okażą się nie bardziej winni, niż my, drodzy współobywatele! Dlatego właśnie czcigodna siwizna zdążyła oprószyć nasze głowy, że w swoim czasie z należną rozwagą głosowaliśmy ZA).

Jeśli nie liczyć leninowsko-trockistowskiego eksperymentu przy procesie eserów w 1922 roku, to takie próby Stalin przeprowadził przy okazji procesu organizatorów głodu – i jakże próba miała się nie udać, skoro wszyscy głodowali na żyznej Rusi, skoro każdy nic, tylko oczy wypatrywał: gdzież to się nasz chleb uścisnął? I oto już w fabrykach i biurach, nie czekając na orzeczenie trybunału, robotnicy i urzędnicy kipiąc gniewem głosują za karą śmierci dla sądzonych łajdaków. A już proces Prompartii – to tysięczne wiece, to manifestacje (z udziałem działawy szkolnej), to dudniący krok milionów i ryk za oknami gmachów sądowych: „śmierć! śmierć! śmierć!”.

Na tej przełęcz naszej historii rozlegały się przecież samotne głosy protestu albo odmowy udziału – a bardzo wiele męstwa trzeba było, aby powiedzieć „nie!” wśród tego chóralnego ryku; nie ma porównania z dzisiejszą łatwością! (A dzisiaj też jakoś nie bardzo protestują). I – o ile nam wiadomo – wszystko to były głosy właśnie tych nędznych inteligentów bez kośćca. Na zebraniu leningradzkiego Instytutu Politechnicznego profesor Dymitr Apollinarijewicz Rożanski WSTRZYMAŁ SIĘ OD GŁOSU (bo, widzicie państwo, on w ogóle jest przeciwnikiem kary śmierci, ponieważ, widzicie państwo, jeśli użyć terminu naukowego, to jest to proces nieodwracalny) – i natychmiast został aresztowany! Student Dima Olicki – powstrzymał się – i aresztowano go z punktu! I wszystkie te protesty ucichły już w zarodku.

O ile wiemy, siwowąsa klasa robotnicza aprobowała tę eksterminację. O ile wiemy – cała awangarda, od płomiennych komsomolców do przywódców partii i legendarnych dowódców armii – jak jeden mąż wypowiadała się za tymi każ-

²² 25 Milukow – przywódca partii kadetów, emigrant. Riabuszynski - znany przemysłowiec rosyjski, emigrant. Deterding - magnat naftowy, amerykański przemysłowiec. Poincare - francuski premier, b. prezydent Francji.

niami. Słynni teoretycy i apostołowie rewolucji, siedem lat przed własną haniebną zagładą, stawili ten ryk tłumów, nie przeczuwając, że przeznaczenie już stoi na progu, że wkrótce ich własne imiona obrzucone będą błotem i brudem wśród takiego samego wycia.

Dla inżynierów zaś kończyła się właśnie godzina pogromu. W początkach 1931 roku Józef Wissarionowicz ogłosił wszem i wobec „Sześć warunków” budowy socjalizmu i Jego Samowładcza Wysokość wskazać raczyła jako warunek piąty: przejście od polityki unieszkodliwiania starej inteligencji technicznej – do polityki zachęty i opieki nad nią.

I opieki nad nią! I gdzież się ulotnił cały nasz sprawiedliwy gniew? I w jakiż to kąt poszły nasze groźne oskarżenia? Akurat ciągnął się jeszcze proces o szkodnictwo w przemyśle porcelanowym (tam też naszkodzili!), wszyscy podświadnie zdążyli unisono obezwzać siebie samych od ostatnich, przyznali się do wszystkiego – i nagle, z tą samą jednomyślnością zakrzyknęli – my niewinni! I zostali uniewinnieni!

(Dał się nawet zauważyć w tym roku malutki kontrpotok: już skazanych, albo wymaglowanych w śledztwie, inżynierów przywracano do życia. W ten sposób wrócił także D. A. Rożański. Czy nie wolno tu stwierdzić, że wygrał on pojedynek ze Stalinem? I że gdyby odwaga cywilna cechowała nasz lud, to nie byłoby powodów do pisania ani tego rozdziału, ani całej tej książki?).

Stalin trzepnął jeszcze w marcu 1931 roku dawno powalonych na wznak mienszewików: publiczny proces „Wszechzwiązkowego Biura Mienszewików”, Groman–Suchanow–Jakubowicz. (Groman – był raczej kadetem, Jakubowicz – prawie bolszewikiem, a Gimmer–Suchanow to ten sam teoretyk rewolucji lutowej, w którego mieszkaniu, w Piotrogradzie, na Karpowce 10 października 1917 roku zebrał się bolszewicki KC i podjął decyzję powstania zbrojnego). A potem – pewna ilość płotek, wziętych to tu, to tam, w tajemnicy i – nagle przyszła na niego chwila zadumy.

Mieszkańcy wybrzeży Morza Białego powiadają o przyptywie, że woda wpada w zadumę – chodzi o chwilę poprzedzającą początek odpływu. No, nie godzi się porównywać nieczystej duszy Stalina z wodami Białego Morza. A może zresztą nie było żadnej chwili zadumy. Bo i żadnego odpływu nie było. Ale jeszcze jeden cud zdarzył się przecież tego roku. W ślad za procesem Prompartii przygotowywany był w 1931 roku ogromny proces Chłopskiej Partii Pracy – rzekomo istniejącej (w rzeczywistości – nigdy jej nie było!), kolosalnej podziemnej organizacji, która miała się składać z wiejskich inteligentów, z działaczy spółdzielczości spożywczej i rolnej, z chłopskiej oświeczonej elity, szykującej się pono do obalenia dyktatury proletariatu. Na procesie Prompartii tę partię chłopską (TKP – Trudowaja Kriestianskaja Partia) cytowano nieraz jako już zdemaskowaną i dobrze znaną organizację. Aparat śledczy GPU działał bez pudła: już TYŚIĄCE oskarżonych przyznały się do członkostwa TKP i do swoich zbrodniczych zamiarów. Ilość tych członków planowano na DWIEŚCIE TYSIĘCY. Na czele partii stać mieli – badacz ekonomii rolnictwa Aleksander Wasyliewicz Czajanow; przyszły „premier” N. D. Kondratiew; L. N. Jurowski; Makarow, Aleksy Dojarenko, profesor Akademii Rolniczej im. Timiriazjewa

(przyszły „minister rolnictwa”²³). I nagle, pewnej pięknej nocy Stalin ZMIENIŁ ZDANIE – nigdy nie dowiemy się – dlaczego.

Może zdjęta go spóźniona skrucha? – ale nie, toć daleko do ostatniej godziny. Może wzięto górę poczucie humoru – że znów na jedno kopyto, że nudy? – ale nikt nie śmiał posądzić Stalina o nadmiar poczucia humoru! Chyba co innego przeważało: wykalkulował sobie, że niedługo i tak cała wieś zacznie wymierać z głodu, co tam jakieś dwieście tysięcy, po co zatem się męczyć? I cała TKP została anulowana, wszystkim co się „przyznali” zaproponowano cofnięcie zeznań (można wyobrazić sobie ich radość!) – a zamiast całej tej maszyny skazano w trybie pozasądowym, przeczeniem OGPU jedynie małą grupę Kondratiewa–Czajanowa.²⁴ (Ale w 1941 roku zadręczonemu profesorowi Wawłowowi będą znów wmawiać, że TKP istniała, i że właśnie on, Wawłow, był jej tajnym przywódcą).

Tłoczno tu od przykładów, tłoczno od biegnących lat – i w żaden sposób człowiek nie potrafi opowiedzieć po kolei wszystkiego co się zdarzyło (a GPU doskonale dawało sobie radę! a GPU nikogo nie pominęło!).

Nie zapominajmy wszelako:

- że wierzących wciąż się zamyka, to rozumie się samo przez się. (Tu też są daty specjalne i godziny szczytu. Na przykład – „noc walki z religią” – na Boże Narodzenie 1929 roku, w Leningradzie, kiedy aresztowano mnóstwo praktykujących inteligentów – i to nie tylko do rana, nie był to sen nocy wigilijnej. Albo – również w Leningradzie – w lutym 1932 roku – zamknięcie wielu cerkwi naraz z jednoczesnym aresztowaniem mnóstwa duchownych. A znacznie więcej miejsc i dat, których nikt nam nie wskazał);

- że nie zapomina się o tępieniu sekt, nawet sympatyzujących z komunizmem. (Tym sposobem – wsadzono w 1929 roku wszystkich co do jednego członków komuny rolnej, leżącej między Soczi a Chostą. Wszystko tam było kolektywne – i produkcja, i podział dóbr, a wszystko tak rzetelne, że nasz kraj nie osiągnie tego poziomu nawet za sto lat – ale cóż, za bardzo ci ludzie byli wykształceni, obkuci w literaturze religijnej i nie bezbożnictwo wyznawali, lecz mieszaninę baptyzmu, filozofii tołstojowskiej i nauki jogów. Jasne więc, że taka KOMUNA była ogniskiem zbrodni i nie mogła przyczynić się do szczęścia ludu).

W latach 20. spora grupa tołstojowców została zesłana na podgórze altajskie. Tam zorganizowali oni osiedla–komuny, pospółu z baptystami. Kiedy rozpoczęła się budowa kombinatu metalurgicznego w pobliskim Kuźniecku, zesłańcy zaopatrywali go w produkty rolne. Potem zaczęto ich aresztować. Na pierwszy ogień poszli nauczyciele (wykładali nie według programów państwowych), dzieci z krzykiem biegły za milicyjnymi autami. Później przyszła kolej na starszyznę gminy;

- że jakoś poznikały (i nie tylko za sprawą pedagogii, lecz również ołowiu i prochu) te chmary bezdomnych wyrostków, które w dwudziestych latach grzały się przy ulicznych kotłach z asfaltem, a w 1930 roku nagle zniknęły z oczu;

- że nie zezwala się na akty niekoncesjonowanego miłosierdzia (w fabryce za zbiórkę pieniędzy dla żony aresztowanego robotnika – idzie się do więzienia);

²³ „Może byłby lepszy od tych, którzy przez następnych lat 40 pełnili tę funkcję? - Ale los jest nieobliczalny: Dojarenko był z zasady przeciwny wszelkiemu wtrącaniu się do polityki. Kiedy jego córka zapraszała do domu studentów, wyznających poglądy mogące trącić eserowską ideologią - profesor pokazywał im drzwi!

²⁴ „Skazany na więzienie w izolatorze, Kondratiew oszalał tam i umarł. Umarł również Jurowski. Czajanow po pięciu latach izolatora zesłany był do Alma-Aty. W 1948 roku znów go zamknięto.

– że Wielki Pasjans socjalistyczny rozkładany jest bez przerwy, to przecież jasne;

– że w 1929 roku idą pod klucz nie wydaleniu W swoim czasie za granicę historycy (Płatonow, Tarle, Lubawski, Gautier, Izmajłow) oraz znakomity literaturoznawca M. M. Bachtin i młody jeszcze wtedy Lichaczew;

– że płyną rzeki narodowe, to z jednego krańca Związku, to z drugiego.

Pakuja Jakutów po powstaniu w 1928 roku. Wsadzają Buriat–Mingołów po powstaniu w 1929 roku. (Rozstrzelano podobno około 35.000. Nie mieliśmy możliwości sprawdzić tej cyfry). Wsadzają Kazachów po bohaterskim stłumieniu ich buntu przez konnicę Budionnego w latach 1930–31. W początkach 1930 roku idzie pod sąd Związek Wyzwolenia Ukrainy (prof. Jefremow, Czechowski, Nikowski i inni), a – znając nasze proporcje jawności i tajności – iluż tam było jeszcze za ich plecami? Iluż tam poszło w dyby bez rozgłosu?

I przychodzi, powoli, ale przecież przychodzi kolej na członków partii rządzącej! Chwilowo (lata 1927–29) to „opozycja robotnicza” albo trockiści, którzy postawili na pechowego przywódcę. Z początku to tylko setki, wkrótce będą to tysiące. Ale tylko początek jest trudny! Podobnie jak trockiści spokojnie przyglądali się aresztowaniu członków innych partii, tak teraz cała reszta partii z aprobatą patrzyła na wsadzanie trockistów. Na każdego przychodzi kolej. Dalej – popłynie wartko nigdy nie istniejąca „prawicowa” opozycja. Pożerając od ogona – dzwonko za dzwonkiem – żarłacz dobierze się w końcu do własnego łba.

W 1928 roku nadchodzi nareszcie czas na porachunek z pomiotem burżuazji – z nepmanami. Najczęściej czyni się to metodą wciąż wzrastających i w końcu nieznośnych domiarów: gdy delikwent któregoś dnia odmawia, zostaje aresztowany za niewypłacalność, a jego majątek podlega konfiskacie. (Drobnym rzemieślnikom – fryzjerom, krawcom, albo tym, co reperują prymusy – odbiera się tylko patent).

To że potoki aresztowanych nepmanów rosną, ma swoje ekonomiczne uzasadnienie. Państwu potrzebne są środki, potrzebne jest złoto – a złotonośnej Kółmy jeszcze nie odkryto. W ostatnich miesiącach 1929 roku zaczyna się sławetna gorączka złota, tylko że febra trzęsie nie tych, co szukają złota, lecz tych z których ma być ono wytrzęsione. Osobliwością tego nowego „złotego” strumienia jest to, że tych swoich króliczków GPU właściwie o nic nie oskarża i gotowe jest nawet zrezygnować z wysyłania ich do krainy GUłag, chce im jedynie, prawem silniejszego, zabrać złoto. Dlatego więzienia są przepełnione, funkcjonariusze śledczy pracują ponad siły, natomiast do etapowych punktów i obozów kierowane są transporty nieproporcjonalnie mniejsze.

Z kogo składa się ten „złoty” potok aresztowanych? Są to wszyscy, którzy niegdyś, przed 15. laty, mieli jakiś „interes”, handlowali, zarabiali jako rzemieślnicy i mogliby zdaniem GPU, odłożyć trochę złota. Ale u tych właśnie złota najczęściej już nie ma: inwestowali w ruchomości czy w nieruchomości – a to rozplynęło się już, zostało skonfiskowane podczas rewolucji, nic im nie zostało. Najwięcej oczekuje się po aresztowanych technikach dentystycznych, jubilerach, zegarmistrzach. Donosy pozwalają na wykrycie złota w rękach najmniej podejrzanych: stuprocentowy robotnik fabryczny zdobył jakoś i przechowuje sześćdziesiąt mikołajowskich złotych pięciorubłówek; znany syberyjski partyzant Murawiew przyjechał do Odessy, mając za pazuchą woreczek ze złotem złupionym podczas wojny domowej; każdy tatarski furman w Petersburgu ma złoto w zapasie. Czy to na pew-

no prawda? – przekonać się można tylko w katowni. Nic a nic, ani proletariackie pochodzenie, ani rewolucyjne zasługi nie pomogą temu, na kogo ktoś doniósł, że ma złoto. Wszyscy oni zostaną aresztowani i stłoczą się w celach GPU masą ludzką, której dotąd nie można sobie było wyobrazić – ale tym lepiej, prędzej oddadzą! Dochodzi do zupełnej kontuzji: kobiety i mężczyźni siedzą w jednych celach i załatwiają się do jednego kibla – ale kto by tam zważał na takie drobnostki, oddajcie złoto, gady! Funkcjonariusze nie piszą protokołów z przesłuchań, bo to papierek nikomu niepotrzebny, nikogo to nie interesuje, czy da się potem wysmażyć wyrok, czy nie, ważne jest tylko jedno: oddaj złoto, gadzie! Państwu złoto potrzebne, a tobie na co się zdało? Śledczy tracą głos i siły na groźby i tortury, ale jest sposób generalny: karmić tylko słonym jadłem, a pić nie dawać. Kto odda złoto – ten dostanie wody! Za kubek czystej wody – czerwonia!

*Gubi ludzi kruszec ten...*²⁵

Od poprzedzających go i następujących po nim aresztanckich potoków ten różni się tym, iż – no, nie połową, ale przynajmniej jakaś część tych ludzi dzierży swój los we własnych, drżących rękach. Jeśli rzeczywiście nie masz żadnego złota – to jesteś w beznadziejnym położeniu, będą cię tu bić, przypiekać, katować i tłamsić aż do śmierci – albo póki sami naprawdę ci nie uwierzą. Ale jeśli masz złoto, to sam określasz granice katuszy, granice własnej wytrzymałości, swój przyszły los. Psychologicznie to rzecz wcale nie łatwiejsza – przeciwnie, bo możesz się pomylić i teraz już sam sobie będziesz winien, raz na zawsze. Oczywiście, kto już zna obyczaje panujące w tej instytucji, ten ustąpi i odda, to najłatwiej. Nie wolno jednak ustępować od razu: nie uwierzą, żeś wszystko już oddał, będą cię trzymać dalej. Ale oddawać zbyt późno też nie wolno: wytrzęsą z ciebie duszę albo ze złości wlepią duży, wyrok. Jeden z tych tatarskich furmanów wytrzymał wszystkie męki: nie mam złota! Wówczas wsadzili jego żonę, ją też dręczyli, ale Tatar dalej swoje: nie mam złota! Aresztowali więc mu córkę – tu już Tatar nie wytrzymał i oddał swoje sto tysięcy rubli. Rodzinę wypuścili – ale jemu wsolili wyrok jak się patrzy. Najordynarniejsze wątki kryminalne i opery o rozbójnikach wzięte zostały na serio i doczekały się realizacji w życiu wielkiego państwa.

Wprowadzenie paszportyzacji na progu lat 30. też zapewniło obozom nowe kontyngenty ludzkie. Podobnie jak Piotr I uprościł konstrukcję społeczeństwa wymiatając do czysta wszystkie międzystanowe bruzdy i miedze, tak też działał nasz system paszportowy: wymiatał mianowicie całe to robactwo nieokreślonego gatunku, godził w tę przebiegłą, bezdomną i nie przypisaną do żadnej warstwy część ludności. Zresztą – z początku zdarzały się często ludziom nieporozumienia z tymi paszportami: i niezameldowanych i niewymeldowanych w porę wyprawiano na Archipelag, choćby na rok...

Tak oto pieniały się i toczyły strumienie ludzkie – ale wszystkie przerósł wielomilionowy potok rozkułaczonych, gdy trysnął w latach 1929–30. Był niewiarygodnie obfity i nie dałaby mu rady nawet najszerzej rozbudowana sieć więzień śledczych (zapchana ponadto przez „złotonośny” potok), ale minął ją, bo od razu kierowany był transportami na etapy, do kraju GUłag. Ten potok (ten ocean!) tak nabrzmiał i wezbrał w jednej chwili, że wystąpił z brzegów i rozlał się daleko poza

²⁵ Z Fausta Gounoda.

obręb wszystkiego, na co może pozwolić sobie system sądowo-więzienny ogromnego nawet państwa. Nie można znaleźć dlań porównania w całej historii Rosji. Była to wędrówka ludów, katastrofa etniczna. Ale kanały GPU i GUłagu tak mądrze były pomyślane, że miasta nawet by nie zauważyły, co się dzieje – gdyby nie trzyletni głód, który spadł na nie, głód dziwny, bo ani suszy, ani wojny.

Potok ten różnił się od wszystkich poprzednich również tym, że nikt się nie facytował, aby naprzód brać głowę rodziny, a potem dopiero zastanawiać, się, co zrobić z resztą. Bynajmniej, tu wypalano od razu gniazdo zarazy, brano tylko całe rodziny naraz i nawet baczono pilnie, aby żadne z dzieci – czternaste-, dziesięcio-, czy sześćioletnie nie odbiło się od stada: wszystko, co tylko dało się naskrobać, miało być postane w to samo miejsce, na tę samą zgubę. (Był to PIERWSZY taki eksperyment, przynajmniej w historii nowożytnej. Powtórzy go później Hitler na Żydach, a Stalin przeprowadzi go ponownie na ludach winnych zdrady albo podejrzanych o nią).

Potok ten tylko w znikomej części składał się z owych kułaków, których imieniem był nazwany na pokaz. Kułak – to przezwisko nadawane w Rosji bezwzględny kутwom, wiejskim kupczykom, żyjącym nie z własnej pracy, lecz z wyzysku, bogaczącym się na lichwie i pośrednictwie w handlu. Takie pijawki po wsiach jeszcze przed rewolucją liczone były na palcach, rewolucja zaś w ogóle usunęła im ziemię spod nóg. Następnie, już po roku siedemnastym, rozszerzając niepomniernie znaczenie tego słowa, zaczęto termin kułak stosować (w oficjalnych i agitacyjnych publikacjach, skąd przedostał się do mowy codziennej) w ogólności do tych, którzy korzystali z pracy najmitów, parobków, choćby z powodu czasowego braku rąk do pracy w rodzinie. Ale nie zapominajmy tu, że po rewolucji już nie można było za pracę najemną nie dać słusznej zapłaty – parobków bronił k o m b i e d i rada gromadzka, spróbowałby kto skrzywdzić parobka! A – należnie opłacany – wynajem rąk do pracy dozwolony jest w naszym kraju po dziś dzień.

Ale zjadliwe przezwisko kułak używane było w coraz szerszym i szerszym znaczeniu i 1930 roku tak nazywano już W OGÓLE WSZYSTKICH DOBRYCH GOSPODARZY, krzepko przywiązanych do swojej ziemi, do swojej pracy, a choćby tylko do swoich poglądów na życie. Przezwisko kułak wykorzystane było po to, aby położyć koniec chłopskiej krzepie. Trzeba to przypomnieć, trzeba uprzytomnić sobie, że zaledwie dwanaście lat minęło od wydania wielkiego Dekretu o Ziemi – tego właśnie, bez którego chłopstwo nie poszłoby za bolszewikami, a rewolucja październikowa nie mogłaby zwyciężyć. Ziemia została rozdana w przewidzianych terminach, wszystkim PO RÓWNO. Zaledwie dziewięć lat temu chłopci wrócili z Armii Czerwonej i rzucili się do uprawy tej swojej zawojowanej ziemi. I nagle – tu kułacy, tam biedacy. Skąd się to wzięło? Czasem – powodem był fortunny albo niefortunny skład rodziny. Ale czy nie bardzo to zależało od lepszego stanu inwentarza, czasem od pracowitości i uporu? I oto teraz tych chłopów, którzy w 1928 roku nakarmili jeszcze całą Rosję swoim chlebem – rugują miejscowe niezguły i przyjezdni miastowi ludzie. Jakby ich bies opętał, jakby wyzbyli się wszelkich, ludzkich uczuć i ludzkich obyczajów, utrzymujących się przez tysiąclecia – zaczęli najlepszych rolników łapać hurmem, razem z rodzinami i bez żadnego mienia, gotych wyganiać na północne pustynie, w tundry, do tajgi.

Deportacja tak masowa musiała obfitować w dodatkowe komplikacje. Trzeba było oczyścić wsie także z tych chłopów, którzy po prostu nie bardzo

chcieli wstępować do kołchozów i nieufnie odnosili się do życia w gromadzie, o którym nie mieli dotąd pojęcia, obawiając się (wiemy teraz, jak słusznie), iż sprowadzi się ono do rządów nierobów, do przymusu i przymierania głodem. Trzeba było też pozbyć się tych chłopów (często całkiem niezamożnych), którzy lubiani byli przez sąsiadów za swoje zawadiactwo, siłę fizyczną, stanowczość, za to, że słysząc ich było na zebraniach, że sami lubili sprawiedliwość. Dawano im to niezależność i przez to niebezpieczni byli dla kołchozowej zwierzchności.²⁶ A jeszcze w każdej wsi byli tacy, którzy OSOBIŚCIE stali na zawadzie miejscowym aktywi-
stom. Teraz nadarzała się najlepsza okazja, żeby odbić sobie na nich zazdrość, zawiść, obrazę. Dla wszystkich tych przyszłych ofiar potrzebny był nowy termin – i zaraz się znalazł. Nie miał w sobie nic „socjalnego”, ekonomicznego, ale brzmienie miało doskonałe: podkułacznik. To znaczy, że w moich oczach jesteś poplecznikiem wroga. To wystarczy! Najnędnieszego oberwańca, wyrobnika, można bez kłopotu zaliczyć do podkułaczników.²⁷

Tak oto dwa słowa wystarczyły, żeby ująć w cęgi wszystkich tych, którzy stanowili o samej treści wsi, jej energii, jej rozumie i pracowitości, jej sile oporu i sumieniu. Wywieziono ich – i kolektywizacja została przeprowadzona.

Ale ze wsi już uspołdzielonych popłynęły nowe potoki aresztowanych:

– potok szkodników. Wszędzie zaczęto wykrywać agronomów-szkodników, którzy dotąd całe życie pracowali uczciwie, a teraz umyślnie jeli zachwaszczać rosyjskie pola (oczywiście – na zlecenie moskiewskiego instytutu, właśnie zdemaskowanego bez reszty. Toć właśnie tu odnajdujemy tych 200.000 nie wyaresztowanych w swoim czasie członków TKP!). Jedni z tych agronomów nie wykonują dogłębnie naukowych dyrektyw Trofima Łysenki (z tą falą zesłany został w 1931 roku do Kazachstanu „król kartofli” Lorch). Inni wykonują je zbyt ściśle – i tym sposobem wykazują ich głupotę (w 1934 roku pskowscy agronomowie wysiali siemię lniane na śnieg – dokładnie tak, jak kazał Łysenko. Siemię spęczniało, spleśniało i poszło na marne. Wielkie połacie pól przez rok stały pustką. Łysenko nie mógł oświadczyć, że śnieg jest kułakiem, albo że sam on jest durniem. Oznajmił zatem, że agronomowie są kułakami i że wypaczyli jego technologię. I agronomowie pojechali na Sybir). A nadto prawie we wszystkich stacjach maszyn rolniczych wykryto szkodnictwo przy remoncie ciągników (teraz wiemy, czym się tłumaczy niepowodzenia kołchozów w pierwszych latach istnienia!);

– potok „za straty przy zbiorach” („straty” wynikały z porównania zbiorów rzeczywistych z dowolną cyfrą, ustaloną wiosną przez „komisję wstępnej oceny zbiorów”);

– „za niewykonanie zobowiązań wobec państwa w zakresie dostaw ziarna” (komitet rejonowy partii zobowiązał się, kołchoz nie poradził – no to jazda za kraty!);

– potok „kłosokradów”. Nocne, ręczne obcinanie kłosa po kiosku w polu! – Całkiem nowy rodzaj pracy i nowy rodzaj żniw! Był to potok niemały – były to całe dziesiątki tysięcy włościan, często nawet nie dorośli chłopcy i baby, tylko wyrostki i dziewczęta, chłopcy i dziewczuszki, których starsi posyłali nocami na skubanie, bo nie mieli nadziei na zapłatę w ziarnie z kołchozu za swoje roboczodniówki. Za to gorzkie i nie bardzo opłacalne zajęcie (za czasów pańszczyzny chłopcy jednak

²⁶ Ten typ chłopcy i jego los został unieśmiertelniony w postaci Stiepana Czausowa w powieści S. Załygina.

²⁷ Pamiętam doskonale, że w młodości ten termin wydawał mi się całkiem logiczny, żadnych wątpliwości nie budził.

nie dochodzili do takiej nędzy!) sądy wymierzały kary, jak się należy: dziesięć lat – jako za nadzwyczaj niebezpieczne przywłaszczenie mienia socjalistycznego – na podstawie ustawy z 7 sierpnia 1932 roku (w żargonie więziennym – ustawa siedem-osiem).

Ta ustawa z "siódmego–ósmego" umożliwiła jeszcze osobno spory dopływ aresztantów z placów budowy pierwszej i drugiej pięciolatki, z transportu, z handlu, z fabryk. Wielkie sprzeniewierzenia były z urzędu domeną NKWD. Potok ten trzeba mieć także w przyszłości na uwadze, jako sączący się stale i szczególnie obfity w latach wojny – przez całe 15 lat (aż do 1947 roku, kiedy to ustawa uległa rozszerzeniu i obostrzeniu).

Ale wreszcie nadchodzi chwila wytchnienia! Wreszcie wyschną teraz te rzeki aresztantów! – towarzysz Mołotow powiedział przecież 17 maja 1933 roku: „widzimy nasz cel nie w masowych represjach”. Fuu, już był najwyższy czas. Dość nocnych lęków Ale co to za psie ujadanie? Huzia! Huzia!

Otóż to! Zaczęła się kirowska fala aresztowań w Leningradzie. Napięcie w tym mieście uznane zostaje za tak wielkie, że formuje się sztaby NKWD przy każdej radzie dzielnicowej i wprowadza się „przyśpieszoną” procedurę sądową (wcześniej też nie dawała ona powodów do skarg na zbytnią powolność) bez prawa apelacji (wcześniej też nie bardzo z niego korzystano). Istnieje przekonanie, że jedna czwarta ludności Leningradu została wyczyszczona w latach 1934–35. Pogląd ten niech spróbują obalić ci, którzy znają ścisłą cyfrę i mogą ją przedstawić. (Była to zresztą nie tylko leningradzka fala, rozeszła się wystarczająco szeroko po całym kraju W formie znanej już, choć bałamutnej: usunięto ze stanowisk wszystkich przyczajonych tam jeszcze popowskich synów, byłych ziemian i każdego, kto miał krewnych za granicą).

W tak rwących potokach zawsze ginęły skromne, zwykłe strumyczki, które nie robiły zbytniego hałasu, ale sączyły się wciąż. Są to:

- Członkowie Schotzbundu, którzy przegrali bitwę klasową we Wiedniu i postanowili szukać ratunku w ojczyźnie międzynarodowego proletariatu;
- esperantyści (te bandę szkodników Stalin i Hitler tępil jednocześnie, każdy u siebie);
- niedobitki Wolnego Towarzystwa Filozoficznego, nielegalne kółka filozoficzne;
- nauczyciele, nie mogący się pogodzić z przodującą zespołowo–laboratoryjną metodą nauczania (w 1933 roku Natalia Iwanowna Bugajenko aresztowana została przez rostowskie GPU, ale po trzech miesiącach dochodzeń stało się wiadome, dzięki nowemu rozporządzeniu, że metoda ta jest biedna. Została więc zwolniona);
- współpracownicy Politycznego Czerwonego Krzyża, którzy – dzięki wysiłkom Katarzyny Pieszkowej – wciąż jeszcze bronili swego prawa do istnienia;
- górale z Kaukazu Północnego za powstanie (1935 roku), nacjonaści napływają to z jednego końca kraju, to z drugiego. (Na budowie Kanału Wolga–Moskwa gazety mniejszościowe ukazywały się w czterech językach: była tatarska, azerbejdżańska, uzbecka i kazachska. Musiały więc mieć czytelników!);
- i znów – ludzie wierzący, teraz ci, co nie chcieli pracować w niedzielę (a wprowadzono oficjalnie tydzień pięciodniowy lub sześciodniowy), kołchoźnicy,

dopuszczający się sabotażu, lub strajku w dni świąt kościelnych, jak to czynili za czasów gospodarki prywatnej;

– i jak zawsze – ci, którzy nie zgodzili się zostać konfidentami NKWD. (Zaliczani tu bywali także duchowni, którzy nie chcieli zdradzić tajemnicy spowiedzi – ORGANY szybko zdały sobie sprawę, jak by Im się przydało znać treść spowiedzi, nareszcie byłaby jakaś korzyść z religii);

– a członków sekt biorą coraz gęściej;

– a socjalistyczny Wielki Pasjans wciąż trwa.

I wreszcie, dotąd ani razu jeszcze niewymieniony, ale cały czas płynący potok DZIESIĄTEGO PARAGRAFU, alias KRA (Kontr–Rewolucyjna Agitacja), alias ASA (Anty–Sowiecka Agitacja). Potok Dziesiątego Paragrafu jest chyba tu zjawiskiem najtrwalszym – nigdy nie wysychał, a podczas wielkich powodzi, jak w 37., 45., lub 49. roku wzbierał szczególnie obficie.²⁸

*

Oto paradoks: całej wieloletniej działalności wszechobecnych i wiecznie czujnych ORGANÓW dawał siłę JEDEN jedyny artykuł ze stu czterdziestu ośmiu składających się na dział szczegółowy Kodeksu Karnego z 1926 roku. Ale chwotę tego artykułu głosić by można z pomocą jeszcze większej ilości epitetów, niż ta, którą znalazł Niekrasow by uczcić Matkę–Rosję, albo Turgieniew, by sławić język rosyjski: wielki, potężny, hojny, rozgałęziony, wieloraki, wszechogarniający Pięćdziesiąty Ósmy, panujący nad całym bogactwem przejawów życia nie tyle dzięki formalnemu brzmieniu swoich paragrafów, ile za sprawą ich dialektycznej i nadzwyczaj szerokiej interpretacji.

Któż z nas nie odczuł jego wszechogarniającego uścisku? Zaiste, nie ma pod słońcem takiego wykroczenia, zamiaru, czynu, ani rodzaju beczynności, którego nie mogłaby dotknąć karząca ręka Pięćdziesiątego Ósmego artykułu.

Niemożliwością było sformułować go w sposób aż tak szeroki, okazało się za to możliwe dać mu odpowiednio szeroką wykładnię.

58. artykuł nie stanowił w kodeksie samodzielnego rozdziału, dotyczącego przestępstw politycznych i nigdzie nie jest napisane, że to artykuł „polityczny”. Nie, wraz z artykułami odnoszącymi się do przestępstw przeciw systemowi zarządzania i do bandytyzmu, składa się on na dział „przestępstw państwowej wagi”. W ten sposób pierwszym słowem Kodeksu Karnego była odmowa uznania kogokolwiek na naszym terytorium za przestępcę politycznego; są wyłącznie kryminalni.

58. artykuł składał się z 14 paragrafów.

Z pierwszego paragrafu dowiadujemy się, że za czyn kontrrewolucyjny uznane jest każde działanie (a w dodatkowym świetle art. 6. KK – także każde zaniechanie) mające na celu... wystawienie na szwank władzy...

Szeroka wykładnia pozwala stwierdzić, że gdy więzień w obozie odmawia pójścia do pracy, bo jest głodny i opadł z sił – to dopuszcza się przestępstwa wystawienia na szwank władzy. Pociągga to za sobą – rozstrzelanie. (W latach wojny rozstrzeliwano „za odmowę”).

²⁸ Ten niezawodny potok porywał dowolną osobę, w danej, z góry wyznaczonej chwili. Ale w latach 30. wolano czasem wybitniejszych Intelktualistów traktować z większą elegancją i wyszukać Jakiś bardziej hańbiący paragrafik (np. - bomosek-sualizm, albo że profesor Pletniow kąsał piersi pacjentek, gdy zostawał z nimi sam na sam w czasie wizyty lekarskiej. A skoro napisane o tym było w centralnej gazecie - to spróbuj zaprzeczyć, człowiecze!).

W 1934 roku, kiedy przywrócony był naszej mowie termin Ojczyzna, dodane zostały do tego paragrafu punkty dotyczące zdrady Ojczyzny – 1-a, 1-b, 1-c, 1-d. W myśl tych punktów, działania wystawiające na szwank moc wojenną ZSRR karane są rozstrzelaniem (1-b), a tylko przy istnieniu okoliczności łagodzących, oraz tylko w stosunku do osób cywilnych (1-a) kara ogranicza się do lat dziesięciu.

Spójrzmy na to szerzej: gdy naszym żołnierzom za pójście do niewoli (narażenie na szwank potęgi wojennej!) dawano zaledwie dziesięć lat odsiadki, to było to przejawem humanizmu, dochodzącego wręcz do bezprawia. Zgodnie ze stalinowskim kodeksem, wszyscy oni po powrocie do kraju powinni właściwie zostać rozstrzelani.

(Albo inny jeszcze przykład szerokiej wykładni. Dobrze pamiętam pewne spotkanie w Butyrkach latem 1946 roku. Pewien Polak urodził się był we Lwowie, gdy miasto to wchodziło jeszcze w skład monarchii austro-węgierskiej. Aż do drugiej wojny światowej mieszkał w swoim mieście, w Polsce, po czym wyjechał do Austrii, tam był wzięty do wojska, tam go też aresztowali nasi w 1945 roku. Dostał dychę z artykułu 541 ukraińskiego wariantu kodeksu, to znaczy – za zdradę swojej ojczyzny UKRAINY! – bo przecież miasto Lwów w tym czasie, to był już ukraiński Lwów! I biedak ani rusz nie potrafił dowieść w czasie śledztwa – że wyjechał do Wiednia nie po to, aby zdradzać Ukrainę! No i tak psim swędem został już zdrajcą).

Ważnym poszerzeniem wykładni paragrafu o zdradzie było stosowanie go w "sensie artykułu 19. KK" – czyli „biorąc pod uwagę zamiar”. To znaczy żadnej zdrady nie było – ale funkcjonariusz śledczy zakładał zamiar zdrady – i to wystarczało, aby dać człowiekowi najsurowszy wymiar, jak za zdradę faktyczną. Co prawda, artykuł 19. przewiduje karę nie za zamiar, lecz za przygotowanie, ale przy dialektycznym podejściu można także zamiar uznać za przygotowanie. Zaś „czynienie przygotowań jest tak samo karalne (tzn. wymiar kary jest ten sam) jak samo przestępstwo” (KK). I w ogóle -

- nie czynimy rozróżnień między intencją a samym przestępstwem – na tym polega wyższość sowieckiej jurysdykcji nad burżuazyjną!²⁹

Nieograniczoną pojemność nadawał wykładni każdego paragrafu specjalny artykuł 16. KK – „Per analogiam”. Kiedy wykroczenie nie pasowało bezpośrednio do żadnego paragrafu, sędzia mógł je kwalifikować „per analogiam”.

Paragraf drugi mówi o powstaniu zbrojnym, zagarnięciu władzy w stolicy i na prowincji, zwłaszcza w celu oderwania gwałtem jakiegokolwiek części terytorium Związku Republik. Kary – do śmierci przez rozstrzelanie włącznie (podobnie, jak w KAŻDYM z następnych paragrafów.)

W poszerzonym ujęciu (nie można było tak sformułować artykułu, ale rewolucyjne poczucie prawa tak uczy): odnosi się to do wszelkich prób skorzystania z prawa każdej republiki do wystąpienia ze Związku Sowieckiego. Przecież mówiąc o oderwaniu „gwałtem” – nie precyzuje się, wobec kogo gwałt ma miejsce. Nawet gdyby cała ludność republiki życzyła sobie tej separacji, ale w Moskwie by jej sobie nie życzano, toteż będzie to „gwałt”. Tak więc, wszyscy estońscy, łotewscy, ukraińscy i turkietańscy nacjonałści bez trudu otrzymywali z tego paragrafu swoją dychę czy dwadzieścia pięć.

²⁹ Od więzień do zakładów wychowawczych - Almanach Instytutu Polityki Kryminalnej - pod redakcją A. J. Wyszynskiego. Wyd. „Sowieckoje Zakonodatelstwo”, Moskwa, 1934, str. 36.

Trzeci paragraf: „Pomoc, okazywana w jakiejkolwiek bądź formie obcemu mocarstwu znajdującemu się w stanie wojny z ZSRR”.

Paragraf ten dawał możliwość postawienia przed sądem KAŻDEGO obywatela, który spędził jakiś czas na terenach okupowanych, niezależnie od tego, czy tylko przybił obcas niemieckiemu żołnierzowi, czy sprzedał mu pęczek rzodkiewek, lub każdej kobiety, który z Niemcem zatańczyła, albo spędziła z nim noc. Nie każdy pociągany był pod sąd z tego paragrafu (zbyt wielu ludzi było pod okupacją), ale mógł być skazany każdy.

Paragraf czwarty mówił o (wkraczamy tu w dziedzinę fantazji) pomocy okazywanej międzynarodowej burżuazji.

Myślałby człowiek: do kogo to się w ogóle odnosi? Ale – interpretując szeroko i opierając się na sumieniu rewolucyjnym – znaleziono odpowiednią kategorię bez kłopotu: wszyscy emigranci, którzy opuścili kraj przed 1920 rokiem, to znaczy kilka lat przed sporządzeniem tego kodeksu, i zostali przydybani w Europie przez naszą armię ćwierć wieku później (1944–1945) dostawali artykuł 58–4: dziesięć lat, albo śmierć przez rozstrzelanie. Czym bowiem zajmowali się za granicą, jeśli nie okazywaniem pomocy międzynarodowej burżuazji? (Przykład kółka melomanów dowiódł już nam, że okazywać można było pomoc także wewnątrz ZSRR). Pomagali jej także wszyscy eserzy, wszyscy mienszewicy (na ich cześć ten paragraf wymyślono), a później też inżynierowie z Gosplanu i WSNCh.

Paragraf piąty: skłanianie obcego mocarstwa do wydania wojny ZSRR.

Stracona okazja: rozciągnąć ten paragraf na czynności Stalina i jego świąty dyplomatycznej oraz wojskowej w latach 1940–41. Ślepotą i głupotą tych ludzi do tego właśnie wiodła. Któż, jeśli nie oni doprowadzili Rosję do haniebných, niesłychanych klęsk, nieporównanie gorszych od porażek carskiej Rosji w 1904 czy w 1915 roku? Klęsk, jakich nie pamiętała Rosja od XIII wieku?

Paragraf szósty – szpiegostwo:

był interpretowany tak szeroko, że gdyby policzyć wszystkich, skazanych na jego podstawie, to można by pomyśleć, że ani z rolnictwa, ani z pracy w przemyśle, ani z żadnej innej roboty nie utrzymywał się nasz naród za Stalina, tylko ze szpiegostwa i że żył na koszt obcych wywiadów. Szpiegostwo – było to coś bardzo wygodnego dzięki, swej prostocie, coś zrozumiałego i dla ciemnego kryminalisty, i dla uczonego prawnika, i dla dziennikarza i dla całej opinii.³⁰

Szerokość wykładni polegała jeszcze na tym, – że wyroki dawano nie po prostu za szpiegostwo, lecz za PSz – Podejrzanie o Szpiegostwo. (Albo – NSz – Niedowiedzione Szpiegostwo, za co też leciała cała szpula!).

a nawet za

SWPSz:– stosunki, wywołujące (!) podejrzenie o szpiegostwo.

Wystarczy na przykład, że znajoma znajomej twojej żony szyła sobie suknię u tej samej krawcowej (rzecz jasna, współpracującej z NKWD), co żona jakiegoś zagranicznego dyplomaty.

Te wszystkie 58–6, PSz i SWPSz – były to paragrafy przylepne, pociągły za sobą surowe traktowanie, bezustanną obserwację więźnia (wszak obcy wywiad

³⁰ A swoją drogą - szpiegomania nie była tylko tępą pasją Stalina. Od razu przypadła do smaku każdemu, kto wchodził do kręgu uprzywilejowanych. Stała się naturalnym usprawiedliwieniem dla wybujałej manii tajności, dla zakazu informacji, dla zamkniętych drzwi, systemu przepustek, oparkanionych willi i sklepów za żółtymi firankami. Przez pancerne mury szpiegomanii ludzie nie mogli ani się przebić, ani nawet rzucić okiem, jak biurokracja spiskuje, leniuchuje, robi swoje błędy, jak zajada i jak się zabawia.

może wyciągnąć macki, w ślad za swoim człowiekiem – aż do obozu) i nie dawały prawa do poruszania się bez konwoju. W ogóle wszystkie paragrafy literowe, to znaczy – wcale nie artykuły prawa, lecz właśnie te strach budzące kombinacje dużych liter (w tym rozdziale natkniemy się jeszcze na inne) nosiły na sobie stale nalot zagadkowości, nigdy nie było dokładnie wiadomo, czy to odgałęzienia artykułu 58., czy też coś samoistnego i bardzo niebezpiecznego. Więźniowie z paragrafem literowym w wielu obozach byli upośledzeni nawet w porównaniu z "grupą 58".

Paragraf siódmy: działanie na szkodę przemysłu, transportu, handlu, obiegu pieniężnego i spółdzielczości.

W latach 30. ten paragraf ostro poszedł w ruch i zdobył popularność wśród mas pod uproszczoną i zrozumiałą powszechnie nazwą szkodnictwa. Rzeczywiście, wszystkie dziedziny wymienione w Paragrafie Siódmym co dzień ponosiły jakieś widoczne i nie dające się ukryć szkody – ktoś tu więc chyba był winien?... Przez wieki nasz lud tworzył i budował, a zawsze rzetelnie, nawet, gdy harował na panów. O żadnym szkodnictwie nie było nawet słyhu od czasów samego Rurka. I oto, gdy po raz pierwszy cały dostatek znalazł się w rękach ludu – setki tysięcy najlepszych jego synów z niewiadomych powodów zabrało – się do szkodnictwa. (Szkodnictwo w rolnictwie nie było w tym paragrafie uwzględnione, ponieważ jednak bez niego nie sposób było wyjaśnić rozsądnie, czemu pola zarastają chwastami, zbiory maleją, a maszyny łamią się – więc dialektyczne wyczucie każało wprowadzić także to pojęcie).

Paragraf ósmy – terror (nie ów terror, który miał „uzasadnić i uprawnić” sowiecki kodeks karny).³¹

Terror rozumiany był bardzo, a bardzo szeroko: nie uważano za terror teraz rzucania bomb pod karety gubernatorów; za to na przykład nabicie pyska osobistemu wrogowi – jeśli okazywał się aktywistą partyjnym, komsomolskim, albo milicyjnym – już oznaczało terror. Tym bardziej zabójstwo aktywisty, nigdy nie uznawane było za równe zabójstwu zwykłego obywatela (zresztą to samo rozróżnienie istnieje już w kodeksie Hammurabiego w XVIII wieku przed naszą erą). Jeśli jakiś mąż zabił kochankę żony, i okazywało się, że kochanek był bezpartyjny, to mąż miał szczęście, dostawał artykuł 136, był przestępcą pospolitym, elementem socjalnie bliskim i mógł paradować po obozie bez konwoju. Jeśli zaś kochanek był partyjny, to mąż stawał się wrogiem ludu na podstawie artykułu 158–8.

Jeszcze ważniejsze rozszerzenie wykładni można było uzyskać przez zastosowanie paragrafu 8. w rozumieniu, wspomnianego już, artykułu 19., to znaczy – w sensie przypuszczalnego zamiaru. Nie tylko bezpośrednia groźba przy kiosku z piwem: „No, poczekaj tylko!” skierowana pod adresem aktywisty, ale również głośna uwaga zapalczywej przekupki z rynku „ach, żeby go pokręciło!” kwalifikowana była jako TZ–7 terrorystyczne zamiary i dawała podstawy do stosowania artykułu z całą surowością.³²

Dziewiąty paragraf – zniszczenie albo uszkodzenie... drogą wysadzenia w powietrze, albo podpalenia (dla celów kontrrewolucyjnych, to już nieodzowne), zwane w skrócie dywersją.

³¹ Lenin, *Dziela Zebrane*, wyd. V., tom 45, str. 190.

³² 35 Brzmi to jak gruba przesada, trąci farsą - ale nie my byliśmy autorami tej farsy, myśmy z takimi ludźmi - siedzieli.

Poszerzenie wykładni polegało na tym, że cele kontrrewolucyjne delikwentowi były imputowane (śledczy już lepiej wiedział, co się dzieje w świadomości przestępcy!), a jakaś ludzka nieostrożność, omyłka, wszelkie niepowodzenie w pracy, fiasko produkcyjne – nie mogło być darowane, uważane było za dywersję. Ale, żaden paragraf artykułu 58. nie był interpretowany tak szeroko i z takim zaangażowaniem, taką rewolucyjną żarliwością, jak Dziesiąty. Oto jego brzmienie: „Propaganda albo agitacja, zachęcająca do obalenia, podkopania, albo osłabienia władzy sowieckiej... a również rozpowszechnianie, albo przygotowanie, bądź przechowywanie publikacji tejże treści...”

Paragraf ten określał w OKRESIE POKOJU tylko dolną granicę kar (byle nie za mało!... byle nie nazbyt pobłażliwie!) górna zaś *NIE PODLEGAŁA OGRANICZENIOM!*

Tak nieulekłym okiem patrzyło wielkie Mocarstwo na SŁOWO poddanego.

Z rozszerzonych wykładni tego sławetnego paragrafu te zasłużyły na największą sławę:

– za „agitację, zachęcającą do...” mogła być uznana przyjacielska (albo nawet małżeńska) rozmowa w cztery oczy, albo osobisty list; zachętą mogła być nawet prywatna rada. (Wnioskujemy – „mogła, mógł być” stąd, że TAK NIERAZ BYWAŁO). „Podkopaniem albo osłabieniem” władzy był wszelki pogląd niezgodny z poglądem dzisiejszej gazety albo nie sięgający wyżyn jej entuzjazmu. Bo wszak osłabia wszystko to, co nie umacnia!

Przecież podkopyje wszystko to, co nie jest stuprocentowo uzgodnione!

*I ten kto nie śpiewa dziś razem z nami,
Ten jest przeciwko nam!*
(Majakowski)

– za „przygotowanie kontrrewolucyjnych publikacji” uznawane było napisanie w jednym jedynym egzemplarzu listu, notatki, intymnego pamiętnika.

W tak fortunny sposób poszerzony – jakiej to MYŚLI – kontemplowanej, wygłoszonej, czy zapisanej – nie miał w swoim zasięgu Dziesiąty Paragraf?

Paragraf jedenasty był osobliwością: nie miał samodzielnej wagi, dostarczał jedynie dodatkowego balastu do każdego z uprzednio wymienionych punktów – jeżeli działanie przestępcze miało charakter grupowy, albo gdy złoczyńcy tworzyli organizację.

W istocie wykładnia poszerzała się aż do tego stopnia, że żadna organizacja już nie była potrzebna, . Ten wyszukany sposób interpretacji poznałem na własnym przykładzie. Było nas dwóch piszących do siebie listy, a więc zajmujących się tajną wymianą myśli. *Dwóch* – to związek organizacji, a więc to już organizacja!

Paragraf dwunasty miał najczęstszą styczność z sumieniami obywateli: dotyczył przestępstwa nie doniesienia o każdym z wymienionych poprzednio czynów. Także za ciężki grzech niezłożenia donosu PUŁAP KARY NIE BYŁ OGRANICZONY!

Paragraf ten był sam przez się taje szeroko pojęty, że dalszych poszerzeń wykładni nie wymagał. WIEDZIAŁ – A NIE POWIEDZIAŁ – toć to wszystko jedno, jakby sam popełnił zbrodnię!

Paragraf trzynasty, jak wolno było sądzić, dawno już nieaktualny, dotyczył służby w carskiej ochronie.³³ (Analogiczna służba – tylko nieco później, uważana jednak była za patriotyczny wyczyn).

Punkt czternasty karał za „świadome – uchylenie się od wykonania określonych obowiązków, albo umyślnie niedbałe ich wykonanie”: przewidywane były kary, oczywiście, aż do rozstrzelania włącznie. W skrócie nazywało się to „sabotażem” albo „ekonomiczną kontrrewolucją”.

Odróżnić to, co umyślne, od tego, co nieumyślne mógł tylko funkcjonariusz śledczy, opierając się na swoim rewolucyjnym poczuciu sprawiedliwości. Ten sam paragraf stosowany był do chłopów, nie wykonujących dostaw obowiązkowych. Na podstawie tegoż paragrafu sądzono kołchoźników, nie mających na swoim koncie koniecznej ilości roboczodniówek. I więźniów w obozie, nie wykonujących normy. A rykoszetem zaczęto po wojnie stosować ten paragraf do szemranych kryminalistów z ferajny, za ucieczkę z obozu. Dzięki szerokiej wykładni ucieczka taka nie była już dowodem tęsknoty za lubą wolnością, lecz próbą podważenia systemu obozowego.

Taki to był ostatni płatek wachlarza 58. artykułu – wachlarza rozczapierzonego nad całym obszarem ludzkiego życia.

Po tym przeglądzie wielkiego ARTYKUŁU nie potrafi już nas byle co zadziwić przy dalszych rozważaniach. Gdzie jest prawo – tam jest też przestępstwo.

*

Butał 58. artykułu wypróbowany w 1927 roku zaraz po wykryciu, hartowany później we wszystkich potokach następnego dziesięciolecia – zastosowany został z pełnym rozmachem i świstem przy ataku Prawa na Lud w latach 1937–38.

Trzeba zaznaczyć, że operacja 1937 roku nie miała w sobie nic żywiołowego, lecz była zaplanowana, że w pierwszej połowie tego roku w licznych więzieniach Związku przeprowadzono odpowiednie przeróbki – z cel wyniesiono pryncie – porobiono nary na całą szerokość celi, jedno– i dwukondygnacyjne.³⁴ Starzy aresztanci wspominają, że ponoć już pierwszy cios był zmasowany, zadano go pewnej nocy sierpniowej, na całym obszarze kraju jednocześnie (ale znając naszą nieudolność, nie bardzo mi się chce temu wierzyć). Jesienią zaś, kiedy wszyscy wierzyli święcie w powszechną wielką amnestię – w związku z dwudziestolecie Października, figlarz Stalin dorzucił do kodeksu nowe, niesłychane dotąd terminy kar – 15 i 20 lat.³⁵

Nie ma potrzeby powtarzania tu o roku 1937 tego, co już o nim pisano i co nieraz jeszcze będzie powtórzone: że był to cios druzgoczący kierownicze kadry partii, administracji, dowództwa armii – i najwyższe kręgi samego GPU–NKWD.³⁶ W ani jednym chyba okręgu nie uchwycił się ani jeden pierwszy sekretarz obkomu albo przewodniczący rady okręgowej; Stalin dobierał sobie poręczniejszych ludzi.

³³ Istnieje pewna psychologiczna podstawa, by podejrzewać, że J. Stalin mógłby trafić na ławę oskarżonych także z tego paragrafu art. 58. Bynajmniej nie wszystkie dokumenty, dotyczące tego rodzaju służby uchowały się, po lutym 1917 roku i zostały opublikowane. Pośpieszne spalanie archiwów w pierwszych dniach rewolucji Lutowej wydaje się być wspólnym dziełem niektórych zainteresowanych rewolucjonistów. Bo też i po co było zaraz po zwycięstwie palić archiwa wroga, tak przecież-Interesujące?

³⁴ Jak też nie przypadkiem - Wielki Dom w Leningradzie zakończony został w 1934 roku, tuż przed zamordowaniem Kirowa.

³⁵ 25-letni termin kary pojawił się zaś w kodeksie na 30-lecie Października, w 1947 roku.

³⁶ Teraz, znając przebieg chińskiej rewolucji kulturalnej (wybuchła też w 17 lat po ostatecznym zwycięstwie), możemy z o wiele większym prawdopodobieństwem zakładać istnienie tej historycznej prawidłowości. I nawet sam Stalin zaczyna już wydawać się tylko ślepą i działającą na powierzchni siłą, narzędziem.

Olga Czawczawadze opowiada, jak to się odbywało w Tbilisi: w 38. roku aresztowano przewodniczącego rady miejskiej, jego zastępcę, wszystkich (jedenastu) naczelników wydziałów, ich pomocników, wszystkich głównych księgowych, wszystkich naczelników ekonomistów. Wyznaczono nowych. Minęły dwa miesiące. I już znowu idą do więzienia: przewodniczący, zastępca – wszyscy (jedenastu) naczelnicy wydziałów, wszyscy główni księgowi, wszyscy naczelnicy ekonomistów. Na wolności zostali – zwykli księgowi, maszynistki, sprzątaczkі, gońcy...

Przy represjach wobec szeregowych członków partii przestrzegano – jak się wydaje – pewnej zasady niejawnej, nigdzie nie nazwanej po imieniu w protokołach i sentencjach wyroków: aresztować przede wszystkim członków partii ze stażem sprzed 1924 roku. Szczególnie stanowczo przestrzegano tego w Leningradzie, ponieważ to oni właśnie podpisali wszyscy „platformę” Nowej Opozycji. (A jak mogli jej nie podpisać? Jak mogli nie „ufać” swojemu leningradzkiemu komitetowi gubernialnemu?)

Oto obrazek z tych lat. Odbywa się (w okręgu moskiewskim) partyjna konferencja rejonowa. Przewodniczący nowy sekretarz rej. komu; dopiero niedawno objął stanowisko po aresztowanym poprzedniku.

Na zakończenie konferencji poddaje się pod głosowanie pismo do towarzysza Stalina z zapewnieniem wierności. Oczywiście – wszyscy wstają (podobnie, jak w trakcie konferencji wszyscy zrywali się na równe nogi za każdym razem, gdy z mównicy padało jego nazwisko). W niewielkiej sali grzmią „burzliwe oklaski, przekształcające się w owacje”. Trzy minuty, cztery minuty, pięć minut – oklaski wciąż jeszcze są burzliwe i wciąż przekształcają się w owację. Ale dłonie już bolą. Ale już drętwieją uniesione ręce. Ale już starsi ludzie tracą oddech. Ale już robi się bardzo głupio nawet tym, co szczerze uwielbiają Stalina. Tylko że – kto pierwszy ośmieli się przestać? Mógłby to zrobić sekretarz rajkomu: stoi na trybunie, dopiero co odczytał tekst orędzia. Ale – to świeży człowiek, objął miejsce po aresztowanym, sam się boi! Przecież, tu, w sali, stoją i klaszczą enkawudyści, już oni dobrze patrzą, kto pierwszy przestanie!... I oklaski w tej małej, nieznanej sali, oklaski, których wódz nie słyszy, trwają 6 minut! 7 minut! 8 minut!... Ci ludzie są zgubieni! Straceni! Już nie mogą przestać, póki wszyscy nie zwałą się z pękniętym sercem! Jeszcze tam, w głębi sali, w ciżbie, można próbować małego szachrajstwa – bić oklaski rzadziej, nie tak silnie, nie z takim ferworem – ale w prezydium, na oczach wszystkich obecnych? Dyrektor miejscowej papierni, silny człowiek, z dużym poczuciem niezależności, stoi w prezydium – i rozumiejąc cały fałsz – całą beznadziejność sytuacji – klaszcze! Dziewiątą minutę! Dziesiątą! Spogląda markotnie na sekretarza rajkomu, ale ten nie śmie zaprzestać klaskania. Opętanie! Zbiorowe! Zerkając na siebie wzajem z resztką nadziei, ale udając zachwyty, kierownicy rejonu będą klaskać aż do upadku, póki nie znaczną ich stąd dygować na noszach! I nawet wtedy ci, co zostali – ani drgną! I oto dyrektor papierni w 11. minucie oklasków przybiera rzeczowy wyraz twarzy i siada na swoim krześle ze stołem prezydialnym. I – o dziwo! – gdzież podział się ogólny, nieopisany entuzjazm? Wszyscy naraz, z punktu, przerywają oklaski i też siadają. Uratowani! Wiewiórka domyśliła się nagle, jak wyskoczyć z koła!...

Ale właśnie w ten sposób wykrywa się niezależnych. Tej samej nocy dyrektor fabryki zostaje aresztowany. Z łatwością znajdują się – zupełnie inne – powody, żeby dać mu dziesięć lat. Ale gdy już podpisał „206” (protokół zakończenia śledztwa), przesłuchujący upomniał go jednak:

– I żebyś nigdy nie był pierwszy do przerywania oklasków!

(A jak poradzimy sobie inaczej? A jak to przestać?...)³⁷

To jest właśnie darwinowski dobór naturalny. To jest właśnie ogłupianie ludzi.

Ale dziś tworzy się nowy mit. Każde drukowane opowiadanie, każde wspomnienie o 37. roku – sprowadza się nieuchronnie do opowieści o tragedii komunistycznych przywódców. Już nas przekonano, już bezwiednie wierzymy, że 37. i 38. więzienny rok – to był właśnie proces eliminacji wybitnych komunistów – i właściwie więcej nikogo. Ale grube ryby partyjne i wyżsi biurokraci nie mogli stanowić więcej niż 10 procent tych milionów, które wtedy poszły pod klucz. Nawet w leningradzkich kolejkach, wyczekujących z paczkami pod więzieniem, najwięcej było prostych kobiet, z wyglądu przypominających mleczarki.

Pośrednie dane statystyczne sugerują, a zeznania świadków dowodzą, że w 1937 roku nie wymarłe jeszcze „spec-posiołki” rozkułaczonych chłopów przeniesione zostały na Archipelag: ludzi albo wysyłano do łagrów, albo ich osiedla opasywano kolczastym drutem żony. W ten sposób wielka rzeka 1929 roku stała się dopływem potoku 1937, zasilając go milionową swoją masą.

Ci, którzy uniesieni zostali w latach 37–38 przez ten; potok i – na poły tylko żywi – ocknęli się aż na Archipelagu, stanowili mieszaninę tak pstrą i dziwaczną, że długo można łamać sobie głowę, chcąc znaleźć tu drogę badań jakieś prawdziwości. (Tym mniej zrozumiałe były one dla współczesnych).

W istocie zaś chodziło w tych latach o osiągnięcie cyfry, złeczonego limitu, dostarczenie ustalonego z góry kontyngentu. Każde miasto, rejon, jednostka wojskowa – otrzymywała plan, wyrażony w cyfrach – i miały wykonać go w terminie. Cała reszta zależała od wprawy agentów operacyjnych.

Były czekista Aleksander Kałganow wspomina, jak to do Taszkientu nadeszła depesza: „Przystać dwustu!” Oni zaś dopiero co przeczesali miasto i zdawało się, że nie ma już kogo brać. No, podrzuciono im tam z prowincji jakieś pół setki, to prawda. Jest pomysł! Można aresztowanych przez milicję pospolitaków przekwalifikować na 58! Załatwione! Ale do cyfry kontrolnej wciąż daleko! Milicja donosi: co robić? na jednym z placów miejskich Cyganie bezczelnie rozbili tabor. Jest pomysł! Otoczyć go w mig – i wszystkich mężczyzn od siedemnasto– do sześćdziesięciolatków zagarnąć jako pięćdziesięcioósmaków! Limit osiągnięty!

Zdarzało się i tak: czekisci Osetii (jak podaje naczelnik milicji Zabołowski) otrzymali zlecenie rozstrzelania na terenie swojej republiki – 500 ludzi, poprosili sami o zwiększenie limitu i dostali pozwolenie na dodatkowych 250.

Depesze te, powierzchownie zakamuflowane, przesyłane były przez zwykłą sieć łączności. W mieście Temriuk telegrafistka ze świętą naiwnością przetelefonowała do NKWD: mają wysłać jutro do Krasnodaru 240 skrzynek mydła. Następnego dnia dowiedziała się o licznych aresztowaniach i wysłaniu ujętych – i domyśliła się! Zwierzyła się przyjaciółce, jaką to depeszę przekazała. Natychmiast ją wsadzili.

(Czy zupełnym tylko przypadkiem człowiek tu występował jako skrzynka mydła? A może? – bo jeśli pomyśleć o technologii mydlarstwa...).

Oczywiście, pewne prawidłowości cząstkowe da się wyodrębnić. Podlegają aresztowaniu:

³⁷ Opowieść N. G-ko.

– nasi za granicą, autentyczni szpiegzy. (Są to często żarliwi kominternowcy, albo czekaści; wiele atrakcyjnych kobiet. Dostają odwołanie, na granicy biorą ich pod straż – następnie konfrontacja z ich byłym szefem z Kominformu, może nim być na przykład Mirow-Korona. Szef potwierdza, że sam był agentem jakiegoś obcego wywiadu – a więc jego podwładni są winni automatycznie i tym więcej naszkodzili, im są uczciwsi!);

– pracownicy KWŹD.³⁸ (Wszyscy co do jednego byli sowieccy pracownicy KWŹD okazują się japońskimi szpiegami, nie wyłączając żon, dzieci, i babek. Ale trzeba przyznać, że, przymykano ich już od dobrych paru lat);

– Koreańczycy z Dalekiego Wschodu (zesłani do Kazachstanu) – pierwszy wypadek karania za pochodzenie, za krew;

– leningradzcy Estończycy (wszyscy aresztowani na zasadzie brzmienia nazwiska, jako szpiegzy białej Estonii);

– wszyscy łotewscy strzelcy³⁹ i Łotysze–czekaści, tak, jest Łotysze, akuszerzy rewolucji, stanowiący całkiem niedawno kościec i chlubę Czeki! I nawet ci komuniści z burżuazyjnej Łotwy, których w 1921 roku wymieniono, aby oszczędzić im odsiadki straszliwych, dwu – i trzyletnich wyroków łotewskich. (Zlikwidowano w Leningradzie łotewski oddział instytutu im. Herzena, łotewski dom kultury, klub estoński, łotewskie technikum, łotewską i estońską gazetę).

Wśród tego zgietku kończy się po cichu rozkładanie wielkiego Pasjansa, wyłapują jeszcze niedorżniętych. Już nie ma co bawić się w sekrety, już czas kończyć tę grę. Socjalistów pakują teraz do więzień całymi koloniami zesłańczymi (na przykład – Ufa, Saratów), sądzą ich ryczałtem i pędzą stadami do rzeźni Archipelagu.

O inteligencji nigdy nie zapomniano przy poprzednich falach, nie zapomina się też i teraz. Dość jednego studenckiego donosu (ta kombinacja słowna od dawna już nie brzmi dziwacznie), że lektor na uczelni cytuje przeważnie Lenina i Marksa, a Stalina nie cytuje – i lektor na następnym wykładzie już się nie pojawia. A co, jeśli w ogóle nie cytuje?... – i idą do paki wszyscy leningradzcy orientaliści średniego i młodszego pokolenia. Idzie pod klucz pełny skład Instytutu Badań Północy (prócz konfidentów). Nie gardzi się też zwykłymi nauczycielami szkolnymi. W Swierdłowsku inscenizuje się sprawę trzydziestu nauczycieli szkół średnich z kierownikiem okręgowego Wydziału Oświaty Perlem na czele; jeden z miażdżących punktów oskarżenia brzmi: urządzali w szkołach zabawy choinkowe po to aby, podpalać szkoły!⁴⁰ Także na łby inżynierów (już sowieckiego chowu, już nie „burżuazyjnych”) maczuga spada z regularnością wahadła. Inżynierowi górniczemu, Mikołajowi Merkuriewiczowi Mikowowi, przebijany z dwóch końców, tunel nie zbiegł się z powodu przesunięcia się pokładów. Art. 58 § 7, 20 lat! Sześciu geologów (grupa Kotowicza) „za umyślne ukrycie złóż cyny (! – to znaczy, za nieodkrycie ich!) w nadziei na przyjscie Niemców” (donos) – 58 § 7, po 10 lat!

W ślad za głównym potokiem zdążają specdopływy: żony, Cz R. (członkowie rodziny). Żonom działaczy partyjnych, a miejscami (Leningrad) – także

³⁸ Kitajsko-Wostocznaja Żeliezna Doroga - Wschodnio-Chińska Kolej Żelazna, przedsiębiorstwo mieszane, linia zbudowana i zarządzana przez ZSSR na terenie Mandżurii, dała powód do starć wojennych między Chinami a ZSSR w 1929 roku.

³⁹ Pułk strzelców łotewskich znany był w 1918 roku jako gwardia Lenina.

⁴⁰ Pięciu z nich zamęczono w trakcie śledztwa, skonali przed rozprawą. Dwudziestu czterech umarło w obozach. Trzydziesty - Iwan Arystaulowicz Punicz - wrócił i został zrehabilitowany. (Gdyby i on umarł - przeoczylibyśmy tu tych trzydziestu, tak, jak pomijamy samochac miliony). Liczni „świadkowie”, występujący w ich sprawie, mieszkają sobie dalej w Swierdłowsku, niczego im nie brak: kadrowi działacze, wyżsi urzędnicy, zasłużeni renciści. Dobór darwinowski.

wszystkim, którzy dostali „10 lat bez prawa korespondencji”, których więc już nie ma, a również bliskim krewnym – dają z reguły po osiem lat. (Zawsze jednak mniej niż kułakom, przy tym dzieci zostają na stałym łądzie).

Hałdy ofiar! Góry ofiar! Atak frontalny NKWD na miasta: S. P. Matwiejew ta sama fala – choć w kilku odrębnych procesach, zabrała męża i trzech braci (i troje z tej czwórki nigdy już nie wróci).

- na odcinku dozorowanym przez pewnego technika–elektryka zerwał się przewód wysokiego napięcia. 58 § 7, 20 lat;

- robotnik z Permu, Nowikow, oskarżony o próbę wysadzenia w powietrze mostu na Karnie;

- Jużakowa (także z Permu) aresztowano z dziećmi; po żonę przyszli tejże nocy. Okazano jej listę jakichś osób i kazano podpisać, że wszyscy wymienieni spotykali się w ich mieszkaniu na eserowsko–mienszewickich zebraniach konspiracyjnych (których oczywiście wcale nie było). Miała być za to wypuszczona, a zostawiła troje dzieci. Podpisała, tamtych wszystkich zgubiła, a sama, rzecz jasna, też już nie wyszła na wolność.

- Nadieżdę Judenicz aresztowano za brzmienie nazwiska. Co prawda, po 9. miesiącach ustalono, że nie jest jednak krewną białogwardyjskiego generała i puszczono ją wolno (głupstwo, nieprawdaż; przez ten czas tylko matka jej Umarła ze zmartwienia);

- w Starej Rusii szedł w kinie film „Lenin w Październiku”. Ktoś zwrócił uwagę na replikę: „Palczyński powinien to wiedzieć!” – a Palczyński bronił Pałacu Zimowego. Zaraz, toć u nas pracuje pielęgniarka – też Palczyńska! Brać ją! No i zabrali. I okazało się, że to istotnie żona Palczyńskiego, która po rozstrzelaniu męża znalazła się na głębokiej prowincji;

- bracia Boruszenko (Paweł, Iwan i Stiepan) przyjechali w – 1930 roku z Polski, jeszcze jako DZIECI, do krewnych. Teraz młodzieńcy dostają za PSZ (podejrzanie o szpiegostwo) po 10 lat;

- pewna tramwajarka z Krasnodaru późną nocą wracała pieszo z remizy i na przedmieściu nieszczęściem minęła buksującą w błocie ciężarówkę, koło której uwijali się jacyś ludzie. Zdążyła zobaczyć, że wóz jest pełen trupów, ręce i nogi sterczały spod brezentu. Zapisano jej nazwisko i następnego dnia już była aresztowana. Oficer śledczy spytał ją, co widziała? Uczciwie powiedziała prawdę (dóbr darwinowski). Agitacja antysowiecka, 10 lat;

- pewien hydraulik wyłączał w swoim pokoju głośnik za każdym razem, kiedy nadawane były nieskończone długie listy hołdownicze do Stalina.⁴¹ Sąsiad doniósł (o, gdzie jest teraz ten sąsiad?). – Wyrok: element socjalnie niebezpieczny, 8 lat;

- pewien zdun, półanalfabeta, lubił w wolnych chwilach uwieczniać swój podpis, co dodawało mu powagi we własnych oczach. Czystego papieru brakowało, uwieczniał się więc na gazetach. Gazetę z podobizną Ojca i Nauczyciela, ozdobioną kulfonami zduna, sąsiedzi znaleźli w worku we wspólnym klozecie. ASA, 10 lat.

Stalin i jego świta lubili własne portrety, zapętniali nimi gazety, powielali je namiętnie, w milionach kopii. Muchy nie bardzo umiały uszanować te świętości, gazety też żal było nie użyć – i wielu nieszczęśliwców także złapało za to wyrok.

⁴¹ Kto dziś je pamięta? Godzinami, dzień w dzień, zawsze to samo, do ogłupienia: zapewne pamięta je dobrze speaker Lewitan: czytał je z naciskiem i wielkim uczuciem.

Aresztowania przetaczały się przez ulice i domy, jak epidemie. Tak, jak ludzie bezwiednie roznoszą zarazę – przez podanie ręki, oddech, odzież – tak też przez podanie ręki, oddech, uliczne spotkanie, rozsiewali wokół zarazki nieuchronnego aresztowania. Jeśli bowiem pisane ci jest, że jutro będziesz musiał się przyznać, iż kłeciłeś podziemną grupę celem zatrucia wodociągów miejskich, dziś zaś ja ci rękę na ulicy podałem – to znaczy, że i ja jestem zgubiony.

Siedem lat wcześniej miasto przyglądało się rozgramianiu wsi i widziało w tym rzecz naturalną. Teraz wieś mogłaby tak samo przyglądać się rozgramianiu miast – ale była zbyt ciemna, zresztą ją samą właśnie dobijano;

- geometra(!) Saunin dostał 15 lat za... pomór bydła (!) w powiecie i marne zbiory (!) a powiatowa góra poszła za to już, pod murek;

- przyjechał na pole sekretarz rajkomu, żeby przyspieszyć trochę orkę i zapytał go stary chłop, czy aby sekretarz wie, że przez całe siedem lat kołchoźnicy za swoje dniówki nie dostali ani szczypty ziarna, tylko słomę, a tej też niewiele. Za to pytanie dziadek dostał ASA, 10 lat;

- inny był los pewnego chłopca z sześciorgiem dzieci. Przez te właśnie sześć gęb nasz chłop się nie szczędził, pracował dla kołchozu, wciąż miał nadzieję, że coś sobie wykołaczę. I rzeczywiście, dano mu w końcu – order. Wręczano go na zebraniu, – były przemówienia. W swojej odpowiedzi rozczulony chłop powiedział: „Ech, zamiast tego orderu to by mi się lepiej z pudzik mąki przydał! A może by jednak?...” Wilczym śmiechem zaniósł się całe zebranie i ze swoimi sześcioma gębami poszedł nowo odznaczony na zestanie.

Czy możemy to wszystko uogólnić i wyciągnąć wspólny wniosek – że wszadzano niewinnych? Ale zapomnieliśmy powiedzieć, że samo pojęcie winy skasowane zostało jeszcze w zaraniu proletariackiej rewolucji, a w początkach lat 30., uznane za atrybut prawicowego oportunizmu. Tak że nie możemy teraz spekulować na tych przestarzałych pojęciach – winy i niewinności.

Powracająca fala 1939 roku – jest to wypadek w dziejach Organów niesłychany, plama na ich historii! Zresztą ten kontrpotok był niewielki, nie przekraczał jednego – czy dwóch procent liczby tych, których poprzednio wzięto – jeszcze nie skazanych, jeszcze nie zesłanych daleko, jeszcze nie umartych. Niewielki, ale umiejętnie wykorzystany. Była to reszta z rubla – jedna kopiejka, tyle, ile trzeba, żeby zwalić wszystko na ohydny Jeżowa, żeby wzmocnić pozycję nowego nominata Berii i żeby jeszcze jaśniej zabłysnął Wódz. Za cenę tej kopiejki udało się zręcznie wdeptać w ziemię resztę rubla. Przecież jeśli „połapali się i wypuścili” (gazety pisały nawet z szaleńczą odwagą o sporadycznych wypadkach niezawinionej potwarzy) – zatem wszyscy pozostali więźniowie to już na pewno szubrawcy! A ci, co wrócili – zachowywali milczenie. Podpisali przecież zobowiązanie. Onie mieli ze strachu. I jakaś tylko ich część zdążyła poznać jakąś część tajemnic Archipelagu. Podział zajęć był wciąż ten sam: suki – nocą, pochody – w dzień.

Zresztą stratę tej kopiejki szybko sobie odbito – w tych samych latach, dzięki tym samym paragrafom nieogarnionego artykułu. No, kto w ogóle zauważył w 40. roku falę żon, wywiezionych za niewyrzeczenie się aresztowanych już mężów? No, kto pamięta w Tambowie, że w tym spokojnym roku aresztowano cały jazzband, grający w kinie „Moderne”, bo, okazało się, że to sami wrogowie ludu? A kto zauważył 30.000 Czechów, którzy w 1939 roku uciekli z okupowanej Czechosłowacji, by szukać przystani w pobratymczym kraju słowiańskim, w ZSSR? Nie można było zaręczyć, że ktoś z nich nie jest – szpiegiem. Wszystkich ich zesłano

do obozów Północy (oto skąd wyłynął nagle w czasie wojny „czechosłowacki korpus”). Ale zaraz, czy to nie w 39. roku podaliśmy pomocną dłoń zachodnim Ukraińcom, zachodnim Białorusinom, a później, w 40. – mieszkańcom krajów nadbałtyckich i Mołdawianom? Okazało się wszakże, że nasi bracia są zupełnie nieprzeczystymi – i popłynęły stamtąd całe ludzkie potoki w trybie społecznej profilaktyki. Zesłano ich na północ i do Azji Środkowej – a były to setki i setki tysięcy ludzi. (Ciekawe co im wmawiano: zachodnim Ukraińcom – „współpracę z pańską Polską, mieszkańcom Bukowiny i Bessarabii – kolaborację z białą Rumunią. A Żydom, którzy uciekli do nas spod niemieckiej okupacji w Polsce? Współpracę z Gestapo, to jasne! Np. – M. Pinchasik.) Wzięto wszystkich zbyt zamożnych, wpływowych, przy okazji – wszystkich zbyt samodzielnych, zbyt łebskich, zbyt rzucających się – w oczy. W dawnych polskich okręgach – szczególnie wielu Polaków (wtedy właśnie wypełnił się nieszczęsny Katyń, wtedy to w obozach Dalekiej Północy zmagazynowano przyszłą armię Andersa). Wszędzie chwymano – oficerów. Tak oto ludność zgrzeblono – aby siedziała cicho, pozbawiona wszelkich możliwych przywódców ruchu oporu. Tak oto uczono ludzi rozumu, tak obumierały dawne kontakty i znajomości.

Finlandia oddała nam przesmyk bez mieszkańców, za to z Karelii i z Leningu w 40. roku wygarnięto i przesiedlono obywateli fińskiej krwi. Myśmy tego strumyka nie zauważyli: w naszych żyłach nie płynie fińska krew.

W trakcie wojny fińskiej przeprowadzono też pierwszy eksperyment oddawania pod sąd naszych żołnierzy, którzy dostali się do niewoli – jako – zdrajców Ojczyzny. Był to pierwszy taki eksperyment w historii ludzkości! – no i masz, wcaleśmy tego nie zauważyli!

Próba się udała – a właśnie wybuchła wielka wojna i zaczął się nasz gigantyczny odwrót. Z republik zachodnich, oddawanych wrogowi na pożarcie, trzeba było duchem, w ciągu liczonych dni wygarnąć jeszcze kogo się da. Na Litwie zostawiono w pośpiechu, na łasce losu całe jednostki wojskowe, pułki, dywizjony przeciwlotnicze i artyleryjskie – ale poradzono sobie z deportacją kilku tysięcy rodzin nieprawomyślnych Litwinów (cztery tysiące oddano potem na rozgrabienie kryminalistom w obozie Krasnojarskim). 28 czerwca zaczęły się spieszne aresztowania na Łotwie i w Estonii. Ale już ziemia paliła się pod nogami i trzeba było uciekać jeszcze spieszniej. Zapomniano o ewakuacji całych twierdz, na przykład Brzeskiej, ale nie zapomniano o rozstrzelaniu więźniów politycznych w celach i na podwórcach więzień we Lwowie, w Równem, w Tallinie i w licznych innych miastach zachodnich okręgów. W dorpacim więzieniu wystrzelano 192 ludzi, zwłoki wrzucano do studni. Czy można to sobie wyobrazić? – nie wiesz, człowieku, o niczym, a tu drzwi celi się otwierają i ktoś do ciebie strzela.

Twojego krzyku przedśmiertelnego nie usłyszysz nikt i nie powtórzy nikt, prócz głązów więziennych. Powiadają zresztą, że kogoś tam nie zdążyli dostrzec. Może jeszcze trafi do naszych rąk jakaś książka o tej sprawie? W 1941 Niemcy tak szybko i raptownie otoczyli i odcięli miasto Taganrog, że na stacji w towarowych wagonach została masa więźniów, których miano ewakuować. Co tu robić? Nie można ich przecież puścić samopas. Nie można też oddać Niemcom. Przywieziono więc cysterny z ropą naftową, polano nią wagony i podpalamo je. Wszyscy spłonęli żywcem.

Na zapleczu pierwszy potok wojenny składał się z plotkarzy i siewców paniki, aresztowanych na podstawie specjalnej, niezależnej od kodeksu Ustawy,

wydanej w pierwszych dniach wojny.⁴² Był to próbny upust krwi, miał na celu wzmocnienie ogólnej dyscypliny. Dawano wszystkim po 10 lat, ale nie brano tu za podstawę 58. artykułu (i ci nieliczni, którzy przetrzymali obozy lat wojny, doczekali się w 1945 amnestii).

Następnie szła fala tych, co nie oddali radioodbiorników albo części radiowych. Za jedną wykrytą (na podstawie donosu) lampę radiową dawano 10 lat.

Następnie przyszedł potok Niemców – z republiki nadwotżańskiej, kolonistów z Ukrainy i z Kaukazu Północnego – i wszystkich w ogóle Niemców, mieszkających w różnych okolicach Związku. Kryterium była niemiecka krew – i nawet bohaterowie wojny domowej i starzy członkowie partii, jeśli byli niemieckiego pochodzenia – szli na zesłanie.⁴³

Deportacja Niemców była w swojej istocie tym samym, co akcja rozkułaczania, miała tylko charakter łagodniejszy, bo pozwalano zabierać ze sobą więcej rzeczy i nie posyłano ludzi do tak beznadziejnych, zatraconych okolic. Prawnej zaś podstawy ani jedna, ani druga z tych akcji żadnej nie miała. Kodeks Karny – swoją drogą, a deportacja setek tysięcy ludzi – swoją. Był to osobisty rozkaz monarchy. Prócz tego, był to pierwszy jego eksperyment narodowościowy na taką skalę, sprawa interesowała go w teoretycznym aspekcie.

Pod koniec lata. 1941 – a jeszcze żwawiej jesienią, ruszyła rzeka kotłarzy. Byli to obrońcy kraju, żołnierze, ci sami, których parę miesięcy wcześniej żegnały nasze miasta kwiatami i muzyką, którzy zaraz potem znosić musieli najcięższe ciosy niemieckich wojsk pancernych, aby w ogólnym chaosie i całkiem nie z własnej winy znaleźć się – nie w niewoli, bynajmniej! – ale w izolowanych grupach bojowych, w kotłach – otoczonych przez Niemców, skąd potrafili przebić się do swoich. I zamiast obdarzyć ich po powrocie braterskim uściskiem (jakby to zrobiła każda inna armia w świecie), pozwolić wypocząć, odwiedzić bliskich, a potem dopiero wrócić do szeregów – więziono ich w klimacie podejrzeń, rozbrojoną, bezprawną gromadą – na punkty kontroli i segregacji, gdzie oficerowie Wydziałów Specjalnych zaczynali od podawania w wątpliwość każdego ich słowa, a nawet ich tożsamości. Metodą kontroli były badania krzyżowe, konfrontacje, skłanianie do wzajemnych oskarżeń. Po kontroli, części kotłarzy przywracano ich dawne imiona, rangę, zaufanie. Ci szli z powrotem do wojska. Druga część, chwilowo – mniejsza, złożyła się na pierwszy potok zdrajców Ojczyzny Dostawali 58–1–b, ale z początku, gdy jeszcze brak było standardowych ustaleń, wlepiano im poniżej 10.

W ten sposób oczyszczano armię czynną. Ale istniała jeszcze ogromna armia bezczynna – na Dalekim Wschodzie i w Mongolii. Nie pozwolić, aby ta armia zarzewiała – oto było szczytne zadanie Wydziałów Specjalnych. Bohaterów Chałchyn–Gołu i bitwy nad jeziorem Chasan zaczynały z bezczynności świerzbic języki,

⁴² O mały włos nie odczułem tej ustawy na własnej skórze: stanąłem w kolejce do sklepu z pieczywem, milicjant wywołał mnie i już mnie prowadził dla zaokrąglenia rachunku. I wojna zaczęłaby się dla mnie od razu w GUŁagu, nie na froncie, gdyby szczęśliwie ktoś się za mną ujął.

⁴³ Pochodzenie określano na podstawie nazwiska, a inżynier-konstruktor Wasyli Okorokow (okorok = szynka), uważając, że nie wypada podpisywać się tak na projektach, jeszcze w latach trzydziestych, kiedy to nie było zabronione, zmienił nazwisko na Robert Sztekker – ładne, prawda? Nawet sobie podpis odpowiednio wyrobił – a teraz niczego nie potrafił wykazać i był aresztowany, jako Niemiec. „To wasze nazwisko rodowe? Jakie zlecenia dostaliście od faszystowskiego wywiadu?...”. Albo ten Kawierzniw z Tambowa, który jeszcze w 1918 roku zmienił swoje niesympatyczne nazwisko (kawierznyj = zdrażliwy) na Kolbe – kiedyż on z kolei podzielił los Okorokowa?...

tym bardziej, że dano im teraz do ćwiczeń automaty Diegtiariewa i pułkowe miotacze min, dotąd trzymane w tajemnicy przed własnym wojskiem. Mając w rękę taką broń, nie potrafili zrozumieć przyczyn naszego odwrotu na Zachodzie. Przestrzenie Syberii i Uralu nie pozwalały im dostrzec, że – cofając się po sto dwadzieścia kilometrów dziennie – powtarzamy po prostu manewr Kutuzowa, co to zwabił przeciwnika w głąb kraju. Ułatwić zrozumienie mógł tylko potok z Armii. Wschodniej na Archipelag. I usta się zamknęły, a wiara stała się niezłomną.

Rozumie się, że z wysokich sfer też się połał potok winowajców odwrotu (toć nie nasz Wielki Strateg tu zawinił!). Był to niewielki, liczący jakieś pół setki osób, potok generalski, wchłonięty przez moskiewskie więzienia latem 1941 roku. W październiku tegoż roku wysłano ich etapem dalej. Wśród tych generałów większość stanowili lotnicy – dowódca sił lotniczych Smuszkiewicz, generał. J. S. Ptuchin (powiadał: „gdybym z góry wiedział – to naprzód bym pozbył się bomb nad głową Ojca Rodzonego, a już potem mógłbym tu sobie wylądować!”) i inni.

Zwycięstwo pod Moskwą spowodowało nowy przyptyw: byli to mieszkańcy Moskwy, na których ciążyła pewna wina. Po bliższym rozpatrzeniu okazało się, że to ci którzy nie uciekli i nie ewakuowali się, tylko odważnie zostali, w zagrożonej przez wroga i opuszczonej przez władze stolicy. Tym samym byli podejrzani – albo o podrywanie autorytetu władzy (58–10), bądź to, że czekali na Niemców (58–1–a, w sensie artykułu 19). Potok ten aż do samego roku 1945 dostarczał żeru śledczym Moskwy i Leningradu).

Rozumie się też, że artykuł 58–10, ASA, ani na chwilę nie wychodził z użycia i przez całą wojnę dawał się we znaki frontowi i zapleczu. Wlepiano go ewakuowanym, jeśli paplali o okropnościach odwrotu (z gazet zaś jasno wynikało że odwrot odbywa się zgodnie z planem), wlepiano tyłowym oszczercom, twierdzącym że przydziały są za małe. Na froncie wlepiano go potwarcom, utrzymującym, że Niemcy są technicznie mocni. W 1942 roku wlepiano go wszędzie tym, którzy kłamliwie głosili, że W oblężonym Leningradzie ludzie marli z głodu.

W tym samym roku, po niefortunnych operacjach na Krymie (desant pod Kierczem, 120 tysięcy jeńców), pod Charkowem (jeszcze więcej), w – trakcie wielkiego odwrotu naszego południowego zgrupowania na Kaukaz i w stronę Wołgi – spłynął jeszcze bardzo ważny potok oficerów i żołnierzy, którzy nie chcieli na straconych pozycjach stać na przekór śmierci i cofali się bez zezwolenia: byli to ci sami, którym wedle słów nieśmiertelnego stalinowskiego rozkazu nr 227 ojczyzna nie może wybaczyć swojej hańby. Ten potok nie dotarł jednak do GUłagu: w przyspieszonym tempie przepuszczony przez tryby dywizyjnych trybunałów, zapędzony był w całości do kompanii karnych i bez śladu wsiąkł w czerwony piach pierwszej linii frontu. Był to cement podwalin stalingradzkiego zwycięstwa, ale nie znalazł miejsca w ogólnej historii Rosji, trafił tylko do części szczegółowej dziejów kanalizacji.

(Nawiasem, my także próbujemy opisać tu jedynie te potoki, które spływały do GUłagu z zewnątrz. Nieustannie zaś przetwarzane wewnętrzne zawartości, z jednego pojemnika GUłagu do drugiego, tak zwane obozowe wyroki, rozdawane na prawo i lewo, zwłaszcza podczas wojny, nie są brane pod uwagę w tym rozdziale).

Uczciwość każe wymienić tu także kontrpotoki okresu wojny: już wspomniani Czesi, Polacy, zwalniani z obozów na front kryminaliści.

Od 1943 roku, od kiedy los wojny odwrócił się i nasi zaczęli brać górę, zaczął się, trwający aż do roku 1946, coraz obfitszy, wielomilionowy wpływ ludzi, pojmany na terenach zachodnich i na terytorium Europy. Składał się on z dwóch podstawowych kategorii::

- z cywilów, którzy spędzili jakiś czas z Niemcami albo u Niemców (wlepiano im dychę z literką „a”: 58–1–a)
- z wojskowych, którzy byli jakiś czas w niewoli (wlepiana im dychę z literką „b”: 58–1–b).

Każdy, kto znalazł się pod okupacją, chciał jakoś żyć i dlatego musiał coś robić, stąd też mógł teoretycznie zarobić nie tylko na chleb, lecz na przyszły wyrok – jeśli nie wprost za zdradę kraju, to przynajmniej za pomaganie okupantowi. W praktyce wystarczyło jednak zaznaczyć – przez odpowiednią numerację paszportów – że ktoś mieszkał na terenach okupowanych. Aresztowanie wszystkich takich osób nie było racjonalne z punktu widzenia gospodarczego – bo groziło wydłuzaniem zbyt dużych obszarów. Dla podciągnięcia wzwyż społecznej świadomości wystarczyło wsadzić tylko pewien procent – winnych, półwinnych, ćwierćwinnych, oraz tych, co suszyli z nimi onuce na tym samym płocie.

A przecież jeden tylko procent jednego tylko miliona daje w rezultacie tuzin pełnokrwistych punktów obozowych.

Nie należy sądzić, że rzetelny udział w podziemnej antyniemieckiej organizacji istotnie chronił człowieka przed porwaniem przez ten potok. Wypadek tego kijowskiego komsomolca, którego podziemna organizacja w celach wywiadowczych skierowała do służby w policji miejskiej – nie był czymś wyjątkowym. Chłopak uczciwie informował o wszystkim komsomolców, ale po przyjeździe naszych dostał swoją dychę, bo nie mógł przecież w trakcie służby policyjnej nie przesiąknąć wrażym duchem i wcale nie wykonywać wrażych poruczeń.

Jeszcze ostrzej i surowiej wyrokowano o tych, którzy mieli za sobą pobyt w Europie, choćby w charakterze raba z naszywką OST, bo przecież poznali jakiś strzęp tamecznego życia i mogli o nim snuć opowieści. Opowieści zaś takie, już od dawna nam niemiłe (wyjąwszy relacje podróżnicze prawomyślnych literatów), były całkiem już nie na miejscu w latach powojennych, pełnych ruin i niedostatku. Opowiadać natomiast, że w Europie wszystko jest do niczego i że w ogóle żyć tam nie sposób – do tego nie każdy był zdolny.

Z tej właśnie przyczyny, a wcale nie za zwykłe pójście do niewoli, szła pod sąd większość jeńców – zwłaszcza ci, którzy zobaczyli na Zachodzie coś jeszcze poza niemieckim obozem śmierci.⁴⁴ Wynika to w sposób oczywisty z faktu, że tak samo bezwzględnie, jak jeńców, sądzono także internowanych. Oto przykład: w pierwszych dniach wojny, morze wyrzuciło na szwedzki brzeg grupę naszych marynarzy-rozbitków. Później, przez całą wojnę żyli oni sobie na swobodzie w Szwecji – w takim dostatku i komforcie, jak nigdy przedtem, ani potem. Związek

⁴⁴ Nie od razu się to wyklarowało tak wyraźnie i jeszcze w 1943 roku zdarzały się jakieś marginesowe i całkiem zbakierowane potoki, jak na przykład „afrykański” – długo jeszcze nazywano go tak w workuckich brygadach budowlanych. Byli to jeńcy rosyjscy, których Amerykanie odbili armii Rommla w Afryce („hiwi”), a później, w 1948 roku odesłali ciężarowymi Studebackerami przez Egipt, Irak i Iran do ZSSR. Nad pustynną zatoką morza Kaspijskiego od razu wtrącono ich za druty kolczaste, zerwano im dystynkcje wojskowe, zabrano im darowane amerykańskie ciuchy (oczywiście - na rzecz agentów, a nie skarbu) i wysłano na Workutę, do dyspozycji, nie wlepiając z nieprzyzwyczajenia żadnego artykułu ani wyroku. Ci „afrykanie” traktowani byli na Workucie w zupełnie niesamowity sposób: nie byli pod dozorem, ale nie wolno im było kroku zrobić bez przepustki, tej zaś im nie dawano. Płacono im, jak wolniakom, ale odnoszono się do nich jak do więźniów. A dyspozycje jakoś nie nadchodziły. Zapomniano o nich...

Sowiecki cofał się, przechodził do natarcia, atakował, zdychał i głodował, a ci szubrawcy napaśli sobie przez ten czas neutralne, grube pyski. Po wojnie Szwecja nam ich zwróciła. Zdrada kraju nie ulegała w tym wypadku wątpliwości – ale jednak coś tu nie grało. Pozwolono zatem tym wszystkim facetom pojechać sobie w różne strony – i dopiero wtedy wrzepiono im co należy z artykułu o antysowieckiej agitacji – za nęcące opowiadki o wolności i sytości, panującej w kapitalistycznej Szwecji (grupa Kadenki).⁴⁵

Ten ogólny nurt wyzwolonych spod okupacji zasiliły jeden za drugim wartkie i zborne potoki występných narodów:

w 1943 – Kałmucy, Czeczeńcy, Ignuszowie, Bałkajrowie, Karaczajewcy; .

w 1944 – krymscy Tatarzy.

Nie ruszyliby tak energicznie i żwawo na swoje wieczne zesłanie, gdyby Organy nie otrzymały pomocy oddziałów regularnej armii i znacznej ilości wojskowych ciężarówek. Jednostki wojskowe dziarsko otaczały auły i ci, którzy tu zagnieździли się niegdyś na stulecia – w ciągu 24 godzin, z szybkością desantu przrzućani byli na stacje kolejowe, pakowani do wagonów i z punktu ruszali na Syberię, do Kazachstanu, do Azji Środkowej, na rosyjską Północ. Już następnego dnia ziemia i nieruchomości przechodziły w ręce sukcesorów.

Jak Niemców na początku wojny, tak teraz wszystkich tych ludzi zsyłano wyłączenie z uwagi na ich krew, bez żadnych indagacji; członkowie partii, bohaterowie pracy, bohaterowie jeszcze toczącej się wojny – wszyscy do jednego worka.

Rozumie się, że w ostatnich latach wojny płynął strumień niemieckich przestępców wojennych, branych z ogólnej sieci obozów i za pośrednictwem sądu przenoszonych do systemu GUŁagu,

W 1945 roku, choć wojna z Japonią trwała krócej niż trzy tygodnie – wielką ilość japońskich jeńców wojennych przysłano dla wykonania niecierpiących zwłoki robót budowlanych na Syberii i w Azji Środkowej; Przeprowadzono też tę samą operację: wzięto spośród nich do GUŁagu wojennych przestępców.⁴⁶ Poczynając od ostatnich miesięcy 1944 roku, kiedy to nasza armia wkroczyła na Bałkany, a już zwłaszcza w 1945, gdy dotarła do Europy Centralnej – kanałami GUŁagu popłynął jeszcze potok emigrantów–starców, którzy wyjechali podczas rewolucji, i młodzieży, wychowanej już za granicą. Wyłuskiwano przeważnie mężczyzn, kobiety i dzieci zostawiano na emigracji. (Zabierano, co prawda, nie wszystkich, lecz tych, którzy dali choćby słaby wyraz swoim poglądom politycznym w ciągu tych 25 lat, albo wcześniej, w trakcie rewolucji. Tym, którzy prowadzili zupełnie bierną wegetację – dano spokój). Główne potoki płynęły z Jugosławii, Czecho-

⁴⁵ 49 Z tą grupą zdarzył się później anegdotyczny wypadek. W obozie już o Szwecji nie paplali, bojąc się dostać za to drugi wyrok. Ale w Szwecji dowiedziano się jakoś o ich losie i w prasie pojawiły się oszczerce artykuły. Marynarze byli już w tym okresie w rozmaitych obozach, w rozsypce. Raptem ściągnięto ich wszystkich na mocy specrozroku do leningradzkich Krestów, dwa miesiące karmiono, jak na ubój, pozwolono zapuścić fryzury. Następnie przyodziano ich z dyskretną elegancją, wyjaśniono co każdy ma mówić, uprzedzono, że każdy drań, który piknie coś innego, dostanie 9 gramów w potylicę - i wprowadzono na konferencję prasową z zagranicznymi korespondentami, także tymi, którzy dobrze znali ich jeszcze w Szwecji. Eks-internowani wyglądali rzeško, służyli wiadomościami gdzie mieszkają, pracują, studiują, oburzali się na burżuazyjne oszczerstwa, o których niedawno przeczytali w zachodnich gazetach (wszak sprzedają je u nas w każdym kiosku) - i wyjaśnili, że właśnie zmówili się na wspólne spotkanie w Leningradzie (nikt nie zapytał o kwestię kosztów podróży). Ich świeży, kwitnący wygląd był najlepszą odpowiedzią na gazetowe ploty. Zawstydzeni żurnaliści odjechali pisząc po drodze dementi. Zachodnia wyobraźnia nie mogła inaczej interpretować sprawy. Sprawców zaś uroczystości natychmiast zaprowadzono do łaźni, ostrzyżono, ubrano w stare lachy i odesłano do tych samych obozów. Ponieważ zachowali się, jak należy - nikt z nich nie dostał drugiego wyroku.

⁴⁶ Nie znając szczegółów, można mieć pewność, że większa część tych Japończyków sądzona była bez żadnych podstaw prawnych. Był to akt zemsty i sposób zatrzymania siły roboczej na dłuższy czas.

słowacji, mniejsze – z Austrii, z Niemiec; w innych krajach Europy Wschodniej nie było Rosjan wcale.

Z Mandżurii w 1945 roku ruszył odpowiedni potok emigrantów. (Niektórych z nich nie od razu aresztowano: zapraszano ich całymi rodzinami, przyjeżdżali do kraju ojczystego jako wolni, a dopiero później ich rozdzielano, wywożono na zesłanie, albo wsadzano do więzienia).

Przez cały rok 1945 i 1946 sunął na Archipelag potok – tym razem autentycznych – wrogów władzy sowieckiej (własowców, Kozaków generała Krasnowa, mahometan z oddziałów narodowych, formowanych po niemieckiej stronie) – czasem przekonanych, czasem zmuszonych do tego wbrew woli.

Razem z nimi zagarnięto około miliona uchodźców z terenów podległych władzy sowieckiej – cywilów różnego wieku i obojga płci, którym udało się szczęśliwie ukryć na terytorium sojuszniczym po to, by w 1946–47 władze alianckie mogły zdradziecko wydać ich w sowieckie ręce.⁴⁷

Pewna ilość Polaków, żołnierzy Armii Krajowej i stronników Mikołajczyka przewinęła się przez nasze więzienia po drodze do GU-Łagu.

Tylu a tylu było – Rumunów i Węgrów.

W ostatnim okresie wojny i po jej zakończeniu, przez wiele lat bez przerwy płynął wezbrany potok ukraińskich nacjonalistów („banderowców”).

Na tle tej ogromnej, powojennej wędrówki milionów mało kto zauważył takie drobne ruczajki, jak:

– Dziewczyn od cudzoziemców (1946–47) – to znaczy tych dziewcząt, które pozwalały obcokrajowcom szukać swego towarzystwa. Dziewczęta piętnowano za to jako element społecznie niebezpieczny (art. 7; § 35);

– Hiszpańskich dzieci, tych samych, które przywieziono do ZSSR podczas wojny domowej w Hiszpanii. Podrastały już po drugiej wojnie światowej. Choć wychowane w naszych internatach, bardzo źle jednak aklimatyzowały się w naszym życiu. Wiele z nich chciało wracać „do domu”. Dawano im także 7–35, jako społecznie niebezpiecznym, szczególnie zaś upartym 58–6, szpiegostwo na rzecz... Ameryki.

(Aby być sprawiedliwym nie wolno zapomnieć krótkiego, przypadającego na 1947 rok kontrpotoku... duchownych. Owszem, cud prawdziwy! – pierwszy raz w ciągu 30 lat zwalniano popów. Właściwie nie szukano ich po obozach, ale jeśli ktoś z wolnych pamiętał i potrafił wymienić nazwiska i dokładne adresy – to wymienionych odsyłało etapem na wolność, dla umocnienia przywracanej do życia cerkwi prawosławnej.

⁴⁷ Zdumiewająca to rzecz - iż na Zachodzie, gdzie niemożliwością jest długie zachowanie tajemnicy politycznej, gdzie przedostają się one nieuchronnie do periodyków i są rozgłaszane - właśnie tajemnica tej zdrady doskonale i starannie była strzeżona przez rząd brytyjski i amerykański - zaiste, ostatnia to już tajemnica drugiej wojny światowej, albo jedna z ostatnich. Spotykając się często z tymi ludźmi w więzieniach i obozach, nie mogłem przez ćwierć wieku pojąć, że opinia publiczna Zachodu nic nie wie o tej, gigantycznej co do rozmiarów, operacji, polegającej na wydaniu przez zachodnie rządy masy prostych Rosjan pod miecz, na zgubę. Dopiero w 1973 roku (Sunday Oklahoman z 21 stycznia) przebiła się na światło dzienne publikacja Juliusza Epsteina, któremu tutaj ośmielam się Wyrazić wdzięczność w imieniu tłumu tych, co zginęli i nielicznych, pozostałych przy życiu. To, co pojawiło się w druku, jest skromnym dokumentem, wyrwanym z kontekstu wielotomowego dzieła, dotyczącego przymusowej repatriacji do ZSSR, ukrywanego dotychczas przed opinią publiczną. „Po dwóch latach spędzonych w brytyjskiej strefie, w zwodniczym klimacie bezpieczeństwa. Rosjanie zostali zaskoczeni znięciem, nie zdawali sobie nawet sprawy, że to repatriacja... Byli to w większości prości chłopcy żyjący gorzkie uczucie żalu do bolszewików”, Angielskie władze postąpiły natomiast z nimi „jak z przestępcami wojennymi: wbrew ich woli oddali ich w ręce tych, od których nie można oczekiwać sprawiedliwego sądu”. Wszystkich ich też posłano na Archipelag, na zagładę.

*

Należy przypomnieć, że rozdział ten wcale nie jest próbą wymieniania WSZYSTKICH potoków, które użyźniły GUŁag, a tylko takich, które miały odcień polityczny. Podobnie, jak w kursie anatomii po szczegółowym opisie układu krwionośnego można zacząć od początku i opisać szczegółowo układ limfatyczny, tak samo można zrobić przegląd – od początku, od 1918 do 1953 roku potoków pospolitaków i właściwych kryminalistów. Także ten opis zajęłby niemało miejsca. Zostałyby w nim naświetlone liczne i słynne ustawy, teraz już częścią nawet zapomniane (choć nigdy nie anulowane oficjalnie), zapewniające nienasyconemu Archipelagowi obfity dopływ materiału ludzkiego. Taka ustawa o bumelantwie. Albo ustawa o karach za produkowanie braku. Albo ustawa o pędzeniu alkoholu (jej rozkwit przypada na rok 1922 – ale przez całe 20. też zgarniali gęsto). Albo ustawa o karaniu kołchoźników za niewykonanie minimum roboczodniówek. Albo ustawa o stanie wojennym na kolejach (kwiecień 1943 roku, wcale nie początek wojny, tylko chwila zwrotu ku lepszemu).

Ustawy te, zgodnie z prastarą tradycją piotrową, pojawiały się zawsze jako ostatnie i najważniejsze słowo prawodawstwa i bez żadnego względu na poprzednio wydane prawa, a nawet bez wspomnienia o nich. Uzgodnić te drobności mieli potem uczeni prawnicy, ale zajmowali się tym niezbyt pilnie i niezbyt owocnie.

To pulsowanie ustaw doprowadziło do dziwnego widowiska w dziedzinie przestępczości pospolitej i kryminalnej. Rzuciło się w oczy, że ani kradzieże, ani morderstwa, ani pędzenie bimbru, ani gwałty nie występowały na terenie kraju raz tu, raz tam; gdzie popadło, jako skutki ludzkiej słabości i rozpasanych namiętności – o, nie! Na całym obszarze państwa poszczególne rodzaje przestępstw pojawiały się ze zdumiewającą jednomyślnością i jednostajnością. To cały kraj roił się od samych gwałtocieli, to znów – od morderców, to znowu – od tajnych gorzelni, czujnie reagując na ostatnią ustawę rządową, Każdy rodzaj przestępstwa jakby sam przedstawiał potęgę Ustawie – żeby tylko czym prędzej zginąć! I właśnie ten gatunek przestępstwa (zaraz i wszędzie) wytryskał spod ziemi, który dopiero co został przez mądrego prawodawcę wzięty pod uwagę i napiętnowany ku przestrodze.

Ustawa o militaryzacji kolei pchnęła przed trybunały tłumy bab i wyrostków, bo właśnie oni najczęściej pracowali podczas wojny przy torach, a nie mając za sobą koszarowej szkoły częściej, niż inni spóźniali się łamali regulamin. Ustawa o niewykonaniu minimum roboczodniówek bardzo uprościła procedurę zsyłania opieszających kołchoźników, których nie zadawałały stawiane im kreski. Jeśli dawniej potrzebny był do tego sąd i stosowanie paragrafu o "kontrrewolucji gospodarczej", to teraz dość było decyzji kierownictwa kołchozu, zatwierdzonej przez powiatowy komitet wykonawczy; samym zresztą kołchoźnikom powinno być lżej na myśl, że chociaż idą na zesłanie, to niejako wrogowie ludu. (Obowiązkowa norma zmieniała się zależnie od regionu, najmniejsza była na Kaukazie – 75 roboczodniówek – ale i tak niemało kaukaskich górali popłynęło na 8 lat do kraju Krajsnojaarskiego).

Ale w tym rozdziale nie zajmujemy się wszechstronnym i zapewne owocnym sondowaniem potoków pospolitych i kryminalnych. Nie możemy tylko, skorośmy już doszli do roku 1947, przemilczeć jednej z najbardziej monumentalnych ustaw stalinowskich. Już zdarzyło się nam wspomnieć, omawiając zdarzenia 1932 roku, słynne prawo „z siódmego ósmego”, albo „siedem ósmych”, na podstawie które-

go wsadzano ludzi hojną ręką – za żdźbło zboża, za ogórek – za dwa kartofle, za szczapkę, za szpulkę nici⁴⁸ – zawsze na dziesięć lat.

Ale wymogi chwili – tak, jak je rozumiał Stalin – wciąż się zmieniały a ta dycha – która wydawała się wystarczającą karą w obliczu surowej wojny, teraz po zwycięstwie na miarę wszechświatową i historyczną – wyglądała mizernie. I znowu – gardząc kodeksem, albo zapominając, że istnieją już liczne artykuły i ustawy o przywłaszczeniach i kradzieżach – 4 czerwca 1947 roku wydano Dekret zawiązujący j e daleko w tyle. Beztroscy więźniowie natychmiast zaczęli go nazywać „cztery szóste”.

Wyższość nowego dekretu polegała po pierwsze na jego świeżości: już od pierwszego dnia po nabraniu przezeń mocy, miały wszędzie rozszaleć się te przestępstwa, zapewniając obfity napływ skazanych. Ale jeszcze ważniejszą zaletą były proponowane wyroki: jeżeli po kłoski szła – dla kurażu – nie jedna dziewczyna, tylko trzy („zorganizowana szajka”), po ogórki albo po jabłka – kilku dwunastoletnich chłopaków – to dawano im do dwudziestu lat obozu włącznie; – za przywłaszczenie mienia w fabrykach górny pułap kary został podniesiony do dwudziestu pięciu lat (ten termin kary, ćwiartka, wprowadzony został kilka dni wcześniej, zamiast kary śmierci skasowanej ze względów humanitarnych⁴⁹). I wreszcie – naprawiona została stara niesprawiedliwość – że tylko niezłożenie donosu w politycznej sprawie jest przestępstwem antypaństwowym; od tej chwili także za pospolite niezameldowanie o przywłaszczeniu państwowego albo kołchozowego mienia wlepiano trzy lata obozu albo siedem lat zesłania. W ciągu kolejnych paru lat całe dywizje mieszkańców miast i wsi posłane zostały celem zagospodarowania wysp GUłagu na miejsce wymarłych tymczasem tubylców. Co prawda, potoki te żłobiły sobie koryta poprzez milicję i zwykłe sądy, nie zamulając kanałów bezpieczeństwa państwowego, i tak już przeciążonych w powojennym okresie.

Ta nowa linia Stalina – właśnie teraz, po zwycięstwie nad faszyzmem, PAKOWAĆ jak najenergiczniej, jak najwięcej i dawać jak najwyższe wyroki – natychmiast odbiła się także na politycznych.

Lata 1948–49, cechujące się wzmożeniem prześladowań i szpiclowania, były widownią – niebywalej nawet na miarę stalinowskiej sprawiedliwości – tragikomedii repetentów.

Tak nazywano w GUłagu tych nieszczęsnych niedobitków 1937 roku, którym udało się przetrzymać całe nieznośne, nieludzkie dziesięć lat i którzy teraz, w 1947 czy 1948 roku, zadręczeni i złamani, nieśmiało stawiali stopę na ziemi wolności – mając nadzieję, że dane im będzie w spokoju doczekać się bliskiego końca. Ale jakaś dzika fantazja (albo złowroga zawziętość, albo nienasycona mściwość) kazała Generalissimussowi–Zwycięzcy wydać rozkaz: wszystkie te kaleki powsadzać jeszcze raz, mniejsza o nowe winy! Politycznie czy gospodarczo nie opłacało mu się nawet zapychanie gardzieli maszyny jej własnymi odpadkami. Ale Stalin właśnie taki rozkaz wydał. Był to rzadki wypadek: postać historyczna igra z historyczną koniecznością.

I oto – ledwie ci ludzie przylgnęli do nowych okolic albo do nowych rodzin – już przychodzą po nich. Zabierano ich z tym samym leniwym znużeniem, z którym oni sami szli tym razem. Już wszystko wiedzieli z góry, znali całą drogę krzyżową. Nie

⁴⁸ W protokole pisano: „dwieście metrów surowców krawieckich”. Jednak wstyd było napisać - „szpulka nici”.

⁴⁹ Kara śmierci tylko tymczasem skryła się za woalem, aby zrzucić go i wyszczerzyć zęby po upływie dwóch i pół lat (w styczniu 1950).

pytali „za co?” i nie obiecywali bliskim, że wrócą, wdziękali co brudniejsze łachy, sypali machorki do lagrowego kapciucha i szli podpisywać protokół. (A kwestia była tylko jedna: „To wyście siedzieli?” – „Ja”. – „Macie tu jeszcze dychę”).

I tu wpadło jedynowładcy na myśl, że to za mało – zamykać tylko ocalałych weteranów 37. roku! Przecież dzieci tych zaprzysięgłych wrogów też warto powsadzać! Przecież dorastają – jeszcze mogą pomyśleć o zemście. (A może powiechrzał sobie godnie i miał ciężki jakiś sen o tych dzieciach). Sprawdzili więc, porachowali: owszem, zamykano te dzieci, ale za mało! Dzieci dowódców – wszystkie poszły za kratę, dzieci trockistów – nie wszystkie! I popłynął potok dzieci-mścicieli. (Trafiła do tego potoku także 17-letnia Lena Kosariewa i 35-letnia Helena Rakowska).

Po wielkim, europejskim trzęsieniu ziemi Stalinowi udało się koło 1948 roku znów otoczyć się mocnym murem, ściągnąć powagę jak najniżej i w tej zamkniętej przestrzeni zagęścić duszne powietrze 1937 roku.

Przyciągnęli więc w 1948, 1949 i 1950:

- rzekomi szpiedzy (przed 10 laty – niemiecko-japońscy, teraz anglo-amerykańscy);

- wierzący (tym razem większość stanowili członkowie sekt);

- nedorżnięci genetycy i selekcjonerzy – wawitowcy i mendeliści;

- po prostu – inteligenci, myślący ludzie (szczególnie – studenci) niewystarczająco odstraszeni od Zachodu. Można im było wlepić:

- WAT = wychwalanie amerykańskiej techniki;

- WAD = Wychwalanie amerykańskiej demokracji;

- KZ⁵⁰ = korzenie się przed Zachodem.

Potoki były podobne jak w 1937 roku, tylko wyroki były inne: teraz standardem stał się już nie patriarchalny czerwonec, lecz nowa, stalinowska ćwiartka. Teraz dycha to był dziecinny wyrok.

Wcale nie mały potok aresztowanych spowodował nowy Dekret o Zdradzie tajemnicy państwowej (a za tajemnicę uchodziły: zbiory w powiecie; każda statystyka epidemiologiczna; co produkuje dany dział czy fabryczka; koordynaty lotniska cywilnego; marszruty komunikacji miejskiej; nazwisko więźnia, siedzącego w obozie). Na mocy tego dekretu dostawało się 15 lat.

Nie zapomniano też o potokach narodowych. Cały czas płynął potok banderowców, branych wprost z lasów i pól bitewnych. Jednocześnie dostawali dychy i piątki obozu albo zestania wszyscy zachodnio-ukraińscy chłopcy mający jakąkolwiek styczność z partyzantami: jeden, że wpuścił na nocleg drugi, że dał jeść, trzeci – że nie doniósł. Mniej więcej w 50. roku zaczął płynąć potok banderowskich ŻON – wlepiano im po dziesiątkę za niezłożenie donosu, żeby prędzej wykończyć mężów.

Gasł już w tym okresie opór na Litwie i w Estonii. Ale w 1949 roku ruszyły stamtąd wezbrane potoki – celem lepszej profilaktyki społecznej i zapewnienia kolektywizacji sukcesu. Całymi pociągami wieziono na syberyjskie zestanie ludność wsi i miast – z trzech nadbałtyckich republik. (Rytm historyczny uległ w tych republikach skażeniu. W skróconym, kusym terminie musiały one teraz przejść cały szlak, przebyły już przez resztę kraju).

⁵⁰ W oryginale - PZ - prieklonienge piered Zapadam.

W 48. roku przetoczył się jeszcze jeden potok narodowy – byli to Grecy znad morza Azowskiego, z Kubania, i okolic Suchumi. Niczym się nie splamili w obliczu Ojca podczas wojny, ale teraz mścił się on na nich za porażkę w Grecji, bo cóż by innego? Zdaje się, że ten potok także był wynikiem jego własnego obłędu. Większość Greków znalazła się na zesłaniu w Azji Środkowej, niezadowoleni – poszli do polityzatorów.

Koło 1950 roku, w trybie tejże zemsty za przegraną wojnę – albo dla zrównania ich z tamtymi, już zesłanymi – spłynęli na Archipelag również sami powstańcy z armii Markosa, przekazani nam przez Bułgarię.

W ostatnich latach życia Stalina zdecydowanie zaczął wzbierać także potok Żydów (już od 1950 roku płynęli ciurkiem jako kosmopolici). Po to właśnie zainscenizowana została sprawa lekarzy. Zdaje się, że Stalin przygotowywał wielką masakrę Żydów.

Niczego u nas nie można dokładnie sprawdzić, tak jest nawet dzisiaj i tak będzie jeszcze długo. Ale według krążącej po Moskwie pogłoski, plan Stalina wyglądał jak następuje: w pierwszych dniach marca 1953 roku „lekarze-mordercy” mieli być powieszani na Placu Czerwonym. Wzburzeni patrioci, rzecz prosta, mieli (pod kierunkiem instruktorów) z miejsca zacząć pogrom Żydów. I wtedy to rząd (widać stalinowski charakter pisma, prawda?), wielkodusznie ratując Żydów przed gniewem ludu, tej samej nocy miał wysiedlić ich z Moskwy na Daleki Wschód i na Syberię (gdzie baraki już były w budowie).

To był jednak pierwszy w jego życiu plan, który spalił na panewce. Kazał mu Bóg, zdaje się, że nie bez udziału ludzkiej ręki, wydać ostatnie tchnienie i przenieść się na łono Abrahama.

To, co wyżej zostało powiedziane, powinno było, jak sądzę, dostarczyć dowodów – że proces rugowania milionów i zasiedlania krainy GUŁag prowadzony był z zimną krwią, konsekwentną przemyślnością i niestabną wytrzymałością.

Że PUSTYCH więzień nigdy u nas nie było, były one natomiast albo pełne, albo przepiętnie ponad miarę.

Że – podczas gdyście wy z całą satysfakcją pasjonowali się nieszkodliwie tajemnicami jądra atomowego, badali wpływ Heideggera na Sartrea, i kolekcjonowali reprodukcje Picassa, czy podróżowali wygodnymi wagonami do uzdrowisk albo kończyli budowę podmoskiewskich dacz – suki bez przerwy śmigały ulicami, agenci zaś pukali i dzwonili do czyichś drzwi.

Przypuszczam, że wyjaśnienia powyższe dowiodły, iż Organy nigdy nie jadły darmo chleba.

III. ŚLEDZTWO

Gdyby czechowowskim inteligentom, wciąż zastanawiającym się, co będzie za dwadzieścia-trzydzieści-czterdzieści lat, ktoś odpowiedział, że za lat czterdzieści będą w Rosji tortury przy śledztwie, że będą człowiekowi ścisnąć głowę obręczą, zanurzać go w wannie z kwasem, że będą go – nagiego i skutego – wystawiać na ukąszenia mrówek i pluskiew, że mu będą wypychać rozżarzony na prymusie wycior w odbytnicę („tajemne piętno”), powoli rozgniatać butem genitalia, a już co najmniej – męczyć całotygodniową bezsennością, pragnieniem i biciem na krwawy befsztyk – ani jedna sztuka Czechowa nie doszłaby do, finału, wszyscy bohaterowie znaleźliby się wcześniej w domu wariatów.

Ale co tam bohaterowie Czechowa! Jak i w ogóle normalny Rosjanin, w tej liczbie również każdy członek RSDRP⁵¹ mógłby w to uwierzyć, kto potrafiłby pogodzić się z takim oczernianiem świetlanej przyszłości? To, co jeszcze za Aleksego Michajłowicza wydawało się na miejscu, co za Piotra już uchodziło za barbarzyństwo, co za czasów Birona mogło być zastosowane do 10–20 ludzi, co stało się już zupełnie niemożliwe od czasów Katarzyny – otóż to właśnie w zenicie wspaniałego dwudziestego wieku, w społeczeństwie opartym na socjalistycznych założeniach, w okresie, gdy latały już samoloty, pojawiło się radio i film dźwiękowy – popełnione zostało nie przez jednego niegodziwca, nie w jednym jakimś zakamarku, ale przez dziesiątki tysięcy specjalnie wykształconych ludzkich bestii, pastwiących się nad milionami bezbronnych ofiar.

I czy straszny jest tylko ten wybuch atawizmu, nazywany dziś wykrętnie „kul-tem jednostki”? Czy może raczej to jest straszne, że w tym samym czasie obchodzono u nas uroczyscie stulecie śmierci Puszkina? Że bezwstydnie wystawiano właśnie sztuki Czechowa – chociaż odpowiedź na nie już była dana? A może jeszcze straszniejsze jest to, że nawet po trzydziestu latach powiada się nam: nie trzeba o tym mówić! Kto wspomina o cierpieniach milionów, ten wypacza perspektywę historyczną! Kto usiłuje wnikać w istotę naszego porządku moralnego ten rzuca cień na postęp materialny! Przypomnijcie sobie lepiej puszczone w ruch wielkie piece i walcownie, przebite kanały... nie, kanały lepiej nie... no to kopalnie złota na Kołymie, nie, o tym też lepiej nie... Zresztą, można o wszystkim, byle umiejętnie, chwalać, co należy...

Nie rozumiem, dlaczego właściwie wiesz się psy na inkwizycji? Czy – oprócz stosów – nie było też pięknych nabożeństw? Nie rozumiem, co nam się tak nie podoba w pańszczyźnie? Przecież chłopu nikt nie zabraniał pracować zbożnie co dnia. I mógł swobodnie kolędować sobie w noc wigilijną, a chłopianeczki miały prawo pleść wianki w Zielone Świątki...

*

Pisana i ustna legenda głosząca teraz, że role 1937 miał cechy wyjątkowości, widzi je w tym, że oskarżano wtedy ludzi o niepopołnione winy i stosowano tortury.

Ale to jest niestusne, nieściste. W trakcie wielu innych lat i dziesięcioleci śledztwo, prowadzone z artykułu 58 PRAWIE NIGDY nie dążyło do wykrycia praw-

⁵¹ Rossijskaja Socjal-demokratycztskaja Raboczaja Partia (jej frakcjami byli zarówno bolszewicy, Jak mieńszewicy).

dy, lecz sprowadzało się do fatalnej, brudnej procedury: wolny dopiero co, często pełen dumy, zawsze – nieprzygotowany człowiek, miał być zgięty w barani róg i przepchnięty przez wąską rurę, tak żeby mu boki rozorały sterczące haki armatury, żeby zabrakło mu tchu, żeby zaczął marzyć o jej wylocie – i w końcu wyrzucony był przez ten wylot wprost na ziemię obiecaną jako gotowy mieszkaniowiec Archipelagu. (Naiwni wciąż się opierają ruchowi, przekonani, że z rury można wy dostać się rakiem).

Im więcej mija głuchych lat, tym trudniej dziś zebrać rozproszone wyznania ocalałych. A ci właśnie twierdzą, że fabrykowanie lipnych spraw zaczęło się jeszcze we wczesnym okresie istnienia Organów – po to, aby dać dowód, jak zbawienna jest ich niestrudzona, niezastąpiona, nieprzerwana aktywność – żeby przypadkiem zmniejszenie się ilości wrogów nie spowodowało, broń Boże, zaniku Organów. Jak widać ze sprawy Kosyriewa,⁵² sytuacja Czeka była chwiejna już w początkach 1919 roku. Czytając gazety z 1918 roku natknąłem się na oficjalny komunikat o wykryciu strasznego spisku grupy, złożonej z dziesięciorga osób, która zamierzała (dopiero ZAMIERZAŁA!) wciągnąć na dach Zakładu Wychowawczego (popatrzcie sami, czy ma wystarczającą wysokość) działa, aby ostrzeliwać z nich Kreml. Było ich dziesięcioro (może z kobietami i wyrostkami włącznie?), nie wiadomo tylko, ile było tych dział – i skąd je wzięli? jakiego kalibru? jak zamierzali wciągnąć je po schodach na górę? I jak ustawić je mieli na spadzistym dachu? – jak miało być z odrzutem przy strzelaniu? Dlaczego petersburscy policjanci przy tłumieniu zajęć rewolucyjnych nie brali ze sobą na dachy nic cięższego od karabinu maszynowego?... A jednak te fantazje, antycypujące pomysły z 1937 roku, były przecież czytane! i ludzie w to wierzyli!... Lipna była również sprawa, w wyniku której rozstrzelano poetę Mikołaja Gumilowa w 1921 roku.⁵³

W tym samym roku w rizańskiej Czerezwyczajce zaczęto rozdmuchiwać fikcyjną sprawę „spisku” miejscowej inteligencji (ale protesty śmiatków docierały jeszcze wtedy do Moskwy i sprawie nie nadano biegu). W tym samym 1921 roku rozstrzelano w całości jeden z komitetów, wchodzących w skład Komisji Wykorzystania Rezerw Naturalnych. Wystarczająco dobrze znając nastroje rosyjskich kół naukowych w tym okresie i nie mając zastony dymnej fanatyzmu przed oczyma, możemy chyba ocenić bez pomocy archeologów, co ta cała SPRAWA była warta. 13 listopada 1920 roku Dzierżyński w piśmie do WCZK ostrzega zaś, że Czeka „często nadaje bieg oszczerczym oskarżeniom”.

O roku 1921 tak jeszcze wspomina Eugenia Dojarenko: łubiańska izba przyjęć dla aresztantów, 40–50 prycz, całą noc sprowadzają kobietę po kobiecie. Żadna nie wie, co jej się zarzuca, panuje przekonanie, że łapią nie wiadomo za co. W całej celi jedna tylko wie: to eserka. Pierwsze pytanie Jagody: – „A więc za co was aresztowano?” – tzn. sama odpowiedź, pomóż im jeszcze uwikłać cię! I ABSOLUTNIE TO SAMO się mówi o rizańskim GPU w 1930 roku! I tu wszyscy są przekonani, że siedzą nie wiadomo za co. Brak konkretnych zarzutów do tego stopnia, iż I.D.T-wo oskarżają... o noszenie fałszywego nazwiska. (I chociaż nazwisko było zupełnie prawdziwe, to jednak trójka OSO wlepiła mu z artykułu 58–10 trzy lata). Nie wiedząc do czego by tu się przyczepić, śledczy pytał: – „Zawód?” – „Planista” – „Proszę napisać wyjaśnienie na temat planowania w fabryce i jego me-

⁵² Patrz cz. I, rozdział 8.

⁵³ A.A. Achmatowa wymieniała mi nawet nazwisko czekisty, który tę sprawę zmyślił: Jakow Agranow.

tod. Potem dowiecie się, za co was aresztowano". (W tym wyjaśnieniu jakiś haczyk się już znajdzie).

A czy nie nauczono nas w ciągu tych dziesięcioleci, że STAMTĄD nikt nie wraca? Prócz krótkiego, planowego prądu wstecznego 1939 roku nadzwyczaj rzadko można usłyszeć o zwolnieniu kogoś w wyniku śledztwa. Przy tym tych nie-licznych albo wkrótce znów zamykano, albo zwolnienie w ogóle było tylko wybiegiem dla ułatwienia inwigilacji. W ten sposób powstała tradycja, że Organy pracują bez braku. Nie było zatem wcale niewinnych?

W słowniku Dala znajdujemy takie oto rozróżnienie: „dochodzenie tym się różni od śledztwa, że prowadzone jest w celu wyjaśnienia, czy są w ogóle podstawy do wszczęcia śledztwa”.

O, święta naiwności! Ależ Organy nigdy nie znały żadnego dochodzenia! Przysłane z góry spisy, albo pierwsze podejrzenie, doniesienie konfidenta, czy nawet anonimowy donos⁵⁴ pociągały za sobą areszt, a następnie – nieuchronne postawienie w stan oskarżenia. Wyznaczony zaś na śledztwo czas uchodził nie na rozwikłanie zagadki przestępstwa, lecz – w dziewięćdziesięciu pięciu wypadkach na sto – zużywany był na wymęczenie, zadręczenie, osłabienie badanego – do tego stopnia, że dałby już głowę pod topór, byleby raz był koniec.

Już w dziewiętnastym roku najważniejszym chwytem śledztwa było kładzenie nagana na stole.

W ten sposób prowadzono śledztwo nie tylko w sprawach politycznych, ale także kryminalnych. Na procesie Centrali Paliw (1921 rok) podsądna Machrowska wniosła skargę, że ją podczas śledztwa pojono kokainą. Oskarżyciel tak odpowiada: „Gdyby oznajmiła, że obchodzono się z nią brutalnie, że grożono rozstrzelaniem, to wszystkiemu temu od biedy można by jeszcze uwierzyć”.

Nagan leży na postrach, czasem łypnie na ciebie lufą, a śledczy nawet nie zadaje sobie trudu, nie zmyśla nawet twoich win, tylko powiada: „Mów, przecież sam już wiesz!” Tak właśnie w 1927 roku śledczy Chajkin badał Skrypnikową, tego w 1929 żądano, od Witkowskiego. Nic się nie zmieniło po upływie ćwierci wieku. W 1952 roku naczelnik wydziału śledczego MGB w mieście Ordżonikidze, niejaki Siwakow, oznajmił tejże samej Annie Skrypnikowej, podczas jej PIĄTEJ już odsiadki: „Więzienny lekarz informuje, że masz ciśnienie 120 na 240. To jeszcze za mało, ścierwo (Skrypnikowa ma prawie sześćdziesiąt lat), doprowadzimy cię do trzystu czterdziestu, żebyś zdechła, gadzino, sama, bez żadnych sińców, bez bicia, bez łamania kości. Wystarczy, jak nie damy ci spać!” I kiedy Skrypnikową, po nocnym przesłuchaniu, zamykała we dnie powieki, do celi wpadał nadzorca i ryczał: „Otwórz oczy, bo za nogi ściągnę z pryczy i przykuję na stojaka do ściany!”

Nocne przesłuchania były najważniejszą Częścią śledztwa już w 1921 roku. I tak samo reflektorami samochodowymi świecono prosto w oczy (riazańska Cze-ka, Stelmach). A na Łubiance w 1926 roku (jak świadczy Berta Gandal) używano rur ogrzewczych dla nadmuchu do celi zimnego, to cuchnącego) powietrza. Była też cela wykładana korkiem, gdzie i tak powietrza brak, a jeszcze ją specjalnie nagrzewano. Zdaje się, że poeta Klujew siedział w takiej celi, trafiła do niej też Berta Gandal. Uczestnik powstania w Jarosławiu (1918 rok), Wasyli Aleksandrowicz

⁵⁴ Artykuł 93 Kodeksu Postępowania Karnego tak właśnie jest sformułowany: „oświadczenie anonimowe może służyć za powód do wytoczenia sprawy kryminalnej” (!) (niech nikogo nie dziwi słowo „kryminalnej” - wszyscy więźniowie polityczni uważani byli za kryminalnych).

Kasjanow twierdził, że celę taką nagrzewano dopóty, dopóki więźni nie zaczynał pocić się krwią; dopiero gdy można to już było zobaczyć przez oczko w drzwiach, niesiono więźnia na noszach tam, gdzie miał podpisać protokół. Znane były „gorące” (i „strome”) sposoby, stosowane podczas „gorączki złota”. A w Gruzji w 1926 roku przypalano badanym ręce papierosami; w Metechskim więzieniu spychano ich po ciemku do basenu z fekaliami.

Jakiż tu prosty związek: jeśli trzeba znaleźć winę za wszelką cenę – to konieczne stają się groźby, akty gwałtu, tortury, a im bardziej oskarżenie jest fantastyczne, tym okrutniejsze musi być śledztwo; jakże inaczej wymusić przyznanie się do winy? I skoro lipne sprawy były zawsze – to przemoc i tortury też zawsze były; nie jest to wyjątkowa cecha 1937 roku, to rys dawny, ogólnego charakteru. Oto dlaczego dziwi się człowiek, czytając czasem wspomnienia byłych zeków, że „tortury zostały dozwolone na wiosnę 1938 roku”⁵⁵. Duchowych i moralnych hamulców, które mogłyby powstrzymać Organy od tortur – nigdy nie było. W ciągu pierwszych lat po rewolucji, w pismach „Tygodnik WCzK”, „Czerwony miecz” i „Czerwony terror” otwarcie roztrząsano kwestię stosowności tortur z punktu widzenia marksizmu. Sądząc z rezultatów, odpowiedź znaleziono pozytywną – chociaż wcale nie wszędzie ją uznano.

Słuszniejsze będzie takie ujęcie sprawy 1938 roku: jeśli przed tą datą dla stosowania tortur potrzebny był jakiś formalny nakaz, zezwolenie, wydane w niektórych wypadkach (założmy, że dostać je było nie trudno) – to w latach 1937–38, z uwagi na okoliczności nadzwyczajne (milionowe kontyngenty ludzkie, przeznaczone do wysyłki na Archipelag, trzeba było w nakazanym z góry, ograniczonym terminie przepuścić przez młynek indywidualnego śledztwa – czego – nie wymagały potoki masowe – „kułacki” i narodowe) – udzielono pracownikom śledczym nieograniczonego zezwolenia na stosowanie przemocy i tortur wedle uznania, jeśli tego wymagała robota i nakazany termin. Rodzaje tortur nie były przy tym reglamentowane, wszelkie wynalazki widziane były chętnie.

W 1939 roku ta ogólna, szeroka dyspensa została cofnięta; znów trzeba było mieć na piśmie formalne zezwolenie na stosowanie tortur i chyba już nie tak łatwo je dawano (zresztą zwyczajne groźby, szantaż, oszustwo, nękanie bezsennością i karcerem – tego nigdy się nie zabraniało). Ale pod koniec wojny i w latach powojennych w stosunku do określonych z góry kategorii aresztantów znów dozwolona została szeroka gama tortur. Chodziło tu o nacjonalistów, zwłaszcza – Ukraińców i Litwinów, szczególnie w tych wypadkach, gdy istniała prawdziwa albo urojona organizacja podziemia i trzeba było całą ją wysnuć z motka, wydusić wszystkie nazwiska z już aresztowanych.

Na przykład – grupa Romualdasa Prano Skiriusa liczyć miała koło pięćdziesięciu członków – Litwinów. W 1945 roku oskarżono ich o rozklejanie antysowieckich ulotek. Ponieważ na Litwie brakowało wtedy więzień, przeniesiono ich do obozu w okolicach Wielska w kręgu Archangielskim. Niektórych tam poddano torturom, inni po prostu nie mogli wytrzymać podwójnego ładunku – pracy i badań, dość, że w rezultacie wszyscy pięćdziesięciu, co do jednego, przyznali się. Za

⁵⁵ Eugenia Ginsburg pisze, że zezwolenie na stosowanie „fizycznych środków nacisku” udzielone zostało w kwietniu 1938 roku. W. Szalamow uważa, że tortury dozwolone zostały w połowie 1938 roku. Stary więzień M-cz jest pewien, że istniał „rozkaz o uproszczeniu dochodzeń i zmianie metod psychicznych na „fizyczne”. Iwanow-Razumnik podkreśla, że „lato 1938 roku było okresem najokrutniejszych przesłuchań”.

jakiś czas nadchodzi z Litwy wiadomość, że wykryto prawdziwych autorów i kolporterów tych ulotek, A CI WSZYSCY NIC Z TYM NIE MAJĄ WSPÓLNEGO!

W 1950 roku, w Kujbyszewskim więzieniu etapowym, zetknąłem się z pewnym Ukraińcem z Dniepropietrowska, którego – szukając jego „kontaktów” i kompanów – poddawano rozmaitym mękom; był wśród nich – karcer stojący, z poprzeczką, wsuwaną dla podparcia (żeby mógł się zdrzemnąć) na 4 godziny na dobę. Już po wojnie katowano członka-korespondenta Akademii Nauk, Lewinową.

Ponadto – niestusne byłoby wiązać z rokiem 37. to odkrycie, że przyznanie się do winy samego oskarżonego ważniejsze jest od wszystkich dowodów i faktów. Przekonanie to ustaliło się już w latach dwudziestych. Tyle, że w 37. roku zdążyła akurat na czas błyskotliwa doktryna Wyszyńskiego. Była wtedy zresztą zakomunikowana łaskawie tylko śledczym i prokuratorom, celem ich moralnego dobrojenia, my zaś – to znaczy wszyscy inni – dowiedzieliśmy się o tym dopiero po dwudziestu latach, gdy doktryna ta zaczęła już być wyklinana w zdaniach pobocznych i w drugorzędnych akapitach dziennikarskich artykułów, jako rzecz znana wszystkim dawno i szeroko.

Okazuje się, że tego groźnego i pamiętnego roku, w swoim referacie, który w pewnych szczególnych kręgach zyskał szczególną sławę, Andriej Januarowicz (korci aż, żeby napisać – Jaguarowicz) Wyszyński, w duchu najsubtelniejszej dialektyki (której nie pozwalamy już uprawiać ani poddanym, ani mózgom elektronicznym, bo dla nich tak to jest tak, a nie to nie), przypomniał zebranym, że nie jest w ludzkiej mocy ustalenie prawdy absolutnej, ubiegać się zaś można tylko o prawdę względną. I tu właśnie zrobił krok, na który prawnicy nie mogli się zdecydować przez dwa tysiące lat: że – w związku z tym – prawda, wykrycie której jest celem śledztwa i postępowania sądowego, nie może być absolutną, a co najwyżej względną. Dlatego, podpisując wyrok śmierci przez rozstrzelanie, my i tak nie możemy być absolutnie pewni, że skazujemy winowajcę, mamy tylko pewien stopień pewności, z pewnego tylko punktu widzenia i jedynie w pewnym sensie.⁵⁶ Stąd – wniosek praktyczny: zupełnie zbyteczną stratą czasu byłoby więc poszukiwanie niezbitych! dowodów winy (wszystkie dowody są względne) absolutnie wiarygodnych świadków (świadkowie mogą sobie wzajemnie przeczyć). Dowody zaś winy względne, przybliżone, funkcjonariusz śledczy potrafi znaleźć nawet bez poszlak i bez świadków, nie wychodząc z gabinetu „licząc nie tylko na swój intelekt, lecz także na instynkt partyjny, na swoje siły moralne”, (to znaczy na prerogatywy człowieka wyspanego, sytego i niebitego) oraz na swój „charakter” (to znaczy – zdolność do okrucieństwa)!

Ta formuła była, rzecz jasna, o wiele wytworniejsza, niż instrukcja łacisa. Ale istota rzeczy była ta sama.

I tylko w jednej sprawie Wyszyński chybił celu, wyrzekł się dialektycznej logiki: KULA pozostała u niego wartością BEZWZGLĘDNĄ.

⁵⁶ Być może sam Wyszyński miał wtedy nie mniejszą niż jego słuchacze potrzebę takiej pociechy dialektycznej. Krzycząc z mównicy oskarżycielskiej: „Rozstrzelać wszystkich, jak wściekłe psy!”, ten człowiek zły i bystry dobrze rozumiał, że podsądni są niewinni. Z tym większą chyba pasją i on, i taki as dialektyki marksistowskiej jak Bucharin, oddawali się ozdabianiu sądowej lipy dialektycznymi zawijasami: dla Bucharina śmierć bez żadnej przyczyny byłaby czymś głupim i niestosownym (miał wręcz POTRZEBĘ doszukania się w sobie jakiejś winy!), a Wyszyńskiemu milej było uważać się za mistrza logiki, niż za zdeklarowanego podleca.

Tak oto, postępując spiralnym szlakiem rozwoju, zasady przodującego prawnodawstwa powróciły do założeń przedantycznych albo średniowiecznych. Podobnie jak średniowieczni oprawcy, nasi funkcjonariusze śledczy, prokuratorowie i sędziowie uznali, że najważniejszym dowodem winy jest przyznanie się do niej przez podsądnego.⁵⁷

Jednakże średniowieczni prostaczkowie – chcąc wymusić wymarzone przyznanie się – uciekali się do dramatycznych i spektakularnych urządzeń; szły w ruch dyby, koła, ruszta, kolczaste maczugi, zastrzone pale. W dwudziestym zaś wieku, mając na podorędziu i współczesną medycynę, i niemałe doświadczenie więzienne (już tam ktoś całkiem na serio bronił chyba rozprawy doktorskiej z tego zakresu) – uznano takie zmasowanie mocnych efektów za zbędne, a przy szerszym zastosowaniu – za nieporęczne. A prócz tego...

Prócz tego, zaważyła chyba jeszcze jedna okoliczność: Stalin, swoim zwyczajem, nie mówił ostatniego słowa, podwładni sami powinni byli się domyślić, on zaś zostawiał sobie szakali przesmyk, aby zawrócić w porę i móc znów napisać „Zawrót głowy od sukcesów”. Planowe łamanie kołem milionów ludzi przedsięwzięte było jednak po raz pierwszy w dziejach ludzkich i – przy całym ogromnie swojej władzy, Stalin nie mógł oczekiwać sukcesu z pewnością absolutną.

Ogrom materiału doświadczanego sprawiał, że eksperyment mógł mieć inny przebieg niż w laboratorium. Mogło dojść do nieprzewidzianego wybuchu, do geologicznego kataklizmu, a choćby – do rozpowszechnienia tajemnicy. W każdym wypadku Stalin powinien był zachować swoje anielskie szaty w stanie nieskalanym, (ale w okólnikach K C z 37. i 39. roku zalecenie stosowania „fizycznego nacisku” figurowało).

Dlatego wolno przypuszczać, że nie istniał żaden spis tortur i udręczeń w drukowanej formie, wręczany funkcjonariuszom śledczym. Wymagano po prostu, żeby każdy wydział śledczy w ustalonym terminie dostawił sądowi określoną z góry porcję całkowicie skruszałych królików. Powtarzano tylko po prostu (ustnie, ale wystarczająco często), że wszystkie środki i chwytły są dobre, skoro cel jest wzniosły; że nikt nie będzie szarpał śledczego z powodu śmierci podejrzanego w trakcie badań; że lekarz więzienny powinien jak najrzadziej ingerować. Zapewne istniał koleżeński obyczaj wymiany doświadczeń, „wzorowanie się na najlepszych”; no i musiano też wprowadzić zasadę „zainteresowania materialnego” – dodatek za nocne nadgodziny, premie za skrócenie terminu śledztwa, uprzedzono też chyba, że śledczy, który nie da sobie rady z zadaniem... A gdyby, załóżmy, wyspa, to szef oddziału i tak byłby w porządku wobec Stalina: nie wydał czarno na białym żadnego zlecenia co do tortur! A zarazem zadbał, żeby torturowano!

Widząc, że zwierzchnicy się asekurują, część szeregowych funkcjonariuszy śledczych (nie ci rozjuszeni i upojeni władzą) też starali się zaczynać od metod łagodniejszych, a w miarę postępu śledztwa – unikać takich, które zostawiają zbyt wyraźne ślady, jak wybite oko, urwane ucho, złamany kręgosłup, a nawet ogólne posiniaczenie.

Z tej właśnie przyczyny, w 1937 roku – wyjąwszy torturę bezsenności – nie stwierdzamy stosowania zawsze tych samych metod przez różnych funkcjonariuszy śledczych, pracujących w tych samych działach rozmaitych zarządów okręgo-

⁵⁷ Porównajmy 5 poprawkę do konstytucji USA; „nikt nie może być zobowiązany do zeznania na własną niekorzyść w sprawie karnej”.

wych NKWD. Powiadają, że szczególnie okrutne tortury stosowano w Rostowie nad Donem i w Krasnodarze. W Krasnodarze wymyślono coś nowego: zmuszano do podpisywania czystych arkuszy, żeby zapełniać je później własnymi kłamstwami. Zresztą, po co zaraz tortury: w 1937 roku nie robiono tam dezynfekcji, stąd tyfus, trupy w ciżbie leżały po 5 dni, a kto w celi wariował, tego dobijano pałami w korytarzu.

Wspólnym rysem było jednak preferowanie metod, że tak powiem, – lekkich (zaraz im się przyjrzymy) i była to droga najbardziej celowa. Przecież rzeczywiste granice ludzkiej równowagi umysłowej zakreślone są ciasno i wcale niepotrzebne są dyby albo ruszta, żeby przeciętnego człowieka doprowadzić do stanu niepo czytalności.

Spróbujmy wyliczyć niektóre najprostsze chwyt, z których pomocą łamie się wolę i osobowość aresztanta, nie zostawiając śladów na jego ciele.

Zacniemy od metod nacisku psychicznego. Na króliczków, nie przygotowanych wcale do znoszenia więziennej udręki – metody te działają, z olbrzymią, wręcz burzącą siłą. Ale człowiek o mocnych przekonaniach też łatwo sobie z tym poradzi.

1. Na początek – problem nocy. Czemu to właśnie nocą biorą się najchętniej do łamania ludzkich dusz? Czemu to od najwcześniejszych swoich lat Organy upodobały sobie noc? Dlatego, że w nocy, wyrwany ze snu aresztant (nawet nie zadręczony jeszcze bezsennością), nie może być tak zrównoważony i trzeźwy jak we dnie, jest więc bardziej ustepliwy.

2. Szczera perswazja. Najprostszy z chwytów. Po co bawić się w kotka i myszkę? Aresztant już przesiedział trochę w towarzystwie innych więźniów będących w śledztwie, już zna ogólną sytuację. Przestuchujący mówi mu więc tonem leniwym i życzliwym: „Sam widzisz, wyroku tak, czy owak, nie unikniesz. Ale jeśli będziesz stawiać się okoniem, to już tutaj, w tej ciupie zmarniejesz, całe zdrowie stracisz. A w obozie – od razu będziesz miał powietrze, światło... Tak, że lepiej podpisz czym prędzej”. To bardzo logiczne. I trzeźwo rozumują ci, którzy dają zgodę i podpisują prędko – tylko, że... Gdyby to chodziło tylko o nich samych!... Ale tak bywa dość rzadko. I nie sposób uniknąć walki.

Drugi wariant perswazji obliczony jest na członków partii. „Jeżeli w kraju panuje niedostatek i zdarza się nawet głód, to – jako bolszewik – tak powinniście sami przed sobą postawić sprawę: czy można w ogóle założyć, że to wina całej partii? albo władzy sowieckiej? – „Nie, pewno, że nie!” – odpowiada skwapliwie dyrektor jakiegoś ośrodka uprawy lnu. „No to miejcie tyle odwagi, żeby wziąć winę na siebie!” I człowiek bierze!

3. Ordynarne wyzwiska. Chwyt nieskomplikowany, ale bardzo skuteczny w stosunku do ludzie wykształconych, delikatnych, subtelnych. Znane mi są dzieje dwóch duchownych, którzy skapitulowali wobec przekleństw. Śledztwo w sprawie jednego z nich (Butyrki, 1944 rok) prowadziła kobieta. Z początku pop nie mógł się w celi nachwalić, jaka to ona była grzeczna. Aż pewnego razu wrócił z badania przybity i długo nie mógł się zdobyć na powtórzenie tej wiązanki, którą go uczciła, założywszy nogę na nogę. (Żałuję, że nie mogę tu przytoczyć jednego z jej powiedzonek).

4. Szokowanie psychologicznym kontrastem. Nagłe przejścia: w trakcie całego przestuchania śledczy jest nader grzeczny, tytułuje badanego, obiecuje różne dobrodziejstwa. Nagle – jak się nie zamierzy suszką, jak nie krzyknie:

„Uch, gadzino! Dziewięć gramów, w kark!” – i ręce wyciąga, jakby miał paznokcie zakończone igłami (na kobiety ten chwyt bardzo działa).

Istnieje wariant tej metody: dwaj funkcjonariusze pracują na zmianę, jeden sroży się i wścieka, drugi jest sympatyczny, niemal serdeczny. Badany za każdym razem dygocze, wchodząc do gabinetu – na którego z nich trafi? Prawem kontrastu, człowiek gotów jest temu drugiemu podpisać wszystko i przyznać się nawet do tego, co nigdy nie miało miejsca.

5. Wstępne upokorzenie. W sławetnych piwnicach rostowskiego GPU („numer 33”), pod grubym szkłem ulicznego chodnika (dawne magazyny) więźniów aż do pierwszego przesłuchania trzymano w ogólnym korytarzu w pozycji leżącej, twarzą ku ziemi, nie pozwalając podnieść głowy i przemówić słowa. Leżeli tak, jak modlący się mużłmanie dopóty, dopóki konwojent nie wziął ich za ramię i nie poprowadził na badanie.

Aleksandra O-wa nie składała na Łubiance zeznań, jakich od niej oczekiwano. Przenieśli ją do Lefortowa. Przy rejestracji nadzorkzyni kazała jej się rozebrać, zabrała odzież, rzekomo dla procedury sanitarnej, ją zaś zamknęła gotą w boksie. Zebrali się zaraz strażnicy-mężczyźni, jęli zaglądać przez judasze, śmiać się i oceniać jej wdzięki. Gdyby ludzi zapytać, na pewno takich przykładów zebrałoby się więcej. Cel jest ten sam: zgnębić człowieka.

6. Różne chwytów służące dezorientacji aresztanta. Oto sposób, zastosowany wobec F. J.W. z Krasnogorska w okręgu moskiewskim (relacja J.A. P-ewa). Prowadząca śledztwo niewiasta w czasie przesłuchań rozbierała się stopniowo (strip-tease!) ani na chwilę nie przerywając badania. Jak gdyby nigdy nic, spacerowała po pokoju podchodząc blisko do więźnia i wciąż domagając się podpisania protokołu. Może miała takie osobiste skłonności, a może był to chwyt obmyślony na chłodno, aby zupełnie zbić więźnia z pantafelów i skłonić do ustępstw. Nic jej zresztą nie groziło – miała pod ręką pistolet i dzwonek.

7. Zastraszenie. Chwyt najczęściej stosowany i najbardziej urozmaicony. Często kojarzony jest z chwytem przynęty i chwytem obietnicy – rozumie się, nie są to obietnice na serio. Rok 1924: „Nie chcecie się przyznać? To pojedziecie na wyspy Sołowieckie, szkoda. Kto się przyznaje, tego puszczamy wolno”. Rok 1944: „Ode mnie zależy, do jakiego łagru cię pošlę. Są różne obozy. Mamy teraz nawet katorżne. Jak powiesz prawdę – to pójdziesz tam, gdzie łeż, jak weźmiesz na zapartkę – to dwadzieścia pięć lat w kajdankach na podziemnych robotach!” Straszę przeniesieniem do innego, gorszego więzienia: „Jak będziesz się zapierać, to pošlę cię do Lefortowa (jeśli rzecz się dzieje na Łubiance), tam inaczej z tobą pogadają!” A człowiek już się zdążył przyzwyczaić: w tym więzieniu reżym jakby NIE NAJGORSZY, a co za tortury czekają na człowieka TAM? I w ogóle, przenosiny... Może lepiej ustąpić?

Zastraszenie jest wyjątkowo skuteczne wobec tych, którzy jeszcze nie są zatrzymani, a tylko stawili się w Gmachu, bo dostali pozew. Taki (taka) ma jeszcze dużo do stracenia, taki (taka) wszystkiego się boi – boi się, że już dziś nie wypuszczą, boi się konfiskaty majątku, rekwizycji mieszkania. Gotów jest do zeznań i wielu ustępstw, byleby uniknąć tych nieprzyjemności. Nie zna, rzecz jasna, kodeksu karnego i – to już minimum – na samym początku przesłuchania dostaje do podpisu arkusik ze sfalszowanym cytatem z kodeksu: „Zostałem ostrzeżony, że za składanie niezgodnych z prawdą zeznań... 5 (pięć) lat więzienia” (w istocie zaś – jest to artykuł 95. – do dwóch lat)... za odmowę zeznań – 5 (pięć) lat... (w istocie – z artykułu

92. – do trzech miesięcy robót karno–poprawczych nie zaś aresztu). Tu wkracza na scenę i wciąż na nią będzie wkraczać jeszcze jedna metoda śledcza.

8. Kłamstwo. To nam, jagniętom, nie wolno kłamać, śledczy zaś łże bez przerwy – i wszystkie te artykuły do niego się nie odnoszą. Nie stać nas już nawet na pytanie: czy on za kłamstwo wcale nie odpowiada? Wolno mu, skoro ma chęć, kłaść przed nami protokoły z podrobionymi podpisami naszych krewnych i przyjaciół – to przecież tylko elegancka metoda śledcza.

Zastraszenie z dodatkiem obiecanek i kłamstw – to zasadniczy środek nacisku na krewnych aresztowanego, wezwanych w charakterze świadków: „Jeśli nie złożycie określonych (tj. takich, jakich oni sobie życzą) zeznań, to zaszkodzicie jemu... Doprowadzicie go do zguby... (a co, jeśli mówi się to matce?).⁵⁸ Jedynie przez swój podpis na tym (podsuniętym właśnie) papierku możecie go uratować” (czytaj – pogrążyć).

9. Wygrywanie przywiązania do bliskich – bardzo się opłaca również gdy chodzi o samego aresztanta. Jest to nawet najbardziej skuteczny sposób zastraszania, można złamać najmężniejszego człowieka apelując do jego uczuć rodzinnych (o, jakież jasnowidz to powiedział: „wrogami człeka są jego domowi”!). Pamiętacie tego Tatarzyna, który wytrzymał wszystko – i swoje męczarnie, i żonine – a mąk córki już znieść nie mógł?... W 1930 roku funkcjonariuszka śledcza, niejaka Rimalis, takich pogroźek używała: „Zaaresztujemy waszą córkę i wsadzimy do celi z syfilitykami!” Kobieta!...

Groźą więc aresztowaniem wszystkich, których kochasz, człowieku. Niekiedy robi się to z towarzyszeniem fonii: twoja żona już siedzi, ale dalszy jej los zależy od twoich szczerych zeznań. Właśnie ją przesłuchują w sąsiednim pokoju, możesz posłuchać! I rzeczywiście, zza ściany dobiega kobiecy płacz i krzyk (a przecież krzyki wszystkie jakoś są do siebie podobne, nadto – słychać przez ścianę, a wreszcie sam jesteś podniecony, trudno ci bawić się w rzeczoznawcę; czasami jest to po prostu płyta z głosem „typowej żony” raz w wersji sopranowej, kiedy indziej – kontraltowej, wedle czyjegoś wniosku racjonalizatorskiego). Ale oto – już bez żadnych sztuczek – pokazują ci przez szklane drzwi, jak idzie milcząca, z opuszczoną żałośnie głową – tak! to twoja żona! w korytarzu bezpieczeństwa! to twój upór ją zgubił! już też ją aresztowali! (a ją tymczasem wezwano dla dopełnienia jakiejś błahej formalności; w umówionej chwili wypuszczono ją na korytarz i nakazano, żeby nie ważyła się podnieść głowy, bo inaczej nigdy stąd nie wyjdzie!). – Albo dają ci do przeczytania jej list, jej charakterem pisany: wyrzekam się ciebie! po tych okropnościach, których się o tobie dowiedziałam, nie jesteś mi więcej potrzebny! (a jako, że takie żony, i takie listy w naszym kraju mogą się zdarzyć, czemu nie, więc można chyba tylko własnej duszy spytać: czy i twoja żona jest taka?).

Od W.A. Korniejewej śledczy Goldman (1944 rok) domagał się zeznań, obciążających inne osoby, grożąc, że skonfiskuje jej domek i wyrzuci na ulicę starszki, jej krewnie. Korniejewa, kobieta pewna siebie i pełna wiary, wcale nie bała się o siebie, gotowa była do ofiar osobistych. Ale pogroźki Goldmana w świetle naszych praw wydawały się całkiem realne i Korniejewa dręczyła myśl o bliskich. Kiedy po nocy, pełnej nie podpisanych, i porwanych na strzępy protokołów,

⁵⁸ Okrutne prawa cesarstwa rosyjskiego przewidywały, że bliscy krewni mogli w ogóle odmówić zeznań. Jeśli złożyli zeznania w początkowej fazie dochodzenia, to mogli spowodować ich wyłączenie, mogli nie dopuścić do rozpatrzenia ich przez sąd. Sama zaś znajomość albo pokrewieństwo, łączące kogoś z przestępcą, dziwna rzecz - ale nie uważane było wówczas nawet za poszlakę!

Goldman zabrał się do pisanie – chyba czwartego – wariantu, gdzie oskarżenie ograniczało się tylko do niej jednej, Korniejewa podpisała go z radością, z uczuciem moralnego zwycięstwa. Już nawet zwykłym ludzkim instynktem – żeby usprawiedliwić się, oczyścić od fałszywych posądzeń – też się nie kierujemy, gdzie tam! Radzi bywamy, kiedy całą winę uda się nam zwalić na samych siebie.⁵⁹

Jako że żadna klasyfikacja w przyrodzie nie może być zupełnie sztywna, więc tu też nie uda się na ostro odgraniczyć metod nacisku psychicznego od fizycznych. Dokąd, na przykład, zaliczyć taką zabawę:

10. Sposób akustyczny. Posadzić przesłuchiwanego o sześć–osiem metrów od biurka i kazać wszystko mówić głośno, wszystko powtarzać. Dla człowieka już zmordowanego – to wysiłek. Albo skrócić dwie tuby z kartonu i do spółki z kolegą śledczym podchodzić blisko do aresztanta – krzycząc prosto w uszy: „Przyznaj się, gdzie!”. Aresztant jest ogłuszony, czasem traci słuch. Ale to sposób nieekonomiczny, po prostu funkcjonariusze nudzą się przy jednostajnej robocie, szukają rozrywki i bawią się tym, na co ich stać.

11. Łaskotanie. Także rodzaj zabawy. Krępują albo unieruchamiają człowiekowi ręce i nogi, a potem łaskoczą piórem wetkniętym w nozdrza. Aresztant cały się zwija, ma się uczucie, że świdrują człowiekowi mózg.

12. Gaszenie papierosów na skórze przesłuchiwanego (już o tym była mowa).

13. Sposób optyczny. Ostre światło elektryczne, zapalone całą dobę w celi albo w boksie, gdzie siedzi aresztowany, jaskrawa żarówka, wielokrotnie mocniejsza, niż potrzeba, w małej celce o bielonych, ścianach (to ta sama elektryczność, którą oszczędzali pilnie uczniowie w szkołach i gospodynie domowe). Zapalenie powiek, to bardzo boli. A w gabinecie śledczego – znowu reflektory prosto w twarz.

14. Albo taki pomysł. Aresztanta Czebotariewa w nocy przed 1 maja 1933 roku, w Chabarowskim GPU, przez całą noc, bite dwanaście godzin – nie przesłuchiwali, nie: – prowadzili na przesłuchanie! Taki a taki – ręce do tyłu! Wychodzą z celi, teraz schody, szybko w górę, do śledczego! Konwojent wychodzi. Ale śledczy, nie tylko o nic nie pytając, ale nie pozwalając nawet więźniowi usiąść, podnosi słuchawkę: zabrać ze 107.! Biorą go więc i odprowadzają do celi. Ledwie położył się na pryczy, już znowu grzechocze rygiel: Czebotariew! Na przesłuchanie! Ręce do tyłu! A tam – znów to samo: zabrać ze 107.!

W ogóle zresztą, stosowanie środków nacisku może zacząć się jeszcze długo przed wejściem więźnia do pokoju przesłuchań.

15. Więzienie zaczyna się od boksu, to znaczy pudła albo szafy. Człowieka, dopiero co wyrwanego spośród wolnych ludzi, jeszcze w rozbiegu, jeszcze rwącego się do wyjaśnień, do sporów, do walki – zaraz po przekroczeniu więziennych progów pakuje się do skrzynki – czasem zaopatrzonej w lampę i krzesło, a czasem ciemnej, gdzie człowiek może tylko stać, nadto – w ciasnocie – przyciśnięty drzwiami. Trzymają go tak kilka godzin, cały dzień, dobę. Godziny zupełnej niepewności! – może już go tu zamurowali na całą wieczność? Nic podobnego nigdy w życiu mu się nie zdarzyło, więc nic nie wie, nie kojarzy! Tak mijają pierwsze go-

⁵⁹ „A teraz ona powiada: „Po 11. latach, w momencie rehabilitacji dano mi przeczytać te protokoły - i aż mnie psychicznie zemdlilo. Z czego właściwie byłam taka dumna!?” Ja również doświadczyłem tego samego przy rehabilitacji, wysłuchawszy cytatów z dawnych moich protokołów. Teraz nie poznaje wprost samego siebie - jak mogłem podpisać coś podobnego - i jeszcze uważać, że nieźle mi się udało?... Że to ja wygrałem?..

dziny, kiedy wszystko jeszcze w nim płonie, szarpane nieustannym wichrem myśli. Jedni wpadają w przygnębienie – doskonałą, to najlepsza chwila dla pierwszego przesłuchania! Inni wpadają w złość – tym lepiej, zaraz powiedzą śledczemu coś obraźliwego, pozwolą sobie na nieostrożność, to tylko ułatwi rozkręcenie sprawy.

16. Kiedy boksów nie starczało, był jeszcze inny sposób. Helena Strutinskaja w nowoczerkaskim NKWD została posadzona w korytarzu na taborecie – na sześć dni i nocy, tak, aby nie mogła ani się oprzeć, ani zasnąć, ani upaść i już nie wstać więcej. Na sześć dni i nocy! Spróbujcie posiedzieć tak sześć godzin.

Można też w charakterze wariantu sadzać więźnia na wysokim stołku, jakich używa się w laboratoriach, tak, żeby nie dosięgał podłogi nogami: bardzo ładnie wtedy puchną. Wystarczy 8–10 godzin takiego siedzenia.

Albo – już w czasie przesłuchania, kiedy aresztant jest cały jak na dłoni, posadzić go na zwykłym krześle, ale nie całkiem zwyczajnie: na samym brzeżku, na krawędzi siedzenia (jeszcze bliżej! jeszcze bliżej!) żeby nie spadł, ale żeby ta krawędź wrzynała się, jak należy, przez cały ciąg przesłuchania. I nie dać mu się ruszyć przez kilka godzin. Tylko tyle? Tylko tyle. Spróbujcie sami.

17. Zależnie od warunków boks może być zastąpiony przez dywizyjne jamy, jak to było w Gorochowieckim obozie wojskowym podczas Drugiej Wojny. Do takiej jamy, głębokości trzech metrów, szerokości – dwóch, spychano aresztanta; to była jego cela i wychodek zarazem przez kilka dni i nocy, spędzanych pod gołym niebem, a czasem w deszcz. Trzysta gramów chleba i wodę spuszczano mu tam na sznurku. Wyobraźcie sobie siebie samych w tym stanie, zaraz po aresztowaniu, kiedy wszystko jeszcze w człowieku kipi.

Może podobieństwo instrukcji, jakie otrzymały wszystkie Wydziały Specjalne Armii Czerwonej, a może podobieństwo koczowniczej sytuacji – doprowadziło do znacznego rozpowszechnienia tego sposobu. Tak więc, w 36. zmotoryzowanej dywizji strzeleckiej, która odznaczyła się w czasie walk pod Chałchyn–Golem, a w 1941 roku biwakowała na mongolskiej pustyni, aresztowanemu z miejsca dawano (naczelnik Wydziału Specjalnego Samulow) łopatę do ręki i kazano kopać grób ściśle określonych wymiarów (już tu widzimy skrzyżowanie z metodą psychologiczną!). Kiedy aresztant zagłębił się już powyżej pasa rozkazywano mu zaprzestać kopania i siąść na dnie jamy: głowy już mu wtedy nie było widać. Kilku takich jam pilnował jeden wartownik i zdawało się, że stoi w szczerym polu.⁶⁰ Na tej pustyni trzymano podejrzanych – we dnie nic ich nie chroniło przed mongolskim upałem, zimnymi nocami nic nie mieli do przykrycia. Nie trzeba było żadnego katowania, na co to komu? Racja dzienna wynosiła sto gramów chleba i jeden kubek wody. 21-letni lejtnant Czulpieniew, kawał chłopca, bokser, przesiedział w tych warunkach MIESIĄC. Po dziesięciu dniach wszy roіły się na nim. Po piętnastu pierwszy raz wezwano go na przesłuchanie.

18. Kazać badanemu paść na kolana – nie w jakimś przenośnym sensie, tylko dosłownie: na kolana – i żeby nie śmiał przysiąść na piętach i żeby trzymał się prosto. Można kazać tak klęczeć przez 12 godzin, przez 24 i przez 48 – w gabinecie śledczego, albo nawet na korytarzu. (Sam śledczy może wschodzić do domu, spać, zażywać rozrywek, ten system jest opracowany w szczegółach:

⁶⁰ Są to chyba mongolskie tradycje. W tygodniku Niwa z 15 marca 1914 roku (str. 218) jest szkic mongolskiego więzienia: każdy więzień siedzi jakby w osobnym kufrze z małym otworem na głowę, tak też jest karmiony. Między kuframi przechadza się strażnik.

koło klęczącego człowieka stoi strażnik, wartownicy zmieniają się regularnie).⁶¹ Na kogo ten chwyt najlepiej działa? Na ludzi już skruszałych, już gotowych do kapitulacji. Bardzo się opłaca stosować go do kobiet. Iwanow-Razumnik informuje o pewnym wariacie tej metody: śledczy naprzód kazał młodemu Łordkipanidze klęknąć, a potem naszczał mu w twarz! No i co? Na Łordkipanidze nie było przedtem sposobu, a tu właśnie się załamał. Widać na dumnych też jest rada...

19. Albo kazać człowiekowi całkiem zwyczajnie stać. Można kazać stać tylko podczas przesłuchań, od tego też człowiek męczy się i załamuje. Można podczas przesłuchań dać mu usiąść, ale za to niech sobie postoi między jednym badaniem a drugim (stawia się wartownika i strażnik ma pilnować, żeby więzień nie opierał się o ścianę, a jeśli zaśnie i zwali się na ziemię, to ma go skopać i zmusić do stania). Czasem dość jednej doby takiego stania, żeby człowiek opadł z sił i zeznał co dusza zamarzy.

20. Przy wszystkich tych rodzajach stania, zwykle nie dają pić po 3–4–5 dni i nocy.

Coraz lepiej rozumiemy teraz znaczenie kombinowania metod psychologicznych z fizycznymi. Rozumie się też, że wszystkie wyżej opisane sposoby są kojarzone z

21. bezsennością, której nie doceniano jeszcze w średniowieczu: nie wiedzano wtedy, jak wąskie są ramy, w których człowiek zdolny jest do zachowania swojej osobowości. Brak snu (połączony przy tym z długim stanieniem, pragnieniem, jaskrawym światłem, strachem i niepewnością – jakich jeszcze tortur trzeba?!), męczy rozsądek, podkopuje wolę, pozbawia człowieka jego jaźni. (W noweli Czechowa *Spać się chce* sprawa jest jednak o wiele łatwiejsza, dziewczynka z noweli może położyć się na chwilę i wyłączyć świadomość, co już nawet po minucie – potrafi dać mózgowi trochę świeżości). Człowiek taki działa w stanie półświadomości, albo nawet niepoczytalności, tak, że nie wolno mieć do niego pretensji o to, co zeznał.⁶²

Używano następującej formuły: „Wasze zeznania są nieszczerze, dlatego nie dajemy wam spać!”. Niekiedy, dla większego fasonu, nie kazano stać, tylko sadzano na miękkiej kanapie, na której tym bardziej chciało się spać (dyżurny strażnik siedział obok i dawał kopniaka przy każdym zmrużeniu powiek). Oto jak opisuje jedna z ofiar (która spędziła przedtem dobę w zapluskwionym. boksie) swoje sensacje po tej męce: „Dreszcze wskutek utraty sporej ilości krwi. Zaschły spojówki, jakby kto trzymał przed samymi oczyma rozpalone żelazo. Język – spuchnięty z pragnienia i kłuje jak jeź przy najmniejszym ruchu. Konwulsyjne skurcze rżną gardło.

Brak snu jest potężną torturą, a – przy tym nie zostawia żadnych widocznych śladów, nie daje nawet powodu do skarg, gdyby nagle spadła z nieba nieoczekiwana inspekcja.⁶³ „Nie dawano wam spać? Ale przecież to nie sanatorium! Nasi ludzie też razem z wami nie spali”. (Ale, odespali się we dnie). Można powiedzieć, że przymusowa bezsenność przestała należeć do kategorii tortur, stała się

⁶¹ A przecie ten i ów tak właśnie zaczynał karierę: stał na warcie koło klęczącego człowieka. Teraz chyba już ma stanowisko, dzieci już mu podorastały...

⁶² A wyobraźcie sobie, że w stan takiego zaćmienia wpada cudzoziemiec, nie znający rosyjskiego - i że dają mu jakiś papier do podpisu. Jupp Aschenbrenner z Bawarii podpisał w ten sposób zeznanie, że obsługiwał samochodową komorę gazową. Dopiero w obozie, w 1954 roku zdołał udowodnić, że w inkryminowanym okresie uczył się w Monachium na kursach spawaczy.

⁶³ Zresztą Inspekcja należała do rzeczy NIEMOŻLIWYCH - I to na tyle, że kiedy weszła w 1953 roku do celi, gdzie siedział - już wtedy aresztowany - Abakuinow, minister bezpieczeństwa, ten wybuchnął śmiechem, sądząc, że to mistyfikacja.

natomiast częścią regulaminu bezpieczeństwa państwowego i dlatego wymuszano ją w najtańszy sposób, bez żadnego dodatkowego nadzoru. We wszystkich więzieniach śledczych – panuje zasada, że nie wolno spać ani chwili od rannego apelu do wieczornego dzwonka (w Suchanowie i jeszcze w niektórych innych, pryncie w tym celu są podnoszone i przytwierdzane do ściany, w innych – po prostu nie wolno się kłaść i zabrania się nawet drzemki na siedząco). A wszystkie ważniejsze przesłuchania – tylko w nocy. A więc automatycznie – każdy więzień śledczy nie ma czasu na sen przynajmniej pięć dni w tygodniu (w noc sobotnią i niedzielą sami przesłuchujący starają się wypocząć).

22. Poszerzeniem poprzedniego punktu jest konwejer śledczy. Więzień nie tylko nie śpi – ale nadto przez trzy–cztery doby bez przerwy jest przesłuchiwany przez wciąż zmieniających się śledczych.

23. Zapluskwiony boks, już wspomniany wyżej. W ciemnej, drewnianej szafie gnieźdzą się setki, może tysiące pluskiew. Z aresztanta zostaje zdarta marynarka albo bluza – i natychmiast rzucają się na niego głodne pluskwy, spełzając ze ścian i spadając z powąły. Z początku, człowiek zaciekle walczy z nimi, rozgnięta je na sobie i na ścianach, dusząc się od smrodu, ale po kilku godzinach słabnie i pozwala bez oporu ssać swoją krew.

24. Karcery. Jakkolwiek; źle byłoby w celi, w karcerze zawsze jest gorzej; widziana z karceru cela wydaje się rajem. W karcerze morzą człowieka głodem i zwykle chłodem (w Suchanowce są też gorące karcery). Na przykład – karcery w Lefortowie w ogóle nie są opalane, kaloryfery ogrzewają tylko korytarze. Po tych „ciepłych” korytarzach dyżurni strażnicy chodzą w walmach i walmach. Aresztanta zaś zostawia się w spodniej bieliźnie, czasem w samych kałach i musi on w bezruchu (bo ciasno) spędzić tam dzień–trzy–pięć (gorącą sałomachę dają dopiero trzeciego dnia). W ciągu pierwszych chwil myślisz sobie, nie wytrzymam nawet godziny. Ale jakimś cudem człowiek wytrzymuje swoje pięć dni, wpędzając się czasem w chorobę na całe życie.

Karcery mają swoje urozmaïcenia: wilgoć, wodę. Już po wojnie – Maszę G. w czernowieckim więzieniu trzymano na bosaka dwie godziny w lodowatej wodzie po kostki – przyznaj się! (miała osiemnaście lat; jak jej żal było tych nóg – i jak długo jeszcze trzeba będzie tupać nimi po życiu!).

25 Czy można uznać za wariant karceru zamykanie na stojąco w płytce niszy? Już w 1933 roku w Chabarowskim GPU tak torturowano S.A. Czebotariewa: zamknęli go nagiego w betonowej niszy, tak, że nie mógł ani zgiąć kolan, ani rozgiąć i podnieść ręk, ani nawet obrócić głowy. Ale to nie wszystko. Na ciemność zaczęła mu kapać zimna woda (co za szablon!...) i spływać strugami po skórze. Rzecz jasna, nikt mu nie powiedział, że to wszystko ma trwać tylko dwadzieścia cztery godziny. Bardzo to było straszne, czy nie bardzo – dość, że stracił przytomność, następnego dnia po otwarciu drzwi znaleziono go jakby bez życia, ocknął się dopiero w szpitalnej pościeli. Aby przywrócić mu zmysły potrzebny był amoniak, kofeina, nacierania. Wcale nie od razu przypomniał sobie skąd się tu wziął, co działo się w przeddzień. Przez cały miesiąc nie było nawet z niego żadnego pożytku dla śledztwa. Ośmielamy się jednak sądzić, że ta nisza z kroplówką, wymyślone były nie dla samego tylko Czebotariewa. W 1949 znajomy z Dniepropietrowska siedział w podobnej norze, bez kapania. Wolno chyba założyć, że między Chabarowskiem a Dniepropietrowskiem, a jeszcze w ciągu 16 lat, istniało parę innych takich instytucji?

26. Głód był już wspomniany przy opisie akcji kombinowanych. To wcale nie taki rzadki chwyt – zmusić do zeznań głodem. W istocie element głodu, podobnie, jak wykorzystanie zalet nocy, stał się częścią składową procedury ogólnej. Skąpa racja dzienna, w 1933 roku, a więc w okresie pokoju – wynosiła 300 gramów chleba, a w 1945, na Łubiance – 450. Wygrywanie karty zakazów czy zezwoleń na kupy – to stosowane jest wszędzie, powszechnie, to uniwersalne. Ale zdarza się stosowanie głodu w trybie obostrzonym jak w wypadku Czulpieniewa: naprzód trzymali go przez miesiąc o tych stu gramach dziennie, a później przed tym człowiekiem, wyciągniętym z jamy, śledczy Sokoł stawiał menażkę zawieszistego barszczu, kładł pół bochna białego chleba, krajanego na skos (myślałby kto – co za różnica, jak go krajali, ale Czulpielniew po dziś utrzymuje, że właśnie przez ten sposób krajania chleba był wiele bardziej ponętny) – ale nie dał jeść ani razu. Jakie to wszystko staroświeckie, feudalne, jaskiniowe! Tylko tyle w tym nowego, że stosuje się to w socjalistycznym społeczeństwie! – o podobnych chwytach inni też donoszą, to zdarza się często. Ale wróćmy jeszcze do przypadku Czebotariewa, bo bardzo jest pouczający, dzięki obecności kilku naraz komponentów. Wprowadzili go na 72 godziny do pokoju przesłuchań i jedyne, na co pozwalali mu – to ustęp. Nie pozwalali zaś; ani jeść, ani pić (a woda stała obok, w karafce), ani spać. W gabinecie cały czas było trzech przesłuchujących. Trudzili się na trzy zmiany. – Jeden przez cały czas (w milczeniu, nie zwracając się w ogóle do więźnia) coś pisał, drugi spał na kanapie, trzeci przechadzał się po gabinecie i gdy tylko Czebotariew wpadał w drzemkę – bił go. Co jakiś czas zamieniali się rolami. (A może ich samych karnie skoszarowano za niedołęstwo?). I nagle Czebotariew, widzi, że mu przynoszą, obiad: tłusty barszcz ukraiński, kotlet schabowy ze smażonymi kartoflami i czerwone wino w kryształowej karafie. Ale mając całe życie wstręt do alkoholu, Czebotariew odmówił picia wina, nie bacząc na wszystkie namowy śledczego (za bardzo – też nie chcieli go zmuszać, to psułoby grę). Po obiedzie zaś powiedziano mu: „A teraz podpisz to, coś zeznał w obecności dwóch świadków!” – to znaczy wszystko co wymyślił ów milczek przy jednym śpiącym i drugim spacerującym oficerze śledczym. Po przeczytaniu pierwszej już stronicy, Czebotariew dowiedział się, że był za pan brat z najbardziej znanymi japońskimi generałami i że każdy dał mu jakieś szpiegowskie zlecenia. Zaczął więc przekreślać stronice. Tamci pobili go i przepędzili. A inny urzędnik KWŻD, Błagin, aresztowany razem z nim po takich samych przejściach, napił się wina i mile wstawiony dał podpis – po czym został rozstrzelany: (Po trzydniowej głodówce starczy kieliszek! a tu karafka).

27. Bicie bez zostawiania śladów. Biją gumami, biją pałkami, biją też podłużnymi workami z piaskiem. Bardzo boli bicie po kościach, na przykład, kiedy śledczy kopie w goleń, gdzie kość jest tuż pod skórą. Kombryga Karpunicz-Brawena biło 21 dni pod rządem. (Teraz powiada: „Nawet po trzydziestu latach bolą wszystkie kości i głowa”). Wspominając przejścia własne i cudze, Karpunicz różni 52 sposoby bicia. Albo taki chwyt: przytwierdza się ręce więźnia specjalnymi uchwytami tak, żeby dłonie leżały na stole na płask – i bije się krawędzią liniału po stawach – aż człowiek zacznie wyć. Czy wybijanie zębów „klasyfikować jako osobny sposób?” (Karpuniczowi wybito ich osiem).⁶⁴ Ogólnie wiadomo, że cios pięścią, w splot słoneczny zapiera człowiekowi dech, a najmniejszych śladów nie zo-

⁶⁴ Zęby wybite sekretarzowi Karebskiego komitetu okręgowego partii, G. Kuprijanowowi, były częściowo zwykłe, własne, inne zaś złote. Z początku więc na każdy, wybity złoty ząb dawano mu kwit, Jak na depozyt. Później spostrzeżono się i kwity mu odebrano.

stawia. Pułkownik z Lefortowa, Sidorow, już po wojnie stosował cios kaloszem w zwisające męskie genitalia (piłkarze, którzy kiedyś dostali piłkę między nogi, mogą ten chwyt docenić). Ten ból nie da się z niczym porównać, i człowiek zwykle traci przytomność.⁶⁵

28. W NKWD miasta Noworosyjsk wymyślono maszynki do zaciskania paznokci. U wielu więźniów z tego miasta widziano potem na etapach palce bez paznokci.

29. A kaftan bezpieczeństwa?

30. A łamanie kręgosłupa? (wciąż to samo chabarowskie GPU, rok 1933),

31. A wędzidło („jaskółka”)? Jest to metoda z Suchanowki, ale znają też Więzienie w Archangielsku (śledczy Iwlow, 1940 rok). Długi ręcznik z surowego płótna wsuwa się więźniowi między zęby (jak wędzidło) przerzucacie końce za plecy i wiąże się nimi nogi w kostkach. Poleż tak potem, człowieku, ze dwie doby na brzuchu, z trzeszczącym grzbietem, bez wody, bez jedzenia.

Czy trzeba jeszcze dalszego wyliczania? Czy dużo jeszcze tego? Wszystkiego, co wymyślić mogą syte nieroby, pozbawione ludzkich uczuć?

Bracie! Nie potępiaj tych, którzy trafili w ich ręce, którzy okazali się zbyt słabi i podpisali to, czego żądano...

*

Otóż – ani tych tortur, ani nawet żadnych „lekkich” chwytów nie potrzeba w większości wypadków, aby wydobyć zeznania, aby chwycić w żelazne zęby jagnię – zupełnie nieprzygotowanej rwące się do swojej ciepłej obórki. Zbyt nierówny jest stosunek sił i pozycji.

O, jakże inne nam się wydaje – Z perspektywy pokoju przesłuchań – nasze dawne życie, jakie w nim widzimy niebezpieczeństwa, jakie dżungle, łącie afrykańskie! A uważaliśmy je za takie zwyczajne!

Pan A. i jego przyjaciel B., znając się od lat i darząc się wzajemnym zaufaniem, przy każdym spotkaniu śmiało rozmawiali o wielkiej i małej polityce. Nikogo przy tym nie było. Nikt nie mógł obu panów podsłuchać. I nikt z nich nie doniósł na drugiego.

Ale oto jednego z panów – powiedzmy – pana, drogi A., z jakiegoś powodu wzięto pod lupę, wyciągnięto ze stada za uszki i wsadzono do paki. I z różnych powodów – no, może nie obeszło się bez donosiku na pana, bez pewnego strachu o krewnych, bez odróbmy nocnego czuwania i bez pierwszej znajomości z karcerem – dość że postanowił pan na swój los machnąć ręką, ale już innych nie narażać za nic! I w czterech kolejnych – protokołach przyznał pan i podpisał, – że jest pan zaciekłym wrogiem władzy sowieckiej, bo opowiadał pan anegdoty o naszym przywódcy, bo życzył pan sobie innych nazwisk na listach wyborczych, bo nawet wchodził pan do kabiny, chcąc skreślić jedynego kandydata, ale nie było atramentu w kałamarzu, bo – mając radioaparat z pasmem krótkofalowym – starał się pan usłyszeć jakieś zachodnie audycje, nie zważając na zagłuszanie. Ma pan więc dychę zapewnioną, ale żebra całe, o zapaleniu płuc chwilowo nie

⁶⁵ W 1918 roku moskiewski rewtrybunał sądził byłego nadzorcę carskich więzień, Bondara. NAJSKRAJNIEJSZYM przykładem jego okrucieństwa, przytoczonym w akcie oskarżenia, było, że „w jednym wypadku uderzył więźnia politycznego z taką siłą, że pękła mu błona bębenkowa w uchu”. (Krylenko, Przez pięć lat, str. 16)

ma mowy, nikogo pan nie wsypał i zdaje się, że boksował pan niegłupio. Już pan celi daje do zrozumienia, że chyba pańskie śledztwo niedługo będzie zakończone.

Ale, ale! Niespiesznie, lubując się własnym charakterem – pisma, oficer śledczy zaczyna komponować protokół numer 5. Pytanie: Czy podejrzany przyjaźnił się z B.? – Tak. – Czy rozmawiał z nim otwarcie o polityce? – Nie, wcale, nie miałem do niego zaufania. – Ale widywaliście się często? – Nie bardzo. – No, jak to – nie bardzo? Z zeznań sąsiadów wynika, że przychodził do was w odwiedziny – tylko w ciągu, ostatniego miesiąca dnia tego a tego, potem jeszcze – takiego a takiego i wreszcie – owego. – Przychodził? Cóż, niewykluczone. – Zwrócono uwagę, że – jak zresztą zwykle – nie piliście, nie robiliście hałasu, rozmawialiście bardzo, cicho, tak, że nie słychać było na korytarzu. (Ach, pijcie, przyjaciele, tłuczcie butelki, jak najgłośniej! – to z was robi ludzi prawomyślnych!) – No to co? – Ale wyście też go odwiedzali, ot, powiedzieliście na przykład: wiesz, spędziliśmy tamten wieczór tak sensownie. A później widziano was obu na rogu – staliście z nim na mrozie, pół godziny i mieliście takie ponure miny" tacy byliście markotni; o, nawet was sfotografowano podczas tej rozmowy. (Technika inwigilacji, przyjaciele, technika?) No więc – o czym rozmawialiście podczas tych spotkań?

O czym?!... Takie pytanie to mocna rzecz! Pierwsze, co przychodzi na myśl – to, że zapomniał pan, o czym była mowa. Bo to musi się pamiętać? Dobrze, pierwsza rozmowa uleciała panu z pamięci. Druga też? I – trzecia? I nawet ten: sensowny wieczór. I – ta rozmowa na rogu? I rozmowy z C, ? – I z D.? Nie? myśli pan – brak pamięci – to nie jest wyjście nie starczy tego człowiekowi na wszystko, i oto, umysł – wstrząśnięty aresztowaniem – przytłoczony strachem, zaćmiony brakiem snu i głodem – próbuje, jakby tu zmyślić najprawdopodobniejszą wersję i przechytrzyć śledczego.

O czym?!... Dobrze jeszcze, jeżeli gadaliście o hokeju (to w każdym wypadku najlepszy temat, przyjaciele!), – i o babach, nawet „o nauce, to można powtórzyć (nauka niedaleko odbiegła od hokeja, tylko, że w naszych czasach, wszystko w nauce jest uznane za tajemnicę (można „zafasować swoje na podstawie Ustawy o rozgłaszaniu). Ale jeśli przypadkiem mówiliście o nowych aresztowaniach w mieście?, o kołchozach? (i, rzecz jasna, mówiliście o nich źle, bo kto o nich dobrze mówi?). A kiedy staliście na rogu, tacy markotni – o czym tam rozmawialiście?

Może B. już jest w areszcie (śledczy zapewnia, że także już zeznawał przeciw panu i że właśnie prowadzą go na konfrontację). Może spokojniutko siedzi sobie w domu – ale także stamtąd go wyciągną, gdy go trzeba będzie przesłuchać i skonfrontować zeznania – na jaki to temat takeście się martwili na tym rogu?

Teraz, po niewczasie, już pan zrozumiał: tak już jest w życiu, że za każdym razem, kiedyście się żegnali, trzeba było umawiać się i dobrze notować w pamięci: o czym więc była mowa? Wówczas wasze zeznania byłyby zgodne, choćby nie wiem jak was badano. Aleście się przecież nie zmawiali? Bo jednak nie obrażaliście sobie, co to za dżungla.

Może powiedzieć, że umawialiście się na ryby? A tu B. powie, że o żadnych rybach nie było mowy, że rozmawialiście o studiach zaocznych. Nie łagodząc przebiegu śledztwa, tylko pan ciśniej ściągnie węzeł: o czym? o czym? o czym?

Tu błyska panu myśl fortunna? czy zgubna? – żeby mówić o sprawach możliwie jak najbliższych temu, co było w samej rzeczy (rzecz jasna – zaokrąglając wszystkie kanty i pomijając wszystko, co niebezpieczne) – powiadają wszak, że

łgać zawsze trzeba jak najbliżej prawdy. Bo może jednak B. domyśli się i postąpi podobnie, opowie coś, zbieżnego, wasze zeznania jakoś będą się zgadzać i wtedy dadzą wam spokój.

Po wielu latach zrozumie pan, że był to bardzo niemądry pomysł, znacznie lepiej było udawać zupełnie nieprawdopodobnego, okrągłego bałwana: nie pamiętam ani dnia z całego mojego życia. Choć bij, zabij. Ale tu minęły już trzy doby bez snu. Ledwie sił człowiekowi starcza, aby kontrolować myśli i zachowywać obojętny wyraz twarzy, i na rozmyślania nie dają ani chwili. I od razu dwóch śledczych (oni lubią chodzić do siebie w gości), przyciska człowieka do ściany: o czym? o czym? o czym?

Więc zeznaje pan, mówiliśmy o kołchozach (że nie wszystko jeszcze w porządku, ale już niedługo się poprawi). O: obniżce taryf płacy mówiliśmy... Coście mówili właściwie? Cieszyliście się, że obniżają? – Ale normalni ludzie tego; nigdy nie robią; to nieprawdopodobne. No to, żeby być jakoś bliżej prawdy; trochę narzekaliśmy, że odrobinę uciążliwe te cięcia.

A śledczy sam pisze protokół i tłumaczy wszystko na własny język: w trakcie tej naszej rozmowy szkalowaliśmy politykę partii i rządu w dziedzinie płac.

I kiedyś jeszcze B. powie z wymówką: och, ty niedojdo, ja przecież zeznawałem, że umawialiśmy się na ryby...

Ale pan chciał być sprytniejszy i mądrzejszy od pańskiego śledczego! Pan potrafi myśleć szybciej, sprawniej! Pan jest inteligentny! I pan przemędrkował sprawę.

W *Zbrodni i Karze* Porfiry Pietłowicz dzieli się z Raskolnikowem uwagą wyjątkowo finezyjną, mógł ją sformułować tylko ktoś, kto sam zna na wylot te zabawy w kotka i myszkę: kiedy mam do czynienia z wami, inteligentami, to nie muszę nawet konstruować własnej; wersji – wy sami ją ułożycie i dacie mi ją gotową na talerzu. Ależ tak jest! Człowiek inteligentny nie potrafi zeznawać z rozkoszną beztroską czechowskiego chłopca z opowiadania *Złoczyńca*.⁶⁶ Będzie się z wszelką pewnością starał całą zarzucaną mu sprawę przedstawić jak najbardziej wykrętnie – ale składnie.

A śledczy–rzeźnik nie na składność ostrzy nóż, tylko dwa–trzy zdanka. On już wie, co jest ważne. A my – nie mamy żadnego doświadczenia!

Kształcą nas i przysposabiają od młodych lat – do naszego zawodu; do pełnienia obowiązków obywatelskich; do służby wojskowej; do dbania o czystość osobistą; do grzecznego zachowania się, nawet do wyznawania się na tym, co piękne (no, to już nie bardzo). – Ale ani wykształcenie, ani dobre wychowanie, ani doświadczenie nie przygotowują nas wcale do największej próby naszego życia: do aresztowania za nic i do śledztwa nie wiadomo na jakiej podstawie. Powieści, sztuki, filmy (niechby sami ich autorzy spróbowali goryczy z pucharu GUŁagu!) przedstawiają nam gospodarzy gabinetów śledczych jako rycerzy prawdy i humanizmu, jako ojczulków rodzonych. Jakich tylko odczytów się u nas nie urzęduje! toć ludzi spędza się na nie! – ale nikt nie słyszał nigdy odczytu o prawdziwym i rozszerzonym sensie kodeksów karnych, zresztą same kodeksy też nie wystawiane są na widok w bibliotekach, nie są sprzedawane w kioskach, nie trafiają do rąk beztroskiej młodzieży.

⁶⁶ Bohater tej noweli oskarżony jest o rozkręcanie torów kolejowych i tłumaczy się, że bez tego przecież nie mógłby łowić ryb, bo z nakrętek robi się najlepsze ciężarki do wędk.

Brzmi to niemal jak bajka: gdzieś tam, za dziesiątą rzeką, aresztowany może w trakcie śledztwa skorzystać z pomocy adwokata. Znaczy to, w najcięższej chwili walki mieć ku pomocy jasny umysł, znający wszystkie prawa!....

Zasada naszego śledztwa polega także na tym, aby pozbawić aresztanta nawet zwykłej znajomości prawa.

Okazują mu akt oskarżenia... (nota-bene: „Proszę pod nim złożyć podpis”. – „Ja się z nim nie zgadzam”. „Podpisać się!” – „Ale ja jestem niewinny!”... jesteście postawieni w stan oskarżenia z artykułu 58–10 część 2 i 58–11 Kodeksu Karnego RSFSR. Proszę się podpisać!

Ale co mówią te artykuły? Pozwólcie przeczytać w kodeksie! – Nie mam kodeksu. – To weźcie od naczelnika oddziału! – On też go nie ma. Podpisujcie! – Ale proszę mi najpierw pokazać! – Nie ma przepisu, żeby go pokazywać, kodeks jest nie dla was, tylko dla nas. I po co wam kodeks, ja wam sam wyjaśnię: te artykuły mówią akurat o tym, coście nabroili. Zresztą podpiszecie się teraz nie na dowód, że się zgadzacie, tylko żeście to przeczytali, że pokazano wam akt oskarżenia).

W którymś z tych papierków nagle miga nowy zestaw liter: KPK. To budzi pańską czujność: czym różni się KPK od KK? Jeśli trafił pan na chwilę dobrego nastroju u śledczego, to dowie się pan, że to Kodeks Postępowania Karnego. Jak to? Więc nie jeden, lecz całe dwa kodeksy są panu nieznane w chwili, gdy się z panem rozprawiają?!

...Od tej chwili minęło dziesięć lat, potem – piętnaście. Gęstą trawą zarosła mogiła mojej młodości. Mam już za sobą cały termin kary i nawet bezterminowe zesłanie. I nigdzie, ani w "kulturalno-wychowawczych" oddziałach obozów, ani w bibliotekach rejonowych, – ani nawet w miastach średniej wielkości – nigdzie, powtarzam, nie widziałem na oczy, nie trzymałem w ręku, nie mogłem kupić, pożyczyć, ani nawet POPROSIĆ O POKAZANIE kodeksu sowieckich praw!⁶⁷ I setki moich znajomych więźniów, z doświadczenia wiedzących coś o śledztwie, sądzie, a nierzadko też – o obozach i zesłaniu – otóż nikt z nich nie widział kodeksu i nie miał go w ręku!

I dopiero kiedy oba kodeksy przeżywały ostatnie dni swego trzydziestopięcioletniego istnienia i miały być z dnia na dzień zastąpione przez nowe, dopiero wtedy zobaczyłem je, – te bliźnięta zbroszurowane KK i KPK, na ladzie kiosku w moskiewskiej kolejce podziemnej (zdecydowano się zesać je do handlu, jako zbędne już buble).

I teraz czytam je z rozrzewnieniem. Na przykład – KPK:

– Artykuł 136: funkcjonariusz śledczy nie ma prawa wymuszać na oskarżonym zeznań ani przyznania się do winy stosując przemoc i, groźby (jakby byli przy tym!);

– Artykuł 111: funkcjonariusz śledczy zobowiązany jest do wyjaśnienia wszystkich okoliczności usprawiedliwiających czyn podejrzanego, a także łagodzących jego winę.

(Ale ja walczyłem w Październiku o władzę rad!... Ja brałem udział w rozstrzelaniu Kołczaka!... Ja uczestniczyłem w akcji rozkułaczania!... Ja zaoszczędziłem państwu dziesięć milionów rubli!... Ja dwa razy byłem ranny na ostatniej wojnie!... Ja mam trzy ordery!...

⁶⁷ 20 Znający panującą u nas atmosferę podejrzliwości zrozumieją, dlaczego nie można było zapytać o kodeks w sądzie ludowym, albo w radzie powiatowej. Zainteresowanie kodeksem byłoby symptomem niezwykłym; pytający albo szykuje się do popełnienia przestępstwa, albo zaciera ślady!

NIE ZA TO WAS TERAZ SĄDZIMY! – szczerzy zęby historia uśmiechem oficera śledczego. – To, coście zrobili dobrego – nie ma nic wspólnego ze sprawą)..

– Artykuł 139: oskarżony ma prawo pisać swoje zeznania własnoręcznie i żądać wprowadzenia poprawek do protokołu napisanego przez oficera śledczego.

(Ech, gdybyż to człowiek zawczasu wiedział! A właściwie: gdybyż to naprawdę tak było! A w istocie błaga się śledczego, jak o łaskę – i zawsze daremnie – żeby nie pisał: „moje ohydne kalumnie” – zamiast „moje mylne wypowiedzi”, „nasz podziemny skład broni” – zamiast „mój zardzewiały fiński nóż”)

O, gdyby oskarżonym wykładano zaraz na początku wiedzę więzienną! Gdybyż to z początku robiono śledztwo na próbę, a dopiero potem – na serio... Z repetentami w 1948 roku przecież nie bawiono się już w żadne śledztwa – to byłoby daremne. Ale debiutanci nie mają doświadczenia ani znajomości rzeczy! I nie mają kogo prosić o radę.

Samotność więźnia śledczego! – oto jeszcze jedna przesłanka sukcesu niesprawiedliwego śledztwa! Cały aparat istnieje po to, aby stłamsić i zmiażdżyć wolę samotnego, skrupowanego człowieka. Od chwili aresztowania i przez cały pierwszy, szturmowy okres śledztwa aresztant powinien być w ideale zupełnie sam: w celi, na korytarzu, na schodach, w gabinetach – nigdzie nie powinien on zetknąć się z podobnym sobie, niczyj uśmiech, niczyje spojrzenie nie powinno stać się dla niego źródłem współczucia, rady, otuchy. Organy robią wszystko, aby zamącić mu obraz przyszłości i skazać teraźniejszość: twierdzą, że jego przyjaciele i krewni są już aresztowani, a dowody winy – już znaleziono. Wyolbrzymiają swoje możliwości porachowania się z nim i z jego bliskimi, swoje prawo łaski (którego Organy w ogóle nie mają). Podkreślają związek między szczerością „skruchy” ze złagodzeniem wyroku i obozowego reżymu (nigdy w świecie takiego związku nie było). Chcą – w tym krótkim okresie, póki aresztant jest jeszcze pod wpływem wstrząsu, póki jest udręczony i nie całkiem poczytalny – wydostać jak najwięcej feralnych zeznań, wplątać jak najwięcej Bogu ducha winnych osób (niektórzy wpadają potem w takie przygnębienie, że proszą nawet, aby nie czytać im wcale protokołów, a tylko chcą podpisywać, już tylko pod pisywać) – i dopiero wówczas przenosi go się z pojedynki do dużej celi, gdzie ze spóźnioną rozpaczą pozna on i przeberze w pamięci swoje omyłki.

A jak tu ich nie popełnić w tym pojedynku? Któż by ich nie popełnił?

Powiedzieliśmy, że „w ideale powinien być sam”. Jednak przy więziennym przepiętnieniu 1937 roku (zresztą to samo było w 45.) ta idealna zasada samotności świeżego aresztanta nie mogła być przestrzegana. Prawie od pierwszej chwili aresztant przebywał w ciżbie, przeludnionej celi ogólnej.

Ale to miało swoje zalety, wynagradzające z lichwą odstępstwo od zasad. Tłok w celi nie tylko zastępował ciasnotę pojedynczego boksu, ale okazał się nadto pierwszorzędną torturą: trwać mogła całe doby i tygodnie – bez żadnych dodatkowych starań ze strony funkcjonariuszy: aresztanci torturowali się nawzajem! Upychano w celi tylu więźniów, żeby wcale nie na każdego przypadła kawałek podłogi, żeby ludzie musieli deptać po ludzkich ciałach, żeby w ogóle nie mogli zrobić ruchu, żeby siedzieli na cudzych nogach. Tak więc w Kiszyniowie w 1945

roku do pojedynki włączano OSIEMNASTU ludzi, w Ługarisku w 1937. PIĘTNASTU,⁶⁸ a Iwanow-Razumnik w 1938 roku – w standartowej butyrskiej celi, obliczonej na 25 ludzi, siedział w towarzystwie STU CZTERDZIESTU (wychodki były tak przetadowane, że za potrzebą szło się tylko raz w ciągu doby, czasem nawet nocą, to samo ze spacerami!⁶⁹ Ten sam świadek w łubiańskiej izbie przyjęć, tzw. „psiej budzie”, obliczył, że przez całe tygodnie na jeden metr kwadratowy podłogi przypadało TRZECH aresztantów (porachujcie sami, spróbujcie się pomieścić)⁷⁰ – a w psiej budzie nie było okna, ani wentylacji, ludzie gnietli się i dyszeli w temperaturze 40–45 stopni (!), wszyscy siedzieli w samych gaciach (podścieliwszy sobie ciepłe rzeczy), gołe ich ciała tak stłoczone, że od cudzego potu występowała na skórze egzema. I tak siedzieli TYGODNIAMI, ale nie dawano im ani odetchnąć, ani się napić (prócz sałamachy i herbaty co rano).⁷¹

Jeśli przy tym kibel zastępował wszystkie urządzenia sanitarne (albo na odwrót – od jednego wyjścia za potrzebą do drugiego w celi nie było kibla, jak np. w niektórych więzieniach syberyjskich); jeśli jadło się w czterech z jednej miski, stawiając ją sobie wzajem na kolanach; jeśli to ten – to ów wyrwany na przestuchanie, kto inny zaś wrzucany do celi – pobity, złamany, niezdolny do snu; jeśli wygląd tych załamanych działań skuteczniej od wszelkich gróźb śledczego; tym, których zaś całe miesiące nie wzywano – każdy rodzaj śmierci i każdy obóz wydawał się już lepszy od tego duszenia się w ścisku – to może wszystko to zastępowało teoretycznie idealną samotność? Ponadto, w takiej ludzkiej kaszy nie zawsze zdobędzie się człowiek na zwierzenia i nie zawsze znajdzie sobie kogoś, żeby się poradzić. I prędzej zaczyna się wierzyć w tortury i bicie, kiedy sami ludzie dają ci do wody, niż kiedy śledczy ci tym grozi.

Same ofiary ci powiedzą, że dają człowiekowi słoną lewatywę w gardło i potem – całą dobę siedzi taki w boksie skręcając się z pragnienia (Karpunicz). Albo tarką skrobią ci plecy do krwi i później nacierają, terpentyną. Kombryg Rudolf Pincow poznał jedno i drugie, a jeszcze wbijano mu szpilki pod paznokcie i wlewano w niego wodę do rozpuku – a żądano, żeby podpisał protokół, gdzie było napisane że podczas październikowej parady wojskowej chciał skierować brygadę czołgów na trybunę rządową.⁷² Od Aleksandrowa, zaś, byłego kierownika działu artystycznego W.O.K.S., (Wszechrosyjskiego Towarzystwa Kontaktów Kulturalnych z Zagranicą) człowieka któremu przetrącono kręgosłup, chylącego się na bok i nie potrafiącego powstrzymać łez, można się było dowiedzieć, jak bije (w 1948 roku) sam Abakumow.

⁶⁸ A śledztwo trwało po 8-10 miesięcy. „Bądźcie spokojni, Woroszyłow w takiej pojedynce sam sobie siedział” (za cara) - mówili więźniowie (czy na pewno siedział?) - bo miasto zwało się wtedy Woroszyłowgrad.

⁶⁹ Tamtego roku w Butyrkach nowo przybyli aresztanci (już wymaglowani łaźnią i boksami) po kilka dni i nocy siedzieli na stopniach schodów, czekając, aż zwolnią się miejsca w celach po kolejnej wysyłce na etap. T-w siedział w Butyrkach siedem lat wcześniej, w 1931 i też powtarza: wszędzie tłok, nawet pod narami, leżało się na asfaltowej podłodze. Ja sam siedziałem siedem lat później, w 1945. - i wciąż to samo. A niedawno od M.K.B-cz otrzymałem cenne, osobiste świadectwo, odnoszące się do tłoku w butyrskim więzieniu w DZIEWIĘĆSET OSIEMNASTYM roku: w październiku tego roku (drugi miesiąc czerwonego terroru - po zamachu Fanny Kapłan na Lenina) było tam tak pełno, że nawet w pralni urządzono celę na 70 kobiet! No i kiedyż to w Butyrkach było pusto?

⁷⁰ No, ale to nic nadzwyczajnego: we Włodzimierzu, w więzieniu wewnętrznym w 1948 roku w celi 3x3 metry stało ciągle 30 ludzi! (S. Potapow).

⁷¹ W książce Iwanowa-Razumnika życie codzienne celi w latach 1937-1938 opisane jest bardzo dobrze.

⁷² W istocie Pincow chciał poprowadzić tak swoją brygadę, ale z jakiegoś powodu nie skierował jej tam. Zresztą, tego nie bierze się pod uwagę. Z tym wszystkim, po tych wszechstronnych torturach dali mu... 10 lat z wyroku OSO. Aż do tego więc stopnia żandarmi nie dowierzali własnemu osiągnięciom.

A tak, tak, sam minister bezpieczeństwa państwowego nie gardzi tą czarną robotą (Suworow na linii frontu!) nie wzdraga się przed wzięciem gumowej pałki we własne ręce; tym chętniej bije jego zastępca – Riumin. Robi to w Suchanowce, w "generalskim" gabinecie śledczym. Gabinet ma ściany wyłożone orzechową boazerią, jedwabne portiery na drzwiach i story na oknach, podłogę ma zastaną perskim dywanem. Żeby tych cudów nie zniszczyć, dla bicia kładzie się na dywanie brudny chodnik, poplamiony już krwią. Przy biciu pomaga Riuminowi nie zwyczajny strażnik tylko pułkownik. „Tak – mówi uprzejmym tonem Riumin, gładząc gumową pałkę grubości dobrych czterech centymetrów – próbę bezsenności wytrzymał pan z honorem (Aleksander Dołgan zdołał wytrzymać cały miesiąc bez snu dzięki sprytnemu wybiegowi – nauczył się spać na stojąco) – teraz spróbujemy pałeczki. U nas nikt nie wytrzymuje więcej niż dwa, trzy seanse. Proszę spuścić spodnie i położyć się na chodniku”. Pułkownik siada bitemu na plecach. Dołgan zamierza liczyć uderzenia. Nie wie jeszcze czym jest cios tą gumową pałką w nerw kulszowy, jeśli pośladek schudł od długiego głodu. Ból „odzywa” się nie w miejscu uderzenia – tylko pęka głowa. Po pierwszym ciosie bity wariuje z bólu, obtłumuje paznokcie o chodnik, Riumin wali starając się dobrze celować. Pułkownik napiera całym swoim ciężarem. Jak na trzy duże gwiazdy na pagonach – zajęcie w sam raz – żeby asystować wszechmocnemu Riuminowi! (po seansie pobity nie może chodzić, więc go nie wynoszą, rzecz jasna, tylko wywlekają razem z chodnikiem. Pośladek wkrótce tak rozpuchnie, że nie sposób będzie dopiąć spodni – a blizn prawie nie widać. Zaczyna się dzikie rozwolnienie i siedząc w swojej pojedynce na kiblu, Dołgan zanosi się śmiechem. Ma przed sobą jeszcze drugi seans i jeszcze trzeci. Skóra mu popęka i Riumin, ogarnięty wściekłością, zacznie go bić po brzuchu, przebije opony, jelita wywalą w kształcie ogromnej ruptury, aresztant zostanie odniesiony do Butyrskiego szpitala z zapaleniem otrzewnej i na jakiś czas przestaną go zmuszać, aby popełnił podłość).

Mogą tak i ciebie zadreczyć! Po tym wszystkim po prostu ojcowską pieśczęcią wyda się, uprawiane przez kiszyniowskiego śledczego Daniłowa, bicie popa, Wiktora Szypowalnikowa, pogrzebaczem po karku i włóczenie go za długie włosy (duchownych wygodnie tak włóczyć; świeckich też można – jeżeli ma facet brodę, wtedy łatwo ciągać go z jednego kąta gabinetu w drugi. A Ryszarda Acholę – fińskiego czerwonogwardistę, uczestnika łowów na brytyjskiego agenta, Sydneya Rayleya oraz dowódcę kompanii, biorącej udział w zduszeniu buntu kronsztadzkich marynarzy, chwyтали cęgami to za jeden, to za drugi suty wąs i trzymali go przez dziesięć minut w powietrzu, tak, żeby nogami nie sięgał ziemi).

Ale mogli z człowiekiem zrobić coś jeszcze gorszego: rozebrać do goła od pasa w dół, położyć na podłodze na wznak, nogi na bok, posadzić na nich pomocników (sławny korpus podoficerski), którzy trzymali jednocześnie człowiekowi ręce, a wtedy śledczy – nie brzydzyły się tym także panie – stojąc między tymi rozkraczonymi nogami, czubkiem swojego buta (albo pantofelka) stopniowo, miarowo, coraz silniej przygniatał do podłogi to, co czyniło niegdyś z ofiary męczyznę i patrząc w oczy powtarzał swoje pytania albo propozycje zdrady. Jeśli nie za wcześnie użył całej siły, to człowiek miał jeszcze piętnaście sekund czasu, aby krzyknąć, że się przyznaje, że gotów jest wsadzić także tych dwudziestu ludzi, których chcieli mieć, albo obrzucić błotem w prasie każdą rzecz dotychczas świętą...

I niech go Bóg za to sądzi, a nie ludzie...

„Nie ma wyjścia! Trzeba się przyznać do wszystkiego!” – podszeptują kwoki, podsadzone do tej samej celi.

– Prosta kalkulacja: grunt, to zachować zdrowie – mówią trzeźwi ludzie.

– Zębów później nie wstawią – powiadają ci, co ich już nie mają.

– Wszystko jedno, będzie wyrok, czy się człowiek przyzna, czy nie – konkludują ci, co poznali się na rzeczy.

– Kto nie podpisze, tego rozstrzelują – przepowiada jeszcze ktoś z kąta. – Żeby się zemścić! Żeby nie zostało śladu po takim śledztwie.

– A jak skonasz w gabinecie, to powiedzą krewnym, żeś dostał obóz bez prawa korespondencji. I niech szukają.

A jeśli należysz do ortodoksów, to zbliży się do ciebie drugi ortodoks i rzucając wrogie spojrzenia – czy ktoś niewtajemniczony nie podsłuchuje – zacznie gorącym szeptem kłaść ci w ucho:

– Naszym obowiązkiem jest okazać poparcie sowieckiemu aparatowi śledczemu. To – jak na wojnie. Samiśmy winni: byliśmy zbyt tolerancyjni i rozlała się po kraju ta zgnilizna. Toczy się bezwzględna, tajna wojna. Tu też są wrogowie dookoła – słyszałeś te ich wypowiedzi? Przecież partia nie ma obowiązku tłumaczyć każdemu z nas – po co i dlaczego? Jeżeli tego żąda – to trzeba podpisać i już.

I jeszcze jakiś ortodoks podrzuca swoje:

– Podpisałem na trzydziestu pięciu ludzi, na wszystkich znajomych. Wam też tak radzę: jak najwięcej nazwisk, jak najwięcej ludzi wiążcie z sobą! Wtedy będzie przecież jasne, że to nie trzyma się kupy i wszystkich wypuszczą!

A Organom właśnie w to graj! Wysokie uświadomienie ortodoksa i cele NKWD były naturalnie zbieżne. NKWD potrzebny jest ten szeroki wachlarz nazwisk, ta wzmożona reprodukcja ich. To jest dowód staranności w pracy i to są kołki do zarzucania nowych arkanów. „Wspólnicy! Wspólnicy! Nazwiska twoich kompanów!” natarczywie tarmosili każdego. (Podobno R. Rałow wymienił wśród swoich kompanów kardynała Richelieu, nazwisko znalazło się w protokole – i aż do procesu rehabilitacyjnego w 1956 roku nikt się nie dziwił).

A propos ortodoksów. Dla takiej CZYSTKI potrzeba było Stalina, ale partia też była potrzebna właśnie taka: większość z nich, należących do elity władzy, aż do chwili własnego aresztowania bez żadnej litości pakowała innych do więzienia, posłusznie likwidując sobie podobnych. w myśl tych samych instrukcji, – oddając na zgubę przyjaciół albo towarzyszy walk. I wszyscy znakomici bolszewicy, zaliczeni teraz pośmiertnie w poczet męczenników, zdążyli być katami innych bolszewików (już nie mówiąc o tym, że jeszcze wcześniej WSZYSCY oni zdążyli być katami bezpartyjnych). Być może 37. rok był POTRZEBNY, aby wykazać, jak mało znaczy cały ich ŚWIATOPOGLĄD, którym oni tak się chełpili, wywracając na nice Rosję, łamiąc jej ostoje, depcząc jej świętości – starą Rosję, w której im samym TAKA rozprawa nigdy nie zagrażała. Ofiary bolszewików między rokiem 1918 a 1936 nigdy nie zachowywały się tak żałośnie, jak czołowi bolszewicy, kiedy przyszła ich czarna godzina. Jeśli przypatrzyć się gruntowniej całej historii aresztów i procesów lat 1936–38, to wstręt czuje człowiek nie tylko do Stalina i jego czeladników, ale do tych uniżenie–nędznych podsądnych; jest to obrzydzenie wobec małości ducha, gdy się ją porówna, z dawną ich dumą i nieprzejednaniem.

...No więc jak? jak więc tu ostać się? – kiedy jesteś wrażliwy na ból, słaby, nieprzygotowany, kiedy masz z życiem nie zerwane związki?...

Czego potrzeba, aby być silniejszym od śledczego i całego tego potrzasku?

Trzeba wejść do więzienia bez drżenia o swoje, zostawione za bramą, pełne ciepła życie. Trzeba na progu sobie powiedzieć: moje życie się skończyło, trochę za wcześnie, ale co zrobić. Na wolność nigdy już nie wyjdę. Pisane mi jest, że zginę – teraz, albo trochę później, ale później będzie nawet jeszcze ciężiej, lepiej więc prędko. Nie mam już nic własnego. Bliscy umarli dla mnie – i ja dla nich umarłem. Ciało moje jest dla mnie od dzisiaj czymś obcym i bezużytecznym. Tylko duch mój i moje sumienie są dla mnie dalej drogie i ważne.

Takiemu więźniowi śledztwo może nie dać rady!

Tylko ten zwycięży, który wyrzeknie się wszystkiego!

Ale jak zamienić swoje ciało w kamień?

Przecież z kółka Bierdiajewców zrobiono marionetki przed procesem, a – z niego samego, nie. Chciano go wplątać w sprawę, aresztowany był dwa razy, zaprowadzono go (w 1922 roku) na nocne przesłuchanie do Dzierżyńskiego, w obecności Kamieniewa (a zatem on też nie stronił od walki ideologicznej za pośrednictwem Czeki). Ale Bierdiajew nie poniżał się, nie skomlał, tylko przedstawił im bez żadnych kompromisów te religijne i moralne zasady, które nie pozwalały mu uznać panującej w Rosji władzy – po czym nie tylko uznano, że jest on dla sądu bezużyteczny, ale – wypuszczono go na wolność!

Obstawał przy swoich poglądach.

N. Stolarowa wspomina pewną swoją sąsiadkę z butyrskich nar, staruszkę. Przesłuchiwano ją noc w noc. Dwa lata przedtem nocował w jej mieszkaniu były metropolita, będący w Moskwie przejazdem, bo uciekł z zesłania. – „Wcale nie były, tylko prawdziwy! A to prawda, że Bóg mi go pozwolił gościć”. – Tak, w porządku. A do kogo pojechał z Moskwy dalej? – „Wiem, ale nie powiem!” (Metropolita, dzięki całemu łańcuszkowi wiernych, uciekł już do Finlandii). Oficerowie śledczy pracowali na zmianę i zbierali się grupami, wymachiwali pięściami przed nosem staruchy, ona zaś mówiła im wciąż to samo: „Nic ze mną nie porobicie, choćbyście mnie na kawałki rąbali. Przecież wy się boicie naczałstwa, boicie się siebie nawzajem, boicie się nawet mnie zabić. (Bo „zgubią nitkę”) A ja – ja niczego się nie boję! Mogę choćby zaraz stawać przed Panem Bogiem, niech mnie sądzi!”

Byli, byli tacy w 37., którzy nie wracali z przesłuchania do celi po swoje rzeczy. Którzy woleli śmierć, ale nie obciążyli nikogo.

Nie można powiedzieć, aby historia rosyjskich rewolucjonistów dała nam najlepsze przykłady nieustępliwości. Ale tu nie może być nawet porównania, ponieważ nasi rewolucjoniści nie wiedzieli nigdy, co to takiego prawdziwe dobre śledztwo ze wszystkimi pięćdziesięcioma dwoma sposobami.

Szeszkowski nie torturował Radiszczewa. I Radiszczew dobrze wiedział, że – zgodnie z obyczajami tej epoki – jego synowie będą dalej oficerami gwardii i że nikt im nie złamie życia. I że rodzinnego majątku Radiszczewów nikt nie skonfiskuje. I mimo to po krótkim, dwutygodniowym śledztwie, ten wybitny człowiek wyparł się swoich przekonań, swojej własnej książki – i poprosił o zmiłowanie.

Mikołaj I nie wpadł na pomysł, żeby wyaresztować żony dekabrystów i kazać im krzyczeć w sąsiednim gabinecie, albo żeby ich mężów poddać torturom – ale też nie musiał tego wcale robić. Śledztwo w sprawie dekabrystów prowadzone było w jakimś sensie lojalnie, posyłano im nawet do lochów spis pytań, by dać czas do namysłu. Nikt z dekabrystów nie wspominał później, aby te odpowiedzi traktowane były niesumiennie. Nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności

ci, „co wiedzieli o przygotowaniach do powstania, ale o tym nie donieśli”. Więcej, żaden cień nie padł na rodziny skazańców (wydano specjalny manifest w tym względzie). I wreszcie, darowano winę wszystkim szeregowym; wciągniętym do udziału w powstaniu. Niemniej jednak, nawet Rylejew „dawał odpowiedzi obszerne, szczere i niczego nie ukrywał”. Nawet Pestel pękł i wymienił swoich towarzyszy (będących jeszcze na wolności), którym zlecił zakopanie „Rosyjskiej Prawdy”, wskazał nawet miejsce, gdzie ją zakopano⁷³. Nieliczni tylko, jak Łunin, świecili przykładem lekceważenia i pogardy w stosunku do komisji śledczej. Większość zaś zachowywała się nieporadnie, sypiąc jeden drugiego. Wielu z nich prosiło pokornie o darowanie winy! Zawalishyn wszystko zwał na Rylejewa. E.P. Oboleriski i S.P. Trubeckoj zdążyli wplątać do sprawy Gribojedowa, czemu nawet Mikołaj I nie dał wiary.

Bakunin w "Spowiedzi" adresowanej do Mikołaja I opluł się sam z całą uniżonością i w ten sposób uniknął skazania na śmierć. Czy może wybieg rewolucjonisty?

Zdawałoby się, że ludzie, którzy podjęli się zgładzenia Aleksandra II, powinni być wzorami ofiarnego poświęcenia. Wiedzieli przecież, co ich czeka! Ale podczas gdy Hryniewiecki podzielił los cara, Rysakow pozostał przy życiu i poddany został śledztwu. TEGOŻ DNIA już zaczął sypać konspiracyjne mieszkanie i nazwiska uczestników spisku. Drżąc o swoje młodziutkie życie, starał się skwapliwie dać rządowi więcej informacji, niż ktokolwiek mógł się po nim spodziewać. Zachłystywał się skrucą i obiecywał „zdemaskować wszystkie sekrety anarchistów”.

W końcu tegoż minionego stulecia na początku bieżącego oficer żandarmarii natychmiast WYCOFYWAŁ zadane już pytanie, jeżeli więzień śledczy uznawał, że nie należy ono do rzeczy, albo że zatracca o jego sprawy intymne. – Kiedy w Krestach w 1938 roku starego katorżnika politycznego Zieleńskiego sprano wyściorami, każąc mu przedtem spuścić spodnie, jak uczniakowi, ten rozplątał się w celi: „carski śledczy nie śmiał mi nawet mówić TY!” – Albo na przykład – z pewnej współczesnej pracy badawczej dowiadujemy się, że żandarmi zdobyli rękopis artykułu Lenina „O czym myślą nasi ministrowie?”, ale nie zdołali mimo to dotrzeć do właściwego autora:

„W czasie przesłuchania żandarmi, jak tego można było oczekiwać (podkreślenia i w tym miejscu i dalej są moje – A.S.) dowiedzieli się od Waniejewa (studenta) niewiele. Powiedział on im jedynie to, że znalezione u niego rękopisy przyniósł mu kilka dni przed rewizją w paczce ktoś, kogo on nie chce wymienić. Przesłuchujący nie miał innego wyjścia (jak to? A lodowata woda po kostki? A słona lewatywa? A pączeczka Riumina?...) jak tylko poddać rękopis ekspertyzie”. No i niczego się nie dowiedzieli. Pierświeżow, jeśli się nie mylę, sam odbębnił ileś tam latek i łatwo mógłby obliczyć, jakie jeszcze inne wyjścia miał przesłuchujący, skoro przed nim siedział ktoś, kto wziął na przechowanie artykuł „O czym myślą nasi ministrowie?”!

Jak wspomina S.P. Mielgunow: „To było carskie więzienie, więzienie błogiej pamięci, o którym polityczni więźniowie mogą teraz tylko wspominać z uczuciem nieomal rzewnym”.

⁷³ A przyczyna jest poniekąd ta sama, co w późniejszym przypadku Bucharina: przecież na śledztwie przesłuchują ich bracia, ludzie tego samego stanu. I naturalną jest rzeczą, że człowiek chciałby im wszystko OBJAŚNIĆ.

A teraz – uskok, teraz – rzecz zupełnie innej miary. Tak jak dla poganiacza wół, czumaka z czasów przedgogolowskich niemożliwością jest wyobrażenie sobie szybkości samolotu odrzutowego, podobnie nie sposób ogarnąć wszystkich prawdziwych możliwości śledztwa, jeśli nie przeszło się samemu przez tę szarpaninę, prowadzącą do Gułagu.

W *Izwiestiach* z 24.V.1959 roku czytamy: Julię Rumiancewą biorą do wewnętrznego więzienia hitlerowskiego obozu, aby dowiedzieć się, gdzie jest jej mąż, który z tegoż obozu uciekł. Julia wie – ale odmawia odpowiedzi! Dla niewtajemniczonego czytelnika jest to przykład bohaterstwa. Dla czytelnika z gorzkim gułagowskim doświadczeniem – jest to przykład nieudolności śledztwa: Julia nie skonała w trakcie tortur i nie została doprowadzona do obłędu, tylko po prostu została wypuszczona z więzienia po jakimś miesiącu, żywa i cała!

*

Byłem jeszcze wtedy daleki od wszelkiej myśli, że trzeba być jak z kamienia. Nie tylko, że nie byłem gotów do przecięcia moich ciepłych stosunków z życiem, ale nawet odebranie mi przy aresztowaniu setki zdobycznych ołówków firmy Faber – długo mnie jeszcze bolało. Patrząc potem z więziennej dali wstecz na przebieg mojego śledztwa nie miałem powodów do dumy. Oczywiście, – mogłem i bardziej nieustępliwie się zachować, i zmyślniej wywijać się śledczemu. Przez pierwsze tygodnie nie opuszczało mnie zaćmienie umysłu i upadek ducha. Tylko dlatego te wspomnienia nie ciążą mi na sumieniu, że chwała Bogu, udało mi się nie wpakować nikogo do więzienia. A niewiele brakowało.

Nasze (z moim współoskarżonym Mikołajem Witkiewiczem) pójście za kraty nosiło charakter dziecinny, chociaż byliśmy frontowymi oficerami. Staliśmy sobie z nim listy podczas wojny, z jednego odcinka frontu na drugi, i nie mogliśmy – mimo wojennej cenzury – powstrzymać się od prawie otwartego pakowania do tych pism naszych politycznych żalów i złorzeczeń, jakimi obrzucaliśmy Mędrca nad Mędrcami, przejrzyste przechrzczonego przez nas z Ojca na Pachana.⁷⁴ Kiedy później w więzieniach opowiadałem o mojej sprawie, to nasza naiwność wywoływała tylko śmiech i zdziwienie. Niejeden mi mówił, że drugiej takiej pary cielaków nigdzie nie ma. Już też byłem o tym przekonany. I nagle, czytając pracę o sprawie Aleksandra Uljanowa, dowiedziałem się, że wpadli oni przez to samo – przez nieostrożną korespondencję i że tylko to uratowało życie Aleksandrowi III 1 marca 1887 roku.⁷⁵

Wysoki, obszerny, jasny, z ogromnym oknem, taki był gabinet mojego śledczego, J.J. Jezepowa (b. towarzystwo ubezpieczeń „Rosja” zbudowało swoją siedzibę nie dla tortur). Korzystając z pięciometrowej wysokości jego ścian, zawieszono w nim czterometrowy, długi wizerunek całej postaci wszechpotężnego Władcy, którego ja, nędzny pyłek, darzyłem nienawiścią. Śledczy czasami stawał przed portretem i teatralnie się zaklinał: „Toż myśmy gotowi życie za niego oddać!

⁷⁴ Pachan – herszt bandytów (w żargonie więziennym).

⁷⁵ Uczestnik grupy, Andrejuszkin, posłał swemu przyjacielowi, mieszkającemu w Charkowie, nieostrożny list: „święcie wierzę, że będzie miał u nas miejsce najbardziej bezlitosny terror – i to nawet niezadługo... Czerwony terror – to mój konik... Jestem niespokojny o mego adresata (on już nie pierwszy taki list posyłał! – A.S.) ...jeśli go tralala, to i mnie też mogą tralala, a to byłoby niepożądane, bo pociągnę za sobą dużo bardzo dorzeczných ludzi”. I przez pięć tygodni trwało cierpliwe dochodzenie śladem tego listu – przez Charków, żeby dowiedzieć się, kto pisał go w Petersburgu. Nazwisko Andrejuszкина zostało ustalone dopiero 28 lutego, a 1 marca zamachowcy, już zaopatrzeni w bomby, zostali schwytani na Newskim Prospekcie tuż przed oznaczoną godziną zamachu!

Toż myśmy za niego gotowi pod czołgi się rzucić!" Przed majestatem portretu, godnym prawie ołtarzy, żałośnie brzmiał mój bełkot o jakimś oczyszczonym leninizmie, a ja bluźnierca i potwarca, godny byłem z kolei tylko śmierci.

Treść naszych listów dawała – jak na owe czasy – zupełnie wystarczający materiał dla skazania obu korespondentów. Od chwili gdy listy te zaczęły się gromadzić na stołach cenzorów, los mój i Witkiewicza był już zdecydowany; pozwalamo nam tylko doigrać się aż do końca, dostarczyć więcej pożytecznego materiału. Ale było coś jeszcze gorszego: już cały rok każdy z nas nosił w swojej torbie polowej po egzemplarzu „Rezolucji Nr 1” napisanej w trakcie jednego z naszych frontowych spotkań – i to w dwóch egzemplarzach, aby zachowała się dla potomności nawet wtedy, gdyby któryś z nas zginął. „Rezolucja” ta była energiczną i zwięzłą krytyką całego systemu kłamstwa i opresji, panującego w naszym kraju, następnie, jak w każdym szanującym się politycznym programie, mówiło się tam pobieżnie o sposobach naprawy naszego systemu państwowego, całość zaś wieńczyło zdanie: „wykonanie wszystkich tych zadań niemożliwe jest bez stworzenia odpowiedniej organizacji. „Mój śledczy nie musiał bawić się w żadne naciąganie, to był dokument zapowiadający narodziny nowej partii. I dobrze do tego pasowały te zdania z naszych listów, gdzie była mowa, jak to po zwycięstwie zaczniemy prowadzić „wojnę po końcu wojny”. Mój śledczy nie miał zatem potrzeby zmyślenia czegokolwiek przeciw mnie, starał się tylko zarzucić arkan na każdego, do kogo ja kiedykolwiek pisałem, albo który do mnie kiedyś pisał i czy nasza grupka młodzieży nie miała jakiegoś swego starszego zawiadowcy. Listy do moich rówieśników i rówieśnic szpikowałem buntowniczymi myślami, podpisując się ostrością i brawurą – a przyjaciele jednak dalej do mnie pisywali! W ich odpowiedziach zdarzały się nawet jakieś podejrzanе wyrażenia.⁷⁶ I teraz Jezepow, wzorem Porfirego Piotrowicza, żądał ode mnie, abym logicznie mu wyjaśnił: jeśli my tak wyrażaliśmy się w podlegających cenzurze listach, to cośmy dopiero mogli wygadywać w cztery oczy? Nie mogłem przecież mu tłumaczyć, że cała ostrość wypowiedzi przypadła właśnie na listy... I oto ze zmętniałego mózgu powinienem był teraz wymotać coś bardzo prawdopodobnego o naszych spotkaniach z przyjaciółmi (o spotkaniach była mowa w listach), żeby zgadzało się z tonem pism, żeby było na samej krawędzi polityki – i jednak nie podpadało pod kodeks karny. A jeszcze, żeby te wyjaśnienia płynęły z mego gardła z lekkością oddechu, żeby mogły przekonać śledczego, starego wyjadacza, że ma do czynienia z mizernym, bezdennie szczerym prostaczkiem. I żeby – to najważniejsze – mój leniwy śledczy nie zaczął przetrząsać tego przekłętą brzemienia, które przywiozłem w moim przeklętym kuferku było tam mnóstwo zeszytów moich Dzienników wojennych: naskrobane drobniutko, bladym, twardym ołówkiem, jak końcem igły, zacierające się już gdzieś notatki. To były moje zapędy literackie. Nie dowierzając sile naszej zdumiewającej pamięci, przez wszystkie lata wojny starałem się zapisywać wszystko, co widziałem (to byłoby jeszcze pół biedy) a także wszystko, co słyszałem od ludzi. W moich listach lekkomyślnie przytaczałem całe opowieści moich kolegów z pułku – o kolektywizacji, o głodzie na Ukrainie, o 37. roku;

⁷⁶ 10 Omal wtedy nie przyłączono do nas jeszcze jednego naszego szkolnego kolegi, K. Simoniańca. Z jaką ulgą dowiedziałem się, że został na wolności! Ale po 22 latach pisze mi on takimi słowami: „Z twoich opublikowanych utworów wynika, że oceniasz życie jednostronnie... Obiektywnie stajesz się sztandarem faszystowskiej reakcji na Zachodzie, na przykład w NRF i USA... Lenin, którego ty z pewnością dalej czeisz i lubisz, a zresztą również starszuszowie Marks i Engels potępiliby cię w najsurowszy sposób. Pomyśl sobie o tym!” Więc właśnie myślę sobie: ach, jaka szkoda, że cię wtedy nie wsadzono! Ile ty stracił!...

z wrodzonej pedanterii i nic nie wiedząc o metodach NKWD, zrobiłem dość przejrzyste aluzje do autorów tych opowieści. Od chwili aresztowania, od kiedy te moje dzienniki rzucone zostały przez agentów do mojej walizki opatrzonej łąkowymi pieczęciami, którą to walizkę kazano mi nieść własnoręcznie do Moskwy – gorące kleszcze ścisnęły mi serce. I oto wszystkie te opowieści, tak zwykłe i naturalne w obliczu frontowej śmierci, teraz spoczęły u stóp czterometrowego, gabinetowego Stalina – i zionęły więziennym smrodem na moich czystych, męźnych, buntowniczych kolegów z pułku.

Te dzienniki właśnie najbardziej mnie gnębiły podczas śledztwa. I żeby tylko śledczemu nie przyszła ochota pośłędzieć trochę nad nimi, aby wypreparować z nich żyłą, tętniącą krwią naszego wolnego, frontowego plemienia – ja – tyle, ile trzeba – kajałem się i tyle, ile trzeba wyzybywałem się moich błędów politycznych. To stąpanie po ostrzu brzytwy zadreęczało mnie aż do chwili, gdy stwierdziłem, że jakoś nikogo nie sprowadzają na konfrontację ze mną; aż do pierwszych wyraźnych powiewów końca śledztwa; aż do momentu, gdy po czterech miesiącach przesłuchań, wszystkie zeszyty moich Dzienników wojennych wrzucone zostały do piekielnej gardzieli łubiańskiego pieca, bryznąły tam czerwonymi plewami jeszcze jednej, zniszczonej w Rosji, powieści i czarnymi ćmami sadzy wyfrunęły z najwyższego komina.

Pod tym kominem kazano nam spacerować – w betonowej skrzyni, na dachu Wielkiej Łubianki, na wysokości piątego piętra. Nad piątym piętrem dobudowano mianowicie mur wysoki na trzech chłopów. W uszy wpadały nam głosy Moskwy – wołania samochodowych syren. Ale widzieliśmy tylko ten komin, wartownika na baszcie szóstego piętra i jeszcze ten nieszczęsny skrawek bożego nieba, któremu przyszło rozpostrzeć się nad Łubianką.

O, te sadze! Wciąż padały i padały, a na dworze był pierwszy powojenny maj. Tak dużo ich było podczas każdego naszego spaceru, że między sobą uznaliśmy, iż Łubianka pali swoje wieloletnie archiwa. Moje przepadłe dzienniki były w tym gejerze sadzy tylko strużką, co chwilę ciekła. I wspominałem ten mroźny, słoneczny ranek marcowy, kiedy siedziałem u mojego śledczego. Zadawał mi swoje zwykłe, chamskie pytania; zapisywał moje słowa, pacząc ich sens. Słońce grało w tającym już, mroźnym deseniu na szybach wielkiego okna, przez które nie raz miałem ochotę wyskoczyć – żeby chociaż przez własną śmierć błysnąć nad Moskwą i rąbnąć z czwartego piętra o jezdnię, tak, jak w moich dzieciennych latach jakiś nieznany mój poprzednik wyskoczył w Rostowie nad Donem (z „Trzydziestego trzeciego”). Przez odwilgłe oczka w szybie widać było moskiewskie dachy, dachy – i wesole dymki nad nimi. Ale nie w tamtą stronę zerkiałem, tylko na kurhan rękopisów, usypany na samym środku półpustego, trzydziestometrowego gabinetu, dopiero co zwalony, jeszcze nie posegregowany. W zeszytach, w tekturowych okładkach, w skoroszytach domowej roboty, w paczkach związanych sznurkiem i luźnych, albo po prostu w rozsypce – leżały rękopisy, jak kopiec mogilny pogrzebanego tu ludzkiego ducha i kurhan ten wznosił się swoim czubkiem ponad poziom biurka, nieomal zaślaniając przede mną samego śledczego. I ogarnęło mnie braterskie współczucie, gdy zobaczyłem owoce pracy tego nieznanego człowieka, którego aresztowano minionej nocy, a płody rewizji ciśnięto rankiem na posadzkę tej izby tortur, pod nogi czterometrowego Stalina. Siedziałem tak i myślałem: czyjeż to niepospolite życie przywieziono tu tej nocy, aby je wziąć na męki, poszarpać na strzępy i oddać na spalenie?

O, ileż w tym budynku zginęło pomysłów i dzieł! Toć to cała zaginiona kultura. O, sadzo, sadzo z łubiańskich kominów! I najbardziej boli, że potomkowie uważać będą nasze pokolenie za głupsze, nieudolniejsze i potulniejsze, niż było naprawdę!...

*

Dla wytyczenia prostej wystarczą wszystkiego dwa punkty.

W 1920 roku, jak wspomina Erenburg, Czeka tak stawiała przed nim kwestię: „WY nam wykażcie, że nie jesteście agentem Wrangla”.

A w 1950 roku jeden z wybitniejszych pułkowników MGB, Foma Fomicz Żelaznow, oznajmił więźniom, co następuje: „My nawet nie będziemy się trudzić, żeby mu (aresztantowi) wykazać jego winę. Niech on nam wykaże, że nie miał wrogich zamiarów”.

I na tę ludożerczą, prostą linię nanizaty się między jedną a drugą datą niezliczone wspomnienia o milionach ludzkich losów.

Jest to przyspieszenie i uproszczenie procesu śledztwa, jakiego nie znali dzieje ludzkości. Organy w ogóle oszczędziły sobie wysiłku szukania dowodów winy! Schwytyany królik, dygocący i pobladły, któremu nic wolno do nikogo pisać, ani telefonować i niczego przynieść sobie z domu, pozbawiony snu, jedzenia, papieru, ołówka, nawet guzików, posadzony na gołym taborecie w kącie gabinetu, powinien SAM odnaleźć i wyłożyć na stół przed oczy nieroba-śledczego dowody, że NIE miał wrogich zamiarów! Jeśli zaś ich nie znalazł (a skąd mógł je wydostać?) to tym samym dostarczał śledztwu średnich dowodów swojej winy!

Znałem przypadek pewnego starego człowieka, który wrócił z niemieckiej niewoli i jednak potrafił – siedząc na tym gołym taborecie i gestykulując gołymi rękoma, dowieść swemu śledczemu-potworowi, że NIE zdradził ojczyzny i nawet NIE miał takiego zamiaru! Skandal! No i co, wypuszczono go na wolność? Gdzie tam! – opowiadał mi to on w Butyrkach, nie na Bulwarze Twierskim. Do śledczego przyłączył się drugi śledczy, obaj urządzili staremu cichy wieczór wspomnień, a następnie we dwójkę zredagowali zeznania, jako świadkowie, stwierdzając, że tego wieczoru wygłodzony, senny starzec uprawiał wobec nich antysowiecką agitację! Kto mówi – sieje, kto słucha – zbiera. Starego przekazano trzeciemu śledczemu. Ten rzekł się bezpodstawnego oskarżenia o zdradę ojczyzny, za to przepisowo zapewnił staremu tę samą dychę za antysowiecką agitację podczas śledztwa.

Z chwilą, gdy przestało być dochodzeniem prawdy, śledztwo stało się dla samych funkcjonariuszy śledczych – w wypadkach trudniejszych wykonywaniem obowiązków katowskich, w łatwiejszych natomiast zwykłym zabijaniem czasu, podstawą do pobierania pensji.

A wypadki łatwiejsze zdarzały się zawsze – nawet w osławionym 1937 roku. Na przykład niejaki Borodko oskarżony był o to, że 16 lat przed tą datą jeździł do rodziców do Polski, bez paszportu (a tatuś z mamusią mieszkali o 10 wiorst od niego, ale dyplomaci uzgodnili w Rydze, żeby tę część Białorusi oddać Polsce, ludzie zaś w 1921 roku jeszcze nie byli przyzwyczajeni i jeździli po staremu). Śledztwo zajęło pół godziny: – Jeździłeś? – Jeździłem. – W jaki sposób? – A na koniu. – Masz tu 10 lat za KRD!⁷⁷

⁷⁷ KRD – Kontrrewolucyjna Działalność.

Ale taki pośpiech – to dobre dla stachanowców, ci zaś nie znaleźli naśladowców w błękitnych czapkach. W myśl kodeksu postępowania karnego, na wszelkie czynności śledcze należały się dwa miesiące, jeśli zaś wyłaniały się trudności, to wolno było prosić prokuratora kilkakrotnie o przedłużenie – po miesiącu za każdym razem (a prokuratorzy, rzecz jasna, nie odmawiali). Byłoby więc głupotą narażać własne zdrowie, nie wykorzystywać tych możliwości zwłoki i – jak to mówią w fabrykach – samemu podwyższać własną normę. Urobiwszy ręce i gardło w czasie pierwszego, szturmowego tygodnia każdego śledztwa, wysiliwszy swoją wolę i charakter (o którym mówił Wyszyński), funkcjonariusze śledczy zainteresowani byli w tym, aby każdą sprawę przedłużać, żeby jak najwięcej było spraw starych, nie denerwujących, a jak najmniej nowych. Uchodziło po prostu za nieprzyzwoitość, jeśli ktoś zamykał śledztwo w terminie dwóch miesięcy.

System państwowy sam sobie wymierzał karę za własną nieufność i brak elastyczności. Nie ufał nawet swojej wyborowej kadrze: na pewno oni też musieli podpisywać listę obecności przy każdym wejściu i wyjściu; dla więźniów wzywanych na śledztwo było to obowiązkiem, dla kontroli. Co miał robić funkcjonariusz śledczy, żeby księgowość miała podstawę do zaliczenia mu roboczych godzin? Wzywał któregoś ze swoich przesłuchiwanym więźniów, sadzał go w kacie, zadawał byle jakie pytanie na postrach – i, tak dobrze jak zapominał o nim: czytał gazetę od deski do deski, pisał konspekt z wychowania politycznego, albo prywatne listy, chodził w gości do kolegów (sadzając na swoim miejscu cerbera – strażnika). Mile gawędząc na otomanie z przybyłym w odwiedzinach kolegą, śledczy czasem wracał do rzeczywistości, groźnie spoglądał na więźnia i mówił:

– Widziałeś gada? To jest dopiero gad! No, nie szkodzi, nie pożałuję dla niego *dziewięciu gramów!*

Mój śledczy czynił jeszcze szeroki użytek z telefonu. Tak więc, dzwonił do swojego domu i mówił żonie, zerkając w moją stronę, że dziś będzie przez całą noc prowadził przesłuchanie, tak, żeby nie spodziewała go się wcześniej niż rano (serce mi zamierało: więc przez całą noc mam tu tkwić!). Ale zaraz potem nakręcał numer swojej Kochanki i wśród kocich pomruków umawiał się z nią, że zaraz u niej będzie i zostanie na noc (no, to sobie człowiek pośpi! – i robiło mi się lżej na sercu).

Nieskazitelnym system łagodziły tylko skazy na duszach wykonawców. Niektórzy, bardziej ciekawi świata funkcjonariusze śledczy, lubili wykorzystywać takie „jałowe” przesłuchania dla poszerzenia kręgu swoich życiowych doświadczeń: kazali sobie opowiadać o froncie (o tych właśnie niemieckich czołgach, pod które wciąż jakoś nie mieli czasu się rzucić); o obyczajach, panujących w europejskich i zamorskich krajach, jeśli tam więzień bywał; o zagranicznych sklepach i wyrobach; zwłaszcza zaś – o tamiecznych burdelach i o różnych przygodach z babami.

Kodeks postępowania karnego przewiduje, że prawidłowy przebieg śledztwa w każdym przypadku czujnie nadzorowany jest przez prokuratora. Ale nikt go za naszych czasów nie widział na oczy – aż do tak zwanego „przesłuchania prokuratorowskiego”, dającego do poznania, że śledztwo dobiegło już końca. Mnie także zaprowadzono na takie przesłuchanie.

Podpułkownik Kotów – spokojny, syty blondyn, o twarzy pozbawionej wszelkiego wyrazu, ani zły, ani dobry, w ogóle nijaki, siedział przy biurku i ziewając przeglądał pierwszy raz w życiu akta mojej sprawy. Przez jakieś piętnaście minut –

już w mojej obecności – wniknął w nią, nie przerywając milczenia (ponieważ przesłuchanie to było konieczną formalnością i też podlegało rejestracji, więc nie miało sensu przeglądanie moich akt w innym, nie podlegającym zaliczeniu czasie, a tym bardziej nie opłacało się przez ileś tam godzin obciążać szczegółami sprawy). Sądzę, że nie wyrobił sobie na nią żadnego pojęcia. Wlepił wreszcie w ścianę zupełnie obojętny wzrok i leniwie zapytał, co jeszcze mogę dodać do swoich zeznań.

Powinienby zapytać: czy mam jakieś skargi w związku ze śledztwem? czy nikt na moją wolę nie wywierał niedozwolonego nacisku, czy nie było aktów pogwałcenia prawa? Ale żaden prokurator już od dawna tak nie pytał. A gdyby nawet spytał? Przecież ten gmach ministerstwa z całym swoim tysiącem gabinetów i pięcioma tysiącami jego korpusów śledczych, wagonów, pieczar i ziemianek, rozrzuconych po całym Związku, wszystko to żyło tylko z gwałcenia prawa i nie było w mocy nas dwóch – aby to zmienić. Zresztą, wszyscy prokuratorzy choć trochę wyższej rangi obejmowali swoje stanowiska tylko za zgodą tegoż samego bezpieczeństwa, które... powinni byli kontrolować.

Jego ospałość, i pojednawczość, i zmęczenie, o jakie przyprawiły go te wszystkie nieskończenie głupie SPRAWY – jakoś mnie też się udzieliły. Nie poruszyłem więc kwestii zasadniczej. Poprosiłem tylko o poprawienie jednej, już zbyt widocznej niedorzeczności: oskarżonych było dwóch, ale śledztwo prowadzono dla każdego z osobna (ja byłem przesłuchiwany w Moskwie, mój przyjaciel – na froncie), w ten sposób moja sprawa dotyczyła mnie jednego, a tymczasem odpowiadałem z 11. paragrafu, to znaczy – jako grupa organizacyjna. W konsekwencji poprosiłem go, aby skreślił ten dodatkowy, 11 paragraf.

Jeszcze przez pięć minut wertował moje akta, nie znalazł tam widocznie śladów naszej organizacji, ale tylko westchnął, rozłożył ręce i powiedział:

– No, cóż? Jednostka – to człowiek, a dwie jednostki – to już ludzie.

I nacisnął guzik dzwonka, żeby mnie wyprowadzono.

Wkrótce potem, późnym wieczorem w końcu maja, do tego samego gabinetu prokuratorskiego, gdzie na marmurowym okapie kominka stał brązowy zegar z figurynkami, wezwał mnie mój śledczy na „dwieście szósty”, jak – z uwagi na numer artykułu KPK – nazywała się procedura przeglądu przez samego oskarżonego akt sprawy, pod którym miał złożyć ostatni podpis. Wcale nie wątpiąc, że podpis mój ma w kieszeni, śledczy siedział i szybko pisał akt oskarżenia.

Otworzyłem gruby skoroszyt i już na wewnętrznej stronie okładki znalazłem, uwiecznioną w druku, wstrząsającą wiadomość: okazuje się, że podczas śledztwa miałem prawo wnoszenia na piśmie skarg, odnoszących się do wszelkich nieprawidłowości w jego przebiegu – oficer śledczy zaś miał obowiązek wszywania tych moich skarg do akt w porządku chronologicznym! W trakcie śledztwa! Ale nie po jego zakończeniu...

Niestety, o tym przepisie nie miał pojęcia nikt z tysięcy aresztantów, z którymi później siedziałem.

Wertowałem akta dalej. Zobaczyłem fotokopie moich listów – i zupełnie wypaczoną ich interpretację, dzieło anonimowych komentatorów (takich, jak kapitan Libin). Zobaczyłem kłamliwe hiperbole, do których kapitan Jezepow sprowadził moje ostrożne zeznania.

– Nie zgadzam się. Śledztwo prowadzone było nieprzepisowo – powiedziałem nie bardzo pewnym tonem.

– No dobra, to zaczniemy wszystko od nowa! – powiedział śledczy, krzywiąc złowieszczo wargi. – Szurniemy cię do takiej dziury, gdzie niemieccy policaję siedzą.

I nawet jakby już rękę wyciągnął, żeby odebrać mi tom akt. (A ja prędko przytrzymałem go palcem).

Świeciło złociste słońce zachodu hen, za szybami czwartego piętra Łubianki. Gdzieś tam był maj. Okna gabinetu, jak wszystkie frontowe okna ministerstwa, były zatrzęsnięte na głucho, nie usunięto z nich nawet zimowej uszczelki – żeby gorący oddech i zapach kwitnących drzew nie mógł wtargnąć do tego siedliska tajemnicy. Brązowy zegar na kominku, z którego właśnie spęłzył ostatni promień, wybił cicho godzinę.

Na nowo?... Łatwiej chyba byłoby umrzeć, niż zacząć wszystko jeszcze raz na nowo. Jakies tam życie przecież było w perspektywie. (Gdybym to wiedział – jakie życie!...). A potem – ta dziura, gdzie policajów trzymają. I w ogóle – nie trzeba go złościć, od tego zależy, w jakim tonie będzie napisany akt oskarżenia.

Podpisałem. Podpisałem razem z tym 11 paragrafem. „Wnioski” i tak zmierały w tym kierunku. Nie znałem jeszcze wtedy jego wagi, mówiono mi tylko, że wymiaru on nie zwiększa. Przez ten 11 paragraf trafiłem do katorżniczego obozu. Przez ten sam 11 paragraf już po „zwolnieniu” zostałem bez żadnego nowego wyroku wyekspediowany na wieczne zesłanie.

A może tak jest lepiej. Bo gdyby nie to i owo – nie napisałbym tej książki.

Mój śledczy nie stosował wobec mnie żadnych środków nacisku, prócz bezsenności, kłamstwa, zastraszania – metod zupełnie legalnych. Dlatego nie miał potrzeby – jak to dla lepszej asekuracji robią oficerowie śledczy, czujący, że nabroili – podsunąć mi przy „206” do podpisu zobowiązanie do milczenia: że taki a taki zobowiązuje się pod groźbą odpowiedzialności prawnej (nie wiadomo z jakiego artykułu) nigdy i nikomu nic nie mówić o metodach prowadzenia śledztwa.

W niektórych okręgowych delegaturach NKWD ten zabieg przeprowadzony był seryjnie: blankiet „zobowiązania do nierozgłaszania” podsuwano aresztantowi razem z wyrokiem Kolegium Specjalnego. (A później, już przy zwolnieniu z obozu – zobowiązanie, że nigdy nikomu nie będzie mówił o życiu w obozie).

No i cóż, nasz nawyk pokory, nasz zgięty (albo przetrącony) grzbiet nie pozwalały nam na odmowę, ani na oburzenie wobec tej bandyckiej metody zacierania śladów.

Gdzieś nam się zagubiły MIERNIKI WOLNOŚCI. Nie mamy tego, co niezbędne, aby określić, gdzie ona się zaczyna, a gdzie się kończy. Wciąż od nas biorą, biorą i biorą bez końca te zobowiązania do milczenia. Bierze je każdy, kto ma chęć.

Już nie jesteśmy pewni – czy aby mamy prawo opowiadać o kolejach naszego własnego życia?

IV. BŁĘKITNE WYŁOGI

Podczas całego tego miażdżenia w trybach wielkiej Nocnej Instytucji, gdzie nasze dusze biorą na przemiał, a ciała – drą na strzępy jak łachy gałganiarza – za bardzo cierpimy, zbyt jesteśmy zatopieni we własnym bólu, aby przenikliwym i jasnowidzącym okiem przyjrzeć się wybladłym nocnym katom, którzy nas męczą. Wzbierające w nas nieszczęście zalewa nam oczy – gdyby nie to, jakimież to bylibyśmy kronikarzami dla naszych dręczycieli – bo sami siebie nie opiszą w całej okazałości. Ale niestety – każdy były aresztant dokładnie wspomina swoje śledztwo, wspomni, jak go przyciskano i jaką ropę z niego wyciśnięto a często nie pamięta nawet nazwiska swojego śledczego, co dopiero, żeby miał o nim pomyśleć jako o człowieku. Ja też o każdym moim sąsiedzie z celi potrafię powiedzieć coś ciekawszego i pełniejszego niż o kapitanie bezpieczeństwa Jezepowie, z którym nie mało nasiedzieliśmy się w gabinecie twarzą w twarz.

Wszystkim pozostało w pamięci jedno tylko oczywiste wrażenie zgnilizny – dziedziny całkowicie przeżartej gniciem. Po całych dziesięcioleciach, już bez żadnego gniewu, czy poczucia krzywdy, w sercu już uciszonym, została ta zupełna pewność: to byli niscy, dyszący złością, niegodziwi i – być może – zaplątani ludzie.

Wiadomo, że Aleksander II – właśnie ten car, którego rewolucjoniści wciąż trzymali w szachu i siedmiokrotnie próbowali zabić – któregoś dnia odwiedził zakład śledczy na ulicy Szpalernej (protoplastę Wielkiego Domu), kazał się zamknąć w pojedynce numer 227 i przesiedział tam przeszło godzinę – bo chciał wczuć się w stan ducha tych, których tam więził.

Nie można zaprzeczyć, że, jak na władcę, był to odruch moralny, dowód potrzeby i chęci zrozumienia duchowej strony problemu.

Ale nie sposób wyobrazić sobie, aby ktoś z naszych śledczych, do Abakumowa i Berii włącznie, zechciał choćby na godzinę wleźć w skórę więźnia, żeby posiedział i porozmyślał w pojedynce.

Z tytułu swojej pracy nie mają potrzeby być ludźmi wykształconymi, rozległej kultury i szerokich poglądów – toteż nie są nimi. Praca nie wymaga od nich umiejętności logicznego myślenia – toteż nie bawią się w to.

Ich praca wymaga tylko ścisłego wykonania dyrektyw i braku współczucia dla cierpień – to jest ich mocna strona, to umieją. My, którzy przeszliśmy przez ich ręce, odgadujemy intuicyjnie ich kształty wewnętrzne, odarte do naga z ludzkich uczuć i pojęć.

Kto jak kto, ale oficerowie śledczy wiedzą dokładnie, że sprawy są lipne! Przecież oni – poza oficjalnymi odprawami – nie mogli sobie i kolegom powtarzać serio, że demaskują zbrodniarzy? A jednak – pisali protokoły, arkusz po arkuszu, żeby nas zgnoić? Czy to nie zgadza się zatem z zasadą złodziejskiej moralności: „ja zdechnę jutro, ale ty już dzisiaj!”.

Wiedzieli, że sprawy są lipne, a jednak trudzili się w pocie czoła przez całe lata. Jakże więc?...

Albo zmuszali się, aby NIE MYŚLEĆ (a to już oznacza destrukcję własnej osobowości), bo zakładali po prostu, że tak trzeba! Że ci, co piszą dla ciebie instrukcje, nie mogą się mylić.

Czy pamiętamy, że hitlerowcy posługiwali się tym samym argumentem?⁷⁸

Albo też – Przechodząca Teoria Naukowa, granitowa ideologia. Oficer śledczy ze złowieszczonego Ortu (karna kolonia korymskich obozów, 1938 rok), uduchowiony ustepliwością M. Luriego, b. dyrektora kombinatu metalurgicznego w Krywym Rogu, który zgodził się pokwitować powtórny, obozowy wyrok na siebie samego – tak mu się zwierzył w jakiejś wolnej chwili: „Ty myślisz, że nam sprawia przyjemność stosowanie środków nacisku?”⁷⁹ Ale powinniśmy robić to, czego od nas wymaga partia. Jesteś starym członkiem partii, powiedz, co byś ty robił na naszym miejscu?” I wygląda na to, że Lurie prawie że się z nim zgodził (może dlatego podpisał z taką łatwością, że sam już tak myślał?). Bo to przekonywa, to słuszne.

Ale najczęściej – to cynizm. Błękitne wytygi znaly mechanizm maszynki do mięsa i lubily go. Śledczy Mironienko w Dzyndinskich obozach (1944 rok) tak prawił skazanemu Babiczowi, popisując się logiką swego rozumowania: „Śledztwo i sąd – to tylko nadanie formy prawnej, to już nie może wpłynąć na wasz los, bo jest on określony z góry. Jeśli trzeba was rozstrzelać, to możecie być absolutnie niewinnym człowiekiem – wszystko jedno, będziecie rozstrzelani. Jeśli trzeba was uniewinnić (odnosi się to zapewne do SWOICH – A.S.) to możecie mieć tysiąc win – będziecie oczyszczeni z nich i wyjdziecie na wolność”.

– Naczelnik 1. oddziału śledczego Zarządu Okręgowego Bezpieczeństwa Państwowego Zachodniego Kazachstanu Kuszniarow, tak palnął do Adolfa Cywilki: „Toć nie można cię wypuścić, skoroś z Leningradu!” (to znaczy z długim partyjnym stażem).

„Dajcie tylko człowieka, paragraf się znajdzie!” – to właśnie wielu z nich tak dowcipkowało, to było ich powiedzonko. To, co w naszym języku nazywa się torturą, dla nich jest – dobrą robotą. Żona śledczego Mikołaja Grabiszczenko (kanat wołżański) mówiła sąsiadom z rozczuleniem: „Kola jest bardzo dobrym fachowcem. Jeden taki długo nie chciał się przyznać – więc powierzono go Koli. Kola z nim porozmawiał sobie w nocy – i tamten zaraz się przyznał”.

Dlaczego jednak z taką gorliwością wprzęgli się oni do wyścigu – nie o prawdę, tylko o LICZBĘ poddanych obróbce i skazanych? Dlatego, że tak im było WYGODNIEJ, że w ten sposób nie oddalali się od głównego nurtu. Dlatego, że te liczby – to było ich spokojne życie, ich dodatki do pensji, ich premie, ich awanse, to był rozrost i prosperowanie samych Organów. Mając dobre wskaźniki ilościowe, można było i trochę powatkonąć się, i pozwolić sobie na fuszerkę, i spędzić wesoło nockę (tak też robili). Niskie wskaźniki cyfrowe doprowadziłyby zaś do rozpędzenia i degradacji, do utraty tego żłobu – bo Stalin nie byłby w stanie uwierzyć, że w jakimś powiecie, mieście lub jednostce wojskowej nie ma wcale wrogów.

Tak więc – nie uczucie litości, lecz urazy i rozdrażnienia budzili w nich ci oporni dranie, aresztanci, którzy nie chcieli się przekształcać w cyfry, którym nie dawały rady ani bezsenność, ani karcer, ani głód! Nie chcąc przyznać się do winy – podważali pozycję śledczego! To tak, jakby próbowali jego samego wywalić! –

⁷⁸ Nikt nie może się uchylić od przeprowadzenia tego porównania: zbyt duża jest zbieżność i dat, i metod. Konfrontacja była czymś jeszcze bardziej naturalnym dla ludzi, którzy mieli do czynienia i z Gestapo i z MGB, jak np. Jewgienij Iwanowicz Diwnicz, emigrant. Gestapo zarzucało mu działalność komunistyczną wśród rosyjskich robotników, wywiezionych do Niemiec, MGB – współpracę z międzynarodową burżuazją. Wnioski Diwnicza nie przemawiały na korzyść MGB: pastwiono się i tu, i tam, ale Gestapo chciało jednak wydostać z człowieka prawdę i gdy zarzuty się nie potwierdziły – Diwnicz został wypuszczony. MGB zaś nie szukało prawdy i nie miało zamiaru wypuścić z pazurów nikogo, kto raz się w nie dostał.

⁷⁹ Jest to pieszczotliwa nazwa TORTUR.

A tu już wszystkie sposoby są dobre! Jak wojna, to wojna! Szlauch ci w gardło, chleję stoną wodę!

Ze względu na rodzaj zajęcia i dokonany wybór życiowy – wyzbyci WYŻSZEJ kategorii ludzkich przeżyć, służebnicy Błękitnej Instytucji z tym większą intensywnością i łapczywością oddawali się życiu w strefie niższej. Tam zaś władaty nimi i kierowały najsilniejsze (prócz głodu i popędu płciowego) instynkty niższej strefy: instynkt WŁADZY i instynkt ZYSKU. (Przede wszystkim – władzy. W naszych czasach okazała się ona ważniejsza od pieniędzy).

Władza – to trucizna, to wiadomo od tysiącleci. Obyż to nikt nigdy nie pozyskał władzy materialnej nad innymi! Ale dla człowieka, który wierzy, że jest nad nami coś wyższego – i jest dlatego świadomy własnej ograniczoności – władza nie jest jeszcze śmiertelną groźbą. Dla ludzi bez owej wyższej strefy, władza – to jad trupi. Jeżeli się nim zaraża – to nie ma ratunku.

Pamiętacie, co Tołstoj pisze o władzy? Iwan Iljicz miał taką pozycję urzędową, że mógł zgubić każdego, kogo zgubić miałby chęć! Wszystkich bez wyjątku miał w ręku, każdego, najwyższej nawet rangi, można było sprowadzić do niego w charakterze oskarżonego. (Ależ to mowa o naszych błękitnych! Nic dodać, nic ująć!) Świadomość tej władzy („i możliwość jej miarkowania” – zastrzega się Tołstoj, ale to już nie odnosi się do naszych zuchów) stanowiły dla niego najciekawszą i najbardziej atrakcyjną stronę pracy.

Gdzie tam atrakcyjną – upajającą! Przecież to upaja – jesteś jeszcze młody, mówiąc między nami – smarkacz, jeszcze Niedawno rodzice łamali nad tobą ręce, nie wiedzieli – co z tobą począć, taki głupi – a uczyć się nie chce, ale pochodziłeś trzy latka do tej uczelni – i tak wysoko się wzniosłeś! Jak zmienia się twoja sytuacja życiowa! Jakiej zmianie uległy twoje ruchy, spojrzenie, sposób obracania głowy! Odbywa się posiedzenie rady naukowej instytutu. Wchodzisz – i zaraz każdy zwraca uwagę, każdy wzdrygnął się nawet; nie pchasz się do prezydium, niech tam rektor świeci oczyma, ty siądziesz sobie z boku,

... I ale wszyscy rozumieją, że to ty jesteś tu najważniejszy – ty, specwydział. Możesz posiedzieć pięć minut i wyjść, na tym polega twoja wyższość nad profesorami, mogą cię wzywać jakieś ważniejsze sprawy ale później nad ich rezolucją zmarszczysz tylko brwi (albo jeszcze lepiej – skrzywisz wargi) i powiesz do rektora: „Nie można, są pewne względy...” I już! I nic z tego! Albo – jesteś w specoddziale, w SMIERSZ-u, masz zaledwie rangę lejtnanta, ale stary, dorodny pułkownik, dowódca jednostki, na twój widok wstaje, stara ci się przypochlebić, dogodzić, nie wypije kieliszka wódki z naczelnikiem sztabu, żeby nie zaprosić cię do towarzystwa. To nic, że masz tylko dwie małe gwiazdki, to nawet zabawne: przecież twoje gwiazdki mają całkiem inny ciężar, mierzy się je zupełnie inną miarką niż te, co noszą zwyczajni oficerowie (czasami, przy specakcjach, pozwala się wam przypiąć inne, choćby i majorowskie, to jest pseudonim, rzecz umowna). Nad wszystkimi ludźmi w tej jednostce wojskowej, w tej fabryce, albo w tym rejonie masz władzę, sięgającą nieporównanie głębiej, niż władza dowódcy, dyrektora, sekretarza rejkomu. Od tamtych zależy praca, zarobki, dobre imię człowieka, od ciebie – jego wolność. I nikt nie ośmieli się wspomnieć ciebie na zebraniu, nikt nie ośmieli się napisać o tobie w gazecie – ach, nie tylko źle! dobrze – też się nie ośmieli! Ciebie, jak tajemnicze bóstwo, nie wolno nawet wymieniać! Jesteś – i tyle, wszyscy czują twoją obecność! – ale jest tak, jakby cię nie było! I dlatego stoisz ponad władzą publiczną od chwili, gdy ukryła się pod tą błękitną czap~ką. Co TY

robisz – nikt nie śmie kontrolować, ale każdy inny podlega twojej kontroli. Dlatego, w obecności zwykłych ludzi, tak zwanych obywateli (dla ciebie są to zwykłe klocki) najlepiej zachowywać nieprzenikniony, zamyślony wyraz twarzy. Przecież tylko ty wiesz, na czym polegają specwzględy, nikt inny. Dlatego zawsze masz rację.

Jedno tylko zawsze miej na uwadze: ty też byłbyś takim klockiem, gdyby nie to, że szczęściem stałeś się ogniwikiem Organów – tej giętkiej, jednolitej, żywotnej istoty, żyjącej w państwie, jak soliter we wnętrzu człowieka – i teraz wszystko jest twoje! Wszystko stoi przed tobą otworem! – byle byś wierny był Organom! Rób wszystko, co ci każą! Same znajdą dla ciebie miejsce w życiu: dziś jesteś w specoddziale, jutro zajmiesz fotel oficera śledczego, a później może pojedziesz jako ekolog nad jezioro Seliger, być może także po to, aby podleczyć nerwy. Nie-wykluczone, że z miasta, gdzie trochę już za bardzo jesteś znany, pošlą cię później na drugi koniec kraju, by zostać pełnomocnikiem do spraw cerkwi.⁸⁰ Albo zostaniesz sekretarzem odpowiedzialnym Związku Literatów.⁸¹ Nie dziw się niczemu: prawdziwe przeznaczenie człowieka i właściwe jego miejsce na drabinie służbowej znają tylko Organy, całej reszcie pozwalają tylko się pobawić: żyje sobie jakiś tam zasłużony artysta albo bohater pól socjalistycznych, a dmuchnie człowiek – i już go nie ma.⁸²

Praca śledczego wymaga naturalnie wysiłku: trzeba bywać w gmachu we dnie, a także i w nocy, przesiadywać godzinami – ale nie musisz łamać sobie głowy nad „dowodami” (niech więźnia o to głowa boli), nie zastanawiaj się – winny, czy niewinny – rób tak, jak chcą Organy i wszystko będzie dobrze. Od ciebie samego już będzie zależeć, żeby śledztwo było jak najprzyjemniejsze, żeby nie za bardzo się zmęczyć, żeby coś przy okazji mieć z tego interesu, to byłoby dobrze, żeby przynajmniej mieć rozrywkę! Siedzi człowiek i siedzi i nagle przychodzi do głowy nowy sposób nacisku! – eureka! – dzwoni do przyjaciół, wstępuje do paru gabinetów, opowiedz – ale śmiechu! a spróbować by, chłopaki, tylko na kim? Przecież nudno patrzeć wciąż na jedno i to samo, nudne są te trzęsące się ręce, błagalne spojrzenia, tchórzliwa pokora, żeby chociaż który się sprzeciwił, co? „Lubię silnych przeciwników. Przyjemnie łamać im grzbieć!”⁸³

A jak trafi się taki silny, że się nie podda, że wszystkie twoje sposoby na nic? Wściekasz się? Nie hamuj wściekłości! To wielka przyjemność, to jest jak lot – pofolgować swojej wściekłości bez przeszkód! Rozmach! Właśnie w takim stanie ducha pluje się przekłębemu więźniowi w rozwarty pysk! i wciska mu się gębę w pełną spluwaczkę!⁸⁴ Właśnie wtedy ciągnie się popów za włosy! i szczy się w jadaczkę klęczącemu człowiekowi! Po ataku wściekłości czujesz się prawdziwym mężczyzną!

Albo przesłuchuje się „dziewczynę od cudzoziemca”.⁸⁵ No, zwymyśla się ją, no, rzuci się pytanie: „A co, taki Amerykanin to ma... szlifowanego, na wysoki poziom, czy jak? Co, ruskich ci było mało?” I nagle pomysł: toż ona u tych cudzoziemców tego i tamtego się nauczyła. Nie tracić okazji, to coś w rodzaju delegacji za granicę! I zaczynasz ją badać już bez pardonu: „„„Jak to robiliście? w jakich

⁸⁰ Srogi jarosławski śledczy – Wolkopiałow – pełnomocnik do spraw Cerkwi w Mołdawii.

⁸¹ Inny Iljin, Wiktor Nikołajewicz, były generał-lejtnant bezpieczeństwa.

⁸² Ktoś ty taki? – zapytał generał Sierow w Berlinie biologa światowej sławy, Timofiejewa-Ressowskiego. – A ty ktoś taki? – odpalił mu rezolutnie T. Ressowski ze swoim dziedzicznym, kozackim zawadiactwem. – Jest pan uczonym? – zreflektował się Sierow.

⁸³ Powiedział to do G.G.-wa leningradzki śledczy Szytow.

⁸⁴ Wypadek z Wasilewem u Iwanowa-Razumnika.

⁸⁵ Estera R., 1947.

pozycjach?... a jeszcze w jakich?... szczegóły! każdą drobnostkę! (i dla siebie się przyda i kolegom opowiem!). Dziewucha cała w pąsach i we łzach mamrocze, że to sprawy nie dotyczy – „właśnie, że dotyczy! gadaj!” I patrz, co to znaczy mieć władzę – ona ci wszystko szczegółowo opowie, jak zechcesz, to narysuje, jak zechcesz – to własnym ciałem pokaże, bo nie ma wyjścia, w twoich rękach jest jej karcer i jej wyrok.

Zamówiłeś⁸⁶ stenotypistkę do notowania zeznań. Przystali ci przystojną, więc zaraz zacznij się do niej dobierać, w obecności więźnia-smarkacza⁸⁷ – co się go masz krępować, alboż to człowiek?

Zresztą, kogo w ogóle masz się wstydzić? Toż – jeżeli lubisz baby (a kto ich nie lubi?) – to głupcem będziesz, jak nie wykorzystasz swojej pozycji. Jedne polecą na twoją siłę, inne ulegną ze strachu. Wpadła ci gdzieś w oko dziewczyna, zapamiętaj ją sobie, będzie twoja, nigdzie się nie podzieje. Cudza żona ci się trafiła, wszystko jedno czyja – już twoja! – bo to fraszka usunąć z drogi jej męża.⁸⁸

Nie, to trzeba samemu przeżyć – co to znaczy nosić błękitną czapkę! Każda rzecz, jaka ci w oko wpadnie – jest twoją! Każde mieszkanie, jakie ci się spodoba – jest twoje! Każda baba – twoja! Każdego wroga – z drogi! Ziemia pod nogami – też twoja! I niebo nad głową twoje, błękitne!!

A już namiętność posiadania – to wspólna ich pasja. Jak tu takiej władzy i takiego braku kontroli nie wykorzystać dla wzbogacenia się? Toż trzeba by być świętym!...

Gdyby dane nam było poznać ukryte motywy poszczególnych aresztowań, to ze zdziwieniem moglibyśmy stwierdzić, że przy ogólnej tendencji do wsadzania – konkretna decyzja kogo wsadzić, los poszczególnych jednostek, w trzech czwartych wypadków zależał od czyjejś chęci zysku czy mściwości, a połowa tych przypadków – od interesownych rachub miejscowego NKWD (i naturalnie – prokuratora – nie trzeba ich rozdzielać).

Jak zaczęła się, na przykład, 19-letnia wędrówka Wasyla Grigoriewicza Własowa po Archipelagu? Od tego, że Własow, kierownik rejonowej Spółdzielni Spożywców zarządził sprzedaż towarów tekstylnych (których by dzisiaj nikt nawet do ręki nie wziął...) dla aktywu partyjnego (że nie dla wszystkich, to nikomu nie przeszkadzało), a żona prokuratora nie zdążyła skorzystać: nie było jej na miejscu, a prokurator Rusow krępował się sam podejść do lady, Własow zaś nie połapał się, nie powiedział „nie szkodzi, ja dla was zostawię” (zresztą, charakter by mu nigdy nie pozwolił powiedzieć czegoś takiego) Nie dość na tym: Prokurator Rusow

⁸⁶ Śledczy Pochilko, GB w Kamerowie.

⁸⁷ 11 Uczeń Misza B.

⁸⁸ 13 Dawno już mam w teczce temat do opowiadania „popsuta żona”. Ale chyba nie zdobędę się, żeby to napisać; oto on. W pewnej dalekowschodniej jednostce lotniczej – rzecz dzieje się przed wojną w Korei – pewien podpułkownik, po powrocie z delegacji dowiedział się, że żona w szpitalu. Tak się stało, że lekarze powiedzieli mu prawdę: jej organy płciowe są okaleczone na skutek patologicznego zachowania się partnera. Podpułkownik skoczył do żony, i wydobył z niej wyznanie, że chodzi o specodziałowca ich jednostki, starszego lejtnanta (zresztą, zdaje się, nie bez pewnej skłonności z jej strony). Podpułkownik w pasji wbiegł do gabinetu rywala, wyciągnął pistolet i groził, że go zabije. Ale bardzo szybko starszy lejtnant doprowadził do tego, że podpułkownik spuścił z tonu i wyszedł z gabinetu pokonany i godny litości: zagroził, że zgnoi go w najgorszym obozie, gdzie ludzie modlą się o śmierć bez mąk. Rozkazał mu przyjąć z powrotem żonę jak leci (były tam już jakieś zmiany nieodwracalne), żyć z nią, nie ośmielać się mówić o rozwodzie, ani skarżyć się – to była cena za pozostanie na wolności! I podpułkownik wszystko posłusznie wykonał (opowiedział mi to kierowca tego lejtnanta ze specodziału).

Podobnych wypadków powinno być sporo: jest to dziedzina, gdzie człowieka najbardziej kuszą, żeby skorzystać ze swojej władzy. Pewien gebista zmusił (1944) córkę generała armii do małżeństwa ze sobą, grożąc jej, że w przeciwnym wypadku wsadzi ojca. Dziewczyna miała narzeczonego, ale – chcąc ratować ojca – wyszła za mąż za gebistę. W trakcie swego krótkiego pożycia małżeńskiego prowadziła pamiętnik, oddała go ukochanemu i popełniła samobójstwo.

przyprowadził do specjalnej stołówki dla aparatu (były takie w latach 30.) przyjaciela, nie mającego przydziału do niej (to znaczy – niższej rangi), kierownik zaś stołówki nie pozwolił przyjacielowi obsłużyć. Prokurator zażądał od Własowa, aby kierownika ukarał, ale Własow nie zrobił tego. I jeszcze jakiś podobny afront zrobił rejonowemu NKWD. Zaliczony więc został do prawicowej opozycji.

Motywy i posunięcia błękitnych wyłogów bywają tak małostkowe, że nieraz bierze podziw. Pełnomocnik operacyjny Sienczenko skonfiskował aresztowanemu oficerowi mapnik i połówkę, a potem w jego obecności posługiwał się nimi. Innemu aresztowanemu, przez sprytną redakcję protokołu, odebrał zagraniczne rękawiczki. (Przy ofensywach, to ich osobliwie muliło, że nie są pierwsi do szabrowania łupów). – Agent kontrwywiadu 48 Armii, który mnie aresztował, połasił się na moją papierośnicę – to była nawet nie papierośnica, ale jakieś niemieckie służbowe pudełko, tylko że czerwone, wpadającego w oczy koloru. I dla tego śmiecia przeprowadził on cały manewr służbowy: z początku nie wprowadził pudełka do protokołu („to możecie sobie zatrzymać”), później kazał mnie znów obszukać, wiedząc dobrze, że niczego więcej w kieszeniach nie ma. „A to co? Zabrać!” – a żebym nie protestował: „Do karceru z nim!” (Jaki carski żandarm śmiałby się tak zachować wobec frontowego żołnierza?). – Każdemu śledczemu należał się przydział tyłu a tyłu papierosów, aby dla zachęty częstować przyznających się i donosicieli. Byli tacy, co wszystkie te papierosy fasowali dla siebie. – Nawet z godzinami śledztwa – godzinami nocnymi, za które płaci się im dodatki – pozwalają sobie na szachrajstwa: widywaliśmy na nocnych protokołach sztucznie rozciągnięte terminy „od” i „do”. Śledczy Fiodorow (stacja Reszety) przy rewizji w mieszkaniu niejakiego Korzuchina sam ukraść mu zegarek ręczny. – Śledczy Mikołaj Iwanowicz Krużkow podczas leningradzkiej blokady powiedział do Elżbiety Wiktorowny Strachowicz, żony jego więźnia śledczego, K.I. Strachowicza: „Potrzebna mi jest kołdra watowa. Przynieście!” Kobieta odparła: „Ten pokój, gdzie są nasze ciepłe rzeczy jest opieczętowany!” Śledczy pojechał do ich domu; nie tykając plomby urzędowej odkręcił cały zamek („Tak pracuje NKGB!” wyjaśnił z uśmiechem) i zaczął grabić zimowe rzeczy, pakując jeszcze po drodze kryształ do kieszeni. (Elżbieta Wiktorowna ze swojej strony też wynosiła, co mogła z własnego majątku. „Dosyć tego plądrowania!” powstrzymywał ją Krużkow, dalej robiąc swoje).⁸⁹

Podobne wypadki można cytować bez końca, można wydać tysiące „Białych ksiąg” (zaczynając już od roku 1918), starczy systematycznie przepytwać aresztowanych i ich żony. Być może są i byli błękitni, którzy nigdy nie kradli, niczego sobie nie przywłaszczyli – Ale ja sobie takiego błękitnego zupełnie wyobrazić nie mogę! Nie rozumiem po prostu: co może powstrzymać człowieka z takim światopoglądem, jeżeli jakas rzecz mu się spodoba? Jeszcze na początku lat 30., kiedy chodziliśmy w bluzach jungsturnu i budowaliśmy zręby pierwszej pięciolatki, oni spędzali wieczory w salonach, gdzie panowały maniery ziemiańsko-zachodnie jak mieszkanie Konkordii Josse – a ich damy olśniewały zagranicznymi strojami – skąd więc to wszystko się brało?

A nawet ich nazwiska! Zupełnie jakby ich według tych nazwisk przyjmowano do służby! Na przykład w Kemerowskim GB okręgowym w początkach lat 50. słu-

⁸⁹ W 1954 roku ta energiczna i nieustrudzona kobieta (mąż wszystko puścił w niepamięć, nawet wyrok śmierci i powtarzał: co tam, nie trzeba!) występowała jako świadek oskarżenia w procesie Krużkowa. Ponieważ nie był to pierwszy wypadek i ponieważ Krużkow działał na szkodę Organów, dostał 25 lat. Czy aby na długo go zamknęli?...

żyli: prokurator Trutniew, naczelnik wydziału śledczego major Szkurkin, jego zastępcą podpułkownik Bałandin i śledczy Skorochwatow.⁹⁰ Tego nikt by nie wymyślił. A jeszcze wszyscy do kupy! (O Wołkopjałowie, o Grabiszczence już mówiłem). Czy naprawdę nic się nie odbija w ludzkich nazwiskach, a jeszcze w takim zagęszczeniu?

Ach, ta pamięć aresztancka: Iwan Korniejew zapomniał nazwiska tego pułkownika bezpieczeństwa, przyjaciela Konkordii Josse (okazało się, że była ich wspólną znajomą), z którym razem siedział we Włodzimierskim izolatorze. Pułkownik ten był wcieleniem instynktu władzy, oraz instynktu zysku, złączonych nierozdzielnie. W pierwszych miesiącach 1945 roku, u szczytu sezonu łupów wojennych, wyprosił skierowanie do tego działu Organów, który (pod wodzą samego Abakumowa) kontrolował ten rabunek, to znaczy starał się jak najwięcej urwać – nie dla państwa, ale dla siebie (co mu się bardzo dobrze udało). Nasz bohater zgarniał całymi wagonami, wybudował sobie kilka dacz (jedną w Klinie). Po wojnie został mu taki rozmach, że gdy przybył jednego razu na dworzec w Nowosybirsku, kazał przepędzić wszystkich siedzących w restauracji, a dla siebie i swoich kompanów – sprowadzić dziewczuchy i baby, które zmusił do tańczenia na golasa na stołach. Ale nawet to by mu uszło płazem, gdyby nie wykroczył przeciw innemu, ważniejszemu prawu: tak jak Krużkow zaczął działać na szkodę swoich. Tamten okradał Organy, a ten zrobił chyba coś jeszcze gorszego: zakładał się, że uwiedzie żonę temu, czy owemu – i nie byle komu, tylko zwykle koledze, innemu oper-czekiście. Tego mu nie darowano! – wsadzono go do politizolatora z artykułu 58. Siedział zły, że śmieli go wsadzić i nie miał wątpliwości, że jeszcze zmienią zdanie. (Może też zmienili).

Ta fatalność, żeby samemu wpaść wcale nie tak rzadko przytrafia się błękitnym, stuprocentowej asekuracji tutaj nie ma, ale lekcja przeszłości jakoś ciężko im wchodzi do głowy. Chyba to znów skutek braku rozumu wyższego typu, ten niższy zaś podpowiada: rzadko kiedy, na pewno mnie to ominie, zresztą moi nie dadzą zginąć.

Swoi rzeczywiście starają się nie opuścić kolegi w potrzebie, mają jakby milczącą umowę: swoim zapewniać przynajmniej ulgowe warunki (pułkownikowi I.J. Worobiewowi w marfińskim specwięzieniu, wspomnianemu już generałowi W.N. Iljinowi na Łubiance, gdzie siedział przeszło 8 lat). Tym, których wsadza się indywidualnie, za ich własne błędy, dzięki tej kastowej przezorności bywa zwykle nie tak źle – i w ten sposób znajduje usprawiedliwienie ich poczucie bezkarności, nigdy ich nie opuszczające podczas służby. Znane są zresztą niektóre wypadki, gdy obozowi pełnomocnicy operacyjni posłani byli po wyroku do ogólnych obozów, gdzie nawet spotykali byłych swoich podwładnych – zeków i wtedy kończyło się to dla nich niedobrze (na przykład oper Munschyn, który nienawidził zaciekle skazanych z 58 artykułu i – opierając się na szemranych – został w końcu przez tychże szemranych zapchnięty pod nary). Nie mamy jednak sposobu, aby bardziej szczegółowo zbadać te wypadki i mocje lepiej wyjaśnić.

Wszystkim za to ryzykują ci gebiści, którzy porwani zostają przez potok (oni też mają swoje potoki!...) Potok – to żywioł, silniejszy nawet od samych Organów i tu

⁹⁰ Oto z czym kojarzą się Rosjanom te nazwiska: Truteń – jak po polsku, szkura, szkurnik – sobek, balanda – więzienna salama-cha, wreszcie – skorochwatow – skory do łapania.

już nikt ci ręki nie poda, aby nie zostać samemu wciągniętym do tej samej przepaści.

Jeśli masz dobre informacje i ostrą świadomość czekisty, to jeszcze w ostatniej chwili możesz umknąć przed lawiną – wykazując, że ciebie ona nie dotyczy. Tak więc, kapitan Sapenko (nie ten charkowski stolarz–czekista, który zastrzył w 1918 roku rozstrzelaniami, gmeraniem szabłą w brzuchu, łamaniem goleni, rozbijaniem głów odważnikami i przypalaniem ciała, ale może jakiś jego krewny?) nieszczęśliwym przypadkiem pojął z miłości za żonę niejaką Kochańską, repatriantkę z Chin, z KWŻD. I nagle, jeszcze przed narodzinami potoku, dowiedział się, że ludzie z KWŻD mają być wyaresztowani. Był on w tym okresie naczelnikiem oddziału operacyjnego w Archangielskim GPU. Zdecydował się, nie tracąc ani chwili: – ARESZTOWAŁ UKOCHANĄ ŻONĘ! – nawet nie za to, że była z KWŻD; skombinował jakąś inną przyczynę. Nie tylko, że ocalał sam, ale dostał awans, został naczelnikiem NKWD w Tomsku.⁹¹

Potoki rodziły się na zasadzie jakiegoś tajemniczego prawa rotacji kadr w Organach: okresowo poświęcano jakąś małą ich część, aby pozostali mogli chodzić w aureoli czystości. Organy musiały zmieniać kadry częściej, niż na to pozwalała zwykła zmiana pokoleń: ławice gebistów musiały iść do sieci tak samo bezapelacyjnie, jak giną jesiotry na porohach rzecznych po to, aby narybek mógł zająć ich miejsce. Prawo to było dobrze widoczne dla każdego, kto zachował górną strefę władz umysłowych, ale sami błękitni ani rusz nie chcieli tego prawa uznać i jego skutków przewidzieć. Królowie Organów, tuzy Organów i nawet sami ich ministrowie, w oznaczonym dniu i zapisanej w gwiazdach godzinie kładli głowy pod ostrze własnej gilotyny.

Jedną ławicę pociągnął za sobą Jagoda. Chyba sporo tych sławnych działaczy, których jeszcze będziemy podziwiać, przy omawianiu sprawy Kanału Białomorskiego, trafiło do tej ławicy, a ich nazwiska trzeba było później wykreślać z poematów.

Drugą ławicę wkrótce potem poprowadził Jeżów, którego panowanie niezbyt długo trwało. Niektórzy z najwaleczniejszych rycerzy roku 1937 zginęli w tym prądzie (ale nie trzeba przesadzać, wcale a wcale nie wszyscy najlepsi). Samego Jeżowa w śledztwie bito, wygląd miał żałosny. Osierocony został przez te aresztowania także sam GUŁag. Na przykład, razem z Jeżowem wsadzono naczelnika Działu Finansowego GUŁagu, i naczelnika Zarządu Sanitarnego GUŁagu, i naczelnika WOCHRY⁹² GUŁagu, i nawet naczelnika Działu Operacyjnego GUŁagu – a więc zwierzchnika wszystkich obozowych kumów.

A później ruszyła ławica Berii.

A okazały, czelny Abakumow potknął się jeszcze przedtem, oddzielnie.

Historycy Organów (jeżeli archiwa nie spłonęły) opowiedzą nam to kiedyś krok po kroku, z cyframi, ze wszystkimi pełnymi blasku nazwiskami.

A ja tutaj – tylko odrobinę – o historii Riumina i Abakumowa, którą przypadkiem poznałem. (Nie będę tu powtarzać tego, co udało mi się o nich powiedzieć w innym miejscu).⁹³

⁹¹ Też niezły temat, ile tu ich! – może komuś się spodoba.

⁹² WOCHR – Uzbrojona Ochrona, dawniej – Wewnętrzna Ochrona Republiki.

⁹³ „Ob.: Krąg pierwszy, wydany po polsku przez Instytut Literacki w Paryżu w przekładzie Michała Kaniowskiego (wyd. II. 1972 rok).

Wywyższony przez Abakumowa, tegoż Abakumowa najbliższy powiernik – Riumin, w końcu 1952 roku przybiegł do niego z sensacyjną wiadomością: lekarz, profesor Ettinger, przyznał się do świadomie błędnego leczenia (w celu spowodowania przedwczesnej śmierci) Żdanowa i Szczerbakowa. Abakumow nie uwierzył. Po prostu znał sekrety tej kuchni i doszedł do wniosku, że Riumin za bardzo przesadził. (A Riumin lepiej się orientował, czego chce Stalin!) Dla kontroli – tegoż wieczoru przeprowadzili obaj przesłuchanie Ettingera metodą krzyżowanych pytań i wyciągnęli z niego dwa różne wnioski. Abakumow – że nie ma żadnej „sprawy lekarzy”, Riumin – że właśnie jest. Rano miano to sprawdzić jeszcze raz, ale w zgodzie z tradycją czarów, panującą w Nocnej Instytucji, ETTINGER TEJ SAMEJ NOCY UMARŁ! Rankiem Riumin – ponad głową Abakumowa i wcale go nie informując zadzwonił do KC, prosząc o audiencję u Stalina! (Myślę, że nie to było jego najśmielszym posunięciem. Krok, po którym ryzykował już głową, wykonał poprzedniego dnia, gdy zdecydował się być innego zdania niż Abakumow i – być może – zabić w nocy Ettingera. Ale kto przeniknie tajemnice tych Dworów! – a może był już wcześniej w kontakcie ze Stalinem?) Stalin przyjął Riumina, nadał bieg sprawie lekarzy, ABAKUMOWA zaś ARESZTOWAŁ. Dalej Riumin prowadził już sprawę lekarzy jakby samodzielnie i chyba nawet wbrew samemu Berii! (Istnieją poszlaki, że przed śmiercią Stalina Beria już był zagrożony – i może dlatego Stalin został usunięty). Jednym z pierwszych kroków nowego kierownictwa było anulowanie sprawy lekarzy. Został wtedy ARESZTOWANY RIUMIN (jeszcze za Berii), ale ABAKUMOWA NIE ZWOLNIONO! Na Łubiance zaczęto wprowadzać nowe porządki i po raz pierwszy w jej historii – próg jej przekroczył prokurator (D.P. Terechow). Riumin wiał się uniżenie – „nie jestem winien, niepotrzebnie tu siedzę”, prosił o przesłuchanie, swoim zwyczajem ssął miętówkę i gdy Terechow zwrócił mu uwagę, wypluł cukierek na dłoń: „Ach, przepraszam”. Abakumow zaś, jak to już pisaliśmy, roześmiał się: „Mistyfikacja”. Terechow okazał mu upoważnienie do kontroli Więzienia Wewnętrzznego MGB. „Można zrobić pięćset takich świstków” – zbył go Abakumow. Bolało go najbardziej, jako patriotę resortu, nawet nie to że siedzi, tylko że czynione są próby ograniczenia Organów, które nie powinny nikomu być podporządkowane! W lipcu 1953 roku odbył się (w Moskwie) sąd nad Riuminem i rozstrzelano go. Abakumow zaś dalej siedział! Podczas przesłuchania mówił Terechowi: „Masz ładne oczy, nawet za bardzo.”⁹⁴ Żał mi cię będzie rozstrzeliwać! Odczep się od mojej sprawy, odczep się po dobremu”. Pewnego razu Terechow wezwał go i dał do przeczytania gazetę z wiadomością o zdemaskowaniu Berii. Abakumow przeczytał komunikat nie mrugnawszy nawet okiem, przewrócił stronicę i zaczął czytać wiadomości sportowe.

Innym razem, gdy przy przesłuchaniu obecny był gebista wysokiej rangi, niedawno jeszcze jego podwładny – Abakumow zapytał go: „Jak mogliście dopuścić do tego, żeby śledztwo w sprawie Berii prowadziło nie MGB, tylko prokuratura?!” Muliło go wciąż to samo! („I ty wierzysz, że mnie, ministra bezpieczeństwa, oddadzą pod sąd?! – „Owszem”. – „No to wkładaj cylinder, Organy są skończone!...””. Oczywiście zbyt mrocznie wyobrażał sobie przyszłość, czego tu wymagać od feld-

⁹⁴ W ogóle D.P. Terechow – to człowiek o nietuzinkowej sile woli i śmiałości (do sądenia czołowych stalinowców w chwiejnej sytuacji konieczne były takie zalety), a chyba także bardzo bystry. Gdyby reformy Chruszczowa były bardziej konsekwentne, Terechow mógł przy ich realizacji odegrać znaczną rolę. Tak oto nie zdążą się u nas ukształtować postaci historycznych działaczy.

jegra bez wykształcenia). Nie sądu bał się Abakumow; siedząc na łubiance bał się tylko, że zostanie otruty. (Widać, że był nieodrodnym synem Organów!).

Odmówił całkowicie żywienia się więziennym wiktem i jadał tylko jajka, kupowane w kantynie. (Tu też nie starczało mu wyobraźni technicznej: myślał, że jajek nie można zatruć). Z arcybogatej łubiańskiej biblioteki wypożyczał wyłącznie... książki Stalina! (który go kazał zamknąć...) No, to już było raczej demonstracją, albo wynikiem przekonania, że zwolennicy Stalina muszą w końcu wziąć górę. Przesiedział w ten sposób dwa lata. Dlaczego nie został w końcu wypuszczony? Nie jest to naiwne pytanie. Jeśli zastosować tu miarę zbrodni przeciw ludzkości, to Abakumow był we krwi po czubek głowy, ale przecież nie on jeden! Tamtym zaś nic się nie stało. Tu też jest pewien sekret: krążyła głucha wieść, że to on swojego czasu osobiście znęcał się nad Lubą Siedych, synową Chruszczowa, żoną starszego jego syna, zesłanego za czasów Stalina do karnego batalionu, gdzie dosięgła go śmierć. Dlatego to, postrany za kraty przez Stalina, sądzony był za czasów Chruszczowa (W Leningradzie) i 18 grudnia 1954 roku został rozstrzelany.⁹⁵

A trapił się niepotrzebnie: Organy przez to jeszcze nie zmarniały.

Ale, jak głosi mądrość ludowa, mów na wilka – przemów też i za wilkiem.

Skąd się wśród nas wzięło to wilcze plemię? Czy nie naszego ono chowu? Czy nie naszej krwi?

A więc – aby nie nazbyt już się chępić niepokalanymi szatami cnoty, trzeba, aby każdy z nas zadał sobie pytanie: gdyby życie moje inaczej się złożyło, czy nie stałbym sieja sam takim oprawcą?

Straszne to pytanie, jeśli chcesz odpowiedzieć na nie uczciwie.

Wspominam trzeci rok moich studiów uniwersyteckich, jesień 1938 roku. Wzywają nas, chłopców z Komsomołu, do rejkomu organizacji raz, drugi, trzeci. Tam, prawie nie pytając o zgodę, dają do wypełnienia ankiety. Dość już tych waszych fizyk i chemii. Ojczyzna ma pilniejszą potrzebę: chce, abyście poszli do szkół NKWD. (Przecież to zawsze tak się mówi, że nie ktoś tam czegoś wymaga, tylko sama Ojczyzna, a w jej imieniu przemawia i wszystko lepiej wie jakaś sobie gruba ryba).

Rok wcześniej, tenże rejkom werbował nas do szkół lotniczych. Wtedy też wykręcaliśmy się, ale nie tak stanowczo, jak tym razem.

Po upływie ćwierci stulecia powiedzą nam teraz: no chyba, przecież wiedzieliście, jak dookoła wre od aresztowań, jak dręczą ludzi w więzieniach i w jakie błoto was wciągają. Nie! Przecież suki śmigały po nocach, a myśmy byli właśnie ci dzienni, ze sztandarami. Skąd mieliśmy wiedzieć o aresztach, dlaczego mieliśmy sobie nimi zaprzętać głowy? Że zmieniono cały garnitur okręgowych dygnitarzy – to było dla nas zupełnie obojętne. Wsadzono dwóch–trzech profesorów, no to co, toć z nimi nie chodziliśmy na tańce, a egzaminy teraz pójdą jeszcze łatwiej. My, dwudziestoletni, kroczyliśmy w kolumnie marszowej rówieśników Października – i, jak należy się rówieśnikom, otwierała się przed nami jasna przyszłość.

Niełatwo określić ten wewnętrzny, nie poparty żadnymi argumentami szkopuł, który nie pozwalał nam zgodzić się na pójście do szkoły NKWD. Na pewno nie brało się to z kursu materializmu historycznego, który przeszliśmy: wynikało z niego jasno, że walka z wrogiem wewnętrznym to gorąca linia frontu, to honorowe za-

⁹⁵ Jeszcze jedna z jego dygnitarskich fantazji: razem z naczelnikiem swojej ochrony, Kuźniecowem, przebierał się po cywilnemu, przemierzał Moskwę na piechotę i rozdawał, komu chciał, datki z funduszy operacyjnych Czeki. Czy nie pachnie to staroruskim obyczajem rozdawania jałmużny dla poratowania grzesznej duszy?

dania. Opór przeczył też naszej osobistej korzyści: prowincjonalny uniwersytet w tym okresie niczego nie mógł nam obiecać prócz wiejskiej szkoły w głuchej okolicy i skąpej pensji; uczelnie NKWD dawały perspektywę specprzydziałów i podwójnych, potrójnych zarobków. To, co czuliśmy, nie znajdowało wyrazu w słowach (a gdyby znalazło, to strach nie pozwalał tego powiedzieć innym). Opór czuło się jakby nie w głowie, tylko w piersi. Mogą ci ze wszystkich stron krzyczeć. „Tak trzeba!”, twoja głowa też powtarza: „tak trzeba!”, ale coś ci się w piersi jeży: nie chcę! odrzuca mnie od tego! Już tam beze mnie sobie radźcie, ja się nie bawię.

To szło z bardzo daleka, chyba jeszcze od Lermontowa. To przyszło z tych dziesięcioleci rosyjskiego życia, kiedy porządny człowiek głośno i otwarcie twierdził, że nie ma służby gorszej i obrzydliwszej, niż żandarmiska. Nie, sięgnijmy głębiej. Nie zdając sobie z tego sprawy, naszymi miedziakami i groszakami spłacaliśmy resztę z tych rozmiennych pradziadowskich dukatów, wykupywaliśmy się od wspomnienia tych czasów, w których moralność nie uchodziła jeszcze za rzecz względną, a dobro i zło rozróżniano po prostu sercem.

Mimo to, ten i ów z naszych dał się wtedy zwerbować. Myślę, że gdyby nacisnęli bardzo mocno, to wszystkich nas by wtedy ułamali. Więc wyobraźmy sobie teraz: gdybym w momencie wybuchu wojny miał już swoje oficerskie kubiki na błękitnych patkach na kołnierzu co by ze mnie wyszło? Można oczywiście teraz sobie wmawiać, że moja zapalczywość doprowadziłaby do wybuchu, że wdałbym się w spór i trzasnął drzwiami. Ale leżąc na więziennych narach zacząłem pewnego dnia wspominać codzienny bieg mojej oficerskiej kariery – i zdjęta mnie zgroza.

Trafiłem do korpusu oficerskiego nie wprost z ławy studenckiej, zaczadziaty od całkowania, ale przedtem pół roku spędziłem w twardej służbie żołnierskiej i zdawało się, że na własnej skórze dobrze zrozumiałem, co to znaczy wciągnąć brzuch i być zawsze gotowym do spełnienia każdego rozkazu ludzi, może nawet mniej od ciebie wartych. A później jeszcze pół roku ganiłi człowieka na kursach oficerskich. Więc jak, czy już na zawsze zapamiętałem, jak gorzka jest służba żołnierska, jak człowiek marznie, jak się skóra strzępi? Nie. Przyczepili na pociechę dwie gwiazdki do epoletów, potem trzecią, czwartą – i wszystko zapomniałem.

Czy zachowałem chociaż studenckie zamiłowanie do swobody? Ależ nigdy go u nas nie było. Mieliliśmy zamiłowanie do marszu, do stania na baczność.

Dobrze pamiętam, że właśnie na kursach oficerskich poznałem RADOŚĆ UPROSZCZENIA: być wojskowym, a więc NIE ZASTANAWIAĆ SIĘ. Była to RADOŚĆ ZJEDNOCZENIA z tymi, którzy żyją jak inni, tak, jak to jest przyjęte w naszym środowisku wojskowym. Radość zapomnienia o duchowych subtelnościach, znanych od dzieciństwa.

Na kursach wciąż byliśmy głodni, rozglądaliśmy się za dodatkowym kęsem, zazdrośnie patrzyliśmy sobie na palce – czy się komu udało coś zdobyć? Najbardziej baliśmy się wylania przed terminem (wysyłano takich pod Stalingrad). Uczono zaś nas jak młode zwierzęta: żeby wpoić jak najwięcej złości, żebyśmy później bardzo chcieli odegrać się na kimkolwiek. Nie mieliśmy dosyć snu – i mimo to potrafili pojedynczym elewom kazać już po apelu odbywać (na komendę sierżanta) ćwiczenia z musztry za karę. Albo w nocy zrywano z pościeli cały pluton i stawiano na baczność dookoła jednego nieoczyszczonego buta: uwaga! ten podlec ma zabrać się do pucowania i póki nie będzie połysku – dopóty. będziecie tu stać.

Czekając w zapamiętaniu na kubiki, ćwiczyliśmy tymczasem tygrysi, oficerski krok i metalowy ton komend.

I wreszcie – przykręcono nam te kubiki! I już po jakimś miesiącu, formując na tyłach swoją baterię, zmusiłem mojego niewydarzonego żołnierzyka Berbeniewa – do ćwiczeń marszowych po apelu na komendę sierżanta Mietkina, który nie bardzo lubił mnie słuchać... (ZAPOMNIAŁEM o tym, całkiem po prostu zapomniałem o tym w miarę upływu lat! Teraz dopiero to sobie przypominani, siedząc nad kartką...). I jakiś stary pułkownik przy zupełnie przypadkowej kontroli wezwał mnie do siebie i zawstydził. A ja (mając już za sobą uniwersytet?) usprawiedliwiałem się, że nas tak na kursach uczyli. To znaczy: o jakich tam ogólnoludzkich względach może być mowa, skoro jesteśmy w armii?

(A już tym bardziej w Organach...)

Serce obrasta pychą, jak świnia sadłem.

Rzuciłem podwładnym nieodwołalne rozkazy, przekonamy, że lepszych w ogóle być nie może. Nawet na froncie, gdzie wszystkich nas zdawałoby się – równała śmierć, władza, jaką posiadałem, rychło mnie przekonała, że jestem człowiekiem wyższego gatunku. Siedząc wystuchiwałem ich, stojących na baczność. Przerывałem im w pół słowa, pouczałem. Ojcom i dziadkom mówiłem „ty” (oni do mnie zwracali się, rzecz jasna, per „wy”). Posyłałem ich pod kule, aby łączyć zerwane druty telefoniczne, żeby tylko zwierzchność nie musiała robić mi wymówek. (Andrejaszyn w ten sposób zginął). Jadłem swoje oficerskie masło z herbatnikami, nie zastanawiając się, dlaczego mnie się ono należy, a żołnierzom – nie. I oczywiście mieliśmy na dwóch służącego (elegancko zwało go się „ordynans”), któremu sprawiałem wciąż nowe kłopoty, popędzałem, żeby dbał o moją osobę i żeby gotował mi co innego niż jedli żołnierze. (A przecież łubiańscy oficerowie śledczy nie mają ordynansów, tego nie można im zarzucić). Kazałem żołnierzom trudzić się, kopać dla mnie osobne ziemianki na każdym postoju i szalować je tymi grubszymi okrąglakami, żeby mi było wygodnie i bezpiecznie. Chwileczkę, toż nawet odwach bywał w mojej baterii, owszem! – a jakież mógł być w lesie? – też jamka, no, może lepsza od grochowskiej dywizyjnej, bo kryta i należała się żołnierska racja dzienna, a siedział tam Wiuszkow za to, że koń mu zginął i Popkow – za złe obchodzenie się z karabinem. Ale pozwólcie! – przypominam sobie jeszcze więcej: uszyli mi chłopcy mapnik z niemieckiej skóry (nie ludzkiej, nie, z siedzenia samochodowego), ale brak było paska do niego, co mnie gniewało. Wtem nawinął się jakiś partyzancki komisarz (z miejscowego rejkomu) z takim właśnie paskiem – i zaraz mu go zabrali dla mnie: armia – to my, jesteśmy ważniejsi! (Pamiętacie Sienczenkę – tego agenta operacyjnego?) No, wreszcie żal mi było nawet tej mojej czerwonej zdobycznej papierośnicy, dlatego to zapamiętałem, jak mija odbierano...

Oto, co robią z człowieka epolety. I gdzie się podziały te babcine pouczenia przed świętym obrazkiem! I gdzie te pionierskie marzenia o przyszłej świętej równości!

I kiedy na punkcie dowodzenia, u kombryga, agenci SMIER SZ-a zerwali ze mnie te przekłete epolety i zabrali pas i popychali, żeby prędzej wpakować mnie do auta, więc nawet w chwili, gdy życie mi się łątało, tym byłem najbardziej dotknięty, że będę musiał tak, jak jestem, zdegradowany, przejść przez pokój telefoni stów – toć szeregowcy nie powinni mnie widzieć w takim stanie!

Na drugi dzień po areszcie zaczęła się moja piesza Władimirka:⁹⁶ z kontrwywiadu armii do kontrwywiadu frontu wyprawiano etapem kolejny połów. Od Ostródy do Brodnicy maszerowaliśmy na piechotę.

Kiedy wyprowadzono mnie z karceru i kazano stanąć w szeregu, stało już tam siedmiu aresztantów, trzy i pół pary; zobaczyłem ich plecy. Sześciu z nich nośło wytarte, dobrze doświadczone przez los, rosyjskie płaszcze wojskowe, z wymalowanymi na grzbiecie niezmywalną, białą farbą dużymi literami „SU”. Znaczyło to „Sowieci Union”, już znałem ten znak, nieraz widywałem go na plecach Rosjan-jeńców wojennych, którzy – smutni i jakby pełni winy – człapali na spotkanie własnej armii – co ich wyzwoliła. Wyzwolono ich, ale nie było wzajemnej radości w tym wyzwoleniu; współobywatele zerkali na nich z miną posępniejszą niż na Niemców, a na niedalekim zapleczu czekało ich tylko jedno: więzienie.

Siódmy aresztant był Niemcem, cywilem. Nosił czarny garnitur z kamizelką, czarne palto i czarny kapelusz. Przekroczył już pięćdziesiątkę, był wysoki, wypiełgnowany, o białej twarzy i znać po niej było, że karmił się bielutkim chlebem.

Postawiono mnie w czwartej parze i sierżant – Tatar, naczelnik konwoju, skinął na mnie, abym wziął swoją walizkę, już opieczętowaną i czekającą z boku. W tej walizce były moje oficerskie rzeczy i wszystkie zapisane papiery, znalezione przy mnie, które służyć miały do zasądzenia mnie.

Zaraz, co z tą walizką? Jak to, ten sierżant chciał – żebym ja, oficer, niósł walizkę? to znaczy, tę dużą i ciężką rzecz, właściwie zabronioną przez nowy regulamin służby garnizonowej? a obok, sześciu szeregowych miałoby maszerować z pustymi rękoma? I razem z nimi przedstawiciel pokonanego narodu?

Nie wyjaśniłem sierżantowi wszystkich tych zawłości, tylko powiedziałem:
– Jestem oficerem. Niech niesie ten Niemiec.

Nikt z aresztantów nie odwrócił głowy w moją stronę: nie wolno było się odwracać. Tylko sąsiad z mojej pary, także SU, popatrzył na mnie ze zdziwieniem (kiedy rozstawali się z naszą armią, jeszcze w niej inny duch panował).

A sierżant kontrwywiadu wcale się nie zdziwił. Chociaż w jego oczach, oczywiście, już nie byłem oficerem, ale wyszkoleni byliśmy jednakowo. Zawołał Boga ducha winnego Niemca i kazał mu wziąć walizkę, chociaż cywil nic nie zrozumiał z naszej rozmowy.

Wszyscy pozostali założyli ręce do tyłu (nikt z jeńców nie miał nawet żadnego worka, poszli na wojnę z pustymi rękoma, z tak samo pustymi wracali do kraju) i nasza kolumna, złożona z czterech par, ruszyła w drogę. Rozmowy z konwojem nie były przewidziane, rozmowy między sobą były surowo zabronione i w marszu, i na postojach, i podczas noclegów... Byliśmy więźniami śledczymi i powinniśmy byli maszerować tak, jakby dzieliły nas niewidzialne przepierzenia, jakbyśmy byli zduszeni ścianami celi, dla każdego oddzielnej.

Pora była zmienna, wczesnowiosenna. To snuły się wodniste mgły i rzadkie błocko melancholijnie chlupało pod naszymi butami nawet na bitej drodze. To znowu niebo się przecierało i łagodnie żółtawe, niepewne jeszcze swojej mocy słońce grzało suche już prawie pagórki, ukazując nam z całą przejrzystością świat, który mieliśmy porzucić. To znów nadlatywał nieprzyjazny wiatr, wyszarpywał z czarnych chmur śnieg, chyba wcale nie biały i z zimną zawziętością ciskał go w twarze, na grzbiety, pod nogi – mocząc nasze płaszcze i onuce.

⁹⁶ Szosa Moskwa-Włodzimierz (Władimir), którą szli na Sybir, wysyłani etapem, skazańcy za carskich czasów.

Sześć grzbietów przed oczyma, wciąż te sześć grzbietów. Było dość czasu na dobre przypatrzenie się koślawym, szkaradnym piętnom SU i czarnemu, wyświechtanemu aksamitowi na kołnierzu Niemca. Było dość czasu także na przemyślenie przeszłości i zastanowienie się nad chwilą obecną. A ja – nie mogłem. Już dostałem patkę w łeb – a wciąż nie mogłem zdobyć się na zastanowienie.

Sześć grzbietów. Ani pochwały, ani potępienia nie znajdowałem w ich miarowym kołtysaniu.

Niemiec wkrótce się zmęczył. Przekładał walizkę z ręki do ręki, brał się za serce, dawał znaki konwojentom, że nie może nieść dłużej. I wówczas jego sąsiad z pary, jeniec, który Bóg wie czego doznał dopiero co w niemieckiej niewoli (ale może również – miłosierdzia) – z własnej chęci wziął od niego walizkę i poniósł ją dalej.

A potem nieśli ją inni jeńcy, bez żadnego rozkazu konwojentów. I znów ten Niemiec.

Ale ja nie.

I nikt mi nie powiedział ani słowa.

W pewnej chwili napotkaliśmy ciągnące drogą długie, próżne tabory. Woźnice oglądali się z zainteresowaniem, niektórzy stawali na kozłach swoich wozów, gapili się. I wkrótce zrozumiałem, że to ja jestem powodem ich ożywienia i rozjątrzenia – bo różniłem się wybitnie od pozostałych: mój płaszcz był nowy, długi, obcisłe uszyty na miarę, jeszcze nie sprute były patki i w słońcu, które właśnie wyrzało zza chmur, błyszczały tanim złotem nieobcięte jeszcze guziki. Dobrze było widać, że jestem oficerem, świeżutkim, dopiero co złapanym. Być może, także ten widok strącenia z piedestału tak ich przyjemnie podniecił (jakiś przejaw sprawiedliwości), ale chyba w ich głowach, nafaszerowanych pogadankami politycznymi, nie mogło się pomieścić, że tak samo mogliby prowadzić ich dowódcę kompanii, doszli więc do zgodnego przekonania, że jestem z TAMTEJ strony.

– Złapali cię, ty wywłoko własowska?!... Rozstrzelać gada!! – krzyczeli ze wzburzeniem woźnice, pełni tyłowego gniewu (patriotyzm zawsze najbardziej kwitnie na tyłach), dokładając jeszcze to i owo z grubej lufy.

Mieli mnie za jakiegoś międzynarodowego oszusta, którego jednak w końcu udało się złapać – i teraz ofensywa ruszy jeszcze szybciej i wojna wcześniej się skończy.

Co im mogłem odpowiedzieć? Nie wolno mi było wymówić nawet jednego słowa, a tu każdemu z osobna trzeba by opowiedzieć całe swoje życie. Jak mogłem dać im do zrozumienia, że nie jestem dywersantem? Że jestem ich przyjacielem? Że dla nich tu się znalazłem? Uśmiechałem się tylko... Patrząc w ich stronę, uśmiechałem się do nich, krocząc w aresztanckim dwuszeregu na etap! Ale moje wyszczerzone zęby wydały im się jeszcze gorszym urąganiem, więc z jeszcze większą zapalczywością i wściekłością wyzywali mnie i wygrażali pięściami.

Uśmiechałem się, dumny, że nie zostałem aresztowany za kradzież, ani za zdradę, ani za dezercję, tylko za to, że udało mi się przeniknąć domysłem wstępne tajemnice Stalina. Uśmiechałem się dlatego, że miałem nadzieję, iż może jeszcze potrafię trochę polepszyć nasze rosyjskie życie.

A moją walizkę tymczasem niósł kto inny.

I nawet nie czułem przez to żadnych wyrzutów sumienia! I gdyby nawet sąsiad mój – którego zapadłą twarz pokrył już dwutygodniowy miękki zarost, a oczy były pełne cierpienia i wiedzy o życiu – skarcił mnie teraz w najjaśniejszej rusz-

czyźnie, za to, że uwłaczyłem czci aresztanta, zwracając się o pomoc do konwoju, że, wynoszę się nad innych, że jestem butny – ja bym go NIE ZROZUMIAŁ! Ja po prostu nie rozumiałbym O CZYM on mówi? Przecież jestem oficerem!...

Gdyby siedmiu z nas musiało umrzeć na tej drodze, ósmego natomiast konwój mógłby uratować, to co mi wtedy przeszkadzało zawołać:

– Sierzancie! Jak ratować – to mnie. Przecież jestem oficerem!...

Oto czym jest oficer, nawet, kiedy jego epolety nie są błękitne!

A gdyby jeszcze były błękitne? Gdyby miał wbite do głowy, że nawet wśród oficerów – on jest solą ziemi? Że powierzono mu ważniejsze zadania, niż innym, i że wie on więcej, niż inni, i że za to wszystko ma on prawo wciskać więźniowi łeb między nogi, i dopiero w takim stanie wpychać go do rury!

A dlaczego nie?

Przypisywałem sam sobie bezinteresowną ofiarność. A tymczasem byłem gotowym materiałem na oprawcę. I gdybym za czasów Jeżowa trafił do szkoły NKWD – być może dla Berii byłbym w sam raz?

Niech w tym miejscu zamknie książkę czytelnik, który oczekuje, że będzie ona obrachunkiem politycznym.

Gdybyż to było takie proste! – że są gdzieś te czarne charaktery, w czarnych zamiarach wykonujące swoją czarną robotę i że trzeba tylko umieć je rozpoznać i zniszczyć. Ale linia podziału między dobrem a złem przecina serce każdego człowieka. A kto gotów jest odciąć kawałek własnego serca?

W trakcie życia linia ta ulega przesunięciom, to ustępując wstecz przed rozpierającym się radośnie złem, to zostawiając więcej pola świejącemu dobru. Jeden i ten sam człowiek bywa w różnych epokach swego życia i w różnych życiowych sytuacjach – zupełnie odmienną istotą. Raz bliżej mu do szatana, innym razem – nawet do świętego. Imię zaś nie ulega zmianom i wszystko przypisujemy jednej i tej samej osobie.

Nakazał nam zaś Sokrates: poznaj samego siebie!

I nad samym brzegiem jamy, do której już chcieliśmy zepchnąć na szczytach krzywdzicieli, zatrzymujemy się zdrętwiali: toż to tylko przypadek, że katami zostaliśmy nie my, tylko oni.

A gdyby nas tak skrzyknął sam Maluta Skuratow⁹⁷ – chyba byśmy go nie zawiedli!...

Dobre od złego jeden krok dzieli – mówi przysłowie.

Więc chyba i złe od dobrego?

Gdy tylko ocknęła się społeczna pamięć tych bezpraw i męczarni, zaraz zaczęto nam ze wszystkich stron powtarzać, pisać, przeczytać: TAM (tj. w NKGB – NKWD) byli także dobrzy ludzie!

Znamy tych „dobrych”: to ci, którzy starym bolszewikom szeptali: „trzymaj się”, albo nawet podsuwali sznytkę – ale pozostałych już bez różnicy kopali nogami. No, ale niezależnie od partyjnej więzi – czy nie było tam ludzi dobrych zwyczajnie, po ludzku?

W zasadzie nie powinno było być: wystrzegano się takich, przy angażowaniu robiono selekcję. Tacy ludzie sami wykręcali się od tej służby, jak mogli.⁹⁸ Kto zaś

⁹⁷ Naczelnym oprawcą na dworze Iwana Groźnego.

⁹⁸ Podczas wojny, w Riazaniu, pewien lotnik z Leningradu, wypuszczony ze szpitala, błagał w przychodni przeciwgruźliczej: „znajdźcie coś u mnie! Bo rai każą wstąpić do ORGANÓW!” Rentgenolodzy wykombinowali mu zdjęcie z naciekiem gruźliczym i gebiści od razu dali mu spokój.

trafił do niej omyłkowo – albo wciągał się w robotę i środowisko, albo też był rugowany, wygryzany, sam nawet padał na szyny. A mimo to – czy nie było nikogo?

W Kiszyniowie młody gebista – lejtnant odwiedził ojca Szypowlanikowa jeszcze miesiąc przed jego ujęciem: jedźcie stąd, jedźcie, chcą was aresztować! (czy sam się na to zdobył? czy może matka posłała go, żeby ratował duchownego?). A po aresztowaniu przypadek kazał mu jeszcze konwojować ojca Wiktora. Dlaczegoście nie wyjechali stąd? – biadał chłopak.

Albo taka sprawa. Miałem w baterii dowódcę plutonu, lejtnanta Owsiannikowa. Nie było dla mnie na froncie bliższego człowieka. Przez pół wojny jadalśmy z nim z jednej menażki, nieraz pod obstrzałem, między jednym wybuchem a drugim, żeby zupa nie ostygła. Był to wiejski chłopak, o duszy tak czystej i spojrzeniu tak rzetelnym, że ani te nasze kursy, ani ranga oficerska wcale go nie zepsuły. Miał także na mnie dobry wpływ, stawiałem się przy nim łagodniejszy. Wszystkie swoje oficerskie możliwości obracał on tylko na to, aby swoim żołnierzom (było wśród nich wielu starszych ludzi) zachować jak najwięcej życia i sił. Od niego pierwszego dowiedziałem się, czym jest dzisiejsza wieś i czym są kołchozy. (Mówił o tym bez rozdrażnienia, bez protestu, po prostu tak jak leśna woda odbija rysunek drzew, do najmniejszej gałązki). Moje aresztowanie nim wstrząsnęło, napisał mi charakterystykę bojową, najlepszą, jaką mógł i zaniósł ją dowódcy dywizji do podpisu. Po demobilizacji próbował jeszcze pomóc mi przez swych krewnych (a był to rok 1947, mało czym różniący się do 1937 roku!). W dużej mierze ze względu na niego bałem się podczas śledztwa, że dobiorą się do moich Dzienników wojennych, a były tam jego relacje. Kiedy zostałem zrehabilitowany w 1957 roku, bardzo chciałem go odszukać. Pamiętałem jego adres na wsi. Posyłałem jeden list, potem drugi – odpowiedzi nie ma. Znalazłem inną nitkę, przypomniałem sobie, że skończył jarosławski instytut pedagogiczny; dostałem odpowiedź: „Skierowany do pracy w organach bezpieczeństwa państwowego”. Dobrze! Ale to tym ciekawsze! Piszę więc na jego adres w mieście – nie dostaję odpowiedzi. Mija kilka lat, wydrukowano Iwana Denisowicza. No, teraz chyba się odezwie! Nie! Mijają jeszcze trzy lata. Proszę pewnego mego korespondenta z Jarosławia, aby wstąpił do niego i przekazał mu list osobiście. Tak się stało, ale korespondent pisze mi „zdaje się, że on nawet Iwana Denisowicza nie czytał...”. Bo i słusznie, po co wiedzieć, co się tam dalej dzieje ze skazanymi?... Tym razem Owsiannikow nie mógł już milczeć i odezwał się: „Po zakończeniu Instytutu zaproponowano mi, żeby iść do organów i pomyślałem, że mogę tam pracować z takim samym powodzeniem. (Co znaczy tutaj – powodzenie?...). Nie wiedzie mi się nadzwyczajnie na tym nowym polu działania, to i owo mi się nie podobało, ale pracuję bez przymusu i, jeśli się nie mylę, nie zawiodę kolegów w potrzebie. (Macie usprawiedliwienie – zmysł koleżeństwa!) Już się teraz nie zastanawiam nad przyszłością”.

I to wszystko... Poprzednie listy podobno do niego nie doszły. Na spotkanie ochoty nie ma. (Gdybyśmy się spotkali – myślę, że lepiej bym ten rozdział napisał). W ostatnich latach życia Stalina był on już śledczym. W tych latach, kiedy wszystkim po kolei wlepiano po ćwiartce. Jak też się to wszystko poukładało w jego sumieniu? Jaką mgłą zaszło? Ale pamiętając tego dawnego, ofiarnego czystego chłopaka, czy mogę uwierzyć, że to wszystko zginęło już bezpowrotnie, że nie zostało w nim żadnych żywych pędów?...

Kiedy śledczy Goldman dał Wierze Korniejowej do podpisu protokół z artykułu 206, dziewczyna dowiedziała się, jakie ma prawa i zaczęła szczegóło-

wo wnikać w sprawę 17 uczestników ich „religijnej grupy”. Śledczy wpadł w pasję, ale nie mógł jej tego odmówić. Żeby sobie głowy nie zawracać, zaprowadził ją do kancelarii ogólnej, gdzie siedzieli z pół tuzina rozmaitych urzędników, sam zaś wyszedł. Korniejewa z początku czytała akta, potem jakoś pomału zaczęła się rozmowa, może dlatego, że urzędnikom było nudno – i Wiera zabrała się do prawdziwej religijnej propagandy. (A trzeba ją znać. Jest to człowiek jakby pełen światła, o żywym umyśle i darze wymowy, chociaż na wolności pełniła tylko obowiązki ślusarza, stajennego i gospodyni domowej). Słuchali jej z zapartym tchem, czasem tylko pytając o wyjaśnienia. Była to dla nich wszystkich rzecz bardzo nieoczekiwana. W sali wkrótce zrobiło się pełno, przyszli z innych pomieszczeń. Powiedzmy, że nie byli to oficerowie śledczy, ale maszynistki, stenotypistki, rejestratorzy – ale w końcu to samo środowisko, Organy i to w 1946 roku. Nie mogę tu zrekonstruować jej monologu, zdążyła jednak powiedzieć sporo. I o zdrajcach ojczyzny – dlaczego to ich nie było podczas wojny z Napoleonem, w 1812 roku, za pańszczyzny? Toć wtedy byłaby to naturalna rzecz! Ale przede wszystkim mówiła o wierze i o wierzących ludziach. DAWNIEJ, mówiła Wiera, wszystko u was nastawione było na wykorzystanie rozkiełnanych namiętności społecznych – „grabić to, co zagrabione” i wtedy ludzie wierzący, oczywiście, wam przeszkadzali. Ale teraz, kiedy chcecie BUDOWAĆ i dążyć do szczęśliwego życia na tym świecie – czemu to prześladowacie najlepszych swoich obywateli? Toż to dla was najcenniejszy materiał: przecież człowiek wierzący nie wymaga kontroli, nie będzie kradł i nie będzie wymigiwał się od roboty. Macie może zamiar oprzeć sprawiedliwe społeczeństwo na chciwych sobkach i zawistnikach? Właśnie dlatego wszystko wam się wali. Dlaczego plujecie w dusze najlepszych swoich ludzi? Oddzielcie naprawdę cerkiew od państwa, nie wtrącajcie się do niej, nic na tym nie straciecie! Jesteście materialistami? No to miejcie zaufanie do oświaty, że już ona sama, jak powiadacie, da radę religii. A po co ludzi aresztować? – Tu wszedł Goldman i chciał jej ostro przerwać. Ale tamci go zakrzyczeli: „A zamknijże się!... Pomilcz chwilę!... Gadaj, kobieto, gadaj!” (A jak się mieli, do niej zwracać? Obywatelko? Towarzyszko? To wszystko zabronione albo uwikłało się w umownościach. Kobieto! Tak, jak mówił Chrystus, tu się człowiek nie omyli). I Wiera dokończyła swego kazania w obecności śledczego!!

Macie więc tych słuchaczy Korniejewej z kancelarii bezpieczeństwa. Czemu to tak łatwo zapadły w nich słowa marnej więźniarki?

Wymieniony już D.P. Terechow dotąd wspomina swojego pierwszego skazanego na śmierć: „Żał mi go było”. Przecież ta pamięć wspiera się na jakimś odruchu serca. (Ale tych, co przyszli później, czasem już nie pamięta, już ich nie liczy).⁹⁹

Straż więzienna Wielkiego Domu składa się z ludzi lodowatych – ale przecież jakieś najgłębsze jądro duszy, jakieś jąderko tego jądra powinno być w nich się uchować? N.P.–wa opowiada, że pewnego dnia prowadziła ją na przesłuchanie niewzruszona, niema, bezoka nadzorczyńni – i nagle gdzieś obok Wielkiego Domu rozległy się wybuchy bomb, wydawało się, że zaraz zwał się na głowę. I oto nadzorczyńni rzuciła się do więźniarki, objęła ją w strachu, szukając ludzkiej bliskości

⁹⁹ Z Terechowem zdarzył się taki epizod. Pragnąc mi dowiedzieć, że system sądowy (za czasów Chruszczowa) jest sprawiedliwy, energicznie uderzył ręką w szklaną taflę na biurku i rozciął sobie kciuk o ostry skraj. Nacisnął dzwonek, personel na baczność, dyżurny starszy oficer przyniósł mu jodynę i wodę utlenioną. Kontynuując rozmowę Terechow całą godzinę musiał przyciskać watę do rany: okazało się, że cierpi na niekrzepliwość krwi. Tak jasno ukazał mu Bóg ludzką ograniczoność – a on sądził innych i powodował wydawanie wyroków śmierci...

i współczucia. Ale bombardowanie się skończyło. I już znowu, jakby nie miała ludzkich oczu: „Ręce do tyłu! Naprzód!”.

Ma się rozumieć, że to niewielka zasługa – wrócić do człowieczeństwa w chwili śmiertelnego strachu, tak samo jak nie jest dowodem dobroci, jeśli kocha własne dziecko („To dobry mąż i ojciec” – często tak próbują usprawiedliwić łotrów). Prezesa Sądu Najwyższego I.T. Golakowa chwali niektórzy za to, że lubił uprawiać własny ogródek, kochał się w książkach, odwiedzał sklepy bukinistyczne, dobrze znał twórczość Tołstoja, Korolenki, Czechowa – no i czego od nich się nauczył? Ile tysięcy ludzi pogubił? Albo na przykład ten pułkownik, przyjaciel Konkordii Josse, który jeszcze we włodzimierskim izolatorze ryczał ze śmiechu wspominając, jak starych Żydów zamykał do piwnicy z zapasem lodu – w czasie wszystkich swoich awantur tylko jednego się bał – żeby się żona o tym nie dowiedziała: wierzyła w niego, uważała za szlachetnego człowieka i to było dla niego ważne. Ale czy wolno nam uznać to uczucie za przyczótek dobra w jego sercu?

Czemu to już drugie stulecie tak niezwykle sobie oni cenią barwy nieba? Za czasów Lermontowa – były „błękitne wyłogi”, później przyszły błękitne czapki, błękitne epolety, błękitne patki, postarano się aby nie tak bardzo rzucały się w oczy, błękitne galony wołały ukrywać się przed objawami wdzięczności mas, wciąż zmniejszały się ich rozmiary na głowach i barkach, aż zostały z nich tylko wypustki, wążutkie otoki – zawsze jednak błękitne!

Czy to tylko maskarada?

Albo może wszelka czerń chce choćby od czasu do czasu obmyć się z grzechów w niebieskim błękitcie?

– To niebrzydka konstrukcja myślowa. Ale kiedy człowiek się dowiaduje, jakim sposobem szukał kontaktu ze świętością taki na przykład Jagoda... Pewien naoczny świadek (z otoczenia Gorkiego, który w tym okresie znał się bliżej z Jagodą) opowiada: w majątku Jagody pod Moskwą, w przedsionku ruskiej łaźni stały ikony – specjalnie po to, aby Jagoda ze swoimi kamratami, już wyzbywszy się szatek, mogli strzelać do nich z rewolwerów przed pójściem do kąpieli...

Jak rozumieć zjawisko ŁOTROSTWA? Co to takiego? Czy jest w ogóle coś podobnego na świecie?

Łatwiej byłoby nam powiedzieć, że to niemożliwe, że takich ludzi nie ma. Baśń dla dzieci ma prawo do wprowadzania postaci łotra – dla uproszczenia obrazu. Ale kiedy wielka literatura światowa dawnych wieków podsuwa nam wciąż nowe i nowe postaci czarnych jak smoła łotrów – robi to Szekspir i Schiller, i Dickens – to mamy wrażenie, że jesteśmy w teatrze marionetek, że to nie odpowiada współczesnej wrażliwości. I najważniejsze – jak autorzy charakteryzują tych łotrów? Te czarne charaktery zdają sobie doskonale sprawę, że są właśnie takimi i że ich dusze są – czarne. Tak właśnie rozumują: nie potrafię żyć, nie czyniąc zła. Niechże poszczuję ojca na brata! Dajcie mi się ponapawać cierpieniami mojej ofiary! Jago zupełnie wyraźnie nazywa swoje pobudki i cele – czarnymi, zrodzonymi z nienawiści.

Otóż w życiu tak nie bywa! Aby czynić zło, człowiek musi najprzód uznać je za dobro – albo za rzecz rozsądną i zgodną z prawem. Taka już jest, na szczęście, natura człowieka, że dla swoich czynów musi on szukać uSPRAWIEDLIWIENia.

Makbet nie mógł usprawiedliwić swoich czynów w sposób wystarczająco zasadny – i zagryzło go sumienie. Zresztą nawet Jago jest tylko barankiem. Dla

wyczerpania fantazji i sił duchowych szekspirowskich łotrów wystarczało jakieś dziesięć trupów. Wszystko dlatego, że nie mieli oni ideologii.

Ideologia! – to ona dostarcza upragnionego usprawiedliwienia łotrów – i koniecznej, wieloletniej odporności zbrodniarzowi. Potrzebna mu jest teoria społeczna, która pomoże mu – przed sobą samym i przed innymi – wybielić własne postęпки i słyszeć – nie wyrzuty, nie przekleństwa, tylko pienia pochwalne i wyrazy czci. W ten sposób inkwizytorzy szukali oparcia i usprawiedliwienia – w chrześcijaństwie, konkwistadorzy – w chwale Ojczyzny, kolonizatorzy – w cywilizacji, hitlerowcy – w rasie, jakobini i bolszewicy – w równości, braterstwie i szczęściu przyszłych pokoleń.

Dzięki IDEOLOGII wiek dwudziesty poznał, co to jest łotrówstwo pomnożone przez miliony ofiar. Tych faktów nie można obalić, pominąć, przemilczeć – kto więc ośmieli się po tym twierdzić, że zbrodniarzy nie ma? A któż te miliony ludzi unicestwił? A bez zbrodniarzy nie byłoby Archipelagu.

Krążyły wieści w latach 1918–1920, że Czeka w Piotrogradzie i w Odessie nie wszystkich skazanych rozstrzeliwała; ponoć niektórzy z nich byli (żywcem) oddawani na pożarcie drapieżnikom z miejskich ogrodów zoologicznych. Nie wiem, czy to prawda, czy może plotka, a jeśli w ogóle zdarzały się takie wypadki, to ile ich było. Ale nie szukałbym dowodów: wedle obyczaju błękitnych wyłogów zaproponowałbym im, aby sami nam dowiedli, że to niemożliwość. A gdzież w ówczesnej sytuacji, przy panującym głodzie, można było znaleźć karmę dla zwierząt? Odejmować od ust klasie robotniczej? To wrogowie, i tak muszą umrzeć – dlaczego by nie mieli swoją śmiercią dopomóc w rozwiązaniu trudności na tym odcinku gospodarki krajowej i w ten sposób przyczynić się do naszego szybszego marszu ku przyszłości? Czy to nie celowe?

Oto granica, której nie może przekroczyć szekspirowski czarny charakter – ale czarny charakter uzbrojony w ideologię przekraczając nie mrugnąwszy okiem.

Fizyka zna wielkości albo zjawiska graniczne. Nie istnieją one w ogóle dopóty, dopóki nie zostanie przekroczona pewna znana naturze granica, zaszyfrowany przez naturę próg. Można naświetlać pierwiastek lit żółtymi promieniami ile dusza zamarzy – nie odda on mimo to swoich elektronów, a wystarczy najśłabszy promień niebieski – i już elektrony są wyrwane (przekroczony został próg efektu świetlnego)! Można oziębiać tlen do 100 stopni poniżej zera i poddawać go największemu nawet ciśnieniu – gaz dalej zostaje gazem, nie poddaje się! Wystarczy jednak zejść poniżej 118 stopni – i już jest płynny, zamienił się w ciecz.

Wydaje się, że zbrodnia także należy do podobnych zjawisk. Owszem, człowiek może się wahać, miotać całe życie między złem a dobrem, potykać się, padać, gramolić, żałować za grzechy, potem znowu zapadać, ale póki nie przekroczył progu zbrodni – ma możliwość powrotu i wciąż jeszcze może być w zasięgu naszej nadziei. Kiedy jednak natężenie nikczemności, albo jakiś szczególny jej stopień, albo nieograniczoność absolutnej władzy sprawia, że przekracza on ten próg – wówczas opuszcza on ludzką gromadę. I być może – już bezpowrotnie.

Na pojęcie sprawiedliwości od niepamiętnych czasów składają się w ludzkich oczach dwa równe składniki: tryumf cnoty' i ukaranie występku.

Udało nam się szczęśliwie dożyć takich czasów, kiedy to cnota może jeszcze nie tryumfuje, ale już nie zawsze szczuta jest psami. Cnocie, wychłostanej i mizernej, wolno już teraz wejść w swoich łachmanach i zająć miejsce w kacie, byleby tylko siedziała cicho.

Nikt jednak nie śmie słowa powiedzieć o występku. Owszem, pastwiono się nad cnotą, ale występku przy tym – jakby nie było. Owszem, ileś tam milionów poszło do ziemi – ale nikt temu nie był winien. Jeżeli ktoś ośmieli się zająknąć: „No a ci, którzy...” to ze wszystkich stron usłyszysz wyrzuty, z początku formułowane życzliwie: „Nooo, dajcie spokój towarzysze! No i po co jątrzyć stare rany?!¹⁰⁰ A potem już pałką: „Ciszej, wy, niedorżnięci! Po co też was rehabilitowano!”.

I oto w Zachodnich Niemczech w 1966 roku liczba ukaranych sądownie przestępców hitlerowskich doszła do OSIEMDZIESIĘCIU SZEŚCIU TYSIĘCY.¹⁰¹ A my zachłystujemy się z oburzenia, nie żałujemy całych kolumn w gazetach, ani godzin programu radiowego, po fajerancie przesiadujemy na wiecach i głosujemy, że ZA MAŁO! Tych 86 tysięcy – za mało! i po 20 lat im za mało! Więcej!

U nas natomiast (według opublikowanych danych) – skazano około TRZYDZIESTU OSÓB.

Co dzieje się za Odrą, za Renem – to nas boli. A to, co pod Moskwą i pod Soczi za zielonymi sztachetami, a to, że mordercy naszych mężów i ojców rozjeżdżają po ulicach i że ustępujemy im z drogi – to nas nie boli, nie wzrusza, bo to, jątrzenie starych ran”.

A tymczasem, gdyby tych zachodnioniemieckich 86 tysięcy przetłumaczyć na nasze proporcje, to byłoby ich – jak na nasz kraj ĆWIERĆ MILIONA!

Ale w ciągu ćwierci stulecia nikogo z tej liczby nie odnaleźliśmy, nikogo nie ciągnęliśmy po sądach; my boimy się jątrzyć ICH rany. I, jak symbol tej całej czerechy, mieszka dotąd na ulicy Granowskiego 3 nadęty pychą, tępy, dotychczas przekonany o tym samym – Mołotow, cały przesycony naszą krwią; co dzień przecina statecznie chodnik i wsiada do długiego, szerokiego auta.

Oto zagadka, którą nie my, współcześni, możemy rozwiązać: DLACZEGO Niemcy otrzymali przywilej ukarania swoich zbrodniarzy, a my, Rosjanie – nie? Jaka straceńcza droga otwiera się przed nami, jeżeli nie dane nam było oczyścić się z tej szkarady, gnijącej w naszym organizmie? Czegóż to może taka Rosja świat nauczyć?

W trakcie niemieckich procesów powtarza się to tu, to ówdzie taka zadziwiająca scena: podsądny ściska rękoma głowę, zrzeka się obrony i o nic więcej już sądu nie prosi. Mówi tylko, że łańcuch jego zbrodni, przypominanych mu znów i pokazanych kolejno przed sądem, napętnia go wstrętem i że nie chce mu się więcej żyć.

To jest największe osiągnięcie sądu: kiedy występki staje się tak godny potępienia, że sam przestępca odwraca się od niego.

Kraj, który osiemdziesiąt sześć tysięcy razy z sędziowskiego podium potępił występki (i bezkompromisowo odżegnał się od niego w literaturze i wśród młodego pokolenia) – rok po roku, stopień po stopniu oczyszcza się ze zbrodni.

A my co robić mamy? Kiedyś jeszcze potomkowie nazwą kilka kolejnych naszych generacji – pokoleniami mazgajów: z początku pozwaliśmy potulnie wybijać nas milionami; później zaś troskliwie zabiegaliśmy o spokojną i szczęśliwą starość dla morderców.

¹⁰⁰ Nawet po ukazaniu się Iwana Denisowicza emeryci błękitnych szeregów tak właśnie argumentowali: po co jątrzyć rany tych, którzy siedzieli w obozach? Że niby ICH nerwy chcieli szczerdzić!

¹⁰¹ A we Wschodnich Niemczech – jakoś nie słysząc nic takiego, widocznie dali się wychować w nowym duchu, są cenieni jako dobrzy pracownicy.

Co czynić, jeśli wielka tradycja rosyjskiej skruchy jest dla nich niezrozumiała i śmieszna? Co czynić, jeśli zwierzęcy strach przed wycierpieniem choćby setnej części tego, co zadawali oni innym, ma w nich przewagę nad wszelkim poczuciem sprawiedliwości? Jeśli chciwą garścią czepiają się tych przywilejów, co im obrodziły z krwi zabitych?

Oczywiście, ci, co kręcili korbą maszynki do mięsa – no, choćby w trzydziestym siódmym roku, dziś są już niemłodzi, mają od pięćdziesiątki do osiemdziesiątki, najlepsze swoje lata przeżyli bez trosk, w sytości i komforcie – i wszelki RÓWNOWAŻNY odwet już jest spóźniony, już nie można szukać zapłaty.

Ale bądźmy wielkoduszni, nie trzeba stawiać ich przed plutonem egzekucyjnym, nie trzeba poić ich słoną wodą, obsypywać pluskwami, wiązać „w jaskółkę”, trzymać na nogach bez snu tygodniami, ani brać pod obcas, ani bić gumowymi pałkami, ani zaciskać głów żelazną obręczą, ani upychać ich w celach, jak bagaż, żeby leżeli jeden na drugim – nie będziemy robić nic z tego, co robili oni! ale wobec naszego kraju i naszych dzieci mamy obowiązek WSZYSTKICH ICH ZNALEŹĆ I WSZYSTKICH POSTAWIĆ PRZED SĄDEM! Sądzić trzeba już nie tyle ich, ile ich zbrodnie. Zyskać chociaż tyle, aby każdy z nich powiedział głośno:

– Tak, byłem katem i mordercą.

I gdyby słowa te powtórzone zostały w naszym kraju TYLKO ćwierć miliona razy (zgodnie z proporcją, aby nie zostać w tyle za Niemcami Zachodnimi) – to może by tego było dosyć?

W XX wieku nie wolno przecież przez dziesięciolecia nie znajdować różnicy między zbrodnią sądową – a tymi „starymi sprawami”, których pono „nie trzeba jątrzyć”!

Powinniśmy publicznie potępić samą IDEĘ rozprawiania się jednych ludzi z drugimi! Milcząc o występku, wpędzając go w głąb ciała, aby tylko nie było go widać – my SIEJEMY go i w przyszłości da on jeszcze tysiąckrotne plony. Nie karząc, nawet nie ganiąc złoczyńców, my nie tyle dbamy o spokój ich nędznej starości – ile raczej wyrwamy spod nóg nowych pokoleń wszelkie podstawy sprawiedliwości. Dlatego to młodzi wyrastają na „obojętnych”, to nie jest wina „braków w pracy wychowawczej”. Młodzi utrwalają sobie w pamięci, że podłość nigdy w świecie nie podlega karze, zawsze natomiast zapewnia dostatek.

Jak nieprzytulne, jak straszne będzie życie w takim kraju!

V. PIERWSZA CELA – PIERWSZA MIŁOŚĆ

Jak to rozumieć – cela i miłość? Ach, chyba, że podczas blokady siedziałeś w leningradzkim Wielkim Domu? No, to jasne, bo temu właśnie zawdzięczasz życie, że tam cię wpakowano. Było to najlepsze miejsce w Leningradzie – i nie tylko dla oficerów śledczych, którzy i mieszkali tam, i mieli gabinety w podziemiach, gdzie przenosili się podczas obstrzałów. To nie żarty, w Leningradzie nikt się w tym okresie nie mył, twarze pokrywała czarna skorupa, a w Wielkim Domu aresztanci mieli gorący prysznic raz na dziesięć dni. No, to prawda, tylko korytarze, gdzie stała straż, były ciepłe, cel nie ogrzewano, a jednak w celi był i czynny wodociąg, i wychodek: któż to w Leningradzie jeszcze miał? A chleba – po sto dwadzieścia pięć gramów, tak samo jak na swobodzie. No i jeszcze raz dziennie zupa na końskiej padlinie! i nawet polewka z kaszy!

Pozazdrościł koł psiego życia! A karcer? A wieża? Nie, to nie dlatego.

Nie dlatego...

Siądzie człowiek, zmruży oczy, wspomni: w ilu celach odsiadywał swój wyrok! Nawet trudno policzyć. A w każdej – ludzie, ludzie, ludzie... W jednej – dwie osoby, w drugiej – półtorej setki. W tej siedziałeś pięć minut, w owej – całe długie lato.

Ale zawsze ma swoją osobną pozycję w tym rachunku – pierwsza cela, w której napotkałeś podobnych sobie, na taki sam los skazanych. Całe życie wspominać ją będziesz ze wzruszeniem, z jakim wspomina się chyba tylko pierwszą miłość. I tych ludzi, którzy dzielili z tobą powierzchnię podłogi i powietrze kamiennego sześcianu w dniach, gdy musiałeś z zupełnie nowej strony spojrzeć na całe swoje życie – tych ludzi wspomnisz jeszcze któregoś dnia, jak najbliższą rodzinę.

Zresztą – w tamtych dniach – oni tylko byli twoją rodziną.

To, co przeżyłeś w pierwszej celi śledczej nie da się porównać z niczym, co zaszło w twoim życiu PRZED tym i z niczym, co się zdarzyło PÓŹNIEJ. Chociaż więzienia istniały przez tysiąclecia przed twoim urodzeniem – i choćby tak samo długo miały istnieć w przyszłości (chciałby człowiek wierzyć, że krócej...) ale jedyna i niepowtarzalna jest tylko ta cela, w której przechodziłeś śledztwo.

Była może czymś nieznośnym dla ludzkiej istoty. Zawszawiona, zapluskwiona komórka bez okna, bez przewiewu, bez nar, z brudną polepą – pudło, zwane KPZ – przy radzie gromadzkiej, przy milicji, na dworcu, albo w porcie¹⁰² (KPZ i DPZ – ich właśnie jest u nas najwięcej, w nich właśnie siedzi przeważająca masa). „Pojedynka” więzienia archangielskiego, gdzie szyby zamalowane są minią, aby wieczne światło boże przenikało do celi tylko jako purpurowa poświata i żeby wiecznie tliła się piętnastowatowa żarówka pod sufitem. Albo „pojedynki” w mieście Czoj-balsan, gdzie na powierzchni 6 metrów kwadratowych siedziało was miesiącami czternastu, w takim ścisku, że podkurczone nogi zmieniało się na komendę. Albo jedna z lefortowskich cel „psychicznych”, powiedzmy 111 cała wymalowana na czarno, także z dwudziestopięciowatową żarówką, palącą się całą dobę; reszta – jak w każdej lefortowskiej celi: asfaltowa podłoga; pokrętko ogrzewania w korytarzu, w rękach nadzorców; a przede wszystkim – wielogodzinny, rozdzierający ryk (z kanału aerodynamicznego sąsiedniego Instytutu Lotnictwa, ale człowiek

¹⁰² KPZ (DPZ) – Kamera (Dom) Predwaritielnogo Zakłuczenia – Cela (Dom) dla zatrzymanych tymczasowo, tzn. nie to więzienie, gdzie odsiadyuje się wyrok, tylko wstępne, śledcze.

nie jest w stanie uwierzyć, że to nie umyślnie), ryk, przez który miska z kubkiem wi-brują i zjeżdżają ze stołu, ryk uniemożliwiający wszelką rozmowę; można za to śpiewać na całe gardło, nadzorca nie usłyszy, a kiedy ryk ustaje, przychodzi ulga, co najmniej tak błoga, jak wolność.

Ale przecież nie tę brudną podłogę, nie te mroczne ściany, nie odór kibla po-lubiłeś – tylko tych ludzi, z którymi na komendę zmieniałeś pozycję; to, co zaczęło się kołatać między waszymi duszami; ich słowa, tak czasem dziwne; i te myśli, tam właśnie narodzone, tak swobodne i płynne, do których – jeszcze niedawno – ani byś nie mógł się wspiąć, ani wznieść.

A ileż cię to kosztowało, żeby znaleźć się wreszcie w tej pierwszej celi! Trzy-mali cię w jamie albo w boksie, albo w piwnicy. Nikt ci ludzkiego słowa nie po-wiedział, nikt nie rzucił ludzkiego spojrzenia – tylko wydziobywali, co mogli z twojego mózgu i z serca żelaznymi dziobami tyś krzyczał i jęczał – a oni tylko się śmiali.

Przez tydzień albo i miesiąc byłeś samiuteńki wśród wrogów, już żegnałeś się z rozsądkiem i z życiem; już włożyłeś na kaloryfer i starałeś się tak z niego skoczyć, aby rozbić głowę o żelazny stożek zlewu – i nagle czujesz, że żyjesz, że zaprowa-dzili cię tam, gdzie masz przyjaciół. I wraca ci rozum.

Oto czym jest pierwsza cela!

Czekałeś na nią, marzyłeś o niej prawie tak, jak o wolności – a tymczasem przerzucali cię z jamy do nory, z Lefortowa, do jakiejś diabelskiej, mitycznej Su-chanowki.

Suchanowka jest właśnie tym najstraszniejszym więzieniem, jakie ma MGB. Jest postrachem takich, jak my, jej nazwę wymawiają śledczy ze złowieszczym sy-kiem. (Kto zaś tam był – od tego człowiek nic nie wydobędzie; albo plotą piątę przez dziesiątę, albo nie ma ich wśród żyjących).

Suchanowka – to dawna pustelnia z czasów Katarzyny, dwa oddziały – kar-ny i śledczy, 68 cel. Wiozą tam ludzi sukami dwie godziny i niewielu wie, że to wię-zienie dzieli tylko kilka kilometrów od Leninowskich Gór¹⁰³ i od dawnego majątku Zinaidy Wołkońskiej. Pięknie tam dookoła.

Aresztanta zaraz po przyjęciu ogłusza się tam stojącym karcerem tak przy tym wąskim, że jeśli człowiek nie ma siły długo stać, to jedno mu zostaje – zwis na opartych o mur kolanach. W takim karcerze trzymają człowieka nawet ponad dobę – żeby spokorniał. Wikł w Suchanowie jest tak smaczny i delikatny, że nig-dzie w MGB nie ma lepszego, ponieważ przynoszą jedzenie z pobliskiego domu wypoczynkowego architektów, nie mają dla tej swojej nierogacizny oddzielnej kuchni. Ale to, co spożywa jeden architekt – więc i kartofelki smażone i befsztyczki – tu dzielą między dwunastu ludzi. Dlatego właśnie człowiek tu nie tylko zawsze jest głodny, jak to bywa gdzie indziej, ale jeszcze boleśnie rozjątrzony.

Cele są tam podwójne, ale więźniów śledczych rozmieszcza się zwykle poje-dynczo. Cele mają powierzchnię półtora metra na dwa.¹⁰⁴ W kamienną podłogę

¹⁰³ Miejscowość pod Moskwą, gdzie zmarł Lenin.

¹⁰⁴ A ściślej 156 cm x 209 cm. Skąd to wiadomo? To przykład tryumfu myśli technicznej i silnej duszy, której Suchanowka nie złamała. Obliczył to Aleksander Dołgan. Nie chciał oszaleć ani załamać się, dlatego starał się robić jak najwięcej obliczeń. W Lefortowie liczył kroki, przeliczał je na kilometry, starał się przypomnieć sobie, ile – według mapy – jest kilometrów od Mo-skwy do granicy, ile potem do oceanu, przez całą Europę, ile wreszcie kilometrów szerokości ma Ocean Atlantycki. Miał jeden bodziec: myślą wrócić do domu, do Ameryki. I gdy po roku pobytu w lefortowskiej pojedynce wzięto go do Suchanowki, był właśnie na dnie Atlantyku. Tu – rozumiejąc, że mało kto będzie mógł opowiedzieć o tym więzieniu (wszystko, co tu piszemy, on nam opowiedział), znalazł sposób na wymierzenie celi. Na dnie miski więziennej znalazł wystancowaną cyfrę ułamkową 10/22

wpuszczone są dwa okrągłe stołki, jakby pieńskie i na każdy z tych pieńków – jeśli strażnik otworzy angielski zamek w ścianie opada z muru na siedem nocnych godzin (to znaczy, na godziny śledztwa, bo we dnie w ogóle nie ma przesłuchań) półka ze słomianym sienniczkiem, dobrym dla dziecka. We dnie stołek jest wolny, ale siadać na nim nie wolno. Ponadto na czterech pionowych rurach leży stół, jak deska do prasowania. Wywietrznik w oknie jest zawsze zamknięty, tylko rankami strażnik otwiera go bosakiem. Malutkie okno ma szybę ze szkła pancernego. Nie ma żadnych spacerów, wyjście do wychodka tylko raz, o szóstej rano, to znaczy wtedy, kiedy żaden żołądek jeszcze tego nie wymaga, wieczorem to nie jest dozwolone. Na każdy odcinek, składający się z siedmiu cel, przypada dwóch strażników, dlatego lipko zerka na człowieka tak często, ile trzeba strażnikowi na przejście obok dwójga drzwi ku trzecim. Na tym właśnie polega zadanie milczącej Suchanowki: nie dać człowiekowi ani minuty snu, ani minuty własnego życia – ma zawsze być obserwowany i zawsze czuć się w cudzych rękach.

Ale jeśli już wyszedłeś zwycięsko z pojedynku z obłudą i uniknąłeś wszystkich pułapek samotności – to zasłużyłeś sobie na swoją pierwszą celę! I teraz dusza ci się w niej rozpręży.

Jeśli zaś szybko się poddałeś, jeśli ugiąłeś się i wszystkich wydałeś w ich ręce – to teraz też już dojrzałeś do swojej pierwszej celi; chociaż lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś nie dożył tej szczęśnej chwili i skonał gdzieś w piwnicy – jako zwycięzca, co nie podpisał ani kartki.

Teraz pierwszy raz tutaj zobaczysz – nie wrogów swoich. Teraz zobaczysz pierwszy raz innych żywych ludzi,¹⁰⁵ którzy towarzyszą ci w drodze i których możesz objąć wspólnym dla nich i dla ciebie słowem MY.

Tak, to słowo, którym może gardziłeś na swobodzie, bowiem zastępować miało twoje ja („my wszyscy, jak jeden mąż!...” My wyrażamy nasze święte oburzenie!... My domagamy się!... My przysięgamy!...”) teraz daje ci poznać swój słodki smak: nie jesteś sam na świecie! Są jeszcze na nim rozumne, obdarzone duszą istoty – LUDZIE!!

*

Po czterech dobach mojego pojedynku ze śledczym, doczekawszy się, abym położył się po apelu w moim elektrycznym, oślepiającym boksie, nadzorca zaczął otwierać moje drzwi. Słyszałem to, ale chciałem z głową na poduszce wyobrażać sobie, że już śpię – przynajmniej przez trzy sekundy dzielące mnie od okrzyku „Wstawać! Na przesłuchanie!”. Jednak tym razem nadzorca jakby się pomylił: „Wstawać! Zabrać pościel!”.

Zbity z tropu i rozżalony, bo to była chwila bezcenna, owinąłem stopy onucami, wzułem buty, wdziałem płaszcz, zimową czapkę i wziąłem w objęcia więzienny materac. Na palcach, cały czas dając mi znaki, abym nie robił hałasu, strażnik poprowadził mnie cichym jak grób korytarzem trzeciego piętra Łubianki, wzdłuż rzędu lustrzanych numerów na drzwiach cel i oliwkowych kłapek na juda-

i domyślił się, że 10 oznacza średnicę dna, 22 – średnicę okola miski. Następnie wyciągnął nitkę z ręcznika, zrobił miarkę i wszystko wymierzył. Następnie zaczął ćwiczenia w sztuce spania na stojąco: jak wykorzystać stołek do podparcia kolana i jak sprawić na strażniku wrażenie, że oczu się nie zamyka. Udało mu się wypracować metodę – i tylko dlatego nie zwariował. (Riumin przez miesiąc nie dawał mu spać).

¹⁰⁵ Jeśli to było w Wielkim Domu w Leningradzie, podczas blokady – to może nawet ludożerców: tych, co jedli z głodu ludzkie mięso i handlowali ludzką wątrobą z kostnic szpitalnych. Nie wiedzieć czemu, trzymano ich w MGB razem z politycznymi.

szach, po czym otworzył mi celę numer 67. Przesząpiłem próg i drzwi natychmiast zamknęły się za mną.

Chociaż po wieczornym dzwonku minął dopiero kwadrans, ale czas, przeznaczony tylko na sen dla więźniów śledczych, tak jest kruchy, niepewny i tak go mało, że mieszkańcy 67. celi w momencie mojego nadejścia już spali na swoich metalowych łózkach, trzymając ręce na kołdrach.¹⁰⁶ Skrzyp otwieranych drzwi sprawił, że wszyscy trzej wzdrygnęli się i natychmiast podnieśli głowy. Oni też wy-
czekiwali, „kogo dziś wezwą na przesłuchanie.

I te trzy głowy, poderwane z przestrachem, te trzy niegolone, wymięte, wybladłe twarze wydały mi się tak ludzkie, tak miłe, że zastygłem, obejmując materac i uśmiechając się, jakby mnie kto uszczęśliwił. Oni też się uśmiechali. I jak też człowiek zdążył zapomnieć o podobnym wyrazie twarzy! – a wszystkiego tydzień minął!

– Z wolności? – zapytali mnie (to zwykle pierwsze pytanie, zadawane nowicjuszowi).

– Nieee – odpowiedziałem (to zwykle pierwsza odpowiedź nowicjusza).

Chodziło im o to, że na pewno aresztowany byłem niedawno, a więc przychodzę z wolności. Ja zaś po dziewięćdziesięciu sześciu godzinach śledztwa, wcale nie uważałem, że przychodzę „z wolności”; bo to czy nie jestem już doświadczonym aresztantem?... A jednak byłem przybyszem z wolności! I staruszek bez brody, o czarnych, bardzo ruchliwych brwiach, już wypytywał mnie o wojenne i polityczne nowiny. Niebawem! – Chociaż były to ostatnie dni lutego, ale oni nic nie wiedzieli ani o konferencji w Jałcie, ani o odcięciu Prus Wschodnich, ani w ogóle o naszym natarciu pod Warszawą w połowie stycznia, ani nawet o grudniowym, żałosnym odwróceniu aliantów. W myśl instrukcji – więzień śledczy nie powinien nic wiedzieć o świecie zewnętrznym, i oto oni niczego nie wiedzieli!

Gotów byłem pół nocy snuć im teraz moje relacje – z taką dumą, jakby wszystkie zwycięstwa i okrążenia były moim własnym dziełem. Ale dyżurny strażnik wniósł właśnie łóżko dla mnie i trzeba było rozstawić je bez hałasu. Pomagał mi chłopak w moim wieku, też wojskowy: jego lotniczy frencz i pilotka wisały na słupku łóżka. Zagabnął mnie on jeszcze wcześniej niż staruszek, ale nie chodziło mu o wojnę, tylko o tytoń. Ale – pomimo, że dusza mi się rwała do moich nowych przyjaciół i mimo, że tak mało padło słów w ciągu paru minut – czymś obcym mi powiało od tego rówieśnika i towarzysza bojów, więc zamknąłem się przed nim raz na zawsze.

(Jeszcze nie znałem słów „kapuś” czyli „kwoka”, ani tego, że w każdej celi powinna być chociaż jedna, jeszcze w ogóle nie zdążyłem zdać sobie sprawy, że ten człowiek – G. Kramarenko – jakoś mi się nie podoba, a już poszła w ruch we mnie wewnętrzna fotokomórka, magiczne oko, co sprawiło, że na zawsze zamknąłem się przed tym człowiekiem. Nie wspominałbym o tym wypadku, gdyby był odosobniony. Ale działanie tego wewnętrznego oka magicznego wkrótce już – ze

¹⁰⁶ Różne dolegliwości, jako dodatek do starych więziennych rygorów, wprowadzane były w Więzieniach Wewnętrznych GPU – NKWD – KGB stopniowo. Ci, którzy siedzieli w początku lat 20., nie znali jeszcze tej metody, zresztą światło gasiło się wtedy na noc, po ludzku. Ale światło przestano gasić w myśl logicznej zasady: żeby móc widzieć więźniów w nocy o każdej godzinie (a kiedy zapalano je tylko przy kontroli, to było jeszcze gorzej). Ręce zaś kazano trzymać na kołdrze rzekomo po to, aby więzień nie mógł udusić się pod kołdrą, uchylając się w ten sposób od sprawiedliwego śledztwa. Przy kontrolnym badaniu okazało się, że człowiekowi zimą zawsze chce się tę rękę schować, ogrzać – i dlatego chwyt ten został wprowadzony na stałe.

zdziwieniem, radością i lękiem – odkryłem w sobie jako stałą, naturalną właściwość. Mijały lata, leżałem na tych samych narach, maszerowałem w tym samym szeregu, pracowałem w tych samych brygadach z wieloma setkami ludzi i zawsze to tajemnicze oko magiczne, którego istnienie nie było żadną moją zasługą, wprawiało się samo w ruch, zanim jeszcze pomyślałem o nim, zaczynało działać na widok ludzkiej twarzy, oczu, przy pierwszych dźwiękach głosu – i albo kazało mi otwierać się przed tym człowiekiem na oścież, albo tylko uchylać mu szparki, albo zamykać się na głucho. Było to zawsze przeczucie tak nieomyślne, że wszystkie gorączkowe zabiegi pełnomocników operacyjnych dookoła werbunku konfidentów zaczęły mi się wydawać mysią krzątaniną: przecież to, że człowiek podjął się roli zdrajcy, zawsze odbija się wyraziście na twarzy, w głosie; niektórzy osiągnęli już, zdawałoby się, wyjątkową zręczność w kamuflażu, a jednak – coś nieczystego wychodzi na jaw. I odwrotnie – moje oko magiczne pozwalało mi rozpoznawać tych, którym od pierwszej chwili znajomości można dać zajrzeć w największą głęb i zwierzyć tajemnice, za które ścina się łby. Mam za sobą osiem lat więzienia, trzy lata zesłania, jeszcze sześć lat nielegalnego pisarstwa (nie były to wcale lata bardziej bezpieczne) – i w ciągu tych całych siedemnastu lat zwierzałem się nieostroźnie dziesiątkom ludzi – i ani razu się nie potknąłem! – Nigdzie nie czytałem o czymś podobnym i to, co tu piszę, przeznaczone jest dla amatorów psychologii. Wydaje mi się, że takie wewnętrzne dyspozycje ma wielu z nas, ale jako wychowankowie epoki racjonalizmu i techniki, lekceważymy tę cudowną właściwość i nie pozwalamy jej się w nas rozwinąć).

Łóżko zostało rozstawione – i już zabierałem się do opowieści (oczywiście – szeptem i na leżąco, żeby od razu nie przenieść się z tych wygod do karceru), gdy trzeci nasz współtowarzysz, średniego wieku, ale z białymi igiełkami siwych włosów na ostrzyżonej głowie, patrzący na mnie niezupełnie przychylnie, powiedział z surowością, zdobiącą ludzi północy:

– Jutro. Noc jest do spania.

I to było najrozsądniejsze. Każdego z nas w każdej chwili mogli wyrwać na przesłuchanie i trzymać tam do szóstej rano, kiedy śledczy pójdzie spać, a tu już spać nie będzie wolno.

Jedna noc spokojnego snu ważniejsza była od losów planety!

Obecność jeszcze jednego szkopuła, nie od razu wyczuwalną, stwierdziłem już po kilku pierwszych zdaniach mojej relacji: że nastąpiła tu (po aresztowaniu każdego z nich) generalna zmiana znaków arytmetycznych, czy też rotacja wszystkich pojęć o sto osiemdziesiąt stopni i że to, co z takim upojeniem zacząłem im opowiadać – być może dla nas wcale nie było takie wesołe.

Obrócili się na bok, zasłonili chusteczkami oczy przed blaskiem dwustuwatowej żarówki, okręcili ręcznikami rękę, leżącą na kołdrze, drugą podkurczyli chytrze i zapadli w sen.

A ja leżałem w świątecznym nastroju: jestem wśród ludzi. Godzinę temu nie mogłem przecież wcale liczyć na spotkanie z kimkolwiek. Mogłem zakończyć życie z kulą w potylicy (śledczy cały czas mi to obiecywał) nie widząc przedtem nikogo. Wisiąco nade mną po dawnemu śledztwo, ale na jak daleki plan odstąpiło! Jutro ja będę opowiadał (nie o swojej sprawie, to jasne), jutro oni też będą opowiadać – co za ciekawy dzień będzie jutro, chyba jeden z najciekawszych w życiu! Ta świadomość zrodziła się we mnie bardzo wcześnie i była bardzo jasna: że więzienie to nie jest przepaść, tylko najważniejszy w moim życiu przełom.

Każda drobnostka w celi mnie interesowała, gdzie też senność się podziela! – i kiedy lipo na mnie nie zerka, ukradkiem się rozglądam. O, u góry jednej ze ścian jest niewielkie wgłębienie, na trzy cegły i wisi na nim granatowa, płócienna sztorka. Już mi zdążyli powiedzieć, że to okno, owszem! – w tej celi jest okno! – a sztorka służy do zaciemnienia przeciwlotniczego. Jutro błysnie więc słabiutkie światło dzienne i w południe na kilka minut zgaszą oślepiającą lampę. Jak to wiele znaczy – spędzać czas przy świetle dziennym!

Jest jeszcze w celi stół. Miejsce najbardziej widoczne zajmują na nim – szachy, imbryk, stosik książek (jeszcze nie wiedziałem, dlaczego najbardziej widoczne. Okazuje się, że tego też wymaga łubiański regulamin: przy cominutowej kontroli strażnik powinien widzieć, że nikt nie nadużywa tych darów administracji: że imbrykiem nie kuje ścian, że nie łyka figur szachowych, aby załatwić rachunki z życiem i pozbawić ZSSR obywatela; że nie podpala książek w zamiarze obrócenia więzienia w popiół. Własne zaś okulary aresztantów uznane są za narzędzie tak niebezpieczne, że nawet na stole nie wolno im leżeć w nocy, administracja konfiskuje je do rana).

Jakie wygodne życie! – szachy, książki, sprężynowe łóżka, solidne materace, czysta bielizna. Toż nie pamiętam, żebym tak sypiał w ciągu całej wojny. Froterowana posadzka. Prawie cztery kroki – dla spacerów od okna do drzwi. Nie, czy to centralne więzienie polityczne – czy jakieś sanatorium?

I pociski nie lecą ci na łeb... Przypomniatem sobie ten ich wysoki łopot nad głową albo narastający świst i grzmot wybuchu. I jak tkliwie pogwizdują miny. I jak wszystko dygoce, kiedy łupną cztery cetnary krowy. Przypomniatem sobie zgniłą pluchę za Ostródką, gdzie mnie aresztowano i gdzie nasi dotychczas mieszkają błoto i mokry śnieg, aby nie wypuścić Niemców z kotła.

Czort z wami – nie chcecie, żebym wojował, to się obejdzie.

Wśród wielu utraconych wzorców utraciliśmy jeszcze i taki: przykład nieugiętego hartu zostawiony nam przez ludzi, którzy przed nami mówili i pisali po rosyjsku. Dziwne, że nie zostali oni prawie opisani w naszej literaturze przedrewolucyjnej. Widzieli oni zbyt wiele, aby upodobać sobie tylko jedno. Dążyli do wysokich celów zbyt żarliwie, aby mocną stopą trzymać się ziemi. W organizmach społecznych przed samym ich upadkiem pojawia się czasem taka mądra warstwa ludzi myślących – nic więcej, tylko myślących. Jak też ich wyśmiewano! Innego też się przewiska nie doczekali, jak zgniłki.

Ludzie ci byli jak kwiat przedwcześnie rozkwitły, o zbyt rzadkim zapachu – dlatego rzucono ich pod kosiarkę.

W życiu osobistym byli oni szczególnie niezaradni: nie umieli ani zginać karku, ani udawać, ani szukać zgody; co słowo – to własne zdanie, poryw, protest. Takich właśnie kosiarka najłatwiej kosi. Takich właśnie sieczkarnia najchętniej siecze.¹⁰⁷

Przechodzili oni przez te same cele. Ale ściany cel – tyle już razy odzierane z tapet, tynkowane, bielone i malowane – otóż ściany cel nie oddawały nam niczego, co im przeszłość powierzyła (przeciwnie nawet, same one nadstawiały swoje mikrofony, żeby tylko nas podsłuchać). O dawnych mieszkańcach tych cel, o rozmowach, które tu prowadzono, o myślach, z którymi szło się stąd pod mur, albo na Solówki – nigdzie niczego nie napisano, nie powiedziano – i takiego tomu,

¹⁰⁷ Aż strach powiedzieć, ale w wigilię lat 70. naszego wieku znów tacy ludzie się wynurzają. To zadziwiające. Prawie że nie można było mieć na to nadziei.

który wart byłby czterdziestu wagonów naszej literatury, zapewne już nikt nie napisał.

Ci zaś, którzy jeszcze są wśród żywych, opowiadają nam rozmaite błałostki: że dawniej były tu drewniane prycze z siennikami, że zanim jeszcze na okna założono blince, szyby już były zasmarowane wapnem z dołu do samej góry – jeszcze w 1920 roku. A blince – w 1923 roku już były na pewno (a myśmy zgodnie przypisywali je Berii). Do rozmów metodą pukania w ściany podobno jeszcze w latach 20. odnoszono się tolerancyjnie: jakoś jeszcze utrzymywała się ta niedorzeczna tradycja z carskich czasów, że więzień, jeśli sobie nie postuka, to co poczniesz?... I jeszcze – że przez całe lata dwudzieste wszyscy strażnicy tutejsi byli Łotyszami (widocznie z dawnego pułku strzelców łotewskich) i że jedzenie roznosiły roste Łotyszki.

Błałostki błałostkami, a jest nad czym podumać.

Co do mnie, to pobyt w tym głównym więzieniu politycznym Związku bardzo mi był potrzebny, dobrze w końcu, że mnie tu przywieziono: myślałem dużo o Bucharinie, chciałem móc sobie to wszystko wyobrazić. Wrażenie jednak mieliśmy takie, że kosa uszczknęła nas jakby już z ubocza i że nadawaliśmy się do byle okręgowego więzienia wewnętrznego.¹⁰⁸ A tu – za wysokie progi.

Ale z tymi, których tu zastałem, nie można było się nudzić. Było kogo postuchać, było kogo porównać z innymi.

Tego starego z ruchliwymi brwiami (zresztą – mając sześćdziesiąt trzy lata trzymał się on wcale nie jak stary) zwano Anatol Iljicz Fastenko. Był wielką ozdobą naszej łubiańskiej celi – i jako strażnik starych, rosyjskich tradycji więziennych, i jako żywa kronika rosyjskich rewolucji. To, co miał w pamięci, nadawało jakby większy wymiar temu, co się stało i co się teraz działo. Tacy ludzie nie tylko bardzo się liczą w celi, ale w całym społeczeństwie bardzo ich brak.

Nazwisko Fastenki wyczytaliśmy w tejże celi, wertując książkę o rewolucji 1905 roku. Fastenko był socjaldemokratą od tak dawna, że już chyba przestawał nim być.

Swój pierwszy wyrok dostał jako młody jeszcze człowiek, w 1904 roku, ale na mocy „manifestu” z 17 października 1905 roku był puszczony wolno.¹⁰⁹

(Interesujące było jego opowiadanie o przebiegu tej amnestii. W tych latach, rzecz jasna, nikt jeszcze nie miał pojęcia o żadnych blincach na więziennych oknach i z cel więzienia w Białej Cerkwi, gdzie Fastenko siedział, aresztanci mogli sobie do woli patrzeć na podwórzec więzienny, na wchodzących i wychodzących, na ulicę, a więc też – porozumiewać się krzykiem z kim chcieli. I oto już w dniu 17 października, dowiedziawszy się z depeš o amnestii, wolni zawiadomili o tym więźniów. Polityczni rozpoczęli radosny raban, zabrali się do wybijania szyb i wyłamywania drzwi, żądając od naczelnika więzienia, by ich natych-

¹⁰⁸ Więzienie wewnętrzne – tj. właśnie więzienie bezpieczeństwa.

¹⁰⁹ Któż z nas nie nauczył się na szkolnej ławie albo nie wykuł według „Krótkiego kursu historii WKP(b)”, że ten prowokacyjny i podły manifest był kpina z wolności, że car wydał rozkaz: „wolność – dla martwych, żywych – do aresztu”? Ale ten epi- gramat kłamię. Na mocy manifestu zezwalało się na istnienie WSZYSTKICH partii politycznych, zwołano Dumę, amnestię dano zaś uczciwą i najszerszą z możliwych (inna rzecz, że była ona wymuszona), a mianowicie na jej podstawie zwolniono ni mniej, ni więcej, tylko WSZYSTKICH więźniów politycznych, bez wyjątku i niezależnie od wyroku. Tylko kryminaliści mieli siedzieć dalej. Stalinowska zaś amnestia z lipca 1945 roku (co prawda, nie była wymuszona przez nikogo) miała dokładnie odwrotne działanie: wszyscy polityczni zostali na jej mocy w więzieniu.

miast wypuścić na wolność. Może kogoś z nich zaraz skopano po pysku? Wsadzono do karceru? Może jakąś celę pozbawiono za to książek albo prawa zakupów w kantynie? Bynajmniej. Skoślowany naczelnik więzienia biegał od celi do celi i prosił: – „Panowie! Błagam was! – trochę rozsądku! Ja przecież nie mam prawa wypuścić was na podstawie telegraficznej wiadomości. Powinienem dostać rozporządzenie bezpośrednio od moich zwierzchników z Kijowa. Ja bardzo was proszę: będziecie jednak musieli spędzić tu jeszcze tę noc”. – I rzeczywiście, zatrzymano ich po barbarzyńsku na całą dobę!...) ¹¹⁰

Po odzyskaniu wolności, Fastenko i jego towarzysze natychmiast włączyli się do rewolucji. W 1908 roku Fastenko dostał 8 lat katorgi, co oznaczało – 4 lata w kajdanach i 4 lata na zesłaniu. Pierwsze cztery lata odsiedział w sewastopolskim centralniaku, gdzie, notabene, miała właśnie w tym okresie miejsce masowa ucieczka więźniów, zorganizowana z zewnątrz wspólnym staraniem rewolucyjnych partii – eserów, anarchistów i socjaldemokratów. Wybuch bomby zrobił w murze więziennym wyłom na dobrego jeźdźca i ze dwudziestu więźniów (nie wszyscy, którzy mieli chęć, jedynie wyznaczeni do ucieczki przez własne partie i jeszcze w więzieniu zaopatrzeni – przez strażników! – w pistolety!) rzuciło się do wyrwy; wszyscy uciekli, prócz jednego. Anatol Fastenko dostał zaś rozkaz od RSDPR by nie uciekał, lecz starał się odwrócić uwagę nadzorców robiąc zamęt.

Za to na zesłaniu nad Jenisejem nie strawił wiele czasu. Konfrontując relację jego (a także innych ocalałych) ze znanym szeroko faktem, że nasi rewolucjoniści całymi setkami uciekali z zesłania – i przeważnie za granicę, dojść można do wniosku, że z carskiego zesłania nie uciekali tylko leniwi, takie to było proste. Fastenko „uciekł”, to znaczy – po prostu wyjechał bez paszportu z miejsca osiedlenia. Pojechał do Władywostoku, licząc, że jakiś znajomy pomoże mu tam dostać się na okręt. Z jakichś powodów rzecz się nie udała. Wówczas, dalek bez paszportu,

Fastenko spokojnie przejechał pociągami całą macierz–Rosję i zajechał aż na Ukrainę. Tam dostał cudzy paszport i wyruszył w drogę ku austriackiej granicy chcąc ją przekroczyć. Przedsięwzięcie to było tak mało ryzykowne i tak słaby był oddech pogoni, który mógł czuć na karku Fastenko, że posunął się on do zdumiewającej lekkomyślności: na granicy, już po oddaniu policjantowi paszportu, Fastenko nagle sobie uświadomił, że NIE PAMIĘTA swego nowego nazwiska! Co tu robić? Pasażerów było ze czterdziestu, a policjant już zaczął wywoływać. Fastenko znalazł sposób: udał, że śpi. Słyszał, jak rozdano wszystkie już paszporty i jak kilka razy wywołano nazwisko Makarow, ale jeszcze nie miał pewności, że to chodzi o niego. Wreszcie – pies łańcuchowy carskiego reżymu pochylił się nad działaczem podziemia i delikatnie trącił go w ramię: „Panie Makarow! Panie Makarow! Proszę – tu jest pański paszport!”.

Fastenko pojechał do Paryża. Tam poznał Lenina, Łunaczarskiego i pełnił przy partyjnej szkole w Longjumeau jakieś gospodarcze obowiązki. Jednocześnie uczył się po francusku, rozglądał się po świecie – i jakoś go zaczęło ciągnąć dalej w ten świat. Przed wojną przeniósł się do Kanady, był tam robotnikiem, znalazł się także w Stanach Zjednoczonych. Pełne swobody i dostatku życie w tych krajach

¹¹⁰ 9 Po stalinowskiej amnestii, jak będzie jeszcze o tym mowa, amnestionowanych trzymano jeszcze po dwa-trzy miesiące, zmuszając dalej do harówki i nikomu się to nie wydawało bezprawiem.

zdumiało Fastenkę: doszedł do przekonania, że żadnej rewolucji proletariackiej nigdy tam nie będzie i nawet myślał już, że chyba wcale jej tam nie trzeba.

A tymczasem w Rosji doszło – wcześniej niż by się kto spodziewał do wyczerkiwanej rewolucji i wszyscy zaczęli wracać i tu przyszła jeszcze jedna rewolucja. Fastenko już nie czuł w sobie dawnego zapału do tych przewrotów. Ale wrócił, posłuszny temu prawu, które zmusza do przelotów ptaki.¹¹¹

Jeszcze wtedy wielu rzeczy w tym Fastencie nie potrafiłem zrozumieć. Omal że najciekawszym i najważniejszym jego rysem było dla mnie, że znał on osobiście Lenina, ale napomykał o tym zupełnie bez zapału. (Moje nastroje wyglądały wtedy mniej więcej tak: ktoś w celi zwrócił się do Fastenki, używając samego tylko imienia odojcowskiego, to jest po prostu „Iljicz, czy ty dziś wynosisz kibel?”. Uniostem się gniewem, jakbym był osobiście dotknięty, wydawało mi się to bluźnierstwem – i nie tylko w tym kontekście, ale w ogóle bluźnierstwem dla mnie było nazywanie Iljiczem kogokolwiek, prócz jednego człowieka na świecie!). Przez to też Fastenko nie mógł mi jeszcze objaśnić wielu rzeczy tak, jakby sobie życzył.

Mówił mi jasno, po rosyjsku: „Nie czyn sobie bożyszcz!” A ja nie rozumiałem!

Widząc moją skłonność do entuzjazmu, powtarzał mi uporczywie nie jeden raz: „Jesteś matematykiem, grzeszysz, zapominając słów Kartezjusza: wszystko podawać w wątpliwość! Wszystko podawać w wątpliwość!” Jak to – „wszystko”? No tak, wszystko! Wydawało mi się, że podałem już dosyć, że tego starczy.

Albo tak mówił: „Starych katorżników politycznych prawie już nie ma, ja jestem już jednym z ostatnich. Starych katorżników wszystkich zlikwidowano, a nasz związek rozpędzono jeszcze w trzydziestych latach”. – „A dlaczego?” – „A żebyśmy nie zbierali się i nie debatowali”. I chociaż te proste słowa, wypowiedziane spokojnym tonem powinny były wzbić się do nieba, rozbijając po drodze szyby – rozumiałem je tylko jako jeszcze jeden dowód przestępstw Stalina. Smutny fakt – ale bez korzeni.

Jest zupełnie pewne, że nie wszystko, co wpada nam w ucho” trafia aż do świadomości. To, co za mało odpowiada naszym nastrojom, ulatnia się – w uszach, czy gdzieś dalej, ale się ulatnia. I chociaż pamiętam dobrze liczne opowieści Fastenki – ale jego argumenty rozumowe mogę wspomnieć tylko mgliście. Wymieniał mi różne książki, które bardzo radził kiedyś na wolności zdobyć i przeczytać. Nie mając już, z uwagi na wiek i zdrowie, nadziei by wyjść stąd żywym, pocieszał się nadzieją, że ja kiedyś te myśli sobie przyswoję. Zapisywać nie było można, zapamiętać i tak trzeba było w życiu więziennym sporo, mimo to zachowałem w pamięci nazwiska odpowiadające bardziej moim ówczesnym gustom: Niewczesne rozmyślenia Gorkiego (bardzo wysoko stawiałem wtedy Gorkiego! – przecież nad wszystkimi rosyjskimi klasykami górował tym, że był klasykiem proletariackim) – i Rok w ojczyźnie Plechanowa.

¹¹¹ Wkrótce po nim wrócił do Rosji poznany w Kanadzie były marynarz z pancernika „Potiomkin”, który uciekł za ocean i został tam bogatym farmerem. Marynarz sprzedał całą swoją farmę razem z bydłem, zabrał pieniądze i nowiutki traktor – i przyjechał do ojczyzny, był pomagać w budowie upragnionego socjalizmu. Zapisał się do jednej z pierwszych komun i oddał jej swój traktor. Posługiwał się nim byle kto i byle jak, toteż rychło go zniszczono. Sam zaś nasz marynarz ujrzał wszystko w zupełnie innym świetle, niż to sobie wyobrażał przez 20 lat. Rozkazy wydawali ludzie, którzy nie mieli w ogóle żadnych kompetencji i kazali robić to, co gospodarny farmer mógł uznać tylko za dziką bezmyślność. Prócz tego opadł tu z ciała i poniszczył już swoje ubrania, a mało co zostało z kanadyjskich dolarów po wymianie na papierowe ruble. Wybłągał więc, by wypuszczono go razem z rodziną, wyjechał za granicę tak samo bez grosza, jak wtedy, gdy uciekł po buncie na „Potiomkinie”, przeciął ocean jako marynarz (na bilet pieniędzy nie było), a w Kanadzie zaczął od nowa jako parobek.

Gdy Fastenko wrócił do Rosji to przez szacunek dla jego dawnych zasług w pracy nielegalnej, bardzo pchano go w górę i mógł być zająć ważne stanowisko, ale nie chciał, przyjął skromną posadę w wydawnictwie Prawdy, potem jakąś jeszcze skromniejszą, wreszcie przeniósł się do trustu moskiewskich przedsiębiorstw gospodarki komunalnej i tam pracował już całkiem w kątku.

Dziwiłem się: czemu tak się uchylał? Odpowiedział mi zdaniem, którego nie rozumiałem: „Starego psa nie przyzwyczaisz do łańcucha”.

Zrozumiałwszy, że nie da się już nic zaradzić, Fastenko chciał się po prostu uchować, rzecz ludzka. Już przeszedł na cichą, skromną emeryturkę (nie dla zasłużonych, bynajmniej, bo to mogło pociągnąć za sobą stwierdzenie, że znał blisko wielu już rozstrzelanych) – i w ten sposób może by dociągnął do 1953 roku. Ale na nieszczęście aresztowano jego sąsiada ze wspólnego mieszkania – wiecznie zalanego hulakę, pisarza L. Sołowiowa, który gdzieś po pijanemu przechwalał się, że ma pistolet. Pistolet zaś – to koniecznie musi być terror, a Fastenko z jego socjaldemokratyczną przeszłością był wykapanym terrorystą. No i teraz śledczy wmaśniał mu działalność terrorystyczną, a zarazem służbę we francuskim i kanadyjskim wywiadzie, a zatem również – w carskiej ochronie w charakterze konfidenta.¹¹²

I w 1945 roku syty śledczy zarabiał na sutą swoją gażę wertując całkiem serio akta z archiwów prowincjonalnych komend żandarmerii i pisząc całkiem na serio protokoły przesłuchań, dotyczące konspiracyjnych hasel, podpunktów i zebrań z 1903 roku.

A żona – staruszka (dzieci nie mieli) co dziesiąty dzień, według przepisu, przekazywała Anatolowi Iljiczowi takie paczki, na jakie ją było stać: trzystagramowy kawałek czarnego chleba (przecież kupowano go na bazarze i kosztował sto rubli kilo!) i tuzin gotowanych, obranych (a przy rewizji – jeszcze przekłutych szydłem) ziemniaków. I na widok tych biednych – naprawdę świętych! – przesyłek serce się rwało!

To było wszystko, co się należało człowiekowi za sześćdziesiąt trzy lata rzetelności i rozterek.

*

Cztery łóżka w naszej celi nie zajmowały całej przestrzeni; zostawało miejsce na stół. Ale kilka dni po moim przybyciu podrzucono nam jeszcze piątego i postawiono łóżko w poprzek.

Nowicjusza sprowadzono godzinę przed pobudką, w porze snu najśrodszego, przenikającego aż do szpiku – i trzech z nas nie uniosło nawet głów, tylko Kramarenko zerwał się, żeby zdobyć trochę tytoniu (a być może – także materiału dla śledczego). Zaczęli rozmowę szeptem, staraliśmy się nie słuchać, ale nie sposób było nie słyszeć szeptu przybysza: taki był głośny, wytężony i nawet bliski płaczu, że od razu się wyczuwało, iż nie zwyczajne nieszczęście znalazło się w naszej celi. Nowy dopytywał się, czy często rozstrzeliwują. Mimo to, nie odwracając głowy, zwróciłem im uwagę, żeby zachowywali się ciszej.

Kiedy zaś po pobudce zerwaliśmy się wszyscy razem (za wylegiwanie się groził karcer), to zobaczyliśmy – generała! To znaczy, nie miał żadnych dystynkcji, nawet sprutych, czy odkręconych, nawet naszywek – ale drogi frencz, miękki płaszcz,

¹¹² Ulubiony motyw Stalina: każdemu aresztowanemu staremu, towarzyszeni partyjnemu (i w ogóle – byłym rewolucjonistom) zarzucać służbę w carskiej ochronie. Czy to wynik bezgranicznej podejrzliwości? A może... jakiś głos wewnętrzny?... przez analogię?...

cała postać, no i oblicze! – nie, to na pewno był generał, typowy generał i nawet niechybnie generał ekstraklasy, nie jakiś tam generał-major. Był niewysoki, krzepki, o bardzo masywnym korpusie, szerokich barach, o twarzy opastej, ale ta nażarta otyłość nie dodawała mu wcale dobrodusznej przystępności tylko znaczenia, świadczyła o przynależności do wyższej sfery. Twarz jego obciążona była buldożą żuchwą i tu był ośrodek jego energii, woli, władczej siły, które pozwoliły mu zejść tak wysoko w średnim jeszcze wieku.

Zaczął się zawieranie znajomości i okazało się, że L. W. Z-w – jest jeszcze młodszy, niż na to wygląda, że w tym roku skończy dopiero trzydzieści sześć lat („jeżeli mnie nie rozstrzelają”), a co jeszcze dziwniejsze – wcale nie jest generałem, nawet nie pułkownikiem, i w ogóle nie jest wojskowym, tylko – inżynierem!

Inżynierem?! Wychowałem się właśnie w środowisku inżynierskim i dobrze pamiętam inżynierów lat dwudziestych: te błyskotliwe, otwarte umysły, ten swobodny i nienatarczywy humor, ta lekkość i rozmach myśli, łatwość przerzucania się od jednej dziedziny pracy inżynierskiej do drugiej – i w ogóle, od techniki do życia społecznego, do sztuki. Następnie – ta grzeczność, dobry smak; bogaty język, wymowa płynna i niezachwaszczona tanimi słówkami; jeden – trochę muzykuje, inny trochę maluje, u każdego z nich życie duszy odbija się w rysach twarzy.

W początkach lat 30. straciłem kontakt z tym środowiskiem. A później przyszła wojna. I oto przede mną stał – inżynier. Jeden z tych, którzy zajęli miejsce unicestwionych.

Jednego nie można mu było odmówić: był znacznie silniejszy, pełniejszy krzepy od tamtych. Zachował tę krzepę w barach i w rękach, chociaż dawno już nie były mu one potrzebne do pracy. Wolny od skrupułów uprzejmości, spoglądał ostro, mówił tonem zdecydowanym, nie spodziewając się nawet żadnych sprzeciwów. Wychowany był inaczej, niż tamci i pracował też inaczej.

Ojciec jego orał ziemię w najzupełniej ścisłym i dosłownym sensie. Lonia Z-w należał do tych umorusanych, ciemnych wsiowych chłopców, o których pisali Biczlinski i Tołstoj, biadając, że talenty giną w zarodku. Łomonosowem nie był i sam by nie trafił do Akademii, ale talenty miał – a musiałby także orać ziemię, gdyby nie rewolucja. Doszedłby do dostatku, bo był bystry, zmyślny, może wybiłby się nawet na kupczyka.

Jako że czasy były sowieckie, poszedł do Komsomołu i właśnie to jego komсомолство, prędzej niż inne talenty, wyrwało go z anonimowości, z nizin, ze wsi, przeniosło lotem rakiety przez rafak i podniosło aż na wyżyny Akademii Przemysłowej. Trafił do niej w 1929 roku – no, właśnie w chwili gdy stadami pędzono do GUŁagu tamtych inżynierów. Trzeba było co prędzej kształcić swoich ludzi – uświadomionych, oddanych, stuprocentowych – i nie tyle nawet znawców samego przedmiotu, ile managerów, sowieckich businessmanów. Chwila była taka, że sławetne punkty dowodzenia nieistniejącym jeszcze przemysłem – czekały na obsadzenie. I przeznaczaniem powołanych razem z nim – było zawładnąć nimi.

Życie Z-wa stało, się łańcuchem sukcesów, girlandą pnącą się wciąż w górę. Te znojne lata – od 1929 do 1933, kiedy wojna domowa w kraju prowadzona była nie za pomocą taczanek, tylko psów milicyjnych, kiedy sznury umierających z głodu wlokły się w stronę stacji kolejowych w nadziei, że dojadą do miasta, gdzie rodzi się chleb, ale biletów im nie dawano, dojechać nie mogli – i pokornym, siermiężnopostolnym pokotem konali pod płotami dworcowymi – w tych latach Z-w nie wiedział, że chleb mieszkańcom miast wydaje się na kartki,

ale miał studenckie stypendium wysokości dziewięciuset rubli (prosty robotnik zarabiał wtedy sześćdziesiąt). O wieś, której pył otrząsnął z nóg, serce go nie bolało: jego nowe życie już tutaj się toczyło, pośród zwycięzców i rozkazodawców.

Nie zdążył przejść praktyki w charakterze zwykłego dziesiętnika: od razu podporządkowano mu dziesiątki inżynierów, a robotników tysiące, został inżynierem naczelnym wielkich podmoskiewskich zakładów budownictwa. Od pierwszych dni wojny był, oczywiście, wyreklamowany od służby; został ewakuowany ze swoim centralnym zarządkiem do Ałma-Aty i tu wodził rej na jeszcze większej budowie, nad rzeką Ili, tylko że pracowali teraz u niego więźniowie. Ci szarzy ludkowie bardzo mało go wtedy interesowali swoim wyglądem: nie zmuszał on do namysłu, nie przykuwał nawet wzroku. Dla utrzymania się na lśniącej orbicie, na której krążył, ważne były tylko cyfry planu, który oni wykonywali i Z-wowi wystarczyło nałożyć karę na obiekt, punkt obozowy, nadzorcę robót – aby już oni własnymi środkami postarali się wykonać normę; – ale – ile godzin tam pracowali, jakie racje żywnościowe wtedy mieli – w te detale nie wnikał.

Lata wojny na głębokim zapleczu były najlepszym okresem życia Zwa! Takie jest odwieczne i powszechne prawo wojny: im więcej powoduje nieszczęść na jednym biegunie, tym więcej radości wyzwala na drugim. Z-w miał nie tylko szczętkę buldoga, ale też umiał szybko i zręcznie chwycić zębami każdą okazję praktyczną. Z miejsca i z wprawą dostosował się do nowego wojennego rytmu gospodarki krajowej: wszystko dla zwycięstwa, wyrwij spod ziemi i daj, co trzeba, wojna wszystko usprawiedliwi! W związku z wojną poszedł na jedno tylko ustępstwo: wyrzekł się garniturów i krawatów i – przybierając barwę ochronną kazał sobie uszyć chromowe buty i wdział generalski frencz – ten sam, w którym do nas przybył. To było modne, uniwersalne, nie drażniło inwalidów, ani nie ściągało potępiających spojrzeń kobiecych.

Ale kobiety częściej rzucały na niego zupełnie inne spojrzenia; garnęły się do niego, żeby zaspokoić głód, ogrzać się, poweselić trochę. Wielkie sumy ciekły mu przez palce, portfel z gotówką pęczył jak baryłka, czerwonec znaczył dla niego tyle, co kopiejka, tysiączek – tyle, co jeden rubel. Z-w ich nie żałował, nie szczędził, nie rachował. Rachował tylko kobiety, które przepuścił przez łóżko – a osobno te, które on pierwszy odkorkował, te rachunki, to był jego sport. Zapewniał nas w celi, że aresztowali go przy dwieście dziewięćdziesiątej którejś, jaka szkoda, że nie dali przekroczyć trzeciej setki! Była wojna, kobiety były samotne, prócz pieniędzy i władzy miał jeszcze męską krzepę godną Rasputina – więc można mu było wierzyć. Gotów był opowiadać nam jeden epizod po drugim, ale nasze uszy już nie były skłonne tego słuchać. Chociaż żadne niebezpieczeństwo mu znikąd nie groziło, ale przez te ostatnie lata kurczowo chwycił te kobiety, miętosił i odrzucał tak, jak bierze się z półmiska raka, żuje, wysysa i sięga po następnego.

Jak przyzwyczał się już do ustępliwości materii, do swojego tęgiego, kiernoziego truchtu, którym biegł przez świat! (W chwilach szczególnego podniecenia biegał po celi właśnie jak tęgi odynieć, co to mógłby dąb rozszczepić, jak się rozpędzi). Jak się przyzwyczał, że wśród kierownictwa są sami swoi, że wszystko można uzgodnić, załatwić, zakłajstrować! Zapomniał, że im więcej sukcesów, tym więcej zawiści. Jak dowiedział się dopiero teraz, podczas śledztwa, już od 1936 roku wlokła się za nim historia anegdoty, beztrako opowiedzianej kolegom po pijanemu. Dołączono potem do dossier jeszcze jakieś donosiki i meldunki agentów (przecież kobiety trzeba zapraszać do restauracji, a tam już człowiek komuś w oko wpad-

nie!) A jeszcze znalazł się donos – że w 1941 roku nie spieszył się z wyjazdem z Moskwy, czekając na Niemców (rzeczywiście, trochę zwlekał, zdaje się, że przez jakąś babę). Z–w baczył pilnie, żeby jego finansowe kombinacje załatwiane były czysto i gładko – ale zapomniał na śmierć, że jest jeszcze artykuł 58. I jednak ta bryła długo by jeszcze mogła wisieć mu nad głową, gdyby nie odmówił w swojej pysze pewnemu prokuratorowi dostawy materiałów dla budowy dachy. Tu jego sprawa obudziła się z letargu, drgnęła i runęła w dół. (Jeszcze jeden dowód, że Sprawy sądowe mają swoje źródło w interesowności Błękitnych...).

Zakres wiadomości Z–a wyglądał mniej więcej tak: był przekonany, że istnieje język amerykański; w celi przez dwa miesiące nie przeczytał ani jednej książki, nawet jednej całej stronicy, a jeśli doczytał do końca jakieś zdanie, to tylko po to, aby oderwać się od ciężkich myśli o śledztwie. Z rozmów wynikało jasno, że jeszcze mniej czytał na swobodzie. Puszkina znał tylko jako bohatera nieprzyzwoitych anegdot, o Tołstoju wiedział chyba tylko tyle, że to jakiś deputat Najwyższego Sowietu.

Ale czy był za to stuprocentowy? czy był tym uświadomionym, proletariackim elementem, kształconym po to, by zastąpić Palczyńskiego i Von Mecka? To zdumiewające, ale nie! Pewnego razu omawialiśmy z nim przebieg wojny; powiedziałem, że od pierwszego jej dnia ani przez chwilę nie miałem wątpliwości co do naszego zwycięstwa nad Niemcami. Spojrzał na mnie ostro, nie chciał uwierzyć: „Co ty powiesz?” i złapał się za głowę. – „Aj, Sasza, Sasza, a ja byłem pewien, że Niemcy zwyciężą! To właśnie mnie zgubiło!” Więc to tak! Był jednym z "organizatorów zwycięstwa" – i przez ten cały czas wierzył w Niemców, bez przerwy oczekiwał ich przyjscia! – nie dlatego, że ich lubił, lecz po prostu zbyt dobrze znał stan naszej gospodarki (którego ja, rzecz jasna, nie znałem, więc wierzyłem).

Wszyscy w celi byliśmy przygnębieni, ale nikt z nas nie upadł na duchu tak, jak Z–w, nikt nie widział w swoim aresztowaniu takiej tragedii, jak on. Już się przy nas oswoił z perspektywą, że czeka go nie więcej, niż DYCHA, że przez te lata będzie w obozie, rzecz oczywista, kierownikiem robót, że nie zazna najgorszej biedy, jak nie znał jej dotąd. Ale to nie było dla niego żadną pociechą. Znadto był wstrząśnięty ruiną swego wspaniałego życia; przecież tylko ono, to jedyne w świecie życie, niczyje inne, interesowało go w ciągu całych trzydziestu sześciu lat! I nieraz, siedząc na łóżku przy stole podpartszy swoją nalaną twarz krótką, grubą ręką, z wyrazem zagubienia w zamglonych oczach, zawodził cicho, przeciągle:

*Porzu-co-ny, zapo-mniaany
Od najmlo-odszych swo-oich lat,
Na siero-ocy lo-os skaza-any...*

I nigdy nie potrafił dokończyć! – tu wybuchał szlochem. Całą siłą, która z niego parła, ale nie mogła przebić tych murów, obracał na żal nad sobą samym.

I – nad żoną. Żona, od dawna niekochana, teraz co dziesięć dni (częściej nie było wolno) przynosiła mu sute, dostatnie paczki żywnościowe – bielutki chleb, masło śmietankowe, czerwony kawior, cielęcinę, wędzonego jesiota. Dawał nam po kanapce, po szczypcie tytoniu, garbił się nad swoim porozkładanym żarciem (igra-

jącym zapachami i barwami obok sinawych ziemniaków starego konspiratora) i znów lał ślęzy podwójnym strumieniem. Wspominał na głos łzy swojej żony, całe lata łez, to przez miłosne karteluszkę, znalezione w spodniach, to znów przez damskie majtki w kieszeni palta, wetknięte tam w pośpiechu podczas wycieczki samochodem i później zapomniane. I kiedy tak go rozbierała gorąca żałość nad sobą, spadała z niego kolczuga złowrogiej energii i mieliśmy przed sobą zbłąkanego i jednak wyraźnie dobrego człowieka. Dziwiło mnie, że potrafi on tak szlochać. Estończyk Arnold Suzi, również mieszkawiec naszej celi, ten z igietkami siwizny we włosach, tak mi to objaśniał: „Brutalność zawsze podszyta jest sentymentalizmem. To prawo kompensacji. Na przykład u Niemców taka kombinacja jest nawet cechą narodową”.

I na odwrót – Fastenko był z nas wszystkich człowiekiem najbardziej rzeźkim, chociaż z wielu był jedynym, który nie mógł już liczyć na to, że przetrwa i wróci na wolność. Obejmując mnie powiedział:

*Przy prawdzie stać – to jeszcze mało!
Siedzieć za prawdę – sztuką całą!*

– albo uczył mnie swojej pieśni, przywiezionej jeszcze z katorgi:

*Choć w mokrym szybie, czy w turmie
Wypadnie nam złożyć kości –
Sprawa odżyje powtórnie
Pośród pokoleń przyszłości!*

Ja w to wierzę! I niech te stronice przyczynią się do ziszczenia jego wiary.

*

Szesnastogodzinne dni naszej celi ubogie są w wydarzenia, ale tak ciekawe, że na przykład dla mnie o wiele nudniejsze jest szesnastominutowe czekanie na trolejbus. Nie ma wydarzeń godnych uwagi, ale wieczorem człowiek wzdycha, że znów czasu nie starczyło, że znowu dzień minął. Wydarzenia są drobne, ale pierwszy raz w życiu zaczynam przyglądać im się jak przez powiększające szkło.

Najciekawsze godziny dnia – to dwie, następujące zaraz po pobudce; na zgrzyt klucza, obracanego w zamku (na Łubiance nie ma „karmników”¹¹³ i dla oznajmienia pobudki też trzeba otworzyć drzwi) – zrywamy się nie mieszkając, ścielimy łóżka i z uczuciem czczości i beznadziei siedzimy na nich jeszcze przy świetle elektrycznym. To przymusowe ranne czuwanie od szóstej, kiedy mózg tak jest jeszcze rozleniwiony snem, cały świat brzydnie, życie wydaje się już skończone, a powietrza w celi nie ma ani krzty – jest specjalnie niedorzeczne dla tych, którzy noc spędzili na badaniu i dopiero niedawno mogli zasnąć. Ale nawet nie próbuj szachrować. Jeśli spróbujesz jednak się zdrzemnąć, opierając się trochę o ścianę, albo z łokciami na stole, niby że nad szachami, albo schyliwszy się nad książką, na pokaz otwartą na kolanach – zaraz rozlegnie się ostrzegawczy stuk kluczem w drzwi, albo jeszcze gorzej: zamknięte na zgrzytliwy zamek drzwi nagle otworzą

¹¹³ Duże wycięcie w drzwiach celi, opadające, jak stolik. Przez to wycięcie toczą się rozmowy, wydaje się porcje i podaje do podpisu więzienne papiery.

się bez szmeru (tak są wytresowani łubiańscy strażnicy) i młodszy sierżant, zwinny i niemy jak cień, niby zjawa, co przechodzi przez ściany, przemierzy celę trzema krokami, zaklepie cię na drzemce i zaraz pójdziesz do karceru, a może zabiorą książki całej celi, albo pozbawią spaceru okrutna, niesprawiedliwa kara zbiorowa, a przewidziana jest przecie, jest o niej mowa w czarnych rządках regulaminu więziennego, czytaj! wisi w każdej celi. Zresztą, jeśli musisz czytać w okularach, to ani książek, ani nawet świętego regulaminu nie będziesz mógł przeczytać w trakcie tych dwóch marudnych godzin: przecież okulary zabierają na noc i groziłoby niebezpieczeństwem, gdybyś je już miał w ciągu tych dwóch godzin. W ciągu tych dwóch godzin nikt niczego nie przynosi do celi, nikogo o nic nie pyta i nigdzie nikogo nie wzywa – bo jeszcze śpią słodko oficerowie śledczy, jeszcze nie przetarła oczu więzienna zwierzchność – i czuwa tylko kławisz,¹¹⁴ co minutę podnoszący klapkę lipka.

Jest jednak pewna procedura, która odbywa się w ciągu tych dwóch godzin: poranna wyprawa do wychodka. Już przy pobudce strażnik nadał ważny komunikat: oznajmił, kogo wyznacza dziś do wynoszenia kibla. (W więzieniach prymitywnych, szarych, więźniowie mają tyle swobody słowa i praw samorządowych, że wolno im tę sprawę rozstrzygać we własnym zakresie. Ale w Głównym Więzieniu Politycznym taki problem nie może być puszczony na żywioł). I oto już po chwili ustawiacie się rządkiem, ręce założywszy do tyłu, odpowiedzialny zaś nosikibel idzie przodem, dierząc przed sobą ośmiolitrowy blaszany ceber z pokrywą. Tam, u celu, znów idziecie pod klucz, ale przedtem rozdają wam tyle arkusików papieru niewiele większych niż powierzchnia pudełka zapalek ilu was jest. (Na Łubiance to nic ciekawego: arkusiki są białe. Ale są takie atrakcyjne więzienia, gdzie dają skrawki książek – to jest dopiero czytanie! trzeba odgadnąć, skąd to, przeczytać z obu stron, wniknąć w treść, ocenić zalety stylu – a bo to łatwo, kiedy słowa obcięte są w pół?! – i jeszcze zamienić się z sąsiadami. Tu dają ścinki przodującej niegdyś encyklopedii „Granata”, ówdzie – aż strach powiedzieć – z klasyków, i to wcale nie beletrystyka... Wizyta w wychodku staje się aktem poznania).

Ale śmiać się nie ma z czego. Jest to ta ordynarna potrzeba, o której w literaturze pięknej nie wypada napomykać (choć powiedziane zostało z nieśmiertelną puszkiniowską lekkością: „Szczęśliw, kto sobie wczesnym rankiem...”). Ten naturalny, zdawałoby się, początek dnia więziennego kryje w sobie pułapkę dla aresztanta na cały dzień – przy tym pułapkę dla ducha, to jest przykre. Przy więziennym bezruchu i skąpym wikcie, po obezwładniającym śnie, nie jesteś wcale jeszcze zdolny do załatwiania rachunków z naturą zaraz po przebudzeniu. A tu każą prędko wracać i znów cię biorą pod klucz do szóstej wieczór (a w niektórych więzieniach – aż do następnego ranka). Teraz czeka cię zdenerwowanie, bo zbliża się godzina dziennego przesłuchania, bo dzień mija, a tu jeszcze pakujesz w siebie chleb, wodę, sałamachę – ale nikt już cię nie wypuści do tego miłego lokalu; wołniacy nie są w stanie docenić, ile znaczy łatwy dostęp do niego. Męcząca, trywialna potrzeba potrafi zjawiać się prawie zaraz po rannej wyprawie, żeby później dręczyć nas cały czas, gnębić, zatruwać przyjemność rozmowy, lektury, rozmyślań i nawet jedzenia skąpej racji.

¹¹⁴ W rosyjskim żargonie więziennym – wierluchaj. Za moich czasów było to słowo już bardzo rozpowszechnione. Powiadano, że wzięło początek od strażników-Ukraińców: stój, ta ne wertuchaji’. Ale wypada przypomnieć, że po angielsku strażnik = turkney – „wierciklucz”. Może więc nasz wiertuchaj to też ten, co wierci kluczem?

Często więźniowie zastanawiają się w celi, jak zrodził się łubiański a zresztą wszelki więzienny regulamin: czy to planowe okrucieństwo, czy to to samo tak się ułożyło. Myślę, że to zależy od danego przepisu. Pobudka – to rzecz jasna, złośliwe wyrachowanie, inne zaś rzeczy naprzód weszły w życie całkiem mechanicznie (jak wiele świąstwu w naszym życiu społecznym), później zaś uznano je na górze za pożyteczne – i godne zatwierdzenia. Dyżurni strażnicy zmieniają się o ósmej rano i o ósmej wieczorem – tak, że najwygodniej jest wyprowadzać więźniów do wychodka przy końcu zmiany (puszczać zaś pojedynczego w ciągu dnia – nie, za wiele kłopotu i ryzyka, za to nie płacą). To samo z okularami: po co zajmować się tym od białego rana? Toż przed początkiem nocnej zmiany i tak je oddadzą.

Już słysząc, jak roznoszą te okulary: zgrzytają drzwi. Można zorientować się, czy ktoś z sąsiedniej celi je nosi (a czy twój współoskarżony nie jest czasem okularnikiem? Ale na porozumienie przez stukanie nikt się i tak nie zdecyduje, bardzo z tym surowo). Już okulary przyniesiono naszym. Fastenko nakłada je tylko do czytania, Suzi nosi stale. Już przestał przymrużać oczy, włożył je. W jego rogowych okularach od razu rysują się wyraźniej proste linie brwi, twarz nabiera wyrazu ostrzejszego, przenikliwego, takiego, jaki nam się kojarzy z postacią wykształconego człowieka naszego wieku. Jeszcze przed rewolucją Suzi uczył się w Piotrogradzie na wydziale historyczno-filologicznym i przez dwadzieścia lat niepodległości Estonii zachował nienaganną znajomość najczystszej ruszczyzny. Następnie – już w Dorpacie – ukończył studia prawnicze. Prócz macierzystego języka – estońskiego – władał także angielskim i niemieckim, przez wszystkie te lata czytał stale londyński *Economist*, regularnie studiował niemieckie *Berichte* z różnych dziedzin nauki, badał konstytucje i kodeksy różnych krajów – i oto teraz w naszej celi z godnością i powściągliwością reprezentował Europę. Był w Estonii znanym adwokatem i nosił przydomek „kuldsuu” (złotousty).

W korytarzu – jakiś nowy ruch: darmożjad w szarym kitlu – chłopak, jak świeca, a nie na froncie – przyniósł nam na tacy nasze pięć kromek i dziesięć kostek cukru. Nasza kwoka już się koło nich krząta: chociaż zaraz będziemy losować, to nieuniknione (ma znaczenie i piętką, i ilość kęsów, dodanych dla równej wagi, i odległość skórki od miękiszu – o wszystkim niech decyduje los)¹¹⁵ – ale kwoka chce to wszystko chociaż przez chwilę potrzymać tak, żeby na dłoniach został nałot drobin chleba i cukru.

Te czterysta pięćdziesiąt gramów niedopieczonego, wilgotnego chleba, którego miękisz przypominał pecynę błotną, a składał się w połowie z ziemniaków – była to nasza podpórka i gwóźdź dnia. Zaczyna się życie! Zaczyna się dzień, teraz dopiero się zaczyna! Każdy ma moc problemów: czy dobrze gospodarował wczoraj swoim chlebem? czy ma go dziś pokroić nitką? czy może łamać chciwie? a może odszczypywać kęs po kęsie? zaczekać na herbatę, czy od razu się zabrać? zostawić trochę do kolacji, czy tylko do obiadu? i ile?

Ale oprócz tych przyziemnych wahań – jakie jeszcze szerokie dysputy (teraz już się nam języki rozwiązały, jest chleb, znów jesteśmy ludźmi!) wywołuje ta funtowa kromka w ręku, zawierająca więcej wody niż mąki. (Zresztą, Fastenko wyjaśnia, że taki sam chleb jedzą teraz ludzie pracy w Moskwie). Czy w ogóle jest w tym chlebie mąka żytnia albo pszenna? I jakie są właściwie domieszki? (W każdej celi

¹¹⁵ Gdzież tego nie było? Nasze narodowe długoletnie niedojadanie z niedosytem. W armii też się wszystko tak dzieliło. I Niemcy, nasłuchawszy się nas ze swoich okopów, przedrzeźniali: „Komu? – Politrukowi!”.

jest ktoś, kto się na domieszkach zna, kto ich bowiem nie jadał w ciągu tych dzie-
sięcioleci?). Zaczyna się wymiana spostrzeżeń i wspomnień. Jaki biały chleb wy-
piekano jeszcze w latach 20.! – bochny sprężyste, porowate, skórka z góry rumia-
nobrunatna, jakby naoliwiona, od spodu zaś – z odrobiną popiołu, tu i ówdzie tkwi
węgielek z pieca. Bezpowrotnie przepadł ten chleb! Ci, co urodzili się w latach
30., w ogóle nigdy się nie dowiedzą, co to takiego CHLEB! Przyjaciele dość, to już
temat zakazany! umówiliśmy się, że o jedzeniu – ani słowa!

Znów ruch na korytarzu – roznoszenie herbaty. Znów inny drab w szarym far-
tuchu nosi wiadra. Wystawiamy mu nasz imbryk na korytarz, on zaś z wiadra bez
dzióbka leje bokiem, na chodnik. A cały korytarz wywoskowany jak w hotelu
pierwszej kategorii.¹¹⁶

No i tyle tego jedzenia. To zaś, co ma być ugotowane, rozdane będzie jed-
no zaraz po drugim – o pierwszej i o czwartej po południu, a później – przez dwa-
dzieścia jeden godzin można się pocieszać tylko wspomnieniami. (To też nie jest
planowe okrucieństwo: po prostu personel kuchni musi szybciej wykonać plan
i wyjść).

Dziwιάta. Poranna kontrola. Z daleka już słysząc szczególnie gromkie zgrzy-
tanie kluczy, szczególnie ostre trzaskanie drzwi – i jeden z dyżurujących na piętrze
lejtantów, wypięty prawie na baczność, robi dwa kroki w głąb celi i surowo pa-
trzy na nas. stojących już według przepisu. (Nie mamy nawet odwagi przypomi-
nać, że polityczni nie są obowiązani do wstawiania). Policzyć nas nie jest mu trud-
no, starczy rzut oka, ale ta chwila jest to próba naszych praw – przecież jakieś tam
prawa mamy, ale nie znamy ich, nie znamy – i on jest tu po to, aby je przed nami
ukryć. Cała siła łubiańskiej musztry polega na całkowitym zmechanizowaniu czyn-
ności: żadnego wyrazu, żadnej intonacji, ani jednego zbytecznego słowa.

Znamy takie nasze uprawnienia: prosić o naprawę obuwia; o pójście do le-
karza. Ale gdy człowieka wezmą do lekarza, to niewiele z tego będzie miał rado-
ści, tam właśnie szczególnie cię uderzy to łubiańskie zmechanizowanie. W
spojrzeniu lekarza nie tylko nie znajdziesz troski, ale nawet zwykłej uwagi. Nie za-
pyta: „Co wam dolega?”, bo za dużo tu słów, zresztą nie można zadać tego pyta-
nia bez odpowiedniej intonacji, tylko wypali: „Objawy?”. Jeżeli zaczniesz zbyt ob-
szernie opowiadać o chorobie, przerwie ci. I tak jasne. Żąb? Wyrwać. Można tro-
chę arszeniku. Leczyć? U nas się nie leczy. (To zwiększyłoby liczbę wizyt i dałoby
wrażenie jakby bardziej ludzkich warunków).

Lekarz więzienny jest najlepszym pomocnikiem śledczego i oprawcy. Bity
więzień pada na ziemię i słyszy głos lekarza: „Można jeszcze, tętno w normie”. Po
pięciu dobach zimnego karceru lekarz patrzy na skostniałe nagie ciało i mówi:
„Można jeszcze”. Załłukli na śmierć – lekarz podpisuje akt zgonu: śmierć z powodu
marskości wątroby, zawału serca. Wzywają go pilnie do kogoś, kto umiera w celi –
wcale się nie spieszy. Ktoś zaś zachowuje się inaczej – ten nie zagrzeje miejsca przy
naszym więzieniu. Doktor F. P. Haas u nas niedługo by popracował.

Ale nasza kwoka lepiej zna uprawnienia więźnia. (Jeśli mu wierzyć, jest już
w śledztwie jedenaście miesięcy; na przesłuchania wzywają go tylko we dnie).

¹¹⁶ 15 Wkrótce mieli przywieźć tu z Berlina biologa Timofiejewa-Ressowskiego, już o nim była mowa. Nic go chyba na Łubian-
ce tak nie gniewało, jak to przelewanie na podłogę. Widział w tym rażący przykład braku zainteresowania zawodowego ze strony
strażników. Pomnożył był 27 lat istnienia Łubianki przez 730 herbat rocznie i przez 111 cel – i długo jeszcze gorączkował się na
myśl, że łatwiej było dwa miliony sto osiemdziesiąt osiem tysięcy razy przelać wrzątek na podłogę i tyleż razy biegać ze szmatą,
żeby wytrzeć go, niż zrobić wiadra z dzióbkiem.

Robi krok naprzód i prosi o pozwolenie zameldowania się u naczelnika więzienia. Jak? Do naczelnika całej Łubianki? Tak. I zostaje zapisany. (A wieczorem, po dzwonku, kiedy już oficerowie śledczy są przy robocie, zostaje wezwany i wraca z machorką. Niezgrabne to, istotnie, ale nic lepszego nie zdołali dotąd wymyśleć. Przejść całkowicie na podstuch mikrofonowy – byłoby operacją nieopłacalną: nie można przecież całymi dniami podsłuchiwać wszystkich stu jedenastu cel. Co by to było? Kwoki – to tańszy sposób i długo jeszcze będzie się korzystać z ich usług. – Ale Kramarence jest z nami niełatwo. Czasem aż do siódmych potów wsłuchuje się w naszą rozmowę ale po gębie widać, że ani w ząb).

Oto jeszcze jedno uprawnienie – wolność składania podań (zamiast wolności prasy, zebrań i wyborów, które utraciliśmy wszak wchodząc do więzienia!). Dwa razy miesięcznie dyżurny poranny pyta: „Kto chce pisać podanie?” I bez sprzeciwu zapisuje wszystkich chętnych. W ciągu dnia zostaniesz wyprowadzony do specjalnego boksu i tam zamknięty. Możesz tam pisać do kogo tylko masz chęć. Do Ojca Narodów, KC, Najwyższego Sowietu, ministra Berii, ministra Abakumowa, Generalnej Prokuratury, Naczelnej Prokuratury Wojskowej, Departamentu Więziennictwa, Oddziału śledczego, możesz skarżyć się na areszt, śledczego, naczelnika więzienia! – w żadnym z tych wypadków podanie twoje nie będzie mieć żadnego skutku, nie zostanie wciągnięte do żadnych akt i najznacniejszą figurą z tych, którzy je przeczytają, będzie twój śledczy. Ale najczęściej on też tego NIE PRZECZYTA, ponieważ nikt go w ogóle przeczytać nie potrafi: na tym świstku 7x 10 cm, tylko trochę większym niż ten, co go ci rano dają do wychodka – piórem rozdwojonym albo zgiętym w hak, nurzanym w kałamarnu pełnym zalanych wodą paprochów – zdążysz napisać zaledwie „POD...” – a tu litery już się rozpluwają, rozpluwają po nędznym papierze, a tu „anie” już nie mieści się w wierszu, a tu z drugiej strony kartki już wszystko na wskroś widać.

Może masz jeszcze praw a praw, ale dyżurny milczy. Chyba jednak niewiele tracisz, nic o nich nie wiedząc.

Kontrola się skończyła – zaczyna się dzień. Już tam gdzieś pojawia się pierwszy śledczy. Klawisz wywołuje cię, bardzo przestrzegając tajemnicy: wymawia tylko pierwszą literę (i to jeszcze tak: „kto tu na SE?”, „kto tu na FE”, albo nawet „kto tu na ME?”), ty zaś powinienes przejawić szybką orientację i zaproponować swoje usługi w charakterze ofiary. Wprowadzono to jako zabezpieczenie przed omyłkami strażników: wywoła taki nazwisko nie w tej celi, co należy i od razu dowiemy się, kto jeszcze tu siedzi. Ale nawet będąc tak izolowani, nie jesteśmy odcięci od wieści z innych cel: ponieważ starają się wepchnąć nas jak najwięcej, muszą nas tasować, każdy zaś przybysz przynosi do naszej celi całe doświadczenie, zgromadzone w starej. W ten sposób, siedząc jedynie na trzecim piętrze, wiemy o celach piwnicznych i o boksach parteru i o ciemnościach panujących na pierwszym, żeńskim piętrze, i o dwukondygnacyjnej konstrukcji czwartego piętra, i o ostatnim z kolei numerze celi sto jedenastej. Przede mną siedział w naszej celi pisarz dla dzieci, Bondarin, przedtem siedział on na żeńskim piętrze z jakimś polskim korespondentem, polski zaś korespondent siedział jeszcze wcześniej z feldmarszałkiem Paulusem – i oto wiemy także wszystko o Paulusie – do najmniejszego szczegółu.

Nadchodzi pora wezwań na przesłuchania i dla tych, którzy pozostają w celi, otwiera się perspektywa długiego, miłego dnia, rozjaśniona przez wypadki, zawsze możliwe i lekko zaćmiona przez obowiązki. Z obowiązków dwa razy na miesiąc może nam przypaść odpluskwianie łóżek z pomocą palnika lutowniczego

(zapałki na Łubiance są kategorycznie zabronione, aby zapalić papierosa trzeba cierpliwie „głosować” podniesionym palcem, póki strażnik przez lipo nie zauważy i nie da przypalić – palniki lutownicze powierzają zaś nam całkiem spokojnie). – Może jeszcze zdarzyć się coś, co wydaje się realizacją uprawnienia, ale bardziej przypomina obowiązek: raz na tydzień wyprowadzają nas pojedynczo na korytarz i tam tępą maszynką stryżą zarost. Może jeszcze wypaść obowiązek froterowania parkietu w celi (Z–w zawsze unika tej pracy, poniżej go ona, jak zresztą każda inna). Męczymy się szybko, bośmy głodni, chociaż ten obowiązek można chyba zaliczyć do uprawnień – taka to wesoła i zdrowa praca: bosą nogą posuwasz szczołkę do przodu, a korpus odchylasz do tyłu, w przód – w tył w przód – w tył i niech cię o nic głowa nie boli! Lustrzana posadzka! Potiomkinowskie więzienie!

Poza tym – już nie tłoczmy się w naszej dawnej, 67 celi. W połowie marca podrzucano nam szóstego lokatora, a przecież tu nie ma ani wspólnych nar, ani zwyczaju spania na podłodze – i oto przeniesiono nas w pełnym składzie do pięknej celi 53. (Bardzo polecam każdemu, kogo tu jeszcze nie było!) To nie jest cela! To – komnata pałacowa, rezerwowana na sypialnię dla honorowych gości! Towarzystwo ubezpieczeń „Rosja”¹¹⁷ w tym skrzydle gmachu, nie licząc się z kosztami konstrukcji, podniosło wysokość piętra do pięciu metrów. (Ach, jakież to cztery kondygnacje wtarałaby tutaj naczelnik kontrwywiadu frontu, gwarantowane, że upchałby tu ze stu ludzi!) A okno! takie okno, że – stając na parapecie – strażnik ledwie sięga łufcika, jedna szybka takiego okna godna jest być całym oknem pokoju mieszkalnego. I tylko spawane blachy blinca, zasłaniające cztery piąte tego okna, przypominają nam, że nie jesteśmy w pałacu.

A jednak w dzień słoneczny, ponad krawędzią tej przyłbicy z głębi studni Łubiańskiego podwórca, odbity w jakiejś szybie piątego czy szóstego piętra, wkłada się aż do nas blady, wtórny słoneczny zajaczek. To dla nas prawdziwy zajaczek – żywa i droga istota! Z rozrzewnieniem przyglądamy się, jak pełźnie po ścianie. Każdy jego ruch jest pełen znaczenia, zwiastuje chwilę spaceru, odmierza kilka przedobiednich kwadransów, by opuścić nas, zanim rozdadzą obiad.

Oto więc nasze możliwości: wyjść na spacer! poczytać książkę! opowiedzieć sobie nawzajem coś z przeszłości! słuchać i uczyć się! dyskutować i kształcić się! I w nagrodę – jeszcze obiad z dwóch dań! Niewiarygodne!

Pierwsze trzy kondygnacje Łubianki mają marne spacerki: wypuszcza się ich na dolny, wilgotny podwórzec – dno wąskiej studni między więziennymi budynkami. Za to aresztantów z trzeciego i czwartego piętra wyprowadza się na orle wyżyny – na dach czwartego. Beton pod nogami, betonowe ściany na trzech chłopów, obok nas – strażnik bez broni – a jeszcze na wieżycze wartownik z automatem – ale powietrze prawdziwe i prawdziwe niebo! „Ręce do tyłu! Marsz parami! Nie rozmawiać! Nie zatrzymywać się!” – ale zapominają o zakazie zadzierania głowy! I rzecz jasna, zaraz głowę zadzierasza. Widzisz tu – nie odbite, nie z drugiej ręki – samo słońce! Samo wiecznie żywe Słońce! albo jego złociste miganie poprzez wiosenne obłoki.

Wiosna każdemu przyrzeka szczęście, ale więźniowi po dziesięćkroć! O, niebo kwietniowe! To nic, że jestem w więzieniu. Chyba mnie jednak nie czeka rozstrze-

¹¹⁷ Towarzystwo to rozgościło się na skrawku ziemi szczególnie chciwym ludzkiej krwi: przecinając zaulek Furkasowski, niedaleko domu Rostopczyna, rozszarpany został w 1812 roku Bogu ducha winny Wereszczagin, po tamtej zaś stronie Wielkiej Łubianki mieszkała (i mordowała swoich chłopów pańszczyźnianych) zbrodnica Sałtyczycha. (Wzdłuż Moskwy – pod red. N. A. Gejnikie i in. Moskwa, Wyd. Sabasznikowów, 1917, str. 231).

lanie. Za to tutaj nabiorę rozumu. Ja tu wiele rzeczy rozumiem, o niebo! Jeszcze zdążę naprawić swoje błędy – nie wobec nich, wobec ciebie, Niebo! Tu je pojąłem – i już je naprawię!

Jak z jamy, z odległej głębi, dobiega do nas z placu Dzierżyńskiego, nieprzerwane, ochryple, ziemskie pianie klaksonów. Tym, którzy mkną przy ich ryku, wydaje się, że to rogi tryumfalne, stąd zaś tak jasna jest ich nicość.

Specer trwa tylko dwadzieścia minut, a ile z nim łączy się trosk, ile człowiek ma do załatwienia!

Po pierwsze, miałby człowiek wielką chęć zorientować się – w trakcie drogi na spacer i z powrotem – jaki jest rozkład całego więzienia i gdzie też są te wiszące podwórce, żeby móc kiedyś, na wolności, przejść się po placu – i już wiedzieć. Po drodze jest szereg zakrętów i wymyślam taki system: po wyjściu z celi każdy skręt w prawo liczyć jako plus jeden, każdy w lewo – minus jeden. – I jakkolwiek by szybko nas prowadzono – nie spieszyć się z wyobrażaniem sobie tej drogi, tylko starać się spokojnie liczyć. I jeśli po drodze zobaczysz jeszcze przez jakieś okienko na klatce schodowej plecy łubiańskich najad, tulących się do wieżyczki z kolumnami nad samym placem – a przy tym nie dasz się zbić z rachunku, to w celi później łatwo się zorientujesz i będziesz wiedział, w którą stronę zwrócone jest wasze okno.

Dalej – na spacerze trzeba po prostu oddychać w jak największym skupieniu.

Ale też tam, pod jasnym niebem trzeba umieć wyobrazić sobie swoje przyszłe, jasne, bezgrzeszne i wyzbyte błędów życie.

Ale tam też ma się najlepsze warunki do rozmowy na najbardziej palące tematy. Chociaż rozmowy w trakcie spaceru są zabronione, z tym się nie liczymy, trzeba tylko umieć to robić – za to właśnie tu może nie podsłucha cię ani kapuś, ani mikrofon.

Na spacerze Suzi i ja staramy się trafić do jednej pary – toczymy z nim rozmowy także w celi, ale najważniejsze rzeczy lubimy sobie właśnie tutaj dopowiadać. Nie wystarczyło jednego dnia, byśmy się do siebie zbliżyli, dzieje się to powoli, ale już mi zdążył on wiele opowiedzieć. Przy nim uczę się całkiem nowej dla mnie rzeczy: cierpliwie, krok po kroku wchłaniać to, czego nigdy nie miałem w moim programie, co zdaje się nie mieć nic wspólnego z jasno wytyczoną linią mojego życia. Od dzieciństwa mam pewność, nie wiadomo skąd, że mój cel – to historia rosyjskiej rewolucji, cała zaś reszta mnie nie dotyczy. Dla zrozumienia zaś rewolucji od dawna nic mi nie potrzeba, prócz marksizmu; od całej reszty, od wszystkiego tego, co osobiste, odcinałem się i odwracałem oczy. Ale oto los zetknął mnie z Suzi, ten zaś całkiem czym innym dyszy, teraz więc z zapalem opowiada mi wciąż o tym, co mu najbliższe – a najbliższa mu jest Estonia i demokracja. I chociaż nigdy przedtem nie przychodziło mi do głowy, by interesować się Estonią – a tym bardziej – burżuazyjną demokracją, to teraz słucham i słucham jego entuzjastycznych opowieści o dwudziestu wolnych latach tego niekrzykliwego, pracowitego, maleńkiego narodu, którego mężczyźni są dorodni, a ruchy mają nieśpieszne, stateczne; mówi mi o zasadach estońskiej konstytucji, które wydestylował z najlepszych europejskich doświadczeń jednoizbowy, stuosobowy parlament; i nie wiem czemu, ale wszystko to zaczyna mi się podobać, wszystko to zaczyna

składać się także na moje doświadczenie.¹¹⁸ Z ochotą zgłębiam ich nieszczęsne dzieje: między dwoma młotami, teutońskim i słowiańskim tkwi od praczasów to maleńkie, estońskie kowadełko. Spadały na nie raz po raz ciosy, to ze wschodu, to z zachodu – i nie widać było końca, ani go teraz nie widać. Oto na przykład znana (wcale nie znana...) historia, jak chcieliśmy ich stłamsić jednym skokiem w 1918 roku, ale nam się nie dali. Jak później Judenicz gardził nimi, że Czuchoncy,¹¹⁹ myśmy z kolei wyzywali ich od białobandytów, tymczasem zaś estońscy gimnazjaliści wstępowali do armii ochotniczej. Walnęli w to kowadełko jeszcze w 40. roku i w 41., i w 44., jednych chłopców zabierało matkom sowieckie wojsko, innych – niemieckie, a jeszcze inni sami uciekali do lasu. I tallińscy inteligenci starszego pokolenia rozprawiali między sobą, że czas już wyrwać się z tego zaczarowanego kręgu, oddzielić się i zacząć żyć na własną modłę (no i że mógłby w takim hipotetycznym wypadku zostać premierem, powiedzmy Tiif, ministrem zaś oświaty, powiedzmy Suzi). Ale ani Churchill ani Roosevelt nie mieli do nich żadnego interesu, za to miał swój interes uncle Joe (czyli Josif Wissarionowicz). I skoro tylko wkroczyły nasze wojska, wszystkich tych marzycieli wyłuskano w ciągu pierwszych nocy z ich tallińskich mieszkań. Teraz siedzieli ich z piętnastu na moskiewskiej Łubiance, każdy w innej celi, a oskarżeni byli z artykułu 58–2, jako winni zbrodniczej chęci samostanowienia.

Powrót ze spaceru do celi to za każdym razem – malutkie aresztowanie. Nawet w naszej okazałej celi po spacerze powietrze wydaje się duszne. Po przechadzce chciałby też człowiek coś przegryźć, ale o tym lepiej nie myśleć, nie myśleć! Czasem ktoś z otrzymujących paczki nietaktownie rozkłada swoje wiktuały w nieodpowiedniej chwili i zabiera się do jedzenia, to się nie godzi. Ale nic to, ćwiczymy się w sztuce panowania nad sobą! Niedobrze też, jeśli autor książki stawia na ciebie pułapki, jeśli zaczyna szczegółowo opisywać jakieś potrawy – precz z taką książką! Precz z Gogolem! Czechów – też na nic, za wiele żarcia! „Nie miał apetytu, ale nie bacząc na to spożył (sukinsyn!) porcję cielęciny i popił ją winem”. Czytać tylko to, co dla ducha! Dostojewski – oto kogo powinien czytać więzień! Ale zaraz, czy to nie u niego: „dzieci głodowały, już od kilku dni nie widziały one nic, prócz chleba i kiełbasy”?

Biblioteka Łubianki jest jej ozdobą. Co prawda, bibliotekarka jest obrzydliwa – płowowłose pannisko o końskiej raczej urodzie; zrobiła wszystko, aby być brzydką: twarz ma tak ubieloną, że przypomina nieruchomą maskę kukły, wargi ma fioletowe, a wyszczypane brwi – umalowane na czarno. (W ogóle – to jej sprawa, ale więźniom byłoby milej, gdyby była ślicznotką – a może naczelnik Łubianki to właśnie wziął pod uwagę?). Ale oto, jaki cud się zdarza: raz na dziesięć dni, przychodząc po odbiór książek, przyjmuje ona nasze zamówienia! Wysłuchuje ich z tą samą co zawsze nieludzką, mechaniczną obojętnością łubiańską; nie można się zorientować – czy słyszała te nazwiska? te tytuły? czy same nasze słowa do niej docierają? Wychodzi. Mija kilka godzin w radości i trwodze. W ciągu tych godzin odbywa się wertowanie i sprawdzanie wszystkich książek, oddanych przez nas: patrzą, czy nie zostawiliśmy gdzieś nakłuć, albo znaków pod literami (istnieje taki typ korespondencji więziennej), albo śladów paznokcia obok urywków, które nam się podobały. Denerwujemy się, chociaż nikt nie dopuścił się tego. Bo mogą przyjąć

¹¹⁸ Suzi tak mnie później nazwie we wspomnieniu: dziwna mieszanka marksisty z demokratą. A tak, dziwacznie to się wtedy u mnie kojarzyło.

¹¹⁹ Pogardliwe przezwisko mieszkańców tych bagiennych okolic, gdzie zbudowano Petersburg.

i oznajmić: znalezione kropki. Jak zawsze, muszą mieć rację – i jak zawsze, dowódów nie potrzeba, a już jesteśmy pozbawieni książek na trzy miesiące – jeśli w ogóle cała ceta nie zostanie ukarana karcerem. Te najlepsze, jasne miesiące więzienne, zanim człowieka wrzucą do jamy obozu – bardzo to przykro przesiedzieć je bez książek! No więc nie tylko lęk nas zdejmuję, ale drżymy, jak za młodych lat, kiedy człowiek posyłał liścik miłosny i czekał na odpowiedź: odpisze, czy nie odpisze? I jaką da odpowiedź?

Wreszcie książki nadchodzą i decydują o charakterze najbliższych dziesięciu dni: czy więcej uwagi poświęci się lekturze, czy też przyniosą nam byle co i trzeba będzie raczej skupić się na rozmowach? Książek przynoszą tyle, ilu nas jest w celi – to sposób myślenia tego, co dzieli chleb, nie zaś bibliotekarza: na jednego, jedna, na sześciu – sześć. Ludne cele wygrywają.

Czasami pannica wykonuje nasze zamówienia nad podziw dobrze! Ale nawet, kiedy je zbywa byle czym, też jest ciekawie. Dlatego, że biblioteka Wielkiej Łubianki jest czymś unikalnym. Zapewne skompletowano ją ze skonfiskowanych księgozbiorów prywatnych: bibliofile, którzy je zgromadzili, już dawno oddali dusze Bogu. Ale najważniejsze, że przez całe dziesięciolecia cenzurując i kastrując wszystkie bez wyjątku biblioteki kraju, bezpieczeństwo zapomniało zajrzeć sobie za pazuchę i tu, w samej smoczej jamie można było czytać Zamiatina, Pilniaka, Pantelejmona Romanowa i wszystkie tomy pism zbiorowych Mereżkowskiego. (Niektórzy dowcipkowali: już nas mają za odfajkowanych, dlatego pozwalają czytać to, co zabronione. Ja zaś myślę, że łubiańscy bibliotekarze nie mieli pojęcia co nam dają – lenistwo i ciemnota).

W czasie tych przedobiednich godzin czyta się ostro. Ale jedno zdanie z książki potrafi człowieka poderwać na nogi i zmusić do chodzenia od okna do drzwi, od drzwi do okna. I człowiek ma chęć pokazać sąsiadowi, co przeczytał i jakie wnioski stąd płyną – i oto już zaczyna się spór.

Często ścieram się w ten sposób z Jurijem Jewtuchowiczem.

*

Tego marcowego ranka, kiedy naszą piątkę przeniesiono do pałacowej celi 53 – doszłusował do nas szósty więzień.

Wszedł jak cień. zdawało się, że nie dotyka podłogi podszewkami. Wszedł – i niepewien czy się utrzyma na nogach – plecami przywarł do framugi drzwi. W celi nie paliła się już lampa i światło poranka było mdłe, ale przybysz nie mógł go znieść, mrużył oczy. I milczał.

Sukno jego wojskowego frencza i spodni nie pozwalało zaliczyć go ani do sowieckiej, ani niemieckiej, ani polskiej, ani angielskiej armii. Twarz miał pociągłą, nie bardzo rosyjską. Ale był chudy! A ponadto bardzo wysoki.

Zwróciliśmy się do niego po rosyjsku – milczał. Suzi zadał pytanie po niemiecku – też milczał. Fastenko powiedział parę słów po francusku, po angielsku – milczał. Tylko stopniowo na jego wynędzniałej, żółtej, półtrupiej twarzy pojawił się uśmiech – jakiego w życiu nie widziałem!

„Lu-udzie...” – powiedział słabym głosem, jakby dopiero co ocknął się z omdlenia, albo jakby całą tę noc czekał na rozstrzelanie. I wyciągnął osłabłą, wychudłą rękę. Trzymał w niej szmaciany węzełek. Nasz kwocka już zrozumiał, co to takiego, porwał węzełek, rozsuptał go na stole – było tam koło dwustu gramów jasnego tytoniu – i już skręcał sobie papierosa poczwórnej grubości.

Tak oto, po trzech tygodniach piwnicznego boksu zjawił się wśród nas Jurij Nikołajewicz Jewtuchowicz.

Od czasów starć zbrojnych na KWŻD w 1929 roku śpiewano w naszym kraju piosenkę:

*„Pierś wystawiając na atak wraży
Dwudziesta siódma stoi na straży!”*

Dowódcą artylerii tej 27 dywizji strzeleckiej sformowanej jeszcze w czasach wojny domowej, był oficer carski Mikołaj Jewtuchowicz (przypomniałem sobie jego nazwisko, widziałem je wśród imion autorów naszego podręcznika artylerii). W mieszkalnym wagonie towarowym, zawsze w towarzystwie żony, przecinał on Wołgę i Ural, to w kierunku wschodnim, to zachodnim. W tym wagonie spędził swoje pierwsze lata także syn jego Jurij, urodzony w 1917 roku, rówieśnik rewolucji.

Później ojciec osiedlił się w Leningradzie, pracował w Akademii, żył szczęśliwie i dostatnio, syn zaś ukończył szkołę oficerską. Podczas wojny fińskiej Jurij rwał się na front, ale przyjaciele ojca skierowali go do sztabu armii jako adiutanta. Jurij nie musiał pełnić do ataku na fińskie bunkry, nie znalazł się w okrążeniu podczas wyprawy zwiadowczej, nie marzył na śniegu pod kulami strzelców wyborowych – ale order Czerwonego Sztandaru, nie byle co! – został starannie przykręcony do jego bluzy wojskowej. W ten sposób zakończył dla siebie fińską wojnę z przeświadczeniem, że była sprawiedliwa i że jego udział w niej był pożyteczny.

Ale podczas następnej wojny już mu nie poszło tak gładko. Jurij doskonale znał niemiecki, przebrano więc go w mundur niemieckiego oficera i z jego dokumentami posłano na zwiady. Wykonał swoje zadanie i wracając przebrał się znów w sowiecki mundur, ściągnięty z zabitego, ale tu trafił do niemieckiej niewoli. Posłano go do koncentracyjnego niemieckiego obozu pod Wilnem.

W każdym życiu jest jakieś wydarzenie decydujące dla losu człowieka, dla jego losu, przekonań, i namiętności. Dwa lata pobytu w tym obozie zupełnie go wewnętrznie przekabaciły. Czym był ten obóz – tego nie dało się ubrać w żadne frazesy, ani obejść syllogizmem. W tym obozie musiało się umrzeć, kto zaś nie chciał umrzeć – musiał wyciągnąć wnioski.

Zachować życie mogli ordnerzy – wewnętrzna policja obozowa, sformowana z jeńców. Rozumie się, że Jurij nie został ordnerem. Przetrwać mogli też kucharze. Mógł jeszcze zachować życie tłumacz był na nich popyt. Władając świetnie niemieckim, Jurij nie zdradził się z tym. Zdawał sobie sprawę, że tłumacz będzie musiał sprzeniewierzyć się rodakom. Jeszcze można było przedłużyć sobie życie kopaniem grobów, ale tu było mnóstwo silniejszych i zręczniejszych od niego. Jurij zameldował, że jest artystą-malarzem. Istotnie, w ramach wszechstronnej, domowej edukacji pobierał również lekcje rysunku. Jurij nieźle malował i tylko chęć naśladowania ojca, z którego był dumny, nie pozwoliła mu wstąpić do szkoły sztuk pięknych.

Razem z jeszcze innym malarzem, starym już człowiekiem (żałuję, że nie pamiętam jego nazwiska) przydzielono im osobną izdebkę w baraku i tam Jurij malował Niemcom z komendy obozu różne obrazki – ucztę Nerona, korowody elfów, otrzymując za to coś do jedzenia. Ta bryja, po którą oficerowie jeńcy wystawiali w kolejce od szóstej rano z menażkami, bici pałkami przez ordnerów, a chochlami – przez kucharzy ta bryja nie mogła przedłużyć ludzkiego życia. Wie-

czorami przez okno swojej ciupki Jurij oglądał teraz ten jedyny widok, dla uwiecznienia którego dano mu było władac pędzlem: wieczorna mgiełka nad bagnistą łąką, cała łąka opasana drutem kolczastym, płoną na niej mnogie ogniska, a wokół ogniska – niegdyś sowieccy oficerowie – teraz zaś istoty podobniejsze do zwierząt – obgryzający kości padłych koni, wypiekający placki z kartoflanych łupin, palący skręty z nawozu i rojący się od wszy. Jeszcze nie wszyscy ci dwunożni powyzdychali. Jeszcze nie wszyscy utracili mowę artykułowaną i widać było w purpurowych blaskach ognia, jak późna świadomość rzeczy żłobi ich twarze, coraz bardziej przypominające pyski neandertalczyków.

Smak piotunu! Życie, które Jurij sobie przedłuża, już nie jest mu więcej miłe. Nie należy do tych, którzy łatwo wyrzekają się pamięci. Nie, zdobył szansę przetrwania – i musi wyciągnąć wnioski.

Już wiedzą oni, że nie chodzi tu o Niemców, przynajmniej – nie tylko o Niemców, że z jeńców różnych armii tylko sowieccy tak żyją i tak umierają – nikomu nie jest gorzej niż im. Nawet Polaków, nawet Jugosłowian, trzymają w znacznie znośniejszych warunkach. Anglicy zaś czy Norwegowie zawaleni są paczkami Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, czy przesyłkami z domu, nie chcą po prostu jeść tego, co im przydzielają Niemcy. Tam, gdzie obozy sąsiadują ze sobą, sojusznicy z dobrego serca przerzucają naszym przez druty jałmużnę i nasi rzucają się na to, jak sfora psów na kość.

Rosjanie dźwigają cały ciężar wojny – i taki los właśnie Rosjanom wypada. Dlaczego?

Tędy i owędy stopniowo przesączają się wiadomości: ZSSR nie uznaje dawnego, rosyjskiego podpisu pod haską konwencją o jeńcach wojennych – a to znaczy, że nie bierze żadnej odpowiedzialności za traktowanie obcych jeńców i nie pretenduje do opieki nad własnymi żołnierzami, wziętymi do niewoli przez nieprzyjaciela.¹²⁰ ZSSR nie uznaje Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. ZSSR nie uznaje tych, którzy byli wczoraj jego żołnierzami: nie jest zainteresowany, aby pomagać im w niewoli.

I serce entuzjasty – rówieśnika Października ściska chłód. Tam, w barakowej ciupce, ściera się on i sprzecza ze starym malarzem (Jurij nie od razu daje się przekonać, wyklóca się, stary zaś tylko stopniowo ujawnia swoje racje). Co? Że Stalin? Ale czy to nie za wiele zwać wszystko na Stalina i na jego krótkie ręce? Ten, kto wyciąga tylko pół wniosku – ten w ogóle nie dojdzie do konkluzji. A tamci, pozostali? Tam, obok Stalina – i niżej, na całym obszarze Ojczyzny – ogólnie mówiąc ci, którym Ojczyzna pozwoliła mówić w swoim imieniu?

I co wypada czynić, jeśli matka sprzedała nas Cyganom; nie, gorzej, rzuciła psom? Czy dalej jest naszą matką? Jeśli żona ci się puściła – to czy dalej obowiązuje cię wierność wobec niej? Ojczyzna, która zdradziła własnych żołnierzy – czy to dalej Ojczyzna?

...Jak się wszystko odmieniło! Jurij ubóstwiał ojca – a teraz go przeklinał! Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że jego ojciec właściwie złamał przysięgę, złożoną tej armii, w której wyrósł, że dopuścił się zdrady, bo pragnął ustanowić ten ład, który teraz z kolei oddawał swoich żołnierzy na zgubę. I dlaczego z tym zdrazieckim ładem Jurij ma czuć się związany przysięgą?

¹²⁰ Konwencję tę uznaliśmy dopiero w 1955 roku.

Gdy wiosną 1943 roku przyjechali do obozu werbownicy z pierwszych rosyjskich, „legionów” – ten i ów poszedł, żeby uratować się od głodowej śmierci. Jurij zaś poszedł z mocnym i jasnym przekonaniem. Ale w legionie nie zagrzała miejsca; jak skórę już zdarli, to nie ma co runa żałować. Jurij przestał teraz ukrywać swoją dobrą znajomość niemieckiego i wkrótce pewien szef, Niemiec spod Kassel, któremu zlecono utworzenie skróconych kursów szpiegowskich, zabrał Jurija jako swoją prawą rękę. Tak oto zaczęło się spełzanie, którego Jurij nie przewidział, zaczęło się podrzucanie całkiem innych kart. Jurij gorąco chciał wyzwolić kraj – a pchali go do szkolenia szpiegów. Niemcy mieli własne plany. A gdzie była nieprzekraczalna granica? Od jakiej chwili już nie wolno jej było przekroczyć? Jurij został lejt-nantem armii niemieckiej. W niemieckim mundurze jeździł teraz po Niemczech, bywał w Berlinie, odwiedzał rosyjskich emigrantów, czytał – dawniej niedostępnych Bunina, Nabokowa, Ałdanowa... Jurij spodziewał się, że u każdego z nich, że u takiego Bunina – każda stronica broczy krwią, żywymi ranami Rosji. Ale cóż to? Na co roztrwonili oni swoją drogocenną wolność? Znów o ciele kobiecym, o wybuchach namiętności, o zachodach słońca, o wdzięcznych główkach dobrze urodzonych panien, o anegdotach sprzed lat. Pisali tak, jakby żadnej rewolucji w Rosji nie było, albo jakby zbyt trudno im ją było zrozumieć. Pozostawili młodym Rosjanom troskę o odnalezienie kierunku w życiu. Tak szarpał się Jurij, niecierpliwie się rozglądał, niecierpliwie szukał informacji, a tymczasem – odwiecznym rosyjskim obyczajem coraz częściej i coraz głębiej topił swój niepokój w wódce.

Czym była ta ich szkoła szpiegowska? Nie była na serio, rzecz jasna. W ciągu sześciu miesięcy mogli ich nauczyć zaledwie skoków ze spadochronem, posługiwania się materiałami wybuchowymi i obsługi nadajnika radiowego. Niewielkie też mieli do nich zaufanie. Przerzucono ich przez front, aby obniżyć cenę zaufania. Natomiast dla umierających, beznadziejnie zapomnianych rosyjskich jeńców te szkółki, zdaniem Jurija, były dobrym wyjściem: ludzie tu podkarmiali się, dostawali ciepłą, nową odzież – a nadto wszystkie kieszenie zapychano im sowiecką walutą. Kursanci (a także nauczyciele) udawali, że tak właśnie będzie: że na sowieckim zapleczu będą szpiegować, wysadzać w powietrze wyznaczone obiekty, nawiązywać szyfrem łączność radiową i wracać do punktu wyjścia. Oni tymczasem chcieli przez tę szkołę po prostu wymknąć się śmierci i niewoli, chcieli móc dalej żyć, ale nie za cenę strzelania do swoich na froncie.

Oczywiście, w naszym śledztwie nie brało się pod uwagę takich pobudek. Jakim prawem chcieli oni żyć, skoro rodziny dygnitarzy na sowieckim zapleczu bez tego i tak dobrze sobie żyły? Nie zaliczano tym ludziom żadnej odmowy wzięcia do rąk niemieckiego karabinu. Za ich zabawę w szpiegów wlepiano im najcięższy paragraf 58-6 i na dodatek zarzut zamiaru dywersji. Znaczyło to: trzymać, póki nie zdechną.

Aż tu nagle przed samym nowym rokiem 1945, pewien sprytny chłopak wrócił i zameldował, że zadanie wykonał (spróbuj sprawdzić!). To było coś nadzwyczajnego. Szef nie miał wątpliwości, że przysłał go SMIERSZ i postanowił go rozstrzelać (oto los sumiennego szpiega!). Ale Jurij nalegał, aby właśnie dać mu nagrodę i pochwalić w obecności kursantów. Szpieg-repatriant zaprosił Jurija na literka i – cały rozpalony, pochylony nad stołem zwierzył się: „Jurij Nikołajewicz! Sowieckie dowództwo obiecuje panu darować winę, jeżeli pan zaraz sam przejdzie na naszą stronę”.

Jurij zadrżał cały. Serce, już zatwardziałe, już całkiem rozczarowane, poczuło przyptyw ciepła. Ojczyzna?... Wyklęta już, niesprawiedliwa i taka jednak droga! Przebaczenie?... I można będzie wrócić do rodziny? I przejść się w Leningradzie po Kamiennoostrowskim? Co tam, toć w końcu jesteśmy Rosjanami! Przebaczenie nam, wrócimy do domu i będziemy tacy grzeczni!... Te półtora roku po wyjściu z obozu nie przyniosły Jewtuchowiczowi szczęścia. Nie biczował się, ale nie widział perspektyw. Rozmawiając przy kieliszku z innymi, takimi samymi wysadzonymi z siodła Rosjanami, czuł to samo, co oni: nie ma żadnego oparcia, to nie jest życie. Niemcy robią z nimi, co chcą. Teraz, gdy wojna wyraźnie już szła ku klęsce, przed Jurijem niespodzianie otworzyła się droga wyjścia: szef go lubił i zwierzył się, że w Hiszpanii ma w rezerwie posiadłość i że tam będą razem mogli się schronić po upadku imperium. Ale oto siedzi ci tu przy tym samym stole pijany rodak i – sam ryzykując głową – zachęca człowieka: „Jurij Nikołajewicz! Sowieckie dowództwo ceni pańskie doświadczenie i wiedzę, oni chcą się od pana dowiedzieć, jak jest zorganizowany niemiecki wywiad...”.

Dwa tygodnie dręczyły Jurija wahania. Ale podczas sowieckiej ofensywy zza Wisły, gdy przenosił swoją szkołę w głąb na Zachód, Jurij kazał zboczyć na zaciszny polski folwark, tam ustawił swoich ludzi szeregiem i oznajmił: „Przechodzę na sowiecką stronę! Macie wolny wybór!” I ci szpiegowie od siedmiu boleści, z mlekiem pod nosem, jeszcze przed godziną popisujący się swoim oddaniem dla niemieckiego rajchu – teraz krzyknęli z entuzjazmem: „Hurraa! My też!” (Wiwatowali na cześć swojej przyszłej katorżniczej pracy...).

Szpiegowska szkoła w pełnym składzie schowała się, czekając nadejścia sowieckich czołgów, a później także SMERSZ. Więcej już nigdy nie zobaczył Jurij swoich ludzi. Trzymano go oddzielnie, przez dziesięć dni kazano opisywać całą historię szkoły, programy, akcje dywersyjne i już naprawdę myślał, że Jego doświadczenie i wiedza...”. Już nawet omawiana była sprawa jego wyjazdu do domu, do rodziny.

I dopiero na Łubiance zrozumiał, że nawet z Salamanki bliżej by mu było do Newy... Mógł spodziewać się rozstrzelania albo nie mniej niż dwudziestu lat.

Tak to nieodparcie ulega człowiek urokom dymku z rodzinnego komina... Podobnie jak ząb nie przestaje boleć zanim się nie zatruje nerwu, tak samo i my nie przestaniemy rwać się do kraju dopóty, dopóki nie łykniemy arszeniku. Lotofagowie z "Odyssey" mieli właśnie po to te jakieś lotosy...

Wszystkiego trzy tygodnie spędził Jurij w naszej celi. Przez całe te trzy tygodnie toczyłem z nim spory. Twierdziłem, że nasza rewolucja była wspaniała i sprawiedliwa, że straszne było tylko jej wypaczenie w 1929. Jurij patrzył na mnie z politowaniem i nerwowo zaciskał wargi: zanim zaczęło się rewolucję, trzeba było kraj odpułuskić! (Gdzieś przecież były jakieś punkty styczne między nim a Fastenko, mimo że tak odległe były punkty wyjścia). Mówiłem, że przez długi czas tylko ludzie szlachetnych dążeń i bezkompromisowo ofiarni zajmowali się wszystkimi poważnymi sprawami w naszym kraju. On powiadał – że wszyscy z tej samej gliny co Stalin, od samego początku. (Co do tego, że Stalin jest bandytą różnic między nami nie było). Ja zachwyciałem się Gorkim – co za mądrość! jaki słuszny punkt widzenia! jaki wielki artysta! On replikował: marna, szara figura! Sam siebie zmyślił – i bohaterów sobie powymyślał, jego wszystkie powieści są zablągowane. Lew Tołstoj – o, to jest car naszej literatury!

Z powodu tych codziennych sprzeczek, prowadzonych zapalczywie, jak to za młodu, nie potrafiliśmy z nim wzajemnie się zbliżyć i zobaczyć w rozmówcy coś więcej niż to, czemu chcieliśmy zaprzeczyć.

Zabrano go w końcu z celi i od tego czasu, choć pytałem, kogo mogłem, nikt nie siedział z nim w Butyrkach, nikt nie spotkał go na etapach. Nawet szeregowi własowcy poznikali gdzieś bez śladu, najczęściej gryzą trawę, niektórzy dotąd nie mają papierów na wyjazd z północnej głuszy. Los zaś Jurija Jewtuchowicza nawet wśród nich nie był zwyczajny.¹²¹

Używam tu i używać będę dalej terminu „własowiec” w tym niejasnym, ale ustalonym już sensie, w jakim wszedł on i zdobył prawo obywatelstwa w języku sowieckim, nie poddając się jednak nigdy ścisłej definicji; szukać jej dla osób prywatnych było rzeczą niebezpieczną, dla osobistości oficjalnych zaś – zbyteczną: „własowiec” był to w ogóle każdy człowiek sowiecki, który z bronią w ręku stanął podczas tej wojny po stronie przeciwnika. Trzeba będzie jeszcze całych lat i wielu książek, aby termin ten poddać analizie, wyodrębnić rozmaite kategorie i wtedy zostaną na sicie „własowcy” w ścisłym sensie słowa – to znaczy otwarci zwolennicy albo podwładni generała Własowa, którzy stanęli po jego stronie od chwili, gdy generał ten, już w niemieckiej niewoli, dał swoje imię ruchowi antybolszewickiemu. Takich zwolenników w pewnych okresach wojny bywało zaledwie kilkuset, a własowska armia w ścisłym sensie, z własnym sztabem centralnym nigdy właściwie nie zdążyła się sformować. Ale w grudniu 1942 roku Niemcy wykonali oszukańczy gest propagandowy: opublikowali komunikat o mającym miejsce (a nigdy miejsca nie miało) „zebraniu założycielskim” „Komitetu Rosyjskiego” w Smoleńsku, który miał (albo i nie miał) być czymś w rodzaju rosyjskiego rządu; komunikat był w tym punkcie wyjątkowo niejasny; podali też do wiadomości nazwiska: generała-lejtnanta Własowa i generała-majora Małyszkina. Niemcy mogli pozwolić sobie na taką zabawę: wydać komunikat, później zdementować go, następnie działać w zupełnie innym duchu, ale ulotki poszybowały z samolotów, spoczęły na naszych frontowych polach, zaległy w naszej pamięci. Wiadomość o własowskim Komitecie w naturalny sposób obrosła legendami o całym ruchu, o zbrojnych oddziałach i kiedy w niemieckiej armii na niektórych odcinkach frontu naprzeciw naszych linii zaczęli zjawiać się uzbrojeni nasi rodacy z rosyjskich albo tzw. narodowych oddziałów, to przyłgnęło do nich jedyne znane słowo – „własowcy” i nasi politrucy wcale temu nie przeczyli. W ten umowny, lecz solidny sposób zróst się cały ten ruch z imieniem Własowa.

A iluż było takich naszych współobywateli, którzy podnieśli oręż przeciw swojej ojczyźnie? „Nie mniej niż 800.000 sowieckich obywateli weszło w skład organizacji zbrojnych, których celem była walka z państwem sowieckim” – pisze znawca problemu (Thorwald: „Wen sie verderben wollen...”, Stuttgart, 1952). Podobne szacunki znajdujemy również w innych źródłach (na przykład – Sven Steenberg: „Wlassow Verraeter oder Patriot?” – Koln, 1968). Trudno o zupełną ścisłość, gdy chodzi o cyfry, także dlatego, że w niemieckiej administracji i w kręgach dowódczych armii zwalczały się wzajemnie rozmaite tendencje; niższe instancje, znające podczas wojny prawdziwy stan rzeczy, zainteresowane były w pomniejszaniu takich cyfr, aby nie straszyć zwierzchników rozrostem sił antybolszewickich, ale też nie

¹²¹ W 1974 roku („Russkaja Mysl” 27.VI) pewien były zek zaświadczył, że Jurij dostał 25 lat obozu i odbył je na Sachalinie, na budowie nr 505.

proniemieckich. I wszystko to miało miejsce jeszcze przed stworzeniem osobnej Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej (ROA) w końcu 1944 roku.

*

Nadchodziła nareszcie pora łubiańskiego obiadu: z daleka już słyszeliśmy radosny pobrzęk na korytarzu, a potem wnoszono, jak w restauracji, na tacy, dwa aluminiowe talerze (nie miski): chochlę zupy i chochlę wodnistej kaszy bez omasty.

Więzień śledczy w trakcie pierwszych udręczeń niczego nie chce brać do ust, są tacy, co przez kilka dni nawet chleba nie tkną, nie wiedzą, co z nim począć. Ale stopniowo wraca apetyt – później przychodzi stan ciągłego głodu, prowadzący aż do żartoczości. Jeszcze później – jeśli człowiek zdołał się pomiarkować, żołądek się kurczy, przystosowuje do skąpego wikt i tutejsza mizerna porcja wydaje się być w sam raz. Żeby dojść do tego, trzeba się ćwiczyć, trzeba odzwyczaić się od podglądania, czy kto inny nie je za dużo, zabronić więziennych rozmów o jedzeniu, niebezpiecznych dla żołądka, i starać się w ogóle podciągać ducha raczej wzwyż. Na łubiance jest to ułatwione dzięki dwóm godzinom popołudniowego leżenia – też cudo sanatoryjne. Kładziemy się tyłem do judasza, przysuwamy sobie na pokaz otwarte książki i zapadamy w drzemkę. Spanie jest właściwie wzbronione i strażnicy widzą, że stronic długo nikt w książkach nie przewraca, ale w tych godzinach zwykle nie pukają (ten humanitaryzm tłumaczy się w ten sposób, że kto nie powinien wcale spać, ten jest w tym czasie na dziennym przesłuchaniu). Dla uparciuchów, którzy nie chcą podpisać protokołu, kontrast jest jeszcze ostrzejszy: wracają do celi, a tu właśnie kończy się godzina ciszy!

Sen zaś jest najlepszym lekarstwem na głód i na strapienie: zasoby organizmu się nie spalają, a mózg nie roztrząsa wciąż na nowo omyłek, które człowiek sam sobie wypomina.

A teraz kolacja – po chochelce rzadkiej kaszy. Życie rozłacza przed nami na wyścigi wszystkie swoje uroki. Teraz przez pięć-sześć godzin do dzwonka człowiek nie weźmie już niczego do ust, ale to już nie straszne, łatwo się przyzwyczaić do tego, by wieczorami nie chciało się już jeść dawno to już znane medycynie wojskowej, w pułkach rezerwowych też wieczorem jeść nie dają.

Teraz nadchodzi chwila wieczornego wyjścia za potrzebą – moment, na który człowiek przez cały dzień czekał – najczęściej ze drżeniem. Jak lekki staje się świat w jednej chwili! Jak uprościły się od razu wielkie problemy – czujesz to?

Nieważkie wieczory łubiańskie! (Zresztą – tylko wtedy masz uczucie nieważkości, gdy nie oczekujesz nocnego przesłuchania). Nieważkie ciało, na tyle zaledwie zaspokojone porcją kaszy, by dusza nie czuła jego ciężaru. Jakie lekkie, jakie swobodne myśli! Czujemy się, jak na wyżynach synajskich, gdzie prawda objawia nam się wśród płomienia. Czy to nie o tym mówił Puszkina:

Ja pragnę żyć dla myśli i cierpienia!

I oto cierpimy i myślimy, i nie ma w naszym życiu innej treści. Jak łatwe się okazało osiągnięcie tego ideału...

Dysputujemy także wieczorami, to jasne, odrywając się od szachów, w które gramy z Suzim, i od książek. Najostrzejsze dyskusje toczymy z tym samym Jewtuchowiczem, ponieważ poruszamy kwestie grożące wybuchem, na przykład – sprawę wyników wojny. Właśnie wszedł strażnik i bez jednego słowa, bez żadnego

wyrazu opuścił na oknie granatową sztorcę zaciemnienia. Teraz tam, za obiema zasłonami, wieczorna Moskwa zaczyna rąbać saluty.¹²² Nie widzimy ani jarzącego się fajerwerkami nieba, ani mapy Europy, ale próbujemy wyobrazić ją sobie szczegółowo i zgadnąć, jakie to miasta zostały zdobyte. Te saluty osobliwie Jurija dręczą. Oczekuje od losu naprawienia własnych swoich błędów, zapewnia nas on, że wojna wcale się nie kończy i że teraz Armia Czerwona i Anglo-Amerykanie zderzą się ze sobą, że teraz dopiero zacznie się prawdziwa walka. Cela odnosi się do takich przepowiedni z niezwykłym zaciekawieniem. No i czym się to skończy? Jurij zapewnia, że Armia Czerwona rozbita będzie bez trudu (a więc doczekamy się uwolnienia? czy raczej rozstrzelania?). Tu – ja oponuję – i zaczyna się szczególnie zapamiętały spór. J. dowodzi, że nasza armia jest wyczerpana, wykrwawiona, źle wyekwipowana i – co najważniejsze – przeciw aliantom nie będzie już walczyć z taką zaciętością. Ja zaś – czerpiąc dowody ze znanych mi jednostek – twierdzę, że jest teraz silna i pełna zawziętości i że w takim wypadku będzie lać aliantów jeszcze lepiej niż Niemców. – Nigdy! – krzyczy (pótszeptem) Jurij. A Ardeny? – krzyczę (pótszeptem) ja. Wtrąca się Fastenko i wyśmiewa nas obu, twierdząc, że nie rozumiemy Zachodu, że teraz nikt już nie zmusi w ogóle alianckich wojsk do walki z nami.

Jednak wieczorem człowiek chciałby nie tyle spierać się, ile posłuchać czegoś ciekawego, a nawet uspokajającego, chciałby, aby panowała zgoda.

Jeden z takich ulubionych więziennych tematów, to rozmowa o więziennych tradycjach, o tym jak siedziało się dawniej.¹²³ Mamy w celi Fastenkę i dlatego słuchamy wiadomości z pierwszej ręki. Najbardziej nas rozczula fakt, że kto dawniej był więźniem politycznym, ten miał powód do dumy, że nie tylko nie wyrzekali się ich krewni, ale że nieznajome dziewczęta przyjeżdżały w odwiedziny i – podając się za narzeczone – utyskiwały widzenia. A dawna, rozpowszechniona tradycja paczek świątecznych dla więźniów? Nikt w Rosji nie przystępował do wielkanocnych rekolekcji, jeśli przedtem nie zaniósł bezimiennemu aresztantowi paczki żywnościowej do wspólnego, więziennego kotła. Niesiono w darze szynki, placki, kulebiaki, kołaczki. Jakaś biedna starowinka – też niósła dziesięć pisanek i lżej robiło jej się na sercu. Gdzie też podziła się ta rosyjska dobroć? Zastąpiło ją uświadomienie! Jak bardzo, w jak nieodwracalny sposób nastraszone nasz lud, jak oduczone go troski o tych, którzy cierpią! Dziw teraz bierze, kiedy się o tych sprawach mówi. Gdyby teraz ktoś w jakiejś instytucji zaproponował zbiórkę przedświąteczną na rzecz miejscowego areštu, zwierzchność uznałaby to niemal za próbę antysowieckiego powstania! Do takiego zbydlęcenia doszli.

A czym były te świąteczne dary dla więźniów! Czy tylko sprawą dobrego jedzenia? Nie, dawały uczucie ciepła: oto ktoś na wolności myśli o tobie, troszczy się o ciebie.

Opowiada nam Fastenko, że za sowieckich czasów istniał jeszcze polityczny Czerwony Krzyż, ale tu już nie, żebyśmy mu nie wierzyli! – nie bardzo to sobie umiemy wyobrazić. Powiada, że J. P. Pieszkowa wykorzystując swój osobisty immunitet, jeździła za granicę, zbierała tam pieniądze (u nas nie bardzo by mogła) – a później kupowała tu za nie wiktuały dla politycznych, pozbawionych rodzin. Czy

¹²² Po Stalingradzie zdobyciu każdego większego miasta towarzyszył w Moskwie salut artyleryjski z fajerwerkami.

¹²³ W rozgardiaszu rewolucji lutowej radykalny dziennikarz E. Pieczerski („Ranniejsze utro” z 7.III.1917 roku) chwalił się, jak to arestowany przez moskiewską Ochranę dzień w dzień obserwował życie więzienia przez judasza w drzwiach celi. Chciał nas nastraszyć okrucieństwem Ochrany, w istocie zaś wykazał, że na judaszach nie było nawet zewnętrznej zasłanki.

dla wszystkich? Tu wyjaśnia się, że nie dla Ka-erów, to jest kontrrewolucjonistów (to znaczy – nie dla artykułu 58), lecz tylko dla członków dawnych partii socjalistycznych. Ach, to proszę tak mówić od razu! A zresztą sam ów Czerwony Krzyż, ponad głową Pieszkowej, też został w sumie wyaresztowany...

Jeszcze jedna sprawa, o której miło jest pogadać wieczorem, gdy nie oczekuje człowieka przesłuchanie – to zwolnienie. Tak, podobno zdarzają się takie zadziwiające wypadki, niektórych puszcza się wolno. O, zabrano z celi Z-wa „z rzeczami”. – Może go wypuszczono? Śledztwo nie mogło przecież tak szybko się skończyć. (Po dziesięciu dniach wrócił: zawieźli go do Lefortowa. Tam zabrał się chyba do podpisywania, więc pozwolono mu wrócić do nas). Jeśli więc tylko cię zwolnią – słuchaj, przecież twoja sprawa jest błaha, sam tak mówisz to obiecaj mi, że pójdziesz do mojej żony i na znak tego niech w jakiejś paczce przekaże mi ona, no, powiedzmy, dwa jabłka... – Nie ma teraz nigdzie jabłek. – No to trzy obwarzanki. – Może się zdarzyć, że obwarzanków w Moskwie nie dostanie. – No dobrze, to cztery kartofle! (Umówią się tak, a później faktycznie – N. zostaje zabrany z rzeczami, M. zaś otrzymuje w paczce cztery kartofle. To zdumiewające, to wspaniałe! puścili go, a miał sprawę o wiele poważniejszą niż moja – to i mnie może już niedługo?... A tu po prostu żonie M. jeden ziemniak rozsypał się w torbie, N. zaś już dawno jedzie na Kołymę w ładowni parowca).

Tak sobie pleciemy trzy po trzy, wspominamy różne zabawne wypadki – i wesoło człowiekowi i miło wśród ciekawych ludzi z całkiem nieznanymi ci kręgów, mających całkiem inne, niż ty, doświadczenia a tymczasem minęła milcząca, wieczorna kontrola, już zabrano okulary i już trzykrotnie miga lampa. To znaczy, za pięć minut dzwonek!

Szybciej, szybciej, pod kołdry! Podobnie, jak na froncie, nie wie człowiek, czy nie spadnie mu na łeb szkwał pocisków, już-już, czy za minutę, tuż obok – tak też tu nie wiemy, czy to nie noc naszego fatalnego przesłuchania. Już jesteśmy w łózkach, jedną rękę – na kołdrę, staramy się przepędzić wiatr myśli z głowy. Spać!

W takiej właśnie chwili pewnego kwietniowego wieczoru, wkrótce potem jak pożegnaliśmy się z Jewtuchowiczem, zgrzytnął rygiel w naszych drzwiach. Nasze serca ścisnęły się: czyja dziś kolej? Zaraz strażnik syknie: „Na se!”, „na se!” Ale nie syknął. Drzwi się zatrzasnęły. Unieśliśmy głowy. W drzwiach stał nowy przybysz: chuderlawy, młody, w tanim, granatowym ubraniu i w granatowej czapce. Nie miał żadnych rzeczy. Rozglądał się z zakłopotaniem.

– Jaki ta cela ma numer? – spytał trwożnie.

– Pięćdziesiąty trzeci.

Wzdrygnął się.

– Z wolności? – zapytaliśmy.

– Nieee – pokręcił z udręką głową.

– A kiedy cię aresztowali?

– Wczoraj rano.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Miał twarz o rysach pospolitych bardzo miękkich, a brwi prawie białe.

– A za co?

(To pytanie nieuczciwe, nie wolno spodziewać się odpowiedzi na nie).

– A nie wiem... Jakieś tam głupstwa.

Wszyscy tak mówią, wszyscy siedzą za jakieś głupstwa. Zwłaszcza samemu aresztantowi cała sprawa wydaje się błahostką.

– No, ale jednak?

– Ja... napisałem orędzie. Do narodu rosyjskiego.

– Cooo? (Z takimi „głupstwami” jeszcze nie mieliśmy do czynienia).

– Rozstrzelają mnie? – twarz mu się wydłużyła. Miął palcami daszek jeszcze nie zdjętej czapki.

– E, chyba nie – uspokoiliśmy go. – Teraz nikogo nie rozstrzelują. Za to DZIESIĄTAK jak w zegarku.

– Robotnik? Urzędnik? – zapytał socjaldemokrata, wierny swoim klasowym zasadom.

– Robotnik.

Fastenko wyciągnął rękę i zawołał do mnie z triumfem:

Widzicie, Aleksandrze, jakie są nastroje klasy robotniczej!

I odwrócił się do spania, pewien, że już dalej nie ma co i że nic więcej nie usłyszymy.

Ale mylił się.

– Jak to – orędzie? – ni stąd, ni zowąd? W czyim imieniu?

– A we własnym.

– A coś ty za jeden?

Przybysz uśmiechnął się z wyrazem skruchy:

– Imperator. Michał.

Dźgnęło nas, jak iskrą. Unieśliśmy się jeszcze bardziej na postaniach, przyjrzelśmy się mu. Nie, ta nieśmiała, pospolita twarz wcale nie wyglądała na twarz Michała Romanowa. Zresztą – sam jego wiek...

– Do jutra, do jutra, spać! – odezwał się Suzi z surowością.

Zasnęliśmy tedy, obiecując sobie, że jutrzejsze dwie godziny przed rozdziałem chleba nie będą nudne.

Imperatorowi też wniesiono łóżko z pościelą i za chwilę leżał już spokojnie obok kibla.

*

W tysiąc dziewięćset szesnastym roku do domu moskiewskiego maszynisty kolejowego Biełowa wkroczył nieznajomy – dorodny starzec z jasną brodą i powiedział do pobożnej żony maszynisty: „Pelagio! Masz rocznego syna. Strzeż go, potrzebny jest Panu. Nadejdzie czas a wrócę”. I wyszedł.

Kim był starzec – Pelagia nie wiedziała, ale tak dobitnie i groźnie przemawiał, że jego słowa owładnęły sercem matki. I strzegła tego dziecka jak oka w głowie. Wiktor wyrastał na cichego, posłusznego, pobożnego chłopca, często miał widzenia, widywał aniołów i Matkę Boską. Z czasem zdarzało się to coraz rzadziej. Starzec więcej się nie pokazał. Nauczył się Wiktor szoferki, w 1936 roku wzięto go do wojska, zawieźli do Birobidżanu i służył tam w kompanii samochodowej. Nie był wcale rozpuszczony, ale może właśnie ta jego nieszofera łagodność i skromność podobała się pewnej dziewczynie ze służby cywilnej, przez co utracił na nią widoki dowódca jego plutonu, smalący do tejże dziewczyny cholewki. W tym czasie przyjechał do nich na manewry marszałek Bluecher – i zdarzyło się tak, że jego kierowca się rozchorował. Bluecher rozkazał dowódcy kompanii samochodowej przysłać sobie najlepszego szofera, dowódca kompanii

wezwał dowódcę plutonu, a ten od razu wykombinował, żeby podrzucić marszałkowi swojego rywala Biełowa. (W armii często tak bywa; awansują nie tych, którzy sobie zasłużyli, tylko tych, których trzeba się pozbyć).

Biełow spodobał się Bluecherowi i został już przy nim. Wkrótce Bluechera wezwano do Moskwy z zachowaniem wszelkich pozorów (w ten sposób w przeddzień aresztowania odrywano marszałka od wiernych mu wojsk Dalekiego Wschodu) i kierowca pojechał z nim razem.

Osierocony Biełow wzięty został do służby w garażach Kremla i zaczął wozić to Michajłowa (Komsomoł), to Łozowskiego, potem kogoś tam jeszcze i wreszcie – Chruszczowa.

Napatrzył się tutaj Biełow (i sporo nam o tym naopowiadał) na ucztę, na obyczaje, na środki ostrożności. Jako szeregowy przedstawiciel moskiewskiego proletariatu był także obecny na procesie Bucharina w Domu Związków. Ze wszystkich swoich gospodarzy tylko o Chruszczowie wyrażał się z sympatią: tylko w jego domu kierowcę sadzano przy wspólnym stole rodzinnym, nie zaś oddzielnie, w kuchni; tylko tu w tych latach zachowały się jeszcze robotnicze, proste obyczaje. Jowialny Chruszczow też przywiązał się do Wiktora Aleksiejewicza i – jadąc w 1938 roku na Ukrainę – chciał go ze sobą zabrać...Nigdy bym nie zamienił tej roboty przy Chruszczowie" – mówił Wiktor Aleksiejewicz. Ale coś mu kazało trzymać się Moskwy.

W 41. roku, na początku wojny, miał jakąś przerwę, nie pracował w garażach rządowych i – nie mając poparcia – został zaraz zmobilizowany przez komendę uzupełnień. Jednakże, ze względu na stan zdrowia, nie posłano go na front, tylko do batalionów robotniczych – z początku na pieczę do Inzy. gdzie trzeba było kopać rowy strzeleckie i bić drogi. Po kilku latach beztróskiego, sytego życia – to było, jak pyskiem prasnąć o ziemię, bolało. Najadł się wtedy biedy i niedoli do syta i zobaczył, że ludzie nie tylko nic zaznali w okresie przedwojennym żadnego dostatku, ale jeszcze bardziej zbiednieli. Ledwo się sam wykaraskał, dostał zwolnienie lekarskie, wrócił do Moskwy i tu znów zdołał się zaczepić: został kierowcą Szczerbakowa,¹²⁴ później narkoma paliw płynnych Siedina. Ale Siedin się nakradł (wszystkiego 35 milionów) i po cichu poszedł na grzybki, Biełow zaś, nie wiedzieć czemu, znów stracił robotę koło przywódców. I najął się za kierowcę do bazy samochodowej, po fajrancie zaś jeździł do Czerwonej Pachry.

Ale nie to już mu było w głowie. W 1943 roku był raz u matki. Kobieta robiła pranie i wyszła z wiadrami do ulicznej pompy. Wówczas otwarty się drzwi i wkroczył do domu nieznajomy starzec z siwą brodą. Przeżegnał się przed ikoną, spojrzał surowo na Biełowa i powiedział: „Bądź pozdrowiony, Michale! Niech cię Bóg błogosławi!” – „Nazywam się Wiktor” – odparł Biełow. – „A zwać się będziesz Michał, imperator świętej Rusi!” – powiedział stanowczo starzec. Weszła właśnie matka i ze strachu kolana się pod nią ugięły, aż plusnęła wodą z wiader: był to ten sam starzec, który odwiedził ją przed dwudziestu siedmiu laty, posiwiaty, ale ten sam. „Niechże cię Bóg nagrodi zbawieniem, Pelagio, żeś syna uchowała” – powiedział starzec. I zamknął się z przyszłym imperatorem, aby namaścić go na cara, jako patriarcha. Przepowiedział wstrząśniętemu młodzieńcowi, że w 1953 roku

¹²⁴ Opowiadał, jak opasły Szczerbakow, przychodząc do swojego Informbiura, nie lubił widzieć nikogo i jak z pomieszczeń biurowych, przez które kroczył do swego gabinetu, znikali pracownicy. Stękając, bo przeszkadzał mu brzuch, schylał się, żeby unieść róg dywanu. I biada całemu Informbiuru, jeżeli znalazł tam kurz.

nastąpi zmiana władzy i że zostanie on imperatorem wszechrosyjskim¹²⁵ (dlatego to 53. numer celi tak go zaskoczył!) i że w tym celu powinien gromadzić siły, poczynając od 1948 roku. Nie powiedział tylko, jak te siły gromadzić – i poszedł sobie. A Wiktor Aleksiejewicz jakoś nie domyślił się, że trzeba zapytać.

Utracił odtąd spokój, życie przestało być proste. Być może – kto inny odżegnałby się od tak niepomiernej imprezy, ale nasz Wiktor otarł się przecież o najwyższe kręgi, otrząsał się z tymi wszystkimi Michajłowami, Szczerbakowami i Siedinami, nasłuchiwał się rozmaitości od innych szoferów i doszedł do wniosku, że nie trzeba wcale być nikim nadzwyczajnym, nawet wręcz przeciwnie.

Nowy pomazaniec, cichy, pocziwy, wrażliwy – jak Fiodor Joannowicz, ostatni z Rurykowiczów – poczuł ciężar tłoczącej głowę czapy Monomacha. Nędza i niedola ludu. Jakie widział dookoła i za które dotąd nie czuł się odpowiedzialny – teraz legły ciężarem na jego barki i to on był winien, że to wszystko jeszcze trwa. Pomyślał, że to za długo czekać aż do 1948 roku i jesienią 43. napisał swój pierwszy manifest do narodu rosyjskiego, po czym odczytał go czterem robotnikom z garażu Narkomatu paliw płynnych...

...Zebraliśmy się rano wokół Wiktora Aleksiejewicza i słuchaliśmy jego niezawitej opowieści. Wciąż jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z jego infantylnej ufności, ciekawiła nas niecodzienność tej historii i – to nasza wina! – nie zdążyliśmy przestrzec go przed kwoką. Zresztą nie mieściło nam się w głowie, że to, co nam tu ten człowiek tak prostodusznie opowiada, nie jest jeszcze w całości znane śledczemu!... Gdy opowieść się skończyła, Kamarenko zaczął nalegać, by go puszczono „do naczelnika więzienia po tytoń”, czy może do lekarza, dość, że go wkrótce wezwano. Tam też zapodał on tych czterech z paliw płynnych, o których nikt by się nigdy nie dowiedział... (Następnego dnia, po powrocie z przesłuchania, Biełow dziwił się, skąd śledczy o nich wiedział. Tu nas olśniło...). Ci z paliw płynnych przeczytali manifest, wszystko im się podobało – i NIKT NIE DONIÓSŁ na imperatora! Ale sam on wyczuł, że jeszcze za wcześnie, za wcześnie! I spalił manifest.

Minął rok. Wiktor Aleksiejewicz pracował jako mechanik w garażu bazy transportowej. Jesienią 1944 roku znów napisał manifest: dał go do przeczytania DZIESIĘCIU ludziom – kierowcom, ślusarzom. Znów się wszystkim podobał – I NIKT NIE ZDRADZIŁ! (Nikt z dziesiątki – to rzadkie w tych czasach donosicielstwa zjawisko! Fastenko nie mylił się, mówiąc o "nastrojach wśród klasy robotniczej"!)). Co prawda, imperator uciekał się do niewinnych wybiegów: robił aluzje, że ma mocne plecy w rządzie, obiecywał swoim zwolennikom delegacje służbowe dla skrzyknięcia sił monarchistycznych w terenie.

Mijały miesiące. Imperator zwierzył się jeszcze dwóm dziewczynom z garażu. I tu już nie było zawodu – dziewczeczki ideowo były na poziomie! Od razu ścisnęło się serce Wiktora Aleksiejewicza w przeczuciu katastrofy. W niedzielę po Zwiastowaniu szedł przez rynek, mając przy sobie manifest. Stary robotnik, jeden z jego zwolenników, spotkał go i tak mu powiedział: „Wiktor! Może byś spalił tymczasem ten paperek, , co?” I Wiktor poczuł to dobrze: tak jest, za wcześnie, lepiej spalić! „Zaraz spalę, masz rację”. I poszedł do domu, żeby spalić. Ale dwóch sympatycznych młodzieńców zawołało go, zanim jeszcze opuścił rynek: „Wiktor Aleksiejewicz? Przejedziemy się, dobrze? I zawieźli go osobową limuzyną na Łubiankę. Powitano go z takim zdenerwowaniem i wśród takiego pośpiechu, że nawet nie zo-

¹²⁵ Poza tą drobnostką, że wziął szofera za konnego rycerza, jasnowidz prawie się nie mylił!

stał zrewidowany według normalnego rytuału i była taka chwila, że imperator omal nie zniszczył swojego manifestu, gdy znalazł się w ubikacji. Ale doszedł do wniosku, że jeszcze gorzej go będą szarpać: gdzie go masz, gdzie? I natychmiast zawieźli go windą do generała z pułkownikiem i generał własną ręką wyrwał mu manifest wystający z kieszeni.

Okazało się jednak, że wystarczyło jednego przesłuchania, aby spokój powrócił na Wielką Łubiankę: wszystko okazało się nie takie znowu straszne. Dziesięć zatrzymań w garażu bazy transportowej, cztery w garażu Narkomatu paliw płynnych. Śledztwo przejął jakiś podpułkownik. Zaśmiewał się raz po raz, czytając orędzie:

– O tu, wasza cesarska mość pisze: „mojemu ministrowi rolnictwa dam zlecenie, ażeby od razu pierwszej wiosny rozwiązał kołchozy” ale jak tu rozdzielić inwentarz? Jakoś to nie rozpracowane: później tak tu jest napisane: ...powiększę budownictwo mieszkaniowe i każdemu dam mieszkać niedaleko od miejsca roboty... podwyższę zarobki robotników...”. A za jakie ciaciki, wasza cesarska wysokość? Przecież pieniądze trzeba będzie na maszynie odbijać? Przecież wasza wysokość raczyła skasować państwowe pożyczki!... Albo to: „Kreml zmiotę z powierzchni ziemi”, ale gdzie też wasza cesarska mość ulokuje swój własny rząd? A może by, na przykład, zadowolili waszą wysokość gmach Łubianki? Czy nie łaska zwiedzić go teraz?... Pośmiać się trochę z imperatora Wszechrosji przychodzili także młodzi funkcjonariusze śledczy. Widzieli tylko śmieszną stronę całej tej historii.

Nie mogliśmy się powstrzymać od uśmiechów nawet w naszej celi. „Mam nadzieję, że nie zapomnicie o nas w 53.” – mówił Z-w, robiąc do nas oko.

Wszyscy nad nim się śmieli...

Wiktor Aleksiejewicz prostoduszny chłopak o białych brwiach i zgrubiałych od pracy rękach, dostawszy gotowane kartofle od swojej nieszczęsnej matki, Pelagii, częstował nas, bez dzielenia na twoje i moje: „Jedzcie, jedzcie, towarzysze...”

Uśmiech miał wstydlivy. Rozumiał znakomicie jakie to niewspółczesne i śmieszne – być imperatorem Wszechrosji. Ale co robić, jeśli Bóg ciebie właśnie wybrał?!

Wkrótce zabrano go z naszej celi.¹²⁶

*

Gdzieś przed pierwszym maja zdjęto z okna zastonę przeciwlotniczą, wojna widocznie miała się ku końcowi.

Cicho było tego wieczoru na Łubiance jak nigdy. Bodajże był to drugi dzień Wielkiej Nocy, święta zbiegły się tego roku. Oficerowie śledczy porozchodzili się po Moskwie, na przesłuchania nikogo nie wzywano. W ciszy słychać było, jak ktoś tam wszczął przeciw czemuś głośny protest. Wyprowadzono go z celi do boksu (orientowaliśmy się słuchem dokąd jakie drzwi prowadzą), i w tym boksie, przy otwartych drzwiach, długo go bito. W gęstej ciszy wyraźnie słychać było każdy cios w brzuch i zachłystujące się krzykiem usta.

Drugiego maja trzydzieści salw zagrzmiąło nad Moskwą, co znaczyło, że padła europejska stolica. Tylko dwie jeszcze zostały nie zdobyte Praga i Berlin. Trzeba było zgadnąć, która.

¹²⁶ Kiedy w 1962 roku zostałem przedstawiony Chruszczowowi, świerzbił mnie język, żeby powiedzieć: Nikita Siergiejewicz, a przecież mamy pewnego wspólnego znajomego. Ale powiedziałem mu coś innego, chyba ważniejszego, w imieniu byłych więźniów.

9 maja przyniesiono obiad razem z kolacją, jak to na Łubiance zdarzało się tylko 1 maja i 7 listopada. Tylko dzięki temu dowiedzieliśmy się, że wojna się skończyła:

Wieczorem rąbnęli jeszcze jeden salut, trzydzieści salw. Nie było już więcej niezdobytych stolic. Tegoż wieczoru gruchnął raz jeszcze salut zdaje się z czterdziestu salw – i to już był koniec nad końcami.

Ponad skrajem blachy naszego okna i wszystkich innych cci Łubianki, a także wszystkich innych okien moskiewskich więzień także my, byli jeńcy i byli żołnierze frontowi, wpatrywaliśmy się w malowane fajerwerkami, porzniete świetlnymi nożami reflektorów niebo.

Borys Gammerow – młodziutki kanonier artylerii przeciwczołgowej, już zdemobilizowany, jako inwalida (nieuleczalny postrzał w płuca) już aresztowany razem z grupą studentów, siedział tego wieczoru w przepelnionej celi w Butyrkach, gdzie połowa więźniów byli to jeńcy i frontowi żołnierze. Ten ostatni salut opisał on w oszczędnym ośmiowerszu, najprostszymi słowami: jak to już leżeli na narach, przykryci wojskowymi szynelami; jak obudził ich hałas, podnieśli głowy, zerknęli na skraj okiennej blachy: a, tu salut; położyli się

„i znowu szynelami się przykryli”.

Tymi samymi szynelami – upapranymi gliną z okopów, popiołem z ognisk, całymi w dziurach od niemieckich odłamków.

Nie dla nas było to Zwycięstwo. Nie dla nas – ta wiosna.

VI. TA WIOSNA

W czerwcu 1945 roku co rano i co wieczór okna Butyrskiego więzienia szturmowane były przez spiżowe głosy orkiestr, dochodzące skądś z daleka, z ulicy Leśnej albo z Nowosłobodzkiej. Grano wyłącznie marsze, powtarzano je wciąż od nowa.

A myśmy stali przy otwartych, ale nieprzenikalnych oknach więzienia za mętnozielonawymi blincami ze szkła zbrojonego i nadstawialiśmy uszu. Czy to maszerowały oddziały wojskowe? czy może masy pracujące z radością poświęcały swój wolny czas na ćwiczenia? – nie wiedzieliśmy dokładnie, ale już nawet do nas dotarł słuch o przygotowaniach do wielkiego Pochodu Zwycięstwa, który miał odbyć się na Placu Czerwonym 22 czerwca, w czwartą rocznicę wybuchu wojny.

Nie mogą ukoronować budynku te kamienic, które złożyły się na fundament, aby tam z postękiwaniem zapadać się w ziemię. Ale nawet honorowego spoczywania w fundamencie odmówiono tym, którzy, bezmyślnie porzuceni, nadstawili swoje nieszczęsne łby i nieszczęsne żebra na pierwsze ciosy tej wojny, przegradzając drogę cudzemu zwycięstwu.

„Czym są dla zdrajcy te błogie dźwięki!...”

Ta wiosna 45. roku w naszych więzieniach była przede wszystkim wiosną rosyjskich jeńców. Płynęli przez więzienia Związku nieogarnionymi, gęstymi szarymi ławicami, na kształt śledzi atlantyckich. Pierwszym zwiastunem takiej ławicy był dla mnie Jurij Jewtuchowicz. Teraz zaś ze wszystkich stron otaczał mnie ich ruch – zwarty, zdecydowany, jakby świadomy swego przeznaczenia.

Nie tylko jeńcy przechodzili przez te cele – płynę! strumień tych wszystkich, którzy zdążyli pomieszkać w Europie: i emigranci z czasów wojny domowej; i robotnicy OST-u z czasów tej wojny z Niemcami; i oficerowie Armii Czerwonej formułujący sądy zbyt ostre i przenikliwe, które mogły napędzić Stalinowi strachu, czy aby nie chcą oni zawlec przy powrocie z europejskiej kampanii – europejskich swobód, tak, jak to już się raz stało przed stu dwudziestu laty.¹²⁷ Ale najwięcej było jeńców. A wśród jeńców różnego wieku – większość złożona była z moich rówieśników, nawet nie moich, lecz rówieśników Października – tych, którzy urodzili się razem z Październikiem, którzy w 1937 roku, niestropieni wcale, walili hurmą na manifestacje z powodu dwudziestej rocznicy – i których rocznik, właśnie na początku wojny, tworzył trzon kadrowej armii, rozszastanej w ciągu paru tygodni.

Tak oto więzienna wiosna, marudnie wlokąca się przy dźwiękach marszowej muzyki, stała się czasem porachunku dla mego pokolenia.

To nam śpiewano nad kolebką: „Cała władza w ręce Rad!”. To my, opaloną rączką dziecięcą sięgaliśmy po trąbkę pionierską i na hasło „Bądźcie gotowi!” dawaliśmy odzew „Zawsze gotowi!”. To myśmy przemycali broń do Buchenwaldu i tam wstępowali do partii komunistycznej. I oto teraz znaleźliśmy się na straconej pozycji tylko za to, że jednak zostaliśmy przy życiu.¹²⁸

Jeszcze w chwili, gdy przecinaliśmy Prusy Wschodnie, widziałem ponure szeregi wracających do domu byłych jeńców – jedynych, którzy byli markotni, pod-

¹²⁷ Mowa o Dekabrystach.

¹²⁸ Więźniowie z Buchenwaldu, którym udało się ocaleć, WŁAŚNIE ZA TO SZLI SIEDZIEĆ do naszych obozów: jakim sposobem mogłeś ocaleć w obozie śmierci? W tym musi być coś nieczystego!

czas gdy wszyscy wokół się radowali – i już wówczas uderzał mnie ich smutek – chociaż jeszcze nie rozumiałem jego przyczyny. Zeskakiwałem na ziemię, zbliżałem się do tych dobrowolnie sformowanych oddziałków (czemu szli szeregiem? Dlaczego ustawiali się karnie?, przecież nikt ich nie zmuszał, jeńcy wszystkich armii wracali samopas! Nasi zaś chcieli wrócić możliwie najpotulniej...). Miałem na mundurze kapitańskie naramienniki, a nosząc je, nadto – w drodze, nie łatwo było dostać odpowiedź: czemu są tak markotni? Ale oto los skojarzył mnie z tymi jeńcami, maszerowałem razem z nimi z kontrwywiadu armii do kontrwywiadu frontu, tam posłuchałem po raz pierwszy ich opowieści – jeszcze dla mnie niejasnych później naświetlił mi to szerzej Jurij Jewluchowicz. teraz zaś, pod sklepieniem ceglano-czerwonej Butyrskiej warowni, poczułem, że tą historią kilku milionów rosyjskich jeńców przeżyłem na wskroś, jak karakon szpilką. Historia mojego własnego pójścia do więzienia wydała mi się błaża, wybiłem sobie z głowy żal po zerwanych naramiennikach. Tylko przypadkiem nie znalazłem się tam, gdzie znaleźli się moi rówieśnicy. Zrozumiałem, że mam obowiązek podstawić ramię pod skraj tego ciężaru, który dźwigają oni – i nieść do ostatka, póki nas nie przygniecie. Tak poczułem się teraz, jakbym razem z tymi chłopakami dostał się do niewoli na sołowiowskiej przeprawie, w charkowskim worku, w kierczeńskich kamieniołomach; jakbym z rękoma do tyłu – niósł swoją sowiecką dumę za druty obozu koncentracyjnego! jakbym godzinami czekał na mrozie w kolejce po chochlę wystygłej erzac-kawy i padał trupem na ziemię, nie dochodząc do kotła; jakbym w Oflagu 68 (Suwałki) rył sobie rękoma i wieczkiem menażki dzwonowatą jamę (węższą u góry), żeby nie zimować pod odkrytym niebem; i jakby to do mnie, umierającego, podpełzał inny, zdziczały już jeńiec, aby ogryźć moje niewystygłe jeszcze ramię; i jakby to do mego konającego mózgu przenikało przekonanie, jaśniejsze z każdym dniem rosnącego głodu, nie odstępujące człowieka ani w baraku tyfusowym, ani pod drutami sąsiedniego obozu angielskiego – że Rosja Sowiecka wyrzekła się swoich zdychających dzieci. „Synowie Rosji dumni” – tak, potrzebni jej byli oni, póki rzucali się pod czołgi, póki można było jeszcze poderwać ich do ataku. Ale żywić ich w niewoli? Zbyteczne gęby. I niepotrzebni świadkowie haniebnych porażek.

Czasem chciałby człowiek skłamać, ale język nie pozwala. Ludzi tych uznano za zdrajców, ale język sprawił, że zaistniała tu myląca dwuznaczność, to język kazał pobłądzić śledczym, prokuratorom i sędziom. I sami skazańcy, i całe społeczeństwo, i gazety powtórzyły i utrwaliły tę dwuznaczność, nie chcąc dając świadectwo prawdzie: tych ludzi oskarżano o to, że zdradzili – kogo? – Ojczyznę, ale nikt nie mówił o nich nawet w aktach sądowych inaczej, jak skrótowo – „zdrajcy Ojczyzny”. Czyi zdrajcy? – Ojczyzny!

Tyś rzekł! To nie byli ci, co zdradzali ją, to byli jej zdrajcy, jej rodzeni zdrajcy. To nie oni, nieszczęśnicy, zdradzili Ojczyznę, nie, to Ojczyzna ich zdradziła, zdradziła z wyrachowania, a przy tym TRZYKROTNIE.

Pierwszy raz – gdy przez swoją nieudolność wydała ich wrogom na polu bitwy – gdy rząd, wybraniec Ojczyzny, uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby wojnę przegrać: zniszczył linie umocnień, wystawił lotnictwo na miażdżące ciosy, rozmontował czołgi i artylerię, pozbawił wojsko zdolnych generałów i zabronił armii odpierać nacisk nieprzyjaciela.¹²⁹ Jeńcy – to byli właśnie ci, na których ciała spadł ten cios, którzy swymi ciałami zatrzymali Wehrmacht.

¹²⁹ Mnożą się uczciwe książki o tej wojnie i teraz już nikt nie nazwie gabinetu Stalina inaczej, niż rządem oblędu i zdrady.

Po raz wtóry zdradziła ich Ojczyzna bezlitośnie, gdy pozwoliła im zdychać w niewoli bez pomocy.

I po raz trzeci niegodziwie ich zdradziła, łudząc macierzyńską miłością („Ojczyzna przebacza! Ojczyzna was wzywa!”), by zarzucić im stryk już na granicy.¹³⁰

Zdaje się, że dosyć podłości dokonano i widziano u nas w ciągu tysiąca stu lat istnienia naszej państwowości – ale czy była wśród nich podłość tak wielomilionowa: zdradzić własnych żołnierzy i obwieścić jednocześnie, że to oni są zdrajcami?!

Jakże łatwo skreśliliśmy ich z naszego rachunku: zdradził? – hańba! – skreślić! Ależ jeszcze przed nami skreślił ich nasz Ojciec: kwiat moskiewskiej inteligencji rzucił pod Wiaźmę, oddał na rzeź z berdankami z 1866 roku w rękę, przy tym jedna przypadła na pięciu (gdzie Lew Tołstoj, który nam to Borodino opiszę?). A jednym tępym poślizgiem grubego, krótkiego palca Wielki Strateg przeprowadził przez cieśninę kierczeńską na Krym w grudniu 1941 roku – bezmyślnie, tylko po to, by mieć na Nowy Rok efektowny komunikat – STO DWADZIEŚCIA TYSIĘCY NASZYCH CHŁOPCÓW – tylu niemal, ilu było w całym wojsku rosyjskim pod Borodinem, i w rezultacie wszystkich ich bez walki oddał Niemcom.

A jednak, nie wiedzieć czemu, nie on jest zdrajcą, tylko oni.

(Jakże łatwo poddajemy się sugestii przewisk, jak łatwo przystaliśmy na to, by uważać tych zdradzonych – za zdrajców! W jednej z butyryskich cel siedział tamtej wiosny stary Lebiediew, metalurg, profesor, ale wyglądający na rośłego robociarza manufaktur Demidowa z zeszłego lub nawet osiemnastego wieku. Był barczysty, o szerokim czole, z brodą godną Pugaczowa, a łapsko miał wprost stworzone do podnoszenia czteropudowych cebrów. W celi nosił szary, wypłowiały kitel roboczy wprost na białźnie, był nieochędźny i mogło się zdawać, że jest jakimś więziennym robotnikiem pomocniczym – póki nie siadał do czytania.

Wyraz władczego zamyślenia pojawiał się wtedy z nawyku na jego twarzy. Otaczało go często kółko słuchaczy, o metalurgii mówił niewiele, natomiast swoim litaurowym basem klarował nam, że Stalin – to taki sam pies, jak Iwan Groźny: „Strzelaj! dław! nie zastanawiaj się!”, że Górki to mazgaj, blagier i adwokat oprawców. Podziwiałem tego Lebiediewa: zdawało się, że cały naród rosyjski stoi przede mną, wcielony w ten krzepki tułów, w ten mądry łeb, w te ręce i nogi oracza. Ileż on już przemyślał! – Uczyłem się od niego rozumienia świata – i nagle on właśnie, rąbiąc łapą jak toporem, zagrzmiął, że paragraf jeden be to zdrajcy kraju i że nie zasługują na przebaczenie. A Jeden be tłoczyli się wokół na narach. Ach, jak im ciężko to było słyszeć! Stary perorował stanowczym tonem w imieniu Rusi pracującej w polu i przy warsztacie – a im trudno było i wstyd bronić się jeszcze z tej nowej strony. W ich obronie spór ze starym wszcząć musiałem ja i jeszcze dwóch chłopców siedzących „z dziesiątego paragrafu”. Ale jakież to stopień osiągnęło zaciemnienie, powodowane przez monotonne, upaństwowione łgarstwo! Nawet najbardziej pojętni z nas zdolni są do ogarnięcia tylko tej części prawdy, o którą rozkwasili sobie własną gębę.¹³¹

¹³⁰ * Jeden z głównych przestępców wojennych, były szef wywiadu Armii Czerwonej – generał – pułkownik Golikow – teraz kierował akcją kuszenia i późniejszego zagarniania repatriantów.

¹³¹ Ogólniej pisze o tym Witkowski (relacja dotyczy lat trzydziestych): zadziwiające, ale pseudoszkodnicy – zdając sobie sprawę, że sami nie są żadnymi szkodnikami – twierdzili, że wojskowych i duchownych leją słusznie. Wojskowi, wiedząc z doświadczenia, że nie są agentami zagranicznych wywiadów i że nie chcą rozkładu Armii Czerwonej – chętnie wierzyli, że inżynierowie są szkodnikami, zaś duchowni godni są wytopienia. Człowiek sowiecki, siedząc w więzieniu myślał mniej więcej tak: ja jestem osobiście niewinny, ale do nich, do wrogów, wolno stosować wszelkie metody. Lekcja śledztwa, lekcja celi nie

Ileż to wojen prowadziła Rosja (lepiej byłoby – nieco mniej), a czy wielu zdrajców miała w ciągu tych wszystkich wojen? Czy stwierdził ktokolwiek, by duch zdrady gnieździł się w sercu żołnierza rosyjskiego? Ale oto – po zbudowaniu najsprawiedliwszego w świecie ustroju zaczęła się najsprawiedliwsza z wojen – i nagle te miliony zdrajców, wywodzących się z najgłębszych pokładów społecznych, z prostego ludu. Jak to zrozumieć? Jak objaśnić?

Obok nas walczyła z Hitlerem kapitalistyczna Anglia, kraj, w którym nędza i cierpienia klasy robotniczej opisane zostały tak wymownie przez Marksa – i dlaczegoż to podczas tej wojny znalazł się wśród nich tylko jeden zdrajca, kupczyk „lord Hau-Hau”? U nas zaś miliony?

Aż strach otworzyć usta. A może wszystko zależy od ustroju państwa?...

Już pewne stare nasze przysłowie usprawiedliwiało pójście do niewoli: „Jeńiec choć głos poda, a zabity milczy”. Za cara Aleksego Michajłowicza, kto wycierpiał jarzmo niewoli, ten mógł dostać szlachectwo! Wymienić swoich jeńców, przygarnąć ich i otoczyć ciepłem – było sprawą publicznej troski podczas WSZYSTKICH wojen, które później nastąpiły. Każda ucieczka z niewoli sławiona była jako akt najwyższej odwagi. Przez całą pierwszą wojnę światową trwała w Rosji zbiórka na pomoc dla naszych jeńców, nasze siostry miłosierdzia przepuszczane były przez front, do Niemiec, do naszych jeńców i gazety w każdym numerze przypominały czytelnikom, że ich rodacy cierpią w okrutnej niewoli. Wszystkie narody Zachodu robiły to samo także podczas tej wojny: paczki, listy, pomoc wszelkiego rodzaju swobodnie płynęła poprzez kraje neutralne. Jeńcy z armii zachodnich nie poniżali się do wylizywania niemieckich kotłów, z niemiecką strażą rozmawiali wyniośle. Zachodnie rządy zaliczały swoim znajdującym się w niewoli żołnierzom i staż służbowy, i regularne awanse, i nawet zaległy żołd.

Jedynie żołnierz jedynej w świecie Czerwonej Armii nigdy się nie poddaje! – tak napisane było w regulaminie („Jewan plen nicht” – tak krzyczeli Niemcy ze swoich okopów) – ale kto mógł sobie wyobrazić cały sens tego?! Jest wojna, jest śmierć – a niewoli nie ma! – to dopiero odkrycie! To znaczy: idź na pewną śmierć, my za to jeszcze pożyjemy. Ale jeśli nawet stracisz nogi, pójdziesz do niewoli i wrócisz z niej na szczudłach (Iwanów z Leningradu, dowódca plutonu karabinów maszynowych podczas wojny fińskiej, później – więzień Ust’wymłagu) – to też cię oddamy pod sąd.

Jedynie nasz żołnierz, odtrącany przez własny kraj, najbardziej godny pogardy w oczach wrogów i sojuszników, marzył o świńskiej lurze, dostarczanej ze ścieków Trzeciej Rzeszy. Jedynie przed nim zamknięte były na głucho drzwi, gdy chciał wrócić do domu, chociaż młode dusze starały się nie wierzyć temu: jakiś tam artykuł 58–1–b i podczas wojny nie ma na jego mocy mniejszej kary niż rozstrzelanie! Za to, że żołnierz nie chciał zginąć z niemieckiej ręki, ma teraz, po powrocie z niewoli, zginąć z ręki sowieckiej! Innym – obcy dogodzą, nam – swoi.

(Zresztą – to naiwna motywacja: za to. W żadnej epoce historii rządy nie były grupami moralistów. Nigdy nie więziły i nie skazywały na śmierć ludzi za coś. Więziły i zabijały po to, żeby się odechciało Wszystkich tych jeńców wsadzono, rzecz jasna, nie za zdradę kraju, bowiem nawet durnie zdawali sobie sprawę, że tylko

własowców można sądzić za zdradę. Wsadzono tych wszystkich po to, żeby im się odechciało wspominać Europę w rodzinnej okolicy. Co z oczu, to i z serca...).

Tak więc, jakież to drogi wyjścia mieli rosyjscy jeńcy? Zgodną z prawem – tylko jedną: paść i pozwolić się rozdeptać. Każda trawka kruchym swoim źdźbłem stara się wybić ku górze, aby żyć. A ty – leż i daj się strącić. Mniejsza, że po czasie – umrzyj teraz, skoroś nie mógł zginąć na polu walki, to przynajmniej nie będą cię sądzić.

*Śpią żołnierze. Swoje rzekli.
Już na wieki mają rację.*¹³²

Wszystkie zaś, wszystkie inne drogi, jakie mógłbyś wytyczyć w zdesperowanej wyobraźni – wszystkie one prowadzą do konfliktu z Prawem.

Ucieczka do kraju – przez druty obozowe, przez pół Niemiec, potem przez Polskę, albo przez Bałkany – prowadziła prosto do SMIERSZ-a i na ławę oskarżonych: jak to, udało ci się uciec, gdy inni nie mogli? Coś tu nie gra! Gadaj, gadzie, z jakim zleceniem cię tu przystali? (Michał Burnacew,

Paweł Bondarenko i tyłu, tyłu innych).¹³³

Ucieczka do zachodnich partyzantów, do oddziałów Ruchu Oporu tylko odsuwa chwilę, gdy miałeś stanąć przed sądem i otrzymać godziwą karę; ale ona też czyniła z ciebie element jeszcze bardziej niebezpieczny: żyjąc na swobodzie wśród Europejczyków mogłeś zarazić się od nich szkodliwymi nastrojami. Jeżeliś ponadto nie bał się uciekać, a później – walczyć, to jesteś widać człowiekiem zdecydowanym, a więc podwójnie niebezpiecznym dla kraju.

Starać się przetrwać w obozie kosztem swoich rodaków i towarzyszy? Stać się obozowym policjantem, nadzorcą, pomocnikiem Niemców i śmierci? Stalinowskie prawo nie karało za to surowiej, niż za udział w siłach Ruchu Oporu – ten sam artykuł, ten sam wymiar kary (i można domyśleć się przyczyny: taki człowiek jest mniej niebezpieczny!) Ale prawo moralne, niewiadomym sposobem nam zaszczone, zabraniało tej drogi wszystkim, prócz nikczemników.

Odrzucając te cztery skrajne wyjścia, nierealne, albo nie do przyjęcia, miało się jeszcze piąte: czekać na werbowników, czekać, czy cię gdzieś nie wezmą.

¹³² A. Twardowski: Wasyli Tiorkin.

¹³³ W naszej krytyce pisze się z nawyku, że Szolochow w swoim nieśmiertelnym opowiadaniu Los człowieka dał wyraz „gorzkiej prawdzie” „o tej stronie naszego życia”, że dokonał „odkrycia problemu”. Musimy stwierdzić, że w tym – na ogół bardzo słabym - opowiadaniu, gdzie stronice poświęcone wojnie są blade i nieprzekonywujące (autor najwidoczniej nie widział z bliska ostatniej wojny), gdzie portrety Niemców są anegdotycznie standardowe i kiczowate (i tylko żona bohatera jest postacią udaną, ale to wykupana chrześcijanka z powieści Dostojewskiego) – otóż w tym opowiadaniu o losie jeńca – PRAWDZIWIY PROBLEM JEST UKRYTY LUB SFALSZOWANY.

1) Wybrany został najbardziej niesprzeczny z istniejącym prawem wypadek – bohater traci przytomność, przez co sprawa staje się bezkonfliktowa i cała ostrość jej zostaje pominięta (A jeśliby poszedł do niewoli bez utraty zmysłów, jak to było w większości wypadków – to co wtedy?).

2) Za najważniejszy problem uznaje autor nie to, że ojczyzna nas zostawiła na łasce losu, że wyrzekła się i przeklęła (o tym w ogóle Szolochow nawet się nie zająknął) a – to tylko, że tam pośród naszych byli również zdrajcy. (Ale jeśli to ma być najważniejsze, to poskrob lepiej, człowieku, i postaraj się wyjaśnić, skąd wzięli się oni w ćwierć stulecia po rewolucji, mającej poparcie całego ludu?).

3) Wymyślony został fantastyczno-sensacyjny sposób ucieczki z obozu, z kupą okoliczności specjalnie naciąganych po to, by ominąć obowiązkową, nieuchronną procedurę powitania wracających z niewoli: SMIERSZ – Obóz Kontrolno-Filtracyjny. Sokołowa nie tylko nie pakują za druty, jak każe instrukcja, ale – to ci heca! – pułkownik daje mu jeszcze miesiąc urlopu! (to znaczy – możliwość swobodnego wykonania zleceń faszystowskiego wywiadu? No to pułkownika też zaraz tamże wtarabanić!).

Czasami na szczęście, przyjeżdżali pełnomocnicy z okręgów rolniczych i werbowali parobków do bauerów. albo z różnych firm – i wyławiali sobie inżynierów i robotników. Stalinowski, najwyższy imperatyw nakazywał także tutaj zaprzeczyć swojego inżynierskiego fachu, ukryć, że jesteś wykwalifikowanym robotnikiem. Jako konstruktor czy elektryk – mogłeś zachować patriotyczną czystość tylko wtedy, gdy godziłeś się zostać w łagrze, żeby kopać ziemię, gnić żywcem i grzebać w śmietniku. W takim wypadku, za normalną zdradę kraju z dumnie podniesioną głową mogłeś dostać dziesięć lat i pięć kagańca.¹³⁴ Natomiast za zdradę kraju, obciążoną pracą na rzecz wroga, przy tym jeszcze – w swoim fachu – spadała na twoją pochyloną głowę kara dziesięciu lat z dodatkiem pięciu lat kagańca!

Była to właśnie ta jubilerska subtelność hipopotama, którą Stalin tak się odznaczał!

Czasem przyjeżdżali werbownicy zupełnie innego rodzaju – Rosjanie, zwykle niedawni czerwoni politrucy; białogwardziści do tej roboty się nie brali. Werbownicy zwotywali w obozie wiec, obrzucali wymysłami władzę sowiecką – i wzywali do zapisywania się do szkół szpiegowskich albo do oddziałów własowskich.

Kto nie głodował tak jak nasi jeńcy, nie żart nietoperzy przylatujących do obozu, nie warzył sobie polewki ze starych zelówek, ten chyba nie zrozumie, jak niesłychanej, materialnej mocy nabiera każdy apel, każdy argument, jeśli wspiera go dymiąca za bramą obozu kuchnia polowa, i gdy każdy zgłaszający się karmiony jest natychmiast do syta kaszą – choćby raz! choćby jeszcze tylko ten jeden raz w życiu!

Ale prócz parującej kaszy w apelach werbownika był jeszcze miraż wolności i prawdziwego życia, i mniejsza o to, dokąd ludzi werbował! Do batalionów Własowa. Do kozackich pułków Krasnowa. Do batalionów pracy, betonujących przyszły Wał Atlantycki. Na fiordy Norwegii. Na pustynie Libii. Do „Hiwi” – Hilfswillige – na dobrowolnych pomocników Wehrmachtu (12 Hiwi było w każdej niemieckiej kompanii). Wreszcie – do oddziałów wiejskich policajów, żeby ścigać i wytapywać partyzantów (wielu z tych ostatnich również Ojczyzna się wyrzeknie). Dokądkolwiek bądź, gdziekolwiek zechcą – byleby tylko nie zdychać tu jak poniecane bydło.

Człowieka, którego doprowadziliśmy do tego, że musi żreć nietoperze – myśmamy sami zwolnili z wszelkich zobowiązań, nie tylko wobec ojczyzny, lecz także wobec Ludzkości!

I ci nasi chłopcy, którzy z obozów jenieckich szli na zew werbownika, żeby zostać tymczasowymi szpiegami, jeszcze nie wyciągali skrajnych wniosków ze swego opuszczenia, jeszcze postępowali z maksymalnym patriotyzmem. Widzieli w tym najprostszy sposób wyrwania się z obozu. Wszyscy – prawie bez wyjątku – wyobrażali sobie, że gdy tylko Niemcy przerzucą ich na sowiecką stronę – będą mogli natychmiast zameldować się u swoich władz, przekazać swoje aparaty i instrukcje, razem z dobrodusznym dowództwem pośmiać się nad głupimi Niemcami, wdziąć sowieckie mundury i żwawo wrócić do bojowych szeregów. Powiedzieć – CZY PO LUDZKU MOŻNA BYŁO SPODZIEWAĆ SIĘ CZEGO INNEGO?

To byli prości chłopcy, wielu z nich widziałem – o pocziwych, krągłych twarzach, mówiący miłą wiacką albo włodzimirską gwarą. Dziarsko szli na szpiegowskie kursy, mając za sobą po cztery – pięć klas wiejskiej szkoły i żadnego doświadczenia z busolą i mapami.

¹³⁴ Pozbawienie praw.

Tak oto i tylko tak wyobrażali sobie oni swoją drogę wyjścia. Jak zatem głupie i kosztowne dla niemieckiego dowództwa było to całe przedsięwzięcie. A jednak – nie! Hitler wiedział w jaką kartę wyjść znając swego brata – samoderżcę! Szpiegomania była jednym z naczelných rysów stalinowskiego obłędu. Stalinowi wydawało się, że jego kraj roi się od szpiegów. Wszyscy Chińczycy, mieszkający na Dalekim Wschodzie dostali szpiegowski paragraf 58–6 i wtrąceni zostali do północnych obozów na rychłe wymarcie. Ten sam los czekał Chińczyków – uczestników wojny domowej, jeśli nie zdolali zawczasu umknąć. Kilkaset tysięcy Koreańczyków zesłano do Kazachstanu, bo też byli o to samo podejrzani. Każdy obywatel sowiecki, który kiedykolwiek był za granicą, który zwolnił kroku przechodząc obok hotelu „Inturist”, który uwieczniony został na fotografii obok cudzoziemca, albo sam sfotografował jakiś budynek miejski (Złote Wrota w mieście Władimir) – oskarżany bywał o to samo. Kto za długo się gapił na tory kolejowe, na wiadukt, na komin fabryczny – oskarżany był o to samo. Wszyscy, tak liczni, komuniści zagraniczni, którzy zasiedzieli się w Związku Sowieckim, wszyscy wybitniejsi i pomniejsi kominternowcy, bez wyjątku, bez różnic indywidualnych – oskarżani byli przede wszystkim o szpiegostwo.¹³⁵

I strzelcom łotewskim, najwierniejszym bagnietom pierwszych lat rewolucji – wsadzonym pod rząd w 1937 roku, też zarzucano szpiegostwo! Stalin jakby odwrócił i zwielokrotnił słynną dewizę kokietki Katarzyny: wołał zgnoić dziewięćuset dziewięćdziesięciu dziewięciu, niż przeoczyć choćby jednego prawdziwego szpiega. Jak więc można było zaufać rosyjskim żołnierzom, którzy naprawdę byli w rękach niemieckiego wywiadu?! I co to za ulga dla oprawców z MGB, że ci, walący tysiącami z Europy żołnierze, wcale nie ukrywają, iż są dobrowolnie zwerbowanymi szpiegami! Co za uderzające potwierdzenia diagnozy Mędrca nad Mędrcami! Tuście nam, tuście nam, durnie! Paragraf i nagrodę już dawno dla was mamy!

Ale tu czas zapytać: czy byli tacy, którzy nie poszli jednak na żaden lep; i nigdzie u Niemców nie pracowali w swoim fachu; i nie byli obozowymi ordenerami; i całą wojnę przesiedzieli w obozie jeńców, nie wytykając nosa – a jednak nie zmarli, choć to prawie nie do wiary?! Na przykład – majstrując zapalniczki z odpadków metalowych, jak inżynierowie–elektrycy, Mikołaj Andriejewicz Siemionow i Fiodor Fiodorowicz Karpow, którzy w ten sposób sobie dorabiali. Czyżby nawet im Ojczyzna nie wybaczyła pójścia do niewoli?

Otóż nie, nie wybaczyła! Zarówno z Siemionowem jak i z Karpowem poznaliśmy się w Butyrkach, kiedy już dostali oni swoje regularne... ile? domyślny czytelnik już wie: dziesięć plus pięć kagańca. Będąc błyskotliwymi fachowcami ODRZUCILI oni jednak niemieckie propozycje, by pracować w swojej dziedzinie. A w 41. roku młody lejtnant Siemionow poszedł na front OCHOTNICZO. A w 42. roku miał jeszcze u pasa pustą pochwę zamiast pistoletu (śledczy nie mógł zrozumieć, dlaczego Siemionow nie zastrzelił się z tej kabury). A z niewoli uciekał on TRZYKROTNIE. A w 45. roku, po wyzwoleniu z obozu koncentracyjnego, postano go do karnej kompanii, wsadzono na skorupę czołgu (desant czołgowy), wziął w ten sposób udział w SZTURMIE BERLINA, otrzymał order CZERWONEJ GWIAZDY i dopiero wtedy został ostatecznie wzięty pod klucz i dostał wyrok. Oto jest zwierciadło naszej Nemezis.

¹³⁵ Józef Tito ledwie uniknął tego losu. A Popów i Tanew, bohaterowie procesu lipskiego, oskarżeni wespół z Dymitrowem też złapali po wyroku. Dla samego Dymitrowa Stalin przewidział inny kres.

Mało który z naszych jeńców przekroczył sowiecką granicę jako wolny człowiek, a jeśli w rozgardiaszu zdołał się prześliznąć, to wzięty był później – choćby w latach 1946–47. Jednych brano na punktach spędu w Niemczech. Innych jakby nie zamykano od razu, ale od granicy byli oni już więzieni w towarowych wagonach pod konwojem – do jednego z licznych, rozrzuconych po całym kraju Obozów Kontrolno-Filtracyjnych. Obozy te niczym nie różniły się od zwykłych, chyba tym, że ich mieszkańcy jeszcze nie mieli wyroków i powinni byli otrzymać dopiero w obozie. Wszystkie te obozy mieściły się też przy jakimś zakładzie produkcyjnym – przy fabryce, kopalni, budowie – i byli jeńcy, oglądający kraj przez takie same druty, przez jakie oglądali Niemcy, od pierwszego dnia mogli włączyć się w 10-godzinny dzień pracy. Po fajrancie – wieczorami i nocami – poddanych kontroli żołnierzy przesłuchiowano i po to w każdym obozie była bardzo znaczna liczba oficerów operacyjnych i śledczych. Jak zwykle śledztwo zaczynało się od twierdzenia, że na pewno jesteś winien. Ty zaś, nie wychodząc za druty, powinienes być wykazać, że nie jesteś winien. Mogłeś w tym celu jedynie powoływać się na świadków – innych jeńców, ci zaś mogli być wcale nie w tym samym obozie, tylko za siódmą górą – i oto agenci operacyjni z Kemerowa posyłali kwestionariusze agentom z Solikamska, ci badali świadków – posyłali odpowiedzi i nowe pytania, po czym byłeś znów przesłuchiwany – z kolei jako świadek. Wprawdzie na wyjaśnieniach mijał rok, czy dwa – ale przecież kraj nie tracił na tym nic: toć co dzień wydobywałeś swoją porcję węgla. I jeżeli ktoś ze świadków złożył na twój temat jakieś niewyraźne zeznanie albo jeśli twoi świadkowie już umarli – to mogłeś mieć pretensje tylko do siebie samego tu już trafiłeś do rubryki zdrajców kraju i sesja wyjazdowa trybunału wrzepiała ci twoją dychę. Jeśli zaś w żaden sposób nie udawało się zaprzeczyć, żeś jednak Niemcom tak jakby nie pomagał, a co najważniejsze – nie zdążyłeś zobaczyć na oczy Amerykan i Anglików (jeśli zostałeś wyzwolony nie przez nas, tylko przez NICH – była to okoliczność bardzo obciążająca) – wówczas oficerowie operacyjni decydowali, jaki stopień izolacji ci się należy. Niektórym nakazywano zmianę miejsca zamieszkania (to zawsze burzy kontakty danego osobnika z jego otoczeniem, czyni go mniej odpornym). Innym wspaniałomyślnie proponowali pracę w WOCHR, to znaczy w zmilitaryzowanej ochronie obozów: zachowując formalnie wolność, człowiek traci jednak swobodę ruchów i osiedla się w głuszy. Trzecim zaś ściskali prawicę i – chociaż za samo pójście do niewoli taki człowiek właściwie zasługiwał na rozstrzelanie – humanitarnie pozwalali mu jechać do domu. Ale taki jeden cieszy się trochę za wcześniej! Wyprzedzając jego własny przyjazd, tajnymi kanałami specoddziałów poleciało już jego dossier do ojczystego grodu. Tacy ludzie i tak na zawsze już zaliczeni byli do n i e naszych i przy okazji najbliższej fali masowych aresztowań, na przykład w latach 48–49, szli pod klucz, choćby na mocy paragrafu o agitacji, albo jakiegoś innego odpowiedniego; siedziałem również z takimi.

„Ech, gdybym to ja wiedział!...” – to była najpopularniejsza piosenka cel więziennych tej wiosny. Gdybym to ja wiedział, że tak będę powitany! Że tak mnie oszukają! Że taki los mnie czeka! – czy w ogóle wracałbym do kraju? Za nic! Przedarłbym się do Szwajcarii, do Francji! Uciekłbym za morze! za trzy oceany!¹³⁶

¹³⁶ 7 Zresztą, gdy jeńcy wiedzieli, też postępowali często tak samo. Wasyli Aleksandrów znalazł się w niewoli w Finlandii. Odnalazł go tam pewien stary petersburski kupiec, sprawdził grzecznie personalia i powiedział: „Ojculkowi pańskiemu winien byłem od 1917 roku znaczną sumę, nie miałem jakoś okazji do zwrotu. Raczy więc pan ją podjąć!” Stary dług – to jakby znalezienie! Aleksandrów po wojnie znalazł sobie miejsce w kołach rosyjskiej emigracji, tam też wyszukał narzeczoną, którą pokochał

Co roztrośniejsi korygowali: omyłka popełniona została wcześniej! Nie trzeba było w 41. roku pchać się na pierwszą linię. Gdyby człowiek wiedział, to by w domu siedział.

Trzeba było urządzić się na tyłach od samego początku, byłby spokój, teraz oni są bohaterami. A już najlepiej, powiadali, było zostać dezterem: i skóra cała, to już gwarantowane, i dychy im nie dają, tylko osiem, siedem lat, a w obozie żadnej funkcji człowiekowi nie odmówią – dezter to przecież nie wróg, nie zdrajca, nie polityczny, to swój człowiek, pospolita k. Odpowiadano im zapalczywie, że za to dezterzy będą musieli wszystkie te lata odsiedzieć i zgnieć w obozie, bo nikt im nie wybaczy. A dla nas – amnestia niedługo będzie, wszystkich nas wypuszczą. (Nie znali wtedy jeszcze głównego dezterskiego przywileju!...).

Ci zaś, którzy wpadli z tego samego 10 paragrafu, więzi z własnego mieszkania, albo z szeregów armii – ci często–gęsto nawet zazdrościli: diabli wiedzą! za te same pieniądze (takie same dziesięć lat) ileż te chłopaki ciekawych rzeczy widziały, gdzie ich tylko nie było! A my tak już zdechniemy w obozie, nie zobaczymy nic, prócz swoich śmierdzących schodów. (Zresztą, ci z artykułu 58–10 ledwie ukrywali swoje radosne przecucie, że właśnie oni zostaną amnestionowani wcześniej niż wszyscy inni!).

Nie wzdychali „ech, gdybym to ja wiedział” (bo wiedzieli, na co idą), nie czekali ani zmiłowania, ani amnestii – tylko własowcy.

*

Długo już przed naszym nieoczekiwanym spotkaniem na więziennych narach wiedziałem coś o nich, nie mogąc ich zrozumieć.

Na początku to były zmoczone wiele razy słotą i wiele razy wysuszone słoncem ulotki, zawieruszone w wysokich, trzeci rok niekoszonych trawach przyfrontowego pasa pod Orłem. Na ulotkach było zdjęcie generała Własowa i jego biografia. Nieostra fotografia przedstawiała facjatę na oko sytą i pewną siebie, jak u wszystkich naszych generałów nowej formacji (prawda wyglądała inaczej: Własow był wysoki i szczupły, a na lepszych fotografiach można było dostrzec, że wygląda raczej na chłopskiego syna, który bywał już w szkołach i kupił sobie rogowy okulary.) Z biografii mogło wynikać, że ta pewność siebie miała jakieś przyczyny: w latach, gdy szalała epidemia aresztów, Własow służył jako doradca wojskowy u Czang Kaj-szeka. Ale czy w ogóle można było wierzyć jakimukolwiek zdaniu tej ulotki?

Andriej Andriejewicz Własow urodził się w 1900 roku w rodzinie chłopa z gubernii Niżegorodkiej. Dzięki pomocy brata, wiejskiego nauczyciela, zdołał skończyć niższe seminarium duchowne w Niżnym Nowgorodzie, ale wyższego już nie skończył, zaczęła się bowiem rewolucja. Wiosną 1919 roku powołany zostaje do Czerwonej Armii, pod koniec tegoż roku był już dowódcą plutonu na froncie denikinowskim, a gdy skończyła się wojna domowa, był dowódcą kompanii i został w szeregach. W 1928 roku ukończył kursy „Wystrzał” i przeniesiony został do roboty w sztabie. W 1930 wstąpił do WKP(b), co otworzyło mu drogę do dalszej kariery. W 1938, już jako dowódca pułku, wysłany został do Chin

naprawdę. Przyszły teść dał mu w celach pedagogicznych do przeczytania roczniki Prawdy od 1918 do 1941 roku, bez skreśleń, jak leci. Jednocześnie opowiadał mu historię potoków, mniej więcej tak, jak tu, w rozdziale 2. A jednak... Aleksandrow cisnął w diabły i narzeczoną, i majątek, wrócił do ZSSR i dostał, jak nietrudno zgadnąć, dychę i piątkę na przytarcie rogów. W 1953 roku w Obozie Specjalnym był szczęśliwy, mogąc zacząć się jako brygadier...

w charakterze doradcy wojskowego. Nie związany, jak widać, z wyższymi kręgami partyjnymi i sztabowymi, siłą rzeczy znalazł się w tym stalinowskim „drugim rzucie”, który miał zastąpić wyrżniętych komandarmów, komdywów i kombrygów. W 1939 roku dostał dywizję, a w 1940, przy pierwszych nominacjach na „nowe” (stare) stopnie wojskowe, dostał rangę generała-majora. Z dalszego biegu wydarzeń zdaje się wynikać, że wśród generałów nowego rzutu, w znacznej części tępych i niedoświadczonych, Własow okazał się jednym z najzdolniejszych. Jego 99 dywizja strzelecka, znana dawniej jako najgorzej wyszkolona w całej Armii Czerwonej, wkrótce została przykładnie odznaczona orderem „Czerwonej Gwiazdy”, a na początku wojny nie została zaskoczona znienacka przez napad hitlerowski, przeciwnie: podczas gdy trwał nasz generalny odwrót na wschód, dywizja ta posunęła się na zachód, odbiła Przemyśl i sześć dni go broniła. Szybko przeskoczywszy stanowisko dowódcy korpusu, Własow pod Kijowem, w 1941 roku, dowodził już 37 Armią. Z ogromnego worka kijowskiego wyrwał się na czele dużego oddziału. W listopadzie dostał od Stalina 20 Armię, włączył się z punktu do bitwy na zachód od podmoskiewskiej miejscowości Chimki, kontratakując doszedł do Rżewa i stał się jednym z tych, co uratowali Moskwę. (W komunikacie Sowinform-biura z 12 grudnia kolejność nazwisk generalskich jest następująca: Żuków, Leluszenko, Kuzniecowa, Własow, Rokossowski...). Z typową dla tych miesięcy szybkością zdążył zostać zastępcą dowódcy frontu Wołchowskiego (Miereckowa) w marcu zaś, kiedy nasz sztab lekkomyślnie dopuścił do odcięcia 2 Armii Szturmowej, starającej się przełamać blokadę oblężonego Leningradu, Własow objął jej dowództwo, gdy cała ta grupa była już w „worku”. Ostatnie zimowe szlaki nie ustąpiły jeszcze miejsca roztopom, ale Stalin ...zabronił cofania się; przeciwnie, pchał do natarcia armię (która zapędziła się niebezpiecznie w głąb nieprzyjacielskich pozycji), do natarcia po rozkiszłych moczarach, bez zaopatrzenia, bez dostaw broni, bez pomocy lotniczej. Po dwumiesięcznym głodzie i morze (żołnierze tej armii opowiadali mi potem w butyrskich celach, że zdechłym, gnijącym już koniom zestrugiwali kopyta, gotowali te rogowe wióry i tym się żywili) – 14 maja 1942 zaczęło się niemieckie natarcie koncentryczne przeciw otoczonej armii. A w powietrzu, ma się rozumieć, tylko niemieckie samoloty. I dopiero wtedy, jak na urzędzisko, nadszedł rozkaz Stalina, pozwalający na cofnięcie się za rzekę Wołchow. I jeszcze trwały – do początków lipca – te beznadziejne próby przedarcia się.

Tak (powtarzając jakby losy rosyjskiej 2 Armii generała Samsonowa, z podobną bezmyślnością wrzuconej do kotła) zginęła 2 Szturmowa Własowa.

Pewno, że tu była zdrada! Pewno, że było tu okrutne zaprzaństwo ale ze strony Stalina. Zdrada – to niekoniecznie zaprzękanie się za pieniądze. Ignorancja i niechlujstwo w trakcie przygotowań do wojny, niezdarność i tchórzostwo na początku działań, bezmyślne poświęcenie całych armii i korpusów, byle tylko dodać blasku swoim marszałkowskim szlifom – jakiej jeszcze większej zdrady może dopuścić się naczelny dowódca?

W przeciwieństwie do Samsonowa, Własow nie popełnił samobójstwa, tułał się czas jakiś po lasach i bagnach, aby wreszcie pójść do niewoli 12 lipca, w rejonie Siwerskiej. Wkrótce znalazł się w Winnicy, w specjalnym obozie dla wyższych oficerów, zorganizowanym przez hrabiego von Stauffenberga – późniejszego spiskowca, tego, który dokonał zamachu na Hitlera. Opieka opozycyjnych, niemieckich kół wojskowych (nazwiska wielu z tych ludzi znajdujemy wśród uczestników spisku antyhitlerowskiego i na liście skazanych) towarzyszyła Własowowi

w ciągu następnych dwóch lat. Już po kilku pierwszych tygodniach pobytu w niewoli, Własow razem z pułkownikiem Bojarskim, dowódcą 41 dywizji gwardyjskiej, sporządził memorandum; twierdził w nim, że większość sowieckich obywateli i sowieckich wojskowych przyjąłaby z radością obalenie sowieckiej władzy, gdyby tylko Niemcy uznały nową Rosję za pełnoprawnego partnera. (Być może na tak szybką przemianę wpłynęło również osobiste doświadczenie Własowa: rodzice jego żony podlegli „rozkułaczeniu”; córka formalnie ich się wyrzekła, pomagając im tylko ukradkiem.

Teraz zaś i ona, i syn tych dwojga zapłacić musieli za nowy krok generała-jeńca: pewnego dnia zniknęli oboje w czeluściach NKWD).

Trzymając w ręku tę ulotkę trudno było od razu uwierzyć, że to człowiek wybitny, ktoś, kto sterał życie w służbie władzy sowieckiej, a przy tym dawno i głęboko bolał nad losem Rosji. A następne ulotki, zawiadamiające o powstaniu ROA (Russkaja Oswoboditielnaja Armija) nie tylko napisane były fatalną rusczyzną, lecz nadto trąciły obcym zapaszkiem, wyraźnie niemieckim; nie tyle była w nich mowa o samej sprawie, ile o dobrej kaszy i wesołym nastroju panującym wśród żołnierzy. Niosło od tego ordynarną chętnością i nie chciało się wierzyć w istnienie tej armii. Jeżeli rzeczywiście istniała – to jakież mogły w niej być wesołe nastroje?... Tak łgać mógł właśnie tylko Niemiec.

W istocie żadnej ROA nie było prawie do samego końca wojny. Przez wszystkie te lata kilkaset tysięcy ochotniczych pomocników Hilfswillige – rozsianych było po wszystkich niemieckich oddziałach, mając pełny albo tylko częściowy status kombatanta. Istniały także ochotnicze antysowieckie formacje złożone z niedawnych obywateli sowieckich, ale dowodzone przez Niemców. Pierwsi poparli Niemców Litwini (nieźleśmy im dosolili w ciągu jednego roku!). Następnie Ukraińcy zgromadzili całą ochotniczą dywizję SS, a Estończycy – kilka kompanii SS. Na Białej Rusi powstała ludowa milicja dla walki przeciw partyzantom (i osiągnęła stan stu tysięcy bagnetów)! Batalion turkiestański. Tatarski batalion na Krymie. (I to wszystko było plonem posianym przez władzę sowiecką, na przykład na Krymie – gdzie bezmyślnie niszczone meczety, podczas gdy zaborcza, ale dalekowzroczna Katarzyna łożyła z państwowej kasy na ich konstrukcję i rozbudowę. Także hitlerowcy po zdobyciu Krymu mieli dość rozumu, aby bronić Islamu.) Skoro tylko Niemcy zagarnęli nasze południowe prowincje, liczba ochotniczych batalionów jeszcze się zwiększyła: powstał gruziński, ormiański, północnokaukaski i 16 kałmuckich. (A sowieckich partyzantów na tych obszarach Południa prawie że nie było). Podczas odwrotu Niemców znad Donu, wycofał się razem z nimi tabor kozacki liczący około 15 tysięcy ludzi, w tym – połowa zdolnych do noszenia broni. Pod Łokciem (w okręgu Briańskim) w 1941 roku, jeszcze przed wkroczeniem Niemców, ludność miejscowa rozwiązała kołchozy, zaopatrzyła się w broń dla ochrony przed sowieckimi partyzantami, stworzyła istniejący aż do 1943 roku autonomiczny obwód (kierował nim inżynier. K. P. Woskobochnikow) z własną zbrojną brygadą liczącą 20 tysięcy członków, walczącą pod sztandarem ze św. Jerzym Zwycięzcą, która przybrała nazwę RONA – Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armija. Jednakże autentycznej, wszechrosyjskiej armii wyzwolenczej nie zdołano utworzyć, chociaż nie brakło fantazji ani prób jej stworzenia – przez samych Rosjan, wzywających do walki o wyzwolenie swego kraju i przez grupy niemieckich wojskowych średniej rangi i bez wielkich wpływów, ale dobrze widzących, że nie da się wygrać wojny ze Związkiem Sowieckim, prowadząc jednocześnie szaleńczą, hitlerowską politykę za-

ciekłej kolonizacji. Wśród tych wojskowych sporo było Niemców z Inflant i Kurlandii; byli wśród nich również dawni carscy oficerowie, wyjątkowo dobrze znający rosyjską sytuację, jak kapitan Strick-Strickfeldt. Grupa ta próbowała daremnie przekonać hitlerowskie kierownictwo o potrzebie zawarcia niemiecko-rosyjskiego aliansu. W ich fantazji armia miała już swoją nazwę i przyszły statut, i naszywkę z rosyjskim krzyżem św. Andrzeja na rękawie niemieckiego munduru. W osadzie Osintorf pod Orłem, w 1942 roku została stworzona z pomocą kilku rosyjskich emigrantów (Iwanów, Krorhiadi, Igor Sacharow, Grigorij Lamsdorf) tak zwana „Jednostka eksperymentalna” złożona z sowieckich jeńców, uzbrojona w sowiecki sprzęt i nosząca sowieckie mundury, ale z przedrewolucyjnymi epoletami i dawnym bączkiem na czapkach. Formacja ta w końcu 1942 roku składała się z siedmiu tysięcy ludzi, podzielonych na cztery bataliony zdolne do przekształcenia się w pułki; ludzie ci uważali samych siebie za kadrę przyszłej RNNa – Rosyjskiej Narodowej, Ludowej Armii. Ochotników zgłaszało się więcej, niż jednostka ta mogła wchłonąć. Brak było tylko jednego: pewności jutra, bo nikt nie miał zaufania do Niemców; i słusznie. W grudniu 1942 roku jednostka otrzymała nagle rozkaz, który przewidywał, aby każdy batalion oddzielnie wszedł w skład jakichś niemieckich oddziałów, przywdziewając niemieckie mundury. Tej samej nocy trzystu ludzi uciekło do partyzantów.

Jesienią 1942 roku Własow podpisał proklamację o zjednoczeniu wszystkich antybolszewickich formacji – i tej samej jesieni 1942 roku hitlerowski Sztab Generalny odrzucił projekt grupy niższych rangą niemieckich oficerów, wedle którego, Niemcy miały wyrzec się planu kolonizacji Wschodu i zająć się w zamian stworzeniem rosyjskich narodowych sił. Ledwie tedy zdecydował się na feralny wybór, ledwie zrobił pierwszy krok na tej drodze – a już Własow okazał się potrzebny najwyżej, dla propagandy – i tak już było do samego końca. Protegujące go kręgi wojskowe, licząc na to, że fakt dokonany podbuduje ich teorię, postanowiły proklamację „Smoleńskiego Komitetu” rozrzucić nad sowieckim frontem 13 stycznia 1943 roku – a były w niej obietnice wprowadzenia wszelkich demokratycznych swobód, zniesienia kołchozów i pracy przymusowej. (I w tym samym miesiącu, styczniu 43. – zabroniono formowania rosyjskich oddziałów większych niż batalion...) Choć było to zakazane, proklamacja trafiła również do okręgów zajętych już przez Niemców, budząc niepokój i nadzieję. Partyzanci demaskowali niemieckie kłamstwa; nie ma żadnego Smoleńskiego Komitetu i nie ma w ogóle żadnej Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej. Ta inicjatywa pociągnęła, za sobą następną imprezę: agitacyjne rozjazdy Własowa wzdłuż i wszerz okupowanych prowincji (znów na własną rękę, nie zawiadamiając Sztabu i Hitlera; nasza mentalność, kształtowana przez totalny reżym, nie może sobie po prostu wyobrazić takiej samowoli, u nas ani kroku nie można uczynić bez zezwolenia najwyższej władzy, ale nasz system jest nierównie sztywniejszy, niż był nim nawet hitlerowski, bo krzepł wtedy już przez ćwierć wieku, a hitlerowcy usztywniali go dopiero dziesięć lat). W płaszczu własnego kroju, niepodobnym do sortów żadnej armii świata – brunatnej barwy, z czerwonymi generalskimi klapami, bez szamerunków i gwiazd, Własow odbył pierwszą taką podróż w marcu 1943 roku (Smoleńsk – Mohylów – Bobrójsk), drugą zaś w kwietniu (Ryga – Pieczory. – Psków – Gdów – Ługa). Te rozjazdy dodały ducha rosyjskiej ludności, stwarzały wrażenie, że rodzi się niezależny rosyjski ruch, że niezależna Rosja może zmartwychwstać. Własow występował w Smoleńsku i w Pskowie w teatrach pełnych po brzegi, mówił o celach ruchu wyzwolenczego i całkiem

otwarcie twierdził, że dla Rosji narodowy socjalizm jest nie do przyjęcia, ale że bolszewizm nie sposób pokonać bez Niemców. Z tą samą szczerością padały – pytania z sali: czy to prawda, że Niemcy mają zamiar zrobić z Rosji swoją kolonię, a z Rosjan – swoje bydło robocze? dlaczego nikt dotychczas nie powiedział jasno, co będzie z Rosją po wojnie? dlaczego Niemcy nie pozwalają na rosyjski samorząd w okupowanych okręgach? dlaczego ochotnicy walczą ze Stalinem jedynie pod niemieckim dowództwem? Własow formułował odpowiedzi oględnie i kładł w nie więcej optymizmu, niż mógł sobie na to w tej chwili pozwolić. Natomiast niemiecki sztab zareagował rozkazem, podpisanym przez feldmarszałka Keitel'a: „W związku z beczelnymi i bezpodstawnymi wypowiedziami rosyjskiego jeńca, generała Własowa, na jakie pozwolił sobie podczas wyjazdu na teren działań Północnej grupy wojsk, przedsięwziętego bez zgody Führera i mojej, przenieść wyżej wymienionego natychmiast do obozu jeńców”. Nazwiska generała wolno było używać jedynie dla celów propagandowych, gdyby zaś jeszcze raz chciał osobiście zabrać głos – miał być oddany w ręce Gestapo i unieszkodliwiony.

Mijały ostatnie miesiące, w trakcie których miliony sowieckich ludzi znajdowały się jeszcze poza zasięgiem ręki Stalina, wciąż jeszcze mogły chwycić za oręż i walczyć z bolszewicką niewolą, aby urządzić po swojemu własne życie – ale niemieckie kierownictwo działało bez cienia wahań: właśnie 8 czerwca 1943 roku, tuż przed Kursko–Orłowską, decydującą bitwą, Hitler oznajmił raz jeszcze, że rosyjska niezależna armia nigdy nie powstanie i że Rosjanie potrzebni są Niemcom jedynie jako siła robocza. Hitlerowi nie mieściło się w głowie, że jedyna historyczna możliwość obalenia reżymu komunistycznego zależy od wysiłku samej ludności imperium, od zrywu zadręczonego narodu. Takiej Rosji i takiego zwycięstwa Hitler bał się bardziej niż najgorszej klęski. Nawet po Stalingradzie, utraciwszy już Kaukaz, Hitler nie dostrzegł nowych elementów sytuacji. Właśnie wtedy, gdy Stalin coraz zręczniejsze wchodził w rolę pierwszego z obrońców Ojczyzny, przywracał stare rosyjskie epolety, hołubił prawosławną Cerkiew i likwidował Komintern, Hitler, pomagając mu w miarę swoich sił, we wrześniu 1943 roku kazał rozbroić wszystkie ochotnicze oddziały i postać je do kopalni węgla; wkrótce potem rozkaz uległ zmianie: przenieść rosyjskich ochotników na Wał Atlantycki do walki z aliantami.

To już był właściwie koniec wszelkich projektów stworzenia rosyjskiej armii. A co robił Własow? Po części nie zdawał sobie sprawy z fatalnej sytuacji (nie wiedział, że po jego rozjazdach znów jest uważany za jeńca i że los jego wisi na włosku), po części zaś nie rozumiał, że stacza się po równi pochyłej wiodącej od nadziei do kompromisu z Bestią, podczas gdy jedynym ratunkiem przed bestiami Apokalipsy jest nieustępliwość od pierwszej do ostatniej chwili. A zresztą czy ruch wyzwolenczy rosyjskich obywateli przeżył kiedykolwiek taką, chwilę? Od samego początku skazany on był na zagładę, jako jeszcze jedna ofiara rzucona na nieostygły stos 1917 roku. Pierwsza zaś zima wojny 1941/42, gdy zginęło kilka milionów sowieckich jeńców, już ukuła łańcuch z kości tych ofiar; pierwszymi jego ogniwami były kości rezerwistów postanych jeszcze latem bez żadnej broni na front dla ratowania bolszewizmu.

Warto tu porównać Własowa z dowódcą 19 Armii, generał–majorem Michałem Łukinem, który jeszcze w roku 1941 godził się na walkę ze stalinowskim reżymem, żądając jednak gwarancji, że wyzwolona od komunizmu Rosja zachowa niezależność państwową, a gdy takiej gwarancji nie otrzymał, nie ruszył się krokiem z obozu jeńców. Własow zaś wołał nadzieję od gwarancji i chętnie dawał

ucha uspakajającym wywodom swoich doradców. Nieraz chciał już zatrzymać się na tej drodze, cofnąć się, zrezygnować, ale zawsze znajdowały się nowe argumenty: „rozbroją wszystkich ochotników”, jeńcy znajdują się w sytuacji bez wyjścia, „ulegnie pogorszeniu los rosyjskich robotników w Niemczech”. I wzięty w kleszcze tych argumentów, Własow w październiku 1943 roku podpisał list otwarty do ochotników wysyłanych na front Zachodni: że to manewr tymczasowy i że to konieczne...

Tak oto rozproszył się ostatek sensu tego gorzkiego ochotnictwa: Rosjan wysyłano jako mięso Armatnie przeciw aliantom i do walki z francuskim ruchem oporu, a więc do walki z tymi jedynymi, do których Rosjanie w Niemczech czuli sympatię, doświadczwszy już i niemieckiego okrucieństwa, i niemieckiej pychy. Tym samym podkopana została skrywana nadzieja na porozumienie z Anglikami i Amerykanami, którą w głębi duszy żywili współpracownicy Własowa: jeżeli alianci pomagają komunistom, to czy nie będą woleli pomóc demokratycznej i niekomunistycznej Rosji w walce przeciw Hitlerowi?... W momencie krachu Trzeciej Rzeszy, kiedy jasne się stanie sowieckie dążenie, aby narzucić swój ustrój całej Europie i całemu światu – czy Zachód będzie wtedy dalej, popierał bolszewicką dyktaturę? Tędy biegła linia podziału między świadomością rosyjską a zachodnią podziału do dziś dnia nie przewyżczonego. Zachód prowadził wojnę jedynie przeciw Hitlerowi, dlatego uważał za godziwe wszystkie środki i wszystkich sojuszników, a zwłaszcza już Sowiety. Zachód nie tylko nie mógł, ba, Zachód wcale nie chciał (bo to sprawę komplikowało i mąciło) założyć, że ludy ZSSR mogą mieć własne cele, wcale nie zbieżne z celami komunistycznego rządu. Brzmi to tragikomicznie, ale nad pozycjami ochotniczych antysowieckich batalionów, przystanych przez Niemców na zachodni front, alianci rozrzucali proklamacje, w których obiecywali tym, co przejdą na ich stronę, że natychmiast wyślą ich do Związku Sowieckiego!... Dowódcy własowców w swoich rojeniach i nadziejach widzieli siebie jako „trzecią siłę”, to znaczy element niezależny od Stalina i Hitlera, ale zarówno Stalin i Hitler, jak Zachód wybijali im spod nóg te koturny: dla Zachodu byli oni jedynie dziwną kategorią pomocników Hitlera, nie lepszych od innych kolaborantów.

Że Rosjanie naprawdę są po drugiej stronie i że biją się zacieklej od wszystkich esesowców – dowiedzieliśmy się rychło. W lipcu 1943 roku pluton Rosjan w niemieckich mundurach bronił na przykład przysiółka Sobakinskije Wysietki. Walczyli z taką zaciętością, jakby te Wysietki sami zbudowali. Jednego z nich zapędzono do piwnicy, wrzucono tam granaty ręczne, zrobiła się cisza. Ale zaledwie ktoś chciał zejść po niego – znów zaczynał szyc z automatu. Dopiero kiedy ciśnięto do piwnicy granat przeciwczołgowy, można było sprawdzić, co się tam właściwie działo w piwnicy miał on jeszcze jamę i w niej się chował przed wybuchami granatów ręcznych. Trzeba wyobrazić sobie stopień ogłuszenia, kontuzji i beznadziejności, z jakim kontynuował walkę.

Bronili oni na przykład także niezdobytego przyczółka mostowego nad Dnieprem na południe od Turska, gdzie przez dwa tygodnie bito się bez rozstrzygnięcia o kilkaset metrów terenu; i walki i mrozy były lute (grudzień 43. roku). W czasie tych nużących, wielodniowych, zimowych walk i my, i oni nosiliśmy na szynelach i czapkach białe, maskujące drelichy – i pod Małymi Kozłowiczami, jak mi opowiadano, zdarzył się taki wypadek. Przebiegając między sosnami, pogubiło się i zapadło obok siebie w śnieg dwóch żołnierzy, strzelając ciągle, choć nie wiedzieli już dobrze – do kogo i w jakim kierunku. Automaty mieli obaj sowieckie. Dzie-

lą się amunicją, czasem jeden drugiego pochwali, czasem zaklnie, bo smar w automacie zamarza. Nareszcie zacięto się całkiem, doszli do wniosku, że warto popalić, zrzucili z głów białe kaptury – i nagle zobaczyli wtedy orla i gwiazdę na swoich czapkach. Skoczyli na równe nogi! Automaty nie chcą strzelać! Chwycili za lufy i tłukąc nimi, jak kłonicami, zaczęli uganiać się za sobą: to już nie polityka, nie ojczyzna – macierz, to zwyczajny, jaskiniowy strach: ja go oszczędzę, a on mnie tymczasem zabije.

W Prusach Wschodnich, kilka kroków ode mnie prowadzono skrajem szosy trzech wziętych do niewoli własowców, a szosą dudniła sobie trzydziestka czwórka. Nagle jeden z jeńców wyrwał się, skoczył i jaskółką rzucił się pod czołg. Czołg usiłował go wyminąć, ale mimo to przygniótł człowieka skrajem gąsienicy. Przejechany jeszcze się zwił w konwulsjach, czerwona piana wystąpiła mu na wargi. Można go było zrozumieć! Wolał żołnierską śmierć od powieszenia w katowni.

Nie dano im wyboru. Nie mogli bić się inaczej. Nie mieli sposobu, aby tak walczyć, by jakoś bardziej się szczeni. Jeżeli już „czyste” pójście do niewoli uznawane było u nas za niewybaczalny akt zdrady kraju, to co mówić o tych, którzy wzięli broń wroga do ręki? Zachowanie się tych ludzi nasza propaganda ze zwykłym prostactwem objaśniała: 1) zdradzieckim charakterem (biologia? mieli to we krwi?) i 2) tchórzostwem. No, wszystko, tylko nie tchórzostwo! Tchórz rozgląda się za pobłażliwością, litością. Do „własowskich” zaś oddziałów Wehrmachtu mogła tych ludzi zaprowadzić tylko bezgraniczna desperacja, tylko nieugaszona nienawiść do sowieckiego reżymu, tylko pogarda dla własnego bezpieczeństwa. Wiedzieli bowiem, że tu nie mignie nawet cień litości! W naszej niewoli ich rozstrzeliwano, zaledwie tylko z ust jeńca padło pierwsze wyrażenie słowa rosyjskie. Jedną taką grupę, która pod B^ubrujskiem szła do naszej niewoli, zdążyłem jeszcze zatrzymać i ostrzec, żeby przebrali się w cywilne, chłopskie szmaty i rozbiegli po wsiach. W rosyjskiej niewoli, tak samo jak w niemieckiej, najgorzej było Rosjanom.

Ta wojna w ogóle nam uświadomiła, że najgorzej na świecie jest być Rosjaninem.

Wspominam ze wstydem, jak przy penetracji (to znaczy – grabieniu) bobrujskiego kotła, szedłem szosą wśród rozbitych i powywracanych niemieckich samochodów i rozrzuconych dokoła zdobycznych przepychów – i nagle z zapadliny, gdzie ugrzęzły zatopione wozy i auta, brodziły zagubione niemieckie perszerony i dymiły w ogniskach te same zdobyczne cuda – usłyszałem krzyk o pomoc: „Panie kapitanie! Panie kapitanie!” – tak wołał po rosyjsku, wzywając ratunku piechur w niemieckich spodniach, powyżej pasa obnażony, cały już pokrwawiony – na twarzy, piersiach, barkach, plecach – a sierżant ze Specoddziału, jadąc wierzchem, poganiał go przed sobą razami knuta i napieraniem konia. Batożył go po gołym ciele, nie dając mu obrócić głowy, nie pozwalając wzywać ratunku, poganiał go i siekł, aż występowały na skórze coraz nowe czerwone pręgi.

To nie była wojna punicka, ani grecko-perska! Każdy mający władzę oficer każdej armii na świecie miał obowiązek położyć kres bezprawnemu dręczeniu. Każdej, owszem, ale – czy naszej?... Przy srogości i bezwzględności naszych kryteriów podziału ludzi? (Jeżeli nie z nami, jeżeli nie nasz, itd. – to godzien jest tylko pogardy i unicestwienia). Tak więc BAŁEM SIĘ bronić własowca przed sierżantem ze Specoddziału, NIC NIE POWIEDZIAŁEM I NIE UCZYNIŁEM, PRZESZEDŁEM OBOK TAK, JAKBYM NIE SŁYSZAŁ – żeby tylko powszechnie znana zaraza nie przerzuciła się na mnie (a jeżeli ten własowiec to jakiś wyjątkowy łotr?... a jeżeli ten żandarm coś

sobie o mnie pomyśli?... a jeżeli?...). Albo jeszcze prościej – kto zna ówczesne stosunki w armii, niech powie, czy ten podoficer ze Specoddziału postuchałby w ogóle kapitana–liniowca?

I z dzikim wyrazem twarzy żandarm dalej batożył i poganiał bezbronnego człowieka, jak bydłę.

Ten obraz na zawsze został mi w pamięci. To przecież – prawie symbol Archipelagu, można by go dać na okładkę książki.

Wszystko to oni przeczuwali, wiedzieli z góry – a jednak naszywali sobie na lewy rękaw niemieckiego munduru tarczkę z biało–niebiesko–czerwoną wypustką, krzyżem świętego Andrzeja i literami ROA.

Brygada Kamińskiego z Łoktia Briariskiego liczyła pięć pułków piechoty, dywizjon artyleryjski, batalion broni pancernej. Wystąpiła część tych sił na front pod Dmitrowsk – Orłowski w lipcu 1943 roku. Jesienią jeden z jej pułków uparcie bronił Siewska – i został w czasie tej akcji wybity do nogi: sowieccy żołnierze dobijali rannych, a dowódcę pułku przywiązali do czołgu, wlekąc, aż przestał dawać oznaki życia. Ze swojego powiatu brygada wycofała się z rodzinami i taborami; było ich ponad 50 tysięcy ludzi. (Można sobie wyobrazić, jak NKWD przeczesło ten autonomiczny, antysowiecki powiat, gdy zdołało się tam dorwać!) Gdy już porzucili swoje okolice, przyszło gorzkie wędrowanie, poniżający popas pod Lepelem, wykorzystywanie ich oddziałów do walki z partyzantami, potem cofanie się aż na Górny Śląsk, gdzie Kamiński dostał rozkaz wzięcia udziału w tłumieniu powstania warszawskiego. Nie potrafił odmówić wykonania – rozkazu, wybrał spośród swoich bojów 1700 nieżonatych w sowieckich uniformach z żółtymi opaskami i ruszył z nimi na Warszawę. Tak rozumieli Niemcy te wszystkie trójkolorowe odznaki, krzyże św. Andrzeja i św. Jerzego Zwycięzcy. Języki rosyjski i niemiecki były wzajemnie nieprzetłumaczalne, nie miały wspólnych pojęć, nie pasowały do siebie. Bataliony z rozbitej na drobne oddziały jednostki z Osintorfu też zostały pchnięte przeciw partyzantom albo przerzucone na front zachodni. Pod Pskowem (w miejscowości Striemutka) stała na kwaterze w 1943 roku „gwardyjska brygada ROA” w sile kilkuset bagnetów; miała kontakt z okoliczną ludnością rosyjską, ale jej rozrost wstrzymany został przez niemieckie dowództwo.

Żałosne gazetki oddziałów ochotniczych kiereshowane były tasakami niemieckiej cenzury. Własowcom nie zostawało nic, jak tylko mordercza walka, a na popasach – wódka i wódka. Poczucie bliskiej zagłady – oto co było treścią istnienia przez wszystkie lata ich tułaczki, a żadnego wyjścia nie mieli.

Hitler i jego kompania, już w czasie ogólnego odwrotu, już w przededniu katastrofy, wciąż nie mogli przezwyciężyć swojej gruntownej nieufności do koncepcji odrębnych rosyjskich formacji, ani zdecydować się na cień niezależnej, niepodporządkowanej im Rosji. Dopiero wśród łoskotu ostatecznej klęski, we wrześniu 1944 roku, Himmler zgodził się na stworzenie ROA z pełnych rosyjskich dywizji, a nawet z własnym niedużym lotnictwem, w listopadzie zaś 1944 roku zezwolono na spóźnione widowisko: na zwołanie Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji. Dopiero jesienią 1944 generał Własow otrzymał pierwszą szansę działania, niby realną, ale zdecydowanie spóźnioną. Ogłoszona wtedy zasada federacji państwowej też nie przyciągnęła wielu: wypuszczony przez Niemców z więzienia (również w 1944 roku) Ukrainiec Bandera odrzucił sojusz z Własowem; oddziały wojskowe innych narodowości, wyznające separatyzm, widziały we Własowie rosyjskiego imperialistę i nie chciały poddać się jego kontroli; ataman Krasnow również odmówił –

w imieniu Kozaków – i dopiero dziesięć dni przed krachem Niemiec – 28 kwietnia 1945 roku! – Himmler zezwolił na podporządkowanie kozackiego korpusu Własowowi. W hitlerowskim dowództwie trwał już chaos: część dowódców pozwalała kierować rosyjskie jednostki ochotnicze do ROA, inna część przeszkadzała temu. Patrząc realnie, trudno było zresztą każdy taki walczący oddział ściągać z frontu, podobnie jak przymusowych robotników ze Wschodu, pragnących wstąpić do ROA, niełatwo było wyciągać z fabryk na zapleczu. Zresztą Niemcom wcale się nie spieszyło z kierowaniem do armii Własowa nawet jeńców sowieckich, ich maszyna nie była nastawiona na zwalnianie ludzi. Mimo to, w lutym 1941 roku pierwsza dywizja ROA (połowę stanowili uchodźcy z Łoktia) była już sformowana i zaczęta formować się druga. Trudno było przypuścić, aby te dywizje zdążyły jeszcze wejść do walki w sojuszu z Niemcami; starannie dawniej ukrywana, dziś kwitła we własowskim dowództwie nadzieja na konflikt między Sowietami a ich aliantami. Mowa o tym była nawet w memorandum niemieckiego ministerstwa propagandy (luty 1945 rok): „Ruch Własowa nie jest we własnym mniemaniu związany na śmierć i życie z Niemcami, występują w nim silne anglofilskie sympatie i projekty zmiany kursu. Jest to ruch wcale nie narodowo-socjalistyczny i kwestia żydowska w ogóle tam nie jest brana pod uwagę”

Dwuznaczność tej sytuacji znalazła odbicie także w manifestie Komitetu Wyzwolenia, ogłoszonym w Pradze (że niby na słowiańskiej ziemi) 14 listopada 1944 roku. Nie obeszło się bez frazesów o "siłach imperializmu z plutokratami Anglii i USA na czele, których potęga rodzi się z wyzysku innych krajów i ludów" i które „maskują swoje przestępcze cele sloganami o obronie demokracji, kultury i cywilizacji” – ale nie było za to ani jednego słowa hołdu wobec narodowego, socjalizmu, antysemityzmu, czy Wielkich Niemiec. Nazywano jedynie „miłującymi wolność narodami” wszystkich wrogów aliantów, wychwalała się „pomoc Niemiec na zasadach nie przynoszących uszczerbku godności i niezależności naszej ojczyzny” i wyrażało się nadzieję na „honorowy pokój z Niemcami”; honorowy czy nie, ale na pewno nie gorszy od pokoju brzeskiego – zresztą dzięki sytuacji na frontach mógł być lepszy od brzeskiego, a ponadto wszelkie jego korektywy zależałyby od ogólnych warunków pokoju w Europie. W manifestie widoczne było staranie, aby zaprezentować się w charakterze demokratów, federalistów (włącznie z prawem wystąpienia z federacji) i pętała się po nim na chwiejnych nóżkach niezupełnie jeszcze dojrzała, niepewna siebie, zależna od sowieckiego wychowania myśl społeczna: była mowa i o "archaicznym ustroju carskim" i o gospodarczym i kulturalnym zacofaniu dawnej Rosji i o ludowej rewolucji 1917 roku"... Tylko anty-bolszewizm był konsekwentny.

Cały ten jubel zorganizowano w Pradze raczej skromnie – z udziałem przedstawicieli „Protektoratu Czech i Moraw”, to jest niemieckimi urzędnikami trzeciego rzutu. Cały manifest i towarzyszące mu – audycje słyszałem wtedy na froncie przez radio i wrażenie było tylko takie, że jest to spektakl i niewczesny, i bez happy-endu. W świecie zachodnim manifest nie zwrócił na siebie uwagi i ani o jeden włos nie przyczynił się do zrozumienia sprawy, miał za to wielkie powodzenie wśród robotników z OST-u: podobno posypało się mnóstwo podań o przyjęcie do ROA (Sven Steenberg pisze o 300 tysiącach) – i to w ciągu tych beznadziejnych miesięcy, kiedy Niemcy już się waliły, a ci nieszczęśni, zapomniani przez wszystkich sowieccy ludzie mogli przeciw żelaznej lawinie Czerwonej Armii liczyć tylko na siłę swojego wstrętu do bolszewizmu. Jakież plany mogła mieć ta formująca się armia?

Mogła przebić się do Jugosławii, połączyć się tam z Kozakami, z korpusem rosyjskich emigrantów i z czetnikami Michajłowicza, aby bronić Jugosławii przed komunizmem. Ale czy mogło dowództwo niemieckie w najcięższych dla siebie momentach pozwolić, aby na jego zapleczu formowała się bez przeszkód osobna armia rosyjska? Niecierpliwie wysyłali na wschodni front to oddział przeciwczołgowy (I. Sacharowa–Lamsdorfa) aż na Pomorze, to całą pierwszą dywizję nad Odrę. A co Własow na to? Pokornie oddawał; działało prawo raz przyjętej taktyki ustępstw, chociaż oddając jedyną gotową dywizję, pozbawiał sensu plan stworzenia całej armii. Argumenty zawsze znajdowały się pod ręką: „Niemcy nam nie ufają. Pierwsza dywizja przekona ich swoimi akcjami i wtedy formowanie ROA pójdzie szybciej”. Tymczasem szło coraz gorzej. Druga dywizja i brygada rezerwy, razem 20 tysięcy ludzi, aż do samego maja 1945 była jedynie bezbronną chmarą – nie tylko bez artylerii, ale prawie bez karabinów i nawet bez porządných sortów mundurowych. Pierwszą dywizję (16 tysięcy bagnatów) Niemcy posłali na stracone pozycje, na zgubę – i tylko ogólny już rozkład Reichu pozwolił dowódcy dywizji Buniaczenko wyprowadzić ją na własną rękę z pierwszej linii i wbrew oporowi dowództwa niemieckiego przebić się do Czech. (Po drodze uwalniali sowieckich jeńców i ci przyłączali się – „żeby być razem z Rosjanami”). Znaleźli się pod Pragą w początkach maja. Tu wezwali ich na pomoc Czesi, którzy wszczęli w stolicy powstanie 5 maja. Dywizja Buniaczenko 6 maja wdarła się do Pragi i w ostrych walkach 7 maja uratowała powstanie i samo miasto. I jakby na urągowisko, jakby dając atest dalekowzroczności najbardziej nawet krótkowzrocznym Niemcom, pierwsza dywizja własowców swoją pierwszą i ostatnią samodzielną bitwę stoczyła zwycięsko – z Niemcami; cały swój gniew i gorycz, które narosły przeciw Niemcom w ściśniętych przymusem sercach przez te trzy okrutne i bezmyślne lata, zniewoleni Rosjanie wyładowali teraz w ataku na niemiecką załogę. (Czesi witali Rosjan kwiatami, wtedy – rozumieli o co chodzi, ale czy wszyscy aby zapamiętali jacy to Rosjanie uratowali ich miasto? U nas teraz uchodzi za pewnik, że Pragę wyzwoliły sowieckie wojska – i rzeczywiście, na życzenie Stalina Churchill w tamtych dniach wcale się nie spieszył z dostawami broni dla prażan, Amerykanie wstrzymali swój marsz, aby pozwolić Sowietom zająć Pragę, a Józef Smrkowski, owego czasu przywódca praskich komunistów, nie mogąc przewidzieć, co w przyszłości się stanie, wyklinał zdrajców – własowców i chciał być wyzwolony jedynie sowieckimi rękoma).

Przez wszystkie te tygodnie Własow żadnych dowódczych talentów nie przejawia, czuje się zagubiony, tonie w bezwyjściowej desperacji. Nie on kieruje – pierwszą dywizję do Pragi, wystawia drugą i drobniejsze oddziały na pastwę niejasnej sytuacji. Czas mija i nikt nie znajduje sił do wprowadzenia w życie zamiaru połączenia się z Kozakami. Własow odrzuca tylko konsekwentnie możliwość samotnej ucieczki (czekał na niego samolot, miał się schronić w Hiszpanii) i ogarnięty paraliżem woli gra już tylko partię finałową. Jedyna działalność, jakiej poświęca się w ciągu tych ostatnich tygodni – to ekspediowanie tajnych delegacji dla szukania kontaktów z anglo-amerykanami. Inni członkowie sztabu, generałowie Druchin, Meandrow, Bojarskij robią to samo.

Myśleli o tym jedynie, aby teraz, na samym końcu, przydać się aliantom; wtedy ich długie trzymanie łba w niemieckiej pętli otrzyma jaśniejszy sens. Wciąż tliła się – nie, płonęła w nich taka nadzieja: to już koniec wojny, oto nadchodzi chwila, kiedy potężni anglo-amerykanie mogą zażądać od Stalina zmiany polityki

wewnętrznej, oto prą na spotkanie dwie armie – z Zachodu i ze Wschodu, no i zetną się ze sobą nad startym na proch Hitlerem! Toć w takiej chwili Zachód tylko skorzysta, jeżeli nas zachowa przy życiu i użyje do walki? Przecież powinni rozumieć, że bolszewizm to wróg całej ludzkości?

Nie, wcale tego nie rozumieli! Oh, ta zachodnia, demokratyczna tępota: że jak? powiadacie, że jesteście polityczną opozycją? a bo to u was jest opozycja? a czemuż to nigdy nie przejawiała się publicznie? jeżeli wam się Stalin nie podoba – wracajcie do domu i przy okazji pierwszych wyborów wybierzcie kogo innego; o, to będzie uczciwy sposób. A po co było brać broń do ręki – i to jeszcze niemiecką? Nie, teraz mamy obowiązek oddać was Stalinowi, inaczej się nie godzi, zresztą nie możemy psuć sobie stosunków z tak dzielnym sojusznikiem.

W drugiej wojnie światowej Zachód bronił własnej wolności i obronił ją dla siebie, a nas i Europę Wschodnią wepchnął w niewolę, gdzie dna nie widać. Ostatnią próbą ratunku była dla Własowa deklaracja, że dowództwo ROA gotowe jest stanąć przed trybunałem międzynarodowym, i że „wydanie jego armii sowieckim władzom na pewną śmierć sprzeciwia się prawu międzynarodowemu, podobnie zresztą jak ekstradycja działaczy ruchu opozycyjnego”. Nikt tego pisku nawet nie usłyszał, a większość amerykańskich dowódców ze zdziwieniem dowiedziało się o istnieniu jeszcze jakichś tam niesowieckich Rosjan. Zaszeregować ich do sowieckiej gromady było rzeczą naturalną.

ROA nie skapitulowała przed Amerykanami zwyczajnie, lecz błagała, aby przyjąć kapitulację w zamian za jedyną gwarancję: nie wydawania ich Sowietom. I amerykańscy oficerowie średnich rang, nie mający styczności z wielką polityką, czasami naiwnie to obiecywali. (Wszystkie podobne obietnice zostały później złamane, jeńców oszukano.) Ale cała pierwsza dywizja (11 maja pod Pilznem) a także prawie cała druga natknęła się na amerykański zbrojny mur: Amerykanie odmówili wzięcia ich do niewoli, nie pozwolili wejść do swojej zony: w Jaltcie Churchill i Roosevelt podpisali zobowiązanie do obowiązkowej repatriacji wszystkich sowieckich obywateli, zwłaszcza wojskowych, nigdzie przy tym nie była omówiona kwestia zgody na taką repatriację – czy niezgody i przymusu, gdzież bowiem jest jeszcze na ziemi kraj, gdzie jest taka ojczyzna, do której nie chcą wracać dobrowolnie jej synowie? Cała krótkowzroczność Zachodu przejawiała się w tym jałtańskim podpisie.

Amerykanie nie uznali więc kapitulacji, a sowieckie czołgi były już w odległości kilku kilometrów. Alternatywa: albo wdać się w ostatnią bitwę, albo... Buniaczenko i Zwieriew (druga dywizja) wydali zgodne rozporządzenia: żadnej bitwy. (To też przejaw rosyjskiego charakteru: a może jednak?... w końcu to przecież – NASI... Wiele było potem więziennych opowieści o wypadkach takiego poddawania się w zapamiętaniu albo i po pijanemu – naszym). 12 maja dobrze uzbrojona pierwsza dywizja w pełnym komplecie, ukryta w lasach, dostała rozkaz: „Rozejść się!” Przebierali się w cywilne ubrania, odpruwali dystynkcje, palili dokumenty, strzelali sobie w łeb. W nocy zaczęła się obława. Sowieckie wojska zabiły na miejscu i wzięły do niewoli 10 tysięcy ludzi, reszta przedarła się do zony amerykańskiej, ale większa ich część została wydana sowieckim władzom; to samo stało się z ludźmi z drugiej dywizji, z lotnictwa, z oddziałów wydzielonych – Niektórzy spędzili w amerykańskich obozach całe długie miesiące (grupa Meandrowa). Może było w tym amerykańskie niedbalstwo, a może zachęta do ucieczek na własną rękę, ale trzymano ich o głodzie, jak przedtem, u Niemców, i bito,

i szturchano kolbami – ale pilnowano byle jak. Ten i ów więc uciekł, ale większa część – została! Zaufanie do Ameryki? przekonanie, że Amerykanie niezdolni są do zdrady? – dość, że zostali i czekali na swój straszny los, a już ich toczyła i sowiecka agitacja, i epidemia wzajemnych oskarżeń, i depresja. Jedna grupa po drugiej, generałowie, oficerowie, żołnierze w 1945 i 1946 roku wydani zostali sowieckiej władzy dla zakończenia porachunku. (2 sierpnia 1946 roku sowieckie gazety opublikowały komunikat o wyroku Kolegium Wojennego Sądu Najwyższego w sprawie Własowa i jedenastu jego najbliższych współpracowników: kara śmierci przez powieszenie).

W tym samym miesiącu maju 1945 roku, w Austrii, podobnie lojalną operację sojuszniczą (o której ze zwykłą skromnością nic u nas nie pisano) przeprowadziła również Anglia: oddała ona sowieckiemu dowództwu korpus kozacki (40–45 tysięcy szabel), który przedostał się z Jugosławii. Akt ten nosił podstępny charakter i utrzymany był w najlepszych tradycjach angielskiej dyplomacji. Chodzi o to, że Kozacy zdecydowani byli walczyć do upadłego, albo jechać za ocean, choćby do Paragwaju, choćby do Indochin, byle nie dać się wziąć żywcem. Anglicy zapewnili Kozakom najlepsze wojskowe racje żywnościowe, wydali znakomite angielskie sorty mundurowe, obiecali przyjęcie ich we własne szeregi, urządzali już nawet parady. Dlatego żadnego podejrzenia nie wywołała propozycja, aby Kozacy oddali broń pod pretekstem jej unifikacji. 28 maja wszystkich oficerów od esaulów w górę (ponad 2 tysiące ludzi) zaproszono – oddzielnie od żołnierzy – do miasta Judenburg, rzekomo na spotkanie z feldmarszałkiem Alexanderem w sprawie losów korpusu. W czasie drogi oficerowie podstępem zostali otoczeni przez silny konwój (Anglicy bili ich do krwi), następnie kolumna aut, Wioząca Kozaków przeszła pod opiekę sowieckich czołgów, a gdy wjechała do Judenburga, czekały już na nią zgromadzone półkolem więzienne suki, obok których stali już konwojenci z gotowymi spisami. I nawet nie było z czego się zastrzelić czy zasztyletować – całą broń już im skonfiskowano. Kozacy rzucali się z wysokiego wiaduktu na bruk szosy i do rzeki. Większość, wydanych w ten sposób generałów, byli to emigranci porwolutyjni, sojusznicy tych samych Anglików podczas pierwszej wojny światowej. W trakcie wojny domowej w Rosji Anglicy nie zdążyli im podziękować, spłacali więc swój dług teraz. W ciągu następnych dni Anglicy tak samo podstępnie wydali również szeregowych, odsyłając ich pociągami, oplecionymi drutem kolczastym (17 stycznia 1947 roku sowieckie gazety opublikowały komunikat o śmierci na szubienicy kozackich atamanów – Piotra Krasnowa, Szkuro i jeszcze kilku).

Tymczasem w dolinie Drawy, obok miasta Lienz stało obozem (zwał się „Kazaczyj Stan”) 35 tysięcy ludzi, przybyłych z terenu Włoch. Byli tam również Kozacy zdolni do walki, ale też wielu starców, dzieci i bab – i nikt nie chciał wracać nad ojczyście, kozackie rzeki. To jednak nie wzruszyło angielskich serc i nie przyćmiło ich demokratycznego rozsądku. Angielski komendant, major Davies, którego nazwisko z pewnością wejdzie teraz do rosyjskiej przynajmniej historii – gdy trzeba, uprzedzająco grzeczny, a kiedy trzeba, nie wiedzący co to litość – naprzód podstępem usunął oficerów, a potem otwarcie zawiadomił, że 1 czerwca nastąpi przymusowy wyjazd do sowieckiej żony. Tysiące głosów odpowiedziało mu krzykiem: „Nie pójdziemy!” Nad obozem uchodźców pojawiły się czarne flagi, w polowej cerkwi trwało nieustanne nabożeństwo, żywi jeszcze ludzie odprawiali mszę żałobną za własne dusze!... Nadciągnęły angielskie czołgi i wojska. Głośniki nadały rozkaz, aby natychmiast ładować się na ciężarówki. Tłum zaniósł pienia

żałobne, kapłani podnieśli krzyże, młodzi otoczyli kordonem starców, kobiety i dzieci. Anglicy puścili w ruch kolby i pałki, wyrwali z tłumu ludzi i rzucali ich na ciężarówki jak toboły, nie bacząc czy ktoś ranny. Pod naciskiem szukającej ratunku rzeszy załamał się pomost, na którym stali popi, potem poszło w drzazgi ogrodzenie obozu, tłum rzucił się przez most na drugą stronę Drawy, angielskie czołgi przecięły mu drogę; wielu Kozaków całymi rodzinami skakało z mostu do rzeki na pewną zgubę; po całej okolicy angielska jednostka specjalna tropiła zbiegów i strzelała do nich. (Cmentarz zabitych i rozdeptanych obejrzeć sobie można w Lienzu).

W tym samym okresie, tak samo podstępnie i bezlitośnie Anglicy wydali jugosłowiańskim komunistom tysiące wrogów ich reżymu (którzy byli ich sojusznikami w 1941 roku!) – zostali oni bez sądu wystrzelani, zlikwidowani.

W Wielkiej Brytanii, w kraju wolności i niezależnej prasy aż dotąd nikt nie zechciał opowiedzieć o tym akcie zdrady, nikt nie uderzył na alarm.¹³⁷

W swoich krajach ojczystych Roosevelt i Churchill czczeni są jako wcielenie rozumu państwowego. Nas zaś, w trakcie naszych więziennych debat uderzała ich oczywista, systematyczna krótkowzroczność i nawet głupota. Jak mogli oni, ześlizgując się od 41. do 45. roku nie zapewnić sobie żadnych gwarancji niezawisłości Europy Wschodniej? Jak mogli oni za nędzne świecidełko czwórdzielnego Berlina (który miał stać się później dla nich piętą achillesową) oddać wielkie połacie Saksonii i Turyngii? I jaki sens strategiczny i polityczny miało dla nich wydanie w ręce Stalina na pewną śmierć kilkuset tysięcy uzbrojonych sowieckich obywateli, którzy zdecydowani byli za nic się nie poddawać? Powiadają, że tym kosztem chcieli zapewnić sobie udział Stalina w wojnie z Japonią. Mając już w ręku bombę atomową, płacili więc Stalinowi, by raczył tylko okupować Mandżurię, wzmocnić w Chinach pozycję Mao Tse-tunga, a w Korei Kim Ir Sena! Czy to nie ubóstwo myśli politycznej? Gdy potem wypchnięto Mikołajczyka, gdy wykończono Benesza i Massaryka, gdy Berlin był blokowany, gdy płonął i zasnuwał się milczeniem Budapeszt, gdy dymiała się Korea, a konserwatyści brali nogi za pas pod Suezem – czy nawet wtedy ci z nich, którzy odznaczałi się pamięcią, nie przypomnieli sobie choćby epizodu z Kozakami?

Ale to też był zaledwie początek. Przez cały 1946 i 1947 rok wierni Stalinowi zachodni sojusznicy wydawali mu ciągle i bez ustanku sowieckich obywateli na pewną zgubę, wbrew ich woli – zarówno byłych wojskowych, jak zwykłych cywilów, byle tylko mieć już z głowy tę ludzką gmatwaninę. Wysyłano ich ciupasem z Austrii, Niemiec, Włoch, Francji, Danii, Norwegii, Szwecji, z amerykańskich żon okupacyjnych. W angielskich żonach w tych latach istniały obozy koncentracyjne, może i nie lepsze od hitlerowskich. (Przykładem – Wolfsberg w Austrii: kobietom kazano tam ścinać nożyczkami po jednej trawce, każde jedenaście ździebalek okręcać dwunastym i wiązać takie „snopki” przez długie godziny, przy czym wolno im było jedynie schylać się, ale nie kucać.) Że takie rzeczy możliwie są w kręgu brytyjskiej, parlamentarnej tradycji, zmusza do poważnej zadumy nad prawdziwą grubością błonki naszej cywilizacji. Wielu Rosjan przez wiele lat powojennych żyło na Zachodzie na lipnych papierach w ciągłym strachu, że zostaną wysłani do ZSSR i drżąc przed anglosaską administracją tak, jak niegdyś drżeli na

¹³⁷ * Wyjątek stanowić może i powinna książka Józefa Mackiewicza *Kontra* napisana w Wielkiej Brytanii, wydana przez Instytut Literacki w Paryżu w 1957 r. (przyp. tłum.)

myśl o NKWD. Gdzie nie było niebezpieczeństwa deportacji – tam bez żadnych przeszkód buszowali sowieccy agenci, całymi tłumami, bez skrępowań w biały dzień wykradając i porywając żywych ludzi z ulic zachodnich metropolii.

Oprócz pośpiesznie kleconych dywizji Własowa, wiele jeszcze innych rosyjskich oddziałów dalej kisto w głębi niemieckiej armii, w niemieckich uniformach, utrudniających ich identyfikację. Koniec wojny zastał je na różnych odcinkach i nie dla wszystkich był jednakowy.

Kilka dni przed moim aresztowaniem ja też znalazłem się pod ogniem własowców. W otoczonej przez nas wschodniopruskiej kotle byli również Rosjanie. Jednej z nocy w końcu stycznia rosyjska jednostka, chcąc wyrwać się z kotła na zachód, zaatakowała nasze pozycje – bez przygotowania artyleryjskiego, w ciszy. Front nie był ciągły, szybko więc wklinowali się w głąb i wzięli w kleszcze moją wysuniętą baterię, tak, że ledwie zdążyłem ją wycofać ostatecznie, wolną jeszcze drogą. Ale później wróciłem tam znów, żeby odciągnąć w bezpieczne miejsce uszkodzoną ciężarówkę i przed świtem zobaczyłem, jak skupiwszy się na śniegu w białych drelichach maskujących, poderwali się nagle do ataku, runęli z krzykiem „hurra!” na pozycje ogniowe dywizjonu 152 milimetrówek pod Adlig Schwenkitten i obrzucili dwanaście ciężkich dział granatami, nie dając im czasu na jedną choćby salwę. Ścigana przez ich pociski świetlne ostatnia grupka naszych chłopców uciekała trzy kilometry po nieprzetartym śniegu – aż do mostu na rzeczce Pasarge. Tam ich dopiero zatrzymano.

Wkrótce potem zostałem aresztowany – i oto przed samą paradą Zwycięstwa siedzieliśmy teraz wszyscy razem na butyjskich narach, ja dopalałem szluga po nich, a oni – po mnie, i do pary z którymś z nich wynosiłem nieraz sześciowydrowy kibel.

Wielu „własowców” – podobnie jak „tymczasowych szpiegów” byli to ludzie młodzi, urodzeni mniej więcej między 1915 a 1922 rokiem, należeli więc do tego „młodego, niewiadomego plemienia”, które w imieniu Puszkina skwapliwie witał zabiegany Łunaczarski. Większość z nich trafiała do formacji wojskowych z woli takiego samego przypadku, jaki sprawił, że w sąsiednim obozie ich towarzysze stawali się szpiegami – zależało to od tego, jaki werbownik przyjechał.

Werbownicy klarowali – im z drwiną – byłoby to drwiną, gdyby nie było prawdą! – „Stalin się was wyrzekł!”, „Stalin gwizdże na was!”.

Sowiecka sprawiedliwość postawiła ich poza sowieckim prawem wcześniej, niż sami oni poza tym prawem się postavili.

Więc – zapisywali się... Jedni – tylko po to, aby wyrwać się z obozu śmierci. Inni – licząc na to, że będą mogli potem przejść do partyzantów (i przechodzili! i walczyli później jako partyzanci! – ale wedle stalinowskiej miarki, to wcale nie wpływało na złagodzenie wyroku). Jednakże tego i owego nie przestawał dręczyć haniebnym czterdziesty pierwszy rok, zapierająca dech porażka po tylu latach przechwałek; ten i ów zaczął jednak uważać Stalina za głównego winowajcę tych oto nieludzkich obozów. I tacy też zapragnęli powiedzieć coś w swoim imieniu, zdać sprawę ze swego strasznego doświadczenia: że są też częsteczkami Rosji i chcą wpływać na jej przyszłość, a nie być jedynie igraszką, ofiarą cudzych błędów.

Określenie „własowiec” brzmi u nas podobnie do terminu „gnój”, wydaje się, że kala on usta samym już swoim dźwiękiem, dlatego też nikt nie ośmiela się wymówić dwóch-trzech zdań, których podmiotem byłoby to słowo.

Ale historii w ten sposób pisać nie można. Dziś gdy minęło już ćwierć wieku, gdy większość z nich zginęła już w obozach, a pozostali jeszcze przy życiu dogorywają na dalekiej północy, chciałbym, aby te stronicie uprzytomniły czytelnikom, że jest to zjawisko w dziejach właściwie niebywałe: kilkaset tysięcy młodych ludzi,¹³⁸ wielu od dwudziestu do trzydziestu lat, chwyciło za broń przeciw własnej Ojczyźnie w sojuszu z najgorszym jej wrogiem. Że może warto się zastanowić: kóż tu jest bardziej winien – ta młodzież czy siwowłosa Ojczyzna? Że nie sposób objaśnić tego biologiczną skłonnością do zdrady, że tu muszą być jakieś przyczyny o charakterze społecznym.

Bowiem jak powiada stare przysłowie: nie od obroku koń się narowi.

I tak to sobie wyobraźcie: błonia – i uganiają się po nich znarowione, wygłodzone, oszalałe konie.

*

Siedziało jeszcze tej wiosny w celach wielu rosyjskich emigrantów.

Wyglądało to nieomal jak we śnie: powracała zapadła w otchłań historia. Dawno już były dopisane do końca i zatrzaśnięte tomy wojny domowej, wyczerpane jej problemy, uporządkowane według podręcznikowej chronologii wydarzenia.

Działacze białogwardyjscy dawno już zaliczali się nie tyle do naszych współczesnych, ile do zjaw bezpowrotnie minionej przeszłości. Według naszych, sowieckich, pojęć, jeśli rosyjska emigracja – rozproszona w sposób o wiele bardziej radykalny, niż pokolenia Izraela – jeszcze w ogóle wegetowała, to tylko jako gromada taperów w plugawych knajpach, lokajów, praczek, żebraków, morfinistów, kokainistów, schodzących do grobu trupów. Aż do wybuchu wojny 1941 roku żaden ślad w naszych gazetach, w górnej beletrystyce i krytyce artystycznej nie pozwalał domyślać się (a nasi syci mistrzowie nie pomogli nam w orientacji), że Rosyjska Zagranica – jest wielkim światem duchowym, że rozwija się tam filozofia rosyjska, że działa tam Bułhakow, Bierdiajew, Łoskij, że rosyjska sztuka zdobywa świat, że są jeszcze Rachmaninow, Szaliapin, Benoît, Diagilew, Pawiowa, chór kozacki Żarowa, że prowadzi się głębokie badania nad Dostojewskim (w tym okresie całkowicie u nas wyklętym), że publikuje niezwykły pisarz Nabokow–Sirin, że żyje jeszcze Bunin i że coś przecież napisał w ciągu tych lat dwudziestu, że wydawane są pisma literackie, wystawia się sztuki, odbywają się zjazdy ziomkostw, dźwięczy mowa rosyjska, że emigranci nie porzucili obyczaju żenienia się z Rosjankami–emigrantkami, że zaś – rodzenia im dzieci – to znaczy – naszych rówieśników.

Pojęcie o emigrantach, jakie sobie w naszym kraju wyrobiono, było tak fałszywe, że gdyby ktoś przeprowadził masową ankietę: po czyjej stronie byli emigranci w wojnie hiszpańskiej? – wszyscy jednogłośnie by odpowiedzieli: po stronie Franco! W naszym kraju po dziś dzień ludzie nie wiedzą, że znacznie więcej białych emigrantów walczyło po stronie republikanów. We Francji otoczonymi niechęcią, izolowanymi wyjątkami byli Dymitr Mereżkowski i Zinajda Hippis, którzy opowiedzieli się za Hitlerem. W trybie anegdoty – a może nie tylko: sam Denikin chciał wojować z Hitlerem po stronie Związku Sowieckiego i Stalin przez jakiś czas omal czy nie zamierzał ściągnąć go do kraju (nie jako siłę bojową, zapewne, lecz jako

¹³⁸ Tytuł właśnie było obywateli sowieckich w Wehrmachcie – w przedwłasowskich i własowskich formacjach, w kozackich, muzułmańskich, nadbałtyckich i ukraińskich jednostkach i oddziałach.

symbol jedności narodowej) Podobnie jak całemu Zachodowi, tak też rosyjskiej emigracji po 25 latach nie starczało doświadczenia, kontaktu z sowieckim życiem, na tyle, by trzeźwo móc patrzeć na wypadki. Stąd takie objawy emigranckiego zamieszania, jak pytanie: „czy można podać rękę własowcowi?” (jedni – bo „trzeba zawsze być z Rosją”, inni – bo „trzeba zawsze być po stronie demokracji”). Między starą emigracją a nową, posowiecką, wynikło niemało zwad, nieporozumień – i podczas wojny, pod okupacją niemiecką, i później, w obozach alianckich. To prawda, że uformował się ochotniczy, emigrancki korpus strzelecki, który miał ruszyć na front wschodni (15.000 ludzi) – ale Niemcy postali go do walki z Tito; do wojny tam nie doszło, ustaliło się coś w rodzaju neutralnej nieinterwencji. Podczas okupacji Francji bardzo liczni emigranci, starzy i młodzi, wstąpili do Ruchu Oporu, a po wyzwoleniu Paryża – walili hurmą do sowieckiego poselstwa z podaniami o powrót do ojczyzny. Ich hasłem było: Rosja taka, czy inna – byle Rosja! – i tym dowiedli oni, że wcześniej też nie udawali swojej miłości do swego kraju. (W więzieniach lat 45–46 byli niemal szczęśliwi, że te kraty i ci strażnicy, to wszystko swoje, rosyjskie; ze zdziwieniem patrzyli na sowieckich chłopców, skrobiących się w głowę: „na diabłaśmy tu wracali? Bo to nam ciasno było w Europie?”)

Zgodnie z tą samą stalinowską logiką – w myśl której musiał iść do obozu każdy człowiek sowiecki, który był kiedyś za granicą – jakże mogli uniknąć tego losu emigranci? Na Bałkanach, w Europie Centralnej, w Charbinie zamykano ich zaraz po przyjeździe wojsk sowieckich, brano jak swoich z mieszkań i prosto z ulicy. Zabierano chwilowo tylko mężczyzn i to też z początku nie wszystkich, lecz tych, którzy w jakikolwiek sposób zaznaczyli swoją obecność na terenie polityki. (Ich rodziny były później dosyłane etapem, tam, gdzie tradycyjnie, zsyłano Rosjan; niektóre zostały na wolnej stopie w Bułgarii i Czechosłowacji). Tym z Francji dawano obywatelstwo sowieckie z honorami i kwiatami, posyłano z komfortem do starego kraju – i tam dopiero pakowano, gdzie należy. Dłuższa mitręga była za to z emigrantami z Szanghaju – w 45. roku jeszcze tam nie można było ich osiągnąć. Ale przyjechał pełnomocnik rządu Sowieckiego i opublikował Dekret Prezydium Najwyższego Sowietu: amnestia dla wszystkich emigrantów! No, czy można nie wierzyć czemuś takiemu? Toć rząd kłamać nie może! (Czy był rzeczywiście taki dekret, czy nie – Organom w żadnym razie rąk nie wiązał). Szanghajscy Rosjanie dali wyraz swemu zachwytowi. Powiedziano im, że mogą brać tyle i takich rzeczy, ile tylko zechcą (zabrali również samochody, ojczyźnie się przydadzą), wybierać sobie miejsca zamieszkania wedle chęci, i pracować, rzecz oczywista, w każdym fachu. Z Szanghaju odpływali parowcami. Już te statki miały rozmaite losy: na niektórych z nich, z nieznanych powodów, w ogóle nie dawano jeść. Różnie też układały się dzieje tych ludzi, gdy zawinęli już do portu Nachodka (jednego z głównych punktów transportowych GUŁagu). Prawie wszystkich pakowano do wagonów towarowych, jakby już byli więźniami, tyle, że nie było jeszcze prawdziwego konwoju z psami. Niektórych dowożono do jakichś okolic zamieszkanymi, do miast i rzeczywiście pozwalano im na jakieś 2–3 lata spokoju. Innych od razu zawożono tym samym pociągami do obozu, gdzieś na Zawołżu; wyładunek odbywał się w lesie, zrzucano ich z wysokiego nasypu razem z białymi fortepianami i żardynierkami. W latach 48–49 dalekowschodnich reemigrantów, którzy się jeszcze uchowali, wyskrobywano do czysta i wsadzano za kraty.

Gdy byłem dziewięcioletnim chłopcem, chętniej niż powieści Juliusza Verne'a czytywałem granatowe broszurki W. W. Szulgina, sprzedawane wtedy najspó-

kojniej w świecie w każdym kiosku. Był to głos ze świata tak zdecydowanie już skazanego na niebyt, że najdziksza nawet fantazja nie mogła czegoś takiego wymyśleć: upłyne mniej niż dwadzieścia lat, a kroki autora i moje przetną się niewidzialnymi liniami w milczących korytarzach Wielkiej Łubianki. Co prawda jego samego spotkałem nie wówczas, a dopiero dwadzieścia lat później, ale wielu emigrantom starszego i młodszego pokolenia miałem okazję się przyjrzeć wiosną 45. roku.

Z rotmistrzem Borszczem i pułkownikiem Mariuszkinem znalazłem się kiedyś na przeglądzie lekarskim i żaloszny widok ich gołego, pomarszczonego, ciemnożółtego, już nie ciała nawet, ale truchła, wciąż mi jeszcze stoi przed oczyma. Aresztowano ich, gdy byli o krok od grobu, wieziono kilka tysięcy kilometrów – do Moskwy i tutaj, w 1945 roku najpoważniej w świecie przeprowadzano śledztwo w sprawie... ich walki z władzą Sowiecką w 1919 roku!

Tak już jesteśmy przyzwyczajeni do gromadzenia się aktów niesprawiedliwości w dziedzinie śledczo-sądowej, że przestaliśmy rozróżniać stopnie tego zjawiska. Ten rotmistrz i ten pułkownik byli kadrowymi oficerami carskiej armii rosyjskiej. Mieli już obaj ponad czterdzieści lat, z których dwadzieścia spędzili w szeregach, gdy telegraf przyniósł wiadomość, że w Piotrogradzie zdetronizowano imperatora. Dwadzieścia lat wiążą ich przysięga dana carowi, teraz zaś z bólem serca (i może nawet – mrużąc po cichu: „zgiń, przepadnij!”) złożyli jeszcze przysięgę na wierność Rządowi Tymczasowemu. Więcej nikomu już nikt im nie kazał przysięgać, bo wojsko w ogóle się rozpadło. Nie podobał im się porządek, przy którym zrywano naramienniki i zabijano oficerów, było więc naturalne, że połączyli się z innymi oficerami, aby z tym porządkiem walczyć. Tak samo naturalne było, że Czerwona Armia biła się z nimi i spychała ich do morza. Ale czy byłyby jakiekolwiek podstawy do SĄDZENIA ich, a do tego po upływie ćwierć wieku – w kraju, w którym istnieją choćby kietki myśli prawniczej? (Przez cały ten czas zajmowali się oni wyłącznie sprawami prywatnymi: Mariuszkin – aż do samego aresztowania, Borszcz zaś, co prawda, znalazł się w taborach kozackich w Austrii, ale właśnie nie w szeregach, lecz w taborach, wśród starców i bab).

Jednakże w 1945 roku, w samym pępku naszego systemu prawnego, wysunięto przeciw nim następujące oskarżenia: o działania, mające na celu obalenie władzy rad robotniczo-chłopskich; – o wtargnięcie z bronią w rękę na terytorium sowieckie (to jest o to, że nie wyjechali natychmiast z Rosji, o której w Piotrogradzie oznajmiono, że jest sowiecką); o okazywanie pomocy międzynarodowej burżuazji (której nawet przez sen nie widzieli); o pełnienie służby w formacjach kontrrewolucyjnych rządów (to znaczy – pod rozkazami swoich własnych generałów, którym całe życie podlegali). I wszystkie te paragrafy (1–2–4–13) 58. artykułu wchodziły w skład kodeksu karnego, który nabrał mocy w...1926 roku, to znaczy 6–7 lat PO ZAKOŃCZENIU wojny domowej! (Klasyczny i niehumanitarny przykład działania prawa wstecz!). Ponadto – artykuł 2. kodeksu przewidywał, że ma on moc tylko wobec obywateli zatrzymanych na terytorium RSFSR. Ale ręka GB dosięgła także NIE-obywateli i to we wszystkich krajach Europy i Azji!¹³⁹ Nie mówmy tu już o przedawnieniu: co do przedawnienia, to bardzo zręcznie przewidziano zawczasu, że do artykułu 58 nie ma ono zastosowania. Przedawnienie ma moc tylko

¹³⁹ W ten sposób ani jeden afrykański prezydent nie może być pewien, czy za dziesięć lat nie zostanie u nas wydane prawo, na mocy którego będzie on sądzony za to, co robi on dzisiaj. Zresztą Chińczycy takie prawo wydadzą, dajcie im tylko okazję.

w stosunku do naszych oprawców domowego chowu („Po co jętrzyć stare rany?...”), którzy wyróżnili wielokroć więcej rodaków, niż ich zginęło podczas całej wojny domowej.

Mariuszkin przynajmniej odznaczał się dobrą pamięcią, opowiadał ze szczegółami o ewakuacji Noworosyjska. Barszcz zaś wpadł jakby w dzieciennienie i gaworzył naiwnie, jaką ci to on sobie Wielkanoc urządził na Łubiance: przez cały czas po Niedzieli Palmowej i przez cały Wielki Tydzień jadł tylko po pół porcji, resztę sobie odkładał, stopniowo zamieniając czerstwy chleb – świeżym. W ten sposób zebralo mu się siedem porcji i trzy dni Wielkiejnocy mógł sobie ucztować. Że ich teraz oskarżono i sądzono – wcale nie „dowodzi, że mieli jakiekolwiek dawne winy na sumieniu. To tylko dowód mściwości sowieckiego państwa za to, że przed ćwierćwieczem sprzeciwili się komunizmowi, wiodąc za to później życie bezdomnych, wysadzonych z siodła wygnańców.

Od tych niedołączonych mumii emigranckich różnił się bardzo pułkownik Konstanty Konstantynowicz Jasiewicz. Dla tego człowieka koniec wojny domowej nie oznaczał zapewne końca walki z bolszewizmem. Jak tam walczył, gdzie, jakimi sposobami – tego mi nie mówił. Ale poczucie, że jest dalej w szeregach miał chyba nawet w celi. U większości z nas kłębił się w głowach chaos pojęciowy, łamały się i rozpyływały linie poglądów, on zaś miał, jak się zdawało, jasne, wyrobione zdanie o tym, co go otaczało, przy tym ta wyraźna pozycja życiowa jakoś wpływała na jego cielesną siłę, tężyznę, stały dynamizm. Miał lat nie mniej niż sześćdziesiąt, głowę łysą, bez jednego włosa, przeszedł już przez śledztwo (czekał na wyrok, jak my wszyscy), pomocy, oczywiście, nie miał znikąd – ale zachował młodość, nawet różowawą cerę, jedyny w celi gimnastykował się co rano i mył zimną wodą pod kranem (my zaś staraliśmy się nie trwonić kalorii z naszej racji więziennej). Gdy tylko między narami zwalniało się przejście – nie przepuszczał okazji – i nawet tych pięć – sześć metrów wykorzystywał dla ruchu, wciąż wybijając krok za krokiem, ze swoim profilem, jak wybitym na monecie, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i jasnym spojrzeniem młodych oczu, patrzących tak, jakby ścian nie było.

Myśmy wciąż się dziwili wszystkiemu, co z nami tu robią, dla niego zaś – wszystko, co się działo, zgodne było z oczekiwaniami – dlatego był on w celi zupełnie osamotniony.

Jego zachowanie się w więzieniu mogłem ocenić, gdy minął rok: znów znalazłem się w Butyrkach i w jednej z tych samych cel 70. spotkałem się z młodymi towarzyszami Jasiewicza z tej samej sprawy; byli już po wyroku, dostali po 10 i 15 lat. Wyrok dla całej grupy przepisany był na cienkiej przebitce i – nie wiadomo dlaczego – dostali oni kopie do ręki. Pierwszy w spisie był Jasiewicz, skazano go na rozstrzelanie. Oto co więc przewidywał, co widział przez mury swoimi niestarzejącymi się oczyma, podczas gdy chodził od ściany do ściany, tam i z powrotem! Ale świadomość, że wierny był swojej drodze życiowej, świadomość, której sobie nie wyrzucał, dawała mu niezwykłą siłę.

Wśród emigrantów był również mój rówieśnik, Igor Trońko. Zaprzyjaźniliśmy się. Obaj byliśmy osłabieni, wymiędleni, żółtoszara skóra i kości (dlaczego, w gruncie rzeczy, tak się zapuściliśmy? Myślę, że przez poczucie duchowego zagubienia). Obaj chudzi, tykowaci, że byle podmuch letniego wiatru zbijał nas prawie z nóg na butyrskich spacerkach, chodziliśmy zawsze w jednej parze ostrożnym starczym krokiem i porównywaliśmy równoległe drogi naszego życia. Tego samego roku urodziliśmy się obaj na południu Rosji. Jeszcześmy obaj byli przy piersi, kiedy los się-

gnął do swojej zaszarganej torby, aby wyciągnąć z niej dwie słomki: dla mnie krótszą, dla niego – dłuższą. I oto jego kłębek potoczył się za morze, chociaż z ojca jego dziwny był „białogwardzista” – był zwykłym, biednym telegrafistą.

Nadzwyczaj mnie ciekawiła możliwość wyrobienia sobie – poprzez jego zwielenia – poglądu na życie moich rówieśników, którzy tam się znaleźli. Gdy podrastali, rodzice otaczali ich staranną opieką mimo skromnych albo nawet kusych możliwości materialnych. Byli wszyscy doskonale wychowani, otrzymali możliwie najlepsze wykształcenie. Rośli, nie wiedząc, co to znaczy strach i ucisk, chociaż pewien autorytatywny nacisk białych organizacji odczuwali, póki nie stanęli na własnych nogach. Rośli tak, jakby grzechy stulecia, co poraziły całą młodzież europejską (wysoki wskaźnik przestępczości, lekkomyślność, brak koncepcji, marnotrawienie życia) nie miały się ich – ponieważ wyrastali jakby w cieniu nieszczęścia, które spadło na ich rodziny. Gdziekolwiek mieszkali, w jakimkolwiek kraju – zawsze tylko Rosję uważali za swoją ojczyznę. Ich rozwój duchowy wspierał się na literaturze rosyjskiej, tym bardziej kochanej, że za jej zasięgiem kończyła się też ojczyzna i że ojczyzna fizyczna za nią nie stała. Współczesne piśmiennictwo było dla nich dostępne w stopniu i rozmiarze o wiele większym niż nam, ale właśnie książki sowieckie rzadko do nich docierały i ich brak odczuwali szczególnie ostro, wydawało się im, że głównie przez to nie są w stanie pojąć tego co jest samą istotą Związku Sowieckiego, jego świetnością i urokiem, to zaś, co do nich dociera, jest skażone, skłamańskie, niepełne. Ich pojęcia o naszym prawdziwym życiu były bardzo zielone, ale tak tęsknili za krajem, że gdyby w 41. roku ich wezwano – to wszyscy, by tłumnie ruszyli do Armii Czerwonej i słodziej by im było życie przy tym oddać, niż go bronić. Ci młodzi, dwudziestopięcioletni – i dwudziestosześcioletni ludzie już wysunęli i obronili z dużym przekonaniem kilka stanowisk myślowych. Tak więc, grupa Igora należała do „nieprzesądzających”. Deklarowali oni, że ci, którzy nie dźwigali wraz z krajem rodzinnym całego skomplikowanego ciężaru minionych dziesięcioleci, nie mają żadnego prawa, by przesądzać, decydować z góry o przyszłości Rosji, a nawet – proponować czegokolwiek, winni tylko iść tam i wszystkie siły poświęcić dla realizacji tego, na co zdecyduje się rosyjski lud.

Sporośmy przegadali – leżąc na jednych narach. O ile mogłem, o tyle wnikałem w jego świat i spotkanie to (inne spotkania to potwierdziły) dało mi przekonanie, że odpływ znacznej części duchowych sił, jaki miał miejsce podczas wojny domowej, zabrał nam dużą i ważną gałąź rosyjskiej kultury. I każdy, kto naprawdę ją kocha, będzie dążył do ponownego zjednoczenia tych dwóch gałęzi: krajowej i zagranicznej. Tylko wówczas kultura nasza osiągnie pełnię, tylko wtedy przejawí zdolność do niezakłóconego rozwoju.

Marzę, by dożyć tego dnia.

*

Słaby jest człowiek, słaby. Koniec końców – nawet najbardziej uparci z nas pragnęli tej wiosny zmiłowania. Krążyła taka anegdota: „Oskarżony, co macie do powiedzenia w ostatnim słowie?!” – „Proszę postać mnie gdzie tylko chcecie, byleby tam była władza sowiecka! I – słońce...”. Nie to nam groziło, że nas pozbawią sowieckiej władzy, lecz że pozbawią nas słońca... Nikt nie miał ochoty na Koło Podbiegunowe, skorbut i głód. Nie wiedzieć czemu, kwitła w celach legenda Ałtaj. Ci nieliczni, którzy tam już byli, a jeszcze bardziej – ci, którzy tam nigdy nie bywali, wmawiali towarzyszom niedoli sny, pełne muzyki: Ałtaj, to dopiero kraina!

Syberyjskie przestrzenie, ale klimat – łagodny. Rzeki miodem płynące wśród pszenicznych brzegów. Step i góry. Stada owiec, dziczyzna, ryby. Ludne, bogate wsie¹⁴⁰...

Ach, zaszyć by się w tej głuszy! Posłuchać czystego, dźwięcznego piana kogutów w przejrzystym powietrzu! Pogłaskać dobry, poważny pysk koński! I niech diabli porwą wielkie problemy, niech się o nie troszczy ktoś inny, ktoś głupszy od nas! Odpocząć by tam od wyzwiska śledczego, od nudnego gmerania w twoim życiu, od zgrzytu więziennych ryglic, od celi z jej stęchłym zaduchem. Tylko jedno życie mamy, takie nikłe, takie krótkie! – a myje w zbrodniczy sposób posyłamy pod kule czyichś karabinów maszynowych albo tyłtamy je, Bogu ducha winne, w brudach politycznego śmietnika. Zdaje się człowiekowi, że tam, na Ałtaju, mógłby żyć w najniższej nawet, najciemniejszej chatynce na skraju wsi, pod samym lasem. Nie po chrust, nie po grzyby – tylko tak, po prostu poszedłby do tego lasu i objąłby dwa pnie: miłe moje! nic mi nie trzeba więcej!...

Sama już ta wiosna nawoływała do miłosierdzia: tej wiosny kończyła się taka ogromna wojna! Widzieliśmy, że nas, aresztantów, płyną miliony i że mnogie jeszcze miliony spotkamy w obozach. Toć być nie może, aby ludzi zostawiono za kratami po największym w świecie zwycięstwie! Trzymają nas tylko tak sobie, dla postrachu, żebyśmy czasem nie zapomnieli. To jasne, że będzie wielka amnestia i wszystkich nas szybko wypuszczą. Ktoś nawet przysięgał, że sam czytał w gazecie odpowiedź Stalina na pytania jakiegoś amerykańskiego korespondenta (jak się nazywał? – nie pamiętam...), gdzie było powiedziane, że po wojnie będzie u nas taka amnestia, jakiej jeszcze świat nie widział. I innemu SAM śledczy z całą pewnością mówił, że będzie u nas wkrótce powszechna amnestia. (Dla śledztwa takie pogłoski były korzystne, osłabiały one naszą wolę: czort z nimi, podpiszemy, to i tak nie na długo).

Ale – do miłosierdzia trzeba rozumu.

Nie słuchaliśmy tych niewielu trzeźwych wśród nas, którzy krakali, że nigdy w ciągu ćwierci stulecia nie zdarzyła się amnestia dla politycznych, i że nigdy jej nie będzie. (A jeszcze jakiś znawca więzienny, zwykle konfident, rwał się do sprzeczki: „Ależ w 1927 roku, na dziesięciolecie Października wszystkie więzienia były puste, wywieszono na nich białe flagi! Ten wstrząsający miraż białych flag na więzieniach – dlaczego właśnie białych? – szczególnie wzruszał¹⁴¹). Machaliśmy ręką na tych rozważnych, którzy pośród nas byli i wyjaśniali, że właśnie dlatego siedzimy milionowymi masami, bo wojna się skończyła: na froncie nic już po nas, na zapleczu – jesteśmy niebezpieczni, na dalekich zaś budowach bez takich jak my, ani jedna cegła nie zostanie położona. (Nie starczało nam samożarcia, aby wnikać – jeśli nie w okrutne zamiary, to przynajmniej w gospodarcze kalkulacje Stalina: któż to teraz, po demobilizacji chciałby porzucić rodzinę, dom i jechać na Kołymę, na Workutę, na Syberię, gdzie nie ma jeszcze ani dróg, ani

¹⁴⁰ Czy aresztanckie sny o Ałtaju nie są kontynuacją starych, chłopskich marzeń o tym kraju? Na Ałtaju były tak zwane ziemie Gabinetu jego cesarskiej mości, dlatego też był on długi czas terytorium bardziej niedostępnym dla chłopskiego osadnictwa niż reszta Syberii – ale właśnie tam chłopi tym bardziej starali się osiąść (i to im się udawało). Czy nie stąd bierze się trwałość tej legendy?

¹⁴¹ „Dzieło zbiorowe Od więzień do zakładów wychowawczych podaje (str. 296) taką cyfrę: z okazji amnestii w 1927 roku wypuszczono 7,3% więźniów. To cyfra wiarygodna. Jak na Dziesięciolecie – to niezbyt wielu. Z więźniów politycznych podlegały amnestii kobiety z dziećmi i ci, którym zostało jeszcze po parę miesięcy kary. W izolatorze Górnouralskim na przykład, na 200 więźniów wypuszczono jakiś tuzin. Ale w trakcie operacji już pożałowano tej mizernej amnestii i zaczęto ją zamazywać: niektórych zatrzymano, innym zamiast pełnej wolności dano „minus”, to znaczy ograniczenia prawa do osiedlenia się w szeregu miast.

domów? Była to już prawie tylko kwestia zlecenia dla Komisji Planowania: dać MWD cyfry kontrolne, żeby wiedzieli ilu mają wsadzić). Amnestia! Wspaniałomyślniej i szerokiej amnestii oczekiwaliśmy – i pragnęliśmy jej! A podobno w Anglii nawet na rocznicę koronacji, to znaczy – co roku, jest amnestia!

Amnestia dla wielu politycznych ogłoszona była także na trzechsetlecie panowania Romanowów. Więc czy można uwierzyć, że teraz, po zwycięstwie na miarę stulecia – i nawet więcej niż stulecia – stalinowski rząd będzie tak małostkowy i tak mściwy, żeby pamiętać o każdym potknięciu się, każdym poślizgnięciu każdego ze swoich nędznych poddanych?

Jest to prawda prosta, lecz dochodzi się do niej przez cierpienie: błogosławione są nie wojny zwycięskie, lecz przegrane! Zwycięstwa potrzebne są rządowi, klęski – ludom. Po zwycięstwie chce się dalszych zwycięstw, po klęsce, – chce się wolności – i zwykle się ją zdobywa. Klęski potrzebne są ludom tak, jak cierpienia i nieszczęścia poszczególnym ludziom: zmuszają do pogłębienia życia wewnętrznego, do wzniesienia się w życiu duchowym na wyższy poziom.

Półtawska Wiktoria była dla Rosji nieszczęściem: pociągnęła za sobą dwa stulecia wielkich napięć, spustoszeń, ograniczeń wolności – i coraz nowych wojen. Klęska półtawska okazała się dla Szwedów zbawienna: straciwszy ochotę do wojen, Szwedzi uczynili swój kraj najbardziej kwitnącym i wolnym w Europie.¹⁴²

Tak bardzo przyzwyczailiśmy się do dumy z powodu naszego zwycięstwa nad Napoleonem, że uchodzi naszej uwagi, iż właśnie dzięki temu chłopci nasi nie zostali wyzwoleni o pół wieku wcześniej (Francuska okupacja nie groziła zaś Rosji realnie). A wojna krymska przyniosła nam wolność.

Tej wiosny wierzyliśmy w amnestię – ale wcale nie byliśmy tu oryginalni. Gdy pomówi człowiek ze starymi więźniami, to stopniowo staje się dla niego jasne, że tęsknota za zmiłowaniem i wiara w zmiłowanie nigdy nie opuszcza szarych murów więziennych. Dziesięciolecie po dziesięcioleciu rozmaite potoki aresztanckie zawsze czekały i zawsze wierzyły – to w amnestię, to w nowy kodeks, to w ogólną rewizję spraw (i pogłoski te zawsze z pełną wprawą ostrożnością podtrzymywane były przez Organy). W związku z każdą rocznicą Października, śmierci lub urodzin Lenina, dniem Zwycięstwa, dniem Armii Czerwonej, dniem Komuny Paryskiej, każdą nową sesją WCIK, zakończeniem każdej pięciolatki, z każdą sesją plenarną Sądu Najwyższego – zawsze wyobraźnia aresztancka oczekiwała zesłania na ziemię anioła wolności! Im bardziej szalone były aresztowania, im szersze, homeryckie, nieogarnięte umysłem rzeki więźniów – tym większą wiarę w amnestię rodziły, zamiast trzeźwości!

Wszystkie źródła światła można w tym czy innym stopniu porównać ze słońcem. Słońce zaś nie da się porównać z niczym. Tak samo każda nadzieja w świecie da się porównać z nadzieją na amnestię, tylko ta nadzieja nie da się z niczym porównać.

Wiosną 1945 roku każdego przybysza cała ceta pytała przede wszystkim, co słyszał o amnestii? A jeśli dwóch–trzech brano z celi Z RZECZAMI – znawcy od razu zaczęli analizować ich SPRAWY i konkludowali, że to – najłżejsze wypadki, że ich zabrano, bo idą na wolność, to jasne. Zaczęło się! W wychodku, w łaźni, w tych więziennych urzędach pocztowych – wszędzie nasi aktywiści szukali śladów i napisów, dotyczących amnestii. I nagle w sławetnym fioletowym przedśionku

¹⁴² Może dopiero w XX wieku – jeśli wierzyć pewnym relacjom – chroniczny przesyt przyprowadził ich o zgagę moralną.

butyrskiej łaźni w początkach lipca przeczytaliśmy wspaniale proroctwo wypisane mydłem na fiolkowej glazurze, wysoko nad głową (a więc jeden stanął drugiemu na barkach, żeby tylko napisu dłużej nie ścierano):

„Hurra!!! 17 lipca amnestia!”¹⁴³

Ileż było radości! („Toć gdyby nie wiedzieli dokładnie, to by nie napisali!”). Wszystko co w naszych ciałach biło, tęskniło, krążyło – teraz zamierało z raptownej radości na myśl, że zaraz otworzą się drzwi...

Ale – DO MIŁOSIERDZIA TRZEBA ROZUMU.

W połowie lipca dozorca korytarzowy posłał pewnego starca z naszej celi do sprzątniania klozetu i tam, w cztery oczy (nie zdobyłby się na to przy świadkach) zapytał, patrząc ze współczuciem na jego siwą głowę: „Z jakiego, artykułu, ojciec?” – „Z pięćdziesiątego ósmego” – ucieszył się stary, po którym płakały w domu trzy pokolenia. – „Nie podpadasz...” – westchnął strażnik. Bzdura! – powiedziano w celi. Strażnik po prostu się nie zna.

W tej celi siedział młody kijowianin, Walenty (nie pomnę nazwiska) o wielkich, pięknych, kobiecych oczach. Był sterroryzowany śledztwem. Był to na pewno jasnowidz, może tylko dzięki ówczesnemu swemu podnieceniu. Nie jeden raz krążył rankami po celi i mówił: dziś wezmą ciebie i ciebie, widziałem we śnie. I brali! Właśnie tych! Zresztą dusza więźnia tak skłonna jest do mistyki, że na jasno widzenie reaguje prawie bez zdziwienia.

27 lipca Walenty podszedł do mnie: – „Aleksandrze! Dziś kolej na nas”. I opowiedział mi swój sen ze wszystkimi atrybutami snów więziennych: most nad ciemną strugą, krzyż. Zacząłem się pakować – i dobrze zrobiłem: po rannej herbachie wywołano nas obu. Cela żegnała nas serdecznymi życzeniami, wielu było przekonanych, że idziemy na wolność (z analizy naszych lekkich spraw to właśnie wynikało).

Człowiek może całkiem szczerze nie dawać temu wiary, nie pozwalać sobie na nią, bronić się ironią, ale rozpalone kleszcze, a gorętszych nie ma na świecie, nagle ścisną, nagle ścisną mu duszę: a jeżeli to prawda?...

Zebrano nas ze dwudziestu z różnych cel i z początku zaprowadzono do łaźni (na każdym zakręcie życiowej drogi więzień przede wszystkim powinien przejść przez łaźnię). Mielśmy tam dość czasu, chyba z półtorej godziny, by zająć się zgadywaniem i porozmyślać trochę. Później dopiero nas – wyparzonych, rozmiękłych – poprowadzono przez szmaragdowy ogródek wewnętrznego butyrskiego podwórca, gdzie ogłuszająco ćwierkały ptaki (były to chyba tylko wróble), zaś zieleń drzew wydawała się nieznośnie ostra oczom, co dawno już się od niej odzwyczaiły. Nigdy oczy moje z taką mocą nie wchłaniały zieleni listowia, jak tej wiosny! I niczego w moim życiu nie widziałem, co podobniejsze byłoby do bożego rajy, niż ten butyrski ogródek, a nie trzeba było więcej niż trzydziestu sekund, aby przeciąć go asfaltową ścieżką.¹⁴⁴

Doprowadzeni zostaliśmy na butyrski dworzec (czyli punkt przyjęć i ekspedycji aresztantów – nazwa bardzo trafna – ponadto główny westybul rze-

¹⁴³ I omylili się, psiekrwie, tylko o jedynekę! Bardziej szczegółowo o wielkiej stalinowskiej amnestii z 7 lipca 1945 roku – patrz cz. III, rozdział 6.

¹⁴⁴ Jeszcze jeden podobny ogródek, tylko mniejszy, za to intymniejszy, po wielu latach, zobaczyłem przy zwiedzaniu Trubeckiego bastionu twierdzy Pietropawłowskiej w Leningradzie. Zwiedzający przejeżdżali grozą na widok mrocznych korytarzy i cel, ja zaś pomyślałem – że mając taki ogródek na spacer, więźniowie bastionu trubeckiego nie mogli już czuć się jak potępieni. Nas wyprowadzano na spacer tylko do martwych, kamiennych worków.

czywiście przypomina tam dworzec), gdzie nas wpakowano do obszernego, szerokiego boksu. Panował w nim półmrok, powietrze było czyste, świeże; jedyne, małe okno umieszczone było wysoko, ale nie miało żelaznego kagańca. Wychodziło zaś na ten sam słoneczny ogródek i zza uchylonej ramy dochodził ogłuszający ptasi świergot, a w szparze kotłowała się zielona gałązka, obiecująca nam wszystkim wolność i powrót do domu. (Widzicie! Także w takim dobrym boksie nigdyśmy nie siedzieli! To nie przypadek!).

A wszyscyśmy podlegać mieli tylko OSO!¹⁴⁵ Znaczyć by to mogło, że siedzimy za jakieś bagatele.

Przez trzy godziny nikt nami się nie interesował, nikt nie otwierał drzwi. Krążyliśmy, krążyliśmy, krążyliśmy po boksie i, znużeni, przysiadaliśmy na klinkierowych ławkach. A gałązka ciągle się chwiała, wciąż chwiała się za uchylonym oknem i wróble przekrzykiwały się jak oszalałe.

Nagle zajazgotwały drzwi i wywołano jednego z nas, cichego buchaltera, lat trzydziestu pięciu. Wyszedł. Drzwi znów się zamknęły. Jeszcze szybciej jęliśmy krzycić po dniu naszego pudełka, wszystko nas piekło.

Znów ten łoskot. Wywołano drugiego, tamtego znów wypuszczono.

Z twarzy jego uszło życie. Jego rozwarte oczy były ślepe. Niepewnymi ruchami, chwiejnym krokiem przesuwiał się on po gładkiej podłodze boksu. Kontuzja? Dostał po głowie dechą do prasowania?

– No i co? – No i co? – pytaliśmy truchlejąc (jeśli nie wstał właśnie z elektrycznego krzesła, to w każdym razie dostał wyrok śmierci). Głosem obwieszczającym koniec świata, buchalter wykrztusił:

– Pięć!! Lat!!!

I znów zagrzmiwały drzwi – tak szybko wracali, jakby ich wyprowadzano do wychodka za małą potrzebą. Ten wrócił rozpromieniony. Na pewno dostał zwolnienie.

– No? No? – skupiliśmy się przy nim, a nadzieja znów w nas Wstąpiła. Zamachał ręką, dusząc się ze śmiechu:

– Piętnaście lat!

To było zbyt niedorzeczne, żeby człowiek mógł od razu uwierzyć.

¹⁴⁵ Osoboje Sowieszczanie (Kolegium Specjalne) przy GPU–NKWD.

VII. W STACJI POMP

W sąsiednim boksie butyrskiego „dworca”, w ogólnie znanym boksie kipiszowym (rewidowano tam przybywających aresztantów i duże wymiary sali pozwalały pięciu–sześciu strażnikom obrabiać do dwudziestu zeków w jednej partii) – teraz nie było nikogo, grubo ciosane stoły rewizyjne były puste i tylko z boku, pod lampą siedział przy małym, dostawionym stoliku schludny, czarnowłosy major NKWD. Wyraz cierpliwej nudy – oto co było wypisane na jego twarzy. Tracił czas na próżno, zeków wprowadzano i wyprowadzano pojedynczo. Zebrać podpisy można było znacznie prędzej.

Wskazał mi taborecik po drugiej stronie stołu, zapytał o nazwisko. Z prawej i lewej strony kałamarza leżały przed nim stosiki białych papierków jednakowej wielkości – po pół arkusika tego formatu właśnie, jakiego używają w administracji domu na zaświadczenia opałowe, a w urzędach na upoważnienia do zakupu materiałów biurowych. Major przewertował prawy stosik, znalazł papierek mnie dotyczący. Wyciągnął go, odczytał tekst pośpiesznie i obojętnie (zrozumiałem – że dostałem osiem lat) i natychmiast zaczął na odwrocie pisać wiecznym piórem, że decyzję zakomunikowano mi takiego, a takiego dnia.

Serce mi nie zabiło nawet na pół taktu prędzej – takie to wszystko było zwyczajne. To miał być mój wyrok – decydujący, przełomowy punkt mojego życia? Chciałem nawet się przejąć, odczuć głębiej ten moment – ale nie dawałem rady. A major już podsunął mi arkusik odwrotną stroną. I uczniowska obsadka za siedem kopiejek z marną „stalówką”, z paprochem wyłowionym z kałamarza, już leżała przede mną.

– Nie, muszę przeczytać sam.

– Co, ja bym, was oszukiwał? – leniwie odparł major. – No dobrze, czytajcie.

I niechętnie wypuścił kartkę z palców. Obróciłem ją i zacząłem studiować specjalnie powoli, nawet nie słowo po słowie, tylko litera po literze. Napisane to było na maszynie, ale miałem w ręku nie pierwszy egzemplarz, tylko kopię.

Wyciąg

Z werdyktu OSO NKWD ZSSR z 7 lipca 1945 roku¹⁴⁶,

– Nr.....

Następnie wszystko to było podkreślone linią kropkowaną i taką samą kropkowaną przedzielone pionowo:

Rozpatrzono: Akt oskarżenia takiego a takiego (imię, nazwisko, rok urodzenia, miejsce zamieszkania).

Postanowiono: Orzec wobec takiego a takiego (imię, nazwisko) za agitację antysowiecką i próbę utworzenia antysowieckiej organizacji karę 8 (ośmiu) lat obozu pracy poprawczej.

Za zgodność:

¹⁴⁶ Obradowali właśnie w dniu amnestii, robota nie czeka.

Sekretarz...

Więc miałem się pod tym po prostu podpisać i wyjść w milczeniu? Spojrzałem na majora – czy mi czegoś nie powie, czy nie wyjaśni? Nie, nie miał zamiaru. Już nawet skinął na strażnika, stojącego w drzwiach, aby wprowadził następnego.

Chcąc dodać tej chwili chociaż trochę znaczenia, powiedziałem z akcentem tragizmu:

– Ale to przecież okropne! Osiem lat! Za co?

I sam usłyszałem ton fałszu w tych słowach: ani ja, ani on nie znajdowaliśmy tu nic okropnego.

– O, tu – jeszcze raz wskazał mi major, gdzie mam się podpisać. Złożyłem podpis. Nie wiedziałem po prostu, co by tu jeszcze zrobić?

– Pozwólcie więc, że napiszę tu u was odwołanie. Przecież wyrok jest niesprawiedliwy.

– W ustawowym trybie – mechanicznie skwitował major moje słowa, kładąc paperek na lewą kupkę.

– Wyjść! – rozkazał mi strażnik.

I wyszedłem.

(Okazało się, że nie byłem bardzo pomysłowy. Georgij Tenno, któremu, co prawda, dano paperek na dwadzieścia pięć lat, tak odpowiedział: „Przecież to dożywocie! Za dawnych lat, kiedy człowieka skazywano na dożywocie – biły werble, zbierał się tłum. A tu – jak kwitek na bydło – dwadzieścia pięć i odmaszerować!”).

Arnold Rappoport wziął pióro i napisał na odwrocie: „Protestuję kategorycznie przeciw terrorystycznemu, bezprawnemu wyrokowi i żądam natychmiastowego zwolnienia”. Enkawudzista z początku czekał cierpliwie, po przeczytaniu zaś powyższego – rozgniewał się i porwał cały papier razem z protestem. Nie szkodzi, werdykt pozostał w mocy: przecież to była tylko kopia.

A Wiera Korniejewa oczekiwała piętnastu lat i z radością wyczytała z papierka, że dostała tylko pięć. Zaśmiała się swoim promiennym śmiechem i podcyfrowała kartkę szybciotko, żeby jej ktoś nie zabrał. Oficer zapytał nieufnie: „Czyście aby zrozumieli, co tu wam przeczytałem?” „Tak, tak, bardzo dziękuję! Pięć lat obozu pracy poprawczej!”

Janos Rozhas był Węgrem, werdykt na 10 lat przeczytano mu w korytarzu, po rosyjsku i nie zatroszczono się o przekład. Podpisał i nie zrozumiał, że to był wyrok, długo później oczekiwał rozprawy sądowej, jeszcze później w obozie przypomniał sobie z trudem ten moment i domyślił się wszystkiego.

Wróciłem do boksu z uśmiechem. Dziwne, ale z każdą chwilą było mi weselej i lżej. Wszyscy wracali z czerwóncami, Walenty również. Najbardziej dziecinny termin dostał ten oszalały buchalter (wciąż jeszcze siedział, jakby stracił rozum).

Cała w bryzgach słonecznych, poruszana lipcowym wietrzykiem, wciąż tak samo wesoło chwiała się gałązka za oknem. Paplaliśmy z ożywieniem. To tu, to tam – coraz częściej wybuchał w boksie śmiech. Śmialiśmy się, że wszystko poszło gładko; śmialiśmy się ze wstrząśniętego buchaltera; śmialiśmy się z naszych porannych nadziei i z tego, że gdy nas wyprowadzano z cel, więźniowie zamawiali przez nas symboliczne paczki: cztery kartofle! dwa obwarzanki!

Ależ będzie amnestia! – twierdzili niektórzy. – To tak tylko na pokaz nas straszą, żebyśmy czasem nie zapomnieli. Stalin powiedział do jednego amerykańskiego korespondenta...

– Jak się ten korespondent nazywał?

– Nazwiska nie znam...

Tu nam kazano zabrać rzeczy, ustawiono dwójkami i znów nas poprowadzono przez ten cudowny ogródek, pełen lata. A dokąd? A znów do łaźni!

To nas doprowadziło już do hucznego śmiechu – ależ fajłapy! Rozebraliśmy się ze śmiechem, powiesiliśmy nasze szmatki na tych samych hakach i wtoczyli je do tego samego piecznika, do którego wtaczaliśmy je dziś rano. Śmiejąc się, pobraliśmy po tafelce wstrętnego mydła i weszliśmy do dużej, dudniącej echem sali łaźiebnej, zmywać ślady naszych niewinnych uciech. Pluskaliśmy się więc, lejąc a lejąc na siebie czystą, gorącą wodę. Ten oczyszczający, przynoszący ulgę śmiech był, ja myślę, nie tyle objawem choroby ile samoobroną organizmu, odruchem ratunkowym. Wycierając się, Walenty mówił mi uspokajającym, kojącym tonem:

– Co tam, jeszcześmy młodzi, jeszcze pożyjemy. Najważniejsze, – to nie potknąć się teraz. Pojedziemy do obozu – i ani słowa nikomu, żeby nam drugiego wyroku nie dosunęli. Będziemy uczciwie pracować i milczeć.

Jak ci wierzył w ten program, ile miał nadziei, niewinne ziarenko w żarnach Stalina! Miał człowiek ochotę zgodzić się z nim, potulnie odsiedzieć swoje, a później wymazać z głowy to, co przeżył.

Ale już we mnie narastało uczucie: jeżeli po to, aby żyć, trzeba NIE ŻYĆ, to po co to wszystko?...

*

Nie można powiedzieć, że OSO to pomysł porewolucyjny. Już Katarzyna II dała niemiętemu jej sercu żurnaliście – Nowikowowi piętnaście lat, rzecz można, na zasadzie OSO, bowiem nie oddała go pod sąd. I wszyscy carowie – patrzeć, a zsyłali po ojcowsku niewygodnych im ludzi – bez sądu. W latach 60. XIX wieku miała miejsce gruntowna reforma sądownictwa. Zdawało się, że i władcy i poddani zaczęli dorabiać się czegoś w rodzaju zgodnego z prawem poglądu na życie społeczne. Nie mniej, również w 70. i 80. latach Korolenko wykrywa wypadki administracyjnej samowoli, zastępującej postępowanie sądowe. Sam on zresztą w 1876 roku z jeszcze dwoma studentami był deportowany bez sądu i dochodzenia – na mocy rozporządzenia wiceministra dóbr państwowych (typowy wypadek OSO). Również bez sądu zesłano go po raz wtóry, razem z bratem do miasteczka Głazów. Korolenko wymienia też Fiodora Bogdana – chłopskiego delegata, który dotarł do samego cara, a później został zesłany; Pjankowa, którego sąd uniewinnił, ale car kazał zesać z najwyższego rozkazu; jeszcze paru innych.

W ten sposób tradycja była jakby niemrawa. I następnie – ta niechlujna dowolność: kto pełnił właściwie funkcje OSO? Raz car, raz gubernator, raz wiceminister. A wreszcie, przepraszani, ale co to za rozmach, jeżeli można wyliczyć nazwiska i wypadki?

Era rozmachu zaczęła się w 20. latach, kiedy to dla systematycznego omijania drogi sądowej powołano systematycznie też działające trójki. Z początku popisywano się tym, nawet nie bez dumy: Trójka GPU. Nazwisk ławników nie tylko nie ukrywano, ale je nawet reklamowano! Któż na Wyspach Sołowieckich nie

znał słynnej moskiewskiej trójki: Gleb Bokij, Wul i Wasiliew? I to jest dopiero słowo – TRÓJKA! Jest w nim brzęk dzwonek pod końską duhą, karnawałowe rozhukanie, ale zarazem – jakaś zagadka: dlaczego właśnie – „trójka”? Co to znaczy? w sądzie też przecież nie czwórka zasiada! a trójka – to nie sąd! Najbardziej zagadkowe jest jednak to, że – zaocznie. Nas tam nie było, nie widzieliśmy nic, dano nam tylko papierek: proszę podpisać. Trójka była więc czymś jeszcze straszniejszym od rewtrybunału. A później – odseparowała się, zamaskowała, zamknęła się w izolowanym pokoju i otoczyła tajemnicą nazwiska. A gdy już zaczęła zasiadać w ukryciu – to raz na zawsze, tylko wyrok nam przysyłała przez maszynistki. (I – do zwrotu, bo takiego dokumentu nie wolno zostawiać w niczyim ręku).

Te trójki (na wszelki wypadek używamy liczby mnogiej, bo – jak to bywa z bóstwami – nie wiadomo nigdy gdzie i w jakim kształcie występują) odpowiadały pewnej pilnej potrzebie, która się pojawiła: żeby już nie wypuszczać na wolność tych, których kiedyś aresztowano (no, coś w rodzaju oddziału kontroli technicznej przy GPU: żeby nie było braku). I jeśli już facet okazał się niewinny, a sądzić go nie było można w żaden sposób, to niech za pośrednictwem trójki dostanie swoje „minus trzydzieści dwa” (miasta gubernialne), albo – zesłanie na dwa-trzy lata, a potem – już jak bez ucha, już na zawsze jest napiętnowany, już teraz zaliczy się do „recydywistów”. (Niech nam czytelnik daruje: toć znów stoczyliśmy się do tego prawicowego oportunistu – znów jakieś pojęcie „winy”, że winien, czy niewinien. Toć nam nieraz mówiono, że chodzi nie o winę indywidualną tylko o zagrożenie społeczne: wolno wsadzić także niewinnego, jeśli jest obcy socjalnie, wolno wypuścić winnego, jeśli to element specjalnie bliski. Ale może to będzie wybaczone nam, ludziom bez wykształcenia prawniczego, skoro sam Kodeks z 1926 roku, pod ojcowską opieką którego żyliśmy sobie dwadzieścia pięć lat – też był krytykowany za „niedopuszczalne, burżuazyjne podejście”, za „niewystarczająco klasowy stosunek”, za jakieś „burżuazyjne przestrzeganie proporcji między ciężarem winy a karą”).¹⁴⁷

Niestety, nie nam jest pisane zbadanie nader zajmującej historii tego Organu: Czy w ciągu całej swojej długiej kadencji Trójka GPU, wyrokując zaocznie, miała prawo skazywać także na rozstrzelanie (jak to było ze znanym konstytucyjnym demokratą, księciem Dołgorukim w 1927 roku, a z Palczyńskim, von Maćkiem i Wielicką w 1928)? Czy Trójkę zaprzęgano do roboty tylko wtedy, gdy dowodów winy było mało, ale szkodliwość społeczna danej osoby – oczywista? – czy wedle uznania? I jakoś potem w 1934 roku, przy okazji pożatowania godnej zmiany skrótu OGPU na NKWD, Trójka w stolicy jęła zwać się Kolegium Specjalnym, zaś trójki w okręgach – speckolegiami sądów okręgowych, co znaczyło, że sądzić mają bez żadnych tam ławników ludowych, w ścisłym swoim składzie i zawsze tajnie. A latem 1937 powstały w okręgach i autonomicznych republikach inne jeszcze trójki, złożone z sekretarza obkomu partii, naczelnika okręgowego NKWD i okręgowego prokuratora. (A nad tymi nowymi trójkami jaśniała na wysokościach w Moskwie po prostu Dwójka, w składzie komisarza spraw wewnętrznych i generalnego prokuratora ZSSR, bo też zgódźmy się, że nie wypadało ściągać w charakterze trzeciej osoby Genseka – Józefa Wissarionowicza). Ale pod koniec 1938 roku rozplynęły się jakoś bez śladu i te trójki, i ta Dwójka (bo też wybył bez śladu nawet Mikołaj Jeżów) – ale tym bardziej się umocniło nasze kochane OSO,

¹⁴⁷ Dzieło zbiorowe: Od więzień do zakładów wychowawczych. Wyd. „Sowietskoje zakonodatielstwo”, Moskwa, 1934.

biorąc na swoje barki prawo do zaocznego i pozasądowego skazywania ludzi – najprzód na 10 lat, potem na jeszcze więcej, a w końcu – również na rozstrzelanie. I tak wiodło zbożny swój żywot kochane OSO aż do samego 1953 roku, kiedy to powinęła się nóżka Berii, naszemu dobroczyńcy.

Istniało więc 19 lat, a spróbuj dowiedzieć się, człowieku, i kto z naszych wybitnych, pełnych dostojęstwa działaczy wchodził w skład tego ciała; jak często i jak długo ono obradowało; czy podawano przy tym herbatę, czy nie – i co dawano do herbaty; i jak toczyły się te obrady – czy prowadzono jakieś rozmowy, czy może nawet obchodzono się bez nich? Nie my o tym napiszemy, bo nie wiemy. Słyszeliśmy tylko nieraz, że OSO było zjawiskiem trójjedynym – i chociaż teraz nie można dotrzeć do nazwisk gorliwych jego asesorów, to jednak znane są te trzy organy, które posyłały tam swoich stałych delegatów: jeden z KC, jeden z MWD, jeden – z prokuratury. Nie będzie jednak żadnym cudem, jeżeli któregoś dnia dowiemy się, że nie było nigdy żadnych obrad, był zaś tylko sztab doświadczalnych maszynistek, robiących wyciągi z nieistniejących protokołów – i jeden szef kancelarii, kierujący maszynistkami. O, maszynistki – te były na pewno, za to ręczymy!

Nie wymienione ani w konstytucji, ani w kodeksie, OSO okazało się jednak najwygodniejszą z maszynek do mięsa – posłuszną, bezpretensjonalną i nie wymagającą prawniczego smarowania. Kodeks istniał swoją drogą, a OSO – swoją i kręciło się gładko bez wszystkich jego dwustu pięciu artykułów, nie uciekając się do nich i nawet ich nie wspominając.

Jak powiadają w obozie: jak kto już nie może, to sąd też nie pomoże, ale OSO zawsze.

Rozumie się, że dla wygody OSO także musiało mieć jakiś kod wstępny; w tym celu samo ono stworzyło dla siebie zestaw artykułów literowych, bardzo ułatwiających czynności (nie trzeba łamać sobie głowy i dostosowywać wyroki do sformułowań kodeksu); były tak nieliczne, że dziecko by je spaściętało (część z nich już wymieniliśmy):

- NPGG – Nielegalne Przekroczenie Granicy;
- ASA – Antysowiecka Agitacja;
- KRD – Kontrrewolucyjna Działalność;
- KRTD – Kontrrewolucyjna Trockistowska Działalność (ta literka „t” bardzo ciężko odbijała się na losie więźnia w obozie);
- PSz – Podejrzanie o Szpiegostwo (to, co w sprawie o szpiegostwo wykraçało za ramy podejrzenia – było w gestii trybunału);
- SWPz – Stosunki Wywołujące (!) Podejrzanie o Szpiegostwo;
- KRM – Kontrrewolucyjny sposób Myślenia;
- WAS – Wywoływanie Antysowieckich nastrojów;
- SWE – Socjalnie Wrogi Element;
- PD – Przestępcza Działalność (chętnie to dawano byłym łagro-wcom, jeżeli już do niczego innego nie można się było przyczepić); i wreszcie bardzo pojemny artykuł
- CzS – członek rodziny* (skazanego na podstawie jednej z wyżej wymienionych kombinacji literowych). Nie zapominajmy, że litery te nie przypadły równomiernie na poszczególne lata i poszczególne grupy ludzkie, lecz podobnie, jak artykuły Kodeksu i punkty dekretów – spadały na kraj, niby nagłe epidemie.

I jeszcze jedno zastrzeżenie: OSO wcale nie pretendowało do ferowania wyroków! – nie dawało wyroków! – orzekało tylko karę administracyjną, to wszystko. Jasne, że musiało dlatego być wolne od prawnych ograniczeń.

Ale chociaż ta kara administracyjna nie zamierzała wcale pretendować do godności wyroku sądowego, mogła jednak trwać 25 lat, przewidywać rozstrzelanie i zawierać:

- pozbawienie rang, tytułów i orderów;
- konfiskatę całego majątku;
- odebranie prawa korespondencji –

w rezultacie czego człowiek znikał z powierzchni ziemi jeszcze skuteczniej, niż na mocy prymitywnego wyroku sądowego.

Inną ważną zaletą OSO było to, że od jego werdyktów nie było apelacji – nie było gdzie składać skarg: nie istniała żadna instytucja ani wyższa odeń, ani niższa. Podlegało jedynie ministrowi spraw wewnętrznych, Stalinowi i szatanowi.

Wielkim przymiotem OSO była szybkość działania: ograniczała ją tylko technika maszynopisania.

Wreszcie – OSO nie tylko nie miało potrzeby oglądania oskarżonego (przez co odciążał się bardzo transport wewnętrzny w więzieniach), ale nawet nie żądało okazywania jego fotografii. W okresach tłoku w więzieniach miało to jeszcze tę dobrą stronę, że więzień po zakończeniu śledztwa mógł nie zabierać innym miejsca na więziennej podłodze, nie jeść ludowego chleba, tylko być od razu skierowany do obozu, by uczciwie tam się trudzić. Przeczytać zaś kopię wyciągu mógł wszak nawet znacznie później.

W ulgowych wypadkach zdarzało się tak, że więźniów wyładowywano z wagonów na stacji docelowej; kazano im zaraz klękać obok nasypu (to środek zapobiegawczy przeciwko próbom ucieczki, ale sprowadzało się to w rezultacie do modlitwy na cześć OSO) i bez żadnej zwłoki czytano im werdykty. Zdarzało się też inaczej: przybywające do Piereborów w 1938 roku transporty nie znały ani swoich artykułów, ani wyroków, ale witający ich tam pisarz – wszystko wiedział i z miejsca znajdował w spisie: SWE – 5 lat.

Niektórzy zaś pracowali już w obozie wiele miesięcy, nie znając swojego wyroku. Wreszcie (jest to relacja I. Dobriaka) ustawiono ich uroczyście w szeregu – nie jakiegoś szarego dnia, tylko 1 maja 1938 roku, gdy wszędzie wisały czerwone flagi – i odczytano im werdykty trójki okręgu stalinowskiego w Zagłębiu Donieckim: od dziesięciu do dwudziestu lat każdemu. A mój obozowy brygadier Siniebriuchow w tym samym 1938 roku wraz z całym kolejowym składem jeszcze niesądzo-nych, wysłany został z Czelabińska do Czerepowca. Mijały miesiące, zeki już tam pracowali. Nagle zimą, w dzień wolny od pracy (zauważyliście jakie dni się wybiera? na czym OSO zależy?) w trzaskający mróz wypędzono ich na dwór, ustawiono szeregi, wyszedł do nich przyjezdny lej tnant i oznajmił, że przyjechał, aby zapoznać ich z decyzjami OSO. Ale nie był to zły chłopak, jak się okazało, bo zerknął na ich dziurawe obuwie, na słońce, na oszronione słupy i tak powiedział:

– A zresztą, chłopaki, po co macie tu marznąć? Dość, jak będziecie wiedzieli, że wszystkim wam dało OSO po dziesięć lat, a mało, bardzo mało kto dostał osiem. Zrozumiano? Rozejść się!...

Skoro jednak Kolegia Specjalne miały charakter tak otwarcie mechaniczny – na co jeszcze zdały się sądy? Komu potrzebny tramwaj konny, skoro jest pod ręką bezszelestny, nowoczesny, elektryczny, z którego nikt nie wyskoczy? Żeby dawać sędziom papu?

Po prostu – nie wypada, żeby państwo zupełnie nie miało sądów. W 1919 roku VIII Zjazd zapisał w programie: należy starać się, aby cały lud pracujący bez wyjątku brał udział wykonywaniu obowiązków sądowych, „Wszystkich bez wyjątku” nie udało się włączyć do tej akcji, jurysdykcja to rzecz skomplikowana, no, ale wyrzec się sądów zupełnie – to też nie uchodzi!

Zresztą, nasze sądy polityczne – izby specjalne sądów okręgowych, trybunały wojskowe w okręgach, no i wszystkie tam Najwyższe – ciągną za OSO jak za panią matką; one też nie grzęzną w bagnie jawności i nie tracą czasu na debaty stron.

Pierwsza i naczelną ich cecha – to niejawność. Są przede wszystkim – niejawne i to dla własnej wygody.

I tak już się przyzwyczailiśmy, że miliony i miliony ludzi skazane zostały przy drzwiach zamkniętych, na tyle już się z tym zżyliśmy, że niejeden otumaniony syn, brat albo synowiec skazanego jeszcze ofuknie cię z całym przekonaniem: „A cóż ty chciał? Widać sprawa ma związek z czymś... Jeszcze by się wrogowie dowiedzieli! Jak to można...”.

Tak więc, bojąc się, że się „wrogowie dowiedzą”, sami sobie wpychamy łeb między kolana. Kto dziś w naszym kraju – prócz moli bibliotecznych – pamięta, że Karakozow po swoim zamachu na cara dostał obrońcę? Że Żelabow i wszyscy narodowolcy sądzeni byli jawnie, bez obawy, „że Turcy się dowiedzą”? Że Wiera Zasulich, która strzelała do – jeśli przetłumaczyć na język współczesny – naczelnika stołecznej delegatury okręgowej MWD (a raniła go, tylko że nie śmiertelnie, choć kaliber kuli był wprost niedźwiedzi) – nie tylko że nie została załuczona w jakiejś katowni, nie tylko nie była sądzona przy drzwiach zamkniętych – ale że PUBLICZNY sąd przysięgłych (nie jakaś trójka) UNIEWINNIŁ ją – i że z tryumfem odjechała z sądu karetą?

Przytaczając te przykłady dla porównania – nie chcę wcale twierdzić, że w Rosji istniało sądownictwo doskonałe. Zapewne godne takiej nazwy sądownictwo należy do najpóźniej dojrzewających owoców bardzo już dostatego społeczeństwa, chyba, że ma się do dyspozycji króla Salomona. Włodzimierz Dal zauważył, że w Rosji, w okresie poprzedzającym reformy, „nie było ani jednego przysłowia pochlebnego dla sądów”! – To chyba coś znaczy! Zdaje się, że nie zdążono też ukuć ani jednego przysłowia, chwaleńczego obieralnych naczelników ziemstw powiatowych. Ale reforma sądownictwa z 1864 roku otwierała przynajmniej przed mieszkańcami naszych miast drogę, wiodącą do angielskich wzorów.

Pisząc to wszystko, nie zapominam o wypowiedzi Dostojewskiego, skierowanej przeciw naszym sądom przysięgłych (Dziennik pisarza): o ekscesach adwokackiego krasomówstwa („Panowie przysięgli! ależ cóż by to była za kobieta, gdyby nie zarznęła rywalki?... panowie przysięgli! ależ, kto z nas nie wyrzuciłby w tych warunkach dziecka przez okno?...”), o tym, że u przysięgłych jakiś chwilowy odruch może przestąpić obywatelską odpowiedzialność.¹⁴⁸ Ale Dostojewski obawiał się NIE TEGO, czego właśnie należało się obawiać! Był przekonany, że sąd publiczny jest

¹⁴⁸ Widzimy to czasem na współczesnym Zachodzie i jakoś brak nam stów zachwyty. Właśnie tego bał się Dostojewski wyprzedzając duchem bieg naszego życia.

już zdobyczą raz na zawsze osiągnięta!... (Zresztą – kto z jego współczesnych mógłby uwierzyć w OSO?...) W innym miejscu tak on pisze: „mniejszy to błąd zmiłować się nad winnym, niż postać na szafot niewinnego”. O tak, tak, tak!

Przerosty krasomówstwa są chorobą nie tylko ząbkujących sądów, lecz także ogólniej – ugruntowanej już demokracji (ugruntowanej, ale już zdeorientowanej co do swoich celów moralnych). W takiej Anglii widzimy na przykład, jak leader opozycji, chcąc zapewnić swojej partii przewagę, nie waha się przed obarczeniem rządu odpowiedzialnością za stan kraju, przeczierając sytuację bardziej, niż ona na to zasługuje.

Nadużywanie krasomówstwa – to niedobry zwyczaj. Ale jakiej nazwy użyć trzeba dla nadużyć w dziedzinie tajności? Dostojewski marzył o takim sądzie, w którym oskarżyciel powie wszystko niezbędne dla OBRONY oskarżonego. Ileż to wieków musielibyśmy na to czekać. Nasze doświadczenie społeczne dostarczyło nam jak dotąd niezmiernego mnóstwa przykładów OSKARŻENIA podsądnych przez adwokatów (, jako uczciwy człowiek sowiecki, jako prawdziwy patriota nie mogę nie czuć wstrętu do tych zbrodni, które są tu przedmiotem rozprawy...”).

I jakie to wygodne – te rozprawy przy drzwiach zamkniętych! Toga tu niepotrzebna, można spokojnie zakasać rękawy. Co za ułatwienie w pracy! – ani mikrofonów, ani korespondentów, ani publiczności. (Nie, dlaczego, publiczność tu bywa, ale to – funkcjonariusze śledczy. Na przykład, do leningradzkiego sądu okręgowego przychodzili oni we dnie, aby sprawdzić, jak też sprawują się ich wychowankowie – a później, w nocy, odwiedzali w więzieniu tych, którym trzeba było przemówić do sumienia).¹⁴⁹

Druga z najważniejszych cech naszych sądów politycznych – to jasność perspektyw w robocie. Chodzi o to, że sentencje są z góry określone.

Wspomniany już tom zbiorowy – *Od więzień...* sam daje nam do rąk sporo materiału, twierdząc, że nie nowa to sprawa, że już w latach 1924–29 wyroki były z góry przesądzone i podporządkowane ogólnym względom charakteru administracyjno-gospodarczego. Że poczynając od roku 1924 – z uwagi na bezrobocie, panujące w kraju, sądy zmniejszyły liczbę wyroków skazujących na pracę poprawczą z pozostawieniem na wolności – a zwiększyły liczbę krótkoterminowych kar więzienia (mowa, rzecz jasna, o przestępstwach pospolitych!). W rezultacie nastąpiło przepełnienie zakładów karnych więźniami krótkoterminowymi (poniżej 6 miesięcy), którzy nie mogli być w efektywny sposób wykorzystani do pracy w koloniach karnych. W początkach 1929 roku Ludowy Komisariat Sprawiedliwości ZSSR w okólniku Nr 5 POTEPIŁ ferowanie tak małych wyroków, a 6. XI. 1929 (w wigilię 12. rocznicy Października, w momencie przystąpienia do budowy socjalizmu) na mocy decyzji CIK i Sownarkomu po prostu już ZABRONIONO skazywania na termin krótszy niż jeden rok! Sędzia wie z góry, z biegu twojej konkretnej sprawy, albo na podstawie ogólnej instrukcji, jaki wyrok jest tu wymagany (zresztą jest przecież telefon w jego gabinecie!). Wzorem OSO – bywają nawet sentencje z góry wypisane na maszynie, wystarczy tylko wpisać ręcznie nazwisko. A jeżeli – dajmy na to Strachowicz krzyknie podczas rozprawy: „Ależ jak mogłem być zawerbowany przez Ignatowskiego, skoro miałem wtedy raptem dziesięć lat!” – to przewodniczący kompletu sędziowskiego (trybunał Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, 1942 rok) tylko huknie w odpowiedzi: „Nie szkalować sowieckiego

¹⁴⁹ Grupa Cz–na.

wywiadu!" Bo wszystko już dawno postanowione: cała grupa Ignatowskiego ma być rozstrzelana, wszyscy pod rząd. Jest w tej grupie jeden tylko, niejaki Lipow, którego nikt z grupy nie zna i który także nie zna nikogo. No to dać mu tam dziesięć lat, już dobrze.

Jak bardzo ułatwia sędziom kroczenie po ciernistej drodze życia fakt, że wyroki są dane z góry! Nie tyle nawet chodzi o ułatwienie dla intelektu – bo nie trzeba wysilać mózgownicy – ile o ulgę moralną: człowiek nie dręczy się już, że wyda mylną sentencję i w rezultacie osieroci własne dzieci. Nawet tak zakamieniałego sędziego – kątą jak Ulrych – kto z wybitniejszych rozstrzelanych nie z jego ust usłyszał wyrok? – skłania do pewnej dobroduszości fakt, że werdykt jest ustalony z góry. W 1945 roku Kolegium Wojskowe rozpatruje sprawę „estońskich separatystów”. Przewodniczy – niziutki, krępy, dobroduszny Ulrych. Nie traci okazji: żartuje nie tylko z kolegów, lecz również z podsądnych (to jest właśnie humanitaryzm! nowa cecha, gdzie to kto widział?). Dowiedziawszy się, że Suzi jest adwokatem, mówi z uśmiechem: „No i przyda się wam w końcu wasz zawód!”. No bo o co tu wszczynać spory? Po co szarpać nerwy? Rozprawa toczy się zwykłym trybem: nie odchodząc od stołu sędziowskiego palą sobie, a w sposobnej chwili – zarządzają przerwę obiadową. Gdy zaś się wieczór zbliży – sąd oddala się na naradę. Ale kto by tam naradzał się w nocy? Oskarżonych zostawia się na całą noc na ich ławie, sędziowie natomiast rozjeżdżają się do swoich domów. Następnego rana, skoro dziewięta, przychodzą wyświeżeni, wygoleni: „Wstać, sąd idzie!” – i dają każdemu czerwonce.

No i wreszcie trzecia cecha naszych sądów – to dialektyka (dawniej mówiło się po prostaku – dyszel niby na przedzie, a gdzie nim skręcisz, tam jedzie). Kodeks nie powinien być bezwładnym kamieniem na drodze sędziego. Artykuły kodeksu mają już po dziesięć, piętnaście, dwadzieścia latek, a życie biegnie szparko i – jak mawiał Faust:

*„Świat cały zmienia się i ciągle naprzód mknie,
A ja mam trwać przy raz mu danym słowie?”*

Wszystkie artykuły obrosły komentarzami, wskazaniem, instrukcjami. Jeśli czyn oskarżonego w ogóle nie jest przez kodeks przewidziany, to można jednak ukarać go:

- przez analogię (co za możliwości!);
- po prostu za pochodzenie (art.: 7 – 35, przynależność do środowiska społecznie niebezpiecznego);
- za kontakty z niebezpiecznymi osobnikami¹⁵⁰ (tu dopiero otwiera się szerokie pole działania! Kto jest niebezpiecznym osobnikiem i na czym polega kontakt – ustala tylko sędzia).

Broń Boże czepiać się precyzji wprowadzanych w życie prawnych formuł. Na przykład – 13 stycznia 1950 roku wydany został edykt o przywróceniu kary śmierci (wolno przypuszczać, że z lochów Berii nigdy nie zniknęła). Napisane tam było, że wolno skazywać na śmierć dywersantów. Co to znaczy? Napisano i cześć. Josif Wissarionowicz tak właśnie lubi: nie dopowiedzieć, dać tylko wink. Czy tu mowa tylko o tych, którzy ze sztabką trotylu przychodzą wysadzać w powietrze tory?

¹⁵⁰ A tego nawet nie wiedzieliśmy. To nam dopiero Izwiestia opowiedziały w lipcu 1957 roku.

Nie mówi się o tym wyraźnie. Kto jest „dywersantem” to niby wiemy od dawna. Kto dopuścił do produkcji braków – ten jest dywersantem. Ale czy tylko to? A jeśli na przykład, jakimś rozmówkami tramwajowymi podważał autorytet państwa? Albo – jeśli dziewczeczka wyszła za cudzoziemca – czy to nie dywersja wobec naszej wielkiej ojczyzny?...

Ale przecież nie sędzia sędzi, sędzia tylko pensję pobiera, sędzi instrukcja! Instrukcja z 37. roku: dziesięć–dwadzieścia – rozstrzelanie! Instrukcja z 43.: dwadzieścia ciężkich robót – powieszenie. Instrukcja z 45.: wszystkim pod rząd po dziesięć plus pozbawienie praw (siła robocza na trzy pięćlatki).¹⁵¹ Instrukcja z 49.: wszystkim pod rząd dwadzieścia pięć.¹⁵²

Maszyna sztancuje. Kto raz został aresztowany, ten traci wszystkie prawa wraz z guzikami, które mu obcinają na progu GB – i już nie może uniknąć WYROKU. I pracownicy aparatu sprawiedliwości tak się do tego przyzwyczaili, że w 1958 roku doprowadzili do skandalu: opublikowali w gazetach projekt nowych „Zasad procedury karnej ZSSR” – i ZAPOMNIELI włączyć punkt przewidujący możliwość ferowania wyroków uniewinniających! Oficjalny organ¹⁵³ zareagował łagodną wymówką: „Może powstać wrażenie, że nasze sądy wydają jedynie wyroki skazujące”.

Ale spójrzmy na rzecz okiem naszych jurystów: dlaczego właściwie sąd ma mieć podwójny wybór, jeżeli przy wszystkich innych wyborach głosuje się u nas na jednego kandydata? Toć wyrok uniewinniający to bezmyślność, także z ekonomicznego punktu widzenia! Przecież to znaczy, że i konfidenti, i agenci, i funkcjonariusze śledczy, i prokuratura, i klucznicy, i konwojenci – wszyscy trudzili się na darmo!

Oto przykład prostej i typowej sprawy sądowej. W 1941 roku, w naszej armii beczynnej, tj. stacjonowanej w Mongolii, wydziały operacyjne miały obowiązek wykazania się aktywnością i czujnością. Felczer wojskowy Łozowski wyczuł pismo nosem, a miał właśnie pretensję do lejtnanta Pawła Czulpieniewa; rozeszło się o jakąś dziewczynę. Zadał mu więc w cztery oczy trzy pytania: 1) Jak ci się zdaje – dlaczego cofamy się przed Niemcami? (Czulpieniew: techniki mają więcej i zdążyli się wcześniej zmobilizować. Łozowski: nie, to tylko manewr, my ich wciągamy w głąb). 2) Czy wierzysz w pomoc aliantów? (Czulpieniew: wierzę, że nam pomogą, ale nie bezinteresownie. Łozowski: oszukują nas, wcale nie pomogą). 3) Dlaczego Woroszyłowa zrobili dowódcą frontu Północno-Zachodniego?

Czulpieniew zapomniał o całej rozmowie. Łozowski zaś napisał donos. Czulpieniewa wezwano do politoddziału dywizji, po czym wyrzucono go z komsomołu: za defetyzm, za bałwochwalstwo wobec niemieckiego wyposażenia technicznego, za niedocenywanie strategii naszego dowództwa. Najgoręcej perorował organizator komsomolski Kaliagin (w czasie walk nad jeziorem Chałchyn–Goł zachował się on tchórzliwie, Czulpieniew to widział – i teraz tamten ma powód, aby raz na zawsze pozbyć się świadka).

¹⁵¹ A. Babajew tak im krzyknął, co prawda – pospolitak: „Kaganiec też mi możecie nałożyć, choćby na trzysta lat! I tak do samej śmierci za wami nie będę głosować, dobroczyńcy!”

¹⁵² W ten sposób autentyczny szpieg (Schulz, Berlin, 1948 roku) mógł dostać 10 lat, natomiast Giinther Weschkau, który nigdy szpiegiem nie był – dwadzieścia pięć. Dlatego, że szła taka fala – 1949 rok.

¹⁵³ Izwiestia z 10. IX. 1958 roku.

Aresztowanie. Jedyna konfrontacja z Łozowskim. Ich fatalna rozmowa w ogóle NIE JEST ROZPATRYWANA w śledztwie. Tylko jedno pytanie: czy znacie tego człowieka? – Tak. – Świadek może odejść. (Śledczy boi się, że oskarżenie może się rozwiać).¹⁵⁴

Złamany miesięcznym siedzeniem w jamie, Czulpieniew staje przed trybunałem 36 dywizji zmotoryzowanej. Obecni są – komisarz dywizji Lebiediew, naczelnik wydziału politycznego Sliesariw; świadek Łozowski nawet nie został wezwany na rozprawę. (Jednakże dla nadania fałszywym zeznaniom wagi urzędowej, już po rozprawie i Łozowski i komisarz Sierogin będą musieli podpisać odpowiednie papiery). Sąd pyta: czy rozmawialiście z Łozowskim? O co was pytał? Jak mu odpowiedzieliście? Czulpieniew z całą prostotą mówi jak było, wciąż jeszcze nie wie, czym zawinił. „Przecież wielu mówi to samo!” – woła naiwnie. Sąd chętnie daje ucha takim oświadczeniom: „Kto mianowicie? Proszę wymienić”. Ale Czulpieniew jest człowiekiem innego pokroju! Kolej na jego ostatnie słowo. „Proszę, aby sąd jeszcze raz poddał próbie mój patriotyzm, dał mi zlecenie związane z niebezpieczeństwem śmierci!” I jak przystało na rycerskiego prostaczka: „– a razem ze mną także temu, który mnie oczernił, wspólne zadanie!”.

Co to, to nie, te rycerskie zapędy właśnie kazano nam karczować wśród naszych ludzi. Łozowski powinien wydawać/proszki, Sierogin powinien wychowywać żołnierzy.¹⁵⁵ I czy to ważne – umrzesz albo nie? Ważne, że myśmy byli czujni. Wyszli więc, popalili, wrócili na sale: dziesięć lat i trzy pozbawienia praw.

Takich procesów w każdej dywizji było podczas wojny na pewno więcej niż dziesięć (inaczej nie opłacałoby się tworzenie trybunałów). A ile dywizji było – niech czytelnik sam policzy..

...Jedna sesja trybunału podobna jest do drugiej w dręczący sposób. Dręcząco nieczuli są też ci anonimowi sędziowie – gumowe rękawiczki. Sentencje – wszystkie jak z konwejera.

Każdy tu zachowuje powagę, ale każdy rozumie, że to szopka; najlepiej to rozumieją konwojenci, proste chłopaki. W nowosybirskim więzieniu tranzytowym w 1945 roku konwój robi apel aresztantów według spraw. „Taki a taki! – 58-1-a, dwadzieścia pięć lat!”. Naczelnik konwoju jest zaintrygowany: „Za co tyle dali?” – „A za nic”. – „Łżesz. Za nic – daje się dziesięć”.

Kiedy trybunał się spieszy – „narada” trwa tylko minutę – byle wyjść, i wrócić. Jeśli dzień roboczy trybunału ma trwać 16 godzin – to, gdy uchylą się drzwi do sali narad, widać biały obrus, zastawiony stół, wazy z owocami. Jeśli nic ich nie pili – lubią czytać sentencje „z psychologią”: „...skazać na karę śmierci!...” Pauza. Sędzia patrzy skazanemu w oczy, bo to przecież ciekawe – jak to zniesie. Co też teraz czuje? „...Ale biorąc pod uwagę skruchę...”.

Całe ściany sądowej poczekalni pokryte są napisami, wydrapanymi gwoździem i ołówkiem: „skazali na rozstrzelanie”, „dali mi ćwiartkę”, „dostałem dychę”. Napisów nie usuwają: to działa wychowawczo. Drzyj ze strachu, pochyl głowę i nawet nie myśl, że można coś zmienić, choćbyś nie wiem co zrobił. Możesz wy-

¹⁵⁴ Łozowski jest teraz kandydatem wszech nauk medycznych, mieszka w Moskwie, powodzi mu się doskonale. Czulpieniew jest kierowcą trolejbusu.

¹⁵⁵ Sierogin Wiktor Andriejewicz jest teraz w Moskwie, pracuje w kombinacie usługowym przy Moskiewskiej Radzie Miejskiej. Powodzi mu się dobrze.

głosić mowę, godną Demostenesa – w pustej sali, w obecności garści agentów śledczych (Olga Sliozberg, na rozprawie przed Sądem Najwyższym, 1936) – nic ci to nie pomoże. O, zamienić dychę na rozstrzelanie – to możesz, owszem; wystarczy krzyknąć im: „Faszyści! Wstyd mi, że kilka lat byłem w waszej partii!” (Mikołaj Siemionowicz Daskal – kolegium specjalne regionu Azowsko–Czarnomorskiego, przewodniczący Cholik, miasto Majkop, 1937 rok) – a zaraz wrobią cię w nową sprawę i już wtedy jesteś zgubiony.

Czawdarow opowiada, jak pewnego razu oskarżeni na rozprawie odwołali nagle wszystkie swoje fałszywe, wymuszone zeznania, złożone w czasie śledztwa. No i cóż? Nie dłużej niż parę sekund trwała niespokojna wymiana spojrzeń. Prokurator zażądał przerwy w rozprawie bez podania powodu. Z więzienia śledczego kłusem przybiegli oficerowie śledczy i ich pomocnicy, specjaliści od bicia. Wszystkich podsądnych naprzód zaprowadzili do boksów, a później znów zbili, jak należy i zapowiedzieli, że dobiją ich w trakcie następnej przerwy. Przerwa się skończyła. Sędzia ponowił swoje pytania – i wszyscy społem żwawo się przyznali.

Wyjątkowy spryt przejawiał Aleksander Grigoriewicz Karetnikow, dyrektor instytutu badawczego przemysłu włókienniczego. Tuż przed początkiem sesji Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego (a dlaczegoż to cywil, wcale nie wojskowy, ma odpowiadać przed, kolegium wojskowym i temu już się nikt nie dziwi, nikt o powód nie pyta) doniósł przez konwojenta, że chce złożyć uzupełniające zeznania. Wywołał tym, rzecz jasna, należne zainteresowanie. Został przyjęty przez prokuratora. Karetnikow pokazał mu swój gnijący obojczyk i oznajmił – że wszystko podpisał, bo go torturowano. Prokurator już przeklinał swoją łapczywość – po co też łasił się na jakieś „uzupełniające” zeznania! – ale było za późno. Każdy z nich jest odważny tylko dopóty, dopóki występuje jako anonimowa częśćka wielkiego mechanizmu. Ale gdy tylko na nim się skupi osobista odpowiedzialność, gdy tylko promień światła wydobędzie go z ciemności – jegomość blednie, bo rozumie, że on także jest niczym, że może pośliznąć się na byle łupinie. W ten sposób Karetnikow schwytał w potrzask prokuratora, a ten już nie ośmielił się zatuszować sprawy. Zaczęła się sesja Kolegium Wojskowego. Karetnikow tam również wszystko powtórzył... Tym razem Kolegium Wojskowe udało się na prawdziwą naradę! Ale mogło w tym wypadku wydać jedynie werdykt uniewinniający, a co za tym idzie – zaraz uwolnić Karetnikowa. I dlatego... NIE PODJĘŁO ŻADNEJ DECYZJI!

Jak gdyby nigdy nic, znów nic, znów odwieziono Karetnikowa do więzienia, podleczonego go, potrzymano trzy miesiące. Przyszedł nowy oficer śledczy, nadzwyczaj uprzejmy, wypisał nowy nakaz aresztowania (gdyby nie wykręty Kolegium, to przynajmniej te trzy miesiące mógł Karetnikow spędzić na wolności!) i powtórzył te same pytania, które zadał jego poprzednik. Karetnikow, mając nadzieję na zwolnienie, trzymał się mocno i nie przyznawał się do winy. I cóż?... OSO wlepiło mu 8 lat.

Przykład ten dość wymownie ilustruje różnicę między możliwościami więźnia, a możliwościami OSO. A Dzierżawin tak pisał:

*Gorszy niż rozbój jest sąd stronny
Gdzie prawo śpi – tam kąty sędzię.
Obywatela kark bezbronny
Na pastwę miecza wydań będzie.*

Ale rzadko zdarzały się takie kłopoty Kolegium Wojskowemu Sądowi Najwyższemu. Zresztą nieczęsto przecierało ono swoje zamglone oczy, aby uczcić spojrzeniem szeregowego, cynowego areштancika. A.D. Romanów, inżynier-elektryk, w 1937 roku wciągnięty został na górę przez dwóch konwojentów, wlokących go pod ręce, biegiem po schodach, aż na czwarte piętro (winda była chyba czynna, ale areштanci napływali tak gęsto, że inaczej pracownicy sądowi nigdy by się nie dopchali). W drzwiach rozminął się z innym, już skazanym i wpadł z konwojentami do sali. Romanów z trudem złapał oddech (toć sił mu w czasie długiego śledztwa nie przybyło) i powiedział, jak się nazywa, jak ma na imię i jak zwać było ojca. Coś tam bąknęli, wymienili spojrzenia i Ulrych – wciąż ten sam! – oznajmił: „Dwadzieścia lat!”. I znów klusem wywleczono Romanowa z sali, do której już biegiem ciągnięto następnego.

To było, jak we śnie: w lutym 1963 roku zdarzyło mi się kroczyć w górę po tych samych schodach (zrzekłem się wygod windy, żeby rozejrzeć się trochę), ale w towarzystwie ugrzecznionego pułkownika-szefa organizacji partyjnej. Ze wszystkich wyspiarzy Archipelagu tylko mnie przypadł ten przywilej! I w kolumnowej, kolistej sali, gdzie chyba obraduje plenum Sądu Najwyższego Związku, z ogromnym podkowiastym stołem, w zatoce którego stoi jeszcze inny stół, okrągły, otoczony siedemdziesięcioma staroświeckimi krzesłami, słuchało moich słów siedemdziesięciu członków Kolegium Wojskowego – tego samego właśnie, które sądziło niegdyś Karetnikowa i Romanowa, i innych, itp., itd... Powiedziałem im wtedy: „Bardzo znamienity to dzień! Byłem skazany z początku na obóz, później na dożywotnie zesłanie – a nigdy nie widziałem na oczy ani jednego sędziego. I oto teraz widzę was wszystkich zebranych tu razem!” (Oni też wiedzieli pierwszy raz żywego zeka, przejrzaawszy nagle na oczy).

Ale okazało się, że to nie byli wcale – oni! Tak. Teraz mówili, że – to nie byli oni. Zapewniali mnie, że TAMTYCH – już tu nie ma. Niektórzy przeszli na emeryturę dla zasłużonych, tego i owego usunięto (Ulrych, jeden z najwybitniejszych katów, jak się okazuje usunięty został jeszcze za Stalina, w 1950 roku za... mięczakowatość!) Niektórych (na palcach policzyć) sądzono nawet za czasów Chruszczowa, a ci z ławy oskarżonych odgrządzali się: „Dziś ty nas sądzisz, a jutro my ciebie będziemy, uważaj!”. Ale jak wszystkie inicjatywy Chruszczowa, akcja ta, z początku bardzo energiczna, została przezeń wkrótce zapomniana, puszczona samopas i nie osiągnęła stopnia nieodwracalności, co znaczy, że wszystko pozostało tym, czym było.

Po kilku naraz weterani prawodawstwa snuli teraz swoje wspomnienia, podrzucając mi bezwiednie materiał do tego rozdziału (a gdyby zabrali się do publikacji, do wspominania? Ale idą lata, minęło ich jeszcze pięć, a nie robi się jaśniej. A potem jeszcze dziesięć minęło – i znów zaćmiło się na amen (1978 rok!). Wspominali, jak na sądowych sesjach sędziowie publiczni chętnie się udawali, że udało się im nie zastosować artykułu 51. KK o okolicznościach łagodzących i w ten sposób udało im się z kolei – dać dwadzieścia pięć zamiast dziesiątaka! Albo – w jak poniżający sposób były sądy podporządkowane Organom! Pewien sędzia otrzymał do rozpatrzenia taką sprawę: oto pewien obywatel po powrocie ze Stanów Zjednoczonych utrzymywał oszczerczo, że tam są dobre drogi. I nic więcej. I w aktach sprawy – też nic więcej! Sędzia odważył się, odesłać akta dla uzupełnienia śledztwa w celu otrzymania „poważniejszych antysowieckich materiałów” – to znaczy po to, aby tego więźnia mocniej przycisnęło i pobito. Ale tych zbawiennych intencji sędziego

nie wzięto pod uwagę i odpowiadano mu z gniewem: „Co to ma być, nie macie zaufania do naszych Organów?” – i sędziego zestano w randze sekretarza trybunału na Sachalin! (Za Chruszczowa postępowanie było łagodniejsze: „skompromitowanych” sędziów przenoszono... no, jak myślicie, dokąd?” do adwokatury!).¹⁵⁶ Równie ustępliwa wobec Organów była prokuratura. Gdy w 1942 roku głośne się stało krzyczące nadużycie władzy przez Riumina w kontrwywiadzie Floty Pomocnej, prokuratura nie ośmieliła się ingerować na mocy własnych uprawnień, lecz tylko uniżenie powiadomiła Abakumowa, że jego dziatki swawolą. Miał powody Abakumow, aby uważać Organy za sól ziemi! (Toteż wezwał Riumina tylko po to, aby go awansować – sobie samemu na zgubę).

Nie starczało po prostu czasu, bo opowiedzieliby mi dziesięć razy więcej. Ale i to dawało do myślenia. Jeżeli i sąd, i prokuratura były tylko pionkami dla ministra Bezpieczeństwa, to może nie warto poświęcać im oddzielnego rozdziału?

Snuli swoje opowieści jeden przez drugiego, a ja rozglądałem się i nie mogłem się nadziwić: ależ to ludzie! normalni LUDZIE! Jak uśmiechają się! Jak szczerze mi klarują, że mieli tylko dobro na względzie. No, a jeżeli jeszcze tak się złoży, że znowu będą mnie musieli sądzić, – o, choćby w tej sali (pokazują mi właśnie główną salę)?

No i cóż, zasądzą.

Co było na początku, kura czy jajko? Ludzie czy system? Przez kilka wieków pokutowało u nas przysłowie: nie prawa się bój – tylko sędzi.

Ale zdaje mi się, że Prawo prześcignęło już ludzi, ludzie nie dorównują mu w okrucieństwie. I czas już odwrócić to przysłowie: nie sędzi się bój – tylko prawa.

Prawa Abakumowa, rzecz jasna.

Oto wstępują po kolei na trybunę, dyskutując o Iwanie Denisowiczu. Oto mówią z radością, że ta książka ulżyła ich sumieniu (tak właśnie mówią...). Stwierdzają, że obraz, jaki narysowałem, jest jeszcze bardzo złagodzony, że każdy z nich zna cięższe obozy. (A więc – zdawali sobie sprawę?...). Z tej siedemdziesiątki, siedzącej przy podkowiastym stole, kilku wykazuje dobrą znajomość literatury, są to nawet czytelnicy miesięcznika *Nowyj Mir*, pragną reform, z przejęciem mówią o naszych bolączkach społecznych, o zaniedbaniu, w jakim tonie wieś...

Siedzę tu i myślę: jeżeli pierwsza, maleńka kropla prawdy ma efekt bomby psychologicznej – to cóż się stanie w naszym kraju, gdy Prawda runie wodospadem? A runie, to nieuniknione.

¹⁵⁶ * (Izwestia, 9. VI. 1964 rok) Ciekawy to stosunek do obrany sądowej!... A w 1918 roku W. I. Lenin żądał, aby sędziów, ferujących zbyt łagodne wyroki, wyrzucać z partii.

VIII. DZIECIŃSTWO PRAWA

Wszystko potrafimy zapomnieć. Pamiętamy nie to, co było naprawdę, nie fakty historyczne, lecz tylko ten sztancowany szablon, – który chcieli utrwalić w naszej pamięci, wbijając go nam w głowy nieustannie.

Nie wiem, czy to cecha ogólnoludzka, ale że rosyjska – to już pewne. Niemiła to cecha. Może bierze się z poczciwości, ale – niemiła. Ona to wydaje nas na łup łamcom.

Dlatego też – jeśli trzeba, abyśmy nie pamiętali nawet publicznych procesów sądowych – to ich nie zachowujemy w pamięci. Sądzone ludzi publicznie, pisano o tym w gazetach, ale nie wbito nam tego młotkiem do łba – więc nie pamiętamy. (Dziury w głowie drąży tylko codzienne powtarzanie przez radio). Nie mówię o młodzieży, ta nie może tego pamiętać, to jasne – ale o ludziach, którzy byli już dorośli w trakcie tych procesów. Poproście przeciętnego obywatela, by wyliczył znane procesy publiczne – przypomni sobie sprawę Bucharina, Zinowiewa. Może jeszcze – proces Prompartii, to już z wysiłkiem. I to wszystko, więcej publicznych procesów nie było.

Co tam gadać o tajnych procesach!... Już w 1918 roku ileż to trybunałów grzmiało i huczało, gdy nie było jeszcze ani praw, ani kodeksów, sędziowie mogli uważać za punkt odniesienia tylko potrzeby władzy robotniczo-chłopskiej. Myślano wtedy, że te procesy torują drogę nowej, śmiałej praworządności. Szczegółowe ich dzieje będą jeszcze kiedyś napisane, my nie zamierzamy porywać się na zreferowanie całej tej historii w tej książce.

Jednakże – nie sposób obejść się bez pobieżnego choćby przeglądu. Mamy obowiązek jakieś zwęglone resztki odszukać po omacku, nawet w tej różowej, zwiewnej mgie dziejowego poranku.

W ciągu tych dynamicznych lat nie rdzewiały na rapciach szable wojny, ale też nie przysychały do pochew rewolwery kary. To dopiero później tak to urządzono, żeby rozstrzeliwać w sekrecie, nocami, żeby w piwnicach strzelać w karki. A w 1918 roku znany rizański czekista Stelmach rozstrzeliwał we dnie, na podwórku i to tak, żeby kolejni kandydaci mogli wszystko widzieć z okien więzienia.

Istniał wtedy oficjalny termin: wniesudiebnaja rasprawa.¹⁵⁷ – Nie dlatego, iż nie było jeszcze sądów, lecz dlatego że była już Czeka. Tego ptaszka, o twardniejącym z wiekiem dziobie, hołubił Trocki: „Zastraszanie jest potężną bronią polityczną i trzeba być hipokrytą, aby tego nie rozumieć”. Także Zinowiew delektował się, nie przeczuwając własnego końca: „Litery GPU, podobnie jak WCzK należą do najpopularniejszych w świecie”. Pozasądową, bo tak było efektywniej. Sądy istniały, sądziły i skazywały na śmierć, ale trzeba pamiętać, że równolegle i niezależnie od nich istniały i biegły swoim torem owe represje pozasądowe. Jakie rozmiary przybrały? M. Łacis w swoim popularnym przeglądzie działalności Czeki przytacza wykaz, dotyczący tylko półtorarocznego okresu (1918 rok i pierwsza połowa 1919) i dwudziestu tylko guberni centralnej Rosji („cyfry tu cytowane – bynajmniej nie są kompletne”, co jest może po części wynikiem skromności): rozstrzelanych przez Czekę (tzn. bez rozprawy, w trybie pozasądowym) – 8.389 ludzi (słownie: osiem tysięcy trzystu osiemdziesięciu dziewięciu), wykryto organizacji kontrrewolucyjnych – 412 (cyfra to fantastyczna, biorąc pod uwagę

¹⁵⁷ Karanie pozasądowe, represje pozasądowe.

nasz brak talentu organizacyjnego, widoczny w ciągu całych dziejów, a nadto – ogólny rozgardiasz i ówczesny upadek ducha) aresztowano ogółem – 87.000 s. (Ta cyfra wydaje się znów pomniejszona).

Jaką wielkość porównawczą znaleźć by można dla tych cyfr? W 1907 roku grupa lewicowych działaczy wydała – zbiór artykułów zatytułowany „Przeciw karze śmierci”¹⁵⁸ gdzie przytacza się imienny spis wszystkich skazanych od 1826 do 1906 roku. Autorzy książki zastrzegają się, że spis to jeszcze niekompletny (chyba jednak nie bardziej ułomny, niż dane Łacisa, kompletowane w okresie wojny domowej). Wylicza się tam 1397 nazwisk. Od tej cyfry odliczyć należy 233 skazanych, którym karę śmierci zamieniono na inną, oraz 270 ludzi, którzy uszli kary (przeważnie chodzi o polskich powstańców, którzy schronili się na Zachodzie). Pozostaje 894 ludzi. Ta cyfra dotycząca 80 lat okazuje się 255 razy nikłej szta od czekistowskiej! – A czekistowska dotyczy mniej niż połowy guberni (liczne egzekucje wykonane na północnym Kaukazie i Dolnym Powołżu w ogóle nie zostały tu uwzględnione). Co prawda, autorzy zbioru przytaczają także inną, przybliżoną statystykę, wedle której w ciągu jednego tylko 1906 roku skazano na śmierć (być może nie wszystkie wyroki zostały wykonane) 1.310 ludzi; ogółem zaś w okresie 1826–1906 – 3.419 ludzi. Wszystko to w okresie sławetnej stołypińskiej reakcji (będącej odpowiedzią na falę rewolucyjnego terroru) – i mamy na podorędziu jeszcze inną cyfrę, dotyczącą tego okresu – 950 egzekucji w ciągu 6 miesięcy. (Stołypinowskie sądy polowe działały, owszem ale zaledwie przez 6 miesięcy). Ta cyfra budzi zgrozę, ale nawet ona nie da rady naszym zahartowanym nerwom: jeśli weźmiemy pod lupę naszą cyferkę, to tak czy owak przekonamy się, że jest ona TRZYKROTNIE wyższa – przy tym pochodzi jedynie z 20 guberni i nie obejmuje ponadto działalności sądów ani trybunałów.

A co z sądami?

A jakże! Miesiąc po rewolucji Październikowej ustanowione zostały sądy – po pierwsze – sądy ludowe, swobodnie wybierane przez robotników i chłopów, ale tak, żeby sędziowie koniecznie mieli „polityczne doświadczenie pracy w proletariackich organach partii” i żeby wybrani byli po „uprzedniej starannej weryfikacji kandydatów na to – stanowisko” przez komitety wykonawcze rad powiatowych, które mają prawo odwołania ich w każdej chwili. (Dekret o Sądach Nr I z 24 listopada 1917 roku, art. 12 i 13). A skoro tak, to ludowych sędziów już nie wybierano, tylko po prostu bywali wyznaczani przez komitety wykona” „wczesowie” co na jedno wychodzi, jako że sowieci – o czym każdy wie – są wyrazicielami interesów mas pracujących.

Po drugie, a nawet znów po pierwsze, ten sam Dekret z 24 listopada 1917 roku ustanawiał robotnicze i chłopskie Rewolucyjne Trybunały, od gminnych i powiatowych poczynając. Pomyślane były od razu jako organy dyktatury proletariatu i jakoś tak bezwiednie się złożyło, że Rewolucyjne Trybunały powstały w mgnieniu oka i w całym kraju, a sądy ludowe nie mogły się wykluć jeszcze przez długie miesiące, szczególnie w głuchych zakątkach. I dlatego rewolucyjne trybunały wzięły na swoje barki wszystkie sprawy, w tym również kryminalne.

Ale nie ma obawy, nie tak wielka była różnica między ludowymi sądami a trybunałami: kiedy później, w 1919 roku wyłonią się podstawy prawa karnego RSFSR, charakterystyka i tych, i tamtych organów sądowych jest w nich prawie

¹⁵⁸ M. N. Łacis (Sudrabs), Dwa lata walki na froncie wewnętrznym, GIZ, Moskwa 1920 rok.

identyczna: i jedne, i drugie nie są ograniczone żadnym pułapem dopuszczalnych kar; i te, i tamte muszą mieć ręce niczym nie skrępowane: prawo nie przewiduje żadnych sankcji za przekroczenie kompetencji, sądy mają zupełną swobodę wyboru środków represji, nieograniczone prawo ich stosowania (jeśli orzekają pozbawienie wolności, to mogą to robić bez określania terminu, to znaczy – aż do odwołania). Sąd ludowy, podobnie jak rewtrybunał, kieruje się jedynie rewolucyjnym światopoglądem prawnym i rewolucyjnym sumieniem. Sentencje zarówno jednych, jak drugich tych organów są ostateczne i nie podlegają żadnej apelacji w żadnej instancji. Sądy ludowe, tak samo jak Trybunały Rewolucyjne nie skrępowane są w swojej działalności żadnymi obwarowaniami formalnymi, jedynym miernikiem ich ocen jest wymiar szkody, jaką podsądny zadał swoimi uczynkami interesom walki rewolucyjnej; kryterium wyroku jest przydatność dla dzieła obrony i ludowej gospodarki. (Z początku rewtrybunały miały, w swoim składzie ławników wyznaczanych przez miejscowe sowiety, ale z czasem przybrały bardziej składowy kształt stałej trójki, z tym, że jeden z jej członków delegowany był przez miejscowe kolegium gubernialnej Czeki – aby w ten sposób utrwalała się na wszystkich poziomach żywa więź między rewtrybunałami a Czerezwą czajką).

4 maja 1918 roku wydano dekret o utworzeniu Najwyższego Rewolucyjnego Trybunału przy WCIK (Wszeczhwiązkowy Centralny Komitet Wykonawczy) i wszyscy byli przekonani, że tym samym zakończone zostało dzieło rozbudowy systemu sądowego. Ale jak daleko jeszcze było do tego!

Okazało się jeszcze konieczne – dla zapewnienia rozwoju kolejnictwa – stworzenie ogólnokrajowego systemu Rewolucyjnych Trybunałów Kolejowych.

Stworzono też jednolity system Rewolucyjnych Trybunałów Wojsk i Ochrony Wewnętrznej. W 1918 roku wszystkie te systemy zgodnie już działały nie zostawiając na terytorium RSFSR żadnego luzu dla przestępców i wykroczeń przeciw rewolucyjnej walce mas – jednakże bystre spojrzenie towarzysza Trockiego wykryło braki w tej pozornie kompletnej konstrukcji – i 14 października 1918 roku podpisał on rozkaz o sformowaniu jeszcze jednego systemu Rewolucyjnych Trybunałów Wojennych.

Kierując bez chwili wytchnienia Rewwojensowietem Republiki i tak zajęty ratowaniem Republiki od wrogów zewnętrznych, ten nasz wódz i inspirator nie rozwinął detalicznie swojego pomysłu, ale za to nadzwyczaj trafnie wybrał przewodniczącego Centralnego Rewolucyjnego Trybunału Wojennego – w osobie towarzysza Daniszewskiego, który nie tylko w błyskotliwy sposób zorganizował i rozbudował cały system tych nowych jeszcze organów" lecz również napisał teoretyczne uzasadnienie tej instytucji (K. Ch. Daniszewski: Rewolucyjne Wojenne Trybunały, Wyd. Rew. Wojen. Trybunału Republiki, Moskwa 1920 rok). Jeden egzemplarz tej jego broszury cudem się uchwycił i trafił do naszych rąk. Co prawda, broszura opatrzona jest stemplem „tajne” – ale z powodu przedawnienia zostanie mi może darowane ujawnienie jej fragmentów (to, co pisałem wyżej o sądach, też z tej broszury pochodzi).

Zaraz po Październiku, w zgodzie z jego hasłami i tymi zwyczajami, które panowały w armii już od czasów Lutego 1917 roku, istniało przeświadczenie, że w Czerwonej Armii sądy pułkowe i dywizyjne pochodzą z wyborów. Ale ich demokratyczną działalnością niedługo się rozkoszowano i wkrótce w ogóle już ich nie było. Spontanicznie pojawiały się wszędzie sądy polowe, trójki, a swój drogą działały (to znaczy rozstrzeliwały) frontowe organy Czeka i swoją drogą – organy kontrwywiadu, forpoczty późniejszych Wydziałów Specjalnych. W czasie tych su-

rowych dla Republiki miesiąc, kiedy towarzysz Trocki oznajmił na posiedzeniu WCIK: „My, synowie klasy robotniczej, zawarliśmy tu pakt ze śmiercią, a to znaczy, że zwycięstwo będzie nasze” – trzeba było zmusić wszystkich naraz i każdego z osobna aby wyteńczył się i wykonał swój obowiązek.

„Rewolucyjne Wojenne Trybunały to przede wszystkim organy służące do niszczenia, izolacji, unieszkodliwiania i terroryzowania wrogów robotniczo-chłopskiej ojczyzny i dopiero w drugiej kolejności są to sądy, ustalające stopień winy danego osobnika” (str. 5). „Rewolucyjne Wojenne Trybunały mają kompetencje jeszcze bardziej wyjątkowe, niż zwykłe trybunały rewolucyjne, które wdrążyły się w ogólny system sądownictwa ludowego” (str. 6).

Jakże to – Jeszcze bardziej wyjątkowe”? Tu już brak tchu, aż trudno dać wiary: co może być bardziej wyjątkowe od Rewtrybunałów? Zastężony działacz tych organów, autor wielu wyroków z tamtych lat, wyjaśnia to nam:

„Obok organów sądowych powinny istnieć organy, jeśli można tak rzec, sądowej represji” (str. 8).

Czy pojmie tę różnicę nasz czytelnik? Z jednej strony – Czerezwyczajka, czyli represja pozasądowa. Z drugiej strony – Rewtrybunał – bardzo uproszczony, bardzo nielitościwy, ale mimo wszystko jakiś rodzaj sądu. A między nimi? Rozumiecie? Między nimi brak właśnie organów zagłady w majestacie prawa – oto czym jest Rewolucyjny Wojenny Trybunał!

„Rewolucyjne Wojenne Trybunały od pierwszej chwili były bojowymi organami rewolucyjnej władzy... Od razu dano im określony ton i kurs, nie pozwalający na żadne wahania... Udało nam się umiejętnie wykorzystać doświadczenie, nagromadzone przez Rewtrybunały i jeszcze je rozwinąć” (str. 13) – a napisane to jest jeszcze przed wydaniem pierwszej instrukcji, przysłanej w styczniu 1919 roku. Dla lepszej współpracy z Czerezwyczajką wykorzystano również zwyczaj, aby jeden z członków Rewwojentrybunału był delegatem Oddziału Specjalnego Dowództwa Frontu, ale fronty nie były formacjami trwałymi. Po ich zniknięciu Rewwojentrybunały wcale nie rozpadały się, tylko zapuszczały korzenie w okręgach i obwodach „dla walki i bezpośredniej likwidacji uczestników powstań” (str. 19).

Rewwojentrybunały sądziły ludzi za „dezercję z miejsca pracy”, ponieważ „w danych okolicznościach jest to taki sam akt kontrrewolucji, jak zbrojne powstanie przeciw robotnikom i chłopom” (str. 21). Nawet – za „grubiański stosunek do podwładnych, niechlujne pełnienie obowiązków służbowych, niedołęstwo w pracy, ignorowanie własnych praw...” (str. 23), itd, itd.. Rewwojentrybunały istniały nie tylko dla wojskowych, lecz również dla wszystkich cywilów w rejonie frontu. Są one organem walki klasowej ludu pracującego. Aby nie wynikły spory z trybunałami, działającymi w sąsiedztwie, przyjęto zasadę: kto pierwszy rozpocznie dochodzenie, ten ma sądzić – i żadnego odwołania być nie może. Wyroki zależały od sytuacji na frontach: po zwycięstwie na odcinku południowym wiosną 1920 roku, nadeszła dyrektywa, by zmniejszyć ilość egzekucji – i rzeczywiście – w ciągu pierwszego półrocza rozstrzelano tylko 1426 osób (nie licząc Rewwrybunałów! ani Trybunałów Kolejowych! ani Trybunałów Wojsk Ochrony! ani Czerezwyczajki! ani Kontrwywiadu! – i tu przypomnijmy stołypinowską cyfrę 950 skazanych na śmierć, co położyło tamę anarchicznej fali morderstw w całej Rosji. Przypomnijmy też tych 894 powieszonych w ciągu 80 lat poprzedniej historii Rosji). A latem 1920 roku rozgorzała wojna z Polakami – i w ciągu samego tylko lipca i sierpnia Rewwojentrybu-

nały (nie licząc – patrz wyżej...) orzekły 1976 wyroków śmierci (str. 43); danych z innych miesięcy brak.–

Rewwojentrybunały miały prawo bezpośrednio i doraźnie skazywać na śmierć dezertarów i agitatorów, wzywających do zakończenia wojny domowej (to znaczy – pacyfistów, str. 37). Powinny były odróżniać morderstwo kryminalne (nie podlegające rozstrzelaniu) od mordy politycznego (rozstrzelanie – str. 38); okradzenie osoby prywatnej („trybunały powinny tu przejawiać troskę i łagodność”, albowiem dostatki, w jakie burżuazja opływa, popychają ludzi do kradzieży) od kradzieży dobra społecznego („cały ciężar rewolucyjnej kary”). „Żadnego wykazu, kar formułować nie sposób, nie miałyby to tutaj sensu”, jednakże „nie możemy obejść się bez dyrektyw i instrukcji” (str. 39). „Nader często rewolucyjne wojenne trybunały funkcjonować muszą w warunkach, w jakich trudno określić, czy działają jako organy sądowe, czy też po prostu jako oddziały bojowe. Nierzadko... sprawa toczy się jednocześnie w sali sądowej i na ulicy”. Rozstrzelania „nie można uważać za rodzaj kary, jest to po prostu sposób fizycznej likwidacji wroga klasy robotniczej” i „może być stosowane w celu zastraszania (terroryzowania) innych przestępców” (str. 40). „Kara nie jest aktem zemsty za winę, nie jest też tej winy odkupieniem...”. Trybunał „wyrabia sobie zdanie o osobowości przestępcy o tyle, o ile można wysnuć takie ustalenia z jego zachowania się i z jego przeszłości”.

W praktyce Rewwojentrybunałów „traci wszelki sens prawo apelacji, wprowadzone przez burżuazję... w ustroju sowieckim nikomu nie jest potrzebna ta mitręga” (str. 46). „Wprowadzanie praktyki odwołań jest rzeczą absolutnie niedopuszczalną”. „Odmawia się prawa do wnoszenia skarg kasacyjnych”. „Wyroki należy wykonywać prawie bez zwłoki, aby efekt represji był jak najsilniejszy”. „Trzeba koniecznie odbierać przestępcom wszelką nadzieję na odwołanie, albo zmianę wyroku Rewolucyjnego Trybunału Wojennego”. „Rewolucyjny Trybunał Wojenny jest niezbędnym i wiernym organem Dyktatury Proletariatu i zadaniem jego jest przeprowadzenie klasy robotniczej przez niebywałe zwały ruin, przez oceany krwi i łez... aż do krainy wyzwolonej pracy, szczęścia mas pracujących i wszelkiego piękna”.

Można by cytować dalej i dalej, ale chyba dość tego! Rzućmy tylko okiem w głąb tej przeszłości, ogarnijmy wzrokiem buchającą wówczas ogniem mapę naszego kraju, spróbujmy wyobrazić sobie te żywe osady ludzkie, o których nie ma nawet wzmianki w broszurze. W każdym zdobytym mieście nie tylko wykwiwały zaraz dymki wystrzałów na podwórcach Czeki, lecz również długo jeszcze zasiadały nie znające snu rewtrybunały. I po to by dostać kule, nie trzeba było być koniecznie białym oficerem, senatorem, ziemianinem, zakonnikiem, kadetem, eserem, czy anarchistą. Wystarczyło mieć w tych latach białe, miękkie ręce bez odcisków, aby pójść pod mur. Ale łatwo odgadnąć że za bunty w Łżewsku, albo Wołkińsku, Jarosławiu albo Muromie, Kozłowie albo Tambowie drogo zapłaciły również spracowane ręce... W tych fascykułach wyroków pozasądowych i trybunalskich – jeśli w ogóle kiedyś zostaną nam udostępnione – największe zdziwienie wzbudzi ilość nazwisk prostych chłopów. Bo niezliczone były chłopskie ruchawki i powstania między 18. a 21. rokiem, chociaż nie rozłaczają one swoich barw na kolorowych stronicach „Historii wojny domowej”, a nikt nie fotografował i nie uwieczniał aparatem filmowym tych ludzi zbrojnych w kłonicę, widły i topory, gdy tłumem szli przeciw karabinom maszynowym, ani później, gdy ze związanymi rękoma – dzieściu za jednego! – w długich szeregach czekali na rozstrzelanie. Sapożkowskie

powstanie pamięta się do dziś tylko w Sapożku, pitelińskie – tylko w Pitelinie. Z tejże pracy Łacisa wiadomo, że w ciągu tych półtora roku na terenie tychże 20 guberni stłumiono 344 powstania. Chłopskie ruchawki już w 1918 roku zaczęto nazywać „kułackimi”, jak mogli bowiem zwykli chłopi buntować się przeciwko władzy robotniczo-chłopskiej! Ale czym wytłumaczyć wobec tego, że za każdym razem chwytały za broń nie trzy chaty we wsi, tylko cała wieś? Czemuż to masa biedoty wiejskiej nie brała się do takich samych wideł i toporów, aby pozabijać zbuntowanych „kułaków”, tylko razem z nimi szła na cekaemy? Łacis: „innych chłopów (kułak) zmuszał obietnicami, szczuciem i groźbami do brania udziału w tych powstaniach”. Ale jakież obietnice mogły mierzyć się ze sloganami komitetów biedoty! jakie groźby mogły być straszniejsze od cekaemów CZON!¹⁵⁹

A iluż jeszcze przypadkowych, np. zupełnie przypadkowych ludzi wpadało między te kamienie młyńskie; z takich właśnie składa się nieuchronnie połowa ofiar każdej strzelającej, rewolucji.

Oto sprawa tołstojowca F. Je-wa z 1919 roku, opowiedziana przez niego samego dopiero dziś. Nawet teraz, w 1968 roku nie odważę się przytoczyć jego pełnego nazwiska.

Zaraz po proklamowaniu powszechnej, obowiązkowej mobilizacji do Armii Czerwonej (rok po hasłach: „Precz z wojną! Bagnet w ziemię! Wszyscy do domów!”) w samej tylko guberni riazańskiej w okresie poprzedzającym wrzesień 1919 roku „wyłapano i odesłano na front 54.697 dezertów” (a iluż to zastrzelono na postrach na miejscu!) Je-w zaś wcale nie był dezertem, tylko otwarcie odmówił pełnienia służby wojskowej z uwagi na swoje przekonania religijne. Zostaje przymocowany do wojska, ale w koszarach wzbrania się przed wzięciem broni do ręki, nie chodzi na ćwiczenia. Oburzony komisarz jednostki przekazuje go do dyspozycji Czeki z meldunkiem, że „nie uznaje władzy sowieckiej”. Przysłuchanie. Przy stole siedzi trzech czekistów, przed każdym leży nagan. „Znamy takich bohaterów, zaraz tu będziesz klękał przed nami! Zgódź się natychmiast, masz walczyć w szeregach, inaczej tu cię zastrzelimy!” Ale Je-w nie ustępuje, nie może walczyć bo jest wolnym chrześcijaninem. Jego sprawę przekazują do rewtrybunału miasta Ria-zania.

Proces pokazowy, ze stu ludzi na sali. Stary obrońca o miłych manierach. Wykształcony oskarżyciel (słowo „prokurator” zabronione jest aż do 1922 roku) – Nikolski, również stary prawnik. Jeden z ławników stara się dowiedzieć od oskarżonego, jakie są jego przekonania („jak to się dzieje, że wy, przedstawiciel mas pracujących, uznajecie poglądy arystokraty, hrabiego Tołstoja?”) przewodniczący trybunału przerywa i nie pozwala oskarżonemu na odpowiedź. Powstaje spór.

Ławnik: – Nie chcecie więc zabijać ludzi i namawiacie innych, żeby tego nie robili. Ale biali zaczęli tę wojnę, wy zaś przeszkadzacie nam się bronić przed nimi. No to pošlemy was do Kołczaka, tam możecie głosić swoje hasła niesprzeciwiania się złu!

Je-w: – Gdzie mnie pošlecie, tam pojedę.

Oskarżyciel: – Trybunał powinien zajmować się rozpatrzeniem nie wszystkich działań przestępczych, lecz tylko skierowanych przeciw rewolucji. Ze względu na

¹⁵⁹ Czasti Osobogo Naznaczenia. Oddziały Specjalne, jednostki bezpieczeństwa wewnętrznego.

znamiona występkę, który tu rozpatrujemy, żądam przekazania tej sprawy pod obrady sądu ludowego.

Przewodniczący: Hę! Znamiona! Ale prawnik – widział go kto! My kierujemy się nie paragrafami, tylko naszym rewolucyjnym sumieniem!

Oskarżyciel: – Domagam się, aby żądanie moje zostało zaprotokołowane.

Obrońca: – Przyłączam się do opinii oskarżyciela. Sprawa powinna być rozpatrywana przez sąd powszechny.

Przewodniczący: – A to stary dureń! Gdzieście takiego wytrzasnęli?

Obrońca: – Przez czterdzieści lat czynny jestem jako adwokat, ale takie obelgi słyszę po raz pierwszy. Proszę o wpisanie do protokołu.

Przewodniczący (ryczy ze śmiechu): – A wpiszemy! Wpiszemy!

Śmiech na sali. Sąd oddała się na naradę. Z sali narad dochodzą odgłosy kłótni. Wschodzą, wyrok gotów: rozstrzelać!

Na sali hałas, ludzie są oburzeni.

Oskarżyciel: Zakładam protest przeciw sentencji i odwołam się do komisariatu sprawiedliwości!

Obrońca: – Podpisuję się pod słowami oskarżyciela!

Przewodniczący: – Usunąć wszystkich z sali!

Konwojenci prowadzą Je-wa do więzienia i pogadują: „Gdyby to wszyscy byli tacy, jak ty, bratku, dopiero by dobrze było! Nie byłoby żadnych wojen, nie byłoby ani białych, ani czerwonych!” Wrócili do swoich koszar, zwołali wiec żołnierski. Wiecujący potępili wyrok. Napisali protest, posłali go do Moskwy.

Oczekując z dnia na dzień śmierci i widząc przez okno, jak rozstrzeliwuje się innych, Je-w przesiedział tak 37 dni. Nadeszła w końcu rezolucja: 15 lat surowej izolacji.

Przykład to pouczający. Choć rewolucyjna praworządność częściowo zwyciężyła, ale ileż to wymagało starań ze strony przewodniczącego trybunału! Ileż jeszcze na świecie bałaganiarstwa, jak mało dyscypliny i uświadomienia! Oskarżyciel fraternizuje się z obrońcą, konwojenci wtykają palec między cudze drzwi, wysyłają jakieś rezolucje. Och, nie łatwo zdobywa sobie teren dyktatura proletariatu i nowe sądownictwo! Ma się rozumieć nie wszystkie rozprawy mają tak niechlujny przebieg, ale ta przecież też nie była jedyna! Ileż to lat jeszcze minie zanim ukształtuje się, wyjaśni i umocni słuszna linia, zanim obrona stanie na tej samej pozycji, co prokurator i komplet sędziowski, zanim sam podsądny do nich się przyłączy, zanim masy poprą to jednolicie swoimi rezolucjami!

Przebadanie tego długiego szlaku – to szczytne zadanie przyszłych historyków. Co zaś do nas – to nie bardzo wiemy jak się poruszać w tej różowej mgle. Kogo pytać o dane? Rozstrzelani nie opowiedzą, rozproszeni nie zacytują. Ani podsądnych, ani adwokatów, ani konwojentów, ani obecnych na rozprawie – gdyby nawet ktoś z nich żył jeszcze – nie pozwolą nam przecież odszukać.

Cóż, jak widać, pomóc nam tu może tylko rzecznik oskarżenia.

Ktoś życzliwy udostępnił nam oto jeden z ocalałych egzemplarzy księgi przemówień oskarżycielskich płomiennego rewolucjonisty, pierwszego robotniczo-chłopskiego narkoma spraw wojskowych i dowódcy naczelnego, później – twórcy oddziału Sądów Specjalnych Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości (projektowano już osobiście dla niego specjalny tytuł Trybuna, ale Lenin to udaremnił), słynnego rzecznika oskarżenia w najważniejszych procesach, w końcu zdemaskowane-

go, jako zaciekle wróg ludu, słowem – M. W. Krylenki.¹⁶⁰ Jeśli więc chcemy mimo wszystko przyrzeć się choćby pokrótce najważniejszym procesom publicznym, jeśli bierze nas chęć, by podyszeć powietrzem sali sądowej pierwszych lat porewolucyjnych – musimy wczytać się w tę książkę. Nie ma innych źródeł. Trzeba też nadrobić własnym domysłem wszystko, czego brak i wszystko, co partykularne.

Oczywiście, wolelibyśmy mieć przed oczyma stenogramy tych procesów, usłyszeć zamogilne, dramatyczne głosy tych pierwszych podsądnych i tych pierwszych adwokatów, rozlegające się w dniach, gdy nikt jeszcze nie mógł przewidzieć, jak nieubłagana lawina zacznie się toczyć, porywając także tych z rewtrybunału.

Jednakże, jak wyjaśniał Krylenko, wydanie stenogramów „było rzeczą nie-dogodną z uwagi na szereg przeszkód technicznych”, dogodną zaś rzeczą było wydanie tylko jego oracji oraz sentencji trybunałów, które już wtedy całkowicie były zgodne z postulatami oskarżyciela.

Ponoć w archiwach rewtrybunałów – moskiewskiego i najwyższego – pannał wtedy (1923 rok) „bynajmniej nie idealny porządek... W przypadku wielu spraw stenogram... okazał się tak bardzo pogmatwany, że trzeba było albo wykreślać całe stronicę, albo rekonstruować tekst z pamięci!”. Szereg zaś „najpoważniejszych procesów” (w ich liczbie – sprawa buntu lewicowych eserów, sprawa admirała Szczastnego, sprawa angielskiego dyplomaty Lockharta) „prowadzony był w ogóle bez żadnego stenogramu”.

Dziwne. Sąd nad lewicowymi eserami to nie była fraszka – po Lutym i Październiku to był trzeci z najistotniejszych punktów węzłowych naszej historii, oznaczał przejście do systemu jednopartyjnego w naszym kraju. Rozstrzelano też niejednego. A stenogramu nikt nie pisał.

A znów „spisek wojskowy” z 1919 roku „zlikwidowany został przez WCZK w trybie represji pozasądowej”, czym w jeszcze większym stopniu „potwierdzało się jego istnienie”. (Aresztowano tam za jednym zamachem około 1.000 osób – a co, może dla każdego z nich robić osobne sądy?).

No i spróbuj w tych warunkach dojść ładu z procesami sądowymi onych lat...

Ale pewnych ważnych zasad, można się przecież doszukać. Na przykład super-oskarżyciel powiadamia nas, że WCIK¹⁶¹ ma prawo ingerencji w każdą sprawę sądową. „WCIK” utaskawia i skazuje na śmierć wedle swego rozeznania – i to bez żadnych ograniczeń (podkreślenia moje – A. S.). Na przykład, wyrok skazujący na 6 miesięcy zamieniony zostaje na 10 lat (i – jak to czytelnik chyba rozumie – nie zwołano w tym celu plenum WCIK, tylko wyrok został skorygowany, powiedzmy, przez Swierdłowa w jego gabinecie). Dzięki temu wszystkiemu – klaruje nam Krylenko – nasz system korzystnie się odróżnia od fałszywej teorii podziału władz, teorii o niezależności władzy sądowej. (Słusznie, boć sam Swierdłow już powiedział: „To dobrze, że u nas władze – ustawodawcza i wykonawcza nie są od siebie oddzie-

¹⁶⁰ N. W. Krylenko, Tych pięć lat (1918–1922). Mowy oskarżycielskie wygłoszone w najważniejszych sprawach rozpoznanych przez moskiewski i Najwyższy Trybunał Rewolucyjny. GIZ, Moskwa–Piotrogród, 1923 rok. Nakład 7.000 egzemplarzy.

¹⁶¹ Wszechzwiązkowy Centralny Komitet Wykonawczy.

lone, jak na Zachodzie, głuchym murem. Wszystkie „problemy można więc szybko rozwiązywać”. Zwłaszcza przez telefon).

Jeszcze bardziej otwarcie i jednoznacznie formułuje Krylenko w swoich przemówieniach sądowych ogólne zadania sowieckiego sądownictwa, w okresie, gdy sam sąd był „zarówno” prawodawcą (podkreślenie Krylenki)... jak narzędziem polityki (podkreślenie: moje – A. S.).

Prawodawcą – bo przez 4 lata nie było żadnego kodeksu: carskie odrzucono, swoich nie sporządzono. „I niech nikt mi nie mówi, że nasze sądy karne powinny opierać się wyłącznie na istniejących normach pisanych. Przeżywamy proces Rewolucji...”. „Trybunał – nie jest sądem, w którym mogłyby się odrodzić prawnicze wybiegi i kruczki... Jesteśmy twórcami, nowego prawa i nowych norm, etycznych”. Choćby nie wiem ile tu się gadało o wiecznotrwałych normach prawnych, sprawiedliwości i tak dalej – my już dobrze wiemy... jak drogo nas to wszystko kosztowało”.

(Ale jeśli WASZE wymiary kary porównać z NASZYMI, to może się okazać, że nie tak drogo? Może z tą wiecznotrwałą sprawiedliwością było jakoś przytulniej?...).

Właśnie dlatego nie są potrzebne prawnicze subtelności, że nie trzeba wcale wyjaśnień – czy podsądny jest winien, czy nie: pojęcie winy, to stare, burżuazyjne pojęcie, jest teraz potępione.

Tak więc, usłyszeliśmy od tow. Krylenki, że trybunał „nie jest sądem, w którym...”. Innym razem dowiadujemy się od niego, że trybunał – to w ogóle nie jest sąd. „Trybunał jest organem walki klasowej robotników, z którego czyni się użytek dla pokonania ich wrogów”, winien więc działać „w interesach rewolucji... dążąc do osiągnięcia najbardziej pożądanых dla robotniczych i chłopskich mas rezultatów” (podkreślenia wszędzie tu pochodzą ode mnie – A. S.).

Ludzie nie są po prostu ludźmi, lecz „indywidualnymi wyrazicielami określonych idei”. „Niezależnie od cech osobistych (podsądnego), należy wobec niego stosować tylko jedno kryterium: oceniać go z punktu widzenia pożytku klasowego.

To znaczy, że wolno ci istnieć, człowieku, tylko jeżeli to pożyteczne dla klasy robotniczej. Skoro zaś „sprawa tego pożytku wymagać będzie, by karzący miecz spadł na karki podsądnych, to żadne... argumenty słowne nie pomogą”. (No, wszelkie tam adwokackie wywody itd.). „W naszym rewolucyjnym sądownictwie nie kierujemy się paragrafami, nie dbamy o stopień okoliczności łagodzących; w trybunale musimy wychodzić z założeń celowości”.

W tych latach często tak bywało: żyli sobie ludzie, żyli, aż tu naraz okazywało się, że ich istnienie jest NIECELOWE.

Należy rozumieć to tak: nie to obciąża podsądnego, co już on uczynił, ale to, co MOŻE zrobić, jeśli go się zaraz nie rozstrzela. „Musimy bronić się nie tylko przed przeszłością – lecz także przed przyszłością”.

Deklaracje towarzysza Krylenki są jasne i wyczerpujące. Cały ten okres dziejów sądownictwa staje przed nami dzięki nim w pełnym świetle. Wiosenne opary ustępują nagle miejsca jesiennej przejrzystości. Może więc – nie trzeba drążyć dalej? nie trzeba kartkować jednego procesu po drugim? Te deklaracje będą wcielone w życie w sposób nieustępliwy.

Wystarczy zmrużyć oczy i wyobrazić sobie salkę sądową, jeszcze pozbawioną złoteń. Dociekliwych sędziów trybunalskich w skromnych frenczach, chuderlawych, z nienażartymi jeszcze gębami. Przedstawiciel zaś władzy oskarżają-

cej (tak sam siebie tytułuje z lubością Krylenko) nosi cywilną, rozpiętą surducinę, spod której wygląda marynarska, pasiasta koszulka.

Język, którym operuje główny oskarżyciel ma taki kształt: „interesuje mnie kwestia faktu!"; proszę skonkretyzować moment tendencji!"; „operujemy na płaszczyźnie analizy prawdy obiektywnej". Czasami strzeli znienacka łacińskim przysłowiem (co prawda, powtarza je przez kilka procesów z rzędu, dopiero po kilku latach dopracuje się drugiego). Ale też trzeba przyznać, że w trakcie tej rewolucyjnej bieganiny zdążył skończyć dwa fakultety. Co w nim ujmuje, to fakt, że o podsądnych wyraża się z całą bezpośredniością: „zawodowi nikczemnicy!". I nie bawi się w żadną hipokryzję. Nie podoba mu się na przykład uśmiech oskarżonej, więc jeszcze przed sentencją sądu, mówi złowrogo, kawa na ławę: „A co do was, obywatelko Iwanowa z tym waszym uśmiechem, to znajdziemy sposób, żeby już nigdy więcej się nie pojawił!".

Więc jak, ruszamy?

a) Sprawa gazety „Russkije Wiedomosti"

Był to jeden z pierwszych i najwcześniejszych wypadków sądu nad słowem. 24 marca 1918 roku ta znana „profesorska" gazeta wydrukowała artykuł Sawinkowa „Z podróży". Najmilej byłoby im schwytać samego Sawinkowa, ale gdzie go tu szukać, kiedy tę podróż diabli nadali? Zamknęli więc gazetę i posadzili na ławie oskarżonych sędziwego redaktora P. W. Jegorowa, proponując, by wyjaśnił, jak w ogóle się ośmielił? Toć Nowa Era trwa już 4 miesiące, czas byłby się przyzwyczaić!

Jegorow naiwnie się sumituje, że artykuł wyszedł spod pióra – „wybitnego działacza politycznego, którego opinie mają ogólniejsze znaczenie, niezależnie od tego, czy redakcja się z nimi zgadza". Dalej: nie wydaje się mu oszczerstwem twierdzenie Sawinkowa – „nie zapominajmy, że Lenin, Natanson i spółka przyjechali do Rosji via Berlin, to znaczy, że władze niemieckie okazały im pomoc przy organizacji powrotu do kraju" – ponieważ tak było w rzeczywistości: kajzerowskie Niemcy, znajdujące się w stanie wojny z Rosją, pomogły tow. Leninowi wrócić do kraju.

Krylenko woła, że wcale nie myśli wysuwać oskarżeń o oszczerstwo (dlaczegoż to?...) gazeta jest sądzona za próbę wpływania na stan umysłów! (Bo to może gazeta mieć takie cele?!).

Nie zarzuca się też gazecie wydrukowania zdania Sawinkowa: „trzeba być szaleńcem i zbrodniarzem, aby poważnie twierdzić, że międzynarodowy proletariát nas poprze" – ponieważ poprze nas jeszcze na pewno...

Za próbę zaś wpływania na stan umysłów wyrok brzmi jak następuje: gazetę wychodzącą od 1864 roku, która przetrzymała wszystkie niestychane nawroty reakcji za Uwarowa, Pobiedonoscewa, Stołypina, Kasso i jeszcze tylu innych – teraz zamknąć raz na zawsze (za jeden artykuł – i raz na zawsze! Tak właśnie trzeba, toć chodzi o władzę). Redaktora zaś Jegorowa... aż wstyd powiedzieć – prawie, jak w jakiejś Grecji... na trzy miesiące do izolátky. (Nie taki już wstyd, jeśli pomyślimy, że to dopiero 18. rok! że jeśli stary przetrzyma – to znów go wsadzą – i to ile razy jeszcze!).

Dziwne to, ale w ciągu tych lat sztormowych – łapówki brane były i dawane z tą samą serdecznością, jak bywało od dawien dawna w Rosji i jak po dziś dzień jest w Związku. Osobliwie zaś często obsypywano darami organy sprawiedliwości.

I – aż strach powiedzieć – Czekę. Oprawne w safian ze złoceniami tomy historii milczą, ale starzy ludzie, naoczni świadkowie, przypominają sobie, że inaczej niż za czasów stali– nowskich – losy więźniów politycznych w pierwszych latach rewolucji bardzo były zależne od łapówek: brano je bez krępacji i wypuszczano za nie uczciwie. I oto Krylenko, który z dorobku pięciolecia wybrał tylko tuzin procesów, mówi nam o dwóch takich sprawach. Niestety, i moskiewski, i Najwyższy trybunał dążyły do doskonałości nie prostą drogą, grzęzły w rozmaitym paskudztwie.

b) Proces trzech funkcjonariuszy śledczych trybunatu moskiewskiego (kwiecień 1918 roku)

W marcu 18. roku aresztowany został niejaki Beridze za spekulację złotymi płytkami. Żona jego, jak to zwykle, zaczęła szukać sposobów, by męża wykupić. Udało jej się uchwycić ogniwo łańcucha znajomości, prowadzących do jednego ze śledczych, ten wciągnął jeszcze dwóch kolegów, podczas tajnego spotkania zażądali oni od kobiety 250.000, po dłuższych targach zgodzili się na 60.000, z czego połowa – tytułem zadatku. Ustalili też, że komunikować się będą przez adwokata Grina. Wszystko poszłoby gładko, jak setki innych takich interesów i sprawa nie trafiłaby do kroniki Krylenki, ani na te stronicie (tym bardziej – na posiedzenie Sow-narkomu!) gdyby żona aresztanta nie zaczęła żałować pieniędzy, gdyby nie przyniosła Grinowi tylko 15.000 zaliczki, zamiast trzydziestu, a najważniejsze gdyby – jak to płocha niewiasta – w ciągu nocy nie doszła do wniosku, że adwokat jest za mało solidny, co sprawiło, że rano popędziła do kogo innego – do rzecznika przysięgłego Jakułowa. Nie wiadomo dokładnie kto, ale zdaje się, że to Jakułow postanowił złapać za rękę śledczych.

Interesującą stroną tego procesu jest, że wszyscy świadkowie, poczynając od pechowej żony, starają się składać zeznania na korzyść podsądnych i bagatelizować dowody obciążające (na procesie politycznym nie jest to możliwe!). Krylenko tłumaczy, że to z uwagi na ich filisterski światopogląd, że czują się oni obcy naszemu Trybunałowi Rewolucyjnemu. (My zaś ośmielimy się zauważyć tu po filistersku: a może świadkowie nauczyli się strachu w ciągu półrocza dyktatury proletariatu? Przecież to trzeba dużej odwagi żeby oskarżać śledczych rewtrybunału. A co później z człowiekiem będzie?..).

Interesująca jest też argumentacja oskarżyciela. Przecież jeszcze przed miesiącem podsądni byli jego współpracownikami, współbojownikami, pomocnikami, byli ludźmi bez reszty oddanymi interesom Rewolucji, jeden zaś z nich, Leist, był nawet „surowym oskarżycielem, gotowym, ciskać pioruny i błyskawice na każdego, kto się ośmieli podnieść rękę na nasze zasady” – i co teraz o nich powiedzieć? Skąd wziąć materiał do oskarżenia? (bowiem łapówka sama przez się nie jest wystarczającym obciążeniem). A wiadomo skąd: przeszłość! ankieta!

„Jeśli się przyjrzymy” temu Leistowi, „to znajdziemy nadzwyczaj ciekawe dane”. Jesteśmy zaintrygowani: czy to jakiś awanturnik z przeszłością? Nie, to syn profesora Uniwersytetu Moskiewskiego! A sam profesor też nie zupełnie zwykły, lecz taki, który ocalał w trakcie dwudziestoletnich nawrotów reakcji z tego powodu, że odnosił się zupełnie obojętnie do wszelkiej polityki. (Ale nie bacząc na reakcję, Krylenko też zdał nieźle, jako ekstern). Co tu się dziwić, że syn jego został dwulicowcem?

A Podhajski – ten jest synem jakiegoś urzędnika sądowego, na pewna czar-nosecińca, bo jakby mógł inaczej przez 20 lat wystugiwać się carowi? A synalek też szykował się do sądenia innych. Przyszła rewolucja – więc zaszył się z rewtrybunale. Jeszcze wczoraj wyglądało to szlachetnie, dziś – to ohydne!

Najpodlejszy z całej trójki to, rzecz jasna, Gugel. Był wydawcą – i cóż to proponował robotnikom i chłopom w charakterze stawy duchowej? – „karmił szerokie masy literacką zgnilizną” – nie dziełami Marksa, tylko książkami burżuazyjnych profesorów, oślawionych w całym świecie (tych profesorów też jeszcze zobaczymy na lawie oskarżonych).

Siedzi się i nie może się nadziwić Krylenko: co za typki zdołali wśliznąć się do kadry rewtrybunału! (My też nie możemy wyjść z podziwu: z kogóż to składają się robotniczo-chłopskie rewtrybunały? dlaczego proletariat kazał niszczyć swoich wrogów właśnie ludziom tego rodzaju?).

A dopiero ten adwokat Grin, „swój człowiek” w komisji śledczej, który może uzyskać zwolnienie dla nie wiedzieć kogo – to „typowy przedstawiciel tego podgatunku rodzaju ludzkiego, który Marks nazwał pijawkami ustroju kapitalistycznego”, w skład którego wchodzić prócz wszystkich adwokatów, także wszyscy żandarmi, duchowni, a nadto... rejenci...

Jak się zdaje Krylenko sił nie żałował, żądając bezlitośnie ostrego ukarania podsądnych – bez wdawania się w sprawę „indywidualnych odcieni i stopnia winy” – ale jakiś niedowład, jakieś odrętwienie padło na rzeźki zwykle trybunał, tak, że ledwie zdołał wymamrotać: śledczym po sześć miesięcy więzienia, adwokatowi – grzywnę. (Jedynie korzystając z prawa WCIK do „nieograniczonych” kar, Krylenko osiągnął tam, w dawnym hotelu „Metropol” tyle, że śledczym wrzepiono 10 lat, a krwio pijcy adwokatowi – 5 z konfiskatą całego majątku. Krylenko znów kazał mówić o swojej czujności i o mały włos, a dostałby tego swojego Trybuna).

Zdajemy sobie sprawę, że zarówno wśród ówczesnych rewolucyjnych mas, jak wśród naszych dzisiejszych czytelników, ten niefortunny proces może podkopać wiarę w nieziemską czystość trybunału. Z tym większym onieśmieleniem przecho-dzimy więc do następnego procesu, który dotyczy instytucji jeszcze jaśniejszą aureolą świętości otoczonej.

c) Sprawa Kosyriewa (15 luty 1919)

F. M. Kosyriew i jego kamraci, Libert, Rottenberg i Sołowiew służyli z początku w komisji zaopatrzenia Wschodniego Frontu (jeszcze w czasie walk z wojskami Konstytuanty, przed kampanią przeciw Kołczakowi). Stwierdzono, że na tych stanowiskach potrafili oni zagarniać od 70 tysięcy do miliona rubli jednorazowo, że rozjeżdżali kłusakami, że hulali z siostrami miłosierdzia. Ich komisja zdobyła dla siebie willę, automobil, ich magazynier urządzał libację w restauracji „Jar”. (Nie tak sobie zwykle wyobrażaliśmy rok 1918, ale rewtrybunał takie daje nam świadectwo).

Zresztą, nie o to chodzi w tej sprawie: nikogo z nich za sprawki na Wschodnim Froncie nie sądzono, ba, wszystko im zostało wybaczone. Ale dziw nad dziwy! Ledwie tylko zlikwidowano ich komisję zaopatrzenia – a już wszystkich czterech – na dodatek jeszcze – jakiegoś Nazarenkę, byłego włóczęgę z Syberii, koleżkę Kosyriewa z kryminalnej katorgi – powołano do utworzenia... Kolegium Kontrolno-Rewizyjnego WCzK!

Oto czym było to kolegium: miało ono pełne prawo do kontrolowania pracomocności działań wszystkich pozostałych organów Czeki, prawo odwołania i rewizji każdej sprawy w dowolnym stadium postępowania, oraz prawo anulowania decyzji wszystkich innych organów WCzK – z wyjątkiem tylko samego Prezydium tej instytucji!!! Nie jest to mało! Druga z kolei instancja w WCzK, ustępująca tylko Prezydium! – Pierwszy szereg to Dzierżyński – Uricki – Peters – Łaciś – Mienżyński i Jagoda – a zaraz potem oni!

Tryb życia naszych przyjaciół nie uległ przy tym zmianie, bynajmniej nie dali się opanować pysze i zarozumiałstwu: z jakimś Maksymiczem, z jakimś Łońką, Ra-failskim i Mariupolskim „nie mającym nic wspólnego z organizacjami komunistycznymi”, w mieszkaniach prywatnych i w hotelu „Savoy” urządzają sobie „wystawne przyjęcia... królują tam karty (w puli jest po tysiąc rubli), wódka i kobiety”. Kosyriew mebluje luksusowo dom (70.000) i nie gardzi wynoszeniem z WCzK srebrnych łyżek stołowych, srebrnych kubków (a skąd to się wzięło w WCzK?), a nawet zwy-czajnych szklanek. „Oto gdzie kieruje on swą uwagę... bynajmniej nie w stronę spraw ideowych, oto czego mu potrzeba od ruchu rewolucyjnego”. (Zarzekając się teraz pobranych łapówek, ten czołowy czekista nawet okiem – nie mrugnie, łżąc, że ma... 200.000 rubli spadkowych w Chicago, w banku! Wyobraża sobie widać realnie taką możliwość – równolegle z rewolucją światową!).

Jak tu zrobić prawidłowy użytek ze swojego nadludzkiego prawa do aresztowania i do zwalniania każdego, kogo dusza zamarzy? Najlepiej chyba upatrzeć sobie tę rybkę, która złotą ikrę niesie, a takich rybek w 1918 roku nie mało było w sieci. (Przecież rewolucję robiono zbyt pośpiesznie, nie dopilnowano tego i owego, ile też klejnotów, naszyjników, bransolet, obrączek, kolczyków zdążyły pochować te burżujskie damulki). A później nawiązać kontakty z rodzinami aresztowanych przez jakiegoś pośrednika.

Takie figury też widnieją na tym procesie. Jest wśród nich 22-letnia Uspienska-ja; ukończyła petersburskie gimnazjum, na wyższe studia się nie dostała, nagle wybuchły Sowiety, więc wiosną 1918 roku Uspienskaja zjawiła się w WCzK, proponując swoje usługi w charakterze informatorki. Wygląd miała odpowiedni, więc ją wzięto.

O donosicielstwie Krylenko pisze, że samo przez się „nie jest ono w naszych oczach niczym godnym potępienia, uważamy to za nasz obowiązek... nie hańbi sam fakt zajmowania się tą czynnością; jeżeli tylko człowiek dochodzi do wniosku, że jest to czynność niezbędna dla interesów rewolucji – to powinien się jej podjąć³³”. Ale, niestety, Uspienskaja jak się okazuje, nie ma politycznego credo! – to jest najgorsze. Mówi sama: „zgodziłam się, by mi płacono określone procenty” od każdej sprawy” i jeszcze miała dzielić się po połowie z kimś, kogo trybunał chroni, nie pozwalając wymienić z nazwiska. Krylenko takiego oto używa języka: Uspien-skaja „nie figurowała w spisach pracowników WCzK i pracowała od sztuk i³⁴”. Zresztą oskarżyciel ma ludzkie podejście i tak wyjaśnia: przyzwyczaiła się dziewczyna do nieliczenia się z pieniędzmi, co znaczy dla niej nędzne 500 rubli miesięcznej pensji w Komitecie Gospodarki, kiedy jedno poparcie (popchnąć sprawę kupca, który chce żeby mu zdjęto plomby ze składu) daje jej 5 tysięcy rubli, a inne – chodzi o Mieszczerską-Grews, żonę aresztowanego – 17 tysięcy. Nadto Uspien-skaja niedługo była szeregową konfidentką, z pomocą wybitnych czekistowjuż po kilku miesiącach została członkinią partii i funkcjonariuszką śledczą.

Ale wciąż jakoś nie możemy dojść do sedna sprawy. A. P. Mieszczerski, właściciel dużych zakładów, został aresztowany za niechęć do ustępstw w trakcie gospodarczych pertraktacji z rządem sowieckim (reprezentowanym przez J. Łarina). Jego żonę, J. I., podejrzaną o ukrywanie kosztowności i walut, czekał szantażować. Przychodzili sam do niej, rysując sytuację męża coraz to czarniejszymi barwami i żądając coraz większych sum za wykup z więzienia. Mieszczerska-Drews, doprowadzona do rozpacz, sama doniosła o tym szantażu. Jej powiernikiem był rzecznik przysięgły, Jakułow – ten sam, który już wsypał śledczych-łapowników i – jak widać – żywił klasową nienawiść do całego systemu proletariackiej procedury sądowej i pozasądowej, też popełnił klasyczny błąd: zamiast po prostu uprzedzić towarzysza Dzierżyńskiego i wszystko załatwić w rodzinie – kazał wydać Mieszczerskiej numerowane asygnaty (jakimi miała zapłacić łapówkę) i posadzić za kotarę w jej pokoju stenotypistkę. I tu zjawił się niejaki Goleniuk, serdeczny druh Kosyriewa, żeby ustalić cenę wykupu (zażądał 600 tysięcy rubli!). W ten sposób zastenografowane zostały wszystkie aluzje Godeluka do poparcia, jakie mu okazują Kosyriew, Sołowiow, inni komisarze, wszystkie jego opowieści o tym, kto w WCzK bierze i po ile tysięcy, a także uwiecznione zostało w stenogramie, jak Godeluk wziął 12.000 zaliczki i jak wydał Mieszczerskiej przepustki do WCzK, już wypisane przez Kolegium Kontrolno-Rewizyjne, przez Liberta i Rottenberga (bo tam, w WCzK miano się dalej targować). I wtedy został nakryty! I tak się stropił, że złożył zeznania! (A Mieszczerskaja zdążyła już odwiedzić, Kolegium Kontrolno-Rewizyjne i już zażądano stamtąd akt jej męża dla kontroli).

Ale chwileczkę! Toż takie rewelacje plamą anielskie szaty Czeki! Czy aby przy zdrowych zmysłach jest ten przewodniczący moskiewskiego rewtrybunału? Czy to jego sprawa?

Otóż była taka chwila, chwila, którą ukryto przed nami w zakamarkach naszej majestatycznej Historii! Okazuje się, że pierwszy rok działalności Czeki wywarł raczej odstręczające wrażenie nawet na partii proletariatu, która jeszcze nie do wszystkiego się przyzwyczaiła. Za ledwie jeden rok, tylko pierwszy krok był zrobiony przez WCzK a już – jak to niezupełnie jasno pisze Krylenko – powstał „konflikt między sądem i jego funkcjami – a pozasądowymi funkcjami Czeki... konflikt, który podzielił w tym okresie partię i robotnicze środowiska na dwa obozy. Dlatego też sprawa Kosyriewa mogła w ogóle być wszczęta (dotychczas wszystko uchodziło płazem) i mogła być rozdmuchana aż do rozmiarów ogólnopaństwowych.

Trzeba było ratować WCzK! Ratować WCzK! Sołowiow prosi trybunał o pozwolenie na wizytę u siedzącego w tagańskim więzieniu (niestety, nie na Łubiance!) Godeluka, aby z nim porozmawiać. Trybunał odmawia. Wówczas Sołowiow znajduje drogę do celi Godeluka także bez trybunału. Tu dziwnym trafem Godeluk od razu ciężko zapada na zdrowiu, a tak. („Trudno tu mówić o złej woli Sołowiowa” – składa grzeczny ukłon Krylenko). I – czując, że śmierć nadchodzi, Godeluk gorzko żałuje, iż mógł tak oszukać Czekę, prosi o papier i odwołuje na piśmie wszystko: nieprawdą jest to co kłamliwie mówił Kosyriewowi i innym komisarzom w WCzK, a także to, co zostało zastenografowane za kotarką – wszystko jest nieprawdą!¹⁶²

¹⁶² O, Ile tematów! Gdzie jesteś, Szekspirze! Sołowiow przeniknął przez mury, cień pada na cele, Godeluk słabnącą ręką pisze swoje odwołanie – a nam w teatrach i w kinach pokazują lata rewolucji tylko

„Ale kto te przepustki wypisał?” – nalega Krylenko, toć przepustki dla Mieszczerskiej nie wzięły się z powietrza? Nie, oskarżyciel „nie chce twierdzić, że Sołowiow jest zamieszany, bo tu... nie ma wystarczających danych, ale wyraża przypuszczenie, że „pozostali na wolności obywatele z masłem na głowie” mogli postać Sołowiowa naTagankę.

Byłby tu moment najwłaściwszy, by poddać przesłuchaniu Liberta i Rottenberga, nawet ich wezwano – ale się nie stawili! Po prostu nie przyszli, uchylili się. No to przepraszam, dawajcie tu Mieszczerską! Ale wyobraźcie sobie, że ta zahukana arystokratka też miała dość czelności, by nie zjawić się na wezwanie Rewtrybunału! Po historii z łapówką, Mieszczerki został wypuszczony na odpowiedzialność Jakułowa – i uciekł z żoną do Finlandii. Za to Jakułowa w chwili, gdy Kosyriew stanął przed sądem, też już zdołano zamknąć, znaleziono dla niego paragraf. Składał zeznania już pod konwojem, prowadzony z więzienia i wkrótce, mamy nadzieję, doczekał się rozstrzelania. (A teraz wciąż się dziwimy: jak mogło tak rozpleść się bezprawie? Dlaczego nikt z tym nie walczył? A Godeluk odwołał – i jest konający. A Kosyriew do niczego się nie przyznaje! A Sołowiow jest w ogóle niewinny! I nie ma komu zadawać pytań...

Za to jacy świadkowie odwodowi z własnej woli zjawili się w Trybunale! – zastępca przewodniczącego WCzK, towarzysz Peters – i nawet sam Feliks Edmundowicz przybył, zaniepokojony. Pociągł, tchnącą żarem twarz ascety obrócił ku zastygłym sędziom i z przejęciem występuje w obronie niewinnego Kosyriewa, w obronie jego najwyższych moralnych, rewolucyjnych i zawodowych zalet. Zeznania te, niestety, nie zostały w książce przytoczone, lecz Krylenko pisze: „Sołowiow i Dzierżyński wynosili tu pod niebiosa wspaniałe zalety Kosyriewa”. (Ach, nieostrożny panie chorąży! – po 20 latach przypomną ci na łubiance ten proces!). Łatwo się domyśleć, co mógł mówić Dzierżyński, że Kosyriew to żelazny czekista, bezlitosny wobec wrogów; że jest dobrym towarzyszem. Gorące serce, chłodna głowa, czyste ręce.

Tak oto staje przed nami spiżowa, rycerska postać Kosyriewa, oczyszczona ze śmiecia oszczerstw. Prócz tego – biografia świadczy o jego nietuzinkowej sile woli: przed rewolucją był kilkakrotnie sądownie karany – i tak jakby przeważnie za morderstwa: za to, że w mieście Kostromie podstępem, w celu ograbienia przedostał się do mieszkania staruszki Smirnowej i zadusił ją gołymi rękoma. Następnie – za prośbę ojcobójstwa i za zabicie kolegi, mające na celu wykorzystanie jego paszportu. W reszcie wypadków Kosyriew odpowiadał za oszustwo, a w ogóle wiele lat spędził na katorze (zrozumiały jest jego pęd do wystawnego życia!) i tylko carskie amnestie go ratowały.

W tym miejscu surowe, słuszne głosy najwybitniejszych czekistów przerwały tok mowy oskarżycielskiej, przypominając, że te wszystkie poprzednie wyroki były dziełem burżuazyjno-ziemiańskich sądów i że nie mogą być brane pod uwagę przez nasze nowe społeczeństwo. Ale co to? Pan chorąży zagalopował się, z oskarżycielskiej trybuny Rewtrybunału wyrąbał w odpowiedzi tyradę tak dalece podejrzaną ideowo, że aż nie wypada nam jej przytaczać, w tym regularnym szyku trybunalskich procesów:

przy dźwiękach „Czerwonej Warszawianki”. – „Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę, choć burza wrogich żywiołów wyje...”

„Jeżeli w dawnym, carskim sądownictwie było w ogóle coś dobrego i godnego naszego zaufania, to był to jedynie sąd przysięgłych... Do sentencji sądu przysięgłych można było zawsze mieć zaufanie, odsetek omyłek sądowych był tak minimalny”.

Tym boleśniej jest słyszeć podobne twierdzenia z ust towarzysza Krylenki, że trzy miesiące wcześniej, na procesie prowokatora Romana Malinowskiego którego Lenin faworyzował nie bacząc na to, że stawał już cztery razy przed sądem za kryminalne przestępstwa, człowieka, który mimo to, dokooptowany był do KG i został posłem do Dumy – rzecznik Władzy Oskarżającej zajął pozycję klasowo wyważoną:

„W naszych oczach każde przestępstwo jest produktem danego systemu społecznego i w tym sensie fakt, że ktoś był karany na podstawie praw społeczeństwa kapitalistycznego za carskich czasów – nie jest dla nas czymś, co plami człowieka raz na zawsze... Znamy wiele przykładów, gdy w naszych szeregach znaleźli się ludzie, mający w przeszłości podobne – fakty, ale nigdy nie wyciągaliśmy z tego wniosku, że trzeba wyrzucić takiego człowieka z naszego środowiska. Człowiek, znający nasze zasady nie powinien obawiać się, że jakaś kara odbyta w przeszłości postawi go poza naszymi szeregami...”.

Widzicie jak partyjnie potrafił się wyrażać towarzysz Krylenko! A w tym wypadku – z winy jego błędnych wywodów – padł cień na rycerską postać Kosyriewa. I powstała taka sytuacja, że towarzysz Dzierżyński zmuszony był na rozprawie oznajmić: „Mignęła mi na sekundę (no, tylko na sekundę! – A. S.) myśl, czy aby obywatel Kosyriew nie jest tu ofiarą politycznych namiętności, które ostatnimi czasy rozgorzały wokół Komisji Nadzwyczajnej?”

Krylenko potąpał się w lot: „Nie chcę i nigdy nie chciałem, by ta sprawa przestała być procesem przeciw Kosyriewowi i Uspienskiej, stając się procesem przeciw WCzK. Nie tylko tego nie mogę pragnąć, lecz winienem ze wszystkich sił z tym walczyć!” – „Na czele Komisji Nadzwyczajnej zostali postawieni najbardziej odpowiedzialni, uczciwi i wypróbowani towarzysze, którzy wzięli na swoje barki ciężki obowiązek zadawania ciosów, wraz z ryzykiem, że mogą się omylić... Za to Rewolucja powinna im wyrazić wdzięczność... Podkreślam tę stronę sprawy, aby mi... nikt później nie mógł powiedzieć, że stałem się narzędziem politycznej zdrady”. (Powiedzą mu to!).

Główny oskarżyciel stąpał po ostrzu noża! Ale miał, jak widać, jakieś kontakty, jeszcze z czasów konspiracji, dzięki którym dowiadywał się, jaki obrót przyjmą sprawy jutro. Widać to z przebiegu paru procesów i tego również. Były jakieś powiewy w początkach 1919 roku – że już dosyć!, że czas już okiełznać WCzK! Tak, była taka chwila i „znakomicie jest to wyrażone, w artykule Bucharina, tam, gdzie mówi on, że miejsce prawa rewolucji powinna zająć rewolucyjna praworządność⁴¹”.

Wszędzie ta dialektyka! I z ust Krylenki wrywa się nawet: „Rewtrybunał powinien zająć miejsce nadzwyczajnych komisji”. (ZAJĄĆ MIEJSCE?!...). Powinien on zresztą „budzić nie mniej strachu w sensie realizacji systemu odstraszania, terroru i gotowości do ciosu, niż budziła Komisja Nadzwyczajna”.

Budziła?... Więc już ją pochował? Chwileczkę – chcecie zająć jej miejsce, a czekał gdzie się podzieje? Groźne chwile! Tu już warto nawet składać zeznania w długim do pięt szynelu.

Ale może źródła wasze-klamią, towarzyszu Krylenko?

Tak, niebo nad Łubianką zaćmiło się w tych dniach. I cała ta książka mogła być mieć inną treść. Ale myślę, że pokwapił się żelazny Feliks do Włodzimierza Iljicza, porozmawiał, wyjaśnił to i owo. I – mgły się rozproszyły. Chociaż po dwóch dniach, 17 lutego 1919 roku, WCzK pozbawiona została swoich sądowych (ale pozasądowe zostały w mocy, prawa?) uprawnień – "ale nie na długo!".

A nasza jednodniowa rozprawa jeszcze przez to się skomplikowała, że podła Uspienskaja zachowała się obrzydliwie. Nawet siedząc już na ławie oskarżonych „obrzuciła błotem” jeszcze innych wybitnych czekistów, wcale nie wplątanych w ten proces, nawet samego towarzysza Petersa! (Okazało się, że wykorzystwała jego czyste nazwisko do swoich operacji szantażowych; całkiem bez ceregieli siedziała już w gabinecie Petersa przy jego rozmowach z innymi pracownikami wywiadu). Teraz robi ona aluzje do jakichś ciemnych spraw z przedrewolucyjnej przeszłości tow. Petersa w Rydze. Widzicie jaka żmija wyrosła z niej w ciągu 8 miesięcy, nie bacząc na to, że przez cały ten czas przebywała pośród czekistów! Co tu z taką począć? Ale tu Krylenko całkowicie jest zgodny; z opinią czekistów: „póki nie umocni się nasz ustrój, a jeszcze do tego daleko (?czyżby?)... w interesie obrony Rewolucji... nie ma i nie może być żadnej innej kary dla obywatelki Uspienskiej, jak likwidacja jej”. Nie – rozstrzelanie, „powiedział wyraźnie: likwidacja! a to młoda jeszcze dziewczyna, obywatelu Krylenko! No, dajcie jej dziesiątaka, no, nawet ćwiartkę, przecież do tego czasu ustrój się chyba umocni? Niestety: „Innej odpowiedzi nie można oczekiwać w interesie społeczeństwa i Rewolucji – i nie można inaczej stawiać kwestii. Żadna izolacja w danym wypadku nie da skutku!”.

Ale im dogodziła... Widać dużo wie...

A Kosyriewa też trzeba było spisać na straty. Rozstrzelany. Za to inni lepiej się uchowają.

I czy kiedykolwiek uda nam się przestudiować stare, łubiańskie archiwa? Nie, spalał je. Już je spalili.

Jak czytelnik widzi, był to proces niezbyt ważny, można byłoby nie poświęcać mu dłuższej uwagi. Ale oto:

d) Sprawa „Klerykalów” (11–16 styczeń 1920 roku)

Zajmie ona – zdaniem Krylenki – „należne jej miejsce w kronikach rosyjskiej rewolucji”. Nie gdzie indziej, tylko w kronikach. Dlatego to Kosyriewa załatwiono w ciągu jednego dnia, a tych tutaj maglowano pięć dni.

Oto główni podsądni: A. D. Samarin (znana w Rosji osobistość, były ober-prokurator Synodu, czynny zwolennik usamodzielnienia się cerkwi od władzy carskiej, wróg Rasputina, wygryziony przez niego ze stanowiska);¹⁶³ Kuzniecowa, profesor prawa kanonicznego Uniwersytetu Moskiewskiego; moskiewscy protojereje Uspieski i Cwietkow. (O Cwietkowie mówi sam oskarżyciel: „wybitny działacz społeczny, przedstawiciel najlepszego z możliwych typów duchownych, filantrop”).

A oto ich winy: utworzyli „Moskiewską Radę Zjednoczonych Parafii”, ta zaś zorganizowała (spośród wiernych w wieku od 40 do 80 lat) dobrowolną obronę patriarchy (oczywiście, nieuzbrojoną), ustanawiając w jego domuienne i nocne dyżury, których zadanie polegało na tym, by w razie niebezpieczeństwa,

¹⁶³ Ale oskarżyciel uważa, że Samarin, czy Rasputin – to żadna różnica.

grożącemu patriarsze ze strony władz – zwoływać ludzi biciem w dzwony czy telefonicznie, a później całym tłumem iść w ślad za patriarchą, dokądkolwiek by go uprowadzono i prosić (to właśnie jest kontrrewolucja) Sownarkom o uwolnienie go!

Co za staroruski, świętoruski zamysł! – zbierać się na dźwięk dzwonów i prosić czotobitnie, a tłumnie!...

Oskarżyciel nie może się nadziwić: jakie to niebezpieczeństwo grozi patriarsze? Skąd ten pomysł, by go bronić?

No i rzeczywiście; tyle, że już od dwóch lat Czeka stosuje pozasądowe represje wobec tych, co jej zawadzają; tyle, że dopiero co, w Kijowie, czterech czerwonoarmistów zabiło metropolitę; tyle, że akta sprawy patriarchy Już są skompletowane, wystarczy tylko postać je do Rewtrybunału", a jedynie z uwagi na oględny stosunek do szerokich robotniczo-chłopskich mas, które znajdują się jeszcze pod wpływem klerykalnej propagandy, zostawiamy tych naszych wrogów klasowych chwilowo w spokoju" – więc skąd ten cały lęk wiernych o los patriarchy? Przez te dwa lata patriarcha Tichon nie milczał – rozsyłał orędzia do komisarzy ludowych, do duchowieństwa i do swojej trzódki; te orędzia (oto pierwszy Samizdat!) nie przyjmowane przez drukarnie, przepisywane były na maszynach; piętnował w nich zgładzenie tylu niewinnych, rujnowanie kraju – po cóż więc teraz lękać się o los patriarchy?

A oto inna zbrodnia podsądnych. W całym kraju mają miejsce rejestracje i konfiskaty sprzętu cerkiewnego (to już po zamknięciu klasztorów, zabranii gruntów i majątków, to już mowa o paterach, kielichach i kadzielnicach) – Rada zaś parafii rozesała odezwę do wiernych: nie pozwalać na te rekwizycje, bić w dzwony. (To chyba naturalne. Przecież przed Tatarami też tak broniono świętyń!).

Trzecia zbrodnia: bezczelne, ciągłe składanie petycji do Sownarkomu W sprawie naigrawania się władz terenowych z cerkwi, wypadków otwartego bluźnierstwa i łamania prawa swobody sumienia., Petycje te nie miały skutku (poświadcza to Boncz-Brujewicz, szef kancelarii Sownarkomu), ale doprowadzały do dyskredytacji działaczy terenowych.

Gdy już znane są winy podsądnych, jakiego odwetu tu żądać za te okropne zbrodnie? Czy nie podpowie czytelnikowi odpowiedzi rewolucyjne sumienie? Ależ wyłącznie ROZSTRZELANIA! Tegoż też żądał Krylenko (dla Samarina i Kuzniecowa).

Ale podczas gdy borykano się z tą przeklętą praworządnością i słuchano zbyt długich przemówień licznych burżuazyjnych adwokatów (których nam nie zacytowano ze względów technicznych) stało się wiadome, że... skasowano karę śmierci! Masz ci los! Nie może być, jak to? Okazuje się – Dzierżyński wydał taki rozkaz WCzK. (Czeka ma się obejść bez rozstrzeliwania?...) A czy Sownarkom rozciągnął to na trybunały? Jeszcze nie. Więc Krylenko podniósł się na duchu. I dalej żądał rozstrzelania, tak to uzasadniając:

„Jeśli nawet założyć, że coraz pewniejsza sytuacja Republiki wyklucza bezpośrednie niebezpieczeństwo ze strony takich osób, jednak wydaje mi się bezprzeczone, że w tym okresie pracy od podstaw... uwolnienie się od dawnych działaczy-kameleonów jest postulatem rewolucyjnej konieczności". „Decyzja WCzK o rezygnacji z kary rozstrzelania jest przedmiotem dumy władzy sowieckiej". Ale – to Jeszcze nie zobowiązuje nas do przekonania, że kwestia skasowania tej kary jest

rozwiązana raz na zawsze... że to dotyczy także przyszłych dziejów władzy sowieckiej”.

Trafne prorocstwo! Przywróć rozstrzelanie, przywróć – i to nawet bardzo prędko! Toć jeszcze tylu czeka w kolejce na swoją kulę! (Także – sam Krylenko i wielu jego klasowych braci...).

Cóż, trybunał był posłuszny, skazał Samarina i Kuzniecowa na rozstrzelanie, ale dopasował sentencję do amnestii: obóz koncentracyjny aż do ostatecznego zwycięstwa nad światowym imperializmem! (Do dziś dnia powinni by siedzieć...). Przedstawiciel zaś „najlepszego z możliwych typów duchownych” – dostał 15 lat z zamianą na piątala.

Byli jeszcze inni podsądni, przyczepieni do procesu, aby mieć choć trochę namacalnych danych na podporządku: zakonnicy i nauczyciele ze Zwienigorodu, oskarżeni w sprawie datującej się z lata 1918 roku, ale z nieznanych powodów nie sądzeni dotąd (a może już raz sądzeni, a teraz jeszcze raz, jako że to mogło być celowe). Tego lata u ihumena Jony¹⁶⁴ w zwienigorodskim klasztorze stawili się przedstawiciele władzy sowieckiej żądając („duchem, prędzej!”) wydania relikwii błogostawionego Sawwy. Przedstawiciele urzędu nie tylko palili przy tym w cerkwi (przypuszczalnie – również przed ołtarzem) i – rzecz jasna – nie zdjęli czapek, ale ten, który miał w ręce czaszkę Sawwy miał ją opluć chcąc pokazać, że świętość to tylko pozór. Były też inne bluźnierstwa. W rezultacie – bicie w dzwony, bunt ludowy, ktoś z przedstawicieli władzy został zabity. Pozostali twierdzili później, że nie bluźnili i nie pluli, a Krylenko zadowolił się ich oświadczeniem.¹⁶⁵ Myślicie zatem, że teraz sądzono także... tych przedstawicieli? Bynajmniej, sądzono zakonników.

Prosimy, aby czytelnik nie tracił przez cały czas, z oczu faktu, że już od 1918 roku ustaliło się w naszym sądownictwie, iż każda moskiewska rozprawa (oczywiście – prócz niesprawiedliwego procesu pracowników Czeki) nie była uważana za oderwany wypadek sądu nad przypadkowym zbiorem przestępczych działań, lecz rozumiana była jako kierunkowskaz dla polityki sądowniczej; za przykład orzecznictwa, obowiązujący dla prowincji, za wzór, podobnie jak w podręczniku arytmetyki na początku każdego rozdziału przytacza się typowe rozwiązanie, na którym uczniowie mają się opierać przy samodzielnych wypracowaniach.

Jeśli więc powiedziane zostało – „proces klerykałów”, to powinniśmy tu zakładać istnienie liczby mnogiej. Zresztą, sam główny oskarżyciel chętnie nam wyjaśnia: „prawie przez wszystkie trybunały Republiki przewaliły się (co za słówko!) podobne procesy. Całkiem niedawno toczyły się przed trybunałami w Północnym Dwińsku, Twerze, Riazaniu, w Saratowie zaś, Kazaniu, Ufie, Solwyczegodsku, Carewokoksztajsku przed sądem stanęło samo duchowieństwo i psalmiści, aktywiści i studzy niewdzięcznej cerkwi, które Październikowa rewolucja dała wolność”.

¹⁶⁴ 46 Były gwardzista–kawalergard Yierhof, który „później znienacka przeszedł duchową przemianę, wszystko rozdał biednym i poszedł do klasztoru – zresztą, powiada Krylenko – nie wiem, czy naprawdę miało miejsce to rozdawanie”. Pewno, skoro założyć, że zdarzają się duchowe przemiany – to co zostanie z teorii przynależności klasowej?

¹⁶⁵ Któż tych scen nie pamięta? Oto pierwsze wspomnienie w moim życiu: miałem zapewne trzy–cztery lata. Do kisłowodzkiej cerkwi wchodził ostrogłowi (czekiści w sukiennych pikielhaubach – budionówkach) przepychają się przez oniemiały tłum modlących się i nawet nie zdejmując swoich szyszaków, przerywają nabożeństwo, idąc prosto ku ołtarzowi.

Czytelnik zauważy tu sprzeczność: dlaczego wiele z tych procesów poprzedziło moskiewską rozprawę? Wynika to tylko z luk w naszej narracji. Sądowe i pozasądowe prześladowania wyzwolonej cerkwi – zaczęły się jeszcze w 1918 roku i – sądząc ze sprawy zwienigorodskiej – już wtedy osiągnęły duży stopień ostrości. W październiku 1918 roku patriarcha Tichon pisał w orędziu do Sownarkomu, że nie ma wolności głoszenia słowa bożego, że „już krew męczeńską przelali za nią liczni odważni kaznodzieje cerkiewni... Położyliście rękę na majątku Cerkwi, zgromadzonym staraniami pokoleń wiernych i nie powstrzymaliście się przed pogwałceniem ich ostatniej woli”. (Narkomowie, jasna rzecz, orędzi nie czytali, a kierownicy działów gospodarczych zrywali chyba boki: też wyrzut wymyślił – ostatnia wola! A gwizdać nam na przodków! – pracujemy dla potomności). „Kaźń spotyka prałatów, duchownych, zakonników i zakonnice, którzy nic nie zawinili, Wyłącznie na mocy ogólnikowego zarzutu kontrrewolucyjności”. To prawda, że na wieść o zbliżaniu się wojsk Denikina i Kołczaka wstrzymano te prześladowania, po to, by prawosławnym ułatwić obronę rewolucji. Ale zaledwie wojna domowa zaczęła przygasać, znów zabrano się do cerkwi i oto już zaczęło się to przewalać przez trybunały, a w 1920 roku cios spadł nawet na Ławrę Trojce-Sergijewską: dobrano się do relikwii tego szowinisty Sergieja Radonieżskiego, i przerzucono je do muzeum moskiewskiego⁴⁹.

Wydany też był okólnik Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości (z 25 sierpnia 1920 roku) o likwidacji w ogóle wszystkich relikwii, właśnie bowiem one utrudniały nasz świetlany marsz ku nowemu, sprawiedliwemu społeczeństwu.

!> Patriarcha cytuje historyka Kluczewskiego: „Wrota ławry Błogostawionego zamkną się i lampy nad jego grobowcem pogasną dopiero wtedy, gdy roztrwonimy bez reszty cały zapas dachowy naszych moralnych sił, który przypadł nam w schedzie po wielkich budowniczych Rosji, takich, jak błogostawiony Sergiej”. Kluczewski nie mógł przypuszczać, że to marnotrawstwo będzie mieć miejsce niemal jeszcze za jego życia.

Patriarcha prosił o audiencję u Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, aby przekonać go, że nie trzeba kłaść ręki na ławrze i relikwiach, bo przecież nastąpiło oddzielenie państwa od cerkwi! Otrzymał odpowiedź, że przewodniczący zajęty jest ważnymi sprawami i że audiencja nie może mieć miejsca w ciągu najbliższych dni.

Ani – w ciągu najpóźniejszych.–

309

Wertując dalej wybór Krylenki przyjrzyjmy się z kolei rozpatrzonej przez N a j tryb (taki to miły skrót był wśród nich w użyciu, tylko na nas, biednych robaczków, uroczyście pohukiwali: wstać! sąd idzie!).

e) Sprawie „Centrum taktycznego” (16–20. VIII. 1920 rok) przeciwko 28 pod-sądnym i pewnej ilości osób sądzonych zaocznie, bo niedosięglych.

Głosem jeszcze nie schrypniętym, na początku płomiennego przemówienia, cały w blasku klasowych analiz, powiada nam oskarżyciel naczelny, że prócz ziemian i kapitalistów, „istniała i kontynuuje swoje istnienie jeszcze jedna warstwa społeczna, nad której społeczną egzystencją od dawna j u z się zastanawiają przedstawiciele rewolucyjnego socjalizmu. To warstwa tak zwań ej inteli-gencj i... Niniejszy proces to sąd historii nad działalnością rosyjskiej inteligencji⁵⁰” i sąd rewolucji nad nią samą.

Bardzo ograniczone ramy naszej analizy nie dają nam możliwości wyjaśnienia w jak, i ni to sensie ZASTANAWIALI SIĘ PRZEDSTAWICIELE rewolucyjnego socjalizmu nad losami tak zwanej inteligencji i co właściwie dla niej wymyślili? Pociesza nas jednak fakt, że materiały te są opublikowane, ogólnie dostępne i mogą być zgromadzone w sposób możliwie pełny. Tylko więc po to, by ogólna sytuacja w Republice stała się jaśniejsza, przypomnimy opinię ówczesnego Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, wyrażoną w latach, gdy wszystkie te rozprawy miały miejsce przed Rewtrybunałem.

W liście do Gorkiego z 15 września 1919 roku (już go cytowaliśmy) Włodzimierz Ilijcz odpowiada na interwencje Gorkiego w sprawie aresztowań inteligentów. O nich i o głównej masie ówczesnej rosyjskiej inteligencji („kadetopodobnej”) powiada, że „w istocie to n i e m ó z g narodu, lecz jego łaj n o51”. Innym razem mówi Gorkiemu: „to jej (inteligencji) winą będzie, jeśli rozbijemy zbyt wiele garnków”. Jeśli szuka ona sprawiedliwości – to dlaczego nie idzie do nas?... „Kulę dostałem właśnie od inteligencji52” (ma na myśli zamach Fanny Kapłan).

Przy takim nastawieniu, jego wypowiedzi o inteligencji nacechowane są nieufnością, wrogością: zgniło liberalna; „bogobojna”; „ślamazar-ność, tak typowa dla wykształconych osób 53”; uważał, że inteligencja niczego nie potrafi prze-myśleć do końca, że „zdradziła sprawę

Krylenko, str. 34.

Lenin, wyd. V, t. 51, str. 48.

W. I. Lenin i A. M. Górki – wyd. Akademii Nauk, Moskwa, 1961 rok, str. 263.

Lenin, wyd. IV, tom 26, str. 373.

310

robotnicz q”. (Ale kiedyż to przysięgła ona na wierność s p r a-w i e r o b o t n i c z e j?)

To wyszydzanie inteligencji, tę pogardę dla niej przejęli później pewną ręką publicyści lat 20. i gazety lat 20., i ludzie z ulicy i wreszcie – sami inteligenci, przeklinając swoją wieczną niekonsekwencję, wieczną dwoistość, wieczny brak kręgo-słupa i beznadziejne nienadążanie za epoką.

I słusznie! Oto grzmi pod sklepieniem Naj trybu głos Rzecznika Władzy Oskarżającej i każe nam wrócić na ziemię:

„Ta warstwa społeczna... poddana została w ciągu tych lat próbie ogólne-go przewartościowania”. Przewartościowania, to wyrażenie często wtedy powta-rzano. I jakże wypadło to przewartościowanie? Ot, jak: „Rosyjska inteligencja, któ-ra w ognisty krąg rewolucji wkroczyła pod hasłem Judowładztwa (a jednak coś tam było!) wyszła z niego jako sojuszniczka czarnych (nawet nie białych!) genera-łów, jako najemniczka i sojuszniczka europejskiego imperializmu. Inteligencja zdeptała własne sztandary i zbryzgała je błotem 54”.

I tylko dlatego „nie ma powodu dobijać poszczególnych jej przedstawicieli”, że „ta grupa społeczna już się przeżyła”.

Mówi to na progu XX wieku! Co za siła przewidywania! O, naukowci rewolu-cjoniści! (Dobijać jednak trzeba było. Przez całe lata dwudzieste nic, tylko dobijali).

Z uczuciem niechęci przyglądamy się fizjognomiom 20 sojuszników czarnych generałów, pachotków europejskiego imperializmu. Szczególnie bije w nos odór tego Centrum – bo to było i Centrum Taktyczne, i Centrum Narodowe, i Prawicowe Centrum (a zarazem przypominają się z procesów tego dwudziesto-lecia inne Centra i same tylko Centra: inżynierskie, mienszewickie, trockistowsko–

zinowiewowskie, prawicowo-bucharinowskie, a wszystkie rozgromione, wszystkie starty na proch – i tylko dzięki temu jeszcze wszyscy jesteśmy wśród żywych). A już gdzie Centrum, tam na pewno działa ręka imperializmu.

Co prawda, trochę lżej robi się na sercu, gdy słyszymy dalej, że Centrum Taktyczne, nad którym odbywa się właśnie sąd, nie było organizacją, żenie miało: 1) statutu, 2) programu, 3) składek członkowskich. A co miało? A miało spotkania (mrowie przechodzi). Przy spotkaniach członkowie jego zapoznawali się z poglądami rozmówcy (mróz po kościach).

54 Krylenko, str. 54.

311

Bardzo ciężkie oskarżenie, a nadto poparte dowodami rzeczowymi: na 28 oskarżonych 2 (słownie – dwa) dowody rzeczowe^{5S}. Są to dwa listy nieobecnych (znajdują się za granicą) działaczy: Miakotina i Fiodorowa. Są nieobecni, ale przed Październikiem należeli do tychże rozmaitych Komitetów, do których należeli obecni, co daje nam prawo utożsamiać nieobecnych z obecnymi. A czego dotyczą te listy? A różnicy zdań Denikinem, co do takich drobnostek, jak kwestia chłopska (nie mówi nam się tego, Ale jasne jest, że radzą oni Deniki-nowi, by oddał ziemię chłopom), kwestia żydowska (zapewne – żeby nie wracać do przedrewolucyjnych ograniczeń), problem federacyjno-narodowy (to już jasne), sprawa systemu administracyjnego (demokracja, nie zaś dyktatura) i inne. I jakież wnioski z tych dowodów? Bardzo proste: zostało dzięki nim wykazane, że korespondowali i byli całkowicie zgodni z Denikinem! (Wrr... hau, hau!).

Ale są też bezpośrednie zarzuty wobec oskarżonych: wymiana informacji ze znajomymi, mieszkającymi na peryferiach (na przykład w Kijowie), nie znajdującymi się w zasięgu centralnej władzy sowieckiej! To znaczy, powiedzmy, dawniej to była Rosja, ale później dla dobra rewolucji światowej odstąpiliśmy ten kawałek Niemcom, a tu ludzie dalej posyłają sobie liściki: jak tam się panu żyje, .panie Iwanie?... Co do nas, to tak, a tak... I N. M. Kiszkin (członek KC partii konstytucyjnych demokratów) nawet na ławie oskarżonych bezczelnie próbuje się usprawiedliwiać: „człowiek nie chce być ślepy i usiłuje dowiedzieć się wszystkiego, co się wszędzie dzieje”.

Dowiedzieć się WSZYSTKIEGO, co dzieje się WSZĘDZIE?... Nie chce być ślepym?... A więc słusznie kwalifikuje oskarżyciel ich czyny jako z d r a d ę! w stosunku do Władzy Sowieckiej!!

Ale oto najokropniejsze ich występki: w samym wirze wojny domowej ci ludzie... pisali jakieś dzieła, układali memoranda, projekty. Tak, ci „znawcy prawa administracyjnego, nauk finansowych, stosunków gospodarczych, sądownictwa i systemu oświatowego” p i s q li, d z i e ł a! (I, jak łatwo zgadnąć, wcale nie opierając się o znane prace Lenina, Trockiego i Bucharina...). Profesor S. A. Kotłarewski – o federacyjnym ustroju Rosji, W. J. Stępkowski – o kwestii rolnej (i zapewne – nie zakładał kolektywizacji), W. S. Muralewicz – o oświacie ludowej w przyszłej Rosji, prof. Kartaszew – projekt ustawy o wyznaniach A (wielki) biolog N. K. Kolców (któremu kraj ojczysty nie dał dotąd nic, poza prześladowaniami i ciężkimi karami) pozwalał tym burżuazyj-

5! Krylenko, str. 38.

312

nym żubrom zbierać się na rozmowy w swoim instytucie. (Znalazł się w tym towarzystwie także N. K. Kondratiew, który w 1931 roku ostatecznie będzie skazany przy okazji sprawy T.K:P. – rzekomo istniejącej Chłopskiej Partii Pracy).

Oskarżycielskie instynkty grają nam już w piersi w przeczuciu wyroku. No, jaka spadnie kara na tych generalskich pachotków? Zasłużyli tylko na – rozstrzelanie! To już nie żądanie oskarżyciela, to już s e n – tencja trybunału! (Niestety, złagodzone ją później: obóz koncentracyjny do końca wojny domowej).

Na tym właśnie polega вина pod sądnych, że nie siedzieli w swoim kątku, gryząc swoją ćwiartkę chleba, tylko „zmawiali się i porozumiewali między sobą co do tego, jaki ma być ustrój państwa, po upadku ustroju sowieckiego”.

W języku współczesnej nauki nazywa się to badaniem rozwiązania alternatywnego.

Głos oskarżyciela jest grzmiący, ale jakieś słyszymy w nim pęknięcie, tak jakby chwilami szperał okiem po blacie swojej trybuny, jakby szukał papierka? Cytały? Chwileczkę! Trzeba podrzucić! Może to, Mikołaju Wasiliewiczu, proszę bardzo:

„dla nas znęcaniem się jest już sam fakt trzymania więźniów politycznych za kratą...”..

Oho! Trzymanie politycznych w więzieniu – to znęcanie się! I to mówi oskarżyciel! – co za szerokie poglądy! Wstaje słońce nowego prawodawstwa! Dalej:

„...Walka z carskim rządem była ich (politycznych) drugą naturą i nie walczyć z caratem oni nie potrafili⁵⁶!!, Podobnie, jak nie potrafili nie badać rozwiązań alternatywnych?... A może myślenie – to po prostu druga natura inteligenta?

Ach, nie ten cytat podsunął mu ktoś z innego procesu, co za niezręczność! Aż wstyd! Ale Mikołaj Wasiliewicz już tokuje:

„I n a w e t gdyby oskarżeni tu, w Moskwie nie kiwnęli palcem – (wygląda na to, że tak właśnie było) – to wszystko jedno:...w takiej chwili nawet rozmówki przy szklance herbaty o tym, jaki ustrój powinien zastąpić ginącą rzekomo władzę sowiecką – są aktem kontrrewolucyjnym. Podczas wojny domowej przestępstwem jest nie tylko działanie, (przeciw władzy sowieckiej)... przestępstwem jest leż bezczynność⁵⁷”.

36 Krylenko, str. 17. 57 Str. 39.

313

No, teraz rozumiemy. Skażę ich na rozstrzelanie za bezczynność. I picie herbaty.

Albo na przykład – pietrogradzcy inteligenci postanowili w wypadku wkroczenia wojsk Judenicza „przede wszystkim zatroszczyć się o zwołanie demokratycznej rady miejskiej” (to znaczy – bronić się przed generalską dyktaturą).

Krylenko: – Chce mi się krzyknąć: „Powinniście byli myśleć przede wszystkim o tym, żeby paść trupem, ale przegrodzić drogę Jude–niczowi!!”.

A ci nie padli.

(Zresztą – Mikołaj Wasiliewicz także nie padł).

A był jeszcze taki podsądny, który był świadom wszystkiego! a milczał. (Po naszymu – „wiedział, a nie powiedział”).

A oto już nie bezczynność, tylko czynny występki: za pośrednictwem L. N. Chruszczowej, członkini politycznego Czerwonego Krzyża (też tutaj siedzi, na ławie oskarżonych) niektórzy podsądni wspomagali więźniów z Butyrek pieniędzmi (można wyobrazić sobie ten potok kapitałów – na rachunek kantyny więziennej!) i rzeczami (może nawet z czystej wełny?!).

Te zbrodnie nie mają kresu! Niech więc także proletariacki odwet nie zna granic!

Jak z padającej na ziemię kamery filmowej, skośnym, zmaczonym łańcuszkiem miga przed nami dwadzieścia osiem męskich i kobiecych twarzy przedrewolucyjnego typu. Nie zdążyliśmy zobaczyć ich wyrazu! – czy są nastraszone? pogardliwe? dumne?

Toż nie ma ich wypowiedzi! Ani ostatniego słowa! – ze względów technicznych... Starając się nadrobić ten brak, oskarżyciel wywodzi nam swoje trele: „Było to bezustanne samobiczowanie i kajanie się za popełnione błędy. Polityczna niedojrzałość i międzywarstwowy charakter (a tak, to też na dodatek, międzywarstwowy charakter!) inteligencji... W tym wypadku całkowicie potwierdziła się marksistowska ocena inteligencji, jaką zawsze dawali jej bolszewicy⁵⁸”.

A cóż to za młoda kobieta tam mignęła?

To córka Lwa Tołstoja, Aleksandra. Pyta Krylenko – jaki był jej udział w tych spotkaniach? Odparła: „Nastawiałam samowar!” – Trzy lata obozu koncentracyjnego!

Krylenko, str. 8.

314

Z wydawanego za granicą czasopisma Na czużoj storonie* możemy dowiedzieć się, co się tam naprawdę zdarzyło

Jeszcze latem 1917 roku przy Rządzie Tymczasowym uformował się Związek Działaczy Społecznych pragnący dopomóc w doprowadzeniu wojny do zwycięskiego końca i starający się przeciwdziałać socjalistycznym tendencjom, szczególnie eserowskim. Po przewrocie październikowym wielu wybitniejszych działaczy tego związku wyjechało, inni zostali w kraju, gdzie nie można już było zwoływać zjazdów i zajmować się działalnością organizacyjną, ale inteligenci mieli już we krwi zwyczaj refleksji, chcieli oceniać bieżące wypadki, wymieniać poglądy – i trudno im było od razu odzwyczaić się od tych odruchów. Stojąc blisko kręgów akademickich, łatwo mogli nadawać swoim spotkaniom charakter konferencji naukowych. Mieli zaś wtedy sporo tematów do dyskusji: pokój w Brześciu Litewskim, zakończenie działań wojennych w zamian za utratę olbrzymich połaci kraju, nowe stosunki z niedawnymi sojusznikami i niedawnymi wrogami, a wszystko to w czasie, gdy wojna w Europie trwała dalej. Jedni z nich – w imię wolności i demokracji, a również z sojuszniczego obowiązku – uważali, że należy dalej pomagać aliantom i że pokój brzeski zawarty został przez ludzi, którym kraj nie dał pełnomocnictw. Niektórzy mieli skądinąd nadzieję, że gdy tylko Armia Czerwona nabierze sił – rząd sowiecki zerwie z Niemcami. Inni z kolei liczyli właśnie na Niemców: będąc teraz z tytułu umowy brzeskiej gospodarzami połowy Rosji, zechcą chyba usunąć bolszewików. (A Niemcy tymczasem słusznie uważali, że działać na korzyść konstytucyjnych demokratów, to znaczy pomagać Anglikom i że każdy inny rząd rosyjski, prócz sowieckiego, znów rozpocznie wojnę z Niemcami).

Na tle tej różnicy zdań, latem 1918 roku ze Związku Działaczy Społecznych wyodrębniło się „Narodowe Centrum” (Nacjonalnyj Centr). W gruncie rzeczy, było to po prostu kółko ludzi o zdecydowanie pro-alianckiej orientacji, przeważnie konstytucyjnych demokratów, bojących się jednak jak ognia wszelkich partyjnych form działania, surowo zabronionych przez bolszewików. Niczym to kółko się nie

zajmowało, prócz organizacji quasi-naukowych spotkań w instytucie profesora Kolcowa. Czasami posyłali oni kogoś z członków na Kubień, żeby mieć

* Na czużej stronie – zeszyty historyczno-literackie pod redakcją S. P. Mielgunowa, Berlin – Praga.

S. P. Mielgunow: Sąd historii nad inteligencją, III, 1923 rok.

S. A. Kotlarowski: Narodowe centrum w Moskwie w 1918, VIII, 1924 rok.

315

E!–

ii

i: i ii:

jakiś informacje – ale wystąńcy, zapadali się tam jak kamienie w wodę i zapominali o moskiewskich kolegach. (Zresztą alianci wykazywali nader słabe zainteresowanie Armią Ochotniczą, tworzącą się w Kubaniu.) Narodowe Centrum skupiło się przede wszystkim na spokojnym opracowywaniu projektów praw dla przyszłej Rosji.

Równocześnie z Narodowym Centrum i na lewo od niego powstał Związek Odrodzenia (w zasadzie eserowski – nie wypadało przecież łączyć się z konstytucyjnymi demokratami; znowu wychodziły na jaw stare partyjne różnice i podziały) – dla walki zarówno z Niemcami, jak z bolszewikami. Ale także ta walka wydała im się niemożliwa do prowadzenia na terytorium bolszewickim i akcja ich sprowadziła się do wysyłania swoich ludzi na południe. Jednakże środowisko Armii Ochotniczej raziło ich swoją reakcyjnością.

Dusząc się w próżni komunizmu wojennego, wiosną 1919 roku, cała ta trójca – Związek Działaczy Społecznych, Narodowe Centrum i Związek Odrodzenia – postanowiły uzgadniać systematycznie swoje działania. Każda organizacja wydelegowała w tym celu dwóch ludzi. Ta szóstka zbierała się czasem w ciągu 1919 roku, potem jakoś im przeszło, nie dawali znaku życia. Aresztować ich zaczęto dopiero w 1920 roku, i wówczas to, podczas śledztwa, nasza szóstka otrzymała szumną nazwę „Centrum Taktycznego”.

Aresztowania przeprowadzono na skutek donosu jednego z mniej znacznych uczestników Narodowego Centrum – N. N. Winogradzkiego. Był później bardzo wydajnym kapusiem w celi Wydziału Specjalnego, przez którą przeszło wielu uczestników, jacy – z naiwnością rodem z baśni Kryłowa, typową dla tych lat – nieostrożnie wyśpiewywali w celi to, czego nie chcieli powiedzieć śledczym.

Znany rosyjski historyk, S. P. Mielgunow, będąc jednym z oskarżonych – i to jeszcze najważniejszych (bo był członkiem szóstki), już na emigracji napisał wspomnienia o tym procesie. Pisał bez entuzjazmu, może wolałby nie wspominać o tej sprawie, gdyby nie opublikowano w Moskwie znanej nam już książki Krylenki z oskarżycielskim przemówieniem pełnym gromów i błyskawic. Mielgunow, nie ukrywając pretensji do siebie i do współoskarżonych, rysuje nam obraz nader typowy dla sowieckiego śledztwa: funkcjonariusze śledczy nie mieli w ręku żadnych dowodów: „w czasie sprawy nie wypłynął ani jeden dokument. Cały przewód oskarżycielski opierał się na zeznaniach samych oskarżonych... Nikt z późniejszych uczestników procesu nie przestrzegał taktyki milczenia podczas śledztwa wstępnego... Wydawało mi się, że odmowa zeznań nie ma sensu bo wpływa ujemnie na mój los i może

również pogorszyć los kolegów... Gdy przed człowiekiem zamajaczy perspektywa rozstrzelania, nie zawsze potrafi on wtedy myśleć o historii..."

W „Czerwonej księdze WCzK” (tom II, Moskwa 1922 rok) spora liczba zeznań naszych oskarżonych przytoczona jest dosłownie; niestety, nie sprawiają one najlepszego wrażenia, i

Mielgunow z całą powagą zarzuca śledczemu nazwiskiem Agranow (który ich wszystkich zapędził w kozi róg), że używał wobec niego i innych oskarżonych podstępnych chwytów, że sprytnie ich oszukiwał i pisze, że „w tym był najgorszy rodzaj udręki”, uważając widocznie, że te banalne chwytły, to coś gorszego od cielesnych mąk. I Mielgunow, który tak przenikliwie potrafił później scharakteryzować wiele historycznych postaci, uczestniczących w rosyjskiej rewolucji, sam stał się ofiarą najprostszego podstępu: potwierdza udział w Związku Odrodzenia tych osób, które rzekomo przyznały się już do tego w protokołach zeznań, jakie mu śledczy pokazał. I w ogóle – „zacząłem zeznawać w sposób raczej zborny” – co znaczy, że snuł opowieść, nie czekając na pytania śledczego. (Te jego zeznania zdumiały i przygnębiły współoskarżonych, którym z kolei pokazywano je: wyglądało na to, że opowiedział wszystko z nieprzymuszonej woli).

Agranow nabrał ich utrzymując, że chodzi o "sprawy dawno minione", że wszystkie te centra już dawno się nie zbierają – a więc aresztowani niczym bezpośrednio już nie ryzykują. Czerezwyczajka wyjaśnia tę sprawę jedynie dla zaspokojenia swoich zainteresowań historią. Agranow oczarował wielu swoją uprzejmością. Innym znowu dowodził, że władza sowiecka i Rosja – to teraz jedno i że jest przestępstwem walczyć przeciw pierwszej, jeśli naprawdę kochasz drugą. W ten sposób niejeden złożył mu oświadczenia w samej rzeczy pełne pokory i uległości. (W szczególności artykuł Kotlarowskiego, przytoczony w przypisach, był ścisłą analizą sytuacji, napisaną przez aresztanta na zlecenie Agranowa).

A na rozprawie? Mielgunow: „Rewolucyjna tradycja (scil. inteligencji) wymagała znacznej dozy heroizmu, a w naszych duszach nie było już patosu, koniecznego dla takiego heroizmu. Przekształcić rozprawę w demonstrację protestu – równało się świadomemu pogorszeniu sytuacji – nie tylko własnej, lecz również współoskarżonych."

Oto jak łatwo dawała się łapać ha czekistowski haczyk, oto jak kapiętułowala i ginęła rosyjska inteligencja, tak miłująca wolność, taka niepokorna, taka niezłomna za czasów caratu – kiedy nikt się do niej poważniej nie dobierał.

317

M &

Ale jeszcze świetniejszy i straszniejszy sukces odniósł Agranow przy okazji „sprawy Tagancewa” w 1921 roku (rzecz co prawda nie należy do tego rozdziału, ponieważ sądu w istocie nie było). Profesor Tagancew przez 45 dni śledztwa milczał istic po bohatersku. A potem Arganpw przekonał go, aby podpisać z nim taki protokół ugody:

„Ja, Tagancew z całą świadomością zaczynam zeznawać w sprawie naszej organizacji, nie ukrywając przy tym niczego; nie pominę tu ani jednej osoby, należącej do naszej grupy... Wszystko to czynię dla złagodzenia losu, który oczekuje uczestników naszej sprawy.

Ja, pełnomocnik Czerezwyczajki, J. S. Agranow, dzięki pomocy obywatela Tagancewa, zobowiązuję się niniejszym szybko zakończyć śledztwo i natychmiast po jego zaniknięciu przekazać je dla rozpatrzenia sądowi publicznemu u... zobowią-

zuje się niniejszym, iż wobec żadnego z oskarżonych nie będzie zastosowana kara główna."

W rezultacie „sprawy Tagancewa” – Czerezwyczajka rozstrzelała 87 ludzi.
Taki był wschód słońca naszej wolności.

Tak to nabierało ciała swawolne dziecię, nasze młodziutkie październikowe prawo.

Już teraz zupełnie tego nie pamiętamy.

IX

PRAWO DORASTA

Nasz przegląd przedłuża się. A przecież jeszcześmy go na dobrą sprawę nie zaczęli. Do najważniejszych, najstynnniejszych procesów jesz–cześmy nie doszli. Ale zasadnicze linie już się zarysowują.

Poasystujmy naszemu prawu także w jego wieku harcerskim.

Przypomnijmy tu dawno zapomniany i nawet nie polityczny:

f) proces Gławtopu* (maj 1921 rok) – ponieważ dotyczył inżynierów, albo s p e c ó w, jak się wtedy mówiło.

Właśnie minęła najsurowsza z czterech zim wojny domowej, gdy już w ogóle nie zostało żadnego opatu, pociągi nie dojeżdżały do stacji przeznaczenia, w stolicach zaś panowały chłód, głód i fala strajków po fabrykach (teraz wykreślonych z historii). Kto był temu winien? – Znów to sławetne pytanie: KTO WINIEN?

Na, to pewne, że nie Najwyższe Kierownictwo. Ale nawet nie terenowe! – a to najważniejsze. Jeżeli „towarzysze, niekiedy nie związani poprzednio z tą dziedziną” (komuniści-szefowie) nie byli wystarczająco kompetentni, to „określić właściwe podejście do sprawy” powinni byli za nich spece M. Znaczy to więc, że „nie kierownicy są winni... – winni są ci, którzy robili obliczenia, sprawdzali rachunki i układali plany” (jak nakarmić i ogrzać ludzi). Winni są nie ci od porachunków, tylko ci od rachunków! Plany okazały się lipne – winni są więc spece, że cyfry nie zgadzały się z rzeczywistością – „to wina nie Rady Pracy

Naczelny Zarząd Materiałów Opałowych. Krylenko, str. 381.

319

i Obrony” a nawet nie odpowiedzialnych kierowników Gławtopu2”. Nie było ani węgla, ani drzewa, ani ropy – więc to wina speców, że „wytworzyła się sytuacja zawikłana i chaotyczna”. Oni też są winni, że nie sprzeciwiali się pilnym telefonicznym żądaniom Rykova – i na jego zlecenie wydawali i wysyłali różnym instytucjom opał poza planem.

Wszystkiemu winni spece! Ale sąd proletariacki nie jest wobec nich bezlitosny, wyroki są łagodne. Rzecz jasna, w proletariackiej piersi drzemie wewnętrzna nieufność, ci przekłeci spece to element obcy, ale bez nich nie można się wygrzebać z ogólnej ruiny. I Trybunał ich – nie zaszczuwa, powiada nawet Krylenko, że poczynając od 1920 roku „nie może być mowy o sabotażu”. Spece są winni, ale nie ze złej woli, po prostu to nedorajdy, nie potrafią lepiej, nie nauczyli się pracować przy kapitalizmie, albo zwyczajnie są egoistami i łapownikami.

Tak oto w początkach okresu rekonstrukcji wytyczona została szkieletowo dziwna linia pobłażliwości wobec speców.

1922 rok, pierwszy rok pokoju. Obfitował w procesy publiczne, tak bardzo, że cały ten nasz rozdział poświęcony będzie temu jednemu rokowi. (Dziwne: wojna minęła, a tu tak wzmożyła się ilość spraw sądowych? Ale przecież w 1945 i 1948 roku Smok też nadzwyczaj się ożywił. Czy to nie ta sama prosta prawidłowość?)

Chociaż w grudniu 1921 roku IX zjazd Sowietów postanowił „zwięzić zasięg kompetencji WCzK” – i skutkiem tego doznała ona pewnego uszczuplenia i zmieniła nazwę na GPU – ale już w październiku 1922 roku prawa GPU znów zostały poszerzone, a w grudniu Dzierżyński oznajmił korespondentowi „Prawdy” (17. XII. 1922 rok): „teraz musimy szczególnie wnikliwie przyglądać się antysowieckim ruchom i grupom. GPU skupiło ciśniej swoje kadry, ale tym samym udoskonaliło swój aparat.” Nie zapomnijmy o mającej miejsce w początkach tego roku –

g) sprawie samobójstwa inżyniera Oldenborgera (Trybunał Najwyższy, luty 1922 rok).

Procesu tego nikt już nie pamięta, wydaje się on mało ważny i zupełnie nietypowy. Nietypowy, bo jego przedmiotem jest jedno tylko ludzkie życie, które przy tym dobiegło końca. Gdyby zaś nie dobiegło, to wspomniany inżynier, a z nim razem jakichś dziesięciu ludzi – składając się na nowe centrum, stanęliby przed Trybunałem Najwyższym – i wtedy proces byłby zupełnie typowy. Tymczasem na ławie oskarżo–

2 Str. 382–383

320

nych zasiadł wybitny działacz partyjny, towarzysz Siedelnikow, obok niego zaś dwóch z izby kontroli i dwóch działaczy związkowych.

Ale – jak ta daleka, pęknięta struna u Czechowa, dźwięczy coś przejmującego w tej sprawie, będącej wczesną zapowiedzią procesów inżynierów z Szacht i „Prompartii”.

W. W. Oldenborger pracował trzydzieści lat w moskiewskich wodociągach i został ich naczelnym inżynierem chyba jeszcze w początkach stulecia. Przeminał Srebrny Wiek sztuki, minęły cztery Dumy Państwowe, trzy wojny, trzy rewolucje – a cała Moskwa wciąż piła wodę Oldenborgera. Akmeiści i futuryści, reakcyoniści i rewolucjoniści, j unk-rzy i czerwonogwardziści, Sownarkom, Czeka i Inspekcja Robotniczo-Chłopska – wszyscy pili czystą, świeżą wodę Oldenborgera. Nie był żonaty, nie miał dzieci – w całym swoim życiu miał tylko ten wodociąg. W 1905 roku nie wpuścił do stacji pomp żołnierzy, którzy mieli go ochraniać – bo „żołnierze mogą niechcący uszkodzić przewody, albo maszyny” (A nikt wtedy nie tłumił strajków w wodociągach; w 1905 roku nieraz w Moskwie brakowało wody – może Oldenborger kogoś osłaniał?). Drugiego dnia rewolucji lutowej powiedział swoim robotnikom, że rewolucja się skończyła, że dosyć, wszyscy na miejsca, woda powinna płynąć nieprzerwanie. W trakcie walk październikowych w Moskwie troszczył się tylko o jedno: żeby uchronić wodociąg od szkód. Jego pracownicy zastrajkowali w odpowiedzi na przewrót bolszewicki, zaprosili go do udziału. Odpowiedział: „W technicznym aspekcie, bardzo przepraszam, ale nie strajkuję. A w pozostałych... w pozostałych, no owszem, mogę strajkować”. Przyjął od komitetu strajkowego pieniądze dla strajkujących, wystawił kwit i zaraz pobiegł, żeby znaleźć jakieś części wymienne do zepsutej rury.

Wszystko jedno, to wróg! Oto co powiedział jakiemuś robotnikowi: „Władza sowiecka nawet dwóch tygodni się nie utrzyma”. (Wieżą nowe, przednepowskie wiatry i Krylenko pozwala sobie na szczere tony wobec trybunału: „Tak myśleli wtedy nie tylko spece, tak myśleliśmy nierazmysami3.

Wszystko jedno, to wróg! Powiedział nam przecież towarzysz Lenin: do pilnowania burżuazyjnych specjalistów pptrzebny nam jest iczujny pies – RKI (Robotniczo-Chłopska Inspekcja).

Dwa takie czujne psy zostały postane do pilnowania Oldenborgera. (Jeden z nich – to oszust, biuralista z Wodociągów, Makarow–Ziem–

Krylenko, str. 439, podkreślenie moje.

321

lański, wydany „za nieliczące z przyzwoitością postępków”, – zgłosił się do RKI „bo tam lepiej płacą”, dostał się do Centralnego Komisariatu Ludowego, bo „tam, zarobki jeszcze wyższe” – i stamtąd przyjechał, aby kontrolować swojego byłego zwierzchnika i zemścić się na nim z całego serca). No, a komitet miejscowy też nie spał – oczywiście, to będzie najlepszy obrońca robotniczych interesów. No i komuniści stanęli na czele wodociągów. „Tylko komuniści powinni kierować, tylko komuniści powinni mieć całą pełnię decyzji – słuszność tej zasady potwierdził także ten proces⁴”.

No, a miejska organizacja partyjna Moskwy też oka nie spuszczała z wodociągów. (A za jej pleców, jeszcze Czeka). „Na zdrowym uczuciu wrogości klasowej oparliśmy swego czasu organizację naszej armii; w imię tej samej zasady nie powierzamy żadnego odpowiedzialnego stanowiska ludziom nie należącym do naszego obozu – nie stawiając obok nich... komisarzy⁵”. Od razu więc zaczęli wszyscy korygować, poszturchiwać, pouczać naczelnego inżyniera tasując bez jego wiadomości personel techniczny („rozpędziliśmy całe gniazdo geszefciarzy”).

I nawet to nie uratowało wodociągów! Robota poszła odtąd nie lepiej, tylko gorzej! – Szajka inżynierów umiała po cichu zrealizować swoje złowrogie zamiary. Doszło do tego, że – wbrew swojej niezdecydowanej inteligenckiej naturze, która nie pozwalała mu nigdy w życiu użyć ostrego słowa – Oldenborger ośmielił się nazwać pociągnięcia nowego naczelnika wodociągów Zeniuka („postaci dogłębnie sympatycznej” dla Krylenki „dzięki całej swojej wewnętrznej strukturze”) – so-biepaństwem!

Wtedy to właśnie stało się jasne, że „inżynier Oldenborger świadomie zdradza interesy robotników oraz jest zdecydowanym i otwartym wrogiem dyktatury klasy robotniczej”. Zaczęto więc wzywać na miejską stację pomp komisje kontrolne – jednakże stwierdzały one, że wszystko jest w porządku i że woda płynie normalnie. Ci z inspekcji robotniczo-chłopskiej nie pogodzili się z losem i posyłali meldunek za meldunkiem do swojej RKI. Oldenborger chciał ponoć „zrujnować, zepsuć, zniszczyć wodociągi w politycznych celach”. No więc – gdzie tylko mogli przeszkadzali mu, sprzeciwiali się rozrutmemu remontowi kotłów, albo zastąpieniu drewnianych pojemników betonowymi. Przywódcy robotników zaczęli głośno mówić na zebraniach o wodociągach,

4 Krylenko, str. 433.

5 Str. 434.

322

że ich naczelnym inżynierem jest „duszą zorganizowanego sabotażu technicznego”, że nie wolno mu wierzyć i we wszystkim trzeba mu się sprzeciwiać.

I mimo to robota wcale się nie usprawniła, tylko poszła jeszcze gorzej!...

Co zaś szczególnie było dotkliwie dla „dziedzicznej proletariackiej psychologii” tych z RKI i związków zawodowych, to fakt, że większość robotników ze stacji pomp, „zarażonych drobnomieszczańską psychologią”, opowiedziała się po stronie Oldenborgera i nie dostrzegała jego sabotażu. Na domiar złego – nadeszły wybory do moskiewskiego so-wietu miejskiego i robotnicy wodociągów wysunęli w imieniu swojego przedsiębiorstwa kandydaturę Oldenborgera, której, rzecz ja-

sna, przeciwstawiona została ze strony komórki partyjnej kandydatura członka partii. Ta ostatnia jednak, jak się okazało, nie miała żadnych szans, a to z winy fałszywego autorytetu, jakim cieszył się inżynier naczelny Wśród robotników. Niemniej, komórka partyjna posłała do rejkomu, do wszystkich instancji, a także kazała odczytać publicznie na zebraniu ogólnym rezolucję, głoszącą, że „Oldenborger jest centralną postacią i duszą sabotażowych knowań i w sowiecie moskiewskim będzie on tylko naszym politycznym wrogiem!”. Robotnicy odpowiedzieli wrzawą i krzykami „nieprawda!”, „łżecie!” i wówczas to sekretarz komitetu partyjnego, towarzysz Siedelnikow powiedział prosto w oczy tysiącgoł-wemu proletariatowi: „z takimi czarnosiecińcami ja tu wcale nie będę gadał!”, czyli że – pogadamy, owszem, ale w innym miejscu.

Podjęto następujące partyjne środki zaradcze: usunięto naczelnego inżyniera z... kolegiального zarządu wodociągów, postawiono go w sytuacji permanentnego śledztwa, zaczęto wzywać go bezustannie na posiedzenia najrozmaitszych komisji i podkomisji, poddano przesłuchaniom – dając jednocześnie różne zlecenia do wykonania w trybie nagłym. Każdy wypadek jego niestawienia wprowadzano do protokołów „w związku z ewentualnością przyszłego procesu sądowego”. Poprzez Radę Pracy i Obrony (przewodniczący – tow. Lenin) osiągnięto wyznaczenie w przedsiębiorstwie wodociągów „Trójki Nadzwyczajnej” (RKL, rada związków zawodowych oraz tow. Kujbyszew).

Woda zaś czwarty już rok płynęła sobie rurami, mieszkańcy Moskwy ją pili i furt niczego nie mogli dostrzec...

Naówczas tow. Siedelnikow napisał artykuł do pisma „Życie ekonomiczne”: „w związku z niepokojącymi opinię publiczną pogłoskami o katastrofalnym stanie wodociągów” zreferował on szereg nowych niepokojących pogłosek, wśród nich zaś także tę, że „wodociągi pompują

323

p

ft

fet –

wodę pod powierzchnię ziemi i świadomie rozmywają fundamenty całej Moskwy” (założone jeszcze przez księcia Iwana Kalitę). Wezwano komisję Sowietu moskiewskiego. Stwierdziła ona, że: „stan wodociągów jest zadowalający, a technicznie ich kierownictwo pracuje racjonalnie”. Oldenborger obalił wszystkie oskarżenia. Wówczas Siedelnikow oznajmił beztrósco: „uważałem za swoje zadanie narobić szumu dookoła tej sprawy, a już sprawą speców jest zorientowanie się, co tam jest naprawdę na rzeczy”.

Cóż jeszcze mogli zrobić przywódcy mas? Mieli w ręku ostatni już, ale jakże skuteczny sposób! Donos do WCzK! Siedelnikow tak właśnie

– postąpił! „Widząc świadome rujnowanie wodociągów przez Oldenborgera” nie ma wątpliwości, że „w przedsiębiorstwie wodociągów, w samym sercu Czerwonej Moskwy, działa kontrewolucyjna organizacja”. Zwraca w związku z tym uwagę również na katastrofalny stan Rublow-skiej wieży miejskiej!

Ale tu Oldenborger pozwala sobie na krok fałszywy i skrajnie nietaktowny, na wypadek będący dowodem inteligentkiej niekonsekwencji i braku kręgoślupa: – otrzymuje negatywną odpowiedź na swój wniosek o zamówienie za granicą nowych kotłów (starych zaś nie sposób jeszcze naprawić w Rosji) – i popełnia samo-

bójstwo. (Za wiele widać tego wszystkiego na jednego człowieka, brak było jeszcze wtedy łodziom treningu).

Sprawa wiele na tym nie ucierpiała, organizację kontrrewolucyjną można wykryć nawet gdy jej nie ma, panowie z RKL podejmują się jej zdemaskowania bez reszty. Dwa miesiące trwają jakieś głucho manewry. Ale duch rozpoczynającego się NEP-u wymaga aby „nauczyć rozumu i jednych i drugich” i stąd proces przed Trybunałem Najwyższym. Krylenko powściągliwie się sroży; Krylenko wykazuje powściągliwą nieustępliwość. Rozumie wszak, że „rosyjski robotnik, rzecz jasna, miał rację gdy w każdym obcym widział raczej wroga, niż przyjaciela⁶”, ale

– „przy dalszych zmianach w naszej praktycznej i ogólnej polityce będziemy musieli, być może, iść na jeszcze większe ustępstwa, cofać się i lawirować; partia, być może, będzie zmuszona do wybrania linii taktycznej, która wywoła sprzeczności ze strony prymitywnej logiki uczciwych ofiar bojowników⁷”.

No, to prawda, że robotników i ludzi RKL, składających zeznania obciążające towarzysza Siedelnikowa i ludzi RKL, trybunał. musiał

Krylenko, str. 435. Krylenko, str. 438.

324

„z lekka wziąć w karby”. A podsądny Siedelnikow mężnie odpowiadał na groźby oskarżyciela: „Towarzyszu Krylenko! Znam te paragrafy; ale przecież tutaj sądzi się nie klasowych wrogów, a te paragrafy odnoszą się do wrogów naszej klasy”.

Jednakże Krylenko też całkiem dzielnie mnoży zarzuty. – Świadomie kłamliwe donosy do instytucji państwowych... i to w okolicznościach zwiększających winę (zemsta prywatna, porachunki osobiste)... nadużycie stanowiska... brak poczucia odpowiedzialności politycznej... nadużycie władzy i autorytetu pracowników aparatu, sowieckiego, członków partii... dezorganizacja pracy w przedsiębiorstwie wodociągów... przyprawienie o stratę Sowietu moskiewskiego i całej Sowieckiej Rosji, bo przecież mało mieliśmy takich specjalistów... zastąpić takiego człowieka nie sposób... Nie będziemy tu mówić o stracie indywidualnej, o utracie człowieka... w naszej epoce, kiedy główną treścią naszego życia jest walka, przyzwyczailiśmy się już jakoś do tego, aby nie liczyć się z rozmaitymi niepowetowanymi stratami 8 najwyższy trybunał rewolucyjny powinien tu wypowiedzieć się dobitnie... skazujący wyrok powinien być wydany z całą surowością!... nie dla żartów tuśmy się zebrali!...

Rety, co też im teraz za to dadzą? Czy aby nie...? Czytelnik już się przyzwyczaił i gotów podpowiedzieć: WSZYSTKICH RÓŻ..

Bardzo słusznie. Wszystkich roz – śmieszyć: z uwagi na szczerą skruchę podsądnych, wymierzyć im karę... nagany publicznej!

Dwie prawdy...

A Siedelnikowa podobno – na jeden rok więzienia.

Pozwólcie, że to między bajki włożę.

O, bardowie lat dwudziestych, którzy opiewacie je jako jasną kipieli radości! nawet jeśli człowiek ledwie o nie się otarł, jeśli tylko w dzieciństwie swoim je musnął – to też nigdy ich nie zapomni. Te ryła, te mordy, szczujące na inżynierów – w dwudziestych latach właśnie pęczniały.

Ale widzimy teraz, że zaczynały już w 18...

W trakcie dwóch następnych procesów odpocznijemy trochę od towarzystwa naszego ulubieńca, oskarżyciela naczelnego: zajęty jest on właśnie przygotowaniami do wielkiego procesu eserów⁹. Ogromny ten

Str. 458.

..

⁹ Procesy eserów na prowincji, na przykład w Saratowie w 1919 roku, zdarzały się także wcześniej.

325

proces już zawczasu budził niepokój w Europie i Ludowy Komisariat Sprawiedliwości spostrzegł się w porę: już cztery lata sędzi się ludzi, a wciąż nie ma kodeksu karnego, ani starego, ani nowego. Zapewne zabiegi dookoła kodeksu też nie zostały oszczędzone Krylence: trzeba było w porę wszystko koordynować.

Cerkiewne zaś procesy, które miały się zacząć, należały do spraw wewnętrznych, nie interesowały postępowej Europy i można było nawet bez kodeksu przepuścić je przez magiel.

Widzieliśmy już, że rozdział cerkwi z państwem rozumiany był przez państwo w ten sposób, że i same świątynie i wszystko co w nich zostało niegdyś powieszone, postawione i narysowane – przechodzi na własność państwa, we władaniu cerkwi zaś pozostaje tylko ta cerkiew, którą się nosi w sercach, zgodnie z Pismem Świętym. I w 1918 roku, gdy wydawało się, że zwycięstwo polityczne zostało już osiągnięte, zabrano się do konfiskowania cerkiewnego majątku. Jednakże ten atak spowodował zbyt wielkie oburzenie mas. W czasie wojny domowej, która wkrótce rozgorzała, było rzeczą nierozsądną tworzenie jeszcze jednego, wewnętrznego frontu walki z wierzącymi. Trzeba było dialog komunistów z chrześcijanami chwilowo odroczyć.

Pod koniec zaś wojny domowej, jako naturalny jej skutek, wybuchł niebywały głód na Powołżu. Jako że nie bardzo zdobi on wieniec, który przypadł zwycięzcom w tej wojnie – to przebąkuje się o nim tu i ówdzie nie więcej niż po dwa wiersze. Tymczasem głód ten dochodził do ludo-żerstwa, do pożerania własnych dzieci przez rodziców. Był to głód, jakiego Ruś nie znała nawet za czasów Wielkiej Smuty (bowiem wtedy, jak świadczą kronikarze, po kilka lat stały pod śniegiem i lodem nie-zżęte zboża). Jeden film o tym głodzie mógłby może rzucić nowe światło na to wszystko, cośmy widzieli, i wszystko co wiemy p rewolucji i wojnie domowej. Ale nie ma ani filmów, ani powieści, ani studiów statystycznych – starają się o tym zapomnieć, bo to nie zdobi. Prócz tego przyczynę każdego głodu widzimy z przyzwyczajenia w obecności kułaków – a gdzież tu kułacy pośród tego powszechnego moru? W. G. Korolenko w "Listach do Łunaczarskiego¹⁰" (wbrew obietnicom tego ostatniego, nigdy u nas nie wydanych) tak nam tłumaczy ogólne zagłodzenie i pauperyzację kraju: to rezultat spadku wszelkiej wydajności pracy (bo robotne ręce dzierżyły broń) oraz zaniku wśród chłopów zaufania i nadziei, że drobną choćby część zbiorów będzie

¹⁰ Paryż, 1922 rok i Samizdat – 1967 rok.

326

można zatrzymać dla siebie samych. Kiedyś zresztą ktoś tam policzy także te wielomiesięczne, wielowagonowe dostawy żywności, wysyłanej po pokoju Brzeskim z Rosji, która sama sobie odjęta możliwość protestu ba, nawet z jej regionów, gdzie jutro miał wybuchnąć głód – do kaj-zerowskich Niemiec, kończących swoją wojnę z Zachodem.

Prosty i krótki jest łańcuszek przyczyn i skutków: dlatego ludzie z Po-wołża jedli własne dzieci, że bolszewicy siłą zagarnęli władzę i wywołali wojnę dprnbwą.

Ale geniusz polityka na tym polega, aby z ludowego nieszczęścia uczynić przesłankę sukcesu. To błysnęło jak objawienie: – niech więc teraz popy nakarmią Powołże! przecież są chrześcijanami, serduszko ich boli!

1) Jeżeli odmówią – to obciążymy ich winą za głód, a zarazem będziemy mieć powód, aby dać łupnia cerkwi;

2) jeżeli się zgodzą – to wymieciemy świątynie do czysta;

3) w każdym zaś wypadku uzupełnimy nasz zapas waluty.

Zresztą, ten pomysł chyba podpowiedziała sama cerkiew swoimi akcjami. Jak świadczy patriarcha Tichon, jeszcze w sierpniu 1921 roku, w początkach głodu, cerkiew stworzyła diecezjalne i ogólnokrajowe komitety pomocy głodującym i rozpoczęła zbiórkę pieniędzy. Ale pozwolić na pomoc bezpośrednią, pozwolić aby cerkiew podsuwała ją głodującym pod nos, równało się podkopywaniu dyktatury proletariatu. Komitety więc skasowano, a pieniądze odebrano na rzecz skarbu państwa. Patriarcha zwracał się o pomoc do papieża i do arcybiskupa Canterbury – ale temu też położono kres, wyjaśniając, że jedynie władza sowiecka ma prawo prowadzenia rozmów z obcymi. Zresztą nie ma powodów do takiego alarmu: pisały przecież gazety, że rząd ma wszystkie środki, aby we własnym zakresie uporać się z głodem.

A na Powołżu ludzie żarli już trawę, zelówki i gryźli framugi. I nareszcie w grudniu 1921 roku Pomgoł (państwowy komitet pomocy głodującym) zaproponował cerkwi, aby ofiarowała na rzecz głodujących część majątku cerkiewnego – tę tylko, która nie służyła dla celów liturgicznych. Patriarcha zgodził się, Pomgoł wydał instrukcję: wszelkie ofiary mogą mieć tylko dobrowolny charakter! 19 lutego 1922 roku patriarcha rozesał orędzie: zezwala się komitetom parafialnym na składanie w ofierze sprzętu cerkiewnego nie mającego charakteru liturgicznego.

I tak oto wszystko mogło rozmydlić się w kompromisach osnuwających pańczyną proletariacką wolę.

Myśl – piorun! Myśl – dekret! Dekret WCIK z 26 lutego: zarekwirować wszystkie kosztowności cerkiewne na rzecz głodujących!

327

Patriarcha napisał do Kalinina – ten nawet nie odpowiedział. Wówczas, 28 lutego, patriarcha ogłosił noWe feralne orędzie: z punktu widzenia cerkwi podobny akt jest świętokradztwem i dlatego nie możemy rekwizycji zaaprobować.

Z dystansu pół wieku łatwo teraz mieć pretensje do patriarchy. To jasne, że kierownicy chrześcijańskiej cerkwi nie powinni byli bawić się w rozważania – czy aby władza sowiecka nie ma już innych rezerw, albo kto doprowadził Powołże do głodu; nie powinni byli tak trząść się nad tymi kosztownościami, wcale nie z, nich miała się wziąć (jeżeli w ogóle wziąć się miała) nowa moc wiary. Ale trzeba też wyobrazić sobie sytuację tego nieszczęsnego patriarchy wybranego już po Październiku, od paru dopiero lat stojącego na czele cerkwi – już tylko uciskanej, szczutej, rozstrzeliwanej, a przecież powierzonej mu, aby jej bronił.>

I tu – natychmiast zaczęła się w gazetach nagonka bez pudła przeciw patriarche i wyższym dostojnikom cerkwi, duszącym Powołże kościstą łapą głodu! Im bardziej patriarcha się upierał, tym słabsza stawała się jego pozycja. W marcu rozpoczął się ruch wśród duchowieństwa, „postulujący oddanie cennego sprzętu i znalezienie kompromisu z władzą., Obawom, jakie także w tej sytuacji pozosta-

wały w mocy, dał wyraz wobec Kalinina biskup Antonin Granowski, dokooptowany do Centralnego Komitetu Pomgoła: „wierni obawiają się, że majątek cerkwi może być użyty dla innych, obcych ich sercu celów”. (Znając ogólne założenia Przodującej Doktryny, doświadczony czytelnik zgodzi się, że było to bardzo prawdopodobne* Wszak Komintern i walczący o wyzwolenie Wschód mają potrzeby nie mniej pilne, niż ci z Powołża).

Także metropolita Piotrogradu Beniamin dał się z całym przekonaniem porwać uniesieniu: „to wszystko – boskie i sami to wszystko oddamy”. Nie trzeba rekwizycji, niechaj to będzie dobrowolna ofiara. Także chodziło mu o kontrolę ze strony duchowieństwa i wiernych; towarzyszyć tym sprzętom cerkiewnym aż do chwili, w której przekształcą się one w chleb dla głodujących. Nękała go przy tym myśl, aby jednocześnie nie sprzeciwić się tutaj patriarchemu potępieniu.

Wyglądało na to, że w Piotrogradzie wszystko da się jakoś ułożyć. Na posiedzeniu piotrogrodzkiego Pomgoru, 5 marca 1922 roku, zapanował nawet, zdaniem pewnego świadka, różowy nastrój. Beniamin oznajmił: „Prawosławna cerkiew gotowa jest wszystko oddać, byle pomóc głodującym” i upatruje świętokradztwo tylko w rekwizycji przymusowej. Ale wobec tego rekwizycja, nie będzie potrzebna! Przewodniczący piotrogrodzkiego Pomgołu, Kanatczykow oświadczył, że takie

328

stanowisko zapewni cerkwi przychyłność rządu sowieckiego. (A właśnie!) W porywie gorących uczuć wszyscy wstali. Metropolita oznajmił: „najcięższym naszym brzemieniem – jest waśń i wrogość. Ale nadejdzie czas – i pojedną się Rosjanie. Sam na czele modlących się wiernych zdejmę okładzinę z obrazu Matki Bożej Kazańskiej, słodkimi łzami ją zroszę i oddam”. Pobłogosławił bolszewików – członków Pomgołu, a ci z gołymi głowami odprowadzili go aż do bramy. „Piotrogrodzka Prawda” z 8, 9 i 10 marca¹¹ potwierdza, że pertraktacje toczyły się spokojnie i doprowadziły do zgody. Gazeta pisze o metropolicie z uznaniem: „Uzgodniono w Smolnym, że cerkiewne kielichy i okładziny w obecności wiernych będą przetopione na sztabki”.

No i znów jakiś kompromis, jakieś klajstrowanie! Trujące opary chrześcijaństwa mają skazać rewolucyjną wolę. Taka jedność i takie oddawanie dobytku nie są p o t r z e b n e głodującym na Po–wołżu ludziom! Cały skład Pomgołu zostaje zmieniony za brak charakteru, gazety podnoszą krzyk przeciwko „złym pasterzom” i „księżętom cerkwi”, przedstawicielom duchowieństwa wyjaśnia się: niepotrzebne nam żadne wasze ofiary! Nie może być żadnych pertraktacji! Wszystko należy do władzy – i władza weźmie to, co uważa za potrzebne.

I tak samo jak wszędzie, również w Piotrogradzie zaczęły się przymusowe rekwizycje, którym towarzyszyły starcia.

Były już teraz podstawy prawne do rozpoczęcia procesów przeciw cerkwi¹².

h) Moskiewski proces przeciw cerkwi (26 kwietnia – 7 maja 1922 roku).

Miał miejsce w Muzeum Politechnicznym przed Moskiewskim Trybunałem Rewolucyjnym; przewodniczącym był Bek, prokuratorami Łu–nin i Łonginów. Pod sądnymi było 17 protojerejów i świeckich, znaleźli się przed sądem za rozpowszechnianie apelu patriarchy. Oskarżenie to dotyczyło, punktu ważniejszego niż samo oddanie, albo nieoddanie sprzętu cerkiewnego. Protojerej A. N. Zaozierśki ODDAŁ WSZYSTKO, CO BYŁO CENNEGO W JEGO ŚWIĄTYNI, ale dla samej zasady broni apelu patriarchego uważając przymusową konfiskatę za

11 Artykuły: Cerkiew i głód, tak będzie przeprowadzona konfiskata majątku cerkwi.

11 Materiały wziętem ze Szkiców z historii zamieszek cerkiewnych A. Lewitina. Cz. I, Samizdat, 1962 rok, oraz stenogram przesłuchań patriarchy Tichona, T. V akt jego sprawy sądowej.

329

świętokradztwo, stał się więc centralną postacią procesu i czeka go teraz ROZSTRZELANIE (co wykazało: nie chodzi o to, aby nakarmić głodujących, lecz o to, aby złamać cerkiew w tak dogodnej chwili).

5 maja trybunał wzywa w charakterze świadka patriarchę Tichona. Chociaż publiczność na sali jest już specjalnie dobrana, przystana (rok 1922 nie bardzo się pod tym względem różni od 1937 i 1968 roku), ale tak głęboko jeszcze wżarty jest stary zaczyn Rusi, a tak powierzchowna jest błonka nowego zaczynu Sowieków – że przy wejściu patriarchy więcej niż połowa sali podnosi się z krzesła, aby przyjąć jego błogosławieństwo.

Tichon bierze na siebie całą winę, polegającą na sporządzeniu i rozestaniu apelu. Przewodniczący usiłuje dogrzebać się: ależ czy to możliwe?! Jakże to, własną ręką, od początku do końca? Ależ wyście to na pewno tylko podpisali, kto jednak pisali za czyją radą? I następnie: czemu to wspominać W tym apelu o jakiejś nagonce prowadzonej przez gazety przeciw wam? (Przecież to na was szczują, dlaczego więc my mamy tego słuchać...) Co chcieliście przez to powiedzieć? – Patriarcha: – Raczej należałoby zapytać tych, którzy wszczęli nagonkę – w jakim celu do tego się brali?

Przewodniczący: – Ale przecież to. nie ma nic wspólnego z religią!

Patriarcha: – To ma swój historyczny charakter.

Przewodniczący: – Użyliście takiego wyrażenia, że podczas gdy prowadzone były pertraktacje z Pomogotem – za plecami, chyłkiem wydany został dekret?

Tichon: – Owszem.

Przewodniczący: – Wobec tego jesteście zdania, że rząd sowiecki postąpił niesłusznie?

Jest to druzgoczący argument! Miliony razy powtórzą go nam oficerowie śledczy w swoich nocnych gabinetach! I nikt z nas nigdy nie ośmieli się odpowiedzieć na to z taką prostotą jak: Patriarcha: – Owszem.

Przewodniczący: – Czy istniejące w państwie prawa uważacie za obowiązujące również was, czy nie?

Patriarcha: – Tak, uważam, o ile nie sprzeciwiają się one zasadom prawdy bożej.

(Gdybyż tak każdy odpowiedział! Inaczej by wyglądały nasze dzieje!).

Pytają teraz o kwestie kanoniczne. Patriarcha wyjaśnia, że jeśli cerkiew sama oddaje swój majątek, to nie ma w tym świętokradztwa, ma zaś ono miejsce, jeśli dobytek cerkwi zabiera się wbrew jej woli. W orędziu nie jest powiedziane, żeby w ogóle nie oddawać, potępione zaś jest tylko zabieranie wbrew woli cerkwi.

330

(Ale przecież właśnie o to nam chodzi – żeby wbrew woli!).

Przewodniczący, towarzysz Bek nie może pojąć: – L co jest w końcu dla was ważniejsze – kanony cerkiewne, czy punkt widzenia sowieckiego rządu?

(Oczekiwana odpowiedź brzmi: – ...sowieckiego rządu).

– Dobrze, niech już wedle kanonów to będzie świętokradztwo – wola oskarżyciel – ale przecież z punktu widzenia miłosierdzia?!...

(Po raz pierwszy i ostatni W ciągu 50. lat wspomina się w trybunale to biedne miłosierdzie...).

Przeprowadza się również analizę filologiczną. „Świętokradztwo” – to znaczy święte – kraść.

Oskarżyciel: – To znaczy, że my, przedstawiciele władzy sowieckiej, jesteśmy złodziejami przedmiotów kultu?

(Długotrwała wrzawa na sali. Przerwa. Pracownicy działu gospodarczego zabierają się do sprzątnięcia).

Oskarżyciel: – Tak więc, przedstawiciele władzy sowieckiej, WCIK-u, wy nazywacie złodziejami?

Patriarcha: – Ja tylko kanony przytaczam.

Następnie rozpatrzeniu podlega termin „bluźnierstwo”. Przy rekwizycji, przeprowadzonej w cerkwi Wasy lego z Cezarei, okładzina ikony nie chciała się zmieścić w skrzynce, wobec tego przydeptali ją nogami. Ale przecież samego patriarchy przy tym nie było?

Oskarżyciel: – Skąd wicie o tym? Wymieńcie nazwisko tego duchownego, który wam to opowiedział (= a my już go zaraz zamknjemy!).

Patriarcha nie wymienia nikogo.

A więc kłamie!

Oskarżyciel drąży ze zwycięską miną: – Nie, mówicie kto rozpowszechniał te ohydne oszczerstwa?

Przewodniczący: – Podajcie nazwiska tych, co deptali okładzinę nogami! (Bo przecież zostawiali przy tym swoje wizytówki). Inaczej trybunał nie może wam dać wiary!

Patriarchacie potrafi podać nazwisk. ~

Przewodniczący: – A więc to gołosłowne twierdzenia!

Trzeba jeszcze tylko dowieść, że patriarcha chciał obalić władzę sowiecką. Oto jak się dowód przeprowadza: „Agitacja jest próbą doprowadzenia do zmiany nastrojów, po to aby w przyszłości doprowadzić do o b a l e n i a).

Trybunał podejmuje decyzję wytoczenia sprawy karnej patriarsze.

331

7 maja zapada wyrok: na 17 podsądnych 11 skazano na rozstrzelanie. (Rozstrzelanych zostaje pięciu).

Jak mawiał Krylenko – nie dla żartów tuśmy się zebrali.

Mija jeszcze tydzień, a patriarcha zostaje złożony z urzędu i aresztowany. (Ale to jeszcze nie koniec. Chwilowo odwożą go do Dońskiego monasteru, gdzie będzie poddany surowej izolacji, która ma trwać dopóty, dopóki wierni nie przyzwyczają się do jego nieobecności. Pamiętajcie, jak niedawno jeszcze dziwował się Krylenko: jakież to niebezpieczeństwo grozi patriarsze?... I rzeczywiście, gdy teraz zagrozi, to już nie pomoże ani bicie w dzwony, ani telefon).

Po upływie następnych dwóch tygodni zostaje aresztowany w Piotrogradzie metropolita Benjamin. Nie był on żadnym wysokim purpuratem, nie był nawet nominowany, jak wszyscy metropolici. Wiosną 1917 roku – po raz pierwszy od zmierzchu starodawnego Nowgorodu – nastąpił wybór metropolitów i w Moskwie, i w Piotrogradzie. Przystępny, łagodnych obyczajów, często-gęsto bywający w fabrykach, popularny wśród ludności i niższego duchowieństwa – ich właśnie

głosami został Beniamin wybrany. Nie rozumiejąc ducha czasów uważał za, swoje zadanie oczyszczenie cerkwi od polityki, „bowiem w ciągu minionych lat bardzo cerkwi ten ciężar doskwierał”. Tego właśnie metropolitę posadzono na ławie oskarżonych z okazji:

i) piotrogrodzkiego procesu przeciw cerkwi (9 czerwca – 5 lipca 1922 roku).

Oskarżonych (o opór stawiany przy zaborze majątku cerkiewnego) – było kilkudziesięciu. Byli wśród nich profesorowie teologii i prawa cerkiewnego, archimandryci, duchowni i świeccy parafianie. Przewodniczący trybunału Siemionow miał 25 lat (był podobno piekarzem). Głównym oskarżycielem był członek kolegium komisariatu sprawiedliwości P. A. Krasikow – rówieśnik i przyjaciel Lenina z czasów zesłania krasnojarskiego, a później – z pobytu na emigracji, ten sam, którego gry na skrzypcach Iak lubił słuchać Włodzimierz Iljicz.

Już na Newskim Prospekcie i na skrócie z Newskiego codziennie stał tłum, a gdy metropolitę wieziono do sądu, wielu ludzi padało na kolana i śpiewało „Spasi Góspodi Liudi Twoja”! (Rozumie się, że i na ulicy, i w gmachu sądów brano do aresztu zbyt gorliwych wiernych). Na sali – większą część publiczności stanowili krasnoarmiejcy, ale nawet ci wstawali z miejsc za każdym razem, gdy wchodził metropolita w swoim białym kołpaku. Oskarżyciel zaś i trybunał używał wobec niego zwrotu wróg ludu (zauważmy, że słówko to było już wtedy stosowane).

332

Pogarszając się z procesu na proces, sytuacja adwokatów bardzo już wtedy była trudna. Krylenko nic nam o tym nie mówi, ale mamy tu przekaz pochodzący od naocznego świadka. Lidera grona obrońców – Bobriszczewa–Puszkina, spiorunował trybunał groźbą, że go samego każe wsadzić – i tak to już było zgodne z ówczesnymi obyczajami, tak było realne, że Bobriszczew–Puszkina czym prędzej złożył na ręce adwokata Górowicza swój złoty zegarek i portfel... a jednego ze świadków, profesora Jegorowa, trybunał postanowił stanąć pede aresztować za wypowiedzi świadczące na korzyść metropolity. Okazało się zaraz, że Jegorow jest na to przygotowany: miał w ręku wypchaną tekę, a w niej – jedzenie, zmianę bielizny i nawet kocyk.

Czytelnik zwrócił zapewne uwagę, jak sąd stopniowo przybiera formy dobrze nam znane.

Metropolita Beniamin oskarżony został 6 to, że umyślnie zawarł porozumienie z... władzą sowiecką i że w ten sposób niecznie osiągnął złagodzenie dekretu o rek wizycji cerkiewnego majątku. Swoje orędzie do Pomgołu w przestępczy sposób rozpowszechniał wśród ludności (samiz–dat!) i że działał w porozumieniu ze światową burżuazją.

Pop Krasnicki, jeden z naczelników przedstawicieli ruchu Żywej Cerkwi i współpracownik GPU, zeznał, że duchowni uknuli znowę, aby wywołać na tle głodu powstanie przeciw władzy sowieckiej.

Udzielono głosu tylko świadkom oskarżenia, świadków zaś odwodowych w ogóle nie wysłuchano (no, jakie tu podobieństwa!... coraz ich więcej i więcej...).

Oskarżyciel Smirnow żądał, „16 głów”. Oskarżyciel Krasikow zawołał: „Cała cerkiew prawosławna jest organizacją kontrrewolucyjną. Właściwie należałoby wsadzić do więzienia całą cerkiew!”.

(Program bardzo realny, wkrótce miał być prawie bez reszty wprowadzony w życie. I jaka to dobra podstawa do dialogu komunistów z chrześcijanami).

Korzystamy z rzadkiej okazji, mogąc przytoczyć kilka zachowanych zdań z przemówienia adwokata S. J. Górowicza, obrońcy metropolity:

– „Dowodów winy brak, brak faktów, brak więc podstaw do oskarżenia... co na to powie historia? (Ale nas postraszył! A zapomni i nic nie powie!). Konfiskata majątku cerkiewnego w Piotrogradzk przeprowadzona była w zupełnym spokoju, ale pietrogradzkie duchowieństwo siedzi na ławie oskarżonych i czyjeś ręce popychają tych ludzi ku śmierci. Naczelna zasady, na którą tu się powołujecie – to dobro władzy sowieckiej. Ale nie zapominajcie, że krew męczenników dodaje cer-

333

kwi nowych sił do rozrostu, (A u nas się nie rozrośnie!)... Więcej nie ma co mówić, ale trudno człowiekowi przerwać tę mowę: póki trwają te debaty – pod sądni są jeszcze żywi. Gdy zakończy się rozprawa – dobiegnie też końca ich życie...”.

Trybunał skazał na śmierć 10. Na tę śmierć czekali oni przeszło miesiąc, aż do końca procesu eserów (tak, jakby musiano ich rozstrzelać razem z eserowcami). Następnie WCIK ułaskawił sześciu z nich, czterech zaś (metropolitę Beniamina, archimandrytę Sergija – byłego członka Dumy Państwowej, profesora prawa J. P. Nowickiego i rzecznika przysięgłego Kowszarowa) rozstrzelano w nocy z 12 na 13 sierpnia.

Bardzo prosimy, aby czytelnik nie zapominał o zasadzie terenowego uwielokrotnienia. Gdzie doszło do dwóch procesów przeciw cerkwi tam w istocie było ich dwadzieścia dwa.

Bardzo starano się żeby kodeks karny zdążył przed procesem eserów: czas już wykuć granitowe zręby Prawa! 12 maja – według wcześniejszych ustaleń – zainaugurowano sesję WCIK, ale projekt kodeksu wciąż nie był gotów – posłano go dopiero do Górek, na ręce Włodzimierza Iljicza, do przejrzenia. Dodał 6 artykułów kodeksu przewidujących rozstrzelanie jako najwyższy wymiar kary (na przykład także – z artykułu 69: propaganda i agitacja... między innymi – wzywanie do biernego oporu przeciw władzy, do masowej odmowy wykonania obowiązku służby wojskowej, albo do niepłacenia podatków¹³). I jeszcze jedna okazja do rozstrzelania: za powrót bez pozwolenia zza granicy (bo to niegdyś wszyscy socjaliści szwendali się to tu, to tam). Wprowadzono jeszcze jedną karę, równą rozstrzelaniu: wyrzucenie za granicę. (Włodzimierz Iljicz przewidywał, że już niedługo nadejdzie czas, gdy nie będzie można się opędzić od tych, co zechcą przenieść się do nas z Europy, natomiast nikt nie będzie chciał dobrowolnie wyjechać od nas na Zachód). Najważniejszy wniosek Iljicz tak sformułował w notatce do narkoma sprawiedliwości:

„Towarzyszu Kurski! Wydaje mi się, że trzeba poszerzyć stosowanie rozstrzelania... (zamieniając je na wyrzucenie za granicę) w stosunku do różnych rodzajów działalności mieniszewickiej, eserowskiej itp.; znaleźć

¹³ To znaczy – coś w rodzaju apelu Wyborskiego, za który carski rząd wlepił trzy miesiące więzienia.

334

formułę, wiążącą tę działalność z międzynarodową burżu-*a* zj *q*” (kursywa i rozstrzelony druk pochodzą od Lenina **).

Poszerzyć stosowanie rozstrzelania!– Chyba jasne? (Bo to wielu wysłano za granicę?) Terror – to środek przekonujący ¹⁵ – też chyba jasne!

Ale Kurski jakoś nie rozumiał wszystkiego. Zapewne nie zupełnie zdawał sobie sprawy – jak to wszystko sformułować, jak unaocznić to powiązanie. Następnego więc dnia przyjechał do przewodniczącego Sownarkomu po wyjaśnienia. Nie znamy nam jest przebieg tej rozmowy. Ale 17 maja Lenin posłał w ślad za gościem następny list:

„Tow. Kurski! W charakterze uzupełnienia do naszej rozmowy posyłam wam szkic dodatkowego paragrafu kodeksu karnego... mam nadzieję, że zasadnicza myśl jest jasna, nie bacząc na wszystkie usterki brulionu: wystawić na widok publiczny zasadnicze i politycznie słuszne (a nie tylko wąskoprawnicze) założenia, uzasadniające sens i usprawiedliwiające terror, jego niezbędną, jego granice.

Zadaniem sądu nie jest skasowanie terroru; podobne obietnice byłyby oszukiwaniem samych siebie, albo łudzeniem innych. Sąd powinien terror uzasadnić i uprawomocnić w sposób pryncypialny, jasny, bez fałszu i upiększeń. Formuła powinna być jak najluźniejsza, bowiem tylko rewolucyjna świadomość prawna i rewolucyjne sumienie decydować będą o praktycznych warunkach stosowania tego w sensie mniej lub bardziej szerokim.

Z komunistycznym pozdrowieniem

Lenin¹⁶”;

Nie podejmujemy się komentowania tego ważnego dokumentu. Daje on okazję do namysłu w skupieniu i w ciszy.

Dokument ten dlatego jest szczególnie ważny, że należy do ostatnich wydanych za życia rozporządzeń Lenina, jeszcze nie powalonego przez chorobę, jest ważną częścią jego politycznego testamentu. Dziewięć dni po wysłaniu tego listu Lenin przeżywa pierwszy udar mózgowy, z którego skutków zdołał się otrząsnąć tylko częściowo i nie na długo w ciągu miesięcy jesiennych 1922 roku. Oba listy do Kurskiego zostały być może napisane w tym samym jasnym, wykładanym białym mar-

14 Lenin, Dzieła zebrane, wyd. V, tom 45, str. 189.

15 Lenin, Dzieła zebrane, wyd. V, tom 39, str. 404–405. 16 Lenin, Dzieła zebrane, wyd. V, tom 45, str. 190.

335

murem gabinecie–buduarze, w tym narożnym pokoju drugiego piętra, gdzie stało już i czekało na przywódcę jego łożo śmierci.

Załącznikiem do listu jest ten właśnie brulion, dwa warianty dodatkowego paragrafu, z którego za lat kilka wykluje się i artykuł 59/4 i–cały nasz rodzony Pięćdziesiąty Ósmy. Człowiek czyta i musi podziwiać: oto co znaczy formuła jak n aj luźniej s z a! oto co znaczy sens mniej lub bardziej szeroki! Czyta człowiek i przypomina sobie, jak szeroko rozpościerał się nasz najmilszy artykuł...

„...propaganda albo agitacja, albo udział w organizacji, albo poparcie (będące poparciem obiektywnym, albo mogące okazać się t a-k i m)... dla organizacji albo osób, działalność, która nosi charakter...”.

Ależ dajcie mi tu świętego Augustyna, a też mu ten artykuł przypnę!

Wszystko zostało uwzględnione jak należy, przepisane na maszynie, możliwości stosowania rozstrzelania poszerzono i sesja WCIK w dwudziestych dniach maja zaaprobowata i postanowiła wprowadzić w życie Kodeks Karny z dniem 1 czerwca 1922 roku.

Teraz więc, w całkowitej zgodzie z prawem, mógł zacząć się dwumiesięczny:

j) proces eserowców (% czerwca – 7 sierpnia 1922 roku).

Trybunał Najwyższy. Stały przewodniczący, towarzysz Karklin (niezłe nazwisko dla sędziego! * (zastąpiony–został ze względu na odpowiedzialny charakter tej sprawy, przez obrotnego Gieorgija Piatakowa. Los nierychliwy lubi się pośmiać! – ale przecież zostawia ludziom sporo czasu do refleksji! Piatakowowi zostawił 15 lat**...) Adwokatów nie było – podsądni, wybitni eserowcy, sami podjęli się własnej obrony. Piatakow zachowywał się opryskliwie, nie pozwalał wypowiedzieć się podsądnym./

Gdybyśmy – wraz z naszymi czytelnikami – nie byli jeszcze wystarczająco obkuci, gdybyśmy nie wiedzieli, że najważniejszą rzeczą w każdym procesie sądowym jest nie tak zwana wina, nie zasadność zarzutów – lecz zasada celowości – to być może nie od razu pozbylibyśmy się wewnętrznych oporów w stosunku do tego procesu. Ale zasada celowości gra tu bez pudła: w przeciwieństwie do mien-szewików, eserowcy byli uważani za jeszcze niebezpiecznych, jeszcze

* Karkaf – krakać.

** Piatakow był Jednym z oskarżonych w procesie moskiewskim 1937 roku. Rozstrzelany.

336

nie rozproszonych, jeszcze nie całkiem dobitych – i dla umocnienia nowo powstałej dyktatury (proletariatu) ich dobitcie było celowe.

Nie znając zaś tej zasady, można by mylnie uznać cały ten proces za akt partyjnej zemsty.

Oskarżenia wysunięte na tej rozprawie muszą skłonić człowieka do zadumy, jeśli przymierzy się do długiej, rozległej i wciąż dążącej tym samym torem historii państwa. Z wyjątkiem nielicznych demokracji parlamentarnych, których dzieje ograniczają się do niewielu dziesięcioleci – cała historia organizmów państwowych jest historią przewrotów i zagarniania władzy przemocą. I ten, komu się uda dokonać przewrotu w sposób zręczniejszy i sprawniejszy – w tejże chwili przywdziewa niepokalaną togę obrońcy Prawa i każdy krok jego, zarówno dawny, jak skierowany ku przyszłości, uznany, jest za pełnoprawny i godny eposu, każdy zaś dawny i przyszły krok jego niefortunnych przeciwników – uznany jest za przestępczy, podlegający sądowi i surowej karze.

Zaledwie przed tygodniem wprowadzony został kodeks karny – ale już całe 5 lat życia J porewolucyjnej historii upycha się w nim na siłę. Przed dwudziestu, przed dziesięciu, przed pięciu jeszcze laty, eserowcy byli partią sąsiedzką, z którą wspólnie obaliło się carat. Tą partią, na której barki padł (dzięki osobliwościom jej terrorystycznej taktyki) główny ciężar katorgi, którego bolszewicy prawie nie znali.

A oto teraz przeciw nim kieruje się pierwszy oskarżycielski zarzut: eserowcy, to inicjatorzy wojny domowej! Tak, zaczęli ją oni, to o n i ją rozpoczęli! Oskarża się ich o to, że już w trakcie przewrotu październikowego wystąpili przeciw niemu z bronią w ręku. Kiedy Rząd Tymczasowy, cieszący się ich poparciem i składający się częściowo z ich przedstawicieli, został w całym majestacie prawa zmieciony ogniem marynarskich cekaemów – eserowcy zupełnie bezprawnie próbowali go bronić¹⁷, a nawet odpowiadali wystrzałem na wystrzał i doszło do tego, że skłonili do walki kadetów, co służyli w wojsku tego właśnie rządu, który miał być obalony.

Rozbici na polu walki, nie okazali jednak politycznej skruchy. Nie padli na kolana przed Sownarkomem, który uznał się za rząd. Upierali się nadal, że jedynym legalnym rządem był rząd poprzedni. Nie przyznali się z miejsca do bankructwa swojej politycznej linii, od dwudziestu

17 Inna rzecz – że próbowali tego w sposób bardzo niemrawy, wahając się przy tym i zarzekając raz po raz. Ale w. i n a ich nie jest przez to mniejsza.

14 – Archipelag Gułag

337

lat kontynuowanej 18, tylko prosili, aby ich oszczędzono, puszczono na cztery.wiatry i przestano uważać za partię 19.

A oto drugi zarzut: pogłębili oni otchłań wojny domowej przez to, że 5 i 6 stycznia 1918 roku urządzili demonstrację, co równa się buntowi przeciw legalnej władzy rządu robotniczo-chłopskiego: urządzili ją dla poparcia swojej nielegalnej (choć wybranej drogą powszechnego, wolnego, równego, tajnego i bezpośredniego głosowania) Konstytuanty, występując przeciw marynarzom i czerwonogwardzistom, którzy w majestacie prawa rozpędzili i Konstytuantę, i demonstrantów. Dlatego przecież zaczęła się wojna domowa, że nie pała ludność z miejsca i posłusznie podporządkowała się legalnym dekretem Sownarkomu).

Trzeci punkt oskarżenia: eserowcy nie uznali pokoju Brzeskiego – tego legalnego i zbawiennego pokoju Brzeskiego, który nie odrąbywał Rosji głowy, lecz tylko część tułowia. Mamy w ten sposób – powiada akt oskarżenia – „wszystkie znamiona zdrady stanu i działań przestępczych, których celem było narzucenie krajowi wojny”.

Zdrada stanu! – to też zależy, kto i z której strony na to patrzy...

Stąd wypływa też czwarty, nader ciężki zarzut: latem i jesienią, kiedy w ostatnich miesiącach wojny kajzerowskie Niemcy ledwie już dotrzymywały placu aliantom, zaś rząd sowiecki – przestrzegając klauzul pokoju Brzeskiego – wspierał Niemcy w tych ciężkich zapasach transportami żywności i comiesięczną wypłatą kontrybucji w złocie – eserowcy zdradziecko szykowali się (nawet się nie szykowali, tylko swoim zwyczajem debatowali – a co, gdyby tak...) do wysadzenia w powietrze torów, by przegrodzić drogę jednemu z takich pociągów i nie pozwolić wywieźć złota z kraju – a to znaczy, że czynili przygotowania do zbrodniczego „niszczenia naszego ludowego majątku – kolei żelaznych”.

(Wtedy jeszcze nie ukrywano wstydliwie, że owszem, że wywożono rosyjskie złoto do przyszłego imperium Hitlera i jakoś nie przyszło na myśl Krylence – absolwentowi dwóch fakultetów, historii i prawa – ani też nikt z pomocników mu nie podszeptał, że jeśli stalowe szyny są częścią narodowego bogactwa, to może również – sztaby złota?...).

Z czwartego punktu oskarżenia nieubłaganie wypływa piąty: materiały techniczne, potrzebne do tego zamachu, eserowcy zamierzali nabyć

18 A bankructwo, oczywiście, miało miejsce, chociaż nie od razu to się wyjaśniło.

15 Na tej samej zasadzie nielegalne są wszystkie terenowe i peryferyjne rządy – Ar-changielski, Samarski, Ufmski, Omski, Ukraiński, Kubański, Uralski, czy Zakaukaski, ponieważ uznały się one za samodzielne organy władzy już po proklamowaniu Sownarkomu.

338

za pieniądze, otrzymane od przedstawicieli Ententy (aby nie oddawać złota Wilhelmowi chcieli wziąć pieniądze od aliantów) – a to–już zdrada najwyższego rządu! (Na wszelki wypadek Krylenko coś tam wymamrotał, że eserowcy byli związani także ze sztabem Ludendorffa, ale kamień wpadł nie do właściwego ogródka, więc dali spokój).

Stąd już ręką było podać do szóstego zarzutu: że eserowcy w 1918 roku byli szpiegami Ententy! Wczorajsi rewolucjoniści – dzisiaj są szpiegami! – wówczas to chyba jeszcze dawało efekt eksplozji. Od tamtych czasów i po tylu procesach ten zarzut obrzydł tak, że głowę skręca.

No, a po siódme, po dziesiąte – współpraca z Sawinkowem albo z Fitonienko, albo z Kadetami, albo ze „Związkiem Odrodzenia” albo nawet z carskimi dygnitarzami, czy wreszcie z białogwardzistami.

Ten powróż oskarżeń dobrze został skręcony przez prokuratora²⁰. Czy przy medytacjach w gabinecie, czy dzięki nagłemu błyskowi natchnienia już na mównicy, ale znalazł on ten oskarżycielko–poufaty ton, w jaki w kolejnych procesach uderzy ze wzrastającą pewnością i mocą, a który w 1937 roku da efekty oszałamiające. Jest to ton apelu o jedność sądzących i sądzonych, – jedność przeciw całej reszcie świata. Melodię tę wygrywa się na najczulszej strunie duszy podsądnego. Z mównicy oskarżycielskiej powiada się eserowcom: toć my tu wszyscy jesteśmy rewolucjonistami! (Wy i my – to razem my!) Jakże mogliście więc upaść tak nisko, by działać w porozumieniu z partią kadetów? (Toć wiemy, że serce wam przez to pęka!) z oficerami? Żeby uczyć białych waszej, tyle lat doskonalonej, znakomitej techniki konspiracji?, .

Oto macie szczególną cechę przewrotu październikowego: wypowiedziano wojnę wszystkim partiom naraz – i jednocześnie zabroniono im łączyć się w koalicję („to nie twój pogrzeb – czego się rypiesz?”). Bezwarunkowo niektórzy podsądni jakoś spuścili nos na kwintę, bo rzeczywiście ten i ów poczuł ukłucie w sercu: no, jak mogliśmy upaść tak nisko? Przecież takie wyrazy współczucia z ust prokuratora, w tej jasnej sali – to bardzo wstrząsa więźniem, zwłaszcza, gdy przywiozło się go z ciemnicy.

A tu jeszcze jeden, taki logiczny trop znajduje Krylenko (wykorzysta to w pełni Wyszyński przeciw Bucharinowi i Kamieniewowi): zawierając porozumienie z burżuazją, akceptowaliście również jej pomoc pieniężną. Z początku braliście pieniądze na konkretne akcje, tylko na a k–c j e, ^w żadnym razie nie dla potrzeb partii – dobrze, ale gdzie granica? Kto to rozróżni? Przecież akcja, to też sprawa partyj–

Przywrócono mu ten tytuł.

339

na? W ten sposób doigraliście się: wy, partia socjalisto w–rewolucjo–nistów, jesteście na utrzymaniu burżuazji?! Gdzie wasza rewolucyjna godność?

Nagromadziło się tych oskarżeń do licha i trochę – trybunał mógłby już oddalić się na naradę i przysobaczyć każdemu zasłużoną karę – ale wciąż tu coś nie grało:

– wszystko, p co oskarżano partię socjalrewolucjonistów odnosiło się do okresu sprzed 1919 roku;

– w lutym 1919 roku rada naczelna partii S–R postanowiła zaprzestać walki z władzą bolszewików (już to znużona tą walką, już to czując wyrzuty rewolucyjnego sumienia). I 27 lutego 1919 roku rząd bolszewicki dekretem o amnestii odpuścił

eserowcom wszystkie dawne grzechy. Partia została zalegalizowana, wyszła z podziemia – i po 2 tygodniach zaczęły się masowe aresztowania, całe kierownictwo poszło pod klucz (o, to jest po naszymu!). Od tej chwili nie walczyli więc już na wolności – i tym bardziej, nie toczyli walki za kratami.) Ich KC siedział w Butyrkach i jakoś nie próbował ucieczki, jak za cara bywało) – tak, że od aktu amnestii, aż do bieżącego, 1922 roku niczego już się nie dopuścili.

Co zrobić z tym fantem?

Nie dość, że nie toczą już walki, ale uznali władzę Sowietów (to znaczy, odcięli się od swojego Tymczasowego, a zresztą od Konstytuanty także). → I tylko proszą o przeprowadzenie nowych wyborów do tych Sowietów ze swobodą agitacji na rzecz różnych partii. A nawet tu, na procesie podsądny Gendelman, członek KC S-R powiedział: „Dajcie nam możliwość korzystania z pełnej gamy tak zwanych swobód obywatelskich, a nie będziemy łamać żadnych praw!” (Dajcie no im, a jeszcze „pełną gamę”!).

Słyszycie? Słyszycie? Tu ich macie! Oto skąd wysuwa się wrogi, burżuazyjny, zwierzęcy pysk! Jak to można? A poważna sytuacja? A wrogie otoczenie? (I za dwadzieścia, i za pięćdziesiąt, i za sto lat będzie tak samo). A wy byście chcieli swobodnej agitacji na rzecz różnych partii, sukine dzieci?!

Ludzie trzeźwi politycznie, powiada Krylenko, mogli w odpowiedzi tylko roześmiać się i wzruszyć ramionami. Zapadło przecież słuszne postanowienie: „nawet i z pomocą wszystkich represji będących w dyspozycji aparatu państwowego, uniemożliwić tym grupom prowadzenie agitacji przeciw rządowej 21”. W rezultacie: w odpowiedzi na wy-

21 Krylenko, str. 183.

340

zreczenie się przez eserowców walki zbrojnej i na pokojowe ich propozycje – CAŁY KC PARTII S-R (kogo tylko udało się złapać) WSADZONO DO WIĘZIENIA!

O, to jest po naszymu!

Ale trzymając ich (czy nie od trzech już lat?) w więzieniu – trzeba było kiedyś ich sądzić. A o co ich oskarżyć? „Ten okres nie jest w należytej mierze spenetrowany przez śledztwo” – utyskuje prokurator.

Zresztą, jeden z punktów oskarżenia miał podstawę: wtedy właśnie, w lutym 1919 roku eserowcy uchwalili rezolucję (nie wprowadzili jej w życie, ale z punktu widzenia nowego kodeksu karnego, to wszystko jedno): prowadzić w Armii Czerwonej tajną agitację – aby skłonić żołnierzy do odmawiania udziału w ekspedycjach karnych przeciw chłopom.

Była to podła, podstępna zdrada rewolucji! – odradzać ludziom udział w karnych ekspedycjach.

Można było jeszcze zwać na nich winę za to, co mówiła, –pisała i robiła (przeważnie – mówiła i pisała) tak zwana „Zagraniczna delegatura KC S-R” czyli ci najważniejsi z eserowców, którzy zdolali unieść głowy na Zachód.

Ale wszystkiego tego było za mało. Oto więc, co wymyślono: „wielu z siedzących tu podsądnych nie trafiłoby na ławę oskarżonych, gdyby nie fakt, że zarzuca się im organizację aktów terrorystycznych!” Gdy proklamowano w 1919 roku amnestię, ponoć „nikomu z pracowników sowieckiego aparatu sprawiedliwości nie przychodziło do głowy”, że eserowcy byli również organizatorami terroru przeciw działaczom państwa sowieckiego”. (No i rzeczywiście, komu też mogło przyjść do głowy coś takiego? Eserowcy. – i terror? Ależ gdyby coś takiego przy-

szło na myśl – to trzeba by to też obejmować amnestią! To szczęście po prostu, że wówczas nic takiego do głowy nie przyszło. A przyszło dopiero wtedy, kiedy* mogło się przydać). A teraz ten punkt oskarżenia amnestii nie podlega i Krylenjco zaraz go wysuwa!

Przede wszystkim: co powiedzieli wodzowie eserów w trakcie pierwszych dni po przewrocie Październikowym? (A czegoż te gaduły nie zdążyły w życiu powiedzieć?!).. Ówczesny leader podsądnych i przywódca partii, Abram Goc, oświadczył: „Jeśli samodzielnicy ze Smolnego Instytutu podniosą rękę także (na Konstytuante)... to partia S–R „przypomni sobie swoją dawną, wypróbowaną taktykę...”.

Oczywiście, tylko tego można było oczekiwać od nieposkromionych eserowców. Istotnie, trudno uwierzyć, aby właśnie oni wyrzekli się terroru.

341

„W tej fazie dochodzeń – skarży się Krylenko – konspiracja sprawa; że zeznań świadków... będzie mało”. „To właśnie czyni moje zadanie nadzwyczaj trudnym... W tej dziedzinie (chodzi tu o terror) musimy w niektórych wypadkach poruszać się po omacku²²”.

Zadanie Krylenki jest tym trudniejsze, że terror przeciw władzy sowieckiej był trzy razy przedmiotem debat K C S–R w 1918 roku, ale został trzykrotnie odrzucony. Teraz zaś, po latach, trzeba wykazać, że eserowcy mówili wtedy: nie wcześniej, nim bolszewicy zabiorą się do skazywania na śmierć socjalistów. Albo w 1920 roku: jeżeli bolszewicy targną się na życie zakładników–eserowców, to partia chwyci za broń²³:

Otóż: dlaczego tyle zastrzeżeń? Dlaczego nie odrzucili tych metod bez reszty? „Dlaczego nie było wypowiedzi absolutnie potępiającej?”

Że terroru ta partia nie stosowała, to jasno wynika nawet z mowy Krylenki. Ale naciąga się następujące okoliczności: jeden z podsądnych nosił w głowie projekt wysadzenia w powietrze parowozu pociągu Sow–narkomu przy okazji przenosin rządu do Moskwy – a więc ich KC winien jest zbrodni terroru. A Iwanowa z oddziału bojowego dyżurowała jednej nocy z JEDNĄ sztabką piroksyliny niedaleko dworca – co oznacza próbę zamachu na pociąg Trockiego i w rezultacie – ich KC winien jest zbrodni terroru. Albo: członek KC Donskoj uprzedził F. Kapłan, że zostanie wyrzucony z partii, jeśli będzie strzelać do Lenina. Ale – to za mało! Dlaczego nie zabronił kategorycznie? (Albo może – dlaczego nie doniósł na nią do Czeki?). A ta Kapłan jednak pasuje: była niewątpliwie e s e r k a.

Tyle tylko naskrobał Krylenko z wyjedzonej miski, że eserowcy nie wprowadzili sankcji, mających przeszkodzić indywidualnym aktom terrorystycznym, przedsięwziętym przez ich bezrobotnych, dręczących się bezczynnością bojowców. Do tego sprowadzał się cały terror. (Ale ci bojowcy niczego nie zrobili). Zresztą, nawet ci bojowcy niewiele zdziałali. Siemionow układał i prowadził rękę Siergiejewa, który zabił Wołodarskiego – ale KC S–R nie splamił się przy tej okazji, ba, odciął się publicznie od zamachowca. Później zaś tenże Siemionow i jego przyjaciółka, Konooplewa, z podejrzaną skwapliwością wzbogacili swoimi ochoczymi zeznaniami zapas informacji GPU i oto teraz Trybunał tych

22 Str. 236 (a ten język!).

23 A innych zakładników mogą sobie nawet dorzynać..

342

właśnie strasznych bojowców trzyma na rozprawie bez konwoju i pozwala im w przerwach wracać na noc do własnych mieszkań.

Wszystkie zeznania zresztą są takie, że wymagają podpórek. O jednym ze świadków Krylenko tak powiada: „Gdyby ktoś chciał w ogóle zmyślać, to niewiarygodne jest, aby zmyślił tak, żeby przypadkiem trafić akurat w sedno 24. (Mocna rzecz! Tak można mówić o każdym spreparowanym zeznaniu). O Konoplowej – na odwrót: wiarygodność jej zeznań polega właśnie na tym, że ona mówi nie wszystko, na czym oskarżeniu zależy. (Ale wystarczająco wiele, by rozstrzelać pod sądnych). „Jeżeli postawimy sprawę w ten sposób, że ta Konoplowa wszystko zmyśla... no to jasne: jak zmyślać, to, już zmyślać” (on to dobrze wie!) – a ona, uważacie, nie na cały regulator. Bywa też tak: „Czy spotkanie mogło mieć miejsce? Taka możliwość nie jest wykluczona”. Nie wykluczona? – a więc to fakt! Pleć, pleciugo!

Następnie – „grupa dywersyjna”. Długo o niej się prawi i nagle: „zlikwidowana była za bezczynność”. Więc po co było tyle w uszy kłaść? Było istotnie kilka ekspropriacji pieniężnych w sowieckich instytucjach (eserzy nie mieli środków na opędzenie potrzeb, na wynajem mieszkań, na przejazdy). Ale dawniej uważano to za wytworne i szlachetne e k s y, tak zwali je wszyscy rewolucjoniści. A teraz, przed sowieckim sądem? – „rabunek i ukrywanie łupu”.

Materiał dowodowy tego procesu rzuca mętne, żółte światło niegasnącej lampy prawa – na całą niepewną, chwiejną, powikłaną historię porewolucyjną tej patetycznie rozgadanej, a w istocie zbłąkanej, bezradnej, nawet bezczynnej partii, która nie potrafiła przeciwstawić się bolszewikom. I każda jej decyzja, czy brak decyzji, każde wahanie, każdy poryw, każdy odwrót – teraz zmieniają sens i poczytywane są tylko za winę, za winę, za winę.

We wrześniu 1921 roku, 10 miesięcy przed procesem, osadzony już w Butyrkach, wyaresztowany Komitet Centralny eserowców zawiadomił tajnym listem nowo obrany KC, że nie godzi się na każdy sposób obalenia dyktatury bolszewickiej, a tylko – poprzez zespolenie mas pracujących i robotę agitacyjną (to znaczy, że nawet siedząc w więzieniu, nie godzi się na przywrócenie sobie wolności ani przez powstanie zbrojne, ani przez terror, ani przez spisek!) – ale nawet to obrócone zostało przeciw nim, uznane za winę: aha, to znaczy, że na obalenie dajecie zgodę!

Krylenko, str. 251.

343

No, a jeśli nawet nie są winni prób obalenia, nie są winni terroru, tych ekspropriacji – prawie nie było, a wszystko pozostałe zostało im wcześniej darowane? Nasz ulubieniec-prokurator wydobywa z zanadrza. coś, co chował na tę chwilę: „Ostatecznie zaś – fakt niezłożenia doniesienia ma znamiona przestępstwa, które może być inkryminowane wszystkim bez wyjątku podsądnym i powinno być uznane za dowiedzione²⁵”.

Partia eserowców już przez to zawiniła, że NIE ZŁOŻYŁA NA SIEBIE DONOSU! To już cios bez pudła! To – równa się odkryciu doktryny prawnej, obecnej w nowym kodeksie, to – przetarcie drogi, którą pędzić a pędzić będą na Sybir tylu wdzięcznych potomków.

Rozsierdzony Krylenko rąbie zresztą całkiem po prostu, że podsądni – to „zaciekli, odwieczni wrogowie”. A skoro tak, to bez żadnych tam procesów wiadomo, co z nimi zrobić.

Kodeks tak jeszcze jest świeży, że Krylenko nie zdążył zapamiętać numerów najważniejszych artykułów, mówiących o kontrrewolucji, ale jak ci to sypie tymi numerami! Jak przemyślnie je przytacza i komentuje! – Jakby przez całe już dzie-

sięciolecia na tych numerach wisało ostrze gilotyny. I oto, na czym polega ważne novum: rozróżnienia m e–tod od środków, istniejącego w carskim kodeksie – u nas już nie ma! Ani na ocenę winy, ani na sankcję karną to nie wpływa! Zamiar – czy też czyn – to dla nas wszystko jedno! Uchwalono rezolucję? Za to właśnie sądzimy was. A czy tam „wprowadzono ją w życie, czy może nie, to żadnego istotnego znaczenia nie ma²⁶”. Czy facet szeptał żo[^]nie do ucha w małżeńskiej pościeli, że dobrze byłoby obalić rząd sowiecki, czy agitował przed wyborami, czy wreszcie rzucił bomby – to wszystko jedno! I kara – ta sam a!!!

Podobnie, jak pod ręką wnikliwego artysty kilka kresek węglowych starczy za zarys wizerunku – tak też przed nami w tych szkicach z 1922 roku coraz wyraźniej rysuje się cała panorama 37., 45., 49. roku.

Pierwszy to raz pozwolono sobie na proces publiczny, ba, prowadzono przed oczyma Europy – i jest to pierwsza próba pokazu „gniewu mas”. Ten gniew mas udał się wyjątkowo.

Oto co zaszło. Dwie socjalistyczne Międzynarodówki 2 i 2 i pół (Grupa Wiedeńska) przyglądały się, bez zachwyty może, ale całkiem spokojnie przez 4 lata, jak to bolszewicy wyrzynają, puszczają z dymem, topią, rozstrzelują i duszą swój kraj; we wszystkim tym widziano jednak

25 Krylenko, str. 305.

26 Str. 185.

344

ogromny eksperyment społeczny. Aż tu wiosną 1922 roku Moskwa oznajmiła, że 47 eserowców stanąć ma przed Sądem Najwyższym – tu czołowi socjaliści Europy poczuli niepokój i uderzyli na alarm.

W pierwszych dniach kwietnia 1922 roku odbyła się w Berlinie narada trzech międzynarodówek – w celu stworzenia „wspólnego frontu” przeciw burżuazji. W imieniu Kominternu przybyli Bucharin i Radek; socjaliści zaś zażądali od bolszewików tej sprawy z wokandy. „Wspólny front” bardzo był potrzebny w interesie światowej rewolucji, a więc delegacja Kominternu na własną rękę podjęła zobowiązanie, że proces będzie publiczny; że przedstawiciele wszystkich międzynarodówek mogą być na nim obecni i stenografować przebieg sprawy; że oskarżeni będą mieli prawo wyboru obrońców; i – co najważniejsze (a nadto niezgodne z zasadą niezależności sądownictwa, co dla komunistów było fraszką, ale na co socjaliści też się zgodzili) – w tej sprawie nie będzie orzeczona żadna kara śmierci.

Przywódcy socjalistów wpadli w euforię; postanowili sami zostać obrońcami podsądnych, Lenin zaś (za kilka tygodni miał go tknąć pierwszy paraliż, ale przecież tego nie wiedział) surowo skomentował – tę ugodę w Prawdzie: „Zapłaciliśmy zbyt wysoką cenę”. Bo też jak można było obiecywać, że wyroków śmierci nie będzie i pozwolić socjalzdraj–com przysłuchiwać się obradom naszego sądu?

Zobaczymy później, że również Trocki zupełnie z nim się zgadzał i że Bucharin wkrótce wyrzekł się swoich wątpliwości. Gazeta niemieckich komunistów „Rotę Fahne” pisała, że bolszewicy byliby idiotami, gdyby dopełnili tych zobowiązań: chodzi o to, że „wspólny front” w Niemczech już się rozpadł, więc sama ugoda straciła rację bytu. Ale komuniści już wówczas zaczęli zdawać sobie sprawę z ogromnego wpływu, jaki mieć mogą na wypadki dziejowe ich ulubione chwytły. Gdy proces już się zbliżał, w maju Prawda napisała: „Będziemy ściśle trzymać się uzgodnień. Ale za progiem sali sądowej ci panowie powinni znaleźć się w takich warunkach, które zapewniłyby naszemu krajowi należną ochronę przed taktyką

tych łotrów i podżegaczy". Taki akompaniament towarzyszyć miał wizycie trzech sławnych socjalistów: Vandervelde, Ro-senfelda i Theodora Liebknechta (brata zabitego Karla), gdy w końcu maja wyjechali do Moskwy.

Poczynając już od stacji granicznej, na wszystkich przystankach wagon socjalistów szturmowały pełne gniewu demonstracje mas pracujących, żądając rozliczenia ich ze wszystkich kontrewolucyjnych zamiarów; od Vandervelde domagano się ponadto odpowiedzi, dlaczego podpisał on grabieżczy Traktat Wersalski? Powybijano szyby w wago-

345

nie i grożono socjalistom obiciem pysków. Ale najwystawniej przyjęto ich na dworcu Widawskim w Moskwie: plac pełen był demonstrantów, grzmiąły orkiestry, rozlegały się pienia. Na ogromnych transparentach widniały napisy: „Panie Vandervelde, ministrze króla jegomości! Kiedy pan stanie przed Trybunałem Rewolucyjnym? Kainie, Kainie, gdzie twój brak Karl?” Wyjściu naszych cudzoziemców z wagonu towarzyszyła kocia muzyka, kolekcja grózb i chóralna pieśń:

Chociaż nikt go nie zaprasza Jedzie Vandervelde – zdrajca Gdyby nie go-
ścinnosć nasza To by wisił już za jaj ca.

(I tu doszło do niedużej gafy: Rosenfeld zobaczył w tłumie samego Bucharina, gwizdzącego raźnie na palcach.) W ciągu następnych dni rozjeżdżały po Moskwie kolorowe ciężarówki z kukłami gości. Na estradzie obok pomnika Puszkina szło bez przerwy widowisko, demaskujące eserowskich zdrajców oraz ich obrońców. A Trocki i wielu innych mówców na zebraniach fabrycznych w płomiennych przemówieniach żądali kary śmierci dla eserowców, wzywając partyjnych i niepartyjnych słuchaczy do głosowania w tej sprawie. (Już w tym okresie istniała cała gama możliwości: kto się nie zgadzał, pierwszy podlegał redukcji, tracił kartkę do robotniczej spółdzielni, itd. nie mówiąc już o CzeKa. Głosowano więc. Następnie puszczono okólnikiem do wszystkich fabryk blankiet petycji z żądaniem kary śmierci i gazety wypełniły się tekstami tych petycji oraz cyframi podpisów. (Co prawda zdarzyli się oporni, więc ten i ów musiał zostać aresztowany.)

8 czerwca zaczął się przewód sądowy. Na ławie oskarżonych zasiadło 32 ludzi, w tym 22 podsądnych z Butyrek i 10 skruszonych winowajców, odpowiadających już z wolnej stopy, których bronił sam Bućharin w towarzystwie kilku funkcjonariuszy Kominternu. (W tej samej sądowej komedii bawią publiczność i Bućharin i Piatakow, nie wiedząc jak zadrwi z nich nierychliwy los. Bo los da! im również czas do namysłu – każdemu jeszcze po piętnaście*lat, podobnie jak Krylence. (Piatakow zachowywał się szorstko, odbierał głos oskarżonym. Świadcami oskarżenia byli Łunaczarski, Pokrowski, Klara Zetkin). (Akt oskarżenia podpisała również żona Krylenki, która prowadziła w tej sprawie śledztwo; grunt to zgoda w rodzinie.)v

Na sali siedziało 1200 widzów, ale z nich tylko 22 było krewnymi 22 podsądnych; wszyscy pozostali – byli to komuniści, poprzebierani cze-kiści, specjalnie dobrana publiczność. Ta publiczność często przerywała

346

wrzaskami przemówienia oskarżonych i obrońców. Tłumacze fałszowali sens rozprawy w notatkach, przeznaczonych dla obrońców, przekręcając z kolei słowa adwokatów, przeznaczone dla sędziów. Wnioski obrońców trybunał złośliwie odrzucał, świadków obrony nie dopuszczono do głosu, stenogramy prowadzone były tak, że oskarżeni nie mogli rozpoznać własnych słów.

Od razu na pierwszej sesji Piatakow oznajmił, że sąd nie zamierza bynajmniej rozpatrywać sprawy bezstronnie, że zdecydowany jest kierować się wyłącznie interesem sowieckiej władzy.

Po tygodniu zagraniczni obrońcy pozwolili sobie na nietakt: złożyli na ręce sądu skargę, iż tu wykracza się rzekomo przeciw ugodzie berlińskiej. Trybunał z dumą odpowiedział, że to przecież sąd, a sąd nie mogą wiązać żadne postronne umowy.

Obrońcy – socjaliści stracili całkiem rezon: ich obecność na tej rozprawie stwarzała tylko pozór normalnego postępowania. Zrzekli się obrony i chcieli już tylko jednego: wrócić do swojej Europy, ale ich nie wypuszczano. Dostojni goście musieli ogłosić głodówkę – dopiero wtedy, 19 czerwca, pozwolono im wyjechać. A szkoda, bo ominął ich przez to udział w najgodniejszym uwagi widowisku – 20 czerwca, w rocznicę zamachu na Wołodarskiego.

Zgromadzone zostały fabryczne kolumny marszowe (w jednych fabrykach zamykano wrota, żeby nikt się przed czasem nie wymknął, w innych odbierano robotnikom karty kontroli, w innych jeszcze karmiono ludzi obiadem), na sztandarach i transparentach – „Śmierć oskarżonym!”, kolumny wojska maszerowały swoją drogą. Na Czerwonym Placu zaczął się wiec. Przemawiał Piatakow, obiecując surowe kary, Krylenko, Kamieniew, Bucharin, Radek, śmietanka komunistycznych mówców. Następnie demonstranci ruszyli pod gmach sądu, gdzie Piatakow kazał podprowadzić podsądnych do otwartych okien, pod którymi szalały tłumy. Oskarżeni stali tak pod gradem obelg i drwin, Abram Goc dostał po głowie deską z napisem „Śmierć socjalistom – rewolucjonistom”. Wszystko to razem zajęło pięć godzin po fajrancie i już się ściemniło (półbiate noce bywają również w Moskwie), gdy Piatakow oznajmił sądowi, że delegacja wiecu prosi o wpuszczenie jej na salę. Krylenko wyjaśnił, że chociaż kodeks tego nie przewiduje, ale duch władzy sowieckiej na to zezwala. I delegacja wdarła się na salę. Przez dwie godziny perorowała, złorzecząc i grożąc. Żądała, kary śmierci. Sędziowie zaś słuchali, ściskali mówcom ręce, dziękowali i zaklinali się, że nie dadzą się zwieść litości. Napięcie było tak znaczne, że podsądni i ich krewni spodziewali się zlinczowania. (Goc, wnuk bogatego kupca her-

347

bacianego, zresztą – również sympatyka rewolucji, słynny za carskich czasów terrorysta, uczestnik zamachów, których ofiarą padli Durnowo, Min, Rieman, Aki-mow, Szuwałow, Raczkowski – na pewno w ciągu całej swojej bojowej kariery nie był w takim niebezpieczeństwie!). Ale kampania gniewu ludowego zaraz się skończyła, chociaż sprawa trwała jeszcze półtora miesiąca; następnego dnia również sowieccy adwokaci zrezygnowali z obrony (czekał ich areszt i deportacja).

W tej sprawie występuje już wiele cech, które poznamy w przyszłości, ale podsądni nie wyglądają jeszcze na ludzi złamanych i nie są jeszcze zmuszeni, by świadczyć przeciw sobie samym. Podtrzymuje ich na duchu również tradycyjna dla lewicowych partii iluzja, że to oni są obrońcami interesów ludzi pracy. Po kilku latach, straconych na ustępstwa i próby dojścia do porozumienia – widać w nich teraz znowu dawną niezłomność. Podsądny Berg oskarża bolszewików o strzelanie do tłumów, demonstrujących w obronie Konstytuanty; oskarżony Liberów powiada: „Przyznaję się do winy, mianowicie do tego, że w 1918 roku pracowałem nie dość wydajnie dla obalenia władzy bolszewików”. (Str. 103). JeWgenia Ratner mówi to samo, i znów słyszymy Berga: „uważam się za winnego wobec pracującej

Rosji, ponieważ nie potrafiłem z należytą mocą walczyć z tak zwaną władzą robotniczo-chłopską, ale mam nadzieję, że znajdę jeszcze na to czas". (Już nie znajdziesz, kochaneńki, nie znajdziesz).

Jest w tym dawne zamiłowanie do dźwięcznych frazesów, ale jest także hart ducha!–

Prokurator argumentuje: oskarżeni są niebezpieczni dla władzy sowieckiej, ponieważ wszystko, co robili, uważają za dobre. „Być może niektórzy z podsądnych znajdują pociechę w myśli, że kiedyś jakiś kronikarz będzie o nich o ich zachowaniu się na rozprawie mówić z aprobatą”..

I uchwała WCIK zapadła już po rozprawie: ci ludzie nawet „na procesie przyznali samym sobie prawo kontynuacji” dawnej działalności.

A podsądny Gendelman–Grabowski odczytał deklarację: „Nie uznajemy waszego sądu!... I, będąc prawnikiem wyróżnił się na rozprawie dzięki swoim sporom z Krylenką na temat prepaflowania zeznań i "szczególnych metod stosowanych wobec świadków" – czytaj – nie–zamaskowanego nacisku na nich ze strony GPU. (Już to jest! Wszystko już jest! – niewiele brak do ideału). Okazało się, że dochodzenia wstępne prowadzone były pod okiem prokuratora (tegoż Krylenki) i przy tej okazji świadomie ulegały zaklajstrowaniu poszczególne sprzeczności w zeznaniach.

348

Na cóż, zdarzają się chropowatości. No, jakieś drobiazgi nie zostały dopracowane. Ale koniec końców „to musimy sobie z całą jasnością i zimną krwią powiedzieć... że nie absorbuje nas tu wcale kwestia – jak sąd historii oceni to, co czynimy²⁷”.

A tymczasem – wijąc się jak piskorz, Krylenko – chyba pierwszy i ostatni raz w sowieckiej jurysprudencji – wspomina o dochodzeniu! o wstępnym dochodzeniu poprzedzającym śledztwo! Oto jak zgrabnie to się u niego układa: to, co prowadzono bez kontroli prokuratora i co uważaliście za śledztwo, to było tylko dochodzenie. A to, co uważacie za super–śledztwo, prowadzone pod okiem prokuratora mające na celu zadzierzgnięcie wszystkich węzłów i dokręcenie śrubek – to właśnie jest śledztwem! Chaotyczne „materiały, zebrane przez organa dochodzenia, nie sprawdzone podczas śledztwa, mają o wiele mniejszą wartość dowodową dla sądu, niż materiały śledztwa²⁸”, gdy jest ktoś, kto sprawnie nim kieruje.

Sprytny, nie da się zjeść w kaszy.

Mówiąc praktycznie, przykro było Krylence szykować się do tego procesu pół roku, ze dwa miesiące użerać się na nim, przez jakieś piętnaście godzin z rzędu wygłaszać swoje przemówienie oskarżycielskie, podczas gdy „wszyscy ci podsądni nie raz i nie dwa byli już w rękach organów nadzwyczajnych w okresie, gdy organy te miały wyjątkowe uprawnienia; ale dzięki takim, czy owym okolicznościom udało im się u j ś ć cało²⁹” – i oto teraz Krylenko sam ma odwalić całą robotę i zaprowadzić ich pod mur w majestacie prawa.

Bo oczywiście – „wyrok może być tylko jeden – wszyscy co do jednego mają być rozstrzelani³⁰”! Ale – wspaniałomyślnie zastrzega się Krylenko – jako że świat jednak zwraca na proces uwagę – to, co prokurator powiedział „nie jest dla sądu dyrektywą”, którą trybunał „zobowiązany jest bezpośrednio przyjąć do wiadomości albo i do wykonania³¹”.

Niezły sąd, któremu takie rzeczy trzeba objaśniać!... Po tym apelu prokuratora – podśladnym zaproponowano, by złożyli deklarację skruchy i odcięli się od swojej partii. Nikt z nich nie zgodził się na to.

I trybunał w sentencji posuwa się aż do zuchwalstwa: orzeka rozstrzelanie nie „wszystkich co do jednego”, lecz tylko czternastu podślad–

27Krylenko, str. 325.

28Str. 238.

29Str. 322.

30Str. 326.

31Str. 319.

349

nych. Pozostałych skazuje na więzienie, obozy, a co do jeszcze jakiejś setki pociągniętych do odpowiedzialności, postanawia „odeślanie sprawy do osobnego rozpoznania”. I proszę pamiętać – czytelniku – proszę pamiętać: na Trybunał Najwyższy „patrzę uważnie wszystkie pozostałe sądy Republiki, bo on udziela im wskazówek³², bo wyrok Naj–trybu wykorzystywany jest „w charakterze dyrektywy kierunkowej³³”. Ilu jeszcze na prowincji zagarną – to już sami sobie możecie wyobrazić.

Ależ całego tego procesu warto jest chyba samo orzeczenie kasacyjne prezydium WCIK. Z początku wyrok trybunału przesłano uczestnikom konferencji partii bolszewickiej. Padła tam propozycja, by rozstrzelania zamienić na wysiedlenie za granicę. Ale Trocki, Stalin i Bucharin (właśnie ta trójka!) zażądali: dać 24 godziny na odcięcie się od swoich przekonań i wtedy zesać ich na 5 lat, : jeśli nie zechcą – to niezwłocznie rozstrzelać. W końcu przyjęto wniosek Kamieniewa, nadając mu formę decyzji Wszechzwiązkowego Komitetu Wykonawczego (WCIK): zatwierdzić wyrok śmierci, ale wstrzymać jego wykonanie. Dalszy los skazanych będzie zatem zależeć od zachowania się eserowców, pozostałych na wolności (w domyśle – również zagranicznych). Jeżeli kontynuowane będą podziemne działania spiskowe, a tym bardziej – akcja zbrojna eserowców – to tych 12 pójdzie pod mur.

Poddano ich w ten sposób torturze czekania na śmierć: każdy dzień mógł być dniem egzekucji. Z Butyrek przeniesiono ich do niedostępnej Łubianki, pozbawiono widzeń, korespondencji i paczek, zresztą żony niektórych zostały też aresztowane i wysłane z Moskwy.

Na polach Rosji drugi już raz zbierano żniwa pokoju. Nigdzie już – wyjąwszy podwórce Czeki – nie strzelano (w Jarosławiu – Piechuro–wa, w Piotrogradzie – metropolicę Beniamina. I na wieki wieków amen). Pod lazurowym nieboskłonem, po błękitnych falach płynęli za granicę nasi pierwsi dyplomaci i żurnaliści. CENTRALNY KOMITET WYKONAWCZY DEPUTATÓW ROBOTNICZYCH I CHŁOPSKICH trzymał zaś sobie za pazuchą wiecznych zakładników.

Członkowie partii rządzącej przeczytali wszystkie sześćdziesiąt numerów Prawdy ze sprawozdaniami o procesie (byli pilnymi czytelnikami gazet) i wszyscy powiedzieli tylko TAK, TAK, TAK. Nikt z nich nie zdobył się na NIE.

I co ich później tak dziwiło w 37.? Na co właściwie się skarżyli? Czy wszystkie fundamenty tego bezprawia nie były już założone – czy nie

32 Str. 407.

33 Str. 409.

350

złożyły się na nie naprzód pozasądowe represje Czeki, i sądowe – rewojentrybunatów, a następnie te oto pierwsze procesy i ten właśnie kodeks – osesek? Czy 1937 rok nie był także czymś CELOWYM (zgodnym z celami Stalina, a może nawet samej Historii?).

Wyrwała się Krylence prorocza uwaga, – że to nie przeszłość stoi tu przed sądem, ale przyszłość.

Przy koście tylko pierwszy pokos trudny.

Okolo 20 sierpnia 1924 roku przekroczył granicę sowiecką Borys Wi-ktorowicz Sawinkow. Został natychmiast aresztowany i odwieziony na Łubiankę. Ten powrót był przedmiotem wielu plotek i domysłów. Sowiecki miesięcznik „Newa” (1967, nr II) potwierdził wersję, ogłoszoną przez Burcewa w 1933 roku („Byłoje”, Paryż, nowa seria, II, Biblioteka „Illustrowannaja Rossija”, tom 47).

Namówiwszy do zdrady część ludzi Sawinkowa, innych zaś – wprowadziwszy w błąd, GPU z ich pomocą zarzuciło haczyk z dobrą przynętą: tu, w Rosji, istnieje duża organizacja podziemna, cierpiąca na brak wybitnego przywódcy! Nie sposób było wymyśleć przynęty bardziej takomej. Jak mogło zresztą burzliwe życie Sawinkowa zakończyć się w Nicei. Nie mógł sobie odmówić okazji do jeszcze jednej potyczki i dobrowolnie wrócił do Rosji, na własną zgubę.

Śledztwo sprowadziło się do jednego tylko przesłuchania – składały się na nie dobrowolne zeznania i ocena działalności. 23 sierpnia gotowe już było oskarżenie. (Szybkość zawrotna, ale to właśnie dało spodziewany efekt. Ktoś to dobrze wykalculował: wyciskać mękami fałszywe i żałosne zeznania z takiego Sawinkowa – to mogłoby tylko podważyć wrażenie wiarygodności).

O co tylko nie oskarżano Sawinkowa we wniosku, sformułowanym w zwykły, szablonowy i przewrotny sposób: i że jest „konsekwentnym wrogiem chłopskiej biedoty”; i że „pomagał rosyjskiej burżuazji w urzeczywistnieniu jej imperialistycznych zamiarów” (to znaczy – że był zwolennikiem kontynuowania wojny z Niemcami); i że „miał kontakty z przedstawicielami alianckiego dowództwa” (kiedy był kierownikiem ministerstwa wojny!); i że „prowokacyjnie brał udział w działalności żołnierskich komitetów” (to znaczy, że żołnierze wybierali go jako swojego deputata); i – tu już koń by się uśmieł – że miał „sympatie monarchistyczne”.

351

Ale to wszystko – starzyzna. Były zaś również nowe rzeczy – oskarżenia, które regularnie będą powtarzać się we wszystkich procesach w przyszłości: pieniądze brane od imperialistów; szpiegostwo na rzecz Polski (zapomnieli o Japonii!...) i – że cyjankiem potasu chciał wytruć całą armię czerwoną (jakoś nie otruł ani jednego krasnoarmiejca).

Już 26 sierpnia zaczął się proces. Przewodniczącym był Ulrych (tu spotykamy go po raz pierwszy), nie było zaś wcale ani oskarżyciela, ani obrońców.

Sawinkow nie wysiłał się na obronę, mówił od niechcienia, nie starał się prawie podważyć poszlak. (I ponoć wpadała mu w ucho, bardzo zbijała podsądnego z tropu, ta melodia: przecież i ty i my – jesteśmy Rosjanami!... Ty i my – to po prostu my! Kochasz Rosję, nie podajemy tego w wątpliwość, szanujemy tę twoją miłość – a czy my jej nie kochamy? Czy to nie my teraz jesteśmy siłą i chwałą Rosji? A ty chciałeś walczyć z nami? Żałuj za grzechy!...)

Ale najbardziej zadziwiający był sam wyrok: zastosowania najwyższego wymiaru kary nie wymagają tu koniecznie interesy obrony porządku rewolucyjnego,

a ponadto, wychodząc z założenia, że świadomość prawna mas proletariackich nie może kierować się motywami zemsty – „zamienić rozstrzelanie na karę 10 lat pozbawienia wolności”.

To była sensacja, to wielu ludzi wówczas zbiło z pantafelku: złagodzenie reżymu? Metamorfoza? Ulrych... w Prawdzie nawet się sumitował i usprawiedliwiał, tłumacząc, dlaczego Sawinkowa utaskawiono. No, bo przecież jakaż silna stała się teraz władza sowiecka po siedmiu latach – czyż powinna się bać jakiegoś tam Sawinkowa! (A po dwudziestu latach – jakoś widać osłabnie ta władza i wtedy, wybaczenie państwu, ale rozstrzeliwać będziemy setkami tysięcy).

W ten sposób – po pierwszej zagadce powrotu, następną byłby ten łagodny wyrok. (Burcew widzi w tym dowód, że Sawinkowa łudzono obecnością w GPU jakiejś frakcji, gotowej zawrzeć sojusz z socjalistami, w rezultacie czego on sam mógłby jeszcze odzyskać wolność i wypłynąć na fali ruchu – oto dlaczego przystać miał na ugodę z organami śledczymi). Po wyroku Sawinkowowi pozwolono... wystać za granicę listy otwarte, m. in. do Burcewa, w których starał się przekonać socjalrewolucjonistów, że władza bolszewików cieszy się poparciem mas i dlatego walka z nią jest niedopuszczalna.

A w maju dwie te zagadki całkiem przestroniła trzecia: Sawinkow w chwili depresji wyskoczył z pozbawionego krat okna na wewnętrzny podwórzec Łubianki, zaś anioły stróże z GPU jakoś nie potrafiły go uratować, przytrzymać za poję. Jednakże, na wszelki wypadek, zostawił im Sawinkow pismo usprawiedliwiające wszystko (aby nie było później przykrości służbowych) rozsądnie i logicznie wyjaśniając, dlaczego właściwie decyduje się na samobójstwo, przy tym list był sporządzony tak przekonująco, tak jasny był w nim styl i duch Sawinkowa, że wszyscy byli całkiem pewni, iż nikt prócz Sawinkowa nie mógł napisać tego listu i że zabił się on w poczuciu bankructwa politycznego. Nawet wszystkowiedzący Burcew sprowadził całą tę sprawę do wersji o Sawinkowie–renegacie, nie podając w wątpliwość ani autentyczność jego listu, ani samobójstwa. Ma swoje granice największa nawet przenikliwość.)

A my, durnie, wiele późniejsi mieszkańcy Łubianki, powtarzaliśmy z papuzim przekonaniem, że metalowe siatki nad lukami łubiańskich klatek schodowych założone zostały właśnie po skoku Sawinkowa. Do tego stopnia poddajemy się urokom legendy, że zapominamy iż należy to do międzynarodowego repertuaru więziennego! Przecież takie siatki w amerykańskich więzieniach istniały już w początkach naszego stulecia – a jakże mogłaby sowiecka technika pozostawać tu w tyle?

W 1937 roku, konając w kołymskim łagrze, były czekista Artur Sehruebel opowiadał komuś ze swego otoczenia, że był jednym z tych czterech, którzy wyrzucili Sawinkowa z okna 5. piętra na, łubiariski podwórzec! (I wcale to nie przeczy wersji pisma „Newy” ten niski parapet, prawie jak przy drzwiach balkonowych, nie jak w normalnym oknie – pokój był odpowiednio dobrany! Tylko według „Newy” aniołkowie się zagapili, a według Sehruebela – rzucili się kupą).

W ten sposób druga zagadka – ów niezwykle łagodny wyrok – znajduje chamskie rozstrzygnięcie w zagadce trzeciej.

Głucha to pogłoska, ale doszła do moich uszu, i powtórzyłem ją w 1967 roku M. P. Jakubowiczowi, ten zaś z całym swoim, aż do starości zachowanym, młodzieńczym ferworem, z błyskiem w oku zawołał: „Chętnie wierzę! Zgadza się! A ja nic wierzyłem Błumkinowi, myślałem, że się przechwala”. Oto co się wyjaśniło: w końcu lat dwudziestych w najgłębszym sekrecie Blumkin opowiedział Jakubo-

wiczowi, że to on napisał tzw. ostatni list Sawinkowa i to na zlecenie GPU. W czasie pobytu Sawinkowa w więzieniu Blumkin – jak to teraz jest jasne – miał stałe prawo wstępu do jego celi – „bawił” go wieczorem rozmowami. (Czy Sawinkow wyczuł aby, że to śmierć składa mu te częste wizyty – przemilna, pełna braterskich uczuć śmierć, od której nie sposób dowiedzieć się, jaki rodzaj zguby człowieka oczekuje?). To właśnie dało Blumkinowi możliwość dokładnego zapoznania się ze stylem i sposobem myślenia Sawinkowa, spenetrowania kręgu jego ostatnich myśli.

Ktoś zapytał: a po co to okno? Czy nie prościej było go otruć? Przypuszczalnie musiano komuś pokazać zwłoki albo liczone się z taką możliwością.

Gdzież, jeśli nie tu, doprowadzić do końca historię Blumkina, tego samego, z którym – bez cienia strachu – stał się Mandelsztam? Erenburg zaczął o nim mówić, ale nagle zacukał się i przerwał opowieść. A jest o czym pogadać. Po zdławieniu buntu lewicowych eserowców w 1918 roku, Blumkin – zabójca pośła niemieckiego, Mirbacha – nie tylko nie został ukarany, nie tylko nie podzielił losu wszystkich swoich towarzyszy z partii S–R, ale został wzięty pod opiekę przez Dzierżyńskiego (podobnie, jak to miało być z Kosyriewem) i nawrócił się, przynajmniej z pozorów, na bolszewizm. Chciano go widać wykorzystać do mokrej roboty tam, gdzie potrzebny był odpowiedzialny wykonawca. Na przełomie lat trzydziestych posłano go za granicę; dokonał tam egzekucji, mordu politycznego. Jednakże awanturnicze usposobienie – albo i podziw dla wygnańca Trockiego – zawiodły Blumkina na Wyspy Książęce. Zapytał tam swego mistrza, czy nie da mu jakichś zleceń? Trocki dał mu pakiet dla Radka. Blumkin przywiózł pakiet, przekazał adresatowi i cała jego wizyta ii Trockiego pozostałaby tajemnicą, gdyby błyskotliwy Radek już wtedy nie był delatorem. Radek syknął Blumkina i ten znalazł się w paszczy potwora, którego sam karmił w niemowlęctwie pierwszą krwawą siarką.

A wszystkie inne, sławne procesy – wciąż jeszcze są sprawą przyszłości...

X

PRAWA WIEK M ĘSKI

Gdzie jednak są te tłumy pchające się, jak oszalałe z Zachodu na druty kolczaste naszej granicy, aby narazić się na rozstrzelanie zgodnie z artykułem 71. kodeksu karnego – za samowolny powrót do RSFSR? Wbrew wszelkim naukowym przewidywaniom, nie widać jakoś było tych tłumów i artykuł podyktowany Kur-skemu pozostał martwą literą. Jedynym takim w całej Rosji dziwakiem był Sawinkow, ale nawet w stosunku do niego nie potrafiono użyć zręcznie tego artykułu. Za to kara przeciwna – ekspulsja za granicę zamiast rozstrzelania – zastosowana została szeroko i bez zwłoki.

Jeszcze w trakcie tych dni, kiedy kodeks układano, Włodzimierz Iljicz – pomny na pomysł, który mu był zaświtał – napisał na gorąco, 19 maja:

„Towarzyszu Dzierżyński! W sprawie ekspulsji za granicę pisarzy i profesorów, okazujących pomoc kontrrewolucji. Rzec trzeba jednak staranniej przygotować. Bez przygotowania narobimy głupstw... Sprawę trzeba postawić tak, żeby tych „szpiegów czasu wojny” wyłapać i wyłapywać stale i systematycznie, po czym wysyłać za granicę. Proszę pokazać to w zupełnym sekrecie, nie przepisując, członkom Biura Politycznego!”.

Naturalna w tym wypadku dyskrecja tłumaczyła się wagą i przykładowością stosowanego środka. Olśniewająco jasny podział sił klasowych

Sowieckiej Rosji mąciła tylko ta galaretowata, rozlana plama starej burżuazyjnej inteligencji, która w dziedzinie ideologii odgry–

Lenin, Dzieła, wyd. 5., str. 265–266. wała istotnie rolę szpiegów czasu wojny – i niczego lepszego nie można było wymyśleć, niż jak najszybsze zeszkrobanie i wyrzucenie za granicę całej tej zastoiny myślowej.

Sam towarzysz Lenin był już obłożnie chory, ale członkowie Biura Politycznego wyrazili zapewne aprobatę i tow. Dzierżyński przeprowadził pomienione wyłapywanie w końcu 1922 roku. Około 300 najwybitniejszych rosyjskich przedstawicieli kultury i nauk humanistycznych wsadzono na... galary?... nie, na statek parowy i posłano na europejskie śmietnisko. (Oto kilka nazwisk ludzi, którzy tam zapuścili korzenie i zyskali sławę: filozofowie – N. O. Łoski, S. N. Bułhakow, N. A. Bierdiajew, F. A. Stepun, B. P. Wyszestawcew, L. P. Karsawin, S. L. Miakotin, A. A. Kiesewetter, I. I. Łapszyn, i inni; literaci i publicyści: J. I. Eichenwald, A. S. Izgojew, M. A. Osorgin, A. W. Pieszehonow. Małe grupy wysyłane były w ślad za wymienionymi jeszcze w początkach 1923 roku – na przykład sekretarz Lwa Tołstoja W. F. Bułhakow. Niefortunne znajomości doprowadziły do tego, że trafiali tam również matematycy – jak D. F. Seliwanow).

Jednakże stale i systematycznie stosować się tego nie udało. Radosne krzyki emigracji, zadowolonej z tego „podarunku” dały do zrozumienia, że nawet ten sposób nie jest najlepszy, że niepotrzebnie wypuszcza się z rąk dobry materiał dla ewentualnych egzekucji, który na rzeczonym śmietniku mógł rozkwitnąć trującymi kwiatami. Więc – tę metodę odrzucono. I cała dalsza akcja wyczyszczenia miała inny adres: albo do sztabu Duchonina*, albo na Archipelag.

Zatwierdzony w 1926 roku (i aktualny aż do czasów Chruszczowa) ulepszony kodeks karny splótł ze wszyst–361kich starych stryków swoich politycznych artykułów jeden mocny niewód artykułu 58.; przeznaczonego do tych właśnie połowów. Połowy szybko rozszerzone zostały na inteligencję inżynieryjno–techniczną, która była tym niebezpieczniejsza, że zajmowała mocną pozycję w gospodarce narodowej i że trudno było kontrolować ją z pomocą samej tylko Przemysłowej Doktryny. Wyjaśniło się teraz, że omyłką było wytoczenie procesu sądowego w obronie Oldenborgera (a jakież tam śliczne centrum już się zarysowało!) i że zbyt pochopnie, ze zbytnią pobłażliwością oznał Krylenko: „o sabotażu inżynierów nie było już mowy w latach 1920–19212. Nie sabotaż, tylko coś gorszego, bo szkodnictwo {ten termin – wreditiel–

* Zwykła formuła posyłania na rozstrzelanie w okresie wojny domowej.

7 Krylenko, str. 437. stwo – odkryty został, jak się zdaje, przez szeregowego funkcjonariusza śledczego przy okazji procesu inżynierów z Szacht).

Ledwie się potapano, czego trzeba szukać: szkodnictwa – a natychmiast, nie bacząc na bezprzykładny w całej historii ludzkości charakter tego pojęcia – bez żadnego trudu zaczęto znajdować jego dowody we wszystkich gałęziach przemysłu i w każdym poszczególnym przedsiębiorstwie. Jednakże te drobne odkrycia nie dawały jeszcze pojęcia o spójnej całości sprawy, nie było w nich jeszcze perfekcji, a do niej właściwie miał z natury skłonność Stalin, o nią też chodziło oczywiście wnikliwej części naszego aparatu sprawiedliwości. A wreszcie, nasze prawo już zmęźniało i mogło światu zademonstrować coś naprawdę bezbłędnego! – jakiś spójny, wielki, doskonale skoordynowany proces, tym razem – inżynierów. W ten sposób doszło do:

k) Sprawy Szachtyńskiej (18 maja – 15 lipca 1928 roku).

Izba Specjalna Najwyższego ZSSR, przewodniczący A. J. Wyszyński (jeszcze jako rektor pierwszego Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego), główny oskarżyciel – M. W. Krylenko (znamienne spotkanie! – jest to jakby przekazanie pałeczki w sądowej sztafecie³), 53 podsądnych, 56 świadków. Monumentalne!!!

Niestety, monumentalność była jednocześnie piętą achillesową tego procesu: jeśli od każdego podsądnego do aktu oskarżenia przeciągnąć tylko trzy nitki, to będzie ich razem 159, Krylenko zaś ma tylko 10 palców i Wyszyński również 10. Oczywiście „podsądni czynili wysiłki, aby dać społeczeństwu wgląd w swoje ciężkie zbrodnie”, ale nie wszyscy, tylko 16 z nich. Bo 13 usiłowało się wykręcać. A 24 w ogóle nie Chciało się przyznać do winy⁴. Było to powodem niedopuszczalnego bałaganu, masy w ogóle nie mogły tego zrozumieć. Obok pozytywnych stron (osiągniętych już zresztą w poprzednich procesach) – mowa o bezbronności podsądnych i adwokatów, o ich niezdolności do odwalenia, albo przynajmniej odsunięcia głazu oskarżenia – biły w oczy ujemne cechy nowego procesu, a komu, jak komu, ale doświadczonemu Krylenko nie wolno tego było wybaczyć.

Na progu społeczeństwa bezklasowego mogliśmy nareszcie pozwolić sobie na wytoczenie bezkonfliktowego procesu sądowego (od-

1 Ławnikami zaś byli starzy rewolucjoniści Wasiliew-Jużyn i Antonow-Saratowski. Budziło sympatię już ludowe brzmienie ich nazwisk. Łatwo je było zapamiętać. I nagle w 1962 roku czytamy w Izwiestiach nekrologi zrehabilitowanych ofiar represji – a który: firmuje? Długowieczny Antonow-Saratowski!

4 Prawda, 24 maja 1928, str. 3. zwierciadlającego wewnętrzną bezkonfliktowość naszego systemu, w którym dążyliby zgodnie do wspólnego celu zarówno sąd i prokurator, jak obrona i podsądni).

Zresztą zasięg Sprawy Szachtynskiej – samo tylko kopalnictwo węgla, przy tym tylko w Zagłębiu Donieckim – nie odpowiadał jednak wielkości epoki.

Chyba więc już od dnia zakończenia Sprawy Szachtynskiej Krylenko zabrał się do kopania nowego, pojemniejszego dołu (wpadli do niego nawet jego dwaj koledzy z tej sprawy, oskarżyciele publiczni – Osadczy i Szejn). Nie trzeba nawet podkreślać, z jaką chęcią i z jaką wprawą pomagał mu w tym cały aparat OGPU, którego cugle brał już Jagoda w swoje twarde ręce. Zadanie polegało na tym, aby stworzyć i zdemaskować organizację inżynierów, ogarniającą cały kraj. Potrzeba było do tego>kilku wybitnych szkodników o kwalifikacjach przywódczych. Kto w środowisku inżynierskim nie znał takiej właśnie silnej, pełnej drażniącej dumy postaci – Piotra Akimowicza Palczyńskiego? Inżynier-górnik, uznany za wybitnego specjalistę jeszcze na początku stulecia, podczas wojny światowej był już wiceprzewodniczącym Komitetu Przemysłu Wojennego, co znaczy, że kierował wysiłkiem wojennym całego prywatnego rosyjskiego przemysłu, który potrafił już w trakcie działań wojennych nadrobić zaniedbania. Po rewolucji lutowej został wiceministrem Handlu i Przemysłu. Za swoją działalność rewolucyjną prześladowany był przez carat; trzykrotnie zaś szedł za kraty po Październiku (1917, 1918, 1922); od 1920 roku był profesorem Instytutu Górnictwa oraz konsultantem Gosplanu. (Szczegółowo o nim się mówi w części trzeciej, rozdział X).

Tego właśnie Palczyńskiego wytypowano na głównego oskarżonego w nowym, monumentalnym procesie. Jednakże lekkomyślny Krylenko, stawiając pierwsze kroki w nieznanym sobie kraju inżynierii, nie tylko nie wiedział nic o wytrzymałości materiałów, ale także pojęcia nie miał o granicach wytrzymałości ludzkich dusz, nie bacząc na dziesięcioletnią już, gromką swoją działalność

w roli prokuratora. Wybór, dokonany przez Krylenkę, okazał się mylny. Palczyński wytrzymał nacisk wszystkich środków, znanych OGPU – i nie poddał się. Umarł, nie podpisując przedtem żadnych idiotyzmów. Razem z nim wytrzymali tę próbę i też się najwidoczniej nie poddali N. K. von Meck i A. F. Wieliczko. Czy skonali oni w trakcie tortur, czy też ich rozstrzelano – tego tymczasem jeszcze nie wiemy, ale przecież dowiedli, że MOŻNA okazać opór i MOŻNA wytrwać – i tak oto został po nich płomienny odbłask wyrzutu pod adresem wszystkich słynnych oskarżonych w następnych procesach.

Maskując swoją porażkę, Jagoda opublikował 24 maja 1929 roku krótki komunikat OGPU donoszący o rozstrzelaniu tych trojga za nadzwyczaj niebezpieczne szkodnictwo i o skazaniu jeszcze wielu innych, nie wymienionych z nazwiska⁵.

A ileż tu czasu stracono nadaremnie! – prawie cały rok! Ile nocnych przesłuchań! ile fantazji śledczych! – i wszystko psu na budę. Krylenko musiał zaczynać wszystko od początku, szukać postaci i pełnej blasku, i silnej – a zarazem bardzo słabej, jak najbardziej podatnej na wpływy. Ale tak mało znał tych przeklętych inżynierów, że jeszcze cały rok zbiegł mu na nieudanych próbach. Od lata 1929 roku guzdrał się z Chrennikowem, ale również Chrennikow umarł, nie zgadzając się na odegranie podłej roli. Skręcili w pałąk starego Fedotowa, ale był zbyt sędziwy, zresztą – był to włókniarz, a to dziedzina mało atrakcyjna. Więc jeszcze jeden rok poszedł na marne! Cały kraj czekał na ogromny proces szkodników, czekał sam towarzysz Stalin, a Krylence ani rusz nie chciała wyjść karta⁶. I dopiero latem 1930 roku ktoś zrobił odkrycie i zaproponował: dyrektor Instytutu Techniki Ciepłej, Ramzin! – aresztowano go i w ciągu trzech miesięcy został przygotowany i zagrany wspaniały spektakl, prawdziwy majstersztyk naszej sprawiedliwości i niedościgły wzór dla światowej jurysdykcji:

1) Proces „Prompartii” (25 listopada – 7 grudnia), Izba Specjalna Sądu Najwyższego, tenże Wyszyński, tenże Antonow–Saratowski, znów ten sam nasz ulubieniec – Krylenko.

Nie ma już teraz „przyczyn technicznych”, które by przeszkadzały w zaprezentowaniu czytelnikom pełnego stenogramu procesu – oto on⁷; nie było też powodu, aby zabronić wstępu zagranicznym korespondentom., Ogrom samej koncepcji: na ławie oskarżonych zasiąść miał cały przemysł krajowy, wszystkie jego gałęzie i działy planowania. (Tylko oko samego organizatora dostrzec mogło szczeliny, w których zniknął przemysł górniczy i transport kolejowy). Jednocześnie – uderza oszczęd–

5 Izwieslia, 24 maja 1929.

6 Bardzo być może, zakarbowa) to sobie w swojej mściwej pamięci Wódz – i to zdecydowało o symbolicznej śmierci byłego prokuratora pod ostrzem tej samej gilotyny.

7 Proces „Protnpartii” wyd. „Sowietskoje zakonodatielstwo”, Moskwa, 1931 rok. ność materiału: oskarżonych jest tylko ośmiu (wzięto pod uwagę błędy popełnione w sprawie Szachtyńskiej).

Już słyszę okrzyk zdziwienia: i tych ośmiu ludzi miało reprezentować cały przemysł? Ależ nawet tych ośmiu to dla nas za dużo! Troje z nich – to włókniarze, jako przedstawiciele dziedziny nadzwyczaj ważnej dla obrony kraju. Wobec tego – chyba całe tłumy świadków? Wszystkiego siedmiu, takich samych szkodników i też już aresztowanych. Zatem – góry obciążających dokumentów? wykresy? projekty? dyrektywy? sprawozdania? opinie? donosy? prywatne notatki? Ani jednej! To jest –

ANI JEDNEGO PAPIERKA! No i jakże to GPU mogło tak się zagapić – tylu aresztowało i ani jednego papierka nie zdołało znaleźć? „Było tego dużo” ale „wszystko zniszczyliśmy”. Dlatego, że – „gdzie mieliśmy chować archiwa”? Na procesie podlega odczytaniu tylko kilka wcale nie tajnych, artykułików gazetowych – z prasy emigracyjnej i z naszej. Więc jak tu oskarżać?!... Jakże, jest przecież Mikołaj Wasiliewicz Krylenko. Toć nie pierwszy raz. „W każdym wypadku najwymowniejszym dowodem jest przecież przyznanie się oskarżonych do winy8.

Ale przyznanie nie byle jakie – nie wymuszone, lecz płynące z duszy, kiedy skrucha wyrywa z piersi całe monologi, gdy człowiek chciałby mówić a mówić, demaskować a biczować! Staremu Fedotowowi (66 lat) proponują, żeby już usiadł, że wystarczy – nie, Fedotow naprasza się, żeby jeszcze wyjaśniać, jeszcze coś naświetlić! Przez pięć dni rozprawy pod rząd nie trzeba wcale zadawać pytań: podsądni sami mówią i mówią, wyjaśniają, a potem jeszcze raz proszą o głos, aby dodać uzupełnienia. Metodą dedukcji serwują wszystko to, co niezbędne jest dla celów oskarżenia, nie czekając na żadne pytania. Ramzin po długich wyjaśnieniach daje jeszcze dla wszelkiej pewności krótkie resume, jak dla studentów-żółtodziobów. Podsądni najbardziej się boją, że coś jeszcze zostanie nie dopowiedziane, że ktoś tam nie zostanie zdemaskowany, że czyjeś nazwisko nie zostanie ujawnione, że jakiś szkodniczy zamiar nie zostanie wyklarowany. A jak sami sobie wymyślają! – „jestem wrogiem klasowym!”, „zostałem przekupiony”, „nasza burżuazyjna ideologia”. Prokurator: „czy to było omyłką z waszego punktu widzenia?” Czarnowski: „było także zbrodnią!” Krylenko nie ma po prostu nic do roboty!, przez pięć dni rozprawy popija herbatę z biszkoptami, jeśli mu to właśnie podawano.

„Proces „Prompartli”, str. 453.

Ale jak podsądni wytrzymują to napięcie emocji? Nagrania magnetofonowego nie ma, obrońca zaś, adwokat Ocep, tak relacjonuje: „Zeznania oskarżonych składane były w sposób rzeczowy, chłodny, z zawodowym spokojem”. Masz ci los! Taka namiętność cechuje tę spowiedź – a tu rzeczowo? chłodno? Gorzej nawet, wydaje się, że swój pełen żalu i bardzo gładki tekst mamrotali oni tak ospale, że Wyszyński często musi ich prosić aby mówili głośniejszym głosem, wyraźniej, że niczego nie słychać.

Przejrzystej konstrukcji procesu bynajmniej nie psuje obrona: zgadza się ona ze wszystkimi, zgłaszającymi na bieżąco, wnioskami prokuratora; przemówienie oskarżycielskie nazywa ona historycznym, swoje zaś argumenty – wąskimi i cytowanymi wbrew wewnętrznemu przekonaniu, bowiem „sowiecki obrońca – jest przede wszystkim obywatelem sowieckim” i „wraz ze wszystkimi ludźmi pracy doznawać może jeno oburzenia” w obliczu zbrodni swoich klientów9. W fazie dochodzeniowej procesu obrona zadaje nieśmiałe i skromne pytania, tylko po to, aby natychmiast je wycofać, gdy tylko Wyszyński się wtrąci. Adwokaci bronią właściwie tylko dwóch nieszkodliwych włóknarzy i nie wdają się w spory co do znamion przestępstwa, ani co do kwalifikacji czynu, troszczą się jedynie o to, czy ich podopieczny mógłby ewentualnie uniknąć rozstrzelania? Czy, proszę towarzyszy sędziów, „więcej korzyści da nam jego praca, czyjego śmierć”?

A jakież to ohydne zbrodnie popełnili ci burżuazyjni inżynierowie? Oto one. Planowali zmniejszenie tempa rozwoju (na przykład zakładali, że roczny wzrost produkcji ma wynosić zaledwie 20–22%, podczas gdy masy pracujące gotowe są zapewnić 40 i 50% wzrostu). Planowali zwolnienie tempa wydobywania torfu i węgla brunatnego. Niedostatecznie szybko rozbudowywali Zagłębie Kuźnieckie. Wykorzy-

stywali spory techniczno–ekonomiczne (czy zaopatrywać Zagłębie Donieckie w elektryczność z Zapory Dnieprowskiej? Czy budować supermagistralę Moskwa–Zagłębie Donieckie?) dla opóźniania decyzji dotyczących ważnych problemów. (Inżynierowie sobie dyskutują, a tymczasem robota stoi!) Hamowali rozpatrzenie technicznych projektów (nie zatwierdzali ich bez namysłu). W swoich wykładach o wytrzymałości materiałów dawali wyraz antysowieckim tendencjom. Wprowadzali przestarzałe maszyny. Zamrażali kapitały (ładowali je w kosztowne i wymagające czasu konstrukcje). Przeprowadzali zbędne (!) remonty. Źle wykorzystywali metal (asortyment gatunków żelaza był niezupełny). Wytwarzali dysproporcje między oddziałami fabrycznymi, między zapasami

Proces „Prompartii”, str. 488. surowca i możliwościami jego przerobu (przejawiało to się zwłaszcza w przemyśle włókienniczym, gdzie wybudowali o jedną–dwie fabryki więcej, niż wymagał tego aktualny zbiór bawełny). Dalej – przeskakiwali od planów minimalistycznych do planów maksymalistycznych. Zaczęło się też wyraźnie szkodnicze przyspieszone rozbudowanie pechowego przemysłu włókienniczego. I najważniejsze: planowali (ale ani razu i nigdzie nie doszło do realizacji) akty dywersji w energetyce. W ten sposób szkodnictwo nie sprowadzało się do łamania, czy psucia mechanizmów – tylko wkraczało w dziedzinę planowania i organizacji, co powinno było doprowadzić do ogólnego kryzysu i nawet paraliżu ekonomicznego w 1930 roku! Nie doszło zaś do tego jedynie dzięki kontrzobowiązaniom mas w dziedzinie produkcji i jej wyników finansowych (podwojenie cyfr!).

– Ejże, ejże... – już słyszę sceptyczny głos czytelnika.

Jak to? Jeszcze wam tego mało? Ale jeżeli na rozprawie każdy z tych punktów powtórzymy i przemiedlimy po pięciokroć, po ośmiokroć – to może już nie będzie za mało?

– Ejże, ejże – kręci wciąż głowę czytelnik lat 60. – a czy przyczyną tego wszystkiego nie mogły być właśnie te kontrzobowiązania produkcyjne i finansowe? Zawsze wyniknie dysproporcja, jeżeli na jakimś zeT braniu związkowym, bez uzgodnienia z Gosplanem, można będzie dowolnie przekabacić wszystkie proporcje.

O, jaki gorzki jest chleb prokuratorski! Przecież postanowiono tym razem publikować każde słowo! To znaczy, że inżynierowie też to będą czytać. Słowo się rzekło – kobyłka u płotu! I Krylenko nieustraszenie zabiera się do roztrząsania i pytań dotyczących technicznych szczegółów! I całe kolumny, i dodatkowe stronicie ogromnych gazet wypełniają się *petitem* specjalistycznych detali. Liczy się na to, że czytelnik od tego zgłupieje, że nie starczy na to ani wolnych wieczorów, ani dnia wychodnego, że nie zechce czytać wszystkiego, lecz zadowoli się tylko refrenami, powtarzającymi się co kilka akapitów: szkodnicy! szkodnicy! szkodnicy!

A jeżeli jednak–zacznie czytać? I jeszcze wszystko po kolei?

Przekona się wtedy, przebijając się przez nudne samooskarżenia, wymyślone bardzo niemądrze i niezręcznie, że łubiański dusiciel nie dó swojej roboty się zabrał, że nie daje rady, że wymyka się z grubej pętli skrzydłata i silna myśl XX wieku. Aresztanci – są tu, w kajdanach, pokorni, pognębieni, ale lotna myśl zdołała się wymknąć. Nawet skotczałe ze strachu, znużone języki podsądnych potrafią powiedzieć nam i nazwać po imieniu wszystko.

Oto w jakich warunkach musieli oni pracować. Kalinnikow: „U nas przecież zrodziła się nieufność do techniki”. Łariczew: „Czyśmy tego chcieli, czy nie, ale musieliśmy wydobyć te 42 miliony ton ropy naftowej (to znaczy, że otrzymali taki rozkaz

z góry)... Ale wszystko jedno, 42 milionów ton ropy nie można wydobyć pod żadnym pozorem¹⁰".

W cęgach dwóch takich niemożności tłukła się cała praca nieszczęsnego pokolenia naszych inżynierów. Instytut Techniki Ciepłej chlubi się efektami najważniejszej z jego prac badawczych – uległ bardzo znacznemu zwiększeniu współczynnik wykorzystania paliwa; dzięki temu do planu perspektywicznego można było wstawić mniejsze cyfry dotyczące przyszłego zapotrzebowania i wydobywania ropy i węgla – TO ZNACZY ŻE SZKODZILI, zaniżając cyfry bilansu paliwowego! – W planie rozwoju transportu przewidziano zaopatrzenie wszystkich wagonów w urządzenia do sprzęgania automatycznego – A WIĘC SZKODNICTWO! zamrożenie kapitału! (Bo przecież sprzęganie automatyczne dopiero po dłuższym czasie upowszechni się i opłaci, a my chcemy mieć efekty już jutro!) – Żeby lepiej wykorzystać jednotorowe szlaki kolejowe, postanowiono powiększyć wymiary parowozów i wagonów. A więc modernizacja? Nie, SZKODNICTWO! – bo przecież trzeba będzie wydać jakieś sumy na wzmocnienie mostów i torowisk! – Fedotow wyprowadził taki wniosek z poważnej ekonomicznej analizy faktu, że w Ameryce tani jest kapitał, droga zaś robocizna: nic nam teraz nie da zakup drogich amerykańskich urządzeń konwejerowych, w ciągu najbliższych dziesięciu lat lepiej nam się opłaci kupować tanio mniej doskonałe maszyny angielskie, zatrudniając przy nich większą ilość robotników, bo po dziesięciu latach tak czy owak maszynę trzeba będzie zmienić, choćby była nie wiem jaka, a wtedy będziemy już mogli kupić te droższe. To SZKODNICTWO – toć udając oszczędnego, ten facet nie chce żeby sowiecki przemysł rozporządzał najnowocześniejszymi maszynami? – Zaczęto budować nowe fabryki z żelazobetonu, stosując go zamiast tańszego zwyczajnego betonu i wyjaśniając, że za sto lat będą one jeszcze jak znalazł – no to przecież SZKODNICTWO! zamrożenie kapitałów! zamrożenie deficytowej armatury! (Chciano ją może zachować do wyrobu sztucznych zębów?).

Siedząc na ławie oskarżonych Fedotow chętnie idzie na ustępstwa: – oczywiście, jeżeli dzisiaj liczy się każda kopiejka, to możecie to uznać za szkodnictwo. Anglicy powiadają: nie jestem tak bogaty, żeby kupować tanie rzeczy...

10 Proces „Prompartii”, str. 325.

Próbuje łagodnie wyjaśnić twardogłowemu oskarżycielowi:

– Każde teoretyczne podejście prowadzi do ustalenia norm, które w końcu okazują się (będą uznane za takie!) szkodliwymi¹¹...

No jak tu jeszcze jaśniej może wypowiedzieć się zastraszony podsądny?... To, co dla nas jest teorią – to dla was – jest szkodnictwem! Przecież wy chcecie wszystko mieć już dzisiaj, zupełnie nie myśląc o dniu jutrzejszym...

Stary Fedotow próbuje wyjaśnić, gdzie przepadają setki tysięcy i miliony rubli, którymi się okupuje dziki pośpiech pięciolatki: bawełna nie jest już sortowana tam, gdzie się ją zbiera, tak żeby każda fabryka dostawała ten gatunek, który odpowiada jej profilowi, tylko wysyłają surowiec bezładnie, jak leci. Ale prokurator nie słucha! Z kamiennym, tępym uporem dziesięć razy w ciągu procesu wciąż wraca, wraca i wraca do innej, bardziej spektakularnej, z dziecinnych klocków ułożonej kwestii: dlaczego zaczęli budować „fabryki-pałace” – o wysokich kondygnacjach, szerokich korytarzach, ze zbyt wydajną wentylacją? Czy to nie wyraźne szkodnictwo? Przecież to bezpowrotne zamrożenie kapitału?! Wyjaśniają mu burżuazyjni szkodnicy, że Ludowy Komisariat Pracy chciał w kraju proletariatu budować pomieszczenia dla robotników przestronne, ze świeżym powietrzem (to zna-

czy, że w Komisariacie Pracy też są szkodnicy, zaprotokołować!). Że lekarze żądali kondygnacji wysokich na dziewięć metrów, Fedotow obniżył do 6 metrów – a dlaczego nie do 5? Proszę, macie szkodnictwo! (A gdyby obniżył do 4,5 – to byłby już przykład szkodnictwa bezczelnego: chciałby może, żeby wolni, sowieccy robotnicy pracowali w koszmarnych warunkach kapitalistycznej fabryki). Tłumacz Krylence, że w stosunku do ogólnych kosztów fabryki wraz z wyposażeniem chodzi tu w ogóle tylko o 3% całej sumy – otóż nie, on znowu, znowu i znowu wraca do tej wysokości kondygnacji! I jeszcze–jak śmieli instalować takie potężne wentylatory? Bo brali pod uwagę najgorętsze dni lata... A dlaczego najgorętsze? W te najgorętsze dni niechby nawet robotnik trochę się spocił!

A tymczasem: „dysproporcje były w tych warunkach naturalne... Niedołęstwo organizacyjne spowodowało je jeszcze przed pojawieniem się na widowni „inżynierskiego centrum” (Czarnowski)¹². „Żadne akty szkodnictwa nie są potrzebne... wystarczy postępować według przepisu – a wszystko stanie się samo przez się¹³”. (Ten sam Czarnow–

„Proces „Prompartii”, sir. 365.

1a Str. 204.

11 Str. 202. ski). Nie sposób wyrazić się jaśniej! I to po tylu miesiącach Łubianki – i z ławy oskarżonych. Wystarczy według przepisu (to znaczy według wskazań niedołężnych zwierzchników) – a niedorzeczny plan sam się podkopie. – Oto ich całe szkodnictwo: „mieliśmy możliwość wyprodukować, powiedzmy, 1000 ton, a powinniśmy byli (to znaczy – zgodnie z głupim planem)– dać 3000 i nie postaraliśmy się, aby ta ilość została wyprodukowana”.

Jak na oficjalny, przejrany i wypucowany stenogram tych lat – to nie jest mało, przyznajcie.

Po wielokroć doprowadza Krylenko swoich aktorów do akcentów znużenia – bo muszą mleć ozorem bzdurę za bzdurą, bo muszą wstydzić się za swojego dramaturga, ale trzeba dalej grać dla kawałka życia.

Krylenko: – Więc zgadzacie się?

Fedotow: – Zgadzam się... chociaż właściwie nie sędzę¹⁴...

Krylenko: – Więc potwierdzacie?

Fedotow: – Właściwie... W pewnej mierze... W ogólnych zarysach... owszem¹⁵.

Inżynierowie (mowa o tych, którzy są jeszcze na wolności, jeszcze nie aresztowani, o tych, którzy powinni teraz rzeško pracować po osmarowaniu przez sąd całej ich warstwy) – nie mają wyjścia. Każde wyjście jest złe. Żle jest mówić tak, źle jest mówić n i e. Iść naprzód jest źle i cofać się – źle. Gdy się spieszyli – to pośpiech był szkodnictwem, gdy pracowali bez pośpiechu – to szkodzili przez opóźnianie – to opóźniali umyślnie rozwój, to był sabotaż; gdy poddawali się kaprysom czyjejs fantazji – to szkodzili przez tworzenie dysproporcji. Remont, modernizacja, kapitalne prace przygotowawcze – to było zamrażanie kapitałów; gorączkowa praca aż do zużycia urzędzeń – to była dywersja! (Przy tym funkcjonariusze śledczy wszystkiego tego dowiedzą się od nich samych w znany sposób: bezsenność – karcer – a teraz sami przytoczcie tu nam przekonujące przykłady waszej szkodliwej działalności).

– Jakiś wymowny przykład! Dajcie wymowny przykład waszego szkodnictwa! – poszturchuje podsądnych niecierpliwy Krylenko.

(Dadzą, oj dadzą wam wymowne przykłady! Ktoś przecież niedługo już napisze historię techniki tych lat! Przytoczy wam wszystkie przykłady i kontrprzykłady. Da należną ocenę wszystkich konwulsji waszej epileptycznej pięciolatki „w cztery lata”. Dowiemy się wtedy ile

14 Str. 425.

15 Str. 356. dobra narodowego i sił poszło na marne. Dowiemy się, jak wszystkie najlepsze projekty zostały utracone, wykonano zaś – najgorsze i w najgorszy z możliwych sposobów. No, ale skoro hunwejbini dyrygują diamentowymi inżynierami – to co może z tego wyjść dobrego? Dyletancientuzjaści narobili jeszcze więcej nieszczęść niż tępe naczelnictwo.

Wdawać się w szczegóły? – to może się okazać niezbyt wygodne. Im bardziej człowiek się wgłębia, tym jakoś trudniej znaleźć zbrodnie godne rozstrzelania.

Ale chwileczkę, toż to jeszcze nie wszystko! Jeszcze nie było mowy o najważniejszych przestępstwach! Tu je macie, tu są, wyłożone przystępnie, zrozumiałe nawet dla analfabetów!! Prompartia: 1) przygotowywała interwencję; 2) była na żołdzie imperialistów; 3) prowadziła działalność szpiegowską; 4) rozdzielała teki przyszłego gabinetu ministrów.

No już! I wszystkie usta – jak zasznurowane. I wszyscy – co chcieli protestować – opuścili głowy. I słyszą tylko szurkot przeciągających demonstracji i ryk za oknami: „ŚMIERĆ! ŚMIERĆ! ŚMIERĆ!”.

Może jakieś szczegóły? – A na co komu szczegóły?... No, wszystkim kierował francuski sztab generalny. Bo wszak Francja nie ma swoich kłopotów, ani trudności, ani walki międzypartyjnej, wystarczy gwizdnąć – i już kroczą dywizje, żeby rozpocząć interwencję! Z początku wyznaczili ją na rok 1928. Ale jakoś nie potrafili się dogadać, brak było koordynacji. W porządku, odroczyli ją do 1930 roku. Znow czegoś tam nie uzgodnili. Dobra, niech będzie 1931. Mówiąc ściślej – Francja sama nie będzie walczyć, tylko ma zabrać sobie (tytułem zapłaty za ogólną organizację) część Ukrainy na zachód od Dniepru.

Anglia tym bardziej nie będzie walczyć sama, ale obiecuje postać na postach swoją flotę na morza – Czarne i Bałtyckie (ma za to dostać kaukaską naftę). Wojować zaś miało przede wszystkim – 100.000 emigrantów (dawno już się rozproszyli, rozjechali, ale też wystarczy gwizdnąć, a w te pędy się zgromadzą). Następnie – Polska (też ma dostać pół Ukrainy). Rumunia (znane są jej olśniewające przewagi w I wojnie światowej). Łotwa! I Estonia! (te dwa mają kraje chętnie zapomną o kłopotach swoich młodych systemów państwowych, żeby hurmą rzucić się w wir wojny). Ale jeszcze straszniejszy jest wybór kierunku głównego natarcia. Jak to, już jest znany? A tak! Atak wyjdzie z Besarabii i dalej, w oparciu o prawy brzeg Dniepru – prościutko na Moskwę!6!

16 Kto też narysował tę strzałkę Kryłence na pudełku papierosów? Czy aby nie ten, co obmyślił całą naszą koncepcję obrony przed 1941 rokiem? I w tej fatalnej chwili wszystkie trasy kolejowe... zostaną wysadzone w powietrze?? – nie, zostaną zatłkane przez korki! I we wszystkich elektrowniach Prompartia też wykręci korki i cały Związek Sowiecki pogrąży się w ciemnościach, i wszystkie maszyny staną, w tym również – tkackie! rozszałe się dywersja. (Uwaga, podświadnie. Metody dywersji opisać dopiero na rozprawie przy drzwiach zamkniętych! Nie wymieniać fabryk! Nie wymieniać miejscowości! Nie wymieniać nazwisk – ani cudzoziemców, ani naszych rodaków!). Dodajcie do tego śmiertelny cios, który w tym czasie zostanie zadany przemysłowi włókienniczemu! Weźcie nadto pod uwagę, że dwie–

trzy fabryki włókiennicze budowane są w dywersyjny sposób na Białorusi po to, aby służyły za punkty oparcia dla i n t e r w e n t ó w¹⁷! Mając już te zakłady włókiennicze, interwenci bez żadnej litości uderzą na Moskwę! Ale najbardziej zdradziecka intryga na tym polega, że ci szkodnicy chcieli (tylko nie zdążyli) osuszyć kubańskie moczary, poleskie bagna i trzęsawiska koło jeziora Ilmeń (Wyszyński zabrania wymieniania ścisłych nazw geograficznych, ale jeden ze świadków się wygadał) – i wówczas przed interwentami staną otworem najkrótsze szlaki, dzięki czemu, nie przemoczywszy nóg, ani końskich kopyt, zdołają dotrzeć do Moskwy. (Bo i dlaczego Tatarzy mieli takie trudności? Dlaczego Napoleon ani rusz nie mógł Moskwy znaleźć? Wszystko przez te poleskie oraz ilmeńskie moczary. A gdy zostaną osuszone – zaraz białokamienna stolica zostanie bez osłony!). A jeszcze, jeszcze trzeba dodać, że pod pozorem budowy tartaków zostały skonstruowane (nie wskazywać miejscowości – to tajemnica!) hangary, żeby samoloty interwentów nie mokły na deszczu, tylko miały gdzie się schronić. Zostały też pobudowane (nie wymienić miejscowości!) pomieszczenia dla interwentów! (Gdzie też kwatrowali bezdomni okupanci w trakcie wszystkich wojen przeszłości?). Wszystkie instrukcje na ten temat otrzymywali podśladni od zagadkowych cudzoziemców K. i R. (nie wymienić nazwisk w żadnym wypadku! Nie mówić nawet o jakie państwa cho-’ dzi¹⁸!). A ostatnio przystąpili wręcz do „przygotowania aktów zdrady w poszczególnych jednostkach Armii Czerwonej (nie wymienić rodzaju wojsk! Nie wymienić jednostek! Nie podawać nazwisk!). Żadnego z tych planów nie zdołali, co prawda, wykonać, ale za to mieli zamiar (też tego nie wykonali) w jakiejś centralnej instytucji wojskowej zorganizować komórkę specjalistów od zagadnień finansowych, złożoną

¹⁷ Proces „Prompartii”, str. 356, ani myśleli o żartach.

¹⁸ Str. 409. z byłych oficerów białej armii. (Ach, białej armii? Zaprotokołujcie, przeprowadzić areszty!). Komórki antysowiecko nastawionych studentów... (Studentów? – zaprotokołować, wyaresztować).

(A zresztą, uważać na zakrętach. Żeby tylko masy pracujące nie wpadły w rozpacz, że teraz wszystko stracone, że sowieckie władze zdążyły wszystko prze-gapić. Naświetla się więc także tę stronę kwestii: chęci mieli duże ale zrobili niewiele! Ani jedna gałąź przemysłu nie poniosła poważniejszych strat!).

Dlaczego jednak w końcu nie doszło do interwencji? Z różnych skomplikowanych przyczyn. To Poincare przegrał we Francji wybory, to znów nasi emigranci-przemysłowcy doszli do wniosku, że ich dawne przedsiębiorstwa jeszcze niewystarczająco dobrze zostały zrekonstruowane przez bolszewików – i że bolszewicy powinni jeszcze trochę nad nimi popracować! No i z tą Polską, czy z Rumunią nijak nie mogli się dogadać.

W porządku, interwencji nie było, ale Prompartia przecież była! Czy słyszycie ten szurgot? Słyszycie krzyki ludzi pracy: „ŚMIERĆ! ŚMIERĆ! ŚMIERĆ!”. To kroczą „ci, którzy w przypadku wojny będą musieli swoim życiem, swoimi wyrzeczeniami i cierpieniami płacić za knowania tych osobników¹⁹.

(I rzeczywiście, jakbyś zgadł: właśnie swoim życiem, swoimi wyrzeczeniami i cierpieniami zapłacą w 1941 roku ci łatawowi demonstrowanci za knowania TYCH OSOBNIKÓW! Ale twój palec, prokuratorze? Kogo wskazuje twój palec?).

A teraz – dlaczego nazywa się to Prompartia, „Promysliennaja partia”, partia przemysłu? Dlaczego – partia, nie zaś Centrum Inżynieryjno-Techniczne? Przecież przyzwyczailiśmy się, że ma być Centrum!

Było również Centrum, owszem. Ale postanowili przekształcić się w Partię. To solidniejsze. W ten sposób łatwiej będzie walczyć o teki w przyszłym rządzie. To „mobilizuje masy inżynierów i techników, do walki o władzę”. A z kim tu walczyć? A – z innymi partiami! W pierwszym rządzie – z TKP, z Chłopską Partią Pracy, przecież mają 200.000 członków! Po drugie – z partią mienszewicką! A Centrum? Właśnie te trzy partie powinny być razem tworzyć Zjednoczone Centrum. Ale GPU je rozbiło. No i dobrze, że rozbiło nas do szczętu! (Podsądni są bardzo radzi).

(Stalinowi pochlebia myśl, że rozbił jeszcze trzy partie! A trzy „centra” niewiele by mu sławy przysporzyły!).

„Proces Prompartii”, z przemówienia Krylenki, str. 437.

A skoro już jest partia – to musi być KC, tak jest, własny KC! Co prawda, żadnych konferencji, żadnych wyborów nie było ani razu. Kto chciał, tego przyjmowano, razem było ich pięciu. Jeden drugiemu ustępował miejsca. I stanowisko prezesa też jeden drugiemu chciał odstąpić. Nie odbywały się również posiedzenia – ani KC (nikt sobie nie przypomina, prócz Ramzina, on pamięta wszystko i wymieni po kolei!), ani grup specjalistycznych. Dziwna jakaś pustka... Czarnowski: „Toć formalne utworzenie Prompartii nie miało miejsca”, a ilu było członków? Łariczew: „Ewidencja członków była trudna, nie znaleźliśmy dokładnej ilości”. A w jaki sposób prowadziliście szkodniczą działalność? Jak przekazywaliście dyrektywy? Tak jakoś, jak człowiek kogoś spotkał w biurze – to przekazywał mu to i owo ustnie. A dalej to już każdy szkodził, zależnie od stopnia uświadomienia. (No, Ramzin z całą stanowczością wymienia liczbę dwóch tysięcy członków. Gdzie są dwa tysiące, tam aresztuje się pięć. W ogóle zaś w Związku Sowieckim – według danych sądu – jest 30–40 tys. inżynierów. To znaczy, że co siódmy pójdzie za kraty, a sześciu się nastraszy). – A kontakty z Chłopską Partią Pracy? A no tak, spotka się kogoś czasem w Gosplanie, albo w Komitecie Gospodarki Narodowej i tam się „planuje systematyczne akty wymierzone przeciw komunistom wiejskim”...

Gdzieśmy to już widzieli? Ba – w „Aidzie”. Radames wyrusza na wojnę, grzmi orkiestra, stoi ośmiu wojowników w szyszakach i z włóczniami, a dwa tysiące dorysowano na tylnym horyzoncie.

Tak samo jest z Prompartią.

Ale nie szkodzi, akcja się toczy, tak też da się zagrać! (Teraz nie chce się nawet wierzyć, jak groźnie i serio wszystko to wtedy wyglądało, jak nas dławiono).

A jeszcze wykuwa się na blachę przez ciągłe powtarzanie, każdy epizod wątku się kilkakrotnie. Stąd wrażenie narastającego koszmaru. Wreszcie, żeby mniej to było jałowe, podsądni nagle „zapomną” czegoś na kopiejkę, próbując udzielić wymijającej odpowiedzi” – a wtedy od razu „biorą ich w krzyżowy ogień pytań” i spektakl w sumie jest żywy, jak w MCHAT-cie.

Ale w końcu Krylenko przesolił. Chciał Prompartię wychłostać z jeszcze jednej strony – pokazując jej bazę społeczną. A że tu powinien przemówić żywioł klasowy, że analiza gwarantuje wynik – więc pozwolił sobie Krylenko na odstępstwo od systemu Stanisławskiego, nie rozdał ról i zdał się na improwizację: niech tam już każdy opowie o swoim życiu, o tym, jak odnosił się do rewolucji i jak się stoczył aż do szkodnictwa.

I to niebaczenie zaprojektowane intermedium, ta jedna ludzka scena zepsuła nagle całe 5 aktów.

Pierwsza rzecz, o której dowiadujemy się ze zdumieniem to fakt, że te burżazyjne rekiny, tych ośmiu inteligentów – wszyscy pochodzą z biednych rodzin. Syn

chłopa, syn obciążonego mnóstwem dzieci biuralisty, syn rzemieślnika, syn wioskowego nauczyciela, syn domokrażcy... Wszystkich ośmiu uczyło się za wysuptyany grosz, sami zarabiali na swoje wykształcenie i to od którego roku życia? – Od 12., 13., 14.! Jeden dawał korepetycje, drugi pracował na kolei. Wychodzi na jaw rzecz monstrualna: za caratu nikt nie przeszkadzał im się kształcić! Wszyscy oni normalnie ukończyli gimnazja realne, następnie wyższe uczelnie techniczne i zostali wybitnymi, znanymi profesorami. (Więc jak to? A nam powtarzano, że za caratu... tylko dzieci ziemian i kapitalistów...? Bo to mogą kłamać nasze wyrocznie?...).

A tymczasem teraz w sowieckiej epoce, inżynierowie byli w wielkim kłopotcie: prawie niemożliwością było dla nich zapewnienie wyższego wykształcenia własnym dzieciom (przecież dzieci inteligentów – to ostatni gatunek ludzi, przypomnijmy sobie te czasy!). Sąd nie polemizuje. Krylenko również nie dyskutuje. (Pod sądni sami dodają skwapliwie, że gdy wziąć pod uwagę ogólne sukcesy – oczywiście nie ma to znaczenia).

Zaczynamy po mału odróżniać poszczególnych podsądnych (do tej chwili przemawiali oni w sposób prawie jednakowy). Granica wieku, dzieląca ich na dwie grupy – jest zarazem miedzą osobistej przyzwoitości. Wyjaśnienia tych, którzy mają koło sześćdziesiątki, albo i więcej – budzą współczucie. Natomiast 43-letni Ramzin oraz Łariczew i 39-letni Oczkin (to ten, który w 1921 roku był autorem donosu na Gławtop) są czelni i bezwstydni i wszystkie najważniejsze zeznania dotyczące Prompartii a także interwencji pochodzą właśnie od nich. Ramzin był człowiekiem tego typu (biorąc pod uwagę jego nadzwyczajne i bardzo wcześnie osiągnięte sukcesy), że cała brać inżynierska nie podawała mu ręki – ale zniósł to jakoś! Na rozprawie zaś w pół słowa pojmuje każdą aluzję Krylenki i odpowiedzi formułuje precyzyjnie. Całe oskarżenie wspiera się na jego pamięci. Odnacza się taką przytomnością umysłu i dynamizmem, że mógłby bodaj (na zlecenie GPU, rzecz jasna) prowadzić w Paryżu samodzielne pertraktacje w sprawie interwencji. – Człowiekiem sukcesu był również Oczkin: w wieku 29. lat już „cieszył się bezgranicznym zaufaniem Rady Pracy i Obrony oraz Sownarkomu”.

Nie można tego powiedzieć o 62-letnim profesorze Czarnowskim: anonimowi studenci prowadzili na niego nagonkę w gazetce ściennej; po 23 latach wykładow został wezwany na ogólne zebranie studenckie, aby tam „zdać sprawę ze swojej działalności” (nie stawiał się).

A znów profesor Kalinnikow w 1921 roku kierował ruchem otwarcie zwalczającym władzę sowiecką! – chodziło mianowicie o strajk profesorów! W 1921 roku profesorowie tej wyższej uczelni znów wybrali rektora Kalinnikowa na nową kadencję, a tymczasem Komisariat Ludowy nie zatwierdził go, nominując własnego kandydata. Ale studenci proklamowali strajk, a profesorowie ich poparli (jeszcze przecież nie było wtedy prawdziwych proletariackich studentów) – i przez cały rok Kalinnikow był rektorem wbrew woli sowieckiej władzy. (Dopiero w 1922 roku ukręcono łeb tej autonomii po fali aresztowań).

Fedotow ma 66 lat i fabrycznym inżynierem został 11 lat przed powstaniem Rosyjskiej Partii Socjal-Demokratycznej. Pracował we wszystkich przedsiębiorstwach i kopalniach Rosji (jaką nienawiść budzą tacy ludzie, jak bardzo chciałoby się najprędzej ich pozbyć!). W 1905 roku zrezygnował ze stanowiska dyrektora zakładów Morozowa, wzgardził wysokim uposażeniem – bo wołał wziąć udział w „czerwonym pogrzebie”, wołał odprowadzić na cmentarz trumny robotników,

których zastrzelili Kozacy. Teraz jest schorowany, niedowidzi, wieczorami nie mógł już wychodzić z domu, nawet do teatru.

I to ci ludzie chcieli sprowadzić na kraj interwencję? – chaos gospodarczy?

Czarnowski przez wiele lat z rzędu nie miał ani jednego wolnego wieczoru, tak zajęty był wykładaniem i studiami nad nowymi dyscyplinami naukowymi (organizacja produkcji, naukowe zasady racjonalizacji). Ówczesnych inżynierów–profesorów zapamiętałem z dzieciństwa, tacy właśnie byli: wieczorami nachodzili ich doktoranci, projektanci, aspiranci, wracali do swoich domów rodzinnych dopiero o 11 wieczór. Przecież w całym kraju jest ich tylko 30.000, a tu zaczyna się pięciolatka, toć są rozrywani!

I ci ludzie chcieli sprowadzić kryzys? i szpiegowali dla miłego grosza?

Jedną rzecz uczciwą powiedział Ramzin na rozprawie: „szkodnictwo jest czymś z gruntu obcym najgłębszej istocie fachu inżynierskiego”.

W ciągu całego procesu Krylenko każe podśladnym poniżać się i sumitować, że są „ignorantami”, „analfabetami” w polityce. Bo wszak polityka – to coś znacznie trudniejszego i ważniejszego niż jakaś tam metalurgia albo konstrukcja turbin! Tu nic pomoże ci ani głowa, ani wykształcenie. Nie, proszę lepiej powiedzieć jak odnieśliście się do zwycięstwa Październikowej rewolucji? – Sceptycznie. – To znaczy – z wrogością? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Dopieka im Krylenko swoimi teoretycznymi pytaniami – i zwykłe ludzkie lapsusy, momenty, w których aktor wypada z roli pozwalają nam nagle zobaczyć prawdę, zorientować się O CO WŁAŚCIWIE CHODZIŁO, z jakiej kropli wydmuchano tę banie.

Pierwszą rzeczą, która inżynierów uderzyła po przewrocie październikowym była ruina. (I rzeczywiście wiele lat nie było nic, prócz ruiny). Następnie rzeczą, którą zobaczyli, była likwidacja swobód obywatelskich. (I swobód tych nigdy już nie przywrócono). Jak mogli inżynierowie aprobować bez zastrzeżeń dyktaturę robotników – podporządkowanych im, mniej wykwalifikowanych wykonawców, nie mogących ogarnąć myśłą ani fizycznych, ani ekonomicznych praw produkcji – ale którzy zajęli oto najważniejsze stanowiska, aby kierować inżynierami? Dlaczego nie powinni byli inżynierowie uważać za bardziej naturalną takiej konstrukcji społeczeństwa, przy jakiej na jego czele staliby ci, którzy potrafiliby rozsądnie pokierować jego czynnościami? (I czy dzisiaj – pomijając tylko sprawę moralnego kierownictwa – czy nie do tego zmierza cała cybernetyka społeczna? Czy zawodowi politycy nie są tylko wrzodami na karku społeczeństwa, przeszkadzającymi mu swobodnie kręcić głową i poruszać; rękoma?). I czemu to inżynierowie nie powinni mieć politycznych poglądów? Przecież polityka – to nawet nie jakaś szczególna dyscyplina naukowa, tylko dziedzina empirii, nie dająca się spenetrować z pomocą żadnej aparatury matematycznej, a nadto jeszcze podporządkowana egoizmowi ludzkiemu i ślepym namiętnościom. (Nawet na rozprawie tak powie Czarnowski: „Polityka powinna jednak w pewnym stopniu korzystać ze wskazań techniki”).

Dziki impet komunizmu wojennego mógł tylko odstręczać inżynierów, rów, inżynier nie może brać udziału w operacjach bezmyślnych – i oto aż do roku 1920 większość z nich oddaje się bezczynności, chociaż bieduje na modłę jaskiniową. Zaczyna się NEP – i inżynierowie z chęcią przystępują do pracy: NEP uznali oni za objaw świadczący, że władza poszła po rozum do głowy. Ale niestety, to już nie dawne czasy i warunki: stan inżynierski uznany jest nie tylko za warstwę socjalnie podejrzaną, nie mającą nawet prawa do kształcenia własnych dzieci, ten stan nie

tylko wynagradzany jest w sposób zupełnie nieproporcjonalny w stosunku do jego roli w produkcji, ale – wymagając od inżynierów sukcesów produkcyjnych i utrzymania dyscypliny produkcji – pozbawiono ich prawa egzekwowania tej dyscypliny. Teraz każdy robotnik może nie tylko nic wykonać rozporządzenia inżyniera, ale może bezkarnie go obrażać, a nawet uderzyć, przy tym – jako przedstawiciel klasy rządzącej robotnik w takich razach zawsze MA RACJĘ.

Krylenko oponuje: – A pamiętacie proces Oldenborgera? (to znaczy – jakieśmy to go bronili).

Fedotow: – Owszem. Aby zwrócić uwagę na sytuację inżynierów, trzeba było dopiero stracić życie.

Krylenko (z rozczarowaniem): – Problem nie tak się przedstawiał.

Fedotow: – On umarł – i nie on jeden zginął. Oldenborger zginął z własnej ręki, a wielu innych zabito²⁰.

Krylenko milczy. Więc to prawda. (Zajrzyjcie jeszcze raz do sprawy Oldenborgera, wyobraźcie sobie tę nagonkę i ten końcowy akcent: „wielu innych zabito”).

Tak więc, inżynier winien jest wszystkiemu już wtedy, gdy nie ponosi jeszcze żadnej winy! A jeżeli zdarzy mu się gdzieś omyłka, przecież jest tylko człowiekiem – to go rozszarpią, jeżeli koledzy nie zatuszują sprawy. Bo o n i potrafią docenić szczerść?... Czy w ten sposób inżynierowie czasem nie czują się zmuszeni do okłamywania partyjnej zwierzchności?

Aby odzyskać autorytet i prestiż stan inżynierski rzeczywiście musi robić użytek z solidarności. Ci ludzie muszą sobie wzajemnie pomagać – bo wszystkim grozi to samo. Ale dla takiego zjednoczenia nie potrzebne są żadne konferencje, ani żadne legitymacje członkowskie. Jak to zawsze bywa wśród rozumnych i przyzwyczajonych do ścisłego myślenia ludzi, porozumienie wzajemne da się osiągnąć z pomocą niewielu cichych, a nawet przelotnie rzuconych słów, głosowania tu zupełnie nie są potrzebne. Tylko ograniczone umysły czują potrzebę rezolucji i partyjnej pałki. (Tego właśnie w żaden sposób nie zrozumie ani Stalin, ani oficerowie śledczy, ani nikt z tej kompanii! Nie znają stosunków międzyludzkich tego typu, czegoś podobnego nie widzieli nigdy w dziejach partii!). Ta jedność zresztą dawno już istnieje wśród rosyjskich inżynierów, żyjących w ogromnym, ciemnym kraju zarozumiałych sobiepanów, wytrzymała już próbę kilku dziesięcioleci – ale podpadła naszej władzy, która się jej zlekła.

A tu nadchodzi rok 1927 – gdzież podział się rozsądny pragmatyzm NEP-u! – okazało się wręcz, że cały NEP był cynicznym oszustwem. Wysuwane są bałamutne, nierealne plany superskoku industrialnego, ogłaszane są niedorzeczne plany i zadania. Co w tych warunkach może przedsięwziąć kolektywny mózg – inżynierska elita Gosplanu

„Prompartia”, str. 228. i Wszechzwiązkowego Komitetu Gospodarki Narodowej?! Ma skapitulować przed obłędem? Może usunąć się na bok? Dla nich osobiście to nie jest groźne, na papierze można napisać dowolne cyfry – ale „nasi towarzysze, wykonawcy praktyczni, nie będą mogli później podotać tym zadaniom”. To znaczy, że trzeba postarać się te plany utemperować, poddać je rozsądnej regulacji, a najbardziej przesadne projekty w ogóle wyeliminować. Stworzyć coś w rodzaju własnego, fachowego Gosplanu dla korygowania głupstw narzuconych przez szefów – a najśmieszniejsze, że to w ich interesie! W interesie całego przemysłu i całego ludu: zawsze ktoś będzie próbował zwekslować w bok rujnujące decyzje i podnieść z ziemi rozbryzgane i rozsypane miliony. Wśród po-

wszechnych krzyków o ilość, nawoływań do wykonania i przekroczenia planów – trzeba bić się o j a k o ś ć, bo to dusza techniki”. I tak trzeba wychowywać studentów.

Oto macie cieką, zwiewną tkaninę prawdy. Tak, jak to było.

Ale powiedzieć to na głos w 1930 roku? – To już równało się rozstrzelaniu!

A dla rozwścieczonego tłumu – to zbyt blade, nie bije w oczy!

I dlatego milczą i zbawienną dla kraju znowę inżynierów trzeba mleć na grubą kaszę interwencji i szkodnictwa.

Tak w formie wtrętu ukazała nam się nagle bezcielesna – i bezowocna! – świadomość prawdy. Reżyserska robota rozłaziła się w palcach. Już wyrwało się Fedotowowi zdanie o bezsensownych nocach(!) w czasie ośmiomiesięcznego siedzenia; o jakimś wybitnym eksponencie GPU, który uściśnął mu rękę (?) niedawno (a więc istniała jakaś umowa? zagrajcie tylko swoje role, a GPU dotrzyma swojej obietnicy?). Ale już nawet świadkowie, chociaż role mają o wiele mniejsze, też zaczynają się sypać.

Krylenko: – Więc braliście udział w zebraniach tej grupy?

Świadek Kirpotenko: – Dwa, trzy razy, kiedy mowa była o problemie interwencji.

Właśnie tego potrzeba! Krylenko (tonem zachęty): – Mówcie dalej!

Kirpotenko (pauza): – Prócz tego nic mi nie jest wiadome.

Krylenko zachęca, upomina.

Kirpotenko (całkiem otępiaty): – Prócz tej interwencji, to nic mi więcej nie wiadomo²¹.

„Prompartia”, str. 354.

A przy konfrontacji z Kuprijanowem myli nawet fakty. Krylenko sierzdzi się i krzyczy na niepojętnych aresztantów:

– To trzeba się postarać, żeby odpowiedzi były zgodne²²!

Ale w czasie przerwy, za kulisami, wszystko znów zostało podciągnięte do należącego standardu. Wszyscy podsądni – znów jak na sznurkach i każdy czeka tylko na pociągnięcie. I Krylenko szarpie od razu sznurki wszystkich ośmiu: przemysłowcy–emigranci opublikowali, wyobraźcie sobie, artykuł, że żadnych pertraktacji z Ramzinem i Łariczewem nie prowadzili – i żadnej „Prompartii” nie znają, zeznania zaś podsądnych uważają za najprawdopodobniej wymuszone przy pomocy tortur. No i co wy na to powiecie?...

Boże! Jak oburzeni są podsądni! Na wypródkę proszą o głos! Gdzie się podział ten znużony spokój, z którym przed kilkoma dniami upokarzali oni samych siebie i swoich towarzyszy. Nie mogą wprost pohamować wrzącego gniewu, który budzą w nich emigranci! Płoną chęcią napisania oświadczenia do gazet – kolektywnego listu podsądnych w obronie metod GPU! (No, czy to nie klejnot, nie brylant?). Ramzin: „Że nie byliśmy poddawani żadnym torturom i mękom – tego wystarczającym dowodem jest nasza obecność tutaj!” (a cóż są warte tortury, których skutki widać potem na rozprawie!). Fedotow: „Aresztowanie przyniosło pożytek nie mnie jednemu... Ja nawet lepiej czuję się w więzieniu, niż na wolności”. Oczkin: „Ja też, ja też!”.

To po prostu wspaniałomyślność każe Krylence i Wyszyńskiemu zrezygnować z tego dzieła zbiorowego. A przecież tamci by podpisali! Podpisaliby!

Ale może jeszcze został jakiś cień podejrzenia? Towarzysz Krylenko rozproszy go blaskiem swojej logiki: „Gdyby przypuścić choćby na sekundę, że ci ludzie,

mówią nieprawdę – to czym wytłumaczyć, że właśnie oni zostali aresztowani dlaczego nagle ci ludzie złożyli takie zeznania²³?

Co za potęga myśli! – W ciągu tysięcy lat oskarżyciele nie ośmielali się twierdzić, że sam fakt aresztowania jest już dowodem winy! Jeżeli podsądni są niewinni – to dlaczego ich miano aresztować? Skoro zaś są już aresztowani – to znaczy, że są winni!

No i rzeczywiście: DLACZEGO BY MIELI SKŁADAĆ TAKIE ZEZNANIA?

Str. 358.

Str. 452.

„Kwestię tortur możemy odrzucić!... ale postawmy pytanie psychologiczne: dlaczego więc przyznają się do winy? A ja na to odpowiem pytaniem: a co im innego zostało²⁴?”.

No, jakie to słuszne! Jak psychologicznie trafne! Kto był gościem tej instytucji, niech wspomni: cóż innego człowiekowi zostało?...

(Iwanow–Razumnik pisze²⁵, że w 1938 roku siedział z Krylenką w jednej celi, w Butyrkach, i że Krylenko musiał leżeć na ziemi, pod narami. Bardzo dobrze to sobie wyobrażam (sam tam wpęłzałem): nary są tam tak niskie, że tylko po indiańsku można wpęłznąć pod nie po brudnej, asfaltowej podłodze, ale nowicjusz z początku w żaden sposób nie może tej sztuki opanować i gramoli się na czworakach. Głowę udaje mu się tam wsunąć, ale wypięty zad przeszkadza i zostaje na zewnątrz. Myślę, że prokuratorowi naczelnemu było szczególnie trudno się przyzwyczaić i że jego – niewychudły jeszcze – tyłek długo tak sterczał ku chwale sowieckiego sądownictwa. Człowiek ze mnie grzeszny, nie bez złośliwej satysfakcji wyobrażam sobie ten zaklinowany tyłek i przy całym długim opisywaniu tych wszystkich procesów ten obraz jakoś przywraca mi spokój).

Nie dość na tym – ciągnie prokurator – jeśli by to wszystko była prawda (mowa o torturach), to cóż właściwie zmusiło wszystkich podsądnych, aby z taką jednomyślnością, bez żadnych odstępstw i różnic przyznawać się do winy chórem?... Bo przecież – gdzie mogłoby dojść do tak gigantycznej zмовы? – przecież oni nie komunikowali się ze sobą w czasie śledztwa?!

(Na jednej z następnych stron ocalały świadek opowie nam – gdzie...).

A teraz – nie ja czytelnikowi, ale niechże czytelnik mnie wyjaśni, na czym polega sławetna „zagadka procesów moskiewskich lat 30.”. (Z początku ludzie nie mogli się nadziwić sprawie „Prompartii”, później największą zagadką zaczęły się wydawać procesy partyjnych przywódców).

Przecież na ławie oskarżonych posadzono nie dwa tysiące wmieszanych w sprawę, nawet nie 200–300, lecz tylko ośmiu ludzi. Dyrygować ośmioosobowym chórem nie jest tak już znowu beznadziejnie trudno. Wybierać zaś Krylenko mógł spośród tysiąca – i wybierał przez dwa lata. Palczynski się nie załamał – więc został rozstrzelany (a pośmiertnie awansowany na „szefa Prompartii”), tak właśnie nazywany

24 Str. 454.

15 Iwanow–Razumnik, Więzienia i zesłania, Wyd. Im. Czechowa. jest w zeznaniach, chociaż ani słówka po nim nie zostało. Później spodziewano się, że da się wydusić, co potrzeba, z Chrennikowa, ale również Chrennikow nie ustąpił. Więc raz tylko mówi się *petitem* w odnośniku: „Chrennikow zmarł podczas śledztwa”. *Petitu* możecie używać dla durniów, ale my już wiemy, my napiszemy największymi literami: ZADRĘCZONY NA ŚMIERĆ PODCZAS ŚLEDZTWA! (On również po-

śmiertnie uznany został za szefa „Prompartii”. Ale gdzież choćby jeden fakcik, pochodzący od niego, chociażby jedno zeznanie w tym wspólnym chórze? Ani jednego. Dlatego, że ANI JEDNEGO NIE ZŁOŻYŁ!) I nagle odkryty zostaje – Ramzin! To dopiero energia, ten ma dopiero wzięcie! I wszystko robi, żeby żyć! a co za talent! Aresztowany został w końcu lata, tuż przed procesem – a nie tylko wżył się w rolę, ale tak się zachowuje, jakby sam całą sztukę napisał, bo i opanował pamięciowo całą górę dodatkowego materiału, i wszystko, jak z igły, każde nazwisko, każdy fakt. Czasem leniwy prominent mówi z pokrętną gładkością: „Działalność Prompartii tak bardzo była rozgałęziona, że nawet na jedenastodniowej rozprawie nie ma możliwości wniknąć w jej szczegóły”. (To znaczy: szukajcie! Szukajcie dalej!). „Jestem głęboko przekonany, że cienka warstwa antysowieckich elementów wciąż jeszcze zachowała się w środowisku inżynierskim”. (Ciepło, ciepło, łapcie dalej!). I jakież to zdolny człowiek: wie, że dookoła zagadki, a zagadkę trzeba umieć rozwiązać z artystycznym wdziękiem. I – zazwyczaj nieczuły, jak pałka – nagle potrafi odkryć w sobie „cechy typowo rosyjskiego zbrodniarza, który zna tylko jeden rodzaj oczyszczenia – publiczną pokutę²⁶”.

Tak więc jedyną trudnością, jaką pokonać musiał Krylenko i GPU – był właściwy wybór osób dramatu. Ale ryzyko nie było duże: odpady śledztwa zawsze można było postać prosto na cmentarz. Kto zaś przeszedł przez wszystkie sita i rzeszota – tego wystarczy podleczyć, dokarmić i śmiało pokazać na rozprawie!

Na czym więc polega zagadka? Jakiej obróbce trzeba było ich poddać? A takiej: czy chce pan żyć? (Kto nie myśli już o sobie, ten chciałby żyć dla dzieci, dla wnuków). Czy rozumie pan, że nic nas nie kosztuje postanie pana pod mur – i to nie wychodząc nawet za bramę GPU? (Tak jest na pewno. A kto tego jeszcze nie zrozumiał – tego

26 Rosyjska pamięć niezasłużenie lekceważy Ramzina. Sądzę, że zasłużył on w zupełności na to, aby stać się postacią przysłowiową, typem cynicznego, niezrównanego zdrajcy. Bengalski ogień zdrady. Nie on jeden w tej epoce – ale był figurą najbardziej rzucającą się w oczy. wystarczy przepuścić przez łubiańską młockarnię). Ale i dla pana i dla nas będzie wygodniej, jeżeli zagra pan coś w rodzaju spektaklu, tekst który napiszecie wy sami, jako specjaliści, my zaś, oskarżyciele, wykujemy i postaramy się zapamiętać techniczne terminy. (Na rozprawie Krylenko czasami popełnia błędy, oś parowozu myli mu się z osią wagonu). Występować w tym przedstawieniu – to nie będzie dla pana przyjemne, będzie wstyd, ale to trzeba znieść! Przecież najważniejsze to żyć! – A jaką mam gwarancję, że mnie potem nie rozstrzelacie? – A za co mamy się na was mścić? Przecież jesteście znakomitymi specjalistami, nie popełniście żadnej zbrodni i my was cenimy. Zresztą, proszę spojrzeć, już tyle było spraw szkodników – a wszyscy, którzy dobrze się sprawowali, zostali przez nas oszczędzeni, żyją. (Zachować przy życiu posłusznych podsądnych z poprzedniego procesu – to ważny warunek powodzenia następnej sprawy. Ten łańcuszek ciągnie się i ta nadzieja przekazywana jest sztafetą aż do samego Zinowiewa z Kamieniewem). Ale musi pan wypełnić wszystkie nasze warunki od A do Z! Proces powinien oddać ważną przysługę społeczeństwu socjalistycznemu.

I podsądni honorują wszystkie postawione im warunki...

Całą przemyślną ulotność intelektualnej opozycji inżynierskiej przedstawiają oni jako brudne szkodnictwo, tak żeby zrozumiał to ostatni z wczorajszych analfa-

betów. (Ale jeszcze nie ma mowy o tłuczonym szkłe, sypanym do talerzy ludzi pracy! – Na ten pomysł jeszcze prokuratura nie wpadła).

Następnie – motyw ideowości. Dlaczego zabrali się do szkodenia? – Z pobudek wrażliwych, ale ideowych; teraz zaś – dlaczego tak zgodnie przyznają się do winy? – Również z pobudek ideowych, ponieważ olśnił ich (za kratami) płomienny, hutniczy blask 3. roku Pięciolatki! W ostatnim słowie proszą o darowanie życia, ale nie to jest dla nich najważniejsze. (Fedotow: „To, co zrobiliśmy jest niewybaczalne! Oskarżyciel ma rację!”). Najważniejszą rzeczą dla tych dziwnych pod sądnych, stojących na progu śmierci jest przekonanie całego narodu i całego świata o nieomyślności i dalekowzroczności sowieckiego rządu. Ramzin sławi pod niebiosa „rewolucyjną świadomość proletariackich mas oraz ich przywódców, którzy „potrafili wytyczyć nieporównanie słuszniejszą szlaki polityki ekonomicznej”, niż uczeni i w znacznie lepszy sposób wyznaczyli tempo rozwoju gospodarki narodowej. Teraz „zrozumiałem, że koniecznie trzeba rzucić się naprzód, że trzeba wykonać skok²⁷,

„„Prompartia”, str. 504. Oto, jak U NAS mówiło się o tych sprawach w 1930 roku, kiedy Mao uchodził jeszcze za żółtodzioba. że trzeba wziąć szturmem...” itd. Łariczew: „Związku Sowieckiego nie może pokonać umierający świat kapitalistyczny”. Kalinnikow: „Dyktatura proletariatu jest nieuniknioną koniecznością”. „Interesy ludu oraz interesy władzy sowieckiej są jednością, mającą wspólny cel”. Zresztą również na wsi „okazała się słuszna generalna linia partii, zmierzająca do likwidacji klasy kułaków”. W oczekiwaniu karni mają czas wygadać się na każdy temat... I nawet takie proroctwo przechodzi przez gardło tym skruszonym inteligentom: „W miarę rozwoju społeczeństwa zakres życia indywidualnego ulegnie zawężeniu... kolektywna wola jest formą o wiele wyższą²⁸”.

Tak oto osiągnięte zostały wszystkie cele procesu dzięki wysiłkom tego ośmioletniego zaprzęgu:

1) Wszystkie nieszczęścia krajowe, i głód, i chłód, i brak przyodziewku, i bałagan, i oczywiste nonsensy – wszystko to przypisane zostało szkodnikom-inżynierom;

2) Społeczeństwo zastraszone zostało groźbą interwencji i gotowe jest do nowych ofiar;

3) Koła lewicowe na Zachodzie uczulone zostały na intrygi tamtejszych rządów;

4) Solidarność inżynierska doznała uszczerbku, cała inteligencja jest nastraszone i zdeintegrowana. I żeby nie było co do tego żadnych wątpliwości, ten cel procesu zostanie jeszcze raz wyraźnie wyakcentowany przez Ramzina:

„Chciałbym, aby w rezultacie niniejszego procesu Prompartii na ciemnej i haniebnej przeszłości całej inteligencji można było raz na zawsze postawić krzyżyk²⁰”.

Podobnie Łariczew: „Ta kasta powinna być rozbita... nie ma i nie może być lojalności wśród inżynierów w³⁰!”. I Ocżyn: Inteligencja „to jakieś błoto, nie ma ona – jak powiedział oskarżyciel publiczny – kręgośłupa, to jest zupełny brak charakteru... O ileż wyżej sięga wyczucie proletariackie³¹...”. I za co tu rozstrzeliwać takich gorliwców?... Z początku dano im po wyroku śmierci, ale z miejsca zamieniono karę na dziesiątka. Ramzin pojechał organizować termotechniczną szarąszkę, zakład pracy przymusowej dla więźniów – fachowców i uczonych.

2* „Prompartia”, str. 510.

M Str. 49.

J0 Str. 508.

„Str. 509.1 zawsze to, co proletariat ma najważniejszego, to wyczuci e... wszystko tylko na nos.

W ten oto sposób pisana była przez całe dziesięciolecia historia naszej inteligencji – od anatemy w roku 20. (czytelnik przypomina sobie zapewne: „To nie mózg narodu, tylko jego łajno”, „sojuszник czarnych generałów”, najemny agent imperializmu”) poprzez anatemę roku 30.

I jak tu się dziwić, że termin „inteligencja” przybrał u nas charakter wyzwiska?

W ten oto sposób prowadzone są u nas publiczne procesy sądowe. Wnikliwa myśl stalinowska dosięgła wreszcie ideału. Dopieroż zazdrościć będą te niedojdy – Hitler i Goebbels, wstydu sobie tylko narobią tym podpaleniem Reichstagu...

Standard został osiągnięty – i teraz można go się trzymać przez wiele lat i powtarzać spektakl choćby w każdym sezonie – jeśli Główny Reżyser rozkaże. Życzy zaś sobie ów Główny, aby następna premiera odbyła się już po trzech miesiącach. Mało czasu na próby, ale to nic. Patrzcie i słuchajcie. Tylko w naszym teatrze! Jest to premiera:

1) Procesu Związkowego Biura Mienszewików (od 1 do 9 marca 1931 roku).

Izba Specjalna Sądu Najwyższego, przewodniczący – ni stąd, ni zowąd – Szverniki, poza tym – wszyscy ci sami – Antonow-Saratowski, Krylenko, jego pomocnikiem jest Rogiński. Reżyser pewien jest swoich sił (zresztą materiał również nie jest techniczny, tylko partyjny, więc dobrze znany) – i wprowadza na scenę 14 podsądnych.

Sprawa ma przebieg nie tylko gładki – lecz oślepiająco gładki.

Miałem wówczas 12 lat, już trzeci rok uważnie wyczytywałem wszystkie wiadomości polityczne z wielkich stronici Izwiestii. Stenogramy tych dwóch procesów przeczytałem też od deski do deski. Już w sprawie „Prompartii” uderzała serce chłopca przesada, fałsz, klimat inscenizacji, ale tam przynajmniej dekoracje były imponujące – potężna interwencja! paraliż całego przemysłu! rozdział tek ministerialnych! W procesie zaś mienszewików dekoracje zastosowano niby te same, ale już wyblakłe, aktorzy wypowiadali swoje kwestie bez ognia i przedstawienie nudne było że aż ziewać się chciało, o! żałosna powtórka, robiona bez talentu. (Czyżby Stalin wyczuł to przez skórę mimo, że była grubsza niż u nosorożca? Jak wytłumaczyć inaczej, że odwołał sprawę TKP i że przez kilka lat nie było procesów?).

Nieciekawe byłoby tutaj trzymanie się stenogramu. Mam jednak pod ręką niedawne zwierzenia jednego z głównych podsądnych na tym procesie – Michała Piotrowicza Jakubowicza. Ostatnio jego podanie w sprawie rehabilitacji, wraz z wyliczeniem wszystkich umyślnych fałszerstw, przesączyło się do Samizdatu, który jest naszą deską ratunku i już ludzie czytają sobie, jak to było³². Opowiadanie jego jest rzeczowym komentarzem do całego łańcucha moskiewskich procesów lat 30.

Jak powstało nieistniejące „Związkowe Biuro”? GPU miało zadanie planowe: wykazać, że mienszewicy zdobili się wszędzie wcisnąć i opanować w kontrrewolucyjnych celach wiele ważnych stanowisk państwowych. Prawdziwy stan rzeczy nie pasował do tego schematu: autentyczni mienszewicy żadnych stanowisk nie zajmowali. Ale ci autentyczni wcale w tym procesie nie brali udziału. (W. K. Ikow podobno rzucił się należał do nielegalnego, siedzącego jak mysz pod miotłą i nie uprawiającego żadnej działalności moskiewskiego biura mienszewików – ale na procesie wcale to nie wyszło na jaw, Ikow należał tam do postaci

drugoplanowych i dostał tylko 8 lat). GPU założyło sobie z góry taki schemat: żeby dwóch było z Komitetu Gospodarki Narodowej, dwóch – z Komisariatu Handlu Zagranicznego, dwóch – z Banku Państwa, jeden – ze spółdzielczości, jeden – z Komitetu Planowania. (Jakie to nudne i niewynalazcze! Dlatego to ściągnięto na ławę oskarżonych tych, którzy nadawali się ze względu na swoje stanowisko. A czy byli oni rzeczywiście mienszewikami – tu polegano raczej na pogłoskach. Niektórzy w ogóle nic wspólnego z mienszewikami nie mieli, ale kazano im podawać się za takich. Prawdziwe polityczne poglądy oskarżonych w ogóle GPU nie interesowały. Nawet nie wszyscy skazani znali się wzajemnie. Świadcami byli również ludzie przypadkiem jako mienszewicy wyskrobani z różnych kątów³³. (Wszyscy bez wyjątku świadkowie też dostali później swoje wyroki). Jako świadek – usłużny i gadatliwy – wystąpił również Ramzin. Ale GPU liczyło przede wszystkim

12 Rehabilitacji mu odmówiono: przecież ten proces wszedł do skarbca naszej historii, przecież z jej sklepień nie można wyciągać ani kamyka, bo jeszcze wszystko runie. W ten sposób Jakubowicz należy dalej do słusznie ukaranych, ale na pociechę otrzymał! personalną emeryturę za działalność rewolucyjną. Dużo u nas takich pokracznych sytuacji.

» Jednym z nich był Kuźma A. Gwozdiew, człowiek, którego los nie był lekki – ten sam Gwozdiew, przewodniczący grupy robotniczej przy Komitecie przemysłu wojennego, którego później rewolucja lutowa uczyniła ministrem pracy. Gwozdiew stał się jednym z męczenników, wiecznych więźniów GUŁagu. Pierwszy raz czekał na niego w 1919 roku, ale zdołał im się wymknąć (jego rodzinę długo trzymano pod nadzorem, niemal więziennym i nawet dzieci nie puszczano do szkoły). Później rozkaz aresztu anulowano, ale w 1928 roku zacharapczono go już raz na zawsze; od tej chwili siedział bez przerwy aż do 1957 roku. Wrócił z więzienia ciężko chory i wkrótce zmarł. na głównego oskarżonego – W. G. Gromana (osławionego działacza Dumy Państwowej), tudzież na prowokatora Pietunina.

Przedstawmy teraz M. P. Jakubowicza. Zabrał się do robienia rewolucji tak wcześnie, że nawet nie ukończył gimnazjum. W marcu 1917 roku był już przewodniczącym smoleńskiego Sowietu Deputatów. Ponieważ przemawiał z przekonaniem (ono to wciąż go gdzieś popychało) został dobrym, wpływowym oratorem. Na zjeździe żołnierskich deputatów Zachodniego Frontu nieopatrznie nazwał wrogami ludu, tych dziennikarzy którzy nawołują do kontynuacji wojny – a był to dopiero kwiecień 17. roku! Omal też nie został ściągnięty z trybuny, przeprosił obrażonych, ale w dalszym ciągu przemówienia zastosował takie chwytły i tak porwał słuchaczy, że pod koniec znów nazwał tamtych wrogami ludu, ale już tym razem otrzymał za to grzmiące oklaski i wybrany został członkiem delegacji, którą posłano do Piotrogradzkiego Sowietu. Ledwie przyjechał do stolicy, z łatwością, tak typową dla tych czasów, został dokooptowany do komisji wojskowej Sowietu Piotrogradzkiego, miał wpływ na nominacje komisarzy wojskowych³⁴, a w końcu sam wyjechał jako komisarz armii na front Południowo-Zachodni i w Berdyczowie osobiście aresztował Denikina (po buncie generała Kornilowa); wyrażał później wielki żal (również na swoim procesie), że Denikin nie został wtedy rozstrzelany.

Jasnooki, zawsze bardzo otwarty i zawsze oddany jakiejś swojej idei, mniejsza, słusznej czy niesłusznej, w partii mienszewików uchodził za przedstawiciela młodzieży i zresztą był nim. Mimo to z całą śmiałością i zapałem podsuwał wciąż kierownictwu jakieś swoje projekty, na przykład takie: żeby wiosną 1917 roku sfor-

mować rząd wyłącznie mienszewicki, albo w 1919 roku – żeby mienszewicy weszli do Międzynarodówki Komunistycznej. (Dan oraz inni przywódcy niezmiennie odrzucali wszystkie jego projekty). W lipcu 1917 roku przeżył ciężko i uznał za fatalną omyłkę, że socjalistyczny Sowiet Piotrogradzki uchwalił poparcie dla decyzji Rządu Tymczasowego o wezwaniu wojska do walki z bolszewikami, choćby nawet ci chwyłali za broń. Natychmiast po przewrocie październikowym, Jakubowicz zaproponował swojej partii, aby udzieliła całkowitego poparcia bolszewikom, po to, aby przez swój wpływ i udział móc pozytywnie oddziaływać na tworzony przez nich ustrój państwowy. W końcu został też wyklęty przez Martowa, w 1920

„Nie mylić z pułkownikiem sztabu Generalnego, Jakubowiczem, który w tym samym okresie i na tych samych posiedzeniach reprezentował Ministerstwo Spraw Wojskowych. roku już ostatecznie odseparował się od mienszewików, przekonawszy się, że nie jest w jego mocy przeciągnięcie ich na stronę bolszewików.

Ja dlatego tak szczegółowo o tym wszystkim piszę, żeby stało się jasne, że Jakubowicz nie mienszewikiem, lecz bolszewikiem był w ciągu całej rewolucji – i to z pobudek całkowicie bezinteresownych. A w 1920 roku był jeszcze na dodatek smoleńskim gubernialnym komisarzem aprowizacji (jedyne to wypadek, że takim komisarzem został niebolszewik) i nawet ludowy komisariat aprowizacji wyróżnił go jako najlepszego (zapewnia, potrafił się obejść bez wojskowych ekspedycji karnych; nie wiem; na rozprawie napomknął, że wystawiał oddziały zaporowe). W latach 20. redagował Gazetę Handlową, zajmował również inne dość znaczne stanowiska. Gdy zaś w 1930 roku takich właśnie mienszewików, którzy potrafili się „wtrynić”, trzeba było w myśl planu GPU dobrać do kolekcji – Jakubowicz został aresztowany.

I wtedy wezwał go na przesłuchanie Krylenko, który, co czytelnikowi jest już wiadome, zawsze umiał zorganizować składny materiał śledczy z chaosu zeznań. Okazało się, że są starymi, dobrymi znajomymi, bowiem w tamtych właśnie latach (w przerwach między pierwszymi procesami) Krylenko przyjeżdżał do okręgu smoleńskiego, dla aktywizacji roboty aprowizacyjnej. I oto, co „mu teraz Krylenko powiedział:

– Michale Piotrowiczu, otwarcie wam mówię: uważam was za komunistę! (Bardzo to podniosło na duchu Jakubowicza i dodało mu otuchy). Nie wątpię, że jesteście niewinni. Ale przeprowadzenie tego procesu, to nasz wspólny obowiązek partyjny. (Krylence wydał rozkaz Stalin, Jakubowicz zaś odnosi się do idei z takim żarem, jak robotny koń, który nie może doczekać się chwili, gdy będzie mógł wsadzić łeb w chomąto). Proszę was zatem o wszechstronną pomoc, proszę was, abyście szli śledztwu na rękę. Zaś na rozprawie, w wypadku jakichś niespodziewanych trudności, w chwili najbardziej odpowiedzialnej będę prosił przewodniczącego, aby wam właśnie udzielił głosu.

!!!

I Jakubowicz – mu to obiecał. Obiecał z poczucia obowiązku. Tak odpowiedzialnego zadania chyba mu dotąd władza sowiecka nie powierzała! Podobnie jak wszyscy, Jakubowicz trafił w ręce śledczych–rzeźników, którzy zastosowali wobec niego całą gamę – i lodowaty karcer, i gorącą izolatkę, i bicie po genitaliach. Nękali go tak, że Jakubowicz i jego towarzysz z tej samej sprawy, Abram Ginzburg, z desperacji przecięli sobie żyły. Gdy trochę wrócili do zdrowia już ich nie torturowano i nie bito, zaaplikowano tylko bezsenność przez dwa tygodnie. (Jakubowicz mówi: „Żeby tylko móc zasnąć! Już nie zostało człowiekowi ani czci, ani

sumienia..."– A tu jeszcze konfrontacje z innymi, co już skapitulowali, też skłaniają człowieka do uznania własnych win", do powtarzania wszelkich głupstw. W końcu sam śledczy (Aleksy Aleksiejewicz Nasiedkin) powiedział: „Ja wiem, ja wiem, że nic z tych rzeczy. nie było! Ale przecież – od nas tego wymagają!”.

Pewnego razu Jakubowicz wzięty jest na przesłuchanie i zastaje w gabinecie śledczego jakiegoś zadreżonego aresztanta. Śledczy mówi z uśmiechem: „Tu jest Mojżesz Isajewicz Teitelbaum, który prosi was, abyście przyjęli go do waszej organizacji antysowieckiej. Pogadajcie sobie tu sami swobodnie, ja wyjdę na chwilę”. I wyszedł. Teitelbaum rzeczywiście prosi: „Towarzyszu Jakubowicz, błagam was, żebyście mnie przyjęli do waszego Związkowego Biura mien-szewickiego! Oskarżają mnie o "przyjmowanie łapówek od firm zagranicznych", grozi mi rozstrzelanie. Ale wolę umrzeć jako kontra, niż jako kryminalista!” (A może mu obiecali, że jako kontrrewolucjonistę potraktują go łagodniej? Nie omylił się: dostał dziecienny wyrok, piątala). Jak trudno było GPU o tych mienszcwików, jeżeli musiano przyjmować na ochotnika!... (A przecież Teitelbaum miał do zagrania poważną rolę! – kontakty z za – granicznymi mienszewikami i z II Międzynarodówką! Ale umowa została wykonana uczciwie, dostał tego piątala). Z błogostawieństwa śledczego – Jakubowicz przyjął Teitelbauma do Krajowego Biura. Innych również „kooptował”, nawet tych, którzy wcale o tym nie marzyli, jak I. I. Rubin, który zaprzeczył zeznaniom Jakubowicza podczas konfrontacji. Później, w suzdalskim izolatorze, gdzie się znpu spotkali, zapytał: „Jak mogło wam przyjść do głowy, że jestem członkiem Biura Krajowego?!” Jakubowicz zaś odparł (a to odpowiedź znamienita, jest w niej plon całego stulecia dziejów rosyjskiej inteligencji): „Cały naród cierpi, więc i my, inteligenci, musimy cierpieć”.

Kilka dni przed procesem w gabinecie starszego śledczego Dymitra Matwiejewicza Dmitriewa zwołane zostało pierwsze zebranie organizacyjne Związkowego Biura Mienszewików: aby wszystko uzgodnić i aby każdy lepiej zrozumiał swoją rolę. (O, w ten sam sposób zasiadał też KC „Prompartii”! Oto gdzie podsądni „mogli spotkać się”, nad czym tak wydziwiał Krylenko). Ale tak wiele zdążono namotać łgarstw, zupełnie nie mieszczących się w głowie, że uczestnicy wciąż się mylili, nie potrafili opanować materiału w czasie jednej próby, więc musieli się spotkać jeszcze po raz wtóry.

Co czuł Jakubowicz, na procesie? Czy nie korciło go, aby za wszystkie przeżyte udręki, za wszystkie kłamstwa, którymi go nafaszerowano – urządzić na rozprawie gromki skandal? Ale przecież:

1) byłby to cios w plecy dla władzy sowieckiej! Byłoby to zaprzeczeniem słuszności tego celu, dla którego Jakubowicz żyje, całego tego szlaku, który przebył – od błędów, mienszewizmu do niezbitych prawd bolszewizmu;

2) po takim skandalu nie pozwolą człowiekowi umrzeć, nie rozstrzelają człowieka po ludzku, tylko zaczną znowu torturować, już przez zemstę, doprowadzą do obłądu, bo ciało już i tak udręczone jest torturami. Gdzież tu znaleźć podporę moralną, aby znieść te nowe męki? I skąd wziąć męstwo?

(Po gorącym tropie słów szedłem zapisując te jego argumenty – niezwykle rzadko zdarza się otrzymać jakby „pośmiertnie” wyjaśnienia od żywego uczestnika takiego procesu. I moim zdaniem całkiem tak samo wyjaśniłby nam przyczyny swojej zagadkowej potulności na rozprawie Bucharin, albo Ryków: ta sama szczerść, ta sama wierność partii, ta sama słabość ludzka, ten sam brak odskoczni mo-

ralnej dla wszczęcia walki, czego przyczyną jest fakt, iż podsądny nie zajmuje pozycji o drębnej ideowo).

I na rozprawie Jakubowicz nie tylko potulnie przeżuwał szary zakalec kłamstwa, takiego, na jakie stać było ubogą fantazję Stalina, jego czeladników i zadręczonych podsądnych, ale odśpiewał też swoją natchnioną arię, tak jak to obiecał Krylence.

Tak zwana Delegacja Zagraniczna Mienszewików (w istocie – całe kierownictwo ich KC) opublikowała w gazecie Vorwiirts deklarację, w której odcinała się od podsądnych. Deklaracja utrzymywała, że rozprawa jest haniebną komedią sądową, opartą na zeznaniach prowokatorów i nieszczęśników – oskarżonych, zmuszonych do zeznań metodami terroru. Że przygniatająca większość podsądnych opuściła partię już przeszło 10 lat temu i nigdy potem nie wracała w jej szeregi. I że sumy, o których mowa na procesie, są śmiesznie wysokie – bo takimi funduszami cała partia nie dysponowała nigdy w ciągu swoich dziejów.

Krylenko przeczytał na głos artykuł i poprosił Szvernika o udzielenie podsądnym głosu dla ustosunkowania się (to samo pociąganie za wszystkie sznurki na raz, jak na procesie „Prompartii”) i wszyscy zabrali głos. I wszyscy bronili metod GPU przed insynuacjami mienszewickiego KC...

Ale co dzisiaj mówi Jakubowicz o tej swojej replice i o swoim ostatnim słowie? Że przemawiał wtedy nie tylko dlatego, iż obiecał to być Krylence; nie wstał wtedy po prostu z miejsca, tylko porwał go jak wiórek potok wymowy i rozdrażnienia. Skąd ta irytacja, przeciw komu? Doświadczywszy już tortur, próbując już przeciąć sobie żyły, niejedną raz już bliski śmierci, on teraz płonął szczerym gniewem – nie na prokuratora! nie na GPU! – nie! – tylko na Delegację Zagraniczną!!! Oto macie przykład psychologicznej zmiany znaków arytmetycznych! Żyjąc sobie bezpiecznie i opływając w przepychy (nawet ubóstwo emigranckie jest, rzecz jasna, przepychem w porównaniu z łubianką), jak mogli ci zarozumialcy bez sumienia – nie ulitować się nad tymi tu, co znieśli tyle mąk i cierpień? jak mogli tak beczelnie odciąć się i zo–, stawić tych nieszczęśników na łasce losu? (Odpowiedź była mocna i reżyserowie procesu tryumfowali).

Nawet w 1967 roku, mówiąc mi o tym, Jakubowicz trząsł się z gniewu na Delegację Zagraniczną, na ich zdradę, na zaprzaństwo, na sprzeniewierzenie się rewolucji socjalistycznej – co im zarzucał jeszcze w roku 1917.

Co zaś do stenogramu tego procesu, to nie mieliśmy go wtedy w ręku. Później dostałem go i przeczytałem: powiedział był przecież na tym samym procesie, że Delegacja Zagraniczna na zlecenie II Międzynarodówki kazała mu prowadzić działalność szkodniczą! – i na nią to tak gromko wyrzekął. Zagraniczni zaś mienszewicy nie byli zarozumialcami bez sumienia w tym, co pisali, LITOWALI SIĘ właśnie nad nieszczęsnymi ofiarami procesu, lecz zarazem dowodzili, że ci ludzie dawno już nie są mienszewikami – co było prawdą.

Na cóż więc tak szczerze i tak długo oburzał się Jakubowicz? A jak w ogóle mogliby zagraniczni mienszewicy NIE zostawić tych nieszczęśników na łasce losu?

Bardzo lubimy wyładowywać nasz gniew na słabych, na bezradnych. Ma człowiek tę skłonność. I dowody naszej słuszności jakoś bardzo zręcznie same potrafią trafić nam do rąk.

K.rylenko zaś w swojej mowie oskarżycielskiej oświadczył, że Jakubowicz jest fanatykiem idei kontrrewolucyjnej i że właśnie dlatego trzeba żądać dla niego rozstrzelania!

Jakubowicz nie tylko tego dnia poczuł w oku łzę wdzięczności, ale po dziś dzień, po wędrówce przez tyle izolatorów i obozów, jeszcze dzisiaj wdzięczny jest Krylence, że go nie upokorzył, że nie ubliżał mu, że nie wyśmiewał go, siedzącego na ławie oskarżonych, tylko słusznie nazwał fanatykiem (choć ideał zupełnie przeciwny) i zażądał zwykłego, wspańlatomyślnego rozstrzelania, kładącego kres wszystkim cierpieniom! Jakubowicz sam zresztą w ostatnim słowie udzielił zgody: „przestępstwa do których się przyznałem (przypisuje on wielkie znaczenie tej udatnej formule „do których – się przyznałem”). Człowiek znajdujący się na rzeczy powinien przecież zrozumieć: nie te, które popełniłem, zasłużyły na najwyższy wymiar kary i nie proszę o litość! Nie proszę o darowanie mi życia! (Siedzący obok na ławie oskarżonych Groman aż się przeląkł: „Chybaście oszaleli! Ze względu na towarzyszy nie macie prawa tak mówić!”).

No, czy to nie prawdziwe odkrycie dla prokuratury?

Fatalny los, który kazał Jakubowiczowi mimowolnie i spontanicznie pomagać naszym męczennikom, raz jeszcze upomniał się o niego w 1974 roku, gdy J. był już starcem. Do domu inwalidów pod Karaganda przyjechało do niego paru czekistów – „dziennikarzy”. Wydębili oni od niego wywiad, rodzaj artykułu przeciw „Archipelagowi”; nakręcili nawet film, w którym Jakubowicz wyrzekał na autora tych stron. Skrępowani własnymi przepisami służbowymi, czekisci nie od razu puścili rzecz na szerokie wody. Dopiero w 1978 roku wmieszcili Jakubowicza do kampanii oszczerstw, jako jedyną figurę z nazwiskiem, pozostałą przy życiu po rzezi.

I czy to nie tłumaczy procesów lat 1936–38?

I czy nie w związku z tym właśnie procesem Stalin zrozumiał wreszcie i uwierzył, że również i swoich głównych – tak wygadanych – przeciwników, doskonale uda mu się załatwić, że świetnie mu się uda przygotowanie z nimi podobnego spektaklu?

Proszę łaskawego czytelnika o wyrozumiałość! Dotychczas piórem machałem bez lęku, serce mi nie truchlało i posuwaliśmy się naprzód bez troski, bowiem przez całe 15 lat broniła nas skutecznie już to praworządna rewolucyjność, już to – rewolucyjna praworządność. Ale teraz zacznie się bolesna operacja: bo – jak czytelnik pamięta i jak to nam dziesiątki razy – poczynając od Chruszczowa – wyjaśniano: „mniej więcej od 1934 roku zaczęło się łamanie lenińskich norm praworządności”.

Więc mamy teraz rzucić się w te odmęty bezprawia? Mamyż jeszcze długo wlec się wzdłuż tych gorzkich brzegów?

Zresztą – ze względu na gromkie imiona podsądnych te, kolejne rozprawy znajdowały się w polu widzenia całego świata. Nie uszły niczyjej uwagi, pisano o nich, komentowano je. Komentować je będą również nadal. My chcemy tu tylko dotknąć sprawy ich zagadki.

Tu zastrzeżenie, co prawda niewielkie: wydane drukiem sprawozdania stenograficzne niezupełnie są zgodne z tym, co było naprawdę powiedziane na tych procesach. Pewien pisarz, jeden z wybrańców dopuszczonych na salę rozpraw, prowadził pobieżne notatki i przekonał się potem, że nie wszystko się zgadza. Obecni tam korespondenci zauważyli potknięcie, do którego doszło w czasie zeznań Krestinśkiego, gdy trzeba było aż ogłosić przerwę, aby wprowadzić go znów na utartą drogę ustalonych zeznań. (Wyobrażam to sobie tak: przed procesem układano poradnik pierwszej pomocy przy ewentualnych awariach: pierwsza rubryka – nazwisko podsądnego, druga rubryka – chwyt, jaki ma być zastosowany

w przerwie, jeśli na rozprawie odchyli się od ustalonego tekstu, rubryka trzecia – nazwisko czekiisty odpowiedzialnego za przeprowadzenie operacji. I jeżeli jakiś Kre-
stiński nagle się wychyli, to już wiadomo, kto jest na podporządku i co ma robić). Ale
dowolności w stenogramie nie zmieniają i nie tłumaczą ogólnego obrazu. Ze
zdumieniem przyglądał się świat trzem spektaklom pod rząd, trzem długim
i kosztownym przedstawieniom, w których najwybitniejsi przywódcy nieustraszonej
komunistycznej partii, co całym światem wstrząsnęła i całemu światu napędziła
strachu – teraz pojawiali się na scenie jako pokorne kozły, becząc wszystko to, co
im kazano, rzygając na siebie wzajem, uniżenie depcząc samych siebie i swoje
przekonania oraz przyznając się do przestępstw, których żadną miarą popełnić nie
mogli.

Jak długo pamięć ludzka sięga nikt nie widział niczego podobnego. Uderza-
ło to szczególnie przez kontrast z niedawnym procesem Dymitrowa w Lipsku: lwim
rykiem odpowiadał Dymitrow hitlerowskim sędziom, tu zaś jego towarzysze
z nieugiętej kohorty, przed którą drżał cały świat, przy tym najwybitniejsi z nich, ci,
których nazywano „gwardią Lenina” – teraz stawali przed sądem z pełnymi port-
kami.

I chociaż od tamtych czasów wiele rzeczy tak, jakby już zdołano wyjaśnić
(szczególnie udatnie zrobił to Arthur Kóstler), zagadka wciąż tak samo wymyka się
z rąk.

Pisano o tybetańskim korzeniu, niszczącym siłę woli, o stosowaniu hipnozy.
Żadnego z tych przypuszczeń nie należy odrzucać przy rozpatrzeniu sprawy: jeśli
NKWD miało w ręku takie środki, to nie rozumiem, JAKIE NORMY MORALNE mogły
stać na przeszkodzie ich stosowaniu? Dlaczego by nie osłabić woli tych ludzi, nie
zaćmić jej? Wiadomo zaś – że w 20. latach znani hipnotyzerzy zaprzestawali nagle
swoich popisów na estradach i przechodzili do pracy w GPU. Wiadomo na pew-
no, że w latach 30. istniała przy NKWD szkoła hipnotyzerów. Żonie Kamieniewa ze-
zwolono na widzenie się z mężem tuż przed procesem; zobaczyła człowieka jakby
zdrewniałego, o zmienionej osobowości. (Zdążyła jeszcze o tym opowiedzieć, za-
nim ją samą aresztowali).

Dlaczego w takim razie Palczyrskiemu i Chrennikowowi nie dał rady ani ty-
betański korzeń, ani hipnoza?

Nie, bez wyjaśnienia głębszego, sięgającego w dziedzinę psychologii, tu się
nie obejdziemy.

Zdumiewa ludzi szczególnie ta okoliczność, że to wszystko byli starzy rewolu-
cjoniści, którzy nie skapitulowali ani razu w carskich lochach, że to – zahartowani,
osmaleni, otrzaskani itd., bojownicy. Ale to zwykła omyłka. To nie byli tamci starzy
rewolucjoniści; tę sławę wzięli oni sobie w spadku, albo od sąsiadów – od narodni-
ków, eserowców, anarchistów. Tamci miotacze bomb i konspiratorzy, znali kator-
gę, wiedzieli, co to wyrok – choć prawdziwego, nieubłaganego ś 1 ed
z t w a także tamci nigdy nie widzieli (ponieważ w ogóle w Rosji go przedtem
nie znano). Ci zaś, o których mowa, nie mieli pojęcia ani o śledztwie, ani
o wyrokach. Żadne szczególne „lochy”, żaden Sachalin, żadna, specjalnie ciężka,
jakucka katorga nigdy nie były udziałem bolszewików. Mówi się o Dzierżyńskim, że
przypadł mu najcięższy los, że całe życie spędził w więzieniach. Według naszych
zaś proporcji odsiedział on normalną dychę, dostał w sumie zwykłego czerwone
a, jak prosty kołchoźnik za naszych czasów; co prawda – były w tym trzy lata ka-
torżniczego centralniaka, ale i to nie takie już nadzwyczajne.

Przywódcy zas partii, ci, których zobaczyliśmy na procesach lat 36–38 w swoim rewolucyjnym życiorysie doliczyć się mogli tylko krótkich i nie najsurowszych odsiadek po więzieniach, niezbyt długich zesań, katongi zaś nawet nie wqchali. Bucharin bywał wielokrotnie aresztowany, ale wszystko to były głupstwa; chyba nawet jednego roku ciurkiem nie odsiedział, był króciutko na zesłaniu nad jeziorem Oniega³⁵. Kamieniew, nie bacząc na długi staż propagandysty i na rozjazdy po całej Rosji, z miasta do miasta – przesiedział 2 lata w więzieniu, oraz 2 i pół na zesłaniu. U nas zaś nawet szesnastoletni pętał dostawał od razu PIĘĆ. Zinowiew, aż śmiech zbiera, NIE PRZESIEDZIAŁ NAWET1 TRZECH MIESIĘCY! i nie miał ANI JEDNEGO WYROKU! W porównaniu z szarymi tubylcami naszego Archipelagu – to niemowlęta, ci ludzie nie zaznali więzienia. Ryków i J. P. Smirnow aresztowani byli kilkakrotnie, przesiedzieli po pięć lat, ale jakoś te więzienia

„Wszystkie te dane pochodzą z 41. tomu Słownika Encyklopedycznego „Granat”, gdzie zebrane są dane biograficzne i życiorysy własne działaczy RKP(b). znosili lekko, ze wszystkich zesań uciekali bez kłopotu, albo korzystali z amnestii. Nim poznali łubiankę – w ogóle nie wyobrażali sobie ani co to jest prawdziwe więzienie, ani co to znaczy być w kleszczach niesprawiedliwego śledztwa. (Nie ma powodu sądzić, że gdyby Trockie znalazł się w tych kleszczach, to zachowywałby się mniej pokornie, że kark miałby twardszy; nie miał danych po temu. Znane mu były też tylko lekkie więzienia, nie miał żadnego poważnego dochodzenia śledczego, dwa lata był na zesłaniu w Ust’-Kuł. Groza, która otaczała nazwisko Trockiego, gdy był przewodniczącym Rewwojensowietu i twórcy Rewwojentrybunatów zdobyta była tanim kosztem i nie jest dowodem prawdziwego hartu: k_to_wielu ludzi kazał rozstrzelać – ten jakże często zatamuje się w obliczu własnej śmierci! To dwa rodzaje hartu nie są wcale ze sobą związane. (A Radek – był prowokatorem, ale chyba nie jedynym w tych wszystkich trzech sprawach!). Jagoda zaś – to zdeklarowany kryminalista.

(Ten morderca – milioner nie mógł zrozumieć, że jeszcze wyżej nad nim stojący Morderca nie będzie wcale poczuwał się do solidarności, gdy przyjdzie czarna godzina. Dlatego Jagoda z takim uporem i naciskiem zwracał się wprost do niego, prosząc o litość, jakby Stalin siedział osobiście na sali sądowej: „Do Was kieruję tę prośbę! Przecież dla Was skonstruowałem dwa wielkie, kanały!...”. I opowiada ktoś, w czyjej przytomności to się działo, że w tej właśnie chwili, za wewnętrznym oknem pierwszego piętra sali, jakby za firanką, w ciemnościach zapłonęła zapalniczka i zamajaczył na chwilę cień fajki. – Kto był w Bakczysaraju, ten pamięta chyba to wschodnie, tajne urządzenie? – W piętrowej sali posiedzeń Rady Państwa, na poziomie górnej kondygnacji, jest rząd okien zasłoniętych żelaznymi żaluzjami, drobno podziurkowanymi, za którymi biegnie z kolei nieoświetlona galeria. Kto siedzi w sali, ten nigdy nie potrafi odgadnąć, czy jest tam ktoś, czy nie ma nikogo. Chan jest niewidzialny, ale rada zawsze zasiada tak, jakby obecny był własną osobą. Biorąc pod uwagę zdecydowanie wschodni charakter Stalina, chętnie zakładam, że był on widzem komedii, rozgrywającej się w Październikowej sali Domu Związków. Nie chce mi się wierzyć, by odmówił on sobie tego widowiska, tej uciechy).

A przecież cała nasza niezdolność zrozumienia tej zagadki związana jest z wiarą w nieprzeciętność tych ludzi. Przecież mając do czynienia z szarymi protokołami, dotyczącymi szeregowych obywateli, jakoś wcale nie zadręczamy się wątpliwościami: dlaczego właściwie tyle facet naplótł na siebie i na innych? –

uważamy, że to zrozumiałe: słaby człowieczyna, wołał się poddać. Tymczasem Bucharina, Zinowiewa, Kamienie-

wa, Piatakowa, I. N. Smirnowa z góry uznajemy za nadludzi – i tylko tym się objaśnia nasza rozterka.

Co prawda, wydaje się, że reżyserowie spektaklu mieli tu większe trudności z doбором wykonawców, niż w poprzednich procesach inżynierów: tam wybierać mogli z 40 saków, a tutaj trupa mała, głównych aktorów wszyscy znają i publiczność życzy sobie, żeby tylko oni grali.

Ale jednak jakaś selekcja miała miejsce! Najbardziej dalekowzroczni i obdarzeni stanowczością z grupy upatrzonych do udziału – wcale nie dali się wziąć żywcem, zdołali odebrać sobie życie przed aresztowaniem (Skrypnik, Tomski, Gamarnik). Pozwolili się zaś aresztować ci, którzy chcieli żyć. A takiego, co chce żyć, można owinąć dookoła pal-

ca!... Ale z tych także niektórzy jakoś inaczej zachowywali się podczas „śledztwa, opanowali się, wzięli na kieł, zginęli bez rozgłosu, ale także bez hańby. Była przecież jakaś przyczyna, dla której nie pokazano na procesach publicznych Rudzutaka, Postyszewa, Jenukidze, Czubara, Kosiora, a także naszego Krylenki, chociaż ich nazwiska mogły być świetną ozdobą tych procesów.

Wystawiono na widok publiczny najbardziej uległych! Jakaś selekcja jednak była.

Wybierano z mniejszego saka, za to wąsaty reżyser dobrze znał każdego. Wiedział także, że na ogół to słabeusze i znał na wylot słabości każdego z nich. Na tym polegała jego mroczna wyjątkowość, najważniejsze napięcie kierunkowe jego psychologii i największe osiągnięcie jego życia: umieć dostrzec denne słabości ludzkie.

Także tego, który z perspektywy lat wydaje się być postacią najbardziej światłą i świetlaną wśród wszystkich zmieszanych z błotem i rozstrzelanych przywódców (jemu to, jak się zdaje, poświęcił Koestler swoją znakomitą analizę) – N. I. Bucharina, jego także na tym dennym

poziomie, gdzie człowiek najbliższy jest ziemi, Stalin widział na wskroś, potrafił skrócić w pałąk i nawet bawił się z nim, jak kot z myszą, wypuszczając go na chwilę z pazurów. Bucharin napisał własnoręcznie litera po literze naszą obowiązującą (wcale nie obowiązującą) konstytucję, tak piękną na oko – i tam, na podobłocznych wyżynach swobodnie sobie szybował, myśląc, że wyprowadził w pole towarzysza Kobę: że podrzucił mu konstytucję, która zmusi go do złagodzenia dyktatury.

A tymczasem sam już był w jego łapach.

Bucharin nie lubił Kamieniewa i Zinowiewa. Gdy postawiono ich przed sądem po raz pierwszy, po zabiciu Kirowa, powiedział bliskim:

„A co myślicie? Wiadomo, co to za ludzie. Może coś jest na rzeczy...”

(Klasyczna formuła, powtarzana w tych latach przez mieszczuchów: „Coś w tym chyba jest... Bez powodu u nas człowieka nie wsadzą”). W 1935 roku tak się wyraża naczelny teoretyk partii!...). Podczas drugiego zaś procesu Kamieniewa i Zinowiewa, latem 1936 roku, Bucharin był w górach Tien-Szan, polował i o niczym nie wiedział. Zszedł z gór, znalazł się w mieście Frunze – dowiedział się o skazaniu tamtych obu na rozstrzelanie i przeczytał w gazetach artykuły, z których jasno wynikało, że Zinowiew i Kamieniew złożyli druzgoczące zeznania

przeciw niemu. Może rzucił się z punktu żeby zapobiec kaźni? Może zaapelował do partii, wołając, że dzieje się coś monstrualnego? Nie, wysłał tylko telegram do Koby: Wstrzymać egzekucję Kamieniewa i Zinowiewa, żeby... Bucharin mógł przyjechać na konfrontację i wykazać swoją niewinność. Za późno! Kobie dość było samych protokołów, po diabła tam jakieś konfrontacje?

Mimo to, długo jeszcze Bucharin chodził na wolności. Stracił stanowisko redaktora Izwiestii, wszelką możliwość działania i wszelkie znaczenie w partii – i w swoim mieszkaniu w obrębie Kremla – w Pałacu Potiesznym Piotra I przeżył pół roku, jak w więzieniu. (Zresztą jesienią wyjeżdżał na swoją dachę i kremłowscy wartownicy, jak gdyby nigdy nic, dalej mu salutowali). Nikt już ich nie odwiedzał, nikt nie telefonował. I w ciągu wszystkich tych miesięcy Bucharin nieustannie pisał listy: „Drogi Koba!... Drogi Koba!... Drogi Koba!... z których żaden nie doczekał się odpowiedzi.

Wciąż jeszcze szukał kontaktu uczuciowego ze Stalinem!

A drogi Koba przymrużał tylko oczy i prowadził próby... Próby te Koba rozpoczął już przed wielu laty i wiedział, że B u c h a r z y k swoją rolę zagra doskonale. Już się przecież odżegnał od swoich skazanych i zesłanych wychowanków i zwolenników (nielicznych zresztą), gładko przełknął ich zagładę³⁶. Zniósł też gładko rozgromienie i wyklęcie swoich propozycji teoretycznych, jeszcze zresztą niedonoszonych, nieukształtowanych. Teraz zaś będąc jeszcze naczelnym redaktorem Izwiestii i kandydatem do Biura Politycznego, tak samo pogodził się z rozstrzelaniem Kamieniewa i Zinowiewa, uznając to za akt prawomocny. Nie wyraził oburzenia ani krzykiem, ani nawet szeptem. Toć to właśnie były próby jego własnego spektaklu!

A jeszcze wcześniej, dawno temu, kiedy Stalin groził, że wyrzuci go (tak, jak każdego z nich w różnych okresach!) z partii – Bucharin (podobnie jak wszyscy!) deklarował wyrzeczenie się własnych poglądów byleby tylko w partii pozostać! Toć i to była próba tej samej roli! Jeżeli

Udało mu się wybronić tylko Jefima Cejtlina, zresztą też nie na długo. tak potrafią się oni zachować jeszcze na wolności, jeszcze na szczytach chwały i władzy – to kiedy ich ciało, ich głód i sen będą w rękach łubiańskich suflerów – z pewnością zechcą podporządkować się logice dramatu.

Czego najbardziej obawiał się Bucharin w ciągu tych miesięcy poprzedzających aresztowanie? Powiedziano mi, że najbardziej bał się, iż zostanie usunięty z Partii! że odetną go od Partii! że pozwolą mu żyć, ale z dala od Partii! Na tej właśnie jego (każdego z nich!) strunie po mistrzowsku grał drogi Koba – od chwili gdy sam zaczął uosabiać Partię. Bucharin – a także wszyscy oni! – nie mieli swojego ODRĘBNEGO PUNKTU WIDZENIA, nie mieli wcale swojej rzeczywiście opozycyjnej ideologii, dookoła której mogliby się skupić i która dałaby im siły. Stalin obwołał ich opozycjonistami zanim jeszcze zdążyli stać się nimi – i tym samym pozbawił ich wszelkiej siły. I odtąd wszystkie ich wysiłki zmierzały do jednego celu, aby utrzymać się w Partii. I żeby przy tym jej przypadkiem nie zaszkodzić.

Zbyt wiele tu koniecznych uwarunkowań, aby zachować niezawistość!

Dla Bucharina zarezerwowana była w istocie główna rola i nic nie mogło być spartaczone ani pominięte w pracy Reżysera z aktorem, a także w tym, co zależało od czynnika czasu i od wzięcia się samego wykonawcy w graną postać. Nawet wyjazd na Zachód poprzedniej zimy w celu odkupienia rękopisów Marksa, potrzebny był nie tylko z elementarnych powodów dla zadzierzgnięcia

sieci oskarżeń, dotyczących niedozwolonych kontaktów. Czcza swoboda ruchów podczas zagranicznych rozjazdów jeszcze bardziej nieubłagania uświadamiała mu potrzebę powrotu na główną scenę. I oto teraz, w czarnym cieniu oskarżeń – to długie, nie mające końca oczekiwanie na areszt, ta nużąca, domowa udręka – wszystko to skuteczniej niweczyło wolę ofiary, niż bezpośrednie naciski z łubianki rodem. (A to go też nie minie, tego też zazna przez cały rok).

Pewnego dnia wezwał Bucharina Kaganowicz i w obecności wyższych szarż Czeki urządził mu konfrontację z Sokolnikowem. Sokolnikow złożył zeznania o "paralelnym Centrum Prawicowym" (to znaczy – równoległym do trockistowskiego), o konspiracyjnej działalności Bucharina. Kaganowicz przeprowadził przesłuchanie z impetem, później kazał wyprowadzić Sokolnikowa i powiedział do Bucharina przyjaznym tonem: „Łże, kurwa, jak pies!”.

Jednakże gazety wciąż publikowały wyrazy oburzenia mas. Bucharin dzwonił do KC. Bucharin słał listy: „Drogi Koba!...” – prosząc, aby zdementowano te oskarżenia publicznie. Wówczas opublikowane zostało mętne oświadczenie prokuratury: „Oskarżenia wysunięte przeciw Bucharinowi nie znalazły potwierdzenia w obiektywnych dowodach”.

Radek zatelefonował do niego jesienią, proponując spotkanie. Bucharin wołał się wymówić: obaj jesteśmy obciążeni, po co dawać pretekst do nowych oskarżeń? Ale ich redaktorskie daczę sąsiadowały ze sobą i pewnego wieczoru Radek przyszedł w odwiedziny: „Niezależnie od tego co w przyszłości będę musiał powiedzieć – wiedz, że jestem niewinny. Zresztą – tobie nic się nie stanie: przecież nie byłeś związany z trockistami”.

I Bucharin wierzył, że ocaleje, że z partii go nie wyrzucą – to przecież byłoby monstrualne! Do trockistów rzeczywiście odnosił się zawsze z wrogością: sami postawili się poza partią i widzicie, czym to się skończyło! A trzeba zawsze być razem; jeśli popełniać omyłki – to też razem z partią. Gdy nadeszła rocznica rewolucji październikowej, Bucharin z żoną udał się na demonstrację i wszedł na trybunę dla gości, korzystając ze swojej redakcyjnej przepustki (miało to być jego pożegnanie z Placem Czerwonym). Nagle podchodzi do nich uzbrojony czerwonoarmista. Bucharin poczuł chłód! – Tutaj? W takiej chwili?... Nie, żołnierz salutuje: towarzysz Stalin jest zdziwiony, żeście sobie takie miejsce wybrali. Prosi, abyście zechcieli zająć swoje miejsce na trybunie mauzoleum.

I tak przez pół roku oblewano go to zimną, to gorącą wodą. 5 grudnia została tryumfalnie uchwalona bucharinowska konstytucja, otrzymując na wiek wieków nazwę stalinowskiej. Na grudniowe plenum CK sprowadzony został Piatakow; miał wybite zęby i zmieniony był nie do poznania. Zajęto plecami stali niemi czekał (ludzie Jagody, bo Jagoda też przecież przechodził egzamin i przygotowywał się do odgrania swojej roli). Piatakow w najokropniejszy sposób oskarżał Bucharina i Rykowa, którzy siedzieli tuż obok, w gronie przywódców. Ordżonikidze przyłożył dłoń do ucha (miał słuch przytępiony): „Powiedzcie no, czy aby wszystko to mówicie dobrowolnie?” (to sobie zapamiętamy! Ordżonikidze też dostał kulę). „Zupełnie dobrowolnie” – powiedział staniając się Piatakow. A w przerwie Ryków mruknął do Bucharina: „O, Tomski, ten miał siłę woli, jeszcze w sierpniu zrozumiał wszystko i postawił kropkę. A my, durnie, wolimy żyć”.

Złorzecząc i płonąc oburzeniem zabrał wtedy głos Kaganowicz (tak bardzo chciał wierzyć w niewinność Bucharczyka! Ale się zawiódł...) oraz Mołotow. Stalin natomiast! – co za serce! Jak pamięta człowiekowi jego dawne dobre uczynki! –

„Mimo wszystko sądzę, że nie do wiadomości nam tu winy Bucharina. Ryków może jest winien, ale Bucharin nie”. (Jakby ktoś wbrew woli Stalina gromadził zarzuty przeciw Bucharinowi!).

To zimny prysznic, to gorący. Tak zanika w człowieku wola. Tak się wchodzi w rolę straceńca.

Zaczął mu wtedy przynosić do domu jeden protokół przesłuchań po drugim: dawnych wychowanków z Instytutu Czerwonej Profesury, Radka, potem wszystkich następnych – i wszyscy oni świadczyli dowodnie, że Bucharin jest najohydniejszym zdrajcą. Przynosili mu to do domu nie jako oskarżonemu, bynajmniej, lecz jako członkowi KC, do wiadomości!...

Najczęściej, po nadejściu takiej nowej poczty Bucharin mówił do swojej 22-letniej żony, która dopiero co, wiosną, urodziła mu syna: „Czytaj ty, ja nie mogę!” – a sam wciskał głowę pod poduszkę. Miał w domu dwa rewolwery (i Stalin dał mu dość czasu!) – a nie odebrał sobie życia.

Czy nie wczuł się dobrze w wyznaczoną mu rolę?...

Odbył się jeszcze jeden proces pokazowy – jeszcze jedna paczka poszła pod mur... a Bucharina oszczędzono, a Bucharina nie tykano...

W początkach lutego 37. roku Bucharin postanowił proklamować domową głódówkę – aby skłonić KC do zbadania jego sprawy i do uwolnienia go od zarzutów. Zakomunikował o tym w liście Drogiemu Kobie – i dotrzymał uczciwie. Wówczas zwołano plenum KC z następującym porządkiem dnia: 1) o zbrodniach Prawicowego Centrum. 2) o antypartyjnym zachowaniu się towarzysza Bucharina, znajdującym wyraz w głódówce.

I Bucharin zawahał się: a może istotnie ubliżył czymś Partii?... Niegolony, wynędzniały, już całkiem przypominając aresztanta, przy włókł się on także na Plenum. „Co ty wyprawiasz?” – spytał go Drogi Koba z niekłamaną serdecznością. „No bo jakże, skoro takie oskarżenia? Przecież chcą mnie z partii wyrzucić...” Stalin skrzywił się na te nonsensy: „Ależ nikt cię z partii nie wyrzuci!”.

I Bucharin uwierzył, ożywił się, pokajał się na plenum z całą ochotą, natychmiast też przerwał głódówkę. (W domu „ano, ukroj mi kawałek kiełbasy! Koba powiedział – że mnie nie wyrzucą”). Ale w trakcie plenum Kaganowicz i Mołotow (bezczelni! popatrz, wcale nie liczą się ze Stalinem!³⁷) wyzywali Bucharina od faszystowskich najemników i żądali, aby go rozstrzelano.

17 Jakich wspaniałych zeznań sami się wyrzekamy w trosce o spokojną starość Mołotowa!

I znów Bucharin upadł na duchu i w trakcie ostatnich swoich dni zabrał się do układania „pisma do przyszłego KC”. Znalazł się ktoś, kto nauczył się go na pamięć i tym sposobem zachowane, stało się ono niedawno znane całemu światu. Jednakże nie wstrząsnęło nim³⁸. Cóż takiego bowiem postanowił ten błyskotliwy, bystry teoretyk przekazać przyszłym pokoleniom w swoim ostatnim słowie? Jeszcze jedną jęklivą prośbę o pozostawienie go w partyjnych szeregach (za tę wierność zapłacił drogo, zapłacił hańbą!). Jeszcze raz zapewnił, że „w pełni akceptuje” wszystko to, co zaszło – aż do 1937 roku włącznie. A więc – nie tylko poprzednie procesy, będące kpinką ze sprawiedliwości, lecz również – wszystkie cuchnące potoki naszej wspaniałej kanalizacji więziennej!

W ten sposób stwierdził własnym podpisem, że wart jest, aby sam w nich utonął...

I oto nareszcie dojrzał zupełnie do przejścia w ręce suflerów i reżyserskich asystentów – ten muskularny mężczyzna, myśliwy i zapaśnik! (Ileż to razy kładł Kobę na łopatki gdy dochodziło do żartobliwych zapasów w obecności innych członków KC! – zapewne tego też nie mógł mu Koba wybaczyć)..

Przeszedł takie przygotowanie i był w stanie takiego wewnętrznego rozprężenia, że żadne tortury już mu nie były potrzebne. Czy w tej sytuacji pozycja jego była silniejsza, niż to było z Jakubowiczem w 1931 roku? Co jeszcze mógł przeciwstawić tym samym dwom argumentom? Chyba był jeszcze słabszy, bo Jakubowicz pragnął śmierci, Bucharin zaś jej się bał.

Pozostawał jeszcze tylko jeden nietrudny dialog z Wyszyńskim według takiego o schematu:

– Czy wszelka opozycja przeciw Partii nie jest w istocie walką z Partią? – W zasadzie – tak jest. Tak jest faktycznie. – Czy zatem walka z Partią nie przeradza się nieuchronnie w wojnę przeciw Partii? – Z logiki faktów wynika – że tak. – A więc, żywiąc opozycyjne przekonania, można było koniec końców dojść d.o popełnienia najpodlejszych zbrodni przeciw Partii (morderstwa, szpiegostwo, kupczenie ojczyzną)? – ' | Ale przepraszam, te zbrodnie nie zostały popełnione. – Ale mogły być? – No, mówiąc teoretycznie... (Przecież obaj są teoretykami!...). – Ale interesy Partii uważacie przecież za nadrzędne? – Tak, oczywiście, oczywiście! – Wobec tego dzieli nas już tylko całkiem mała

18 Podobnie jak „przyszłym KC”. (Sam ten adres ile jest wart! Nie było dla niego wyższego autorytetu moralnego niż KC!) różnica zdań: trzeba nadać kształt realny ewentualności, należy – w celu profilaktycznej dyskwalifikacji wszelkich przyszłych idei opozycyjnych – uznać za dokonane to, co teoretycznie było tylko możliwe. Bo przecież było możliwe? – Było... – A więc, to co możliwe należy uznać za istniejące realnie, to wszystko. Niewielki przeskok filozoficzny. Zgoda?... Aha, jeszcze jedno! no, wam tego nie muszę nawet tłumaczyć: jeżeli na rozprawie wycofacie się i powiecie coś, czegośmy tutaj nie ustalili – to rozumiecie chyba, że oddacie tym przysługę jedynie międzynarodowej burżuazji, zaszkodzicie natomiast Partii. No i, rzecz jasna nie czeka was wtedy lekka śmierć. Jeśli zaś wszystko pójdzie, jak należy, to my, rzecz jasna, zostawimy was przy życiu: pošemy was potajemnie na wyspę hrabiego Monte Christo gdzie będziecie mogli pracować nad teorią gospodarki socjalistycznej. – Ale ci z poprzednich procesów, zdaje się, zostali rozstrzelani? – No, jak możecie robić takie porównania – oni i w y! A poza tym, nie jednemuśmy życie darowali, to tylko tak, dla gazet.

Więc może zagadka nie jest aż taka nieprzenikniona?

I wciąż ta sama zwycięska melodia, w tylu już procesach, czasem tylko tonacja się zmienia: my wszyscy z wami razem jesteśmy komunistami! Jakże więc mogliście przystać na to – aby występować przeciw nam? Okażcie skrucę! Przecież wy i my razem – to tylko m y!

Powoli dojrzewa w społeczeństwie rozumienie historii. Ale kiedy już dojrzeje – wydaje się takie proste. Ani w 1922, ani w 1924, ani w 1937 roku nie mogli jeszcze podsądni z takim przekonaniem trzymać się swoich poglądów, aby w odpowiedzi na dźwięki tej hipnotyzującej, mroźnej krew melodii krzyknąć z podniesioną głową:

– Nie, Z WAMI do kupy – nie będziemy rewolucjonistami!... Nie, Z WAMI do kupy – nie będziemy Rosjanami!... Nie, Z WAMI do kupy – nie będziemy komunistami!

I zdaje się że wystarczy tylko krzyknąć! – a już rozpadły się dekoracje, już skruszyła się skorupa szminki, już uciekł tylnymi schodami reżyser, a suflerzy już czmychnęli do szczurzych nor. I niechby na dworze był – rok 1967!

Ale nawet nadzwyczaj udane spektakle były drogie i pochłaniały wiele wysiłku. Postanowił więc Stalin nie urządzać już więcej pokazowych procesów.

Właściwie to już się sposobił w 37. roku do przeprowadzenia szerokiej akcji publicznych procesów w terenie, tak, aby masy gołym okiem zobaczyły jak czarna jest dusza opozycji. Ale zabrakło dobrych reżyserów, nie sposób było tak starannie wszystkiego przygotować, także sami oskarżeni nie byli tak bogatymi duchowo osobistościami – i skończyło się to dla Stalina wstydliwym niewypałem, tylko że niewielu o tym wie. Doszło do niepowodzeń przy paru procesach – i zaprzestano tej akcji.

O jednym z tych procesów warto tu jednak opowiedzieć – o sprawie kaclyjskiej; szczegółowe sprawozdania o niej zaczęto już nawet drukować w iwanowskiej gazecie okręgowej.

W końcu 1934 roku, na głuchych peryferiach okręgu iwanowskiego, tam, gdzie styka się on z kostromskim i niżegorodzkim, utworzono nowy rejon, którego ośrodkiem stało się stare, spokojne sióło Kadyj. Nowi administratorzy poprzyjeżdżali z różnych innych miejscowości i poznali się już w Kadyju. Oczom ich ukazała się głucha, smutna i biedna okolica, wyniszczona przez wywózki ziarna, podczas gdy potrzebna tu była raczej pomoc w postaci kredytów, maszyn i dobrej organizacji miejscowej gospodarki. Tak się złożyło, że pierwszy sekretarz komitetu rejonowego, Fiodor Iwanowicz Smirnow, był człowiekiem o mocnym poczuciu sprawiedliwości, zaś kierownik rejonowego wydziału rolnictwa, Stawrow – chłopem z dziada pradziada, jednym z tych chłopów – „intensywników” jak ich wtedy zwano, to znaczy – gospodarnych i światłych rolników, którzy w latach 20. prowadzili swoje gospodarstwa w zgodzie z zasadami agronomii (za co też sowiecka władza okazywała im poparcie! jeszcze nie było wtedy decyzji, by wszystkich tych „intensywników” powyławiać). Stawrow wstąpił do partii i dlatego nie spotkała go zguba przy likwidacji kułaków (a może sam brał udział w tej operacji?).

Na swoich nowych stanowiskach próbowali oni zrobić coś dla chłopów, ale z góry spadały, jak lawina, wciąż nowe dyrektywy i każda z nich przeciwna była ich inicjatywom; całkiem, jakby tam, na górze wymyślano je właśnie w tym celu, aby chłopom było coraz gorzej i trudniej. Pewnego razu kadyjcy posłali do okręgu raport, że trzeba koniecznie zmniejszyć – plan dostaw ziarna z rejonu, że nie można go wykonać, bo inaczej stopa życiowa w rejonie obniży się do niebezpiecznego poziomu. Trzeba sobie przypomnieć warunki panujące w latach 30. (czy aby tylko w 30.?), aby zrozumieć, jakie to było świętokradztwo w stosunku do Planu i jaki to był bunt przeciw władzy! Ale w tych czasach nie wszystko jeszcze przewidziane i nakazane było z góry, organy miejscowe mogły reagować według własnego widzimisię. Korzystając z nieobecności Smirnowa, który wyjechał na urlop, jego zastępca, 2. sekretarz, Wasyli Fiodorowicz Romanów doprowadził na plenum rejkomu do przegłosowania takiej rezolucji: „osiągnięcia rejonu byłyby jeszcze wspanialsze (?) gdyby nie trockista Stawrow”. Taki początek miała „sprawa personalna” Stawrowa (Interesujący chwyt: izolować! Smirnowa chwilowo nastraszyć, zneutralizować, zmusić do odcięcia się od atakowanych, do niego zabierzemy się później; była to – w mniejszych wymiarach – ta sama taktyka, którą Stalin stosował w KC). Na burzliwych zebraniach partyjnych rychło się jednak okazało, że

Stawrow jest nie bardziej trockistą, niż, powiedzmy, biskupem. Kierownik rejonowego związku Spółdzielni Spożywców, Wasyli Grigoriewicz Własow, człowiek o wykształceniu raczej przypadkowym, wyrwykowym, ale obdarzony tymi swoistymi zdolnościami, które tak zadziwiają u Rosjan – urodzony spółdzielca, elokwentny, zręczny dyspu-’ tant, zapalny, entuzjastyczny stronnik tego, co mu się wydaje słuszne – wygłosił na partyjnym zebraniu przemówienie, w którym domagał się, by – usunąć z partii – Romanowa, sekretarza rejkomu za potwarz! I zebranie udzieliło Romanowowi nagany! Ostatnie słowo Romanowa bardzo jest charakterystyczne dla tego gatunku ludzi i dla ich znajomości sytuacji ogólnej: „Chociaż tu zostało wykazane, że Stawrow – nie jest trockistą, a I e jestem osobiście przekonany, że jest on nim. Partia już się zmiarkuje, także – co do tej nagany”. I Partia się zmiarkowała: prawie natychmiast rejonowe NKWD aresztowało Stawrowa, a po miesiącu – także przewodniczącego RIK – rejonowego komitetu wykonawczego, Estończyka Uniwera. Romanów objął jego stanowisko. Stawrowa przewieziono do okręgowego NKWD, gdzie przyznał się, że jest trockistą, że całe życie działał w porozumieniu z eserowcami, że w swoim rejonie należy do nielegalnej prawicowej organizacji (bukiet godny tej epoki, brak tylko bezpośrednich kontaktów z Ententą). Być może zresztą – wcale się nie przyznał, ale nikt się tego nigdy nie dowie, bo w iwanowskim więzieniu wewnętrznym skonał w czasie tortur. A protokół został. Wkrótce aresztowano także sekretarza rejkomu Smirnowa, przywódcę domniemanej organizacji prawicowej, kierownika rejonowego wydziału finansowego SabUrowa i jeszcze kilku.

Ciekawy jest dalszy los Własowa. Nowego przewodniczącego RIK-a – Romanowa chciał on niedawno usunąć z partii. Jak zaś ciężko obraził prokuratora rejonowego, Rusowa – już pisaliśmy, rozdział IV). Naczelnikowi rejonowej delegatury NKWD, N. I. Kryłowowi, naraził się w ten sposób, że obronił przed aresztowaniem za rzekome szkodnictwo dwóch swoich obrotnych i roztropnych działaczy spółdzielczych, z haczykami w ankiecie: obaj byli niewyraźnego pochodzenia społecznego (Własow zawsze przyjmował do pracy rozmaitych „byłych ludzi” – zwykle dobrze znali się ha rzeczy, a ponadto – byli gorliwsi w robocie; ci zaś z awansu społecznego nic nie umieli i – co ważniejsze – nic nie chcieli robić). Mimo to NKWD jeszcze gotowe było pójść na ugodę ze spółdzielczością! Zastępca Kryłowa, Sorokin sam przyszedł do zarządu spółdzielni rejonowych i zaproponował Własowowi, żeby wydać NKWD bezpłatnie („już tam później jakoś spieszysz na straty”) tekstyliów na sumę siedmuset rubli (szmaciarze! a dla Własowa to były dwie pensje miesięczne, Własow nawet kruszyny nie brał dla siebie na lewo). „Jak nie dasz – to sam pożalujesz”. Własow go przepędził: „Jak śmiecie mnie, członkowi partii, proponować takie interesy!” – Następnego dnia w zarządzie spółdzielni pojawił się Kryło w, już jako przedstawiciel rejkomu partii (w tej maskaradzie i we wszystkich tych sposobikach jest dusza 37. roku!) i kazał zwołać zebranie partyjne. Porządek dnia: „O szkodniczej działalności grupy Smirnowa-Uniwera w spółdzielczości” referent – towarzysz Własow. Co chwyt, to perełka! Nikt chwilowo nie wysuwa przecież oskarżeń przeciw Własowowi! Ale wystarczy, że Własow powie dwa słowa o szkodnictwie, którym zajmował się były sekretarz rejkomu, w strefie, w której sam Własow jest czynny – aby zaraz przerwał mu ktoś z pracowników NKWD: „a w y gdzieście wtedy byli? Dlaczego nie przyszliście do nas zawczasu?”. W takiej sytuacji niejeden dawał się zbić z tropu i już nigdy nie mógł się wygrzebać. Ale nie Własow! Odpowiedział z miejsca: „Nie będę referować. Niech referuje Kryłow –

przecież to on aresztował Smirnowa i Uniwera i ma w ręku ich sprawę!". Kryłow odmówił, twierdząc, że nie jest zorientowany. A na to Własow: „Jeżeli nawet w y nie jesteście zorientowani – to znaczy, że tamtych aresztowano bezpodstawnie!". I zebranie po prostu nie zostało zwołane. Ale czy często ludzie mieli się tak bronić? (Brak będzie w tej opowieści charakterystycznych cech 37. roku, stracimy z oczu wielu jeszcze silnych ludzi zdolnych do stanowczych decyzji, jeśli nie wspomnimy, że późnym wieczorem tegoż dnia do gabinetu Własowa przyszedł starszy księgowy Związku Spółdzielczego T. i jego zastępca N. przynosząc dziesięć tysięcy rubli: „Wasyli Grigoriewicz! Uciekajcie zaraz, jeszcze dziś w nocy! Dziś w nocy, inaczej – zginiecie!"). Ale Własow był zdania, że nie przystoi komuniście uciekać). Następnego dnia rano już pojawiła się w rejonowej gazecie napastliwa korespondencja o pracy spółdzielni spożywców (trzeba podkreślić, że w 37. roku prasa zawsze działała ręką w rękę z NKWD), a wieczorem już zaproponowano Własowowi, aby zda! w rejkomie sprawę ze swojej działalności (co krok – to wzór do naśladowania!).

Był to rok 1937, drugi rok Mikojan–prosperity w Moskwie i w innych wielkich miastach; czytuje się teraz we wspomnieniach rozmaitych pisarzy i dziennikarzy, że już wtedy zaczynały się tłuste lata. Weszło to do historii i ryzykujemy, że już tam zostanie. A tymczasem – w listopadzie 1936 roku, dwa lata po zniesieniu kartek na chleb, w iwanowskim okręgu (a również w innych) wydane było tajne rozporządzenie zakazujące handl-u mąką. W tych latach wiele jeszcze gospodyń w miasteczkach, a zwłaszcza w osadach i po wsiach – wypiekało chleb w domu. Zakaz sprzedaży mąki oznaczał: nie wolno jeść chleba! W rejonowym ośrodku, w Kadyju, potworzyły się ogromne, nigdy nie widziane ogonki za chlebem; zresztą – im też dano należną odpłatę: w lutym 1937 roku zakazano w ośrodkach rejonowych wypieku razowego chleba, odtąd wolno było piec tylko drogi, biały. W rejonie kadyjskim nie było zaś innych piekarni prócz centralnej, rejonowej, więc ze wszystkich wsi walili ludzie po razowiec do Kadyja. I mąki w składach spółdzielni spożywców było dość – tylko teraz dwa wspomniane zakazy nie pozwalały dać jej ludziom w żaden sposób!! Własow jednak znalazł sposób, żeby wbrew przemysłnym państwowym wytycznym nakarmić swój rejon tego roku: objechał okoliczne kołchozy i z ośmioma z nich dogadał się, że w stojących pustką „pokułackich" chatkach otwarte zostaną uspołecznione piekarnie (to znaczy, że po prostu zwiezione będą drwa i zwołane baby – do roboty przy gotowych, ruskich piecach, tyle, że teraz nie prywatnych, tylko już wspólnych), rejonowa zaś spółdzielnia spożywców zobowiązuje się do zaopatrzenia ich w mąkę. Rozwiązanie zawsze wydaje się proste, gdy już ktoś na nie wpadł! Nie budując nowych zakładów piekarskich (nie miał na to środków), Własow pobudował je w ciągu jednego dnia. Nie prowadząc formalnie handlu mąką, bez przerwy dostarczał ją ze składów i żądał z okręgu nowych dostaw. Nie sprzedając w ośrodku rejonowym razowego chleba – dał razowy chleb ludności rejonu. Tak, litery rozporządzenia nie naruszył, ale wystąpił przeciw jego duchowi – szczerdzić mąkę, a ludzi morzyć głodem. Było więc za co krytykować go na zebraniu rejkomu.

Po tej krytyce Własow jeszcze jedną noc spędził na wolności, następnego zaś dnia został aresztowany. Zadzierzysty, mały kogucik (jako że był niziutki, zachowywał się często z pewną arogancją, zadzierając przy tym głowę) nie chciał oddać legitymacji partyjnej (toć poprzedniego dnia, na posiedzeniu rejkomu, nie podjęto

decyzji o usunięciu go z partii!), ani deputackiej (toć wybrany został przez lud i nie ma decyzji RIK-u o pozbawieniu go nietykalności deputackiej!). Ale milicjanci nie znali się na formalnościach, rzucili się na niego i odebrali dowody siłą.– Ze spółdzielni spożywców prowadzono go do NKWD środkiem miasteczkowej ulicy i pewien młody towaroznawca, jego podwładny, komsomolec, zobaczył to z okna rejkomu. Jeszcze nie wszyscy (zwłaszcza po wsiach, bo ludzie tam prosto- duszni) nauczyli się wtedy mówić nie to, co myślą. Chłopak krzyknął: „Ale dranie! Mojego szefa też wzięli!”. Natychmiast, nie dając mu nawet wyjść z pokoju, wyrzucano go i z rejkomu i komsomołu, po czym znanym szlakiem stoczył się chłopak do wspólnego dołu.

Własow aresztowany był późno w porównaniu z innymi współoskarżonymi, dochodzenie było prawie już zakończone i teraz tylko dawało mu się szlif przed procesem publicznym. Własowa przywieziono do iwanowskiego więzienia wewnętrzznego, ale jako że był ostatni w kolejce, więc nie urządzono mu całej karuzeli z torturami, przeprowadzono tylko dwa krótkie przesłuchania, nie wzywano żadnych świadków, a skoroszyt jego akt śledczych wypełniono sprawozdaniami spółdzielni spożywców i wycinkami z rejonowej gazety. Własowa oskarżano: 1) o sprowokowanie kolejek po chleb; 2) o niezabezpieczenie wystarczającego asortymentu towarów (jak gdyby towary te były gdziekolwiek w należnym wyborze i jakby ktoś gwałtem je wmawiał kadyjskiej spółdzielni); 3) o sprowadzenie zbyt wielkiej ilości soli (chodziło tu o obowiązkowy „mobilizacyjny” zapas – bo przecież z dawnych lat w Rosji wszyscy się boją, że w razie wojny soli zabraknie).

W ostatnich dniach września zawieziono oskarżonych na proces publiczny do Kadyja. Nie bliska to była droga (porównać tylko niskie koszty OSO i tajnych sądów!): od Iwanowa do Kineszmy – stołypińskim wagonem, od Kineszmy do Kadyja – 110 km samochodem. Samochodów było ponad dziesięć i ten niestychany wtedy, długi ich sznur, ciągnący pustynnym, starym traktem, siał we wsiach zdumienie, popłoch i przeczucie bliskiej wojny. Za bezbłędną i budzącą należy strach organizację całego procesu odpowiedzialny był Klugin (naczelnik supertajnego oddziału okręgowego NKWD, zajmującego się kontrrewolucyjnymi organizacjami). Ochrona składała się z 40 ludzi, wziętych z konnej rezerwy milicji. Oskarżonych, codziennie od 24 do 27 września, prowadzono przez Kadyj pod konwojem, kroczącym z szabłami i naganami w rękę – od rejonowej delegatury NKWD, aż do niewykończonego budynku klubu i z powrotem. Prowadzono ich tak przez to samo sioło, w którym niedawno jeszcze oni byli rządem. Okna w klubie już były oszkłone, natomiast scena nie była jeszcze wykończona, brak było elektryczności (w ogóle nie było jej w Kadyju) i wieczorami sąd zasiadał przy naftowych lampach. Publiczność przywożono z kołchozów według rozdzielnika. Także cały Kadyj pchał się na salę. Nie tylko siedziano na ławach i na oknach, lecz również gęsty tłum stał w przejściu, tak, że mieściło się w sali za każdym razem do 700 ludzi (lubią jednak na Rusi te widowiska). Przednie ławy były stale zarezerwowane dla członków partii, tak aby sąd zawsze mógł liczyć na życzliwe poparcie. Komplet sędziowski izby specjalnej sądu okręgowego składał się z wiceprezesa tegoż sądu Szubina, ławnikami byli zaś obywatele Bicze i Zaozierowa. Absolwent uniwersytetu w Dorpacie, prokurator okręgowy Karasik był rzecznikiem oskarżenia (mimo, że oskarżeni jak jeden mąż rzekli się obrony, ale dano im celowo adwokata z urzędu, ponieważ tylko w ten sposób mógł być obecny również prokurator). Akt oskarżenia, solenny, groźny i długi sprowadzał się do tego, że w kadyjskim rejonie działa-

ła nielegalna prawicowo-bucharinowska grupa, zawleczona tam z Iwanowa (to znaczy – także tam nastąpią teraz aresztowania), stawiająca sobie za cel obalenie – za pośrednictwem aktów szkodnictwa – ustroju sowieckiego we wsi Kadyj (kąta bardziej zapadłego prawicowcy już nie mogli znaleźć, jako odskoczni dla swoich planów!).

Prokurator składa wniosek, aby nie bacząc na zgon Stawrowa w więzieniu śledczym, jego zeznania przedśmiertne mogły być teraz odczytane i uznane za złożone na rozprawie. (A na zeznaniach Stawrowa trzymały się przecież wszystkie oskarżenia przeciwko całej grupie!). Sąd wyraża zgodę: zaprotokołować zeznania zmarłego tak, jakby wciąż jeszcze był wśród żywych (co ma tę zaletę, że już nikt z podsądnych nie „potrafi świadkowi zaprzeczyć”).

Ale nieuczeni kadyjscy chłopkowie nie wyznają się na takich subtelnościach i czekają co też będzie dalej. Zostają więc przeczytane i na nowo zaprotokołowane zeznania człowieka zabitego podczas śledztwa. Zaczyna się przesłuchanie podsądnych i – konsternacja! – WSZYSCY ONI ODWOŁUJĄ zeznania złożone na śledztwie.

Nie wiadomo, jaką taktykę obrano by w Sali Październikowej Domu Związków – tu zaś postanowiono kontynuować dalej, wcale się nie przejmując! Sędzia upomina oskarżonych: jakeście w ogóle mogli składać na śledztwie inne zeznania? Uniwer – wycieńczony, ledwie dostyszalnie: „Jako komunista nie mogę na publicznej rozprawie rozwodzić się nad metodami śledztwa stosowanymi przez NKWD” (no i macie model procesu Bucharina! Oto co najbardziej wiąże im ręce: troszczą się przede wszystkim o to, żeby ludzie nie pomyśleli czegoś złego o partii. Ci, co ich sądzą, dawno już się o to nie kłopotzą).

W przerwie Klugin odwiedza cele podsądnych. Mówi do Własowa: „Słyszałeś, jak się skurwili Smirnow i Uniwer, te dranie?! Ty za to powinienes przyznać się do winy i powiedzieć całą prawdę!” – Wyłącznie prawdę! – chętnie godzi się Własow, jeszcze pełen sił. – Wyłącznie prawdę, a mianowicie, że niczym nie różnicie się od niemieckich faszystów!”. Klugin wpada w pasję: „Uważaj, kurwo, krwią za to zapłacisz39!”. I od tej chwili Własow przestaje być na rozprawie postacią drugorzędną – dostaje rolę piewszoplanową jako ideowy inspirator grupy.

Tłum, tłoczący się w przejściach, zaczyna rozumieć o co chodzi dopiero w pewnej chwili. Sąd ma odwagę podjąć kwestię ogonków chlebnych, a to każdemu tu dojadło do żywego (choć, co chyba jasne, przed procesem chleb sprzedawany był bez żadnych ograniczeń i dzisiaj kolejek nie ma). Sąd zadaje pytanie podsądnemu Smirnowowi: „Czy wiedzieliście o istnieniu ogonków za chlebem w rejonie?” – „Tak, ma się rozumieć, toż ciągnęły się od sklepu aż do samego budynku rej komu”. – „No i coście za radę znaleźli?”. Nie bacząc na zadane mu męki, Smirnow zachował dźwięczny głos i spokojną pewność swojej racji. Ten grubokościsty blondyn o prostych rysach twarzy wcale się nie spieszy i sala słyszy każde słowo: „Ponieważ wszystkie nasze wnioski do okręgowych organizacji nie dały żadnego skutku, poleciłem Własowowi, aby napisał memoriał do towarzysza Stalina” – „No*i dlaczegoście go nie napisali?” (Więc jeszcze nie wiedzą!... Więc przegapili!). „Napisaliśmy go i zaraz go wystąłem umyślnym prosto do KC, nad głową okręgu. Kopia została w aktach rejkomu”.

Sala wstrzymuje oddech. Komplet sędziowski jest w strachu i lepiej byłoby nie zadawać chyba dalszych pytań, ale jednak ktoś to pytanie stawia:

– No i co?

Bo też to pytanie zawisło na wszystkich ustach: no i co dalej się stało?

Smirnow nie łka, nie leje łez nad utraconym ideałem (właśnie tego elementu brak moskiewskim procesom!) odpowiada głosem donośnym i spokojnym:

– A nic. Nie było odpowiedzi.

Słuchać w jego znużonym tonie: tego właśnie się spodziewałem.

„Wkrótce już, wkrótce poleje się twoja własna! – Klugin znajdzie się w sieci razem z całą ławicą ludzi Jeżowa i w obozie zostanie zarąbany przez konfidenta Gubajdulina.

NIE BYŁO ODPOWIEDZI! Ojciec i Nauczyciel nie dał odpowiedzi! Ten proces publiczny osiągnął już swoje apogeum! już dzięki niemu ten tłum na sali zobaczył czarne serce Ludojada! Już by się na tym mogła ta rozprawa skończyć. Nie, na to im nie starcza ani taktu, ani rozumu i jeszcze całe trzy dni trwać będzie dreptanie po podmokłej już łacie.

Prokurator wychodzi ze skóry: to dwulicowcy! Patrzcie, jak to było: jedną ręką szkodzili, a drugą ręką śmieli pisać listy do towarzysza Stalina! I jeszcze czekać na odpowiedź!? Niech lepiej podsądny Własow odpowie – jak mógł dojść do tak potwornego szkodnictwa – żeby zaprzestać sprzedaży mąki? Żeby przerwać wypiek żytniego chleba w ośrodku rejonowym?

Kogucik Własow nie czeka, aż mu każą wstać, sam się podrywa i krzyczy przeszywająco, na cały głos:

– Gotów jestem ponieść za to pełną odpowiedzialność przed sądem, jeżeli prokurator Karasik zejdzie z oskarżycielskiej trybuny i siądzie tu obok mnie, na ławie oskarżonych!

Nikt nic nie rozumie. Hałas. Krzyki. Przywołać do porządku! Co to takiego!?

Zdobywszy w ten sposób prawo głosu, Własow składa teraz chętnie wyjaśnienia:

– W sprawie zakazu sprzedaży mąki i zakazu wypieku chleba otrzymaliśmy rozporządzenia z prezydium okręgowego komitetu wykonawczego. Stałym członkiem tego prezydium jest prokurator okręgowy Karasik. Jeżeli to szkodnictwo – to dlaczego prokurator nie sprzeciwił się temu z urzędu? A jak tak, to byliście szkodnikiem naprzód wy, a dopiero potem ja!

Prokuratorowi aż dech zaparło, cios był, nagły i celny. Sąd też nie potrafi się znaleźć. Sędzia mamrocze:

– Jeśli zajdzie potrzeba (?) oddamy pod sąd także prokuratora. A dzisiaj tylko was sądzimy.

(Dwie prawdy – zależnie od rangi!).

– No to ja żądam, żeby mu kto kazał zejść z tej prokuratorowskiej trybuny! – Dalej żga w słabiznę niezmordowany, nie dający się uciszyć Własow.

Przerwa...

No, jakie też znaczenie wychowawcze dla mas ma podobny proces?

A tamci dalej za swoje. Po indagacji oskarżonych zaczynają się zeznania świadków.' Ksiągowy N.

Co wam wiadomo o szkodniczej działalności Własowa?

– Nic.

– Jak to być może?

– A siedziałem dotychczas w pokoju dla świadków i nie słyszałem co tu było mówione.

– Nie trzeba było nic słyszeć! Przez wasze ręce przechodziło mnóstwo dokumentów, nie mogliście nie wiedzieć.

– Dokumenty wszystkie były w porządku.

– Ale patrzcie – tu jest paczka gazet rejonowych, nawet tu mówi się o szkodnictwie Własowa. A wy nic nie widzieliście?

– To przesłuchujcie tych, co pisali w tych gazetach!

Kierowniczka sklepu z pieczywem.

– Niech świadek powie, czy sowiecka władza ma dużo chleba?

(A niechże ich! Co tu odpowiedzieć?... Kto by się ośmielił powiedzieć: ja tam nie liczyłem?).

– Dużo...

– A więc dlaczego są u nas ogonki?

– Ja tam nie wiem...

– A od kogo to zależy?

– Ja tam nie wiem...

– No jakże – nie wiecie? Kto był waszym szefem?

– Wasyli Grigoriewicz.

– Jaki tam Wasyli Grigoriewicz, do wszystkich diabłów! Podśądny Własow! Więc zależało to od niego.

Świadek milczy.

Przewodniczący dyktuje sekretarzowi sądu: „Odpowiedź. Na skutek szkodnictwa Własowa wytworzyły się ogonki za chlebem, nie bacząc na ogromne zapasy chleba będące w dyspozycji sowieckiej władzy”.

Skrywając lęk o własną skórę, prokurator wygłosił długą mowę, pełną oburzenia. Obrońca w zasadzie bronił samego siebie podkreślając, że interesy ojczyzny są mu tak samo drogie, jak każdemu uczciwemu obywatelowi.

W ostatnim słowie Smirnow o nic nie prosił i niczego nie żałował. Trudno z dzisiejszej perspektywy przypuścić, aby człowiek tak nieustępliwy i prostolinijny mógł być ocaleć i przetrwać burze 37. roku.

Kiedy Saburow poprosił o darowanie mu życia – „nie dla mnie, tylko dla moich małych dzieci” Własow szarpnął go z gniewem za poję: „Dureń z ciebie!”.

Sam Własow nie przepuścił ostatniej okazji do zuchwałej wypowiedzi:

– Nie uważam was za sąd, tylko za aktorów, grających napisane z góry role w tym wodewilu. Jesteście narzędziem wstrętnej prowokacji zaplanowanej przez NKWD. Cokolwiek tu powiem – i tak skazacie mnie na rozstrzelanie. Ale wierzę, że nadejdzie czas – i wy właśnie zajmiecie nasze miejsca⁴⁰!...

Od siódmej wieczór aż do pierwszej po północy sąd porał się z pisaniem sentencji, w klubowej sali paliły się naftowe lampy, podśądni siedzieli pod strażą gołych szabel a na sali nie ustawał gwar, bo ludzie nie chcieli się rozchodzić.

Wyrok czytano tak samo długo, jak był pisany. Pełen był fantazji na temat działań, kontaktów i planów, przypisanych naszym szkodnikom. Smirnowa, Uniwer, Saburowa i Własowa skazano na rozstrzelanie, dwom innym dano po 10 lat, jednemu – 8. Ponadto wnioski sądu wskazywały drogę do zdemaskowania w Kadyju również komsomolskiej organizacji szkodników (nie zwlekano z ich aresztowaniem; pamiętacie młodego towaroznawcę?), w Iwanowie zaś – centrum podziemnych organizacji, podporządkowanemu z kolei Moskwie, co rozumie się samo przez się (kopanie dołu pod Bucharinem).

Po wygłoszeniu uroczystym tonem słów „Na rozstrzelanie!” – sędzia zrobił pauzę na oklaski, ale w sali panowało tak ponure napięcie, tak dobrze słysząc było westchnienia i płacz zupełnie obcych ludzi i krzyki mdlejących członków rodzin, że nawet na dwóch przednich ławach, gdzie siedzieli członkowie partii, nikt nie zaklaskał, a to już była zupełna nieprzyzwoitość. „Rany boskie, co wy robicie, ludzie?!” – krzyczano z sali do sędziów. Rozpaczliwie załkała żona Uniwera. W półmroku sali tłum zafalował. Własow krzyknął w stronę pierwszych ławek:

– No i dlaczego nie klaszczecie, wywłoki! Też komuniści!

Politruk plutonu straży podbiegł i zaczął wymachiwać mu rewolwerem przed oczyma. Własow omal mu nie wyrwał rewolweru, ale skoczył na czas milicjant i odepchnął swojego nieostrożnego politruka. Dowódca konwoju krzyknął „Do broni!” – i 13 karabinów straży oraz pistolety miejscowych enkawudzistów już wycelowały się w podsądnych i w tłum na sali (bo też zdawało się, że lada chwila dojdzie do odbicia podsądnych).

Sala oświetlona była kilkoma tylko lampami naftowymi, półmrok potęgował jeszcze chaos i popłoch. Tłum, który już wszystko rozumiał, jeśli nie dzięki procesowi, to dzięki wycelowanym teraz w ludzi karabinom, w popłochu rzucił się nie tylko do drzwi, lecz także do okien. Trzasnęły deski, rozległ się brzęk bitych szyb. Omal nie strącony na śmierć, bez zmysłów przeleżała pod krzesłami do białego rana żona skazanego Uniwera.

40 Na ogół biorąc – tylko w tym jednym punkcie się pomylił.

Żadnych oklasków nie było⁴¹...

Skazanych zaś nie tylko nie można było natychmiast rozstrzelać, ale teraz tym staranniej trzeba ich było pilnować, nie młeli bowiem już nic do stracenia, a dla wykonania wyroku musieli jeszcze być przewiezieni do miasta okręgowego.

Z pierwszą częścią tego zadania – przeprowadzeniem ich nocą po ulicy do NKWD – tak sobie dano radę: każdego skazańca konwojowało 5 ludzi. Jeden niósł latarnię. Drugi szedł przodem z pistoletem gotowym do strzału. Dwóch prowadziło skazanego pod rękę, ściskając pistolety w wolnej dłoni. Jeszcze jeden szedł w ariergardzie z bronią wycelowaną w plecy więźnia.

Reszta milicjantów rozstawiona była wzdłuż drogi, aby zapobiec atakom tłumowi.

Teraz każdy rozsądny człowiek pewno się zgodzi, że gdyby dalej trwała ta mi-tręga z sądami publicznymi to NKWD–nigdy nie zdołałoby wypełnić swoich wiel-kich zadań.

Oto dlaczego publiczne procesy polityczne jakoś się w naszym kraju nie przy-jęły.

41 Niech mi wolno będzie poświęcić drobną notkę ośmioletniej dziewczynce, Zoi Własowej. Zoja kochała ojca aż do zapamiętania. Nie mogła potem już cho-dzić do szkoły (wciąż jej dokuczano: „Twój ojciec to szkodnik!” A ona krzyczała: „Mój tatuś jest dobry!”). Przeżyła po tej rozprawie tylko jeden rok (przedtem nigdy nie chorowała), w ciągu tego czasu ANI RAZU SIĘ NIE ZAŚMIAŁA, chodziła zawsze z opuszczoną głową i stare baby przepowiadały: „Patrzy w ziemię, długo nie po-żyje”. Umarła na zapalenie opon mózgowych i umierając wciąż wzywała ojca.

Kiedy bierzemy się do rachowania tych milionów, które zginęły w obozach, nie zapominajmy o pomnożeniu tej liczby przez dwa, przez trzy...

XI

KARA GŁÓWNA

Dzieje kary śmierci w Rosji biegły zygzakiem. W Statutach Aleksego Michajłowicza* kara śmierci przewidziana była w 50 wypadkach, w regulaminie wojskowym Piotra I było już 200 takich paragrafów. Elżbieta Piotrówna zaś, nie kasując artykułów przewidujących karę główną, nie zastosowała jej jednak ani razu: powiadając, że po wstąpieniu na tron ślubowała ona, że nikogo nie pośle na szafot – i przez całe 20 lat swojego panowania nikogo też nie posłała. Prowadziła przy tym wojnę Siedmioletnią – i jakoś potrafiła się obejść. Jak na połowę XVIII stulecia, pół wieku przed jakobińską siekaniem – jest to przykład zadziwiający. Co prawda jesteśmy już bardzo biegli w sztuce wyśmiewania całej naszej przeszłości; nigdy w niej nie chcemy dostrzec żadnych dobrych uczynków ani zamiarów. Tak samo Elżbietę można z powodzeniem odsądzić od zasługi: zastąpiła bowiem karę śmierci – batowaniem, wrywaniem nozdrzy, wypalaniem piętna „złodziej” i wiecznym zesłaniem na Syberię. Ale powiedzmy też coś na obronę carycy: jakże mogła jeszcze gwałtowniej obrócić hołoble – wbrew wszystkim panującym poglądom? a może nawet jakiś człowiek dzisiaj skazany na śmierć, chcąc tylko jednego: aby słońce dla niego nie zgaśło, gotów byłby poddać się dobrowolnie całemu temu zespołowi kar, tylko że mu ich nie proponujemy, bośmy tacy humanitarni? i może w trakcie lektury (ej książki dojdziejesz jeszcze czytelniku do wniosku, że 20 a nawet 10 lat naszych obozów, to kara cięższa od tamtych, elżbietańskich?

* Polowa XVII wieku.

Używając naszej terminologii, Elżbieta miała do tych spraw podejście ogólnoludzkie, Katarzyna II natomiast – klasowe (a zatem słuszniejsze). Żeby nikogo, ale to zupełnie nikogo nie poddawać karze śmierci – to wydawało się jej czymś potwornym i niebezpiecznym. I dla obrony własnej osoby, tronu i ustroju, a więc w wypadkach przestępstw politycznych (Mirowicz, moskiewski bunt podczas dżumy, Pugaczow), uznała ona karę śmierci za chwyt całkiem stosowny. Co zaś do kryminalistów, dla pospolitaków – dlaczego by nie uznać tej kary za nieobowiązkującą?

Za panowania cara Pawła kasacja kary śmierci została jeszcze raz potwierdzona. (Wojen zaś było wiele, mimo to – przy regimentach nie istniały trybunały). Także podczas całego długiego panowania Aleksandra I kara śmierci groziła tylko wojskowym za przestępstwa popełnione w trakcie działań wojennych (rok 1812). (Już słyszę głos protestu: a nie smagano wyciorami na śmierć, nie kazano biec przez praszczęta? Owszem, ani słowa, zamaskowane morderstwa zdarzały się, w ten sposób doprowadzić można człowieka do śmierci nawet na zebraniu związku zawodowego! Ale jednak – oddać darowane ci przez Boga życie – ponieważ tak wypadło głosowanie kompletu sędziowskiego – taki los nie należał się w naszym kraju nawet zdrajcom stanu w ciągu całego półwiecza, od Pugaczowa do Dekabrystów).

Krew 5 dekabrystów podrażniła nozdrza naszego państwa. Od tej chwili już obowiązywała kara śmierci za przestępstwa o charakterze państwowym i nie zapomniano o tej zasadzie aż do samej rewolucji lutowej. Znalazła potwierdzenie w Statutach 1845 i 1904 roku, rozbudowana też była w ustawodawstwie karnym wojsk lądowych i floty wojennej, ale nie była stosowana wobec tych przestępstw, które podlegały orzeczeniom sądów powszechnych.

Ilu też ludzi stracono w tym okresie w Rosji? Już przytaczaliśmy (rozdział VIII) cyfry zgromadzone przez działaczy liberalnych w latach 1905–1907: w ciągu 80 lat – 894 stracenia, tj. przeciętnie po 11 egzekucji rocznie. Posłużmy się tu dodatkowo

danymi, sprawdzonymi przez znawcę rosyjskiego prawa karnego N. S. Tagancewa¹.

Aż do roku 1905 karę śmierci stosowano w Rosji tylko w nadzwyczajnych wypadkach. W ciągu trzydziestolecia między 1876 a 1905 rokiem (epoka narodowolców i aktów terrorystycznych, nie zaś zamiarów roztrząsanych we wspólnej kuchni; epoka strajków masowych i buntów

1 N.S. Tagancew, Kara śmierci. Sanktpetersburg, 1913 r. Znamy już „sprawę Tagancewa” z VIII rozdziału. chłopskich; epoka, podczas której zostały stworzone i rozrosły się wszystkie partie przyszłej rewolucji) posłano na szafot 486 ludzi, to znaczy – około 17 ludzi rocznie biorąc pod uwagę całe terytorium kraju. (Ta cyfra obejmuje również wszystkich skazanych na śmierć kryminalistów²!). W latach pierwszej rewolucji (1905 rok) i jej tłumienia, liczba wyroków śmierci gwałtownie skoczyła w górę, siejąc zgrozę i oszołomienie wśród obywateli Rosji, zmuszając Tolstoja do łez, a Korolenkę i wielu, wielu innych – do oburzenia: między rokiem 1905 a 1908 wykonano 2.200 egzekucji (45 miesięcznie!). Była to prawdziwa epidemia straceń, jak pisze Tagancew. (Zaraz też przyszedł jej kres).

Z dziwnym uczuciem czyta się dzisiaj, że – gdy w 1906 roku wprowadzono sądy polowe, to jedną z najtrudniejszych do rozwiązania kwestii był problem znalezienia wykonawców egzekucji. (A prawo wymagało wykonania jej w ciągu doby po wyroku). Powierzenie egzekucji plutonom egzekucyjnym wojska budziło w armii niepożądane nastroje. Ochotników na role oprawców – często w ogóle brakowało. Tym głowaczom sprzed epoki komunizmu jakoś nie przychodziło na myśl, że jeden kał i po jednej kuli w kark – to zupełnie wystarczy, aby rozstrzelać ilu trzeba.

Rząd Tymczasowy skasował w ogóle karę śmierci zaraz po objęciu władzy. W lipcu 1917 roku przywrócił ją tylko w stosunku do armii czynnej i tylko na terenach przyfrontowych – za przestępstwa wojskowe, morderstwa, gwałt, rozbój i rabunki (których wiele było na tych terenach). Był to jeden z tych najbardziej niepopularnych kroków, które doprowadziły w końcu do upadku Rządu Tymczasowego. Hasłem bolszewików w przeddzień powstania było: „Precz z karą śmierci, przywróconą przez Kiereńskiego!”.

Zachowała się relacja, wedle której w Smolnym w nocy z 25 na 26 października rozgorzała dyskusja: czy jednym z pierwszych dekreatów nie powinno być rozporządzenie, kasujące raz na zawsze karę śmierci? I Lenin wówczas wyśmiał utopijne zamiary swoich towarzyszy. Dobrze wiedział, że bez kary śmierci nie będą mogli zrobić ani kroku w stronę nowego społeczeństwa. Jednakże formując rząd koalicyjny z lewymi eserowcami i licząc się z ich błędnymi poglądami – poszedł na ustępstwa i w ten sposób 28 października 1917 roku kara śmierci została jednak skasowana. Niczego dobrego ta „dobrotliwość”, rzecz jasna, dać

2 W Szlisselburgu między 1884–1906 stracono trzynastu ludzi. Straszna cyfra... jak na warunki szwajcarskie. nie mogła. Zresztą, co to była za kasacja? W początkach 1918 roku Trockie kazał oddać pod sąd Aleksego Szczastnoja, nowego admirała, za to, że odmówił zatopienia Floty Bałtyckiej. Przewodniczący Trybunału Najwyższego Karklin, kalecząc język rosyjski odczytał szybciutko sentencję: „Rozstrzelać w ciągu 24 godzin”. Na sali rozpoczął się tumult: przecież–skasowano! Prokurator Krylenko wyjaśnił: „Nie ma powodu do niepokoju. Kara śmierci jest skasowana, owszem. Ale Szczastnoj nie będzie poddany haniebniej karze – tylko rozstrzelany”. (No i został rozstrzelany).

Jak wynika z oficjalnych dokumentów, kara śmierci została przywrócona w całej rozciągłości w czerwcu 1918 roku. To znaczy – nie „przywrócona”, ale wprowadzona od nowa, jako symbol zupełnie nowego etapu. Jeśli założyć, że Łacis³ nie zaniża danych, lecz tylko nie roz – porządza pełnią informacji i że rewtrybunały odwalily w trybie jawnym taką samą robotę, jaką Czeka wykonała w trybie pozasądowym, to okaże się, że w 20 guberniach centralnej Rosji w ciągu 16 miesięcy (czerwiec 1918 – październik 1919 rok) rozstrzelano ponad 16.000 osób, to znaczy – PRZESZŁO TYSIĄC OSÓB MIESIĘCZNIE⁴ (dodajmy, że wśród rozstrzelanych był także przewodniczący pierwszego rosyjskiego (mianowicie – petersburskiego, 1905) sovietu deputatów, Chruszalew–Nosar, jak również ten grafik, który naszkicował projekt legendarnego munduru czerwonoarmisty, noszonego w ciągu całej wojny domowej). A były jeszcze Rewwojentrybunały z ich tysiącami egzekucji co miesiąc. I Rewtrybunały kolejowe.

Być może era egzekucji, która nastąpiła po 1918 roku, zmroziła i upoiła do drętwoty Rosję nie tymi – jawnie czy niejawnie orzekanymi – pojedynczymi rozstrzelaniami, które później dały w sumie tysiące.

Jeszcze straszniejsza nam się wydaje moda, która przyjęta się po obu stronach frontu wojny domowej, a potem wśród zwycięzców, polegająca na zatapianiu barek pełnych nie policzonych nigdy, nie spisanych, nawet nie spytanych o nazwisko setek ludzi. (Potopiono tak oficerów marynarki oraz innych zakładników – w Zatoce Fińskiej, w morzach – Białym, w Kaspijskim i Czarnym, w jeziorze Bajkał). Nie należy to do naszej opowieści – trzymającej się wąskich ram wymiaru sprawiedliwości, ale należy do historii obyczajów, od których przecież wszystko zależy. Czy w całych naszych dziejach – od samego

³ Już cytowany tom Dwa lala walki... 1920 r., str. 75.

⁴ Jeśli już porównania, to macie jeszcze jedno: w ciągu 80. szczytowych lat Inkwizycji (1420–1498) w całej Hiszpanii skazano na stos 10.000 ludzi, to jest około 10 osób miesięcznie.

Ruryka – była jakaś faza takich okrucieństw i tylu mordów, która dałaby się porównać z popaździernikową wojną domową?

Pominęlibyśmy charakterystyczny zygzak, gdybyśmy nie zaznaczyli, że kara śmierci zniesiona została... w styczniu 1920 roku, a tak! Niejednemu badacz może znaleźć się w kropce, widząc, jaką ufnosć i pacyfizm przejawia dyktatura odrzucając karzący miecz, w chwili gdy na Kubaniu stoi jeszcze Denikin, na Krymie – Wrangel, polska zaś kawaleria siodła już konie. Ale – po pierwsze – ten dekret był bardzo rozważnie zreagowany: jego moc nie rozciągała się na trybunały wojskowe (dotyczyła akcji Czeki i trybunałów na ty-

łach). Po drugie – dekret był poprzedzony profilaktyczną czystką więzień (szczodrze posyłano pod mur więźniów, którzy mogli później „podpaść pod dekret”) i po trzecie, jest to fakt najbardziej pocieszający, obowiązywał on krótko tylko – przez 4 miesiące (póki więzienia znów się nie wypełniły). Dekretem z 28 maja 1920 roku WCzK znów otrzymała prawo do rozstrzeliwania.

Rewolucja stara się każdej rzeczy nadać czym prędzej nową nazwę, aby wszystko wydało się nowym. Tak samo „kara śmierci” została przechrzczona na najwyższy stopień i nie „kary”, bynajmniej, lecz środków obrony społeczeństwa. Zasady prawodawstwa kar-

nego z 1924 roku wyjaśniają, że środek ten wprowadzony został czasowo, aż do odwołania go przez WCIK raz na zawsze.

I w 1927 roku zaczęto go rzeczywiście odwoływać: zachowano go wyłącznie do karania przestępstw przeciw państwu i armii (artykuł 58 oraz dotyczące przestępstw przeciw obronności) – jak również, dodajmy dla ścisłości, bandytyzmu (ale wiadomo jak szeroko w sensie politycznym interpretowano pojęcie „bandytyzmu” w tych latach, a zresztą również dzisiaj: od „basmacza” do litewskiego partyzanta leśnego, każdy uzbrojony nacjonalista, nie zgadzający się z władzą centralną – jest „bandytą”, jak tu więc wyrzec się takiego artykułu? I powstaniec łagrowy, i uczestnik jakichś tumultów miejskich – też jest „bandytą”). Skasowano natomiast w X rocznicę Października karę śmierci za przestępstwa z artykułów broniących mienia i życia osób prywatnych przed morderstwem, rabunkiem i gwałtem.

Na XV zaś rocznicę Października dodano karę śmierci za wykroczenia, omówione w ustawie z siódmego–ósmego: mowa o tej najważniejszej ustawie wschodzącego już socjalizmu, która obiecywała poddanemu kulę za każdy okrucieństwo państwowej własności.

Jak to zawsze na początku, rzucono się zewsząd do stosowania tej ustawy i w latach 1932/33 rozstrzeliwano na jej zasadzie z osobiwą gorliwością. W tych spokojnych latach (jeszcze za kadencji Kirowa...) w samych tylko leningradzkich Krestach w grudniu 1932 roku oczekiwało na swoją kolej JEDNOCZEŚNIE DWUSTU SZEŚĆDZIESIĘCIU PIĘCIU SKAZANYCH NA ŚMIERĆ5 – a czy w ciągu całego roku ta cyfra nie przekroczyła w Krestach tysiąca?

I cóż to byli właściwie za złoczyńcy? Skąd wzięto się tylu spiskowców i wywrotowców? A na przykład: siedzieli tam sześciu kołchoźników spod Carskiego Sioła, którzy tym zawinili, że po kołchozowych (ich własnymi rękoma robionych!) żniwach, przeszli się po polach i na nierównościach gruntu, ominiętych przy koście, wycięli resztkę kłosów dla swoich krów. ANI JEDNEGO Z TYCH SZEŚCIU CHŁOPÓW WCIK NIE UŁASKAWIŁ I WYROK ZOSTAŁ WYKONANY!

Jaka tam Sałtyczycha? Jaki – najpodlejszy nawet, najohydniejszy – feudal potrafiłby ZABIĆ sześciu chłopów pańszczyźnianych za parę nieszczęsnych kłosów?... To i niechby im tylko dał parę różeg – dotąd byśmy o tym czytali i przeklinali jego imię na lekcjach w szkole6. A dziś – kamień w wodę i nie ma śladu. I tylko wolno żywić nadzieję, że kiedyś jeszcze dokumenty potwierdzą wyznanie mojego żywego świadka. Gdy Stalin nigdy i nikogo poza tym nie zamordował – to za tych tylko sześciu carskosielskich muzyków też byłby wart ćwiartowania, tak uważam! A jeszcze mają czelność na nas pokrzykiwać „Jak śmieliście go demaskować?”, „Zakłócać wieczny spokój wielkiego zmarłego?”... „Po Stalinie tęskni cały światowy ruch komunistyczny!” – a ja myślę, że tylko kodeks karny. Zresztą Lenin z Trockim wcale nie lepsi. To oni przecież zaczęli.

Postaramy się jednak wrócić do relacji bezstronnej i beznamietnej. Rzecz jasna, WCIK na pewno by zniósł raz na zawsze karę główną, skoro tak to było obiecanie, ale sęk w tym, że w 1936 roku Ojciec i Nauczyciel „zniósł raz na zawsze” sam WCIK. Rada Najwyższa zaś, która zajęła jego miejsce, już z samej nazwy trąciła raczej epoką carycy Anny Joannowny. Wtedy właśnie „najwyższy stopień” stał się najwyższym wymiarem kary, nie zaś jakiejś tam niewyraźnej „obrony”. Egzekucje lat 1937–38 nawet dla stalinowskiego ucha nie kojarzyły się już z „obroną”.

1 Jak świadczy B., kalefaktoriści, noszący jedzenie skazanym na śmierć.

6 Nie mówi się tylko uczniom, że Sałtyczycha na mocy wyroku (klasowego sądu) odsiedziała za swoje bestialstwa 11 lat w lochu iwanowskiego klasztoru w Moskwie. (Prugawin, Monastyrskie Hurmy, wyd. „Pośrednik, str. 39).

Jaki znawca, jaki historyk prawa przytoczy nam dokładną statystykę tych egzekucji? Gdzie to archiwum specjalne, do którego można się zabrać, aby poznać te cyfry? Nie ma ich. Nigdy ich też nie będzie. Ośmielimy się dlatego powtórzyć tu jedynie cyfry z pogłosek, co po świeżym tropie, w latach 1939–40 snuły się pod powałami Butyrek, a które ronili czasem przed śmiercią pomocnicy Jeżowa, którzy przeszli niedawno przez te cele (już ci na pewno wiedzieli!). Mówili więc ludzie Jeżowa, że w ciągu tych dwóch lat rozstrzelano na terenie Związku PÓŁ MILIONA „politycznych” i 480.000 szemranych (z artykułu 59–3, rozwalano ich jako „podpory Jagody”; ta operacja podcięła istnienie „starej, złodziejskiej arystokracji”).

Czy są to cyfry w jakimś stopniu niegodne wiary? Zakładając, że egzekucje były wykonywane nie w ciągu dwóch lat, lecz tylko przez półtora roku, powinniśmy przyjąć jako średnią miesięczną (dla artykułu 58) 28.000 rozstrzelanych. To dotyczy całości ZSSR. Ale ile było miejsc egzekucji? Licząc bardzo skromnie – półtorej setki. (Było ich na pewno więcej. W samym tylko Pskowie w podziemiach wielu cerkwi, w dawnych celach pustelników, NKWD urządził izby tortur i punkty egzekucji. Jeszcze w 1953 roku do tych cerkwi nie wpuszczano zwiedzających: „bo archiwa”; a tymczasem pajęczyny tam nie zmiatały od dziesięciu lat, takie to „archiwa”. Przed początkiem prac restauracyjnych kości stamtąd wywożono ciężarówkami). Skoro tak, to w każdym z tych miejsc, każdego dnia wyprowadzano na rozstrzelanie po 6 ludzi. Czy to takie fantastyczne? To chyba nawet mniej niż w rzeczywistości! Donoszą mi z Krasnodaru, że w tamtejszej centrali GPU na ulicy Proletarskiej w 37–38 roku co noc rozstrzeliwano 200 ludzi! (Inne źródła mówią, że przed 1 stycznia 1939 roku rozstrzelano 1 milion 700 tysięcy ludzi).

W latach Wojny Narodowej z rozmaitych powodów karę śmierci to stosowano szerzej (na przykład w związku z militaryzacją kolei), to wzbogacano nowymi formami (kwiecień 1943 – ustawa o wprowadzeniu kary śmierci przez powieszenie).

Wszystkie te wydarzenia opóźniły nieco obiecane zniesienie raz na zawsze i na wieczne czasy kary śmierci, jednakże nasz naród zasłużył sobie w końcu swoją cierpliwością i wiernością na to dobrodziejstwo: w maju 1947 roku Józef Wissarionowicz przymierzył krochmalony żabot przed zwierciadłem, uznał że mu do twarzy i podyktował prezydium Rady Najwyższej dekret o zniesieniu kary śmierci w okresie pokoju z jej zamianą, co było nowością, na 25 lat więzienia.

Ale nasz naród jest niewdzięczny, ma skłonności przestępcze i nie potrafi docenić prawdziwej wspaniałości. Dlatego męczyli się nasi władcy, męczyli bez kary śmierci przez dwa i pół roku i 12 stycznia 1950 roku wydana została ustawa zupełnie odmienna: „Biorąc pod uwagę wnioski napływające ze strony republik narodowych (Ukraina?...), związków zawodowych (udały się nam te związki, zawsze wiedzą, czego ludziom trzeba), organizacji chłopskich (to chyba przez sen podyktował, bo wszystkie organizacje chłopskie zostały przez Miłośników Nam Panującego rozdeptane jeszcze w latach Wielkiego Przełomu), a także w imieniu działaczy kultury (o, to nawet prawdopodobne)... przywraca się karę śmierci w stosunku do „zdrajców ojczyzny, szpiegów i dywersantów” – a zebrali ich już się w zakładach karnych sporo. (Ale żeby skasować jednocześnie i w i a r ę – to zapomnieli, już została). I tak już zaczęto od nowa stosować naszą starą, pocziwą

kosiarkę do głów, to łatwo było dać jej szersze pole do działania: 1954 rok –* za morderstwo z premedytacją; maj 1961 – za zabór mienia państwowego; i za fałszowanie pieniędzy; a także za terror w miejscach odosobnienia (to dla tych, co ukatrupią szpicla, albo postraszą administrację obozu); lipiec 1961 – za wykroczenie przeciw przepisom p operacjach walutowych; luty 1962 – za targnięcie się (podniesienie ręki) na życie milicjantów i "drużynników" * a także – za dopuszczenie się gwałtu; i raptem – także za łapownictwo.

Ale to wszystko przecież – czasowo, aż do odwołania raz i na zawsze. Dziś również tak się pisze⁷.

I okazuje się, że najdłużej udało nam się bez kary śmierci wytrzymać za, Elżbiety Piotrowny.

Wegetując pogodnie i na oślep, wyobrażamy sobie skazanych na śmierć jako jednostki naznaczone fatalnym piętnem i nieliczne. Jesteśmy instynktownie przekonani, że nam się to nigdy zdarzyć nie może, że dla znalezienia się w celi śmierci trzeba – jeśli nie ciężkiej zbrodni, to w każdym razie jakichś wyjątkowych okoliczności życiowych. Trzeba by porządnie przemeblować nasze głowy, żebyśmy mogli sobie to wyobrazić: w celach śmierci siedziały tłumy najzupełniej szarych ludzi za zupełnie przyziemne uczynki i – zależnie od złej lub dobrej doli – bardzo często doczekiwali się oni nie ułaskawienia, tylko czapy (tak nazywają więźniowie „karę główną”, nie znoszą oni porównań)

* Ich odpowiednikiem są w Polsce Ludowej Ormowcy.

7 Wiedomosti Wierch. Sowietu SSSR, 1959, nr 1 – Podstawy prawa karnego ZSSR, str. XX. terminów i starają się wszystkiemu dać miano jak najordynarniejsze i jak najkrótsze).

Agronom rejonowego Wydziału Rolnego dostał wyrok śmierci za omyłki popełnione przy analizie kotchozowych nasion (a może ta analiza nie dogadzała zwierzchności) – rok 1937.

Przewodniczący spółdzielni rzemieślniczej (wyrabiającej szpulki do nici!) Mielnikow, skazany został na śmierć za to, że w warsztacie wybuchł pożar od iskry z lokomobili! – rok 1937 (co prawda, ułaskawiono go i dano 10 lat).

We wspomnianych już Krestach w 1932 roku czekali na śmierć: Feldman – za to, że znaleziono u niego walutę; Fajtelewicz z konserwatorium – za to, że sprzedał kawałek taśmy metalowej do wyrobu stalówek. Handel, od wieków – chleb i pociecha całych żydowskich pokoleń – też stał się czymś zasługującym na karę śmierci!

Czy trzeba się więc dziwić, że dostał karę śmierci wiejski chłopak spod Iwanowa, Gieraśka: na wiosennego świętego Mikołaja poszedł na zabawę do sąsiedniej wsi, wypił sobie tęgo i trzepnął kijaszkiem po kłębach – nie milicjanta, nie! – ale milicyjnego konia! (To prawda, że chcąc zrobić tejże milicji na złość, wyrwał deskę z parkanu rady gromadzkiej, później zerwał druty telefonu rady i wrzeszczał: „Chłopaki, bić to diabelskie nasienie!”...).

Czy nam pisana jest cela śmierci – nie od tego zależy, cośmy zrobili, albo czegośmy nie zrobili. Zależy od obrotów znacznie większego koła, od biegu zewnętrznych okoliczności ogromnej wagi. Na przykład – Leningrad jest oblężony, trwa blokada. Co pomyśli sobie najwyższy przedstawiciel władzy w mieście, towarzysz Żdanow, jeżeli wśród spraw leningradzkiej służby bezpieczeństwa, w ciągu tych surowych miesięcy nie będzie żadnej, wymagającej kary śmierci? Że Organy leniuchują, wszak prawda? Powinny przecież być wykryte jakieś wielkie spiski, kie-

rowane z zewnątrz przez Niemców? Dlaczego za bytności Stalina, w 1919 roku, takie spiski zostały wykryte, a za Żdanowa – w 1943 roku – nie ma ich? Skoro tak, to już się robi: Natychmiast wykrywa się kilka spisków o szerokim zasięgu! Człowiek śpi w swoim lodowatym, leningradzkim pokoju, a już pazurzasta, czarna ręka sięga po niego. I nic tu od człowieka nie zależy. Wytypowany zostaje, powiedzmy, generał-lejtnant Ignatowski – okna jego mieszkania wychodzą na Nową, wyjął kiedyś z kieszeni białą chusteczkę, wysiąkał nos – toż to sygnał! Na domiar złego Ignatowski, jako inżynier, lubi rozmawiać z marynarzami o sprawach technicznych. Zakarbuje to sobie! Ignatowski zostaje aresztowany. No, teraz się porachujemy! – Proszę wymienić członków waszej organizacji. Ignatowski wymienia ich. Otóż – jeżeli jesteś bileterem Teatru Aleksandrowskiego, to istnieje bardzo nieduże prawdopodobieństwo, że znajdziesz się w tym spisie, jeśli jednak jesteś profesorem Instytutu Technologii – to znajdziesz się w spisie na pewno (znów ta przeklęta inteligencja!) – i czy coś tu od ciebie zależało? A wszyscy, którzy w takim spisie się znajdują – muszą być rozstrzelani.

Istotnie, wszyscy zostają rozstrzelani. Zostaje przy życiu tylko Konstanty Iwanowicz Strachowicz, jeden z najznakomitszych rosyjskich specjalistów w dziedzinie hydrodynamiki – i oto dlaczego: jakieś wyższe szczeble bezpieczeństwa państwowego są niezadowolone, że spis był zbyt szczupły i że tak niewielu rozstrzelano. I Strachowicz zostaje wytypowany jako człowiek najlepiej nadający się na centralną figurę nowej organizacji, która ma być wykryta. Wzywa go kapitan Altszuler: „No i co? Celowo tak prędko przyznaliście się do wszystkiego i już mieliście nadzieję, że przeniesiecie się na tamten świat, nie mówiąc przedtem ani słowa o waszym podziemnym rządzie? Jakie stanowisko mieliście w nim?”. Tak oto, dalej siedząc w celi śmierci, Strachowicz wkracza w nowy krąg śledztwa. Sam proponuje, aby uznać go za ministra oświaty (chciałby skończyć z tym wszystkim co prędzej!), ale dla Altszulera tego jeszcze za mało. Śledztwo trwa, grupa Ignatowskiego tymczasem idzie pod mur. Na jednym z przesłuchań Strachowicza nagle ogarnia gniew: nie, żeby chciał żyć, ale już go znużyło umieranie, a najbardziej uprzykrzyło mu się to całe łgarstwo. I podczas gdy przesłuchują go krzyżowym sposobem w obecności jakiegoś dygnitarza, Strachowicz wali pięścią w stół: „To was w końcu wszystkich rozstrzelają! Nie chcę więcej kłamać! Ja w ogóle odwołuję wszystkie moje zeznania!”. I ten wybuch pomaga! Nie tylko że przestają go poddawać dalszym przesłuchaniom, ale na długo zapominają o nim, siedzącym w celi śmierci.

Wolno sądzić, że – na tle powszechnej potulności – wybuch desperacji zawsze pomaga.

Rozstrzelano więc takie mnóstwo – z początku tysiące, później setki tysięcy. Dzielimy, mnożymy, wzdychamy, przeklinamy. Ale to w końcu cyfry. Naprzód człowiek stępuje, później zapomina. Gdyby zaś kiedyś krewni rozstrzelanych złożyli w jednym jakimś wydawnictwie fotografie swoich pozabijanych bliskich, i gdyby później wydany został album tych zdjęć, kilka tomów takiego albumu – to wertując go i darząc ostatnim spojrzeniem te zgasłe oczy, moglibyśmy nie bylejak wzbogacić resztę naszego życia. Taka lektura, prawie bez słów, osnułaby serce nową otórką już na zawsze.

W pewnym znanym mi domu byłych zeków odprawiano taki ceremoniał: 5 marca, w rocznicę śmierci Naczelnego Mordercy, stawia się na stołach fotografie rozstrzelanych i zmarłych w obozie – parędziesiąt zdjęć, jakie udało się zebrać.

I cały dzień trwa w mieszkaniu ten obrzęd – na poły cerkiewny, na poły muzealny. Żałobna muzyka. Przychodzą przyjaciele, patrzą na fotografie, milczą, słuchają, prowadzą ciche rozmowy, wychodzą bez pożegnania.

A gdyby tak wszędzie... Zostałaby nam wtedy chociaż mała szrama na sercu po tych zgonach.

Żeby to chociaż NIE BYŁO NA DARMO!...

Jak się teraz to wszystko odbywa? Jak ludzie na to czekają? O czym myślą? Do jakich wniosków dochodzą i jak ich stamtąd w yprowadzają? I co czują oni w ostatnich swoich chwilach? I jak właściwie... ich... no... jak ich...?

Naturalna i bolesna jest chęć ludzka, aby zobaczyć, co jest za tą zasłoną (choć nikogo z NAS, oczywiście to nigdy nie spotka). Naturalne jest także to, że ci, którzy ocaleli, nie opowiadają o tym, co się dzieje na końcu, bo przecież darowano im życie.

Co dalej – to wiedzą tylko oprawcy. Ale oprawcy nic nie powiedzą. (Ten słynny wujek Loszaz Krestów, który wykręcał skazańcom ręce do tyłu, nakładał kajdany, a jeżeli prowadzony na śmierć krzyknął w nocnym korytarzu „Żegnajcie, bracia!”, to nawet usta mu kneblował – po cóż miałby się warn spowiadać? On pewno i teraz spaceruje sobie po Leningradzie. Ubrany jest przyzwoicie. Jeśli zdarzy się warn go spotkać w piwiarni na wyspach, albo na meczu – to jednak go zapytajcie!).

Ale nawet kat nie wie wszystkiego aż do końca. Pakując w karki nieme kule przy wórze specjalnie zapuszczonego silnika, nie może jednak zrozumieć tego, co sam czyni; to sprawa jego przeznaczenia i jego tępego znieczulenia. Do samego końca on też nie sięga myślą! Do końca wiedzą wszystko tylko zabici – czyli nie wie nikt.

Prawda, jeszcze artysta – choć w sposób niejasny i nieoczywisty – może sięgnąć wyobraźnią aż do samej kuli, do samego stryczka. To ułaskawieni oraz pisarz dostarczyli nam elementów do naszych pojęć o celi śmierci. Wiemy, na przykład, że skazańcy w nocy nie śpią, tylko czekają. I że uspokojenie przychodzi dopiero nad ranem.

Narokow (Marczenko) w powieści Wielkości pozorne* mocno zepsutej przez z góry założoną tezę – żeby wszystko było, jak u Do-

8 Wydawnictwo im. Czechowa. stojewskiego, a nawet bardziej wzruszająco i rozdierająco – samą jednak scenę rozstrzelania opisał, moim zdaniem, bardzo dobrze. Sprawdzić nie sposób, ale jakoś człowiek temu wierzy.

Domysły pisarzy wcześniejszej epoki, na przykład Leonida Andriejewa, teraz już mimowiednie trącą baśniami Kryłowa. Bo i kto, jaki fantasta mógł wtedy wyobrazić sobie cele śmierci z 37. roku? Zaczęłyby, oczywiście, dziergać swoją psychologiczną włóczękę: jak oni czekają? jak przysłuchują się?... Kto zaś mógł przewidzieć i opisać nam takie oto nieoczekiwane doznania skazańców:

1. Skazani na śmierć marzną. Spać muszą na cementowej podłodze, pod oknem – równa się to trzem stopniom poniżej zera (Strachowicz). Można zmarznąć na kość, zanim się człowiek doczeka rozstrzelania.

2. Skazani na śmierć cierpią z powodu ciasnoty i zaduch u. W pojedynczej celi upycha się siedmiu (to już CO NAJMNIEJ), dziesięciu, piętnastu, albo i DWUDZIESTU OŚMIU skazańców (Strachowicz, Leningrad, 1942). I tak siedzą w ścisku tygodniami i MIESIĄCAMI! Co im tam koszmarnie przeżycia siedmiu powieszonych*! Ludzie już się nie boją egzekucji, już nie drżą przed rozstrzelaniem, tyl-

ko myślą: jakby tu nogę wyciągnąć, jak obrócić się na drugi bok? jakby złapać trochę powietrza?

W 1937 roku, kiedy w iwanowskich więzieniach – Wewnętrznym, Nr 1, Nr 2 i Śledczym – siedziało jednocześnie prawie 40.000 ludzi, chociaż obliczone one były na nie więcej niż 3–4 tysiące – w więzieniu nr 2 mieszano razem: więźniów śledczych, skazanych na obóz, skazanych na karę śmierci, ułaskawionych, i jeszcze na dodatek – drobnych złodziejasków. Wszyscy oni przez KILKA DNI w dużej celi STALI w takim ścisku, że nie sposób było podnieść albo opuścić ręki, a człowiek przyciśnięty do nar ryzykował złamaniem kolana. Było to zimą i więźniowie wyłukli szyby w oknach, aby się nie udusić (w tej celi czekał na śmierć skazany już na rozstrzelanie, siwy jak gołąb Ałatykin, od 1898 roku członek RSDRP; z partii bolszewickiej wystąpił w 1917 roku, po opublikowaniu też kwietniowych).

3. Skazani na śmierć cierpią głód. Po wyroku śmierci czekają na jego wykonanie tak długo, że najważniejszym uczuciem, które nimi miota, nie jest strach przed rozstrzelaniem, lecz męka głodu: jakby tu coś zjeść? Aleksander Babicz w 1941 roku spędził w celi śmierci krasnojarskiego więzienia 75 dni! |

| Chodzi o Opowieść o siedmiu wisielcach Leonida Andrićjewa.

Już zupełnie pogodził się z losem i czekał na rozstrzelanie jako na jedyne i logiczne zakończenie swojego nieskładnego życia. Ale tymczasem spuchł z głodu – i tu zamieniono mu wyrok śmierci na 10 lat, a potem zaczęła się jego tułaczka po obozach.

A kto w ogóle najdłużej przebywał w celi śmierci? Czy ktoś zna ten rekord?... Wsjewołod Pietrowicz Golcyn, starosta (!) celi śmierci przesiedział w niej 140 dni (1938) – ale czy to cyfra rekordowa? Chłuba naszej nauki, profesor N.I. Wawitow czekał na rozstrzelanie przez kilka miesięcy, omal czy nie CAŁY ROK. W charakterze skazanego na śmierć został ewakuowany do Saratowa, w miejscowym więzieniu siedział w podziemnej celi bez okna, i kiedy latem 1942 roku doczekał się ułaskawienia i przeniesienia do celi ogólnej, nie mógł już chodzić i na spacerach wynosili go współwięźniowie na rękach.

4. Skazani na śmierć pozbawieni są pomocy lekarskiej. Przebywając długo w celi śmierci (1938 rok) Ochrymenko ciężko się rozchorował. Nie dość, że nie przeniesiono go do szpitala, ale nawet lekarka nie zjawiała się przez dłuższy czas. Gdy zaś przyszła nareszcie – to wcale nie weszła do celi, lecz przez kratę w drzwiach, nie badając chorego, ani o nic go nie pytając, dała mu jakieś proszki. U Strachowicza zaczęła się wodna puchlina nóg, zameldował o tym klucznikowi – i w końcu przysłano do niego... dentystę.

Kiedy zaś lekarz w końcu się zjawi, to powstaje dylemat, czy powinien w ogóle leczyć skazanego, to znaczy – przedłużać jego oczekiwanie na śmierć? Czy humanitaryzm lekarski powinien go skłonić do żądania szybszego wykonania wyroku? Oto jeszcze jedna scenka, zapamiętana przez Strachowicza: wchodzi lekarz i w trakcie rozmowy z dyżurnym wytyka palcem skazańców: „to już trup!... trup!... trup!...”. (W ten sposób wskazuje dyżurnemu cierpiących na dystrofię, nalegając, że nie wolno przecież tak ludzi dręczyć, że czas ich nareszcie rozstrzelać!).

A dlaczego właściwie tak długo ich trzymano? Czy brak było oprawców? Trzeba wziąć pod uwagę, że bardzo licznym skazanym proponowano – a nawet proszono ich – aby podpisali prośbę o ułaskawienie, a gdy ci bardzo już się wzdragali, nie chcąc więcej żadnych kompromisów – to podpisywano w ich imie-

niu. No, a urzędowy bieg papierków przez wszystkie tryby maszyny nie mógł być krótszy, trwał całe miesiące.

Chodziło zapewne o to, że zbiegały się tu kompetencje dwóch różnych resortów. Resort śledczo-sądowy (jak to słyszeliśmy z ust członków Kolegium Wojskowego – była to jedna całość) dążył do wykrycia jak największej ilości koszmarnie niebezpiecznych zbrodni i nie mógł nie wymierzać zbrodniarzowi należnej kary – to znaczy rozstrzelania. Ale skoro już kara śmierci została orzeczona, zaprotokołowana i uznana za osiągnięcie zarówno aparatu śledczego, jak sądu – wszystkie te słomiane chochoły, zwane skazanymi, panów sędziów więcej nie interesowały: toć w istocie żadnych rebelii nie było i nic w życiu państwa nie mogło zależeć od tego czy skazani umrą, czy też dalej będą żyć. W ten sposób los skazanych zależał już tylko od widzimisię resortu więziennictwa. Ten zaś resort, sąsiadujący z GUŁagiem patrzy! na więźniów już z innego, gospodarczego punktu widzenia. Jego zadania ilościowe polegały nie na tym, aby jak najwięcej ludzi rozstrzelać, lecz na tym, aby jak najwięcej siły roboczej dostarczyć na Archipelag.

Naczelnik wewnętrznego więzienia Wielkiego Domu – Sokołów, z tego punktu widzenia spojrzał też raz na Strachowicza, który w końcu zaczął się nudzić w celi śmierci, więc poprosił o papier i ołówek, aby móc pracować naukowo. Z początku napisał rozprawki: „O zależnościach między płynami i ciałami stałymi poruszającymi się w nich”, „Mechanika kusz, resorów i amortyzatorów”, następnie – „Zarys teorii statyczności”, przenieśli go już do oddzielnej „naukowej” celi, otrzymywał lepszy wikt, a tu już zaczęły przychodzić zamówienia z Frontu Leningradzkiego; opracował dla nich problem „przestrzennego wstrzeliwania się w cele latające” – i skończyło się na tym, że Żdanow zamienił mu karę śmierci na 15 lat (ale poczta z Wielkiej Ziemi szła po prostu bardzo powoli: wkrótce nadeszło zwykłe ułaskawienie z Moskwy, przy tym było lepsze niż to od Żdanowa: dano mu tylko dychę).

A.N.P., docenta matematyki, siedzącego w celi śmierci, postanowił wykorzystać dla swoich prywatnych celów śledczy Krużkow (a tak, tak, ten złodziejasek): szło o to, że studiował na wydziale zaocznym! I oto WZYWAŁ P. z celi śmierci – i dawał mu do rozwiązania zadania z teorii funkcji zmiennych w swoich (a najpewniej – nie tylko w swoich) zadaniach domowych.

Co wiedziała więc literatura światowa o przedśmiertnych mękach?...

Wreszcie (relacja Czawdarowa) cela śmierci może być wykorzystana jako element śledztwa, jako środek nacisku. Dwóch więźniów, uporczywie nie przyznających się do winy (Krasnojarsk), nagle wezwano na „rozprawę”, „skazano” na karę śmierci i przeniesiono do celi śmierci. (Czawdarow używa mylącej formuły: „za-inscenizowano dla

‘ Wszystkie te więzienne rozprawki Strachowicz zachował do dziś dnia. Jego „kariera naukowa” za kratami od tego się dopiero zaczęła: miał w przyszłości stać na czele jednego z pierwszych w ZSSR zespołów projektujących silniki turboodrzutowe. nich komedię sądową”. Ale kiedy każdy sąd – jest inscenizacją komedii, jaki termin znaleźć dla tej imitacji sądu? Teatr w teatrze, przedstawienie w trakcie przedstawienia). Kazano im zakosztować do syta tego przedśmiertnego bytowania. Wpuszczono do ich celi parę „kwok”, rzekomo również skazanych na śmierć. Ci zaś nagle oznajmili, że zdjęta ich skrucha i żal, iż tak uparci byli w czasie śledztwa, prosząc kluczników, aby zawiadomili śledczego, że gotowi już są wszystko

podpisać. Dano im do podpisu odpowiednie deklaracje i wyprowadzono z celi w d z i e ń, a więc nie na rozstrzelanie.

A ci naprawdę skazani na śmierć, siedzący w tej samej celi, którzy byli tylko tłem tej śledczej maskarady – też chyba coś czuli, gdy inni „okazywali skruchę” i dostawali za to ułaskawienie. No, ale to tylko kosztą własne reżyserskiej pomysłowości.

Podobno Konstanty Rokossowski, przyszły marszałek, w 1939 roku dwukrotnie wywożony był do lasu na rozstrzelanie. Widział już wycelowane lufy, ale komenda „pal!” nie padała i odwożono go do więzienia. To też rodzaj kary głównej, stosowanej jako zabieg śledczy. No i nic takiego, jakoś się obeszło, marszałek żył sobie śpiewając i do nikogo nie miał pretensji.

A zabić się pozwala człowiek prawie zawsze bez sprzeciwu, potulnie. Dlaczego kara śmierci tak człowieka hipnotyzuje? Ułaskawieni prawie nigdy nie wspominają o wypadkach oporu w ich celi śmierci. Ale to się także zdarza. W leningradzkich Krestach w 1932 roku skazani na śmierć wyrwali strażnikom rewolwery i zaczęli się ostrzeliwać. Po tym wypadku wprowadzono nową metodę: naprzód zaglądano przez lipkę, żeby dobrze rozpoznać upatrzonego, później wdzierano się do celi od razu pięciu nieuzbrojonych strażników i rzucało się na niego. Skazańców w celi było osiemdziesięciu, ale przecież każdy z nich podał odwołanie do Kalinina, każdy czekał na ułaskawienie i dlatego mówili sobie: „ja umrę jutro, ale ty już dzisiaj”. Rozchodzili się więc na boki i obojętnie się przyglądali, jak zakuwają w kajdany człowieka, jak woła on o pomoc i jak mu wpycha się do ust dziecinną piłeczkę. (Czy kto pomyślał kiedy, widząc taką piłeczkę, jak różne może mieć zastosowania?... Cóż to za świetny przykład dla lektorów, ilustrujących zasady dialektyki!).

Nadziejo! Czy więcej sił dodajesz, czy ich odbierasz? Gdyby w każdej celi skazani na śmierć rzucali się hurmą na wchodzących oprawców – to czy nie bardziej by to się przyczyniło do przerwania łańcucha egzekucji, niż wszystkie odwołania WCIK razem wzięte? Nie lepiej to bronić się, gdy stoisz już na skraju mogiły?

Ale czy przy aresztowaniu nie było już wszystko tak samo przesądzone? Jednakże wszyscy aresztowani – na kolanach, jakby im nogi odcięto – pełzli chwalebnym szlakiem nadziei.

Wasyli Grigoriewicz Własow wspomina, że tej nocy – po wyroku, kiedy prowadzono go przez ciemny Kadyj i czterema pistoletami grożono mu z czterech stron – myślał tylko o jednym: żeby tylko nie zastrzelono mnie tutaj, po prowokatorsku, przy rzekomej próbie ucieczki. To znaczy, że jeszcze nie uwierzył w swój wyrok! Wciąż miał nadzieję, że zachowa życie...

Zamknięto go teraz w biurze milicji. Kazano mu się położyć na stole kancelaryjnym, a dwóch–trzech milicjantów dyżurowało bez przerwy, nie gasząc naftowej lampy. Jeden mówił drugiemu: „Cztery dni słuchałem i słuchałem, a jakoś nie bardzo wiem, za co ich skazano?” – „E, to nie na nasz rozum!”

W tym biurze przesiedział Własow pięć dni i nocy: czekali na zatwierdzenie wyroku, aby móc przeprowadzić egzekucję w samym Kadyju, jako że bardzo trudno było konwojować skazańców gdzieś dalej. Ktoś wysłał w jego imieniu telegram z prośbą o ułaskawienie. „Nie uważam się za winnego, proszę o darowanie życia”. Odpowiedź nie nadchodziła. W ciągu wszystkich tych dni Własowowi tak się trzęsły ręce, że nie mógł posługiwać się łyżką i siorbał prosto z talerza. Wpadał czasem Klugin, żeby ponaigrawać się nad nimi. (Wkrótce po tej sprawie miał być

przeniesiony z Iwanowa do Moskwy. Był to rok gwałtownych wschodów i zachodów dla Gułagowskich gwiazd. Zbliżał się jednak czas ich otrzęsin – do tego samego wspólnego dołu, tylko że tego oni nie wiedzieli).

Ani zatwierdzenie wyroku, ani ułaskawienie jakoś nie nadchodziły i trzeba było jednak odwieźć do Kineszmy skazańców. Odwieziono ich czterema półtoratonówkami, każda z nich wiozła jednego skazanego i siedmiu milicjantów.

W Kineszmie – znaleźli się w klasztornych piwnicach (klasztorna architektura, oczyszczona z klasztornej ideologii, bardzo nam się przydawała!). Tam przyłączyli do nich jeszcze innych skazanych na śmierć i odwieziono aresztanckim wagonem do Iwanowa.

Na dworcu towarowym w Iwanowie odprowadzono na bok trzech z nich: Saburowa, Własowa i jednego z tej nowej grupy, pozostałych zaś od razu zabrano – bez wątpienia – na rozstrzelanie, żeby nie przeciążać więzienia. Tu nastąpiło pożegnanie Własowa ze Smirnowem.

Trzech pierwszych odstawiono na podwórzec więzienia nr 1 i kazano moknąć na lodowatej, październikowej plusze przez cztery godziny; przez ten czas wyprowadzano, przyprowadzano i rewidowano inne transporty. Właściwie nie było żadnego dowodu, że nie zostaną jeszcze dzisiaj rozstrzelani. Jeszcze te cztery godziny trzeba przesiedzieć na ziemi, bijąc się z myślami. Była taka chwila, gdy Saburowowi zdawało się, że go biorą, aby zaprowadzić pod mur (tymczasem – miał iść do celi). Nawet nie krzyknął, ale tak się wpił w ramię sąsiada, że to sąsiad wrzasnął z bólu. Eskorta powlokła Saburowa, jak wór, popędzając go dźgnięciami bagnatów.

W tym więzieniu były cztery cele śmierci – na tym samym korytarzu, gdzie izolatki dla chorych i cele dla dzieci! Cele śmierci miały podwójne drzwi: zwykłe, drewniane z judaszem – i żelazne, z krat; każde drzwi miały dwa zamki (klucz od jednego miał strażnik, od drugiego – dyżurny oddziału, aby nie można było otwierać inaczej, niż we dwójkę). 43. cela sąsiadowała z gabinetem śledczym i nocami, kiedy skazańcy czekali na rozstrzelanie, rozdzierały im uszy krzyki torturowanych.

Własow znalazł się w 61. celi. Była to pojedyńka: pięć metrów wzdłuż, nieco więcej niż metr – wszerz. Dwie żelazne койki przykute były raz na zawsze grubymi sztangami do podłogi. Na każdej z nich leżało na waleta po dwóch skazańców. A jeszcze czternastu leżało poprzecznie na cementowej podłodze.

Na każdego więc oczekującego śmierci przypadał niespełna łokieć kwadratowy powierzchni! Chociaż dawno wiadomo, że nawet umarły ma prawo do trzech łokci ziemi – a Czechów powiadał, że to jeszcze przymało...

Własow zapytał, czy rozstrzelali się tutaj od razu. „My już dawno siedzimy, a jakoś wciąż żyjemy...”.

I zaczęło się oczekiwanie właśnie takie, jak w opisach: nikt nie śpi przez całą noc, w zupełnym przygnębieniu ludzie czekają, aż ich się wyprowadzi na stracenie, przysłuchują się każdemu szmerowi, dochodzącemu z korytarza (to długie oczekiwanie również obniża zdolność człowieka do wszelkiego oporu!). Szczególnie niespokojne są noce, następujące po dniu, gdy ktoś z celi dostał wiadomość o ułaskawieniu: wyszedł z rykiem radości, w celi zaś strach się zagaścił – przecież razem z ułaskawieniem nadeszły dzisiaj skądś, z wysoka, również odpowiedzi odmowne i tej nocy na pewno po kogoś przyjdą...

Czasem w noty zgrzytnie zamek i ścisną się wszystkie serca – po mnie? Nie po mnie?! A to tylko klawisz odemknął drewniane drzwi, żeby powiedzieć byle co, na przykład: „Zdjść te rzeczy z parapetu!” Przez to jedno otwarcie drzwi wszystkich czternastu zbliżyło się o rok do własnej śmierci; wystarczy tak drzwi otworzyć pięćdziesiąt razy – i już nie trzeba będzie marnować kul! A jednak wszyscy wdzięczni są klawiszowi, że tylko o to chodziło: „Zaraz się zdejmie, obywatelu naczelniku!”.

Po rannym wyjściu do wychodka, wolni już od strachu, zapadali w sen. Później strażnik wnosił kubek z sałamaczką i mówił: „Dzień dobry!”. Regulamin nakazywał, aby drugie, żelazne drzwi otwierane były tylko w obecności dyżurnego starszego nadzorcy. Ale wiadomo, że ludzie lepsi są i bardziej leniwi od własnych instrukcji i rozporządzeń – więc też klucznik wchodził rano do celi bez dyżurnego i zupełnie po ludzku – nie, to było coś więcej! – mówił: „Dzień dobry!”.

Dla kogoś jeszcze na świecie był to dzień lepszy, niż dla nich! Pełni wdzięczności za ciepło tego głosu i ciepło tej bryj i, zasypiali teraz aż do południa. (Tylko rankami przechodziło im jedzenie przez gardło! Po przebudzeniu, jeszcze za dnia, przeważnie nie mogli już jeść. Ktoś dostawał nawet paczki – krewni mogli wiedzieć, choć mogli też nie wiedzieć o w-yroku śmierci – więc paczki te stawały się wspólną własnością celi, ale leżały i gniły w zatęchłej wilgoci).

Zdarzała się także we dniu chwila lekkiego ożywienia. Przychodził naczelnik oddziału – ponury Tarakanow albo bardziej życzliwy Makarow – i proponował papier do pisania podań, pytając, czy ci, którzy mają pieniądze, nie chcą wypisać sobie z kantyny czegoś do palenia. Takie pytania brzmiały dla nich albo zbyt cudacznie, albo nazbyt humanitarnie: co to, udają, że nie jesteśmy – skazani na śmierć?

Skazańcy wyłamywali denka z pudełek do zapalek, robili na nich znaczki, jak na kostkach i grali w domino. Własow szukał ulgi w snuciu opowieści ze świata spółdzielczego, które zawsze przybierały u niego odcień komiczny¹⁰. Jakub Pietrowicz Kołpaków, przewodniczący sudogskiego rejonowego komitetu wykonawczego, bolszewik od wiosny 1917 roku, jeszcze z frontowych czasów, dziesiątki dni pod rząd siedział, bez ruchu, ściskając głowę dłońmi, a łokcie kolanami i wciąż patrzył w ten sam punkt na ścianie. (Jak wesota i łatwa musiała się wydawać mu we wspomnieniach wiosna 17. roku!. Ale tego i owego (oficerów) wtedy też zabito.). Gadatliwość Własowa drażniła go: „Jak ty możesz?” – „A ty szykujesz się do rajskiego żywota?” – odgryzał się Własow, zachowując swój wołżański akcent nawet gdy mówił szybko. – „Jedno tylko chcę zrobić – powiem temu katu: pamiętaj – ty!”

Jego opowiadania o spółdzielczości są znakomite i godne osobnego opisu. Ko ty! nie sędziowie, nie prokuratorzy – ty jeden jesteś winien mojej śmierci – i żyj sobie teraz z tą myślą! Gdyby nie było was, dobrowolnych katów, to nie byłoby żadnych wyroków śmierci! I niech mnie sobie zabija, gad!”.

Kołpakowa rozstrzelano. Rozstrzelano też Konstantego Siergiejewicza Arkadiewa, byłego kierownika wydziału rolnego w Aleksandrowsku, w okręgu Włodzimirskim. Pożegnanie z nim było szczególnie ciężkie. W środku nocy przyszło po niego sześciu strażników, tupiąc buciorami. Zaczęli go poganiać, on zaś, łagodny, grzeczny, długo obracał i miął czapkę w rękę, starając się odwlec chwilę odejścia – odejścia od ostatnich żywych ludzi. I kiedy ostatni raz powiedział: „Żegnajcie” był już prawie bez głosu.

W pierwszej chwili, gdy okazuje się, kto ma być ofiarą, pozostali czują ulgę („to nie ja!”) ale zaraz po wyprowadzeniu człowieka, tym co zostali nie jest chyba wiele lżej niż temu, kogo zabrano. Przez cały następny dzień nie mogą mieszkańcy celi ani rozmawiać, ani jeść.

Zresztą, Gieraśka, ten co to chciał rozwalić radę gromadzką, jadł dużo i dobrze spał, umiejac się po chłopsku urządzić nawet tutaj. Zdawało się, że wcale nie może uwierzyć, iż zostanie rozstrzelany. (Nie rozstrzelano go też, zamieniono mu karę na dychę).

Niektórzy siweli w oczach współtowarzyszy w ciągu trzech, czterech dni.

Kiedy tak długo czeka się na śmierć – zdążą człowiekowi odrosnąć włosy, więc prowadzono całą celę do strzyżenia, do kąpieli. Więzienny dzień powszedni ma swoje prawa i nie dba o żadne wyroki. Niejeden tracił dar mowy, tracił rozum – ale nie bacząc na to musiał dalej czekać w celi na swoją kolej. Kto oszalał w celi śmierci, tego w tym stanie rozstrzeliwano.

Dość często nadchodziły zawiadomienia o ułaskawieniu. Akurat tej jesieni 1937 roku po raz pierwszy po rewolucji wprowadzono kary 15i 20-letnie, one też zastąpiły sporą część wydanych już wyroków śmierci. Zamieniali także na 10 lat. Zdarzała się też czasem zamiana na 5 lat, w krainie cudów możliwe są również takie wypadki: wczoraj jeszcze człowiek był godzien tylko śmierci, a dzisiaj dostał dziecienny wyrok, jest lekkim przestępcą i w obozie może nawet liczyć na poruszanie się bez eskorty.

Siedział w ich celi W.N. Chomenko, 60-letni kubański Kozak, były esauł, „dusza celi” jeżeli celi śmierci może mieć duszę: dowcipkował, uśmiechał się pod wąsem, nie pokazywał, jak mu ciężko. Jeszcze pod koniec japońskiej wojny przestał być zdolny do służby liniowej i wyspecjalizował się w hodowli koni. Pracował w gubernialnym zarządzie rolnictwa, a w latach 30. był już w iwanowskim okręgowym wydziale rolnym „inspektorem Czerwonej Armii”, to znaczy, że dawał baczenie, aby najlepsze konie przypadły właśnie wojsku. Aresztowany został i skazany na rozstrzelanie za to, że – jak to szkodnik – polecił miszkować ogierki nie później niż w trzecim roku życia, czym „poderwał siłę bojową Czerwonej Armii”. Chomenko złożył prośbę o kasację wyroku. Po upływie 55 dni zjawił się w celi oddziałowy i zawiadomił go, że skarga skierowana była do niewłaściwej instancji. Zaraz więc – na ścianie celi, ołówkiem oddziałowego – Chomenko wykreślił w adresie jedną nazwę i wpisał zamiast niej inną, jakby podanie dotyczyło paczki papierosów. Z tą kulfoniastą poprawką w adresie skarga wędrowała jeszcze 60 dni, tak, że Chomenko czekał na śmierć już w sumie 4 miesiące. (A czekaj sobie i rok, i dwa, toć my wszyscy na nią, na kostuchę, latami czekamy! Czy cały nasz świat nie jest w końcu celą śmierci?...). I w końcu nadeszła całkowita rehabilitacja! (Bo tymczasem Woroszyłow zalecił, aby kastrować przed upływem trzeciego roku). To grób se kop – to wódkę żłop!

Ułaskawień było więc dość sporo, ten i ów liczył na to coraz bardziej. Ale Własow, porównując swoją sprawę z innymi i – co najważniejsze – pomny na swoje zachowanie się na rozprawie, był przekonany, że jego wypadek jest cięższy. Bo i kogo tu w takim razie posyłać pod mur? Przynajmniej połowy skazanych to tak czy owak nie minie? Był więc pewien, że go rozstrzelają. Jednego tylko chciał – iść na śmierć z podniesioną głową. Właściwe mu zawadiactwo uległo w nim przez ten czas jakby stężeniu i postanowił być zuchwały aż do samego końca.

Zdarzyła się też odpowiednia okazja. Robiąc obchód więzienia, Czynguli – naczelnik oddziału śledczego iwańskiego bezpieczeństwa – nie wiedząc czemu (chyba po to, by poczuć ekscytujący dreszczyk) kazał otworzyć drzwi celi śmierci i stanął na jej progu. Zaczął coś mówić i w końcu zapytał:

– A jest tu kto z kadyjskiej sprawy?

Miał na sobie jedwabną koszulkę z krótkimi rękawami. Pojawiły się one u nas dopiero co i wciąż jeszcze wydawały się babskim strojem. Czy ta koszula, czy też on sam skropiony był słodkawymi perfumami, którymi zapachniało nawet w celi.

Własow żwawo wskoczył na kojkę i krzyknął na cały głos:

– A co to znów za kolonialny oficer?! Won stąd, morderco! – I z wysokości nar, co miał ducha w piersi i gęstej śliny w ustach, plunął naczelnikowi w twarz.

I – trafił!

Ten otarł głowę i wycofał się. Wejść bowiem do tej celi miał prawo tylko w towarzystwie sześciu strażników, zresztą nie wiadomo nawet, czy mu to prawo przysługiwało.

Prawomyślny królik nie powinien robić takich rzeczy. A co, jeżeli właśnie u tego Czynguli leżą twoje akta i właśnie od niego zależy wiza na twoim podaniu o ułaskawienie? Przecież chyba nie bez powodu pytał: „A jest tu kto z kadyjskiej sprawy?”. Pewno właśnie dlatego się zjawił.

Ale jest pewna granica, poza którą już się nie chce, już przykrzy się być prawomyślnym królikiem. Jest to chwila, w której królik doznaje olśnienia: wszystkie króliki są tylko dostarczycielami mięsa i futra, a dlatego jedyne co mogą zyskać, to tylko zwłoka, nie zaś prawo do życia. Jest to chwila, gdy chce się wołać: „A niechże was diabli, strzelajcie już prędzej!”.

W ciągu 41 dni oczekiwania na rozstrzelanie właśnie to uczucie rozjątrzenia narastało we Własowie. W iwanowskim więzieniu dwa razy podsuwano mu do podpisu podanie o łaskę – lecz wciąż odmawiał.

Ale 42 dnia wezwano go do boksu i oznajmiono, że Prezydium Rady Najwyższej zamieniło mu karę śmierci na 20 lat pozbawienia wolności z zesłaniem do obozów pracy poprawczej i z pozbawieniem praw obywatelskich na przeciąg następnych lat 5.

Poblady Własow uśmiechnął się krzywo i nawet w takiej chwili zdobył się na koncept:

– Dziwne. Skazano mnie za niewiarę w zwycięstwo socjalizmu w jednym kraju. Ale czy sam Kalinin w to wierzy, jeżeli sądzi, że jeszcze za dwadzieścia lat potrzebne będą u nas obozy?...

Wydawało się to wtedy nie do pojęcia – jeszcze za 20 lat!

Cóż, uznano je za potrzebne nawet po 40 latach...

XII

KARA WIĘZIENIA

Ach, to pocziwe rosyjskie słowo – ostróg, oznaczające więzienie! Jakież ono. jędrne, jakie krzepkie! Ma się wrażenie, że jest w nim cała krzepa i moc tych ścian, spoza których nie sposób się wyrwać, a wszystko skupione jest w tych sześciu literach – i srogość, i ostrość (ta ostrość, co się wpija jeżowymi igłami w mordę, co smaga śniegiem oczy i skuwa mrozem głowę, ostrość ciosanych kołków zewnętrznej żony obozu i ostrość zasieków z kolczastego drutu), i ostrożność więziarska też bokiem się o to słowo ociera – no, a r o g, ten róg w zakończeniu? Toć róg sterczy tu widomie, grozi! wprost w nas jest wymierzony! A jeśli objąć spojrzeniem całe

rosyjskie życie więzienne i obyczaje, no, całą tę instytucję w trakcie ostatnich, powiedzmy, 90 lat, to widać już niejeden róg, lecz całe dwa: narodowolcy nadziali się na samo ostrze tego rogu, na ten czubek, który bodzie najdotkliwiej, tak, że nie sposób go odbić gołą piersią – ale przecież stopniowo przytępił się on, zaokrąglił przytarł, aż opłynął całkiem i stał się jakby już nawet nie rogiem, ale guzkiem wśród sierści (w pierwszych latach XX wieku). Lecz oto później (po 1917 roku) rychło zaczęły się przebijać pierwsze szpice nowej tyki, i dalej, i dalej, już się formują groty, już słychać „wara!”, już się to znów pnie w górę, zaostrza, twardnieje, rogowacieje – i gdzieś koło 38. roku wbija się człowiekowi oł, choćby w tę pulsującą jamkę nad obojczykiem, pod szyją. Powstaje oficjalny termin: *т и у р з а к*, „*tiurimnoje zakluczenije*”, izolacja więzienna. I jak dzwon na trwogę, bijący daleko, w nocy, raz do roku – wtóruje mu skrót: TON! – *Tiurma Osobogo Naznaczenija*, więzienie specjalne.

Jeśli tę parabolę przymierzyć do losu któregoś z więźniów carskiego Szlisserburga¹ to z początku aż straszno: więzień ma tylko numer, nigdy się jego nazwiska nie wymienia; żandarmi – jakby musztrowani na Łubiance: ani słowa własnego nie powiedzą. Spróbuj zająknąć się – „my...” – zaraz: „mówcie tylko w swoim imieniu!”. Grobowa cisza. Cela wiecznie pogrążona w półmroku, szyby nieprzejrzyste, podłoga asfaltowa, lufcik otwiera się tylko na 40 minut dziennie. Do jedzenia – tylko postny kapuśniak i kasza. Nie wydają z biblioteki dzieł naukowych. Widzenie – tylko raz na dwa lata. Dopiero po trzech latach więzień otrzymuje ponumerowane arkusiki papieru do pisania².

Ale później – pomalutku – robi się luźniej, kanty się ścierają: jest już biały chleb, wydają także więźniowi herbatę i cukier; jak masz pieniądze – to możesz sobie to i owo dokupić; palenia też się już nie zabrania; wstawiono już przejrzyste szyby, lufcik może być stale otwarty; ściany pomalowano jaśniejszą farbą; patrzeć – a są też już książeczki, abonowane w miejskiej bibliotece; poszczególne działki więziennego warzywnika przegrodzone są siatką, można rozmawiać i nawet prowadzić przez nie wykłady. I już się wyciągają aresztanckie ręce: dajcie nam jeszcze trochę ziemi! I już dwa duże więzienne dziedzińce zostają pocięte na działki uprawne. I wkrótce mamy już czterysta pięćdziesiąt gatunków kwiatów i warzyw! Są już kolekcje eksponatów naukowych, stolarnia, kuźnia, już zarabiamy trochę, kupujemy książki, nawet rosyjskie publikacje polityczne i zagraniczne czasopisma. Wolno korespondować z bliskimi. Spacer? – choćby nawet przez cały dzień.

I po jakimś czasie – pisze Wiera Figner – „już nie nadzorca krzychał na nas, tylko my na niego”. A gdy w 1902 roku odmówił przekazania wyżej jej skargi – Figner zerwała za to nadzorcy epolety! A oto skutki: przyjechał wojskowy sędzia śledczy i na wszelkie sposoby przepraszał Wierę Figner za grubiaństwo nadzorcy!

Jak doszło do tego przesunięcia, do tego zelżenia – Wiera Figner wyjaśnia, że częściowo było to wynikiem ludzkich zalet poszczególnych komendantów, częściowo zaś, „żandarmii żyli się z tymi, których pilnowali”, przyzwyczaili się. Niemało zapewne zawdzięczali więźniowie własnej nieustępliwości, poczuciu godności i samoopanowaniu. Ale ja sądzę, że zadecydował klimat tych lat, świeże, wilgotne poddmuchy wyprzedzające nawałnicę, ten wietrzyk wolności, który już snuł się nad

1 Pamięć pracy (Zapieczatliionnyj trud) – Wiery Figner.

2 P.A. Krasikow, ten sam, który skaże później na śmierć metropolitę Beniamina, czytał w twierdzy Piotra i Pawła Kapitał (ale tylko przez rok, bo go wypuścili). społeczeństwem! Gdyby nie on, to można by najwyżej wkuwać co poniedziałek

z żandarmami krótki kurs (ale go jeszcze nie było), musztrować i dbać o dyscyplinę. I zamiast Pamięci pracy doczekałaby się Wiera Nikołajewna za zerwanie epoletów – dziewięciu gramów w lochu.

Do rozchwierutania i osłabienia carskiego systemu więziennego doszło, rzecz jasna, nie samo przez się – tylko dlatego, że całe społeczeństwo razem z rewolucjonistami starało się go podważyć i wyśmiać. Carat przegrał własną głowę nie w Lutym, w czasie ulicznej strzelaniny, tylko o kilka dziesięcioleci wcześniej: w momencie, gdy młodzież z zamożnych rodzin zaczęła uważać pobyt w więzieniu za zaszczyt, liniowi zaś oficerowie (a nawet gwardziści) podanie ręki żandarmowi – za dyshonor. Im bardziej też wiotczał system więzienny, tym ostrzej rysowały się kontury zwycięskiej etyki więźniów politycznych i tym wyraźniej członkowie partii rewolucyjnych zdawali sobie sprawę z siły własnej i swoich własnych – nie zaś państwowych – praw.

I wtedy to nadszedł rok Siedemnasty, a na jego karku wjechał Osiemnasty. Przejdźmy od razu do 18. Przedmiot naszej analizy nie pozwala nam zajmować się dłużej 17.: po marcu wszystkie więzienia polityczne (kryminalne również) karne i śledcze, a także wszystkie miejsca ciężkich robót – opustoszały i jak właściwie przeżyli ten rok więzienni klucznicy i nadzorcy z katorgi – to zagadka; zapewne psim swędem uchowali się na ogródkach działkowych, pomagając sobie uprawą ziemniaczków. (Po 1918 – już im było znacznie lżej, a w więzieniu na Szpalernej jeszcze w 1928 roku dostęgiwali się emerytury przy nowym reżymie; jakoś to leciało).

Już w ostatnim miesiącu 1917 roku zaczęło stawać się jasne, że bez więzień jednak nie można się obejść, że niektórych ludzi nie można trzymać gdzie indziej, jak za kratą (patrz rozdział II) – po prostu dlatego, że nie ma dla nich miejsca w nowym społeczeństwie. W ten sposób rozłogę między rogami przebyło jednym skokiem, na oślep – i zaczęto domacywać się drugiego rogu.

Oczywiście, powiedziane zostało z punktu, że okropności carskich więzień nigdy więcej już się nie powtórzą: że nie ma mowy o stosowaniu dolegliwości w charakterze środków wychowawczych, że nie będzie w więzieniach ani milczenia, ani cel pojedynczych, ani izolowanych spacerów z jakimś tam obowiązkiem chodzenia gęsiego, że nie będzie nawet zamykania cel³! – drodzy goście, kontaktujcie się ze sobą, roz-

³ Tom zbiorowy *Od więzień...* mawiajcie, ile dusza zamarzy, skarżcie się jeden drugiemu na bolszewików. Nowe władze więzienne skupiły zaś uwagę na przygotowaniu bojowym straży zewnętrznej i zajęte były przejmowaniem masy spadkowej po caracie w postaci więziennych budynków i zasobów (nie była to ta część maszyny państwowej, którą należało rozwalić, a później zbudować od nowa). Okazało się na szczęście, że wojna domowa nie doprowadziła do zburzenia żadnego z głównych więzień centralnych. Konieczne było tylko odcięcie się od tych starych, zaszarganych terminów. Teraz nazywano je politizatorami; wykazując tą dwudzielną nazwą, że członkowie byłych rewolucyjnych partii uznani są za politycznych przeciwników i że kraty mają już nie charakter represyjny, lecz iż ich zadaniem jest tylko izolacja (i to zapewne tymczasowa) tych staromodnych rewolucjonistów od nowego społeczeństwa w fazie niepowstrzymanego rozwoju. W tej właśnie intencji pod sklepieniami starych centralniaków (w Suzdalu – zdaje się już od czasów wojny domowej) znaleźli się eserowcy, esdecy i anarchiści.

Wszyscy oni wrócili do więzień świadomi swoich aresztanckich praw i pamiętając o dawnej tradycji ich obrony. Uważali, że mają pełne prawo (wywalczone za czasów caratu i potwierdzone przez rewolucję) do specjalnej politycznej racji żywnościowej (wliczając w to również pół paczki papierosów dziennie); do zakupów na rynku (twaróg, mleko); do nieskrępowanych spacerów po wiele godzin dziennie; do używania przez więzienną administrację formy „wy” w rozmowach z nimi (sami zaś w obecności kogoś z administracji nie wstawali); dalej wspólne celki dla męża i żony; gazety, czasopisma, książki, przybory piśmienne i przedmioty osobistego użytku z brzytwami i nożycami włącznie – wszystko to w celi; trzy razy miesięcznie wysyłanie i otrzymywanie korespondencji; raz na miesiąc widzenie; oczywiście – okna muszą być przejrzyste (nie było jeszcze wtedy pojęć „kaganiec”, „blinc”); żadnych przeszkód przy odwiedzaniu innych cel: spacerniki – z trawnikiem i krzakami bzu; wolny wybór towarzystwa w czasie spacerów i prawo do przerzucania woreczka z pocztą z jednego spacernika na drugi; ekspediowanie kobiet w ciąży z więzienia na zesłanie – dwa miesiące przed porodem⁴.

Ale to wszystko wchodzi dopiero w zakres politreżymu. Polityczni więźniowie lat dwudziestych dobrze jeszcze pamiętali coś idącego znacznie dalej: samorząd więźniów politycznych – i płynące stąd po–

4 Od 1918 roku już się wcale nie krępowano i zamykano w więzieniach również eserki w odmiennym stanie. czucie, że jest się w więzieniu częścią całości, ogniwkiem gromady. Samorząd (wolne wybory starostów, dbających wobec administracji o wszystkie interesy wszystkich więźniów) osłabiał presję więzienia na poszczególnych skazanych – bo brał ją na wspólne barki i potęgował każdy protest – bo dawał mu siłę chóru.

Tego to wszystkiego zaczęli oni bronić! Władze zaś więzienne wszystko postanowiły im odebrać! Zaczęła się tedy głucha walka, bez salw artyleryjskich; tylko czasem rozlegały się wystrzały karabinowe, a brzęk wybijanych szyb słychać przecież nie dalej niż o pół wiorsty. Toczyła się głucha walka o resztki wolności, o resztki prawa do własnych opinii, trwała ta głucha walka prawie 20 lat, ale nie poświęcono jej pięknie ilustrowanych foliów. I wszystkie jej przyptywy i odpływy, rejestry zwycięstw i klęsk, są dla nas dzisiaj niedostępne, ponieważ Archipelag nie ma własnego piśmiennictwa, a tradycja ustna kończy się wraz z ludzkim życiem. I czasem tylko przypadkowo odłamki tej bitwy dolatują do nas, oświetlone księżycowym, wtórnym i niewyraźnym blaskiem.

Ale myśmy też nieźle przez ten czas zhardzieli! – znamy już bitwy oddziałów pancernych, znamy już eksplozje atomowe – więc co to dla nas w ogóle za bitwa, przy której – całej parady – zamyka się ludzi na klucz, a więźniowie, pragnąc wprowadzić w życie swoje prawo do wzajemnych kontaktów, pukają głośno w mury, przerzucają się okrzykami z okna do okna, spuszczaają grypsy na nitkach z piętra na piętro i domagają się, żeby przynajmniej starostowie frakcji partyjnych mogli swobodnie chodzić z celi do celi? Czy to dla nas prawdziwa walka, jeżeli naczelnik więzienia łubiańskiego wchodzi do celi, zaś anarchistka Anna G-wa (1926 rok) lub eserka Katia Olicka (1931 rok) odmawiają wstawania przy jego wejściu? (A ten dzikus za karę pozbawia je prawa... wychodzenia z celi za potrzebą). To ma być walka, jeżeli dwie dziewczyny, Szura i Wiera (1925 rok) – protestując przeciw poniżającemu, łubiańskiemu zakazowi prowadzenia rozmów inaczej niż szeptem – zaczynają głośno śpiewać w celi (nic szczególnego, tylko o wiosnie

i bzach) – a wówczas naczelnik więzienia, Łotysz Dukes wlecze je za włosy korytarzem do wychodka? Albo jeżeli (1924 rok) w aresztanckim wagonie leningradzcy studenci śpiewają rewolucyjne pieśni, a eskorta pozbawia ich za to wody do picia? Studenci krzyczą: „Nawet carscy konwojenci nie zrobiliby tego!” – więc eskorta bierze się do bicia? Albo – gdy eserowiec Kozłów w trakcie wysyłki etapem do Korni głośno wyzywa straż od oprawców – i gdy za to włożony jest po ziemi i bity?

Przecież przyzwyczailiśmy się uważać za odwagę tylko ten jej rodzaj, który przejawia się na wojnie (no – i jeszcze ten od lotów kosmicznych), co to dzwoni orderami. Zapomnieliśmy o innej odwadze – cywilnej – a tylko ona! tylko ona! tylko ona potrzebna jest naszemu społeczeństwu! tylko jej u nas nie widać...

W 1923 roku w wiatkim więzieniu eser Stróżyński i towarzysze (ilu ich było? jak się nazywali? przeciw czemu protestowali?) zabarykadowali się w celi, oblali materace naftą i sami się spalili – w zupełnej zgodzie z tradycjami Szlisselburga, żeby już nie sięgać głębiej. Ale ile podobny gest robił hałasu niegdyś, jakie to poruszenie wywołało w całym rosyjskim społeczeństwie! teraz zaś nie dowiedziata się o tym ani Wiatka, ani Moskwa, ani historia. A tymczasem mięso ludzkie skwierczało na ogniu zupełnie tak samo!

Pomysł zamiany wysp Sołowieckich na miejsce zesłania wziął się ze spostrzeżenia, że to bardzo odpowiedni punkt, ponieważ przez pół roku nie ma on łączności ze światem zewnętrznym. Żaden krzyk stamtąd nie dojdzie, możesz tam spokojnie bawić się w całopalenie. W 1923 roku przywieziono tam przeto z Pertominska (półwysep Onieński) grupę aresztowanych socjalistów i rozmieszczono w trzech odległych pustelniach klasztornych.

Oto pustelnia Sawwatiewska – dwa oddziały byłego hospicjum dla pątników, część jeziora należy do żony obozowej. Przez pierwsze miesiące wydaje się, że wszystko jest w porządku: przestrzegany jest politreżym, niektórym krewnym udaje się dotrzeć aż tu na widzenia, a wszystkie pertraktacje z administracją więzienną prowadzone są przez starostów trzech partyjnych grup. Cała żona pustelni – jest żoną wolną, wewnątrz niej więzień może i rozmawiać, i robić wszystko bez przeszkód. /

Ale już wtedy, o świcie epoki Archipelagu, rozpetły się uporczywe pogłoski: politreżym będzie zlikwidowany... likwidują politreżym...

I rzeczywiście, doczekawszy się połowy grudnia – gdy kończy się nawigacja i wszelka łączność ze światem – naczelnik sołowieckiego obozu Eichmans⁵ obwieścił: owszem, wydana została nowa instrukcja w sprawie reżymu więziennego. Nie wszystko zostaje skasowane, bynajmniej! – ograniczone będzie prawo korespondencji i coś tam jeszcze, a najważniejsze, że z dniem 20 grudnia 1923 roku zabrania się wychodzenia z mieszkalnych budynków po 6 wieczorem.

Frakcje partyjne decydują się na protest, escrowcy i anarchiści wyłaniają grupę ochotników, którzy właśnie 20 grudnia mają wyjść na spa-

Jak przypomina Eichmanna, co?... cer demonstracyjnie, po szóstej wieczór. Ale naczelnik Sawwatiewskiej pustelni Nogtiew taką ma chęć postrzelać sobie, że jeszcze przed fatalną 6 godziną (a może nie nastawił dobrze zegarka? jeszcze wtedy nie sprawdzało się według radia), uzbrojeni konwojenci weszli w obręb żony i otworzyli ogień do więźniów, spacerujących spokojnie i w zgodzie z regulaminem. Trzy salwy. Sześciu zabitych, trzech ciężko rannych.

Następnego dnia przyjechał Eichmans: to godne pożalowania nieporozumienie. Nogtiew zostanie usunięty (dosta! przeniesienie i awans). Pogrzeb zabitych. Chór śpiewa w sołowieckim pustkowiu stary, rewolucyjny marsz żałobny. (Czy aby nie po raz ostatni zezwala się na to zawodzenie po dopiero co zabitych?). Przywalili ich mogiłę wielkim głazem morenowym i wyryli na nim nazwiska⁶.

Nie sposób powiedzieć, aby prasa ten wypadek przemilczała. W Prawdzie pojawiła się wzmianka *petitem*: więźniowie napadli na strażników i sześciu ludzi zginęło. Uczciwa gazeta Rote Fahne pisała zaś o buncie na Solówkach⁷.

Ale politreżym został uratowany! I przez cały rok nikt nie zająknął się o nowych zmianach.

Przez cały 1924 rok, owszem. Ale pod jego koniec rozpetły się uporczywe pogłoski, że w grudniu znów zacznie się wprowadzanie nowego regulaminu. Smok już poczuł głód, potrzebne mu były nowe ofiary.

I oto trzy pustelnie socjalistyczne – Sawwatiewska, Troicka i Muksańska, leżące na trzech rozmaitych wyspach, potrafiły jednak nawiązać konspiracyjną łączność – i tego samego dnia wszystkie partyjne frakcje ze wszystkich trzech pustelni złożyły oświadczenia z ultimatywnymi żądaniami wobec Moskwy i administracji wysp Sołowieckich: albo przed końcem nawigacji wszyscy więźniowie będą stąd wywiezieni, albo też dotychczasowy regulamin ma pozostać w mocy. Tern in ultimum oznaczono na dwa tygodnie, grożąc, że inaczej we wszystkich pustelniach rozpocznie się głodówka. Taka jedność zasługiwała na uwagę. Takiego ultimatum nie można puścić mimo uszu. Dzień przed upływem terminu przyjechał Eichmans kolejno do każdej pustelni i oświad–

6 W 1925 roku głaz został odwrócony, przez co napisy zniknęły z oczu. Kto bywa na Solówkach jako turysta – niech poszuka i sam popatrzy!

7 Wśród eserowców siedzących w Sawwatiewskiej pustelni był również Jurij Podbielski. Zgromadził on świadectwa lekarskie dotyczące sołowieckiej masakry, pragnąc je w przyszłości gdzieś opublikować. Ale po upływie roku, podczas rewizji w Swierdłowskim więzieniu tranzytowym, wykryto dokumenty w podwójnym dniu jego kuferka. Tak oto potyka się rosyjska Historia... czył, że Moskwa odpowiedziała odmownie. Następnego więc dnia we wszystkich trzech pustelniach (łączność między nimi też miała ulec przerwaniu) rozpoczęto głodówkę z tym, że wolno było pić wodę. W Sawwatiewskiej głodowało około 200 ludzi. Sami podjęli postanowienie, aby chorych od tego obowiązku uwolnić. Lekarz–aresztant – codziennie badał głodujących. Głodówka kolektywna zawsze trudniejsza jest do przeprowadzenia niż indywidualna; decyduje przecież wytrzymałość nie najsilniejszych, lecz najsłabszych uczestników. Głodówka ma sens tylko wtedy, gdy wszyscy decydują się na nią stanowczo, gdy każdy zna innych osobiście i jest ich zupełnie pewien. Kiedy udział bierze kilka różnych frakcji partyjnych, gdy uczestników jest kilkuset – nieuniknione są rozbieżności i rozterka moralna podsycana jeszcze przez innych. Po piętnastu dobach głodu w Sawwatiewskiej pustelni trzeba było przeprowadzić tajne (urny przenoszono z izby do izby) głosowanie: trzymać się dalej, czy przerwać głodówkę?

A Moskwa i Eichmas czekali sobie: sami przecież głodu nie czuli, stołeczne gazety nie rozwodziły się nad głodówką, nie było też studenckich wieców pod soborem Kazańskim. Głucha tajność nadawała już śmiało żądany kształt naszej historii.

Pustelnie postanowiły zakończyć głodówkę. Nie wygrały jej. Ale, jak się okazało, nie przegrały jej również: regulamin w czasie tej zimy nie uległ zmianie, dodano tylko obowiązek wyrębu i dowozu drzewa z lasu; to już było logiczne. Wiosną zaś 1925 roku okazało się, że głodówka przyniosła w rezultacie wygraną: aresztantów ze wszystkich trzech pustelni ewakuowano z wysp Sołowieckich! Na stały ląd! Dosyć już polarnych nocy i półrocznej izolacji! Tylko że eskorta i warunki żywienia w drodze były (jak na owe czasy) jakieś bardzo surowe. Wkrótce zaś okazało się, że więźniowie padli ofiarą podstępów: pod pretekstem, że starszyzna powinna korzystać z pewnych wygód, ulokowano starostów w "sztabowym" wagonie, razem ze sprzętem gospodarczym. W ten sposób grupa została jakby bez głowy. Wagon ze starostami odczepiono w Wiatce i poślano do Tobolskiego izolatora. Dopiero wtedy wyjaśniło się, że zeszłoroczna głodówka zakończyła się klęską: silną i wpływową starszyznę odcięto do reszty po to, aby przykręcić śrubę. Jagoda i Katanian osobiście kierowali operacją rozmieszczenia byłych wyspiarzy w dawno już gotowym, lecz aż do tej chwili stojącym pustką budynkiem więziennym Górnouralskiego izolatora, który w ten sposób został przez nich „zainaugurowany” wiosną 1925 roku (naczelnikiem został niejaki Dupper) – aby zasłynąć w przyszłości i budzić potem przez całe dziesięciolecia zasłużony strach.

W izolatorze przybyszom z Sołówek od razu odebrano swobodę ruchów: cele zamknięte zostały na klucz. Udało się mimo wszystko wybrać nowych starostów, nie mieli oni jednak już prawa do odwiedzania cel. Wzbronione zostało przekazywanie bez ograniczeń pieniędzy, rzeczy i książek z jednej celi do drugiej, jak to bywało dawniej. Gdy pewnego razu któryś z więźniów zaczął wołać drugiego – stojący na wieży wartownik strzelił w okno celi. W odpowiedzi urządzono raban – powybijano szyby, poniszczono więzienne sprzęty. (A w naszych więzieniach warto dobrze się namyśleć nad podobnym gestem – jak wybijesz w celi szybę, to mogą jej wcale na zimę nie wstawić, nic nadzwyczajnego. To za caratu szklarz musiałby przybiec duchem). Walka trwała dalej, ale już z desperacją i w warunkach niekorzystnych dla skazańców.

W 1928 roku (według relacji Piotra Piotrowicza Rubina) zjakiejs tam przyczyny nowa powszechna głodówka ogarnęła cały Górnouralski izolator. Ale teraz już nie było dawnej solennej atmosfery ani własnego lekarza i przyjacielskiej zachęty. Ktoregoś dnia głodówki strażnicy zaczęli wdzierać się do cel w przeważającej liczbie – i po prostu bić wynędzniałych ludzi pałkami i buciorami. Pobili ich więc – i głodówka się skończyła.

Naiwną wiarę w skuteczność głodówek zawdzięczamy dawnym doświadczeniom i starym książkom. Głodówka zaś jest bronią wyłącznie moralną, kto po nią sięga, ten zakłada, że jego strażnik nie wyzbył się jeszcze resztek sumienia. Albo że boi się on głosu opinii. I tylko wtedy głodówka ma znaczenie.

Carscy strażnicy więzienni byli jeszcze zieloni: jeśli więzień zaczynał głodówkę – przejmowali się, vzdychali, troszczyli się o niego, przenosili do szpitala. Przykładów jest mnóstwo, ale nie im jest poświęcona ta praca. To wręcz śmieszne, ale wystarczyło, że Walentynow głodował przez 12 dni – i uzyskał nie jakąś tam ulgę, lecz BEZWARUNKOWE WYPUSZCZENIE NA WOLNOŚĆ w okresie śledztwa (i wyjechał do Szwajcarii, do Lenina).

Nawet w orłowskim centralniaku katorżniczym każda głodówka kończyła się niezmiennie sukcesem. Więźniowie z pomocą głodówki uzyskali złagodzenie reżymu w 1912 roku, a w 1913 – dalsze ustępstwa, w ich liczbie prawo do wspólnych

spacerów wszystkich katorżników politycznych. Spacery te tak mało były widoczne zakłócone przez nadzorców, że więźniom udało się dzięki temu skompilować i przestać za mury swój apel „Do ludu rosyjskiego” (podkreślam – chodzi o apel wystosowany przez więźniów skazanych na ciężkie roboty!), który został OPUBLIKOWANY! (tu już człowiek rozdziawia gębę! kto tu zwariował?). W 1914 roku w numerze 1. czasopisma Wiestnik katorgi i ssytki⁸ (a sam ten Wiestnik to mało? może by też u nas spróbować podobnej publikacji?). W 1914 roku kosztem pięciu dni głodówki – co prawda – bez wody, Dzierżyński i czterech jego towarzyszy uzyskali zaspokojenie wszystkich swoich licznych żądań, dotyczących warunków pobytu w więzieniu⁹.

Prócz cierpień sprawianych przez sam głód, głodówka nie groziła aresztantowi żadnymi innymi kłopotami. Nie można go było za głodówkę pobić, postawić drugi raz przed sądem, powiększyć mu wyrok, rozstrzelać, ani wysłać etapem. (Wszystko to poznali więźniowie w późniejszym okresie).

Podczas rewolucji 1905 roku i w latach następnych aresztanci poczuli się w takim stopniu gospodarzami więzień, że nie fatygowali się nawet, aby proklamować głodówkę, lecz albo niszczyli więzienne sprzęty (tzw. obstrukcja), albo posuwali się do tego, by ogłaszać strajk, chociaż wydawałoby się, że nie ma to w ich wypadku sensu. Tak na przykład w mieście Nikołajew w 1906 roku 197 aresztantów z miejscowego więzienia „proklamowało strajk” uzgodniony, oczywiście, z towarzyszami z zewnątrz. Z okazji tego strajku ci towarzysze wydrukowali ulotki i zaczęli zwoływać codziennie wiece pod bramami więzienia. Wiece te (aresztanci zaś – rozumie się samo przez się – asystowali przy nich, bo okna niczym nie były zasłonięte) miały zmusić administrację do przyjęcia żądań „strajkujących”. Następnie – ci z ulicy, i ci stojący przy okiennych kratkach – śpiewali chórem rewolucyjne pieśni. Ciągnęło się to (bez żadnych przeszkód! a był to rok porewolucyjnej reakcji) przez osiem dni pod rząd! Dziewiątego dnia wszystkie żądania aresztantów zostały przyjęte! Podobne akcje miały wówczas miejsce również w Odessie, Chersoniu i Jelizawietgradzie. Zwycięstwa były wtedy łatwe!

Dobrze byłoby sprawdzić przy okazji, jak przebiegały głodówki za czasów Rządu Tymczasowego, ale cóż, tych kilku bolszewików, którzy między wypadkami lipcowymi a rebelią Kornilowa siedzieli w więzieniu (Kamieniew, Trocki, trochę dłużej – Raskolnikow), nie miało widać powodu do proklamowania głodówek.

* Gernet, Historia carskich więzień, Moskwa 1963 rok, tom V, rozdz. 8.

⁹ Ibidem.

W latach 20. na budującą historię głodówek pada cień (oczywiście – zależy z czyjego punktu widzenia...)– Ten szeroko znany i, zdawałoby się, tak skuteczny sposób walki zaczyna być stosowany, co byłoby zrozumiałe, nie tylko przez oficjalnie uznanych „politycznych”, lecz również przez nie uznanych za takich „kaerów” (artykuł 58) i przez rozmaite przypadkowe elementy. Jednakże – jakoś stępiły się te strzały, tak niegdyś głęboko drżące, albo może przechwytywała je zaraz w locie jakaś żelazna ręka. Co prawda, przyjmowane są jeszcze pisemne deklaracje o rozpoczęciu głodówki i niczego wywrotowego w nich się tymczasem nie widzi. Ale wprowadzane są w życie nieprzyjemne nowe zasady: głodujący powinien być odizolowany w specjalnej pojedynce (w Butyrkach – w baszcie Pugaczowa); o głodówce nie powinien wiedzieć nie tylko, skory do wiecowania, świat zewnętrzny, nie tylko sąsiednie cele, ale nawet ta cela, w której protestujący siedział aż do tej chwili – wszak to również jakaś społeczność i od niej też powinien być

odcięty. Przepis znajduje uzasadnienie w tym, że administracja powinna mieć pewność, iż głodówka przeprowadzana jest w sposób rzetelny – że towarzysze z celi nie dokarmiają cichcem głodującego. (A jak to było sprawdzane dawniej? Wierzano na słowo honoru?...).

Mimo to, można było jeszcze w tych latach osiągnąć drogą głodówki uznanie jakichś osobistych żądań.

W początkach lat 30. zaznacza się nowy zwrot myśli państwowej w stosunku do problemu głodówek. Bo i na co zdali się państwu nawet takie osłabione, izolowane, na poły zduszone głodówki? Czy nie bliżsi będziemy ideału jeśli założymy, że aresztanci w ogóle nie mają własnej woli ani możliwości podejmowania własnej decyzji, bo wszak myśli za nich i decyduje administracja? Tak, chyba tylko tacy więźniowie mogą mieć prawo do istnienia w nowym społeczeństwie. W początkach lat 30. przestano zatem przyjmować – uzasadnione nawet – deklaracje o rozpoczęciu głodówki. „Głodówka jako sposób walki więcej nie istnieje!” – oznajmiono w 1932 roku Katarzynie Olickiej i wielu jeszcze innym. Władze skasowały głodówki! I basta. Ale Olicka nie podporządkowała się i głodówkę rozpoczęła. Pozwolono jej głodować w pojedynczej celi piętnaście dni i nocy. Następnie zabrano ją do szpitala, gdzie celowo stawiano przed nią mleko i suchary. Jednakże nie poddała się pokusie i dziewiętnastego dnia odniosła zwycięstwo: otrzymała prawo do dłuższych spacerów, czytania gazet i paczek – politycznego Czerwonego Krzyża. (Nieźle trzeba się było wysilić, żeby dostać te, dozwolone przez prawo, paczki!). A w ogóle – był to sukces drobnutki i zbyt wielkim kosztem osiągnięty. Olicka wspomina równie bezmyślne głodówki, przeprowadzane przez innych więźniów: niektórzy głodowali po 20 dni, aby dostać zatrzymaną w administracji paczkę, albo po to, aby móc sobie dobrać innego towarzysza spacerów. Czy to warto? Przecież w więzieniu nowego typu nie może człowiek odzyskać raz utraczonych sił. Prawosławny sekciarz Kołoskow zabrał się do głodówki i 25. dnia umarł. Czy w ogóle można pozwolić sobie na głodówkę w Więzieniu Nowego Typu? Przecież Strażnicy Nowego Typu – korzystając z przywilejów sekretu i tajności – prowadzili takie oto potężne środki przeciw głodówkom:

1. Bezgraniczną cierpliwość administracji. (Poznaliśmy ją już przy omawianiu poprzednich przykładów).

2. Wprowadzanie w błąd. To także konsekwencja tajności. Kiedy każdy krok staje się wiadomy korespondentom gazet, wprowadzanie w błąd wcale nie jest łatwe. W naszych zaś warunkach – dlaczego właściwie nie uciekać się do oszustwa? W 1933 roku, w chabarowskim więzieniu, S.A. Czebotariow głodował przez 18 dni żądając, aby zawiadomiono rodzinę o miejscu jego pobytu (przyjechali z KWŻD, on nagle „zaginął” i niepokoił się o żonę, która o niczym nie wiedziała). 17. dnia odwiedził go zastępca naczelnika OGPU Kraju Chabarowskiego – Zapadnyj oraz chabarowski prokurator naczelny (już ze samych rang widać, że długie głodówki nie były zjawiskiem tak znowu częstym). Pokazali mu oni kwit telegraficzny: widzicie, żona zawiadomiona! przez co skłonili go do zjedzenia bulionu. Kwit zaś był fałszywy! (Dlaczego jednak zajęty się sprawą aż tak wysokie szarże? Nie o życie Czebotariowa im chodziło. Najwidoczniej w pierwszej połowie lat 30. istniała jeszcze jakaś osobista odpowiedzialność władz za przeciwegające się głodówki).

3. Sztuczne odżywianie przemocą. Chwyt ten z pewnością zapożyczono ze zwierzyńca. Stosowany być może też tylko tam, gdzie wszystko jest tajne. W 1937 roku sztuczne odżywianie było już, jak się zdaje, szeroko stosowane. Na przykład –

w czasie grupowej głodówki socjalistów w jarosławskim więzieniu centralnym, 15. jej dnia zastosowano sztuczne odżywianie wobec wszystkich uczestników.

Zabieg ten pod wieloma względami przypomina zgwałcenie – zresztą nie jest niczym innym: czterech mocnych chłopów rzuca się na słabą ludzką istotę po to, aby pokonać jej opór, pokonać tylko raz – i nie jest ważne, co dalej będzie z tym człowiekiem. Występuje tu – tak samo, jak przy gwałcie – element łamania woli: nie tak będzie, jak ty chcesz, tylko tak, jak ja chcę, leż i nie sprzeciwiaj się. Usta otwiera się specjalną szpatułką, rozszerza się otwór między zębami, wprowadza się szlauch: „łykajcie!”. Jeśli zaś człowiek nie chce łykać, szlauch wsuwa się głębiej i płynny roztwór pompuje się wprost do przełyku. Następnie robi się masaż brzucha, aby więzień nie mógł zwymiotować. Łączne wrażenie zbrukania moralnego, cikliwej słodyczy w ustach i błogiej pełni w żołądku jest rozkosznie miłe.

Nauka nie zasypiała gruszek w popiele i opracowane były wkrótce także inne metody karmienia: przez odbytnicę, kroplówką przez nos.

4. Nowy pogląd na głodówki. Głodówka jest kontynuacją działalności kontrrewolucyjnej w murach więzienia, stanowi przeto podstawę do wymierzenia nowej kary. To nowe nastawienie stwarzało możliwość narodzin zupełnie nowej działalności praktycznej Więzienia Nowego Typu, ale pozostało raczej w dziedzinie pogróżek. I, rzecz jasna, nie poczucie humoru przeszkodziło ich realizacji, lecz chyba lenistwo: po co to wszystko, skoro wystarczy cierpliwie odczekać? Cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość sytego wobec głodnego. Gdzieś w środku 1937 roku nadeszła dyrektywa: administracja więzienia już więcej zupełnie nie odpowiada za wypadki śmierci podczas głodówki! Zniknął ostatni ślad osobistej odpowiedzialności! (Teraz by już nie przyszedł żaden naczelny prokurator do Czebotariowa!...). Co więcej: aby również funkcjonariusze śledczy nie doznawali żadnych cierpień dusznych, załeczone, aby dni głodówki wszczętej przez więźnia śledczego nie były zaliczane do przewidzianych terminów śledztwa, to znaczy: – należy nie tylko uważać, iż żadna głodówka nie miała miejsca, ale nawet traktować te dni jako spędzone na wolności! Niech jedynym uchwytym skutkiem głodówki będzie wycieńczenie aresztanta!

Innymi słowy: chcesz zdychać? To zdychaj!!

Arnold Rappoport miał nieszczęście podjąć głodówkę w archangielskim więzieniu wewnętrznym akurat w momencie nadejścia tej dyrektywy. Była to głodówka szczególnie ciężka, więc – zdawałoby się – tym większe powinna była zrobić wrażenie – mianowicie "sucha", bez wody, trwała 13 dni (porównać tylko te 5 dni przez które w ten sam sposób głodował Dzierżyński, zresztą – nie w samotnej celi – i zakończone zwycięstwem). I w ciągu tych trzynastu dni do pojedynki, gdzie go przeniesiono, wpadał tylko czasem felczer, nie przyszedł zaś ani lekarz, ani też nikt z administracji, choćby po to, aby zapytać: o co chodzi, co chce on osiągnąć tą głodówką? Aż do końca nikt go o to nie spytał... Jedynym przejawem zainteresowania ze strony straży było przeprowadzenie starannej rewizji w pojedynce, przy której zabrano mu schowaną szczyptę machorki i kilka zapalek. Tymczasem Rappoport protestował w ten sposób przeciw pastwieniu się nad nim śledczego. Do swojej głodówki przygotował się naukowym sposobem: otrzymał wcześniej paczkę, jadł tylko masło i obwarzanki, czarnego zaś chleba nie brał do ust już od tygodnia. Doprowadził się głodówką do takiego stanu, że dłonie miał niemal przejrzyste. Przypomina sobie, że miał poczucie lekkości i jasności myśli. Poczciwa, zawsze uśmiechnięta strażniczka Marusia weszła któregoś dnia do je-

go pojedynki i szepnęła: „Przerwijcie głodówkę, i tak nie pomoże, dadzą wam umrzeć! Trzeba było tydzień wcześniej zacząć...”. Posłuchał rady i przerwał głodówkę nic nie osiągnąwszy.

Dano mu przynajmniej grzanego czerwonego wina z butką, po czym strażnicy przenieśli go na rękach do celi ogólnej. Po kilku dniach znów zaczął się przesłuchania. (Jednakże, głodówka nie była zupełnie daremna: śledczy zrozumiał, że Rappoport ma dość siły woli i że nie boi się śmierci, więc też śledztwo zelżało. „Patrzajcie, to z ciebie taki wilk!” – powiedział mu śledczy. „A wilk” – przytaknął Rappoport. – „I waszym psem nigdy nie będę”).

Rappoport jeszcze raz później rozpoczął głodówkę, tym razem w kotłasskim więzieniu tranzytowym, lecz miała ona odcień raczej komiczny. Oznajmił, że żąda wznowienia śledztwa, i że nie pójdzie dalej z transportem. Na trzeci dzień przyszli po niego: „Zbieraj się, etap rusza!” – „Nie macie prawa! Ja głoduję”. Wówczas czterech zuchów podniosło go z ziemi, zaciągnęło do łóżni i wrzuciło tam jak wór. Po łóżni, tym samym sposobem odnieśli go na wachtę. Trudna rada, Rapoport dźwignął się jakoś i powłókł się za maszerującym etapem – przecież za plecami miał już psy i bagnety.

W ten sposób Więzienie Nowego Typu odniosło zwycięstwo nad burżuazyjnymi głodówkami.

Silny nawet człowiek nie miał już żadnej innej możliwości przeciwstawienia się machinie więziennej – prócz samobójstwa. Ale czy samobójstwo – to sposób walki? Czy to nic kapitulacja?

Eserka Katia Olicka uważa, że znaczenie głodówek, jako metody walki, poderwane zostało poważnie przez trockistów i komunistów, idących ich śladem do więzień: Ze zbytnią łatwością proklamowali je – i ze zbytnią łatwością je przerywali. Nawet I.N. Smirnow, ich przywódca – jak twierdzi Olicka – przed moskiewskim procesem 4 dni głodował, ale szybko się poddał i przerwał głodówkę. Podobno przed rokiem 1936 trockiści z zasady odrzucali wszelki rodzaj głodówek przeciw władzy sowieckiej i nigdy nie udzielali poparcia głodującym eserom i esdekom¹⁰.

Niechaj historia oceni, czy słuszny to zarzut, czy też niesłuszny. Skądinąd – nikt ciężiej nie zapłacił za głodówki niż trockiści (do ich głodówek i strajków w obozach przejdziemy jeszcze w części III).

Łatwe proklamowanie i przerywanie głodówek jest zapewne w ogóle charakterystyczne dla natur zapalnych, emocyjnych. Ale takie natury zdarzały się również wśród starych rosyjskich rewolucjonistów, częste są i we Włoszech, i we Francji – ale przecież nigdzie – ani w Rosji, ani we Włoszech, ani we Francji nie potrafiono ludzi tak głodówek oduczyć, jak to zrobiono z nami w Związku Sowieckim. Zapewne wcale nie mniej ludzi padło ofiarą i nie mniej hartu duchowego przejawiono w związku z głodówkami w drugiej połowie naszego wieku niż w pierwszej. Jednakże zabrakło w kraju opinii publicznej! – i dlatego właśnie mogło zapuścić korzenie Więzienie Nowego Typu, a zamiast łatwych zwycięstw, udziałem więźniów stały się ponoszone w pocie czoła klęski.

Mijały dziesięciolecia – i czas robił swoje. Głodówka – pierwsze i najbardziej naturalne prawo aresztanta – stawała się już dla samych więźniów rzeczą obcą i niezrozumiałą, coraz mniej było jej amatorów. Strażnikom więziennym zaś zaczęło się wydawać, że głodówka to albo idiotyzm, albo złośliwe wykroczenia.

Kiedy w 1960 roku Gennady Smietow, pospolitak, rozpoczął w leningradzkim więzieniu swoją długą głodówkę, wszedł jednak pewnego dnia do jego celi proku-

rator (a może robił tylko obchód ogólny) i zapytał: „No i po co się tak męczycie?”. Smiełow odparł:

– Prawda miłsza mi jest niż życie!

Słowa te uderzyły prokuratora i wydawały mu się tak bezmyślne, że następnego dnia Smiełow został odwieziony do leningradzkiego szpitala (domu wariatów) dla aresztantów. Lekarka powiedziała mu wprost:

– Istnieje przypuszczenie, że cierpicie na schizofrenię.

Blisko grotów rogu, tam gdzie się tyka już zwęża, sterczały byłe centralniaki, zwane od 1937 roku specizolatorami. Tłamszono tam wątłe ludzkie resztki, odbierano ostatni szczerb powietrza i światła. I głodówka zdziesiątkowanych, znużonych socjalistów w obostrzonym jarostawie–

10 Na odwrót zaś zawsze żądali dla siebie poparcia od eserowców i esdeków. W 1936 roku, w transporcie karagańsko–kolymskim nazywali „zdrajcami i prowokatorami” tych, którzy odmawiali podpisu pod ich telegramem do Kalinina z protestem „przeciw wysianiu awangardy rewolucji (to znaczy ich) na Koly-me”. (Relacja Makotńskiego). kim izolatorze w początkach 1937 roku, był to już jeden z ostatnich rozpaczliwych porywów.

Wciąż jeszcze żądali oni wszystkiego tego co dawniej – i prawa wyboru starostów, i swobodnego kontaktu między celami, żądali – ale chyba już nie wierzyli, że to osiągną. Piętnastodniowa głodówka, chociaż zakończona przymusowym karmieniem przez odbytnicę – doprowadziła jednak do odwojowania jakiejś części ich praw: godzinnego spaceru, okręgowej gazety, zeszytów do notatek. Zdołali to sobie wywalczyć, ale jednocześnie zabrano im ich własne rzeczy i wrzucono do cel jednakowe, aresztanckie drelichy, uniform specizolatora. A po niedługim czasie – obcięto pół godziny spaceru, później odebrano dalszych 15 minut.

Byli to wciąż ci sami ludzie, wtórczeni po wszystkich więzieniach i zesłaniach w myśl reguł Wielkiego Pasjansa. Niektórzy już od 10, niektórzy od 15 lat nie wiedzieli co to zwyczajne ludzkie życie, znali tylko nędzne więzienne żarcie albo głodówki. Nie wymarli jeszcze wszyscy z tych, którzy przed rewolucją potrafili odnosić zwycięstwa nad więzienną strażą. Jednakże wówczas ich sojusznikiem był Czas, przeciwnik zaś z każdym dniem był słabszy. Teraz natomiast mieli przeciw sobie i Czas i sprzymierzonego z nim, coraz mocniejszego przeciwnika. Byli wśród nich również łydzie młodzi – ci, którzy zaczęli uważać się za eserów, esdeków, albo anarchistów już po unicestwieniu tych partii i jedynym przeznaczeniem tych neofitów było tylko siedzenie po więzieniach.

Cała więzienna walka socjalistów, z każdym rokiem coraz bardziej beznadziejna, toczyła się w samotnej próżni, prawie już bezpowietrznej. To było co innego niż za carskich czasów, gdy wydawało się, że wystarczy tylko odemknąć więzienne wrota, a społeczeństwo obrzuci więźniów kwiatami. Rozkładali stronicę gazet i widzieli, jak się ich obrzuca wyzwiskami, jak ich się nawet pomyjami oblewa (przecież właśnie socjaliści wydawali się Stalinowi elementem najbardziej niebezpiecznym dla jego socjalizmu) – a lud milczał i co właściwie pozwalało przypuszczać, że współczuje tym, za których nie tak dawno głosował przy wyborach do Konstytuanty? Ale już nawet gazety przestały ich wyklinać – bo tak nikłym wydawało się niebezpieczeństwo, grożące ze strony rosyjskich socjalistów, tak mało ważną, tak iluzoryczną sama ich obecność. Na wolności wspomniano o nich już tylko w czasie przeszłym i zaprzeszłym, a młodzieży nawet na myśl nie przychodziło, że są jeszcze gdzieś żywi eserzy i żywi mienszewicy. I na czymkentskim albo cze-

rdyńskim zestaniu w izolatorze Górnouralskim czy Władimirskim, jak mogli ci ludzie nie wpaść w rozterkę – w ciemnej pojedynce, już opatrzonej w kaganiec, jak mogli nie pomyśleć, że i program ich i przywódcy – mylili się tylko, że błędna była cała ich taktyka i praktyka? I zaczęło im się wydawać, że wszystkie ich akcje niczym się od bezsenności nie różniły. I życie, strawione na samych tylko cierpieniach – zaczęło im się rysować jako fatalny błąd.

Cień samotności rozpostarł się nad nimi częściowo także dlatego, że w trakcie pierwszych lat porewolucyjnych w naturalny sposób przyjąwszy z rąk GPU zasłużony tytuł więźniów politycznych, tak samo w naturalny sposób zgodzili się oni z GPU, że wszyscy, stojący „na prawo” od nich¹¹, poczynając od konstytucyjnych demokratów – nie są to więźniowie politycznie, lecz tylko kaerzy, kontra, nawóz dziejów. I ci, co brali na siebie krzyż za wiarę Chrystusową – także zaliczani byli do k a e r ó w. Ten kto nie chce znać ani „prawicy” ani „lewicy” (a to w przyszłości my, my wszyscy!) – też jest uznany za k a e r a. W ten sposób – częściowo dobrowolnie, częścią zaś bezwiednie, odcinając się od innych, bocząc się, dokonali oni konsekracji przyszłego artykułu 58, w którego jamę także i oni mieli jeszcze wpaść.

Przedmioty i ludzkie działania wyglądają zdecydowanie inaczej, zależnie od punktu, z którego sieje rozpatruje. W tym rozdziale opisujemy więzienną kalwarię socjalistów z ich punktu widzenia – i oto staje ona przed nami w czystym blasku tragedii. Ale ci kaerzy, których polityczni traktowali na Sołówkach z lekceważeniem, ci kaerzy tak o tej sprawie mówią: „Polityczni? Byli jacyś niesympatyczni: do wszystkich odnosili się z pogardą trzymali się osobno, zawsze tylko ze swoimi, wciąż się domagali tych swoich ulg i przydziałów. A między sobą – wciąż się kłócili”. – Trudno, ale w tych słowach też słyszy się akcent prawdy. I te bezpłodne, nieskończone, śmieszne wręcz dyskusje. A te żądania dodatkowych przydziałów w obecności tłumu głodnych i biednych współwięźniów? W epoce sowieckiej honorowy tytuł więźnia politycznego okazał się darem zatrutym. I nagle pojawia się jeszcze taki zarzut: a czemu to socjaliści, tak beztrósco uciekający z katorgi za cara – zmiękli nagle w sowieckim więzieniu? Gdzie ich ucieczki? Ucieczki w ogóle zdarzały się często – ale kto przypomina sobie ucieczkę socjalisty?

Ci zaś więźniowie, którzy uważali się za stojących jeszcze bardziej na lewo od socjalistów – trockiści i komuniści – ci z kolei patrzyli wil-

„Nie lubię tych pojęć „lewica”, „prawica”; są umowne, wymienne i pozbawione treści. kiem na socjalistów, jako na k a e r ó w, nie lepszych niż inni – i w ten sposób krąg samotności się zamykał.

Trockiści i komuniści uważający swoje poglądy za najczystsze i najdoskonalsze, darzyli pogardą, a nawet nienawiścią socjalistów (a także siebie wzajem), siedzących za tymi samymi kratami, spacerujących po tych samych więziennych podwórcach. Olicka pisze w swoich wspomnieniach, że w tranzytowym więzieniu w zatoce Wanino (1937 rok), kiedy socjaliści z męskiej żony usiłowali krzykami porozumieć się i podzielić się nowościami z towarzyszkami z żeńskiej żony, odgródzonej parkanem – komunistki Liza Kotik i Maria Krutikowa nie posiadały się z oburzenia, że to nieodpowiedzialne zachowanie się socjalistów może wszystkich narazić na administracyjne kary. Powtarzały: „Wszystkie nasze nieszczęścia – przez tych socjalistycznych gadów. (Wyjaśnienie głębokie i jakże zgodne z dialektyką!) – Wszystkich ich warto by wydusić!” – A tamte dwie dziewczyny z Łubianki śpiewa-

ły w 1935 roku tylko o bzach, bo jedna z nich była eserką, a druga – komunistką z opozycji i dlatego nie miały wspólnego politycznego repertuaru, a zresztą w ogóle opozycjonistka nie powinna była wspólnie z eserką bawić się w protesty.

I podczas gdy w carskim więzieniu rozmaite partie często łączyły się dla wspólnych akcji (przypomnijmy tylko ucieczkę z centralnika w Sewastopolu), to w sowieckim więzieniu każda frakcja uważała, że czystość jej sztandaru wymaga, by nie łączyć się nigdy z innymi. Trockiści walczyli osobno, izolując się od socjalistów i komunistów, komuniści zaś w ogóle nie walczyli, jak bowiem można pozwolić sobie na walkę przeciw własnej władzy i własnemu więzieniu?

I właśnie dlatego komuniści w izolatorach i więzieniach karnych zostali całkowicie ujarzmieni wcześniej i w surowszy sposób niż inni. Komunistka Nadieżda Surowcewa w 1928 roku w jarosławskim centralniaku musiała chodzić na spacer tylko gęsiego, szeregiem, bez prawa rozmowy, podczas kiedy socjaliści gadali sobie swobodnie, chodząc całą gromadą. Nie wolno jej było już pielęgnować kwiatów na dziedzińcu – a kwiaty zostały po dawnych aresztantach, tych, co o swoje walczyli.

Gazet też już wtedy pozbawiono. (Za to Tajny Oddział Polityczny GPU pozwolił jej na trzymanie w celi dzieł zebranych Marksa, Engelsa, Lenina i Hegla). Widzenia z matką jej udzielono w zupełnych prawie ciemnościach i zgnębiona matka wkrótce umarła (co mogła pomyśleć sobie o warunkach, w których siedzi córka?).

Utrzymujące się wiele lat różnice zachowań miały swoje jeszcze dalsze i głębsze konsekwencje w więziennym życiu: w latach 37–38 socjaliści przecież również siedzieli i też dostawali swoje dychy. Ale regułą było, że nie zmuszano ich do oczerniania samych siebie: przecież nie ukrywali oni swoich odmiennych poglądów, zupełnie wystarczających dla wyroku skazującego! Komunista zaś z zasady nie ma poglądów odmiennych – więc za co tu go sądzić, jeżeli się przedtem go nie zmusi, aby sam siebie oczernił?

Chociaż ogromny Archipelag szeroko już się rozprzestrzenił – to wcale nie zanikały zwyczajne miejsca odsiadek. Stara więzienna tradycja kontynuowana była gorliwie. Wszystko to, co wniósł Archipelag do sprawy wychowania mas – choć były to zdobycze nowe i nie mające wprost ceny – jednak nie dawało jeszcze wrażenia pełni. Koniecznym uzupełnieniem były dopiero TON-y i w ogóle – system więzień karnych.

Nie każdy wessany przez wielką Maszynę miał ulec zmieszaniu z masą tubylców Archipelagu. Znakomici przybysze z zagranicy, osobistości zbyt znane, więźniowie, których aresztowanie powinno było pozostać tajemnicą, a także zdegradowani bezpieczniacy – żadną miarą nie powinni byli wyptywać na obozową powierzchnię: ich robota przy taczkach nie wynagrodziłaby ani niepotrzebnego rozgłosu, ani uszczerbku moralno-politycznego¹². Podobnie też socjaliści – stale walczący o swoje prawa – w żaden sposób nie powinni byli mieszać się z tłumem – toteż trzymano ich osobno, pod pozorem zapewnienia im w ten sposób przywilejów i praw. Znacznie później, w latach 50., jak jeszcze się przekonamy, TON-y, Więzienia Specjalne przydadzą się również dla izolowania obozowych buntowników. W ostatnich latach swego życia, rozczarowawszy się co do możliwości „re-edukacji” złodziei, Stalin rozkaże również rozmaitych pachanów skazywać nie na obóz, tylko na więzienie. I wreszcie – trzeba było zapewnić darmowy państwowy wikt również takim więźniom, którzy mogliby od razu na skutek słabego zdrowia –

umrzeć w obozie, nie odcierpiwszy kary, albo takich jeszcze, których w żaden sposób nie można było zaprząć do zwykłych robót – jak ślepy Kopiejkin, 70-letni staryzec, który siadywał stale na rynku w miasteczku Juriewiec nad Wołgą. Jego pieśni i powie–

„Istnieje taki termin!... Kolorek błękitno-błotnisty. dzonka przyniosły mu w nagrodę 10 lat za KRD, ale trzeba mu było zamienić obóz na więzienie.

Stosownie do nowych zadań, podlegał konserwacji, renowacji, konsolidacji i doskonaleniu stary majątek nieruchomości więzień, otrzymany w spadku po dynastii Romanowów i sieci klasztorów. Niektóre więzienia centralne, na przykład Jarosławskie, urządzone były tak solidnie i wygodnie (drzwi obite żelazem, w każdej celi przymocowany do podłogi stół, taboret oraz pryczka), że konieczne okazało się tylko założenie kagańców na oknach i podzielenie spacerników na działki wielkości celi (mniej więcej w 1937 roku zrąbane zostały w więzieniach wszystkie drzewa oraz przekopane warzywniki i trawniki, które później zalano asfaltem). Inne, jak dawny klasztor w Suzdalu, wymagały adaptacji, ale wszak zamknięcie cielesnej istoty człowieka w murach klasztornych – i zamknięcie istoty ludzkiej na mocy obowiązującego prawa w więzieniu, mają w końcu cele materialnie zbliżone i dlatego też budynki podobne dają się łatwo adaptować. Tak samo przerobiony był rwa więzienie karne jeden z oddziałów klasztoru Suchanowskiego – bo przecież trzeba było nadrobić straty: forteca Piotra i Pawła oraz Szlisselburg stały się obiektami muzealno-turystycznymi. Władimirski centralniak został rozszerzony i rozbudowany (wielki nowy oddział powstał za kadencji Jeżowa), chętnie był wykorzystywany i cieszył się znaczną frekwencją w ciągu tego dziesięciolecia. Wspominaliśmy już, że czynny był centralniak w Tobolsku, a od 1925 roku otwarty został do stałego i bardzo intensywnego użytku centralniak Górnouralski. (Wszystkie te izolatory wciąż, niestety, istnieją i czynne są w chwili, gdy piszemy te słowa). Z poematu Aleksandra Twardowskiego *Za dalą dal* można wnieść, że za Stalina nie ział pustką również centralniak Aleksandrowski. Niewiele mamy danych natomiast o więzieniu w Orle: istnieje obawa, że bardzo ucierpiało podczas Wojny Narodowej. Ale przecież zawsze uzupełniało je w potrzebie doskonale wyposażone więzienie karne w Dmitrowsku Orłowskim.

W latach 20. w politizolatorach wikt był bardzo przyzwoity, na obiad zawsze było mięso, do gotowania używano świeżych jarzyn, a w kantynie można było dokupywać mleko. Znacznie pogorszył się wikt w latach 31–33, ale przecież nie lepiej jadało się wtedy na wolności. W tym okresie skorbut i omdlenia z głodu nic były wcale rzadkością w politizolatorach. Później jedzenie znów się polepszyło, ale to już było zupełnie co innego. W 1947 roku, siedzący we Władimirskim TON–nie I. Korniejew stale czuł głód: 450 gramów chleba, 2 kostki cukru, dwie miseczki gorącej, ale nie treściwej zupy – i tylko wrzątku było „ile chcąc” (znów ktoś może powiedzieć, że był to rok nietypowy, że również ludziom wolnym dawał się wtedy we znaki głód. Za to pozwolono wspaniałomyślnie w tamtym roku dokarmiać więźniów z zewnątrz: paczki można było przysyłać bez ograniczeń).

Światło było w celach zawsze racjonowane – i w latach 30. i 40. kagańce i blince ze zbrojonego, mętnego szkła sprawiały, że w celach panował wieczny półmrok (ciemność walenie się przyczynia do pognębienia człowieka!). Górna szpara kagańca była jeszcze często zaciągnięta drobną siatką, zimą osiadał na niej śnieg i odcinał ostatnie źródło światła. Próby czytania prowadziły tylko do psucia sobie wzroku i bólu oczu. We Władimirskim TON–ie, w zamian za to, przez całą

noc płonęły w celach jaskrawe lampy, nie dając spać. W Dmitrowskim zaś więzieniu (N.A. Kozyriew) w 1938 roku wieczorami i nocami jedynym źródłem światła był kaganek na półeczce pod sufitem, wypalający ostatki tlenu; w 30. roku wprowadzono obniżenie napięcia w sieci, tak że lampy ledwie się żarzyły.

Powietrze też podlegało normowaniu: lufciki zamykane były na klucz i otwierano je tylko w czasie, gdy cela szła do wychodka, jak o tym piszą byli mieszkańcy więzienia w Dmitrowie i Jarosławiu. (Eugenia Ginzburg: między ran-kiem a porą obiadu chleb zdążył już zarósć pleśnią, bielizna pościelowa była wilgotna, ściany – pokryte zielonym nalotem). We Włodimirze zaś w 48. roku powie-trza już nie normowano, okno stale było uchylone.

Spacery w rozmaitych więzieniach i w różnych okresach trwały od 15 do 45 minut. Nie było już żadnego Szlisselburskiego albo Sołowieckiego kontaktu z ziemią, wszystko co rośło, zostało wyrwane, zdeptane, zalane betonem i asfaltem. Zabraniano nawet podnoszenia głowy ku niebu podczas spacerów – „patrzeć tylko pod nogi!” – jak wspominają Kozyriew i Adamowa (więzienie w Kazaniu).

Widzenia z krewnymi skasowane zostały w 1937 roku i już ich nie przywróco-no. Listy do bliskich krewnych wolno było pisać i otrzymywać od nich – dwa razy na miesiąc w ciągu całego prawie tego okresu (ale w Kazaniu po przeczytaniu trzeba było następnego dnia zwrócić list administracji); to samo dotyczy kantyny, z której można było korzystać w miarę otrzymywania z zewnątrz ograniczonych sum.

Ważną rolę grała sprawa urządzenia celi. Adamowa sugestywnie pisze o radości, jaką odczuła, gdy, zamiast podnoszonych prycz i przyśrubowanych do podłogi stołków, zobaczyła w suzdalskiej celi zwyczajne drewniane łóżko z siennikiem i zwykły stół.

We Włodimirskim TON-ie I.Korniejew przeżył kolejno dwa rozmaite rodzaje więziennego reżymu: w latach 1947–48 siedzącym w celach nie odbierano wła-snej odzieży, wolno było wylegiwać się we dnie i klucznik rzadko zaglądał przez lipko. A później (lata 1949–53) cela zamykana była na dwa rygle (jeden klucz miał strażnik, drugi zaś dyżurny), leżeć we dnie zabraniano, nie wolno było też rozma-wiać na głos (w Kazaniu – zawsze tylko szeptem!), rzeczy własne – wszystkie pood-bierane, więźniowie poubierani w pasiaste ubrania; listy – tylko dwa razy rocznie i tylko wtedy, kiedy nagle przyjdzie to naczelnikowi więzienia do głowy (kto prze-puści taki dzień, ten musi już czekać na następny), a nadto wyłącznie na arkusi-kach dwukrotnie mniejszych od pocztówki; coraz częstsze się stawały niezwykle su-rowe rewizje, robione naskokami, z wyprowadzaniem ludzi z cel i rozbieraniem do naga. Kontakty między celami tępione były do tego stopnia, że po każdym pójściu do wychodka strażnicy myszkowali po klozetach z ręcznymi latarkami i zaglądali do każdego oczka. Za zostawienie napisu na ścianie cała cela obrywała karcer. Karcery były plagą Więzień Specjalnych. W karcerze można było znaleźć się za kaszel („schowajcie głowę pod koc, tam możecie sobie kaszleć”); za chodzenie po celi (Kozyriew; nazywało się to, że „jest nieopanowany”); za szuranie butami (więzienie Kazańskie, a kobietom wydano tam męskie trepy nr 44). Zresztą Eugenia Ginzburg słusznie podkreśla, że karcer dawano nie za wykroczenia, lecz według planu: wszyscy po kolei powinni byli posiedzieć w nim trochę i wiedzieć, czym to pachnie. W regulaminie był jeszcze inny punkt nadający się do szerokiej interpre-tacji: „W przypadku przejawienia w karcerze niezdyscyplinowania (?) naczelnik

więzienia ma ' prawo przedłużyć więźniowi termin przebywania w nim do dwudziestu dni". A czym jest to „niezdyscyplinowanie”?... Oto relacja Kozyriewa (opisy karceru i wielu szczegółów regulaminu tak są podobne we wszystkich relacjach, że wyczuwa się wszędzie tę samą rękę władzy). Za chodzenie po celi wlepiono mu 5 dni karceru. Jesień, karcer nie jest ogrzewany, ziąb. Zostawiają człowieka w samej bieliźnie, bez butów, zamiast podłogi – klepisko, pełno kurzu (zdarza się też błoto, a w Kazariskim więzieniu – warstwa wody). Kozyriew miał przynajmniej taboret (Eugenia Ginzburg nawet tego nie miała). Z początku zdawało mu się, że zamrznie, że zginie. Ale stopniowo poczuł jakieś wewnętrzne tajemnicze ciepło, a to go uratowało. Nauczył się spać na siedząco. Trzy razy dziennie dawano mu kubek wrzątku, po którym czuł się jak pijany. W trzystugramową kromkę chleba pewnego razu jeden z dyżurnych wcisnął mu potajemnie kostkę cukru. Kozyriew liczył dni według tych kromek i rytmu zmian oświetlenia w jednym z okienek wewnętrznego labiryntu. Wiedział, że jego piąta doba dobiegła już końca, ale wciąż go nie wypuszczano. Wyczulony jego słuch uchwycił jakiś szept dochodzący z korytarza na temat szóstego dnia, czy też jeszcze sześciu dalszych dni. Na tym właśnie polegała prowokacja: chciano, aby zaczął wołać, że 5 dni już się skończyło, że czas już go zwolnić i wtedy za niezdyscyplinowanie można by przedłużyć karcer. Ale Kozyriew pokornie i w milczeniu odsiedział jeszcze całą dobę, więc zwolniono go wtedy jak gdyby nigdy nic. (Być może naczelnik więzienia poddawał takiej próbie pokory wszystkich po kolei? Karcer przeznaczony jest dla tych, co jeszcze nie spokornieli).

Po powrocie z karceru cela wydała mu się pałacową komnatą. Kozyriew ogłuchł na pół roku i zaczęły mu się robić wrzody w gardle. Pewien zaś jego towarzysz z celi zwariował na skutek częstego siedzenia w karcerze i Kozyriew przeszło rok siedział we dwójkę z wariatem. (Wiele wypadków obłądu w politizolatorach wylicza Nadieżda Surowcewa – ona jedna wymienia ich nie mniej, niż wykrył ich Noworusski w kronikach Szlisselburga).

Może zgodzi się teraz czytelnik, że stopniowo doszliśmy aż do czubka drugiego ze wspomnianych rogów – i że jest on chyba dłuższy niż ten pierwszy? i chyba ostrzejszy?

Nie wszystkie relacje pokrywają się. Starzy łagrowcy twierdzą jednogłośnie, że Włodimirski TON lat 50. przypominał im sanatorium. Takiego zdania był Włodzimierz Borysowicz Zeldowicz, który przybył tam ze stacji Abeż i Anna Piotrowna Skrypnikowa, którą dostawiono (1956 rok) z kemerowskich obozów. Skrypnikowa była szczególnie zaskoczona faktem, że regularnie co 10 dni wysyła się podania więźniów (zaczęła je pisać do... Organizacji Narodów Zjednoczonych), a także możliwością korzystania z doskonałej biblioteki, zaopatrzonej również w obcojęzyczny dział: do celi przynoszą pełny katalog i można wypisywać zamówienia na cały rok.

Nie zapomnijmy też o elastyczności naszego Prawa: skazano tysiące kobiet („za męża”) na więzienie. Nagle ktoś gwizdnął – wszystkim zamienić więzienie na obóz (groziło widać niewykonanie planu wydobywania złota na Kołymie)! No i zmieniono. Bez żadnych tam sądów.

Więc czy istnieje w ogóle więzienie jako takie? Czy to może tylko poczekalnia obozu?

I oto dopiero tutaj – właśnie tutaj! powinien by na dobrą sprawę rozpocząć się niniejszy rozdział. Należałoby w nim przypatrzeć się temu drżącemu światłu, któ-

re z upływem czasu promieniować zaczyna na kształt aureoli z duszy samotnego więźnia. Oderwany od marności powszedniego życia w sposób tak zupełny, że nawet liczenie mijających minut pozwala mu na intymne obcowanie ze Wszechświatem – samotny więzień powinien uwolnić się od całego tego balastu niedoskonałości, który przeszkadzał mu dawniej, nie pozwalając sklarować się życiu aż do przejrzystości. Jak szlachetnym gestem wyciąga on palce, aby spulchnić i przesiać grudki ziemi ogrodowej (ach, przecież ten asfalt!...). Jak głowa mu się sama podnosi ku Wiecznym Niebiosom (ach, prawda, to zabronione!...). Z jaką tkliwą uwagą przygląda się skaczącemu po parapecie ptaszkowi (ach, prawda, kaganiec, siatka i zamknięty lufcik...). I jakież jasne myśli, jak uderzające nieraz spostrzeżenia zapisuje on na przydzielonym mu papierze (ach, prawda, trzeba na-przód móc go kupić w kantynie, a później oddać notatki na zawsze do więziennej kancelarii...).

Ale te nasze zręczliwe komentarze zbijają nas tylko z tropu. Trzeszczy w szwach i pęka plan tego rozdziału, bo nie wiemy już właściwie: czy w Więzieniu Nowego Typu, w Więzieniu Specjalnym (a jakim jeszcze?) – czy więc dusza ludzka ulega tam oczyszczeniu? czy może spotyka ją ostateczna zagłada?

Jeżeli co dzień rano pierwszą rzeczą, którą widzisz, są oczy twego oszalałego w celi towarzysza – to czym sam siebie poratujesz w ciągu nadchodzącego dnia? Mikołaj Aleksandrowicz Kozyriew, którego świetną karierę astronoma przerwało aresztowanie, ratował się tylko myślami o rzeczach wiecznych i nieskończonych: o materii, z której zbudowany jest wszechświat – i o Duchu Najwyższym, który ją ożywia; o ciałach niebieskich; o ich wewnętrznej budo wie;, a także o tym – czym jest Czas i bieg tego Czasu. I w ten sposób otworzyła się przed nim nowa dziedzina fizyki. Tylko dzięki tym rozmyśleniom wytrzymał w Dmitrowskim więzieniu. Ale myśli jego potknęły się o cyfry, których nie mógł być zachować w pamięci. Nie potrafił iść dalej w swoich rozważaniach – potrzebne mu były liczne dane liczbowe. Skąd wziąć je w tej pojedynce, rozjaśnionej tylko kagankiem, do której nawet ptak wlecieć nie może? Zaczął się modlić: Panie! zrobiłem wszystko, com mógł. Ale musisz mi pomóc! Pomóż mi iść dalej.

W tym okresie miał prawo do jednej tylko książki w ciągu 10 dni (był już sam w swojej celi). W ubogiej bibliotece więziennej było kilka edycji tomu wierszy Demiana Biednego Czerwony koncert i książkę tę co i rusz przynoszono mu do celi. Minęło pół godziny od chwili, gdy zaczął się modlić – przyniesiono książki do zmiany i – nie pytając o nic, jak zwykle – ciśnięto mu Kurs astrofizyki*. Skąd się wziął? Nawet wyobrazić sobie nie można było, że takajest książka w bibliotece! Przeczuwając, że ma ją tu nie na długo, Kozyriew rzucił się na tekst i zaczął wkuwać na pamięć, wkuwać wszystko, co potrzebne było mu dziś i co mogło mu się przydać później. Minęły tylko dwa dni – mógł korzystać z książki jeszcze przez dni osiem – i nagle naczelnik więzienia przeprowadza obchód. Od razu zobaczył, co trzeba. „Toć jesteście z zawodu astronomem?” – „Owszem”. – „Zabrać mu tę książkę!”. Ale już jej iście mistyczne pojawienie się sprawiło, że przetańczyły się drogi do dalszej pracy, którą Kozyriew kontynuował w Norylskim obozie.

Tak więc, dopiero teraz powinniśmy rozpocząć rozdział o zmaganiu się duszy z kratami.

Ale cóż to?... Brutalnie skrzyknął w zamku klucz strażnika. Ponury oddziałowy z długą listą w ręku: „Nazwisko? Imię, imię ojca? Rocznic? Artykuł? Wyrok? Kiedy termin?... Zabierać rzeczy! Prędszej!”

No, braciszku, to etap! Etap!... Jedziemy! Pobłogosław Panie! Czy uniesiemy głowy?...

Więc to tak: jeśli głowy uniesiemy – to opowiemy resztę innym razem. W czwartej części. Jeśli tylko uniesiemy głowy.

Koniec części pierwszej

CZĘŚĆ DRUGA WIECZNY RUCH

Kola w miejscu też nie stoją

Wciąż się toczą...

Żarna kręcą się, wirują

W ciągłym pląsie...

W. Miiller

I

OKRĘTY ARCHIPELAGU

Od cieśniny Beringa do samego niemal Bosforu rozsiane są tysiące wysp zakłętogo Archipelagu. Są niewidzialne, ale istnieją, a z wyspy na wyspę trzeba w sposób tak samo niedostrzegalny ale regularny przewozić niewidzialnych niewolników, mogących się przecież wykazać posiadaniem ciała, określonej objętości i ciężaru.

Którędyż więc ich wozić? I czym?

Istnieją w tym celu duże porty – więzienia tranzytowe, a także porty drobniejsze – obozowe punkty etapowe. Istnieją też stalowe szczelnej konstrukcji – wagony aresztanckie. Na redzie zaś, zamiast szalup i motorówek – już oczekują tak samo stalowe, zamczone, zwrotne suki. Aresztanckie wagony jeżdżą według rozkładu. W razie potrzeby zaś, z portu do portu, przelotowymi trasami Archipelagu wysyłane są całe karawany – składy kolejowe czerwonych, towarowych wagonów do przewozu bydła.

Jest to cały starannie opracowany system! Tworzono go przez dziesiątki lat – i to nie na łapu-capu. Tworzyli go syci, dobrze umundurowani, stateczni ludzie. Eskorta z Kineszmy w dni nieparzyste o 17.00 przyjmuje na moskiewskim dworcu Północnym transporty, dostarczane z zakładów karnych – butyńskiego, presnierskiego i tagańskiego. Konwojenci z Iwanowa w dni parzyste o 6.00 rano znajdować się mają na dworcu, odbierać z wagonów i trzymać w swojej dworcowej izbie zatrzymań więźniów tranzytowych, kierowanych w stronę Nierechty, Bieżecka i na Bołogoje.

Wszystko to dzieje się w waszym sąsiedztwie, pod waszym boczkiem, ale nikt z was tego nie widzi (można również przymknąć oczy). Na wielkich dworcach wyładowanie i załadowanie tych smoluchów odbywa się z dala od peronów pasażerskich, widzą je tylko ci od zwrotnic i sprawdzania torów. Na mniejszych stacjach obiera się najchętniej jakiś ślepy peron, między dwoma magazynami, gdzie suka może podjechać tyłem, podsuwając otwarty swój zad pod same stopnie aresztanckiego wagonu. Aresztantowi nie dają czasu na obejrzenie dworca, nie zdąży rzucić nawet okiem na was, czy wzdłuż pociągu, widzi tylko stopnie (czasem najniższy sięga mu do pasa i brak sił, żeby się podciągnąć), konwojenci zaś, stojący z obu stron wąskiego przesmyka między suką a wagonem, ryczą i krzyczą: „Prę-dzej! Prę-dzej!... Dalej! Dalej!...”. Albo nawet bagnecikami wywijają.

Wy zaś, krocący spiesznie po peronie, z dziećmi, walizkami i torbami, nie macie jakoś czasu, aby przyjrzeć się: po co dołączono do pociągu drugi wagon bagażowy? Brak na nim jakichkolwiek napisów i bardzo podobny jest do бага-

żowego – te same skośne kratki i ciemność za nimi. Tylko dlaczego właściwie jeżdżą nim żołnierze, nasi obrońcy ojczyzny, na przystankach zaś dwóch z nich, pogwizdując sobie, przechadza się z obu stron wagonu, wciąż zerkając między koła?

Pociąg ruszy – i setka stłoczonych losów aresztanckich, setka udręczonych serc – pomknie tymi samymi krętymi torami, w ślad za tym samym dymkiem, wzdłuż tych samych pól, słupów i stogów, mijając je nawet kilka sekund przed wami, ale w powietrzu za szybami waszych wagonów niklejszy jeszcze ślad zostawi nieszczęście, które właśnie przemknęło, niż palec, co musnął wodę. I biorąc udział w tak dobrze znanym, zawsze jednakowym życiu pociągu dalekobieżnego – z bielizną pościelową w specjalnej paczce, z herbatą, roznoszoną w szklankach z uchwytyami – czy jesteście w stanie pojąć, jaka czarna, napięta zgroza przemknęła trzy sekundy przed wami przez ten sam odcinek euklidesowej przestrzeni? Wy, niezadowoleni, że w przedziale ciasno, bo jest was aż czworo – czy moglibyście w ogóle uwierzyć, czy wierzycie teraz, czytając nawet te słowa, że w takim samym przedziale chwilę przed wami przemknęło – 14 ludzi? Albo i – 25? A nawet – 30?...

Wagon aresztancki, wago n-z a k, jaki to wstrętny skrót! Zresztą, jak wszystkie skróty, robione przez tych, co skracają o głowę. Chcieli powiedzieć – że to wagon dla zakluczonych, dla aresztantów. Ale nigdzie, prócz więziennych papierków, skrót ten się nie przyjął. Aresztanci zwykli nazywać ten wagon stołypińskim albo po prostu stołypinką.

W miarę rozwoju kolei żelaznych w naszej ojczyźnie zmieniał się również charakter aresztanckich transportów, etapów. Aż do lat 90. XIX wieku skazańcy na Sybir ciągnęli pieszo albo konno. Lenin w 1896 roku jechał na syberyjskie zesłanie już zwyczajnym wagonem III klasy (razem z wolnymi) i krzyczał na brygadę kolejarską, że strasznie ciasno. Wszystkim znany jest obraz Jaroszenki „Życ można wszędzie”, gdzie pokazany jest wagon pasażerski IV klasy, zaadaptowany jeszcze bardzo naiwnie – do przewozu więźniarskich ładunków: wszystko zostawiono bez zmiany i aresztanci jeżdżą zwyczajnie, jak ludzie, jedynie w okna wstawiono dwustronne kraty. Wagony takie długo jeszcze krążyły po rosyjskich torach, niektórzy pamiętają, jak ich w 1927 roku transportowano właśnie nimi, rozdzielwszy tylko obie płcie. Z drugiej strony – eser Truszyn wspomina, że już za carskich czasów transportowany był „stołypinką”, było ich jednak tylko 6 w przedziale, jak to w bajkach Kryłowa.

Oto historia tego wagonu. Rzeczywiście znalazł się na szynach po raz pierwszy za czasów premiera Stołypina. Był skonstruowany w 1908 roku, ale dla przesiedleńców, którym przydzielano gospodarstwa we wschodnich prowincjach kraju; ruch ten był tak znaczny, że nie starczało środków transportu. Wagon tego typu był niższy od zwykłych pasażerskich, ale o wiele wyższy od towarowych, miał rozmaite dodatkowe pomieszczenia dla sprzętów domowych albo bagażu (dzisiejsze „półprzedziały”, karcery) – ale, rzecz jasna, nie miał żadnych krat ani wewnątrz, ani na oknach. Kraty były wynalazkiem czyjejs bystrej głowy i założę się, że bolszewickiej. Mimo to wagon zaczęto nazywać stołypińskim. Minister, który wyzwał na pojedynek deputata, nazwał stryczek „stołypińskim krawatem” – nie mógł już odeprzeć lej pośmiertnej kalumnii.

Nie sposób oskarżyć zarządców GUłagu, aby sami oni używali terminu „stołypinką” – nie, zawsze pisano „wagon-zak”. To my, zeki, skłonni do przekory wobec urzędowych nazw, lubiący nazywać wszystko po swojemu i jak najordynarniej, połączyliśmy się na fałszywe przezwisko, podrzucone nam przez aresztantów poprzed-

nich pokoleń, tych z lat 20. naturalnie. Kim mogli być autorzy tej nazwy? Przecież nie „kontra”; ci nie mogli skojarzyć sobie carskiego premiera z czekistami. Mogli to być chyba tylko „rewolucjoniści”, nagle i ku własnemu zdumieniu wrzuceni do czekistowskiej maszynki do mięsa. Byli to albo eserowcy, albo anarchiści, (jeżeli ta nazwa pojawiła się na początku lat 20.), albo trockiści (jeżeli to był koniec tych lat). Ich to żądło zabiło niegdyś wielkiego działacza dawnej Rosji, a później starali się jeszcze tym samym jadem zatruć jego pamięć. Jako że ulubionym środkiem transportu stał się ten wagon dopiero w latach 20., a znalazł powszechne i wyłączone zastosowanie po roku 1930, kiedy wszystko w naszym życiu podległo ujednoliceniu; (wtedy zapewne dobudowano ich więcej); byłoby sprawiedliwiej nadać mu imię nie S t o ł y p i n a lecz Stalina.

Jest to zwykły wagon podzielony na 9 przedziałów z tą różnicą, że 5 z nich, przeznaczonych dla aresztantów (tu również, jak wszędzie na Archipelagu, z obsługą trzeba dzielić się wszystkim po połowie!), oddziela od korytarza nie ścianka, lecz krata, pozwalająca widzieć wszystko, co dzieje się w środku. Krata zrobiona jest z biegnących ukośnie prętów, przez co przypomina ogrodzenie dworcowych trawników. Krata sięga aż do samej góry, do dachu, dlatego też nie ma półek bagażowych, biegnących wzdłuż korytarza po stronie przedziałów. Okna korytarza są normalne, ale zabezpieczone z zewnątrz taką samą skośną kratą. W aresztanckim zaś przedziale nie ma okna, jedynie okratowany, ślepy wywietrznik na poziomie drugiej półki (właśnie dzięki temu, że okien brak, wagon miał wygląd bagażowego). Drzwi do przedziału są nie uchylone, lecz przesuwane: żelazna rama, również wypełniona kratą.

Gdy się na to patrzy z korytarza, wszystko przypomina zwierzyńiec: za kratami, na podłodze i na półkach leżą zwinięte w kłębek jakieś nędzne istoty, przypominające nieco ludzi, które żałosnym tonem wciąż skomlą o picie i jedzenie. Ale w żadnym ZOO zwierzęta nie są stłoczone tak ciasno.

Według projektów, opracowanych przez inżynierów, pozostających z resortem w stosunkach wolnego najmu – w stalinowskim coupe sześciu może siedzieć na dolnych ławkach, trzech ludzi – leżeć na środkowej półce (sięga ona od ściany do ściany jak nary i jedynie przy drzwiach ma wyimkę, umożliwiającą przechodzenie w górę i na dół), dwóch zaś może leżeć na górnych półkach bagażowych. Jeśli teraz tym 11 wepchnąć dla towarzystwa jeszcze 11 (przy zamykaniu drzwi konwojenci upychają ostatnich nogami) – to będziemy mieli do czynienia z zupełnie normalnym załadunkiem aresztanckiego przedziału. Po 2 skurczy się w półsiedzącej pozycji na dwóch półkach bagażowych, 5 położy się na szerokiej środkowej (tym się najlepiej powiodło, o te miejsca trzeba walczyć i jeżeli w przedziale są szemrani, to właśnie oni tam leżą), a jeszcze 13 musi się zmieścić na dole: po 5 siedzi na ławkach, a 3 – w przejściu między ich nogami. Gdzieś tam, wśród ludzkich ciał, pod nimi i na nich – jadą bagaże. I tak oto, z podkurczonymi, przywalonymi ciężarem nogami, jadą więźniowie doba za dobą.

Nie, nie robi się tego specjalnie po to, aby ludzi męczyć! Skazaniec jest to żołnierz socjalistycznej pracy, po cóż go męczyć, toż ma być wykorzystany na jakiejś budowie. No, ale zgódźmy się, że nie jedzie on przecież do cioci na imieniny, że nie powinien mieć takich udogodnień, których mógłby mu ktoś jeszcze na wolności pozazdrościć! Nasza kolej pracuje w trudnych warunkach; jakoś dojedzie, nie zdechnie.

Poczynając od lat 50., kiedy pociągi zaczęły już chodzić regularnie, aresztanci nie musieli długo podróżować w takich warunkach – no, półtorej doby, no, dwie. Podczas wojny i zaraz po niej bywało gorzej: od Pietropawłowska (Kazachskiego) do Karagandy (leżącej w tej samej republice) – „wagon-zak” mógł wędrować także siedem dni i nocy (a w przedziałach było po – 25 ludzi!), od Karagandy do Swierdłowska – osiem dni i nocy, (a w przedziałach było już po 26). Nawet z Kujbyszewa do Czelabińska w sierpniu 1945 roku Suzi jechał stołypinką kilka dni – i było ich w przedziale TRZYDZIESTU PIĘCIU, ludzie leżeli po prostu jeden na drugim, miotając się i walcząc ze sobą¹. Jesienią zaś 1946 roku N. W. Timofiejew-Ressowski jechał z Pietropawłowska do Moskwy w przedziale, gdzie znajdowało się TRZYDZIESTU SZEŚCIU ludzi! Przez kilka dni i nocy WISIAŁ wręcz między nimi, nie dotykając nogami ziemi. Po jakimś czasie ludzie zaczęli umierać – straż wyciągała więc trupy spod nóg żyjących (co prawda, nie od razu, dopiero na drugi dzień) i dzięki temu robiło się luźniej. Ta podróż do Moskwy trwała trzy tygodnie².

Czy 36 – to już górna granica? Nie mamy wprowadzić relacji o 37 pasażerach, ale posługując się jedyną, prawdziwie naukową metodą i wychowani w walce ze zwolennikami „górných granic”, i „nieprzekraczalnych norm”, odpowiadamy śmiało: nie, o nie! To jeszcze nie pułap! Może dla innych byłby to pułap, ale nie dla nas! Póki jeszcze w przedziale zostają pod półkami, między barkami, nogami i głowami ludzkimi jakieś nie wykorzystane decymetry kubiczne przestrzeni – przedział gotów jest do przyjęcia dodatkowych pasażerów! Umownie można uznać za wielkość nieprzekraczalną ilość zwłok ludzkich, które można by upchać porządnie, jedno na drugim, wykorzystując przy tym całą przestrzeń naszego coupe.

1 Piszę to dla zaspokojenia ciekawości tych, którzy wciąż dziwią się i pytają z pretensją: dlaczegoście nie walczyli?

2 W Moskwie natomiast, jako że mieszkamy w kraju cudów, Timofiejewa-Ressowskiego wynieśli z wagonu na rękach oficerowie i odwieźli osobowym samochodem: toć miał pracować dla rozkwitu nauk!

W. A. Korniejewa jechała z Moskwy w przedziale razem z trzydziestoma kobietami, a większość z nich były to niedołężne staruszki, jadące na zesłanie za gorliwość w wierze (po przyjeździe WSZYSTKIE te kobiety, poza dwiema, od razu poszły do szpitala). Nie było w czasie podróży wypadków śmierci, ponieważ było tam także kilka młodych, rozgarniętych i ładnych dziewczyn, siedzących „za cudzoziemców”. Dziewczęta te zaczęły robić wymówki konwojentom: „Jak wam nie wstyd wieść je w takich warunkach? Przecież to są wasze matki!”. Nie tyle zapewne umoralniające argumenty, ile uroda petentek przyczyniła się do jakiejś reakcji ze strony eskorty – i kilka staruszek przeniesiono do karceru. Karcer zaś w wagonie to nie kara, lecz błogostawieństwo. Z pięciu przedziałów aresztanckich tylko cztery wykorzystane są w charakterze pomieszczeń ogólnych, piąty zaś jest przepoławiony: są to dwa półprzedziały z jedną górną i jedną dolną półką, jak w konduktorskim coupe. Karcery te służą dla izolacji: podróżuje się w nich w trójkę czy w czwórkę wygodnie i bez ciasnoty.

Nie, wcale nie po to, aby celowo dręczyć więźniów pragnieniem przez wszystkie te dni, spędzane w odbierającym siły tłoku, karmi się ich tylko śledziami albo suszoną rybą (tak było przez WSZYSTKIE LATA trzydzieste i pięćdziesiąte. Zimą i latem – na Syberii i Ukrainie, tu nie trzeba nawet przykładów przytaczać). Nie po to, żeby dręczyło ich pragnienie, tylko – sami powiedzcie – czym karmić w drodze tę hołotę? Nie należy im się w czasie podróży gorące jedzenie (w jednym

z przedziałów stołypinki jest, co prawda, kuchnia, ale tylko dla eskorty) suchej kasy nie ma im co dawać, surowego dorsza też nie, a konserwami mięsnymi jeszcze by się zanadto upaśli. Śledź – nie ma nic lepszego, no i kawał chleba – czego trzeba więcej?

Więc bierz, bierz swoje pół śledzia, póki ci dają – i ciesz się! Jeżeli masz rozum – to nie jedz śledzia, miej cierpliwość, schowaj go do kieszeni, zdążysz zeżreć na punkcie tranzytowym, gdzie jest już woda. Gorzej, jeżeli dają azowskie drobne rybki, mokre, przesypane grubą solą. W kieszeń tego nie da się schować, nadstaw więc od razu połę kurtki albo chustkę do nosa, albo dłoń – i jedz, jak leci. Dzielą te rybki na czyjejs kurtce, suszone zaś ryby eskorta wysypuje wprost na podłogę przedziału i ludzie rozdzielają je później na ławkach, na własnych kolanach³. Ale jeżeli już dali ci ryby – to chyba nie odmówią chleba albo

‘ P. F. Jakubowicz (W świecie wyklętych, Moskwa 1964 rok, tom I), pisze o latach 90. zeszłego wieku, że w tej strasznej epoce w syberyjskich punktach tranzytowych przeznaczano dziesięć kopiejek dziennie strawnego na aresztanta, przy tym bochen może nawet cukru też dadzą. Gorzej, jeśli konwojent przychodzi z komunikatem: dziś jedzenia nie będzie, bo nam nie wydali. Może naprawdę nie wydali, tak bywa: w jakiejś więziennej księgowości postawiono cyferkę nie tam, gdzie należy. Ale może być i tak, że przydział dano, ale konwojentom własnych racji nie wystarcza (im też się przecież nie przelewa), postanowili więc chlebuś sobie zaharapczyć, a dawać więźniom gołe pół śledzia – to byłoby podejrzane.

I oczywiście, nie po to, żeby więźnia męczyć, nie dają mu po tym śledziu ani wrzółku (to już nigdy), ani nawet surowej wody. Trzeba przecież zrozumieć, że liczba konwojentów jest ograniczona: stoją w korytarzu na warcie, pełnią straż w tamburze, na stacjach muszą zaglądać pod wagony, na dach – dają baczenie, czy ktoś aby sobie dziurki nie zrobił. Inni znów czyszczą broń, a w końcu trzeba zająć się kiedyś szkoleniem politycznym i bojowym. Trzecia zmiana śpi; bo osiem godzin należy im się według prawa, toć wojna dawno skończona. Następnie: nosić wodę wiadrami – to kawał drogi, przy tym przykro jakoś: czemu to sowiecki żołnierz majak juczny osioł dźwigać wodę dla wrogów ludu? Czasami na stacjach przetokowych albo przy zmianie składów zapchną aresztancki wagon – i to nieraz na cały dzień – tak daleko od stacji (żeby nie wpadał w oko), że trudno wody przynieść nawet dla potrzeb własnej, wojskowej kuchni. No, jest wprowadzić wyjście: można zaczerpnąć wody z tendra lokomotywy – żółta, mętna, z oczkami smaru, ale zeki chętnie piją również taką wodę, nie szkodzi, w półmroku przedziału i tak nie widać, toć nie ma okna, nie ma lampy, światło – tylko z korytarza. A ponadto: tę wodę trzeba by rozdzielać strasznie długo – własnych kubków więźniowie nie mają, kto miał, temu już dawno zabrali – to znaczy, że trzeba by poić ich tymi dwoma co są w inwentarzu, a zanim się wszyscy napiją, ty stój, człowieku, cały czas, jak głupi, nabieraj i podawaj, nabieraj i podawaj. (A jeszcze jak ci zaczną między sobą wydziwiać: naprzód niech zdrowi piją, dopiero potem – gruźlicy, a na końcu syfilitycy! Tak, jakby w sąsiednim przedziale nie miało się zacząć od nowa: naprzód zdrowi...).

Ale wszystko to eskorta jeszcze by zniósła, nosiłaby wodę i poita ich, gdyby te świny, nachlawszy się wody, nie zaczynały od razu skamleć, że chcą do wychodka. A wychodzi na to, że jak im się nie da wody przez pszenicznego chleba – 3 kilo? – kosztował 5 kopiejek, a dzbanek mleka – ze dwa litry? – 3 kopiejki. „Aresztanci opływają w dostatki” – pisze. Ale już w Irkuckiej guberni ceny są wyższe, funt

mięsa kosztuje 10 kopiejek i "aresztanci po prostu biedują". Funt mięsa dziennie na człowieka – to nie pół śledzia, prawda?... jakąś dobę – to w ogóle się nie napiera. Jak im się da pić raz na dobę – to jeden raz chcą iść za potrzebą. A jak się człowiek nad nimi ulituje i da pić dwa razy – to napierają się dwa razy. Prosty rachunek wykazuje, że najlepiej wcale nie dawać pić.

I nie dlatego żałują więźniom tego chodzenia za potrzebą, że szkoda wychodka – tylko dlatego, że jest to operacja odpowiedzialna, a w istocie – bojowa: wymaga przez czas dłuższy obecności podoficera i dwóch żołnierzy. Stawia się dwa posterunki – jeden koło drzwi klozetu, drugi w korytarzu, w jego przeciwnym końcu (żeby się który tam nie rzucił), zaś podoficer musi raz po raz odsuwać i zasuwąć drzwi przedziału nasamprzód wpuszczając powracającego, a dopiero później wypuszczając następnego.

Regulamin zezwala na wypuszczanie tylko po jednym więźniu na raz, aby zapobiec grupowej napaści na konwój, aby nie mogli wszcząć buntu. I w rezultacie – ten jeden wypuszczony do klozetu facet absorbuje trzydziestu więźniów ze swojego przedziału, stu dwudziestu w całym wagonie i specjalną grupę eskorty! Wobec tego „Dalej! Dalej! Dalej! Prędejsz! Prędejsz” – musi popędzać go po drodze podoficer i wartownik, więzień spieszy się więc i potyka, jakby kradł państwu to oczko w klozecie. (W 1949 roku w stołypince na trasie Moskwa–Kujbyszew jednynogi Niemiec Schulz, rozumiejący już rosyjskie przynaglenia, skakać musiał na swojej nodze do klozetu i z powrotem, eskorta zaś miała z tego uciechę i domagała się szybszego skakania. Przy jednej z takich wycieczek, konwojent popchnął Niemca, nie dochodząc do klozetu. Schulz upadł. Konwojent rozsierdził się, zabrał się do bicia i biły Schulz, nie mogąc poderwać się, musiał wpętnąć do wychodka po pokrytej fekaliami podłodze. Konwojenci pokładali się ze śmiechu⁴).

Żeby w ciągu tych chwil, spędzanych w klozecie, aresztant nie zorganizował sobie ucieczki, a także ze względu na przelotowość i pośpiech, drzwi do wychodka nie są zamykane i – obserwując czynności więźnia – konwojent zachęca go: „Ruszaj się, ruszaj!... No dosyć, dosyć już!”. Czasem zaraz na wstępie pada rozkaz: „Tylko za małą potrzebą!” – i wtedy już ten z tambura na nic więcej ci nie pozwoli. No i ręk, rzeźjasna, nikt nigdy nie myje: nie starczyłoby wody w zbiorniku i czasu też brak: jeśli tylko aresztant dotknie kranu, konwojent ryczy: „Ani się waż wychodzić!”. Jeżeli ktoś ma w plecaku mydło albo ręcznik, to nie wyjmuje już z samego wstydu: byłoby to bardzo po frajersku. Wychodek zaś cały jest uświniony. Prędejsz, prędejsz! I wnosząc

1 Objęto to u nas, zdaje się, nazwą „kult jednostki”? rzadką tę maź na butach, aresztant wciska się do przedziału. Depcząc po czyichś rękach i barkach pnie się w górę, a później jego ociekające gnojem buty zwisają z trzeciej półki.

Gdy załatwiają się kobiety, regulamin służby wartowniczej i zdrowy rozum również wymagają, aby nie zamykać drzwi wychodka, ale nie wszystkim konwojentom na tym zależy, niektórzy skłonni są do ustępstw: już dobrze tam, można zamknąć. (Jeszcze później kobiety muszą szorować ten wychodek – no i znowu musi człowiek sterczeć koło takiej baby, żeby nie uciekła).

Ale nawet przy tak szybkim tempie, załatwienie tych prostych potrzeb przez 120 osób zabiera więcej niż dwie godziny – a więc więcej niż ćwierć szczyty trzech konwojentów! I tak czy owak – niczym im nie dogodzisz! – wszystko jedno – po pół godzinie jakiś stary, z którego piach się sypie, znów skamle, że chce iść do wychodka; rzecz jasna, że nikt mu na to nie może pozwolić, więc wali ci wprost

u siebie w przedziale – i znów podoficer ma robotę: żeby go zmusić do zebrania własnymi rękami tego łajna i wyniesienia.

Wniosek prosty: jak najrzadziej puszczać do wychodka! A to znaczy – wydawać jak najmniej wody. I jedzenia też jak najmniej. Nie będą skarżyć się na rozwolnienie i zatruchiwanie powietrza, bo to już wprost niepodobna – w wagonie nie ma czym oddychać!

Jak najmniej wody! A śledzie wydawać zgodnie z przepisami! Niewydawanie wody – jest rozsądnym pociągnięciem, niewydanie śledzi – byłoby służbowym wykroczeniem.

Nikt, ale to nikt nie miał na celu pastwienia się nad nami! Wszystkie kroki eskorty były zupełnie racjonalne! Jednak – wzorem pierwszych chrześcijan siedzimy w klatce i na pokryte ranami nasze języki sypana jest sól.

Tak samo wcale nieumyślnie (czasem umyślnie) konwojenci etapowi wsadzają do jednego przedziału Pięćdziesiąty Ósmy razem z szemranymi i pospolitakami – tylko po prostu: aresztantów jest zbyt wielu, wagonów i przedziałów – zbyt mało, czasu w ogóle nie starcza, będzie się tam człowiek z nimi wodził? Jeden z czterech przedziałów rezerwuje się dla kobiet, a co do trzech pozostałych – to jeśli już w ogóle segregować, to według stacji docelowych, żeby łatwiej szedł później wyładunek.

I czy to dlatego ukrzyżowano Chrystusa między dwoma łotrami, że Piłat koniecznie chciał go upokorzyć? Po prostu dzień taki wypadł, przyszła kolej, żeby krzyżować, Golgota – jest tylko jedna, czasu mało. I ZE ZŁOCZYŃCAMI JEST POLICZON.

Boję się nawet pomyśleć o tym, co musiałbym przeżyć, gdybym znalazł się w sytuacji zwykłego aresztanta... Konwojenci i oficerowie etapowi odnosili się do mnie i do moich towarzyszy w sposób wyszukanie uprzejmy... Będąc więźniem politycznym, jechałem na katorgę ze względnym komfortem – na etapach korzystałem z osobnego pomieszczenia, z dala od grupy kryminalistów; miałem swoją podwodę, którą jechał również pud moich rzeczy...

... W akapicie tym opuściłem celowo cudzysłów, po to, aby czytelnik mógł lepiej w te słowa się wmyśleć. A bez cudzysłowu ten akapit brzmi zaskakująco, prawda?

Pisze tak P.F. Jakubowicz o 90. latach ubiegłego wieku. Książka doczekała się teraz reedycji, abyśmy dowiedzieli się czegoś o tych ponurych czasach. Dowiadujemy się, że nawet na galarze polityczni mieli swoją osobną kajutę i część pokładu wydzieloną specjalnie dla ich spacerów. (To samo – czytamy w Zmartwychwstaniu Tołstoja i książce Niechludow, człowiek w końcu postronny, może odwiedzać politycznych, aby toczyć z nimi dyskusje). I tylko dlatego, że na liście przy nazwisku Jakubowicza „opuszczono magiczne słówko – polityczny” (sam on tak pisze) – po przybyciu do więzienia Ust’ Kara został on „powitany przez inspektora katorgi... jak zwyczajny więzień kryminalny – po grubiańsku, z arogancją i surowością”. Dodajmy, że nieporozumienie wyjaśniło się na szczęście szybko.

Co za nieprawdopodobne czasy! Trzymać razem politycznych z kryminalnymi wydawało się niemal przestępstwem! Kryminalistów ekspediowano na dworce, karząc im dla większego wstydu maszerować w szyku po jezdni, polityczni zaś mogli dojeżdżać w karecie (Olmiński – 1889 rok). Polityczni nie pobierali wiktów ze wspólnego kotła, wydawano im strawne i przynoszono obiady z jadłodajni. Bolszewik Olmiński nie chciał jeść nawet szpitalnego jedzenia – uznał

je za zbyt ordynarne⁵. Oddziałowy z Butyrek przeproszał za nietakt jednego ze strażników, który zwrócił się do Olmińskiego per „ty”: „bo proszę wziąć pod uwagę, że u nas rzadko zdarzają się polityczni i strażnik nie zdawał sobie sprawy...”.

W Butyrkach rzadko zdarzają się polityczni!... Czy to sen? Gdzie więc są? Przecież Łubianki i tym bardziej Lefortowa jeszcze wtedy nie było!...

! Co prawda, za to wszystko ferajna (zasadnicza masa kryminalistów) nazywała zawodowych rewolucjonistów „parszywą szlachtą” (P. F. Jakubowicz).

Radyszczewa wysłano etapem w kajdanach, a jako że było zimno, narzucano na niego „ohydny, surowy kożuch” wzięty od stróża. Jednakże Katarzyna zaraz posłała w ślad za nim rozkaz: zdjąć kajdany i dostarczyć wszystkiego, co przydać się może w drodze. Annę Skrypnikową natomiast w listopadzie 1927 roku wysłano z Butyrek etapem na Sołówki w słomkowym kapeluszu i w letniej sukience (tak, jak została latem aresztowana, jej pokój zaś był od tej chwili już opieczętowany i nikt nie chciał udzielić pozwolenia na wzięcie stamtąd jej ciepłych rzeczy).

Odróżniać politycznych od kryminalistów – znaczyłoby to, że uważa się ich za równych sobie rywali, znaczyłoby to, że uznaje się, iż ludzie mogą mieć swoje poglądy. W ten sposób – nawet aresztów ani polityczny korzystałby z politycznej wolności!

Ale od chwili, gdyśmy wszyscy zostali kaerami – a socjaliści nie utrzymali przecież swoich politycznych praw – więc od tej chwili jedynie śmiech współwięźniów i zdumienie strażników wzbudzić mogłeś, protestując przeciw trzymaniu ciebie, politycznego razem z kryminalistami. „U nas wszyscy są kryminalni” – ze szczerym przekonaniem odpowiadali strażnicy.

To wymieszanie, to pierwsze zaskakujące spotkanie ma miejsce albo w suce, albo w „wagon-zaku”. Aż do tej chwili – cokolwiek by z tobą robiono, jakkolwiek by cię gnębiono – męczono i zadręczano dochodzeniami – wszystko to było dziełem błękitnych czapek, wyodrębniłeś tych ludzi z reszty ludzkości, widziałeś w nich tylko czyichś bezczelnych pachotków. Natomiast twoi towarzysze z celi – choćby nawet bardzo różnili się od ciebie stopniem świadomości i rodzajem doświadczenia, choćbyś nawet musiał sprzeczać się z nimi, choćby nawet robili na ciebie donosy – jednak należeli oni do tego znanego ci, grzesznego i bezpretensjonalnie powszedniego rodzaju ludzi, wśród których spędziłeś całe życie.

Wciskając się do stalinowskiego przedziału spodziewasz się także tutaj spotkać towarzyszy niedoli. Wszyscy twoi wrogowie i gnębiciele zostali po tamtej stronie kraty, tutaj już ich nie oczekujesz. I nagle podnosisz głowę ku kwadratowej wyimce środkowej półki, ku twojemu jedynemu niebu – i widzisz tam trzy-cztery – nie, nie twarze! Nie, nawet nie małe pyski, bo nawet w małym pysku jest coś ludzkiego! widzisz okrutne, obrzydliwe mordy, nacechowane chciwością, urągliwe. Każda z nich wpatruje się w ciebie, jak pajak wiszący nad muchą. Ich pajęczyną jest ta krata. Już cię mają! Wykrzywiają gęby, jakby zaraz mieli cię ukąsić znienacka, mówią syczącym głosem, delektując się tymi sykami bardziej, niż artykułowanymi głoskami mowy – i sam ich język tylko zakończeniami czasowników czy rzeczowników przypomina ruszczyznę, jest to szwargot.

Te dziwne gorylody noszą chyba jakieś koszulki gimnastyczne – przecież w przedziale jest duszno; ich żyłaste, purpurowe szyje, ich szerokie, rozdęte jakby bary, ich tatuowane, ogorzałe piersi nigdy nie znaty więziennego wycieńczenia. Kim są oni? Skąd się wzięli? Widzisz nagle, że na jednej z tych piersi wisi krzyżyk! Tak,

aluminiowy krzyżyk na sznurku. Czujesz zaskoczenie i pewną ulgę: są wśród nich ludzie wierzący, jakie to wzruszające; nic strasznego więc stać się nie może. Ale właśnie ten „wierzący” nagle chluśnie całym stakiem bluznierstw (klną w języku przypominającym rosyjski) i zacznie pchać ci dwa rozwidlone palce prosto w oczy „rohatyną” – wcale nie grożąc, tylko od razu zabierając się do wydłubywania. W tym geście „bo ci oczy wykolę, ścierwo!” – jest ich cała filozofia i wiara! Skoro gotowi są oko ci rozgnieść jak purchawkę, to co mogą uszanować z tego, co masz na sobie, czy przy sobie? Krzyżyk się majda, patrzysz jeszcze nie wytupionymi oczyma na tę dziką maskaradę i tracisz orientację: kto tu już zwariował? kto dopiero wariuje?

W jednej chwili pękają i walą się w gruzy wszystkie zasady ludzkich stosunków wzajemnych, do których przyzwyczaiłeś się w życiu. W ciągu całego twego minionego życia – szczególnie przed aresztowaniem, ale także później, a nawet częściowo w trakcie śledztwa – mówiłeś ludziom jakieś słowa, oni zaś odpowiadali ci również słowami i słowa te oddziaływały w jakiś sposób – można było przekonać nimi kogoś, zaprzeczyć czemuś, albo z czymś się zgodzić. Pamiętasz rozmaite przejawy ludzkich postaw – prośbę, rozkaz, wyrazy wdzięczności – ale to, co cię tu raptem spotkało, jest poza kręgiem tych słów i tych postaw. Jako wystannik zwierzęcych mord ześlizguje się w dół jakaś postać, najczęściej jest to plugawy małolata, przez co jego chamstwo i bezczelność są trzykroć bardziej obrzydliwe i drobny ten bies szpera w twoich kieszeniach – nie myszkując ukradkiem, lecz tak, jakby to było jego! Od tej chwili nic twojego nie jest już twoje, sam zaś jesteś już tylko gumową kukłą, na której ponawieszane są różne rzeczy, ale te rzeczy można zdjąć. Ani temu małemu, złośliwemu gryzoniowi, ani tym mordom na górze, nie sposób niczego wyjaśnić słowami, ani odmówić, ani zabronić, niczego u nich nie wyprosisz! To nie są ludzie, zrozumiałeś to w jednej chwili. Można ich tylko – bić! Nie czekając ani chwili, nie tracąc czasu na gadanie – bić! – albo tego szczeniaka, albo te wielkie bestie na górze.

Ale jak tu uderzyć, kiedy oni na górze, a ty w dole? A chłopca, chociaż to wstrętny szczurek, też jakby nie bardzo bić wypada? Może go tylko odepchnąć?... Ale odepchnąć też nie można, bo zaraz odgryzie ci nos albo tamci z góry natychmiast rozbiją ci łeb (zresztą noże też mają, ale nie warto im sięgać po nie, żeby je brudzić juchą takiego jak ty). Rozglądasz się za sąsiadami, za towarzyszami – brońmy się, czy co, protestujmy chociaż! Ale wszyscy twoi towarzysze, twoja Pięćdziesiąta Ósma, ograbieni pojedynczo jeszcze przed twoim przyjściem, siedzą potulnie skuleni i patrzą – dobrze jeszcze, jeżeli nie gdzieś w inną stronę, patrzą na ciebie obojętnie, jakby to nie był gwałt, nie rabunek, tylko zjawisko natury: jakby trawa sobie rosła albo deszczyk padał.

A wszystko dlatego – że teraz już za późno, panowie, towarzysze i bracia! Przypomnieć sobie kim właściwie jesteście, trzeba było wtedy, kiedy Stróżyński oblał się naftą i spłonął we – wiatskiej celi, albo nawet jeszcze wcześniej, kiedy was uznano za „kaerów”.

Tak więc, pozwalasz ściągnąć z siebie palto, a w twojej marynarce już została wymacana i wyrwana z kawałem sukna zaszyta tam dwudziestorublówka, twój plecak został już przerzucony na górę, zrewidowany, i wszystko, co twoja sentymentalna żona zgromadziła dla ciebie po wyroku i dała na daleką drogę, wszystko zostało tam na górze, a na dół zrzucają ci tylko woreczek ze szczotką do zębów... – Chociaż nie każdy tak łatwo się poddawał w 30. i 40. latach, ale było

takich 99 na 1006. Jak to się mogło zdarzyć? Mężczyźni! oficerowie! żołnierze! frontowcy!

Żeby śmiało walczyć, człowiek musi być do walki gotów, musi jej oczekiwać i pojmować jej cel. Tu zaś nie mógł być spełniony żaden z tych warunków: nie znając nigdy przedtem tej ferajny, człowiek nie oczekiwał z góry tego starcia, a co najważniejsze – nie zdawał sobie sprawy z jego nieuchronności, bo wyobrażał sobie dotąd (niestusznie), że jego jedyni wrogowie – to błękitne czapki. Długo jeszcze będzie musiał nabierać rozumu, zanim sobie uświadomi, że tatuowane – piersi i machy – to tyłki błękitnych czapek, że to pomiot zrodzony z tego zaklęcia, którego nigdy głośno nie powtórzą tamci, z pagonami: „Ja zdechnę jutro, ale ty już dzisiaj!” Aresztant – nowicjusz pragnie uważać się za więźnia politycznego, to znaczy: on broni ludu, państwo zaś

6 Wśród niewielu relacji na ten temat znam historię trzech solidarnych (młodych i zdrowych) ludzi, którzy potrafili przeciwstawić się szemranym – nie broniąc jednak sprawiedliwości ani współtowarzyszy, których dalej grabiono tuż obok – lecz występując tylko we własnej obronie. Rodzaj zbrojnej neutralności. Jest wspólnym wrogiem. A tymczasem – znieenacka, z tyłu i z boku dopada go jakaś szczywana hołota i wszystkie podziały nagle się mącą, a to, co było jasne, poszło w drzazgi (i nie prędko więzień zbierze się do kupy, nie prędko się zorientuje, że ta hołota – w istocie trzyma ze strażnikami).

Aby walczyć śmiało, człowiekowi potrzebne jest poczucie, że ma osłonę z tyłu, pomoc z boku i grunt pod nogami. Żaden z tych warunków dla Pięćdziesiątki Ósemki nie istnieje. Po przejściu przez śledczą maszynkę do mięsa człowiek jest fizycznie zrujnowany: cierpiał głód, nie spał, marzył w karcerach, leżał płakiem, gdy go stłukli. Ale gdyby tylko o ciało tu chodziło! – duszę też mu rozłukli na miał. Wbili mu do głowy i dowiedli, że i jego poglądy, i zachowanie się, i stosunek do innych ludzi – wszystko to było błędne, ponieważ doprowadziło go do klęski. W tym nędznym strzępie, który z maszynowni sądowej wyrzucony został na śmietnisko etapu, telepie się jeszcze tylko pragnienie życia i nie ma już śladu żadnych koncepcji. Zmiażdżyć ostatecznie i aż do końca zdeintegrować człowieka – oto zadanie śledztwa politycznego, gdy wchodzi w grę artykuł 58. Skazani na jego podstawie powinni zrozumieć, że ich największą winą w poprzednim życiu była próba porozumienia się albo zbliżenia z innymi ludźmi ponad głową sekretarza partyjnego, delegata związkowego i administracji. W zakładzie karnym doprowadza to do lęku przed każdym objawem tak zwanej kolektywki i: ludzie boją się złożyć tę samą skargę do spółki z kim innym albo ten sam papierek opatrzyć dwoma podpisami. Oduczeni teraz na długo od wszelkich związków wzajemnych, więźniowie niby-polityczni nie zdradzają ochoty do łączenia się z innymi, nawet dla obrony przeciw szemranym. Tak samo nie przychodzi im do głowy, żeby w wagonie albo na etapie mieć przy sobie jakąś broń – nóż albo pałkę. Po pierwsze – po co to? Przeciw komu? Po drugie, jeżeli złapiesz za nóż ty, na którym ciąży złowieszczy 58 artykuł to – idąc drugi raz pod sąd – możesz zostać nawet rozstrzelany. Po trzecie, jeszcze zanim dojdzie co do czego, przy byle rewizji będziesz za ten nóż ukarany całkiem inaczej niż jakiś szemrany: nóż w jego rękach – to swawola, tradycja, brak uświadomienia. W twoich zaś – to narzędzie terroru.

I wreszcie, większa część skazanych z 58 artykułu – to ludzie spokojni (często – starzy albo chorzy), którzy przez całe życie używali raczej słów niż pięści – i teraz nie bardziej niż dawniej palą się do ich użycia.

Knajacy zaś nie przechodzili przez takie śledztwo. Całe śledztwo sprowadzało się dla nich do dwóch przesłuchań – potem – łatwy sąd, lekki wyrok, a nawet tego lekkiego wyroku też nie będą musieli odsiedzieć do końca, prędko ich wypuszczą – albo zrobi to administracja, albo sami uciekną⁷. Nikt nie odbierał knajakowi prawa do paczek nawet w czasie śledztwa, a kumple zza murów posyłają im dobre paczki. Nie schudł ani o gram, nie opadł z sił – i oto teraz w drodze dokarmia się kosztem frajerów⁸. Artykuły odnoszące się do kradzieży i bandytyzmu nie tylko nie są ciężarem dla szemranego, lecz są przedmiotem dumy – i dumę tę podsycają w nim wszyscy panowie z błękitnymi nara – miennikami i wypustkami: „Nie szkodzi, chociaż z ciebie bandyta i morderca, ale za to nie jesteś zdrajcą ojczyzny, jesteś nasz, jeszcze się poprawisz”. Artykułom tym nie towarzyszy żaden paragraf jedenasty – mówiący o organizacji. Knajakom wolno się organizować – dlaczego nie? – organizacja taka sprzyja rozwojowi uczuć kolektywnych, tak cennych dla naszego społeczeństwa. I jeśli znajdą przy którymś broń – to głupstwo, za posiadanie broni nikt ich nie karze, trzeba szanować ich wewnętrzne prawa („oni nie potrafią inaczej”). I nowy mord, popełniony w celi nie prowadzi do przedłużenia kary lecz tylko wieńczy zabójcę nowymi laurami.

(Ma to swoje bardzo głębokie korzenie. W pracach, pisanych w minionym stuleciu lumpenproletariatowi zarzucano najwyżej pewną niekonsekwencję i niestałość. Stalin zaś zawsze miał słabość do szemranych – któż inny grabił na jego zlecenie carskie banki? W 1901 roku jego towarzysze partyjni i współwięźniowie oskarżyli go o wykorzystanie kryminalistów w walce z przeciwnikami politycznymi. W latach 20. zjawiał się też bardzo poręczny termin: elementy socjalnie-bliskie. W tym aspekcie rozpatrywać też trzeba doktrynę Makarenki: Ci ludzie poddają się reedukacji. (Według Makarenki⁹ glebą dla przestępczości jest tylko „podziemie kontrewolucyjne”). Nie nadają się natomiast do reedukacji TAMCI – inżynierowie, duchowni, eserowcy, mienszewicy).

Dlaczego właściwie nie rabować, jeżeli nikt nie łapie za rękę? Trzech-czterech zgranych ze sobą i zuchwałych typków z ferajny trzyma w szachu kilkadziesiąt zastraszonych i przygnębionych niby-politycznych.

Z aprobatą zwierzchności. W zgodzie z Przodującą Doktryną.

7 W. I. Iwanów (obecnie mieszkający w Uchcie) dziewięć razy miał wyroki z artykułu 162 (kradzież), pięć razy z 82 (ucieczka) – w sumie 37 lat więzienia, a "odsiedział" je w ciągu 5–6 lat.

8 Frajer – to każdy, który nie jest złodziejem, czyli Człowiekiem (z dużej litery). Albo prościej: frajerzy – to cała ludzkość, poza złodziejami.

‘ Chorągwie na wieżach.

Dobrze – ofiary nie walczą. Dlaczego przynajmniej się nie skarżą? Przecież każdy dźwięk słysząc na korytarzu, po którym wolnym krokiem spaceruje konwojent, o, właśnie go widzieć.

Tak, to jest pytanie. Słysząc jęk i żałosny charkot, konwojent zaś wciąż się przechadza – dlaczego więc sam się nie wtrąci? O metr od niego, w mrocznej pieczarze przedziału obrabowują człowieka – dlaczego nie bierze go w obronę ten mundurowy rycerz z oddziałów ochronnych?

A z tej samej przyczyny, tego też tak nauczono.

Więcej nawet: po tylu latach pobłażliwości sama eskorta przeszła na stronę złodziei. Eskortą SAMA ZACZYNA KRAŚĆ.

Nikt nie potrafi sobie przypomnieć, aby w okresie między środkiem lat 30. a środkiem lat 40., więc w dziesięcioleciu najdzikszego rozpasania szemranych i największego poniżenia politycznych, choćby jeden jedyny raz eskorta przeszkodziła w ograbieniu politycznego więźnia w celi, w wagonie, w suce. Ludzie potrafili natomiast przytoczyć mnóstwo wypadków, gdy eskorta przyjmowała od złodziei zagrabione przedmioty, i przynosiła im w zamian za nie wódkę, wiktuały (smaczniejsze od przydziałowych), tytoń. Są to sprawy już banalne.

Taki sierżant z konwoju też przecież nie ma nic własnego: broń, szynel w trokach, menażka, żołnierski prowiant. Okrucieństwem byłoby żądać od niego, aby eskortował wroga ludu, podróżującego w drogim futrze, albo chromowych butach, albo z całym tobołem miejskich, zbytkownych rzeczy – i żeby pogodził się z tak krzyczącą nierównością. Przecież wywłaszczenie go z tych zbytków – też jest formą walki klasowej? A jakie tu w ogóle normy być mogą?

W latach 1945–46, kiedy rzeka więźniów płynęła nie z bylekąd, tylko z Zachodu i pełno było na tych ludziach i w ich plecakach niezwykle zachodnich wyrobów – nie potrafili oprzeć się pokusie nawet oficerowie eskorty. Służba w tych oddziałach oszczędziła im pójścia na front, pod koniec zaś działań oszczędziła im również łupów wojennych – czy to było sprawiedliwe?

A więc nie przypadkiem, nie przez pośpiech, nie z uwagi na brak miejsca, tylko we własnym interesie konwojenci pakowali szemranych razem z politycznymi do przedziałów swojego wagonu. I ferajna nie sprawiała im zawodu: wydierała jeleniom 10 rzeczy, które w końcu trafiały do kuferków eskorty.

Ale co robić jeżeli wagon pełen już jest jeleni, pociąg dawno już

Jeleń – bogaty zek, zaopatrzony w ciuchy i wałówkę. jedzie, a złodziei – nie ma ani na lekarstwo, po prostu – jakoś ich dzisiaj nie dostarczono, nie ma tego towaru na żadnej stacji? Było również kilka takich wypadków.

W 1947 roku wieziono z Moskwy do Władimira, do karnego centralniaka, grupę cudzoziemców. Mieli dużo pysznych ciuchów, co łatwo dało się stwierdzić już przy pierwszym otwarciu walizek. Wówczas eskorta sama zabrała się w wagonie do systematycznej rekwizycji tych rzeczy. Aby niczego nie przeoczyć, rozebrano więźniów do naga, kazano im siąść na podłodze wagonu obok wychodka, a tymczasem przeglądano i zabierano ich rzeczy. Ale eskorta nie wzięta pod uwagę, że wiezie ich nie do żadnego obozu, tylko do więzienia serio. Po przybyciu na miejsce, LA. Korniejew złożył na piśmie skargę, w której opisał wszystko. Odnaleziono tych konwojentów i poddano – ich z kolei – rewizji. Część rzeczy jeszcze odnaleziono i zwrócono je właścicielom. Za resztę dano im odszkodowanie pieniężne. Podobno konwojenci dostali po 10 i 15 lat. Zresztą – trudno to sprawdzić, ponadto skazano ich ze złodziejskiego artykułu, więc odsiadka nie mogła być długa.

Był to jednak wypadek wyjątkowy i naczelnik eskorty powinien był w porę powściągnąć swoją chciwość, boć łatwo było się potąpać, że tu lepiej trzymać się z dala. A oto wypadek mniej skomplikowany – i dlatego chyba nie tak rzadki. W "wagon-zaku" Moskwa–Nowosybirsk, w sierpniu 1945 roku (jechał w nim A. Suzi) też jakoś nie było złodziei. A droga zapowiadała się długa, pociągi wlokły się w tych latach wolniutko. Naczelnik eskorty bez zbędnego pośpiechu zarządził w odpowiedniej chwili rewizję, każąc więźniów wyprowadzać na korytarz pojedynczo, z rzeczami. Wezwanych rozbierano według więziennego rytuału, ale nie na tym polegał sens rewizji, bo ludzie wracali do tego samego swojego przedziału

i jakiś nóż albo inną rzecz zakazaną można było przekazywać sobie z rąk do rąk. W istocie chodziło o przegląd wszystkich rzeczy osobistych – zarówno tych, jakie więzień miał na sobie, jak tych, co były w plecaku. Przy tych plecakach przez cały długi czas rewizji, wcale się nie nudząc, stał z wyniosłą, nieprzystępną miną naczelnik eskorty, oficer i jego pomocnik, sierżant. Grzeszna chciwość szukała ujścia, ale oficer trzymając na uwierzy, udając obojętność. Był w sytuacji starego rozpustnika, podglądającego dziewczęta, który nie wie, jak zbliżyć się do nich, bo krępują go spojrzenia osób trzecich, a także samych dziewcząt. Ach, jakby tu się przydało paru złodziei! Ale nie było ich w tym transporcie.

Nie było więc złodziei, ale było paru, których okadziło już i zakaziło złodziejskie tchnienie więzienia. Przecież przykład dawany przez szemranych jest pouczający i budzi chęć naśladownictwa: dowodzi on, że istnieje sposób na ułatwienie sobie życia w więzieniu. W jednym z przedziałów jechało dwóch niedawnych oficerów – Sanin (marynarz) i Miereżkow. Obaj trafili tu z 58 artykułu, ale już rozpoczęła się w nich proces adaptacji. Sanin przy poparciu Miereżkowa ogłosił się starszą przedziału i przez konwojenta poprosił o posłuchanie u naczelnika eskorty. (Odgadł sekret tej wyniosłości i jej tęsknotę za rajfurem!). Rzecz niebywała, ale Sanin został wezwany; i gdzieś tam doszło do rozmowy. Idąc za przykładem Sanina, poprosił o to samo również ktoś z drugiego przedziału. Ten też został przyjęty.

Rankiem zaś chleba wydano nie 550 gramów, jak wymagała tego norma tranżyłowa, lecz tylko – 250.

Racje rozdano i zaczęły się szemrania. Utyskiwano, ale bojąc się oskarżenia o "kolektywne akcje", ci polityczni nie wystąpili otwarcie. Znalazł się tylko jeden, który głośno spytał rozdającego chleb żołnierza:

– Obywatelu naczelniku! A ile ta porcja waży?

– Tyle, ile się należy.

– Domagam się zważenia, inaczej nie wezmę! – głośno oznajmił straceniec.

Cały wagon zamarł. Wielu nie tykało chleba, czekając, czy aby im też nie zważą porcji. Wtedy właśnie wkroczył oficer w blasku swojej nieskazitelności. W ogólnej ciszy tym cięższe, tym bardziej nieodwracalne wydały się wszystkim jego słowa:

– Kto tu wystąpił przeciw sowieckiej władzy?

Wszystkim zamarły serca. (Powie ktoś, że jest to chwyt stosowany powszechnie, że również na wolności byle kierowniczek uznaje się za wcielenie władzy sowieckiej – i spróbuj z nim się sprzeczać, człowieku. Ale dla sterroryzowanych, dla dopiero co skazanych za działalność antysowiecką – to coś znacznie straszniejszego).

– Kto tu wszczął BUNT z powodu przydziału? – nalegał oficer.

– Obywatelu lejtnancie, ja tylko chciałem... – już próbował się sumitować sprawca rebelii.

– Ach, to ty, bydlaku? To tobie nie podoba się władza sowiecka?

(I na co zdały się bunty, co dają sprzeciw? Czy nie łatwiej zjeść tę małą porcyjkę, pogodzić się z losem, milczeć?... Bo inaczej – widzicie, co ten wyprawia...).

– ...Ty ścierwo śmierdzące! Kontra! Samemu by ci odważnikiem łeb rozbić, a nie chleb nim ważyć! Ciebie, gadzie, sowiecka władza karmi i poi – a ty jeszcze nosem kręcisz? Wiesz, co się za to należy?...

Pada rozkaz: „Zabrać go!”. Zgrzyt zamka. „Wychodzić, ręce do tyłu!”. Niezłaznik zostaje wyprowadzony.

– Kto jeszcze niezadowolony? Zważyć komu porcję?

(Czy tu w ogóle można coś zwojować? Czy gdzieś można poskarżyć się, że było tylko 250 – i czy uwierzą ci, nie uwierzą zaś lejtnantowi, że było całe 550?).

Bitemu psu wystarczy bał pokazać. Wszyscy pozostali okazali zupełne zadowolenie i w ten sposób wyprowadzony został karny przydział NA CAŁY OKRES długiej podróży. Cukier też zniknął – eskorta go sobie zabierała.

(Było to tego lata, gdy odniesiono dwa epokowe zwycięstwa – nad Niemcami i nad Japonią, zwycięstwa, które opromienia blaskiem dzieje naszej Ojczyzny, o których uczyć się będą wnuki i prawnuki).

Pościli tak dzionek, pościli drugi, rozumu trochę im przybyło, więc Sanin oświecił w końcu ludzi ze swojego przedziału: „Wiecie, chłopaki, długo tak nie pociągniemy. Jeżeli kto ma jakieś porządne rzeczy – to niech wyklada, ja im je zaniosę i przyniosę wam żarcia”. Z wielką znajomością rzeczy zaczął jedno przedmioty wybierać, inne odrzucać (nie wszyscy zresztą się zgadzali, ale przecież nikt ich nie zmuszał!). Następnie poprosił o pozwolenie wyjścia razem z Miereżkowem i – dziwna rzecz – konwój wypuścił ich. Poszli z ciuchami w stronę przedziału eskorty i wrócili z bochnami chleba, pięknie pociętymi na kromki i z zapasem machorki. Były to te same bochenki – te siedem kilogramów, których nie dawano co dzień przedziałowi, tylko że teraz przypadły one nie wszystkim, lecz tym jedynie, którzy zapłacili ciuchami.

To było całkiem sprawiedliwe: wszyscy przecież oznajmili, że zupełnie im wystarczy zmniejszona racja. Było to sprawiedliwe także dlatego, że ciuchy mają swoją wartość i trzeba przecież za nie płacić. I na dłuższą metę – też jest sprawiedliwe: przecież to za dobre rzeczy dla obozu, tak czy owak byłyby im tam zabrane albo ukradzione.

Machorka zaś pochodziła z zapasów eskorty. Żołnierze dzielili się z więźniami swoją najrodzeńszą machorką, ale to też było sprawiedliwe – ponieważ także oni jedli chleb więźniów oraz ich cukier, skądinąd zbyt dobry, aby zostawić go wrogom. I wreszcie – było sprawiedliwe, że Sanin i Miereżkow, którzy żadnych ciuchów swoich nie oddali – przydzielili sobie więcej niż ofiarodawcom, ponieważ bez nich nie doszłoby do tej transakcji.

I tak siedzieli sobie w tłoku i w ciemnościach, ajedni żuli chleb, który należał się sąsiadom, drudzy zaś przyglądali im się tylko. Konwojenci nie dawali przypalać pojedynczo, tylko raz na dwie godziny i wtedy cały wagon zasnuwał się dymem, jakby stał już w ogniu. Ci, którzy z początku swoich ciuszków żałowali, teraz robili sobie wyrzuty i prosili Sanina, żeby je przyjął, ale Sanin powiedział, że jak już, to później.

Operacja ta nie dałaby się przeprowadzić tak sprawnie i konsekwentnie, gdyby nie długie trasy pierwszych lat powojennych, kiedy nie doczepiano wagonów na czas i przetrzymywano na stacjach – ale za to bez tych powojennych warunków nie byłoby również tych ciuszków, na których tak ludziom zależało. Do Kujbyszewa jechali cały tydzień – i cały ten tydzień dostawali od państwa tylko 250 gramów chleba (było to zresztą dwa razy więcej, niż podczas blokady w Leningradzie), suszone ryby i wodę. Resztę chleba trzeba było wykupywać kosztem własnych rzeczy. Wkrótce podaż okazała się większa niż popyt i eskorta przyjmowała już ciuchy bardzo niechętnie przebierając – jak w ulęgałkach.

Na kujbyszewskim punkcie etapowym zawieziono ich do łaźni, wykąpano i w tym samym składzie odwieziono do tego samego wagonu. Eskorta była już inna, ale sztafetą przekazano jej zapewne informacje, jak można zdobyć ciuchy – więc ta sama zasada zakupu własnej racji dziennej przestrzegana była aż do Nowosybirsk. (Łatwo wyobrazić sobie, że zaraźliwe to doświadczenie udzielało się innym oddziałom eskorty łatwo i szeroko).

Kiedy w Nowosybirsku zeszli z wagonów na ziemię między torami i jakiś nowy oficer podszedł do nich z pytaniem: „Są jakieś skargi na eskortę?” – bardzo się stopili i nikt mu jakoś odpowiedzi nie udzielił.

Dobrze to sobie wykalkulował ten pierwszy naczelnik eskorty.

Pasażerowie wagon–zaka różnią się od pasażerów reszty wagonów także pod tym względem, że nie wiedzą, dokąd pociąg jedzie i na jakiej stacji będą musieli wysiąść: biletów przecież nie mają, a wywieszek z marszrutą na wagonach nie czytują. W Moskwie załadowują ich czasem do pociągu w takiej odległości od peronów, że nawet urodzeni w tym mieście nie wiedzą jaki to właściwie dworzec, a jest ich osiem. Przez kilka godzin aresztanci siedzą w smrodliwym zaduchu i ciasnocie, czekając na parowóz manewrowy. Oto nadjeżdża i dowozi wagon areszancki do czekającego już składu. Jeżeli to lato, dworcowe megafony wykrzykują: „Moskwa–Ufa odchodzi z trzeciego peronu”... Na peronie pierwszym oczekuje na sygnał odjazdu pociąg relacji „Moskwa–Taszkient...”. A więc jesteśmy na dworcu Kazariskim i znawcy geografii Archipelagu oraz jego tras mogą teraz objaśnić kolegów: Workuta i Pieczora – to odpada, tam się jedzie z Jarosławskiego dworca; nie wchodzi też w grę obozy Kirowskie i Gorkowskie¹¹. Na Białoruś, na Ukrainę, na Kaukaz – z Moskwy nigdy się więźniów nie wysyła, bo tam swoich własnych nie mają gdzie podziać. Słuchamy dalej. Pociąg do Ufy już odszedł – nasz ani drgnie. Do Taszkientu też już odjechał – a my stoimy. „Odjeżdża pociąg relacji Moskwa–Nowosybirsk... Prosimy odsunąć się od toru... Bilety należy okazywać na każde żądanie...”. Wagon drgnął, rusza. To nasz! Ale czego to dowodzi? Chwilowo niczego. Nasze jest całe środkowe dorzecze Wołgi, nasz jest też południowy Ural. Nasz jest cały Kazachstan z kopalniami miedzi w Dżezkaganie. Do nas należy Tajszet ze swoim zakładem impregnacji podkładów kolejowych (gdzie kreozot podobno przesącza się przez skórę aż do kości, parami jego przesycają się płuca – a to już śmierć). Cała Syberia jest jeszcze nasza, aż do samej Sowgawani. I do nas należy – Kołyma. I Norylsk – też jest nasz.

Jeżeli to dzieje się zimą – to wagon zamknięty jest szczelnie i nie słychać megafonów. Jeżeli eskorta przestrzega ściśle regulaminu – to od nich też nie dowiesz się ani słówka o marszrucie. Tak oto ruszymy w drogę, zapadniemy w sen w rojowisku cudzych ciał, przy rytmicznym wtórze kół – nic nie przeczuwając, nie wiedząc, czy jutro przez okno migną nam lasy, czy stepy. Migną – przez okno w korytarzu, ze środkowej półki przez kratę, korytarz, dwie szyby i jeszcze jedną kratę zewnętrzną widać jednak jakieś perony i jakieś skrawki przestrzeni, zostające za pociągiem w tyle. Jeśli zamróz szyb nie pokrywa, można czasem przeczytać nawet nazwę stacji – jakieś Awsiunino albo Undoł. Gdzie to może być?... Nikt w przedziale nie wie. Czasem można zorientować się według słońca, czy wiozą na północ, czy na wschód. Albo w jakimś Tufanowie wepchną warn do przedziału obszarpanego pospolitaka, który się zwierzy, że wiozą go do Daniłowa na rozprawę, a boi się, bo mogą mu dać jakieś dwa latka. W ten sposób dowiecie się, że

w nocy minęliście Jarosław, z czego wynika, iż pierwsze więzienie tranzytowe po drodze będzie w Wołogdzie i zaraz znajda się w przedziale

11 Tak ziarno sławy miesza się z plewą. Ale – czy to plewa? Nie ma przecież obozów puszkowskich, gogolowskich, tołstojowskich – gorkowskie zaś są i to jakie gniazdo! A prócz miasta Gorki jest jeszcze katorżnicza kopalnia „im. Maksyma Gorkiego” (40 km od Elgen)! Tak, Aleksy Maksymiczu... „Waszym, towarzyszu, sercem i imieniem”... „Jeśli wróg się nie poddaje, to musi być unicestwiony...”. Wypsnie się człowiekowi z ręcznej powiedzonko, i ani się obejrzy, a już go nie ma w literaturze. znawcy przedmiotu, którzy tonem przestrogi zacytują znane powiedzonko: „Wołogodzka eskorta – gorsza od czorta!”

Ale nawet znając już kierunek – jeszczeście się niczego nie dowiedzieli: więzienia tranzytowe zadziergnięte są na kształt węzełków na waszej niteczce, jedno za drugim – i z każdego mogą was odesłać gdzieś w bok. Ani do Uchty, ani do Inty, ani do Workuty nic cię nie ciągnie. Może myślisz, że budowa numer 501 to coś lepszego? Kolej żelazna w tundrze, na samej północy Syberii? Tyle warta co tamte.

Jakieś pięć lat po wojnie, kiedy rozlane rzeki aresztantów ujęte zostały jednak w koryta (albo może w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zwiększono liczbę etatów?) w resorcie poddano w końcu segregacji milionowe sterty a k t i odtąd każdemu skazańcowi towarzyszyła w drodze koperta z jego więziennymi papierami. Koperta miała wycięcia, w które wpisywana była marszruta – do wiadomości eskorty (bo po co mają więcej wiedzieć, zawartość akt może mieć wpływ demoralizujący). I oto – jeżeli leżysz na średniej półce, a sierżant zatrzymał się akurat koło ciebie, jeśli nadto potrafisz czytać do góry nogami – to może ci się udać odcyfrować napis, z którego wynika, że kogoś tam kieruje się do Kniaź-Pogostu, ciebie zaś – do Kargopoltagu.

No, teraz denerwujesz się jeszcze bardziej – co to znów za Kargopoltag? Kto słyszał o nim?... Jakiego typu są tam roboty ogólne? (Bywają ogólne roboty zabójcze, zdarzają się też jakieś łżejsze). Trupiarnia, czy nie?

I jak mogło dojść do tego, jak mogło! że w pośpiechu, przed wyjazdem, nie dałeś znać o niczym swoim krewnym – i wciąż im jeszcze się zdaje, że siedzisz w stalinogorskim obozie pod Tulą. Jeżeli ten niepokój bardzo cię nęka i jeśli należysz do ludzi pomysłowych, to może uda ci się rozwiązać także to zadanie: znajdzie się u kogoś centymetrowy kawałek grafitu z ołówka, kto inny ma jakiś wymięty paperek. Oglądając się wciąż, czy konwojent z korytarza nie widzi (a nie wolno kłaść się nogami w stronę kraty, tylko głową), w niewygodnej pozie, odwrócony, między jednym szarpnięciem wagonu a drugim, piszesz krewnym, że zabrano cię bez uprzedzenia spod tego starego adresu, że teraz jesteś w drodze, że z nowego miejsca pobytu można będzie pisać tylko raz do roku, niech na to będą przygotowani. Złożony w trójkącik list trzeba teraz mieć przy sobie przy wyjściu do wychodka: a nuż się uda, może puszcza cię ‘tam – akurat niedaleko jakiejs stacji, może konwojent w tamburze zagapi się – naciśnij wtedy czym prędzej na pedał, niech się spust odemknie, wrzuci tam list, póki cię nie widzą! List się zamoczy i pobrudzi, ale może przelecieć i upaść między szyny. Może się uratuje, wiatr spod kół zakręci nim, list wleci pod koła, ale może też je minie i opadnie na zbocze nasypu. Może będzie tam leżał aż do pory deszczowej, może doczeka się śniegu i zaturaty, ale może ręka ludzka go podniesie. I jeśli przypadkiem nie będzie to ręka jednostki ideowej – to poprawi adres, sama dopisze jakieś litery, albo włoży do koperty –

i może jednak list twój jeszcze dotrze do celu. Czasem takie listy dochodzą – z dopłatą, z adresem zatartym albo rozmazanym, wymięte, ale jako znak niedoli – wystarczająco czytelne...

Ale najlepiej dla ciebie, jeśli przestaniesz już być f r a j e r e m, śmiesznym nowicjuszem, ofermą i ofiarą. W 95 przypadkach na 100 – twój list nigdzie nie dotrze, ale jeśli nawet nadejdzie, to nikomu radości nie przysporzy. Bo i po co ten krótki oddech, to liczenie godzin i dni, podczas gdy znalazłeś się w krainie eposu? Od przyjazdu do wyjazdu mijają tu dziesięciolecia, czas mierzy się ćwiartkami wieku. NIGDY NIE WRÓCISZ do dawnego twego świata. Im prędzej odzwyczaisz się od swoich bliskich, a twoi bliscy od ciebie – tym lepiej. Tym lżej ci będzie.

I własnych rzeczy trzeba mieć jak najmniej, żeby później nie drżeć o nie! Nie trzeba mieć walizki, aby eskorta nie musiała zgnieść jej na 'miazgę przy wejściu (skoro w przedziale jest 25 ludzi, to co innego w ogóle zrobić mogła?), nie trzeba też mieć nowych butów, ani modnych półbucików, ani wełnianego garniturku: w wagonie albo w suce, przy przejściu przez więzienie tranzytowe – i tak ukradną, odbiorą, zamienią, każą oddać. Jeśli oddasz bez sprzeciwu – to upokorzenie długo będzie zatruwać ci serce. Jeśli zabiorą ci siłą – to za twoje myto jeszcze cię obito. Obrzydzenie budzą w tobie te beczelne machy, te urągliwe tony, cała ta dzicz dwunoga – ale mając coś własnego i trzęsąc się nad tym – czy nie tracisz rzadkiej okazji do obserwacji i wyniknięcia w głąb tego zjawiska? Może myślisz, że filibustierzy, piraci, korsarscy kapitanowie, tak ozdobnie opisani przez Kiplinga czy Gumilowa – byli inni, nie należeli do tej samej ferajny? Zaliczali się do tego samego gatunku... Zachwycali cię w romantycznych filmach – czemuż to tutaj wstręt w tobie budzą?

Ich też trzeba zrozumieć. Więzienie jest ich domem rodzinnym. Władza stara się zjednać ich sobie, łagodzi im kary, amnestionuje, wszystko to prawda – ale fatalny los wciąż na nowo każe im tutaj wracać... Czy to nie oni są pierwszymi prawodawcami Archipelagu? Przez pewien czas także na wolności prawo własności u nas z' takim sukcesem było zwalczane (później ci, którzy to robili, sami już chcieli mieć to i owo) – dlaczegoż więc powinno być ono tolerowane w więzieniu? Zagapiłeś się, nie zjadłeś na czas swojej stoniny, nie podzieliłeś się z przyjaciółmi cukrem i tytoniem – więc teraz knajacy bobrują w twoim worku, aby naprawić twoje uchybienie. Dają ci jakieś żałosne o k u l a k i, zamiast twoich pasowanych butów, brudną fufaję – zamiast twojego swetra, ale nie długo będą mieć te rzeczy w swoim ręku: twoje buty będą jeszcze pięciokrotnie przegrane – albo wygrane w karty, sweter zaś już jutro o p y l a za litr wódki i za pęto kietbasy. Minie doba – i tak samo nie będą ich mieć, jak ty ich nie masz. Działa tu drugie prawo termodynamiki: poziomy i różnice ulegają wyrównaniu...

Żadnego mienia! Nie mieć niczego! uczył nas Budda i Chrystus, stoicy i cynicy. Dlaczegoż to nie chcemy wmyśleć się, opętani chciwością, w sens jego przestania? Czy nie rozumiemy, że posiadanie gubi nasze dusze?

No, niech już tam będzie jakiś śledź, ale grzej go w kieszeni aż do przybycia na etap, żebyś nie musiał błagać o coś do popicia. A chleb i cukier wydali na dwa dni – zjedz je od razu. Wtedy nikt ci ich nie ukradnie. I nie ma kłopotu. I bądź, jak ptaki niebieskie!

Miej tylko tyle, co zawsze można zabrać ze sobą: poznaj języki, poznaj obce kraje, poznaj ludzi. Niech pamięć będzie twoją sakwą podróży. Zapamiętuj! Zapamiętuj! Tylko te gorzkie ziarna może kiedyś wzejdą.

Rozejrzyj się dokoła – otaczają cię ludzie. Może któregoś z nich będziesz potem wspominał całe życie i palce gryźć będziesz, żeś go nie wypytał. I mów mniej – a więcej usłyszysz. Między wyspami Archipelagu rozsnute są cienkie nici żywotów ludzkich. Przędą się, stykają się ze sobą – choćby w takim półciemnym, turkoczącym wagonie, później znów rozchodzą się na wieki, ty zaś nastaw ucha na ciche ich brzęczenie i na równy stukot, co dochodzi spod podłogi. To postukuje przecież – wrzeczono życia.

Jak dziwacznych historii tu się człowiek nasłucha, jakie miewa tutaj powody do śmiechu!

Na przykład ten ruchliwy Francuzik, siedzący przy samej kracie – czemu ciągle się kręci? Co go tutaj tak dziwi? Czego jeszcze dotychczas nie zrozumiał? Niechże mu to ktoś wyjaśni! A przy okazji – warto także spytać: jak się tu dostał? Znalazł się ktoś znający francuski język i dowiadujemy się, że to Max Santerre, francuski żołnierz. Taki sam wścibski i zwinny był wtedy, gdy jeszcze był wolny w swojej do-
uce France. Mówili mu życzliwi ludzie, żeby się tam nie wiercił, on zaś wciąż się uwi-
jał w pobliżu punktu repatriacyjnego dla Rosjan. Wówczas jacyś nasi ziomkowie wypili z nim jednego – i od tej chwili niczego już więcej nie pamięta. Wrócił do przytomności dopiero w samolocie, na podłodze. Stwierdził, że ma na sobie bluzę czerwonoarmiejca i mundurowe spodnie, nad sobą zaś ujrzął długie buty konwo-
jenta. Teraz mu powiedziano, że dostał 10 lat obozu, ale to chyba tylko złośliwy żart, to się wszystko wyjaśni?... A pewno, wyjaśni się, kochaneriki, możesz długo czekać! (No, ale w latach 45–46 takie wypadki nikogo nie dziwiły).

To był temat francusko-rosyjski. A oto macie rosyjsko-francuski. Zresztą nie – chyba czysto rosyjski, bo kto jeszcze prócz Rosjanina potrafi tyle mieszać i namotać? W każdej epoce zdarzali się u nas ludzie, którzy w niej się nie mieścili, jak Mienszykow na obrazie Surikowa w chłopskiej chacie.

Także Iwan Kowierczenko – chociaż szczupły i średniego wzrostu, ale jakoś się nie mieścił. A to dlatego, że chłopczyzna był z niego krew z mlekiem, tylko że dodał diasek gorzałki do tej mieszaniny. Kowierczenko sam o sobie mówi chętnie i nie bez humoru. Opowieści takie – to prawdziwy skarb – tylko słuchać. Co prawda, dłuższy czas trudno zgadnąć, za co go w ogóle aresztowano i dlaczego uchodzi za politycznego. Ale żeby otrzymać tę godność nie trzeba mieć żadnych odznaczeń. Nie wszystko jedno jakimi grabiami cię wyczesał?

Jak wszyscy dobrze wiedzą, do wojny chemicznej szykowali się podstępnie Niemcy, nie zaś my. Dlatego bardzo to było nieprzyjemne, że przy odwrocie z Kubania, z winy jakichś niedorajdów od amunicji, zostawiliśmy na pewnym lotni-
sku kilka sągów bomb chemicznych – i Niemcy mogli mieć potem okazję do międ-
zynarodowego skandalu. Wówczas to dano starszemu lejtnantowi Kowierczenke, rodem z Krasnodaru, koło dwudziestu spadochroniarzy i przerzucono go na tyły niemieckie, zlecając, aby te pechowe bomby dobrze tam zakopał. (Czytelnicy już domyślają się reszty i zabierają się do ziewania: Kowierczenko znalazł się w niewoli i jest teraz zdrajcą ojczyzny. Kulą w płuć – nic podobnego!). Kowierczenko wyko-
nał rozkaz co do joty, nie poniósł żadnych strat w ludziach, przebił się z powrotem przez front i na wniosek swego dowódcy miał otrzymać tytuł Bohatera Związku Sowieckiego.

Ale przecież taki wniosek załatwiany jest miesiąc – drugi. A co, jeśli przez ten czas się wyjaśnia, że człowiek nic mieści się nawet w skórze

12 Miał złapać jeszcze w obozie drugi wyrok, 25 lat i zwolniony został z Ozierlagu dopiero w 1957 roku. Bohatera? Tytuł ten dają potulnym chłopaczkom, przodownikom wyszkolenia bojowego i politycznego – a tymczasem człowika aż rozpiera, suszy go, że wprost niepodobna, a tu nie ma czego wypić. Ale jak już jesteś tym Bohaterem całego Związku – to jakim prawem skąpią ci litra wódki te gady? Iwan Kowierczenko skoczył więc na konia i – chociaż mówiąc prawdę, nic nie wiedział o Kaliguli – jednak wjechał konno po schodach, na piętro, do wojskowego komisarza, czy tam komendanta tego miasta: dawaj, powiada, zlecenie na wódkę! (Wykalkulował sobie, że tak będzie jakoś okazalej, w sam raz, jak na Bohatera i że trudniej będzie odmówić). Za to go wsadzili? – Nie, też wymyślił! Za to zjechał tylko z Bohatera do Kawalera Orderu Czerwonego Sztandaru.

Kowierczenkę wciąż bardzo suszyło, a nie zawsze była okazja i trzeba było nieraz tęgo się wysilić, żeby coś wykombinować. W Polsce zapobiegł on wysadzeniu pewnego mostu przez Niemców – i uznał, że ten most jest niejako jego własnością, więc chwilowo, póki nie zjawily się nasze władze, nałożył na Polaków coś w rodzaju rogałkowego za używanie tego mostu: przecież beze mnie w ogóle byście go nie mieli, cholery! Całą dobę inkasował to rogałkowe (wszystko na wódkę), znudziło mu się jednak, zresztą – po co tu w ogóle sterczeć? – i zaproponował nasz kapitan Kowierczenko okolicznym mieszkańcom bardzo uczciwe wyjście z sytuacji: żeby ten most od niego kupili. (Czy za to poszedł siedzieć? – Niiiee!). Za bardzo nie nalegał, zresztą Polacy nie kwapili się, widać sknerzy. Dał więc pan kapitan spokój tej historii z mostem, czort z wami, chodźcie sobie bezpłatnie.

W 1949 roku służył on w Połocku jako szef sztabu pułku spadochroniarzy. Bardzo nie kochał majora Kowierczenki wydział polityczny dywizji za to, że szkolenie polityczne miał on, powiedzmy w nosie. Poprosił raz o wydanie mu charakterystyki, bo chciał wstąpić na Akademię Sztabu, ale gdy mu ją dali – ledwo rzucił okiem, zaraz im ją cisnął na stół: „Z taką charakterystyką to mogę iść nie na wyższą uczelnię, tylko do banderowców!”. (Może za to?... – za to mogli dać z powodzeniem dziesiątaka, ale jakoś uszło mu na sucho). Dodajmy jeszcze do tego, że puścił na urlop bez podstaw służbowych pewnego swojego żołnierza. I że jeszcze po pijanemu prowadził ciężarówkę, przez co ją rozbił. Dano mu więc 10... dni odwachu. Zresztą – pilnowali go tam żołnierze z jego własnej jednostki, przepadali za nim i z tego odwachu wypuszczali go na zabawy do wsi. W ten sposób jakoś by ten odwach przetrzymał, gdyby nie to, że politywydział zaczął grozić mu sądem! Te groźby dotknęły najbardziej Kowierczenkę, wstrząsnęły nim po prostu: więc kiedy bomby zakopywać – to Iwan dobry? a za jakiś nędzny gruchot – to niech idzie do więzienia? W nocy wyskoczył przez okno, pobiegł nad Dźwinę, gdzie jeden z jego przyjaciół miał schowaną motorówkę i odpłynął nią w siną dal.

Okazało się, że nie był zwyczajnym pijaczyną o krótkiej pamięci: chciał teraz zemścić się za wszystko, czym dokuczył mu politywydział. Gdy znalazł się już na Litwie, porzucił motorówkę i zaproponował miejscowym Litwinom: „Chłopaki kochane, zaprowadźcie mnie do waszych partyzantów! jak mnie przyjmiecie, nie będziecie żałować, dopiero im zadamy bobu!”. Ale Litwini byli przeświadczeni, że to człowiek nałany.

Iwan miał zaszytą w ubraniu akredytywę bankową. Kupił za nią bilet aż na Kubań, jednakże gdy przejeżdżał przez Moskwę uraczył się nieźle w dworcowej restauracji. Dlatego, ledwo wyrztał z dworca i rzucił okiem na panoramę Moskwy,

skinął na taksówkarza: „Zawieź no mnie do ambasady!” – „A do jakiej?” – „A wszystko jedno, urwana nać, do bylejakiej”. Więc go szofer zawiózł. – „A jaka to?” – „A francuska”. – „Może być”.

Być może myśli mu się jakoś po drodze rozpiezchły, może z początku miał jakieś inne zamiary w związku z tą ambasadą, a teraz stracił cel z oczu, ale mimo to, siła i spryt wcale go nie opuściły: nie chcąc widać straszyć stojącego przy wejściu milicjanta, spokojnie skręcił w zaułek i przeskoczył gładkie, lite ogrodzenie wysokie na dwóch chłopów. Na dziedzińcu ambasady poszło już łżej, nikt go nie zauważył, ani nie zatrzymał, wszedł więc do wnętrza gmachu, minął jeden pokój, potem drugi i wreszcie w trzecim zobaczył nakryty stół. Stół zastawiony był obficie, ale największe wrażenie zrobiły na Iwanie gruszki, dawno jakoś ich już nie jadł, napchał więc sobie teraz nimi wszystkie kieszenie frencza i bryczesów. A właśnie weszli gospodarze, bo była to pora kolacji. „Ej, panowie Francuzi!” – krzyknął na nich Kowierczenko, sam przystępując do natarcia. Doszedł do wniosku, że Francja w ciągu ostatniego stulecia niczego dobrego nie zdziałała, nie mógł dłużej znieść tej sytuacji. – „Dlaczego właściwie nie robicie rewolucji? Dlaczego pomagacie De Gaulle'owi dojść do władzy? A my was mamy za to karmić kubańską pszeniczką? Nic z tego!!!”. – „Kim pan jest? Skąd się pan wziął?” – zdumieni się Francuzi. Uderzając z punktu we właściwy klawisz, Kowierczenko odparł: „Major MGB!”. Francuzi okazali pewne zaniepokojenie: „Dobrze, ale mimo to nie powinien pan tu się wdzierać gwałtem. W jakiej pan właściwie sprawie?”. – „A w tej, że ja was w tę, i w tamtą, i na wylot!...” – oznajmił im Kowierczenko już bez ogródek, z całej duszy. Jeszcze chwilę tak przed nimi grał zucha, ale spostrzegł się, że ktoś w sąsiednim pokoju już mówi o nim przez telefon. Dość był jeszcze trzeźwy, aby rozpocząć odwrót, ale tu gruszki zaczęły mu sypać się z kieszeni! i wybuch sztydlerczego śmiechu towarzyszył tej rejteradzie...

Starczyło mu zresztą sił nie tylko na pomyślną ucieczkę z poselstwa, lecz na to, żeby zrobić jeszcze kawał drogi. Następnego ranka obudził się na dworcu kijowskim (czy nie wybierał się aby na Ukrainę Zachodnią?) – i tu go dopiero przytknęło.

W czasie śledztwa bił go osobiście Abakumow, na grzbiecie miał pręgi od rózg grubości ramienia. Minister bił go, rzecz jasna, nie za te gruszki i nie za słuszne uwagi pod adresem Francuzów, tylko pragnął dowiedzieć się – czym agentem jest Iwan i kiedy został zwerbowany? I wrzepiono mu, rzecz prosta, 25 lat.

Opowiadań takich można usłyszeć sporo, ale – podobnie jak każdy inny wagon – stołypinka milknie, gdy nadchodzi noc. W nocy nie ma ani ryb, ani wody, ani wycieczek do wychodka.

Wtedy też, jak każdy inny wagon, wypełnia stołypinkę rytmiczny stukot kół, nie mącący wcale ciszy. Wówczas to, jeżeli konwojent poszedł już sobie z korytarza, można prowadzić ciche rozmowy między trzecim przedziałem męskim a czwartym – kobiecym.

Rozmowa z kobietą w więzieniu – to rzecz zawsze osobliwa. Jest w niej coś podniosłego, nawet jeśli mowa tylko o paragrafach i wyrokach.

Jedna z takich rozmów trwała całą noc w dość szczególnych okolicznościach. Było to w lipcu 1950 roku. Przedział kobiecy zajęty był przez jedną zaledwie pasażerkę. Była nią młoda dziewczyna, córka moskiewskiego lekarza, skazana z artykułu 58–10. Z męskich przedziałów dochodził zgiełk: eskorta przeprowadziła

zagęszczenie: zeków z trzeciego przedziału przeniesiono do dwóch pozostałych (lepiej nie pytać, ilu się tam musiało teraz zmieścić).

Następnie wprowadzono jakiegoś przestępcę, zupełnie nie przypominającego innych aresztantów. Przede wszystkim – nie był ostrzyżony i faliste, płowe włosy, prawdziwe loki, dumnie jaśniały na jego kształtnej, dużej głowie. Był młody, przystojny, w mundurze angielskiego kroju. Prowadzono go przez korytarz jakby z szacunkiem (eskorta stąpiła się aż, przeczytawszy instrukcję, napisaną na obłożce jego akt) – i dziewczyna zdążyła to wszystko zobaczyć. On zaś nie przyjrzał się jej (i jak bardzo tego później żałowali!).

Hałas i szurgot pozwoliły jej się zorientować, że dla przybysza zwalniją osobny przedział – właśnie obok niej. Było jasne, że nie powinien być on stykać się z nikim. Tym większą miała chęć na rozmowę. W wagonie nie sposób zobaczyć tego, kto siedzi w sąsiednim przedziale, ale usłyszeć go można, gdy zapanuje cisza. Późnym wieczorem, gdy gwar zaczął już milknąć, dziewczyna usiadła na skraju swojej półki, zbliżyła twarz do kraty i cicho zagabnęła sąsiada (a może z początku zanuciła coś. Za to wszystko eskorta powinna ją była ukarać, ale żołnierze byli pomęczeni i w korytarzu nie było nikogo). Nieznajomy nadstawił ucha i za przykładem dziewczyny tak samo przysunął się do kraty. Siedzieli teraz obróceniu ku sobie plecami oparci o tę samą 3-centymetrową deskę, mówili zaś cicho przez kratę, omijając głosem przeszkodę. I głowy i usta dzieliła przestrzeń nie większa niż przy pocałunku, nie mogli jednak nie tylko dotknąć się, ale nawet spojrzeć na siebie.

Eryk Arwid Andersen rozumiał po rosyjsku już całkiem nieźle i choć mówił jeszcze z licznymi błędami, jednak w końcu zrozumiałe. Opowiedział dziewczynie swoją zadziwiającą przygodę (jeszcze poznamy ją, gdy zatrzymamy się na punkcie tranzytowym), ona zaś jemu – prostą historię moskiewskiej studentki, która dostała 58–10. Ale Arwid był tym bardzo przejęty, zaczął wypytywać ją o sowiecką młodość, o życie sowieckie – dowiadując się rzeczy zupełnie odmiennych od tych, które znał dawniej z lektury lewicowych gazet zachodnich i z czasów swojej oficjalnej wizyty w ZSSR.

Przegadali tak całą noc – i dla Arwida wszystko tej nocy spłotło się w jeden węzeł: niezwykle wagon dla aresztantów w nieznanym mu kraju; i śpiewny stukot nocnych kół. zawsze znajdujący odzew w sercach; i melodyjny głos, szept, oddech dziewczyny przy uchu – przy samym jego uchu, a nie mógł jej nawet zobaczyć! (I kobiecego głosu nie słyszał już w ogóle od półtora roku).

I po raz pierwszy zobaczył Rosję, jako sprawę nieoddzielną od tej niewidzialnej (a na pewno, niechybnie, niewątpliwie pięknej) dziewczyny – i głos Rosji przez całą noc mówił mu samą prawdę. Można zawrzeć pierwszą prawdziwą znajomość z krajem także w taki sposób... (Rano miał jeszcze zobaczyć przez okno pociemniałe, słomiane strzechy Rosji – przy wtórze smutnego szeptu jego tajnej przewodniczki).

Przecież to wszystko Rosja: i wędrujący aresztanci, nie chcący składać zażaleń, i dziewczyna za ścianą przedziału, i eskorta zmorzona snem; gruszki, sypiące się z kieszeni, zakopane bomby i koń, sadzący susami po schodach.

– Żandarmi! żandarmi! – krzyczeli uradowani więźniowie. Cieszyli się, że konwojować ich dalej będą żandarmi, nie zaś policyjna eskorta.

Znów zapomniałem o cudzysłowie. Są to słowa samego Korolenki¹³. Prawdę mówiąc, nie bardzośmy się radowali na widok błękitnych czapek. Ale nawet ten

widok może sprawić ci radość, jeżeli razem ze swoim wagon-zakiem wpadłeś w ruch wahadłowy.

Zwykły pasażer na małych przystankach ma kłopoty z WSIADANIEM, ale wysiąść z pociągu – dlaczego nie? to łatwe, wyrzucić tylko rzeczy i skacz. Inaczej bywa z aresztantem. Jeżeli miejscowa straż więzienna albo milicja nie wyślą kogoś po niego, albo ów ktoś spóźni się o dwie minuty – fiu, fiu! – pociąg już ruszył i teraz nie-szczesny grzesznik musi jechać aż do następnego etapu. Z Bogiem sprawa, jeżeli tylko 'do więzienia tranzytowego – tam znów ci dadzą jeść. Ale czasem trzeba jechać aż do końca marszruty, tam przetrzymają cię półtorej doby i każą jechać z powrotem dopiero, gdy zbierze się nowy komplet. A może tak się zdarzyć, że nikt do ciebie nie zajrzy i znów ślepy tor, i znów trzeba czekać, i przez ten czas przecież zupełnie NIE DAJĄ JEŚĆ! Przecież racje żywnościowe wypisali ci tylko do twojej stacji docelowej, księgowość nic nie jest winna, że miejscowe więzienie przegapiło, już przecież jesteś formalnie na ich wyżywieniu. Eskorta zaś nie ma żadnego obowiązku, żeby dzielić się z tobą swoim przydziałem. I SZEŚĆ RAZY POD RZĄD (bywało i tak!) musisz zapychać trasę: Irkuck–Krasnojarsk, Krasnojarsk–Irkuck, Irkuck–Krasnojarsk, więc gdy zobaczysz na peronie twojego przystanku Tułun błękitnego, gotów jesteś rzucić się mu na szyję: dzięki serdeczne, kochasiu, żeś mnie poratował!

Wystarczą dwie takie doby, żeby człowieka tak znużyć, zadręczyć zaduchem, pozbawić sił, że w pobliżu większego miasta sam już nie wiesz, czy lepiej jeszcze trochę się pomęczyć, a dojechać wreszcie do celu, czy też rozprostować nogi na etapie.

Ale już eskorta zaczęła się krzątać i uwijać. Już wdziali szynę, już postukują kolbami. To znaczy, że cały wagon ma być wyładowany.

Zaczyna się od tego, że eskorta staje półkolem przy stopniach wagonu i ledwie człowiek z nich się stoczy, zwali się, zleci – konwojenci chórem i wielkim głosem ryczą ze wszystkich stron (tak ich nauczono): „Siadać! Siadać! Siadać!”. To robi duże wrażenie, gdy krzyczy ich kilku na raz i kiedy nie wolno ci podnieść oczu. Kulisz się bezwiednie, jakby szrapnele nad tobą wybuchały, pośpiesznie (dokąd właściwie tak się

„Historia mego rówieśnika, Moskwa 1955 rok, tom VII, str. 166. śpieszysz?) przypadasz do ziemi i w końcu sadowisz się na niej obok tych, którzy wysiedli już wcześniej, i

„Siadać!” – jest to rozkaz bardzo jasny, lecz jeśli jesteś początkującym aresztantem, to jeszcze go nie rozumiesz jak należy. W Iwanowie, na ślepym peronie, usłyszawszy ten rozkaz i ściskając w objęciach walizkę (jeżeli walizka nie jest obozowej roboty, tylko kupiona w sklepie, to zawsze uchwyt w niej się urywa – i to w najmniej odpowiedniej chwili) pobiegłem we wskazanym kierunku, postawiłem walizkę na ziemi dłuższym bokiem i nie przyjrawszy się, jak siedzą ci, co byli przede mną – siadłem spokojnie na walizce – bo nie mogłem przecież w moim płaszczu oficerskim, nie tak bardzo jeszcze utyłtany, z nie obciążonymi jeszcze połamami – siąść wprost na podkładach, na czarnym, przesycanym smarami piachu! Naczelnik eskorty – czerwone pyski, wystawowa rosyjska gęba, rozpędził się – nawet nie zdążyłem zorientować się o co mu chodzi? dokąd zmierza? – i chciał, jak się zdaje, świętym swoim butem rypnąć w te przekłete plecy, ale coś go powstrzymało – więc nie pożałował błyszczącego noska i kopnął walizkę, że aż zrobiła się w niej dziura. „Siadać!” – wyjaśnił. I dopiero w tym momencie zobaczyłem nagle, że sterczę jak baszta wśród otaczających mnie zeków. Zanim zdążyłem zapytać: „A

jak mam właściwie siedzieć?" już znałem odpowiedź i nie dbając więcej o szynel, usiadłem jak wszyscy, jak siedzą psy u wrót, jak siedzą koty pod drzwiami.

(Ten kuferek mam do dziś dnia, ile razy trzymam go w ręku – przesuwam palcami po rwanych brzegach tej rany. Nie może przecież zagoić się, jak goją się rany na ciele, na sercu. Przedmioty są bardziej od nas pamiętliwe).

Ten rozkaz siedzenia – to także rzecz przemyślana. Jeżeli siedzisz tyłkiem na ziemi tak, że masz przed nosem własne kolana, to twój środek ciężkości jest z tyłu, trudno się podnieść, nie sposób się poderwać. Ponadto, „każą wam siadać jak najbliżej siebie tak, abyście sobie wzajemnie jak najbardziej przeszkadzali. Załóżmy, że chcemy wszyscy naraz wstać, aby rzucić się na eskortę – otóż zanim byśmy się wygramolili, już by nas wszystkich wystrzelano.

Siedzimy w oczekiwaniu na więzienną karetkę (przewozi ona ludzi grupami, wszyscy i tak się nie pomieszczą), albo na rozkaz pieszego odmarszu. Starają się, abyśmy siedzieli w miejscu mało widocznym, aby nie wpadać wolniakom w oko, ale czasem posadzą ludzi bez pojęcia, wprost na peronie albo na otwartym placu (na przykład w Kujbyszewie) i tu zaczyna się coś w rodzaju egzaminu dla wolniaków: my im się przyglądamy, czując się w swoim prawie, otwarcie i uczciwie – a jak też oni na nas będą patrzeć? Z nienawiścią? – sumienie im nie pozwoli (przecież tylko sowieccy żurnaliści wierzą, że ludzie siedzą „bo zasłużyli”). Ze współczuciem? z wyrazem litości? – a jak wylegitymują? zapiszą nazwisko? i zaraz wyrok, to prosta rzecz. I dumni, wolni nasi obywatele („czytajcie, zazdrośćcie, bom ja obywatel!”) opuszczają kornie głowy i starają się wcale nas nie widzieć, jakby tu było puste miejsce. Staruchy są śmielsze: już ich nie da się zepsuć, one wierzą w Boga – i odłamując kawałek od nędznego bocheneczka, rzucają go nam. Nie boją się również byli łagrowcy, rzecz prosta, pospolitacy. Łagrowcy wiedzą, że: „kto nie był – ten jeszcze będzie, kto był – ten nie zapomni” – i patrzeć, a rzucają paczkę papierosów, po to, aby im także ktoś rzucił, gdy znowu wpadną. Chleb, rzucony słabą ręką przez starowinę, często nie dolatuje, pada na ziemię, paczka śmignie w powietrzu prosto nam pod nogi, eskorta zaś już zaczyna szczekać zamkami karabinów – na staruszkę, na dobroć, na chleb: „ej, zmykaj stąd, babo!”.

I ten święty, ułamany kawałek chleba leży w pyle jeszcze w chwili, gdy każą nam powlec się dalej.

W ogóle zaś te chwile – na ziemi, na stacji – należą do najlepszych w naszym tutejszym życiu. Pamiętam, jak w Omsku posadzono nas tak na podkładach między dwoma długimi pociągami towarowymi. Nikt wtedy nie chodził (widocznie wystawiono z obu stron warty: „Nie wolno, nie ma przejścia!”). Nasi ludzie zaś – nawet na wolności – wychowani są w posłuszeństwie dla ludzi w szynelach). Nadchodził zmrok. Było to w sierpniu. Kolejowy, usmolony żwir nie zdążył ostygnąć jeszcze od dziennego ciepła i grzał nam tyłki. Nie widzieliśmy dworca, ale czuło się jego obecność gdzieś za wagonami, całkiem blisko. Hałasował tam miejscowy nadajnik, jakieś wesole płyty i słychać było jednostajny gwar tłumu. I nie wiedzieć czemu, ale nie upokarzało siedzenie w zbitej grupie brudasów, na gołej ziemi, w jakimś ciemnym kącie; nie słyszało się tonu szyderstwa w melodiach tanecznych, granych dla obcej młodzieży, których my nigdy już nie zatańczymy; ani w myślach o tym, że ktoś teraz na peronie wita kogoś albo odprowadza, może nawet kwiaty przyniósł. Było to dwadzieścia minut prawie-wolności: zmierzch gęstniał, zapalały się pierwsze gwiazdy, czerwone i zielone światła na torach, dźwięczała muzyka. Życie toczy się dalej bez nas – i to już prawie nie boli.

Jeżeli zdołasz polubić takie chwile – w więzieniu będzie ci lżej. Bo inaczej złość może człowieka rozsadzić.

* Wiersz o sowieckim paszporcie – W. Majakowskiego.

Jeżeli prowadzić zeków do karetki jest niebezpiecznie – bo obok droga publiczna albo ludzie blisko – to wydać można inny jeszcze rozkaz, przewidziany w regulaminie eskorty: „Brać się pod rękę!”. Niby nic w tym niezwykłego – wziąć sąsiada pod rękę i tyle! Brać się tak mają starcy i wyrostki, dziewczęta i staruszki, zdrowi i kalecy. Jeżeli jedną rękę masz zajętą pakunkiem – to sąsiad weźmie cię pod tę rękę, ty zaś drugą ręką przygarniesz kogo innego. I teraz skupieni jesteście dwa razy ściślej niż w zwykłym szeregu, od razu ciężiej wam jest się ruszać, wszyscy kuszątkacie, bo pakunki ciążą, bo jeszcze trudniej je teraz utrzymać i zataczacie się przy każdym kroku. Brudne, szare, niezgrabne istoty, kroczące jak ślepcy, przytuleni do siebie z pozorną czułością – istna karykatura ludzkości!

A karetki – może wcale nie ma. A naczelnik eskorty – może podszyty jest tchórzem i boi się, że mu kto ucieknie, więc tak oto spleceni, obciążeni pakunkami, kołyszając się i zataczając, potykając się o pakunki, musicie wlec się przez całe miasto aż do samego więzienia.

Istnieje też inny rozkaz, ale to już karykatura na gęsi: „Brać się za pięty!”. Znać to, że kto ma dłonie wolne, powinien pochylić się i złapać się za własną nogę w tył. I teraz pada rozkaz do marszu. (Ano, czytelniku, spróbuj odłożyć książkę, przejdź się tak po pokoju!... No i jak? Jak szybko mogłeś się poruszać, co mogłeś przed sobą zobaczyć? Ajak tam z możliwością ucieczki? Wyobrażasz sobie, jak wygląda z boku 30–40 takich gęsi? Rzecz miała miejsce w Kijowie, w 1940 roku).

Na dworze niekoniecznie mamy sierpień, może to być też grudzień 1946 roku, a tu pędzą was bez żadnych karetek przy 40-stopniowym mrozie do Pietropawłowskiego więzienia tranzytowego. Jak łatwo zgadnąć, w ciągu kilku ostatnich godzin przed przyjazdem do miasta, eskorta wagonu wcale nie kwapiła się do prowadzenia was za potrzebą, bo i po co się brudzić. Osłabieni śledztwem, przemarznięci na kość, nie możecie już się prawie powstrzymać, dotyczy to zwłaszcza kobiet. No to co? Konia trzeba zatrzymać, żeby mógł sobie ulżyć, pies ma prawo podbiec do płotu, żeby zadrzeć nogę. Ale z was przecież ludzie, możecie więc robić to w marszu, kogo' mamy się krępować w naszej własnej ojczyźnie? Na miejscu, w więzieniu, zdąży wyschnąć... Wiera Korniejewa pochyliła się, żeby poprawić but na nodze, została parę kroków w tyle – a konwojent zaraz naszczuła na nią psa i kły wilczura wpiły jej się w pośladek nie bacząc na to, że miała na sobie grubą odzież. Nie marudź! Tam znów jakiś Uzbek upadł – już go wałą kolbami i obcasami.

Nie szkodzi, nikt tego nie sfotografuje dla Daily Expressu i naczelnika eskorty aż do najpóźniejszych jego lat nikt i nigdy za to nie pozwie do sądu.

A suki też przyszły z głębi dziejów. Kareta więzienna, opisana przez Balzaka – toż to właśnie suka. Tyle, że wlokła się wolniej i nie była tak zatłoczona.

Co prawda, jeszcze w latach 20. aresztantów prowadzono przez miasto pieszymi kolumnami. Zdarzało się to nawet w Leningradzie (tamowali czasem ruch na skrzyżowaniach). „Doigraliście się, złodzieje?” – pokrzykiwano na więźniów z trotuarów. Nikt jeszcze nie znał wtedy wielkiego projektu kanalizacji...).

Ale – wielce wrażliwy na postęp techniki – Archipelag w porę przejął i zastosował wynalazek karetki samochodowej, zwanej pieśczośliwie suczką. Na brukowanych kocimi łbami jezdniach naszych ulic pierwsze suki pojawiły się jedno-

czesnie z pierwszymi ciężarówkami. Resory miały marne, trzęsło w nich jak się pa-
trzy, więźniowie jednak też nic byli z kryształu. Sprawa szczelności była jednak już
wtedy, w 1927 roku, postawiona na dobrym poziomie: ani jednej szczelinki, więc –
przy braku oświetlenia – nie sposób było ani odetchnąć, ani zobaczyć czegokol-
wiek. I już wtedy ładowano ludzi do karetek na stojąco i do pełna. Nic dlatego by
ktoś specjalnie tak zaplanował, tylko po prostu zawsze brak było środków transpor-
tu.

Przez wiele lat. były to wozy stalowoszare, otwarcie więzienne. Ale po wojnie
ktoś w stolicy poszedł po rozum do głowy – i zaczęto z wierzchu pokrywać je we-
sołymi kolorami oraz ozdabiać napisami: „Chleb” (więźniowie istotnie byli chlebem
budownictwa), „Mięso” (powinni byli raczej dać napis „Kości”), albo nawet „Pijcie
sowieckiego szampana”.

Karetki może być od wewnątrz zupełnie pustym, pancernym pudłem. Może
mieć ławki dookoła ścian. To nie jest żadna wygoda, to pogarsza sprawę, bo upy-
chają zawsze tyłu, ilu mieści się na stojąco, tak że walą się na ciebie jak bagaż, jak
toboły. Suki mogą mieć z tyłu boks – wąską, stalową, jednoosobową szafkę. Mogą
też być całe podzielone na boksy: rząd jednakowych, pojedynczych szafek
z prawej i z lewej strony; zamykają się one jak cele, środkowy korytarzyk służy dla
klawisza.

Tak zawitej konstrukcji, przypominającej ul pszczeli, nie sposób sobie wyobra-
zić z zewnątrz, patrząc na uśmiechniętą dziewczkę z pucharem: „Pijcie sowiecki
szampan”.

Do suki wpędzają cię przy wtórze tych samych ponagleń, wykrzykiwanych ze
wszystkich stron: „Dalej! Szybciej! Prędej!”, abyś nie miał czasu nawet rozejrzeć się
i pomyśleć o ucieczce; upychają cię siłą, żebyś musiał uwięznąć w wąskich
drzwiach, żebyś musiał huknąć łbem o framugę.

Zatraskują z trudem tylne drzwi stalowe – i dalej w drogę!

Rzecz jasna, jazda suką rzadko ciągnie się godzinami, najczęściej 20, 30 mi-
nut. Ale tak człowiekiem rzuca, tak roztrzęsie mu gnaty, tak mu żebra ściśnie przez
te pół godziny, tak łeb zegnije, jeśli kto wysoki, że wagon–zak wyda mu się chyba
szczytem wygody.

Nadto suka – to okazja do nowych układów ludzkich, nowych spotkań,
z których najbardziej wbijają się w pamięć – oczywiście, spotkania z knajakami.
Być może nie zdarzyło ci się jeszcze jechać z nimi w tym samym przedziale, może
los nie kazał ci na etapie dzielić z nimi celi – ale tu jesteś zdany na ich łaskę.

Czasem tak ciasno bywa, że nawet knajakom nieporęczniej jest grabić. Cu-
dze ciała i bagaż ściskają twoje kończyny jak dyby. Tylko na wybojach, kiedy wóz
tak skacze, że patrochy w człowieku się przewracają, można ruszyć ręką albo no-
gą.

Czasem zaś, gdy jest nieco luźniej, szemrani zdążą w ciągu pół godziny spe-
netrować zawartość wszystkich tobołków, zabrać sobie wszystkie zapasy tłuszczów
i co najlepsze rzeczy. Wdać się z nimi w bójkę nie pozwolą ci tchorzowskie
i nader racjonalne skrupuły (ty też zaczynasz już szczypta po szczypcie tracić swoją
duszę nieśmiertelną, wciąż sobie powtarzając, że najgroźniejsi wrogowie
i najgorsze przejścia dopiero cię czekają, więc trzeba dla nich się oszczędzać).
Może nawet podniesiesz w obronie rękę i wsadzą ci nóż między żebra (śledztwa
nie będzie, jeśli zaś będzie, to szemranym nic nie grozi: trochę tylko dłużej potrzy-
mają w tranzytowym, nie poślą do dalekiego obozu. Trudno i darmo, ale

w sporze między elementami socjalnie bliskimi, a socjalnie obcymi, państwo nie może ujmować się za te ostatnie).

Pułkownik w stanie spoczynku, Dunin, jeden z szefów ligi obrony przeciwniczej, siedząc w celi butyrskiej w 1946 roku opowiadał, jak w jego obecności, w dniu kobiet, to jest ósmego marca, w suce jadącej z sądów grodzkich do więzienia na Tagance – szemrani po kolei zgwałcili panienkę (a nikt nawet się nie odezwał). Panienska ta, tego samego dnia, przyodziawszy się, jak mogła najlepiej, przysłała do sądu, aby odpowiadać z wolnej stopy (sądzona była za samowolne porzucenie pracy – zresztą wszystko było skutkiem nikczemnej intrygi jej naczelnika, który mścił się, bo nie chciała z nim spać; miała zresztą narzeczonego). Pół godziny przed wejściem do karetki panienska dostała 5 lat na podstawie Ustawy Specjalnej, następnie wepchnięto ją do suki i oto teraz, gdzieś na ulicy Sadowej („Pijcie sowieckiego szampana!”) przekształcono ją w obozową prostytutkę. Czy wystarczy powtarzać, że to robota knajaków? A może strażników też? A może również tego jej naczelnika?

Knajackie czułości! – zgwałconą dziewczynę knajacy jeszcze obrabowali: zdarli z niej bluzkę, ładne pantofelki, którymi chciała olśnić sędziów, dali rzeczy konwojentom, ci zatrzymali wóz, skoczyli po wódkę, podali ją zlecniodawcom i knajacy jeszcze popili sobie tego na rachunek ofiary.

Gdy przyjechali w końcu na Tagankę, dziewczyna, zanosząc się od łkań, złożyła skargę. Oficer wysłuchał jej, ziewnął i oznajmił:

– Państwo nie jest w stanie transportować każdego oddzielnie. Takich możliwości jeszcze nie mamy.

Tak, karetki – to „wąskie gardło” gospodarki Archipelagu. Jeśli w wagonach nie ma możliwości separowania politycznych od kryminalnych – to suki nie dają możliwości separacji obu płci. I jak w tych warunkach, między jednym więzieniem a drugim, knajacy nie mają spróbować „pełni życia”?

No, ale gdyby nie było knajaków, to trzeba by wspomnieć dobrym słowem te karetki za owe krótkie spotkania z kobietami! Gdzież jeszcze, jeśli nie tu, można w życiu więziennym zobaczyć je, usłyszeć je, dotknąć się ich?

Pewnego razu, w 1950 roku, wieziono nas z Butyrek na dworzec. Było luźno – czternastu ludzi w suce z ławkami. Miejsc siedzących starczyło dla wszystkich – i nagle, na ostatku, wepchnięto do wozu samotną kobietę. Usiadła koło samych tylnych drzwi, z początku bojaźliwie – 14 chłopów w jednym ciemnym pudle, toż tu nie ma mowy o obronie. Ale po kilku słowach było już jasne, że tu sami swoi, Pięćdziesiątka Ósemka.

Wymieniła swoje nazwisko: Riepinowa, żona pułkownika, poszła za kraty w ślad za nim. I nagle jakiś małomówny wojskowy, tak młody i szczupły, że mógłby najwyżej być lejtnantem, zapytał: „Przepraszam, czy nie siedziała pani z Antoniną Iwanową?” – „Jak to? To pan jest jej mężem? Oleg?” – „Podpułkownik Iwanów??... Z Akademii imienia Frunze?” – „Tak!”.

Cóż to było za „tak!” – wydobywało się ze ściśniętej krtani i więcej w nim było lęku przed PEWNOŚCIĄ niż radości. Usiadł teraz obok niej. Przez dwa malutkie, okratowane okienka w tylnych drzwiach – przenikały płynne, przejrzyste cienie letniego zmierzchu i przy każdej zmianie kierunku przesuwwały się, przesuwwały po twarzach tej kobiety i podpułkownika. „Siedziałam z nią w śledztwie, cztery miesiące w tej samej celi”. – „Gdzie jest teraz?” – „Cały czas żyła tylko myślami o panu! Bała się tylko o pana! O siebie wcale. Z początku, żeby pana nie aresztowano. Póź-

niej, żeby dostał pan wyrok jak najłżejszy". – „Ale co się z nią teraz dzieje?”. – „Wciąż nie mogła sobie darować, że to przez nią pana zabrali. Tak jej było ciężko!”. – „Ale gdzie jest teraz?!”. – „Niech się pan tylko nie lęka”. – Kobieta położyła mu rękę na piersi, jak komuś już bliskiemu. – „Nie wytrzymała tego napięcia. Zabrano ją z naszej celi. Ona jest troszkę... no... pomieszana... Rozumie pan?...”.

A mała łupinka obita stalową blachą płynie tak spokojnie w sześciopasmowym ordynku aut, grzecznie staje przed światłami, błyska sobie kierunkowskazami!

Z tym Olegiem Iwanowem poznaliśmy się dopiero przed chwilą w Butyrkach. Spędzono nas do boksu dla odjeżdżających i przyniesiono z depozytu rzeczy. Wywołano do odbioru jednocześnie mnie i jego. Za progiem boksu, na korytarzu, strażniczka w szarym kitlu, rozgrzebując zawartość jego walizki, wytrząsnęła na ziemię pojedynczy złoty epolet, który nie wiadomo jak się uchował. Nawet go nie zauważyła i nastąpiła obcasem na jego dwie duże gwiazdy.

Deptąta naramiennik butem, jak w scenie filmowej.

Zwróciłem mu na to uwagę: „Spójrzcie tylko, towarzyszu podpułkowniku!”.

Iwanów pociemniał na twarzy. Wciąż jeszcze coś znaczyło dla niego pojęcie nienagannej służby.

Teraz znowu – z tą żoną.

Wszystko to musiał przeżyć w ciągu jakiejś godziny.

II

PORTY ARCHIPELAGU

Rozłóżcie na dużym stole wielką mapę naszej ojczyzny. Postawiajcie czarne, grube kropki na wszystkich miastach okręgowych, wszystkich węzłach kolejowych, wszystkich miejscach przeładunku, gdzie kończą się tory, a zaczyna rzeka, albo gdzie rzeka zmienia kierunek i zaczynają się pieszne trakty. Co to? Czy tak upstrzyły mapęjakies muchy gnojowe? A to właśnie majestatyczny obraz portów Archipelagu.

Nie są to co prawda, te feeryczne porty tak kusząco opisane przez Aleksandra Grina – porty, gdzie pije się w tawernach rum i smali się cholewki do miejscowych piękności. Ponadto – nie ma tu ciepłego, lazurowego morza (wody do kąpieli dają tu po litrze na głowę, a żeby mycie szło łatwiej – cztery litry na cztery głowy do jednej miski, możecie myć się razem!). Ale całej pozostałej romantyki portowej – brudu, insektów, wyzwisk, oszustw, pomieszania języków i mordobicia – jest tu powyżej' uszu.

Mało który zek nie poznał trzech–pięciu tranzytowych więzień, zborniaków, wielu zna dobrze nawet dziesięć, prawdziwi zaś synowie GUŁagu bez trudu wyliczyć mogą pół setki. Tylko, że łatwo je pomylić, bo mają tyle podobieństw: tępa eskorta; beładne apele według rodzaju spraw; długie wyczekiwanie na słonecznym skwarze albo na jesiennej szarudze; długie k i p i s z e z rozbieranką; fryzjerskie zabiegi, po których człowiek jest jeszcze brudniejszy; wyziębłe, oślizgłe łażnie; cuchnące wychodki; zatęchłe korytarze; zawsze ciasne i duszne, prawie zawsze ciemne i wilgotne cele; rozparzone ludzkie mięso z obu twoich boków, na ziemi albo na narach; skośne podgłówki z desek! nawilgły rozpaćkany chleb; salamacha – jakby z badyli, moczonych na paszę dla bydła.

Kto zaś ma dobrą pamięć, zdolną do trwałej segregacji wspomnień – ten teraz nie musi wcale rozjeżdżać po kraju, ma w głowie całą geografię usystematyzowaną, podzieloną na etapy więzienne. Nowosybirsk? Znam. Byłem tam. Porząd-

ne takie baraki stawiane na zrąb z grubych bali. Irkuck? To tam, gdzie okna kilka razy po kolei zamurowywano, widać jakie duże były za cara, a jakie małe szparki teraz zostawiono – każdą warstwę cegieł znać. Wołogda? A tak, stary budynek z basztami. Klozety w jednym pionie, drewniane podłogi dawno przegniły i z górnych pięter wszystko ścieka na dolne. Usmań? A jakże. Zawszona, śmierdząca ciupa, stare budownictwo, sklezione sufity. Potrafią tam tylu ludzi napchać, że nie chce się wierzyć: kiedy zaczynają wyprowadzać na etap, to nie do pojęcia, że wszyscy się mieścili, ogon na pół miasta.

Takiego znawcy nie próbujcie skrzywdzić twierdzeniem, że znane jest warn miasto, gdzie nie ma zborniak a. Zaraz warn dowiedzie, że takich miast nie ma. I będzie miał rację. Salsk? Toż tam tranzytowych trzymają w śledczym więzieniu razem z miejscowymi aresztantami. To samo w każdym mieście rejonowym, wszędzie więc są punkty tranzytowe. W Soll-Ilecku? To też etap. W Rybińsku? A więzienie nr 2, dawny klasztor? Och, jaki tam spokój, jak miła pustka na brukowanych dziedzińcach, omszałe, stare płyty, a w łaźni – drewniane, czyste ceberki. Czyta? Węzienie nr 1. Nauszki? Węzienia tam nie ma, ale jest obóz tranzytowy, więc wszystko jedno. W Torżku? A na górze, też w starym klasztorze.

Ależ zrozum, kochany, że nie ma miasta bez zborniak a! Przecież sądy czynne są wszędzie! Więc jak posyłać ludzi do obozu? Droga powietrzną?

Oczywiście – etap etapowi nierówny. Ale gdzie lepiej, gdzie gorzej, to spory daremne. Zbierze się czasem trzech–czterech zeków i każdy chwali „swoje”.

– Chociaż Iwanowski zborniak nie taki już znowu sławny, ale zapytaj tyko tych, co tam siedzieli zimą z 37. na 38.! Węzienie NIE BYŁO OGRZEWANE – jednak ludzie nie tylko nie marzli, ale na górnych narach leżeli całkiem rozebrani. Wybili wszystkie szyby w oknach, żeby się tylko nie udusić. W 21. celi, zamiast przepisowych 20 łóżek, siedziało TRZYSTU DWUDZIESTU TRZECH! Pod narami zebrata się wo-da, nakładzono więc desek i ludzie leżeli na tych deskach. A z wybitych okien dmuchało mrozem prosto na nich. I w ogóle, pod tymi narami panowała noc polarna: ani promyka, całe światło zastaniali ci, którzy leżeli na narach i stali między narami. Nie było wolnego przejścia do kibla, trzeba było pełznąć wzdłuż krawędzi nar. Żreć dawali nie każdemu oddzielnie, tylko od razu na dziesięciu. Jeżeli komuś z tej dziesiątki się zemrze – to go wepchną pod nary i dopóty trzymają, dopóki smród pozwala. I przez ten czas pobierają jego porcję. To by wszystko można jeszcze wytrzymać, ale klawisze biegają jak koty z pęcherzem od celi do celi. Ledwo człowiek znajdzie sobie miejsce, a już wrzeszczą – „Zabierać się! do innej celi!”. I znów trzeba walczyć o miejsce. A skąd takie przepełnienie? Przez trzy miesiące nie puszczali do łaźni, wszy się rozmnożyły, przez te wszy – wrzody na nogach i na dodatek tyfus. A przez ten tyfus zarządzono kwarantannę i transportów cztery miesiące nie wysyłano.

– Moi drodzy, nie o jakieś tam Iwanowo chodzi, tylko zależy jaki to był rok. W 37. i w 38. już nie tylko zeki – ale kamienie na etapach jęczały. Irkuckie tranzytowe – też niczym osobiwym się nie wyróżnia, a tymczasem w 38. lekarze nie ośmielali się zajrzeć do celi. Szli korytarzem, a klucznik krzyczał koło każdych drzwi: „Kto zemdlał – niech wychodzi!”.

– W 37. – moi drodzy – wszystko to to ciągnęło przez całą Syberię aż na Kołymę. Naprzód trzeba było dotrzeć nad morze Ochockie albo do Władywostoku. Parowce na Kołymę mogły zabierać tylko 30.000 miesięcznie – a z Moskwy wieźli i wieźli bez liku. Zebrało się więc nie mniej niż 100.000. Rozumiesz?

– A kto ich liczył?

– Kto miał liczyć, ten liczył.

– Jeżeli chodzi o tranzytowe we Władywostoku, to w lutym 37. było tam nie więcej niż 40.000!

– Ale jak tam wpadłeś, to już na kilka miesięcy, Pluskwy łąziły po narach jak szarańcza! Wody – pół kubka dziennie: nie ma wody, nie ma ludzi do wożenia! Cała żona pełna była Koreańczyków – i wszyscy wymarli na dyzenterię, wszyscy! Z naszej żony co rano wynoszono setkę trupów. Jak budowano kostnicę, to poza-przeganą zeków do wozów i tylko tak udało się przywieźć kamienie. Dzisiaj ty wozisz, jutro powiozą ciebie..A jesienią – też się zaczął tyfus plamisty, jak w zegarku. U nas też tak było: jak się komu zmarło, to dalej go u siebie trzymamy, póki się nie zaśmierdnie – i jego porcja dalej leci. Lekarstw – ani śladu. Wyłazimy z baraków – dajcie lekarstwa; a z wieżyczek – już strzelają. Później chorych na tyfus zabrano do osobnego baraku. Nie zdążyli tam poprzemienić wszystkich, ale też mało kto stamtąd wyszedł. Nary są tam piętrowe, ten co na górnych leży i gorączkuje – nie może przecież zejść za potrzebą – więc leje na tego dolnego! Leżało tam jakieś półtora tysiąca. Sanitariuszami byli knajacy, wyrwali trupom złote zęby. Ale z żywymi też nie robili sobie ceregieli...

– Nic, tylko ten 37. i 37.! A 49. w zatoce Wanino, w piątej żonie – nie łaska? 35.000! Kilka miesięcy pod rząd! – też ich nie dążyli wysłać na Kołymę. Przy tym co noc, z baraku do baraku, z jednej żony do drugiej – wciąż ludzi przerzucali, nie wiadomo po co. Jak u faszystów: gwizdki! wrzaski!: „Wychodzić! Już was nie ma!” I wszystko biegiem! wyłącznie biegiem! Chleb pobierano setkami – więc biegiem! po sałamaczce – biegiem! a nie było żadnych naczyń! Tę bryję możesz brać, jak ci wygodniej – w połę kurtki albo dłonie nadstaw! Wodę przywożono cysternami, nie było do czego nalewać, więc leją szlauchem i kto nadstawi usta – ten się napił. Koło cysterny zaczyna się bójka – zaraz strzelają z wieżyczek. No – zupełnie jak u faszystów. Przyjechał generał-major Dieriewianko, naczelnik USWIT¹; z tłumu wyrwał się i stanął przed nim lotnik, oficer, rozerwał bluzę na piersiach: „Dano mi osiem orderów bojowych! Kto dał wam prawo strzelać na oślep w żonę?”. Dieriewianko odpowiada: „Strzelaliśmy i będziemy strzelać tak długo, jak długo nie nauczycie się odpowiedniego zachowania².”

– Nie, moi drodzy, to wszystko jeszcze nic nadzwyczajnego. Prawdziwy zbórniak to – Kirowski! Weźmy jakiś rok wcale nie nadzwyczajny, powiedzmy 48. – w Kirowskim więzieniu wpiychali ludzi do celi dwaj klucznicy butami i dopiero wtedy mogli drzwi zamknąć. Na trzypiętrowych narach, we wrześniu (a Wiatka* – nie leży wcale nad morzem Czarnym), mimo to wszyscy siedzieli na golasa, bo gorąco – i dlatego siedzieli, że nie było miejsca na leżenie: jeden szereg usadowił się w głowach nar, drugi – w nogach. Również w przejściu na podłodze siedziano w dwa rzędy, a między nimi trzeci rząd jeszcze stał; po jakimś czasie następowała zmiana. Tobotki trzymali w ręku albo na kolanach, nie było gdzie położyć. Tylko knajacy, na przysługujących im miejscach, drugie nary od okna, wylegiwali się wygodnie. Pluskiew było tyle, że gryzły nawet we dnie, spadając prosto na łeb z sufitu. To wszystko trzeba było znosić tydzień, czasem miesiąc.

1 USWIT – zarząd północno-wschodnich (to znaczy kolymskich) obozów.

2 Ahoj! Panowie z "Trybunału Bertranda Russella" sądzącego zbrodniarzy wojennych! Czemuż, ach czemuż nie korzystacie z tych materiałów? Czy nie są zgodne z waszym profilem?

* Dawna nazwa miasta Kirów.

Chciałbym tu dodać coś od siebie i opowiedzieć o Krasnej Presni³ z sierpnia 45. roku, roku Zwycięstwa, ale aż mi nie sporo: jednak w nocy mogliśmy jakoś nogi'rozprostować, pluskwy zaś były przeciętnej zjadliwości. Przez całą noc, w świetle jaskrawych lamp kąsały nas – gołych i spoconych – muchy, ale to się przecież nie liczy i wstyd byłoby tym się chwalić. Oblewaliśmy się potem przy każdym ruchu. Po jedzeniu po prostu z nas kapło. W celi, niewiele większej od zwykłego pokoju mieszkalnego, siedziało stu ludzi, taki tłok, że nie było gdzie nogi postawić. Dwa małe okienka osłonięte były kagańcami ze spawanej blachy. Okna wychodziły na południe, więc nie tylko nie było przewiewu, lecz kagańce nagrzewały się od słońca, aż buchał żar do celi.

Chaos we wszystkich więzieniach tranzytowych, wszystkie rozmowy o nich też są chaotyczne – i takie samo wrażenie na pewno sprawić będzie ten rozdział: człowiek nie wie o czym mówić najpierw, od czego zacząć. Im więcej zaś ludzi zbiera się w zborniakach, tym bałagan większy, sytuacja nieznośna dla więźniów, nieznośna dla GUłagu – a tymczasem tkwią tu ludzie miesiącami. Takie więzienie staje się istną fabryką: porcje chleba przenosić trzeba stertami na murarskich noszach, jakby to były cegły. I sałamaczę gorącą roznosi się w sześciowiadrowych, drewnianych bekach, przesuwając łom przez oba ucha.

Kotłasski zborniak krył w sobie najwięcej napięć, a zarazem, najmniej w nim było fałszu. Napięcia brały się stąd, że z tego Więzienia prowadziły drogi na całą daleką północ i północny wschód europejskiej Rosji. Fałszu było mało, bo Kotłass leży już w samym środku Archipelagu i nie trzeba tutaj się krępować. Był to po prostu kawał gruntu, rozgrodzony murami na klatki. Wszystkie klatki zamykały się szczelnie. Chociaż przewinęło się przez Kotłass mnóstwo chłopów, kiedy ich zeszło w 30. (wolno przypuszczać, że siedzieli tu bez żadnego dachu nad głową, tylko że teraz nie ma już nikogo, kto mógłby to potwierdzić), jednakże nawet w 38. wcale nie wszyscy mogli się pomieścić w nędznych, parterowych baraczkach z karłowatej sosny, krytych... brezentem. Walił jesienny, mokry śnieg, chwytały już mrozy, a ludzie tkwili tu po prostu na gołej ziemi, pod gołym niebem. Co prawda, nie pozwalano im drętwieć w bezruchu, cały czas ich liczono, podtrzymywano na duchu sprawdzaniem obecności (bywało tam po 20.000 osób jednocześnie),

‘ To więzienie, noszące sławną w dziejach rewolucji nazwę, słabo jest znane mieszkańcom Moskwy, nie jest zwiedzane przez żadne wycieczki. Bo i jakie wycieczki, kiedy zakład FUNKCJONUJE! A można nigdzie nie jeździć, wszystko tu jest na miejscu – od szosy Nowochoroszewskiej tylko parę kroków wzdłuż obwodnicy. albo nagłymi nocnymi rewizjami. – Później w niektórych z tych klatek rozbito namioty, w innych – wznoszono drewniane piętrowe baraki, ale dla rozsądnego zmniejszenia kosztów budowy – nie kładziono pował i podłóg, tylko od razu konstruowano sześciopiętrowe nary z pionowymi drabinkami z boku. Więźniowie w ostatnim stadium wycieńczenia musieli się po nich wspinać, jak majtkowie (urządzenie to bardziej byłoby na miejscu nie w porcie, lecz na statku). – Zimą w roku 1944/45, kiedy wszyscy więźniowie mieli już dach nad głową a było ich tylko 7.500, umierało dziennie po 50 osób i nosze, kursujące między barakami a kostnicą, cały czas były w ruchu. (Powie ktoś, że to jeszcze całkiem znośnie – skoro umiera dziennie mniej niż 1%, i że w tym stanie rzeczy człowiek może pociągnąć prawie pięć miesięcy. Owszem, ale przecież główna kośba, ta przy robotach w obozie – też się tu jeszcze nie zaczęła. Ten ubytek dwóch trzecich procentu

dziennie jest to czysty odpad przy składowaniu i nie w każdym magazynie ziemio-
plodów z tym by się pogodziło).

Im dalej się człowiek zapędzi w głąb Archipelagu, tym bardziej bije w oczy,
że drewniane przystanie zajmują miejsce betonowych portów.

K a r a b a s, obóz tranzytowy pod Karaganda, nazwa którego stała i się
już przysłowiowa, w ciągu kilku lat gościł ponad pół miliona ludzi (Jurij Karbe już
w 1942 roku został tam zarejestrowany wśród 433 tysięcy więźniów). Obóz tranzy-
towy składał się z glinianych, niskich baraków, zamiast podłogi mających klepisko.
Codzienna rozrywka polegała na tym, że wszystkich wypędzano na dwór razem
z rzeczami, przez ten zaś czas malarze bielili podłogi i nawet rysowali na nich dy-
waniki, wieczorem zaś więźniowie kładli się na ziemi i własnymi bokami ścierali za-
równo wapno, jak owe dywaniki⁴.

Punkt etapowy w Kniaż-Pogoście (63 stopień szerokości północnej) f składał
się cały z szałasów, stojących na mokradle. Szkielet z żerdzi pokryty był dziurawym
brezentem, nie sięgającym ziemi. Wewnątrz każdego szałasów stały podwójne nary
z takich samych żerdzi, ze źle obciętymi sękami (przejście między nimi również wy-
łożone było żerdkami). We dnie spod tych żerdeń występowało z chlupotem
płynne błoto, w nocy zaś zamarzało. W rozmaitych punktach żony porobiono
pomosty z żerdzi nad grząskimi miejscami i ludzie, chwiejący się już z osłabie-

4 Karabas miał ze wszystkich punktów tranzytowych najwięcej danych, aby
stać się kiedyś muzeum, ale niestety – już nie istnieje: na jego miejscu wznosi się fa-
bryka wyrobów żelazobetonowych. nia, to tu, to ówdzie wpadali w wodę
i bagno. W 38. roku w Kniaż-Pogoście zawsze dawano jeść jedno i to samo: za-
cierkę z pośladu i rybich ości. Było to wygodne, ponieważ na punkcie przesyłko-
wym nie było misek, kubków ani łyżek, sami zaś więźniowie tym bardziej ich nie
mieli. Spędzano ich więc po dziesięciu do kotła i nakładano tę zacierkę czerpa-
kami do czapek, furazek albo na podstawioną połę.

W punkcie tranzytowym⁵ Wo⁶wozdi.aa.(kilka kilometrów od miejscowości
Ust'-Wym'), gdzie siedziało jednocześnie 5 tysięcy zeków (kto wiedział coś
o Wogwozlinie do tej chwili? ile jeszcze było takich nikomu nie znanych punktów?
pomnóżcie to „x” przez 5 tysięcy!) – w Wogwozlinie więc gotowano rzadkie zupki
– ale miska też było brak. Znaleźli jednak wyjście (bogdaj to nasza wynalazczość!) –
i tę bałandę dawali ludziom w ŁAZIEBNYCH CEBRACH, na dziesięciu naraz, zmu-
szając ich do chleptania na wyścigi. Zresztą w Kotłasie też tak bywało.

Co prawda, to prawda: w Wogwozlinie nikt nie siedział dłużej niż rok. (Koło
roku – owszem, jeżeli było mu już trzy ćwierci do śmierci i żaden obóz przyjąć go
nie chciał).

Literacka fantazja wydaje się uboga w porównaniu z prozą życia Archipe-
lagu. Gdy literat chce napisać o więzieniu coś najbardziej zjadliwego
i demaskatorskiego – to zawsze kończy się na wytykaniu k i b l a. Kibel! – Stał się
on już w literaturze symbolem więzienia, symbolem upokorzenia i smrodu. O, lek-
komyślni ludzie! Bo to kibel jest dla więźnia złem? Jest to jeszcze najmiłosierniejszy
z pomysłów więziennej władzy. Zgroza zaczyna się przecież dopiero wtedy, kiedy
kibla w celi NIE MA.

W 37. roku, w niektórych syberyjskich więzieniach nie było kiblów, bo ich za-
brakło! Nie przygotowano zawczasu odpowiedniej ilości, syberyjski przemysł nie po-
trafił się dostosować do rozmachu więziennej działalności. Dla nowo powstałych
cel nie starczyło w magazynach kiblów. W starych celach kible były, ale antycz-

nego typu, malutkie. I teraz rozsądek kazał je wynieść, ponieważ dla nowych kontyngentów i tak by nie wystarczyły. Tak więc, jeżeli więzienie w Minusińsku (Włodzimierz Iljicz nigdy w nim nie siedział, bo jadąc na zesłanie był na wolnej stopie) miało pojemność obliczoną na 500 więźniów, teraz zaś umieszczono w nim 10 tysięcy – to znaczy, że również każdy kibel powinien powiększyć się 20 razy! Ale wcale się nie powiększył...

Nasze rosyjskie pióra piszą tylko grubą krechą, przeżyć mamy co niemiara, nie opisano zaś i nie nazwano dotąd prawie niczego. Ale dla I autorów zachodnich, z ich zamiłowaniem do oglądania przez lupę każdej molekuły życia, do wstrząsania aptecznej probówki i oglądania jej! pod światło, to przecież epopea, to 10 nowych tomów Poszukiwania straconego czasu: móc zrelacjonować stan ludzkiej duszy, kiedy w celi ilość więźniów zwiększa się dwudziestokrotnie, a kibla nie ma i za potrzebą wyprowadzają tylko raz na dobę! Oczywiście jest tu wiele elementów rzeczowych, o których nie mają pojęcia: nie domyślaliby się, że można oddawać mocz do brezentowego kaptura własnego płaszcza i zupełnie nie zrozumieliby rady sąsiada, żeby nasikać do buta! – a tymczasem jest to rada pełna wielkiej mądrości i bynajmniej nie prowadzi ani do zniszczenia buta, ani do zamianowania go w nocnik. Znaczy to, że długi but trzeba zdjąć, obrócić podeszwą do góry, teraz dopiero od-j winąć jego cholewę na zewnątrz i oto macie potrzebne warnkolistę naczynie odpowiedniej pojemności! Jakimi za to subtelnościami psychologicznymi mogliby zachodni pisarze wzbogacić swoją literaturę (bez ryzyka banalnej imitacji dawnych mistrzów), gdyby tylko znali regulamin wyżej wspomnianego minusińskiego więzienia: jedna miska do jedzenia przypada na czterech więźniów, a wody do picia dają raz na dzień po kubku (kubki za to są). I oto jeden z tych czworga wykorzystał wspólną miskę, aby sprawić sobie ulgę, bo tak go sparto, ale przed obiadem odmówił oddania swojego zapasu wody dla umycia tejże miski. Co za konflikt! Jakie starcie temperamentów wszystkich czterech typów! jakie niuanse! (I tu nie żartuję. Właśnie przy takich okazjach ukazuje się dno ludzkiej osobowości. Tylko że rosyjskie pióro nie ma chęci na takie opisy, a rosyjskie oko nie ma czasu, aby je czytać. Nie żartuję, bowiem tylko lekarz powiedzieć potrafi – jak parę miesięcy w takiej celi potrafi zniszczyć zdrowie człowiekowi na całą resztę życia, choćby go nawet nie rozstrzelano za czasów Jeżowa i zrehabilitowano za czasów Chruszczowa).

No proszę, a myśmy sobie wyobrażali, że w porcie odpoczniemy i rozprostujemy kości! Ściśnięci i skuleni przez kilka dni i nocy w przedziale – marzyliśmy o zborniaku! Tu dopiero odetchniemy szerzej, rozprostujemy grzbiety. Tu będziemy nareszcie spokojnie chodzić do wychodka. Tu się nareszcie napijemy i wody i wrzątku. Tu nie każą nam już płacić eskortie naszymi ciuchami za nasz własny chleb. Tu zjemy sobie coś gorącego. I nareszcie – zaprowadzą nas do łaźni, otokniemy się, ochluśniemy się ciepłą wodą, przestaniemy się drapać. Boki nam poobijało w karetce, rzucało nami od ściany do ściany i wrzeszczano na nas: „Brać się pod rękę!”, „Brać się za pięty!”, ale myśmy dodawali sobie kurażu: to nic, to nic, niedługo już etap! Już, już go widać...

I jeżeli nawet coś z tych naszych marzeń się ziści, to i tak będzie jakoś splugawione.

Co czeka człowieka w łaźni? Tego nigdy nie można przewidzieć. Ni z tego, ni z owego – zaczynają strzyc kobiety do gołej skóry (Krasnaja Presnia, 1950 rok, listopad). Albo nas, całą czeredę nagich mężczyzn oddają w ręce brygady, zło-

żonej wyłącznie z fryzjerek. W Wołogdzie, w parowej łaźni, dorodna ciocia Motia krzyczy: „Stawać szeregiem, chłopaki!”. I wszystkich po kolei traktuje parą ze szlauchu. A w irkuckim więzieniu przesyłkowym powstał spór – czy bardziej naturalne jest, aby cała obsługa łaźni była męska i żeby chłop nawet kobiety pędzlował sanitarnym wiechciem między nogami. Albo w nowosybirskim tranzytowym – zimą, w nieogrzewanej umywalni z kranów cieknie tylko zimna woda; więźniowie decydują się na wezwanie kogoś z administracji; przychodzi jakiś kapitan, podstawią bez ceregieli rękę pod kran i powiada: „A ja mówię, że woda jest gorąca, zrozumiano?!”. Już nudne jest powtarzanie, że zdarzają się łaźnie zupełnie bez wody; że z komory dezynfekcyjnej rzeczy wracają spalone; że po kąpieli każą człowiekowi biec boso i na golasa po śniegu po odbiór odzieży (kontrwywiad Drugiego Frontu Białoruskiego, Brodnica, 1945 rok).

Już przy pierwszych krokach w zborniaku możesz się przekonać, że tu władzę nad tobą mają nie strażnicy, nie pagony i mundury, które mimo wszystko przestrzegają jakichś pisanych praw. Tu panują nad wami – prominenci. Ten ponury łaziebny, który tak wita wasz transport: „No, prosimy do kąpiółki, panowie faszyści!”; i ten faktor z tabliczką w ręku, który taksuje was wzrokiem i popędza; i ten wygolony instruktor z loczkiem, który zwiniętą gazetką bije się lekko po cholewie i wciąż zezuje na wasze tobołki; i jeszcze inni, nie znani wam bliżej prominenci, którzy rentgenowskimi slipiami wprost przewiercają wasze walizki – jacyż oni wszyscy do siebie podobni! I gdzie to już ich wszystkich widzieliście w trakcie waszej krótkiej wędrówki z etapu na etap? – nie tak może byli czyści, nie tacy schludni, ale takie same mieli mordy, bezlitośnie uśmiechnięte?

Baaa! Toż to znowu szemrani! To ci sami knajacy, tylekroć opiewani przez Utiosowa w jego przebojach! To ten sam Żeńka Żogol, Sierioga–Lampart i Dimka–Krwawa Kiszka, tyle, że nie siedzą już za kratą, ochędożyli się, przyodziali, cieszą się zaufaniem władzy i z zadęciem dbają o dyscyplinę – teraz już naszą. Jeśli przyrzeć się ich pyskom wnikliwiej, z pewną dozą wyobraźni, to można nawet dojść do wniosku, że to nasza ruska krew i kość, że byli niegdyś wiejskimi kawalerzami, że ich ojciec zwał się Klim, Prochor albo Gurij, że są nawet do nas zewnątrznie podobni: dwie dziurki w nosie, tęczówki w oczach, różowy język; pomagają sobie nim przy jedzeniu i wymawianiu niektórych rosyjskich głosek, z których jednak formują zupełnie nowe słowa.

Każdy naczelnik więzienia tranzytowego prędzej czy później dochodzi do wniosku, że za wszelkie prace etatowe można płacić pensję komuś z krewnych, siedzących spokojnie w domu, albo dzielić się nią z kolegami z administracji. Wystarczy zaś tylko gwizdnąć, aby dowolna liczba ochotników ze środowiska s o c j a l n i e – b l i s k i c h rzuciła się do wykonywania tej roboty, pragnąc w zamian tylko zakotwiczyć się na etapie, nie pojechać do kopalni, do ciężkiej pracy, do tajgi. Wszyscy ci rejestratorzy, pisarczykowie, księgowi, instruktorzy, łaziebni, fryzjerzy, magazynierzy, kucharze, pomywacze, praczki, bieliźniarze – to wieczni tranzytowcy; dostają formalnie tylko więzienny chleb i nazywa się, że siedzą pod celą, całe zaś masetko do chleba już bez żadnej pomocy ze strony zwierzchności wyłowią sobie sami ze wspólnego kotła albo wycisną z przejezdnych zeków. Wszyscy ci tranzytowi funkcyjni mają wszelkie podstawy do pewności, że w żadnym obozie nie będzie im lepiej. Wpadamy w ich łapy jeszcze nie do szczętu ograbieni i oni to mają nas ostatecznie wystrychnąć na dudków. To oni nas tu rewidują, w zastępstwie strażników, a przed rewizją proponują nam, by

oddać pieniądze do depozytu, nawet piszą z miną całkiem serio jakieś spisy – których nigdy już nie zobaczymy, podobnie jak pieniędzy. „Pieniądze przecież oddaliśmy!” – „Komu” – dziwi się oficer. – „A był tu taki jeden!” – „Kto taki?”. Inni funkcyjni nic nie wiedzą... „Po coście mu to dawali?” – „Bo myśmy myśleli...” – „Indyk też myślał! Mniej trzeba myśleć!”. I to wszystko. – To oni proponują nam, żeby rzeczy zostawić w łazibnej poczekalni: „Ależ nikt wam nic nie zabierze! Komu to w ogóle potrzebne!”. Zostawiamy więc, przecież i tak nie można zabrać ich do kąpieli. Wracamy: nie ma swetrów, nie ma futrzanych rękawic. „A jaki był ten sweter?” – „Taki szary...” – „No, to znaczy, że poszedł się wybielić do kąpieli!”. – Rzeczy zabierają nam również w uczciwy sposób: za to, żeby wziąć walizkę na przechowanie do magazynu; za to, żeby dać człowieka do celi, gdzie nie ma knajaków; za to, żeby szybciej postać nas dalej; za to, żeby mógł człowiek trochę dłużej zostać tutaj. Nie rabują otwarcie, to cała różnica.

– „Ależ to nie szemrani! – tłumaczą nam nasi znawcy. – To są kapusie, sukin-syny, którzy poszli na współpracę. To są wrogowie p orządnych złodziei. A ci porządni – siedzą przecież w celach”. Ale to rozumowanie jest jakoś zbyt trudne dla naszego króliczego rozumku. Te same tony, ten sam tatuaż... Może istotnie są wrogami tamtych, ale nie są wcale naszymi przyjaciółmi, w tym sęk...

Tymczasem siedzimy już na dziedzińcu pod samymi oknami cel. Na oknach kagańce, nic nie widać, jednak dochodzi stamtąd jakiś chrapliwy, lecz życzliwy głos, który nam radzi: „Chłopaki! Tu jest taki regulamin: przy kipiszu zabierają wszystko, co sypkie – herbatę, tytoń. Kto ma trochę – niech nam tu rzuci przez okno, później wam oddamy”. Co my wiemy o życiu? Toć z nas frajery i króliki. Może naprawdę odbierają herbatę i tytoń? Czytaliśmy w arcydziełach literatury o powszechnej solidarności więźniarskiej, toż więzień więźnia nie oszuka! I ten sympatyczny ton – „chłopaki!”. Więc przerzucamy im woreczki z tytoniem. Rasowi złodzieje łapią w locie i rechoczą: „Ale durnie z tych faszystów!”.

Oto jakie hasła witają nas w zborniakach, chociaż na ścianach ich nie widać: „Nie szukaj tu sprawiedliwości!”, „Wszystko, co masz jeszcze – będziesz musiał oddać!”. Wszystko trzeba będzie oddać! – powiedzą ci to strażnicy, konwojenci i knajacy. Przytłoczony jesteś swoim ciężkim jak ołów wyrokiem, myślisz tylko o tym, aby złapać chwilę oddechu, dookoła zaś wszyscy myślą tylko o tym, jak cię ogra-bić. Wszystko składa się na to, aby jeszcze bardziej pognębić politycznego, już i tak zgnębitego i osamotnionego. „Wszystko będzie trzeba i tak oddać...”, po-nuro kiwa głową nadzorca w Gorkowskim więzieniu tranzytowym – i Ans Bernsztejn z uczuciem ulgi oddaje mu swój oficerski szynel – nie za bezdurno, tylko za dwie główki cebuli. I jak tu mieć pretensję do knajaków, jeżeli wszyscy strażnicy na Kra-snej Presni paradują w chromowych butach, których nikt im nigdy nie przydzielił? Wszystko to capnęli w celach knajacy, żeby później opylić strażnikom. Jaką można mieć pretensję do knajaków, jeżeli instruktor Oddziału Kulturalno–Wychowawczego obozu – jest knajakiem, wziętym na funkcję i pisze politycznym charakterystyki (punkt obozowy Kem–Per)? Może w rostowskim tranzytowym szukać mamy pomocy i sprawiedliwości, skoro to pradawne gniazdo rodzinne całego knajactwa?

Podobno w 1942 roku w tranzytowym więzieniu miasta Gorki, aresztanci–oficerowie (Gawryłow, technik wojskowy Szczebietin), zbuntowali się jednak, pobili złodziei i zmusili ich do uległości. Ale takich rzeczy zawsze słucha się jak legendy: czy w jednej tylko celi tak im dano po nosie? Czy na długo tak spokornieli? A co na to błękitne czapki, że obce elementy biją swoich? Kiedy zaś kto inny opowiada,

jak to w Kottassie na etapie w 40. roku kryminaliści wyrwali pieniądze stojącym w kolejce do kantyny politycznym, i jak ci ostatni zaczęli za to ich lać bez litości, i jak – broniąc knajaków – wkroczyła do żony straż z karabinami maszynowymi – tu człowiek wcale nie wątpi, to podobne do prawdy!

Głupi nasi krewni! – uwijają się tam za murami, pożyczają pieniądze (bo tyłu pieniędzy nikt nie ma w domu), żeby postać ci za nie jakieś rzeczy, coś do jedzenia – za te ostatnie, wdowie grosze; ale zatrute to dary, bo z człowieka głodnego, ale wolnego czynią pełnego niepokoju tchórza. Człowiek sam się pozbawia tej świecącej już jasności i rodzącej się stanowczości, które są jedynymi właściwościami naprawdę potrzebnymi przed zejściem do otchłani. O, jak rozumna jest przypowieść o wielbłądzie i uchu igielnym! Do królestwa niebieskiego wyzwolonego ducha nie pozwalają ci wejść twoje szmaty. U innych pasażerów tej samej suki też widzisz takie same tobołki. „Banda skurwieli” – już w karetce warczeli na nas knajacy, ale było ich tylko dwóch, nas zaś pół setki i tymczasem musieli jeszcze trzymać ręce przy sobie. Teraz natomiast już drugą dobę trzymają nas na Presni, w celi zwanej dworcową, na brudnej podłodze, z nogami podkurczonymi, bo tak ciasno, jednak nikt z nas nie obserwuje tego, co się dookoła dzieje, tylko każdy myśli, jakby tu oddać na przechowanie swój tobołek. Chociaż mamy niby prawo do oddawania bagażu na przechowanie, ale funkcyjni ustępują w końcu tylko dlatego, że to moskiewskie więzienie, a myśmy nie stracili jeszcze moskiewskiego fasonu.

Co za ulga! – rzeczy już w depozycie (to znaczy, że zabiorą je nam całkiem nie na tym etapie, tylko gdzieś dalej). Tylko te nieszczęsne węzółki zjedzeniem musimy trzymać jeszcze w ręku. Zbyt wielu jednak jest tutaj razem nas – nadzianych jeleni. Zaczynają nas więc przydzielać grupkami do innych cel. W towarzystwie tego samego Walentego, z którym razem kwitowaliśmy odbiór wyroków OSO i który z rozrzewnieniem obiecywał sobie, że w obozie rozpocznie nowe życie – wepchnięci zostaliśmy do jakiejś celi. Jeszcze nie była całkiem pełna: przejście było wolne i pod narami było dużo miejsca. Według klasycznego schematu – górne nary zajmują knajacy: starsi – pod oknami, młodszy – nieco dalej. Na dolnych narach kłębi się nijaka, szara masa. Nikt nas nie atakuje. Nie rozejrzawszy się dobrze, nie oceniwszy sytuacji, nie mając zresztą doświadczenia, wpełzamy po asfaltowej podłodze pod nary – będzie tam nam chyba dość przytulnie. Nary są niskie i rosty męczyzna wpełzać musi pod nie po indyjsku, czołgając się brzuchem po ziemi. Wczołgaliśmy się. Teraz będziemy tu sobie leżeć spokojnie i spokojnie rozmawiać. Ale gdzie tam! W niskim półmroku, z cichym szelestem, na czworakach, jak wielkie szczury skradają się do nas ze wszystkich stron malolatki – to jeszcze zupełne dzieci, są nawet 12-letnie, ale kodeks akceptuje również takich, mają już za sobą proces o kradzież, a teraz przyszli tu do złodziejskiego terminu. Napuszczono ich na nas! W milczeniu rzucają się ze wszystkich stron i tuzinem rąk wrywają nam i spod nas wszystko, co jeszcze mamy. W zupełnym milczeniu, słychać tylko gniewne sapanie! Jesteśmy w pułapce: nie możemy się podnieść ani nawet ruszyć. Nie minęła nawet minuta, a już nam wyrwali woreczek ze stoniną, cukrem i chlebem – i już ich nie ma, a my leżymy jak głupi. Bez walki oddaliśmy nasze zapasy i teraz możemy nawet leżeć sobie dalej, ale to wykluczone. Śmiesznie wierzgając nogami, wpełzamy tyłem spod nar.

Czy jestem tchórzem? Sądziłem dotychczas, że nie. Pchałem się pod bomby w stepie bez żadnej osłony. Puszczając się przed siebie traktem, o którym wia-

domo było, że usiany jest minami przeciwpancernymi. Zachowywałem zimną krew, gdym wyprowadzał moją baterię z kotła i gdym jeszcze raz tam wracał po uszkodzoną ciężarówkę. Dlaczego teraz nie chwycę za kark jednego z tych szczurków i nie szurnę go różowym pyskiem o czarny asfalt? Że za mały? – No, mógłbym znaleźć jakiegoś większego. Ale nie... Na froncie podtrzymuje nas na duchu pewne nieznane innym poczucie (być może całkiem fałszywe) – żołnierskiej wspólnoty? że jest się na swoim miejscu? że spełnia się obowiązek? Tutaj zaś – człowiek nie ma żadnych zadań, nie istnieje regulamin i wszystkiego trzeba się dowiadywać po omacku.

Podnoszę się z ziemi i zwracam się do ich herszta, do p a c h a n a. Na górnych narach, pod samym oknem leżą przed nim wszystkie zabrane nam zapasy: szczury–małolatki ani kruszyny nie wzięły sobie, znają mores. Ta przednia część łba, która u dwunogich nosi zwykle nazwę twarzy, u tego pachana ukształtowana została przez naturę ręką pełną obrzydzenia i niechęci, może zresztą to drażliwy tryb życia sprawił, że jest obwista i skrzywiona, o niskim czole, ozdobiona jaskiniową szramą i nowoczesnymi, stalowymi koronkami na siekaczach. Slipkami o rozmiarach właśnie takich, by widzieć zawsze tylko rzeczy znane i nie tracić sił na podziwianie świata, patrzy teraz na mnie jak odyniec na jelenia, dobrze wiedząc, że zawsze potrafi zbić mnie z nóg.

Czeka. A co ja robię? Czy skaczę na górę, żeby zdzielić tę mordę chociaż raz pięścią, choćbym miał nawet potem rozciągnąć się bezwładnie między narami? Niestety, nie.

Czy jestem podły? Zdawało mi się dotychczas, że nie. Ale to co teraz najbardziej boli mnie – ograbionego, upokorzonego, to perspektywa ponownego wpętlania na brzuchu pod nary. Więc mówię z gniewem do pachana, że teraz, kiedy zabrał nam nasze zapasy, mógłby chociaż dać miejsce na narach. (No, czy nie naturalny to wymóg ze strony oficera i człowieka urodzonego w mieście?).

No i cóż? Pachan wyraża zgodę. Przecież tym samym wyrzekam się ostatecznie mojej słoniny; a także uznaję jego władzę; a również pokazuję, że mam wspólne z nim poglądy – on też by pozbawił miejsca najsłabszych. Rozkazuje więc dwóm neutralnym szaraczkom usunąć się z dolnych nar pod oknem i oddać nam miejsca. Ustępują pokornie. Kładziemy się na najlepszych miejscach. Jeszcze przez jakiś czas przeżywamy gorycz swoich strat (moje bryczesy nie budzą zainteresowania knajaków, mundury – to nie dla nich, ale jeden ze złodziei już maca skraj wędnianych spodni Walentego – wyraźnie mu się podobają). I dopiero pod wieczór dociera do naszych uszu pełen wyrzutu szepł naszych sąsiadów: jak mogliśmy u knajaków szukać pomocy, a dwóch swoich c h zapędzić pod nary? I dopierp tu przeszywa mnie na wskroś świadomość własnej podłości i biją na mnie pąsy (jeszcze przez wiele lat będą biły, ile razy sobie to przypomnę). Ci szaraczkowie na dolnych narach, to przecież moi bracia – 58–1–b, to byli jeńcy. Czy to dawno temu przysięgałem, że przełamię się z nimi wspólnym przeznaczeniem? A teraz ich spycham pod nary? To prawda, że oni też nie bronili nas przed knajakami – ale dlaczego by mieli walczyć o naszą słoninę, jeśli my sami o nią wcale nie walczymy? Dość takich walk przeżyli w niewoli, aby rozczarować się do wszelkiej szlachetności. I jednak – żadnej krzywdy mi nie wyrządzili – a ja wyrzodziłem im krzywdę.

Tak oto trzeba sobie okrzesać boki i ryje, żeby po latach przynajmniej przekształcić się w ludzi... Żeby stać się ludźmi...

Ale nawet dla nowicjusza, którego tu obdzierają i łupią ze skóry – ten etap jest potrzebny, potrzebny! Dzięki niemu stopniowo oswaja się z tym, co go czeka w obozie. Serce ludzkie nie mogłoby wytrzymać takiego przejścia jednym skokiem. Świadomość nie potrafi zorientować się z punktu wśród tego chaosu. Można tylko stopniowo.

Następnie – zbórnik daje człowiekowi pozór kontaktu z domem. Stąd pisze się swój pierwszy legalny list: czasem – że cię nie rozstrzelano, kiedy indziej – o kierunku, w jakim cię wiozł, zawsze zaś są to pierwsze, jakże odmienne od dawnych, słowa człowieka, przeoranego śledztwem. Tam, w domu pamiętają go jeszcze takim, jakim był dawniej, ale nigdy już nie wróci do tej postaci – i nagle ta świadomość mignie, jak błyskawica, wśród krzywych liter listu. Krzywych, dlatego że chociaż listy z etapów są dozwolone i na dziedzińcu wisi nawet skrzynka pocztowa, ale papieru ani ołówka dostać nie podobna, tym bardziej zaś nie ma czym go zaostrzyć. W końcu znajduje człowiek kawałek papieru, w który zawinięta była przedtem machorka, albo kawałek opakowania z paczki cukru, ktoś w celi ma ołówek i takimi oto krzywymi kulfonami pisane są dlatego te listy, od których zależy całość albo rozkład rodziny.

Szalone kobiety czasem po otrzymaniu takiego listu nieopatrznie puszczają się w podróż, aby znaleźć jeszcze męża na etapie, chociaż widzenia nikł im nigdy nie da. I jedyne, co można osiągnąć, to dorzucenie jeszcze jakichś rzeczy do ciągnącego mu tobołka. Jedna z takich kobiet dostarczyła nawet tematu rzeźbiarzowi, który chciałby kiedyś wystawić pomnik wszystkim żonom więźniów – co więcej, wskazała też miejsce, gdzie mógłby stanąć.

Było to w kujbyszewskim zbórniku w 1950 roku. Więzienie leżało w zapadlinie (z której jednak widać było Żygulowski przełom Wołgi), a zaraz nad nią, okalając ją od wschodu, ciągnęło się długie, pokryte trawą wzgórze. Leżało poza żoną i ponad nią; jak można było osiągnąć jego szczyt z drugiej strony – tegośmy z dołu nie mogli widzieć. Rzadko kto zresztą na nim się pojawiał, czasem pały się kozy i uganiały się dzieci. Aż któregoś letniego, pochmurnego dnia, na krawędzi zbocza zjawiła się kobieta z miasta. Spod daszka dłoni, powoli wodząc oczyma, zaczęła rozglądać się z góry po naszej żonie. Na różnych podwórcach odbywały o tej porze swój spacer trzy duże cele – i wśród tych trzechset zbitych w ciżbę mrówek bez twarzy, snujących się na dnie przepaści, chciała ona zobaczyć swojego męża! Miała może nadzieję, że serce jej podpowie? Na pewno nie dostała widzenia i dlatego wdrapała się na ten pagór. Na spacernikach już ją zauważono i wszyscy patrzyli w jej stronę. W naszej zapadlinie nie było wiatru, tam na górze wiało porządnie. Wiatr wzdymał i targał jej długą suknię, rozwiewał jej włosy i przez to jakby stawała się widoma cała miłość i obawa, która w niej żyła.

Myślę, że pomnik takiej kobiety – właśnie tam, na wzgórzu nad więzieniem, obrócony twarzą ku Żygulowskim Wrotom, tak, jak ona tam stała, mógłby chociaż w części coś wyjaśnić naszym wnukom⁵.

⁵ Przecież kiedyś musi znaleźć odbicie w pomnikach tajna i prawie już przepaszczonego historia naszego Archipelagu! Ja na przykład wyobrażam sobie często jeszcze jeden taki pomnik: gdzieś na Kolumbie, na jakimś wzgórzu – olbrzymi Stalin, takich rozmiarów, jakie sam by sobie mógł wymarzyć – z wielometrowymi wąsami, z uśmiechem obozowego komendanta; niechby jedną ręką szarpał cugle, a drugą – miał

Nie wiedzieć czemu, długo jej nikt nie odganiał – na pewno strażę się nie chciało, bo pod górę. Ale w końcu wdrapał się tam jeden żołnierz, zaczął krzyć, wymachiwać rękoma – i przepędził tę kobietę.

Z b o r n i a k daje więźniowi perspektywę, poszerza jego pole widzenia. Jak to powiadają – choć goło, lecz wesoło. W ciągłym tutejszym ruchu, w tym młynie, gdzie migają dziesiątki i setki twarzy, gdzie rozmawia się i opowiada z całą szczerością (w obozie tak nie bywa, wszędzie tam człowiek boi się nadepnąć na mackę służby bezpieczeństwa) – możesz się jakby odświeżyć, przewietrzyć, przetrzeć oczy i zaczynasz lepiej rozumieć, co dzieje się z tobą, z twoim narodem, a nawet – ze światem. Jeśli jest w twojej celi ktoś niezupetnie zwykły, to tyle ci dziwnych różności naopowiada, jakich nigdy byś nie przeczytał.

Wchodzi nagle do celi jakiś odmieniec: wysoki, młody wojskowy, o rzymskim profilu, z nie strzyżonymi, kędzierzawymi, płowymi włosami, w mundurze angielskiego kroju, jakby tu przybył wprost z wybrzeży Normandii, ót oficer armii inwazyjnej. Wchodzi z wyrazem takiej dumy, jakby oczekiwał, że wszyscy staną przed nim na baczność. Okazało się zaś, że po prostu nie spodziewał się, iż spotka tu przyjaciół: siedzi już dwa lata, ale nigdy jeszcze nie był w celi ogólnej i aż do tego więzienia tranzytowego wiezono go w sekrecie, w osobnym przedziale stołypinki. Teraz znowu, całkiem niespodzianie, omyłkowo czy też umyślnie, dość, że wpuszczony zosnął do naszej ogólnej stajni. Obchodzi celę dookoła, widzi oficera Wehrmachtu w niemieckim mundurze, mówi mu coś po niemiecku – i oto już ci dwaj spierają się zaciekle, gotowi, zdawałoby się sięgnąć po broń, gdyby tylko była pod ręką. Minęło pięć lat od końca wojny, wmawiano nam, że na Zachodzie tę wojnę prowadzono tylko dla pucu, więc aż nas dziwi ta zaciekłość: leżał ci ten Niemiec wśród nas i leżał, a my, Ruscy, wcaleśmy się z nim za łby nie wodzili, najwyżej śmialiśmy się z niego.

Nikt nie dałby wiary opowiadaniu Eryka Arwida Andersena, gdyby nie ta jego nietknięta maszynką fryzura – jedyna chyba taka w całym GUłagu; i gdyby nie to jego szczególne wzięcie; i gdyby nie fakt, że swobodnie władał angielskim, niemieckim i szwedzkim. Wynikało z tego, co nam powiedział, że był synem szwedzkiego milionera, więcej, bo podniesioną, aby biczem smagać zaprzęg – zaprzęg z setek ludzi, założonych po pięciu, w naciągniętej uprzęży. Na skraju Czukołki, nad cieśniną Beringa też by to ładnie wyglądało. (Już to miałem napisane, kiedy przeczytałem książkę Płaskorzeźba na skale. Widocznie jest coś w tym pomysle. Podobno w tych samych Zygulach, na górze Mogutowa, nad Wołgą, o kilometr od obozu, wymalowany był olejnymi farbami na skale ogromny Stalin, którego można było podziwiać z przejeżdżających parowców). miliardera (no, powiedzmy, że tu mógł przesadzić), po kądzieli zaś – był kuzynem generała Robertsona, dowódcy angielskiej armii okupacyjnej w Niemczech. Choć był obywatelem szwedzkim, to podczas wojny wstąpił jako ochotnik do armii angielskiej, brał istotnie udział w lądowaniu w Normandii, po wojnie zaś został kadrowym oficerem armii szwedzkiej. Jednakże nie porzucił swoich zainteresowań społecznych; pragnął zwycięstwa socjalizmu i to pragnienie mocniejsze w nim było od przywiązania do ojcowskich kapitałów. Z głęboką sympatią przyglądał się realizacji socjalizmu sowieckiego i nawet przekonał się naocznie o jego sukcesach, gdy przybył do Moskwy w składzie szwedzkiej delegacji wojskowej. Wydawano na ich cześć bankiety, wożono na zamiejskie daczę, a tam nikt im nie utrudniał kontaktu z szeregowymi obywatelami sowieckimi – z czarującymi artystkami, którym nie

spieszyło się do żadnej pracy i które nader chętnie spędzały z gośćmi czas, nawet w cztery oczy. Przekonawszy się ostatecznie, że tryumf naszego ustroju jest nieuchronny, Eryk, po powrocie na Zachód, opublikował jakiś artykuł w obronie sowieckiego socjalizmu i ku jego chwale. Ale tu trochę przesadził, to właśnie go zgubiło. Akurat w tych latach (1947–48) wyciągano u nas skąd się tylko dało postępowych, młodych przedstawicieli Zachodu, gotowych potępić go publicznie (wydawało się, że wystarczy znaleźć jeszcze ze dwudziestu, a Zachód drgnie i runie). Po opublikowaniu artykułu uznano, że Eryk nadaje się w sam raz do tego celu. Służąc w tym okresie w Berlinie Zachodnim (żona została w Szwecji) Eryk odwiedzał pewną niemiecką panią we Wschodnim Berlinie, co jest grzeszkiem w końcu wybaczalnym. Właśnie u niej pewnej nocy został napadnięty i porwany (czy nie stąd właśnie wzięto się przysłowie: – „Szedł do gamratki, a trafił za kratki”? Dawny to proceder, nie on widać pierwszy). Przywieziono go do Moskwy, a tam Gromyko, który niegdyś bywał na przyjęciach w domu jego ojca w Sztokholmie i stąd go znał, teraz, na zasadzie rewanżu, zaproponował młodzieńcowi, aby publicznie wyparł się i kapitalizmu, i własnego ojca. Obiecywał mu za to u nas wszelkie kapitalistyczne luksusy aż do końca jak najdłuższego życia. Ale chociaż Eryk nic, jak widać, nie tracił z materialnego punktu widzenia, jednak – ku wielkiemu zdumieniu Gromyki – zareagował oburzeniem i porządnie nawymyślał staremu znajomemu. Nie bardzo wierząc w jego stanowczość, zamknięto go na pewnej daczce pod Moskwą, dawano jeść jak księciu z bajki (niekiedy zresztą pozwalano sobie na „straszliwe represje”: nie przyjmowano zamówień na określone menu i zamiast upragnionego kurczęcia, przynoszono nagle antrykot), obstawiono go dziełami Marksa–Engelsa–Lenina–Stalina i przez cały rok czekano na przełom. Dziwne, ale jakoś do tego nie doszło. Wówczas dano mu do towarzystwa byłego generała–lejtanta, który miał już za sobą dwa lata spędzone w Norylsku. Liczono zapewne na to, że generał–lejtant opowieściami na temat obozowych okropności skłoni Eryka, aby spuścić trochę z tonu. Ale generał zadanie to wykonał źle, a może nie chciał go wykonać. W ciągu dziesięciu miesięcy wspólnego siedzenia zdołał jedynie sprawić, że Eryk poznał trochę rosyjski i że wzmógł w nim się jeszcze wstręt do błękitnych czapek. Latem 1950 roku wezwano Eryka jeszcze raz do Wyszńskiego, któremu również dał odmowną odpowiedź (dając pierwszeństwo świadomości przed bytem, co przeczyło wszelkim zasadom!). Wówczas to sam Abakumow odczytał Erykowi decyzję: 20 lat więzienia (?? za co?). Już sami pluli sobie w brodę, że wplątali się w historię z tym szczeniakiem, ale przecież nie można już go było tak po prostu puszczać na Zachód. Właśnie wtedy wpakowano go do osobnego przedziału, gdzie wysłuchał przez ścianę opowieści dziewczyny z Moskwy, aby następnego ranka zobaczyć za oknem gnijące strzechy słomianej, rizańskiej Rusi.

W ciągu tych dwóch lat bardzo wzmogło się w nim uczucie wierności dla Zachodu. Jego wiara w Zachód była tak ślepa, że nie chciał widzieć w ogóle żadnych jego braków, że uważał armie zachodnie za niepokonane, polityków jego zaś za ludzi bez skazy i zmyły. Nie chciał wierzyć, gdyśmy mu opowiadali, że w czasie gdy on był izolowany, Stalin zdecydował się na blokadę Berlina i że uszło mu to całkiem bezkarnie. Mleczna szyja Eryka i kremowe jego policzki pokrywały się rumieńcem gniewu, gdyśmy wyśmiewali Churchilla i Roosevelta. Był także pewien, iż Zachód nie pogodzi się z jego uwięzieniem; że teraz, kiedy rozejdą się wiadomości z kujbyszewskiego więzienia, wywiad zachodni dowie się, że Eryk nie uto-

nał w Szprewie, tylko siedzi w ZSSR – i zaraz wykupią go albo wymienią. (Przypominał mi bardzo naszych prawomyślnych ortodoksów tą swoją wiarą, w wyjątkowość jego losu w porównaniu z losami innych aresztowanych). Nie bacząc na ostre starcia słowne, zapraszał mnie i pewnego mego przyjaciela do siebie, do Sztokholmu, przy najbliższej okazji („każdy nas tam zna – mówił ze znużonym uśmiechem – mój ojciec ma w kieszeni bez mała cały dwór królewski”). Tymczasem zaś syn miliardera nie miał czym gęby wytrzeć, więc podarowałem mu jakiś lichey ręczniczek, bo miałem dwa. Wkrótce zabrano go na etap⁶.

6 Wciąż pytałem od tego czasu moich przypadkowych znajomych z Szwecji albo ludzi tam jadących: jak znaleźć tę rodzinę? czy słyszeli o kimś, kto w ten sposób

A tu trwa dalej przerzucanie ludzi – sprowadzają ich, wyprowadzają, to pojedynczo, to grupami, posyłają dokądś wciąż nowe transporty. Jest to ruch z pozoru tak sprawny, tak planowy, że trudno nawet uwierzyć, ile w nim niedorzeczności.

W 1949 roku stworzone zostają Obozy Specjalne – i oto na mocy czyjejś bardzo wysoko powziętej decyzji, masy kobiet przerzucane są z obozów europejskiej Północy i z ziem leżących za Wołgą – via Swierdłowsk – na Syberię, do Tajszetu, do grupy obozów Oziertag. Ale już w 1950 roku ktoś uznał, że lepiej będzie ściągnąć kobiety nie do Oziertagu, tylko do Dubrowłagu – w okolicach miejscowości Tiemniki w republice Mordwińskiej, nad Wołgą. I oto znów te same kobiety, delektując się przy okazji całym komfortem gułagowskich podróży, ciągnęły na Zachód tą samą drogą, przez Swierdłowski zborniak. W 1951 roku otwiera się nowe Obozy Specjalne w okręgu Kemerowo (Kamyszałag). – Okazuje się, że tu właśnie praca kobiet będzie miała najlepsze zastosowanie! I nieszczęsne kobiety wleczone są teraz do kemerowskich obozów wciąż przez to samo przeklęte swierdłowskie więzienie. Nadchodzi okres wyzwolenia, ale nie dla wszystkich! I te kobiety, które musiały jeszcze odsiadywać resztę wyroku, choć wszędzie już trwała chruszczowowska odwilż – znowu ciągną z Syberii przez Swierdłowsk – aż do Republiki Mordwińskiej: bo jednak lepiej będzie ściągnąć je wszystkie do kupy.

No, ale gospodarstwo mamy wspólne, należą do niego najdalsze nawet wyspy, a co do odległości, to dla Rosjan nie są one nigdy niczym nadzwyczajnym.

Zdarzało się to także z poszczególnymi, nieszczęsnymi zekami. Szendryk – wesoły, przystojny chłopak o prostych rysach twarzy pracował uczciwie, jak to się u nas powiada, w jednym z kujbyszewszagin⁷? Odpowiadano mi z pobłażliwym uśmiechem: Andersen w Szwecji to nazwisko tak samo częste, jak Iwanów w Rosji, miliardera zaś tego nazwiska – nie ma. I dopiero teraz – po 22 latach, przeglądając ostatni raz rękopis tej książki, doznałem nagiego olśnienia: toć na pewno ZABRONIONO mu wymieniać prawdziwe swoje imię i nazwisko! Jasne, że Abakumow go uprzedził, iż w takim wypadku natychmiast go KAŻE ZLIKWIDOWAĆ! Więc pojechał z etapu na etap jako szwedzki Iwanów. I jedynie te poboczne szczegóły swojej biografii powierza) pamięci przypadkowo spotkanych osób, aby zostawić ślad, jakąś wieść o swoim złamanym życiu. A właściwie, wciąż miał nadzieję, że zdoła je uratować – nadzieję ludzką, podobnie jak miliony królików, o których w tej książce mowa: byle przetrwać, a tymczasem oburzony Zachód doprowadzi do jego uwolnienia. Nie doceniał odporności Wschodu. I nie rozumiał, że TAKIEGO świadka, który sam TAKĄ wykazał nieustępliwość, niespotykaną na zmurszałym Zachodzie – nigdy nie puszczą na wolność.

A przecież nie wykluczone, że jeszcze dotychczas żyje. (Uwaga z 1972 roku). kich obozów i nie przeczuwał nieszczęścia. A jednak już się zbliżało. Przyszła do obozu pilna dyspozycja – i to nie byle jaka – tylko od samego ministra spraw wewnętrznych (skąd minister mógł wiedzieć o istnieniu jakiegoś Szendryka?) – aby natychmiast odesłać tegoż Szendryka do Moskwy, do więzienia nr 18. Wyłowiono go więc i posłano tranzytem przez Kujbyszew wprost do Moskwy, przy tym nie do żadnego więzienia nr 18, lecz – z całym tłumem innych – na słynącą szeroko Krasną Presnię. (Sam Szendryk o żadnym numerze 18. nie miał zielonego pojęcia, przecież mu nikt o niczym nie mówił). Ale nieszczęście nie spało: nie minęły dwie doby – a pchnęli go znów na etap i zawieźli tym razem aż na Pieczorę. Krajobraz za oknem stawał się coraz bardziej jałowy i ponury. Chłopak poczuł strach: wiedział tylko, że jedzie na rozkaz ministra i skoro go tak ostro wiozą na Północ, to widać minister ma w ręku jakieś groźne materiały w sprawie Szendryka. Niezależnie od wszystkich udręk, przeżytych w trakcie tej podróży, Szendrykowi skradziono po drodze trzydniowy przydział chleba, więc na Pieczorę przyjechał chwiejąc się na nogach. Pieczora powitała go niezbyt gościnnie: głodny i zupełnie jeszcze nie urządzony w nowym miejscu, popędzony został po mokrym śniegu do roboty. W ciągu dwóch dni nie zdążył nawet koszuli wysuszyć ani razu, ani nabić sobie siennika świerczyną – a tu już kazali mu oddać wszystkie obozowe sorty, znów się do niego zabrali – i posłali jeszcze dalej – na Workutę. Widać było, że minister postanowił zgnoić Szendryka, no, prawdę rzec, nie tylko jego, ale cały transport. Na Workucie przez miesiąc nikt się Szendrykiem nie interesował. Chodził sobie na roboty ogólne, jeszcze nie stanął na nogach jak należy po swoich podróżach, ale już zaczął się godzić z tym podbiegunowym losem. I nagle w biały dzień wezwali go z kopalni, z wywieszonym ozorem pognali do obozu, żeby tam mógł zwrócić sorty i już po godzinie był w drodze na południe. To już wyraźnie pachniało porachunkami osobistymi. Przywieźli go do Moskwy do więzienia nr 18. Trzymano go w celi przez miesiąc. Po miesiącu wezwał go jakiś podpułkownik i zapytał: – no i gdzie też się obywatel podziewał? Jesteście podobno technikiem, konstruktorem maszyn? To prawda? Szendryk przyznał się. I wówczas posłano go... na Rajskie Wyspy! (Owszem, są również takie na Archipelagu!).

To miganie ludzkich twarzy, te losy i te opowieści o nich – bardzo zdobią zborniaki. A starzy bywalcy obozów radzą: leż tu cicho i nie podpadaj! Jeść dają tylko porcje gwarantowane⁷, ale też nie wysilisz się

⁷ To znaczy przydziały minimalne, jakie GUŁag gwarantuje w razie braku pracy. zbytnio. I kiedy nie jest za ciasno, to przynajmniej wyśpi się człowiek do woli. Można leżeć brzuchem do góry od jednej sałamachy do drugiej. Co się człowiek nie naje, to się wyśpi. Tylko ten, kto spróbował już obozowych robót ogólnych, jest w stanie zrozumieć, że więzienie tranzytowe – to dom wczasowy, to szczęśliwy los. I dodatkowa korzyść, że kiedy człowiek śpi w dzień – to szybciej wyrok odsiaduje. Grunt, to pozbyć się dnia, bo nocy i tak nie widać.

Co prawda, pamiętając, że człowieka dopiero praca uczłowieczyła, i że jedynie praca wychować może przestępcę, a także mając czasem jakieś roboty pomocnicze do wykonania, czasem też pragnąc podreperować swoje finanse – gospodarze więzień tranzytowych zaprzęgają do pracy również tę swoją przypadkową, wędrowną siłę roboczą.

W znanym już nam kottasskim więzieniu przed wojną roboty te nie były wcale lżejsze niż w obozie. W ciągu jednego dnia zimowego sześciu, siedmiu wycień-

czonych aresztantów, zaprzężonych do ciągnikowych (!) saní musiało wlec je DWANAŚCIE kilometrów po zamrażniętej Dźwinie aż do ujścia Wyczegdy. Zapadali się w śnieg, wywracali się, sanie więzły w zaspach. Nie można chyba było wymyśleć bardziej wyczerpującej pracy! Ale to nie była jeszcze prawdziwa robota tylko rozgrzewka. Tam, przy ujściu Wyczegdy trzeba było załadować na sanie DZIESIĘĆ metrów polan – i w tym samym składzie, w takim samym zaprzęgu (Riepin już nie żyje, a dla nowoczesnych malarzy to nie temat, jakieś chamskie naśladowanie natury) dociągnąć sanie aż do więzienia macierzystego! Co tam obóz! – jeszcze przed obozem przyjdzie na człowieka krysa. (Brygadierem przy tych robotach był Kołupajew, rolę zaś koników grali – inżynier elektryk Dmitriew, podpułkownik kwatremistrzostwa Bielajew, znany już nam Wasyli Własow, zresztą wszystkich teraz już trudno sobie przypomnieć).

W arzamasskim zborniaku podczas wojny karmiono aresztantów boćwiną, za to do pracy zaprzęgano na ogólnych zasadach. Obok więzienia działały tam warsztaty krawieckie, folusz i wytwórnia obuwia (trzeba było w gorącej wodzie z kwasem wątkować surowy filc).

Z Krasnej Presni latem 1945 roku, z dusznych i przepętnionych cel rwaliśmy się do pracy dobrowolnie: byle przez cały dzień mieć czym oddychać; byle móc bez przeszkód i pośpiechu posiedzieć w zacisznym wychodku z tarcic (otóż to, o tym śródku zachęty władza często zapomina!), gorącym od sierpniowego słońca (było to w dniach Poczdamu i Hiroshimy), gdzie statecznie brzęczała samotna pszczoła; i wreszcie – byle mieć prawo do otrzymania wieczorem dodatkowych stu gramów chleba. Prowadzono nas na przystań nad rzeką Moskwą, gdzie trzeba było wyładowywać drwa. Zadaniem naszym było ściąganie bali z jednego stosu, przeniesienie i układanie z nich innego stosu. Traciliśmy przy tym o wiele więcej sił, niż nam ich przybywało po jedzeniu. Mimo to radzi byliśmy, że możemy chodzić do tej pracy.

Zdarza mi się często, że rumienię się wspominając jakieś wydarzenia z moich młodych lat (a tam właśnie minęły młode moje lata!). Wstyd też, jak bieda nie nauczy, ale rozumu nauczy. Okazało się, że z tych oficerskich naramienników, które zaledwie dwa latka podrygiwały, kotęsały się na moich barkach, dużo złotego, trującego pyłu osypało mi się w pustkę między żebrami. Na tej przystani rzecznej – a był to również obozisk i też otaczała go żona z wieżyczkami – byliśmy tylko przelotnymi wyrobnikami i ani takiej możliwości nie było, ani nawet nikt się nie zająknął, że ktoś z nas mógłby zostać tutaj dla odsiedzenia kary. Ale kiedy nas tam pierwszy raz ustawiono i szef przeszedł się wzdłuż szeregu, aby wytypować tymczasowych brygadzystów, nędzne moje serce wyrывało się spod wełnianej bluzy: wyznacz mnie! mnie! mnie!

Nie wyznaczono mnie. Po co mi to zresztą było potrzebne? Tylko bym dodał nowe omyłki do starych.

O, jak trudno odrzucić myśl o władzy!... To trzeba dobrze zrozumieć.

Był okres, gdy Krasna Presnia mogła być uważana nieomal za stolicę GUŁagu – w tym sensie, że dokądkolwiek by człowiek jechał, zawsze musiał o nią zawadzić, podobnie jak to jest z Moskwą. Z Taszkientu do Soczi albo z Czernihowa do Mińska najprościej było jechać przez Moskwę – nie inaczej też było z więźniami: zewsząd ich ściągano na Krasną Presnię, żeby stamtąd wieźć ich dalej. Właśnie w tym okresie ja też tam trafiłem. Presnia dusiła się z przepętnienia. Budowano dodatkowy oddział. Tylko towarowe, bezpośrednie pociągi, pełne tych, którzy na

różnych frontach dostali wyrok z łaski kontrwywiadu, nie zatrzymywały się w Moskwie, mijając ją po obwodnicy, przebiegającej tuż obok Presni, tak, że mogły salutować ją gwizdkami.

Ale pasażer, przesiadający się w Moskwie, ma w końcu bilet i niepewną nadzieję, że prędzej czy później pojedzie w przewidzianym kierunku. Na Presni zaś pod koniec wojny i zaraz po niej – nie tylko przybywający, ale nawet najwyższa zwierzchność, nie wyłączając szefów GUłagu, nie mogła powiedzieć z góry, kto i dokąd teraz pojedzie. Ład więzienny nie był jeszcze wtedy tak wykrystalizowany, jak w latach 50., żadnych marszrut ani rozkazów wyjazdu nikomu wtedy do papierów z góry nie wpisywano. Były na nich co najwyżej uwagi służbowe: „Stale pod strażą!”, „Wykorzystywać tylko do robót ogólnych!”. Pliki więziennych akt w poniszczonych skoroszytach, gdzieniegdzie przewiązane wystrzępionym sznurkiem – albo jego papierowym erzacem – przynoszone były przez sierżantów z eskorty do drewnianego budyneczku więziennej kancelarii i tam ciskano je na półki, na stoły, pod stoły, pod krzesła albo po prostu na ziemię w przejściu (podobnie jak sami więźniowie leżeli w celach), gdzie leżały w rozsypce, w nieładzie, zmieszane ze sobą. Jedna, druga, trzecia izba po kolei zapełniała się tymi rozsypnymi aktami. Sekretarki z więziennej kancelarii – upasione, leniwe wolniaczki w pstrych sukniach, pocily się od upału i wciąż się wachlując flirtowały z oficerami eskorty i straży więziennej. Żadna z nich nie miała ochoty ani siły, aby się przekopywać przez te chaotyczne zwąły papieru. A transporty trzeba było jednak wysyłać! – kilka razy tygodniowo wyruszał czerwony eszelon. A każdego dnia setki ludzi odjeżdżało ciężarówkami – do bliżej położonych obozów. Akta każdego zeka należało odsyłać razem z nim. Kto miałby sobie tym głowę zawracać, kto miałby sortować papiery i wybierać ludzi do kolejnego transportu?

Powierzono tę pracę kilku specjalnie wyznaczonym więźniom 1 i 2 albo nawet jakimś łazikom kandydującym na prominentów w zborniku. Chodzili sobie swobodnie, bez nadzoru po korytarzach więzienia, mieli wstęp do budynku kancelarii, od nich zależało, czy twój skoroszyt dołączony będzie do papierów ZŁEGO transportu, ale mogli też przysiedzieć fałdów, odnaleźć teczkę i pchnąć ją do transportu DOBREGO. (Że istnieją całe obozy, słusznie uważane za fatalne – co do tego nowicjusze nie mylili się, ale że bywają również jakieś lepsze – to była iluzja. „Lepsze” mogą być nie obozy, tylko pewne zajęcia i sytuacje w tych obozach, a to załatwić sobie można już tylko na miejscu). To, że cała przyszłość aresztanta zależała od jakiegoś drugiego więźnia, z którym być może należałoby pogadać (choćby za pośrednictwem łaziebnego), któremu trzeba by ewentualnie dać coś w łapę (choćby przez magazyniera) – było jeszcze przykrejsze, niż gdyby ten los zależał od wygranej w kości. Ta niestychana szansa, którą tak łatwo tu można przegapić – aby za cenę skórzanej kurtki pojechać do uzdrowiska Nalczyk zamiast do Norylska, a za kilo słoniny do Srebrnego Boru pod Moskwę zamiast do Tajszetu (a może jednak straci człowiek raczej i kurtkę i słoninę?) jątrzyła tylko i drążyła strudzone nasze dusze. Być może ktoś uzyskał coś w ten sposób, może ktoś się na tej zasadzie gdzieś

Wieżień-powiernik straży więziennej, także donosiciel. urządził – ale szczęśliwsi byli ci, którzy nic nie mieli do ofiarowania, albo Wtórzy wyrzekli się takich rojeń.

Poddanie się wyrokowi losu, rezygnacja ze świadomego wpływania na kształt własnego życia, przyjęcie do wiadomości, że nie sposób przewidzieć ani tego co dobre, ani tego co złe, łatwo natomiast zrobić krok, który będziesz sobie ca-

te życie wyrzucał – wszystko to zmniejsza w pewnym stopniu ciężar kajdanów, uspakaja i nawet jakoś oczyszcza człowieka.

Tak oto więźniowie leżeli pokotem w celach, ich losy – zalegały nieprzebytymi zwalami w izbach w więziennej kancelarii, funkcyjni zaś brali teczki z tego kąta, gdzie im było najbliżej. I dlatego jeden zek musiał dwa i trzy miesiące z rzędu zdychać na tej przeklętej Presni, drugi zaś przeskakiwał przez nią z szybkością meteoru. Przez ten ścisk, pośpiech i nieporządek zdarzała się niekiedy w Presni (podobnie jak w innych zborniakach) tak zwana zamiana wyroków. Pięćdziesiątemu Ósmemu to nie groziło, ponieważ wyroki tych ludzi były to – jakby powiedział Gorki – Wyroki z Dużej Litery, zaplanowane były właśnie jako duże i nawet, kiedy dobiegały już końca – okazywało się, że wcale końca nie mają. Ale dla poważniejszych złodziei i morderców miała sens zamiana z jakimś prostaczkiem i pospolitakiem. Albo oni sami, albo ktoś z ich pomocników przysiadali się do takiego pospolitaka i ze współczuciem zaczynali go wypytywać, ten zaś, ani wiedząc, że więzień krótkoterminowy nie powinien w zborniaku nic o sobie mówić, zwierzał się z całą naiwnością, że nazywa się powiedzmy Wasyli Parfionycz Jewraszkin, że urodził się w 1913 roku, że całe życie mieszkał w Semidubiu. A siedzieć ma aż cały rok, ze 109 artykułu, za opieszałe wykonanie obowiązków służbowych. Później, ten Jewraszkin spał sobie, a może nawet nie spał, ale w celi taki hałas, a pod okienkiem w drzwiach taki tłok się zrobił, gdy je uchylono, że wcale nie można było precyzyjnie czytać bliżej i usłyszeć, jak na zewnątrz, w korytarzu ktoś pośpiesznie i niewyraźnie czyta spis wysyłanych najbliższym transportem. Jakieś nazwiska powtarzano później, wywołując ludzi z głębi celi, ale Jewraszkin nikt nie wywołał, ponieważ zaraz po odczytaniu tego nazwiska na korytarzu, jakiś knajak bardzo uniżenie (potrafią to, kiedy trzeba) przesunął przez kraty swoją machę i cicho lecz z pośpiechem zameldował „Wasyl Parfionycz, rocznik 1913, wieś Semidubie, artykuł 109, 1 rok” – po czym prędko pobiegł po rzeczy. Prawdziwy Jewraszkin ziewnął położył się na narach i cierpliwie oczekiwał na wezwanie następnego dnia, a także po tygodniu i po miesiącu. Ośmielił się wreszcie zapytać oddziałowego: dlaczego właściwie nie biorą go do transportu (a jakiegoś Zwiagę – to codziennie z każdej celi wywołują). I kiedy po miesiącu albo po sześciu miesiącach zdołają wreszcie przeczesać całe więzienie, robiąc apel według SPRAW, to zostanie im w ręku jedna tylko sprawa, niejakego Zwiagi, recydywisty – dwa morderstwa i obrabowanie sklepu, 10 lat – oraz pewien nieśmiały szaraczek, który twierdzi, że nazywa się Jewraszkin, ale z fotografii nic nie widać – a to jest właśnie Zwiaga i wpakować go trzeba do karnego obozu Iwdeltag, bo inaczej trzeba by się przyznać, że popełniono omyłkę. (A tamtego Jewraszkin, którego wysłano wtedy, to się teraz już nie odnajdzie, bo spisy też pojechały. Zresztą, miał tylko ten roczek, posłano go do robót polnych, bez eskorty, jeden dzień pracy liczył mu się za trzy dni odsiadki, albo więc uciekł – i już dawno jest w domu, albo – co bardziej prawdopodobne – z atachnili go do kwaczu, bo złapał następny wyrok).

Zdarzali się dziwacy, którzy sami SPRZEDAWALI swoje małe wyroki za jeden, dwa kilogramy stoniny. Wychodzili z założenia, że z czasem władze zauważą omyłkę i uda im się powrócić do własnego nazwiska. Częściowo to się sprawdzało⁹.

W tych latach, kiedy akta więźniów nie były opatrzone zawczasu skierowaniami, zborniaki zamieniały się w targowiska niewolników. Najbardziej pożądanymi gośćmi stali się tam nabywcy i słowo to coraz częściej wypowiedane było

w korytarzach i w celach bez żadnego uśmiechu. W całym przemyśle nikt nie chciał już czekać, aż przyślą mu surowce lub siłę roboczą z centrum według rozdzielnika, więc posyłało się specjalnych popychaczy i pełnomocników. Tak samo było w GUłagu: tubylcy na poszczególnych wyspach wymierali. Chociaż nie kosztowali ani grosza, ale trzeba było ich mieć i dlatego musiało się samemu ich zdobyć, aby obóz mógł wykonać plan. Nabywcy musieli być ludźmi bystrymi, spostrzegawczymi, aby wiedzieć, jaki towar im się daje i nie pozwolić sobie wkręcić jakichś półtrupów albo inwalidów. Żli kupcy dobierali sobie transport według teczek, kupcy zaś porządni domagali się, aby cały towar był im pokazany żywcem i bez osłonek, na golasa. Tak właśnie mówili bez cienia uśmiechu – towar. „Aleście towar przywieźli!” – powiedział taki nabywca w Butyrkach na „dworcu” oglądając detalicznie 17-letnią Irkę Kalinę.

Jeśli natura ludzka w ogóle się zmienia, to niewiele szybciej niż układ geologiczny skorupy ziemskiej. I handlarze niewolników przed 25. wie-

9 Zresztą, jak relacjonuje P. Jakubowicz, pisząc o tak zwanych „sucharnikach”, handel wyrokami odbywał się również w zeszłym stuleciu, to stara więzienna sztuczka. karni taksowali branki na rynku z tym samym uczuciem ciekawości i tak samo się delektując – jak urzędnicy GUłagu w Usmańskim więzieniu w 1947 roku. Ze 20 mężczyzn w mundurach MWD siedziało przy długim stole, pokrytym prześcieradłami (to dla fasonu, inaczej nie wypadłoby), a kobiety-więźniarki rozbiegały się jedna po drugiej w sąsiednim boksie, po czym – nago i boso – musiały defilować przed nimi, obracać się, zatrzymywać się, odpowiadać na pytania. „Opuścić ręce!” – rozkazywano tym, które oślaniały się na podobieństwo rzeźb antycznych (oficerowie traktowali sprawę serio: toć wybierali nałożnice dla siebie samych i dla swojej świty).

Tak oto ciężki cień jutrzejszej bitwy obozowej, przybierając rozmaite kształty, przesłania nowicjuszowi blask niewinnych uciech, jakimi więzienie tranzytowe raczy ludzkiego ducha.

Na dwie noce wpełchnęli do naszej celi specjalistę. Położył się obok mnie. Jechał ze skierowaniem specjalnym, a to znaczy, że w Naczelnym Zarządzie wypisano jadący za nim z obozu do obozu papier, gdzie powiedziane było wyraźnie, że jest on technikiem budowlanym i tyłkajako takiego wolno wykorzystać go w nowym miejscu odsiadki. Taki specjalista jeździ zwykłymi wagon-zakami, siedzi w ogólnych celach zborniaków, ale w duszy jego panuje pogoda: broni go ten papier, nikt nie może go postać na wyrąb lasu.

Tym, co przede wszystkim uderzało w twarz tego bywalca obozów, który odsiedział już większą część kary, był wyraz bezwzględności i stanowczości. (Nie wiedziałem jeszcze, że właśnie ten wyraz twarzy nas też naznaczy, bo jest cechą narodową tubylców GUłagu. Osobniki, na których twarzy wymalowana jest ustępliwość i łagodność, szybko na tych wyspach umierają). Przyglądał się naszym pierwszym niezdarnym ruchom z takim uśmiechem, z jakim obserwuje się dwutygodniowe szczenięta.

Co nas czeka w obozie? Miał widać dla nas współczucie, bo tak powiedział:

– Od pierwszej chwili każdy w obozie będzie starał się oszukać was i okraść. Nie dowierzajcie nikomu, prócz siebie samych! Rozglądajcie się dobrze, czy ktoś nie szykuje się do ugryzienia was w tydkę. Przed ośmiu laty znalazłem się w Kargopoltagu jako taki sam naiwniak. Wyładowano nas z wagonów i eskorta

miała nas teraz prowadzić do obozu dziesięć kilometrów, a śnieg był głęboki i wilgotny. Raptem nadjeżdża troje sań. Jakiś rosty facet, bez żadnego sprzeciwu ze strony konwojentów, woła do nas: „Chłopaki, kładźcie tu swoje rzeczy, podwieziemy je warn!”. Przypominamy sobie, że czytaliśmy w różnych książkach, jak to aresztanckie rzeczy wieziono na podwodach. Myślimy sobie: nie takie znów nie-ludzkie jest życie w obozie, troszczą się jednak o człowieka. Załadowaliśmy nasze rzeczy. Sanie odjechały. To wszystko. Już więcej nigdyśmy ich nie oglądali. Nawet opakowań.

– Ale jak to być może? Co tam, żadne prawa nie istnieją?

– Nie zadawajcie głupich pytań. Są prawa. Prawa tajgi. A sprawiedliwości – nigdy w GUŁagu nie było i nie będzie. Ten Kargopolski wypadek – jest po prostu symboliczny. I jeszcze do tego musicie się przyzwyczaić, że w obozie nikt niczego nie robi za darmo, nikt nic nie robi z dobroci. Za wszystko trzeba płacić. Jeśli wam coś proponują bezinteresownie – wiedźcie, że to musi być podstęp, prowokacja. I najważniejsze: unikajcie robót ogólnych! Postarajcie się ich uniknąć od pierwszego dnia! Jak pierwszego dnia poślą was na ogólne – to już przepadliście raz na zawsze.

– Unikać ogólnych robót?...

– Ogólne roboty – to główne, zasadnicze prace, które w danym obozie się wykonywa. Pracuje przy nich 80% więźniów. I wszyscy przy nich zdychają. Wszyscy. A jak na ich miejsce przywożą nowych – to znów posyłają ich na ogólne. Wyprucie tam z siebie wszystkie żyły. I wiecznie będziecie głodni. I wiecznie przemoczeni. I bez butów. I nie doważą wam chleba, i nie dosypią kaszy. I dadzą najgorsze baraki. I nie będą was leczyć. ŻYJE zaś w obozie tylko ten, kto pracuje NIE NA OGÓLNYCH robotach. Starajcie się za wszelką cenę wykręcić się od robót ogólnych! Od pierwszego dnia.

Za wszelką cenę!

Za wszelką cenę?

Zapamiętałem sobie dobrze te – wcale nie przeszarżowane – rady surowego technika, spotkanego w celi na Krasnej Presni. Zapomniałem go tylko zapytać: czym się mierzy tę ocenę? I gdzie jest jej pułap?

III

KARAWANY NIEWOLNIKÓW

Nużącą jest podróż wagon–zakiem, nieznośna jazda karetką, w zborniaku też prędko człowiek zaczyna się męczyć – już najlepiej byłoby ominąć te wszystkie etapy i pojechać od razu do obozu w czerwonym wagonie.

Interesy państwa, jak zwykle, są tu zupełnie zgodne z interesami jednostki. Państwu też wygodniej jest wysyłać skazanych bezpośrednio do obozu, nie przeciążając arterii miejskich, transportu samochodowego i personelu zborniaków. Dawno już to zrozumiano w GUŁagu, to się wie doskonale: najlepsza rzecz to karawany czerwonych, bydlęcych wagonów, karawany galarów rzecznych, a gdzie nie ma już ani torów, ani dróg wodnych – karawany piesze (nie dopuszcza się bowiem do eksploatowania koni i wielbłądów przez ludzi pozbawionych wolności).

Czerwone sznury wagonów – to najlepszy środek transportu, kiedy sądy zaczynają gdzieś pracować na pełnych obrotach albo jeśli gdzieś zbiornik jest przepełniony. Może wtedy od razu wyprawić w drogę dużą masę arestantów. W ten sposób wysłano miliony chłopów w latach 1929–31. Tak wysiedlono Leningrad z Leningradu. W latach 30. tą metodą przeprowadzono akcję osiedleńczą na Ko-

łynie i stolica nasza, Moskwa, codziennie wypływała taki pociąg w stronę Sowgawani i portu Wanino. Każda stolica okręgu również wysyłała podobne czerwone pociągi, tyle, że nie codziennie. W 1941 roku przesiedlono tak całą Republikę Niemców Nadwołżarskich do Kazachstanu, a później szereg innych narodów. W 1945 roku takie pociągi wiozły rosyjskich marnotrawnych synów i córki z Niemiec, z Czechosłowacji, z Austrii albo po prostu – z zachodnich przejść granicznych, jeśli ktoś sam się tam zgłosił. W 1949 roku w ten sposób przewieziono skazanych z artykułu 58 do Obozów Specjalnych.

Wagon–zaki kursują w zgodzie z trywialnym rozkładem kolejowym, czerwone zaś towarniaki – na mocy zleceń specjalnych podpisanych przez bardzo ważnego generała z GUŁagu. Wagon–zak musi jechać do jakiejś określonej miejscowości, u kresu jej marszruty jest zawsze jakiś dworzec, a więc miasteczko, choćby nawet nędzne, a zatem jest również areszt pod dachem. Ale czerwony eszelon może jechać w pustkę: gdzie przyjedzie, tam obok niego natychmiast wyłania się z odmętów stepu czy tajgi nowa wyspa Archipelagu.

Nie każdy czerwony wagon – i nie od razu – może służyć do przewozu więźniów. Naprzód musi być odpowiednio przygotowany. Nie tak jednak, jak to sobie może zdążyć już wyobrazić czytelnik: nie chodzi o to, żeby go zamieść i oczyścić z węgla albo wapna, które przedtem się w nim woziło, to robi się nie zawsze. I nie na tym ma polegać przygotowanie, że jeśli to zima – uszczelniają go i wstawiają piec. (Gdy wybudowany był odcinek kolei między Książ–Pogostem a Ropczą, jeszcze przed włączeniem do ogólnej sieci kolejowej zaczęto tamtędy przewozić więźniów w wagonach pozbawionych zarówno pieców, jak nar. Więźniowie leżeli zimą na podłodze pokrytej skorupą śniegu, nie otrzymując przy tym nic gorącego do jedzenia pod pretekstem, że pociąg pokonywał tę przestrzeń w czasie krótszym niż 24 godziny. Kto sądzi, że potrafi przeleżeć tam z nimi tych 18–20 godzin niech sobie to wyobrazi!). A oto czego dotyczą przygotowania: trzeba sprawdzić podłogi, czy szczelne i mocne, to samo ze ścianami i sufitami wagonów; trzeba starannie okratować malutkie ich okienka; trzeba wyciąć w podłodze otwór na zlew i miejsce to starannie zabezpieczyć dookoła blachą i gęstymi rządkami ćwieków; wzdłuż całego eszelonu trzeba równomiernie i w odpowiednio bliskich odległościach urządzić budki hamulcowe (stoją w nich wartownicy z karabinami maszynowymi), jeśli zaś nie ma odpowiedniej liczby wagonów z budkami, to trzeba te budki skonstruować; trzeba umocować drabinki do wchodzenia na dach, trzeba rozplanować stanowiska reflektorów i zapewnić im stały dopływ prądu; trzeba sporządzić drewniane młotki z długimi rączkami; trzeba doczepić osobowy wagon dla sztabu, a jeśli nie ma go pod ręką – to należy przyzwolicie urządzić specjalne wagony towarowe z ogrzewaniem i meblami dla naczelnika eskorty, dla pełnomocnika służby bezpieczeństwa i dla konwojentów; trzeba wreszcie urządzić kuchnię – jedną dla konwojentów, drugą dla więźniów. Dopiero po tym wszystkim można przejść się wzdłuż wagonów i wypisać na nich kredą, ukośnie: „sprzęt specjalny” albo nawet „ładunek łatwo psujący się”. (W „Siódmym wagonie” Eugenia Ginzburg przewóz tymi czerwonymi wagonami opisała bardzo wyraziście, co zwalnia nas teraz od obowiązku referowania szczegółów).

Adaptacja wagonów jest zakończona i teraz rozpoczyna się skomplikowana operacja bojowa: załadunek więźniów. Ma ona dwa ważne i pilne cele:

- ukrycie załadunku przed ludnością oraz
- sterroryzowanie więźniów.

Utrzymać załadunek w tajemnicy przed ludnością trzeba dlatego, że transport składa się z około tysiąca ludzi (co najmniej dwadzieścia pięć wagonów), a to nie jest już mała grupka z wagon-zaka, którą można prowadzić nawet przy świadkach. Wszyscy wiedzą, oczywiście, że nie ma dnia, nie ma godziny bez aresztowań, ale nikt nie powinien doznać szoku, widząc tych ludzi wszystkich RAZEM. W Orle w 1938 roku nie dawało się ukryć, że nie ma w mieście domu, z którego by kogoś nie wzięto za kraty, również chłopskie wozy z płaczącymi babami wypełniały plac przed orłowskim więzieniem, jak na obrazie „Poranek strzeleckiej kaźni”^{*} Surikowa. (Ach, gdybyż nam to ktoś namalował kiedyś! Próżna nadzieja: niemodne, niemodne...). Ale nie wolno pokazywać naszym sowieckim ludziom, że w ciągu doby zebrać można tym sposobem cały eszelon kolejowy (a w Orle tamtego roku tak właśnie było). I młodzież też nie powinna tego widzieć. Młodzież – to nasza przyszłość. I dlatego tylko w nocy – noc w noc, noc w noc, przez kilka miesięcy z rzędu – z więzienia na dworzec wyprowadzają na piechotę czarną kolumnę (karetki są zajęte nowymi aresztowaniami). Co prawda, baby zawsze się poślapią, te kobiety zawsze się jakimś cudem dowiedzą – i oto już z całego miasta skradają się w nocy w stronę dworca, czatują tam na transport na bocznych torach i biegną potem wzdłuż składu, potykając się o podkłady i szyny, żeby krzyczeć pod każdym wagonem: nie ma tu takiego, a takiego?... takiego, a takiego tu nie ma?... I biegną do następnego, a pod tamten podbiegają już kolejne: takiego, a takiego tu nie ma?... I nagle słychać odzew z zamkniętego na głucho wagonu: „jestem! tu jestem! albo: „szukajcie dalej! jest w następnym wagonie!”, albo: „słuchajcie, kobiety! moja żona jest tu gdzieś niedaleko, koło dworca, lećcie ją zawołać!”.

^{*} W 1698 roku Piotr Wielki stłumił bunt strzelców, wiernych jego zdetronizowanej siostrze, Zofii, i kazał ściąć prowadzących na Czerwonym Placu w Moskwie.

Te nie licujące z duchem naszej współczesności sceny są jedynie dowodem nieudolnej organizacji załadunku do transportów. Ale omyłki brane są pod uwagę i któreś nocy kolejny transport otoczony jest już szerokim kordonem ujadających i wyjących psów policyjnych.

Również w Moskwie – i ze starego Sretienskiego zborniaka (dziś więźniowie już go nie pamiętają) – i z Krasnej Presni – wyprowadzano więźniów do czerwonych pociągów tylko w nocy, to była zasada.

Nie chcąc korzystać ze zbyt jaskrawych promieni słonecznych, eskorta wykorzystuje jednak nocne słońca – reflektory. Wygodne to już dlatego, że można je zgromadzić tam, gdzie są najpotrzebniejsze – w punkcie, gdzie przerażony tłumek aresztantów siedzi na ziemi w oczekiwaniu rozkazu: „Następna piątka – wstać! Do wagonu biegiem – marsz!” (tylko I – biegiem! Żeby człowiek nie rozglądał się, żeby się nie mógł zastanowić, żeby leciał, jakby go już psy goniły i żeby bał się, że się potknie). Powinny też oświetlać i tę wyboistą ścieżkę, po której biegną, i trap, po którym się wdrapują. Widmowe, złowrogie snopy reflektorów służą nie tylko do oświetlenia: są ważnym teatralnym elementem atmosfery strachu, razem z brutalnymi groźbami i ciosami kolb, którymi pogania się opieszających; razem z rozkazem – „Siadać na ziemi!” (a niekiedy – właśnie w Orle na placu dworcowym: „Na kolana!” – jak tłum nowo nawróconych, tysiąc więźniów pada na klęczki); razem z tym zupełnie niepotrzebnym, ale bardzo ważnym dla zwiększenia lęku, biegiem do wagonu; razem ze wściekłym ujadaniem psów; razem z wycelowanymi lufami (karabinów albo automatów – zależnie od epoki). Naj-

ważniejsze jest zmiażdżenie, zniweczenie siły woli aresztanta do tego stopnia, aby nikt nawet pomyśleć nie mógł o ucieczce i żeby jeszcze przez czas dłuższy więźniowie nie potrafili zrozumieć wagi swojego nowego przywileju: z kamiennego więzienia przeniesiono ich do wagonu z cienkich desek.

Ale żeby tak składować w nocy tysiąc ludzi do wagonów, trzeba, żeby zaczęto wyciągać ich z cel i przygotowywać do transportu już poprzedniego dnia rano i żeby konwój przez cały dzień z drobiazgowością i surowością przejmował swoich eskortowanych po to, aby później przez długie godziny trzymać ich nie w celach, tylko na dziedzińcu, na ziemi; niech nie mieszają się z resztą więźniów. W ten sposób nocny załadunek jest dla więźniów tylko ulgą, zakończeniem całodiennej udręki.

Oprócz zwyczajnych apelów, sprawdzeń, strzyżenia, dezynfekcji i kąpieli, zasadniczą częścią przygotowania do transportu jest generalna rewizja, czyli kipisz. Rewizję przeprowadza nie personel więzienny, lecz eskorta. Zgodnie z instrukcją o transportach kolejowych i własnymi planami operacyjno-bojowymi eskorta powinna przeprowadzić tę rewizję tak, aby nie zostawić więźniom niczego, co mogłoby pomóc im w ucieczce: zabrać wszystkie narzędzia ostre i spiczaste; odebrać proszki wszelkiego rodzaju (do zębów, cukier-farynę, sól, tytoń, herbatę), aby nie można było oślepić nimi konwojenta; skonfiskować wszelkie linki, sznurki, paski do spodni itd., ponieważ wszystko to może być wykorzystane przy ucieczce (a więc również rzemyki! i oto obcina się rzemyczki, którymi przywiązuje do kikuta protezę więzień bez nogi – kaleka zarzuca sobie sztuczną nogę na ramię i skacze podtrzymywany przez sąsiadów). Pozostałe zaś rzeczy – cenniejsze przedmioty, a także walizki z zawartością, powinny być według instrukcji zabrane do wagonu-przechowalni, zwrócone zaś być mają właścicielom dopiero po przybyciu na miejsce.

Ale władza moskiewskiej instrukcji nad konwojem z Wołogdy albo Kujbysze-wa jest słaba, kusa, władza zaś eskorty nad aresztantami jest namacalna. I to jest czynnik decydujący dla osiągnięcia trzeciego celu całej operacji załadunku: >

– zaprowadzić sprawiedliwość, odbierając porządne rzeczy wrogom ludu, aby mogli mieć z nich pożytek jego synowie.

„Usiąść na ziemi!”, „Na kolana!”, „Rozebrać się do naga!” – te regulaminowe komendy to głos udzielnej władzy, z którą nie ma dyskusji. Przecież goły człowiek traci pewność siebie, nie może już dumnie wyprostować się i rozmawiać z kimś ubranym jak z równym. Rozpoczyna się rewizja (Kujbyszew, lato 1949 roku). Nagusy podchodzi szeregiem, niosąc w ręku swoje rzeczy i odzież. Dookoła – mnóstwo gotowych do akcji, uzbrojonych żołnierzy. Nastrój jest taki, jakby za chwilę miano nie ruszyć w drogę, tylko rozstrzeliwać albo palić w komorach gazowych – nastrój, w którym człowiek przestaje się już troszczyć o swoje rzeczy. Eskortę zachowuje się z ostentacyjną, grubiańską surowością; ani słowa – ludzkim głosem, przecież chodzi o to, ażeby nastraszyć i zacukać tych ludzi. Walizy są opróżniane (rzeczy wytrząsa się na ziemię) i rzucone osobno na kupę. Papierośnice, portfele oraz inne żałosne więziarskie „skarby” też są odbierane i bezimiennie rzucone do stojącej obok beczki. (I właśnie fakt, że nie jest to żadna kasa ani kufer, ani nawet skrzynia, lecz beczka – szczególnie przygnębia rozebranych do goła właścicieli i odbiera wszelką chęć do protestu). Goli ludzie zdążają tylko podnieść z ziemi swoje, poddane już rewizji, szmatki i wpychać je do węzetka albo zawijać w koc. Walonki? Możesz oddać, rzuć no je tam, pokwituj w tym wykazie! (Nie tobie dają kwit, tylko ty

musisz potwierdzić podpisem, że rzuciłeś na kupę!). I kiedy z więziennego dziedzińca, już o zmroku odjeżdża ostatnia ciężarówka z aresztantami – widzą oni jak konwojenci zabierają sobie najlepsze skórzane walizki i wyławiają z beczki najładniejsze papierosnice. Po nich rzucają się na łupy klucznicy, a w ślad za nimi sfera I i g a w y c h ze zborniaka.

Widzicie, co trzeba było znieść w ciągu tej doby, żeby dotrzeć nareszcie do bydlęcego wagonu! No, ale teraz już z ulgą możemy powiedzieć, żeśmy się tam znaleźli i zalegli pokotem nieheblowane dechy nar. Ale co to właściwie za ulga – i jaki to właściwie wagon?! Znów ściskają więźnia kleszcze chłodu i głodu, pragnienia i lęku, znów jest między knajakami a eskortą.

Jeżeli w wagonie są knajacy (a też przecież nie trzymają ich oddzielnie w czerwonych transportach), to zajmują swoje tradycyjne miejsca, na górnych narach przy oknie. Tak jest latem. Zgadnijmy teraz, jakie miejsca wybierają sobie zimą? A obok piecyka, rzecz jasna, ciasnym kręgiem wokół piecyka! Jak relacjonuje były złodziej Minajew¹ w czasie lutych mrozów ich wagon towarowy na całą trasę od Woronieża do Kotłassu (to znaczy – na kilka dni i nocy) w 1949 roku dostał trzy wiadra węgla! Tu już knajacy nie tylko że zajęli wszystkie miejsca dookoła piecyka, nie tylko, że odebrali frajerom wszystkie ciepłe rzeczy, owinąwszy się nimi, ale nie powstrzymali się nawet od wytrząśnięcia onuc z ich butów i opatulenia nimi swoich szemranych nóg. Ja zdechnę jutro, ale ty już dzisiaj! Kiedy zaczyna brakować jedzenia – cały przydział dla wagonu przechodzi nasamprzód przez ręce knajaków, którzy biorą sobie wszystko co najlepsze albo co im się podoba. Łoszczylin wspomina trzydobową jazdę z Moskwy do Piereborów w 1937 roku. Na byle trzy doby nie warto było konwojentom bawić się w kucharzy, więc wydano więźniom suchy prowiant. Złodzieje zabierali dla siebie tylko cukierki, a chleb i śledzie pozwalali rozdzielać między resztę, dowód, że nie czuli głodu. Gdy dają zaś coś gorącego, a złodziejska ferajna ma apetyt, sama ona zajmuje się nawet rozdzielaniem sałamachy (trzytygodniowy etap Kiszyniów–Pieczora, 1945 roku). Z tym wszystkim, nie brzydzą się knajacy również zwyczajnym rabunkiem: zobaczyli u pewnego Estoriczyka złote zęby, więc położyli go na ziemi i wybili zęby pogrzebaczem.

Za dużą zaletę towarniaków uważają więźniowie gorącą kuchnię: na głuchych przystankach (znów chodzi o to, żeby ludzie nie widzieli) esze–

1 Patrz: list jego do mnie – Litieraturnaja Gazieta, 29. 11. 1962 rok. On zatrzymuje się i każdy wagon dostaje ciepłą sałamachę i kaszę. Ale nawet to gorące żarcie potrafią tak podać, żeby bokiem wyszło. Albo (jak we wspomnianym już kiszyniowskim eszelonie) nalewają bałandę do tych samych wiader, w których nosi się węgiel. Nie ma nawet czym optukać! – ponieważ także woda do picia jest porcjowana, jeszcze bardziej jej skąpią niż sałamachy. Siorbie człowiek tę bałandę, a okruszki węgla trzeszczą mu między zębami. Albo znowu – przyniosą bałandę i kaszę do wagonu, ale misek wydadzą mniej niż trzeba, nie 40 tylko 25, a jeszcze przygadują: „Prędszej, prędszej, inne wagony też musimy nakarmić, nie tylko wasz jeden!”. Jak tu jeść? Jak to dzielić? Nie sposób rozlać sprawiedliwie, bo trzeba pierwszej grupie dać mniej, mierząc na oko, żeby dla reszty starczyło. (Ci pierwsi krzyczą „Mieszaj no. mieszaj!”, ci drudzy milczą: niech na dzień zostanie to, co gęste). Pierwsi jedzą, reszta czeka – pospieszcie się, bośmy głodni i bałanda stygnie w kubie, a ci na zewnątrz poganiają: „Już skończone? Długo czekać?”. Teraz trzeba nakłaść tej reszcie – i nie więcej, i nie mniej, i żeby nie było gęstsze ani

rzadsze niż w pierwszej turze. Teraz trzeba jeszcze zgadnąć czy zostanie na repetcę i rozlać to – choćby do jednej miski na dwóch. Przez cały ten czas 40 ludzi nie tyle je, ile przygląda się temu dzieleniu i zadręcza się.

Nie uratują od chłodu, nie obronią przed knajakami, nie napoją, nie nakarmią człowieka – ale spać też nie dadzą. We dnie konwojenci dobrze widzą cały pociąg i tory za nim, widzą, czy kto nie wyskoczył, albo nie leży między szynami; w nocy natomiast czujność nie daje im chwili spokoju. Drewnianymi młotkami na długim stylisku (GUłagowski standard) nocami na każdym przystanku hulaśliwie opukują każdą deskę każdego wagonu: czy jej przypadkiem już nie zdążono wypiłować? Na niektórych zaś stacjach otwierają drzwi wagonu. Światło latarek albo nawet promień reflektora: „Kontrola!”. Znaczy to, że trzeba się zerwać i być gotowym do przejścia na lewo albo na prawo, gdzie ci wskażą. Wskoczyli do środka konwojenci z młotkami (inni zaś, z najeżonymi automatami, stoją półkolem przed drzwiami). Pada rozkaz: „Na lewo!” – To znaczy, że ci z lewej stoją, jak stali, a ci z prawej mają przebiec na tamtą stronę, jak pchły skacząc jeden przez drugiego. Kto za mało zręczny, kto się zagapił – ten dostanie młotkiem w bok albo po grzbiecie – żeby nabrać rzeźkości! Oto już konwojenckie buciory depczą nasze nędzarskie łoża, rozkopują nasze szmatki, świecą lampami i popukują młotkami, czy aby nie jest gdzie przepiłowane. Nigdzie. Wówczas konwojenci stoją pośrodku wagonu i zaczynają przepuszczając nas z lewa na prawo, po jednemu: „Pierwszy!... Drugi!... Trzeci!...”. Wystarczyłoby liczyć zwyczajnie, palcem kiwać, ale to by strachu Bożego nie budziło. Bardziej pogładowo, dokładnie, żwawo i szybko będzie przecie prowadzić ten rachunek młotkiem po grzbietach, bokach, głowach, gdzie popadnie. Przeliczono całą czterdziestkę. Teraz trzeba jeszcze rozgrzebać, oświetlić i opukać lewą stronę. Koniec, wyszli, zatrzasnęli wagon. Możecie spać do następnego przystanku.

Nie sposób jednak twierdzić, aby niepokój eskorty był zupełnie bezpodstawny – z czerwonych wagonów można uciec, jeżeli się kto zna na rzeczy. Ot, puknęli młotkiem po desce – a deska już prawie przepiłowana. Albo rano, przy rozdawaniu sałamachy straż widzi, że wśród niegolonych twarzy jest też kilka gładkich. I zaraz otaczają wagon, trzymając automaty w ręku: „Oddać noże!”. A wszystkiemu winne fircykowskie zapędy kriajaków oraz ich święty: uprzykrzyło im się chodzić ze szczecinką na gębie i teraz trzeba będzie oddać MOJKĘ, czyli brzytwę.

Od innych bezpośrednich pociągów dalekobieżnych czerwony eszelon jeszcze tym się różni, że pasażer wcale nie wie, czy kiedykolwiek z niego wysiądzie. Kiedy w Solikamsku rozładowywano transport z więzień leningradzkich (1942 rok) – cały nasyp ustaty był trupami, tylko niewielu żywych dojechało. Podczas zim 1944/45 i 1945/46 do posiołka Żelaznodorożnyj (Kniaź–Pogost), od Użmy do Workuty, jak zresztą bywało na innych stacjach węzłowych Północy, aresztanckie eszelony z wyzwolonych terenów – nadbałtycki, polski, niemiecki czy rosyjski, z niemieckich obozów – szły bez żadnego ogrzewania i przybływały, mając w składzie wagon albo dwa z trupami. Ale to znaczy, że tutaj w czasie drogi starano się przenosić trupy z wagonów dla żywych do wagonów–kostnic. Tak jednak było nie zawsze. Na stacji Suchobezwodnaja (Unżlag) zdarzało się często, że drzwi wagonów uchylano tylko po to, żeby zapytać, kto tu żyje, a kto już umarł: jak nikt nie wylazł na zewnątrz, to znaczy, że umarł.

Jazda zimą to rzecz budząca strach i grożąca śmiercią, bo konwój tyle ma kłopotów z czujnością, że sił mu już nie starcza, aby nosić węgiel dla dwudziestu pięciu piecyków. Ale nie tak znowu słodko jeździć w trakcie upałów: z czterech małych okienek dwa są zabite naглуcho, dach jest rozpalony; a eskorta musiałaby się bardzo nadwierać, chcąc nosić wodę dla tysiąca ludzi, jeżeli trudno im było napić jedną stołypinkę. Najlepsze miesiące dla jazdy, to zdaniem więźniów kwiecień i wrzesień. Ale nawet najlepszy sezon zdąży przeminąć, jeżeli pociąg idzie. TRZY MIESIĄCE (Leningrad–Władywostok – 1935 rok). Skoro zaś już zaplanowano długi kurs, to zatroszczono się też zawczasu o szkolenie polityczne konwojentów i opiekę duchową nad więźniami: w osobnym wagonie jedzie z transportem kum – pełnomocnik operacyjny bezpieczeństwa. Przygotował się zawczasu do tej podróży – jeszcze w więzieniu i aresztanci rozmieszczeni są w wagonach nie byle jak, ale według spisów opatrzonych jego wizą. To on zatwierdza starostę każdego wagonu, to on przeinstruował i wsadził do każdego wagonu swojego kapusia. Na długich przystankach kum zawsze znajdzie pretekst, żeby wezwać jednego i drugiego i wypytać, o czym w danym wagonie się rozmawia. Takiemu operowi wstyd byłoby zakończyć podróż bez widomych rezultatów – więc już w drodze wszczyna śledztwo przeciw komuś. Patrzyć – a zanim człowiek dojedzie na miejsce przeznaczenia, już ma doczepiony nowy wyrok.

Nie, diabli niech lepiej porwą te czerwone, bydlęce transporty, z całą ich prostą marszrutą i brakiem przesiadek! Kto nimi jeździł, ten nigdy tego nie zapomni. Już by wolał człowiek prędzej być w obozie. Już by dojechać prędzej, czy jak.

Nadzieja i niecierpliwość – oto czym żyje człowiek. Wierzy, że w obozie oper będzie bardziej ludzki, a kapusie – nie tak nieludscy. Ależ przeciwnie! Myśli, że kiedy tam przybędziemy – to nie usłyszymy zaraz tych samych gróźb, tego samego psiego ujadania i tego samego rozkazu: „Siadać na ziemi!”. Albo sądzi, że jeśli teraz śniegiem zaciąga wewnątrz wagonu, to później, po zejściu na ziemię, warstwa jego nie okaże się jeszcze grubsza.

Skoro za chwilę nas wyładują, to sądzisz, że jesteśmy już na miejscu, że nie powiozą nas dalej wąskotorówką, na otwartych platformach? (A jak tu ludzi wieźć na otwartych lorach? jak konwojować? – oto łamigłówka dla eskorty. Robi się to tak: każą nam skupić się, położyć pokotem i wtedy przykryją wszystkich na lorze wielką płachtą brezentową, jak marynarzy w filmie „Pancernik Patiomkin” przed rozstrzelaniem. Ten brezent to jeszcze dobrodziejstwo!). Oleniew z grupą towarzyszy musiał na dalekiej północy przesiedzieć w październiku na otwartych lorach cały dzień. (Już ich załadowano, a lokomotywa nie nadchodziła). Z początku padał deszcz, później chwycił mróz i łachmany na zekach zamarły. Samowarek rozkołysze się w biegu, niskie burty platformy zaczną trzeszczeć i popękają, wreszcie od tego kołysania ktoś wypadnie pod koła. A teraz zagadka: z Dudinki trzeba jechać wąskotorówką 100 km na otwartych platformach. Jeśli mróz jest polarny, to gdzie rozsiada się knajacy? A w samym środku każdej platformy tak, żeby bydełko grzało ich ze wszystkich stron i żeby samemu nie spaść na szyny. I słusznie. Jeszcze jedno pytanie: a co zobaczy zek na stacji końcowej tej wąskotorówki (1939 rok)? Czy będą tam jakieś budynki? Ani jednego. Ziemianki? Owszem, ale już pełnusińskie, nie dla nich. A więc będą musieli od razu wykopać ziemianki dla siebie? Nie, bo jak tu je kopać w czasie zimy polarnej? Pójdą natomiast wydobywać rudę. – No a co z mieszkaniem? – Z jakim mieszkaniem?... Ach, gdzie będą mieszkać?... Mieszkać będą w namiotach.

Ale czy zawsze trzeba jechać wąskotorówką?... Pewno, że nie. Oto scena przyjazdu na ostatni przystanek: Jercowo, luty 1938 rok. Wagony odryglowano w nocy. Wzdłuż pociągu rozpalono ogniska. I w ich blasku odbywa się wyładowanie ludzi na śnieg, liczenie ich, ustawianie szeregiem, ponowny apel. Mróz – 32 stopnie poniżej zera. Transport – z Zagłębia Donieckiego, aresztowano wszystkich jeszcze latem, dlatego mają na nogach półbuty, pantofle, sandały. Próbuje się grzać przy ogniskach – zostają odpędzeni: ogniska rozpalono nie po to, tylko żeby jaśniej było. Już po minucie martwieją palce. Śniegu już pełno w lekkim obuwie, już wcale nie taje. Żadnej litości, rozlega się rozkaz: „Zbiórka! Szeregiem!... Krok w prawo... krok w lewo... Strzelam bez uprzedzenia... Marsz!”. Zawyły na łańcuchach psy, słysząc najmilsze im słowa, podniecone nadejściem lubej chwili. Ruszyli konwojenci w półkożuszkach, a skazańcy w letnich szmatkach pobrnęli zaśnieżoną i zupełnie nieprzetartą drogą – gdzieś w głąb ciemnej tajgi. Przed nimi – ani światłka. Tylko zorza polarna się pali – nasza pierwsza i na pewno ostatnia... Świerki trzaskają na mrozie. Ludzie bez butów mieszą i orzą śnieg drętwiącymi stopami i goleniami.

Albo inny przyjazd – na Pieczorę, w styczniu 1945 roku. („Nasze wojska zdobyły Warszawę!”... Nasze wojska odcięły Prusy Wschodnie!...”). Puste, zaśnieżone pole. Wyrzuconych z wagonów zeków posadzono w śniegu po sześciu w każdym rzędzie. Długo ich liczono, myśląc się i znów zaczynając od początku. Transport też z południa (Mołdawia), wszyscy mają na nogach tylko skórzane obuwie. Owczarkom pozwolono iść tuż za ostatnim szeregiem, szturchały więc idących tam zeków łapami, psim oddechem zionęły w karki (w ostatnim szeregu szło dwóch duchownych – stary, siwowłosy ojciec Fiodor Floria i podtrzymujący go młody pop, Wiktor Szypowalnikow). To się nazywa życie pod psem! Nie, podziwiać trzeba raczej panowanie nad sobą tych psów! – toż tak im się chce ukąsić!

No, nareszcie dotarli do celu. Obozowa łaźnia: rozbieralnia w jednym budynku, potem trzeba przebiec przez dziedziniec na golasa, żeby wykąpać się w drugim. Ale teraz już wszystko będzie do zniesienia; najgorsze już mają za sobą. Teraz już człowiek PRZYJECHAŁ! Zapadł zmrok. I nagle dowiadują się: w obozie nie ma miejsc, nie są w stanie przyjąć tego transportu. Więc po łaźni znów ich ustawiają w szereg, liczą, otaczają kordonem psów – i znów, wlokąc swoje rzeczy przez te sześć kilometrów, tylko teraz już o ćmaku, muszą brnąć przez śnieg z powrotem do swojego pociągu. Wagonowe zaś drzwi przez ten cały czas były rozsunięte, wagony wystygły, wyzbyły się nawet tego nędznego ciepła, które przedtem trzymało się desek, ponadto – pod koniec drogi wypalono cały węgiel i nie ma go skąd teraz wziąć. W ten sposób przebieдали jakoś noc, rano dano im trochę suszonych ryb (kto zaś chce pić – może nabrać w gębę śniegu) – i poprowadzono znów tą samą drogą.

Był to jeszcze wypadek FORTUNNY! – Przecież obóz przynajmniej istnieje, dziś nie ma przyjąć – to będą jutro. W ogóle zaś – zgodnie z obyczajem czerwonych transportów, aby jechać w zupełną pustkę – nierzadko koniec podróży jest zarazem dniem otwarcia n o w e g o obozu. W blasku zorzy polarnej można zeków po prostu wysadzić wśród tajgi i przybić na pierwszym świerku tabliczkę: „I OLP”². Tam będą przez tydzień żuć sobie suche rybki i zagniatać mąkę ze śniegiem.

Ale jeżeli obóz otwarto choćby dwa tygodnie wcześniej – to już mamy komfort – już czynna jest kuchnia i chociaż nie ma misek, ale pierwsze i drugie danie wydadzą na sześciu ludzi na raz w ceberkach do mycia, szóstka stanie sobie

w kółeczko (stołów i stołków również nie ma) dwóch z nich potrzyma lewymi rękoma łaziebny ceber za rączki, a prawymi już można przecieżyć jeść. Powtarzam się? Nie, to Pierebory – 1937 rok, relacja Łoszczylina. Nie ja się powtarzam, to powtarza się GUŁag.

A potem dadzą nowicjuszom brygadzystów, starych bywalców obozowych, którzy ich szybko nauczą życia, pouczą jak dawać sobie radę i jak oszukiwać. I pierwszego dnia po przyjeździe ruszą do pracy, ponieważ zegar Epoki tyka i nie chce czekać. Toż to nie carski, katorżniczy Akatuj, gdzie nowo przybyli dostawali tylko trzy dni wypoczynku³.

Rozkwita stopniowo gospodarka Archipelagu, rozbudowują się nowe szlaki kolejowe i już można dojechać pociągiem do wielu takich miejscowości, do których jeszcze niedawno prowadził tylko szlak wodny. Ale

2 Otdielnyj Łagiernyj Punkt – Samodzielny Punkt Obozowy.

3 P. Jakubowicz, op. cii. żyją jeszcze tubylcy, którzy potrafią opowiedzieć, jak płynęli rzeką Iłmą – no, najprawdźwierzsi, staroruskim szuchalejami, po stu w każdej szuchalei a przy tym sami musieli robić wiosłami. Podobnie, jak po rzece Usie, Pieczorze trzeba było płynąć do macierzystego obozu – skutami. Na Workutę wysyłano również zeków galarami: do miejscowości Adźwawóm – wielkimi jak berlinki; tam właśnie znajdował się punkt przeładunkowy Workutłagu, a dopiero stamtąd – mniejszymi, płaskodennymi kryptami. Cały galar aż się rusza od wszy i eskorta pozwala wyłazić pojedynczo na górę, aby strząsać pasożyty do wody. Podróże środkami komunikacji wodnej również nie były bezpośrednie: w ich trakcie odbywały się przeładunki, czasem przetaczało się krypty przesmykami, niekiedy szło się pieszo od przystani do przystani.

Były tam również własne zborniaki – z żerdzi, z namiotów – Ust'–Usa, Pomozdino, Szczelia–Jur. Były tam własne, partykularne porządki. Eskortą miała swój szczególny regulamin, a więźniowie, rzecz jasna, swoje szczególne kłopoty. Ale tych wszystkich egzotycznych spraw i tak nie potrafimy opisać, więc lepiej nie zaczynać.

Północna Dźwina, Ob i Jenisej dobrze pamiętają, kiedy zaczęto więźniów przewozić galarami – było to przy deportacji kułaków. Te rzeki płynęły prosto na północ, a galary były brzuchate, pojemne – i tylko z ich pomocą można było dać sobie radę z przerzuceniem tej szarej masy z żywej Rosji aż na północ tak, by pozbawić ją życia. Do galaru jak do koryta zrzucano ludzi i leżeli tam kupą, gramoląc się jak raki w koszu. Wysoko, na burtach, jak na skałach stali wartownicy. Masę tę wieziono czasem bez żadnego przykrycia, niekiedy przykrywano wielką płachtą brezentową już to, żeby mieć z oczu, już to, żeby ułatwić ochronę – tylko nie przed deszczem. Jazda takim galarem nie była żadną podróżą, tylko śmiercią na raty. Na dodatek – tym ludziom prawie nie dawano jeść, a z chwilą wysadzenia na brzeg gdzieś w tundrze – w ogóle przestawano ich karmić. Pozwalano im tam umierać sam na sam z przyrodą.

Transport galarami po Północnej Dźwinie (i po Wyczegdzie) nie zanikł jeszcze w 1940 roku; bardzo się nawet ożywił. Wieziono tam wyzwolonych zachodnich Ukraińców i zachodnich Białorusinów. Więźniowie STALI w ładowni statku jeden przy drugim – i to nie przez jedną dobę. Urynę oddawali do szklanych słoików, przekazywali je z rąk do rąk i wylewali przez iluminator, a gdy zmusiła ich poważniejsza potrzeba – to w portki.

Przewozy galarami po rzece Jenisej znalazły uznanie, utrzymały się na stałe, na całe dziesięciolecie. W Krasnojarsku ustawiono na brzegu w 30. latach szopy i pod tym szopami syberyjską, chłodną wiosną dygotali całymi dobami aresztanci, czekający na przewóz⁴. Jenisejskie galary transportowe mają ładownię odpowiednio zaadaptowaną na stałe – trzykondygnacyjną, bez otworów iluminacyjnych. Tylko przez luk wejściowy, skąd zbiega w dół trap, przenikało rozproszone światło. Eskorta mieszka w domku na pokładzie. Wartownicy pilnują wyjść z ładowni i rozglądają się po rzece, czy czasem ktoś nie uciekł wpław. Do ładowni straż nigdy nie schodzi, choćby nie wiem jakie jęki i krzyki o pomoc stamtąd dochodziły. Nigdy też nie wyprowadza się więźniów na pokład, na spacer. W latach 1937–38 i 1944–45 (wolno więc przypuszczać, że również między tymi datami) o żadnej pomocy lekarskiej pod pokładem nie było mowy. Więźniowie na poszczególnych „piętrach” leżą pokotem, dwoma rzędami: jeden rząd – głowami do burty, drugi – nogami zwrócony do nóg pierwszego rzędu. Do kiblów na każdym piętrze można się dostać tylko depcząc po ludzkich ciałach. Nie zawsze pozwalają wynieść kibel na górę zawczasu (trzeba sobie wyobrazić takie wynoszenie beczki z gnojówką po stromym trapie na samą górę!), kible więc wypełniają się po brzegi, cuchnąca ciecz przelewa się na podłogę i ścieka na dolne piętra. A ludzie dalej leżą. Karmi się ich roznosząc bałandę w beczkach, robi to personel pomocniczy, złożony również z więźniów. Rozdawanie odbywa się w wiecznych ciemnościach (dziś może już jest elektryczność), przy świetle naftowych lampek systemu „nietoperz”. Taki przejazd do Dudinki trwa czasem miesiąc. (Dziś można, rzecz jasna, odwalić tę drogę w ciągu tygodnia). Mielizny oraz inne przeszkody powodowały opóźnienia, zapasów nie mogło więc wystarczyć i wówczas przez kilka dni w ogóle nie dawano nic do jedzenia (i – oczywiście – nikt później zaległych porcji nie oddawał).

Pojętny czytelnik może teraz już bez pomocy autora uzupełnić: szemrani przy tym zajmują górną kondygnację, jak najbliżej luku, czyli powietrza i światła. Mają taki wpływ na rozdział chleba, jaki im jest potrzebny i jeżeli podróż robi się trudna, to bez żadnej żenady odbierają całą paszę szaremu bydełku. Długą podróż skracają sobie złodzieje grą w karty. Karty do tego celu robią sami, stawki zaś do puli zbierają kosztem frajerów, rewidując wszystkich leżących w tym albo innym sektorze szkuły. To, co zabiorą, przez jakiś czas stanowi przedmiot gry, później zaś przekazywane jest na górę eskorcie. Tak, czytelnik już zgadł:

4 W. Lenin w 1897 roku wsiadał na „Świętego Mikołaja” w porcie pasażerskim razem z wolnymi pasażerami. eskorta ma swoją dolę. ukradzione rzeczy sama sobie zabiera albo sprzedaje na przystankach, przynosząc w zamian knajakom wiktuały.

A co z oporem? Zdarza się, ale bardzo rzadko. Oto wypadek, zachowany we wspomnieniu. W 1950 roku, na podobnej – i podobnie urządzonej – berlinie, tyle że większej, bo przeznaczonej do podróży morskich, w czasie przejazdu z Władywostoku na Sachalin siedmiu chłopaków z Pięćdziesiątki Ósemki gotymi rękoma dało sobie radę z knajakami (ligowymi), których było koło osiemdziesięciu (a mieli, jak to zwykle, noże). Ligawi zrewidowali cały transport jeszcze we władywostockim zborniaku, tak zwanym „trzy-dziesięć”. Robią to starannie, nie gorzej niż straż więzienna, znają wszystkie zakamarki i sposoby, ale przecież przy żadnym kipi-szu nigdy nie da się zabrać więźniom WSZYSTKIEGO. Znając tę zasadę, już w ładowni statku oznajmili podstępnie: „Jeżeli kto ma pieniądze, to można kupić

machorki". I Misza Iraczew wypruł wtedy trzy ruble ze swej trykotki. Ligawy Wołodka Tatarin krzyknął: „Jak to, ścierwo, to ty podatków nie płacisz?” i rzucił się, żeby mu zabrać. Ale sztabowy sierżant piechoty, Paweł (nazwiska, niestety, nikt nie pamięta) odepchnął knajaka. Wołodka Tatarin spróbował wybić mu oczy rozczapierzonymi palcami, ale Paweł zbił go z nóg. Rzuciło się wtedy na niego dwudziestu czy trzydziestu ligawych – ale dookoła Graczewa i Pawła stanęli murem: Wołodia Szpaków, były kapitan, Sierioża Potapow, Wołodia Reunow, Wołodia Tretiuchin – również byli sierżanci piechoty, oraz Wasia Krawców. No i cóż? Skończyło się tylko na kilku wzajemnych szturchańcach⁵. Dało znać o sobie niezmiennie, w istocie – typowe dla knajaków tchórzostwo (maskowane zwykle przy pomocy czelności i zuchwalstwa) albo musieli się liczyć z wartownikiem, który stał blisko (działo się to pod samym lukiem), jechali zaś i szcędzili się dla o wiele ważniejszych zadań – jechali po to, ażeby opanować Aleksandrowski zborniak (ten sam, który opisał Czechów) przed przybyciem tam rzetelnych złodziei oraz zawładnąć funkcjami na budowach Sachalinu (oczywiście, nie po to zawładnąć, aby pomagać w budowie) – dość, że wycofali się grożąc tylko na pożegnanie: „Jak zejdziemy na brzeg – to zostanę z was ochłapy!”. (Do walki i tak nie doszło i nie zrobili ochłapów z naszych chłopców. W Aleksandrowskim zborniaku oczekiwała ligawych przykra niespodzianka: wszystkie funkcje były już zagarnięte przez rzetelną ferginę).

5 Szczegółowo o tym mówi Warlam Szalamow w swoich Szkicach ze Świata przestępczego.

Na parowcach płynących na Kołymę wszystko wygląda podobnie jak na rzecznych berlinkach, ma tylko większe wymiary. Nie do wiary, ale jeszcze do dziś żyje ten i ów z więźniów, którzy dostali się tam przy okazji znanej ekspedycji lodołamacza „Krasin” wiosną/ 1938 roku. Więźniowie załadowani byli na kilka starych, zdezelowanych parowców – „Dżurma”, „Kulu”, „Newostroj”, „Dnieprostroj”, którym „Krasin” torował drogę przez wiosenne pola lodowe. W zimnych, brudnych ładowniach skonstruowano trzypiętrowe pomosty, ale jeszcze na każdym piętrze stały dwupiętrowe nary z żerdzi. Nie wszędzie panowała ciemność: to tam, to sam paliły się lampki i kaganki. Puszczano też – kolejno, piętrami – na spacer, na pokład. Na każdy z parowców załadowano trzy-cztery tysiące ludzi. Cały rejs trwał ponad tydzień, przez ten czas zdążył zapleśnieć chleb, pobrany we Władywostoku, więc normę dzienną obniżono z 600 gramów do 400. Do jedzenia była solona ryba, natomiast wody do picia... No dobrze już, dobrze, dość tych naigrawań, z wodą były przejściowe trudności. W odróżnieniu od rejsów rzecznych, tu jeszcze miało się do czynienia ze sztormami, z chorobą morską. Wynędniali, wyczerpani ludzie wymiotowali i nie mieli sił, aby podnieść się z nar, cała podłoga pokryta była śluzową rzygowiną.

W drodze miał miejsce pewien epizod polityczny. Statki powinny były przepłynąć cieśninę La Perouse’a – mijając z bliska brzegi Japonii. I oto znikły karabiny maszynowe z wieżyczek, konwojenci przebrali się po cywilnemu, luki zostały zaciągnięte brezentem, zabroniono wychodzenia na pokład. W dokumentach zaś okrętowych, jeszcze we Władywostoku, napisano przezornie, że parowce wiozą na Kołymę nie, <broń Boże, więźniów, tylko zwerbowanych do pracy ochotników. Gromady japońskich kuterów i łódek uwijały się dookoła statków, niczego nie podejrzewając. (Z tym samym parowcem „Dżurma” zdarzył się później, w 1939 roku, taki oto wypadek: siedzący w ładowni knajacy włamali się do magazynu, rozgrabili go, a później podpálili. Było to również tuż koło brzegów Japonii. Dym za-

czął walić z "Dżurmy" kłębami, Japończycy ofiarowali się z pomocą – ale kapitan odmówił i nawet NIE OTWORZYŁ luków! Gdy statek oddalił się już od japońskich wysp, wyrzucono za burtę trupy uwędzonych w dymie, a pół zwęglone, nadgryzione przez ogień zapasy przekazano do obozu na przydział dla więźniów⁶).

6 Dziesiątki lat już minęły od tej chwili, ale wciąż zdarzają się na dalekich morzach katastrofy, których ofiarą padają już nie więźniowie, tylko normalni obywatele sowiec–

Nie dołynąwszy do Magadanu, karawana uwięzia wśród pól lodowych, nie pomógł nawet „Krasin” (za wcześniej było dla nawigacji, ale chciano czym prędzej dostarczyć świeżej siły roboczej). 2 maja wyładowano więźniów wprost na lód, daleko jeszcze od brzegu. Niewesoły widok ukazał się przybyszom: ówczesny Magadan były to martwe sopki*, ani śladu drzew, krzaków, ptaków, kilka zaledwie drewnianych domków i piętrowy budynek Dalstroju. Mimo to, kontynuując zabawę w pracę wychowawczą, to znaczy udając sami przed sobą, że przywieźli nie kości dla użyźnienia złotodajnej Kolimy, lecz czasowo tylko izolowanych–sowieckich obywateli, którzy wrócą wszak jeszcze do twórczego życia – powitano ich dźwiękami dalekowschodniej orkiestry. Orkiestra grała marsze i walce, podczas gdy zadęczeni, półżywi ludzie wlekli się czarnym łańcuszkiem po lodowym polu dźwigając swoje moskiewskie bagaże (ogromny ten transport był prawie w całości polityczny i w drodze nie miał prawie styczności z szemraną ferajną) oraz nieśli na rękach swoich towarzyszy – dotkniętych reumatyzmem bądź też beznogich (bo ludzie bez nóg też byli wśród skazanych).

Ale widzę, że zaraz znowu zacznę się powtarzać, że nudne to będzie pisanie i nudna lektura, bo czytelnik już wszystko wie z góry: teraz ich będą wieźć ciężarówkami setki kilometrów, a jeszcze później dziesiątki kilometrów każą przejść piechotą. Tam założone zostaną nowe punkty obozowe, ludzie od pierwszej chwili po syłani będą do pracy, a żreć będą rybę i mąkę, zagryzając ją śniegiem. Spać będą w namiotach.

Owszem, tak będzie. Tymczasem zaś, na pierwszych kilka dni ci ludzie będą rozłasowani tu, w Magadanie, też w tych borealnych namiotach^f tu będą ich także przepuszczać przez komisję, to znaczy – taksować na golasa i szacować ich zdolność do pracy według wyglądu ich sflaczałych zadków (wszyscy, rzecz jasna, okażą się zdolni). I oczywiście – zaprowadzą ich do łaźni, a w łaźniowej poczekalni każą im zostawić ich skórzane palta, romanowskie półkożuszki, wełniane swetry, garnitury z cienkiej wełny, pilśniowe buty, kozaczki, walonki (ci, co przyjechali, to przecież nie ciemne chłopstwo, tylko partyjna elita – redaktorzy gazet, dyrektorzy zjednoczeń i fabryk, pracownicy komitetów, profesorowie ekonomii politycznej; ci ludzie już w początkach lat cy – jednakże dowódcy statków odrzucają propozycje pomocy ze względu na wciąż ten sam obowiązek tajemnicy, uważany za sprawę dumy narodowej! Niech nas rekiny pożrą, byle tylko nie zawdzięczać nic obcym! Tajemniczość jest rakiem naszych stosunków.

* Samotne pagóry pochodzenia wulkanicznego. 30. znali się na tym, co dobre). „A kto będzie tego pilnować?” – zaniepokoją się ci nowi. „A komu tu potrzebne wasze ciuchy?” – odpowie dotknięta do żywego obsługa. – „Idźcie, możecie myć się spokojnie”. Więc wejdą do środka. Wychodzić zaś będą innymi drzwiami i tam wydadzą im czarne, płócienne spodnie i bluzy, obozowe fufajki bez kieszeni, chodaki ze świńskiej skóry. (O, to nie drobnostka! to rozstanie z całą przeszłością – z tytułami, ze stanowiskami, z honorami!). „A gdzie nasze rzeczy?!” –

jękną wtedy. „Wasze rzeczy zostały w domu! – szczeknie na nich jakiś naczelnik. – W obozie nie ma nic waszego! U nas w obozie jest komunizm! Za lewoskrzydłowym marsz!”.

Ale skoro już „komunizm” – to co w ogóle mogli odpowiedzieć? Toż walce o komunizm oddali całe życie...

A są jeszcze transporty – na podwodach i po prostu na piechotę. Pamiętacie może w Zmartwychwstaniu Tołstoja – pędzono skazańców w słoneczny dzień z więzienia na dworzec. W Minusińsku zaś (w 40. latach) – po roku spędzonym bez jednego spaceru tak, że ludzie oduczuli się chodzić oddychać pełną piersią, widzieć w pełnym świetle – wyprowadzono więźniów, ustawiono szeregiem i kazano maszerować DWADZIEŚCIA PIĘĆ kilometrów do Abakanu. Jakichś dziesięciu skonało po drodze. Wielkiej powieści, ani nawet jednego jej rozdziału, nikt o tym nigdy nie napisze: kto na cmentarzu mieszka, ten i tak wszystkich nie opłaca.

Pieszny etap – to dziadunio kolejowego, dziadunio stołypinki, dziadunio towarniaka. W naszych czasach coraz rzadziej posyła się ludzi na piechotę, chyba tam, gdzie niemożliwy jest transport mechaniczny. Tak więc z oblężonego Leningradu posyłano przez zamrożone jezioro Ladoga skazanych do przystanku, gdzie czekały czerwone eszelony (kobiety prowadzono razem z jeńcami niemieckimi, naszych zaś mężczyzn oddzielał od kobiet kordon bagnetów, żeby nie mogli odebrać im chleba. Kto upadł na ziemię, temu zdzierano buty i rzucono go na ciężarówkę – żywego czy martwego). Podobnie w latach 30. odprawiano z Kołtasskiego zborniaka codziennie po stu ludzi do stacji Ust'-Wym (około 300 kilometrów), a czasami aż do Czybii (ponad 500). Pewnego razu w 1938 roku posłano w ten sposób partię kobiet. Odcinek dzienny wynosił 25 kilometrów. Eskorta miała na smyczy psa albo i dwa, jeśli kto z więźniów został w tyle – to poganiano go kolbą. Co prawda, rzeczy więźniów, kocioł, zapasy żywności jechały za nimi na podwodach, przez co całość przypominała klasyczne etapy aresztanckie z minionego stulecia. Były też chaty dla popasów – zrujnowane domy deportowanych kułaków z wybitymi oknami i wyrwanymi drzwiami. Księgowość Kołtasskiego zborniaka wydawała prowiant na czas obliczony teoretycznie, zakładając, że w drodze wszystko pójdzie gładko i że ani dnia dłużej droga trwać nie będzie (zasada działania całej naszej księgowości). Jeśli zaś zdarzały się przeszkody w drodze – porcje zmniejszano, karmiono ludzi zalewajką z żytniej mąki bez soli albo w ogóle nic nie dawano do żarcia. Mamy w tym punkcie pewne odstępstwo od klasycznej tradycji.

W 1940 roku partię, do której należał Oleniew, po wylądowaniu popędzono na piechotę przez tajgę (z Kniaż-Pogostu w stronę miejscowości Czybiu) – nic w ogóle nie dając do jedzenia. Pili wodę bagienną i zaraz pochorowali się na biegunkę. Padali na ziemię wyczerpani z sił – a psy szarpały odzież leżących. W rzece łzma łapali ryby portkami i jedli je na surowo. (I wreszcie na jakiejś polanie oznajmiono im: tu będziecie budować trasę kolejową Kołtass-Workuta!).

Również w innych okolicach naszej europejskiej Północy pędzono więźniów na piechotę dopóty, dopóki – tą samą trasą, po nasypach, wzniesionych przez poprzednią generację aresztantów – nie ruszyły wesole czerwone wagony, wioząc następne pokolenie więźniów.

Pieszne przemarsze mają swoją technikę, wypracowaną tam, gdzie trzeba często i gęsto prowadzić ludzi na piechotę. Kiedy prowadzą partię przez tajgę między Kniaż-Pogostem a Wieslaną i nagle jakiś tam więzień upadnie, nie mogąc

iść dalej – to co z takim robić? Pomyślcie rozsądnie? Co z nim począć? Toć nie można zatrzymać całej partii. Nie można też przy każdym padającym stawiać na warcie strażnika – bo strażników za mało, a więźniów za dużo. A więc?... Strażnik zostaje przy leżącym niedługą chwilę, później zaś dogania resztę, ale już sam jeden. i

Długi czas utrzymały się stałe przemarsze piesze ze zborniaka Karabas do Spasska. Odległość wynosi wszystkiego 35–40 kilometrów, ale trzeba było w ciągu jednego dnia przetrzącać partie złożone nawet z tysiąca ludzi, wśród których było wielu osłabionych. Liczono się z tym, że niejeden nie potrafi długo utrzymać się na nogach i że leżeć będzie na drodze z przedśmiertną obojętnością i rezygnacją: może człowiek do nich nawet strzelać, a kroku nie robią. Śmierci mogą już się nie bać – ale kija? ale niezmordowanego kija, walącego ich raz po raz, gdzie popadnie? – Kija na pewno się przestraszą i pójda przed siebie! To już sprawdzone, to już tak jest. I oto cała kolumna maszerujących zostaje otoczona nie tylko zwyczajnym kordonem strzelców, utrzymujących pięćdziesięciometrowy dystans, lecz również wewnętrznym kordonem żołnierzy, nie uzbrojonych, ale zaopatrzonych w kije. Ci, co zostają w tyle – są bici (zgodnie z aforyzmem towarzysza Stalina), bici, i jeszcze raz bici – więc tracą już siły, ale dalej się wloką! I wielu z nich jakimś cudem dociera do celu! Nie wiedzą oni, że to tylko sposób kontroli i że ci, którzy nawet pod kijami dalej leżą i nie chcą już wstać – zabierani są na ciągnące za kolumną wozy. Organizacja! (może ktoś spytać: a dlaczego nie zabrać od razu wszystkich osłabionych na te wozy?... A skąd je wziąć, skąd brać konie? Toż u nas już króluje traktor. Zresztą, wiecie ile dziś owies kosztuje?...). Takich marszów sporo było w latach 1948–50.

A w latach 20. piesze przemarsze należały do zasadniczych typów transportu. Byłem jeszcze dzieckiem, ale pamiętam to dobrze; pędzono ich ulicami Rostowa nad Donem nie krępując się zupełnie. Dodajmy przy okazji, że sławetna komenda – „... otwiera ogień bez uprzedzenia!”, miała wówczas inne brzmienie, a to z uwagi na różnice techniczne w wyposażeniu bojowym: przecież eskorta często miała tylko szablę. Komenda brzmiała tak: „Krok w bok – konwój pal, tnij!”. To dźwięczało mocno – „pal, tnij!”. Zaraz sobie człowiek wyobraża, że mu za chwilę łeb zetną.

Ale nawet w 1936 roku, w lutym przez miasto Niżny Nowgorod pędzono na piechotę partię długobrodych starców zza Wołgi, w samodziłowych sukmanach, w postołach i onucach na nogach – tak, „Ruś, co już zanika”... I nagle przecinają im drogę trzy auta, jednym z nich jedzie przewodniczący WCIK Kalinin. Więźniów zatrzymano, Kalinin przejechał sobie, ani spojrzał.

Zamknij oczy, czytelniku. Czy słyszysz turkot kół? To mkną wagon–zaki. To jadą towarniaki. Całą dobę. Każdej minuty. Każdego dnia w roku. A to woda chlupie – to płyną aresztanckie berlinki. A to warczą silniki suk. Cały czas kogoś wsadzają, wciskają do wnętrza, przenoszą. A ten zgietk? – to przepętnione cele zborniaków. A to wycie? – to skargi okradzionych, zgwałconych, pobitych.

Dokonaliśmy przeglądu wszystkich sposobów transportu – i stwierdziliśmy, że wszystkie one są GORSZE. Przyjrzelśmy się więzieniom etapowym i nie zobaczyliśmy żadnego dobrego. I nawet ostatnia ludzka nadzieja, że później już będzie lepiej, że lepiej będzie w obozie – to nadzieja złudna.

W obozie będzie – gorzej.

Z WYSPY NA WYSPE

Ale również samotnymi czółnami przewozi się zeków z jednej wyspy Archipelagu na drugą. Nazywa to się – speckonwój. Jest to najbardziej niekrępujący sposób przejazdu, nie różni się on prawie od normalnej podróży. Zaznali tego tylko nieliczni. W moim życiu aresztanckim nadarzyła mi się taka okazja trzykrotnie.

Speckonwój wysłany być może tylko na zlecenie wysoko postawionych osób. Nie należy go mylić ze specdelegacją, która też zresztą wymaga decyzji na dość wysokim szczeblu. Specdelegowany najczęściej jeździ ogólnymi transportami, chociaż również on wysyłany bywa na znaczne odległości (co tym bardziej go wyróżnia). Na przykład – jedzie sobie Ans Bernsztejn, wysłany z dalekiej północy nad dolną Wołgę, w specjalnej delegacji na roboty polne. Wiozą go w znanym już nam tłoku, wśród upokorzeń, szczują psami, grożą ze wszech stron bagnętami, ryczą „Krok w prawo, krok w lewo...” – po to, aby raptem wysadzić go na malutkim przystanku Zanzewatka, gdzie go wita samotny, spokojny, nie uzbrojony nadzorca. Powiada z ziewnięciem: „Dobra, przenocujesz u mnie, a tymczasem sam tu sobie połaż, dopiero jutro odwiozę cię do obozu”. I Ans sobie łązi. Czy rozumiecie, co to znaczy to ŁAŻENIE dla człowieka, który ma siedzieć 10 lat, który już tyle razy żegnał się z życiem, który dziś rano jeszcze tkwił w wagon-zaku, a jutro tkwić będzie w obozie – teraz zaś łązi sobie i patrzy, jak kury grzebią w stacyjnym ogródku, jak zbierają się do odejścia baby, które na próżno wyniosły na sprzedaż do pociągu masło i tytkwy. Robi krok, drugi, czwarty i piąty w bok – i nikt nie krzyczy mu „stój!”, nieufnymi palcami muska liście akacji i gotów jest się rozpłakać.

Speckonwój zaś – cały jest takim cudem, od początku do końca. Tym razem nie wiesz wcale co to znaczą ogólne transporty, nie musisz zakładać rąk do tyłu, rozbierać się do naga, siadać na gołej ziemi, a nawet żadnej rewizji nie będzie. Konwojenci okazują ci życzliwość i nawet zwracają się do ciebie per „wy”. Tak w ogóle – mówią na wszelki wypadek – przy próbie ucieczki będziemy, jak zwykle, strzelać. Pistolety mamy odbezpieczone, są tu, w kieszeniach. Ale pojedziemy jak gdyby nigdy nic, zachowując się swobodnie, nie dawajcie do zrozumienia, że jesteście więźniami. (Bardzo proszę zwrócić uwagę na fakt, że również tutaj interesy jednostki, są jak zawsze, całkowicie zgodne z interesami państwa).

Moje życie obozowe odmieniło się zupełnie w dniu, kiedy – już z przykurczem palców (przestały mi się rozginać od długiego trzymania narzędzi) stałem kuląc się przy rozdziale roboty w naszej brygadzie ciesielskiej. Majster odprowadził mnie na bok i z niespodzianym szacunkiem powiedział: „A wiesz, na zlecenie ministra spraw wewnętrznych...”.

Zdębiałem. Ludzie poszli do roboty i zaraz otoczyli mnie obozowi migacze z żony. Jedni twierdzili, że „dołożą mu nowy wyrok”, inni byli zdania, że mnie wypuszczą. Ale wszyscy byli przekonani, że nie ominie mnie spotkanie z ministrem Krugłowem. Ja też biłem się z myślami: nowy wyrok czy zwolnienie? Zupełnie zapomniałem, że przed pół rokiem przyjechał do naszego obozu jakiś typ i dał do wypełnienia ankiety rejestracyjnej GUłagu (po wojnie akcję tę rozpoczęto w bliżej położonych obozach, ale chyba jej nigdy nie zakończono). Najważniejszą rubryką był tam punkt dotyczący zawodu. Aby zwiększyć swoje szansę, więźniowie wpisywali sobie zawody najwyżej cenione na Archipelagu: „fryzjer”, „krawiec”, „magazynier”, „piekarz”. A ja napisałem z przymrużeniem oka: „fizyk jądrowy”. Fizykiem jądrowym nigdy w życiu nie byłem, przed wojną przeszedłem tylko taki kurs na uniwersytecie i znałem nazwy cząsteczek atomowych oraz ich parametry – więc

postanowiłem właśnie to sobie wpisać. Był rok 1946, bomba atomowa potrzebna była na gwałt, ale sam nie przypisywałem żadnego znaczenia tej ankiecie i zapomniałem o niej.

Krążyła głucha, zupełnie niewiarygodna, przez nikogo nie sprawdzona legenda, którą jednak raz po raz można było w obozie usłyszeć: że gdzieś na tym Archipelagu są również małe rajskie wyspy. Nikt ich na oczy nie widział, nikt nie był na nich, kto zaś był – ten milczy, pary z gęby nie puszcza. Są na tych wyspach ponoć rzeki mlekiem i miodem płynące, je się tam co najmniej jajka ze śmietaną; czysto tam rzekomo i ciepło, praca tylko umysłowa, a wszystko setką tajemnic okryte.

I oto pół kary miałem odbyć właśnie na tych rajskich wyspach (w narzeczu więziennym noszą one nazwę s z a r a s z e k). To im właśnie zawdzięczam, że jeszcze żyję, bo w obozach żadną miarą nie dociągnąłbym do końca wyroku. Im też zawdzięczam możliwość pisania tej książki, chociaż nie przewidziałem dla nich miejsca na jej stronicach (napisałem już o nich powieść*). Między tymi właśnie wyspami – z jednej na drugą, z drugiej na trzecią, przewożono mnie speckonwojem. Jechaliśmy we trójkę z dwoma strażnikami.

Jeśli dusze zmarłych czasem wśród nas przelatują i, widząc nas, łatwo domyślają się przyziemnych pobudek naszych czynów, my zaś nie widzimy i nie domyślamy się ich bezcielesnej obecności – to podobne cechy ma jazda speckonwojem.

Człowiek daje nura w sam gąszcz wolnego świata, przepycha się przez ciżbę na dworcu.–Z uwagą czyta ogłoszenia, które w żaden sposób nie mogą go dotyczyć. Siedzi na starej, dworcowej ławie i słucha dziwnych, błahych rozmów: o tym, że jakiś mąż bije żonę – albo że ją porzucił; że teściowa, nie wiadomo dlaczego, nie może żyć w zgodzie z synową; że sąsiedzi ze wspólnego mieszkania nie gaszą światła na korytarzu i nie wycierają nóg, że ktoś komuś robi trudności w biurze! że komuś proponują dobrą robotę, ale nie może zdecydować się na wyjazd – jakże to, związać manatki, czy to łatwo? Człowiek słucha tego wszystkiego – i ciarki wyrzeczenia nagle przebiegają ci po grzbiecie i głowie: tak jasna jest już dla ciebie prawdziwa miara rzeczy w kosmosie! miara tych słabostek i namiętności! – a tym grzesznikom nie jest to dane, ani trochę! Naprawdę żywym, istotnie żywym jesteś tylko ty, istota bezcielesna, a ci wszyscy tu tylko przez omyłkę uważają się za żywych.

I – ta przepaść między nami, nie do zapełnienia! ani krzyknąć, ani zapłakać nad nimi nie sposób, ani potrząsnąć ich za ramię: toć jesteś duchem, zjawą, oni zaś – istotami materialnymi.

Jak to przekazać? – w momencie jasnowidzenia? wizjonerstwa? we śnie? – bracia! ludzie! Na co wam życie dano?! Głuchą nocą otwierają się drzwi cel śmierci – i ludzie wielkiego ducha wleczeni są na rozstrzelanie. Na wszystkich torach kolejowych kraju w tej chwili, właśnie teraz, ktoś oblizuje gorzkim językiem wargi suche i stłone od śledzia, ktoś marzy o szczęściu rozprostowania nóg, o zaspokojeniu naturalnej

* Mowa o Kręgu Pierwszypotrzeby. W Orotukanie latem ziemia odmarza na metr i dopiero wtedy grzebią w niej szczątki zmarłych w czasie zimy. A ty, pławiący głowę w błękitnym niebie, grzejący się na słońcu, mogący decydować o własnym losie, napić się wody, przeciągnąć się, jechać bez konwoju, gdzie tylko zechcesz – co ci po tych nie wycieranych nogach? co ma do tego teściowa? To,

co w życiu najważniejsze, wszystkie jego zagadki – zaraz ci tu nimi sypnę, chcesz? Nie szukajcie tego, co złudne – majątku, tytułów: żeby to zdobyć człowiek strzępi nerwy przez dziesięciolecia, a traci to – w ciągu jednej nocy. Żyj z poczuciem spokojnej wyższości nad życiem, nie bój się biedy, nie żałuj straconego szczęścia, przecież i tak – ani goryczy do dna, ani słodyczy do pełna. Już tego dosyć, że nie marzniesz, że głód i pragnienie pazurami nie rwą ci wnętrzności. Jeśli masz nieprzełknięty kręgosłup, jeśli obie nogi jeszcze chodzą, obie ręce się ruszają, oboje oczu widzi, a oboje uszu słyszy – to komu jeszcze tu zazdrościć? po co? Zawisać zżera w końcu samego zawistnika. Przetrzyj oczy, przywróć czystość sercu – i najwyżej sobie ceń tych, którzy cię kochają, którzy ci dobrze życzą. Nie krzywdź ich, nie obrażaj, z nikim z nich nie rozstawaj się w gniewie: toć nie wiadomo, czy to nie ostatni twój uczynek przed aresztowaniem i czy nie taki twój obraz zostanie w ich pamięci!...

Ale konwojenci gładzą w kieszeni czarne rękojeści pistoletów. I siedzimy tak rządkiem, niepijące chłopaki, spokojni drużkowie.

Pocieram czoło, to otwieram oczy, to zamykam, znów ten sam sen: tłum ludzi – zupełnie bez straży. Pamiętam doskonale, że dziś jeszcze nocowałem w celi i jutro znowu w celi będę. A tu jacyś kontrolerzy ze szczypcami: „Bilecik?” „Jest, jest, u kolegi”.

Wagony są przepiękne (no, „przepiękne” według cywilnych pojęć – nikt nie leży pod ławkami ani nie siedzi w przejściu na podłodze). Kazano mi zachowywać się swobodnie – więc już wcale się nie krępuję: widzę w sąsiednim przedziale boczne miejsce przy oknie i zaraz się tam przesiadam. Dla konwojentów zaś nie ma już tam miejsca. Siedzą sobie dalej tam, gdzie siedzieli, i tylko nie spuszczają ze mnie zakochanych oczu. W Piereborach zwalnia się miejsce naprzeciw mnie, przy stoliku, ale zanim mój konwojent zdążył się przesiąść – już je zajął szerokogęby chłopak; półkożuszek, futrzana czapka, prosty, ale mocny drewniany kufer. Poznałem ten kufer od razu: łagrowa robota, made in Archipelag.

„Fu-u-uF’ – stęka chłopak z ulgą. Światła niewiele, ale widzę, że jest cały rozpalony, nie obeszło się bez walki przy wsiadaniu. Wyciąga flachę: „Pociągniesz piwka, towarzyszu?”. Wiem, że mój konwojent w sąsiednim przedziale już cały zesztyniał: nie powinienem przecież pić alkoholu, nie wolno! Ale trzeba zachować się swobodnie. Mówię więc niedbałym tonem: „A nalej trochę, niech tam będzie”. (Piwo? Piwo!! W ciągu trzech lat nie wypilem ani kropelki! Dopiero będę jutro chwalił się w celi: piwo piłem!). Chłopak mi nalewa, wypijam i aż dreszcz mnie przenika. Jest już ciemno. Elektryczności nie ma w wagonie, zniszczenia powojenne. Nad framugą drzwi pali się w latarni starego typu jakiś ogarek, jeden na cztery przedziały – dwa tylne i dwa przednie. Toczmy sobie z sąsiadem przyjacielską pogawerkę, nie widząc się prawie wzajemnie. Choć mój konwojent aż się skręca – nic nie słyszy, bo koła postukują. Mam w kieszeni pocztówkę do domu. Zaraz wyjaśnię mojemu miłemu prostaczkowi kim jestem i poproszę, żeby mi wrzucił kartkę do skrzynki pocztowej. Sądząc z kuferka – też już siedział. Ale mnie ubiegł: „Wiesz, le-dwie sobie ten urlop wybłagałem. Dwa lata nie puszczają ani na krok, psia służ-ba”. – „Jaka znowu służba?” – „E, skąd masz wiedzieć. Ja jestem – hint*, błękitne wyłogi, alboś nigdy nie widział?!”. Tfu, zgiń, przepadnij, że też od razu się nie domy-sliłem; Pierebory – to centrum Wołgołagu, i ten kufer – wydusił od zeków, bez-płatnie mu go zrobili. A to nasze życie – całe szpikowane: na dwa przedziały jesz-cze było za mało dwóch hintów! – więc trzeci wsiadł. A może jeszcze czwarty

gdzieś się czai? A może siedzi taki w każdym przedziale?... A może jeszcze ktoś z naszych jedzie speckonwojem...

Mój sąsiad wciąż skuczy i skarży się na swój los. Więc odpowiadam mu dość enigmatycznie: „A tym, których pilnujesz, co to po dziesięć lat za bezdurno dostali – to może im lżej?”. Speszył się od razu i zamilknął aż do rana: w półmroku już wcześniej musiał dostrzec, że mam jakieś półwojskowe sorty na sobie – szynel, bluza. Myślał z początku – ot, jeszcze jeden wojak, ale teraz – diabli wiedzą: może jestem z operacyjnego? Może poluję na uciekinierów? Skąd się wziąłem w tym wagonie? A on tu p_rzy mnie wyrzekał na obozy... Ogarek w latarni już opłynął, ale wciąż jeszcze pełga. Na trzeciej półce bagażowej leży jakiś młodzieniec i miłym głosem opowiada o wojnie, tej prawdziwej, o jakiej w książkach nie piszą; był saperem, opowiada o różnych zdarzeniach,

* W oryginale – asmodej, od Asmodeusz. W Starym Testamencie – władca demonów i chyba stamtąd to przeszło do rosyjskiej gwary więziennej, bo przecież nie z Diabła Kulawego Lesage'a, gdzie to imię nosi postać tytułowa.

Hint – jest w polskiej gwarze przestępczej przewiskiem strażnika więziennego, bardziej popularnym niż obozowy kogutek, tu może właściwszy. mówi sanją prawdę. I jaka to satysfakcja, że nieposkromiona'prawda jednak wsiąka w czyjeś uszy.

Ja też mógłbym to i owo opowiedzieć... Chciałbym to nawet zrobić!... Nie, chyba już mi się odechciało... Cztery moje wojenne lata jakby krowa ozorem zlizwała. Już nie chce mi się wierzyć, że to było naprawdę, już nie chce mi się wspomnień. Dwa lata tutaj, dwa lata Archipelagu zaćmiły mi wszystkie drogi frontowe i frontowe przyjaźnie, wszystko pokryły mgłą. Klin wybija się klinem.

I oto, spędziwszy kilka godzin pośród WOLNYCH, czuję teraz: usta moje są nieme: nie mam wśród nich nic do roboty, jest mi tak, jakbym był na uwięzi. Chcę – mówić swobodnie! Chcę – wrócić do mojej ojczyzny! Chcę – do swoich, na Archipelag!

Rankiem zostawiam przez ZAPOMNIENIE moją pocztówkę na górnej półce wagonu. Przecież konduktorka będzie sprzątać wagon i – jeżeli jest człowiekiem – wrzuci ją do skrzynki...

Wychodzimy na plac od strony Dworca Jarosławskiego. Także tym razem moi dozorczy są nowicjuszami. Nie znają Moskwy. Decyduję za nich, że pojedziemy tramwajem „B”. Pośrodku placu, na przystanku tramwajowym – ciżba, ludzie jadą właśnie do pracy. Mój strażnik wspina się na pomost i pokazuje motorniczemu legitymację MWD. Na przedniej platformie, jak jacyś deputaci Mossowietu, stoimy sobie z godnością przez całą drogę, nie płacąc za bilety. Jakiemuś starcowi wejść natomiast nie pozwalają: nie jesteś inwalidą, wleziesz przez tylne wejście!

Dojeżdżamy do Nowosłobodzkiej, schodzimy na przystanku – i po raz pierwszy mam okazję widzieć więzienie Butyrskie z zewnątrz, chociaż przywożą mnie tutaj po raz czwarty i bez trudu potrafię narysować jego wewnętrzny plan. O, jaki surowy, wysoki mur, a długi – na pół dzielnicy! Chłód ściska serce mieszkańca Moskwy, gdy widzi, jak otwiera się stalowa paszcza tych wrót. Ale bez żalu żegnam moskiewskie trotuary, wchodzę jak do własnego domu przez sień pod sklepieniami odwachu, uśmiecham się, wkraczając na pierwszy dziedziniec, poznaję dobrze znane główne wrota ze żłobionymi w drzewie figlasami – i nic to, że zaraz postawią mnie twarzą do ściany i zapytają: „nazwisko?... imię, imię ojca?... rocznik?...”.

Nazwisko!... Jestem Gwiezdnym Tułaczem! Moje ciało jest w pętach, ale dusza – nie im podlega.

Wiem dobrze: po kilku godzinach nieuchronnych zabiegów, jakim ciało będzie poddane – chodzi o boks, kipisz, kartę rejestracyjną, wydanie kwitu na depozyt, dezynfekcję i łaźnię będę wprowadzony do celi z sufitem na kształt podwójnej kopuły, przedzielonej pośrodku nawistym łukiem (wszystkie cele są tu takie), z dwoma dużymi oknami, jednym długim stołem-szafą, a spotkam tam nie znanych mi jeszcze, ale na pewno mądrych, interesujących, życzliwych ludzi, zaraz zaczną mi coś opowiadać, ja im potem opowiem swoje i wieczorem nie od razu sen przyjdzie.

Na miskach zaś wytlóczony będzie napis (żeby kto nie zabrał w drogę) „Bu-Tiur” – Butyrskaja Tiurma. Sanatorium Butiur, jakeśmy żartem mówili tu zeszłym razem. Sanatorium mało znane opastym dygnitarzom, tak marzącym o schudnięciu. Wożą swe brzuchy do Kisłowodzka, tam wydeptują kilometrami specjalne szlaki, robią przysiady, pocą się przez cały miesiąc, żeby zrzucić dwa, trzy kilogramy. W sanatorium zaś BuTiur, ręką podać, każdy z nich schudłby o pół puda na tydzień bez żadnych ćwiczeń.

To rzecz sprawdzona. Bez żadnego wyjątku.

Świat jest ciasny, po prostu bardzo ciasny – to jedna z tych prawd, o których słuszności człowiek przekonuje się w więzieniu. Co prawda, Archipelag GUłag rozłazony na całej powierzchni Związku Sowieckiego, ma jednak o wiele mniejszą od niego liczbę mieszkańców. Ile ludności ma Archipelag – tego nie mogliśmy ustalić. Można założyć, że jednocześnie znajdowało się w obozach nie więcej niż 12 milionów ludzi (jedni szli do ziemi, Maszyna zaś dostarczała nowych). I więźniowie polityczni stanowili nie więcej niż połowę tej liczby. Sześć milionów? Cóż, to tyle, co ludność małego kraju, Szwecji albo Grecji, tam wielu ludzi zna się osobiście. Nic dziwnego, że kiedy człowiek trafi do byle jakiej celi w byle jakim zborniaku, kiedy trochę posłucha i trochę się rozgada – z pewnością dogrzebie się jakichś wspólnych znajomych. (Co w tym dziwnego, skoro Dołgan, który przesiedział cały rok wyłącznie w pojedynkach trafia – już po Suchanowce, po zmasakrowaniu przez Riumina, po szpitalu – do celi na Łubiance, przedstawia się, a obrotny F. od razu mu powiada: „A, to ja pana znam!” – „Skąd? – zdziwił się Dołgan – Pan się myli”. – „Bynajmniej. Przecież to pan jest tym samym Amerykaninem, Aleksandrem Dołganem, o którym prasa burżuazyjna nakłamała, że go porwano, a TASS musiał dementować. Czytałem to, kiedy byłem na wolności”).

Lubię chwilę, kiedy do celi wchodzi ktoś nowy (nie nowicjusz – bo ci wchodzi przygnębieni, zażenowani, mówią o zekach już bywałych). Sam też lubię wchodzić do nowej celi (zresztą, Boże uchroni, wolę więcej już nie wchodzić) – bez troski uśmiech, szeroki gest: „Czołem, braciszku!” Rzucam worek na nary: – „No, co nowego w Butyrkach? Jak zleciał ten roczek?”.

Przedstawiamy się sobie. Jakiś młody jeszcze, niejaki Suworow, artykuł 58. Na pierwszy rzut oka – nic szczególnego, ale zaraz, zaraz: w Krasnojarskim zborniaku siedział z nim w tej samej celi niejaki Machotkin...

– Chwileczkę, czy to nie ten lotnik polarny?

– A, tak, tak, to jego imię nosi...

– Wyspa w zatoce Tajmyrskiej. A on sam siedzi z artykułu 58–10. Powiedźcie no, puścili go więc do Dudinki?

– Skąd o tym wiecie? Owszem.

Znakomicie. Jeszcze jedno ogniwo biografii zupełnie nie znanego mi Machotkina. Nigdy się z nim nie spotykałem, nigdy go może nie zobaczę, ale ruchli-

wa pamięć zanotowała wszystko to, co o nim wiem: Machotkin dostał c z e r w o ń c a, ale wyspy nie można już przemianować, ponieważ figuruje na wszystkich mapach świata (to przecież nie wyspa naszego Archipelagu). Poślano go do szaraszki projektującej sprzęt lotniczy w Bołszynie, ale się tam tylko męczył: był jedynym lotnikiem wśród inżynierów, a tu mu latać przecież nie pozwolą. Szarazkę tę podzielono na dwie części, Machotkin trafił do tej połowy, którą przeniesiono do Taganrogu i zdawało się, że wszystkie kontakty uległy zerwaniu. W drugiej połowce, w Rybińsku, ktoś mi opowiadał, że Machotkin prosił, żeby go przeniesiono na Daleką Północ i pozwolono tam latać. Teraz dowiaduję się, że dostał pozwolenie. Nic mi po tych wiadomościach, ale zapamiętałem wszystko. Mija jeszcze dziesięć dni i oto jestem w butyrskim łazibnym boksie (są takie arcysympatyczne boksy w Butyrykach, z kranami i ceberkiem, żeby mniejsze grupy nie zajmowały wielkiej łazni) razem z niejakim R. Tego R. nie znam także, ale okazuje się, że pół roku leżał on w butyrskim szpitalu, teraz zaś jedzie do rybińskiej szaraszki. (Miną jeszcze trzy dni i w Rybińsku, w szczelnie zamkniętym pudle, którego mieszkańcy nie mają żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, już będzie wiadomo, że Machotkin jest w Dudince i że mnie wzięto tam, a tam. To właśnie jest telegraf więzienny: spostrzegawczość, pamięć i spotkania.

I ten sympatyczny mężczyzna w rogowych okularach? Spaceruje po celi i miłym barytonem nuci Schuberta:

/ młodość znów mi ciąży tak,

I dłuży się do grobu szlak...

– Carapkin, Sergiusz Romanowicz.

– Przepraszam, ależ ja pana dobrze znam. Biolog? Odmowa powrotu? Z Berlina?

– Skąd pan to wszystko wie?

– No, jakże inaczej? W 46. roku, razem z Mikołajem Władimirowiczem Timofiejewem – Ressowskim...

... Ach, to dopiero była cela! – czy aby nie najświetniejsza w całym moim więziennym żywocie?... Było to w lipcu. Przywieziono mnie z obozu do Butyrek na mocy zagadkowego „rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych”. Przywieziono mnie po obiedzie, ale więzienie tak było przepiętne, że procedury wstępne trwały 11 godzin i dopiero o trzeciej w nocy wpuszczono mnie, wymaglowanego w różnych boksach, do celi numer 75. W celi, jaskrawo oświetlonej żarówkami, zwisającymi spod dwóch kopułek, wszyscy spali pokotem, miotając się przez sen, bo było duszno: gorące lipcowe powietrze nie miało dostępu, okna zasłonięte były blincami. Brzęczały niezmordowane muchy, siadając na pogrążonych we śnie, którzy też wzdrygali się raz po raz. Niektórzy ostonili sobie ręcznikami oczy, bo światło było rażące. Ostro cuchnął kibelek – w takim upale rozkład postępował szybko. Do celi, obliczonej na 25 ludzi, napchano więźniów nie dużo, nie mało, chyba 80. Ludzie leżeli na narach rzędem i z lewej, i z prawej strony, a również na dodatkowych blatach, ułożonych w poprzek przejścia, spod wszystkich nar wystawały czyjeś nogi, tradycyjny zaś, butyrycki stół-szafa przesunięty był w stronę kibla. Właśnie obok niego był jeszcze kawałek wolnego miejsca na podłodze, więc tam się położyłem. Ci, co chodzili do kibla, aż do samego rana musieli przeze mnie przestępować..

Gdy przez otwór w drzwiach krzyknięto „Pobudka!”, zrobił się ruch w całej celi: podniesiono leżące na poprzek blaty, przesunięto stół pod okno. Zaraz też ktoś

podszedł do mnie, żeby przeprowadzić interview: nowicjusz czy obozowy bywalec? Okazało się, że w celi spotykają się dwa prądy: zwyczajny potok ludzi po wyroku, kierowanych do obozów i przeciwbieżny potok specjalistów, odwołanych z obozów – fizyków, chemików, matematyków, inżynierów konstruktorów, kierowanych nie wiadomo dokąd, ale zapewne do jakichś naukowo-badawczych instytutów, gdzie im się będzie dobrze działo. (Tu dopiero uspokoiłem się, że minister nie ma zamiaru dosunąć mi nowego wyroku). Podszedł do mnie człowiek niestary jeszcze, grubokościsty (ale bardzo wychudzony), z nosem jastrzębim, lekko zakrzywionym:

– Profesor Timofiejew-Ressowski, prezes towarzystwa naukowo-technicznego 75 celi. Sesje naszego towarzystwa odbywają się codziennie rano po rozdaniu chleba i mają miejsce koło lewego okna. Czy mógłby pan wygłosić dla nas jakiś naukowy referat? I na jaki temat?

Zupełnie zaskoczony stałem przed nim w swoim długim, zaszarganym szynelu i zimowej czapce (taka już dola aresztowanych zimą, że również latem paradują po zimowemu). Moje palce wciąż jeszcze nie rozkurczyły się i całe były pokiereszowane. Jakież tu mogłem wygłaszać referaty naukowe? Ale przypomniałem sobie, że niedawno w obozie miałem w ręku przez dwie noce przyniesioną zza drutów książkę – raport oficjalny sekretariatu obrony USA o pierwszej bombie atomowej. Książka ukazała się dopiero co, wiosną. Czy nikt w celi jeszcze jej nie widział? Śmieszne pytanie, pewno, że nie. Los uśmiechnął się tu i kazał mi jednak <zająć się trochę tą fizyką atomową, na którą powołałem się w GUłagu.

Po racji porannej zebrano się pod lewym oknem koło dziesięciu członków towarzystwa naukowo-technicznego, wygłosiłem swój referat i przyjęty zostałem do towarzystwa. To i owo już zapomniałem, tamtego znów nie potrafiłem zrozumieć do końca – ale Mikołaj Władimirowicz, chociaż siedział już rok w więzieniu i niczego nie mógł wiedzieć na temat bomby atomowej – raz po raz uzupełniał braki mojej relacji. Pusta paczka po papierosach była moją tablicą, w ręku miałem kawałek nielegalnego sztyftu z ołówka. Mikołaj Władimirowicz wciąż mi go wyjmował z rąk, robił rysunki i wtrącał swoje uwagi z taką znajomością rzeczy, jak gdyby był fizykiem z samego Los Alamos.

Istotnie miał on już do czynienia z jednym z pierwszych europejskich cyklotronów, ale stosował go dla poddawania promieniowaniu much-drozdofil. Był biologiem, należał do najwybitniejszych współczesnych genetyków. Siedział już w więzieniu, kiedy profesor Żebrak, nie widząc o tym (a może właśnie wiedząc), miał dość odwagi, by napisać w artykule przeznaczonym dla kanadyjskiego czasopisma: „Rosyjska biologia nie odpowiada za Łysenkę, rosyjska biologia – to Timofiejew-Ressowski” (podczas kampanii przeciw biologom w 1948 roku Żebrakowi o tym przypomniano). Schrödinger w broszurze Czym jest życie? znalazł miejsce, by dwukrotnie zacytować Timofiejewa-Ressowskiego, który już siedział wtedy od dawna.

On zaś tu stał przed nami i olśniewał nas znajomością najrozmaitszych dziedzin wiedzy. Cechowała go ta szerokość poglądów, o której uczeni następnych pokoleń już nawet nie chcą wiedzieć (a może zmieniły się możliwości ogarnięcia umysłem tego wszystkiego?). Teraz zresztą tak był wycieńczony głodem z czasów śledztwa, że nie łatwo przychodziły te popisy. Po kądzieli wywodził się z szaraczkowej szlachty kałuźskiej, siedzącej nad rzeką Ressą, po mieczu zaś – był potomkiem Stiepana Razina z linii bocznej i ta kozacka krzepa biła w oczy –

świadczyła o niej jego grubokoścista budowa, gruntowność, niezachwiana postawa podczas śledztwa, – ale również ciągły głód, o wiele silniejszy, niż u innych.

Oto jego historia: W 1922 roku niemiecki uczony Vogt, który stworzył w Moskwie Instytut Mózgu, poprosił aby wydelegować do niego, do Niemiec, dwóch najzdolniejszych absolwentów. W ten sposób Timofiejew–Ressowski i jego przyjaciel Carapkin postani zostali do Vogta na okres nieograniczony. Chociaż brak im tam było ideologicznego kierownictwa, niemniej osiągnęli znaczne sukcesy w swojej dziedzinie wiedzy i kiedy w 1937 roku (!) kazano im wracać do kraju, nie mogli się podporządkować temu zleceniu – przez inercję: ze względu na logikę swoich badań, na stan sprzętu, na swoich uczniów. A chyba także dlatego nie mogli, że w kraju teraz trzeba byłoby publicznie osmarować gnojem całą ich piętnastoletnią pracę w Niemczech i tylko to dałoby im prawo do istnienia (pytanie jeszcze, czy w ogóle by dało?). W ten sposób zostali takimi, co to odmawiają powrotu, pozostając jednak patriotami.

W 1945 roku, kiedy oddziały sowieckie osiągnęły Buch (północno–wschodnie przedmieście Berlina), Timofiejew–Ressowski powitał je z radością, tym większą, że jego instytut uchwalił się w całości. Wszystko świetnie się składało – teraz nie trzeba było rozstawać się z Instytutem! Przyjechali jacyś przedstawiciele, zwiedzili instytut i rzekli: – hm, każcie to wszystko zapakować do skrzyń, zawieziemy do Moskwy. – To niemożliwe – zachnął się Timofiejew – wszystko ulegnie zniszczeniu! Przez całe lata ustawiano się i regulowano te instalacje! – Hmmm?... – zdziwiło się naczalstwo. I wkrótce potem Timofiejewa oraz Carapkina aresztowano i zawieziono do Moskwy. Byli naiwni, sądzili, że instytutu bez nich nie będzie można uruchomić. Ale niech tam nie będzie można, byleby tylko zatryumfowała linia generalna! Na Wielkiej Łubiance aresztowanym dowiedziono z łatwością, że są zdrajcami ojczyzny (znów ci nieodrodni zdrajcy!), dano po dziesięć lat i teraz prezes towarzystwa naukowo–technicznego celi 75 pokrzepiał się myślą, że żadnej omyłki nie popełnił.

W butyrskich celach podparcia nar są bardzo niskie: nawet administracji więziennej nie przychodziło do głowy, że ktoś będzie musiał spać pod narami. Dlatego trzeba naprzód rzucić sąsiadowi szynel, żeby go tam rozestął, następnie dopiero trzeba w przejściu położyć się na brzuchu i wczołgać na swoje miejsce. Po przejściu wciąż ktoś chodzi, podłoga pod narami zamiatana jest najwyżej raz w miesiącu, ręce można umyć dopiero przy wieczornym pójściu do ustępu, zresztą bez mydła – nie sposób więc powiedzieć, aby człowiek miał wrażenie, że jego ciało jest naczyniem wszelkiej czystości. Ale byłem szczęśliwy! Tam, na asfaltowej podłodze pod narami, w psim wykrocie, gdzie kurz i żdźbła sypały nam się do oczu, byłem absolutnie szczęśliwy, szczęśliwy bez żadnych zastrzeżeń. Prawdę mówił Epikur: również brak urozmaiceń może dawać satysfakcję, jeśli przedtem trzeba było doznać wielu urozmaiconych przykrości. Po życiu w obozie, które dłużyło się nieskończenie, po dziesięciogodzinnym dniu roboczym, po chłodzie, deszczu, od których aż w krzyżach łamało – o, co to za szczęście leżeć całymi dniami, spać i mimo to – dostawać dziennie 650 gramów chleba i dwie miski zupy z koncentratu albo z delfiniego mięsa. Jednym słowem – sanatorium BuTiur.

Spać! To bardzo ważne. Położyć się na brzuchu, okryć sobie grzbiet i spać! Podczas snu człowiek nie traci sił i nie rani sobie serca – a czas kary mija, czas kary mija! Kiedy życie nasze trzaska i strzela ogniem jak pochodnia, przeklinamy przeznaczenie, które każe nam tracić osiem godzin na tępy sen. Kiedy zaś jesteśmy w łapach niedoli i beznadziei – błogostawimy sen, nawet czternastogodzinny!

Ale w tej celi przesiedziałem dwa miesiące, zdążyłem wypaść się na zapas, chyba na cały rok, zdążyłem przez ten czas przesunąć się pod narami do samego okna i znów wrócić do kibla, ale już na narach, a potem dojść na tychże narach aż do łuku środkowego. Spałem już o wiele mniej – piłem z ukontentowaniem nektar tego życia. Rano sesja towarzystwa naukowo-technicznego, później szachy, książki (dobrych było tylko trzy-cztery na osiemdziesięciu ludzi, czekano na nie w kolejce), 20 minut spaceru – akord majorowy! Nie rezygnujemy z przechadzki, nawet jeżeli trzeba spacerować w ulewnym deszczu, a najważniejsze ludzie, ludzie, ludzie! Mikołaj Andriejewicz Siemionow, jeden z twórców DnieproGES-u. Jego przyjaciel z niewoli, inżynier F. F. Karpow. Sarkastyczny, pomysłowy – Wiktor Kagan, fizyk. Absolwent konserwatorium Wołodia Klemperer, kompozytor. Pewien drwal i myśliwy z wiąskich lasów, cichy jak jezioro w boru. Prawosławny kaznodzieja, przybyły z Zachodu, członek NTS (Ludowy Związek Pracy), Jewgienij Iwanowicz Diwnicz. Nie trzyma się wąskich ramek teologii, wymyśla na marksizm, twierdzi, że na Zachodzie nikt już od dawna nie bierze na serio tej doktryny – ja zaś występuję w jej obronie, czyli że jestem marksistą. Z jaką pewnością jeszcze przed rokiem szermowałbym cytatai, z jaką wyższością wyśmiewałbym rozmówcę! Ale pierwszy rok więzienia opancerzył mnie jakby – jak do tego doszło? bo ani się spostrzegłem, jak nawarstwiły się te nowe wydarzenia, aspekty i znaczenia w takiej ilości, że nie mogę już powiedzieć, że ich nie ma, że to burżuazyjne kłamstwa! Muszę teraz przyznać, że owszem, że istnieją naprawdę. I od razu rozluźnia się łańcuch moich argumentów, po czym jednym palcem kładę mnie na łopatki.

I znów ciągną jeńcy, jeńcy, jeńcy – już drugi rok nie wysycha ta rzeka płynąca z Zachodu. I znów rosyjscy emigranci – z krajów europejskich i z Mandżurii. Emigranci szukają znajomych w taki sposób: zjakiego pan kraju? zna pan takiego, a takiego? Oczywiście, że zna. (Tu właśnie dowiaduję się o rozstrzelaniu pułkownika Jasiewicza).

Zjawia się też stary Niemiec – ten postawny Niemiec, teraz wychudły i schorowany, którego zmusiłem niegdyś w Prusach Wschodnich (chyba przed dwustu laty?) do noszenia mojej walizki. O, jak mały jest świat!... Trzebaż było trafu, abyśmy się spotkali! Stary uśmiecha się do mnie. On mnie także poznał i wydaje się nawet, że rad jest ze spotkania. Chyba mi przebaczył. Dostał dziesięć lat, ale na pewno końca kary nie dożyje... Jest również inny Niemiec – wysoki, szczupły, młody, ale że po rosyjsku nie umie ani słowa – więc jakby niemy. Nie od razu można się połapać, że to Niemiec. Niemieckie sorty zdarli z niego knajacy, dali mu w zamian wypętlą sowiecką bluzę wojskową. Jest to znakomity lotnik, niemiecki as. Pierwszą jego kampanią była wojna Boliwii z Paragwajem, drugą hiszpańska, trzecią – polska, czwartą – bitwa o Anglię, piątą – Cypr, szóstą – wojna ze Związkiem Sowieckim. Ponieważ jest asem, więc nie mógł nie strzelać z powietrza do kobiet i dzieci, jest więc przestępcą wojennym, dziesięć lat i pięć na przytarcie rogów.

– Jest oczywiście w naszej celi jeden prawomyslny (typu prokuratora Kreto-wa): „Bardzo słusznie was wszystkich wsadzili, wywłoki kontrrewolucyjne! Historia odda wasze kości na przemiał, staniecie się jej nawozem!” – „I z ciebie będzie nawóz, psie!” – krzyczą mu. – „Nieprawda, będzie rewizja mojej sprawy, jestem niewinnie skazany!”. Cała cela ryczy, wszystko aż kipi. Siwowłosa nauczyciel języka rosyjskiego staje na narach, jest bosy, gestem nowego Chrystusa wyciąga ręce:

„Dzieci moje, pogódźmy się!... Dzieci moje!“. Ryczą również na niego: „Twoje dzieci leżą w briańskich lasach! Niczyje my dzieci! Już z nas tylko synowie GUłagu...”.

Po kolacji i wieczornym wyjściu do ustępu noc przysiadła na okiennych kagańcach i bezlitosne lampy płoną pod sufitem. Dzień oddala więźniów od siebie, noc ich zbliża. Wieczorami nie było już sporów, urządzano za to wykłady albo koncerty. Tu znów błyszczał Timofiejew–Ressowski. Całe wieczory poświęcał Włochom, Danii, Norwegii, Szwecji. Emigranci snuli opowieści o Bałkanach, o Francji. Jeden mówił o Le Corbusier, kto inny – wykladał o zwyczajach pszczół, jeszcze kto inny opowiadał o Gogolu. Paliliśmy przy tym, że aż ha! Dym zasnuwał celę, kotysał się jak ciężka mgła, kaganiec sprawiał, że nie było przewiewu. Podchodził do stołu Kostia Kiula, mój rówieśnik, niebieskooki, o twarzy krągłej, zabawnie nieskładny – i recytował swoje wiersze, ułożone w więzieniu. Głos mu się łamał ze wzruszenia. Wiersze nosiły takie tytuły: Pierwsza paczka, Do żony. Do syna. Kiedy słuchasz w więzieniu wierszy, również w więzieniu napisanych, nie myślisz wcale o tym, czy autor nie pogwałcił aby zasad sylabotoniki i czy wiersze kończą się asonansami, czy też rymami pełnymi. Te wiersze – to krew TWOJEGO serca, łzy TWOJEJ żony. W celi ludzie płakali!

Od czasu pobytu w tej celi mnie również zaczęło ciągnąć do pisania wierszy o więzieniu. W niej też czytałem na głos Jesienina, poetę przed wojną prawie że zabronionego. Młody Bubnow – były jeniec, a wcześniej jeszcze chyba student, wpatrywał się w recytatorów nabożnym wzrokiem, twarz mu promieniała. Nie był specjalistą, nie wracał, tylko jechał do obozu i najprawdopodobniej – dzięki czystości i prostolinijności swojego charakteru – czekała go tam śmierć, tacy ludzie długo tam nie żyją. I wieczory w 75. celi były dla niego, a także dla innych, chwilą przerwy w morderczym procesie staczania się i nagłym objawieniem wspaniałego świata, co istnieje gdzieś, co nadejdzie, ale w którym nie pozwolił im zły los spędzić ani roczku, ani jednego roczku młodości.

Otwiera się klapka w drzwiach i hint szczeka nam: „Spać!”. Ale nie, nawet przed wojną, ucząc się na dwóch naraz fakultetach, dorabiając korepetycjami i próbując już pisania – nie przeżywałem chyba takich nasyconych treścią, zachwycających, takich pełnych znaczenia dni, jak tamtego lata w 75. celi...

... – Chwileczkę – mówię Carapkinowi – ale zdążyłem przez ten czas usłyszeć od niejakiego Deula, chłopaczka, który w 16. roku życia dostał piątkę (tylko nie za postępy w nauce) z artykułu o "antysowieckiej agitacji"...

– Jak to, więc pan go zna?... Jechał z nami do Karagandy w tym samym transporcie...

– ...że urządził się pan jako laborant w szpitalnej pracowni analitycznej, Mikołaj Władimirowicz był zaś cały czas na o g ó l n y c h...

Nie odpowiada na listy, zapodział się gdzieś Kostia Kiula. Boję się, że nie żyje.

– I bardzo to go podkopało. Był już półtrupem, kiedy go wieziono ze stołypinki do Butyrek. Teraz leży w szpitalu i na zlecenie Czwartego Specwydziału² wydają mu masło śmietankowe, nawet wino, ale czy wydobrzeje – to trudno powiedzieć.

– Czwarty Specwydział was wzywał?

– Owszem. Zapytali nas, czy nie uważamy jednak za możliwe – po sześciu miesiącach Karagandy – zająć się organizacją naszego instytutu na ziemi ojczystej.

– I zgodziliście się z burzliwą radością?

– A jakże inaczej? Przecież teraz zrozumieliśmy już nasze błędy. Ponadto – cały sprzęt, zdemontowany i załadowany do skrzyń, przyjechał i tak.

1– Jak to MWD jest jednak oddane nauce! Bardzo pana proszę! jeszcze troszkę tego Schuberta.

I Carapkin śpiewa, melancholijnie patrząc w stronę okna (w jego okularach odbijają się ciemne kagańce i jasne pasma u szczytu okien):

Vom Abendrot zum Morgenlicht

War mancher Kopf zum Greise

Wer glaubt es? meiner ward es nicht

Auf dieser ganzen Reise³.

Spełniło się marzenie Tołstoja: więźniów nikt już więcej nie zmusza do brania udziału w tych pełnych fałszu nabożeństwach cerkiewnych. Kaplice więzienne są zamknięte. Co prawda, zachowały się ich budynki, ale zostały w bardzo fortunny sposób przystosowane do zwiększonych potrzeb więziennictwa. W butyrskiej cerkwi może się w ten sposób zmieścić dodatkowo ponad 2 tysiące ludzi – co w ciągu roku czyni około 50 tysięcy, jeżeli założyć, że na każdą partię przypadają dwa tygodnie.

Za czwartym, czy piątym nawrotem do Butyrek, pewnym krokiem przecinając podwórzec, obramowany więziennymi oddziałami, w drodze do wyznaczonej mi celi wyprzedzając o pierś strażnika (tak samo koń – bez bata i lejc – spieszy do stajni, gdzie czeka już obrok) –

J Czwarty Specoddział MWD zajmował się rozpracowaniem naukowych problemów przy pomocy więźniów.

J Między zmierzchem a brzaskiem /niejedna głowa posiwiata/ Kto by uwierzył? Mnie to ominęło. W czasie życiowej podróży. zapomniałem czasem rzucić okiem na kwadratową cerkiew o ściętych węglach, co czyniło z niej prawie ośmiobok. Jest to osobny budynek pośrodku kwadratowego dziedzińca. Jej kagańce okienne nie są technicznie nowoczesne, nie wykonano ich z blachy, ani ze szkła zbrojonego jak w głównych oddziałach – lecz z poszarzanych, butwiejących tarcic, co jest dowodem drugorzędności obiektu. Jest to jakby wewnętrzny, butyrski zbórnik dla więźniów przybyłych świeżo po wyroku.

Przekroczenie tego progu było dla mnie niegdyś, w 45. roku, wielkim i ważnym przeżyciem: po wyroku OSO zaprowadzono nas do cerkwi (w samą porę! warto się było wtedy pomodlić!). Kazano wejść na piętro (założono tam również trzecią kondygnację) i z ośmiokątnego westybulu powpychano do rozmaitych cel. Ja zostałem wpuszczony do celi południowo-wschodniej.

Była to obszerna, prostokątna cela, w której trzymano w tym okresie dwustu ludzi. Spali oni, jak wszędzie, na narach (są tam one jednopiętrowe), pod narami i po prostu w przejściach, na podłodze z ceramicznych fliz. Nie tylko kagańce na oknach były podrzędnej jakości, ale również wszystko inne tak tu wyglądało jakby przeznaczone było nie dla synów, lecz dla pasierbów Butyrek: ta kłębiąca się masa ludzka nie dostawała ani książek, ani szachów czy warcabów, aluminiowe zaś miski i wyszczerbione, pokiereszowane, drewniane łyżki – zabierano nam także, w obawie, żeby ich czasem ktoś nie zwędził przy wysyłce. Nawet kubków żałowano nieszczęsnym pasierbom. Myło tylko miski po jedzeniu bałandy i nalewano do nich herbacianą lurę. Brak własnych statków w celi doskwierał szczególnie tym, którzy mieli szczęście czy nieszczęście dostać paczkę od rodziny (a w tych ostatnich dniach przed wysłaniem na kraj świata, rodzina za ostatnie grosze starała się

koniecznie coś przysłać). Krewnym brak było wszelkiej edukacji więziennej, a w kancelarii nigdy by się nie doczekali dobrej rady. Dlatego – nie przysyłali naczyń z mas plastycznych, jedynych, jakie wolno mieć w więzieniu, tylko szklane albo żelazne. Przez klapkę w drzwiach celi wszystkie te miody, konfitury, kwaterki mleka skondensowanego bez żadnej litości wylewane były i wyskrobywane ze stoików w to, co więzień mógł podstawić, a że w tej cerkiewnej celi niczego takiego nie miał, więc po prostu w dłonie, do ust, do chusteczki, na potę kurtki. Jak na GUŁag to rzecz zupełnie normalna, ale w centrum Moskwy? A ponadto – „prędeż, prędeż!” – pił stażnik, jakby bał się, że mu pociąg ucieknie (pił zaś dlatego, że sam jeszcze chciał wylizać konfiskowane stoiki). W celach cerkiewnych wszystko było tymczasowe i pozbawione tego nawet pozoru zasiedziałości, jaki się miało w celach dla więźniów śledczych i oczekujących na rozprawę. To zmielone już mięso, aresztancki półfabrykat dla GUŁagu trzymane tu było z konieczności dopóty, dopóki na Krasnej Presni nie zwolniło się trochę miejsca. Jedyny przywilej jaki się tu miało – było to chodzenie trzy razy w dzień po sałamaczce (nie dawano tu kaszy całymi dniami, ale sałamaczkę – trzy razy i tak było miłosierniej, bo jadło się częściej, było to czasem ciepłe i przyjemnie ciążyło w żołądku). Przywilej ten przyznano z tego powodu, że w cerkwi nie było wind, jak w pozostałej części więzienia, strażnicy zaś nie chcieli się nadwerężyć. Trzeba było nosić ciężkie, wielkie banie z daleka, przez całe podwórze, później wnosić je po stromych schodach, było to bardzo trudne, sił brakło, ale ludzie chętnie chodzili – byleby tylko jeszcze raz przejść się przez zielony dziedziniec i posłuchać ptasiego śpiewu.

W cerkiewnych celach oddychało się szczególnym, tutejszym powietrzem: wibrowało już od przecucia wiatru przyszłych zborniaków, od pierwszych podmuchów z polarnych obozów. W cerkiewnych celach celebrowany był rytuał przyzwyczajania się do myśli, że wyrok zapadł – i wcale nie na żarty, że – choć okrutny będzie ten nowy rozdział w twoim życiu, ale umysł powinien przemóc się i zaakceptować go. Przychodziło to z trudem.

Nie było tu także stałego towarzystwa, które ma się w celach śledczych, przez co stają się one jakby rodzajem rodziny. We dnie i w nocy wprowadzano tu i wyprowadzano ludzi pojedynczo i dziesiątkami – stąd też cały czas trwał tu ruch na podłodze i na narach i rzadko zdarzało się, aby człowiek przez dwie doby leżał koło tego samego sąsiada. Jeśli trafiało się na kogoś interesującego, to trzeba go było wypytywać bez zwłoki, inaczej traciło się człowieka z oczu na całe życie.

Przegapiłem w ten sposób ślusarza samochodowego Miedwiediewa. Gdy tylko zacząłem z nim rozmawiać, od razu sobie przypomniałem, że nazwisko to wymieniał imperator Michał. Tak, ślusarz był z tej samej sprawy, był jednym z pierwszych czytelników „Orędzia do narodu rosyjskiego”, był też jednym z tych, którzy nie donieśli. Miedwiediew dostał wyrok niewybaczalnie, haniebnie mały – zaledwie 3 lata! i to z artykułu 58, a nawet 5 lat w podobnych wypadkach uważane było za dziecinny wyrok. Widać uznano jednak imperatora za wariata, a pozostałych potraktowano łagodnie ze względów klasowych. Ale zaledwie się zdecydowałem na wypytanie Miedwiediewa – co on właściwie o tym wszystkim sądzi – już wzięto go „z rzeczami”. Były pewne podstawy do przypuszczeń, że wyszedł na wolność. Znajdowały w tym fakcie potwierdzenie pierwsze pogłoski o stalinowskiej amnestii, które tego lata do nas docierały – o amnestii dla nikogo, o amnestii, po której nawet pod narami nie zrobiło się luźniej.

Zabrano do transportu mojego sąsiada – starego schutzbundowca* (wszyscy ci schutzbundowcy, duszący się w konserwatywnej Austrii, tu, w ojczyźnie światowego proletariatu, w 1937 roku zainkasowali po dziesiątku i znaleźli śmierć na wyspach Archipelagu). I przysunął się bliżej mnie smagły człowieczek o smolistych włosach, o kobiecych oczach, przypominający czarne czereśnie, ale z nadmiernie wielkim, szerokim nosem, nadającym jego twarzy karykaturalny wyraz. Przeleżeliśmy obok siebie w milczeniu całą dobę, na drugi zaś dzień znalazł powód, aby zapytać mnie: „Za kogo mnie właściwie uważacie?”. Mówił po rosyjsku swobodnie, prawidłowo, ale z akcentem. Zawahałem się: miał w sobie coś kaukaskiego, było w nim coś z Ormianina. Uśmiechnął się: „Z największą łatwością udawałem Gruzina. Wszyscy wołali na mnie Jasza. Wszyscy śmiali się ze mnie. Zbieierałem składki związkowe”. Przyjrzałem mu się uważnie. Rzeczywiście, komiczna figura: kurdupel, twarz bez proporcji, pocziwy uśmiech. I nagle cały się sprężył, rysy mu się zaostrzyły, oczy zwężyły i ciachnął mnie nimi jak czarną szablą:

– A ja jestem – wywiadowcą rumuńskiego sztabu generalnego! Lukoțenent Vladimirescu!

I opowiedział mi historię swojego „wyczynu” na naszym zapleczu podczas wojny. Może łgał, może mówił prawdę, ale rzecz była mocna.

W ciągu całego mojego długiego więzińskiego żywota nie spotkałem już więcej prawdziwego szpiega. Jedno tylko takie miałem spotkanie w trakcie jedenastu lat więzień, obozów i zesłania; inni nie mieli nawet jednego. Wydawane zaś w ogromnych nakładach nasze komiksy tumania młodzież, utrzymując, że takich wyjącznie ludzie wytapują nasze O r g a n y.

Dość było rozejrzeć się po tej celi pocerkiewnej, aby przekonać się, że wytapują przede wszystkim młodzież. Wojna się skończyła, można sobie było pozwolić na zbytek aresztowania wszystkich upatrzonych: nie trzeba będzie ich przecie brać do szeregów. Słyszałem pogłoskę, że na przełomie roku 1944/45 przez Małą (okręgową) Łubiankę przewinęła się „partia demokratyczna”. Składała się ona podobno z pięćdziesięciu chłopców, miała swój statut i legitymacje. Najstarszy – uczeń X klasy jednej z moskiewskich szkół – był „generalnym sekretar-

* Schutzbund – austriacka organizacja robotnicza, rodzaj oddziałów ochronnych związanych z partiami socjalistyczną i komunistyczną. Brała udział w powstaniu 1934 roku, dowodzonym przez Kolomana Wallischa i krwawo stłumionym. rzem”. – Trafiali się w moskiewskich więzieniach w ostatnim roku wojny również studenci, spotkałem ich to tu, to tam. Zdawało się, że nie jestem jeszcze stary, ale oni byli jeszcze młodszy...

Jak niepostrzeżenie to się stało! Podczas gdy wojowaliśmy przez te cztery lata na froncie – ja, mój współoskarżony, moi rówieśnicy – tutaj wyrosło jeszcze jedno pokolenie! Alboż to dawno sami szlifowaliśmy posadzki uniwersyteckich korytarzy, uważając się za najmłodszych i najmądrzejszych w całym kraju i na całym świecie! – i nagle widzimy, że po flizach celi więziennej kroczą ku nam z wyniosłością jacyś wybladli młodzieńcy i oto dowiadujemy się ze zdumieniem, że najmłodszy i najmądrzejszy jesteśmy już nie my, tylko oni! Ale nie poczułem się przez to dotknięty, już wtedy rad byłem posunąć się, żeby innym zrobić miejsce. Rozumiałem dobrze tę ich pasję spierania się ze wszystkimi i ambicję, aby wszystko wiedzieć. Rozumiałem ich dumę z tego, że obrali słuszną drogę i że tego nie żałują. Dookoła tych zarozumiałych, ale mądrych głów mrowił się blask więziennych aureoli.

Miesiąc wcześniej, w innej, półszpitalnej celi butyrskiej, ledwie tylko stanąłem w przejściu, a szukałem sobie dopiero miejsca – już wyszedł mi na spotkanie z nadzieją na rozmowę, ba, z niemą prośbą o spór – bladożółty młodzieniec o twarzy naznaczonej żydowską rzewnością, opatulony, nie bacząc na letnią porę, w postrzępiony, podziurawiony szynel żołnierski; miał dreszcze. Nazywał się Borys Gammerow. Zagabnął mnie, posypały się pytania, rozmowa jednym bokiem otarła się o nasze biografie, drugim – o politykę. Nie pamiętam z jakiego powodu, wspomniałem o jednej z modlitw nieżyjącego już wtedy prezydenta Roosevelta, opublikowanej w naszych gazetach i dodałem jako rzecz oczywistą:

– No, to już na pewno hipokryzja.

I raptem żółtawe brwi mojego młodego rozmówcy drgnęły, blade wargi zacięły się, podniósł się jakby trochę i zapytał:

– Dla-cze-go to? Dlaczego nie uważacie za możliwe, by działacz państwowy mógł szczerze wierzyć w Boga?

Tylko tyle! Mniejsza, jakim naprawdę był Roosevelt, ale – z jakiej strony zostałem zaatakowany? Usłyszeć takie słowa od chłopca urodzonego w 1923 roku?... Mogłem mu dać odpowiedź w paru stanowczych słowach, ale moja pewność siebie uległa już w więzieniach zachwianiu, a co ważniejsza, tkwi w nas, niezależnie od przekonań, jakieś czyste uczucie i ono to oświeciło mnie, iż mówiłem teraz nie z własnego natchnienia, tylko że ktoś inny mi to do głowy włożył. I – nie potrafiłem dać mu odprawy. Zapytałem tylko:

– A wy wierzycie w Boga?

– Oczywiście – odparł ze spokojem.

Oczywiście? Oczywiście... Tak, tak. Komsomolska młodość już gubi liście, już wszędzie gubi liście. I NKGB zdało sobie z tego sprawę wcześniej niż tylu innych.

Nie bacząc na swoją młodość, Boria Gammerow nie tylko zdążył już powojować – jako sierżant w przeciwczołgowej baterii czterdziestek piątek, zwanych „żegnaj, Ojczyzno!”, lecz także dostać kulę w płuca. Rana dotychczas nie była wyleczona, co stało się powodem procesu gruźliczego. Gammerow zwolniony został z szeregów jako inwalida, wstąpił na wydział biologii Uniwersytetu Moskiewskiego i w ten sposób przeplotły się w nim dwa pasma – jedno wysnute z żołnierki, drugie – z całkiem niegłupiego i wcale niemartwego – życia* studenckiego pod koniec wojny. Zebrało się więc całe kółko ludzi, którzy rozmyślali i rozprawiali o przyszłości (choć nikt im nie kazał) – i właśnie wśród nich doświadczone oko Organów wytypowało sobie i wyrwało trzech chłopców.

Ojciec Gammerowa został załuczony w więzieniu czy też rozstrzelany w 37. roku, a teraz syn rwał się, by iść w jego ślady. Podczas badań przeczytał z uczuciem śledczemu kilka swoich wierszy (bardzo żałuję, że nie zapamiętałem ani jednego z nich, nie mogę ich znaleźć, a chętnie bym przytoczył).

Na parę miesięcy szlak mój skrzyżował się z losami wszystkich trzech współoskarżonych: w innej jeszcze butyrskiej celi poznałem Wiaczesława Dobrowolskiego.

Później jeszcze dogonił mnie w butyrskiej cerkwi Georgij Ingał, najstarszy z nich. Nie bacząc na młody wiek, był już kandydatem Związku Pisarzy. Pióro miał żywe i ostre, pisząc – używał barw kontrastowych, gdyby był politycznie potulniejszy, to bez trudu otwartyby się przed nim efektywne i bezludne drogi kariery literackiej. Pisał powieść o Debussy, prawie już ją zakończył. Ale pierwsze sukcesy go nie wyjałowiły. Na pogrzebie swego mistrza, Jurija Tynianowa* powiedział

w przemówieniu, że zmarłego pisarza zaszczyto – czym zapewnił sobie wyrok: 8 lat.

Tu z kolei dogonił nas Gammerow i czekając na moją Krasną Presnię, miałem okazję popaść w kolizję z ich wspólnymi poglądami. Była to trudna dla mnie przeprawa. Byłem w tym czasie bardzo gorliwym zwolennikiem sposobu myślenia, który nie pozwalał na akceptację nowego

* Znakomity historyk literatury, filolog i powieściopisarz rosyjski (Archaiici i nowatorzy, Śmierć Wazyr–Muchtara, Kuchta), jeden z filarów tzw. szkoły formalistycznej. fakt, ani na ocenę wartości żadnej nowej opinii – zanim się nie znalazło dla nich etykietek z gotowego zapasu. Tu – nie wiadomo było, czy to dwoistość burżuazyjnego myślenia, czy też nihilizm zdeklasowanej inteligencji. Nie pamiętam, by Ingał i Gammerow atakowali Marksa w mojej obecności, ale pamiętam, jak szarżowali na Lwa Tołstoja – i to z jakiej strony! Tołstoj odrzucał doświadczenie cerkwi? Ale przecież nie brał pod uwagę jej roli mistycznej i organizującej! Negował tezy Pisma Świętego? Ale współczesna nauka nie widzi w Biblii sprzeczności, nawet w jej pierwszych zdaniach, poświęconych stworzeniu świata. Przeczył potrzebie istnienia państwa? Ale przecież bez niego będzie chaos! Głosił harmonijne zespolenie pracy fizycznej z umysłową w jednym człowieku? Ależ to bezmyślna niwelacja talentów! I wreszcie – jak tego dowiódł nam Stalin swoimi aktami samowoli – jednostka może okazać się decydującym czynnikiem dziejów, Tołstoj zaś natrzęsał się z tego poglądu!

Chłopcy recytowali mi swoje wiersze i żądali moich w zamian, ja zaś nie miałem jeszcze nic w zapasie. Szczególnie często cytowali Borysa Pasternaka, którego cenili nade wszystko. Czytałem niegdyś jego tom Życie, moja siostra i poezja ta nie podobała mi się, wydawała mi się bardzo już odległa od zwykłych, ludzkich szlaków. Ale chłopcy otworzyli mi oczy na piękności ostatniego słowa lejtnanta Szmidta* na jego procesie – i przeszył mnie na wskroś sens tych słów, bo tak bardzo przylegał do naszej sytuacji:

Miłością kraju ojczystego

Żyłem od łat zarania.

Nie dbam o litość – i żadnego

Nie czekam zmiłowania.

Od Ingała i Gammerowa bił właśnie blask tegoż przeświadczenia: nie chcemy waszej litości! Więzienie nas nie zgnębiło, dumni jesteśmy, że siedzimy! (Chociaż – kto w istocie nie czuje się tu zgnębiony? Młoda żona Ingała po kilku miesiącach wyrzekła się go i porzuciła. Gammerowowi zaś rewolucyjne dociekania nie zostawiły czasu na znalezienie

4 Zarówno przed, jak po aresztowaniu długo jeszcze uważałem, że Stalin pchnął w fatalnym kierunku rozwój państwowości sowieckiej. Ale oto Stalin umarł cicho – i czy tak bardzo się zmienił kurs okrętu? Własną, osobistą cechą, którą Stalin nadal charakterowi bieżących wypadków, była przygnębiająca tępota, siebie-państwo, samouwielbienie. Co do reszty – to kroczył trop w trop przetartym już przez Lenina torem realizując projekty swego wroga, Trockiego.

* Mowa o poemacie Lejtnant Szmidt, którego bohaterem jest szlachetny i tragiczny przywódca powstania we flocie wojennej Morza Czarnego w 1905 roku, skazany na śmierć w Sewastopolu. (sobie kogoś bliskiego). Czy nie tu właśnie, w celach więziennych, zdobywa się świadomość wielkiej prawdy? Cela jest cia-

sna, ale czy s w o b o d a nie jest jeszcze ciaśniejsza? Czy to nie nasz własny naród, zadręczony i oszukany, leży obok nas pod narami i w przejściu między nimi?

Nie powstać, kiedy kraj mój wstaje –
Byłoby ponad siły.
I nie żałuję ani stai
Z tej drogi, co przebyłem.

Młodzież siedząca w celach więziennych za politykę – to nie jest nigdy młodzież przeciętna, zawsze są to ludzie, którzy wysforowali się daleko do przodu. Zasadnicza masa ówczesnej młodzieży miała się dopiero w przyszłości „poddąć rozkładowi” i rozczarowaniu, miała zobojętnieć, polubić słodkie życie – aby kiedyś, znacznie później, z dna tej zacisznej zapadliny rozpocząć znowu gorzką wspinaczkę na nowe zbocza – może za dwadzieścia lat? Ale młodziutcy więźniowie 45. roku, ze swoim artykułem 58–10, całą tę przyszłą przepaść obojętności przesadzili jednym skokiem i dzielnie nieśli głowy – w górę, pod topór.

W butyrskiej cerkwi, już osądzeni, już odrąbani, już odłączeni, moskiewscy studenci ułożyli pieśń i śpiewali ją o zmierzchu, nieskładnymi jeszcze głosami:

Sałamachę jemy tu wystygłą,
Lecz na pieśniach schodzą nam wieczory
I więzienną, przemycaną igłą
Scibolimy już tułaczę wory.
Już nas własne nie obchodzą biedy,
Podpisałeś – więc wszystko masz z głowy.
Czy ktokolwiek powróci? I kiedy?
Zza sybirskich drutów obozowych?

Boże mój, więc pokpiłismy całą sprawę? Podczas gdy taplaliśmy się w glinie przyczółków, kuliliśmy się w lejach bombowych, wysuwaliśmy artyleryjskie lornety zza krzaków – tutaj zdążyła wyrósć i ruszyć przed siebie nowa młodzież! Czy nie w TĘ WŁAŚNIE STRONĘ ruszyła, nie tam, gdzie nie ośmielaliśmy się nawet spojrzeć? – cóż, dano nam inne wychowanie.

Nasze pokolenie wróci, odda broń i dzwoniąc orderami opowiadać będzie z dumą o swoich bitewnych przewagach – a młodzi bracia tylko się skrzywią: ech, wy niedołęgi!...

Koniec części drugiej

Aleksander Sołżenicyn

ARCHIPELAG Gułag

Tom 2

Autoryzowany przekład z rosyjskiego:

Jerzy Pomianowski

CZĘŚĆ TRZECIA

OBOZY PRACY MORDERCZEJ

„Tylko ci nas mogą zrozumieć, co jedli z nami z jednej miski”.

(Z listu huculki, byłej zeczki)

To, co powinno znaleźć odbicie w tej części książki – jest nieogarnione. Aby zgłębić i pojąć cały sens tej sprawy – należałoby niejedno życie strawić w obozach – w tych obozach, w których nawet jednego roku nie sposób odsiedzieć w całości bez jakichś ulg, bo stworzono te obozy dla ludzkiej ZAGŁADY.

Dlatego też ci, co sięgnęli głębiej, ci, co zaznali więcej – są już w grobie i nic nie powiedzą. Tego, co NAJWAŻNIEJSZE nikt nigdy już o tych obozach nie opowie. I nie sprosta pojedyncze pióro opisowi całej tej historii, całej tej prawdy. Patrzyłem na Archipelag jakby tylko przez wyzior, nie mogłem ogarnąć go spojrzeniem jak z wieży. Ale na szczęście wychynęło na powierzchnię już parę innych książek – i jeszcze wychynie. Być może czytelnik „Opowiadań kołymskich” Warlama Szalamowa będzie miał ściślejsze pojęcie o bezlitosnej atmosferze Archipelagu i o granicach ludzkiej rozpacz.

Zresztą, dość jednego łyku, by poznać gorycz morza.

1. PALCE AURORY

Różanopalca Eos, o której tak często napomyka Homer, zwana przez Rzymian Aurorą, uświetniła swoim dotknięciem już sam świt Archipelagu.

Gdy nasi współobywatele dowiedzieli się z audycji BBC, że M. Michajłow dowiódł rzekomo, iż obozy koncentracyjne istniały w naszym kraju już w 1921 roku – wielu z nas (podobna była zresztą reakcja Zachodu) doznało szoku: więc już wtedy? Więc już w 1921?

Oczywiście, że nie! Michajłow myli się, rzecz jasna. W 1921 roku obozy koncentracyjne były już w rozkwicie (ba, nawet już przekwitały.) Słuszniej byłoby twierdzić, że Archipelag narodził się przy wtórze salw Aurory.

Jak zresztą mogło być inaczej? Zastanówmy się chwilę.

Czyż Marks i Lenin nie twierdzili, że stary, burżuazyjny aparat przymusu należy unicestwić – i w zamian stworzyć nowy? Aparat przymusu składa się zaś z: armii (wcale już nas nie dziwi, że Armię Czerwoną stworzono w początkach 1918 roku, policji (milicja została odtworzona jeszcze wcześniej niż armia), sądów (poczynając od 24 listopada 1917 roku), a także – więzień. Czemuż to, proklamując dyktaturę proletariatu, miano zwlekać z utworzeniem więzień nowego typu?

Bo też sprawa więzień, starych czy jakichś tam nowych, w ogóle nie cierpiała zwłoki. Już w trakcie pierwszych porewolucyjnych miesięcy Lenin domagał się stosowania „najsurowszych, drakońskich wręcz środków w celu podtrzymania dyscypliny”. A czy owe drakońskie środki możliwe są – bez więzień?

1 Lenin, *Dzieła Zebrane*, wyd. roś. V, t. 36, str. 217.

Jakie innowacje w tej dziedzinie mogło wprowadzić państwo proletariackie? Iljicz szukał nowych dróg po omacku. W grudniu 1917 roku wysuwa on, tytułem propozycji, taki oto zestaw kar: „konfiskatę całego mienia... więzienie, wystąpienie na front i roboty przymusowe – dla każdego, kto niniejsze prawo pogwałci²”. Możemy zatem stwierdzić, że naczelna idea Archipelagu – roboty przymusowe znalazła wyraz już miesiąc po Rewolucji Październikowej.

Ale przyszłemu systemowi kar Iljicz poświęcił zapewne chwilę zadumy jeszcze wtedy, gdy siedział spokojnie w Razliwie* wśród zapachu zżętego siana i brzęczenia trzmieli. Już wtedy wszystko sobie wykalkulował i uspokoił nas, że „pokonanie wyzyskującej mniejszości przez większość, złożoną z wczorajszych niewolników, jest sprawą stosunkowo tak łatwą, prostą i naturalną, że pociągnie to za sobą o wiele mniejszy rozlew krwi... i o wiele mniejsze koszty ludzkie”, niż gnębienie większości przez mniejszość, co miało miejsce dotychczas³.

I jakie też były koszty ludzkiego tego „stosunkowo tak łatwego” pognębienia wewnętrznego wroga od chwili wybuchu październikowej rewolucji? Oto kilka cyfr, znalezionych przez specjalistów od statystyki. Profesor J.A. Kurganow: od 1917 do 1959 zginęło – nie licząc strat poniesionych przez walczące armie, a biorąc pod uwagę jedynie ofiary terroru, tłumienia buntów, głodu, wyniszczającego reżymu w łagrach i doliczając do tego deficyt demograficzny, to jest spadek liczby narodzin – dochodzi się do cyfry 66,7 milionów ludzi (nie licząc zaś owego deficytu – 55 milionów). Historyk ekonomii M. Bernstam: w latach 1917–1956 ofiar terroru, tłumienia buntów, przymusowych robót i sztucznie organizowanego głodu było ponad 55 milionów.

Kto – swój czy obcy – nie oniemieje na widok tych cyfr?

Ciekawe byłoby przytoczenie tutaj jeszcze kilku liczb, choćby dla porównania. Ilu pracowników etatowych liczył w centrali ów budzący strach carski III Oddział, któ-

rego ślad jak chlaśnięty rzemieniem, biegnie przez całe dzieje wielkiej literatury rosyjskiej? W chwili utworzenia – 16 ludzi, w momencie największego rozkwitu – 45. Liczba śmieszna, nawet jeśli wziąć pod uwagę Gub–Czekę z najdalszej prowincji. Albo – ilu też więźniów politycznych zastała w carskim Więzieniu Narodów rewolucja Lutowa? (trzeba pamiętać, że w dawnej Rosji do „więźniów politycznych” 2 Lenin, ibidem, t. 35, str. 176.

W miejscowości Razliw opodal Piotrogradu Lenin ukrywał się (wraz z Zinowiewem) po wypadkach lipcowych 1917 roku; rząd Kiereńskiego groził mu aresztowaniem. 3 Lenin, Dzieła, wyd. roś. V, t. 33, str. 90.

10
zaliczano także uczestników „eksów”, tj. ekspropriacji i napadów na banki oraz wykonawców mordów politycznych). Wszystkie te dane gdzieś przecież można znaleźć. Prawdopodobnie w samych Krestach takich więźniów było ponad 50, a w Szlisselburgu 63 ludzi, prócz tego kilkuset wróciło z syberyjskiego zesłania i ciężkich robót (z Aleksandrowskiego Więzienia Centralnego wyszło na wolność około 200 ludzi). A iluż to jeszcze siedziało w gubernialnych więzieniach! A właśnie, ciekawe – ilu? Oto cyfra dotycząca Tambowa, wzięta wprost z tambowskich gazet. Rewolucja lutowa po otwarciu na oścież wrót tambowskiego więzienia znalazła tam... 7 (siedmiu) więźniów politycznych. W Irkucku było ich znacznie więcej – bo 20.

Owszem, guberni było ponad 40 (zbędne chyba jest przypominanie, że między lutym a lipcem w ogóle nikogo nie wsadzano za politykę, po lipcu zaś siedzieli w więzieniach nieliczne jednostki i to w sielskich raczej warunkach).

Ale masz ci los: pierwszy rząd sowiecki był rządem koalicyjnym, część resortów trzeba było jednak oddać lewicowym eserom; w ich rękach znalazł się też nie-szczęściem Ludowy Komisariat Sprawiedliwości. Kierując się zgniłymi, drobnomieszczańskimi poglądami na sprawę wolności, komisariat ten doprowadził system kar do zupełnej niemal ruiny, ferował wyroki, jak się okazało zbyt łagodne, a nadto nie stosował prawie w swojej praktyce przodującej zasady robót przymusowych. W lutym 1918 roku przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, tow. Lenin, zażądał zwiększenia ilości miejsc odosobnienia i wzmoczenia represji⁴, w maju zaś, decydując się na konkretną ingerencję, zalecił⁵, aby za łapownictwo dawać nie mniej niż 10 lat więzienia, a ponadto 10 lat robót przymusowych, w sumie więc 20. Skala taka mogła z początku wydawać się manifestacją pesymizmu: jak to, więc nawet za 20 lat trzeba będzie jeszcze stosować roboty przymusowe? Ale my już wiemy, że roboty te okazały się nader praktycznym środkiem i że nawet po upływie lat 50 nie przestały być popularne.

Personel więzienny jeszcze wiele miesięcy po Październiku był wszędzie carski, tyle że wyznaczono komisarzy więzień. Rozzuchwaleni funkcjonariusze więzień stworzyli własny związek zawodowy („Związek Pracowników Zakładów Karnych”) i wprowadzili zasadę wyboru szarż administracyjnych! (Jedyny to wypadek w całej historii Rosji!). Więźniowie też nie pozostawali w tyle – mieli również własny samorząd (Okólnik Komisariatu Sprawiedliwości z 24. IV. 1918 roku: „wszędzie, gdzie to możliwe, należy

4 Lenin, Dzieła, wyd. roś. V, t. 54, str. 391.

5 Lenin, Dzieła, t. 50, str. 70.

więźniów wdrażać do autokontroli i samorządu"). Takie aresztanckie sobiepaństwo („anarchistyczne rozpasanie”) nie odpowiadało, rzecz naturalna, celom dyktatury przodującej klasy i niełatwo dawano się pogodzić z akcją oczyszczania rosyjskiej gleby ze szkodliwych insektów. (O czym tu mówić, jeśli nawet więzienne kaplice nie zostały zamknięte i nasi, sowieccy aresztanci chętnie tam bywali w każdą niedzielę, choćby po to, by rozprostować kości!).

Carscy klucznicy nie byli, rzecz jasna, elementem zupełnie dla sprawy proletariatu straconym, w końcu był to fach ważny dla osiągnięcia bezpośrednich celów rewolucji. Dlatego też należało „wytypować takich przedstawicieli administracji więziennej, którzy nie całkiem zatwardzieli i otępieli od drylu panującego w carskim więzieniu (ale co to znaczy „nie całkiem”? jak to stwierdzić? że zapomnieli słów hymnu „Boże, chroń nam cara”?) i mogą jeszcze być wykorzystani do pracy w nowych warunkach” (na przykład – potrafią sprawnie raportować: „tak jest” i „melduję posłusznie, że nie!”, albo szybko zamykać i otwierać zamki?). Ma się rozumieć, że same te więzienne budynki, cele, kraty i rygle, choć na pierwszy rzut oka wyglądały wciąż tak samo – w istocie otrzymały nową treść klasową, wzniosły rewolucyjny sens.

Jednakże – aż do połowy 1918 roku – sądy siłą przyzwyczajenia i bezwładu stosowały wobec wszystkich skazanych tylko i wyłącznie kary więzienia, co hamowało proces destrukcji tych części starego aparatu władzy, które miały związek z więziennictwem.

W połowie 1918 roku, a mianowicie dnia 6 lipca, miało miejsce wydarzenie, którego znaczenia wcale nie wszyscy rozumieją, wydarzenie określane jako „stłumienie buntu lewicowych eserów”. Tymczasem zaś był to przełom o znaczeniu chyba nie mniejszym niż przewrót 25 października. 25 października proklamowana była władza Sowietów–Delegatów – stąd też termin – władza sowiecka. Ale w trakcie pierwszych miesięcy charakter tej nowej władzy jeszcze był poważnie zmącony przez udział przedstawicieli innych, niebolszewickich partii. Aczkolwiek rząd koalicyjny sformowany był tylko z bolszewików i lewicowych eserów, jednak w składzie Wszech–rosyjskich Zjazdów Sowietów (II, III i IV) i wybranych na nich WCIK–ów (Wszechrosyjskich Centralnych Komitetów Wykonawczych) trafiali się jeszcze przedstawiciele innych partii socjalistycznych – socjalrewolucjonistów, socjaldemokratów, anarchistów, ludowych socjalistów i in. Stąd też WCIK–i nosiły niezdrowy charakter „parlamentów socjalistycznych”.

Sowiecka Sprawiedliwość, dzieło zbiorowe, Moskwa 1919, str. 20.

12

W ciągu pierwszych miesięcy 1918 roku szereg zdecydowanych akcji (popartych przez lewicowych eserów) pozwolił wszelako na usunięcie z łona WCIK reprezentantów innych ugrupowań socjalistycznych (mocą decyzji większości członków tego organu, na co dawała prawo swoista interpretacja procedury parlamentarnej) bądź na niedopuszczenie do ich wyboru. Ostatnim z ciał obcych, stanowiącym, trzecią część owego gremium parlamentarnego (V Zjazdu Sowietów), była partia lewicowych eserów. W końcu można było pozbyć się również tego balastu. 6 lipca 1918 roku lewicowi eserzy zostali co do jednego usunięci z WCIK i Sownarkomu. Tym samym – władza Sowietów Delegatów (tradycyjnie zwana dalej władzą sowiecką) przestała stanowić przeciwwagę w stosunku do woli partii bolszewickiej i przybrała kształt Demokracji Nowego Typu.

Dopiero więc od tej historycznej daty mogła zacząć się na serio przebudowa starego aparatu penitencjarnego i konstrukcja Archipelagu⁷.

Kierunek tej rekonstrukcji był zaś od dawna jasny. Przecież już Marks w Krytyce programu gotajskiego twierdził, że praca produkcyjna jest jedynym środkiem poprawy przestępców. Oczywiście – jak to później wykazał Wyszyński – „nie ta praca, co wysusza ludzkie rozумы i serca”, lecz owa „czarodziejka (!), która ma moc wydobywania ludzi z niebytu i dna nik-czemności, czyniąc z nich bohaterów⁸”.

A dlaczego nasz więzień nie może wątkonić się w celi lub tam sylabizować jakichś książeczek, tylko powinien się trudzić? A dlatego, że w Republice Rad nie ma miejsca na przymusowe próżniactwo, na „pasożytnictwo z urzędu⁹” jakie w takim na przykład Szlisselburgu licować mogło z carskim pasożytniczym ustrojem. Takie więzienne próżniactwo przeczyłoby po prostu samym zasadom opartego na pracy ustroju Republiki Sowieckiej zasadom uświęconym przez konstytucję z 10 sierpnia 1918 roku: „Kto nie pracuje, ten nie je”. Gdyby więc więźniowie nie mieli pracować, to – wedle naszej konstytucji – powinni być także pozbawieni wiktów. Centralny Wydział Kar Komisariatu Sprawiedliwości¹⁰, utworzony w maju 1918 roku, natychmiast zapędził ówczes-

⁷ Wyszyński tak to formułuje w swojej drewno-napuszonej mowie: „...jedyny w świecie, mający uniwersalne, historyczne znaczenie proces tworzenia na gruzach burżuazyjnej sieci więzień – owych ‘martwych domów’, budowanych przez wyzyskiwaczy dla mas pracujących – nowych instytucji, pełnych nowego sensu społecznego”. (Dzieło zbiorowe, *Od więzień do zakładów wychowawczych*, wydawnictwo „Sowieckie Prawodawstwo”, Moskwa 1934, przedmowa).

⁸ Ibidem, str. 10.

⁹ Ibidem, str. 103.

¹⁰ Po zawarciu pokoju brzeskiego lewicowi eserzy przestali wchodzić w skład rządu i Komisariat Sprawiedliwości przejęli bolszewicy.

13

nych aresztantów do pracy („zabrał się do organizacji pracy produkcyjnej”). Ale dotyczące tej sprawy akta prawne zostały ogłoszone już po lipcowym przewrocie, mianowicie 23 lipca 1918 roku, w „Tymczasowej instrukcji o pozbawieniu wolności¹¹”: „Osoby skazane na karę pozbawienia wolności, a zdolne do pracy – mają być w trybie obowiązkowym kierowane do pracy fizycznej”.

Rzec można, że od tej oto Instrukcji z 23 lipca 1918 roku (wszystkiego dziewięć miesięcy od Rewolucji Październikowej) zaczyna się historia obozów, że tu rodzi się Archipelag. (Kto ośmielił się zarzucić, że poród był przedwczesny?).

Potrzeba zaprzęgnięcia aresztantów do prac przymusowych (i tak zresztą dla wszystkich już oczywista) naświetlona została na VII Wszechzwiązkowym Zjeździe Sowietów: „praca jest najlepszym środkiem mogącym zapobiec niszczącemu skutkom... bezsensownych rozmów toczonych przez więźniów, w trakcie których bardziej doświadczeni instruuja nowicjuszy¹²... (aha, o to więc chodziło!...).

Wkrótce miały się też zacząć komunistyczne subbotniki* i tenże Komisariat Sprawiedliwości nakazał: „Konieczne jest wdrożenie (więźniów) do komunistycznej, kolektywnej pracy¹³”. Postanowiono więc duch owych komunistycznych „subbotników” przeflancować do obozów pracy przymusowej!

Tak oto epoka pierwszego rozpędu nagromadziła z punktu mnóstwo zadań, jakie rozwiązywać trzeba było później przez całe dziesięciolecie.

Zasady polityki pracy poprawczej włączone zostały na VIII Zjeździe RKP(b) – w marcu 1919 roku – wprost do nowego programu partii. Organizacyjne zaś podstawy dla objęcia obszaru Rosji Sowieckiej siecią obozów stworzone zostały dokładnie w momencie wprowadzenia pierwszych komunistycznych „subbotników”, dni pracy ochotniczej (12 kwiecień – 17 maj 1919 rok): uchwały WCIK, dotyczące obozów pracy przymusowej powzięto 15 kwietnia i 17 maja 1919 roku¹⁴. Na ich podstawie obozy pracy przymusowej miały być tworzone (staraniem Gubernialnych Cze-Ka) obowiązkowo w każdym mieście gubernialnym (żeby było najwy-
11 Obowiązywała przez całą wojnę domową aż do listopada 1920 roku.

12 Sprawozdanie Komisariatu Sprawiedliwości złożone Wszechzwiązkowemu Zjazdowi Sowietów, str. 9.

Wprowadzone na apel Lenina godziny dobrowolnej pracy przy robotach publicznych – po zakończeniu roboczego tygodnia.

13 Materiały Kom. Sprawiedliwości, wyd. UP, str. 137.

14 Rocznik Ustaw RSFSR z 1919 roku, Nr 12, str. 124 i Nr 20, str. 235.

14

godniej – w granicach zabudowy miejskiej albo w jakimś klasztorze czy w którymś z okolicznych folwarków) i w niektórych powiatach (chwilowo jeszcze nie we wszystkich). Każdy obóz miał być obliczony na co najmniej 300 więźniów (po to, aby dochody z pracy aresztantów mogły pokryć koszty utrzymania straży i administracji) – i znajdował się w zarządzie gubernialnych organów ścigania. Te pierwsze obozy pracy poprawczej wydają się nam teraz jakąś abstrakcją. Wygląda na to, że ludzie, którzy w nich siedzieli, nic nikomu nie opowiedzieli – bo jakichkolwiek relacji brak. W beletrystyce, w drukowanych wspomnieniach, tam gdzie mowa o komunizmie wojennym, napomyka się o rozstrzeliwaniu i więzieniach, ale o obozach nikt nic nie pisze. Nie ma o nich mowy nawet między wierszami ani w uwagach poza tekstem. Gdzie były te obozy? Jak się zwały...? Jak wyglądały?...

Instrukcja z 23. VII. 1918 roku zawierała pewien brak, podkreślany zgodnie przez wszystkich pracowników: nie było w niej żadnej wzmianki na temat klasowego zróżnicowania więźniów, czyli wskazania, że jednych z nich należy traktować gorzej, innych zaś – lepiej. Ale zawierała ona przepisy o trybie wykonywanej pracy – i dlatego to i owo możemy sobie wyobrazić. Ustalona była długość dnia roboczego: 8 godzin. Z rozpędu, z niedoświadczenia – postanowiono płać więźniom za wszelkie prace, wyjąwszy roboty porządkowe w obozie... (potworność, pisać hadko)... 100 % sumy ustalonej przez związki zawodowe w odpowiednich umowach zbiorowych! (zmuszano do pracy zgodnie z konstytucją, ale też zgodnie z konstytucją płacono, co prawda, to prawda); skądinąd z wypłaty potrącano koszt utrzymania obozu i straży. „Sumienni” mogli liczyć na ulgi: pozwalano im mieszkać poza obozem, a przychodzić tylko do roboty. Za „szczególne zamiłowanie do pracy” obiecywano przedterminowe zwolnienie. Na ogół zaś, brak było szczegółowych wskazówek co do regimeu obozowego i w każdym obozie panowały inne porządki. „W okresie wznoszenia zrębów nowej władzy i biorąc pod uwagę wielkie przepełnienie zakładów karnych (! – kursywa nasza – A. S.), nie sposób było myśleć o regulaminach, skoro całą uwagę poświęcano sprawie rozładowania więzień¹⁵”. Człowiek czyta te słowa tak, jakby miał w ręku babilońskie tabliczki z pismem klinowym. Ileż pytań musi sobie zadać: co właściwie działo się w tych nieszczęsnych więzieniach? Jakie to procesy społeczne wywołały takie

przepełnienie? I czy za tym ROZŁADOWANIEM kryło się rozstrzeliwanie, czy wysyłanie do obozów? I co to znaczy – że nie sposób było

Materiały Ludowej Komisji Sprawiedliwości, 1920, tom VII.

15

zawracać sobie głowy regulaminami? – czy to znaczy, że Komisariat Sprawiedliwości nie miał czasu na zajmowanie się ochroną więźniów przed samowolą lokalnych naczelników? Bo jakże inaczej to rozumieć? Instrukcje w sprawach regulaminu nie istniały, a zatem w tych latach rewolucyjnej świadomości prawnej każdy sobie-pan mógł robić z więźniem wszystko, co mu strzeliło do łba?

Dowiadujemy się ze skromnej statystyki (zawartej w tym samym dziełku zbiorowym *Od więzień do...*), że praca w obozach sprowadzała się w zasadzie do prymitywnych i ciężkich robót. W 1919 roku zaledwie 2,5 % więźniów pracowało w warsztatach, w 1920 – 10 %. Wiadomo też, że w końcu 1918 roku Centralny Oddział Kar (też nazwa! ciarki przechodzą) wszczął starania o utworzenie kolonii rolnych. Wiadomo, że w Moskwie stworzono kilka brygad więźniarskich zajmujących się remontem wodociągów, kotłowni i kanalizacji w uspołecznionych budynkach miejskich. (I ci – zapewne pracujący bez eskorty – aresztanci snuli się ze swoimi śrubokrętami, lutownicami i rurami po całej Moskwie, po korytarzach instytucji, po mieszkaniach ówczesnych wybitnych osobistości, wezwani telefonicznie do remontu przez ich żony – ale jakoś nie ma o nich wzmianki w niczyich pamiętnikach, nie ma ich w żadnej sztuce, w żadnym filmie). A jeżeli takich specjalistów wśród więźniów nie znajdowano? Wolno przypuszczać, że ich wtedy umyślnie dosadzano.

Dalszych wiadomości o więziennie-oboźowym systemie, tak jak to wyglądało pod koniec 1922 roku, dostarcza nam – szczęśliwie ocalały i przeznaczony dla X Zjazdu Sowieców – raport naczelnika wszystkich zakładów karnych RSFSR, towarzysza J. Szyrwindta*. W roku tym po raz pierwszy połączone zostały wszystkie zakłady karne ministerstwa sprawiedliwości i NKWD (oprócz specjalnych zakładów, podlegających GPU) w jeden organizm zwany GUMZak – i umieszczone pod opiekuńczym skrzydłem towarzysza Dzierżyńskiego (piastując pod drugim ze swoich skrzydeł zakłady karne i śledcze GPU, nienasycony Dzierżyński chciał opiekować się także całą resztą). GUMZak miał w swojej pieczy 330 miejsc odosobnienia, w których znajdowało się ogółem 80–81 tysięcy pozbawionych wolności osób. Przybyło ich w porównaniu z rokiem 1920: „w roku bieżącym stwierdzić można stały wzrost liczby osób przebywających w zakładach karnych”. Ale z tej samej broszury dowiadujemy się (str. 20), że – wliczając również więźniów GPU – liczba osób pozbawionych wol-

RSFSR. Głównoje Uprawlenije Miestami Zakluczenija NKWD. Więziennictwo w 1922 roku, Moskwa, Drukarnia Moskiewskiego Gubernialnego Więzienia Tagańskiego.

16

ności nigdy nie była mniejsza niż 150 tysięcy, a czasami dochodziła do 195 tysięcy. „Liczba osób znajdujących się w miejscach odosobnienia staje się wielkością coraz bardziej stałą” (str. 10), „Procent więźniów pozostających w dyspozycji rewtrybunatów, nie tylko się nie zmniejsza, ale przejawia określoną tendencję do stałego wzrostu” (str. 13). W miejscach zaś niedawnych zamieszek i buntów ludowych – w centralnych, czarnoziemnych guberniach, na Syberii, na północnym Kaukazie, nad Donem – więźniowie śledczy stanowią 40–43 % wszystkich uwięzionych, co świadczy o istnieniu dobrych widoków na wzrost liczby łagrów.

W skład GUMZaku w 1922 roku wchodziły: domy pracy poprawczej (czyli zakłady dla więźniów po wyroku), domy aresztu prewencyjnego (czyli więzienia śledcze), więzienia etapowe, kwarantanny, izolatory (ortowski izolator „nie jest w stanie pomieścić wszystkich niepoprawnych przestępców”, do tej kategorii zaliczają się też odrodzone „Kriesty”, które tak cudownie się otwały w lutym 1917 roku), kolonie rolnicze (gdzie się ręcznie karczowało krzaki i pniaki), domy pracy dla niepełnoletnich i – obozy koncentracyjne. Kwitnące więziennictwo! W więzieniach „na każde pięć miejsc przypada ponad sześciu więźniów, nadto jest wiele takich domów poprawczych, gdzie na jedno miejsce przypada ponad trzech ludzi” (str. 8). Dowiadujemy się sporo o stanie budynków (więziennych i obozowych): doszły do takiej ruiny, że nie odpowiadają najbardziej elementarnym standardom sanitarnym, „są tak zniszczone, że... całe korpusy i nawet całe domy poprawcze trzeba było pozamykać” (str. 17). Sprawa wiktów: „W 1921 roku miejsca odosobnienia znalazły się w ciężkiej sytuacji – nie było wystarczającej ilości przydziałów dla uwięzionych”. W 1922 roku, w związku z decentralizacją systemu finansowania „sytuacja materialna miejsc odosobnienia stała się nieomal katastrofalna” (str. 2), miejscowe komitety wykonawcze odmawiały wręcz wydawania żywności na potrzeby więźniów. W początkach roku GOSPlan (Państwowa Komisja Planowania) przeznaczył 100.000 racji żywnościowych, przy liczbie więźniów równej 150.000–195.000; normy żywienia zostały zmniejszone, pewnych rodzajów prowiantu w ogóle nie wydawano (trzy czwarte więźniów otrzymywało poniżej 1500 kalorii dziennie), a z dniem 1 grudnia 1921 roku wszystkie miejsca odosobnienia, prócz 15 więzień ogólnoparostwowego znaczenia, w ogóle przestały otrzymywać planowe przydziały. „Więźniowie głodowali” (str. 41).

Państwo bardzo a bardzo chciało mieć swój Archipelag, tylko nie miało czym go żywić!

Płace za roboty – już zostały obniżone. „Zaopatrzenie w absolutnie niewystarczające... można się spodziewać, że przy/

2 – Archipelag Gułag t. 11

charakter katastrofalny” (str. 42). „Brak opatu dał się odczuć prawie wszędzie”. Ten stan rzeczy musiał odbić się także na sytuacji personelu. „Większość nadzorców dosłownie ucieka z miejsc pracy, niektórzy zaś spekulują do spółki z więźniami” (str. 43) – a ilu ich jeszcze okradało uwięzionych! „Obserwuje się znaczny wzrost liczby przestępstw służbowych wśród personelu, bo głód zmusza ludzi do tego”. Wielu strażników przeniosło się na lepiej opłacane stanowiska. „Istnieją domy poprawcze, w których został tylko komendant z jednym strażnikiem”. (Można wyobrazić sobie, co to za komendant). I – „trzeba w takich wypadkach zatrudniać w charakterze nadzorców nawet samych więźniów, wybierając tych, co się najlepiej sprawują”.

Jaką też trzeba było mieć dzierżyńską siłę ducha i wiarę w skuteczność komunistycznych kar, aby utrzymać ten wymierający Archipelag na drodze ku świetlanej przyszłości, zamiast pozwolić mu rozejść się do domów!

Ale obozy pracy przymusowej nie były wcale pierwszymi obozami w RSFSR. Czytelnik już kilkakrotnie napotkał w cytatach z wyroków rewtrybunałów (Cz. I, rozdział 8) termin „obóz koncentracyjny” i mógł pomyśleć, że to lapsus, że stosujemy tu nieopatrzenie terminologię późniejszej daty? Otóż nie.

W sierpniu 1918 roku, kilka dni przed zamachem Fanny Kapłan, Włodzimierz Iljicz w depeszy do Eugenii Bosz16 i penzeńskiego gubernialnego komitetu wyko-

nawczego (nie dawano tam sobie rady z powstaniem chłopskim) napisał: „osoby podejrzane (nie „winne” czegokolwiek, lecz podejrzane – A. S.) zamknąć w podmiejskim obozie koncentracyjnym¹⁷”. (A prócz tego – „...wprowadzić bezwzględny, masowy terror...” – a nie było jeszcze odnośnego Dekretu).

5 zaś września 1918 roku, dziesięć dni po nadaniu tej depeszy, wydany został Dekret Sownarkomu o Czerwonym Terrorze, podpisany przez Pietrowskiego, Kurskiego i Boncz-Brujewicza. Prócz instrukcji dotyczącej zbiorowych rozstrzeliwań, zawierał on również taką dyrektywę: „zabezpieczyć Republikę Sowiecką przed wrogami klasowymi przez izolowanie ich w obozach koncentracyjnych¹⁶”.

Oto więc gdzie pojawił się po raz pierwszy – znajdując z punktu zastosowanie i oficjalne uznanie – ów termin – obozy koncentracyjne,

¹⁶ Ta zapomniana już dziś niewiasta miała w swoich rękach (jako reprezentantka K. C. i Czeki) losy całej guberni penzeńskiej.

„Lenin, Dzielą, wyd. V, t. 50, str. 143–144. 18 Rocznik Ustaw RSFSR, 1918, Nr 65, str. 710.

18

który stał się jednym z podstawowych pojęć XX wieku, mającym zrobić międzynarodową karierę! Oto więc kiedy to miało miejsce: – w sierpniu i wrześniu 1918 roku. Słowo to używane już było podczas pierwszej wojny światowej, ale tylko w stosunku do jeńców i uciążliwych cudzoziemców. Tu zaś po raz pierwszy zastosowano je do własnych obywateli. Zmiana sensu jest oczywista: obóz koncentracyjny dla jeńców nie jest więzieniem, lecz koniecznym środkiem zapobiegającym ich rozproszeniu. Podejrzani współobywatele mieli teraz być podobnie koncentrowani w celach zapobiegawczych, bez żadnego sądu. Jakiejś tęgiej głowie z łatwością też nasunęło się odpowiednie słowo – koncentracyjne!! – kojarzące się z drutem kolczastym, opasującym takie obozowisko ludzi siedzących bez wyroku sądowego.

Zresztą Zwierzchnik rewwojentrybunału tak pisze: „Uwięzienie w obozach koncentracyjnych ma ten sam charakter co izolacja jeńców wojennych”. To znaczy, mówiąc otwarcie: to jest najazd, to są jego prawa, to są działania wojenne – tylko że przeciw własnemu narodowi.

O ile obozy robót przymusowych Komisariatu Sprawiedliwości zaliczone zostały do ogólnych zakładów karnych, o tyle obozy koncentracyjne nie należały bynajmniej do „zakładów ogólnych”, ale znajdowały się w bezpośredniej gestii Czeki i przeznaczone były dla elementów szczególnie wrogo nastawionych i dla zakładników. W późniejszym okresie posyłały ludzi do tych obozów również trybunały, to prawda, ale rozumie się, że spławiano tam nie na podstawie wyroku sądowego, lecz na zasadzie posądzenia o wrogię nastawienie¹⁹. Za ucieczkę z konclagu wyrok wzrastał (również bez sądu!) DZIESIĘCIOKROTNIE! (Toć wtedy właśnie słyszało się hasła: „Dziesięciu za jednego!”, „Stu za jednego!”. (A więc – jeśli ktoś dostał pięć lat, uciekł i został złapany – to odsiadka jego przedłużana była automatycznie do 1968 roku. Za powtórny zaś ucieczkę z koncentraka – należało się rozstrzelanie – i nie trzeba wątpić, że przepisu tego przestrzegano ściśle).

Na Ukrainie obozy koncentracyjne stworzono z opóźnieniem – dopiero w 1920 roku. Ale korzenie obozów sięgały głęboko, tylko że śladów tych miejsc już nie pamiętamy. O większości pierwszych obozów koncentracyjnych nikt już nam nigdy nie opowie. Tylko grzebiąc w resztkach wspomnień tych, co nie wymarli, a niegdyś w pierwszych obozach siedzieli, można jeszcze coś odszukać i ocalić.

Władze bardzo wtedy lubiły urządzać obozy koncentracyjne w dawnych klasztorach: mocne, sklepione mury, solidne budynki – a wszystko stoi „Dzieło zbiorowe, Od więzień...

19

pusztką (przecież zakonnicy to nie ludzie, tak czy owak musiało się ich wyrzucić). Tak więc w Moskwie obozy rozstawiano w klasztorach: Andronikowskim, Nowospaskim, Iwanowskim. W piotrogradzkiej Czerwonej Gazecie z 6 września 1918 czytamy, że pierwszy obóz koncentracyjny „zostanie założony w Niżnim Nowgorodzie, w opuszczonym klasztorze żeńskim... Na początek planuje się wysłanie do Niżnego Nowgorodu, do wymienionego obozu koncentracyjnego, 5 tysięcy ludzi” (kursywa moja – A. S.).

W Riazaniu obóz również urządzono w byłym żeńskim klasztorze (Ka-zańskim). Oto relacja o nim. Siedzieli tam kupcy, duchowni, „jeńcy wojenni” (tak nazywano byłych oficerów, którzy nie wstąpili do Armii Czerwonej). Ale byli też ludzie nieokreślonego stanu (tołstojowiec J. Je-w, którego sprawę już opisaliśmy, też tam się znalazł). Przy obozie istniały warsztaty – tkacki, krawiecki, szewski oraz (w 1921 roku już taką nazwę nosiły) – „roboty ogólne”, polegające na pracach remontowych i budowlanych w samym mieście. Wyprowadzano ludzi pod eskortą, ale samodzielnych rzemieślników, zależnie od charakteru zlecenia, wypuszczano bez konwoju, dzięki czemu miejscowi mogli ich dokarmiać. Mieszkańcy Riazania odnosili się z dużym współczuciem do tzw. liszenników (oficjalnie zwano ich nie „więźniami”, lecz „skazanymi na karę pozbawienia wolności” – liszennyje swobody). Gdy prowadzono ich w szeregach, przechodnie nie żałowali jałmużny (sucharów, gotowanych buraków i kartofli), konwojenci zaś nie sprzeciwiali się temu i liszennicy dzielili się żywnością sprawiedliwie. (Co krok obserwujemy tu jeszcze obyczaje nie nasze i wpływy nie naszej ideologii). Ci, co mieli najwięcej szczęścia potrafili jakoś urządzić się w miejscowych przedsiębiorstwach – i otrzymywali wówczas przepustki, pozwalające im chodzić po mieście (na noc trzeba było jednak wracać do obozu).

Żywiono ich w obozie tak oto (1921 rok): pół funta chleba dziennie (plus drugie pół funta za wykonanie normy), rano i wieczorem – porcja wrzątku, w południe – chochla gorącej bryi (pływało w niej kilkadziesiąt ziaren kaszy i kartoflane obierki). Rozrywek dostarczały – z jednej strony donosy prowokatorów (i związane z nimi aresztowania), z drugiej zaś – popisy kółka teatralnego i chóru. Dawano koncerty dla mieszkańców Riazania w sali byłego klubu szlacheckiego, obozowa orkiestra dęta grywała w parku miejskim. Liszennicy coraz bardziej żyli z ludnością miejską, zacieśniały się znajomości, co wreszcie przybrało niedopuszczalne formy – i właśnie wtedy zaczęto „jeńców” wysyłać do obozów specjalnych na Dalekiej Północy.

Brak surowości i rygoru w praktyce obozów koncentracyjnych posłużył jako nauka na przyszłość, a brał się stąd, że dookoła obozów toczyło się w najlepsze normalne życie. Dlatego właśnie okazało się konieczne stwo-

20

wienie specjalnych obozów na Północy. Koncentracyjne zaś – zniesione zostały po 1922 roku.

Ten brzask ery obozowej zasługuje na to, aby przyrzeć się lepiej zmianom jego odcieni.

Po zakończeniu wojny domowej dwie armie pracy, stworzone przez Trockiego, trzeba było zdemobilizować z uwagi na protesty przetrzymywanych w szeregach żołnierzy. Ale fakt ten nie zmniejszył roli obozów pracy przymusowej w życiu RSFSR, przeciwnie. W końcu 1920 roku w RSFSR były 84 obozy rozmieszczone w 43 guberniach²⁰. Jeśli dać wiarę oficjalnej (choć trzymanej w sekrecie) statystyce, to siedziało tam w tym czasie 25.336 osób, do której to liczby dodać trzeba 24.000 „jeńców” wziętych podczas wojny domowej²¹. Obie liczby, zwłaszcza ostatnia, wydają się sztucznie obniżone. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, że nie wchodzi tu w rachubę cyfry uwięzionych w zakładach śledczych i karnych Czeki, gdzie stosowano metodę rozładowania więzień, topienia barek transportowych i innych sposobów masowej likwidacji – i w ten sposób po wielokroć zaczynało się od zera, można uznać nawet te liczby za ścisłe.

I cóż?! W październiku 1923 roku, już na początku sielankowej epoki NEP-u (i długo jeszcze przed kultem jednostki) siedziało: w 355 obozach – 68.297 osób pozbawionych wolności, w 207 domach poprawczych – 48.163 osoby, w 105 zakładach karnych i więzieniach – 16.765, w 35 koloniach rolnych – 2.328, a ponadto – 1.041 osób niepełnoletnich i chorych²².

Istnieje jeszcze inna wymowna statystyka: dotyczy przepełnienia w obozach (organizacja sieci obozów nie nadążała za wzrostem liczby uwięzionych). Na 100 miejsc przypadało w 1924 roku – 112 więźniów, w 1925 120, w 1926 – 132, w 1927 – 177²³. Kto sam kiedyś siedział, ten zaraz zrozumie, jak wyglądało życie codzienne w obozie (chodzi o miejsce na narach, miskę w stołówce albo o przydział fufajki) jeśli na 1 miejsce przypadało 1,77 więźnia.

Twórcy tych nowych form uważali je za etapy śmiałej „walki z więziennym fetysyzmem” panującym we wszystkich krajach, z carską Rosją na czele, i nie pozwalającym na wymyślenie niczego innego prócz zwykłych

²⁰ Centralne Archiwum Państwowe Rewolucji Październikowej, zbiór akt Nr 393, fas-cykul 13, poszyt I w, arkusz 111.

²¹ Ibidem, arkusz 112.

²² Ibidem, fascykul 39, poszyt 48, arkusz – 13 i 14.

²³ A. A. Herzenson, Walka z przestępczością w RSFSR, Moskwa, Jurizdat, 1928, str. 103.

21

więzień. („Rząd carski, który cały kraj przekształcił w jedno ogromne więzienie, z jakimś wyrafinowanym sadyzmem rozbudowywał swój system więzienny²⁴”). Na progu „okresu rekonstrukcji” (w 1927 roku) „rola obozów – no, jak sądzicie? właśnie teraz po tylu sukcesach? – ...nabiera jeszcze większego znaczenia w walce z najbardziej wrogimi elementami, szkodnikami, kułakami, kontrrewolucyjnymi agitatorami²⁵”.

A więc Archipelagu nie pochłoną morskie głębiny! Archipelag ma istnieć dalej! Przed rokiem 1924 niewiele było na Archipelagu zwyczajnych kolonii pracy. Przeważały w tych latach zamknięte zakłady karne, zresztą ich liczba nie zmniejszyła się też w latach następnych. (W referacie Krylenki z 1924 roku zawarte jest żądanie zwiększenia ilości izolatorów dla elementów niepracujących oraz dla szczególnie niebezpiecznych przedstawicieli warstwy pracującej, do której to kategorii zaliczono później samego Krylenkę. Ta jego formuła włączona została w całości do tekstu Kodeksu Pracy Poprawczej z 1924 roku).

Wyłanianiu się każdego archipelagu towarzyszą niedostrzegalne przesunięcia geologicznych warstw: z czasem dopiero ustala się kształt ostateczny. Także w tym wypadku zaszła cała seria przesunięć i zmian w nazewnictwie, których zwykłym rozumem prawie że nie sposób ogarnąć. Na początku panował pierwotny bałagan – zakłady karne znalazły się w gestii trzech resortów. Są to: Czeka (tow. Dzierżyński), NKWD (tow. Pietrowski), Komisariat Sprawiedliwości (tow. Kurski). W samym NKWD zajmuje się więzieniami to GUMZak (Głównoje Uprawlenije Miest Zakluczenija, czyli Centralny Zarząd Miejsc Odosobnienia – zaraz po Październiku 1917 roku), to znów GUPR (Głównoje Uprawlenije Prinuditielnych Robot, czyli Centralny Zarząd Robót Przymusowych), to znowu GUMZak²⁶.

W Komisariacie Sprawiedliwości jest Zarząd Więzień (grudzień 1917 rok), natępnie – Centralny Wydział Kar (maj 1918 rok) z całą siecią gubernialnych wydziałów kar, które organizowały sobie nawet zjazdy (wrzesień 1920 rok): w 1921 roku nazwę tę zmieniono na miłszą dla ucha: Centralny Wydział Robót Poprawczych. Rozumie się, że takie rozdrobnienie kompetencji nie mogło przysłużyć się sprawie karania i poprawy przestępców – toteż Dzierżyński wszczął starania o skupienie władzy w je-

24 Dzieło zbiorowe, *Od więzień...* str. 431.

25 I. L. Awerbach, *Od przestępstwa do pracy*, pod red. Wyszyńskiego, wyd. „Sowietskije Zakonodatielstwo”, 1936 rok.

26 Podobnie, jak dzisiaj.

22

dnym ręką. Właśnie wtedy doszło do połączenia NKWD i Czeki, na co bynajmniej nie wszyscy zwrócili uwagę: w dniu 16 marca 1919 roku Dzierżyński, przewodniczący Czeki, został równocześnie Komisarzem Spraw Wewnętrznych. Zaś w 1922 roku zdołał wreszcie doprowadzić do objęcia przez NKWD wyłącznego nadzoru nad wszystkimi zakładami karnymi, które dotąd znajdowały się w gestii Komisariatu Sprawiedliwości (25. VI. 1922)²⁷.

Równolegle trwała reorganizacja straży obozowej. Z początku były to oddziały WOChR (Wnutriennaja Ochraņa Respubliki – czyli oddziały Bezpieczeństwa Wewnętrznego), następnie – WNUS {Wnutriennaja Służba, tj. Służba Wewnętrzna}, w 1919 roku zostały one połączone z korpusem wojsk Czeki²⁸,

a przewodniczącym ich naczelnego Wojensowietu został również Dzierżyński. (I nie bacząc na to, wcale na to nie bacząc, aż do 1924 powtarzały się skargi na częste wypadki dezercji, na niski poziom dyscypliny w tych szeregach²⁹). Dopiero w czerwcu 1924 roku dekretem WCIK i Sownarkomu wprowadzone zostały w Korpusie Wartowniczym normy dyscypliny wojskowej, rekrutacja zaś odbywać się miała poprzez kanały Komisariatu Wojny.³⁰

Ponadto – w 1922 roku tworzy się także Centralne Biuro Ewidencji i Daktyloskopii oraz Centralny Ośrodek Hodowli Psów służbowych i pościgowych.

Tymczasem GUMZ SSSR zostaje przemianowany na GUITU SSSR (Głównoje Uprawlenije Isprawitelno-Trudowych Uczreżdienii, tj. Główny Zarząd Zakładów Pracy Poprawczej), a następnie na GUIT OGPU (Głównoje Uprawlenije Isprawitelno-Trudowych Łagierej OGPU – tj. Zarząd Główny Obozów Pracy Poprawczej), a szef tej instytucji zostaje jednocześnie mianowany komendantem Wojsk Wartowniczych ZSSR.

Ile tu kłopotów i zabiegów! Ileż to schodów, gabinetów, szyldwachów, przepustek, stempli, tabliczek urzędowych!

GUITł zaś – syn GUMZaku, stał się właśnie ojcem naszego GUłagu.

27 Czasopismo „Władza Rad”, 1923, Nr 1–2, str. 57.

28 Własf Sowietów, 1919, Nr 11, str. 6–7.

29 Centralne Archiwum Państwowe Rewolucji Październikowej, zbiór akt nr 393, fascykuł 47, poszyt 89, arkusz 11.

30 Ibidem, fascykuł 53, poszyt 141, arkusze I, 3, 4.

II

ARCHIPELAG WYNURZA SIĘ Z ODMĘTÓW

Nad wodami Morza Białego, gdzie przez pół roku noce są białe, na Wielkiej Wyspie Sołowieckiej bieleją cerkiewki, opasane fortecznym murem z nieforemnych głazów, porudziatych, bo je rdzawy mech pokrył – a szarobiałe sołowieckie mewy krążą ze skwirem nad twierdzą.

„Wydaje się, że w tej świetlistej przestrzeni nie ma miejsca na grzech... Przyroda tujsza jakby jeszcze nie dojrzała do grzechu” – oto wrażenie jakie odniósł Michał Pryszwin, odwiedzwszy Wyspy Sołowieckie.¹

Nie było nas jeszcze na świecie, gdy wyspy te wyłoniły się z morza, nie było nas, gdy dwieście rybnych jezior wypełniło ich zapadliny, nie było nas, gdy rozmnożyły się na nich głuszce, zające i jelenie – lisów zaś, wilków ani żadnych innych drapieżników nigdy tu nie było.

Lodowce skorupiały tu i znów topniały, granitowe głazy gromadziły się wokół jezior, jeziora zamarały, gdy nadciągała sołowiecka noc zimowa, wyło morze, gdy wiał wicher i pokrywało się lodowym szutrem albo i ścinało się całkiem; polarne zorze buzowały na pół nieba; znów robiło się jaśniej, znów nadciągało ciepło, rosły i pęczniały świerkowe pnie, kwiliły i kwok–

¹ Tylko zakonnicy wydali się temu pisarzowi jedynymi na Solówkach istotami grzesznymi. Było to w roku 1908 i – ówczesnym liberalnym zwyczajem – nie sposób było mówić o duchowieństwie z sympatią. Nam zaś, znającym Archipelag z doświadczenia, ci braciszkuwie chyba archaniołami się zdadzą. Mogąc żreć do syta, zakonnicy z pustelni Golgoty i Ukrzyżowania, nawet ryby, danie postne, jadali tylko od wielkiego święta. Mogąc wysypiać się do woli, czuwali nocami (w tej samej pustelni), przez całą dobę, przez okrągły rok, bez przerwy czytając psalterz i modląc się za dusze wszystkich prawosławnych chrześcijan, żywych i zmarłych.

24

tały ptaki, ryczały młode jelenie – wirowała planeta, a z nią jej dzieje; królestwa upadały i znów powstawały, tu zaś wciąż nie było drapieżników i dalej nie było ludzi.

Czasami lądowali tu żeglarze z Nowgorodu i włączyli te wyspy do Obo–nieżskiego starostwa. Bywali tu również przybysze z Karelii. Pół wieku po bitwie na Kulikowym Polu, a pięćset lat przed powstaniem GPU, przeprawili się czółenkiem przez perłowe morze dwaj zakonnicy, Sawwatiusz i Zosima, a gdy przekonali się, że nie trzymają się na tej wyspie drapieżne zwierzęta, uznali ją za świętą. Oni też dali początek budowie klasztoru Sołowieckiego. Później wybudowano tu sobory Zaśnięcia Marii Panny i Przemienienia Pańskiego, cerkiew Ścięcia Jana Chrzciciela na Górze Sie–kierskiej – i jeszcze dwadzieścia innych cerkwi, a nadto dwadzieścia kaplic, pustelnię Golgoty, pustelnię Troicką, pustelnię Sawwatijewską, pustelnię Muksalską i samotnie dla eremitów, rozrzucone w znacznej odległości od klasztoru. Był to owoc wielkiej pracy – naprzód samych zakonników, później także klasztornych chłopów. Jeziora połączono dziesiątkami kanałów. Drewnianymi rurami popłynęła

do klasztoru woda jeziorna. A nade wszystko – przegrodzono (w XIX wieku) rzekę Muksalmę tamą, złożoną z olbrzymich głazów, przedziwną sztuką ułożonych w poprzek brodu. Nad Wielką i Małą Muksalmą paść się zaczęły trzody tuczonego bydła; zakonnicy byli zamiłowanymi hodowcami zwierząt domowych i dzikich. Gleba sołowiecka okazała się nie tylko świętą, lecz również żyzną, zdolną do wykarmienia tysięcznych rzesz ludzkich². W ogrodach warzywnych rosła biała, tęga, słodka kapusta (jej głąby nazywano „sołowieckimi jabłkami”). Wszystkie jarzyny mieli z własnej grządy, a przy tym – wszystkie dobrych gatunków, mieli też z własnych cieplarni wszystkie kwiaty, nawet róże. Łowili ryby – zarówno w morzu, jak w odciętych od morza „sadzawkach metropolity”. Z upływem lat i dziesięcioleci, dorobili się własnych młynów dla własnego ziarna, własnych tartaków, własnych naczyń z własnych garncami, własnej małej huty, własnej kuźni, własnej introligatorni i garbarni, własnej wozowni i nawet własnej elektrowni. I pięknie strychowaną cegłę i nawet morskie barki dla własnych potrzeb – wszystko robili sami.

Jednakże w życiu społeczeństw żaden proces rozwojowy nie odbywał się dotąd, nie odbywa się dalej – i czy aby w przyszłości się obejdzie? – bez towarzyszącego mu rozwoju myśli wojskowej i więziennej.

² Znaczący historycy techniki powiadają, że Fiodor Kołyczew (ten sam, który ośmielił się sprzeciwić Iwanowi Groźnemu), w XVI wieku tak unowocześnił technicznie rolnictwo Sołówek, że nawet po trzech stuleciach nikt by się tego nie powstydział.

25

Myśl wojskowa. Toż nie można pozwolić, żeby jacyś opętani zakonnicy zwyczajnie sobie żyli na jakiejś zwyczajnej wyspie. Toć wyspa leży na granicy Wielkiego Imperium, które musi przecież wojować ze Szwedami, z Duńczykami, z Anglikami, trzeba więc zbudować twierdzę z murami ośmiometrowej grubości i wznieść osiem baszt, i przebić w murach wąskie strzelnice, i zadbać o to, aby z dzwonnicy soboru można było prowadzić obserwację na wsze strony.³

Myśl więzienna. Jak dobrze się składa, że na tak odosobnionej wyspie wznoszą się już dobre, kamienne mury! Jest gdzie trzymać ważnych przestępców – jest też kogo prosić o pilnowanie tych ludzi. Nie zabrania się ratowania ich dusz, byleby ciała dobrze były strzeżone.⁴

Czy to miał na myśli Sawwatiusz, kiedy lądował na świętej wyspie?

Wtrącano za te mury heretyków cerkiewnych, wtrącano też heretyków politycznych. Siedział tu (i umarł) ojciec Abraham Palicyn, siedział też wuj Puszkina, P. Hannibal za sprzyjanie dekabrystom. W sędziwym już wieku zesłano tu ostatniego atamana kozackiego Sycy Zaporoskiej, Kolniczewskiego, który po wielu latach więzienia wyszedł na wolność – jako starzec przeszło stułetni⁵. Ale niemal wszystkich tych więźniów można zapamiętać i wymienić z nazwiska.

Dodać trzeba, że na dzieje sołowieckiego więzienia klasztornego narzucono – już za sowieckich, obozowych czasów – woal modnej mitologii, która zdołała wprowadzić w błąd autorów przewodników i historycznych opracowań – toteż dziś w niejedynej książce możemy przeczytać, że dawne sołowieckie więzienie było miejscem tortur; że stosowano tu i haki, i dyby, i batożenie, i przypiekanie ogniem. Ale wszystko to należało do repertuaru śledczych więzień przed wstąpieniem na tron carycy Elżbiety, córki Piotra Wielkiego, na Zachodzie zaś było w użyciu za czasów inkwizycji, natomiast rosyjskie ciemnice klasztorne w ogóle

tych rzeczy nie znaty. Jest to owoc zmyśleń badacza nierzetelnego, a ponadto źle zorientowanego.

Starzy bywalcy tych obozów dobrze go pamiętają – był to szpik Iwanów, otrzymał w obozie przezwisko: „bakcyl antyreligijny”. Był nie–

3 Musiał jednak klasztor odeprzeć ataki Anglików w 1808 i w 1854 roku, gdy zaś bronił się przed zwolennikami patriarchy Nikona w 1667 roku, tylko zdrada mnicha Feoktista pozwoliła żołnierzom cara wedrzeć się przez tajny przełaz.

4 Iluż ludziom odebrała wiarę ta klasztorna symbioza chrześcijaństwa z kratami!

5 Więzienie stałe na Solówkach istniało od 1718 roku. W 80. latach XIX wieku dowódca Sankt Petersburskiego Okręgu Wojskowego, Wielki Książę Włodzimierz Aleksandrowicz po zwiedzeniu Solówek uznał, że załoga wojskowa jest tam zupełnie zbędna i usunął wojsko z wysp. W 1903 roku więzienie sołowieckie zostało zlikwidowane. (A. S. Prugawin, Więzienia przy klasztorze, wyd. „Posrednik”, str. 78, 81).

26

gdyś służką cerkiewnym w Nowgorodskiej archidiecezji, aresztowany został za sprzedaż naczyń cerkiewnych Szwedom. Trafił na Solówki w 1925 roku i tu zaczął miotać się, pragnąc uniknąć postania na roboty ogólne, to jest na pewną zgubę. Stał się specjalistą od prowadzenia roboty antyreligijnej wśród więźniów, został, rzecz jasna, agentem ISCz (Informacjonno–Sledstwiennaja Czast', czyli Oddział Śledczo–Informacyjny, tak to się całkiem otwarcie nazywało). Nie dość na tym: kierownictwo obozu przejęło się bardzo jego supozycją, że zakonnicy zakopali tu jakieś wielkie skarby – i w ten sposób powstała Komisja Wykopalisk, którą Iwanów kierował. Przez wiele miesięcy nic, tylko kopano i kopano – ale niestety, przewrotni mnisi pokrzyżowali psychologiczne domysły bakcyła antyreligijnego: żadnych skarbów na Solówkach nie zakopali. Naówczas Iwanów, aby nie stracić twarzy, wysunął tezę, że podziemne składy, piwnice i obronne kazamaty w istocie służyły jako cele oraz izby tortur. Narzędzia owych tortur nie mogły, rzecz jasna, zachować się przez tyle stuleci, ale na przykład hak (rzeźniczy, do mięsa) już był dowodem, że tu ludzi na hak przywodzono. Trudniej było wytłumaczyć brak jakichkolwiek narzędzi tortur, pochodzących z XIX wieku – i dlatego ukuto formułę, wedle której „surowy reżym panujący w sołowieckim więzieniu został złagodzony dopiero na początku minionego wieku”. „Odkrycia” naszego bakcyła bardzo odpowiadały duchowi czasu, pocieszyły nieco rozczarowaną zwierzchność, ich opis zamieszczony został w piśmie Solowieckije Ostrowa, następnie opublikowany był osobno, nakładem drukarni sołowieckiej – i w ten oto sposób prawda historyczna została skutecznie zaćmiona. (Był to zabieg tym bardziej celowy, że kwitnący klasztor sołowiecki cieszył się przed rewolucją wielką sławą i poważany był jak Ruś długa i szeroka). Ale gdy władzę ujęły w swoje ręce masy pracujące – trzeba było coś zrobić z zakonnikami, z tymi złośliwymi darmozjadami. Postano więc komisarzy, personel kierowniczy całkowicie pewny z punktu widzenia socjalnego: klasztor uznany został za sowchoz, kazano mnichom mniej się modlić, a więcej pracować, żeby chłopci i robotnicy mieli jakąś korzyść. Zakonnicy nie żałowali rąk i te niezwykle smakowite śledzie, które potrafili łowić w sobie tylko znanych punktach i porach roku – szły potem do Moskwy prosto na kremłowskie stoły.

Jednakże zatrząsienie kosztowności nagromadzonych w klasztorze, zwłaszcza tam, gdzie przechowywano ornaty i naczynia liturgiczne, nie dawało spokoju temu i owemu z przybyłych naczelników i kontrolerów: zamiast przejść w ręce ludzi pracy (tzn. w ich ręce), skarby te marnowały się, pomnażając tylko martwy balast

kultu. I wtedy to – niezupełnie może zgodnie z kodeksem karnym, ale za to w harmonii z panującą tendencją do

27

wywłaszczania majątków, nie pracą rąk zdobytych – klasztor został podpalony (25 maja 1923 roku). Szkód doznały budynki, zniknęło wiele kosztowności ze skarbcza, przede wszystkim zaś spłonęły wszystkie księgi inwentarzowe, dzięki czemu nie można było już ustalić, co właściwie spłonęło i ile tego było.⁶

Nie trzeba było nawet żadnego śledztwa, wystarczyła rewolucyjna intuicja prawna (trzeba mieć nosa!) – bo i kto mógł być zainteresowany w spaleniu klasztornych zbiorów, jeśli nie czarna sfera mnisia? No to wygnać ją wreszcie na stały ląd, a na Wyspach Sołowieckich rozłuskać Północne Obozy Specjalne! Osiemdziesięcioletni, ba, stuletni nawet zakonnicy na kolanach błagali, aby pozwolono im umrzeć spokojnie na „świętej ziemi”, ale z proletariacką niezłomnością zostali wszyscy oni stąd wyrzuceni. Wyjątek zrobiono tylko dla tych, którzy byli tu absolutnie niezbędni; byli członkowie zespołu rybackiego⁷, hodowcy bydła z obór na Muksalmie, ojciec Metody – specjalista od kwaszenia kapusty, ojciec Samson, hutnik – i jeszcze paru innych tegoż pokroju. (Wyznaczono im – poza obrębem obozu – kącik wewnątrz murów sołowieckiego Kremla, z własną bramą zwaną Wrotami Śledziowymi. Nadano im nazwę i status komuny pracy, ale mając wzgląd na ich bezdenną ciemnotę – pozwolono im odprawiać modły w cmentarnej kaplicy św. Onufrego). W ten sposób znalazło potwierdzenie jedno z najulubieńszych przysłów areśztanckich: dobre miejsce nie lubi być puste. Ucichły dzwony, pogasły lampki wotywnie i gromnice, nie słychać było już więcej ani mszy śpiewanych, ani całonocnych pień, nikt już nie mamrotał okragłą dobę pacierzy, rozpadły się ikonostasy (w soborze Przemienienia Pańskiego ikonostas zachowano) – za to dzielni czekał w długachnych szynelach do samej ziemi, ze specjalnymi, sołowieckimi czarnymi wyłogami i galonami, w czapkach bez gwiazdek na czarnym otoku, przybyli tu w 1923 roku, aby tworzyć wzorowo-surowy obóz, przedmiot dumy całej robotniczo-chłopskiej Republiki.

Obozy koncentracyjne, chociaż rządziła nimi zasada walki klas, uznane zostały w tym okresie za środek walki niewystarczająco jeszcze surowy. Już w 1921 roku powstały w resorcie Czeka północne Obozy Specjalne – SŁOŃ (Siewiernyje Łagieria Osobowo Naznaczenija). Pierwsze takie

⁶ Na ten pożar również powoływał się „bakcył antyreligijny” tłumacząc, dlaczego tak trudno teraz znaleźć dowody istnienia dawnych karcerów i narzędzi tortur.

⁷ Usunięto ich z Solówek dopiero koło roku 1930 i natychmiast skończyły się dobre polowy: nikt więcej nie potrafił takich lawie śledziowych znaleźć w morzu. Zdawać się mogło, że całkiem zniknęły.

28

Łagry założono w Piertomińsku, Chołmogorach i pod samym Archangielskiem.*.

Jednakże uznano widzieć te miejscowości za trudne do nadzorowania i za mało pojemne, biorąc pod uwagę napływ w przyszłości wielkich mas więźniarskich.

I oto siłą rzeczy oko zwierzchności spoczęło na niedalekich Wyspach Sołowieckich, które miały już swoją uregulowaną gospodarkę, wyposażone były w murowane budynki i oddalone były od lądu zaledwie o 20–40 kilometrów, to znaczy wystarczająco blisko dla strażników, wystarczająco daleko dla uciekinierów, zwłaszcza, że przez pół roku pozbawione były wszelkiej łączności z lądem, co czyniło z nich orzech twardszy niż Sachalin.

Jeszcze nie było wtedy formuł ani instrukcji, określających co to właściwie znaczy obóz specjalny. Ale komendant sołowieckiego obozu, Ei-chmans, otrzymał, oczywiście, ustne wyjaśnienia na Łubiance. I po przyjeździe na wyspy oświecił odpowiednio swoich najbliższych pomocników.

W latach sześćdziesiątych trudno zadziwić opowieściami o Solówkach byłych ze-ków a nawet po prostu – naszych współczesnych. Ale niech czytelnik wyobrazi sobie, że żył i rósł w Rosji czechowowskiej, w Srebrnym Wieku naszej kultury, jak nazywano okolice roku 1910, że wychował się w tej epoce, że owszem, przeżył szok wojny domowej, ale przecież przyzwyczajony jest do przyjętych wówczas dań, ubiorów, stylu rozmów – i niechże teraz znajdzie się na przedprożu Solówek, w Kempierpunkcie⁸. Jest to punkt zborny Kemi na ponurej, ogołoconej z drzew i krzaków Popiej Wyspie, połączony groblą ze stałym lądem. Pierwszą rzeczą, która rzuca się przybyszowi w oczy, to tym brudnym, gołym wygonie, jest kompania (więźniowie dzieleni byli wtedy na kompanie, „brygada” nie została jeszcze odkryta) aresztantów, odbywających tu kwarantannę, a odzianych... w worki! – tak, w zwykłe worki: nogi wystają jak spod spódnicy, dla głowy zaś i dla rąk porobione są dziury (komu by to przyszło do głowy – ale rosyjska przemysłowość na wszystko znajdzie sposób!). Nowicjusz

Czasopismo „Solowieckije Ostrowa”, 1930, Nr 2–3, str. 55, referat naczelnika Zarządu SŁOŃ, tow. Nogtiewa na naradzie w Kemi.

Kiedy teraz wycieczkowiczom pokazują w okolicach ujścia Dźwiny Północnej tzw. obóz rzędu Czajkowskiego, warto może, aby im ktoś powiedział, że to był właśnie jeden z pierwszych „północnych obozów specjalnych” stworzonych przez Czekę. 8 Kemski etapowy (pieresylnyj) punkt. Po fińsku miejscowość ta zwie się Wegerak-sza, tj. „gniazdo wiedźm”.

29

może obejść się bez worka, póki ma jeszcze własne szmatki, ale jeszcze tych worków nie zdążył obejrzeć, a już sam wpadł w oko byłemu rotmistrzowi, legendarnemu Kuryłce.

Kuryłko (zastępcą jego był Bezborodow) pojawia się przed frontem nowo przybyłych w długim, czekistowskim szynelu z budzącymi strach czarnymi wyłogami, dziwacznie odcinającymi się od starego, rosyjskiego soł-dackiego sukna; to niejako przedsmak żałoby. Wskakuje na beczkę albo inny podobny piedestał i z punktu daje upust zaskakującej, dzikiej wściekłości: „Eej! Baczność! Tu się zaczyna nie republika sowiecka, tylko soło-wiecka! Zapamiętać mi, że żaden prokurator nigdy jeszcze nie postawił nogi na sołowieckiej ziemi! – i nie postawi! Wiedźcie, że przysłano was tu NIE dla żadnej poprawy! Garbaty dopiero w grobie się wyprostuje! A porządki u nas są takie: jak każę 'powstań!' – to staniesz, a jak każę 'padnij!' – to padniesz!! W listach do domu tylko tyle pisać, że żywy, zdrowy, zadowolony! I kropka!...”.

Oniemiali ze zdumienia słuchają tego byli dostojnicy, stołeczni inteligenci, księża, mahometańscy duchowni i ciemni chłopcy z Azji Środkowej – nikt z nich nigdy niczego podobnego nie widział, nie czytał, nie słyszał.

A Kuryłko, o którym jakoś nic nie było słychać podczas wojny domowej, ale który teraz takim właśnie historycznym powitaniem wpisuje swoje imię do rosyjskich kronik, wciąż jeszcze sam sobie podbija bębenka każdym własnym celnym okrzykiem i zwrotem, a coraz to nowe perełki same mu się z ust sypią. *

Tak się sobą lubując i tokując (a w duszy – złośliwa uciecha: gdzieście to bywali fircyki, kiedy myśmy wojowali z bolszewikami? Myśleliście, że schowacie się w mysiej norze? No to was właśnie z niej wyciągnięto i teraz tu jesteście! Macie teraz zapłatę za tę swoją gówniarską neutralność! A my Historia Kuryłki jest interesująca. Być może ktoś spróbuje kiedyś zestawić i sprawdzić jego personalia. W latach rewolucji nie trudno było przybrać cudze nazwisko i samemu sobie nadać rangę. Ale oto dwa tropy, wskazane mi przez czytelników. Pułkownik Kuryłko dowodził jeszcze przed wybuchem wojny 1914 roku 16 Syberyjskim Pułkiem Strzelców; gdy wojna się kończyła – był generałem, wśród odznaczeń miał złotą szablę, krzyż św. Jerzego i wiele innych orderów; przeszedł ciężką kontuzję. Jego syn Igor, będąc jeszcze elewem pierwszego moskiewskiego korpusu kadetów, jeździł latem 1914 i 1915 roku na front, walczył, dostał naprzód medal, a później krzyż św. Jerzego; wiosną 1916 roku skończył przyspieszone kursy w Aleksandrowskiej Szkole Oficerskiej, został chorążym. A oto drugi trop: pułkownik Kuryłko był jednym z przywódców białogwardyjskiej podziemnej organizacji w Moskwie, latem 1919. Organizacja wpadła, jej członków rozstrzeliwano masowo (ponoć 7 tysięcy?), ale spiskowcy – Iwan Aleksiejew (ojciec mojego korespondenta) oraz brat profesora I. Iljina, których nazwiska znał jedynie Kuryłko, nie zostali przez niego zdradzeni i uszli cało.

30

z bolszewikami za pan brat, bo znamy się na rzeczy!) – Kuryłko zaczyna musztrę: – Czołem, pierwsza kompania kwarantanny!... Wróć, jeszcze raz! Czołem, pierwsza kompania!... Wróć!... Macie tak krzyknąć „czo!... żeby na Solówkach, po drugiej stronie wody, było słychać! Jak dwustu ludzi krzyknie, to mury mają się walić!!! Jeszcze raz! Czołem, pierwsza kompania!

Zadbawszy, aby wszyscy krzyczeli zgodnym chórem i żeby zmęczeni własnym krzykiem walili się – z nóg, Kuryłko zaczyna następujący etap ćwiczeń – bieg całej kompanii dookoła słupa:

– Nóżki wyżej! Nóżki wyżej!

Już mu samemu ciężko, już sam pan rotmistrz czuje się jak tragiczny w piątym akcie przed ostatnim morderstwem. Padającym z nóg albo już leżącym, rozciągniętym na ziemi ludziom w ostatnim wrzasku półgodzinnej musztry dorzuca jeszcze zapowiedź esencji sołowieckiego losu:

– Smarki trupie żreć u mnie będziecie!

To tylko pierwszy trening, żeby nadłamać wolę nowo przybyłych. A w cuchnącym baraku ze zbutwiałych, czarnych desek każą im teraz „spać na własnych żeberkach”, chyba że blokowy za łapówkę pozwoli się komuś położyć na narach. Bo pozostali całą noc będą musieli stać oparci o nary (kto zaś zasłużył na karę, ten dostanie miejsce między kibelem a ścianą, żeby wszyscy przy nim musieli się załamywać).

A wszystko to – w błogosławionych czasach przed wszelkimi tam przetłomami, kulami, błędami i wypaczeniami, w Tysiąc Dziewięćset Dwudziestym Trzecim, Dwudziestym Piątym... (A po 1927 – wprowadzą jeszcze innowację – na narach leżeć już będą urki, knajacy, pstrykając własnymi wszami w stojących inteligentów). Czekać na parostatek „Gleb Bokij”⁹ będą oni jeszcze pracować w ke-mskim zborniaku. Komuś z nich na pewno każą biegać dookoła słupa i krzyczeć bez przerwy: „Jestem bumelant, sam nie pracuję i przeszkadzam innym!”, a jakiegoś inżyniera, co upadł wynosząc kibel i ochlapał się, nie wpuszczają do baraku, tylko

zostawiać na dworze, żeby wśród nieczystości zamarzł. Później konwojenci krzykną: „Nie wolno zwalniać kroku! Eskorta strzela bez uprzedzenia! Marsz!” A później, poszczekując zamkami karabinów: „Co, chcecie nerwy nam szarpać?!” – i popędzą ich po lodowych

9 Na cześć przewodniczącego moskiewskiej trójki OGPU, niedouczonego młokosa: „On był górnikiem, był też studentem, lecz egzaminy były mu wstrętne...”.

(z epigramatu zamieszczonego w piśmie „Sołowieckije Ostrowa”, 1929, nr 1. Cenzura była jeszcze głupia i nie rozumiała, co przepuszcza).

31

polach na piechotę z czółnami, które trzeba wlec za sobą, żeby przeprowiać się przez miejsca podeszłe wodą. Tam, gdzie łódź się kończy – załadują ich na parostatek i tyłu ich upchną, że w drodze na Solówki na pewno kilku udusi się z braku powietrza, nie ujrawszy wcale śnieżnobiałego klasztoru, opasanego burymi murami.

Stawiając pierwsze kroki na Solówkach nowicjusz może na własnej skórze poznać, jak tu się płaci frycowe przy wstępnym myciu w łaźni: ledwie zdążył się rozebrać, a już pierwszy łaźiebny macza kwacz w baryłce z szarym mydłem i ochlapuje nim nowego; drugi łaźiebny kopniakiem strąca go w dół po zjeżdżalni albo i po schodach; tam w dole, ktoś trzeci przywraca nieszczęśnikowi przytomność zimną wodą z kubła, a jakiś czwarty wypycha go do szatni, gdzie jego gałgany leżą już, byle jak rzucone z górnego piętra. (W tym żarciku widać już jak na dłoni cały przyszły GUŁag! i tempo jego obrotów – i wartość przypisywaną człowiekowi, który się dostał w tryby).

Taki oto jest pierwszy haust sołowieckiego ducha! – ducha, jeszcze w reszcie kraju nieznanego, ale właśnie na Solówkach urabianego na miarę przyszłego Archipelagu.

Tu również nowicjusz widzi ludzi w workach, a także w zwykłej „wolnej” odzieży, u jednych nowej, u innych – już złachmanionej; albo w osobliwych, sołowieckich krótkich kurtach z materiału na szynele wojskowe (to już przywilej, oznaka wysokiej pozycji w hierarchii więźniarskiej, jest to ubiór pracowników obozowej administracji), z czapkami – „sołowczan-kami” z takiegoż sukna; i nagle widzi pośród więźniów człowieka we... fraku! – co nikogo nie dziwi, nikt się za nim nie odwraca ani się nie śmieje. (Przecież każdy donasza swoje łachy. Tego nieszczęśnika aresztowano w restauracji „Metropol”, więc odsiaduje wyrok – we fraku).

„Marzeniem wielu więźniów” – zdaniem pisma „Sołowieckije Ostrowa”¹⁹ jest przydział standardowej odzieży”. Tylko kolonia dla małoletnich zaopatrzona jest kompletnie w te sorty. A na przykład kobietom nie wydaje się ani bielizny, ani pończoch, ani nawet chustek na głowę – złapano kumę w letniej sukni, niech więc tak sobie chodzi przez całą podbiegu–

10 1930, Nr 1.

11 Wszystkie wartości z czasem ulegają przewartościowaniu – i to co uważano za przywilej w Obozie Specjalnym lat 20. – mianowicie noszenie ubiorów z przydziału – stanie się przykrym przymusem w Specobozie lat 40.: tam uważać będziemy za przywilej noszenie nie państwowych łachów, tylko jakichś tam własnych, niechby to była nawet czapka. Nie trzeba szukać przyczyn tylko w ekonomii, to falowanie nastrojów epoki: ideałem jednego dziesięciolecia jest zlanie się z Ogółem; w następnej dekadzie ludzie pragną możliwie różnić się od Ogółu.

nową zimę. Dlatego wiele więźniarek siedzi w barakach w samej bieliźnie i do pracy nikt ich nie wygania.

Odzież z przydziału tak jest na Solówkach ceniona, że nikt się nie dziwi widząc taką scenkę: podczas mroźnej zimy jakiś więzień pod murem twierdzy rozbiera się do naga i zzuwa buty. Oddaje sztuka po sztuce całe swoje umundurowanie i na gołasa biegnie ze dwieście metrów do zebranej tam grupy ludzi, gdzie znów zostaje przyodziany. Chodzi \p to, że zarząd twierdzy przekazał tego człowieka zarządowi filimonowskiej linii kolejowej¹². Jeżeli przekazano by go w ubraniu, to nowi gospodarze gotowiby nie zwrócić sortów albo je podstępnie zamienić.

A oto inna scenka zimowa. Objaw tych samych obyczajów, chociaż przyczyna jest inna. Ktoś doszedł do wniosku, że lazaret obozu jest w stanie urągającym higienie, wydano więc rozkaz, by natychmiast go wydezynfekować i wyszorować wrzątkiem. Ale co robić z chorymi? Wszystkie budynki wewnątrz Kremla są przepełnione, cyfry gęstości zaludnienia na sołowieckim archipelagu wyższe są niż w Belgii (– a co dopiero dzieje się w tutejszym Kremlu?). Wobec tego wszystkich chorych wynoszą na kocach i kładą na śniegu. Trwa to trzy godziny. Wnoszą ich dopiero po zakończeniu szorowania.

Nie zapominajmy, że nasz nowicjusz jest dziećciem Srebrnego Wieku. Niczego jeszcze nie wie ani o Drugiej Wojnie Światowej, ani o Buchenwaldzie! Zauważył, że blokowi w sukiennych kurtach biją w dach w najlepszym wojskowym stylu na widok kolegi lub dowódcy kompanii – i że ci sami ludzie poganiają swoich podwładnych–więźniów długimi pałami, zwanymi d r y n (stąd też wywodził się znany wszystkim czasownik: drynować). Widzą też, że sanie albo wóz ciągną tu nie konie, lecz ludzie (kilku naraz idzie w zaprzęgu); stąd też pojęcie p.o. konia.

Od innych zaś wyspiarzy dowie się nowicjusz rzeczy okropniejszych niż te, które sam zdoła zauważyć. Usłyszysz straszne słowo: Siekierka. Tak nazywają Górę Siekierską. W dwukondygnacyjnym soborze zainstalowano tam karcer. Karcer tak jest urządzony: od ściany do ściany idą tam na poprzek żerdzie grube jak ramię. Ukarani karcerem więźniowie muszą cały dzień siedzieć na tych żerdziach. (Na noc wolno kłaść się na ziemi, ale jeden na drugim, bo przepełnienie). Żerdzie umieszczone są tak wysoko, że nogami człowiek nie sięga do podłogi. Nie tak łatwo zachować równowagę, przez cały dzień ukarany wysila się, żeby nie spaść. Jeżeli zaś zleci na ziemię – strażnicy zaraz podbiegają i biją, ile wlezie. Albo też wyprowadzają go na dwór, do schodów, które mają 365 stopni (od soboru do jeziora, zakon-
11 Przeniesiono tu tory kolejki Stara Russa–Nowgorod.

nicy je zbudowali); przywiązują człowieka na całą długość do grubego, ciężkiego polana – i strącają w dół, schody tak są strome, że związany człowiek nigdzie się na nich nie zatrzyma).

No, ale żeby sadzać ludzi na żerdkach, nie trzeba Siekierki, żerdzie są też w kremlowskim karcerze, zawsze przepełnionym. Albo stawia się więźnia na głazie o ostrych krawędziach; też na czymś takim długo się ustoi. A latem – posyłają „na pieńki” – to znaczy gołego zostawiają komarom na żer. Ukarany w ten sposób musi mieć strażnika za towarzysza; jeśli jednak przywiązać takiego gołasa do pieńka, to komary same sobie dadzą radę. Jeżeli to zima – oblewają gołego wodą na mrozie. A jeszcze – każą całej kompanii kłaść się na śniegu, jeśli kto zawinił. Albo jeszcze – zapędzają człowieka w bagna nad jeziorem, aż pogrąży się po szyję,

i tak mu stać każą. Jest też taki sposób: na konia nakłada się samo tylko chomąto z orczykami, do orczyków przywiązuje się człowieka za nogi, strażnik wskakuje na konia i dalejże harcować po leśnej porębie dopóty, dopóki jęki i krzyki włóczęgo nie ucichną.

Nowicjusz upada na duchu zanim jeszcze zdąży wejść na serio w sołowieckie życie i zacząć swoje bezkresne trzy lata odsiadki. Ale współczesny czytelnik grubo by się pomylił wyciągając przedwcześnie oskarżycielski palec: oto właśnie system zagłady, to jest obóz śmierci! E, to nie takie proste! W tej pierwszej żonie, eksperymentalnej, jak zresztą w następnej, a nawet w ostatniej – największej ze wszystkich – żonie GUłagu, nie działamy wcale otwartym chwytem, stosujemy system wielowarstwowy – i dlatego tyle mamy sukcesów, dlatego to trwa tak długo.

Wyjeżdża ci nagle z kremlowskich wrót jakiś zawadiaka wierzchem na koźle, jeździ na nim z miną dostojnika, i nikt się jakoś z niego nie śmieje. Kto zacz? Dlaczego na koźle? To Diegtiariew, eks-ujeżdżacz.¹³ Zażądał konia do dyspozycji, ale koni na Sołówkach za mało, więc dano mu kozła. A za co mu się ten honor należy? Jest kierownikiem Stacji Dendrologicznej. Hoduje się tam drzewa egzotyczne. Tu, na Sołówkach.

Ten jeździec na koźle niech będzie pierwszą postacią ze świata sołowieckiej fantastyki. Na co komu egzotyczne rośliny na Sołówkach, gdzie zwyczajne, racjonalnie prowadzone przez mnichów warzywniki już uległy zniszczeniu, gdzie już brak jarzyn? Otóż drzewa egzotyczne za Kołem Podbiegunowym są tu dlatego, że Sołówiki, podobnie jak cała Republika Sowiecka, chcą, aby cały świat uległ przemianie, chcą nadać życiu nowy kształt. Ale skąd nasiona, środki? Ano właśnie: na rozsady dla Stacji Dendrologicznej pieniędzy nie brak, nie ma ich za to na żywność dla drwali (bo

13 Nie mylić z wolnym Diegtiariewem, dowódcą garnizonu Wysp Sołowieckich.

34

żywi się tu ludzi jeszcze nie według normy – tylko proporcjonalnie do posiadanych środków).

Albo te poszukiwania archeologiczne? Owszem, mamy tu Komisję Wykopalisk. Bo pragniemy wiedzieć wszystko o naszych dziejach.

Przed komendą obozu – klomb, widnieje na nim sympatyczny słoń: czaprak jego zdobi litera „U” – razem to znaczy U-SŁON (Uprawnienie Sołowieckich Łagierej Osobowo Naznaczenia, czyli zarząd Sołowieckich Obozów Specjalnych). Ten sam rebus – na Sołowieckich bonach pełniących rolę pieniędzy w tym borealnym państwie. Jaka milutka, rodzinna maskarada!

Więc wszystko tu jednak takie sympatyczne, błazen – Kuryłko chciał nas tylko przstraszyć?

Obrót pieniężny w obozach GPU miał swoje specjalne cechy, które utrwaliły się na długie lata. Istnienie specjalnych znaków pieniężnych przyczyniało się do jeszcze ściślejszej izolacji tych łagrów. Po przybyciu do łagru wszyscy przedstawiciele administracji i nadzoru, a tym bardziej – wszyscy więźniowie, powinni byli zdeponować wszystkie sowieckie pieniądze, będące w ich posiadaniu i otrzymywali w zamian książeczki „kwitów” (drukowanych na dobrym papierze z wodnymi znakami), opiewających na sumy 2, 5, 20, 50 kopiejek i 1, 3, 5 rubli. Emisje, pochodzące z różnych lat, różniły się podpisami rozmaitych członków Kolegium OGPU – G. Boki-ja, L. Kogana albo M. Bermana. Kto ukrywał państwowe pieniądze, ten podlegał rozstrzelaniu, (jednym z celów tak surowego przepisu było utrudnianie ucieczek).

Kwity te używane były na całym terytorium obozów GPU dla wszystkich pieniężnych operacji. W chwili wyjścia na wolność (jeżeli to w ogóle miało miejsce...) właściciel kwitów znów je wymieniał na walutę państwową. Po 1932 roku, gdy system obozów zaczął gwałtownie się rozrastać, kwity te znikły z obrotu (informacja M. M. Bykowa). Jest też własne czasopismo – również „Słoń” się zowie (wychodzi od 1924 roku, pierwsze numery pisane są jeszcze na maszynie, poczynając od 9. tłoczone są w klasztornej drukarni); od roku 1925 istnieje pismo „Sołowieckije Ostrowa”, które ma z początku nakład 200 egzemplarzy i dysponuje nawet dodatkiem – gazetką „Nowyje Solówki” (precz z przekłętą klerykalną przeszłością!). Począwszy od 1926 roku można w całym kraju pismo to abonować, więc nakład rośnie, prawdziwy sukces! W latach dwudziestych istnienie Solówek wcale nie było sekretem, wciąż o nich się słyszało.

14 I zaraz to się skończyło: logika reżymu uczyła, że nie ma żartów. W 1929 roku po dużej ruchawce na Solówkach i po przestawieniu całej sieci obozów na system reedukacyjny, pismo znów zaczęło wychodzić i ukazywało się aż do roku 1932.

35

Solówkami grożono na każdym kroku, Solówkami chlubiono się publicznie (mieli czelność ci ludzie!), Solówki wspominano w patriotycznych pieśniach, żartowali z nich teatralni kupceści; przecież klasy jako takie znikły (gdzie też się podziwiał?) i Solówki także miały wkrótce zniknąć. I cenzuruje się to pismo w pobłażliwy raczej sposób: więźniowie (Głubo-kowski) piszą humorystyczne wierszyki o Trójce GPU – i jakoś cenzura je przepuszcza! I później śpiewane są te strofki z estrady sołowieckiego teatrzyku prosto w twarz przybytemu właśnie Glebowi Bokijowi: Obiecali nam podarków wór Bokij, Feldman, Wasiliew i Wul... Obiecali nam prezent na Wilię Boki], Feldman, Wul i Wasiliew...

i panowie władza okazują zadowolenie! (Bo też czują się mile połączani! Sokół człowiek nie ukończył, a tu już go uwiecznili). I refren:

Wszystkich, co nas uraczyli Solówkami Zapraszamy: przyjeżdżajcie tutaj sami! Posiedźcie na Solówkach ze trzy latka A ręczymy, że was szczerzy zachwyt zatka! – i pękają ze śmiechu! (Kto by się domyślił w tych słowach przepowiedni?...). Zuchwalec Szepczyński, syn rozstrzelanego generała, wywiesił wtedy nad głównymi wrotami takie hasło:

Solówki – masom pracującym miast i wsi!

(To również przepowiednia! Ale to już uznania nie znalazło, poszli po rozum do głowy i kazali transparent zdjąć).

Członkowie trupy teatralnej noszą kostiumy uszyte z cerkiewnych ornatów. Sztuka Huczą szyny *. Na scenie – pary podrygujące w łamańcach fokstrota (gnijący Zachód) – i zwycięska czerwień kuźni, wymalowanej na dekoracji (to My).

Kraj z fantastycznej opowieści! Nie, chyba żartował ten łobuz Kurył-ko!...

Istnieje również Sołowieckie Towarzystwo Krajoznawcze, publikuje nawet sprawozdania ze swych badań. O jedynej w swoim rodzaju architekturze XVI wieku i o sołowieckiej faunie piszą tu tak gruntownie, z tak pełnym pokory oddaniem, że ma się wrażenie, iż to jacyś zdziwaczali ucze–

Sztuka dramaturga sowieckiego W. M. Kirszona (1902–1938, zginął w obozie), jednego z przywódców RAPP. Pierwsza z serii sztuk poświęconych pięciolatkom.

36

ni, nic lepszego nie mając do roboty, przybyli na te wyspy, powodowani li tylko pasją naukową, że to wcale nie więźniowie już po Łubiance drżący ze strachu, że po-

ślą ich na Siekierską górę, oddadzą komarom na żer albo włóczyć będą końmi. Zresztą, jakby na ostodę dla dobrodusznych krajoznawców zwierzęta i ptaki jeszcze na Solówkach nie wyginęły, nie są wystrzelane, wygnane, nawet nie wystraszone. Jeszcze w 28. roku zające ufną gromadką wyłazą na sam skraj drogi i z ciekawością gapią się jak aresztanci idą pod konwojem na Anzer.

Jak to się stało, że zające się uchowały? Nowicjusz dowiaduje się, że zwierzęta i ptaszki nie boją się tu niczego, bo w GPU obowiązuje zasada: „oszczędzać pociski! Strzelać wyłącznie do więźniów!”.

A więc to były tylko żarty, chciano im tylko napędzić strachu! Ale nagle rozlega się okrzyk: „Rozejść się! Rozejść się!” – a rzecz dzieje się w biały dzień na podwórku twierdzy, zatłoczonym jak Newski Prospekt. Trzech młodych chłystków z twarzami narkomanów (pierwszy z nich rozgania tłum nie drynem lecz szpicrutą) – kroczy pośpiesznie, wlokąc pod łokcie opadłego z sił człowieka o sflaczałych rękach i nogach: ma na sobie bieliznę i strach popatrzeć na jego twarz topniejącą jak sople! – a wloką go pod dzwonnice. Pod łukowatym sklepieniem są niziutkie drzwiczki w podmurówce wieży. Wpychają go tam i jeszcze na progu strzelają mu w kark – są tam dalej strome schodki do loszku, człowiek spada i można w ten sposób natłuc nawet 7–8 sztuk, a potem dopiero kazać komuś zwłoki wydygować hurtem i postać do szorowania tych schodów kobiety – matki i żony takich, co to uciekli do Konstantynopola, albo religijne, co nie chciały zaprzeczyć się wiary i nie dały oderwać od niej dzieci¹⁵.

Jak to, nie można by tego robić nocą, po cichu? Po cichu? Niby po co? To marnowanie kuł. Za dnia, w ciżbie – kula ma swoją funkcję wychowawczą. Jedną taką kulą – to jakbyś dziesięciu naraz położył.

Była też inna metoda rozstrzeliwania – wprost na cmentarzu przy kaplicy św. Onufrego, za barakiem kobiecym (byłym domem zajezdnym dla

‘5 A teraz, na kamieniach, po których wleczono ludzi, w tym zakątku podwórca, gdzie sołowiecki wiatr nie dokucza, rozochoceni wycieczkowicze, zwiedzający legendarną wyspę, godzinami rzną w siatkówkę. Nic nie wiedzą. A gdyby wiedzieli, to co? Tak samo by rznąli. Dodajmy zresztą, że tych przewodników wycieczek, którzy ważyli się zająknąć, że tu był nie tylko klasztor, ale również lagier – powyganiało. Turystów teraz starają się nie puszczać poza obręb Wielkiej Wyspy Sołowieckiej, żeby nie zobaczyli czasem Siekierki ani nawet Troickiej pustelni (gdzie jeszcze do dziś zachowały się więzienne kraty i szpary w drzwiach, przez które podawano więźniom żarcie), ani pustelni Sawwatiejewskiej (w której zachował się na przykład podziemny karcer, gdzie człowiek po minucie marznie na kość nawet w upalny dzień).

39

patniczek) – i droga obok tego baraku nosiła właśnie nazwę egzekucyjnej. Można było nieraz zobaczyć na niej zimą człowieka prowadzonego bez butów, w samej bieliźnie (to nie szykana! to po to, by nie marnować obuwia i sortów!) z rękoma skrępowanymi drutem z tyłu¹⁶ – a skazaniec dumnie wyprostowany, samymi wargami, bez pomocy rąk pali swego ostatniego w życiu papierosa. (Po tych manierach poznać oficera. Są tu przecież ludzie, którzy siedem lat spędzili na różnych frontach. Tu osiemnastoletni chłopak, syn historyka W. A. Potto, zapytany przez kierownika robót o zawód, odpowiada ze wzruszeniem ramion: „Celowniczy ceka-emu”. Nie zdążył zdobyć innego zawodu w swoim szczenięcym wieku, pośród pożaru wojny domowej).

Fantastyczny świat! Rzadko zdarza się zbieg takich okoliczności. Wiele rzeczy w historii się powtarza, ale zdarzają się też kombinacje zupełnie niepowtarzalne, krótkotrwałe i związane z wyjątkowymi warunkami miejscowymi. Taki był nasz NEP. Dotyczy to też Solówek w latach ich pierwszej młodości.

Bardzo niewielka liczba czekistów (też chyba poścanych tu w trybie na poły karnym), wszystkiego 20–40 ludzi, ma utrzymać w ryzach tysiączne, wielotysięczne rzesze. Z początku spodziewano się mniejszych kontyngentów, ale Moskwa wciąż dosyłała, dosyłała, dosyłała. W ciągu pierwszego półrocza, w grudniu 1923 roku było już tu 2.000 więźniów. A w 1928, w samej tylko 13 kompanii (roboty ogólne) skrzydłowy pierwszego szeregu przy apelu wykrzykiwał „376! dziesięć szeregów!”, wszystkiego było więc w tej kompanii 3760 ludzi, wcale nie mniej – w kompanii 12, a najwięcej w tzw. „17 kompanii” – czyli we wspólnych dołach na cmentarzu. Poza twierdzą pracowano też „na delegacji” w punktach Sawwatiewo, Filimo–nowo, Muksalma, Troickaja i na „Zajęczkach” (Wyspy Zajęcze). W 1928 roku było tu około 60.000 więźniów. Ilu też było wśród nich „celowniczych” i żołnierzy z powołania? A poczynając od 1926 roku pełno tu już było zawodowych kryminalistów wszelkiego rodzaju. I jak tu zapobiec w tych warunkach buntom?

Tylko budząc świętą zgrozę! Tylko Siekierka! Żerdki! Komary! Włóczenie po karczowisku! Rozwątka w biały dzień! Moskwa śle transporty nie licząc się z lokalnymi kadrami – ale Moskwa też nie krępuje swoich czekistów żadnymi obłudnymi przepisami: wszystko co robią dla utrzymania ładu – jest godne uznania i istotnie żaden prokurator nie dotknął stopą sołowieckiej ziemi.

16 Sołowiecki sposób. Tak samo związane były ręce trupów znalezionych w Katyniu. Ktoś tu sobie przypomniał – tradycję? Czy może swoje osobiste doświadczenie?

38

A po wtóre – wolał dziergany błyskotkami: era równości – i Nowe Solówki! Więźniowie sami się dozoruja! Jedni drugich wychowują! Jedni drugich kontrolują! Szefowie kompanii, plutonów, drużyn – sami swoi! Samoobsługa* artystyczno–rozrywkowa!

A za tym strachem i za tym szychem – co to za ludzie? Co za jedni? Stara arystokracja. Kadrowi oficerowie. Filozofowie. Uczni. Malarze. Artyści. Wychowankowie Liceum w Carskim Siole¹⁷ Wychowanie i tradycja wpoły im zbyt wiele dumy, aby mogli okazywać teraz przynębnienie lub strach: nie lamentują, nie skarżą się na zły los nawet przyjaciółom. Należy do dobrego tonu, aby przyjmować wszystko z uśmiechem, nawet gdy człowieka prowadzą na rozwatkę. Tak zgółta, jakby całe to polarne, zagubione wśród fal więzienie było jakimś niefortunnym epizodem podczas pikniku. Trzeba być dowcipnym. I drwić z tych, co więzienia pilnują. Stąd ten stół na bonach i na klombie. Albo ten kozioł zamiast konia. I jeśli 7 kompania nosi nazwę artystycznej, to szefem musi być Kunst*. Jeśli ktoś nazywa się Berry–Jagoda, to każą mu kierować suszarnią leśnych jagód. Stąd też przekomarzenie się z prostaczkami – cenzorami sołowieckich publikacji. Stąd piosenki. G. M. Osorgin powtarza z uśmiechem: A la–ger comme a lager!

Właśnie ta skłonność do żarcików, to podkreślanie arystokratycznej niezależności duchowej – najbardziej drażni półbydlęta z sołowieckiej straży. Nikomu prócz duchowieństwa nie wolno było zaglądać do ostatniej, zachowanej jeszcze klasztornej cerkwi – i oto Osorgin, wykorzystując pewną swobodę ruchów, jaką mu dawała praca w lazarecie, przekradł się do cerkwi na wielkanocną jutrznię. Biskup Piotr

Waromieżski zapadł na dur plamisty i przeniesiono go na wyspę Anzer; Osorgin zawiózł mu tam jego

17 Oto garstka nazwisk jakie zachowały się w pamięci tych współwięźniów, którzy zdolali ocaleć: Szyrinskaja–Szachmatowa, Szachowskaja, Fitztum, I. S. Delwig, Bagratuni, Assocjani–Erisow, Gaucheron de la Fosse, Sievers, G. M. Osorgin, Klodt, N. N. Bach–ruszyn, Aksakow, Komarowski, P. M. Wojejkow, Wadbolski, Wonlarlarski, W. Lewa–szow, O. W. Wołków, W. Łozino–Łozinski, D. Gudowicz, Taube, W. S. Muromcew. Były leader partii konstytucyjnych demokratów Niekrasow (czy to aby ten sam?). Profesor ekonomii Ozierow. Profesor prawa A. B. Borodin. Profesor psychologii A. P. Suchanow. Filozofowie – prof. A. A. Meyer, prof. S. A. Askoldow, J. N. Danzas, teozof Moebius. Historycy – N. P. Ancifierow, M. D. Prisielkow, G. O. Gordon, A. J. Zaozierski, P. G. Wasijenko. Literaturoznawcy – D. S. Lichaczew, Cejtlin, lingwista I. J. Aniczkow, orientalistka – N. W. Pigulewskaja. Ornitolog G. Polaków. Artyści malarze – Brąz, P. F. Smortricki. Aktorzy – I. D. Kaługin (z Teatru Aleksandrowskiego), B. Głubokowski. W. I. Korolenko (bratanek pisarza). W latach 30., w ostatnim okresie istnienia tego obozu, siedział tu również ojciec Paweł A. Florenski, teolog i myśliciel. Sztuka (po niemiecku).

39

szaty i oleje święte. Ktoś o tym wszystkim doniósł, Osorgina wsadzono do karceru i skazano na rozstrzelanie. Tegoż dnia przybyła na Solówki jego młoda (on też nie przekroczył jeszcze czterdziestki) żona. I Osorgin prosi nadzorców, aby nie psuli żonie nastroju podczas widzenia. Przyrzeka, że nie pozwoli żonie być tu dłużej niż trzy dni – toć zdążą go rozstrzelać zaraz po jej odejściu. I oto czym jest sztuka panowania nad sobą, którą przekleliśmy wraz z całym arystokratycznym sposobem bycia, umiając teraz tylko skomleć przy ładzie jakim kłopotem czy bólu: trzy dni, bez chwili przerwy, spędził ten człowiek z żoną i sprawił, że niczego się nie domyśliła! Ani jednej aluzji! ani jednego akcentu depresji! Ani jednego mrocznego spojrzenia! Raz tylko (żona Osorgina dotąd wszystko to pamięta), podczas spaceru brzegiem jeziora Świętego, obejrzała się nagle i zobaczyła, jak mąż ściska głowę gestem udręki. „Co ci jest?” – „Nic takiego” – i zaraz się uśmiechnął. Miała prawo zostać z nim dłużej, ale uprosiła ją, by wróciła na ląd. Szczegół typowy dla tej epoki: wmówił jej, żeby zabrała jego ciepłe rzeczy, bo dostanie przecież w oddziale sanitarnym sorty na nadchodzącą zimę; a to był skarb, więc przekazał go rodzinie. Gdy parowiec odbijał od mola – Osorgin już rozbierał się przed egzekucją. Ale w końcu ktoś dał im te trzy dni w darze. Te trzy skazańcze dni Osorgina, jak zresztą inne podobne wypadki, są dowodem, że reżym sołowiecki nie był jeszcze zakuty w pancerz systemu. Ma się wrażenie, że na sołowiecką atmosferę składała się dziwna mieszanka skrajnego okrucieństwa z niemal dobrodusznym niezdawaniem sobie sprawy – w którą stronę wiatr wieje? Jakie z pędów sołowieckich rozrosną się bujnie na wielkim Archipelagu, jakim zaś pisane jest, że już tutaj uszną? Mimo wszystko, nie mieli jeszcze ci wyspiarze wrażenia, że oto zapłonęły tu już piece polarnego Oświećmienia i że w tych czeluściach zginąć mają wszyscy, co tu przybyli. (A w istocie tak już było!...). Dezorientacja stąd jeszcze się brała, że wyroki były z reguły dość niskie: rzadko kto miał tu dziesiątka, pięcioletni wyrok też nie często się zdarzał, najwięcej było skazanych na trzy lata. Jeszcze nie wiedziano wtedy, jak lubi nasza sprawiedliwość tę kocią zabawę: ścisnąć pazurami – i znów wypuścić, znów ścisnąć – i znów wypuścić. I ta pocziwa, patriarchalna nie-

świadomość – do czego to wszystko zmierza? – musiała jednak wpływać w jakiś sposób na straż, złożoną z samych więźniów, a może nawet na ich nadzorców. Choć tezy doktryny klasowej, oznajmiające że wróg zasługuje tylko na to, aby go zlikwidować, głoszone były w sposób jak najbardziej dobitny, otwarty i powszechny – jednak trudno było sobie wyobrazić ową likwidację każdego konkretnego dwunogiego osobnika, mającego takie a takie włosy, oczy, usta, szyję, ramiona. Można było przyjąć do wiadomości, że

40

trzeba zlikwidować klasy, no, ale ludzie, należący do tych klas powinni chyba jakoś się ostać?... Oczy Rosjan, przyzwyczajonych do obcowania z całkiem innymi, mglistymi i dalekimi od małostkowości pojęciami, nie dawały sobie rady z odcyfrowaniem ścisłego sensu formuł okrutnej doktryny – zupełnie jakby trzeba je było czytać przez źle dobrane okulary. Niedawno dopiero minęły miesiące i lata otwarcie głoszonego terroru – a jednak nie chciało się jakoś wierzyć! Także tu, na pierwsze wyspy Archipelagu, zdołała przesączyć się chwiejność, tak typowa dla kapryśnej ery lat 20., kiedy to również w reszcie kraju nie bardzo było wiadomo – czy już niczego nie wolno? Czy może na odwrót – właśnie teraz zacząć pozwalać na wszystko? Ruś tak jeszcze ufała wzniosłym frazesom! – i tylko nieliczni czarnowidze już sobie to i owo wykalkulowali, już domyślali się – kiedy i jak położyć się koniec tym harcom.

Kopuły uszkodził pożar – ale więzania przetrwały wieki... Ziemia orna na końcu świata – a leżeć ma odłogiem. Mieni się niespokojne morze. Ciche jeziora. Ufne zwierzęta. Okrutni ludzie. Na zimę albatrosy odlatują nad Zatokę Biskajską, zabierając ze sobą wszystkie sekrety pierwszej wyspy Archipelagu. Ale nie rozpowszechnią ich na beztróskich plażach, nikomu w Europie ich nie zdradzą.

Świat z fantastycznej opowieści... I oto – jedno z najbardziej fantastycznych, choć nietrwałych zjawisk: obozowym życiem zarządzają tu – białogwardziści! Kuryłko nie był wcale przypadkowym wyjątkiem.

Jak to się dzieje? A tak. W obrębie całej twierdzy – jest tylko jeden wolny czekista – dyżurny szef obozu. Warta przy bramach (wieżyczek jeszcze nie ma), punkty obserwacyjne na wysepkach, ściganie uciekinierów – to wszystko należy do kompetencji straży obozowej. Do straży przyjmowani są zaś – poza garścią wolnych – zwykli mordercy, fałszerze pieniędzy, kryminaliści różnego autoramentu (prócz zawodowych złodziei). Kto jednak ma się zająć całą organizacją wewnętrzną, kto pokieruje Wydziałem Administracyjnym, skąd wziąć dowódców kompanii i drużyn? Nie mogą przecież zająć się tym duchowni ani członkowie sekt, ani spekulanci skazani za przestępstwa skarbowe, ani uczeni, ani studenci (studentów tu wcale nie brak, a czapka studencka na głowie więźnia – to wyzwanie, zuchwalstwo, znak rzucający się w oczy i zachęta do wciągnięcia na listę kandydatów do rozwałki). Najlepiej daliby sobie z tym radę byli wojskowi. A jacyż tu inni wojskowi prócz białych oficerów?

– W ten sposób – bez żadnych tam spisków, a chyba nawet bez przemyślanego planu – doszło do sołowieckiej kolaboracji czekistów z białogwardzistami!

41

A gdzież zasady – zarówno u tych, jak u tamtych? Że dziwne? Zaskakujące? Tylko tego mogło takie zjawisko dziwić, kto przyzwyczaiał się do klasowo-socjalnych analiz i nie potrafi już rozumować inaczej. Ale kogoś takiego wszystko w świecie po-

winno dziwić, ani świat bowiem, ani ludzie wcale nie mieszczą się w jego szufladkach.

Zaś sołowieccy nadzorcy nawet diabła wezmą do pomocy, skoro brak im swoich ludzi do tej pracy. Przecież jest dyrektywa, żeby więźniowie jedni drugich pilnowali (czyli gnębili). A kto inny lepiej sobie z tym da radę?

No, a weźmy tych oficerów zawodowych. Toż to wojskowi do szpiku kości; jak tu oprzeć się pokusie wzięcia w swoje ręce mechanizmu obozowej administracji (czyli mechanizmu ucisku)? No, jakże tu godzić się potulnie z tym, że ktoś inny weźmie się za to nieumiejętnie, bez pojęcia? Co potrafią z ludzkim sercem zrobić epolety – już w tej książce mówiliśmy. (Zaczekajcie, przyjdzie jeszcze kolej na czerwonych oficerów – i pchać się będą do oddziałów ochronnych, rwać się będą do tego strażniczego karabinu, drżąc, czy aby im go powierzą!... Już pisałem – a gdyby tak nas skrzyknął Maluta Skuratow*, co wtedy?).

No, chyba i to jeszcze musiało przychodzić białogwardzistom na myśl: e tam, wszystko jedno – koniec, wszystko się skończyło, więc co tam się cackać! I jeszcze to: „im gorzej, tym lepiej”, pomożemy wam urządzić tu takie piekielne Solówki, o jakich w naszej Rosji nikt by pomyśleć nawet nie śmiał – niech o was wszędzie mówią jak najgorzej. I jeszcze: wszyscy koledzy już się zgłosili, a ja co – alboż to jestem popem, może mam pchać się do magazynu na księgowego?

A jednak niesamowitość sołowieckiego świata tu się nie kończyła: po opanowaniu administracji Solówek białogwardziści rozpoczęli walkę z cze-kistami! Niby że – obóz jest wasz od frontu, a nasz – od środka. I gdzie kto ma pracować, dokąd kogo posłać – to już sprawa Działu Administracji. My nie wytykamy nosa na zewnątrz, wy zaś nie wtykajcie nosa w nasze sprawy.

A jużci! – przecież obóz powinien być w środku cały naszpikowany szpiclami Oddziału Informacyjno-Śledczego! To była najważniejsza i najgroźniejsza siła w obozie – ten Oddział, (I pełnomocnicy operacyjni też się rekrutowali z więźniów – oto szczyt systemu autokontroli!). I z tą właśnie siłą wziął się za bary białogwardyjski Dział Administracji! Wszystkie inne działy – Kulturalno-Oświatowy, Sanitarny, których znaczenie w obozach przyszłości tak wzrośnie, tu jeszcze były wątki i niezasobne. Cienko prządtł nawet Dział Gospodarczy, kierowany przez N. Frenkla – w jego to

Faworyt Iwana Groźnego, dowódca opryszczników, naczelny oprawca.

42

gestii był „handel” ze światem zewnętrznym i nie istniejący „przemysł”; jeszcze nie wytyczone były przyszłe drogi rozwoju.

Te dwie siły – Informacja i Administracja były ze sobą w walce. Zaczynało się to już na Kempierpunkcie: do drużynowego podchodzi nowo przybyły Al. Jarosławski, poeta i coś mu szepce do ucha. Drużynowy ryczy w odpowiedzi z wojskowym fasonem: „Byłeś tajnym – a teraz będziesz jawnym!”.

Informacja ma Siekierkę, karcery, donosy, akta więźniów, zależy od niej i zwolnienie przed terminem i rozstrzelanie, to ona cenzuruje listy i paczki. Administracja ma w swojej gestii skierowania do pracy, przeniesienia wewnątrz obozu i wysyłkę na etap.

Dział Administracji dybał na donosicieli i wysyłał ich najbliższym transportem. Na szpiclów polowano, zwierzyna wywijiała się pogoni i szukała schronienia w lokalu Informacji. Ale nawet tam ich znajdowano, wyłamując drzwi, wyciągając ich na dwór i zabierając na etap jak swoich¹⁸.

(Wysyłano ich na wyspę Kondostrow, na wyręb lasu. Tam fantastyka miała swój ciąg dalszy: zdemaskowani, zagubieni wydawali na Kondostrowie gazetkę ścienną pod tytułem „Stukacz”* i z posępnym humorem „demaskowali” się wzajemnie dalej – już zapędzeni w kozi róg). Informacja w odwet wszczyniała postępowanie karne przeciw gorliwcom z Administracji, zwiększała im terminy odsiadki, posyłała na Siekierkę. Ale sprawę komplikował fakt, że – według ówczesnych ustaw (art. 121 KK: „rozgłaszanie przez osobę urzędową wiadomości nie podlegających rozpowszechnieniu...” – niezależnie od tego, czy rozgłaszała je z własnej inicjatywy i w jakiej mierze była osobą urzędową) miało tu miejsce wykroczenie, tak że Informacja nie mogła oficjalnie bronić i ratować swoich zdemaskowanych informatorów. Wpadłeś – więc sam sobie jesteś winien. Kondostrow był zatem instytucją nieomal uświęconą przez prawo.

Szczytowym momentem tej „wojny” między Administracją a Informacją był wypadek z 1927 roku, kiedy to białogwardziści włamali się do lokalu Informacji, rozbili kasę pancerną i podali do wiadomości publicznej zdobytą w ten sposób pełną listę donosicieli – odtąd straconych już dla świata! Od tej chwili jednak zaznacza się stały spadek znaczenia Administracji. Z każdym rokiem ubywa białych oficerów, rośnie zaś liczba kryminalistów (na przykład – przyjeżdżają „czubarowcy”; tak zwano gwałcicieli, zesa-

18 Interesujące: w zaraniu Archipelagu ludzie zaczynają od tej samej akcji, do której zabierzemy się także my – znacznie później, w Obozach Specjalnych – od ataku na donosicieli.

Donosiciel-spicel, tajniak.

43

nych po słynnym procesie leningradzkiej bandy Czubara). I stopniowo dano Administracji radę. Na strychu Sawwatiejewskiej pustelni dopiero w 1972 roku znaleziony został rękopis – dziennik zeka z dwudziestych lat (zapewne politycznego, bo mowa w nim była o tym, czym tu się żywi politycznych). Na jednej z pierwszych stron opisany był zamach młodego białogwardzisty na generała Czeki, dalszych stron nikt już nie przeczytał: rękopisem zawładnęło KGB.

W roku 1930 zaczęła się nowa era, Solówki zaś przestały być Sołówkami, stając się zwykłym „obozem pracy poprawczej” jak tyle innych. Wschodziła czarna gwiazda ideologa tej ery, Naftalego Frenkla, naczelnym zaś prawem Archipelagu stała się jego formuła:

„Z więźnia musimy wycisnąć wszystko w trakcie pierwszych trzech miesięcy – a później nic już nam po nim!”.

No i gdzie są teraz Sawwatiusz z tym Zosim? I który to z nich wymyślił, żeby osiedlić się za Kołem Podbiegunowym, gdzie człowiek bydlą nie uświadczy; ryb nie nałowi, zboża i jarzyn nie zbierze?

O, wy mistrzowie w sztuce pustoszenia kwitnących krain! Żeby tak szybko – w ciągu roku, dwóch – doprowadzić wzorową gospodarkę klasztorną do zupełnej i nieodwracalnej ruiny! Jak to się wam udało? Czyście grabili i wywozili wszystko precz? Albo spustoszyli wszystko tu, na miejscu? I mając do rozporządzenia tysiące bezczynnych rąk – żeby niczego z tej ziemi nie wydobyć?

Mleko, śmietana i wyborna kapusta ojca Metodego – to tylko dla wolnych. A dla więźniów – nadgniły dorsz solony albo suszony, wasser-zupka z jagłami albo perłową kaszą, bez kartofli, nigdy nie dadzą kapuśniaku ani barszczu. W rezultacie – szkorbut i nawet pisarczykowie z „kompanii biurowej” cali owrzodzeni, co dopiero

mówić o tych z robót ogólnych... Wystąpi do pracy gdzieś na peryferie wracając „czworonogim transportem” (bo od przystani muszą się wprost czołgać na czworakach).

Z przekazów pieniężnych, nadchodzących z domu, wolno wydawać miesięcznie tylko 9 rubli – jest kantyna w Kaplicy Hermana. Co zaś do paczek – to wolno dostawać tylko jedną miesięcznie; otwierana jest w Oddziale Śledczo-Informacyjnym i jeśli człowiek poskąpi łapówki, to okaże się, że wiele z przystanych rzeczy objętych jest zakazem, np. kasza. W Ni-kolskiej cerkwi i w Soborze Uspienskim rosną tymczasem nary – są już cztery kondygnacje. 13 kompania gnieździ się w budynku przylegającym do Soboru Przemienienia. Wyobraźcie sobie, jak 3 i pół tysiąca ludzi zbi-

44

tym tłumem wraca z pracy, przeciskając się przez jedyne, wąskie drzwi do wnętrza murowańca. Godzinę czasem trzeba czekać w kolejce po wrzątek. W sobotę cotygodniowe apele wieczorne trwają aż do późnej nocy (jak niegdyś – nocne nabożeństwa...). O higienę dbają tu, rzecz jasna, bardzo: przemocą strzygą ludziom włosy i golą brody (dotyczy to również wszystkich duchownych). Ponadto – obcinają tu poły każdemu, kto nosi długie okrycia (zwłaszcza – sutanny), jako że to główny rozsadnik infekcji. (Cze-kiści mają szynele do samej ziemi). Co prawda, zimą wcale nie mogą chodzić do łaźni ci starzy i chorzy, co leżeć muszą na kompanijnych narach w samej bieliźnie i w workach. Wszy żrą ich żywcem. Zmarłych ukrywa się pod narami, żeby móc dalej pobierać ich przydział chleba – chociaż dla pozostałych to wcale nie najlepsze wyjście: wszy ze stygnących zwłok przełazą na tych, co jeszcze żyją. W twierdzy jest mizerny dział sanitarny z marnym szpitalikiem, w głębi zaś Solówek – już ani śladu medycyny.

(Wyjątkiem jest tylko – pustelnia Golgoty i Ukrzyżowania na wyspie Anzer, gdzie metodą terapii jest... zabójstwo. Tam, w cerkwi Golgoty ludzie leżą i umierają z niedożywienia, od skutków bestialstwa – i wycieńczeni duchowni, i syfilitycy, i młodzi knajacy. Przychylając się do błagań konających, a także, by samemu sobie ulżyć, lekarz z tej umieralni daje beznadziejnie chorym strychninę. Zimą zwłoki z trupim zarostem, w samej bieliźnie długo leżą na cerkiewnych narach. Później stawia się je w zakrystii na sztorc, opierając o ścianę rzędem – w ten sposób zajmują mniej miejsca. W końcu wynosi się trupy na dwór i strąca ze szczytu wzgórza Golgoty „).

Pewnego razu wybuchła w Kemi epidemia duru (1928) i 60% zamkniętych tam ludzi – wymarło, ale dur przeczucił się też na Wielką Wyspę Sołowiecką. Tu, w nie ogrzanej, „teatralnej” sali walały się jednocześnie setki chorych. Setki też powędrowały na cmentarz. (Żeby się nie pomylić w rachunku, rejestratorzy pisali każdemu jego nazwisko na ramieniu. Rekonwalescenci zaś zmieniali się w ten sposób na wyroki pisząc cudze nazwisko na własnej skórze – jeśli zmarły odsiadywał krótki wyrok.

19 Niezwykłej nazwy tego wzgórza i pustelni nigdzie indziej się nie spotyka. Według legendy (przekazy z XVIII w., Państw. Bibl. Publiczna, Żywoty Eremitów Solowieckich). 18 czerwca 1712 roku przeor Hiob miał pod tą górą widzenie: podczas nocnego czuwania zjawiła się przed nim Matka Boża „w blasku niebiańskim”

i oznajmiła, że „góra ta ma odtąd nosić nazwę Golgoty, zbudowana będzie na niej cerkiew i erem Ukrzyżowania. I posinieje ona cała od niezliczonych męczarni”. Nazwano ją więc tak i zbudowano świątynię pod takim wezwaniem, ale przez lat

przeszło dwieście podanie wydawało się bezpodstawne i nikt nie sądził, że proroc-
two się ziści. Po historii z solowieckim obozem – już nikt tego nie powie. W 1975 ro-
ku naoczni świadkowie stwierdzili, że świątynia została zrujnowana (a jeszcze
w latach 60. była cała), ale zachowały się mury i gdzieś tam widać jeszcze fre-
ski.

45

A w 1929, kiedy spędzono tu wielotysięczne gromady „basmaczy” z Azji Środko-
wej (tj. mieszkańców Azji Środkowej, nie uznających władzy sowieckiej) przybyła
z nimi dziwna epidemia: czarne strupy tworzyły się na ciele i człowiek musiał umie-
rać*. Nie mogła to być dżuma ani oспа, ponieważ te dwie choroby całkowicie już
były zlikwidowane w Republice Rad – nazwano zaś tę chorobę „azjatyckim tyfu-
sem”. Leczyć jej nie umiano, walczono zaś z nią w ten sposób, że zamykano
wszystkich na rygiel, nie wpuszczano więcej nikogo, wsuwano tylko miski
z jedzeniem i czekano, aż ludzie wymrą po kolei.

Jakże ciekawe byłoby – z naukowego punktu widzenia – gdyby dało się ustalić, że
Archipelag w erze Solówek sam jeszcze nie był świadom swych przeznaczeń, że
dziecię to jeszcze nie znało wtedy własnych skłonności! I zbadać, jak później do-
piero te skłonności dały o sobie znać. Niestety, wcale tak nie było! Chociaż brak
było wzorów do naśladowania, choć nie było z kogo brać przykładu, choć dzie-
dziczność też chyba nie wchodziła w grę – mimo to Archipelag rychło sobie
uświadomił swój przyszły charakter i zaraz zaczął go przejawiać.

Jak wiele już tu, na Solówkach, przeprowadzono doświadczeń, które przydać się
miały dopiero w przyszłości! Istniał już termin „wyciągnąć kogoś z robót ogół-
nych”. Na ogół spało się na narach, ale ten i ów miał już oddzielną prycę. Całe
kompanie gnieździły się w nawach cerkiewnych, ale były też izby na 20 ludzi,
a nawet – na czterech czy pięciu. Już ktoś tam miał przywilej wybrania sobie ko-
biety z nowego transportu (na tysiące mężczyzn było tylko 150–200 kobiet, później
dopiero ich przybyło). Trwała już walka o dobre funkcje, stosowano już metodę
pochlebstwa i zdrady. Już usuwano kontrę z biurowych stanowisk – i znów musia-
no je tymi ludźmi obsadzać, bo kryminaliści tylko bałagan robili. Już powietrze
w obozie gęstniało od złowieszczych plotek. Już najważniejszą zasadą postępo-
wania było: nie ufaj nikomu! (W ten sposób zostało wymieciione precz
i wytrawione mrozem pięknoduchostwo Srebrnego Wieku).

Wolni także zaczęli gustować w stosunkach obozowych, nabierać do nich
smaku. Rodziny wolnych miały prawo do bezpłatnej kucharki–więźniarki, zawsze
mogły zażądać przysłania praczki, krawcowej, fryzjera, kogoś do rąbania drzewa.
Eichmans wybudował sobie willę w tym podbiegunowym kraju. Szeroki gest miał
również Potiomkin, były wachmistrz dragonów, który został później członkiem partii,
czekistą i wreszcie – naczelnikiem Kempierpunktu. Otworzył w Kenii restaurację:
damska kapela składała się tam ze studentek konserwatorium, kelnerki chodziły
Zapewne tzw. sibirskaja jazwa, choroba zbliżona do węglika.

46

w jedwabnych sukienkach. Szefowie GUłagu przybywający służbowo z Moskwy,
gdzie wszystko dostawało się jeszcze na kartki, mogli tu sobie, na początku lat 30.,
wystawnie ucztować; dania podawała im księżna Sza-chowskaja, rachunki zaś
wystawiano im symbolicznie, po 30 kopiejek: różnicę pokrywano z funduszków obo-
zu.

Zresztą, sołowiecki Kreml – to wcale nie całe Sołówki, to jeszcze najlepsze miejsce na tych wyspach. Prawdziwe Sołówki – to nawet nie pustelnie (gdzie po wywiezieniu socjalistów urządzono kolonie pracy) – ale dalekie ośrodki trzebień lasu. Właśnie o tych odległych, głuchych punktach najtrudniej dziś powiedzieć coś pewnego, bo CI, co tam pracowali, nigdy już stamtąd nie wrócili. Wiadomo, że już wtedy nie pozwalano w czasie jesiennej słoły suszyć odzieży; że zimą, gdy zalegał kopny śnieg, ludziom nie wydawano ani odzieży, ani obuwia; że dniówka robocza mierzona była normą – dzień kończył się gdy wykonano normę. Jeśli norma nie została wykonana, to nie wracano na noc pod dach. Wówczas też już „inaugurowano” nowe punkty obozowe w ten sposób, że posyłano kilkuset ludzi w nieznane, gdzie nic jeszcze nie było dla nich przygotowane.

Ale mamy wrażenie, że w pierwszym okresie istnienia Sołówek zarówno wyciskanie siódmych potów przy robotach, jak narzucanie nieludzkich norm były to tylko przejściowe zrywy, objawy chwilowej wściekłości; nie stały się one jeszcze żelaznym systemem, nie opierała się jeszcze na nich gospodarka całego kraju, nie był to jeszcze fundament pięciolatek. W ciągu tych pierwszych lat SŁOŃ nie miał jeszcze, jak wolno sądzić, własnego, ustalonego odgórnie, planu gospodarczego, a zresztą nie bardzo zdawano sobie sprawę, ile roboczodniówek przypadać musi na rozbudowę samego obozu. Dlatego to można sobie tam było pozwalać na bez troskie przekształcanie jakichś sensownych gospodarczo prac w roboty karne: przelewanie wody z jednego przerębla do drugiego, przenoszenie pni z miejsca na miejsce. Było w tym okrucieństwo, owszem, ale niejako patriarchalnego typu. Kiedy zaś wyciskanie siódmych potów wchodzi w skład przemysłanego systemu, wtedy oblewanie ludzi wodą na mrozie albo oddawanie więźnia na żer komarom staje się zbyt skuteczne i sprowadza się do marnotrawienia sił samych oprawców.

Znana jest następująca cyfra oficjalna: przed rokiem 1929 w RSFSR „objęto” pracą tylko 34 do 41% wszystkich więźniów²⁰ (nie mogło być zresztą inaczej, bo w kraju panowało bezrobocie). Nie wiemy, czy uwzględniono tu również prace wykonywane dla potrzeb obozu, czy też tylko prace „na eksport”. Ale pozostałym 60–65% więźniów nie starczało nawet zajęć

²⁰ Praca zbiorowa, *Od więzień...* str. 115.

47

gospodarskich. Także na Solówkach proporcje nie mogły być inne. Jasne jest więc, że w ciągu całych lat 20. było tam wielu więźniów nie zatrudnionych przy żadnych pracach stałych (częściowo z powodu braku odzieży) albo zatrudnionych tylko w bardzo umownym sensie.

Pierwszy rok pierwszej pięciolatki, który był takim wstrząsem dla całego kraju, wstrząsnął również Solówkami. Nowy (przystany w 1930 roku) naczelnik USŁON-u Nogtiew (były naczelnik eremu Sawwatiewskiego, który tam przeprowadził masakra socjalistów) wywołując „szmerek podziwu ze strony zaskoczonych słuchaczy” cytował zebrany w Kemi wolnym takie oto liczby: „nie licząc własnych wyrębów USŁON-u, które rosły w tempie zupełnie wyjątkowym”, USŁON zdołał – na zamówienie dwóch tylko instytucji – Żeiles i Karelles – dostarczyć surowca drzewnego: w 1926 roku za 63 tysiące rubli, w 1929 roku – za 2 miliony 355 tysięcy rubli (wzrost 37-krotny!), w 1930 – jeszcze trzy razy więcej. Za budowę dróg w kraju Karelsko-Murmańskim w 1926 roku obóz otrzymał sumę 105.000 rubli, w 1930 roku – już 6 milionów, czyli 57 razy więcej²¹!

Tak oto przebiegał zmierzch dawnych, głuchych Solówek, gdzie nie wiadano, jak tu wykończyć więźniów! Praca–cudotwórczyni podała pomocną dłoń! Kempierpunkt był przedsiönkiem Solówek; gdy osiągnęły już dojrzałość pod koniec lat 20., przez Kempierpunkt zaczęły Sołówki przelewać się na ląd stały. I tym, co najgorszego mogło się więźniom Solówek przydarzyć – stały się właśnie „delegacje” na kontynent. Dawniej klasztor Sołowiecki miał na lądzie starym tylko dwie forpocztę – Sorokę i stanicę Sumską, przybrzeżne folwarczki. Teraz zaś rozrastający się SŁOŃ przekroczył granice klasztornych posiadłości.

Na zachód od Kemi więźniowie zaczęli bić trakt przez bagniste tereny do Uchty „które to przedsięwzięcie niegdyś uznano za niewykonalne²²”. Latem ludzie zapadali się w bagnistą toń, zimą zamarzali. Tego traktu więźniowie Solówek bali się panicznie i przez długi czas właśnie ta pogroźka: „Co?! Może pośtać cię na Uchtę?” najczęściej rozlegała się na dziedzińcu Kremla.

Drugi podobny trakt zwał się Parandowskim (z Miedwieźgorska). Przy jego budowie czekista Gaszydze rozkazywał szpikować skałę materiałem wybuchowym, na szczyt skały posyłał ka–erów i przyglądał się przez lornetkę, jak wylatują w powietrze.

Powiadają, że w grudniu 1928 na Czerwonej Górze w Karelii więźniów 21 „Sołowieckije Ostrowa”, 1930, Nr 2–3, str. 56–57.

22 Ibidem, str. 57.

48

zostawiono za karę (nie wykonali normy dziennej) na całą noc w lesie – i że 150 ludzi zamarzło na śmierć. To było w stylu Solówek – nie ma wątpliwości.

Trudniej dać wiarę innej relacji – na budowie traktu Kemi–Uchta, w pobliżu miasteczka Kuť (luty 1929) kompanię więźniów w składzie około 100 ludzi ZA NIEWYKONANIE NORMY ZMUSZONO DO WEJŚCIA NA STOS – I WSZYSCY SPŁONĘLI! Usłyszałem ten przekaz z ust jednego tylko człowieka: świadkiem tego wydarzenia był niedawno zmarły profesor D. P. Kallistow, stary więzień Solówek. Owszem, zbieżnych relacji o tym wypadku nie zdołałem zebrać (nikt już ich nie zbierze, zresztą, nie ma zeznań, nawet pojedynczych, o tylu innych faktach). Ale czy ci, co wysadzają w powietrze i zostawiają na polarnym mrozie żywych ludzi, nie są zdolni do palenia ich żywcem? Że to rzecz technicznie trudniejsza?

Czytelnicy, którzy skłonni są dawać raczej wiarę znakom drukarskim, niż żywym istotom, niechże poczytają sobie relację o budowie gościńca w granicach tego samego USŁON–u, przez takich samych zeków, w tym samym roku – tyle że na półwyspie Kola:

„Ogromne trudności trzeba było pokonać, by przeprowadzić bity trakt doliną rzeki Białej wzdłuż brzegu jeziora Wudjarw aż do góry Kukiswum–czorr (Appatyty), o długości 27 km, moszcząc mokradła...” – jak myślicie, czym je moszcząc? odpowiednie słowo ma się już na końcu języka, prawda? ale papier to co innego... – „kłodami i zasypując piaskiem oraz niwelując kapryśny profil wzgórz, których zbocza pokryte były kamienistymi usypiskami”. Później USŁON przeprowadził również tą trasą tory kolejowe – „11 kilometrów w ciągu jednego tylko miesiąca zimy... (a dlaczego w ciągu jednego miesiąca? dlaczego nie można było poczekać do lata?) – ...zdawało się już, że zadanie jest wręcz niewykonalne. 300.000 metrów sześciennych ziemi trzeba było wykopać (za Kołem Podbiegunowym! zimą! – czy to w ogóle ziemia? czym jest granit przy tej substancji?) – wyłącznie ręcznym sposo-

bem, mając do dyspozycji tylko rydle, oskardy, łopaty. (A czy mieli tam chociaż rękawice?...)

Trzeba było zbudować mnóstwo mostów, co hamowało postęp robót. Pracowało się okrągłą dobę na trzy zmiany, szturmując noc polarną światłem naftowych reflektorów, wyrąbując przecinki w sośniakach, karczując pnie – często podczas zamieci, tarasując naszą drogę zaspami na wyso–. kość rosnącego chłopa...23".

2J G. Friedman, Baśniowa rzeczywistość, czasopismo „Solowieckije Ostrowa”, 1930, Nr 4, str. 43–44.

3 Archipelag Gulag t. II49

Przeczytajcie to jeszcze raz. A teraz przymrużcie oczy i wyobraźcie sobie, że to ktoś z was, jakiś bezradny mieszczuch, wielbiciel Czechowa, wtrącony został do tego piekła lodowatego! – albo jakiś Turkmen w kolorowej mycce – rzucony jest na pastwę tej nocnej zamieci! I teraz ma karczować pieńki! Działo się to w trakcie tych świetlanych, nieporównywanym lat dwudziestych, kiedy nikomu jeszcze nie śnił się „kult jednostki”, kiedy ludzie wszystkich ras i kolorów – biali, żółci, czarni i brunatni – widzieli w naszym kraju żagiew swobody24. Działo się to wtedy właśnie, gdy na estradach śpiewano zabawne kuplety o Sołówkach.

Tak oto, krok za krokiem, nieznacznie – dzięki instytucji zadań produkcyjnych, uległ rozpadowi początkowy plan stworzenia na wyspach izolowanego Obozu Specjalnego. Archipelag, który narodził się i osiągnął dojrzałość na Sołówkach, jął teraz dawać rakowe przerzuty na terytorium kraju.

Powstał problem: otworzyć przed nim na oścież cały kraj – a nie dać się samemu zagarnąć, nie dać się wessać, strawić, upodobnić do reszty. Każdą wysepkę, każdą rafę Archipelagu otoczyć wrogim, sowieckim falochronem. Niech się te dwa światy nawarstwiają na siebie, ale niech nie dojdzie do wzajemnego przenikania! A ten referat Nogtiewa, któremu towarzyszył „szmerek podziwu” wygłoszony był po to, by doprowadzić do uchwały zebranych przedstawicieli mas pracujących Kemi (a później – do gazetek! i rozplakatować we wszystkich koloniach karnych!): „... walka klasowa, wzmagająca się na całym terytorium ZSSR... a także groźba wojny, realna, jak nigdy do tej chwili25... wymaga od organów OGPU i U SŁOŃ jeszcze większego zacieśnienia współpracy z masami i jeszcze większej czujności... Organizując odpowiednio opinię publiczną... zwalczać trzeba:... poufalenie się wolnych obywateli z więźniami, proceder ukrywania uciekinierów, handel przedmiotami kradzionymi przez więźniów lub pochodzącymi z zaboru mienia państwowego... a także – najróżniejsze złośliwe plotki, szerzone na szkodę USŁON–u przez wrogów klasowych”.

A cóż to za „złośliwe plotki”? A że w obozie są ludzie i że siedzą nie wiadomo za co! I jak ich tam się dobija. A później jeszcze taki punkt: „... obowiązkiem każdego jest zawiadomić na czas kogo należy26...”.

24 O, gdzież byli wtedy Bertrand Russell i Hewlett Johnson z ich wiecznie niespokojnym sumieniem?

25 Zawsze u nas jest jak nigdy dotąd, inaczej w ogóle nie bywa.

26 „Solowieckije Ostrowa”, 1930, Nr 2–3, str. 60.

50

Wstrętni cywile! Są z więźniami za pan brat, ukrywają uciekinierów! To bardzo poważne niebezpieczeństwo. Jeśli temu radykalnie nie zapobiec – to naci z Archipelagu. I kraj zginie. I cała rewolucja na nic.

Przeciwdziałała się więc „złośliwym” pogłoskom – szerząc pogłoski uczciwe i postępowe: że w obozach siedzą tylko mordercy i gwałciciele! że każdy uciekinier – to niebezpieczny bandyta! Niech się ludzie złączą, niech zatrzaskną drzwi, niech pilnują dobrze swoich dzieci! Wytapujcie ich, donoście, pomagajcie OGPU w jej pracy! A kto nie pomoże – o tym zawiadomcie, kogo należy!

W miarę jak Archipelag zaczął się rozrastać, wzrastała też liczba ucieczek: wysłanie poza obóz na roboty drogowe czy leśne mogło skończyć się fatalnie, ale jednak człowiek miał ład stały pod nogami, miał nadzieję, że zdoła uciec. Marzenia o ucieczce nie dawały spokoju solowieckim więźniom jeszcze wtedy, gdy SŁOM ograniczał się tylko do izolowanego terenu wyspy. Łatwowierni wypatrywali końca swego trzyletniego wyroku, przewidujący zaś rozumieli, że wolności nie doczekają się ani za trzy, ani za dwadzieścia trzy lata. A to znaczy – że na wolność można tylko – uciec.

Ale jak tu uciec ze Solówek? Przez pół roku morze pokryte jest lodową skorupą – ale nie ciągną – pełno w niej wyrw – szaleją zamiecie, wszystko zasnuje mgła, trwa noc polarna. Wiosną zaś i przez dużą część lata – noce są białe, z łodzi strażniczych widok daleki. Sposobność nadarzyć się może tylko u schyłku lata lub jesienią, gdy noce stają się dłuższe. Oczywiście, nie ci co siedzieli w warowni, tylko tacy, których wysłano z niej na roboty – mając trochę czasu i swobody ruchów mogli gdzieś w lesie nadbrzeżnym sklecić sobie czółenka albo tratwę (czy po prostu siąść na kłoc drewny okrzakiem) i odbić od brzegu głęboką nocą – na los szczęścia, licząc przeważnie na spotkanie z jakimś parowcem pod obcą banderą. Niepokój wśród strażników, wysyłanie łodzi strażniczych – wszystko to pozwalało się domyśleć, co się stało i wyspiarzy ogarniała radosna trwoga, zupełnie jakby to oni sami uciekli. Rozpytywano się szeptem: jeszcze ich nie złapano? nie znaleźli ich jeszcze?... Wielu zapewne tonęło, nie docierając do żadnego celu. Temu i owemu udało się chyba dopłynąć do brzegów Karelii – gdzie starał się już zapaść w lasy, jak kamień w wodę.

Słynna zaś ucieczka do Anglii za punkt wyjścia miała port w Kemi. Śmiałek, który się na to porwał (nazwiska jego nie zdołaliśmy ustalić, oto jaki jest zasięg naszych możliwości) znał język angielski, ale nie zdradzał się z tym. Udało mu się dostać do kompanii ładującej drzewo na transportowce, przybijające do przystani w Kenii – i tam zdołał porozumieć się z Anglikami. Konwojenci zorientowali się, że brak im jednego więźnia, zatrzymali parowiec w porcie prawie na tydzień i parokrotnie przeszukali statek, ale

51

nie znaleźli uciekiniera. (Okazuje się, że przy każdej rewizji poszukiwany zjeżdżał z przeciwległej burty po łańcuchu kotwicznym pod wodę, oddychając przez rurkę trzymaną w zębach). Zapłacono armatorowi ogromne odszkodowanie za przestój – i w końcu statek odpłynął, bo przeważała opinia, że więzień chyba utonął.

Drogą morską uciekła również grupa 5 więźniów (Bessonow, Małzagow, Małobrodski, Sazonow, Pribłudin). I oto ukazała się w Anglii, w kilku nawet edycjach, książka²⁷ (J.D.Bessonow *Moje 26 więzień i moja ucieczka z Solówek*), która wprawiła Europę w zdumienie (i zapewne jej autor – uciekinier oskarżony został o przejawienie, a zresztą przyjaciele Nowego Społeczeństwa po prostu nie byli w stanie dać wiary podobnym oszczerstwom!) – ponieważ stała w sprzeczności z czymś, co było wiadome i uznane: istniał już opis raju na Solówkach zamieszczony w „Rotę Fahne” (mamy nadzieję, że korespondent tego pisma miał później

okazję bliższego poznania Archipelagu), istniały też całe albumy poświęcone Solówkom, rozpowszechniane przez sowieckie placówki dyplomatyczne w Europie: świetny papier, autentyczne fotografie przytulnych celek. (Nadieżda Suro-wcew, nasza komunistka mieszkająca w Austrii, otrzymała taki album z wiedeńskiego poselstwa i z oburzeniem odpierała oszczercze plotki na ten temat, krążące po Europie. W tym samym okresie siostra jej przyszłego męża siedziała na Solówkach, sama zaś Nadieżda miała już po upływie dwóch lat chodzić gęsiego na spacer w jarosławskim izolatorze).

Oszczerstwa oszczerstwami, ale wpadka była przykra! A zatem komisja WCIK pod przewodnictwem towarzysza Solca, mającego opinię „sumienia partii”, ruszyła w drogę, aby dowiedzieć się, co tam dzieje się naprawdę na tych Solówkach (bo przecież o niczym nie wiedzieli!). Co prawda, komisja dotarła tylko do trasy kolei Murmańskiej, gdzie też zresztą niczego specjalnego nie zaszła. Na same zaś Wyspy Sołowieckie postanowiono raczej postać – nie, nie postać, tylko prosić o zwiedzenie ich! – wielkiego pisarza proletariackiego, Maksyma Gorkiego, który niedawno powrócił do ojczyzny proletariatu. Świadectwo takiego człowieka będzie najlepszą odpowiedzią na ohydny falsyfikat wydany za granicą.

Bystronoga pogłoska dotarła na Solówki grubo jeszcze przed faktem – i mocniej zabiły aresztanckie serca, strażnicy zaś gorączkowo jęli się krzątać. Trzeba znać więźniów, aby wyobrazić sobie ich niecierpliwość! W samo jądro matecznika bezprawia, samowoli, milczenia – wedrzeć się ma sokół, zwiastun burzy! największy pisarz rosyjski! no, ten im dopiero zada bobu! ten im dopiero pokaże! ten nas w obronę weźmie jak ojciec

27 Czy sir Bertrand Russell tej książki także nie czytał?...

52

rodzony! Oczekiwano więc na Gorkiego prawie jak na amnestie powszechną! Zwierzchność też była cała w nerwach: na wszelki możliwy sposób starała się ukryć rozmaite skazy i nadać nowy połysk temu, co było na pokaz. Z warowni wysyłano pośpiesznie transporty do najdalszych punktów robót, żeby ludzi w centrum zostało jak najmniej, ze szpitala wielu chorych wypisano i wysprzątno lokal do czysta. Powstał cały „bulwar” ze świerków bez korzeni (kilka dni pewno wytrzymają, nie od razu przecież uschną) – prowadzący w stronę kolonii dziecięcej, która powstała tu przed trzema miesiącami, stanowiąc przedmiot dumy całego USŁON-u: wszystkie dzieci miały w niej nową odzież, nie było wśród nich elementów socjalnie obcych; Górki niechybnie bardzo będzie chciał zobaczyć, jak tu się niedoszłych przestępców ratuje i wychowuje dla przyszłego życia w socjalistycznym ustroju.

Tylko w Kemi zdarzyło się przykre niedopatrzenie: na Popiej Wyspie kończono właśnie załadunek parowca „Gleb Bokij”. Zajęci tym byli więźniowie – jak to zwykle – w samej bieliźnie lub w workach. A tu właśnie zjawia się Górki ze świętą: mają jechać tym samym rejsem! Wynalazcy, mocarze myśli! Oto zadanie dla was, boć i najmądrzejszy może się po-szkapić: wysepka jest goła, łysa – ani krzaczka, ani kryjówki tu nie znajdzie – a święta Gorkiego jest tuż – o jakieś trzysta kroków! – jaką też radę znajdziecie?! Jak ukryć przed ludzkim okiem cały ten wstyd, tych ludzi w workach? Cała wyprawa naszego humanisty straci sens, jeśli ich zauważy. No, zapewne postara się sam zbytniej uwagi nie zwracać – ale pomóżcie mu! Utopić w morzu? – długa kotłowanina... Zakopać? Nie zdążymy... Nie, tylko nieodrodny syn Archipelagu mógł znaleźć tu wyjście! Kierownik robót wrzasnął: „Prze-

rwać pracę! Stanąć kupą! Szlusu! Na ziemię siad! Ani mru mru!" – i kazał zarzucić płachtę brezentową na siedzących. – „Jak się który ruszy, to załłukę!” A były tragicznie szedł po trapię na pokład, potem dobrą godzinę stał przy burcie, podziwiał krajobraz czekając na odjazd – i nic nie zauważył L..

Rzecz się działa 20 czerwca 1929 roku. Znakomity pisarz zawinął wkrótce do przystani w Zatoce Pomyślności. Towarzyszyła mu synowa, cała w skórze (czarna skórzana czapka, skórzana kurtka, skórzane bryczesy i długie buty z obcisłą cholewką) – żywy symbol GUŁagu, ramię w ramię z rosyjską literaturą.

W asyście kadry dowódczej Górki długimi, szybkimi krokami przemierzył korytarze kilku budynków mieszkalnych. Wszystkie drzwi do wspólnych sypialni były otwarte na oścież, ale pisarz prawie tam nie zaglądał. W lazarecie powitali go ustawieni dwuszerzegiem lekarze i pielęgniarki

53

w czystych fartuchach, ale nie tracił na nich czasu, zaraz wyszedł. Czekiści USŁON-u, ludzie bez trwogi, zawieźli go później na Siekierkę. I cóż? – karcery wcale nie były przepiękne i – co najważniejsze – ani śladu żerdzi! Na ławach siedzieli sobie zwykli złodzieje (już ich było sporo na Solówkach) i wszyscy... czytali gazety! Nikt z nich nie ośmielił się wstać, żeby złożyć zażalenie, ale przecież znaleźli sposób: trzymali swoje gazety do góry nogami! A Górki podszedł do jednego z nich i w milczeniu obrócił płachtę gazety jak należy. Zauważył! Domyślił się! Więc już nie odda na pastwę! Weźmie w obronę28!

Przyjechali do Kolonii nieletnich. Co za warunki! – każdy ma osobną prycę z materacem. Wszyscy trochę skrępowani, ale wszyscy zadowoleni. I nagle 14-letni chłopak powiada: „Słuchaj no, Górki! Wszystko co tu widzisz – to nieprawda. Może chcesz znać prawdę? Mam powiedzieć? Powiedz – kiwnął głową pisarz. Powiedz, chcę wiedzieć, jak jest naprawdę. (Ach chłopcze, czemu burzysz spokój i dopiero gruntującą się pomyślność literackiego patriarchy... pałacyk w Moskwie, dwór pod Moskwą...). Wyprowadzono więc za drzwi wszystkich – i dzieci, i nawet orszak w mundurach GPU – a chłopczyk przez półtorej godziny rozmawiał z wysokim, chuderlawym starcem. Górki wyszedł z baraku zalanym łzami. Podano konie, by go zawieźć na obiad do willi naczelnika obozu. Chłopcy zaś wpadli do baraku: „O komarach powiedziałaś?” – „Powiedziałam!” – „O żerdkach powiedziałaś?” – „Powiedziałam”. – „O p.o. konia powiedziałaś?” – „Powiedziałam!” – „A że zrzucają ze schodów?... A o workach?... A o nocowaniu na śniegu?... Wszystko, wszystko powiedział mały praw-dziej!

Ale nawet jego imienia nie znamy.

22 czerwca, już po rozmowie z tym chłopcem, Górki taki wpis zostawił w „Księdze honorowej” specjalnie sporządzonej z tej okazji:

„Nie jestem w stanie zawrzeć moich wrażeń w paru krótkich słowach. Nie mam ochoty, a zresztą wstyd by mi było (!) ograniczyć się do szablonowych pochwał, na jakie zasłużyła niezwykła energia ludzi, którzy –

28 Towarzysząca Gorkiemu jejmość z GPU także bawiła się piórem i oto co zauważyła: „Zapoznajemy się z życiem obozu Sołowieckiego. Idę do muzeum...

Wszyscy razem jedziemy na Górę Siekierską. Widok na jezioro jest stąd nadzwyczajny. Woda w jeziorze jest chłodnego, ciemnognatowego koloru, dookoła jeziora – las, wydaje się, że jest zaczarowany: zmienia się światło, zapalają się wierzchołki sosen i lustrzana powierzchnia jeziora rozplamiona się. Jest tu cicho i niezwykle pięknie. W drodze powrotnej mijamy kopalnię torfu. Wieczorem jesteśmy na kon-

cercie. Często są nas tutejszymi, sołowieckimi śledzikami, są nieduże, ale niezwykle delikatne i smaczne, wprost rozpyływają się w ustach". – M. Górki i jego syn, wyd. „Nauka”, Moskwa, 1971, str. 276.

54

będąc czujnymi i nieustrudzonymi strażnikami rewolucji, potrafią zarazem być tak cudownie śmiałymi twórcami kultury²⁹".

23. Górki odpłynął. Gdy tylko jego statek odbił od mola – chłopiec został rozstrzelany. (Znawca serc! znawca ludzi! – jakże mógł nie zabrać ze sobą tego chłopca?).

Tak oto młode pokolenie uczy się wiary w sprawiedliwość.

Powiadają, że tam, na Olimpie, patriarcha literatury wzbraniał się jak mógł, że nie chciał publikować żadnych pochwał dla USŁON-u. Ależ, jak to można, towarzyszu Górki?... Jak to będzie wyglądać w oczach burżuazyjnej Europy? Przecież wiosnie, teraz, w takiej chwili, w momencie tak niebezpiecznym i brzemennym w komplikacje!... Ach, że ten reżym? – reżym więzienny się zmieni, to się na pewno skoryguje.

W końcu wydrukowano i nieraz przedrukowywano w wielkiej, wolnej prasie u nas i na Zachodzie za podpisem Sokoła, Zwiastuna Burzy, że niepotrzebnie ludzi straszą tymi Solówkami, że więźniom powodzi się tam doskonale i że pięknie nawracają się tam oni na uczciwe życie. „/pobłogosławił, nim zeszedł do grobu*”.

– Co? – Archipelag³⁰...

Co zaś do reżymu obozowego – to dotrzymano obietnicy. Reżym został skorygowany – w 11 kompanii karnej, teraz już TYGODNIAMI WIĘŹNIOWIE STALI W ŚCISKU. Na Solówki zjechała Komisja – już nie partyjna z Solcem na czele, tylko śledczo-karna. Po wstępnych badaniach doszła do wniosku (z pomocą lokalnego Działu Informacyjno-Śledczego), że wszystkie okropności reżymu sołowieckiego są dziełem białogwardystów (z Działu Administracyjnego) i w ogóle – arystokratów, a także studentów (no, tych samych, co to już w ubiegłym wieku usiłovali podpalić Sankt-Petersburg*). Akurat! miała wtedy miejsce nieudana, głupia próba

29 „Sołowieckije Ostrowa”, 1929, Nr I, str. 3 (W utworach zebranych Gorkiego nie ma tej pozycji).

Ustęp z wiersza Puszkina o Dzierżawinie.

30 Pożałowania godne zachowanie się Gorkiego od jego powrotu z Włoch aż do śmierci składałem na karb jego iluzji i ograniczoności. Ale opublikowana niedawno jego korespondencja z lat 20. daje powód do podejrzenia, że wchodziła w grę również pobudka niższego typu: interes osobisty. Osiedliwszy się w Sorrento, Górki z przykrym zdziwieniem stwierdził brak objawów światowego rozgłosu, a co za tym idzie – pieniędzy (miał przecież ze sobą cały swój dwór). Stało się dla niego jasne, że po pieniądzu i nowe zastrzyki stawy trzeba wracać do ZSSR, zgadzając się na wszystkie stawiane warunki. Tak to stał się dobrowolnym jeńcem Jagody. I Stalin zamordował go niepotrzebnie, z asekurantwa: Górki może by w końcu zaczął wystawiać nawet rok 37.!

W okresie powstania 1863 roku wybuchające w Petersburgu pożary policja i nać-

55

ucieczki niepoczytalnego Kożewnikowa (byłego ministra Republiki Dalekiego Wschodu), Szepczyńskiego i kowboja-Diegtiariewa. Sprawę rozdmuchano aż do wymiarów wielkiego, fantastycznego spisku białogwardystów, którzy mieli ponoć zamiar zawładnąć jakimś parowcem i w ten sposób uciec z wysp. Zaczęto więc

łapać, kogo się da – i chociaż nikt nie przyznał się do udziału w spisku, sprawa obrastała w aresztowania.

Poprzestano na liczbie „300”. Została bez trudu osiągnięta. Nocą z 14 na 15 października 1929 roku spędziwszy uprzednio i zamknąwszy więźniów w barakach, odryglowano Święte Wrota, zawsze dotąd zatrzaśnięte; tędy prowadziła najkrótsza droga na cmentarz. Całą noc wyprowadzano grupę po grupie. (I wymarszowi każdej grupy towarzyszyło rozpaczliwe wycie psa imieniem Black: pies za każdym razem bał się, że wyprowadzają jego pana, Bagratuni. To powtarzające się wycie pozwalało domyśleć się, ile grup przeszło przez Święte Wrota: wystrzały ledwie były słyszalne, bo przeszkadzał silny wiatr. Psie wycie tak podziało na oprawców, że nazajutrz zastrzelili Blacka – a razem z nim wszystkie inne psy).

Rozstrzeliwali wciąż ci sami trzej chłystkowaci morfiniści, naczelnik straży Diegtiariew i... naczelnik sekcji Kulturalno-Oświatowej, Uspienski. (Ta spółka może wydawać się dziwną tylko na pierwszy rzut oka. Ów Uspienski miał życiorys co się zowie typowy, to znaczy – nie przeciętny, lecz jakby skupiający w sobie najistotniejsze cechy epoki. Był synem popa, nie był nikim więcej w chwili wybuchu rewolucji. Co go w życiu oczekiwało? Ankiety, ograniczenia, zesłanie, represje. I przecież ojca nie można sobie zamienić, nie sposób go wykreślić z ankiety. Ale nie, Uspienski znalazł sposób: ZABIŁ SWEGO OJCA i oznajmił władzom, że uczynił to z KLASOWEJ NIENAWIŚCI! To pobudka zdrowa, to zmienia sprawę, to już prawie nie morderstwo! Dano mu mały wyrok – a w obozie od razu posłano do roboty kulturalno-oświatowej. Prędko odzyskał wolność i oto widzimy go już jako wolnego naczelnika sekcji K-O Solówek. Nie wiadomo, czy sam się zgłosił, czy kazano mu wziąć udział w tej egzekucji, aby mógł lepiej się wykazać. Pod koniec tej nocy widziano go jak, zadzierając nogi, mył nad zlewem cholewy swoich butów, zbryzgane krwią).

Ci, co rozstrzeliwali, byli pijani i jeszcze rankiem ruszała się ziemia, którą był przysypany wielki dół.

Przez cały październik i kawał listopada przywożono jeszcze na rozstrzelanie dodatkowe grupy ze stałego łądu³¹.

Journalistyczna prasa uznała za dzieło studentów, sprzyjających sprawie polskiej i rewolucji, co bardzo wzmogło nastroje szowinistyczne. „W jednej z tych grup był także Kurylko.

56

Po jakimś czasie cały ten cmentarz został zrównany z ziemią przez drużynę więźniów-kopaczy; przy robocie przygrywała orkiestra.

Polanka ta znajduje się jakieś 300 metrów na południe od Świętych Wrót. Skazańców prowadzono wzdłuż murów kremla aż do węgła, a później prosto przed siebie aż do sporej poręby (80 x 80 metrów), przydatnej więc dla budownictwa.

I rzeczywiście, latem 1974 roku zaczęto tam roboty ziemne pod budowę domów mieszkalnych. Koparka zaczęła wyrzucać kości. Turyści (a byli wśród nich znający się na rzeczy, byli więźniowie) wzięli się do zbierania czaszek. Dookoła fundamentów leżały całymi stertami ludzkie żebra, obojczyki, szczęki, łopatki, miednice, golenie, falangi palców i kręgi.

Po tych egzekucjach nastąpiła zmiana na stanowisku naczelnika SŁON-u: Eichmansa zastąpił Zarin i utarło się przekonanie, że na Solówkach zaczęła się nowa era, era praworządności.

W praktyce zaś bywało wtedy tak: latem 1930 roku przywieziono na Solówki kilku-dziesięciu „prawdziwych prawosławnych”. Nazywano ich „sekcjarzami”: w szczątkowych grupach, pod różnymi nazwami, w kraju istniały wciąż jeszcze gminy prawosławne, które przejęły się proklamacją patriarchy Tichona z 1918 roku, kiedy to rzucił on klątwę na władzę sowiecką. Nie zmienili tego swojego stanowiska, nie bacząc na to, że zwierzchność swój stosunek do władzy zmieniła. Przywiezieni na Solówki „sekcja-rze” uznawali za regułę odrzucanie wszystkiego, co pochodzi od antychrysta: nie wolno im było brać do ręki żadnego dokumentu, nawet paszportu, nie wolno było podpisywać żadnych papierów, ani brać do ręki pieniędzy. Na ich czele stał siwobrody, osiemdziesięcioletni starzec, niewidomy, podpierający się długim posochem. Dla każdego człowieka oświeconego od razu było jasne, że sekcjarze ci nigdy nie wejdą do królestwa socjalizmu, aby tam wejść trzeba bowiem mnóstwa papierków – i że dlatego lepiej byłoby, gdyby sobie umarli. Posłano ich zatem na Wysepkę Zajęczą – najmniejszą z Wysp Sołowieckich – piaszczystą, bezleśną, pustynną, na której stała jedna tylko chatka, sklecona niegdyś przez zakonników-rybaków. Wyrażono też chęć wydania im suchego prowiantu na 2 miesiące – pod tym jednak warunkiem, by każdy z sekcjarzy pokwitował odebranie przydziału własnoręcznym podpisem. Sekcjarze – rzecz jasna – odmówili. Spróbowała wtedy wtrącić swoje trzy grosze niestrudzona Anna Skrypnikowa, która w tym okresie – nie bacząc na własny młody wiek ani na młodość władzy sowieckiej – odsiadywała już czwarty swój wyrok. Miotła się jak w ukropie między księgowością, funkcyjnymi, a biurem samego naczelnika obozu, tego, co to miał wprowadzić w życie humanitarne porzą-

57

dki. Najprzód prosiła o zwykłą litość, później – żeby ją postać razem z sekcjarzami na Wyspę Zajęczą, choćby w charakterze księgowej, obiecując, że będzie im tam wydawać racjeienne i prowadzić całą sprawozdawczość. Wydawało się, że to nie jest wcale sprzeczne z reżymem obozowym, a jednak spotkała ją odmowa! „Przecież wariatów też się karmi i nikt od nich nie żąda pokwitowania!” – krzychała Anna. Zarin tylko się roześmiał. A jedna z funkcyjnych powiedziała: „Może to Moskwa tak kazała – my przecież nie wiemy...”. (A pewno, że taka była dyrektywna z Moskwy! – któż inaczej wziąłby na siebie taką odpowiedzialność? Wojujący bezbożnicy obmyślili całkiem składowie jak wytrzebić tych, co wierzą – tylko że nie sposób było załatwić takiej sprawy w zatłoczonym środku kraju, więc przywieźli ich aż tutaj – i w końcu POSŁANO ICH BEZ ŻADNEGO PROWIANU. Po dwóch miesiącach (dokładnie po dwóch, bo przecież trzeba było zaproponować im podpisanie kwitów na następne dwa miesiące) przeprowadzono się na Małą Zajęczą i znaleziono tylko trupy, rozdziobane przez ptactwo. Wszyscy tam zostali, nikt nie zdołał uciec. I kto teraz znajdzie winnych? W latach 60. naszego wielkiego stulecia? Zresztą, Zarin też został wkrótce odwołany – za liberalizm. (I zdaje się, że oberwał 10 lat). W końcu lat 20. obóz Sołowiecki zmienia oblicze. Był głuchą matnią dla bezna-dziejnych kaerów, przekształcać się zaś począł w nowy wówczas, a dla nas już spowszechniały – rodzaj ogólnego Obozu Pracy Przymusowej. Szybko zwiększała się w całym kraju ilość „szczególnie niebezpiecznych elementów, wywodzących się z mas pracujących” – zwożono więc na Sołówki pospolita-ków i małolatków. Przybili do sołowieckich brzegów również złodzieje zawodowi i terminujący w tym fachu. Napłynęła też fala złodziejek i prostytutek (spotykając się w Kempierpunkcie te pierwsze krzychały do tych drugich: „Lepiej kraść, niż

z każdym się kłócić!". A tamte odkrzykiwały z werwą: „Co daję to moje, nie kradzione!"). Chodziło o to, że w całym kraju rozpoczęła się (rzecz jasna, w gazetach – ani słowa) kampania walki z prostytutką; zaczęto je wyłapywać we wszystkich większych miastach, wszystkim pod rząd wlepiano po 3 lata i wiele z nich zesłano na Solówki. Z teorii jasno wynikało, że uczciwa praca prędko skłoni je do poprawy. Jednakże – znajdując nie wiedzieć czemu upodobanie w swoim poniżającym społecznie zajęciu – już po drodze na wyspy zgłaszały się natarczywie do mycia podłóg w koszarach eskorty i sprawa–

58

działy na złą drogę żołnierzy, gwałcąc tym samym regulamin służbowy. Z tą samą łatwością znajdowały wspólny język z nadzorcami – i to nie bezpłatnie, rzecz jasna. Jeszcze lepiej potrafiły urządzić się na Solówkach, gdzie brak kobiet tak dawał się we znaki. Przydzielano im najlepsze izby w barakach, co dzień dostawały jakieś upominki czy nowe ciuszki; inne kobiety

– „mniszki" albo kaerki mogły coś przy nich zarobić, haftując im bieliznę

– w końcu więc, wzbogacone, z walizkami pełnymi jedwabiu, po odsiedzeniu kary wracały na kontynent, aby tam zaczynać od nowa uczciwe życie.

Złodzieje spędzali odsiadkę na grze w karty. Złodziejki zaś doszły do wniosku, że można sobie na Solówkach ułatwić życie przez rodzenie dzieci: nie było tam żłobków i można było po połogu otrzymać zwolnienie z robót na krótki okres. (Ich poprzedniczki, kaerki, wzdragały się przed stosowaniem tego sposobu).

12 marca 1929 roku przybyła na Solówki pierwsza grupa nieletnich; później przysłano ich coraz więcej i więcej (nikt z nich nie miał więcej niż 16 lat). Z początku zgromadzono ich w kolonii dla młodzieży obok Kremła

– wyposażonej w oddzielne prycze i materace, o których już wspominaliśmy.

Chłopcy poukrywali przydzielone sorty, krzycząc, że nie mają w czym chodzić do pracy. Później ich też powysyłano do leśnych robót. W lesie rozbiegli się na wszystkie strony, przekręcali sobie nazwiska, i wprowadzali zamęt do ewidencji wyroków; trzeba było na nich polować, a potem identyfikować.

Pojawienie się zdrowych socjalnie elementów dodało otuchy Sekcji Kulturalno-Oświatowej. Zaczęto zachęcać ludzi do likwidacji analfabetyzmu (ale złodzieje i tak już dobrze odróżniali kiery od trefli), wywieszono hasło: „Więzień aktywnie pomaga w budowie socjalizmu!!" i nawet wymyślono termin pierekowka (tu właśnie został ukuty!), mający oznaczać przeobrażenie przestępcy przez pracę i wychowanie.

We wrześniu 1930 roku KC partii zwrócił się do wszystkich ludzi pracy wzywając do podjęcia współzawodnictwa i zobowiązań szturmowych. Jakże mogliby więźniowie pozostać w tyle? (Jeśli jak kraj długi i szeroki brano do galopu wolnych obywateli, to jak można było więźniów nie zaprząć do dyszla?).

Informacje, które teraz podamy, zaczerpnęliśmy nie z ust żywych świadków, lecz z książki uczonej jurystki, Ildy Awerbach³²; dlatego też proponu–

32 I. L. Awerbach, *Od przestępstwa do twórczej pracy* pod red. Wyszyńskiego, wyd. „Sowieckie Zakonodatielstwo", 1936 rok.

59

jemy, aby czytelnik zechciał te dane dzielić już nie przez 16, ale przez 256, a czasem nawet – opatrywać je odwrotnym znakiem arytmetycznym.

Jesienią 1930 roku, sformowany został Solowiecki Sztab Współzawodnictwa i Pracy Szturmowej. Zdeklarowani recydywiści, mordercy i rabusie raptem „wystąpili w roli

oszczędnych gospodarzy, zręcznych kierowników technicznych, zdolnych i kulturalnych fachowców" (G. Andrejew wspomina: bili w zęby wrzeszcząc – „więcej kubików, machaj łopatą, kontra!"). Złodzieje i bandyci, przeczytawszy orędzie KC, odrzucili precz swoje noże i karty, płonąc chęcią stworzenia w obozie komuny. Regulamin przewidywał, że członkiem komuny może zostać tylko człowiek pochodzenia robotniczego lub biedniacko–średniackiego, jeśli urodził się na wsi (a zaznaczyć warto, że wszyscy knajacy zapisywani byli w Dziale Ewidencji jako „byli robotnicy”; maluczko, a spełniłby się slogan Szepczyńskiego „Solówki” – masom pracującym miast i wsi!) – w żadnym zaś wypadku nie wolno przyjmować Pięćdziesiątego Ósmego. (Komunardzi mieli również taki pomysł: wszystkie ich wyroki zsumować, podzielić przez liczbę uczestników, obliczyć w ten sposób średni termin kary i po jego upływie – wypuścić wszystkich razem! Ale nie bacząc na komunistyczny charakter propozycji, czekałsi uznali ją za politycznie niedojrzałą). Sołowiecka Komuna takie miała hasła: „Oddać klasie robotniczej to, cośmy jej winni!” i – jeszcze lepsze – „OD NAS – WSZYSTKO, DLA NAS – NIC33!”. Wymyślono bestialską wręcz karę za winy, popełnione wewnątrz komuny: grzesznikowi zabraniano na jakiś czas pracy! (Czy bywa w ogóle surowsza kara dla złodzieja?!).

Zresztą zwierzchność sołowiecka, mniej skłonna do entuzjazmu od kaowców – nie tak znów bardzo liczyła na złodziejski zapał do pracy. Zastosowała więc lenińską zasadę: „za lepszą pracę – lepsze zaopatrzenie”. Członków komuny przeniesiono do oddzielnych budynków; spało im się odtąd miękcej, przyodziani zostali cieplej, jadali osobno i dużo syt–niej (kosztem reszty wyspiarzy, to jasne). Wielce się to komunardom spodobało. Zastrzegli też sobie, aby ich już nie rozłączano, ani też nie usuwano nikogo z Komuny.

Bardzo podobana się taka Komuna również innym – zewsząd posypały się podania o przyjęcie. Postanowiono jednak nikogo więcej nie przyjmować, tworząc jedynie 2, 3 i 4 „kolektywy pracy „, już tylu ulg pozbawione. Do żadnego jednak z tych kolektywów nie przyjęto nikogo z 58 artykułem na karku; równocześnie zaś rozzuchwalona szpana, knajacki drobiazg.

33 To hasło, dowód zupełnej już dojrzałości, godne było, jak myślę, upowszechnienia w całym kraju.

60

z całą czelnością pouczała tych ludzi na łamach gazetek: najwyższy czas, kochani, zrozumieć, że obóz jest szkołą pracy!

I poszybowały do centrali GUŁagu sprawozdania samolotami: na Solówkach cuda się dzieją! przełom w nastawieniu kryminalistów! całe zawadiactwo bandyckiego świata wyładowuje się teraz w pracy szturmowej! Służy sprawie współzawodnictwa, pomaga w wykonaniu planów produkcyjnych! W centrali kwitł podziw, kazano innym brać Solówki za wzór.

Życie na Solówkach potoczyło się takim torem: część więźniów ujęto w kolektywy pracy – i tu procent wykonania planu nie tylko wzrósł, ale się podwoił! (Seksja KO twierdziła, że to sukces kolektywnego stylu pracy, my zaś wiemy, że to zwykła obzowa lipa i fucha*).

Pozostała część więźniów – „niezorganizowana” (i nie dokarmiona, nie odziana, harująca na ciężkich robotach), z normami sobie nie mogła dać rady, to zrozumiałe.

W lutym 1931 roku konferencja sołowieckich brygad szturmowych podjęła uchwałę, aby „szeroką falą współzawodnictwa socjalistycznego odpowiedzieć na nowe

oszczerstwa kapitalistów, kłamliwie twierdzących, że w ZSSR istnieje praca przymusowa". W marcu brygad szturmowych było już 136. W kwietniu zaś okazało się z kolei, że wymagają one generalnej czystki, bowiem „obce klasowo elementy przedostały się do nich, by rozkładać kolektywy od wewnątrz”. (No i macie zagadkę: 58. nie puszczano nawet za próg, któż więc ich tam rozkładał? Tak to wolno rozumieć: wykryto fuchę. Jedli, pili, harcowali, przy rachunku – zapłakali.

I trzeba było komuś dać po karku, żeby pozostali żwawiej zaczęli się ruszać).

A wśród tego beztroskiego gwaru – wrzota cicha, wytężona praca: bez przerwy szły transporty; z macierzystej, sołowieckiej narośli przerzucano skazanych na podstawie artykułu 58 do najdalszych, zatraconych okolic, żeby tam zakładać nowe obozy.

Powiadają, że jakaś (czy aby tylko jedna?) berlinka z więźniami zatonęła (czy aby przypadkowo?).

A z wyspy Anzer niektórych więźniów wywożono pojedynczo, ukradkiem. Strażnicy dziwowali się: co to za takie tajne zeki?

Autor używa tu terminu „tufta”, oznaczającego w rosyjskim żargonie więziennym partanine, pracę tylko na pokaz, lub dęte podwyższanie jej cyfrowych wysiłków.

W polskiej kminie „tufta” jest zaś jednym z synonimów prostytutki.

W 1975 roku na Sołówkach mieszkali jeszcze: były strażnik obozowy Jerszyckin, jego żona; były ławnik „trójki” z Kenii; byli nadzorcy – Bieliczkin, Trietjakow, Szymonajew. Syn zaś nadzorcy, Czebotariow, został przewodniczącym komitetu wykonawczego wysp.

61

Czytelniku, rozłóż przed sobą mapę rosyjskiej Północy. Szlak morski z Solówek na Sybir biegnie obok wysp Nowej Ziemi. Raz do roku (czer-wiec-lipiec) ciągną tamtędy karawany statków, z lodołamaczem na czele. Wiozą nowe transporty zeków i prowiant dla łagrów na cały rok. Na Nowej Ziemi przez wiele lat też istniały łagry i to najstraszniejsze – bo trafiali tam tylko ludzie „pozbawieni prawa korespondencji”. Nie wrócił stamtąd nigdy żaden żywy zek. Co tam się wydobywało, co budowało, jak się żyło, jak umierało – tego do dzisiejszego dnia nikt nie wie.

Ale w końcu i tego się dowiemy!

III

ARCHIPELAG DAJE PRZERZUTY

Archipelag rozwijał się wszelako nie samopas, lecz też w łeb z całym krajem. Póki trwało w kraju bezrobocie, nie było popytu na więziarską siłę roboczą. Aresztowania miały na celu nie tyle mobilizację rąk do pracy, ile zmiatanie przeszkód z drogi. Ale gdy postanowiono przemieszczać ogromną kopyścią całe 150 ówczesnych milionów, gdy odrzucono plan super-uprzemysłowienia, gdy zaplanowana była zarówno akcja likwidacji kułaków, jak olbrzymie roboty publiczne pierwszej pięciolatki, w przededniu Roku Wielkiego Przetłomu, zmienił się i pogląd na Archipelag, i suma spraw, dziejących się na Archipelagu.

26 marca 1928 roku Sownarkom (obradujący zatem jeszcze pod przewodnictwem Rykowa) rozpatrywał problem polityki karnej i stan miejsc odosobnienia w ZSSR.

Co do polityki karnej, to uznano, że jest niedość surowa. Postanowiono I: wobec wrogów klasowych i elementów klasowo-obcych zastosować surowsze represje i obostrzyć reżym obozowy (co zaś do elementów społecznie niepewnych, to w ogóle nie określać górnej granicy kary). Ponadto: prace przymusowe zorganizować w ten sposób, aby przysparzały gospodarczych korzyści. A także „uznać

za niezbędne zwiększenie pojemności kolonii pracy". Innymi słowy, kazano po prostu otworzyć jak najwięcej nowych obozów w związku z planowanym przybojem fali aresztowań. (Te same gospodarcze konieczności brał pod uwagę również Trocki, tyle że proponował on utworzenie armii pracy z obowiązkowego poboru. To kwiatki z jednej łąki. Z przekory wobec wiecznego
1 Cent. Arch. Państw. Rew. Październikowej (CGAOR), Zbiór 393, fasc. 78, poszyt 65, ark. 369–372.

63

oponenta – albo może raczej z chęci odebrania ludziom wszelkiej nadziei na powrót i wszelkiej skłonności do skarg – Stalin postanowił przepuścić niedoszłych żołnierzy armii pracy przez więzienną maszynkę do mięsa). Gdy bezrobocie w ZSSR się skończyło – rozszerzenie sieci obozów nabrało gospodarczego sensu.

Jeśli w 1923 roku więźniów na Solówkach było nie więcej niż 3.000, to w 1930 roku było ich już około 50.000. Jeszcze 30.000 czekało w Kemi. Począwszy od 1928 roku – sołowiecki rak zaczął się rozprzestrzeniać – najprzód w Karelii, gdzie bito drogi i wycinano lasy na eksport.

Niemniej chętnie SŁON zaczął „sprzedawać” inżynierów: wysyłano ich do najrozmaitszych miejscowości Dalekiej Północy, gdzie mieli pracować bez konwoju; ich zarobki natomiast przelewano na konto macierzystego obozu. Na wszystkich węzłach budującej się kolei murmańskiej – od stacji Łodiejnoje Pole aż do Tajboły – istniały już w 1929 roku obozowe punkty SŁON-u. Następnie zwękslowano ruch siły roboczej na trasę prowadzącą do Wołogdy. Ruch był tak intensywny, że na stacji Zwanka trzeba było otworzyć punkt rozdzielczy SŁON-u. W 1930 roku okrzepł i usamodzielniał się Swirłag w Łodiejnym Polu, zaś w Kołtasie uformował się osobny Koł-łag. W 1931 narodził się Bieł-Bałł-łag² (centrum jego było w Miedwieżegorsku), dzięki któremu Archipelag w ciągu dwóch następnych lat miał się stać sławny na cały świat i na wieki wieków.

Złośliwa, guzowata tkanka rosta zaś i rosta. Przegrodą dla niej było z jednej strony – morze, z drugiej zaś – granica fińska. Nic jednak nie przeszkadzało w organizacji obozu pod Czerwoną Wiszerą (1929), a co najważniejsze – wolne były drogi na wschód, w głąb Rosji Północnej. Bardzo prędko zaczęła się budowa szlaku Soroka-Kołtas. („Choć w Soroce las, zbudujęm na czas” – mówili sołowczanie do kolegi Sergiusza Ałymo-wa, który jednak nie dał się zbić z tropu i wygramolił się w końcu na stanowisko uznanego autora dziarskich tekstów do bojowych pieśni). Przesączywszy się aż do Dźwiny Północnej, komórki obozowe dały początek narośli, zwanej Siewdwinłag. Przeniknęły na drugi brzeg tej rzeki i śmiało popęzły w stronę Uralu. W 1931 utworzona została tam Północ-nouralska sekcja SŁON-u, która rychno przerodziła się w Solikamłag i Sie-wurałłag. Obóz w Biereźnikowie rozpoczął budowę wielkiego kombinatu chemicznego; impreza ta swego czasu doczekała się szerokiego rozgłosu.

² Jest to data oficjalna, w istocie zaś powstał on w 1930, ale okres organizacji został puszczony w niepamięć dla upiększenia sprawozdań i historycznych świadectw. Tu także lipa...

64

Latem 1929 roku wysłano z Solówek w dorzecze arterii wodnej Czybiu ekspedycję. Kierował nią geolog M. W. Ruszczyński, w jej skład wchodził więźniowie najbardziej kłopotliwi. Chodziło o zbadanie terenów roponośnych; odkryto je jeszcze w latach 80. XIX wieku. Wyniki badań były nader pozytywne – i oto nad Uchłą za-

łożono obóz Uchtłag. Ale on także nie zastygł w bezruchu, lecz szybko jął dawać przerzuty na północny wschód, zajął dorzecze Pieczory i przekształcił się w Uchtpieczłag. Miał już wkrótce szereg filii: Uchtyńską, Pieczorską, Intyryską i Workucką, które niezdługo miały się stać wielkimi, samodzielnymi obozami³. A wcale nie wszystkie tu wyliczam.

Obozowa kolonizacja tak olbrzymich bezdroży Dalekiej Północy wymagała przede wszystkim budowy trasy kolejowej: z Kołtasu przez Kniaż-Pogost i Ropczę do Workuty. Wywołało to potrzebę organizacji jeszcze dwóch samodzielnych obozów „kolejowych”: Siewżełdortagu na odcinku Kołtas – rzeka Pieczora i Pieczortagu (nie mylić z przemysłowym Uchtpieczłagiem!) – na odcinku Pieczora–Worku ta. (Co prawda, trasę tę budowano długo. Jej odcinek Wymski, między Kniaż-Pogostem a Ropczą, gotów był już w 1938 roku, całość zaś oddano do użytku dopiero w końcu 1942).

W ten sposób z odmętów tundry i tajgi wyłaniały się setki średnich i małych wysp. W „międzyczasie, niejako w marszu, tworzone zręby nowej organizacji Archipelagu: Zarządy Obozów, sekcje obozów, punkty obozowe (OŁP – obozy wydzielone, KOŁP – obozy o przeznaczeniu we-wnętrzgospodarczym, GOŁP – obozy czołowe (tam, gdzie front robót był ruchomy), placówki obozowe (tam gdzie więźniów wysyłało się „na delegację”). Następnie w Zarządach stworzono odpowiednie działy, w sekcjach – oddziały: I – Produkcyjny, II – Ewidencji i Dystrybucji siły roboczej (U.R.Cz.), III – Operacyjny (tu też ta cyfra*!).

(W uczonych zaś rozprawach pisano w tych czasach: „zarysowują się już kontury zakładów wychowawczych dla poszczególnych niezdyscyplinowanych członków społeczeństwa bezklasowego⁴. Bo i prawda: gdy znikną

³ Dane dotyczące lat i miejscowości referujemy tu tak, jakby zupełnie były ścisłe, ale prosimy liczyć się z tym, że są one wynikiem zestawienia wielu przekazów ustnych. Stąd też mogą znaleźć się w nich usterki i braki.

Trzeci Oddział Kancelarii Jego Cesarskiej Wysokości, szczególnie wstawiony w epoce Mikołaja I, miał w swojej gestii policję tajną i cały aparat inwigilacji oraz represji politycznych.

⁴ Praca zbiorowa, Od więzień... str. 429.

4 Archipelag Gulag t. II 65

klasy, to znikną też przestępcy. Ale aż dech zapiera, gdy się pomyśli, że już jutro zacznie się bezklasowa era – i co, nikt nie będzie wtedy siedział? No, jakieś pojedyncze, niezdyscyplinowane wyjątki... Jak widać, bezklasowe społeczeństwo też trudno sobie wyobrazić bez mamra).

Cała północna część Archipelagu – to pomiot Solówek. Ale nie tylko ich! Na gromki zew Centrali, obozy pracy poprawczej i kolonie karne jąły pączkować w całym ogromnym naszym kraju. Zostały zaprowadzone w każdym okręgu. Miliony kilometrów drutu kolczastego wysnuły się z motka, krzyżując się i przeplatając, iskrząc się wesoło wzdłuż kolejowych nasypów, szos i podmiejskich ulic. A narośle pokracznych wież strażniczych stały się nieodłącznym składnikiem naszego krajobrazu i tylko dziwny zbieg okoliczności sprawił, że nie widać ich było ani na naszych ekranach, ani na płótnach naszych malarzy.

W myśl tradycji, sięgającej czasów wojny domowej, dla rozbudowy sieci obozów mobilizowano ze szczególnym upodobaniem budynki dawnych klasztorów; istotnie, ich konstrukcja czyniła z nich idealne miejsca odosobnienia. Klasztor Świętych Borysa i Gleba w Torzku stał się zborniakiem (jest nim po dziś dzień), Wałdajski (na

przeciwległym brzegu jeziora miała tam niezadługo stanąć willa Żdanowa) – stał się kolonią karną dla nieletnich, erem św. Niła na Wyspie Stołbnej (na jeziorze Seliger) – został zamieniony na obóz, erem Sarowski – stał się ośrodkiem całej więzki obozów Pofmińskich. Spis ten można by ciągnąć w nieskończoność. Otwierano obozy w Zagłębiu Donieckim, nad górą, środkową i dolną Wołgą, na Środkowym i południowym Uralu, na Zakaukaziu, w centralnym Kazachstanie, w Azji Środkowej, na Syberii i na Dalekim Wschodzie. Stwierdza się oficjalnie, że w 1932 roku powierzchnia karnych kolonii rolnych w RSFSR wynosiła 253.000 hektarów, natomiast w Ukraińskiej SSR – 56.000 hektarów⁵.

Zakładając, że na jedną kolonię przypadało średnio tysiąc hektarów, dochodzimy do wniosku, że samych tylko sielchozów, to znaczy poślednich, najłagodniejszych obozów, było już wtedy około trzystu (i to w centrum kraju, nie licząc peryferii)! Dekret CIK i Sownarkomu z 6. XI. 1929 (znów w przeddzień rocznicy!) bardzo uprościł sprawę przydziału różnych kategorii więźniów do odpowiednich obozów. Skasowano pojęcie „ściślej izolacji” (co przeszkadzało pracy twórczej), zarządzono natomiast, aby do ogólnych (tzn. bliskich)

5 Ibidem, str. 136–137.

66

miejsc odosobnienia posyłać skazanych na kary krótkoterminowe, do trzech lat pozbawienia wolności – zaś skazanych na kary więzienia od lat trzech do dziesięciu wysyłać do miejscowości odległych⁶. Jako że z artykułu 58 nigdy nie dostawało się mniej niż trzy lata – cała ta fala popłynęła na Daleką Północ i na Syberię, aby ziemię tę zagospodarować i złożyć w niej swoje kości. My zaś tymczasem – maszerowaliśmy przy wtórze werbli!...

Po Archipelagu uporczywie krąży legenda, streszczająca się w zdaniu, że „obozy wymyślił Frenkel”.

Wydaje mi się, że ten niepatriotyczny, a nawet uwłaczający naszej władzy, mit został w poprzednich rozdziałach obalony w sposób wystarczająco oczywisty. Choć mieliśmy do rozporządzenia tylko bardzo skromne środki, niemniej, wolno sądzić, że udało nam się wykazać, iż obozy, jako miejsca kary i pracy, narodziły się już w roku 1918. Nie trzeba było żadnego Frenkla, aby władza doszła do wniosku, że więźniowie nie powinni tracić czasu na umoralniające rozmyślanie („celem sowieckiej polityki pracy poprawczej wcale nie jest indywidualna poprawa w tradycyjnym sensie⁷”), ale powinni pracować z tym, że normy trzeba im wyznaczyć jak największe, nieomal niewykonalne. Zanim jeszcze ktokolwiek wiedział o Frenku, już istniało pojęcie „reedukacji przez pracę” (a już od czasów Eichmansa rozumiano to jako „wytępienie przez pracę”).

Ale nawet niepotrzebny był nowoczesny, dialektyczny sposób myślenia, aby wpaść na pomysł, że warto zaprząć więźniów do ciężkich robót w nie zamieszkałych okolicach. Już w 1880 roku, w carskim Ministerstwie Komunikacji zrodziła się myśl wykorzystania katorżników znad Amuru do pracy przy budowie kolei żelaznej. Katorżników po prostu do tego zmuszono, zaś przesiedleńcom karnym oraz zwykłym zeszłom pozwolono pracować przy budowie trasy, co dawało im prawo do skrócenia kary o jedną trzecią lub połowę (woleli zresztą zmniejszyć ją do zera, korzystając z okazji do ucieczki). W latach 1896–1900 na odcinku obwodnicy bajkalskiej pracowało ponad 1.500 katorżników i 2.500 przesiedleńców karnych⁸.

6 Rocznik Ustaw ZSSR, 1929, Nr 72.

7 Praca zbiorowa, Od więzień... str. 384.

8 Ogólnie jednak biorąc, w końcu XIX wieku zjawisko to na rosyjskiej katordze zaczęło po trochu zanikać: praca stawała się coraz mniej przymusowa, jej ciężar się zmniejszał.

67

Pomysł wcale zatem nie był owocem przodujących zasad wychowawczych. Co zaś do poglądu, że sensowna (a w każdym razie – nieprzymusowa) praca pomaga przestępcy w dziele poprawy, to znany on był zanim jeszcze Marks przyszedł na świat, a w rosyjskim zarządzie więziennictwa starano się go realizować już w zeszłym stuleciu. P. Kurłow, który był w swoim czasie szefem zarządu więzień stwierdza co następuje: w 1907 roku wielu aresztantów pracowało w sposób zorganizowany: wyroby ich są tanie, więźniowie w trakcie odsiadki kary nie próżnują, a przy wyjściu z więzienia mają dzięki temu zapas pieniędzy oraz znajomość rzemiosła.

A jednak Frenkel rzeczywiście stał się duszą Archipelagu. Należał do tych zawołanych działaczy, na których Historia czeka z utęsknieniem, którym rzuca swój zew. Obozy, owszem, istniały także przed pojawieniem się Frenkla, ale daleko im jeszcze było do doskonałości, nie zyskały jeszcze formy jednolitej i ostatecznej. Każdy prawdziwy prorok przychodzi wtedy właśnie, gdy najbardziej go potrzeba. Frenkel pojawił się na Archipelagu na samym początku stadium przerzutów..

Naftali Aronowicz Frenkel, turecki Żyd, urodził się w Konstantynopolu. Ukończył wyższą szkołę handlową i rozpoczął działalność w branży drzewnej. Otworzył firmę w Mariupolu i wkrótce stał się milionerem, „czarnomorskim królem drzewa”. Miał własną flotyllę transportową i wydawał nawet w Mariupolu gazetę „Kopiejka”, której głównym zadaniem było tępienie konkurencji i przypinanie jej łat. Podczas pierwszej wojny światowej Frenkel spekulował bronią, miał jakieś interesy w Gallipoli. W 1916 roku, jeszcze przed rewolucją lutową, wyczuł, że w Rosji zbiera się na burzę, przeniósł swoje kapitały do Turcji i w ślad za nimi w 1917 roku sam wyjechał do Konstantynopola.

Mógłby dalej prowadzić to pełne błogości i trwóg życie handlowca, nie zaznałby nigdy gorzkich utrapień i nie stałby się legendą. Ale jakaś siła fatalna ciągnęła go z powrotem do kraju czerwonych⁹. Nie znajduje potwierdzenia pogłoska, wedle której został w tym okresie rezydentem sowieckiego wywiadu w Konstantynopolu (chyba, że z przyczyn ideowych – bo inaczej trudno zrozumieć, na co by to mu było potrzebne). Z całą pewnością –

Nawet katorga w Karze w latach 90. przekształciła się w dość normalne więzienie, przestała być miejscem ciężkich robót. W tym samym okresie reżym ciężkich robót w Akatju też stał się mniej surowy. (P. Jakubowicz). Zatrudnienie więc więźniów przy budowie obwodnicy bajkalskiej było chyba rezultatem chwilowego braku rąk. Czy nie widać tu także zjawiska „dwóch rogów” albo paraboli – jak to widzieliśmy w przypadku ciężkich więzień (część I, rozdział 9) – jeden róg się przytępia, drugi z kolei – się zaostrza? ‘ Mam w tej sprawie własną teorię, wyłożę ją w innym rozdziale.

68

cią natomiast wiadomo, że w latach NEP-u przyjeżdża on do ZSSR i tu – na poufne zlecenie GPU – organizuje, rzekomo na własny rachunek, czarną giełdę, skupując za sowieckie papierowe pieniądze złoto i kosztowności (prekursor „złotej kampanii” GPU i Torgsinu*). Ludzie interesu i maklerzy pamiętają go dobrze z dawnych

czasów, mają zaufanie – i złoto płynie do GPU. To źródło jednak z czasem wysycha – i w nagrodę GPU wsadza Frenkla za kraty. Najlepszej szabli zwykły kij poradzi. Mimo to – niezmordowany i nie nazbyt obraźliwy Frenkel – jeszcze będąc na Łubiance albo po drodze na Solówki – coś tam zdążył zameldować, hen, wysoko. Czując, że jest w matni, postanowił zapewne również ten sposób bycia poddać rzeczowej analizie. Przywieziony zostaje na Sołó-wki w 1927 roku, ale od razu oddzielają go od transportu, lokują w kamiennym baraczkach poza murami klasztornymi, dają mu ordynansa i zezwalają na swobodne poruszanie się po wyspie. Już napomknęliśmy, że został on naczelnikiem działu gospodarczego (funkcja sprawowana na ogół tylko przez wolnych) i że sformułował swoją słynną tezę o wykorzystaniu więźnia w ciągu pierwszych trzech miesięcy kary. W 1928 roku jest już w Kemi. Tam tworzy dochodowe przedsiębiorstwo pomocnicze. Gromadzone przez mnichów przez dziesiątki lat i odłogi leżące w klasztornych składach skóry bydłowe – przewozi do Kemi, ściągając tam ześlanych garbarzy i szewców, po czym zaczyna zaopatrywać w modne obuwie i galanterię skórzaną specjalny sklep firmowy na Kuznieckim Moście w Moskwie (zarządza nim i zbiera zyski GPU, ale damulki, kupujące tam pantofelki, nic o tym nie wiedzą – zresztą, gdy same znajdują się z kolei na Archipelagu, tego sobie nie skojarzą).

Pewnego pięknego dnia 1929 roku przylatuje po Frenkla samolot z Moskwy i zabiera go na spotkanie ze Stalinem. Najlepszy Przyjaciel więźniów (i Najlepszy Przyjaciel czekistów) przeprowadza z Frenklem trzygodzinną rozmowę – przejawiając duże zainteresowanie. Stenogram tej rozmowy nigdy nie zostanie podany do wiadomości publicznej, po prostu go nie było, ale jest jasne, że Frenkel odśłania przed Ojcem Narodów olśniewające perspektywy budowy socjalizmu kosztem pracy więźniów. Wiele szczegółów geografii Archipelagu, które teraz dopiero próbujemy opisać mizernym naszym piórem, rzuca on śmiałymi sztrychami na mapę Związku, podczas gdy jego rozmówca pyka z fajki. Właśnie Frenkel – i chyba właśnie w trakcie tego posłuchania – przedstawia projekt wszechogarniającego systemu

Sowiecki odpowiednik Pewexu, istniejący w okresie NEP-u.

69

obozowej ewidencji z podziałem na grupy A – B – C – D, nie zostawiającym żadnego luzu ani obozowej zwierzchności, ani, tym bardziej, więźniom: ktokolwiek nie należy do obsługi obozu (B), nie uznany jest za chorego (C) i nie siedzi właśnie w karcerze (D) powinien każdy dzień swojej kary chodzić w kieracie (A). Światowa historia katorgi nie знаła jeszcze tak uniwersalnego systemu! Właśnie Frenkel – i właśnie podczas tej rozmowy – proponuje odrzucenie reakcyjnej zasady równości więźniów wobec prawa do żarcia – i wprowadza wspólną dla całego Archipelagu metodę nowego podziału skąpej puli żywnościowej – skalę przydziałów chleba i skalę porcji z kotła; zapożyczył to od Eskimosów, którzy mają zwyczaj trzymania surowej ryby na długiej żerdzi przed nosami psów biegnących w zaprzęgu. Proponuje nadto odliczanie – w podwójnym wymiarze – od terminu kary dni intensywnej pracy oraz przedterminowe zwolnienie, jako nagrodę za dobrą robotę (ale tu także nie bardzo był oryginalny – w 1890 roku Czechów na Sachalińskiej katordze stwierdził istnienie zarówno jednego jak drugiego sposobu). Wtedy zapewne wytypowano też – jako pierwsze poletko doświadczenia – wielką budowę Kanału Białomorskiego, gdzie przedsiębiorczy waluciarz miał wkrótce zostać powołany nie w charakterze kierownika budowy ani naczelnika obozu, lecz na specjalnie dla

niego stworzone stanowisko „naczelnika robót” – czyli głównego nadzorcy całego pola przyszłej bitwy.

Fotografia mówi o nim wszystko. Twarz jego pełna jest złości, wrogiej ludzom woli. Ale wkrótce już, w książce o Kanale Białomorskim – jeden z pisarzy sowieckich, pragnąc uwić Frenklowi wieniec sławy, tak o nim pisze: „Oczy śledczego, czy prokuratora, usta sceptyka i satyryka... Jest człowiekiem żądnym władzy i dumnym, pełnia władzy to dla niego rzecz najważniejsza. Jeśli dla dobrej sprawy trzeba, aby ludzie go się bali – to niechże go się boją. Z inżynierami rozmawiał surowo, starając się ich upokorzyć¹⁰”.

Ostatnie zdanie wydaje nam się kluczowe – zarówno dla charakteru, jak biografii Frenkla.

W chwili narodzin Białomorostroju Frenkel był już na wolności, za Kanał Białomorski dostał order Lenina i nominację na szefa budowy BAMłagu („Bajkalsko–Amurska Magistrala”) – jest to tytuł na zapas, bo w 30. latach BAMłagu buduje tylko drugie, równoległe tory Magistrali Trans-syberyjskiej tam, gdzie ich jeszcze nie ma. Kariera Naftalego Frenkla wcale

10 Białomorsko–Bałtycki Kanał im. Stalina – Historia budowy. Str. 8. 70

tu się nie kończy, ale dalszy jej ciąg lepiej będzie opisać w następnym rozdziale. Cała długa historia ARCHIPELAGU nie znalazła w ciągu półwiecza żadnego prawie odbicia w oficjalnym piśmiennictwie Związku Sowieckiego. Zawinił tu ten sam złośliwy zbieg okoliczności, dzięki któremu wieżyczki strażnicze obozów nigdy nie pojawiły się ani na taśmie filmowej, ani na płótnach naszych malarzy.

Nie dotyczy to jednak Kanału Białomorskiego ani kanału Moskwa–Woł-ga.

O każdym z nich napisano osobną księgę, księgi te mamy pod ręką i przynajmniej ten rozdział możemy pisać, opierając się na świadectwach udokumentowanych i wiarygodnych.

W rozprawach, pisanych legę artis, źródłowe cytaty poprzedzone są charakterystyką tekstu, skąd je wzięto. Zrobimy tutaj to samo.

Leży oto przed nami ta księga formatu niemal tak wielkiego jak mszał, z wytłoczonym na kartonowej okładce wypukłym wizerunkiem Półboga. Księga nosi tytuł Białomorsko–Bałtycki Kanał imienia Stalina. Wydał ją GIZ* w 1934 roku, autorzy zadedykowali ją XVII Zjazdowi Partii; sądzić można, że zdążyła na otwarcie Zjazdu. Wydana była jako część zaprojektowanej przez Gorkiego Historii fabryk i zakładów przemysłowych. Oto jej redaktorzy: Maksym Górki, L.L. Awerbach i S.G. Firin. Ostatnie z tych nazwisk, mało znane w kręgach literackich, wymaga komentarza: Siemion Firin, nie bacząc na młody swój wiek, był już zastępcą naczelnika GUł-gu 11. Leopold Leonidowicz Awerbach (brat wspomnianej już wyżej Ildy) – był bratankiem Swierdłowa.**

Gosudarstwiennoe Izdatielstwo – Wydawnictwo Państwowe.

„Ambicja literacka nie dawała mu spokoju, napisał o Kanale Białomorskim również własną, osobną broszurę.

** Iście cudowna rodzina Swierdłowów dziwnym trafem została pominięta przez badaczy historii rewolucji – zapewne dzięki przedwczesnej śmierci Jakuba Swierdłowa, który zdążył jednak przyłożyć rękę do niejednej karni, z egzekucją rodziny carskiej włącznie. Prócz tych dwóch sympatycznych powinowatych, był jeszcze syn, Andrzej, śledczy i oprawca wyjątkowych zdolności (z czystego amatorstwa udawał więźnia i kazał zamykać się w celi, aby tam podstuchiwać aresztowanych). Żona zaś Swierdłowa, Klaudia Nowgorod-cewa, przechowywała w domu

jako „fundusz partyjny” większy zapas brylantów i diamentów, zagrabionych przez bolszewików podczas rewolucji. Banda z Politbiura przygotowała ten zapasik na wypadek utraty władzy i konieczności szybkiej ucieczki z siedziby rządu.

71

Dzieje tej książki są następujące: 17 sierpnia 1933 roku miała miejsce wycieczka stu dwudziestu pisarzy, którzy z pokładu parowca obejrżeli sobie dopiero co ukończony kanał D.P. Witkowski, więzień – kierownik robót na kanale, był świadkiem tego zwiedzania. Podczas przepuszczania statku przez śluzy, panowie w białych garniturach, z wysokości pokładu zachęcali więźniów (byli to zresztą przeważnie już ludzie z obsługi upustów, nie zaś kopacze) do rozmów i w obecności zarządców wypytawali – czy aby więzień lubi swój kanał, swoją pracę, czy uważa, że się tu moralnie poprawił, i czy zwierzchność dba o dobre warunki życia w obozie? Pytań było sporo, ale wszystkie tegoż charakteru, wszystkie rzucane przez burtę w obecności naczelników – i tylko w trakcie śluzowania parowca. Po tej wycieczce 84 pisarzy jakoś zdołało się wykręcić od uczestnictwa w zbiorowej pracy (ale nie jest wykluczone, że niektórzy z nich pisali swoją drogą entuzjastyczne wiersze i szkice na ten temat), pozostałych zaś 36 weszło do zespołu autorskiego. Intensywnie pracując całą jesień i zimę 1933 roku – stworzyli w końcu to niepowtarzalne dzieło.

Księga pisana była niejako po to, by przetrwać wieki, by potomność czytała ją z nieustającym podziwem. Ale fatalny zbieg okoliczności sprawił, że większość przywódców, stawionych w niej i uwiecznionych na fotografiach, miała zostać w ciągu najbliższych 2–3 lat zdemaskowana jako zgraja wrogów ludu. Zrozumiałe, że cały nakład tej książki został usunięty z bibliotek i oddany na przemiał. Niszczyli egzemplarze w 1937 roku również prywatni właściciele, obawiając się wyroku za jej posiadanie. W ten sposób ocalało bardzo niewiele egzemplarzy, nadzieje na nową edycję są płonne – tym więc cięższe wydaje się nam brzemię odpowiedzialności: nie chcemy dopuścić, aby padły pastwą niepamięci idee, wytyczne i fakty opisane w tej książce. Słuszne też będzie, jeśli zachowają się w historii literatury imiona jej autorów. Choćby takie: Maksym Górk – Wiktor Szkłowski – Wsje–wołod Iwanów – Wiera Inber – Walenty Katajew – Michał Zoszczenko – Łapin i Chacrewin – Lew Nikulin – Kornel Zielinski – Bruno Jasieński (rozdział: „Dobijmy wroga klasowego”) – Konstanty Finn.

Górk tak tłumaczył potrzebę podobnej książki dla więźniów, budowniczych kanału: „kanałarmistom 12 nie starcza słów” dla dania wyrazu uczuciom, związanym z trudnym procesem przemiany – pisarze zaś mają zasób słów aż nadto wystarczający, przychodzą więc z pomocą. Potrzebę

12 Taki tytuł zdecydowano się im nadać dla pokrzepienia serc (a może na cześć niedoszłej Armii Pracy?).

72

zaś tej książki dla samych pisarzy tłumaczył, jak następuje: wielu pisarzy „...dzięki zapoznaniu się z kanałem... otrzymało silny bodziec twórczy, co na pewno wywrze doskonały wpływ na dalszą ich pracę... Teraz w literaturze pojawi się nowy nastrój, dzięki któremu cała ona ruszy naprzód i zdoła dorównać poziomowi naszych ogromnych osiągnięć gospodarczych” (kursywa nasza – A.S. Efekty tego procesu wyrównawczego po dziś dzień są widoczne w sowieckiej literaturze). No, a potrzeba takiej książki dla milionów czytelników (wielu z nich miało już wkrótce znaleźć się na Archipelagu) zrozumiała jest sama przez się.

Jak patrzą członkowie zespołu autorskiego na główny przedmiot ich badań? Przede wszystkim, są oni przekonani o słuszności wszystkich wyroków i winie wszystkich tych, których do budowy kanału zapędzono. Że są „przekonani” – to określenie zbyt słabe, problem ten uznają w ogóle za nie podlegający dyskusji, za rzecz nie do pomyślenia. Sprawa jest dla nich jasna, jak dzień. Korzystając szeroko ze swego zasobu słów i obrazów, wpajają czytelnikowi nieludzkie mity lat 30. Pojęcie „szkodnictwa” uważają za zwornik inżynierskiej duszy. Zarówno agronomowie, protestujący przeciw metodzie wczesnego siewu (co tam śnieg czy błoto!), jak melioranci, którzy nawodnili pustynie Azji Środkowej – to dla nich tylko i wyłącznie – szkodnicy. We wszystkich rozdziałach książki, wszędzie tam, gdzie mowa jest o inżynierach, autorzy uderzają w ton lekceważenia, stosowny tylko wobec stworów podlejszych i niższego rzędu. Na stronie 125 znajdujemy twierdzenie, że znaczna część przedrewolucyjnej warstwy inżynierskiej odznaczała się skłonnością do krętactwa. To już nie jednostkowe oskarżenie, bynajmniej. (Tak to chyba trzeba rozumieć, że brać inżynierska zajmowała się szkodnictwem jeszcze za cara?). Pisali to zaś ludzie, z których nikt nie był w stanie wyciągnąć najprostszego pierwiastka (co wchodzi w zakres umiejętności niektórych koni cyrkowych).

Autorzy powtarzają wszystkie krążące w tych latach maniackalne brednie tak, jakby chodziło o prawdy historyczne: że w stołówkach fabrycznych usiłowano truć robotników arszenikiem; że jeśli mleko w sowchozie skisnie, to nie jest to wynik głupiej nieudolności, lecz wraża robota: wróg chce, aby kraj puchnął z głodu (tak to jest napisane). W sposób ogólnikowy, bezosobowy piszą autorzy o wielogłowym kułaku, który wkręcił się do fabryki i wrzucił śrubę między tryby maszyny. A jakże, toż to znawcy serc ludzkich, mogą to sobie bez trudu wyobrazić: facet jakimś cudem uratował się od „wywózki w tundry, uciekł do miasta, cudem jeszcze cudowniejszym zdołał znaleźć pracę w fabryce, gdy sam już puchnął z głodu – i teraz, zamiast myśleć o zapewnieniu rodzinie bytu – cap za śrubę i dalejże ją między tryby!

73

Z drugiej strony autorzy nie chcą i nie mogą ukryć swego zachwyty dla kierowników budowy kanału, dla pracodawców, których uporczywie – mimo, że są to już lata 30. – nazywają czekistami, nas również zmuszając do dalszego stosowania tego terminu. Nie tylko pieją z zachwyty nad ich rozumem, siłą woli i zdolnościami organizacyjnymi, lecz wzruszeni są nimi w jakimś wyższym sensie – jako ludźmi nadzwyczajnymi. Szczególnie pouczający jest epizod, w którym występuje Jakub Rapoport (sądząc z fotografii, nie był to człowiek głupi). Niedoszły absolwent uniwersytetu w Dorpacie, ewakuowanego podczas I wojny do Woroneża, został w nowej ojczyźnie zastępcą przewodniczącego gubernialnej Czeki, a następnie zastępcą naczelnika budowy Kanału Białomorskiego. Jak relacjonują autorzy, wizytując pewnego dnia odcinek robót, doszedł do wniosku, że robotnicy źle pchają swoje taczki i zaskoczył jednego z inżynierów iście morderczym pytaniem: Czy w ogóle pamiętacie, czemu równa się cosinus czterdziestu pięciu stopni? Inżynier poczuł się wręcz zmiażdżony i zawstydzony erudycją Rapoport¹³, natychmiast skorygował swoje szkodnicze rozporządzenia i odtąd pchanie taczek osiągnęło szczyty technicznej perfekcji. Z pomocą podobnych anegdot autorzy nie tylko dodają swojemu dziełu artystycznego blasku, lecz nadto podciągają czytelników naukowo wzwyż!

Im wyższe stanowisko zajmuje dany pracodawca, z tym większą czcią piszą o nim autorzy. Niebotycznymi pochwałami obsypują Mateusza Bermana¹⁴, naczelnika GUłagu. Mnóstwo zachwyłów budzi postać Łazarza Kogana, byłego anarchisty, który w 1918 roku przeszedł na stronę zwycięzców, został bolszewikiem, wykazał się oddaniem na stanowisku naczelnika Oddziału Specjalnego IX Armii, był później komendantem wojsk OGPU, następnie jednym z organizatorów GUłagu, a teraz jest naczelnikiem budowy Kanału Białomorskiego. Z tym większym ferworem autorzy podpisują się pod charakterystyką, jaką daje tenże Kogan żelaznemu narkomowi. „Towarzysz Jagoda – to nasz zwierzchnik najwyższy, kierujący całą naszą codzienną pracą”. (To właśnie najbardziej zaszkodziło tej książce! Pienia ku czci Jagody i jego portret wyrwano nawet z egzemplarza, który trafił do naszych rąk, a zdjęcia jego długo musieliśmy szukać).

Tym bardziej przesiąkły tym tonem obozowe broszury. Na przykład: „Na służę nr 3 przybyli dostojni goście (portrety ich wiszą w każdym baraku) – towarzysze Kaganowicz, Jagoda i Berman. Łopaty zaczęły mi-

13 A wielkość tego cosinusa Rapoport podał mylnie – patrz Kanał Białomorsko-Baltycki, str. 107.

14 M. Berman – M. Borman – nazwiska znów różnią się tylko o jedną literkę – Eichmans – Eichman...

74

gać żwawiej. Tam, na górze rozkwitł uśmiech – i odbił się na setkach twarzy w wykopie¹⁵”. To samo słyszy się w oficjalnych pieśniach:

„Sam Jagoda nas wiedzie i uczy, Oko bystre ma, rękę – niechybną”.

Nie tajony podziw dla obozowego stylu życia podpowiada autorom następującą apostrofę: „Choćby los pchnął cię do najodleglejszych zakątków Związku, choćby głuchy to był kąt, a ciemnota panowała naokół, zawsze znajdziesz ostoję porządku... sprawności i trzeźwej myśli... – w każdej placówce OGPU”. A jakież to placówki GPU działają w rosyjskiej głuszy? – tylko obozy. Obóz jako ognisko postępu – oto probierz poziomu tego źródła historycznego.

Sam naczelny redaktor tomu też wypowiedział się jasno. Przemawiając na ostatnim zjeździe budowniczych Kanału 25.VIII. 1933 w mieście Dmitrowie (bo już przeniesiono ich na budowę kanału Moskwa-Wołga), Górki oznajmił: „Od roku 1928 przyglądam się procesowi reedukacji ludzi, prowadzonej przez OGPU”. (To znaczy – że zaczął się przyglądać jeszcze przed wizytą na Sołówkach, jeszcze przed historią z tym chłopcem, co go rozstrzelano, przyglądał się już od chwili powrotu do ZSSR). I nie kryjąc już też wzruszenia, tak zakrzyknął do obecnych na tej uroczystości czekistów: „Toć wy, diabły rogate, sami jeszcze nie wiecie, czegoście dokonali!...”. Autorzy czynią uwagę, że czekisci uśmiechnęli się tylko w odpowiedzi. (Już ONI wiedzieli, czego dokonali...). O przesadnej skromności czekistów pisze Górki w tekście tejże książki. (To ich wzdraganie się przed rozgłosem jest cechą zaiste wzruszającą).

Zespół autorski nie przemilcza po prostacku epidemii zgonów przy budowie Kanału; autorzy nie trzymają się więc tchórzliwej metody półprawd, lecz piszą wręcz (str. 190), że na Kanale nikt nie umiera! (Kalkulacja ich tak zapewne wygląda: sto tysięcy stanęło do roboty, sto tysięcy robotę zakończyło. Wyrzucają tylko poza nawias wchłonięte i strawione transporty oraz żniwo dwóch srogich zim. Ale to już proceder w stylu cosinusa szachrajskiej czeredy inżynierskiej).

Autorzy nie znajdują niczego godniejszego zachwytu od obozowej harówki. W pracy niewolniczej widzą oni jedną z najwyższych form świadomej, żarliwej twórczości. Oto teoretyczna podstawa procesu reedukacji: „Prze-
15 J. Kuziemko, 3. śluza, wyd. KO Dmitlagu, 1935. „Nie podlega rozpowszechnieniu poza obrębem obozu”. Jako że publikacja to rzadka, mamy dla czytelników inną jeszcze kombinację nazwisk: „Kaganowicz, Jagoda i Chruszczow wizytują obozy nad Kanałem Białomorskim” – D. D. Runes, Despotism, New York, 1963, str. 262.

75

stępcy – to ofiary dawnych ohydnych warunków życia, kraj nasz jest zaś piękny, potężny i wspaniałomyślny, trzeba go dalej zdobić”. Zdaniem autorów, wszyscy ci ludzie – których na budowę kanału spędzono, nigdy w życiu nie znaleźliby sobie drogi, gdyby zacni pracodawcy nie kazali im połączyć Morza Białego z Bałtyckim. A to dlatego, że „surowiec ludzki poddaje się obróbce o wiele trudniej niż drzewo” – co za język! jaka głębia obserwacji! a któż to powiedział? – to Górki tak mówi w tekście książki, występując polemicznie przeciw „sychowi gołostownego humanizmu”. Nawet Zoszczenko, po głębokim namyśle stwierdza: „do przemiany dochodzi nie z chęci zasłużenia sobie na przedterminowe zwolnienie (a więc jednak tak można było podejrzewać? – A.S.) – tylko w trybie rzeczywistej przebudowy świadomości i pojawienia się w duszy robotnika dumy z udziału w budowie”. O, znawco dusz! Pchałeś ty kiedy taczki na kanale – i to dostając tylko karną pajkę?...

Tą właśnie wspaniałą księgą, która tak wstawiła literaturę sowiecką, będziemy się kierować przy omawianiu dziejów Kanału.

Jak doszło do tego, że pierwszą wielką budową Archipelagu stał się właśnie Kanał Białomorski? Czy Stalina przypiliła jakaś paląca potrzeba gospodarcza lub strategiczna? Gdy przebrniemy już przez dzieje tego przedsięwzięcia – na pewno dojdziemy do wniosku, że nie było takiej potrzeby. Czy może pchnęła go do tego szlachetna chęć współzawodnictwa z Piotrem I, który tą samą trasą przetoczył po drewnianych balach swoją flotę? Albo z carem Pawłem – bo za jego panowania wysunięty został pierwszy projekt przebicia takiego kanału? Wątpliwe – aby Wszystkowiedzący coś o tym wiedział. Stalinowi potrzebna była jakakolwiek wielka impreza budowlana, która by pozwoliła na wykorzystanie mnóstwa niewolniczych rąk i wytrzebieenie mnóstwa ludzi (nadmiar ich pojawił się w rezultacie procesu rozkułaczania) – z niezawodnością komory gazowej, ale w sposób znacznie tańszy, stanowiąca przy tym wiecznotrwały pomnik ku jego czci, potężniejszy od piramid. Na niewolniczym Wschodzie, który Stalin umiłował i skąd najwięcej wzorów zaczerpnął, lubiono konstruować wielkie „kanały”. I widzę to nieomal, jak – z lubością wodząc okiem po mapie Północnej Rosji, gdzie rozmieszczona była naówczas większość obozów – Władza cybuszkiem fajki prowadzi przez środek tego kraju linię od morza do morza.

Obwieszczając początek robót, trzeba było koniecznie rozgłosić, że budowa jest terminowa, pilna. Bo też nic niepilnego nie robiło się w tych latach w naszym kraju. Gdyby nie uznano budowy za tak pilną, to nikt nie uwierzyłby w jej decydujące znaczenie – a nawet więźniowie, zdychając pod

76

przewróconą taczka, powinni byli wierzyć w wagę tej pracy. Gdyby nie była tak pilna i ważna, to nie zdychaliby przecież, nie wymiataliby samych siebie z placu budowy nowego społeczeństwa.

„Kanał powinien być zbudowany w krótkim terminie i przy najmniejszych kosztach własnych – takie jest zalecenie towarzysza Stalina!” (A kto te czasy pamięta, ten wie, co to znaczyło – ZALECENIE TOWARZYSZA STALINA!) Dwadzieścia miesięcy! – oto czas, jakiego Wielki Wódz udzielił swoim przestępcom zarówno na budowę kanału, jak na poprawę: od września 1931 roku do kwietnia 1933. Tak mu było pilno, że nie dał im nawet dwóch pełnych lat. Kanał Panamski długości 80 km budowany był przez 28 lat, Kanał Sueski długości 160 km – budowano 10 lat. Białomor–sko–Bałtycki Kanał długości 227 km trzeba było przebić w ciągu niespełna dwu lat; jak się to wam podoba? Objętość odłamów skalnych wynosiła 2,5 miliona metrów sześciennych, objętość wszystkich wykopów przekraczała 21 milionów metrów sześciennych. Teren zavalony głazami morenowymi. Moczary. Siedem śluz „Schodów powienieckich”, dwanaście stopni wodnych na długim stoku, opadającym ku Morzu Białemu. A przy tym – „to nie Dnieprostroj, którego konstruktorzy mogli liczyć na długie terminy oraz dewizy. Budowa Kanału Białomorskiego zlecona została OGPU i nie przewidziano na nią ani kopiejki w dewizach!”

Teraz cały zamiar staje przed naszymi oczyma w pełniejszym świetle: ten kanał tak jest potrzebny Stalinowi i krajowi, że – ani kopiejki w dewizach. Niech pracuje przy jego budowie 100.000 więźniów naraz – czy trzeba jeszcze jakiegoś cenniejszego kapitału? I zakończyć mi kanał w ciągu 20 miesięcy! Ani dnia zwłoki!

Tu dopiero szewska pasja ogarnia na myśl o postępowaniu inżynierów–szkodników. Powiadają: trzeba zacząć od betonowych umocnień. Czeka się: na to: nie ma czasu. Inżynierowie: potrzeba dużo żelaza. Czeka się: zastąpcie je drewnem! Inżynierowie mówią: potrzebne są ciągniki, dźwigi, maszyny budowlane! Czeka się: nic z tych rzeczy, ani kopiejki dewiz na import, poradzicie gołymi rękami.

W cytowanej książce nazywa się to: „Śmiałym formułowaniem przez czekistów zadań technicznych¹⁶”. Znowu ten cosinus Rapoporty...

Tak nam pilno, że dla realizacji tego polarnego projektu przysyłamy ludzi z Taszkientu, hydrotechników i melioratorów z Azji Środkowej (dziwnym trafem akurat ich wyaresztowano). Z grupy tej uformowano w Zaułku Furkasowskim (na tyłach Wielkiej Łubianki) Specjalne (znów specjalne, Kanał Białomorsko–Bałtycki, str. 82.

77

to ulubiony termin!) Biuro Konstrukcyjne¹⁷. Zresztą czekista Iwanczenko zapytał przy tej okazji inżyniera Żurina: „Po co w ogóle jakieś nowe prace, skoro istnieje projekt kanału Wołga–Don? Budujcie w oparciu o ten wzór”.

Tak nam pilno, że Biuro zaczyna pracę nad projektem jeszcze przed zbadaniem terenu przyszłej budowy! Posyłamy swoją drogą ekspedycje badawcze do Karelii. Ale nikt z konstruktorów nie ma prawa wyjść za próg pracowni, tym bardziej zaś być posłanym do Karelii (chodzi o czujność). Dlatego wszystko załatwia się telefonicznie: jak tam bieżąca poziomica? a jak tam z gruntem?

Tak nam pilno, że całe składy kolejowe pełne zeków przybywają jeden po drugim na projektowaną trasę, a tam jeszcze ani śladu baraków, zaopatrzenia, narzędzi, ani konkretnego planu – co właściwie mają robić? (Nie ma baraków – za to już nadeszła wczesna północna jesień. Nie ma narzędzi – za to biegnie już pierwszy z dwudziestu miesięcy¹⁸).

Tak nam pilno, że – przybyli nareszcie na trasę – inżynierowie nie mają papieru kreślarskiego, liniałów, pluskiewek (!) ani nawet światła w prowizorycznej pracowni.

Pracują w baraku przy kagankach, zupełnie jak podczas Wojny Domowej! – pieją w upojeniu nasi autorzy!

Figlarnym tonem zawołanych wesołków opowiadają nam oni, jak to niewiasty poprzyjeżdżały na budowę w jedwabnych sukniach, a tu im z miejsca każą brać się do taczki! I „kogóż tu nie ma w tej Tugundzie! Stykają się nos w nos byli studenci, esperantyści, towarzysze broni z białogwardyjskich pułków!”. Białogwardziści dawno już się spotkali na Solówkach, ale że studenci i esperantyści też muszą pchać białomorskie taczki, o, za tę informację wypada autorom podziękować! Zrywając prawie boki ze śmiechu prawią nam dalej: nazwożono tu z krasnowodzkich obozów, ze Stalinabadu, z Samarkandy hurmę Turkmenów i Tadżyków w bucharskich chałatach i w turbanach – a tu karelskie mrozy! to ci dopiero siurpriza dla basmaczy! A tu norma wynosi – rozkruszyć dwa metry sześciennie granitowej skały i wywieźć je na taczkach o sto metrów! A śnieg prószy i zasypuje wszystko, taczki koziołkują z trapów w śnieg. Tak to jest.

Ale dopuśćmy autorów do głosu: „taczki suną niepewnym zygzakiem po mokrych dechach, wciąż się przewracając¹⁹”; „człowiek z taczka przypomina-

17 Była to zatem jedna z pierwszych szaraszek, czyli Rajskich Wysp Archipelagu. Zwracają mi tu uwagę na istnienie jeszcze innej: SBK w Zakładach Izerskich, gdzie skonstruowano pierwszą walcownię automatyczną żelaza (blooming).

18 Dodajmy kilka lipnych miesięcy okresu organizacyjnego, nie objętych żadną sprawozdawczością.

19 BBK, str. 112.

78

nał konia zaprzęzonego w dwa dyszle²⁰”; „trzeba godziny, aby załadować taczka” – nawet nie odłamkami skały, lecz zmarzłą ziemią. Albo taki obrazek: „W szpetnym wądole, przyprószonym śniegiem, pełno było ludzi i kamieni. Ludzie brodzili w śniegu, potykając się o głazy. Po dwóch, po trzech pochylali się nad głazem, oplatali go rękoma i starali się ciężar ruszyć z miejsca. Głaz ani drgnie. Wtedy wołali na pomoc czwartego i piątego...”. Ale tu zjawia się na widowni technika naszego wspaniałego stulecia: „głazy z zapadlin wyciąga się za pomocą sieci” – sieć zaś ciągnie się liną, lina natomiast – „nawijana jest na bęben, obracany przez konia w kieracie”! Albo inny sposób: drewniane żurawie do podnoszenia ciężarów. Oto pierwsze mechanizmy Kanału.

I to mają być szkodnicy? Ależ to genialni technicy! Z XX wieku przerzucono ich w wiek jaskiniowy – i patrzajcie tylko, dali sobie radę!

Zasadniczy rodzaj transportu na budowie kanału? Taczki, jak dowiadujemy się z książki. A są tu także białomorskie Fordy! Są to po prostu ciężkie, drewniane platformy, które stawia się na czterech okrągłych balach drewnianych, podkładanych na zmianę: dwa konie ciągną takiego Forda i odwożą z trasy duże głazy. Taczki zaś pcha się we dwójkę: na stromiznach pomocnik ciągnie je z pomocą haka. A jak ścinać drzewa tam, gdzie nie ma pił ani siekier? Tu też pomaga nasza smykalka – przywiązuje się do drzewa parę lin i brygady szarpią je na przemian w różne strony, żeby drzewo „rozchwierutać” i obalić! Nasza smykalka wszystkiemu podoła! – a dlaczego? A dlatego, że KANAŁ JEST BUDOWANY Z INICJATYWY I NA ZLECENIE TOWARZYSZA STALINA! – tak napisano w gazecie i to się powtarza przez radio co dnia.

Wyobraźcie sobie takie pole bitwy, a na nim czekistów „w długich, popielatych szynelach albo w skórzanych kurtkach”. Jest ich wszystkiego 37 na 100.000 więź-

niów, ale – kochani są przez wszystkich i ta miłość właśnie głazy przenosi. Oto przystanęli na chwilę – towarzysz Frenkel skinął ręką, towarzysz Firin cmoknął wargami, towarzysz Uspienski (oj–cobójca? kat z Solówek?) nie odezwał się ani słowem, a właśnie ta chwila zdecydowała o losach tysięcy ludzi w trakcie dzisiejszej mroźnej nocy albo nawet w ciągu całego polarnego miesiąca.

Na tym właśnie polega wielkość tej budowy, że obchodzi się ona bez współczesnej techniki i bez żadnych dostaw z głębi kraju! „Nie, to tempo nie ma nic wspólnego z kalekim kapitalizmem europejskim, czy amerykańskim. To tempo socjalistyczne!” – twierdzą z dumą autorzy²¹. (W latach

Ibidem, str. 113. BBK, str. 356.

79

60. dowiedzieliśmy się już, że to zwie się wielkim skokiem). Cała książka wynosi pod niebiosy nie co innego, tylko techniczne zacofanie i zwykłe chałupnictwo. Nie ma wyciągów mechanicznych? Nie szkodzi, będziemy mieli własne! – i produkuje się tzw. derricki, żurawie z drzewa, w których tylko części, podlegające tarcu, odlewane są z metalu własnym przemysłem. „Mamy własny przemysł na kanale!” – cieszą się nasi autorzy. / kolka do taczek też odlewają domowym sposobem! Tak pilnie potrzebny był ten kanał całemu krajowi, że nie znalazło się dla niego nigdzie kół do taczek! Dla leningradzkich stalowni było to zadanie ponad siły! Nie, byłoby niesprawiedliwie porównywać z egipskimi piramidami tę najbardziej barbarzyńską konstrukcję XX wieku, ten transkontynentalny kanał, zbudowany z pomocą łomów i taczek: toć piramidy budowane były w całym majestacie im współczesnej techniki! Nasza zaś technika pochodziła sprzed czterdziestu wieków! Na tym polegał ten mechanizm zagłady. Nie stać nas było na gaz do komór gazowych.

Spróbujcie no być inżynierem w tych warunkach. Wszystkie zapory wodne – usypane są z ziemi, wszystkie upusty – drewniane. Gruntowe zapory co i rusz przepuszczają wodę. Jak je tu uszczelnić? – wciąż ubija się ziemię walcami z konnym zaprzęgiem. (Prócz więźniów – jeszcze tylko koni nie żałuje Stalin, a z nim kraj cały – bo to przecież kułackie bydlęta, też na wymarcu). Bardzo trudno uchronić od przecieków również konstrukcje drewniano–gruntowe. Ale trzeba żelazo zastąpić drewnem! – więc inżynier Małow obmyśla i wprowadza romboidalne drewniane wieżeje śluz. Nie ma betonu nawet na obwałowania ścian śluzu! – czym tu je utwierdzić? Ktoś przypomina sobie staroruskie szańce – drewniane, podwójne tyny, piętnastometrowej wysokości: między te dwie ściany sypało się ziemię. Stosuj więc, człowieku, technikę jaskiniową, ale odpowiedzialność masz ponosić według praw wieku XX: jeśli gdzieś woda tamę zerwie – to musisz dać głowę.

Żelazny narkom Jagoda tak pisze do inżyniera naczelnego, Chrustalowa: „Jak wynika z dostarczonych mi informacji (to znaczy – raportów donosicieli oraz meldunków Kogana, Firina i Frenkla), nie widać, abyście przejawiali należną aktywność i zaangażowanie. Rozkazuję wam natychmiast dać odpowiedź, czy macie zamiar natychmiast (to ci dopiero styl, prawda?...)...zabrać się do roboty, jak należy... i skłonić do uczciwej pracy tę część inżynierów (którą? kogo mianowicie?), która zajmuje się sabotażem i łamie plany...”. Jaką tu dać odpowiedź? Toć życie miłe... „Przyznaję, że

80

przejawiałem karygodną tolerancję... wina moja polega na niewybaczalnej opieszałości w pracy...”.

A tymczasem w uszach dudni bez ustanku: „KANAL BUDOWANY JEST Z INICJATYWY I NA ZLECENIE TOWARZYSZA STALINA!”.

Głośnie w baraku, na trasie, nad wodą, w karelskiej chałupie, na ciężarówkach, nie milknące ani we dnie, ani w nocy (pomyślcie!), te niezliczone czarne usta, czarne maski bez oczu (niezły obraz!) bez chwili przerwy o–znajmują krzykiem, co myślą o budowie czekaści całego kraju, co mówi o niej partia. Więc ty też masz myśleć to samo! Więc ty też mów to samo! „Przeobraźmy przyrodę, a zyskamy swobodę!” Niech żyje współzawodnictwo socjalistyczne i praca szturmowa! Współzawodnictwo między brygadami! Współzawodnictwo między „falangami” (250–300 ludzi); Współzawodnictwo kolektywów pracy! Współzawodnictwo jednej śluzi z drugą! W końcu współzawodniczą nawet wartownicy z więźniami²²! (Wartownicy zobowiązali się chyba, że lepiej będą pilnowali tych drugich?).

Ale najbardziej tu się liczy na elementy społecznie bliskie, to znaczy – na złodziei! (Te pojęcia już się na kanale sprzęgły). Rozczulony Górki krzyczy do nich z trybuny: „Ależ byle kapitalista potrafi nagrabić więcej, niż wy wszyscy do kupy!”. Fetniacy wyją, ujęci tym komplementem. „I gorące łzy trysnęły z oczu byłego kieszonkowca²³”. Liczymy na to, że romantyzm świata przestępczego uda się obrócić na pożytek budowy. Pochlebstwo pada na podatny grunt. Złodziej, zasiadający w prezydium złotu, oznajmia: „Dwa dni z rzędu nie dowożono chleba, ale to dla nas betka! (już tam oni zawsze coś sobie „zorganizują”). Dla nas to jest ważne, że tu się nas traktuje jak ludzi (czego nie mogą o sobie powiedzieć inżynierowie). Skały tu u nas takie, że im żaden świder nie da rady. Nie szkodzi, jakoś im radę dajemy”. (Czym więc to robią? I k t o właściwie to robi?...).

Tu wyciąga się wnioski z teorii walki klas: w obozie szukamy swojaków, aby zwalczać obce elementy. Nie ma w książce danych, jaki jest wikt brygadzystów na Kanale, ale mamy pod ręką relację naocznego świadka (I.D.T.) o obozie w Biereznikach: brygadziści (sami knajacy) mieli osobną kuchnię i przydziały wyższe niż wojsko. Wszystko po to, żeby pięści mieć krzepkie i wiedzieć po co się je zaciska.

W 2. punkcie obozowym szaleją kradzieże, ludziom wrywa się z rąk jadło i talony na bałandę, ale żadnego knajaka nie pozbawia się za to honorowego tytułu szturmowca: to nie podkopuje ich społecznej pozycji,

22 BBK, str. 158.

23 J. Kuziemko, 3 śluzi.

81

nie może zaćmić ich osiągnięć produkcyjnych. Żarcie na plac budowy dociera już wystygłe. Kto rozwiesi mokrą odzież do suszenia – już jej nie znajdzie. Nie szkodzi, jakoś dajemy radę! Powieniec jest osiedlem karnym – panuje w nim chaos i bałagan. Chleba tu się nie wypieka, trzeba sprowadzać z Kemi (rzucicie okiem na mapę!). Na odcinku Szyżnia jeść dają grubo niżej normy, w barakach ziąb, wszy ludzi oblaży, wszyscy tu chorują – nie szkodzi, jakoś dajemy radę! Kanał budowany jest z inicjatywy... Wszędzie PBWK – punkty bojowe kult–wych! (Chuligan, dopiero co przystany do obozu, od razu zostaje wychowawcą). Stały alarm bojowy! Ze środy na piątek proklamuje się szturmową noc – pod hasłem walki z biurokracją! Pod koniec roboczego dnia, już wieczorem, chodzą w budynku biurowym od izby do izby kaowcy i szturmują. Oznajmia się nagle, że nastąpił zawal (nie w kopalni, chodzi o procent wykonania planu) na odcinku Tungud. SZTURM! Podejmuje się uchwałę o zdwojeniu norm produkcyjnych! Ni mniej, ni więcej²⁴! Ni

stąd, ni zowąd jakaś brygada przekracza plan dzienny o 825%! Niech to zrozumie, kto potrafi! To znów proklamuje się powszechny dzień rekordowi Trzepnąć tych, co nie nadążają za tempem pracy! A tu znów wydają jakiejś brygadzie premię: pierożki (gęby na zdjęciu jakieś głodomorskie, chwila dawno wytęskniona – a radości jakoś nie widać...). Na oko wszystko jednak biegnie przewidzianym torem. Latem 1932 roku Jagoda objechał całą trasę i zdawało się, że nasze kochane panisko jest kontente. Aliści już w grudniu przysłał depezę: norm nikt nie przestrzega; dość tego bezcelowego przeganiania tysięcy ludzi z miejsca na miejsce! (tu mu wierzę! jakbym to widział!). Zespoły wloką się do pracy pod spłowialymi sztandarami. Kontrola wykryła, że – gdyby wierzyć waszym sprawozdaniom – to już parokrotnie wykopano całą przewidzianą w planie ilość gruntu! – a kanał wciąż nie ukończony! Nieudolni kierownicy robót zasypują wądoty nie szutrem, tylko lodem! A wiosną lód topnieje i woda przerwie tamy! Nowe hasła dla kultwychu: „Fucha – to groźna broń kontrrewolucji” (a w dziedzinie fuchy knajacy wiodą prym: ten lód zamiast ziemi – to na pewno ich pomysł, poznaję bez trudu!). Albo takie hasło: „Partacz – to wróg klasowy!” i kryminalni otrzymują rozkaz demaskowania lipy produkcyjnej oraz kontrolowania urobku brygad, złożonych z kae-rów\ (Jest to najlepsza okazja do przepisania urobku kaerów na rachunek własny). Fucha – to próba pokrzyżowania wszystkich produkcyjnych i wychowawczych planów GPU – oto czym jest ta straszliwa fucha! Fucha – to grabież własności socjalistycznej! – oto czym jest fucha. W lutym

24 BBK, str. 302.

82

1933 roku pozbawia się wolności inżynierów, już przedterminowo wypuszczonych – bo kontrola wykryła gdzieś fuszerkę.

Taki zapał, tyle entuzjazmu – skąd więc tyle tej fuchy? I czemu to więźniowie ją sobie upodobili?... Jasne, że ktoś tu chce przywrócić kapitalizm. Na pewno działa tu czarna ręka białej emigracji.

W pierwszych dniach 1933 roku nowy rozkaz Jagody: wszystkie kierownictwa robót przekształcić w sztaby oddziałów bojowych\ 50% aparatu administracyjnego pośłać na budowę (a łopać aby starczy?...). Pracować – na 3 zmiany (noc tu prawie już polarna)! Wikt wydawać wprost na trasie (wystygły!). A za fuchę – pod sąd!

W styczniu – SZTURM DZIAŁU WODNEGO! Wszystkie falangi – z kuchniami polowymi i całym wyposażeniem poślane zostają na jeden odcinek. Nie dla wszystkich starczyło namiotów, śpią ludziska na śniegu, co tam! DAMY RADĘ! Kanał budowany jest z inicjatywy...

Z Moskwy przybywa rozkaz Nr 1: „aż do końca robót proklamować nieustający szturm! Po fajrancie – posyła się do łopaty maszynistki, biuralistki i praczki.

W lutym – zakaz widzeń z krewnymi na całym obszarze Bieł-Bałł-ła-gu – już to z obawy przed epidemią duru plamistego, już to – aby docisnąć zeków.

W kwietniu – nieprzerwany, 48-godzinny szturm – hurrraaa! TRZYDZIEŚCI TYSIĘCY LUDZI NIE ŚPI!

11 maja 1933 roku narkom Jagoda raportuje ukochanemu Nauczycielowi, że kanał zakończono w przewidzianym terminie.

W lipcu 1933 roku Stalin, Woroszyłow i Kirów udają się na miłą przejażdżkę parostatkiem, by zwiedzić trasę kanału. Istnieje znane zdjęcie: siedzą sobie na pokładzie na fotelach z wikliny, „dowcipkują, śmieją się, palą”. (A Kirów już jest skazany na śmierć, tylko że jeszcze o tym nie wie).

W sierpniu zwiedziło kanał 120 pisarzy.

Nie sposób było znaleźć na miejscu ludzi do obsługi kanału, trzeba było przysłać wysiedlonych kułaków („specprzesiedleńców”). Berman sam wybierał miejsca na przyszłe osady.

Większa zaś część „żołnierzy armii kanału” postana została na budowę następnej magistrali wodnej – Wołga–Moskwa²⁵.

Na sierpniowym zlocie „kanałarmistów” Łazarz Kogan oznajmił: „Nie za górami już ten złot, który będzie ostatnim w dziejach systemu obozów... Nie za górami już ten rok, miesiąc i dzień, kiedy już w ogóle nie będą potrzebne nam obozy pracy poprawczej”. Ponieważ – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – rozstrzelano go, więc nie dowiedział się nigdy, jak strasznie się mylił. A zresztą, może sam już nie wierzył.

83

Oderwijmy się na chwilę od tej zespołowej Księgi Szyderców. Solówki miały opinię wystarczająco ponurą, ale wyspiarze, których przeniesiono na Kanał Białomorski i tu kazano im spędzić resztę kary (albo i resztę życia) – teraz dopiero zrozumieli, że skończyły się żarty, tu dopiero poczuliby pachnię prawdziwy obóz, który stopniowo poznaliśmy wszyscy. Zamiast sołowieckiej ciszy – nie milknący ani na chwilę zgiełk wyzwick i dziki hałas ciągłych zwad – na przemian z gromowymi odgłosami agitacyjnych tyrad. Nawet w barakach punktu obozowego w Miedwieżegorsku, więc przy samym zarządzie Bieł-Bałł-łagu, spano na „wagonetkach” (już je wtedy wprowadzono) nie po czworo – tylko po ośmioro: na każdej półce spało dwóch więźniów na waleta. Zamiast kamiennych budynków poklasz-tornych – przewiewne i prowizoryczne baraki albo namioty, albo nawet – śnieg zamiast pościeli. Ci, których przeniesiono z Bierezników, gdzie pracowało się też po 12 godzin dziennie, twierdzili, że tu jednak ciężiej. Dni rekordów. Szturmowe noce. „Od nas – wszystko, dla nas – nic!...”. W ścisku i rozgardiaszu rozsadza się skały dynamitem, stąd – wielu okaleczonych i zabitych. Wystygła bałanda, którą chłęptać trzeba wśród skał. Jak tu ludzie pracują – to już wiemy. Co tu ludzie jedzą? – a co mogą jeść w latach 1931–33? (Skrypnikowa twierdzi, że nawet w miedwieżegorskiej stółwce dla wolniaków dawano na obiad mętną bryję z rybich łebków z paroma ziarnami kaszy²⁶). Odzież – własna, póki się grzbietu trzyma. I tylko jeden okrzyk, jeden rozkaz: „Prędszej!... Prędszej!...”.

Powiadają, że pierwszej zimy – z 1931 na 1932 zginęło tu sto tysięcy ludzi – tylu właśnie, ilu liczyła załoga kanału. Czy to niewiarygodne? Jest to liczba chyba nawet niższa od rzeczywistej: w podobnych warunkach, w obozach czasu wojny, śmiertelność wynosiła jeden procent dziennie – i była to cyfra wszystkim znana, wcale nie nadzwyczajna. Tak, że na Kanale sto tysięcy mogło zginąć w ciągu niespełna czterech miesięcy. A przecież czekała ich jeszcze jedna zima i w „międzyzyczasie” też nie było lepiej. Bez przesady można założyć, że wymarło w ten sposób 300.000 ludzi.

O tym odmładzaniu kadry kosztem wymierających poprzedników, o tym stałym zastępowaniu ginących ludzi przez nowe transporty żywych ze-ków – trzeba ciągle pamiętać, aby nie dziwić się zbytnio, że w początkach 1933 roku ogólna liczba więźniów we wszystkich łagrach mogła być jeszcze

²⁶ Zresztą, ta sama mformatorka podaje, że uciekinierzy z Ukrainy cisnęli się do Mied-wieżegorska, starając się o pracę gdzieś w pobliżu obozu, aby jakoś unik-

nąć śmierci z głodu. Zeki wynosili im z żony co tylko mogli, żeby poratować ziomków! Całkiem prawdopodobne. Tylko że z Ukrainy nie wszyscy potrafili się wyrwać.
84

nie większa niż milion. Tajna „Instrukcja” podpisana przez Stalina i Mołotowa 8 maja 1933 roku przytacza cyfrę 800.000 uwięzionych.*

D.P. Witkowski, dawny więzień Solówek, zatrudniony na Kanale w charakterze kierownika robót, który z pomocą sławetnej fuchy (to znaczy – przez dopisywanie do sprawozdań dętych cyfr urobku) niejednemu uratował życie – tak opisuje pewien cichy wieczór:

„Po zakończeniu dniówki na trasie zostają trupy. Śnieg prószy, zaciąga ich twarze. Ktoś tam skulił się pod przewróconą taczka, wsunął dłonie w rękawy i tak zamarł. Ktoś inny zastygł z głową między kolanami. Tam zamarło dwóch naraz, wspartych o siebie plecami. To chłopcy ze wsi, najlepsi robotnicy, jakich sobie można wyobrazić. Posyłają ich na kanał całymi dziesiątkami tysięcy, a starają się przy tym, żeby w danym obozie żaden z nich nie znalazł się razem ze swoim tatą, celowo ich się rozdziela. I od pierwszej chwili dają im taką normę przy ładowaniu żwiru i kamieni, jakiej nawet latem wykonać nie sposób. Nikt im nie przemówi do rozumu, nie uprzedzi zawczasu, więc oni – jak to robili w gospodarstwie – oddają wszystkie swoje siły, szybko też słabną – i zamarzają, obejmując się wzajem. Nocą krążą tu zaprzęgi i zbierają umarłych. Zwłoki na sanie woźnice rzucają z drewnianym łoskotem.

Latem zaś, z nie zebranych w porę trupów zostają tylko szkielety – i kości zmieszane z szutrem trafiają do betoniarki. Pełno ich w betonie ostatniej śluzy pod osiedlem Biełomorsk, zostały w niej na zawsze²⁷”.

To jeszcze weźmy pod uwagę, że kierownictwo budowy okazało się okrutniejsze od samego Gospodarza. Chociaż Stalin przykazał „ani kopiejki w dewizach!”, jednakże pozwolił wydać 400 milionów sowieckich rubli. Ci zaś – w swojej nadgorliwości – wydali mniej niż czwartą część tej sumy: 95 milionów 300 tysięcy rubli.

Gazetka Biełomorstroju pisała z rzewnym zachwytem, że „liczni żołnierze armii Kanału, przejęci pięknem wielkiego celu” – w wolnych chwilach (i – rzecz jasna – wcale nie licząc na dodatkową porcję chleba) wykładają cembrowiny kanału kolorowymi kamieniami – wyłącznie dla efektu artystycznego.

Skoro tak, to mogli z powodzeniem uwiecznić na skarpach sześć nazwisk – sześciu pachołków Stalina i Jagody, naczelników nadzorców Białomoru,

„Instrukcja dla wszystkich pracowników instancji partyjno-sowieckich oraz wszystkich organów OGPU, sądownictwa i prokuratury”, 8.Y.1933. Wydobyta z archiwów smoleńskiego obwodowego komitetu WKP(b). Opublikowana w piśmie „Socjalistyczny Wieśnik”, Nowy York-Paryż, 1955, Nr 4 (681), str. 52.

27 D. Witkowski, Pół życia.

85

sześciu zbirów: na rachunek każdego z nich odnieść można by po czterdzieści tysięcy ofiar. Są to: Firin – Herman – Frenkel – Kogan – Rapoport – Żuk.

A warto by też dopisać tu nazwisko naczelnika ochrony – Brodzkiego. I kuratora Kanału z ramienia WCIK – Solca.

No i wszystkich tych 37 czekistów, którzy byli na kanale.

Jeszcze tych 36 pisarzy, którzy Kanał opiewali²⁸. Nie zapominając przy tej okazji o Pogodinie*.

Żeby wycieczkowicze z pokładu turystycznych parostatków mogli to poczytać sobie i podumać chwilę.

Kiedy w tym sęk, że żadnych wycieczkowiczów tu nie ma. Jak to?

A tak to. I żadnych parostatków nie widać. Żadnych regularnych rejsów.

W 1966 roku gdym kończył ten rękopis, chciałem popłynąć statkiem wzdłuż kanału – aby zobaczyć go na własne oczy. No, żeby dorównać tym stu dwudziestu, co go zwiedzili. Otóż zamiaru spełnić nie mogłem: nie ma planowanych rejsów. Można starać się o miejsce na krypie towarowej. Ale tam bardzo pilnie sprawdza się dokumenty. A moje nazwisko dość już wtedy było szarpane, zaraz zaczęłyby się podejrzenia: a czego on tu znowu szuka? Choćby dla samego bezpieczeństwa rękopisu – lepiej było nie próbować.

Mimo wszystko udało mi się dotrzeć tam trochę bliżej. Zacząłem od Miedwieżegorska. Sporo tam jeszcze baraków, stoją od tamtych czasów. Sterczy pośród nich monumentalny hotel z pięciopiętrową, szklaną basztą. Bądź co bądź – to wrota kanału! Toż tu roić się będzie od gości z całego kraju i z zagranicy... Długo świecił pustkami, w końcu przerobiono go na internat.

Droga do Powieńca. Cherlawy lasek, co krok kamienie i głązy narzutowe,

Za Powieńcem od razu dochodzę do kanału i długo idę brzegiem, starając się popatrzeć z bliska na śluzy. Wstęp wzbroniony, ospali wartownicy.

28 Aleksy N. Tołstoj, który wraz z resztą kolegów zwiedził trasę kanału (toć trzeba było płacić za swoją pozycję) – „z zapalem i przejęciem opowiadał o tym, co zobaczył, rysując wspaniałe, fantastyczne niemal – a zarazem – realne... perspektywy rozwoju naszego kraju, przesycając swoją opowieść żarem twórczego uniesienia i literackiej wyobraźni. Dosłownie zachłystywał się zachwytem mówiąc o pracy budowniczych kanału i o wysokim poziomie techniki” (podkreślenie moje – A. S.). Bogdanow-Bieriezowski, „Wstreczi”, Wyd. „Iskusstwo”, Moskwa 1967, str. 58.

N. Pogodin napisał komedię Arystokraci, akcja jej toczy się w obozie, jej bohaterami są szemrani fetniacy, nawracający się w trybie współzawodnictwa i pod wpływem łagodnej perswazji czekistów.

86

Ale stąd i zowąd – widać to i owo. Cembrowiny śluz – te same co dawniej, z tych samych dubeltowych tynów, poznaję je, wedle znanych mi opisów. Natomiast romboidalne wierzeje inżyniera Masłowa już nie są z drzewa, zastąpiono je żelazem i otwierają się już nie ręcznie.

Ale czemu tu tak cicho? Nie widać ludzi, nie widać ruchu ani na kanale, ani przy śluzach. Nikt nie krząta się przy ich obsłudze. Tam, gdzie 30.000 nie dosypiało nocy – teraz wszyscy śpią nawet we dnie. Nie słychać wycia okrętowych syren. Ani skrzypu otwieranych wierzei. Dzień jest pogodny, lipcowy. Dlaczego więc?...

Minąłem w ten sposób pięć śluz powieńczańskich „schodów” i przysiadłem sobie na brzegu. Znany całemu krajowi choćby z pudełek najpopularniejszego gatunku papierosów, tak pilnie ponoć potrzebny, czemu trwasz w ciszy, Wielki Kanale?

Podszedł jakiś cywil świdrując mnie wzrokiem. Ja do niego z głupia frant – gdzie by tu rybek dostać? i czy można wrócić jakimś statkiem? Okazało się, że to komendant ochrony śluzy. Dlaczego, pytam tedy, nie ma tu komunikacji pasażerskiej? Coś ty, z byka spadł, powiada, bo to można? Toć Amerykanie zaraz by tu się przytarabanili. Przed wojną – jeszcze wolno było, ale po wojnie już nie. A niechby sobie zwiedzali. – Coś ty, jak to można im wszystko pokazywać?! – A dlaczego w ogóle

tu nie ma ruchu? – Jest. Tylko mały. Widzisz, kanał jest płytki – pięć metrów całej parady. Chciano go nawet przebudować, ale chyba będzie się robić drugi, równoległy, od razu – jak należy.

Ech, panie komendancie, to już dawno wiadomo: w 1934 roku, ledwie porozdawano wszystkie orderzy za budowę – już zaczęto szykować projekt rekonstrukcji. Punkt pierwszy projektu głosił – że kanał trzeba pogłębić. A drugi, że obok istniejących śluz należy zbudować cały łańcuch głębokich przepustów dla statków morskich. Co nagle – to po diable. Przez te pilne terminy, właśnie przez te normy trzeba było robić kanty z głębokością: właśnie dlatego przepustowość kanału jest minimalna: toć trzeba było karmić ludzi na rachunek jakichś lipnych kubików gruntu. (Wkrótce za tę lipę kazano płacić inżynierom: prawie wszystkim dano nową dychę). A 80 kilometrów kolei murmańskiej przeniesiono, aby zwolnić trasę. Dobrze, że chociaż tych kółek do taczek nie zmarnotrawiono. A właściwie, co tym kanałem ma się spławiać? Drzewo? Dokąd? Pobliskie lasy już wyrąbano. Więc teraz archangielskie drewno spławiać do Leningradu? Po co – przecież sprzeda się je również w Archangelsku, od dawna tam cudzoziemcy je kupują. Wreszcie – kanał jest zamrożony przez pół roku, jeśli nie dłużej. Na czym więc polegała tak pilna potrzeba? Aha, chodziło o sprawy strategiczne. Żeby flotę wojenną przerzucić z Bałtyku na Ocean.

87

– Taki ci płytki, – skarży się komendant straży – że nawet łódź podwodna nie przepłynie: ładuje się je na krypy – wtedy dopiero można brać na hol.

A jak tam z krążownikami?!... O, despotyczny samotniku! Bezsenny szaleńcze! Co cię opętało, kiedyś to wszystko wymyślił?!

I co cię tak gnało, potępieńcze? Co cię tak piliło, tak piekło, żeby przebić kanał w ciągu dwudziestu miesięcy? Przecież tych dwieście pięćdziesiąt tysięcy mogło żyć dalej. No, esperantyści rzeczywiście, to był nóż na gardle, ale ci chłopcy ze wsi! Ileż by ci oni jeszcze roboty odwalili! Ile razy jeszcze mogłeś poderwać ich do ataku – za Ojczyznę! za Stalina!

– Słono kosztował – mówię do strażnika.

– Za to raz dwa go zbudowano! – odpowiada dziarsko.

Czemu nie na twoich kościach!...

Spędziłem tego dnia osiem godzin nad kanałem.

Przez cały ten czas jedna berlinka samobieźna przepełniona z Powieńca w stronę Soroki, a jedna, tego samego typu, ze strony Soroki do Powieńca. Miały różne numery i tylko to pozwoliło mi stwierdzić, że nie była to ta sama krypa. Bo ładunek miały zupełnie jednakowy: takie same kłody sosnowe, już zleżające, dobre tylko na opał.

Z rachunku wynika więc zero.

I ćwierć miliona w pamięci.

Po Białomorsko-Bałtyckim zaraz przyszła kolej na Kanał Wołga-Mosk-wa. Odnaleźli się tam od razu wszyscy zastrzeżeni, naczelnikiem obozu został Firin, szefem budowy – Kogan. (Orderzy Lenina za Białomor już tam na nich czekały).

Ale ten kanał przynajmniej na coś się przydał. Wszystkie tradycje Białomor doczekały się tu należytej kontynuacji i znalazły dobre warunki rozwoju: zrozumiemy teraz tym lepiej, czym różniła się na Archipelagu epoka gwałtownych przerzutów od ery sołowieckiego zacisza. Teraz można już było wspomnieć z odcieniem żalu nawet milczące, groźne Solówki. Nie dość, że wymagali tu teraz wytężonej pracy,

nie dość że kazali kuć słabnącą ręką nieustępliwe głowy. Nie, odbierając człowiekowi życie, drążyli mu serce i wywracali na nice jego duszę.

Najtrudniejsze do zniesienia na Kanałach było chyba to, że od każdego wymagało świergolenia. Już na punktach zbiornych trzeba było musowo odstawiać tak zwane życie zbiorowe. Kończącym z głodu językiem trzeba było wygłaszać przemówienia, żądając przekraczania planów! I demasko-

88

wania szkodników! A także tępienia wrogiej propagandy, kułackich plotek (bo wszystkie plotki obozowe to była kułacka robota). A więc bacząc pilnie, aby węże podejrzeń nie oplotły ciebie samego, zatrzymując w obozie na nowe latka.

Biorąc teraz do ręki te bezwstydne książki, gdzie tak gładko, z takim cmokaniem opisane jest życie skazańców – nie sposób prawie uwierzyć, że to wszystko pisane było na serio – i że czytelnicy na serio to brali. (Ale przezorny Gławlit* zniszczył cały nakład, tak że do naszych rąk trafił chyba jeden z ostatnich istniejących egzemplarzy).

Teraz naszym Wirgiliuszem będzie z kolei pilna uczennica Wyszyńskie-go – I.L. Awerbach²⁹.

Wkręcając w otwór najzwyklejszą nawet śrubę, też trzeba z początku okazać pewną dbałość: nie skrzywić osi wkrętu, nie wciskać gwintu krzywo. Dopiero kiedy czubek wlezie gładko – można zwolnić drugą rękę i dokręcić do oporu, pogwizdując sobie beztrąsko.

Czytamy u Wyszyńskiego: „Właśnie z uwagi na cele wychowawcze nasz Obóz Pracy Poprawczej jest zupełnym przeciwieństwem burżuazyjnego więzienia, gdzie panuje otwarta przemoc³⁰”. „W przeciwieństwie do państw burżuazyjnych – przemoc w walce z przestępczością odgrywa u nas drugorzędną rolę – największą zaś wagę przywiązuje się do zabiegów organizacyjno-materialnych, kulturalno-oświatowych i polityczno-wychowawczych³¹!”. (Trzeba było dobrze robić głową – żeby tu nie chlapnąć ozorem: zamiast pałki – skala p a j k i plus agitacja). I w rezultacie: „...wspaniały rozwój socjalizmu wywiera swój czarodziejski (! tak mu się właśnie powiedziało: czarodziejski!) wpływ również na... walkę z przestępczością³²”.

Krocząc śladem mistrza, Awerbach też nam klaruje: celem sowieckiej polityki w dziedzinie pracy poprawczej jest „przekształcenie najgorszego materiału ludzkiego (pamiętacie surowiec? pamiętacie insekty? – A.S.) w koiortę pełnowartościowych, aktywnych i świadomych budowniczych socjalizmu”.

Pięknie, tylko ten współczynnik... ćwierć miliona sztuk tego najgorszego materiału zostało w ziemi, 12 i pół tysiąca aktywnych i świadomych zaszczycono na Białymorze przedterminowym zwolnieniem...

Główny Urząd Cenzury z ZSSR.

²⁹ I. L. Awerbach, Od przestępstwa do twórczej pracy.

³⁰ Przedmowa Wyszyńskiego do książki zbiorowej Od więzień...

³¹ Przedmowa Wyszyńskiego do książki Awerbach.

³² Ibidem.

89

Ale zaraz – przecież już VIII Zjazd Partii, w 1919 roku, kiedy szalała jeszcze wojna domowa, kiedy Denikina dopiero spodziewano się pod Orłem, kiedy powstania w Kronsztacie i w Tambowie dopiero miały nastąpić, otóż VIII Zjazd uchwalił, aby

zastąpić system kar (to znaczy – nikogo już więcej nie karać?) systemem wychowania]

„Przymusowego” – dodaje teraz Awerbach. I retorycznie (bo już ma za pazuchą druzgoczącą odpowiedź) pyta: a JAK to można? Jak można przeobrazić ludzką świadomość tak, by socjalizm miał z tego pożytek, jeśli świadomość ta jeszcze na wolności nabrała treści dla socjalizmu wrogiej, nacisk zaś rygoru obozowego odczuwany jest jako gwałt i może jedynie tę wrogość spotęgować?

Jesteśmy w kropce; wygląda na to, że facetka ma rację.

Ani się śni, teraz dopiero wytnie nam kuranta: praca produkcyjna, sensowna i mająca wzniosłe cele! – oto sposób na najbardziej nawet wrażliwą czy chwiejną świadomość. A do tego potrzebna jest, jak się okazuje, „koncentracja prac w gigantycznych obiektach, podbijających wyobraźnię ludzką swoim ogromem”! (Ach, więc dlatego, dlatego to ten Białomor, a my matoty, nie mogliśmy zrozumieć!) Osiąga się przez to „poglądowy walor, wydajność i patetyczny rozmach procesu budowy”. Przy tym konieczna jest tu „praca od zera aż do ostatniej fazy robót”, a „każdy więzień” (jeśli mu się jeszcze nie zmarło) – „będzie wtedy czuł polityczny rezonans swojej pracy, poczuje, że cały kraj jest w niej zainteresowany”. Czy widzicie, jak łatwo już gwint się wkręca? Może trochę krzywo, ale już tracimy zdolność oporu. Ojczulek nakreślił cybuszkiem linię na mapie; usprawiedliwienia to już nie jego kłopot. Zawsze znajdzie się jakaś Awerbach: „Towarzyszu Wyszyński, mam tu pewną myśl; jak sądzicie, da się ją wprowadzić do książki?”.

Ale to dopiero początek. Konieczne jest, aby więzień zanim jeszcze wyjdzie za bramę obozu, już był „przygotowany do wyższych, socjalistycznych form pracy”. Ale jak to osiągnąć? Gwint skrzypi.

Jak można być tak niedomyślnym! Ależ istnieje współzawodnictwo i praca szturmowa! Zapomnieliście, jakie to tysiąclecie mamy na dworze, kochani? „Hasłem ma być nie zwyczajna praca, lecz praca heroiczna!” (Rozkaz OGPU Nr 190).

Współzawodnictwo o czerwony sztandar przechodni centralnego sztabu! rejonowego sztabu! sztabu drużyny! Współzawodnictwo między obozowymi placówkami, obiektami, brygadami! „Wraz ze sztandarem przechodnim brygadzie przyznano również orkiestrę dętą! Całymi dniami przygrywa ona przy pracy i podczas smacznych posiłków”! (Smacznych posiłków nie wi-

90

dać na fotografiach, ale widnieje na nich często reflektor. Potrzebny był do pracy nocnej. Kanał wołżański budowano dzień i noc bez przerwy³³).

W każdej brygadzie więziarskiej jest trójka pełnomocników ds. współzawodnictwa. Sprawozdania, rezolucje! Rezolucje i sprawozdania! Wyniki szturmu na cześć przejścia od pierwszej pięciolatki do drugiej! Wyniki drugiej pięciolatki! Obozowa gazeta „Pierekowka” (Przemiana). Stałe motto: Utopimy naszą przeszłość na dnie kanału! „Pracować bez wychodnego!” Zachwyt ogólny, powszechna zgoda! Jeden z przodujących kopaczy oświadczył: „A pewno! Po co myśleć o jakichś wychodnych, jakimś odpoczynku? Wołga przecież nie ma wychodnego, w każdej chwili może wylać”. A Missisipi ma wychodne?... Kto to powiedział? Łapaj go, to kułacki agent! Jeden z punktów podejmowanych zobowiązań brzmi: „Każdy członek kolektywu powinien dbać o własne zdrowie”. Patrzcie, co za humanitaryzm! Ale, ale, tu jest dalszy ciąg, który wszystko wyjaśnia: „– aby zmniejszyć ilość nie-odpracowanych dniówek”. „Nie chorować – i nie brać zwolnień!” czerwone tablice, honorowe. I czarne tablice. Tablice wskaźników cyfrowych: ile dni zostało

do końca robót; ile wykopano dzisiaj, a ile wczoraj. Księgi honorowe. W każdym baraku – dyplomy honorowe, „biuletyny wyników reedukacji, wykresy produkcji, zestawienia cyfrowe (ilu też darmozjadów krząta się przy tym, rysuje i pisze!). Każdy więzień powinien być świadom zadań produkcyjnych! Każdy więzień powinien znać cele polityki państwowej! – Dlatego – przed rannym wymarszem (kosztem czasu roboczego, to jasne) – pięć minut informacji produkcyjnej, zaś wieczorem, po powrocie do obozu (kiedy nogi się już uginają) – pięć minut informacji politycznej. Podczas obiadu – polityczne odczyty, więc ani schować się w kącie³³ ani zmrużyć oka. Jeśli gdzieś tam, na wolności ogłoszono Sześć Warunków Towarzysza Stalina – każdy więzień musi je wykuć na blachę³⁴! Jeśli na zewnątrz weszła w życie uchwała Sownarkomu o wyrzucaniu z pracy za bumelantwo – to tu, w obozie, kładzie się ludziom do głowy:

33 Orkiestry grywały również w innych obozach: muzycanci stali na brzegu i grali nieraz przez kilka dni i nocy jednym ciągiem, póki więźniowie w trakcie jednej długiej szychty bez wypoczynku rozładowywali pełną drzewa barkę. I.D.T. był grajkiem w takiej orkiestrze na Białomorze i mówi, że orkiestra doprowadzała pracujących więźniów do pasji (grajkowie zwolnieni byli przecież z robót ogólnych, mieli osobne łóżka, nosili wojskowe mundury). Rozlegały się krzyki: „Cwaniaki! Darmozjady! Chodźcie no tu potyrać trochę!”. Na zdjęciach tych rzeczy nie widać.

34 Swoją drogą, inteligenci, którzy potrafili wkręcić się na funkcje kierownicze, nieźle wykorzystali te 6 warunków”: „Wszechstronnie wykorzystywać umiejętności fachowców”? – No to wyciągajcie inżynierów z robót ogólnych! „Walczyć z płynnością kadr”? – a więc skończyć z wysyłaniem na etapy!

91

każdy, kto tu wymiguje się od pracy i symuluje chorobę, będzie po wyjściu na wolność otoczony pogardą, masy Związku Sowieckiego tego mu nie wybaczą! Wedle regulaminu – aby otrzymać tytuł przodownika nie dość jest pracować wydajnie! Trzeba ponadto – a) czytać gazety, b) kochać swój kanał, c) umieć wyjaśnić innym jego znaczenie.

I oto cud! Prawdziwy cud! O, cudowna przemiano! – „więzień-przodo-wnik nie uważa już dyscypliny i pracy w tych warunkach za coś narzuconego mu z zewnątrz (tyle rozumieją nawet konie), lecz za potrzebę duszy”! (No pewno, no chyba, przecież wolność – to wcale nie wolność, tylko uświadomienie sobie niezbędności krat!). Nowe socjalistyczne formy zachęty i dowody uznania! – wydawanie znaczków wyróżniającym się robotnikom. No i powiedzcie tylko, kto by pomyślał: „Znaczek ten wyżej jest ceniony przez więźniów niż zwiększona racja chleba!”. Tak jest, cenią go wyżej niż chleb! I całe brygady z własnej inicjatywy ruszają do pracy dwie godziny przed porą wymarszu” (ładny kwiat, samowola! co na to eskorta?) „i zostają na trasie długo jeszcze po zakończeniu dnia roboczego”.

Ale się palą! Jak zapałki. A myślano, że będą się palić przez dziesięciolecia... Co to znaczy – praca szturmowa? Huczy burza – ale nie przerywamy roboty! wykonamy dzienny plan z nadwyżką! Warto zwrócić uwagę na wyposażenie techniczne, już mówiliśmy o tym w związku z Białomore: znów taczki, a na stromiznach podciąga je z przodu hakiem pomocnik – bo jak inaczej wtargać je pod górę? Iwan Niemców nagle postanowił odwalać robotę za pięciul Słowo się rzekło – i już gotowe: w ciągu jednej szychty wykopał... 55 kubików gruntu³⁵ (policzmy no: oznacza to 5 metrów sześciennych w ciągu godziny, jeden metr co 12 minut – spróbujcie tylko, czy to się uda przy najłżejszej nawet glebie! Albo taka okoliczność:

brak pomp, dreny niegotowe – a więc odprowadzimy wodę gołymi rękoma³⁶! A kobiety! Dźwigały w pojedynkę głazy ważące 4 pudy³⁷. Taczki się wywracały, kamienie przywalały nogi i głowy. Nie szkodzi, damy rodeł To – „po pas w wodzie”, to znów – „62 godziny z rzędu trwał ten wysiłek”, a to znów – „przez trzy dni 500 ludzi kuło zamarzła ziemię oskardami – bez skutku”. Nie szkodzi, damy radę\

Myśmy naszą łopatą bojową dokopali się szczęścia na nowo!

35 J. Kuziemko, 3. śluza, DmłtJag, 1935.

36 Broszura Dziewczyna z armii kanału (Nie wynosić poza obręb obozu!). DmłtJag, 1935.

37 Ibidem.

92

Jest to owo „szczególne, zadziorne napięcie”, które przeflancowano tu z Kanału Białomorskiego. „Szli do szturm z wesotymi, ochoczymi pieśniami”...

Niech sobie pada śnieg, czy grad, Tu iść do pracy każdy rad!

Mam przed sobą zdjęcie grupy przodownic, przyjechały na jakiś zlot. Z boku, obok wagonu, komendant eskorty, obok niego jakiś konwojent. Warto przyjrzeć się tym twarzom: prawda, jakie wesole, beztroskie? Te kobiety nie myślą ani o dzieciach, ani o domu, tylko o kanale, który przecież całym sercem pokochały. Mróz chyba nielichy, jedne noszą walonki, inne wzuły długie buty, jeszcze z domu wzięte, rzecz jasna; ale pośrodku, druga od lewej w pierwszym szeregu – stoi złodziejka w kradzionych pantofelkach – bo też gdzie błysnąć elegancją, jak nie na takim zlocie? Mam też zdjęcie z innego zlotu. Na plakacie widać napis: „zbudujemy wodną trasę (bez strat, mocno i przed czasem!”). A jak to załatwić, to już niech się inżynierowie głowią. Widać od razu, że cień uśmiechu zjawiał się na tych twarzach tylko na pokaz, w gruncie zaś rzeczy, te kobiety porządnie są zmęczone, gadać nie mają zamiaru, a chcą tylko jednego – raz przynajmniej najeść się do syta z okazji zlotu. Chłopskie, proste twarze³⁸.

Dał się też we znaki jeszcze jeden kłopot, nieduży zresztą: po zakończeniu Białomoru pojawiło się w gazetach nieco za wiele tryumfalnych artykułów, które neutralizowały odstraszającą funkcję obozów...

W opisach Białomoru doszło do takiego przegięcia pały, że ludzie, przywożeni na budowę kanału Moskwa–Wołga, sądzili, iż przybywają do krainy mlekiem i miodem płynącej, po czym zwracali się do administracji z zupełnie niestłuchanymi żądaniami (czy nie domagali się aby np. czystej bielizny?). Kłam więc bracie, ale w miarę. „Sztandar Białomoru dziś również łopocze nad nami” – pisze gazeta „Pierekowka”. Z umiarkowaniem. Bo to wystarczy.

Zresztą, zarówno na Białomorze, jak na kanale wołżariskim rozumiano, że: „obozowe współzawodnictwo i praca szturmowa powinny być związane z całym systemem ulg”, aby te ulgi zachęcały ludzi do lepszej pracy. „Podstawą współzawodnictwa jest perspektywa materialnych korzyści” (?!?! –

38 Wszystkie wspomniane zdjęcia znalazłem w książce p. Awerbach. Awerbach uprzedza, że nie zamieściła zdjęć kułaków i szkodników (to znaczy – nie ma w książce najciekawszych twarzy chłopskich i inteligenckich) – bo, jak powiada, „nie czas jeszcze na to”. Niestety, ten czas nigdy już nie nadejdzie. Umarłych nic nie wskrzesi.

93

co to, nasz pociąg wyskoczył z szyn? Skręt o sto osiemdziesiąt stopni? – Prowokacja! Trzymać się uchwytów! Wagon jedzie dalej!). Ustanowiono w jednoznaczny sposób, że od produkcyjnych wskaźników zależy i wyżywienie i mieszkanie i odzież i bielizna, a nawet prawo chodzenia do łaźni! (tak, tak, kto mało się trudi, ten niech chodzi w łachmanach, niech go wszy zeżrą!) i przedterminowe zwolnienie! i odpoczynek! i widzenia z rodziną! Na przykład – znaczek, o którym wyżej była mowa – jest to czysto socjalistyczna forma zachęty. Ale niechby ten znaczek dawał prawo do widzeń poza kolejką – a od razu stanie się droższy od chleba...

„Jeśli na wolności – zgodnie z konstytucją socjalistyczną – stosuje się zasadę kto nie pracuje, ten nie je, to dlaczego więźniów w obozach miałoby się stawiać w sytuacji uprzywilejowanej!” (Najtrudniejszy problem przy organizacji obozu – to zapobieganie, aby czasem nie stały się one wilegiatu-rą dla uprzywilejowanych!). Skala Dmitłagu: kocioł karny – mętna woda, karna pajka – trzysta gramów. Stuprocentowe wykonanie normy daje prawo do 800 gramów i umożliwia dokupienie sobie 100 gramów w kantynie! I oto właśnie „proces ulegania dyscyplinie zaczyna się od motywów egoistycznych – i wznosi się aż do wyżyn socjalistycznej ambicji zdobycia sztandaru przechodniego!

Ale najważniejsze – to podwójne zaliczanie szturmowych dniówek! Sztaby współzawodnictwa dają więźniowi charakterystykę. Do zaliczenia wymagane jest nie tylko wykonanie normy z nadwyżką, lecz również działalność społeczna! A tym, którzy w przeszłości należeli do elementów niepracujących – obniża się efektywy, zalicza się mizerne cyfry urobku. „Taki to tylko się maskuje, wcale się nie poprawia! Powinien dłużej posiedzieć w obozie, trzeba go wziąć pod światło”. (Na przykład – pcha ci taki typ taczki pod górę – ale może wcale nie pracuje, tylko się maskuje?). A co robią tacy, których zwolniono przed terminem? Jak to co? Ochotniczo i na stałe wracają do tejże roboty. Tak pokochali kanał, że nie mogą się od niego odebrać! „Tak wciągnęli się, tak przejęli się swoją pracą, że po zwolnieniu dobrowolnie zostają na kanale i kopią dalej ziemię aż do końca budowy”! (I czy można wierzyć autorowi? A pewno, że można. Toć w dowodzie osobistym mają pieczętę: „przebywał w obozach OGPU”. I nigdzie więcej roboty dla nich nie ma)³⁹.

Ależ cóż to?... Cesarski słowik popsuł się, mechaniczne trele umilkły na chwilę – i w przerwie słyszymy strudzony oddech prawdy: „ruch współzawodnictwa ogarnął tylko 60% przedstawicieli świata przestępczego (no, jeżeli już nawet złodzieje nie współzawodniczą ze sobą!...); więźniowie częs-

39 I. L. Awerbach, *Od przestępstwa...* str. 164. 94

to twierdzą, że ulgi i nagrody przyznawane są niesprawiedliwie”; „charakterystyki pisane są szablonowo”; „w pisanych charakterystykach blokowy z reguły określany był jako wyróżniający się kopacz i otrzymywał upragnione zaliczenia, a jakiś prawdziwy bohater pracy zaliczenia nie mógł się doczekać⁴⁰. „Liczni (!) więźniowie przytłoczeni są dlatego poczuciem beznadziei⁴¹”.

Ale trele znów słysząc, tylko teraz – już z metalicznym pogłosem! Zapomnieliście o najważniejszym sposobie zachęty? – „surowe i bezwzględne stosowanie kar dyscyplinarnych”! Rozkaz OGPU z 28.XI.1933 (przed samą zimą – żeby odechciało się podskakiwać!) „Wszystkich niepoprawnych nierobów i symulantów odesłać do najdalszych obozów północnych i pozbawić ich prawa do jakichkolwiek ulg. Podżegaczy oraz tych, którzy złośliwie wymigują się od pracy, stawiać przed sądem urzędującym w obozie. Za najmniejszą próbę złamania żelaznej dyscypliny – po-

zbawiać już przyznanych ulg i przywilejów". (Na przykład, za próbę ogrzania się przy ognisku...).

A jednak uszło naszej uwagi najważniejsze ogniwo, co za gamajdy! Tyleśmy tu gadali, a zapomnieliśmy o najważniejszym! Słuchajcie! słuchajcie! „zespołowość jest zasadą i metodą sowieckiej polityki pracy poprawczej”. Potrzebne są przecież „transmisje – od administracji do mas!”. „Tylko opierając się na kolektywie, administracja obozu może pracować nad przebudową świadomości więźniów”. „Od niższych form odpowiedzialności zbiorowej – aż do najwyższych, aż do pojęcia pracy, jako sprawy honoru, sławy, męstwa i bohaterstwa”! (Często narzekamy, że nasz język ze stulecia na stulecie traci barwy, płowieje. Ale jeśli zastanowić się chwilę, to widać, że nie, bynajmniej! Staje się tylko – szlachetniejszy. Bo też jak to się zwało dawniej, po furmańsku – lejce? A teraz mówi się – transmisje! Dawniej

40 Wszystko u nas robi się na odwrytkę – i nawet nagrody czasem wychodzą ludziom bokiem. Kowalowi Paramonowowi w jednym z archangielskich obozów za dobrą pracę zmniejszono 10-letni wyrok o 2 lata. Dlatego też koniec jego 8-letniej odsiadki przypadł na sam środek wojny. Jako że siedział z artykułu 58, nie został zwolniony, lecz – na mocy „dekretu specjalnego” (znów ten specjalny!) musiał zostać w obozie. Wojna skończyła się i towarzysze Paramonowa z tej samej sprawy – mogli wyjść na wolność, bo odwalili swoje dychy. On zaś musiał odbębnić jeszcze cały rok. Prokurator zapoznał się z jego skargą, ale nic mu pomóc nie mógł, bo „dekret specjalny” był jeszcze w mocy na całym terenie Archipelagu.

41 No, ale V Narada pracowników aparatu sprawiedliwości w 1931 roku zdecydowanie potępiła ten cały bałagan: „szerokie i nie znajdujące usprawiedliwienia stosowanie zwolnień warunkowych i przedterminowych oraz podwójne zaliczanie przepracowanych dniówek”, pozbawia wyroki sądowe realnego znaczenia, podkopuje zasadę represji i wypacza klasowy charakter naszej polityki.

95

mawiano – na jednym się zmiele, na innych się skrupi; toż to wsią i gumnem śmierdzi. A teraz to się nazywa – odpowiedzialność zbiorowa!).

„Brygada jest zasadniczym narzędziem reedukacji” (Rozkaz komendy obozu Dmiałag, 1933 rok) „Oznacza to – zaufanie do kolektywu, co było rzeczą niemożliwą w ustroju kapitalistycznym!” (Ale całkowicie możliwą w feudalnym: jeden chłop coś nabroił – cała wieś spuszcza portki i sieczona jest knutem! Ale brzmi to bardzo szlachetnie – zaufanie do kolektywu!). „Oznacza to samodzielną inicjatywę więźniów w dziele przemiany duchowej!” „Oznacza to wewnętrzne wzbogacenie jednostki dzięki wpływowi kolektywu!”. (Co za język, jak pięknie wyraża się ten człowiek! Tym wewnętrznym wzbogaceniem powalił nas na kolana! Co to znaczy jednak – być erudytą!). „Kolektyw rozwija poczucie godności własnej (a tak! tak!) w każdym więźniu i tym samym zapobiega jego moralnemu upodleniu”]

Pomyśleć tylko! A przecież trzydzieści lat po p. Awerbach ja też miałem okazję to i owo rzec o brygadzie, ot, opowiedziałem po prostu jak to się w niej żyło – ale jakoś na Zachodzie inaczej, całkiem przewrotnie zostało to rozumiane: „Brygada – jest podstawowym wkładem komunizmu do teorii kar (to akurat jest słuszne, to samo mówi Awerbach)... Jest to organizm zespołowy – żyjący, pracujący, jedzący, śpiący i cierpiący wspólnie – w trybie bezlitosnej, przymusowej symbiozy⁴²”.

O, gdyby nie brygada, to można by jeszcze jakoś obóz przeżyć! Gdyby nie brygada – byłbyś jakąś jednostką, sam wybrałbyś sobie sposób zachowania. Gdyby nie brygada – mógłbyś chociaż umrzeć z godnością – w brygadzie zaś nawet zdech-

nać możesz tylko podle, tylko na czworakach. Przed komendantem, dziesiętnikiem, nadzorcą, konwojentem – przed nimi wszystkimi może człowiek jakoś się ukryć i urwać sobie chwilę na odpoczynek, tu zwolnić trochę tempo, tam znów dźwignąć niniejszy ciężar. Ale przed transmisyjnymi pasami – przed towarzyszami z brygady nie można się ukryć, nie ma przed nimi ratunku, nie znają oni litości. Nie wolno ci nie chcieć pracować, nie możesz nawet wybrać śmierci głodowej zamiast harówki, choć uważasz się za więźnia politycznego. Nie ma tak dobrze – skoro już wyszedł z baraku, skoro zarejestrowano cię przy wyjściu – wszystko co dziś brygada robi, podzielią nie przez 25, lecz przez 26 i cały procent wykonania planu spadnie przez ciebie ze 123 na 119, kociół rekordowy zamienią brygadzie na zwykły – wszyscy stracą pszenną strućę i po sto gramów chleba. W tych warunkach koledzy lepiej będą cię pilnowali od wszelkich nadzorów. A pięść brygadzysty ukaże cię skuteczniej niż cały komisariat spraw wewnętrznych!

42 Ernst Paweł, *The Triumph of Survival*. The Nation, 2. H. 1963. 96

Oto co się zowie – samodzielną inicjatywą w dziele reedukacji! Oto właśnie jest wewnętrzne wzbogacenie jednostki pod wpływem kolektywu!

Teraz jasne jest jak słońce, że na kanale Wołga–Moskwa organizatorzy nie śmieli jeszcze uwierzyć samym sobie, że wynaleźli taką mocną obrożę. Brygada była tam jeszcze traktowana po macoszemu – tylko kolektywy pracy były oczkiem w głowie i przedmiotem czci. W maju 1934 roku jeszcze połowa zeków w Dmitłagu była „nie zorganizowana”, nie przyjmowano ich do kolektywów pracy! Przyjmowano ich do tzw. arteli pomocniczych, też zresztą nie wszystkich: nie brano duchownych, sekciarzy i w ogóle wierzących (jeśli gość wyrzekł się wiary – a taki cel wart jest mszy! – to przyjmowano go po miesięcznym okresie próbnym!). Pięćdziesiątkę Ósemkę zaczęto ze skrzypem przyjmować do kolektywów, ale też tylko skazanych na mniej niż 5 lat. Kolektyw miał swego przewodniczącego i radę; demokracja tam nie znała wręcz granic: zebrania kolektywu odbywały się tylko za pozwoleniem Sekcji KO i tylko w obecności kompanijnego (tak, przecież istniał jeszcze podział na kompanie!) wychowawcy. Rozumie się, że kolektywy żywione były lepiej niż cała pozostała zgraja: najlepsze z tych zespołów miały własne warzywniki wewnątrz żony (nie dla poszczególnych członków – tylko jak w kotłozie, żeby zasilać wspólny kociół). Kolektyw dzielił się na sekcje i każda wolna chwila uchodziła bądź na kontrolę warunków egzystencji, bądź na omawianie wypadków kradzieży, czy niszczenia własności państwowej, bądź na redagowanie gazetek ściennych, bądź też na rozpatrywanie spraw dyscyplinarnych. Na zebraniach kolektywów całymi godzinami i z całą powagą debatowano nad problemem – jak doprowadzić do przełomu w świadomości leniucha Wowki albo symulanta Griszki? Kolektyw mógł sam wyrzucać poszczególnych swoich członków i prosić o pozbawienie ich zaliczonych dni, ale gorsze było to, że administracja rozwiązywała całe kolektywy za „kontynuowanie występnych zwyczajów” (to znaczy – za brak entuzjazmu dla życia zespołowego?). Najbardziej jednak atrakcyjnym wydarzeniem były okresowe czystki kolektywów. Wyrzucano leniuchów, nie zasługujących na wysoką godność członka zespołu, malkontentów (uważających kolektyw za bractwo wzajemnej inwigilacji) oraz zamaskowanych agentów wroga klasowego. Wyjaśniło się, powiedzmy, że ktoś siedzący już w obozie, ukrywa przed kolegami swoje kułackie pochodzenie (za które, w istocie rzeczy, znalazł się za drutami) – więc go teraz piętnowano za to i wylewano – nie z obozu, skąd, lecz tylko z kolektywu. (Malarze–realiści! Czemu który z was nie namaluje obrazu pt. „Czystka w kolektywie

pracy"? Te golone łby, ta surowość na wymizero-wanych gębach, te łachmany na grzbiecie – i tych mówców, płonących gniewem. Macie tu cały wachlarz typów. A kto ma kłopoty z wyobraźnią,
Archipelag Gulag t. I

97

niech sobie przypomni, że na wolności też podobne rzeczy się działy. I w dzisiejszych Chinach również). I posłuchajcie: „każdy więzień był zawczasu informowany o zadaniach i celach czystki. A następnie każdy członek kolektywu zdawał sprawę ze swego postępowania przed całym zespołem⁴³!”.

A ponadto – demaskowanie pseudoprzodowników I wybory do rad kultury. I – nagany dla tych, którzy źle likwidują swój analfabetyzm. A jak przebiegała jego likwidacja? Dyktanda: „tu – nie – ma – nie – wo – li!”. A pieśni?

„70 królestwo moczarów i błot
w kraj szczęśliwy zamieni nasz miot!”

Albo do tekstu, który spontanicznie wyrwał się z piersi któregoś z miejscowych twórców:

„/ nawet najpiękniejsza pieśń na świecie opisać nie potrafi wszystkich cudów, Kraju – któremu równych nie znajdziecie, I dla którego nie szczędzimy trudu⁴⁴!”

To właśnie nazywa się po obozowemu – świergoleniem.

O! Tak tym dokuczają, że człowiek jeszcze wspomni z żalem rotmistrza Kuryłkę, prostą, krótką ścieżkę egzekucyjną, szczerą i jawne sołowieckie bezprawie;

Boże! Na dzień jakiego kanału utopić mamy tę przeszłość?!

⁴³ Wszystkie fragmenty cytowane w tym rozdziale bez podania źródła – pochodzą z książki tow. Awerbach. Czasem łączyłem niektóre jej zdania w jedną całość; czasem opuszczałem urywki, nacechowane niezdolnym gadulstwem, bo przecież musiała rozpychać tekst, pisząc dużą rozprawę naukową, my zaś nie mamy na to czasu i miejsca. Jednakże nigdzie nie wypaczyłem sensu jej słów.

⁴⁴ Zbiór pieśni Dmitylagu. 1935. Ogłoszono konkurs na muzykę do nich i w jury konkursu zasiedli wolni kompozytorzy – Szostakowicz, Kabalewski, Szechter...

IV

ARCHIPELAG KAMIENIEJE

A zegar historii – wybijał godziny.

W 1933 roku, na styczniowym plenum KC i Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej Wielki Wódz (już doskonaląc w myśli praktyczny plan likwidacji w najbliższej przyszłości tyłu a tyłu dwunożnych istot, zamieszkujących kraj) oznajmił, że tylekroć obiecywane przez Lenina i tak wyczekiwane przez humanistów „zanikanie państwa nastąpi nie drogą osłabienia władzy państwowej, lecz poprzez etap jej maksymalnego spotęgowania, koniecznego właśnie po to, aby dobić resztki ginących klas...” (kursywa moja – A.S.). Ponieważ zaś klasy te w trakcie swojej agonii „odwołują się do zacofanych warstw ludności i mobilizują je przeciw władzy sowieckiej” – a do zacofanych warstw mógł być wszak zaliczony każdy członek klasy nawet nie ginącej – wobec tego: „chcemy zlikwidować te elementy szybko i bez nadmiernej liczby ofiar”.* (Jak to zrobić „bez nadmiernej liczby”, tego nam nasz dobroczyńca nie wyjaśnił).

Był to błysk geniuszu tak nagły i niespodziewany, że nie każdy zdolny był to pojąć słabym rozumem, ale Wyszyński czuwał i od razu poprowadził rzecz we właściwym kierunku: „a więc konieczne jest maksymalne umocnienie zakładów karno-poprawczych”!

Aby dojść do socjalizmu trzeba maksymalnie rozbudować więzienia! – to nie koncept z pisemka humorystycznego, to teza generalnego prokuratora Związku Sowieckiego! Tak oto jeszcze przed Jeżowem już się drut kolczasty wokół nas najeżył. Stalin – Dzięk – tom XIII wyd. rosyjskiego, str. 211–212, Moskwa, 1951. 1 Księga zbiorowa, Od więzień... przedmowa.

99

A przecież druga pięciolatka (jeśli ktoś to pamięta! pamięć – to najstarszy punkt rosyjskiej duszy, zwłaszcza – pamięć krzywd), więc druga pięciolatka pośród swoich wspaniałych, do dziś nieosiągniętych celów) miała również taki: „usunięcie relikwów kapitalizmu ze świadomości naszych obywateli”. Znaczy to, że proces ów miał być zakończony w 1938 roku. Sami pomyślcie, w jaki inny sposób mogły owe relikty być tak szybko usunięte?

„Sowieckie miejsca odosobnienia na progu drugiej pięciolatki wcale nie tracą swego znaczenia, przeciwnie, ich znaczenie wzrasta!” (rok nawet nie minął od przepowiedni Kogana, że obozów już wkrótce w ogóle nie będzie. Ale przecież nie mógł on jeszcze znać wytycznych plenum styczniowego!) „W epoce przechodzenia do socjalizmu rola zakładów pracy poprawczej – jako oręża dyktatury proletariatu, jako organu represji, jako narzędzia przymusu i środka wychowawczego (przymus jest już na pierwszym miejscu!) powinna nabrać jeszcze większego znaczenia i mocy²” (no bo jakże – kadra dowódcza NKWD po nadejściu socjalizmu miałyby iść na śmietnik, czy jak?).

Któż zarzuci naszej Przodującej Teorii, że nie była ona w zgodzie z praktyką?

Wszystko to publikowano czarno na białym, tylkośmy jeszcze wtedy czytać nie bardzo umieli. Rok 1937 był otwarcie zapowiedziany i umotywowany.

Ale dopiero teraz przestaje być historyczną tajemnicą to, co stało się z Archipelagiem w 1937 roku: była to eksplozja demograficzna, liczba więźniów z niespełna 2 milionów wzrosła do 17 milionów. M.S. Bernstam zdołał wypośrodkować te informacje, analizując nie opublikowane (i tylko częściowo ujawnione) cyfry sowieckiego spisu ludności z 1937 roku. Stwierdził on, że w 1937 z jednej strony znacznie zmniejszył się procent ludności wiejskiej ZSSR, a z drugiej – w tym samym stopniu, bo o 15 milionów osób zwiększyła się liczba obywateli Archipelagu. Właściwie większość tych nowych obywateli już znajdowała się na Archipelagu, tylko że nie w charakterze zeków, lecz jako „specosadnicy”, to jest rozkułaczeni i zestani chłopi. W 1937 (po uchwaleniu „Stalinowskiej Konstytucji” i na jej formalnej podstawie) wszystkie te „ponadliczbowe zespoły wiejskie”, „specosa-dy” zostały zniesione, ale tych milionów (to znaczy – tych, co nie wyginęli na zestaniu) wcale na wolność nie wypuszczono. A dokąd tu ich posłać? Całe osady opasywano drutem kolczastym (niektóre tak były opasane od dawna), w ten sposób stawały się obozami (cały Norylski Kombinat Przemysłowy właśnie w taki sposób powstał w 1937). Ich mieszkańców trak-

1 Ibidem, str. 449. Jeden z autorów, Apeter, został nowym naczelnikiem GUŁagu.

100

owano i przesyłano odtąd tak, jak wszystkich innych więźniów (dzieci? – do sierocińców). W ten sposób, chociaż aresztowania na wsi w 1937 roku nie były powszechnym zjawiskiem, jednakże świadkowie dobrze pamiętają, że już w roku 1939 cztery piąte ludności Archipelagu składało się z chłopów.

Tak oto Archipelag rozrósł się gigantycznie – ale czy jego reżym mógł stać się jeszcze surowszym? Mógł, jak się okazuje.

I kosmata łapa jednym machnięciem zmiotła wszystkie bibeloty i ozdóbki. Kolektywy pracy? Zakazać! Co tam znów wymyślili – samorząd w obozie?! I tak nic lepszego od brygady się nie wymyśli. Pogadanki polityczne? Przerwać tę zabawę! Więźniów przysyła się do roboty, nie muszą wcale rozumieć, co do czego. Na Uchcie proklamowano „likwidację ostatniej wagonetki”? Polityczny błąd! – co, może im sprężynowe łóżka dawać? Napakować tych „wagonetek” dwa razy więcej! Zaliczenia? Przede wszystkim to właśnie, to odliczanie dni pracy od wyroku musi się skończyć! – co, sądy mają pracować po próżnicy? A jak już komu odliczono – to anulować. W jakichś tam obozach udzielane są jeszcze widzenia? Wprowadzić wszędzie zakaz. W którymś tam więzieniu zwłoki jakiegoś popa wydano rodzinie dla przeprowadzenia pogrzebu? Zwariowaliście, dawać powód do antysowieckich demonstracji? Ukarać za to przykładnie! Wyjaśnić, że zwłoki zmarłych w więzieniu są własnością GUŁagu, a gdzie je pochowano – to tajemnica państwowa. Kursy zawodowe dla więźniów? Zlikwidować! Trzeba było uczyć się na wolności. Że na mocy uchwały WCIK? Jaki tam WCIK?, że Kalinin podpisał?... To już nie GPU, my jesteśmy NKWD. Jak wyjdą na wolność, to niech tam sobie się uczą. Wykresy, diagramy? Zerwać ze ścian, ściany pobielić. Można nawet nie bielić. A to co za rachunki? Wypłaty dla więźniów? Okólnik GUMZaku z 25.XI.1926, 25% stawki robotnika tejże kategorii w przemyśle państwowym? Milczeć! Do kosza! Płacić więźniom?! Niech będą wdzięczni, żeśmy ich wszystkich nie rozstrzelali. Kodeks pracy poprawczej z 1933 roku? Zapomnieć raz na zawsze, usunąć ze wszystkich obozowych kancelarii! „Wszelkie odstępstwa od ogólnopaństwowych postanowień, regulujących kwestie pracy... tylko po uzgodnieniu z Centralną Radą Związków Zawodowych”? To MY mamy zwracać się do Związków Zawodowych? Co to są właściwie – związki? Plunąć i rozetrzeć. Paragraf 75 – „przy cięższych pracach przydział żywności ulega zwiększeniu”? W tył zwrot! Przy lżejszych – ulega zmniejszeniu! O, tak będzie lepiej, rezerwy też się wtedy nie nadszarpnie. Kodeks pracy poprawczej z setkami jego artykułów – jakby krowa ozorem zlizwała i przez następne 25 lat nie tylko nikt go na oczy nie widział – ale nawet nikt nie podejrzewał, że coś takiego istnieje.

101

Potrząśnięto Archipelagiem i przekonano się, że już w okresie sołowiec-kim – a tym bardziej w trakcie budowy kanałów – cały mechanizm obozowy rozchwie-rułał się w niemożliwy sposób. Teraz wydłubywano to próchno.

Przede wszystkim – nic nie warta była straż. To miał być obóz? – Wartownicy na wieżyczkach tylko w nocy siedzą; przy wrotach tylko jeden nieuzbrojony szyldwach, z którym można się dogadać i wyjść po cichu na jakiś czas; zdarzało się, że żona oświetlona była tylko naftowymi lampami; kilkudziesięciu zeków konwojował do pracy jeden tylko człowiek z karabinem. Teraz zaś żony oświetlono wszędzie elektrycznością (angażując politycznie pewnych elektryków i maszynistów). Strzelcy ze straży musieli poddać się regulaminowi wojskowemu i przejść przysposobienie wojskowe. Przydzielono w trybie obowiązkowym każdej jednostce wartowniczej specjalnie szkolone psy-wilczury, a wraz z nimi – szczwaczy, trenerów i osobny regulamin służbowy. Obozy nabrały w rezultacie wyglądu nowoczesnego, dobrze nam dziś znanego.

Nie sposób tu wyliczyć, w ilu momentach codziennego bytu obozowego dało znać o sobie obostrzenie i usztywnienie reżymu. A także – ile wykryto „szpar”, przez które ci z wolności mogli zobaczyć, co się na Archipelagu dzieje. Wszystkie

kontakty zostały teraz zerwane, szpary pozatykano i wygnano precz jakieś tam ostatnie „komisje obserwacyjne³”. Przy okazji, obozowe falangi – chociaż zdawało się, że kładzie się już na nich

3 Nie będzie już później miejsca na wyjaśnienie, o co tu chodziło. Oto więc dłuższa nota dla zainteresowanych:

Społeczeństwo burżuazyjne z typową dla siebie obłudą, doszło do przekonania, że powinno rozciągnąć nadzór nad zakładami karnymi i nad przebiegiem procesu reedukacji osób, poddanych aresztowi. W carskiej Rosji „opieka nad instytucjami penitencjarnymi” i „zabiegi mające na celu poprawę materialnych i moralnych warunków, w jakich znajdują się więźniowie” – należały do filantropijnych komitetów więziennych i towarzystw patronatu nad więźniami. W amerykańskich zaś więzieniach komisje nadzorcze, składające się z reprezentantów opinii, miały już w latach 20. i 30. nader szerokie prawa, włącznie z prawem do przedterminowego zwolnienia (nie – do składania wniosku o zwolnienie, lecz do zwolnienia więźnia bez nowej rozprawy). Zresztą – nasi obkuci w dialektyce juryści trafnie podkreślają, że „nie należy zapominać, z jakich klas rekrutowały się te komisje – i że podejmowały one decyzje zgodnie ze swoimi klasowymi tendencjami”.

U nas – inaczej. Już pierwsza „Instrukcja Tymczasowa” z 23.VII.1918, dzięki której powstały pierwsze obozy, przewidywała utworzenie Komisji Dystrybucyjnych przy gubernialnych Wydziałach Karnych. Należało do nich przydzielenie każdego skazanego do odpowiednich zakładów karnych – wedle jednego z siedmiu, przyjętych w RSFSR, typów pozbawiania wolności. Działalność ta (zastępująca niejako funkcję sądów) była uważana za tak ważną, że Komisariat Sprawiedliwości w sprawozdaniu za rok 1920 nazwał czynności wymienionych komisji „stosem pacierzowym polityki karnej”.

102

odblask socjalizmu – zostały w 1937 roku przechrzczone na kolumny – aby ich czasem kto nie pomylił z hiszpańskimi oddziałami Franco.

Obozowe wydziały operacyjne, które dotąd liczyły się z wymogami produkcji i planu, teraz otrzymywały prawo wolnej ręki, nawet z uszczerbkiem dla wszelkich zadań produkcyjnych i wbrew opinii dowolnego grona specjalistów. Nie zostały rozpędzone obozowe sekcje KO, lecz częściowo dlatego, że z ich pomocą łatwiej było kolekcjonować donosy i wzywać konfidentów.

Żelazna kurtyna odgrodziła Archipelag od reszty kraju. Nikt, prócz szarż NKWD nie mógł więcej przekraczać bram obozu. Ustanowiony został ten harmonijny ład, który wkrótce sami więźniowie zaczęli uważać za jedynie możliwy. Ten właśnie ład opisywać będziemy w tej części książki – ład bez czerwonych szmatek, mający na względzie pracę raczej, niż „poprawę” więźnia.

Skład ich był bardzo demokratyczny, na przykład w 1922 składały się z następującej Trójki: naczelnika gubernialnej delegatury NKWD, członka prezydium sądu gubernialnego i naczelnika zarządu więzień danej guberni. Później dookoptowano do nich jakichś przedstawicieli gubernialnej Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej (tj. Izby Kontroli) oraz gubernialnej rady związków zawodowych. Ale już w 1929 roku komisje te budziły wielkie niezadowolenie: udzielały przedterminowych zwolnień i ulg obcym klasowo elementom. „Na tym polegała prawicowo-opportunistyczna praktyka kierownictwa NKWD”. Za to też Komisje Dystrybucyjne zostały skasowane w Roku Wielkiego Przełomu (1929), ich zaś miejsce zajęły komisje obserwacyjne; przewodniczącym takiej komisji był sędzia, członkami natomiast byli

– komendant obozu, prokurator oraz przedstawiciel ogółu – ktoś z kadry dowódcy straży, ktoś z milicji – ktoś z prezydium rady rejonowej i ktoś z komsomołu. Jak trafnie podkreślają nasi prawnicy – nie wolno zapominać, z jakich klas... Ach, przepraszam, już raz to cytowałem...

Komisje obserwacyjne miały następujące zadania: NKWD poruczyło im rozpatrywać kwestię zaliczeń i zwolnień przedterminowych. WCIK zaś (to znaczy – nasz parlament) – kazał dbać o wykonanie planów produkcyjnych i finansowych. Otóż te właśnie komisje były rozpędzone z początkiem drugiej pięcioletki. Mówiąc otwarcie – nikt z więźniów tą stratą się nie przejął.

Skoro już napomknęło się o klasach, to warto dodać, że jedna z autorek cytowanej tylokrotnie księgi zbiorowej, Szestakowa, studiująca materiały z lat 20.

i początku lat 30. „dochodzi do dziwnego wniosku, iż skład socjalny aresztantów w więzieniach burżuazyjnych i w naszych zakładach karnych – jest podobny”. Ku własnemu zdumieniu stwierdziła, że tu i tam siedzą... przedstawiciele warstw pracujących. Ten fakt, rzecz jasna, można jakoś dialektycznie wyjaśnić, ale nasza autorka takiego wytłumaczenia nie znalazła. Dodajmy, że ta „dziwna zbieżność zachwiana została jedynie w latach 37–38, kiedy do obozów – prócz ogromnej, chłopskiej lawiny – napłynęła masa ludzi z wyższych kręgów urzędowych. Ale bardzo szybko proporcja została przywrócona. Całe wielomilionowe potoki z lat wojennych i powojennych składały się z członków mas pracujących.

103

Wtedy to właśnie błysnęły wilcze kły! Wtedy to rozwarły się bezdenne przepaści Archipelagu!

– PUSZKI PO KONSERWACH WZUJESZ, A DO ROBOTY PÓJDZIESZ!

– NIE WYSTARCZY PODKŁADÓW – TO WAS POD TORY RZUCĘ!

Wtedy właśnie, przejechawszy całą Syberię eszelonami z cekaemem na co trzecim wagonie, ludzi z 58. zapędzano do otwartych dołów, żeby łatwiej ich upilnować. Wówczas to, jeszcze długo przed pierwszą salwą Drugiej Wojny Światowej, gdy cała Europa tańczyła sobie fokstrota – w Maryńskim rozdzielniku (wewnętrznym punkcie etapowym Obozów Maryńskich) ludzie nie nadążali iskać się ręcznie i zmiatali wszy z odzieży piotunowymi wiechetkami. Wybuchła epidemia tyfusu – i w krótkim czasie 15.000 (piętnaście tysięcy) trupów ciśnięto do rowu – zastygłych w skurczu, gołych, bo z oszczędności ściągano z nich nawet domowe gacie. (O tyfusie we władystockim zborniaku jużśmy wspominali).

Z jedną tylko innowacją poprzedniej epoki GUŁag się nie rozstał! Z fo-rytowaniem szpary i knajaków. Knajakom powierzano odpowiedzialne funkcje w obozie z jeszcze większą konsekwencją. Knajaków jeszcze skuteczniej naszczuwano na 58., pozwalano im bezkarnie rabować, bić, dusić. Fetniacy („urki”) stali się jakby wewnętrzną policją, obozowymi szturmowcami. (Podczas wojny we wielu obozach całkowicie skasowano etaty nadzorców, powierzając te funkcje „służbie porządkowej” – „sukom”, dawnym złodziejom – i suki utrzymywały porządek jeszcze lepiej niż nadzorcy; im przecież żadne prawo nie zabraniało bicia).

Podobno w lutym czy w marcu 1938 roku NKWD rozesało tajną instrukcję: zredukować liczbę więźniów (oczywiście – nie przez wypuszczenie ich na wolność). Nie wydaje mi się to niemożliwe: byłaby to akcja logiczna, bo nie starczało już ani pomieszczeń, ani odzieży, ani jedzenia. GUŁag ledwie dyszał.

Wtedy właśnie zaczęli gnić masowo chorzy na pellagrę. Wtedy to komendanci eskorty zaczęli sprawdzać celność karabinów maszynowych, każąc strzelać do

kuszykających za kolumną zeków. Wtedy to każdego ranka dyżurni zaczęli ściągać zmarłych w nocy na wartownię i układać w sagi.

Na Kołymie, tym biegunie zimna i okrucieństwa na Archipelagu, przełom ten przebiegał z ostrością isticie biegunową.

Wspomnienia Iwana Siemionowicza Karpunicza–Brawena (byłego dowódcy 40 dywizji, a później 12 korpusu, który zmarł niedawno, nie zdążywszy zakończyć i uporządkować swoich notat), świadczą, że na Kołymie wprowadzono system żywienia, pracy i kar, nie mający sobie równych co do

104

surowości. Więźniowie tak przymierali głodem, że w okolicach punktu Zarosszeje zeżarli ścierwo końskie, gnijące – a było to w lipcu – już od tygodnia, rojące się od much i robactwa. W kopalni Utinaja zeki zeżarli pół beczki towotu do smarowania kół w taczkach. Na Myłdze jedli nasiona traw, jak jelenie. Gdy przełęcz górskie zasypywał śnieg, w odległych od centrum kopalniach wydawano po sto gramów chleba dziennie, nigdy nie zwracając tego, co urwano. Niezliczonych zdechłaków – nie mogących już chodzić do roboty – ciągnęli na saniach inni wyćnięci, jeszcze nie do tego stopnia wyzuci z sił. Kto zostawał w tyle, ten był bity pałką i dogryzany przez psy. Podczas pracy, przy 45–stopniowym mrozie nie pozwalano rozpalać ognisk i grzać się przy nich (knażakom pozwalano). Sam Karpunicz musiał brać się do „ręcznego, zimnego borowania” skał dwumetrowym stalowym świdrem i do wywożenia „torfu”, a w istocie ziemi ze żwirem i kamieniami, przy 50° poniżej zera, saniami, do których zaprzęgano czterech zeków (sanie były z surowych kłód, a ich kosz – sklecony z mokrego chrustu); jako piąty siedł „pchacz” – fetniak „odpowiedzialny za wykonanie planu” i lał ich drynem. Tych, którzy planu nie wykonali (a co to znaczy tutaj – wykonać plan? Przecież „dorobek” Pięćdziesiątego Ósmego zawsze po złodziejsku spisywany był na konto knajaków) – naczelnik obozu Zeldin karał, jak następuje: zimą, na przodku w kopalni kazał ich rozbierać do naga, oblewać zimną wodą i niech sobie tak lecą aż do obozu. Latem – tak samo rozbierano ich do goła, ręce krępowano za plecami, przywiązywano do wspólnej, długiej żerdzi i skutych wystawiano komarom na żer (strażnik stał sobie obok pod siatką ochronną). A wreszcie – bito po prostu kolbami i wrzucano do izolatora.

Ktoś powie, że nie ma w tym nic nowego i że nie widać żadnego rozwoju: że to po prostu nawrót od krzykliwe „wychowawczych”, poprawiackich kanałów do bezpretensjonalnych Solówek. Ba! A może to heglowska triada: Solówki–Białomor–Kołyma? Teza–antyteza–synteza? Negacja negacji, tylko wzbogacona doświadczeniem?

Na przykład karety śmierci chyba nie było jeszcze na Solówkach? To z relacji Karpunicza o punkcie Marisnoje (66 km środkowokańskiej trasy). Przez całą dekadę naczelnik tolerował niewykonanie normy. Dopiero dziesiątego dnia wsadzano do izolatora, dawano karną pajkę, ale jeszcze wy[^] prowadzano do pracy. Kto nawet wtedy normy nie wykonał, tego czekała już kareta – ustawiona na płozach buda 5 x 3 x 1,8 metra z nieokorowa–nysh bali, łączonych grubymi kłami budowlanymi. Małe drzwi, okien nie ma, wewnątrz pusto, żadnych nar. Wieczorem wyprawiano z karceru ukaranych, już otępiatych i zobojętniatych, wpychano ich do karety,

105

zamykano ją na wielką kłodę i traktor odwoził to wszystko 3–4 km od obozu, na jakąś pustkę.

Niektórzy krzyczeli coś, ale ciągnik odczepiano i zostawiano ich tak na całą dobę. Po jej upływie otwierano drzwi i wyrzucano zwłoki na śnieg. Zamieć już je przysypie. Latem zaś w północnych podobozach kopano po prostu jamę w ledwie odtajającym gruncie (w takich jamach Jakuci trzymają latem ryby i mięso). Przykrywali ją bierwionami, a jeżeli była niezbyt głęboka, to wsadzony do takiej jamy nie mógł nawet się wyprostować; rzecz jasna, sięść na takim gruncie też nie było można. Na Myłdze (filia OŁP Elgen), gdzie komendantem był Gawrik, za niewykonanie normy kobiety karane były łagodniej: po prostu nieogrzewany namiot zimą (ale można było wyjść i pobiegać na rozgrzewkę), a podczas sianokosów, kiedy komary tną – nieoślonięty niczym szałas z żerdek (relacja b. więźniarki Sliozberg)., Na OŁP „Ekspedycyjny” południowego zarządu obozów niewykonanie norm karane było w sposób jeszcze prostszy: komendant OŁP, lejtnant Grigoriew chodził do kopalni z nabitym pistoletem i dzień w dzień miał na rozkładzie dwóch, trzech bumelantów (jak wspomina Tommaso Sgovio).

Zewnętrzną oznaką zaostżenia kołymskiego reżymu było wyznaczenie na stanowisko naczelnika USWITŁ (zarządu obozów północno-wschodnich) – Garanina. Podobnie – szefem Dalstroju (koncernu przedsiębiorstw budowlanych, posługujących się pracą więźniów na Dalekim Wschodzie) zamiast komendanta dywizji strzelców łotewskich, E. Berzina, został Pawłow. (Była to zresztą zupełnie zbędna zabawa w komórki do wynajęcia, owoc podejrzliwości Stalina. Dlaczego właściwie nie mógł sprostać nowym wymaganiom stary czekista Berzin ze swymi kamratami? Czy by mu ręka drgnęła?).

Wtedy też skasowano (dla artykułu 58) ostatnie już dni wolne od pracy (ustawowo miały być ich trzy na miesiąc, ale nie przestrzegano tego ściśle, i zimą, kiedy plan był zagrożony, w ogóle ich nie uwzględniano), letnią dniówkę przedłużono do 14 godzin, mrozy 45–50-stopniowe uznano za znośne dla pracujących pod gołym niebem i dopiero przy mrozie 55-stopniowym zezwalało się na spisanie dniówki na straty. (Ale samowola niektórych komendantów sprawiała, że nawet przy 60° wyprowadzano do roboty, wielu więźniów z Kołymy nigdy żadnego termometru w OŁP nie widziało). W kopalni odkrywkowej Gornaja (znów plagiat z Solówek) ludzi odmawiających pracy przywiązywano linami do sań i wleczono aż na miejsce roboty. Ponadto na Kołymie przyjęto zasadę, że konwój nie tylko,

106

po prostu, pilnuje więźniów, lecz jeszcze odpowiada za wykonanie przez nich planu, a zatem powinien bez ustanku ich poganiać.

Przy tym szkorbut – już bez udziału naczalstwa – robił swoje z ludźmi.

Ale tego wszystkiego było jeszcze za mało, nie dość to było surowe, bo wciąż jeszcze liczba więźniów zmniejszała się w niewystarczającym tempie. Wtedy zaczęły się „garanińskie egzekucje”, całkiem otwarte mordowanie ludzi. Czasem przy wtórze traktoru, czasem bez. Wiele punktów obozowych znamy dziś jako miejsca kaźni i masowego grzebania ofiar – jak Orotukan i punkt Polarny, i Swistoplas, i Annuszka, i nawet kolonia rolna Dukcza, ale najbardziej tu zastynęła kopalnia Zołotistyj (komendant obozu Pietrow, pełnomocnicy operacyjni – Zielenkow i Anisimow, naczelnik kopalni – Barkatow, naczelnik delegatury rejonowej NKWD – Burow) oraz Serpantynka. Na Zołotistym wyprowadzali w biały dzień brygady z chodników kopalnianych – i z punktu rozstrzeliwali, wszystkich pod rząd. (Nocne

egzekucje przeprowadzano swoją drogą). Komendant Jug–łagu, Mikołaj Andrejewicz Agłanow, gdy tam przybywał, lubił wybierać przy porannym apelu brygadę, mającą jakieś kondemnaty na swoim rachunku, rozkazywał odprowadzać ją na bok i osobiście strzelał z pistoletu do przerażonych, zbitych w jeden kłęb ludzi, pokrzykując przy tym z uciechy. Zwłok nie chowano, zaczynały się rozkładać dopiero z nadejściem maja – i wtedy kazano je grzebać ocalałym po zimie i jeszcze zipiącym zdechłakom, przydzielając za to lepszą pajkę – nawet z dodatkiem spirytusu. Na Serpantynce rozstrzeliwano co dzień 30–50 ludzi w szopie obok izolatora. Zwłoki kładziono później na sanie i odwożono ciągnikiem za pobliską „sopkę”. Traktorzyści, ładowacze i grabarze mieszkali w osobnym baraku. Gdy Garanin został rozstrzelany – ich również spotkał ten sam los. Stosowano też inny sposób: doprowadzano skazańca z zawiązanymi oczyma do głębokiego szybu i pakowano mu kulę w skroń albo w potylicę. (Nikt nie przekazał relacji o jakiegokolwiek próbie oporu). Serpantynkę w końcu zamknięto i zrównano z ziemią zarówno izolator, jak wszystko, co związane było z egzekucjami, szyby zaś zasypano⁴. W tych kopalniach, gdzie nie uciekano się do masowych egzekucji – odczytywano albo wywieszano spisy, w których wielkimi literami wydrukowane były nazwiska, a drobnymi – motywacje „za kontrrewolucyjną agitację”, „za obrazę konwojenta”, „za niewykonanie normy”.

Egzekucje co jakiś czas ustawały, gdy plan wydobywania złota był w niebezpieczeństwie, zaś przez zamrznęte Morze Ochockie nie sposób było prze-
4 W 1954 roku na Serpantynce odkryto złoża złota, nadające się do eksploatacji przemysłowej. Trzeba więc było je wydobywać wraz z ludzkimi kośćmi: kruszec ważniejszy.

107

rzucić nowych porcji siły roboczej (M.I. Kononienko czekał tak na Serpantynce przez przeszło pół roku na rozstrzelanie – i w końcu go uniknął).

Prócz tego zaczęto z zaciekością dodawać ludziom nowe terminy kary. Gawrik na Myłdzie robił to ze scenicznym zacięciem: przodem pędzili konno strażnicy z pochodniami (noc polarna), za nimi wleczono na arkanie po śniegu więźniów, którzy w rejonowej delegaturze NKWD (30 km) otrzymać mieli drugi wyrok.

W innych punktach obozowych odbywało się w sposób całkiem powszedni: działły ewidencji (URCz) wybierały z kartoteki dossiers tych, którym kończyły się już podejrzanie krótkie wyroki, wzywały ich grupami po 80–100 ludzi i ryczałem dopisywały każdemu nową dychę (relacja R. W. Retca).

Kołymę prawie w całości usuwam poza nawias tej książki. Kołyma jest wobec Archipelagu osobnym kontynentem, godna jest specjalnych badań. Zresztą Kołyma miała „szczęście”: przeszedł przez nią Wałam Szalamow i sporo już o niej napisał; zdołała ją przetrwać także Eugenia Ginsburg, O. Sliozberg, N. Surowcewa, N.

Grankina i inni, wszyscy oni opisali ją w swoich wspomnieniach⁵. Pozwolę sobie tu tylko przytoczyć kilka zdań W. Szalamowa, dotyczących garaninowskich egzekucji: „Przez wiele miesięcy na porannych i wieczornych apelach odczytywano nieskończenie długie spisy skazanych na rozstrzelanie. Przy 50–stopniowym mrozie orkiestra złożona z pospolitaków grała tusz przed odczytaniem i po odczytaniu każdego z tych rozkazów. Kopiące, benzynowe pochodnie dąły mrok... Bibułka spisu pokrywała się szronem i odczytujący rozkaz naczelnik strzepywał rękawicą szron z arkusza, aby móc odcyfrować i wykrzyknąć kolejne nazwisko rozstrzelanego”.

W ten sposób Archipelag doczekał się końca drugiej pięciolatki i – co za tym idzie – przekroczył próg krainy socjalizmu.

Początek wojny był wstrząsem dla wyspiarskich władz: przybrała ona na wstępie obrót, który mógł – jak się zdawało – doprowadzić do rozpadu całego Archipelagu, a nawet – aż strach powiedzieć – do sytuacji, w której pracodawcy mogli być pociągnięci przez pracobiorców do odpowiedzialności. Relacje zeków

z rozmaitych obozów dowodzą, że taki bieg wypadków wywołał dwa typy reakcji ze strony panów sytuacji. Jedni z nich –

5 Skąd tu taka obfitość, gdy pozakolymskich wspomnień tak mało? Czy dlatego, że na Kołymę rzeczywiście zestano kwiat więziarskiego świata? Czy też dlatego – co brzmi paradoksalnie – że w „niedalekich” obozach pomór był jeszcze powszechniejszy?

108

roztropniejsi albo tchórzliwsi – złagodzili reżym, zmienili ton na nieomal uprzejmy, zwłaszcza gdy rozchodziły się wieści o klęskach na froncie. Nie mogli oczywiście polepszyć wiktów ani warunków egzystencji. Inni, bardziej zacięci albo złośliwi – postępowali zupełnie odmiennie; jeśli traktować Pięćdziesiąty Ósmy jeszcze ostrzej i gorzej, zapowiadając niejako, iż raczej na śmierć można liczyć niż na wyzwolenie. W większości obozów więźniów nie zawiadomiono wcale, że wojna się zaczęła – ta nasza niezwalczona pasja do sekretów i kłamstw! – i dopiero w następny poniedziałek ludzie dowiedzieli się czegoś od chodzących bez konwoju i od wolnych. Tam, gdzie było radio (jak w Ust'-Wymie czy w licznych punktach na Kołymie) – wyłączono je; milczało przez cały okres naszych klęsk. W tym samym Ust'-Wymtagu nagle zakazano pisania listów do domu, a dostawać je dalej było wolno (i krewni doszli do wniosku, że najbliższych rozstrzelano). W niektórych obozach (jakby przeczuwając już skąd wiatr powieje) Pięćdziesiąty Ósmy zaczęto odseparowywać od pospolitaków i gromadzić w szczególnie surowo pilnowanych żonach: na wieżyczkach ustawiono tam cekaemy i takie nawet słowa słyszało się przy apelu: „Jesteście tu zakładnikami! – (Ach, ten szampański zaczyn Wojny Domowej! Jak trudno te pojęcia zapomnieć, jak łatwo je przypomnieć sobie!). „Jeśli Stalingrad padnie, to wszystkich was rozstrzelamy!”. W takim więc stanie ducha rozpytywali się tubylcy, co tam w komunikacie: trzyma się jeszcze Stalingrad, czy już wzięty? – Na Kołymie w takich spec-zonach gromadzono Niemców, Polaków i tych z 58., którzy byli bardziej na widoku. Ale Polaków dość prędko (sierpień 1941) zaczęto w ogóle wypuszczać.

Na całym terenie Archipelagu (jak to wynikało z rozporządzeń mobilizacyjnych, których pieczęcie teraz właśnie złamano) już od pierwszych dni wojny zaprzestano zwalniania Pięćdziesiątki Ósemki. Zdarzały się nawet wypadki zawracania z drogi już zwolnionych. W Uchcie 23 czerwca grupa wypuszczonych na wolność już była poza żoną, czekała na pociąg – gdy konwój zapędził ich z powrotem za druty, złorzecząc: „to przez was ta wojna!”. Karpunicz dostał zaświadczenie o zwolnieniu rankiem 23 czerwca, ale nie zdążył jeszcze przekroczyć bramy, gdy już mu podstępem papierek odebrano: „Pokażcie no to na chwilę!”. Pokazał – i został w obozie jeszcze na 5 lat. Nazywało się to – do specjalnego rozporządzenia). Wojna już miała się ku końcowi, ale we wielu obozach nie było jeszcze wolno więźniom zwracać się do działów ewidencji z pytaniem, kiedy wreszcie ich

6 Na Zolotistym zwolniono 186 Polaków (z 2.100 osób, przywiezionych rok wcześniej). Trafili do Armii Andersa, wyjechali na Zachód – a tam, jak widać, opowiedzieli o tym ich Zolotistym. W czerwcu 1942 ten obóz został ostatecznie zamknięty.
109

wypuszczą. Chodziło o to, że pod koniec wojny jeszcze przez jakiś czas na Archipelagu brak było ludzi i niektóre miejscowe władze – nawet gdy już Moskwa pozwalała więźniów zwalniać – wydawały własne „rozporządzenia specjalne”, żeby zatrzymać jak najdłużej siłę roboczą. (W ten sposób właśnie przetrzymana została w obozie Karłag J. M. Orłowa – i dlatego nie zdążyła już zobaczyć umierającej matki).

Od samego początku wojny (zapewne na podstawie tychże rozporządzeń mobilizacyjnych) zmniejszono w obozach normy żywienia. Także jakość jego pogarszała się z każdym rokiem: z warzyw zostały tylko buraki pastewne, zamiast kasz dawano do jedzenia wykę i otręby. (Kołyma miała dostawy bezpośrednio z amerykańskiej Alaski – i pojawił się tam za to gdzieś biały chleb). Ale w ważniejszych fabrykach i kopalniach upadek sił wśród więźniów spowodował tak znaczne obniżenie się wydajności pracy (5– a nawet 10–krotnie), że przywrócenie przedwojennych norm żywienia uznano za bardziej korzystne. Wiele przedsiębiorstw obozowych wykonywało zamówienia wojskowe – a obrotni kierownicy takich fabryczek czasem pozwalali sobie na dokarmianie swoich zeków z zasobów własnych gospodarstw pomocniczych. Tam, gdzie płacono za pracę – wynagrodzenie (30 rubli miesięcznie) równało się cenie rynkowej jednego kilograma ziemniaków.

Gdyby więźnia siedzącego podczas wojny w obozie zapytać, jakie jest jego najświętsze, największe i najbardziej niedościgłe marzenie – to odpowiedź brzmiałaby: „najeść się razowca – chociaż raz do syta – a potem już można umierać”.

W obozach pochowano podczas wojny wcale nie mniej ludzi niż na froncie, tylko żaden poeta tych ofiar nie opiewał. L.A. Komogor ze swoją „brygadą inwalidów” przez całą zimę z 1941 na 1942 rok zajęty był taką oto lekką robotą: pakował do drewnianej skrzyni sklepanej z czterech desek po dwóch gołych umarłaków na waleta, dzień w dzień po 30 skrzyń. (Obóz nie należał zapewne do peryferyjnych, dlatego dbano o opakowanie).

Minęły pierwsze miesiące wojny – i kraj przystosował się do wojennego trybu życia: komu było pisane – ten poszedł na front, komu było pisane – ten pospieszył na tyły, komu było pisane – ten rządził innymi i ocierał gębę po wypitce. To samo działo się w obozach. Okazało się, że lęk był przedwczesny, że wszystko stoi jak stało, że sprężyna nakręcona w 37. dalej działa bez przeszkód. Ci, którzy z początku przymilali się do zeków, teraz tym bardziej się srożyli, już bez pardonu. Okazało się, że ustalone formy życia obozowego są jak najbardziej prawidłowe i zawsze takimi pozostaną.

Siedem epok obozowych toczyć będzie spór przed wami – która z nich

110

najgorsza była dla ludzi; dajcie palmę pierwszeństwa epoce wojny. Powiadają nawet, że kto podczas wojny nie siedział, ten nie wie, co to obóz.

Oto punkt obozowy Wiatłagu, zimą z 41. na 42.: tylko w barakach dla inżynierów i techników oraz w warsztatach mechanicznych tli się jeszcze coś na kształt życia, cała reszta – to lodowaty cmentarz (a Wiatłag nie robi nic innego – tylko zaopatruje w drzewo kolej permską).

Oto co cechowało obozy lat wojny: więcej roboty – mniej żarcia – mniej opatu – gorsza odzież – surowsze prawa – okrutniej sze kary – ale to też jeszcze nie wszystko. Otwarte formy protestu nigdy nie były dla zeków dostępne – teraz wojna pozbawiła ich również możliwości protestu wewnętrznego. Byle farmazon z pagonami, wymigujący się od frontu, wymachiwał im palcem przed nosem i pouczał: „A jak na froncie ludzie giną?... A jak pracują na wolności? A w Leningradzie ile ludziom płacono?...”. I nie sposób było przeciwstawić się tym argumentom – nawet wewnętrznie, w głębi duszy. Tak, na froncie ludzie umierali, rozpostarci na śniegu. Tak, na wolności ludzie żyły z siebie wypruwali i głodowali. (A front pracy – bataliony robotnicze, do których brano niezamężne dziewczęta ze wsi – gdzie tak samo harowało się przy wyrębie, gdzie dawano siedemset gramów dziennie, z dodatkiem miski pomyj – nie był wcale lepszy od obozu). Tak – podczas blokady Leningradu pajka była jeszcze mniejsza od wydawanej tu siedzącym w karcerze. Podczas wojny cała rakowa narodził Archipelagu uchodziła jakby za nader ważny i potrzebny organ rosyjskiego ciała – bo przecież pracowała niejako na potrzeby wojny! od niej też zależała sprawa zwycięstwa! – i wszystko to rzucało złudny, zacierający grzechy blask na druty kolczaste, na wymachującego palcem naczelnika – i zdychając już jako jedna z jej gnijących komórek – pozbawiony był tej nawet pociechy, by ją przekląć przed śmiercią.

Dla Pięćdziesiątki Ósemki obozy czasu wojny były szczególnie nieznośne ze względu na powszechne stosowanie domiarów, czyli podwajanie terminów kary; to było gorsze od topora nad karkiem. Pełnomocnicy operacyjni NKWD, chcąc się wymigać od frontu, wykrywali w zapadłych kątach, w leśnych obozach, wśród drwali – całe sprzysiężenia z udziałem burżuazji międzynarodowej, plany powstań zbrojnych i masowych ucieczek. Asy GUŁagu, jak J.M. Moroz, komendant Uchtpieczłagu, szczególnie dbał o rozkwit w obozach wszelkich akcji śledczo-sądowych. Pewno dlatego, że sam był dawniej śledczym. Zabił aresztanta podczas przesłuchania, dano mu dziesiątaka z paragrafu za przestępstwo pospolite, w obozie pracował w administracji i doczekał się amnestii. W Uchtpieczłagu kary 20-letniego więzienia czy rozstrzelania sypały się jak z rękawa: „za poduszczenie do ucieczki”, „za sabotaż”. A ilu było takich, dla których

111

obeszło się nawet bez sądu; o ich losie decydował nowy układ konstelacji gwiazdnych: Sikorski stanął okoniem Stalinowi – i oto w ciągu jednej nocy wyłapano na Elgenie 30 Polek i wywieziono je na rozstrzelanie.

Wielu było zeków – to żaden wymysł, to prawda – którzy w pierwszych dniach wojny składali podania z prośbą o wystanie ich na front. Zakosztowali smrodliwej bryi z samego dna obozowego sagana – a teraz prosili o postanie ich na pierwszą linię, aby bronić tego więziennego systemu i zginąć zań w karnej kompanii! („A jeśli pozostanę przy życiu, to wrócę, aby odsiedzieć resztę wyroku”)... Ortodoksi twierdzą teraz, że to oni składali te prośby. Owszem, zdarzali się i tacy (a także niedorżnięci trockiści), ale niewielu ich było: po większej części przycupnęli na jakichś skromnych funkcjach w obozie (nie bez pomocy zwierzchników – komunistów), gdzie można było spokojnie dumać, snuć wspomnienia i czekać – a w karnej kompanii dłużej niż trzy dni mało kto mógł się chwalić, że ma jeszcze skórę całą. Ten poryw brał się nie z pobudek ideowych, lecz szedł prosto z serca – to właśnie był rosyjski charakter: lepiej umrzeć w polu niż w zgniłym lochu! Rozprostować się, choćby na chwilę, być „jak inni”, nie być upośledzonym! Uciec od tej

skazańczej martwości, od podwajania wyroków, od niemej zagłady. Inni brali rzeczy z prostą, ale też w tym nic hańbiącego nie było: może tam śmierć człowieka czeka, ale tymczasem dostanie mundur, naje się, napije, przejedzie, będzie mógł z okna wagonu świata się przyjrzeć i z dziewczyskami na przystankach przekomarać. A jeszcze była w tym pobłażliwa skłonność do darowania win: wyście nam tyle złego zrobili – a my – patrzajcie tylko!

Państwo jednak nie widziało żadnej gospodarczej i organizacyjnej korzyści w tych zbędnych przetasowaniach: przenosić jednego z obozu na front, innego zaś – z frontu do obozu. Każdemu pisany był określony rodzaj życia i śmierci; skoroś grzyb wlaź do koszyka. Czasami brano na front pospolitaków z niedużymi wyrokami i rzecz jasna, nie do karnych kompanii, tylko do zwykłych oddziałów armii czynnej. Rzadko, ale przecież zdarzało się, że brano także Pięćdziesiąty Ósmy. Ale na przykład Włodzimierza Siergiejewicza Gorszunowa wzięto w 43. z obozu na front, a pod koniec wojny już znowu był w obozie i to z przedłużonym terminem kary. Tacy ludzie byli już napiętnowani i pełnomocnicy operacyjni łatwiej mogli przypiąć im łatę, niż nieznanemu bliżej rekrutowi.

Ale władze obozowe niezupełnie ignorowały ten przejaw patriotyzmu. Przy leśnych robotach nie grało to roli, ale hała: „Ponadplanowy węgiel – to światło dla Leningradu!”, „Gwardziściom potrzebne są nasze pociski!” – budziły – jak twierdzą naczni świadkowie – żywy odzew. Arseniusz Farmakow, człowiek godny zaufania, stateczny, wspomina, że ich obóz,

112

pracując na potrzeby frontu, był po prostu ogarnięty zapałem, chciał to nawet opisać. Więźniowie czuli się pokrzywdzeni, gdy nie pozwalano im zbierać pieniędzy na kolumnę czołgów („Dżydińską”7).

Wkrótce miano ich za to nagrodzić; a jak – to stało się wiadome zaraz po wojnie: dezerterzy, żulicy, złodzieje – doczekali się amnestii, Pięćdziesiąty Ósmy – Obozów Specjalnych.

Im bliższy był koniec wojny, tym surowszy i surowszy stawał się reżym, przewidziany dla Pięćdziesiątki Ósemki. Czy trzeba szukać daleko – w obozach Dżydińskich i na Kołymie? Pod samą Moskwą, prawie na jej skraju, w Chowrinie, istniała mizerna fabryczka Działu Gospodarczego NKWD, a przy niej rygorystyczny obóz, którym rządził Mamułow – człowiek potężny, ponieważ jego rodzony brat był szefem kancelarii samego Berii. Mamułow brał kogo mu się podobało ze zborniaka na Krasnej Pre-sni, a rygor w obozie zależał tylko od jego fantazji. Na przykład – widzenia z krewnymi (na które pozwalano łatwo w obozach podstołecznych) odbywały się tu przez dwie siatki jak w więzieniu. W celach mieszkalnych panowały tu także więzienne porządki: mnóstwo jasnych żarówek, których nie gaszono na noc; stała obserwacja i pilnowanie, żeby śpiący nie przykrywali się dla ciepła fufajkami (zaraz takich budzono); karcer z cementową podłogą, zupełnie pozbawiony sprzętów – słowem, jak w regularnym więzieniu. Żadna kara, jakiej poddawał zeków, nie sprawiała mu jednak satysfakcji, jeśli przedtem nie upuścił osobiście winowajcy krwi z nosa. W jego obozie należały do zwyczajów nocne wyprawy strażników (sami mężczyźni) do kobiecego baraku, gdzie spało 450 więźniarek. Wbiegali bez uprzedzenia, z dzikim pohukiwaniem, wrzeszcząc: „Pobudka, do szeregu!”. Półrozebrane kobiety zrywały się z pościeli, a strażnicy zabierali się do rewidowania ich samych oraz łóżek z drobiazgową starannością, konieczną wszak dla odszukania ukrytej igły albo miłosnego liściku. Za każdą rzecz znaną – posyłano do karce-

ru. Naczelnik działu mechanicznego, niejaki Szklinik, w trakcie nocnej zmiany, skradał się między maszynami, zgarbiony na kształt goryla i ledwo zauważył, że ktoś walczy ze snem, że kiwa mu się głowa albo przymykają oczy – już ciskał w takiego z rozmachem kawałami żelaza, cęgami, odpadkami metalu.

7 Wymaga to wielu skomplikowanych wyjaśnień podobnie jak cała wojna sowiecko-niemiecka. Mijają już przecież dziesięciolecia. Nie zdąży człowiek własnych postępów rozpatrzyć jak należy, w jednej choćby płaszczyźnie, gdy już spada na wydarzenia nowa warstwa popiołów. Ani jednego z naszych dziesięcioleci nie cechowała wolność i czystość informacji – i między jednym szokiem, a drugim ludzie nie zdążyli zorientować się kim są, kto ich otacza i jakie właściwie wypadki miały miejsce.

6 – Archipelag Gułag t. II 13

Oto były ulgi, jakich doczekali się robotnicy z Chowrina w nagrodę za pracę na potrzeby frontu: bo przez całą wojnę wyrabiali miny. Fabryczkę przystosował do tej produkcji i opracował jej technologię pewien więzień-inżynier (niestety jego nazwiska dotąd nie udało się ustalić, ale nie szkodzi, w końcu i ono też wypłynie); był on również twórcą biura konstruktorskiego. Miał wyrok z artykułu 58 i należał do ludzi najbardziej, w oczach Mamułowa nieznośnych, to znaczy takich, którzy nie frymarczą swoimi przekonaniem i opiniami.

I takiego łotra trzeba było tolerować! Ale u nas nie ma ludzi niezastąpionych! I kiedy produkcja rozkręciła się już na dobre, do klatki tego inżyniera – gdzie siedziało jeszcze paru biuralistów (a właśnie, że przy ludziach! – niech wiedzą wszyscy, niech mają co opowiadać! – więc i my też to opowiemy) wpadł Mamułow z dwoma pachotkami, zaczął szarpać go za brodę, przewrócił na ziemię, skopał do krwi i posłał do Butyrek, odsiadywać drugi wyrok za polityczne pogaduszki. Od miłego tego oboziku było 15 minut jazdy do Dworca Leningradzkiego. Blisko, bo blisko, ale iść tam niesporo.

(Zeki-nowicjusze, ześłani do podstołecznych obozów, trzymali się ich kurczowo, zwłaszcza, gdy mieli rodzinę w Moskwie, a nawet, gdy byli z innych stron: zdawało się, że człowiek nie zwałił się jeszcze w przepaść, skąd nie ma powrotu, że za ścianą jest świat cywilizowany. Ale to było złudzenie. Wyżywienie było tu zwykle gorsze – bo zakładało się, że większość i tak dostaje paczki, tu nawet bielizny nie wydawano. A co najgorsze, obozy te trzęsły się od denerwujących wciąż powtarzanych pogłosek o planowanych transportach do najdalszych miejscowości, miało się wrażenie, że człowiek balansuje tu jak na ostrzu noża, nie sposób było zaręczyć, że nawet najbliższą dobę uda się spędzić w tym samym miejscu).

Takie oto kształty przybierał Archipelag kamieniem – ale nie należy sądzić, że jego ogniska przestały w tym stadium dawać przerzuty.

W 1939 roku, przed wojną z Finlandią, gułagowska Alma Matę r, Solówki, ze względu na zbyt bliskie sąsiedztwo zachodniej granicy, przerzucona została północnym szlakiem morskim aż do ujścia Jeniseju i tam włączona do tworzonego właśnie obozu Noriłtag, który wkrótce już miał liczyć 75.000 więźniów. Solówki były narodziła tak złośliwą, że nawet ginąc – zdążyły jeszcze dać ostatni przerzut – i to jak!

Do lat przedwojennych odnosi się fakt opanowania przez Archipelag bezwodnych pustyń Kazachstanu. Na kształt ośmiornicy rozrasta się oś-

rodek obozowy w Karagandzie, skore do rozrostu metastazy wyłaniają się w Dżezkaganie, gdzie woda zatruta jest związkami miedzi, w Mointach, nad jeziorem Bałchasz. Wysypka obozowa pokrywa również północ Kazachstanu. Wzbierają guzy w okręgu Nowosybirskim (obozy Maririskie), w Kraju Krasnojarskim (obozy Kanskie, Krastag), w Chakasji, w Buriat–Mongolii, w Uzbekistanie, a nawet na Kaukazie, w Górnej Szorii.

Nie hamuje to rozrostu obozów na Północy, ziemi obiecaniej Archipelagu (Usfwymłag, Nyrobłag, Usolłag) i na Uralu (Idelłag).

W spisie tym jest wiele przeoczeń. Dość mi było napisać „Usolłag”, aby sobie przypomnieć, że w irkuckim Usolu też był obóz.

Były zresztą wszędzie – i w kujbyszewskim, i w czelabińskim – nigdzie ich nie brakło. Nowy sposób przekształcania się w obozy wprowadzono po deportacji Niemców znad Wołgi: całe wsie, jak leci, włączano do żony – i nadawano im status karnych kolonii rolnych (Kamieńskie obozy rolnicze – między Kamyszynem a Engelsem).

Prosimy czytelników o wyrozumiałość wobec licznych braków i niedoborów tego rozdziału: nad całą epoką Archipelagu przerzuciliśmy tylko wątlą kładkę – po prostu dlatego, że nie zdołaliśmy zebrać wystarczającej ilości danych. Nie mogliśmy przecież ogłaszać przez radio apeli o nadsyłanie materiałów.

Tu znów na nieboskłonie Archipelagu kreśli szkarłatem swój zawity szlak błędna gwiazda Naftalego Frenkla.

Rok 1937, czyniąc spustoszenia we własnych szeregach, nie ominął głowy Frenkla: był już komendantem Bamłagu, generałem NKWD – i tytułem wdzięczności znów się znalazł za kratami na znanej mu już Łubiance. Ale Frenkel nie zaprzestał bynajmniej marzeń o wiernej służbie – i Przemądry Nauczyciel nie porzucił myśli, by znaleźć jeszcze dla niego odpowiednie pole do popisu. Rozpoczęła się haniebna i niefortunna wojna z Finlandią, Stalin zdał sobie sprawę, że nie był do niej przygotowany, że brak mu dróg dowozowych dla armii, co zabrnęła w karelskie śniegi. Przypomina sobie pomysłowego Frenkla i wzywa go do siebie: trzeba natychmiast, podczas lutych mrozów, bez wszelkich prac przygotowawczych, nie mając do dyspozycji planów, składów i szos, zbudować w Karelii trzy trasy kolejowe – jedną rokadową i dwie dowozowe. Zbudować je należy w ciągu trzech miesięcy, bo wstyd przecież takiemu wielkiemu mocarstwu tak długo guzdrać się z jakąś mizerną Finlandią. Brzmi to iście jak motyw z bajki: zły król daje złemu czarodziejowi zadanie niewykonalne, niewyobrażalne.

115

Wódz socjalizmu pyta: „Da się zrobić?” A niezmordowany waluciarz z werwą odpowiada: „A jakże!”. Ale godzi się tylko pod pewnymi warunkami:

1) wyodrębnić całkowicie z GUłagu i zorganizować nowe więźniarskie imperium – GUL ŻDS – Zarząd Naczelny Obozów dla Budowy Dróg Żelaznych, na którego czele stanąć ma właśnie on – Frenkel;

2) ma mieć do dyspozycji wszystkie dostępne w kraju materiały i zapasy (to już nie jakiś tam Białomor!);

3) GUL ŻDS w okresie pilnych robót nie liczy się zupełnie z panującym ustrojem socjalistycznym i jego uprzykrzonym systemem kontroli oraz sprawozdawczości. Frenkel nie musi wyliczać się z niczego i przed nikim. Nie rozbija żadnych namiotów i nie zakłada punktów obozowych. Nie ma u niego żadnych „porcji”, „przydziałów”, „kotłów”. (A to on pierwszy wprowadził przydziały i kotły! Tylko geniusz może anulować prawa, ustalone przez geniusza!). Każe zwalać prosto na śnieg całe gó-

ry najlepszego żarcia, kożuszków i walonek, każdy zek wdziewa co chce i je, ile dusza zapagnie. Tylko machorka i spirytus znajdują się w rękach jego pomocników i tylko na nie trzeba zapracować! Wielki Strateg udziela zgody. I oto GUL ŹDS – jest faktem! Archipelag się rozsypał? Nie, wzmocnił się tylko, poszerzył swoje wpływy, teraz jeszcze sprawniej będzie kiełznać kraj.

Frenkel nie zdążył jednak doprowadzić robót w Karelii do końca: Stalin wolał przerwać wojnę, zadowolając się remisem. Mimo to GUL ŹDS krzepnie i rozrasta się. Sypią się wciąż nowe zamówienia (ale sprawozdawczość i porządki są już takie, jak wszędzie): buduje kolej rakadową wzdłuż perskiej granicy, następnie kolej nadwoźną od Syzrania do Stalingradu, dalej „Martwą drogę” od Salechardu do Igarki i wreszcie BAM: z Tajszetu do Bratska, a potem dalej.

Co więcej, myśl Frenkla owocuje i wpływa na rozwój samego GUŁagu: przyjęta zostaje zasada podziału GUŁagu według rodzajów produkcji. Podobnie jak Sow-narkom dzielił się na poszczególne komisariaty ludowe, GUŁag utworzył własne resorty: GławLesłag, GławPromstroj, GUŁGMP (Zarządy Główne Obozów – leśnych, budownictwa przemysłowego, kopalnictwa i metalurgii).

Wybuch wojny. Wszystkie te GUŁagowskie ministerstwa zostają ewakuowane do rozmaitych miast. Centrala GUŁagu przenosi się do Ufy, GUL ŹDS – do Wiatki. Łączność między tymi ośrodkami nie jest już tak sprawna, jak za moskiewskich czasów: centrala nie zarządza już całością Archipelagu, każda z jego dzielnic podporządkowuje się temu zarządowi, który jest teraz najbliżej. W ten sposób Frenkel zostaje władcą całej Rosji

116

Północno-Wschodniej (jako że nie ma na tym terenie nic prawie, poza placówkami Archipelagu). Ale myliłby się ten, kto by widział tu coś na kształt rozpadu Cesarstwa Rzymskiego, bowiem po wojnie imperium znów się zjednoczy i nabierze jeszcze większej potęgi.

Frenkel nie zapomina o starych przyjaciółtach: wzywa i powołuje na wysokie stanowisko w GUL ŹDS – Buchalcewa, redaktora żółtej gazetki „Kopiejka” w przedrewolucyjnym Mariupolu; inni współbracia tego człowieka dawno już zostali rozstrzelani albo rozpierzchli się po całym świecie.

Frenkel odznaczał się wyjątkowymi talentami nie tylko w dziedzinie handlu i organizacji. Wystarczyło mu zerknąć na kolumnę cyfr, by natychmiast podsumować je w pamięci. Lubił przechwalać się, że zna z twarzy, imienia i nazwiska 40.000 więźniów i o każdym z nich potrafi powiedzieć, z jakiego artykułu i na jaką karę jest skazany (w jego obozach przyjęte było, aby zek w obecności wyższych przełożonych meldował się, raportując te wszystkie dane). Potrafił zawsze obejść się bez naczelnego inżyniera. Rzucił tylko okiem na przedstawiany mu do zatwierdzenia projekt stacji kolejowej – natychmiast dostrzegał każdą omyłkę – i wtedy ciskał zmięty papier podwładnemu w twarz, mówiąc: „Kiedy nareszcie zrozumiecie, że jesteście ośłem a nie projektantem!”. Głos miał nosowy, nieczęsto go podnosił. Wzrostu był mizernego. Frenkel nosił generalską papachę z kolejarskimi dystynkcjami, z granatowym wierzchem i czerwonym podbiciem. Zawsze i niezmiennie miał też na sobie kitel typu wojskowego – co świadczyło jednoznacznie, że chce być uważany za działacza państwowego, a nie za inteligenta. Podobnie jak Trocki, kwaterę miał w pociągu, którym rozjeżdżał po swoich polach bitwy – po placach budowy. Miejscowi naczelnicy przyzwyczajeni do prymitywu i bałaganu, wzywani do jego wagonu na narady, nadziwić się nie mogli wiedień-

skim krzesłom, wyściełanym meblom – i z tym większym onieśmieleniem przyjmowali każdy zarzut i każdy rozkaz szefa. Sam on zaś nigdy nie zajrzał nawet do baraków, nie powąchał tamecznego smrodu – bo wymagał tylko roboty i jedynie jej wyniki go obchodziły. Szczególnie lubił telefonować nocami do podwładnych w terenie, przyczyniając się w ten sposób do utrwalenia legendy, głoszącej że Frenkel nigdy nie sypia. (Zresztą za czasów Stalina wielu dygnitarzy istotnie przyzwyczaiło się do takiego trybu życia).

Za kraty już więcej nie trafił. Został zastępcą ministra komunikacji, Ka-ganowicza, do spraw kapitałnych inwestycji w kolejnictwie. Zmarł w Moskwie w latach 50., doczekawszy się rangi generała-lejtnanta, zasłużonego szacunku i spokojnej starości.

Wydaje mi się, że nienawidził tego kraju.

V

NA CZYM TRZYMA SIĘ ARCHIPELAG

Istniało na Dalekim Wschodzie miasto ochrzczone wiernopoddającym imieniem CESAREWICZ. Rewolucja przemianowała ów gród na SWO-BODNYJ. Kozacy amurscy, którzy tam mieszkali, ulegli rozproszeniu i osiedle opustoszało. Trzeba było je jakoś zaludnić. Mieszkańcami jego stali się więźniowie oraz pilnujący ich czekiści. Cały gród Swobodnyj stał się obozem (BAMtag).

W ten sposób życie samo kreuje symbole.

Obozy nie są po prostu „ciemną stroną” naszego życia w epoce porewo-lucyjnej. Ich rozrost sprawił, że stały się nie zjawiskiem postronnym i po-kątnym, lecz zajęły miejsce w samym jądrze naszych spraw. Niewiele jest zjawisk, w których nasze półwiecze przejawiało swoje tendencje tak konsekwentnie i bez reszty.

Każdy punkt powstaje w wyniku przecięcia co najmniej dwóch prostych, każde wydarzenie jest skutkiem zbiegu dwóch co najmniej nieuniknionych okoliczności.

Do utworzenia systemu obozowego pchnęła nas potrzeba charakteru gospo-darczego; gdyby tylko o nią chodziło, to mogłoby dojść również do sformowania Armii Pracy, jednak tu zbiegła się ona z – gotowym już na szczęście – teoretycznym usprawiedliwieniem obozów.

Dwa te składniki pasowały do siebie, jakby je tak Pan Bóg stworzył: każdy czop tra-fiał do należnego otworu, każdy ząb do odpowiedniego wrębu. Tak właśnie powstał Archipelag.

Konieczność gospodarcza przejawiała się, jak zwykle, z właściwą jej ot-warością i brutalnością: państwu, pragnącemu stanąć mocno na nogach w jak najkrót-szym czasie (to wymaganie przesądziło o większości cech procesu, podobnie jak na Kanale Białomorskim!) i bez pomocy z zewnątrz – potrzebna była siła robocza:

118

a) jak najtańsza, a najlepiej – bezpłatna;

b) nie stawiająca żadnych żądań, taka którą można swobodnie przerzucać z miejsca na miejsce, wolna od związków rodzinnych, dla której nie trzeba ani po-rządnych mieszkań, ani szkół, ani szpitali, a w pewnych okresach – nawet kuchni czy łaźni.

Zdobyć taką siłę roboczą można było tylko w jeden sposób – pożerając własne dzieci.

Uzasadnienie zaś teoretyczne nie mogłoby tak szybko i składnie sformować się w tych latach zdyszanego pędu, gdyby nie jego załączek jaki został w spadku po wieku ubiegłym. Engels wykazał, że człowiek stał się człowiekiem nie dzięki naro-

dzinom pojęć moralnych ani zdolności do myślenia – lecz dlatego, że – przypadkiem i bezmyślnie – nauczył się pracować: mała wzięta do łapy kamień i od tego wszystko się zaczęło. Marks zaś, nawiązując do bliższej już epoki („Krytyka programu gotajskiego”) z tym samym przekonaniem uznał za jedyny środek reedukacji przestępców (co prawda – tylko kryminalnych; nie mieściło mu się w głowie, że jego uczniowie będą przeciwników politycznych uważać za przestępców) – nie żadne samotne medytacje, nie doskonalenie moralne, nie skrucę, nie żal (to wszystko nadbudowa!) – lecz pracę produkcyjną. Sam on nigdy nie trzymał w ręku motyki, nigdy w życiu nie pchał taczek, nie kopał węgla, nie karczował pni; nie wiemy nawet, czy rąbał drwa do pieca – ale przecież napisał to na papierze i papier wszystko wytrzymał.

Jego wyznawcom łatwiej już teraz było dojść do wniosku, że zmuszanie więźnia do codziennej harówki (czasem nawet – 14-godzinnej, jak w kołymskich kopalniach) – to rzecz humanitarna i prowadząca do jego poprawy. I odwrotnie – poprzestawanie na celi więziennej z dziedzińcem do spacerów i ogródkiem, gdzie więzień mógłby sobie latami czytać książki, pisać, rozmyślać i prowadzić dyskusje – równa się traktowaniu go „na kształt bydłęcia” (porównanie czerpiemy z tejże „Krytyki...”).

Co prawda, w gorącym okresie popaździernikowym nie było czasu na te wszystkie subtelności i rozstrzeliwanie więźniów uznano za sposób jeszcze bardziej humanitarny. Ci zaś, których nie rozstrzelano, lecz zesłano do pierwszych obozów – znaleźli się tam nie w celu reedukacji; chodziło o unieszkodliwienie ich, o czystą izolację. Już wtedy bowiem ten i ów zajął się teorią kar, na przykład – Piotr Stuczka, a w „Podstawowych założeniach prawa karnego RSFSR” z 1919 roku samo pojęcie kary zostało poddane rewizji. Kara – twierdzi się tam w sposób nader obiecujący – nie jest ani zemstą (władza robotniczo-chłopska nie mści się na przestępcy), ani odkupieniem winy (nie istnieje wszak żadna wina indywidualna, skoro wszystko ma swoje klasowe uwarunkowa-

119
nia), jest natomiast zabiegiem stosowanym dla ochrony ustroju, jest środkiem obrony społeczeństwa.

Skoro to „środek obrony społeczeństwa” – to jasne, iż na wojnie – jak to na wojnie, że trzeba zatem albo rozstrzeliwać (najwyższy wymiar... obrony socjalnej), albo wsadzać do więzienia. Ale przy takiej praktyce jakoś traciła blask idea poprawy, o której mówiło się z aprobatą na VIII Zjeździe partii w tym samym 1919 roku. Bo nie można było jakoś zrozumieć: co ma ulec w człowieku poprawie, skoro nie on jest winny? Przecież klasowe uwarunkowania nie mogą być ponieważś naprawione'?!]

Tymczasem wojna domowa się skończyła, w 1922 roku wydano pierwsze sowieckie kodeksy, w 1923 odbył się „jazd pracowników więziennictwa”, w 1924 ukazały się nowe „Podstawowe założenia prawa karnego”, które stały się fundamentem nowego Kodeksu Karnego z 1926 (kodeks ten wrzynał nam się w kartki 35 lat – ale świeżo wprowadzone poglądy – że nie ma „winy” ani „kary”, lecz jest tylko „zagrożenie społeczne” i „obrona socjalna” – pozostały w mocy.

Jasne, że tak było najporęczniej. Taka teoria pozwalała każdego wpakować za kraty jako zakładnika, jako „osobę podejrzaną” (depesza Lenina do Eugenii Bosz), a nawet posyłać na zesłanie całe narody, uznane za potencjalnie niebezpieczne

(przykłady są powszechnie znane) – ale trzeba być pierwszorzędnym żonglerem, aby jednocześnie rozwijać i pucować do blasku teorię kary poprawczej.

Znaleźli się jednak tacy żonglerzy; teoria błyszczała jak nowa i same obozy nosiły nazwę „poprawczych”. Możemy tu przytoczyć niejedną cytata.

Wyszyński: „Cała sowiecka polityka ścigania przestępstw opiera się na dialektycznej (!) zgodności zasady represji i przymusu z zasadą perswazji i reedukacji¹.

„Wszystkie burżuazyjne zakłady karne starają się „dokuczyć” przestępcy przez zadawanie mu fizycznych i moralnych cierpień” (bo przecież tamci nie chcą wcale, żeby zbrodniarz się „poprawił” – A. S.). „W odróżnieniu zaś od metod burżuazyjnych – u nas zadawanie cierpień przestępcom nie jest celem samym w sobie, lecz tylko środkiem. (Tam też, jakby się mogło zdawać, to nie cel, tylko środek – A. S.). Naszym celem natomiast jest faktyczna reedukacja, chodzi o to, żeby przestępcy opuszczali obozy jako świadomi ludzie pracy”.

Zrozumiano? Stosujemy przymus, owszem, ale zarazem jakby leczymy

1 Wyszyński, Przedmowa do książki Awerbach Od przestępstwa do twórczej pracy, str. VI.

120

moralnie ludzi (i też, jak się okazuje, przez zadawanie cierpień!) – tyle, że nie bardzo wiadomo z czego leczymy.

Ale zaraz na sąsiedniej stronicy czytamy:

„Stosując rewolucyjny przymus, obozy pracy poprawczej służą dziełu lokalizacji i unieszkodliwiania przestępczych elementów dawnego społeczeństwa²” (wciąż to „dawne społeczeństwo”! w 1952 też jeszcze będzie mowa o „dawnym społeczeństwie”. Zwalają jak na nieboszczyka!).

Więc o poprawie już ani słowa? Zlokalizować i unieszkodliwić?

W tym samym (1934) roku:

„Podwójne zadanie – represja – plus wychowanie tych, których jeszcze można”.

KTÓRYCH MOŻNA. Wyjaśnia się zatem, że to wcale nie dla wszystkich.

I już u pomniejszych autorów migają dawno chyba gotowe cytátky: „wychowanie podatnych na wpływy”, „reedukacja zdolnych do poprawy”.

A ci niepodatni? Do wspólnego domu? Na księżyc? (Kołyma). Do zagrody Szmidta* (Norylsk).

Z wyżyn 1934 roku prawnicy ze szkoły Wyszyńskiego krytykują nawet kodeks pracy poprawczej (1924 rok) za „mylne przeświadczenie o możliwości powszechnej poprawy więźniów”. A to dlatego, że kodeks ten zupełnie nie wspomina o likwidacji, o mordowaniu.

Nikt nie dawał obietnic, że będzie się reedukować Pięćdziesiątkę Ósem-kę.

Nazwałem tę część książki obozy pracy morderczej. Bośmy to tak odczuli na własnej skórze.

A jeśli jakieś cytátky ułożyły się nie pod winkiel, to niech tu wstanie z mogiły Stuczka, a wywleczie też Wyszyńskiego – i niech sobie uzgadniają. To nie moja wina. Teraz dopiero, biorąc się do pisania tej książki, zacząłem wertować dzieła dawniejszych autorów – też zresztą dzięki pomocy różnych zacnych ludzi, bo przecież nigdzie już tych książek nie znajdzie. Nosząc zaś wysmolone, lagrowe fufaje – nie domyślaliśmy się nawet, że takie książki istnieją. Że całe nasze życie zależy nie od zachcianki obywatela komendanta, tylko od jakiegoś legendarnego kodeksu pracy więziennej – to była głucha pogłoska, plota – nie tylko dla nas, bo nawet major,

komendant OŁP, też by temu nigdy nie dał wiary. Wydane w nakładzie ściśle ograniczonym do użytku wewnętrznego, nigdy nie brane do rąk, nie wiadomo 2 Wyszynski, ibidem, str. VII.

O.J. Szmidt – sowiecki badacz polarny.

121

wcale czy się uchowały w pancernych kasach GUłagu, czy też dawno już zostały spalone – jako szkodliwe. Żadne cytaty z tych dzieł nie były nigdy wywieszane na transparentach w świetlicach KO, żadna cyferka w nich wspomniana nigdy nie została podana do wiadomości z drewnianych pomostów – ile godzin ma dniówka obozowa? ile więzień ma na miesiąc wolnych od pracy dni? czy za pracę w obozie się płaci? czy należy się coś za wypadki przy pracy, za okaleczenia? – ależ nawet koledzy wyśmialiby człowieka, gdyby kto pytał o takie rzeczy.

Jeśli już – to chyba tylko dyplomaci znali i czytali te mgliste utwory. Już tam oni wymachiwali tymi książeczkami na konferencjach! Jakże inaczej! Wybrałem sobie teraz tylko parę cytatów – a już łażą się kręci:

– W „Podstawowych Założeniach” z 1919 roku: skoro kara nie jest zemstą, to nie może dawać żadnych okazji do dręczenia więźnia.

– W 1920 roku: zabrania się „tykania” aresztantów. (Przepraszam, jakby tu rzecz – a „kij ci w oko” – to już wolno?).

– Kodeks Pracy Poprawczej z 1924 roku, artykuł 49: „reżym więzienny nie może pozwalać na żadne akty pastwienia się nad więźniem, a zwłaszcza nie może przewidywać stosowania – kajdan, karceru(!), surowej izolacji w celach pojedynczych, utrudniania widzeń przez instalację siatki, ani karnego pozbawiania posiłków”.

Chyba wystarczy. Wydanych później wskazówek brak; dla dyplomatów tego aż nadto. Dla GUłagu zaś to w ogóle niepotrzebne.

W Kodeksie Karnym z 1926 roku był jeszcze artykuł 9, przypadkiem trafiłem nań i wykułem brzmienie na pamięć:

„Środki stosowane w trybie ochrony socjalnej nie mogą mieć na celu ani zadawania cierpień fizycznych, ani poniżania godności ludzkiej; nie jest ich celem zemsta ani kara”.

Niebiańskie lazury! Mając zamiłowanie do przygadywania szarżom w ramach prawa – nader często recytowałem im ten artykuł jednym tchem, a wszyscy nadzorcy bałuszyli oczy ze zdumienia i oburzenia. Byli wśród nich weterani z dwudziestoletnim już stażem, tuż przed emeryturą, a nigdy nic o żadnym dziewiątym artykule nie słyszeli; zresztą – nigdy nie mieli w ręku kodeksu.

O, ta „rozsądna i dalekowzroczna administracja, zawsze na poziomie – od najniższego do najwyższego szczebla”! – jak to napisał po odwiedzinach w GUłagu w tygodniku Life członek Sądu Najwyższego Stanu Nowy Jork, Leibowitz: „Odsiadując swój wyrok, więzień zachowuje tu poczucie godności ludzkiej” – oto, co pan sędzia pojął i zobaczył.

Szczęśliwy, zaiste, jest Stan Nowy Jork, mając tak bystrookiego osła za sędzie!

122

Ach, ci syci, beztroscy, krótkowzroczni, lekkomyślni cudzoziemcy z notesami i piórami kulkowymi! – wystarczy wspomnieć tych korespondentów, którzy jeszcze hen, w Kemi, zadawali zekom pytania w obecności szarż obozowych! – ileście wy nam naszkodzili w namiętnej chęci pochwalenia się swoją orientacją w sprawach, o których nie mieliście zielonego pojęcia!

Poczucie godności! U człowieka skazanego bez sądu? Któremu każą siadać na tyłku w kałuży, gdzieś za dworcem, obok stołypinki? Który – słysząc świst szpicruty obywatela komendanta, wskrobuje paluchami zalaną szczykami ziemię i odnosi toto na bok, żeby tylko nie dostać się do karceru? U tych kobiet z dyplomami, które wyblągają sobie zaszczytny przywilej prania osobistej bielizny i karmienia osobistych świń obywatela komendanta obozu? I które na pierwsze jego pijackie skienienie kładą się w najbardziej uległej pozie, byle tylko jutro nie zdechnąć na robotach ogólnych*!

... Ogień, ogień! Chrust pali się z trzaskiem i nocny wiatr późnej jesieni targa płomieniem. Ciemności kryją żonę, sam jestem u ogniska i mogę przynieść sobie jeszcze naręcze wiórów. Na terenie żony czuję się swobodnie, tak prawie, jakbym już był na wolności, bo też to rajska wyspa, jestem w „szaraszce” Marfino, w okresie największych luzów. Nikt mnie nie pilnuje, nie każe wracać do celi, nie odpędza od ognia. Opatuliłem się fufajką – bo jednak ziąb, wiatr jest chłodny.

Ona zaś – od kilku już godzin stoi na tym wietrze, na baczność, z opuszczoną głową; to chlipnie, to zastyga w bezruchu. Co jakiś czas prosi żałośliwie:

– Obywatelu naczelniku!... Przepraszam!... Już mi darujcie, ja już więcej nie będę...

Wiatr niesie jej pojękiwania w moją stronę, wydaje się, że jęczy nad samym moim uchem. Obywatel naczelnik pali w piecu na odwachu i nie raczy odpowiedzieć. Jest to odwach obozu, rozłasowanego tuż obok naszego; to z niego przyprowadzają robotników instalujących nam wodociąg i remontujących murszejący budynki byłego seminarium. Ode mnie dzieli ją gmatwanina wielu rzędów drutu kolczastego, ale do swojego odwachu ma tylko dwa kroki, ta ukarana dziewczynina, stojąca z opuszczoną głową pod jasną latarnią; wiatr tarmosi jej szarą, roboczą sukienkę, przejmując chłodem nogi i głowę w lichej chusteczce. Za dnia, kiedy kopali oni na naszym terenie rów – było jeszcze ciepło. I jakaś inna dziewczyna przemknęła się do jaru, doczołgała się do Szosy Władykińskiej i uciekła – bo straż była dziadowska. A po tej szosie kursuje moskiewski, miejski autobus, więc kiedy się spostrzegli – uciekinierka już była hen, hen. Ogłoszono alarm, przyleciał

123

jakiś czarniawy major, wściekał się, krzyczał – że jeżeli uciekinierka się nie znajdzie, to cały obóz zostanie przez miesiąc bez widzeń i paczek. A brygadziści też się rozsierzili i zaczęły wrzeszczeć, a jedna z nich, łypiąc w złości oczyma, wołała: „A niech ją prędzej złapią, cholerę! A niech jej nożycami – cyk, cyk! – łeb ostrzygą na apelu!” (Nie wymyśliła tego sama, w ten sposób karze się kobiety w GUłagu). A ta dziewczynina westchnęła tylko i powiedziała: „Niech sobie za nas trochę wolności użyje!”. Strażnik to usłyszał – i oto już jest ukarana: wszystkich odprowadzono do ich obozu, ją zaś postawiono na baczność przed odwachem. Zdarzyło się to o szóstej wieczór, teraz jest jedenasta. Próbowwała przestępować z nogi na nogę, bo ziąb, ale sztyldwach wychylił się z budy i wrzasnął: „Stój, jak drut, kurwo, bo coś gorszego cię spotka!”. Teraz więc stoi sztywno i tylko pochlipuje:

– Zlitujcie się, obywatelu naczelniku!... Puście do obozu, już więcej nie będę!...

Ale nawet tu nikt jej nie powie: „WNIJDŻ DUSZO BEZGRZESZNA!...”.

Nie wpuszczają jej tak długo dlatego, że jutro niedziela, niepotrzebna jest więc do roboty.

Płowółtosa, naiwna, nieuczona dziewczyna. Siedzi pewno za jakąś szpulkę przędzy. Jakaż to niebezpieczna myśl przeszła ci przez usta, siostrzyczko! Chcą ci teraz za to dać nauczkę na całe życie.

Ogień, ogień!... Podczas wojny wróżyliśmy sobie z płomienia, jak to też będzie po Zwycięstwie... Wiatr porywa z ogniska niedopaloną trzaskę.

Temu ogniewi i tobie, dziewczyno, ślubuję, że cały świat o tym przeczyta.

Dzieje się to w końcu 1947 roku, tuż przed Trzydziątą Rocznicą Października, w stołecznym grodzie naszym, Moskwie, który dopiero co hucznie świętował osiemsetlecie swoich okrucieństw. Ze dwa kilometry od Wszechwzrostkowej Wystawy Rolniczej. Mniej stąd niż kilometr do Ostan-kina, gdzie ma siedzibę Muzeum Twórczości Chłopów Pańszczyźnianych.

Pańszczyźniani!... Nie przypadkiem porównanie to nasuwało się każdemu, kto miał chwilę czasu na refleksje. Zarówno w przypadku systemu pańszczyźnianego, jak Archipelagu, nie chodzi tylko o poszczególne zbieżne cechy; identyczny jest zasadniczy sens ich istnienia, racja bytu: są to systemy społeczne, stworzone dla przymusowego i bezlitosnego wyzysku milionów niewolników, pracujących za darmo. Sześć dni w tygodniu, a często siedem, tubylcy Archipelagu chodzili do pańszczyźnianej pracy, nie

124

przynosząc im osobiście żadnego zysku. Nie zostawiano im ani piątego, ani siódmego dnia tygodnia do pracy na własnym łanie; jedyną ich zapłatą był wikt – obozowa paczka. W identyczny sposób dzielili się oni na parobków folwarcznych (grupa A) i czeladź dworską (grupa B), obsługującą bezpośrednio pana dziedzica (komendanta obozu) i dwór (żonę). Za słabujących (grupa C) uznawani byli tylko tacy, co to już zupełnie nie mogli zleźć z zapiecka (z nar). Istniała też kategoria ukaranych (grupa D), ale tu była różnica: dziedzic, w swoim własnym interesie, karał ich tak, aby jak najmniej pańszczyźnianych dniówek zmarnować, a więc kańczugiem na klepisku; karczeru nie miał – komendant zaś obozu, opierając się na oficjalnej instrukcji, wsadza ukaranego do SZIZO (izolator karny) albo do BUR-a (barak o zaostrzonym reżymie). Podobnie, jak pan dziedzic – mógł pan komendant każdego ze swoich poddanych wziąć sobie do usług w charakterze lokaja, kucharza, cyrulika albo błazna (mógł nawet założyć cały teatr pańszczyźniany, jeśli miał ochotę), mógł każdą bandoskę uczynić swoją ochmistrzą, nałożnicą – albo dziewczką służebną. Nie inaczej niż pan dziedzic mógł sobie do woli szaleć, dziwaczyć, folgować swoim kaprysom. (Komendant obozu w Chimkach pod Moskwą, major Wołków, zobaczył któregoś dnia, że pewna dziewczyna-więźniarka suszy na słońcu rozpuszczone po myciu, długie, lniane włosy. Zgniewało go to, nie wiedzieć czemu. Więc rzucił krótki rozkaz: „Ostrzyc!”. Natychmiast też obcięto jej te włosy. 1945 rok). Jeśli przyjsć miał nowy komendant zeki, czekali pokornie, próbując odgadnąć jakie też będzie miał słabostki i już z góry godzili się z jego wszechwładzą, nie inaczej niż to bywało z nowym dziedzicem. Nie mogąc przewidzieć, co dziedzicowi do łba strzeli, chłop pańszczyźniany nie dbał o dzień jutrzejszy – tak samo zachowywał się więzień. Chłop ziemi przypisany nie mógł ożenić się bez zgody pana – tym bardziej więzień pomyśleć o jakiejś obozowej żonie mógł tylko wtedy, gdy komendant bardzo był nań łaskaw. Chłop pańszczyźniany nie wybierał sobie swojej niedoli, całą jego winą było, że się chłopem urodził; podobnie więzień – trafiał na Archipelag z woli przypadku.

Podobieństwo to dawno już znalazło odbicie w języku naszym: „Dano tam jeść ludziom?”, „Posłano ludzi do roboty?”, „Ilu masz ludzi?”, „Przyślij no mi człowieka!”.

Ludzie, ludzi – o kim to mowa? Tak mówiło się o poddanych, o służbie pańszczyź-

nianej. Tak teraz mówi się o więźniach³. Nie sposób jednak wyrażać, się tak o oficerach, o panach kierownikach –

3 Tak mówi się również o kołchoźnikach i zwykłych robotnikach, ale nie chcemy zapędzać się dalej.

125

„ilu masz ludzi w dyrekcji?” – tak sformułowanego pytania nikt w Rosji nie zrozumie jak należy.

Ale gotów ktoś wykazać, że podobieństw nie tak już tu wiele, że więcej jest różnic. Zgoda – różnic jest istotnie więcej. Ale, dziwna rzecz, wszystkie one przy porównaniu świadczą lepiej o systemie pańszczyźnianym, wszystkie świadczą na niekorzyść Archipelagu GUŁag!

Chłop nie odrabiał pańszczyzny nigdy dłużej, niż od wschodu do zachodu słońca. Zek – zaczyna pracę o ćmaku, a kończy po zmroku (zresztą – nie zawsze ją wtedy kończy). Za pańszczyzny niedziela była zawsze wolna, tak samo – wszystkie święta kościelne, wszystkie dni patronów, a w zapusty co to było (przecież chodzili przebierańcy z Herodem!).

Więzień przed każdą niedzielą drży ze strachu, czy dadzą, czy nie? A świąt żadnych nie zna (bo to Wołga miewa wychodne?...): 1 maja i 7 listopada więcej mi-tręgi z rewizjami i dyscypliną niż odpoczynku (a niektórych – rokrocznie właśnie na te dni posyłają do karceru). Dla pańszczyźnianych Gody i Wielkanoc – to były prawdziwe święta, a rewizji osobistych po robocie albo rano, albo i w nocy („Bacznosc, zbiórka w szeregu obok pościeli!”) – w ogóle nie znali! – Pańszczyźniani chłop mieszkał w chacie, uważał ją za swój dom, a kładąc się spać – na piecu, na zapiecku, czy na ławie – dobrze wiedział: to moje miejsce, zawsze tu się kładłem i dalej kłaść się będę. Więzień nie wie, do jakiego baraku jutro go we-pchną (i nawet wracając z roboty nie jest pewien, czy na to samo w y-r o wróci). Nie ma swoich „własnych” nar, „własnej” wagonetki. Gdzie go pošlą, tam zosta-nie.

Chłop folwarczny mógł mieć własnego konia, miał własną sochę, topór, kosę, wrzeciono, koszyki, garnki, odzież. Nawet czeladź dworska, jak świadczy Herzen⁴, miała jakieś własne szmaty, które przypadły w spadku krewniakom, a których nigdy prawie dziedzic nie odbierał. Zek zaś musi zimowe sorty oddać wiosną, letnie – jesienią, a przy kontroli przetrząsną mu worek i każdy gałganek zabiorą do skła-du. Nie wolno mu mieć naj-mizerniejszego kozika, ani własnej miski, jedyny zaś jego żywy inwentarz

– to wszy. Pańszczyźniany chłop, choćbyś go pilnował, zawsze więcierz sobie jakoś zarzucił i ryb nałowił. Zek łowi ryby tylko łyżką w bałandzie. Chłop miał zwykle ja-kąś krowinę, kozy czy kury. Zek mleka nawet nie liźnie, jaj kurzych dziesiątkami lat nie widzi na oczy, a gdyby nawet zobaczył, to pewno nie zgadłby, co to za dziwo.

4 Listy do starego towarzysza, wyd. Akademii, tom XX, str. 585. 126

Przez większą część swoich dziejów, dawna Rosja mimo wszystko nie wiedziała prawie co to jest głód, „Na Rusi nikt z głodu nie umarł” – powiada przysłowie. A przysłowia nie kłamstwem się żywią. Chłop pańszczyźniany był rabem, ale ra-bem sytym⁵.

Archipelag zaś przez dziesięciolecia przymierał głodem, więźniowie wydzielali so-bie wzajemnie ogon rybi, znaleziony na śmietniku. Na Gody i na Wielkanoc najmi-zerniejszy nawet chłopek miał na stole słoninę. Ale najlepszy nawet robotnik w obozie zakosztuje słoniny tylko wtedy, gdy dostanie paczkę.

Chłopi pańszczyźniani żyli w rodzinie. Sprzedaż albo zamiana włościanina oddzielnie, bez rodziny – uznawana była powszechnie za oczywiste barbarzyństwo, rosyjska literatura otwarcie takie praktyki potępiała. Mimo to, setki, może tysiące (co nie bardzo jest prawdopodobne) chłopów oderwano od ich rodzin. Ale przecież nie miliony! Zek oderwany zostaje od rodziny już pierwszego dnia po aresztowaniu – i w połowie wypadków jest to rozstanie na zawsze. Jeśli zaś syna aresztowano jednocześnie z ojcem (jak to było w przypadku Witkowskiego) albo żonę razem z mężem – to starano się nade wszystko nie dopuścić do ich spotkania w jednym obozie; jeśli zaś spotkali się przypadkiem – to rozdzielić ich czym prędzej. Także każdego zeka i zeczkę, których już w obozie złączyła przelotna lub prawdziwa miłość – zaraz karano karcerem, po czym rozdzielano ich, wysyłając każde z nich do innego obozu. I nawet najbardziej sentymentalne z naszych literackich dam – Marietta Szaginion – czy Tatiana Tess – ani jednej cichej łezki nie przełaty nad ich losem. (No bo przecież one o tym nie wiedziały. Albo myślały – że tak trzeba). Samo zresztą przesiedlanie pańszczyźnianych chłopów nie odbywało się w pośpiechu i na gwałt: pozwalano im spakować swój dobytek, zabrać ruchomości i spokojnie przenieść się o piętnaście czy czterdzieści wiorst. Etap zaś zaskakuje zeka jak nagły szkwał: dziesięć czy dwadzieścia minut – tylko po to, by zdać do składu obozową własność – i oto już całe jego życie obrócone jest na nice, już jedzie człowiek na koniec świata, może –

5 Dowody znajdziemy w dziejach wszystkich ubiegłych stuleci. W XVII wieku pisał Jurij Kryżanicz, że chłopi i rzemieślnicy żyją na ziemi moskiewskiej dostatnio, że najbiedniejsi nawet mieszkańcy Rusi jedzą dobry chleb, ryby, mięso. Nawet w okresie Smuty „ziemie dawniej urodzajne i dziś dają dobre zbiory, na polach stoją snopy, gumna pełne są zboża, a słomy i ziarna siewnego starczy na lat czternaście” (Awraamij Palicyn). W XVIII wieku Fonwizin porównując dobrobyt rosyjskich chłopów z niedostatkiem panującym w Langwedocji, w Prowansji – pisze: „rzecz rozpatrując obiektywnie, sądzę, że nasi chłopi nierównie lepiej sobie żyją”. W XIX wieku Puszkina pisał o wsi pańszczyźnianej: „Wszędzie dostatku ślady i wysiłku”.

127

na wieki wieczne. Chłop pańszczyźniany rzadko zmieniał miejsce więcej niż raz w życiu, najczęściej – gdzie się narodził, tam też umierał. Nie sposób zaś znaleźć tubylca z Archipelagu, który by nie wiedział, co to etap. Wielu przewaliło się z miejsca na miejsce pięć, siedem, jedenaście razy.

Pańszczyźniany chłop potrafił nieraz zejść przekłębemu dziedzicowi z oczu, przechodząc na czynsz; handlował więc i porastał w piórka, żyjąc wśród ludzi wolnych. Ale nawet więźniowie zwolnieni spod eskorty – siedzą dalej w tej samej żonie i z samego rana idą do tej samej roboty co kolumna zeków, popędzanych przez konwój.

Czeladź dworska była przeważnie zgrają rozpuszczonych pasożytów („cham w czeladnej chamieje najłatwiej”), żyła kosztem folwarcznych, ale przynajmniej nimi nie rządziła. Zekowi jest podwójnie ciężko, bo rozwydrzeni promineri na domiar złego jeszcze nim rządzą i naigrawają się z niego.

Cała w ogóle sytuacja chłopów pańszczyźnianych już przez to była znośniejsza, że dziedzic – chcąc nie chcąc – musiał ich szczerdzić: mieli swoją cenę i przysparzali mu majątku swoją pracą. Obozowemu komendantowi – zeków nie żał: nie kupował ich, nie zostawi ich dzieciom w spadku, a jak mu wymrą – to zaraz nadejdzie nowy transport.

Niepotrzebnie wdawaliśmy się w to całe porównanie naszych zeków z chłopstwem pańszczyźnianym. Trzeba przyznać, że ci ostatni żyli o wiele spokojniej i bardziej po ludzku. Można porównać z grubsza tubylczy lud Archipelagu chyba tylko z fabrycznymi robotnikami pańszczyźnianymi z manufaktur uralskich i altajskich czy z kopalni nerczyńskich. Albo z przesiedleńcami z wojskowych faktorii Arakczejewa. (Ale już mi tu ktoś gotów przypomnieć, że to trochę za wiele – bo w Arakczejewskich osadach wojskowych ludzie mieli rodziny, obchodzili święta i mieszkali w normalnych warunkach klimatycznych. Tylko panujące na starożytnym Wschodzie niewolnictwo można by z tym porównać).

I wydaje się, że tylko pod jednym względem chłopom pańszczyźnianym gorzej było niż zekom: więzień zostaje mieszkańcem Archipelagu – nawet jeśli małoletni, jeśli ma tylko 12–15 lat – ale przecież nie w dniu swoich narodzin! Przecież tyle a tyle lat przed aresztowaniem – zażywał wolności! Co zaś do tego, że określony z góry termin kary jest czymś lepszym od pańszczyźnianego dożywocia – to zgodzić by się z tym można tylko przy szeregu zastrzeżeń: jeśli skazany nie dostał ćwiary; jeśli nie chodzi o artykuł 58; jeśli nie zatrzymano go „do specjalnego rozporządzenia”; jeśli w obozie nie przysobaczą mu drugiego wyroku; jeśli po odsiedzeniu kary nie zostanie automatycznie zesłany w trybie administracyjnym; jeśli go zaraz po zwolnieniu nie odeślą znów na Archipelag jako recydywistę. Podobnych

128

zastrzeżeń jest cały las – a przecież nawet pan dziedzic puszczał niekiedy chłopu wolno, oł tak sobie, dla kaprysu...

Dlatego też, gdy „imperator Michał” opowiedział nam na Łubiance, jak się wśród robotników odcyfrowuje skrót WKP(b) – Wtoroje Krepostnoje Prawo* (bolszewików), widzieliśmy w tym nie zwykłą anegdotkę, lecz przykład jasnowidzenia.

Komuniści szukali nowego bodźca, który kazałby ludziom pracować dla dobra społeczeństwa. Spodziewano się, że bodźcem takim będzie świadomy entuzjazm, nie oglądający się na żadne zyski. Dlatego taki rozgłos nadano „wielkiej inicjatywie” tzw. subbotników. Ale okazało się, że nie był to początek nowej ery, lecz tylko kurczowy przejaw ofiarnictwa jednego z ostatnich pokoleń rewolucjonistów.

Z materiałów archiwalnych, dotyczących guberni tambowskiej, a odnoszących się do 1921 roku, widać na przykład, że już wtedy wielu członków partii próbowało uchylać się od udziału w „subbotnikach” – i dlatego w ewidencji partyjnej każdy taki akt musiał być odfajkowany. Zapału tego starczyło jeszcze na jakieś dziesięć lat – dla komsomolców i dla nas, ówczesnych czerwonych harcerzy. Ale wkrótce to też się skończyło.

Cóż więc dalej? Gdzie szukać nowych bodźców? Pieniądze, praca na akord, premie? Ale to trąciło kapitalizmem, dopiero co obalonym i musiał minąć jakiś czas, musiało zjawić się nowe pokolenie, aby zapach ten przestał drażnić i aby można było spokojnie uznać go za „socjalistyczną zasadę bodźców materialnych”.

Poczęto grzebać wśród głębiej ukrytych ciuchów historii i wydobyto na wierzch to, co Marks nazywał „przymusem pozagospodarczym”. W obozach i kołchozach to znalezisko ożyło i pokazało bez żenady swoje wilcze kły.

Później nawinął się Frenkel i – niby czar, dosypujący tojadu do smolnego sagana – dorzucił swój system kołtów.

Wszyscy znali to zaklęcie, bo tylekroć je powtarzano: „W ramach nowego naszego ustroju nie ma miejsca ani na dyscyplinę pałki, na której opierał się system pańszczyźniany, ani na dyscyplinę głodu, którą stoi kapitalizm”.

Otóż Archipelag zdołał w sposób iście cudowny połączyć oba te rodzaje dyscypliny.

Wystarczył do tego taki zestaw: 1) System kotłów, 2) Brygada, 3) Dwa Drugie Prawo Pańszczyźniane.

129

piony władzy. (Ale ten trzeci warunek nie był konieczny: np. na Workucie istniał zawsze tylko jeden pion, a leciało nie najgorzej...).

Oto były trzy wsporniki Archipelagu.

Jeśli zaś wspomnieć, co mówiliśmy o transmisjach, to one właśnie były głównymi pasami transmisyjnymi.

O systemie kotłów już mówiliśmy. Jest to dzielenie chleba i kaszy w ten sposób, aby nasz zek musiał dodatkowo naharować się i napocić dla otrzymania tego średniego przydziału, który w społeczeństwach pasożytniczych wydawany jest więźniowi niepracującemu. Chodzi o to, aby zek ów przysługujący mu przydział otrzymał jako premię – w stugramowych porcyjkach i żeby zeka uważano przy tym za szturmowca. Jeśli zek przekroczył sto procent normy produkcyjnej, otrzymywał prawo do jakichś dodatkowych (a przedtem jemu samemu od ust odjętych) łyżek kaszy. Jest w tym bezlitosna znajomość natury ludzkiej! Te okruciny chleba i te porcje kaszy nie szły w żaden paragon z siłami, jakie zek musiał tracić, aby zasłużyć na przywilej. Ale na swoje nieszczęście człowiek nie potrafi wyważyć różnicy między wartością rzeczy a ceną, którą płaci. Żołnierz na cudzej wojnie tyknie taniej wódki, poderwie się do ataku i już stracił życie. Podobnie zek, za te nędzne okruciny gotów nurzać się w bystrzynie północnej rzeki, ześliznąwszy się z mokrego kloca, albo w lodowatej wodzie miesić glinę na cegły gołymi nogami, którymi nigdy już nie zdarzy się stąpać po wolnej ziemi.

Jednakże ten szatański system nie jest wszechmocny! Nie wszyscy dają się na to nabrać. Pańszczyźniani powtarzali dawniej: „Lepiej sieczki nie żreć, a w kieracie nie chodzić”. Dla zeków też stało się jasne, że w obozie nie z małej pajki człowiek słabnie, ale z tej dużej. Leniuchy! Tępaki! Głupie bydlęta! Nie chcą dodatkowej porcji! Nie chcą kawałka tego pożywnego chlebaka, wzbogaconego ziemniakami, wyką i wodą! Już nie pchają się na tablice honorowe! Nie chcą wzbić się duchem aż do zrozumienia potrzeb kraju i jego przemysłu, nie chcą wykonywać planów pięcioletnich, chociaż pięciolatki zaplanowano dla dobra mas pracujących! Rozpętlają się po ciemnych chodnikach kopalni, snują się po fabrycznych korytarzach, ra-dziłyby schować się przed deszczem w mysiej dziurze – byleby nie pracować.

Nie często udaje się uruchomić masowe roboty z takim rozmachem i w taki sposób, jak w kopalni żwiru pod Jarosławcem: setki więźniów zgromadzono tam na niewielkiej przestrzeni, w otwartej kotlinie, doskonale widocznej ze wszech stron tak, że ledwie jaki zek przestanie na chwilę się krzątać, już go widzi każdy strażnik. Warunki są tu idealne: nikt nie śmie zwolnić rytmu, rozprostować grzbietu, otrzeć potu, póki na wzgórzu flaga nie opadnie, co oznacza przerwę na papierosa. Ale jak poradzić sobie w innych wypadkach?

130

Pomyślano także o tym. I wymyślono – brygadę. Zresztą, tylko u nas mogła ona być wymyślona. Toć u nas narodnicy dojść chcieli do socjalizmu poprzez wspólnotę gminną, marksiści zaś – poprzez kolektyw. Jak tam piszą po dziś dzień nasze gazety? – „sprawą dla człowieka najświętszą – jest praca i to koniecznie praca zespołowa, w kolektywie”.

Ależ właśnie w obozie nie ma nic oprócz pracy – i to pracy zespołowej! Czy znaczy to, że obozy – to wzór i cel dla ludzkości? Że to, co najważniejsze – już zostało osiągnięte?

Jak brygada przyczyniła się do rozwoju duchowego jej członków – to już mieliśmy okazję zilustrować (rozdział 3). Mając na uwadze zadania brygady, dobiera się stosownych brygadzystów. Popędzając swoich zeków metodą bata i marchewki (czyli – raz pałka, raz pajka), brygadzysta powinien dać sobie radę ze swoją brygadą tak, jakby nie było w ogóle przełożonych, nadzorców ani konwojentów. Szatamow twierdzi, cytując przykłady, że w ciągu jednego sezonu na Kołymie parę razy z rzędu wymierał cały skład brygady kopaczy złota, a tylko brygadzysta wciąż ten sam. W Kemertagu brygadystą był niejaki Pieretomow, który nigdy się nie odezwał; komenderował ludźmi tylko z pomocą drąga. Spis podobnych nazwisk i wypadków zajęłby sporo stronic i nie wydał mi się wcale konieczny. Ciekawe tylko, że najczęściej tacy brygadziści wywodzili się ze środowiska szemranych, to znaczy – z lumpenproletariatu.

Ale człowiek potrafi przystosować się do wszelkich warunków. Byłoby z naszej strony grubym niedopatrzaniem, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na to, że brygada stała się czasami naturalną komórką tubylczej społeczności – taką, »jaką na wolności była rodzina. Sam znałem takie brygady, nawet niejedną. Co prawda, nie były to brygady robót ogólnych, w których ktoś koniecznie musi zdechnąć, bo inaczej pozostali nie utrzymają się przy życiu. Były to zwykłe brygady fachowców: elektryków, ślusarzy i tokarzy, cieśli, malarzy. Im mniejszy był skład takich brygad (10–12 ludzi) tym widoczniejsze były w nich objawy samoobrony i samopomocy⁶. Aby taka brygada tak właśnie mogła funkcjonować – powinna mieć odpowiedniego brygadzystę: musiał być w miarę surowy; dobrze znający wszystkie moralne (niemoralne) zasady życia w GUŁagu; wyrozumiały i sprawiedliwy dla ludzi ze swojej brygady; wiedzący, jak się zachować pod okiem przełożonych – jeden szczeka ochryple, inny cichcem sztorcuje; postrach wszystkich prominentów, nie przepuszczający nigdy okazji wyrwania dla swojej brygady jeszcze jednej kromki chleba, wałowanych portek,

⁶ Miało to miejsce również w dużych, niewyspecjalizowanych brygadach, ale tylko obozach katorżniczych i w szczególnych warunkach. Będzie o tym mowa w części V.

131

pary trzewików. Ale mający też stosunki wśród prominentów wpływowych, od których potrafił zawsze wydostać wszystkie obozowe nowiny i zapowiedzi zmian, bez czego nie można było sprawnie kierować ludźmi. Dobrze orientujący się, które prace i odcinki robót są lepsze, które gorsze (umiejący przy tym na gorszy odcinek zepchnąć sąsiednią brygadę, jeśli się nawinęła). Musiał mieć nieomyślne oko, gdy chodziło o fuchę – jak ją łatwiej w danym tygodniu przemycić: czy na gruncie norm, czy przy obliczaniu kubatury urobku. Musiał też bronić niezłomnie tej fuchy przed kierownikiem robót, co podnosił już roniące kleksy pióro, aby ciachnąć część wyników. Musiał umieć dać w łapę facetowi z rachuby. Musiał wiedzieć,

kto w jego brygadzie jest kapusiem (jeśli nie za mądry i nie złośliwy – to niech sobie będzie, bo gorszego przyślą). A w brygadzie – zawsze ma wiedzieć komu mru-gnąć z uznaniem, kogo skłąć, a komu dziś dać lżejszą robotę. Taka brygada z takim brygadzystą potrafi żyć w surowym sojuszu i jakoś przetrwać ciężkie chwile. Żadnych czułości, ale też nikt nie wali się z nóg. Pracowałem u takich brygadzi-stów – u Siniebruchowa, u Pawła Baroniuka. Gdyby taki spis skompletować – to też by wiele stron zajął. I z wielu zgodnych relacji wnioskować można, że tacy go-spodarni i roztropni brygadziści – to najczęściej byli synowie „kułaków”.

Bo co tu począć? Skoro brygadę tak nieustępliwie narzucono ludziom, jako jedyną formę egzystencji – to co tu począć? Toż trzeba jakoś się przystosować. Robota człowieka gubi, ale też tylko robota może nas jakoś od zguby uchronić. (Oczywi-ście, że to dość wątpliwa filozofia. Byłaby tu na miejscu raczej taka odpowiedź: nie ucz mnie umierać na twoją modłę, pozwól mi zginąć tak, jak sam potrafię. Ale przecież i tak nie pozwolą człowiekowi, w tym sęk...).

Brygadzysta też ma niewielki wybór: jeśli brygada drwali nie wykona planu dzien-ne-go, to znaczy nie zrabie 55 metrów sześciennych drzewa, bry-gadzystę czeka kar-cer. A jak karcer ci się nie uśmiecha, to masz orać w brygadę do ostatniego jej tchu. Wóz albo przewóz.

Dwie władze potrzebne są systemowi obozów, tak jak kleszczom konieczne jest po-siadanie obu żuchw naraz. Dwie władze – to młot i kowadło, które wykuwają z zeka to, co państwu potrzebne; jeśli go to kucie roztrzaska, to pójdzie na złom. Chociaż utrzymywanie osobnego pionu władzy w żonie znacznie zwiększa wydatki skarbowe, chociaż jego tępość, kaprysy i zabawa w czujność nader często utrud-nia i komplikuje proces produkcji, do której zeków zaprzęgnięto – to przecież pań-stwo uznaje tę konieczność i chyba wychodzi na swoje. Dwie władze – to dwaj oprawcy, zamiast jednego, przy tym – urzędujący na zmianę, a ponadto – konku-rujący ze sobą: kto więcej z więźnia wycisnie, mniej dając mu w zamian.

132

Jedna z tych dwóch zwierzchności ma w ręku sprawy produkcji, materiały, narzę-dzia, transport i brak jej tylko drobnostki – siły roboczej. Siłę tę każdego ranka kon-wojenci sprowadzają z obozu i co wieczór (albo po zakończeniu szychty) do obo-zu doprowadzają. Przez te dziesięć albo dwanaście godzin, kiedy zeki są w ręku władzy od produkcji, nie ma potrzeby ani ich wychowywać, ani dbać o ich du-chową przemianę i nawet jeśli w trakcie dnia roboczego pozdychają – to też ani jedno, ani drugie kierownictwo nie zapłacze: zmarłych spisać na straty łatwiej niż spalone deski czy skradziony pokost. Dla władzy produkcyjnej najważniejsza rzecz – to wycisnięcie z więźniów podczas szychty jak największej wydajności – i wpisanie później do raportu dziennego cyfr jak najniższych. No, bo jak tu inaczej znaleźć po-krycie dla rujnujących wydatków i niedoborów: przecież kradną i zjednoczenia, i zarządy, i kierownicy, i zeki też. Ci ostatni – stosunkowo najmniej, nadto – nie dla siebie samych (toć nie mogą tego wynieść), tylko dla swojej władzy obozowej i dla konwojentów. A jeszcze więcej idzie na marne z winy lekkomyślnej i krótkowzrocznej gospodarki, ale również dlatego, że zekom też niczego nie żal. Jeden jest tylko sposób, aby pokryć wszystkie straty – odkuć się kosztem siły robo-czej.

W ręku władzy obozowej jest tylko ta siła robocza. Ale to właśnie rzecz najważniej-sza. Obozowi naczelnicy tak rozumują: możemy wziąć ich (tj. tych od produkcji) pod obcas, bo nigdzie nie znajdą innych ludzi do roboty. (Bo też gdzie ich znaleźć

w tajdze czy w pustyni?). Starają się więc wytargować za swoją siłę roboczą jak najwięcej pieniędzy, które przekazują państwu; część tych środków przeznacza się na utrzymanie samego kierownictwa obozowego w nagrodę za to – że chroni ono zeków (przed zasadzkami wolności), karmi ich i poi, odziewa i umoralnia na umór. Jak to zawsze w naszym racjonalnym systemie – trykają tu się łbami dwa plany: plan działu produkcji, przewidujący możliwie najniższe koszty własne – i plan MWD, przewidujący dla obozów jak największe dochody z procedury dostarczania siły roboczej. Ktoś, nie znający się na rzeczy, chyba by się zdumiał: na co komu ten konflikt dwóch własnych, państwowych planów?! O, to ma swoje znaczenie! Starcie takich dwóch przeciwbieżnych planów rozgniała na placek człowieka. To jest zasada, przestrzegana daleko za obrębem drutów Archipelagu.

Ważne jest też, że te dwie władze wcale nie odnoszą się do siebie wrogo, jak można by wnieść z ich ciągłych starć i szwindli. Tam, gdzie trzeba mocniej docisnąć ludzi – działają one nader zgodnie. Chociaż komendant obozu żywi dla swoich zeków iście ojcowskie uczucia, jednak zawsze i z wielką chęcią podpisze protokół – że nie przedsiębiorstwo, tylko sam zek ponosi winę za okaleczenie przy pracy; nie będzie też za bardzo nale-

133

gać, aby wydano więźniom odzież roboczą, albo wypominać, że w jakiejś hali fabrycznej nie ma wentylacji (nie ma, to nie ma, co zrobić, przejściowe trudności, a jak pracowali ludzie podczas blokady Leningradu?...)- Kierownictwo obozu nigdy nie odmówi tym z produkcji drobnych uprzejmości: pośle do karceru i brygadzystę za chamskie zachowanie i robotnika za zgubienie szpadla, i inżyniera, za niedokładne wykonanie rozkazu. Czy w tych zagubionych kolo- niach karnych śmietanka towarzyska nie składa się właśnie z przedstawicieli tych dwóch kręgów władzy, czy nie oni pełnią rolę puszczańsko-przemysłowej szlachty? Czy to nie ich żony chodzą do siebie w gości?

Jeśli mimo to w zleceniach i sprawozdaniach wciąż figuruje lipa i fucha, jeśli księguje się kopanie i zasypywanie rowów, których nikt na oczy nie widział; remont sieci ogrzewania albo obrabiarki, która nigdy się nie psuła; zmianę słupów, którym sądzono jest stać spokojnie jeszcze z dziesięć lat – to dzieje się tak nie z podszeptu obozowej władzy – bo ta jest pewna, że pieniądze tak czy inaczej przelane będą na konto GUŁagu – lecz robią to sami więźniowie (brygadziści, rachmistrze, dziesiętnicy) ponieważ taka jest natura wszystkich norm państwowych: punktem odniesienia nie jest dla nich realne życie ziemskie, tylko jakiś księżycowy ideał. Nawet człowiek zdrowy, syty, dzielny i ofiarny nie jest w stanie wykonać tych norm! Jak więc można żądać tego od zadręczonego, słabego i głodnego więźnia? Państwowe planowanie norm pracy bierze za punkt wyjścia przedsiębiorstwo, jakiego nie ma w istocie na naszej grzesznej ziemi – i tym przypomina socrealizm w literaturze pięknej. Ale nie sprzedane cegły wydawnicze idą po prostu na prze- miat – co zaś do lipy w przemyśle, to trudniej ją zakłaj-strować. Ale nie jest to rzecz niemożliwa!

W pośpiechu, w ciągłej gonitwie produkcyjnej – dyrektor i kierownik robót musieli coś przeoczyć, nie zdążyli wykryć lipy. A dziesiętnicy – wolni byli półpiśmienni albo pijani, albo odnosili się do zeków pobłażliwie (licząc na to, że brygadzysta też pójdzie im na rękę w trudnej chwili). A tymczasem – „dodatek za procenty” już dawno został zjedzony, tego chleba ludziom z brzuchów się nie wyrwie. Kontrola zaś, prowadzona przez księgowych i sprawozdawczość, robiona dla statystyki – to ope-

racje marudne, wiadomo, że tą drogą lipa wykryta zostanie dopiero po paru miesiącach czy latach, kiedy pieniądze za te roboty dawno już się ulotniły i gdy można zrobić tylko jedno z dwojga: albo oddać pod sąd kogoś 7 wolniaków, albo jakoś zakłajstrować i spisać na straty.

Kierownictwo osadziło Archipelag na trzech wspornikach – systemie kotłów, brygadzie i podwójnej władzy. Czwarty zaś i najważniejszy wspornik – lipę – dodali do kompletu tubylcy i samo życie.

134

Lipna robota wymaga energicznych, przedsiębiorczych brygadzystów – ale jeszcze ważniejszy jest tu udział więźniów – kierowników procesu produkcji. Takich dziesiętników, specjalistów od norm, ekonomistów – było wielu, ponieważ w tych odległych okolicach trudno o fachowców-wolniaków. Jedni z nich, po zdobyciu stanowiska zapiekali się, stawiali się surowi od najgorszych wolniaków, deptali swoich braci – zeków i po trupach kroczyli do zwolnienia przed terminem. Inni natomiast zdawali sobie dalej sprawę z tego, że Archipelag jest ich ojczyzną i wprowadzali element rozsądku do zarządzania produkcją – oraz rozsądny procent lipy do sprawozdawczości. Wszystko to robili z należnym umiarem. Było w tym jednak ryzyko: nie tyle ryzykowali, że złapią nowy wyrok, bo wyroki i tak mieli wystarczające i to z najsolidniejszych artykułów. Ryzykowali, że stracą funkcję, rozsierdzą przełożonych, zostaną przydzieleni do marnego transportu – i zginą w ten sposób bez śladu. Tym godniejsza jest pochwały ich roztropna stanowczość z jaką pomagali przetrwać innym.

Takim był, na przykład, Wasyli Grigoriewicz Własow, znany już nam z procesu we wsi Kadyj. Przez Cały okres swojej okrutnej kary (odsiedział 19 lat bez przerwy) zachował tę samą upartą pewność siebie, jaka cechowała jego zachowanie się na rozprawie i która kazała mu wyśmiać Kalinina z jego ułaskawieniem. W trakcie tych długich lat, schnąc z głodu i chodząc w kieracie robót ogólnych, miał się on nie za kozła ofiarnego, lecz za prawdziwego więźnia politycznego, a nawet „rewolucjonistę”, jak sam twierdził w intymnych rozmowach. I kiedy – dzięki swojemu bystremu, gospodarskiemu oku, które zastępowało mu wykształcenie ekonomiczne (bo nie zdążył go zakończyć) – dostał się na funkcję w aparacie produkcji – Własow ujrzał w tym nie tyle szansę odroczenia swojej własnej śmierci, ile okazję do takiego podśzykowania wspólnego wózka, żeby ludziom jakoś lżej go było ciągnąć.

W 40. latach na jednej z placówek leśnych Ust'-Wymłagu (obóz ten różnił się od innych tym, że miał tylko jedno kierownictwo: obóz sam prowadził wyrąb lasu i sprawozdawczość, sam też odpowiadał za wykonanie planu przed Ministerstwem Leśnictwa) Własow był planistą i zarazem kontrolerem norm. Wszystko tam od niego zależało i zimą – aby pomóc zaharowanym drwalom – dopisywał ich brygadam dodatkowe metry sześciennie. Jedną z tych zim była szczególnie surowa, ludzie z najwyższym trudem osiągnęli 60% planu, ale wikt i premie dostawali jak za 125% – i dzięki zwiększonym przydziałom zdołali przetrzymać zimę, ani na jeden dzień nie przerywając robót. Jednakże wywózka „zrąbanego” (na papierze) drzewa bardzo się opóźniała i do komendanta obozu doszły niedobre wieści.

W marcu powstał więc do lasu komisję, złożoną z dziesięt-

135

ników, którzy wykryli brak ośmiu tysięcy metrów sześciennych drzewa! Rozwścieczony komendant wezwał Własowa. Ten wysłuchał spokojnie i odparł: „Komen-

dancie, daj im wszystkim po pięć dni kabaryny, to niedołągi. Polenili się, nie weszli w las, jak należy, bo tam śnieg głęboki. Powołaj nową komisję, ja będę za przewodniczącego". Z trójką niegłupich ludzi Własow, nie wychodząc z gabinetu, sporządził protokół i „odnalazł” całą brakującą masę drzewa. Na jakiś czas komendant odzyskał spokój, ale w maju znów się przestraszył: wywóz drzewa z lasu jest przymały, już tam na górze nie wiedzą, co myśleć. Wezwał Własowa. Własow, mały, zadziorny kogucik, tym razem nawet nie myślał się wypierać: drewna nie ma. „No to jak mogłeś podsunąć mi sfałszowany protokół, ty taki owaki?”. „A co, miałem was może do więzienia postać, to byłoby lepiej? Przecież osiem tysięcy metrów – to dla wolniaka czerwonec, a dla czekisty zawsze jeszcze pięć lat pierdla!”. Komendant nawymyślał mu, ale już za późno było na jakiegokolwiek represję: bez Własowa nie sposób było wykaraskać się samemu. „Co teraz począć?”. „A zaczekajmy do roztopów”. Wszystkie drogi rozkisty, ani wozem, ani saniami nie przejedzie: wtedy to przyniósł Własow komendantowi do podpisu, a potem przestał do zarządu, szczegółowo uzasadniony memoriał techniczny. Napisane tam było, że z powodu znacznego przekroczenia planu wyrębu – ubiegłej zimy nie zdążono wywieźć sanną ośmiu tysięcy metrów sześciennych drzewa. W okresie roztopów, po błocie, wywieźć zaś już nie sposób. Następnie podane było obliczenie kosztów budowy prowizorycznej drogi moszczonę kłodami – i wykazane czarno na białym, że koszt wywózki tych ośmiu tysięcy taką specjalną drogą, już teraz będzie wyższy niż wartość samego drewna. A za rok, przeleżawszy w błocie lato i jesień, drewno utraci swój standard i odbiorca zgodzi się wziąć je tylko na opał.

Zarząd wziął to logiczne rozumowanie pod uwagę: istotnie, można było wykazać się takimi argumentami przed każdą komisją – i spisać na straty osiem tysięcy metrów sześciennych.

Tak oto drzewa zostały zrabane, zjedzone, spisane na straty – a dalej stały dumnie, okryte wieczną zielenią. Niedrogo zresztą zapłaciło państwo za te martwe metry sześciennie: zaledwie kilkaset bochenków czarnego, lepkiego, nasiąkniętego wodą chleba. Że nie zmarniało tysiąc drzew i ze stu ludzi – tego nikt nie uważał za zysk, tego dobrego zawsze było aż nadto na Archipelagu.

Zapewne nie jeden Własow pozwalał sobie na takie machlojki, bo poczynając od 1947 roku na wszystkich wyrębach leśnych wprowadzono nowe porządki: kompleksowe zespoły i kompleksowe brygady. Znaczyło to, że drwali łączy się w jeden zespół z wozakami, zaś brygadzie zalicza, się

136

drzewo nie tylko zrabane, lecz już dowiezione na bindugę, nad brzeg rzeki, na miejsce wiosennego spławu.

I cóż? Koniec z lipą? Bynajmniej! Dopiero teraz rozkwitła! – wybijała szeroko, bo rozszerzył się krąg robotników, którzy mieli z niej chleb. Jeśli to czytelników bawi, możemy przyrzeć się tej sprawie bliżej:

1. Od bindugi w dół rzeki nie mogą spławiać drzewa więźniowie (któż ich będzie konwojował? Czujność!). Dlatego na bindudze pełnomocnik obozu (czyli wszystkich brygad) przekazuje urobek przedstawicielowi instytucji, zajmującej się spławem drzewa, a zatrudniającej wolniaków. No, ten to już dopilnuje swego! Nic podobnego. Pełnomocnik obozowy zasuwa tyle lipy, ile wypada z raportów drwali, a przedstawiciel flisaków godzi się na wszystko.

2. Dlaczego? A dlatego, że instytucja też musi dać papu swoim wolnym flisakom, ich normy też są wygórowane. Całą więc masę istniejącego tylko w raportach drzewa instytucja dopisuje sobie do cyfr wykonania własnego planu.

3. Na głównej przystani, tam, gdzie gromadzi się drzewo, spławione ze wszystkich odcinków eksploatacji, pnie znów zostają przetoczone na brzeg. Jest to znów zadanie dla więźniów, w tym wypadku – z tego samego Ust'–Wymłagu (52 wyspy Ust'–Wymłagu rozrzucone są na powierzchni o wymiarach 250 x 250 kilometrów, oto są przestrzenie naszego Archipelagu!). Przedstawiciel flisaków jest zupełnie spokojny: pełnomocnik obozu przyjmie od niego bez mrugnięcia całą lipę, istnieją w protokole zdawczo–odbiorczym: także po to, aby nie napytać kłopotów własnemu obozowi, który całe to drzewo dostarczył na bindugi, ale nade wszystko po to, aby na rachunek lipnych cyfr przeróbki dać papu swoim własnym zekom, pracującym przy przetwarzaniu! (ci też mają normy z sufitu, im też trzeba dodać po kromce!). Odbiorca musi tu nieźle się napocić dla dobra ogólnego: nie może zwyczajnie przyjąć tylu a tylu metrów anonimowego drewna, lecz musi posegregować je na papierze wedle grubości i długości kłoców: dotyczy to zarówno lipnych, jak tych prawdziwych. Ten dopiero zasłużył na wdzięczność! (Własow tym również przy okazji się zajmował).

4. Teraz drzewo idzie do tartaku, gdzie kłocę trze się i przycina. Robotnikami tartacznymi znów są więźniowie. Wyżywienie brygady zależy tu od objętości obrobionych okrągłaków i „nadprogramowe”, lipne drzewo okazuje się niezwykle potrzebne dla zwiększenia procentu wykonania planu.

5. Następnie drzewo trafia do składu gotowych wyrobów i norma przewiduje, że znaleźć się tam powinno (licząc objętościowo) nie mniej niż 65% drzewa przyjętego przez tartak w postaci surowca. Otóż 65% zadeklarowa–

137

nej, choć niewidzialnej lipy również trafia do raportów składu (i mityczne te produkty zostają starannie podzielone według gatunków: kopalniak, budowlanka; grubość desek, miarowe, niemiarowe...). Robotnicy, układający drewno w sagi, też mają swój dodatkowy kęs dzięki tej lipie.

Dobrze, ale co dalej? Lipa jest już na składzie, tu droga się kończy. Skład ochrania WOChR, nie ma co marzyć o nie kontrolowanym „manku”. Kto i jak teraz odpowie za lipę i fuchę!

Na pomoc wielkiej zasadzie fuchy przychodzi, drugie wielkie prawo Archipelagu: zasada gumy, to znaczy – zwłoka wszelkiego rodzaju. Dzięki niej – zaksięgowana lipa przenosi się z jednego raportu rocznego do drugiego. Jeśli zdarzy się inwentaryzacja – to w tej dzikiej głuszy wyspiarskiej – robią ją sami swoi, ludzie, co wszystko dobrze wiedzą. Toć nie da się przerzucić tarcic własną ręką. Na szczęście – co roku spisuje się na straty drzewo zmrzałe podczas składowania, a z nim również – lipne. No, usuną tam jednego z drugim, magazynier zostanie przeniesiony na stanowisko planisty. Ale iluż to ludzi przez ten czas nie pozdychało z głodu!

Albo tak jeszcze robią: przy ładowaniu tarcic do wagonów odbiorcy (a nie ma przy tym przedstawiciela zamówieniodawcy, wagony będą później dopiero rozsyłane według planu) – też zasuwa się lipę, to znaczy – wpisuje się większe cyfry załadunku (zaznaczmy, że ładowacze też coś z tego mają!). Kolej plombuje wagon, co ją to obchodzi. Za jakiś czas, gdzieś – w Armawirze albo w Krzywym Rogu – otwiera się wagon i przeprowadza przyjęcie towaru. Jeśli brak nie tak znów wiele, to wszystkie podobne niedobory trafiają najwyżej do statystyk i sumuje je Komisja

Planowania. Jeśli niedobór jest chamski, to odbiorca śle do Ust'–Wymłagu reklamację – ale jest ona tylko jednym z miliona papierków, porwanych wiecznym ruchem i gasnących, więdnących po pewnym czasie – bo nie mogą one długo opierać się potwornemu, ludzkiemu pędowi do przetrwania. Odeśłać zaś wagon kwestionowanego drzewa? – o, na to żaden Ar–mawir się nie zdecyduje; łap, co ci dają, na południu budulca brak!

Zaznaczmy, że również państwo – tj. Ministerstwo Leśnictwa – z całą powagą wykorzystuje w swoich sprawozdaniach te lipne cyfry, wykazujące, ile to drzewa zrzębano i przetarto. Ministerstwu bardzo to drzewo się przydaje⁷.

Ale co innego najbardziej tu dziwi: zdawałoby się, iż z powodu całej tej 7 W ten sposób lipa – jak tyle innych osobliwości Archipelagu, nie da się uznać tylko za jego cechę, lecz nabiera znaczenia ogólnopaństwowego.

138
lipy na każdym etapie transportu powinno wychodzić na jaw, że drzewa jest za mało. Jednakże odbiorca na głównej przystani zdąży w trakcie sezonu letniego tyle lipnego drzewa dopisać do raportu, że z nadejściem jesieni w porcie drzewnym tworzą się prawdziwe ławice ponadplanowe! – nie zdążono tych pni zdać i zaksięgować. Nie wolno ich zaś zostawiać w wodzie przystani na zimę, bo trzeba będzie wiosną wzywać samolot do rozbijania zatoru bombami. I dlatego zbyt liczne, nikomu już niepotrzebne pnie późną jesienią spławia się na otwarte Morze Białe!

Dziwy? Zagadki? Nie tylko tu. W Unżłagu, w składach desek zawsze zostawało NICZYJE drewno, dla którego nie znalazło się miejsca w wagonach, nigdzie nie zaksięgowane!... I po likwidacji kolejnego składu, jeszcze przez dłuższy czas odwiedzały go całe ekspedycje z sąsiednich obozów, aby zaopatrzyć się na zapas w suche drzewo. Palono potem w piecach korowanym kopalniakiem, którego obróbka tyle wysiłku i cierpień tak niedawno kosztowała.

Żeby wolni flisacy nie mieli do czynienia z tymi ponadplanowymi zapasami, w podobozie Tałaga (obwód Archangielski) wzięto się na sposób: posyłano drużynę kryminalnych bez konwoju, a ci nocą, ukradkiem porywali i spławiali gotowe już tratwy. W ten sposób kradziono na pożytek obozu drewno, jakie sam obóz dopiero co zrzębał. Rokrocznie wprowadzano też do planu produkcję mebli z ukradzionego tą metodą materiału.

A wszystko to – z chęci przetrwania. Nie chodzi wcale o zysk ani o to, by okraść państwo.

Nie może władza być aż tak okrutna, nie może też popychać poddanych do szalbierstwa z musu.

Więźniowie tak powiadają: dynamit, fucha, lipne plany – i już jest kanał zbudowany.

Oto na czym trzyma się Archipelag.

VI

PRZYWIEŻLI FASZYSTÓW!

– Przywieźli faszystów! Przywieźli faszystów! – wrzeszczeli, biegając w podnieceniu po całym obozie młodzi zecy – chłopcy i dziewczęta na widok dwóch naszych ciężarówek (w każdej siedziało po trzydziestu faszystów) wjeżdżających we wrota niewielkiego, kwadratowego obozu Nowyj Jerusalm.

Dopiero co dane nam było przeżyć jedną z kluczowych chwil naszej egzystencji – godzinną jazdę z Krasnej Presni; był to co się zowie krótki etap. Chociaż siedzieli-

śmy przez cały czas w kucki pod budą ciężarówki, ale nasze było całe powietrze, cała szybkość, wszystkie mijane kolory. O, zapomniane już barwy świata! – czerwone tramwaje, błękitne trolejbusy, ten tłum, biały i pstrokaty! Czy aby zdają sobie sprawę ci tam, tłoczący się na przystankach, jacy są kolorowi?

A jeszcze, nie wiedzieć czemu, wszystkie domy i słupy uliczne umajone są chorągiewkami i flagami, to chyba jakieś niespodziane święto – 14 sierpnia, przypadające akurat w dzień naszego wyjścia z więzienia. (Okazało się, że tego dnia nadeszła wiadomość o kapitulacji Japonii i o końcu naszej wojny siedmiodniowej).

Na szosie Wołokołamskiej – fale zapachów skoszonego siana; przedwieczorna świeżość łąkowa owiewała nasze golone łby. Kto potrafi wdychać te powiewy polne chciwiej niż więźniowie? Nasze oczy, nauczone już szarości, samej tylko szarości, olśniła szczera zieleń. Znalazłem się w jednym transporcie razem z Gammerowem i Ingątem, przycupnęliśmy obok siebie i zdawało się nam, że jedziemy na wesołe letniaki. Nic ponurego nie mogło czekać nas u kresu tak cudownej drogi.

I oto zeskakujemy już z nadwozi, prostujemy zdrętwiałe nogi, zdrewniałe grzbiety – i rozglądamy się wokół. Żona obozowa tej Nowej Jerozolimy

140

podoba się nam, sprawia wręcz miłe wrażenie: nie jest okolona murem, tylko siatką z drutu kolczastego, gdzie okiem sięgnąć widać z niej pagórkowatą, żywą, wsio-wą i letniskową ziemię zwienigrodzką. Nam samym się zdaje, że jesteśmy niejako częścią tego beztroskiego krajobrazu, patrzymy na tę ziemię tymi samymi oczyma, którymi oglądają ją ludzie, co tu przyjeżdżają dla wypoczynku i przyjemności, ba, rysuje się nam ona chyba jakoś wypukłej (nasze oczy zdążyły się przyzwyczaić do płaskich ścian, płaskich nar, płytkich cel), jakoś soczyściej: spłowiata już, sierpniowa zieleń olśniewa nas; może zresztą tak soczysta się wydaje, bo słońce chyli się ku zachodowi.

– Wyście faszyci? Sami faszyci? – pytają nas z nadzieją w głosie podchodzący więźniowie. I przekonawszy się, że istotnie tak jest, natychmiast odbiegają, idą precz. Nie interesuje ich nic innego.

(Wiemy już, że faszyci – to przezwisko Pięćdziesiątki Ósemki, nadane przez cwanych knajaków i nader chętnie zaakceptowane przez zwierzchność: niegdyś nazywano takich grzecznie kaerami, później ta nazwa przywiedła, a przecież znamie powinno być wyraźne).

Po szybkiej jeździe na świeżym powietrzu, jest tu nam jakby cieplej i dlatego – jeszcze przytulniej. Przyglądamy się więc malutkiej żonie z piętrowym murowańcem dla mężczyzn i drewnianym, wyposażonym w facjatki barakiem – dla kobiet, z całkiem wsiowymi, walącymi się szopami, należącymi do gospodarstwa; patrzymy potem na długie, czarne cienie drzew i budynków, kładące się już wszędzie na polach; na wysoki komin cegielni i na światła zapalające się już w oknach dwóch jej oddziałów.

– No i co? Tu chyba... nie najgorzej... – mówimy, starając się przekonać siebie samych.

Jakiś chłopak z tym ostrym[^] baczynym i nieżyczliwym wyrazem twarzy, jaki już zaczynamy tu dostrzegać także u innych, stoi koło nas już dłuższą chwilę, przyglądając się ciekawie faszystom. Czarną, wysmoloną czapkę nasunął krzywo na czoło – rękę wetknął w kieszenie i tak stoi sobie, przysłuchując się pogwarkom.

– Nie–nnajgorzej! – charknął. Przyjrzał się nam jeszcze raz z grymasem pogardy i wycedził dzieląc głoski: – Szcze–nia–kie–riaL. Prędko wam rura zmięknie! Splunął nam pod nogi i poszedł sobie. Nie mógł już dłużej patrzeć na takich durni. Serca nam się ścisnęły.

Pierwsza noc w obozie!... Już zjeżdżasz, człowieku, już zjeżdżasz po równi pochytej w dół, w dół – a jest gdzieś może jakiś zbawczy zaczep, za który można by się uchwycić, tylko nie wiesz gdzie. Ożyło w nas wszystko

141

najgorsze, czego nas życie nauczyło: cała nieufność, łąpczywość, wszystko co ponure i okrutne, wszystko, co zaszczerpiono nam w kolejkach za chlebem, co wbiła nam do głów jawna niesprawiedliwość silnych. Wszystko to jeszcze zostało w nas podsycone i wzbełtane przez zasłyszane już wieści o życiu obozowym: byle tylko nie dostać się na ogólne\ wilczy świat! tu zagryzą człowieka żywcem! jak tu się kto potknie, to go zdeptają! byle tylko nie posłano was do łopaty! No jak uniknąć tego! Gdzie szukać ratunku? Coś by trzeba dać! Trzeba by kogoś posmarować. Tylko czym? I kogo? I jak to się robi?

Nie minęła nawet godzina, a pewien gość z naszego transportu już skądś wraca, pełen cichej błogości: został inżynierem–budowniczym na obszarze żony. Potem drugi: pozwolono mu otworzyć razurę dla wolnych pracowników przedsiębiorstwa. Potem trzeci: spotkał znajomego, będzie pracował w oddziale planowania. Słucham z bijącym sercem: toć to wszystko – twoim kosztem! Tamci przycupną sobie w biurach i razurach. A ty zginiesz. Zginiesz marnie.

Żona. Dwieście kroków od jednych drutów do drugich, ale też nie wolno się do nich zbliżać. A tak, będą sobie naokół zieleniec i lśnić te zwienig–rodzkie pagórki, ale tu masz tylko głodowe porcje, kamienny loch SZIZO, nędzny daszek nad kuchnią dla „indywidualnego gotowania”, lada jaką budę łożni, szarą komórkę latryny z przegniłymi deskami – i nigdzie stąd się nie ruszysz, to już koniec. Ta wysepka jest może ostatnim kawałkiem ziemi, po którym dane ci jest jeszcze stąpać.

W izbach stoją gołe wagonetki. Wagonetka – to wynalazek Archipelagu, tubylczy mebel, przeznaczony do spania, nigdzie na świecie nie uświadczysz niczego podobnego: są to cztery drewniane płyty ułożone w dwa piętra na dwóch krzyżakach; jeden krzyżak z przodu, drugi z tyłu. Jeśli jeden ze śpiących się poruszy – to pozostali kotłuszają się, jak na pokładzie. Materaców w tym obozie nie wydają, sieników – też nie ma. Pojęcie „bielizny” nie znane jest wyspiarzom z Nowej Jerozolimy; nie zaopatrują tu w pościelową, nie przydzielają i nie biorą bielizny osobistej, chyba że człowiek ma własną i potrafi zadbać o nią. Słowa „poduszka” też nie zna kierownik gospodarczy tego obozu, poduszki można mieć tylko prywatnie, miewają je tylko baby i knajacy. Wieczorem, kładąc się na gołej desce, może człowiek zzuć buty, ale musi liczyć się z tym, że mu je ukradną. Lepiej więc spać w obuwiu. Odzieży także lepiej nie rozwieszać, bo też skradną. Wychodząc rano do pracy, człowiek nie powinien niczego zostawiać w baraku: jeśli złodzieje wzgardzą, to skonfiskują strażnicy: regulamin nie przewiduje*. Rankiem idzie się więc do pracy na podobieństwo koczownika, opuszczającego miejsce popasu, ba, więcej nawet, bo me zo–

142

stawia się nawet popiołu z ogniska ani ogryzionych gnatów bydlęcych. Izba ziele pustką, mogliby w niej za dnia popasać jacyś inni ludzie. A twoja decha nie różni

się niczym od desek, na których śpią sąsiedzi. Jest tak samo goła, pokryta skorupą brudu, polerowanego więźniarskimi bokami.

Ale idąc do roboty też niczego zabrać ze sobą nie możesz. Zbierz rankiem swoje łachy do kupy, stań w kolejce do magazynu rzeczy osobistych i schowaj je w kuferku albo w worku. Gdy będziesz zaś wracać po robocie – znów stań w kolejce i weź to, co może ci się przydać w nocy. Nie ryzykuj pomyłki, bo drugi raz do magazynu się nie dopchasz.

I tak ma być dziesięć lat. Głowa do góry!

Pierwsza zmiana wraca do obozu o trzeciej po południu. Ludzie myją się, jedzą obiad, ustawiają się w kolejce do magazynu – a tu patrzeć – i już apel. Wszyscy obecni stoją szeregiem i półpiśmienny nadzorca z tabliczką z dykty w ręku, zaczyna obchód śliniąc otówek, marszcząc czoło z wysiłku myślowego i furt coś do siebie szepcząc. Kilka razy pod rząd sprawdza listę – kilka razy obchodzi wszystkie izby; ludzie w szeregach tymczasem czekają sobie. To pomyli się w rachunku, to przeliczy się, sprawdzając ilość chorych, czy siedzących w ciemnicy „bezrobotnych”. Dobrze, jeśli to bezmyślne marnotrawstwo czasu ciągnie się tylko godzinę, niekiedy trwa półtorej. Szczególnie dotyka to i poniżej tych, którzy nie lubią tracić czasu. Chociaż zjawisko to nie tak częste wśród naszego ludu, a już zwłaszcza – wśród zeków, przecież są w obozie ludzie, czujący potrzebę zrobienia czegoś pożytecznego. Podczas apelu czytać nie wolno. Moi chłopcy, Gammerow i Ingał, stoją z zamkniętymi oczyma: układają w pamięci wiersze albo nawet prozę czy listy. Ale tak też nie wolno stać w szeregu, bo człowiek wygląda jakby spał, co jest niejako świętokradztwem w stosunku do liturgii apelu. A ponadto – uszu zatkać nie sposób, wszystko więc je świdruje – i przekleństwa, i głupie żarty, i wiecznie te same pogwarki. (Mamy rok 1945. Norbert Wiener wkrótce już sformułuje zasady cybernetyki, już rozbito jądro atomu – a tu intelektualisci o bladych czołach stoją w szeregu i czekają – „ne wertuchajś” – aż tępy, czerwonopyski bałwan zakończy swoje leniwe, szeptane rachunki!). Już po apelu, teraz, o pół do szóstej, mógłby już człowiek iść spać (bo noc wczorajsza była krótka, a dzisiejsza może być jeszcze krótsza!), ale za godzinę – kolacja, więc czas kruszy się w ręku.

Administracja obozu jest tak leniwa i nieudolna, że nie potrafi dać sobie rady z rozlokowaniem ludzi w izbach wedle zmian. Koło siódmej, po kolacji, pierwsza zmiana mogłaby już odpocząć, ale wcale nie myślą o śnie ci, co nie namęczyli się i nie wiedzą, co to głód. Knajacy na swoich pierzynach dopiero teraz zabierają się do gry w karty, do głośnych wrzasków i do

143

swoich występów. Oto jakiś złodziej, z wyglądu – Azerbejdżanin, skradając się ze sztuczną ostrożnością, włazi na „wagonetkę” i zaczyna skakać z jednej na drugą, nie zważając, czy tam kto leży i rycząc: „Tak Napoleon szedł do Moskwy po machorkę!”. Zdobywszy garść machorki – wraca w ten sama sposób, depcząc leżących i krzycząc: „A tak Napoleon uciekał do Paryża!”. Każdy wybryk knajacki tak jest nieoczekiwany, tak zaskakujący, że człowiek otwiera tylko gębę ze zdumienia. O dziewiątej wieczór – nocna zmiana zaczyna trząść wagonetkami, tupać i wynosić swoje rzeczy do magazynu. Wyprowadzają ich przed dziesiątą, teraz by człowiek sobie pospał! – ale przed jedenastą wraca z roboty druga zmiana. Teraz ci z kolei ciężko tupią, kolebią wagonetkami, myją się, chodzą po swoje rzeczy do magazynu, jedzą. Może dopiero gdzieś o pół do dwunastej znużony obóz zasypia.

Ale już o czwartej piętnaście śpiewny dźwięk metalu rozlega się nad naszym obozikiem i nad całą, pogrążoną we śnie, kołchozową okolicą; staruszkowie tu jeszcze wcale nie zapomnieli bicia cerkiewnych dzwonów w pobliskiej Istrze. Być może również nasz srebrnogłós, obozowy dzwon pobudki pochodzi z tego klasztoru i tam jeszcze nauczył się budzić mnichów o drugich kurach – do modlitwy i do pracy.

„Pobudka, pierwsza zmiana!” – krzyczy strażnik w każdej izbie. Głowa ciężka z niewyspania, oczy jeszcze zaprószone majakami – gdzie tu myśleć o myciu! a ubierać się wcale nie trzeba, toć człowiek spał w ubraniu. Od razu do stołówki. Wchodzisz, jeszcze zataczając się cały. Wszyscy pchają się, każdy jedno ma na myśli: ten staje w ogonku po chleb – inny – po miskę bałandy. Tylko ty snujesz się, jak lunatyk – w ćmieniu słabych żarówek i wśród kłębow pary z misek, nie widząc nawet skąd masz wziąć jedno i drugie. Dostajesz wreszcie swoje pięćset gramów chleba na bankiet i glinianą miskę z jakąś gorącą, czarną cieczą. Jest to czarny barszcz z pokrzywy. Czarne strzępy wygotowanych liści pływają w czarniawej, postnej wodzie. Ani ryby, ani mięsa, ani tłuszczu. Ani krzty soli: w trakcie gotowania pokrzywa i tak wchłania całą sól z roztworu, więc go lepiej wcale nie solić: bo jeśli tytoń jest lagrowym złotem, to sól jest łagrowym srebrem i kucharze dobrze już jej szcędzą. Wymiotna to bryja – taka nie solona bałanda z pokrzywy! – człowiek czuje, jak głód go zżera, a mimo to nie jest w stanie jej przełknąć.

Spójrz w górę. Nie na niebo, tylko pod sufit. Oczy już przystosowały się do mdłego światła i teraz mogą już odczytać napis, wymalowany na ścianie pod powatą ulubionym, czerwonym kolorem na papierze pakowym:

„Kto nie pracuje – ten nie je!”

144

I zaraz – aż dreszcz w piersi. O mędrzy z K.O! Jak radzi byliście, mogąc powiesić na ścianie obozowej stołówki to wielkie hasło ewangeliczne i komunistyczne. Ale Ewangelia Świętego Mateusza powiada: „Kto się trudi – ten winien być nakarmiony”. A w Piątej Księdze Mojżeszowej jest powiedziane: „Nie zawiążesz gęby wołowi, trącemu na klepisku zboże twoje”.

A u was – ten wykrzyknik! Dzięki wam się należą w imieniu pracowniczego wołu! Teraz będę już wiedział, że mój kark wychudły uciskacie nie dla jakiejś potrzeby, że dusicie mnie wcale nie ze zwykłej chciwości – lecz w imię świetlanych idei przyszłego społeczeństwa! Tylko że wcale nie widzę, by w obozie jedli ci właśnie, co pracują. I nie widzę wcale, aby tu niepracujący – głodowali.

Świta. Blednie nadranne niebo sierpniowe. Tylko najjaśniejsze gwiazdy jeszcze widać. Na południowym wschodzie, nad cegielnią, do której nas zaprowadzą – Iłni Procion i Syriusz – alfy konstelacji Małego i Wielkiego Psa. Wszystko przeciw nam się sprzyściło, nawet niebo zmówiło się ze strażnikami: psy czatują na wysokościach, podobnie jak tu, na smyczach, u nóg konwojentów. Warczą wściekle, rwą się, chcą gwałtem dobrać się nam do skóry. Tresowane są ze znajomością rzeczy i łasę na ludzkie mięso.

Pierwszy dzień w obozie! Nawet wrogowi nie życzę tego! W głowie się przewraca, człowiek nie jest w stanie objąć zrazu rozumem natłoku okrutnych faktów. Co to będzie? Co będzie ze mną? – to pytanie toczy mi mózg, a tu jeszcze nowo przybyłym dają najbardziej bezmyślne zadania, żeby tylko jakoś ich zatrudnić, póki co. Dzień dłuży się bezgranicznie. Dźwiga człowiek nosidła albo pcha taczki, każdy

kurs – to tylko pięć, dziesięć minut, a głowa tym tylko pytaniem jest zajęta: co to będzie? co to będzie?

Widzimy jak bezsensowne jest przenoszenie tego śmiecia z miejsca na miejsce, staramy się więc pogadać między jedną taczka a drugą. Wydaje się, że już te pierwsze taczki nas wykończyły, że wysały z nas siły – a jak tu je pchać jeszcze przez osiem lat? Staramy się mówić o czymś takim, co da nam poczuć, że jeszcze mamy moc, że jeszcze kimś jesteśmy. Ingał opowiada o pogrzebie Tynianowa; uważa się za jego ucznia. Zaczynamy dyskutować o powieściach historycznych: czy ktokolwiek ma w ogóle prawo je pisać? Przecież powieść historyczna to rzecz o tym, czego autor nigdy nie widział. Oddzielony barierą lat i doświadczeń własnej epoki, autor może wmawiać w siebie ile wlezie, że wszystko sobie jak należy uprzytomni, ale przecież i tak wżyć się w te odległe sprawy nie będzie w stanie. Czy nie znaczy to, że powieść historyczna zalicza się przede wszystkim do literatury fantastycznej?

Archipelag Gułag t. 11

145

Ale tu właśnie zaczynają wzywać ludzi z naszego transportu – po kilku naraz – do kancelarii, gdzie każdy dostanie przydział, wszyscy porzucają więc taczki. Ingałowi udało się już wczoraj zawrzeć z kimś znajomość i oto literata posyłają do rachuby, chociaż rachuje tak, że i śmiech, i grzech, a liczydła nigdy nie miał w ręku.

Gammerow niezdolny jest do żadnych próśb i starań o zaczepienie się gdziekolwiek, nawet za cenę życia. Zostaje więc zwykłym, niewykwalifikowanym robotnikiem. Wraca, kładzie się na trawie i w ciągu tej ostatniej godzinki, kiedy nie musi być jeszcze czarno-roboczym, opowiada mi o zaszczutym poecie, Pawle Wasiliewie, o którym nic dotąd nie wiedziałem. Kiedy ci chłopcy zdążyli tyle przeczytać i dowiedzieć się?

Żuję żdźbło i waham się – na co to stawiać – czy na matematykę, czy na oficerską przeszłość? Nie potrafię odtrącić szansy tak dumnie jak Borys. Niegdyś wpajano także we mnie inne ideały, ale gdzieś w trzydziestych latach szorstkie życie zaczęło popychać nas tylko w jednym kierunku: łapać, co się da, i pchać się, gdzie tylko można.

Jakoś tak samo się złożyło, że – że przestępując próg gabinetu dyrektora – rozprowadziłem na boki fałdy bluzy pod szerokim pasem oficerskim (wysztafirowałem się tego dnia specjalnie, mniejsza, że musiałem z początku pchać taczki). Kołnierzy stojący zapięty był regulaminowo.

– Oficer? – dyrektor zorientował się od razu.

– Tak jest!

– Doświadczenie w robocie z ludźmi i macie?

– Tak jest!

– Czym dowodziliście?

– Artyleryjskim dywizjonem – skłamałem nie mrugnawszy nawet okiem (bateria – to wydało mi się zbyt skromne). Dyrektor przyglądał mi się wzrokiem ufnym i zarazem podejrzliwym.

– A czy tu dacie radę? Tu bywa niełatwo.

– Myślę, że radę dam! (Sam przecież jeszcze nie miałem pojęcia w jakie chomąto łeb wpycham. Przecież najważniejsze – to łapać i pchać się!) – Dyrektor przymrużył oczy i namyślał się chwilę. (Zastanawiał się, czy i o ile gotów jestem zmienić się w psa i czy mam wystarczająco mocny zgryz).

– Dobrze. Zostaniecie dyżurnym majstrem w kopalni gliny.

Jeszcze jednego byłego oficera, Mikołaja Akimowa, wyznaczono na podobne stanowisko. Wyszliśmy z nim z kancelarii, jakby złączeni powinowactwem i pełni werwy. Nie potrafiliśmy jeszcze wtedy – zrozumieć, że wy–

1 Znowu ci ludzie, widzicie? 146

braliśmy sobie standardowy, typowy dla wojskowych w obozie, lokajski start. Po bezpretensjonalnej, nieinteligentnej twarzy Akimowa zaraz było widać, że to chłopak szczerzy i dobry żołnierz.

– Chciał nas postraszyć, czy co? Nie dać sobie rady z dwudziestu ludźmi? Ani min, ani bomb – co tu trudnego?

Próbowaliśmy odnaleźć dawną, frontową pewność siebie. Nie wiedzieliśmy – głupie szczeniaki – jak bardzo Archipelag różni się od frontu i czym tutejsza wojna pozycyjna różni się od naszych walk frontowych.

W armii dowódcą może być nawet okrągły dureń, zero – z tym większym nawet powodzeniem, im wyższe stanowisko zajmuje. Jeśli dla dowodzenia plutonem konieczna jest bystrość i wytrwałość, i odwaga, i umiejętność czytania w ludzkich sercach – to niejeden marszałek musi umieć tylko zrządzić, kłąć i podpisywać się na rozkazach. Całą resztę zrobią już za niego inni, plan operacji podsunie mu pod nos oddział operacyjny sztabu, gdzie zwykle siedzi jakiś niegłupi oficer, ogólowi z nazwiska nie znany. Żołnierze wykonają rozkazy nie dlatego, że przekonani są o słuszności, lecz dlatego, że rozkaz przekazany jest z góry w dół po stopniach drabiny służbowej, że jest to rozkaz maszyny urzędowej i kto go nie wykona, temu łeb utną.

Ale na Archipelagu – zek, któremu kazano dowodzić innymi zekami, jest w zupełnie innej sytuacji. Cała furkocząca epoletami hierarchia wcale nie stoi za tobą i wcale nie wspiera twego rozkazu swoim autorytetem: odetnie się od ciebie i wyrzuci precz, jeśli tylko nie potrafisz własnym przemysłem i na własny sposób wymóc wykonania tego rozkazu. A sposoby są tylko takie: albo pięść, albo bezlitosne głodzenie ludzi, albo taka dogłębna znajomość Archipelagu, która nawet w oczach zeka zamienia wykonanie rozkazu w jedyną deskę ratunku.

Zielonkawę, płynne błoto polarne powinno w twoich żyłach zająć miejsce gorącej krwi – tylko wtedy potrafisz wydawać zekom rozkazy.

Właśnie w tych dniach zaczęto z ciemnicy wyprowadzać na glinianki, gdzie praca była najcięższa, brygadę karną – grupę knajaków, którzy niedawno omal nie zarżnęli komendanta obozu (nie chcieli go zarżnąć, nie byli tacy głupi, chcieli go tylko nastraszyć i wymóc odesłanie ich do Presni: nasz obóz uznali za beznadziejny, za miejsce, gdzie interesów robić się nie da). Przyprawdzono ich pod sam koniec mojej zmiany. Rozwalili się na ziemi obok wyrobisk – wystawili na słońeczko swoje grube, krótkie ręce i nogi, grube, tatuowane brzuchy i piersi, aby poopalać się spokojnie po odsiadce w wilgotnym lochu SZIZO. Zbliżyłem się do nich w swoim wojskowym uniformie i dobitnie, acz grzecznie kazałem im wziąć się do roboty. Ciepłe słońeczko sprawiło ich w dobry humor, dlatego też roześmieli się

147

tylko i posłali mnie do ciężkiej i jasnej. Zawrzałem gniewem, ale jednocześnie – skonfudowałem się, więc odszedłem z niczym. W wojsku rozpocząłbym od komendy: „Powstań!” – ale tu było jasne, że jeśli nawet ktoś wstanie, to tylko po to, aby wetknąć mi nóż między żebra. Póki łamałem głowę, jak tu postąpić (przecież cała kopalnia gliny to widziała i też mogła zaprzestać pracy) – moja zmiana do–

biegła końca. Tylko dzięki temu przypadkowi mogę dziś pisać tę rzecz o Archipelagu.

Zastąpił mnie Akimow. Knajacy dalej grzeli się na słończku. Akimow naprzód coś im powiedział, później krzyknął coś tonem komendy (może nawet zawołał „Powstań!”), za trzecim razem przeszedł do gróźb – więc rzucili się na niego, dogonili uciekającego i w jakiejś zapadlinie odbili mu nerki łotem. Wprost z cegielni odwiedziono go do okręgowego szpitala więziennego. Tyle było jego dowodzenia, a może też siedzenia w więzieniu i całego życia. (Dyrektor zapewne celowo postąpił nas przeciw knajakom w roli chłopców do bicia).

Moja krótka kariera w kopalni gliny trwała kilka dni dłużej, ale nie przysporzyła mi oczekiwanej satysfakcji, tylko poczucie przygnębienia. O szóstej rano wkraczałem do strefy robót, bardziej zgnębiony, niż gdybym miał sam jeden kopać tu glinę. W stronę kopalni wlokłem się w stanie wewnętrznego rozbicia, nienawidząc zarówno tej roboty, jak mojej roli w tym wszystkim.

Od formiarni do wyrobiska szły tory kolejki ręcznej. Tam, gdzie kończyła się droga płaska i zaczynał się spadek w stronę kopalni – stała na pomoście maszyna wyciągu. Ten wyciąg motorowy był jednym z nielicznych cudów mechanizacji w całych zakładach. Wzdłuż całej trasy od wyrobisk – do wyciągu, a później – od wyciągu do cegielni – wagoniki z gliną musiały być pchane przez nieszczęsnych robotli. Jedynie na stromiznie robił to za nich wyciąg.

Kopalnia gliny znajdowała się w odległym kącie terenu cegielni; był to szmat ziemi, cały pokryty wądołami. Wądoły wity się na kształt jarów, przedzielonych niekniętymi jeszcze pagórkami. Gлина zalegała płytko i warstwa jej miała znaczną grubość. Można było zapewne kopać w głąb, można też było wybierać glinę na całą szerokość odkrywki, ale nikt nie wiedział co lepsze, nikt nie planował całości robót, wszystko zależało od fantazji brygadzysty porannej zmiany. Zwał się Barinow, był to chłopak z Moskwy, pospolicak, odznaczający się czelnością i pewną urodą. Barinow kopał, jak leci, kierował wykop tam, gdzie można było wybrać gliny więcej, przy minimalnym nakładzie pracy. Nie pogłębiał wykopu, aby nie trzeba było zbyt długo pchać wagoników po stromiznie. To Barinow w istocie kierował tymi osiemnastu–dwudziestu ludźmi, którzy naprawdę pracowali przy gli-

148

nie podczas mojego dyżuru. Był jedynym prawdziwym gospodarzem zmiany: znał tych ludzi – żywił ich – to znaczy zdobywał dla nich lepszą pawkę i codziennie podejmował ważką decyzję: ile dziś załadować trzeba wagoników, żeby nie było ani za dużo, ani /a mało. Barinow podobał mi się. Gdybyśmy znaleźli się z nim w jakimś więzieniu na wspólnych narach, to na pewno prędko doszlibyśmy do ładu. Zresztą i tutaj moglibyśmy byli dojść do porozumienia – tylko – że powinienem był podejść do niego i pośmiać się z nim razem z tego, że dyrektor mnie właśnie wyznaczył na stanowisko p.o. psa, a ja tu ani be, ani me. Ale oficerskie wychowanie nie pozwalało na nic podobnego! Próbowałem więc traktować go surowo i żądać posłuszeństwa, chociaż nie tylko ja sam i nie tylko on, lecz cała brygada widziała – że jestem takim samym piątym kołem u wozu jak instruktor z powiatu przy kampanii siewnej. Barinowa brała złość, że postawiono nad nim jakąś papugę, więc też często i z niemałym poczuciem humoru stroił sobie ze mnie żarty przed całą brygadą. Jeśli tylko uznałem, że coś tam trzeba zrobić, Barinow zaraz mi wykazywał, że to niemożliwe. Albo też, krzycząc gromko: – „Majster, hej, majster!” – co i rusz zmuszał mnie do uganiania się po całym wyrobisku to tu, to tam –

i prosił o wskazówki: jak rozbierać tory i montować je w innym miejscu; jak umocować koło, które zeskokczyło z osi; albo że wyciąg nie działa, więc co tu zrobić; albo – gdzie i jak naostrzyć przytępione łopaty. Z dnia na dzień tracąc zapał do komenderowania, coraz mniej zdolny do znoszenia tych drwin, uważałem już za szczęście – jeśli Barinow kazał ludziom po prostu kopać od samego rana (a nie zawsze tak było) i nie trapił mnie dokuczliwymi pytaniami.

Szedłem sobie wtedy cichcem na bok i chowałem się zarówno przed moimi podwładnymi, jak przełożonymi gdzieś, za wysokimi usypiskami. Tam siadałem na ziemi i wpadałem w bezruch. Pierwsze dni w obozie wprawiły mnie w stan duchowego odrętwienia. O, to nie więzienie! Więzienie – to skrzydła. Więzienie – to bezlik myśli. Toczyć spory o pustym brzuchu – to w więzieniu rzecz łatwa, wesota. A spróbuj no tutaj – dziesięć lat, głodować, harować i milczeć! Żelazna gąsienica już mnie niosła do otwartej paszczki. Czułem zupełną bezradność, chciałem odpętnąć gdzieś na ubocze – a nie wiedziałem, jak to zrobić. Chciałem nabrać tchu. Ocknąć się. Podnieść głowę. Rozejrzeć się wokół:

O tam, za drutami, za tym jarem – jest pagórek. Widać na nim małą wioskę, jakieś dziesięć domków. Wschodzące słońce opromienia je łagodnym blaskiem. Tak blisko stąd, a przecież to już nie obóz! Zresztą – to też obóz, tylko człowiek o tym zapomina). Długo nie widać tam żadnego ruchu, wreszcie przejdzie jakaś baba z wiadrem, jakiś mały chłopaczek przebiegnie drogę, co zarosła lebiodą. Kogut zapieje, krowa ryknie –

149

wszystko to słyszymy doskonale, tu, na naszym wyrobisku. Zaszczeka chłopski kundel – co za miły szczek! – nie to, co ujadanie wilczura z konwoju2!

Każdy dźwięk stamtąd dochodzący, ba, nawet bezruch tej wioski napawa mnie błogim spokojem. I dobrze to wiem, że gdyby ktoś mi teraz powiedział: naści, masz tu wolność! Ale aż do śmierci masz mieszkać w tej wiosce! Masz wyrzec się miast i uciech światowych, masz porzucić swoje ulotne marzenia, masz zrzec się swoich przekonań, a bogdaj nawet – prawdy – wszystkiego więc masz się wyrzec i żyj sobie w tej wsi (ale nie jako kołchoźnik!), co rano patrz sobie na to słońce i słuchaj kogutów. – Zgoda! Nie tylko bym się zgodził, ale – Panie Boże! – modliłbym się o takie życie! Czuję już, że nie wytrzymam w obozie.

Zza cegielni, z tej strony, co to jej teraz nie widać, turkocze pasażerski pociąg do Rżewa. Na wyrobisku krzyki: „Dekownicy jadą!”. Wszystkie pociągi są tu dobrze znane, mierzy się czas według nich. To znaczy, że teraz jest za kwadrans dziewiąta, a punkt o dziewiątej przyprowadzą z obozu na cegielnię – oddzielnie, niezależnie od zmian – dekowników, to znaczy funkcyjnych, czyli pryduków* – kancelistów i naczelników. Najbardziej lubiany jest inny pociąg – o pół do drugiej, tak zwany „chlebowdawca”, bo wkrótce po jego przejeździe kończy się szychta i wszyscy idziemy na obiad.

Razem z prydukami, a czasem – jeśli stęskni się za robotą – to i wcześniej, ze speckonwojem, prowadzą do pracy także moją zwierzchniczkę – zeczkę, Olgę Pietrowną Matroninę. Z westchnieniem wyłażę wtedy z mojej kryjówki i wzdłuż torów kolejki idę do formiarni, żeby się zameldować.

Cegielnia składa się z dwóch zespołów – formowania na mokro i prasowania na sucho. Nasza kopalnia obsługuje tylko zespół mokrego formowania – a Matronina jest inżynierem, specjalistką od chemii krzemionek. Jaki z niej inżynier – nie wiadomo, widać tylko, że jest uparta i bezsensownie ruchliwa. Należy do tych niezłomnie

prawomyślnych, których czasem już spotykałem w celach (na ogół – nie jest ich wielu), nie mogąc jednak dotrzymać im towarzystwa na takich wyżynach.

Z „literowego” artykułu CzS – to jest – jako członek rodziny rozstrzelanego, oberwała

2 Gdy słyszę o dyskusjach na temat powszechnego rozbrojenia, zawsze dręczy mnie problem tych wilczurów. Nikt ich nie uwzględnił w spisach zakazanych rodzajów broni. A ludziom obrzydziły one życie gorzej niż rakiety.

W rosyjskim żargonie obozowym słowo „prydurok” oznaczało zarówno prominenta funkcyjnego (np. blokowy, brygadzysta, sanitariusz), jak dekownika, podskakiwacza, występującego się przełożonym.

150

z łaski OSO 8 lat i oto teraz odsiaduje ostatnie już miesiące kary. Co prawda, przez całą wojnę politycznych nie wypuszczono i jej też pisane jest zostać w obozie do sławetnego Specjalnego Rozporządzenia. Ale nawet ta okoliczność nie wpływa ujemnie na stan jej ducha. Matronina służy partii

– to nie ważne czy na wolności, czy za drutami. To jest okaz z rezerwatu. W obozie nosi na głowie czerwoną – i tylko czerwoną – chusteczkę, chociaż ma już swojego czterdziestaka (takich chustek nie nosi w cegielni ani jedna dziewczyna z obozu i ani jedna wolna komsomołka). Nie ma do nikogo pretensji ani o rozstrzelanego męża, ani o własne osiem lat odsiadki. Winę za te wszystkie wypadki krzywd ponoszą jej zdaniem poszczególni faceci od Jagody czy od Jeżowa, za towarzysza Berii natomiast – sadzą ją już tylko sprawiedliwie. Ujrawszy mnie po raz pierwszy w sowieckim mundurze oficerskim, oznajmiła mi: „Ci, którzy mnie wsadzili, teraz mogą się przekonać, że ani na jotę nie odchyliłam się od linii!”. Niedawno napisała list do Kalinina, cytuje wyjątki z niego każdemu, kto chce lub musi jej słuchać: „Długi termin kary nie złamał mojej woli walki o sowiecką władzę i rozkwit przemysłu sowieckiego”.

Skądinąd, gdy Akimow zameldował jej, że knajacy nie chcą go słuchać, wcale nie poszła do tych społecznie bliskich osobników i nie próbowała objaśnić im, jaką szkodę przynosi przemysłowi ich zachowanie, tylko ofuknęła nieboraka: „to trzeba ich zmusić! Po to właśnie tu jesteście!”. Akimowa pobito – a Matronina wcale nie próbowała podjąć rękawicy, tylko napisała do komendy obozu: „Tej grupy proszę więcej nie przysyłać do cegielni”. Nie wzrusza jej też to, że na jej oddziale dziewczęta przez osiem godzin pracują jak automaty: przez całe osiem godzin bez przerwy powtarzają ten sam ruch przy taśmie ruchomej. Powiada: „Trudno, mechanizację trzeba stosować na trudniejszych odcinkach”. Wczoraj, w sobotę, rozeszła się pogłoska, że znów nie dadzą nam jutro wychodnego (istotnie – nie dali). Dziewczęta-automaty skupiły się dookoła niej i mówią z goryczą: „Ołgo Piotrowno! Czy to możliwe, że znów nie dadzą nam niedzieli? Przecież to już trzeci raz pod rząd! Przecież wojna już się skończyła!”. Z oburzeniem uniosła wyżej głowę w tej swojej czerwonej chusteczce, głowę o profilu suchym, ciemnym, niekobiecy, ale też niemęskim: „Ależ dziewczyny, o jakim wychodnym może być mowa, skoro w Moskwie nie ukończone domy czekają na cegły?!”. (Oczywiście nie wiedziała wcale dokąd zawiozą istotnie nasze cegły – ale okiem wewnętrznym już widziała tę uogólnioną, wielką budowę, podczas gdy dziewczęta miały niskie zamiary: ‘ chciały zrobić tego dnia pranie).

Potrzebny był Matroninie po to, by podwoić liczbę wagoników ładowanych podczas zmiany. Nie brała wcale pod uwagę sił swoich podwładnych,

wszystko to słyszymy doskonale, tu, na naszym wyrobisku. Zaszczeka chłopski kundel – co za miły szczek! – nie to, co ujadanie wilczura z konwoju²!

Każdy dźwięk stamtąd dochodzący, ba, nawet bezruch tej wioski napawa mnie błogim spokojem. I dobrze to wiem, że gdyby ktoś mi teraz powiedział: naści, masz tu wolność! Ale aż do śmierci masz mieszkać w tej wiosce! Masz wyrzec się miast i uciech światowych, masz porzucić swoje ulotne marzenia, masz rzec się swoich przekonań, a bogdaj nawet – prawdy – wszystkiego więc masz się wyrzec i żyj sobie w tej wsi (ale nie jako kołchoźnik!), co rano patrz sobie na to słońce i słuchaj kogutów. – Zgoda! Nie tylko bym się zgodził, ale – Panie Boże! – modliłbym się o takie życie! Czuję już, że nie wytrzymam w obozie.

Za cegielni, z tej strony, co to jej teraz nie widać, turkocze pasażerski pociąg do Rżewa. Na wyrobisku krzyki: „Dekownicy jadą!”. Wszystkie pociągi są tu dobrze znane, mierzy się czas według nich. To znaczy, że teraz jest za kwadrans dziewiąta, a punkt o dziewiątej przyprowadzą z obozu na cegielnię – oddzielnie, niezależnie od zmian – dekonników, to znaczy funkcyjnych, czyli pryduków* – kancelistów i naczelników. Najbardziej lubiany jest inny pociąg – o pół do drugiej, tak zwany „chlebowadca”, bo wkrótce po jego przejeździe kończy się szychta i wszyscy idziemy na obiad.

Razem z prydukami, a czasem – jeśli stęskni się za robotą – to i wcześniej, ze speckonwojem, prowadzą do pracy także moją zwierzchniczkę – zeczkę, Olgę Pietrowną Matroninę. Z westchnieniem wyłazę wtedy z mojej kryjówki i wzdłuż torów kolejki idę do formiarni, żeby się zameldować.

Cegielnia składa się z dwóch zespołów – formowania na mokro i prasowania na sucho. Nasza kopalnia obsługuje tylko zespół mokrego formowania – a Matronina jest inżynierem, specjalistką od chemii krzemionek. Jaki z niej inżynier – nie wiadomo, widać tylko, że jest uparta i bezsensownie ruchliwa. Należy do tych niezłomnie prawomyślnych, których czasem już spotykałem w celach (na ogół – nie jest ich wielu), nie mogąc jednak dotrzymać im towarzystwa na takich wyżynach.

Z „literowego” artykułu CzS – to jest – jako członek rodziny rozstrzelanego, oberwała

2 Gdy słyszę o dyskusjach na temat powszechnego rozbrojenia, zawsze dręczy mnie problem tych wilczurów. Nikt ich nie uwzględnia w spisach zakazanych rodzajów broni. A ludziom obrzydziły one życie gorzej niż rakiety.

W rosyjskim żargonie obozowym słowo „prydurok” oznaczało zarówno prominenta funkcyjnego (np. blokowy, brygadzysta, sanitariusz), jak dekonnika, podskakiewicza, występującego się przełożonym.

z łaski OSO 8 lat i oto teraz odsiaduje ostatnie już miesiące kary. Co prawda, przez całą wojnę politycznych nie wypuszczono i jej też pisane jest' zostać w obozie do sławetnego Specjalnego Rozporządzenia. Ale nawet ta okoliczność nie wpływa ujemnie na stan jej ducha. Matronina służy partii

– to nie ważne czy na wolności, czy za drutami. To jest okaz z rezerwatu. W obozie nosi na głowie czerwoną – i tylko czerwoną – chusteczkę, chociaż ma już swojego czterdziestaka (takich chustek nie nosi w cegielni ani jedna dziewczyna z obozu i ani jedna wolna komsomołka). Nie ma do nikogo pretensji ani o rozstrzelanego męża, ani o własne osiem lat odsiadki. Winę za te wszystkie wypadki krzywd ponoszą jej zdaniem poszczególni faceci od Jagody czy od Jeżowa, za towarzysza Berii

natomiast – sadzą już tylko sprawiedliwie. Ujrawszy mnie po raz pierwszy w sowieckim mundurze oficerskim, oznajmiła mi: „Ci, którzy mnie wsadzili, teraz mogą się przekonać, że ani na jotę nie odchyłam się od linii!”. Niedawno napisała list do Kalinina, cytuje wyjątki z niego każdemu, kto chce lub musi jej słuchać: „Długi termin kary nie złamał mojej woli walki o sowiecką władzę i rozkwit przemysłu sowieckiego”.

Skądinąd, gdy Akimow zameldował jej, że knajacy nie chcą go słuchać, wcale nie poszła do tych społecznie bliskich osobników i nie próbowała objaśnić im, jaką szkodę przynosi przemysłowi ich zachowanie, tylko ofuknęła nieboraka: „to trzeba ich zmusić! Po to właśnie tu jesteście!”. Akimo-wa pobito – a Matronina wcale nie próbowała podjąć rękawicy, tylko napisała do komendy obozu: „Tej grupy proszę więcej nie przysyłać do cegielni”. Nie wzrusza jej też to, że na jej oddziale dziewczęta przez osiem godzin pracują jak automaty: przez całe osiem godzin bez przerwy powtarzają ten sam ruch przy taśmie ruchomej. Powiada: „Trudno, mechanizację trzeba stosować na trudniejszych odcinkach”. Wczoraj, w sobotę, rozeszła się pogłoska, że znów nie dadzą nam jutro wychodnego (istotnie – nie dali). Dziewczęta-automaty skupiły się dookoła niej i mówią z goryczą: „Olgo Piotrowno! Czy to możliwe, że znów nie dadzą nam niedzieli? Przecież to już trzeci raz pod rząd! Przecież wojna już się skończyła!”. Z oburzeniem uniosła wyżej głowę w tej swojej czerwonej chusteczce, głowę o profilu suchym, ciemnym, niekobiecy, ale też niemęskim: „Ależ dziewczyny, o jakim wychodnym może być mowa, skoro w Moskwie nie ukończone domy czekają na cegły?!”. (Oczywiście nie wiedziała wcale dokąd zawiozą istotnie nasze cegły – ale okiem wewnętrznym już widziała tę uogólnioną, wielką budowę, podczas gdy dziewczęta miały niskie zamiary: ‘chciały zrobić tego dnia pranie’).

Potrzebny był Matroninej po to, by podwoić liczbę wagoników ładowanych podczas zmiany. Nie brała wcale pod uwagę sił swoich podwładnych,

151
stanu technicznego wagonów, ani nawet chłonności formiarni. Dążyła tylko do tego, żeby podwoić. (A jak, jeśli nie z pomocą pięści, mógł wymóc to człowiek postronny, niefachowiec?). Nie osiągnąłem tego podwojenia, urobek nie zwiększył się za mojej kadencji ani o jeden wagonik – więc Matronina bez litości mi urągała w obecności Barinowa i całej brygady. Nie starczyło jej babskiego rozumu, aby pojąć to, co wie byle sierżant: nawet starszego strzelca nie wolno łżyć przy żołnierzach. I oto pewnego razu, gdym zdał już sobie sprawę z mojej ostatecznej klęski, kiedym więc uświadomił sobie, że niezdolny jestem do pełnienia funkcji kierowniczych – przychodzę ci do Matroninej i proszę w sposób możliwie uprzejmy: – Olgo Pietrowno! Jestem dobrym matematykiem, umiem szybko rachować. Słyszałem, że w biurze cegielni potrzebny jest rachmistrz. Weźcie mnie do tej roboty! – Rachmistrz?! – mówi Matronina z oburzeniem, jej surowa twarz jeszcze bardziej ciemnieje, a końce czerwonej chustki opadają na kark. – Przy liczydłach mogę posadzić byle smarkulę, a tu nam potrzebne są kadry bojowe produkcji! Ilu wagoników brak wam do normy? Odmaszerować! – I jak nowa Pallas Atenę rozkazującym gestem odsyła mnie na glinianki.

A nazajutrz skasowane zostaje w ogóle stanowisko majstra – zostaje zdegradowany, przy tym nie tak sobie, ale w sposób pokazowy, mściwie. Matronina wzywa Barinowa i rozkazuje mu:

– Dać mu łom i nie spuszczać go z oka! Ma mi sześć wagonów załadować podczas zmiany! Łapy ma urobić!

I z punktu idę do łopaty w tym moim oficerskim uniformie, którym tak się pyszniłem. Barinow ma powód do radości, przewidział mój upadek.

Gdybym lepiej wyznawał się na ukrytej, groźnej współzależności wszystkich wydarzeń zachodzących w obozie, mógłbym jeszcze ubiegłego wieczoru domyśleć się, jaki los jest mi pisany. W nowojerozolimskiej stołówce było osobne okienko, przez które wydawano miski inżynierom i technikom*. Stali przed nim w kolejce inżynierowie, księgowi i... szewcy. Otrzymał nominację na majstra i zaczynając już przyswajając sobie obozowe sposoby, też stawałem w tej kolejce i żądałem swojej miski. Kucharki miały wątpliwości, powiadały, że nie ma mnie w spisie ITR, ale w końcu wydawały jedzenie, z czasem – już nawet bez uwag – tak że w końcu uwierzyłem sam, iż jestem na liście. Jak to zrozumiałem później, byłem dla kuchni figurą jeszcze niejasną: ledwie przyjechał, a już dostał funkcję, ma wzięcie, chodzi w mundurze. Taki facet – dlaczego nie? – za tydzień może

Tzw. ITR: inżynieryjno-techniczne robotniki.

152

zostać starszym dyspozytorem albo starszym księgowym żony, albo lekarzem (w obozie wszystko jest możliwe!) – i wówczas wszyscy oni znajdą się w moim ręku. I chociaż w istocie rzeczy – cegielnia dopiero sprawdzała, na co jestem właściwie zdalny i choć nie było mnie jeszcze na żadnej liście – kuchnia na wszelki wypadek dawała mi papu. Ale na całą dobę przed moim upadkiem, gdy cegielnia o niczym jeszcze nie miała pojęcia, kuchnia obozowa wiedziała już wszystko i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem: okazało się, że jestem tylko groszowym frajerem. W tym małym epizodzie macie już całą atmosferę obozowego świata. Typowo ludzka chęć wyróżnienia się ubiorem w istocie demaskuje nas, zwłaszcza, jeśli ktoś przygląda nam się tak bacznie, jak to bywa w obozie. Wydaje nam się, że jesteśmy ubrani, właściwie zaś – obnażamy się – ujawniamy, czegośmy wari. Nie rozumiałem, że mój mundur znaczy tu tyle, co czerwona chustka Matroninej.

I pewne – zawsze czujne – oko wypatrzyło to z ukrycia. I oto któregoś dnia przysłano po mnie ordynansa: Wzywa was lejtnant, urzęduje tam, w osobnym pokoju. Młody lejtnant prowadzi rozmowę w bardzo miłym tonie. W przytulnym i czystym gabinecie nie ma nikogo, poza nami dwoma. Słoneczko przygrzewa, choć już zmierzchn blisko, wiatr odwiewa firankę. Wskazał mi krzesło. Poleciał mi, nie wiem czemu, napisać życiorys własny – i żadne zlecenie nie mogło mi w tej chwili sprawić większej satysfakcji. Po serii protokołów śledczych, w których musiałem sam siebie opluwać, po upokorzeniach, doznanych w sukach i zborniakach, po miłych kontaktach z konwojentami i klucznikami, knajakami i prominentami, którzy wcale nie chcieli widzieć we mnie byłego kapitana naszej przestawnej Armii Czerwonej – siedziałem oto przy biurku i – nie popędzany przez nikogo, pod życzliwym okiem sympatycznego lejtnanta – pisałem całkiem jeszcze gęstym atramentem, na doskonałym, gładkim papierze, jakiego w obozie nie uświadczysz, że byłem kapitanem, dowódcą baterii, że miałem takie a takie order. I już dzięki samemu temu pisaniu odzyskiwałem dawną moją osobowość, moje własne „ja”. (Tak, ów podmiot gnoseologiczny, moje „ja”! A przecież byłem po studiach, przyszedłem z cywila, byłem w armii elementem przypadkowym. Wyobraźmy sobie, jak zakorzenione jest w każdym oficerze to wymaganie szacunku dla własnej osoby!). Lejtnant również był zadowolony po przeczytaniu autobiografii: „Więc jesteście czło-

wiekim sowieckim, prawda?". No pewno, że prawda, no chyba, jakże inaczej? Jak miło jest podnieść się z błota – otrzepać się z kurzu – i znowu stać się sowieckim człowiekiem – to już jakby jedną nogą być na wolności.

Lejtnant poprosił o ponowne odwiedziny za pięć dni. W ciągu tych dni pięciu musiałem jednak rozstać się z moim mundurem wojskowym, bo źle

153

było w nim kopać glinę. Bluzę i bryczesy schowałem do walizki, a z magazynu obozowego pobrałem łatanę, wyleniałe gałgany, wyprane, ale jakby po rocznym poniewieraniu się w śmietniku. Ważny to etap, choć jeszcze nie rozumiem całego jego znaczenia: duszę mam jeszcze nie zekowską, ale skórę zmieniam na skórę zeka. Ogolony na zero, nękany głodem i dręczony przez nieprzyjaciół, wkrótce już też nauczę się patrzeć na świat okiem zeka – nieszczerym, nieufnym, baczny. W takim też stroju wracam po pięciu dniach do pełnomocnika operacyjnego, wciąż jeszcze nie mając pojęcia, o co mu chodzi. Ale pełnomocnika nie ma w obozie. Przestaje tu w ogóle się zjawiać. (Bo wie już to, czego my jeszcze nie wiemy: za jakiś tydzień mają nas wszystkich rozestąć na cztery wiatry, a do Nowej Jerozolimy przywiozą zamiast nas – Niemców). W ten sposób oszczędzam sobie ponownej rozmowy z lejtnantem.

Zastanawialiśmy się w Gammerowem i Ingałem – po co też kazano mi pisać ten życiorys – i nie rozumieliśmy – jak głupie dzieci, że to pierwszy pazur drapieńczy wpił się w nasze gniazdo. A tymczasem sprawa była jasna jak słońce: z naszym transportem przyjechało trzech młodych facetów; cały czas o czymś gadają, naradzają się, sprzeczą, a jeden z nich, czarniawy, krępy, ponury, z małymi wąsikami, ten co to dostał się do księgowości, nie śpi po całych nocach i na swoich narach cały czas coś pisze, pisze, a pisze. Można, rzecz jasna, postać kogoś i wyrwać mu te kartki, które chowa tak skrzętnie, ale lepiej nie płoszyć ptaszka – łatwiej przecież dowiedzieć się o wszystkim u tego z nich, który chodzi w bryczesach. To na pewno wojskowy i człowiek sowiecki, więc nie odmówi pomocy strażnikom moralności. Zora Ingał, nie zaniehbując pracy we dnie, rzeczywiście postanowił nie sypiać przez pierwsze godziny nocne – broniąc w ten sposób niezawisłości twórczego ducha. Na swojej górnej pryczy „wagonetki”, pozbawionej materaca, poduszki i koców, Ingał siedzi sobie w fufajce (w izbach nie jest za ciepło – nocami jesień daje się już we znaki), w trzewikach, wyciągnąwszy nogi, ale plecami opierając się o ścianę i, ssąc czubek ołówka, wpatruje się w swój arkusik surowym wzrokiem. (Nie sposób wymyśleć gorszego sposobu bycia w obozie! – ale ani on, ani my jeszcze nie rozumiemy, jak to podpada).

Czasami folguje sobie po prostu i całkiem zwyczajnie – pisze listy. Jego dwudziestoletnia żona nie zdążyła jeszcze zedrzeć pantofli, w których chodziła z nim tej zimy do konserwatorium, a już go porzuciła: toć haczyk w ankiecie, a zresztą życie da się lubić. Ingał pisze do innej kobiety, którą nazywa siostrzyczką, skrywając przed nią i przed samym sobą, że też ją kocha, a może gotów jest pokochać (ale także ta kobieta rychło wychodzi za mąż). Potrafi pisać również tak:

154

„Droga moja siostrzyczko! Wsłuchaj się w niezwykle przeczucia tego, czym mógłby być człowiek – u Haendla, Czajkowskiego, Debussy'ego! Ja także chciałem stać się takim żywym przeczuciem, ale zegar mego życia się zatrzymał...”.

Albo po prostu:

„Stałaś mi się o wiele bliższą w ciągu tych miesięcy. Okazało się, że na świecie jest wielu ludzi prawdziwych; chciałbym, aby twój mąż był także prawdziwym człowiekiem!”.

Albo tak:

„Tułam się po życiu, potykając się co krok i szukając samego siebie... W tej izbie pali się jaskrawa lampa – ale nigdy nie było mi tak ciemno. Jednak dopiero tu odgadłem samego siebie i swój los, tym razem – nie na stronicach książek. I wiesz, Czyżyku, nigdy jeszcze nie byłem takim optymistą, jak w tej chwili. Teraz wiem już na pewno, że nie ma w życiu nic cenniejszego od idei, której człowiek służy. I jeszcze – już wiem teraz, jak i co mam pisać, a to najważniejsze³!”.

Tymczasem – pisze nocami, a w dzień chowa, gdzie może, nowelę o El Campesino – Hiszpanie, dowódcy nieregularnych oddziałów armii republikańskiej. Siedział z nim w jednej celi, podziwiał jego chłopską trzeźwość. Historia Campesino była prosta: po przegranej wojnie, po zwycięstwie generała Franco, przyjechał do Związku Sowieckiego i tu go po pewnym czasie wsadzono za kraty⁴.

Ingał należy do ludzi raczej oziębłych, nie od razu i nie przed każdym otwiera serce (napisałem to i pomyślałem – a ja może nie byłem ozięby?). Ale jego determinacja – może służyć za wzór. Pisać w obozie! – ja też może kiedyś tego dopnę, jeśli wcześniej nie zginę. Ale tymczasem, wyczer-

³ Nie, jak pisać – tego nie wiedział on jeszcze. Wedle relacji Andrzeja Bielinkowa. Ingał po jakimś czasie, już w innym obozie – też tak pisał bez ustanku, chowając się na swojej pryczy. Więźniowie prosili go, a później – zaczęli żądać, aby pokazał co tam właściwie pisze (może donosy?). Ale Ingał – widząc w tym nowym gwałt, zadawany twórczości, tyle, że z innych pozycji – odmówił. Więc go koledzy pobili... Te wiersze z jego listów zacytowałem po to, aby chociaż ten maleńki ślad został po jego mogile.

⁴ Tej noweli Ingał nigdy nie miał zakończyć, bo nie mógł znać prawdziwego finału dziejów El Campesino. Campesino przeżył swojego biografa. Dowiedziałem się, że podczas trzęsienia ziemi w Aszchabadzie (w Turkmenii) udało mu się wyprowadzić grupę zeków ze zniszczonego przez kataklizm obozu – i przedrzeć się wraz z nimi przez pograniczne łańcuchy górskie do Iranu (oddziały ochrony pogranicza też rozbiegły się ze strachu).

155

pany jestem bezmyślną bieraniną, wloką mi się nieznośnie już pierwsze dni przy łopacie. W pogodne, wrześniowe wieczory chwilę tylko możemy posiedzieć sobie z Borysem na hałdzie żużlu przed wjazdem do żony.

Od strony Moskwy, z odległości pięćdziesięciu kilometrów niebo płonie wszystkimi kolorami salw – jest to łuna „święta zwycięstwa nad Japonią”. Ale latarnie naszej żony obozowej palą się mdłym, smutnym blaskiem. Z okien cegielni bije czerwone, nieprzyjemne światło. I łańcuszkiem – równie tajemniczym jak lata i miesiące naszej kary – ciągną się w dal wysokie latarnie żony fabrycznej.

Ogarnąwszy kolana ramionami, szczuplutki, pokastujący Gammerow powtarza: Miłością kraju ojczystego

Żyłem od lat zarania.

Nie dbani o litość i żadnego...

Nie czekam zmiłowania.

„Przywieźli faszystów! Przywieźli faszystów!” – takie krzyki rozlegały się nie tylko w Nowej Jerozolimie. Słychać je było na wszystkich wyspach Archipelagu latem

i jesienią 1945 roku. Nasz przyjazd – przyjazd faszystów otwierał wrota obozów więźniom pospolitym. O amnestii dowiedzieli się 7 lipca, w „międzyczasie” porobiono im zdjęcia, wyrobiono zaświadczenia o zwolnieniu, przeprowadzono rozrachunek w księgowości – ale jeszcze przez miesiąc, a często – często drugi i trzeci amnestionowani więźniowie męczyli się w obrębie uprzykrzonych drutów kolczastych, bo nie było nikogo, kto by ich zastąpił.

Nie było ZASTĘPSTWA! – a my jak ślepe kocięta mieliśmy jeszcze przez całą wiosnę i przez całe lato spodziewać się amnestii, siedząc w swoich zaszpunktowanych celach. Mieliśmy nadzieję, że Stalin nad nami się ulituje\... że zechce „uczcić Zwycięstwo”!... że – nie objąwszy nas pierwszą, „polską” amnestią, udzieli później osobnej – politycznym... (powtarzano nawet taki szczegół: że ta amnestia już gotowa, że leży na biurku Stalina, brak tylko podpisu, bo wódz jest na urlopie. Niepoprawny naród czekał na amnestię, niepoprawny naród wierzył!...). Ale jeśli nas się utaskawi – to kto będzie zjeżdżał do kopalni? Kto pójdzie z piłami do lasu? Kto będzie w. palał cegły i kto zbuduje z nich mury? Stalin potrafił stworzyć system taki, że gdyby skazać go wspaniałomyślnością, to zaraz mór, głód, ruina, spustoszenie ogarnęłyby cały kraj.

156

„Przywieźli faszystów!” Pospolitalcy, którzy jak świat światem nas nienawidzili, albo gardzili nami – teraz patrzyli na nas nieomal z rozrzewnieniem, bośmy im przychodzili na zmianę. I jeńcy, którzy w niemieckiej niewoli dowiedzieli się, że nie ma na świecie narodu bardziej godnego pogardy, bardziej zapomnianego, bardziej obcego wszystkim i zbędnego niż rosyjski – teraz, zeskakując z czerwonych wagonów czy z ciężarówek na ziemię rosyjską, dowiadawali się, że nawet pośród tego wykłętego plemienia – oni są pokoleniem najbardziej opuszczonym przez wszystkich i najnędzniejszym.

Oto czym była ta wielka amnestia stalinowska, jakiej ponoć „jeszcze świat nie widział”. Bo i rzeczywiście – gdzie i kiedy na świecie ogłoszono amnestię, która nie obejmowałaby politycznych?!

Wypuszczono ryczałtem tych, co okradali mieszkania, zdierali odzież z nocnych przechodniów, gwałcili dziewczęta, deprawowali nieletnich, oszukiwali kupujących w sklepach, oddawali się chuligaństwu, masakrowali bezbronnych, kłusowali w lasach i na jeziorach, nabierali kilka naraz bab na małżeństwo, zajmowali się wymuszeniami i szantażem, brali łapówki i popełniali szalbierstwa, pisali fałszywe donosy (nie, tacy nie siedzieli, to piosenka przyszłości) – handlowali narkotykami, rajfurzyli, zmuszali dziewczyny do prostytuowania się, stali się sprawcami czyjejś śmierci na skutek własnej nieudolności albo lekkomyślności (wyliczyłem tu po prostu artykuły kodeksu podlegające amnestii – nie jest to mój popis krasomówczy). A później – wymaga się od narodu zasad moralnych!

Skreślano połowę kary: defraudantom, fałszerzom dokumentów i kartek na chleb, spekulantom i winnym kradzieży mienia państwowego (państwowa kieszka jednak Stalina obchodziła).

5 Na zasadzie tej amnestii podlegali zwolnieniu skazani z art. 58, na kary niższe niż trzy lata, takie więc, jakich nikomu prawie nie dawano; wątpliwe, czy takich było więcej niż 0,5%. Ale nawet w stosunku do tego pół procentu nieprzejednany duch amnestii miał przewagę nad jej łagodną literą. Znałem pewnego chłopca nazwiskiem, zdaje się, Matiu-szyn (był malarzem w oboziku za rogatką Kalużską), którego skazano z art. 58-1-b za to, że jakiś czas był w niewoli. Wyrok dostał w końcu

1941 roku, bardzo więc wcześniej, kiedy nie było jeszcze decyzji, jak na to patrzeć i ile ludziom latek wrzepiać. Matiuszynowi dano za pójście do niewoli raptem trzy lata – wypadek niebywały! Po odsiedzeniu kary nie zwolniono go, to się rozumie – bo takich jak on zatrzymywano do specjalnego rozporządzenia. Aż tu nagle wybuchła amnestia! Matiuszyn jął prosić (nie – domagać się, skądże znowu!) o zwolnienie z obozu. Przez 5 prawie miesięcy – aż do grudnia 1945 roku przestraszeni pracownicy Działu Ewidencji po prostu odpowiadali mu odmownie. Nareszcie pozwolili mu wrócić do domu, do obwodu Kurskiego. Pojawiła się jednak pogłoska (inaczej być nawet nie mogło), że wkrótce znów go zaharapczyli i dorzucili 7 lat, brakujących do czerwonej a. Toć nie wolno wykorzystywać roztargnienia pierwszego sędziego!

157

Ale nic tak nie bolało byłych frontowych żołnierzy i jeńców, jak powszechna i zupełna amnestia dla deztererów z okresu wojny! Każdy, kto stchórzył, uciekł ze swojego oddziału, opuścił samowolnie front, nie zgłosił się na punkcie mobilizacyjnym, aby później całe lata chować się u mamy w dole na kartofle, w piwnicy, za piecem (a zawsze u matki! Żonom swoim deztererzy z reguły nie wierzyli!), latami nie otwierając gęby, przekształcając się w zarośnięte, skulone zwierzę – otóż każdy taki, jeśli go tylko złapano, albo jeśli teraz sam się zgłosił w dniu amnestii – uznawany był z miejsca za korzystającego z pełni praw, niczym nie splamionego, nigdy nie karanego sowieckiego obywatela! (Oto kiedy znalazło usprawiedliwienie stare przysłowie: uciekać – rzecz brzydka, ale zdrowa).

Ci zaś – którzy ani drgnęli, nie stchórzyli – którzy pierś własną podstawili pod ciosy wymierzone w ich ojczyznę, płacąc za to niewolą – ci nie mogli liczyć na przebaczenie – bo tak to widział Wódz Naczelny.

A może Stalin wyczuł w zjawisku deztererstwa coś – co mu było bliskie? Może przypomniał sobie własną niechęć do służenia w szeregach, swoją żalosną służbę rekrucką, zimą 1917 roku? Albo może wykalkulował sobie, że dla jego rządów tchórze nie są groźni – że niebezpieczni są tylko śmiałkowie? Bo przecież mogło się wydawać, że nawet ze stalinowskiego punktu widzenia nie było pociągnięciem rozsądnym to amnestionowanie deztererów: toć w ten sposób wódz sam wskazywał własnym poddanym najprostszy i najskuteczniejszy sposób ratowania skóry podczas kolejnej wojny.

W innej mojej książce opowiedziałem historię doktora Zubowa i jego żony: staruszka ta dała w swoim domu schronienie błąkającemu się deztererowi – który później swoich dobroczyńców zadenuncjował. Zubowowie dostali po dziesiątku z art. 58. Sąd dopatrył się winy nfe tyle w samym fakcie ukrywania dezterera – ile w tym, że uczynili to bezinteresownie, nie był to bowiem żaden ich krewny, działali więc z czysto antysowieckich pobudek! Stalinowska amnestia przywróciła wolność deztererowi. Nie odsiedział nawet swoich trzech latek, zdążył już zapomnieć o tym drobnym epizodzie. Inaczej – państwo Zubow. Odsiedzieli całe dziesięć lat w obozach (przy tym – po 4 lata w Specjalnych), a nadto – jeszcze 4 lata – na zesłaniu. Wyszli na wolność tylko dzięki temu, że w ogóle zlikwidowano samą instytucję zesłania, ale nie skreślono ich z rejestru karanych sądownie ani po szesnastu, ani nawet po dziewiętnastu latach, jakie upłynęły od chwili –

6 Zresztą przejawiała się tu może jakaś sprawiedliwość historyczna: był to niejako zwrot długu, zaciągniętego wobec deztererów frontowych w 1917 roku; bez tego zjawiska cała nasza historia mogła potoczyć się zupełnie innymi drogami.

li przestępstwa, co nie pozwoliło im wrócić do domu (mieszkali pod Moskwą) i dożyć spokojnie kresu swoich dni⁷.

Oto czego boi się – a czego nie boi się nasze pamiętliwe, mściwe, nieskore do przemyśleń Prawo!

Po amnestii żwawe pędzle oddziałów KO rozmachały się i pokryły wewnętrzne mury i sklepienia baraków obozowych – jak na urągowisko – gromkimi hasłami: „Za wspaniałomyślną, powszechną amnestią – odwziewamy się partii i rządowi podwojeniem wydajności pracy!”.

Z amnestii skorzystali kryminaliści i pospolitacy, oni to opuszczali obozy, odwziewać się zaś podwojeniem wydajności mieli polityczni... Kiedyż to – w jakiej historycznej epoce nasza władza odznaczała się poczuciem humoru?

Po przybyciu naszego „faszystowskiego” uzupełnienia, zaraz zaczęło się w Nowej Jerozolimie zwalnianie amnestionowanych. Co dzień kogoś wypuszczano. Wczoraj jeszcze widziałem te kobiety w żonie: szpetne, oberwane, bluzgające przekleństwami – i oto już zdążyły się przeistoczyć, umyć, przczesać. Kroczą skromnie w stronę dworca z żakietami, przerzuconymi przez ramię, w sukienkach w groszki i paseczki, nie wiadomo skąd nagle wydobytych. Czy pasażerowie pociągu potrafią wyobrazić sobie, jak wymyślnie potrafią kląć te trusie?

A oto wychodzą za wrota knajacy ipólszlachta (starający się naśladować szemranych). Ci nie zostawili swoich manier za bramą: zgrywają się, tańczą, machają rękoma do tych w obozie i krzyczą – a przez okna baraków odpowiadają im kumple. Straż się nie sprzeciwia: urkom wolno wszystko. Jakiś pomysłowy urka stawia swój kuferek sztorcem, wskakuje nań zwinnie i – w czapce na bakier, odrzuciwszy połty, zwędzonej gdzieś w zborniaku albo wygranej w karty marynarki, gra na mandolinie pożegnalną serenadę; śpiewa przy tym jakieś knajackie idiotyzmy: wszyscy się śmieją.

Zwolnieni długo jeszcze krocą dróżką wzdłuż drutów obozowych, brną na przetaj przez pole – i kolczasta siatka nie przeszkadza nam, pozostałym, patrzeć na ten ich wymarsz. Dziś jeszcze ci złodzieje będą spacerować –

7 W 1958 roku Naczelna Prokuratura Wojskowa ZSSR taką im odpowiedź dała: wi-na wasza została dowiedziona i nie ma podstaw do rewizji sprawy. Dopiero w 1962 roku, po upływie 20 lat, wykreślono z motywów wyroku artykuł 58–10 (zamiar osłabienia władzy sowieckiej) i 58–11 („organizacja” złożona z męża i żony). Na zasadzie zaś artykułu 193–17–7g (czynne popieranie dezterterstwa) wymierzono im karę 5 lat więzienia – i tu zastosowano (! po dwudziestu latach!) stalinowską amnestię. W tym duchu też sporządzono dokument wydany tej parze zgrzybiałych i zniszczonych starców w 1962 roku: „Z dniem 7. VII. 1945 roku uznani jesteście za wolnych obywateli, z dobrodziejstwem wykreślenia z rejestru skazanych”.

wać po moskiewskich bulwarach, może pierwszej już niedzieli zrobić jakiś skok na czyjeś mieszkanie, zedrzeć odzież na nocnej ulicy z twojej żony, siostry czy córki. A tymczasem wy, faszyści (Matronina – też jest faszystką!), postarajcie się podwoić wydajność pracy!

Amnestia wzmogła wszędzie zapotrzebowanie na siłę roboczą. Wszędzie też zaczęły się przeniesienia. Na jakiś czas przerzucono mnie z glinianek do cegielni. Tu przyjrzałem się mechanizacji, wprowadzonej przez Matroninę. Wszyscy tu dostawali w kość, ale najczęściej harowała pewna dziewczyni-na, istna bohaterka pracy,

tylko nie bardzo nadająca się do gazet. Jej rola, jej stanowisko pracy nie miało specjalnej nazwy; można było dać jej tytuł „górną układaczką”. Obok taśmy ruchomej, wynoszącej spod prasy wilgotne jeszcze cegły (dopiero co uformowane z mokrej gliny, są więc bardzo ciężkie) stały dwie dziewczyny – dolna układaczka i pomocnica. Te nie musiały się schylać, obracały się tylko raz po raz – i to nie bardzo. Ale ta, co stała wyżej, na specjalnym postumencie, jak jakaś królowa – musiała bez ustanku schylać się, brać spod nóg mokrą cegłę, kładzioną tam przez pomocnicę – podnosić ją (dbając o to żeby się nie rozpadła!) na wysokość pasa lub ramion; dalej – nie zmieniając pozycji nóg – obracać się w pasie o 90 stopni (czasem w prawo, czasem w lewo, zależnie od tego, jaki wagonik się ładowało) i układać je na pięciu drewnianych półkach, po dwanaście w rzędzie. Była w ruchu bez przerwy, bez chwili wytchnienia, bez żadnych zmian, utrzymując cały czas szybkie, gimnastyczne tempo – przez całą 8-godziną szychtę, chyba że prasa się popsuka. Wciąż jej podkładano pod nogi nowe cegły, połowę całej produkcji cegielni, bo taśmy były dwie. Na dole dziewczęta zmieniały jedna drugą, ta nie miała żadnej pomocy przez osiem godzin. Pięć minut takiej pracy, takiego wymachiwania łbem i skręconym korpusem, mogło przyprawić człowieka o zawrót głowy i wyczerpanie. Ta dziewczyna zaś potrafiła jeszcze uśmiechać się w pierwszej połowie szychty (rozmowy uniemożliwiał turkot i hałas prasy); może podobało jej się, że stoi na piedestale, jak królowa piękności i że wszyscy widzą jej bosc, gołe, krzepkie nogi, podkasaną spódnice i baletową giętkość talii. Za tę pracę dostawała największą pijkę w obozie – trzysta dodatkowych gramów chleba (jej dzienna porcja wynosiła więc – 850), a na kolację, prócz zwykłego barszczu – trzy porcje stachanowskie – trzy nędzne chochle rzadkiej mianny na wodzie. Tak tego było mało, że ledwie pokrywało dno glinianej miski.

160

„My pracujemy za pieniądze, a wy za kawałek chleba, to nie żadna tajemnica” – powiedział mi umorusany mechanik, wolniak, wezwany do naprawy prasy. Przetaczanie załadowanych już wagoników należało do mnie i do Puni-na, jednego chłopaka z Ałtaju. Wagoniki przypominały wysokie, chwiejne wieżyczki, ponieważ dziesięć albo dwanaście półek z cegłami powodowało, że punkt ciężkości był wysoko. Chwiejną, drżącą, jak przetadowana książkami etażerka, wagonetkę taką trzeba było ciągnąć za żelazny uchwyt po wąskich prostych torach, następnie wciągnąć ją na specjalne podwozie, dobrze na nim zamocować i teraz innymi już torami wlec cały ten majdan wzdłuż rzędu komór suszenia. Zatrzymawszy się przed określoną komorą, trzeba było wagonik ścignąć z podwozia i w nowym kierunku pchnąć go w głąb czeluści. Każda z tych komór była długim, wąskim korytarzem, w ścianach którego było dziesięć wgłębień i dziesięć ryglujących listew. Należało szybko i nie zbacając z drogi pchnąć wagonik aż do szczytowej ściany, zwolnić rygle, przenieść wszystkie dziesięć półek z cegłami do dziesięciu nisz i zamocować dziesięć par żelaznych łap, po czym natychmiast wycofać się z kamery wraz z pustym wagonikiem. Cała ta kombinacja pochodziła z zeszłego jeszcze wieku, był to chyba system niemiecki (na wagoniku był niemiecki napis) i chyba według niemieckiego projektu nie tylko wagon powinien być utrzymać się na torach, lecz również powinna być jakaś podłoga w komorze, aby ułatwić ruchy robotników. Za naszych jednak czasów deski były już przegniłe, popękane, więc wciąż potykałem się i padałem na pysk. Zapewne wentylacja też była kiedyś dla tych komór przewidziana, ale nawet śladu

po niej nie zostało i podczas gdy usiłowałem poradzić sobie ze źle ułożonymi cegłami (często leżały krzywo, półki nie wchodziły w należytą szparę, nie mieściły się, jak należy, mokre cegły spadały mi na głowę) zdążyłem natykać się czadu i gardło miałem pełne sadzy.

Nie bardzo więc żałowałem pracy pod dachem, kiedy mnie znowu posłano na glinianki. Brak było kopaczy, bo wielu z nich też wyszło na wolność. Posłano do łopaty również Borię Gamerowa, zaczęliśmy więc pracować razem. Norma była z góry ustalona: w ciągu zmiany każdy powinien był wykopać, załadować i dotaszczyć aż do wyciągu sześć wagoników (sześć kubików) gliny. Na dwóch wypadło więc kubików dwanaście. Kiedy nie padało – zdążyliśmy we dwójkę załadować zaledwie pięć. Ale zaczynały już padać drobne, jesienne kapuśniaczki. Dobę, dwie, trzy pod rząd siąpiło tak przy bezwietrznej pogodzie, nie dochodząc do ulewy, ale też nie ustając ani na chwilę. Deszcz był drobny, nikt więc nie zaryzykował–

8 – Archipelag Gulag t. II 161

by rozkazu przerywania robót. „Deszcz na trasie nie wchodzi w rachubę, u nas deszczu w ogóle nie ma!” – oto jedno ze sławetnych haseł GUłagu. Ale w Nowej Jerozolimie nie wpadło jakoś nikomu na myśl, aby nam wydać fufajki, i pod tym nudnym kapuśniaczkiem babrzemy się w rudej glinie w upapranych, starych, frontowych szynelach; po trzech dniach takiej pracy w każdy z nich wsiąkło już dobre wiadro wody. Obuwia też nam w obozie nie wydano, więc w mokrej mazi rozłóżą się nasze ostatnie, frontowe buciory. Pierwszego dnia jeszcze sobie żartujemy:

– Jak myślisz, Borysie, nie pozazdrościłby nam teraz baron Tuzenbach z Trzech sióstr! Facet przecież cały czas marzył o pracy w cegielni. Pamiętasz? – Tak urobić ręce, żeby po powrocie do domu padać na łóżko i zasypiać od razu. Myślał pewno, że będzie mógł oddać mokrą odzież do suszarni, że będzie miał swoją pościel i gorący posiłek z dwóch dań.

Przetaczamy parę wagoników, walę z gniewem łopatą o żelazny bok następnego (glina z trudem odlepia się od szpadla) i mówię już z rozdrażnieniem:

– Powiedz no, na jaką cholerę te trzy siostry tak bardzo chciały jechać w świat? Czy kazano im co niedzielę zajmować się z działwą szkolną zbiórką złomu żelaznego? Czy co poniedziałek musiały składać pani przełożonej konspekty Pisma Świętego? Czy musiały bezpłatnie podejmować się funkcji wychowawczyń? Czy musiały latać po przedmieściach i prowadzić zajęcia z przysposobienia wojskowego?

A po kolejnym wagoniku:

– I ta ich głupia gadanina: pracować! pracować! pracować!. Ależ pracujcie, do diabła, kto wam zabrania? Życie będzie pełne takiego, takiego szczęścia! Takiego? Jakiego? Jakby was strażnicy z psami prowadzili do tego szczęśliwego życia, to dopiero byście wiedziały!...

Borys jest ode mnie słabszy, ledwie daje sobie radę z łopatą oblepioną ciężką gliną, z trudem udaje mu się dźwignąć ją na wysokość burty wagonika. Mimo to – przez dwa dni stara się podciągnąć nas obu aż do wyżyn myśli Włodzimierza Sołowiowa. Tu też mnie prześcignął! – zdążył nacytać się Sołowiowa, ja zaś nie znam ani stroniczki jego pism, czas traciłem na różne bezcelowe zajęcia.

Powtarza mi teraz wszystko, co mu się uda przypomnieć, usiłuję to sobie zapamiętać, ale nie bardzo mi to idzie, nie mam teraz głowy do tego.

Nie, jak tu uchronić się – i jednak dotrzeć do sedna, zgłębić prawdę? I dlaczego właściwie trzeba spaść na samo dno obozowej egzystencji, aby zdać sobie sprawę ze swojej nędzy duchowej?

162

Borys powiada:

– Włodzimierz Sołowiow nauczał, że trzeba z radością oczekiwać śmierci. Gorzej niż tu – nigdzie już nam nie będzie.

To prawda...

Ładujemy, ile potrafimy. Karna pajka – to karna pajka, pies was trącał! Dzień jakoś schodzi nam w ten sposób i oto już wleczeni się do obozu. Ale i tam nic miłego nas nie czeka; trzy razy dziennie zawsze ta sama czarna, nie solona bryja z liści pokrzywy, do której raz na dzień dodają chochelkę kaszy – jakieś ćwierć litra. Porcję chleba już nam zmniejszono – rano dostajemy 450 gramów, ani kruszyny w południe i wieczorem. A o zmierzchu stać trzeba na deszczu, bo apel. I potem dopiero kładziemy się na gołej pryczy w przemokłych naszych łachach, utyłtani w glinie, dygocząc aż do rana, bo baraki nie są opalane.

A nazajutrz znów siąpi i siąpi ten sam kapuśniak. Odkrywka cała podbiegła wodą, nogi więzną – glina przywiera do łopaty; ilekolwiek się jej nabierze, nie sposób zbić jej później waleniem o krawędź wagonika. Za każdym razem trzeba wspinać się na palce i zgarniać glinę ręką z łopaty do wagonu. Dochodzimy wreszcie do wniosku, że ta robota nie na wiele się zda. Odrzucamy więc szpadle i zaczynamy po prostu rękoma zbierać spod nóg ciamkającą glinę i wrzucać ją do wagonika. Boria kaszle – wciąż ma w płucach ten odłamek niemieckiego granatu. Jest chudy, żółty; jego nos, wszystkie kości jego twarzy zaostrzyły się jak u trupa. Przypatruję mu się i nie wiem już – czy przetrzyma tę zimę w obozie.

Staramy się z wysiłkiem sprostać naszej sytuacji – choćby myślą. Ale już ani filozofia, ani literatura nie pomagają nam. Nawet ręce nasze ciężą nam tak samo jak łopaty, i już trudno je unieść. Borys powiada mi:

– Nie, rozmowy za wiele sił nam zabierają. Lepiej milczeć i myśleć o czymś sensownym. Albo na przykład – układać wiersze. W pamięci.

Wzdrygam się aż – ten człowiek mógłby teraz układać wiersze? To pożółkłe czoło osnute jest już cieniem śmierci, ale jakim blask iście nieugiętego talentu bije od niego!

Tak więc – milczymy i rękoma ładujemy pecyny gliny do wagonetek. Deszcz wciąż pada... Jednakże nikt nam nie każe zaprzestać pracy: na

8 Zimą tegoż roku Borys Gammerow zmarł w obozowym lazarecie skutkiem wycieńczenia ogólnego i gruźlicy. Czczę w nim poetę, któremu nie pozwolono – jękiem bodaj – dać znać o sobie. Duchem sięgał wysoko i wiersze jego wydawały mi się wtedy niezwykle mocne, wspaniałe... Ale nie zdołałem zapamiętać żadnego z nich, nie udało mi się nigdzie znaleźć nawet ich okrucichów, aby złożyć z nich jego nagrobek.

163

dobitkę przychodzi Matronina, miotając wzrokiem pioruny (czerwień na jej głowie ukryta jest pod ciemną narzutką) i stojąc na skarpie wymachuje rękoma, wskazując brygadziście krawędzie kopalnianej niecki. Dowiadujemy się w końcu, że dziś brygada nie wróci do baraków o drugiej po południu, bo nasza szychta trwać będzie dopóty, dopóki nie wykonamy normy. Wtedy dopiero dadzą nam obiad razem z kolacją.

W Moskwie brak cegieł na budowy...

Matronina odchodzi wreszcie, deszcz za to się wzmaga. Płowe kałuże rozlewają się na glinie, pełno wody również w wagoniku. Porudziały cholewy naszych butów, nasze szynele upstrzone są rudymi plamami. Ręce zgrabiwały od zimnej gliny, już nie potrafią wrzucić do wagonu ani pecyny. Dość mamy wreszcie tej bezcelowej roboty, wpętlamy na stok skarpy, gdzie żółci się trawa, siadamy na niej ze zwieszonymi łbami, naciągając na karki kołnierze naszych szyneli.

Wyglądamy zapewne jak dwa rude głazy polne.

Nasi rówieśnicy studiują gdzieś po Sorbonach i Oksfordach, grają w tenisa podczas długich przerw, dyskutują o losach świata po studenckich kawiarniach. Już ten i ów z nich się drukuje, wystawia swoje obrazy. Ba, wyskakują ze skóry, aby na nową jakąś modłę wypaczyć otaczający ich, nie dość oryginalny, świat. Sierdzą się ci młodzi na klasyków – że wyeksploatowali wszystkie już tematy i wątki. Mają pretensje do swoich rządów i do miejscowych reakcjonistów, to znaczy tych, którzy nie chcą jakoś zrozumieć i wykorzystać przodujących, sowieckich doświadczeń. Pieszcząc wargami mikrofony reporterów radiowych, nagrywają wywiady i rozkoszując się brzmieniem własnego głosu, objaśniają – nie bez kokieterii – co właściwie chcieli powiedzieć w swojej ostatniej albo pierwszej książce. Z podziwu godną pewnością siebie wyrokuje o wszystkim – a zwłaszcza – o rozkwicie naszego kraju i o sprawiedliwości wyższego typu, jakiej stało się tu zadość. I dopiero kiedyś, gdy będą już starzy, wertując swoje encyklopedie, zdziwią się, nie znajdując w nich godnych szacunku rosyjskich nazwisk, pod żadną z liter, pod żadną z naszych liter...

Deszcz bębni po naszych karkach, dreszcz przenika grzbiety.

Patrzemy przez ramię. Niepełne, wywrócone wagoniki. Wszyscy już się rozeszli. Nie ma nikogo w całej niecce odkrywki, nikogo na polu za obrębem żony. Nasza wyśniona wioseczka – zasnuta szarzyną i nawet koguty schowały się gdzieś przed deszczem.

Więc my też bierzemy nasze łopaty, aby nam ich nikt nie zwędził – toć musimy się z nich wyliczyć – i wlokąc je za sobą jak ciężkie taczki, wzdłuż ścian cegielni idziemy za węgieł, pod szopę, gdzie wokół pieców Hofmanna, w których wypala się cegły, ciągną się puste galeryjki. Więcej tu zimne

164

przeciągi, ale jest przynajmniej sucho. Zagrzebujemy się w kupie tłuczki pod okapem i tak sobie siedzimy.

Niedaleko nas zwalono kupę węgla. Dwóch zeków grzebie wśród czarnych odłamów, zawzięcie czegoś szukając. W końcu coś tam znajdują, kosztują, kładą do samary*. Później siadają, i pożerają te czarniawoszare kęsy.

– Co tam jecie, chłopaki?

– To morska glina. Lekarz – nie zabrania. Nic to nie daje, ale też nie szkodzi. A jak zeżre człowiek jakieś kilo dziennie – to mu się zdaje, że syty. Poszukajcie sami, tu sporo tego między węglem!...

... Nadchodzi zatem wieczór, a norma dalej nie wykonana. Matronina każe nam zostać na noc. Ale raptem gaśnie elektryczność, żona pogrąża się w mroku – wszystkich nas każe wyprowadzić na odwach. Rozkazują nam wziąć się pod ręce i pod wzmocnionym konwojem, przy akompaniamencie wyzwisk i psiego ujadania, prowadzą do baraków. Brniemy w nieprzeniknionych ciemnościach, na prze-

łaj, nie odróżniając trzęsawiska od grudy, mieszając błoto nogami, potykając się i szarpiąc wzajemnie.

W obozie też jest ciemno, choć oko wykol – i tylko piekielnym, czerwonym blaskiem żarzą się „indywidualne kuchnie”. W stołówce – dwie lampki naftowe obok okienka, nie sposób odcyfrować dzisiejszego hasetka ani zobaczyć w misce podwójnej porcji bałandy z pokrzywy; człowiek sior-bie ją po omacku.

Tak samo będzie jutro, tak ma być co dzień: sześć wagoników rudej gliny – trzy chochle czarnej bałandy. Zdawało się człowiekowi, że w więzieniu traci siły – ale tu pozbywa się ich szybciej. Już nawet coś dzwoni stale w uszach. Czuje się już tę błogą słabość, dzięki której łatwiej poddać się, niż walczyć.

A w barakach – egipskie ciemności. Leżymy, cali przemoczeni, na naszych gołych dechach, wydaje się, że mokra odzież będzie czymś na kształt kompresu – że tak będzie cieplej.

Otwarte oczy wlepione są w czarną powałę – w nasze czarne niebo.

Boże, Boże! W ogniu bomb i granatów prosiłem Cię, abyś pozwolił mi zachować życie. A teraz błagam Cię – ześlij mi śmierć co rychlej...

Worek więźniarski.

VII

ŻYCIE CODZIENNE

Zdawałoby się, że nie ma rzeczy łatwiejszej i prostszej, niż relacja o życiu codziennym tubylców Archipelagu. A tymczasem to jedna z najtrudniejszych rzeczy. Jak zawsze, gdy mowa o powszedniej egzystencji – trzeba zdać sprawę z tego, co się dzieje od ranka do następnego ranka, od zimy do zimy, od narodzin (to znaczy – od przybycia do obozu) aż do śmierci (to znaczy – właśnie do śmierci). A musi to być relacja o wszystkich naraz wyspach i wysepkach.

Nikt tego – rzecz jasna – słowem nie ogarnie, a nikt też nie zechce ziewać nad grubymi tomiskami.

Na życie tubylców składa się zaś praca, praca i jeszcze raz praca; głód, chłód i kurczowe próby ratunku. Praca – oczywiście dla tych – którzy nie potrafili odepchnąć innych i znaleźć sobie wygodnego miejsca – to są właśnie te roboty ogólne, dzięki którym socjalizm podciąga się wzwyż, my zaś – osuwamy się w głąb.

Roboty ogólne dzielą się na wielkie mnóstwo rodzajów, nie sposób wyliczyć ich, wyszczególnić, wymienić po kolei. Pchanie taczek („to są techniki naszej szczyty: jedno kółko i dwa uchwyty”). Noszenie trag. Wyładunek cegieł gołymi rękoma (skóra z brzusców złazi po paru chwilach). Dźwiganie cegieł na grzbiecie, na koźlach. Kucie bloków skalnych w kamieniołomach, wydobywanie węgla, gliny i piasku. Wybieranie rydlem rudy żółtonośnej – po sześć kubików dziennie, odwożenie jej na zsył. Albo po prostu – wgryzanie się w grunt (krzemienista gruda, luta zima; na drodze Tajszet–Abakan przy czterdziestostopniowym mrozie wykopać dziennie cztery metry sześciennego gruntu samym tylko rydlem i łopatą). Fedrowanie węgla pod ziemią. Albo rudy ołowianej czy miedzianej. Można też ją mleć

166

na kruszywo (słodkawy smak w ustach, z nosa – surowica). Można też nasycać kreozotem podkłady (i własne ciało – zarazem). Można przebijać tunele dla przyszłych dróg. Układać nasypy kolejowe. Można dygować torf po pas w błocie. Można wytapiać metal z rudy. Można smażyć się przy nim w odlewni. Można kosić trawę na kępach, brodząc po mokradle. Można być stajennym, wozakiem (i podkraść owies bydlęciu, toć ono państwowe, trawą się pocieszy, a jak nie, to niech

zdycha). W ogóle na roli można odwalać całą chłopską robotę (a nie ma lepszego, bo z ziemi zawsze człowiek coś sobie wygrzebie).

Ale Olimpem tych wszystkich prac jest rosyjski las złotopienny (bo też na złoto go się wymienia). I wyrąb lasu – to najstarsze z zajęć tubylców Archipelagu. Las każdego przygarnie, każdemu swój zew pośle, wszystkich pomieści, nawet inwalidzi znajdują tu przytułek (ludzi bez rąk posyła się trójkami do udeptywania półmetrowego śniegu). Śnieg po pierś sięga. Jesteś drwalem. Nasamprzód – własnym ciałem musisz ubić śnieg dookoła pnia. Później musisz pień zrąbać. Następnie – z trudem brnąc w białej toni

– masz odrąbać wszystkie gałęzie (trzeba jeszcze je przygiąć i dobrać się do nich siekierą). Wciąż brodząc w śniegu, musisz te wszystkie gałęzie ściągnąć na bok, zebrać do kupy i podpalić (a palić się nie chcą, dymią tylko). Teraz pień trzeba rozpiłować na równe kłocę, te zaś ułożyć w sagi. Norma zaś przewiduje – na jednego pięć metrów sześciennych, na dwóch

– dziesięć metrów dziennie. (Na wiatrołomach – siedem kubików, ale grube kłocę trzeba jeszcze rozszczepić na kłody). Już topór wypada ci z rąk, już nóg nie czujesz. Podczas wojny (przy ówczesnych normach żywienia) więźniowie trzy tygodnie przy wyrębie nazywali suchym rozstrzelaniem.

Ten bór, ozdobę świata, opiewaną przez tylu poetów i pisarzy, zaczynasz nienawidzieć! Z dreszczem wstrętu wchodzisz pod stropy sosen i brzoź! Przez całe dziesięciolecie będziesz później – ledwie przymkniesz oczy – widzieć te świerkowe i osikowe kłocę, któreś setkami metrów włókł na własnym grzbiecie do wagonów – tonąc w śniegu, padając co krok i gramoląc się znów, bojąc się, że zapadną się w sypką toń i że nie zdołasz ich już później z niej wydobyć.

Ciężkie roboty, wykonywane przez katorżników w carskiej Rosji, przez całe dziesięć lat normowane były przez ustawę z 1869 roku, określającą warunki pracy i płacy ludzi wolnych. Przy skierowaniu do pracy brano pod uwagę stan fizyczny osobnika i stopień jego doświadczenia (czy można dzisiaj temu dać wiarę?!).

Dzień roboczy trwał zimą 7 godzin (!), latem zaś

– 12 i pół. W Akatju, gdzie praca była ciężka a warunki surowe (Jaku-bowicz, lata 1890), normę wykonywali bez trudu wszyscy prócz niego.

167

Letni dzień roboczy trwał tam – wraz z marszem do miejsca pracy – 8 godzin, poczynając od października – 7, a zimą – tylko 6. (Działo się to jeszcze przed epoką walk o ośmiodzinny dzień pracy!). Co do omskiej katorgi, przez którą przeszedł Dostojewski, to tam w ogóle zbijano baki, jak to każdy czytelnik z łatwością potrafi stwierdzić. Pracowano tam byle zbyć i byle jak, a zwierzchność przydzielała tym nieszczęśnikom białe płócienne kurtki i porcięta – no, czego tu więcej trzeba?

W naszych obozach powiada się „tylko białych kołnierzyków brak”, kiedy robota jest całkiem lekka, kiedy nie trzeba harować. A tamci – paradowali w białych kurtkach! Po robocie katorżnicy z Martwego domu długo jeszcze przechadzali się po dziedzińcu więziennym – widocznie więc nie znali przemęczenia! Zresztą Wspomnień z martwego domu cenzura nie chciała zatwierdzić, w obawie, że – opisane przez Dostojewskiego – zbyt pogodne życie więźniów nie odstręczy nikogo od występku. Dostojewski dodał więc dla cenzury kilka nowych stronic, podkreślając, że życie na katordze jest jednak nielekkie! U nas tylko podskakiewicz – /7rjc?MrA:/ wypoczywali sobie w niedzielę, ale nawet oni trochę się tego krępowali. Szatamow zaś, w związku z Zapiskami Marii Wolkońskiej zauważa, że skazani dekabryści

w Ner-czyńsku musieli codziennie wydobyć i załadować trzy pudry metalowej rudy na osobę (to znaczy – 48 kilogramów – ciężar, który można zadać sobie na plecy nieomal jedną ręką!). Na Kołymie zaś norma Ształamowa wynosiła osiemset pudrów. Ształamow dodaje, że czasami długość letniego dnia roboczego wynosiła 16 godzin! Co do tych 16 godzin, to niewiele mam takich świadectw, ale 13 godzin dziennie pracować musiało wielu – i przy robotach ziemnych w Karłagu i na Północy, przy wyrębie lasu – a mowa tu tylko o godzinach pracy, nie licząc pięciokilometrowych marszów do lasu i z powrotem. Zresztą, co tu gadać o długości dnia roboczego? – toć najważniejsza była norma i kiedy brygada nie wykonała normy, to tylko konwojenci się zmieniali, a robociarze zostawali w lesie aż do północy, pracując przy świetle reflektorów; dopiero nad ranem wracali do obozu, jedli kolację razem ze śniadaniem i znów – hajda do lasu². Nikt już o tym nie opowie: wszyscy oni już ziemię gryzą.

1 Listy J. A. Gruzdzewa do Gorkiego. Archiwum Gorkiego, tom XI, Moskwa, 1966, str. 157.

2 Ci, którzy narzucają wyższe normy wydajności w przemyśle – mogą wmawiać sobie, że usprawiedliwia to postęp techniczny, ale ci, co zwiększają normy fizycznej pracy – są to kaci nad katami! – toż nie mogą serio wierzyć w to – że człowiek epoki socjalizmu jest dwa razy wyższy i dwa razy mocniejszy. Oto kogo trzeba oddać pod sąd! Oto kto powinien być zaprzęgnięty do wykonywania takich norm! 168

Był jeszcze inny sposób podnoszenia norm i wykazywania, że są wykonalne: gdy mróz przekraczał 50°, dzień roboczy spisywano na straty, to znaczy – pisano w aktach, że więźniowie nie poszli do pracy, ale w istocie rzeczy wypędzano ich do lasu – i to co udało się wycisnąć z ludzi takiego dnia, dodawano do pozostałych sprawozdań dziennych, co zwiększało procent wykonania planu. (Tych zaś, którzy takiego dnia zamarli na śmierć – usłużny sanitariat zaopatrywał w świadectwa zgonu z całąk innych przyczyn. Tych natomiast, którzy w drodze powrotnej zostawali w tyle z wyczerpania, albo dlatego, że ścięgnięci mieli naderwane – konwojenci dobijali, aby przypadkiem który nie uciekł, zanim specjalnie po niego się nie wróci).

No, a jaki wikt dostawali za to ci ludzie? Nalewano do kotła wody, sypano do niej – w najlepszym wypadku – nieczyszczonych, drobnych ziemniaków, najczęściej zaś czarnej kapusty, boćwiny z buraków pastewnych – rozmaitego innego śmiecia. Albo wyki, otrębów – bo tego nie szkoda. (A gdzie wody było mało – jak w podobożu Samarka opodal Karagandy, tam dawano dziennie jedną tylko miskę bałandy i na dodatek dwa kubki słonawej, mętnej wody do picia). Co tylko jest lepszego – wszędzie i bez wyjątku bywa rozkradane, zabierane dla kierownictwa, funkcyjnych i knajaków; kucharze są sterroryzowani, wiedzą, że tylko potulność pozwoli im zachować stanowisko. Wypisuje się z magazynu tyle a tyle tłuszczy i mięsnych „subproduktów” (to znaczy wyrobów nie naprawdę mięsnych) i ryb, i grochu, i kaszy – ale niewielka część tych rzeczy trafia do wspólnego kotła. Tu i ówdzie, w zapadłych kątach, zwierzchność przywłaszczająca sobie nawet całą sól, bo przecież warto nasolić grzybków czy ogórków na zimę. (W 1940 roku na budowie trasy kolejowej Kotłas–Wor–kuta, zarówno chleb, jak bałanda były niesione). Im gorszy surowiec, tym większa nadzieja, że trafi na talerz zeka. Zdarzało się to z mięsem koni, które wyciągały kopyta przy ciężkiej robocie – i chociaż trudno było żuć tę padlinę – ale to już była uczta. Iwan Dobriak opowiada: „Swego czasu

niemało naćkałem się mięsa delfinów, morsów, fok, morskich kotów i wszelakiego innego świństwa pływającego. (Nawiasem – my też jadaliśmy wielorybie mięso w Moskwie, w obozie za rogatką Kałuską). Kał zwierzęcy nie budził już we mnie obrzydzenia. A zioła, mech, rumianek – to były najlepsze specjały". (Oczywiście, te specjały organizował on sobie sam, niezależnie od pajki).

Nie sposób – trzymając się norm GUłagu – nakarmić do syta człowieka pracującego trzynaście, a nawet dziesięć godzin na mrozie. A staje się to już zupełnie nie-realne, gdy podstawowa część twego wikt ulega

169

rozkraczeniu. W takiej oto sytuacji zaczyna swoją robotę we wspólnym kotle diabelska warząchew Frenkla: nakarmić jednych – kosztem drugich. Kotły podlegają następującemu podziałowi: kto wykonuje (a w każdym obozie oblicza się to na swój sposób) powiedzmy – 30 % normy, je z kotła dla skazanych na karcer: 300 gramów chleba i miska bałandy dziennie. Od 30 % do 80 % – kocioł karny: 400 gramów chleba i dwie miski bałandy. Od 81 % do 100 % – kocioł dla pracujących: 500–600 gramów chleba i trzy miski bałandy. Dalej idą kotły dla przodowników, zresztą też zróżnicowane: 700–900 gramów chleba i porcja kaszy na dokładkę, dwie porcje kaszy, danie premiowe – jakiś gorzkawy pieróg z ciemnej, żytniej mąki z grochem.

I oto za tę wodnistą trąbizupkę – którą nie sposób wyrównać strat ponoszonych przez organizm przy pracy – ludzkie mięśnie schną na wiór, a przodownicy i stachanowcy prędzej idą do piachu niż ci, co odmawiają chodzenia do pracy. Starzy łagrowcy dobrze to rozumieją i takie mają przysłowie: „Lepiej nie zjeść łyżki kaszki, niż urobić się po paszki”. Jeśli szczęśliwym trafem będziesz musiał zostać na pryczy z powodu braku o-dzieży – to otrzymasz gwarantowane minimum – 600 gramów. Jeśli zaś wydano ci przyodziewek sezonowy (to też bardzo popularny termin!) i wyprowadzono na trasę zimą, gdy grunt ścięty jest mrozem – to choćbyś go kuł młotem kowalskim i dłutem – więcej niż trzysta gramów nie dostaniesz. Ale wcale nie od zeka zależy, czy pozwolą mu zostać na pryczy...

A jeszcze trzeba dyrdać biegiem na poranny apel przed pójściem do pracy, żeby czasem nie być ostatnim (były lata, kiedy w niektórych obozach ostatniego rozstrzeliwano).

Oczywiście, nie wszędzie i nie zawsze wikt bywa taki marny, ale są to liczby raczej typowe; dotyczą obozu Krasłag w latach wojny. W Workucie w tym samym okresie więźniowie–górnicy dostawali (a były to przydziały największe chyba w całym GUłagu, bo węglem z Workuty palono w mieście bohaterów, w Moskwie) za 80 procent normy pod ziemią – albo 100 procent normy na powierzchni – całe kilo i trzysta gramów chleba. A w oślawionym potwornym, morderczym Akatju dawano za carskich czasów w dni nierobocze (czyli za leżenie na pryczy) dwa i pół funta chleba (czyli kilogram!) i 32 zołotniki mięsa – 133 gramy! W dni robocze wydawano katorżnikom trzy funty chleba i 48 zołotników (200 gramów) mięsa na osobę – czy to aby nie więcej, niż nasza frontowa racja w wojsku? Bałandę wynosili tam aresztanci całymi cebrami strażniczym wieprzkom do chlewu, co zaś do rozgotowanej kaszy gryczanej (! – GUłag nigdy jej nie znał) to P. Jakubowicz uznał ją swego czasu za „obrzydliwą w smaku”. Groźba

170

śmierci głodowej nigdy nie wisiła nad katorżnikami Dostojewskiego. O czym tu gadać w ogóle, jeśli na ich dziedzińcu więziennym („w żonie”) łąziły sobie spokoj-

nie gęsi(!), aresztanci zaś nie ukręcali im łbów³. Chleb leżał na stołach, każdy brał go ile chcąc, na Boże Narodzenie dawano funt mięsa na twarz, a omasty do kaszy – wedle woli. – Na Sachalinie więźniowie pracujący w kopalniach i przy budowie dróg, w miesiącach wytężonej pracy dostawali dziennie: chleba – 4 funty (kilo sześćset!), mięsa – 400 gramów, kaszy – 250! I Czechów, człowiek sumienny, stara się dociec: czy rzeczywiście te normy są wystarczające, czy nie za mało tego, jeśli wziąć pod uwagę niską jakość wypieku i przyrządzania dań? Gdyby tak zajrzał do miski naszego robociarza, to nie przeżyłby chyba tego widoku!

Czy ktoś mógł sobie w pierwszych latach naszego stulecia wyobrazić, że „za trzydzieści-czterdzieści lat” nie tylko na Sachalinie, ale na całym obszarze Archipelagu ludzie będą szczęśliwi mogąc żreć jeszcze wilgotniejszy, pełen śmiecia, zakalcowaty, diabli wiedzą z czego wypiekany chleb – i że 700 gramów tegoż chleba uważane będzie za rację wymarzoną, należącą się tylko przodownikom pracy?

Ba, że kołchoźnicy w całej Rosji jeszcze więźniom tej pajki pozazdroszczą! – „bo u nas tego nawet nie ma!...”.

Nawet w nerczyńskich kopalniach za carskich czasów wypłacano gratyfikację za wszystko, co wykonane było ponad wyznaczoną normę (z reguły – umiarkowaną). W naszych zaś obozach przez cały prawie okres istnienia Archipelagu – nie płacono za pracę ani kopiejki albo też sumy wystarczającej akurat na zakup mydła i proszku do zębów. Jedynie w nielicznych obozach – i w tych krótkich okresach, gdy, nie wiedzieć czemu, wprowadzono zasadę samowystarczalności (na konto osobiste więźnia szło wtedy od 1/8 do 1/4 tego, co w istocie powinien był zarobić) zek mógł sobie dokupić chleba, mięsa, cukru – i nagle, o dziwo! – na stołach w jadalni zostawała czasem jakaś kruszyna chleba – i przez całe pięć minut nikt po nią nie sięgał.

Jaką odzież i obuwie nosili tubylcy?

Na ogół Archipelagi – to archipelagi: błękitny ocean rozciąga się wokół, palmy kokosowe rosną bez przeszkód, zaś administracja wysp wca-

3 Szałamow, znający wiele ciężkich obozów, taki mi słuszny zrobił zarzut: „i jaki tam kot szpitalny peta się u pana? Dlaczego nikt go dotąd nie zarznął i nie zeżarł?... I dlaczego pański Iwan Denisowicz paraduje sobie z łyżką, kiedy wiadomo, że wszystko co w obozie dają do żarcia można bez trudu wychleptać prosto z miski, bo jest płynne?«.

171

le nie troszczy się o przyodziewek dla mieszkańców – bo tubylcy chodzą sobie bosko i właściwie na golasa. Naszego zaś przekłętogo Archipelagu nie można sobie nawet wyobrazić w słonecznym blasku: wiecznie pod śniegiem, wiecznie szaleją nad nim zawieruchy. Całą więc tę dziesięcio – piętnas-tomilionową rzeszę aresztantów trzeba jeszcze przyodziać i obuwać⁴.

Na szczęście jednak nie urodzili się na Archipelagu, przybywają więc nie zupełnie goli i bosci. Można pozwolić im chodzić w tym, w czym przyjechali, a raczej w tym, co im na pociechę zostawiają społecznie-bliscy – byle tylko naznaczyć tę odzież tak, jak to przyjęte jest na Archipelagu: urwać jakiś strzęp, tak jak baranom przycina się ucho: obciąć na skos połę płaszcza, ściąć czubek czapki – „budion-nówki”, dziurawiąc ją w ten sposób. Niestety, odzież cywilna nie jest z żelaza, a trzewiki już po tygodniu zdzierają się o pieńki i wyboje Archipelagu. Trzeba więc tubylców jeszcze zaopatrywać w odzież i obuwie.

Jeszcze to będzie kiedyś pokazane na rosyjskiej scenie! na rosyjskich ekranach! – waciak jednego koloru, a rękawy innego. Albo tyle na nim łąt, że nie widać wcale pierwotnej barwy. Albo kaftan płomienisty (bo strzępy, z których się składa, przypominają języki płomienia). Albo łąta na portkach zrobiona z płótna, którym obszywa się przesyłki żywnościowe – i długo jeszcze czytać można fragment adresu, napisanego kopiowym ołówkiem⁵.

Na nogach zaś – odwieczne rosyjskie łąpcie, tyle że brak do nich przyzwoitych onuc. Albo kawał opony samochodowej, przytroczonej do nogi drutem czy przewodem elektrycznym (czego to człowiek z musu nie wymyśli...).

Jeżeli ten kawałek opony tak powiązany jest drutem, że tworzy coś w rodzaju łódki, to nosi nazwę „CzTZ” (Czelabinskij Traktornyj Zawód). Albo „walonki” uszyte z kawałków starego, podartego waciaka; podeszwy do nich robi się z warstwy wojłoku i warstwy gumy⁶. Stojąc przed odwachem i słysząc rano skargi na zimno, komendant OŁP odpowiada więźniom z gułagowskim poczuciem humoru:

– Moja gęś też całą zimę chodzi boso i wcale się nie skarży, chociaż nogi ma takie więcej czerwone, fakt. A wy wszyscy jakieś tam chodaki macie.____

4 Jak twierdzi encyklopedia „Rosja – ZSSR”, w GUłagu siedziało równocześnie około 15 milionów więźniów. Zbiega się to z oceną cyfrową dawaną przez samych więźniów. Gdy opublikowane zostaną cyfry lepiej udokumentowane – weźmiemy je pod uwagę.

5 Na katordze carskiej w Akatju wydawano więźniom kozuchy.

6 Ani Dostojewski, ani Czechów, ani Jakubowicz nie mówią nam co wzuwali na nogi ówcześni więźniowie. Ale nosili chyba normalne buty, bo inaczej autorzy zwróciliby na to uwagę.

172

Na ekranie prócz tego pojawią się brunatnoszare twarze łagrowców. Załzawione oczy, zaczerwienione powieki. Białe, spierzchnięte wargi, całe w plamach. Nie ogolona, szpakowata szczecina. Zima – a na głowie letnia czapka z przyszytymi nausznikami.

Jakże tu was nie rozpoznać wyspiarze z naszego Archipelagu!

Choćby jednak dzień roboczy trwał nie wiem jak długo – zawsze w końcu robotnicy wracają do baraku.

Barak? Czasem to tylko ziemianka, ledwie widoczna nad powierzchnią gruntu.

A na Dalekiej Północy – najczęściej to – namiot, co prawda, przytrzaśnięty z wierzchu ziemią i obłożony byle jak dranicami. Nierzadko

– zamiast elektryczności są tylko lampy naftowe, ale zdarza się także łuczywo – albo knot, ukręcony z waty i sycony tranem. (W obozie Ust'–Wym' przez dwa lata brak było nafty, więc barak sztabu oświetlony był olejem jadalnym, branym z magazynu żywnościowego). W takim więc żałosnym świetle ukaże się naszym oczom świat otaczający tych straceńców.

Prycze dwu – i trzypiętrowe; „wagonetki” – to już szczyt luksusu. Dechy najczęściej zupełnie gołe, nic na nich nie leży; w niektórych odległych pod-obozach kradną wszystko z taką dokładnością (żeby później sprzedawać to przez wolniaków – pośredników), że ludziom niczego już z magazynów się nie wydaje i nikt w barakach niczego nie zostawia – więźniowie noszą ze sobą menażki i kubki (kopią ziemię, nie zdejmując plecaka z grzbietu), kto ma jakiś koc (stop klatka!) ten zakłada go na kark jak chomąto albo oddaje na przechowanie znajomym prydukom do strzeżonego dobrze baraku. W dzień barak ziele pustką, jakby nikt w nim

nie mieszkał. Na noc warto by oddać do suszarni przemokłą odzież roboczą (jeśli jest suszarnia!)

– ale na golasa leżąc, mężna zamarznąć na gołych dechach. Schną więc te łachmany na ich posiadaczu. W nocy do ścian namiotu przymarza nieraz czapka, kobietom przymarzają włosy. Nawet łapcie kładzie się pod głowę, żeby ich kto nie ukradł człowiekowi z nóg (obóz Buriepołom, lata wojny).

– Pośrodku baraku – żelazna beka na benzynę, przerobiona na piec. Dobrze, jeśli blacha rozpalona jest do czerwoności, wówczas smrodliwa para z mokrych onuc zasnuwa cały barak; gorzej, jeśli mokre szczapy nie chcą się tlić. Niektóre baraki tak są zarobaczone, że nie pomaga czterodniowe kadzenie ich siarką, a gdy latem zeki wychodzą z baraku, aby pospać pod gołym niebem, to pluskwy wypętlają za nimi ruchomą strugą. Sposobem na wszy – jest gotowanie bielizny w menażkach.

Wszystko to należy do specyfiki XX wieku i nie udało się nam skonfrontować tych danych z relacjami zesłowiecznych kronikarzy więziennych: nie pisali oni o podobnych zjawiskach.

173

Dodajmy do tego jeszcze taki obraz: z krajalni chleba niosą na fragach chleb dla brygady pod ochroną najmocniejszych członków zespołu, zbrojnych w pały – bo inaczej inni go wydrą, rozkradną, poturbują fragarzy. Pokazać by warto, jak wyrrywają przesyłki z rąk przy samym wyjściu z rozdzielni paczek. Nasycić to wszystko należy statym lękiem: czy aby panowie naczelnicy nie odbiorą ludziom najbliższej niedzieli (co tu gadać o wojnie, jeśli w „sowchozie Uchta” już rok przed wojną nie uznawano niedziel, a w Karłagu nie było ani jednego wolnego od pracy dnia między rokiem 37. a 45.) Zaprawić to jeszcze trzeba wieczną obozową niepewnością jutra, kurczowym oczekiwaniem na zmiany: to pogłoski o etapie, to etap na serio (katorga Dostojewskiego nie wiedziała co to etap, ludzie po dziesięć, po dwadzieścia lat siedzieli w jednym więzieniu – całkiem to inne życie); to jakieś nagłe i tajemnicze przetasowanie „kontyngentów”; to przerzucanie ludzi z miejsca na miejsce „dla dobra produkcji”; to jakaś komisja; to inwentaryzacja sprzętu; to niespodziane nocne rewizje z rozbieraniem ludzi do naga i przetrząsaniem całego nędznego mienia; ponadto – osobne i nader staranne rewizje przed 1 maja i 7 listopada (na katordze carskiej nic podobnego nie zdarzało się ani na Gody, ani na Wielkanoc). I trzy razy miesięcznie – rujnujące, niszczące łaźnie (nie będę tego tu opisywał, dla uniknięcia powtórzeń. Istnieje gruntowna analiza tych zjawisk w opowiadaniu Ształamowa, również Dostojewski napisał na ten temat opowiadanie).

A jeszcze dodać trzeba twoją stałą (a dla inteligenta – nader męczącą) niemożność wyodrębnienia się, oddzielenia od masy, ów status – nie samodzielnej, osobnej jednostki, lecz członka brygady, skąd bierze się konieczność – i to przez całą dobę, cały rok, przez cały ciąg odbywania kary – postępowania nie wedle własnej woli, lecz tak jak to wygodniejsze jest dla brygady.

Tu trzeba też będzie podkreślić, że wszystko powiedziane wyżej, odnosi się do obozu stałego, istniejącego już od wielu lat. A przecież kiedyś tam i ktoś tam (któż, jeśli nie my, nieszczęśni) musi te obozy zakładać: znaczy to, że trzeba wkroczyć do zaśnieżonego, mroźnego boru, opasać matecznik drutem kolczastym – i jeśli komuś uda się dożyć do pierwszych baraków, to będą to baraki dla straży. W listopadzie 1941 roku opodal stacji Reszety założono pierwszy OłP Krastagu (po 10 latach było

ich już, tych pod-obozów, siedemnaście). Spędzono 250 wojaków, zabranych z armii czynnej, aby uchronić ją przed rozkładem moralnym. Ludzie ci zrąbali las, wybudowali ściany baraków, ale pokrycia na dachy nie było, więc mieszkali tak pod gołym niebem, garnąc się do żelaznych piecyków. Chleb przywożono im zamarynowany na kość, trzeba go było rąbać siekierą i rozdzielać

174

garściami: pokruszony, w kawałkach, pomięty. Drugim daniem była ryba, bardzo słona. Sól parzyła gębę, trzeba było koić palenie śniegiem.

(Wspominając bohaterów wojny narodowej, nie zapominajcie o tych żołnierzach!...).

Tak to się żyło na moim Archipelagu.

Filozofowie, psychologowie, lekarze i pisarze mogli w naszych obozach znaleźć więcej okazji, niż gdziekolwiek indziej, do szczegółowej i wszechstronnej obserwacji szczególnego procesu zwężania się intelektualnych i duchowych horyzontów jednostki, osuwania się istoty ludzkiej aż do poziomu bydlęcego, procesu umierania żywem. Ale psychologowie, trafiający do obozu, zwykle nie bardzo byli skorzy do robienia obserwacji: sami bowiem unoszeni byli przez tenże rwący potok, ucierający człowieka na kupkę kału i prochu.

Żaden żywy organizm nie może istnieć, nie wydalając resztek; podobnie Archipelag nie mógłby kontynuować robaczkowych ruchów swoich trzewi, gdy nie spychał aż na samo dno najważniejszego rodzaju odpadków. Są nimi dochodiagi*. I wszystko, co zbudowano i stworzono na Archipelagu⁷, wyciśnięte zostało z mięśni tych zdechłaków (zanim się nimi stali).

Ortodoksi partyjni, trafiający się wśród ocalałych, pisują do mnie teraz listy pełne gromkich protestów: jak wulgarne są myśli i czyny bohaterów Jednego dnia Iwana Denisowicza! – czemu nie dzielą się oni z czytelnikiem swoimi myślami o sensie dziejów – do których doszli przecież przez cierpienie? – czemu wciąż tylko pajka i bałanda; a przecież są męczarnie znacznie cięższe niż głód!

Ach – są takie? Ach – są męczarnie znacznie cięższe (męki myśli ortodoksyjnej)? O, nie wiedzieliście, co to głód, zadekowani przy lazaretach i magazynach, prawomysłni panowie ortodoksi!

Od stuleci wiadomo, że głód rządzi światem! (I na Głodzie, na założeniu, że głodni pono koniecznie muszą powstać przeciw sytem, wspiera się także

Termin „dochodiaga” mógłby zostać przetłumaczony całkiem ściśle jako „muzulmanin”: słowo to znamy z literatury dotyczącej obozów niemieckich, ale właśnie różnica miejsca i czasu skłania nas do zachowania rosyjskiego brzmienia tego wyrazu. „Dochodiaga” to również coś więcej niż polski „zdechłak” czy „półtrup”, jak świadczy ten właśnie rozdział książki.

⁷ Patrz rozdział 22.

175

cała Przodująca Teoria. A to nieprawda: do powstań skorzy są ludzie trochę wyposzczeni, podczas gdy naprawdę głodujący nie o powstaniach myślą). Głód przesądza o uczynkach każdego głodującego człowieka, jeśli tylko ten nie postanowił sam świadomie odebrać sobie życia. Głód zmusza uczciwego człowieka do kradzieży („gdy głód w kiszkaach strzyka, to sumienie znika”). Głód każe człowiekowi najbardziej bezinteresownemu z zawiścią spoglądać na cudzą miskę i myśleć z goryczą o tym, że pajka sąsiada jest większa. Głód zaćmiewa rozsądek i nie pozwala zająć się niczym innym, ani na chwilę oderwać się od tej jedynej my-

śli, mówić o czym innym, niż o żarciu, żarciu. Jest głód, który nie pozwala nawet zasnąć: śni się tylko żarcie, a bezsenne godziny też spędza się tylko na marzeniach o żarciu. Rychło już sen całkiem człowieka odbiega. Jest głód, który nie pozwala już nigdy najeść się do syta, jeśli trwał za długo: człowiek przekształca się w rynną przetokową i wszystko z niego wylatuje w takim stanie, w jakim zostało potknięte. To także powinno kiedyś być pokazane na rosyjskich ekranach: jak tłum dochodiarzy, zawistnie zerkając na konkurentów, dyżuruje pod gankiem kuchni w oczekiwaniu na wyniesienie odpadków na śmietnisko. Jak rzucają się na nie, jak biją o każdy łeb rybi, kość czy łupiny z jarzyn. I jak później płuczą oni te odpadki, jak gotują je i jak je pożerają. (A co wnikliwsi operatorzy mogą poświęcić jeszcze trochę taśmy i pokazać, jak w 1947 roku w obozie Dolinka, dopiero co przywiezione z wolności bessarabskie chłopki rzucają się w tych samych zamiarach na śmietnisko, już spenetrowane przez dochodiarzy). Na ekranie będzie pokazane, jak pod szpitalnymi kocami leżą kości, jeszcze jakoś trzymające się kupy, jak umierają bez drgnienia i jak się je później wynosi. W ogóle – jak łatwo człowiek umiera! Dopiero co mówił coś – i nagle zamilkł; szedł drogą – i nagle padł jak długi. „Brzdęk – i już go nie ma”. Jak (podobozcy Unża, Nuksza) tęgomordy, społecznie-bliski kalifaktor po pobudce ściąga ludzi z prycz za nogi, a tu jeden już skonał i martwym łbem prask o podłogę. „Odwalił kitę, ścierwo!”. I jeszcze go kopnie, niby żartem. (W tych podobozach podczas wojny nie było żadnego felczera ani nawet sanitariusza, dlatego też – wcale nie było w nich chorych, a jeśli kto symulował chorobę, to go koledzy wyprowadzali do lasu pod ręce, niosąc ze sobą deskę i powróż, żeby łatwiej było wracać z trupem. Podczas roboty sadzano takiego przy ognisku i wszyscy do kupy – więźniowie i konwojenci – wyczekiwali tylko, żeby prędzej skonał).

Czego nie zdoła ogarnąć ekran, to opíše nam cierpliwa i wnikliwa proza, już tam ona potrafi rozróżnić odcienie tego ostatecznego procesu, klasyfikowanego raz jako skorbut, kiedy indziej – jako pellagra, innym

176

znów razem – jako niedożywienie. Po odgryzieniu kęsa chleba, zostaje na miększu krwawy ślad – to skorbut. Niedługo zaczną wypadać zęby, gnić dziąsła, otworzą się rany na goleniach, całe kawały ciała zaczną odpadać, pojawi się trupi fetor, twarde guzy nie pozwolą nogom się rozgiąć, ale takich chorych szpital nie przyjmuje, więc pełzają sobie po żonie na czworakach. – Twarz ciemnieje, jak od opalenizny, skóra się łuszczy, biegunka chwili spokoju nie daje – to pellagra. Biegunkę trzeba jakoś wstrzymać – jedni łykają więc po trzy łyżki kredy dziennie, inni twierdzą, że gdyby dostać gdzieś śledzi i porządnie się ich najeść – to może by pomogło. Ale gdzie te śledzie? Człowiek słabnie coraz bardziej – i tym szybciej, im był większy i mocniejszy. Tak już osłabł, że nie potrafi wlabudać się na górną pryczę, nie potrafi przestąpić przez leżącą kłodę: musi oburącz podnosić nogę albo przeczołgiwać się na czworakach. Biegunka pozbawia człowieka nie tylko wszystkich sił – lecz także wszelkich zainteresowań – innymi ludźmi, życiem, własnym losem. Człowiek głuchnie, głupieje, nie potrafi już płakać, nawet gdy go ciągną na powrozie, jak wór za saniami. Już nie boi się śmierci, wpada w różowy nastrój, nic nie budzi w nim sprzeciwu. Przekroczył wszystkie granice, zapomniał imion swoich najbliższych, nie pamięta już, jak sam się nazywa. Czasami całe ciało zdychającego z głodu człowieka pokrywa się sinoczanymi wrzodami z maleńką ropną główką – są wszędzie: na twarzy, rękach, nogach, nawet na mosznie. Nie sposób ich do-

tknąć, tak bolą. Wrzodziki dojrzewają, pękają same, wycieka z nich gęsta, czarna ropa. Człowiek gnije żywcem.

Jeśli po twarzy twego sąsiada z pryczy nagle rozpełzną się zdeorientowane czarne wszy, gnieźdzące się zwykle na głowie – to niezawodna oznaka śmierci.

Fe, jaki naturalizm! Po co w ogóle mówić o takich rzeczach?

I w ogóle – powiadają nam teraz ci, którzy sami nigdy nie cierpieli, którzy za to sami ludzi katowali albo umywali ręce, albo udawali, że nic z tym nie mają wspólnego – na co się zdały te przypomnienia? wspomnienia? Po kiego licha jątrzyć stare rany? (ICH rany!).

Już Lew Tołstoj odpowiedział Biriukowowi: „Jak to – po co wspominać? Jeśli cierpiałem na wstydliwą chorobę, wyleczyłem się z niej, oczyściłem z zarazy – to zawsze będę to wspominał z radością. Niemiłe mi zaś będą wszelkie wspomnienia tylko wtedy, gdy wciąż jeszcze będę chory tak samo albo nawet ciężiej; będę wówczas usiłował sam siebie omamić. Jeśli pamiętać będziemy o przeszłości i śmiało się spojrzymy jej w oczy – to współczesna nasza przemoc też się przed naszym wzrokiem nie ukryje8!”.

Biriukow, Rozmowy z Tołstojem, t. 3–4, str. 48.

177

Te stronicie, poświęcone dochodiagom chcę zakończyć relacją N.K.G.

o inżynierze Lwie Nikołajewiczu (! na pewno przecież ochrzczono go tak na cześć Tołstoja!) J. – który był dochodiagą – teoretykiem, twierdzącym, że przekształcenie się w świadomego dochodiagę jest najlepszym sposobem na zachowanie w obozie życia.

Oto widzimy inżyniera J. w głuchym zakątku żony, pewnej upalnej niedzieli: jakaś człekokształtna istota siedzi w bruździe nad dołem, w którym zebrata się brunatna woda z torfowiska. Dookoła rozsypane są łebki rybie, ości, chrząstki, resztki chleba, garstki kaszy, surowe, opłukane już łupiny kartoflane i jeszcze coś tam, co trudno nawet określić. Na kawałku blachy płonie kilka szczapek, nad ogniem wisi żołnierska, zakopcona do cna menażka z jakąś bryją. Jadło jest już chyba gotowe!

Drewnianą łyżką dochodiagą czerpie ciemne pomyje z menażki i zagryza je to kartoflaną obie-rzyną, to chrząstką, to główką śledziową... Żuje długo, bardzo starannie (zwykły dochodiagą tyka jadło pośpiesznie, wcale nie żując – to ich nie-szczęście). Nos jego ledwie jest widoczny w ciemnoszarej masie sierści, zarastającej jego szyję, podbródek i policzki. Nos i czoło są burowoskowej barwy, skóra na nich się łuszczy. Oczy łzawią się, wciąż nimi mruga.

Ledwie ktoś postronny się zbliży, dochodiagą szybko zgarnia do kupy wszystko, co leżało wokół i czego jeszcze nie zdążył przełknąć, przyciska menażkę do piersi, przypada do ziemi i kuli się cały jak jeź. Teraz można go bić, szturchać – ale w tej pozycji trudno sobie z nim poradzić: nie da się oderwać od ziemi i nie odda swojej menażki.

N.K.G. zwraca się do niego przyjaznym, życzliwym tonem – i jeź stopniowo rozpręża skulony grzbiet. Widzi, że nikt nie chce go bić ani wyrwać mu menażki. Zaczyna się rozmowa. Obaj interlokutorzy są inżynierami (N.G. – jest geologiem, J. – chemikiem) – i oto J. składa G. swoje wyznanie wiary. Operując chemicznymi formułami, których nie zapomniął, dowodzi, że wszystkie, potrzebne człowiekowi substancje odżywcze można uzyskać z odpadków, trzeba tylko przezwyciężyć odrazę i skupić wszystkie wysiłki jedynie na tym, by wszystko z tego surowca wydobyć.

Nie bacząc na upał, J. ubrany jest grubo, ma na sobie kilka warstw odzieży, bardzo przy tym brudnej. (To też ma swoje uzasadnienie: J. ustalił doświadczalnie, że w bardzo brudnej odzieży wszy i pchły już się nie rozmnażają – niejako z obrzydzenia. Dlatego bieliznę spodnią zrobił sobie J. z brudnych ścierek, wyrzucanych z warsztatów).

Oto więc jego wygląd: sukienna, budionnowska pikielhauba z czarnym ogarkiem tam, gdzie był szpic, cała zresztą poprzypalana. Do czarnych z brudu nauszników czapki przylgnęły kłaczki siana i pakuł. Ma na sobie coś w rodzaju okrycia; z grzbietu i boków zwisają oddarte jęzory. Łata na

178

łacie. Jeden bok cały w smole. Wata z podbicia wisi frędzlami u dołu. Oba rękawy rozprute są po same łokcie i kiedy dochodziaga podnosi ręce – rozwiewają się jak skrzydła nietoperza. Na nogach ma łódkowate chodaki, sklejone z czerwonych gum samochodowych.

Po co mu tyle grubych szmat? Po pierwsze – lato jest krótkie, trzeba wszystko zachować aż do zimy, a jak upilnować, jeśli nie na własnym grzbiecie? Po drugie – a to jeszcze ważniejsze – tak jest mu miękcej, to są jakby poduszki, które oszczędzają mu bólu przy biciu. Bo bity jest i kopany, a siniaków jednak nie ma. To jedyna jego tarcza. Trzeba tylko uprzedzić cios, paść w porę na ziemię, podciągnąć kolana pod brzuch, przygiąć głowę do piersi i objąć ją ramionami w opancerzonych watą rękawach. I wtedy można go już lać, ciosy padają na miękki podkład. A po to, by nie być bitym długo, trzeba dać bijącemu satysfakcję, poczucie, że wygrał. W tym celu J. nauczył się krzyczeć już po pierwszym szturchancu, kwiczeć jak prosię, chociaż wcale bólu nie czuje. (W obozie przecież bardzo się lubi bić słabszych, lubią to nie tylko funkcyjni i brygadziści, ale również zwyczajni zecy, aby poczuć, choć na chwilę, że jest ktoś jeszcze słabszy od nich. Co robić, jeśli ludzie nie potrafią uwierzyć we własną siłę bez znęcania się nad innymi?).

J. uważa obrany przez siebie sposób bycia za zupełnie znośny i rozsądny, a ponadto – nie zostawiający plam na sumieniu! Toć nikomu nie robi żadnej krzywdy.

Ma nadzieję, że uda mu się w ten sposób dożyć do końca kary.

Wywiad z dochodiaga tu możemy zakończyć.

Stary więzień Kołomy, Tomasso Sgovio, amerykański Włoch z Buffalo, utrzymuje, że: „Dochodiagami najczęściej zostają inteligenci; wszyscy do-chodiagi, których znałem, należeli do tej warstwy. Nie zdarzyło mi się widzieć, żeby dochodiaga został zwykły rosyjski chłop.

Nie wykluczone, że tak jest w istocie: chłop ma tylko jeden sposób utrzymania się przy życiu, jest nim praca. Pracą się ratuje, praca go też gubi. Inteligent zaś czasem nie widzi dla siebie innego środka ochrony, niż stoczenie się aż do poziomu dochodiagi i stara się tak mistrzowsko opanować ten fakt, jak to się udało naszemu J. W przestawnej naszej ojczyźnie najważniejsze i najśmielsze książki nie dochodzą do rąk współczesnych, nie mogą na czas wywrzeć wpływu na myśl narodową (jedne dlatego, że są zabronione, tępione, usuwane z obiegu, inne zaś dlatego, że wykształceni czytelnicy są do nich uprzedzeni).

179

Również tę książkę piszę jedynie z poczucia obowiązku – jako że w moim ręku zebrało się zbyt już wiele racji oraz wspomnień i nie wolno pozwolić, aby zginęły.

Wcale się nie spodziewam, by mogła być kiedykolwiek ogłoszona drukiem; mało jest nadziei na to, by mogli ją przeczytać ci, którzy zdołali unieść głowy z Archipelagu; nie wierzę, by mogła ona rzucić światło na prawdę naszej historii jeszcze wtedy, gdy coś można by naprawić. Właśnie gdy najbardziej pochłonięty byłem tą pracą, doznałem jednego z największych w moim życiu wstrząsów: smok znów pojawił się na chwilę, szorstkim, czerwonym ozorem zlizął z biurka moją powieść, jeszcze parę gotowych już rzeczy – i wrócił na jakiś czas za kurtynę. Ale słyszę, jak tam dyszy i wiem, że ostrzy na mnie swoje zębiska, tylko że czas jeszcze nie nastał. I z raną w duszy usiłuję zakończyć to moje studium, aby chociaż te stronicie uchronić przed smoczymi kłami. Właśnie wtedy, gdy Szotoł–chow, który dawno już przestał być pisarzem, wyjechał z kraju więzionych i zadręczonych pisarzy po swoją nagrodę Nobla – ja starałem się kurczowo zmylić szpiclów, znaleźć jakieś schronienie i zyskać na czasie, aby zdyszany piórem, po kryjomu, zakończyć tę oto książkę.

To tylko dygresja, a właściwie chciałem powiedzieć tylko, że najważniejsze książki u nas nie docierają do współczesnych i wcale nie jest wykluczone, że niepotrzebnie powtarzam to, co kto inny już zrobił i że mógłbym zwięźle ująć ten temat, gdybym znał pracę jakichś innych tajnych badaczy. Ale w ciągu siedmiu lat dychwawczej i mizernej wolności to i owo jednak wyszło na jaw, samotny pływak, ledwie potrafiący utrzymać głowę nad falami, dojrzał o bladym świetle jakąś inną głowę wśród morskiej toni – i krzyknął ochryple. Tak właśnie poznałem sześćdziesiąt obozowych opowiadań Szotałowa i jego studium o knajakach.

Chcę tu podkreślić, że wyjąwszy kilka spraw szczegółowych, nigdy nie było między nami żadnych różnic w ogólnej ocenie Archipelagu. Na całe życie tameczne mieliśmy pogląd w zasadzie identyczny. Szotałowa droga przez obóz była dłuższa i cięższa niż moja i stwierdzam z całym szacunkiem, że właśnie jemu nie zaś mnie pisane było dotrzeć aż do samego dna bestialstwa i rozpacz, na które spychał nas cały tryb życia w obozie.

Nie odbiera mi to jednak prawa do odmiennego zdania w kwestiach spornych. Jedną z tych kwestii jest stosunek do obozowego sanitariatu. O każdej z obozowych instytucji Szotałow mówi z nienawiścią i złością (i ma rację!) – i tylko dla sanitariatu robi wyjątek, moim zdaniem stronniczy. Podtrzymuje w ten sposób – a może tworzy – legendę o istnieniu jakiejś oazy dobra w obozie. Twierdzi on, że wszyscy w obozie są wrogami zeka, ale jest też lekarz – i że on jeden może więźniowi pomóc.

180

Ale to, że może pomóc – jeszcze nie znaczy, że istotnie pomaga. Może pomóc – jeśli tylko zechce – również kierownik robót, planista, księgowy, magazynier, kucharz, dyżurny w bloku, każdy funkcyjny – a czy wielu z nich pomaga?

Nie wykluczone, że przed 1932 rokiem, kiedy sanitariat obozowy jeszcze podlegał Komisarjatowi Zdrowia, lekarze mogli być lekarzami. Ale w 1932 roku znaleźli się oni w wyłącznej gestii GUłagu i odtąd jedno tylko mieli zadanie: pomagać w gnębieniu zeków i być ich grabarzami. Nie mówiąc więc o budujących wyjątkach i dobrych lekarzach – zastanówmy się, kto tolerowałby istnienie sanitariatu na Archipelagu, gdyby nie służył on wspólnemu celowi?

Gdy administrator i brygadzysta leją dochodiagę za odmowę pójścia do pracy – i to tak, że musi wylizywać się z ran jak pies, że dwie doby leży w karcerze nieprzytomny (Babicz), że dwa miesiące nie może później spełznąć z pryczy – czy to nie

sanitariat właśnie (I OŁP Dzydyskich obozów) odmawia protokolarnego stwierdzenia faktu pobicia, a później – odmawia nawet leczenia?

A któż, jeśli nie sanitariat firmuje każdy rozkaz wsadzenia więźnia do karceru? (Zauważmy zresztą, że ten podpis lekarza nie tak znów bardzo potrzebny jest zwierchności. W obozie opodal Indygarki był felczerem („lepignatem” – ten termin nie przypadkiem przyjął się w obozach!) wol-niak S. A. Czebotariow. Nie kontrasygnował on ani jednego zlecenia komendanta z OŁP-u na wtrącenie więźnia do karceru, ponieważ był zdania, że do takiej kabaryny nawet psa nie wolno wsadzić, a co dopiero człowieka: piec grzał tylko strażnika w korytarzu. No i cóż, wsadzano tam ludzi, obchodząc się bez jego podpisu).

Gdy ginie zek, na skutek – braku urządzeń ochronnych przy pracy, z winy kierownika robót albo majstra – któż, jeśli nie felczer i sanitariat wystawiają protokół, że zmarł on na zawał serca? (Tym samym – można obejść się bez technicznych zmian i jutro zginą inni. Bo jak nie, to felczer też pójdzie nazajutrz do łopaty! Albo nawet sam lekarz).

Gdy nadchodzi raz na kwartał przegląd komisyjny – ta parodia ogólnego lekarskiego oglądu wszystkich mieszkańców obozu – gdy każdy z nich zostaje zakwalifikowany do CPF, SPF, LPF i IPF (ciężka – średnia – lekka – indywidualna praca fizyczna) – czy bardzo sprzeciwiają się zacni lekarze złemu naczelnikowi sanitariatu, który tylko dlatego siedzi na swoim stołku, że dba o dostawy siły roboczej do najcięższych prac fizycznych?

A może sanitariat okazał miłosierdzie choćby tym, co poświęcili jakąś część swego ciała, aby uratować resztę? Wszystkim znane jest prawo, wedle

181

którego w ogóle nie udziela się pomocy lekarskiej tym, którym dowiedziono samookaleczenie, celowe odrąbanie palców, tym co przyprawili się. Prawo wydała administracja, ale kto nie udziela pomocy? Lekarze... Zapalnik wybuchł komuś w rękę, urwał cztery palce, człowiek przychodzi do szpitala, ale nawet bandaży mu nie dadzą; idź precz, zdychaj, psie! Jeszcze na Wołgokanale, w epoce powszechnego entuzjazmu i masowego współzawodnictwa, nagle i nie wiadomo dlaczego (?) zaczęły mnożyć się wypadki samouszkodzeń. Rychło znalazło się wyjaśnienie: wróg klasowy nie śpi. Więc co? – może takich też leczyć?... (Rzecz jasna, wszystko tu zależy od sprytu desperata: można tak przyprawić się, że nikt tego nie dojdzie. Arns Bernsztejn oparzył sobie rękę wrzątkiem umiejętnie – przez szmatkę – i w ten sposób zachował życie. Inny znów potrafił odmrozić sobie zręcznie dłoń, pracując bez rękawicy, albo nasikał do walonek przed wyjściem na mróz. Ale nie wszystko da się przewidzieć: często wdaje się gangrena, a to już pewna śmierć. Czasem pomoże sobie człowiek bezwiednie: niegojące się rany chorego na skorbut Babicza uznano za wrzody syfilityczne; z braku laboratorium analizy krwi nie zrobiono, facet z radością zełgał, że chorował na syfilis wraz z całą rodziną. Przeniesiono go do żony dla weneryków i w ten sposób śmierć jego została odroczone).

Ale może sanitariat zwolnił kiedykolwiek z pracy każdego, kto danego dnia naprawdę był chory? Czy nie wypędzano co dzień poza żonę całej masy ciężko chorych ludzi? Bohatera narodowego i koronnego komika plemienia zeków, Piotra Kiszkin, lekarz Sulejmanow nie przyjął do szpitala tylko dlatego, że biegunka pacjenta nie odpowiadała normie: żeby koniecznie co pół godziny i koniecznie z krwią. Wówczas – przy wymarszu kolumny do roboty Kiszkin sobie usiadł, ryzyku-

jąc, że zostanie zastrzelony. Ale konwój okazał się litościwszy od lekarza: zatrzymał przejeżdżającą ciężarówkę i odesłał Kiszkińskiego do lazaretu. Zaraz mi ktoś odpowie, że sanitariat był ograniczony narzuconym z góry odsetkiem, przewidzianym dla grupy „C” – chorych hospitalizowanych i ambulatoryjnych⁹. Usprawiedliwienia zawsze się znajdują, ale też nie ma sposobu – aby wymazać okru-

⁹ Lekarze omijali ten przepis gdy tylko była okazja: w Symskim OŁP urządzono p ó U a z a r e t: dochodiagi leżeli na swoich waciakach, pracowali przy sprzątaniu śniegu, ale wikt dostawali szpitalny. Wolny naczelnik sanitariatu, A. M. Statnikow, omijał przepis dotyczący grupy „C” w taki sposób, że zredukował do minimum lazarety w żonach roboczych, za to tworzył i powiększał podobozы szpitalne, to znaczy, składające się wyłącznie z chorych. W oficjalnych dyrektywach GUŁagu powtarzano nawet czasem, by „starać się o polepszenie stanu fizycznego aresztantów” – tylko że nie dawano na ten cel żadnych środków. Ale już zawziętość sposobów, do których uczciwi lekarze musieli się uciekać, jest dowodem, że sanitariat nie był w stanie hamować procesu zagłady.

182

cieństwo, nie zrównoważy go powtarzanie, że „za to komuś innemu” w tym samym czasie oddano jakąś przysługę.

Tu trzeba przypomnieć też przeraźliwe obozowe szpitaliki – jak ten lazaret 2 podobozу w Krywoszczekowie: maleńka izba przyjęć, klozet i izba chorych. Klozet cuchnie i zatruwa powietrze w szpitalu, ale czy o to tylko chodzi? Leży tu na każdej pryczy po dwóch chorych na biegunkę, to samo na podłodze między łózkami. Ci, co już opadli z sił, robią pod siebie w pościeli. Ani bielizny, ani lekarstw (1948–49). Kieruje szpitalem student III roku medycyny (siedzi z art. 58), desperuje, ale nic pomóc nie może. Sanitariusze odpowiedzialni za karmienie chorych – chłopy na schwał dobrze odżywione: obżerają chorych, kradną z ich szpitalnej pajki. Kto im dał te dochodowe funkcje? Na pewno kum. Student nie miał dosyć siły, aby ich przepędzić i uratować dla chorych ich przydział żywności. A czy każdy lekarz znajdował siły do tej walki¹⁰?

A może w którymś obozie sanitariat mógł wywalczyć dla więźniów jakiś ludzki wikt? No, choćby po to, aby nie podziwiać wieczorami tych „brygad kurzej ślepoty” – wracających z pracy łańcuszkiem, bo niewidomi z awi-taminozy ludzie musieli trzymać się poły tego, co na przedzie? Ale skąd. Jeżeli jakimś cudem dochodziło do polepszenia jakości wikt – to chyba z inicjatywy administracji od produkcji, gdy zależało jej na sprawnych robotnikach. A sanitariat nic tu nie mógł poradzić. Nikt nie powinien winić o to wszystko lekarzy (choć często niezbyt odważnie opierali się samowoli, bojąc się przeniesienia na roboty ogólne), ale nie ma też miejsca dla legendy o zbawczym sanitariacie. Jak każda instytucja obozowa, także służba zdrowia jest też diablیم pomiotem i diabelską juchę ma w żyłach.

Kontynuując swój przewód myślowy, Szatamow powiada, że więzień może w obozie liczyć tylko na pomoc ze strony lekarzy, nie może zaś liczyć na własną pracę, nie powinien nigdy spodziewać się, że coś z niej będzie miał, bo to najkrótsza droga do mogiły. „W obozie nie mała pajka ludzi wykańcza, tylko duża”.

Słuszne to przysłowie: większa pajka przyznawana przodownikom ludzi gubi. Najsilniejszy drwal wykańcza się w ciągu jednego sezonu przy wyłaczaniu ściętych pni. Wówczas przyznany zostaje mu statut tymczasowego inwalidy: 400 gramów chleba i najgorszy kocioł. Zimą większa ich część umiera (no, powiedzmy 725 na 800). Pozostali przenoszeni są do „lekkich prac fizycznych” i umierają nieco później.

10 Dostojewski bez kłopotu znajdował miejsce w lazarecie. I cała służba zdrowia na ich katordze była wspólna dla więźniów i dla konwoju. Oto, co znaczy zacofanie!

183

Ale jakież jeszcze inne wyjście można wskazać Iwanowi Denisowiczowi, jeśli nie może on zostać ani felczerem, ani sanitariuszem, jeśli nie dają mu nawet jednego dnia lipnego urlopu? Jeśli za mało ma wykształcenia, a za dużo sumienia, aby zostać prydurkiem w żonie? Czy może liczyć na cokolwiek innego, niż na własne ręce? Na Ośrodek Wypoczynkowy (OP)? Na samookaleczenie? Na spisanie na straty?... Niechże sam o tym opowie, przecież o wszystkim tym już myślał, czasu miał dość. „OP – to rodzaj obozowego domu wczasowego. Dziesiątki lat zek haruje bez żadnego urlopu, więc naści – OP na dwa tygodnie. Jedzenie jest tam o wiele lepsze, nie trzeba chodzić do roboty poza żonę, a w samej żonie – tylko trzy, cztery godziny łatwej pracy: kruszenie żwiru, sprzątanie żony, remonty. Jeśli w obozie siedzi pięciuset ludzi – to OP obliczone jest na piętnastu. Gdyby postępowano sprawiedliwie – to w ciągu roku z górą – wszyscy by się przez ten OP przewinęli. Ale że w obozie nie ma żadnej sprawiedliwości, więc OP też nie jest wyjątkiem. Otwierają taki OP chyłkiem, że czujny pies nawet nie szczeknie, ze spisem gotowym zawczasu już na trzy turnusy – i zamykają go też migiem, czasem nawet pół roku nie minie. A leżą tam jeden przez drugiego, sami księgowi, fryzjerzy, szewcy, krawcy – cała arystokracja. Prawdziwych zaś robotników przyjmują tylko paru na okrasę, że niby najlepsi przodownicy też mają dostęp. I jeszcze ci krawiec Berenblum kładzie w uszy taką mowę: uszyłem ja jednemu wolniakowi pelisę i za nią tysiąc rubli gotówką wpłynęło do kasy obozu, a ty, głuptasie, cały miesiąc przetaczasz pnie i obóz za to nawet stu rubli zysku nie ma – więc kto z nas lepszy przodownik? komu się OP należy? I tak człowiek chodzi – tylko o jednym myśląc: jak by też w tym OP się znaleźć, żeby chociaż chwilę tam przycupnąć, a tu patrzeć – i już po nim, już zamknięty, ani śladu. I nawet tej pociechy nie ma, żeby w twoich aktach jakiś ślad został – że w takim a takim roku nagrodzono cię tym pobytem w OP; toć tylu tu księgowych i nic, tylko coś piszą. Ale nie, o tobie nie napiszą. Bo im się nie opłaca. Za rok – znów otworzą OP i znów ten krawiec będzie w pierwszym turnusie, a tobie znów przed nosa umknie. Przez te dziesięć lat przepchną cię przez dziesięć obozów, w dziesiątym już będziesz błagać, żeby chociaż raz pozwolono ci zajrzeć do tego OP, zobaczyć, jakie tam ściany, czym bielone, boś ani razu nie był – a jak tego dowieść?...

Nie, już lepiej nerwów sobie nie psuć.

Co innego – przypawić się, trochę pokaleczyć tak – żeby zostać inwalidą, ale jednak żywym. Jak to mówią – minutę człowiek pocierpi,

184

a rok może pajacować. Oł, złamać nogę, żeby zrosła się krzywo. Pić stoną wodę, żeby spuchnąć. Albo palić herbatę – to szkodzi na serce. Albo pić wywar z tytoniu – bardzo dobrze szkodzi na płuca. Tylko wszystkiego w miarę, żeby nie za bardzo się przypawić i zamiast inwalidą nie zostać od razu nieboszczykiem. Ale kto zna miarę?...

Inwalida to ma dobrze: może się urządzić w kotłowni albo go poślą do plecenia łapci. Ale najważniejsza rzecz, jaką mądry człowiek może zyskać, gdy zostanie inwalidą – to spisanie. Tylko to spisywanie też idzie falami, gorzej niż OP. Zwołuje się komisję, robi się przegląd wszystkich inwalidów i tych najgorszych wciąga się do

spisu: dnia takiego a takiego ten a ten uznany został ze względu na stan zdrowia za niezdolnego do dalszego odbywania kary, wnosimy o zwolnienie wyżej wymienionego.

Wnosimy! – to wszystko. Zanim ten protokół pójdzie po drabinie służbowej w górę, zanim później sfrunie w dół – tymczasem człowiek może spokojnie odwalić kitę, nieraz już tak bywało. Naczalstwo jest cwane, spisuje na straty takich, co to i tak za miesiąc poszliby do piachu¹¹.

Albo takich, co dobrze zapłacą. Siedziała tu jedna z tej samej sprawy co Kalikmanowa. Ukradła pół miliona, sto tysięcy dała w łapę – i już dawno wyszła na wolność. Nie to co my.

W naszym baraku była taka książka, studenci w swoim kącie czytali ją na głos. Jeden facet w tej książce zdobył milion i nie wiedział, co z nim począć przy sowieckiej władzy – że niby nic za to kupić się nie da i wprost z głodu można zdechnąć, siedząc na tym milionie*. Myśmy też się śmiali; do kogo ta mowa, myśmy tu niejednego takiego milionera odprowadzali za wrota. Tylko zdrowia, bo to już zrządzenie boskie, nie można kupić nawet za milion, a wolność można kupić i władzę, i ludzi ze wszystkimi bebechami. Milionerów na wolności nakociło się, że daj Boże, tyle tylko że nie stoją na widoku i rękami nie machają.

Tylko Pięćdziesiątki Ósemki się nie spisuje. Od czasu jak obozy istnieją, trzy razy zaczęto spisywać inwalidów z Dziesiątego Punktu tego artykułu, ale zawsze po jakimś miesiącu przerywano. I łapówki też nikt nie weźmie od nich, od wrogów ludu – bo to jakby własną głowę sprzedąć. Zresztą, skąd do nich forsa, toć to polityczni...

– O kogo chodzi, Iwanie, jacy to „oni”?

– No dobra, my...

„W opowiadaniu byłego zeka, Olega Wołkowa Dziady – „spisani” w ten sposób starcy zostają wyrzuceni z obozu, ale jako że nie mają dokąd iść – rozkładają się biwakiem zaraz za wrotami, żeby tam skonać – już bez pajki i dachu nad głową. Chodzi o Złotego cielca nfa i Piętrowa.

185

Ale istnieje pewien rodzaj przedterminowego zwolnienia, którego żaden błękitny kaszkiel nie potrafi pozbawić więźnia. Jest to śmierć.

Trupy są też zasadniczym, najbardziej stałym i nie normowanym przez nikogo produktem Archipelagu.

Między początkiem jesieni 1938 a lutym 1939 roku w jednym z pod-obozów Ust'-Wymu z 550 więźniów zmarło 385. Niektóre brygady wymarły do nogi razem z brygadzystami (Ogurcew). Jesienią 1941 załoga Pieczor-łagu (kolejowego) składała się z 50.000 ludzi. Wiosną 1942 liczyła tylko 10.000. Przez ten cały czas nie wysiano z obozu ani jednego transportu – gdzież więc podziało się czterdzieści tysięcy? Podkreśliłem kursywą słowo „tysięcy” – dlaczego właściwie? Dowiedziałem się o tej liczbie przypadkiem od zeka, który w tym czasie miał dostęp do statystyk – ale nigdy się człowiek nie dowie J nie podsumuje cyfr, odnoszących się do wszystkich innych obozów i wszystkich pozostałych lat. W centrali obozu Buriepołom, w barakach dla dochodzących, w lutym 1943 roku z pięćdziesięciu ludzi umierało w ciągu nocy czasem dwunastu, nigdy mniej niż czterech. Rankiem na ich miejsce przychodziły nowe półtrupsy, ludzie marzący o tym, by tu odpocząć wreszcie i nasycić się rzadką wodzianką i czterystu gramami chleba.

Zwłoki, wyschłe na wiór od pellagry (bez pośladków, kobiety – bez piersi) albo tknięte zgnilizną skorbutu – poddawane były kontroli w budzie kostnicy lub nawet pod gołym niebem. Czasem, choć rzadko, kontrola ta przypominała prawdziwą sekcję – podłużne cięcie od grdyki aż do wżgórka łonowego, przerzbanie golenia, otwarcie szwu kostnego na ciemieniu. Najczęściej nie prosektor lecz konwojent sprawdzał po swojemu, czy zek naprawdę skonał, czy tylko udaje. Przekłubał w tym celu tułów bagnietem albo dużym młotem rozbijał czaszkę. Zaraz też do wielkiego palca prawej nogi przyczepiało się metkę z numerem akt, pod którym zmarły figurował w ewidencji więziennej.

Niegdyś chowano więźniów w bieliźnie, później w najgorszych, brudnoszarych sortach ostatniego rzędu. Wreszcie wydano instrukcję, by nie szastać odzieżą (zawsze może się jeszcze przydać dla żywych) i chować zmarłych nago.

Panowało niegdyś w Rosji przekonanie, że zmarły nie może obejść się bez trumny. „Najostatniejszego” z poddanych, żebraka czy włóczęgę też do trumny kładziono. Katorżnicy z Akatuja i Sachalinu też mogli liczyć na własną trumnę. Ale na Archipelagu powodowałoby to milionowe i nieopłacalne straty, równałoby się marnotrawieniu drewna i pracy. Już po

186

wojnie, w obozie Inta, pochowano w trumnie pewnego zastężonego majstra kombinatu tartaczego: oddział KO zalecił wówczas wykorzystanie tego faktu dla celów agitacyjnych: pracujcie wydajnie – a też doczekacie się pochówku w prawdziwej, drewnianej trumnie\

Trupy wywożono furmanką albo saniami – zależnie od pory roku. Czasem dawano dla wygody skrzynię mieszczącą sześciu umarłaków, a gdy wieziono luzem – wiązano im ręce i nogi sznurkami, aby się nie majdały. Potem można już było zwałać zwłoki na wóz jak kłody; przyrzucano je rogoża i hajda. Jeśli był na zbyciu ammono-^{nal}* to specjalna brygada grabarzy drążyła z jego pomocą leje w zmarłym gruncie. Bo inaczej trzeba było kopać ręcznie. Mogiły zawsze były zbiorowe: duże jamy dla większych partii zwłok albo płytkie dołki na czterech. (Wiosną z tych dołków cuchnęło na cały obóz, posyłało się wtedy dochodiagów, żeby groby pogłębić).

Za to nikt nie śmie nam zarzucić stosowania komór gazowych.

Bielizna, chodaki, szmaty po umarłych – wszystko się przyda tym, co jeszcze żyją.

A teczki personalne leżą, nie wiedzieć czemu, w kancelarii i coraz ich więcej.

Kiedy robi ich się za dużo – po prostu je palą. W pod-obozie Ja was

w Dubrowłagu (1959) przyjechała do obozowej ciepłowni wywrotka,

a wyładowano prosto do pieca całą stertę takich teczek. Obróciła ze trzy razy.

Gdzie był na to czas – na przykład w obozie Kengir – tam na kurhan-kach stawiano słupki i nie byle kto, tylko sam przedstawiciel Działu Ewidencji z powagą

uwieczniał na nich numery inwentarzowe pochowanych. Zresztą – tam zdarzył się też wypadek szkodnictwa: ktoś z więźniów wskazywał przyjeżdżającym matkom

i żonom, gdzie jest cmentarz. Szły więc tam i płakały. Wówczas komendant Ste-

płagu, towarzysz pułkownik Czeczew, rozkazał buldożerami zwalić słupki i zrównać z ziemią kurhanki, skoro nie umieją takich rzeczy cenić...

Tak właśnie pochowany jest twój ojciec, twój mąż, twój syn, czytelniczko.

Tu kończy się droga tubylca, taki jest koniec jego egzystencji.

Zresztą – Paweł Byków zwykł mawiać:

– Póki nie minęły 24 godziny po śmierci – nie myśl jeszcze, że to koniec.

No, Iwanie Denisowiczu, cośmy to jeszcze mieli powiedzieć? O naszym życiu codziennym?

Materiał wybuchowy.

187

– „Uuu! Toć jeszcześmy nie zaczęli nawet! Trzeba by tyleż lat gadać, ileśmy się nasiedzieli. Jak człowiek w marszu pochylił się, żeby podnieść peta, a tu konwojent – pif, paf!12... Jak inwalidzi w kuchni żarli surowe kartofle: po ugotowaniu już byłoby za późno... Jak w obozie herbata zastępuje pieniądze. Jak się pije czyflr – pięćdziesiąt gramów herbaty na szklankę i jakie to się ma widzenia. Tyle, że na to mogą sobie pozwolić tylko urki pierwszej klasy – bo kupują herbatę u wolnych za kradzione pieniądze...

W ogóle – jak zek żyje?... Jeśli nie potrafi kręcić biczów z piasku, to nie dożyje do końca kary. Zek nawet we śnie musi obmyślać sobie sposób na przeżycie następnego dnia. Jeśli coś sobie wykombinował, jeśli znalazł jakiś wybieg, to niech lepiej milczy o tym! Milcz, bo jak sąsiedzi się dowiedzą – to zadepczą człowieka.

W obozie tak już jest: i tak dla wszystkich nie starczy, bacz, żeby dla ciebie starczyło.

To wszystko prawda, ale przyznać trzeba, że ludzkim obyczajem również w obozie zdarza się prawdziwa przyjaźń. Nie tylko taka – co to bierze się ze starego koleżeństwa albo ze wspólnej sprawy – tylko nowa, tutejsza. Odnalazły się bratnie dusze i nie mają przed sobą tajemnic. Zawsze razem. Jak co mają – to się dzielą, jak czego nie starcza – to też po połowie. Pajka – to sprawa życia i śmierci, owszem – tę to już każdy osobno pobiera, ale co się uda zdobyć na dokładkę – to już gotują w jednej menażce i razem to jedzą13.

Koleżeństwo takie trwa czasem krótko, a czasem – bardzo długo... Bywa szczere, ale bywa też obłudne. Między takich kumpli lubi wciskać się kum. Nad wspólnym kociołkiem szeptem mówi się przecież o wszystkim.

Starzy więźniowie nieraz powtarzają, zaś byli jeńcy znają niejednego taki przykład: ten właśnie cię zdradzi i sprzeda, kto jadł z tobą z jednej miski.

W tym też jest sporo prawdy...

Ale najlepsza to rzecz – mieć nie przyjaciela, lecz przyjaciółkę. Obozową żonę, zeczkę. Jak to mówią – ochajtnąć się. Młodemu to dobrze, przydybie ją w jakimś kącie, ulży sobie i od razu mu weselej. Ale nawet staremu, słabemu, też to dobrze robi. Człowiek coś tam zorganizuje, dorobi sobie na boku, a ona upierze mu bieliznę, przyniesie do baraku, położy tę czystą koszulę pod poduszkę; nikt się nie zaśmieje – sprawa regularna. Kobieta ugotuje, siadacie razem na pryczy, jecie sobie. Nawet staremu

12 Za czasów Dostojewskiego wolno było wyjść z szeregu po jałmużnę. W marszu więźniowie rozmawiali i śpiewali sobie.

13 Nie wiedzieć czemu, na katordze przez którą przeszedł Dostojewski „wśród więźniów przyjaźń nie kwitła”, nikt nie jadł ze wspólnej miski.

188

człowiekowi takie obozowe małżeństwo bywa miłe, chociaż letnie to, z goryczką. Spoglądasz na nią poprzez parę, co bije z menażki – twarz ma już w zmarszczkach; ty też nie lepszy. Oboje nosicie szare, obozowe łachmany, wasze waciaki upaprane są rdzą, gliną, wapnem, alabastrem, towo-tem. Nigdyś jej przedtem nie widział, nie znasz jej stron rodzinnych i mówi ci ona nie tak, jak nasze baby. Ma dzieci gdzieś tam w świecie, ty też masz swoje. Ma swojego męża, co

teraz za babami lata, ty też zostawiłeś żonę, nie bój się, nie traci czasu: osiem lat, dziesięć lat, żyć każdy lubi. A ta tutejsza, obozowa – dźwiga te same łańcuchy co ty i jakoś się nie skarży.

Żyjemy – nie tak jak inni: umrzemy – nie tak jak ojcowie nasi...

Do niektórych przyjeżdżały w odwiedziny własne żony. W pewnych obozach (też zależnie, jaki był komendant) pozwalano ludziom posiedzieć z nimi dwadzieścia minut na odwachu. A czasem – pobyć jedną czy drugą noc w osobnej chałupce. Jeżeli człowiek wyrabiał 150 procent normy. Ale przecież te spotkania – to tylko jedno jątrzenie, nic więcej. Po co dotykać jej, po co w ogóle z nią gadać, jeżeli jeszcze całe lata i lata nie ma człowiek z nią żyć? Chłopom jakby się w oczach dwoiło. Z obozową żoną – jakoś prościej: jeszcze kubek kaszy mamy w zapasie; podobno w przyszłym tygodniu będą wydawać palony cukier. A pewno, że nie biały, gady... Do ślusarza Rodiczewa przyjechała żona – a właśnie poprzedniego dnia jakaś sztaśówka ugryzła go w szyję jak się gzili. Rodiczew aż zaklął, kiedy dowiedział się o przyjeździe żony, poleciał do lecznicy, żeby sobie siniak zabandażować; powiem babie – że przeziębienie.

A baby w obozie – jakie też są? Są knajaczkki, są puszczałskie, są polityczne, ale najwięcej to jest tych potulnych, co to skazano je na mocy Rozporządzenia. Chodzi o Rozporządzenie o walce z zaborem i przywłaszczeniem mienia państwowego. Kogo podczas wojny i po wojnie pełno było we wszystkich fabrykach? Bab i dziewczuch. A kto utrzymywał rodziny? Też one. A jak tu utrzymać rodzinę za te kopiejki? Prawo nie dla głodnego pisane. Więc każda stara się coś zwędzić: wynoszą śmietanę w kieszeniach, butki między udami, okręcają się w pasie pończochami, albo jeszcze lepiej: przyjdzie do fabryki w samych trzewikach, weźmie nowe pończochy, wybrudzi je, wtedy dopiero wkłada na nogi, w domu je upierze i jazda na rynek. Każda bierze to, co akurat ma na warsztacie. Szpulki nici wynosi się między piersiami. Wartownicy – wszyscy przekupieni – też muszą jakoś żyć, więc obmacują byle jak. Ale kiedy straż przemysłowa nagle robi kontrolę – to za tę zasraną szpulkę – 10 lat! Dokładnie tyle, co za zdradę kraju! I całe tysiące bab wpadło przez te szpulki.

Co się z tego ma, to zależy od rodzaju roboty. Nastka Gurkina – ta miała fart, pracowała przy wagonach bagażowych. Wzięła na rozum: nasz

189

człowiek, sowiecki, wszystkiego się czepia, ściervo, o byle ręcznik gotów oczy wydrapać. Dlatego sowieckich walizek nawet nie tykała, szukała tylko zagranicznych. Taki zagranicznik, powiadała, nie sprawdzi nawet co tam w środku, a jak się spostrzeże poniewczasie, to też nie będzie pisał żadnych tam skarg – tylko plunie: ale żuliki, ci Rosjanie! – i bez krzyku posunie do domu.

Stary buchalter, Szytarijew, wciąż to Nastce wypominał: „Jak ci nie wstyd, ty sztuko miecha bezduszna! A pomyślałaś, jak ty honor Rosji plamisz?!”. A Nastka nie została mu dłużna: „Kij ci w gardło, żebyś się nie garbił! Dużoś ty dbał o zwycięstwo tej honornej Rosji? Panów oficerów rozpuścisz jak ogierów, żeby za babami mogli latać”. (A ten Szytarijew był podczas wojny księgowym w szpitalu, oficerowie dawali mu łapę przy wyjściu, a on im za to wypisywał zaświadczenia, że leczenie trwało dłużej, żeby sobie mogli skoczyć do domu przed powrotem na front. Sprawa poważna. Skazano go na rozstrzelanie, później zamienili mu na dychę).

Samo przez się, siedziały też różne niebożęta. Jedna taka dostała piątala za oszustwo: mąż jej umarł w połowie miesiąca, nie oddała od razu jego kartki na chleb,

tylko do pierwszego jeszcze z niej korzystała, razem z dwojgiem dzieci. Sąsiedzi donieśli na nią przez zawiesz. Odpękała cztery lata, rok jej darowano, bo amnestia. A tak też bywało: bomba rozwalila cały dom, zabiła żonę i dzieci, a mąż jakoś się uratował. Wszystkie kartki się spaliły, ale chłop był jak bez głowy i całe 13 dni do końca miesiąca ani myślał o chlebie, nie prosił też o nowe kartki. Więc go oskarżono: te wszystkie kartki miał, tylko schował. Dostał trzy lata. Odsiedział półtora. – Chwileczkę, chwileczkę. Iwanie, innym razem o tym pogadamy. Powiadasz więc – przyjaciółka? Ochajtnąć się?... Bo te same tańcuchy dźwiga – a wcale się nie skarży?...

VIII KOBIETA W OBOZIE

Jak mógł człowiek nie myśleć o nich jeszcze podczas śledztwa? – przecież siedziały w sąsiednich celach! W tym samym więzieniu, poddane tej samej dyscyplinie! Jak też mogły – one, tak słabe, wytrzymać to nieznośne dochodzenie!?

Korytarze są głuche, nie usłyszysz człowieka ani ich kroków, ani szelestu sukien. Ale oto butyrski klucznik pomarudzi chwilę przy zamku, załoga męskiej celi musi czekać pół minuty pod oknami górnego, jasnego korytarza i wtedy, jeśli zerknąć w dół przez szczelinę pod blaszanym kagańcem okiennym – widać, że w zielonym ogródku, na skraju asfaltowej ścieżki stoją, jak my, w dwuszeregu, że tak samo czekają na otwarcie drzwi – niemęskie łydki i pantofelki! – tylko łydki i pantofle na wysokich obcasach! – i to jest jak nagłe, wagnerowskie tutti orkiestry w Tristanie i Izoldziel – nie sposób zobaczyć nic więcej, zerknąć wyżej, już nas klawisz zapędza do celi, brniemy olśnieni i zamroczeni, już sobie dorysowaliśmy w myśli resztę, już wyobrażamy je sobie jako istoty niebiańskie i ginące z przygnębienia. Co się z nimi dzieje? Co z nimi robią?!

A tymczasem – jak się zdaje – nie jest im gorzej niż nam, może nawet lżej to wszystko znoszą. W przekazanych mi przez byłe więźniarki relacjach o śledztwie nie znalazłem, jak dotąd, żadnych podstaw do wniosku, że terroryzowano je bardziej, albo że staczały się one duchowo niżej niż mężczyźni. Lekarz – ginekolog N. J. Zubow, który sam przesiedział 10 lat, stale lecząc i obserwując zamknięte w obozie kobiety, twierdzi co prawda, że – z punktu widzenia statystyki – kobieta szybciej i ostrzej niż mężczyzna reaguje na uwięzienie i na jego główną konsekwencję – utratę rodziny.

191

Jest okaleczona duchowo i najczęściej powoduje to zakłócenie jej kobiecych funkcji fizjologicznych.

Mnie zaś w relacjach kobiet o śledztwie zaskakuje co innego: o jakich „drobiazgach” z punktu widzenia więźniarskiego (ale wcale niekobiecego!) potrafiły one wtedy myśleć. Nadia Surowcewa, urodziwa i jeszcze młoda, spiesząc się na przesłuchanie, włożyła pończochy nie do pary i w gabinecie śledczego czuła skrępowanie, bo funkcjonariusz cały czas zerkał jej na nogi. A pies go trącał, pomyślałby kto, chrzan mu w zupę, przecież tu nie teatr, ponadto – Surowcewa była już nieomal doktorem (według zachodnich pojęć) filozofii i zaangażowaną działaczką polityczną – a jednak! Aleksandra Ostriecowa, która siedziała na Wielkiej Łubiance w 1943, opowiadała mi później, już w obozie, na jakie żarty sobie tam pozwalały: to chowały się pod stołem i przerażony strażnik wpadał do celi, aby szukać tych, których się nie mógł doliczyć; to smarowały sobie policzki burakami przed wyjściem na spacer; to znów – gdy wzywano ją na przesłuchanie – toczyła z koleżankami gorące spory, czy ubrać się dzisiaj skromnie, czy włożyć wieczorową

suknię? Co prawda Ostrieczowa była w ogóle rozpieszczona i skłonna do figlów, a ponadto siedziała w jednej celi z młodzieńką Mirą Uborewicz. Ale na przykład N.J.P-a, uczona, już nie najmłodsza – wesoła sobie w celi aluminiową łyżkę. Myślicie, że w celach samobójczych? nie, żeby obciąć sobie warkocze (i w końcu tego dopięta)!

Kiedy na podwórku Krasnej Presni mogłem chwilę posiedzieć obok transportu dopiero co skazanych – podobnie jak my – kobiet, przekonałem się ze zdziwieniem, że nie są one tak chude, wycieńczone i blade jak moi towarzysze. Jednakowa dla wszystkich więzienna pajka i więzienne przejścia, na ogół łatwiej znoszone są przez kobiety. Nie tak prędko łamie je głód.

Ale dla nas wszystkich, a już zwłaszcza dla kobiet – więzienie, to dopiero pół biedy. Cała bieda – to obóz. Tam ją właśnie złamają albo zegnają, słamszą, zmuszą, aby się przystosowała.

W obozie kobietom jest wiele ciężiej niż nam. Poczynając od panującego tu brudu. Jeszcze nie dosyć było brudu na etapach i w zborniakach, teraz jeszcze ten obóz. W typowym obozie, w kobiecej brygadzie roboczej, a to znaczy – również w ogólnym baraku – nie może ona nigdy poczuć się naprawdę czystą, nie zdobędzie ciepłej wody (czasem w ogóle wody brak: w I Krywoszczekowskim podobnie zimą nigdzie nie można umyć się na terenie żony, jest tylko lód, a roztopić go nie ma gdzie). W żaden legalny sposób kobieta nie dostanie ani gazy, ani czystych szmat. Co tam gadać o praniu!...

192

Łaźnia? Ba! Wizyta w łaźni to pierwszy krok w obozie – jeśli nie liczyć wyjścia z bydłowego wagonu na śnieg i przemarszu z rzeczami na grzbiecie pod strażą konwoju i psów policyjnych. W łaźni obozowej odbywa się przegląd nowego towaru. Czy jest woda w łaźni, czy jej brak, wszystko jedno – sprawdza się, czy są wszy pod pachami i w pachwinach – co pozwala fryzjerom, więc nie najniżej stojącym arystokratom żony – obejrzeć sobie dobrze nowe baby. Zaraz też przyjrzą się im pozostałe kategorie prominentów – jest to tradycja sołowiecka, tylko że tam, u kolebki Archipelagu, jeszcze się krępowano, co do obyczajów tubylczych dziś nie należy – więc oglądano sobie kobiety nie rozebrane w trakcie jakichś posług, do których je posyłano. Ale Archipelag już skamieniał i procedura stała się całkiem bezczelna. Fiodot S. i jego żona (tak właśnie los ich połączył!) wspominają teraz ze śmiechem, jak mężczyźni–prominenci stali dwuszeregiem pod ścianami wąskiego korytarza, a nowo przybyte kobiety defilowały przez ten korytarz na gołasa, przy tym nie wszystkie naraz, tylko sztuka po sztuce. Później prominenti uzgadniali w swoim gronie komu się która należy. (Według statystyki z lat 20. przypadała w naszych więzieniach jedna kobieta na sześciu–siedmiu mężczyzn. Po Dekretach z lat 30. i 40. nastąpiło tu pewne wyrównanie, nie na tyle przecież, by kobieta przestała być atrakcyjną, zwłaszcza – urodziwą).

W niektórych obozach dalej stosowano delikatniejszą procedurę: kobiety docierały do swojego baraku i tu dopiero wchodziły – w nowych waciakach (w obozie każdy ubiór cały i nieupaprany jest od razu oznaką wyrafinowanej elegancji!), sy-ci, pewni siebie i czelni prominenti. Bez pośpiechu przechadzają się między „wagonetkami”, z powagą dokonują wyboru. Przysiadają się, wszczynają rozmowy. Zapraszają „w gości”. A mieszkają przecież nie w ogólnych salach, tylko w wydzielonych parosobowych „kajutkach”. Mają tam i kuchenki elektryczne, i patelnie. Mają zawsze smażone kartofle! – szczyt marzeń ludzkich! Za pierwszym

razem idzie się do nich po prostu z łakomstwa, a także po to, by mieć materiał do porównań i poznać skalę życia obozowego. Co niecierpliwi zaraz po kartoflach żądają „zapłaty”, bardziej powściągliwi wychodzą, żeby odprowadzić i udzielają po drodze wskazówek na przyszłość. Postaraj się jakoś urządzić w żonie, postaraj się, miła – radzę, chwilowo jeszcze dżentelmeńskim tonem. Bo tu i czystość, i możliwość przepierki, i przyzwoite odzienie, i nietrudna robota – wszystko tu masz, wystarczy chcieć.

W tym właśnie sensie mawia się, że kobiecie w obozie jest „łatwiej”. Istotnie, łatwiej jej zachować samo życie. Owa „nienawiść płciowa”,

1 Praca zbiorowa: Od więzień... str. 358.

9 – Archipelag Gułag t. II

193

z którą dochodzią patrzy często na kobiety, co jeszcze nie wylądowały na śmietniku, podpowiada mu wniosek, że kobiecie w obozie jest łatwiej, skoro wystarczy jej niniejsza pajka i skoro zawsze ma sposób na uniknięcie głodu i śmierci. Opętanemu tylko tą jedną myślą, skrzydła głodu przestaniają cały świat, nic innego już nie widzi.

To prawda, że są kobiety, które – także na wolności – już z natury nie mają skrupułów, gdy chodzi o zbliżenie z mężczyzną, nie bardzo przy tym wybredzając. Rzecz jasna, że przed takimi stoją w obozie otworem wszystkie łatwe szlaki. Skłonności osobiste nie poddają się wcale klasyfikacji wedle odpowiednich artykułów Kodeksu Karnego, ale chyba nie popełnimy omyłki twierdząc, że większość Pięćdziesiątki Ósemki składa się nie z takich kobiet. Dla niektórych – i to od pierwszego do ostatniego dnia – ten krok wydaje się czymś gorszym od śmierci. Inne szarpią się, wahają, krępują (bo wstyd przed koleżankami też tu jest przeszkodą), a gdy się wreszcie zdecydują, gdy pogodzą się z losem – patrzeć, a tu już nie ma na takie popytu.

Bo propozycje robi się tu wcale nie każdej.

A zatem – wiele z nich zgadza się na ten sposób bycia już w czasie pierwszej doby obozowej. Bo perspektywy zbyt są czarne – a nadziei przecież nie ma żadnej.

I wybór ten czynią nie tylko czyjeś żony i matki, lecz również panienki, prawie dzieci... I właśnie one, zachłysnąwszy się nagą zgrozą obozowej codzienności, stają się wkrótce najbardziej wyuzdane, gotowe na wszystko.

A może ci się nie podoba? Proszę bardzo. Wdziękaj portki i waciak. I jako tułup bezkształtny, niby gruby, a w istocie wąły – marsz do lasu. Jeszcze sama się przyczołgasz, jeszcze będziesz prosić uniżenie.

Jeżeli przybyłaś do obozu w dobrej formie fizycznej i zdecydowałaś się na rozsądny krok od razu, na wstępie – to masz zapewnione na dłuższy czas miejsce w sanitariacie, w kuchni, w księgowości, w szwalni albo w pralni i lata kary przelecą ci bez szczególnych kłopotów, nieomal jak na swobodzie. Jeśli wypadnie etap, to w nowym obozie zjawisz się też w pełni sił i już będziesz wiedziała, jak masz się zachować od pierwszej chwili. Jeden z najlepszych chwytów – to zostać służącą jakiegoś naczelnika. Gdy przybyła do obozu dorodna i zadbana I.N., od iluś tam już lat szczęśliwa żona wybitnego dowódcy naszych wojsk, naczelnik Działu Ewidencji natychmiast ją sobie upatrzył, wyłuskał spośród nowo przybyłych i skierował wprost do mycia podłóg w gabinecie komendanta, co było nominacją bardzo zaszczytną. W ten sposób – I.N. zaczęła swoją odsiadkę od miękkiego lądowania, dobrze rozumiejąc, że jej się powiodło.

Czy to ważne, że kogoś tam, na tamtym świecie, kochałaś i że chciałaś docho-
wać wierności! Co komu z wierności kobiety żywcem pogrzebanej? „Jak wyjdiesz
na wolność, to kto się za tobą obejrzy?” – oto słowa, które wciąż się słyszy
w baraku kobiecym. Starzejesz się, rysy się zaostwiają, ostatnie twoje dobre lata
miną bez radości i treści. Czy nie rozsądniej będzie, jeśli postarasz się czym prędzej
skorzystać nawet z tego dzikiego życia?

Upraszcza sprawę także to, że nikt tu nikogo nie potępia. „Tu wszyscy takie życie
prowadzą”.

Ostatnie skrupuły rozwiewają się gdy pomyślisz – że życie i tak nie ma już dla ciebie
żadnego sensu i celu.

Te, które nie od razu się poddały – albo pójdą same po rozum do głowy, albo już
je tam ktoś rozumu nauczy. Najbardziej uparta też w końcu znajdzie się w jakiejś
sytuacji bez wyjścia – i jeśli tylko jest przystojna – to ktoś już sytuację wykorzysta:
poddaj się!

W oboziku za rogatką Kałużską (w Moskwie) była wśród nas harda dziewczyna,
niejaka M., strzelec wyborowy w randze lejtnanta, piękna jak królewna z bajki –
pąsowe wargi, łabędzi wdzięk, krucze włosy². Upatrzył ją i postanowił kupić sobie
stary, brudny, opasły magazynier Izaak Ber-szader. Wygląd jego mógł budzić
wstręt – a już na pewno w tej dziewczynie, tak urodziwej i prężnej – zwłaszcza po
paru latach ostatnich, które przeżyła z tak męznym rozmachem. On przypominał
zmurszały pień – ona – smukłą topolę. Ale tak ją osaczył, że nie mogła już ode-
tchnąć swobodnie. Nie tylko że posłał ją na roboty ogólne, do łopaty (wszyscy
prominenci działali solidarnie i pomagali mu w tej obławie), nie tylko wystawił na
ataki zwierzchności (bo naczałstwo też siedziało u niego w kieszeni), ale zagroził,
że wsadzą dziewczynę do najdalszego i najgorszego transportu. I oto pewnego
wieczoru, kiedy w obozie pogasły już lampy, sam widziałem, jak wśród bladej sza-
rości, bijącej od śniegu i nieba M. wymknęła się jak cień z baraku kobiecego i z
opuszczoną głową zapukała do budki chciwego magazyniera. Wkrótce potem
była już nieźle urządzona i została w żonie.

M.N., kobieta w średnim wieku, przed aresztowaniem kreślarka, matka dwojga
dzieci, której mąż zdążył już zginąć w więzieniu – pracowała w kobiecej brygadzie
leśnej. Już bardzo zmarniała, a wciąż jeszcze przejawiała upór, chociaż była pra-
wie na wykończeniu. Opuchły jej już nogi. Po robocie wracała do obozu ledwie się
wlokąc za kolumną, a konwojenci

2 W mojej sztuce występuje ona jako Grania Zyбина, ale w tekście dramatu spo-
tkał ją los lepszy niż w życiu.

popędzali ją kolbami. Zdarzyło się któregoś dnia, że została w żonie. Przy-
pętał się do niej kucharz: wpadnij do mojej kajutki, dam ci jeść do rozpuku. Więc poszła.
Kucharz postawił przed nią całą patelnię smażonych kartofli z wieprzową rąban-
ką. Zjadła wszystko. Ale po wyrównaniu rachunku – zemdliło ją, zwymiotowała
wszystko i całe żarcie poszło na nic. Kucharz ją sklął: „Też mi królewna, pomyślałby
kto!”. Ale później jakoś się przyzwyczaiła. Udało jej się dostać jakąś lepszą pracę.
W kinie obozowym, podczas seansu sama już wybierała sobie chłopca na noc.
A jeżeli która czeka za długo – to w końcu sama będzie musiała wlec się do ogól-
nego męskiego baraku, już nie do prominentów. Będzie snuć się w przejściach
między wagonetkami, powtarzając monotonna: „Pół kila... pół kila”. I jeżeli znaj-

dzie się jakiś zbawca, jeśli pójdzie za nią ze swoim chlebem, to kobieta osłoni swoją wagonetkę z trzech stron prześcieradłami i w tym namiocie, a raczej szałasie (stąd właśnie przydomek „szałasówka”) odpracuje ile trzeba za ten chleb. Jeżeli tylko strażnik nie przeszkodzi.

Wagonetka, osłonięta szmatami przed wzrokiem sąsiadek – jest to klasyczny obrazek obozowy. Ale odbywa się to również w o wiele prostszy sposób. Znow jesteśmy w Krywoszczekowskim pierwszym podobozie, 1947–1949 (mamy relację pochodzącą stamtąd właśnie, ale ileż jeszcze takich sytuacji było?). W podobozie siedzą na kupie knajacy, pospolicacy, małoletni, inwalidzi, dziewczęta i karmiące matki. Jest tylko jeden barak kobiecy – ale na 500 więźniarek. Brud panuje tam nieopisany, zupełnie niestychany. Barak jest zapuszczony, pełen zaduchu, prycze gołe, bez pościeli. Oficjalnie – nie wolno tam było wchodzić mężczyznom, ale nikt na to nie zważał i nikomu nie chciało się sprawdzać. Chodzili tam nie tylko mężczyźni, ale pchali się jeden przez drugiego również małoletni – chłopczkowie 12-, 13-letni: spieszyli na naukę. Z początku obserwowali tylko: nie było tam mowy o żadnym fałszywym wstydzie, brak było albo szmat, albo może czasu – dość, że wagonetek nikt nie osłaniał niczym, a światła też nikt nigdy nie gasił, to się rozumie. Wszystko odbywało się z całą naturalnością, wszystko było na widoku – i to w kilku miejscach sali naraz.

Tylko podeszły wiek albo jakaś rzucająca się w oczy brzydota były dla kobiety ochroną, nic innego nie pomagało. Uroda była przekleństwem, ładna dziewczyna zawsze miała gości na pryczy, wciąż otaczali ją chętni, prześladowali ją prośbami, wciąż groził jej cios pięści albo noża – i już nie o to jej chodziło, żeby się temu wszystkiemu oprzeć, lecz o to, by skapitulować rozumnie, żeby wybrać takiego, który później potrafi osłonić ją przed innymi, którego nóż albo samo imię – odstraszy wszystkich pozostałych, całą tę drapieżną sforę, wszystkich tych opętanych małołatków, rozwyd-

196

rzonych, zdeprawowanych przez wszystko co tu widzą i czym oddychają. Ale bo to tylko o mężczyzn chodzi? Czy to tylko małoletni tak się tu rozbuchali? – a kobiety, które leżą obok, i wszystko to widzą dzień po dniu, ale same omijane są przez pożądlivych chłopów – przecież te baby też w końcu muszą zerwać się z łańcucha, też nie dają sobie rady ze swoimi pasjami – i rzucają się z pięściami na szczęśliwsze i bardziej obrotne sąsiadki.

W Krywoszczekowskim podobozie szerzą się choroby weneryczne. Już mówi się głośno, że prawie połowa kobiet choruje, ale nie ma wyjścia, wszyscy dalej się pchają, wciąż ten sam próg przekraczają – władcy i żebracy. I tylko najbardziej ostrożni, jak na przykład harmonista K., utrzymujący zażyłe stosunki z sanitariatem, za każdym razem (dla dobra własnego i zaufanych przyjaciół) sprawdza tajny spis weneryczek, zanim zdecyduje się na odwiedzin.

A kobiety na Kołymie? Przecież tam jest ich wyjątkowo mało. Tam przecież są na wagę złota, tam są dopiero rozrywane. Tam – to już nie daj Boże, żeby kobieta na trasie natknęła się na konwojenta albo na wolnego, albo na zeka. To na Kołymie zrodził się termin tramwaj, oznaczający zbiorowy gwałt. K.O. opowiada, jak szofer przegrał je w karty – całą ciężarówkę kobiet wiezionych etapem do punktu Elgen – i musiał skrócić z drogi, ażeby zawieźć je na noc do baraków robotników budowlanych, pracujących już bez konwoju.

No, a praca? Jeżeli brygada jest mieszana – to bywa jeszcze jakaś folga dla kobiet, jeszcze się znajdzie dla nich jakaś lżejsza robota. Ale jeżeli cała brygada jest kobieca – no, to nie ma już litości – dawaj kubiki! A istnieją całe podobozy, wyłącznie kobiece, gdzie kobiety muszą prowadzić wyręb lasu, kopać ziemię, mieszać glinę z sieczką – na cegły. Jedynie do kopalni rudy miedzianej i wolframowej nie posyłano kobiet. Oto 29 „punkt” Kar-łagu – ileż w tym jednym punkcie niewiast? Ani za dużo, ani za mało – 6.0003! A jak tam praca dla kobiet? Helena O. jest tragarzem – i nosi wory po 80, a nawet po 100 kilogramów! – co prawda, pomagają jej przy zadawaniu ciężaru na barki, nadto – w młodości była gimnastyczką (całe swoje 10 lat przeharowała jako tragarz również Helena Prokofiewna Czebotariowa).

3 To przyczynek do problemu ilości zeków na Archipelagu. Kto wiedział coś o istnieniu tego 29 punktu? Czy to ostatni już z „punktów” Karłagu? I wielu też było ludzi w pozostałych punktach? Niech się bawi w mnożenie, kto ma chęć. A kto wie coś o 5 odcinku budowy Rybińskiego węzła wodnego? A tymczasem było tam ponad 100 baraków i – biorąc pod uwagę największy możliwy luz, tj. 50 ludzi na barak – też doliczymy się sześciu tysięcy; Łoszczylin twierdzi, że było tam ponad 10.000 więźniów.

197

W kobiecych podobozach panują wcale niekobiece, brutalne obyczaje: stale słychać wyzwiska, stale ktoś się z kimś bije, stale – łobuzerskie wybryki. Cóż – inaczej tu żyć nie sposób. (Ale – zwraca uwagę zwolniony spod konwoju inżynier Pustowier-Prochorow – ledwie się brało kobietę z takiego baraku do jakiejś lżejszej roboty albo pracy koło domu – od razu okazywało się, że jest cicha i pracowita). Inżynier ten obserwował takie kolumny kobiece na BAM-ie, na drugiej trasie syberyjskiej magistrali w latach 30. Oto typowy obrazek: jakiegoś upalnego dnia kobiety jęły prosić konwojentów o pozwolenie na kąpiel w jarze, gdzie zebrala się woda. Konwój nie dał pozwolenia. Wówczas kobiety jednomyślnie rozebrały się do naga i położyły się na słońcu wzdłuż torów, po których toczyły się pociągi. Póki szły pociągi miejscowe, sowieckie – nie było jeszcze nieszczęścia, ale niedługo miał mijać ten odcinek ekspres międzynarodowy, pełen cudzoziemców. Kobiety ani myślały słuchać rozkazów, nie chciały się ubrać. Wezwano więc wóz strażacki i przepędzono je wodą z sikawki.

Oto zaś robota przewidziana dla kobiet w Krywoszczekowie. W cegielni, po wybraniu gliny z pewnego odcinka kopalni, zapada się drewniany strop ochronny (przed początkiem robót podziemnych układa go się na powierzchni ziemi). Teraz trzeba wydźwignąć ciężkie, wilgotne pale kopalniaka z wielkiej jamy o głębokości 10–12 metrów. Jak to zrobić? Czytelnik powie – że z pomocą wyciągu mechanicznego. A juści. Brygada kobieca zarzuca 2 liny na końce drewnianego kłosa i – jak burłacy, podwójnym zaprzęgiem (krocząc równo, aby nie wywalić kłosa i nie zaczynać znów od zera) wyciągają naprzód jedną linę, potem drugą, a z nimi cały kłoc. Później zaś dwudziestka kobiet bierze ten kawał drewna na barki i – na zew brygadzistki z piekła rodem, komenderującej z pomocą wyzwisk, niosą ten ciężar na nowe stanowisko pracy i tam go zrzucają z ramion. Traktor, powiadacie? Ależ bójcie się Boga, skąd traktor, skoro to rok 1948? Żuraw, powiadacie?

A zapomnieliście już, co pisał Wyszyński o „pracy-cudotwórczyni, która z dna niebytu i nikczemności wydobywa ludzi, aby kreować z nich bohaterów”? Jeżeli

żuraw – to co tu po cudotwórczym? Jeżeli żuraw – to przecież te kobiety nigdy nie wyleżą z otchłani nikczemności!

Taka robota wyczerpuje siły organizmu i wszystko, co w kobiecie jest kobiecego, co dziać się z nią powinno stale, czy tam raz w miesiącu – w ogóle zanika. Jeżeli dociągnie ona do najbliższego przeglądu komisyjnego, to lekarze ujrzą przed sobą nagą, ale zupełnie już inną istotę niż ta, na widok której oblizywali się prominenci w korytarzu łaźni: nie wiadomo teraz ile ma lat; kanciaste, ostre barki, piersi wiszą na kształt suchych woreczków; pośladki są płaskie i pomarszczone, uda tak wychudłe, że

198

w szparze między nimi zmieści się barani łeb albo nawet piłka futbolowa; głos ma niski i ochrypy, a twarz już zaczyna pokrywać się fałszywą opalenizną pellagry. (Ginekolog zaś twierdzi, że po kilku miesiącach pracy przy wyrębie można być pewnym opuszczenia i wypadnięcia macicy).

Praca – cudotwórczym!...

Życie nie zna stereotypów, tym bardziej więc w obozie nie wszystko dzieje się według jednego wzoru. Także praca nie dla wszystkich była jednakowo beznadziejna. Im człowiek młodszy – tym jednak było mu lżej. Wciąż stałe mi przed oczyma 19-lletnia Napolnaja, dziewczyna jak z bitej śmietany, z rumianymi, wiejskimi policzkami. W oboziku za Kałużską rogatką pracowała ona jako operatorka wielkiego żurawia. Wspiniała się na ten żuraw jak małpa, czasem bez żadnej potrzeby włączyła aż na jego ruchome ramię tylko po to, żeby krzyknąć na cały plac budowy swoje „oho-hooo!"; ze swojej kabinki przerzucała się okrzykami z kierownikiem robót – wolnym, z dziesiętnikami, bo nie miała tam telefonu. Zdawało się, że wszystko ją bawi, cieszy, obóz nie obóz, wprost jakby jutro miała zamiar zapisać się do komsomołu. Uśmiechała się do wszystkich z jakąś zupełnie nietutejszą życzliwością. Zawsze uznawano jej 140% normy, co dawało najwyższą w obozie pajkę. Nikogo się też nie bała (no, oprócz kuma) bo by jej kierownik robót skrzywdzić nie pozwolił. Jednego tylko nie potrafię zrozumieć, jak jej udało się w obozie zdobyć taki zawód, czy bezinteresownie dano jej to stanowisko pracy przy żurawiu? A zresztą skazana była na podstawie nieszkodliwego artykułu, za jakieś przestępstwo pospolite. Siły wprost tryskały z niej, a stanowisko, jakie sobie zdobyła, pozwalało jej nawet kochać nie z musu, lecz tak, jak serce każe.

Na podobną modłę opisuje swój stan również Sac/kowa, która dostała się do obozu w 19 roku życia. Trafiała do karnej kolonii rolnej, gdzie w ogóle mniej się głoduje i dlatego jakoś tam lżej. „Wciąż nuciłam, biegając od żniwiarki do żniwiarki, kiedy uczyła się wiązać snopy”. Jeśli człowiek nie ma innej młodości prócz tej własnej, obozowej, to musi dać ujście swojej radości także tutaj, bo gdzieżby? Później przetrzucili ją w tundry, pod Norylsk, ale nawet on wydawał się jej jakimś „baśniowym miastem, znanym ze snów dziecięcych”. Po odsiedzeniu kary została tam i poszła do pracy z wolnego najmu. „Pamiętam, jak szłam kiedyś wśród zamieci i ogarnął mnie jakiś zawadiacki nastrój, kroczyłam wymachując rękoma, walcząc z zadymką. Śpiewałam „Sprężystym krokiem idziemy w słoneczny świat, wznosząc do góry i czoło i pieśń*...”, gapiałam się na przesuwające się

Piosenka Leonida Utiosowa z filmu „Świat się śmieje”, wyświetlanego przed wojną również w Polsce.

199

w górę świetliste kurtyny zorzy polarnej, padałam w śnieg na wznak i patrzyłam w głąb nieba. Chciałam śpiewać tak głośno, żeby w całym Norylsku słyszano – że nie mnie pokonała ta 5-letnia odsiadka, tylko ja ją, że mam już za sobą drut kolczasty, prycze i konwój. Chciałam kochać! Chciałam zrobić coś dla ludzi, żeby więcej nie było już zła na świecie”.

Owszem, wielu było takich, co tego chciało.

Nie udało się jednak Sączkowej uwolnić nas od zła: obozy istnieją nadal. Ale jej osobiście się udało: przecież nie 5 lat, lecz pięciu tygodni wystarczy, żeby unieścić kobietę i w niej człowieka.

Otóż tylko te dwa przykłady mogę przeciwstawić tysiącom historii ponurych albo i nieludzkich.

A gdzież, jeśli nie w obozie masz przeżyć swoją pierwszą miłość, dziewczyno, jeśli wsadzono cię (z politycznego artykułu!) – gdyś miała 15 lat i chodziłaś do 8 klasy, jak Nina Pieręgud? Jak tu nie pokochać pięknego chłopca z jazzowej orkiestry, Wasyla Koźmina, którego niedawno jeszcze, na wolności, podziwiała całe miasto, który chodził w aureoli takiego rozgłosu, że aż wydawał jej się nieprzystępny? I oto Nina pisze wiersz Kiść białego bzu, a Wasyl układa do tego muzykę i śpiewa to dla niej przez całą szerokość żony (bo już ich rozdzielili, znów ani przystąpi).

Dziewczęta z Krywoszczekowskiego baraku wpinały sobie kwiatki we włosy. Taki kwiat jest oznaką obozowego małżeństwa, ale może jest też znakiem miłości?

Obowiązujące poza GUŁagiem prawodawstwo zdawało się sprzyjać obozowym miłościom. Dekretowi z 8. VII. 1944 roku, którego przedmiotem było umocnienie węzłów małżeńskich, towarzyszyło poufne rozporządzenie Sownarkomu oraz instrukcja Komisariatu Sprawiedliwości z 27. XI. 1944 roku, w których to dokumentach stwierdzało się, że sądy powinny natychmiast i bez zbędnej mitręgi czynić zadość życzeniu każdego wolnego obywatela sowieckiego, który zapragnął unieważnienia swojego małżeństwa z osobą odbywającą karę (albo siedzącą w domu wariatów). Aby ułatwić składanie tych próśb, instrukcja zalecała nawet zwalnianie z opłat za wydanie zaświadczenia o rozwodzie. (Nikt nie był przy tym prawnie zobowiązany do zawiadomienia drugiego z małżonków o samym fakcie rozwodu!). Inaczej mówiąc – obywatelki i obywatele gorąco byli zachęcani do opuszczania w nieszczęściu swoich skazanych na więzienie mężów i żon – osoby zaś odbywające karę skłaniano tym samym do wykreślenia z pamięci raz na zawsze swojego małżeństwa. Manifestowanie tęsknoty do cieszącego się jeszcze wolnością męża, było teraz zajęciem już nie tylko głupim i niesocjalistycznym, ale wręcz – występny. Zoji Jakuszewej wydarzyła się taka historia: wsadzono ją „za męża”, jako CzS, czyli członka rodziny.

200

Po jakichś trzech latach mąż został zwolniony, jako ważny specjalista – i ponieważ nie zażądał również bezwarunkowego zwolnienia swojej żony, więc Zoja odsiedziała za niego całe swoje osiem lat...

Nie pamiętać o małżeństwie – owszem, dlaczego nie, ale wewnętrzne instrukcje GUŁagu potępiały również miłosne wybryki, jako dywersję wobec planów produkcyjnych. Przecież wążsając się po placu budowy, te kobiety bez sumienia, mające za nic swoje obowiązki wobec państwa i Archipelagu – gotowe były kłaść się na wznak gdzie popadnie – na ziemi, na wiórach, na kupach żwiru, na żużlu, na żelaznych strużynach – a plan się tymczasem załamywał; a pięciolatka przestępowała z nogi na nogę! a premie dla gułagowskiej zwierzchności brały w łeb!

Prócz tego, niektóre z więźniarek knuły występne plany: chciały przy okazji zejść w ciążę i pod tym pretekstem, wykorzystując humanitaryzm naszego prawa, urwać parę miesięcy ze swojej kary – czasem zaledwie pięcioletniej albo nawet trzyletniej – wcale w czasie tych miesięcy nie pracując. Dlatego instrukcje GUŁagu wymagały jednoznacznie, aby pary, którym dowiedziono uprawianie gorszących stosunków, natychmiast były rozdzielane i aby mniej cennego członka takiego stała z punktu przerzucić etapem do innej miejscowości. (Rzecz jasna, nic to wspólnego nie miało z praktykami Sałtyczy–chy, która rozpustne dziewczki służebne zwykła była wysyłać do swoich odległych posiadłości).

Cała ta waciakowa liryka była powodem niemałych przykrości dla samych zwierzchników. Nocami, gdy obywatel nadzorca mógł spokojnie chrapać sobie w swojej dyżurce – musiał bobrować po obozie z ręczną latarką, żeby wyłuskiwać gołonogie, bezczelne baby z prycz męskiego baraku albo szukać chłopów w barakach babskich. Nie mówiąc już o czyhających na niego samego pokusach (przecież obywatel naczelnik też nie jest z drewna) musiał jeszcze prowadzić winowajczynię do karceru albo całą noc przemawiać jej do sumienia, wyjaśniając poglądowo dlaczego postępowanie jej uznać należy za szkodliwe – a potem jeszcze pisać na ten temat własnoręcznie raporty (co przy braku wykształcenia wyższego jest czynnością dosyć nużącą).

Wyzute ze wszystkiego, co nadaje sens kobiecemu, a zresztą w ogóle ludzkiemu istnieniu – z życia rodzinnego, macierzyństwa, z przyjaźni i miłego sercu środowiska, pozbawione znanej sobie, a może interesującej pracy, doznań artystycznych, książek, a teraz przygnębione strachem, głodem, samotnością i bestialstwem – w czym jeszcze szukać mogły ukojenia te kobiety, jeśli nie w miłości? Zrządzeniem Bożym krzewiła się tu miłość prawie już nie cielesna, bo przecież w krzakach wstyd, w baraku, przy obcych też nie sposób, zresztą mężczyzna tu nie zawsze dość ma siły, a nad-

201

to straż obozowa za każdą próbę tajnego spotkania prześladowe i posyła do karceru. Ale – jak mówią teraz byłe więźniarki – ta bezcielesność sprzyjała jakoś duchowemu natężeniu, tak znamiennemu dla obozowych miłości. Właśnie dzięki przeszkodom stojącym na drodze do spełnienia, miłość ta bywała bardziej intensywna niż na wolności! Niemłodzi już mężczyźni całymi nocami nie spali, rozpamiętując przypadkowy uśmiech albo jakiś ulotny dowód zainteresowania. A jak ostry, olśniewający jest promień miłości na brudnym i ponurym tle obozowego bytowania!

Odblask tajnej „zmowy szczęścia” widziała N. Stolarowa na twarzy swojej przyjaciółki, moskiewskiej aktorki i jej niepiśmiennego partnera, Osmę–na, pracujących razem przy zwózce siana. Aktorka przekonała się nagle, że nikt nigdy tak jej nie kochał – ani mąż, reżyser filmowy, ani wszyscy poprzedni wielbiciele. I tylko dlatego nie starała się o przeniesienie z robót ogólnych, z tej zwózki siana.

A jeszcze to ryzyko – prawie jak na wojnie, prawie śmiertelne: za jedną tajną, wykrytą schadzkę płaci się utratą wygrzanego miejsca, co równa się utracie życia. Miłość na ostrzu noża, tam, gdzie charaktery tak podleją, tak wywracają się na nice, gdzie każda piędź zdobywana jest kosztem ofiar – toż to miłość bohaterska! (Ania Lehtonen w obozie Ortau straciła uczucie dla swego ukochanego w ciągu dwudziestu minut – gdy strażnik prowadził ich do karceru, a chłopak skomlał uniżenie

o łaskę). Jedne szły na utrzymanie do pryduków, bez miłości, byle się poratować, inne zaś szły na ogólne i ginęły – byle kochać.

Wcale niemłode kobiety też brały udział w tym procederze; strażnicy nieraz aż się dziwili – bo nikt by takiej baby nie posądził o coś podobnego na wolności!

A kobiety te nie szukały już ujęcia dla swych pożądań, tylko chciały zaspokoić swoją potrzebę opieki nad kimś, chęć podzielenia się z kimś własnym ciepłem czy kęssem od ust odjętym: chciały móc drugiego człowieka nakarmić, móc uprać i zacerować jego łachy. Miska, z której razem się jadło, była ich świętością, ślubną obrączką. „Wcale nie muszę z nim spać, grunt że w tym naszym bydlęcym życiu, w tym baraku, gdzie cały dzień idzie haratanina o szmaty i pajki – może sobie człowiek pomyśleć: dziś mu załatam koszulę, a potem sobie kartofli ugotujemy” – tłumaczyła jedna z nich doktorowi Zubowowi. Ale chłop czasem chce czegoś jeszcze, trzeba mu ustąpić, a straż tylko tego wypatruje. Tak właśnie, w Unżtagu, praczka szpitalna, ciocia Pola, wcześniej owdowiała, całe późniejsze życie wiodąca samotnie, biegająca do cerkwi na posługi – została w nocy przyłapana z mężczyzną, już pod sam koniec swojej odsiadki. „Jak to się stało, ciociu Polu – załamywali ręce obozowi lekarze – ta-keśmy na ciebie liczyli! A teraz poślą cię na ogólne”. – Trudno, moja wina

202

– mówiła skruszona starucha – w Ewangelii to bym się zwała grzesnicą, a w obozie tom kurwa...”.

Ale nie było bezstronności w karaniu przyłapanych kochanków – jak zresztą w całym życiu GUłagu. Jeśli jeden z partnerów był prydukiem, należał do ludzi związanych z władzą obozową bądź też był bardzo potrzebny do jakiejś pilnej pracy, wówczas taki związek mógł być tolerowany całymi latami. (Kiedy do szpitala kobiecego OŁP Unżtagu przyjeżdżał zwolniony spod konwoju elektromonter, rozrywany przez wolniaków – ze względu na świadczone im usługi – lekarka naczelna, też wolniaczka, wzywała przełożoną pielęgniarkę, zeczkę i rozkazywała: „Załatwcie no, żeby Musia Butenko miała odpowiednie warunki”. Musia była pielęgniarką i to przez nią monter był w szpitalu częstym gościem). Jeśli zaś chodziło o zeków szeregowych albo będących w niełasce, to karano ich nie mieszkając, a okrutnie.

W Mongolii, w obozie kolejowym (nasi więźniowie budowali tam kolej w latach 1947–50) dwie dziewczyny, już pracujące bez konwoju, latały do swoich chłopaków, pracujących w męskiej brygadzie – i zostały przyłapane. Strażnik wziął obie na arkan, przywiązał do łęku, skoczył w siodło i RUSZYŁ GALOPEM W STEP4. Nawet Sałtyczycha tego nie robiła. Ale robiono to już na Sołówkach.

Wydawałoby się, że wciąż tropione, prześladowane, rozprasane stadła tubylcze nie mogły liczyć na trwałość. A tymczasem, istnieją dowody, że nawet po rozłączeniu – ludzie ci dalej do siebie pisywali, a po odzyskaniu wolności – starali się znów połączyć ze sobą. Znany mi jest taki wypadek: pewien lekarz, B. J. Sz. docent prowincjonalnego fakultetu lekarskiego, w obozie tak dokazywał, że nie mógł się już doliczyć swoich przygód: nie przepuścił ani jednej pielęgniarki, a wcale na nich nie poprzestawał. Ale oto trafił w końcu na niejaką Z. i naraz zaprzestał swojego kolekcjonerstwa. Z. nie chciała przerwać ciąży, urodziła dziecko. B. Sz. wkrótce potem wyszedł na wolność, nie obowiązywały go żadne zakazy – mógł wrócić do swojego miasta. Ale został w obozie z wolnego najmu, żeby być jak najbliżej swojej Z. i dziecka. Żona jego straciła wreszcie cierpliwość i przyjechała po niego

sama. Wówczas Sz. schronił się przed nią na terenie żony (dokąd żona wstępu nie miała), żył tam z Z., a żonę zawiadomił jakąś drogą, że już się z nią rozwiódł i żeby się wreszcie wyniosła.

Ale nie tylko strażnicy i zwierzchnicy potrafią rozdzielić obozowe stadła.

4 Kto ustali, jak się ten strażnik nazywał? Kto go teraz znajdzie? Zresztą, gdyby mu to ktoś przypomniał, to facet tylko by się zdziwił: co on tu winien? Toć mu tak kazano! I niech nie latają za chłopami, suki jedne!...

203

Archipelag jest siedliskiem przewrotności tak zupełnej, że tu rozdziela mężczyzn i kobiety nawet to, co powinno połączyć ich najmocniej: narodziny wspólnego dziecka. Miesiąc przed porodem, ciężarną więźniarkę wysyła się etapem do innego podobozu, gdzie jest szpital z oddziałem położniczym, skąd dochodzą rześkie głosiki, dające do zrozumienia, że nie chcą być zekami za grzechy swoich rodziców. Po połogu matkę odsyłają do osobnego podobozu dla matek, położonego w pobliżu.

Tu przerwijmy na chwilę. Tu trzeba zrobić pauzę! Ileż autoironii jest w tym słowie! „Wszystko, co nasze, jest nieprawdziwe!...”. Język zeków bardzo lubi i stosuje gdzie można wyrażenia bagatelizujące: nie matka, tylko mamka; nie – człowiek wolny, tylko wolniak; nie – ożenić się, tylko ochajtnąć się – wszędzie ta sama kpina.

I nawet wyrok dwudziestopięcioletni – to zaledwie ćwiara\

Z pomocą tych przewrotnych zdrobnień i zniekształceń językowych zek daje do zrozumienia, że na Archipelagu wszystko jest nieprawdziwe, wszystko zafałszowane, najniższej jakości. I że sami więźniowie za nic mają to, co cenne jest dla zwykłych ludzi. Że zdają sobie sprawę z lipnego charakteru i pomocy lekarskiej, tu im udzielanej, i prośb o ułaskawienie, które piszą z musu i bez żadnej nadziei. I nawet słowo „ćwiara” służy zekowi do wykazania swojej przewagi i lekceważenia dla wyroku prawie dożywotniego!

Tak więc w swoim podobozie mamki mieszkają, pracują i prowadzone są pod konwojem tam, gdzie karmić mają piersią nowo narodzonych tubylców. Dziecko w tym czasie jest już nie w szpitalu, tylko w „osiedlu dziecięcym” albo w „domu maluchów”, bo różnie się tę instytucję w rozmaitych obozach nazywa. Gdy okres karmienia się kończy, matkom nie pozwalają więcej widywać dzieci – chyba w drodze wyjątku „za wzorową pracę i dyscyplinę” (no, a chodzi o to, żeby nie trzymać bab koło tego drobiazgu, tylko tam je postać, gdzie to jest potrzebne dla dobrej produkcji). Ale nader rzadko zdarza się, aby kobieta wróciła do dawnego swego podobozu, gdzie został jej lagrowy „mąż”. A ojciec w ogóle nie zobaczy swego dziecka, przynajmniej póki siedzi w obozie. Dzieci zaś – po odstawieniu od piersi – trzymane są w osiedlu maluchów jeszcze jakiś rok (przydziały żywności dostają tam wedle norm, przewidzianych dla wolnych dzieci, dlatego też personel szpitalny i obsługa nieźle przy nich się mają). Niektóre nie potrafią przystosować się do sztucznego pokarmu i umierają bez matki. Te, które przeszły tę próbę, odsyłane są po roku do ogólnego domu dziecka. W ten sposób syn tubylczej pary opuszcza Archipelag, mając jednak możliwość powrotu tam w charakterze malolatka.

Kto interesował się tym problemem, twierdzi, że nie często zdarza się, by matka – po wyjściu na wolność odbierała swoje dziecko z przytułku (kna-

204

jaczek – nigdy tego nie robią); przekłute są te istoty, których maleńkie płuca nawdychały się zakaźnych wyziewów Archipelagu już z pierwszym haustem powietrza.

Niektóre jednak – biorą te dzieci albo nawet przysyłają po nie wcześniej jakieś ciemne (zapewne – religijne) babcie. Z uszczerbkiem dla oficjalnej pedagogii, straciwszy mnóstwo grosza na izbę porodową, na urlop macierzyński i na osiedla maluchów – GUŁag jednak te dzieci oddaje.

Przez wszystkie te lata przedwojenne i podczas wojny, gdy ciąża powodowała rozłąkę, rozdzielanie obozowego stadła, gdy zrywała ten, z takim trudem nawiązany, starannie ukrywany, zewsząd zagrożony i już z samej zasady, nietrwały związek – kobiety starały się nie mieć dzieci. Także pod tym względem Archipelag nie przypominał reszty kraju: w okresie, gdy wszędzie zabronione było spędzanie płodu, gdy groził za to sąd i gdy kobiety z największym trudem pozbywały się niepożądaney ciąży – tu obozowa zwierzchność nader pobłażliwie traktowała przerywanie ciąży co i rusz przeprowadzane w szpitalach: tak przecież lepiej dla obozu.

Trudna dla każdej kobiety, jeszcze bardziej skomplikowana była dla każdej więźniarki odpowiedź na pytanie: rodzić czy nie rodzić? i co zrobić potem

z dzieckiem? Jeśli zmienny los obozowy pozwolił kobiecie spodziewać się dziecka z człowiekiem kochanym, to jak mogła zdecydować się na spędzenie takiego płodu? A jeśli zdecyduje się na poród? – oznacza to prędką i pewną rozłąkę.

A później – czy nie znajdzie on sobie zaraz po twoim odejście jakiejś innej w tym samym obozie? I jakie będzie to dziecko? (Rodzice są chorzy z niedożywienia – rodzą się więc często dzieci upośledzone). I kiedy skończysz je karmić, to przecież cię wyślą gdzieś, a tyle jeszcze lat trzeba siedzieć, więc czy będzie miało opiekę to małe, czy go nie zmarnują? I czy można będzie później, po powrocie, zabrać to dziecko do domu, pokazać rodzinie (dla niejednej – to wykluczone)? A jeśli go się nie weźmie, to przecież całe życie będzie się później człowiek dręczył (dla niejednej – to żaden problem).

Decydowały się śmiało na takie macierzyństwo te, które miały nadzieję na późniejszy związek ze swoim partnerem. (I rachuby te czasem znajdowały potwierdzenie).

Decydowały się też takie, którym w ogóle zależało na dziecku – choćby w obozie, skoro inne życie im niepisane... (Lala, dziewczyna z Charbinu, urodziła drugie dziecko tylko po to, aby wrócić do „dziecięcego miasteczka” i zobaczyć swego pierworodnego! A później – odbyła jeszcze jeden poród, już trzeci, aby natrzeć się na tamtych dwoje dzieci. Odbębniwszy swego piątała, potrafiła odnaleźć całą trójkę i wyszła na wolność razem z dziećmi). Bezgranicznie, nieodwołalnie upokorzone kobiety, dzięki swemu obozowemu macierzyństwu odzyskiwały niejako

205

swoją godność i na krótką chwilę stawały się równe „tym z wolności”. Albo tak myślały: „Ja siedzę, trudno, ale moje dziecko jest wolne!” – i natarczywie żądały dla swego dziecka takiej opieki i wyżywienia, jakie należały się wolnym ludziom. Inne jeszcze, zwykle stare bywalczyńie obozów, przeważnie ze środowiska knajackiego, traktowały macierzyństwo jako rodzaj kantu, czasem – jako sposób na przedterminowe zwolnienie. Dziecka nie uważały wcale za swoje, ani go widzieć nie chciały, nic je nie obchodziło, czy w ogóle żyje.

Kobiety z dawnej Galicji, a czasem też – proste Rosjanki, starały się koniecznie jakoś ochrzcić swoje dzieci (mowa o latach już powojennych). Krzyżyki przysyłano im skrycie w paczce (nadzór nie pozwoliłby przecież na taką kontrrewolucję) albo kupowano je za chleb u obozowego majster-klepki. Zdobywały także wstążeczki, aby krzyżyk zawiesić dziecku na szyjce, paradne śpioszki, czapeczki. Szparowały

cukier z pajki, piekły potem jakąś malutką babeczkę, zapraszały najbliższe przyjaciółki. Zawsze znalazła się kobieta, znająca jakąś modlitwę, dziecko chrzczono z wody, żegnano je znakiem krzyża i rozpromieniona matka zapraszała obecnych do stołu.

Czasem „mamki” z dziećmi przy piersi (oczywiście nie te z artykułu 58) doczekiwały się specjalnej amnestii albo po prostu były pojedynczo zwalniane przed terminem. Najczęściej z przywileju tego korzystały kobiety skazane za drobne kradzieże i półkna-jacki, które właśnie na to liczyły. Po zwolnieniu dostawały paszport i bilet kolejowy w najbliższym mieście powiatowym po czym dziecko – już niepotrzebne – zostawiały na dworcu, albo na najbliższym ganku; zdarzało się to nierzadko. (Ale też trzeba wziąć pod uwagę, że nie każda miała gdzie wrócić, że nie mogła spodziewać się życzliwości ze strony milicji, ułatwień przy meldunku, pracy i że nie czekała już na nie gotowa pajka, choćby nawet obozowa. Bez dziecka – łatwiej było rozpocząć nowe życie).

W 1954 roku na dworcu w Taszkencie spędziłem całą noc w sąsiedztwie grupy zeków, dopiero co wypuszczonych z obozu. Było ich ze trzydziestu, roztasowali się w jednym z kątów sali, zachowywali się hulaśliwie, z nonszalancją na poły knajacką, jak to rodzone dzieci GUŁagu, znające życie na wylot i gardzące słotczonymi tu wolnymi. Mężczyźni rżnęli w karcięta, a mamki wiodły jakieś głośnie spory – i oto nagle jedna z nich wrzasnęła głośno, zerwała się na równe nogi, porwała swoje dziecko za nóżki i trzepnęła je główką o kamienną podłogę – aż huknęło. Cała wolna sala jęknęła ze zgrozy: matka?! jak może matka coś podobnego? ...Nie wiedzieli przecież, że to nie matka, tylko mamka.

206

Wszystko, com powyżej napisał, odnosi się do obozów mieszanych, to znaczy takich, jakie istniały od pierwszych dni rewolucji do końca drugiej wojny światowej. W latach tych było w całej RSFSR tylko jedno miejsce odosobnienia, zdaje się w Nowinie (gdzie dawniej było moskiewskie więzienie kobiece) przeznaczone dla samych tylko kobiet. Eksperyment ten nie był powtarzany i trwał niezbyt długo. Ale – szczęśliwie wygrzebawszy się spod ruin, po wojnie, która omal nie skończyła się klęską z jego winy, Nauczyciel i Twórca już jął się zastanawiać, czym by tu uszczęśliwić swoich poddanych. Myśl jego szybowiała teraz swobodnie, mógł poświęcić się sprawie uporządkowania życia publicznego i wtedy właśnie wprowadził w czyn mnóstwo pomysłów nader pożytecznych, umoralniających, między innymi – separację obu płci, przede wszystkim – w szkołach i w obozach (później chciał chyba rozciągnąć tę zasadę na cały obszar życia wolnego; w Chinach zakres tego przedsięwzięcia miał być znacznie szerszy).

W 1946 zaczął się, a w 1948 roku zakończył na Archipelagu wielki proces zupełnego oddzielenia mężczyzn od kobiet. Rozesłano ich na rozmaite wyspy, tam zaś, gdzie teren był wspólny, przeciągano między żoną męską a kobietą niezawodny drut kolczasty⁵.

Ale – podobnie jak wiele innych naukowo przewidzianych i naukowo przemysłowych przedsięwzięć – akcja ta miała skutki nieoczekiwane i nawet biegunowo różne od zaplanowanych.

Ogólna sytuacja kobiet zajętych w produkcji uległa gwałtownemu pogorszeniu po tym podziale. Dawniej wiele kobiet pracowało w charakterze praczek, sanitariuszek, kucharek, łaziebnych, magazynierek, księgowych w podobozach o mieszanym składzie. Teraz wszystkie te stanowiska musiały one opuścić, a w

obozach wyłącznie kobiecych takiej pracy było o wiele mniej. Poślano więc baby na „ogólne”, przy tym – w składzie brygad wyłącznie kobiecych, gdzie praca jest wyjątkowo trudna. Wyrwać się od łopaty, choćby na krótko – to była teraz kwestia życia. I kobiety zaczęły polować na okazję – by zejść w ciążę, próbowały tego przy każdym przypadkowym spotkaniu, przy każdym zetknięciu z mężczyzną. Zajście w ciążę nie oznaczało teraz rozstania z partnerem, jak to było dawniej, bo wszystkie rozstania załatwione zostały ryczałtem i z góry przez Przemądręgo Rozkazodawcę.

I oto w ciągu jednego roku liczba dzieci w „domach maluchów” podwoiła. 5 Wiele inicjatyw Koryfeusza uznano już za niezupełnie szczęśliwe, więc je nawet poka-sowano – a tymczasem separacja według pici jakoś się na Archipelagu przyjęła i trwa niewzruszenie po dziś dzień. Ma bowiem głębokie moralne uzasadnienie.

207

się! (Unżłag, 1948 – 300 zamiast 150) chociaż liczba kobiet – więźniarek w tym okresie wcale nie wzrosła!

„Jakie imię nadasz twojej dziewczynce?” – „Olimpiada. Zaszłam w ciążę właśnie na olimpiadzie kótek artystycznych”. Bo jeszcze siłą bezwładu istniały te formy pracy kulturalnej – olimpiady, występy męskiej brygady koncertowej w kobiecych podobozach, wspólne zloty przodowników pracy. Zachowały się wspólne szpitale, też pełniące obecnie rolę domów schadzek. Podobno w 1946 roku w obozie Solikamskim drut kolczasty rozgraniczający obie żony ciągnął się jednym tylko rzędem i sploty miał rzadkie, a ponadto nie pilnowała go straż z karabinami. W tych warunkach nie dziwota, że pożądlivi tubylcy tłoczyli się po obu stronach zasieków, kobiety przykłękały, jak do szorowania podłóg, mężczyźni zaś robili z nimi swoje, nie przestępując nawet magicznej linii.

Wielka jest siła nieśmiertelnego Erosa; nie chodziło przecież tylko o wyrachowanie, o to, żeby zwolnić się z ogólnych robót. Więźniowie czuli, że ta linia graniczna przeciągnięta została solidnie i na długo, że będzie teraz kamienieć tak, jak wszystko w GUłagu.

Jeśli przed tym podziałem ludzie często współżyli ze sobą jak przykładowe stadła, jeśli istniała instytucja obozowego małżeństwa, jeśli rodziła się nawet miłość, to teraz zostało już tylko otwarte porubstwo.

Oczywiście władza też nie zasypiała gruszek w popiele i bez przerwy doskonaliła swoje wynalazki. Jednorzędowe zasieki kolczaste otrzymały strefy ochronne z obu stron. Następnie, gdy ten sposób uznano za niedoskonały, wybudowano dwumetrowe głuchoe płoty, zachowując z obu stron pasma ochronne.

W obozie Kengir nawet taka ściana okazała się mało skuteczna: zalotnicy nauczyli się skakać. Wówczas to w dni niedzielne (toć nie wolno tracić dni roboczych na takie rzeczy! Zresztą – to naturalne, że na sprawy swego życia prywatnego ludzie poświęcają dni wolne od pracy) zaczęto z obu stron naraz podwyższać mur. Po-przestano na czterech metrach. Macie ironię losu: do tej niedzielnej roboty ludzie pchali się z niekłamaną radością! – była okazja, aby przed ostatecznym poze-gnaniem zawrzeć jeszcze znajomość z kimś spoza muru, dogadać się, ustalić sposoby korespondencji.

Musiano później w Kengirze podciągnąć mur aż do pięciometrowej wysokości i jeszcze ukoronować go drutem kolczastym. Następnie przeprowadzono przewody wysokiego napięcia (ale mocne te siły nieczyste!). Wreszcie ustawiono wieżyczki

wartownicze wzdłuż muru. Ten mur kengirski ma swoją specjalną kartę w historii Archipelagu (patrz część V, rozdział 12). Ale również w innych Specobozach (Spassk) stawiano podobne konstrukcje.

208

Mury rosły, Eros miotał się coraz rozpaczliwiej. Nie znajdując innego ujścia – albo wzbijał się zbyt wysoko, w regiony platonicznej wymiany listów, albo opadał do poziomu stosunków z ludźmi tej samej płci.

Karteluszkę miłosną przetrzucano przez żonę lub zostawiano w skrytkach w miejscu pracy. Pakieciki adresowane były w sposób umowny tak, aby nadzorca nie mógł się połapać, nawet gdyby znalazł. (Za taką korespondencję wsadzano teraz do obozowego więzienia).

Hala Benediktowa twierdzi, że czasem znajomości zawierane były zaocznie: pisało się listy do niewidzialnego, nieznanego człowieka i rozstawano się później z kimś niewidzialnym, nieznanym z widzenia. (Kto prowadził taką korespondencję, ten zna dobrze jej rozpaczliwą słodycz i beznadziejność, i ślepotę). We wspomnianym już Kengirze, Litwinki wychodziły za mąż za swoich rodaków nigdy przedtem nie widzianych przez ten mur: ksiądz (w takim samym waciaku, taki sam więzień jak inni) zaświadczał na piśmie, że taka a taka oraz taki a taki oto na wieki złączeni są sakramentem małżeństwa. Tym zaślubionym z nieznanym więźniem zza muru – a dla katoliczki ślub taki jest czymś nierozzerwalnym i świętym – towarzyszą, zda mi się, chóry anielskie. Jest w tym coś na kształt zachwyconego wpatrywania się w ciała niebieskie. Niebotyczna, niezwykła to rzecz w stuleciu wyrachowania i drgawek jazzowych.

Te kengirskie małżeństwa też miały niezwykły finał. Niebiosy wysłuchały modlitwy. (Część V, rozdział 12).

Same niewiasty (a także lekarze kurujący je w separowanych żonach) twierdzą, że znosiły tę separację gorzej niż mężczyźni. Stawały się szczególnie pobudliwe i nerwowe. Szeroko kwitła miłość lesbijska. Co młodsze a skłonne do uczuć snuły się pożółkłe, z podkutymi oczyma. Co brutalniej – stawały się „mężczyznami”. Straż mogła sobie te pary prześladować i rozpędzać, ale w końcu znów je znajdowano na jednej pryczy. Przerzucano więc kogoś z tych „stadeł” do innego obozu. Wybuchwały burzliwe sceny, dochodziło aż do rzucania się na druty kolczaste, pod lufy straży.

W karagandzkiej filii Steptagu, gdzie zgromadzone były zresztą tylko kobiety z Pięćdziesiątki Ósemki, niejedna z nich – jak twierdzi N.W. – oczekiwała na wezwanie do opera z bijącym sercem. Nie strach ani wstręt do podłych, nienawistnych przesłuchań powodował to bicie. Serce biło na myśl o tym mężczyźnie, który za chwilę sam na sam z nią zamknie się na klucz w gabinecie.

Cały ciężar robót ogólnych dalej kładł się na osobne obozy dla kobiet. Wprawdzie w 1951 roku zakazano formalnie posyłania kobiet do robót przy wyrębie lasu (chyba jednak nie dlatego, że zaczęła się właśnie druga połowa dwudziestego wieku). Ale np. w Unżtagu męskie podobozы w ża-

Archipelag Gułag t. II

209

den sposób nie dawały sobie rady z planem. I wówczas ktoś wpadł na pomysł – dać ostrogę i zmusić tubylców, by kosztem wzmożonego wysiłku kupowali sobie to, co wszystkie żywe istoty dostają bezpłatnie. Zaczęto zatem kobiety wysyłać do lasu na roboty, na ten sam odcinek, pod nadzorem tego samego konwoju. Tylko

droga sanna oddzielała je od mężczyzn. Wszystko, co na tym odcinku zrabano, zapisywane było na rachunek podobozu męskiego, ale wykonania normy żądano i od chłopów, i od bab. Lubię Bierezin, „mistrzini piły”, naczelnik (major czy może pułkownik) tak wyraźnie powiedział: „Jak wykonasz normę ze swoimi babkami, będziesz miała swojego chłopaka w osobnej kabince!”. Ale również mężczyźni, ci mocniejsi, a już zwłaszcza prominenci, zawsze mający sporo grosza, wtykali pieniądze konwojentom (u nich też się przecież nie przelewa) i na jakieś półtorej godziny (do zmiany wachty) mogli ruszać w głąb odcinka żeńskiej brygady.

W zaśnieżonym, skutym mrozem lesie trzeba było w ciągu tych dziewięćdziesięciu minut: dokonać wyboru, zawrzeć znajomość (jeśli wcześniej nie nawiązało się korespondencji), znaleźć odpowiednie miejsce – i zrobić, co należy.

Ale po co to w ogóle wspominać? Po co i dlaczego jątrzyć rany – tych, którzy mieszkali podówczas w Moskwie i na daczach, pisali do gazet, przemawiali publicznie, jeździli do uzdrowisk i za granicę?

Istotnie, po cóż o tym wspominać, skoro to trwa dalej? Przecież pisać wolno tylko o tym, co „nigdy już się nie powtórzy...”.

IX

PROMINENCI

Jednym z pierwszych pojęć miejscowych, które poznaje nowicjusz po przybyciu do obozu, jest termin *p r i d u r o k*. Tak sobie z prosta nazywają tubylcy tych, którym udało się przechytryć straceńczy los, pisany wszystkim innym: są to ci, którzy albo zdołali wydostać się z ogólnych, albo w ogóle nigdy na nich nie byli.

Prydurków jest na Archipelagu niemało. Ilość ich ogranicza w żonie mieszkalnej ściśle określony pułap procentowy, przewidziany dla grupy „B”, w produkcji zaś – liczba etatów – jednakże zawsze jakoś jest ich więcej, niż plan przewiduje: częściowo dzięki masowemu naciskowi amatorów takiego ratunku, częściowo zaś – z uwagi na nieudalność administracji, nie umiejącej gospodarować i zarządzać obozem bez nadmiaru pomocników.

Według statystyki Ludowego Komisarjatu Sprawiedliwości (1933) obsługą zakładów karnych, wliczając w to co prawda również tzw. samo-ochronę – zajmowało się wówczas 22% ogólnej liczby tubylców. Jeśli tę cyfrę obniżymy nawet do 17–18% (bez tych wartowników własnego chowu) – to zawsze jeszcze będzie to jedna szóstka wszystkich więźniów. Już z tego widać, że mowa będzie o bardzo znacznej części obozowego ludku.

Ale prominenci stanowią więcej niż jedną szóstą całości: przecież ta cyfra dotyczy tylko prominentów z żony, a jeszcze są ci od produkcji; a ponadto skład tej grupy jest zmienny i w trakcie swojego życia obozowego jeszcze większy odsetek – przynajmniej na jakiś czas – osiąga rangę prydurka. Najważniejsze zaś, że pośród tych co przetrwali, co doczekują się wyjścia na wolność – prominenci stanowią znaczną większość.

211

Wśród długoterminowych więźniów, tych z Pięćdziesiątki Ósemki – jest ich, moim zdaniem, dziewięć dziesiątych.

Więc prawie każdy zek długoterminowy, któremu winszujecie wyjścia na wolność – to były *p r i d u r o k*. Albo był nim przez większą część odsiadki.

Bo przecież to obozy zagłady, o tym nie wolno zapominać.

Wszelka klasyfikacja zjawisk zachodzących w żywym życiu jest płynna i granice między poszczególnymi stopniami są w niej zatarte. Także w tym wypadku grani-

ce są zamazane. W zasadzie – każdy, kto nie musi wychodzić z żony mieszkalnej do roboty – może być uznany za p r y d u r – k a. Człowiek zatrudniony przy robotach gospodarczych już ma życie znacznie łatwiejsze niż robot z ogólnych: nie musi meldować się przed pójściem do pracy, a więc może później wstać i zjeść ranny posiłek bez pośpiechu; nie musi być eskortowany do miejsca pracy i z powrotem, znosi mniej ponagleń, mróz nie tak go dręczy, sił tyle nie traci; prócz tego jego dzień roboczy jest krótszy; albo pracuje w ciepłym lokalu, albo wolno mu się zawsze pogrzać przy ogniu. Dalej – zatrudniony jest zwykle nie w brygadzie, lecz osobno, dajmy na to – jako majster, jeśli go więc ktoś pogania, to tylko zwierzchność, a nie towarzysz. A jako że często robi on to i owo na prywatne zlecenie tejże zwierzchności, więc zamiast poszturchiwać częs-to-gęsto otrzymuje nawet jakieś podarunki, jakieś ulgi; to on pierwszy fasuje odzież i obuwie. Ma też niemałe możliwości dorabiania sobie na boku, wykonując zamówienia innych zeków. Żeby to jakoś jaśniej wyłożyć, powiedzmy, że zatrudnieni w dziale gospodarczym to jakby pracująca część dworskiej czeladzi. Należący do niej ślusarz, stolarz, zdun – nie jest jeszcze prominentem w pełnym sensie tego słowa, za to szewc, a tym bardziej – krawiec jest prydukiem wysokiej klasy. „Krawiec” – to brzmi i znaczy w obozie mniej więcej tyle co „docent” w reszcie świata. (I odwrotnie – być prawdziwym „docentem” to powód do kpin, lepiej nie robić z siebie pośmiewiska i nie wymieniać swoich tytułów. Obozowa skala autorytetów jest dokładnym przeciwieństwem skali, obowiązującej poza obozem).

Pracza, pomywaczka, palacz, łaziebny, robotnik z kotłowni, podręczny w piekarni, dyżurny w baraku – to też p r y d u r k i, ale niższego rzędu. Muszą oni urabiać sobie ręce, nieraz łokcie. Wszyscy oni zresztą nie wiedzą, co to głód. Prawdziwi prominenci w żonie to: kucharze, ci, co dzielą chleb na porcje, magazynierzy, lekarze, felczerzy, fryzjerzy, wychowawcy z KO, kierownik łaźni, szef piekarni, szefowie składów, szef rozdzielni przesyłek pocztowych, starostowie baraków, intendenci, dyspozytorzy, księgowi, pisarze

212

z baraku sztabowego, inżynierowie żony i działu gospodarczego. Ci wszyscy nie tylko zawsze są syści, nie tylko noszą się czysto, nie tylko nie bawią się w podnoszenie ciężarów i nie skarżą się na łamanie w krzyżu, ale sprawują też władzę nad tym, co potrzebne jest ludziom – mają zatem władzę nad ludźmi. Czasem poszczególne ich grupy toczą między sobą walki, knują intrygi, obalają się wzajemnie i pomagają sobie w awansach, często żrą się z powodu „bab”, ale najczęściej – życie ich to stała, pospólna walka obronna z czernią. Stanowią jakby Olimp, obsypany dobrodziejstwami, na którym nie istnieją już podziały, bo wszystko raz na zawsze zostało rozdzielone i każdy panuje w swoim kręgu. Ta klika prominentów z żony tym większą ma siłę, im bardziej polega na niej komendant, oszczędzając sam sobie trosk. Los wszystkich przysyłanych i odsyłanych etapem, los każdego szarego robociarza jest w ręku tych pryduków.

Typowa kastowa krótkowzroczność bardzo prędko skłania prominentów do gardzenia spaniem z prostym ludem roboczym we wspólnym baraku, na tej samej wagonetce, zresztą w ogóle na jakiegokolwiek wagonet-ce, nie zaś w łóżku. Nie chcą już jeść przy wspólnym stole, rozbierać się w tej samej łaźni, nosić bielizny, w której harował i którą podziurawił robociarz. I oto prominenci zamieszkują osobno, w niewielkich izbach, we dwójkę, czwórkę czy w ósemkę, tam jadają jakieś lepsze potrawy, doprawiają je czymś niezupełnie legalnie zdobytym, tam usta-

lają między sobą wszystkie obozowe nominacje i rozstrzygają sporne sprawy, tam decydują o losach poszczególnych ludzi i brygad, nie narażając się na przykrości ze strony robociarza czy brygadzystów. Osobno organizują sobie wypoczynek (a wypoczywają sobie, rzecz jasna), bieliznę też zmieniają im oddzielnie („indywidualnie”). Ta sama głupota kastowa każe im starać się o inną odzież, wyróżniającą ich wśród więźniarskiej rzeszy, acz tu możliwości mają niewielkie. Jeśli w danym obozie przeważają czarne waciaki czy kaftany – prominenci starają się wydostać ze składu waciaki granatowe, jeśli przeważają granatowe – to szukają czarnych. Albo każą sobie w szwalni poszerzać wąskie obozowe portki tak, żeby miały u dołu klosze. Prominenci w dziale produkcji – to inżynierowie, technicy, kierownicy robót, dzieciętnicy, majstrowie w oddziałach, planiści, kontrolerzy norm, a także księgowi, sekretarki, maszynistki. Od pryduków z żony tym się różnią, że wyprowadzani są do pracy kolumnami, maszerującymi pod konwojem (czasem są zresztą zwolnieni spod straży). Ale ich sytuacja w obozowym przedsiębiorstwie jest uprzywilejowana; nie muszą pracować fizycznie, robota ich nie wycieńcza. Ba, od wielu z nich zależy praca, wikt i życie zwykłych robotników. Chociaż luźniej związani są z żoną mieszkalną, starają się tam także bronić swoich przywilejów i mieć znaczną część

213
tych ulg, z których korzystają prominenci żony – chociaż nigdy im się nie udaje dorównać tamtym.

Tu też nie ma wyraźnych granic. Do tej grupy należą również konstruktorzy, technologowie, geodeci, mechanicy, dyżurni w hali maszyn. Ci – nie zaliczają się już do „kadry oficerskiej produkcji”, nie mają w ręku niszczycielskiej władzy, nie ciąży na nich odpowiedzialność za zmarnowane życia ludzkie (w tej mierze, w jakiej tego marnowania nie spowodowała obrona przez nich albo wprowadzana w życie technologia produkcji). Są to po prostu inteligentni albo półwykształceni zwykli robociarze. Jak każdy inny zek przy pracy machlują, oszukują zwierzchność, starają się przez tydzień ciągnąć to, co można zrobić przez pół dnia. Zwykle w obozie mieszkają oni jak zwykli robotnicy, często wchodzą w skład brygad roboczych, tylko na obszarze robót jest im ciepło i bezpiecznie i to tam, w gabinetach i kabinkach, doczekawszy się chwili, gdy wolniaków nie ma, odrywają się od zadanej pracy i zaczynają toczyć rozmowy o życiu, wyrokach, o tym, co było i co będzie, najczęściej zaś – o pogłoskach, wedle których Pięćdziesiątkę Ósemkę (a najczęściej to ich artykuł) niedługo już w całości przerzucą na ogólne.

Ma to też swoje głębokie, prawdziwe naukowe uzasadnienie – przecież elementy, socjalnie obce, prawie nigdy nie poddają się reedukacji, tak są zatwardziałe w swoim klasowym zepsuciu. Większość z nich dopiero grób wyleczy. Jeśli zaś jakaś ich mniejszość staje się mimo wszystko podatna na dobre wpływy, to, rzecz jasna, tylko dzięki pracy, przy tym pracy fizycznej, ciężkiej (zastępującej wysiłek maszyn), tej pracy, która byłaby poniżająca dla obozowego oficera czy nadzorcy, która niemniej jednak przyczyniła się niegdyś do ucłowieczenia małpy (a w obozie, niezrozumiałym sposobem, znów człowieka w małpę przekształca). Oto dlaczego – bynajmniej nie z chęci zemsty, lecz jedynie gwoli słabej nadziei, że Pięćdziesiątka Ósemka jednak podda się reedukacji – instrukcje GUŁagu z całą stanowczością przypominają (a upomnienie to wciąż bywa powtarzane), że osoby skazane z artykułu 58 nie mogą zajmować żadnych uprzywilejowanych stanowisk ani w żonie mieszkalnej, ani w dziale produkcji. (Stanowiska, związane z przechowaniem i dystrybucją walorów materialnych, przewidziane są dla osób,

które już na wolności wyróżniły się zdolnościami do grabieży). Tak by też było w rzeczywistości – bo i kto z obozowych dygnitarzy lubi Pięćdziesiątkę Ósemkę! – ale wiedzą oni dobrze, że wśród wszystkich innych więźniów nie znajdują nawet piątej części takich specjalistów, jak wśród skazanych z artykułu 58. Lekarze i inżynierowie – to prawie wyłącznie Pięćdziesiątka Ósemka, a zresztą uczciwszych i pracowitszych ludzi niż oni – nie sposób po prostu znaleźć nawet wśród wolniaków. I oto –

214

przeciwstawiając się skrycie Jedynej Prawdziwej Naukowej Doktrynie – pracodawcy zaczynają samochcąc wyznaczać Pięćdziesiątkę Ósemkę na stanowiska prominentów (zresztą – najważniejsze zawsze przypadają po–spolitałom, bo z nimi łatwiej władzy się dogadać, a tu zbytnia uczciwość byłaby tylko przeszkodą). Dają im te stanowiska, ale przy każdej nowelizacji instrukcji (a instrukcje wciąż się nowelizuje), przed każdym przyjazdem komisji kontrolnej (a komisje wciąż przyjeżdżają) Pięćdziesiątkę Ósemkę bez wahań i żalów, na jedno skinienie białej ręki pana komendanta, wysyła się na ogólne. Mozolnie, w ciągu całych miesięcy budowana chwiejna pomyślność, rozpada się w jednej chwili jak domek z kart. Ale nie samo to wylanie z pracy jest zgubne; politycznego pryduka gorzej jeszcze męczą nieustające pogłoski o tym, że już, już. Zatruwają one całe jego istnienie. Tylko pospolitacy mogą sobie beztrząsco napawać się swoim stanowiskiem i funkcją. (Zresztą – komisja sobie odjedzie, a tu robota co i rusz to gorzej idzie, więc też inżynierów – tylko patrzeć – a już wyciągają z błota i posyłają na funkcje, żeby znów ich wygnać przy najbliższej kontroli).

A są jeszcze wśród Pięćdziesiątki Ósemki tacy, których akta raz na zawsze obłożone są specjalną klątwą, rzucaną przez centralę w Moskwie: „wykorzystywać tylko do robót ogólnych!”. Wielu zeków z Kołymy nosiło to piętno w 1938 roku. Wkręcenie się na stanowisko praczki albo do suszarni walonków – było dla nich marzeniem nieosiągalnym.

Jak to tam w „Manifeście Komunistycznym”?

„Burżuazja pozbawiła aureoli świętości wszystkie rodzaje zajęć uważane dotąd za zaszczytne, otoczone dotąd nabożną czcią” (pasuje prawie, jak ulał!). Lekarza, prawnika, duchownego, poetę, uczonego – przekształciła ona w swoich najmniejszych”. Ale przynajmniej – płatnych! I pozwoliła im przynajmniej pracować w ich fachu! A gdyby tak na ogólne? do lasu z toporkiem? i bezpłatnie! i bez chlebusia! Co prawda, lekarzy zsyłano na ogólne dość rzadko: leczyli przecież także rodziny zwierchników. Co zaś do „prawników, duchownych, poetów i uczonych”, to tych gnojono wyłącznie na ogólnych, wśród prominentów nie mieli oni nic do roboty.

Osobną pozycję w obozie mają brygadziści. Nie są oni w pojęciu tubylców prydurkami, ale też nie sposób zaliczyć ich do robociarzy. Dlatego – ten rozdział i do nich się odnosi.

Marks i Engels, t. IV, str. 427 (wyd. roś.).

215

W obozowym życiu, podobnie jak podczas bitwy, nie ma czasu na zastanawianie się: nadarzy się okazja, żeby dostać funkcję – więc ją człowiek łapie.

Ale minęły lata i dziesięciolecia, myśmy jakoś je przetrwali, a nasi kumple poginęli. I oto – zdumionym wolniakom i zobojętniałym naszym następcom ku nauce – za-

czynamy po troszeczkę uchylać drzwi do tamtego świata, który nie miał prawie nic ludzkiego, aby móc wymierzyć mu sprawiedliwość w blasku ludzkiego sumienia. I sprawa pryduków pojawia się właśnie tu jako jeden z głównych problemów moralnych.

Wybierając bohatera dla mojej opowieści obozowej, wziąłem zwykłego robotnika, bo też nie mogłem wziąć nikogo innego. Tylko taki człowiek mógł wiedzieć, jak naprawdę wyglądają stosunki w obozie (podobnie jak tylko piechur znać może cały prawdziwy ciężar wojny – tylko że pamiętniki jakoś piszą inni). Wybór takiego bohatera i niektóre ostre wypowiedzi w tej powieści – zaskoczyły i dotknęły do żywego niektórych byłych pryduków, a – jak już mówiłem – wśród tych, którzy zdołali przeżyć obozy, 9/10 to właśnie oni. Wtedy też pojawił się jakby rodzaj „wspomnień pryduka” – Diakowa (Notatki o tym, com przeżył), gdzie zarozumiałe i z satysfakcją pieje się hymny ku chwale zręczności przy „urządzaniu się” w obozie, i chytryści, pozwalającej zachować życie za wszelką cenę. (Taka właśnie książka powinna była pojawić się jeszcze przed moją).

W ciągu tych niewielu miesięcy, gdy wydawało się, że można będzie wspólnie się zastanowić, rozpoczęła się nawet dyskusja o prydukach; było to coś w rodzaju próby oceny strony moralnej sytuacji prominenta w obozie. Ale żadna informacja nie bywa u nas doprowadzona do zupełnej ścisłości i jasności, w żadnej dyskusji nie pozwala się dotknąć naprawdę wszystkich aspektów omawianej sprawy.

Wszystko to nieuchronnie zostaje zduszone już w samym zarodku, aby promyk żaden paść nie mógł na nagie zwłoki prawdy; wszystko to zwała się na jedną bezkształtną kupę, która ma butwieć całe dziesięciolecia, aż wreszcie zatrą się wszystkie ślady i zniknie wszelkie zainteresowanie dla rdzawych kikutów, co zalegają gdzieś w tym rumowisku. Tak samo dyskusja o prydukach przytłumiona została już na wstępie i z gazetowych szpał przeniosła się na stronice listów prywatnych.

A tymczasem – rozróżnienie między prydukiem a robociarzem w obozie (zresztą nie trzeba tu było żadnej przesady w stosunku do rzeczywistości) powinno było zostać ustalone i bardzo dobrze się stało, że problem ten omówiono już wtedy, gdy temat obozów został poruszony publicznie. Ale w opublikowanym, na kontrolowanych przez cenzurę łamach,

216

artykule W. Łakszyna² odczułem pewną przesadę tam, gdzie była mowa o pracy w obozie (można się było doszukać nieomal pochwały owego wysiłku, co to wynagradzał brak mechanizmów i przyczyniał się do ucztowieczenia małpiej czere-
dy) i oto artykuł – w sumie słuszny – a zarazem moja opowieść * spowodowały falę protestów ze strony byłych p r y – d u r k ó w oraz ich inteligentnych popleczników, którzy nigdy nie siedzieli za kratami: jak to, więc sławicie panowie pracę niewolniczą („scena murowania” w Iwanie Denisowiczu)! A więc należy „w pocie oblicza pożywać chleb”, czyli że masz robić to właśnie, czego życzy sobie władza w GUŁa-gu? Ależ my właśnie z tego jesteśmy dumni, że wykręciliśmy się od pracy, od harówki!

Odpowiadając teraz na te protesty mogę tylko westchnąć, że moi krytycy nieprędka to przeczytają.

Moim zdaniem nie przystoi inteligentowi pysznić się tym, że – uważacie panowie – nie zhańbił się on niewolniczą, fizyczną pracą, jako że potrafił wkręcić się na stanowisko biurowe. W podobnej sytuacji – inteligenci rosyjscy ubiegłego stulecia czuliby się dumni jedynie w tym wypadku, gdyby udało im się oszczędzić niewol-

niczej pracy również młodszym braciom. Toć Iwan Denisowicz nie mógł skorzystać z tych możliwości, nie mógł urządzić się w kancelarii! Jak więc będzie z tymi młodszymi braćmi? Tym młodszym naszym braciom przystoi zatem parać się niewolniczą pracą? (No, a dlaczego nie? Przecież dawno już pogodziliśmy się z tym, że harują tak w kołchozach! Toż samiśmy ich tam „urządzili”. Ale jeśli tak się godzi, to może też pozwolimy im kiedyś, choćby na chwilę, przed samym dzwonkiem, kiedy murowanie dobrze poszło – poczuć z tego trochę satysfakcji? My sami od czuwamy przecież – nawet w obozie – coś na kształt przyjemności, gdy pióro gładko mknie po biurowym papierze, albo gdy pisak kreśli czarną krechę na bryłstolu. W jaki sposób Iwan Denisowicz wytrzyma w obozie dziesięć lat, jeśli ma dzień i noc – nic, tylko przeklinać harówkę? Przecież powiesi się wtedy na pierwszej krowi!

A jak potraktować taką oto, prawie nieprawdopodobną, historię: Paweł Czulpieniew siedem lat ciurkiem pracował przy wyrębie lasu (przy tym – w karnym obozie). Otóż, jak mógłby on przetrwać i przepracować ten siedmioletni okres, gdyby nie udało mu się doszukać sensu w tej robocie, poczuć do niej zainteresowania? Utrzymał się na powierzchni tak oto: komendant OŁP, nie chcąc stracić swoich nie-licznych stałych robotników (aż

2 „Nowyj Mir”, 1964, Nr 1.

Jeden dzień Iwana Denisowicza.

217

dziw, że znalazł się taki komendant) – po pierwsze karmił ich bałandą do syta, po drugie – nikomu, prócz rekordzistów, nie pozwalał pracować nocami w kuchni. To była jakby premia! – więc po całym dniu drwalskiej roboty Czulpieniew szorował jeszcze i napełniał kotły, palił w piecu, skrobał kartofle – do drugiej w nocy, później żarł, ile wlezie i szedł spać na trzy godziny, nie zrzucając nawet waciaka. Raz – co też było rodzajem premii – pracował przez cały miesiąc w krajalni chleba.

Jeszcze jakiś miesiąc odpoczynku wychrapał sobie, bo się sam dziabnął toporem (nikt – jako rekordziście – nie zrobił mu o to kwestii). I to wszystko. (Rzecz jasna, tu potrzebny jest komentarz. W ich drużynie cały rok pracowała przy koniach pewna złodziejka i paserka, która żyła z dwoma prydukami naraz: jeden szacował ilość zrąbanego drzewa, drugi był kierownikiem składu. Dlatego to ich drużyna zawsze plan wykonała z nawiązką, a ich koń Gierczyk miał dość owsa i ciągnął dobrze – boć przecie nawet paszę dla koni wydzielano proporcjonalnie do wykonania planu przez drużynę! Przykrzy się już powtarzać „biedni ludzie!”, trzeba nawet koni żałować!) Ale tak czy owak – siedem lat przy wyrębie – to pachnie wręcz mitologią! Więc jak tu przepracować takie siedmiolecie, jeśli człowiek nie przysposobi się jakoś, nie wymyśli, nie wniknie w treść samej roboty? Niech mi tylko jeść dadzą, powiadał Czulpieniew, a ja tam roboty się nie boję. Rosyjska natura... Opanował on technikę „wyrębu ciągłego”: pierwszy pień obala się w ten sposób, aby oparł się o strzałę następnego, nie wisząc na konarach i dając się łatwo rozpiłować na kloce. I wszystkie pnie później podcina się tak, by padały jeden na drugi i żeby odrąbane gałęzie łatwo było zebrać w jedno – dwa ogniska, nie ściągając ich z daleka. Potrafił też nadrąbany pień tak podklinować, by padał dokładnie na upatrzone miejsce. Kiedyś mu Litwini opowiedzieli, jak to kanadyjscy drwale zakładają się, że padającym pniem wbiją w ziemię zatknięty w dowolnym punkcie kołek – Czulpieniew zaraz wziął na kieł: „Ano, my też spróbujmy!”. I udało mu się to.

Okazuje się więc, że człowiek taką ma naturę, iż czasem nawet gorzka, przeklęta harówka staje się dla niego sprawą jakiegoś zawiadającego, niepokojącego hazardu. Dwa lata sam urabiałem ręce i znam z doświadczenia to dziwne uczucie: nagle człowiek wciąga się w proces pracy, nie bacząc na to, że to robota niewolnicza i że nic z niej mieć nie może. Odczułem to i przy murarce (inaczej nie mógłbym tego opisać), i kiedym pracował w odlewni żelaza, i przy ciesiołce, i nawet przy miażdżeniu starego żelastwa kowalskim młotem. Więc może pozwolicie Iwanowi Denisowiczowi nie zawsze przeklinać brzemień przymusowej pracy, nie tylko furt jej nienawi-dzieć?

No, w tym punkcie chyba mi ustąpią. Ustąpią, ale pod jednym warunkiem: 218

żeby nie ganić na tej podstawie pryduków, którzy nawet przez minutę nie pracowali na swój chleb w pocie czoła.

W pocie, czy nie w pocie – ale rozkazy władz GUłagu na pewno wykonywali starannie (bo inaczej – na ogólne!), ze smakiem, w całym rynsztunku swego specjalnego doświadczenia. Przecież wszystkie ważne stanowiska promienckie – są to punkty węzłowe administracji obozu i kierownictwa produkcji. Są to właśnie te specjalnie hartowane, decydujące ogniwa łańcucha, bez których (niechby tak więźniowie co do jednego odmówili zajmowania tych stanowisk!) rozpadłby się cały system wyzysku, cały system obozów! A to dlatego, że takiej liczby kwalifikowanych fachowców, gotowych ponadto żyć, jak psy, całymi latami – z wolności nigdy nie można by dostarczyć.

Czemu więc nie odmówili? Czemu nie zerwali zaklętych łańcuchów?

Stanowiska pryduków – to kluczowe pozycje w systemie wyzysku. Kontrolerzy norm! – a czy mniej grzechów mają na sumieniu ich pomocnicy – rachmistrze? Kierownicy robót! A czy technologowie tak już są czyści? Jakie stanowisko promienckie nie związane jest z płaszczeniem się przed władzą i z udziałem w ogólnym systemie przymusu? Czy to koniecznie trzeba być wychowawcą z KO albo ordynansem kuma, aby czynnie pomagać diabłu? A jeżeli N. jest tylko maszynistką, nie więcej niż maszynistką – to czy przepisywanie papierków administracji obozu – jest niczym, czy to plewy? Pomyślmy chwilę. Przepisywać te rozkazy, które wcale nie dla dobra zeków są pisane... A oper nie ma własnej, wolnej maszynistki. Musi zaś pisać wnioski o ukaranie, opracowywać materiały z donosów – na tych wolniaków i zeków, których wsadzi jutro za kraty. Daje więc do przepisywania tej kobiecie, ona zaś pisze i milczy, nie uprzedzi tego, komu grozi zguba. Zresztą – czy prominent–chudopachotek – jakiś ślusarz z obsługi obozu nie musi wykonywać zamówienia na kajdanki? albo umacniać krat bunkra? Albo – zostaliśmy już wśród papierków – taki planista? Czy ten planista bez zmały – też nie przyczynia się do planowego wyzysku?

Nie rozumiem, na czym polega większa czystość i szlachetność tej inteligenckiej pracy niewolniczej nad niewolniczą harówką robociarzy.

Nie pot przelewany przez Iwana Denisowicza powinien takie oburzenie budzić, ale – przede wszystkim – to spokojne poskrzypywanie piór w obozowej kancelarii!

Toć ja sam przepracowałem pół wyroku w szaraszce, na jednej z onych Rajskich Wysp. Byliśmy tam odcięci od reszty Archipelagu, nie kłuło nas w oczy jego niewolnicze bytowanie – ale czy nie były z nas takie same

prydyrki? Czy – w szerszym sensie – nie pomnażaliśmy naszą pracą naukową siły tegoż MWD i całego systemu przymusu³?

Całe zło dziejące się na Archipelagu albo w reszcie świata – czy nie naszymi własnymi rękoma jest czynione? A my tu napastujemy Iwana Denisowicza, że on tak cegłę do cegły. Naszych cegieł jest więcej!

W obozie słyszy się najczęściej zupełnie inne zarzuty i pretensje: że prominenci siedzą robociarzom na karku, że ich obżerają, że ratują siebie samych – ich kosztem. Zarzuca się to przede wszystkim prydyrkom z żony – i często nie bez powodu. Bo też kto oszukuje Iwana Denisowicza przy ważeniu chleba? Kto zwilża jego cukier, kradnąc nadwagę? Kto nie pozwala, aby tłuszcze, mięso i lepsze gatunki kaszy trafiły do wspólnego kotła?

Prominenci, od których zależy w żonie wikt i przydział odzieży, dobierani są w szczególny sposób. Aby dostać się na takie stanowisko potrzebna jest natarczywość, spryt, zręczność w dawaniu w łapę: aby utrzymać się na nim – trzeba być bezlitosnym, nie zważać na głos sumienia (najczęściej trzeba też być kapuśsem). Oczywiście, każde uogólnienie brzemiennie jest w pomyłki i sam gotów jestem wymienić znane mi osobiście postacie uczciwych i bezinteresownych prydyrków z żony – tylko że niezbyt długo utrzymali się oni na funkcji. Co zaś do ogółu dobrze prosperujących ich kolegów można powiedzieć śmiało, że jest wśród nich więcej ludzi zepsutych i złych niż wśród przeciętnych tubylców. Jeśli już znalazł się za kratami komendant MWD okręgu Szachtyńskiego – to nie został zaprzęgnięty do wyrębu lasu, lecz wkrótce wypłynął jako dystrybutor w centralnym OŁP Usoltagu. Jeśli już wysadzono enkawudzystę Borysa Guganawę („od czasu, gdy usunąłem raz krzyż z jednej cerkwi, jakoś straciłem fart w życiu”) – to zaraz dano mu stanowisko kierownika kuchni obozowej na stacji Reszety. Ale z tą grupą blisko sąsiadują ludzie z całkiem innej – pozornie – beczki. Rosjanin – śledczy z Krasnodonu, który pod niemiecką okupacją prowadził dochodzenie w sprawie partyzantów z oddziału „Młoda Gwardia4” – był później bardzo faworyzowanym dystrybutorem robót

3 Także ten problem wykracza poza granice Archipelagu: dotyczy całego naszego społeczeństwa. Czy cała nasza warstwa oświecona – zarówno technicy, jak humaniści – w ciągu całych dziesięcioleci nie wchodziła w skład zakłętego łańcucha? Czy ci ludzie nie byli także prydyrkami w szerszym sensie słowa? Czy wśród ocalałych, i tych, którym się udało – ktoś potrafi wskazać nam takich uczonych lub kompozytorów albo historyków kultury, którzy rzucili na szale własne życie, aby przyczynić się do polepszenia życia ogółu?

4 Prawdziwy przebieg tej historii nie był wcale, jak się zdaje, podobny do relacji A. Fadiejewa, nawet z pierwszego wariantu jego powieści, ale nie chcemy tu opierać się na samych tylko obozowych wersjach.

220

w jednej z filii Oziertagu. Sasza Sidorenko, były agent wywiadu, który wpadł w ręce Niemców i zaraz zgodził się przejść na ich służbę – był teraz w Kengirze szefem magazynu sortów odzieżowych i bardzo lubił odgrywać się na Niemcach za swój pech. Ludzie zdążyli zasnąć po apelu, zmęczeni po całodzienniej robocie, Sidorenko, już pod muchą, wbiegał do ich baraku i budził ich wrzeszcząc głośno: „Szkopy! Achtung! – Wasz Bóg – to ja! Śpiewać mi tu zaraz!” (półsenni, nastraszeni Niemcy przysiadali na pryczach i zaczęli śpiewać dla niego „Liili Marlen”). A jak nazwać tych księgowych, którzy – po rozliczeniu – wypuścili Łoszczylina⁵ z obozu późną jesienią w samej koszuli? A tego szewca z Buriepołomu, który, nie mru-

gnąwszy nawet okiem, wziął od głodnego Ansa Bernsztejna nowe wojskowe buty z cholewami za porcję chleba?

Kiedy tak teraz na przyzbie palą swoją fajeczkę pokoju, gwarząc o przeżyciach obozowych – trudno nieraz wyobrazić sobie, jakie też okazy zebrały się w takiej gromadce!

Co prawda, oni także mogą powiedzieć to i owo na swoje usprawiedliwienie, to i owo wyjaśnić. J. F. Lipaj przysłał mi list pełen pasji:

„Przydziały więźniarskie były rozkradane bezczelnie i bez żadnej litości wszędzie i przez każdego, kto tylko mógł. Żłodziejstwo uprawiane przez pryduków dla własnych potrzeb... to drobna kradzież. Ci zaś prominenci, którzy decydowali się na większe kradzieże, robili to z musu (?). Pracownicy Centrali, wolniacy i więźniowie, zwłaszcza podczas wojny, domagali się łapówek od pracowników oddziałów, pracownicy oddziałów – od ludzi zatrudnionych w podobozach, tamci z kolei – od więźniów pracujących w magazynach i kuchniach, a ci wreszcie – kradli z więźniarskich przydziałów. Najgorsze rekiny – to byli nie prominenci, tylko naczelnicy, wolniacy (Kuragin, Pojsuj-ćzapka, Ignatczenko w Siewdwinłagu), co nie kradli, tylko po prostu „brali” sobie ze składów, przy tym nie na kilogramy, tylko całymi workami i beczkami. Ale też – nie tylko dla siebie, bo oni również musieli z kimś się dzielić. A więźniowie p r y - d u r k i wszystko to musieli jakoś formalnie księgować i wymyślać podkładki. A kto nie chciał, tego nie tylko wyrzucali z zajmowanego stanowiska, ale jeszcze odsyłali do podobozów karnych i obostrzonych. W ten sposób – skład kadry pryduków poddawany był – z woli władzy – stałej selekcji, tak aby zrobić miejsce dla tchórzy, lękających się pracy fizycznej, dla oszustów i szubrawców. A jeśli kto szedł pod sąd, to znów tylko magazynierzy i księgowi, panów naczelników to nie tyczyło – bo

5 O jego niezwykłym (albo może – bardzo banalnym) losie – patrz część IV, rozdz. 4.

221

przecież nie wydawali rozkazów na piśmie. Jeśli zaś jakiś magazynier obciążał w zeznaniach naczelnika, to śledczy nazywał to prowokacją...”.

Obraz malowany z wyczuciem dalekiej perspektywy...

Doskonale mi znana, bezwzględnie uczciwa kobieta, Natalia Aniczkowa, została dziwnym zrządzeniem losu kierowniczką obozowej piekarni. Już na wstępie zorientowała się, że jest tu zwyczajem, by z wypiekanego chleba (przydziałowego chleba więźniów) wysyłać codziennie (i bez żadnych kwitów, to jasne) tyle a tyle bochnów za żonę, w zamian za co piekarze dostawali z kiosku dla wolniaków trochę powideł i masła. Aniczkowa zabroniła tego, nie pozwoliła wywieźć chleba z żony – i w rezultacie chleb się popsuł, pojawił się w nim zakalec, następnie zaczęły się opóźnienia wypieku (to była robota piekarzy), dalej mąka ze składu zaczęła przybywać nieregularnie, komendant OŁP-u (to on najwięcej na tym zarabiał!) nie pozwolił brać koni do wożenia mąki i chleba. Ileś tam dni Aniczkowa walczyła, ale w końcu skapitulowała – i zaraz robota poszła rażniej, tylko że na dawną modłę.

Jeśli jakiś prominent z żony potrafił odmówić udziału w tej powszechnej grabieży, to i tak prawie niemożliwością było dla niego wyrzeczenie się uprzywilejowanej sytuacji i związanych z nią dobrodziejstw – jak OP poza kolejką, wikt szpitalny, lepsza odzież, bielizna, wygodniejsze miejsce w baraku. Ja tam nie wiem, nie wyobrażam sobie takiego świętego p r y - d u r - k a, który naprawdę nic a nic sobie nie

urwał z tych wszystkich dobrodziejstw, co je miał pod ręką? Toć by go sąsiedzi – prydurki zaczęli się bać, zaraz by go wygryźli! Każdy z nich – niech tam nawet pośrednio, boczek, prawie bezwiednie – ale przecież pasożytował, a więc tak czy owak – żył kosztem robociarza.

Trudna, trudna to rzecz dla prydurka z żony – mieć czyste sumienie!

A przecież – mamy jeszcze problem środków, jakich użył dla zdobycia stanowiska. Rzadko jest to sprawa tak niewątpliwa jak fachowość, na przykład – gdy chodzi o lekarza (albo o sporą część pryduków z działu produkcji). Nie ma wątpliwości, gdy w grę wchodzi inwalidztwo. Ale nierzadko funkcję dostaje się dzięki protekcji kuma. Oczywiście, istnieją drogi jakby neutralne: ludzie urządzają się na zasadzie dawnych, więziennych znajomości; albo dzięki pomocy jakiejś grupy (najczęściej narodowej; niektóre małe grupy narodowościowe potrafią tu działać szczególnie skutecznie i zwykle pełno ich przedstawicieli na stanowiskach pryduków; tak samo komuniści po cichu sobie pomagają).

Istnieje też problem: jak zachowywał się dany osobnik wobec innych, w stosunku do szarego bydełka? Ile w tym jest pychy, ile grubiaństwa, ile

222

nieumiejętności pamiętania, że wszyscyśmy tu – zwykli wyspiarze i że nasza potęga ma krótki żywot?

I wreszcie – sprawa najważniejsza: jeśli nawet nie czyniłeś nic złego towarzyszom twego więziennego losu, to czy przyniósłeś im jakikolwiek pożytek? Czyś wykorzystał choć raz swoje przywileje dla dobra ogółu, czyś tylko bronił swego dobra?

Pryduków „produkcyjnych” nie imają się wcale zarzuty, że „obżerają”, że „siedzą na karku”: praca robociarza nie jest opłacana, owszem, ale wcale nie dlatego, że pasożytują na niej techniczni promieniści, oni też pracują za darmo – wszystko idzie do tego samego wora bez dna. Ale pozostałe zastrzeżenia moralne nie tracą wagi: zupełna prawie niemożność odmówienia sobie przywilejów; i nie zawsze czyste drogi do kariery; i pycha. I wciąż to samo pytanie podstawowe: czy zrobiłeś coś dla dobra ogółu? choć cokolwiek? choć kiedykolwiek?

A przecież zdarzali się, zdarzali ludzie, którzy – na wzór Wasyla Wła-sowa – mogliby coś powiedzieć o wybiegach, jakie stosowali dla ratowania innych. Ale takich otwartych głów, umiających wymigać się, lawirować wśród obozowej samowoli, pomagających ludziom tak się urządzić, aby nie wszyscy musieli zginąć, aby okpić i przedsiębiorstwo i administrację obozu, takich bohaterów Archipelagu, pojmujących swoją rolę nie jako napycha-nie własnego kałduna, ale jako brzemię i zobowiązanie wobec bydełka więziarskiego – takich nazywać prydukami to nawet grzech. A takich ludzi najwięcej było wśród inżynierów. I chwała im za to! A pozostałym żadna chwała się nie należy. Nikt z nich nie ma powodu, by pchać się na piedestał. Ani pysznić się przed Iwanem Denisowiczem, że udało się uniknąć niewolniczej harówki i kładzenia cegieł w pocie czoła. I pusto mi jakoś brzmią wywody, że my, intelektualiści, pracując przy łopacie, męczymy się podwójnie: bo tracimy energię na samą pracę i jeszcze na cierpienia psychiczne, na rozmyślanie i udręki wewnętrzne, których nie sposób zwalczyć – i że niby słuszne jest, abyśmy unikali ogólnych robót, a niech tam już sobie harują natury nie tak subtelne. (Nie wiadomo też wcale, czy naprawdę tracimy podwójny zasób tej energii).

Tak, aby oprzeć się pokusie „urządzenia” się w obozie i pozwolić sile ciężkości zepchnąć się na samo dno – trzeba mieć spokój i równowagę w duszy, sumienie

wręcz przeźroczyste, większą część wyroku – już poza sobą, a ponadto – dużo paczek z domu – bo inaczej to równa się samobójstwu!

Jak to powiada z błogim poczuciem skruchy stary łagrowiec D.S.L.: jeśli dziś żyję – to znaczy, że tej nocy kogoś innego, nie mnie, wyczytano w spisie wyprowadzonych na rozstrzelanie; jeśli dziś jestem wśród żywych,

223

to znaczy, że ktoś zamiast mnie zdechnie bez powietrza w dolnej ładowni krypy; jeśli dziś żyję – to znaczy – że mnie przypadło te dwieście gramów chleba, których nie starczyło dla tego, co umarł.

Wszystko to napisałem nie w trybie nagany. W tej książce już ta zasada jest przyjęta i stosowana będzie aż do końca: wszystkich, co cierpieli, wszystkich, wziętych w cęgi, wszystkich, zmuszonych do okrutnego wyboru – raczej trzeba pożałować, nie potępić. Najlepiej – okazać im wyrozumiałość.

Ale – sam sobie wybacząc ten wybór, między własną zagładą a ratunkiem – nie rzucaj kamieniem, człeku bez pamięci, w tego, kto wybór miał jeszcze trudniejszy. Tacy też już w tej książce byli pokazani. I jeszcze nieraz ich spotkamy.

Archipelag – to świat bez dyplomów, świat, gdzie człowiek sam wystawia sobie świadectwo. Zekowi nie wolno mieć żadnych dokumentów, więc także świadectw szkolnych. Przyjeżdżając do nowego obozu, człowiek wysila fantazję: za kogo podać się tym razem?

W obozie opłaca się być felczerem, fryzjerem, harmonistą – nie śmiem sięgać wyżej. Nie zginiesz, jeśli jesteś blacharzem, szklarzem, mechanikiem samochodowym.

Ale biada ci, jeśli jesteś genetykiem, albo – nie daj Boże

– filozofem, zginiesz marnie jeśli jesteś filologiem albo historykiem sztuki! Odwalisz kitę przy robotach ogólnych w ciągu dwóch tygodni.

Nieraz roίłem sobie, że będę udawał felczera. Iluż literatów, ilu filozofów zdołało na Archipelagu ocaleć dzięki temu wybiegowi! Ale nigdy nie mogłem się zdecydować – nie z obawy przed egzaminem (znając się na medycynie tak jak przeciętnie wykształcony człowiek, ale umiejąc też trochę po łacinie, już bym tam jakoś mógł łać wodę), tylko z lęku przed robieniem ludziom zastrzyków, bom tego nie potrafił. Gdyby na medycynę składały się tylko proszki, mikstury, kompresy i bańki – to bym się zdecydował.

Pobył w Nowej Jerozolimie nauczył mnie, że być „oficerem produkcji”

– to niegodziwość. Gdy przerzucono mnie więc do następnego obozu, za rogatką Kałużską, w Moskwie – z punktu, od razu na odwachu zełgałem, że jestem kontrolerem norm (termin ten poznałem dopiero w obozie; pojęcia zielonego nie miałem, na czym polega normowanie, ale miałem nadzieję, że ma to coś wspólnego z matematyką).

Łgać trzeba było od razu na odwachu – bo naczelnik odcinka, młodszy lejtnant Niewieżyn, ponury, rosty garbus, nie bacząc na późną porę, przy-

224

szedł wprost na odwach, aby wypytać nowo przybyłych: chciał jeszcze tejże nocy wiedzieć kogo i do jakiej pracy jutro skierować; taki ci był praktyczny. Zerknął spode łba na moje bryczesy, na wojskowe buty, na długopoty szynel, na twarz, z której biła szczerą chęć pełnienia twardej służby, zadał kilka pytań, dotyczących normowania (przekonany byłem, żem odpowiadał zręcznie, dopiero później zrozumiałem, że Niewieżyn przejrzał mnie na wskroś, gdybym tylko głębę otworzył) – i rano już nie wyszedłem z żony. A więc – zwycięstwo! Po dwóch dniach Niewie-

żyn mianował mnie... nie kontrolerem norm, o nie, to byłaby bełka! – lecz „kierownikiem produkcji”; to więcej niż dystrybutor robót, miałem być zwierzchnikiem wszystkich brygadzystów! Z deszczu pod rynnę! Przed moim przybyciem nie było tu nawet takiej funkcji. Wyglądałem zatem na wyjątkowo wiernego psa! A jakby dopiero Niewieżyn mnie wytresował!

Ale znów złamałem sobie karierę, Bóg strzegł: po paru dniach Niewieżyn został usunięty ze stanowiska za kradzież materiałów budowlanych. Był to człowiek mocny, o hipnotycznym niemal spojrzeniu; nie musiał nawet podnosić głosu, ludzie w szeregach drętwieli, gdy do nich mówił. Z uwagi na wiek (przekroczył już pięćdziesiątkę), na obozowe doświadczenie i na swoją bezwzględność – powinien już dawno być generałem NKWD; powiadano zresztą, że był już podpułkownikiem, jednakże nie potrafił opanować swojej pasji: kradł. Nigdy nie oddawano go pod sąd, jako swojego człowieka, tylko na jakiś czas pozbawiano funkcji i za każdym razem obniżano rangę. Ale nie utrzymał się nawet na szczeblu młodszego lejtnanta.

Lejtnant Mironow, który przyszedł na jego miejsce, nie odznaczał się pedagogiczną wyrozumiałością; sam jakoś nie mogłem zrozumieć, że mam tu pełnić rolę młota kamieniarskiego. Mironow okazywał mi na każdym kroku swoje niezadowolenie i odrzucał z odrazą moje energiczne raporty:

– Nie umiesz nawet pisać jak należy, styl masz jakiś koślawy. I pokazywał mi służbowy raport dziesiętnika Pawiowa. – Widzisz, ten to pisze jak człowiek:

„Względem analizy poszczególnych wypadków niedociągnięć odnośnie cyfr wykonania planu niniejszym stwierdza się:

- 1) niewystarczającą ilość materiałów budowlanych,
- 2) niekompletne zaopatrzenie brygad w narzędzia,
- 3) że organizacja robót ze strony personelu technicznego wykazywała braki,
- 4) a także samo nie przestrzega się techniki bezpieczeństwa pracy”.

Zalety tego stylu na tym polegały, że winą za wszystkie niedociągnięcia obciążało się tu pion produkcyjny, chroniąc władze obozowe przed jakimi-kolwiek zarzutami.

225

Zresztą, tenże Pawłów, były czołgista (wciąż jeszcze chodził w miękkim kasku) wyrażał się w rozmowach podobnie:

– Skoro macie pojęcie względem miłości, to wykażcie mi, co to jest miłość! (Mówił o tym nie bez znajomości przedmiotu: kobiety, które miały z nim do czynienia, nie szczędziły mu pochwał, w obozie te rzeczy omawiane są bez szczególnej dyskrecji).

Po tygodniu zostałem sromotnie wyrzucony, przeniesiony na ogólne, a stanowisko moje objął właśnie Wasia Pawłów. Ponieważ nie walczyłem z nim o tę funkcję ani nie protestowałem przeciw tej degradacji, więc posła! mnie on nie do łopaty, lecz do brygady malarskiej.

Z tej całej mojej krótkiej kariery został mi jednak pewien namacalny profit: jako kierownik produkcji otrzymałem miejsce w specjalnej izbie dla pryduków, jednej z dwóch takich izb w całym obozie. A Pawłów mieszkał już właśnie w tej drugiej, więc gdy zostałem zdegradowany, nie znalazł się żaden godny pretendent do mojej pościeli i przez kilka jeszcze miesięcy mogłem się tu byczyć.

Ceniłem sobie wówczas jedynie materialne plusy tego stanu rzeczy: – zamiast wagonetek – zwykłe łóżka, stoliki nocne – jeden na dwóch, a nie – wspólny dla całej brygady; we dnie drzwi zamykano i można było zostawiać rzeczy w pokoju;

wreszcie – była tu też półlegalna kuchenka elektryczna, nie musiał więc człowiek przepychać się do ogólnej, wspólnej kuchni, stojącej na podwórku. Byłem jeszcze niewolnikiem swojego uciemiężonego, zdjętego łękiem ciała, więc ceniłem wtedy tylko takie rzeczy.

Ale dzisiaj, gdy ogarnęła mnie przemożna chęć opisanie moich sąsiadów z tej izby, rozumiem już, na czym polegał największy jej walor: nigdy więcej w całym moim życiu ani z dobrowoli, ani z łaski kaprysów społecznego labiryntu – nie przybliżałem się i nie mogłem nawet zbliżyć się do ludzi takiego pokroju, jak generał lotnictwa Bielajew i enkawudzista Zinowiew, nie generał wprawdzie, lecz coś koło tego.

Wiem już teraz, że pisarz nie ma prawa folgować uczuciu gniewu, wstrętu, pogardy. Przerwałeś zapalczywie czyjś wywód? A więc nie dosłuchałeś go do końca i straciłeś możliwość poznania całości czyichś poglądów. Unikałeś kogoś, bo brało cię obrzydzenie? – w rezultacie wymknął ci się jakiś nieznany charakter – może właśnie taki, jakiego będziesz potrzebował. Zbyt późno zrozumiałem, że czas i uwagę poświęcałem ludziom, którzy budzili mój zachwyt, byli mi mili, wywoływali we mnie współczucie – i oto widzę społeczeństwo – na kształt księżyca – zawsze z jednej strony.

Ale – tak jak księżyc, wibrując z lekka, ukazuje nam skraj odwrotnej swojej strony (libracja) – podobnie ta izba dziwolągów pozwoliła mi ujrzeć zupełnie nieznany gatunek ludzi.

226

Na generała–majora lotnictwa, Aleksandra Iwanowicza Bielajewa (nikt w obozie nie nazywał go inaczej niż „generałem”) każdy nowo przybyty musiał zwrócić uwagę z punktu, pierwszego dnia, przy pierwszym apelu. Spośród całej czarnoburej, wszawiej czeredy wyróżniał się on nie tylko słusznym wzrostem i wysmukłą postacią, lecz także świetnym, skórzanym płaszczem, zapewne zagranicznego wyrobu, takich płaszczy nie widać na moskiewskich ulicach (ich właściciele jeżdżą autami), a już najbardziej – szczególnym wzięciem, akcentowanym wyrazem nieobecności. Nawet stojąc bez ruchu w kolumnie więźniów, potrafił jakoś okazać, że nie ma nic wspólnego z tą rojącą się wokół hałastą obozową, że nawet w ostatniej swojej minucie nie potrafi zrozumieć, jak właściwie znalazł się pośród nich. Wyprostowany, patrzył nad głowami tłumu takim wzrokiem, jakby przyjmował tu całkiem inną defiladę, niewidzialną dla nas. Gdy zaś zaczynało się wyprowadzanie do pracy i wartownik odliczał wychodzące piątki, waląc skrzydłowych zeaków deszczułką po grzbiecie – Bielajew (krocząc w składzie brygady prominentów produkcyjnych) starał się nie być nigdy skrzydłowym. Jeśli zaś tak wypadło, to – przechodząc obok wartowni, wzdrygał się i stroszył z odrazą, plecami nawet pokazując, że gardzi wartownikiem. A ten nie śmiał go tknąć.

Będąc jeszcze kierownikiem produkcji, a więc dygnitarzem, zawarłem znajomość z generałem w taki sposób: znalazłszy się w biurze budowy, gdzie zatrudniono go w charakterze pomocnika kontrolera norm, zauważyłem, że pali i podszedłem, by przypalić papierosa. Grzecznie poprosiłem o pozwolenie i nawet już się nachyliłem nad stołem. Bielajew ostrym ruchem odsunął rękę z papierosem jakby w obawie, że się czymś ode mnie zarazi, wyciągnął pyszną, niklowaną zapalniczkę i położył mi ją przed nosem. Łatwiej mu było pozwolić, bym mu tę zapalniczkę pobrudził i popsuł, niż poniżyć się, podsuwając mi swój tłący się papieros! Stropiłem się. Tak było zawsze: jeżeli jakiś bezczelny typek chciał przypalić, to generał

kładł przed nim swoją drogocenną zapalniczkę, zupełnie go tym gestem miażdżąc i odbierając chęć do ponownych zbliżeń. Jeśli zaś ktoś zdążył poprosić ognia akurat w chwili, gdy generał sam zapalał, jeśli podtykał mu swojego papierosa, to Bielajew spokojnie gasił zapalniczkę, zatrząskiwał jej wieczko i dopiero wtedy kładł ją przed petentem. W ten sposób wielkość jego ofiary stawiała się jeszcze bardziej widoczna. I wszyscy wolni dziesiętnicy, czy brygadierzy–więźniowie stale tłoczący się w biurze, nawet nie mając u kogo przypalić, zawsze jakoś woleli wychodzić na dwór, niż prosić go o ogień.

Mieszkając teraz w tym samym pokoju, ba, jeszcze śpiąc na sąsiednim łóżku, mogłem się przekonać, że wstręt, pogarda i wściekłość były to uczucia, które najsilniej miotają nim w więzieniu. Nie tylko, że nie chodził nigdy

227

do obozowej stołówki („nie wiem nawet, gdzie jest wejście!”), ale sąsiadowi naszemu, nazwiskiem Prochorow, nie pozwolił przynosić sobie stamtąd niczego prócz chleba. Ale czy był jeszcze jaki inny zek na całym Archipelagu, który tak by wydziwiał nad tą biedną pajką? Bielajew brał ją ostrożnie jak brudną ropuchę – toć była w niejednych rękach, noszono ją na drewnianych tacach – i obrzywał nożem ze wszystkich sześciu stron! – i skórki, i miękisz. Tych sześciu odciętych komórek też nigdy nie dał tym, co go o nie prosili – Prochorowowi ani staruszkowi dyżurnemu, tylko wyrzucał je osobiście do wiadra na śmieci. Pewnego razu ośmieliłem się spytać go, czemu ich nie daje Prochorowowi. Dumnie zadart głowę (a białawe włosy przyszyżone miał króciutko na jeża, tak, żeby wyglądało i naturalnie, i po obozowemu): „Mój sąsiad z celi na Łubiance poprosił mnie kiedyś, abym pozwolił mu zjeść resztkę zupy z mego talerza! Po prostu mnie zemdliło! Reaguję wręcz chorobliwie na objawy ludzkiego upodlenia!”. Nie dawał więc głodnym chleba, aby ich nie upodlić!

Całą tę butę mógł pan generał tak łatwo zachować, ponieważ tuż przed naszą wartownią zatrzymywał się trolejbus numer 4. Codziennie o pierwszej po południu, gdy wracaliśmy z pracy do żony mieszkalnej na przerwę obiadową – na przystanku przed wartownią już czekała żona generała: przynosiła w termosach gorący obiad przed godziną przyrządzony w domu. W dni powszednie do spotkań nie dochodziło, termosy przekazywane były przez klawisza. Ale w niedzielę mogli posiedzieć sobie pół godziny w wartowni. Powiadano, że generałowa zawsze wychodziła stamtąd zapłakana: Aleksander Iwanowicz odkuwał się na niej za to wszystko, co wycierpiała dumna jego dusza w ciągu tygodnia.

Bielajew twierdził nie bez słuszności: „W obozie nie można trzymać swoich rzeczy albo jedzenia w zwyczajnej skrzynce ze zwykłym zamkiem. Musiałaby to być skrzynia pancerna a nadto przyśrubowana do podłogi”. Ale od razu wyciągał z tego taki wniosek: „W obozie na stu więźniów – osiemdziesięciu – to łotry!” (nie mówił „dziewięćdziesięciu pięciu” tylko dlatego, że nie chciał tracić rozmówców). „Jeżeli po wyjściu na wolność spotkam kogoś z tutejszych i facet podejdzie do mnie, to zawołam: zwariował pan!, pierwszy raz pana widzę!”.

„Jak męczy mnie ta konieczność mieszkania ze wszystkimi w kupie! – powiadał (dzieląc sypialnię z sześciu ludźmi, całej parady!) – gdybym tak mógł chociaż jadać w samotności, zamknąwszy drzwi na klucz!”. Czy o to mu chodziło, abyśmy opuszczali izbę, gdy spożywał dary Boże? Właśnie jeść chciał na osobności! – bądź dlatego, że jadał tu rzeczy, o których sąsiadom się nie śniło, bądź też z uwagi na – dawno w jego kręgu ugrun–

towany – obyczaj ukrywania własnego dostatku przed oczyma głodnego otoczenia.

Rozmawiać z nami lubił jednak. Nie sądzę, aby naprawdę dobrze czuł się w osobnej celi. Ale rozmowy toczył też w sposób jednostronny; głośno, tonem stanowczym – i zawsze tylko na swój temat: „mnie w ogóle proponowano inny obóz i o wiele korzystniejsze warunki...”. (Nie wykluczam, że im istotnie dają możliwość wyboru...). „A wiecie, ja...”, „Kiedy byłem w Sudanie...” – ale dalej – nic ciekawego, jakieś brednie, wszystko po to, aby usprawiedliwić ten gromki wstęp: „Kiedy byłem w Sudanie anglo–egip–skim...”.

Rzeczywiście jeździł daleko i widział niejedno. Nie miał jeszcze pięćdziesiątki, był w pełni sił. Jedno tylko mogło dziwić: ten generał–major lotnictwa nie zająknął się nigdy o żadnym swoim locie bojowym, nie wspominał nawet nigdy, że latał. Był natomiast – jeśli mu wierzyć – podczas wojny kierownikiem naszej lotniczej misji, zajmującej się w Stanach Zjednoczonych zakupem sprzętu. Ameryka wywarła na nim, jak widać, olbrzymie wrażenie. Sam się też tam nieźle obsprawił. Bielajew nie raczył nam ujawniać, za co właściwie siedzi, ale miało to chyba związek z jego wyprawą do Ameryki albo opowieściami o niej. „Ocepó doradził mi, abym potwierdził wszystkie zarzuty oskarżenia⁷. Ale odpowiedziałem mu: „niech już tam nawet podwójna kara, ale jestem zupełnie niewinny!”. Można mu chyba wierzyć, że naszej władzy naprawdę nic nie zawinił: nie dostał podwójnej kary, tylko pół zwykłego wyroku – 5 lat, a nawet szesnastolatkom dawano więcej za język bez kości.

Przyglądając mu się tak i przysłuchując, myślałem sobie: toć on teraz! – gdy już ciężkie łąpy zerwały mu epolety (wyobrażam sobie, jak się skręcał!), gdy już poznał kipisze, boksy, suki, okrzyk „ręce do tyłu!” – wciąż jeszcze nie pozwala na żadną dyskusję z sobą nawet w drobnych sprawach, nie mówiąc już o poważnych (poważnych kwestii nie będzie przecież z nami roztrząsał, nikt, prócz Zinowiewa, nie jest tego godzien). Ale nie zauważyłem ni razu, by przyswoił sobie jakąkolwiek myśl, której już przedtem nie znał! Był po prostu niezdolny do zrozumienia i akceptacji czyichkolwiek argumentów. Kim był dawniej, jako szef misji zakupów, herold Rosji sowieckiej na Zachodzie? Był to gładki, białolicy, nieprzenikniony sfinks, taki właśnie symbol „Nowej Rosji”, jaki Zachodowi był w smak. A gdyby ktoś ośmielił się poprosić go o cokolwiek? Toć by bluznął wrzaskiem! drzwiami by człowieka przytrzasnął! To i owo można by zro-

Znany moskiewski adwokat.

A więc – adwokat dublował rolę śledczego.

zumieć, gdyby pochodził ze starej oficerskiej rodziny – ale przecież nie! Na te Himalaje pychy wdrapał się sowiecki generał w pierwszym już pokoleniu. Przecież podczas wojny domowej, jeśli służył już w Armii Czerwonej, to był na pewno chłopakiem w łapciach, nie umiejącym się nawet podpisać. Jak mogło się to stać tak szybko? – Zawsze wśród wybrańców, nawet w pociągu, nawet w uzdrowisku, zawsze wśród sobie podobnych, za żelaznymi wrotami, ani przystęp bez przepustki. A tamci, inni? Raczej do niego podobni, właśnie że wcale nie inni. A co, jeżeli aksjomat „suma kątów w trójkącie równa się stu osiemdziesięciu stopniom” okaże się raptem groźny dla ich domków jednorodzinnych, stanowisk i delegacji zagranicz-

nych? Toć za rysunek trójkąta odrąbią człowiekowi łeb! Zaczną strącać trójkątne attyki z domów! Wydadzą dekret, aby kąt mierzyć odtąd tylko w radianach! Ale – myślę sobie nieraz – jakim też ja sam byłbym człowiekiem? Czy w ciągu jakichś dwudziestu lat ze mnie też nie zrobiono by takiego generała? A czemu nie? Jeśli przyjrzeć się bliżej, Aleksander Iwanowicz wcale nie jest takim złym człowiekiem. Czytając Gogola śmieje się z całego serca. Potrafi nas też rozbawić, gdy humor mu dopisuje. Uśmiech ma niegłupi. Gdybym chciał siłą wzbudzić w sobie nienawiść do niego – gdy tak leżymy na sąsiednich kojach – to przecież bym nie mógł. Nie, wcale nie jest zamknięta przed nim droga do zacności, do człowieczeństwa. Ale tylko wtedy, gdy już przecierpi swoje. Gdy się nacierpi.

Paweł Nikołajewicz Zinowiew też nie chadzał do stołówki obozowej i też szukał sposobu, żeby dostawać obiady domowe w termosie. Okazać się gorszym od Bielajewa, pozostać za nim w tyle – to była dla niego męka. Ale obiektywne okoliczności okazały się tu nie do zwalczenia: Bielajew nie był skazany na konfiskatę mienia, Zinowiewowi wlepiono częściową konfiskatę. Pieniądze, oszczędności, na to wszystko położono mu zapewne rękę, zostało tylko piękne, zbytownie urządzone mieszkanie. Za to nam o tym mieszkaniu opowiadał, a opowiadał! – często, a długo, delektując się opisami każdego szczegółu swojej łazienki, świadom, jaką radość musiały nam sprawiać te opisy. Miał nawet taki aforyzm: po czterdziestce człowiek wart jest tyle, ile jego mieszkanie! (Wszystko to mówił nam pod nieobecność Bielajewa, bo ten nie chciałby nawet słuchać takich rzeczy, zaraz by przerwał i sam zacząłby mówić, nie o żadnych mieszkaniach, bo miał się za intelektualistę, tylko znów o Sudanie). Ale cóż, prawił Paweł Nikołajewicz, żona choruje, a córka zmuszona była iść do pracy – więc nie ma kto wozić termosów. Zresztą, również niedzielne jego przesyłki były

230

bardzo skromne. Znosił więc swój los z dumą zbiedniałego arystokraty. Do stołówki jednak nie chodził, gardząc panującym tam brudem i mlaskaniem żrącej tam hołoty, a swoją bałandę i kaszę kazał Prochorowowi przynosić do naszej izby, gdzie podgrzewał ją na kuchence. Chętnie obrzynałby również swoją kostkę chleba z sześciu stron, ale innego chleba nie miał, więc ograniczał się tylko do cierpliwego opiekania kostki ze wszystkich boków, wypalając nad kuchenką mikroby, zaflancowane rękoma krajaczy chleba i Prochorowa. Nie bywał więc w stołówce i potrafił nawet niekiedy wyrzec się bałandy, ale nie starczało mu szlacheckiej dumy, aby powstrzymać się od drobnej żebraniny w naszym pokoju: „Wolno skosztować? Tylko odrobinkę... Dawno już tego nie jadłem...”.

Był w ogóle przesadnie miękki w obejściu i uprzejmy, póki nic go nie zadrasnęło. Jego grzeczność biła w oczy – szczególnie na tle nieuzasadnionej szorstkości Bielajewa. Zamknięty duchowo, zewnątrznie powściągliwy, powolny w jedzeniu, ostrożny w każdym ruchu – był to istny człowiek w futerale z noweli Czechowa, do tego stopnia, że reszty nie trzeba nawet opisywać, po prostu – wykapany. Tyle, że nie był nauczycielem, lecz generałem MWD.

Nie sposób było choć na okamgnienie postawić swój garnek na kuchence w chwilach, które Paweł Nikołajewicz upatrzył dla siebie: jego bazylijskowe spojrzenie wystarczyło, aby człowiek natychmiast zdejmował swoją menażkę, inaczej zaraz słyszał wymówki. Na dłuższe, niedzielne apele, odbywające się we dnie na dziedzińcu, starałem się wychodzić z książką (stroniłem od beletrystyki, zawsze był to podręcznik fizyki); chowając się za cudzymi plecami, usiłowałem czytać. O jaką

udrękę dla Pawła Nikołajewi – cza było takie łamanie dyscypliny! – przecież czytałem w szeregach, w świętych szeregach! – przecież to moje czytanie było wyzywające, było aktem bezczelnego rozpasanía! Nie karmił mnie otwarcie, ale tak spoglądał na mnie, robił takie bolesciwe miny, tak stękał i mruczał, a zresztą – również innych pryduków tak drażniły moje lektury, że musiałem w końcu wyrzec się czytania i godzinami sterczeć, jak dureń (a w izbie już się człowiek nie naczyta, tam trzeba słuchać cudzego gadania). Pewnego razu spóźniła się na poranny apel jedna z panien księgowych, pracujących w biurze budowy, przez co brygada pryduków musiała czekać o pięć minut dłużej na wyprowadzenie z żony mieszkalnej do pracy – no, tyle że zamiast iść na czele kolumny, brygada miała maszerować w ariergardzie. Rzecz była błaha, ani dyspozytor, ni nadzorca nawet nie zwrócili uwagi, ale Zinowiew – w swoim specjalnym błękitnym szynelu z miękkiego sukna, w swojej czapce wojskowej, już dawno bez gwiazdki, ale przepisowo noszonej, w swoich okularach – powitał pannicę gniewnym syknięciem:

231

„Czego się spóźniacie, do cholery!? Przez was tu jeszcze stoimy!!”. (Nie mógł już dłużej milczeć! Te pięć minut go zadręczało! Przyprawiło go o chorobę!). Dziewczyna obróciła się na pięcie i odpaliła mu z oczyma błyszczącymi z satysfakcji: „Lizus! Zero! Czyczykow! (Dlaczego Czyczykow? Na pewno bohater Gogola pomylił jej się z bohaterem noweli Czechowa...). Stul wreszcie pysk!...” i tak dalej i dalej, aż do karczemnych wyzwisk. Nie podniosła ręki, robiła użytek tylko ze swego ostrego, obrotnego języczka, ale wydawało się, że trzepie Zinowiewa po mordzie, bo na jego matowych, dziewiczych policzkach wykwiłała jedna czerwona plama po drugiej, uszy zapłonęły szkarłatem, wargi zaczęły drżeć; cały się zjeżył, ale więcej słowa nie powiedział ani nie ruszył ręką, by się bronić. Skarżył mi się tegoż dnia: „Co robić, skoro mam charakter tak nieuleczalnie prostoliniorny! To moje nieszczęście, że nawet tu nie mogę się odzwyczaić od dyscypliny. Ja przecież muszę robić te uwagi, to podtrzymuje dyscyplinę w ludziach”.

Gdy rano prowadzono nas do pracy – Zinowiew był cały w nerwach: chciał jak najprędzej wyrwać się już do roboty. Za ledwie brygadę p r y – d u r k ó w wpuszczono na teren budowy – ten już był pierwszy, przeganiał wszystkich innych, krocących byle jak i prawie biegiem wypadał do biura. Czy robił to na pokaz, żeby przypodobać się zwierzchności? To nie było takie ważne. Żeby więźniowie widzieli, jak pali się do pracy? Częściowo. Ale najważniejszą i najszczerzą jego pobudką była chęć co rychlej-szego oderwania się od tłumu, wyjścia poza obręb obozu, zamknięcia się w ciszy działu planowania, żeby tam... – o nie, nie po to, by tym robić to, co Wasyli Własow, nie po to, by obmyślać, jak tu ulżyć ludziom z brygad roboczych – tylko po to, by całymi godzinami wątkonić się – palić papierosa, marzyć o jeszcze jednej amnestii i roić o całkiem innym urzędzie – o innym gabinecie z dzwonkami na podwładnych, z baterią telefonów na biurku, ze szwadronem służbistych sekretarek i pełnymi korności petentami.

Niewieleśmy o nim wiedzieli! Nie lubił mówić o swojej karierze w MWD ani o jej stopniach, ani o zajmowanych stanowiskach, ani o zakresie swojej pracy – z typową dla byłych emwudzystów „skromnością”. Szynel zaś jego był właśnie tego koloru, który tak wpadł w oko autorom Księgi o Kanale Białomorskim. I nie przyszło mu nawet do głowy – aby tu, w obozie, spruć błękitne wypustki z frencza i spodni. Jak widać w ciągu jakiś dwóch lat odsiadki jeszcze nie zajrzał w głąb obozowej paszczy – nie miał pojęcia, jak bezdenne jest leż Archipelagu. Do nasze-

go obozu dostał się, rzecz jasna, z wyboru: tylko kilka przystanków trolejbusu dzieliło od obozu dom, gdzie mieszkał – gdzieś w okolicach placu Kałużskiego. I – nie tknąwszy nigdy stopą dna, nienawidząc przy tym swoich obecnych sąsiadów – czasem

232

puszczał farbę w trakcie naszych rozmów: wychodziło na jaw, że zna dobrze to Krugłowa (który nie był jeszcze wtedy ministrem), to Frenkla, to znów – Zawieniagina, a więc najwyższych dygnitarzy MWD. Napomknął któregoś dnia, że podczas wojny kierował budową dużego odcinka trasy kolejowej Syzrań–Saratów, a więc był zatrudniony we frenklowskim GUL ŽDS. Kierował? Co to mogło znaczyć w tym wypadku? Nie był żadnym inżynierem. Był więc szefem kartelu obozów? Wszechmocny faworyt, a–wansowany zausznik? I oto – z takich wyżyn zleciał na łeb i szyję do poziomu prawie szeregowego więźnia. Siedział z artykułu 109; jak na MWD to znaczyło, że brał w łapę nie według rangi, ale więcej. Dano mu 7 lat, jak dla brata (co znaczy, że nakradł się na 20). Stalinowska amnestia zmniejszyła mu wyrok do połowy, miał siedzieć jeszcze dwa lata z niedużym okładem. Ale cierpiał, cierpiał, jakby miał całą dychę.

Jedyne okno naszej izby wychodziło na Park Nieskuczny. Całkiem blisko okien, tylko nieco niżej, kołysały się korony parkowych drzew. Widać było stąd kolejno i zadymki, i odwilż, i pierwszą zieleń. Gdy Pawła Niko–łajewicza nic w pokoju nie wprowadzało w rozdrażnienie, gdy gnębiący go smutek zmniejszał się do zwykłych ludzkich wymiarów – generał stawał sobie przy oknie i patrząc na park nucił ci–cho, a głos miał miły:

„Uśnij serce, niech sen tu zagości. Nie budź mnie ani tego, co było...”.

I bądź tu mądry! – mógłby być najmilszym gościem w każdym salonie! A ileż zbiorowych mogił więźniarskich zostawił wzdłuż torów, które budował!...

Zakątek Nieskucznego, stykający się z naszą żoną, oddzielało od spacerowiczów pasmo pagórków; był całkiem odosobniony, tyle że z naszych okien oglądaliśmy go my, faceci o golonych łbach, i maja jakiś lejtnant zaciągnął tu, do tego zacisznego kąta, swoją dziewczynę w kolorowej sukience. Ukryli się w ten sposób przed oczyma parkowej publiczności, nas zaś wcale się nie krępowali, jakby to psy albo koty z okien patrzyły. Oficer wyobrażał swoją pannę na trawie jak należy, ona też nie należała do wstydliwych.

„Już nie wzywaj daremnie przeszłości Przestań wielbić, coś niegdyś wielbiło...”.

W ogóle – izdebka nasza była obiektem modelowym. Emwudzista i generał panowali nad nami niepodzielnie. Tylko za ich zgodą mogliśmy korzystać z kuchenki elektrycznej (bo była własnością społeczną), kiedy nie była im potrzebna. Tylko do nich należała decyzja – czy wietrzyć pokój, czy nie, gdzie stawiać obuwie, gdzie wieszać portki, kiedy przerywać roz–

233

mowę, kiedy kłaść się spać i kiedy wstawać. Parę kroków dalej – wychodziły na korytarz drzwi wielkiej izby ogólnej; tam wiodła burzliwe życie rozhukana republika, tam wszelkie autorytety odsyłano do ciężkiej i jasnej, z towarzyszeniem odpowiednich epitetów, tu zaś istniały przywileje i – skoro nam na nich zależało, musieliśmy też szanować tutejsze prawa. Zdegradowany do poziomu nędznego malarza nie miałem tu głosu: stałem się proletariuszem i w każdej chwili można mnie stąd było wyrzucić do izby ogólnej. Prochorow, chłop ze wsi, chociaż miał rangę „brigadzisty” p r y – d u r k ó w działu produkcji, wyznaczony został na to stanowisko

tylko jako sługa – aby miał kto przynosić chleb i menażki, pertraktować z nadzorcami i dyżurnymi, słowem odwalać całą brudną robotę (był to właśnie ten chłopina z baśni Sałtykowa–Szczedrina, który karmił i poił dwóch generałów). Tak więc podlegaliśmy z musu dwóm naraz dyktatorom. Ale gdzie była i co porabiała niezrównana rosyjska inteligencja?

Doktor Prawdin (nie wymyśliłem tego nazwiska!), neuropatolog, lekarz obozowy, miał siedemdziesiąt lat. Rewolucję przeżył zatem – mając już prawie pięćdziesiątkę. Był więc człowiekiem, który wyrósł i dojrzał w naj-świetniejszych latach rosyjskiej myśli, gdy panował w niej duch rzetelności, współczucia i miłości do ludu. Ach, jaką ten człowiek miał prezencję! Ogromna, imponująca głowa czcigodnego starca ze srebrną, rozwianą czupryną, której nie śmiała tknąć maszynka obozowego cyrulika (tego przywileju udzielił mu szef naszego sanitariatu). Jego portret byłby ozdobą okładki najlepszego w świecie czasopisma lekarskiego! Żadne mocarstwo nie powstydziliby się takiego ministra zdrowia!

Wydatny, świadom niejako swej wielkości, nos budził zaufanie do każdej diagnozy doktora Prawdina. Jego ruchy były stateczne i solidne. Postaci tak był okazałej, że prawie się nie mieścił na zwykłym, metalowym łóżku, przelewał się przez jego burty. Nie wiem, jaki był z niego neuropatolog. Mógł być chyba dobrym lekarzem, ale tylko w epoce rozluźnienia i reweransów, a ponadto – nie w żadnym szpitalu publicznym, lecz jedynie we własnym gabinecie, z mosiężną tabliczką na drzwiach mieszkania, gdzie melodyjnie wybijał godziny zegar stojący i gdzie pan doktor nie musiał nic robić w pośpiechu, nie podlegając przy tym nikomu, prócz własnego sumienia. Ale w międzyczasie zdążono pana doktora porządnie nastraszyć – i to raz na zawsze. Nie wiem, czy siedział już wcześniej, czy go prowadzono pod mur podczas wojny domowej (nic by w tym dziwnego nie było), ale nastraszono go wystarczająco, nawet bez użycia rewolweru. Wystarczyło zapewne, że musiał pracować w przychodniach, gdzie normą było – dziewięciu chorych na godzinę, a czasu starczało tylko na puknięcie młoteczką w kolano. Wystarczało

234

być członkiem lekarskiej komisji, orzekającej w sprawach pracy, albo członkiem komisji uzdrowskiej, albo wojskowej komisji uzupełnień, a wszędzie – podpisywać, podpisywać, podpisywać orzeczenia – i wiedzieć, że każdy podpis – to wyrok na siebie samego, że jacyś koledzy już siedzą – że innym już grożono, a ty wciąż masz firmować karty zdrowia, orzeczenia, ekspertyzy, wyniki obdukcji, historie choroby, a każdy podpis, to konflikt hamletyczny: dać zwolnienie, czy nie dać? zdolny, czy nie zdolny? chory, czy zdrowy? Pacjenci ciągną w jedną stronę, przełożeni naciskają z zupełnie innej, przerażony doktor tracił więc orientację, ustawicznie się wahał, drżał i żałował każdego swego kroku.

Ale to wszystko działo się jeszcze na wolności, to były niewinne igraszki! Gdy już go jednak aresztowano jako wroga ludu, gdy śledczy przyprawił go groźbami o morderczy zawał serca (wyobrażam sobie, ilu ludzi mógł Prawdin pociągnąć za sobą ze strachu – chyba cały fakultet!) – kim stał się teraz? Zwykły, kolejny przyjazd wolniaka, szefa służby zdrowia OŁP-u, jakiegoś starego pijanicy bez wykształcenia lekarskiego – doprowadzał Prawdina do takiego zdenerwowania i konfuzji, że nie potrafił wtedy przeczytać najprostszych, pisanych po rosyjsku notatek w kartach chorobowych. Wątpliwości miał teraz dziesięć razy więcej, w obozie czuł się już zupełnie zagubiony i nie potrafił orzec, czy wolno zwolnić z pracy na 1 dzień człowieka z gorączką 37,7? a może go za to ktoś zbeszta? – więc przychodził do

naszej izby, błagając o radę. Potrafił zachować równowagę ducha nie dłużej niż przez dobę – jeśli poprzedniego dnia doczekał się pochwały od komendanta obozu, niechby nawet – od młodszego nadzorcy. Czuł się potem bezpieczny przez 24 godziny, ale już następnego poranka nieubłagany lęk znów go nawiedzał.

Pewnego razu wysyłano z obozu jakiś transport w trybie nagłym. Tak się spieszo, że nie było czasu na przygotowanie wyjeżdżającym łazni (jeszcze mieli szczęście, że ich nie zapędzono na golasa pod lodowate prysznice). Starszy nadzorca przyszedł do Prawdina i kazał mu wystawić zaświadczenie, że transport poddany został procedurze sanitarnej. Prawdin, jak zwykle, wykonał rozkaz – ale co się z nim później działo! Wrócił do izby, opadł na łóżko jak podcięty, jął chwytać się za serce, jęczeć i nie dał się w żaden sposób uspokoić. Położyliśmy się spać. Prawdin palił jednego papierosa za drugim, latał do klozetu, wreszcie – już po północy – ubrał się i z obłudą w oczach pobiegł do dyżurnego nadzorcy o przywisku Mikrus, niepiśmiennego pitekanropa, ale z gwiazdką na czapce – prosić o radę: co z nim teraz się stanie? czy za takie przestępstwo wlepią mu drugi wyrok z artykułu 58, czy może nie? Może tylko wyekspediuje go z moskiewskiego

235

obozu gdzieś na zadupie? (Miał w Moskwie rodzinę, przynoszono mu dobre paczki, bardzo mu zależało na naszym oboziku).

Zahukany i zastrachany Prawdin utracił zdolność do wszelkich decyzji, nawet dotyczących praktyki sanitarnej. Nie potrafił niczego już wymagać, ani od kucharzy i dyżurnych, ani nawet od podwładnych z dziana zdrowia. W stołówce było brudno, miski w kuchni zmywano byle jak, koce w szpi-taliku nie były trzepane od wieków – wszystko to Prawdin widział, ale nie był w stanie domagać się czystości. Tylko jedną miał manię, wspólną dla całej obozowej kadry kierowniczej (zabawę tę znają wszystkie prawie obozy) – codzienne mycie podłóg w barakach mieszkalnych. Powietrze i pościel pełne były wilgoci, wiecznie mokre podłogi butwiały. – Prawdina nie szanował nawet ostatni dochodziaga w obozie. Nie grabił i nie oszukiwał go w więzieniach tylko ten, kto nie miał na to żadnej chęci. Izbę naszą zamykano na klucz i tylko dlatego zachował jeszcze swoje rzeczy, porozrzucane dookoła łóżka, tylko dlatego nie rozzabrowano dotąd jego nocnej szafki, zapewne najbardziej niechlujnej w całym obozie; wszystko z niej się sypało i wylaływało na ziemię.

Prawdin dostał 8 lat z artykułu 58 – 10 i 11, to znaczy – jako opozycyjny polityk, agitator i organizator – ale łatwo było stwierdzić, że ta pyszna głowa pełna była naiwności, godnej niedorozwiniętego dziecka! Nawet w trzecim roku odsiadki nie dojrzał jeszcze do tych myśli, które podczas śledztwa uznał ze skrucą za własne. Wierzył, że wszyscy siedzimy tu tylko chwilowo, jakby na żarty, że lada chwila ogłoszą wspólną, hojną amnestię wszystko po to, abyśmy bardziej cenili sobie rozkosze wolności i wiedzieli za co dziękować Organom. Wierzył, że kołchozy kwitną, że plan Marshalla jest ohydłą amerykańską intrygą, mającą na celu ujarzmienie Europy, wierzył, że alianci knują trzecią wojnę światową.

Pamiętam, jak pewnego razu przyszedł cały rozjaśniony, promieniejący cichym, radosnym blaskiem – jak to bywa z bardzo wierzącymi ludźmi po głęboko przeżytym nabożeństwie. Jego duże oczy z obwisłą dolną powieką jaśniały nieziemską błogością w szerokiej, pocziwej, pełnej szczeroci twarzy. Okazało się, że dopiero co skończyła się narada pryduków z żony. Komendant podobozu naprzód ich skrzychał, waląc pięścią w stół, ale nagle zmienił ton i oznajmił, że ufa im, jako

swoim najbliższym, wiernym pomocnikom! I Prawdin z rozczeniem wyznał nam, że „po takich słowach chce się pracować wręcz z entuzjazmem!”. (Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że generał skrzywił usta ze wzgardą). Nazwisko doktora nie kłamało: był prawdomówny i kochał prawdę. Kochał, ale nie był jej godzien.

236

W proporcjach naszego mikromodelu Prawdin był śmieszny. Ale jeśli od tego małego światka przejść do dużego, to człowiek drętwieje ze zgrozy. Jaka część duchowej istoty naszej Rosji stała się właśnie taka? – tylko ze strachu...

Prawdin wyrósł w kulturalnym otoczeniu, przez całe życie pracował umysłowo, miał dokoła siebie ludzi umysłowo wysoce rozwiniętych – ale czy był on inteligentem, to znaczy człowiekiem, obdarzonym indywidualnym intelektem?

W miarę upływu lat coraz bardziej zastanawiałem się nad znaczeniem terminu – inteligencja. Wszyscy bardzo lubimy zaliczać się do niej – a przecież nie wszyscy mamy do tego podstawy. W Związku Sowieckim sens tego słowa został zupełnie wypaczony. Do kategorii tej zaczęto zaliczać wszystkich, którzy nie żyją z pracy rąk (i boją się takiej pracy). Objęto tym pojęciem wszystkich partyjnych państwowych, wojskowych i związkowych biurokratów. Wszystkich księgowych i rachmistrzów – mechanicznych niewolników Debetu. Wszystkich kancelistów. Z tym większą łatwością zalicza się do tej grupy wszystkich nauczycieli (nawet tych, którzy nie są niczym więcej niż tubami podręczników szkolnych, nie mają ani samodzielnych poglądów, ani własnych pojęć o wychowaniu). Wszystkich lekarzy (także tych, którzy umieją tylko wodzić piórem po formularzach historii choroby). I już bez żadnych wahań wlicza się do tej kategorii wszystkich, którzy kręcą się koło redakcji, wydawnictw, wytwórni filmowych, filharmonii, nie mówiąc już o ludziach, którzy publikują swoje utwory, kręcą filmy albo wiodzą smykami po strunach.

A tymczasem żaden z tych wyróżników nie wystarcza, by uznać kogoś za inteligenta. Jeśli nie chcemy zatracić sensu tego pojęcia, nie możemy rozmieniać go na drobne. Czy ktoś jest inteligentem – to nie zależy od przynależności do określonej grupy zawodowej ani do wykonywanej pracy. Dobre wychowanie i dobre tradycje rodzinne też jeszcze nie wystarczają, by uczynić z kogoś inteligenta. Inteligent – to taki człowiek, którego zainteresowanie życiem duchowym i pragnienie uczestniczenia w nim są stanowcze i stałe, nie zależą od zewnętrznych bodźców, a nawet przejawiają się im na przekór. Inteligentem jest ten, który rozumuje nie w sposób naśladowczy, kto nie małpuje nikogo.

W naszej izbie dziwolągów za inteligentów pierwszej klasy uchodzili Bie-lajew i Zinowiew, a co się tyczy na przykład dziesiętnika Oraczewskiego i magazyniera z narzędziowni, wiejskiego chama, Prochorowa, to ich obecność raniła wręcz dusze tamtych, wyższych istot. Toteż gdy byłem jeszcze panem prezesem rady ministrów, generał i emwudzista zdążyli zwrócić się do mnie, żądając, aby z naszej izby wyrzucić tych obu chamów – bo

237

brudni, bo kładą się w buciorach na łóżku, bo w ogóle nieinteligentni (generałowie zapragnęli więc pozbyć się chłopca, co ich karmił i poił!). Ale mnie ci dwaj podobali się – sam jestem chłopem w głębi duszy – i w naszym pokoju wytworzyło się coś na kształt równowagi. (A wkrótce generałowie zapewne proponowali już komu innemu, aby wyrzucić z kolei mnie).

Oraczewski rzeczywiście wygląd miał dość ordynarny, nic w nim nie było „inteligentnego”. Z całej muzyki uznawał tylko pieśni ukraińskie, pojęcia nie miał ani o dawnym malarstwie włoskim, ani o nowoczesnym, francuskim. Czy lubił książki – nie wiadomo dokładnie, bo w obozie było ich brak. Nie wtrącał się do oderwanych dyskusji, toczonych w naszym pokoju. Zdawało się, że nie docierają do jego uszu najudatnionejsze monologi Bielajewa o Sudanie anglo–egipskim, czy Zinowiewa – o jego mieszkaniu. Wolne chwile lubił spędzać w milczeniu na posępnych rozmyślaniach, a zwykł był trzymać wtedy nogi na poręczy łóżka – bo przecież niewykluczone, że dokądś jeszcze trzeba będzie wyjść – otóż, czy rozsądny człowiek może odmówić sobie tej przyjemności, żeby trochę poleżeć? A buty ściągać za każdym razem – toć to fatyga, przecież wżute są ciasno na podwójne onuce. Na wszystkie samoudręki naszego doktora też reagował z tępową obojętnością. I nagle po godzinnym albo i dwugodzinym milczeniu potrafił – bez żadnego związku z tym, co działo się w pokoju – rzec tragicznym tonem: „Tak! Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż artykułowi 58 wyjść na wolność!”. W praktyczne natomiast spory – o właściwościach rozmaitych przedmiotów, potrzebnych do życia, o zasadach bytu codziennego – wdawał się chętnie, z całym rusińskim uporem i dowodził zapalczywie, że walonki psują się od suszenia ich na piecu, że lepiej i przyjemniej nosić je całą zimę bez suszenia. Tak, że jaki tam z niego w ogóle był inteligent!

Z nas wszystkich on jeden szczerze był oddany budowie, mógł o tej robocie mówić zajmująco, także poza godzinami pracy. Dowiedziawszy się, że więźniowie połamali gotowe już przepierzenia i porąbali je na opał – ścisnął swój chamski łeb chamskimi łapami i zaczął kiwać się z boku na bok jak z wielkiego bólu. Nie mógł pojąć tubylczego barbarzyństwa! – może dlatego, że siedział dopiero od roku. Przyszedł ktoś i powiedział, że betonową płytę upuszczono z ósmego piętra na ziemię. Wszyscy jęknęli: „Nie zabiła nikogo?”, a Oraczewski: „Widział ktoś może jak ta płyta się rozbiła? – w jakich kierunkach idą pęknięcia?”. (Płyty odlewane były według jego rysunków i chciał wiedzieć czy dobrze zaprojektował armaturę). W grudniu, podczas mrozów zebrali się w biurze brygadziści i dziesięć–nicy, żeby trochę się pogrzać i podzielić obozowymi ploteczkami. Wszedł

238

Oraczewski, ściągnął rękawicę i uroczyście, ostrożnie, wytrząsnął z niej na stół zmarłego, ale żywego czarno–pomarańczowego motyla wielkiej piękności: „Macie tu motyla, co przetrzymał 19–stopniowy mróz! Siedział na krokwiach, pod dachem!”.

Wszyscy zamilkli, skupili się dookoła motylka. Ci szczęśliwcy, którym uda się przetrzymać obóz, wyjdą stąd chyba nie w innym stanie, niż ten odrętwiały owad. Oraczewski dostał tylko 5 lat. Wsadzono go za zbrodnię mimiczną (całkiem jak z Orwella!) – za uśmiech! Był wykładowcą w szkole saperów. W pokoju nauczycielskim pokazał innemu wykładowcy jakiś ustęp w „Prawdzie” i uśmiechnął się przy tym! Rozmówca wkrótce zginął na froncie i nikt nie mógł wiedzieć na jaki temat uśmiechnął się Oraczewski. Ale uśmiech ten nie uszedł czyjejś uwagi, a sam fakt śmiechu przy lekturze centralnego organu partii już jest bluźnierstwem! Następnie – Oraczewski–kiemu zaproponowano wygłoszenie referatu politycznego. Odparł, że rozkaz wykona, ale uprzedza, że brak mu odpowiedniego nastroju. To już była ostatnia kropla!

Kto z tych dwojga – Prawdin czy Oraczewski – bliższy był naszym pojęciom o inteligencji?

Trzeba teraz powiedzieć coś o Prochorowie. Było to chłopisko dorodne, o ciężkim kroku, ciężkim spojrzeniu; niewiele było w jego twarzy życzliwości, a uśmiechał się dopiero po namyśle. Takich ludzi nazywa się na Archipelagu „bure wilki”. Nie czuło się w nim skłonności do ustępstw ani do dobrych uczynków. Ale od razu spodobało mi się, że menażki dla Zinowiewa, a chleb dla Bielajewa przynosił bez żadnego służalstwa, fałszywych uśmieszków, bez żadnego zbędnego gadania – wnosił je jakby wyniośle, surowo, pokazując, że służba służbą, ale on też nie jest żadnym pętakiem. Aby utrzymać w formie swoje duże spracowane cielsko – musiał jeść, jak należy. Za tę generalską bałandę i kaszę gotów był do znoszenia upokorzeń, wiedział – że tu nim gardzą, nie odszczekiwał się nigdy, ale nie był też nadskakującym popychadłem. Wszystkich, wszystkich nas widział tu na wskroś, tylko że czasu nie miał, aby o tym gadać. Wyczułem, że Prochorow jest jak z krzemienia, że na takich barkach niejedno jeszcze w naszym narodzie mocno się trzyma. Nie ma dla nikogo uśmiechów na zbyciu, przygląda się ludziom spode łba, ale też nikogo nie ukąsi znienacka w tydkę.

Siedział nie z artykułu 58, ale życie nie miało dla niego tajemnic. Wiele lat był przewodniczącym rady gromadzkiej gdzieś pod Naro-Fomińskiem, ale tam też trzeba było umieć dawać sobie radę, być surowym kiedy należy, i bronić się przed przełożonymi. O tym swoim przewodniczeniu tak nam powiedział:

239

– Być patriotą – to znaczy wszędzie być pierwszym. Jasne, że taki jeden pierwszy też nadziewa się na kłopoty. Trzyma człowiek mowę w radzie gromadzkiej i chociaż we wsi więcej gadania zawsze o materialnej stronie, ale często-gęsto jakiś brodaczek wyskoczy z pytaniem: a co to takiego ta permanentna rewolucja? Diabli ją wiedzą, co to takiego, wiem tyle, że baby w mieście noszą na łbie permanentną ondulację, ale spróbuj nie odpowiedzieć, to zaraz powiedzą, że pasuje do mównicy, jak wół do karety. Więc powiadam – że to taka rewolucja, co się ciągnie i wije, a z ręki zawsze się wymknie – spróbuj no miejską babę za łeb przytrzymać albo barana. Kiedy nasi pożarli się z Macdonaldem, to w moim referacie tak przygadałem naszym władzom: „Skoro on pies, to wy – powiadam – towarzysze, cudzym psom lepiej ogonów nie przyskrzyniacie!”.

W miarę upływu lat pojął on na wylot wszystkie dęte pozory naszego życia i sam nieraz do tej roboty rękę przykładął. Wzywał przewodniczącego kołchozu i powiadał: „Masz podszykować jakąś swoją dojarkę do złotego medalu, na wystawę rolniczą – tak, żeby udoju dziennego było ze sześćdziesiąt litrów!”. I cały kołchoz spotem pracował na tę dojarkę. Sypano jej krowom w żłób i paszę białkową i nawet cukier. Cała wieś i cały kołchoz dobrze wiedziały – co taka wystawa rolnicza jest warta. Ale ci na górze – pomysł rzucą, sami siebie bałamucą – widać więc chcą, żeby tak było.

Kiedy front zbliżył się do Naro-Fomińska, kazano, aby Prochorow zajął się ewakuacją bydła z terenu swojej gromady. Ale – jeśli pomyśleć chwilę – ten rozkaz wydano nie na złość Niemcom, tylko na chłopską szkodę: to' oni mieli zostać na gołej ziemi bez bydła i bez ciągników. Chłopi nie chcieli oddawać bydła, bronili się zębami i pazurami (mieli nadzieję, że kołchozy może się rozpadną, a wtedy bydło się podzieli) – i omal nie ukatrupili Prochorowa.

Front przewalił się przez ich wieś – i zamarł na całą zimę. Prochorow był artylerzystą jeszcze hen, w 1914, była już nie było, z tego żalu przytęczył się więc do sowieckiej baterii i nosił pociski, póki go nie wypędzono. Wiosną 42. sowiecka władza wróciła do ich rejonu i Prochorow znów został przewodniczącym rady gromadzkiej. Teraz miał dość siły i okazji, aby porachować się ze swoimi wrogami i być gorszym psem niż dawniej. Gdyby tak postąpił – po dziś dzień żyłby bez trosk. Ale – rzecz dziwna – z okazji nie skorzystał. Serce mu zmiękło.

Ich wieś była zrujnowana i przewodniczący miał do dyspozycji kartki na chleb: żeby trochę podkarmiać fabrycznym pieczywem pogorzalców i tych, co najbardziej głodowali. Prochorowowi zaś żal się zrobiło ludzi, przekroczył przewidziany w instrukcji pułap, rozdał za dużo kartek i oberwał 10 lat

240

z dekretu „siedem ósmych”. Macdonalda wybaczone mu, że niby chłop niewykształcony, ale ludzkiego współczucia mu nie darowano.

W naszej izbie Prochorow lubił – tak samo jak Oraczewski – godzinami leżeć w milczeniu, z buciorami na poręczu łóżka, gapiąc się na kost-ropaty sufit. Otwierał gębę tylko wtedy, gdy generałów nie było. Niezwykle podobały mi się niektóre jego myśli i powiedzenia:

– Jaką krechę trudniej narysować – prostą czy krzywą? Dla prostej trzeba mieć przyrządy, a krzywą to nawet pijany nogą narysuje. Tak samo w życiu.

– Pieniądze – to teraz dwupiętrowe. (Jakie to celne! Prochorow to miał na myśli, że kołchoz musi dostarczać produkty za jedną cenę – a sprzedaje się je ludziom – za całkiem inną. Ale nadawał też temu szersze znaczenie: „dwupiętrowość” taka widoczna jest też gdzie indziej, przejawia się ona w całym naszym życiu, państwo płaci nam wedle cen parterowych, my zaś płacić musimy wszędzie wedle tych wyższych cen, dlatego trzeba jakoś tak kombinować, żeby samemu pobierać środki z wyższego piętra, inaczej kry-ska).

– Człowiek nie diabeł, a też ci żyć nie da – jeszcze takie miał przysłowie.

Sporo tam tego było, żałuję bardzo, że nie uchowało się w mojej pamięci.

Nazwałem ten pokój – izbą dziwolągów – ale ani Prochorowa, ani Oraczewskiego nie mogę zaliczyć do tej kategorii. Jednakże – wśród naszej szóstki większość były to dziwolągi, bo przecież ja sam nie byłem nikim innym. W głowie mojej – chociaż już poszarpane i porwane – ale wciąż jeszcze pływały strzępy bałamutnych wieczeń, zwodniczych oczekiwań i fałszywych przekonań. I siedząc już drugi roczek, wciąż jeszcze nie rozumiałem, co właściwie wskazuje ‘palec losu mnie, rzuconemu na Archipelag. Wciąż jeszcze byłem w mocy tego pierwszego, powierzchownego, deprawującego przykazania, które mi wpoił gułagowski fachowiec, spotkany na Krasnej Presni: „byle nie iść do łopaty! Grunt to przetrwać za wszelką cenę!”. Niełatwo mi było dorósć wewnętrznemu do tej łopaty.

Którejś nocy przed wartownią obozu pojawiło się auto osobowe, nadzorca wszedł do naszej izby, potrząsnął generała Bielajewa, za ramię i kazał mu zabierać się „z rzeczami”. Półprzytomnego, zbudzonego tak gwałtownie generała zaraz wyprowadzono. Z Butyrek zdążył nam jeszcze przestać gryps: „Nie traćcie otuchy! (– chociaż go nam zabrano, to chyba miał na myśli) – Jeśli nie zginę – to na pewno napiszę”. (Nie napisał już nic, ale ktoś postronny dał nam znać. Uznano zapewne, że niebezpiecznie jest trzymać generała w moskiewskim obozie. Wylądował w Pofmie. Tam nie miał już termosów z domową zupą i sądzę, że nie obrzynał już kostki chleba

z sześciu stron. Minęło jeszcze pół roku i rozeszła się pogłoska, że generał bardzo podupadł w Pot'mie, że roznosił bałandę, byle tylko móc jej po-chłęptać. Nie wiem, czy to ściśle; jak powiadają w obozie – za ile kupięm – za tyle sprzedaję). Nie tracąc więc czasu, zaraz następnego dnia urządziłem się jako pomocnik kontrolera norm na stanowisku opuszczonym przez generała. Ale normowania też się nie nauczyłem – tyle, że mogłem dzielić sobie i mnożyć do woli. Ta nowa praca dawała mi pretekst zarówno do łożenia po terenie budowy, jak do przesiadywania na stropach ósmej kondygnacji naszego budynku – to znaczy na dachu. Stąd rozpościerał się przede mną, więźniem – widok na Moskwę.

Z jednej strony miałem Góry Wróble, jeszcze nietknięte zabudową. Dopiero zaczynało się wytyczanie przyszłego Leninowskiego Prospektu. Jeszcze go nie było. W całej swojej pierwiastkowej, nie zmienionej urodzie widoczna była Kanatczykowa Dacza. Z drugiej strony – miałem kopuły klasztoru Nowodziewiczego, masyw Akademii Frunzego, a jeszcze, jeszcze dalej, za mrowiskiem ulic, we fioletowej mgle – Kreml, gdzie czekała tylko na podpis nasza – już gotowa – amnestia.

Nam, straceńcom, wydawało się, że ten kuszący świat z całym jego bogactwem i sławą mamy pod nogami, a zarazem, że na zawsze jest on dla nas zamknięty. Ale – jakkolwiek wrywałem się „na wolność”, jak to nowicjusz – to miasto nie budziło we mnie zawiści i chęci sfrunięcia na jego ulice. Całe złoto, trzymające nas na łańcuchu, tu miało swój węzeł centralny. Chętnie miasto! Po tej wojnie bardziej niż kiedykolwiek znajdowało tu usprawiedliwienie przysłowie:

Moskwa nie wierzy łzom!

8 A teraz korzystam mimo wszystko z tej rzadkiej dla byłego zeka możliwości – zwiedzenia swojego obozu! Za każdym razem grają nerwy. Jakże to jednak ważne – dla poznania skali możliwości życiowych – dać nura w tę przeszłość beznadziejną, poczuć się znowu tamtym. Na miejscu stołówki, sceny i oddziału KO – teraz jest sklep „Spartak”. O, tu obok tego samego przystanku trolejbusowego była wartownia zewnętrzna. Oto – na drugim piętrze – okno naszej izby dziwolągów. Tu jest linia apelowa. Tu jeździł po szynach żuraw Napolnej. Tędy M. przekradała się do Berszadera. Ludzie snują się, spacerują, gadają o drobiazgach, chodząc po asfalcie dziedzińca. Nie wiedzą, że stąpają po trupach, że depczą po naszych wspomnieniach. Nie są w stanie wyobrazić sobie – że ten podwórzec mógł być nie częścią Moskwy, skąd do centrum jechało się 20 minut, lecz wysepką dzikiego Archipelagu, bliżej związaną z Norylskiem i Kolymą niż z Moskwą. Ale ja też już nie mogę wdrapać się na dach, po którym łaziliśmy, mając pełne do tego prawo,

Chociaż byliśmy prydukami – ale w dziale produkcji i nie nasz pokój był tu najważniejszy tylko podobny, piętro wyżej, gdzie mieszkali prominenci żony i gdzie zasiadał triumwirat, złożony z księgowego Sołomonowa, magazyniera Berszadera i dyspozytora Bursztejna, rządzący naszym obozem. Tam też zapadła decyzja o pewnym przesunięciu służbowym: usunąć również Pawiowa z funkcji kierownika produkcji i dać ją niejakiemu K. I oto pewnego dnia nowy prezes rady ministrów wprowadził się do naszego pokoju (a Prawdina już przedtem, nie bacząc na wierną jego służbę – szurnięto na etap). Ja też niedługo już miałem być tu tolerowany: wkrótce zostałem usunięty i z biura norm, i z tego pokoju (w zwykłym obozie, gdy człowiek idzie na dno, to przenoszą go właśnie wyżej – na górną pryczę „wago-

netki") – ale chwilowo jeszcze tu byłem i miałem dość czasu, by przyjrzeć się K. – który stanowił niezłe uzupełnienie naszego mikromodelu: był przedstawicielem jeszcze jednej, ważnej odmiany pore-wolucyjnej inteligencji.

Aleksander Fiodorowicz Kukos, trzydziestopięcioletni, ostrożny i łapczywy manager (był uważany za „świątecznego organizatora”), z wykształcenia budowniczy, inżynier (ale jakoś nie bardzo umiał się popisać znajomością zawodu, tyle że posługiwał się suwakami logarytmicznymi) oberwał dziesięć lat na podstawie dekretu z 7 sierpnia; siedział już trzy lata, zupełnie się z obozami oswoił i nie czuł już żadnego skrępowania, całkiem tak, jakby krat nie było. Mogło się здаwać, że roboty ogólne w ogóle mu nie grożą. Niemniej – skłonny był do litowania się nad masą pechowców, skazanych właśnie na pracę przy łopacie. Należał do więźniów, którzy są dla innych zeków o wiele straszniejsi, niż najbardziej służbiści gospodarze Archipelagu: gdy raz kogoś wziął za gardło, to już nie popuścił, nie żał mu było trudu. Domagał się obcinania przydziałów (większego różnicowania w „systemie kotłów”), pozabawiania widzeń, wysyłania na etap – byleby nie mogę przekroczyć progu tych mieszkań, w których szpachlowałem drzwi i układałem posadzki. Zakładam ręce do tyłu, jak niegdyś, i spaceruję po żonie, próbując sobie wyobrazić, że nie ma dla mnie stąd wyjścia, że tylko stąd-dotąd i że nie wiem, gdzie mnie jutro przerzucą. I drzewa Parku Nieskucznego, te same, tylko już nie odcięte drutami żony, świadczą, że mnie też pamiętają, że tak właśnie było.

Chodzę tak areztanckim obyczajem, krótkim szlakiem, w tył zwrot, znów tym samym tropem – i oto stopniowo wszystkie dzisiejsze zawitości zaczynają topnieć jak woskowe świece.

Nie mogę się powstrzymać, łobuzuję: wspinam się po schodach i na białym parapiecie okiennym półpiętra, przed wejściem do gabinetu komendanta obozu zostawiam czarny napis: „121 podobóz”.

Jeśli ktoś z przechodzących tędy przeczyta, to może zamyśli się na chwilę.

243

tylko wycisnąć z więźniów jak najwięcej. Budził istny zachwyt, zarówno wśród władz obozowych, jak produkcyjnych.

Ale najbardziej interesujące jest, że wszystkie te metody najoczywściej w świecie stosował on także dawniej, nim jeszcze trafił do obozu. To na wolności nauczył się tak zarządzać i okazało się, że jego system zarządzania pasuje jak ulał do obozu. Podobieństwo pomaga przy identyfikacji. Szybko zauważyłem, że Kukos bardzo mi kogoś przypomina. Kogóż to? Ależ Leonida Z-owa, mojego sąsiada z łubiańskiej celi! I – co najważniejsze – wcale nie z powierzchowności, nie, tamten był wieprzowaty, ten zaś – wysmukły, wysoki, wykapany gentelman. Ale jeśli się ich ustawiało w jednej linii – łatwo już było rozpoznać kształt i kierunek całej jakby nowej fali – tej pierwszej fali naszych własnych nowych fachowców, którzy doczekać się nie mogli, aby zepchnąć ze stanowisk starych „speców”, a z wieloma – porachować się także raz na zawsze. I oto nareszcie się pojawili, ci pierwsi absolwenci sowieckich wyższych uczelni technicznych! Jako inżynierowie – nie szli w żaden paragon ze swoimi poprzednikami, inżynierami dawnej formacji – ani co do wiedzy, ani co do poglądów technicznych; nie mieli też ich artystycznej wrażliwości i entuzjazmu zawodowego. (Nawet w porównaniu z niedźwiedziem Oraczkowskim, którego zaraz z pokoju wyrzucono, błyskotliwy Kukos wyglądał tylko na zwykłego papłę). Ich pretensje do ogłady ogólnej, krygowanie się na ludzi kulturalnych – wszystko to by-

to komiczne. (Kukos mawiał: „Mój ulubiony (!) utwór – to Trzy barwy czasu Stendhala*. Mimo, że nie bardzo sobie dawał radę z całką x2dx, z rozpędu wdawał się w dyskusje ze mną na wszelkie możliwe tematy z zakresu wyższej matematyki. Zapamiętał wszystkiego pięć–dziesięć szkolnych frazesów po niemiecku i cytował je wciąż, najczęściej bez sensu. Nie znał w ogóle angielskiego, ale uparcie toczył debaty o należyтым akcentowaniu słów angielskich, bo zdarzyło mu się raz w restauracji słyszeć, jak Anglicy rozmawiają między sobą. Miał również zeszytik z aforyzmami, zaglądał doń często i kuł na pamięć, aby móc przy okazji błysnąć jakimś powiedzonkiem).

Ale za to wszystko – od tych ludzi, którzy nigdy nie widzieli na oczy kapitalizmu i nie byli nim zakażeni – oczekiwano republikańskiej czystości i naszej sowieckiej pryncypialności. Wielu z nich wprost ze studenckich ławek posyłano na odpowiedzialne stanowiska, związane z wysokimi zarobkami. Podczas wojny Ojczyzna nie pozwoliła postać ich na front,

Mowa o powieści o Stendhalu, sowieckiego autora Winogradowa. 244 nie żądając niczego w zamian prócz fachowej pracy. Dlatego też byli patriotami – chociaż do partii nie bardzo się pchali. Jednej rzeczy bowiem nie obawiali się – mianowicie nie były dla nich groźne oskarżenia o klasową obcość. Dlatego też nie lękali się wcale pomyłek przy podejmowaniu decyzji; gdy trzeba było, potrafili ich bronić zębami i pazurami. Z tego samego powodu nie czuli onieśmienia w stosunku do mas robotniczych, przeciwnie, potrafili sobie z nimi radzić surowo i zdecydowanie.

Ale to już wszystko. Starali się głównie o to, żeby ich dzień roboczy nie przekraczał 8 godzin. Bo później można było sobie użyć życia: artystki, „Metropol”, „Savoy”. W tej dziedzinie opowieści Kukosa i Z-wa były do siebie zadziwiająco podobne. Oto opowieść Kukosa (może coś tam dołgał dla większego szyku, ale na ogół – to podobne do prawdy, brzmi wiarygodniej!). O pewnej zwykłej, letniej niedzieli 1943 roku tak nam prawił, rozpromieniony, jakby na nowo przeżywał tę scenę: – W sobotni wieczór wtarabiamy się do restauracji „Praga”. Kolacja! Czy macie pojęcie co to znaczy kolacja dla kobiety? Dla kobiety absolutnie żadnego znaczenia nie ma, jakie tam będzie śniadanie, obiad i ta cała dzienna robota. Suknia, pantofle i kolacja, tylko to ma dla niej znaczenie! W „Pradze” obowiązuje jeszcze zaciemnienie, ale można wejść na taras. Balustrada. Aromatyczne letnie powiewy. Senny, nieoświetlony Ar-bał. Masz obok siebie kobietę w jedwabnej (to słowo podkreślał zawsze) sukni! Hulamy całą noc, a teraz – już tylko szampan! Zza wieży Ministerstwa Obrony wypływa malinowe słońce! Blask, szyby, dachy! Płacimy rachunek! Służbowe auto już czeka! – wystarczył telefon. Przez opuszczone szyby wpada wiatr i chłodzi twarz. A na dacz – sosnowy las! Macie pojęcie, co to jest sosnowy las o poranku? Parę godzin snu za opuszczonymi żaluzjami. Koło dziesiątej człowiek się budzi – słońce żga już przez okiennice. W pokoju miły nieład – wszędzie damskie fatałaszki. Lekkie (macie pojęcie, co to znaczy lekkie?) śniadanko z czerwonym winem na werandzie. Później zjeżdżają się przyjaciele – rzeka, opalamy się, pływamy. Wieczorem – samochodami do domów. Jeżeli zaś niedziela jest robocza, to po tym śniadanku, tak koło 11, jedzie człowiek, żeby trochę się zająć pracą państwową.

Czy kiedykolwiek, KIEDYKOLWIEK będziemy mogli się wzajemnie zrozumieć?... Siedzi tak na moim łóżku i opowiadając wymachuje dłońmi, aby lepiej podkreślić plastyczność kuszących szczegółów, wierząc głową z rozkoszy, gdy słodysz

wspomnień staje się zbyt już piekącym. Ja też więc zaczynam wspominać – jedną za drugą – te straszne niedziele letnie 1943 roku.

4 lipca. O świcie, z naszej lewej flanki, cała ziemia zatrzęsała się wzdłuż Łuku Kurckiego. A gdy zabłyśło malinowe słońce, czytaliśmy już padające z nieba ulotki: „Poddawajcie się! Już nieraz poznaliście na własnej skórze miazdzącą siłę niemieckiej ofensywy!”.

11 lipca. O świcie tysięczne gwizdy przecięły powietrze nad nami – zaczynało się nasze natarcie w kierunku Orła.

– „Lekkie śniadanko”? Pewno, że mam pojęcie. Jeszcze o ćmaku, w okopach, jedna puszka amerykańskiej wieprzowiny na ośmiu chłopów i – hurra! Za Ojczyznę, za Stalina!

X

P.O. POLITYCZNYCH

Ale gdzie w tym ponurym świecie, w którym jeden przechera drugiego pożera, w którym życie i sumienie ludzkie można kupić za pajdę chleba – gdzie więc i kim w tym świecie byli polityczni – kwiat wszystkich więziennych pokoleń w dziejach, wcielenie czystości i honoru?

A przecież już przyjrzelśmy się, jak owych politycznych izolowano, pogwałcono i wytępiono.

No, a kto zajął ich miejsce?

Jakie miejsce? Od tego czasu nie ma u nas więźniów politycznych! Toć takich ludzi u nas być nie może. Skąd „polityczni”, skoro zaprowadzono u nas powszechną sprawiedliwość? Siedząc w carskich więzieniach korzystaliśmy niegdyś z ulg dla politycznych, więc wiemy już teraz, że pobłażać nie wolno. Całkiem po prostu – politycznych skasowano. Nie ma ich i więcej nie będzie!

A ci, których posyła się do ciupy – no, to zwyczajni kaerzy, wrogowie rewolucji. Łata mijają, słowo „rewolucja” trochę jakby przywiedło, dobra, niech im będzie – wrogowie ludu, to brzmi jeszcze lepiej. (Gdyby policzyć

– wedle znanych nam już Potoków – wszystkich wsadzonych za kraty z tego artykułu, pomnożyć to później przez 3, biorąc pod uwagę członków rodzin – deportowanych, śledzonych, upokarzanych i gnębionych – to z niejakim zdziwieniem trzeba by przyznać, że po raz pierwszy w historii lud wystąpił jako wróg samego siebie, zyskując za to najlepszego przyjaciela

– w osobie tajnej policji).

Krawiec, odkładając na bok igłę, wetknął ją w gazetę, którą wyklejona była ściana – i trafił Kaganowicza w oko. Widział to klient. Artykuł 58, 10 lat (terror).

247

Ekspedientka, przyjmując towar, zapisywała cyfry na gazecie, innego papieru nie było. Liczbę kawałków mydła – zanotowała na czole towarzysza Stalina. 58, 10 lat. Traktorzysta Znamienskiego Ośrodka Maszyn Rolniczych dziurawy swój trzewik wyścił ulotkami przedwyborczymi. Sprzątaczką (a to ona była odpowiedzialna za rozdawnictwo materiałów propagandowych przed wyborami do Najwyższego Sowietu) zauważyła, że czegoś brak i doszła po nitce do kłębka. KRA (Kontrewolucyjna agitacja), 10 lat.

Kierownik świetlicy wiejskiej poszedł ze stróżem do sklepu, żeby kupić popiersie towarzysza Stalina. Kupili. Popiersie ciężkie, duże. Trzeba by znaleźć tragi, żeby nieść we dwójkę, ale kierownikowi jego pozycja służbowa nie pozwala jednak na to, więc powiada: „No, doniesiesz jakoś sam, dasz radę pomalutku”. Stary stróż długo nie

mógł sobie poradzić z ciężarem. Wziąć pod bok? – za duże. Nieść przed sobą jak samowar? – w krzyżu łamie i omal się człowiek nie przewraca. W końcu znalazł sposób: zdjął pasek, zrobił pętlę, zarzucił Stalinowi na szyję, zadał sobie ciężar na plecy i tak poszedł przez wieś. No, tu już szkoda gadania, przypadek niewątpliwy, art. 58 § 8, terror, 10 lat.

Marynarz sprzedał Anglikowi zapalniczkę własnego wyrobu typu „Ka-tiusza” (knot w rurce i krzesiwo) jako pamiątkę – za jednego funta. Narażenie na szwank autorytetu kraju, 58, 10 lat.

Pastuch, złoszcząc się na krowę, że narowista, skłął ją od „kołchozowych kurew”. 58, termin – jak zwykle.

Elusia Swirskaja zaśpiewała na wieczorku amatorskim czastuszkę, troszkę aluzyjną – no, to już otwarty bunt! 58, 10 lat.

Głuchoniemy cieśla – też złapał wyrok za kontrrewolucyjną agitację! Jakim cudem? Układa posadzki w świetlicy. Z dużej sali wszystko wynieśli, nigdzie nie ma gwoźdźcia ani haka. Swoją marynarkę i czapkę narzuca na popiersie Lenina. Ktoś wszedł do sali, zauważył. 58, 10 lat.

Rozumie się samo przez się, że wlepiano 58 robotnikom, którzy robili w zakładzie składkę na pomoc dla żony aresztowanego towarzysza. Ci mieli tupet, co?

Przed wojną w obozie Wołgołag mnóstwo było starych, niepiśmiennych chłopów ze wsi, z Tulszczyzny, Smoleriszczyzny, spod Kaługi. Ale wszyscy siedzieli z artykułu 58, § 10, to znaczy za antysowiecką agitację. A kiedy trzeba było coś podpisać, to stawiali krzyżyki. (Relacja Łoszczylina).

Po wojnie siedziałem natomiast w obozie z niejakim Maksymowem spod Wietugi. Na początku wojny służył on w artylerii przeciwlotniczej. Zimą politruk zwołał baterię, aby objaśnić ludziom artykuł wstępny „Prawdy” (16 stycznia 1941 roku: „Zimą tak dać Niemcom w kość, żeby wiosną kości

248

pozierać nie mogli!”). Wyrwał później do dyskusji również naszego Maksymowa. Maksymow oświadczył: „Bardzo słusznie! Trzeba grzmocić tych skurwiele, póki śnieg, póki zawieje, póki im walonek brak, chociaż tam czasem my też w samych trzewiakach. Bo wiosną to trudniej sobie będzie poradzić z ich techniką...”. Politruk klasnął, zdawało się, że wszystko w porządku. Ale wezwano Maksymowa do SMIERSZ-a i wlepiono 8 lat – „za bałwochwalstwo wobec niemieckiej techniki” z 58 art. (Maksymow ukończył wszystkiego jedną klasę szkoły wiejskiej. Jego syn, komсомолец, przyjechał z armii czynnej do obozu w odwiedziny i powiedział: „Nie pisz mamie, że cię aresztowali, niech się nazywa, że jesteś dotychczas w szeregach, że nie puszczają”. Żona pisze na adres „skrzynka pocztowa numer taki a taki”: „Toć wszystkich twoich rówieśników dawno puścili do domu, dlaczego ciebie tak długo trzymają?”. Konwojent patrzy na Maksymowa – wiecznie nie golonego, przygnębitego, a jeszcze ponadto głuchawego – i tak mu radzi: „Napisz, że cię awansowano na oficera i dlatego jeszcze nie wracasz”. Ktoś na budowie rozgniewał się na Maksymowa za jego głuchotę i tępotę – i tak mu palnął – „zmar-notrawiono na ciebie 58 artykuł”).

Dzieciaki w świetlicy wiejskiej dokazywały, siłowały się ze sobą, i zdarły grzbietami ze ściany jakiś tam plakat. Dwóm najstarszym wlepiono wyrok z 58 artykułu (dekret z 1935 roku wprowadza dla dzieci karalność ze wszystkich artykułów KK już poczynając od 12 roku życia!). Usiłowano wplątać w to również rodziców – że dzieciaków specjalnie poszczuli.

16-letni uczeń – Czuwasz, pisząc w gazetce ścienniej hasło, popełnił omyłkę w pisowni rosyjskiego, a więc nie ojczystego, wyrazu. 58, 5 lat.

W księgowości pewnego sowchozu wisało hasło: „Żyje się teraz lepiej, żyje się weselej! (Stalin)”. Ktoś dopisał po ostatnim słowie czerwonym ołówkiem – „owi”. Że niby Stalin OWI żyje się teraz lepiej i weselej. Winowajcy nawet nie szukano – postano za kraty całą księgowość.

Herszci Bernsztejn i jego żona, nazwiskiem Besszczastnaja, dostali 58 § 10, 5 lat za... domowy seans spirytystyczny! (Śledczy wciąż się dopytywał: przyznaj się, kto jeszcze z duchami spiskował?)¹.

Nonsens? Barbarzyństwo? Bezmyślność? Nic w tym nie ma bezmyślnego, to właśnie jest „terror – jako narzędzie perswazji”. Istnieje przysłowie: „Jak zaczniesz strzelać do srok i wron – to w końcu nawet biały łabędź padnie!”. Jak się zacznie lać wszystkich pod rząd, to w końcu wpadnie w ręce i ten, o kogo chodzi. Sens masowego terroru na tym przede wszystkim –

1 W obozie zaś rozeszła się pogłoska, że Herszel siedzi za „wroźbiarstwo” – więc prominenci w te pędy zaczęli znosić mu chleb i tytoń – żeby im też powróżył!

249

kim polega, że jego ofiarami, niejako po drodze, stać się muszą także ci dobrze ukryci i silni, których innym sposobem, pojedynczo, nigdy nie można by dostać w ręce.

Nie do wiary, jakie też idiotyczne oskarżenia wymyślano, aby usprawiedliwić aresztowanie osób przypadkowych albo z góry upatrzonych!

Grzegorz Jefimowicz Gienieralow (ze Smoleńszczyzny) został oskarżony o to, że „oddawał się pijaństwu z nienawiści do władzy sowieckiej” (a pił tego dlatego, że kłócił się z żoną) – 8 lat.

Irena Tuczynskaja (narzeczona młodego Sofronickiego) została aresztowana przy wyjściu z cerkwi (planowane było aresztowanie całej ich rodziny) i oskarżona, że w cerkwi „modliła się o śmierć Stalina”. (Któż mógł słyszeć jej modlitwę?) – Terror! 25 lat.

Aleksander Babicz oskarżony był to to, że „w 1916 roku walczył przeciw władzy sowieckiej (!!) w szeregach armii tureckiej”. W istocie rzeczy służył ochotniczo w rosyjskiej armii na tureckim froncie. Ponieważ dodatkowo oskarżono go o zamiar wydania Niemcom w 1941 roku lodołamacza „Sad-ko” (wzięty został na jego pokład jako pasażer) więc skazano go na rozstrzelanie! (zamieniono mu je na czerwońca, zmarł w obozie).

Sergiusz Stiepanowicz Fiodorow, inżynier-artyleryzysta oskarżony był o „złośliwe wstrzymywanie zatwierdzenia projektów młodych inżynierów” (komsomolscy aktywiści jakoś nie mieli czasu na staranne wykańczanie swoich prac kreślarskich²).

Członek-korespondent Akademii Nauk, Ignatowski, aresztowany został w Leningradzie w 1941 roku; oskarżono go, że został zwербowany przez wywiad niemiecki w czasie swojej praktyki u Zeissa w 1908 roku! i że otrzymał takie, dość dziwaczne, zadanie: w czasie najbliższej wojny (która powinna interesować, zdawałoby się, dawne pokolenie pracowników wywiadu) nie uprawiać szpiegostwa, tylko czekać aż do następnej! Dlatego to Ignatowski wiernie służy carowi podczas I wojny światowej, później – jest wierny władzy sowieckiej, organizuje jedyne w kraju zakłady optyczno-mechaniczne (GOMZ), zostaje wybrany do Akademii Nauk – aż nareszcie na początku II wojny światowej zostaje zdemaskowany, unieszkodliwiony i rozstrzelany!

A zresztą, przeważnie tych fantastycznych oskarżeń w ogóle nie było potrzeba. Istniał prościutki, standardowy spis typowych punktów oskarżenia. Wystarczyło, że śledczy brał ze spisu to czy owo i naklejał jak znaczki na kopertę:

2 Niemniej, tego zdeklarowanego szkodnika posyłano z więzienia Kresty do wielu fabryk zbrojeniowych w charakterze konsultanta.

250

- dyskredytacja Wodza;
- negatywny stosunek do kołchozów;
- negatywny stosunek do pożyczek państwowych (a kto przy zdrowych zmysłach odnosi się do nich pozytywnie?);
- negatywny stosunek do Konstytucji Stalinowskiej;
- negatywny stosunek do (kolejnych) dyrektyw partyjnych;
- sympatia dla Trockiego;
- sympatia dla Stanów Zjednoczonych;
- itd., itp.

Przyklejanie tych znaczków różnej wartości było robotą monotonną i nie wymagającą żadnego artyzmu. Śledczy, nie lubiący tracić czasu, musiał mieć tylko pod ręką kolejną ofiarę. Ofiary takie dostarczane były według z góry ustalonych planów ilościowych przez pełnomocników operacyjnych działających w terenie, w jednostkach wojskowych, na kolei, w szkolnictwie. Pełnomocnicy z kolei nie musieli zbyt wiele łamać sobie głów, ponieważ zawsze w porę mieli pod ręką donosy. W walce wszystkich przeciw wszystkim donosy stanowiły coś w rodzaju superbroni, były to promienie śmierci: wystarczyło skierować taki niewidzialny promyczek na jakiegoś przeciwnika i od razu był z nim koniec. Była to broń niezawodna. Zbierając relacje o tych wypadkach, nie notowałem nazwisk, ale śmiem twierdzić, że w więzieniu nasłuchiwałem się wielkiego mnóstwa opowieści o stosowaniu donosów nawet w trakcie miłosnych zapasów: kochanek usuwał sobie z drogi męża przyjaciółki, żona likwidowała kochankę albo kochanka żonę bądź też kochanka mściła się na swoim kochanku za to, że nie potrafiła go od żony oderwać.

Z tych znaczków najczęściej był w użyciu punkt dziesiąty – kontrrewolucyjna (przemianowana na antysowiecką) agitacja. Jeśli potomkowie nasi zdołają kiedykolwiek dotrzeć do akt śledczych i sądowych z epoki stalinowskiej, to na pewno podziwiać będą niezmierną wynalazczość i spryt tych antysowieckich agitatorów. Agitowali oni przy pomocy igły i podartej czapki, nie mytych podłóg (patrz niżej) albo brudnej bielizny, posługiwali się uśmiechem albo ponurą miną, stosowali w swojej kreciej robocie wymowne spojrzenia, złowrogie myśli, nie znajdujące ujścia z czaszki, pamiętnikarskie notatki, miłosne karteluszyki i napisy na ścianach toalet publicznych. Prowadzili agitację na szosach, na wiejskich drózkach, w czasie pożarów, na rynku, w kuchni, przy rodzinnym stole, w trakcie picia herbaty, a także w łóżku, szeptem. Tylko niezwykły ustrój socjalistyczny mógł wytrzymać taki nacisk!

Na Archipelagu twierdzi się żartem, że nie wszystkie artykuły kodeksu karnego są artykułami powszechnego użytku. Ten i ów chciałby nawet

251

pogwałcić prawo o ochronie własności socjalistycznej, ale, niestety, nie każdy ma do tej własności dostęp. Ktoś inny, nie mrugnawszy nawet okiem, popełniłby defraudację – ale w żaden sposób nie może dostać się na posadę kasjera. Żeby kogoś zamordować, musi mieć człowiek choćby jakiś nóż, aby być winnym nielegal-

nego posiadania broni – trzeba ją najprzód skądś dostać, aby uprawiać sodomie – trzeba mieć w majątku było domowe. Nawet sam artykuł 58 nie dla każdego bez wyjątku jest dostępny: jak tu zdradzić ojczyznę – (punkt l-b.) skoro człowiek nie służy w armii? W jaki sposób nawiązać kontakt (punkt 4) z międzynarodową burżuazją, skoro człowiek mieszka w Chanty–Mansyńsku? Jak tu prowadzić dywersyjną działalność w dziedzinie przemysłu państwowego i transportu (punkt 7), jeśli człowiek pracuje jako fryzjer? jeżeli nie ma pod ręką nawet najędźniejszego lekarzkiego sterylizatora, który mógłby zostać rozsadzony parą (inżynier–chemik Czudakow, 1948 rok, „dywersja”)?

Ale punkt 10 art. 58 dostępny jest dla wszystkich. Jest do dyspozycji sędziwych starszuch i dwunastoletnich szkolaczków, ludzi żonatych i kawalerów, kobiet w ciąży i dziewic, sportowców i kalek, pijanych i trzeźwych, ostrowidzów i ślepców, posiadaczy własnych aut i żebraków. Łapać punkt dziesiąty można zimą z takim samym powodzeniem jak latem, w dzień powszedni, czy w niedzielę, wczesnym rankiem i późnym wieczorem, przy pracy i w domu, na schodach, na stacji kolejki podziemnej; w głuchym lesie, na przerwie w teatrze, a także w trakcie zaćmienia słońca.

Jako artykuł powszechnego użytku wytrzymuje porównanie z 10 punktem tylko punkt 12 – niepowiadomienie, czyli „wiedział, a nie powiedział”. Wszystko, co powiedziane było wyżej, można było oberwać również na podstawie tego punktu i w tych samych warunkach. Różnica na korzyść dwunastki na tym polegała, że tu nie musiał człowiek nawet gęby otwierać ani łapać za pióro. Ten punkt należał się właśnie za bezczynność! A wyrok był taki sam: 10 lat i 5 „kagańca”.

Oczywiście, po wojnie punkt l artykułu 58 – „zdrada kraju” – także nie mógł zaliczać się do nieosiągalnych dla ogółu. Mieli do niego prawo nie tylko wszyscy byli jeńcy, nie tylko wszyscy mieszkańcy terenów okupowanych, ale nawet ci, którzy zwłóczyli przy wyjeździe z terenów zagrożonych i tym samym ujawniali swój zamiar dopuszczenia się zdrady kraju. (Profesor matematyki, Żurawski przy wyjeździe z Leningradu prosił o trzy miejsca w samolocie – dla żony, dla chorej szwagierki i dla siebie. Dostał dwa, szwagierki nie uwzględniono. Wysłał wobec tego żonę i szwagierkę, a sam został. Władze potrafiły znaleźć dla tego uczynku tylko jedno wytłumaczenie: profesor czekał na przyjscie Niemców. 58 – 1-a, w świetle punktu 19, 10 lat).

252

Pamiętając o nieszczęsnym krawcu, stróžu świetlicy, głuchoniemym cieśli, marynarzu czy człowieku z Wietługi – uznać już będziemy mogli za skazane w całym majestacie prawa takie choćby osoby, jak:

– Estończyk Enseld, który przyjechał do Leningradu z – niezależnej jeszcze wtedy – Estonii. Znalezione u niego list pisany po rosyjsku. Do kogo? Od kogo? „Jestem uczciwym człowiekiem i tego powiedzieć nie mogę” (list napisał Wiktor Czernow, znany mienszewik, emigrant, do swoich krewnych). Ach, ty wywłoko! skoroś taki uczciwy, to jedź na Solówki!... Ale tu był chociaż jakiś list!

– Giriczewski. Ojciec dwóch oficerów frontowych. Podczas wojny znalazł się w batalionach pracy i posłany został na torfowiska. Tam zdarzyło mu się zganić postną i rzadką zupę, jaką ich karmiono (więc jednak coś zganił! Dziobem jednak trząskał!). Całkiem zasłużenie dostał też za to 58–10, 10 lat. (Skonał, wygrzebując łupiny kartoflane z obozowego śmietnika, w brudnej jego kieszeni znaleziono fotografię syna – pierś pełna orderów).

– Niestierowski, nauczyciel angielskiego. We własnym domu, przy herbacie, opowiedział żonie i jej najlepszej przyjaciółce (więc jednak opowiedział! fakt miał miejsce!), jak bieduje się i głoduje na zapleczu, nad Wołgą, skąd właśnie powrócił. Najlepsza przyjaciółka zakapała ich oboje: jemu dano punkt dziesiąty, jej dwunasty, obojgu po 10 lat. (A mieszkanie? Nie wiem, może przypadło serdecznej przyjaciółce?).

– N.I. Riabinin. W 1941 roku, podczas naszego odwrotu, powiedział na głos: „Lepiej było nie śpiewać tyle: – Jak nas tylko kto zaczepi – to niech pacierz zmówi lepiej”. Toć takiego nikczemnika najlepiej od razu pod mur, a dano mu całej parady – 10 lat!

– Reunow i Tretiuchin, komuniści, podnieśli rejwach jakby ich giez ukąsił, że jakoś dawno już nie było zjazdu partii, że to niezgodne ze statutem (bo to ich zafajdana sprawa?!...). Dostali po dziesiątku.

– Faina Jefimowna Epsztejn, oburzona zbrodniami Trockiego, zapytała na zebraniu partyjnym: „No to dlaczego go wypuszczono ze Związku Sowieckiego?”. (Jakby partia musiała się przed nią tłumaczyć! Toć Józef Wissarionowicz może przez to sobie łokcie z rozpachy gryzł). Za to idiotyczne pytanie dostała (i odsiedziała po kolei) trzy terminy. (Chociaż żaden śledczy ani prokurator do końca nie potrafił jej wyjaśnić na czym właściwie polega jej wina).

– W przypadku Gruszy – proletariuszki, ogrom zbrodni wydaje się po prostu przytłaczający. 23 lata przepracowała ona w hucie szkła i nikt z sąsiadów nigdy nie widział u niej obrazów świętych, a właśnie tuż przed spodziewanym wkroczeniem Niemców do ich osady – Grusza powiesiła

253

sobie ikonę (ot, po prostu przestała się bać, bo przecież za ikony nie głaskano po główce) i – co dowodnie wykazało śledztwo, wszczęte na skutek donosu sąsiadek – wyszorowała podłogi! (A Niemcy jednak nie przyszli). Prócz tego, podniosła z ziemi leżącą przed domem ozdobną niemiecką ulotkę z obrazkiem i wetknęła ją do wazonika na komodzie. Nie bacząc na to wszystko, nasz humanitarny sąd wziął pod uwagę jej proletariackie pochodzenie i skazał Gruszę TYLKO na osiem lat obozu i trzy lata pozbawienia praw. A jej mąż tymczasem zginął na froncie. A znowu córka – uczyła się w technikum, ale personalni wciąż jej dokuczali: „A gdzie twoja matka?!” – i dziewczynka otruła się. (Co było dalej, tego Grusza już nie mówiła. Gdy dochodziła do śmierci córeczki – zaczynała płakać i szła sobie precz).

A na co zasłużył Gennady Sorokin, student trzeciego roku czelabińskiego instytutu pedagogicznego, skoro w studenckim czasopiśmie literackim (1946 rok) zamieścił dwa własne artykuły, od A do Z wzięte z głowy? Dostał tzw. małą szpulę – 10 lat. A lektura Jesienina? Wszyscy mamy słabą pamięć. Przecież wkrótce dowiemy się, że – „wcale tak nie było. Jesienin był zawsze głęboko czczonym poetą narodowym”. Tymczasem Jesienin uchodził za poetę kontrrewolucyjnego, a jego wiersze należały do lektur zakazanych. W czasie śledztwa w riazzańskim urzędzie bezpieczeństwa M.J. Potapow usłyszał następujące oskarżenie: „Jakoś ty śmiał (przed wojną) zachwycać się Jesieninem, skoro Józef Wissarionowicz powiedział, że najlepszym i najbardziej utalentowanym poetą jest Majakowski!”.

Na całkiem już zdeklarowanego przeciwnika władzy sowieckiej wygląda pewien lotnik cywilny, drugi pilot „Douglassa”. Nie tylko, że znaleziono u niego dzieła zebrane Jesienina; nie tylko opowiadał on, jak to gospodarnie i dostatnio żyli sobie

mieszkańcy Prus Wschodnich zanim przyszli tam nasi – ale ponadto w czasie dyskusji w jednostce lotniczej wdał się w publiczny spór z Erenburgiem³ na temat Niemców. (Z ówczesnych poglądów

³ We wspomnieniach Erenburga nie ma mowy o takich błahostkach. Mógł zresztą istotnie nie wiedzieć, że jego dysputant dostał się za kraty. Odpowiedział mu tylko w czasie dyskusji w sposób – jak na tę chwilę – partyjny, a później o całej sprawie zapomniał. Erenburg pisze, że sam „ocalał na zasadzie loterii”. Ech, to była loteria, lecz jej numery były znane. Jeżeli dookoła wsadzano przyjaciół, to trzeba było umieć zapomnieć na czas numer telefonu. Skoro dyszel kierował się w inną stronę, to trzeba było umieć brać zakręty. Nienawiść do Niemców Erenburg podsycił już z taką przesadą, że aż go Stalin musiał ofuknąć. Czując pod koniec życia, żeś pomagał kłamstwu utrzymać się w siodle, powinieneś być, człowieku, nie wspomnieniami się rehabilitować, lecz mężnym, ofiarnym czynem.

254

Erenburga można wnieść, że lotnik uważał, iż z Niemcami postępować należy nieco łagodniej). Dyskusja – i tu nagle publiczny spór! Sąd, dziesięć lat i pięć kagańca.

I.F Lipaj zorganizował w swoim rejonie kołchoz na rok przed oficjalnym zleceniem – przy tym kołchoz zupełnie dobrowolny! Czy więc pełnomocnik GPU Owsiannikow mógł sobie pozwolić na tolerowanie takiego wrogiego wybryku? Nie trzeba mi twojego dobrego, rób lepiej moje złe! Kołchoz uznany został za kułacki, a samego Lipaja, podkułacznika, posłano już gdzie należy...

F.W. Szawirin, robotnik, na zebraniu partyjnym napomknął głośno (!)

o testamencie Lenina! No, trudno w ogóle wyobrazić sobie coś straszniejszego, to już – zdeklarowany wróg! Jeśli trochę zębów zostało mu jeszcze po śledztwie, to stracił je na Kołymie, już w trakcie pierwszego roku pobytu.

Oto jacy ohydni przestępcy trafiali się wśród skazanych z artykułu 58! A przecież również zdarzali się spryciarze z wywrotową skłonnością do szwindelków. Na przykład – taki Perec Hercenberg, mieszkaniec Rygi. Przyjeżdża ci raptem do Litewskiej Republiki Socjalistycznej i tam melduje się jako obywatel polskiego pochodzenia. A tymczasem jest tylko łotewskim Żydem. Co w tym przypadku szczególnie oburza – to chęć oszukania swojej własnej ojczyzny. Przecież facet liczył widocznie, że pozwolimy mu wyjechać do Polski i że stamtąd wymknie się do Izraela. Nie, kochańki, nie chciałeś siedzieć w Rydze – to posiedzisz w GUłagu. Zamiar dopuszczenia się zdrady kraju – 10 lat.

A jak też potrafili ukrywać się te franty. W 1937 roku wśród załogi fabryki „Bolszewik” (Leningrad) wykryci zostali byli uczniowie szkoły zawodowej, którzy w 1929 roku obecni byli na zebraniu, podczas którego przemawiał Zinowiew. (Odnaleziono listę obecnych, załączoną do protokołu zebrania). I w ciągu ośmiu lat ukrywali to, ba, zdołali wkraść się w szeregi klasy robotniczej. Zaraz też zostali aresztowani i rozstrzelani.

Była też sprawa, w której bezpieczeństwu udało się wsadzić aż trzech braci Starostinów, znanych piłkarzy i dwóch braci Znamieriskich, biegaczy; nawet sportowy rozgłos ich nie uratował.

Marks twierdził, że „Państwo samo się okalecza, gdy czyni z własnego obywatela przestępcę⁴”. I w sposób bardzo ujmujący wyjaśnił, że państwo powinno widzieć w każdym złoczyńcy również człowieka żywego i żołnierza, a więc obrońcę kraju

i członka społeczności, i ojca rodziny, „istnienie której jest święte”, i – co najważniejsze – obywatela. Ale nasi prawnicy

4 Marks i Engels, Dzieła Zebrane, tom I, wyd. roś., str. 233, wyd. z 1928 roku.

255

nie mają czasu na czytanie Marksa, zwłaszcza gdy chodzi o ustępy tak nieprzemysłane. Marks natomiast, jeśli ma chęć, może sobie poczytać nasze instrukcje.

Ten i ów gotów już tu krzyknąć, że cała ta litania jest czymś potwornym? niewyobrażalnym? Że to nieprawdopodobne? Że Europa nie da temu wiary?

Europa, rzecz jasna, wiary nie da. Dopóki sama nie posiedzi – dopóty nie uwierzy.

Uwierzyła już w nasze wyglansowane czasopisma i nic więcej w głowie jej się nie mieści.

A my sami? Toż przed pięćdziesięciu laty nikt z nas by w to nie uwierzył. Zresztą sto lat temu – też by wierzyć nie chcieli. Bieliński, Czernyszewski – za nic nie daliby wiary. Ale jak grzebnąć bagnetem głębiej, jak się tak dokopać do Piotra albo i do wcześniejszych epok – to dlaczego nie miałoby się wierzyć? Co tu takiego, toć zawsze tak było:

– sztyldwach więzienny Sieńka tak prawił: „Nie śmiej mnie za brodę szarpać! jam poddany miłościwego pana, więc broda moja też do jego carskiej mości należy! 58, bity knutem bez żadnej litości.

– dziesiętnik strzelecki Iwaszko Raspopin, kciuk wraził nieobyczajnie między palce i tako rzekł: „Ot, co pokażę tobie i twojemu najjaśniejszemu panu”. 58, batożony knutem bez żadnej litości.

– mieszczanin Blestin tak urgał kozakom: „Rozum pono postradał wielki książę, skoro was, kozaków, karmi i poi!”. 58, bity knutem bez litości.

– bojarski synalek, Iwan Paszkow, odezwał się w te słowa: „Najjaśniejszy pan ważniejszy jest od świętego Atanazego”. A diaczek Nieżdan z cerkwi pod wezwaniem tegoż świętego tak mu odparł: „A czemuż to car do świętego Atanazego się modli?”. (Rzecz się działa po Wielkim Tygodniu, obaj byli pijani). Gród moskiewski skazał obu bez nijakiej stronniczości: bojarskiego syna bez litości bić knutem – i diaczka też bić nie inaczej⁵”.

Przynajmniej nikt pary z gęby nie puszcza. A tego właśnie trzeba.

W dawnej Rosji więzień polityczny i zwykły mieszczuch były to biegunowe przeciwieństwa. Nie sposób było znaleźć bardziej wykluczający się wzajemnie sposobów myślenia i życia.

W ZSSR mieszczuchów zaczęto pakować do saka jako „politycznych”.

I dlatego właśnie nastąpiło zrównanie politycznych z mieszczuchami.

5 Przykłady wzięte są z książki Plechanowa Historia rosyjskiej myśli społecznej. 256

Półowa Archipelagu składała się z Pięćdziesiątki Ósemki. A politycznych

– nie było... (Gdyby prawdziwych politycznych były takie ilości – to na jakiej ławie siedziałyby już dawno cała nasza władza!).

Artykuł 58 obrywał każdy, dla kogo nie znaleziono z punktu jakiegoś innego artykułu, odnoszącego się do przestępstw pospolitych. Była to mieszanina niesłychanie pstra⁶. Przypiąć komuś artykuł 58 – był to najlepszy sposób na to, aby człowieka zniszczyć, usunąć go z drogi raz–dwa. I raz na zawsze.

Zaliczano do tej grupy również po prostu krewnych, zwłaszcza żony podejrzanych i skazanych, członków ich rodzin. Teraz wszyscy są przekonani, że jako CzS podlegały aresztowaniu żony wybitnych działaczy partyjnych, ale była to dawna już tradycja: w ten sposób przetrzebiono rodziny szlacheckie i rodziny wybitniejszych

przedstawicieli inteligencji oraz duchowieństwa. (Nawet w latach 50. było podobnie: historyk Ch-cew skazany został na 25 lat za znaczne błędy, jakie popełnił w swojej książce. Ale przecież żonie też się coś należy? Dycha. Ale jak można zapominać o starej 75-letniej matce i 16-letniej córce? Za niezłożenie donosu – też dostały swoje. Całą czwórkę rozestano do rozmaitych obozów bez prawa wymiany listów).

Im więcej cichych, spokojnych, dalekich od polityki, a nawet ciemnych ludzi, im więcej osób – przed aresztowaniem zajętych tylko swoimi sprawami domowymi – wciągano w ten kołowrót niezastużonych kar i śmierci

– tym bardziej szarżała Pięćdziesiątka Ósemka, tym łatwiej dawała się zacukać, tym pręcej wyzbywała się wszelkiej, ostatniej już treści politycznej i przekształcała się w rozproszone stado skotowaciałych istot.

Nie wystarczy jednak stwierdzić – z kogo składa się Pięćdziesiątka Ósemka, jeszcze ważniejsze jest ustalenie – jak traktowana była w obozie.

6 Na przykład – młody Amerykanin, który ożenił się z obywatelką sowiecką i aresztowany został od razu pierwszej nocy, spędzonej poza murami ambasady amerykańskiej (Maurice Hershman). Albo były syberyjski partyzant Murawiov, znany z tego że bezlitośnie rozprawiał się z białymi (mścił się za śmierć brata), który od 1930 roku nie wychodził z lochów GPU (zaczęło się od złota) i zdążył stracić zdrowie, zęby, rozum, a nawet nazwisko (zmieniono mu je na Foks). Albo pewien sowiecki oficer intendencji, defraudant, który uciekł przed groźącą mu karą do zachodniej żony okupacyjnej Austrii, ale – to dopiero ironia losu! – jakoś nie potrafił tam znaleźć sobie odpowiedniego zajęcia. Był tępym biurokratą, chciał także tam zająć od razu wysoką pozycję, ale jak mogło mu się to udać w społeczeństwie, gdzie o wygranej we współzawodnictwie decyduje talent? Postanowił więc wracać. Tu oberwał w sumie 25 lat – za zabór mienia społecznego i ewentualny zamiar uprawiania szpiegostwa. Jakże był rad – toć tu człowiek swobodniej oddycha! Przykładów takich jest niezliczona ilość.

12 – – Archipelag Gułag t. II

257

Kategoria ta od pierwszych lat rewolucji znalazła się w podwójnym potrzasku. Godził w nią i reżym, i rygory formułowane przez prawników.

Jeśli weźmiemy dla przykładu rozporządzenie WCzK z 8 stycznia 1921 roku, to dowiemy się, że tylko robotników i chłopów nie wolno aresztować bez podstaw prawnych – inteligenta zaś – można, dlaczego nie, no, choćby na zasadzie antypatii. Albo posłuchajmy Krylenki, który na V Zjeździe pracowników aparatu sprawiedliwości w roku 1924 oznajmił, że „co do skazanych przedstawicieli elementów klasowo wrogich, to zabiegi mające na celu ich reedukację i poprawę... są bezskuteczne i bezcelowe”. Na początku lat trzydziestych jeszcze raz zostanie nam przypomniane, że skracanie kar i przedterminowe zwalnianie elementów klasowo obcych jest procederem prawicowo-oportunistycznym. Odnosi się to również do „opor-tunistycznego twierdzenia, że „w więzieniu wszyscy są równi”, że „z chwilą orzeczenia wyroku przerywa się jakby walka klasowa” oraz że „wróg klasowy zaczyna poddawać się reedukacji”.

Jeżeli zbierzemy to wszystko do kupy, to okaże się, że: łąpać was wolno za nic, na waszą reedukację nie ma co liczyć, w obozie zapewnimy wam pozycję jak najgorszą i zadręczymy was tam walką klasową.

Ale jak to być może – walka klasowa w obozie? Przecież wydaje się, że wszyscy więźniowie istotnie są równi. Hola, to jest teza burżuazyjna. Po to właśnie odebrano politycznym prawo do osobnego statusu i zrównano ich z kryminalnymi, aby teraz tych kryminalnych wsadzić politycznym na kark! (wymyślili to ludzie, którzy w carskich więzieniach zdali sobie sprawę z siły wspólnoty politycznych, z ich protestu, z niebezpieczeństwa, jakie jedność politycznych stanowi dla każdego reżymu).

Ale oto Awerbach już ma na ten temat coś do powiedzenia, zaraz nam to wyjaśni. „Taktyka reedukacji opiera się na zasadzie klasowego rozwarstwienia”, powinniśmy szukać oparcia wśród elementów najbliższych proletariatu⁸”. (A któż to są te elementy najbliższe? ależ to „byli robotnicy” to znaczy złodzieje, ich to właśnie trzeba naszczuć na Pięćdziesiątkę Ósemkę!) „reedukacja niemożliwa jest bez jednoczesnego rozpalania politycznych namiętności (dosłownie tak!).

Gdy więc życie nasze oddano złodziejom we władanie – nie było to rezultatem samowoli leniwych komendantów jakichś głuchych podo-bozów, była to realizacja waniostej Teorii!

„Zróżnicowane klasowo podejście do więziennego reżymu... nie ustający ani na chwilę nacisk administracyjny na elementy klasowo wrogie...”. Od-
7 Dzieło Zbiorowe, Od więzień... str. 384.

8 I. Awerbach, Od przestępstwa do twórczej pracy, str. 35.

258

siadując więc swój ciągnący się bez końca wyrok, w porwanym waciaku, z głową wiecznie opuszczoną – czy potraficie sobie to chociaż wyobrazić? – znosić musicie nie ustający ani na chwilę nacisk administracyjny?!

W tej samej, jakże godnej uwagi, książce znajdujemy nawet spis środków, z pomocą których stworzyć można Pięćdziesiątkę Ósemkę nieznośne warunki życia w obozie. Nie chodzi tylko o to, aby zmniejszać tym ludziom ilość widzeń, paczek, listów, uszczuplać prawo do skarg, a nawet prawo do poruszania się wewnątrz (!) obozu. Mowa tu o tym, aby z obcych klasowo elementów tworzyć osobne brygady, stawiać je w możliwie najtrudniejszej sytuacji (tu wyjaśnię, że oznacza to oszukiwanie tych brygad przy wycenie wykonanych prac), a gdy nie dadzą sobie one w tej sytuacji rady z wykonaniem norm – uznawać to za przejaw działalności wroga klasowego. (Stąd właśnie wzięto się rozstrzeliwanie na Kołymie całutkich brygad!). Są też czysto teoretyczne porady: kułaków i podkułaczników (to znaczy – najlepszą część siedzących w obozie chłopów, nawet we śnie marzących o pracy na roli) – nie posyłać do żadnych prac polnych! Ponadto: wysoko kwalifikowanym, lecz obcym klasowo elementom (to znaczy inżynierom) nie powierzać żadnej odpowiedniej pracy „bez uprzedniej kontroli” (ale kto w obozie ma wystarczająco wysokie kwalifikacje, aby kontrolować inżynierów? Najpewniej – złodziejska lekka kawaleria z KO, coś w rodzaju hunwejbínów). Radę tę trudno było wcielić w życie przy budowie kanałów: przecież przepusty wodne muszą być przez kogoś zaprojektowane, trasa sama się nie przebiega. Tu więc Awerbach błaga usilnie: niech specjaliści przynajmniej sześć miesięcy po przybyciu do obozu pracują na ogólnych! (A nie potrzeba więcej, żeby wykończyć człowieka!). Wówczas to, uważacie, mieszkając nie w inteligentnym, uprzywilejowanym baraku, facet „odczuje na sobie wpływ kolektywu”. „Kontrewolucjoniści zdadzą sobie sprawę, że masy są przeciw nim i że nimi gardzą”.

I jak to łatwo, mając w małym palcu ideologię klasową, nadawać odwrotny sens wszystkiemu. Ktoś tam posyła „byłych ludzi” oraz inteligentów na funkcje? – a więc tym samym „posyła do najcięższych robót więźniów, wywodzących się z mas pracujących”! Jeżeli w magazynie sortów odzieżowych pracuje były oficer, a roboczych kombinezonów nie starcza – to znaczy, że oficer ten „świadomie sabotuje”. Jeżeli ktoś powiedział rekordzistom „przecież ta cała reszta pozostanie w tyle za wami” – znaczy, że jest wrogiem klasowym! Jeżeli złodziej uchlał się albo uciekł, albo coś ukradł – to mu się wyjaśnia, że to nie jego wina, że to wróg klasowy go spoił albo namówił do ucieczki, albo skłonił do kradzieży (inteligent skłonił złodzieja do kradzieży! – zostało to napisane całkiem serio w 1936 roku!). A jeśli nawet „obce elementy wykazują się w pracy dobrymi wyni-

259

karni produkcyjnymi” – czynią to „jedynie po to, aby się lepiej zamaskować”! Koło jest zamknięte! Możesz pracować albo nief kochać nas albo nie kochać – tak czy siak nienawidzimy cię i unicestwiłby rękoma bandytów!

Piotr Nikołajewicz Pticyń (który nasiedział się z artykułu 58) tak wzdycha: „A przecież prawdziwi zbrodniarze nie są zdolni do prawdziwej pracy. Właśnie człowiek niewinny gotów jest złożyć siebie samego w ofierze, pracować aż do ostatka. Co to za dramat: wróg ludu jćiko przyjaciel ludu”.

Ale niemiła im ofiara twoja.

„Siedzę niewinnie”! – oto najważniejsza myśl, nurtująca tę namiastkę politycznych, która zapełnia obozy. Jest to zapewne wydarzenie w światowej historii więzień niebywałe: miliony arćsztantów zdają sobie sprawę, że nie ma w nich żadnej winy, że są niewinni, że nikt tu nic nie zawinił. (Razem z Dostojewskim siedział na kator-dze zaledwie jeden skazany niewinnie!).

Jednakże te tłumy przypadkowych ludzi, zapędzonych za druty nie z uwagi na ich przekonania, lecz tylko z winy kapryśnego losu, bynajmniej nie czerpały otuchy z przeświadczenia, że racja jest po ich stronie. Nie, bezsensowność ich sytuacji pogłębiała jeszcze ich przygnębienie. Wyżej ceniąc beztroskę dawnego swojego życia niż wszelkie r/iożliwe racje – wcale nie zdradzali oni gotowości do ofiar, nie dążyli do jedności i nie odznaczali się duchem bojowym. Jeszcze w celach więziennych całe ich gromady potulnie poddawały się władzy dwóch–trzech zasmar-kanych knajaków. W obozach zaś całkiem już byli bezsilni, gotowi giąć kark przed pałą funkcyjnego czy knajaka albo pięścią brygadzysty, zdolni już tylko do przyswojenia sobie obozowej filozofii (byle nie razem, każdy niech myśli o sobie i stara się oszukać wszystkich innych) – i obozowego języka.

Znalazłszy się w 1938 roku w obozie ogólnym, Olićkaja, oczyma socjalis–tki, znającej już i Solówki, i izolatory, ze zdziwieniem patrzyła na tę dziwną Pięćdziesiątkę Ósemkę. Niegdyś – jak to dobrze jeszcze pamiętała – polityczni wszystkim się dzielili, teraz zaś każdy żył tu i przeżuwał wszystko na własny rachunek, a nawet „poli-tyczni” handlowali rzeczami i przydziałowym chlebem!

Polityczna hałastra – oto, jak nazwała ich (nas) Anna Skrypnikowa. Już w 1925 roku otrzymała ona znamienne nauczkę poskarżyła się śledczemu, że naczelnik Łubianki szarpie jej koleżanki z^ włosy. Śledczy roześmiał się i zapytał: „Was też tak cią-gnie?”. – „Mnie tiie, ale moje towarzyszk! tak!”. Wówczas śledczy oznajmił jej dobitnie: „Ach, protesty! Alem się przeląkł! Dajcie spokój tym ROSYJSKIM, INTELIGENCKIM, NAŁO–

GOWYM KRETYNIZMOM! To PRZESTARZAŁE! Myślcie tylko O SOBIE SAMEJ! – inaczej źle się to dla was skończy”.

A to właśnie knajacka zasada: nie ciebie chromolą – czego tyłkiem ruchasz?! Łubiański śledczy w 1925 roku już miał światopogląd knajaka!

A zatem – na pytanie, dziwaczne dla uszu oświeconej publiczności – „czy więzień polityczny może kraść?” – odpowiemy z podobnym zdziwieniem: „a czemu by nie?”.

„A czy może zajmować się donosicielstwem?” – „A dlaczego ma być gorszy od innych?”

I – gdy po opublikowaniu Iwana Denisowicza – pytają mnie naiwnie

– czemu to w pańskiej książce polityczni używają knajackiego żargonu?

– odpowiadam: a co, jeśli na Archipelagu innego języka nie ma? Czy polityczna hałastra może przeciwstawić własny język żargonowi hałastry kryminalnej?

Przecież im wciąż kładą w uszy – że właśnie oni są kryminalistami, najgorszymi z kryminalistów – i że NIKT poza kryminalistami w naszych więzieniach w ogóle nie siedzi!

Przetnąłono kręgosłup Pięćdziesiątce Ósemce, a politycznych WCALE NIE MA.

Wlano ich w świńskie koryto Archipelagu, kazano im zdychać przy robocie – a cały czas wrzeszczano im w uszy obozowe kłamstwo, że każdy jest wrogiem każdego!

Słyszałem takie przysłowie: jak głód ściśnie, to nawet rak świśnie. Ale my, ale nasi tubylcy – nawet pisnąć nie śmieli. Chociaż głód ich dobrze przyciskał.

A przecież tak niewiele, tak niewiele trzeba było, aby znaleźć wyjście, aby się uratować! Wystarczyło – nie drżeć o życie, co i tak już poszło na przepadłe, wystarczyło zewrzeć szeregi.

Udawało się to niekiedy zwartym grupom narodowym. Tak było na przykład

z Japończykami. W 1947 roku przywieziono do Rewuczego, karnego podobozu łagrów Krasnojarskich, około czterdziestu japońskich oficerów, tak zwanych „przestępców wojennych”. (Czym wobec nas zawinili

– to trudno nawet wymyśleć). Mróz był luty. Zaprzęgnięto ich do wyrębu lasu, była to robota nawet dla Rosjan ponad siły. Nie chodzący do pracy szemrani9 prędko poodbierali ciepłe rzeczy niektórym z nich, parokrotnie też ukradli im całe tragi z chlebem. Zaskoczeni Japończycy oczekiwali interwencji obozowych władz, ale władze – rzecz jasna – wcale na to nie zważały. Wówczas szef ich brygady, pułkownik Kondo, w towarzystwie

9 Chodzi o tzw. otricalowkę – grupę więźniów, nie uznających ani dyscypliny, ani żadnej pracy w obozie. Ponieważ składa się z knajaków, więc uchodzi jej to bezkarnie.

261

dwóch najwyższych rangą oficerów, przyszedł wieczorem do gabinetu komendanta obozu i uprzedził go (Japończycy doskonale mówili po rosyjsku), że jeśli nie skończy się ta samowola, to następnego dnia o świcie dwóch oficerów, którzy już się ochotniczo zgłosili – popełni harakiri. I że to dopiero początek. Komendant podobozu (drałgal Jegorow, były komisarz pułku) zrozumiał od razu, że można za to dostać po łapach. Przez dwie doby japońskiej brygady nie prowadzono na roboty do lasu, żywiąc jednak normalnie, a później przeniesiono z obozu karnego do zwykłego.

Jak niewiele trzeba więc, by móc prowadzić walkę, nawet zwycięską: wystarczy TYLKO nie drżeć o własne życie, o życie, co i tak już poszło na przepadłe.

Ale naszą Pięćdziesiątkę Ósemkę stale mieszano z pospolitakami i kna-jakami, nigdy nie zostawiano jej samej, bez tego towarzystwa – żebyśmy nie mogli spojrzeć sobie wzajem w oczy, bylebyśmy nie zdali sobie nagle sprawy – kim jesteśmy. A te otwarte głowy, gorące usta i śmiałe serce, które mogłyby stać się przywódcami potępieńców – rozsianych po obozach i więzieniach – ci już dawno (bo ich akta z góry były odpowiednio oznaczone) zostali od reszty oddzieleni. Zakneblowano im usta, zamknięto ich w specjulatorach, rozstrzelano w ciemnych lochach.

Jednakże – dzięki pewnej osobliwej właściwości zjawisk życiowych, o której mowa już w pismach Dao, należało się spodziewać, że kiedy politycznych ostatecznie zlikwidowano – to właśnie wtedy się pojawili.

Zaryzykuję teraz twierdzenie, że za rządów sowieckich polityczni nie tylko istnieli, ale:

1) było ich więcej niż za caratu i

2) że dali dowodów wytrwałości i męstwa więcej niż dawni rewolucjoniści.

Zdawać by się mogło, że wyrażam tu opinię sprzeczną z tym, com powiedział wyżej, ale wcale tak nie jest. Polityczni w carskiej Rosji znajdowali się w sytuacji nader korzystnej, bo skupiali na sobie powszechną uwagę i ich kroki budziły natychmiastowe echo w opinii publicznej i w prasie. Już widzieliśmy (część I, rozdział 12), że w Rosji sowieckiej socjalistom było znacznie trudniej.

Ale nie tylko socjaliści należeli teraz do politycznych. Tyle, że – wlani cebrami do piętnastomilionowego, kryminalnego oceanu – nie byli dla nas widoczni ani słyszalni. Byli niemi. Bardziej niemi niż inni. Na kształt ryb.

262

Ryba, symbol pierwszych chrześcijan. I oto wierzący chrześcijanie stanowią przeważającą część skazanych za politykę. Niezręczni, niewykształceni, nie umiejący ani przemawiać z trybuny, ani pisać nielegalnych manifestów (zresztą, ich wiara tego nie wymaga!) – szli do obozów, godzili się na męczarnie i śmierć, byleby nie zaprzeczyć się wiary! Dobrze wiedzieli, za co siedzą i przekonania ich były niewzruszone! To jedyni może, których nie imać się obozowa filozofia, ani nawet żargon. Czy to nie więźniowie polityczni? Nie, tych nie wolno nazywać hałastą.

I kobiet wśród nich szczególnie było wiele, Dao powiada: w okresach zaniku wiary pojawiają się właśnie ludzie prawdziwie wierzący. Ogłuszeni światłymi kpinkami z prawosławnych popów, komsomolską kocią muzyką podczas Wielkiej Nocy i knajackimi gwizdami w zborniakach – jakoś nie zdaliśmy sobie sprawy, że grzeszna cerkiew prawosławna może się teraz, mimo wszystko, wykazać córkami, godnymi pierwszych wieków chrześcijaństwa, siostrami tych, które wysyłano na areny, lwom na pożarcie.

Wierzących było mnóstwo – etapy i kurhany, transporty i mogiły zbiorowe – kto zliczy te miliony? Ginęli w martwej ciszy, rozjaśniając ostatnim swoim błyskiem tylko najbliższe zakamarki, jak gasnąca świeca. Byli to najlepsi z chrześcijan rosyjskich. Wszyscy gorsi od nich – zachwiali się w wierze, zaparli się jej albo powłazili w mysie dziury.

Czy to zatem nie więcej! Czy Rosja carska miała kiedykolwiek tylu politycznych! Toć nie umiała nawet rachować na dziesiątki tysięcy.

Ale zdławienie naszych politycznych przeprowadzono tak gładko i w takiej tajemnicy – że bardzo rzadko dochodzi do nas relacja o tym czy owym.

Archijerej Preobrażeński (twarz Tołstoja, siwobrody). Więzienie – zesłanie – obóz, więzienie' – zesłanie – obóz. Po wieloletnich udrękach wezwany został w 1943 roku na Łubiankę (po drodze knajacy zdarli z niego ciepły kaftan). Zaproponowano mu tam, by wszedł w skład Synodu. Po tylu latach męki – mógłby, zdawało się, pozwolić sobie na urlop z więzienia? Otóż nie, Preobrażeński odmawia: to nie jest czysty Synod ani czysta cerkiew. Idzie więc znów do obozu.

A Walenty Feliksowicz Woyno–Jasieniecki (1877–1961), czyli biskup Łukasz i autor słynnych Szkiców o chirurgii ropnej] Życiorys jego będzie oczywiście kiedyś napisany i nie nasza to rzecz robić to tutaj.*. Człowiek ten był żywą kopalnią talentów.

Jeszcze przed rewolucją zdał świetnie kon-

Uczynił to już Mark Popowski: Żywi i żywot Woyno–Jasienieckiego, archiepiskopa i chirurga, YMCA–Press, Paryż, 1979.

263

kursowy egzamin do Akademii Sztuk Pięknych, ale porzucił studia artystyczne, aby służyć ludziom pełniej – jako lekarz. Podczas pierwszej wojny światowej, pracując w lazaretach, zastąpił wkrótce jako arcyzręczny chi–rurg–okulista, po rewolucji był lekarzem naczelnym kliniki taszkienckiej, bardzo popularnej w całej Azji Środkowej. Otwierała się przed nim gładka droga kariery, ta którą wybrali inni nasi luminarze – ale Woyno–Jasieniecki miał uczucie, że służy jeszcze nie dość ofiarnie i oblókł suknię kapłańską. W sali operacyjnej zawiesił ikonę i wykladał w sutannie, z krzyżem wiszącym na piersi (1921 rok), Patriarcha Tichon zdążył jeszcze wyświęcić go na biskupa taszkienckiego. W latach dwudziestych Woyno–Jasieniecki zesłany został do kraju Turuchańskiego. Starania wiernych sprawiły, że wrócił z zesłania, ale jego katedra i stolec biskupi były już zajęte. Zaczął praktykować prywatnie (na drzwiach miał tabliczkę z wyrytym napisem „biskup Łukasz”). Chorzy zgłaszali się masowo (ukradkiem przychodziły też skórzane kurtki) – większą część honorariów doktor rozdawał biednym.

Znamienny jest sposób w jaki go usunięto. Po raz wtóry na zesłanie (1930 rok, Archangielsk) poszedł nie na podstawie artykułu 58, lecz za „podżeganie do morderstwa” (głupia sprawa, usiłowano dowieść, że pod jego szkodliwym wpływem znajdowały się – żona i teściowa fizjologa Michałowskiego, który popełnił samobójstwo. Uczony ten, chory już umysłowo, wstrzykiwał trupom preparaty, hamujące rozkład, co dało prasie powód do pisania o „triumfie nauki sowieckiej” i o rzekomym „wskrzeszaniu umarłych”). Ten chwyt administracyjny pozwala nam jednak w mniej formalny sposób pojąć kim są prawdziwi polityczni. Jeśli nie walka z reżymem – to przeciwstawianie mu się na płaszczyźnie moralnej albo po prostu trybem życia – oto najważniejszy wyróżnik tej kategorii. A etykieta artykułu KK – to rzecz mało ważna. (Wielu synów zesłanych za „kułactwo” chłopów dostawało wyroki z artykułów kryminalnych, ale w obozach ludzie ci zachowywali się jak prawdziwi polityczni więźniowie).

Zesłany pod Archangielsk Woyno–Jasieniecki opracował w obozie nową metodę leczenia ran ropnych. Wezwano go do Leningradu, gdzie Kirów namawiał go do zrzeczenia się godności biskupiej, obiecując natychmiast potem dać mu instytut naukowy. Ale uparty infułat nie zgodził się nawet na druk swojej książki bez wymieniania – w nawiasie, obok nazwiska – tytułu biskupiego. Tak oto – bez instytutu, bez publikacji książki – doczekał się końca zesłania i w 1933 roku wrócił do Taszkienu, aby wkrótce zostać skazanym na trzecie już zesłanie – do kraju Krasnojarskiego.

W początkowym okresie wojny – pracował w syberyjskich szpitalach wojskowych, stosując swoją metodę leczenia ran ropnych, za którą

264

dostał w końcu nagrodę stalinowską. Zgodził się odebrać ją tylko w szatach biskupich¹⁰!

A inżynierowie? Iluż to z nich – tych co nie podpisali głupich i nikczemnych zeznań na temat szkodnictwa – rozstrzelano, ilu rozpędzono! I jak błyszczy wśród nich, niczym gwiazda, Piotr Akimycz (Joachimowicz) Pal-czyński (1875–1929)! Był to inżynier – uczony o niezwykle szerokich poglądach. Absolwent (1900) Instytutu Górniczego, wybitny znawca techniki górniczej – jak to widać ze spisu jego publikacji, poświęcił swoje prace badawcze i książki problemom rozwoju gospodarczego, zagadnieniu cen i ich wahań, sprawie eksportu węgla, kwestii wyposażenia i działalności portów handlowych Europy, ekonomicznej stronie pracy portów, technice bezpieczeństwa pracy w Niemczech, koncentracji środków w niemieckim i austriackim górnictwie, ekonomice górnictwa, sprawie odbudowy i rozwoju przemysłu materiałów budowlanych w ZSSR, zasadom ogólnego kształcenia inżynierów na uczelniach wyższych – a prócz tego pisała fachowe prace specyficznie górnicze, opisy poszczególnych regionów i złóż (a jeszcze nie wszystkie jego dzieła są dziś znane). Podobnie, jak Woyno-Jasie-niecki w medycynie, Palczyński mógłby spokojnie sobie porastać w piórka pracując w dziedzinie górnictwa; ale tak samo jak ten pierwszy nie mógł wyrzec się krzewienia wiary, tak drugi nie potrafił rzec się polityki. Jeszcze jako student Instytutu Górniczego Palczyński zaliczony został przez żandarmów do „prowodyrów ruchu”. W 1900 roku przewodniczył studenckiemu tajnemu zebraniu. Będąc już inżynierem w Irkucku, w 1905 roku odgrywał poważną rolę w czasie zajęć rewolucyjnych i skazany został na ciężkie roboty w związku z tzw. „sprawą republiki irkuckiej”. Uciekł z katorgi, wyjechał do Europy. Na emigracji wyspecjalizował się w kilku naraz dyscyplinach technicznych, prowadził studia nad europejską techniką i organizacją gospodarki, nie zaniedbując przy tym sprawy popularnych publikacji „dla propagandy idei anarchistycznych wśród mas”. W 1913 roku skorzystał z amnestii i wrócił do Rosji, skąd pisał do Kropotkina, że „oto program mojej działalności w Rosji:… wszędzie, gdziekolwiek mi się to uda, brać udział w rozwoju sił wytwórczych kraju, jako całości – oraz w rozwoju samorządu społecznego w najszerszym sensie tego słowa¹¹. Gdy po raz pierwszy udał się w podróż dla zwiedzenia największych rosyjskich ośrodków przemysłowych, zaraz zasypany został propozycjami pracy: chciano wybrać go na dyrektora biura zjazdu pracowników kopalnictwa przemys-

¹⁰ Na pytania dotyczące jego biografii studentom instytutów lekarskich odpowiada się dzisiaj – „nie ma żadnych publikacji o nim”.

„List do Kropotkina z 20.11.1913 r., CGAOR, zbiór Nr 1129, fascykuł 2, teczka 1936. 265

łowego, dawano do dyspozycji „wspaniałe stanowiska kierownicze w Zagłębiu Donieckim”, radcostwa w bankach, katedrę w Instytucie Górniczym, urząd dyrektora departamentu górnictwa. Niewielu było w Rosji specjalistów, wyróżniających się taką energią i tak szerokim wykształceniem.

Jakie były dalsze jego losy? Już wspominaliśmy, że podczas wojny (część I, rozdział 10) został on wiceprzewodniczącym Komitetu Przemysłu Obronnego, zaś po rewolucji lutowej – wiceministrem handlu i przemysłu. Jako najbardziej chyba energicz-

ny z członków niemrawego Rządu Tymczasowego, Palczyński był: podczas powstania generała Kornitowa – generał-gubernatorem Piotrogradu¹², podczas przewrotu Październikowego

– dowódcą obrony Pałacu Zimowego. Zaraz go też wsadzono do twierdzy Pietropawłowskiej, gdzie przesiedział 4 miesiące. Co prawda, wypuszczono go wtedy bez dłuższych korowodów. Ale w czerwcu 1918 roku został znów aresztowany bez jakichkolwiek podstaw, a 6 września 1918 znalazł się na liście 122 wybitnych zakładników („jeżeli... zostanie zamordowany choćby jeszcze jeden działacz sowiecki, wyżej wymienieni zakładnicy zostaną rozstrzelani” – CzK Piotrogradu, przewodniczący – Gleb Bokij, sekretarz

– A. Joselewicz¹³). Nie został jednak rozstrzelany, a w końcu 1918 roku

– nawet zwolniony na skutek niewczesnej interwencji szwajcarskiego socjaldemokraty Karola Moora (nie posiadającego się ze zdziwienia, że takich ludzi gnoi się u nas w więzieniach). Od 1920 roku – Palczyński jest profesorem Instytutu Górniczego, odwiedza Kropotkina w Dmitrowie, a po jego śmierci organizuje komitet dla uczczenia pamięci zmarłego rewolucjonisty. Pamięci nie udało się uczcić, za to Palczyńskiego znów aresztowano – z tej, a może innej przyczyny. W archiwum zachował się interesujący dokument dotyczący wypuszczenia Palczyńskiego z sowieckiego więzienia, gdzie trzeci raz już siedział. Jest to list do Moskiewskiego Rewtrybunahi z 16.1.1922 roku:

„Z uwagi na to, że etatowy konsultant Państwowej Komisji Planowania (Gosplan), inżynier P.A. Palczyński 18 stycznia br. o godz. 15 pp. wygłosić ma referat w Komitecie d/s Rosji Południowej na temat odbudowy metalurgii w regionach południowych, co ma szczególne znaczenie w obecnej chwili – prezydium Gosplanu prosi Rewtrybunał o zwolnienie tow. Pal-
12 „Birżewyje Wiedomosti” z 31.VIII.1917 i 22.IX.1917 roku.

1! „Pietrogradszaja Prawda”, 6.DC.1918 r., Nr 193 (chodzi o represje po zabiciu komisarza Urickiego i zamachu na Lenina).

266

czyńskiego w wyżej wymienionym terminie, celem umożliwienia mu wykonania zleconego zadania.

Przewodniczący Gosplanu (–) Krzyżanowski”¹⁴.

Prosi więc (przy tym bez powoływania się na jakieś przepisy prawne). I tylko dlatego, że metalurgia regionów południowych ma szczególne znaczenie w obecnej chwili”... i jedynie celem „wykonania zleconego zadania”, a co dalej, to mniejsza, można go nawet zabrać do celi jak swojego.

Nie, Palczyńskiemu pozwolono jeszcze popracować nad odbudową przemysłu górniczego w ZSSR. Aresztowany raz jeszcze, okazał heroiczny opór podczas śledztwa i rozstrzelany został bez sądu dopiero w 1929 roku.

Trzeba nie wiedzieć wcale, co to miłość ojczyzny, trzeba odnosić się do niej z awersją, aby posyłać na rozstrzelanie duszę narodu, esencję jego wiedzy, energii i talentu!

A czy nie to samo stało się po upływie 12 lat z Mikołajem Iwanowiczem Wawiłowem? Czy Wawiłow – to nie autentyczny polityczny (z gorzkiego musu)? W ciągu 11 miesięcy śledztwa wycierpieć musiał 400 przesłuchań. I na sprawie (9 czerwca 1941 roku) nie przyznał się do zarzucanych mu czynów!

A oto człowiek nieznany szerzej w świecie – profesor hydrotechniki Rodionow (opowiadał mi o nim Witkowski). Znalazłszy się za kratami odmówił pracy w swoim

fachu, choć byłoby to dla niego rozwiązanie najłatwiejsze. Robił więc buty. Czy to nie prawdziwy więzień polityczny? Był spokojnym hydrotechnikiem, nie chciał z nikim wojować, ale – skoro takim charakterem wykazał się w więzieniu – to czy nie zasłużył na miano politycznego? Czy potrzebna mu jeszcze legitymacja partyjna?

Niektóre gwiazdy rozjarzają się nagle stokrotnie wzmożonym blaskiem, po czym gasną. Także człowiek, nie mający wcale politycznych ambicji, nagle może zabłysnąć w więzieniu – i zginąć za tę chwilę blasku. Nie wiemy zwykle nic o takich wypadkach. Czasem opowie o nich naoczny świadek. Czasem przetrwa jedynie pożółkły papier, pozwalając snuć tylko chwiejne domniemania:

Jakub Jefimowicz Pocztar', rocznik 1887, bezpartyjny, lekarz. Od pierwszych dni wojny – służył w 45 bazie lotniczej Floty Czarnomorskiej. Pierwszy wyrok sądu wojkowego bazy w Sewastopolu (17.XI.1941) – 5 lat obozów. Bardzo łagodny, nieprawdaż? Ale cóż to? 22 listopada, następny wyrok: śmierć przez rozstrzelanie. I 27 tegoż miesiąca został rozstrzelany.

14 CGAOR – zbiór 3348, teczka 167, arkusz 32.

267

Co się zdarzyło w trakcie tych pięciu feralnych dni między 17 a 22? Czy zabłysnął samobójczym ogniem jak gwiazda? Czy może sędziowie pożałowali, że tak mało?

A trockiści? To polityczni czystej krwi, tego nikt im nie odbierze.

(Już tu ktoś na mnie krzyczy! już dzwonią, żeby przywołać mnie do porządku! Mówcie o jedynych prawdziwych politycznych! – o niezłomnych komunistach, którzy nawet w obozie – dalej wierzyli święcie... Zgoda, następny, osobny rozdział będzie im poświęcony w całości).

Historycy ustalą kiedyś – w jakim właściwie momencie zaczął się sączyć strumyk młodości, karanej za politykę! Wydaje mi się, że zaczęło się to w latach 43–44 (nie mówię tu o młodym narybku socjalistycznym i trockis-towskim). Chłopcy w wieku nieomal szkolnym (przypomnijmy tu „partię demokratyczną” z 1944 roku) nagle zaczęli szukać platformy odmiennej od tej, którą usilnie im podsuwano, którą wciąż im się proponuje. No, jak ich nazwać?

Tyle, że nic o nich nie wiemy i nie dowiemy się.

A wypadek Arkadego Bielinkowa? Ma 22 lata, wsadzają go do więzienia za jego pierwszą powieść Brulion uczuć (1943), rzecz jasna – jeszcze nie opublikowaną. Już w obozie – próbuje dalej pisać (ale sądząc, że śmierć bliska, zwierza się kapusiowi Kermajerowi i obrywa nowy wyrok). Otóż – czy odmówimy mu godności więźnia politycznego?

W 1950 roku studenci leningradzkiego technikum mechanicznego utworzyli partię z własnym programem i statutem. Wielu poszło pod mur. Opowiedział nam o tym Aron Lewin, któremu dano 25 lat. I to wszystko. Słupek przydrożny.

Że nasi polityczni muszą odznaczać się męstwem i determinacją w stopniu o wiele większym niż dawni rewolucjoniści – tego nawet dowodzić nie trzeba.

Dawnymi czasy – za poważne akcje karano dość łagodnie i nie trzeba było aż tak wielkiej śmiałości, aby być rewolucjonistą; przy wpadce odpowiadali tylko oni sami (nie cała rodzina!) i ryzykowali nawet nie głową, lecz najczęściej – niezbyt długą utratą wolności.

Czym groziło przed rewolucją rozklejanie ulotek? Zabawa, tyle prawie co puszczanie baniek mydlanych, nawet trzech miesięcy za to się nie obrywało. Ale gdy pię-

ciu chłopaczków z grupy Włodzimierza Gerszuni przygotowywało naklejki z napisem: „nasz rząd się skompromitował” – o, do tego trzeba było takiej prawie determinacji, jaką odznaczali się chłopcy z grupy Włodzimierza Ulianowa, którzy dokonali zamachu na cara.

15 Z tytułu pierwszej sprawy otrzymał rehabilitację pośmiertną. A więc gdyby nie ta druga sprawa?...

268

I jak to samo się rodzi, jak to się budzi samochcąc! W mieście Lenińsku–Kuzniecku jest tylko jedna szkoła męska. Pięciu uczniów IX klasy (Misza Bakst, sekretarz ich Komsomołu; Tola Tatarin, również aktywista kom–somolski; Welwel Rejchtman, Mikołaj Koniew i Jura Anikanow) nagle opuszcza chłopięcą beztroska. Nie interesują się już dziewczętami ani nowymi tańcami, dręczy ich zdziwienie i pijaństwo panujące w mieście; zaczynają więc zgłębiać i wertować podręcznik historii, aby jakoś zrozumieć, od czego to zależy. Po przejściu do X klasy, przed wyborami do rad narodowych (1950) piszą wielkimi literami swoją pierwszą (i ostatnią) naiwną ulotkę: „Słuchaj, robotniku! Czy prowadzimy teraz takie życie, o jakie walczyli i za jakie ginęli nasi dziadowie, ojcowie i bracia? Pracujemy – a płacą nam za to nędzne grosze, zresztą, nawet tych groszy nam szczędzą... Poczytaj i pomyśl o swoim życiu...”.

Sami oni też tylko myślą, nic więcej – i dlatego nie rzucają żadnych wezwań. (Planowali wydanie cyklu takich ulotek i skonstruowanie hekto–grafu własnymi siłami). Rozklejali ulotki w następujący sposób: szli nocą przez miasto całą gromadą, jeden przyklejał do muru cztery kulki gniecionego chleba, drugi – przyciskał do nich ulotkę.

Miało się ku wiosnie, gdy do ich klasy przyszedł jakiś nowy nauczyciel i zaproponował... aby wszyscy wypełnili ankiety drukowanymi literami¹⁶. Dyrektor błagał, aby nie zamykać ich aż do matury. Siedząc już w śledczym więzieniu chłopcy nie mogli odżałować tego, że nie wezmą udziału w balu maturalnym. „Kto, wami kierował, przyznajcie się!” (ci z bezpieczeństwa nie mogli pojąć, że w chłopakach obudziło się zwykłe sumienie – toć to nie do wiary, przecież ma się tylko jedno życie, po co w ogóle tracić czas na rozmyślania?!). Karcery, nocne przesłuchania, stójki. Sprawa przy drzwiach (oczywiście) zamkniętych, sesja sądu okręgowego¹⁷. Godni politowania obrońcy, skonfundowani ławnicy, groźny prokurator Trut–niew (!). Wszyscy dostają po 10 i 8 lat, wszystkich tych siedemnastolatków posyła się do specobozów.

Nie, prawdę mówi stare przysłowie: śmiałka szukaj w ciupie, a durnia – wśród poli–truków!

16 Chłopców zdradził Fiodor Polotnianszczykow, późniejszy partorg kopalni Polysa–je–wo. Kraj powinien znać swoich szpiclów.

17 Sędzia – niejaki Puszkina, wkrótce potem skazany został za łapownictwo.

269

Piszę w imieniu Rosji niepiśmiennej i zakneblowanej, dlatego niewiele tu powiem o trockistach; wszyscy oni pisać potrafili i jeśli któremuś udało się ocaleć, to na pewno dawno już przygotował do druku szczegółowe wspomnienia. Opisana w nich będzie ich dramatyczna epopeja w sposób pełniejszy i ściślejszy, niż mógłbym to ja uczynić.

Ale coś niecoś powiedzieć trzeba – aby obraz był pełniejszy.

Trockiści prowadzili regularną, podziemną walkę w końcu lat 20. korzystając z całego doświadczenia, zgromadzonego przez pokolenia rewolucjonistów, tylko że GPU, z którym mieli do czynienia, nie było tak gapio-wate jak carska ochrana. Nie wiem, czy liczyli się z totalną zagładą, jaką zaplanował dla nich Stalin, czy może sądzili, że skończy się na żartach i wzajemnych uściskach. W każdym razie – byli to ludzie mężni. (Obawiam się zresztą, że – gdyby udało się im zdobyć władzę, to doszłoby do szaleństw nie mniejszych niż za Stalina). Zauważmy, że nawet w latach 30., gdy mieli już nóż na gardle, wyznawali zasadę, że wszelki kontakt z socjalistami byłby dla nich czynem zdradzieckim i hańbiącym, trzymali się przeto w izolatorach osobno, odmawiając nawet przekazywania socjalistom grypsów (uważali się przecież za leninowców). Żona I.N. Smirnowa (już po jego rozstrzelaniu) unikała stykania się z socjalistami, „żeby strażnicy nie spostrzegli” (to znaczy, że widziała w nich oko kompartii)!

Ma się czasem wrażenie (ale nie twierdzę tego stanowczo), że w ich politycznej „walce” w obozie zbyt wiele było pustej krzątany, co nadawało jej odcień tragicomiczny. W bydlęcych wagonach na trasie Mosk-wa-Kołyma porozumiewali się w sprawie nielegalnych kontaktów i hasel, a tymczasem rozproszono ich, rozestano do rozmaitych podobozów i brygad.

Brygadę złożoną z trockistów, uczciwie zapracowują sobie na przydział z kotła „produkcyjnego”, nagle przenoszą na punkt „karny”. Co robić? „Dobrze zakonspirowana komórka komunistyczna” zbiera się na naradę. Strajk? Ale to by znaczyło iść na lep prowokacji. Chcą nas sprowokować! Wobec tego – pójdziemy do pracy nawet bez żadnego przydziału! Pójdziemy – pracować będziemy jako ukarani¹⁸. W kopalni Utinaja trockiści przygotowują się do obchodów XX rocznicy Października. Zbierają czarne szmatki albo smarują białe sadzą. Rankiem

¹⁸ Jest to rok 1937 i w brygadzie tej są nie tylko „czyści” trockiści, lecz również – uznani za trockistów „czyści” ortodoksi. Posiali oni masę podań na ręce towarzysza Stalina, NKWD, czy – osobiście – towarzysza Jeżowa, do CIK, na ręce tow. Kalinina, do prokuratury generalnej, więc też bardzo im zależy, aby nie drzeć teraz kotów z obozową zwierzchnością, od której zależą charakterystyki, załączone do podań.

270

7 listopada chcą oni wywiesić na wszystkich namiotach czarne flagi żałobne, a przy apelu zaśpiewać „Międzynarodówkę”, mocno trzymając się za ręce i nie dopuszczając do swoich szeregów konwojentów i nadzorców. Żeby dośpiewać do końca, na nic nie zważając! I nie wychodzić tego dnia z żony do pracy, za żadne skarby! Wykrzykiwać hasła: „Precz z faszyzmem!”, „Niech żyje leninizm!”, „Niech żyje Wielka Październikowa rewolucja socjalistyczna!”.

Widać w tym wszystkim mieszankę jakiegoś gorączkowego entuzjazmu z bezpłodnością, dochodzącą do śmieszności...

Zresztą – ktoś (może nawet – ktoś z nich) ich zasypał. Wszystkich więc – w przeddzień rocznicy, 6 listopada, wywożą do kopalni „Jubilejnaja” i tam izolują na okres świąt. W zasnurowanych namiotach (skąd zabroniono im wychodzić) śpiewają więc „Międzynarodówkę”, podczas gdy ro-bociarze z „Jubilejnej” wychodzą do pracy. (Zresztą – wśród śpiewających też nie ma zgody. Są między nimi aresztowani niesprawiedliwie ortodoksi, ci odchodzą na bok, nie śpiewają „Międzynarodówki”, wykazując milczeniem swoją prawo wierność).

„Jeśli trzymają nas za kratami, to dowód, że jeszcze czegoś jesteśmy warci” – pocieszał się Aleksander Bojarczykow. Złudna to pociecha. A kogóż to nie trzymano?

Największym osiągnięciem trockistów w walce, jaką toczyli w obozach, był ich strajk głodowy, który objął cały workucki zespół łagrów. (Wcześniej jeszcze odbył się podobny strajk na Kołymie, zdaje się 100-dniowy: żądali zamiast obozów „wolnego” zesłania i wygrali – otrzymali obietnicę, przerwali głodówkę, potem rozproszono ich, zesłano do rozmaitych obozów i jednego po drugim zlikwidowano). Informacje o workuckiej głodówce, jakie dotarły do mnie, są sprzeczne. Odbyło się to mniej więcej tak:

Głodówka zaczęła się 27 października 1936 roku i trwała 132 dni (zastosowano wobec nich sztuczne odżywianie, ale trockiści głodówki nie przerwali). Kilku z głodu umarło. Żądania ich były następujące:

- odseparowanie politycznych od kryminalnych¹⁹,
- ośmiogodzinny dzień roboczy,
- przywrócenie „politprzydziałów”²⁰, żywienie nie ma zależeć od wykonania normy,
- skasowanie OSO, anulowanie jego wyroków.

19 Czy do politycznych zaliczali oni prócz siebie swoich – również innych z Pięćdziesiątki Ósemki? Chyba nie: nie mogli przecież kaerów uznać za braci, skoro nawet socjalistów odtrącali.

20 Tu już na pewno tylko o sobie myśleli: chodziło o dodatkową pajkę, lepszą niż miała reszta.

271

Żywiono ich siłą i sztucznie – przez odbytnicę, a później rozkolportowano w obozach pogłoskę, że cukru i oleju zabrakło dlatego, że „wszystko poszło na trockistów” – chwyt godny błękitnych czapek! W marcu 1937 roku przyszła depecha z Moskwy: żądania głodujących zaaprobowano w całej rozciągłości! Głodówka została przerwana. Bezsilni łagrowcy, jakże mogli oni walczyć teraz o spełnienie obietnic? Oszukano ich – nie dotrzymano ani jednej. (Ludzie Zachodu nie uwierzą, nie potrafią zrozumieć, że można było tak postąpić. A nasze dzieje pełne są tego). Wszystkich uczestników głodówki poddano odpowiedniej procedurze w oddziałach operacyjnych obozowej delegatury NKWD: zostali oskarżeni o kontynuowanie działalności kontrrewolucyjnej.

Wielki Puszczuk na Kremlu już obmyślał plan ich unicestwienia.

Nieco później – w Workucie, w kopalni Nr 8 miała miejsce jeszcze jedna duża głodówka (zresztą – być może – była to część poprzedniej). Udział brało w tej akcji 170 ludzi, niektórzy z nich znani są z nazwiska: starostą głodówki był Michał Szapiro, były robotnik z charkowskiej fabryki. Dymitr Kuriniewski z kijowskiego komitetu okręgowego Komsomołu; Iwanów – były dowódca eskadry stawiaczy min we Flocie Bałtyckiej; Orłow-Kamieniecki; Michał Anrejewicz; Polewoj-Genikin; N.W. Werap, redaktor tyfliskiej gazety „Zaria Wostoka”; Sokrat Geworkian, sekretarz KC Armenii; Grzegorz Złotnikow, profesor historii; jego żona.

Jądro grupy głodujących składało się z 60 ludzi, którzy w latach 1927–28 siedzieli już razem w Górnouralskim izolatorze. Wielką niespodzianką – miłą dla głodujących i nader niemiłą dla władz – było przyłączenie się do głodówki 20 knajaków z pachanem, zwanym Moskwa na czele. (W obozie tym znany był z pewnego wybryku: któreś nocy włamał się do gabinetu komendanta obozu – i załatwił się na jego biurku. Nasz brat – polityczny, poszedłby za to pod mur; pachan zaś doczekał się jedynie wymówki: pewno cię wróg klasowy omamił, prawda?). Tylko tych dwudziestu szemranych przyprawiło zwierzchność o zdenerwowanie, zaś ze

społecznie obcym „aktywem głodujących” naczelnik oddziału operacyjnego NKWD Workułtagu Uzkow, rozmawiał takim tonem:

– Myślicie, że Europa czegoś się dowie o waszej głodówce? Kichamy na tę waszą Europę!

I miał rację. Ale socjalnie-bliskich bandytów ani nie wolno było bić, ani dać im zdechnąć. Mniej więcej w połowie głodówki władze znalazły drogę do ich lumpenproletariackich sumień i knajacy zerwali sojusz z politycznymi, zaś pachan Moskwa przez radio obozowe wszem wobec wyjaśnił, że trockiści go skołowali.

272

Po tym fakcie pozostałych czekało już tylko rozstrzelanie. Swoją głodówką oni sami jakby wpisali się na czarną listę.

Nie, prawdziwych politycznych nie brakło. I było ich wielu. I byli to ludzie ofiarni. Czemu jednak tak nikłe były rezultaty ich dzielnego oporu? Czemu nie rozeszły się nawet kręgi na powierzchni tej wody?

Nad tym też się zastanowimy. Nieco dalej²¹.

Część V, rozdział 4.

XI

PRAWOMYSLNI

Ale tu słyszę już pełen oburzenia gwar. Cierpliwość towarzyszy już się wyczerpała! Książkę moją zamykają z trzaskiem i ciskają w kąt, spluwając z odrazą:

– Koniec końców – to bezczelność! to stek oszczerstw! Gdzie on szuka prawdziwych politycznych? O kim tu pisze właściwie? O jakichś popach, o technokratach, o jakichś zasmarkanych uczniakach... A tymczasem prawdziwi polityczni – to przecież my! My, ludzie niezłomni! My, kryształowi ortodoksi (Orwell nazywał ich: krwawomyślni). My, którzy nawet w obozach byliśmy do końca wierni jedynej, prawdziwie słusznej...itd.

Istotnie, czytając wasze publikacje – można pomyśleć, że nikt poza wami właściwie nie siedział. Tylko wyście cierpieli. Pisać wolno też tylko o was. Cóż, pogadajmy więc.

Czy takie oto kryterium czytelnik uzna za słuszne: więźniowie polityczni to ci, którzy wiedzą, za co siedzą i za nic nie chcą wyrzec się swoich przekonań?

Jeśli to przyjmujemy, to odpowiedź naprasza się sama: nasi niezłomni, którzy – nie bacząc na uwięzienie i cały los własny, pozostali wierni jedynej, prawdziwie słusznej, itd. – istotnie za nic nie chcą się wyrzec swoich przekonań, ale nie wiedzą za co właściwie siedzą! I dlatego nie mogą być uznani za więźniów politycznych.

Jeśli moje kryterium wyda się komuś wątpliwe, to zastosujmy kryterium Anny Skrypnikowej. W ciągu pięciu swoich kolejnych pobytów w więzieniu miała ona czas na jego przemyślenie. Oto ono:

„więzień polityczny to człowiek trzymający się przekonań, za wyrzecze–

274

nie się których mógłby odzyskać wolność. Kto takich przekonań nie ma – ten należy do politycznej hałastry”.

Jest to kryterium, na moje oko, niezłe, da się zastosować do tych wszystkich, którzy bywali w rozmaitych epokach prześladowani za wyznawaną przez nich ideologię. Da się zastosować do wszystkich rewolucjonistów. Do „mniszek” i do archijereja Preobrażeńskiego, a także do inżyniera Palczyń-skiego. Natomiast do „ortodoksów” zastosować go nie sposób. Gdzież bowiem te przekonania, których każą im się zaprzeczyć?

Nie ma ich. A zatem ortodoksi, chociaż przykro to powiedzieć, nie inaczej niż ów krawiec czy głuchoniemy, czy stróż ze świetlicy – zasilają szeregi bezradnych, nie mogących zrozumieć własnego losu ofiar. Ale czynią to z zadęciem. Postarajmy się o ścisłość, by dokładniej określić przedmiot rozważań. O kim będzie mowa w tym rozdziale?

Czy o wszystkich, którzy – na przekór uwięzieniu, udrękom śledztwa, niezastużonemu wyrokowi, na przekór późniejszej, pustoszącej duszę i ciało egzystencji w obozie – zachowali swoje komunistyczne przekonania?

Nie, nie o wszystkich takich. Byli wśród nich ludzie, którym te przekonania nadawały najgłębszy, czasem jedyny sens dalszemu życiu. Ale:

- ludzie tacy nie układali swoich stosunków ze współwięźniami w myśl tzw. „partyjnej” zasady! podczas sporów w barakach i celach nie pokrzykiwali na towarzyszy niedoli, że tamci siedzą „zastużenie” (a oni niby to – niezastużenie);

- nie wrywali się wobec obywatela komendanta (czy pełnomocnika operacyjnego) z deklaracjami typu „jestem komunistą”; nie wykorzystywali tej formuły dla zwiększenia szans przetrwania w obozie;

- gdy dzisiaj zdarzy im się mówić o swoich przejściach, to nie widzą jedynej złej strony obozów w tym, że siedzieli w nich komuniści – „bo przecież o innych nawet gadać szkoda”.

Jednym słowem to ci właśnie, dla których komunistyczne przekonania były sprawą intymną, którzy komunizmem gęby sobie nie wycierali. Zdawać by się mogło, że to cecha indywidualna; wszelako nie. Ludzie tacy z reguły przed aresztowaniem nie siedzieli na wysokich stołkach, a w obozie harowali jak inni.

Na przykład – Awenir Borysow, nauczyciel wiejski: „Pamiętacie naszą młodość (jestem z rocznika 1922), gdy największą radością było dla nas noszenie zielonego, drelichowego mundurka „jungszturmu” z pasem i koalicijką, kiedyśmy gwizdali na pieniądze, na wszelką pomyślność osobistą i gotowiśmy byli podjąć się każdego zadania, byleby wezwano nas na ochot-

275

nika¹. W komsomole byłem od trzynastego roku życia. I oto gdy miałem dopiero 24 lata, organy NKWD postawiły mnie w stan oskarżenia na podstawie wszystkich prawie punktów artykułu 58”. (Zobaczmy jeszcze, jak zachowuje się on na wolności, jaki to zacny człowiek).

Albo Borys Michajłowicz Winogradow, z którym miałem okazję siedzieć razem. W młodości był maszynistą (i to nie jeden rok jak bywali – i są w ankietach dalej – pastuchami poniekąd deputaci), po zakończeniu rabfaktu* i wyższej uczelni został inżynierem – drogowcem (i nie dał się pchnąć od razu do roboty partyjnej, jak to często się zdarza), przy tym – dobrym fachowcem (w szaraszce wykonał skomplikowane, gazodynamiczne obliczenia dla projektu silnika odrzutowego). W 1941 roku został jednak partorgiem Moskiewskiego Instytutu Techniki Transportu (MILT). Podczas (16 i 17) dni paniki w październiku 1941 roku, gdy Niemcy parli na Moskwę – chcąc otrzymać jakieś dyspozycje, telefonował gdzie mógł, ale telefony zamilkły. Zaczai więc biegać po urzędach i stwierdził, że nie ma nikogo ani w Komitecie rejonowym partii, ani w miejskim, ani w okręgowym, że wszystkich jakby wiatr jakiś porwał, że gabinety są puste. Jak się zdaje, wyżej już nie próbował szukać. Wrócił do swojej instytucji i powiedział: „Towarzysze! Całe kierownictwo dało nogę, ale my jesteśmy komunistami, będziemy bronić się sami!”. I zabrali się do obrony. Ale za to jedno „kierownictwo dało nogę” – ci, co uciekli, właśnie jego,

który nie uciekł, wpakowali za kraty na 8 lat (za „antysowiecką agitację”). Był to człowiek cichy i pracowity, ofiarny przyjaciel; jedynie w bardzo intymnych rozmowach zwierzał się, że wierzył, wierzy i będzie wierzyć. Nigdy się tym nie popisywał. Albo taki Mikołaj Kalistratowicz Goworko, geolog, który – będąc już dochodzącą w Workucie – ułożył Odeę do Stalina (zachowała się do dziś dnia), ale nie po to, by ją opublikować, nie po to by zyskać za to jakieś ulgi, tylko dlatego, że tak mu coś w duszy grało. I chował tekst w zakamarkach kopalni! (choć – po co to było ukrywać?).

Czasami tacy ludzie zachowują wiarę aż do końca. Czasami zaś (jak Kovacs, Węgier z Filadelfii, którzy z 39 innymi rodzinami przyjechał organizować komunę rolną pod Kachowką; aresztowany w 37.) – po rehabilitacji odmawiają przyjęcia legitymacji partyjnej. Inni – zrywają jeszcze prędzej, jak pewien inny Węgier, Szabo, dowódca syberyjskiego oddziału partyzanckiego podczas wojny domowej. Oznajmił on już w 1937, siedząc w więzieniu: „gdybym był teraz na wolności, to bym skrzyknął swoich

I Kursywa jest moja, to na wszelki wypadek.

Wieczorowa szkoła średnia dla pracujących; termin z lat 20.

276

partyzantów, całą Syberię bym poderwał, ruszyłbym na Moskwę i rozpędziłbym tę zgraję”.

Otóż – ani tych pierwszych, ani drugich ten rozdział nie dotyczy (zresztą – jeśli ktoś tak się odstrychnął jak ci dwaj Węgrzy – to go sami ortodoksi skreślą).

Nie będzie tu mowy również o figurach anegdotycznych – o tych, którzy w celi udają ortodoksów, aby kapuś „pozytywnie” doniósł o nich śledczemu. Albo – jak Podwarkow junior, który na wolności kolportował ulotki, w Spasskim obozie natomiast – ostentacyjnie sprzeczał się z przeciwnikami reżymu – w tej liczbie z rodzonym ojcem, sądząc że w ten sposób dochrapie się jakichś ulg.

Będziemy tu mówić o takich ortodoksach, którzy popisywali się swoją ideologiczną czystością naprzód przed śledczym, potem w celach więziennych, później – w obozie, czyniąc to na każdym kroku, a teraz patrzą na swoje obozowe przeżycia wciąż przez te same szkła.

Zastanawiająca zasada selekcji sprawiła, że to wcale nie byli prości robotnicy. Tacy ludzie zwykle przed aresztowaniem piastowali wysokie urzędy, ich sytuacja życiowa była doskonała. W obozie za nic też nie chcieli pogodzić się z myślą, że mogą tu zginąć i z większą niż inni zaciekłością starali się wybić z szarej masy. Byli wśród nich wszyscy funkcjonariusze śledczy, prokuratorzy, sędziowie i naczelnicy obozów, którzy sami trafili za kraty. A także wszyscy teoretycy, wyznawcy i głosiciele (pisarze jak G. Sieriebriakowa, B. Diaków, czy Ałdan-Siemionow – też należą do tej kategorii, do żadnej innej).

Spróbujmy ich zrozumieć, kpiny są nie na miejscu. Upadek sprawił im niemały ból. „Gdzie drwa rąbią – tam wióry lecą” – to było ich ulubione, dziarskie powiedzonko, mające wszystko usprawiedliwić. I nagle – sami oni znaleźli się wśród tych wiórów, pod toporem.

Prochorow-Pustowier opisuje scenę, która miała miejsce na Manzowce (spec-punkt obozu Bamtag) w pierwszych miesiącach 1938 roku. Ku ogólnemu zdumieniu tubylców, przywieziono jakiś niezwykły „kontyngent specjalny” i w bardzo tajemniczy sposób odseparowano go od reszty. Takiego transportu nikt tu nigdy nie oglądał: nowo przybyli mieli na sobie skórzane palta, futrzane kurtki trzyćwierciowe,

bostonowe i szewiotowe garnitury, buty na miarę, pantofle (lepsze towarzystwo 20 lat po Październiku już miało nosa, znało się na strojach niedostępnych dla ludzi pracy). Zła organizacja albo czyjaś złośliwość sprawiła, że nie wydano im roboczych sortów i zapędzono ich – w tych szewiotach i chromach – do kopania rowów, po kolana w rzadkiej glinie. Na styku dwóch desek „toru”, jeden z nich przewrócił taczkę, z której wysypał się cement. Przybiegł brygadziś-

277

ta-urka, sklął i walnął winowajcę po plecach: „łapami pozbieraj, nedorajdo!”. Ten wrzasnął histerycznie: „Jak śmiecie się tak znęcać nade mną? Jestem byłym prokuratorem republiki!”. I łzy polały mu się ciurkiem z oczu. „A kij ci w ryj, co mnie obchodzi, żeś ty prokurator republiki, ścierwo! Jak ci mordę w ten cement wbiję, to dopiero będzie z ciebie prokurator! Teraz jesteś tu za wroga ludu i musisz harować!” (zresztą kierownik robót ujął się w końcu za prokuratorem).

Niech mi ktoś opowie coś podobnego o carskim prokuratorze, siedzącym w obozie w 1918 roku! Nikt palcem nie ruszył, nikt się nad takim dziś nie ulituje: istnieje jednomyślne przekonanie, że to nie byli wcale ludzie (żądali dla podsądnych kar po roku, po trzy, po pięć lat). A własnego, rodzzonego sowieckiego prokuratora – jakże tu nie żałować, chociaż nosi ci ten bostonowy garnitur. (A żądał dla swoich podsądnych – albo czerwońca, albo – pod mur).

Powiedzieć, że ich bolało – to mało. Nie mieściło im się w głowie, że taki cios, taką klęskę zawdzięczają swojej rodzonej partii, przy tym – z pozoru za nic, niewinnie! Przecież partii nic nie zawinili, partii – to już na pewno nie.

Była to kwestia tak bolesna, że wśród nich, w ich kręgu uchodziło za nietakt, za koleżeński wybryk zadawanie pytań typu „za co cię posadzono?”. Jedyne to było w swoim rodzaju pokolenie aresztanckie: tak wrażliwe, alergiczne! Toć my, w 1945, mlaszcząc z uciechy, każdemu nowemu znajomemu, nie krępując się wcale przed celą, opowiadaliśmy dzieje naszego aresztowania.

Oto jacy to byli ludzie. Męża Olgi Sliozberg już aresztowano, z kolei przyszli po nią, robią rewizję. Rewizja trwa 4 godziny – przez cały ten czas Olga porządkuje protokoły zjazdu stachanowców przemysłu szczerbowski-go, bo na tym zjeździe sekretarzowała poprzedniego dnia. Bardziej martwiło ją, że protokoły niegotowe niż to, że rozstaje się z dziećmi! Nawet śledczy, kierujący rewizją, nie wytrzymał w końcu i upomniał ją: „niechże się pani chociaż z dziećmi pożegna!”.

Oto, jacy to byli ludzie. Elżbieta Cwietkowa, siedząc w kazańskim więzieniu karnym w 1938 roku dostała list od 15-letniej córki: „Mamo! Powiedz mi, napisz mi wreszcie, czy jesteś winna – czy nie?... Wolę, byś była niewinna, nie wstąpię wtedy do komсомotu i twojej krzywdy nie wybaczę. A jeśli jesteś winna – to więcej nie będę do ciebie pisać i zacznę cię nienawidzić”. Więc teraz ta matka, siedząca w mokrym grobie separatki, oświetlonej małą żarówką, zagryza się myślą: jak córka będzie mogła żyć bez komсомotu? czy można pozwolić jej znienawidzić władzę sowiecką?

278

Niech już lepiej mnie nienawidzi. I odpisuje córce: „Jestem winna... Wstąp do komсомotu!”.

Nie mały to ciężar! Jest to rzecz dla ludzkiego serca nieznośna: podstawiając kark pod ojczysty topór – jeszcze usprawiedliwiać ten cios.

Ale taką cenę płacić musi człowiek za to, że duszę, daną mu przez Boga, oddał na służbę ludzkim dogmatom.

Każdy z ortodoksów nawet dzisiaj powie, że Cwietkowa postąpiła słusznie. Nawet dziś nie sposób ich przekonać, że to właśnie jest „gorszenie maluczkich”, że ta matka zdeprawowała swoją córkę i okaleczyła jej duszę.

Oto jacy to byli ludzie! J.T. z całą szczerością obciążyła w zeznaniach własnego męża – byleby nie zaszkodzić partii!

O, jak można by się nad nimi litować, gdyby chociaż dziś, poniewczasie, zrozumieli jak godni politowania byli wtedy!

Cały ten rozdział inaczej mógłby być napisany, gdyby przynajmniej dziś potępili swoje ówczesne nastawienie. Ale stało się tak, jak wymarzyła sobie Maria Danielian: „Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę – to będę tak żyć, jakby nic się nie stało”.

Wierność? A po naszymu: na takich łbach kotki można ciosać i ani drgnąć. Ci adepci teorii ciągłego rozwoju uznali, że – być wiernym tej teorii, to znaczy zrezygnować z wszelkiego rozwoju własnej myśli. Jak powiada Mikołaj Adamowicz Wileńczyk, który odsiedział 17 lat: „Myśmy wierzyli partii – i nie zawiedliśmy się”. Czy to wierność – czy ciosanie kotków?

Nie, nie na pokaz, nie z nakazu hipokryzji toczyli oni spory w celach, broniąc każdej dyrektywy władz. Dyskusje ideologiczne były im potrzebne, aby podtrzymać w sobie przekonanie, że mają rację – bo inaczej można zwariować.

Chciałby człowiek im współczuć. Ale tak dobrze widzą oni swoją krzywdę – a nie widzą wcale swojej winy.

Ludzi tych nie wytapywano przed 37. rokiem. A po 38. – tylko niewielu już poszło za kraty. Dlatego mówi się o nich, że to „branka 37 roku”. Nazwę tę stosować można, byleby to nie mąciło ogólnej perspektywy, nie przeszkadzało widzieć, że nawet w najgorętszym okresie wsadzano nie tylko ich, ale że wciąż sączył się i sączył strumień chłopów i robotników, i młodzieży, że dalej grabie zbierały inżynierów, techników, agronomów, ekonomistów i szeregowych wierzących.

„Poborowi z 37.” języki mają obrotne, znają drogę do radia i na łamy gazet; stworzyli „legendę 37”. Legenda ta opiera się na dwóch twierdzeniach:

279

1) jeśli w ogóle za sowieckich czasów kogoś pakowano za kraty, to tylko w 37., tylko więc o wydarzeniach roku 37. należy mówić i tylko one powinny budzić oburzenie;

2) w 37. roku też tylko ich pakowano.

Tak właśnie piszą: ten straszny rok, gdy wyaresztowano najwierniejszą kadrę partyjną: sekretarzy KC republik związkowych, sekretarzy komitetów okręgowych, przewodniczących rad narodowych, dowódców okręgów wojskowych, korpusów, dywizji, marszałków i generałów, okręgowych prokuratorów, sekretarzy rejonów, przewodniczących rejonowych komitetów wykonawczych...

W pierwszych rozdziałach naszej książki już zdaliśmy sprawę z ogromu fał więziarskich, które szturmowały Archipelag przez dwa dziesięciolecia przed 37. rokiem.

Jak długo już trwał ten proces! Ileż to milionów się przewaliło! Ale nawet uchem nie zastrygli, nawet nie mrugnęli okiem przyszli „poborowi z 37.”, uważając to wszystko za rzecz normalną. Jak o tej powodzi mówili między sobą – tego dobrze nie wiemy. Ale np. Paweł Piotrowicz Postyszew* – nie wiedząc jeszcze, że taki sam los go czeka – używał takich oto słów:

w 1931 roku, na zjeździe pracowników aparatu sprawiedliwości: „... kontynuować z całą surowością i bezwzględnością naszą politykę karną w stosunku do wrogów

klasowych i zdeklasowanych, wyobcowanych wyrzutków" (czego warci są ci „zdeklasowani”!, kto właściwie nie może być uznany za takiego?); w 1932 roku: „Jasne, że... chociaż tych ludzi poddaliśmy już próbie ognia przy rozkułaczaniu... ani na chwilę nie wolno nam zapominać, że ten wczorajszy kułak wcale nie został moralnie rozbrojony...”; – i jeszcze przy innej okazji: „W żadnym wypadku nie przytępiać ostrza polityki karnej!”.

A jakież ostre to ostrze, Pawle Piotrowiczu! A ogień, którym się ludzi próbuje – jakże piecze!

R.M. Gerowa tak dziś powiada: „Póki ofiarami aresztowań byli ludzie nie znani mi albo mało znani, ani ja, ani nasi znajomi nie zdradzali żadnych wątpliwości co do zasadności (!) tych represji. Ale gdy zabrano moich najbliższych, gdy sama znalazłam się za kratami, gdzie spotkałam dziesiątki najlepszych członków partii, również w charakterze więźniów – wówczas to...”..

Jednym słowem – zachowywali niewzruszony spokój, póki aresztowania dotyczyły ludzi z ulicy. Oburzenie ogarnęło ich dopiero wtedy, gdy

Emisariusz Stalina przy KC Ukrainy. 280

zaczęto posyłać za kraty ludzi z ich środowiska. Stalin pogwałcił tabu, które uważano za niewzruszone. To ono właśnie czyniło ich życie tak pełnym radości.

A pewno, że to się w głowie nie mieści! A pewno – że trudno było się z tym pogodzić! W celach pytali gorączkowo:

– Towarzysze, nie wiecie, co to za przewrót? Kto zajął nasze miasto?!

I jeszcze grubo później – już wiedząc, że nie ma powrotu, wzdychali i jęczeli:

„Gdyby żył Iljicz – nigdy by do tego nie doszło!” (Do jakiegoż to t e g o? Czy nie zdarzało się to i dawniej – tylko że z innymi? – patrz część I, rozdziały 8, 9).

Ale jak – te kanclerskie głowy! ci wykształceni marksiści! ci teoretycy! – wytrzymali egzamin sprawności myślowej? jak też przemyśleli i poukładali sobie we łbie te wypadki historyczne – nie przeżute jeszcze na papkę, nie wątkowane w gazetach? (A wypadki historyczne w ogóle lubią przytrafiać się z nienacką). Całe lata tresury nauczyły ich gnać fałszywym tropem, więc też teraz dawali objaśnienia zaskakujące wręcz swoją głębią:

1) to tylko zręczna intryga zagranicznych wywiadów;

2) to monstrualne szkodnictwo! W NKWD uwili sobie gniazdo szkodnicy! (wariant o charakterze mieszanym: wywiad niemiecki opanował pewne ogniwa NKWD);

3) to tylko wybryki lokalnych enkawudzystów.

I we wszystkich trzech wypadkach ta sama śpiewka: to także nasza wina, bośmy byli za mało czujni! A Stalin o niczym nie wie! Stalin nie wie o tych aresztowaniach!! Niech się tylko dowie – to ich wszystkich rozpędzi, a nas każe wypuścić!!

4) w szeregach partyjnych rzeczywiście szaleje epidemia zdrady (a dlaczego to?!), kraj roi się od wrogów, większość siedzi tu za służenie, to wcale nie komuniści, to kontra, także w celi trzeba się mieć na baczności, nie wolno przy nich gęby otworzyć. Tylko ja jeden siedzę tu niewinnie. No, może ty również. (Do tego wariantu da się zaliczyć również przypadek Mechanoszyina, byłego członka Rewwojen-sowietu*. Niechby go tylko wypuszczono i dano wolną rękę – ten by dopiero ludzi ponawszadzał!);

5) te wszystkie represje – są koniecznością historyczną, koniecznym etapem ewolucji naszego społeczeństwa (twierdzili tak nieliczni spośród teoretyków, którzy nie postradali samokontroli, na przykład – pewien

Naczelny wojskowy organ kolegialny, na którego czele podczas wojny domowej stał Trockij.

281

profesor Instytutu Gospodarki Międzynarodowej im. Plechanowa. Wyjaśnienie w zasadzie słuszne – i właściwie podziwu jest godne, iż profesor tak inteligentnie i prawidłowo rzecz ujął – tylko że sama ta prawidłowość nie została przez nikogo z nich objaśniona. Wszyscy dęli w jedną dudę – „konieczności historycznej”. Stosując ten bałamutny termin – można w każdym wypadku mieć rację).

We wszystkich tych pięciu wariantach nikt, rzecz jasna, nie myślał przypisywać winy Stalinowi. Stalin dalej był słońcem bez plam²!

I jeśli – ni stąd ni z owad – jakiś stary członek partii, na przykład Aleksander Iwanowicz Jazskiewicz, białoruski cenzor, zachrypiął ze swojego kąta celi, że Stalin to żadna tam prawa ręka Lenina, tylko zły pies i że póki on nie zdechnie, nikt się niczego dobrego nie doczeka – to na takiego zuchwalca inni rzucali się z pięściami i jeden przez drugiego stali na niego donosy śledczemu!

Nie sposób wyobrazić sobie żeby ktoś z tych prawomyślnych, choćby przez chwilę śmiał marzyć o śmierci Stalina.

Oto jakie szczyty osiągała nieustraszona myśl badawcza naszych ortodoksów w 1937 roku! Jakąż – w tych warunkach – mogli przybrać postawę wobec sądu? Zapewne taką samą, jak Persons w Roku 1984 Orwella: „Czy partia zdolna jest w ogóle do aresztowania kogoś niewinnego? Na rozprawie oświadczę im: dziękuję żeście poratowali wtedy, kiedy jeszcze było co ratować!”.

Jakie też wyjście sobie znaleźli? Jaki wniosek praktyczny podpowiedziała im ich rewolucyjna teoria? Wniosek wart wszystkich przesłanek! Oto on:

– im więcej ludzi znajdzie się za kratami, tym prędzej tam, na górze, zrozumieją, że coś nie gra, że to był błąd\ Dlatego też – trzeba starać się o wymienienie jak największej liczby nazwisk! Obciążać w zeznaniach jak najwięcej osób wyraźnie niewinnych! Przecież całej partii nie wyaresztują!

(A Stalinowi wcale nie o całą chodziło, wystarczali mu wybitniejsi i komuniści o długim stażu partyjnym).

Ze wszystkich rosyjskich partii politycznych – komunistyczna była pierwszą, której członkowie jęli składać fałszywe zeznania przeciw sobie samym³. Im także należy się palma pierwszeństwa za piramidalne odkrycie:

² Na tle tych zadziwiających hipotez całkiem uzasadnioną wydaje się ta, którą Narokow (Marczenko) wkłada w usta bohaterów swojej książki Wielkości pozorne: że wszystkie te aresztowania to tylko komedia, zaaranżowana dla sprawdzenia, kto jest prawdziwym, wiernym stalinowcem. Trzeba wykonać wszystko, czego żądają o.d człowieka; kto podpisze wszystko bez szemrania i poczucia krzywdy – tego czeka później awans.

³ No, być może „Wszechzwiązkowe biuro mienszewików” wyprzedziło ich w czasie, ale jego członkowie byli z przekonania prawie że bolszewikami.

282

wymieniać jak najwięcej nazwisk, dążyć do wplątania jak największej ilości ludzi! Rosyjscy rewolucjoniści nie słyszeli dotąd o niczym podobnym!

Czy w teorii tej przejawiała się ich krótkowzroczność? ubóstwo myślowe? Intuicja mówi mi, że nie, że u podłoża był tu strach. A teoria służyła tylko do pośpiesznego zamaskowania własnej słabości. Przecież uchodzili (od dawna już – bezpodstawnie) za rewolucjonistów, a teraz – gdy przyjrzelili się sobie – musieli wzdrygnąć się ze

zgrozy: okazało się, że nie potrafią sprostać naciskowi. Ta „teoria” uwalniała ich od konieczności walki z funkcjonariuszem śledczym.

To chociaż powinni byli zrozumieć, że tę czystkę Stalin koniecznie musiał przeprowadzić, aby dokonać równania w dół: ściągnąć partię do swego poziomu.

Oczywiście nie chcieli pamiętać, że jeszcze całkiem niedawno pomagali Stalinowi w rozgromieniu opozycji, ba, w poskramianiu ich samych. Przecież Stalin dawał swoim bezwolnym ofiarom szansę, pozwalał im na ryzyko buntu, ta gra nawet go bawiła. Aresztowanie członka KC możliwe było tylko za zgodą wszystkich pozostałych! – taką zasadę wprowadził do statutu sam tygrys – swawolnik! I oto – podczas pełnych znojnej czczości zebrań plenarnych i narad – krążył z ręk do ręk papierek, gdzie w trybie bezosobowym zawiadamiano, że wpłynął materiał kompromitujący takiego to a takiego i że proponuje się obecnym, aby wyrazili zgodę (albo sprzeciw!...) na usunięcie danej osoby ze składu KC. (A ktoś tam jednocześnie patrzył jak długo czytający studiują ów papierek). I każdy kładł swój podpis. W ten sposób Komitet Centralny WKP(b) sam się rozstrzelał. (A Stalin już wcześniej odgadł i poddał próbie ich słabą stronę: skoro czołówka partii zgodziła się na wysokie pensje, tajne zaopatrzenie, osobne sanatoria – to już była w potrzasku, już była złamana). A z kogo składał się spectrybunal, który sądził Tuchaczewskiego i Jakira? Sędzią był Blicher! Był Jegorow*! oraz S. A. Turowski.

Tym łatwiej było im zapomnieć (zresztą – nigdy tego nie czytali) o sprawach tak odległych, jak orędzie patriarchy Tichona do Rady Komisarzy Ludowych z 26 października 1918 roku. Nawołując do miłosierdzia i wypuszczenia na wolność niewinnych, przestrzegał ich niezłomny patriarcha: „zaiste wam powiadam, będą szukać od narodu tego krwi wszystkich proroków, którą wylał ten naród...” (Ewangelia według Łukasza, XI, 50, 51) i „wszyscy, którzy miecz biorą, mieczem poginą” (Ewangelia według Mateusza, XXVI, 52). Ale wydawało się to wtedy śmiechu warte, niemożliwe! Kto z nich mógł sobie wtedy uprzytomnić, że Historia bierze jednak Marszałkowie – ofiary czystek nieco późniejszych.

283

odwet, że zna tajemną słodycz nierychliwej sprawiedliwości, tyle że dziwne nadaje jej kształty i niezwykłych znajduje mścicieli.

Jeśli nie znalazła się żadna nowa Marusia Spiridonowa*, aby wpakować na dworcu kulę w łeb młodemu Tuchaczewskiemu, gdy wracał jako tryumfator po zdławieniu powstania tambowskich chłopów – to dokonał tego niedouczony gruziński seminarzysta po 16 latach.

I jeśli złorzeczenia kobiet i dzieci, rozstrzelanych na Krymie wiosną 1921 roku (co opisał poeta Maksymilian Wołoszyn) nie zdołały przebić serca Beli Kuna – to dokonał tego jego gruziński towarzysz z III Międzynarodówki.

Peters, Łacis, Berzin, Agranow, Prokofiew, Balicki, Artuzow, Czudnowski, Dybenko, Uborewicz, Bubnow, Ałafużo, Ałksnis, Arensztam, Gekker, Gittis, Jegorow, Żłoba, Kowtiuch, Kork, Kutiałow, Primakow, Putna, Jurij Sablin, Feldman, R. Ejdeman, Unszlicht, Jenukidze, Niewski, Stiekłow, Łomów, Kaktyń, Kosior, Rudzutak, Gikało, Gołodied, Szlichter, Biełoborodow, Piatakow, i Zinowiew – wszyscy oni zostali zgładzeni z rozkazu małego, rudego rzeźnika; my zaś długo i cierpliwie musielibysmy szukać tego wszystkiego, do czego zdążyli oni przyłożyć rękę i pióro piętnaście/i dwadzieścia lat przed swoim końcem.

Walczyć?] Walki nikt z nich nie próbował. Odpowie mi ktoś, że trudno było toczyć walkę w celach jeżowskich więzień – czemu jednak nie podjęli oni walki choćby

w przeddzień aresztowania? Czy naprawdę nie widzieli dokąd to wszystko zmierza? A więc modlili się tylko o jedno: żeby burza ich ominęła! Dlaczego Ordżonikidze zabił się małodusznie? (A jeśli to jego zabili – dlaczego czekał bezczynnie?). Dlaczego nie próbowała walki wierna towarzyszka życia Lenina, Krupska? Dlaczego ani razu nie zabrała głosu publicznie, by zdemaskować Stalina, jak to zrobił stary robotnik w rostowskich Warsztatach im. Lenina w 1932? Czy tak bardzo drżała o swoje starcze życie? Czemu członkowie pierwszego Iwano–Wozniesieńskiego Sowietu Deputatów z 1905 roku Apatykin, Sp'iridonow – czemuż to wszystko teraz podpisywali, czemu sami obrzucili się błotem? Czemu przewodniczący tegoż Sowdepu, Szubin, własnoręcznie podpisał oświadczenie, iż żadnego Sowdepu w 1905 roku w ogóle w Iwanowie–Wozniesieńsku nie było? Jak można było tak opluć całą swoją przeszłość?

Sami ci prawomyślni, wspominając dzisiaj rok 37., jęczą, że niesprawiedliwość, że potworność – a nikt z nich nie zająknie się o możliwościach walki, które były praktycznie w ich zasięgu, ale przez nikogo z nich nie

Słynna działaczka eserowska, wykonawczyni zamachów na carskich dygnitarzy, długo później wieziona w Rosji Sowieckiej.

284

zostały wykorzystane. Tego już nigdy nikomu nie wyjaśnię. Nie, nie czas już dziś na argumenty tego typu.

Aresztowanym prawomyślnym starczyło rozumu tylko na zniweczenie tradycji politycznego więźniarstwa. Trzymali się z dala od towarzyszy niedoli, mających inne przekonania, robili wszystko w sekrecie przed nimi, zwierzali sobie na ucho straszne szczegóły śledztwa – byleby nie usłyszeli bezpartyjni albo – nie daj Bóg – eserowcy, żeby „nie dawać im argumentów przeciw partii!”.

Eugenia Holcman w kazańskim więzieniu (1938) sprzeciwiła się przekazywaniu z pomocą pukania wiadomości z celi do celi: jako komunistka nie zgadzała się na gwałcenie sowieckich praw! Gdy zaś przynoszono do celi gazety – Holcmanowa nalegała, aby nie czytać ich byle jak, tylko z uwagą, szczegółowo!

Wspomnienia Eugenii Ginzburg – tam – gdzie w nich mowa o więzieniu – stanowią bezcenne świadectwo o elemencie wyaresztowanym w 37. roku. Oto zakuta partyjniaczka, Julia Annienkowa, woła w celi: „nie ważcie się wyśmiewać strażnika! On reprezentuje tu władzę sowiecką!” (I co powiecie? Wszystko na wywrót! Gdyby tak tę scenę baśniowym sposobem pokazać buntowniczym rewolucjonistkom, siedzącym w carskim więzieniu!). Albo – jak komsomołka Katia Szyrokowa mówi do pamiętnikarki w trakcie rewizji: o, ta niemiecka komunistka ukryta we włosach złotą monetę, a przecież to nasze więzienie, sowieckie, trzeba chyba powiadomić o tym nadzorczynię?!

A Katarzyna Olickaja, która jechała na Kołymę w tym samym 7 wagonie co Ginzburgowa (były tam prawie same komunistki), dodaje do soczystych wspomnień tej ostatniej dwa uderzające szczegóły.

Kto miał pieniądze, ten złożył się na zakup świeżej cebuli w pęczkach. Stało się tak, że właśnie Olickaja miała tę cebulę przynieść. Eserowskie tradycje nie pozwalały jej myśleć nawet o niczym innym, jak o równym podziale jarzyn między całą czterdziestkę. Ale zaraz została surowo skarcona: „Dzielić tylko między te, co dały pieniądze!”. „Nie stać nas tu na dokarmianie darmozjadów!”. „Dla nas samych ledwo starczy!”. Olickaja aż zdrętwiała: to mają być polityczne?... Bo też to były komunistki z branki 37. roku!

A oto drugi epizod. W łazni swierdłowskiego zborniaka kobiety te musiały na gola-
sa przedefilować między dwoma szeregami strażników. Nic ważnego, prędko
otrząsnęły się z wrażenia. Już następnego dnia dziarsko śpiewały w swoim wago-
nie:

„Nigdzie w świecie kraju nie znajdziecie, Gdzie tak wolnym byłby każdy człek!...”.

285

Z takim oto kompletem poglądów, w takim stadium rozwoju świadomości wkra-
czają nasi prawomyślni na swój długi, obozowy szlak. Nie pojmując nic od samego
początku, nie rozumiejąc co znaczy to aresztowanie, śledztwo, te wszystkie wy-
padki, dziejące się wokół, będą teraz – przez upór, z obowiązku wierności (albo
z poczucia zagubienia) na całym tym szlaku uważać się za Prometeuszy, będą
twierdzić – że tylko oni wiedzą, o co chodzi.

Postanowiwszy raz na zawsze nie dostrzegać niczego, co dzieje się dookoła, nie
szukać żadnych wyjaśnień – tym usilniej będą omijać wzrokiem najstarsze dla nich
zjawisko: jak patrzą starzy łagrowcy, pospolitacy i ci z Pięćdziesiątki Ósemki (kto
z byłych „kułaków” pozostał jeszcze przy życiu, ten właśnie kończył swoją pierwszą
dychę) – na nich, na tych z „branfei 37. roku”, bardzo jeszcze przyzwoicie ubra-
nych, dobrze wychowanych i mówiących ozdobnie. Tu ich macie, to są ci waż-
niacy z teczkami! Ci, co paradowali w autach służbowych! Ci, co mieli sklepy za
żółtymi firankami, kiedy inni stali w kartkowych kolejkach! Ci, co obżerali się
w sanatoriach i jeździli do uzdrowisk na ksiuty z dziewczkami! – a nas posyłali na 10
lat do obozów za główkę kapusty, za kolbę kukurydzy! Więc mówią im
z nienawiścią: „Tam, na wolności – wy – nas, a tu my – was będziemy chromolić!”.

(Ale nie dojdzie do tego. Ortodoksi już wkrótce urządzą się całkiem nieźle⁴).
Na czym też polega owa wzniosła idea, którą kierują się nasi prawomyślni? A na
tym, żeby nie wyrzec się żadnego z dawnych przekonań i nie wzbogacić się
o żadne nowe sądy. Niech tam życie szturmuje ich i zasypuje lawiną nowych zja-
wisk – niech ich kopytami tratuje – do tych łbów nic nie przenika! Nie chcą widzieć
życia, ignorują jego bieg! Ta niechęć do przemeblowania głowy, ta ordynarna
niezdolność do krytycznej oceny życiowych doświadczeń, jest właśnie przedmio-
tem ich dumy! więzienie nie powinno mieć żadnego wpływu na światopogląd!
Obóz też nie! W co wierzyliśmy – w to dalej wierzyć będziemy! Jesteśmy marksi-
stami! Materialistami! Czy tylko dlatego mamy poddać rewizji nasze przekonania,
że przypadkiem znaleźliśmy się w więzieniu? (Czy dlatego ma ulec przemianie na-
sza świadomość, że zmienił się byt, że ukazał nam nowe swoje strony?

⁴ E. Ginzburg opisuje scenę całkowicie odmienną. Pielęgniarka z więziennego
szpitalika pyta ją: „Czy to prawda, że ujeliście się za biednymi ludźmi, że siedzicie tu
za kołchoźników?”. Pytanie prawie nieprawdopodobne! Może ta pielęgniarka ni-
czego już zza krat więziennych nie widziała, stąd takie głupie pytanie. Ale kołchoż-
nicy i zwykli łagrowcy mają oczy, od razu rozpoznawali w tych ludziach nagania-
czy, organizatorów monstrualnego spędu „kolektywizacji”.

286

Ależ za nic w świecie! Niech tam byt diabli wezmą, nasza świadomość – ani
drgnie! Toć jesteśmy materialistami!...).

Oto z jaką wnikliwością analizowali oni swój los. W. M. Zarin: „Wciąż sobie powta-
rzałem w obozie: z powodu paru durniów (miał na myśli tych, co go wsadzili) ani
myślę wadzić się z władzą sowiecką!”.

Oto wnioski moralne, do których musieli dojść nieuchronnie: siedzę niewinnie, a zatem jestem człowiekiem porządnym, wszyscy zaś inni – to wrogowie i siedzą – zasłużenie.

Oto na co tracą energię: po sześć, po dwanaście razy rocznie piszą skargi, podanie i supliki. O czym piszą? Co tam gryzmoł? Rzecz jasna – zaklinają się, że pozostali wierni Wielkiemu, Genialnemu (bo bez tych zaklęć ani marzyć o wolności). Rzecz jasna, odcinając się od współoskarżonych, których już rozstrzelano. Rzecz jasna, błagają o łaskę i pozwolenie powrotu na dawne stanowiska, na szczyty. I już jutro z radością podjęliby się każdego zadania partyjnego – choćby nawet powierzono im zarząd tego obozu! (A że odpowiedzią na ten nawał skarg był taki sam nawał odpowiedzi odmownych – to przecież tylko dlatego, że skargi nie docierały do Stalina! On już by wszystko zrozumiał! Nasz pan miłościwy już by dawno przebaczył!).

Ładni „polityczni”, którzy proszą władzę – o darowanie win!... Oto miara ich uświadomienia: wspomnienia generała Gorbátowa – „Sąd? Czego od nich wymagać? Ktoś im dał taki rozkaz...” Co za przenikliwość! I jakaż w tym anielsko-bolszewicka potulność! Knajacy pytają Gorbátowa: „Dlaczegoście tu się znaleźli?” (Nawiasem – od kiedy to szemrani używają formy „wy”?). Gorbátow: „Niedobrzy ludzie mnie oczernili”. To ci celna analiza! A zachowuje się generał nie jak Szuchow, tylko jak byle Fietiu-kow: podejmuje się sprzątnięcia kancelarii w nadziei, że dostanie za to dodatkową kromkę chleba. „Zmiatając z biurek okruchy i suche skórki, a czasem nawet całe kawałki chleba, w jakimś tam stopniu zaspokajałem dręczący mnie głód”. No dobrze, zaspokajaj go sobie. Ale Szuchowowi ma się za złe, że myśli o kaszy i że brak mu uświadomienia społecznego, natomiast generałowi Gorbátowowi wszystko wolno, by myśli... o niedobrych ludziach! (Zresztą – Szuchow nie da się zjeść w kaszy i o wypadkach krajowych sąd ma śmielszy niż generał).

A oto W.P. Golicyn, syn lekarza powiatowego, inżynier-drogowiec. 140 (sto czterdzieści!) dni i nocy przesiedział w celi śmierci (miał czas na rozmyślanie!). Następnie – 15 lat odsiadki, a później – dożywotnie zesłanie. „Nic się w moich myślach nie zmieniło. Jestem wciąż tym samym bezpartyjnym bolszewikiem. Pomogło mi zaufanie do partii, przekonanie, że całe zło nie jest dziełem partii i rządu, ale złej woli jakichś jednostek (to jest

287

analiza!), które przychodzą i odchodzą (jakoś nijak nie mogą odejść...) a cała reszta(!) zostaje i trwa... A ponadto – pomogli mi wszystko to przetrwać prości ludzie sowieccy, których w latach 1937–38 bardzo wielu było w NKWD (to znaczy – w aparacie!), w obsłudze więzień i obozów. Nie byli to „kumowie”, tylko prawdziwi wychowankowie Dzierżyńskie-go”, (Nie sposób tylko zrozumieć, dlaczego ci wychowankowie Dzierżyńskie-giego, skoro ich było tak wielu, patrzyli spokojnie na bezprawie, będące dziełem jakichś jednostek? Czy sami do tego wcale ręki nie przykładali? I mimo to – uszli jakoś cało? Istne cuda...).

Albo Borys Diaków: śmierć Stalina przejęła go głębokim bólem (nie tylko jego – wszystkich ortodoksów). Miał wrażenie, że zeszła do grobu cała nadzieja na wybawienie!5...

Ale już słyszę krzyki: to nielojalne! Nierzetelne! Spróbuj no podyskutować z autentycznym teoretykiem! Z Instytutu Czerwonej Profesury*!

Proszę bardzo! Albo to nie dyskutowałem z nimi? A coś innego robiłem w więzieniach? i na etapach? i w zborniakach? Z początku polemizowałem wspólnie z nimi, we wspólnym froncie. Ale jakoś nasze dowodziki zaczęły mi się wydawać kuse, wątpliwe. Umilkłem więc, wolałem już raczej słuchać. Później jeszcze – zaczęłem polemizować z nimi. Nawet sam Zacharow, nauczyciel Malenkowa (bardzo dumny był z tego, że uczył Malenkowa) zniżał się do polemik ze mną. W końcu jednak wszystkie te debaty zlały mi się we łbie, jakby chodziło o tylko jeden spór. Jakby wszyscy ci talmudyści złączyli się w jedną postać. Mój rozmówca raz po raz powtarzał będzie ten sam argument – w tym samym punkcie rozmowy i tych samych słów używając. I tak samo będzie nieprzemakalny, opancerzony – oto ich cecha naczelna! Nie wynaleziono jeszcze pocisków przeciwpancernych zdolnych do przebicia tych zakutych łbów! Kto wszczyna z nimi spory, ten tylko siły stera, chyba, że z góry traktować będzie tę rozmowę jako pocieszną grę, rodzaj zabawy.

Leżymy sobie z moim przyjacielem, Paninem, na środkowej półce „wa-gon-zaka”, urzędzeni jesteśmy niezgorzej, mamy w kieszeniach po śledziu, pić się nie chce, można trochę pospać. Aliści – na którejś stacji pakują nam do przedziału – uczonnego marksistę! Zaraz poznać, bo szpicbródka i w okularach. Wcale nie ukrywa, że jest byłym profesorem Akademii Komunistycznej. Patrzymy w głąb kwadratowego przerębła między narami i już po pierwszych słowach wiemy wszystko: towarzysz pancerny. A że siedzimy w więzieniu już od dawna i że długo jeszcze mamy siedzieć, no

5 „Oktiabr”, 1964, Nr 7.

Uczelnia dla wyższych kadr naukowych, istniejąca w latach 20–30. w Moskwie.
288

i że lubimy żarty – więc złazimy na dół, żeby się trochę rozerwać. W przedziale jest dosyć luźno, zamieniliśmy się z kimś miejscami, ścisnęliśmy się trochę.

- Dzień dobry.
- Dzień dobry.
- Nie za ciasno?
- Nie, można wytrzymać.
- Dawno was przymknęli?
- Dostyc dawno.
- Długo jeszcze macie siedzieć?
- Prawie drugie tyle.
- Patrzcie no – jakie biedne te wsie: stoma, chaty się walą.
- Spadek po caracie.
- No, sowieckich lat też już było trzydzieści.
- W aspekcie dziejowym to bardzo krótki okres.
- Szkoda jednak, że kołchoźnicy głodują.
- A zaglądaliście do każdego saganka?
- A zapytajcie któregośkolwiek kołchoźnika z naszego przedziału.
- Wszyscy skazani są rozżaleni i nieobiektywni.
- Ale ja sam też kołchozy widywałem...
- Widać nietypowe...

(Szpicbródka nigdy w kołchozie nie był, to upraszcza dla niego sprawę).

- Ale spytajcie starszych ludzi: za cara mieli co włożyć do gęby, wdziać na grzbiet i wzuć na nogi, a ile świąt było!

– Ani myślę pytać. Subiektywizm pamięci ludzkiej sprawia, że wszystko, co należy do przeszłości – wydaje się godne pochwały. Ta krowa, co padła, doła po dwa wiadra. ' (Przysłowiem też potrafi błysnąć).

A świąt nasz lud nie lubi, nasz lud woli pracować.

– A dlaczego w tylu miastach brak chleba?

– Kiedy to się zdarzyło?

– A choćby nawet przed samą wojną...

– Nieprawda! Przed wojną akurat wszystkiego było w bród.

– Słuchajcie no, we wszystkich miastach nadwożańskich stały wtedy milowe ogonki...

– Jakieś lokalne braki w organizacji. Ale chyba zawiodła was pamięć.

– Toć i teraz brak chleba!

– Babskie plotki. Zbieramy rocznie 7–8 miliardów pudów ziarna⁶.

⁶ Przecież dopiero za parę lat Chruszczow oznajmić miał publicznie, że w 1952 roku zebrano ziarna mniej niż w 1913.

Archipelag Gulag t. II

289

– Ale ziarno zbutwiało, do niczego.

– Wręcz przeciwnie, selekcja daje wyniki.

– A jednak w tylu sklepach – pustki na półkach.

– Terenowym kadrom brak niekiedy inicjatywy.

– Zresztą ceny też są wygórowane. Robotnicy muszą sobie wielu rzeczy odmawiać.

– Nasze ceny są naukowo skalkulowane. Lepiej niż w jakimkolwiek innym kraju.

– A więc to zarobki są za niskie.

– Zarobki też są naukowo skalkulowane.

– Znaczą się, tak są skalkulowane, aby robotnik większą część czasu musiał pracować dla dobra państwa za darmo.

– Nie znacie się na ekonomii politycznej. Zawód?

– Inżynier.

– A ja właśnie jestem ekonomistą. Tu nie ma dyskusji. Nadwartość jest u nas po prostu niemożliwa.

– Ale dlaczego dawniej ojciec rodziny mógł utrzymać ją samodzielnie, a teraz musi na to pracować dwoje, troje ludzi?

– Dlatego, że dawniej było bezrobocie, żona nie mogła dostać pracy. I rodzina przymierała głodem. Prócz tego – praca żony ważna jest ze względu na równość płci.

– Jaka tam znowu równość? A na czyjej głowie stoi cały dom?

– Mężowie też powinni pomagać.

– A wy – pomagaliście swojej żonie?

– Nie jestem żonaty.

– Wychodzi na to, że dawniej każdy pracował we dnie, a teraz i mąż, i żona powinni jeszcze dodatkowo pracować wieczorem. Kobietom brak przez to czasu na rzecz najważniejszą – na wychowanie dzieci. *

– Czasu mają tyle, ile trzeba. Najważniejsze dla wychowania są żłobki, szkoły, kom-somół.

– No i jak tam dzieci wychowują? Wyrastają na chuliganów, złodziejasków.

Dziewczyny – też rozpuszczone.

– Nic podobnego. Nasza młodzież jest wysoce ideowa.

- W gazetach. Ale nasza prasa kłamie!
- Zawsze uczciwsza od burżuazyjnej. Poczytajcie tylko burżuazyjne gazety.
- Chętnie, dajcie poczytać!
- To strata czasu.
- A jednak nasze gazety kłamią!
- Są związane z proletariatem jednością walki.

290

- , – Wynikiem takiego wychowania jest wzrost przestępczości!
 - Bynajmniej, jej spadek. Weźcie do ręki statystyki! (Mówi to w kraju, gdzie zataja się nawet liczbę baranich ogonów! Ale doczekają się: damy im do rąk także tę statystykę).
 - Jest jeszcze inna przyczyna wzrostu przestępczości: nasze prawa, które same tworzą przestępców. Są okrutne i głupie.
 - Bynajmniej. Prawa są doskonałe. Najlepsze w dziejach ludzkości.
 - Zwłaszcza – artykuł 58, co?
 - Bez tego artykułu nie utrzymałaby się nasza młoda państwowość.
 - Nie taka znów młoda!
 - W aspekcie historycznym – bardzo młoda.
 - Rozejrzyjcie się, ilu ludzi siedzi!
 - Widać zawinili.
 - A wy?
 - Aresztowano mnie omyłkowo. Jak się zorientują – to wypuszczą. (Wszyscy oni stosują ten chwyt).
 - Omyłkowo? Gdzież te nasze doskonałe prawa?
 - Prawa są doskonałe, tylko odstępstwa od nich bywają przykre.
 - Wszędzie – protekcja, łapówki, przekupstwo.
 - Trzeba wzmóc wysiłki w dziedzinie komunistycznego wychowania.
- I tak dalej. Nikt nie potrafi zbić go z tego tropu. Używa języka, który nie wymaga żadnego samodzielnego wysiłku myślowego. Spór z nim – to marsz przez pustynię. O takich powiadają: wszystkie kuźnie odwiedził – a wrócił nie podkuty. Gdyby jego los inaczej się potoczył, to nie dowiedzielibyśmy się nigdy, jaki to zaszony, niepozorny człeczyna. Jego nazwisko z należną czcią czytlibyśmy na łamach gazet; byłby komisarzem ludowym albo miałby czelność, by reprezentować Rosję za granicą.

Dyskusje z nim są więc bezcelowe. Znacznie bardziej interesująca może być przy jego udziale gra... nie w szachy, lecz w „towarzyszy”. Istnieje taka gra naprawdę. Wszystko odbywa się całkiem po prostu. W trakcie rozmowy parę razy trzeba mu przytaknąć. Warto też użyć paru terminów z jego własnego słownika. To mu sprawi przyjemność. Przyzwyczał się już przecie, że wszyscy dokoła – to wrogowie, znużyło go już ciągłe odgryzanie się. Ponadto – wcale nie lubi się zwierzać, bo wie, że wszystkie opowieści będą natychmiast obrócone przeciw niemu samemu. Ale skoro uzna was za jednego ze swoich, całkiem po ludzku, szczerze opowie wam, co widział niedawno na dworcu: ludzie spacerują – gawędzą – śmieją się, życie wre. Partia wszystkim kieruje, ktoś tam został właśnie przeniesiony z jednego stanowiska na drugie, a my tymczasem musimy tu siedzieć, jest

291

nas mała garstka. Trzeba pisać, pisać prośby o ponowne rozpatrzenie, o ułaskawienie...

Albo opowie coś interesującego: w Komakademii postanowili oni utracić jednego z kolegów; czuli, że coś z nim nie jest w porządku, że to nie nasz człowiek, ale ja-koś nie było do czego się przyczepić: publikacje – bez błędów, życiorys – kryształowy. I raptem, przy badaniu jakichś materiałów archiwalnych – co za odkrycie! – znaleziono starą broszurkę tegoż kolegi, egzemplarz, który miał w ręku sam Iljicz. Zostawił na marginesie własnoręczną uwagę: „jako ekonomista – gównu wart”. „No, rozumiecie sami – rozmówca mój uśmiecha się porozumiewawczo – że po tym odkryciu poradziliśmy sobie już bez żadnego kłopotu z tym mętniakiem i samozwańcem. Został wyrzucony na pysk i pozbawiony tytułu naukowego”. Turkoczą koła. Wszyscy już śpią, jedni rozciągnięci na wznak, inni – ledwie przycupnięci. Czasem przejdzie korytarzem żołnierz z konwoju; ziewa.

Nie utrwalony przez nikogo ginie oto jeszcze jeden fragment życiorysu Lenina...

Aby uzupełnić nakreślony tu obraz warto przyrzeć się, jakie stanowisko zajmują prawomyślni wobec podstawowych problemów życia obozowego.

A. Stosunek do dyscypliny obozowej i do walki o prawa więźniów.

Jako że reżym obozowy wprowadzony został przez nas, tzn. przez władzę sowiecką – więc należy przestrzegać jego przepisów nie tylko bez sprzeciwów, lecz z całym przekonaniem. Trzeba dbać o podtrzymywanie ducha dyscypliny, zanim jeszcze dozór zażąda trzymania się jej litery.

We wspomnianej już książce Eugenii Ginzburg znajduję niezwykle obserwacje: kobiety pochwalają golenie im głów (maszynką!) na zero – skoro tego wymaga dyscyplina. Z więzienia, bądź – spod dachu, wysyłają je na mroźną Kołymę, na śmierć. Mają już formułę, która to usprawiedliwia: a więc okazują nam zaufanie, wierzą, że będziemy tam wydajnie pracować!

O jakiej walce może tu być w ogóle mowa, do licha?! Walka z kim? Ze swoimi? Walka – w imię czego? W imię własnej wolności? O to nie trzeba walczyć, tylko prosić – i to w trybie urzędowym. A zatem – w imię obalenia władzy sowieckiej? A bodajbyś pypcia na ozorze dostał!

Byli wśród łagrowców tacy, którzy chcieli walczyć, ale nie mogli; tacy, co mogli, ale nie chcieli – a także ci, co i mogli, i chcieli (i walczyli! jeszcze o nich będzie mowa, zaczekajcie!). Otóż ortodoksi stanowią czwartą grupę: są to ci, co nie chcieli – i nie mogli, nawet gdyby zechcieli. Całe ich

292

przedwziętne życie przystosowało ich do wegetowania w środowisku sztucznym, umownym. Ich „walka” na wolności polegała na przyjmowaniu i przekazywaniu dalej zaaprobowanych odgórnie uchwał i rozporządzeń – z pomocą telefonu i dzwonka elektrycznego. W warunkach obozowych – gdzie walczyć trzeba dosłownie, tj. wręcz, i umieć gołe ręce przeciwstawić automatom, i czołgać się po indiańsku pod kulami – byli z nich Sidory Polikarpowicze i Kopry Pomidorowie*, istoty nikomu niepotrzebne i do niczego niezdatne.

Tym mniejszą przeszkodą dla knajaków byli ci idący bojownicy o szczęście ludzkości: nie sprzeciwiali się rozbojowi ani proszeniu się fe–rajny w kuchniach i na wszelkich funkcjach (poczytajcie choćby generała Gorbatowa, tam przykłady znajdziecie) – bo te socjalnie bliskie elementy władały obozem w zgodzie z ich własną teorią. Nie przeciwstawiali się ograbianiu słabszych nawet, gdy robiono to w ich obecności i sami też im stawiali rabusiom oporu

Wszystko to było logiczne, trzymało się kupy, nikt niczego nie poddawał w wątpliwość. Atoli, gdy przyszedł wreszcie czas na pisane dziejów tych lat

i rozległy się pierwsze, jeszcze zdławione relacje o "życiu" obozowym – nasi prawomysłni ocknęli się jakby – i zrobiło im się przykro: jak to? tacy postępowi, tacy uświadomieni, a nie walczyli! I nawet nW zdawali sobie sprawy, że istniał jakiś kult jednostki! I nie przychodziło im wcale do głowy, że nasz drogi Ł.P. Beria – to zaprzysięgły wróg ludu!

Dlatego trzeba było szybko puścić w ruch jakąś mętną wersję – że jednak walczyli. Cała sfera gazeciarska czepiała się mego Iwana Denisowicza – czemu nie walczył, sukinsyn? Dziennik „Moskowskaja Prawda” wytykała mi nawet, że inni, komunisty, organizowali w obozach nielegalne zebrania, a Iwan wcale na nich nie był i nie nauczył się rozumu od ludzi myślących.

Co to za bzdury – jakie tam zebrania nielegalne? I po co? Aby kiwać palcem w bucie, fige w kieszeni pokazywać? I komu – skoła od młodszego nadzorcy do samego Stalina – sami swoi, nasza władza sowiecka? I kiedyż to, jakimi metodami ci ludzie walczyli?

okularnika

Ukrop (tj. Koper) Pomidorowicz – pogardliwe przezwisko w obozie.

7 W 1957 roku personalna riasańskiego Okręgowego Wydziału Obiady pytała mnie: „A za co właściwie aresztowano was w 45... _ „Za krytykowanie *>*) **))» _ ^ – odparłem. „Jak to? _ ^y^ ze zdumieniem _ czy wtedy już był ko» jednostki? (Była szczerze przekonana, że kult jednostki został obwieszczony w 1956 r0*«. skąd więc wziął się w 45.?).

8 – 8.XU.1962.

293

możliwie łagodnie, ty wywłoko?). Bo ja... nie mam zwyczaju... żeby podsłuchiwać... i nie potrafię zapamiętać...

Dociera do niego, że muzyka jakoś na mnie działa, więc wyłącza radio. Cisza. Głośno ciepłe, magiczne oczko dobrotliwego świata. W gabinecie jest nas tylko dwóch – ten puszczyk i ja. Dosyć żartów.

Gdybyż przynajmniej znali oni reguły gry w szachy: jeśli ten sam ruch powtarza się trzy razy – uznaje się, że przeciwnicy zremisowali. Ale skąd! We wszystkim przejawiało się ich lenistwo, tylko tutaj – nie: sto razy w ten sam sposób szachuje mnie, na tym samym polu, sto razy pod rząd osłanianiem się tym samym pionkiem, żeby znów wyjść zza niego. Smaku nie ma facet za grosz, za to czasu – aż nadto. Sam naraziłem się na to bezustanne szachowanie – bo uznałem się za sowieckiego człowieka. Oczywiście, każde z tych stu zagrożeń ma inny odcień, za każdym razem wypływa jakieś inne słowo, inny nieco ton.

Mija godzina, potem druga. W naszej celi już wszyscy śpią, ale ten tutaj wcale się nie śpieszy, to właśnie jest jego praca zawodowa. Jak się tu odczepić? Jacyż oni namolni! Już mi tu napomknął o etapie i o robotach ogólnych, już dawał wyraz podejrzeniu, że jestem zaprzysięgłym wrogiem, aby za chwilę wyrazić nadzieję, że należę raczej do zaprzysięgłych przyjaciół.

Ustąpić mi nie wolno. Ale nie chce mi się też jechać na etap zimą. Myślę z udręką: jak to wszystko się skończy?

I nagle – mój rozmówca zmienia temat – mówi o knajakach. Słyszał od nadzorcy Sienina – że wyrażam się o ferajnie ostro, że miałem z knajakami zatargi. Ożywiam się – jakiś nowy ruch na szachownicy. Owszem – nienawidzę ich. (Ale wiem, że wy ich kochacie!).

I aby mnie roztkliwić ostatecznie, oper maluje taki obraz: mam przecież żonę w Moskwie. Bez męża – musi ona chodzić po ulicach sama, czasem nawet nocą. Na ulicach rabusie często obdzierają przechodniów. Właśnie ci sami knajacy, którzy uciekają z obozów. (Nieprawda, ci, których wy amnestionujecie!). Więc nie będę się chyba wzdrygał przed powiadomieniem opera o szykującej się ucieczce jakichś knajaków, jeśli dowiem się o tym?

Cóż, knajacy – to wrogowie, bezlitośni wrogowie i w walce z nimi wolno chyba stosować wszelkie możliwe środki... Ale wolno, czy nie wolno, najważniejsze teraz, że to dobre wyjście. Więc chyba...

– To możliwe. To już prędeej.

Rzekłeś! Rzekłeś, a szatanowi tylko jednego takiego słówka potrzeba! I już czysty arkusz spływa na stół przed moje oczy:

312

Zobowiązanie

Ja, taki a taki, zobowiązuję się do zawiadamiania pełnomocnika operacyjnego podobozu o planowanych przez więźniów ucieczkach...

– Ależ mowa była tylko o knajakach!

– A kto jeszcze ucieka, prócz nich?... A przy tym – jak w oficjalnym papierku napisać, że chodzi o knajaków! To przecież żargon. Tak też jest wszystko jasne.

– Ale cały sens się zmienia!

– Nie, widzę jednak, że z was nie jest nasz człowiek, że z wami trzeba rozmawiać w zupełnie inny sposób. I – nie tutaj.

O, jakie straszne to słowa – „nie tutaj”, kiedy za oknem zawieja, kiedy jesteś prydukiem i mieszkasz w sympatycznej izdebce dziwolągów! I gdzie jest to „nie tutaj”? W Lefortowie? I co to za „zupełnie inny sposób”? Ostatecznie – ani jedna ucieczka z obozu nie miała miejsca podczas mego pobytu, to bardziej nieprawdopodobne niż upadek meteorytu. A jeśli już się ucieczka zdarzy – to jaki idiota będzie wcześniej o niej rozmawiał z kimkolwiek? Więc nie będę wiedział o takich rzeczach. A zatem – nie będę miał o nich nic do meldowania. W końcu – to nie najgorsze wyjście... Tylko że...

– Czy nie można obejść się bez takiego papierka?

– To zasada.

Wzdycham, uspokajam sam siebie ustnymi zastrzeżeniami – i stawiam podpis na diabelskim cyrografie, na akcie sprzedaży duszy. Sprzedaży duszy – dla ratowania ciała. To wszystko? Czy mogę już wyjść?

O, nie. Jeszcze „zobowiązanie do milczenia”. Ale zaraz! Czegoś brak, na tym pierwszym arkusiku:

– Musicie wybrać sobie pseudonim.

Pseudonim?... Ach, pseudo\ No tak, no tak, przecież informator musi mieć pseudo! Boże mój, jak szybko i jak nisko upadłem! On mnie jednak przechytrył, obegrał. Figury już rozsypane, mał został uznany.

I cała fantazja ulatnia się z mojej, zięjącej pustką głowy. Nie mogę teraz wymyśleć sobie żadnego pseudo. Podpowiada mi je litościwie on sam, przysłuchując się szumom za oknem:

– No, na przykład – Wietrow.

Więc wypisuję pod oświadczeniem WIETROW. Te siedem liter żłobią się w mojej pamięci jak hańbiące szramy.

Przecież chciałem umierać za ludzi! Gotów byłem umrzeć za nich, ginąć za nich! Jak to się stało, że wybrałem psie życie?...

Pełnomocnik zaś chowa moje zobowiązanie do skrytki – to jego n o r-m a w czasie wieczornej szychty. Wyjaśnia mi uprzejmie: tu, do tego gabi-

313

netu, wcale nie trzeba przychodzić, wzbudzi to tylko podejrzenia. Nadzorca Sienin – jest zaś godzien zupełnego zaufania i wszystkie poufne informacje (donosy!) przekazywać należy za jego pośrednictwem.

Tamtego roku nie potrafiłbym zatrzymać się na tej krawędzi. Nie złapałeś za grzywę – darmo łapać za ogon. Kto wpadł w poślizg – ten już poleci coraz dalej i niżej.

Coś mi jednak dopomogło i zatrzymałem się na samym skraju. Przy spotkaniach Sienin ponaglał mnie: no jak tam, jak tam? Rozkładałem ręce: nic nie słyszałem. Dla szemranych jestem frajerem – i ani przystąp. Ale jak na złość – choć nikt dotąd nie próbował ucieczki, jakiś złodziejasek umknął z naszego oboziku. Więc pisz o czym innym! o brygadzie! o waszym pokoju! – nalegał Sienin. – Nie zobowiązałem się do pisania o czym innym! – mówiłem, hardziejąc z wolna (zresztą, miało się już ku wiośnie). Pewnym drobnym osiągnięciem było jednak, że dałem zobowiązanie ograniczone, niezbyt ogólnikowe.

Ale raptem, przychodzi speczlecenie ministerstwa* i wyciągają mnie stąd za uszy do szaraszki. I na tym się skończyło. Już nigdy więcej nie musiałem podpisywać się „Wietrow”. Ale nawet dziś mrowie mnie przechodzi, gdy natykam się gdzieś na to nazwisko.

O, jak trudno, jak trudno jest stać się człowiekiem! Nawet wtedy, gdy byłeś już na froncie, gdyś już leżał pod bombami, gdyś stąpał po minach – to dopiero początki, przesłanki męstwa. To jeszcze – wcale nie wszystko...

Minęło wiele lat. Miałem już za sobą szaraszki i specobozy. Zachowywałem się już z zupełną swobodą, coraz hardziej, już nigdy więcej dział operacyjny nie próbował mnie jednać żadnymi faworami i przyzwyczailem się do tej beztroskiej pewności – że na moich aktach widnieje znak jakości: „nie próbować werbunku!”.

Potem przyszło zesłanie. Spędziłem na nim prawie trzy lata. Już zaczęto się robić luźniej wśród deportowanych, już pozwolono wracać wielu zesłanym narodom. Już ci, co zostali, idąc na kontrolę do komendantury, pozwalali sobie na żarciki. Już przetoczył się XX Zjazd. Wydawało się, że wszystko raz na zawsze się skończyło.

Z zapamiętniałem plany wyjazdu do Rosji, gdy tylko zostanę zwolniony. Ale któregoś dnia, gdy wychodził za wrota szkolnego dziedzińca, jakiś przyzwoicie ubrany cywil, Kazach, zawołał mnie, podszedł bliżej i nader uprzejmie podał mi rękę. Znał moje imię wraz z imieniem ojca.

Patrz: tom I, cz. II, rozdział IV, str. 541. 314

– Pogadajmy chwilę! – i grzecznym gestem wskazał na budynek komendantury.

– Kiedy śpieszę się na obiad – odparłem.

– A może wieczorem znajdzie się wolna chwilka?

– Wieczorem też nie. (Gdy miałem wolny wieczór, pisałem powieść).

– No to jutro, o której?

Ale się przyczepił! Trzeba było zgodzić się na ten jutrzejszy termin. Spodziewałem się, że będzie ze mną rozmawiał o rewizji mojej sprawy (mniej więcej w tym okresie zrobiłem głupstwo: posłałem do Moskwy podanie o anulowanie wyroku zesłania, więc tym samym znalazłem się w pozycji petenta. Takiej okazji GB nie mogło

przegapić). Ale pełnomocnik operacyjny z okręgu z całą pompą usadowił się w gabinecie naczelnika delegatury rejonowej MWD, osobiście zamknął drzwi i wyraźnie nastawił się na prowadzenie wielogodzinnych rokowań, już przez to utrudnionych, że po rosyjsku mówi nie najlepiej. Mimo to, nie minęła nawet godzina – a już potąpałem się, że chodzi mu nie tyle o rewizję mojej starej sprawy, ile o zaofiarowanie mi stanowiska konfidenta. (Wolno sądzić, że amnestionowanie części zesańców przerzedziło kadry donosicieli).

Rozśmieszyło mnie to i zasmuciło. Zasmuciło – bo zależało mi na każdym kwadransie. Rozśmieszyło – bo w marcu 1956 roku rozmówki takie wydawały mi się tak samo niestosowne, jak nagły zgrzyt noża po talerzu podczas biesiady. Spróbowałem żartem zwrócić uwagę na tę niestosowność – ale wszystko na nic, ani myślał popuścić, zacisnął szczęki z powagą buldoga. Wieść o wszelkich ulgach dociera zwykle na prowincję z trzy-pięć – dziesięcioletnim opóźnieniem, tylko wiadomości o zaostrzeniu kursu dochodzą tu bez zwłoki. Facet zupełnie jeszcze nie rozumiał, co to za rok będzie, ten 56.! Spróbowałem więc przypomnieć, że skasowano nawet Ministerstwo Bezpieczeństwa, ale facet z ożywieniem i radością zapewnił mnie, że Komitet ds. Bezpieczeństwa, to zupełnie to samo, że ani kadry, ani zadania nie uległy zmianom.

W tym czasie cechowała mnie już kawaleryjska wręcz niefrasobliwość w stosunku do ich przestawnej instytucji. Czułem, że byłem w zgodzie z duchem epoki, gdybym posłał go tam, gdzie powinni byli wszyscy oni znaleźć się już dawno i zasłużenie. Bezpośrednich skutków dla siebie wcale się nie obawiałem – nie mogło dojść do nich – tamtego, iście cudownego roku! I jaka by to była frajda, gdybym wyszedł od niego, trzasnąwszy drzwiami!

Ale tu pomyślałem o swoich rękopisach. Całymi dniami leżą w mojej chałupce, chroni je tylko słaby rygielek u drzwi i niezbyt przemyślane zabezpieczenie wewnętrzne. Nocami wyciągani je – i piszę. Jeśli rozwścieczę tych

315

z KGB – na pewno zechcą się zemścić, poszukają czegoś kompromitującego – i co, jeśli znajdą wtedy rękopis?

Nie, trzeba iść na ugodę.

O, co za kraj! Jaka klątwa na nim ciąży, że nawet w okresie największej wolności, człowiek najbardziej wolny wewnętrznie – nie może pozwolić sobie na najmniejszy zatarg z żandarmami!... Nie może cisnąć im w oczy wszystkiego, co o nich myśli! – Otóż – jestem ciężko chory. Choroba nie pozwala mi przysłuchiwać się ani podglądać innych. Dość mam swoich trosk. To chyba wystarczy.

Oczywiście, to mizerny wykręt, mizerny – bo uznaję tym samym ich zasadnicze prawo do szantażowania ludzi, a trzeba właśnie wyśmiać i obalić to prawo. Jest to odmowa na klęczkach.

A ten cham jeszcze nie ustępuje! Jeszcze przez pół godziny dowodzi, że nawet ciężko chory też powinien współpracować!... Ale widząc, że ani myślę ustąpić, narzeczcie się zmytygować:

– A jakieś zaświadczenie macie?

– Jakie?

– No, żeście tacy chorzy.

– Zaświadczenie mam.

– To je przynieście.

Bo przecież musi się wykazać, musi wykonać plan dnia! Chce mieć usprawiedliwienie, że kandydatura wytypowana była dobrze, tylko nikt nie wiedział, że kandydat tak poważnie choruje. Nie po to żądał zaświadczenia, aby je po prostu przeczytać, chciał je tylko wszyć do akt, żeby móc odczepić się od tej historii. Dałem mu to zaświadczenie i w ten sposób rachunek został wyrównany. Były to miesiące największego – w ciągu całego półwiecza – rozkwitu wolności w naszym kraju!

A jeśli ktoś nie miał zaświadczenia?

Talent opera polega na umiejętności znalezienia od razu właściwego wytrycha. Rzecz dzieje się w obozie na Syberii. Niejaki U., urodzony w jednym z krajów nadbałtyckich, lecz dobrze znający język rosyjski (dlatego też został wybrany) zostaje wezwany do komendanta, ale w jego gabinecie zastaje jakiegoś nieznanego kapitana o nosie orlim i spojrzeniu iście bazyliżkowym, hipnotyzującym. „Proszę dobrze zamknąć drzwi!”, rozkazuje kapitan całkiem serio, zupełnie jakby za chwilę mogła tu wpaść jakaś wraza

316

banda. Zmarszczył krzaczaste brwi i nie spuszcza z U. płonących oczu – i już nasz U. czuje, jak wszystko się w nim obrywa, jak go coś piecze i dusi. Jeszcze przed wezwaniem kapitan zebrał o więźniu wszelkie dane, to jasne, i już z góry zdał sobie sprawę, że wszystkie numery – 1, 2, 3, 4 – tu odpadają, że tu zastosować trzeba coś innego, mocniejszego. Ale jeszcze kilka minut patrzy bez mrugnięcia w czyste i bezbronne oczy U., mierząc się z nim spojrzeniem, a jednocześnie – gasząc w nim siłę woli i wznosząc niewidzialnym gestem to – co za chwilę ma spaść na kark więźnia.

Oper niewiele traci czasu na wstępy, ale to, co mówi, wypowiada nie tonem pogadanki politycznej, lecz z napięciem, zawieszając głos, jakby mówił o czymś, co nie dziś – to jutro wybuchnąć ma w ich podobozie: „Czy wiecie, że świat podzielił się na dwa obozy? I że jeden z nich skazany jest na nieuchronną klęskę? I że wiemy dobrze – który?! A wy wiecie, o który to chodzi?... Otóż, jeśli chcecie żyć jeszcze trochę, musicie odbić od kapitalistycznego, tkniętego zgnilizną brzegu – i przybić do nowego brzegu. Zacie powieść Łacisa* – Ku nowym brzegom! – Rzucą jeszcze kilka takich zdań – ani na chwilę nie przestając wpijać w U. palącego, groźnego spojrzenia. Gdy już sobie ustalił w myśli numer wytrycha – pyta z akcentowanym niepokojem w głosie: „No, a jak tam z waszą rodziną?”

I wszystkich krewnych wymienia po imieniu, jakby ich znał! To znaczy, że już się załatwił rodziną U., to już poważna sprawa! „Rozumiecie, jak sądzę – hipnotyzuje rozmówcę wzrokiem – że wy i wasza rodzina, to jedna całość. Jeśli zrobicie fałszywy krok i zginiecie – to rodzinę waszą czeka (też zguba. Rodzinom zdrajców (tu już głos podnosi) nie pozwalamy zarażać zgnilizną zdrowego środowiska sowieckiego.

A zatem: musicie wybrać jeden z dwóch istniejących światów! Wybrać życie – albo śmierć. Proponuję wam, abyście zobowiązali się do pomagania naszemu wydziałowi. Jeśli odmówicie – wasza rodzina będzie w całości zesłana do obozów. Mamy pełnię władzy (tu na pewno ma rację!) i nie jest naszym zwyczajem odstępowanie od raz powziętych zamiarów! (tu też miał rację!). Skorośmy na was postawili – to będziecie współpracować z nami!”.

Wszystko to zważyło się U. na głowę znienacka; nie przygotował się do podobnej rozmowy, nie myślał nigdy o tym, sądził, że donoszą tylko łajdaki, ale żeby ktoś śmiał jemu robić takie propozycje?! Uderzenie było czołowe, żadnych manewrów

zwodzających, żadnej straty czasu, a kapitan już czeka na odpowiedź, za chwilę wybuchnie i wszystko się rozleci! U. tymczasem myśli gorączkowo: a bo to niemożliwe? Dla nich? Czy szczydliwi kiedykolwiek rodziny więźniów? Toż nie mieli żadnych skrupułów. Przy

Vilis Łacis, pisarz łotewski, faworyt Stalina.

317

„rozkułaczaniu”, deportowali całe rodziny z maluchami włącznie i jeszcze pisali o tym z dumą w gazetach! Nasz U. miał też okazję widzieć wyniki działalności Organów w krajach nadbałtyckich w latach 1940–41, oglądał na dziedzińcach więziennych sterty rozstrzelanych podczas odwrotu sowieckich wojsk. I w 1944 słyszał audycje nadawane z Leningradu dla mieszkańców Łotwy, Litwy i Estonii. Przypominały spojrzenie kapitana, tak były pełne grózb i mściwej pasji. Zapowiadano w nich, że władza sowiecka rozprawi się ze wszystkimi, ale to dosłownie – ze wszystkimi, którzy okazują pomoc nieprzyjacielowi³. Więc jak od nich teraz oczekiwać zmiłowania? Błagania nie pomogą. Trzeba wybierać. (Ponieważ U. sam jest pod wpływem legendy – rozpowszechnianej przez Organy na ich własny temat więc nie wie, że machina ta nie działa wcale w sposób tak bezbłędny i zsynchronizowany, aby już za tydzień zesać na Syberię rodzinę więźnia, który dziś właśnie odmówił szpiclowania w syberyjskim oboziku. I jeszcze ważniejszej rzeczy U. nie rozumie. Źle myśli o Organach, ale prawda o nich jest jeszcze gorsza: wkrótce już przyjdzie na to czas i wszystkie takie rodziny, wszystkie te setki tysięcy rodzin zostaną postane za jednym zamachem na zesłanie, na zagładę, bez względu na to, jak się właściwie sprawują ojcowie w obozach).

Strach o własną skórę nie zmusiłby go do ustępstw. Ale U. wyobraził sobie żonę i córkę w obozie – o, w tych barakach, gdzie rozpusty żadną nawet szmatką się nie zastania, gdzie żadnej obrony kobieta nie znajdzie jeśli ma mniej niż 60 lat. I tu się załamał. Wytrych dobrany był prawidłowo. Żaden inny by się nie nadał, a ten – owszem.

No, ale jeszcze próbuje grać na zwłokę: muszę się zastanowić. – Dobrze, trzy dni macie do namysłu, ale wara pytać kogokolwiek o radę. Za ROZGŁOSZENIE TAJEMNICY – ROZSTRZELANIE! (U. zasięga jednak rady pewnego swego krajana. Na niego właśnie każą mu później napisać pierwszy donos, z nim do spółki go też zrehabilituje. Ale krajana też jest zdania, że nie wolno narażać rodziny).

W trakcie drugiej wizyty u kapitana, U. podpisuje cyrograf, otrzymuje pierwsze zlecenie i kontakt: niech tu więcej nie przychodzi, wszystko ma załatwiać przez zwolnionego spod straży pryduka, Froła Riabinina.

To bardzo ważne punkty oparcia w pracy obozowego opera, wszyscy ci rezydenci, rozsiani po obozie. Froł Riabinin – to osoba popularna, Froł

3 A nauczyciel, a robotnik fabryczny, a konduktor tramwajowy, a każdy, kto żyje z pracy zarobkowej – przecież ci ludzie też okazują pomoc! Nie pomaga okupantom tylko spekulant z rynku i partyzant z lasu! Bezwzględny ton tych bezmyślnych audycji lenin–gradzkich pchnął w 1944 roku kilkaset tysięcy ludzi do ucieczki na teren Skandynawii.

318

Riabinin ma stale jakąś lewą robotę, ma osobną kabinę, i zawsze udaje mu się wykombinować trochę pieniędzy. Z pomocą opera – zdołał on spenetrować wszystkie głębie i nurty obozowego życia, a teraz lekko ponad nimi szybuje. Tacy rezydenci – są to liny, na których cała sieć jest rozpięta.

Froł Riabinin poucza U., że przekazywać donosy należy gdzieś, w ciemnym kątku („w naszej robocie – najważniejsza jest konspiracja”). Wzywa go do swojej kabiny: „Kapitan niezadowolony jest z waszej informacji. Trzeba tak pisać, żeby z tego był materiał na człowieka. Zaraz wam pokażę”.

I ten kulfon uczy spotulniałego, poszarzałego inteligenta U. jak trzeba pisać świństwa o ludziach! Ale widząc, że U. tak skisł, Riabinin dochodzi do wniosku, że trzeba tego pętaka jakoś ośmielić, dać mu ostrogę, dodać otuchy! Powiada więc, życzliwym już tonem: „Słuchajcie, przecież wam tu ciężko. Czasem chciałby człowiek dokupić sobie czegoś do żarcia. Kapitan chce wam pomóc. Bierzcie – to dla was!” – wyciąga z portfela pięćdziesiąt rubli (to kapitańskie! zaraz widać, jak mało ich obowiązuje sprawozdawczość finansowa, może ich jednych – w całym kraju!) – i wtyka je naszemu U.

I oto na widok tej bladozielonej żaby, jaką mu każą tu jeść, pryskają nagle czary kapitana–bazyliuszka, cała hipnoza, wszystkie pęta, znika cały lęk, nawet o rodzinę: wszystko, co tu się stało, cały sens tego kosmaru materializuje się w tym wstrętnym świstku, nasyonym zielonkawą limfą, w tych zwyczajnych srebrnikach judaszowych. I nie myśląc już o tym, co stanie się z rodziną, U. w naturalnym odruchu obrzydzenia – odrzuca banknot, a niedomyślny Riabinin znów mu go wtyka. Wówczas U. strąca go na podłogę – i wstaje, nareszcie z ulgą, nareszcie WOLNY, za nic już sobie mając i pouczenia Riabinina, i własny podpis na kapitańskim cyrografie, i wszelkie papierkowe zobowiązania, tak mało ważne w obliczu wielkich obowiązków ludzkich! Wychodzi, nie dbając o nic. Idzie przez żonę lekkonogi – i wolny! wolny!

No, niezupełnie. Gdyby oper był tępakiem, to sprawa ciągnęłaby się dalej. Ale kapitan–bazyliuszek zrozumiał, że dureń Riabinin złamał ząbek, że wepchnął nie ten wytrych, co należy. W tym obozie już żadne macki nie sięgały po U. Riabinin udawał, że go nie widzi. U. uspokoił się i nawet się rozpogodził. Zaczęto właśnie wysyłać więźniów do Specobozów i U. znalazł się w Steptagu. Tym bardziej był pewien, że wszystko się skończyło.

Ale nie! Ślad w aktach widocznie pozostał. Pewnego dnia U. został wezwany do pułkownika. „Podobno zgodziliście się na współpracę, ale nie zasługujecie na zaufanie. A może – nie wyjaśniono wam dobrze, o co chodzi?”.

319

Ale ten pułkownik już nie budził w naszym U. lęku. Całą rodzinę U. – podobnie jak mnóstwo rodzin innych Bałtów – już deportowano na Syberię. Nie ulegało wątpliwości, że trzeba jakoś odczepić się od groźnych natrętów. Tylko jaki znaleźć pretekst?

Pułkownik przekazał U. jakiemuś lejtnantowi do dalszej obróbki. Lejt–nant wysilał się, groził, mamił obietnicami, a nasz U. tymczasem zastanawiał się co i w jaki sposób powiedzieć mu na odczepne?

U. był człowiekiem wykształconym i niewierzącym. Mimo to, doszedł do wniosku, że ocalić go może tylko odwołanie się do religii. Nie bardzo to było zgodne z zasadami – ale okazało się sposobem skutecznym. Oznajmił więc, na przekór prawdzie: „Muszę wam wyznać szczerze, że wychowany zostałem w duchu chrześcijańskim i dlatego współpraca z wami jest dla mnie wykluczona!”.

I tyle! I wielogodzinne namowy lejtnanta skończyły się jak nożem uciął! Zrozumiał, że ten numer nic nie da. „Potrzebnyś ty nam, jak psu piąta noga! – wrzasnął ze zło-

ścią. – Pisz więc oświadczenie, że się nie zgadzasz! (Znów musi być na piśmie!). – O Bozi też napisz, koniecznie to wyjaśnij!".

Widocznie sprawa każdego donosiciela musi kończyć się tak, jak się zaczęła: specjalnym papierkiem. Powołanie się na Chrystusa również lejtnantowi odpowiadało: nikt z wydziału operacyjnego nie mógłby już mu zarzucić, że coś zaniedbał, że mógł jeszcze jakiś chwyt zastosować.

Czy nie zgodzi się bezstronny czytelnik, że pierzchają oni przed imieniem Chrystusowym, jak diabły przed święconą wodą, przed dzwonem na jutrznię?

Oto dlaczego nasz reżym nigdy nie pogodzi się z religią chrześcijańską! I próżno to nam zachodni komuniści obiecują.

XIII

ZDARTO CI SKÓRĘ–SZYKUJ NASTĘPNĄ

Czy można komuś uciąć łeb, skoro już raz był ścięty? Można. Czy można zedrzeć skórę z człowieka, jeśli już raz mu ją zdarto? Można.

Wynalazku tego dokonano w naszych obozach. Wymyślono to na Archipelagu! I niech nikt nie mówi, że brygada jest jedynym komunistycznym uzupełnieniem teorii kar. A drugi wyrok obozowy – to betka? Rzeki skazańcze, spływające na Archipelag ze świata dookolnego, nie rozlewają się tu spokojnie, ale raz jeszcze zostają przepompowane rurami ponownego śledztwa.

O, błogostawione są zaiste te okrutne satrapie, te despotie, te barbarzyńskie państwa, w których nie wolno kłaść aresztu na kimś, kto już został aresztowany! Gdzieś kogoś, siedzącego w więzieniu – nie można już uwięzić. Gdzie po wyroku – nie wzywają już człowieka do sądu! Gdzie skazaniec nie może być za to samo skazany po raz wtóry!

A u nas – to wszystko jest możliwe. Toć człowieka rozdeptanego, zgubionego, zrozczonego – tym łatwiej jest ogłuszyć obuchem topora! Bij leżącego – oto etyka naszej służby więziennej. Kto mości drogę trupami, ten dalej zajdzie – oto etyka naszych pełnomocników operacyjnych!

Istnieje pogląd, że śledztwo wewnętrzne i sąd w obozie też wynaleziono na Solówkach, ale tam po prostu strzelano ludziom w łeb pod dzwonicą. W okresie zaś pięciolatek i przerzutów rakowych – zamiast kuli wszedł w użycie powtórny wyrok obozowy.

Jak zresztą można byłoby bez tych powtórnych (trzecich, czwartych) wyroków za-trzymać w obrębie Archipelagu i zgładzić wszystkich, komu to było przeznaczone?

Repetowanie kar – jest takim samym typowym przejawem życia Ar-

14 – Archipelag Gulag t.

321

chipelagu, jak zdolność do regeneracji ogona – jest typową cechą jaszczurki.

Jak długo tłucze się życie w naszych obozach, jak długo kostnieje z zimna nasz los zesańczy – tak długo wisi nad głowami skazańców groźba, że spadnie na kark druga kara, jeszcze nim się ta pierwsza skończy. Te repety dawano w obozach już od dawna, ale najwięcej ich było w latach 1937–38 i podczas wojny. (W latach 1948–49 główna masa tych powtórek przypadła na obszary leżące poza granicami Archipelagu: bo przegapili, bo niedopał-rzyli, bo nie wszystkim dano te domiary jeszcze w obozie – i teraz trzeba było wyłapywać ich na wolności i zaganiać z powrotem za druty. Tych właśnie nazywano repelentami, skazani zaś w obozie nawet osobnego przezwiska nie mieli).

I był to w istocie akt miłosierdzia – choć tak mechanicznego – że w 1938 roku te obozowe repety dawano bez ponownego aresztowania i śledztwa, bez rozprawy sądowej. Wzywano po prostu całe brygady do Działu Ewidencji (URCz) i kazano kwitować na piśmie odbiór zawiadomienia o nowym wyroku. (Za odmowę podpisu zwyczajnie posyłano do karceru – jak za palenie w miejscu niedozwolonym. Wyjaśniano nawet całkiem po ludzku: „To nie jest dowód, że się przyznajecie do jakiejś winy, tylko kwitek, żeście byli zawiadomieni”). Na Kołymie dawano w tym trybie po 10 lat, a w Workucie – nawet mniej: 8 albo i 5 lat, na mocy decyzji OSO.

I daremny był wszelki sprzeciw – bo czym w ciemnym bezkresie Archipelagu – różni się osiem lat od osiemnastu, dziesiątka na początku od dziesiątki na końcu cyfry? Ważne było tylko to, że dziś nikt cię nie szarpie i nie ćwiartuje.

Można dziś uznać za dowiedzione, że epidemia obozowych spraw i wyroków w 1938 roku wybuchła na skutek jakiegoś odgórnego zlecenia. To tam, na górze, doszli do wniosku, że za mało dotychczas ludziom wrzepio–no, że warto dosypać do pełna (a temu i owemu nie pożałować ołowiu), i całą resztę porządnie tym nastraszyć.

Ale ta gorączka wtórnych wyroków czasu wojny podsycana była od dołu. Podgrzewał ją wesoły ogienek ludowej inicjatywy. Z góry przyszła zapewne wskazówka, w myśl której należało w każdym obozie unieszkodliwić i odizolować od reszty więźniów najbardziej rzucające się w oczy jednostki, które mogłyby w odpowiednich warunkach stać się prowodyrami ewentualnych buntów. Mięsożerne pacholęta w terenie natychmiast doceniły, że jest to żyła złotonośna; dostrzegli oni szansę uchronienia się przed pójściem na front. Pomysł ten narodził się, jak wolno sądzić, w niejednym obozie i szybko został upowszechniony, jako wynalazek pożyteczny, dowcipny

322

i zbawienny. Obozowi czekałsi też gołymi pierściami zatykali strzelnice niemieckich bunkrów, tylko że nie były to ich własne piersi.

Niech dziejopis spróbuje wyobrazić sobie atmosferę tych lat: na całym froncie – odwrót. Niemcy otoczyli Leningrad, stoją pod Moskwą, są w Woroneżu, doszli do Wołgi, do Kaukazu. Na zapleczu – coraz mniej mężczyzn; każdy zdrowy, młody chłop ściąga na siebie spojrzenia pełne wyrzutu. Wszystko dla frontu! Rząd gotów jest zapłacić każdą cenę, byleby powstrzymać Hitlera. I tylko obozowi oficerowie (no i bracia ich z bezpieczeństwa) – upasieni, gładcy, wypoczęci – wszyscy siedzą na swoich tyłowych posadkach (mam tu fotografię dobrze odżywionego kuma obozowego – widać zaraz, że mu bardzo a bardzo na życiu zależy!) – a im dalej na Północ czy w głąb Syberii – tym spokojniej im się żyje. Ale rozumując trzeźwo – jest to pomyślność chwiejna. Wystarczy jeden okrzyk: a wziąć ich pod światło, tych pyzatyh cwaniaczków z obsługi obozów! Brak im wyszkolenia bojowego? – nie szkodzi: nadrobią to ideo–wością! – Dobrze jeszcze, jeśli posłano którego do milicji albo do oddziałów zaporowych, ale bywało gorzej: sformować z nich oficerskie bataliony! rzucić pod Stalingrad! Latem 1942 roku zwija się w ten sposób całe szkoły oficerskie i posyła na front elewów przed promocją. Wszystkich młodych i zdrowych konwojentów już dawno powołano do szeregów – i cóż, obozy się nie zawaliły. Więc bez operów też się nie zawala! (Już krążą nawet takie gadki).

Mieć zaświadczenie, że jest się wyreklamowanym – to glej na życie! To szczęście! Jak tu zachować tę pozycję? W sposób prosty i naturalny: wykazując, że jest się niezbędnymi tutaj! Trzeba zatem dowieść, że – gdyby nie czujność czekistów – to

obozy dawno by już eksplodowały! bo to kotły z kipiącą smołą! Bez nich – nasz wspaniały front się nie utrzyma! Właśnie tu, w podbiegunowych obozach, tyraliera pełnomocników operacyjnych odpięła własną, białą piersią nacisk piątej kolumny, powstrzymuje marsz Hitlera! To jest ich udział w walce o Zwycięstwo! Nie żałując sił – prowadzą dochodzenia i wciąż wykrywają nowe spiski.

Dotąd tylko nieszczęśnicy, wycieńczeni więźniowie, wyrывая sobie wzajem chleb z zębów, toczyli tu walkę o życie. Teraz do tej walki włączyli się bez skrupułów również wszechwładni operczekisci. „Ja zdechnę jutro, ale ty już dziś!” Zgiń lepiej ty, brudny bydlaku – i uratuj mnie własną śmiercią od zagłady.

Oto jak załatwili w obozie Ust'-Wym osiemnastu ludzi: chcieli oni,

323

rozumie się, rozbroić ochronę, przywłaszczyć sobie jej broń (pół tuzina starych strzelb)! – no, a dalej co? Trudno wręcz wyobrazić sobie rozmach dalszych planów: chcieli poderwać do buntu całą Północ! pomaszerować na Workutę! na Moskwę! przyłączyć się do fińskiego marszałka Manner-heim! Więc lecą a lecą depesze i meldunki: ukręcono łeb wielkiemu spiskowi! w obozach wrzenie! trzeba wzmocnić organy operacyjne!

Ale cóż to? Już w każdym obozie wykrywa się spiski! spiski! spiski! I to – coraz groźniejsze! z coraz większym rozmachem organizowane! Te przebiegłe dochodził – udają tylko, że byle podmuch ich może obalić – a tymczasem swoimi szponiastymi, pellagrycznymi łapami już sięgają po karabiny maszynowe! O, niech będą dzięki operczekistom! O, Trzeci Oddziale, toś ty Rosję uratował od zguby!

Siedzi ci w takim III Oddziale (Obozy Dżydińskie, Buriat-Mongolia) niezła paczka: naczelnik oddziału operacyjnego Sokołow, śledczy Mironienko, pełnomocnicy – Kałasznikow, Sosikow, Osincew. Aleśmy się zagapili! – powiadają. Wszędzie te spiski, a my śpimy czy co? U nas też uknęło kolosalny spisek, tylko jaki? No, oczywiście – żeby „rozbroić straż” i żeby „ucieć za granicę”; przecież zagranica blisko, a Hitler daleko. Od kogo więc tu zacząć?

I – niczym psia, rozżarta sfora, rwąca na strzępy chudego wyleniałego królika – tak rzuca się ta błękitna zgraja na nieszczęsnego Babicza. Był niegdyś badaczem polarnym, bohaterem, a teraz jest owrzodzonym docho-diagą. To on na początku wojny omal nie oddał lodotamacza „Sadko” w niemieckie ręce, więc też teraz wszystkie nici spisku powinny zbiegać się do niego! To on swoim stoczonym przez szkorbut ciałem powinien osłonić ich spalone cielska.

„Jeżeli jesteś złym sowieckim obywatelem, to tak czy owak zmusimy cię do postuszeństwa – będziesz kłaniać się nam w pas. Nie pamiętasz? – Już my ci przypomnimy] Niesporo idzie ci pisanie? – Pomożemy] Prosisz o czas do namysłu? – do karceru z nim, niech żre trzysta gramów, nie więcej”.

A inny operczekista dodaje: „Wielka szkoda. Z czasem zrozumiecie, rzecz jasna, że rozsądniej było spełnić nasze żądania. Ale zrozumiecie to zbyt późno, kiedy można będzie was złamać jak ołówek w palcach”. (Skąd do nich ta obrazowość stylu? sami to wymyślili, czy może w przewodniku dla operczekistów jest taki podręczny zestaw metafor, pióra jakiegoś nieznanego poety?).

A oto przesłuchanie u Mironienki. Ledwie tylko Babicz zostaje wprowadzony do gabinetu, zapach smażonegojadła aż zapiera mu dech... A Mi-ronienko sadza go jak najbliżej wazy z parującym barszczem na mięsie oraz półmiska z kotletami. I z pozoru wcale nie zwracając uwagi na ten barszcz

324

i kotlety, a nawet na to, że Babicz je widzi, zaczyna życzliwym tonem przytaczać dziesiątki argumentów, mających zagłuszyć głos sumienia i wyjaśnić, dlaczego można i trzeba składać fałszywe zeznania. Upomina więźnia po przyjacielsku: – Gdy wzięto was po raz pierwszy, prosto z ulicy, to próbowaliście wykazać, że jesteście niewinni; no i nie udało się. Przecież się nie udało! Dlaczego? A dlatego, że wasz los był z góry przesądzony, jeszcze przed aresztowaniem. Teraz tak samo. No, zjedzcie już ten obiad, zjedzcie. Jedzcie, póki gorące... Jeżeli nie będziecie głupi – to zakwitnie między nami święta zgoda. Nic wam nigdy nie będzie brakowało... A jeżeli nie...

I Babicz się załamał! Głód życia okazał się mocniejszy od głodu prawdy. I zaczął pisać o wszystkim pod dyktando. I oszkalował 24 osoby, z których znał – na dobrą sprawę – tylko cztery! Przez cały czas badań – żywiono go dobrze, ale nie do syta, aby przy pierwszej próbie oporu znów móc zagrozić głodem.

Dreszcz przenika, gdy się czyta jego wspomnienia, spisane przed śmiercią: z jak wysoka – i jak nisko przy tym upaść może człowiek nawet tak mężny! Jak nisko każdy z nas upaść może...

I dwudziestu czterech ludzi, niczego nieświadomych, poszło pod mur albo na nowe, długoletnie katusze. A Babicza – jeszcze przed rozprawą – posłano do sowchozu jako asenizatora. Później musiał świadczyć na rozprawie, sam dostał nową dychę z tym, że pierwszą mu anulowano – ale umarł w obozie przed końcem tej drugiej kary.

A ta paczka z Dzydina, z III Oddziału?... No, może ktoś przeprowadzi śledztwo w sprawie tej bandy?! Ktokolwiek bądź! Jakiś współczesny! Ktoś z naszych potomków!

A ty? Myślałeś, że w obozie można wreszcie pofolgować sobie? Że tu można chociaż na głos się poskarżyć: patrzcie, jaki straszny wyrok mi dali! To ma być wikt?! Jak ciężko muszę pracować! Albo – może myślałeś, że tu opowiesz przynajmniej, za co ci ten wyrok dano? Jeżeli cokolwiek z tych rzeczy powiedziałeś na głos, tu już przepadł! Już cię nowa dycha nie minie! (Co prawda, te dychy nie sumują się, początek nowej oznacza zakończenie starego rachunku, tak, że odsiedzieć będziesz musiał nie dwadzieścia, lecz trzynaście, piętnaście lat... Ale zawsze więcej, niż zdołasz wytrzymać).

Jak to, masz pewność, żeś milczał jak ryba? I mimo to znów dosunęli ci drugi wyrok? Cóż, tym razem też wszystko gra! – to, że dosunęli, nie ma nic wspólnego z twoim zachowaniem. Wsadza się przecież nie za coś tylko po coś. W myśl tej samej zasady strzygą też wolne barany. Gdy banda z III

325

Oddziału idzie na łów, poluje na upatrzonego, ma już listę najwybitniejszych w obozie osób. Właśnie ten spis podyktują oni później Babiczowi...

W obozie przecież jeszcze trudniej się schować, tu wszystko – jak na dłoni. I tylko jeden masz ratunek, człowieku: być zerem! Okrągłym zerem. I to już od początku. Bo później – wcale już nietrudno przypiąć człowiekowi odpowiednią łatę.

Gdy skończył się urodzaj na „spiski” (Niemcy zaczęli się cofać) – gdzieś w 1943 roku wytoczono z kolei mnóstwo spraw o „agitację” (kumom dalej jakoś nie bardzo było pilno na front!). W obozie Buriepołom opracowano następujący zestaw: – działalność skierowana przeciw polityce WKP(b) i rządu sowieckiego (jak i co tu można było „skierować przeciw” – tego zrozumieć nie podobna); – defetystyczne plotki;

- oszczercze wypowiedzi na temat sytuacji materialnej mas pracujących Związku Sowieckiego (wystarczy powiedzieć prawdę – a już to starczy za oszczerstwo);
- wyrażenie chęci(!) przywrócenia ustroju kapitalistycznego;
- manifestowanie urazy do rządu sowieckiego (to już wyjątkowa bezczelność! – Właśnie ty, wywłoko, czujesz jakąś urazę? dostałeś dychę, to milcz!).

70-letniego byłego dyplomata carskiego oskarżono, że prowadził agitację na tematy następujące:

- że w ZSSR klasa robotnicza żyje w ciężkich warunkach;
- że Gorki jest marnym pisarzem (!!).

Trudno twierdzić, że tu już trochę przesolili, bo za Gorkiego zawsze dostawało się wyrok, już taką miał pozycję. Ale niejaki Skworcow w Łoch-czemłagu (niedaleko Ust'-Wymu) zainkasował 15 lat, przy czym wśród zarzutów był taki:

- przeciwstawia! proletariackiemu poecie Majakowskiemu pewnego poetę burżuazyjnego.

Zarzut ten widniał w uzasadnieniu wyroku – i nie wymagał rozwinięcia, aby stać się jego motywem. Ale z protokołów sprawy można dowiedzieć się, o jakiego to „pewnego” poetę chodziło. Okazuje się, że o Puszkina! Złapać wyrok za Puszkina – to już rzadkość!

Po takich historiach – Martinson, który rzeczywiście powiedział w walcowni blachy, że „ZSSR – to jedna ogromna żona” – powinien Bogu dziękować, że wykpił się byle dychą.

326

Albo ci, co odmawiali chodzenia do pracy, za co dano im tylko po dziesiątku, mogąc wszak skazać ich na rozstrzelanie!

Ale nie sama ilość lat, nie absurdalna, fantastyczna wręcz długość tych kar jest najstraszniejszą cechą dodatkowych wyroków, lecz sposób w jaki się je dostaje – i myśl, jak przeczotać się teraz przez żelazną rurę, pełną lodu i śniegu.

Zdawałoby się, że aresztowanie – to błąhostka dla kogoś, kto już siedzi w obozie. Jeśli wzięto kiedyś człowieka znienacka, prosto z ciepłej pościeli – to mniejsza teraz o nieprzytulny barak z gołymi pryczami. Właśnie, że nie! W baraku piec gorący, w baraku dają co dzień jeść – ale przyjdzie ci taki strażnik – szarpie w nocy za nogę: „Zbieraj się!”. Ach, jak się człowiekowi nie chce!... Ludzie, ludzie, tak was kochałem.

Obozowe więzienie śledcze. Co by to było za więzienie i jak mogłoby ono przyczynić się do szczerych zeznań, gdyby nie było gorsze od samego obozu? Tych więzień z reguły nie ogrzewa się. Jeśli ziąb jeszcze za mały – to każą więźniom siedzieć w samej bieliźnie. W sławetnej workuckiej Trzydziestce (nazwę przejęto od czekistów, telefon więzienia miał numer „30”), w baraku z tarcic – a rzecz dzieje się za Kołem Podbiegunowym – przy czterdziestostopniowym mrozie – dawano na opał jeden ceberek węglowego miału na dobę, choć w Workucie, jak wiadomo, węgla nie brak. Inna szykana: nie dawano zapatek, a na rozpałkę – wszystkiego jedną trzaskę grubości ołówka. (Schwytyanych uciekinierów trzymano w tej Trzydziestce zupełnie BEZ ODZIEŻY; jeśli po dwóch tygodniach ktoś z nich jeszcze żył, to dostawał letnie sorty, bez waciaka. I ani materaców, ani koców. Czytelniku! Spróbuj przespać tak jedną noc! W baraku było mniej więcej pięć stopni poniżej zera).

Tak siedzą więźniowie śledczy przez parę miesięcy! Przychodzą tu już osłabieni wieloletnim głodem i niewolniczą pracą. Teraz już łatwo ich wy-

1 Tak się spodoba ten proceder wymierzania dodatkowych kar, tyle sensu wniesie to w życie operczekoddziału, że gdy wojna już się skończy, gdy już nie będzie można uwierzyć ani w spiski, ani nawet w defetystyczne nastroje – zaczniesz się ferowanie wyroków za wykroczenia pospolite. W 1947 roku, w karnej kolonii rolnej Dolinka, co niedziela odbywały się wewnątrz żony procesy pokazowe. Sądzonego ludzi za to, że jedli w polu surową marchew i rzepę (co by powiedzieli chłopci pańszczyźniani, gdyby obecni byli na takiej rozprawie?) i za takie rzeczy wlepiano po 5, po 8 lat – na podstawie dopiero co wydanego Wielkiego Dekretu „cztery szóstych”. Pewien były „kułak” kończył już odsiadki swojej dychy. Orał w obozowego wołka i nie mógł patrzeć, jak bydłatko głoduje. Tego właśnie obozowego wołka – nie siebie! – nakarmił burakami i dostał za to 8 lat... Rzecz jasna, żaden przedstawiciel „socjalnie bliskiego elementu” nie myślałby nawet o dokarmianiu bydła! Tak właśnie przez dziesięciolecia dokonuje się wśród ludu selekcja, tak się oddziela tych, co mają żyć, od tych, co powinni umierać.

327

kończyć. Jak są żywieni? – a jak III Oddział zadecyduje: tu 350, ówdzie 300, a w Trzydziestce – 200 gramów chleba, lepkiego jak glina, to znaczy – kęs nie większy od pudełka zapalek. Ponadto – raz dziennie miska wodnistej bałandy. Ale nieprędko zaznasz błotnego ciepła, nawet jeśli wszystko podpisałeś, zeznałeś, poddałeś się, godząc się spędzić jeszcze dziesięć lat na lubym Archipelagu. Z Trzydziestki przenoszą więźnia przed rozprawą do workuc–kiego „namiotu śledczego” nie mniej sławnego. Jest to istotnie najzwyczajniejszy namiot, przy tym dziurawy. Podłogi nie ma żadnej, zamiast niej – polarna ziemia. Wymiary – 7x12 metrów. Żelazna beczka zamiast pieca. Są nary z jednej warstwy żerde, miejsca obok pieca – zawsze zajęte przez szemranych. Plebs polityczny – gdzieś dalej albo na ziemi. Leży człowiek i widzi gwiazdy nad głową. Więc już się modlić gotów, żeby go co rychlej skazano! niech już prędzej przyjdzie ten wyrok! Sąd wydaje się wybawieniem. (Powie mi ktoś, że człowiek nie może tak żyć pod biegunem, chyba że karmi go się czekoladą i odziewa w futra. A u nas – może! Nasz sowiecki człowiek, nasz tubylec z Archipelagu – wszystko potrafi! Arnold Rappoport przesiedział w tych warunkach wiele miesięcy – bo kompletnie sędziowski jakoś nie mógł dojechać z Narian–Maru na sesję wyjazdową sądu okręgowego). A oto – dla przykładu – jeszcze jedno więzienie śledcze: podobóz Orotukan na Kołymie, 506 kilometrów od Magadanu. Zima z 1937 na 38. Osada parciano–drewniana, to znaczy – dziurawe namioty, ale jednak obłożone tarcicami. Przyjeżdża świeży etap, nowa grupa skazanych na nowe śledztwo – i jeszcze zanim otworzyły się przed nimi wrota, ludzie ci widzą, że każdy namiot w osadzie, ze wszystkich stron prócz wejściowej OSZALOWANY JEST ZAMARZŁYMI NA KOŚĆ TRUPAMI! (zrobiono to nie na postrach – nie ma innego wyjścia: ludzie wymierają, śnieg ma dwa metry grubości, a pod nim – wieczna zmarzlina). Teraz kolej na męki oczekiwania. Trzeba w tych namiotach czekać, aż raczą przenieść człowieka do śledczego bloku z drewnianych bali. Ale zbyt wielu tu się ich zebralo – tę masę królików spędzono tu z całej Kołymy, funkcjonariusze nie dają rady, zatem większość przywiezionych skonała tu jeszcze przed pierwszym przesłuchaniem. W namiotach ścisk, nie można nóg rozprostować. Leżą na narach, na ziemi, leżą tak tygodniami. (To ma być ścisk? – słyszymy głos z obozu Serpantinka. – U nas czeka się na rozstrzelanie tylko parę dni, to prawda, ale cały ten czas trze-

ba stać w szopie, stać w takim tłoku, że kiedy ludziom dają pić, to znaczy – kiedy rzucają przez drzwi kawałki lodu – to nie sposób wyciągnąć ręki, tylko

328

trzeba nadstawiać otwarte usta, aby złapać okruch). Nie ma kąpieli ani spacerów, świerzb żre skórę. Wszyscy z zaciekłością drapią się, wszyscy iskają się, przeszukują wątowne portki, fufajki, koszule, gacie, ale wcale ich nie zdejmują, bo zimno.

Wielkie, białe, dorodne wszy przypominają upasione, mleczne prosięta. Kiedy trzaskają pod paznokciem – posoka bryzga i plami palce.

Przed obiadem dyżurny strażnik krzyczy od progu: „Wykitował tam który?”. „Jest paru” – „Kto chce dostać pajkę ekstra – niech wyniesie!”. Wynoszą więc i kładą na stercie, okalającej szopę. I nikt NIE PYTA NAWET O NAZWISKA ZMARŁYCH! – porcje wydawane są zgodnie z liczbą więźniów. A porcja – to trzysta gramów. I jedna miska bałandy dziennie. Dają jeszcze trochę ryby. Ryba jest diabło słona. Bardzo po niej chce się pić, ale wrzątku nigdy nie ma, nie dają go w ogóle. Stoją beczki z lodowatą wodą. Trzeba wypić niejednego kubek, aby ugasić pragnienie. G.S.M. perswaduje przyjaciół: „Nie jedzcie tych ryb – bo zginiecie bez ratunku! Całą ilość kalorii, jaką wam daje chleb – tracicie przez tę zimną wodę!”. Ale ludzie nie potrafią wyrzec się kęsa darowanej ryby, żrą ją i znów muszą pić. I dygoczą z zimna, co już siedzi w trzewiach. Tylko M. ryb nie je – za to teraz może nam opowiadać o Orotukanie.

Ciasno bo ciasno było w baraku – ale robi się coraz luźniej i luźniej. Po kilku tygodniach resztki etapu wyganiają na dwór, na apel. W zapomnianym już blasku dnia mogą się teraz przyjrzeć sobie wzajem: bladzi, zarośnięci, z perłowymi girlandami gnid na twarzy, usta mają wyschłe i sine, oczy zapadłe. Apel odbywa się wedle formularzy. Odpowiedzi są ledwie dostyszalne. Fiszki, na które nikt nie dał odzewu, odkładane są na bok. W ten sposób wyjaśnia się, kto leży już w sagach, kto uniknął śledztwa.

Wszyscy, którym udało się przetrzymać Orotukan twierdzą, że wolą komorę gazową...

Śledztwo? Ma taki przebieg, jaki zaplanował sobie funkcjonariusz śledczy. Kto stawał okoniem – ten już nic wam nie opowie. Jak mawiał oper Komarów: „Mnie potrzebna jest tylko twoja prawa ręka – żeby było czym podpisać protokół...”. No, tortury są typu prymitywnego, domowego chowu – przyskrzynianie ręki drzwiami i tam dalej (niech zresztą czytelnik spróbuje).

Sąd? A jest tam jakieś Łagkolegium – podlegające sądowi okręgowemu – stały organ sprawiedliwości w obozie, coś jakby sąd rejonowy. Praworządność tryumfuje! Występują nawet świadkowie, kupieni przez III Oddział za miskę zupy.

W obozie Buriepołom brygadziści często bywali świadkami oskarżenia w sprawach członków własnej brygady. Zmuszał ich do tego śledczy –

329

Czuwasz, niejaki Krutikow. „Bo inaczej odbiorę ci brygadę i poślę na Pieczorę!”. Wychodzi więc taki brygadzysta, Mikołaj Rożyn (z miasta Górki) i zeznaje: „Tak jest, Berasztejn mówił, że maszyny do szycia Singer są dobre, a nasze, z Podolska do chrzanu”. Wystarczy! Czy to nie dosyć, jak na sesję wyjazdową Sądu Okręgowego (przewodniczący – Buchonin i dwie miejscowe ławniczki, komsomołki Żukowa i Korkina)? Dziesięć lat!

Był jeszcze w Buriętopołomie kowal – Antoni Wasilewicz Bałybierdin (miejscowy, z pobliskiego Tanszaju) – który występował jako świadek oskarżenia w każdej w ogóle sprawie. Jeśli go ktoś spotka, to niechże uściśnie jego strudzoną prawicę! I w końcu – jeszcze jeden etap, do innego podobozu, żeby ci czasem nie zachciało się porachunków ze świadkami oskarżenia. Etap to krótki – jakieś cztery godziny na otwartej platformie kolejki wąskotorowej.

Niech żyje czujność czekistów, która nas uratowała od klęski na froncie, ich zaś samych – od pójścia na front!

Podczas wojny (wyjawszy te okręgi, z których cofaliśmy się w pośpiechu; setki setcin rozstrzelano tam w celach – przed porzuceniem więzień i miast) w łagrach niezbyt często stosowano rozstrzelanie; wyroki opiewały najczęściej na nowe lata odsiadki: operczekistom potrzebne było nie likwidowanie tych ludzi, tylko wykazanie się wykryciem ich przestępstw. Ponownie skazani mogli pracować albo od razu wywinąć orła – ale to już była inna sprawa, dotycząca pionu produkcji.

W 1938 roku natomiast naciskano z góry bardzo niecierpliwie – żeby rozstrzeliwać! Rozstrzeliwano w miarę sił we wszystkich obozach – ale najwięcej tego było na Kolyście (egzekucje „garaninowskie”) i w Workucie (egzekucje „kaszkietinskie”).

Z tymi ostatnimi wiąże się szarpiąca bebechy nazwa Starej Cegielni. Tak się zwała stacja wąskotorówki, leżąca 20 kilometrów na południe od Worku ty.

Po „sukcesie” głódówki trockistów w marcu 1937 roku, po oszukańczym jej zażegnaniu, przystano z Moskwy tzw. „komisję Grigorowicza”, która miała poddać strajkujących śledztwu. Na południe od Uchty, niedaleko mostu kolejowego na rzece Ropcza, otoczono kawał tajgi palisadą z drewnianych bierwion i stworzono nowy izolator – Uchtarka. Tam właśnie prowadzono śledztwo w sprawie trockistów z południowego odcinka magistrali. Do samej zaś Workuty posłano członka tejże komisji, nazwiskiem Kaszkietin. Tu zaczął on przepuszczać trockistów przez „namiot śledczy”

330

(stosował bicie kańczugiem!) i – nie nalegając nawet zbytnio, aby przyznawali się do winy – układał swoje „kaszkietinskie spisy”.

Zimą, na przełomie 1937 i 38. roku z rozmaitych punktów zbórnych – ze skupiska namiotów przy ujściu Syr-Jagi, z Koczmasu, z Siwej Maski, z Uchtarki – tych trockistów, a także tzw. decystów² zaczęto ściągać na teren Starej Cegielni (niektórych – bez żadnego wstępnego śledztwa). Kilku najwybitniejszych przeniesiono do Moskwy w związku z procesami przywódców. W kwietniu 1938 roku zebrano ogółem w Starej Cegielni 1053 ludzi. Wśród tundry, kawał drogi od wąskotorówki, stała stara, długa szopa. Tam umieszczono tych, co brali udział w strajku głodowym, a później, gdy nadeszły dodatkowe transporty – rozbito opodal jeszcze dwa namioty – stare, dziurawe, niczym nie oszalowane – każdy na 250 ludzi. Jak ich tam traktowano – można się domyśleć znając opis Orotukanu. Każdy namiot miał wymiary 20 x 6 metrów. Pośrodku stała beczka żelazna, pełniąca obowiązki pieca. Przydzielano jedno wiadro węgla na całą dobę; podsycać ogień można było chyba tylko własnymi wszami. Gruba warstwa szronu pokrywała brezent od wewnątrz. Brak było miejsc na na-rach, więc leżało się i chodziło na zmianę. Dawano dziennie po 300 gramów chleba i po misce bałandy. Czasami, ale nie co dzień – kęs sztokfisa na dodatek. Nie było wody, lód też wydawano po kawałku. Rozumie się, że nikt się nie mył, o łaźni nie było mowy. Gnilec toczył ciała, skóra pokrywała się plamami.

Czymś najgorszym była w Starej Cegielni obecność knajaków – których specjalnie podrzucano trockistom. Wśród tych obozowych szturmowców było wielu morderców z wyrokami śmierci na karku. Otrzymali instrukcję, aby tępić to polityczne plugastwo i że nagrodą za to będzie złagodzenie kary... Knajacy z radością zabrali się do roboty tak przyjemnej i zgodnej z ich naturą. Otrzymali funkcje starostów (wiadomo, że jeden z nich nosił przydomek „Mróz”) i podstarościch, chodzili z pałami w rękę, bili nimi tych byłych komunistów i znęcali się nad nimi, jak umieli: kazali się nosić na barana, zabierali komuś rzeczy, fajdali na nie i wrzucali je do pieca. W jednym z namiotów polityczni rzucili się w końcu na szemranych, chcąc ich zatnie, ale ci podnieśli wrzask i konwój zaczął ostrzeliwać namiot z zewnątrz, paląc na oślep w obronie swojaków.

Jedność i wola walki uczestników niedawnego strajku zostały nadłamane przez to pastwienie się kryminalistów nad politycznymi.

W Starej Cegielni, w zimnych i dziurawych szataśach, w nędznym, nie
2 Zwolennicy demokratycznego centralizmu.

331

dającym żadnego ciepła piecu, dopalały się ostatnie rewolucyjne porywy dwudziestolecia okrucieństw i prób przebudowy świata.

Mimo to, więźniowie ze Starej Cegielni wciąż spodziewali się przeniesienia na jakiś inny teren; ludzie zawsze czepiają się pozorów nadziei. Od kilku miesięcy dręczono ich tu, było to już nieznośne. I rzeczywiście, wczesnym rankiem 22 kwietnia (data nie została ustalona zbyt ściśle – jest to w końcu dzień urodzin Lenina) zaczęto zbierać etap; wyznaczono 200 ludzi. Każdy z wezwanych dostawał swój worek z depozytu i kładł go na sanie. Konwój prowadził pieszą kolumnę na wschód, w głąb tundry – bezludnej w szerokim promieniu; gdzieś, daleko leżał Salechard. Knajacy jechali z tyłu na saniach z rzeczami. Jeden tylko szczegół wydał się dziwny tym, co zostali w obozie: nikt nie pokwapił się, aby podnieść kilka sakw, które spadły z sań.

Kolumna maszerowała szparko: mieli przed sobą jakieś nowe życie, nową pracę, choćby nawet męczącą, ale zawsze lepszą od tego czekania. Sanie zostały daleko w tyle. Eskorta też nie nadążyła: nie widać już było konwojentów ani przed kolumną, ani z boków, wlekli się gdzieś z tyłu. Cóż, opieszałość eskorty – to też dobry omen.

Świeciło słońce.

I nagle – czarna kolumna, brnąca przez olśniewającą biel śnieżnej przestrzeni – nadziała się na ogień karabinów maszynowych. Cekaemy szyty nie wiadomo skąd, zza białych wydmy. Koszeni ogniem więźniowie padali na śnieg, inni stali jeszcze, nikt nie rozumiał, co się dzieje.

Śmierć przyszła w śnieżnobiałym, świetlistym ornacie, bezgrzeszna, miłosierna.

Była to fantazja na temat przyszłej wojny. Zza wałów usypanych ze śniegu wstawali mordercy w polarnych, białych pelerynach maskujących (podobno w większości byli Gruzinami) podbiegali do gościńca i dobijali konających strzałem z pistoletu. Niedaleko były – wykopane zawczasu – doły i nadjeżdżający knajacy zaczęli żwawo ściągać do nich zwłoki. Rzeczy zabitych zostały spalone, co szemranym sprawiło spory zawód.

23 i 24 kwietnia rozstrzelano w ten sposób jeszcze 760 ludzi.

93 wróciło zaś etapem do Workuty. Byli to knajacy oraz – jak wolno przypuszczać – szpiedzy i prowokatorzy.

Wymienia się nazwiska Rojtmana, Istniuka, Modela (redaktor z Państwowego Wydawnictwa Literatury Pięknej – Goslitizdat), Alijewa. Z szemranych – Tadzika Nikołajewskiego. Nie możemy tu ustalić niezbiecie za co whściwie każdemu z nich darowano życie, ale trudno wyobrazić sobie inny powód. Przysłano mi niedawno zbiorowe oświadczenie korygujące moją wzmiankę o M.J. Modelu, który, jak się okazuje, nie był ułaskawiony

332

w ostatniej chwili na Starym Kirpicznym, lecz wyłowiony z karnego transportu jeszcze po drodze. Jest to epizod bardzo charakterystyczny dla solidarności ortodoksów: jeden z przybyłych właśnie enkawudzistów był dawnym współpracownikiem M. Modela z czasów służby w komisji śledczej przy Komitecie Wojenno–Rewolucyjnym Piotrogradzkiego SOWDEPU (czyli ze wspólnie rozwalali ludzi podczas Października). Stary kolega, widząc nazwisko Modela w spisie skazanych, usunął cichaczem na bok jego teczkę personalną i w ten sposób go uratował. Informacji tych udzieliło mi dwóch współwięźniów. Jeden z nich był tam i należał do tych, których oszczędzono. Drugi, bardzo dociekliwy i – już wtedy – marzący o utrwaleniu tych wydarzeń, zdołał spenetrować te okolice po świeżych jeszcze tropach i wypytać, kogo tylko mógł.

Ale z dalej położonych placówek skazani na śmierć przybywali z opóźnieniem, w grupach po 5–10 osób. Oddział zbirów czekał na nich na przystanku Cegielnia i prowadził w stronę starej łaźni. Była to budka z bierwion, obita wewnątrz trzema–czterema warstwami koców. Skazańcom kazano przed wejściem rozbierać się do naga na śniegu i wchodzić do środka. Tam zabijano ich strzałami z pistoletu. W ciągu 6 tygodni zgładzono w ten sposób koło dwustu ludzi. Trupy palone były w tundrze.

Spalono w końcu zarówno szopę w Starej Cegielni, jak blokhauz w Uchtarce. (A „łaźnię” załadowano później na lorę kolejową, odwieziono na 308 odcinek wąskotorówki i zrzucono z nasypu. Tam właśnie mógł jej się przyjrzeć mój znajomy. Jej całe wnętrze było pokryte zeskorpiałą krwią, ściany podziurawione, jak rzeszoto). O jeszcze jednej egzekucji masowej trockistów opowiedział Franz Dikler, Żyd z Brazylii, który w Nowym Yorku przejął się sowiecką propagandą, zaokrętował się jako marynarz na grecki statek i uciekł z niego w lenin–gradzkim porcie, aby budować socjalizm; oczywiście z miejsca dostał wyrok. Wiosną 1930 roku w Workucie Dikler pracował jako hamulcowy kolejki wąskotorowej Rudnik–Usa. Któregoś dnia nadszedł rozkaz z III Oddziału: wstrzymać ruch na torach, nie ładować węgla, przyszykować cztery platformy i dwa wagony towarowe; trzeba zawieźć transport zeków do Usy. Wkrótce doprowadzono – pod strażą liczego konwoju i mnóstwa psów – 250 ludzi. Pięćdziesięciu z nich byli to bandyci–recydywiści, reszta zaś – trockiści, w tym osiem kobiet. Większość odziana była przyzwoicie: futrzane czapki, futrzane kołnierze. Wśród trockistów Dikler rozpoznał swojego znajomego, Andrejczyka, urodzonego w Jugosławii Amerykanina i znanego komunistę, bliskiego współpracownika Fostera i Brow–dera. Niedługo Dikler słuchał jego przemówień w Madison Square Garden, a całkiem niedawno spotkał go w żonie, i dowiedział się o sukcesie ich

333

strajku protestacyjnego: trockiści zaczęli otrzymywać suchy prowiant, przyznano im wolne niedziele, dano im prawo do osobnych brygad roboczych i baraków. Teraz zaś wzięto ich w dyby i wsadzono do wagonów. Na stromych zjazdach Dikler krę-

cił korbą hamulca i wciąż zerkał na otwarte platformy. Andrejczyk zobaczył go i – patrząc w zupełnie inną stronę – zaczął krzyczeć na cały głos, jakby wcale nie do niego:

– Frank! Just listen, don't say a word! This is the end. We're going to be murdered in cold blood! Frank! Listen! If you ever get out, tell the world who they are: a bunch of cutthroats! Assassins, bandits! *

Andrejczyk nie przestawał krzyczeć. Dikler cały dygotał. Obok niego stał na bremzie stary wochrowiec z Kemi paląc spokojnie skręta. Kiedy Andrejczyk przestał krzyczeć, ludzie z transportu wrzasnęli chórem, rozległ się płacz kobiety, bo zapewne wielu rozumiało po angielsku. Naczelnik transportu zatrzymał pociąg i wystrzelił parokrotnie w powietrze. Wszyscy zamilkli. Naczelnik ryknął: „Znowu bunt? Chcieliście mieszkać osobno? Dobra. Właśnie po to jedziemy. Dostaniecie specjalną pajkę i specjalną robotę.” Pociąg ruszył dalej. Zatrzymali się na stacji Zmiejka. Trockistów wysadzono, a zestaw wrócił na stację Rudnik. Cała obsługa kolejarska dobrze wiedziała, że na stacji Zmiejka nigdy nie było żadnego podobozu, żadnej roboty i żadnego baraku. Przez dwa dni wąskotorówka była nieczynna. Później świadkowie–wozacy się znaleźli. Opowiedzieli, że cały transport wprowadzono do jaru, u wylotu którego czekały już karabiny maszynowe.

Dikler wyszedł w końcu na wolność, wrócił nawet do Brazylii, ale nie znalazł nikogo w całym świecie, kto chciałby go wysłuchać. Dopiero po czterdziestu latach wszystko opowiedział mnie.

Zresztą – nie był to wcale koniec mordów na trockistach. Zebrano jeszcze jakichś trzydziestu niedorżniętych i rozstrzelano niedaleko budynku Trzydziestki. Ale to już wykonał kto inny. Bo ten pierwszy pluton zbirów, ci operczekiści i konwojenci, a także knajacy, którzy brali udział w kasz–kietińskich egzekucjach – wszyscy oni również zostali wkrótce rozstrzelani jako świadkowie.

Kaszketin otrzymał w 1938 roku order Lenina „za szczególne zasługi wobec partii i rządu”. Ale już po roku sam także został rozstrzelany w Le–fortowie.

Nie pierwszy to był wypadek w dziejach, bynajmniej.

A.B.–w opowiada jak wykonywano egzekucje w Adaku (podobóz nad Frank! Słuchaj, nie odpowiadaj! To jest koniec, zaraz nas zamordują z zimną krwią! Frank! Słuchaj! Jeżeli kiedykolwiek stąd wyjdiesz musisz opowiedzieć całemu światu, kim są oni: to banda łotrów! Mordercy! Byndyci!

«

rzeką Pieczorą). Nocami wzywano opozycjonistów na etap, „z rzeczami”, wyprawdzano ich za obręb żony, gdzie stał budynek III Oddziału. Skazańców wprowadzano pojedynczo do izby, gdzie z miejsca rzucali się na nich konwojenci z WOCHR–y. Wpychano im do ust szmatę, ręce wykręcano do tyłu i krępowano linką. Na dworze czekały już konne pod–wody. Pięciu, siedmiu skazańców wrzucano na wóz i odwożono na „Górkę”, czyli na cmentarz obozowy. Tam ściągano ich do gotowych już dużych dołów i natychmiast ZAKOPYWANO ŻYWCEM. Nie był to wcale objaw prymitywnego bestialstwa. Toć wiadomo, że póki człowiek żyje, o wiele mniej z nim zachodu przy transporcie, niż z nieporęcznym umar–lakiem. Tę cichą robotę prowadzono na Adaku przez wiele nocy pod rząd.

Tak oto została wreszcie osiągnięta jedność moralno–ideowa naszej partii.

XIV ZIELONY PROKURATOR

Samoobrona jest więc w tym dzikim świecie niemożliwa. Strajk – równy samobójstwu. Głodówka – bezcelowa.

Umrzeć zaś – zawsze człowiek zdąży.

Cóż pozostaje? Ucieczka! Odmiana losu\ (Więźniowie zwą również ucieczkę – zielonym prokuratorem. Jest to jedyny prokurator cieszący się wśród nich popularnością. Podobnie jak inni prokuratorzy, wiele spraw zostawia on w dawnym albo i gorszym stanie, ale czasami udziela całkowitego zwolnienia. To – nasz las zielony, to trawa – murawa!).

Czechów powiada, że jeśli więzień nie jest filozofem, któremu wszędzie jednak dobrze (albo – mówiąc inaczej – który ma możliwość odizolowania się od świata zewnętrznego) – to nie marzyć o ucieczce nie może on i nie powinien\

Nie powinien nie chcieć! – oto imperatyw wolnej duszy. Co prawda, wśród tubylców nie tak łatwo o wolne dusze, są potulniejsi, niż się sądzi. Ale także wśród nich zawsze znajdują się tacy, co myślą o zrywce albo lada chwila się urwą. Ciągłe, to tu, to tam, zdarzające się wypadki ucieczek, niechby nawet niefortunnych – to najlepszy dowód, że energia zeków nie całkiem jeszcze się wyczerpała.

Weźmy typową żonę. Założmy, że jest pilnowana dobrze, że ogrodzenie ma mocne, strefę izolacyjną – szeroką, że wieżyczki rozstawione są prawidłowo i dlatego każdy punkt jest w zasięgu obserwacji i ostrzału. Mimo to, staje się dla człowieka nieznośną myśl, że właśnie tu, na tym odrutowanym skrawku ziemi trzeba będzie skonać. Czemu więc nie spróbować szczęścia? – nie spróbować innego życia?

Zwłaszcza z początku, w pierw-

336*"

szym roku kary – pęd ten jest silny i nie liczy się z żadną rozważką. Mowa o pierwszym właśnie roku, który w ogóle decyduje o całej przyszłości i postawie więźnia. Później prąd ten jakoś słabnie, niknie pewność, że lepiej być tam niż tu, osłabiają się nici, łączące więźnia ze światem, żar wewnętrzny już tli się jeno i człowiek wdraża się do chodzenia w obozowym kieracie.

Nie mało było ucieczek w dziejach systemu obozowego. Oto przygodne dane: w ciągu jednego miesiąca, mianowicie – w marcu 1930 roku, z zakładów Karnych RSFSR uciekło 1.328 ludzi¹. (Jakoś nie mówi się u nas o takich rzeczach, ani słychu, ani widu!).

W miarę wybujałego rozrostu Archipelagu po roku 1937, a już zwłaszcza – podczas wojny, gdy zdolnych do służby liniowej strażników pozabierano na front – problem dozoru stawał się coraz trudniejszy i nawet złośliwy pomysł z „samoochroną” nie zawsze pomagał. Jednocześnie – rosła chęć wyciśnięcia z obozów jak największej korzyści gospodarczych, zwierzchności zależało na zwiększaniu urobku; na wzmożonym wysiłku więźniów – więc też zaczęto wysyłać grupy robocze na odległe stanowiska pracy. Zwłaszcza przy wycinaniu lasu posyłano nieraz ludzi w głąsę – a ochrona stawała się coraz bardziej iluzoryczna i umowna.

Niektóre wysunięte odcinki robót obozu UST–Wym już w 1938 roku miały zamiast solidnego ogrodzenia jedynie pleciony płótek albo parkan, a w nocy w ogóle nie były oświetlane! – Co znaczy po prostu, że w nocy nikt nie mógłby wychodzących więźniów zatrzymać. Nawet w karnych podobozach Ust'–Wymu jeden tylko strażnik prowadził brygadę do roboty. Jasne, że nie mógł wszystkich na raz mieć na oku. W rezultacie – latem 1939 roku uciekło stamtąd siedemdziesięciu ludzi (jeden z nich próbował ucieczki dwa razy tego samego dnia: przed obiadem i po obiedzie!), jednakże sześćdziesięciu z nich musiało wrócić. O dziesięciu pozostałych – brak wiadomości.

Ale to działo się w głuszy. W samej zaś Moskwie, za moich czasów, miały miejsce trzy łatwe ucieczki: z podobozu na rogatce Kałużskiej w biały dzień zwał przez dziurę w płocie, okalającym plac budowy, pewien młody złodziej (i z typową dla tej ferajny chętnością – nazajutrz wystął do obozu pocztówkę donosząc, że jedzie na wywczasy do Soczi i przesyła ukłony dla komendanta); z oboziku Marfino obok Ogrodu Botanicznego uciekła dziewczyna, już pisałem o tym; z tegoż obozu wyrwał się i uciekł przejeżdżającym autobusem do miasta pewien młody pospolitak. Co praw-

1 Centralne Państwowe Archiwum Rewolucji Październikowej (CGAOR) zbiór 393, fas-cykul 84, teka 4, arkusz 68.

– Archipelag Gułag t.

337

da, ten ostatni w ogóle nie miał eskorty: MGB tylko nas miało na oku i nie bardzo zmartwiło się utratą jakiegoś pospolitaka.

Przypuszczalnie w centrali GUłagu obliczono kiedyś, że taniej kalkuluje się tolerowanie ucieczek pewnego procentu zeków, niż roztoczenie naprawdę ścisłego nadzoru nad wszystkimi tysięcznymi wysepkami Archipelagu.

Prócz tego – polegano na innych jeszcze, niewidzialnych łańcuchach, mocno trzymających tubylców na uwięzi.

Najmocniejszy z tych łańcuchów – to powszechna apatia, kompletne pogodzenie się ze swoim rabskim losem. Tak Pięćdziesiątka Ósemka, jak i pospolitacy byli po większej części ludźmi obarczonymi rodziną, pracowitymi, zdolnymi do męstwa tylko na rozkaz, w trybie ustalonym przez przełożonych. Mając już nawet na karku pięć – i dziesięcioletnie wyroki, nie potrafili sobie wyobrazić, aby można było teraz na własną rękę (a już Boże broń – gromadnie!...) wystąpić do walki o własną wolność, przeciw całemu państwu (własnemu państwu), NKWD, milicji, straży, psom! Żeby można było – nawet po udanej ucieczce – żyć później z fałszywym paszportem, pod cudzym nazwiskiem, skoro dokumenty sprawdzane są na każdym rogu, a z każdej sieni zerkają na człowieka podejrzliwe oczy. I taki oto nastrój panował w obozach: po co tu sterczycie z tymi karabinami, co się tak na nas gapiacie? Możecie iść sobie w diabły i tak nigdzie się stąd nie ruszymy: nie jesteśmy żadnymi przestępcami, po co mielibyśmy uciekać? I tak wyjdziemy na wolność za jakiś rok (amnestia!...). K. Strachowicz opowiada jak to – w 1942 roku ich pociąg w drodze do Uglicza – został zbombardowany. Konwojenci rozpieczętowali się, więźniowie zaś zostali na miejscu, czekali spokojnie na powrót eskorty. Słyszałem wiele opowieści – takich, jak historia księgowego z oddziału Karłagu: posłano go z bilansem o 40 km, dając mu jednego konwojenta. Wracać zaś musiał, wioząc na podwodzie nie tylko pijanego w sztok konwojenta, lecz również jego karabin; a pilnował go jak oka w głowie, żeby głupi strażnik nie poszedł pod sąd za zgubienie broni.

Drugim łańcuchem było wycieńczenie, obozowy głód. Z jednej strony – właśnie ten głód pchał niekiedy do tajgi desperatów, wierzących, że nie może być tam tak głodno jak w obozie; z drugiej wszelako – pozbawiał ich sił, niezbędnych do dalszego skoku, nie pozwalał też na zgromadzenie zapasów na drogę.

Innym łańcuchem był lęk przed nowym wyrokiem. Polityczni dostawali za próbę ucieczki nową dychę z artykułu 58 (stopniowo utarła się praktyka stosowania paragrafu 58-14, sabotaż kontrrewolucyjny). Złodzieje dostawali co prawda artykuł 82

(ucieczka bez okoliczności obciążających) – i tylko po 2 lata, ale za kradzież i rabunek – aż do 1947 roku – obrywali

338

też nie więcej niż 2 lata, są to więc wielkości porównywalne. Ponadto – obóz był dla nich domem rodzinnym, co się zowie, w obozie ani nie harowali, ani nie głodowali – w interesie ich było więc, aby nie uciekać, lecz odsiadywać wyrok do końca, tym bardziej, że zawsze mogły zdarzyć się jakieś ulgi albo amnestia. Ucieczka – gdy chodzi o zawodowego złodzieja – to tylko rozrywka dla zdrowego, sytego ciała i ujście dla drapieżnej zachłanności: pohulać, pograbić, uchlać się, zgwałcić kogoś, rozłoczyć pawi ogon. Ucieczek na serio próbowali wśród nich tylko bandyci i mordercy z ciężkimi wyrokami na karku.

(Złodzieje bardzo lubią popisywać się swoimi – nigdy nie doprowadzonymi do skutku – ucieczkami albo przejawskawiać opisy ucieczek udanych. Opowiedzą wam na przykład jak to Indie (barak szemranych) dostały sztandar przechodni za najlepsze przygotowanie do zimy, a ściślej – ocieplenie baraku z zewnątrz grubą warstwą ziemi... pochodzącej z podkopu i wysypywanej otwarcie, na oczach straży. Nie wierzcie tym opowieściom! Indie wcale nie spieszą się do masowej ucieczki, a do kopania nikt tam nie jest skory; wolą sposoby łatwiejsze i sprytniejsze, a władze też nie są takie głupie, aby nie przyjrzeć się, skąd właściwie ta ziemia się bierze. Złodziej Korzynkin, dziesięciokrotny recydywista, zaufany komendanta, intendent obozowy, faktycznie uciekł w dostatniej odzieży i naprawdę podawał się za wiceprokuratora. Twierdził ponadto, że nocował w jakiejś chacie razem z pełnomocnikiem odkomenderowanym do poszukiwania uciekinierów (są tacy) i że w nocy ukradł mu uniform, pistolet, a nawet psa służbowego – i już dalej występował w jego roli. Tu już kłamie. Knajacy zawsze starają się w swoich opowieściach i fantazjach przysparzać sobie bohaterskich cech!).

Na więzi trzymała też zeków nie tyle żona z jej rygorem, ile właśnie fakt zwalniania spod konwoju. Ci, którzy nie byli na każdym kroku pilnowani, którzy otrzymali ten drobny przywilej, aby chodzić do pracy i z pracy bez bagnetu za plecami, a czasem skręcić po drodze na wolną wieś – otóż tacy ludzie bardzo sobie cenili te ulgi. A po nieudanej ucieczce już je odbierano.

Geografia Archipelagu stanowiła największą przeszkodę: te nieogarnione obszary śnieżnej albo piaszczystej pustyni, tundry, tajgi. Taka Koły-ma – niby nie wyspa, a w istocie coś jeszcze gorszego: diabeł tu mówi dobranoc, dokąd tu uciec z Kołymy? Tylko desperaci próbowali stąd uciekać. To prawda – dawnymi czasy Jakuci odnosili się życzliwie do więźniów i pomagali im: „Za dziewięć stoneczek – zawiozę cię do Chabarows-ka”. I wieźli saniami, zaprzężonymi w reny. Ale później, brykający z obozów knajacy zabrali się do grabienia Jakutów, więc autochtoni zmienili swój stosunek do zbiegów – zaczęli wydawać ich władzom.

339

Z czasem – wrogość miejscowej ludności, podsycana przez urzędy, stała się główną zaporą dla ucieczek. Władze były hojne, nie szczędziły nagród pomocnikom (był to zarazem rodzaj wychowania politycznego). I ludy, zamieszkujące ziemie sąsiadujące z GUŁagiem, stopniowo przyzwyczajały się do myśli, że złapanie zbiega – to wydarzenie odświętne, fortunne, że to tyle co udane łowy albo znalezienie grudki złota. Tunguzom, Samoje-dom, Kazachom – płacono mąką i herbatą. Bliżej ludnych skupisk, na przykład – w okolicach obozów Buriepołom i Unża, mieszkańcom Zawoł-ża płacono według określonej taryfy: za każdego złapanego zbiega –

dwa pudy mąki, osiem metrów tekstyliów i kilka kilogramów śledzi. Podczas wojny nie było innego sposobu by zdobyć śledzie, więc ludność miejscowa przezwala zbiegów po prostu śledziami. We wsi Szerstki pojawieniu się każdego obcego towarzyszyły krzyki biegnących zewsząd chłopców: „Mamo! Śledź idzie!”.

A jak tam – geolodzy? Ci nieustraszeni badacze pustyni Północy, ci mężni, brodaci pionierzy w długich butach – te serca rodem z Londona? Nie bardzo może liczyć zbieg na naszych sowieckich geologów, lepiej nie zbliżać się do ich ogniska. Inżynier z Leningradu, Abrosimow, zagarnięty falą aresztowań w związku ze sprawą „Prompartii”, dostał swoją dychę i uciekł z obozu Niwagres w 1933 roku. Dwadzieścia jeden dni błąkał się po tajdze i szczęśliwy był spotkawszy geologów. Ale geologowie zaprowadzili go do najbliższej osady i oddali do rąk własnych przewodniczącemu komitetu robotniczego. (Trzeba jednak tych geologów zrozumieć: też przecież nie są sami na świecie, boją się, że kolega na nich doniesie. A co, jeżeli ten zbieg jest naprawdę jakimś kryminalistą, mordercą? – i jeszcze w nocy ich pozarzyna?).

Jeśli zbieg zostaje schwytany nie żywcem, to można go na kilka dni wystawić na pokaz – z gnijącą raną postrzałową, rozciągniętego obok stołówki obozowej, żeby więźniowie bardziej sobie cenili postną bałandę. Jeżeli zaś dał się capnąć żywcem, to można go postawić obok odwachu i kiedy mija go kolumna robocza – poszczuć psami. (Te psy – zależnie od rozkazu – umieją dusić człowieka, umieją kąsać, a potrafią też tylko szarpać odzież, rozbierając delikwenta do goła).

A jeszcze można przygotować w KO specjalną tabliczkę: „Uciekłem, ale psy mnie złapały”, tabliczkę tę zawiesić na szyi schwytanego – i tak mu kazać chodzić po obozie.

A jeśli bić – to już tak, żeby odbić nery. Jeśli zakładać na ręce kajdanki, to tak ciasno, aby czucie w przegubach człowiek stracił raz i na zawsze (G. Sorokin, lwdełtag). Skoro już posyłać do karceru to tak, żeby facet nie wylazł z niego bez gruźlicy (Nyrobłtag, Baranów, próba ucieczki w 1944

340

roku. Po laniu, jakie mu spuścił konwój – kaszlał krwią, trzy lata później wycięto mu lewe płuco²).

Pobicie, załuczenie na śmierć uciekiniera, jest właściwie podstawową formą walki ze zbiegostwem na Archipelagu³. I jeśli ucieczek długo nie ma – to trzeba się o nie postarać. W kopalni Dębin (Kołyma) w 1951 roku któregoś dnia grupie zeków pozwolono na zbieranie jagód. Trzech zabłądziło w lesie, nie wróciło na czas. Komendant obozu, starszy lejtnant Piotr Łomoga, posłał swoich zbirów. Ci nasamprzód poszczuli psami trzech śpiących w lesie ludzi, potem zastrzelili ich, później zaś rozbili im głowy kolbami na krwawą miazgę tak, że ochłapy mózgu zwisały jak frędzle – i dopiero w takim stanie odwieźli zwłoki do obozu. Przy wrotach wyprzęgli konia i kazali czterem więźniom ciągnąć wóz wzdłuż szeregu zeków. „Każdego tak załatwimy!” – oznajmił Łomoga.

Kto znajdzie w sobie dość determinacji, aby się tego nie przestraszyć? – i ruszyć w drogę? – i dojść! – ale do jakiego celu¹. Tam, na końcu szlaku, w miejscu z dawna śnionym – ktoś go tam oczekuje, kto mu da przytulisko, kto bez lęku zapewni mu schronienie? Tylko knajacy wiedzieli, że zawsze czeka na nich melina; wśród nas, pasażerów spod numeru 58, taki lokal zwie się przyjazdówką, a to już prawie konspiracja.

Ileż to przeszkód i zapór na drodze zbiega!

Ale zrozpaczone serca nie liczą się z niczym. Płynie rzeka, niesie jakąś kłodę, więc hop! hajda! Wiaczesław Bezrodnyj z podobozu Olczan, ledwie wyszedł ze szpitala, całkiem jeszcze słaby – a już uciekł na tratwie skleconej z dwóch bierwion. Popytnął z nurtem rzeki Indygirki – wpadającej do Oceanu Lodowatego! Dokąd dążył? Na co liczył? Został też – nie tyle złapany, ile po prostu wyłowiony z fal już na pełnym morzu i – gdy szlak trochę podmarzył – odesłany saniami do obozu Olczan, do tegoż szpitala.

Nie o każdym, który sam do obozu nie wrócił ani nie został tam przyniesiony półżywy albo i martwy, można powiedzieć, że udało mu się uciec. Być może, zmienił on jedynie konanie niewolnicze i powolne – na śmierć wolnego zwierza w tajdze. Póki zbiegowie nie tyle umykają, co wypęłzają z obozu, póki sami doń wracają – pełnomocnicy operacyjni mają z nich nawet pożytek: bez żadnego wysiłku wlepiają im repety wyroków. Co więcej, jeśli ucieczek czas

2 I teraz naiwny Baranów czyni starania (chodzi o emeryturę), aby chorobę jego uznano za zawodową. No i faktycznie, trudno o schorzenie bardziej specyficzne i dla więźniów, i dla strażników – ale gdzie tam, nie chcą uznać...

3 I coraz więcej cech wyłączności nabiera ta metoda już za naszych czasów, już w epoce Chruszczowa – porównaj Moje zeznania Anatola Marczenki.

341

jakiś nie ma, to puszczają w ruch prowokację: jakiemuś szpiclowi każą zebrać grupę ludzi i pokierować „przygotowaniami do ucieczki” – po czym wszystkich się wsadza.

Ale człowiek, który zdecydował się na ucieczkę serio – bardzo prędko stać się może osobnikiem groźnym. Niektórzy, aby zbić z tropu psy gończe, podpalali tajgę na swoim szlaku. Płonęła później tygodniami na dziesiątki kilometrów wszędy i wzdłuż. W 1949 roku na łęgach opodal sowchozu Wiesłańskiego złapano zbiega z ludzkim mięsem w plecaku: zabił spotkanego po drodze malarza – zeka z pięcioletnim wyrokiem – ale chodzącego już bez eskorty. Obrął go z mięsa, ale nie miał czasu na gotowanie.

Wiosną 1947 roku na Kołymie, niedaleko osady Elgen, dwaj konwojenci eskortowali kolumnę zeków. I nagle jeden z więźniów, nie porozumiewając się z nikim, napadł na konwojentów, sam dał sobie radę z oboma, rozbroił ich i zastrzelił. (Jego nazwiska nikt nie znał, wiadomo tylko, że był to oficer, frontowiec. Rzadki to i niepowszedni wypadek: frontowiec, który nie utracił męstwa w obozie!). Śmiałość oznajmił gromadzie współwięźniów, że są wolni! Ale tych strach obleciał: nikt nie poszedł za nim, wszyscy siedli na ziemi, czekając na nową eskortę. Frontowiec chciał przemówić im do sumienia – wszystko na próżno. Wówczas wziął broń (32 ładunki – „trzydzieści jeden – dla nich!”) i sam ruszył przed siebie. Zdołał później zabić i ranić kilku ścigających go strażników i trzydziesty drugi nabój sam sobie wpakował. Archipelag wkrótce rozpadłby się całkiem, gdyby wszyscy frontowcy tak się potrafili zachować. W 1945 roku na OŁP „Pobieda” (Indygirski Zarząd Obozów) kilku własowców również napadło na strażników. Zabrali im karabiny i uciekli – ale nie wiadomo jak daleko.

W Krasłagu były żołnierz, bohater walk z Japończykami nad Chał-chyn-gołem, porwał za topór, ogłuszył obuchem konwojenta, zabrał mu karabin i trzydzieści ładunków. Puszczono za nim psy gończe, zastrzelił dwa, ranił szczwacza. Gdy go wreszcie schwytali, nie dość im było człeka zastrzelić, ale z zemsty za te psy i za

swoje ryzyko – skłuli bagnetami zabitego i dopiero tak podziurawionego zostawili przed odwachem na cały tydzień.

W 1951 roku w tym samym Krastagu około dziesięciu zeków z dużymi wyrokami szło do pracy pod strażą czterech konwojentów. Więźniowie napadli z nienacka na eskortę, zabrali strażnikom automaty, przebrali się w ich mundury (ale strażnikom życie darowali – wspaniałomyślność częściej spotyka się wśród ofiar ucisku niż wśród gnębicieli) i eskortując w czwórkę z całym szykiem resztę swoich kolegów, poprowadzili ich w stronę wąskotorówki. Stały tam puste wagony do przewozu drzewa.

342

Rzekoma eskorta opanowała lokomotywę, wyprosiła obsługę (w tej zrywce brał udział jakiś maszynista) – i pociąg pełnym biegiem ruszył w stronę stacji Reszety, na trasie kolei transsyberyjskiej. Mieli jednak około 70 kilometrów do przebycia. Dość było czasu, aby dać znać o ucieczce (pierwsi zrobili to pozostawieni przy życiu strażnicy), więc po kilkakroć musieli zbiegowie odpowiadać po drodze ogniem na salwy oddziałów straży. Kilka kilometrów przed stacją Reszety natknęli się na – zaminowany już – odcinek toru i okopany w zasadzce batalion. W nierównej walce wszyscy zbiegowie zginęli.

Ciche zrywki miały czasem szczęśliwsze zakończenie. Były wśród nich wypadki wyjątkowo fortunne, ale opowieści o nich docierają do nas rzadko: kto się „oderwał”, ten wywiadów nie udziela, zmienia nazwisko, ukrywa się, jak może. Kuzikow-Skaczyński, któremu udało się zbiec w 1942 roku, tylko dlatego teraz o tym opowiada, że w 1959, tj. po 17 latach! – został jednak zdemaskowany⁴.

Podobnie – o udanej ucieczce Zenaidy Jakowlewny Powalajewej tylko dlatego dowiedzieliśmy się, że wszystko się w końcu wydało. Została skazana za to, że po przyjsciu Niemców dalej uczyła dzieci w swojej szkole. Nie aresztowano jej jednak od razu po wkroczeniu naszych wojsk i zdążyła jeszcze wyjść za mąż za lotnika. Ale ją w końcu wsadzono i posłano do kopalni Nr 8 w Workucie. Przez pracujących w kuchni Chińczyków zdołała skontaktować się z mężem, który był na wolności. Służył w lotnictwie cywilnym i załatwił sobie rejs do Workuty. Ustalonego zawczasu dnia Zina poszła do łaźni w roboczej żonie, tam pozbyła się obozowych łachów i rozpuściła włosy nawinięte w nocy na papiloty – ukryte pod chustką. W roboczej żonie czekał już na nią mąż. Przy wejściu na prom dyżurowali faceci z oddziału operacyjnego, ale nie zwrócili nawet uwagi na zaondulowaną dziewczynę, idącą z lotnikiem pod pachę. Odlecieli samolotem. Rok żyła Zina pod cudzym nazwiskiem. Ale nie wytrzymała, chciała koniecznie zobaczyć się z matką, a matka była pod obserwacją. W trakcie nowego śledztwa zeznała, że uciekła w transporcie węgla, pociągami. O udziale męża nikt się nie dowiedział.

Janis Ł-s w 1946 roku ruszył pieszo z Permskich obozów aż na Łotwę, przy czym kalczył język rosyjski i na dobrą sprawę nie potrafił się z nikim

⁴ A wykryło się dlatego, że – w związku z inną jakąś sprawą – wpadł towarzysz jego ucieczki. Dzięki daktyloskopii – udało się ustalić jego prawdziwą tożsamość. Wyjaśniło się więc, że zbiegowie nie zginęli, jak początkowo sądzono. Zaczęto szukać również Kuzikowa. Przeprowadzono ostrożnie i starannie dochodzenia w jego rodzinnych stronach, zaczęto śledzić krewnych – i tym właśnie śladem dotarto w końcu do niego samego. Choć minęło 17 lat – nikt nie żałował na to czasu i siły!

343

dogadać. Sam przebieg ucieczki był prosty: przebił się z rozbiegu przez zbutwiały płot. A później w podmokłym lesie (a na nogach – łapcie) długo żywił się tylko jagodami. Pewnego dnia udało mu się pod jakąś wsią wciągnąć do lasu krowę i zarznąć ją kozikiem. Objadł się mięsa na zapas i uszył sobie z krowiej skóry chodaki. W innej wsi ukradł chłopu kożuszek. (Zbieg, nie mogący liczyć na życzliwość miejscowych, chcąc nie chcąc staje się złodziejem). W okolicach gęściej zamieszkanych Ł. podawał się za zdemobilizowanego Łotysza, tłumacząc, że zginęły mu dokumenty. I chociaż tamtego roku nie skasowano jeszcze bezustannej kontroli przepustek, jednak Ł. – już w Leningradzie, gdzie był pierwszy raz w życiu, zdołał – nie zadając nikomu żadnych pytań – odnaleźć Dworzec Warszawski. Jeszcze cztery kilometry odwalił wzdłuż torów i dopiero potem wszedł do pociągu. (Ale jednego przynajmniej był zupełnie pewien: że na Łotwie ludzie ukryją go bez wahania. To właśnie dawało sens jego ucieczce).

Taka ucieczka, jak wyżej opisana, wymaga chłopskiego uporu, chłopskiej krzepy w nogach i chłopskiej bystrości. A czy potrafi uciec mieszczech, człowiek w podeszłym już wieku, odsiadujący swoje pięć lat za powtórzenie jakiegoś dowcipu? Okazało się, że potrafi – jeśli dalszy pobyt w obozie jest gwarancją szybkiej śmierci. Był to niewielki obozisk–wykoń–czalnia, leżący między Moskwą a miastem Górki. Poczynając od 1941 roku wyrabiano w nim armatnie pociski. Pięć lat – to niby „dziecinny wyrok”, ale nasz anegdociarz nie wytrzymałby nawet pięciu miesięcy, jako że do roboty go zaprzęgli, a jeść nie dawali. Była to ucieczka z beznadziei, przedsięwzięta w chwili desperacji, chwili tak krótkiej, że już po upływie pół minuty nie starczyłoby na nią człowiekowi ani sił, ani pomysłu. Oto stanął na rampie obozu kolejny zestaw i już załadowano pociski do wagonów. Wzdłuż pociągu kroczy sierżant straży obozowej, podąża za nim dyżurny kolejarz, dzieli ich kilka wagonów. Sierżant otwiera drzwi każdego wagonu, sprawdza, czy nie ma tam nikogo, zasuw drzwi, a kolejarz je plombuje. Nasz niefortunny, zagłodzony już prawie na śmierć dowcipniś⁵ – za plecami oddalającego się strażnika, a przed nosem zbliżającego się kolejarza – rzuca się do drzwi wagonu. Niełatwo mu się wspiąć na stopień, jeszcze trudniej odsunąć drzwi bez hałasu, to wszystko nie ma sensu, to się zaraz źle skończy. Zasuw drzwi, ale już żałuje swego kroku, serce bije nierówno, zaraz sierżant skopie buciorami, kolejarz na pewno zaraz krzyknie, już ktoś rusza rygłem, ach, to plombują wagon!... (A ja tak myślę sobie – może ten kolejarz był porządny? może widział – i zarazem nie widział?...). Pociąg wyjeżdża z żony. Pociąg jedzie na front. Zbieg nie

5 Relacja jest zupełnie ścisła, tylko nazwisko się nie zachowało.

344

poczynił żadnych przygotowań, nie ma ani kruszyny chleba, za trzy dni na pewno skona w tym ruchomym karcercie, do którego wlaź na ochotnika; nie dojedzie do linii frontu, zresztą – co mu tam front? Co robić? Jak tu się ratować? Widzi, że skrzynie z pociskami obciążone są stalową taśmą. Gołymi, niczym nie osłoniętymi dłońmi rwie więc tę taśmę i piłuje nią dno wagonu w miejscu nie zajęтым przez skrzynie. Rzecz dla starca niemożliwa? A śmierć – możliwa? A wykrycie ucieczki, schwytanie – to możliwe? Skrzynie mają jeszcze sznurowe uchwyty. Obcina więc je i wiąże tak, by mieć z nich długie pętle; przymocowuje je do brzegów wyciętego otworu i opuszcza w dół. Jest wyczerpany, porznięte dłonie nie słuchają go wcale. Jak drogo musi płacić za tę anegdotkę! Nie czeka aż pociąg zatrzyma się na stacji, tylko ostrożnie wchodzi w luk. Pociąg jedzie. Zbieg wsadza obie nogi w jedną

pętlę, tę z tyłu, obie ręce – w drugą. Wisi tak pod wagonem, brzuchem szorując prawie o podkłady, kotuszając się razem z biegnącym wagonem. Pęd zmniejsza się nieco, nasz starzec decyduje się i opuszcza nogi. Stopy wloką się po szutrze i ściągają resztę ciała między szyny. Numer cyrkowy, morderczy, ale przecie telegram czeka już może na stacji, zaraz przeszukają cały pociąg, w obozie też już dawno alarm. Byle nie ruszać się, byle nie podnosić łba! paść na płask i tyle! Zamknął oczy, gotów już na śmierć. Wzmaga się stuk i łomot, to ostatnie wagony – i nagle błoga cisza. Zbieg otwiera oczy, przekręca się na grzbiet: widać tylko czerwone światła oddalającego się pociągu! Jest wolny!

Ale jeszcze nie jest uratowany. Wolność wolnością, ale nie ma dokumentów ani pieniędzy, wiszą na nim obozowe gałgany i dalej jest tylko straceńcem. Opuchnięty, oberwany dowlókt się jakoś do stacji i tu wmieszał w tłum – przybyłych dopiero co – ewakuowanych z Leningradu ofiar głodu i blokady. Półżywych tych ludzi wyprowadzano z wagonów pod ręce i karmiono na stacji gorącą zupą. Ale i to by go jeszcze nie uratowało – gdyby nie znalazł w tym transporcie konającego już przyjaciela. Odziedziczył po nim dokumenty, a znał dobrze całą jego przeszłość. Ewakuowanych wysłano pod Saratów i przez kilka lat, nawet już po wojnie, nasz stary mieszkał tam sobie spokojnie, hodując drób w kołchozie. Ale zatęsknił za córką i ruszył na poszukiwania. Szukał jej w Nalczyku, w Armawirze, ale znalazł aż hen – w Użhorodzie. Zdążyła tymczasem wyjść za mąż za kadrowego wojskowego ze straży granicznej. Była przekonana, że tatuś przeniósł się już szczęśliwie na tamten świat i oto nagle ze strachem i wstrętem musiała wysłuchiwać jego zwierzeń. Prawomyślna, pełna już cnót obywatelskich – zachowała jednak w duszy jakieś godne pożatowania resztki uczuć rodzinnych, więc nie doniosła na ojczulka, poprzestając na wyrzuceniu go za drzwi. Stary nie miał już więcej nikogo bliskiego; zaczął zatem

345

prowadzić całkiem bezmyślną egzystencję, wążając się z miasta do miasta. Wpadł w nałóg. W Baku przebrał któregoś dnia miarę przy paleniu haszyszku i zabrany został na pogotowie. W oszołomieniu wymienił swoje prawdziwe nazwisko, zaś po wytrzeźwieniu – podał nowe. Szpital był nasz, sowiecki, nie mógł przecież kurować człowieka bez ściśle ustalonej tożsamości. Wezwany więc został towarzysz z bezpieczeństwa – i w 1952 roku, 10 lat po ucieczce – nasz stary dostał 25 lat. (To właśnie dało mu możliwość zreferowania całej przygody kolegom z rozmaitych cel. Temu też zawdzięcza swoje miejsce w tej historii).

Niekiedy dalsze życie człowieka, któremu udało się zbiec, ma w sobie więcej dramatyzmu od samej ucieczki. Tak było chyba w przypadku Sergiusza Andriejewicza Czebotariowa, nieraz już w tej książce wymienianego. W 1914 roku został pracownikiem KWŻD (Wschodniochińskich Kolei, dzierzawionych przez Rosję). W lutym 1917 roku – wstąpił do partii bolszewickiej. W roku 1929, w okresie konfliktu z powodu KWŻD, siedział w chińskim więzieniu, a w 1931 roku wraz z żoną Heleną Prokofiewną oraz synami – Gennadym i Wiktorem – powrócił do kraju. Tu wszystko potoczyło się znanym, ojczystym szlakiem: już po kilku dniach nasz Czebotariow został aresztowany, później – żona oszalała, a synowie zostali oddani do dwóch rozmaitych sierocińców, przy czym narzucono im zupełnie obce nazwiska, zmieniając nawet imię ojca, chociaż chłopcy doskonale pamiętali, jak się zwali, i za nic nie chcieli zmian. Czebotariow z łaski dalekowschodniej trójki OGPU (znów mamy trójkę!) dostał tylko trzy lata, widać brak było chłopakom doświadczenia.

Wkrótce jednak znów został aresztowany, poddany torturom i skazany nie na trzy tylko na dziesięć lat bez prawa korespondencji (bo też o czym teraz właściwie miałby pisać?). Kara była obostrzona: wszystkie święta rewolucyjne miał spędzać pod szczególnie surowym nadzorem. Obostrzenie to jednak przyniosło mu nieoczekiwaną korzyść. W 1934 roku był on już w Karłagu, budował drogę do Moint. Pierwszomajowe święto w 1936 roku spędzić musiał, jak zwykle, w karnym izolatorze. Znalazł się w nim równocześnie pewien wolny, niejaki Awtonom Wasiliewicz Czupin. Był zapewne porządnie pijany, bo Czebotariow zdołał zwędzić mu dowód tożsamości wydany przez radę wiejską, ważny na trzy miesiące, ale przedawniony już od sześciu... Świadcetwo to zobowiązało go niejako do ucieczki! Już 8 maja Czebotariow drapnął z podobozu w Mointach. Nie miał na sobie ani jednej obozowej szmatki, zdołał skompletować sobie całą cywilną odzież. Ponadto miał w kieszeniach dwie półlitrowki, jak to zwykle robią pijacy, tyle tylko że nie wódka to była, lecz zwykła woda. Nasamprzód przejść musiał przez słone stepy. Dwa razy znalazł się w ręku Kazachów, ciągnących do pracy na trasę

346

budowanej tu kolei, ale znał trochę język kazachski. „Grał na ich uczuciach religijnych i w końcu pozwalali mu odejść”. Na zachodnim brzegu jeziora Bałchasz zatrzymany został przez posterunek operacyjny Karłagu. Zabrali mu zaświadczenie i kazali z pamięci odpowiadać na wszystkie pytania, dotyczące jego i jego rodziny. Czebotariow odpowiadał, nie budząc żadnych podejrzeń. Tu znów miał miejsce zadziwiający przypadek (gdyby nie takie przypadki, to chyba nikomu nie udałooby się uciec). Do ziemianki wkroczył w tym momencie dowódca grupy operacyjnej. Zanim zdążył otworzyć gębę, nasz Czupin zawołał: „Hej! Mikołaj, jak się masz, nie poznajesz?! (Tu liczy się każdy ułamek sekundy, każda zmarszczka na twarzy, kto ma lepszą pamięć wzrokową, ten wygra te zapasy: ja cię poznałem, ale koniec ze mną, jeżeli poznasz mnie ty). – „Nie, nie poznaję”. – „Jak to? Jechaliśmy razem pociągami! Nazywasz się Najdienow, opowiadałeś, jak poznałeś swoją Olę na dworcu w Swierdłowsku, jak mieliście później wspólny przedział i jak się w końcu pobraliście”. Wszystko się zgadza, Najdienow jest zbity z pantałyku; wypalili papierosa i puszczają zbiega wolno. (Och, panowie błękitni, niedaremnie uczą was umiejętności trzymania języka za zębami! Żadne ludzkie uczucie nie powinno mieć do was przystępu, zwłaszcza szczerłość. Najdienow opowiedział swoją historię nie w pociągu, tylko na placówce Karłagu, w szkółce leśnej, zaledwie przed rokiem. Opowiadał to zekom tak sobie, dla kaprysu, a przecież nie zapamięta człowiek tych wszystkich pysków. Zresztą w wagonie też mógł opowiadać, może w niejednym, toć to typowo kolejowa historia! – Na to właśnie liczył nasz zuchwalec!). Tryskając radością puścił się Czupin w dalszą drogę gościńcem, w stronę stacji kolejowej Czu, na południe, wzdłuż jeziora. Maszerował jednak przeważnie nocami; gdy tylko zobaczył z daleka samochodowe reflektory – rzucił się z gościńca w trzciny, całe dni wśród nich spędzał (w tych okolicach są trzcinowe dżungle). Operczekiści trafiali się jakoś rzadziej, przerzuty Archipelagu jeszcze tu nie sięgnęły⁷. Miał trochę chleba i cukru, ale szczędził, jak mógł, a przez pięć dni i nocy brnął bez kropli wody w ustach. Odwalił w ten sposób 200 km, dotarł do stacji i pojechał przed siebie.

Zaczęły się teraz dla niego lata życia wolnego – nie, raczej pełnego trwogi. Nie ośmielał się nigdzie zagrać dłużej miejsca ani jakoś solidniej

6 Jednak nawet ateistę religia może poratować! Co zaś do Kazachów, to sądzę, że pamiętali jeszcze dobrze, jak Budionny stłumił ich powstanie w 1930 roku, dlatego też ulitowali się nad zbiegiem. W roku 1950 to się już nie zdarzy.

7 Ale wkrótce zesłano w te okolice Koreańczyków, później – Niemców znad Wołgi, później – wszelkie inne narody. Po 17 latach ja sam też tam się znalazłem.

347

się urządzić. Tego samego roku, zaledwie parę miesięcy później, w mieście Frunze, w parku miejskim spotkał swojego obozowego kumal – ale spotkanie to było przełotne, dokoła ludzie się bawią, rżnie muzyka, wirują dziewczęta, więc kum po prostu nie zdążył go rozpoznać. Trzeba było tylko z miejsca porzucić zaledwie zdobytą pracę (starszy księgowy domyślił się, co to za pilne miał Czupin przyczyny – okazało się, że sam był weteranem Solówek) i dać drapaką gdzieś za siódmą górę. Z początku Czebotariow w ogóle nie myślał o szukaniu rodziny, ale później znalazł sposób. Napisał list do swojej kuzynki, mieszkającej w Ufie: gdzie Lena z dziećmi? Zgadnij, kto pisze, & jej chwilowo nie zawiadamiaj. I adres zwrotny: jakiś tam przystanek Zyrabułak, jakiś tam Czupin. Kuzynka przysłała odpowiedź: dzieci gdzieś zginęły, żona w Nowosybirsku. Wówczas Czebotariow posłał ją do Nowosybirska prosząc, aby tylko w cztery oczy zawiadomiła Lenę, że mąż się znalazł i że chce posłać jej pieniądze. Kuzynka spełniła prośbę. Z kolei dostał list od żony: była w szpitalu psychiatrycznym, teraz znowu zgubiła paszport, wlepili jej trzy miesiące robót przymusowych i nie mogłaby nawet podjąć pieniędzy, gdyby przyszedł na poste-restante. Lepiej by przeczekać te miesiące – ale serce wyrывa mu się z piersi: jechać, nic, tylko jechać! Wysyła więc obłądny telegram: czekaj na dworcu! Pociąg nr taki a taki, wagon nr taki a taki... Serc naszych nic nie broni przed siłą uczucia, ale, chwała Bogu nie są też one odporne wobec przeczuć. W czasie podróży przeczucia do tego stopnia nie dają mu spokoju, że dwa przystanki przed Nowosybirskiem Czebotariow zeskakuje z pociągu i dojeżdża do miasta autostopem. Zostawia rzeczy w przechowalni dworcowej i, na nic nie zważając, idzie do mieszkania żony. Puka! Drzwi się same otwierają, w domu nie ma nikogo (pierwsze potwierdzenie złych przeczuć: gospodarz domu już całą dobę czekał na niego, aby uprzedzić go o zasadzce – ale właśnie w tej chwili wyszedł do studni!). Czebotariow idzie w głąb mieszkania. Żony nie ma nigdzie. Na łóżku leży pod szynelkiem czekista i śpi, głośno chrapiąc (drugi traf, ten już bardziej fortunny!). Czebotariow daje nogę. Ale tu woła go po nazwisku gospodarz domu – znajomy z KWŻD, jeden z ocalałych. Okazuje się, że jego zięć, operczekista, sam przyniósł do domu telegram i wywijał nim przed oczyma żony Czebotariowa: widzisz, ten twój łajdak sam nam się w ręce pcha! Byli na stacji, oczywiście go nie spotkali, drugi czekista dokądś poszedł, a ten położył się na chwilę, żeby odpocząć. Mimo wszystko, Czebotariow zdołał dać znać żonie, jakimś samochodem przejechali kilka przystanków i wsiedli razem do pociągu. Pojechali do Uzbekistanu. W Leninabadzie znowu wzięli ślub! – to znaczy, że żona Czebotariowa – wcale się z nim nie rozwodziąc – wyszła z kolei za mąż za Czupina! Ale nie odważyli się zamieszkać razem. Posyłali do wszelkich

348

możliwych instytucji podania, w jej imieniu – w sprawie dzieci, ale bez żadnego skutku. Takie oto kulawe, rozbite i pełne udręki życie prowadzili aż do wojny.

W 1941 roku Czupin został zmobilizowany. Był radiotelegrafistą w 61 dywizji kawalerijskiej. Pewnego dnia popełnił nieostrożność. W gronie kolegów powiedział żar-

tem, jak nazywają się po chińsku papierosy i zapalniczki. Powiedźcie, w jakim normalnym kraju wydać się może podejrzanym, że człowiek zna jakieś przypadkowe obce słowa? U nas – inaczej. Donosiciele zaraz dali znać, gdzie trzeba. I polityruk Sokołow, oper 219 pułku konnicy, już po godzinie przystąpił do przesłuchania: – „Skąd znacie język chiński?”. – Czupin: tylko te dwa słowa. – „Nie służyliście przypadkiem na KWŻD?”. Pracować za granicą – to przecież ciężki grzech! Oper nasyłał na niego szpiclów, ale niczego się nie dowiedział. Więc dla świętego spokoju wlepiono mu artykuł 58–14:

- nie wierzył w komunikaty bojowe Sowieckiego Biura Informacyjnego;
- utrzymywał, że Niemcy mają przewagę w broni technicznej (jakby tego nikt nie widział gołym okiem).

Nie kijem go to pałką!... Trybunał. ROZSTRZELANIE! Tak już uprzykrzyło się życie w ojczyźnie naszemu Czupinowi, że NIE SKŁADAŁ nawet prośby o łaskę. Ale ręce robocze potrzebne były państwu, więc w końcu dostał dychę i pięć lat kagańca. I znowu był w „domu rodzinnym”... Odsiedział (a odliczono mu to i owo za dobrą pracę) dziewięć lat.

Zdarzył się mu jeszcze taki przypadek. Pewnego dnia w obozie inny zek – N.F.–w. zaciągnął go gdzieś w najdalszy kąt górnych nar i tam dopiero zapytał cicho: „Jak cię zwą właściwie?” – „Awtonom Wasilie–wicz” – „A skądś ty?” – „A z tiumeńskiego okręgu”. – „A z jakiego rejonu?... z jakiej gminy?...”. Czebotariow–Czupin odpowiadał na wszystkie pytania jak z nut. W końcu powiedział mu rozmówca: „To wszystko łgarstwo. Z Awtonomem Czupinem pracowałem na jednej lokomotywie pięć lat z rzędu. Znam go jak własną kieszeń. Toś nie ty przypadkiem zwędził mu dokumenty w 36., w maju?” Zbieg może rozpruć sobie brzuch także na takiej podwodnej rafie! Jaki powieściopisarz znalazłby wiarę, gdyby opisał podobny wypadek! W tym okresie Czebotariow znów nabrał jakoś ochoty do życia. Uścisnął też mocno rękę porządnego człowieka, kiedy ten powiedział mu w końcu: „Nie bój się, nie pójdę do kuma. Ja nie suka!”.

W ten sposób Czebotariow odbębnił swój drugi wyrok jako Czupin, ale na nie-szczęście – ostatni z jego obozów należał do kategorii supertajnych. Wchodził w skład grupy obiektów „atomowych” – Moskwa–10, Tura–38,

349

Swierdłowsk–39, Czelabirisk–40. W obozie tym zajmowano się budową urządzeń do wydobywania kruszcu z rudy uranowo–radowej. Plany budowy opracował sam Kurczatow, naczelnik budowy, generał–lejttnant Tkaczew–niko podporządkowany był bezpośrednio Stalinowi i Berii. Każdy zek musiał co kwartał podpisywać zobowiązanie o przestrzeganiu tajemnicy. Ale to byłoby jeszcze pół biedy. Najgorsze, że – po odzyskaniu wolności nie pozwalano wracać do domu. We wrześniu 1950 roku dużą grupę „zwolnionych” posłano – na Kołymę! Dopiero tam zwolniono ich spod eskorty, uznając jednocześnie za szczególnie niebezpieczny speckontyngent – niebezpieczny dlatego, że ci ludzie pomogli skonstruować sowiecką bombę atomową! (No i jak tu opisać to wszystko? Przecież każda taka historia warta jest osobnego rozdziału!). Dziesiątki tysięcy takich właśnie ludzi rozproszono po całej Kołymie!! (Przewertujcie konstytucję! Przystudiujcie kodeksy! – co tam jest napisane o speckontyngencie??).

Za to mógł przynajmniej wezwać tu żonę! Przyjechała też do niego do kopalni Maldiak. Stąd znów zaczęli stać podania w sprawie synów. Odpowiedzi brzmiały jednakowo: „Nie ma takiego”, „Brak danych”.

Stalin odwalił kopyta i nasi staruszkowie mogli wreszcie przenieść się z Kołymy na Kaukaz – żeby pogrzać trochę kości. Ciepłej zresztą robiło się dookoła, chociaż powoli. I oto w 1959 roku ich syn Wiktor, kijowski ślusarz, postanowił pozbyć się znienawidzonego, cudzego nazwiska i ujawnić się jako syn wroga ludu, Czebotariowa! I rodzice znaleźli go po roku! I teraz nowy kłopot – ojciec musiał zacząć starania, aby samemu stać się znów Czebotariowem (trzykrotnie zrehabilitowany nie musiał już odpowiadać karnie za swą ucieczkę). Też się ujawnił, odciski palców posłano do Moskwy, rzecz musiała być sprawdzona. Trochę spokoju miał stary dopiero wtedy, kiedy wszyscy troje otrzymali paszporty na nazwisko Czebotariowa⁸ i synowa też tak się mogła nazywać. Ale po upływie paru lat dostałem list, z którego wynika, że stary żałuje, iż odnalazł Wiktora: syn wyzywa ojca od przestępców, w nim widzi przyczynę swoich kłopotów, zaświadczenia o rehabilitacji nazywa z przekąsem „świsłkami papieru”. A starszy syn – Gennady – w ogóle się nie odnalazł.

Opisane wyżej przypadki świadczą, że ucieczka nie daje wcale wolności, lecz – nawet gdy się uda – jest wstępem do życia pełnego poniżeń i niebezpieczeństw. Niektórzy ze zbiegów dobrze to rozumieli – ci, którzy już w obozie zdążyli odstrzychnąć się politycznie od życia kraju, a także ci, którzy przyjęli nieświadomie elementarną zasadę: żyć byle jak, po prostu

8 Jakoś dawno mi już nie pisał staruszek. Czy aby żyje?

350

żyć! Ale nierzadcy byli wśród zbiegów tacy (mieli w zanadrzu przygotowaną odpowiedź na wypadek niepowodzenia: „Uciekłem, żeby prosić Komitet Centralny o rozpatrzenie mojej sprawy!”), którzy mieli zupełnie określony cel: uciec na Zachód. Tylko taką ucieczkę uważali oni za udaną do końca.

O wypadkach tego rodzaju opowiadać mi najtrudniej. Ci, którym się nie udało – gryzą ziemię. Ci, których schwytano – rozstrzelani albo milczą. Ci zaś, którzy jednak uciekli – może wyznali wszystko na Zachodzie, ujawnili się, ale może milczą dalej, mając na względzie kogoś, kto tu jeszcze został. Słyszałem pogłoskę, że na Czukotce więźniowie zdążyli opanować samolot i odlecieli nim na Alaskę. Miało ich być siedmiu. Sądzę – że próbowali tylko takiej sztuki, ale że im się nie udało. Wszystkie te historie długo jeszcze leżeć będą pod sukniem, by starzeć się i tracić stopniowo wszelką wagę, podobnie jak ten rękopis, podobnie jak wszystko to, co pisze się w naszym kraju w zamiarze dania świadectwa prawdzie.

Oto jeden z takich wypadków – i znów w ludzkiej pamięci nie zachowało się nazwisko bohaterskiego zbiega. Pochodził z Odessy, był w cywilu inżynierem-mechanikiem, w wojsku dosłużył się rangi kapitana. Koniec wojny zastał go w Austrii, służył w Wiedniu, w naszych wojskach okupacyjnych. W 1948 roku został aresztowany, bo ktoś na niego doniósł. Z artykułu 58, jak to już wówczas było w zwyczaju, oberwał 25 lat. Wywieziono go na Syberię, zamknięto w podobozie, leżącym trzysta kilometrów za Tajszelem, to znaczy – daleko od kolei transsyberyjskiej. Przy robotach leśnych wkrótce stracił siły. Ale tliła się w nim dalej wola walki o życie i nie mógł zapomnieć o Wiedniu! I stamtąd – STAMTĄD! – zdołał uciec do Wiednia! Nie do wiary!

Ich poręba przylegała do szerokiego duktu, dobrze widocznego z niewysokich wieżyczek strażniczych. Owego dnia zabrał on do pracy swoją porcję chleba. Zwalił na poprzek duktu gałęzisty świerk. Leżące drzewo nie sięgało aż do drugiego skrajnego końca duktu, mimo to udało mu się smygnąć w las po drugiej stronie. Zabrał ze

sobą siekierę. Było lato. Przedzierał się przez tajgę szlakiem wiatrołomu, bardzo to było trudne, za to nikogo nie spotkał przez cały miesiąc. Porobił węzły na rękawach i kołnierzu koszuli, łowił nią ryby i pożerał je na surowo. Zbierał cedrowe orzechy, grzyby i jagody. Gdy dopełził do magistrali syberyjskiej, był już na poły martwy. Zagrzebał się w pierwszym stogu siana i zasnął błogo. Obudziły go ludzkie głosy: ktoś brał siano widłami ze stogu i zbieg leżał już na widoku. Nie miał sił ani do dalszej ucieczki, ani do walki. Powiedział więc: „Cóż, jestem zbiegiem, bierzcie mnie, wydajcie władzom”. A to był kolejarz, dróżnik z żoną. Dróżnik powiedział: „Toć my Rosjanie. Tylko schowaj się lepiej, nie pokazuj

351
się”. Poszli sobie. Ale zbieg nie miał do nich zaufania: przecież to sowieccy ludzie, muszą donieść. I poczołgał się w stronę lasu. Leżąc na jego skraju, zobaczył, że dróżnik wraca, niesie jedzenie i trochę odzieży. Pod wieczór zbieg ruszył wzdłuż torów i na leśnym przystanku wsiadł na lorę towarową. Rano – zeskoczył z niej i schował się w lesie na cały dzień. Noc po nocy tak podróżował, a kiedy wróciło mu trochę sił, to schodził na każdym przystanku – chował się w zaroślach albo szedł naprzód, wyprzedzając pociąg, aby skoczyć znów w biegu na jakąś lorę. Dziesiątki razy w ten sposób ryzykował, że koła obetną mu rękę, nogę albo i głowę (tak oto płacił za kilka lekkich pociągnięć donosicielskiego pióra...). Ale gdzieś, nie dojeżdżając do łańcucha gór Uralskich, zapomniał pewnego razu o swojej zasadzie i zasnął na platformie, wyładowanej drewnem. Ktoś go kopnął i oświetlił twarz latarnią: „Dokumenty!” – „Już się robi”. Podniósł się na równe nogi i jednym ciosem zwałił strażnika z wagonu, sam zaś zeskoczył na peron z drugiej strony – wprost na łeb drugiego strażnika! Zbił z nóg również tego i zdołał uciec, przemykając się pod sąsiednimi eszelonami. Złapał pociąg już za stacją, skoczył w biegu.

Swierdłowski postanowił obejść szerokim łukiem. W jego okolicach wypatroszył kiosk handlowy, zaopatrzył się tam w odzież, wdział trzy garnitury, jeden na drugi, zabrał zapas żywności. Na jakiejś stacji sprzedał jeden z tych graniturów i kupił bilet Czelabińsk – Orsk – Azja Środkowa. Nie, wiedział dobrze dokąd jedzie – do Wiednia! Ale trzeba było zaopatrzyć się w to i owo i odczekać, aż przestaną go szukać. Pewien przewodniczący kołchozu, Turkmen, którego poznał na rynku, machnął ręką na brak dokumentów i przyjął go do pracy. Był mechanikiem nie tylko na papierze, wyremontował wszystkie maszyny w kołchozie. Po kilku miesiącach poprosił o zwolnienie, wziął odprawę i pojechał do Krasnowodzka. Linia kolejowa biegnie tu wzdłuż perskiej granicy. Na stacji Mary wszedł do pociągu patrol, sprawdzając u wszystkich dokumenty. Nasz mechanik wyszedł wówczas do tamburu, otworzył w biegu drzwi, zawisł z zewnątrz na oknie wagonowej ubikacji (przez matowe szkło nie był widoczny dla wchodzących do toalety) i tylko czubek jednego buta opierał o stopień wagonu. Przechodzący przez tambur patrol nie zwrócił uwagi na ten but, może i widoczny przy uważnym spojrzeniu przez okno. Żołnierze przeszli do następnego wagonu. Najstraszniejsza chwila minęła. Zbiegowi udało się pomyślnie przeciąć morze Kaspijskie. W Baku wsiadł do pociągu jadącego aż do Szepietówki nad dawną polską granicą. Stamtąd ruszył w głąb Karpat. Z nadzwyczajną ostrożnością przecinał linię graniczną, biegnącą stromiznami wśród głuchego lasu – i mimo to nakryli go pogranicznicy! Ile trzeba było ofiar, cierpień, pomysłów, wysiłku – na

tym szlaku od syberyjskiego podobozu, od tego pierwszego, zrąbanego świerka – a tu, przed samym końcem drogi, wszystko się wali w jednej chwili!... I podobnie, jak tam, na stogu pod Tajszetem, poczuł, że opuszczają go siły, że nie może już więcej ani stawiać oporu, ani kłamać. Więc krzyknął w ostatnim napadzie wściekłości: „Bierzcie mnie, kąty! Wygraliście!” – „Coś ty za jeden?” – „Zbieg! Z obozu! Teraz mnie macie!”. Ale strażnicy graniczni zachowywali się jakoś dziwnie: zawiązali mu oczy, zaprowadzili do ziemianki, tam zdjęli mu z rąk pęta, zaczęli przesłuchiwać – i nagle wszystko się wyjaśniło – swoi! Banderowcy! (Fi! fi! już widzę, jak krzywią się co wykształceńsi czytelnicy, jak pomachują na mnie rączkami: „No i bohaterów pan sobie wybiera, jeżeli dla tego faceta banderowcy – to swoi! Ładny kwiat!"). Teraz ja z kolei rozkładam ręce: nic nie zmyślam. Taki właśnie był. Takim zrobił go obóz. Bo przecież ci łagrowcy, trzeba państwu wiedzieć, trzymają się pewnej świńskiej zasady: „Był określa świadomość”, nie zaś tego, co stoi w gazetach. Dla łagrowca swój to tylko ten, z którym męczył się on w obozie. Ten zaś jest dla niego obcy, kto go szczuje psami. Sam mam też taki narów, szczerze mówiąc). Uścisnęli się! Banderowcy mieli jeszcze wtedy swoje przejścia graniczne i przeprowadzili go bez przygód.

I oto znowu był w Wiedniu! Ale już w sektorze amerykańskim. Dochowując wierności wciąż tej samej zobowiązującej, materialistycznej zasadzie, a także nie chcąc zapominać o swoich przeżyciach w morderczym, krwawym obozie – nie szukał już pracy jako inżynier mechanik, ale poszedł do amerykańskich władz ze zwierzeniami. I dostał u nich jakąś robotę.

Ale bardzo to ludzka cecha: gdy tylko niebezpieczeństwo minie, zaraz czujność nasza się osłabia. Postanowił postać rodzicom do Odessy trochę pieniędzy, ale trzeba było w tym celu zamienić dolary na ruble. Jakiś han-detes zaprosił go do swego mieszkania w sowieckiej żonie okupacyjnej Wiednia, aby tam dokonać wymiany. Ludzie zresztą bez przerwy cyrkulo-wali między tymi żonami, nie bardzo wiedząc, gdzie się która kończy. Ale on w żadnym wypadku nie powinien był granicy przekraczać! Przeszedł jednak na drugą stronę i złapany był w mieszkaniu waluciarza.

Jest coś bardzo rosyjskiego w tej historii: człowiek niżej z mozołem nadludzkie wysiłki, niżej i niżej na jeden sznur, a potem oddaje wszystko za jedną szklankę wódki. Skazany na rozstrzelanie, siedząc w celi sowieckiego więzienia w Berlinie, zdążył on to wszystko opowiedzieć innemu oficerowi i inżynierowi, nazwiskiem Anikin. Ten Anikin miał już wtedy za sobą niemiecki obóz jeńców, konał już w Buchenwaldzie, uratowany był przez Amerykanów; później

353

wywieziony do sowieckiej żony okupacyjnej w Niemczech, trzymany był tam czasowo, bo ktoś musiał demontować fabryki, już uciekł do RFN, budował pod Monachium elektrocentralę wodną i w końcu wykradziony został stamtąd przez sowiecki wywiad (oślepił go reflektorami, wyciągnęli z wozu i wepchnęli do swojego auta) – i po co to wszystko? Żeby wysłuchać opowieści odeskiego mechanika i powtórzyć ją nam? Żeby później dwa razy próbować bezskutecznie ucieczki w dalekim Ekibastuzie (będzie jeszcze o tym mowa w V części)? I żeby wreszcie zostać zamordowanym w karnym obozie pracy, przy gaszeniu wapna?

Oto drogi przeznaczenia! oto zygzaki losu! I jakże tu doszukać się sensu w życiu ludzkiej jednostki?...

Nie mówiliśmy jeszcze nic o ucieczkach grupowych. A takich również było wiele. W czasie powstania w obozie Ust'-Sysolsk uciekła w 1943 roku cała grupa. Szli przez tundrę, jedli zielska i jagody. Posłano za nimi samoloty i wystrzelano z broni pokładowej. Podobno w 1956 roku dał drapaką cały nieduży obóz; rzecz działa się pod Monczegorskiem. Historia wszystkich ucieczek z Archipelagu musiałaby stać się spisem nieprzebrany, księgą nieczytelną – dla nadmiaru przykładów. I ten nawet, kto podjąłby się pisanie książki, poświęconej wyłącznie ucieczkom, musiałby ulitować się zarówno nad czytelnikiem, jak nad samym sobą – pomijając w końcu całe setki zdarzeń.

XV

SZIZO, BURy, ZURy

Wśród wielu radosnych wyrzeczeń, które proklamowano z okazji narodzin nowego świata – wyrzeczenia się wyzysku, wyrzeczenia się kolonii, wyrzeczenia się tajnej dyplomacji oraz tajnych nominacji i translokacji, wyrzeczenia się tajnej policji, wyrzeczenia się nauki religii – i jeszcze wielu wyrzeczeń i aktów rezygnacji – nie było wprawdzie wyrzeczenia się więzień (ich murów nie zburzono, tylko nadano im „nową treść klasową”) – było jednak bezwarunkowe wyrzeczenie się karcerów, tej bezlitosnej formy tortur, która mogła narodzić się tylko w zdegenerowanych, pełnych nienawiści głowach burżuazyjnych dręczycieli. Kodeks z 1924 roku zakładał wprawdzie możliwość izolacji więźnia, który dopuścił się szczególnie ciężkiego wykroczenia, ale podkreślał, że cela izolacyjna niczym nie może przypominać karceru: musi być sucha, jasna i wyposażona w łóżko oraz pościel.

Dzisiaj zaś – nie tylko klucznicy, ale sami więźniowie byliby niezmiernie zaskoczeni, gdyby karcery nagle znikły, gdyby zostały skasowane.

KK z 1933 roku, który był w mocy (a raczej – niemocy) aż do początku lat 60., okazał się jeszcze bardziej humanitarny: zabraniał zupełnie izolowania więźniów w osobnych celach!

Ale zabraniał nie dlatego, że nadeszły lata większej tolerancji, lecz dlatego, iż w tym okresie wypróbowano już doświadczalnie inne formy kar wewnętrznych. Były to czasy, gdy nie samotność, lecz „kolektyw” wyłaził ludziom uszami, zwłaszcza, że ukarani musieli jeszcze harować.

Oto te formy:

– Kompanie Obostrzonej Dyscypliny (R.U.R.) zastąpione później przez:

355

– Baraki Obostrzonej Dyscypliny (B.U.R.) i karne brygady oraz

– Żony Obostrzonej Dyscypliny (Z.U.R.) i karne podobozы. A potem, całkiem nieznacznie, jakby mimochodem, pojawiły się przy nich – nie żadne karcery, nie!, tylko –

– Karne Izolatory (SZIZO).

Bo jeśli więźnia nie ma czym postraszyć, jeśli nie wisi mu nad karkiem obostrzenie kary – to kto w ogóle zmusi go do przestrzegania dyscypliny?

A dokąd wsadzać schwytanych zbiegów, ha?

Za co posyłano do tych karnych izolatorów, do karceru? A za wszystko, co sobie człowiek zamarzy: że nie spodobał się naczelnikowi, że nie wstał na czas, że nie w porę się położył, że spóźnił się na apel, że nie tą drogą szedł co trzeba, że nie był ubrany przepisowo, że palił nie tam, gdzie wolno, że trzymał w baraku za dużo swoich rzeczy – za to wlepiano dobę, trzy, pięć. Nie wykonałeś normy, złapano cię z babą – za to dawano pięć, siedem, dziesięć. A jeśli kto odmawia pójścia do ro-

boty – to naści nawet piętnaście dni. I chociaż zgodnie z prawem (jakim?) więcej niż piętnaście dawać nie wolno (a według KK nawet to jest bezprawiem!) – to miechy tej harmonii można rozciągnąć aż do roku. W 1932 roku w Dmityagu (to pisze sama Awerbach, czarno na białym!) za przyprawianie się dawano rok karnego izolatora! Jeśli uprzytomnić sobie, że samouszkodzeń nie leczono – znaczy to w sumie, że poranionego, chorego człowieka na rok wrzucano do bunkra – żeby tam gnić!

Jakim wymaganiom odpowiadać musi taki karny izolator? Ma w nim być: a) zimno; b) wilgotno; c) ciemno; d) głodno. Aby osiągnąć te cele – nigdy się go nie opala (Lipaj: nawet, kiedy na dworze jest 30° mrozu); nie szkli się okien na zimę; pozwala się, aby mury nasiąkły wilgocią (albo od razu kopie się loch w miejscu podmokłym). Okienka są maleńkie albo w ogóle ich nie ma (tak bywa najczęściej). Na wikt składa się stalinowska pajka – 300 gramów dziennie. „Danie gorące”, to znaczy – postną balan-dę, dają tylko trzeciego, szóstego i dziesiątego dnia kary. Ale w obozie Workuta–Wom dawano chleba tylko dwieście gramów, a zamiast „gorących dań” – co trzeci dzień kęs surowej ryby. Wszystkie karcery obozowe są mniej więcej tegoż typu.

Sądzi się naiwnie, że karcer powinien koniecznie przypominać celę – mieć sufit, drzwi i rygle. Nic podobnego! W obozie Kurany–Sała – podczas mrozów, dochodzących do 50°, karcer był skonstruowany z omszałych bali. (Doktor Andrejew, wolny oznajmił: „Jako LEKARZ twierdzę, że w takim karcerze MOŻNA siedzieć!”). Przeskoczmy na drugi skraj Archipelagu: we wspomnianym już obozie Workuta–Wom, w 1937 roku kar-

356

cerem dla wymawiających się od pracy była także ziemianka bez dachu, a istniał też obok zwykły dół. W tym dole (gdy padał deszcz, otwór zaciągano jakąś szmatką) Arnold Rappoport siedział jak Diogenes w beczce. Karmienie więźniów odbywało się w sposób następujący: nadzorca wychodził z wartowni, niosąc chleb w porcjach i wołał do siedzących w głębi ziemianki: „Chodźcie tu pobrać chleb!”. Ale zaledwie który wysunął nos, już brał go na muszkę wartownik z wieżyczki: „Stój, bo strzelam!”. – A do jamy rzucano chleb i ryby – po prostu na dno, w glinę rozmokłą od deszczu.

W obozie Marinskim (podobnie jak w wielu innych) ściany karceru pokryte były szronem. Mimo to nie wpuszczano ludzi do niego w obozowej odzieży, lecz TYLKO W BIELIŻNIE. Co pół godziny strażnik otwierał klapę w drzwiach i życzliwie radził siedzącemu tam I. W. Szwedowi: „Oj, nie wytrzymasz tu, zginiesz marnie! Lepiej weź się do roboty, idź do lasu!”. I rzeczywiście, pomyślał Szwed, tu człowiek prędzej odwali kopyta! Poszedł do lasu. W ciągu dwunastu i pół lat swego pobytu w obozach, Szwed odsiedział w karcerze 148 dni. Pióro nie opisze, za co był karany. Za odmowę pełnienia funkcji porządkowego w Indiach (baraku złodziejskiej drobnicy) dostał sześć miesięcy obozu karnego. Za odmowę przejścia z robót w kolonii rolnej – gdzie nieźle karmiono – do trzebienia lasu sądzony był powtórnie z artykułu 58–14 za kontrrewolucję gospodarczą i oberwał ponownie 10 lat. Kna-jak, nie chcąc dać się przenieść do karnego podobozu, może uderzyć komendanta eskorty, wybić mu nagan z ręki – i w końcu tych przenosin mu oszczędzą. Spokojny więzień polityczny nie ma wyjścia – prędzej czy później skręcą go w barani róg! Na Kołymie w 1938 roku dla szemranych nawet karcery były ogrzewane, nie to, co dla Pięćdziesiątki Ósemki.

Barak Obostrzonej Dyscypliny (BUR) – to pachnie dłuższą odsiadką. Ludzie są tam wtrącani na miesiąc, na trzy miesiące, pół roku, rok, a często – bezterminowo, po prostu dlatego, że dany więzień uznany został za niebezpiecznego. Jeśli ktoś znalazł się raz na czarnej liście, to go potem posyłają do takiego baraku na wszelki wypadek: przed każdym świętem pierwszego maja czy siódmego listopada, z okazji każdej ucieczki i w ogóle – gdy się w obozie zdarzy cokolwiek bądź niezwykłego.

Barak może być najzwyczajniejszy, tyle że ogrodzony osobnym płotem z drutu kolczastego i że siedzących w nim aresztantów wyprowadza się oddzielnie do najcięższej i najprzyczrzejszej w danym obozie roboty. Może to też być kamienne więzienie wewnętrzne, ze wszystkimi więziennymi szykanami: z biciem w dyżurce wzywanych pojedynczo więźniów (żeby nie było śladów pobicia – dobrze jest łać faceta walonkiem z cegłą w środku);

357

z drzwiami opatrzonymi w regularne rygle, zamki i judasze; z betonową polepą w celach – a nawet z osobnym karcerem dla siedzących już w tym baraku. Taki właśnie był BUR w Ekibastuzie (istniał tam również barak karny pierwszego typu). Ukaranych wsadzano do celi bez żadnych nar (spali na ziemi w swoich kaftanach i fufaj', a ^JCaganiec z blachy zupełnie zastaniał malutkie okienko pod sufitem^^PJ^fewrobiono gwoździem dziurki, ale zimą śnieg je zaprószał i w celi panowały egipskie ciemności. We dnie elektryczność się nie paliła tak, że w nocy było jednak jaśniej. Celi nigdy nie wietrzono. Przez pół roku (w 1950) nie było ani jednego spaceru. Bardziej ten barak przypominał ciężkie więzienie niż zwykły obóz. Wszystkie potrzeby naturalne – w celi, bez żadnego wychodzenia do klozetu. Wnoszenie wielkiego kibla było zazdrości godnym przywilejem dyżurnych: mogli zaczerpnąć trochę powietrza. A kąpiel – to już było wielkie święto. Cella była przepelniona, można było tylko leżeć w tłoku, nie było mowy o rozprostowaniu kości. Tak oto siedziało się sześć miesięcy z rzędu. Wodzianka, sześćset gramów chleba, ani okruszyny machorki. Jeśli więzień siedzący w karnym baraku dostawał paczkę z domu, to produkty psujące się łatwo „spisywano” protokolarnie na straty (szły na stół strażników albo sprzedawane były za bezcen prydurkom), reszta zaś wędrowała do magazynu na wielomiesięczne przechowanie. (Kiedy tych ukaranych wyprowadzano później do roboty, ruszali się bardzo żwawo – choćby po to, aby ich czasem znów nie zamknięto).

Zaduch i bezruch doprowadzały więźniów do granic wytrzymałości, a już zwłaszcza – narwanych i zaczepnych półknajaków. (Ci z ferajny, którzy trafili do obozu Ekibastuz, traktowani byli jak Pięćdziesiątka Ósemka, żadnych ulg nie mieli). Najpopularniejszym zajęciem siedzących w karnym baraku było też łykanie aluminiowych łyżek, rozdawanych przed obiadem. Każdego, kto połknął, brano na badanie rentgenowskie, a gdy okazywało się, że łyżkę ma naprawdę w żołądku – kładziono go na stół operacyjny i otwierano mu brzuch. Loszka Karnouchy łykał trzykrotnie, mało co zostało mu z żołądka. Kolka Sałopajew zabawił się w trupa: powiesił się w nocy, ale – wtajemniczeni zawczasu – koledzy „zauważyli w porę”, odcięli go od stryka – i poszedł do szpitala. Jakiś inny zakaził nitkę (przeciągnął ją między własnymi zębami), nawłókł igłę i wraził ją sobie pod skórę nogi. Zakażenie! szpital! – a potem – zgorzel czy nie zgorzel, wszystko jedno, byle wyrwać się stąd. Ale pokusa użycia ukaranych do rozmaitych robót skłoniła panów gospodarzy do utworzenia całych wydzielonych żon karnych (Z.U.R.). W zo–

nach tych – przede wszystkim obowiązuje gorszy wikt, miesiącami nie dają drugiego dania, przydział chleba też jest mniejszy. Nawet zimą – w łazni wybite szyby, fryzjerki w fufajkach i watowanych portkach strzygą gołych więźniów. Brak czasem osobnej stołówki, za to bałandy nie wydaje się wtedy w barakach, tylko każdy musi ją odebrać z kuchni, nieść miskę – a tu ziąb! – do baraku i tam dopiero chęptać wystygłą ciecz. Umierają też tam ludzie na wyścigi, szpital pełen konających.

Już sam spis takich karnych żon mógłby chyba, w przyszłości, dać podstawę do studium historycznego, tym bardziej, że nie łatwo będzie go zestawić, wszystko się pozaciera.

Dla karnych żon przewidziane były specjalne rodzaje robót. Na przykład – sianokosy na podmokłych łągach, leżących 35 kilometrów za żoną, gdzie gnieździć się trzeba w niczym nie uszczelnionych szałasach i kosić trawę w wodzie po kostki. (Jeśli straż liberalna – to zbiera się przy okazji jagody, jeśli bardzo surowa, to dochodzi do strzelania i niejeden zbieracz ginie, ale zbierają mimo to; toć głód doskwiera!). Albo – robienie zapasów kiszonki, na takich samych bagnach, wśród roju komarów, bez żadnych tam siatek ochronnych (gęba i szyja – całe skłute żądlami, pokryte strupami, powieki obrzękłe, nic prawie się nie widzi). – Albo kopanie torfu w delcie Wyczegdy: zimową porą rozbija się ciężkim obuchem warstwę zamrożonego mułu, aby czerpać spod niej półtłyny torf, wlec go później na sankach kilometr pod górę (koni do takiej roboty obóz szczędził). Albo zwyczajnie – roboty ziemne („ziemny OŁP” pod Workutą). No i wreszcie – ulubiona robota karna: wapienne kamieniołomy i wypalanie wapna. I w ogóle – kamieniołomy wszelkiego rodzaju. Nie sposób wyliczyć wszystkiego. Najcięższe z ciężkich prac, najtrudniejsze z trudnych – oto, czym są te karne roboty. Każdy obóz ma własny ich rodzaj.

Do żon karnych najchętniej zsyłano więźniów wierzących, opornych – oraz szemranych (tak jest, szemranych, tu właśnie wielki system wychowawczy potykał się o niezaradność czynników lokalnych). Były tam całe baraki „mniszek”, które odmawiały pracy na pożytek diabłu. (W karnej kolonii sowchozu Pieczorskiego kobiety te wtrącano do karceru, gdzie wody było po kolana. Jesienią 1941 roku dano im artykuł 58 § 14 – i wszystkie rozstrzelano). Wyprawiono do takiej żony duchownego, ojca Wiktora Szy-powalnikowa „za agitację religijną” (na Wielkanoc odprawił nabożeństwo nocne dla pięciu pielęgniarek szpitalnych). Przenoszono niepokornych inżynierów i innych rozzuchwalonych inteligentów. Zsyłano zbiegów, których udało się wyłapać. I – z ciężkim sercem – posyłano tam również elementy socjalnie bliskie, jeśli w żaden już sposób nie chciały przejść się

proletariacką ideologią. (Nie miejmy pretensji do zwierzchności, że czasem nie mogła poradzić sobie z zawłościami klasyfikacji, wymagającej znacznego wysiłku umysłowego. Stąd pomyłki: na przykład z obozu Karabas wysłano dwie podwody. Jedna miała zawieźć klerykatki do „osiedla dziecięcego”, gdzie powinny były doglądać obozowego przychówku, druga zaś miała odstawić knajaczki i syfilityczki do karnej filii obozu Dolinka, zwanej Konspaj. Ale komuś pok' ^ | Lfe ^ | Mfeprzy ładowaniu bagażu na podwody – i w końcu szemrane syfilityczki pojechały doglądać dzieci, „mniszki” zaś zawieziono do obozu karnego. Pomyłka w końcu wyszła na jaw, ale kto by tam ją naprawiał).

Często przenoszono karnie ludzi, którzy odmawiali szpiclowania. Większość z nich zginęła tam, na robotach karnych i nic nam już nie opowiedzą. Jeszcze mniej skłonni są do takich zwierzeń ich zabójcy, operczekiści. W ten sposób zesłano gleboznawcę Grigoriewa, któremu udało się przetrwać. Za podobną przewinę postawiono do karceru redaktora estońskiego czasopisma rolniczego, Elmara Nugisa. Zdarzały się też sprawy romansowe. Nie można przykładać do nich zbyt ścisłej i surowej miarki, bo zwykle kryje się w nich jakiś szczegół intymny, a nam niewiadomy. Ale oto historia Ireny Nagel w tej wersji, jaką nam sama podała.

W sowchozie Uchta pracowała ona jako maszynistka działu administracji, należała zatem do bardzo dobrze urządzonych pryduków. Przystojna, masywna, miała tak długie warkocze, że opłatała nimi głowę. Chodziła – również dla wygody – w kurtce i spodniach narciarskich. Kto zna obozy, ten wie jak silny to był wabik. Operczekista, młodszy lejtnant Sidorenko, wyraził więc chęć zawarcia z nią nieco bliższej znajomości. Irena odparła: „To już wolę najgorszego urkę! Jak panu nie wstyd, pańskie dziecko tu za ścianą płacze!”. Odpalony oper zmienił nagle ton i oznajmił: „Wyobrażasz sobie serio, że mi się podobasz? Chciałem cię tylko wypróbować. Teraz dowiedz się, że masz z nami współpracować”. Odmówiła i przeniesiono ją do karnego podobozu.

Oto co zobaczyła pierwszego wieczoru: w kobiecym baraku siedzą razem knajaczki i „mniszki”. Pięć dziewczyn chodzi w samych prześcieradłach: poprzedniego dnia knajaczki grały sobą w karty o ich odzież, po zakończeniu gry – kazały im zdjąć ze siebie wszystko. Musiały oddać. Nagle wpada banda knajaków pod wodzą gitarzysty, wszyscy w gaciach, ale każ-

1 Kto w całej historii ludzkości zrównał ze sobą te dwie kategorie? Kim trzeba być, aby mieszać je ze sobą?

360

dy ma na łbie pilśniowy kapelusz. Zaczyna się coś w rodzaju złodziejskiej serenady. Wbiega raptem inna banda, jacyś wściekli. Chwyatają jedną ze swoich dziewczyn, obalają na ziemię, młóca ją drewnianą ławką, tratują nogami. Dziewucha krzyczy, potem nawet już krzyczeć nie może. Wszyscy wokół siedzą jak trusie, nie dość, że nikt nie reaguje, ale wydaje się, że nikt nic nie widzi. Po jakimś czasie przychodzi felczer: „Kto cię tak zbił?” – „Spadłam z nar, to wszystko” – odpowiada pobita. – Jeszcze tego samego wieczoru sama Irena Nagel została przegrana w karty – ale wyratował ją z tarapatów Wąska Świdrowaty, suka. Doniósł komendantowi, a ten zabrał Irenę na odwach, na całą noc.

Karne placówki obozów (jak Parma, forpoczta Nyroblagu w samym gąszczu tajgi) uważane były często za miejsca zesłania także dla strażników i nadzorców; przenoszono tu tych, którzy mieli coś na sumieniu; najczęściej ich miejsce zajmowali członkowie tzw. samoochrony.

Darmo szukać w obozach prawa i sprawiedliwości – tym bardziej więc w obozach karnych. Knajacy broją tam sobie bez przeszkód, chodzą z nożami w rękę, wcale się z tym nie kryjąc (workucki „ziemny” OłP, rok 1946), nadzorcy chowają się przed nimi za obrębem żony, chociaż Pięćdziesiątka Ósemka stanowi tu większość.

W obozie karnym Dżantuj opodal Pieczory szemrani tak sobie, dla hecy, spalili dwa baraki, zakazali gotowania żarcia, rozpędzili personel kuchenny, zarżnęli dwóch oficerów. Cała reszta szarż odmówiła wchodzenia do żony, nawet pod groźbą degradacji.

W podobnych wypadkach władzę ratuje tylko waśń wśród podopiecznych. Komendantem Dżantuja mianowano pewnego sukę, w trybie nagłym ściągniętego do obozu wraz z całym zespołem pomocników. Już pierwszego wieczoru zadźgali oni trzech złodziei i stopniowo zaczęli wracać spokój.

Na złodzieja najlepszy drugi złodziej – powiada stare przysłowie. Zgodnie z Przodującą Doktryną – po rozmnożeniu się tych socjalnych po-ciotków do takich granic, że już dech zapierało, Ojcowie Archipelagu znaleźli jedyne rozwiązanie: poróżnić ich i napuścić jednych na drugich. Z nożami. (Wojna knajaków z sukami wstrząsnęła posadami Archipelagu w latach powojennych).

Trzeba przyznać, że życie szemranych w obozach też nie było słodkie, mimo wszystkich ich swawoli! Rozpasanie było tylko namiastką ucieczki. Jak to zwykle pijawki, knajacy wolą mieszkać pośród tych, na których można pasożytować. Szemrani odrąbywali sobie czasem palce, byle nie iść do karnej żony, na przykład – do sławetnych workuckich Wapienników.

361

(Po wojnie niektórzy recydywiści już w sentencji sądowej mieli napisane: „zostać do workuckich Wapienników”. Śruba dokręcana była od góry).

Nikt się tam nie ruszał bez noża. Suki i knajacy wyrzynali się wzajemnie, co dzień ktoś ginął. Kucharz (suka) rozlewał bałandę wedle swego widzimisie: jednemu dawał zawiesiście, drugiemu – rzadziznę, trzeciemu – chochlą po łbie. Szef robót chodził z prętem zbrojeniowym w łapie i jednym chłasińciem zabijał człowieka- i^^gj |j(fe» ‘Suki mieli swoich chłopaczków do nocnych zabaw. Były^I^^Saki: dla suk, dla ferajny i dla frajerów, w każdym po stu ludzi. Frajerzy – pracowali: opodal obozu, w zapadlinie, wydobywano wapien. Później trzeba go było nieść na tragach pod górę. Tam usypywano z głazów piramidy, zostawiając w środku rodzaj przewodu kominowego. Pod te stożki podkładano ogień. W końcu – rozrzucono tłące się wapno i kruszono je wśród dymu, sadzy i wapiennego, żrącego pyłu.

W obozach Dżydzynskich specjalną sławą cieszył się karny obóz Bajangoł.

Jeszcze przed otwarciem karnego OŁP Krasłagu, zwanego Rewuczyj przysłano tam specjalną „kadrę roboczą” – półtorej setki Bogu ducha winnych, ale za to dobrych fachowców (karny obóz karnym obozem, ale nadzór odpowiada za wykonanie planu! w rezultacie – prości robociarze muszą iść do karnej żony). Później dopiero przysłano knajaków i długoterminowych z Pięćdziesiątki Ósemki – tych ostatnich bali się nawet fet-niaczy-Mrfcz, bo wyroki ich opiewały na 25 lat i – w latach powojennych (gdy na jakiś czas zniesiono karę śmierci) zatłuczenie knajaka nie groziło im zwiększeniem kary; to już nie było uważane (jak podczas budowy Kanałów) za wyskok wroga klasowego.

Dzień roboczy w Rewuczym trwał formalnie 11 godzin, ale w istocie – razem z marszem do lasu (5–6 kilometrów) i z powrotem – przedłużał się do 15. Pobudka była o 4.30 rano, do żony wracano na ósmą wieczór. Prowadziło to do galopującego wycieńczenia i w rezultacie prędko znaleźli się tacy, co nie chcieli chodzić do roboty. Po apelu tych opornych gromadzono w świetlicy – a szef robót szedł wzdłuż szeregu i wybierał kandydatów do przymusowego doprowadzenia. Wprowadzano ich w łapciach ze sznurka („obuwie sezonowe”, a tu mróz 60-stopniowy) i w mizernych kaftanach za obręb żony – a tam naszczuwano na nich pięć wilczurów. „Huzia!”. Psy szarpały, kąsały i przewracały opornych. W końcu ktoś krzyczał „do nogi!”, podjeżdżał wóz asenizacyjny, ciągnięty przez wołka, woźnica – Chińczyk ładował pokąsanych na furę, odwoził ich na brzeg skarpy, zrzuca-

no żywy ładunek do jaru. Czekał już tam brygadzysta, Losza Słoboda z pałą. Prął półżywych dopóty, dopóki nie wstali i nie poszli do pracy. Cały ich urobek zapisywał na konto swojej brygady; pobitym nale–
362

żało się tylko 300 gramów – karna pajka. (Ten, kto wymyślił tę całą drabinkę – był istnym Stalinkiem w miniaturze!).

Koleżanko Sieriebriakowa! Pani Halino! Czemuż to O TYM pani nie napisze? Dlaczego bohaterowie pani książki * siedząc w obozie nic nie robią, nigdzie nie pracują, a wciąż tylko gwarzą sobie o Leninie i Stalinie?

Zwyczajny robociarz z Pięćdziesiątką Ósemką na karku takiego obozu karnego po prostu nie przeżyje; tak bywa prawie zawsze.

W karnej filii Siewżełdortagu (komendant – pułkownik Kluczkin) w latach 1946–47 uprawiano ludożerstwo: zabijano ludzi na mięso, gotowano je i pożerano.

Działo się to nazajutrz po historycznym zwycięstwie naszego narodu w wojnie światowej.

Hej, hej, pułkowniku Kluczkin! Gdzie zbudował pan sobie willę? Gdzie też spędza pan latka swojej emerytury?

Huragan, Instytut Literacki, Biblioteka „Kultury”, tom 149, 1967.

XVI SOCJALNE POCIOTKI

Niechaj słabe moje pióro też się przyczyni do pomnożenia chwały tego wspaniałego plemienia! Ileż to razy już opiewano piratów, flibustierów, obieżyświatów, zbiegłych katorżników! Ile hymnów ułożono na cześć szlachetnych zbójców – od Robin Hooda do awanturników z operetki, ileż czytaliśmy zapewnień, że wszyscy oni mają czułe serca, że okradają tylko bogatych, aby dzielić się z biedakami! Wspaniałomyślni towarzysze Karola Moora! Romantyczny buntownik Czetkasz – bohater Gorkiego! Benia Krzyk, odescy hultaje i piewcy Odessy!

Czyż jednak nie cała literatura światowa zachwycała się knajakami? Vil–lonowi dajmy spokój, ale ani Hugo, ani Balzak nie uniknęli tej pokusy, Puszkina zaś, pisząc o Cyganach, sławił właśnie hultajski, przestępczy element ich życia. (No, a Byron?). Nigdy jednak i nigdzie nie wynoszono knajaków pod niebiosy tak często, jednogłośnie i konsekwentnie, jak w literaturze sowieckiej! (Miało to swoje głębokie Uzasadnienie Teoretyczne, to zasługa nie tylko Gorkiego czy Makarenki). Beknął czule Utiosow z estrady – i baranim głosem odpowiedziała mu zachwycona publiczka. I nie żadnym innym, tylko półknajackim żargonem przemówili bałtyccy i czarnomorscy marynarze w sztukach Wiszniewskiego i Pogodina. Właśnie w sprawie tego żargonu błyszczą najlepiej ich dowcip. Iluż to naszych pisarzy zachłystywało się z uniesienia opisując, jak to szemrani przechodzą ewolucję – od początkowego, strasznego lecz jakże spontanicznego roz–pasania – do dialektycznego dojrzewania w zakończeniu. Jest tu i Maja–kowski, a za nim – Szostakowicz (chodzi o balet „Panna i chuligan”) i Leonów, i Selwiński, i Wiera Inber, nazwisk bez liku. Kult knajaka okazał się zaraźliwy w epoce, gdy literatura usychała z braku bohaterów pozytyw–

364

nych. Nawet tak odległy od linii oficjalnej pisarz, jak Wiktor Niekrasow, nie znalazł lepszego wcielenia rosyjskiego heroizmu jak postać sierżanta Czumaka, byłego złodzieja (W okopach Stalingradu). Nawet Tatiana Jesie–nina (Żenią – cud XX wieku) wpadła w ten sam trans i nakreśliła dla nas postać Wieriki o przezwisku Walet Karo. Chyba tylko Tiendriakow, mający dar obserwacji bezstronnej, pierwszy potra-

fił dać opis knajaka nie wpadając z zachwytem w ślinotok (Trójka, siódemka, as), pokazując za to całą jego nędzę duchową. Ałdan–Siemionow sam nasiedział się w obozie, ale mimo to w swojej Płaskorzeźbie na skale wypisuje zupełne niedorzeczności: złodziej, Saszka Aleksandrów, pod wpływem więźnia–komunisty Pietrako–wa, którego ponoć wszyscy w obozie szanują, bo znał Lenina i bił się z Kołczakiem (motywacja zupełnie fantastyczna, całkiem w stylu pani Awerbach) – gromadzi brygadę z samych dochodiagów i nie używa sobie ich kosztem (a TYLKO tak być mogło! i A. Siemionow musi to WIEDZIEĆ!), bynajmniej, tylko troszczy się o ich dokarmianie! i właśnie w tym celu ogrywa wolniaków w karty! Tak, jakby te wygrane nie były mu potrzebne na zakup czyfirul Historia bzdurna i zbyt już woniejąca naftaliną – jak na lata 60.

Pewnego dnia w roku 1946, w oboziku za rogatką Kałużską, jakiś szemrany przechylił się przez parapet otwartego okna na drugim piętrze i silnym głosem jął zawodzić jedną knajacką pieśń po drugiej. Głos jego z łatwością przenikał przez łańcuch posterunków, przez drut kolczasty, słychać było te pieśni na chodnikach Wielkiej Kałużskiej, na przystanku trolejbusowym i w tej części Parku Nieskucznego, która graniczyła z obozem. Pieśni opiewały „łatwe życie”, zabójstwa, kradzieże, napady. I nie tylko, że nikt z nadzorców, wychowawców, strażników mu nie przeszkadzał w tych popisach, ale nikomu nie przyszło nawet do głowy, by krzyknąć na niego. Propaganda knajactwa nie była więc uważana za sprzeczną z naszym układem życiowym, nie zagrażała mu niczym. Siedziałem w żonie i rozmyślałem sobie: a co, gdybym tak ja wlaź sobie teraz na drugie piętro i z tegoż okna, głosem tak samo donośnym odśpiewał coś o losie jeńca, na przykład „Gdzie ty, gdzie ty?”, piosenkę, słyszaną niegdyś w kontrwywiadzie frontu, albo gdybym sam tu ułożył coś na temat upokarzającego losu pohańbionego byłego frontowca – co by tu się zaraz zaczęło! Co za ruch by się zrobił! Toć sprowadziliby w pośpiechu strażacką drabinę byle zdjąć mnie z tego okna, nie czekając aż dobiorą się do mnie drogą okrężną. Zakneblowano by mi gębę, związano ręce, dano by z punktu nowy wyroczek! A tu knajak sobie śpiewa, wolni moskwiczanie słuchają go, jakby nigdy nic, jakby tego tylko im brakowało...

365

– Wszystko to ukształtowało się z wolna, to proces historyczny – jak lubi się u nas mówić. W dawnej Rosji istniało (a na Zachodzie – istnieje do dziś) niesłuszne przekonanie, że złodzieje są niepoprawni, że to zawodowi kryminaliści („stos pacierzowy świata przestępczego”). Dlatego na etapach i w więzieniach – politycznych przed nimi broniono. Dlatego to – jak twierdzi P. Jakubowicz – administracja łamała ich przywileje, nie pozwalała im rządzić się wśród innych więźniów, nie dopuszczała do stanowisk i funkcji, brała stanowczo stronę innych katorżników, gdy wybuchwały spory. „Tysiące ich przybyło na Sachalin, aby nie wrócić więcej”. W Rosji przedrewolucyjnej wobec przestępców kryminalnych – recydywistów stosowano formułę: „Niech ugną się te karki pod żelaznym jarzmem prawa!” (Urusow). A tak, w 1917 roku złodzieje nie panoszyli się ani w rosyjskich wsiach i miastach, ani w więzieniach.

Ale oto pękły kajdany, zajaśniało słońce wolności. Natychmiast po rewolucji lutowej (jedni korzystając z zamieszania, razem z politycznymi, inni – tuż za nimi, dzięki szczodrym amnestiom Kiereńskiego) kryminaliści szerokim potokiem wypłynęli na powierzchnię wolnego świata i mieszały się z wolnymi obywatelami. Dezercja milionów w 1917 roku, a później – wojna domowa przyczyniły się do rozkiełznania

wszystkich ludzkich namiętności, a już najbardziej – skłonności do rabunku. Już tam nikt nie chciał chylić karku pod jarzmo, zresztą wszem i wobec obwieszczono, że to zbędne. Złodzieje uznali za rzecz nader zabawną, a zwłaszcza pożyteczną, że – jako wrogowie własności prywatnej – mogą uchodzić za siłę rewolucyjną, która powinna być przygarnięta przez proletariąt i to bez szczególnych trudności.

W „międzyczasie” ich liczba wzrosła niebywale – dzięki pojawieniu się milionowego młodego narybku w postaci sierot z lat wojny domowej – słynnych bezprizornych, bezdomnej szpany. Szukali ciepła przy kotłach asfaltowych NEP-u i wprawiali się w wydzieraniu kobietom torebek oraz wyławianiu hakami waliz przez okna pociągów. Jeśli rozpatrzyć sprawę z punktu widzenia socjologii – to przecież wszystkiemu winne środowisko, prawda? Weźmy się więc do reedukacji tych zdrowych dusz lumpenproletariackich, aby zapewnić im udział w życiu społecznym! Na tej zasadzie powstały pierwsze komuny i kolonie, i film „Bezdomni” Ekka. (Nie zdawano sobie tylko sprawy, że ci opuszczeni chłopcy nie byli to jeszcze złodzieje regularni, członkowie istnego zakonu złodziejskiego – i dlatego reedukacja tych bezdomnych młodzików o niczym jeszcze nie świadczyła: nie ulegli jeszcze ostatecznemu zepsuciu).

Dziś natomiast, po upływie lat przeszło czterdziestu, można rzucić spojrzenie wstecz – i znaleźć powód do pewnych wątpliwości: kto tu kogo wychował, przerobił: czekaści – knajaków czy knajacy – czekistów? Naj–

366

słynniejszy urka, który dał się przechrzcić, który przyjął wiarę czekisto-wską – jest tylko pogardzanym suką, każdy knajak wsadzi mu nóż pod żebra. Czekista zaś, który przyswoił sobie psychologię urki – to wymagający śledczy lat 30. i 40. albo stannowczy naczelnik obozowy, a więc ludzie cieszący się uznaniem, pewni swojej kariery. Psychologia knajaka jest zaś bardzo prosta, bardzo przystępna:

1) Chcę żyć i korzystać z życia, a na wszystkich innych kicham!

2) Kto mocniejszy, ten ma rację.

3) Nie ciebie chromolą, czego tyłkiem ruchasz! (to znaczy – skoro jeszcze nie jesteś bity, to nie ujmuj się za bitymi. Czekaj na swoją kolej).

Bić spotulniałych nieprzyjaciół osobno i po kolei! – skądś znamy tę zasadę. Tak robił Hitler. Tak postępował Stalin.

Ileż to nam nakładał w uszy Szejnin * o „kodeksie honorowym”, obowiązującym pono wśród knajaków, o dotrzymywaniu przez nich „słowa”. Sądząc z takich książek – to sami Don Kichoci i patrioci, jeden w drugiego! A spróbuj spotkać się z takim w celi albo w karetce więziennej...

Ej, dość tego bajania! Sprzedajne pióra, paniczycy, którzyście knajaków oglądali z pokładu wycieczkowego parostatku – albo zza biurka w wydziale śledczym! Którzyście nigdy nie spotkali się z szemranymi w sytuacji, gdy nikt was przed nimi nie bronił!

Urka, fetniak – to nie żaden Robin Hood! Kiedy można okraść umierającego dochodiagę – okradną także jego! Kiedy trzeba zabrać marznącemu ostatnie onuce – to nie pogardzą nawet onucami! Ich wielkim hasłem jest zawołanie: „zdychaj dzisiaj, za to ja pożyję do jutra!”.

Ale może są naprawdę patriotami? Dlaczego nie grabią dobra państwowego? Dlaczego nie patroszą rządowych dacz? Dlaczego nie zatrzymują długich, czarnych samochodów? Sądzą może, że zakłóciliby spokój komuś z tych, co pobili Kołczaka? Bynajmniej. Dlatego, że samochody i dacje są pod dobrą ochroną.

A sklepy i magazyny chronione są przez surowe prawa. Dlatego, że realista Stalin dawno już zrozumiał, iż nieustający trajkot o reedukacji knajaków – to tylko puste gadanie. I skierował ich energię na inne tory – naszczył ich na obywateli własnego kraju.

Oto jakie prawa obowiązywały u nas przez 30 lat (aż do 1947 roku): sprzeniewierzenie służbowe, zabór mienia państwowego, przywłaszczenie grosza publicznego? jakiś karton z magazynu? trzy ziemniaki w kotłochodzie? – Dziesięć lat! (A po 47. roku nawet 20!). Kradzież zwykła na szkodę prywatnych osób? Ograbienie mieszkania, wywiezienie ciężarówką całego

Lew Szejnin – autor popularnych w ZSRR powieści kryminalnych.

367

dobytku jakiejś pracowitej rodziny? Jeśli obeszło się przy tym bez mordu, to nie więcej niż rok, czasem nawet – 6 miesięcy...

Pobłażliwość jest gruntem, na którym złodziejstwo się pleni.

Stanowionymi przez siebie prawami władza stalinowska wyraźnie powiedziała szemranym: kradnij, byle nie u mnie! Kradnij u osób prywatnych! Przecież własność prywatna – to przeżytek. (Ale personalna emerytura i dacha – to szczyt marzeń...).

I knajacy – zrozumieli. We własnych bajedach i pieśniach występują jako istoty nieustraszone – ale czy zabrali się do rabowania tam, gdzie to było trudne, niebezpieczne, gdzie kładło się głowę pod topór? Skądże! Tchórzliwie i łapczywie rzucili się tam właśnie, gdzie ich popychano – zaczęli tym żwawiej obdzierać samotnych przechodniów i okradać nie strzeżone mieszkania.

Lata dwudzieste, trzydzieste, czterdzieste, pięćdziesiąte! Kto z nas zdążył zapomnieć to ryzyko – wiecznie wiszące nad spokojnym obywatelem: unikaj ciemnych ulic! nie wracaj późno do domu! nie noś zegarka! nie miej przy sobie pieniędzy! nie zostawiaj mieszkania bez dozoru! Zamki! Rygle! Psy! (A teraz felietoniści – nie okradzeni widać na czas – natrzęsają się z pocziwych, wiernych psów łańcucho- wych'...).

Wielu okradzionych obywateli przekonało się, że milicja nie trudziła się nawet, aby szukać sprawców. Nawet protokołu nie sporządzili, aby nie psuć statystyki; po co tu się pocić i łapać faceta, skoro dadzą mu sześć miesięcy, z czego jeszcze połowę odliczą? Zresztą, czy schwytanych ban-

1 W ramach konsekwentnej walki z indywidualizmem, z ludzkim prawem do odrębności, socjalistyczne państwo z początku odebrało człowiekowi pierwszego z przyjaciół – konia, obiecując dać w zamian traktor. (Tak, jakby koń był tylko bydlęciem pociągowym, a nie prawdziwym druhem w dobrej i złej doli, nie członkiem rodziny i częścią własnej twojej duszy!). I wkrótce już zaczęło się uparte prześladowanie drugiego z człowieczych przyjaciół – psa. Zaczęto je rejestrować zwozić do hycła, ale najczęściej – specjalne drużyny, utworzone przy sowietach lokalnych, strzelały do psów, spotkanych na ulicy. Nie chodziło tu o względy sanitarne ani o małostkową oszczędność, powodów poszukajmy głębiej: przecież pies nie słucha radia, gazet nie czyta, jest to coś w rodzaju obywatela, wymykającego się spod kontroli, a ponadto – obdarzonego siłą fizyczną. Tylko że ta siła nie przynosi korzyści państwu, lecz może być użyta do obrony gospodarza jako odrębnej osoby – i to niezależnie od opinii, jaką cieszy się ta osoba u władz miejscowych, niezależnie od treści nakazu, z jakim przyjść można którejś nocy pod drzwi tej osoby. W Bułgarii w 1960 roku całkiem serio zalecono obywatelom, aby zamiast psów

hodowali świnie! Świnia nie ma zasad i obrasta mięsem po to, aby miał z niej pożytek każdy, kto przyjdzie z nożem.

Notabene – te prześladowania psów nigdy nie obejmowały – tak pożytecznych dla państwa – wilczurów, tresowanych do działań operacyjnych i do służby wartowniczej!

368

dytów na pewno czeka sąd i wyrok? Przecież prokuratura „zwalcza wzrost przestępczości” (czego wymaga się od niej na każdej naradzie) w ten przedziwny sposób, że po prostu tuszuje pewne sprawy, zwłaszcza te, w które zamieszanych jest wiele osób.

I w końcu nieuchronnie przyjdzie darowanie części kary, oczywista – mowa tylko o więźniach kryminalnych. Ej, świadkowie, miejcie się na baczność! – ci faceci prędko tu wrócą i każdy, kto przeciw nim świadczył, może się spodziewać noża! Dlatego – jeśli widzisz, że ktoś włazi do sąsiadów przez okno, tnie m o j k a cudzą kieszeń albo patroszy czyjś kuferek – lepiej zmruć oczy! idź swoją drogą! nic a nic nie widziałeś!

Tego nas nauczyli złodzieje – i prawa!

We wrześniu 1955 roku „Literaturnaja Gazieta” (zamieszczająca tyle śmiałych wypowiedzi – o wszystkim prócz literatury) opublikowała duży artykuł, aż ociekający krokodylimi łzami: pewnej nocy, w Moskwie, na ulicy, pod oknami należącymi do dwóch mieszkań, zabity został człowiek. Mordowano go długo, z hałasem. Okazało się później, że obie rodziny (nasze! sowieckie!) cały czas czuwały, że przypatrzywały się zbrodni przez okna, ale że nikt nie pośpieszył z pomocą: żony nie puszczały mężów. Jakiś ich sąsiad (może też wtedy nie spał? ale o tym się nie wspomina), członek partii od 1916 roku, emerytowany pułkownik (widać sprzykrzyła mu się bezczynność) podjął się roli oskarżyciela publicznego. Odwiedza redakcje i sądy i wszędzie domaga się, aby obie rodziny pociągnąć do odpowiedzialności za współudział w zbrodni. Również autor artykułu nie szczędzi gromów: nie ma wprowadzić odpowiedniego paragrafu w kodeksie, ale to hańba, hańba!

Owszem, hańba, ale d l a kogo? Jak to zwykle w naszej prasie – artykuł zawiera wszystko, prócz tego, co najważniejsze. Prócz tego mianowicie, że:

1) „Woroszyłowska” amnestia z 27.11.1953 roku, ogłoszona w celu zapewnienia popularności kierownictwu (po śmierci Stalina), zalała cały kraj falą morderców, bandytów, złodziei, których z trudem wyłapano tuż po wojnie. (Kto niecnotę puści wolno, ten pogubi pocziwego – mówi przysłowie). –

2) Istnieje w KK (z 1926 roku) niedorzeczny artykuł 139 o „granicach obrony koniecznej”. Wedle niego – masz prawo wyciągnąć swój nóż nie wcześniej, nim przestępca już ci swoim zagrozi, a dźgnąć go nożem – dopiero wtedy, gdy tamten ci już swój majcher wraził w bok. W przeciwnym wypadku to ty pójdziesz pod sąd! (nie ma zaś w naszych kodeksach artykułu, z którego by wynikało, że największy przestępca – to ten, co napada na słabszego!...). Lęk przed przekroczeniem granic obrony koniecznej prowadzi do zupełnego zaparcia się charakteru narodowego. Szeregowca Aleksandra Zacharowa zaczął bić jakiś chuligan przy wejściu do świetlicy. Zacharow wyjął scyzoryk i zdołał nim zabić chuligana. Dostał za to 10 lat, jak za zwykłe morderstwo! „A co miałem robić?” – zapytał na rozprawie. Prokurator Arciszewski odparł: „Trzeba było uciekać!”.

Kto zatem prowadzi u nas wychów chuliganów?

3) Państwo – zgodnie z kodeksem karnym – zabrania obywatelom posiadania broni palnej czy białej, ale samo nie p o d e j m u j e się ich obrony! Państwo oddaje swoich obywateli w ręce bandytów – i na łamach prasy – śmie ich potem nawoływać do stawiania „kolektywnego oporu” tym bandytom! Stawiać opór, zgoda, ale czym? Parasolkami? Fuzjami skątkowymi? – Z początku napłodzili bandytów, a później – zaczęli do walki

16 – Archipelag Gulag t. II

369

z nimi tworzyć „drużyny ludowe”, które – działając bez żadnego tytułu prawnego czasem same przekształcają się w bandy. A przecież można było całkiem po prostu od pierwszej chwili starać się, by „schyliły się te karki pod jarzmo prawa!”. Ale tu na przeszkodzie stanęła Jedyna Prawdziwie Słuszna Doktryna.

Co by się stało, gdyby owe żony nie zatrzymały mężów, mężowie zaś wybiegliby z pałkami? Bandyci mogliby ich pozabijać, to najbardziej prawdopodobne. Albo – to oni zabiliby bandytów i wówczas nie uniknęliby więzienia za przekroczenie granic obrony koniecznej. Rankiem, wyprowadzając pieska na spacer, pan pułkownik w stanie spoczynku miałby w obu wypadkach dobrą okazję do zaspokojenia swego głodu wrażeń.

No, a prawdziwa samoobrona – taka, jak we francuskim filmie, bodajże „Quai des brumes”, gdzie robotnicy, nie czekając na błogosławieństwo władz, sami wyłapali złodziei i sami się z nimi rozprawili – otóż, czy taka samoobrona nie byłaby u nas natychmiast ukrócona jako samowola? Czy taki sposób myślenia – i taki film – są u nas w ogóle możliwe?

Ale nawet to nie wyczerpuje sprawy! Nasze życie społeczne odznacza się jeszcze inną ważną cechą, która złodziejom i bandytom pozwala prowadzić działalność iście kwitnącą. Jest nią – lęk przed jawnością. Nasze gazety pełne są informacji o nie obchodzących nikogo sukcesach produkcyjnych, ale sprawozdań z procesów sądowych, kroniki kryminalnej – w nich nie uświadczysz. (Wszak z Przodującej Doktryny wynika, że przestępczość istnieje tylko tam, gdzie istnieją podziały klasowe, klas zaś u nas już nie ma, a zatem – nie ma też przestępstw i dlatego nie ma co pisać o nich w prasie! toć nie chcemy chyba podrzucać amerykańskim brukowcom dowodów, że nie ustępujemy im w dziedzinie przestępczości!). Jeśli na Zachodzie, ktoś popełni mord – to fotografie przestępcy wkrótce widnieją wszędzie, oblepione są nimi kioski gazetowe i mury, widać je na stolikach barowych i na szybach tramwajów, zbrodniarz ma uczucie, że jest tropionym szczurem. Gdy zaś u nas zdarzy się wypadek cynicznego mordu – prasa o nim milczy, nikt zdjęć nie publikuje, morderca odsądza się o sto kilometrów, jest już w innym obwodzie i mieszka tam sobie spokojnie. A minister spraw wewnętrznych nie będzie musiał odpowiadać na interpelacje parlamentarne – dlaczego przestępcy nie złapano: przecież o całej sprawie nikt nie ma pojęcia prócz mieszkańców danej miejscowości. Złapią, to dobrze, nie złapią – drugie dobrze. Morderca – nie pogwałcił przecież granicy kraju, nie taki już z niego niebezpieczny (dla państwa) ptaszek, aby rozsyłać za nim listy gończe po całym obszarze Związku.

Z przestępczością jest tak jak z malarią: obwieszczono któregoś dnia, że chorobę tę u nas zlikwidowano – i odtąd nie sposób jej leczyć ani nie wolno stawiać takiego rozpoznania!

Oczywiście – milicji i organom sądowym zależy na tym, żeby sprawę doprowadzić do końca, ale daje to powód do formalności, które jeszcze bardziej są na rękę prawdziwym mordercom i bandytom: o dokonanie przestępstwa – wcale nie wysławianego – oskarża się byle kogo pierwszego lepszego, a najczęściej obciąża się dodatkowo kogoś, przeciw komu toczy się inne dochodzenie. – Dość przypomnieć tu sprawę Piotra Kizyłowa², którego dwukrotnie i to bez żadnych poszlak, skazano na rozstrzelanie (!) za przestępstwo nigdy przezeń NIE popełnione – albo sprawę Aleksiejencewa³ (też podobną). Gdyby list adwokata Popowa (obrońcy Kizyłowa) wpłynął nie do redakcji „Izwestii”, lecz do gazety „Times”, rzecz skończyłaby się zmianą całego składu królewskiego albo kryzysem rządu – „Izwestia” z 11.XII.1959 i z kwietnia 1969. „Izwestia” z 30.1.1960.

370

wym. U nas natomiast – po czterech miesiącach zebrał się obkom – komitet obwodowy partii (dlaczego – obkom? czy sąd mu podlega?) – i biorąc pod uwagę „młodość i brak doświadczenia” funkcjonariusza śledczego (czemu więc w ręce takich ichmościów oddaje się ludzkie losy?), a także jego „udział w wojnie z okupantem” (nam jakoś tego nie uwzględniono swego czasu!) – niektórym osobom wypisano naganę do akt, innym zaś tylko pogrożono paluszkami. Główny zaś oprawca, niejaki Jakowienko, za wydobywanie zeznań z pomocą tortur (a działało się to już po XX Zjeździe!) po upływie dalszych 6 miesięcy skazany został ponoć na trzy lata. Ale to przecież swój człowiek – postępował zgodnie z instrukcją, wykonywał rozkazy – więc czy aby na pewno musiał odsiedzieć ten wyrok? To byłoby zbyt okrutne. A tym całym adwokatem Popowem trzeba było zająć się bliżej, żeby pozbyć się go z Biełgorodu: niech sobie zapamięta knajacką i ogólnokrajową zasadę: nie ciebie chromolą, czego tyłkiem ruchasz?

W ten sposób każdy, kto wystąpi w obronie sprawiedliwości – po trzykroć, po ośmiokroć pożałuje, że się wychylił. Tak oto wymiar sprawiedliwości premiuje knajaków. W ciągu całych dziesięcioleci ten liszaj rozplenił się też bujnie – i na wolności, i po więzieniach, i w obozach.

Wzniósł się teoretyczny uświęcić wszystko, cokolwiek u nas się zdarzy. Nie sami tylko literaccy leńkiewicz utrzymywali, że knajacy, to nasi sojusznicy w walce o komunizm. Teza ta rozwijana jest w podręcznikach sowieckiej polityki penitencjarnej (były również takie publikacje!), w rozprawach, w artykułach naukowych na temat obozów, ale w sposób najbardziej praktyczny wyłożona została w instrukcjach, stanowiących podstawę wykształcenia szarż obozowych. Wszystko to zaś opiera się na Jedynie Słusznej Teorii, która w całej różnorodności i zmienności życia ludzkiego upatruje tylko przejawy walki klas.

Oto schemat takiego uzasadnienia. Zawodowi przestępcy nie mogą być utożsamiani z elementami burżuazyjnymi (tzn. z inżynierami, studentami, agronomami i zakonnikami): ci ostatni odnoszą się z bezwzględną wrogością do dyktatury proletariatu, podczas gdy ci pierwsi przejawiają tylko (!) polityczną chwiejność. (Zawodowy morderca jest tylko politycznie chwiejny!). Lump nie ma własności i dlatego nie dąży do porozumienia z przedstawicielami klas wrogich, posiadających, chętniej natomiast nawiąże stosunki z proletariatem (czekaj tatko latka!). Dlatego w oficjalnej terminologii GUŁagu mówi się o nich, jako o elementach socjalnie bliskich. (Z jakim przystajesz...). Dlatego w instrukcjach przypomina się wciąż, aby nie szczędzić dowodów zaufania kryminalistom – recydywistom! Dlatego działy Kulturalno-Oświatowe miały obowiązek wyjaśniania knajakom na każ-

dym kroku, że ich klasowe interesy niczym się nie różnią od interesów mas pracujących. Powinny były też uczyć szemranych „pogardy i wrogości

371

w stosunku do kułaków i kontrrewolucjonistów". (Awerbach pisała – pamiętacie? – to inteligent namówił cię do kradzieży! sam byś przecież nie kradł!) i w ogóle „stawiać na takie właśnie nastroje"! (przypominacie sobie – „podsycać walkę klasową w obozach"?).

Były4 złodziej G. Minajew pisze w liście do mnie, opublikowanym w piśmie „Literaturnaja Gazieta5": „Byłem nawet dumny z tego, że choć jestem złodziejem, ale nie należę do zdrajców kraju. Na każdym kroku starano się nam, złodziejom, dać do zrozumienia, że nie jesteśmy jednak elementem straconym dla Ojczyzny, jesteśmy jej synami, choć tam nawet – marnotrawnymi. Dla „faszystów" zaś nie ma miejsca pod słońcem".

Ta sama teoria kazała również badać i wykorzystywać najbardziej pozytywne cechy kryminalistów. Mają skłonność do romantyki? – a więc otoczyć romantycznym nimbem dyrektywy władz obozowych. Cenią odwagę, heroizm? – dać im poznać heroiczną stronę pracy! (Jeśli się na to złapią...). Lubią hazard? – pokazać im, ile hazardu jest we współzawodnictwie! (Kto zna obóz i szemranych, ten nie może wprost uwierzyć, że podobne rzeczy pisane były nie przez debilów). Są ambitni? lubią zwracać na siebie uwagę? – zaspokajać więc te ambicje, nie szczędzić pochwał, wyróżnień! powierzać im kierownicze stanowiska! – a szczególnie zabiegać o pa – chanów, aby dla dobra obozu wykorzystać autorytet, jaki wyrobili już sobie wśród ferajny (tak jest napisane w monografii pani Awerbach: autorytet pa – chanów!).

Gdy zaś ta kształtna teoria zniżała się do poziomu obozowego gruntu – oto co z niej wynikało w praktyce: najbardziej zawziętym, zatwardziałym fetniakom przypadała niczym nie ograniczona władza na wyspach Archipelagu, w obozach i podobozach – władza nad ludnością całej tej krainy, nad jej chłopstwem, mieszczaństwem i jej inteligencją, władza jakiej nie sprawowali nigdy w całych dziejach, w żadnym kraju władza, o jakiej na wolności nawet marzyć nie mogli. Teraz wszystkich innych ludzi oddawano im w niewolę! Jakież bandyta wyrzeknie się takiej władzy? Urki nad urkami, fetniacy – sprawowali władzę absolutną nad całymi obozami, mieszkając w osobnych „kajutkach" albo namiotach ze swoimi tymczasowymi żonami. (Albo wybierając sobie na zasadzie kaprysu najgładsze baby z tłumu poddanych; inteligentki z Pięćdziesiątki Ósemki i młodzieńskie studentki bywały ozdobą ich jadłospisu. Czawdarow na własne oczy widział w Nory-4 Autor podkreśla, że był to tzw. zawiązawszyj, co w rosyjskiej gwarze oznacza złodzieja, który powrócił do życia „frajerskiego" za zgodą ferajny.

5 Z 29.XI.1962.

372

łagu, jak knajaczka zachęcała swojego szemranego mężulka: „Chcesz, to ci dam spróbować szesnastolatki, prosto z kołchozu!". Chodziło o dziewczynkę ze wsi, którą zestano na Daleką Północ na 10 lat za jedno kilo ziarna. Dziewczynka próbowała się opierać, ale knajaczka szybko ją ustawiła: „Bo dostaniesz majchrem! Co, może jesteś lepsza ode mnie? Ja przecież z nim się rypię!").

Każdy z nich miał swoje „zaprzęgi", fagasów, wziętych spośród zwykłych łopaciarzy, którzy mu wynosili nocniki. Mieli swoje osobne sagany, do których szła prawie w całości ta odrobina mięsa i tłuszczu jadalnego, przeznaczona do wspólnego

kołta. Niżsi rangą knajacy pełnili funkcje szefów robót, intendentów, pomocników ds. gospodarczych. Rano stawali parami – z pałkami w łapach przy wejściach do namiotów i komenderowali: „Wychodzić! Na wyścigi!”. Drobiazg knajacki używany był do bicia tych, którzy odmawiali chodzenia do pracy – to znaczy takich, którzy nie mieli już sił, aby wlec się do żony roboczej. (Komendant półwyspu Tajmyr przyjeżdżał autem na ceremonię wymarszu do pracy i przyglądał się z lubością, jak urki biją Pięćdziesiątkę Ósemkę). I wreszcie ci knajacy, którzy potrafili świergolić, zaczęli myć szyje i otrzymywali nominacje na wychowawców. W tym charakterze wygłaszali pogadanki, uczyli Pięćdziesiątkę Ósemkę zasad cnotliwego życia, sami utrzymywali się z kradzieży i dostawali w nagrodę przedterminowe zwolnienia. Na Kanale Białomorskim – taki socjalnie bliski wychowawca, ciemniak, nie mający pojęcia o technice budowlanej, miał prawo nie dopuścić do wykonania konkretnych zleceń socjalnie obcego kierownika robót.

Była to nie tylko teoria, siłą wcielana w życie, lecz czynnik harmonii w codziennej praktyce. Ten stan rzeczy najbardziej odpowiadał knajakom. Był też na rękę zwierzchności. Nie trzeba było się wysilać (przy biciu), nie musiało się zrywać gardła ani gmerać w drobnostkach, można było nawet nie chodzić do żony. Największą korzyść odnosił z tego sam system ucisku: knajacy wcielali go w życie o wiele bezczelniej, w sposób bardziej bestialski, a przy tym nie dbali o żadną odpowiedzialność prawną.

Ale również tam, gdzie szemranym nie dawano władzy – na zasadzie tejże teorii klasowej – bardzo im folgowano. Jeżeli knajacy w ogóle raczyli wyjść poza żonę – to już był szczyt ustępstw, jakich można było od nich wymagać. W żonie roboczej mogli sobie dowoli wylegiwać się, palić, powtarzać swoje knajackie bajędy (o zwycięstwach, o ucieczkach, o bohaterstwie), wygrzewać się latem na słoneczku, a zimą – przy ognisku. Ich ognisk konwój nigdy się nie czepiał, ogniska Pięćdziesiątki Ósemki – roz-

373

rzucał natomiast i zdeptywał. A kubiki (drzewa, ziemi, węgla) wydobyte przez Pięćdziesiątkę Ósemkę przepisywano potem na ich konto⁶.

Wożono nawet knajaków na złoty przodowników pracy, na zjazdy recydywistów (Dmitłag, Kanał Białomorski).

A oto szkic do portretu knajaczki nazwiskiem Bieriegowaja, która zapisała się trwale w sławnych kronikach Wołgokanału. Była istnym biczem Bożym każdego zakładu karnego, w którym się znalazła, znana była z chuligańskich wybryków we wszystkich aresztach milicyjnych. Jeśli kiedyś zachciało jej się popracować dla kaprysu, to zaraz niszczyła wszystko, co wykonała. Gdy w lipcu 1933 roku przystano ją do Dmitłagu, ciągnął się już za nią cały łańcuch wyroków. Poczynając od tej daty trzeba już oddać głos legendzie. Dostała skierowanie do Indii, gdzie ze zdumieniem (jedynie ten szczegół wydaje się wiarygodny) przekonała się, że nikt tam nie klnie i nie rżnie w karty. Wyjaśniono jej ponoć, że w tym obozie szemrani szczerze zapalili się do pracy. Z punktu więc zabrała się do robót ziemnych i zaraz zaczęła się w pracy wyróżniać (czytaj: zapisywano na jej konto kubiki wydobyte przez innych). Dalej – znów prawda dochodzi do głosu: w październiku (kiedy zrobiło się zimno) poszła do lekarza i będąc zdrowa jak ryba (może nóż miała w rękawie?) poprosiła o kilka dni zwolnienia. Lekarz chętnie (! toć ma tyle wolnych miejsc w lazarecie) udzielił zgody. A kierowniczką robót była stara znajoma Bieriegowej – Polakowa, która pozwoliła koleżance na własną odpowiedzialność bumelować

jeszcze dwa tygodnie – zaliczając jej lipne dni pracy (to znaczy – że przypisywano jej kubiki odbierane komuś innemu). I tu właśnie, przyjrawszy się lekkiemu życiu pani kierowniczk, Bieriegowaja także zapragnęła zostać suką. W dniu, w którym Polakowa obudziła ją rano, każąc iść na zbiórkę, Bieriegowaja oznajmiła, że nie pójdzie do łopaty, póki nie przygwoździ raz na zawsze wszystkich machinacji Polakowej, tych kombinacji z lipnymi dniami–

6 Obyczaj pasożytowania na cudzym urobku cechuje złodziei również po zakończeniu kary, chociaż na pierwszy rzut oka nie zgadza się to z procesem ich wrastania w socjalizm. W 1951 roku z obozu przy kopalni Oj–Miakon (Ust'–Nera) zwolniono złodzieja Krocha–łowa, który zaraz najął się jako wolny rębacz przodkowy na tę samą kopalnię. Nie wysiłał się nawet, aby brać kilof do ręki, sztygar zaś wpisywał mu do sprawozdania rekordowe urobki – kosztem pracujących więźniów. Krocha–łow dostawał miesięcznie 8–9 tysięcy, za tysiąc rubli fundował więźniom żarcie, więc ludzie milczeli i jeszcze byli radzi. Brygadzysta więźniów, Miluczychin, próbował w 1953 roku skończyć z tymi porządkami. Wolni knajacy porznęli go nożami, został oskarżony o grabież, dostał się pod sąd i złapał następne 20 lat.

Proszę nie uważać tego przypisu za poprawkę do marksistowskiej tezy, głoszącej, że lump nie jest posiadaczem. Oczywiście, że nie ma żadnej własności! Za te swoje 8 tysięcy Krochałow nie wybudował sobie willi: przegrał wszystko w karty, przepił i wydał na baby.

374

mi pracy, cudzym urobkiem i przydziałami chleba (poczucie wdzięczności nie bardzo ją, jak widać, krępowało). Wystarała się w końcu o wezwanie do opera. (Knajacy nie boją się operów, domiar do wyroku im nie grozi. Niechby jakaś kaerka spróbowała odmówić w ten sposób pójścia do roboty!). I – z miejsca otrzymała nominację na brygadzystkę zalegającej z planem męskiej brygady (zapewne obiecała, że zęby powybijają tym wszystkim dochodiagom). Wkrótce zajęła miejsce Polakowej, później została wychowawczynią w bloku kobiecym (! ta karciera i złodziejka, bluzgająca przekleństwami) a następnie – objęła nawet kierownictwo działu budowlanego (to znaczy, że rządziła już inżynierami!). Na wszystkich tablicach honorowych Dmitłagu widniała fotografia tej kąśliwej s u k i w skórzanej kurtce i z połówką przewieszoną przez ramię (na pewno z kogoś to zdarła). Te ręce potrafią bić mężczyzn, te oczy – są oczyma więdźmy. A ją właśnie najbardziej wychwala pani Awerbach!

Tak łatwe są kariery knajaków w obozie: jedna cicha rozróżba, jedna zdrada, a potem można już spokojnie bić i trącać innych!

Odpowie mi ktoś, że tylko suki idą na funkcje, a „uczciwi złodzieje” święcie przestrzegają złodziejskich praw. Sporom się napatrzył na jednych i drugich i jakoś nie zauważyłem, żeby jeden rodzaj tych szumowin był szlachetniejszy od drugiego.

Złodzieje wybijali Estończykom złote zęby pogrzebaczem. Złodzieje (Kraśląg, 1941) topili Litwinów w kloace za odmowę oddania paczek. Złodzieje obdzierali skazanych na śmierć. Złodzieje bez namysłu zabijają pierwszego lepszego współwięźnia tylko po to, aby zacząć się musiało nowe dochodzenie, co pozwoli im całą zimę siedzieć w cieple albo wrócić do więzienia z ciężkiego obozu, do którego zdążono ich wysłać. Co tu gadać o takich drobnostkach, jak zabranie komuś odzieży i obuwia na mrozie? Co tu gadać o wydartych kromkach chleba?

Nie, ja wiem swoje, na kamieniu nic nie wyrośnie, a po złodzieju niczego dobrego się nie spodziewaj.

Teoretycy GUŁagu nie posiadali się z oburzenia: kułacy (w obozie) nie chcą uznać złodziei za ludzi (był to ponoć jeszcze jeden dowód kułackiego bestialstwa!). A jakże uznać ich za ludzi, jeśli gotowi serce ci wyrwać i krew wysssać? Cała ta ich „romantyczna wolna gromada” jest tylko gromadą rozwyrzanych wilkołaków⁷. Ludzie wykształceni, którzy jednak nie spotkali się z knajakami nos w nos w ciasnej ulicy, często polemizują z tak bezwzględną oceną świata przestępczego: może skryta chęć posiadania, przywiązanie do własności powoduje tymi, których złodzieje tak denerwują?

375

Ale dość już! Czas rzec choć parę słów w obronie knajaków. Mają istotnie pewien „swoisty kodeks” i swoiste pojęcie o honorze. Ale nie sprowadza się to do patriotyzmu, jak roіło się naszym managerom i literatom – lecz raczej do zasad bardzo konsekwentnego materializmu i świadomego korsarstwa. I chociaż dyktatura proletariatu tak zabiegała o ich względy – knajacy nie szanowali jej ani przez chwilę. Jest to gatunek ludzi, który zjawił się na świecie po to, aby ŻYĆ! A ponieważ spędzają za kratami prawie tyleż czasu, co na wolności, więc pragną również w więzieniu zrywać kwiaty życia – a co ich obchodzi cel istnienia tego więzienia i fakt, że jacyś inni męczą się tuż obok nich! Są z natury krnąbrni – i mają pożytek z tej krnąbrności – więc dlaczego by mieli zawracać sobie głowę losem tych, co zginają kark i giną rabską śmiercią? Chce im się jeść – więc zabierają innym wszystko, co wpadnie im w oko, a nadaje się do jedzenia i jest smaczne. Lubią popić – więc za wódkę sprzedają konwojentom rzeczy, zdarte z własnych sąsiadów. Lubią spać miękko, więc, nie bacząc na kawalerski szyk, wożą z sobą poduszki i watowe kołdry albo nawet pierzyny – co uchodzi wśród nich za rzecz zupełnie właściwą (tym bardziej, że w betach najłatwiej ukryć nóż). Lubią miłe ciepło promieni słonecznych, więc – skoro nie mogą jeździć do czarnomorskich kąpielisk – opalają się na dachach wykańczanych właśnie budynków, na platformach kamieniołomów, przed wejściem do szybów kopalnianych (pod ziemię niech sobie zjeżdża, kto głupi). Są doskonale umięśnieni, muskuły mają jak balony. Ogorzałą skórę chętnie zdobią tatuażem, zaspokajając w ten sposób swoje artystyczne, erotyczne, a nawet etyczne potrzeby: na własnych piersiach, brzuchach i grzbietach podziwiać mogą wzajemnie – królewskie orły, siedzące nad urwiskiem lub zrywające się do podniebnych lotów; albo słońce w wieńcu promieni; osoby płci obojga w trakcie kopulacji; poszczególne organy, służące tej rozrywce; ni stąd, ni zowąd – w okolicy serca – podobiznę Lenina bądź Stalina albo obu. A ja nie zmienię swojej diagnozy: to wilkołaki, gotowe krew wysssać z serca człowieka. Kalają bez wyjątku wszystko, co stanowi dla nas naturalny krąg pojęć humanitarnych. – Ale czy to naprawdę takie beznadziejne? Przecież te wszystkie cechy przestępcze nie są wrodzone. A gdzie dobre strony ich duszy? Nie wiem. Zapewne zatłamszone przez złodziejskie prawo, zgodnie z którym – my, to znaczy wszyscy pozostali – wcale nie jesteśmy ludźmi. Pisaliśmy wyżej o progu, który trzeba przekroczyć, aby zostać przestępcą. Zapewne – przystosowanie się do zasad tej grupy sprawia, że knajak przekracza jakąś moralną granicę raz na zawsze, w nieodwracalny sposób.

Ktoś jeszcze mi powiada: pan widział przecież tylko drobiazg knajacki, żulików. Najznakomitsi, prawdziwi fetniacy, przywódcy świata przestępczego, zostali wytłuczeni w 37 roku. Rzeczywiście, bandytów z lat 20. nie widziałem. Ale brak mi fantazji, aby wyobrazić sobie, że mieli zasady moralne, godne tej nazwy.

naraz (ale tyle to warte, co krzyżyk na szyi knajaka). Czasem zdrowy śmiech wzbudzi wizerunek zabawnego palacza, ładującego łopatą węgiel prosto do tyłka albo małpy, uprawiającej samogwałt. Oglądając się wzajem, mogą też sobie poczytać hasła, wprowadzie znane, ale tym milsze, im częściej się je widuje: „Kurwo, drzyj, kij ci w ryj!”. Brzmi to nie mniej tryumfalnie, niż początek wiersza Briusowa: „Jam cesarz Assargadon!”. Albo taki napis na brzuchu knajaczki: „Pójdę choćby na stos za jeden dobry sztos!”. Albo nawet skromny morał wypisany małymi literkami na ręce, która zdążyła już z dziesięć majchrów wsadzić pod czyjeś żebra: „Pamiętaj, co ci matka mówiła!”. Albo też – „Wspominam słodkie chwile, wspominałam matkę mile”. (Wśród knajaków panuje kult matki, ale tylko formalny, nikt się nie liczy z jej radami. Bardzo popularny jest wśród nich wiersz Jasienina „List do matki”, jak zresztą inne jego łatwiejsze utwory. Niektóre z nich stały się tekstami knajackich pieśni).

Aby zaznać ostrzejszych wrażeń i umilić sobie to życie, tak krótkie – zażywają narkotyków. Najłatwiej o haszysz (wydobywany z konopi indyjskich) zwany trawką*, palony razem z machorką. Śpiewają też o nim z uczuciem wdzięczności:

Ach, trawko ty trawko, ach, ziółko ty Boże, Ach, ty doliniarska pociecho...

Owszem, nie uznają oni prawa własności – i pod tym względem nic wspólnego nie mają z burżujami ani z tymi komunistami, którzy są posiadaczami aut i dacz.

Wszystko, co im wpadnie w oko – biorą jak swoje (jeśli to nie jest zbyt niebezpieczne). Nawet gdy mają wszystkiego w bród, też sięgają po cudzą własność, bo złodziej największą ma oskomę na to, czego jeszcze nie ukradł. Zdarze z innych szatki noszą tylko tak długo, póki im się nie uprzykrzą, póki nowe – a zresztą szybko przegrywają je w karty. Gra w karty przez całą noc – daje im najmocniejsze wrażenia i pod tym względem knajacy stanowczo zdystansowali dawną rosyjską szlachtę. Potrafią grać w o k o (temu, który przegrał, natychmiast wydłubuje się oko), grać na s i e b i e, co oznacza, że ten, który wygra, używa partnera do zaspokojenia swoich najbardziej nienaturalnych chętek. Jeśli szemrani zgrają się do nitki, to zarządzają na łajbie albo w baraku kipisz, coś tam jeszcze znajdują u frajerów i gra idzie dalej.

Szemrani nie lubią więc pracy, ale dlaczego mieliby właściwie ją lubić, skoro jedzą, piją i zdobywają odzież bez żadnego wysiłku? To właśnie, a nie co innego przeszkadza im w zawarciu ściślejszych związków z klasą

W rosyjskiej gwarze więziennej – płanńczyk.

robotniczą (ale czy klasa robotnicza tak bardzo lubi harówkę? Czy nie dla marnego grosza pracuje, nie mając innych dochodów?). Szemrani nie tylko nie są w stanie przejść się elementem ryzyka i hazardu, obecnym w procesie pracy, ale do samej pracy czują obrzydzenie – i potrafią dać temu wyraz wręcz teatralny. Na przykład – gdy ich się wyśle na roboty polne i każe wyjść poza żonę do grabienia wyki z owsem na paszę – nie siadają sobie po prostu, żeby sił nie tracić, tylko najprzód rzucą na kupę wszystkie grabie i widły, podpalą je i przy takim to ognisku się grzeją. (Jak ma na to reagować socjalnie obcy dziesiętnik?...).

Daremnie starano się skłonić ich do obrony ojczyzny. Ich ojczyzna jest wszędzie i nigdzie. Zmobilizowani knajacy jechali na front wojskowymi transportami i śpiewali, kiwając się do taktu: „Zwycięży nasza sprawa! – Zwycięży nasza z lewa! – Dlaczego każdy bryka? – Dlaczego każdy zwiewa?”. Następnie dawali się przy-

łapać na jakiejs kradzieży i wracali etapem do miłego swojego więzienia na tyłach. Nawet gdy – niedorżnięci przypadkiem – trockiści składali prośby o powołanie na front, knajacy takich podań nie składali. Ale kiedy nasze wojska zaczęły posuwać się w głąb Europy i zapachniało łupami wojennymi – szemranci szybko wskoczyli w mundury i pojechali na rabunek w ślad za armią (nazywało się to żartem „Piąty Front Ukraiński”^{*)}).

Z tym wszystkim – i tu okazali oni o wiele większą wierność swoim zasadom niż Pięćdziesiątka Ósemka! – żaden Żeńka Żogol ani Wąska Krwawa Kiszka – z szykownie wywiniętymi cholewami butów, kątem skrzywionych warg wymawiający z szacunkiem święte słowo „złodziej” – nigdy nie pomagał przy naprawie i umacnianiu więziennych urządzeń: przy wbijaniu słupów, rozpinaniu drutu kolczastego, okopywaniu strefy neutralnej, remoncie wartowni, naprawie sieci elektrycznej żony. To sprawa honoru knajaka. Więzienie stworzono, aby pozbawić go wolności – więc nie wolno mu pracować dla więzienia! (Nie grozi mu zresztą za odmowę pracy artykuł 58 – nieszczęsny zaś wróg ludu od razu zostałby oskarżony o sabotaż kontrrewolucyjny. Knajacy popisują się odwagą właśnie dlatego, że pewni są bezkarności; a kogo raz niedźwiedź drapnął, ten się i pieńka boi).

A zresztą w pewnych obozach i w pewnych okresach również knajactwo dostawało czasem po łbie od rozsierzdzonych władz. Oto co nam opowiedział amerykański Włoch, Tommaso Sgovio. Urodził się w 1914 roku w Buffalo, zdążył wstąpić do amerykańskiego Komsomołu. W 1933 roku jego ojciec za działalność komunistyczną został wydalony z USA i wyjechał

Były cztery Fronty Ukraińskie (1944–45).

378

do ZSSR. W ślad za nim przyjechała reszta rodziny. Jako emigranci polityczni byli na utrzymaniu MOPR-u, czyli Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom. Wiele tysięcy takich ludzi czekało na rewolucyjną okazję, chcąc przydać się w momencie zagarniania ich kraju. Ale w 1937 roku Stalin zabrał się do starannego tępienia tej gromady. Wsadzili do więzienia Sgovio – seniora, a w 1938 roku aresztowano również Tommaso – w trakcie przechadzki po ulicy Ochotnyj Riad. Jako „społecznie niebezpieczny element” dostał 5 lat i w rekordowym tempie, już w sierpniu tegoż roku znalazł się na Kołymie. Już w pierwszym dniu pobytu w OŁP „Raz-wiedczyk” słabowity i źle mówiący po rosyjsku Sgovio nie potrafił zr^uzumieć, czego od niego chce w stołówce jakiś młody, silny fetniak i natychmiast dostał od niego fangę w nos. Brocząc krwią, rozciągnięty na podłodze Sgovio zobaczył, że fetniak wyciąga już zza cholewy długi nóż: jeszcze słowo skargi, a zaraznie człowieka. Sgovio poleżał na ziemi, a potem długo szlochał z bólu i poczucia bezsilności. Jego przeciwnik miał pracę, jaką tylko knajakom dawano – rozwoził wodę. Ale oto po kilku miesiącach, w samym środku zimy, odebrano mu to stanowisko i postano na roboty ogólne. Ani myślał się zgodzić (zwykła reakcja knajaka). Wsadzono go do izolatora. Rankiem, na zbiórce przed wymarszem, wyprowadzono go z karceru przed wartownię i kazano posłusznie stanąć w szeregu. Fetniak plunął w pysk naczelnikowi OŁP i wrzasnął: „Suki ligawe! Faszyści!” Straż zerwała z niego odzież (a mróz był silny) i w samych gaciach przywiązała do sań. W ten sposób wywleczono go aż za wrota. Ale tam też szarpał się i wyzywał od ostatnich strażników i naczelnika. Wlekli go więc dalej tak długo, aż zamarzł na śmierć. Ale oto Sgovio mi powiada: „To nic, że omal mnie nie zarżnął. W moich oczach był boha-

terem i czuję do niego coś w rodzaju miłości – tylko za to, że miał odwagę skłąć naczelstwo”.

Zobaczyć knajaka z gazetą – to rzecz absolutnie wykluczona, knajacy ustalili raz na zawsze – że polityka, to świergolenie, nic wspólnego nie mające z realnym życiem. Książek nie czytają wcale albo bardzo rzadko, lubią za to literaturę uszną i umiejętny narrator, który po wieczornym apelu potrafi snuć bez końca romansowe historie – zawsze będzie miał papu z ich stołu i otoczony będzie szacunkiem, jak to bywało zawsze z bazarzami i bardami wśród ludów pierwotnych. Opowieści te są fantazyjną i mimo to – dość monotonną mieszaniną wątków wziętych z książek bulwarowych, których akcja toczy się w wyższych (koniecznie – wyższych!) sferach, wśród wicehrabiów, hrabiów i margrabiów – oraz legend własnego chowu, pełnych samochwalstwa, knajackich powiedzonek i kna-jackich wyobrażeń o wytwornym życiu. Bohater zawsze w końcu osiąga ten

379

blołogostan: hrabia włazi z nim na wyro, pali on wyłącznie papierosy „Kaz-bek”, ma „cebulę”, a jego skoki błyszczą jak lusterka.

Mikołaj Pogodin dostał delegację na Kanał Białomorski i pobrał na pewno nieliczne diety – a jednak nie przyjrzał się knajakom jak należy, nie zrozumiał nic, i to, co napisał wysłane jest z palca. Ponieważ w naszej literaturze przez lat 40 nic prawie nie pojawiło się na temat obozów – poza jego sztuką (i nakręconym według niej filmem), więc wypada tu kilka słów „Arystokratom” poświęcić.

Nie wymaga komentarzy sposób, w jaki opisuje autor inżynierów-kaerów: jako ubogich duchem facetów, tępo zapatrzonych w swoich obozowych wychowawców i zgłębiających za ich pośrednictwem sztukę życia. Ale tu chodzi o arystokratów, o knajaków. Pogodin dokazał tej sztuki, że nie zauważył nawet, iż zabierają innym wszystko otwarcie, prawem silniejszego, nie bawiąc się wcale w ciche podkradanie. Pogodin zrobił z nich wszystkich drobnych kieszonkowców i aż do znudzenia, co najmniej dwanaście razy eksploatuje w sztuce ten motyw. Jego urki okradają się nawzajem – a to już bzdura kompletna! – bo kradną tylko u frajerów, wszystko zresztą przekazując pa-chanowi. Pogodin nie zrozumiał także (albo nie chciał zrozumieć), że prawdziwymi bodźcami do pracy w obozie są – głód, bicie, odpowiedzialność zbiorowa w brygadzie. Nie orientował się nawet, kto w obozie jest „towarzyszem”, a kto „obywatелем”. Miał przed oczyma tylko jedno: „socjalne powinowactwo” knajaków (ten koncept został mu podpowiedziany w zarządzie kanału w Miedwieżegorsku albo może jeszcze wcześniej, w Moskwie – przez Gorkiego) i zabrał się do pokazywania wielkiego procesu przemiany szemranych. Ale w rezultacie powstał paszkwil na knajaków i to taki, że mnie samego bierze chęć, aby ich bronić.

Są o wiele mądrzejsi, niż można sądzić z utworów Pogodina (i Szejnina). Żadna przemiana za dwa grosze ich nie znęci, na ten lep nie dadzą się wziąć, po prostu dlatego, że ich światopogląd mocniej osadzony jest w materii życia, niż światopogląd ich dozorców. Jest też bardziej jednolity i nie zawiera żadnych śladów idealizmu! – a wszelkie zakłęcia, mające skłonić głodnych ludzi, by pracowali i tej pracy poświęcali życie, to czysty idealizm. I jeśli podczas rozmowy z naczelnikiem czy panem korespondentem z Moskwy albo w trakcie błazeńskiego wiecu któremuś z nich łza błysnie w oku, albo głos zadrży to jest w tym tylko aktorski chwyt, mający na celu uzyskanie jakichś ulg albo przedterminowe zwolnienie – a w głębi duszy

urka pęka ze śmiechu! Knajacy doskonale potrafią docenić zabawną stronę tej sytuacji (której literaci ze stolicy nie są w stanie pojąć).

Nieprawdopodobne jest też – aby suka Mitia wszedł bez broni i bez eskorty do izolówki karnego baraku – i żeby miejscowy pachan, Kostia, wczuł się ze strachu pod nary. Kostia przygotowałby z pewnością dobry nóż na taką okazję, gdyby zaś go nie miał, to rzuciłby się na Mitę z gołymi rękoma i jeden z nich zginąłby uduszony. Taka sytuacja – to już nie żarty, a Pogodin ją właśnie obraca w płaski żart. Nieznośnym fałszem trąci też historia „przeobrażenia” Soni (jaki ma powód? co każe ją wziąć się do tacek?) – które z kolei powoduje przełom w duszy Kostii. Albo przekształcenie się dwóch złodziei w strzelców oddziału ochrony (mogło się tak zdarzyć z pospolitakami, ale knajacy?!). I rzecz nie do pomyślenia dla trzeźwych, cynicznych fetniaków: współzawodnictwo między ich brygadami (chyba tylko – dla zgrywy, żeby wziąć na fundusz wolnych). I wreszcie nuta najbardziej drażniąca i fałszywa: knajacy proszą o udostępnienie im zasad organizacji komun!

380

Wprost niepodobna przedstawić knajaków głupiej i kłamliwiej! Znają oni doskonale własne zasady postępowania – od pierwszej kradzieży do ostatniego chłapięcia nożem po grdyce. Wiedzą, jak bić leżącego. I jak napadać w pięciu na jednego, I jak podejść śpiącego. Zasady organizacji i c h komun starsze są od „Manifestu Komunistycznego”.

Ich komuna, a właściwie – ich świat, jest odrębnym społeczeństwem istniejącym wewnątrz naszego. Surowe prawa, którymi od stuleci ich świat rządzi się i niewzruszenie stoi – zupełnie nie zależą od naszego „frajerskiego” prawodawstwa, ani nawet od zjazdów partii. Mają oni swoją hierarchię: zgodnie z prawem starszeństwa, pachanów się nie wybiera; przekraczając próg celi albo wrota żony, pachan już ma na łbie swoją niewidzialną koronę i z miejsca zostaje uznany za najwyższego rangą. Niejeden z nich odznacza się bystrością umysłu, każdy zaś nie ma cienia wątpliwości co do zasad knajackiego światopoglądu – ma natomiast na koncie wystarczającą ilość morderstw i rabunków. Szemrani mają swój sąd („dintojra”) wyrokujący zgodnie z kodeksem złodziejskiego „honoru” i wymogami tradycji. Wyroki te bywają bezlitosne, orzeczenia wykonywane są z niewzruszoną sumiennością, choćby nawet delikwent był ściśle odseparowany albo znajdował się w zupełnie innej żonie. (Sposoby egzekucji są dość oryginalne: na przykład – skazaniec rozciągnięty jest na ziemi, z górnych zaś nar wszyscy po kolei skaczą na niego, miażdżąc mu w końcu klatkę piersiową).

I wreszcie – co znaczy to ich słówko „frajerski”? Frajerski to tyle, co ogólnoludzki, taki jak u wszystkich normalnych, ludzkich istot. Ten właśnie zwykły, ludzki świat, nasz świat z jego etyką, obyczajami i wzajemnymi stosunkami jest dla knajaków czymś najbardziej zniechęcającym, najbezczelniej wyśmiewanym, to jemu właśnie przeciwstawiają oni swoją aspołeczną, antysocjalną/ero/ng.

Nie, wcale nie „akcja wychowawcza” przetrąciła kręgosłup knajackiemu towarzyszowi. (Ta „akcja” pozwalała im tylko szybciej wracać do bandyckiego rzemiosła). W latach 50. Stalin machnął ręką na klasowe teorie, a także na socjalne powinowactwo i rozkazał wtrącić knajackich pociotków do izolatorów, do pojedynków w zamkniętych zakładach karnych, a nawet – budować dla nich nowe więzienia („skrytki”, jak nazwali je złodzieje).

W tych oto skrytkach knajacy szybko zaczęli tracić wigor, marnieć i wykańczać się. Pasożyt nie jest zdolny do życia samotnego. Musi bowiem żyć kosztem innego stworzenia, oplatając je mackami.

XVII MAŁOLATKI

Archipelag ma niejedną żartoczną paszczę, niejednen zębaty pysk. Na żaden z nich nie sposób patrzeć bez odrazy. Ale zdaje się, że najohydniejsza jest ta paszczeka, która pożera małolatków*.

Małolatkowie – to już nie te bezdomne, opuszczone dzieci w szarych łachmanach, powsinogi, żyjące z drobnej kradzieży i grzejące się przy kotłach z asfaltem, które stanowiły nieodłączny wręcz składnik miejskiego krajobrazu lat 20. Do kolonii nieletnich przestępców (przy Komisariacie Oświaty istniała już taka w roku 1920; dobrze byłoby sprawdzić, jak tam było z nieletnimi przestępcami przed rewolucją), do domów pracy dla młodocianych (istniały między 1921 a 1930, wyposażone były w kraty, rygle i personel nadzorczy tak, że – zgodnie z wyświechtaną terminologią burżuazyjną – można by nazwać je więzieniami), a także do „komun pracy OGPU”, które powstały w 1924 roku – tych malców brano z ulicy, a nie z domów rodzinnych. Sierotami zostali z łaski wojny domowej, głodu, chaosu, przez to, że rodziców rozstrzelano albo że zginęli na frontach – i w tamtych czasach resort sprawiedliwości rzeczywiście starał się zapewnić tym dzieciom powrót do życia normalnego, zabierając je z ulicy, tej złodziejskiej szkoły życia. W koloniach pracy zaczęto dzieci uczyć fachu i to przydatnego w przemyśle; jak na te lata, gdy panowało jeszcze bezrobocie – był to przywilej i wielu chłopaków uczyło się chętnie. W 1930 roku pod egidą Komisariatu Sprawiedliwości stworzone zostały szkoły przyfabryczne nowego typu – dla niepełnoletnich, skazanych na kary pozbawienia wolności. Niedorośli przestępcy mieli tam pracować 4 do 6 godzin

W polskiej gwarze więziennej nieletni – to malolalek.

382

dziennie, otrzymując za to płacę zgodną z ogólnopaństwowymi ustaleniami powszechnego Kodeksu Pracy, po/ostały zaś czas przeznaczony był na naukę i rozrywki. Gdyby tej drogi trzymano się dalej, to może sprawy przybrałyby lepszy obrót.

A skąd w ogóle wzięli się ci nieletni przestępcy? Kategorię tę usankcjonował artykuł 12 Kodeksu Karnego z 1926 roku, który pozwalał – za zbrodnie kradzieży, gwałtu, okaleczenia i zabójstwa – sądzić dzieci już poczynając od DWUNASTEGO roku życia (artykuł 58 również cichcem był do tej grupy wykroczeń zaliczany) z tym, że prawodawca zalecał umiarkowanie tak, aby nie sądzić dzieci „na cały regulator” jak dorosłych. Była to jakby pierwsza furtka Archipelagu dla późniejszych małolatków – ale wciąż jeszcze nie szerokie wrota.

Nie możemy pominąć takiej oto interesującej cyfry: w roku 1927 więźniowie, w wieku lat 16 (młodszych – w ogóle nie brano pod uwagę) do 24, stanowili 48% całej masy więźniarskiej'. Można więc uznać, że prawie połowa całej ludności Archipelagu w 1927 roku – to była młodzież, która w chwili wybuchu rewolucji Październikowej miała od sześciu do czternastu lat. Dziesięć lat po zwycięstwie tej rewolucji chłopcy ci i dziewczuszki – znaleźli się w więzieniu, stanowiąc przy tym połowę jego mieszkańców! Jakoś nie bardzo to się zgadza z walką, którą wciąż u nas toczono z pozostałościami ustroju burżuazyjnego w świadomości mas, ze wszystkimi resztkami przekłętej przeszłości. Ale cyfry są cyframi. Dowodzą one, że Archipelag zawsze był krajem młodych.

Me jak bardzo ma być nim – zdecydowało się w 1935 roku. W roku tym Wielki Złoczyńca jeszcze raz zamieszał miękką glinę Historii i zostawił na niej odcisk swojego palca. Zajęty takimi historycznymi operacjami, jak rozgramianie Leningradu i dziesiątkowanie własnej partii – nie zapomniał jednak o dzieciach, które tak przecież kochał, których był Najlepszym Przyjacielem i dlatego – wciąż się z nimi fotografował. Nie znając już żadnej innej rady, a chcąc jakoś poskromić tych złośliwych psotników, ten pomiot kucharek, którego coraz więcej było w kraju, który coraz bezczelniej zakłócał socjalistyczny porządek – oto co w końcu wymyślił: wszystkie te dzieci, poczynając od 12 roku życia (a już jego ukochana córka dobiegała tych lat i naocznie mógł się przekonać, jakie są cechy tego wieku) – ka-zał sądzić NA CAŁY REGULATOR, tak jak to kodeks przewiduje!, to znaczy – „stosując wszystkie przewidziane wymiary i rodzaje

Dzieło zbiorowe: Od więzień... str. 333.

383

kar” – wyjaśniał Dekret CIK i Sownarkomu z 7.IV. 1935 roku (nie wyłączając rozstrzelania).

Nie umieliśmy jeszcze czytać i mało uwagi poświęcaliśmy treści dekretów. W tych latach wpatrywaliśmy się raczej w portrety Stalina z czarnowłosą dziewczynką na ręku... Tym mniej uwagi dekretem poświęcali owi dwunastoletni, o których tam była mowa. A dekrety płynęły jeden za drugim. 10.XII.1940 – stawiać przed sądem poczynając od 12 roku życia również za podkładanie na tory rozmaitych przedmiotów (bo czymże to jest, jeśli nie treningiem młodocianych dywersantów). Dekret 3 LV. 1941 – za wszystkie pozostałe rodzaje wykroczeń nie wymienione w artykule 12 – obywatele mają być sądzeni poczynając od 14 roku życia! Lecz tu zdarzył się mały kłopot: wybuchła Wielka Wojna Narodowa. Ale Prawo jest Prawem! I oto 7.VII. 1941 roku – cztery dni po wygłoszonym w panice przemówieniu Stalina, w chwili gdy niemieckie czołgi gnały na Leningrad, Smoleńsk i Kijów – ukazał się jeszcze jeden Dekret Prezydium Najwyższego Sowietu i trudno orzec, co nas dzisiaj w nim powinno bardziej ciekawić: czy jego niewzruszony akademizm, dowodzący jakimi to ważnymi sprawami zaabsorbowana była nasza władza w trakcie tych płomiennych dni – czy też sama jego treść. Chodzi o to, że prokurator naczelny ZSSR (Wy-szyński?) poskarżył się Najwyższemu Sowietowi na Sąd Najwyższy GUZ z tego widać, że sprawa musiała być znana Miłościwie Nam Panującemu): że sądy nieprawidłowo wprowadzają w życie Dekret z 35. roku – bo sądzą działwę tylko wtedy, gdy chodzi o przestępstwo popełnione z premedytacją] Ale to przecież niedopuszczalna pobłażliwość! I oto teraz, wśród szalejących wokół płomieni wojny, Prezydium wyjaśnia, że taka wykładnia nie zgadza się z założeniami prawa, ponieważ wprowadza nieprzewidziane przez dekret ograniczenia!... i zgodnie z wnioskiem prokuratora, Prezydium wyjaśnia Sądowi Najwyższemu: dzieci należy sądzić stosując odpowiednie kary w pełnym wymiarze (to znaczy „na cały regulator”) również w tych wypadkach, gdy wykroczenie popełnione zostało nie umyślnie, lecz przez nieuwagę]

To jest decyzja! W całej historii ludzkości może jeszcze nikt nie był tak bliski radykalnego rozwiązania problemu dziecięcego! Od dwunastego roku życia – za byle nieopatrność – aż do rozstrzelania włącznie2! Dopiero

2 W marcu 1972 roku całą Anglię wstrząsnęła wiadomość, że w Turcji 14-lletni wyrostek, Anglik, skazany został na sześć lat za handel dużymi partiami narkotyków – no bo jak to można?! A gdzie mieli oczy i serca wasi lewicowi leaderzy, gdy czytali

stalinowskie dekrety dotyczące nieletnich? „Dzieci? Dlaczego mordowaliście d z i e c i?” – tak pytał pełen świętej zgrozy (i ze świątobliwą miną) oskarżonych w Norymberdze hitlerowców

384

teraz zatłkane zostały szczelnie wszystkie mysie nory. Dopiero od tej chwili wszystkie nie zebrane w kołchozach kłосki mogły poczuć się bezpiecзniej! Teraz dopiero mogły bez przeszkód zapełniać się nasze spichrze, życie mogło zakwitnąć swobodnie, a dzieci, naznaczone piętnem grzechu już w kołysce – mogły wstąpić wreszcie na długą drogę poprawy.

Nie drgnęła ręka żadnemu z partyjnych prokuratorów, mających przecie takie same dzieci! – bez żadnych skrupułów zaczęli wydawać sankcje na aresztowania. Nie zadrżał też nikt z partyjnych sędziów – bez mrugnięcia okiem skazywali dzieci na trzy, pięć, osiem i dziesięć lat obozów ogólnych!

Za skubanie kłосków tym malcom nie dawano mniej niż 8 lat!

I za kieszeń ziemniaków – za garść ziemniaków w kieszeni dziecinnych porteczek! – też 8!

Ogórki były w niższej cenie. Za dziesięć ogórków z kołchozowej grędy – Sasza Błochin dostał 5 lat.

A głodna 14-letnia dziewczynka Lida w ośrodku rejonowym Czyngirlaus w Kustanajskim obwodzie – idąc środkiem jezdni zaczęła zbierać zmieszane z kurzem ulicznym ziarenka, sypiące się wąską strużką z pędzącej ciężarówки, ziarenka, które i tak już poszły na marne. Skazano ją więc zaledwie na trzy lata, uznając za łagodzącą tę okoliczność, że dokonała zaboru mienia socjalistycznego nie na polu i nie w spichrzu. Na złagodzenie wyroku może również to miało wpływ, że w tamtym (1948) roku Sąd Najwyższy wydał jednak komentarz do orzecznictwa, zalecając, aby nie pociągać przed sąd za akty przywłaszczenia, noszące charakter dziecinniej swawoli (drobna kradzież jabłek w ogrodzie). Stosując zasadę analogii, sąd lokalny uznał, że można pozwolić sobie na pewną łagodność. (My zaś wyciągniemy z tego wniosek taki – że między rokiem 1935 a 1948 za jabłka szło się pod sąd).

Bardzo wielu stawało przed sądem za ucieczki ze szkół przyfabrycznych. Co prawda, należało się za to tylko sześć miesięcy. (W obozie nazywano ich żartem szubienicznikami. Żart żartem, ale mam tu fotografię z obozu na Dalekim Wschodzie: tym chłopcom zlecono wywóz fekaliów z latryny. Wóz na dwóch ogromnych kołach, na wozie – wielka beczka pełna cuchnącej cieczy. „Szubienicznicy” zaprzęgają się całą hurmą w ogłoble, inni pchają z tyłu i z boków (to na nich chlupie łajno, kiedy beczka się kołysze),

sowiecki sędzia Trybunału Nikitczenko, który, przypadkiem zapewne, nie znał sowieckich, wewnętrznych praw i rozporządzeń (a może zapomniał jakie sam wydawał wyroki). Pełni zacności i mądrej zadumy siedzieli obok niego inni członkowie Trybunału – Anglicy, Francuzi i Amerykanie.

385

a rumiane suki w szewiotowych garniturach, zataczają się ze śmiechu i popędzają chłopaczków pałkami. – Na łajbie wiozącej więźniów etapem z Władywostoka na Sachalin (1949 rok) suki groząc majchrami zgwałcili grupę tych chłopców. Tak więc, sześć miesięcy to też czasem dosyć.

Kiedy zatem chmara dwunastolatków przekroczyła próg więziennych cel dla dorosłych – a zrównani byli z dorosłymi jako obywatele poddani działaniu tych sa-

mych praw, zrównani byli, jeśli wziąć pod uwagę ciężar barbarzyńskich kar, tak prawie długich, jak całe ich poprzednie życie, zrównani przez taką samą pajkę, miskę bałandy i miejsce na narach – otóż wtedy właśnie stary termin, przeżytek z okresu komunistycznej reedukacji – „niepełnoletni” jakoś się zdewaluował, stracił ostre kontury, stał się w ogóle niejasny – więc sam GUŁag stworzył dźwięczne i zuchowate słowo – małolatek\ – i z akcentem dumy i goryczy tak sami siebie zaczęli nazywać ci nieszczęśnicy – jeszcze nie obywatele kraju, ale już obywatele Archipelagu.

Tak wcześnie i tak dziwnie – z chwilą przekroczenia więziennego progu – rozpoczynał się ich wiek męski.

Na te dwunasto – i czternastoletnie łepetyny zwał się całym ciężarem system, którego rygorów nie wytrzymywali zahartowani mężczyźni. Ale prawo młodości sprawiło, że właśnie ci młodzi nie byli rozginiatani przez ów system na miazgę, lecz mogli byli wrosnąć weń i przystosować się. Podobnie jak w młodym wieku można bez trudu nauczyć się nowych języków i obcych obyczajów – tak samo małolatki z punktu uczyły się władać językiem Archipelagu – a jest to język knajaków – i zgłębiali arkana filozofii Archipelagu – a czyż aż to filozofia?

Odciedzili dla siebie z tego życia całą jego niehumanitarną treść, cały ten trujący, gnijący sok – a czynili to z taką wprawą, jakby właśnie tę ciecz – ją właśnie, a nie mleko matczyne – ssali w niemowlęctwie.

Tak szybko zapuszczali korzenie w tym życiu – nie tygodni trzeba było na to, lecz zaledwie dni – jakby nic ich tu nie dziwiło, jakby to życie nie było dla nich wcale czymś nowym, jakby stanowiło jedynie dalszy ciąg wczorajszego, swobodnego bytowania.

Również tam, w tamtym świecie, wcale nie chowali się w jedwabiach i w puchu: to nie dzieci zamożnych i wpływowych rodziców musiały skubać kłoski, nosić kradzione kartofle w kieszonkach, spóźniać się na ranną zmianę i uciekać ze szkół zawodowych. Małolatki – to potomstwo ludzi pracy. Także tam, na wolności dobrze już wiedzieli, że niesprawiedliwość jest spoiwem naszego życia. Ale wcale nie wszystko przybierało tam formy skrajne, to i owo występowało w nader szacownym przebraniu, a matka potrafiła dobrym słowem też złagodzić niejedno. Na Archipelagu zaś mało–

386

latek widział świat nie inaczej, niż widzą go oczy istot czworonożnych: tylko siła jest prawem! tylko drapieżnik ma prawo do życia! W tej postaci Archipelag rysuje się także nam, dorosłym, ale jest naszym przywilejem, że możemy przeciwstawić mu nasze poprzednie doświadczenia, nasze przemyślenia, nasze ideały, a także nasze dawne lektury! Dzieci zaś uczą się Archipelagu z boską chłonnością właściwą zielonym latom. I w ciągu kilku dni dzieci stają się tu bestiami! i to najgorszymi ze zwierząt, bez cienia pojęć etycznych (patrząc w spokojne, ogromne oczy konia albo głaszcząc stulone uszy psa, który czuje się winny – czy będziesz twierdził – człowieku, że nie mają one jakiejś swojej etyki?). Małolatek wykuwa na blachę: jeśli ktoś ma kły słabsze od twoich – to wyrwij z nich jego kęsy, już jest twój!

Istnieją dwa zasadnicze sposoby rozmieszczania małolatków w obrębie Archipelagu: w osobnych koloniach dziecięcych (przede wszystkim dla najmłodszych, którzy jeszcze nie ukończyli lat piętnastu) i – co dotyczy starszych małolatków – w mieszanych podobozach, najczęściej wspólnie z inwalidami i kobietami.

Oba te sposoby z równą skutecznością prowadzą do rozkwitu drapieżnego bestialstwa w małolatkach. Żaden zaś z nich nie chroni młodocianych przed knajackimi ideałami i nie przeszkadza w przyswojeniu ich sobie.

Na przykład – Jura Jeremow. Opowiada, że już mając lat dwanaście (w 1942 roku) dobrze widział w swoim środowisku, jak pleni się szalbierstwo, złodziejstwo, spekulacja – i sam doszedł do takiego wniosku: nie kradnie i nie oszukuje tylko ten, co ma stracha. A ja – nie chcę bać się niczego! A więc będę kradł i oszukiwał i prowadził życie na medal. Zresztą – przez czas jakiś jego życie potoczyło się w innym kierunku. Przejął się świetlanymi przykładami z podręczników szkolnych. Mimo to, zdołał się jakoś zorientować po swojemu, kim jest w istocie Wódz i Nauczyciel (a laureaci i ministrowie twierdzą, że było to zadanie ponad ludzkie siły) i – a miał lat 14 – sporządził taką ulotkę: „Precz ze Stalinem! Niech żyje Lenin!”. Zaraz go złapano, przeszedł bicie, dostał 58–10 i znalazł się w obozie razem z małolatkami–knajakami. Tam Jura Jeremow rychło opanował złodziejski kodeks. Życie jego szybko opisało dialektyczną spiralę – i wciąż jeszcze mając lat czternaście doszedł do swojej „negacji w negacji”: znów zaczął uważać fach złodziejski za najlepszy i najwspanialszy.

Co też zobaczył w karnej kolonii dziecięcej? „Jeszcze więcej niesprawiedliwości niż tam, na swobodzie. Zwierzchnicy i nadzorcy żyją na koszt państwa, wykorzystując system wychowawczy jako parawan. Część przydziałów przeznaczonych dla wychowanków ulatnia się z kuchni i znika w kał–dunach panów wychowawców. Swoich podopiecznych kopią i wciąż straszą, żeby zapewnić sobie milczenie i posłuszeństwo”. (Tu warto wyjaśnić,

387

że przydziały dla młodszych małolatków – to bynajmniej nie zwykła pajka obozowa. Skazując dzieciaki na długie lata więzienia, rząd nie zapomniał o swoich obowiązkach humanitarnych, nie zapomniał, że te dzieci – to przyszli gospodarze kraju komunizmu. Dlatego przydziela się im mleko i masło śmietankowe, i prawdziwe mięso. Jak w tych warunkach wychowawcy mogą powstrzymać się od pokusy, aby sięgnąć swoją chochlą do kotła małolatków? A jak zapewnić sobie milczenie małolatka? Tylko skopawszy go, jak należy. Być może ktoś z tych dawnych małolatków opowie nam jeszcze historię o wiele bardziej ponurą, niż dzieje Oliviera Twista?).

Najprostszą reakcją na grad krzywd – jest krzywdzenie innych. Jest to wniosek najłatwiejszy i teraz na długi czas (a może na zawsze) stanie się on przykazaniem życiowym małolatków.

Ale – rzecz to bardzo ciekawa! – wstępując w szranki tego okrutnego świata, małolatki nie prowadzą walk między sobą! nie widzą wrogów w innych małolatkach. Biorą się do tych zapasów kolektywnie, formują drużyny! Kiełki socjalizmu? Dobroczynny wpływ wychowawców? – ach, dość tego bełkotu, gaduły! To znaczy, że zrozumieli prawa społeczności złodziejskiej! Przecież knajacy – to bractwo, przecież rządzi tym bractwem dyscyplina i Pachan. A małolatki – to jakby kadeci tej armii, którzy zgłębiają nauki starszych.

O, rzecz jasna, wychowuje ich się tu intensywnie! Przyjeżdżają prelegenci – z trzema, czterema gwiazdkami na epoletach – prowadzą wykłady o Wielkiej Wojnie Narodowej, o nieśmiertelnych Wiktoriach naszego narodu, o bestialstwie faszystów, o słonecznej, stalinowskiej opiece nad dziećmi w naszym kraju, o tym, jakim człowiek sowiecki być powinien. Ale Wielka Teoria Społeczna, której jedynym

fundamentem jest ekonomia, nigdy nie sięgając do psychologii – nie uznaje również tego prostego prawa psychologicznego, zgodnie z którym każde twierdzenie, powtórzone pięć czy sześć razy – już budzi niedowierzanie, a przy dalszym powtarzaniu – budzi obrzydzenie. Małolatków mierzi to, co kiedyś wbijali im do głowy szkolni nauczyciele, a teraz – okradający ich wychowawcy. (Nie przynosi pożądanych skutków nawet patriotyczne przemówienie oficera armii czynnej: „Chłopczy! Powierzamy wam ważne zadanie – będziecie pruć spadochrony. Ten jedwab jest bardzo cenny, dla naszego kraju to skarb, starajcie się go nie podrzeć!“. Myśląc tylko o przekroczeniu normy i dodatkowej porcji kaszy – małolatki tną cały jedwab na niezdatne już na nic gałganki. – Kolonia Krywoszczekowo). I z całego tego siewu wejdą w nich tylko nasiona nienawiści – wrogość wobec Pięćdziesiątki Ósemki, poczucie wyższości nad wrogami ludu.

388

To przyda im się później, w obozach ogólnych. Tymczasem – nie ma wśród nich wrogów ludu. Jura Jermołow – to taki sam swój chłopak jak inni, dawno już zastąpił głupie, polityczne zasady mądrymi, knajackimi. Nikt się tu osobno nie uchowa, wszystko zmieni się w tę samą kaszę! Żaden z tych chłopców nie potrafi ostać się jako jednostka odrębna – prędko go zadepczą, rozszarpią, załtuką, jeżeli zaraz nie przyłączy się do innych kadetów knajackiego wojska. I wszyscy muszą wstąpić do tego nowicjatu... (Czytelniku, wyobraź sobie teraz, że to TWOJE dzieci...).

Kto jest wrogiem małolatków w koloniach dziecięcych? Nadzorcy i wychowawcy. Z nimi więc toczy się walka!

Małolatki świetnie zdają sobie sprawę ze swojej siły. Najważniejszy jej składnik – to solidarność, drugi – to poczucie bezkarności. Prawa dorosłych wepchnęły ich tu, wyrывая z świata zewnętrznego, ale na Archipelagu broni ich magiczne, nieprzekraczalne tabu. „Mleczko, panie komendancie, oddaj mleczko!“ – wrzeszczą, bębnią w drzwi celi, łamą nary, wybijają szyby – robią wszystko, co byłoby wśród dorosłych uznane za powstanie zbrojne albo za sabotaż ekonomiczny. Im nic nie grozi! Im zaraz przyniosą to mleko!

Kolumna małolatków maszeruje przez miasto pod silnym konwojem i mogłoby się zdawać, że to aż wstyd pilnować dzieciaków tak surowo. Otóż nie! Zmówili się, któryś gwizdnął – i nagle już przyskają w różne strony, gdzie kto ma chęć! Co ma poczekać eskorta? Strzelać? Do kogo? Bo to można do dzieci?... I to jest koniec odsiadki. Państwo ma w majątku ze sto pięćdziesiąt lat więzienia mniej. Nie chcecie wystawiać się na śmieszność? – to nie aresztujcie dzieci!

Przyszły powieściopisarz (ten, który spędził dzieciństwo wśród małolatków) opowie nam z pewnością mnóstwo ich szalonych pomysłów, opowie na jakie harce pozwalali sobie w koloniach, jak mścili się na wychowawcach i jakie złośliwe figle im płątali. Zewnętrzna surowość wyroków i regulaminu obozowego pozwala jednak na niebywały rozkwit zuchwalstwa wśród, pewnych swojej bezkarności, małolatków.

Oto jedna z ich chętnych opowieści. Znając zwykłe metody małolatków, chętnie wierzę, że to prawda. Do pielęgniarki z kolonijnej przychodni przybiega kilku zdenerwowanych i przestraszonych chłopców, wzywając ją do kolegi, który nagle i ciężko zachorował. Zapominając o wszelkiej ostrożności – siostra biegnie za nimi do ich dużej, czterdziestoosobowej celi. Tu zaczyna się mrówcza praca! Jedni zabierają się do barykadowania drzwi i do ich obrony, inni – dziesięciorgiem rąk zry-

wają z pielęgniarki wszystko, co ma na sobie, przewracają ją na ziemię, jedni siadają jej na rękach,

389

inni na nogach i teraz – każdy, jak potrafi – gwałci ją, całuje, kąsa. Strzelać do nich – nie ma rozkazu i nikt kobiety nie wyrwie z ich rąk, póki sami jej nie puszczą, zbeszczeszczonej, zapłakanej.

Zainteresowanie ciałem kobiecym budzi się u chłopców w ogóle bardzo wcześnie, a w celach małałatków podsycają je ponadto soczyste i pełne chętności opowiadki. Małałatki korzystają wtedy z każdej okazji, żeby sobie pofolgować. Tak, na przykład, epizod: w biały dzień, na oczach wielu świadków

w Krywoszczekinskiej żonie (pierwszy podobóz) siedzi sobie czterech małałatków i gwarzy z niejaką Lubą, również młodoćianą, pracującą w introligatorni.

W pewnej chwili dziewczynka odpowiada ostro na jakąś zaczepkę – a chłopcy zrywają się, jakby ich giez ukąsił i chwytają ją za nogi podnosząc ją wysoko w górę. Dziewczyna jest zupełnie bezradna, wodzi rękoma po podłodze szukając oparcia, spódnica spada jej na głowę. Chłopcy wciąż ją trzymają w tej pozycji i wolnymi rękoma miętoszą. Po chwili puszczej ją, nawet nie brutalnie. Dziewczyna uderzyła za to kogoś z nich? uciekła od nich? Skąd, siada z nimi znowu i prowadzi dalej rozmowę, jak gdyby nigdy nic.

To już były małałatki mniej więcej lat szesnastu i działo się to w żonie mieszanej, wśród dorosłych. (To właśnie tam stał ten barak dla pięciuset kobiet, gdzie spółkowano nie osłaniając nawet nar i gdzie małałatki traktowani byli jak dorośli mężczyźni).

W koloniach dla dzieci małałatki pracują przez cztery godziny, a przez dalsze cztery powinny uczyć się (cała ta ich nauka, to zresztą lipa). Po przeniesieniu do obozu ogólnego – muszą pracować dziesięć godzin, tylko że mają zmniejszone normy wykonania planu, natomiast normy aprowizacji – te same, co inni. Przenoszą ich tu po ukończeniu lat 16, ale niedożywienie i niedorozwój, rezultaty pobytu w obozie i życia przedobozowego – sprawiają, iż wyglądają w tym wieku jak małe, mizerne dzieci. Są cofnięci w rozwoju pod względem fizycznym i umysłowym, a także, gdy chodzi o krąg zainteresowań. Zależnie od charakteru pracy, tworzy się tu z nich odrębne brygady, łącząc jednak niekiedy z inwalidami i starcami. Chodzi o prace zwane „lżejszymi”, czyli tradycyjny wyzysk dzieci.

Po opuszczeniu kolonii dziecięcej sytuacja małałatka ulega poważnej zmianie. Nie dostaje już specjalnych przydziałów, które taką pożądnosć budziły wśród nadzorców i dlatego nadzór przestaje być głównym wrogiem. Zjawili się za to jacyś starszankowie, którym można pokazać swoją siłę. Pojawiły się też kobiety – i można nareszcie pokazać, że jest się dorosłym. Pojawiili się też prawdziwi, żywi knajacy, obozowi szturmowcy o spasionych pyskach, którzy chętnie podejmują się roli przewodników

390

duchowych i nauczycieli złodziejskiego rzemiosła. Pobierać te nauki – to rzecz nęcąca, wymigać się od tego terminu – to rzecz niemożliwa.

Dla czytelnika – wolnego słowo „złodziej”, „knajak” brzmi może jak obraźliwy epitet? To znaczy, że niczego nie zrozumiał! Słowa te wymawiane są w świecie przestępczym z takim akcentem, z jakim wśród szlachty mówiło się o „rycerzach”, ba, z jeszcze większym chyba szacunkiem, głosem przyciszonym, jak jakieś święte wyrazy. Stać się kiedyś złodziejem, godnym tej nazwy, to marzenie małałatka, jest to

żywiotowe dążenie, wspólne dla całej tej czeredy. Zresztą, najbardziej samodzielny spośród nich

„Ów młodzian, co nad życiem się zamyślił”, – też dojdzie do wniosku, że to byłby najlepszy wybór.

Pewnego razu, będąc w Iwanowskim zborniaku, musiałem nocować w celi małolatków. Moim sąsiadem z nar był szczupłutki chłopiec, który skończył niedawno lat piętnaście. Miał, zdaje się, na imię Sława. Miałem wrażenie, że wszystkie rytualne wręcz gesty i obrzędy małolatków wykonuje on jakoś od niechcenia, jakby wyrósł już z tego albo po prostu miał dość. Pomyślałem sobie, że ten chłopak nie jest jeszcze stracony, że jest mądrzejszy od innych i dlatego niedługo się od nich odstrychnie. Zaczęła się rozmowa. Chłopak pochodził z Kijowa, jedno z rodziców mu zmarło, drugie zostawiło go na łasce losu. Sława zaczął kraść jeszcze przed wojną, miał wtedy chyba 9 lat. Kradł także, kiedy przyszli „nasi”, a również po wojnie i z niewesołym, pełnym zadumy uśmiechem, nie licującym jeszcze z jego wiekiem, wyjaśnił mi, że w przyszłości zamierza być złodziejem i nikim innym. „Wie pan przecież – tłumaczył mi bardzo rozsądnie – jako robotnik człowiek zarobi sobie najwyżej na chleb i wodę. A ja miałem ciężkie dzieciństwo, chcę teraz mieć” coś z życia”. – „A cóżeś robił podczas okupacji, kiedy Niemcy byli w mieście?” – zapytałem, zdając sobie sprawę, że pominął w opowieści dwa lata, w czasie których Kijów był okupowany. Pokiwał głową: „Za Niemców musiałem pracować. Co pan myśli, bo to można było wtedy spokojnie kraść? Rozstrzeliwali za to na miejscu”. W obozach dla dorosłych małolatki okazują wierność naczelnej swojej zasadzie – napadają i bronią się solidarną gromadą. Czyni to z nich element silny i pozwala im nie liczyć się z ograniczeniami. W ich świadomości nie ma żadnej linii demarkacyjnej między tym co wolno, a tym, czego nie wolno i – rzecz jasna – żadnego pojęcia o tym co dobre, a co złe. Dobre dla nich jest to wszystko, czego chcą oni, a złe – to, co im stoi na zawadzie. Bezczelny, nachalny sposób zachowania przyswajają sobie dlatego, że jest to najwygodniejszy sposób bycia w obozie. Potrafią doskonale posługiwać się fałszem i chytrą tam, gdzie siłą nie poradzi.

Małola-

391

tek potrafi udawać święte pacholę z ikony, potrafi rozczulić cię do łez – podczas gdy jego koledzy zajmują się z tyłu patroszeniem twojego plecaka. Potrafią zemścić się na każdym, wziąć odwet całą gromadą – i nikt nie pomoże napadniętemu, żeby nie mieć potem tej hordy na karku. Cel jest osiągnięty – przeciwnicy są rozdzieleni i małolatki rzucają się całą sforą na jednego. Są niewyciężeni! Tak wielu naraz bierze udział w napadzie, że człowiek nie dąży nikogo zauważyć, odróżnić, zapamiętać. Aby się przed nimi obronić nie dość jednej pary rąk i nóg.

Oto kilka epizodów z życia drugiego (karnego) podobozu Krywoszcze–kino, należącego do Nowosibłagu (według relacji A.J. Suzi). Ogromne ziemianki (każda na pięćuset ludzi) wkopane w ziemię na półtora metra, pogrążone w wiecznym półmroku. Władza nie wtrąca się do tego, co dzieje się w żonie (żadnych hasań ani odczytów już nie ma). Knajacy panują wszechwładnie – pospołu z małolatkami. Do roboty prawie że się nie chodzi. Wyżywienie jest więc odpowiedzialne. Za to czasu aż nadto.

Z krajalni chleba więźniowie niosą skrzynię z pieczywem pod konwojem swoich brygadzystów. Grupa małolatków figuruje bójkę, zaczyna się prze-pychanka,

skrzynka pada i rozlatuje się. Brygadziści rzucają się do zbierania kromek z ziemi. Z 21 porcji zdążą uratować tylko 14; „bijących się” małolatków – już ani śladu. Stołówka w tym podoboże – to drewniana buda, podczas syberyjskich zim nie nadająca się do użycia. Bałandę i chleb trzeba wtedy nieść z kuchni aż do swojej ziemianki – ze 150 metrów, na ostrym mrozie. Dla starych inwalidów jest to jednak trudna operacja. Chleb wtyka więc taki głęboko za pazuchę, marznącymi rękoma mocno ściska menażkę. Ale nagle, z diabelską szybkością wpada na niego dwóch–trzech małolatków. Przewracają starca, sześcioro rąk obmacuje go szybko, po chwili nie ma już nikogo. Chleb zabrali, bałanda się rozlała, pusta menażka leży w śniegu, starzec usiłuje dźwignąć się na kolana.

(Inni więźniowie widzą to – ale starają się pospiesznie ominąć niebezpieczny punkt, chcą przynajmniej swoją porcję donieść do ziemianki). Okrucieństwo małolatków jest tym większe, im wątlejsza jest ich ofiara. Zupełnie już osłabionemu starcowi zabierają chleb otwarcie, bez żenady wrywają mu go z palców. Starzec płacze, błaga żeby mu oddali: „Przecież umrę z głodu!” – „Co za różnica, i tak przecież niedługo zdechniesz!” – Miejscem, gdzie małolatki najchętniej czatują na inwalidów, jest pusty, zimny przedsionek kuchni, gdzie zresztą wciąż pęta się sporo ludzi. Szajka wspólnym wysiłkiem przewraca na ziemię upatrzoną ofiarę, mali rabusie siadają jej na rękach, na nogach, na głowie, myszkują po wszystkich kieszeniach, zabierają machorkę, pieniądze i znikają.

392

Silny i rosty Łotysz Martinson nieopatrznie zjawił się w żonie w długich, sznurowanych butach z brązowej skóry. Takie buty nosili angielscy lotnicy, miały dwa rzędy haczyków na sznurowadła, od przyszwyy aż do samych kolan. Martinson nawet na noc tych butów nie zzuwa. I pewien jest swojej siły. Ale pewnego dnia Martinson idzie do stołówki. Pod pomostem czatuje na niego szajka. Raptowny napad – i tak samo raptowna ucieczka. Ale butów już nie ma. Wystarczyła sekunda na przecięcie wszystkich sznurowadeł i zdercie butów z nóg. Szukać? Daremny trud. Już po chwili – za pośrednictwem nadzorcy (!) buty zostają przerzucone poza żonę i sprzedane tam za dużą cenę. (Czego to małolatki nie są w stanie przerzucić! Ilekroć obozowa zwierzchność, litując się nad nimi, wydaje małolatkom jakieś trochę lepsze obuwie albo sorty, albo jakieś nieszczęsne resztki materaców, odebrane Pięćdziesiątce Ósemce – już po kilku dniach to wszystko zostaje opylone za machorkę wolnym, a małolatki znów chodzą w łachmanach i śpią na gołych narach).

Wystarczy, że jakiś lekkomyślny wolniak wejdzie w obręb żony z psem i odwróci się na chwilę – a będzie mógł już tego samego wieczoru kupić poza żoną skórę własnego psa: pies w ciągu sekundy został zwabiony na bok, zarżnięty, oprawiony i upieczony.

Złodziejstwo i rozbój – to najpiękniejsze zajęcie! Dają papu, dają też rozrywkę. Ale sucha zaprawa, bezinteresowna zabawa i biegania – też potrzebne są młodemu ciału. Jeśli dano im do rąk młotki dla zbijania skrzynek na pociski – to machają nimi już na całego, z dużą satysfakcją (robią to także dziewczęta) wbijając gwoździe we wszystko, co znajduje się w zasięgu wzroku – w stoły, w mury, w drzewa.

Wciąż biją się między sobą – i nie tylko po to, aby wywalić skrzynkę z chlebem, biją się również na serio, uganianając się za sobą po narach i w przejściach między nimi. Co ich obchodzi, że trącają czyjeś nogi i rzeczy, że coś wyrócili i poplamili, że kogoś obudzili, a jeszcze kogo innego zbili z nóg – zabawa na sto dwa!

Tak bawią się wszystkie dzieci, ale nad zwykłymi dziećmi czuwają jednak jacyś rodzice (w naszych czasach – nie więcej, niż „jacyś”), jest na nich jakaś rada, można je złapać za rękę, przemówić im do rozumu, ukarać, wysłać gdzieś – a w obozie to wszystko jest niemożliwe. Przemówić małolatkom do rozumu po prostu nie sposób, mowa ludzka jakby nie dla nich została stworzona, ich uszy zdają się słyszeć tylko to, co im dogadza. Kiedy rozwścieczeni starcy przechodzą do rękoczynów – małolatki tłuką ich za to ciężkimi przedmiotami. A jakie też zabawy sobie wynajdują! – o! zrywają bluzę wojskową z inwalidy i zaczynają się nią przerzucać, aby musiał biegać za nią, jakby był ich równieśnikiem. Obraził się, poszedł sobie? – to już jej nigdy nie zobaczy. Przerzucili poza żonę i poszła z ma-

393

chorkowym dymem! (A po jakimś czasie podchodzą do niego z niewinną miną: „Papciu, daj no ognia! No dobra już, nie gniewaj się. Dlaczegoś sobie poszedł, mogłeś przecież ją złapać?”).

Ludziom dorosłym, mającym już dzieci i wnuki, te swawole małolatków w obozowej ciasnocie sprawiają może więcej przykrości i bardziej ich ranią, niż szczeniacki rozbój i żarłoczna chciwość. Okazuje się, że to właśnie jest jedno z najcięższych upokorzeń, kiedy starszy człowiek zrównany jest ze smarkaczem, ale gdzie tam – zrównany! – kiedy zdany jest na łaskę i niełaskę okrutnych smarkaczy. Małolatki nie działają z premedytacją, nie kalkulują, wcale nie chodzi im o to, aby kogoś upokorzyć – bo wcale nie udają: oni rzeczywiście nikogo nie uważają za ludzi, wyjąwszy siebie samych i starszych cechu złodziejskiego! Tak pojęli świat – i o niczym innym nie chcą mieć pojęcia.

Przy powrocie z roboty małolatki roztrącają kolumnę dorosłych zeków, ludzi znużonych, ledwie trzymających się na nogach, pogrążonych w jakimś drętym ośpieniu albo w dręczących wspomnieniach. Małolatki rozpychają się nie dlatego, że chcą wyjść na czoło, że im się śpieszy – to nic by im nie dało; robią to najzwyczajniej dla zabawy. Trajkoczą głośno, na każdym kroku i nadaremno wzywają imię Puszkina („A, to Puszkina wziął!”, „Puszkina to zjadł!”), bluzgają przekleństwami, bluźnią, klną wymyślnie, ze znanstwem wszystkich możliwych zboczeń płciowych, ani trochę nie krępując się obecnością starych kobiet, a tym bardziej już – młodych. W czasie krótkiego pobytu w obozie zdołali osiągnąć nader wysoki stopień wolności od społeczeństwa*. – Podczas długich apeli w żonie, małolatki szaleją, torpedując stojących, przewracając ludzi całymi szeregami („Coś ty, ze wsi, czego sterczysz na drodze?”) albo biegają dookoła któregoś z dorosłych, traktując go jak byle pień, tym lepszy, że można go pchnąć, zastawić się nim, szarpać i ciągnąć w różne strony.

Byłoby to nieznośnie przykre nawet w wesołych chwilach, ale kiedy człowiek czuje, że złamano mu życie, że został rzucony do obozowej jamy na długie konanie, że już śmierć głodowa rozpościera nad nim swoje skrzydła, że mrok mu wypełnia źrenice – to już nie może przezwyciężyć się i współczuć tym młodzikom, że szukać muszą sobie jakiejś rozrywki w takim strasznym otoczeniu. Nie, tych starych, zadręczonych ludzi ogarnia gniew, krzyczą: „A żeby was zaraza, podłe żmije!”, „Ścierwa, psy wściekłe!”, „A bodajbyście prędzej powyzdychali!”, „Własnymi rękoma bym ich podusił!”, „Te zwierzaki gorsze od faszystów!”, „Naszczuli ich tu nam na zgubę!”. (I tyle pasji jest w tych krzykach inwalidów, że gdyby słowa mogły zabijać – to już by małolatków nie było!). A tak, tak właśnie człowiekowi

394

się wydaje – że ich celowo napuszczono na starszych!, bo nawet po najdłuższym namyśle władza obozowa nie potrafiłaby wynaleźć gorszego bata na więźniów. (Podobnie, jak w udanej partii szachów wszystkie posunięcia i kombinacje w pewnej chwili same zaczynają się wysnuwać, podczas gdy komuś może się wydawać, że zostały zawczasu tak genialnie zaplanowane – w ten sam sposób powstało w ramach naszego Systemu wiele bardzo udatnych metod dręczenia ludzi). Wydaje się czasem, że – właśnie tak, a nie inaczej powinny wyglądać małe diabły, występujące w chrześcijańskich legendach.

Tym bardziej, że ich najmilsza zabawa, ich symbol – sygnał, znak powitalny i gest groźby – to proca, rohatynka: dwa rozczapierzone palce – wskazujący i środkowy, jakby ruchome rożki, gotowe ubóść, ale nie bodą one, tylko koła, bo małolatki zawsze starają się ugodzić nimi w oczy. Nauczyli się tego od dorosłych knajaków, ma to oznaczać groźbę bardzo serio: „Bo ci oczy wykolę, ścierwo!”. Dla małolaków zaś jest to ulubiona gra; ni stąd ni zowąd przed oczyma jakiegoś staruszka, jak żądło żmii pojawia się rohatynka i palce już, już sięgają oczu, za chwilę je wykolą! Staruszek odruchowo cofa głowę, ktoś jeszcze daje mu szturchańca w pierś, inny małolatek już przypadł do ziemi z tyłu za nogami ofiary – i staruszek pada na wznak, głową o ziemię, a małolatki ryczą ze śmiechu. Nigdy też nikt z nich nie pomoże mu wstać. Do łbów im nawet nie przychodzi, że zrobili coś złego, to tylko zabawa. Ani bańki, ani kompresy na te diabły nie pomagają! I z trudem podnosząc się z ziemi, staruszek szepcze z wściekłością: „Jakbym tu miał karabin maszynowy – to ani chwili bym się nie namyślał!”.

Stary C. pałał do nich prawdziwą nienawiścią. Tak mówił: „wszystko jedno, jest to stracony element, to prawdziwa zaraza rośnie. Trzeba ich tępić już teraz, byle po cichutku!”. I wykombinował taki sposób: dopadał gdzieś na osobności małolatka, przewracał go i tak długo tłoczył mu piersi kolanami, póki nie słyszał trzasku łamanych żeber – ale go nie wykańczał, tylko puszczał z pękniętymi żebrami. Taki małolatek – twierdził C. – już długo nie pożyje, ale żaden lekarz nie potapie się, o co chodzi. C. wysłał tak kilku małolaków na tamten świat, aż go nareszcie w odwet oni sami zatłukli na śmierć.

Nienawiść jest matką nienawiści! Czarna woda nienawiści rozlewa się szeroko. Łatwiejsze to, niż szukać przyczyny gdzie indziej, wyżej – wśród tych, którzy zarówno dorosłych jak młodocianych skazali na niewolniczy los.

Tak wychowywano małych, zaciekłych zwierzaków, a przyczyniało się do tego pospół – stalinowskie prawodawstwo, gułagowskie wychowanie

395

i knajacki zaczn. Nie sposób było znaleźć nic lepszego, chcąc doprowadzić dziecko do zbydlęcenia! Nie było lepszego i szybszego sposobu na zaszczepienie wszystkich obozowych wad w niedorozwiniętej, wątkiej piersi! Nawet wtedy, gdy jeszcze można było łatwo złagodzić duszę dziecka, gospodarze obozów nie pozwalali na to: przecież nie to było celem ich wychowania. Chłopczyk siedzący w pierwszym podobozie w Krywoszczekinie, prosił, aby przeniesiono go do podobozu numer dwa, gdzie siedział jego ojciec. Nie pozwolono na to (przecież instrukcja wymaga, aby rodziny były rozdzielane)! Chłopaczek musiał schować się w beczie, przedostać się w ten sposób do drugiego podobozu, gdzie był jakiś czas z ojcem, ale musiał się ukrywać. Został tymczasem uznany za zbiega. Szukano go też w kloakach przy pomocy długiego drąga z wybitymi na poprzek gwoździami – bo przecież mógł utonąć w tym całym bałaganie.

I tylko początek jest trudny. Kiedy Wołodia Sniegiriow miał lat 15, aresztowanie wydawało mu się jeszcze czymś niezwykłym. A później jego sześć wyroków złożyło się w sumie na całe prawie stulecie (dwa razy skazywano go na 25 lat), setki dni przesiedział w barakach karnych i w bunkrach (młode jego płuca przesiąkły gruźlicą), siedem lat poszukiwany był na terenie całego państwa, wszędzie rozestano listy gończe. Później trzymał się już dobrze przetartej złodziejskiej ścieżki. Dzisiaj nie ma jednego płuca i pięciu żeber, jest inwalidą drugiej kategorii.

Witia Koptiajew siedzi bez przerwy od dwunastego roku życia. Sądzony był czternaście razy, z tego dziewięciokrotnie za ucieczki. „Na wolności nigdy jeszcze legalnie nie byłem”.

Jura Jermołow po wyjściu z obozu poszedł do pracy, ale go szybko zwolniono – wołano przyjąć na jego miejsce zdemobilizowanego żołnierza. Musiał więc powrócić do „występów gościnnych”. I oczywiście – złapał nowy wyrok.

Stalinowskie nieśmiertelne prawa, odnoszące się do małolatków, były w mocy 20 lat (aż do Dekretu z 24.4.1954, który przyniósł pewne ulgi: na jego podstawie zwolniono tych małolatków, którzy odsiedzieli już 1/3 kary – ale przecież tylko tej pierwszej – a jeśli wyroków było ze czternaście?). Żniwa odbyły się więc dwadzieścia razy. Dwadzieścia roczników te prawa pchnęły na drogę zbrodni i deprawacji.

Kto tu ośmiela się kłaść pamięć naszego Wielkiego Koryfeusza?

Są wśród dzieci tacy spryciarze, którzy zdążą w bardzo młodym wieku złapać artykuł 58. (Na przykład H. Pawłow złapał go mając lat 12. Od 1943

396

do 1949 siedział w karnej kolonii w Zakowsku). Artykuł 58 nie przewidywał w ogóle żadnego minimum wieku! Stwierdzano to nawet w popularnych wykładach na tematy prawnicze (Tallin – 1945 rok). Doktor Usma zna osobiście sześciolatniego chłopczyka, który dostał się do kolonii karnej z artykułu 58 – jest to zapewne rekord!

Niekiedy odkładano dla przyzwoitości aresztowanie dziecka na jakiś czas, ale w końcu sprawiedliwości stawało się zadość. Wiera Inczyk, córeczka sprzątaczk, razem z dwoma innymi dziewczynkami – również czternastoletnimi – dowiedziała się (Jejsk, 1932 rok), że przy deportacji rodzin kułackich – małe dzieci zostawiane są na łasce losu, na pewną śmierć. Dziewczynki postanowiły więc („tak jak dawniej rewolucjoniści”) ogłosić protest. Na stroniczkach wyrwanych ze szkolnych kajetów napisały ten protest własnymi rękoma i rozkleiły na rynku, spodziewając się, że wywoła to natychmiast powszechną reakcję. Jedna z nich, córeczka lekarza, została aresztowana chyba zaraz. A córki sprzątaczk znalazły się tylko gdzieś na jakimś spisie. Nadszedł rok 1937 – i aresztowano je „za szpiegostwo na rzecz Polski”. Gdzie, jeśli nie w tym rozdziale, wspomnieć trzeba o dzieciach osieroconych na skutek aresztowania ich rodziców?

Stosunkowo szczęśliwy był los dzieci kobiet ze wspólnoty religijnej pod Chostą. Kiedy w roku 1929 ich matki zostały zesłane na Sołówki, dzieciom łaskawie pozwolono zostać przy domach i gospodarstwach. Dzieci same zajmowały się sadami owocowymi, warzywnikami, doily kozy, pilnie uczyły się w szkole, a rodzicom na Sołówki posyłały swoje szkolne cenzurki i zapewniały w listach, że gotowe są cierpieć za wiarę tak, jak ich matki. (Ma się rozumieć, że Partia wkrótce dała im tę możliwość).

Iluz to małolatków siedziało jeszcze w latach 20. (przypomnijmy sobie wymienione już 48%) dzięki instrukcji o rozdzielaniu zestanych rodzin? I kto nam dziś opowie o ich losach?...

Na przykład Hala Wenediktowa. Ojcem jej był piotrogrodzki drukarz, anarchista, matką szwaczka z Polski. Hala dobrze pamięta swoje szóste urodzinki (1933 rok), było to wesole święto. Gdy obudziła się następnego ranka – ojca i matki już nie było, tylko jakiś obcy pan, wojskowy, bobrował w tatusinej bibliotece. Co prawda, po jakimś miesiącu mama wróciła: kobiety i dzieci miały jechać do Tobolska bez konwoju, tylko mężczyzn wysyłano etapem. Na Syberii zamieszkali razem, ale nie doczekali się końca trzyletniego zestania: matkę znów aresztowano, ojca z punktu rozstrzelano. Matka po miesiącu zmarła w więzieniu. A Halę zabrano do domu sierot w dawnym klasztorze pod Tobolskiem. Panowały tam takie obyczaje, że dziewczęta żyły w ciągłej obawie gwałtu. Później przeniesiono ją do

397

miejskiego sierocińca. Dyrektor tak jej prawił: „Jesteście dziećmi wrogów ludu, a państwo jeszcze was karmi i ubiera!”. (Nie, aż podziw bierze, jak humanitarna jest ta dyktatura proletariatu!). Hala czuła się jak wilczek w klatce. Mając 11 lat była już na swoim pierwszym politycznym przesłuchaniu. Dostała wkrótce czerwonce, odsiedziała zresztą tylko część. Ma teraz koło czterdziestu lat, jest samotna, mieszka za Kołem Podbiegunowym i tak pisze do mnie: „Życie moje skończyło się w momencie aresztowania ojca. Tak kocham go do tej chwili, że boję się aż o tym myśleć. Był to zupełnie inny świat i dusza moja pełna jest miłości do niego...”.

A oto wspomnienie Swietłany Siedowej: „Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy wszystkie nasze rzeczy wyniesiono na ulicę i posadzono mnie na nich, a padał ulewny deszcz. Od szóstego roku życia byłam córką zdrajcy ojczyzny – i nie może być w życiu nic okropniejszego”.

Posyłano ich do enkawudowskich domów dziecka i do specsierocińców. Większości tych dzieci zmieniono nazwiska – zwłaszcza, gdy nazwisko było głośne. (Jura Bucharin dopiero w 1956 roku dowiedział się, jak się naprawdę nazywa.

A Czebotariow? – mogło się wydawać, że nazwisko to do głośnych nie należy). Dzieci te rosły więc w atmosferze wolnej od miazmatów, których pełne było życie ich dawnej rodziny. A Róża Kovacs, urodzona w Filadelfii, przywieziona do ZSSR w wieku nieledwie niemowlęcym przez ojca – komunistę, najprzód znalazła się w sierocińcu NKWD, później – wojna zapędziła ją aż do amerykańskiej żony Niemiec (przedziwne bywają losy ludzkie!) – i cóż? Wróciła do swego kraju – do ZSSR – tylko po to, aby dostać należne 25 lat.

Nawet najbardziej powierzchowne spojrzenie wystarczy, aby stwierdzić, że istnieje reguła: dzieci skazanych też powinny siedzieć, prędzej czy później muszą odwiedzić ziemię obiecaną – Archipelag, często razem z rodzicami. Oto przypadek uczennicy z ósmej klasy, Niny Pieregud. W listopadzie 1941 roku przyszli po jej ojca. Rewizja. Nagle Ninie przypomniało się, że w popielniku leży jej „czastuszka”, zapisana na papierku zmietym, lecz nie spalonym. Mogła tam spokojnie leżeć, ale Nina w popłochu postanowiła podrzeć ją bez zwłoki. Sięgnęła do pieca, milicjant ocknął się z drzemki i przytapał ją. Groźny dowód buntu, napisany szkolnym charakterem pisma, ukazał się oczom czekistów:

Błyszczą gwiazdy w nocnej dali
Stoją w rosie chwasty rosie.
Myśmy Smoleńsk
przeputali, Przeputamy teraz Moskwę.

Wyrażone też zostało niedwuznaczne życzenie:

Niech tam szkołę bombardują, Bo już lekcji mamy dosyć...

Rozumie się, że ci dorośli mężczyźni, ratujący ojczyznę na głębokim, tambowskim zapleczu, ci rycerze o gorącym sercu i czystych rękach, umieli zapobiec tak straszemu niebezpieczeństwu³. Nina została uwięziona. Zabrano dla celów śledztwa jej dzienniczek z 6 klasy i kontrrewolucyjną fotografię: zdjęcie zburzonej cerkwi św. Barbary. „O czym mówił twój ojciec?” – dopytywali się uporczywie rycerze o gorącym sercu. Nina nic, tylko szlochała. Skazano ją na 5 lat i 3 lata pozbawienia praw (choć nie sposób jej było ich pozbawić, bo nie miała jeszcze żadnych praw).

W obozie, rzecz jasna, oderwano ją od ojca. Gdy zakwitł bez, myślała z goryczą tylko o tym, że koleżanki zdają egzaminy! Nina cierpiała właśnie tak, jak w teorii powinna cierpieć skruszona przestępczyni: moja równieś-nica, Zoja Kosmodemiańska* dokonała takich wyczynów, a ja jestem taka podła! Faceci z oddziału operacyjnego naciskali na ten pedał: „Możesz jeszcze jej dorównać! Tylko musisz nam pomóc”.

Deprawatorzy młodych serc! Jakże pogodny będzie kres waszych dni! Nigdy nie będziecie musieli z rumieńcem wstydu na twarzy wstać z ławy i przyznać się, jakimi to pomyjami syciliście ludzkie dusze!

A Zoja Leszczewa potrafiła zakasować nawet własną rodzinę. Oto jej dzieje. Ojca, matkę, dziadka z babcią i starszych braci tej dziewczynki, jeszcze niedorostych – wszystkich ich rozproszono i wtrącono do najodleglejszych obozów, tylko za to, że wierzyli w Boga. A Zoja miała zaledwie 10 lat. Poślano ją do domu dziecka w iwanowskim obwodzie. Tam oznajmiła, że nigdy nie zdejmie z szyi krzyżyka, który jej mama dała w chwili rozstania. I zaciągnęła sznureczek ciaśniej, aby nie mogli jej zdjąć krzyżyka w nocy. Walka trwała długo. Zoja zawzięta się: możecie mnie udusić, ale zerwiecie to dopiero z mojego trupa! Wówczas, jako oporną na zabiegi ‘wychowawcze, poślano ją do domu dziecka dla niedorozwiniętych] To już było dno, a zachowanie się małolatków jeszcze gorsze niż opisane wyżej. Walka o krzyżyk trwała dalej. Zoja wszystko wytrzymała; nawet tu nie nauczyła się ani kraść, ani kłąć. „Taka święta kobieta, jak moja mama –

3 Czy nie uda się – przynajmniej jeden raz! – wyciągnąć na światło dzienne takiego kreta, który dał sankcję na uwięzienie uczennicy ósmej klasy za jeden wierszyk?

Choćby po to, aby przyjrzeć się – jakie ma czoło? Jakie uszy?

† Młoda partyzantka rosyjska, powieszona przez Niemców.

399

nie może mieć córki – złodziejki. Lepiej już będę za polityczną, tak jak cała rodzina”.

I Zoja została polityczną: Im bardziej wychowawcy z radiem pospołu wynosili pod niebiosy Stalina – tym wyraźniej widziała w nim Zoja sprawcę wszystkich nieszczęść. Nie dość, że nie skapitulowała przed złodziejaskami, ale ich teraz pociągnęła za sobą! Na podwórku stał standardowy, gipsowy posąg Stalina. Zaczęły zjawiać się na nim szydercze i nieprzyzwoite napisy. (Małolatki lubią sport! – trzeba tylko umieć pokierować nimi). Administracja przemałowuje posąg, zarządza, obserwację, zawiadania MGB. A napisy wciąż się pojawiają i cały dom dziecka ryczy ze śmiechu. Wreszcie pewnego pięknego poranka, znajdują głowę posągu na ziemi – a w jej pustym wnętrzu – czyjś kał.

To zamach terrorystyczny! Przyjechali gepiści, zaczęły się regularne przesłuchania i groźby: „Jak nie wydacie całej tej bandy terrorystów, to was wszystkich rozstrzelamy za terror!”. (A co w tym nadzwyczajnego, też wielkie rzeczy – rozstrzelać półtorej setki pętałów! Gdyby On się o tej sprawie dowiedział – to przecież sam wydałby taki rozkaz).

Nie wiadomo, czy dzieciaki wytrzymałyby śledztwo, ale tymczasem Zoja Leszczewa oświadczyła:

– To wszystko moja robota. A na co jeszcze ten łepiek jest zdalny?

Poszła pod sąd. I dostała wyrok śmierci, całkiem serio. Ale z uwagi na przesadny humanitaryzm, cechujący przepisy wykonawcze prawa (z 1950 roku)

o przywróceniu kary śmierci – nie bardzo wypadało rozstrzelać 14-letnią dziewczynkę. Dlatego też dano jej dychę (nawet dziwne, że nie dwadzieścia pięć). Do osiemnastego roku życia była w obozach ogólnych, później przeniesiono ją do Specjalnych. Za swoją bezkompromisowość i ostry język dostała w obozie domiar do wyroku – chyba nawet dwa razy.

Wyszli na wolność rodzice jej i bracia – a Zoja wciąż siedziała.

Niech żyje nasza tolerancja w sprawach wiary! Niech żyją dzieci, gospodarze ery komunizmu! Pokażcie mi kraj, gdzie by tak kochano i hołubiono dzieci jak u nas?

XVIII MUZY W GUŁagu

Często się słyszy, że w GUŁagu możliwe jest wszystko. Najczarniejsza podłość i przewrótka wszelkiego rodzaju, najdziwniejsze, najmniej spodziewane spotkania, miłość na skraju otchłani – tak, to wszystko się zdarza. Ale jeżeli ktoś z błyskiem w oku zacznie wam opowiadać, że zna konkretny wypadek reedukacji, do której doszło oficjalną drogą, dzięki staraniom Działu Kulturalno-Oświatowego – to z całym spokojem i stanowczością można mu zareplikować jednym słowem: bujda!

Wszyscy w GUŁagu tak czy inaczej przeistaczają się, zmieniają się – jeden pod wpływem drugiego i pod naciskiem okoliczności, zmieniają się na lepsze lub gorsze – ale jeszcze żaden małolatek, a tym bardziej dorosły, nie doznał przemiany za sprawą działu KO.

Jednakże po to, aby obozy nasze nie przypominały owych „siedlisk rozpusty, gniazd rozbójniczych, hodowli recydywistów i rozsądników niemożliwości” (jak to powiedziane zostało o więzieniach carskich) zaopatrzone je w ów przydatek, jakim jest Dział KO.

Bo – jak oznajmił niegdysiejszy szef GUŁagu I. Apeter: „rozbudowie zakładów karnych w krajach kapitalistycznych proletariatu ZSSR przeciwstawia ze swej strony rozbudowę kulturalnego (a nie rabskiego, obozowego... – A.S.) współczynnika tych instytucji. Te zakłady, które w proletariackim państwie są miejscami odosobnienia... można nawet nazywać więzieniami, czy jak tam kto woli – nie chodzi o terminologię. Są to zawsze miejsca, gdzie życie nie podlega unicestwieniu, lecz właśnie puszcza nowe kiełki!...”.

1 Praca zbiorowa: Od więzień... str. 431, 429, 438.

17 – Archipelag Gulag t. II

401

Nie wiem, jaki był koniec Apetera. Uważam za najbardziej prawdopodobne, że prędko ukręcono mu łeb i to tam właśnie, gdzie życie puszcza nowe kiełki. Ale nie chodzi o terminologię. Czytelnik zrozumiał już może, co w naszych obozach było najważniejszą sprawą? Rozbudowa współczynnika kulturalnego.

Organy te były stworzone tak, aby mogły zadośćuczynić wszelkim wymogom; namnożyło się ich sporo, macki te sięgały do każdej z wysepek. W latach 20. nosiły nazwę Działów Polityczno–Wychowawczych (PWCz), poczynając od lat 30. – nazywano je Działami Kulturalno–Oświatowymi (KWCz). Miały one m.in. zastąpić dawnych kapelanów więziennych i organizowane przez nich więzienne nabożeństwa.

Struktura ich była następująca. Naczelnik działu KO był pracownikiem etatowym z wolnego najmu, rangą równy był zastępcy komendanta obozu. Dobierał sobie sztab wychowawców (regulamin przewidywał, że jeden wychowawca przypadać powinien na 250 podopiecznych) – którzy koniecznie pochodzić musieli z „warstw blisko spowinowaconych z proletariatem”, a zatem inteligencji (czyli drobno-mieszczaństwo) rzecz jasna – nie nadawali się (zresztą bardziej im było do twarzy z kilofem), więc stanowiska wychowawców obsadzone były przez złodziei, karanych już dwu – i trzykrotnie, a na dodatek – przez miejskich farmazonów, defraudantów i skazanych za przestępstwa obyczajowe. Taki, na przykład, schludny młodzian, mający na koncie pięć latek za gwałt w okolicznościach łagodzących, zwijał gazetkę w rulonik, udawał się do baraku Pięćdziesiątki Ósemki i wygłaszał dla nich pogadankę: „Rola pracy w procesie reedukacji”. Wychowawcy widzą z bocznej perspektywy tę rolę szczególnie dobrze, jako że sami „zwolnieni są od udziału w procesie produkcyjnym”. Z takich samych socjalnych pociotków składał się również aktyw działu KO – tyle, że aktywiści nie byli zwolnieni z pracy produkcyjnej (mogli najwyżej mieć nadzieję, że prędzej czy później uda im się wysiudać kogoś z wychowawców i zająć jego miejsce. Sprzyjało to wytworzeniu przyjaznej atmosfery w kręgach zbliżonych do KO). Wychowawca powinien był rano odprowadzić zeków do roboty, a następnie udać się do kuchni na kontrolę (to znaczy – na dobrą wyżerkę), no, a potem mógł wrócić do swojej kajutki i pospać jeszcze krzynkę. Pachanów nie powinien niepokoić ani zaczepiać, bowiem po pierwsze – to niebezpieczne, po wtóre zaś nadejdzie w końcu chwila, gdy „związki typu przestępczego przekształcą się w solidarność produkcyjną” i wówczas jeden z drugim pachan poprowadzi brygady przodowników do szturm. Chwilowo zaś – oni również mogą odsypiać noce spędzone na grze w karty. Ale w działalności swojej wychowawca stale pamiętać musi o pewnej ogólnej zasadzie: że praca kulturalno–wychowawcza w obozach

402

nie jest to zwykła praca oświatowa, prowadzona wśród jakichś nieboraków, lecz działalność kulturalno–bojowa, skierowana przeciw (bez tego „przeciw” nic się u nas obejść nie może) przeciw... no, czytelnik już zgadł: chodzi o Pięćdziesiątkę Ósemkę. Niestety – oddział KO „nie może sam stosować kary aresztu” (oto jak się ogranicza możliwości kultury!), „ale może zwrócić się z taką prośbą do administracji” (a ta już nie odmówi!). Ponadto – wychowawca „systematycznie składa raporty o nastrojach, panujących wśród więźniów”. (Kto ma uszy – niechaj słucha! Jest to punkt subtelного przedzierzganía się działu kulturalno–oświatowego – w operacyjny, ale w instrukcjach nie ma na ten temat drukowanej wzmianki). Uprzytamniamy sobie wszelako, że w ferworze cytowania dokumentów, przeszliśmy na czas teraźniejszy. Musimy zmartwić czytelników: mowa tu o latach 30., o szczytowych latach rozkwitu działów KO, kiedy w kraju budowa społeczeństwa bezklasowego była już na ukończeniu i nie doszło jeszcze do owego strasznego wybuchu walki klasowej, który miał miejsce już po zakończeniu budowy. W czasie

tych lat pełnych chwały działał KO wzbogacił się o całe mnóstwo rozgałęzień; jak: kultsowiety więźniów; komisje kulturalno-oświatowe; komisje sanitarno-gospodarcze; sztaby brygad szturmowych; posterunki kontrolne, czuwające nad wykonaniem planów finansowych... Bo, jak to powiadał towarzysz Sole, kurator Kanału Biało-morskiego i przewodniczący komisji WCIK do spraw ułaskawień: „więzień nawet w zakładzie karnym powinien żyć tym, czym żyje kraj”. (Zaciekły wróg ludu Sole został sprawiedliwie ukarany przez proletariacki sąd... przepraszam... bojownik naszej wielkiej sprawy, towarzysz Sole padł ofiarą kalumnii i zginął w latach kultu... przepraszam... w okresie, w którym dawały się odczuć pewne, nie mające zresztą znaczenia, objawy kultu...).

Jakże różnobarwne, wielostronne były formy tej pracy! – bogate, jak samo życie! Organizacja współzawodnictwa. Organizacja przodownictwa pracy. Walka o wykonanie planów finansowych. Walka o dyscyplinę pracy. Szturm dla likwidacji niedoborów. Marsze ku czci wydarzeń kulturalnych. Dobrowolne zbiórki środków na zakup samolotów. Kampania na rzecz pożyczek państwowych. Czyn społeczny dla umocnienia obronności państwa. Demaskowanie fałszywych przodowników pracy. Rozmowy z opornymi. Likwidacja analfabetyzmu (jakoś nie bardzo się kwapili). Zawodowe kursy techniczne dla więźniów pochodzenia proletariackiego (kna-jacy pchali się formalnie na kursy kierowców: swoboda ruchów). Albo też – frapujące pogadanki o tym, że własność socjalistyczna jest święta! Albo bardzo zwyczajnie – głośne czytanie gazet! Wieczory pytań i odpowiedzi. Czerwone kąciki w każdym baraku! Wykresy wykonania planu. Cyfry, dotyczące zaplanowanych robót. A co za plakaty! Jakie hasła!

403

W tych szczęśliwych latach nad mrocznymi obszarami i otchłaniami Archipelagu szły Muzy – a pierwszą wśród nich była wzniosła Polihymnia, muza hymnów (oraz sloganów).

Najlepszej brygadzie – chwała i szacunek! Kto pragnie zwolnienia – ma w pracy ratunek!

Albo:

Pracuj rzetelnie, w domu czeka na ciebie rodzina.

(To się nazywa psychologiczne podejście! Bo co tu mamy? Po pierwsze: jeśli facet zapomniał o rodzinie – to trzeba poruszyć w nim sumienie, przypomnieć mu. Po drugie: jeśli znów za bardzo się o nią boi – to uspokoić go: rodzina istnieje, nie jest aresztowana. A po trzecie: tej rodzinie nie jesteś potrzebny tak sobie, po prostu, jesteś jej potrzebny tylko pod warunkiem, że pracujesz rzetelnie w obozie).

I wreszcie:

„Zgłoś akces do szturmowego czynu społecznego na cześć 17 rocznicy Października!”. No, kto się temu oprze?...

A teatralizowane formy agitacji z politycznie zaostrzonym wydźwiękiem (tu już wkraczamy właściwie w dziedzinę muzy Talii)? Na przykład obsługa świąt i uroczystości Czerwonego Kalendarza! Żywa gazeta! Inscenizacje na temat „Wszyscy jesteśmy sędziami!”. Oratorium na temat wrześniowego plenum Komitetu Centralnego w 1930 roku! Skecz z muzyką pod tytułem „Marsz artykułów Kodeksu Karnego” (58 – to kulawa Baba Jaga)! Ileż elementu piękna wносиło to wszystko do życia więźniów, jak bardzo pomagało im w dążeniu wzwyż!

A zachęcanie do gier i zabaw? A przecież jest jeszcze cała dziedzina pracy anty-religijnej! A kółka śpiewacze i ogniska muzyczne (pod egidą muzy Euterpe). No i – jak im tam – agitbrygady:

Kuszyka w biegu na wzór kaczkę Przodownik pracy – pchając taczki!

Nie, to jest naprawdę wzór śmiałej samokrytyki! Nawet przodowników nie boją się zaczepić! Toć wystarczy, że taka agitbrygada przyjedzie na karny odcinek robót i zaśpiewa podczas koncertu:

Niechaj słuchoł Wolga–rzeka! Jeśli zawsze obok zeka Na budowie czuwają czekieści

–

404

Znaczy to, że wszędzie sięga Naszej władzy wszechpotęga I że są w GPU2 – komuniści!

– to przecież wszyscy ukarani, a zwłaszcza recydywiści, od razu rzucą karciecia i wezmą się z zapamiętem do roboty!

Miały miejsce również imprezy innego rodzaju: grupa najlepszych przodowników pracy odwiedza karną kompanię albo barak karny, a towarzyszy jej agitbrygada.

W oficjalnej części programu przodownicy przemawiają do sumienia opornym, wyjaśniają im jakie korzyści daje wykonanie norm (żarcie zaraz się poprawi).

W części artystycznej – brygada intonuje pieśń:

Wre dokoła walka ostra: To nasz Kanał Wolga–Moskwa Kruszy opór śnieżycy i mrozu!

albo całkiem już otwarcie:

Żeby móc lepiej żyć, Żeby jeść, żeby pić – Trzeba grunt lepiej kopać i ryć!

Po czym wszystkim chętnym proponuje się – nie przejście do żony, to byłoby za proste, ale przeniesienie się do baraku przodowników (z karnego) gdzie już na nich czeka jedzenie! To się nazywa sukces artystyczny! (Agit–brygady, prócz centralnej, nie składają się z ludzi zwolnionych od innych obowiązków. Dostają tylko dodatkową porcję kaszy w dniu wstępu).

A wyższe, subtelniejsze formy pracy kulturalnej? Na przykład – „przy czynnej współpracy samych więźniów prowadzi się akcję w celu zwalczania fałszywego egalitaryzmu przy ustalaniu płac”. Pomyśleć tylko – jak głęboki sens ukryty jest w tym zdanku! Znaczy to, że na zebraniu brygady jeden z więźniów wstanie i zgłosi propozycję: nie dawać temu facetowi pełnego przydziału, za mało robił łopata, te 200 gramów dodajcie lepiej mnie!

Albo – sądy koleżeńskie? (W pierwszych latach po rewolucji nosiły nazwę „koleżeńsko–umoralniających” i rozpatrywały sprawy gier hazardowych, bójek, kradzieży – ale czy tym się taki sąd powinien zajmować? I powoływanie się na moralność trąciło burżuazyjną przeszłością, zrezygnowano więc z tego). Gdy zaczął się okres przebudowy (od roku 1928) sądy zaczęły rozpatrywać wypadki bumelantstwa, symulacji, złej opieki nad inwentarzem, braków produkcyjnych, marnotrawienia surowca. I jeśli tyl–

1 Za kadencji Jagody.

405

ko w składzie sądu nie znalazły się przypadkiem obce klasowo elementy (inaczej mówiąc – jeśli w skład kolegium wchodził wyłącznie mordercy, przekabaceni knajacy, defraudanci i łapownicy) to sądy koleżeńskie w swoich orzeczeniach składały na ręce komendanta wnioski o karne pozbawienie widzeń, paczek, odliczonych już od terminu kary dni, zwolnień warunkowych. Gdy chodziło

o niepoprawnych – proponowały przeniesienie ich z obozu ciupasem. Jakież to rozumne, sprawiedliwe pociągnięcia i jak cenną jest rzeczą, że inicjatywa w tym wypadku pochodzi od samych więźniów! (Oczywiście zdarzają się też trudności. Pozwali przed sąd byłego kułaka, a ten powiada: „Wasz sąd – jest koleżeński, a ja dla was zawsze byłem kułakiem, nie żadnym kolegą. Tak, że nie macie prawa mnie sądzić!“. Zbił ich z pantałyku. Zwrócili się więc do wydziału polityczno-wychowawczego GUITŁ, skąd nadeszła odpowiedź: pod sąd! Macie sądzić faceta bez ceremonii!).

Co jest fundamentem całej działalności kulturalno-wychowawczej w obozie? „Nie pozostawiać więźnia po robocie ani na chwilę własnemu losowi i własnym myślom, aby nie stwarzać okazji do recydywy jego dawnych, przestępczych skłonności“. (No, na przykład, żeby Pięćdziesiątka Ósemka nie miała czasu myśleć o polityce). Istotne jest, „aby więzień zawsze był w zasięgu wpływów wychowawczych“.

Wielką pomoc okazują tu współczesne środki techniczne, na przykład: megafony na każdym słupie i w każdym baraku! Nie powinny milknąć ani na chwilę! Stale i systematycznie, od pobudki aż do dzwonu wieczornego powinny one klarować więźniom, jak można zasłużyć sobie na skrócenie kary: informować co chwilę o tym, jak idzie praca, o brygadach przodujących i tych, co zalegają z planem, o takich, co przeszkadzają innym w pracy. Godny zalecenia jest też taki zabieg, bardzo oryginalny: nadawanie przez radio rozmów z poszczególnymi opornymi i niesumiennie pracującymi więźniami.

No i prasa, rozumie się, prasa! – najostrzejszy oręż naszej partii. Oto najlepszy dowód, że istnieje w naszym kraju wolność prasy: więźniowie też mają swoje organy prasowe! Owszem! W jakim jeszcze kraju jest możliwe, aby skazańcy mieli własne gazety?

Gazety te bywają dwojakiego rodzaju: ścienne, rękopiśmienne albo też – drukowane. Zarówno jedne jak drugie – mają swoich korespondentów, którzy bez cienia trwogi biczują wszelkie wady (więźniów) i ta samokrytyka popierana jest przez Kierownictwo. Jak wielką wagę samo Kierownictwo przywiązuje do istnienia wolnej prasy obozowej – dowodem choćby rozkaz nr 434, wydany w Dmitylagu: „ogromna większość korespondencji

406

nie znajduje żadnego echa“. Gazety zamieszczają również zdjęcia przodowników pracy. Gazety udzielają wskazań. Gazety demaskują. Gazety zwracają również uwagę na wypadki wrogów klasowych – po to, aby parowano je śmieiej. (Gazeta – jest najlepszym współpracownikiem oddziału operacyjnego!). I w ogóle gazety są zwierciadłem życia obozowego, pokazują je z całą rzetelnością i będą nieocenionym dokumentem dla potomnych.

Na przykład – gazeta archangielskiego zakładu karnego z 1931 roku rozłacza przed nami obraz rozkwitu i dostatków, w które opływa życie więźniów: „spluwaczki, popielniczki, cerata na stołach, czynne wszędzie głośniki radiowe, portrety przywódców i hasła na ścianach, dobitnie ilustrujące linię generalną partii – oto owoce, którymi zasłużenie raczyć się mogą skazani na karę pozbawienia wolności!“.

Tak, bardzo cenne owoce! Ale jak to odbiło się na życiu owych pozbawionych wolności? Ta sama gazeta pisze po upływie sześciu miesięcy: „Wszyscy

z jednakową energią wzięli się do roboty... Zwiększyło się wykonanie planów produkcyjno-finansowych... Wikt uległ redukcji ilościowej i pogorszyła się jego jakość". No, ale to nic! To tylko głupstwo! To zawsze można naprawić³.

No i gdzie się to wszystko podziało?... O, jak nietrwałe jest na tym świecie wszystko, co piękne i doskonałe! Mieliśmy tak prężny, tętniący życiem, optymistyczny system wychowania więźniów, rozkręcony, jak karuzela, czerpiący soki z samych fundamentów Przodującej Teorii, pozwalający się spodziewać, że za kilka lat nie będzie już w naszym kraju ani jednego przestępcy (szczególnie 30 listopada 1934 roku, w przeddzień śmierci Kirowa, wszystkim tak się zdawało) – i co to się raptem stało? Nadszedł z nagłą okres lodowcowy (rzecz jasna – bardzo potrzebny, całkowicie niezbędny) i opadły delikatne płatki szlachetnych poczyną. Gdzie się podziało przodownictwo pracy i współzawodnictwo socjalistyczne? I gazety obozowe? Szturmy, złoty, podpisywanie apeli i czyny społeczne? Kultsowiety i sądy koleżeńskie? Walka z analfabetyzmem i kursy techniczno-zawodowe? Co tam kursy, kiedy głośnie i portrety przywódców też kazano wynieść z żony! (Już nie mówiąc o spluwaczkach). Ile kolorów straciło naraz życie więźniów! O ileż to dziesięcioleci wstecz zostało ono odrzucone, gdy pozbawiono je tych arcyważnych rewolucyjno-więziennych zdobyczy! (Ale bynajmniej nie zamierzamy protestować: przedsięwzięte przez partię kroki były niezbędne i bardzo na czasie).

3 Do tej części rozdziału materiały były zaczerpnięte z pracy *Od więzień...* i książki *Idy Awerbach*.

407

Artystyczno-poetycka forma haseł przestała być w cenie, slogany przybrały kształt jak najprostszy: wykonamy! przekroczymy! Oczywiście – wychowania estetycznego, całej tej zabawy z muzami-podfruwajkami nikt wyraźnie nie zabraniał, ale te możliwości bardzo zostały ograniczone. Weźmy na przykład jedną z workuckich żon. Skończyła się dziewięciomiesięczna zima, nadeszło trzymiesięczne lato, nieprawdziwe, żałosne jakieś. Naczelnik dziani KO czuje wręcz ból serca na myśl o tym, że żona ma wygląd tak brzydki i brudny. W takich warunkach nie ma co marzyć o tym, aby przestępca zastanowił się głębiej nad doskonałością naszego ustroju, z którego sam się wyłączył. Dział KO obwieszcza więc, że kilka niedziel obróconych będzie na czyn społeczny. W wolnych chwilach więźniowie z wielką satysfakcją robią „klomby” – a że nic tu nie rośnie, więc na martwych pagórkach zamiast kwiatów układają zawite mozaiki z mchu, porostów, tłuczonego szkła, żwiru, żużlu i okruchów ceglanych. Później dokoła takich „klombów” ustawia się płotki z listew tynkarskich. Chociaż nie tak tu teraz ładnie jak w parku imienia Gorkiego – ale KO z tego też jest rad. Powiecie pewno, że za dwa miesiące spadną deszcze i to wszystko pójdzie w diabły. No cóż, to pójdzie. Nie szkodzi. Na przyszły rok zaczniemy od nowa.

A w co się przekształciły pogadanki polityczne? Na 5 OŁP Unżłagu przyjeżdża lektor z ośrodka Suchobezwodnyj. Po robocie więźniowie zostają doprowadzeni na wykład. Towarzysz nie ma wprawdzie wykształcenia średniego, ale w sposób politycznie zupełnie prawidłowy wygłasza bardzo pożyteczny odczyt na aktualny temat: „O walce patriotów w Grecji”. Więźniowie siedzą półdrzemiąc, chowając się za plecami siedzących przed nimi, nie widząc żadnego zainteresowania. Lektor opowiada o strasliwym prześladowaniu patriotów i o tym, jak to kobiety greckie, całe we łzach, napisały list do towarzysza Stalina. Kończy się wykład i podnosi się niejaka Szeremeta, taka kobieta ze Lwowa, niby naiwna, ale cwana i zadaje py-

tanie: „Obywatelu naczelniku! Powiedźcie no – a do kogo my moglibyśmy napisać?...”. I już cały pozytywny wpływ odczytu właściwie poszedł na marne.

Z form działalności wychowawczo–poprawczej zachowały się w dziale KO tylko takie: pisanie opinii o wykonaniu normy i o zachowaniu się więźnia – na marginesie jego podań do komendanta; roznoszenie listów, mających już wizę cenzury; oprawianie roczników gazet i chowanie ich przed więźniami, żeby nie zużyli ich do machorki; organizowanie koncertów amatorskich trzy razy do roku: zdobywanie farb i płótna dla malarzy, żeby malowali w żonie co należy i robili obrazy dla panów władzy, do ich mieszkań. No i trzeba trochę tam pomóc operowi, ale to już nieoficjalnie.

408

Po wszystkim, co tu zostało powiedziane, nie powinno dziwić nikogo, że pracownikami KO zostają nie pełni inicjatywy i ognia organizatorzy, lecz najczęściej – ludzie troszkę jakby nierozgarnięci i otępiali.

Aha! Mają jeszcze jedno zadanie i to ważne, oto ono: zawiadywanie skrzynkami. Trzeba je czasem otwierać, czyścić i znów zamykać – te nieduże, pomalowane na szarobury kolor skrzynki, rozwieszone w żonie na widocznych miejscach. Na skrzynkach widnieją napisy: „Do Najwyższego Sowietu ZSSR”, „Do Rady Ministrów ZSSR”, „Do Ministra Spraw Wewnętrznych”, „Do Prokuratora Generalnego”.

Proszę bardzo, pisać wolno! – istnieje u nas wolność słowa. My tam już będziemy wiedzieć co i gdzie. Są tu u nas specjaliści towarzysze, którzy to czytają.

Co ludzie wrzucają do tych skrzynek? Prośby o ułaskawienie?

Nie tylko. Niekiedy – donosy (tak robią początkujący) – już tam KO się potapia, że wystarczy je przekazać nie do Moskwy, tylko do sąsiedniego gabinetu. A co jeszcze? Czytelnik bez należytego doświadczenia pewno nie zgadnie? Otóż wrzucają tam – wynalazki! Wspaniałe wynalazki, które powinny zrewolucjonizować całą współczesną technikę, a w każdym razie – zapewnić ich autorom wolność.

Wśród najzwyczajszych, normalnych ludzi liczba wynalazców (dotyczy to również poetów) jest znacznie większa, niż się domyślamy. W obozie zaś roi się od nich. Toć trzeba jakoś stąd wyleźć! Wynalazczość jest to sposób ucieczki, nie narażający nikogo na kulę ani bicie.

Przy rozprowadzaniu do/roboty i na apelu wieczornym, przy pracy z tra-gami i kilofem, ci służebnicy muzy Uranii (trudno znaleźć właściwszą patronkę) ze zmarszczką na czole i z wielkim mozołem rozmyślają nad wynalezieniem czegoś takiego, co zaparłoby dech całemu rządowi i rozпалиłoby jego apetyty.

Na przykład – taki Lebediew z obozu Chowrino, radiowiec. Teraz, kiedy dostał już odpowiedź negatywną, nie ma czego ukrywać i sam mi wyznaje, że odkrył zjawisko zboczenia magnetycznego igły kompasu pod wpływem zapachu czosnku. Zakładał, że opierając się na tym można będzie modulować z pomocą zapachów częstotliwość drgań elektromagnetycznych i w ten sposób przekazywać zapachy na znaczne odległości. Jednakże koła rządowe nie uznały tego projektu za ważny dla celów wojskowych i nie okazały zainteresowania. A więc – niewypał. Trzeba albo tyrać tu dalej, albo wymyśleć coś lepszego.

409

Ale niektórych, co prawda – nader rzadko – nagle dokądś wzywają! Sam niczego nie powie, nie wyjaśni, żeby nie zapeszyć, i nikt w obozie nie potrafi zgadnąć: dlaczego właśnie jego i dokąd go zabrali? Jedni znikają na zawsze, inni po jakimś czasie wracają na swoje miejsce. (I nawet teraz nikt z nich gęby nie otworzy, żeby

go nie wyśmiano. Albo zacznie ci puszczać dym w oczy. Leży to już w charakterze zeków, aby dodawać sobie blasku rozmaitymi opowieściami).

Spędziłem jakiś czas na Rajskich Wyspach i miałem jednak okazję przyjrzenia się drugiemu końcowi przewodu: wiem, dokąd te listy idą i jak tam są czytane. Dlatego pozwolę sobie rozerwać trochę cierpliwego czytelnika tej niewesołej książki.

Niejaki Truszlakow – niegdyś lejtnant armii sowieckiej, kontuzjowany w Sewastopolu, wzięty tam do niewoli, wtrącony później do Oświęcimia i po tych wszystkich przeżyciach jakby trochę stuknięty – potrafił jednak, siedząc już w sowieckim obozie, złożyć jakąś tak intrygującą propozycję, że przeniesiono go do instytutu naukowo-badawczego dla więźniów (to jest do „szaraszki”). Okazał się tu istną fontanną wynalazków i ledwie zwierzchność zdążyła odrzucić jedno odkrycie – Truszlakow proponował następne. I chociaż żadnego z tych wynalazków nie doprowadzał do fazy ścisłych obliczeń, ale tak był pełen świętego ognia i zarazem – niedomówień, tak rzadko się odzywał i tak wyraziste miał spojrzenie, że nie tylko nikt nie śmiał posądzić go z hochsztaplerstwo, a nawet pewien mój przyjaciel, bardzo poważny inżynier, twierdził, że Truszlakow jest nowym Newtonem, jeśli chodzi o głębię koncepcji. To fakt, że nie zdołałem poznać wszystkich tych koncepcji, ale właśnie otrzymał on zlecenie zaprojektowania i skonstruowania pochłaniacza fal radarowych: chodziło o realizację jego własnej propozycji. Potrzebna mu była pomoc z zakresu wyższej matematyki i w charakterze matematyka przydzielono mu właśnie mnie. Truszlakow tak mi wyjaśnił cel pracy: – aby nie odbijać fal radaru, samolot albo czołg powinien mieć pokrycie z wielowarstwowego materiału (jaki to materiał – tego mi Truszlakow nie powiedział: albo go jeszcze sam nie wybrał, albo na tym właśnie polegała najważniejsza jego tajemnica). Fala elektromagnetyczna powinna była utracić cały swój impet w trakcie wielokrotnych załamania i odbić na granicach tych warstw. I oto nie znając właściwości owego materiału, ale wykorzystując prawa geometrycznej optyki i wszelkich innych znanych mi zasad, powinienem był dowieść, że fala tak się zachowa, jak to przewidział Truszlakow, a ponadto jeszcze miałem wyznaczyć optymalną ilość wspomnianych warstw!

410

Rozumie się, że niewiele mogłem tu zdziałać. Również Truszlakow nie dał sobie z tym rady. Nasz twórczy związek się rozchwiał.

Wkrótce potem Truszlakow przyniósł mi do biblioteki (byłem tam również bibliotekarzem) zamówienie na abonament międzybiblioteczny (chodziło o wymianę z Księgozbiorem Leninowskim). Nie wymieniając żadnych autorów ani danych bibliograficznych napisał po prostu:

„Jakieś książki o technice lotów międzyplanetarnych”.

Ponieważ mieliśmy dopiero rok 1947, nic prawie prócz powieści Juliusza Verne'a Biblioteka Leninowska dostarczyć mu nie mogła. (Ciołkowskiego nieczęsto jeszcze wtedy wspomniano). Próba przygotowania wyprawy na księżyc nie udała się, więc Truszlakowa znów strącono do otchłani. Pojechał do obozu.

A listy z obozów nadchodziły bez przerwy. Włączono mnie (tym razem w charakterze tłumacza) do grupy inżynierów, którzy rozpatrywali całe stosy przybywających z obozów projektów wynalazków i wniosków na patenty. Tłumacz był potrzebny z tego powodu, że wiele projektów w latach 1946–47 pisano po niemiecku.

Ale to nie były wnioski! I nie były to projekty pisane z dobrowoli! Ból i wstyd ogarniał człowieka przy ich czytaniu. Były to stroniczki wydarte z męką, wymuszone, wyduszone z niemieckich jeńców. Toż nie uda się trzymać tych Niemców w niewoli przez całą wieczność: trzy czy tam nawet pięć lat po wojnie trzeba będzie jednak puścić ich nach der Heimat. Trzeba więc było w ciągu tych paru lat wydusić z nich wszystko, co mogło przydać się naszemu krajowi. Zdobyć patenty, wywiezione do zachodnich żon, choćby w takiej oto bladej kopii. Mogłem sobie łatwo wyobrazić, jak to się odbywało. Niczego nie przeczuwającym, zdyscyplinowanym Niemcom, rozkazywano złożyć na piśmie oświadczenie dotyczące zawodu, miejsca pracy, stanowiska. Następnie – i zajmował się tym na pewno III oddział, operacyjny – wzywano wszystkich inżynierów i techników pojedynczo do ustronnego gabinetu. Z początku wypytywano ich z pełną szacunkową uwagą (bardzo to Niemcom pochlebiało!) o rodzaj i charakter ich przedwojennej pracy w Niemczech (zaczynali już łudzić się nadzieją, że będą przeniesieni z obozu do jakiejś lepszej roboty). Następnie żądano od nich podpisu pod zobowiązaniem do nierozgłaszania treści tych rozmów (a jeśli coś jest verboten, to Niemcy przestrzegać będą święcie) i wreszcie żądano od nich, bez żadnego owijania w bawełnę, aby wymienili na piśmie wszystkie interesujące szczegóły ich dawnych przedsiębiorstw i ważne techniczne innowacje, jakie tam wprowadzono. Niemcy ponieważś pojmowali w jakiej znaleźli się pułapce, gdy z dumą podkreślali w czasie rozmów, jakie to stanowiska piastowali! Nie

411
mogli już teraz nie napisać po prostu niczego – zagrożono im, że nigdy im wówczas nie pozwolą na powrót do kraju (a w tamtych latach było to całkiem prawdopodobne).

Zgnębieni i zgryzieni, ledwie wodząc piórem po papierze, Niemcy zabierali się do pisania... Ratowało ich przed wyjawieniem naprawdę poważnych tajemnic tylko to, że ciemni operczekiści nie byli w stanie wnikać w treść tych wywodów; jedynym uchwytym miernikiem była dla nich ilość stronic. My zaś, rozgryzając te opisy, prawie nigdy nie mogliśmy znaleźć w nich niczego istotnego: referaty te były albo wewnętrznie sprzeczne, albo – ostentacyjnie naukowe pozory zasłaniały tu luki w punktach istotnych bądź też – najpoważniej w świecie traktowały one o takich „innowacjach”, które dobrze były znane już naszym dziadkom.

Za to wnioski pisane po rosyjsku! Jakimż nieraz lokajskim smrodem trąciły! Znów nie trudno sobie wyobrazić, jak tam, w obozie, w darowaną z łaski żalosną niedzielę, autorzy tych projektów, oślaniając się starannie przed wzrokiem sąsiadów, mydlili im na pewno oczy, twierdząc, że piszą prośbę o ułaskawienie. Bo czy mogło im przyjść do biednych, zac zadzonych głów, że nie leniwe i syte Kierownictwo będzie czytać ich wypracowania, przeznaczone dla najwyższych władz – lecz że znajdą się one w rękach takich samych, zwyczajnych zeków?

I oto wertujemy szesnaście dużych arkuszy (na pewno wybrał sobie ten papier w KO!) zawierających następujący, szczegółowo opracowany projekt: 1) „O wykorzystaniu promieni podczerwonych do ochrony żon obozowych”. 2) „O wykorzystaniu fotokomórek dla obliczania liczby osób, przechodzących przez bramę obozu”. I rysunki techniczne załączył, sukinsyn, i fachowe wyjaśnienia. I taką dodał przedmowę:

„Drogi Józefie Wissarionowiczu!

Chociaż jestem skazany za moje przewinienia z artykułu 58 na długie lata więzienia, ale również tutaj pragnę pozostać wierny naszej ukochanej władzy sowieckiej i pomóc jej w dziele czujnego pilnowania zawziętych wrogów ludu, którzy mnie tu otaczają. Jeśli otrzymam wezwanie, przeniesienie z obozu i niezbędne środki – to podejmuję się wprowadzić w życie ten system”.

To ci dopiero „polityczny”! Jego traktat przekazujemy sobie z ręk do ręk, lekturze towarzyszą całkiem dosadne obozowe określenia (tu sami swoi). Jeden z nas siada do pisania recenzji: „projekt jest dowodem, że wykształcenie techniczne autora jest bardzo dalekie od doskonałości... projekt nie bierze pod uwagę... (a właśnie że bierze i w ogóle jest całkiem, całkiem) nie przewidziane jest w nim... nie wydaje się opłacalny... nie daje

412

gwarancji bezpieczeństwa... może doprowadzić nie do wzmocnienia, lecz do osłabienia systemu ochrony i nadzoru w obozach...”;

Jakie sny masz dzisiaj, Judaszu, w swoim dalekim obozie? Kij ci w ryj, bogdajbyś tam wykitował, gadzie!’ ‘..

A oto pakiet z Workuty. Autor utyskuje, że Amerykanie mają już bombę atomową, a nasza ojczyzna dotąd jest jej pozbawiona. Píše, że w Wor-kucie często o tym rozmyśla, że pragnie pomóc partii i rządowi nawet siedząc za drutem kolczastym. I dlatego pragnie on nadać swemu projektowi nazwę:

RAJ – Rozbicie Atomowego Jądra.

Ale projekt ten (już to skądś znamy) nie jest jeszcze zakończony z powodu braku w obozie workuckim literatury technicznej (mógłby ktoś pomyśleć, że nie brak za to literatury pięknej!). I ten barbarzyńca prosi chwilowo tylko o to, aby mu przysłać instrukcję o kierowaniu rozpadem dal promieniotwórczych, po czym będzie już w stanie szybko ukończyć swój projekt RAJ.

Pokładamy się ze śmiechu przy swoich biurkach i prawie chórem komponujemy następujący wierszyk:

Tyle jest wart ten R A J Co c h... – i to bez jaj!

Jednocześnie zaś w obozach męczyli się i ginęli naprawdę wybitni uczeni, ale Kierownictwo naszego najdroższego ministerstwa wcale nie kwapiło się, aby ich stamtąd wyłuskać i zaprząć do jakiejś odpowiedniejszej roboty.

Dla Aleksandra Leonidowicza Czyżewskiego ani razu nie znalazło się miejsce w „szaraszce” w ciągłej wszystkich tych długich lat, które odsiedzieć musiał w obozie. Czyżewski jeszcze przed pójściem do obozu był u nas bardzo źle widzany za to, że dostrzegał związek między rewolucjami i procesami biologicznymi – a zmianami zachodzącymi na słońcu. Działalność jego w ogóle miała charakter niebanalny, problematyka jego poszukiwań była niezwykła, nie mieściła się w przyjętym schemacie badań naukowych, nie wydawało się możliwym zastosowanie jego odkryć do celów wojskowych i przemysłowych. Dzisiaj po jego śmierci, publikuje się artykuły o nim, naszpikowane pochwałami: ustalił, że częstotliwość przypadków zawału serca wzrasta (szesnastokrotnie!) w związku z burzami magnetycznymi. Przewidywał z wielką dokładnością nadejście epidemii grypy, opracowywał metodykę wczesnego rozpoznawania raka przez analizowanie odczynów Biernackiego (odczyn opadania czerwonych ciałek krwi w osoczu), wysunął hipotezę dotyczącą promieni Z, wysyłanych przez słońce.

413

Ojciec sowieckiej astronautyki, Korolow, był co prawda przeniesiony do szaraszki, ale jako konstruktor lotniczy. Kierownictwo szaraszki nie pozwalało mu zajmować się rakietami, tak że musiał studiować te problemy po nocach.

(Nie mamy pojęcia czy Lew Landau posłany zostałby do szaraszki, czy może raczej – na jakąś odległą wyspę Archipelagu, bo już złamano mu żebro i już podpisał zeznanie, że jest niemieckim szpiegiem, ale uratowało go wstawiennictwo Piotra Kapicy).

Nasz znakomity specjalista w dziedzinie aerodynamiki i w ogóle uczony nadzwyczaj wielostronny, Konstanty Iwanowicz Strachowicz, po przywiezieniu z leningradzkiego więzienia, był w obozie w Ugliczu podręcznym w obozowej łaźni. Z beztroskim, godnym dziecka uśmiechem, który nie wiadomo jak udało mu się zachować w czasie całej dziesięcioletniej odsiadki, tak teraz o tym opowiada: najprzód siedział kilka miesięcy w celi śmierci, a później, już w obozie, zapadł na dystroficzną biegunkę. Gdy się z tego wygrzebał, kazano mu stać na warcie przy wejściu do umywalni, gdy wpuszczano do niej brygady kobiece (z chłopami by sobie nie poradził, tam musiano posyłać mocniejszych). Kazano mu nie wpuszczać bab do umywalni inaczej, jak na golasa i z pustymi rękoma, tak żeby wszystko było oddane do kamery dezynfekcyjnej, a już zwłaszcza – biustonosze i majtki, bo sanitariat właśnie te części garderoby uważał za główne siedliska wszy, kobiety natomiast starały się tego właśnie nie oddawać i przemycić jakoś przez łaźnię. Strachowicz zaś miał wygląd niepowszedni: broda – jak u lorda Kelvina, czoło – jak urwisko, dubeltowej wręcz wysokości, właściwie było to już coś więcej niż czoło. Baby prosiły go i klęły, sierdziły się i śmiały, i zapraszały na kupę miotetek brzozywych leżących w kącie, ale nie było na niego sposobu. Strachowicz był bezlitosny. Wówczas postanowiły jednogłośnie nadać mu złośliwe przezwisko Impotent. I nagle tego Impotentą dokąś zabrano. Okazało się, że został – ni mniej, ni więcej – szefem pracowni, konstruującej pierwszy w Rosji silnik turboodrzutowy.

O tych natomiast, którzy musieli wyciągnąć kopyta przy łopacie – nic nie wiemy... A jeśli ktoś został aresztowany i zlikwidowany w trakcie pracy nad odkryciem naukowym (jak Mikołaj Michajłowicz Orłow, który w 1936 roku kończył pracę nad technologią długoterminowego przechowywania produktów żywnościowych) – to jak się o nim czegoś pewnego dowiemy? Przecież odkrycie zakrywane było zaraz po aresztowaniu autora.

414

W smrodliwej, pozbawionej tlenu atmosferze obozu płomyczek KO to zaskwierczy i zaiskrzy się jaśniej, to ledwie pełga. Ale nawet to wątłe światółko ściąga z różnych baraków i brygad – ludzi. Jednych sprowadza tu przyziemna potrzeba: chcą wydrzeć z książki albo z gazety stroniczkę na skręty, dostać arkusik papieru na podanie o ułaskawienie bądź napisać je tutejszym atramentem (w baraku nie wolno mieć atramentu, zresztą tu też jest pod kluczem: przecież atrament służy do robienia fałszywych pieczętek!). Inni przychodzą tu od parady, aby błysnąć swoimi ambicjami kulturalnymi. Inni – aby otrzeć się o ludzi i nagadać z kimś, kto nie należy do ich uprzykrzonej brygady. Jeszcze inni – aby posłuchać tego i owego i potem móc nakapać kumowi. Ale są również tacy, którzy nie wiedzą sami, jak to nieznana siła ciągnie ich tu na krótkie wieczorne kwadransy, chociaż są znużeni i lepiej byłoby poleżeć na dechach, aby zmordowanemu ciału dać trochę odpoczynku. Te odwiedziny w KO – w niewiadomy, w nieuchwytny sposób dają jednak duszy odrobinę wytchnienia. Choć przychodzący tu ludzie są tak samo

głodni, jak wtedy, gdy siedzą na wagonikach, ale tu mówią nie o chlebie, nie o kaszy i nie o normach. Rozmawia się tu nie o tym, co stanowi tkankę życia obozowego – i już to jest rodzajem protestu duchowego, już to jest darem dla umysłu. Rozmawia się tu o jakiejś baśniowej przeszłości, jakiej wcale mieć nie mogli ci szarzy, wygłodzeni, zeszmaceni ludzie. Mówi się tu o jakimś błogostawionym, nieopisanie swobodnym i pełnym ruchu życiu tych szczęściarzy, którzy nie siedzą za drutami, którym udało się dziwnym trafem uniknąć więzienia. I o sztuce też tu się mówi, i nieraz z jakim uniesieniem!

Jest tak, jakby pośród zawieruchy sił nieczystych ktoś nakreślił na ziemi ledwie widoczny, pełgający krąg świetlny – co to lada chwila może zgasnąć, ale jakoś jeszcze go widać – i oto człowiekowi wydaje się, że wewnątrz tego kręgu nie ma nad nim mocy ciemna siła. Choćby przez pół godziny.

A jeszcze tu ktoś brzdąka na gitarze! ktoś nuci pogłosem – i wcale nie to, co każą śpiewać na scenie. I nagle przenika człowieka drżenie: jest jakieś życie! jest!

I patrząc dokoła radośnie, też chciałby coś komuś powiedzieć.

A mów, tylko miej się na baczności. Słuchaj, tylko nie zapomnij uszczypnąć się czasem. Bo na przykład taki Lwa G-man. Jest wynalazcą (nie skończył szkoły inżynierskiej transportu drogowego, miał nadzieję, że uda mu się znacznie zwiększyć moc użytkową silnika, tylko że przy rewizji zabrano mu papiery). Jest także artystą, to z nim razem wystawiamy Oświadczyń Czechowa. Jest również filozofem. Potrafi tak zgrabnie rzecz ująć: „Nie mam zamiaru troszczyć się o dobro przyszłych pokoleń, mogą sami gmerać w ziemi. Złapałem życie za potęgę i nie puszcę!”, I wbija przy

415

tych słowach paznokcie w blat stołu. „Wierzyć we wznioste ideały? – to jakby mówić przez telefon z urwanym drutem. Historia jest zbiorem faktów nie mających ze sobą żadnego związku. Proszę zwrócić mi mój małpi ogon! Ameba jest istotą doskonalszą od człowieka: jej funkcje życiowe są prostsze”. Można go słuchać a słuchać: wyjaśni człowiekowi dokładnie dlaczego nie znosi Lwa Tołstoja, a zachwyca się Erenburgiem i Aleksandrem Grinem. Chłopak z niego nietrudny w pożyciu, nie wymiguje się od cięższych robót w obozie. Boruje ściany ciężkim świdrem pneumatycznym co prawda w takiej brygadzie, która zapewnia 140% normy. Jego ojciec został uwięziony w 37. i zginął, ale sam on jest pospolitakiem, skazano go za fałszowanie kartek na chleb. Wstydzi się jednak spekulanckiego paragrafu i Ignie do ludzi z 58. Lgnąć – Ignie, ale oto zaczyna się sezon wewnętrznych rozpraw sądowych w obozie – i ten sympatyczny, interesujący Lwa G-man, co to lubi „łapać życie za potęgę” występuje jako świadek oskarżenia⁴. Pół biedy, jeśli człowiek nie za bardzo się przed nim wywnę-trzał.

Jeśli w obozie są jacyś dziwacy (a nigdy ich nie brak), to na pewno nie ominą działu KO, tu ich się spotka, jak pić dać.

Taki profesor Arystydes Iwanowicz Dowatiir – albo to nie dziwadło? Petersburczyk, z francusko-rumuńskiej rodziny, filolog klasyczny, kawaler i samotnik z przekonania i przyzwyczajenia. Oderwano go od Herodota i Cezara jak kota od szperki i wsadzono do obozu. Duszę ma jeszcze pełną tekstów, proszących się o komentarz i chodzi po obozie jak lunatyk. Zginąłby tu pierwszego już tygodnia, ale wzięli go pod opiekę lekarze. Dzięki nim dostał się na bardzo cenioną funkcję statystyka sanitariatu, a ponadto dwa razy w miesiącu, z pożytkiem dla obozowego narybku felczerskiego, kazano Dowaturowi prowadzić wykłady. Wykładać

łacinę w obozie! Arystydes Iwanowicz staje przy małej tablicy i promienieje, jak za najlepszych uniwersyteckich czasów! Wypisuje całe kolumny koniugacji, o jakich tubylcom nigdy się nie śniło i od zgrzytu kruchej kredy serce słodko mu łomocze. Znalazł sobie taki cichy, taki miły kąsek! – ale nadciągają już czarne chmury: komendant obozu uznał, że ma w jego osobie do czynienia z człowiekiem uczciwym, a to najrzadsze zjawisko! Mianuje go więc... szefem piekarni! Jest to najbardziej łakomy kąsek w obozie. Szafarz chleba – to król życia! Droga do tej funkcji zastana jest ciałami i duszami łagier-ników, ale nieliczni tylko dotarli do upragnionego celu! I oto – taka funkcja spada z nieba, a Dowatura ogarnia czarna rozpacz. Przez cały

4 Tak się składa, że wszyscy, co tak kurczowo czepiają się życia, jakoś o wiele mniej są przywiązani do spraw ducha.

416

tydzień snuje się z miną skazanego na śmierć, wciąż odkładając przejęcie piekarni. Błaga komendanta, aby ulitował się nad nim i pozwolił mu spokojnie żyć, jak dawniej wśród łacińskich koniugacji. Doczekał się wreszcie zmiłowania: funkcję szefa piekarni obejmuje kolejny żulik.

Albo inny dziwak – też zawsze przychodzi do KO po robocie, przesiaduje tu, bo gdzieżby! Ma wielką głowę, wydatne rysy twarzy, jakby stworzone dla teatralnej szminki, dobrze widoczne z daleka. Szczególnie – te krzaczaste brwi! I ten wyraz twarzy, zawsze tragiczny! Posępny wzrokiem przygląda się z kąta izby naszym miżernym próbom. Nazywa się Kamil Leopoldowicz Gontoir. Zaraz po rewolucji przyjechał z Belgii do Piotro-grodu, aby tworzyć tu Nowy Teatr, teatr przyszłości. Kto mógł wtedy pomyśleć, że przyszłość tak będzie wyglądać i że reżyserów pozamyka się w obozach? Gontoir walczył z Niemcami podczas obu wojen światowych: podczas pierwszej wojował na Zachodzie, podczas drugiej – na Wschodzie.

A teraz wlepiono mu dychę za zdradę ojczyzny... Jakiej? Której?...

Ale najpoważniejszymi w KO figurami są, rzecz oczywista – malarze. To oni są tutaj gospodarzami. Jeśli KO dysponuje osobną izbą – to przeznacza się ją dla nich. Jeśli kogoś zwalnia się z ogólnych na stałe – to już tylko ich. Ze wszystkich służebników muz – tylko oni są twórcami wartości trwałych, dotykalnych, takich, co to je można powiesić w mieszkaniu i sprzedać za pieniądze. Obrazów nie malują z głowy, to jasne. Zresztą – nikt od nich tego nie żąda. I bo to może dobry obraz wyskoczyć z głowy Pięćdziesiątki Ósemki? Malują po prostu duże kopie pocztówek. Niektórzy muszą do tej roboty krątkować sobie papier, ale bywają nawet tacy, co radzą sobie bez krątkowania. To najlepszy towar artystyczny, jak tajga długa i tundra szeroka, maluj tylko, bracie, a żeby wisało, jak należy – już nasza w tym głowa. Nawet, jeżeli nie przypadnie do gustu na pierwszy rzut oka. Przyjedzie, damy na to, zastępca dowódcy plutonu WOCHR-y, Wypirajło, popatrzy na kopię obrazu Deula „Tryumf Nerona”, burknie:

– A ten – niby co? Swatać się jedzie? To czego taki zduczniaty?... – ale i tak obraz weźmie. Malarze wykonują również makatki z dziewczycami w gondolach, łabędziami, zachodami słońca i zamkami. Wszystko to znajduje łatwy zbył wśród towarzyszy oficerów. Nie w ciemną bici malarze robią takie same makatki dla własnych potrzeb, a nadzorcy sprzedają je później poza żoną mając z tego zysk. Popyt jest duży. W ogóle – będąc malarzem – w obozie da się żyć.

Rzeźbiarzom jest gorzej. Dla kadry MWD – rzeźba ma mniejszą wartość estetyczną jako ciało obce, nieporęczne, nieustawne. Wystarczy trącić – i już rozbita. Rzadko się zdarza, aby rzeźbiarz miał robotę w obozie,

18 – Archipelag Gulag t. II

417

jeżeli już – to na marginesie działalności malarskiej; tak radzi sobie Nie-dow. A też może się zdarzyć, że wpadnie do jego pracowni major Bakajew, zobaczy statuetkę przedstawiającą matkę i powie:

– Czego ty mi tu płaczące matki rzeźbisz? W naszym kraju matki nie płaczą! – i już się zabiera do rozbijania figurki.

Wołodia Klempner, młody kompozytor, syn zamożnego adwokata, gdy był jeszcze – według obozowych pojęć – niebitym frajerem – sprowadził sobie z domu do obozu Beskudnikowo pod Moskwą własny fortepian (wypadek niestychany, jedyny zapewne w dziejach Archipelagu). Sprowadził go rzekomo po to, aby przyczynić się do rozwoju działalności KO wśród mas, a w istocie, żeby móc samemu dalej komponować. Miał za to zawsze klucz do obozowej świetlicy i po wieczornym apelu grał tam sobie przy świeczce (elektryczność wyłączano). Pewnego razu, gdy tak sobie grał i robił notatki do nowej sonaty, zadrżał nagle, słysząc głos rozlegający się za jego plecami:

– Kaj-da-na-mi wasza muzyka pachnie!

Klempner zerwał się na równe nogi. Spod ściany, gdzie zaczął się w ciemnościach, zbliżał się teraz do fortepianu i świecy major, komendant obozu, stary czekista – wlokąc swój olbrzymi, wydłużający się cień. Major zrozumiał teraz, po co właściwie ten szalbierz sprowadził sobie instrument. Podszedł blisko, wziął do rąk nuty i w ponurym milczeniu przytknął je do płomienia świecy.

– Co pan robi? – nie mógł powstrzymać okrzyku młody kompozytor.

– Do cholery z taką muzyką! – jeszcze ostrzej warknął major przez zaciśnięte zęby. Strzępy spopielonego arkusza opadły na klawiaturę.

Stary czekista się nie mylił: miała to być rzeczywiście sonata na tematy obozowe⁵. Jeżeli pojawi się w obozie poeta – to wolno mu układać podpisy do karykatur przedstawiających brakorobów i pisać czastuszki – również poświęcone walce z tymi, co nie przestrzegają dyscypliny.

Innych tematów nie wolno poruszać ani poetom, ani kompozytorom. I nie mogą oni dla swojej zwierzchności zrobić niczego pożytecznego, konkretnego, uchwytanego.

Prozaików zaś wcale nie ma w obozach, jako że w ogóle być ich nie powinno.

5 Wkrótce znalazł się pretekst, aby wplątać Wołodię w nową, obozową już sprawę i posłać go do Butyrek na dochodzenie. Do swojego obozu już nie wrócił i fortepianu – rozumie się – już mu nie oddano. Czy przetrwał to wszystko, czy żyje? Nie wiem, jakoś o nim nie słyhać.

418

Kiedy proza rosyjska poszła do obozów... – pisze Borys Słucki. Poszła!

– ale nie wróciła. Poszła! ale ślad po niej zaginął...

O całym bezmiarze minionych wypadków, o liczbie ofiar i osiągnięciach, które mogły być ich udziałem – nigdy już nie potrafimy powiedzieć nic pewnego. Nikt nie opowie nam o zeszytach, palonych w pośpiechu przed wyruszeniem na etap, o wielkich projektach, co leżały się w czyichś głowach

– i razem z tymi głowami wrzucone zostały w mroźną otchłań wspólnej mogiły. Wiersz można wyrecytować sąsiadowi na ucho, wiersze zostają w pamięci albo przynajmniej pamięć o nich zostaje – ale prozy nie sposób przekazać, zanim praca nad nią nie jest skończona, o wiele trudniej więc jej przetrwać, jest trudna do udźwignięcia, nieporęczna, nie ma w niej zwinnej giętkości, jej istnienie zbyt zależne jest od papieru, aby pokonać mogła wszystkie zasadzki Archipelagu. Kto w ogóle może w obozie zdecydować się na pisanie? Arkady Bielikow napisał to, co zamierzał – rzecz trafiła do rąk kuma i autor rykoszetem oberwał 25 lat. M. I. Kalinina, wcale nie literatka, zapisywała jednak w dzienniczku to, co w życiu obozowym wydawało jej się godne uwagi: „może tam jeszcze komuś się przyda”. Ale to też znalazło się w rękach opera. I poszła do karceru (na dobrą sprawę – wykręciła się sianem). A Włodzimierz Siergiejewicz G–w, będąc zwolniony spod konwoju i chodząc do pracy poza żonę, pisał gdzieś tam przez cztery miesiące swoje obozowe wspomnienia, ale w chwili niebezpieczeństwa zakopał je w ziemi. Wkrótce przeniesiono go stamtąd, nigdy do tych okolic nie wrócił – i rękopis na zawsze w ziemi został. Nie można więc w żonie ani poza żoną, a zatem gdzie? Tylko w pamięci! Ale tak pisać można wiersze, nie zaś prozę.

Ilu właściwie zginęło nas – adeptów Klio i Kaliopy – tego nie sposób wykalkulować, wywnioskować z wielkości tego utamka, który ocalał, żadna ekstrapolacja tego typu na nic tu się nie zda, dlatego że my również nie mieliśmy w istocie żadnej szansy przetrwania (przetrzyskując w pamięci moje obozowe przypadki, widzę z całą jasnością, że powinienem był zginąć na Archipelagu – albo tak przystosować się do jego atmosfery, że nie miałbym teraz żadnego powodu, by sięgać po pióro. Uratowała mnie zupełnie uboczna okoliczność – matematyka. Brać w rachubę takich przypadków niepodobna).

Poczynając od lat 30. wszystko to, co nosiło nazwę rosyjskiej prozy – jest tylko pianą, pienistym śladem po jeziorze, które wsiąkło w grunt. Jest to jedynie piana nie zaś proza, bo wolna jest od najważniejszych problemów tych dziesięcioleci. Najlepsi pisarze przydeptali gardło własnym, najlepszym myśłom, odwrócili się od prawdy i tylko dlatego ocaleli – zarówno oni, jak ich książki. Ci zaś, co nie potrafili wyrzec się głębi, oryginal–

419

ności i rzetelności – skazani byli w ciągu tych dziesięcioleci na nieuchronną zagładę, najczęściej w obozie, tych było najwięcej. Inni, natchnieni straceńczą odwagą – zginęli na froncie.\

Tak wessała ziemia prozaików–filozofów. Prozaików–historyków. Proza–ików–liryków. Prozaików–impresjonistów. Prozaików–humorystów.

A tymczasem – właśnie Archipelag dawał jedyną, wyjątkową szansę naszej literaturze, a może nawet całemu piśmiennictwu. Niewyobrażalny rozkwit pańszczyzny w połowie dwudziestego wieku otwierał przed pisarzami perspektywy – w tym tylko jednym, niczego nie okupującym aspekcie – cenne, twórcze, chociaż grożące zagładą.

6 Ośmielę się rozwinąć tę myśl – choćby w sposób najbardziej pobieżny. Jak świat światem zawsze dotąd społeczeństwo dzieliło się na dwie odrębne i nie przenikające się wzajemnie warstwy: górną i dolną, warstwę rządzącą – i warstwę jej podległą. Jest to podział prostacki, jak wszystkie podziały, ale jeśli do górnej warstwy zaliczyć nie tylko tych, co mieli najwięcej władzy, pieniędzy i znaczenia, lecz również takich, którzy zdobyli najlepsze wykształcenie – własnym wysiłkiem czy dzięki

swojej sytuacji rodzinnej, jednym słowem wszystkich, którzy nie musieli pracować fizycznie, używać rąk do pracy – to podział ten będzie prawie uniwersalny. Skoro tak, to można wyodrębnić w literaturze (albo w ogóle – w sztuce, w myśli ludzkiej) cztery kręgi. Pierwszy krąg: przedstawiciele elity opisują (przedstawiają, rezonują na ten temat) elitę, to znaczy – sobie podobnych. Krąg drugi: kiedy przedstawiciele elity opisują tych z dołu, „młodszych braci”. Krąg trzeci, kiedy ci z dołu opisują tych z góry. Czwarty krąg: ci z dołu opisują podobnych sobie, siebie samych.

Ci z górnej warstwy zawsze mieli wystarczającą ilość wolnego czasu, byli majętni albo przynajmniej cieszyli się dostatkiem, otrzymali odpowiednie wykształcenie i wychowanie. Jeśli kto z nich miał chęć, to zawsze mógł opanować jakąś technikę artystyczną albo zdobyć biegłość w jakiejś dziedzinie wiedzy. – Ale istnieje pewne ważne prawo życia: dostatek zabija w człowieku chęć do dociekań duchowych. Dlatego też w kręgu pierwszym tyle było wypaczeń artystycznych, tyle chorobliwych i egocentrycznych „szkół”, które przekwitły, nie zostawiając ziarna. I jedynie wtedy, gdy w sferze tej pojawiali się ludzie dotknięci wielkim nieszczęściem osobistym albo obdarzeni z natury nadzwyczajną pasją poznawczą – powstawała wielka literatura.

Krąg czwarty – to folklor wszystkich ludów świata. Czasu wolnego ci ludzie mieli mało, poszczególne jednostki dysponowały nim tylko w cząstkach chwili, ułamkami ułamków były te bezimienne drobiny, jakie udawało się dorzucić do wspólnego skarbu. Były to owoce jakiejś szczęśliwej chwili, powstałe w nagłym natchnieniu zwroty, czy obrazy. Ale samych takich twórców było bez liku, a prawie zawsze byli to ludzie uciskani i zdający sobie sprawę ze swojego nieszczęścia. Wszystko, co tworzyli, poddawane było potem bezustannej selekcji, było przesiewane i szlifowane miliony razy, przechodząc z ust do ust przez lata i lata. Tak oto trafiły do naszych rąk złoża złota, zwanego folklorem. Wśród tych utworów nie ma dzieł pustych, bez duszy, ponieważ pośród ich twórców nie było nikogo, kto nie wiedziałby czym jest cierpienie. Odnosząca się zaś do czwartego kręgu literatura pisana („proletariacka”, „chłopska”) – jest literaturą w stanie embrionalnym, dyletancką, niewydarzoną, ponieważ indywidualne umiejętności twórców okazywały się tu zawsze niewystarczające.

420

Miliony rosyjskich inteligentów poszły tą drogą w celach bynajmniej nie wycieczkowych: czekała ich śmierć i kalectwo, brnęli nią bez żadnej nadziei powrotu. Po raz pierwszy w historii takie mnóstwo ludzi rozgarniętych, doświadczonych, bardzo kulturalnych znalazło się całkiem na serio i raz na zawsze w sytuacji niewolnika, drwala, górnika. W ten sposób po raz pierwszy w historii świata (w takich rozmiarach) doszło do połączenia doświadczeń górnej i dolnej warstwy społeczeństwa! Stopniała bardzo ważna, niby przejrzysta jak lód, ale w istocie nieprzenikniona do tąd przegroda, która przeszkadzała tym z góry zrozumieć tych z dołu: LITOŚĆ. Litość była motorem szlachetnych postępów miłosiernych dobroczyńców ludzkości (na przykład – wszystkich rzeczników oświecenia!) i właśnie litość mąciła im wzrok! Dręczyły ich wyrzuty sumienia, że cudze nieszczęście nie jest ich udziałem i dlatego uważali za swój obowiązek krzyczeć trzykroć głośniejsze niż inni, że tyle niesprawiedliwości się dzieje, nie troszcząc się przy tym wcale o dogłębną analizę ludzkiej natury tych z dołu i tych z góry, wszystkich bez wyjątku.

Tylko inteligenci uwięzieni na Archipelagu nie czuli już nareszcie tych wyrzutów sumienia: niedola ludu była ich własnym udziałem. Dopiero teraz wykształcony Rosjanin mógł opisywać pańszczyźnianego chłopca od wewnątrz, ponieważ sam stał się chłopem pańszczyźnianym!

Ale teraz nie miał za to ołówka, papieru, czasu, a jego palce też straciły miękkość, elastyczność. Teraz nadzorcy przetrząsali jego rzeczy, zaglądali mu do gęby i do tyłka, a operczekiści – patrzyli mu w oczy.

Ta sama wada dyletantyzmu była przekleństwem literatury trzeciego kręgu („spojrzenie z dołu w górę”) ale, co gorsza, piśmiennictwo to zatrute było zawiścią i nienawiścią, uczuciami bezpłodnymi, bezużytecznymi dla sztuki. Znajduje w nim wyraz ta sama omyłka, która razi w książkach rewolucjonistów: wady klas wyższych przypisywane są wyłącznie im a nie ludzkiej naturze, co więcej, twórcy nie zdają sobie sprawy, z jaką łatwością sami staną się w przyszłości spadkobiercami tych wad. – Albo na odwrót: literatura ta skażona jest lokajskim serwilizmem.

Można się było spodziewać, że najbardziej cenna moralnie będzie literatura drugiego kręgu („spojrzenie z góry w dół”). Była dziełem ludzi, w których dobroć, głód prawdy i poczucie sprawiedliwości przeważało nad kwietyzmem i przywiązaniem do dostatku, ludzi, którzy jednocześnie odznaczałi się dojrzałym i mierzącym wysoko talentem. Ale wielką niedomogą tego kręgu była niezdolność do rzetelnego, głębokiego zrozumienia opisywanych ludzi. Autorzy ci współczuli, litowali się, lali łzy, oburzali się – ale właśnie dlatego nie potrafili pojąć do głębi. Patrzyli zawsze na innych z góry i z boku, nigdy nie znaleźli się w skórze tych z dołu i jeśli nawet któremu udało się przerzucić jedną nogę przez ten parkan, to już drugiej nie potrafił.

Egoizm natury ludzkiej przyczynia się zapewne do tego, że przeobrażenie takie nastąpić może, niestety, tylko jako wynik gwałtu. Osobowość Cervantesa ukształtowała się wtedy dopiero, gdy dostał się do niewoli, Dostojewskiego – na katordze. Na Archipelagu GU–Łag to samo doświadczenie przeprowadzone zostało nad całą milionami głów i serc.

421

Doszło do zespolenia doświadczeń górnej i dolnej warstwy społeczeństwa – ale nosiciele tej sumy doświadczeń wymarli...

Tak oto – nie mającą dotąd precedensu filozofia i literatura – już w chwili narodzin pogrzebana została pod żelazną skorupą Archipelagu.

Ale wśród bywalców KO najwięcej jest uczestników ruchu amatorskiego. Zadanie kierowania tym ruchem jest dalej domeną KO w stadium dekadencji, jak było nią w czasach młodości tego działu⁷.

Na poszczególnych wyspach Archipelagu ruch amatorski rozwijał się i zanikał, jak fale przyływu i odpływu, ale na morzu dzieje się to regularnie, tu zaś miało charakter kurczowy. Przyczyny tego znane były tylko zwierzchności a nie zekom. Może naczelnik działu KO raz na pół roku musiał się czymś wykazać w sprawozdaniach, a może zależało to od jakichś wizyt wyższej władzy.

W głuchych podobozach wygląda to mniej więcej tak – naczelnik KO (w żonie zwykle nigdy go nie widać, wszystkim kieruje w jego zastępstwie zek–wychowawca) wzywa harmonistę i powiada:

– Słuchaj no, zajmij się organizacją chóru⁸! I żeby za miesiąc był występ.

– Ależ ja tu nie znam, obywatelu naczelniku!

– A na cholerę ci nuty? Zagrasz to, co wszyscy znają, a tamci będą śpiewać.

I ogłasza się werbunek do chóru, często równocześnie z przyjęciami do kółka dramatycznego. Gdzie mają próbować? Izba KO jest do tego za mała, trzeba by jakiegoś większego pomieszczenia, a świetlicy przecież nie ma. Korzysta się więc zwykle z obozowych stołówek – przesyconych na wskroś parą z bałandy, smrodem zgniłych warzyw i gotowanego dorsza. W jednym końcu stołówki jest kuchnia, a w drugim – albo stała scena,

7 Powszechna dbałość o rozwój amatorskiego ruchu artystycznego w naszym kraju – co w końcu kosztuje całkiem sporo – ma pewien cel, tylko jaki? Odpowiedź nie jest prosta. Częściowo – to resztką siły bezwładu, bo w dwudziestych latach coś się na ten temat deklarowało. Częściowo – rodzaj sportu, kanalizującego energię i zainteresowania społeczeństwa. A może ktoś jeszcze wierzy, że te piosenki i skecze kształtują odpowiednio ludzkie uczucia?

8 Kierownictwo polityczno-wojskowe i cywilne – ślepo wierzy w pierwszorzędną rolę wychowawczą chóru jako takiego. Cała reszta ruchu amatorskiego może nawet zgnieć na pieńku, ale chór musi być, bo to śpiewający kolektyw! Pieśni łatwo poddają się kontroli, toć wszystkie są nasze. A co człowiek śpiewa – w to i wierzy.

422

albo prowizoryczny pomost. Tu właśnie, po kolacji, odbywają się próby chóru i kółka dramatycznego. (Wygląda to tak jak na rysunku A. G. G-na, który mam przed oczyma. Tyle, że malarz narysował tam nie grupę miejscową, ale przyjezdną „kultbrygadę”. Zaraz pozbierane zostaną ostatnie miski, przepędzi się ostatniego dochodiagę – i wpuści się widzów. Łatwo wyobrazić sobie, jaką wesołością promienieją twarze pańszczyźnianych artystów).

Jak zachęcić zeków do tej całej roboty artystycznej? Na półtora tysiąca ludzi w żonie znaleźć się może trzech–czterech prawdziwych amatorów śpiewu, ale na chór tego nie wystarczy. Wszelako – spotkania na próbach chóru są głównym magnesem mogącym przyciągnąć zeków i zeczki w żonie mieszanej. A. Suzi, którego mianowano chórmistrzem, nie mógł wyjść z podziwu, że chór mu wciąż puchnie do tego stopnia, że ani jednej pieśni nie mógł przećwiczyć jak należy do końca, bo uczestników wciąż przybywało i przybywało; przy tym nikt nie miał głosu, nikt z nich nigdy nie śpiewał, ale wszyscy mieli chęć szczerą i wydawało się okrucieństwem odmówić komukolwiek, odtrącić kogoś, w kim nagle obudził się talent i pociąg do muzyki! Jednak na próbach – aktywnych uczestników okazało się znacznie mniej (sęk zaś był w tym, że zapisani do kółka mieli prawo chodzić po żonie jeszcze dwie godziny po apelu – na próbę i z próby do baraku – i właśnie z tych dwóch godzin ludzie sobie korzystali!).

Łatwo mogła się zdarzyć również taka czy owaka komplikacja: na przykład przed samym koncertem jedyny w chórze bas musiał wyruszyć na etap (jedna władza odpowiadała za transporty, całkiem inna – za koncerty), chórmistrza zaś (to znaczy naszego Suzi) wzywał naczelnik KO i powiadał:

– Żeście tu się napocili – to potrafimy docenić, ale puścić was na scenę w żaden sposób nie możemy, bo Pięćdziesiątka Ósemka nie ma prawa niczym kierować, więc tym bardziej chórem. Wyznaczcie więc sobie jakiegoś zastępcę: w końcu machanie rękami – to nie śpiewanie, głos tu niepotrzebny, już tam kogoś znajdziecie.

Byli też tacy, dla których chór i kółko dramatyczne stanowiły coś więcej, niż okazję do spotkań: były namiastką życia, może nawet nie namiastką, lecz przypomnieniem, że mimo wszystko jakieś życie istnieje, że jednak... Przynoszą z magazynu

gruby, bury papier, wycięty z worków na kaszę – i rozdają go do przepisywania ról. Teatralny rytuał! A podział ról! A ustalanie – kto z kim ma się całować w trakcie akcji scenicznej! A kostiumy! A rodzaj szminki! I jak to człowiek będzie wyglądał w charakteryzacji! W dniu premiery można będzie wziąć do rąk prawdziwe lustro i zobaczyć siebie w prawdziwym, normalnym ubraniu i z rumieńcami na policzkach.

423

Marzenia o tym wszystkim są bardzo interesujące, ale mój Boże – te sztuki! Co też tam się gra! Te specjalne antologie z nadrukiem „wyłącznie w obrębie GUłagu!”. Czemuż to – wyłącznie? Nie – do użytku powszechnego z prawem wystawiania również w GUłagu – ale wyłącznie w GUłagu. Bo to już taki bełkot, takie świńskie pomyje, że tam nikt tego nie tknie, ale tu wszystko przecież zeżrą. Najgłupszy, najmniej utalentowani autorzy tak właśnie plasują swoje niezdarne i bzdurne sztuki! A jeżeli ktoś chce wystawić wodewil Czechowa czy cokolwiek bądź w tym rodzaju – to gdzie ma szukać tekstów? Nikt z wolniaków w całej osadzie takich rzeczy nie trzyma, a w obozowej bibliotece jest Górki, ale z całymi stronicami powyrywany na skręty.

Literat N. Dawidenkow zwołuje zebranie kółka dramatycznego w obozie Krywoszczekino. Znalazł gdzieś nadzwyczajną sztuczkę: patriotyczną, akcja toczy się w Moskwie podczas pobytu Napoleona (poziomem chyba nie przewyższa afiszów gubernatora Rostopczyńskiego!). Role już rozdane, zespół próbuje z całym entuzjazmem – zdawałoby się, że nie ma przeszkód? Główną rolę gra Zina, była nauczycielka, uwięziona za to, że została na terenach okupowanych. Gra dobrze, reżyser jest w siódmym niebie. Nagle na jednej z prób wybucha skandal: pozostałe uczestniczki protestują, nie chcą, aby Zina grała główną rolę. Sytuacja raczej tradycyjna i reżyser mógłby sobie z nią poradzić. Ale kobiety wrzeszczą: „To patriotyczna rola, a ona pod okupacją różnęła się z Niemcami! Won ze sceny, ty żmijo! Uciekaj, kurwo niemiecka, bo cię pod obcas weźmiemy!”. Są to niewiasty socjalnie-bliskie, może nawet Pięćdziesiątka Ósemka, tylko że punkt inny, nie za zdradę kraju. Czy same to wymyśliły, czy naszczuł je III oddział? Ale reżyser ma sam taki paragraf, że nie może wziąć aktorki w obronę... I Zina schodzi ze sceny, cała we łzach. Czytelnikowi żal reżysera? Czytelnik sądzi może, że zespół znalazł się w sytuacji bez wyjścia, bo kto obejmie teraz główną rolę i kiedy zdąży się jej nauczyć? Ale dla operczekistów nie ma sytuacji bez wyjścia! Zadzierzgnęli węzeł – i sami go rozplaczą! Mijają jeszcze dwa dni i oto samego Dawidenkova zabierają skutego w kajdany – za próbę przekazania poza żonę jakiegoś rękopisu (jeszcze jedna kronika?). Czeką go nowe śledztwo i sąd.

9 Tyle wiadomo było o nim w obozie. Skądinąd – dowiedziałem się przypadkiem, że Lidia Korniejewna Czukowskaja знаła Kole Dawidenkova. Poznała go w 1939 roku, w Leningradzie, w ogonku stojącym pod więzieniem. Po usunięciu Jeżowa sprawę Koli umorzył zwykły sąd, podczas gdy przyjaciel jego, aresztowany z tego samego powodu, Lew Gumilow, syn Anny Achmatowej (i Mikołaja Gumilowa) wciąż jeszcze siedział. Na

424

Nie trzeba więc nikogo obsadzać w głównej roli! Napoleon nie poniesie nowej, sromotnej klęski, a rosyjski patriotyzm nie zostanie jeszcze raz wyniesiony pod niebiosy! Nie będzie w ogóle żadnego przedstawienia. Chóru też nie będzie. Ani wy-

stępu. Kolejny odpływ. Zebrania w stołówce i romantyczne spotkania wieczorową porą – też skończone. Aż do następnego przyptywu.

W takich kurczach rodzi się tu ruch artystyczny...

A znowu czasem tak bywa, że wszystkie próby odbyły się bez przeszkód, i wszyscy uczestnicy się jakoś uchowali, i nikogo przed samym koncertem nie aresztowano, ale za to naczelnik KO, major Potapow, Samojed z republiki Kornii (Siewżerdortag) bierze do rąk program występu i znajduje w nim: Zwątpienie Glinki.

– Że co? Zwątpienie? Żadnych takich! Nie, nie, nie traćcie nawet czasu na prośby!

– i wykreśla punkt własną ręką.

wyższą uczelnię nie chciano jednak przyjąć go z powrotem, posłano natomiast do wojska. W 1941 roku pod Mińskiem Dawidenkow dostał się do niewoli.

O jego przeżyciach wojennych Lidia Czukowska miała informacje niewystarczająco ścisłe i dopiero na Zachodzie otrzymałem ściślejsze dane od osób, znających go lepiej. Ludzie wydzielali z obozu jeńców, aby się bić, tym bardziej Dawidenkow, były więzień: został kapitanem własowskiej ROA, bil się, miał narzeczoną (N. W. K., została na Zachodzie), a także pisał; pono niejedną książkę wydał – i o leningradzkich lochach 1938 roku, i – pod pseudonimem Anin (anagram imienia narzeczonej) powieść o wojnie – Zdrajca. Ale pod koniec wojny trafił do sowieckiej niewoli. Zapewne wiedzieli o nim nie wszystko, a jednak skazano go na rozstrzelanie. W drodze łaski dostał 25 lat. Przypuszczalnie następny wyrok, wewnętrzno-obozowy orzekał rozstrzelanie i tym razem już ostatecznie (kara śmierci została nam przywrócona na mocy Dekretu ze stycznia 1950 roku). W maju 1950 zdołał wysłać swój ostatni list z obozowego więzienia. Oto kilka zdań: „Nie sposób opisać niewiarygodnych kolei mojego losu w ciągu tych lat... Mam inny cel: podczas dziesięciu lat to i owo zdążyłem napisać; proza, rozumie się, cała zaprzepaszczona, ale zostały wiersze. Prawie nikt ich ode mnie nie słyszał – nie było z kim mówić. Przypomniałem sobie nasze wieczory przy placu Pięciu Kątów i ubrdałem sobie, że te wiersze powinny trafić... do pani rąk, tak mądrych i doświadczonych... Proszę je przeczytać i – jeśli to możliwe – przechować. O przyszłości, podobnie jak o przeszłości – ani słowa, wszystko już skończone”. L. K. ocaliła te wiersze od zagłady. Poznaję dobrze (sam tak gryzmoliłem) ten sposób pisania maczkiem – trzydzieści utworów na dwóch stroniczkach zeszytowego formatu – bo tyle trzeba zmieścić na małej powierzchni! Trzeba umieć sobie wyobrazić ten rozpaczliwy koniec: czekanie na śmierć w obozowym więzieniu! I „lewej” pocztą powierza ten człowiek swój ostatni, beznadziejny krzyk:

Już nie chcę wody ani chleba, Ani bielizny świeżej. Nie otwierajcie drzwi, nie trzeba, Już jestem dzikim zwierzem.

425

Ja zaś miałem kiedyś chęć zarecytować mój ukochany monolog Czackiego * – A kim są ci sędzię! Lubilem go recytować od dzieciństwa, widziałem w nim tylko ładny kawałek do deklamacji, nie zdając sobie nawet sprawy, że mowa w nim o dzisiejszych, najbardziej aktualnych sprawach; to mi naprawdę do głowy nie przychodziło.

Ale nie doszło do tego, aby w programie pojawił się tytułik A kim są ci sędzię! i tak skazany na wykreślenie – bo na próbie pojawił się naczelnik KO i podskoczył na krześle już przy wierszu:

„Palają nienawiścią ku wolności...” A kiedy wyrecytowałem słowa:

„Gdzież są ojcowie tej ojczyzny naszej.. Czy to nie ci, co się rabunkiem tuczają?...”

pan naczelnik aż nogami zatupał, żebym natychmiast zabierał się ze sceny! W młodości o mały włos nie zostałem aktorem; uratowała mnie słabość strun głosowych. Teraz zaś, w obozie co i rusz występowałem na koncertach. Te krótkie, zwodnicze chwile zapomnienia pozwalały mi zaczerpnąć tchu, zobaczyć z bliska twarze kobiece, ożywione grą. A kiedy dowiedziałem się, że istnieją w GUŁagu całe trupy teatralne, złożone z zeków, których uwalnia się w tym celu od innych robót – istne teatry pańszczyźniane! – zapragnąłem koniecznie stać się członkiem takiej trupy, aby znaleźć w tym i ratunek, i trochę wytchnienia.

Teatry pańszczyźniane istniały przy każdym obwodowym zarządzie obozów, a w Moskwie było ich nawet kilka. Najstynniejszym z nich był chow-riński teatr pańszczyźniany pułkownika MWD Mamułowa. Mamułow czujnie baczył, aby żaden aresztowany w Moskwie wybitny artysta nie przemknął się przez Krasną Presnię, uchodząc jego uwagi. Agenci jego penetrowali również inne zbarniki. W ten sposób zdołał zgromadzić w swoich włościach dużą trupę dramatyczną i załazek zespołu operowego. Było w tym coś z dumy dawnego dziedzica – „Mój teatr lepszy niż u sąsiada jegomości!”. W obozie Beskudnikowo też był teatr, ale o wiele gorszy. Panowie dziedzice wozili swoich artystów w gości do sąsiadów, żeby móc się nimi pochwalić. Na jednym z takich koncertów pianista Michał Grin–

Już brak mi tylko waszej mowy By stać się wam podobnym: Nie wiem co milsze wam – psi skowyt, Czy wycie wilków głodnych?... * Z komedii Gribojedowa / bądź tu mądry (Gorie ot urna).

426

wald zapomniał w jakiej tonacji miał akompaniować śpiewaczce. Mamułow z miejsca wlepił mu 10 dni zimnego karceru, w którym Grinwald się rozchorował. Takie teatry pańszczyźniane istniały w Workucie, w Norylsku, w Solika-msku, na wszystkich większych wyspach GUŁagu. W tych miejscowościach teatry takie przybierały charakter scen omalże miejskich, czy nawet akademickich, dawały bowiem przedstawienia dla wolniaków w gmachach, należących do miasta. W pierwszych rzędach siadali z należną godnością najwybitniejsi miejscowi emwudyści w towarzystwie małżonek. Patrzyli na swoich niewolników z mieszaniną ciekawości i pogardy. Konwojenci z automatami siedzieli tymczasem za kulisami i w łóżach. Po koncercie – panów artystów, wstuchanych jeszcze w echa oklasków, odwożono do obozu, a tych, którzy się sypnęli albo zacukali na scenie – do karceru. Czasami nawet nie pozwalano nacieszyć się oklaskami. W Magadańskim Teatrze, Nikiszew, naczelnik obozowego kombinatu Dalstroj, przywołał do porządku Wadima Kozina, bardzo znanego w tamtych czasach śpiewaka: „Dobra, dobra, Kozin, dosyć kłaniać się po próżnicy, możesz już iść!”. (Kozin próbował powiesić się, ale zdążyli odciąć go od stryczka).

W latach powojennych przez Archipelag przewinęli się artyści bardzo głośni: oprócz Kozina – aktorki filmowe Tokarskaja, Okuniewskaja, Zoja Fiodorowa. Sporo hałasu narobiło na Archipelagu aresztowanie sławnej śpiewaczki Rusłanowej, krążyły sprzeczne pogłoski na ten temat, wymieniano rozmaite zbarniki i obozy, w których miała przebywać. Zapewniano mnie, że na Kołymie odmówiła występów i poszła pracować do pralni. Nie wiem, jak to było naprawdę.

Bożyszczę Leningradu, tenor Pieczkowski, na samym początku wojny znalazł się na terytorium okupowanym, będąc na letnisku w swoim domku pod Ługą. Następnie, już pod okupacją, dawał koncerty w krajach nadbałtyckich. (Żonę jego, pianistkę, natychmiast aresztowano w Leningradzie. Zginęła w rybińskim obozie). Po

wojnie Pieczkowski dostał dychę za zdradę kraju i znalazł się w obozie Pieczet-dortag. Komendant tamtejszy potraktował go z wszystkimi honorami: przydzielił mu osobny domek i dwóch ordynansów. Dostawał co dzień masło śmietankowe, surowe jajka i grzany portwejn. Zapraszany był na obiady przez żonę komendanta obozu, bywał też w gościach u żony naczelnika wydziału dyscyplinarnego. Śpiewał na tych przyjęciach, ale pewnego razu podobno się zbuntował: „Urodziłem się, aby śpiewać dla mas, a nie dla czekistów” – i w rezultacie wysłany został do specobozu Mintag. (Po odbyciu kary już nigdy nie udało mu się wrócić na występy do Leningradu).

427

Znany pianista Wsiewołod Topilin nie uniknął powołania do moskiewskiego pospolitego ruszenia, dostał, jak inni, jednostrzałową berdankę z 1866 roku i znalazł się we wjaziemskim worku¹⁰. Ale w niewoli ulitował się nad nim niemiecki major, komendant obozu, meloman. Pomógł mu w przejściu na status Ostarbeitera i Tomilin zaczął dzięki temu dawać koncerty. Rzecz jasna, że dostał potem za to – już u nas – standardowe dziesięć lat. (Po wyjściu z obozu też już nie udało mu się wrócić do formy).

Zespół artystyczny przy moskiewskim Zarządzie obozów i kolonii (UITŁK), rozjeżdżający po rozmaitych obozach, którego stacją siedzibą była Matrosskaja Tiszina, został czasowo przeniesiony na pobyt do nas, na rogatkę kałużską. Co za radość! Teraz dopiero będę mógł poznać ich bliżej, teraz to się już na pewno do nich dostanę! Jakież to dziwne uczucie! Oglądać w obozowej stołówce popisy zawodowych aktorów–zeków! Chichot, uśmiechy, śpiew, białe suknie, czarne surduty... Tylko zaraz – jakie mają wyroki? Z jakich artykułów? Czy prima–donna – to złodziejka? czy z Pięćdziesiątki Ósemki? Czy pierwszy aktor siedzi za łapówki? czy z artykułu „siedem ósmych”? Zwykły aktor wcielać się musi tylko w jedną rolę. Tu zaś – mamy do czynienia z podwójną grą, z dwupiętrowym niejako wcieleniem: najprzód człowiek musi wyobrazić sobie, że jest wolnym artystą, a później – wejść w graną rolę. I teraz ciężar więzienia, ta świadomość, że jesteś pańszczyźnianym rabem, że już jutro obywatel naczelnik – za złą grę albo za romans z pańszczyźnianą aktorką – może wsadzić cię do karceru albo postać na wyrąb lasu czy nawet na Kołymę, dziesięć tysięcy wiorst stąd – cały ten balast niezmierny dodać trzeba jeszcze do ciężaru, który aktor–zek dźwigać musi na równi z wolnymi aktorami, na siłę przepychając przez płuca i gardło udratyzowaną bzdurę, mechaniczną propagandę martwych idei!

Pierwsza aktorka zespołu, Nina W. siedziała, jak się okazało, z artykułu 58–10, 5 lat. Szybko dogadaliśmy się z nią wspólnego znajomego, który i mnie i jej wykladał historię sztuki. Aresztowano ją jeszcze przed dyplomem, była całkiem młoda. Nadużywając przywilejów artystki szpeciła się nadmiarem kosmetyków i noszeniem sukien z brzydkimi, wałowanymi ramionami. W tym czasie wszystkie kobiety wolne tak się szpetnie ubierały, niewiasty zaś z Archipelagu ominął ten los i barki ich rozwijały się wszecz tylko od noszenia trag.

¹⁰ Cały ten bałagan z pospolitym ruszeniem – cóż to za przykład piekielnego popłochu i zamieszania! Rzucić inteligentów, miejski element pod nowoczesne czołgi – uzbroiwszy ich w berdanki sprzed stulecia! Dwadzieścia lat puszyli się, że są „gotowi”, że tacy mocni – ale w zwierzęcym strachu przed niemiecką ofensywą zrobili sobie tarczę z ciał uczonych i artystów, byleby tylko móc dalej komenderować z wyżyn swojej nieudolności.

W zespole Nina, jak to zwykle bywa z każdą primadonną, miała swojego stałego amanta (był nim tancerz z baletu Teatru Wielkiego), ale jej patronem duchowym i opiekunem artystycznym był Oswald Głazunow (Gła-zunek) jeden z najstarszych wachtangowców. Zarówno on, jak jego żona znaleźli się (może nawet chcieli się znaleźć) na terytorium zajęтым przez Niemców, pod Istrą, gdzie mieszkali na dacz. Trzy wojenne lata spędzili w ściślejszej swojej ojczyźnie, w Rydze, gdzie grali w łotewskim teatrze. Gdy przyszli nasi – oboje dostali po dziesiątku za zdradę Wielkiej ojczyzny. Teraz oboje wchodzili w skład tego zespołu.

Izolda Głazunowa zaczynała się starzeć, już trudniej jej było tańczyć. Tylko raz mogliśmy widzieć ją w jakimś niespotykanym już w naszych czasach tańcu, który nazwałbym impresjonistycznym, ale boję się, że znawcom ten epitet się nie spodoba. Tańczyła w srebrzystym, ciemnym, zapiętym po samą szyję trykocie. Scena była słabo tylko oświetlona. Ten taniec głęboko utkwiał mi w pamięci. Większość współczesnych tańców sprowadza się do wystawiania na pokaz kobiecego ciała, to prawie cała ich treść. Jej zaś taniec był mistycznym przypomnieniem o sprawach ducha i w jakiś sposób kojarzył się z głęboką wiarą Izoldy Głazunowej w wędrówkę dusz.

Minęło zaledwie kilka dni i znienacka, po złodziejsku, tak, jak to zawsze bywa na Archipelagu, Izolda Głazunowa zabrana została na etap, oderwana od męża, wywieziona w nieznane.

Zdarzały się wśród ziemian w epoce pańszczyzny takie akty okrucieństwa i barbarzyństwa: rozbijano chłopskie rodziny, sprzedawano osobno męża, osobno – żonę. Ale też za to dostało im się od Niekrasowa, Turgieniewa, Leskowa, nikt ich za to nie pogłaskał. U nas zaś nie było to żadne okrucieństwo, tylko nader rozsądny krok: starucha nie zasługiwała już na swoją pajkę chleba, zajmowała przy tym etap w trupie.

W dniu wyjazdu żony Oswald przyszedł do naszej izby (dziwolągów). Spojrzenie miał błędne i tak wspierał się na ramieniu swojej kruchej wychowanicy, jakby tylko dzięki niej jeszcze mógł utrzymać się na nogach. Był w stanie takiego zachwiania władz umysłowych, że mieliśmy poważne obawy, czy aby nie popełni samobójstwa. Milczał z nisko opuszczoną głową. Stopniowo zaczął mówić, opowiadać o całym swoim życiu: założył dwa teatry, Bóg wie po co; działalność artystyczna na całe lata odrywała go od żony. Całym swoim życiem inaczej by teraz pokierował...

Bardzo plastycznie rysuje mi się to teraz w pamięci: stary położył dziewczynie rękę na karku, tulił ją do siebie, a dziewczyna ani drgnie, patrzy na niego z dołu z boleścią i stara się nie płakać.

Ale co tu w ogóle gadać – toć starucha niewarta już była swojej kromki chleba.

Nie udało mi się dostać do tego zespołu, chociaż starałem się, jak mogłem.

Wkrótce przeniesiono ich z obozu na Kałużskiej. Straciłem ich z oczu. Po roku, gdy już byłem w butyryskim więzieniu, obito mi się o uszy, że ciężarówka, którą jechali na kolejny występ, wpadła pod pociąg. Nie wiem, czy Głazunow też tam był. Co zaś do mnie, to raz jeszcze przekonałem się, że niezbadane są ścieżki Pańskie. I że nigdy właściwie nie wiemy, czego chcemy w istocie. Ileż to razy w życiu z całym ferworem starałem się o rzeczy zupełnie mi niepotrzebne i wpadałem w rozpacz z powodu klęsk, które właśnie były sukcesami.

Zostałem w składzie skromniutkiego zespołu amatorskiego na Kałużskiej, z Aneczką Brestawską, Szura Ostriecową i Lową G. Staraliśmy się coś tam wystawić, póki nas jeszcze nie rozpędzono i nie rozesłano na wsze strony. Mój udział w tym zespolek wspominał teraz jako dowód niedojrzałości duchowej, jako coś upokarzającego. Nędzny poruczniczyna Miro–now potrafił niedzielnego wieczoru, nie znajdując sobie w Moskwie innej rozrywki, przyjechać pod gazem do naszego obozu i rozkazać nam: „Żeby mi za dziesięć minut był koncert!”. Panów artystów wyciągano z pościeli, odrywano od obozowego piecyka, przy którym ktoś z nas właśnie coś sobie z rozkoszą pitrał w menażce – i wkrótce już na jasno oświetlonej scenie, wobec pustych krzeseł, na których siedział tylko nadęty, głupi lejtnant i trzech strażników – przystępowaliśmy do naszych śpiewek, tańców i popisów.

XIX ZEKI JAKO NARÓD

(szkic etnograficzny pióra Iwana Iwanowicza)

W niniejszym zarysie zamierzamy – jeśli tylko nic nie stanie nam na przeszkodzie – dokonać ważnego odkrycia naukowego.

Przy snuciu naszych hipotez nie chcemy żadną miarą wchodzić w konflikt z Przodującą Doktryną.

Pisząc te słowa, pragnąc już od dawna przeniknąć tajemnice, jakich pełne jest życie tubylców zamieszkujących Archipelag, udał się tam w celach badawczych na czas dłuższy i zgromadził sporą ilość materiałów.

W rezultacie – nie trudno mu będzie teraz dowieść, że zeki z Archipelagu stanowią odrębną klasę społeczną. Tę nader liczną (bo składającą się z wielu milionów osobników)'grupę łączy bowiem ten sam (jednakowy dla wszystkich jej przedstawicieli) stosunek do środków produkcji i do samego jej procesu (jest to mianowicie stosunek podporządkowania, zupełnej i stałej zależności, bez żadnych praw do kierowania tym procesem). Wszyscy członkowie tej grupy mają też identyczny i wspólny stosunek do podziału dochodu narodowego i zysków (a mianowicie: nie mają żadnego na to wpływu, otrzymując jedynie nikły ułamek dochodów, niezbędny dla nędznej kontynuacji ich istnienia). Warto zaznaczyć ponadto, że ich praca – to nie żaden drobiazg, stanowi ona jeden z zasadniczych wsporników całej gospodarki państwowej¹.

¹ Nie sposób tego powiedzieć o skazańcach w krajach zachodnich. Tam – chodzi albo o izolowane od społeczeństwa jednostki, dręczące się w zaniknięciu, ale wcale nie pracujące, albo o nieliczne ośrodki ciężkich robót, których działalność prawie zupełnie nie wpływa na gospodarkę kraju.

431

Ale takie konstatacje już nas nie zadowolają. Mamy większe ambicje.

Odkryciem o wiele bardziej sensacyjnym byłoby przeprowadzenie dowodu, wykazującego, że te upadłe istoty (które niegdyś na pewno były ludźmi) składają się na zupełnie odrębny w porównaniu z *homo sapiens* – gatunek czy typ biologiczny². By dowieść tego, nie mamy jeszcze na podorzędziu wszystkich koniecznych argumentów. Tutaj możemy tylko uchylić rąbka tego przewodu myślowego. Wyobraźcie sobie na chwilę, że człowiek musiałby znienacka i wbrew własnej woli, ale za to w sposób zupełnie nieodwołalny i niepowrotny znaleźć się wśród niedźwiedzi albo borsuków, by pędzić wśród nich życie (dajmy już pokój wyświechtanym metaforom i pa–rantelom wilczym) i okazałoby się, że fizycznie nawet sobie jakoś z tym daje radę (kto od razu odwalił kitę, o tym nie ma co tu gadać) – otóż powstaje pytanie, czy mógłby on w tym nowym życiu, pośród wspomnianych borsuków –

pozostać jednak człowiekiem? Wydaje się nam, że nie, że zborsuczyłby się całkiem, że nawet sierścią by porósł, że pysk by mu się zaostrzył i że wcale by mu już nie trzeba było jadła warzonego czy smażonego, tylko całkiem spokojnie żarłby sobie surowiznę.

Wyobraźcie sobie zatem, że środowisko wyspiarskie tak bardzo różni się od zwykłego, ludzkiego środowiska i w sposób tak bezwzględny każe wybierać między natychmiastową adaptacją a natychmiastową śmiercią – że w rezultacie międli i trawi ono charakter człowieka o wiele skuteczniej, niż jakiegokolwiek inne, obce narodowo lub socjalnie środowisko. Jedynym stosowanym tu porównaniem jest proces przejścia ze świata ludzi – do świata zwierząt.

Ale tym zajmiemy się może w innej pracy. Tu zaś stawiamy sobie pewne ograniczone zadanie: pragniemy wykazać, że zeki stanowią odrębny naród.

Dlaczego w normalnym życiu klasy nie przekształcają się w odrębne grupy narodowe? Dlatego, że – z punktu widzenia terytorialnego – klasy są przetasowane, przedstawiciele jednych klas spotykają się z przedstawicielami innych na ulicach, w sklepach, w pociągach i na pokładach statków, na widowniach kin i teatrów oraz instytucji rozrywkowych, gdzie prowadzą ze sobą rozmowy i dokonują wymiany poglądów bezpośrednio, czyli z ust do ust, oraz za pośrednictwem prasy. Zeki natomiast mieszkają w zupełnym odosobnieniu, trzymają się swoich wysp i przez cały czas kontaktują się tylko z podobnymi sobie (wolnych pracodawców większość z nich nawet nie ogląda, a gdy do spotkania dochodzi, to niczego prócz rozkazów i wyzwisk nie słyszy). Odmienność ich sytuacji pogłębia jeszcze ważna okoliczność: większość z nich nie ma możliwości zmiany swojego

2 Może to właśnie – owo brakujące ogniwo, znane z teorii ewolucji?

432

statusu za życia; innymi słowy, nie ma przed śmiercią nadziei na awans społeczny. Któż z nas jeszcze w szkole średniej nie przyswoił sobie powszechnie znanej, bezkonkurencyjnej z naukowego punktu widzenia, definicji narodu danej przez towarzysza Stalina? Naród – to uformowana w trakcie dziejów (ale nie rasowa czy plemienna) wspólnota, składająca się z ludzi, mających wspólne terytorium; wspólny język; złączony wspólnym życiem gospodarczym i wspólnymi obyczajami, co przejawia się we wspólności kultury. Otóż ludność tubylcza Archipelagu spełnia te wszystkie warunki! więcej nawet, spełnia je z nawiązką! (do twierdzenia tego szczególnie uprawnia nas genialne spostrzeżenie towarzysza Stalina, że rasowo-plemienna wspólnota krwi nie jest wcale wyróżnikiem koniecznym!).

Nasi tubylcy zamieszkują na zupełnie określonym wspólnym terytorium (nic to, że dzieli się ono na poszczególne wyspy, bo przecież nie zmienia to sytuacji, gdy mówimy o narodach zamieszkujących archipelagi Oceanu Spokojnego), gdzie innych narodów zgoła nie ma. Ich życie gospodarcze jest ujednolicone w zadziwiający sposób: jego zasady dadzą się streścić bez reszty na dwóch stroniczkach maszynopisu (system kotłów oraz instrukcja dla księgowości wskazująca, jak należy z pozornej płacy zeka dokonywać odliczeń na koszt utrzymania żony, straży, wyspiarskiej zwierzchności oraz na rzecz skarbu państwa). Jeżeli pojęciem życia gospodarczego objąć również warunki bytu, to są one na wyspach (i nigdzie indziej!) tak ujednolicone, że przerzucony z wyspy na wyspę zek niczemu się nie dziwi, nie zadaje głupich pytań, tylko z punktu włącza się do aktywnego życia w nowym miejscu zamieszkania („organizuj naukowo swój wikt, kradnij, co tylko potrafisz”). Żywią się stawą, której nikt do ust nie bierze – jak ziemia długa

i szeroka, noszą odzież, której nikt poza nimi nie wdziewa i nawet rozkład dnia mają jeden i ten sam na wszystkich wyspach, przy tym jest on dla każdego z nich obowiązujący. (Jakiż etnograf potrafi wskazać nam inny jakiś naród, którego wszyscy przedstawiciele mają wspólny rozkład dnia, wikt i przyodziewek?).

Co w przytoczonej wyżej naukowej definicji narodu należy rozumieć jako wspólność kultury – nie jest dla nas wystarczająco jasne. Nie możemy wymagać, by nauka i literatura piękna zeków odznaczały się charakterem jednorodnym, a to z tej przyczyny, że nie mają oni w ogóle piśmiennictwa. (Objaw ten zaobserwować można jednak u wszystkich prawie ludów wyspiarskich: u większości z nich – jako rezultat braku kultury, u zeków zaś – jako wynik nadmiaru cenzury). Mamy natomiast nadzieję, że uda się nam w niniejszym szkicu wykazać, iż w ich psychologii występują wspólne rysy specyficzne, że w danych sytuacjach ich zachowanie się jest

433

identyczne, że mają nawet te same poglądy filozoficzne – o czym inne narody mogą tylko marzyć i co przekracza nawet zakres wymogów stawianych przez twórcę naukowej definicji narodu. Co zaś do specyficznego charakteru narodowego, to jego uderzające cechy rzucają się w oczy każdemu badaczowi życia zeków. Mają oni własny folklor i własnych bohaterów legendarnych. I wreszcie – łączy ich jeszcze jeden rodzaj działalności kulturalnej, należący już właściwie do dziedziny zjawisk językowych, a który możemy określić jedynie w sposób bardzo nieścisły z pomocą terminu rzucanie mięsem. Jest to ów szczególny typ manifestowania wzruszeń, który wydaje się nawet ważniejszy od wszelkich form mowy, ponieważ pozwala zekom porozumiewać się ze sobą w sposób bardziej energiczny i zwięzły, niż przy użyciu innych środków wyrazu³. Stan psychiczny, w którym zwykle pogrążony jest zek, znajduje najszerze ujście i najbardziej adekwatny wyraz właśnie w tym nadzwyczaj kunsztownym rzucaniu mięsem. Cały pozostały zespół zjawisk fonetycznych zostaje dzięki temu odsunięty niejako na drugi plan. Lecz tu również obserwujemy zadziwiające podobieństwo poszczególnych wyrażeń i jednakową logikę składni na całym obszarze, od Kołymy – do Mołdawii.

Język tubylców naszego Archipelagu jest – bez należnych studiów – tak samo niezrozumiały dla osób postronnych jak każdy język obcy. Na przykład, czy potrafiłby czytelnik zrozumieć takie wyrażenia, jak:

- kopsnij hazok!
- cwel się przezgredził;
- polewać bombę w sieczkarni;
- zadać ciulowi chleba za ścirowanie;
- spadaj, kogutek kikuje, chyc na nic*.

Wszystko, co powiedziane zostało wyżej, uprawnia nas do wysunięcia śmiałej tezy, że każdy, kto przybywa na Archipelag i zostaje jego mieszkańcem – zmienia w istocie narodowość, tracąc cechy, które czyniły go przedtem członkiem innego narodu.

Przewidujemy, że ten i ów będzie usiłował zaprzeczyć tej tezie. Słyszymy już pytanie: ależ jaki to naród, skoro jego rozrost liczebny następuje nie drogą przyrostu naturalnego? (Zaznaczymy nawiasem, że w jedynej nauko-

³ Ten sposób porozumiewania się jest tak oszczędny, że nasuwa się myśl, czy nie mamy tu do czynienia z pierwocinami Języka Przyszłości.

* – podaj chleb; – nieletni (fagas) osiągnął wiek dojrzały; – indagować kogoś w gabinecie śledczym; – donieść na faceta z zemsty za szpiclowanie; – uciekaj, strażnik patrzy, ucieczka wykryta.

434

wo wyważonej definicji narodu warunek ten w ogóle nie jest wzmiankowany!). Odpowiadamy: owszem, swój rozrost ten naród zawdzięcza technicznej metodzie tzw. wsadzania (swoje zaś własne potomstwo przez dziwny kaprys oddaje na własność narodom okolicznym). Jednakże – pisklęta również hodowane są w inkubatorze – niemniej przeto, bez wahania uznajemy je za normalne kury, gdy spożywamy ich mięso.

Ale jeśli nawet możliwe są wątpliwości co do tego, jak rozpoczyna się droga życiowa zeka jako takiego, to nie ma żadnej kwestii, gdy chodzi o koniec tej drogi. Umierają oni podobnie jak inni ludzie, z tą jednak różnicą, że o wiele prędzej i gęściej. Ich obrzędy pogrzebowe są ponure, ubogie i nacechowane okrucieństwem.

Dwa słowa o samym terminie zek, zeki. Aż do roku 1934 używano oficjalnie terminu pozbawieni wolności („liszennyje swobody”). Nie zachowały się dokumenty, z których wynikałoby, że sami tubylcy używali skrótu „l/s”, ani że nazywali się wzajem „elesami”. Ale w roku 1934 termin ten zmieniono na określenie „więźniowie” (po rosyjsku – zakluczonnyje). Tu przypomnieć wypada, że Archipelag zaczynał już kamienieć i nawet oficjalny język musiał się do tego procesu przystosować. Nie mógł dopuścić, aby w tytularze tubylców więcej było wolności niż więzienia.

W skrócie pisano to tak: w liczbie pojedynczej z/k (ze-ka), w liczbie mnogiej z/k z/k (ze-ka, zeka). Opiekunowie tubylców bardzo często używali tego terminu, wszyscy więc słyszeli go i wszyscy rychło się przyzwyczaili. Wszelako – rzeczownik ten, poczęty na urzędowym papierze, nie dość, że nie dawał się odmieniać przez przypadki i rodzaje, ale nawet nie było możliwe tworzenie jego liczby mnogiej. Godne zaiste dziecie ery martwoty i ciemnoty! Żywy słuch zmyślnych tubylców nie chciał się z tym stanem rzeczy godzić, na różnych wyspach i w rozmaitych miejscowościach zaczęto więc ów termin żartobliwie przeinaczać. Gdzieś tam mówiono „Zachar Kuźmicz” albo (jak w Norylsku) „Zapolarnyje (tj. podbiegunowi) komso-molcy”. Tu i ówdzie słowo to wymawiano „żak” (Karelia), jeszcze gdzie indziej (In-ta) – „zyk”⁴. We wszystkich tych wypadkach – słowo to, zamienione przez tubylców w żywy wyraz, zaczynało być odmieniane przez przypadki, a w liczbie mnogiej przybierało stosowną postać. (Na Kołymie natomiast – jak podkreśla Szatamow – utrzymała się w użyciu codziennym forma „ze-ka”). W morfemie początkowym spółgłoska „z” wymiawiana jest zawsze twardo.

⁴ Stary więzień z Solówek D. S. L. twierdzi, że już w 1931 roku słyszał, jak konwojent pytał tubylca: „Coś za jeden? – zek?”.

435

Klimat Archipelagu – jest niezmiennie podbiegunowy, nawet gdy chodzi o wysepki leżące trafem gdzieś na morzach południowych. Oto klimat Archipelagu:

DWANAŚCIE MIESIĘCY – ZIMA, RESZTA – LATO. Samo powietrze parzy i kłuje, przy tym nie tylko z winy mrozu, nie tylko z łaski natury.

Odzież zeków nawet latem jest miękki, bury pancerz waciakowy. Już ta okoliczność – obok strzyżenia głów, co obowiązuje wszystkich mężczyzn

– nadaje ich wyglądowi zewnętrznemu jednakowe cechy: surowość, uniformizm. Ale przy powierzchownej nawet obserwacji łatwo dostrzec, że również ich twarze

noszą wyraz jednakowy: są zawsze pełne napięcia, nieprzychylności, nieufności, które to cechy łatwo ustępują miejsca zawziętości, a nawet srogości. Twarze ich mają taki wyraz, jakby odlane były z szorstkiego materiału prawie nic już wspólnego nie mającego z żywym ciałem, koloru pociemniałej miedzi (zeki należą najwiśdoczniej do rasy czerwonej), przystosowanego do odpierania uderzeń wiejącego w oczy wiatru i ukąszeń, grożących ze wszech stron. Da się również zauważyć, że w ruchu, podczas pracy, czy w trakcie bójek ich ramiona i barki są napięte, a piersi – wystawione na wszelkie możliwe ciosy, ale gdy tylko zek zapadnie na chwilę w bezruch, gdy znajdzie czas na moment samotności i rozmyślań – głowa jego staje się od razu jakby zbyt ciężka dla mięśni karku: barki i plecy zaś zaczynają garbić się beznadziejnie, przybierając pozycję, która wydaje się być im wrodzona. Gdy zek nie ma nic do roboty, układa ręce w pozycji najbardziej dla siebie naturalnej, tzn. krzyżuje je za plecami, albo pozwala im zwisnąć bezwolnie, jeśli siedzi. Gdy zbliża się do człowieka wolnego, a tym bardziej do przedstawicieli władzy – zawsze ma wygląd zgnębiony i grzbiet mu się garbi. Będzie się starał nie patrzeć człowiekowi w oczy, wzrok wbija w ziemię, jeśli jednak coś skłoni go do podniesienia głowy – zastanowić musi obserwatora jego wygląd bezmyślny, mimo że na obliczu zeka maluje się gotowość do wypełnienia wszelkich rozkazów (nie należy zresztą ufać temu wyrazowi: rozkaz nie będzie wykonany). Jeżeli otrzyma zlecenie zdjęcia czapki (bądź gdy sam to uczyni) – jego ogolona głowa sprawi antropologowi swoim wyglądem przykrą niespodziankę – pokryta jest guzami, wgłębieniami, asymetrycznymi zniekształceniami typu wyraźnie degeneratywnego.

W rozmowie z obcym zek posługuje się wyrażeniami nader zwięzłymi, mówi głosem bezbarwnym, monotonnym, z wyrazem tępoty albo też – przesadnej pokory, jeśli ma zamiar o coś rozmówcę poprosić. Gdyby jednak badaczowi udało się podsłuchać – i to w sposób nie zwracający uwagi

– tubylców w trakcie rozmów, jakie toczą między sobą, to z pewnością na
436

zawsze już zapamiętałby ich szczególny typ ekspresji słownej: rozmawiają ze sobą tak, jakby kuksali się wzajem słowami, złośliwie urągliwymi, pełnymi pretensji, pozbawionymi wszelkiej serdeczności. Maniera ta tak bardzo jest dla tubylców typowa, że nawet gdy któryś z nich znajdzie się sam na sam z miejscową przedstawicielką płci odmiennej (czego zresztą najsurowiej zabraniają prawa lokalne), nie sposób sobie wyobrazić, aby potrafił rozmawiać z nią innym tonem. Zapewne i w tym wypadku używa słów-kuksańców oraz trybu rozkazującego, bo, podkreślam, nie można wyobrazić sobie zeka posługującego się czułymi wyrazami. Trzeba jednak przyznać, że mowa zeków odznacza się sporą jędrnością. Zawdzięcza to częściowo temu, że wolna jest od wszelkich zbędnych elementów, że nie ma w niej zwrotów grzecznościowych, jak np.: „przepraszam”, „proszę”, „jeśli to panu nie robi różnicy”, podobnie jak niepotrzebnych zaimków i partykuł. Rozmawiając, zek stara się jak najszybciej osiągnąć cel, tak jak to czyni, gdy musi iść dokądś, stawiając czoła wiatrowi polarnemu. Zek mówi tak, jakby rozmówcę strzelał słowami w mordę, jakby go prał. Doświadczony zapaśnik stara się zwalić przeciwnika z nóg koniecznie w pierwszym już starciu, podobnie zek stara się zaskoczyć swego partnera, zatkać mu gębę, a nawet zupełnie pozbawić go głosu już pierwszym wypowiedzianym słowem. Zadawane zaś pytania próbuje natychmiast wybić na aut.

Nawet dziś jeszcze czytelnik może w zupełnie nieprzewidzianych okolicznościach spotkać się z użyciem tej odstręczającej stylistyki. Na przykład – stoicie na przystanku, czekacie na trolejbus, wieje ostry wiatr. Jakiś sąsiad posypuje bez żenady wasze nowe palto gorącym popiołem i okruchami żarzącej się machorki. Strącać popiół raz i drugi, ale facet dalej robi swoje. Powiadacie więc: ‘

– Słuchajcie no, towarzyszu, może by tak trochę ostrożności przy paleniu?...

Jegomość nie tylko nie przeprasza ani nie odsuwa na bok papierosa, ale za całą odpowiedź szczerknie wam krótko:

– Nie jesteście ubezpieczeni?

I podczas gdy staracie się odparować cios (nie takie to łatwe na poczekaniu), facet już pcha się przed waszym nosem do trolejbusu. Wszystko to bardzo przypomina tubylcze maniery.

Oprócz wielopiętrowych wyzwisk właściwych zek ma na podorędziu również komplet gotowych zwrotów, które zatykają gębę każdemu, kto chciałby

w najrozsądniejszy sposób wtrącić się do rozmowy albo udzielić jakiejś wskazówki. Są to zwroty takie, jak:

– Odknaj w podskokach, ja nie z twojej parafii!

437

– Nie ciebie chromolą, czego tyłkiem ruchasz! (pierwszy z występujących tu czasowników użyty został jedynie per analogia m, zamiast innego, o wydźwięku skrajnie nieprzyzwoitym).

Te kategoryczne i ucinające z miejsca rozmowę wyrażenia tchną szczególnie nieodpartym urokiem w ustach przedstawicielek tubylczej ludności, jako że to one właśnie z wyjątkową swobodą wykorzystują dla metafor źródłostwy erotyczne. Szkoda, że ze względu na moralność publiczną nie możemy przytoczyć również tych przykładów, co z pewnością dodałoby krasy naszej relacji. Ośmielimy się dać tu jeszcze jedną tylko ilustrację owej bystrości i zeków, i celności ich języka. Pewien tubylec, nazwiskiem Glik, przeniesiony został ze zwykłej wyspy na wyspę specjalną do tajnego instytutu naukowo-badawczego (niektórzy tubylcy tak są z natury rozgarnięci, że mogą być użyci nawet do prac naukowych), ale z jakichś, bliżej nieznanых powodów osobistych, nie odpowiadało mu to nowe, tak obfitujące w przywileje, miejsce pracy. Pragnął wrócić na swoją dawną wyspę. Wezwano go przed oblicze nadzwyczaj poważnej komisji z wielkimi gwiazdami na epoletach i oznajmiono:

– Jesteście, jak się okazuje, inżynierem–radiowcem, chcemy więc skorzystać z okazji...

Glik nie dał komisji dokończyć zdania – „...i dać wam pracę w waszym fachu”. Odpalił ostro:

– Skorzystać z okazji? To co, mam spuszczać portki?

I już złapał się za pasek, a nawet przybrał pozę a la vache. Zrozumiałe, że komisja oniemiała i nie doszło już do żadnych namów ani rokowań. Glika natychmiast odesłano z powrotem.

Jest rzeczą ciekawą, że sami tubylcy doskonale zdają sobie sprawę z zainteresowania, jakie budzą wśród antropologów i etnografów. Ba, pyszną się tym nawet, ten fakt nadaje im jakby wartości we własnych oczach. Kursuje wśród nich i często jest powtarzana anegdota, w której opowiada się, jak to pewien profesor etnografii, zapewne jeden z naszych poprzedników, przez całe życie badał obyczaje zeków i napisał wreszcie grube, dwutomowe dzieło, w którym do-

chodził do wniosku, że aresztant jest leniwy, żarloczny i chytry (w tym miejscu zarówno narrator, jak jego słuchacze śmieją się z ukontentowaniem, jakby się sami sobie przyglądali z lubością). Ale – powiadają dalej – wkrótce potem wsadzono podobno również samego pana profesora (bardzo przykry to wypadek, ale niewinnych ludzi nikt u nas nie więzi, musiała więc być jakaś przyczyna). I oto, zaznawszy wszystkich rozkoszy więzień i zborniaków, gdy już naharował się na ogólnych i został dochodzącą, profesor zrozumiał swój błąd i doszedł do wniosku, że w istocie aresztant jest suchy, kruchy i przejrzysty. Charak-

438

terystyka to nader celna i jest w niej jednak coś pochlebnego. Wszyscy zatem znów się śmieją.

Mówiliśmy już, że naród zeków nie ma własnego piśmiennictwa. Ale w żywej tradycji, podtrzymywanej czynnie przez starych wyspiarzy, w podaniach i w folklorze jest zawarty (i w tej formie przekazywany nowicjuszom) pełny kodeks równego postępowania, zasadnicze przykazania odnoszące się do pracy, do stosunków z pracodawcami i z towarzyszami niedoli oraz podstawy etyki osobistej. Cały ten kodeks, wyrażający się w moralnej postawie tubylcy i odcisnięty w niej, stanowi o tym, co nazywamy typem narodowym zeka. Piętno tej przynależności narodowej wżera się w człowieka głęboko i raz na zawsze. Nawet po wielu latach w napotkanym daleko od Archipelagu człowieku przede wszystkim widzi się zeka, a dopiero potem – Rosjanina, Tatara albo Polaka; oczywiście, jeśli udało mu się unieść głowę z Wysp.

W dalszym ciągu tej pracy postaramy się punkt po punkcie rozpatrzyć to, co da się określić jako charakter narodowy, psychologię życiową i etykę normatywną ludu zeków.

Stosunek do przymusowej roboty. Wśród zeków panuje zupełnie niestuszne przekonanie, że pracę wymyślono po to, aby wyssać z nich wszystkie soki, w rezultacie też pewni są, że jedynym ratunkiem jest tak pracować, aby nie tracić sił. Dobrze im wiadomo, że całej roboty i tak się nigdy nie odwali (nigdy też nie trzymaj się głupiej zasady: raz-dwa skończę, to sobie prędeż odpocznę. PO jak tylko siądziesz odpocząć, to zaraz ci dadzą następną robotę). Robota za głupcem goni.

Ale co tu robić – odmawiać pracy prosto z mostu? Nie ma nic gorszego!

– zgnoją człowieka w karcerach, zamorzą głodem. Chodzenie do roboty

– to rzecz nieunikniona, ale skoroś już poszedł, człowiecze, to staraj się nie hako- wać, tylko grzebać się, jak umiesz, nie leserować, tylko kantować, sadzać robotę na żółwia (to znaczy – tak czy owak – wykręcać się od pracy). Tubylec nie wymawia się otwarcie od wykonania żadnego rozkazu

– to by go mogło zgubić. Stara się natomiast – ciągnąć gumę. „Ciągnięcie gumy” jest to jedno z najważniejszych pojęć i najpopularniejszych terminów Archipelagu. Jest to najskuteczniejszy ze środków ratunkowych, wynalezionych przez zeków (z upływem czasu znalazł on również zastosowanie wśród wolnych robociarzy). Zek wysłuchuje wszystkiego, co się do niego mówi i kiwa tylko zgodliwie głową. Po czym – oddala się dla wykonania rozkazu. Ale go nie wykonuje! A najczęściej – nawet nie zabiera

439

się do wykonania. Doprowadza to niekiedy do rozpaczy dynamicznych

i niezmordowanie dążących do celu kierowników procesu produkcyjnego!

W naturalny sposób budzi się w nich chęć, żeby dać w mordę albo po karku te-

mu tępem, bezmyślnemu bydlakowi w łachmanach – toć rozkaz wydano mu po rosyjsku, w zrozumiałym języku!... Co za ludzie bez pojęcia! (Ale o to właśnie chodzi, że sowiecki język rosyjski wcale nie jest dla tubylców taki zrozumiały. Szereg naszych współczesnych pojęć, na przykład „honor robotniczy”, „świadoma dyscyplina” – nie ma żadnych odpowiedników w ich ubogiej mowie). Jednakże, jeśli pan naczelnik powtórzy rozkaz – zek potulnie schyla głowę pod ciężarem wyzwisk i natychmiast zabiera się do zleconego mu zadania. Serce pracodawcy przestaje się ścisnąć, pan naczelnik udaje się w dalszą drogę tam, gdzie czekają go liczne i niecierpiące zwłoki sprawy urzędowe – zek zaś za jego plecami natychmiast sobie siada i nawet nie myśli o pracy (jeśli nie czuje nad sobą pięści brygadzysty, jeśli nie grozi mu natychmiastowa utrata przydziału chleba, a także jeśli nie nęci go na przykład podwójne zaliczanie roboczości). My, ludzie normalni, nie jesteśmy w stanie zrozumieć tej psychologii, ale cóż, takie właśnie są jej osobliwości. Tępość umysłowa? A może raczej wyższy stopień rozsądku i zdolności przystosowania się do warunków? Na co zek właściwie liczy? Przecież robota sama się nie wykona, a pan naczelnik przyjdzie jeszcze raz i wtedy skończy się gorzej? Otóż liczy na to, że dzisiaj pan naczelnik chyba już trzeci raz nie przyjdzie. A do jutra trzeba jakoś dożyć. Jeszcze tego samego wieczoru mogą przecież wystąpić zeka transportem albo przenieść do innej brygady, albo położyć do szpitala, albo posadzić do karceru – i to, co zrobił, zostanie wtedy zaliczone na rachunek kogoś innego? A jutro tegoż zeka mogą przecież w tejże brygadzie przerzucić do jakichś innych prac. Albo sam pan naczelnik powie, że cała robota była niepotrzebna, albo że robić ją należało inaczej. Wiele takich wypadków nauczyło zeka raz na zawsze: nie rób tego dziś, co możesz zrobić jutro. Tak już jest, że gdzie na zeka wsiadłeś, tam też z niego zleziesz. Zek boi się utraty kalorii tam, gdzie udałoby się ich w końcu wcale nie tracić (pojęcie kalorii jest dla zeków zrozumiałe, ba, jest ono nawet wśród nich bardzo popularne). Między sobą mówią oni całkiem szczerze: kto wóz ciągnie, tego batem poganiają (a kto nie ciągnie, na tego w końcu ręką machną, tak to należy rozumieć). W sumie zek pracuje tak, żeby jakoś zeszło do wieczora. Ale tu sumienność naukowa zmusza nas do wyznania, że nasz przewód myślowy ma swoje słabe punkty. Przede wszystkim dlatego, że obozowa zasada – „kto wóz ciągnie, tego też batem poganiają” – jest równo-

440

cześnie starym rosyjskim przysłowiem. Znajdujemy u Dala⁵ także inne czysto obozowe powiedzonko: „Żyje byle do wieczora”. Taki zbieg okoliczności budzi w nas prawdziwy wicher myśli: teoria zapożyczeń? teoria wątków wędrownych? szkoła mitologiczna? – Kontynuując dalej te niebezpieczne rozważania, znajdujemy wśród przysłów rosyjskich, powstałych jeszcze za czasów pańszczyzny i w XIX wieku już dawno znanych, takie oto:

- Robota nie zając, nie ucieknie (zadziwiające, ale przecież na tym właśnie polega zasada obozowej gumy!).
- Daj Boże wszystko potrafić, ale nie wszystko robić.
- Pańska robota nigdy nie skończona.
- Gorliwy koń niedługo pociągnie.
- Tydzień obracaj żarna, to dadzą ci garstkę ziarna.
- Dadzą zuchelek chleba, ale tydzień potyrać trzeba. (Natychmiast przypomina się reakcyjna teoria, głoszona przez zeków, wedle której nawet suły przydział nie równoważy utraconych przy pracy sił).

Straszne rzeczy! Oto ponad wszystkimi jasnymi przełęczami naszych wyzwoleń-
czych reform, ponad wiekiem oświecenia, rewolucji i socjalizmu – pańszczyźniany
muzyk z czasów Katarzyny i zek z epoki Stalina, nie bacząc na to, że ich pozycja
społeczna jest tak bardzo odmienna – podają sobie czarne, sękatę prawice!...
Przecież to niemożliwe!

Dajmy więc tu spokój popisom erudycji i wróćmy do naszej relacji.

Stosunek do pracy wpływa też decydująco na stosunek zeków do zwierzchności.
Na pozór stosunek ten nacechowany jest zupełnym posłuszeństwem, na przykład –
jedno z „przykazań” obozowych brzmi: nie podskakuj! – to znaczy, nigdy nie wda-
waj się w spory z władzą. Pozornie więc zek bardzo boi się władzy f kornie chyli
karku, gdy pan naczelnik go beszta, a nawet – gdy stoi sobie w pobliżu. W istocie
jest w tym tylko zwykłe wyrachowanie: nie budzić licha, nie ściągać na łeb do-
datkowych kar. W gruncie rzeczy zek gardzi z całej duszy swoimi zwierzchnikami –
zarówno obozowymi, jak tymi od produkcji, ale czyni to skrycie, nie ujawniając
swoich uczuć, aby się nie narazić. Rozchodząc się rojami po rozmaitych zbiórkach,
poświęconych komunikatom urzędowym, reprimendum i naganom, zeki pogadu-
ją z cichą drwiną: grunt, że swoje powiedzieli, a zapomnieć już się zdąży! Zek jest
głęboko przekonany, że góruje nad całą swoją zwierzchnością –
i wykształceniem, i znajomością rozmaitych fachów, i ogólną orientacją życiową.
Trzeba przyznać, że często właśnie

W. Dal: Przystawia ludu rosyjskiego, Moskwa, 1957, str. 257.

441

tak bywa, ale zek w swoim zarozumiałstwie zapomina, iż administracja wysp góruje
za to niezmiennie nad tubylcami swoim światopoglądem. Oto dlaczego nie ma
żadnych podstaw naiwny pogląd zeków, że sekret władzy sprowadza się do mak-
symy: tak mi się podoba i już! albo – prawo to ja.

Tu jednak trafia się nam wreszcie szczęśliwa okazja do wskazania dif-ferentiam
speciflcam między sytuacją prawną tubylców, a dawnym prawem pańszczyźnia-
nym. Muzyk nie lubił swojego pana, pomstował na niego, ale dawnym obyczajem
widział w nim coś w rodzaju istoty wyższej, dzięki czemu Sawielicz czy Firs (z Wi-
śniowego sadu Czechowa), wierne raby, trafiali się całkiem często. Otóż, ta niewo-
la duchowa skończyła się raz na zawsze. Pośród dziesiątków milionów zeków nie
ma ani jednego, który by szczerze wielbił panów naczelników; tego nie sposób so-
bie nawet wyobrazić.

A oto inna jeszcze i ważna cecha, odróżniająca zeków od naszych współobywa-
teli: zek nie ugania się za pochwałami, za dyplomami honorowymi i takimiż tabli-
cami (jeśli tylko nie zależy od tego dodatkowa porcja pieroga). To wszystko, co no-
si u nas nazwę bohaterstwa pracy, jest dla zeków – zapewne to wina ich tępoty –
jedynie pustym i głuchym dźwiękiem. To czyni ich jeszcze bardziej niezależnymi od
wszystkich opiekunów i zwalnia od obowiązku dogadzania pańskim zachciankom.
W ogóle cała skala wartości zeków jest odwrotnością ogólnie obowiązującej. Nie
powinno nas to jednak dziwić, jeśli uświadomimy sobie, że powszechne to zjawisko
wśród dzikich plemion: za byle lustreczko dają oni tłustego wieprzka, za sznurek
tanich paciorków – oddać gotowi koszt kokosowych orzechów. To, co dla nas, czy-
telniku, jest rzeczą najdroższą – mianowicie wartości ideowe, gotowość do po-
święceń i bezinteresowna chęć trudzenia się dla przyszłych pokoleń – nie tylko
wśród zeków nie ma prawa bytu, ale co gorsza, uchodzi wśród nich za rzecz funta
kłaków nie wartą. Wystarczy zauważyć, że naród ten całkowicie wyzuty jest

z uczuć patriotycznych: ludzie ci zupełnie nie kochają swoich ojczystych wysp!

Przypomnijmy choćby słowa ich pieśni ludowej:

„A niech piorun cię strzeli, Kolymo! Co za gad tę planetę wymyślili...”

Dlatego to decydują się oni wcale często na dalekie i ryzykowne wędrówki w pogoni za szczęściem, nazywane przez prostaków ucieczkami.

Najbardziej przez zeków ceniona i na pierwszym miejscu stawiana jest tak zwana p a j k a – to znaczy kromka czarnego chleba z różnymi domieszkami, nie dopieczoną, słowem – taka, której nikt z nas do ust by nie wziął. Tym wyżej sobie zek ją ceni, im jest większa i cięższa. Kto miał

442

okazję widzieć, z jaką łapczywością rzucają się zeki rankiem na tę czarną pajdę, pożerając ją tak, że mało sobie palców nie odgryzą – ten z trudem tylko potrafi odpędzić od siebie to mało estetyczne wspomnienie. Na drugim miejscu stawiają machorkę, czyli samosiejkę, przy czym prawa handlu wymiennego nacechowane są u nich tak barbarzyńską dowolnością, że nie liczą się z ilością pożytecznej społecznie pracy, zainwestowanej w przedmiot wymiany. Jest to zjawisko monstrualne, tym bardziej, że machorka pełni tu rolę powszechnie uznawanej waluty (system pieniężny na wyspach nie istnieje). Trzecie miejsce zajmuje sałamacha, czyli bałanda (wyspiarskie danie narodowe, zupa bez tłuszczu, bez mięsa, bez krupy i bez jarzyn). Wolno przypuszczać, że nawet marsz gwardzistów, stąpających na parady równym krokiem, w lśniących od szyku mundurach i w pełnym uzbrojeniu, nie czyni na widzach takiego wrażenia, jak wieczorne wkroczenie do stołówki brygady zeków, żądnych bałandy: te golone głowy, czapki-o-prychówki, te łachmany wiązane sznurkami, te twarze złe i wykrzywione (skąd u zjadaczy bałandy tyle siły i takie żyły?) – i te dwadzieścia pięć par trzewików, chodaków i łapci – tup–tup, tup–tup, dawaj naszą pajkę, naczelniku! Na bok, kto nie z naszej parafii! W takich chwilach, na dwudziestu pięciu obliczach, schylających się nad upragnioną miską, wypisany jest już z całą jasnością charakter narodowy zeka.

Zdaliśmy sobie sprawę, że snując nasze rozważania na temat narodu zeków, nie jesteśmy prawie w stanie wyobrazić ich sobie oddzielnie, w postaci poszczególnych osób, obdarzonych nazwiskami. Nie jest to jednak dowód wadliwości naszej metody, lecz refleks owego stadnego sposobu bycia, jaki prowadzi ten dziwny lud stroniący od – przyjętego wszak wśród innych plemion – rodzinnego trybu życia i odmawiający sobie posiadania własnego potomstwa (żywią oni przekonanie, że ich stan liczebny będzie uzupełniany w inny sposób). Ten kolektywny sposób bycia jest bardzo swoistą cechą Archipelagu, stanowiąc już to relikt ustroju pierwotnego, już to – zaród przyszłości. To ostatnie przypuszczenie jest bardziej prawdopodobne. Następną pozycją w tabeli wartości zeków – jest sen. Człowiek normalny nie potrafi wyjść z podziwu, widząc jak długo i w jak dziwacznych warunkach zek potrafi spać. Nie trzeba nawet podkreślać, że nie znają oni zjawiska bezsenności, że nie stosują środków nasennych, że śpią jak zabici przez całą noc, a jeśli zdarzy się dzień wolny od pracy, to potrafią przespać go od rana do wieczora. Z całą ścisłością zostało ustalone, że zek potrafi zapaść w sen, przykucnąwszy obok pustych frag, w oczekiwaniu aż mu je załadują; potrafi zasnąć w trakcie zbiórki przed wymarszem do roboty – śpi wtedy na rozstawionych nogach. Nawet maszerując pod konwojem

443

do miejsca pracy – też potrafi spać; co prawda, nie wszyscy to umieją, niektórzy padają na pysk i budzą się wtedy. Dla wszystkich tych zjawisk znajdują oni wytłumaczenie: utrzymują mianowicie, że we śnie wyrok jakoś prędzej zlatuje. Twierdzą również, że noc dla snu, a dzień jest dla odpoczynku⁶.

Wróćmy teraz do owej brygady, która przytupała po swoją – należną jej, jak twierdzą, z urzędu – bałandę. Dostrzegamy tu przejawy jednej z najważniejszych cech narodowych ludu zeków – mianowicie siły przebicia (nie ma tu żadnej sprzeczności z ich skłonnością do częstego zapadania w sen. Po to właśnie weń zapadają, aby w przerwach mieć trochę owej siły i zdolności do naporu!). Chodzi o napór w sensie dosłownym, fizycznym, jak na prostej przed samym finiszem, przed celem, którym jest strawa, ciepły piec, suszarka, okap chroniący przed deszczem; żadne skrupuły nie powstrzymają tutaj zeka, aby w tłoku nie szturchnąć sąsiada w bok; a gdy dwóch zeków ma podnieść pień z ziemi – obaj oni kierują się nieomylnie w stronę jego wierzchołka tak, aby grubszy koniec musiał dźwigać ten drugi. Chodzi też o napór w ogólniejszym sensie – stosowany dla zajęcia lepszej pozycji życiowej w surowych warunkach bojowych, panujących na Archipelagu (tak zbliżonych do warunków, w jakich żyje świat zwierzęcy, że bez ryzyka omyłki możemy zastosować tu darwinowskie pojęcie struggle for life). Od sukcesu albo klęski w takiej walce zależy często samo życie i pragnąc gwałtem przebić się kosztem innych, tubylcy odrzucają wszelkie skrupuły moralne. Mówią nawet całkiem otwarcie: sumienie? zostało w aktach. W chwilach ważnych życiowych decyzji kierują się oni powszechnie znaną zasadą Archipelagu: lepiej zostać suką, niż zejść na psy.

Ale ów napór życiowy może osiągnąć zamierzone cele tylko jeśli towarzyszy mu życiowa zręczność, obrotność w najtrudniejszych okolicznościach⁷. Tę cnotę musi przejawiać zek codziennie – i to przy okazjach najprostszych, najbardziej elementarnych: po to, aby uratować swój nieszczęsny, pokraczny dobytek – jakąś poobijaną menażkę, cuchnącą szmatkę, drewnianą łyżkę, igłę-weterankę. Jednakże – w walce o przyzwoitą pozycję w hierarchii wyspiarskiej – rozwinąć trzeba pewien wyższy, bardziej wyrafinowany i planowy rodzaj obrotności, zwany cwaniactwem. Aby zbytnio nie obciążać naszej relacji – oto jeden tylko przykład. Pewien zek 6 Wygląda to na paradoks, ale podobne przysłowia znajdujemy u Rosjan: „Najem się w marszu, wyśpię się na stojaka”. – „Wyśpię się na kołku, dziurą się okryję”.

⁷ Rosjanie mają przysłowie: „Przodkiem się kłania, boczkiem zerkam, a tyłkiem drogi szuka”.

444

zdołał osiągnąć wysokie stanowisko kierownika warsztatów mechanicznych przy intendencji obozu. Niektóre prace udaje mu się wykonywać dobrze, inne gorzej, ale pewność i powaga jego pozycji zależy wcale nie od dobrych wyników pracy, tylko od tego fasonu, który potrafi on zadawać. Zjawiają się, dajmy na to, oficerowie MWD i widzą na jego biurku jakieś gliniane stożki. – „A co tu masz takiego?” – „Stożki Seghera”. – „A po co ci to?” – „Do mierzenia temperatury w piecach”. – „Aaa!” – z szacunkiem mruknie komendant i pomyśli sobie: no i fajnego inżyniera tu mamy. Tymczasem stożki te, nawet jeśli stopnieją, nie potrafią wskazać żadnej temperatury, ponieważ ulepiono je z gliny – nie tylko że nie odpowiadającej standardom, ale w ogóle nie wiadomo z czego. Gdy stożki już się opatrzą – kierownik warsztatów stawia sobie na biurku nową zabawkę – instrument optyczny bez żad-

nych soczewek (skąd wziąć soczewki na Archipelagu?). I znów wszyscy są pełni podziwu.

Głowa zeka stale musi być zajęta wymyślaniem takich właśnie wybiegów. Zgodnie z okolicznościami i właściwą oceną psychologiczną przeciwnika, zek powinien oznaczać się elastycznością postępowania – od brutalnego ciosu pięścią lub wrzasku – aż do wyrafinowanej symulacji, od zupełnej bezczelności, aż do absolutnej wierności słowu, danemu w czasie rozmowy w cztery oczy i, zdawałoby się, zupełnie nie obowiązującemu. (Dlatego to wszyscy tubylcy wypełniają święcie zobowiązania, podjęte na zasadzie tajnej łapówki, a także odznaczają się wyjątkową sumiennością i cierpliwością, gdy chodzi o wykonanie prywatnych zamówień. Oglądając jakiś cudowny wyspiarski przedmiot – dzieło sztuki snycerskiej, zdobne w inkrustacje, podobne tylko do tych, jakie oglądać można w muzeum sztuki pańszczyźnianej w OStankino – nie chce się wprost wierzyć, że robiły to te same ręce, z których dziesiętnik odbiera robotę, wykonaną na łapu-capu, rozsypującą się przy pierwszym dotknięciu).

Wspomniana elastyczność znalazła wyraz w znanym przykazaniu tubylczym: dają – to brać, biją – to wiać.

Jednym z najważniejszych warunków sukcesu w walce życiowej jest dla wyspiarzy GUłagu ich zdolność do ukrywania myśli i zamiarów. Prawdziwy swój charakter i plany potrafią ukryć tak umiejętnie, że początkujący i niedoświadczony pracodawca ma z początku wrażenie, iż zek gnie się jak źdźbło trawy – za tchnieniem wiatru czy pod podeszwą buta⁸. (Dopiero znacznie później z przykrością przekona się o nieszczerości i prze-

Porównaj z rosyjskim przysłowiem: „Lepiej ugiąć się, niż dać się złamać”.

445

wrotności ludu tubylczego. Skrytość charakteru jest omalże najbardziej typową cechą plemienia zeków. Zek musi ukrywać swoje zamiary i swoje kroki zarówno przed pracodawcami i nadzorcami, jak przed własnymi brygadzystami oraz tzw. „kapusiami”⁹. Musi ukrywać swoje sukcesy, żeby kto nie uroczył. Ukrywać musi plany, rachuby, nadzieje – niezależnie od tego, czy szykuje się do poważnej „zrywki”, czy znalazł tylko źródło wiórów, aby wypchać sobie siennik. W życiu zeka tak jest już zawsze, że jeśli z czymś się zdradzi, to zaraz to utraci... Pewien tubylec, którego piszący te słowa poczęstował machorką, tak tę sprawę naświetlił (przytaczam jego słowa w przekładzie na rosyjski): „Ledwie komu powiesz, gdzie można się przespać w cieple tak, żeby dziesiętnik nie znalazł – a już wszyscy tam się pchają i już dziesiętnik na łbie ci siedzi. Ledwie komu powiesz, że udało ci się wysłać list przez wolniaka¹⁰ – a już wszyscy temu wolniakowi swoje listy wtykają i zaraz faceta nakryją z tymi listami. A jeżeli magazynier obiecał ci zamienić dziurawą koszulę na całą – to milcz, pókiś jej nie dostał, a jakeś już dostał – to dalej milcz, żeby jego nie zawieść i sobie samemu nie psuć przyszłych interesów¹¹”.

W miarę upływu lat zek tak bardzo przyzwyczaja się do zachowywania sekretu, że nie musi nawet w tym celu wysilać się zbytnio: zanika w nim naturalna ludzka skłonność do dzielenia się z bliskim własnymi przeżyciami. (Być może należy uznać w tej tajemniczości coś w rodzaju reakcji obronnej przeciw zasadzie tajemnicy państwowej, wszędzie u nas obowiązującej? Przecież przed zekiem również ukrywane są na wszelki sposób informacje i dane odnoszące się do jego własnego losu).

Skrytość zeka jest skutkiem jego generalnej nieufności: nie dowierza on nikomu. Uczynki wydające się bezinteresownymi budzą w nim szczególnie silne podejrzenia. Prawo tajgi – oto jaką formułę znajduje zek dla tutejszego imperatywu, obowiązującego w stosunkach międzyludzkich. (Mówimy zwykle o dżungli, ale fia wyspach Archipelagu miejsce dżungli zajmuje istotnie tajga – i to w sporych masach).

Tubylec, który w najpełniejszym stopniu skupia w sobie i przejawia te cechy plemienne – żywotność i siłę przebicia, niewzruszoność, obrotność, skrytość i nieufność – sam siebie nazywa synem GUłagu. Tak też nazywają go inni. Odpowiada to wśród nich godności obywatela honorowego.

9 Mało istotne zjawisko, występujące na Archipelagu. Jesteśmy zdania, że wyjaśnianie tej sprawy w naszym szkicu jest zbędne.

10 Na wyspach istnieje własna poczta, ale tubylcy wolą z niej nie korzystać.

11 Porównaj z rosyjskim przysłowiem: „Znalazłeś – to milcz, zgubiłeś – też milcz”. Doprawdy, zbieżność tych zasad stawia nas w głupiej sytuacji.

446

Tytuł ten uzyskać można, rzecz jasna, dopiero po długich latach przebywania na Wyspach.

Syn GUłagu uważa sam siebie za istotę nieprzeniknioną, będącą przy tym do głębi przekonany, że potrafi przejrzeć innych na wskroś, a nawet jak to mówi się żartem, jeszcze głębiej. Może tak jest istotnie, ale tu się okazuje, że nawet najbystrzejsi z tubylców widnokrąg mają ograniczony, ich spojrzenie nie ogarnia szerszej perspektywy. Oceniając nader trzeźwo zrozumiałe dla siebie uczynki ludzkie i bardzo sprawnie układając swoje plany życiowe na parę najbliższych godzin, zwykły zek, a nawet prawdziwy syn GUłagu niezdolny jest ani do myślenia abstrakcyjnego, ani do zrozumienia zjawisk ogólniejszych, ani też do żadnych dywagacji na temat przyszłości. W gramatyce ich języka czas przyszły też używany jest rzadko: nawet gdy mowa o dniu jutrzejszym, czasu tego używa się w trybie warunkowym.

Z jeszcze większą ostrożnością jest stosowany do dnia najbliższego tygodnia, nigdy zaś nie usłyszysz człowieka od zeka zdania: „Jak przyjdzie wiosna, to ja...”. Wiedzą bowiem wszyscy, że naprzód trzeba jeszcze przeżyć zimę, zresztą każdego dnia los może przenieść go na jakąś jeszcze odleglejszą wyspę. Zaiste: tyle czasu mego – co od świtania do zmierzchu!

Synowie GUłagu są też głównymi strażnikami tradycji i tzw. przykazań wyspiarskich. Liczba tych przykazań jest rozmaita na różnych wyspach, nie zawsze są one jednakowo sformułowane i systematyzacja ich byłaby nadzwyczaj pociągającym tematem samodzielnej pracy badawczej. Przykazania te nic wspólnego nie mają z tradycją chrześcijańską. (Wśród zeków panuje ateizm, ba, nie ma dla nich w ogóle nic świętego, a każdą rzecz wzniosłą starają się oni zawsze wyśmiać i zmieszać z błotem. Znajduje to odbicie również w ich języku). Jednakże, jak twierdzą synowie GUłagu, kto się tych przykazań trzyma, ten na Archipelagu nie zginie.

Istnieją na przykład takie przykazania: nie kapać] (jak to zrozumieć? chodzi zapewne o zapobieganie wilgoci); nie wylizuj misek! to znaczy: nie staczaj się aż do poziomu śmietnika, ten sposób bycia prowadzi ich zdaniem do szybkiej i pewnej zguby. Nie bądź szakalem. I tak dalej.

Interesujące wydaje się przykazanie: nie wtykaj nosa do cudzej menażki! Ośmielimy się twierdzić, że jest to poważne osiągnięcie myśli tubylczej. Jest przecież w tym

przykazaniu zawarta zasada wolności negatywnej, mamy tu jakby odwrócenie angielskiej reguły *my home is my castle*, a nawet coś więcej, mowa bowiem nie o własnej menażce, tylko o cudzej (ale własna pozostaje w domyśle). Znając warunki miejscowe powinniśmy tu termin „menażka” rozumieć w szerszym sensie: nie tylko jako zakopcone, poobijane naczynie, i nawet nie tylko jako konkretną porcję mało apetycz-

447

nego jadła, która w niej się mieści, lecz również jako zbiór wszystkich sposobów zdobywania strawy, wszystkich chwytów używanych w walce o byt a nawet w jeszcze szerszym znaczeniu: jako duszę zeka. Jednym słowem: daj mi żyć na moją modłę i sam żyj, jak ci się podoba – oto sens tego przykazania. Twardy, surowy syn GUłagu, aprobując to przykazanie, zobowiązuje się tym samym do niestosowania z pustej ciekawości swojej siły przebicia (jednocześnie jednak zwalnia się od wszelkich zobowiązań moralnych: choćbyś nawet konał o krok – mnie wszystko jedno. Jest to prawo okrutne, ale przecież bardziej ludzkie od praw „knajaków” – ludożerczego plemienia, zamieszkującego te same wyspy: „dzisiaj ty zdychaj, ja za to do jutra pożyję!”. Dla ludożercy-knajaka – los sąsiada wcale nie jest obojętny: gotów jest przyspieszyć jego śmierć, aby odroczyć własną, czasem zaś – tylko po to, aby zabawić się bądź zaspokoić ciekawość).

Istnieje wreszcie przykazanie zbiorcze: nie wierzyć, nie bać się, o nic nie prosić! (w przykazaniu tym z wielką jasnością, a nawet plastycznością odzwierciedla się ogólny charakter narodowy zeków).

Aż strach pomyśleć, jak trudno byłoby (na wolności) rządzić narodem, który dałby posłuch temu dumnemu przykazaniu.

Od wspomnianych tu zasad prosta droga prowadzi nie do rozpatrzenia przykładów postępowania zeków, lecz do studium treści psychologicznej ich uczynków. Pierwszą cechą synów GUłagu – która od razu rzuca się w oczy i coraz częściej daje się później obserwować – jest równowaga duchowa, stateczność. W związku z tym wydaje się interesujące filozoficzne spojrzenie zeka na jego miejsce we wszechświecie. Anglik czy Francuz przez całe życie nic, tylko pysznią się, bardzo radzi, że urodził się jako Anglik czy Francuz. Zek inaczej: wcale nie jest dumny ze swojej przynależności narodowej, wręcz przeciwnie: widzi w niej jakby okrutną próbę, ale próbę tę pragnie znieść z godnością. Krąży wśród zeków nawet takie oto warte uwagi podanie: istnieją gdzieś podobno „wrota Archipelagu” (porównaj ze starożytnym mitem o słupach Herkulesowych). Otóż na frontonie tych wrót ten, kto je przekraczał, widział napis: „nie upadaj na duchu!”. Na tylnej zaś stronie wychodzący mógł odczytać słowa: „nie ciesz się za bardzo!”. I – co najważniejsze – dodają tubylcy: napisy te widoczne są tylko dla mądrych, głupcy ich nie widzą. Często mit ten streszcza się w prostej zasadzie życiowej: kto wchodzi, niech się nie turbuje, kto wychodzi, niech się nie raduje. Pod tym właśnie kątem należy rozpatrywać poglądy zeków na życie Archipelagu i na wszystko, co się dzieje w przestrzeni dookolnej. Wszystko może sprzysiąc się przeciw niemu. On zaś tylko marszczy brwi

448

i z chmurą na zgrubiałym, opierzchłym obliczu powiada: głębiej człowiek nie spadnie, niż na dno kopalni! Pocieszają się też powiedzonkiem: gorzej też bywa! I rzeczywiście, w największych mękach głodu, chłodu i prostracji duchowej owo

przekonanie, że mogło być nawet gorzej, wyraźnie podtrzymuje ich na duchu, dodaje otuchy.

Zek zawsze spodziewa się najgorszego, żyje w ciągłym oczekiwaniu na kopniaki losu, wciąż tylko patrzy, że go jakaś gadzina ukąsi. I odwrotnie – wszelką chwilową folgę uważa za niedopatrzenie, za omyłkę władzy. W tym ciągłym oczekiwaniu na nieszczęście dojrzewa surowa dusza zeka, obojętna na los własny i niemiłosierna dla innych.

Odchylenia od tego stanu równowagi są u zeka bardzo niewielkie – zarówno w stronę dodatnią, jak ujemną, tak w stronę rozpacz, jak w stronę radości. Bardzo udatnie określił ten stan rzeczy Taras Szewczenko (któremu zdarzyło się przez jakiś czas przebywać na wyspach jeszcze w epoce prehistorycznej): „Nie doznaję teraz prawie ani smutku, ani radości. Pojawił się za to we mnie spokój moralny, graniczący z rybim chłodem. Czy człowiek może zmienić się do tego stopnia pod wpływem ustawicznych nieszczęść? 12”.

Oczywiście. Pewno, że może. Stan stałej obojętności wyrabia w sobie zek, jako rodzaj bariery obronnej i tylko dzięki temu może przeżyć długie lata na tych posępnych wyspach. Jeżeli w ciągu pierwszego roku pobytu na Archipelagu nie uda mu się osiągnąć tego stanu ledwie pełgającej, przygastej wegetacji, to zwykle musi zginąć. Jeśli go zaś osiągnie – to zostaje przy życiu. Jednym słowem: jak nie zdechniesz – to będę z ciebie ludzie.

Wszystkie uczucia zeka są przytępione, nerwy zrogowaciałe. Zobojętniały na własne nieszczęście¹ na kary, jakim poddają go opiekunowie tego ludu, a nawet – na problem swojego życia i śmierci – zek jest też zupełnie nieczuły na cudze nieszczęście. Niewzruszonym okiem patrzy na łzy kobiet, puszcza mimo uszu czyjś krzyk bólu – do tego stopnia przytępione są jego odruchy. Tubylcy nierzadko odnoszą się bez żadnego miłosierdzia do niedoświadczonych nowicjuszy, zaśmiewają się z ich pomyłek i nieszczęść – ale nie trzeba za to sądzić ich zbyt surowo, czynią to nie przez złośliwość. Po prostu zdolność do miłosierdzia uległa w nich atrofii i uwagę ich zwraca tylko śmieszna strona podobnych zdarzeń.

Fatalizm jest najbardziej wśród nich rozpowszechnionym kierunkiem światopoglądowym. Jest to najgłębsza i najbardziej uniwersalna warstwa ich przekonań. Znajduje to wytłumaczenie w fakcie ich ubezwłasno-

12 List do pani Repnin.

19 – Archipelag Gulag t. II

449

weńnienia, a także w ich zupełnej niepewności jutra oraz w całkowitej niemożności wpływania na bieg wydarzeń. Fatalizm jest właściwie dla zeka niezbędny, pomaga mu bowiem utrzymać jakoś równowagę duchową. Syn GUŁagu uważa, że najmniej będzie miał kłopotów, jeśli zda się na łaskę losu. Przyszłość – to kot w worku. Nie mając należytej orientacji, nie mogąc przewidzieć, co zdarzyć się może z człowiekiem w każdym z możliwych wariantów losu, nie należy zbyt gorliwie starać się o cokolwiek ani nazbyt uparcie od czegokolwiek się wymawiać – niezależnie od tego, czy chodzi o przenosiny do innego baraku, innej brygady, czy do innego obozu. Może to lepiej, może gorzej, ale w każdym razie człowiek nie musi sam sobie robić wyrzutów: niech tam nawet gorzej będzie, ale nie przykładajęś do tej zmiany ręki. W ten sposób zachować można niewrażliwość na lęki, co bardzo ważne. Człowiek nie miota się daremnie, nie szuka wiatru w polu.

Tak będąc niepewny swego losu, zek nadzwyczaj łatwo poddaje się licznym zabobonom. Jeden z nich bardzo blisko związany jest z fatalizmem: jeśli człowiek zbyt troszczy się o zapewnienie sobie bytu, a tym bardziej o jakieś wygody, to na pewno wszystko pójdzie z dymem i szurną go na etap¹³.

Wspomniany fatalizm rozciąga się u zeków nie tylko na sferę spraw osobistych – lecz również na kwestie ogólne. W żaden sposób nie przychodzi im do głowy, że ogólny bieg rzeczy mógłby ulec zmianie. Są przekonani, że Archipelag istniał zawsze i że dawniej było na nim jeszcze gorzej.

Ale chyba najciekawszą z punktu widzenia psychologii stroną sprawy jest to, że tubylcy uważają swój stan stałego zubożenia w tak trudnych i zmuszających do wyrzeczeń warunkach – za sukces ich w o l i życia. Wystarczy, że lawina nieszczęść odrobinę się przerzedzi, że ciosy niedoli spadają na niego nie tak gęsto – a zek już daje wyraz zadowoleniu z ż y c i a i dumny jest ze swego zachowania. Być może czytelnik szybciej uwierzy w istnienie tego paradoksalnego rysu, jeśli zacytujemy tu Czecho-wa. W jego opowiadaniu Na zestrzeleniu przewoźnik Siemion Tołkowyj w ten oto sposób zwierza się ze swych uczuć:

„Doprowadziłem się do takiego stanu, że mogę całkiem goły spać na ziemi i żreć trawę. I daj Boże takie życie każdemu (kursywa nasza). Niczego mi nie trzeba i nikogo się nie boję i tak sobie myślę, że nie ma na świecie człowieka bogatszego i bardziej ode mnie wolnego”.

¹³ Pożary w dosłownym sensie tego pojęcia nie ciekawią zeków, nie zależy im na całości ich domostw, nie ratują nawet ich, gdy płoną, przekonani, że zawsze znajdą się na ich miejsce jakieś inne. Gdy mówią, że „poszło z dymem”, to mają na myśli tylko swój los osobisty.

450

Te zadziwiające słowa wciąż nam dźwięczą w uszach: słyszeliśmy to twierdzenie nieraz z ust tubylców na Archipelagu. (Nie wiemy tylko gdzie mógł to usłyszeć A. P. Czechów?). I daj Boże takie życie każdemu! – jak to się wam podoba?

Mówiliśmy dotąd o dodatnich cechach charakteru narodowego zeków. Nie wolno jednak zamykać oczu na jego ujemne strony, na pewne wzruszające słabości tego ludu, które wydają się niejako odbiegać od wymienionych poprzednio cech i przeczyć im.

Nieulekta i pełna surowości jest niewiara tego ludu ateistów (tubylcy kpią sobie na przykład ze słów Ewangelii: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni”; przekonani są, że przestrzeganie tego przykazania nikogo nie uchroniło przed rozprawą sądową). Mimo to trapią ten lud paroksyzmy ślepej łatwowierności. Zaobserwować można taką prawidłowość: w tym wąskim kręgu, w którym zekowi ostrość wzroku dopisuje – nie wierzy on nikomu i niczemu. Ale pozbawiony zdolności do widzenia abstrakcyjnego, nie znający perspektyw historycznych, zek z całą barbarzyńską naiwnością daje wiarę każdej zabłąkanej z daleka pogłosce, każdej miejscowej plotce o cudach.

Historycznym przykładem tubylczej łatwowierności – są nadzieje, jakie wiązano z przyjazdem Gorkiego na Wyspy Sołowieckie. Ale nie mamy potrzeby sięgać do czasów aż tak odległych. Istnieje na Archipelagu pewna religia, wyznawana stale i niemal powszechnie: jest to wiara w tzw. Amnesticję. Trudno wyjaśnić znaczenie tego wyrazu. Nie jest to imię bóstwa, jak mogłoby się czytelnikom zdawać. Jest to coś podobnego do Drugiego Przyjścia w doktrynie wyznawanej przez narody chrześcijańskie, jest to błysk światła tak oślepiającego, że pono w okamgnieniu

roztopić może lody Archipelagu, a nawet same wyspy, w rezultacie czego wszyscy tubylcy uniesieni zostaną przez ciepłe fale do słonecznych okolic, gdzie natychmiast odnajdą swoich bliskich i przyjaciół. Mamy tu do czynienia, jak się zdaje, z pewną odmianą wiary w nadejście Królestwa Bożego. Wiara ta, której nigdy żaden uwierzytelniony cud nie potwierdził, bardzo jest jednak żywotna i zakorzeniona. Podobnie jak inne ludy ważne swoje obrzędy wiążą z zimowym i letnim zrównaniem dnia z nocą – tak też tubylcy trwają w mistycznym (i nigdy nie spełnionym) oczekiwaniu pierwszych dni listopada i maja. Gdy tylko wiać zaczyna na Archipelagu wiatr południowy, natychmiast poczynają szeptać sobie na ucho: „Będzie amnestia, na pewno! Już się zaczyna!”. Skoro tylko wiać zacznie srogie wiatry północne – tubylcy grzeją oddechem swoje zgrabięte palce, trzą uszy, przestępują z nogi na

451
nogę i dodają sobie wzajem otuchy, tak mówiąc: „No, to na pewno będzie Amnestia. Bo inaczej zamarzniemy tu wszyscy na...! (tu – wyraz nie nadający się do przekładu). Już teraz będzie na pewno”.

Szkodliwość wszelkich religii dawno już została udowodniona – co widzimy również w tym wypadku. Wiara w Amnestię bardzo podcina siły tubylców, wprawia ich w – zupełnie nietypowy dla nich – stan rozmarzenia. Epidemia ta przybiera czasem tak groźny charakter, że zekom dosłownie wypada z rąk wszystko, cokolwiek robią w ramach pilnych rządowych zamówień. Praktyczne skutki takiego stanu rzeczy są takie same, jak przy rozchodzeniu się ponurych pogłosek o „etapach”. Dla właściwego zaś biegu codziennej pracy byłoby najpraktyczniej, aby tubylcy nie przejawiali żadnych odchyłeń od normy uczuciowej.

Inną słabością narodową tubylców, która w niezrozumiały sposób utrzymuje się w ich mentalności, choć znajduje się w sprzeczności z całym ich układem życiowym – jest utajona potrzeba sprawiedliwości.

Dziwne to pragnienie obserwował również Czechów na wyspie, wcale zresztą nie należącej do naszego Archipelagu: „Choćby katorżnik był nie wiem jak zepsuty i niesprawiedliwy – najwyżej w świecie ceni sobie sprawiedliwość i jeśli u swoich zwierzchników nie widzi przywiązania do niej, to z roku na rok wpada w coraz większe rozjątrzenie i traci stopniowo wiarę we wszystko”.

Chociaż uwagi Czechowa żadną miarą nie odnoszą się do rozpatrywanego przez nas wypadku, wydają się nam jednak zaskakująco słuszne.

Od pierwszego dnia pobytu zeka na Archipelagu, każda doba i godzina ich tutejszego życia jest wypełniona niesprawiedliwością i sami oni w tych warunkach dopuszczają się wyłącznie niesprawiedliwych czynów. Zdawałoby się, że powinni już dawno się do tego przyzwyczaić i uznać niesprawiedliwość za powszechnie obowiązującą normę życiową. A jednak nie! Każda niesprawiedliwość, popełniona przez ich starszyznę plemienną i przez opiekunów ich ludu, rani ich tak samo dotkliwie, jak pierwszego dnia. (Niesprawiedliwość natomiast wymierzona przez kogoś z nizin, komuś stojącemu wyżej – wywołuje tu tylko śmiech pełen aprobaty). W ich folklorze występują legendy, mające za temat już nie tyle sprawiedliwość, ile (w czym widać szablon i przesadę) – niczym nie usprawiedliwioną wspaniałomyślność. (Tak na przykład powstało i przez dziesięciolecia powtarzane było na Archipelagu podanie o wspaniałomyślnym postępowaniu władz w stosunku do Fanny Kapłan – że ponoć wcale nie była rozstrzelana, że siedzi dożywotnio w rozmaitych więzieniach. Można było spotkać nawet

wielu zeków, którzy twierdzili, że spotkali ją w więzieniach przesyłkowych albo otrzymywali od niej książki z butyrskiej biblioteki¹⁴.

Powstaje pytanie, na co była tubylcom potrzebna ta niedorzeczna legenda? Chyba tylko jako krańcowy przykład bezgranicznej wielkoduszności, w którą tak bardzo pragną wierzyć. Mogą wtedy w marzeniach samych siebie czynić jej obiektem). Znane są również historie o zekach, którzy pokochali na Archipelagu pracę (A. S. Bratczukow: „dumny jestem z tego, co zrobiłem własnymi rękoma”) albo przynajmniej nie nauczyli się jej nie-nawidzieć (tubylcy pochodzenia niemieckiego), ale wypadki te należą do takich wyjątków, że nie będziemy ich tu prezentować w charakterze cechy – nawet dziwacznej, ale zawsze – narodowej.

Niechaj nikt nie sądzi – że wyżej już wymieniony rys skrytości pozostaje w sprzeczności z opowiadaniem o przeszłości. U wszystkich innych ludów jest to ulubione zajęcie starców, ludzie zaś w średnim wieku na ogół nie lubią opowieści o dawnych dziejach i nawet boją się ich (zwłaszcza niewiasty, a także ci, co muszą wypełniać jakieś kwestionariusze i w ogóle wszyscy). Zeki zaś pod tym względem zachowują się jak lud złożony z samych staruszków. (W innym zaś aspekcie – mając stale do czynienia z wychowawcami – zachowują się jak naród złożony z dzieci). Trudno z nich jedno bodaj słowo wydusić na temat powszednich, drobnych sekretów (gdzie można podgrzać menażkę, u kogo można nabyć machorki drogą wymiany), ale o dawnych dziejach opowie taki człowiekowi wszystko bez żenady, niczego nie ukrywając: i jak mu się żyło przed przybyciem na Archipelag, i z kim żył, i jak tu trafił. (Gotowi są godzinami słuchać jak kto wpadł i te monotonne opowieści nigdy im się nie uprzykrzą. Im bardziej przypadkowe, powierzchowne i krótkie jest spotkanie dwóch zeków (przez jedną noc poleżą obok siebie w tak zwanym „zborniaku”) – tym obszerniej i szczegółowiej starają się oni poinformować rozmówcę o swoich losach.

Ciekawe tu może być porównanie ze spostrzeżeniami jakie poczynił Do-stojewski. Podkreśla on – że każdy z mieszkańców Domu umarłych

¹⁴ Komendant Kremla, towarzysz Malkow, nie tak dawno zdementował te pogłoski, opisując, jak rozstrzelał Fanny Kapłan wkrótce po zamachu na Lenina. Demian Biedny też był zresztą obecny przy egzekucji. Już sama jej nieobecność na ławie świadków na procesie eserowców w 1922 roku mogłaby zeków przekonać! – ale nikt z nich w ogóle o tym procesie nie pamięta. Przypuszczamy, że pogłoska o zamianie F. Kapłan kary śmierci na dożywocie wzięta się stąd, że wyrok taki dostała Berta Gandal. Niewiasta, Bogu ducha winna, przyjechała z Rygi do Moskwy akurat po zamachu, gdy bracia Gandal (oczekujący w samochodzie na Fanny Kapłan) zostali rozstrzelani. Za to właśnie Berta skazana została na dożywotnie więzienie.

przeżywał z milczącą męką dzieje swego uwięzienia – i rozmowy na ten temat uchodziły za rzecz wysoce nieestosowną. Dobrze to rozumiemy: mieszkańcem Domu umarłych zostawało się za popełnienie zbrodni: snucie wspomnień na ten temat nie było dla skazańców łatwe.

Na Archipelag zaś trafia człowiek dzięki nieodgadnionym kaprysom losu albo przez złośliwy zbieg mściwych okoliczności, ale w dziewięciu wypadkach na dziesięć nie poczuwa się do żadnej „zbrodni” i dlatego nie ma na całym Archipelagu opowieści bardziej interesujących i mogących liczyć na większe współczucie audytorium,

niż historie na temat „jak się tu znalazłem”. Długie opowieści zeków o dawnych dziejach, opowieści, których pełne są baraki każdego wieczoru, mają jeszcze inny cel i sens. O ile teraźniejszość i przyszłość zeka są bardzo niepewne, o tyle przeszłość jest elementem wręcz niewzruszonym. Przeszłości nic już nie może zekowi zabrać, a nadto – każdy był niegdyś kimś ważniejszym niż obecnie (nie sposób być bowiem kimś mizerniejszym od zeka; nawet do pijanego włóczęgi poza granicami Archipelagu wypada się zwracać per towarzysz). Dlatego to we wspomnieniach miłość własna zeka odwojowuje te szczyty, z których życie go strąciło¹⁵. Wspomnienia te podlegają ponadto obowiązkowym zabiegom kosmetycznym, włącza się do nich zmyślane (ale nadzwyczaj podobne do prawdy) epizody – i zek-narrator (podobnie jak jego słuchacze) odczuwa ożywczy nawrót wiary w swoje możliwości.

Istnieje także inna forma umacniania się w tej wierze – są to przeróżne, należące do folkloru opowieści o zręczności narodu zeków i fortunie jaka im sprzyja. Są to dość toporne fabuły, przypominające żołnierskie bajędy z czasów Mikołaja I (kiedy to brano na żołdacy na 25 lat). Opowiedzą wam więc jak to pewien zek poszedł do komendanta, żeby narębać trzasek na opał – i jak córeczka pana komendanta sama przyszła do niego, do drewnutni. Albo jak chytry kalifaktor zrobił podkop pod barak zarządu i podsawił menażkę pod ściek zlewu z tej izby, gdzie rewiduje się paczki. W paczkach od rodzin czasami przysyłana jest wódka, na Archipelagu jednak obowiązuje prohibicja i dlatego wódka musi być protokolarnie konfiskowana i zaraz wylewana precz. Nigdy jej zresztą nie wylewano. Kalifaktor zaś zbierał tę wódkę do menażki i zawsze chodził pod gazem.

W ogóle tubylcy lubią i cenią humor – i to dowodzi najlepiej, jak zdrowa w zasadzie jest psychika tych zeków, którym uda się nie zginąć w czasie pierwszego roku pobytu. Wychodzą oni z założenia, że płaczem

¹⁵ A przecież miłość własna starego, głuchego blacharza, czy nawet malarskiego terminatora wcale nie jest mniejsza, niż duma i ambicja słynnego stołecznego reżysera; z tym też trzeba się liczyć.

454

kary się nie zmniejszy, a śmiechem długów nie narobi. Humor jest ich wiernym sojusznikiem i życie na Archipelagu byłoby bez niego chyba zupełnie niemożliwe. Nawet wyzwiska cenią oni sobie – z uwagi na humorystyczną ich stronę: im które śmieszniejsze, tym pręcej ich przekona. Szczypta humoru musi być obecna w każdej ich odpowiedzi na zadane pytanie, w każdej uwadze o otoczeniu. Jeśli zapytać zeka, jak dawno już jest na Archipelagu, nie odpowie po prostu „pięć lat”, tylko rzeknie:

– Już pięć styczniów przesiedziałem. (Swoją podróż na Archipelagu nazywają oni z nieznanych powodów „odsiadką”, chociaż do siedzenia właśnie mają najmniej okazji).

– Ciężko tu wam? – spyta ktoś tutejszego kpiarza. Odpowiedź:

– Ciężko bywa tylko przez pierwsze dziesięć lat. Gdy wyraża się im współczucie z powodu surowego klimatu, odpowiadają:

– Klimat marny, za to towarzystwo wytworne.

A tak mówią o kimś, kto z Archipelagu wyemigrował:

– Dano mu trzy, odsiedział pięć, ale wyszedł przedterminowo. A gdy zaczęto przybywać na Archipelag w delegacjach służbowych, obliczonych na ćwierć stulecia:

– Teraz dwadzieścia pięć lat życia zapewnione! W ogóle – o Archipelagu mówią oni tak:

– Kto tu nie był, ten jeszcze do nas trafi, kto już był, ten zapomnieć nie potrafi.

(Widzimy tu sofizmat fałszywej indukcji, uogólnienie jest bezpodstawne: przecież nikt z nas, czytelniku, wcale się na Archipelag nie wybiera, wszak prawda?). Gdy tylko tubylcy słyszą czyjąkolwiek prośbę, by mu czegoś tam dodać (choćby nawet – wrzątku do kubka) – wszyscy krzyczą zaraz chórem:

– Prokurator już ci doda!

(W ogóle – do prokuratorów ludność tubylcza odnosi się z trudną do wytłumaczenia wrogością, która często daje o sobie znać. Rozpowszechnione jest np. na Archipelagu takie oto niesprawiedliwe powiedzenie:

– Prokurator – sekator, oskarżyciel – dręczyciel.

Prócz rymu gramatycznego nie znajdujemy w tych bezmyślnych określeniach dosłownie nic. Z przykrością widzimy tu jeden z licznych przykładów rozkojarzenia oraz niespójności, cechującej się porozrywaniem związków przyczynowych, co sprawia, że procesy myślowe u zeków przebiegają poniżej poziomu przeciętnego. Będzie o tym mowa nieco dalej).

Jeszcze parę przykładów ich miłych, pogodnych żartów:

– Śpi człowiek i śpi, a na odpoczynek nigdy nie ma czasu.

455

– Nie pijesz wody? To skąd weźmiesz siły?

Gdy pod koniec dnia praca szczególnie jest nieznośna (bo są znużeni i czekają na sygnał końca robót), zawsze ktoś zażartuje:

– Ech, dopiero by robota ruszyła, ale dnia nie starcza! Rankiem natomiast, zamiast od razu zabrać się do pracy, łążą z miejsca na miejsce i pogadują:

– Prędzej by już ten wieczór nadszedł, to by jutro (!) mógł człowiek iść do roboty! A oto gdzie widzimy zahamowania myślenia i zdolności do logicznych skojarzeń. Znane jest tubylcze powiedzonko:

– Nie myśmy ten las sadzili, to i rąbać go nie będziemy.

Ale jeśli rozumować w ten sposób, to wszak państwowe gospodarstwa leśne też lasów nie sadziły, a jednak trzebią je ze znacznym powodzeniem! Mamy tu przykład infantylizmu tubylców. Zresztą, są to może kiełki da-daizmu.

Albo takie porzekadło (z czasów budowy Kanału Białomorskiego):

– To robota dla niedźwiedzia!

No jak można serio proponować użycie niedźwiedzi do budowy wielkiego szlaku wodnego? Kwestię pracy niedźwiedziej omówił wyczerpująco już I. A. Kryłów w swoich dziełach*. Gdyby istniała chociaż najmniejsza możliwość wprężenia niedźwiedzi do planowej pracy – możemy być pewni, że byłoby to już w sowieckiej epoce zrealizowane i że powstałyby całe niedźwiedzie brygady i obozy dla niedźwiedzi.

Co prawda, tubylcy mają inne jeszcze powiedzonko, gdzie mowa o niedźwiedziach, nader niesprawiedliwe, ale uparcie powtarzane:

– Naczelnik – niedźwiedź.

Nie jesteśmy wręcz w stanie zrozumieć, jakie skojarzenie towarzyszyło narodzinom tego epitetu? Nie myślimy o tubylcach tak źle, by dwa te powiedzonka poddawać porównaniom i wyciągać stąd jakieś wnioski.

Wyznajemy, że jesteśmy w kłopotcie, przechodząc do problemu j ę z y-k a zeków. Nie mówiąc już o tym, że wszystkie dociekania, poświęcone nowo od-

krytym narzeczom, stanowić powinny przedmiot osobnych dzieł i studiów naukowych – natrafiamy w naszym wypadku na trudności dodatkowe.

Jedną z nich jest trwały, aglomeracyjny stop mowy, jako takiej – z urąganiem, o czym już wspominaliśmy. Podziału nikt tu nie jest w stanie

Mowa o bajkopisarzu Iwanie Kryłowie (1769–1844). 456

przeprowadzić (jak tu bowiem dzielić żywy organizm na części?)¹⁶, ale skądinąd – nie możemy tej mieszaniny w całości przelewać na karty dzieła naukowego, choćby z uwagi na dobro naszej młodzieży.

Drugim szkopułem jest konieczność odseparowania właściwego języka ludu zeków od narzecza plemienia ludożerców, zwanych „knajakami” lub „urkami”, a mieszkających z zekami pospołu. Narzecze to stanowi zupełnie odrębny odzimek drzewa filologicznego. Na całym obszarze lingwistyki nie znajdujemy zjawisk doń podobnych ani pokrewnych. Jest to narzecze godne specjalnych badań, ale tutaj mogłoby nas zaprowadzić na fałszywe tropy niezrozumiałe i mylące słownictwo ludożerców (na przykład: ksywa – pismo, dokument, filicha – chusteczka do nosa, samara – worek, sakwojaż, szeptak – zegarek, lopuchy – buty). Jednak największa trudność polega na tym, że niektóre elementy leksykalne języka ludożerców absorbowane są przez język zeków i przyczyniły się do jego wzbogacenia: świrować, lać wodę, zadać chleba, hakować, odpękać, zjorgnąć się, kwacz, hazok, jucht, kabaryna, kipisz, skiet, kogutek, lipo, cwel, okulaki, szlugi, ciul, żar, peryna, szucherny, najmimorda, iść na zapartkę, zrywka.

Trudno odmówić celności i plastyczności znacznej części tych wyrażen, są wśród nich nawet słowa dające się od razu zrozumieć. Za szczególnie udatny uważamy termin – w podskokach *! Można przetłumaczyć go tylko z pomocą dość skomplikowanego opisu. Robić coś albo podawać coś w podskokach znaczy to – i na paluszkach, i z impetem, i z całym oddaniem, a wszystko to jednocześnie.

Wydaje się nam, że współczesnemu językowi rosyjskiemu bardzo brak podobnych wyrażen! – zwłaszcza, że w życiu często spotyka się podobne typy zachowań.

Ale to już może przesadna troska. Piszący te słowa, po powrocie ze swojej długiej wyprawy naukowej na Archipelag bardzo się trwożył, niepe-wien, czy aby uda mu się powrócić do pracy dydaktycznej w instytucie etnograficznym, przy tym nie tylko w sensie zależnym od działu personal–

16 Dopiero niedawno niejaka ob. Stalewskaja ze wsi Dołgodieriewienskoje

w okręgu Czelabińskim znalazła sposób: „Dlaczego nie walczyliście z zanieczyszczeniem języka? Dlaczego nie zwróciliście się w sposób zorganizowany do waszego wychowawcy o należą p o m o c?”. Ten znakomity pomysł po prostu nie zaświtał nam w głowie, gdy gościliśmy na Archipelagu. Inaczej – na pewno podpowiedzielibyśmy go zekom...

W oryginale – „na cyrlach!”.

457

nego. Niepokoilo go także, czy nie utracił kontaktu ze współczesnym językiem rosyjskim i czy rozumieją go studenci. I raptem – ze zdziwieniem i ukontentowaniem usłyszał z ust studentów pierwszego roku te same zwroty, do których przyzwyczał się już na Archipelagu i których tak bardzo brak było naszemu językowi: „ob-ciach”, „uwalić”, „ciuch”, „frajer”, „pet”, „cizia szlaja się za burakiem” i tyle, tyle innych.

Jest to dowodem wielkiej prężności języka zeków, pomagającej mu drogą niepojętej osmozy przesączać się w głąb kraju i zasilać mowę potoczną, zwłaszcza

mowę młodzieży. Mamy dzięki temu nadzieję, że w przyszłości proces ten postępować będzie jeszcze energiczniej i że wszystkie wymienione wyżej wyrazy wejdą w skład naszego języka, a może nawet staną się jego ozdobą.

Tym trudniejsze jednak staje się już dziś zadanie badacza, pragnącego ustalić linię graniczną między językiem rosyjskim a językiem zeków!

I wreszcie – sumienność naukowa nie pozwala nam ominąć czwartej trudności: chodzi o pierwiastkowe, prehistoryczne może wpływy samego języka rosyjskiego na język zeków, a nawet – na gwarę ludożerców (obecnie takich wpływów już się nie obserwuje). Jak inaczej wyjaśnić można dziwny fakt: znajdujemy oto u Dala liczne odpowiedniki specyficznie wyspiarskich zwrotów*.

Przypomnijmy w związku z tym, że epitet „suka” oznaczał „szpicla” już za czasów P. F. Jakubowicza.

Albo taki znakomity zwrot tubylczy – zaprzeć się rogami (używa go się w stosunku do każdej pracy, którą chce się wykonać za wszelką cenę, a jeszcze częściej gdy mowa w ogóle o uporze, o trwaniu przy swoim), czy – utrzyć komuś rogów, przytrzeć rogów – otóż dzięki tym powiedzonkom językowi rosyjskiemu – a zresztą w – ogóle językom słowiańskim – przywrócony zostaje dawny sens pojęcia „rogów” (co wiązało się z dumą, pychą, butą, por. „rogata dusza”), zupełnie odmienny w barwie od narzuconego, importowanego z Francji pojęcia, znanego nam ze zwrotu „przyprawić komuś rogi” (odnoszącego się do zdrady małżeńskiej), zwrotu, który wśród prostego ludu zupełnie się nie przyjął, a na pewno zostałby zapomniany także przez naszą inteligencję, gdyby nie kojarzył się z historią pojedynku Puszkina.

Wszystkie te niezliczone trudności skłaniają nas chwilowo do odłożenia na później pracy nad glottologiczną częścią naszego dzieła.

W oryginale zacytowane są tu 4 przykłady wzięte ze słownika Włodzimierza Dala, z gwary ochweśników, z rosyjskiej kminy więziennej – nie mające odpowiedników w pa-remiografii polskiej.

458

Na zakończenie kilka słów o charakterze raczej prywatnym. Autora tego szkicu w trakcie jego badań tubylcy z początku nie darzyli ufnością: sądzili oni, że swoje pytania ankietowe zadaje on na zlecenie kuma (serdeczny ich opiekun, do którego jednak – co dotyczy zresztą wszystkich ich opiekunów – tubylcy odnoszą się w sposób niesprawiedliwy i nacechowany niewdzięcznością). Przekonawszy się, że sprawy mają się inaczej, a ponadto – zakosztowawszy nieraz machorki z naszej tabakierki (nie palą oni droższych gatunków tytoniu) zaczęli odnosić się do piszącego te słowa z dużą życzliwością, pozwalając mu zajrzeć w głąb ich nietkniętych zepsuciem dusz. W sposób nader sympatyczny zaczęli nazywać autora tego dziełka to Koprem Pomidorowiczem, to znów – Iwanem Iwanowiczem. Podkreślić należy, iż na Archipelagu rosyjskie patronimicum w ogóle nie jest używane i dlatego takie pełne szacunku zwracanie się po imieniu z dodatkiem imienia ojcowskiego – nosi tu odcień poniekąd humorystyczny. Również ten fakt świadczy, iż zrozumienie sensu niniejszej pracy przekraczało możliwości intelektualne tubylców. Autor zaś sądzi, że jego praca została uwieńczona sukcesem, a hipoteza znalazła potwierdzenie: oto w połowie XX wieku odkryty został nowy, nikomu dotąd nie znany lud składający się z wielu milionów ludzkich istot.

XX PSIA SŁUŻBA

Tytuł tego rozdziału nie jest umyślną i zjadliwą obelgą, lecz wyrazem szacunku dla tradycji Archipelagu. W końcu – ci ludzie sami sobie taki los wybrali: pełnią służbę tę samą co psy strażnicze i pełnią ją w psim towarzystwie. Istnieje nawet specjalny regulamin służby z psami i całe komisje oficerskie oceniają pracę każdego psa, troskliwie badając, czy odznacza się wystarczająco dobrą ciętością. I – jeśli utrzymanie jednego szczeniaka kosztuje naszych podatników 11 tysięcy rubli (sprzed wymiany zarządzanej przez Chruszczowa) – bo wilczury żrą sytniej niż więźniowie – to czy utrzymanie takiego oficera nie jest jeszcze kosztowniejsze?

Przy pisaniu tej książki cały czas dręczyła nas niepewność – jak ich w ogóle nazywać? „Naczelnicy, zwierzchność” – to zbyt ogólnikowe, odnosi się również do świata pozawięziennego, do całego życia kraju, a zresztą, zbyt już spowszedniało.

„Gospodarze” – to samo. „Administracja obozów” – definicja wymijająca, byłaby dowodem naszej bezradności. Nazywać ich zgodnie z obozową tradycją – to brzmiałoby brutalnie, obelżywie. Poszczególnych przedstawicieli tej kasty od biedy można by – w zgodzie z duchem języka i tradycją – nazywać „obożny”, w liczbie mnogiej – „obożni” – co sugeruje od razu, że chodzi o ludzi kierujących i zarządzających obozami, nie zaś o tych, co w obozach siedzą. Różnica jest taka sama, jak między dozorcą więziennym a dozorowanym więźniem. Prosimy czytelnika o wybaczenie nam tych dywagacji na temat słowa pozornie nowego, a w istocie dawnego, choć używanego w całkiem innym sensie;

Wszystko o psach – z powieści Mettera Murat („Nowy Mir”, 1960, Nr 6).

460

nie może ono uchodzić nawet za neologizm, skoro język zostawił sobie na to pojęcie jak gdyby wolne miejsce. Nie będziemy go jednak nadużywać.

Rozdział ten właśnie tym ludziom jest poświęcony: wielkim i małym obożnym, dozorcóm obozów (a także więzień). Można by zacząć od generałów, tak byłoby najskładniej – ale brak nam materiałów. Było niemożliwością dla nas – rabów i robaków nędznych – zobaczyć ich z bliska. Gdy zdarzało się nam ich widzieć, blask złota tak olśniewał, że nie byliśmy w stanie nic dostrzec.

Stąd też nic nie wiemy o zmienianych jeden po drugim szefach GUłagu – tych istnych carach Archipelagu. Gdy zdarzy nam się znaleźć fotografię Bermiana albo usłyszeć jakieś powiedzonko, przypisywane Apeterowi – natychmiast nabijamy je na szpilkę. Wiemy o „egzekucjach garanieńskich”, ale o samym Garaninie niczego nie wiemy. Tyle tylko nam wiadomo, że nie zadowalało go stawianie samych podpisów; przechadzając się po obozie, lubił sobie palnąć z mauzera, jeśli czyjś pysk mu się nie podobał. Piszemy – dajmy na to – o Kaszkietinie, ale. samego Kaszkietina ni–gdyśmy na oczy nie widzieli (i dzięki Bogu!). O Frenkle – to i owo dotarło do nas, o Zawienaginie – nic a nic. Nieboszczyk Zawienagin nie został jednak przywalony kamieniem – pod którym leży ekipa Jeżowa i Berii, żurnaliści piszą o nim z czułością: „legendarny budowniczy Norylska”! Legendarny klawisz, to już lepiej. Sam go może murował? Skądinąd – Be–ria darzył go miłościwym spojrzeniem, zaś emwudzista Zinowiew, jego podwładny, bardzo dobrze się o nim wyrażał, w sumie więc sądzimy, że niegorsza była z niego bestia. Inaczej zresztą – kto by mu ten Norylsk wybudował? – A znów Antonowowi, komendantowi obozu Jenisejskiego, publicznie złożył dzięki sam inżynier Pobożyj². Radzimy wszystkim przyjrzeć się temu obrazkowi: chodzi o rozładowanie kryp na rzece Taż. W głębi tundry, gdzie nie ma jeszcze żadnej drogi (czy kiedykolwiek tu w ogóle dotrze?), egipskie mrówki wywlekają parowozy z ładowni wprost na śnieg; nad nimi na skarpie stoi

Antonow, ogarnia całość sokolim okiem i wyznacza termin na rozładowanie. Przyleciał tu awionetką, tak samo stąd odleci, świta przed nim tańczy, że niech Napoleon się schowa, a własny kucharz serwuje mu tu, wśród polarnych lodów, świeże pomidory i ogóreczki na składanym stoliku. I z nikim, psi syn, się nie podzieli, wszystko sam zeżera!

W tym rozdziale przyjrzymy się szarżom od pułkownika w dół. Pogwarzyśmy małowiele o panach oficerach, przejdziemy potem do sierżantów, prześlijmy się po strzelcach z oddziałów wartowniczych – i to już wszy–

„Nowy Mir”, 1964, Nr 8, Martwa droga.

461

stko. Kto widział więcej – ten niech więcej opisz. Oto fatum, ograniczające pole widzenia ludzi siedzących w obozie lub więzieniu: charakter strażników interesuje nas wtedy tylko o tyle, o ile obserwacja taka pomaga uniknąć ich gróźb albo wykorzystać ich słabości. Nic nas poza tym w nich nie ciekawi, nie chcemy ich znać, wydają się niegodni uwagi. Znosimy udręki, pełno dokoła ludzi cierpiących niewinnie i w porównaniu z tym snopem cierpień, który nie mieści się w niczyich objęciach – co nas obchodzą ci tępacy, pełniący obowiązki psów? ich interesiki? ich nędzne skłonności? ich służbowe sukcesy i niepowodzenia?

A teraz, poniewczasie, rozumie człowiek, że za mało im poświęcał uwagi.

Nie mówmy tu już o zdolnościach – bo czy zechce zaciągnąć się do nadzoru obozowo-więziennego ktoś zdolny do jakiegokolwiek innej pożytecznej działalności – ale zapytajmy po prostu: czy dozorca obozowy może w ogóle być zacnym człowiekiem? Jaki system doboru moralnego działa w tym wypadku? Pierwsza selekcja ma miejsce przy kierowaniu do wojsk MWD, do szkół MWD, czy na odpowiednie kursy. Każdy, na kogo padł daleki choćby odblask wskazań moralnych, każdy, kto ma jakieś skrupuły, cień sumienia, zdolność odróżniania dobra od zła – będzie instynktownie bronił się wszelkimi siłami przed wcieleniem do tego czarnego legionu. Ale załóżmy, że człowiek nie był w stanie się wymigać. Nadchodzi moment drugiej selekcji: w trakcie nauki i praktyki służbowej dowództwo bacznie przygląda się elewom i dyskwalifikuje tych, którzy zamiast silnej woli i zdecydowania (to jest – okrucieństwa i bezwzględności) przejawiają ślana-zarność (to znaczy – dobroć).

A później przychodzi wieloletnia, trzecia selekcja: wszyscy, którzy dotąd nie zdawali sobie sprawy na co się decydują i gdzie mają pracować – teraz już wiedzą wszystko i zgroza ich ogarnia. Być niezmiennie narzędziem przemocy, bez wytchnienia służyć złu! – to przecież nie każdy potrafi i nie od razu się tego uczy! Przecież musisz brać pod obcas cudze losy, a wewnątrz coś się w tobie napina, a w końcu pęka – i dalej już nie możesz tak żyć. I z dużym opóźnieniem, ale ludzie tak czy owak zaczynają zrywać się z tego łańcucha, szukają ratunku w chorobie, zdobywają jakieś lipne zaświadczenia, godzą się na gorzej płatną pracę, rezygnują z epoletów – byleby uciec, uciec, uciec od tego!

Ale ta reszta przecież się wdraża. Ta reszta jakoś się przyzwyczaja – i już im ten sposób bycia wydaje się normalny. A w każdym razie – pożyteczny. A nawet zaszczepny. A niektórzy – nawet wdrażać się wcale nie musieli – od początku już byli tacy.

Biorąc pod uwagę ten system selekcji, można dojść do wniosku, że odsetek ludzi bezwzględnych i okrutnych jest wśród tej kategorii osób znacznie wyższy, niż w jakiegokolwiek innej grupie ludności. Im dłużej przeto

462

człowiek służy w Organach, im mniej ma przy tym przerw w pracy, im więcej zaś honorów – z tym większym prawdopodobieństwem twierdzić można, że to łotr. Nie zapominamy o podniosłych słowach Dzierżyńskiego: „Kto z nas stał się nieczułym, czyje serce nie potrafi już odnieść się z należnym taktem do cierpień więźnia – niech opuści te szeregi”. Ale jakoś nie możemy znaleźć związku między tymi słowami a rzeczywistością. Do kogo to było mówione? I czy aby całkiem serio? – skoro jednocześnie taki Kosyriew był brany w obronę? (Część I, rozdział 8). I kto był tym wskazaniom posłuszny? Ani „terror jako środek perswazji”, ani aresztowania za zasadzie przynależności do „niepewnych elementów”, ani egzekucje zakładników, ani obozy koncentracyjne, założone 15 lat przed Hitlerem – nie dają nam jakoś podstaw do wiary w te czułe serca, w tę rycerskość. I jeśli w tych latach ktoś z własnej inicjatywy porzucił Organy, to raczej właśnie ci, których Dzierżyński zachęcał do pozostania, ci którzy nie zapadli na znieczulicę. A kto na tę chorobę zapadł albo zawsze był jej ofiarą, ten właśnie zostawał w tych szeregach. (A może Dzierżyński im inne jeszcze wskazania dawał, tylko cytutki brak?). Jak twardy mają żywot komunały, które powtarzamy bez namysłu i kontroli! Stary czekista! – kto nie słyszał u nas tych słów, wymawianych zwykle z szczególnym akcentem i z szacunkiem. Jeśli ktoś chce podkreślić różnicę między doświadczonym służbistą, a młodymi, niedoświadczonymi szczeniakami, szczekliwymi, ale nie umiejącymi jeszcze gryźć jak należy – powiada wtedy: „A tameczny komendant to stary czekista!”. (No, na przykład – jak ten major, co to spalił sonatę kajdaniarską Klempnera). Czekiści sami puścili to wyrażonko w obieg, a my bezmyślnie je powtarzamy. „Stary czekista” – przecież to znaczy co najmniej tyle, że i za Jagody był ceniony, i za Jeżowa, i za Berii, słowem że potrafił każdemu z nich dogodzić. Ale nie rozpraszajmy się, nie mówmy tu o czekistach w ogóle. Cze-kistom operacyjno-śledczo-żandarmskiego autoramentu już poświęciliśmy cały rozdział. Tymczasem – ci od obozów tylko lubią tak siebie nazywać, aspirują jedynie do tej godności albo też odkomenderowani zostali z Organów na wypoczynek – tak jest, na wypoczynek, bo tu nie psują sobie nerwów i zdrowia nie mogą sterać. Ich tutejsza praca nie wymaga ani takiej inteligencji, ani takiej złowrogiej energii, które tam są potrzebne. W Cze-kagebe trzeba być ostrym i koniecznie wpaść zwierchnikom w oko, w MWD wystarczy być tępym i nie spudłować, waląc w czachę. Bardzo nam przykro, ale nie zamierzamy tu wyjaśnić dlaczego właściwie hasło „maksymalnego zwiększenia odsetka robotników i komunistów

463

w szeregach dozoru obozowego³”, z takim sukcesem wprowadzone w życie, nie przyczyniło się do rozkwitu na Archipelagu owego żarliwego humanitaryzmu, o którym mówił Dzierżyński. Od pierwszych lat rewolucji, na kursach przy Centralnym Oddziale Kar i przy jego gubernialnych delegaturach, dla potrzeb więzień i obozów szkolono personel administracyjny (to znaczy – straż wewnętrzną) „nie odrywając ludzi od pracy zasadniczej” (to znaczy – że byli już na służbie w więzieniach i obozach). W 1925 roku tylko 6 % tych ludzi wywodziło się ze starej, carskiej kadry resortu więziennictwa (stare wiarusy, swoją drogą). Co do średnich szarż, to już wcześniej ta ekipa składała się wyłącznie z elementów sowieckich. Uczyli się więc: z początku na wydziałach prawa Komisariatu Oświaty (tak jest, Komisariatu Oświaty! I nie bezprawia – tylko prawa!), poczynając zaś od 1931 roku – na wydziałach penitencjarnych instytucji prawniczych Komisariatu Sprawiedliwości w Moskwie, Leningradzie, Kazaniu, Saratowie i Irkucku. Wśród absolwentów

tych wydziałów było 70 % osób pochodzenia robotniczego i 70 % członków partii! W 1928 roku dekret Sownarkomu i – nigdy nie zgłaszającego sprzeciwów – WCIK – u rozszerzył znacznie dyscyplinarne uprawnienia tych proletariackich i partyjnych szefów miejsc odosobnienia⁴ – no i proszę, jakoś humanitaryzmu nie przybyło! Zadawali oni cierpienia milionom ludzi, wiele więcej było tych milionów niż ofiar faszyzmu – przy tym nie byli to jeńcy ani mieszkańcy zdobytych terytoriów, tylko współobywatele, synowie tej samej ziemi!

Kto potrafi to wyjaśnić?

Czy podobieństwo przeznaczeń i sytuacji życiowych upodabnia do siebie ludzkie charaktery? Na ogół biorąc – nie. Gdy chodzi o ludzi wielkiego ducha i rozumu – to nie upodabnia; zdolni są oni do samodzielnych decyzji, bardzo czasem nieoczekiwanych, bo też ludzie ci mają własne, osobliwe cechy. Ale ludzie z dozoru obozowego – po przejściu surowej selekcji negatywnej, dotyczącej zarówno ich intelektu, jak etyki – odznaczają się niezwykłym podobieństwem charakterów. Sądzimy, że bez trudu uda się wyodrębnić ich zasadnicze cechy wspólne.

Pycha. Facet mieszka na izolowanej wyspie, więź, łącząca go z odległymi ośrodkami władzy, jest słaba i na tej wyspie – jest on na pewno najważniejszy: jego pokorni poddani – to nie tylko cała gromada zeków; wszyscy wolni też się do nich zaliczają. On tu ma największą gwiazdę na

3 A było ich w RSFSR – już 1. X. 1923 – 12 tysięcy, zaś 1.1. 1925 – 15 tysięcy. Centr. Arch. Rew. Paźdz., zbiór 393, fascykul 39, teka 48, arkusz 4 i 13.

4 Praca zbiorowa: Od więzień... str. 421.

464

epoletach. Władza jego jest bezgraniczna, ten człowiek nigdy nie popełnia omyłek: każdy, kto ośmieli się złożyć skargę, musi w końcu uznać, że był w błędzie (bo zostaje zgnieciony na miazgę). To on ma najlepsze na wyspie mieszkanie i najlepszy środek lokomocji. Na jego bliskich i świętę również pada wyjątkowy blask. A jako że całe ich poprzednie życie nie zdołało wyrobić w nich nawet iskry zdolności krytycznych – więc zaczynają w końcu samych siebie uważać za przedstawicieli szczególnej rasy urodzonych władców. Z faktu, że nikt nie jest w stanie im stawić czoła, wyciągają wniosek, że rządy ich są pełne mądrości, że mają do rządzenia wyjątkowy talent („organizacyjny”). Każdego dnia i na każdym kroku zbierają nowe dowody swojej przewagi: inni ludzie na ich widok stają, prężą się służyć, gną się w ukłonach, na każde żądanie – nie podchodzą, tylko podbiegają, otrzymawszy rozkaz – nie odmaszerowują, tylko biegną w dyrdy. Gdy pan naczelnik (Dukielski z Bamtagu) staje we wrotach obozu, aby przyjąć parade czarnej od brudu czeredy poddanych, wracających z roboty – ma na sobie śnieżnobiałą, letni garnitur, godny plantatora. Gdy wpadnie im do głowy (Unżtag) przyrzec się, jak kobiety w czarnych łachmanach, grzęznąc w błocie po pępek, usiłują kopać kartofle (zresztą nie zdążą ich z pola wywieźć i latem wszystko pójdzie na nawóz) – na lustrację wyjeżdżają konno; mijając gromadę tonących w bagnie niewolnic, ci eleganccy jeźdźcy w nienagannie skrojonych wełnianych uniformach, w lśniących oficerkach – prezentują się zaiste jak goście z Olimpu.

Buta prowadzi nieuchronnie do tępoty. Kto za życia podniesiony został do boskiej godności – ten musi znać się na wszystkim doskonale, nie musi zaś ani czytać, ani uczyć się niczego. Nikt nie może mu też podpowiedzieć żadnej myśli, godnej chwili uwagi. Na Sachalinie Czechów spotykał wśród administracji więziennej ludzi rozumnych, aktywnych, mających jakieś pasje naukowe, badających miejscową

przyrodę i warunki bytowe, piszący rozprawki z zakresu geografii i etnologii – ale nawet w przystępie dobrego humoru nie sposób wyobrazić sobie na całym Archipelagu choćby jednego takiego przedstawiciela kadry obozowej! I gdy taki Kudłatyj (komendant jednej z placówek wydzielonych Usfwymłagu) postanowił, że wykonanie państwowej normy na 100 % – to jeszcze nie jest żadne prawdziwe 100 %, i że trzeba osiągać jego własne, brane z sufitu, cyfry wykonania, bo inaczej cała zmiana dostanie karną pijkę – to nikt nie był w stanie go przekonać. Zmiana osiąga 100 % normy – i dostaje w nagrodę karną pijkę. W gabinecie Kudłatyj ma całe naręcza pism zebranych Lenina. Wzywa do siebie W. G. Własowa i wyklada mu: „Widzisz, tu Lenin pisze, jak trzeba postępować z pasożytami” (za pasożytów uważa on więźniów, osiągających tylko 100 % normy, za proletariat zaś – samego 20 – Archipelag Gutag t. II

465

siebie. W ich głowach tak to się jakoś już ułożyło: tu jest mój folwark i to ja jestem prawdziwym proletariuszem).

W epoce pańszczyzny nie brak było wykształconych ziemian, ba, wielu z nich uczyło się w rozmaitych Petersburgach, czy nawet Getyngach. Stąd właśnie raz po raz pojawiali się wśród nich ludzie pokroju Aksakowa, Radiszczewa, Turgienie-wa. Środowisko naszych emwudzystów nie wydało i nie wyda nikogo, kto by tamtych ludzi przypominał. A co najważniejsze – dawni dziedzice albo sami zarządzali własnym majątkiem, albo musieli chociaż trochę znać się na gospodarstwie. Tymczasem butni oficerowie MWD, korzystający z wszystkich możliwych przywilejów i państwowych nadań, nie mogą już w żaden sposób udźwignąć dodatkowego ciężaru zarządzania gospodarką obozową. Są na to zbyt leniwi i tępi. Swoją nieza-radność ukrywają za mglistą zastoną tajemnicy służbowej i regulaminu. I w rezul-tacie państwo⁵ zmuszone jest do utrzymywania obok ich uskrzydłonej epoletami hierarchii – jeszcze jednej, równoległej drabiny stanowisk produkcyjnych w obozowych wytwórniach i kombinatach⁶.

Samowola. Skłonności sobiepańskie. Pod tym względem kadra obozowa w zupełności dorównała najgorszym właścicielom chłopskich dusz z XVIII i XIX wieku. Niezliczone są przykłady bezmyślnych rozporządzeń, mających jeden tylko cel: pokazać, kto tu rządzi. Im głębiej w lasy Syberii i Dalekiej Północy – tym więcej podobnych przykładów, ale nawet w takich Chimkach pod samą Moskwą (dzisiaj – już w obrębie Moskwy) major Wołków widzi I maja, że więźniowie nie tryskają wesołością. Rozkazuje zatem: „Niech mi tu zaraz będzie wesoło! Jak zobaczę kogo z ponurą miną – do karceru!”. Aby wprowadzić inżynierów w nastrój świąteczny – posyła do hali produkcyjnej szemrane dziewczuchy z trzecim wyrokiem na karku, aby śpiewały im tam sprośne czastuszki. Ktoś mi powie, że to nie samowładztwo rozwydrzonego sobiepanka, tylko chwyt polityczny; zgoda. Do tegoż obozu przybył nowy transport. Jeden z nowo przybyłych, niejaki Iwanowski, oznajmia, że jest tan-cerzem z baletu Teatru Wielkiego. „Co? Artysta? – sroży się Wołków. – Dwadzieścia dni bunkra! Idź sam się zameldować do naczelnika karceru!”. Za jakiś czas telefo-nuje: „Artysta siedzi?” – „Siedzi”. „Sam się zgłosił?” – „Sam”. – „No, to go wypuścić. Wyznaczam go na pomocnika intendenta”. (Tenże Wołków, jak to już pisaliśmy, kazał ostrzyć dziewczynę na zero za to, że miała ładne włosy).

⁵ Nie zawsze decyzje należą do centrali, historia to wyjaśni. Często inercja średniej warstwy urzędniczej decydowała o zastoju w całym państwie.

6 Ale to nikogo nie dziwiło. Toć wszystko u nas jest dublowane, poczynając od aparatu Rad Narodowych (Sowietów).

466

Pewnemu komendantowi OŁP nie dogodził czymś chirurg Fuster, Hiszpan. „Postać go do kamieniołomów!”. Postali. Ale niedługo potem – pan komendant się rozchorował i operacja okazała się konieczna. Nie brak innych chirurgów, można pojechać do centralnego szpitala, ale nie! komendant wierzy tylko w Fustera! Przysłać go w te pędy z kamieniołomów! Będziesz mnie operować! (Ale skonał pod nożem).

Inny zaś komendant trafił na złotą żyłę: więzień Kazak, inżynier–geolog, ma, jak się okazuje, piękny tenor dramatyczny, jeszcze przed rewolucją kształcił się w Petersburgu, był uczniem Włocha Repetto. Komendant także u siebie odkrył talent. Są to lata 1941–42, gdzieś tam toczy się wojna, ale komendant jest solidnie wyreklamowany i bierze lekcje śpiewu u swojego pańszczyźnianego tenora.

A tenor całkiem już scherlał – trzy ćwierci do śmierci, wciąż rozpytuje się w podaniach o żonę. Żona jego, O. P. Kazak, jest na zesłaniu i szuka męża poprzez GUŁag. Obie nici ma w ręku komendant, mógłby połączyć tę parę, gdyby chciał; nie kiwnie jednak nawet palcem. Dlaczego? „Uspokaja” tylko Kazaka, że jego żona jest... na zesłaniu, ale ma co jeść (była nauczycielką, pracuje teraz w Centrali Zbożowej jako sprzątaczką, później przenoszą ją do kołchozu)).

A lekcje śpiewu wciąż trwają. Kiedy w 1943 roku Kazak już ledwie trzyma się na nogach, komendant wreszcie zdobywa się na akt łaski: pozwala wciągnąć go do spisu niezdolnych do pracy i odsyła do żony, aby mógł tam spokojnie skonać. (Nie najgorszy więc jeszcze komendant!).

Całą zwierzchność obozową ożywia to samo poczucie, że siedzą na swoim. Uważają swój obóz wcale nie za część jakiegoś organizmu państwowego, lecz za swoje włości, oddane im bez reszty we władanie, na cały okres ich kadencji. Stąd się bierze sobiepańskie rozpasanie w stosunku do ludzi i losów, będących w ich ręku, stąd też chętność, którą przejawiają przy okazji spotkań. Komendant jednego z kengirskich podobozów powiada: „U mnie w łazni profesor w piecu pali!”. Ale komendant innego pod-obozu, kapitan Stadników, bije go asem: „A u mnie członek Akademii jest za posługacza, kible wynosi!”.

Chciwość, zachłanność. Jest to najbardziej uniwersalny rys ich charakteru. Nie każdy z nich jest tępakiem, nie każdy sobiepanem – ale każdy, od najstarszego rangą, do najdrobniejszej płotki, stara się przywłaszczyć sobie jak najwięcej, wykorzystując bezpłatną pracę zeków i rozkra–dając mienie państwowe. Nie tylko sam nie widziałem – ale nikt z moich przyjaciół nie potrafi przypomnieć sobie nadzorczy o czystych rękach, nikt też z byłych zeków, moich korespondentów, takiego na oczy nie widział.

467

Tej łapczywości nie mogą zrównoważyć żadne, a tak liczne, przywileje i z prawa należne korzyści. Ani wysokie gaże z podwójnymi i potrójnymi dodatkami („podbiegunowy”, „peryferyjny”, „za pracę w niebezpiecznych warunkach”). Ani premie (przewidziane dla obozowego kierownictwa na mocy art. 79 kodeksu Pracy Poprawczej z 1933 roku – tego samego kodeksu, który pozwalał na ustanowienie 12-godzinnego dnia roboczego dla więźniów i tygodnia bez niedziel). Ani – wyjątkowo korzystne obliczanie stażu pracy (na Północy, gdzie przecież położona jest połowa Archipelagu, jeden rok pracy równa się dwom, a dla „wojskowych”

wystarczy 20 lat służby do emerytury. W ten sposób, oficer MWD, promowany w wieku 22 lat, może przejść na pełną emeryturę i zamieszkać sobie w So-oci, mając zaledwie 32 lata!).

Ale tego im mało! Każdy kanał i kanalik, przez który napływać mogą darmowe usługi, wiktuały czy wyroby – wykorzystywany jest przez każdego z tych panów łapczywie i żarłocznie. Już na Solówkach naczelnicy zaczęli brać sobie do posług więźniów, aby mieć za darmo chłopców, palaczy, praczek, kucharki. Od tego czasu nie ustawał ani na chwilę ten wygodny proceder (i nikt go nie zabraniał), a panowie gospodarze mieli w obozach nawet własnych ogrodników, guwernerów do dzieci i dojarki do krów. I w latach najgłośniejszych krzyków na temat socjalizmu i równości, na przykład w 1933 roku, w Bamtągu każdy wolny pracownik mógł – za niewielką opłatą na rzecz kasy obozu – wybrać sobie spośród więźniów posługacza lub służącą. W Kniaż-Pogocie „ciocia Mania” Utki-na obługiwała komendancką krówkę i dostawała w nagrodę za to jedną szklankę mleka dziennie. Jak na GUłag – była to hojna zapłata. (A jeszcze bardziej zgadzałoby się z prawami GUłagu, gdyby krowa była nie panako-mendancka, tylko szpitalna, „dla wzbogacenia diety chorych”, z tym, że mleko i tak by szło na stół możnowładczy).

Kto tylko mógł jeść i pić kosztem więźniów – ten niechybnie kradł, przy czym nie szklankami, ale wiadrami i workami. Niech czytelnik przyjrzy się listowi Lipaja, przytoczonemu w rozdziale IX; toć to istny krzyk duszy byłego magazyniera! Przecież nie z głodu, potrzeby czy biedy ci wszyscy Kuraginowie, Pojsujszapki czy Ignatczenkowie pompowali z magazynu beczki i wory, tylko o to, tak sobie: bo też jak tu nie pożywiać się kosztem bezbronnych, niemych i ginących z głodu rabów? Tym bardziej – podczas wojny, kiedy to każdy łapie, co tylko może. Toć koledzy wyśmiewają, jeśli człowiek sobie tego odmówi! (Nie wspominam już oddzielnie o ich wiarołomnej nielojalności wobec współników-pryduków, którym powinęta się noga). Więźniowie z Kołymy twierdzą, że kto tylko mógł wetknąć grabę do wspólnego kotła dla zeków – komendant obozu, naczelnik wydziału peni-

468

tencjarnego, naczelnik KO, wolni pracownicy, dyżurni nadzorcy – ten już coś sobie z niego wyławiał. A wartownicy wynosili na odwach nawet słodzoną herbatę! Niech tam będzie tylko łyżeczka, ale jak nie liznąć tego cukru, skoro to dla zeków! Co konającemu od ust odjęte – to przecież słodsze...

A cóż dopiero było, kiedy dostali do rąk „amerykańskie podarunki” (były to dary zebrane przez obywateli USA dla sowieckiego ludu)! Jak opowiada Tommaso Sgovio, w 1943 roku, w obozie Ust'-Miez, komendant obozu – pułkownik Nagorny, szef politoddziału – Gołouchin, delegat zarządu obozów z Indygirki – Byków i szef oddziału geologii – Rako-wski, do spółki ze swoimi żonami własnoręcznie otwierali wszystkie skrzynie darów po kolei i zagarniali co mogli, wydzierając to sobie wzajemnie. To, co zostało, rozdawali potem jako premie wolnym pracownikom. Aż do 1948 roku ordynansi naczelników sprzedawali na czarnym rynku resztki tych amerykańskich darów.

Naczelników działów KO lepiej wcale nie wspominać – tu już tylko śmiech bierze. Też kradną wszyscy, ale za to drobne złodziejaski (być większymi im nie wolno). Wzywa taki naczelnik KO magazyniera i wtyka mu w rękę jakiś pakuneczek: dziurawe, watowane portki, zawinięte w „Prawdę”: – Naści, a mnie przynieś nowe. A z obozu na rogatec Kałuż-skiej naczelnik KO w latach 1945–46 co dzień wynosił

wiązkę trzasek, ściągniętych dla niego przez zeków na budowie. (A potem jechał przez Moskwę autobusem: – służbowy szynel i wiązka drewek, też nie miał słodkiego życia...).

Panom gospodarzom nie wystarcza, że i dla nich, i dla całych ich rodzin obozowi majsterkowie szyją.–buty i ubrania (nawet kostium „gołąbek pokoju”, w którym gruba żona pana komendanta ma pojawić się na maskaradzie – też jest szyty w obozowej szwalni). Nie wystarcza im, że w obozowych warsztatach robią dla nich meble i wszelkie narzędzia gospodarcze. Nie dość im, że więźniowie leją tam dla nich śrut (żeby mogli kłusować w sąsiednim rezerwacie). Nie dość im, że ich prosięta tuczone są z przydziałów dla obozowej kuchni. To dla nich za mało! Od dawnych dziedziców tym właśnie się różnią, że ich władza nie jest dożywotnia ani dziedziczna. Dlatego też – dawni ziemianie sami u siebie kraść nie musieli, zaś obozowi naczelnicy furt myślą tylko o tym, jakby coś zwędzić z własnego gospodarstwa.

Nie chcę tu szafować przykładami, aby nie przetładować nimi relacji. Z naszego obozu na Kałużskiej ponury garbus Niewieżyn nigdy nie wychodził z pustymi rękoma. Krocząc w swoim długim oficerskim szynelu,

469

zawsze niósł albo wiaderko z pokostem, albo szyby, albo paczkę kitu, a wszystko to w ilościach tysiąckrotnie przekraczających potrzeby jednej rodziny.

A brzuchaty kapitan, komendant 15 OŁP z Wybrzeża Kotiel-nikowskiego co niedziela przyjeżdżał do obozu osobowym samochodem po kit i pokost (w powojennej Moskwie szły one na wagę złota). Wszystko to było już przedtem ukradzione dla nich i wyniesione z żony produkcyjnej przez tych samych zeków, którzy dostali po 10 lat za snopek słomy albo pudełko gwoździ! Ale my, sowuldzie, od dawna już jesteśmy dobrze wychowani i już nas to w naszym kraju nie dziwi, już to dla nas wszystko fraszka. Ale co myśleli sobie niemieccy jeńcy w rostowskim obozie! – komendant posyłał ich nocami na budowę, aby kradli tam dla niego materiały: zarówno on, jak jego pomocnicy stawiali właśnie dla siebie domki jednorodzinne. Jak mogło się to pomieścić w głowach przyzwyczajonych do pośluszeństwa Niemców, skoro dobrze wiedzieli, że ten sam komendant oddawał ich za kradzież paru kartofli pod sąd, gdzie z kolei wlepiano im po 10 i po 25 latek? Niemcy znaleźli w końcu wyjście: zgłaszali się do tłumaczki T. S. i wręczali jej pisemne usprawiedliwienie: stało tam czarno na białym, że takiego a takiego dnia idą kraść, ale na rozkaz. (Budowali zaś oni kolej i nieustanne podkradanie cementu sprawiło, że zwrotnice i tory układano nieomalże na gołym piasku).

Warto odwiedzić w Ekibastuzie dom dyrektora miejscowych kopalń D. M. Matwiejewa (pracuje teraz w górnictwie tylko na skutek częściowej redukcji kadr GUłagu, bo aż do 1952 roku był komendantem obozu w tej samej miejscowości). Dom ten pełen jest obrazów, rzeźb i rozmaitych innych przedmiotów wykonanych bezpłatnie przez zeków.

Rozwiązłość. Ta cecha nie u każdego występuje, zależy to od fizjologii, ale pozycja komendanta obozu i suma jego uprawnień stwarzają wyjątkowe warunki do zakładania haremu. W Buriepołomie komendant podobozu Grinberg nie przepuścił ani jednej nowo przybyłej młodej, ładnej kobiecie (jaki jeszcze miały wybór, oprócz śmierci?). W Koczemasie komendant obozu Podlesnyj był amatorem nocnych obław w żeńskich barakach (już to wiedzieliśmy w Chowrinie). Osobiście ściągął z kobiet koce, udając, że szuka gachów. Miał piękną żonę,

a jednocześnie trzy kochanki – zeczki. (Pewnego dnia zazdrość tak go poniosła, że jedną z nich zastrzelił i zaraz sam sobie w łeb palnął). Filimonow, naczelnik działu kul-turalno-oświatowego w ogromnym Dmiłtagu usunięty był ze stanowiska „za rozkład moralny” i karnie przeniesiony do Bamłagu (na analogiczne stanowisko)i. Tu dalej pił na umór i cudzołożył w najlepsze, a swoją kochankę, skazaną za jakieś przestępstwo pospolite, zrobił kierowniczką jed-

470

nego z oddziałów KO. (Syn jego skumał się z bandytami i wkrótce sam dostał się do obozu za rozbój).

Złośliwość, okrucieństwo. Nie istniały żadne wędzidła – ani moralne, ani praktyczne – które mogły powściągnąć w nich te skłonności. Nieograniczona władza w ręku ograniczonych ludzi zawsze prowadzi do wybuchów okrucieństwa. Jak rozwydrzona plantatorka uwijała się na swoim koniu wśród pracujących niewolnic Tatiana Merkułowa, kobie-ta-bestia (trzynasty, żeński odcinek leśny Unżłagu). Jak twierdzi były zek, Pronman, major Gromów chodził jak błędny w dniach, gdy nie udało mu się postać przynajmniej kilku ludzi do bunkra. Kapitan Miedwiediew (III podobóz Uswymłagu) kilka godzin z rzędu potrafił stać osobiście na wieżyczce strażniczej, zapisując mężczyzn wchodzących do baraku żeńskiego, aby móc ich potem postać do karceru. Sprawiało mu to przyjemność, gdy izolator był zawsze pełny. Jeśli cele izolatora nie były wypełnione po brzegi, czuł jakąś pustkę duchową. Wieczorami lubił zarządzać zbiórkę i pouczać zeków: „Dla was gra jest skończona!” Nigdy nie wróćcie na wolność! Porzućcie wszelką nadzieję!”. W tymże Ust'wymłagu komendant podobozu Minakow (były zastępca naczelnika więzienia w Krasnodarze; odsiedział dwa lata za nadużycie władzy, ale zdążył już odzyskać legitymację partyjną) osobiście ściągął z nar za nogi zeków, odmawiających chodzenia do pracy; byli wśród nich knajacy, próbowali stawiać opór i wymachiwać deskami; wówczas Minakow kazał w całym baraku wyjąć okna z ram (25° mrozu) i lać do wnętrza wodę wiadrami.

Wszyscy oni dobrze wiedzieli (a więźniowie też zdawali sobie z tego sprawę), że druty telegraficzne tu się kończą! Wśród plantatorów kwitła więc złośliwość wyrafinowana, 'sadyzm, co się zowie. Nowy transport stoi na baczność przed naczelnikiem oddziału specjalnego obozu Buriepołom, Szulmanem. Szulman wie, że cały ten transport ma iść od razu na roboty ogólne. Mimo to nie chce odmówić sobie przyjemności i pyta: „Są tu inżynierowie?!”. Podnosi się jakieś dziesięć rąk nad rozjaśnionymi nadzieją twarzami. „Aha! A może są też członkowie Akademii Nauk? Zaraz wam przyniosą olóweczki”. I zaraz ktoś przynosi naręczce... łomów. Komendant wileńskiej kolonii karnej, lejtnant Kariew, widzi wśród nowo przybyłych więźniów młodszego lejtnanta Bielskiego (Bielski nosi jeszcze oficerki i ma na sobie spłowiąły mundur). Jeszcze niedawno ten człowiek był takim samym sowieckim oficerem jak Kariew i nosił takie same epolety z jednym podłużnym paskiem. Cóż, może widok tego spłowiątego munduru frontowego budzi w Kariewie współczucie? Może przynajmniej potrafi zachować taktowną obojętność? Bynajmniej – chce upokorzyć oficera jak naj-

471

przykładniej! I każe mu (nie pozwalając zamienić munduru na obozową fufaję) wozić taczkami nawóz na grządki warzywnika. Do tejże kolonii karnej przyjeżdżali kierownicy zarządu obozów Litwy, aby zażyć kąpieli w łaźni. Gramolili się na półki

i kazali się więźniom myć, przy tym wybierali do tego zajęcia wyłącznie Pięćdziesiątkę Ósemkę.

Przyjrzyjcie im się zresztą bliżej, snują się przecież do dziś pośród nas, mogą znaleźć się w tym samym przedziale kolejowym (oczywiście – pod warunkiem, że to I klasa) czy w samolocie. Poznać ich po dystynkcjach: ich naszywki przyozdobione są złotym wieńcem, nie wiadomo tylko, za co ich tak uwieczniono. Już nie noszą błękitnych epoletów (może się krępu-ją), ale wypustka jest wciąż niebieska, chociaż czasem bywa czerwona albo malinowa. W ich twarzach zastygło nawykowe, wystałe okrucieństwo, miny mają wiecznie ponure i niezadowolone. Zdawałoby się, że wszystko nieźle im się w życiu układa, skąd więc ten wyraz niezadowolenia? Może im się wydaje, że przegapili jakąś jeszcze lepszą okazję? A może jednak Pan Bóg наказує szubrawców takim piętnem za wszystkie ich podłości? –

W pociągach, przecinających okolice Wołogdy, Archangielska czy Uralu – w wagonach I klasy można najczęściej spotkać tych dziwnych wojskowych. Za oknami migają odrapane wieżyczki obozów. „To wasze gospodarstwo! – pyta sąsiad sąsiada. Oficer kiwa głową z satysfakcją, nawet z pewną dumą: „Nasze”. „Tam właśnie jedziecie?” – „Owszem”. – „Żona też pracuje?” – „Ma 90 rubli pensji. A ja 250 (a więc major). Dwoje dzieci. Nie przelewa się”. Albo tamten – wielkomierniejsze maniery, miły sposób rozmowy, sympatyczny towarzysz dalekiej podróży. Przez okna widać kołchozowe pola, więc ma temat: „W rolnictwie są zmiany na lepsze. Oni teraz sieją wszystko, co zechcą”. (Socjalizm! A kiedy po raz pierwszy wyleźli z jaskini, żeby zasiać leśne pogorzelisko, to nie siali tego, co chce-li?...).

W 1962 roku jechałem w poprzek Syberii pociągiem – po raz pierwszy jako człowiek wolny. I trzeba trafu, że w tym samym przedziale znalazł się młody emwudziśta, który dopiero co ukończył szkołę oficerską w Tawdzie i jechał do pracy w sieci obozów irkuckiego zarządu okręgowego. Zacząłem udawać naiwniaka, chłopak rozkrochmalił się i opowiedział mi, jaką to praktykę przechodzili elewi w nowoczesnych obozach i jacy to ci więźniowie są bezczelni, pozbawieni ludzkich uczuć i w ogóle beznadziejni. Na jego twarzy nie zastygł jeszcze wyraz niezmiennego surowości, ale pokazał mi pamiątkową fotografię 3 rocznika absolwentów Tawdy, gdzie obok młodych chłopców byli też sfotografowani starzy, kadrowi siepacze z obozów, doksztalcający się w tej uczelni (w zakresie tresury, inwigilacji, obozoznaw-

472

stwa i marksizmu-leninizmu), już raczej dla emerytury, a nie dla dobra służby. Chociaż niejedno widziałem, ale tym razem ażem jęknął. Podłość wżera się w rysy twarzy! Jak nieomylnie wybiera się tych ludzi spośród milionów!

W obozie jeńców Achtme (Estonia) zdarzył się taki wypadek: pielęgniarka szpitalna, Rosjanka, wdąta się w romans z niemieckim jeńcem. Rzecz wyszła na jaw. Gdybyż wypchnęli ją po prostu z tego ich lepszego towarzystwa! Ale gdzie tam! Dla tej kobiety, noszącej przecież sowieckie, oficerskie epolety, sklecono i ustawiono za żonę, obok wartowni, psią budkę z tarcic (nie żał było pracy) z kocim okienkiem. W tej klatce przetrzymano dziewczynę przez cały tydzień i każdy wolny idąc do „pracy” czy wychodząc z obozu – rzucał w budkę kamieniami, wrzeszczał „niemiecka kurwa!” i charknął śliną.

Tak ich się właśnie dobiera.

Pomóżmy teraz zachować dla potomności nazwiska kołymskich oprawców, którzy (w końcu lat 30.) nie chcieli znać żadnych granic ani dla swojej władzy, ani dla

swojej wynalazczości w okrucieństwie: Pawłow, Wi-szniewiecki, Gakajew, Żuków, Komarów, M. A. Kudriaszew, Łogowinienko, Mierinow, Nikiszow, Reznikow, Titow, Wasyli o przezwisku „Duro-woj”. Wymieńmy też Swietlicznego, osławionego kata z Norylska, ma na sumieniu wiele istnień.

Niech już tam ktoś inny opowie o takich potworach jak Czeczew (był szefem jednego z nadbałtyckich ministerstw spraw wewnętrznych został zdegradowany i przeniesiony na stanowisko komendanta Steptagu); Tara-senko (komendant Usoltagu); Koroticyń i Didorenko z Kargopoltagu; jak brutalny Barabanów (komendant Pieczortagu po zakończeniu wojny); Smirnow (naczelnik wydziału dyscyplinarnego Pieczortagu); major Czepiga (naczelnik wydziału dyscyplinarnego Workuttagu). Sam tylko spis tych okrytych sławą nazwisk zająłby dziesiątki stronic. Samotne moje pióro nie da rady tej robocie. Zresztą – dalej władza jest w ich ręku. Jeszcze nie mam do dyspozycji biura, do którego mogłyby napływać te wszystkie materiały, i jakoś nikt mi nie daje do rozporządzenia mikrofonów radia, przez które można by ogłosić apel o nadsyłanie wspomnień.

Jeszcze tylko słówko o Mamułowie. Mowa o tym samym Mamułowie z Chowrina, którego brat był szefem sekretariatu Berii. Kiedy nasi wyzwolili pół Niemiec, wielu czołowych emwudzystów pobiegło tam na wypródki. Był wśród nich również nasz Mamulow. Jął wysyłać stamtąd na swoją stację Chowrino całe zestawy kolejowe z plombowanymi wagonami. Wagony wtaczano w głąb obozu, aby wolni kolejarze nie widzieli (miało to być rzekomo cenny sprzęt dla fabryki) – a więźniów zaprzagano do

21 – Archipelag Gulag t.!!

473

rozładowania, co się tam krępować. Były tam sterty rzeczy, wszystko, co tylko wpadło w ręce zadyszanych, opętanych chciwością rabusiów: wyrwane z plafonów żyrandole, meble antykwaryczne i domowe, serwisy byle jak zawinięte w pomięte obrusy, naczynia kuchenne, obuwie, suknie balowe i szlafroki, damska i męska bielizna, kolorowe surduły frakowe, cylindry i nawet laski! W obozie wszystko to sortowano troskliwie. Co było jeszcze całe – rozwożono później do mieszkań panów naczelników i rozdawano znajomym. Mamułow przywiózł z Niemiec cały park zdobycznych samochodów, nawet swojemu 12-letniemu synowi (typowy wiek małolatków!) podarował opla-kadeta. Przez długie miesiące obozowe warsztaty krawieckie i szewskie zawałone były szabrowanymi rzeczami, oddanymi do przeróbki. Bo też Mamułow miał niejedno mieszkanie w Moskwie i niejedną kobietę, którą trzeba było zaopatrzyć! Ale swoją prawdziwą, ulubioną kwaterę miał za miastem, obok obozu. Przyjeżdżał tu czasami sam Beria. Sprowadzano wtedy z Moskwy autentyczny chór cygański i dopuszczano nawet do udziału w tych orgiach dwóch zeków – gitarzystę Fetisowa i tancerza Malinina (z zespołu pieśni i tańca Armii Czerwonej) upominając ich zawsze, że jeśli słówko piśn – to zostaną zgnojeni. Mamułow miał charakterek co się zowie: był kiedyś z przyjaciółmi na rybach, przy powrocie przeciągnęli łódkę przez warzywnik jakiegoś dziadygi, traktując mu grządki. Dziad ośmielił się coś burknąć. W nagrodę Mamułow sprzął go osobiście tak, że staruch już tylko charczał w trawie. Za moje myto jeszcze mnie pobito7...

Ale czuję, że znów wpadam w monotonię. Zdaje się, że znów się powtarzam? Chyba jużesmy to gdzieś czytali, czytali, czytali?...

Słyszę głosy sprzeciwu! Tak, już je słyszę! Owszem, takie rzeczy zdarzały się czasem... Ale głównie za czasów Berii. A dlaczego to pan nie przytacza pozytywnych przykładów? A powiedz pan chociaż słowo o tych porządnym! Pokaż pan czytelnikom tych naszych opiekunów kochanych...

Nie, panowie, kto ich widział, ten niech opisuje. Ale nie ja. Bo nie widziałem.

W przytoczonych uprzednio rozważaniach ogólnych, już starałem się wykazać, że obozowy możnowładca nie może być zacnym człowiekiem – bo musi wtedy albo kark prędko skrócić, albo go wyrzucić z pracy. No, załóżmy na chwilę, że jakiś komendant postanowił zostać dobroczyńcą ludzkości i zastąpić psi reżym w swoim obozie jakimś innym,

1 Upadek Berii w 1953 roku pociągnął za sobą również krach Mamutowa. Znalazł się w niełasce, ale nie na długo, był przecież w nomenklaturze, należał do kół rządowych. Wkrótce znów wypłynął na powierzchnię i został jednym z szefów kombinatu budowlanego Mosstroj. Później jeszcze raz wpadł za spekulację mieszkaniami. A później znów stanął na nogi. I tak mu jakoś zleci do przyzwoitej emeryturki, bo już na nią czas.

474

bardziej godnym człowieka – to czy mu kto pozwoli? zatwierdzi? w ogóle do tego dopuści? To tak, jakby wystawić samowar na mróz, żeby się zagrzał.

Gotów jestem zgodzić się na taką formułę: „dobrzy” to ci, którzy szamoczą się, którzy jeszcze nie opuścili tych szeregów, ale na pewno je opuszczają. Na przykład – dyrektor moskiewskiej wytwórni obuwia, M. Gierasimow. Odebrano mu legitymację partyjną, ale z partii nie usunięto (istniał również taki uzus). A co z nim robić tymczasem? Mianowano go komendantem obozu Ust'wym. Powiadają, że traktował to, jako nieznośne brzemie i z więźniami postępował łagodnie. Już po pięciu miesiącach wyrwał się i pojechał precz. Chętnie dam wiarę: przez te pięć miesięcy należał do „dobrych”. W Ortau, w 1944 roku komendantem podobozu był niejaki Smieszko, nikomu nic złego nie zrobił – ale też wciąż usiłował pozbyć się tego stanowiska. W USWITŁ w 1946 roku służył na stanowisku naczelnika wydziału były lotnik Morozow. Odnosił się dobrze do więźniów – ale za to stale miał na pieńku z własną zwierzchnością. Albo taki kapitan Siwierkin z Nyrobłagu. Był podobno zacnym człowiekiem. I cóż? Posłano go za to do Parny, na karną placówkę. Tylko dwie rzeczy go tam interesowały

– pił do białych myszek i słuchał zachodniego radia, bo w tej okolicy słabo je zagłuszano (1952 rok). Także mój sąsiad z pociągu, absolwent Tawdy, miał jeszcze ludzkie odruchy: w korytarzu stał już całą dobę chłopak bez biletu. Mój sąsiad proponował: „Posuńmy się trochę, dobra? Niech sobie chłopiec trochę pośpi”. Ale niechby jeden roczek odsłużył jako komendant

– zaraz inaczej by się zachował. Poszedłby do konduktora: „Wyprowadzić faceta, jedzie na gapę!”. Czy się mylę?

No, powiem szczerze: znałem pewnego bardzo zacnego emwudziście, co prawda nie służył w obozie, tylko w więziennictwie. Był to podpułkownik Cukanow. Przez krótki czas był komendantem więzienia specjalnego w Marfinie. Nie tylko ja, ale wszyscy tameczni więźniowie chętnie potwierdzają, że nikomu nie zrobił krzywdy, przeciwnie, każdemu starał się pomóc. Gdy tylko mógł nagiąć jakąś instrukcję na korzyść zeków – czynił to natychmiast. Okazywał nam pobłażliwość, gdzie tylko mógł. No i cóż? Nasze specwięzienie zostało zaliczone do kategorii bardziej suro-

wych – a Cukanowa przeniesiono. Nie był już młody, służył w MWD od dawna. Jak mu się to udało, nie potrafię odgadnąć.

Arnold Rappoport zapewnia mnie, że inżynier–pułkownik Michał Mił-rofanowicz Malcew, w armii czynnej – saper, a w latach 1943–48 komendant Workutłagu (zarówno obozu, jak kombinatu przedsiębiorstw) był ponoć zacnym człowiekiem. W obecności czekistów podawał rękę uwięzionym inżynierom i zwracał się do nich jak do dobrych znajomych. Zawo-

475

dowych czekistów me znosił, lekceważył naczelnika wydziału politycznego, pułkownika Kuchtikowa. Gdy otrzymał awans i związany z nim bezpieczniacki tytuł komisarza generalnego trzeciej rangi, nie chciał go przyjąć, motywując odmowę krótko: jestem inżynierem (czy to w ogóle było możliwe?). I wygrał: nadano mu rangę zwykłego generała. Jak twierdzi Rap–poport, w ciągu całej jego kadencji nie wdrożono w Workucie ani jednej wewnętrznej sprawy (a był to przecież okres wojny, gdy takie sprawy wszczynano najchętniej): żona jego była miejskim prokuratorem Workuty i skutecznie paraliżowała inicjatywy obozowych operów. Jest to świadectwo wielkiej wagi – zakładając, że Rappoport nie okazuje skłonności do mimowolnej przesady. Mógł mieć do niej inklinacje, bo zajmował w tym czasie uprzywilejowane stanowisko inżynierskie. Jakoś nie chce mi się wierzyć w to wszystko: dlaczego nikt tego Malcewa nie utracił? musiał przecież wszystkim przeszkadzać! Miejmy nadzieję, że kiedyś ktoś wyjaśni wszystkie okoliczności tej sprawy. (Będąc dowódcą dywizji saperskiej pod Stalingradem Malcew miał ponoć wezwać do raportu dowódcę pułku i zastrzelić go własnoręcznie przed szeregiem.

W Workucie też znalazł się dlatego, że wpadł w niełaskę, ale z jakiegoś zupełnie innego powodu).

W tym wypadku – i w wielu podobnych – zawodzi czasem ludzi pamięć i szczegóły osobistych wspomnień wpływają na kształt relacji. Gdy opowiadają mi o tych „dobrych”, zawsze mam ochotę zapytać: dobrzy ale dla kogo? Czy dla wszystkich?

Byli frontowcy też nie okazywali się wcale lepsi od starych emwudzystów. Czulpieńew twierdzi, że w obozie nastąpiły zmiany na gorsze, gdy stary, obozowy pies zastąpiony został (w końcu wojny) przez komisarza pułku Jegorowa, którego przystano tu z lazaretu, po zaleczeniu ran. Nie orientując się zupełnie w obozowej rzeczywistości, oficerkowie tacy ograniczali się do wydawania lekkomyślnych, powierzchownych rozporządzeń – i wychodzili poza żonę, aby tam pić z babami, oddając obóz we władanie szubrawym prydurkom.

Jednakże ci, którzy najgłośniej krzyczą o „dobrych czekistach” w obozach, mianowicie prawomyślni ortodoksi, rozumieją ów termin zupełnie inaczej niż my: nie chodzi im o takich, co próbowali stworzyć jakieś bardziej ludzkie warunki bytu dla wszystkich więźniów, ignorując po trosze nieludzkie instrukcje GUłagu. Nie, za „dobrych” uważają oni tych funkcjonariuszy, którzy z całą konsekwencją wprowadzali w życie psie instrukcje, którzy zagryzali i zaszczuwali wszystkich więźniów – oprócz byłych członków partii. (Jakiż jednak szerokie poglądy mają nasi prawomyślni! Nigdy nie zapominają, że są spadkobiercami wszystkich skarbów kultury, stworzonych przez ludzkość!...).

476

Tacy „zacni czekiści” zdarzali się, rzecz jasna, było ich nawet sporo. Ów Kudłatyj ze zbioru pism Lenina – czy to nie jeden z nich? Diaków opowiada o niestychanie

szlachetnym uczynku pewnego komendanta obozu: będąc w Moskwie w delegacji służbowej odwiedził rodzinę siedzącego u niego ortodoksy, ale po powrocie – zaraz zabrał się do wykonywania wszystkich swoich psich obowiązków. Generał Gorbатов też wspomina dobrym słowem takiego „zacności człowieka” z Kołymy. Powiedział mu on: „Uważa się nas za jakieś monstra, ale to niestuszne. Nam też bywa miło przekazać więźniowi jakąś dobrą wiadomość”.

Naprawdę zaś – ów „zacny” kołymski pies troszczył się tylko o jedno: żeby Gorbатов nie opowiedział nikomu z „góry” o bezprawiu panującym w jego obozie. Stąd cała ta miła rozmówka. Bo też dodał w końcu: „W rozmowach zachowujcie ostrożność...” (A Gorbатов znów się nie połapał...).

Niejaka Lewkowiczowa zamieszcza w „Izwestiach”⁸ tzw. zaangażowany artykuł, a po naszymu – wypracowanie na zadany temat: że poznała ponoć w obozach sporo zacnych, rozumnych, wymagających, zatroskanych, strudzonych itd. czekistów i że taki Kapustin w Dżambule próbował zapewnić zesłanym żonom komunistów jakąś robotę – i właśnie dlatego musiał popełnić samobójstwo. To już zupełny nonsens, czcza paplanina. Komendant zobowiązany jest prawnie do zapewnienia zesłanym pracy, ba, kieruje do niej nawet pod przymusem. Jeśli Kapustin naprawdę się zastrzelił – to znaczy, że albo za wiele się nakradł, albo miał jakieś historie z babami.

Aha, jeszcze jeden „dobry” – nasz podpułkownik Matwiejew z obozu w Ekibastuzie. Póki żył Stalin – szczerzył kły i szcekał groźnie, ale gdy tylko Ojcaszkowi się zmarło, gdy Beria poszedł w diabły – Matwiejew stał się arcyliberałem, istnym ojcem zeków! Poczekajmy, aż powieją inne wiatry. (Ale w tym samym czasie pouczał po cichu brygadzystę Aleksandrowa: „Jak was kto nie chce słuchać – lejcie w mordę, nikt wam za to złego słowa nie powie, macie moją obietnicę!”). Nie, co nam po takich „dobrodziejach”! Niewiele warci. A na nasz rozum – dopiero wtedy oni dobrzy, kiedy sami wpadają do obozu.

Niektórzy istotnie wpadali. Tylko że wcale nie za TO szli pod sąd.

Dozór obozowy odpowiada rangą kadrze podoficerskiej MWD. Jest to stan kapral-ski GUłagu. Mają te same zadania – brać za hals i nie puszczać.

8 – 6. 9. 1964 roku.

477

czuć. Stoją na tej samej gułagowskiej drabinie, tylko niżej od zwierzchności. Dlatego praw mają mniej i częściej muszą brudzić sobie ręce. Nie żałują ich zresztą: jeśli trzeba puścić komuś juchę w karnym izolatorze albo w dyżurce, to śmiało idą we trzech na jednego, bijąc aż do upadłego. Chamieją na tej służbie z upływem lat coraz bardziej i trudno zobaczyć w ich oczach choćby cień współczucia dla moknących na deszczu, marznących, głodnych, znużonych i konających więźniów.

Więźniowie są wobec nich równie bezbronni i pozbawieni praw, co w stosunku do kadry dowódczej, tak samo można brać ich pod obcas i czuć się od razu wyższą istotą. I wyładowywać na nich złość, popisywać się brutalnością – pod tym względem kaprale nie byli gorsi. A kiedy człowiek kogoś bije, nie obawiając się kary – to już trudno przestać. Samowola rodzi rozpasanie i człowiek samego siebie zaczyna uważać za stworzenie tak groźne, że aż go lęk ogarnia. Podoficerowie chętnie naśladują swoich dowódców, zarówno w konkretnych postępkach jak w sposobie bycia – ale ich mundury nie błyszczą złotem, płaszcze są brudnawe, wszędzie chodzą na piechotę, ordynansów-więźniów im trzymać nie wolno, sami

więc kopią własne grządki i sami chodzą koło swojego bydła. No, ma się wiedzieć, że sprowadzić sobie zeka na pół dnia do domu, żeby drzewa narąbał czy podłogi wyszorował – to wolno, byle bez przesady. Skoro nie można brać tych, co pracują, trzeba korzystać z tych, co odpoczywają. (Tabatriew – obóz Bieriezniki, 1930 rok – ledwie padł na wyrko po nocnej, 12-godzinnej zmianie, a tu już go nadzorca budzi i posyła do roboty na swoją kwaterę. A spróbuj tylko nie iść!...). Podoficerowie nie mają swoich włości, obóz to dla nich jednak nie własny folwark, tylko miejsce służby, dlatego nie mają w sobie ani tej buty, ani takiego sobie-pariskiego rozmachu. Również możliwości kradzieży są dla nich ograniczone. I to jest niesprawiedliwość: bo wyższe szarże i tak mają dużo pieniędzy – i jeszcze na dodatek wolno im kraść do woli, a chłopaki z nadzoru żołąd mają niewysoki – i brać na lewo też im wolno znacznie mniej. Już tam z magazynu worka człowiek nie wyniesie, najwyżej małą torebkę. (Widzę, jakby to było wczoraj, sierżanta Kisielowa o lnianych włosach i nalanej twarzy: wchodzi do księgowości (1945 rok) i rozkazuje: „Nie wypisywać ani grama tłuszczu dla kuchni – wyłącznie dla wolnych!“. Tłuszczu wtedy było brak. Ale też to cała ich wygrana – żeby tłuszczu według normy...). Jak chce człowiek uszyć sobie coś w obozowej szwalni – musi mieć zezwolenie komendanta i czekać na swoją kolejkę. No, w hali produkcyjnej to tam można przycisnąć zeka, żeby coś zalutował, zespawał, wykuł czy wytoczył. Ale nie zawsze uda się wynieść coś większego od taboretu. Te ograniczenia prawa do kradzieży doskwierają jak cierni w boku podofice-

478

rom, a zwłaszcza ich żonom i stąd właśnie tyle się goryczy gromadzi, tyle pretensji do zwierzchności, dlatego życie wcale nie wydaje im się takie sprawiedliwe, stąd też w piersi nadzorczej pojawiają się ni to struny, ni to jakieś obszary pustki, w których tylko jęk żalu rozbrzmiewa. I dlatego zdana się, że niższe szarże potrafią czasem pogadać z zekami, ba, nawet okazać współczucie. Nie takie to częste, ale też wcale nierzadkie. W każdym razie – wśród nadzorców więziennych czy obozowych, wszystko jedno, można spotkać człowieka; każdy więzień niejednego takiego spotkał. Wśród oficerów zaś – jest to prawie niemożliwe. Jest to w istocie dowód istnienia stosunku odwrotnej proporcji między pozycją społeczną, a zdolnością do ludzkich uczuć.

Prawdziwa kadra nadzorcza – to ci, którzy służą w obozach po 15, czy po 25 lat. Co to kiedyś pojechali tam, gdzie diabeł mówi dobranoc – i już nigdzie się stamtąd nie ruszą. Wykuli niegdyś regulamin służbowy i rozkład dnia – a więcej niczego już nie muszą przez całe życie ani czytać, ani wiedzieć. Wystarczy im słuchanie radia. I program, z Moskwy. Ten właśnie korpus podoficerski ma dla nas wspólne rysy – które składają się razem na tępe, pełne srogości, nietknięte myśłą oblicze GU-Łagu.

Tylko w latach wojny skład tego korpusu uległ spaceniu, zamąceniu. Komendy wojskowe w ogólnym bałaganie nie wzięły pod uwagę nienagannej służby wielu podoficerów nadzoru obozowego, tego i owego wysyłając na front. Na ich miejsce zaczęto przysyłać frontowych żołnierzy, zwolnionych z lazaretów – też zresztą nie bez selekcji; przysłano wyróżniających się tępotą i surowością. Albo przyjeżdżali jacyś starsuszkowie: ledwie ich zmobilizowano – od razu nie na front, tylko do obozu. I właśnie wśród tych siwoszów wąsatych zdarzali się bardzo dobroduszni ludzie – rozmawiali grzecznie, rewidowali zeków, aby zbyć, niczego nie odbierali, zażarto-

wali nawet czasem. Ale wkrótce po wojnie zdemobilizowano tych starych i jakoś więcej takich nie było.

Zdarzały się wśród podoficerów zjawiska całkiem nietypowe (miało to miejsce też podczas wojny), jak student Sienin, o którym już pisałem, albo pewien nadzorca – Żyd w naszym obozie na Kałużskiej – niemłody, cywil w każdym calu, bardzo spokojny, nienamolny, nigdy się nikogo nie czepiał i nikomu nie robił krzywdy. Miał tak przystępny sposób bycia, że pewnego razu ośmieliłem się go spytać: „Przepraszam, kim byliście w cywilu?”. Wcale się nie zachnął, spojrzał na mnie spokojnie i odparł cicho: „Kupcem”. Przed przybyciem do naszego obozu, już podczas wojny, służył on w obozie Podolskoje, gdzie, jak sam opowiadał, co dzień umierało wtedy z wyczerpania i niedożywienia trzynastu–czternastu ludzi (co daje razem w ciągu całej wojny 20.000 zgonów). W „oddziałach wojskowych”

479

NKWD próbował on, jak wolno sądzić, przetrwać jakoś wojnę i po wojnie bardzo musiał się starać, aby nie zostać w nich już na zawsze.

Albo z innej beczki – sierżant szef Tkacz, zastępca kierownika wydziału dyscyplinarnego, postrach obozu w Ekibastuzie. Wydawało się, że urodził się po to, aby wejść w skład korpusu straży, jakby od kolebki w nim służył, jakby przyszedł na świat razem z GUŁagiem. Złowroga, zakrzepła w srogości twarz pod nawistym, czarnym czubem. Strach ogarniał już, gdy był gdzieś w sąsiedztwie, straszno było go spotkać na obozowej ścieżce: nie mógł przejść obok człowieka, by nie zrobić mu jakiejś przykrości – zawrócić go z drogi, zmusić do jakiejś roboty, zabrać coś, nastraszyć, ukarać, posłać do bunkra. Nawet po wieczornym apelu, kiedy baraki ryglowano od zewnątrz, Tkacz podkradał się cichcem do okien – okratowanych i letnią porą otwartych; naprzód podstuchiwał, a potem zaglądał do środka – cała izba zamierała z lęku – a Tkacz za parapetem, jak czarny ptak nocny krakał, jaka kara się należy: za to że nie śpią, za to, że nocne rozmowy, za to, że robią to, czego nie wolno.

Ale pewnego dnia – Tkacz zniknął – jakby go wiatr zdmuchnął. Po obozie zaczęła jednak krążyć pogłoska (nie mogliśmy jej sprawdzić, ale takie uporczywe gadki mają zwykle podstawy), że znalazły się dowody, iż Tkacz był faszystowskim katem na terytoriach okupowanych, że już go aresztowano i że dostał ć w i a r ę. Było to w roku 1952.

Jak mogło się jednak zdarzyć, że faszystowski oprawca (a był nim nie dłużej niż trzy lata) przez siedem lat powojennych cieszył się najlepszą opinią w MWD?

„Konwój otwiera ogień bez ostrzeżenia!”. W tym zaklęciu zawarty jest już cały status specjalny konwoju⁹, sekret jego władzy nad nami, władzy rozciągającej się za rubieżami prawa.

Nawet gdy nie ma wojny – konwój pełni służbę jakby na froncie. Konwój nie boi się żadnych dochodzeń i nic nie musi wyjaśniać. Ten, co strzelał – zawsze miał rację. Ten, co leży zabity – zawsze jest winien, bo chciał uciekać albo przekroczył linię.

‘Pisząc „konwój”, stosujemy termin, używany potocznie na Archipelagu; mówiono też – do połowy lat trzydziestych nawet częściej – Wochra, albo po prostu Ochra. Oficjalnie nazywało się to – Strzeleckie Oddziały Ochronne MWD. „Konwój” był tylko jednym z rodzajów służby pełnionych przez Wochre – obok „wartowniczej”, „patrolowej w żonie”, „w kordonach zaporowych”, „w dywizjonie”.

480

Oto dwa przykłady zabójstw, jakie miały miejsce w podobozie Ortau (a trzeba to pomnożyć przez liczbę podobozów). Strażnik prowadzi grupę konwojowanych. Zwolniony spod konwoju więzień podchodzi do swojej dziewczyny, idącej w tej grupie i przez chwilę kroczy ramię w ramię. „O-dejdz na bok!” – „A bo co, żal ci?”. Wystrzał. Chłopak zabity. Komedia sądowa; strażnik zostaje uniewinniony: miała miejsce obraza żołnierza podczas wykonywania obowiązków służbowych. Do innego strażnika, stojącego na warcie, podbiegł zek z blankietem, na którym intendentura kwituje zwrot pobranych sortów (następnego dnia miał bowiem zostać zwolniony) i zaczął prosić: „Puść mnie, tylko skoczę do pralni (za żonę) raz-dwa!” – „Nie wolno!” – „Toć jutro mnie wypuszczą, bałwanie!”. Wystrzał. I nawet nie stanął przed sądem.

Przy wytężonej pracy łatwo w ogóle nie zauważyć nacięć na drzewach, które w lesie zastępują umowną linię drutów kolczastych. Więzień Sołowiow (były lejtnant armii czynnej) zrzębał świerk i teraz cofa się wzdłuż pnia, okrzyszując go z gałęzi. Widzi tylko to swoje zrzębane drzewo. Konwojent zaś – „tanszajewski wilk”, już trzyma go na muszce i czeka. Nie krzyknie na zeka: „Hej, uważaj!”. Czeką sobie – i oto Sołowiow, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, przekracza magiczną linię żony, dalej idąc rakiem wzdłuż pnia. Wystrzał! Kula dum-dum, płucą w strzępach. Sołowiow gryzie ziemię, a tanszajewski wilk pobiera sto rubli premii. („Tan-szajewskimi wilkami” nazywano mieszkańców rejonu Tanszajewskiego, na którego obszarze leżał obóz Buriepołom. Wszyscy zaciągnęli się do Woch-ry – podczas wojny, żeby nie iść na front i służyć w sąsiedztwie domu).

Bezwzględny stosunek eskorty do więźniów, prawo straży do stałego stosowania kuli zamiast słów – wszystko to musiało wpłynąć na charakter oficerów i żołnierzy straży. Mają w ręku życie więźniów – wprowadzie nie przez całą dobę, ale za to bez reszty i bez dyskusji. Zeki nie są dla nich wcale ludźmi, są to tylko jakieś leniwe poruszające się roboty, jak najszybciej do niej gnać, wracać z nimi w tym samym tempie, a podczas pracy pilnować, żeby trzymały się w kupie.

Ale natężenie samowoli o wiele było większe wśród oficerów Wochry. Narastało w tych młodziutkich lejtnancikach złośliwe i kapryśne poczucie władzy nad cudzym życiem. Jedni z nich – ograniczali się do krzyku (starszy lejtnant Czornyj z Nyrobłagu), drudzy – upajali się własnym okrucieństwem i nawet do własnych żołnierzy odnosili się tak samo (lejtnant Samutin, z tego samego obozu), inni jeszcze – zachowywali się tak, jakby ich wszechmoc nie miała żadnych granic. Oficerowi Wochry News–

481

kiemu (Usfwym, podobóz III) zginął piesek – nie wilczur służbowy, tylko ulubiony piesek domowy. Rzecz jasna, udał się na poszukiwania do żony i przytapał pięciu zeków w trakcie oprawiania zwłok faworyta. Wyciągnął pistolet i jednego ze zbrodniarzy zabił na miejscu. Wypadek ten nie miał żadnych następstw administracyjnych, jeśli nie liczyć postania do bunkra pozostałej przy życiu czwórki.

W 1938 roku nad rzeką Wiszerą, na stokach Uralu zaczął szerzyć się z huraganową szybkością leśny pożar, który ogarnął puszcę dookoła dwóch podobozów. Co zrobić z zekami? Decyzję trzeba było podjąć w jednej chwili, nie było czasu na żadne uzgodnienia. Straż nikogo nie wypuściła – i wszyscy spłonęli żywcem. Było to wyjście najmniej kłopotliwe. Gdyby ich wypuszczono i gdyby się rozbiegli – strażników oddano by pod sąd.

Jedna tylko okoliczność krępowała nieco rozkiełznaną energię oficerów straży: pluton był jej podstawową jednostką i cała wszechwładza nie mogła przekroczyć ram plutonu. Można też było dochrapać się nie więcej niż dwóch gwiazdek na epoletach. Przeniesienie do dywizjonu pozbawiło tylko człowieka realnej władzy, jaką sprawował w plutonie, była to więc ślepa uliczka, nie awans.

Dlatego też najbardziej rozmiłowani we władzy i dynamiczni wochrowcy starali się o przeniesienie do służb wewnętrznych MWD, ażeby móc awansować już tam. Niektóre ze znanych gułagowskich biografii mają właśnie taki przebieg. Wspomniany już Antonow, twórca podbiegunowej „martwej drogi” wywodził się z Wochry i skończył wszystkiego cztery klasy.

Nie ulega wątpliwości, że doborowi kadr oddziałów wartowniczych przypisywano wielkie znaczenie w ministerstwie, a również wojskowe komendy uzupełnień miały w tym przedmiocie swoje tajne instrukcje. Sporo tajnych spraw znajduje się w gestii komend uzupełnień, tymczasem odnosimy się do ich działalności lekceważąco. Czemu na przykład w tak kategoriyczny sposób przekreślono u nas zasadę wojsk terytorialnych, wysuniętą w latach 20. (projekt Frunzego), a nawet wręcz przeciwnie – z wyjątkową konsekwencją posyła się rekrutów do garnizonów położonych, o ile możliwości, jak najdalej od miejsca ich urodzenia (Azerbejdżanina posyła się do Estonii, a Łotysza na Kaukaz)? A dlatego, że wojsko powinno być oddzielone od miejscowej ludności jak najwyższym murem, najlepiej, żeby różniło się nawet pod względem rasowym (jak to sprawdzone zostało praktycznie w Nowoczerkasku w 1962 roku). Podobnie też – w składzie oddziałów eskorty nie bez kozery bardzo znaczny był odsetek Tatarów oraz innych mniejszości narodowych: niższy poziom ich kultury, ich gorsza

482

orientacja ogólna – były to czynniki nader cenne dla państwa, stanowiły o jego sile.

Ale kompletowanie i musztrowanie tych oddziałów wedle zasad iście naukowych zaczęło się dopiero wtedy, gdy stworzono Obozy Specjalne – na przełomie lat 40. i 50. Wcielać do nich zaczęto wyłącznie 19-lletnich chłopców, których z punktu poddawano maszynemu bombardowaniu ideologicznemu (o tych konwojentach będzie jeszcze mowa dalej).

Ale przed tym punktem zwrotnym to i owo wymykało się GUłagowi z rąk. Po prostu – nasz lud, choć socjalistyczny, jeszcze nie osiągnął należytego stopnia rozwoju, jeszcze nie dał się wychować w duchu takiej surowości, aby dostarczyć obozom odpowiednie kontyngenty straży obozowej, godnej tej nazwy! Stan osobowy Wochry bywał niekiedy pstry i formacja ta przestawała pełnić rolę muru grozy – a przecież po to ją stworzono. Do największego rozluźnienia doszło w latach wojny sowiecko–nie–mieckiej: najsprawniejszych, najstaranniej wyćwiczonych („ciężkość – na piątkę”) chłopaków trzeba było posłać na front, a do Wochry ściągąć zaczęto cherlawych rezerwistów, nie nadających się do służby liniowej ze względu na zdrowie, a co do ciężkości – w ogóle nie odpowiadających standardom GUłagu (bo wychowanych w innej epoce). W najgorszych, głodowych latach wojny to osłabienie nacisku ze strony Wochry (zdarzało się gdzieś tam, ale wcale nie wszędzie!) stanowiło dla więźniów przynajmniej częściową ulgę.

Nina Samszel wspomina swojego ojca, który tym. właśnie trybem, w późnym już wieku, został w 1942 roku wcielony do armii i skierowany do służby strażniczej w obozie pod Archangielskiem. Rodzina przyjechała w ślad za nim. „W domu oj-

ciec z goryczą opowiadał nam o życiu w obozie i o tym, ilu tam porządnym ludzi siedzi. Kiedy papa musiał podczas robót rolnych sam pilnować roboczej brygady (to także mogło zdarzyć się tylko podczas wojny – jeden strażnik na całą brygadę! – czy to nie ulga?) – często chodziłam tam i tatuś pozwalał mi rozmawiać z więźniami. Więźniowie bardzo szanowali mego ojca: nigdy nie odzywał się do nich ordynarnie i kiedy go któryś z nich poprosił o pozwolenie, na przykład – żeby wstąpić do sklepu, to nigdy nie odmawiał, więc też nikt mu nigdy nie uciekł. Więźniowie mówili mi: „Gdyby wszyscy konwojenci byli tacy, jak twój ojciec!”. Ojciec wiedział, że wielu ludzi siedzi bez winy i bardzo się na to oburzał – ale tylko w domu, bo nie mógł takich rzeczy mówić kolegom z plutonu, za to zaraz szło się pod sąd”. Po zakończeniu wojny natychmiast postarał się o zwolnienie z szeregów.

Ale z przykładu Samszela nie można wysnuć żadnych uogólnień na temat Wochry z lat wojny.

Dowodzą tego jego dalsze losy. Już w 1947 roku sam dostał się do więzienia z art. 58–10. W 1950 roku, gdy już był umierający, spisano go na straty i puszczono do domu, gdzie umarł po pięciu miesiącach.

Po wojnie jeszcze rok–dwa pełniła służbę ta rozbisurmaniona straż i weszło nawet w zwyczaj, że wielu wochrowców swoją służbę zaczęto również nazywać „odsiadką”. „Niech mi się tylko skończy odsiadka!...”. Rozumieli, że ta służba – to wstydliva sprawa, że w domu lepiej tym się nie chwalić. W obozie Ortau pewien strażnik celowo ukradł jakiś drobiazg z KO, został zdegradowany, poszedł pod sąd, dzięki amnestii natychmiast go wypuszczono – i koledzy mówili z zawiścią: to był pomysł! Zuch chłopak!

Natalia Stolarowa pisze mi o strażniku, który zatrzymał ją w momencie ucieczki – i nie zameldował o nieudanej próbie, nie poniosła więc żadnej kary. Jakiś inny zastrzelił się z miłości do zeczki, którą wysłano z obozu etapem. Przed wprowadzeniem skutecznych rygorów w żeńskich podobozach – pomiędzy uwięzionymi kobietami a konwojentami wcale często nawiązywały się nici sympatii, często przechodzącej w dobre, a nawet serdeczne stosunki. Nawet nasze wielkie państwo nie miało takiej mocy, aby wszędzie zniszczyć kietki dobra i miłości!...

Nowe zaciągi powojenne też nie od razu stały się takimi, jakie potrzebne były GUŁagowi. Gdy w oddziałach straży Nyrobłagu podniósł samotny bunt Władilen Zadornyj (jeszcze będzie o nim mowa) – jego koledzy i rówieśnicy nader współczująco odnieśli się do tej próby oporu.

Osobny rozdział w dziejach straży obozowej trzeba by poświęcić tzw. samoochronie. Już w pierwszych latach po rewolucji wysunięto przeciw tezę, że sowieccy więźniowie powinni pilnować się sami, że to ich obowiązek. Nie bez powodzenia zastosowano tę zasadę na Solówkach, a w znacznie szerszym zakresie – na Kanale Białomorskim i Kanale Wołga–Moskwa: każdy pociotek socjalny, któremu nie chciało się pchać taczek, mógł dostać karabin i obrócić go przeciw własnym towarzyszom.

Nie chcemy twierdzić, że była to celowa, szatańska intryga, mająca na celu moralny rozkład rzesz obywatelskich. Jak zawsze w naszej najnowszej, półwiekowej historii – podniosła, promienna teoria i przyziemna, zdawkowa podłość przeplotły się w sposób dziwnie naturalny, z łatwością zamieniając się miejscami. Ale z opowieści starych zeków wiadomo, że członkowie tej formacji bardzo srogo sobie poczynali w stosunku do swoich braci, że wyskakiwali ze skóry, aby wyróżnić się

na służbie, utrzymać się na swoim psim posterunku, a czasem stare porachunki osobiste załatwiali jednym pociągnięciem cyngla.

484

Zresztą – w naszej literaturze prawniczej znajduje to godne odbicie: „W nader licznych wypadkach więźniowie pełnią obowiązki strażników kolonii karnych i strzegą porządku lepiej, niż etatowi funkcjonariusze¹⁰”.

Powiedzcie tylko, czy jest rzecz tak zła, aby nie można jej było wpoić ludowi? Ludziom? Ludzkości?...

Przytoczona wyżej cytátka pochodzi z lat trzydziestych, a z relacji Za-dornego wynika, że również w końcu lat czterdziestych członkowie samo-ochrony odnosili się źle do własnych towarzyszy i czyhali tylko na sposobność do strzelania.

A trzeba wziąć pod uwagę, że w Parmie, karnej placówce Nyroblágu, siedziátła tylko Pięćdziesiątka Ósemka, a zatem straż ochotnicza też składała się z tego samego elementu. Ładni polityczni...

Władilen pisze o jednym z tych ochotników: zwał się Kuźnia, był kiedyś szoferem, miał zaledwie dwadzieścia parę lat. W 1949 roku dostał dychę z artykułu 58–10. Co tu począć? Nie znalazł chyba innego sposobu. W 1952 roku Władilen poznał go już jako członka ochotniczej straży. Źle się czuł w tej sytuacji, wciąż powtarzał, że ten karabin, to ciężar ponad jego siły i nieraz się zdarzało, że idąc na służbę wcale nie kładł naboów do magazynku. Miał wysokie 'czoło i twarz o napiętych nerwowo rysach. Lubił wiersze i chodził z Władilenem w głąb tajgi, aby je tam recytować. A później znów brał się za karabin...

Zadornyj znał również takiego członka straży ochotniczej, jak Aleksander Łunin, starszy już człowiek: wianuszek siwych włosów dookoła łysiny, rozbrajający, pocziwy uśmiech. Podczas wojny był lejtnantem w piechocie, później – został przewodniczącym kołchozu. Dostał dychę (z artykułu, dotyczącego przestępstw pospolitych) za to, że nie wykonał dostaw obowiązkowych w rozmiarach narzuczonych przez rejkom partii, tylko rozdał na własną odpowiedzialność kołchoźnikom. A więc człowiek nietuzinkowy! – dbał o bliźnich bardziej niż o własną skórę.

A jednak w Nyroblágu wstąpił do straży ochotniczej i nawet tego się dosłużył, że naczelnik podobozu Promieźutocznaja załatwił mu przedterminowe zwolnienie. Rozpiętość ludzkich przeobrażeń! Zawsze zaskakująca, nieogarnięta rozumem...

10 Praca zbiorowa: Od więzień... str. 141.

XXI OTOCZKA

Aby przekonać się, że kawał gnijącego mięsa cuchnie – nie trzeba pod-tykać go pod sam nos, bo okala go strefa smrodu, obłok molekuł fetoru. Podobnie każda wyspa Archipelagu wytwarza i podtrzymuje wokół siebie taką cuchnącą otoczkę. Ta strefa ma zasięg większy, niż sam Archipelag i jest niejako terenem przejściowym, pomostem między małą żoną poszczególnych wysp, a Wielką Żoną całego kraju.

Wszystkie najzjadliwsze miazmaty Archipelagu, wszystko, co zakaża ludzkie stosunki, obyczaje, poglądy i mowę – posłuszne powszechnemu prawu osmozy – przesącza się najprzód do tej strefy przejściowej, a stamtąd dopiero zaczyna rozpełzać się po całym kraju. Właśnie tu, w tej strefie, ma miejsce spontaniczna selekcja i dobór tych składników obozowej ideologii i subkultury, które godne się stają wejścia w skład uznanej kultury ogólnokrajowej. Kiedy więc obozowe zwroty rozlegają się w korytarzach nowego gmachu Uniwersytetu Moskiewskiego albo gdy mieszkanka stolicy, niewiasta całkiem niezależna, głosi poglądy życiowe zdecydowanie pach-

nące obozową filozofią – proszę się nie dziwić: wszystko to przeniknęło aż tu poprzez strefę przejściową, poprzez otoczkę obozu.

Podczas gdy władze starały się (a może i nie) wychować więźniów za pośrednictwem sloganów, działów KO, cenzury pocztowej i operów – więźniowie ze swej strony zdążyli skutecznie wychować cały kraj, za pośrednictwem wspomnianej otoczki. Knajacki światopogląd, zawładnąwszy Archipelagiem, przerzucił się z łatwością na ogólnozwiązkowy rynek ideologiczny, ziejący pustką w braku silnych idei. Obozowa pazerność, brutalność, zakamieniałość, wrogi stosunek do wszelkiej rzetelnej pracy – wszystko to

486

razem wsiąkło bez trudu w obozową otoczkę, a następnie wżarło się głęboko w miąsz dookólnego życia.

Taki oto jest odwet Archipelagu na kraju, który go wydał.

Tak oto żaden akt bezwzględności nie uchodzi nam płazem.

Tak wysoką oto cenę płacimy zawsze wtedy, gdy gwałtem szukamy tańciochy. Wyliczenie tych wszystkich miast, miasteczek i osad – byłoby niemalże powtórką geografii samego Archipelagu. Żadna zona obozowa nie może prowadzić życia samoistnego – zawsze w jej pobliżu istnieć musi osada dla wolnych pracowników. Czasem taka osada – na przykład przy porębach leśnych, gdzie pracują więźniowie, stoi przez kilka lat i znika razem z placówką obozu. Niekiedy zapuszcza korzenie, otrzymuje nazwę, pojawia się w niej rada osiedlowa, doprowadzają drogę – i tak rozpoczyna egzystencję stałą. Czasami zaś te osady rozrastają się w duże i znane miasta – takie jak Magadan, Norylsk, Dudinka, Igarka, Temir-Tau, Bałchasz, Dżeżkagan, Angren, Tajszeł, Bratsk, Sowietkaja Gawań. Osady te wzbierają jak wrzody nie tylko gdzieś na zadupiu, lecz również w samym pępku Rosji, opodal donieckich i tułskich kopalń, torfowisk, karnych kolonii rolnych. Czasem podlegają zakażeniu i w całości wchodzą w skład tej otoczki całe rejony, jak wspomniany już Tanszajewski. A kiedy obóz wszczepiony zostaje w duży organizm miejski – może to być nawet Moskwa – ma również własną otoczkę, ale nie w postaci oddzielnej osady; składa się ona z poszczególnych osób, które co wieczór odjeżdżają miejskimi autobusami i trolejbusami, aby co ranka zjeżdżać tu znowu (infekcja roznosi się wtedy w daleko szybszym tempie).

Istnieją też miasta takie, jak Kizeł (leżący przy permskiej bocznicie kolejowej, którą wozi się rudę); podobne miasteczka założone zostały jeszcze wtedy, gdy Archipelag nie istniał, ale następnie znalazły się w centrum sieci obozów i podniesione zostały do rangi jednej z metropolii Archipelagu. Miasto takie całe nasyczone jest obozową atmosferą, obozowe szarże i gromady żołnierzy kręcą się po nim grupami jak okupanci; zarząd obozu – jest najważniejszą instytucją miasta; sieć telefoniczna – też jest nie miejska, tylko obozowa; linie autobusowe prowadzą od centrum do poszczególnych obozów; wszyscy w takim mieście z obozu żyją.

Największą z tych prowincjonalnych stolic Archipelagu jest Karaganda. Zbudowali ją i zapelnili zesańcy oraz byli więźniowie, tak że stary zek nie może wprost przejść ulicą, aby raz po raz nie spotkać znajomego. Mieści

487

się w niej kilka zarządów obozowych. Filie łagrów rozsypane są dookoła niej na kształt piasku morskiego.

Kim są mieszkańcy tej otoczki? – 1) Autochtoni (może ich zresztą nie być); 2) Wochna (straż obozowa); 3) Oficerowie z komendy obozu oraz ich rodziny; 4) Nadzor-

cy z rodzinami (nadzorcy, w przeciwieństwie do korpusu straży, mieszkają zawsze na prywatnych kwaterach nawet, gdy są wojskowymi); 5) Eks-więźniowie (zwolnieni z danego albo sąsiedniego obozu¹); 6) Rozmaici represjonowani – półzestawcy, z „haczykiem” w dowodzie osobistym. (Podobnie jak byli więźniowie mieszkają tu oni nie z własnej ochoty, tylko z fatalnego musu: i jeśli nawet nie wyznaczono im tej miejscowości w charakterze miejsca przymusowego pobytu, to wiedzą, że gdzie indziej bada mieli kłopoty z pracą i meldunkiem, a może nawet w ogóle nie pozwolą im tam żyć); 7) Kierownictwo pionu produkcyjnego. Są to sami dygnitarze, najwyżej parę osób w całej dużej osadzie (tych może również wcale nie być); 8) Wolni w ścisłym sensie tego słowa – same przybłędy i przywłoki, rozmaite obieżyświaty, straceńcy i poszukiwacze wielkich zarobków. Przecież tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, pracować można trzykroć gorzej niż w metropoliach, otrzymując za to czterokrotnie wyższą gażę: dodatek podbiegunowy, dodatek za rozłąkę z rodziną, dodatek za trudne warunki, a nadto można jeszcze zaliczać na swoje konto owoce pracy więźniów. Wielu z nich przyjeżdża tu zresztą na zasadzie werbunku czy kontraktu i wtedy należy im się jeszcze strawne i zwrot kosztów podróży. Dla tych, którzy umieją wyplukiwać złoto z piasku prac zleconych – ten świat jest istnym Klondyke. Ściągają tu ze wszech stron faceci z podrabianymi dyplomami, awanturnicy, aferzyści, kanciarze, wydrwigrosze. Bardzo opłaca się przyjazd tym, którym potrzebna jest cudza, a przy tym bezpłatna głowa (za półpiśmiennego „geologa” fachowcy – zeki przeprowadzą i wszystkie badania w terenie, i obliczenia, potem wyciągną naukowe wnioski, tak że facet później w metropolii śmiało może bronić rozprawy doktorskiej). Prąd znosi tu pechowców i beznadziejnych alkoholików. Przyjeżdżają tu rozbitkowie i rozwodnicy albo tacy, którzy nie chcą płacić alimentów. Zdarzają się też młodzi absolwenci liceów zawodowych, którzy nie zdołali wykręcić się od przymusowego skierowania na peryferie. Ale już od pierwszego dnia szamoczą się, szukając drogi powrotnej do cywilizowanego świata. Jeśli nie uda im się to w ciągu pierwszego roku, to

1 Minęła era stalinowska, powiały rozmaite cieplejsze i chłodniejsze wiatery – a mimo to wielu eks-zeków dalej pozostało pod bramami obozów, nie opuściło swojego matecznika. Postąpili właściwie. Tu są przynajmniej uznani za ludzi, choć tam nawet niższego gatunku. Tam, w centrum kraju, nawet tego by nie mieli. Pozostaną tu aż do śmierci, a ich dzieci będą już autochtonami.

488

na pewno uda się następnego. Jest także zupełnie inny rodzaj wolnych: są to ludzie już starsi, od dziesiątków lat krążący w tej otoczce i tak zżyci z tym światem, że żadnego lepszego im nie trzeba. Jeśli ich obóz ulegnie likwidacji albo gdy im komendantura przestaje płacić tyle, ile trzeba – wyjeżdżają, ale nie gdzie indziej, tylko pod bramę innego obozu; inaczej żyć już nie potrafią. Jednym z nich był Wasilij Aksentiewicz Frołow, pijanica i „znany majster hutniczy”, o którym niejedno dałoby się powiedzieć, ale już go gdzieś opisałem. Nie miał żadnego dyplomu i całą swoją fachowość utopił w wódce, ale mniej niż 5.000 rubli (przed wymianą) miesięcznie nie zarabiał.

W najogólniejszym sensie – termin „wolniak” odnosi się do każdego wolnego, to znaczy – jeszcze nie aresztowanego albo już wypuszczonego z obozu obywatela ZSSR, a więc – do każdego z mieszkańców otoczki obozowej. Ale najczęściej to słowo stosowane jest na Archipelagu w znaczeniu węższym: „wolniak” to taki wol-

ny człowiek, który pracuje razem z więźniami w jednej żonie produkcyjnej. Dlatego członkowie grup 1), 5) i 6) – też zaliczają się do wolniaków.

Wolniaków angażują na stanowiska kierowników robót, dziesiętników, majstrów, starszych magazynierów, kalkulatorów. Obsadzają nimi również te stanowiska, na których więzień trudny byłby do upilnowania: szoferów, woźniców, ekspedytorów, traktorzystów, kierowców koparek i dźwigów kroczących, kontrolerów linii elektrycznych, nocnych palaczy.

Ci wolniacy drugiej kategorii, zwykli robociarze, mało różnią się pod tym względem od zeków, dlatego też szybko i bez trudu znajdują z nimi wspólny język, a także chętnie robią to wszystko, czego zabrania regulamin obozu i prawo karne. Chętnie wrzucali oni listy zeków do wolnych skrzynek pocztowych w swoim osiedlu; części odzieży „zorganizowane” przez zeków w obozie – sprzedawali na rynku; pieniądze zostawały w ich kieszeni, ale przynosili za to zekom coś na ząb¹, kradli mienie przedsiębiorstwa wespół z zekami; przenosili albo przewozili do żony produkcyjnej wódkę (jeśli spodziewali się surowej kontroli na wartowni – flaszki z łąkową główką topili w zbiornikach na benzynę swoich ciężarówek²).

Tam zaś, gdzie można było efekty pracy więźniów zapisać na konto wolniaków (majstrowie i dziesiętnicy nie krępowali się, gdy mogli całość wykonanej normy dopisać do swojego konta) – robili to bez skrupułów: przecież robota wykonana przez więźnia – idzie jakby na przepadłe, bo

2 Jeśli wartownikom udało się nawet tam butelki znaleźć – to nie składali raportu: komsomolcy ze straży woleli sami wypić zdobyczną wódkę.

489

nie płacą za nią pieniędzmi, tylko dają kromkę chleba. W okresie, gdy kartek na żywność nie było, znajdował uzasadnienie następujący proceder: raport o wykonaniu pracy przez zeka wypisywany był aby zbyć, żeby tylko nie spowodować ukarania, natomiast wykonaną robotę zapisywało się na konto wolniaka. Z otrzymanej wypłaty wolniak sam miał co jeść i pić, a ponadto dokarmił jeszcze swoich zeków³.

Ogólnie biorąc, stosunków między wolniakami a zekami nie można nazwać wrogimi, były one raczej zażyłe.

Ponadto ci zagubieni, półpijani, zrujnowani ludzie z większą uwagą przypatrywali się cudzemu nieszczęściu, potrafili współczuć więźniowi i zrozumieć, że jest ofiarą niesprawiedliwości. Obowiązek służbowy nie pozwalał dostrzec oficerom, nadzorcom i strażnikom tego wszystkiego, co widoczne przecież było dla ludzi nieuprzedzonych.

Bardziej skomplikowane były stosunki zeków z dziesiętnikami i majstrami. Jako „oficerowie produkcji” zobowiązani byli oni do wywierania na więźniów presji i do ciągłego ich poganiania. Ale wymagano od nich również dobrej produkcji, a nie zawsze można było to osiągnąć, tocząc z zekami stałe boje: nie wszystko można załatwić z pomocą pałki i głodu, to

3 Jak zyskowna jest praca w strefie przyobozowej – poznać można było, obserwując wolniaków z moskiewskich łagrów. W 1964 roku w obozie na Kalużskiej mieliśmy dwóch takich majstrów budowlanych, jeden był tynkarzem, drugi malarzem. Należeli do załogi budowanego przez nas obiektu, ale na dobrą sprawę wcale nie pracowali, ponieważ przedsiębiorstwo nie mogło zapewnić im odpowiednio dużych zarobków: premii zaś nie było tutaj, a wykonane roboty podlegały starannemu mierzeniu: otynkowanie jednego metra kwadratowego kosztowało 32 ko-

piejki i nie było sposobu, aby ocenić taki metr na pół rubla albo zapisać majstrowi trzy razy więcej metrów, niż ich mierzył cały pokój. Ale – po pierwsze – nasi wolniacy podkradali na budowie cement, farby, pokost i szyby, a po drugie – zdrowo się wysypiali w ciągu ośmiogodzinnego dnia pracy, po to, aby wieczorem i w niedzielę brać się do właściwej roboty – czyli odwalać fuchę dla prywatnych klientów. To był właśnie cel ich starań. Za taki sam metr kwadratowy ściany tenże tynkarz brał od prywatnego klienta nie 32 kopiejki, tylko 10 rubli i w ciągu jednego wieczoru miał swoje dwie stowy!

Powiedział przecież Prochorow: pieniądze to są teraz dwupiętrowe. Kto na Zachodzie zrozumieć może pojęcie „dwupiętrowych pieniędzy”? Tokarz podczas wojny dostawał na rękę 800 rubli miesięcznie, a chleb na czarnym rynku kosztował 140 rubli. Znaczy to, że w ciągu miesiąca nie mógł on dorzucić do swojego skąpego przydziału nawet sześciu kilogramów chleba! – a więc nie mógł dla całej swojej rodziny przynieść nawet 200 gramów dziennie. Mimo to – jakoś żył... Z całą bezczelnością płacono robotnikom fikcyjne pensje, zmuszając ich do szukania owego „drugiego piętra”. I ten, który płacił naszemu tynkarzowi szalone pieniądze za wieczorną pracę, też miał gdzieś swoje „drugie piętro”. W ten sposób triumfował system socjalistyczny – ale na papierze. Jego poprzednik – elastyczny i pełen sił żywotnych – jakoś nie chciał ginąć ani pod ciężarem przekleństw, ani z ręki prokuratora.

490

i owo da się zrobić tylko w zgodzie, gdy się stawia na ludzkie skłonności i ludzką inteligencję. Tylko tacy dziesiętnicy mogli pochwalić się dobrymi wynikami, którzy mieli niezłe stosunki z brygadzystami i najlepszymi fachowcami wśród więźniów. Sami owi dziesiętnicy – byli to najczęściej pijacy, zdeprawowani i zatruci przez ciągłe pasożytnictwo na pracy niewolniczej, a nadto jeszcze cechowała ich ignorancja, zupełnie nie znali się na swojej robocie, jeśli orientowali się – to bardzo słabo i dlatego jeszcze bardziej byli zależni od brygadzystów.

W jak niezwykły sposób przeplatały się tu czasami rosyjskie losy! Przychodzi ci przed świętami zalany w dym dziesiętnik ciesielski, Fiodor Iwa–nowicz Murawłow, i tak się wywnętrza przed brygadzystą malarzy, Sinieb–riuchowem, świetnym fachowcem, poważnym, spokojnym chłopakiem, odsiadującym już dziesiąty rok obozu:

– No i co? Siedzisz, kułacki synu? Twój ojciec nic, tylko ziemię orał i krowy hodował – myślał, że przez oborę trafi do królestwa niebieskiego. No i gdzie jest teraz? Umarł na zesłaniu? I ciebie też do mamra wepchnął? Nieeee, mój tato był mądrzejszy: od małego przepijał wszystko, co mógł, w chacie gołe ściany, do kołchozu nawet jednej kury nie oddał, bo nic nie miał – i od razu został brygadzystą. Ja tak samo wódkę chleję i niczego mi nie brak.

Wychodziło na to, że miał rację: Siniebriuchow po zakończeniu kary miał pojechać na zesłanie, a Murawłow był już na budowie przewodniczącym rady miejscowej. Co prawda, kierownik robót Busłow gotów był dać nie wiem ile, byleby pozbyć się takiego przewodniczącego i dziesiętnika (ale pozbyć się nie sposób: przyjmuje ich do pracy dział kadr, a nie kierownik robót, dział ten zaś ma to do siebie, że często lubi zatrudniać leniuchów albo durniów). Za wszystkie materiały i za fundusz płac kierownik robót odpowiada pieniądze, a tymczasem Murawłow – przez brak wykształcenia albo przez zbytnią tolerancję (to niezgorszy facet, zresztą brygadziści mu za to chętnie stawiają kolejkę) trwoni ten fundusz płac, podpisuje nieprzemysłane zlecenia na wykonanie robót (sami brygadziści wypełniają formularze),

przyjmuje bez protestu źle zrobioną robotę, tak, że później trzeba burzyć ściany i zaczynać od początku. Busłow więc wolalby widzieć na jego miejscu jakiegoś inżyniera-zeka, wymachującego tymczasem kilofem, ale dział nie pozwala, bo czujność.

– No powiedz chociaż: jakiej długości wiązary mamy teraz na budowie, co? Murawlow wzdycha ciężko:

– Mam chwilowe trudności z podaniem ścisłej liczby...

491

Im więcej Murawlow wypił, tym bezczelniej odpowiadał kierownikowi. Wówczas kierownik postanowił przystąpić do papierkowego obłążenia. Nie żałując czasu zaczął dawać Murawlowowi wszystkie zlecenia na piśmie (wszykując kopie do akt). Rozumie się, że zlecenia te nie były wykonywane i sprawa robiła się coraz poważniejsza. Ale przewodniczący komitetu miejscowego też nie dawał się zbić z pantafyku. Wrywał pół stroniczki z pomiętego zeszytu i przez małe pół godziny zdążył wysmażyć w krwawej męce pisany kulfonami raport:

„Donoszę niniejszym, że wszystkie maszyny do ciesielskich robót są w stanie całkiem nie do użytku, to jest w złym i w ogóle nie są używane”.

Kierownik robót – to w pionie produkcyjnym już zupełnie inne piętro – dla więźniów to ciemniejszy i wróg dziedziczny. Kierownika robót nie łączą już z brygadzystami żadne stosunki przyjaźni, żadne wspólne interesy. Z reguły ciacha ich wnioski na dostawę materiałów i wypłatę, demaskuje fuchę (jeżeli starcza mu sprytu) i zawsze może ukarać brygadzystę, a tym bardziej zwykłego więźnia – rękami obozowej zwierzchności:

„Do komendanta podobozu, towarzysza lejtnanta...

Wnoszę o najsurowsze ukaranie (najlepiej przez osadzenie w karcerze, ale bez zwolnienia z pracy) brygadzysty betoniarzy, więźnia Zozuli i dziesiętnika więźnia Oraczewskiego, za odlewanie płyt grubszych, niż przewidziane to było w planie, co pociągnęło za sobą przekroczenie norm zużycia płynnego betonu.

Jednocześnie zawiadamiam, że dnia dzisiejszego w trakcie składania mi raportu, dotyczącego zaliczania wykonanych robót, brygadzysta więzień Aleksiejew dopuścił się obrazy dziesiętnika, tow. Tumar-kina, nazywając go osłem. Takie zachowanie się więźnia Aleksiejewa, podkopujące autorytet wolnonajemnego personelu kierowniczego, uważam za wybitnie niewłaściwe, a nawet niebezpieczne i dlatego proszę o wszczęcie najsurowszych kroków, nie wyłączając wysyłki na etap.

Starszy kierownik robót Busłow”.

Owego Tumarkina Busłow sam nierzadko nazywał osłem, ale zek-bryga-dzista zasłużył sobie w jego oczach na wysyłkę.

Takie karteluski posyłał Busłow do komendy obozu prawie codziennie. Kara była, jego zdaniem, najlepszym bodźcem do pracy. Busłow należał do tych kierowników pionu produkcyjnego, którzy znali już każdą śrubkę w systemie GUłagu i wiedzieli, na co sobie mogą pozwolić. Na zebraniach

492

mówił otwarcie: „Mam spore doświadczenie \vpracy z więźniami i wcale się nie boję, uważacie, żadnych gróźb, że dostane, cegłą w łeb”. Ale, ku jego żalowi, stara wiara GUłagowska wymierała. Ludzie, którzy przybywali do obozów po wojnie, ci co zdążyli przyrzeć się Zichodowi – nie byli już tacy potulni. „Praca w 1937

roku dawała, uważacie, po prostu satysfakcję. Na przykład, na widok wolnego pracownika więźniowie zrywali się na baczność".

Buśtow dobrze wiedział, jak oszukiwać więźniów i jak posyłać ich do niebezpiecznych robót, nigdy nie szczędził im siły ani żołądka a już tym bardziej – ich miłości własnej. Długonosy, długonogi, w żółtych amerykańskich butach, które UNRRA przysłała dla sowieckich obywateli, znajdujących się w potrzebie, wciąż latał po wszystkich piętrach budowy, dobrze wiedząc, że inaczej we wszystkich kątach i zakątkach gmachu leniwi i brudni więźniowie będą leżeć rozwaleni, siedzieć, grzać się, iskać wszy i nawet oddawać się rozpucie, nie bacząc na krótkość dziesięciogodzinnego roboczego dnia, brygadziści zaś będą tłoczyć się w izbie rachuby i wpisywać do meldunków rozmałą lipę.

Ze wszystkich dziesiętników polegać mógł częściowo tylko na jednym. Zwał się Fiodor Wasiliewicz Gorszkow. Był toctoderlawy staruszek z nastroszonymi, siwymi wąsami. Doskonale znał się na sprawach budowy, znał zarówno swój fach, jak i wszystkie pokrewne, ale najważniejszym i zupełnie niezwykłym w środowisku wolniaków jego rysem była szczera troska o dobre wyniki pracy: przymierzał wszystko nie do własnej kieszeni jak Buśtow (odlicząc od pensji, czy dadzą premiej-zwymiślają, czy pochwalą?), tylko do swoich własnych pojęć, zupełnie, jakby ten ogromny dom budował dla siebie i dbał, żeby udał się jak najlepiej. Pil również w miarę, nie tracąc z oczu roboty. Miał jednak pewną poważną wadę: nie był w zgodzie z duchem Archipelagu, nie przyzwyczał się, do rządzenia batem. Gorszkow również lubił łązić po budowie i wszystko sprawdzić osobiście, jednakże nie cwałował po niej, jak Buśtow, nie szukał wciąż oszustw, lubił natomiast posiedzieć z cieślami na belkach, z umarżanymi na murku, z tynkarzami obok skrzyni z zaprawą, żeby trochę pogawędzić z ludźmi. Niekiedy częstował więźniów cukierkami, co było dla nas pełnym już dziwo-wiskiem. Jednej satysfakcji nie potrafił sobie na starość odmówić: lubił popisać się sztuką cięcia szkła. Zawsze miał w kieszeni swój diament i jeśli ktoś przy nim ciął szkło, zaraz zaczynał burczeć, że nie tak to się robi, odpychał szklarzy i sam zabierał się do rżnięcia. Gdy Buśtow wyjechał na miesiąc do Soczi – Fiodor Wasiliewicz zastąpił go, ale zdecydowanie odmówił urzędowania w jego gabinecie, został w swojej izbie dziesiętników.

493

Całą zimę Gorszkow chodził w szerokim kaftanie, starego rosyjskiego fasonu. Futro na kołnierzu już wyłysiało, ale sukno trzymało się jeszcze świetnie. Okazało się w trakcie rozmowy, że Gorszkow nosi ten kaftan już 32 lata, żadnego innego nie mając, a przedtem ojciec jego przez ileś tam lat nosił go od święta. Tu wyszło na jaw, że jego ojciec, Wasilij Gorszkow, był tzw. dziesiętnikiem robót publicznych. Teraz stało się jasne, dlaczego Fiodor Wasiliewicz tak lubi kamień, drzewo, szkło i farby: od małości chował się przy budowach rządowych. Ale chociaż dziesiętnicy nosili wtedy takie urzędowe miano, a teraz wcale się tak nie nazywali – to właśnie dziesiętnikami z urzędu i tylko z urzędu stali się oni dopiero dziś, a dawniej byli istnymi artystami.

Fiodor Wasiliewicz teraz też chwalił dawne porządki: – Bo kim jest dziś kierownik robót? Przecież nie wolno mu ani kopiejki przelać z jednej pozycji na drugą.

A dawniej – przychodzi taki kierownik w sobotę do roboty: „No, chłopaki, przed łaźnią, czy po łaźni?” A ci: „Po, już lepiej po!” – „No to macie tu pieniądze na łaźnię, a później, jak w dym do takiej a takiej traktierni”. Chłopaki wychodzą z łaźni

całą hurmą, a on już na nich w tej traktierni czeka z wódką, zakąskami, pełnym samowarem... No i spróbuj po czymś takim w poniedziałek nie pracować dobrze. My teraz wszystko już znamy na wylot, wszystko wiemy: by! to sposób wyciskania z ludzi potu, bezwstydnny wyzysk, stawianie na najniższe instynkty ludzkie. I wódka z zakąską nie była żadną zapłatą za to, co wyciskano z robotnika w ciągu następnego tygodnia.

A kostka chleba, kostka mokrego razowca, wyrzucana obojętną ręką z okienka krajami – czy warta jest więcej?..

Tak więc – wszystkie osiem kategorii wolnych obywateli warzą się we własnym sosie i tłoczą się na tej piędzi ziemi pod obozem: między lagrem a lasem, między łagrem a mokradłem, między łagrem a kopalnią. Osiem różnych kategorii, różnych rang i klas – i wszystkie muszą zmieścić się w tej zaśmierdłej, ciasnej osadzie, wszyscy zwracają się do siebie per „towarzyszu” i posyłają dzieci do tej samej szkoły. Towarzysze z nich tacy, że – jak święci w obłokach – szybują na niedosiężnej dla innych wysokości dwaj, trzej miejscowi możnowładcy (w Ekibastuzie – Chiszczuk i Karaszczuk, dyrektor i naczelny inżynier miejscowego zespołu przedsiębiorstw. Nazwiska autentyczne!). Niżej zaś – starannie poszufladkowani, ściśle przestrzegając podziałów: komendant obo-

494

zu, dowódca dywizjonu eskorty, reszta kierownictwa pionu produkcyjnego, oficerowie z obsługi obozu, oficerowie dywizjonu, gdzieś tam jeszcze dyrektor działu zaopatrzenia, gdzieś, jeszcze niżej, dyrektor szkoły (ale nie nauczyciele). Im wyżej, tym troskliwiej dba się o przestrzeganie tych podziałów, tym większe ma znaczenie, jak baba z jalcą inna ma prawo gadać gryząc pestki (to nie są księżne ani hrabiny, więc tym bardziej dbać muszą o utrzymanie swojej pozycji!). O, cóż to za los: mieszkać w tym małym światku, tak daleko od innych ludzi z lepszego towarzystwa, używających życia w pełnych komfortu dużych miastach! Tu znają cię wszyscy i nie możesz nawet iść po prostu do kina, aby nie poniżyć swojej godności; tym bardziej nie możesz sam iść do sklepu (zwłaszcza, & wszystko, co najlepsze i najświeższe i tak przyniosą ci do domu). Nawet nie bardzo wypada hodować sobie wieprzka: przecież nie godzi się, aby żona takiego to a takiego karmiła go własnoręcznie! (Oto dlaczego tak potrzebna jest służba z obozu). Szpital miejscowy ma tylko kilka sal; jak trudno bywa w tych warunkach zachować dystans wobec tałatajstwa i leżeć osobno, wśród przyzwitoich ludzi! I z kim muszą dzielić szkolną ławę? dzieci, nasze drogie dzieci?

Ale niżej już te kastowe podziały tracą swoją wyrazistość znaczenie, nie ma już tylu amatorów skrupulatnego przestrzegania dystansu. Niżej te kategorie nieuchronnie ulegają przemieszczeniu, ludzie stykają się ze sobą, sprzedają i kupują, lecą zająć miejsce w ogonku, sprzecają się o prezenty spod związkowej choinki, beztadną gromadą siedzą w kinie – prawdziwi sowieccy ludzie obok istot zupełnie nie zasługujących na tę godność.

Oto centra duchowe takich osad – główna Herbaciarnia, w jakimś but-wiejącym baraku, pod którą stoją długim szeregiem ciężarówka i skąd rozchodzą się po całej osadzie tony rykliwych pieśni oraz czkający i ledwo trzymający się na nogach pijacy; a także stojące wśród takich samych kałuż i błotnej mazi drugie centrum życia duchownego – Klub, zapluty pestkami słonecznika, zdeptany buciorami, z upstrzoną przez muchy zeszłoroczną gazetką ścienną, z dudniącym bez ustanku głośnikiem nad drzwiami, z wyzwickami krążącymi nad salą tańca i błyskiem noży

po wyjściu z kina. Styl tutejszy to – „nie wracaj późno!”, a gdy idzie się z dziewczyną na tańce, to najlepiej włożyć podkowę do rękawiczki. (No, dziewczyny tu też są takie, że jedna potrafi zmusić do ucieczki siedmiu chłopów). Ten klub – tylko goryczy przysparza oficerskiemu sercu. Zrozumiałe, że oficerowie absolutnie nie mogą chodzić na tańce do takiej budy i pokazywać się wśród takiej publiczności. Przychodzą tu żołnierze ze straży, kiedy dostaną przepustkę. Ale całe nieszczęście rą tym polega, że młode, bezdzietne oficerskie żony też tu się pchają i to też mężów! w rezultacie,

495

tańczą z żołnierzami! Szeregowcy ściskają w objęciach oficerskie małżonki – i jak w tych warunkach można od nich następnego dnia żądać bezwarunkowego posłuszeństwa? Przecież to znaczy ni mniej, ni więcej, tylko że wszyscy są równi, a tego żadna armia nie wytrzyma! Nie potrafiąc swoich żon powstrzymać od chodzenia na tańce, oficerowie domagają się przynajmniej zakazu wstępu dla szeregowców (niech już tam lepiej żony będą ściskane przez jakichś brudnych wolniaków!). Ale w ten sposób pojawia się pęknięcie w monolocie wychowania politycznego; bo dotąd wiedziano, że wszyscy jesteśmy szczęśliwymi i równoprawnymi obywatelami państwa sowieckiego, a nasi wrogowie siedzą za drutami. Wiele takich skomplikowanych napięć czai się pod powierzchnią tego świata, wiele sprzeczności dzieli jego osiem kąt. Ocierając się stale w życiu codziennym o represjonowanych i półrepresjonowanych, uczciwi ludzie sowieccy nie przepuszczą żadnej okazji, aby wytknąć im co trzeba i wskazać należne miejsce, zwłaszcza gdy chodzi o przydział pokoju w nowym baraku. Nadzorcy zaś, nosząc przecież mundury MWD, pragną być stawiani wyżej od zwykłych wolniaków. I oczywiście – nigdy nie brak kobiet, którym każdy rad jest wytknąć, że są deską ratunku dla samotnych mężczyzn. A bywają również kobiety, które koniecznie chcą mieć chłopów na stałe. Przychodzą pod wartownię obozową, kiedy wiadomo, że będzie się puszczać na wolność i łapią za poły nieznanym: „Chodź do mnie! Będziesz miał własny kąt, będzie ci ciepło. Kupię ci garnitur! No, dokąd właściwie jedziesz? Przecież znowu cię wsadzą!”.

A każda taka osada jest jeszcze w zasięgu czujnego oka oddziału operacyjnego, ma swojego kuma, swoich szpików, i swoje marudne dochodzenia: kto właściwie przyjmuje listy od zeków i kto sprzedał obozowe sorty za węglem baraku?

I oczywiście – mieszkańcy tego światka mają jeszcze mniej, niż reszta obywateli Związku, poczucia, że istnieje Prawo i że ich pokój w baraku jest nieprzystępną Twierdzą. Jedni mają paszport z haczykiem, drudzy – wcale go nie mają, trzeci – siedzieli już w obozie, czwarcy – są członkami rodzin represjonowanych i w ten sposób wszyscy ci niepodlegli, chodzący bez żadnego konwoju obywatele, zachowują się jeszcze posłuszniej niż więźniowie, gdy krzyknie na nich człowiek z karabinem, jeszcze potulniejsi są w obliczu człowieka z rewolwerem. Na ich widok nie podnoszą dumnie głowy, nie mówią – „jakim prawem?”, tylko kulą się i zginają grzbiet, byle przemknąć się boczkiem.

To poczucie, że jest się zawsze w zasięgu niczym nie kontrolowanej władzy bagnetu i munduru, w sposób tak oczywisty panuje nad całym ob-

496

szarem Archipelagu wraz z jego otoczką, z taką łatwością udziela się każdemu, kto znajdzie się w tym kraju, że wolna niewiasta (P-czyna) lecąca z córeczką do Krasnojarska na widzenie z mężem, siedzącym w pobliskim obozie – na pierwsze

skinienie emwudzistów, lecących tym samym samolotem, pozwoliła im się zrewi-
dować i obmacać oraz dała rozebrać do goła swoje dziecko. (Od tego momen-
tu dziewczynka zawsze zaczynała płakać na widok Błękitnych).

Jeśli ktoś nam jednak powie teraz, że nie ma chyba nic na świecie smutniejszego
od tych obozowych opłotków i że cała ta otoczka – to kloaka, odpowiemy: zależy
dla kogo.

Jakut Kołdieżnikow oberwał w 1932 roku trzy lata za przywłaszczenie sobie cudze-
go rena i – zgodnie z zawitymi zasadami przerzutów planowych, z ojczystej Koły-
my poślany został do obozu pod Leningradem. Odsiedział swoje, w Leningradzie
też był, nakupił dla rodziny całe bele kolorowych tkanin a mimo to przez wiele lat
jeszcze skarżył się swoim ziomkom i zekom przysyłanym z Leningradu:

– Ale tam u was nudno! Ale smutno i źle!...

XXII BUDUJEMY

Po wszystkim, co powiedziane tu zostało na temat obozów, niejednego czytelnika
na pewno aż korci, aby rzec: daj pan spokój, czy w ogóle praca więźniów mogła
się państwu opłacać? A jeśli nie opłacało się jej stosowanie – to czy w ogóle war-
to było zakładać ten cały Archipelag?

W samych obozach reprezentowane były wśród zeków dwa różne poglądy
i lubiliśmy często toczyć spory na ten temat.

Rzecz jasna, jeśli wierzyć naszym wodzom – to nie ma tu o co się spierać. Towarzysz
Mołotow, niegdyś druga osoba w państwie, wygłosił na VI zjeździe Sowietów ZSSR
następującą enuncjację na temat wykorzystania pracy więźniów: „Robiliśmy to już
dawniej, dalej to robimy i robić będziemy w przyszłości. Przynosi to korzyść społe-
czeństwu i wychodzi na korzyść przestępcom”.

Nie państwu przynosi to korzyść, proszę zauważyć! – tylko samemu społeczeństwu.
Wychodzi też na korzyść przestępcom. I będziemy robić to dalej! Więc o czym tu
gadać?

Zresztą cały przebieg dziesięcioleci stalinowskich, w trakcie których naprzód pla-
nowało się jakieś budowy, a później – aresztowania, aby mieć dla nich siłę robo-
czą, jest dowodem, że kierownictwo nie miało wątpliwości co do korzyści gospo-
darczych jakie daje istnienie obozów. Ekonomia wyprzedzała jurysdykcję.

Wydaje się jednak oczywiste, że sformułowane wyżej pytanie wymaga uściślenia
i rozbicia na poszczególne składniki:

– czy istnienie obozów jest korzystne z punktu widzenia politycznego
i gospodarczego?

– czy opłacać się one w sensie ekonomicznym?

498

– czy koszty ich utrzymania nie są wyższe od zysków?

(drugie i trzecie pytania dotyczą pozornie tej samej sprawy, jest tu jednak istotna
różnica).

Na pierwsze pytanie odpowiedzieć nie jest trudno: biorąc pod uwagę cele wyty-
czone przez Stalina, obozy były najodpowiedniejszym miejscem, do którego moż-
na było wtrącić miliony ludzi, aby wszystkim napędzić strachu. Opłaciły się więc
z punktu widzenia polityki. Istnienie obozów przynosiło także zysk i korzyści pewnej
bardzo dużej warstwie społecznej – niezliczonej liczbie oficerów obozowych: da-
wały im one okazję do „służby wojskowej” na głębokim zapleczu, dzięki nim mieli
przydziały specjalne, gaże, mundury, mieszkania, świetną pozycję społeczną. Do-
dajmy tu również całe mrowie nadzorców i strażników, drzemiących na wieżycz-

kach obozowych (podczas gdy trzynastoletnich chłopaczków posyłano już do szkół zawodowych). Cała ta chmara pasożytów ze wszystkich sił podtrzymywała i umacniała rusztowania Archipelagu – owego siedliska pańszczyźnianego wyzysku. Amnestii ogólnej obawiała się, jak morowej zarazy.

Ale już wiemy teraz, że do obozów posyłano wcale nie tylko ludzi innych poglądów, wcale a wcale nie tylko tych, co zbaczali z owczego szlaku, który wytyczał Stalin. Rozmiary branki do obozów wyraźnie przekraczały wszelkie zapotrzebowania polityczne, ich ogrom nie znajdował usprawiedliwienia nawet w polityce terroru – był współmierny (nie wykluczone, że tylko w imaginacji Stalina) jedynie z rozmachem planów ekonomicznych. Zresztą – czy nie obozy (i deportacje) były drogą wyjścia z kryzysu i bezrobocia lat dwudziestych? Poczynając od roku 1930 nie kanały były wymyślane, aby ożywić siedzące z pustymi rękami obozy, lecz przeciwnie – tworzone pośpiesznie obozy dla potrzeb zaplanowanych już kanałów. O wzmożonej aktywności sądów decydowała nie liczba faktycznych „przestępców” (ani nawet „osób podejrzanych”) – lecz projekty i plany kierowniczych instancji gospodarki narodowej. Gdy zaczęto kopać Kanał Biało-morski, od razu okazało się, że sołowieckich zeków do tej roboty nie starczy i że trzy lata – to zbyt krótki, nieopłacalny termin kary dla Pięćdziesiątki Ósemki, że trzeba skazywać ich od razu na dwie pięciolatki, ryczałem.

Już Tomasz Moore, pradiadek socjalizmu, przewidział pod jakim mianowicie względem obozy okażą się rentowne. W swojej Utopii napisał, iż praca skazańców znajdzie zastosowanie przy robotach poniżających i wyjątkowo ciężkich, których w ustroju socjalistycznym nikt inny by się nie podjął. Więźniowie przydali się więc do robót w odległych i dzikich miejscowościach, gdzie przez wiele jeszcze lat można było nie troszczyć się o bu-

499

dowę porządných mieszkań, szkół, szpitali i sklepów. Do dziobania ziemi oskardem i łopatą – w pełni XX wieku. Do realizacji wielkich projektów przemysłowych socjalizmu w sytuacji, gdy nie było jeszcze na to środków.

Na wielkim Kanale Białomorskim nawet samochód był rzadkością. Wszystko wożono, jak powiadają w obozie, „samosmrodem”.

Na jeszcze większym Wołgokanale (gdzie objętość robót była siedmiokrotnie większa niż na Białomorze, dającym się porównać więc z Panamskim czy Sueskim), przekopano szlak wodny długości 128 kilometrów, o głębokości większej niż pięciometrowej i o szerokości lustra wodnego przekraczającej 85 metrów – prawie wyłącznie za pomocą motyki, łopaty i taczek'. Dno przyszłego Morza Rybińskiego pokryte było masywami leśnymi. Całą tę puszcę zwalono ręcznie. Na oczy nie widziano tam żadnych pił elektrycznych, a ściąganie i palenie gałęzi i chrustu wykonywane było przez stuprocentowych inwalidów.

Któż, prócz więźniów, pracować mógł przy trzebieniu lasu dziesięć godzin dziennie, odwalając jeszcze po siedem kilometrów do roboty i z powrotem, wlokąc się w ciemnościach przed świtem i po zachodzie słońca, podczas trzydziestostopniowych mrozów, nie mając przez cały rok żadnych dni wolnych od pracy prócz 1 maja i 7 listopada? (Wołgołaż, 1937 rok).

Kto jeszcze, prócz zeków, potrafiłby zimą karczować pniaki? Brnąc w zaprzęgu, ciągnąć skrzynie z rudą, wydobyłą z odkrywkowych kopalń na Kołymie? Kto chciałby pnie, zrąbane w odległości kilometra od rzeki Koin (przyływu rzeki Wym'), ciągnąć przez kopne śniegi na fińskich saneczkach, do których ludzie za-

przęgali się parami, zakładając sobie na barki chomąta (brzeg chomąta obszyty był starymi gałganami, chomąto nakładało się ukośnie, przez jedno ramię)? Co prawda, nadworny dziennikarz Jurij Żuków² stara się nas przekonać, że w podobny sposób komsomolcy budowali miasto Komsomolsk nad Amurem (rok 1932): walili pnie bez siekier, nie mieli nawet kuźni, nie dostawali chleba i dziesiątkował ich skorbut. I nie posiada się z zachwytu: ach, cóż to była za heroiczna praca! A tu godziłoby się raczej spytać z oburzeniem: któż to, jaki wróg własnego ludu kazał tym chłopcom w ten sposób budować miasto? Zresztą, nie ma się co oburzać. Wiemy już dziś, jacy to „komsomolcy” budowali Komsomolsk. Teraz piszą już, że Maga-dan też komsomolcy założyli³.

1 Gdy pojedziecie tym kanałem na wycieczkę – przypomnijcie sobie o tych, co leżą na dnie.

2 „Litieraturnaja Gazieta”, listopad 1963.

3 „Izwestia”, 14. VII. 1964.

500

A kogo jeszcze, prócz zeków, można było w Dżekaganie posyłać na 12 godzin dziennie do kopalni, do wiercenia na sucho? Pracować trzeba w gęstej zawieszynie z krzemionkowego pyłu, bez masek – i już po czterech miesiącach odsyłają więźnia z nieuleczalną pylicą płuc – prosto do umieralni. Kogo jeszcze można było zmuszać do zjazdów prowizorycznymi windami bez hamulców w głąb kopalń, nie zabezpieczonych przed obsunięciem się stropów ani przed zalaniem? Kto jeszcze w połowie XX wieku mógł się objeść bez – tak przecież kosztownej – techniki bezpieczeństwa pracy?

Kto śmie twierdzić, że obozy były nierentowne?...

Poczytajcie, poczytajcie w Martwej drodze, której autorem jest inżynier Pobożyj⁴ opis wyładunku kryp na rzece Taż, jest to istna Iliada ery stalinowskiej: w dzikiej, dziewiczej tundrze, więźniowie–mrówki na własnym grzbiecie wnoszą na brzeg tysiące przywiezionych kłoców, budują przystanie, układają tory, wtaczają na nie parowozy i wagony, którym przeznaczone jest nigdy i nigdzie już się stąd nie ruszać. Ludzie śpią po pięć godzin na dobę, na gołej ziemi, w zakolu tabliczek z napisem „żona”.

Ten sam autor opisuje następnie proces zakładania w tundrze linii telefonicznej: ludzie mieszkają w szałasach z gałęzi utkanych mchem, komary żrą ich żywcem, płynne błoto nigdy nie zasycha na ich odzieży, tym bardziej obuwie jest zawsze mokre. Trasa ich robót wytyczona jest byle jak i prowadzona na łapu–capu (a tym samym – z góry wiadomo, że trzeba ją będzie przerabiać), nie ma w pobliżu odpowiednich drzew na słupy i dlatego posyła się ludzi na dwu–trzydniowe wyprawy (!) po pnie, które muszą sami dźwigać.

Szkoda, że jakiś inny Pobożyj nie opowiedział, jak to przed wojną budowano kolej Kołtas–Workufa; pod każdym chyba podkładem leżą tam ze dwie ludzkie głowy. Ale co tam kolej żelazna! Znacznie wcześniej bito tutaj zwykły trakt przez ten sam nieprzebyty bór i robiły to wychudłe ręce, tępe topory i niemrawe bagnety. I któż by to wszystko zrobił bez więźniów? I jak to można mówić, że obozy – to żaden zysk?

Obozy dawały niepowtarzalną okazję zysku – z uwagi na zupełną uległość wykonawców niewolniczych prac i na wyjątkowo niski koszt siły roboczej. Nie, trudno to nazwać niskim kosztem, była to praca bezpłatna, ponieważ za niewolnika w starożytności trzeba było jednak płacić, kupując zaś zeka nie płaci się nic.

„Nowyj Mir”, 1964, nr 8, str. 152–154.

501

Nawet na powojennych zjazdach GUłagowskich przyznawać musieli nasi przemysłowi dziedzice: „Praca więźniów odegrała znaczną rolę, stanowi poważną część wysiłku zaplecza, przyczyniła się do zwycięstwa”.

Ale nikt nie wypisze tych imion na marmurze, te kości walają się bez nagrobków.

Jak niezastąpionym wynalazkiem były obozy – okazało się za czasów Chruszczowa przy okazji żmudnych i krzykliwych kampanii, których celem było skierowanie rzesz komsomolskich na ziemie dziewicze i na syberyjskie place budowy.

Zwrot kosztów własnych to całkiem inna kwestia. Państwo miało na to chętkę już od dawna. Jeszcze „ustawa o miejscach odosobnienia” z 1921 roku sugerowała: „Zakłady karne powinny być, o ile możliwości, utrzymywane kosztem pracy więźniów”. Już w 1922 roku niektóre lokalne komitety wykonawcze sowietów, nie bacząc na swój robotniczo-chłopski charakter, przejawiały „tendencje do apolitycznego, ciasnego praktycyzmu”, a mianowicie: nie tylko starały się, aby zakłady karne na ich terenie były finansowo samowystarczalne, ale ponadto chciały wycisnąć z nich zyski, przelewając je na własne konto, więc nie dość im było samowystarczalności, chciały mieć więcej. Zwrotu kosztów utrzymania miejsc odosobnienia domagał się również Kodeks Pracy Poprawczej z 1924 roku. W 1928 roku na pierwszej wszechzwiązkowej naradzie pracowników zakładów penitencjarnych, wielokrotnie i z uporem powtarzano, że „sieć przedsiębiorstw, związanych z zakładami karnymi, powinna zwrócić państwu wydatki, łożone na zakłady karne”.

Bardzo, bardzo chciano mieć te oboziki – i żeby nic nie kosztowały! Poczynając od roku 1929 wszystkie zakłady karnopoprawcze kraju objęte zostały narodowym planem gospodarczym. A w dniu 1.1.1931 roku zadekretowano nadanie wszystkim obozom i koloniom karnym Republiki Rosyjskiej i Ukrainy statusu zupełnej samowystarczalności finansowej!

No i cóż? Ależ ma się rozumieć: z miejsca pełny sukces. Już w roku 1932 prawnicy dymą w triumfalne fanfary: „Wydatki na utrzymanie zakładów karnych stale się zmniejszają (w to można uwierzyć), natomiast warunki życiowe więźniów ulegają z roku na rok stałej poprawie(!)5”.

Pewno to by nas dziwiło, na pewno staralibyśmy się odgadnąć – jak to możliwe? skąd się to wzięło? gdybyśmy na własnej skórze już się nie przekonali, jak bardzo polepszyły się te warunki życiowe w miarę upływu czasu...

Wystarczy chwila zastanowienia, aby zrozumieć, że zadanie wcale nie było trudne. Bo o co chodziło? Żeby zrównoważyć koszty utrzymania i do-

5 Dzieło zbiorowe: Od więzień... str. 437.

502

chody obozu? Koszty utrzymania, jak to czytamy, są wciąż mniejsze. A zwiększyć dochody można w jeszcze łatwiejszy sposób: wystarczy poddać więźniów pewnej presji! Jeśli w sołowieckiej epoce dziejów Archipelagu brano pod uwagę 40-procentowy handicap przy obliczaniu efektów pracy przymusowej (nie wiadomo dlaczego, uważano wtedy, że praca niewolnicza jest mniej wydajna) to już w epoce Kanału Białomorskiego, po wprowadzeniu „skali żołądkowej” eksperci GUłagu dokonali odkrycia: przymusowa praca o pustym brzuchu jest właśnie najbardziej wydajna! Zarząd obozów Ukrainy natychmiast po wejściu w życie ustawy z 1931 roku, nakazującej przejście obozów na własne utrzymanie – zadekretował z punktu: w roku następnym zwiększyć wydajność pracy ni mniej, ni więcej

– tylko o 242% (słownie: dwieście czterdzieści dwa procent!) – to znaczy z dnia na dzień zwiększyć ją trzy i pół raz – i to bez żadnej mechanizacji! Co za ścisłość naukowa: dwieście czterdzieści i jeszcze dwa procent! Towarzysze nie wiedzieli jeszcze tylko, że jest to w istocie wielki skok pod znakiem trzech czerwonych sztandarów...

Wiedział dobrze GUŁag skąd wiatr wieje! Właśnie wtedy obwieszczono światu sześć nieśmiertelnych i historycznych Warunków Towarzysza Stalina. Była wśród tych warunków również opłacalność i samowystarczalność – a my już to mamy! a my już to mamy! I była również mowa o wykorzystaniu specjalistów! A to dla nas betka: wystarczy odwołać inżynierów z robót ogólnych! i dać im funkcje pryduków produkcyjnych! (początek lat trzydziestych był dla inteligencji technicznej Archipelagu okresem stosunkowo najznośniejszym: technicy prawie nigdy nie musieli ślęczeć na robotach ogólnych, nawet nowicjusze od razu dostawali pracę w swoim fachu. Przedtem, w latach dwudziestych, inżynierowie i technicy ginęli na ogólnych bez nadziei i pożytku, ponieważ nie było dla nich pola do działania. Później zaś, między rokiem 1937 a początkiem lat pięćdziesiątych, uległa zapomnieniu i samowystarczalność i Sześć historycznych Warunków, natomiast na plan pierwszy wysunęła się Czujność – i zamiast przyjmowania poszczególnych inżynierów na stanowiska pryduków – zaczęto całymi stadami wypędzać ich na ogólne). Zresztą – o wiele bardziej opłaca się mieć inżyniera za kratami, niż na wolności: nie trzeba mu wtedy dawać żadnej gaży! znów korzyść, znów samowystarczalność! I znów okazuje się, że towarzysz Stalin ma rację! Plan strategiczny był dalekosiężny, ale zawsze prowadził do tego samego celu: chodziło o to, aby Archipelag mieć za darmo!

6 Awerbach: Od występu do twórczej pracy, str. 23.

503

Ale chociaż starali się jak mogli, ze skóry wychodzili, pazury łamali o litą skałę, chociaż sprawozdania korygowali po dwadzieścia razy, choć dziurawili je łokciami, ale jakoś nie udało się osiągnąć samowystarczalności finansowej Archipelagu i nigdy jej się osiągnąć nie udało! W żaden sposób nie można zrównoważyć wydatków i zysków, wciąż musi nasze młode państwo robotniczo-łobotnicze (to samo przydarzy się później podstarzałemu państwu ludowemu) dźwigać na grzbiecie ten brudny, przesiąkły krwią wór.

A oto powody. Pierwszy i najważniejszy – nieświadomość więźniarskiego elementu, opieszałość tych tępych niewolników. Nie dość, iż nie można liczyć na ich socjalistyczną ofiarność, ale co gorsza, nie wykazują oni nawet zwykłej, kapitalistycznej pracowitości i sumienności. Gotowi są porozwalać sobie buty, byleby nie iść do pracy; popsuć wyciąg, urwać koło, złamać łopatę, utopić wiadro – byleby mieć pretekst do bezczynnego siedzenia z papierosem w gębie. Wszystko, co pensjonariusze obozów robią dla swego własnego państwa – jest to zupełnie jawna lipa czystej wody: wypalane przez nich cegły można kruszyć gołą ręką, farba ze ścian złazi sama, tynk się sypie, klamki odlatują. Wszędzie – usterki i braki. Raz po raz trzeba odrywać już przybite pokrywy, rozkopywać zasypane już rowy, otynkowane już ściany pruć sztamajką i borować świdrami. W latach pięćdziesiątych przywieziono do Stepłagu nowiutką, szwedzką turbinę. Przyjechała w dużej skrzyni z mocnych belek, na kształt chatki. Była zima, mróz doskwierał, więc przekłute zeki wlały do środka i między maszyną a ścianami skrzyni rozpalili ogieniaszek, żeby się trochę pogrzać. Srebro, którym spawane były pióra śruby wirującej – wytopiło

się i turbinę trzeba było wyrzucić. Kosztowała trzy miliony siedemset tysięcy. No i macie samowystarczalność!

A pod wpływem tych zeków – i to jest drugi powód – wolnych pracowników też już nic nie obchodzi, jakby budowali nie dla siebie samych, tylko dla kogoś obcego. A ponadto kradną, kradną jak sto diabłów. (Stawiano dom mieszkalny i wolniacy ukradli kilka wanien – a dostarczono ich nie więcej, niż było mieszkań w planie. Jak tu przeprowadzić komisyjne przyjęcie domu? Rozumie się, że kierownikowi robot nie można powiedzieć prawdy, zajęty jest właśnie bardzo, bo uroczyście oprowadza komisję po pierwszej klatce schodowej. Wchodzi przy tym do każdej łazienki, każdą wannę musi drań pokazać. Potem prowadzi komisję do drugiej klatki schodowej, do trzeciej, ale wcale się nie spieszy i z dumą demonstruje wszystkie łazienki – a tymczasem zręczni i odpowiednio przeinstruowani więźniowie, pod kierunkiem doświadczonego dziesiętnika, specjalisty w dziedzinie techniki sanitarnej – wymontowują wanny z mieszkań w pierwszej klatce schodowej, przez strych, na paluszkach przenoszą je do ostatniej klatki,

504

tam szybko je instalują i zdążą zagipsować wszystkie szczeliny przed nadejściem komisji. I niech potem spróbują zgadnąć, kto odpowiada za braki...

Gdyby kto chciał pokazać to wszystko w komedii filmowej, to nie pozwolą: w naszym życiu nie ma niczego śmiesznego, wszystko co śmieszne, jest tylko na Zachodzie!).

Trzecim powodem jest niesamodzielnosc więźniów, ich zupełna niezdolność do życia bez opieki nadzorców, bez administracji obozowej, bez straży, bez żony z wieźniczkami wartowniczymi, bez działów: Planu i Produkcji, Sprawozdawczości, Operacyjnego i Kulturalno-Oświatowego, bez wyższych instancji obozowych z GUŁagiem włącznie; bez cenzury, bez karcerów i bunkrów, bez pryduków, bez magazynów i składów; ich całkowita niezdolność do poruszania się bez konwoju i psów. W ten sposób państwo musi dla potrzeb każdego pracującego zeka utrzymywać przynajmniej jednego dozorcę (a każdy z nich ma z kolei rodzinę!). To się zresztą dobrze składa, bo inaczej z czego by dozorczy żyli?

A jeszcze ci mędrkowie-inżynierowie wskazują czwarty powód: powiadają, że konieczność zakreślania na każdym kroku granic żony, zwiększanie liczby konwojentów, dublowanie kordonu eskorty – wszystko to zmniejsza możliwości manewru technicznego, krępuje inżynierów tak, jak na przykład przy wspomnianym wyładunku nad rzeką Taż i dlatego wszystko rzekomo się opóźnia i kosztuje o wiele drożej; ale to przecież są przyczyny obiektywne – a więc wykryty! Wystarczyłoby przecież wezwać ich na egzekutywę, przetrzepać im tam dobrze skórę i przyczyna od razu by znikła. Jak by trochę ruszyli dowcipem – to przecież wyjście by znaleźli. A oprócz tych wszystkich – powodów trzeba jeszcze wziąć pod uwagę całkowicie zrozumiałe i wybacalne niedopatrzenia samego naszego Kierownictwa. Jak powiedział towarzysz Lenin, nie popełnia omyłek tylko ten, kto w ogóle nic nie robi. Na przykład – roboty ziemne zawsze jakoś trzeba wykonywać nie latem, tylko jesienią albo zimą, podczas roztopów albo mrozów – i to niezależnie od tego, jak się tam je planowało.

Albo na przykład zdarzyło się, że w marcu 1938 roku trzeba było pchnąć pięciuset ludzi do punktu Zarosszeje zespołu kopalni Szturmowej (Koły-ma), aby wykuć 8–10-metrowe szyby odkrywkowe w zlodowaciałym od wieków gruncie. Robotę wykonano (połowa zeków powyzydychała). Miano zastosować dynamit, ale zrezygno-

wano z tej metody eksploatacji, bo zawartość metalu w rudzie okazała się zbyt niska. Przerwano więc prace. W maju odkrywki podbiegły wodą, cała robota poszła w diabły. Ale po

22 – Archipelag Gulag t. II

505

upływie dwóch lat – znowu w marcu – gdy na Kołymie mróz aż trzeszczy, ktoś tam doszedł do wniosku: toż trzeba robić te odkrywki! W tym samym miejscu! ale w tempie! i nie żałować ludzi!

Żeby to tylko zbędne wydatki...

Albo, dajmy na to, więźniowie nazwozili ziemi i usypali tamę na rzece Suchoń obok osady Opoki. Ale wiosenne wody zaraz wszystko rozmyły i zniósły. Cóż, przepadło. Albo na przykład – Tałański kombinat archangielskiego zarządu obozów miał w planie organizację wyrobu mebli, zapomniano tylko zaplanować jednocześnie dostawy drzewa, z którego miały być te meble wyrabiane. Ale plan, to plan – musi być wykonany! Zakłady musiały wydzielić specjalne brygady robotnicze dla wyławiania z rzeki tzw. drewna awaryjnego, to znaczy tego, które oderwało się od tratw. Nie starczyło go na długo. Wówczas brygady zaczęły dla potrzeb swoich zakładów rabować cudze tratwy. Było to drewno figurujące w cudzych planach, niech tam kto inny teraz płacze. Ale mołojcy, którzy tę robotę wykonali, też nie mieli z tego żadnej korzyści: macierzysty obóz nie mógł przecież zaliczać im tej roboty do normy, bo chodziło o kradzież. No i macie samowystarczalność...

Albo inny przykład. W Uswymłagu, w 1943 roku postanowiono za wszelką cenę przekroczyć plan spławu drzewa luzem. Kto tylko był pod ręką – musiał iść do lasu, wypędzono do wyrębu zdrowych i chorych. W rezultacie – w zatoce rzecznej obok obozu zebrano się trochę za wiele drewna – 200.000 metrów sześciennych. Nie zdążono wyłować tego przed zimą i pnie wmarzły w lód. Poniżej tego punktu przerzucony był przez rzekę most kolejowy. Jeśli wiosną cała ta masa nie rozpadnie się na poszczególne pnie, tylko ruszy wałem – to zniesie most, jak pić dać, a komendant pójdzie pod sąd. Trzeba więc było sprowadzać dynamit wagonami, zakładać zimą miny na dnie, wysadzać w powietrze tę zmarzłą kupę drewna i później jak najszybciej wytaczać kłoc na brzeg – aby je tam palić (bo wiosną nie będą się już nadawały do żadnej obróbki tartacznej). Cały po-dobóz zajęty był tą robotą, dwustu ludzi. Za pracę w lodowatej wodzie dawano im co dzień porcję stoniny – ale żadnej z tych operacji nie można było objąć sprawozdawczością, bo przecież wszystko robione było na darmo. Całe drewno poszło z dymem. No i macie zwrot kosztów własnych.

A znów cały Pieczetdortag budował linię kolejową do Workuty – krętym szlakiem, jak leci. Gdy już była gotowa, trzeba było jej trasę prostować. Na czyj koszt?

A kolej Lalsk (nad Łuzą) – Piniug (chciano ją prowadzić dalej aż do Syktykwaru)?

W roku 1938 założono tam jakieś duże obozy, zbudowano 45 km szlaku – i zaprzestano dalszych robót... I wszystko poszło na marne.

506

No, ale takie drobne omyłki mogą się przecież zawsze zdarzyć, żadne Kierownictwo nie jest przed nimi zabezpieczone.

A kolej Salechard-Igarka?! Usypano setki kilometrów grobli wśród moczarów.

W momencie śmierci Stalina zostało jeszcze 300 kilometrów między dwoma odcinkami torów, które dopiero miały się zbiec. I też trzeba było w końcu zamrozić roboty. Ale tu już straszno powiedzieć, czyja to była omyłka. On sam tak chciał...

Ta samowystarczalność w końcu tak dokuczy, że komendant obozu nie wie wprost jak się od niej uwolnić, jak pchać ten wózek. Pod Krasnojarskiem, w miejscowości Kacza był obóz dla inwalidów (półtora tysiąca kalek!). Otóż po wojnie też im narzucano tę samowystarczalność i kazano wyrabiać meble. Inwalidzi chodzili po surowiec do lasu z ręcznymi piłami (obóz miał inny profil produkcyjny, więc żadna mechanizacja mu się nie należała), pnie zwozili do obozu krowim zaprzęgiem (środki transportu też im się nie należały, ale mieli własną oborę). Koszta własne jednej kanapy wyniosły w końcu 800 rubli, a sprzedawać ją trzeba było za 600!... Wówczas sama zwierzchność obozowa zaczęła się namyślać, jak by tu możliwie najwięcej inwalidów przesunąć do pierwszej grupy, niepracującej, albo uznać za chorych, co pozwalało nie wyprowadzać ich do robót poza żonę – i w rezultacie obóz mógł zrezygnować z nierentownej samowystarczalności i przejść na zupełnie pewne utrzymanie państwowe.

Z tych wszystkich powodów Archipelag nie jest w stanie pokryć kosztów swego utrzymania. Ba, kraj sporo musi dopłacać, aby móc się nim cieszyć.

Jeszcze bardziej komplikuje życie gospodarcze Archipelagu fakt, że ta wielka, ogólnopaństwowa socjalistyczna samowystarczalność potrzebna jest państwu, potrzebna GUŁagowi, ale komendant obozu już tylko na nią gwizdże – no, mogą trochę zbesztać, mogą najwyżej premię obciąć człowiekowi (ale zawsze w końcu jakąś dadzą). Ten zysk, który naprawdę obchodzi komendanta, który zapewnia człowiekowi rozmach, wygody i satysfakcję – daje mu jego samodzielne, na prawie naturalnym oparte gospodarstwo, jego maleńki przytulny mająteczek, jego folwark obozowy. Nie tylko w Armii Czerwonej, lecz również w środowisku MWD, wcale nie żartem, lecz całkiem serio zaczęto stosować – i to coraz powszechniej – stateczne, poważne, budzące szacunek i mile łechcące dumę słowo – gospodarz. Całym krajem trząsł Gospodarz – podobnie więc dowódca każdej jednostki powinien być być również kimś na obraz i podobieństwo Gospodarza.

Ale bezlitosny Frenkel wymyślił zgrzebło, którego zęby – w postaci grup A–B–C–D wpłyły się raz na zawsze w grzywę GUŁagu – i odtąd każdy

507

gospodarz musiał dobrze wysilić mózgownicę, aby nie pozwolić temu zgrzebłu wyczesać owego minimum robotników, bez których niemożliwy byłby rozruch i funkcjonowanie mechanizmu gospodarczego tych prywatnych włości. Tam gdzie, według siatki etatów GUŁagu, powinien być tylko jeden krawiec, trzeba było urządzić całą szwalnię; gdzie przewidziany był tylko jeden szewc – cały warsztat szewski, a iluż to jeszcze innych dobrych majstrów warto by mieć pod ręką! Czemu, na ten przykład, nie założyć szklarni, aby mieć cieplarniane warzywa dla oficerskiej kuchni? Niektórzy rozsądni gospodarze myśleli o założeniu dużych pomocniczych zakładów ogrodniczych, aby mieć jarzyny dla więźniów – przecież będą za to lepiej pracować, jest to po prostu korzystne dla samego gospodarza – ale skąd wziąć ludzi?

Rozwiązanie leżało jak na dłoni: trzeba było tylko trochę więcej roboty kazać odwalić zekom, zamydlić trochę oczy GUŁagowi, a trochę – pionowi produkcyjnemu. Gdy chciało się przeprowadzić w żonie jakieś większe prace, na przykład postawić jakiś budynek – można było w tym celu zmusić wszystkich więźniów do pracy dodatkowej w niedzielę albo wieczorkiem, po całym (10-godzinny) dniu roboczym. By usprawiedliwić zaś jakieś prace stałe, powiększało się sztucznie w sprawozdaniach stan liczebny wychodzących z żony brygad: robotnicy, którzy

pozostawali wewnątrz obozu, uchodzili w sprawozdaniach za pracujących poza żoną – i dlatego brygadzysta musiał wycisnąć z reszty brygady również ich procent, tj. część normy. Odliczało się ją od urobku brygady (która i tak zwykle normy nie wykonywała). Robociarze harowali więcej, jedli mniej, ale były z tego zyski dla obozowego folwarku, a towarzysze oficerowie mieli bogatsze menu i żyło im się znacznie przyjemniej.

W niektórych obozach zdarzali się komendanci, lubiący prawdziwy rozmach. Jeśli komendant taki znalazł sobie inżyniera z fantazją – to w żonie powstawało potężne gospodarstwo pomocnicze, już całkiem oficjalne, mające już prawo do własnej załogi i podejmujące się wykonania zamówień typu przemysłowego. Ale nawet takie instytucje nie mogły liczyć na planowe zaopatrzenie w surowce i maszyny, dlatego też nic nie mając w majątku, o wszystko musiały starać się własnymi siłami.

Parę słów o takim gospodarstwie istniejącym w obozie Kengir. Nie warto tracić czasu na opis jego warsztatów krawieckich, kuśnierskich, introligatorskich, stolarskich, itp., to bagatelka. Kengirska manufaktura pańszczyźniana miała własną odlewnię metali, a także własne warsztaty ślusarskie, którym udało się – w połowie XX wieku – ręcznie wyprodukować wiertarkę i szlifierkę dla własnych potrzeb. Maszyny tokarskiej sami zrobić nie mogli, ale tu zastosowany został swoisty obozowy land lease:: obrabiar–

508

ka została w biały dzień ukradzioną z fabryki. Operację więźniowie wykonali w następujący sposób: podprowadzili jak najbliżej obozową ciężarówkę, odczekali, aż szef oddziału sobie pójdzie, wtedy cała brygada rzuciła się na maszynę, przeniosła ją w jednej chwili na ciężarówkę, a ta już bez trudności przeskoczyła obok wartowni – bo straż była w zмовie, w dywizjonie straży służą takie same chłopaki z MWD – potem piorunem zawieźli maszynę do obozu, a już tam żaden wolniak nie ma wstępu. I już! Co tu wymagać od tępych zeków, to przecież zupełnie nieodpowiedzialny element. Szef oddziału klnie w żywy kamień – gdzie obrabiarka? – a ci nic nie wiedzą: bo to stała tu jakaś maszyna?, niceśmy nie widzieli. – Najważniejsze przybory dostarczane były do obozu podobną, tylko jeszcze mniej skomplikowaną drogą – w kieszeni czy za pazuchą.

Pewnego razu dział gospodarczy obozu podjął się na zamówienie kengir–skiej aglomerowni dostarczenia partii lanych pokryw do włazów kanalizacyjnych. Odlewnia dała sobie z tym radę – ale zabrakło żelaza, bo też skąd ma je w końcu obóz brać? I wtedy z tejże samej aglomerowni kazano więźniom kraść pierwszorzędne, angielskie wsporniki żeliwne (zostały tu jeszcze z czasów przedrewolucyjnych, kiedy fabryka należała do zagranicznych koncesjonariuszy). W obozie wsporniki przetapiano i w ten sposób aglomerownia otrzymała partię pokryw, za którą przekazała znaczną sumę do kasy obozu.

Teraz czytelnik już rozumie, że tak dynamiczne gospodarstwa własne przyczyniały się nie tylko do triumfu zasady samowystarczalności, lecz również do rozkwitu całej gospodarki krajowej.

Wspomniane gospodarstwo pomocnicze podejmowało się wykonania zamówień, których przestraszyłby się może sam Krupp. Robiono tam wielkie, gliniane tuby ściekowe dla kanalizacji. Wiatraki. Sieczkarnie. Zamki do drzwi. Pompy wodne. Remontowano maszyny do mielenia mięsa dla rzeźni. Zszywano pasy transportowe. Naprawiano autoklawy dla szpitali. Toczono wiertła do trepanacji czaszki. Czegóż

zresztą ludzie się nie podejmą w sytuacji bez wyjścia? Głód rozumu nauczy! Jeśli bowiem ktoś spróbuje się przyznać, że nie potrafi, że się nie podejmie – to już jutro pójdzie do łopaty. A w gospodarstwie pomocniczym luz jest o wiele większy: ani zbiórki przed wymarszem, ani chodzenia pod konwojem, pracować też można w mniejszym tempie i zawsze coś człowiek zdąży zrobić dla siebie. Szpital za wykonanie zamówienia płaci „zwolnieniem” na jeden czy dwa dzionki, kuchnia – „dokładką”, ktoś inny – machorką, a gospodarze – przydziałowym chlebusiem. Zabawne to i ciekawe zajęcie. Inżynierowie wciąż muszą rozwiązywać łamigłówki: z czego? jak? Znalezienie na jakimś śmietniku odpowiedniego

509

kawałka żelaza zmieniało nieraz całą zaplanowaną konstrukcję – wiatrak zbudowali, ale nie mogli znaleźć sprężyny, która obracałaby go sama zgodnie z kierunkiem wiatru. Trzeba było po prostu przywiązać dwie linki, kazać dwóm zekom naciągać je przy zmianie wiatru i obracać wiatrak w należną stronę. Robili też cegły własnym przemysłem: kobieta cięła struną długie pasmo gliny na równe sześciiany, które następnie przesuwali się na taśmie jaką tą sama kobieta miała wprowadzać w ruch. Ale jak? ręce ma przecież zajęte. O, nieśmiertelna wynalazczości sprytnych zeków! Wymyślili urządzenie, składające się z dwóch dyszelków, przymocowanych do bioder robotnicy. Rękami strychując cegły – silnymi i rytmicznymi ruchami miednicy wprowadzała jednocześnie w ruch taśmę konwejera! Niestety, nie możemy pokazać czytelnikowi pamiątkowej fotografii.

Kengirski zaś pan dziedzic doszedł ostatecznie do wniosku, że nie ma na świecie rzeczy, której by nie mogło wykonać jego gospodarstwo pomocnicze. Wezwał więc pewnego dnia naczelnego inżyniera i rozkazał, aby warsztaty przystąpiły natychmiast do wyrobu szkła okiennego i karafek. Jak to ugryźć? Nikt nie wiedział. Zajrzeli do znalezionej w graciarni tomu encyklopedii. Same ogólniki, dokładnego przepisu brak. Sprowadzili jednak sodę, znaleźli gdzieś piasek kwarcowy, zwieźli wszystko do obozu. A co najważniejsze – zaprzęgli przyjaciół do przynoszenia stłuczki szklanej z obiektów budowlanych; budowano tam bowiem „nowe miasto” i stłuczki było jak maku. Wszystko to wysypali do pieca, stopili, wymieszali, rozlali na płask – i otrzymali w końcu arkusze szkła okiennego!, tylko że z jednego brzegu miały centymetr grubości, a z drugiego – dwa milimetry. Przez taką szybkość trudno rozpoznać nawet dobrego znajomego. A tu już zbliża się termin lustracji, trzeba komendantowi pokazać towar. Ale zek żyje tylko dniem dzisiejszym: grunt, to go przeżyć, co będzie jutro, to się zobaczy. Ukradli więc na budowie partię gotowych szyb, przynieśli do warsztatów i pokazali je komendantowi. Okazał zadowolenie: „Brawo! Całkiem, jak prawdziwe! Przystępujcie teraz do masowej produkcji!” – „Niemożliwe, obywatelu komendancie”. – „Ależ dlaczego?” – „Widzicie, obywatelu, szkło na szyby okienne musi koniecznie zawierać molibden. Mieliśmy go trochę, ale się skończył”. – „A nigdzie go nie można dostać?” – „Ale gdzie tam!” – „Szkoda. Ale karafki da się robić bez tego molibdenu?” – „Z karafkami jeszcze pół biedy”. – „No, to bierzcie się do roboty”. – Lecz karafki też były jakieś krzywobokie i z niewiadomych przyczyn rozsypywały się same. Jeden z nadzorców chciał nabrać do takiej karafki mleka – i tylko szyjka została mu w ręce, a całe mleko poszło w diabły. „Ach, co za łotry! – kłął, na czym świat stoi. – Szkodnicy! Faszysci! Wszystkich bym powystrzelał!”.

510

Kiedy w Moskwie, na ulicy Ogariowa burzono stare, przeszło stuletnie domy, aby stawiać na ich miejscu wysokościowce, więzary i belki z pował nie tylko że nie szły na złom ani na opał – lecz mogły być użyte do wyrobów stolarskich. Było to drzewo JAK DZWON, czyste. Za naszych pradziadów tak je suszono przed użyciem. My zaś wszystko robimy pośpiesznie, na nic czasu nam nie starcza. Czekać, aż wyschną belki? Na rogatec Kałużskiej syciliśmy budulec drewniany najlepszymi preparatami antyseptycznymi – i mimo to belki but-wiały, wżerał się w nie grzyb – i to tak złośliwy, że jeszcze przed komisyjnym przyjęciem budynku trzeba było pruć podłogi i wymieniać całe więzary. Dlatego, za sto lat to wszystko, co zostało zbudowane przez nas, zeków, a zresztą – wszystko, co w naszym kraju zbudowano, na pewno nie odpowie tak czystym dźwiękiem na uderzenie topora, jak te stare belki z ulicy Ogariowa.

Tego dnia, kiedy Związek Sowiecki z wielkim hałasem wystrzelił w niebo pierwszego sztucznego satelitę – widziałem przez moje okno w Riazaniu, jak dwie pary wolnych kobiet w brudnych, obozowych fufajach i wałowanych portkach wносиły na tragach zaprawę murarską na czwarte piętro budowy.

– No owszem, owszem, to prawda – ktoś mi odpowie – ale co pan powie? ona jednak się kręci!...

A istotnie, tego nikt jej nie odbierze, nikt nie zaprzeczy, do stu diabłów! – jednak się kręci!

Należałoby właściwie przytoczyć na zakończenie tego rozdziału długi spis robót, wykonanych siłami więźniów, przynajmniej od pierwszej stalinowskiej pięciolatki aż do czasów Chruszczowa. Ale rozumiem się, że nie jestem w stanie skompletować takiego spisu. Chcę jedynie wyliczyć niektóre jego pozycje, aby mógł uzupełnić go i kontynuować, kto ma chęć.

– Kanał Białomorski (1932), Kanał Wołga–Moskwa (1936), Kanał Wołga–Don (1952);

– kolej Kołtas–Workuta, odgałęzienie na Salechard;

– kolej Rykasycha–Mołotowsk⁷;

– kolej Salechard–Igarka (zaniechana);

– kolej Dalsk–Piniug (zaniechana);

– kolej Karaganda–Mointy–Bałchasz (1936);

Obozy nad rzeką Kud'mą na wyspie Jagry, w osadzie Rykasycha.

511

– linia kolejowa wzdłuż prawego brzegu Wołgi pod Kamysynem;

– rokadowe linie kolejowe wzdłuż fińskiej i perskiej granicy;

– druga nitka kolei Transsyberyjskiej (1933–35, około 4.000 km);

– kolej Tajszet–Lena (początek BAM–u);

– kolej Komsomolsk–Sowgawań;

– linia kolejowa na Sachalinie od stacji Pobiedino do miejsca połączenia z siecią japońską;

– linia kolejowa do miasta Ułan–Bator⁸; sieć szos w Mongolii;

– autostrada Moskwa–Mińsk (1937–38);

– autostrada Nogajewo–Atka–Niera;

– budowa Kujbyszewskiej Hydroelektrowni;

– budowa Niżnietułomskiej Elektrowni Wodnej (pod Murmańskiem);

– budowa Ust' Kamieniegorskiej Hydroelektrowni;

– budowa Bałchaszskiego Kombinatu Hut Miedzi;

– budowa Solikamskiej Fabryki Celulozy;

- budowa kombinatu chemicznego w Biereznikach;
- budowa kombinatu w Magnitogorsku (częściowo);
- budowa kombinatu w Kuźniecku (częściowo);
- budowa wielu fabryk i pieców martenowskich;
- budowa Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego im. M. W. Łomonosowa (częściowo);
- budowa miasta Komsomolsk nad Amurem;
- budowa miasta Sow-gawań;
- budowa miasta Magadan;
- cały Dalstroj;
- budowa miasta Norylsk;
- budowa miasta Dudinka;
- budowa miasta Workuta;
- budowa miasta Mołotowsk (Siewierodwinsk) – poczynając od 1935 roku;
- budowa miasta Dubna;
- budowa portu Nachodka;
- rurociąg naftowy z Sachalinu na kontynent;
- budowa prawie wszystkich nowych obiektów przemysłu jądrowego;
- wydobywanie rud pierwiastków promieniotwórczych (uran i rad – pod Czelabirskiem, Swierdłowskim, Turą);

8 Przy budowie tej trasy więźniom, pracującym bez konwoju, kazano opowiadać Mongołom, że są komsomolcami i ochotnikami. Mongołowie odpowiadali, po wysłuchaniu tych informacji: zabierzcie sobie waszą kolej i oddajcie nasze barany!

512

- praca w zakładach krekingowych i aglomerowniach rudy radioaktywnej (1945–1948);
 - wydobywanie radu w Uchcie, destylacja ropy naftowej w Uchcie, produkcja ciężkiej wody;
 - kopalnie węgla w zagłębieniach – Pieczorskim, Kuznieckim, Karagan-dyńskim, Su-czańskim, itd.;
 - wydobywanie rudy w Dżekaganie, na Syberii Południowej, w Bu-riat – Mongolii, Szorii, Chakassji, na półwyspie Kola;
 - kopalnie złota na Kołymie, Czukotce, w Jakucji, na wyspie Wajgacz, w Majkainie (rejon Bajan-Aulski w obwodzie Pawłodar);
 - wydobywanie apatytów na półwyspie Kola (już od roku 1930);
 - wydobywanie łupków bitumicznych w Amdermie (od 1936 roku);
 - wydobywanie metali rzadkich (kopalnia „Stalinskoje” w okręgu ak-molińskim) (aż do lat 50.);
 - wyrąb lasu i dostawy drewna na eksport oraz dla potrzeb gospodarki krajowej.
- Cała Północ Rosji europejskiej i Syberia. Nie jesteśmy w stanie wyliczyć niezliczonych podobozów leśnych, to połowa Archipelagu. Niech posłużą za dowód już pierwsze nazwy obozów: wzduż rzeki Kop'; łańcuch obozów nad rzeką Uftiugą Dżwinską; nad rzeką Niem (dopływ Wyczegdy), gdzie pracowali zesłani Niemcy; nad Wyczegdą w okolicach Riabowa; nad Północną Dżwiną w okolicach Cze-rewkowa; nad Małą Dżwiną Północną – w okolicach Aristowa...

Czy w ogóle sporządzenie takiego spisu jest możliwe?... Na jakich mapach i w czyjej pamięci mogły zachować się te tysiące prowizorycznych leśnych placówek, tych podobozów, rozbijanych na rok, dwa, trzy – aż do wytrzebień sąsiednich la-

sów, a likwidowanych później raz na zawsze? Zresztą – po co mówić tylko o leśnej robocie? A gdzie pełny spis wszystkich stałych wysp Archipelagu, które kiedykolwiek wyłoniły się na powierzchnię oceanu – tych słynnych i dziesiątki lat utrzymywanych przy życiu obozów? A także ich wędrownych placówek, forpoczt przesuwających się wzdłuż budowanych tras? I potężnych centralniaków, gdzie siedziało się latami, i obozowych węzłów transportowych, skleconych z żerdzi i namiotów?

I czy ktokolwiek podjąłby się oznaczenia na takiej mapie również wszystkich aresztów miejscowych? i więzień, znajdujących się w każdym mieście (a bywa ich tam kilka)? a także karnych kolonii rolnych, razem z ich placówkami ruchomymi, tworzonymi podczas żniw albo dla wypasu bydła?, a dodajmy jeszcze drobne oboziki przemysłowe, które upstrzyły nasze

513

miasta jak słonecznikową łuską. Moskwę i Leningrad trzeba by potraktować osobno, tu potrzebne są drobiazgowo plany miasta. (A nie zapomnieć o podobozie, leżącym w odległości pięciuset metrów od Kremla – gdzie miano budować Pałac Sowietów). A przecież w latach 20. Archipelag był czymś zupełnie odmiennym od Archipelagu z lat 50. – topografia zmieniła się całkowicie. Jak unaocznic te zmiany, zachodzące w miarę upływu lat? Ile tu map potrzeba? A Nyrobłag albo Ust'wymłag, albo zespoły obozów w Solikamsku czy Pofmie – powinny być oznaczone przez za-kreskowanie całych okręgów – ale kto z nas te wszystkie granice własnymi krokami wymierzył? Mamy jednak nadzieję, iż kiedyś taką mapę ujrzymy. – Ładowanie drewna na statki w Karelii (przed rokiem 1930. Po rewelacjach prasy angielskiej i apelach, aby nie przyjmować drewna, które ładowali więźniowie – zeków pośpiesznie usunięto z portów i przeniesiono w głąb Karelii); – produkcja materiałów bojowych dla potrzeb frontu podczas wojny (miny, pociski, skrzynie do amunicji, szycie mundurów); – zakładanie i urządzanie sowchozów na Syberii i w Kazachstanie...

I nawet – pomijając całe lata dwudzieste – wraz z produkcją ich miejsc odosobnienia, zakładów poprawczych, kolonii pracy poprawczej – czym zajmowały się i co zdołały wyprodukować w ciągu ćwierci wieku (1929–1953) setki karnych kolonii produkcyjnych, bez których nie obchodzi się w naszym kraju żadne szanujące się miasto?

A co zasiano i zebrano w setkach i setkach karnych kolonii rolnych?

O wiele łatwiej powiedzieć, czym więźniowie nigdy w życiu się nie zajmowali: wyrobem wędlin i cukierków.

Koniec części trzeciej

CZĘŚĆ CZWARTA DUSZA I DRUT KOLCZASTY

A oto ogłaszam wam tajemnicę: nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni.

Pierwszy list do Koryntian, 15, 51.

POD GÓRĘ

A lata płyną...

Nie tak, jak w obozowej wyliczance – „lato–zima, lato–zima, lato–zi–ma...”, całkiem inaczej: marudna jesień, nieskończenie długa zima, opieszła wiosna; jedynie lato jest krótkie. Na Archipelagu nic nie jest krótkie, poza latem.

Nawet jeden, jedyny rok – ooo, jak tu się dłuży! Ileż to człowiek ma czasu na rozmyślanie w ciągu jednego tylko roku! Gdy stoi w ścisku na zbiorcach przed wymar-

szem do pracy przez 330 dni – na słocie, w mżącym deszczu, w siekającej zadymce i na zastygłym w bezruchu mrozie. Gdy przez 330 dni urabia ręce przy uprzykrzonej, obcej sobie robocie, w której głowa udziału nie bierze. Gdy przez 330 wieczorów kuli się mokry, zziębnięty na zbiórkach po fajrancie, czekając aż konwojenci poślążą z odległych wieżyczek. I podczas marszu w jedną stronę. I podczas marszu w drugą. I – gdy siedzi zgarbiony nad siedemset trzydziestoma miskami bałandy, nad siedemset trzydziestoma porcjami kaszy. I na swojej wagonetce, przed zaśnięciem i po przebudzeniu. Ani radio, ani książki nie odrywają go od tych rozmyślań, nie ma ich tu, Bogu dzięki.

I to wszystko składa się na jeden zaledwie rok. A jest ich dziesięć. Albo – dwadzieścia pięć. A już kiedy się człowiek dostanie do szpitalika jako dystrofik – to dopiero ma czas na rozmyślanie.

Myśl zatem! Wyciągnij wnioski nawet ze swego nieszczęścia.

Przez ten nieskończenie długi czas dusza i umysł więźnia nie są chyba pogrążone w bezczynności?! Więźniowie z daleka wyglądają jak rój niemrawych wszy, ale przecież oni również zaliczają się do królów stworzenia, prawda? Przecież tliła się w nich niegdyś isierka Boża, choćby najśłabsza? Co się z nią teraz stało?

517

Przez całe stulecia uchodziło za pewnik: właśnie po to wyznacza się przestępcy termin kary, aby przez cały ten czas mógł on myśleć o swojej zbrodni, aby się nad nią zastanowił, aby dręczyła go ta myśl, aby ogarnęła go skrusza, aby się wreszcie poprawił.

Ale Archipelag GUłag nie wie, co to wyrzuty sumienia! Na stu jego mieszkańców, pięciu – to knajacy z ferajny, popełnionych przestępstw nie żałują, przeciwnie, są one dla nich przedmiotem dumy, tylko o tym marzą, aby w przyszłości poczynąć sobie jeszcze zręczniejsze i bezczelniejsze. Nie ma tu mowy o żadnej skrusze. Pięciu innych przywłaszczyło sobie trochę za wiele, ale nie kosztem osób prywatnych: w naszych czasach nagrabić się można do woli tylko na szkodę państwa, które samo trwoni ludowe pieniądze bez skrupułów i bez zastanowienia – więc taki typ miałby się kajać?! Tego dnia chyba żałuje, że nie zaharapczył więcej i nie podzielił się z kim należy, bo wtedy zachowałby wolność. 85 więźniów na 100 nie poczuwa się w ogóle do żadnego przestępstwa. Za jakie więc grzechy mają żałować oni? Że myśleli to, co myśleli? (Niejeden zresztą tak jest zacukany, takiej mu sieczki w głowie narobili, że istotnie czyni sobie wyrzuty i uważa się za jednostkę zdeprawowaną... Przypomnijmy sobie tylko rozpacz Niny Piere-gud, że niegodna jest Zoi Kosmodemiańskiej). Albo że poszedł do niewoli w sytuacji bez wyjścia? Że pod okupacją poszedł do pracy, chociaż mógł przecież zdechnąć z głodu? (A zresztą tak człowieka zmylą, tak popłaczą to co wolno, z tym czego nie wolno, że niektórzy mówią w udręce: szkoda, że nie umarłem, po co mi był ten chleb!). Albo że – pracując w kołchozie za darmo, wziął coś z pola, żeby nakarmić dzieci? Albo że wyniósł coś z fabryki z tego samego powodu?

Nie, człowieku, nie dość, że do skruszy brak ci powodów; sumienie masz czyste jak górskie jezioro, to poznać po oczach. (I twoje przemytłe cierpieniem oczy nieomylnie rozpoznają wszelki brud, w cudzych. Na przykład

– bezbłędnie rozróżniają szpicłów. CzKGB nie zdaje sobie sprawy z tego naszego daru widzenia prawdy, to nasza tajna broń i pod tym względem bezpieczeństwo jest od nas słabsze).

Tym prawie powszechnym poczuciem niewinności różniliśmy się najbardziej od katorżników Dostojewskiego, czy P. Jakubowicza. Tamci mieli poczucie, że są odszczepiericami, na których ciąży przekleństwo, my – uświadamialiśmy sobie z całą jasnością, że każdego wolnego człowieka można tak samo wpakować za kraty, jak każdego z nas; że drut kolczasty między nami a nimi – to przegroda umowna. Większość tamtych – miała bezwarunkowe poczucie osobistej winy, w nas przeważało poczucie, że jesteśmy ofiarami napaści, której uległy miliony ludzi. Ale napaść, a zguba

– to dwie różne rzeczy. Napaść trzeba jakoś przeżyć.

518

Czy nie tu leży źródło nadzwyczajnie] rzadkości samobójstw w obozie? Tak jest, rzadkości, chociaż każdy były więzień zapewne przypomni sobie jakiś wypadek samobójstwa. Ale o wiele więcej przytoczyć może wypadków ucieczek. Ucieczek na pewno więcej było niż samobójstw! (Zwolennicy realizmu socjalistycznego mają teraz okazję, aby mnie pochwalić: lansuję tezę optymistyczną). Samookaleczeń też było znacznie więcej niż samobójstw! – ale to się robi właśnie z przywiązania do życia, na zasadzie prostej kalkulacji: trzeba poświęcić część dla uratowania całości. Wydaje mi się nawet, że samobójstw w obozach było statystycznie mniej, niż na wolności. Oczywiście, trudno mi to sprawdzić.

Skrypnikowa opowiada, jak w 1931 roku w Miedwieżegorsku powiesił się w żeńskiej toalecie trzydziestoletni mężczyzna – i to powiesił się w dniu, w którym miał wyjść na wolność! – więc może ze wstrętu do tego, czym była już wówczas owa wolność? (Dwa lata przed tym faktem porzuciła go żona, ale wtedy się nie powiesił). – Albo na przykład – w klubie centralnego ośrodka zespołu obozów Buriepołom powiesił się konstruktor Woronow. – Komunista i działacz partyjny Aramowicz, więzień przetrzymany w obozie po odsiedzeniu całej kary, powiesił się w roku 1947 na strychu warsztatów mechanicznych w Kniaż-Pogoście. –

W Krasłagu, podczas wojny Litwini, doprowadzeni do zupełnej desperacji, a co ważniejsze, – nie przyzwyczajeni do brutalności naszego życia, szli na wartowników, prowokując ich do strzału. – W 1949 roku, w celi więzienia śledczego we Włodzimierzu Wołyńskim, pewien młody chłopak, poznawszy pierwsze okropności śledztwa, już się powiesił, ale niejaki Boroniuk, współwięzień zdążył go odratować. – Na Kałużskiej Rogatce były oficer łotewski, leżący w lazarecie obozowym, pewnego dnia wymknął się po cichutku na schody, prowadzące do nie wykończonej części gmachu. Pie-lęgniarka-zeczka spostrzegła to i pobięła za nim. Gdy go dopędziła – stał już na szóstym piętrze na progu nie wbudowanego jeszcze balkonu. Wpiła się w jego szlafrok, ale samobójca zostawił go w jej ręku, w samej bieliźnie, bez chwili zwłoki powierzył ciało pustce; przemknął jak biała błyskawica nad ulicą Wielką Kałużską, pełną ruchu, bo dzień był letni i słoneczny. – Niemiecka komunistka Emmy, dowiedziawszy się o śmierci swego męża, wyszła nago z baraku na mróz, aby zaziębić się na śmierć. – Anglik Kelly, we władimirskim TON-ie po mistrzowsku przeciął sobie żyły, chociaż drzwi celi były otwarte, a starszy klucznik stał na progu'.

1 Jako narzędzia użył odprysku emalii, odłupanego w umywalni. Kelly ukrył go w budę, but stał przy łóżku. Kelly opuścił do podłogi skraj koca, przykrył nim but, wy dostał emalię i pod kołdrą przeciął sobie żyłę na ręce.

519

Powtarzam – o podobnych wypadkach usłyszeć możemy od wielu byłych więźniów – a mimo to są one nieliczne w proporcji do milionów, które w obozach siedziały. Już przytoczone wyżej przykłady świadczą, że znaczna część samobójstw przypada na cudzoziemców, na ludzi z zachodnich ziem, przyłączonych do Związku: przeniesienie na Archipelag jest to dla nich cios o wiele straszliwszy, niż dla nas; dlatego postanawiają odebrać sobie życie. Spora część tych wypadków – to prawomyślni (ale nie ci z żelazną szczęką). To można zrozumieć. Przecież w ich głowach wszystko się poprzewracało, byli zdezorientowani i ogłuszeni. Czy człowiek może znieść coś podobnego? (Zosia Zaleska, Polka z rodziny szlacheckiej, która całe życie oddała „sprawie komunizmu” służąc w sowieckim wywiadzie, w trakcie śledztwa trzykrotnie próbowała odebrać sobie życie. Wieszła się, ale ją odcięto od stryczka, przecięła sobie żyły, ale ją odratowano, skoczyła na parapet na siódmym piętrze – drzemiący funkcjonariusz zdążył złapać ją za spódnicę. Trzykrotnie ją wyratowali, aby w końcu rozstrzelać).

A w ogóle jaki powinien być nasz stosunek do samobójstwa? Taki Ans Bernsztejn twierdzi z uporem, że samobójcy wcale nie są tchórzami, że potrzeba znacznej siły woli, aby odebrać sobie życie. Sam on skręcił sobie linkę z bandażu i usiłował udusić się podciągając nogi. Ale w oczach stawały mu zielone kręgi, w uszach zaczynało dzwonić i za każdym razem mimowolnie opuszczał nogi aż do ziemi. W trakcie ostatniej próby sznurek się urwał i denat uradował się, że nie zginął. Nie będę przeczył, że dla odebrania sobie życia – potrzeba nie tylko skrajnej desperacji, lecz również świadomej determinacji, wysiłku woli. Przez długi czas nie chciałem na ten temat wygłaszać żadnych sądów. Całe życie byłem przekonany, że nie pomyślę o samobójstwie nigdy, w żadnych okolicznościach. Ale przed niedawnym czasem przeżyć musiałem kilka bardzo ponurych miesięcy: zdawało mi się wtedy, że dzieło mego życia ulegnie zniweczeniu, zwłaszcza, jeśli nie zdecyduję się na szybką śmierć. I doskonale sobie przypominam to uczucie wstrętu do życia, przyptywy pewności, że łatwiej umrzeć, niż żyć dalej. Zdaniem moim, przy takim stanie ducha, więcej trzeba siły woli, aby dalej żyć, niż żeby umrzeć. U rozmaitych ludzi chyba różnie z tym bywa, to, co dla jednego jest skrajnością, nie jest nią jeszcze dla drugiego. Dlatego jak świat światem istnieją dwa zdania w tej materii. W imaginacji skłonnej do spektakularnych efektów mógłby zjawić się następujący obraz: te miliony pokrzywdzonych niewinnie nieszczęśliwców decydują się nagle na masowe samobójstwo zadając rządowi tym czynem podwójny cios: podkreślając swoją niewinność i pozbawiając państwo bezpłatnej siły roboczej. A może zmusiłoby to rząd do ustępstw? Może władzy

520

nagle zrobiłoby się żal poddanych?... Ejże! Stalina by to wcale nie powstrzymało: pożyczyłby sobie w zamian dwadzieścia milionów wolnych obywateli.

Ale nic podobnego nie miało miejsca! Ludzie umierali setkami tysięcy, milionami, doprowadzeni – zdawałoby się – do ostateczności, a mimo to samobójstw prawie nie było! Skazani na istic monstrualną wegetację, na załagodzenie, na pracę ponad siły – jednak nie odbierali sobie życia!

Po namyśle doszedłem do wniosku, że ten fakt służyć może za niezwykle poważny dowód pewnej prawdy. Samobójca – jest to zawsze bankrut, człowiek, który znalazł się w ślepych zaułku, który uznał, że zmarnował życie i nie znajduje już w sobie sił do dalszej walki. Jeśli zaś te miliony nieszczęsnych kreatur na przekór wszystkiemu

nie odbierały sobie życia – to znaczy, że tliło się w nich jakieś przekonanie, którego żadna siła nie była w stanie zniweczyć, że żyła w nich jakaś myśl przemożna. Było to przekonanie, że słuszność jest po ich stronie. Było to przeświadczenie, że cały lud poddany został straszliwie ciężkiej próbie, którą trzeba przetrzymać tak, jak jarzmo tatarskie.

O czym, o czym myśli cały czas więzień, skoro głowy nie zaprzęta mu żal za grzechy? „Bieda i krata nie tuczy – ale rozumu nauczy”. Owszem, nauczy. Zależy tylko – do czego później człowiek tego rozumu użyje.

Nie ja jeden, wielu odczuło to samo. Nasz pierwszy więzienny nieboskłon pełen był czarnych, kłębiących się chmur, podpierały go czarne kolumny wulkanicznego dymu, było to niebo Pompei, niebo Sądnego Dnia – dlatego, że uwięzieniu podległ nie byle kto, tylko Ja – czyli oś, dookoła której cały świat się obraca.

Ostatnie nasze niebo więzienne było bezdennie wysokie, bezdennie jasne, już białe raczej niż niebieskie.

Nasze pierwsze gesty (tylko wierzących to nie dotyczy) są takie same: zaczynamy wyrwać sobie włosy z głowy – ba, ostrzyżona jest na zero!... Jak mogliśmy? Jak można było nie rozpoznać tych, co na nas donieśli? Jak można było nie widzieć, kim są nasi wrogowie? Nienawidzimy ich! (Ach, gdyby móc się zemścić!). Jaka nieopatrzność! Jacy byliśmy ślepi! Jakich dopuściliśmy się błędów? Jak je naprawić? Ach, naprawić je czym prędzej! Trzeba napisać... trzeba powiedzieć... trzeba dać znać...

A tu już nic nie trzeba. I nic nie da się już uratować. W określonym z góry momencie podpisujemy blankiet artykułu 206, następnie wysłuchujemy wyroku sądu albo odczytujemy zaoczny werdykt OSO.

521

Zaczyna się okres etapów. W chwilach, gdy nie myślimy o przyszłym naszym po-
bycie w obozie – wspominamy z lubością naszą przyszłość: jak dobrze nam się ży-
ło (nawet, jeśli było zupełnie inaczej). Ach, ileż straconych możliwości, ile kwiatów
nie zerwanych!... Kiedy teraz człowiek zdąży to wszystko nadrobić?! Jeśli tylko tego
doczekam – jak odmienne, jak rozumne życie wtedy rozpocznę! Dzień spodziewa-
nego wyjścia na wolność jarzy się w naszych myślach jak wschodzące słońce!

I wniosek: dożyć tej chwili! Doczekać się jej! Za wszelką cenę!

To tylko zwrot potoczny, tak mówi się z nawyku: „Za wszelką cenę”.

Ale słowa wypełniają się treścią, nabierają z czasem swego pełnego znaczenia –
i ziszcza się straszliwe zaklęcie: żyć za wszelką cenę!

I gdy ktoś sam sobie dał takie przyrzeczenie, jeśli nie zmrużył oczu przed tą krwawą
błyskawicą, to już mu własne nieszczęście przesłoniło i wszystkich innych ludzi,
i świat cały.

Oto właśnie wielkie rozstaje życia obozowego. Od tego właśnie punktu ciągną się
drogi – jedna w prawo, druga w lewo, jedną idzie się pod górę, druga w dół
ściąga. Pójdzie człowiek na prawo – straci życie, pójdzie w lewo – wyzbędzie się
sumienia.

Ten rozkaz wydany sobie: „dożyć tego dnia!”, jest zupełnie zrozumiałym odruchem
żywej materii. Któż nie chciałby takiego dnia doczekać? Kto nie ma do tego pra-
wa? Stąd – napięcie wszystkich sił! Stąd – impuls wysłany do wszystkich komórek
ciała! Potężny ładunek energii wstrzyknięty zostaje w ludzką pierś, serce otula ob-
łok elektryczny, który nie pozwala mu się zatrzymać. Po wymiecionym zawieją
szkliwie podbiegunowych lodów ciągnie trzydziestu wychudzonych, ale żyłastych

zeków do łaźni, odległej o 5 kilometrów. Łaźnia – to dużo powiedziane, włazi do niej naraz sześciu ludzi, więc kąpią się na sześć zmian, drzwi otwierają się wprost na trzaskający mróz i cztery zmiany muszą czekać przed i po kąpieli, bo nie wolno im się ruszyć bez konwoju. Ale nikt z nich nie łapie zapalenia płuc, ba, nikt nawet nie kichnie. (Pewien staruch kąpie się tak przez dziesięć lat pod rząd, od 50 do 60 roku swego życia. Puszczają go wreszcie na wolność – jedzie do domu. Ciepło mu teraz, ma opiekę – i ginie w ciągu miesiąca. Bo przestał działać już nakaz, aby dotrwać do tego dnia...).

Ale „dotrwać”, to jeszcze nie znaczy samo przez się – aby dotrwać za wszelką cenę. Bo „za wszelką cenę” to znaczy – kosztem innego człowieka.

Trzeba wyznać, że na tym wielkim obozowym rozdrożu, na duchowych rozstajach – wcale nie większa część więźniów skręca w prawo. Niestety, nie jest to wcale większość. Ale na szczęście – nie są to też jednostki. Wcale niemało jest tych, co wybierają ten szlak. Nie są jednak krzykliwi

522

i trzeba chcieć ich widzieć. Dziesiątki razy musieli wybierać – i zawsze decydowali się na to samo.

Na przykład Arnold Suzi, który znalazł się w obozie w wieku lat pięćdziesięciu. Nigdy nie był wierzący, ale zawsze był człowiekiem głęboko porządnym. Nie wyobrażał sobie, aby można było żyć inaczej jak uczciwie – i w obozie też został sobie wiernym. Pochodzi z Zachodu, to znaczy – że jest podwójnie nieprzystosowany, raz po raz zdarzają mu się potknięcia, wpada w tarapaty, musi pracować na ogólnych, siedzi w karnej żonie – ale udaje mu się wytrwać, ani odrobiny się nie zmienia i gdy wychodzi na wolność – jest takim samym człowiekiem, jakim był wprzód. Znałem go na początku tej drogi, utrzymywaliśmy znajomość także po jej zakończeniu, więc mogę świadczyć. Co prawda, trzy ważne okoliczności ułatwiły mu ten sposób bycia w obozie: zostaje uznany za inwalidę, przez kilka lat otrzymuje paczki i – dzięki zdolnościom do muzyki trochę sobie pomaga pracą w ruchu amatorskim. Ale te trzy okoliczności wyjaśnić mogą tylko, dlaczego w ogóle udało mu się przetrwać. Gdyby nie one – Suzi zapewne by zginął, ale na pewno by się nie zmienił. (A ci, co zginęli – może właśnie dlatego umarli, że nie chcieli się zmienić, przystosować?).

A Taraszkiewicz, człowiek zupełnie prosty i nieuczony, tak mi pisze: „Sporo było więźniów, którzy za kromkę chleba i za trochę machorkowego dymu gotowi byli przed każdym się płaszczyć. Już konałem z wycieńczenia, ale sumienie mam czyste: co białe, to zawsze nazywałem białym”.

Że pobyt w więzieniu powoduje w człowieku głębokie przeobrażenia – to wiadomo już od wielu stuleci. Przykładów jest wielkie mnóstwo, jednym z bardziej znanych jest życie Silvio Pellico: po odsiedzeniu 8 lat przekształcił się z zaciętego karbonariusza w kornego katolika². U nas zawsze przytacza się w takich wypadkach historię Dostojewskiego. A Pisa-riew? Co się ostało z jego rewolucyjnych przekonań po twierdzy Pietropawłowskiej? To jeszcze kwestia czy to lepiej dla rewolucji, czy gorzej, ale zmiany te z reguły polegają na pogłębieniu życia duchowego. Ib-sen pisał: „Brak tlenu prowadzi również do uwięźdzenia sumienia³”. Ejże! Nie takie to proste! Bywa nawet wręcz odwrotnie! Weźmy takiego generała Gorbátowa – wojował od wczesnej młodości, w armii wciąż awansował, nie miał czasu na rozmyślanie. Zaledwie jednak znalazł się w więzieniu, na powierzchnię jego pamięci za-

częły wyływać rozmaite zapomniane przypadki: jak to posądził o szpiegostwo człowieka niewinnego: albo – jak przez omyłkę
SUVio Pellico, *Moje więzienia* (I wydanie rosyjskie – Petersburg, 1836 rok). Henryk Ibsen, *Wróg ludu*.

523

kazał rozstrzelać Bogu ducha winnego Polaka⁴. (Czy kiedy indziej by to mu jeszcze na myśl przyszło? Chyba po rehabilitacji nie tak już chętnie wracał do wspomnień). O tych duchowych przemianach więźniów pisano już wystarczająco wiele, weszło to nawet w skład teorii więziennictwa. Na przykład w przedrewolucyjnym czasopiśmie „Tiuriemnyj wiestnik” pisał Łuczeniecki: „Mrok czyni człowieka bardziej wrażliwym na światło: przymusowa bezczynność budzi w nim chęć życia, ruchu, tęsknotę do pracy: cisza skłania do głębokiego wczucia się we własne ‘ja’, do zastanowienia się nad tym, co go otacza, nad własną przeszłością, teraźniejszością i przyszłością”.

Chcę tu przytoczyć zupełnie inną opinię starego rewolucjonisty Lwa Ti-chomirowa. Píše on tak („Krasnyj Archiw”, nr 41/42, str. 138): – Naro-dowolcy „nie mieli gdzie sprawdzić swoich poglądów w praktyce. Jest to najgorsza strona więzienia, wiem to z własnego doświadczenia. Cztery lata w celi były dla mnie zupełnie stracone, nie rozwinąłem się tam ani odrobinę. Następne zaś cztery lata na wolności dostarczyły mi tysięcy rozmaitych drogocennych obserwacji samego siebie, innych ludzi i praw, rządzących życiem”. A ja myślę sobie: może to dlatego, że ci ludzie siedzieli osobno i mieli do czynienia tylko z podobnymi sobie? A może byli bardzo niecierpliwi, wciąż czekali rychłego wyjścia na wolność? To im nie dawało skupić się i rozwinąć się wewnątrz.

Nasi krzewiciele oświaty, którzy sami kar nie odsiadali, mieli dla więźniów wiele współczucia – naturalnego, acz z dystansu: tymczasem Dostojewski, który sam się nasiedział, był zwolennikiem karania zbrodniarzy! Warto o tym pomyśleć.

Powiada rosyjskie przysłowie: „Wolność człowieka psuje, niewola – uczy”.

Pellico i Łuczenieckij pisali o więzieniu. Dostojewski żądał kar więzienia. Ale czy każda niewola uczy?

Czy obóz również?...

Tu jest nad czym podumać.

Oczywiście, w porównaniu z więzieniem, nasze obozy są siedliskiem zgnilizny i zepsucia.

Oczywiście ci, dzięki którym bąble Archipelagu wzdęły się nad otchłanią, nie myśleli o naszych duszach. Mimo to: czy istotnie nie ma żadnej nadziei, aby oprzeć się duchowi obozu?

Więcej nawet: czy w obozie nie można wzbogacić się duchowo?

W podobozie Samarka, w 1946 roku przebywa grupa inteligentów, do-

4 „Nowyj Mir”, 1964, nr 4.

524

prowadzonych do śmiertelnego wyczerpania. Są zagłodzeni, marzną, wycieńczyła ich praca ponad siły, nawet snu są pozbawieni: nie mają po prostu gdzie spać, bo baraki – ziemianki są nie ukończone. Więc może ratują się kradzieżą? donosicielstwem? może tracą ostatnie chwile na lamenty i spóźnione żale? Nie! Przewidując, że śmierć bliska, że to sprawa już nie tygodni, lecz dni, oto jak spędzają bezsenne swoje noce, siedząc pod jakimś murkiem. Timofiejew-Ressowskij prowadzi „zajęcia seminaryjne”; każdy z uczestników stara się przekazać innym to, co sam umie;

prowadzą dla siebie wzajem ostatnie wykłady. Ojciec Saweriusz – „O śmierci godnej człowieka”, inny kapłan, absolwent akademii duchownej – z dziedziny patrystyki, ksiądz unicki – z zakresu dogmatyki i prawa kanonicznego, energetyk – o założeniach energetyki przyszłości, ekonomista (z Leningradu) o tym, jak brak nowych idei uniemożliwił sformułowanie zasad sowieckiej ekonomii. Sam Timofiejew–Ressowskij wykłada im podstawy mikrofizyki. Raz po raz konstatują, że kogoś zabrakło: szukać go trzeba już w kostnicy.

Kto potrafi interesować się tym wszystkim, czując już chłód przedśmiertny, ten dopiero zasłużył na miano inteligenta!

Chwileczkę – a wy kochacie życie? Wy, wy! Którzy tak lubicie krzyczeć i śpiewać z przytupem: „Kocham cię, życie, ach jak kocham cię, życie!”. Kochacie? A więc kochajcie je całe! Obozowe również! To też jest życie!

„Gdy źle losy ustąpią ci pola, Twoja dusza podniesie się z kolan”.

Diabła tam. Dopiero wtedy dusza ci sparcieje.

Nasza droga, nasz wybrany szlak – biegnie wirażami. Czy prowadzą w górę? Czy w dół? Spróbujmy przejść nią kawałek.

Dzień powrotu na wolność? Co może dać nam on – po tylu latach? Zmienimy się nie do poznania, również bliskich naszych to samo spotka, a miejsca niegdyś ulubione i bliskie wydadzą nam się bardziej obce, niż wszelkie cudze okolice.

Poczynając od pewnej chwili, zaczyna się myśleć o wolności niejako z obowiązku. Myśl ta staje się sztuczna, obca.

Dzień wyjścia na „wolność”! Jakby w tym kraju gdziekolwiek była wolność! Albo – jakby w ogóle można było obdarzyć wolnością kogoś, kto sam wcześniej nie wyzwolił się duchowo.

Słychać jak spod nóg naszych osypują się kamienie. Jak staczają się w dół, w głąb przeszłości. To okruchy minionych dni.

Wspinamy się.

525

Całkiem dobrze jest rozmyślać w więzieniu, ale w obozie też niezgorzej. A głównie z tej przyczyny, że nie ma żadnych zebrań. Przez dziesięć lat nie masz obowiązku chodzenia na zebrania – czy to nie tyle warte, co górskie powietrze? Zgłaszając całkiem otwarte pretensje do naszej pracy i naszych ciał, wyciskając z nich siódme poty aż do ostatniego tchu – panowie gospodarze w ogóle nie starają się wpływać na nasz sposób myślenia. Nie próbują gmerać nam w mózgu i ustawiać go, jak należy⁵ i to daje człowiekowi poczucie swobody o wiele większe, niż udzielona jego nogom możliwość swobodnego poruszania się po płaszczyźnie. Nikt cię nie namawia, abyś wstąpił do partii. Nikt nie wyciąga z twoich kieszeni składek członkowskich na rzecz żadnych „dobrowolnych” stowarzyszeń. Nie ma związków zawodowych, które są takim samym twoim „obrońcą”, jak adwokat z urzędu w sądzie. Nie ma też narad produkcyjnych. Nie możesz być wybrany na żadne stanowisko, nie mogą cię nagle zrobić żadnym pełnomocnikiem, ani – co najważniejsze – agitatorem. Nie mogą cię też zmusić do słuchania agitacji ani do krzyczenia, gdy tylko ktoś pociągnie za nitkę: „Domagamy się!...”, „Nie pozwolimy!...”. Ani ci nie każą iść do urny, abyś skorzystał z wolnego i tajnego prawa wyborczego – dla wyboru jedyne go kandydata. Nie domagają się od ciebie socjalistycznych zobowiązań. Ani krytyki własnych omyłek. Ani artykułów do gazetki ściennej. Ani udzielania wywiadów korespondentowi organu okręgowego. Nie zwracają ci więc głowy – czy to nie jest zaleta życia na Archipelagu?

Do swobód należy zaliczyć także to, że nie mogą cię pozbawić rodziny i majątku – bo już jesteś ich pozbawiony. Czego się nie ma – tego nawet Bóg nie odbierze. Jest to jedna z zasadniczych swobód obywatelskich w obozach.

Za kratą dobrze się myśli. Najdrobniejszy nawet wypadek daje impuls do długich rozmyślań. Ni stąd, ni zowąd – a dzieje się to nie częściej niż raz na trzy lata – przyjeżdża do obozu kino. Film tandetny, licha komedia „sportowa” – „Pierwsza rękawica”. Nuda. Ale z ekranu uparcie wbijają widzom do głowy następujący morał: „Liczy się tylko wynik. A wyście przegrali”.

Śmiech na ekranie. Na widowni również się śmieją. Wychodząc z ciemnej sali na stojący w słońcu podwórzec, już zastanawiasz się nad tym mo–

5 Prócz nieszczęsnego okresu Kanału Białomorskiego i Wołgokanal.

526

rałem. Wieczorem myślisz o nim na swojej wagonetce. I w poniedziałek rano, na zbiórce przed wymarszem. I w ogóle – myślisz o nim ile i kiedy chcesz. Gdzie jeszcze mógłbyś tak się nad tym zastanawiać? I powoli robi ci się w głowie coraz jaśniej.

To nie jest żart. To myśl zaraźliwa. Już dawno zaszczepiono ją naszym ludziom, ale wciąż sączą im ją w uszy. Przeświadczenie, że ważne są tylko materialne rezultaty, tak bardzo wżarło się w nas, że gdy – na przykład – jakiś Tuchaczewski, Jagoda czy Zinowiew ogłoszony zostaje zdrajcą i obcym agentem, to ludzie tylko wzdychają i powtarzają raz po raz: „Czego mu jeszcze brakowało?!”. Miał przecież żarcia ile chciał i dwadzieścia garniturów, i dwie dachy, auto, i samolot, i rozgłos – więc czego mu jeszcze było brak?!! Miliony naszych współobywateli absolutnie nie mogą sobie wyobrazić, aby człowiekiem (nie mówię tu akurat o tych trzech) mogło powodować jeszcze cokolwiek, prócz chęci zysku!

Do tego stopnia wszyscy przejęli się tą maksymą: „Tylko wynik jest ważny”.

Skąd to do nas?

Cofnijmy się o 300 lat – czy na Rusi starowerskiej, dawnej, coś takiego było do pomyślenia? Zaczęło się to od Piotra, to echo sławy naszych sztandarów i tzw. „honoru ojczyzny”. Uciskaliśmy, batożyliśmy wszystkich naszych sąsiadów, rozpychając się łokciami na mapie – i w ojczyźnie wszyscy byli coraz pewniejsi, że liczy się tylko wynik.

Następnie – to wpływ naszych Demidowów, Kabanich i Cybukinów*. Zdobywali swoje bogactwa i drapali się w górę, nawet się nie oglądając komu właściwie obrywają uszy podeszwami – a pobożny niegdyś i proś-toduszny lud coraz mocniej wierzył, że liczy się tylko wynik.

I wreszcie – to wpływ socjalistów wszelkiego autoramentu, a przede wszystkim – tych od najnowszej, nieomyślnej i apodyktycznej Doktryny, która w końcu do tego się sprowadza, że tylko wyniki się liczą! Najważniejsza rzecz – to utworzenie bojowej partii! zdobycie władzy! utrzymanie tej władzy! likwidacja jej przeciwników! zwiększenie produkcji żelaza i stali! konstrukcja pocisków rakietowych!

I chociaż dla tej produkcji i dla tych rakiet trzeba było poświęcić i wiekowe obyczaje, i całość rodziny, i zdrowie duchowe ludu, i samą duszę naszych pól, lasów i rzek – to nie warte splunięcia! Liczą się tylko wyniki!

Ale to nieprawda! Oto my, całymi latami harujący na wszechzwiązkowej katordze – powolnymi spiralami, rok po roku, wznosimy się aż do praw–
Pionierzy rosyjskiego przemysłu.

527

dziwego zrozumienia sensu życia i patrząc z tych wyżyn widzimy z całą jasnością: nie te wyniki się liczą, tylko moc DUCHA! Nie – co udało się osiągnąć, tylko jak, za jaką cenę?

Gdyby także dla nas, więźniów, miał liczyć się tylko wynik, to słuszną byłaby też maksyma: przetrwać za wszelką cenę. A to znaczy: zostać szpiclem, wydać towarzyszy – i za to znaleźć sobie ciepły kąt, a może nawet dostać przedterminowe zwolnienie. W świetle Nieomyślnej Doktryny nie ma w tym zapewne nic złego. Przecież jeśli ktoś tak postąpi, to doczeka się pozytywnych rezultatów, a tylko rezultaty się liczą.

Nie przeczę: osiągnięcie pozytywnych wyników, to rzecz miła. Ale nie kosztem utraty godności ludzkiej.

Jeśli liczą się tylko wyniki – to należy wszystkie siły i myśli skupić tylko na tym, aby wykręcić się od robót ogólnych. Trzeba giąć kark, podlizywać się, płaszczyć się – ale utrzymać się za to na funkcji. I tym sposobem – ocaleć.

Jeśli zaś liczy się to, co naprawdę ważne – trzeba pogodzić się z harówką na ogólnych. Z łachmanami. Z pęcherzami na dłoniach. Z mniejszym i nędzniejszym zuhelkiem chleba. I być może – z tym również, że trzeba umrzeć. Ale póki życia – trzeba z dumą prostować bolący grzbiet. I właśnie wtedy – kiedyś już przestał obawiać się grózb i nie wypatrujesz nagród – stałeś się, człowiecze, najniebezpieczniejszym typem w oczach twoich gospodarzy. Bo nie ma na ciebie kija. Zaczyna ci się nawet podobać noszenie trąg ze śmieciami (owszem, owszem, ale nie z kamieniami!) i gwarzenie z tym, co idzie w parze, o wpływie filmu na literaturę. Lubisz już przycupnąć sobie na korycie, w którym była zaprawa i zapalić skręta pod ścianą, przez ciebie wzniesioną. I czujesz nawet pewną dumę, jeśli dziesiętnik przystanie, zerknie na twój murek, przyjrzy się cegłom i powie: – Toś ty murował? Niezła robota.

Niepotrzebna ci wcale ta ściana i nie wierzysz zupełnie, że dzięki niej bliższe się stanie przyszłe szczęście ludu, ale – choć jesteś nieszczęsnym, obdartym rabem – uśmiechniesz się sam do siebie, siedząc tak obok swojego dzieła.

Córka starego anarchisty, Hala Benediktowa, pracowała w ambulatorium jako pielęgniarka, ale doszła do wniosku, że to nie leczenie – tylko ciepły kąt dla niej – i z przekory poszła na roboty ogólne, do łomu i łopaty. I podobno był to dla niej ratunek przed duchowym upadkiem.

Dobremu nawet suchar idzie na zdrowie, a złemu nawet mięso wyjdzie bokiem. (Święta prawda, tylko co robić – jeśli suchara też brak?...).

528

Jeśli więc raz na zawsze wyrzekłeś się tego, aby „przetrwać za wszelką cenę” i poszedłeś drogą, którą obierają ludzie spokojni i prości – niewola zaczyna w niezwykły sposób wpływać na twój dawny charakter. Zmiany idą w kierunku zupełnie nieoczekiwanym. Zdawałoby się – że powinny teraz pojawić się złe popędy, ślepa wściekłość człowieka skręconego w barani róg, bezprzedmiotowa nienawiść, rozdrażnienie, nerwowość. Tymczasem – sam nawet nie zdajesz sobie sprawy – jak i na jakim etapie nieuchwytnego biegu czasu niewola sprawia, że zaczynają w tobie przebijać się kiełki uczuć zupełnie odmiennej natury.

Byłeś niegdyś skrajnie niecierpliwy, wciąż się spieszyłeś i stale brak ci było czasu. Teraz masz go aż nadto, syt jesteś aż po dziurki w nosie tych miesięcy i lat – ubiegłych i przyszłych. I oto krążyć zaczyna w twoich żyłach błogi, uspokajający eliksir cierpliwości.

Idziesz pod górę...

Nigdy nikomu dawniej nie umiałeś wybaczyć, jednym potępiłeś bez litości – innych wynosiłeś pod niebiosa z tą samą krańcowością. Teraz zaś – wyrozumiałość stała się fundamentem twoich opinii, już wcale nie kategoriicznych. Zrozumiałeś, że sam jesteś słaby, możesz więc teraz zrozumieć cudzą słabość. I mieć podziw dla cudzej odporności. I chcieć również być takim.

Kamienie staczają się przy każdym stąpieniu. Wspinamy się pod górę.

Pancerz wytrwałości narasta z biegiem lat na twoim sercu i na twojej skórze. Nie kwapisz się już do zadawania pytań, ani do odpowiedzi na nie, twój język stracił łatwą giętkość. Oczy twoje nie płoną radością, gdy słyszysz dobrą nowinę, ani nie mrocznieją, gdy nadejdzie zła.

Bo trzeba jeszcze sprawdzić, czy to aby pewne, i dobrze się rozejrzeć, gdzie tu radość, a gdzie nieszczęście.

Masz teraz nowe prawidło życiowe: nie ciesz się, gdy coś znajdziesz, i nie płacz, gdy zgubisz.

Dusza twoja, dawniej pełna oschłości, teraz nabrzmiewa sokami. Jeśli jeszcze nie bliźnich, po chrześcijańsku – to zaczynasz już teraz kochać bliskich.

6 Dawni rewolucjoniści dostarczyli tu wielu przykładów. Serafimowicz w którymś ze swoich opowiadań opisał taką komunę zesańców. Bolszewik Olmiński pisze: „Gorycz i wściekłość – są to uczucia tak dobrze znane więźniowi, tak mu bliskie”. Wyładowywał złość na tych, co przychodzili na widzenie. Pisze, że stracił wszelką chęć do pracy. Ale przecież rosyjscy rewolucjoniści nie dostawali i nie odsiadawali (na ogół biorąc) naprawdę dużych wyroków.

529

Tych, bliskich ci duchem, którzy otaczają cię w niewoli. Iluż to z nas powtarza: właśnie za kratą poznaliśmy po raz pierwszy prawdziwą przyjaźń!

A także tych bliskich, twoich krewnych, co otaczali cię w dawnym życiu, co cię kochali, podczas gdyś ty ich tyranizował...

Oto wdzięczne i rozległe pole pracy duchowej: przemyśl swoje dawne życie. Przypomnij sobie wszystkie swoje złe i wstydlive postęпки. Pomyśl, czy nie można ich teraz naprawić?

Owszem, wsadzono cię do więzienia bez powodu, nie musisz wcale kajać się przed państwem i jego kodeksami.

Ale przed własnym sumieniem? Ale przed poszczególnymi ludźmi?...

...Leżę po operacji na oddziale chirurgicznym szpitala obozowego. Nie mogę się ruszyć, to gorączka, to dreszcze, ale nie majaczę, mogę myśleć – i wdzięczny jestem doktorowi Borysowi Nikołajewiczowi Kornfeldowi, że usiadł obok mnie i że mówi do mnie przez cały wieczór. Światło jest zgaszone, aby nie razić oczu. Jesteśmy z nim sami w szpitalnej sali.

Długo, z wielkim przejęciem opowiada mi dzieje swojego nawrócenia: był wyznania mojżeszowego, został chrześcijaninem. Ten wykształcony człowiek nawrócił się za sprawą siedzącego z nim w jednej celi potulnego staruszka, kogoś w rodzaju Platona Karatajewa z Wojny i pokoju. Jestem zaskoczony siłą przekonania, bijącą ze słów tego nowochrzczoneńca.

Znamy się słabo, nie jestem jego pacjentem, ale nie ma chyba komu się zwierzyć. Jest to człowiek uprzejmy, miękkiego charakteru, nic złego nie wyczuwam w nim ani o nim nie wiem. Jednakże – nieufność budzi fakt, że Kornfeld już od dwóch

miesiący nie wychodzi z baraku szpitalnego, że nie odrywa się od pracy lekarskiej i nie wytyka nawet nosa na teren obozu.

Znaczy to – że boi się, aby go nie zarżnięto. Od niedawna w naszym obozie weszło w modę zarzynanie donosicieli. Efekt to sprawiło nadzwyczajny. Ale kto może zaręczyć, że giną tylko donosiciele? Już jeden z zabitych padł na pewno ofiarą nikczemnych porachunków osobistych. I dlatego dobrowolne zamknięcie się Kornfelda w szpitalu wcale jeszcze nie dowodzi, że jest on szpiclem.

Już późno. Cały szpital śpi. Kornfeld tak kończy swoją opowieść:

– I wie pan, w ogóle przekonałem się, że żadna kara na tym świecie nie spada na nas niezastępowanie. Zdaje się czasem, że dosięgła nas wcale nie za to, cośmy naprawdę zawinili, ale jeśli człowiek przemyśli swoje życie i głębiej nad nim się zastanowi, to zawsze odnajdzie tę zbrodnię, za którą teraz spada nań cios.

Nie widzę jego twarzy. Przez okno przebija się tylko mżący odbłask światła żony i widać żółtą, elektryczną plamę, tam gdzie są drzwi na kory-

530

tarz. Ale w głosie jego tyle jest mistycznego jasnowidzenia, że aż się wzdrygam cały.

Są to ostatnie słowa Borysa Kornfelda. Bezszelestnie oddala się, kroczy przez nocny korytarz do jednej z sąsiednich sal i kładzie się tam spać. Wszyscy śpią, nie może więc już z nikim sobie porozmawiać. Ja też zasypiam.

Rano budzi mnie biegania i ciężkie kroki na korytarzu: to sanitariusze niosą ciało Kornfelda na stół operacyjny. Ktoś zmiażdżył mu we śnie głowę ośmioma uderzeniami tynkarskiego młotka (zabija się u nas ludzie zwykle natychmiast po pobudce, kiedy baraki już są odryglowane, ale nikt jeszcze nie wstał, każdemu żal się ruszyć). Umiera na operacyjnym stole, nie odzyskując przytomności.

Tak się złożyło, że prorocze słowa Kornfelda były jego słowami ostatnimi. A jako że mówił do mnie, słowa te stały się moją schedą. Brzemienia takiego spadku nie sposób pozbyć się jednym wzruszeniem ramion.

Ale sam już w tym czasie dojrzałem do podobnych poglądów. Skłonny byłem uznać słowa Kornfelda za powszechne prawo życia. Tu jednak łatwo zejść na manowce. Trzeba by konsekwentnie uznać, że ci, których ukarano jeszcze surowiej – rozstrzelani, spaleni na stosie – musieli być jakimiś superłotrami. (A tymczasem – właśnie niewinnych karze się najsurowiej i najskwapliwiej). I co wtedy rzec o naszych dręczycielach? Czemu to los nie mści się na nich? Czemu to im się tak dobrze wiedzie?

(Rozwiązać by można ten dylemat zakładając, że sens istnienia polega nie na zabieganiu o powodzenie i pomyślność, jak zwykliśmy uważać, ale na dążeniu do rozwoju duchowego. Z tego punktu widzenia nasi dręczyciele ukarani są najsurowiej w świecie: świnieją bowiem, stają się pod-ludźmi. Z tego punktu widzenia kara spada na tych, którym przydać się może do rozwoju duchowego).

Ale jest jakiś sens nieodparty w ostatnich słowach Kornfelda, jest coś, co mogę do siebie odnieść w zupełności. I znajdzie się wielu, którzy tak samo je rozumieją.

W ciągu siedmiu lat za kratą dość dobrze przyjrzałem się własnej przeszłości i zrozumiałem, za co to wszystko na mnie spada: i więzienie, i złośliwy guz na dodatku. I wcale bym się nie skarżył, gdyby nawet ta kara nie została uznana za wystarczającą.

Kara? Ale – kto ją wymierza?

No, pomyślcie chwilę – kto?

W tej samej izbie pooperacyjnej, z której Kornfeld wyszedł na spotkanie ze swoim zabójcą, leżałem jeszcze długo (chirurg siedział w karcerze, opera –

531

cje wstrzymano), w zupełnej samotności, w ciągu bezsennych nocy przesuwając w palcach wypadki mojego życia i nie mogąc się nadziwić jego zakrętom. Stosując obozowy chwyt, układałem swoje myśli w rymowane strofy, żeby ich nie zapomnieć. Najlepiej przytoczyć by je teraz, tak jak powstały, na poduszce szpitalnej, podczas kiedy za oknami katorżniczy obóz dygotał po dopiero co przeżyтым bun- cie.

Kiedym zdążył te ziarna roztrwonić Tak do cna, tak do szczętu, na amen? Przecież wiek mój osłaniał zielony Twoich świętyń stugłoty firmament.

Pył książkowy zaproszył mi oczy, Umysł butny mój szychem oślepił. Świat? Toć jest jak na dłoni widoczny! Las? W mym ręku jak воск da się lepić!

Krew tętniła i tęcze w oddali W tym tętnencie jaśniały goręcej. I już w proch bez- szelestnie się zwałił W mojej piersi gmach wiary dziecięcej.

Ale dziś, kiedy ledwo się trzymam Na krawędzi niebytu i bytu, Mierzę oto wdzięcz- nymi oczyma Otchłań grozy i klęski przebyłą.

Nie rozsądek mój, wola i plany Blask rzuciły na drogę tę krętą, Lecz Sens jasny, z wysoka zestany, Który miałem odgadnąć nieprędko.

Dziś, gdym nabrał już wody łyk świeżej Z Twoich źródeł w usta oniemiałe – ^Panie świata! Oto znowu wierzę!

Nawet w mym odstępstwie przy mnie stałeś...

Patrzac wstecz, ujrzałem, że przez całe swoje świadome życie nie rozumiałem ani siebie samego, ani swoich dążeń. Przez długi czas uważałem za ratunek dla siebie to, co właśnie było moją zgubą i wciąż ciągnęło mnie nie tam, gdzie iść powinie- nem, tylko w zupełnie odwrotnym kierunku. Podobnie jednak jak morze zbija z nóg niedoświadczonego pływaka, obala go i uderzeniami fal wyrzuca na brzeg – tak samo mnie dotkliwe ciosy nie–

532

szczęść wyrzucały na stały ląd. I tylko w ten sposób mogłem dotrzeć do tej drogi, której zawsze szukałem.

Na swoim zgiętym, omal że nie przetrąconym grzbiecie wyniosłem jednak z głębi więziennych lat świadomość tego, jak człowiek staje się zły, a jak dobry. Oszło- miony sukcesami, odniesionymi w młodości, uważałem się za istotę niezdolną do omyłek i dlatego stałem się okrutny. Gdy dano mi w ręce władzę – i to w nadmiarze – stałem się mordercą i zadawałem ludziom gwałt. Nawet gdy czy- niłem zło, byłem przekonany, że postęпки moje są dobre i miałem na podporządku bardzo logiczne dowody. Dopiero na zgniłej, więziennej słomie poczułem w sobie drgnienie dobra. Stopniowo pojąłem, że linia oddzielająca dobro od zła, przebie- ga nie między państwami, nie między klasami, nie między partiami – tylko przecina każde ludzkie serce, nie omijając żadnego. Jest to linia ruchoma i z upływem lat jej bieg zmienia się w nas samych. Nawet w sercu omotanym przez zło, linia ta od- gradza maleńki przyczółek dobra. Nawet w najlepszym sercu – nie wykorzenione zło zachowuje swój kącik. Od tego czasu stała się jasna dla mnie zasadność wszystkich religii świata: walczą one z pierwiastkiem zła w człowieku (w każdym człowieku). Nie sposób oczyścić świata z wszelkiego zła, ale można w każdym człowieku zmniejszyć obszar jego władania. Od tego czasu stał się także dla mnie jasny fałsz wszystkich rewolucji w dziejach: niszczą one tylko współczesnych im no-

sicieli zła (a w ogólnym zamieszaniu – również nosicielej dobra) – samo zaś zło, jeszcze bujniej rozrósł, biorąc sobie w spadku.

Do zasług XX wieku należy zaliczyć Proces Norymberski: niszczył on samą złą ideę – bardzo niewielu zarażonych nią ludzi likwidując przy tej okazji (oczywiście, nie jest to zasługa Stalina, już by on tam wołał mniej gadania, za to więcej egzekucji). Jeżeli na progu XXI wieku ludzkość nie wysadzi się sama w powietrze ani się nie zadusi – może ten kierunek zwycięży?...

Jeżeli nie odniesie sukcesu – to cała historia ludzkości sprowadzi się do dreptania w miejscu, bez treści i sensu! Dokąd to ciągniemy i po co? Bić wroga pałą? To umiał już człowiek jaskiniowy.

„Poznaj samego siebie”! Nic tak nie sprzyja przebudzeniu w nas zdolności do rozumienia innych, jak szarpiące duszę rozmyślanie nad własnymi przestępstwami, błędami i przeoczeniami. Takie myśli zapadły we mnie jak w wodę, niejedną już rok rozchodzą się po niej kręgi. I gdy ktoś mówi mi teraz o nieczułości naszych wyższych urzędników, o srogości naszych katów – wystarczy, że przypomnę sobie samego siebie z kapitańskimi epoletami

533

i przemarsz mojej baterii przez Prusy Wschodnie, ogarnięte ogniem, aby powiedzieć:

– A bo to myśmy byli lepsi?

Jeżeli ktoś w mojej obecności grzmi przeciw ustępliwości Zachodu, jego politycznej krótkowzroczności, rozbiciu i dezorientacji – odpowiadam:

– A czy my, przed pójściem na Archipelag – byliśmy bardziej zvarci? silniejsi duchem?

Oto dlaczego powracam do lat, gdy siedział za kratą i powiadam, wprowadzając często w zdumienie ludzi, którzy mnie otaczają:

– BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONE WIĘZIENIE!

Miał rację Lew Tołstoj marząc o tym, aby znaleźć się w więzieniu. W którejś chwili ten gigant zaczął usychać. Więzienie było mu istotnie potrzebne, jak ulewa wysychającej glebie.

Wszyscy literaci, którzy pisali o więzieniach, ale sami nigdy w nich nie siedzieli – uważali, że mają obowiązek manifestować współczucie do uwięzionych, więzienia zaś – przeklinać. Sporo się tam nasiedziałem, dusza moja tam się ukształtowała i oto powiadam stanowczo:

– BŁOGOSŁAWIONE BĄDŹ WIĘZIENIE, za to żeś było w moim życiu!

(A z głębi mógł dochodzić mnie odpowiedź – Dobrze ci gadać, skoroś życie zachował!).

II

CZY W DÓŁ?

Ale już mi ktoś przerywa: znów pan mówi o czym innym! Pan znów o tym więzieniu! A miała być mowa o obozie.

Zdawało mi się, że o obozie też była mowa. No dobrze, tu przerwę. Czas na parę uwag z innej beczki. Niejedną z tych, którzy przeszli przez obóz, odpowie mi, że nie widział żadnego „marszu pod górę”, że to banialuki, natomiast deprawację, zepsucie – spotykał na każdym kroku.

Dosadniej i dobitniej niż inni (bo już to wszystko napisał czarno na białym) mógłby sprzeciwić się moim tezom Szalamow:

„Ludziom w obozie nigdy nie udaje się zachować ludzkiego oblicza, obozy stworzono nie po to”.

„Wszystkie ludzkie uczucia – miłość, przyjaźń, zawiść, miłość bliźniego, pragnienie sławy, rzetelność – uszły z nas w miarę, jak ubywało tkanki mięśniowej... Nie było już w nas śladu dumy, ambicji, a zazdrość i pasja wydawały się nam pojęciami z Marsa rodem... Pozostała tylko zapiekła złość – najbardziej niezniszczalna z ludzkich uczuć”.

„Zrozumieliśmy, że prawda i kłamstwo – to rodzeństwo”. „Nędza z biedą nie pozwalają narodzić się przyjaźni. Jeśli zadzierzgnęła się przyjaźń między ludźmi – to znaczy, że warunki życia nie były jeszcze wystarczająco trudne. Jeśli ludzie zbliżyli się do siebie w nędzy, w biedzie – to znaczy, że nie były one jeszcze skrajne. Rozpacz nie dość jest jeszcze ostra i głęboka, jeśli można się nią podzielić z przyjaciółmi”.

Szalamow godzi się na jedno tylko ustępstwo: w więzieniu ludzie mogą uszlachetniać się, pogłębiać i rozwinąć wewnątrz. Natomiast:

535

„...obóz – jest antyszkółką życia w sposób absolutny, bez żadnej reszty. Nikt nie wyniesie z tej szkoły niczego potrzebnego, ani pożytecznego. Więzień ćwiczy się tam w sztuce lizusostwa, kłamstwa, podłości wszelkiego rodzaju... Gdy wróci do domu, przekona się, iż nie tylko nie rozwinął się podczas pobytu w obozie, ale że jego zainteresowania stały się ubogie i prymitywne¹”.

Eugenia Ginzburg wprowadza podobne rozróżnienia: „Więzienie uszlachetniało ludzi, obóz ich deprawował”.

Trudno temu zaprzeczyć.

W więzieniu (w celach pojedynczych, ale również w zwykłych) człowiek wstępuje w zapasy z nieszczęściem, które nań spadło. Jest wielkie, jak góra, ale musi on uporać się z jego ogromem, przetrwać je w sobie, oswoić się z nim i z sobą samym, złamanym przez niedolę. Jest to najwyższy rodzaj wysiłku moralnego, który zawsze uszlachetniał każdego². Pojedynek z latami i murami – to zarówno praca moralna, jak droga wzwyż (oczywiście, jeżeli człowiek jej trudem podoła). Jeśli masz w ciągu tych lat towarzysza, to nie musisz umierać po to, aby mógł on żyć, a on też nie musi ginąć, abyś ty żył dalej. Otwiera się przed wami możliwość konfliktu, lecz wzajemnej pomocy i wspólnego rozwoju duchowego.

W obozie zaś wcale takich możliwości nie widać. Chleb nie jest rozdawany po równo, tylko rzucony na kupę – łapaj! tratuj sąsiadów i wyrwij im z rąk! Chleba wydaje się tylko tyle, aby na każdego kto przetrwał, przypadła jeden umarły albo i dwóch. Chleb wisi na sośnie, musisz ją zrąbać. Chleb leży na dnie kopalni – włącz w głąb i tam go szukaj. Gdzie tu czas na rozmyślanie o swojej niedoli, o przeszłości i przyszłości, o ludzkości i o Bogu? Głowę ma człowiek zajętą mizernymi kalkulacjami, które dziś przesłaniają całe niebo, a jutro – już funta kłaków nie będą warte.

¹ Za czynnik ucisku i deprawacji człowieka w obozie Szalamow uważa również jego „długoletnią zależność od obcej woli, od cudzych postanowień”. Ale ten czynnik wolalbym wyprowadzić poza nawias: po pierwsze dlatego, że to samo można powiedzieć o wielu ludziach, żyjących poza obozem (nie licząc tego obszaru drobnych działań i decyzji, które podejmować może również więzień), po drugie dlatego, że fatalistyczny charakter, który nieuchronnie staje się atrybutem

mieszkańca Archipelagu, nie mającego własnych przeznaczeń i niezdolnego do wpływania na nie – raczej go uszlachetnia i uwalnia od ulegania złudom.

2 I jak interesujący stają się ludzie w więzieniu! Znam takich, którzy po wyjściu na wolność okazali się bezbarwnymi nudziarzami – a w celi nie sposób było oderwać się od rozmów z nimi.

536

Nienawidzisz pracy – ona jest głównym twoim wrogiem. Nienawidzisz otaczających cię ludzi – to konkurenci w walce na życie i śmierć³. Zadręcza cię nieustająca zawiść i obawa, że właśnie w tej chwili, gdzieś za twoimi plecami, ktoś dzieli ten chleb, który mógł być twoim, że gdzieś za ścianą ktoś wyławia z kotła kartofel, który mógł trafić do twojej miski.

Układ życia obozowego jest taki, że zawiść wciąż kąsa duszę, nawet zupełnie od niej wolną. Zawiść rozciąga się i na wysokość wyroków, i na sprawy związane ze zwolnieniem. Jest rok 1945 i my, Pięćdziesiątka Ósemka, odprowadzamy do wrót obozu pospolitaków (wypuszczanych na podstawie amnestii stalinowskiej). Co czujemy w stosunku do nich? Cieszymy się może wraz z nimi, że idą do domu? Nie, czujemy zawiść, bo to niesprawiedliwość, że ich się puszcza wolno, a nas trzyma dalej. Taki W. Własow, który dostał dwudziestaka, przez pierwsze dziesięć lat siedzi spokojnie – bo kto w ogóle siedzi mniej? Ale w latach 1947–48 wielu kolegów wychodzi na wolność – i Własowa ogarnia zawiść. Denerwuje się i zadręcza, bo dlaczego właśnie on dostał dwudziestaka? Jak ciężko mu odsiadywać tę drugą dychę! (Nie pytałem go, ale tak sobie myślę: gdy ci wczorajsi zwolnieni zaczęli wracać do obozu jako repetenci – czy się aby wtedy uspokoił?). A znów w latach 1955–56 zaczynają masowo wypuszczać Pięćdziesiątkę Ósemkę, natomiast pospolitacy siedzą dalej. Co czują oni? Satysfakcję, że sprawiedliwości stało się zadość, że męczennicy tego Artykułu, po czterdziestu latach bezustannych prześladowań, nareszcie doczekali się zmiłowania? Nie, wszędzie tliła się zawiść (świadczy o tym wiele listów, które dostałem w 1963 roku) „wypuszczono na wolność ‘wrogów, sto-kroć gorszych od nas, kryminalnych’, a my – wciąż siedzimy. Za co?...”.

Wciąż dławi człowieka strach: żeby nie spaść poniżej tego nędznego poziomu, na który zdołał się wgramolić, żeby nie utracić roboty, jeszcze nie najcięższej, żeby nie szurnięto go na etap, żeby nie posłano do żony karnej. A jeszcze człowieka pierze każdy, kto od niego silniejszy, albo on sam leje tego, kto jest od niego słabszy. Czy to nie deprawacja? Stary więzień A. Rubajło nazywa liszajem duchowym to szybkie parszywienie człowieka pod wpływem zewnętrznych nacisków.

I jakże tu wyszlachetnić, kiedy i gdzie to możliwe – przy tym natężeniu złości, wśród tych małostkowych kombinacji?

Czechów – jeszcze przed powstaniem naszych Obozów Pracy Poprawczej – dostrzegł i nazwał po imieniu objawy rozkładu moralnego na Sa-

3 P. Jakubowicz: „Prawie każdy katorżnik nienawidzi swoich towarzyszy niedoli”.

A przecież w tych czasach nie trzeba było współzawodniczyć o prawo do życia.

23 – Archipelag Gutag t. II

537

chalinie. Pisze z całą słuszością: przywary więźniów – są skutkiem niewoli, zależności, strachu i stałego niedojadania. Oto te przywary: kłamliwość, przewrotność, tchórzostwo, brak charakteru, skłonność do delatorstwa i złodziejstwa. Doświadczenie nauczyło skazańców, że w walce o byt oszustwo jest środkiem najskuteczniejszym.

Czy nie spotykamy tego u nas w dziesięciokroć większym wymiarze?... Czy nie lepiej wobec tego zaprzestać bajania o jakimś rzekomym obozowym „wyszlachetnieniu” i opisać za to setki, tysiące wypadków autentycznej deprawacji? Przytoczyć przykłady świadczące, że nikt nie potrafi odeprzeć argumentów obozowej filozofii, streszczonej przez Jaskę–dyspozyto–ra z Dżekaganu tak oto: „Im więcej robisz ludziom świństw, tym bardziej cię szanują”. Opowiedzieć jak żołnierze, jeszcze niedawno walczący na froncie (Krasąg – 1942 rok), ledwie tylko tyknęli trochę knajackiego powietrza – szybkoitko się podciągnęli i sami zabrali się do kantowania: ograbiali Litwinów, aby nabijać brzuchy ich prowiantem, chodzić w ich rzeczach, a tamci niech sobie zdychają, bo frajerzy! Jak niektórzy własowcy zaczęli zgrywać się na złodziei, przekonawszy się, że tylko w ten sposób można poradzić sobie w obozie. Opowiedzieć o tym docencie literatury, który został w obozie pachaniem knajaków. Stwierdzić z podziwem, jak zaraźliwa jest ta ideologia obozowa, analizując choćby przypadek Czulpieńiewa. Czulpieńiew wytrzymał siedem lat przy robocie w lesie, został znakomitym drwalem, ale w końcu złamał nogę, znalazł się w szpitalu i wtedy zaproponowano mu awans na dyspozytora. Nie musiał tego robić, zostało mu jeszcze dwa i pół roku do końca kary i doskonale mógł je spędzić jako doświadczony drwal, kierownictwo dbało o niego – ale jak tu odeprzeć taką pokusę? Przecież obozowa filozofia każe brać, kiedy dają! Został więc Czulpieńiew dyspozytorem – tylko na sześć miesięcy – ale były to najciemniejsze, najbardziej niespokojne i najprzykrzejsze miesiące całej jego odsiadki. (Dawno już odsiedział swoje i o sosnach mówi teraz z pobłażliwym uśmiechem – ale wciąż tłoczą mu serce wspomnienia o tych, których przyprowadził o śmierć, goniąc do roboty. Był wśród nich dwumetrowy Łotysz, kapitan żeglugi dalekomorskiej – nie on jeden zresztą...).

Jak bujnie rozrósć się może „liszaj duchowy” wśród więźniów, jeśli ktoś świadomie ich podjudza!

W 1951 roku, w Unżłagu, niejaka Mojsiejewajte, już niespełna rozumu (ale wciąż prowadzona do roboty pod konwojem), nie zwracając uwagi na kordon eskorty, poszła „do mamy”. Schwytano ją z punktu, przywiązano pod wartownią do słupa i obwieszczono, że za „ucieczkę” cały obóz pozbawiony zostaje wolnej niedzieli w najbliższym tygodniu (jest to chwyt

538

stałe stosowany). Wracające z pracy brygady opluwały więc przywiązaną do słupa kobietę, ten i ów bił ją nawet, wrzeszcząc: „Przez ciebie, wywłoko, straciliśmy wolny dzień!”. Mojsiejewajte uśmiechała się z rozrzewnieniem.

A ile deprawacji płynie z tego demokratycznego i postępowego „pełnienia służby wartowniczej we własnym zakresie”, proklamowanego jeszcze w 1918 roku, a zwanego u nas – samoochroną? Przecież to jedno z głównych koryt, którymi spływają do obozu pomyje demoralizacji: powołać więźnia do samoochrony! Zwalono cię z nóg, ukarano, wyrwano spośród ludzi – ale nie chcesz być na samym dniu? Chcesz jeszcze pochodzić sobie z karabinem, wynieść się nad innych? Wziąć pod obcas własnego brata? Masz tu karabin! A jeśli kto zacznie uciekać – to strzelaj! Będziemy cię nawet za to zwać towarzyszem, damy ci za to wojskowy przydział.

Więc już się pyszni. Już ściska łożę karabinu skwapliwą, rabską łapą. I strzela.

I surowszy jest od innych strażników, tych wolnych. (Czy w kręgu władzy działa tu kurza, ślepa wiara w „spontaniczną dynamikę odruchów socjalnych”? Czy zimne,

pogardliwe wyrachowanie, przekonanie, że w człowieku liczą się przede wszystkim najniższe instynkty?).

Gdybyż to tylko chodziło o samoochronę! Również aparat nadzoru, aparat ucisku oddawano w ręce samych więźniów: w latach trzydziestych wszyscy – aż do komendantów OŁP włącznie rekrutowali się z byłych więźniów. I szef transportu. I szef produkcji. (Jak mogło być inaczej, jeśli 37 czekistów przypadało na 100 tysięcy zeków Kanału Białomorskiego?). Ależ nawet pełnomocnikami operacyjnymi bywali eks-więźnie wie!! Nie sposób posunąć się dalej: prowadzić dochodzenia przeciw własnym towarzyszom niedoli! Werbować szpiclów przeciw sobie samym! A tak, tak. Ale nie będę tu rozpatrywał tych niezliczonych przykładów deprawacji. Znane są wszystkim, były i jeszcze będą przedmiotem niejednego opisu. Wystarczy, jeśli przyznam, że tak właśnie było. To była linia generalna, reguła.

Po cóż mówić o każdym domu oddzielnie: gdy nadchodzą mrozy to się wyziębia. Istnieje zjawisko ciekawsze: są domy, z których ciepło nie ucieka nawet podczas mrozów.

Szałamow powiada: wszyscy, którzy siedzieli w obozach, są duchowo zubożeni. Ja zaś co przypomnę sobie (albo spotkam) jakiegoś byłego zeka – widzę, że to figura niepowszednia.

Sam Szałamow pisze w innym miejscu: toć nie zostanę donosicielem! toć nie przyjmę funkcji brygadzysty, żeby innych zmuszać do roboty.

A czemu nie, panie Warłamie? Czemuż to nie chce pan zostać ani kapusiem, ani brygadystą, skoro nikt w obozie nie może pono uniknąć tego

539

zjazdu po równi pochyłej? Skoro prawda i kłamstwo – to rodzeństwo? Był zatem jakiś sęk, którego zdołał się pan uczepić? Był jakiś kamień, na którym potrafił pan oprzeć nogę i uratować się przed dalszym spadaniem? Może zapiekła złość nie jest jednak najbardziej niezniszczalnym z ludzkich uczuć? Czy pański własny przykład i pańskie utwory nie są żywym zaprzeczeniem całej tej pańskiej koncepcji? A jak bytują w obozie (już nieraz wspominaliśmy o nich) ludzie naprawdę religijni? Obok postaci w tej książce opisanych, kroczą oni bez trwogi i wahań, przeciągając przez cały Archipelag jak procesja z niewidzialnymi gromnicami. Padają szeregiem, jak od serii z cekaemu, nowy szereg wyrasta na tym miejscu i wciąż dalej kroczy. Determinacja, jakiej nie znał dotąd wiek XX! I nie ma w tym ani pozy, ani deklamacji. Oto macie staruszkę, zwą ją Dusia Czmił. Twarz ma krągłą, nigdy nie traci spokoju, niepiśmienna. Wywołuje ją konwojent.

– Czmił! Z jakiego artykułu?

Starucha odpowiada dobrotliwie, bez cienia złości:

– No i po co te pytania, ojcaszku? Toć tam już napisano, ja wszystkiego nie spaamiętam. (Ma cały bukiet paragrafów artykułu 58).

– Jaki wyrok?!

Staruszka wzdycha. Nie dlatego odpowiada tak nieporadnie, aby drażnić konwojenta. W prostocie ducha sama zamyśla się nad tym pytaniem: jaki wyrok, ile lat? A bo to ludzie mogą w ogóle wiedzieć takie rzeczy!

– Ile lat?!... Poty będę siedzieć, póki Pan Bóg wszystkich grzechów nie odpuści.

– Ciemna masa! – śmieje się konwojent. – Dostałaś piętnaście lat i spokojnie od-siedzisz wszystkie, a może nawet więcej!

Ale oto mija jeszcze dwa i pół roku, Dusia żadnych podań nie pisze – i nagle przychodzi papierek, żeby ją puścić wolno!

Jak tym ludziom nie pozazdrościć? Siedzą może w bardziej sprzyjających warunkach? Bynajmniej! Wiadomo, że „mniszki” posyłano z reguły do karnych podobozów i trzymano razem z prostytutkami i knajaczkami. A tymczasem – kto z ludzi wierzących uległ deprawacji? Ginęli jak muchy, owszem. Ale nie pozwalali się zeszmacić.

4 Niestety – zdecydował się tej koncepcji nie negować... Postanowił kontynuować dyskusję – może przez przekorę... 23.11.1972 roku zamieścił w „Literaturnoj Gazecie” następujące oświadczenie (i po cóż to zapieranie się, skoro minęło już zagrożenie): „Problematyka Opowiadań Kolymskich dawno skreślona została z porządku dnia dzisiejszego”. Oświadczenie wydrukowane było w ramce żałobnej i w ten sposób dowiedzieliśmy się, że zmarł ten Szałamow, któregośmy znali.

540

A jak wytłumaczyć, że niektórzy ludzie chwiejnego charakteru właśnie w obozie nawracali się, umacniali się w wierze – i jakoś doczekiwali się zwolnienia, nie płacąc za to demoralizacją?

Jest wielu takich, co – w rozproszeniu, bez hałasu – dochodzą do tego punktu zwrotnego i nie żałują potem swojego wyboru. To ci, którzy zdążą zdać sobie sprawę, że nie im jednym jest źle, że tuż obok są ludzie, którym jest jeszcze gorzej, jeszcze ciężiej.

A ci wszyscy, co – nie bacząc na grożące kary, karcery, powtórne wyroki – nie chcieli zostać szpiclami?

Jak w ogóle wytłumaczyć przypadek Grzegorza Iwanowicza Grigoriewa, gleboznawcy? Uczony ten w 1941 roku wstąpił ochotniczo do pospolitego ruszenia; dalszy ciąg streścić nie trudno – dostał się do niewoli pod Wiaźmą. Przez całą wojnę siedział w niemieckim obozie. Co dalej – to też wiadomo: teraz nasi wsadzili go do obozu. Dostał dychę. Poznałem go zimą na robotach ogólnych w Ekibastuzie. Jego duże, spokojne oczy jaśniały prawością, isticie nieugiętą prawością. Człowiek ten nigdy nie potrafił ugiąć się duchowo – w obozie również nie dał się złamać, chociaż w ciągu tych lat dziesięciu tylko przez dwa lata pracował w swoim fachu i przez cały prawie czas nie dostawał paczek. Szpikowano go ze wszystkich stron obozową filozofią, obozową zgnilizną, ale po prostu nie był w stanie przyswoić jej sobie. W Kiemerowskim zespole obozów (Antibess) usiłował go zwerbować pewien natarczywy oper. Grigoriew zbył go w końcu zupełnie szczerą odpowiedzią: „Rozmowy z wami budzą we mnie obrzydzenie. Obejdzie się beze mnie, jest dosyć kandydatów”. – „Jeszcze przyjdiesz tu na czworakach, wywłoko!” – „To już lepiej powieszę się na pierwszym sęku”. Posłano więc go do żony karnej. Wytrzymał tam pół roku. Dopuszczał się zresztą o wiele gorszych pomyłek: gdy posłano go do karnej kolonii rolnej, odrzucił proponowane mu (jako gleboznawcy) stanowisko brygadzysty! – kosił natomiast i plewił z zapąłem. Zdolny był do jeszcze większych głupstw: w Ekibastuzie, w kamieniołomach nie zgodził się na prowadzenie sprawozdawczości – tylko dlatego, że musiałby wpisywać do sprawozdań wszelką lipę, aby dogodzić robociarzom, za co później mógłby odpowiadać (co zresztą wcale nie było pewne) wiecznie zalany, wolny dzie-siętnik. I poszedł łupać kamienie! Jego monstrialna, nadprzyrodzona uczciwość przybierała takie rozmiary, że pracując w składzie ziemio-płodów przy magazynowaniu kartofli – nie ukradł ani jednego ziemniaka, chociaż cała brygada kradła. Gdy dostał dobry przydział do brygady warsztatów mechanicznych, gdzie pracować miał przy instrumentach

kontrolnych stacji pomp – zrezygnował z tej pracy tylko dlatego, że nie chciał pracować skarpetek wolnemu kierownikowi robót, nieżonatemu świszczypale, nazwi-
541

skiem Trejbisz (koledzy z brygady perswadowali mu: nie wszystko ci jedno, jaką robotę odwalasz? Otóż nie, nie było mu wszystko jedno!). Ileż to razy decydował się na los gorszy i cięższy – byleby tylko nie mieć sobie nic do zarzucenia! – i nic zarzucić sobie nie mógł, jestem tego świadkiem. Więcej nawet: wpływ jasnego, nieskazitelnego ducha na ciało tego człowieka (teraz nikt nie wierzy w możliwość takiego wpływu, nikt tego nie rozumie) – sprawił, że organizm niemłodego (miał lat około 50) Grzegorza Iwanowicza nabrał w obozie krzepy: gdzieś zapodział się zupełnie nękający go od dawna gościec stawowy, a szczególnie poprawił się, gdy zdołał się wygrzebać z tyfusu; zimą chadzał w papierowych workach, w których porobił sobie dziury na głowę i ręce – i ani razu się nie przeziębził!

Czy nie lepiej więc powiedzieć, że żaden obóz nie potrafi zeszmacić tego, kto ma już ustalone zasady; oczywiście jak najdalej od żalosnej ideologii, sprowadzającej się do maksymy – „człowiek stworzony jest dla szczęścia”, którą wybić może byle dziesiętnik pierwszym uderzeniem pałki?

Podlegają w obozie deprawacji ci, którzy już wcześniej nie mieli przy duszy żadnych zasad moralnych i żadnych nauk etycznych nie pobierali. (Nie jest to założenie teoretyczne, bynajmniej; w ciągu naszego pełnego chwaty pięćdziesięciolecia wyrosły miliony takich ludzi).

Dają się w obozie zeszmacić ci, którzy już na wolności byli szmatami albo mieli ku temu wszelkie predyspozycje. Bo ludzie na wolności też są deprawowani, nie gorzej czasem niż w obozie.

Dowódca konwoju, który kazał nieszczęsną Moisiejewajkę postawić pod pręgierz – czy nie gorszą jest szmatą, niż więźniowie, którzy pluli na przywiązaną do słupa kobietę?

A zresztą: czy aby wszyscy na nią pluli? Może w każdej brygadzie tylko po dwóch ludzi? Chyba na pewno tak było.

Tatiana Falike pisze: „Obserwując ludzi, przekonałam się, że nikt nie mógł stać się nikczemnikiem w obozie, jeśli nie był nim już przedtem”.

Jeśli ktoś w obozie bardzo prędko nikczemnieje, to, być może, nie tyle nędznikiem się staje, ile odstawia się nagle cała jego wewnętrzna nędza, która wcześniej nie znajdowała po prostu pola do popisu?

M. A. Wojczenko wygłasza taką opinię: „W obozie byt wcale nie określał świadomości, przeciwnie – od stopnia świadomości i niewzruszonej wiary w sens ludzkiego istnienia zależało, czy ktoś stanie się bestią, czy też pozostanie człowiekiem”.

Jest to pogląd kategoryczny, stanowczy, ale nie tylko Wojczenko tak myśli. Malarz Iwaszew–Musatow z dużym przekonaniem broni podobnej opinii.

542

Owszem – deprawacja była w obozie zjawiskiem masowym. Ale nie tylko dlatego, że obozy były instytucją tak okropną, lecz również dlatego, że my, ludzie sowieccy, przybywaliśmy na Archipeląg rozbrojeni, bez oręża duchowego, dawno już podkopani wewnętrznie, jeszcze na wolności tknięci rozkładem, i od razu zaczęliśmy nadstawiać ucha, gdy starzy więźniowie jęli udzielać nam pouczeń „jak żyć w obozie”.

A jak żyć trzeba (i jak trzeba umierać) – to powinniśmy wiedzieć bez żadnych tam obozów.

I może, panie Warłamie, przyjaźń rodzi się wśród ludzi nawet w biedzie i nędzy, ba, nawet na samym dnie – tylko nie wśród takich oschłych i wstrętnych ludzi jak my, wychowankowie naszej epoki?

Jeśli rozkład moralny jest aż tak nieunikniony, to dlaczego Olga Sliozberg nie opuściła swojej przyjaciółki, zamarzającej na leśnej ścieżce, tylko została z nią na pewną prawie zgubę – i w końcu ją uratowała? Czy nie działo się to na dnie nędzy?

Jeśli rozkład moralny aż tak jest nieuchronny, to skąd wziął się taki Wasilij Mefodiewicz Jakowienko? Odsiedział dwa wyroki po kolei, wyszedł właśnie z obozu i mieszkał sobie jako wolniak w Workucie. Dopiero co zaczął raczkować bez konwoju i ścielić sobie pierwsze gniazdko. Rok 1949. W zagłębiu workuckim zaczynają się znów aresztowania byłych zeków. Każdemu wlepia się automatycznie nowy wyrok. Narasta psychoza aresztowań! Panika wśród wolniaków! Jak się ratować? Co robić, żeby nie podpaść? Ale oto zostaje aresztowany J. D. Grodzieński, przyjaciel Jakowienki z czasów, gdy siedzieli w tym samym workuckim obozie. Śledztwo doprowadza go do takiego wyczerpania, że lada chwila może skonać, od nikogo nie dostaje paczek. I nieustraszony Jakowienko zaczyna nosić mu paczki. Chcecie żreć, psy, to bierzcie również mnie!

Dlaczego ten człowiek nie dał się zeszmacić?

A czy wszyscy, co ocaleli, nie zachowali w pamięci tego właśnie, który w obozie podał im pomocną dłoń i poratował w ciężkiej chwili?

Owszem, obozy założone zostały po to, aby deprawować, co nie znaczy, że każdego udało się słać.

Procesom utlenienia towarzyszą w przyrodzie zawsze procesy odwrotne (jedno ciało rdza pożera, inne od niej oczyszcza się w tym samym czasie). Podobnie w obozie (zresztą – w ogóle w życiu) jedni nikczemnieją, inni szlachetnieją. Są to procesy równoległe.

W części następnej uda mi się może jeszcze opowiedzieć, jak w innych obozach Specjalnych, w którymś momencie wytworzyło się zupełnie nowe pole sił: proces deprawacji natrafił na znaczne przeszkody, natomiast pro-

543

ces odwrotny zyskał na atrakcyjności i nawet obozowi sprzedawczycy pragnęli zyskać opinię przyzwoitych ludzi.

Dobrze, a co tam słyszeć z poprawą? Jak tam idzie proces poprawy? („Poprawa” jest to pojęcie z języka urzędowej socjotechniki, które bynajmniej nie odpowiada pojęciu wyszlachetnienia, doskonalenia się). Wszystkie teorie penitencjarne świata pełne są rojeń o tym, aby zbrodniarz nie tylko odsiadywał karę, lecz również – by się poprawił. Chodzi więc o to, aby nie zasiadł po raz drugi na ławie oskarżonych, zwłaszcza – z tego samego artykułu⁵.

Dostojewski woła wielkim głosem: „Czy katorga kiedykolwiek uczyniła kogoś lepszym?”.

Ideał poprawy przyświecał również rosyjskiemu prawodawstwu po reformie 1861 roku (cały „Sachalin” Czechowa stoi pod znakiem tego ideału), ale czy dał się on zrealizować?

P. Jakubowicz nie mało rozmyślał poświęcił tej kwestii i twierdzi, że terrorystyczny reżym katorgi skłania do „poprawy” tylko ludzi niezepsutych, ale ci i tak niezdolni byliby do popełnienia przestępstwa po raz wtóry. Człowieka zaś zepsutego reżym

ten tylko bardziej deprawuje, uczy chyt-rości, dwulicowości i sztuki zacierania śladów.

Cóż tu mówić o naszych Obozach Pracy Poprawczej? Teoretycy więziennictwa (Gefangniskunde) zawsze uważali, że uwięzienie nie powinno doprowadzać skazanego do zupełnej rozpacz, powinno natomiast zostawiać mu jakąś nadzieję i wskazywać na możliwość wyjścia z matni. Czytelnik przekonał się już, że nasze obozy pracy poprawczej doprowadzały więźniów tylko do zupełnej depresji. Czechów twierdził słusznie: „Możliwość zajrzenia w głąb samego siebie – oto co naprawdę niezbędne jest dla poprawy”. Ale właśnie możliwości takiej milczącej autopenetracji najbardziej obawiali się u więźniów organizatorzy naszych obozów. Ogólne baraki, brygady, kolektywy produkcyjne – właśnie po to były stworzone, aby odstręczyć ludzi od tego niebezpiecznego zajęcia, aby przeszkodzić im. 5 Pięćdziesiątki Ósemki nigdy zresztą nie starano się skłonić do „poprawy”, tzn. – nikomu nie zależało, by drugi raz nie trafiła do więzienia. Przytaczaliśmy już szczere wypowiedzi uczonych ciupoznawców na ten temat. Pięćdziesiątkę Ósemkę chciano z pomocą pracy unicestwić. A że niektórym z nas udało się przetrwać – to już była nasza twórczość samorodna.

544

O jakiej w ogóle poprawie tu mowa! W naszych obozach tylko ludzi się psuje: uczą się knajackiej, złodziejskiej moralności, przyswajają sobie bezwzględne, obozowe obyczaje, akceptując je jako powszechnie obowiązujące zasady życiowe (obóz jest zatem, żeby użyć języka teoretyków więziennictwa – locus criminogenicus, szkołą zbrodni).

I. G. Pisariew piszący do mnie (w roku 1963) w chwili, gdy odsiedział prawie całą swoją długą karę, tak mówi: „Szczególnie ciężko robi się na myśl, że człowiek wyjdzie stąd jako monstrum, nieuleczalnie chore nerwowo, ze zdrowiem bezpowrotnie podkopanym na skutek niedojadania i ciągłego szczucia. Tu ludzie podlegają ostatecznemu zepsuciu. Jeśli ktoś przed rozprawą nawet do konia mówi łagodnie i z szacunkiem, to teraz jest patentowanym chamem i łotrem. Gdy na kogoś przez siedem lat wołano „świnia” – to nie ma co się dziwić, że teraz kwiczy... Jeszcze pierwszy rok więzienia jest dla przestępcy jakąś karą, pozostałe – budzą w nim tylko zawziętość. Facet przystosowuje się do miejscowych warunków, i to wszystko. Długoletnie wyroki i w ogóle bezwzględność naszych praw obracają się bardziej przeciw rodzinie przestępcy, niż przeciw niemu samemu”.

A oto inny list. „Okropna to i bolesna rzecz zakończyć życie, gdy nic się jeszcze nie widziało i niczego nie dokonało i gdy nikogo twój los nie obchodzi – prócz jednej tylko matki, która całe życie będzie na ciebie czekać”.

A oto słowa Aleksandra Kuźmicza K., który miał w życiu sporo czasu do namysłu (pisze w roku 1963):

„Rozstrzelanie zamieniono mi na 20 lat katorgi, ale słowo honoru, nie uważam tego za żadne dobrodziejstwo... Poznałem na własnej skórze i kościach te 'błędy i wypaczenia', o których teraz tak miłe się prowadzi rozmowy – i wiem, że ani odrobinę nie są one lepsze od Majdanka i Oświęcimia. Jak odróżnić brudny fałsz od prawdy? Mordercę od wychowawcy? Prawo od bezprawia? Kata od patrioty? – jeśli awansuje, był lejtnantem, a jest już podpułkownikiem i bączka na czapce ma prawie takiego jak te, które noszono przed rokiem 17.?... Jakże mam teraz – wychodząc zza krat, po 18. latach odsiadki – zorientować się w tych wszystkich zawiłościach?... Zazdroszczę wam, ludziom wykształconym, obdarzonym giętoko-

ścią umysłu, tym, którzy nie muszą długo łamać sobie głowy, aby wiedzieć, jaką drogę obrać i jak przystosować się do sytuacji, czego zresztą jakoś wcale mi się nie chce”.

545

Bardzo ważne to słowa: „jakoś wcale mi się nie chce”! A jeśli nie – to czy dokonata się w nim poprawa w urzędowym sensie tego słowa? Bynajmniej. Dla władzy jest to człowiek stracony.

Owej „poprawy”, o którą tak dba (?) nasza władza, nigdy nie potrafi ona osiągnąć, posyłając ludzi do obozów. „Absolwenci” obozów uczą się też cynizmu – w stosunku do apeli władzy, do praw przez nią ustanowionych i do obietnic przez nią składanych.

A co, jeśli dany człowiek wcale poprawiać się nie musi? Jeśli w ogóle nie jest przestępcą? Jeśli siedzi za to, że modlił się do Boga, że dawał wyraz myślom niezależnym albo znalazł się w niewoli, albo za ojca, albo po prostu – na zasadzie planowej branki – co takiemu człowiekowi dadzą obozy?

Czechów cytuje takie słowa sachalińskiego inspektora więziennego: „Jeżeli koniec końców wśród stu skazańców, opuszczających katorgę, znajdzie się jakichś piętnastu–dwudziestu porządných ludzi, to jest w tym zasługa nie tyle metod wychowawczych, które tu stosujemy, ile naszych rosyjskich sądów, przysyłających na katorgę tak znaczny odsetek przyzwoitych, zacnych ludzi”.

Cóż, można to spostrzeżenie zastosować do Archipelagu, pod warunkiem że odsetek przybywających tu bez żadnej własnej winy podniesiemy do, powiedzmy, 80 – i jeśli nie zapomnimy, że w naszych obozach wzrósł również współczynnik demoralizacji.

Gdybyśmy mówić mogli nie o maszynce do mięsa, obliczonej na miliony niepożądaných obywateli, nie o kloace, do której wrzuca się ludzi bez żadnej litości dla własnego narodu – tylko o poważnym systemie penitencjarnym, to nawet wtedy musielibyśmy zacząć od rozstrzygnięcia jednej z najtrudniejszych w świecie kwestii: jak można ferować jednakowe, standardowe wyroki na podstawie ujednoliconego kodeksu karnego? Przecież te – równe co do wymiaru – kary, aplikowane ludziom różniącym się tak bardzo, przyzwoitym i zepsutym, subtelny i ordynarnym, wykształconym i niewykształconym – stają się dzięki temu karami zupełnie nierównymi, niesprawiedliwymi (por. liczne uwagi Dostojewskiego w jego Zapiskach z domu umarłych).

Prawnicy angielscy zrozumieli to; w Anglii mówi się teraz (nie wiem, jakie się z tego wyciąga praktyczne wnioski), że wymiar kary powinien być w należnym stosunku nie tylko do popełnionego przestępstwa, lecz również – do osobowości każdego przestępcy.

Na przykład utrata wolności – dla człowieka o bogatym życiu wewnętrznym – jest czymś łatwiejszym do zniesienia, niż dla kogoś niewykształ-

546

conego, trudniącego się pracą fizyczną i stale będącego w ruchu. Temu drugiemu „bardziej brak bodźców zewnętrznych i instynkty ciągną go na wolność z większą siłą” (Jakubowicz). Ten pierwszy łatwiej wytrzyma nawet w izolatce, zwłaszcza – jeśli ma książki. (Ach, jak niektórzy z nas marzyli o zamianie obozu na taką izolatkę! Ciało cierpi z powodu ciasnoty, ale jakież przestrzenie otwierają się przed umysłem i duszą! Mikołaj Mo-rozow nie wyróżniał się niczym ani przed, ani – co dziwniejsza! – po wyjściu z krat. Tymczasem więzienna samotność pozwoliła

mu przeniknąć tajemnicę planetarnej budowy atomu i wysunąć hipotezę, dotyczącą różnicy ładunków elektrycznych jądra atomowego i elektronów – i to dziesięć lat przed Rutherfordem! Ale nam nie dość, że nie proponowano ołówków, papieru i książek – lecz jeszcze odbierano ostatnie ogryzki). Drugi z tych ludzi być może nawet roku nie wytrzyma w pojedynczej celi, opłynie jak świeca, zadręczy się. Musi mieć jakiegoś kompana, byle kogo, ale musi! Dla pierwszego zaś z nich – niemiłe towarzystwo jest czymś gorszym od samotności. Za to obóz (jeśli jest w nim co do jedzenia) dla drugiego z tych ludzi jest o wiele znośniejszy, niż dla pierwszego. I nawet barak na czterystu ludzi, gdzie wszyscy wrzeszczą, plotą bzdury, grają w karty i w domino, rechoczą i chrapią, gdzie wszystko to zagłusza jeszcze swoim dudnieniem niestrudzone radio, którego programy są obliczone na maotków. (Obozy, w których siedziałem, karane były w ten sposób, że wyłączano w nich radio! Cóż to było za błogostawieństwo!).

Tak oto właśnie system obozów, oparty na przekraczającej ludzkie siły pracy fizycznej i zmuszający więźniów do poniżającego przebywania wśród nigdy nie milknącego tłumy, okazał się o wiele bardziej skutecznym sposobem wytrzebienia inteligencji, niż system więzienny. Właśnie inteligencję system ten likwidował szybko i bez reszty.

III

WOLNY KRAJ

Nawet gdy zostanie już napisane, przeczytane i zrozumiane wszystko, co można było rzec o ważniejszych problemach Archipelagu GUŁag – nie wiadomo jeszcze, czy dla każdego będzie jasne, czym właściwie była w oł-n a reszta naszego kraju? Czym był w istocie ten kraj, który przez dziesiątki lat dźwigał w bebechach narodził Archipelagu?

Sam musiałem przez dłuższy czas nosić we wnętrzościach guz wielkości sporej pięści męskiej. Narodziła ta sprawa, że brzuch wzdął mi się i wykrzywił, przeszkadzała mi w jedzeniu i spaniu, ani chwili nie przestawałem o niej myśleć (choć nie stanowiła nawet pół procentu masy mego ciała, Archipelag zaś obejmował nie mniej niż 8% naszego kraju). Ale nie to było najgorsze, że guz uciskał sąsiednie organy i zmieniał ich położenie, najstraszniejsze było to, że zatruchiwał cały organizm, sącząc weń jad.

Podobnie kraj nasz zatruty został stopniowo miazmatami Archipelagu. Czy kiedykolwiek ich się pozbędzie – Bóg raczy wiedzieć.

Czy potrafimy i czy ośmielimy się kiedykolwiek opisać całe to paskudztwo, wśród którego musieliśmy wieść życie (nie tak bardzo zresztą różniące się od dzisiejszego)? Trzeba pokazać je w całej ohydzie – wszelkie niedomówienie byłoby kłamstwem. Dlatego jestem zdania, że w latach trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych literatury u nas nie było. Bo bez całej prawdy – nie ma literatury. Dziś to paskudztwo pokazywane jest zgodnie z wymogami bieżącej mody – poprzez aluzje, dwuznaczne wtręty, marginalne przypisy, dozowanie odcieni – co znów daje w wyniku fałsz.

Nie należy to do zadań tej książki, ale spróbujmy pokrótce wyliczyć owe cechy charakterystyczne życia na wolności, które pojawiły się w nim drogą

548

przerzutu z Archipelagu albo składały się na wspólny dla Wysp i Lądu styl, sposób bycia.

1) WSZECHOBECNY STRACH. Jak już się czytelnik przekonał, nie tylko rok 35., 37. czy 49. były latami branki, masowych wywózek na Archipelag. Branka trwała nieustannie. Podobnie, jak nie ma takiej minuty, w której by ktoś nie umarł albo nie narodził się – tak samo nie było minuty bez aresztowań. Czasem człowiek ocierał się wręcz o ten proces, czasami – wszystko odbywało się gdzieś poza nim; niekiedy człowiek sam sobie wmawiał, że nic mu nie grozi, niekiedy zaś sam stawał się oprawcą, dzięki czemu niebezpieczeństwo oddalało się nieco – ale każdy dorosły obywatel tego kraju, od kotłochodziaka do członków Biura Politycznego włącznie, zawsze zdawał sobie sprawę, że wystarczy jedno nieostrożne słowo albo posunięcie, aby znaleźć się na dnie przepaści, skąd nie ma powrotu. Na Archipelagu każdy prominent sprawuje swoją funkcję na progu otchłani robót ogólnych (a nie na progu zagłady). Każdy obywatel tego kraju żyje na progu otchłani Archipelagu (a więc – na progu zagłady). Zapewne, kraina nasza jest o wiele większa niż Archipelag – ale cała ona, wraz ze wszystkimi mieszkańcami, zawisła niejako nad rozdzieloną jego paszczą.

Strach – nie zawsze oznacza obawę aresztowania. Wiele tu stopni pośrednich: czystka, kontrola, wypełnianie kwestionariuszy – przewidziane w planie albo nadprogramowe, zwolnienie z pracy, odmowa meldunku, wysiedlenie albo zesłanie¹. Kwestionariusze ankiet zredagowane były w sposób tak drobiazgowy i wnikliwy, że wpędzały większość obywateli w kompleks winy. Ludzie nieustannie zadręczali się myślą, że zbliża się kolejny termin wypełniania ankiety personalnej. Kto już raz upiększył sobie życiorys, ten musiał później nieustannie dokładać starań, aby nie poplątać danych. Ale niebezpieczeństwo mogło zjawić się zupełnie nieoczekiwanie: syn Własowa (tego ze wsi Kadyj) Igor, pisał niezmiennie w życiorysach, że ojciec nie żyje. W ten sposób udało mu się nawet wstąpić do szkoły wojskowej. Ni stąd, ni zowąd został jednak wezwany do złożenia w ciągu trzech dni zaświadczenia o śmierci ojca... I co miał począć?

Suma tych lęków wytwarzała w ludziach poczucie znikomości własnej i braku jakichkolwiek praw. W listopadzie 1938 roku Natasza Aniczkowa dowiedziała się, że człowiek, którego kochała (mąż, tyle że małżeństwo ich

¹ Dodajmy takie mniej znane formy, jak wyrzucenie z partii, usunięcie z pracy i przymusowe skierowanie do pracy w administracji obozowej. W 1938 roku był w ten sposób zmuszony do objęcia stanowiska Stiepan Grigoriewicz Onczul. Zrozumiałe, że nie miano do takich pracowników żadnego zaufania. Podczas wojny wzięto go do batalionów pracy, gdzie Onczul zmarł.

549

nie zarejestrowane) aresztowany został w mieście Oriol. Więc tam pojechała. Ogromny plac przed więzieniem zapchany był chłopskimi wozami, siedzieli na nich baby w łapciach i kabatach, hołubiąc paczki z żywnością, których nikt od nich nie przyjmował. Aniczkowa przebiła się aż do okienka w strasznym więziennym murze. – Kim jesteście, obywatelko? – zapytano ją surowo. Powiedziała i takiej doczekała się odpowiedzi: – Słuchajcie więc, towarzyszek z Moskwy. Daję wam dobrą radę: jeszcze dziś wyjeżdżajcie stąd, bo inaczej w nocy po was przyjdą! – Cudzoziemiec nie wszystko tu potrafiłby zrozumieć: dlaczego zamiast rzeczowej odpowiedzi czekis – ta udziela kobiecie nieproszonych rad? jakie ma prawo domagać się, aby wolna obywatelka natychmiast sobie gdzieś jechała? i kóż to taki przyjdzie i po co? – ale każdy obywatel sowiecki skłamałby, mówiąc, że czegoś tu

nie rozumie, albo że to nieprawdopodobne. Po otrzymaniu takiej odpowiedzi strach bierze na myśl o zostaniu na noc w obcym mieście.

Słusznie powiada Nadieżda Mandelsztam: nasze życie tak przesiąkło duchem więzienia, że najprostsze, wieloznaczne z natury słowa, takie, jak „wzięto go”, „wsadzono”, „siedzi”, „wypuszczono” nawet bez wszelkiego kontekstu rozumiane są przez wszystkich jednakowo i jednoznacznie!

Uczucie beztroski nigdy naszym obywatelom nie było znane.

2) POCZUCIE UBEZWŁASNOWOLNIENIA. PRZYMUS. Gdyby można było bez trudu zmieniać miejsce zamieszkania, wyjeżdżać z miejscowości, gdzie grozi człowiekowi niebezpieczeństwo i w ten sposób opędzić się od strachu, odetchnąć świeżym powietrzem! – ludzie poczynaliby sobie odważniej, gotowi byliby podjąć jakieś ryzyko. Ale przez długie dziesięciolecia żyliśmy w jarzmie – bo żaden człowiek pracy nie mógł z własnej inicjatywy porzucić swego zakładu. Obowiązek meldunku przykuwał go do miejsca pobytu. A ponadto – jak łańcuchem związany był z mieszkaniem, którego nie sposób ani sprzedać, ani zamienić, ani wynająć. Dlatego właśnie uchodził za szaleństwo każdy protest w miejscu zamieszkania albo pracy.

3) SKRYTOŚĆ. NIEUFNOŚĆ. Uczucia te zastąpiły dawną otwartość, życzliwość, gościnność (których w latach dwudziestych nie zdołano jeszcze wytrzebić). Był to zresztą jedyny sposób obrony każdej rodziny i każdej jednostki, zwłaszcza tam, gdzie nikt nie mógł znikąd samowolnie wyjechać, czy zwolnić się z pracy, a każda bagatelka całe lata była na widoku – i na podłuchu. Skrytość ludzi sowieckich wcale nie jest przesadna, jest po prostu życiowo konieczna, chociaż cudzoziemcom może się czasem wydawać cechą niehumanitarną. Były oficer carski K.U. tylko dlatego ocalał i nigdy nie

550

siedział, bo własnej żonie nie opowiedział o swej przeszłości. Aresztowany został za to jego brat, N.U., którego żona, wykorzystując fakt, że w chwili uwięzienia mieszkali oni w różnych miastach, ukryła tę wiadomość przed własnym ojcem i siostrą, aby ci się przypadkiem nie wygadali. Wołała im oznajmić i rozpowiedzieć wszystkim wokół, że mąż ją porzucił. Grała później tę rolę latami. Są to sekrety z dziejów jednej tylko rodziny; stały się wiadome dopiero teraz, po upływie trzydziestu lat.

A jakież dom rodzinny w naszych miastach nie krył podobnych tajemnic?

W 1949 roku aresztowano ojca jednej z koleżanek studenta W.I. W takich wypadkach unikano zwykle krewnych aresztowanego jak zapowietrzonych, uchodziło to za rzecz naturalną. W.I. nie odstrychnął się jednak, otwarcie okazywał dziewczynie współczucie, szukając sposobu, aby jej pomóc. Zaskoczona i przestraszona tak niezwykłą postawą, dziewczyna odrzuciła pomoc i współczucie W.I., wmawiając mu, że nie wierzy w niewinność i szczerłość aresztowanego ojca. Twierdziła, że ukrywał z pewnością swoje zbrodnie przed własną rodziną. (Dopiero za czasów Chruszczowa doszło między nimi do spotkania i rozmowy: okazało się, że dziewczyna była w owym czasie przekonana, iż W.I. albo jest szpiclem, albo członkiem organizacji antysowieckiej, szukającej niezadowolonych, aby ich zwerbować)

Ta powszechna nieufność i podejrzliwość pogłębiała wspólną mogiłę niewoli. Gdy tylko ktoś zaczynał śmiało i szczerze wypowiadać swoje myśli – wszyscy wpadali w popłoch: – prowokacja! W ten sposób każdy uczciwy głos protestu skazany był na izolację i brak wszelkiego echa.

4) IGNORANCJA POWSZECHNA. DEZINFORMACJA. Ukrywając się przed sobą wzajem i nie ufając sobie – samiśmy sprawili, że zakorzeniła się wśród nas ta absolutna niejawność, kompletna dezinformacja, która jest przyczyną wszystkiego, co się u nas wydarzyło – i wielomilionowych aresztowań, i masowej aprobaty, z którą się spotkały. Nic sobie wzajem nie komunikując, nie wołając o pomstę do nieba, nie ośmielając się wydać jęku, nie dowiadując się niczego od innych – wydaliśmy się sami na pastwę gazet i oratorów z urzędu. Dzień w dzień podsuwano nam pod nos coś, co miało nas podbechtać – na przykład fotografię katastrofy kolejowej, spowodowanej pono przez sabotażystów – hen, pięć tysięcy kilometrów stąd. A tego, co powinniśmy byli wiedzieć koniecznie i co działo się w naszej klatce schodowej – znikąd nie mogliśmy się dowiedzieć.

Jak można stać się prawdziwym obywatelem, nic nie wiedząc o dookólnym życiu? Dowie się tego człowiek dopiero poniewczasie, gdy sam znajdzie się w potrzasku.

551

5) DONOSICIELSTWO – niewiarygodnych wręcz rozmiarów. Setki tysięcy pełnomocników operacyjnych – w swoich gabinetach służbowych, i w skromnych pokojach rozmaitych budynków biurowych, i w zamaskowanych mieszkaniach kontaktowych, nie żałując papieru i własnego jałowego czasu – zajmowały się nieustannie werbunkiem donosicieli. Kazano im składać tak niestychane ilości raportów, że nie sposób tego było uzasadnić samą tylko potrzebą zbierania informacji. Werbowano nawet ludzi, o których z góry było wiadomo, że są niepotrzebni i że nie nadają się do tej roboty, namawiano takich, o których dobrze wiadano, że się nie zgodzą – na przykład żonę zmarłego w obozie prezbytera baptystów, Nikitina, kobietę wierzącą. Mimo to, po kilka godzin z rzędu przestuchiwano ją, nie pozwalając się ani na chwilę, zamykano w areszcie, albo poddawano szykanom, przenosząc w fabryce na gorsze stanowisko, do cięższej pracy.

Jednym z celów tak masowego werbunku było niechybnie stworzenie sytuacji, w której każdy poddany musiałby czuć na karku sapanie kanałów informacyjnych. Chodziło o to, aby w każdym towarzystwie, w każdym pokoju biurowym, w każdym mieszkaniu albo siedział szpicel, albo panowało przekonanie, że już tu siedzi.

Oceniając rzecz w sposób nieco pobieżny, w przybliżeniu – możemy jednak przyjąć, że z każdych czterech–pięciu mieszkańców miast jeden przynajmniej raz w życiu spotkał się z propozycją podjęcia się tajnej służby donosicielskiej. Może nawet procent był większy. W ostatnich czasach próbowałem przeprowadzić sondaż zarówno wśród byłych więźniów, jak pośród niepokalanych wolniaków: pytałem prosto z mostu – kogo, kiedy i w jaki sposób próbowano zwerbować. Okazywało się czasem, że wszyscy siedzący przy stole taką propozycję w swoim czasie otrzymali!

Nadieżda Mandelsztam twierdzi z całą słuszością: proceder ten miał służyć nie tylko osłabieniu stosunków międzyludzkich; chodziło również o inny cel – ci, którzy skapitulowali, obawiając się kompromitacji i zdemaskowania, zainteresowani byli w trwałości istniejących porządków.

Zimne macki nieufności poczuł na sobie cały naród – wcisnęły się one między kolegów z pracy, starych przyjaciół, studentów, żołnierzy, sąsiadów, szperaty wśród dzieci i podrostków – nawet w poczekalni NKWD, wśród żon, przybyłych z paczkami dla uwięzionych mężów.

6) ZAPRZAŃSTWO JAKO SPOSÓB BYCIA. Drżąc bezustannie przez wiele lat i o siebie, i o swoją rodzinę, człowiek staje się lennikiem strachu, bezwolnym jego poddanym. I codzienne zaprzaństwo wydaje mu się najmniej niebezpiecznym sposobem bycia. Najłagodniejsza, ale za to najbardziej rozpowszechniona forma zaprzaństwa polega na tym, aby –

552

nie dostrzegać tych, co giną w zasięgu ręki, nie pomóc im, odwrócić się tyłem, podkulić ogon. Aresztowano, dajmy na to, twojego sąsiada, kolegę z pracy, a nawet – twego bliskiego przyjaciela. A ty milczysz, udajesz, żeś nic nie widział (nie wolno ci przecież utracić obecnego stanowiska!). Albo, powiedzmy, na zebraniu ogólnym podaje się do wiadomości, że towarzysz, którego od wczoraj brak, okazał się zawziętym wrogiem ludu. I oto ty, któryś razem z nim przez dwadzieścia lat garbił się przy jednym biurku musisz teraz wykazać się dostojnym milczeniem (albo nawet oskarżycielską mową), aby dać dowód, jak obca ci jest jego zbrodnicza postawa (musisz ponieść tę ofiarę dla dobra twoich najdroższych, dla twojej ukochanej rodziny! Jakie masz prawo nie pamiętać w tej chwili o nic h?). Ale są jeszcze na wolności – żona, matka, dzieci aresztowanego, więc może im chociaż spróbujesz pomóc? O nie, to niebezpieczne: przecież to żona wroga, i matka wroga, i wraże dzieci (a twoje dziatki muszą jeszcze długo się kształcić)!

Gdy inżynier Palczyński został aresztowany, jego żona, Nina, tak pisała do wdowy po Krapotkinie: „Pozostałam bez żadnych środków do życia, nikt mi niczym nie pomógł, wszyscy mnie unikają, boją się... Teraz się przekonałam, jakich mieliśmy przyjaciół. Wyjątki są bardzo nieliczne”.

Kto dał schronienie przestępcy – jest wrogiem nie mniejszym niż on! Ten, kto mu pomaga – jest takim samym wrogiem. Kto nie zerwał z nim przyjaźni – też jest wrogiem. Więc telefon zapowietrzonej rodziny milknie. Poczta więcej nie nadchodzi. Na ulicy nikt ich nie poznaje, nikt nie podaje ręki, nikt nie skinie głową. Co dopiero mówić o zapraszaniu w gości. I pieniędzy nikt im nie pożyczy. W kipieli wielkiego miasta ci ludzie czują się, jakby mieszkali na pustyni.

A Stalinowi w to graj! Uśmiecha się tylko pod czarnym od szuwaksu wąsem!

Członek Akademii Nauk, Sergiusz Wawitow, gdy już mu genialnego brata zamordowano w NKWD, przyjął lokajską prezesurę Akademii Nauk (Wąsaty figlarz celowo tak się naigrywał; bawiło go wystawianie na próbę ludzkiego serca). Aleksy Tołstoj, sowiecki hrabia, nie dość, że unikał odwiedzin u rodziny swojego represjonowanego brata, ale z ostrożności nawet jej nie wspomagał pieniądze. Leonid Leonów zabronił swojej żonie widywania się z bliskimi jej aresztowanego brata, znanego niegdyś wydawcy, S. M. Sabasznikowa. A legendarny Dymitrow, lew groźny z procesu lipskiego, zaparł się i zdradził swoich przyjaciół Popowa i Tanewa, nie

2 List z 16.2.1929 roku, dział manuskryptów biblioteki im. Lenina, zbiór nr 41, arkusz 5, nr ew. 24.

24 – Archipelag Gutag t. II

553

próbując ich ratować, gdy – uwolnieni od kary przez faszystowski sąd – dostali na sowieckiej już ziemi po 15 latek „za zamach na towarzysza Dymitrowa” (odsiedywali karę w Krasłagu).

Wiadomo w jakiej sytuacji znajdowały się rodziny aresztowanych. W. J. Kawieszan z Kaługi tak pisze: po aresztowaniu ojca wszyscy nas unikali jak trędowatych, mu-

siałem zaprzestać chodzenia do szkoły – koledzy mnie zaszczuli (rośnie nowe pokolenie zdrajców! Rosną oprawcy!) – mamę wyrzucono z pracy. Trzeba było ratować się żebraniem.

Rodzinę pewnego mieszkańca Moskwy, aresztowanego w 1937 roku – matkę z kilkorgiem dzieci – milicjanci odwieźli na dworzec, skąd represjonowani mieli jechać na zesłanie. I oto gdy już byli na dworcu, jeden z chłopaczków, ośmioletni, nagle zniknął. Milicjanci szukali do siódmych potów, ale nie potrafili go znaleźć. Rodzina pojechała więc na zesłanie bez chłopczyka. Okazało się, że dał nurka pod czerwone sukno, którym pokryty był wysoki trójnóg z popiersiem Stalina i że przesiedział w ukryciu, czekając, aż niebezpieczeństwo minie. Później wrócił do domu, ale zastał już plomby na drzwiach mieszkania. Zakotłotał więc do drzwi sąsiadów, znajomych, przyjaciół tatusia i mamy – ale nikt z nich nie przyjął chłopaczka, ba, nikt nie zaprosił go nawet na nocleg. Sam więc zgłosił się do sierocińca... Ziomkowie! Współobywatele! poznajecie wasze świńskie ryje?

To wszystko składa się na obraz najtagodniejszej formy zaprzaństwa, jest to jego pierwszy stopień – mowa o tych, co się tylko odżegnali. A ileż to jeszcze jest tych stopni, jakież one atrakcyjne i jak wielu ludzi stoczyło się po nich? Czy ci, którzy wyrzucili matkę Kaweszana z pracy – nie wyparli się ludzkich uczuć? czy spełnili swój najprostszy obowiązek? A ci, którzy na telefoniczne żądanie opera posłali Nikitinę do czarnej roboty, żeby prędzej się ugięła i została donosicielką? Albo ci redaktorzy, którzy pośpiesznie wyrzucali ze szpałt imię aresztowanego wczoraj pisarza?

Oto symbol tej epoki – marszałek Bluecher: siedział jak puchacz w prezydium trybunału, który sądził Tuchaczewskiego (zresztą Tuchaczewski chyba tak samo był zasiadał). Ledwie rozstrzelano Tuchaczewskiego – ukręcono z kolei łeb Bluechero-
rowi.

Albo ci znakomici lekarze, profesorowie Winogradow i Szereszewski. Pamiętamy, że zginęli jako ofiary podłych kalumnii w 1952 roku – ale przecież w 1936 roku uświęcili swoimi podpisami stek tak samo podłych kalumnii, które usprawiedliwić miały wyrok, wydany na ich kolegów, profesorów Pletniewa i Lewina *. (Władca zaprawiał się w sztuce konstruowania wątków i w tresurze dusz).

Wybitni interniści, oskarżeni o zamordowanie Gorkiego i jego syna.

554

Ludzie żyli w polu magnetycznym zaprzaństwa – i wynajdywali najbardziej przekonujące argumenty, aby je usprawiedliwić. W roku 1937 pewna para małżeńska z dnia na dzień oczekiwała aresztowania, bo żona pochodziła z Polski. Umówili się więc, że mąż złoży donos na żonę profilaktycznie, nie czekając na wizytę milicji. Kobietę aresztowano, on zaś „o-czyścił” się w oczach NKWD i został na wolności. – W tym samym przestawnym roku stary weteran carskiej katorgi Adolf Dobrowolski, idąc do więzienia oznajmił ukochanej swojej córce – jedynaczce, Izabelli, co następuje: „Gotowi byliśmy oddać życie za władzę sowiecką – niech więc nikt nie ciągnie korzyści z twojej krzywdy. Wstąp do komsomołu!”. Wyrok sądowy nie pozbawił go prawa korespondencji, ale komsomoł zażądał, aby Izabella jej nie prowadziła – i w zgodzie z ojcowskim wiatykiem duchowym – córka ojca się wyparła. Ileż było wtedy takich aktów odcięcia się! – ustnych albo składanych na piśmie: „Ja, taki a taki, z dniem takim a takim odcinam się od ojca i matki, jako wrogów ludu sowieckiego”. Takim kosztem kupowano sobie prawo do życia.

Kto nie żył w tych czasach (albo – kto nie zna z doświadczenia dzisiejszych Chin) nie potrafi chyba zrozumieć i wybaczyć tego ludziom. W przeciętnym społeczeń-

stwie człowiek może doczekać się swoich sześćdziesięciu lat, nigdy nie wpadając w potrzask takiego wyboru. O tym, że należy do ludzi przyzwoitych, przekonany jest zarówno on sam, jak ci, którzy przemawiać będą nad jego grobem. Człowiek rozstaje się z życiem, nie wiedząc nawet jak głęboka jest studnia zła, do której mógł wpaść.

Masowe zepsucie moralne przeżera społeczeństwo nie od razu. Jeszcze w ciągu całych lat dwudziestych i na początku trzydziestych wielu naszych ludzi zachowywało pojęcia i 'przymioty duszy, nabyte w dawnym społeczeństwie – wiedzieli oni, że trzeba pomóc cierpiącym biedę, wstawić się za prześladowanymi. Jeszcze w roku 1933 Mikołaj Wawilow i profesor Meister interweniowali otwarcie w sprawie wszystkich aresztowanych naukowców z instytutu W.I.R. Istnieje pewien minimalny okres, niezbędny dla dojrzewania procesów rozpadowych i nawet najpotężniejszy Aparat nie da sobie rady z narodem w krótszym czasie. Długość tego okresu zależy od wieku tych uparciuchów, którzy jeszcze nie zdziadzieli. Dla Rosji okazało się konieczne całe dwudziestolecie. W republikach bałtyckich przeprowadzono masowe aresztowania w 1949 roku, sądząc, że dla rozkładu tych społeczeństw wystarczy 5–6 lat, co okazało się okresem zbyt krótkim – i dlatego rodziny represjonowanych spotykały się tam z objawami solidarności ze wszystkich stron. (Istniała zresztą przyczyna dodatkowa, dzięki której opór w tych krajach nabierał dodatkowej mocy: prześladowania

555

o charakterze socjalnym przybierały formę ucisku narodowego, a w takich wypadkach ludzie zawsze bronią się zacieklej).

Mówiąc poprzednio o randze roku 1937 w dziejach Archipelagu – nie daliśmy mu palmy pierwszeństwa. Ale mówiąc o jego znaczeniu dla reszty kraju – musimy przyznać mu ową rdzawą koronę zdrady: trzeba stwierdzić, że właśnie ten rok złamał kręgosłup duchowy naszego wolnego społeczeństwa i sprawił, że zgnilizna rozpleniła się już bez przeszkód.

Ale nawet to nie oznaczało jeszcze końca naszych więzi społecznych (jak dziś to widzimy – koniec nie nastąpił nigdy; żywa niteczka tradycji rosyjskiej nie urwała się, dotrwała do lepszych czasów, do roku 1956, a teraz już tym bardziej nie da się zniszczyć). Opór nie był jawny, jego przejawy nie rozjaśniły mroków epoki powszechnej prostacji, ale tętnił przecież, tętnił i tętnił w niedostępnych oku, niezliczonych ciepłych żyłkach.

W tych strasznych czasach, kiedy w popłochu i w ukryciu palono najmiłsze fotografie, najcenniejsze listy i pamiątniki, kiedy byle pożółkły papierek w rodzinnej szufladzie nagle zakwitał ognistym zieleń zagłady i sam nieomal ulatywał do pieca – ileż męstwa trzeba było, ileż tysięcy i tysięcy bezsennych nocy, aby nie spalić, aby zachować w całości archiwum skazańców (na przykład ojca Florenskiego), czy ludzi uznanych za odszczepieńców (jak filozof Fiodorow)! Jak bardzo buntowniczą, antysowiecką i ostrą wydawać się musiała wtedy opowieść Lidii Czukowskiej Zofia Piet-rowna! A jednak Izydor Glikin przechował ją. W oblężonym Leningradzie, czując już tchnienie śmierci, powłókł się z jednego krańca miasta na drugi, aby odnieść manuskrypt siostrze i w ten sposób uratować go.

Każde czynne przeciwstawienie się władzy wymagało męstwa zupełnie niewspółmiernego ze znaczeniem takiego uczynku. Łatwiej było za czasów Aleksandra II przechowywać w domu dynamit, niż za czasów Stalina dać przytułek sierocie, dziecku wroga ludu. Mimo to, ileż takich dzieci znalazło schronienie i ratunek

(niech same o tym opowiedzą)! Pomagano ukradkiem rodzinom represjonowanych. I ktoś przecież zastępował żonę aresztowanego w beznadziejnej, trzydniowej kolejce – aby mogła ogrzać się i pospać trochę. I ktoś tam jeszcze – biegł z biciem serca, aby dać znać, że w mieszkaniu – kotciół i że nie ma co wracać do domu. A jeszcze ktoś – pozwalał zbiegowi przenocować, sam tej nocy oka nie mrużąc.

Już wspominaliśmy o tych, którzy ośmielili się nie głosować za karą śmierci dla Prompartii. A byli też na Archipelagu ludzie, co trafili tam za obronę swoich skromnych kolegów i współpracowników. Niedaleko pada jabłko od jabłoni: syn owego Rożańskiego, Iwan, również padł ofiarą represji – za obronę kolegi z pracy, Kopielewa. Na zebraniu partyjnym

556

w leningradzkim Dietgizie * M. M. Meisner poprosił o głos i wziął w obronę tzw. „pisarzy-szkodników, zatruwających dziecięce dusze”. Z punktu został wyrzucony z partii i aresztowany. I wiedział przecież, czym ryzykuje!

W cenzurze wojskowej (Riazań, 1941 rok) młoda cenzorka podarła bardzo kompromitujący list zupełnie nie znanego jej żołnierza frontowego – ale została zauważona, strzępy listu wydobyto z kosza, gdzie je wrzuciła, posklejano – i wsadzono za kraty ją samą. Poświęciła się dla zupełnie obcego, dalekiego człowieka (dowiedziałem się zaś o tym tylko dlatego, że wydarzenie miało miejsce w moim Riażaniu. A ile jeszcze takich spraw się zdarzyło?).

Łatwo teraz mówić, że wolność lub więzienie – to była kwestia loterii (Erenburg). Loteria loterii, ale niektóre numerki były znaczone. Zarzucano niewód na ślepo, wsadzano ludzi, aby osiągnąć z góry zaplanowaną cyfrę aresztowań, owszem – ale każdy, kto ośmielił się zaprotestować publicznie, łapany był natychmiast. Dlatego była to raczej kwestia selekcji duchowej, a nie loterii! Odważni szli pod topór, wysyłani byli na Archipelag – i w ten sposób nic nie mąciło pokornej monotonii cieszącej się wolnością reszty kraju. Co czyste i zacne – to nie miało prawa obywatelstwa w tym społeczeństwie, a bez tych elementów społeczeństwo coraz bardziej marniało. Eliminacja odbywała się po cichu – było to zjawisko zupełnie niedostrzegalne. A tymczasem – to obumierała dusza narodu.

7) ROZKŁAD MORALNY. W utrzymującej się przez dziesięciolecia atmosferze strachu i wiarołomstwa ci, którym udało się uniknąć zguby uratowali tylko swoją powłokę cielesną, ocaleli tylko zewnątrz. Wewnątrz jest próchno.

Miliony przecież zgadzały się zostać szpiclami. Jeśli przyjąć, że w ciągu 35 lat (do roku 1953) przewinęto się przez Archipelag, licząc również zmarłych tam, jakieś 40 milionów (to ostrożna kalkulacja, ta liczba jest zaledwie trzy lub cztery razy większa od przeciętnej liczby mieszkańców GUłagu, a przecież podczas wojny było rzeczą normalną, że dziennie wymierał 1% uwięzionych) – to przynajmniej co trzeciej, no, co piątej sprawie towarzyszył czyjś donos, ktoś był w niej powołany na świadka oskarżenia! Wszyscy

Państwowe Wydawnictwo Literatury dla Dzieci.

3 Mamy w naszym archiwum relację o zbiorowym akcie niezachwianej odwagi, ale brak dlań potwierdzenia: w roku 1930 na Sołówki przybyła w marszowym oryndku (bo nie zgodzili się na obcą eskortę) kolumna złożona z kilkuset kursantów jakiejś ukraińskiej szkoły wojskowej, zesłanych za to, że odmówili udziału w tłumieniu buntów chłopskich.

557

ci atramentowi mordercy po dziś dzień są wśród nas. Posyłali do więzienia swoich bliźnich ze strachu – był to najniższy stopień. Inni robili to dla zysku, trzeci zaś – wówczas bardzo młodzi, a dzisiaj – oczekujący już emerytury, wydawali ludzi na męki z zapalem, zdradzali ich ideowo, czasem nawet zupełnie otwarcie: przecież zde-maskowanie wroga to był wyczyn, to był akt odwagi socjalnej! Wszyscy ci ludzie – są więc wśród nas i najczęściej – dobrze im się powodzi, a my powtarzamy jeszcze z zachwytem, że to „nasi prości, sowieccy ludzie”.

Rak duszy rozwija się w sposób niedostrzegalny i trawi tę właśnie jej część, która jest zwykle siedliskiem uczucia wdzięczności. Fiodor Pieregud otoczył najczulszą opieką Misze Iwanowa: chłopak nie mógł znaleźć pracy – więc Pieregud pomógł mu znaleźć robotę w tambowskich zakładach remontu wagonów i nauczył go rzemiosła; nie miał gdzie mieszkać – Pieregud przyjął go do swego domu i traktował jak krewnego. I oto Michał Dmitriewicz Iwanów składa do NKWD donos, że Fiodor Pieregud w kręgu rodzinnym chwalił niemieckie wyposażenie techniczne. (A trzeba znać Fio-dora Piereguda. Znał się na silnikach, był mechanikiem, radiowcem, elektrykiem, zegarmistrzem, optykiem, hutnikiem, modelarzem, stolarzem meblowym, znał ze dwadzieścia rzemiosł. W obozie zorganizował warsztat mechaniczny; gdy stracił nogę, sam sobie zrobił protezę). Zabierając Piereguda do więzienia, wzięto również do kompletu jego 14-letnią córeczkę. I to wszystko jest zasługą M. D. Iwanowa! Na rozprawie zjawił się z poczerniałą twarzą: zgnilizna duszy odbija się czasem na obliczu. Wkrótce porzucił pracę w fabryce, całkiem otwarcie przeszedł na służbę do bezpieczeństwa. Ale później przeniesiono go za nieudolność do straży pożarnej.

W zdeprawowanym społeczeństwie niewdzięczność jest powszednim, uznanym za normalne zjawiskiem, nikt jej się nie dziwi. Po aresztowaniu selekcjonera W. S. Markina, agronom A. A. Sołowiow bez żenady ukradł wyhodowany przez tamtego gatunek pszenicy „tajgowa – 49”4, przypisując sobie zasługę odkrycia. Kiedy rozpu-dzono instytut kultury buddyjskiej (wszystkich wybitniejszych współpracowników wyaresztowano), a jego szef, członek Akademii, Szczerbatski, zmarł – uczeń Szczerbatskiego, Ka-lianow, przyszedł do wdowy po nim i skłonił ją do oddania książek i rękopisów zmarłego – „bo inaczej będzie źle: instytut kultury buddyjskiej był w istocie ośrodkiem szpiegowskim”. Mając już w ręku prace zmarłego profesora, Kalianow część z nich (a także rozprawę Wostrikowa na dodatek) wydał pod własnym nazwiskiem, zyskując znaczny rozgłos.

4 A gdy po 20 latach Markin został zrehabilitowany, Soiowiow nie chciał zwrócić nawet połowy honorarium! – „Izwestia”, 15.XI.1963.

558

Wiele jest naukowych autorytetów w Moskwie i Leningradzie, które wyrosły na po-żywce z krwi zamordowanych. Niewdzięczność wychowanków, która przewija się pstrym zygzakiem przez dzieje naszej nauki i techniki lat 30. i 40., nie była zjawi-skim przypadkowym i niezrozumiałym: ster nauki przechodził z rąk prawdziwych uczonych i inżynierów w łapy niedouczonej, pośpiesznie szkolonych karierowi-czów z awansu społecznego.

Już dziś nie da się zidentyfikować ani wyliczyć wszystkich tych przywłaszczonych prac i ukradzionych wynalazków. A mieszkania „odziedziczone” po aresztowa-nych? A rozkradzony ich dobytek? Toć podczas wojny ten barbarzyński rys prze-jawił się jako cecha omalże powszechna: jeśli kogoś dotknęło nieszczęście, jeśli bomby rozwały mu mieszkanie, jeśli spłonął mu dobytek, albo po prostu – musiał

się ewakuować, jego sąsiedzi, prości ludzie sowieccy, z reguły starali się właśnie wtedy uszczknąć coś dla siebie.

Demoralizacja ma różne oblicza, nie sposób opisać wszystkich w jednym rozdziale. Dominanta życia społecznego na tym u nas polegała, że na czoło wysuwali się zaprzańcy, że sukcesy odnosiły beztalencia, a najzdolniejsi i najuczciwsi szli pod nóż krający ich na krwawą sieczkę. Kto potrafi wskazać mi w latach 30. i 40., aż po 50. jednego choćby człowieka w całym kraju, któremu udało się pokonać, unieszkodliwić i wygnać precz jakiegoś podłego intryganta? Twierdzę, że to było niemożliwe, tak jak niemożliwością jest, aby jedna choćby kaskada – w drodze wyjątku – padała z dołu w górę. Człowiek szlachetny nie zwróci się przecież o pomoc do bezpieczeństwa, łajdak zaś zawsze je ma do swojej dyspozycji. I gdzież jest człowiek, dla którego bezpieczeństwo będzie mieć względy, jeśli nie zawahało się podnieść ręki na Mikołaja Wawitowa? Cóż tu więc gadać o jakichś cudach z wodospadem?

Te łatwe triumfy nędzników nad szlachetnymi wykwiwały, jak mętne, cuchnące fontanny nad głowami stołecznego tłumu – ale również pod sklepieniem arktycznej, uczciwej zamieci, na stacjach polarnych – ulubionych miejscach akcji wielu mitów lat trzydziestych, stacjach, jakby stworzonych po to, aby jasnoocy giganci z nowel Londona pykali na nich fajki pokoju – tam również unosił się ten sam odór. Załoga polarnej stacji na wyspie Domasznij (Ziemia Północna) składała się z trzech raptem ludzi. Byli to: bezpartyjny kierownik stacji, Aleksander Pawłowicz Babicz, zastępca, stary badacz polarny; pracownik fizyczny Jeriomin – jedyny członek partii, pełniący zarazem funkcje organizatora partyjnego stacji i kom-somolec (a zarazem organizator komsomolski!), meteorolog Goriaczenko, którego główną ambicją było wysiudanie kierownika i zajęcie jego sta-

559

nowiska. Goriaczenko gmera w walizkach kierownika, wykrada dokumenty, posuwa się do gróźb. W myśl wskazań Jacka Londona – dwaj pozostali mężczyźni powinni po prostu wepchnąć tego łajdaka pod lód. Otóż nie – decydują się na wystąpienie do zarządu Wielkiej Północnej Drogi Morskiej, na ręce Papanina depeszy z żądaniem przystania kogoś innego na miejsce Goriaczenki. Partorg Jeriomin podpisuje depeszę, ale natychmiast porozumiewa się z komsomolcem, żałuje za grzechy i razem z nim wysyła do tegoż Papanina partyjno-komsomolski telegram, dementujący poprzedni komunikat. Papanin dochodzi do wniosku, że kolektyw uległ rozkładowi i że trzeba wszystkich zabrać z wyspy. Przyjeżdża po nich lodołamacz „Sad-ko”. Na pokładzie statku komsomolce nie traci czasu i podsuwa odpowiednie materiały komisarzowi okrętu. W rezultacie Babicz zostaje aresztowany bez żadnej zwłoki (główne oskarżenie: zamierzał... wydać w ręce Niemców łamacz lodów „Sadko” – czyli ten właśnie statek, na którego pokładzie wszyscy się znajdują!...). Po przybiciu do brzegu, Babicza natychmiast pakują do aresztu. (Wyobraźmy sobie na chwilę, że komisarz statku jest rozumnym, uczciwym człowiekiem i że wzywa Babicza, aby wysłuchać argumentów drugiej z zainteresowanych stron. Ale to pociągnęłoby za sobą konieczność zdradzenia tajemnicy donosu wrogowi, człowiekowi podejrzanemu! – co pozwoliłoby Goriaczence oskarżyć komisarza przed Papaninem i również postać go za kraty. System działa bez zarzutu!).

Oczywiście, poszczególni ludzie, którzy odebrali wychowanie nie w drużynie pionierskiej i nie w jaczejce komsomolskiej, potrafili uchronić się przed rozkładem du-

chowym. Na syberyjskim przystanku, jakieś rośnie żółt-nerzysko, na widok pociągu pełnego więźniów biegnie do budki, żeby kupić parę paczek papierosów i namawia konwojentów, aby pozwolili mu je dać tym nieszczęśnikom (już nieraz w tej książce opisywaliśmy podobne wypadki). Ale żołnierz ten – na pewno nie był na służbie, może jechał na urlop, a na pewno był poza zasięgiem wzroku organizatora komsomolskiego swojej jednostki. W jednostce – pewno by się nie ośmielił, nie wyszłoby mu to na zdrowie. Zresztą, może i tutaj dostanie jeszcze za to po łbie, toć komendant stacji nie śpi.

8. KŁAMSTWO JAKO SPOSÓB BYCIA. Nawet złamani przez strach albo tknięci zarząz chciwości, czy zawiści – ludzie nie od razu jednak głupieją. Duszę mają zmąconą, ale umysł dalej jasny. Nie mogę przecież serio wierzyć, że cały geniusz ludzki skupił się nagle w jednej głowie o niskim, wklęsłym czole. Nie uwierzę przecież, że te błazeńskie karykatury

560

debilów, które demonstrują im w kinach, w gazetach i w radio – to ich własne, wierne podobizny. Nikt ich nie zmusza do mówienia całej prawdy, ale też nikt im nie pozwoli milczeć! Muszą zabierać głos – a cóż innego mając do powiedzenia, prócz kłamstwa? Wymaga się od nich burzliwych oklasków – szczerości natomiast nikt nie żąda.

I jeśli czytamy w rezolucji pracowników szkolnictwa wyższego, złożonej na ręce towarzysza Stalina⁵:

„Wzmagając naszą rewolucyjną czujność, pomożemy naszej okrytej chwałą służbie wywiadu, na której czele stoi wierny uczeń Lenina, stalinowski komisarz ludowy Mikołaj Iwanowicz Jeżów, gruntownie oczyścić nasze szkoły wyższe, podobnie jak cały nasz kraj, z resztek trockistowsko-bucharinowskiego i w ogóle wszelkiego kontrrewolucyjnego plugastwa” –

to nie uważamy przecież owego, zebranego na jakimś wiecu, tysiąca ludzi za bandę idiotów, lecz jedynie za gromadę gnuśnych, pokornych kłamców, którzy z całą potulnością powitają już jutro tych, co przyjdą ich aresztować. Kłamstwo bezustannie uprawiane staje się – podobnie jak zaprzaństwo

– jedyną formą istnienia, dającą gwarancję bezpieczeństwa. Każde chlapnięcie ozorem może być przez kogoś podsłuchane, każda mina nawet – może być przez kogoś zaobserwowana. Dlatego to każde słowo, jeśli nawet nie jest oczywistym kłamstwem – nie może jednak kontrastować z obowiązującymi łgarstwami. Istnieje gotowy zestaw frazesów, uświęcony zestaw nazwisk, przezwisk i wyzwisk, zestaw gotowych kłamliwych formułek

– bez których nie może obejść się ani jedno przemówienie, ani jeden artykuł, ani jedna książka – naukowa, publicystyczna, krytyczna, czy zaliczająca się do tzw. „literatury pięknej”. Nawet w arcynaukowych tekstach trzeba koniecznie w którymś punkcie poprzeć czyjś fałszywy autorytet lub priorytet i zwymyślać kogoś za to, że powiedział prawdę: bez tych łgarstw nie urzy światła dziennego nawet dzieło najbardziej akademickie. Cóż dopiero mówić o krzykliwych wiecach,

o zwoływanych na chybcika zebraniach podczas przerwy w pracy, na których głosować trzeba przeciwko własnym opiniom i symulować radość z powodów, budzących tylko gorycz (rozpisanie nowej pożyczki, obniżka płac, zbiórka pieniędzy na jakąś kolumnę czołgów, uchwała w sprawie pracy niedzielnej albo zobowiązanie do wysłania dzieci do pomocy przy zbiorach w kołchozie) oraz wyrażać najgłębsze oburzenie w sprawach, które człowieka zupełnie nie obcho-

dzą (jakieś niewyobrażalne, niesprawdzalne akty przemocy w Indiach Zachodnich albo w Paragwaju).

Tenno wspominał w więzieniu ze wstydem, że dwa tygodnie przed własnym aresztowaniem miał wykład dla marynarzy na temat „Konstytucja stalinowska – najbar dziej demokratyczna konstytucja świata” (ma się rozumieć – ani jednego szczer ego słowa w tym nie było).

Nie ma człowieka, który by opublikował u nas choćby jedną stroniczkę – i nie do puścił się przy tym kłamstwa. Nie ma człowieka, który by wszedł na mównicę – i nie kłamał. Nie ma człowieka, który by stanął przed mikrofonem – i nie musiał łgać.

Ale to jeszcze nie wszystko! Przecież każda rozmowa z przełożonymi, każda roz mowa w dziale kadr, w ogóle każda rozmowa z innym człowiekiem sowieckim jest popisem kłamstwa. Czasem kłamać trzeba bezczelnie, czasami oględnie, nie kiedy w stylu pobłażliwie–potakującym. Jeśli w trakcie rozmowy w cztery oczy twój rozmówca–matoł oświadczył, że cofamy się aż do Wołgi, ażeby wciągnąć Hitlera jak najdalej w głąb kraju, albo że Amerykanie zasypują nasze pola stonką ziemniaczaną, to – potakuj tym kretynizmom! Koniecznie im potakuj! Jeśli zaś po kręcisz głową, zamiast nią kiwnąć – możesz w rezultacie doczekać się przesiedle nia na Archipelag (przypomnijmy tylko, jak aresztowany został Czulpieniew – część I, rozdział 7).

Ale to też nie wszystko: toć dzieci dorastają! Jeśli już są wystarczająco duże, ani ty, ani żona nie powinniście mówić przy nich otwarcie wszystkiego, co przychodzi wam na myśl: przecież w szkole wychowują ich na nowych Pawełków Morozo wów, nie drgnie im ręka, jeśli ktoś zażąda od nich podobnego wyczynu.

Jeśli zaś dzieci wasze są jeszcze małe, to trzeba zdecydować się na jedno z dwojga: zacząć w nich wmawiać bez zwłoki, że fałsz jest prawdą (żeby im ula twić życie) – co oznacza, że trzeba będzie zawsze już kłamać, także w ich obec ności; albo też mówić prawdę i ryzykować, że nie potrafią zachować ostrożności, co oznacza, że trzeba ich uświadomić, iż mówienie prawdy zagraża życiu i że za progiem domu rodzinnego trzeba kłamać, nic, tylko kłamać, tak jak tatuś i mama. Może się odechcieć dzieci, jeśli tylko taki wybór człowiekowi pozostaje.

Kłamstwo – jako podstawa długofalowych planów. Do prowincjonalnego wyższe go zakładu naukowego przyjeżdża ze stolicy nowa wykładow–czyni literatury – nie jaka A. K., niewiasta młoda, inteligentna i rozumna. Ma ankietę personalną bez skazy i świeżutki dyplom doktorski. Wśród jej słuchaczek jest tylko jedna partyjna studentka i A. K. dochodzi do wniosku, że właśnie ona nastana jest jako szpicel. (Ktoś na seminarium koniecz–

nie musi być szpiclem – tego A. K. jest zupełnie pewna). Postanawia wobec tego zagrać komedię i nawiązać przyjaźń właśnie z tą partyjną studentką. (Nawiasem mówiąc – popełniła fatalny błąd. W myśl zasad taktyki, wypracowanych na Ar chipelagu, należało wlepić dziewczynie ze dwie dwójki i wówczas jej ewentualne donosy uznane byłyby za owoc porachunków osobistych). Nasze panie spotykają się więc również poza murami uczelni i wymieniają fotografie (studentka nosi zdję cie A. K. w okładce legitymacji partyjnej), a w czasie wakacji pisują do siebie czu łe listy. Każdy swój wykład A. K. stara się z góry przystosować do ocen i poglądów

partyjnej studentki. Przez 4 lata uprawia tę poniżającą, obłudną grę, wreszcie studentka otrzymuje absolutorium, teraz naszej A. K. jest wszystko jedno, co o jej wykładach dziewczyna pomyśli. Przy okazji jej pierwszej wizyty A. K. wita ją w sposób lodowaty. Obrażona dziewczyna żąda zwrotu fotografii oraz listów i woła (najzabawniejszą i najsmutniejszą zarazem w całej tej historii okolicznością jest, że dziewczyna prawdopodobnie wcale nie była donosicielką): „Kiedy zakończę aspiranturę, to nigdy nie będę tak drzeć o nędzną posadę jak pani! Te pani okropne wykłady! Katarynka!”.

Bo też tak było. Cenzurując i kastrując wykłady, przykrawając je według gustu rzekomej donosicielki, A. K. beznadziejnie zubożyła swoje prelekcje, które mogła wygłaszać z właściwym jej talentem *.

Oczywiście, różne były stopnie kłamstwa: istniało kłamstwo wymuszone, o charakterze obronnym – i kłamstwo natchnione, głoszone w namiętym upojeniu, które było najczęściej domeną pisarzy. Przykład takiego kłamstwa znajdujemy u Marietty Szaginian, która w 1937 (!) roku napisała z rozczuleniem, iż w epoce socjalizmu zmienił się nawet charakter śledztwa: jak powiadają funkcjonariusze śledczy, oskarżeni chętnie teraz z nimi współpracują, dostarczając z radością wszelkich danych o sobie i innych.

Trudno wręcz zorientować się, jak daleko, jak bardzo – dzięki fałszowi – oddaliliśmy się od drogi, którą kroczą społeczeństwa normalne: w gęstej, szarej mgle obłudy nie widać żadnych drogowskazów. Dopiero czytając przypisy pojmujemy człowiek, że książka Jakubowicza W świecie wyklętych została opublikowana (pod pseudonimem, ale to nie zmienia istoty problemu) w tym samym czasie, w którym autor kończył odsiadki na katorze i szykował się do wyjazdu na zesłanie. Autor przytacza tu kalambur pewnego poety rosyjskiego: Nie kult licznosci u nas byl, a kult dwulicznosci, co oznacza dosłownie, że panował u nas nie tyle kult jednostki, co kult dwulicowości.

6 I w tym samym czasie, w którym katorga jeszcze istniała! Jest to więc książka na temat spraw bieżących, aktualnych, których istnienia nikt nie neguje – nie zaś na temat tego, co ponoć „już się nie powtórzy”.

563

No, porównajcie to, porównajcie tylko z naszymi stosunkami! Cudem udało się opublikować moją spóźnioną, nieśmiałą opowieść * – i oto zaraz sztywne szlabany zagroziły drogę, dokręcone zostały wszystkie śruby i zabroniono pisać już nawet nie o współczesności, ale o tym, co zdarzyło się 30 albo i 50 lat temu. Czy pozwolą o tym mówić jeszcze za naszego życia? Pisane jest nam widać, abyśmy skonali – obełgani i załgani do szczętu.

Zresztą, gdyby nawet podsuwano ludziom prawdę pod nos – to jeszcze nie wiadomo, czy nasi wolni obywatele chcieliby coś o niej wiedzieć! J. G. Oksman wrócił z obozów zaraz po wojnie, ominęło go powtórne aresztowanie, mieszkał sobie w Moskwie. Przyjaciele też go nie odstępili, znajomi mu pomagali. Nikt tylko nie chciał słuchać jego wspomnień z obozu! Bo jak tu żyć – gdy człowiek już o tym wie?...

Po wojnie cieszył się znaczną popularnością stary romans – „Hałasów miejskich tu nie słychać...”. Najprzeciętniejszy nawet śpiewak wiedział, że nagrodzony będzie za tę właśnie pieśń burzą oklasków. Naczelny Zarząd Myśli i Uczuć nie od razu się połapał – więc też rozlegała się ze wszystkich głośników i z każdej estrady: toć nasza, ruska, ludowa! Ale w końcu ktoś się spostrzegł – i zewsząd zniknęła. Słowa pie-

śni mówiły o doli skazańca, o dwóch sercach, rozdzielonych murem. Potrzeba odkupienia dawała jednak znać o sobie, wegetowała w głębi dusz – i załgani ludzie radzi byli, że przynajmniej tę pieśń okłaskiwać mogą.

9. BEZWZGLĘDNOŚĆ. Jak mogła uchować się – obok wyżej wymienionych cnót – życzliwość dla innych ludzi? Jak można zachować dobroć w sercu – skoro raz po raz odmawia się pomocy tonącym? Kto raz krwią się skalał – ten już potem coraz bardziej się sroży. Bezwzględność („klasowa bezwzględność”) była u nas zresztą i opiewana, i wpajana młodzieży – tak, że coraz trudniej było się potąpać, gdzie granica między dobrem a złem. No, a gdy dookoła drwi się z dobroci, kpi ze współczucia, wyśmiewa miłosierdzie – to ludojadów nikt na łańcuchu nie utrzyma. Moja bezimienna korespondentka (z ulicy Arbat 15) pyta, skąd bierze się okrucieństwo – właściwe „niektórym ludziom sowieckim”? Dlaczego tym więcej się oni srożą, im bardziej bezbronna jest ich ofiara? I przytacza pewien przykład, pozornie mało istotny, niemniej – wart opowiedzenia.

Zima z 43. na 44., dworzec w Czelabińsku, podsienie obok przechowalni bagażu. Daszek na słupach, pod nim – cementowe klepisko, pokryte udeptanym śniegiem, nawianym z zewnątrz. Przez okienko przechowalni wy–

Jeden dzień Iwana Denisowicza.

564

gląda kobieta w waciaku, pod okienkiem stoi nażarty milicjant w garbowanym półkożuszku. Dowcipkują, flirtują, zapomnieli o Bożym świecie. Na ziemi zaś leży kilkoro ludzi – w płóciennych szmatkach, w gałganach ziemistego koloru; powiedzieć, że te szmaty są zetłate – też byłoby dla nich komplementem. Sami młodzi chłopcy – wynędzniali, opuchnięci, ze spieczonymi wargami, całymi w bąblach. Jeden z nich, dręczony widać gorączką, gołą piersią padł na śnieg, jęczy. Moja korespondentka podeszła bliżej, spytała, kim są: jeden wypuszczony został z obozu po odsiedzeniu kary, drugi – spisany, jako niezdolny do pracy, ale przy zwolnieniu dano im do rąk niekompletne papiery – i teraz nie chcą im sprzedać biletów kolejowych. Nie mają zaś sił na powrót do obozu, wycieńczeni są biegunką. Kobieta zaczęła dzielić się z nimi okruciami swego chleba. Milicjant zaprzestał na chwilę gruchania i burknął groźnie: „Krewniaków znalazłaś, babo? Zabieraj się lepiej stąd, bez twojej pomocy też zdechną”. Pomyślała wtedy: a co, jak mnie też – ni z tego, ni z owego – przyskrzynią? (pewno, dlaczego nie?). I poszła sobie. Jakie to wszystko typowe dla naszego społeczeństwa – i to, co przyszło tej kobiecie na myśl, i to, że zaraz sobie poszła. I ten nieubłagany milicjant, i ta nielitościwa baba w waciaku, i ta kasjerka, co odmówiła sprzedaży biletów, i ta pielęgniarka, co nie przyjęła ich do szpitala miejskiego, i ten bałwan – wolniak, który nieprawidłowo wypisał im w obozie dokumenty.

Życie stało się bezlitosne i nikt już – jak za czasów Dostojewskiego nie użali się nad więźniem, nie powie mu – „biedaczyno”, najczęściej mówi się „ty ścierwo!”. W roku 1938 uczniowie ze szkół w Magadanie obrzucali kamieniami przechodzącą kolumnę uwięzionych kobiet (jak świadczy Surowcowa).

Czy znane były kiedykolwiek w naszym kraju – i czy dziś gdziekolwiek indziej zdarzyć się mogą te niezliczone, ohydne i rozdzierające historie waśni rodzinnych i domowych? Każdy czytelnik zna ich aż nazbyt wiele, przytoczymy tu jedną albo dwie.

W Rostowie, w komunalnym, wspólnym mieszkaniu na Dołomanowskim prospekcie, mieszkała Wiera Krasucka. Jej męża aresztowano w 1938 roku, wkrótce zginął.

Sąsiadka jej, Anna Stolberg, wiedziała o tym – i przez 18 lat, od 1938 do 1956 upajała się władzą, możliwością bezkarnego dokuczania, dręczenia biednej kobiety groźbami: w kuchni albo w przejściu, w korytarzu syczała Krasuckiej do ucha: „Póki mam chęć – możesz sobie tu żyć, a jak zechcę – to zaraz cię stąd karetka zabierze!”. Dopiero w 1956 roku Krasucka ośmieliła się napisać skargę do prokuratora. Stolbergowa uciszyła się. Ale po dawnemu mieszkali pod jednym dachem.

565

Mikołaj Jakowlewicz Siemionow aresztowany został w 1950 roku, w mieście Lubim – po czym żona jego bez chwili zwłoki wygnała z domu teściową – Marię Iliniczną Siemionową: „Won, stara wiedźmo, twój syn jest wrogiem ludu!”. (Minie sześć lat, mąż wróci z obozu – i sam z kolei zostanie wyrzucony z domu – nocą, w samych gaciach, za sprawą żony i dorastającej córeczki, Nadi. Nadia sekundować będzie mamie, bo potrzebne jest jej miejsce dla własnego męża. Rzuci ojcu portki w gębę i wrzaśnie: „Won stąd, stary gadzie!”). Matka wyjechała więc do Jarosławia, gdzie miała córkę, Annę – zamężną, ale bezdzietną. Wkrótce córeczce i zięciowi uprzykrzyło się towarzystwo staruszki. Zięć, Wasilij Fiodorowicz Mietiołkin, strażak, przesiadywał w domu, gdy nie miał dyżuru. Zabawiał się wtedy w ten sposób, że ścisnął oburącz głowę teściowej tak mocno, by nie mogła jej odwrócić i ze smakiem pluł jej w twarz, jak długo mu śliny starczało, a celował w oczy i usta. Kiedy bywał w gorszym humorze, obnażał członek i pchał go staruszcze w gębę, przygadując: „Na, pociuśkaj se i zdechnij nareszcie!”. Gdy brat wrócił, Anna usiłowała mu rzecz wytłumaczyć: „Co chcesz, Wąska był czasem na gazie... Co można wymagać od pijanego?”. Ale oto małżonkowie postanowili zdobyć nowe mieszkanie („koniecznie z łazienką, bo mamusia jest w podeszłym wieku i nie ma gdzie się kąpać. Toż nie pozwolimy jej latać do łaźni!”), więc zaczęli odnosić się do staruchy nieco znośniej. Gdy mieszkanie już im przyznano, zapchali pokoje serwantkami i szyfonierkami, a matkę umieścili w szczelinie szerokości 35 cm między szafą a ścianą – żeby leżała tam bez ruchu i nie wysuwała nosa.

Mikołaj Siemionow, który tymczasem znalazł przytułek u swego syna, postanowił zaryzykować i ściągnąć tam również matkę, nie pytając uprzednio o pozwolenie. Powitał ją wnuk. Babka padła przed nim na kolana: „Włodeczku, nie wygonisz mnie stąd?”. Wnuk skrzywił się tylko: „Dobra, mieszkaj tu z nami, póki się nie ożenisz”. Warto dodać parę słów o wnuczce: Nadia (Nadieżda Nikołajewna Topnikowa) zdążyła w tym czasie skończyć wydział historii Jarosławskiego Instytutu Pedagogicznego i została redaktorką gazety rejonowej w miasteczku Nieja, opodal Kostromy. Para się również poezją – i już w 1961 roku, jeszcze w Lubimie takie sobie ułożyła wierszowane usprawiedliwienie:

W tej walce nie będę pobita! Ojciec?!... – z drogi i kwita!

7 Identyczną historię opowiedział mi W. I. Żuków z Kowrowa: wyrzuciła go za drzwi żona („precz stąd, bo znów cię do więzienia pośle!”) z pomocą pasierbicy („bierz nogi za pas, kryminalisto!”).

566

Moralność?!... To niepoważne! To przesąd, rupiecie tanie! Przejdę przez życie odważnie i z zimnym wyrachowaniem!

Ale organizacja partyjna zaczęła domagać się od niej „normalizacji” stosunków z ojcem, zaczęła więc nagle zasypywać go listami. Rozczulony tata wybaczył jej – pisząc, że puszcza wszystko w niepamięć, a Nadia z punktu zaniósła list do partii.

Egzekutywa odfajkowała sprawę. Od tej chwili dziewczucha posyła ojcu tylko wido-
kówki na 1 maja i 7 listopada.

W tragedii tej uczestnicy 7 postaci. Oto jedna tylko kropla naszego WOLNEGO ży-
cia.

W rodzinach bardziej kulturalnych, nie wypędza się represjonowanego krewnego
w samych gaciach na ulicę; ukrywa się go tylko wstydliwie przed gośćmi, bo też
jego żółciowe, „spaczone” poglądy niejednego mogą zirytować.

Możemy tak ciągnąć dalej. Warto by jeszcze wymienić:

10) RABSKĄ PSYCHOLOGIĘ. Nieszczęsny Babicz tak pisze w podaniu do prokurato-
ra: „Zdaję sobie sprawę, że w okresie wojennym władze nasze musiały borykać się
przede wszystkim z obowiązkami o wiele poważniejszymi, niż rozpatrywanie oskar-
żeń, wytaczanych przeciw poszczególnym obywatelom...”.

I tak dalej.

Ale przyznajmy teraz: jeśli to wszystko nie złożyło się żywiołowo, jeśli Stalin te cechy
w nas wpajał świadomie, punkt po punkcie – to jednak był geniuszem!

W tym cuchnącym, piwnicznym świecie, gdzie prosperowali tylko oprawcy
i najbardziej zdeklarowani zdrajcy; gdzie porządni ludzie, którzy ostali się na po-
wierzchni – wpadali w pijaństwo, nie mając siły i chęci na nic innego; gdzie ciała
młodych ludzi pokrywały się zdrową opalenizną, dusze zaś – śniedziały i gnity;
gdzie co noc szarozielona łapa penetrowała domy i coraz to kogoś brała za kark,
aby wrzucić do mamra – otóż w tym świecie snuły się i krążyły na oślep miliony
zagubionych, zdezorientowanych kobiet, którym porwano na Archipelag męża,
syna czy ojca. Nikt nie był od nich bardziej ogarnięty strachem: bały się lustrzanych
szyldzików, drzwi dyrektorskich gabinetów, telefonicznych dzwoneczków, trzaskania
drzwiami, lękały się listonosza, mleczarki i hydraulika. I każdy, komu stały na dro-
dze, mógł je wyrzucić z mieszkania, z pracy, z rodzinnego miasta.

567

Niektóre z nich naiwnie wierzyły, że formułkę „bez prawa do korespondencji” – na-
leży brać dosłownie i że ON da znać o sobie, gdy minie dziesięć lat⁸. Stały całymi
dniami w kolejkach pod bramami więzień. Odbýwały stukilometrowe podróże, bo
ktoś powiedział, że gdzieś tam przyjmują paczki żywnościowe. Czasem umierały
wcześniej niż ci, których im zabrano. Czasami – dzięki napisowi na zwróconej przez
pocztę paczce – „adresat zmarł w lazarecie” – mogły dowiedzieć się, kiedy wła-
ściwie ich bliski zginął. Czasami – jak Olga Czawczawadze – docierały w głąb Sy-
berii, chcąc złożyć na grobie męża szczyptę ziemi ojczystej – tylko że nikt im wskazać
nie potrafił, pod którym leży kurhankiem i w jakim towarzystwie, bo chowają ich
trójkami. Czasem – jak Zelma Żugur, pisały obelżywe listy do różnych Woroszyło-
wów, zapominając, że sumienie Woroszyłowa zgasta wiele lat przed jego wła-
snym zgonem⁹.

A te kobiety miały jeszcze dzieci, dzieci dorastały i dla każdego z nich przychodzi-
ła chwila, kiedy ojciec koniecznie powinien był już wrócić. Tymczasem – nie wra-
cał.

Trójkącik z ukośnie kartkowanego, szkolnego papieru. Widać, że ktoś używał kolej-
no czerwonego i niebieskiego grafitu – zapewne dziecięca rączka odkładała
dwukolorowy ołówek, pozwalając sobie na chwilę odpoczynku i znów go brała,
ale odwrotnym końcem. Kanciaste, nieporadne literki, spore spacje, czasem po-
środku poszczególnych słów:

Dzieńdobry Papciu zapomniałem jak trzeba pisać do Szkoły pójdę niedługo jak się zima skończy wracaj prędko bo nam bez ciebie źle nie mamy taty w domu mama raz mówi że jesteś na delegacji drugi raz że chory na co czekasz uciekaj ze szpitala Oleś to przyleciał ze szpitala w samej koszuli mama uszyje ci nowe spodenki a ja ci dam mój nowy pasek chłopcy i tak mnie się boją ja tylko Olesia nigdy nie biję on też mówi prawdę i też jest biedny a ja raz byłem chory leżałem w takiej gorączce chciałem już umrzeć razem z mamą ale ona nie chciała no to mnie też się odechciało oj ręka już boli dosyć pisania całuję cię furę razy.

Igorek 6 i pół roczku

Ja już umiem pisać na kopertach zanim mama wróci z roboty to już mój list w skrzynce.

8 Obozy pozbawione prawa do korespondencji czasami istniały naprawdę: nie tylko zakłady przemysłu nuklearnego w latach 1945–49, ale na przykład 29 podobóz Karlagu w 1938 roku przez 18 miesięcy pozbawiony był poczty. Tak samo Nowa Ziemia.

9 Nie miał tyle nawet odwagi, aby własnego adiutanta Langowoja uchronić przed aresztowaniem i torturami.

568

Manolis Glezos „w pełnym wyrazu i pasji przemówieniu opowiedział literatom moskiewskim o towarzyszach, cierpiących katusze w greckich więzieniach.

– Zdaję sobie sprawę – rzekł – że moja relacja sprawiła wam ból, że serca wam się ścisnęły, gdyście jej wysłuchali. Ale uczyniłem to umyślnie. Tego właśnie pragnę, aby ścisnęły wam się serca na myśl o tych, którzy znoszą męczarnie, wtrąceni do lochów i więzień... Niech cały świat usłyszy, jak wielkim głosem wołacie o wolność dla greckich patriotów!10”.

I te lisy, kute na wszystkie cztery łapy – zawołały, rzecz jasna, wielkim głosem! Toć w Grecji cierpiało katusze parudziesięciu więźniów politycznych! Być może sam Glezos nie zdawał sobie sprawy z całej nieprzyzwoitości tego apelu, a może – po prostu – Grecy nie znają przysłowia:

Po co u obcych prosić łez, skoro w domu pełno płaczu?

Ten pomniczek widzimy często w rozmaitych miejscowościach: gipsowy strażnik z psem na smyczy, rwącym się, by kogoś capnąć. W Taszkien – cie ta statua stoi przynajmniej przed szkołą NKWD, w Riazaniu natomiast – jest nieomal emblematem miasta: jedyny to monument w polu widzenia, jeśli wjeżdża się od strony Michajłowa.

I jakoś nie wzdrygamy się na ten widok z obrzydzenia, przyzwyczailiśmy się już, uznaliśmy za naturalną część krajobrazu te figury, podszczuwające psy gończe na ludzi.

Na nas.

„Literaturnaja Gazeta” 27.VIH.1963.

IV

LUDZKIE DOLE

Koleje życia wszystkich więźniów wymienionych w tej książce opowiedziałem fragmentarycznie, nie przestrzegając porządku chronologicznego, podporządkowując narrację układowi tego utworu i konturom Archipelagu. Pokawałkowałem i porozsiewałem, unikając manieri biograficznej; wydawała mi się zbyt monotonna: pozwala pisać bez ram konstrukcyjnych, przerzucając trud analizy z autora na czytelnika.

Ale właśnie dlatego sędzę, że wolno mi teraz przytoczyć w całości kilka życiorysów więźniarskich.

1. ANNA PIĘTROWNA SKRYPNIKOWA

Urodziła się w 1896 roku, jako jedyna córka prostego robociarza z Maj-kopu. Jak to już wiemy z historii partii, w przeklętej epoce caratu zamknięte były przed nią wszystkie drogi, nie mogła zdobyć wykształcenia i skazana była na wieczne niedojadanie, na niewolniczą egzystencję. I rzeczywiście, taki los ją spotkał, ale dopiero po rewolucji. Chwilowo zaś została przyjęta do majkopskiego gimnazjum. Ania wyrosła na dziewczynę dorodną, o dużej głowie. Koleżanka szkolna narysowała jej podobiznę, używając tylko cyrkla: kulista głowa, wypukłe czoło, okrągłe, zawsze jakby zdziwione oczy. Płatki uszu – zaokrągliły się i wrosły w policzki. Ramiona też zaokrąglone. I figurka pełna krągłości.

Ania zbyt wcześnie zaczęła oddawać się rozmyślaniom. Już w trzeciej klasie prosiła nauczycielkę o pozwolenie na wzięcie z biblioteki szkolnej Dobrolubowa i Dostojewskiego. Nauczycielka wpadła w gniew: „Za mała jesteś na to!”. – „Jeśli pani nie pozwala – to wypożyczę w miejskiej”. Mając lat 13 „uniezależniła się od Boga”, straciła wiarę. W wieku 15 lat –

570

gorliwie studiowała ojców cerkwi, wyłącznie po to, by zbijać z ferworem argumenty katechety – ku uciechu całej klasy. Ale nieugiętą stałość staro-wierców* postanowiła wziąć sobie za wzór. Raz na zawsze zdecydowała: lepiej umrzeć, niż dać się złamać duchowo.

Nikt nie przeszkadzał jej w odebraniu zasłużonego złotego medalu'. W 1917 roku (najlepsza chwila dla rozpoczęcia studiów) pojechała do Moskwy i wstąpiła na wyższe kursy żeńskie Czapygina, wybierając wydział filozofii i psychologii. Jako posiadaczka świadectwa dojrzałości ze złotym medalem – otrzymywała aż do rewolucji Październikowej stypendium Dumy Państwowej. Wydział jej kształcił nauczycieli logiki i psychologii, którzy wykladać mieli później w gimnazjach. Przez cały rok 1918, dorabiając korepetycjami, Ania studiowała psychoanalizę. Dalej uważała się za ateistkę, ale całą duszą czuła, że:

...nieruchomy, na ognistych różach wsparty Żywy ołtarz wszechświata się dymi. Zdążyła przejąć się poetycką filozofią Giordano Bruno i Tiutczewa, a nawet przez jakiś czas uważała się za zwolenniczkę wschodniego katolicyzmu. Przerzuciła się z całą żarliwością od jednej wiary do drugiej, częściej zmieniając swoje inklinacje niż stroje (strojów nie było w sprzedaży, zresztą – nie zważała na modę). Uważała się także za socjalistkę i sądziła, że przelew krwi w trakcie powstań i wojny domowej jest nieunikniony. Nie mogła jednak pogodzić się z terrorem. Demokracja – ależ tak, oczywiście, ale na przemoc i bestialstwo nie ma zgody! „Krew na rękach? Zgoda. Byle nie brud!”.

W końcu 1918 roku musiała porzucić swoją uczelnię (ale czy sama uczelnia się uchowała?), aby z niemałym trudem przedrzeć się do rodziców, na Kubań, gdzie jeszcze było co jeść. Przybyła w końcu do Majkopu. Utworzono tu właśnie Instytut Oświecenia Publicznego dla dorosłych i dla młodzieży. Anna została ni mniej, ni więcej – tylko p.o. profesora logiki, filozofii i psychologii. Jej wykłady cieszyły się powodzeniem wśród studentów.

Nadchodzący ostatnie dni panowania białych w Majkopie. 45-letni generał namawiał Annę, aby z nim uciekła. Odparła: „Dość tych popisów,

Odłam cerkwi rosyjskiej, zwany tak przez przeciwników, zwolenników patriarchy Nikona, który w połowie XVII wieku przeprowadził unifikację liturgii rosyjskiej z nowogrecką, wywołując gwałtowny sprzeciw zwolenników tradycji. Najstynniejszym z nich był protopop Awwakum.

1 A gdyby za naszych czasów jakaś uczennica tak stawiała okoniem na lekcjach zasad marksizmu? Czy też doszłaby do matury?

571

generale! Niech pan ucieka sam, zanim pana złapią!". W tym samym czasie, na koleżeńskim wieczorku, gimnazjalny wykładowca historii wzniósł toast: „Za wielką Armię Czerwoną!". Anna odsunęła kieliszek: „Za nic!". Znając jej lewicowe przekonania, przyjaciele wytrzeszczyli oczy. „A dlatego, że – bez względu na gwiazdy i szczytne cele – będą rozstrzeliwać coraz więcej i więcej ludzi" – powiedziała Skrypnikowa.

Była przeświadczona, że w tej wojnie domowej giną najlepsi, zostają przy życiu dwulicowi oportuniści. Przeczuta już, że czeka ją wielka próba – nie wiedziała tylko – jaka.

Minęło kilka dni – i czerwoni wkroczyli do Majkopu. A jeszcze po paru dniach – zwołano w mieście zebranie inteligencji. Na estradę wyszedł naczelnik Oddziału Specjalnego Sztabu 5 Armii, Łosiew i jął besztąć (był o krok od karczemnych wyzwisk) „zgniłą inteligencję": „Co?! Chcecie siedzieć między dwoma stołkami? Czekaliście na zaproszenie? A dlaczego samiście nie przyszli?". Coraz bardziej się piekąc, wyrwał wreszcie z pochwy rewolwer i krzyczał, wymachując nim: „Cała wasza kultura jest zgniła! Rozpieprzymy ją w drobny mak i stworzymy inną, nową! A jak będziecie nam przeszkadzać – to zmieciemy was z drogi2!". Na tym skończył i spytał: „Czy ktoś chce zabrać głos?".

W sali panowało grobowe milczenie. Nikt nie klaskał, ale też nie podniosła się ani jedna ręka. (Zebrani milczeli, bo strach ich ogarnął, ale nie przeszli jeszcze należytego treningu, nie orientowali się, nie wiedzieli, że klaskanie należy do ich obowiązków).

Łosiew nie spodziewał się chyba dyskusji, ale Anna już podniosła się z miejsca: „Ja!". – „Ty? No właż tu, właż!". Skrypnikowa ruszyła ku estradzie i weszła na mównicę. Była rosnącą 25-letnią kobietą, szczodrej, rosyjskiej urody, o krągłej, rumianej nawet twarzy (dostawała pół ćwierci funta chleba dziennie, ale ojciec miał sporo warzyw na grządkach). Jasne, długie warkocze sięgały jej do kolan, ale p.o. profesora nie mogła przecież ich rozpuszczać, więc okręcała nimi głowę, co czyniło ją jeszcze większą. Swoim dźwięcznym głosem powiedziała dobitnie:

– Wystuchaliśmy tu waszego przemówienia, pełnego nieuctwa i tupetu. Zostaliśmy przez was zaproszeni, owszem, ale nikt nas nie uprzedził, że ma to być pogrzeb wielkiej rosyjskiej kultury! Sądziliśmy, że spotkamy tu krzewiciela oświaty, widzimy zaś przed sobą jej grabarza. Zamiast szermować tymi hasłami, już lepiej było ograniczyć się do wyzwisk! Czy mamy uważać, że przemawialiście w imieniu władzy sowieckiej?

– Tak jest! – dumnie oznajmił zaskoczony Łosiew.

2 Kto czytał w części I (rozdział 8) przemówienia Krylenki – ten już to zna.

572

– Jeśli zatem władza sowiecka reprezentowana będzie przez takich bandytów jak wy, to rychło się rozpadnie!

Anna zeszła z mównicy, w sali zagrzmiały oklaski (kiedy kupą – to jeszcze się wtedy nie bano). Tym akcentem wieczór się zakończył. Łosiew zapomniał języka w gębie. Ludzie skupili się wokół Anny, w tłoku ściskali jej ręce i szeptali: „Jest pani zgubiona, zaraz panią zaaresztują! Ale dzięki, dzięki! Jesteśmy z pani dumni, ale pani jest zgubiona! Co pani narobiła?!”.
W domu czekali już na nią czekał. „Towarzyszko nauczycielko! Pat-rzaj, w jakiej biedzie żyjesz – stół, dwa krzesła i łóżko, co tu rewidować? Jeszcześmy po takich jak ty, nie przychodzili! I ojca masz robotnika. I jak mogłaś przy takiej biedzie przejść na stronę burżuazji?” Czekając jeszcze nie miała własnego gmachu, więc przywieziono Annę do izby zatrzymań przy kancelarii wojskowego Oddziału Specjalnego. Siedział już tam pułkownik białogwardyjski Binderling (Anna była świadkiem jego przesłuchań i smutnego końca; oświadczyła później żonie: „Umarł, jak człowiek uczciwy, może pani być dumna!”).

Zaprowadzili ją na przesłuchanie do gabinetu, w którym Łosiew pracował i mieszkał. Gdy weszła, siedział na nie zastrzyżonym łóżku w bryczesach i rozchełstanej koszuli, skrobiąc się w pierś. Anna zażądała natychmiast, by konwojent odprowadził ją do celi. Łosiew warknął: „Dobra, zaraz się wykąpię i włożę gienzowe rękawiczki, te, co to w nich rewolucję się robi!” Tydzień czekała na wyrok śmierci – jak w ekstazie. Skrypnikowa twierdzi nawet dzisiaj, że był to najpełniejszy światła tydzień w jej życiu. Słowa te zasługują na wiarę, jeśli zrozumieć je we właściwym sensie. To ten rodzaj ekstazy, który jest nagrodą dla duszy wolnej już od złudnych nadziei na ratunek, pragnącej już tylko godnego uwieńczenia dzieła życia. (Przywiązanie do życia tę ekstazę niweczy).

Anna nie wiedziała, że inteligencja Majkopu złożyła tymczasem petycję w sprawie jej ułaskawienia. (W końcu lat 20. już by to nie pomogło, a na początku 30. – nikt by się już nie odważył). Łosiew zaczął w trakcie przesłuchań dawać do zrozumienia, że zgodziłby się na kompromis.

– Jeszczem takiej wariatki nie spotkał w żadnym zdobytym mieście, a nie tak mało ich było! Stan oblężenia, cała władza w moim ręku, a ta mnie wyzywa od grabarzy rosyjskiej kultury! – No, już dobra, przesadziliśmy trochę oboje... Odwołaj tylko tego „bandytę” i „chuligana”.

– Nie chcę. Teraz też tak o was myślę.

– Od rana do nocy mnie nachodzą, co który wejdzie – to za tobą się wstawia. Trzeba cię będzie puścić w ramach miodowego miesiąca władzy sowieckiej...

573

Wypuszczono ją. Nie dlatego, że jej wypowiedzi uznano za nieszkodliwe, tylko dlatego – że była córką robotnika. Córcie lekarza by nie wybaczone³.

Tak zaczął się szlak więzienny Anny Skrypnikowej.

W 1922 roku została osadzona w areszcie krasnodarskiej Czeki i przesiedziała 8 miesięcy – „za znajomość z podejrzanym osobnikiem”. W więzieniu był tłok, szalał dur plamisty. Dzienna porcja chleba ważyła 50 gramów, mąkę mieszano z otrębami. W jej obecności umarło z głodu małe dziecko sąsiadki – i Anna poprzysięgła sobie nigdy nie mieć dzieci w tym pseudosocjalistycznym ustroju, nigdy nie ulec pokusie macierzyństwa.

Słowa dotrzymała. Nigdy nie założyła rodziny, a uparta nieustępliwość nieraz jeszcze miała zaprowadzić ją za kraty; było to jej fatum.

Tymczasem – wydawało się, że życie wraca do normy. W 1923 roku Skrypnikowa pojechała do Moskwy, aby wstąpić na wydział psychologii uniwersytetu. Wypeł-

niając ankietę personalną, napisała „niemarksistka”. Powiedziano jej z całą życzliwością: „Chyba zwariowaliście? Kto pisze takie rzeczy? Napiszcie, że jesteście marksistką, a kogo obchodzi, co naprawdę myślicie?” – „Kiedy ja nie chcę oszukiwać władzy sowieckiej. Po prostu – nie czytałam Marksa”... – „Więc tym bardziej!” – „Nie. Gdy poznani bliżej teorię i ewentualnie ją zaakceptuję, to co innego...”. Tymczasem zaś podjęła się pracy nauczycielskiej w szkole dla dzieci upośledzonych.

W 1925 roku mąż jej bliskiej przyjaciółki, eserowiec, musiał się ukrywać, bo groziło mu aresztowanie. Aby skłonić go do ujawnienia się, GPU wzięło w charakterze zakładników żonę i jej najlepszą koleżankę – to znaczy Annę (zakładnicy w szczytowym okresie NEP-u!). Wciąż tak samo pyzata, dorodna, z warkoczami do kolan – Anna przekroczyła więc progi Łubianki. (Wtedy właśnie miała ową rozmowę ze śledczym, który ją pouczał: „Dość tych inteligenckich fochów! Troszczcie się tylko o siebie samą!). Tym razem siedziała koło miesiąca.

W 1927 roku, za uczestnictwo w robotniczo-nauczycielskim kółku miłośników muzyki, skazanym na unicestwienie, jako możliwe ognisko wol-nomyślicielskiej zarazy, Anna została aresztowana już po raz czwarty! Dostała 5 lat i odsiedziała je na Sólówkach oraz przy budowie Kanału Biało-morskiego.

W roku 1932 wyszła i dano jej spokój na czas dłuższy, zresztą zachowywać się zaczęła trochę ostrożniej.

Jednakże w 1948 roku znów się zaczęło: zaczęto ją wyrzucać z pracy. W 1950 roku Instytut Psychologii zwrócił jej zaakceptowaną już rozprawę

3 Łosiew zaś został w 1920 roku rozstrzelany na Krymie za bandytyzm i gwałty.

574

(„Koncepcje psychologiczne Dobrolubowa”) pod tym pretekstem, że w 1927 roku skazana była z artykułu 58! W tym niełatwym dla niej okresie (cztery lata pod rząd nie mogła dostać pracy) pomocną dłoń podało jej... bezpieczeństwo! Do Władysławau przybył pełnomocnik centralnego urzędu MGB, Lisów (a co, jeżeli to ten sam Łosiew?! może żyje? nieduża zmiana w pisowni! tyle, że łeb wystawia na pokaz nie tak otwarcie jak Łoś: wynurza go tylko z gęstwiny na sposób lisi) i zaproponował jej współpracę, obiecując w zamian dobre stanowisko i poparcie, niezbędne dla akceptacji jej rozprawy naukowej. Anna kategorycznie odmówiła. Wówczas bardzo zręcznie upitraszono akt oskarżenia, zarzucając jej, iż 11 lat przed tą datą (!), tj. w roku 1941 miała gdzieś oświadczyć, że:

- nasze przygotowania do wojny są niewystarczające (a bo to było inaczej?);
- niemieckie wojska stoją nad naszą granicą, a my im tymczasem posyłamy transporty ziarna (a może nie?).

Tym razem dostała 10 lat (5 wyrok!) i wtrącono ją do Obozów Specjalnych – najprzód do Dubrowłagu w Autonomicznej Republice Mordwińskiej, następnie do Kamysztagu – przystanek Susłowo w okręgu Kieme-rowskim.

Czując, że stoi przed nieprzebitym murem, Anna wpadła na pomysł, aby skargi pisać nie byle gdzie, tylko na adres ONZ! Jeszcze za życia Stalina wysłała trzy takie zażalenia. Nie był to chwyt przypadkowy, bynajmniej! Annie rzeczywiście robiło się lżej na duszy, doznawała ulgi w swoich wiecznych niepokojach, mogąc toczyć te imaginacyjne rozmowy z Organizacją Narodów Zjednoczonych. Obserwując przez dziesięciolecia triumfy kanibalizmu, naprawdę uważała tę organizację za jedyny jasny punkt w świecie. W swoich zażaleniach biczowała rozpasaną samowolę władzy w ZSRR i prosiła ONZ o wstawiennictwo: domagała się albo ponownego

rozpatrzenia jej sprawy, albo rozstrzelania, ponieważ nie jest w stanie żyć dalej w warunkach podobnego terroru. Koperty adresowała „osobiście” na ręce któregoś z członków rządu, do środka zaś kładła prośbę o przestanie jej podania do ONZ.

Gdy była w Dubrowłagu, wezwano ją przed oblicze całej gromady rozwścieczonych kierowników obozu:

– Jak śmiecie pisać do ONZ?

Skrypnikowa – jak zawsze wyprostowana, rosta, pełna dostojęstwa – odparła:

– Ani kodeks karny, ani kodeks postępowania karnego, ani Konstytucja tego nie zabrania. A jakie wy właściwie macie prawo do otwierania listów, adresowanych na ręce członków rządu?

575

W roku 1956 przybyła do obozu komisja Rady Najwyższej ZSRR stworzona dla „rozładowania” zakładów karnych. Istotnie jedynym zadaniem tej komisji było wypuszczenie na wolność możliwie jak największej liczby zeków. Przewidziana była jakaś skromniutka procedura: zek powinien był bąknąć ze skrucą kilka słów i postać chwile z opuszczoną głową. Ale Anna Skrypnikowa była z innej gliny! Kwestia jej wolności osobistej była niczym w porównaniu z problemem sprawiedliwości ogólnej! Jak mogła zgodzić się na jakieś darowanie winy, skoro była niewinna? Oznajmiła więc komisji:

– Widzę, że jesteście bardzo zadowoleni z siebie? Nie macie powodu. Wszyscy dyrygenci stalinowskiego terroru odpowiadać będą przed ludem wcześniej, czy później; to nieuniknione. Nie wiem, kim byliście za czasów Stalina wy na przykład, obywatelu pułkownika, ale jeżeli należeliście do dyrygentów terroru, to też znajdziecie się na ławie oskarżonych.

Członkowie komisji spłoszowieli z wściekłości, zakrzyknęli społem, że w ich osobach Skrypnikowa dopuściła się obrazy Rady Najwyższej, że nie ujdzie jej to płazem, że będzie musiała odsiedzieć karę od A do Z.

I rzeczywiście – wiara w idealną sprawiedliwość kosztowała Annę sporo: musiała odsiedzieć jeszcze trzy lata.

W Kamyszłagu kontynuowała swoją jednostronną korespondencję z ONZ (w ciągu 7 lat – to znaczy do roku 1959 – napisała 80 podań do różnych instytucji). W 1958 roku przeniesiono ją karnie za tę pisaninę do wladimirskiego izolatora politycznego na cały rok. Ale regulamin tamtejszy przewidywał, że co 10 dni wolno było składać więźniowi podanie na adres dowolnie wybranej instancji. W ciągu jednego półroczka Anna wysłała stamtąd 18 podań na różne adresy, w tym – 12 do ONZ.

I doczekała się w końcu! – nie rozstrzelania, tylko ponownego rozpatrzenia spraw z 1927 i 1952 roku. Oznajmiła funkcjonariuszowi śledczemu: „A widzicie? Podanie do ONZ – to jedyny sposób, aby przebić się przez mur sowieckiej biurokracji i zmusić kogoś z was do wysłuchania głosu Temidy”.

Śledczy zrywał się z krzesła, bił się w piersi:

– Więc wszyscy, którzy wprowadzali w życie „stalinowski terror” – jak nie wiedzieć czemu (!) raczycie nazywać kult jednostki, mają odpowiadać przed narodem?

A za co ja na ten przykład mam odpowiadać? Jaką to inną polityką miałem się kierować w tamtym okresie? Przecież miałem absolutne zaufanie do Stalina i nie wiedziałem o niczym!

Ale Skrypnikowa była nieubłagana:

– O nie, nic z tego! Każde przestępstwo musi być ukarane, prawda? Kto więc jest odpowiedzialny za te miliony niewinnych ofiar? Toć zginął

576

kwiat narodu i kwiat partii! Za wszystko ma odpowiadać nieboszczyk Stalin? Rozstrzelany Beria? A wy dalej będziecie robić polityczną karierę?

(Ciśnienie krwi miała w tym czasie tak wysokie, że śmierć groziła jej w każdej chwili. Gdy zamykała oczy, widziała ogniste kręgi).

Chętnie by ją jeszcze zatrzymali za kratą, ale w 1959 roku byłoby to już dziwowskim!

Wszystkie lata następne (Skrypnikowa żyje po dziś dzień) wypełniły jej starania i zabiegi o zwolnienie tych, którzy siedzieli jeszcze w więzieniach i na zesłaniu albo dostali się ostatnio do obozu. Niektórzy wyszli dzięki niej na wolność, inni doczekali się rehabilitacji. Występuje również w obronie bliższych i dalszych sąsiadów. Władze miejskie czują lęk przed jej piórem, boją się listów, które wysyła do Moskwy i idą na ustępstwa w tej czy owej sprawie.

Gdybyśmy wszyscy mieli choćby ćwierć tej nieustępliwości, jaką odznacza się Anna Skrypnikowa – historia Rosji wyglądałaby inaczej.

2. STIEPAN WASILIEWICZ ŁOSZCZYLIN

Urodził się w 1908 roku, na Powołżu, ojciec jego był robotnikiem w fabryce celulozy. Został sierotą w 1921 roku, w czasie wielkiego głodu. Chłopak był z niego cichy, mimo to – jako siedemnastolatek należał już do komsomołu, a w wieku lat 18 wstąpił do szkoły dla młodzieży chłopskiej i skończył ją mając lat 21. Posyłano ich w tym czasie na akcje zbioru zboża, a w roku 1930 w swojej rodzinnej wsi Łoszczylin brał udział w akcji rozkuiaczania. Nie został jednak we wsi, gdy zakładano tam kotłoz, tylko pobrał w radzie gromadzkiej zaświadczenie i pojechał do Moskwy. Z trudem udało mu się dostać na budowę w charakterze... niewykwalifikowanego robotnika (było jeszcze bezrobocie, a do Moskwy pchało się wtedy mnóstwo ludu). Nim rok minął wzięto go do wojska, gdzie został najprzód kandydatem, a później członkiem partii. Pod koniec 1932 roku był już znowu w cywilu i wrócił do Moskwy. Nie chciał jednak iść do czarnej roboty, pragnął zdobyć fach, więc poprosił w rejkomie partii, żeby skierowano go do jakiejś fabryki, do terminu. Nie należał widać do obrotnych towarzyszy, bo nawet tego mu odmówiono, proponując za to skierowanie do pracy w milicji.

Ale odmówił. Gdyby postąpił wtedy inaczej – nie pisalibyśmy dziś tego życiorysu.

Ale Stiepan właśnie odmówił.

Był młody, był kawalerem i wstyd mu było przed dziewczynami, że nie ma żadnego fachu. Ale gdzie miał go zdobyć? Więc najął się do fabryki „Kalibr” znów jako robotnik niewykwalifikowany. I tu, na zebraniu partyjnym z całą prostotą zabrał głos w obronie pewnego robotnika, którego

577

egzekutywa zapewne upatrzyła już sobie zawczasu, chcąc go skreślić z szeregów. Faceta wyrzucono z partii, jak to z góry było postanowione, a Łoszczylin zaczął szykanować. W hotelu robotniczym skradziono mu składki partyjne, które zbierał, a nie mógł ze swojej pensji wyłożyć brakujących 93 rubli. Został więc wyrzucony z partii i zagrożono mu, że pójdzie pod sąd (czy kodeks przewiduje jakąś karę za zgubienie składek partyjnych?). Podkopany już wewnętrznie Łoszczylin pewnego dnia nie poszedł do pracy. Wyrzucono go z fabryki za bumelantwo. Z taką adnotacją w książeczce pracy – długo nie mógł znaleźć innej roboty. Śledczy też

go wzywał parę razy, ale dał spokój. Myślał, że zostanie wezwany do sądu, ale jakoś nie przyszło. Nadszedł za to wyrok zaoczny: sześć miesięcy robót przymusowych z potrąceniem 25%. Do pracy miał być skierowany przez miejskie Biuro Robót Poprawczych.

We wrześniu 1937 roku Łoszczylin poszedł sobie któregoś ranka na dworzec Kijowski, do bufetu. (Czy człowiek wie, co mu jest pisane? Gdyby odczekał jeszcze kwadransik, gdyby zjadł swoją kanapkę w jakimś innym bufecie?). Miał może wygląd zabiedzony i sprawiał wrażenie błąkającego się bez celu? Sam dziś nie potrafi powiedzieć. Natknął się na młodą kobietę w mundurze NKWD (kobietę, to już nie miałaś nic lepszego do roboty?). Zapytała go: „Czego tu szukacie? Dokąd idziecie?” – „Do bufetu”. Wskazała mu jakieś drzwi: „Wejdźcie no tam!”. Łoszczylin, rzecz jasna, posłuchał rozkazu. (Niechby ktoś spróbował zaproponować coś takiego Anglikowi!). Był to lokal Oddziału Specjalnego. Przy biurku siedział funkcjonariusz. Kobieta rzuciła krótko: „Zatrzymany podczas obchodu dworca”. I wyszła; Łoszczylin nie widział jej nigdy więcej w życiu. (My również nigdy niczego więcej nie dowiemy się o niej!...). Funkcjonariusz nie poprosił go o zajęcie miejsca, lecz od razu przeszedł do indagacji. Odebrał mu wszystkie dokumenty i odesłał do izby zatrzymań. Było tam już dwóch innych mężczyzn, więc – powiada Łoszczylin – „już bez pozwolenia (!) siadłem sobie obok nich na wolnym krześle”. Wszyscy trzej milczeli długo. Zjawili się milicjanci i zawieźli ich do aresztu. Milicjant kazał oddać mu pieniądze, bo – jak twierdził – „tak czy owak w celi ci odbiorą”. (Podziwu godna jest współbieżność działań milicji i knajaków). Łoszczylin skłamał: oświadczył, że nie ma pieniędzy. Przeszukali go więc i pieniądze znikły już na zawsze. Ale machorkę mu oddali. Z dwiema paczkami machorki wszedł więc do pierwszej swojej celi i od razu położył je na stole. Rozumie się, że nikt nie miał nic do palenia. Do śledczego na przesłuchanie zaprowadzono go z aresztu tylko raz. Śledczy zapytał, czy Łoszczylin nie jest przypadkiem złodziejem. (I to by go uratowało! Trzeba było powiedzieć – owszem, zgadza się, tylko jeszcze

578

nie miałem zatrzymań. I wykpiłby się wtedy co najwyżej wysiedleniem z Moskwy). Ale Łoszczylin odpowiedział dumnie: „Utrzymuje się z pracy rąk”. O nic więcej śledczy już go nie pytał, żadnych innych przesłuchań nie było i nie doszło też do żadnej rozprawy!

Dziesięć dni przesiedział w tym areszcie, któregoś nocy odwieziono ich na Piętrowkę do więzienia Wydziału Kryminalnego. Tu już było ciasno i duszno, tłok straszny. Panovali tu niepodzielnie knajacy, odbierali ludziom rzeczy, grali o nie w karty. Tu po raz pierwszy uderzyła Łoszczylina „ich zadziwiająca czelność i to, że wciąż podkreślali swoją wyższość, nie wiadomo dlaczego”. Pewnej nocy zaczęto ich wywozić do więzienia etapowego na Sretienkę (oto gdzie mieściło się ono przed przeniesieniem na Krasną Presnię!). Było tu jeszcze ciaśniej – trzeba było na zmianę siedzieć na podłodze i na narach. Tych którzy byli rozebrani (przez knajaków) do półnaga – milicja wyposażała w łapcie i w stare milicyjne sorty.

Wśród tych, co przybyli tu z Łoszczylinem i jakich tu już zastał – wielu było takich, których o nieformalnie nie oskarżano ani nie postawiono przed sądem – niemniej wszyscy pojechali razem ze skazanymi. Przywieziono ich do Piereborów; tam dopiero przy wypełnianiu arkuszy ewidencyjnych Łoszczylin dowiedział się z jakiego artykułu siedzi: jako Socjalnie Szkodliwy Element, wyrok – 4 lata. (Dziwi się po dziś dzień:

ojciec mój był robotnikiem, sam też nim jestem – więc skąd ten element? Gdyby chociaż inny artykuł! – tak się nawet targował).

Wołgołag. Wyrąb lasu – dziesięciogodzinny dzień roboczy, żadnych dni świątecznych, prócz Listopada i Maja (a działo się to trzy lata przed ostatnią wojną!). Pień przetrzącił któregoś dnia nogę Łoszczylinowi, operacja, cztery miesiące w szpitalu, trzy – o szcudłach – a potem znów do lasu. Zaczęła się wojna – ale że nie dano mu jednak artykułu 58, więc jesienią 1941 roku wyszedł na wolność. Przed samym zwolnieniem Łoszczylinowi ukradziono kurtkę, wpisaną do jego karty inwentarzowej. Błagał pry–durków, żeby mu tę przekłętą kurtkę spisali na straty. Nie! Nie ulitowali się! Z pieniędzy, wydawanych przy odprawie, odliczono mu za tę kurtkę, i to podwójnie – a taki porwany waciak według urzędowego cennika – to na wagę złota! – i choć jesień była już chłodna – puścili go za wrota w samej koszuli bawelnianej i prawie bez pieniędzy. Tylko chleba ze śledziem dali mu na drogę. Wartownicy zrewidowali go jeszcze przy wyjściu i życzyli szczęśliwej podróży. I oto obrabowany został w dniu wyjścia na wolność, tak samo, jak w dniu aresztowania... Przy odbiorze zaświadczenia w dziale ewidencji Łoszczylin przeczytał do góry nogami to, co napisane było w jego aktach. Stało tam tylko tyle: „zatrzymany podczas obchodu dworca...”.

579

Przyjechał do miasta Sursk, do swoich rodzinnych okolic. Stracił zdrowie, więc komenda uzupełnień zwolniła go od służby wojskowej. I wyszło mu to bokiem. Jesienią 1942 roku zgodnie z rozkazem Komisarjatu Obrony – nr 336, ta sama komenda uzupełnień powołała wszystkich mężczyzn w wieku poborowym, a zdolnych do pracy fizycznej do batalionów pracy. Łoszczylin znalazł się w szeregach oddziału robotniczego przy intendencji garnizonowej w Ulianowsku. Co to był za batalion i jaki był stosunek do niego – można sobie wyobrazić, jeśli wziąć pod uwagę, że było w nim mnóstwo młodzieży z dawnych kresów polskich. Zdążono ich przed wojną zmobilizować, ale nie posłano na front, nie mając do tych chłopców zaufania. W ten sposób Łoszczylin znalazł się na terenie przypominającym jedną z wysp Archipelagu, w zmilitaryzowanym obozie. Nie był on wprawdzie otoczony kordonem konwojentów, ale chodziło tu o taką samą eksploatację siły roboczej – aż do ostatniego tchu, aż do zagłady.

10-godzinny dzień roboczy. W koszarach – dwupiętrowe nary, ani śladu pościeli (gdy szli do pracy – wydawało się, że koszary nie są zamieszkane). Do pracy i po pracy chodzili we własnej odzieży, w tym, co wzięli z domu, nawet bielizny nie wydawano, nic nie mieli na zmianę, łóżni też nie było. Płacono im obniżoną stawkę, z której odliczono koszt chleba (600 gramów), wikt (bardzo marny, dwa razy dziennie po dwa talerze), a nawet – czuwaszskich łapci, w które ich wyposażono. Jednego z nich mianowano intendentem, drugiego – komendantem, nie przyznając jednak tym dowódcom żadnych praw. Cała władza była w rękach M. Żółtowa, naczelnika biura remontowo–budowlanego. Był to moż–nowładca nie kontrolowany przez nikogo. Na jego rozkaz niektórzy członkowie oddziału przez całą dobę, albo nawet dwie – nie dostawali chleba ani zupy. („Jakim prawem? – dziwił się nasz Łoszczylin. – Toć nawet w obozach do tego nie dochodziło”). A tymczasem do batalionu wcielono również żołnierzy z frontu, przysyłanych przez szpitale po zaleczeniu rany lub choroby. Oddział miał swoją lekarkę. Mogła zwalniać chorych z pracy, ale Żółtow zabronił jej tego. Bała się go i często płakała nie ukrywając

tez przed podkomendnymi. (Oto macie – WOLNY KRAJ! Oto nasza Wolność!). Wszy ich oblaży, nary roły się od pluskiew.

W końcu jednak – nie był to obóz! można było się poskarżyć! Więc skarżyli się. Pisali do gazety okręgowej, do komitetu partii. Nikt na listy nie odpowiadał. Odezwał się tylko miejski wydział zdrowia: doczekali się solidnej dezynfekcji, zaprowadzono ich do łożni, odliczając z żołdu kosztu tej operacji (!), wydano wszystkim jedną zmianę bielizny, prześcieradła i koce.

580

Zimą z 44. na 45., w trzecim roku tej służby, przyniesione z domu buty Łoszczylina zdarły się do szcztu tak, że któregoś dnia nie mógł już pójść do pracy. Na podstawie znanego Dekretu natychmiast poszedł pod sąd za bumelkę – trzy miesiące pracy karnej w tym samym batalionie, z potrąceniem 25%.

Gdy zaczęły się wiosenne roztopy, Łoszczylin nie mógł już pracować nawet w łapciach – i znów nie poszedł któregoś dnia do roboty. A zatem znowu stanął przed sądem (jeśli liczyć również rozprawy zaoczne – to po raz czwarty w życiu!). Sąd zasiadał w „czerwonym kąciku” koszar i zawyrokował: trzy miesiące pozbawienia wolności.

Ale... nie pozbawiono go wolności! Państwu nie opłacało się brać Łoszczylina na utrzymanie! Bo żadne pozbawienie wolności nie mogło być gorsze od tej służby w batalionie roboczym!

Był już marzec 1945 roku i wszystko jakoś by się rozeszło po kościach, gdyby Łoszczylin nie napisał trochę wcześniej skargi do intendentury garnizonu. Użał się, że dyrektor Żółtow obiecał wydać wszystkim buty robocze, ale jakoś tego nie robi. (A dlaczego tylko on napisał? A dlatego, że wszelkie protesty zbiorowe, czyli kolektywki były surowo wzbronione, za taką kolektywkę, jako niezgodną z duchem socjalizmu, można było śmiało dostać artykuł 58.).

Łoszczylin został wezwany do działu kadr: „Oddajcie robocze sorty!”. Jedną jedyną rzecz dostał w ciągu trzech lat ten cichy, strudzony człowiek – fartuch roboczy. Łoszczylin ściągnął go i w milczeniu położył na ziemi. Czekał już na niego dzielnicowy, wezwany przez intendenturę. Odprowadził Łoszczylina na posterunek milicji, a wieczorem – do więzienia. Ale dyżurny powiedział, że brak czegoś w papierach – i odmówił przyjęcia.

Milicjant odprowadził więc Łoszczylina z powrotem na posterunek. Mijali po drodze koszary ich oddziału. Milicjant powiedział zatem: „A idźże tam sobie i tak nigdzie nie uciekniesz. Wpadnę po ciebie za parę dni”.

Zbliżał się koniec kwietnia 1945 roku. Legendarne dywizje były już o krok od Łaby i szturmowały osaczony Berlin. Każdego wieczoru grzmiły zwycięskie salwy, niebo Moskwy mieniło się czerwienią, zielenią i złotem. 24 kwietnia Łoszczylina wpakowano do więzienia okręgowego w Ulianow-sku. Cela była tak samo zatłoczona jak w 37., 500 gramów chleba, bałanda z brukwi, a jeśli kartofle, to drobne, nie skrobane, ledwie opłukane. Dzień 9 maja Łoszczylin spędził w celi (przez kilka dni nikt im nie mówił, że wojna się skończyła). Koniec wojny, tak samo jak jej początek – zastał go za kratami.

Po Dniu Zwycięstwa wysłano dekretovców (to znaczy – siedzących za bumelkę, spóźnienie, czasem za drobną kradzież w miejscu pracy) do kolo-

581

nii karnej. Zajęci tam byli przy robotach ziemnych, na budowie, przy rozładunku rzecznych krypt. Wyżywienie było nędzne, obóz – nowy, nie było lekarza ani nawet

pielęgniarki. Łoszczylin przeziębził się, zapadł na rwę kulszową, ale nikogo to nie obchodziło, musiał iść do roboty. 7 lipca 1945 roku wybuchła sławetna amnestia stalinowska. Ale Łoszczylin z niej nie skorzystał: dopiero 24 lipca kończyła się jego trzymiesięczna kara – i wtedy też go wypuszczono.

„Wszystko jedno – powiada Łoszczylin – w głębi duszy jestem bolszewikiem. Jak umrę – to możecie mnie uważać za komunistę”.

Kpi, czy prawdę mówi – trudno zgadnąć.

Brak mi teraz materiałów, by tak zakończyć ten rozdział, jakbym tego pragnął – a chciałem pokazać, w jak zadziwiający sposób zbiegają się i przecinają linie losów rosyjskich i praw Archipelagu. I obawiam się, że nie znajdę już w przyszłości chwili sposobnej i bezpiecznej, w której bez pośpiechu zdołałbym się ponownie nad tą książką, by opisać ludzkie dzieje, jakich w niej jeszcze brak.

Sądzę na przykład, że godziłoby się zamieścić w niej opis życia, więzienno-obozowego męczeństwa i śmierci ojca Pawła A. Florenskiego – zapewne jednego z najwspanialszych ludzi, jakich Archipelag pochłonął. Znaczący przedmiot twierdzą, że zaliczał się on do uczonych, których trudno już spotkać w XX wieku: znał do głębi wiele dziedzin wiedzy i w każdej mógłby uchodzić za specjalistę.

Z wykształcenia był matematykiem; wcześniej przeżył głęboki przełom religijny i został kapłanem. Dzieło jego młodości – Ostoja i rękojmia prawdy – dopiero teraz doczekało się należytej oceny. Jest autorem wielu prac z dziedziny matematyki (jego teorematy topologiczne dopiero znacznie później powtórzone i rozwiązane zostały na Zachodzie), estetyki (o ikonach rosyjskich, o misteriach cerkiewnych), filo-zoficzno-religijnych. (Zasadniczy zbiór jego archiwum zachował się w całości, ale nie doczekał się jeszcze publikacji; nie miałem doń dostępu). Po rewolucji był profesorem instytutu energetyki. W 1927 roku sformułował poglądy antycypujące tezy Norberta Wienera. W 1932 roku w czasopiśmie „Socjalistическая Реконструкция i Nauka” opublikował artykuł o maszynach do rozwiązywania zadań matematycznych, który stanowił zapowiedź przyszłych odkryć cybernetyki. Wkrótce potem został aresztowany. Z całego jego więziennego szlaku znam tylko kilka fragmętów, stawiam te punkty bardzo niepewną ręką: zesłanie na Syberię (na zesłaniu pisał dalej prace naukowe i publikował je pod pseudonimem w wydawnictwach Sybe-

582

ryjskiej Ekspedycji Akademii Nauk), Solówki (powiadają, że sformował tam brygadę dla destylacji jodu z wodorostów) – po ich likwidacji – Daleka Północ, później znalazł się na Kołymie. Również tam zajmował się botaniką i mineralogią (po pracy z kilofem w ręku). Nikt nie wie gdzie i kiedy zginął w obozie. (Krąży wieść, że umarł w 1938 roku na Kołymie, w kopalni „Piatilietka”. Inni mówią, że nie doptłynął do Kołymy, że zginął, gdy więzienna krypta poszła na dno).

Chciałem koniecznie opisać tu kolejne życie Walentego I. Komowa z powiatu Jefremowskiego, z którym siedziałem w Ekibastuzie, ale za mało danych zostało mi w pamięci, a warto by napisać o nim ze szczegółami. W 1929 roku, gdy miał 17 lat, zabił przewodniczącego swojej rady gromadzkiej i uciekł. Życ i ukrywać się mógł potem tylko jako złodziej. Kilkakrotnie lądował w więzieniu – zawsze za kradzieże. W 1941 roku odzyskał wolność. Niemcy wywieźli go na roboty, ale sądzicie może, że był kolaborantem? Skąd, dwa razy uciekał i znalazł się za to w Buchenwaldzie. Doczekał się zajęcia obozu przez aliantów. Czy został może na Zachodzie? Gdzie tam – pod własnym nazwiskiem („Ojczyzna wam przebacza,

Ojczyzna was wzywa!") wrócił do rodzinnej wsi, ożenił się, pracował w kołchozie. W 1946 roku skazany został z artykułu 58 za przestępstwo popełnione w 1929 roku. Wyszedł na wolność w 1955. Życiorys ten, rozwinięty należycie, mógłby dać nam klucz do wielu tajemnic losu rosyjskiego, narosłych w ciągu tych dziesięcioleci. Dodajmy, że Kumów był typowym brygadzystą obozowym – „synem GUŁagu”. (Nawet na katordze, w karnym obozie nie bał się zapytać komendanta w czasie ogólnego apelu: „Dlaczego w naszym obozie panują faszystowskie porządki?”). I wreszcie – należałoby przytoczyć w tym rozdziale życiorys jakiegoś nietuzinkowego (pod względem przymiotów osobistych i stałości poglądów) socjalisty; dobrze byłoby opisać jego wieloletnią tułaczkę szlakami Wielkiego Pasjansu. Może powinien się tu znaleźć również opis przypadków jakiegoś zaprzysięgłego emwudzisty – Garanina albo Zawieniagina, albo któregoś z mniej znanych. Ale nie jest mi chyba sądzone, abym to wszystko mógł jeszcze opowiedzieć. Przerwijąc pracę nad tą książką w pierwszych dniach 1968 roku nie przypuszczam, aby dane mi było powrócić do tematyki Archipelagu. Zresztą, starczy już tego; toć nie rozstajemy się z nią od lat dwudziestu.

CZĘŚĆ PIĄTA KATORGA

„Z Syberii katorżniczej, zakutej w kajdany, uczynimy kraj sowiecki, socjalistyczny!”
Stalin

I

POTĘPIENCY

Rewolucja bywa niecierpliwa i wspaniałomyślna. Wiele jest spraw, od których pragnie odciąć się czym prędzej. Na przykład od pojęcia katorgi, czyli ciężkich robót. A jest to słowo dobrze wyważone, nie żaden tam niedopieczony DOPR, czy nieporęczny, śliski ITŁ. Wyraz „katorga” spada z podium sędziowskiego jak ostrze nie całkiem dotartej gilotyny i już na sali sądowej łamie grzbiety skazańcowi, zdolne jest przetrącić wszelką nadzieję. Słowo „katorżnik” takie jest straszne, że inni aresztanci, nie należący do tej kategorii, myślą sobie: no, to już na pewno jakiś łotr i oprawca! (Ludzie mają ten dar zbawienny i tchórzowski; zawsze potrafią wmówić sobie, że nie są jeszcze ostatnimi z ostatnich i że ich sytuacja nie jest jeszcze najgorszą z możliwych. Katorżnicy mają na odzieży numery rozpoznawcze! — no, no, to już widać najgorsi zbóje! Nas przecież nikt tak nie ponumeruje!... Poczekajcie, was też ostemplują!).

Stalin bardzo lubił stare terminy, nigdy nie zapominał, że mogą one przez całe stulecia być podporą organizmów państwowych. Nie szukając żadnych proletariackich uzasadnień, znów pozaszczepiał odrąbane kiedyś na łapu-capu słowa: „oficer”, „dyrektor”, „naczelný”. I 26 lat po zniesieniu katorgi przez Rewolucję Lutową — Stalin znów katorgę wprowadził. Stało się to w kwietniu 1943 roku, gdy Stalin poczuł, że jego wóz przestał się staczać i znowu jedzie pod górę. Pierwszymi cywilnymi efektami wik-torii stalingradzkiej były: — Dekret o militaryzacji kolejnictwa (babom i wyrostkom groziły odtąd sądy wojenne) i — po upływie dwóch dni zaledwie (17 kwietnia) — Dekret o wprowadzeniu katorgi i kary śmierci przez powieszenie. (Szubienica — to też bardzo zacny, stary wynalazek, to nie

jakieś tam kropnięcie z pistoletu; szubienica przedłuża umieranie i daje możliwość pokazania każdego jego szczegółu całym tłumom). Wszystkie następne wiktorie powodowały masowy dopływ nowych uzupełnień na katorgę i na szafoty — najprzód z Kubania i znad Donu, później z Ukrainy lewobrzeżnej — z Zadnieprza, spod Kurska, Orła, Smoleńska. Trop w trop za armią sunęły trybunały; jednych wieszano na miejscu publicznie, innych zaś — z miejsca wysyłano do świeżo pozakładanych katorżniczych pod-obozów.

Pierwszy z tych obozów, jak się zdaje, otwarto w Workucie, przy kopalni Nr 17 (zaraz potem zainaugurowano następne — w Norylsku i w Dżekaz-ganie). Celu nikt właściwie nie ukrywał: chodziło o jak najszybsze zgładzenie przystanych tu skazańców. Były to obozy zagłady bez żadnych osłonek, ale — zgodnie z tradycją GUłagu — zagłada miała być powolna tak, aby skazani pomęczyli się należycie i żeby przed śmiercią jeszcze godziwie się napracowali.

Wsadzono ich do namiotów, 7 metrów na 20, wedle wymiarów przyjętych na Północy. Oszalowane dranicami, pod które sypało się warstwę opilek, namioty te stawały się jakby lekkimi barakami. Na jeden taki namiot przypadało według normy 80 ludzi — jeśli spali na „wagonetkach”; 100 — jeśli na biegnących przez całą długość baraku narach. Katorżników zaś pakowano tu po 200.

Ale to nie było żadne zagęszczenie! — tylko racjonalne wykorzystanie przestrzeni mieszkalnej. Katorżnicy pracować mieli na 2 zmiany, po 12 godzin bez przerw i świąt — dlatego zawsze jedna setka ludzi pracowała, druga zaś — siedziała w baraku.

Przy robocie otaczał ich kordon konwojentów i psów policyjnych. Bił ich każdy, kto tylko mógł, automatami zachęcano ich do pracy. W drodze powrotnej do żony — kto tylko miał ochotę, mógł przejechać się wzdłuż ich szeregu serią z automatu — i nikt nie musiał się potem wyliczać, ilu zginęło. Kolumnę katorżników łatwo było już z daleka odróżnić od zwykłej, więziarskiej — bo z takim trudem, z taką rezygnacją ludzie ci się wlekli.

Dwanaście godzin roboczych wyliczano im pełną miarką. (Przy ręcznym wydobywaniu łupków bitumicznych pod ciosami norylskiej, polarnej zawiei — nie pozwalano im w ciągu tej pół doby na jedne jedyne 10 minut dla pogrzania się przy ogniu). Dwunastogodzinny wypoczynek organizowano im zaś w sposób możliwie najbardziej bezmyślny. Urywano im z tych dwunastu godzin czas potrzebny na przemarsze z jednej żony do drugiej, na ustawianie w szeregu, na rewizje. W żonie mieszkalnej wprowadzano ich od razu do nigdy nie wietrzonego namiotu — czyli baraku bez okien —

i od razu brano ich tam pod klucz. Zimą oddychało się tam samym kwaśnym, wilgotnym smrodem; ktoś do tego nie przyzwyczajony nawet dwóch minut nie mógłby tu wytrzymać. Żona mieszkalna była dla katorżników bardziej jeszcze niedostępna niż robocza. Ani ustępu, ani stołówki, ani przychodni lekarskiej: musieli zadowalać się tylko kiblem i klapą we drzwiach, przez którą dawano im żarcie. Stalinską katorgą lat 1943-1944 była więc połączeniem tego, co najgorsze w obozie z tym, co najgorsze w więzieniu'.

Koszt 12 godzin wypoczynku odbywał się także poranny i wieczorny apel katorżników — jednak nie zwykły apel jak to w obozie, gdzie rachowano tylko pogłowie zeków, lecz dokładne wywoływanie po nazwisku, przy którym każdy skazany dwa razy dziennie musiał bez zająknięcia wykrzyknąć swój numer, uprzykrzone

swoje nazwisko, imię, imię ojca, rok i miesiąc urodzenia, artykuły, na podstawie których dostał wyrok, instancję sądową i datę końca kary; pozostałych 99 z jego setki musiało z udręką wysłuchiwać tego dwa razy na dobę. W ciągu tych 12 godzin wydawano też dwa razy jedzenie: przez klapę w drzwiach każdy dostawał swoją miskę i tą samą drogą ją zwracał. Nikt z galerników nie miał prawa do pracy w kuchni, nikt też z nich nie roznosił blaszanek z żarciem. Cała obsługa składała się z knajaków, im bezczelniej i bezlitośniej okradali oni przeklętych katorżników, tym lepiej im samym się powodziło i tym łatwiej byli widziani przez gospodarzy obozu. Także tutaj — i jak zawsze, kosztem Pięćdziesiątki Ósemki — zbiegały się interesy NKWD i knajaków.

Ale — jako że sprawozdawczość nie powinna była zachować dla historii śladu nawet faktu, iż katorżników morzono głodem — oficjalnie należały się tym więźniom jakieś tam żałosne (a tu jeszcze po trzykroć rozkradane) „dodatki górnicze” i „premie żywnościowe”. Również te ochłapy — po długiej mitrędze — wydawano przez klapę w drzwiach — z wywoływaniem po nazwisku i zamianą misek na talony. A kiedy można było wreszcie zwalić się na dechy i zasnąć, znów opadała klapa i znów zaczynało się wywoływanie nazwisk — tym razem chodziło o wydawanie talonów na dzień następny (zwykły zek nie miał z talonami kłopotów, pobierał je i przekazywał do kuchni brygadziście).

W ten sposób — z 12 godzin wypoczynku w celi — zostawały człowiekowi z górą 4 godziny dla snu.

1 Jak świadczy Czechów — carska katorgia była instytucją o wiele mniej urozmaiconą. Z więzienia Aleksandrowskiego (Sachalin) katorżnicy mogli nie tylko całą dobę wychodzić na dwór i do ustępu (nie było tam nawet kibłów w celach), ale za dnia wolno im było chodzić do miasta! Tak, że prawdziwy sens słowa „katorgia” — czyli galery, tzn. statki wiosłowe, na których skazańcy przykuci byli do wiosł, rozumiał tylko Stalin.

Oczywiście, katorżnicy nie dostawali żadnych pieniędzy, nie mieli prawa do paczek, do korespondencji (w ich ogłuszonych, otępiątych łbach powinno było wygasnąć każde wspomnienie dawnej wolności; cały ich świat miał zostać zredukowany do nieprzeniknionej nocy polarnej, roboty i baraku).

Wszystko to sprawiało, że nasi galernicy nader gładko się załamywali i szybko wymierali.

Pierw.s/y workucki alfabet (28 liter, z każdą literą związana była numeracja od jednego do tysiąca) czyli całe 28.000 pierwszych workuckich katorżników gryzło piasek już po pierwszym roku pobytu.

Dziwne — że już nie po pierwszym miesiącu².

W Norylsku wjeżdżały na teren obozu pociągi towarowe z rudą dla 25. huty kobaltowej; katorżnicy rzucali się pod koła, aby prędzej skończyć te męki. Dwa tuziny więźniów z desperacji uciekły w głąb tundry. Wyśledzono ich z pomocą samolotów, wystrzelano do żywej nogi, a trupy wyłożono przy wejściu do żony mieszkalnej. Przy workuckiej kopalni Nr 2 istniał kobiecy podobóz katorżniczy. Kobiety miały numery wybite na grzbietach kurtek i na chustkach, którymi okręcały głowy. Pracowały przy wszystkich rodzajach robót pod ziemią i nawet, nawet... przekraczały normę!...³

Ale słyszę już gniewne krzyki moich współobywateli, moich współczesnych: dosyć tego! O kim właściwie tu gadasz, kogo śmiesz bronić? Tak jest! Wpakowano ich

tam po to, by szczęśliwie przędzie — i bardzo słusznie! Przecież tu chodzi o zdrajców, policjantów, niemieckich burmistrzów! Dobrze im tak! Może ci ich żal? (W takich wypadkach, jak wiadomo, krytyka przestaje być sprawą literatury i staje się przedmiotem troski organów). A te baby to przecież niemieckie dziwki — słyszę kobiece głosy. Może mi się tylko zdaje? — nie, to nasze kobiety tak mówią o swoich rodaczkach, nazywając je dziwkami...).

Najłatwiej by mi teraz było, dzisiejszym obyczajem, dać im odpowiedź, zwalając po drodze winę na kult. Mógłbym powołać się na kilka wyjątkowych przypadków niesprawiedliwości (na przykład — opowiedzieć o skazaniu na katorgę tych trzech komsomołek — ochotniczek, pilotując-

2 Za czasów Czechowa na całym Sachalinie było — no, jak myślicie? — wszystkiego

5.905 katorżników, starczyłoby zaledwie sześciu liter alfabetu. Prawie tylu więźniów liczył

sam tylko nasz Ekibastuz, a taki Spassk był znacznie większy. Samo słowo „Sachalin” brzmiało groźnie, ale w sumie był to jeden lada jaki podobozik. Sam Steplag składał się

z dwunastu obozów, a innych zespołów tej wielkości było co najmniej dziesięć. Policzcie

sobie, ile to Sachalinów.

3 Na Sachalinie kobiet w ogóle nie używano do ciężkich robót (Czechów).

10

cych lekkie bombowce, którym zabrakło odwagi, by zrzucić bomby na wyznaczony cel, więc zbombardowały nimi jakieś puste pole, wróciły szczęśliwie do bazy i zameldowały o wykonaniu rozkazu. Ale jedna z nich nie mogła sobie później dać rady z wyrzutami komsomolskiego sumienia, więc opowiedziała rzecz całą koleżance, sekretarce komsomołu swojej eskadry; ta poleciała, rzecz jasna, do specwydziału i cała trójka dziewcząt dostała po 20 lat katorgi). Toż mógłbym zawołać: widzicie, jacy to uczciwi sowieccy ludzie padali ofiarą stalinowskiej samowoli! Dalej — mógłbym już spokojnie pomstować nie na samowolę w ogóle, lecz jedynie na fatalne pomyłki, popełniane niegdyś wobec komsomolców i komunistów, obecnie zaś już szczęśliwie naprawione.

Sądzę wszelako, że nie godzi się poruszać tej kwestii inaczej, jak sięgając aż do dna.

Najprzód więc pomówmy o kobietach; jak wiadomo są one u nas nareszcie wyzwolone. Co prawda, nie od podwójnego ciężaru pracy — domowej i zawodowej — ale od małżeństwa cerkiewnego, od pogardy, jaką otaczała je społeczność i od wyzysku ze strony rozmaitych Kabanich*. Ale — czyśmy nie ściągnęli czasem na ich głowy gorszego przekleństwa, jeśli twierdzimy, iż swobodne dysponowanie własnym ciałem i osobą jest postępkiem antypatriotycznym i przestępstwem? Czy literatura całego świata (przed erą stalinowską) nie opiewała triumfów miłości, przewyciężającej podziały narodowe i zakazy, stawiane przez generałów i dyplomatów? Ale myśmy nawet tutaj zastosowali stalinowską zasadę: nie waście się iść do łóżka bez zezwolenia Rady Najwyższej ZSSR. Twoje ciało jest przede wszystkim dobrem państwowym.

I w ogóle — ileż to lat miały te kobiety, gdy zetknęły się po raz pierwszy z wrogiem — nie na polu bitwy, lecz w łóżku? Zapewne nie więcej niż 30, a najczęściej — nie

więcej niż 25. To znaczy, że od pierwszych chwil dzieciństwa, od najmłodszych lat wychowywane były w sowieckim duchu, w sowieckich szkołach, bo już po Październiku! Więc taką to wzgardą darzymy własne dzieło? Część tych dziewcząt dobrze sobie zapamiętała, jak to przez 15 lat powtarzaliśmy gromko, że nie ma żadnych ojczyzn, że ojczyzna to pojęcie reakcyjne, zwykły wymysł. Innym znów uprzykrzyła się purytańska czczość naszych zebrań, wieców, manifestacji, naszych filmów bez pocałunków i naszych tańców bez objęć. Innym zaś imponowała grzeczność, szarmanckie maniery, te wszystkie zewnętrzne atrybuty męskiego szyku i sztuki zalotów, której nikt nie uczył młodych budowniczych na-
Postać ze sztuki A. Ostrowskiego Burza.

11

szych pięciolatek ani elewów akademii wojskowych. Jeszcze inne były po prostu głodne, tak jest, najzwyczajniej głodne, nie miały co do gęby włożyć. Inne wreszcie nie znalazły innego sposobu, aby ocalić życie własne lub swoich bliskich, aby nie rozstać się z nimi.

W miasteczku Starodub, w pobliżu Briariska, dokąd wkroczyliśmy tuż za cofającymi się oddziałami przeciwnika, stała — jak mi opowiadano — dłuższy czas węgierska załoga dla ochrony miasta przed partyzantami. Po jakimś czasie przyszedł rozkaz dyslokacji garnizonu i dziesiątki miejscowych kobiet, za nic mając sobie wstyd, przyszły na dworzec, żegnając się z okupantami. Więcej też wylały (jak dodał ironicznie pewien szewc) niż wtedy, „kiedy własnych mężów odprowadzały na wojnę”.

Sąd wojskowy zjechał do Starodubu już po kilku dniach. Z pewnością nie wyrzucił donosów do kosza. I na pewno niejedną ze starodubskich płaczek posłał do workuckiej kopalni Nr 2.

Ale kto tu winien? Kto? Czy te kobiety? Czy może my wszyscy — ich rodacy, ich rówieśnicy? Kim byliśmy, że nasze kobiety tak łatwo zapominały o nas i przyłgnęły do okupantów? Czy to nie jedna z tych niezliczonych grzyw, które płacimy, wciąż płacimy i długo jeszcze płacić będziemy za wybór drogi, którą tak pośpiesznie sobie wytknęliśmy, którą tak beztadnie biegniemy, nie troszcząc się o straty i nie patrząc wcale przed siebie?

Nie wykluczam, że wszystkie te kobiety i dziewczęta należało napiętnować moralnie (ale też należało najprzód wysłuchać ich racji), może warto było je Wyśmiać, wyszydzić — ale posyłać za to na katorgę?!, do polarnych mordowni?! v.

— Ależ to Stalin je posłał! Beria!

O nie, przepraszam bardzo! Ci, którzy je tam posłali i trzymali pod kluczem i dobijali — zasiadają teraz w kółkach rencistów i to oni wydają nam świadectwa moralności. A my sami? Słyszymy, że chodzi o „niemieckie kurwy” — i kiwamy głowami ze zrozumieniem. To, że dziś jeszcze te kobiety uważane są za zbrodniarki — jest zjawiskiem bardziej dla nas złowrobnym, niż sam fakt ich ówczesnej odsiadki na katordze.

— Zgoda, ale przynajmniej mężczyźni skazani zostali słusznie?! Przecież to zdrajcy ojczyzny i własnego społeczeństwa!

Tu również mógłbym wykręcić się sianem. Mógłbym napomknąć (i byłaby to święta prawda), że ważniejsi przestępcy nie siedzieli, rzecz jasna, na tyłku, czekając spokojnie, aż przyjadą nasze trybunały z szubienicami. Wrywali na Zachód, jak kto

potrafił — i wielu zdołało uciec. Nasze zaś organy ścigania wykonywały ułożony z góry plan kosztem drobnicy (tu sąsiedzkie donosy okazały się nader pomocne): u tego tam Niemcy stali na
12

kwaterze — za co go tak polubili?, a ten znów siano woził Niemcom swoimi saniami — toć to oczywista kolaboracja z wrogiem⁴.

Można byłoby więc w ten sposób zbagatelizować jakąś całą sprawę — znów zwa-
lić wszystko na kult: zdarzały się wypaczenia, teraz już je naprawiono. Normalka.
Ale skorośmy już zaczęli, to idźmy dalej.

A nauczyciele? Ci nauczyciele, których nasza armia w czasie panicznego odwrotu
zostawiła na pastwę losu, razem z ich szkołami i uczniami, jednych na rok, innych
na dwa, trzy lata. Zgoda, intendenci byli głupi, generałowie poniżej poziomu, ale
co miał robić taki nauczyciel — uczyć swoje dzieci czy nie? A co robić miały dzieci
— nie piętnastolatki, ci co mogli już iść do pracy albo do partyzantów — tylko ma-
łe dzieciaki? Miały uczyć się, czy żyć po baraniemu przez parę lat dła odkupienia
grzechów i omyłek wodza naczelnego? Nie dał tātko czapki, to niech ci uszy
zmarzną, co?...

Nie wiedzieć czemu — nikt nie miał takich problemów ani w Danii, ani w Norwegii,
ani w Belgii, ani we Francji. Nikt tam nie uważał, że naród — z taką łatwością od-
dany na łaskę i niełaskę Niemców przez własną bezmyślną władzę (albo z winy
okoliczności, którym nie sposób było stawić czoła) — powinien być w ogóle wyrzec
się swoich życiowych funkcji. Działyły tam i szkoły, i koleje, i organy samorządu lo-
kalnego.

Ale był kraj (oczywiście, mogło to się zdarzyć tylko u nas!), gdzie pojęcia w gło-
wach ludzkich odwrócone zostały o 180 stopni. Dlatego to u nas nauczyciele do-
stawiali od partyzantów karteluszeki takiej treści: „Ani się waźcie uczyć dzieci! Zapła-
cicie za to drogo!”. W kolejnictwie pracować też było niesporo: toć to kolabora-
cja. A już praca w organach administracji lokalnej była uważana za zdradę niesty-
chaną, monstrualną.

Wszyscy wiedzą, że dziecko raz odzwyczajone od nauki może już nigdy do niej nie
wrócić. Skoro więc Największy Strateg Wszystkich Czasów i Ludów dał się wystrych-
nąć na dudka, to czy trawa ma dalej rosnąć, czy raczej niech sobie schnie? A
dzieci niech się dalej uczą czy może nie?

Nie ma kwestii, trzeba za to jakąś cenę zapłacić. Trzeba wynieść ze szkoły portrety
pana z wąsami i — być może — powiesić wizerunki faceta z wąsikiem. Choinkę
trzeba będzie ubierać nie na Nowy Rok, tylko na Boże Narodzenie i pan dyrektor
będzie musiał tego dnia (i jeszcze z okazji jakiejś niemieckiej rocznicy, a nie — jak
dotąd — październikowej) palnąć mówkę ku chwale nowego, wspaniałego życia,
które w istocie bardzo jest nędzne. Ale przecież dawniej też wygłaszało się mowy
ku większej chwale wspaniałego nowego życia, które też było nędzne.

Trzeba tu dodać gwoli sprawiedliwości, że poczynając od 1946 roku takim więź-
niom czasami zamieniano ze skrzypem karę 20 lat ciężkich robót na 10 lat zwykłe-
go obozu.

13

Właściwie to przedtem trzeba było gwałcić własne sumienie i łągać przed dziećmi
znacznie chyba częściej — ponieważ łgarstwo dość miało czasu, aby uleżeć się i

przesycić wszystkie programy szkolne, dzięki mrówczej pracy speców od metodyki oraz inspektorów szkolnych. W trakcie każdej lekcji, bez względu na sens i potrzebę, niezależnie od tego, czy mowa była

O budowie bezkręgowców, czy o zdaniach złożonych, należało koniecznie kopnąć Pana Boga (nawet, jeśli było się samemu człowiekiem wierzącym); nie wolno było pominąć żadnej okazji do wygłoszenia peanu na cześć naszej nieograniczonej wolności (nawet, jeśli człowiek nie spał poprzedniej nocy w oczekiwaniu na wiadome pukanie do drzwi); czytając na głos Tur gieniewa albo pokazując linijką bieg Dniepru, trzeba było koniecznie skłąć od ostatnich dawną naszą nędzę i wynieść pod niebiosa teraźniejszy nasz dostatek (nawet jeśli i ty, człowieku, i twoi uczniowie pamiętaliście, jak to przed drugą wojną światową wymierały u nas z głodu całe wsie, a na kartki wydawano miejskim dzieciom po 300 gramów chleba dziennie).

I wszystko to nie było uważane za zbrodnię i grzech ani przeciw prawdzie, ani przeciw duszy dziecka, ani przeciw Duchowi Świętemu.

Teraz zaś, pod tymczasową i nieokrzeptą jeszcze władzą okupantów, łgać trzeba było stosunkowo mniej — tyle, że w odwrotnym kierunku, w odwrotnym kierunku! — w tym sęk! I właśnie dlatego zew ojczyzny — oraz otówek podziemnego rajkomu partii zabraniały nauczania języka ojczystego, geografii, arytmetyki i przyrody. Za to należało się przecież 20 lat katorgi!

Kiwajcie, kiwajcie głowami, rodacy! Oto prowadzą ich pod strażą psów gończych do baraku z kiblem. Rzuć no w nich który kamieniem! Toć uczyli nasze dzieci.

Ale nie, nasi rodacy (zwłaszcza owi renciści z uprzywilejowanych resortów; czoła tycie, a emeryturka leci od 45. roczku życia) wymachują mi już przed nosem zaciśniętymi pięściami: kogóż to właściwie biorę tu w obronę?, niemieckich burmistrzów?, wójtów?, policjantów?, tłumaczy?, tych łajdaków, te szumowiny?

No cóż, sięgnijmy więc głębiej. Wyrąbaliśmy całe lasy, traktując ludzi jak drzazgi, co lecą. Tak czy owak, sam bieg czasu zmusi nas kiedyś, abyśmy pomyśleli o przyczynach tego procesu.

Zagrzmiały trąby, rozległa się pieśń „Niech gniew szaleje święty nasz...”*

1 cóż dziwnego, niejednemu od tych słów włos się zjeżył? Nasz wrodzony, a tak długo zakazywany, wyśmiewany, rozstrzeliwany i wyklinany patriotyzm nagle okazał się dozwolony, popierany, a nawet uznany za święty.

Pieśń skomponowana podczas wojny i stale nadawana przez sowieckie radio.

14

Jakże mogliśmy my, Rosjanie, nie podnieść się na duchu w takiej chwili, nie zjednoczyć w porywie wdzięczności naszych tętniących serc i z całą naszą rozrzutną wspaniałomyślnością (dobra, niech tam!) — nie wybaczyć wszystkiego naszym domorośłym oprawcom w godzinie najazdu oprawców obcego chowu? Aby później — tłumiąc mętne wątpliwości, tłące się w głębi naszych dusz, tak skłonnych do niewczesnej szczodrości

— z tym większą zaciekłością i jednomyślnością wyklinać zdrajców — tych nędznych gadów, o tyle gorszych od nas, bo nie umiejących zapomnieć wyrządzonego niegdyś nam wszystkim zła?

Jedenaście stuleci liczy sobie Ruś, wielu miała wrogów i wiele wojen prowadziła, a iluż to zdrajców znają jej dzieje? Czy były tych zdrajców całe tłumy! Pono niewielu ich było. Jak się zdaje, nawet nieprzyjaciele nie twierdzili nigdy, że charakter rosyjski

cechuje skłonność do zdrady, do zaprzaństwa, do niewierności. A wszystko to kształtowało się w ustroju wrogim ludziom pracy.

Ale oto nadeszła najsprawiedliwsza ze wszystkich wojen — i to w chwili, gdy kraj korzystał z dobrodziejstw najsprawiedliwszego w świecie ustroju — i nagle okazało się, że wśród naszego ludu są dziesiątki i setki tysięcy zdrajców.

Skąd się wzięli? I dlaczego?

Może to znów zapłonęły niewygasłe zgliszcza minionej wojny domowej? Niedorzębności białych. Nie! Wspominaliśmy wyżej, że wielu białych emigrantów (wśród nich — nawet po trzykroć przeklęty Denikin) stanęło po stronie Rosji Sowieckiej, opowiadając się przeciw Hitlerowi. Mogli wybierać wedle uznania — i właśnie taki uczynili wybór⁵.

Te- zaś dziesiątki i setki tysięcy policjantów i uczestników ekspedycji karnych, wójtów i tłumaczy — wszystko to byli sowieccy eks-obywatele. I młodzieży, wychowanej już po Październiku, też było wśród nich niemało.

Co ich do tego skłoniło?... Kim byli ci ludzie?

A byli to przede wszystkim ci, po których skórze (albo po kościach ich bliskich) przejechały się gąsienice lat Dwudziestych i Trzydziestych. Ci, którzy potracili swoich rodziców, krewniaków, ukochanych, w mętnych nurtach -naszej kanalizacji. Ci, co sami tonęli w nich, aby wynurzyć się w obozach czy na zeszaniu, tylko po to, by znów pójść na dno i znów się wynurzyć. Ci, których nogi dość się nastąpiły i namarzęły w ogonkach przed okienkami, gdzie przyjmowano paczki dla więźniów. I ci, którym w trakcie

! Nie zaznali wśród nas goryczy lat Trzydziestych — i w oddali, w głębi Europy, łatwo im było wpaść w zachwyt nad „wielkim, bohaterskim wysiłkiem ludu rosyjskiego”, zapominając o trwającym od lat wewnętrznym ludobójstwie.

15

J

tych dziesięcioleci przecięto, uniemożliwiono dostęp do tego, co uważali za najcenniejsze na tej ziemi — do samej ziemi mianowicie, do tej ziemi, którą im obiecywał wielki Dekret, do ziemi, za którą sporo krwi musieli zresztą przelać podczas wojny domowej. (Letniskowe majoraty dowódców Armii Sowieckiej i oparkanie, podmoskiewskie dwory dygnitarzy, to całkiem co innego: to — dla naszych, to wolno, a jakże). A jeszcze ci, których brano pod klucz za „łuskanie kłosów”. Albo tacy, których pozbawiono prawa mieszkania tam, gdzie mieli chęć. Bądź prawa do uprawiania swojego starego i ulubionego rzemiosła (myśmy wszystkie rękodzieła zwalczały bardzo fanatycznie, ale o tym już się zapomniało).

O wszystkich takich ludziach mówi się u nas (lubią tak mówić zwłaszcza agitatorzy, a już szczególnie ci, co to zawsze na posterunku) z pogardliwym grymasem: „obrażeni na władzę sowiecką”, „były ofiary represji”, „byli synalkowie kułaccy”, „ci, co zioną skrytą nienawiścią do naszej władzy”.

Jedni tak mówią głośno, a inni kiwają głową. Jakby im ktoś nareszcie rzecz wyjaśnił. Jakby ludowa władza miała prawo krzywdzić własnych obywateli. Jakby to właśnie był grzech pierworodny, główna plaga: obrażeni... skryta nienawiść...

1 jakoś nikt nie zawoła: ależ zastanówcie się, do diabła! czy — waszym zdaniem — był określa świadomość czy nie? Czy tylko wtedy ją określa,

kiedy to wam jest na rękę?, a kiedy nie na rękę, to jej nie określa?

A jeszcze potrafią u nas niektórzy mówić z lekką chmurką na czole: „owszem, popełniono u nas pewne błędy”. I zawsze ta niewinna, wszeteczna, bezosobowa forma — popełniono. Nikt nie ośmieli się powiedzieć, że to partia je popełniła! A ktoś jeszcze — oprócz tych, co mają władzę — mógł je „popełnić”? Zwałać wszystko tylko na Stalina? — toć trzeba mieć odrobinę poczucia humoru! Powiedzmy, błędy popełnił Stalin — a gdzieście wy wtedy byli, wy miliony naczelników?

Zresztą, owe błędy i wypaczenia też jakoś na naszych oczach bardzo prędko rozpełzły się, rozlały w mętną bezkształtną plamę i nie są już uważane za owoc tępoty, fanatyzmu, podłości; sprowadzają się do tego jedynie, że komuniści pakowali za kraty innych komunistów. A to, że 15 do 17 milionów chłopów zrujnowano, posłano na pewną śmierć, rozpędzono na wszystkie strony, odbierając dzieciom prawo do wspomnień o własnych rodzicach, do wymieniania ich nazwisk — to przecież tylko omyłka, nic więcej. A wszystkie fale naszej kanalizacji, rozpatrzone na początku tej książki — to też tylko nieduży błąd. A to, że byliśmy do wojny z Hitlerem zupełnie nie przygotowani, żeśmy się tylko puszyli kłamliwie, że cofaliśmy się w sromotny sposób, z dnia na dzień wywracając na nice propagandowe hasła, i że tylko wierny Iwan i Święta Ruś zatrzymały niemiecki pochód na

16

linii Wołgi — to już dziś nawet za błąd nie uchodzi, ale staje sięomalże główną zasługą Stalina.

W ciągu dwóch pierwszych miesięcy oddaliśmy wrogowi nieomal trzecią część ludności kraju, w tej liczbie wszystkie, niedoróżnięte jeszcze rodziny pokrzywdzonych i wielotysięczne obozy, rozbiegające się, gdy tylko eskorta dała nogę, i wszystkie więzienia Ukrainy i krajów nadbałtyckich, gdzie jeszcze nie rozwiął się dym salw, którymi wystrzelano przed ucieczką tych z 58 artykułem na karku.

Dopóty, dopóki czuliśmy się mocni — wszystkich tych nieszczęśników gnębiliśmy, szczuliśmy, nie dawaliśmy pracy, wyganialiśmy z mieszkań, każąc im po prostu zdychać. Gdy tylko wyszła na jaw nasza słabość, zaraz zażądaliśmy od nich, aby puścili w niepamięć całe wyrządzone im zło, aby zapomnieli o rodzinach i dzieciach, zmarłych z głodu w tundrze, aby zapomnieli o rozstrzelanych, o ruinie i niewdzięczności, której doświadczyli, o donosach i torturach w NKWD, o głodowych racjach w obozach — i żeby natychmiast wzięli się do partyzantki, do konspiracji, broniąc Ojczyzny własną pierś. (Ale to nie od siebie samych żądaliśmy duchowej przemiany! I nikt im nie gwarantował, że po powrocie będziemy inni, że nie będziemy już ich szczuć, popędzać batem, sadzać za kraty i rozstrzeliwać!).

W tej sytuacji — co większe powinno budzić zdziwienie: czy to, że tak wielu ludzi uradował niemiecki najazd, czy też, że było ich nie tak już wielu? (A nawet Niemcy musieli czasem wymierzać sprawiedliwość, na przykład sądzić byłych donosicieli — za to właśnie został rozstrzelany diakon Nabierežno-Nikolskiej cerkwi w Kijowie, zresztą podobnych wypadków było więcej).

No, a ludzie wierzący? Dwadzieścia lat z rzędu tępiono wiarę i zamykano cerkwie. Przyszli Niemcy i pozwolili na ich otwarcie. (Niesporo było naszym znów je zamykać zaraz po odejściu Niemców). W takim Rostowie nad Donem uroczyste otwarcie cerkwi wzbudziło powszechną radość, ludzi zbiegło się co niemiara. A powinni byli przeklinać za to Niemców, prawda?

W tym samym Rostowie, w pierwszych dniach wojny aresztowano inżyniera Aleksandra Piotrowicza M. W. Zmarł w celi podczas śledztwa. Jego żona przez parę miesięcy dygotała, obawiając się, że ją też aresztują — i po raz pierwszy zasnęła spokojnie dopiero po przyjsciu Niemców: „Teraz przynajmniej trochę pośpię!”. Otóż nie, powinna była właściwie modlić się o rychły powrót swoich katów.

W maju 1943 roku, gdy Niemcy stali w Winnicy, w ogrodzie przy ulicy Podleśnej (który w pierwszych miesiącach roku 1939 został z rozkazu rady miejskiej ogrodzony wysokim parkanem jako „obiekt specjalny Ludowego Komisariatu Obrony”) przypadkiem natknięto się przy wykopkach na zu-

2 Archipelag Gutag 17

pełnie już zakłębnięte, zarosłe bujną trawą groby zbiorowe — i wykryto ich 39, każdy głębokości 3,5 metra, o powierzchni 3 na 4 metry. Na wierzchu każdej z tych mogił leżała warstwa okryć pochowanych, dopiero pod nią — trupy leżące byle jak. Wszyscy mieli ręce związane z tyłu powrozem, wszyscy zabici zostali strzałem w potylicę z pistoletów małego kalibru. Zabijano zapewne w więzieniu, a zwożono tu nocami dla pochówku. Jako że przy niektórych znaleziono papiery, okazało się, że byli to ci, co w 1938 roku skazani zostali na „20 lat bez prawa korespondencji”.

Mam tu fotografię jednej ze scen, jakie się przy tych mogiłach rozgrywały, gdy mieszkańcy Winnicy przyszli, aby rozpoznać swoich zaginionych bliskich. To nie wszystko. W czerwcu zaczęto kopać opodal starego cmentarza prawosławnego, obok szpitala imienia Pirogowa, i znaleziono jeszcze 42 groby zbiorowe. Następnie przekopano Park Kultury i Wypoczynku im. Gorkiego i pod pawilonami rozrywkowymi pod „beczką śmiechu”, pod estradami do występów i tańców — znaleziono jeszcze 14 wspólnych dołów, pełnych zwłok. Ogółem — w 95 grobach znaleziono 9.439 zastrzelonych. A w innych miastach? Ile jeszcze takich dołów znaleźć można? I cóż, ludność tych miast, napatrzywszy się na te trupy, miała rwać się do partyzantki?

Może uznamy nareszcie za sprawiedliwe i słuszne, że jeśli my czujemy ból, gdy ktoś tłamsi i nas, i to co kochamy, to taki sam ból czują ci, kogo my tłamsimy? Może uznamy wreszcie za słuszne, że ci, których tępimy i niszczy, mają prawo nas nienawidzić? A może nie mają tego prawa? Może powinni ginąć z wyrazami wdzięczności na ustach?

Zakładamy, że wszyscy ci policjanci i burmistrzowie ziali jakąś odwieczną, może nawet — wrodzoną nienawiścią do nas, a przecież tę złość i nienawiść wszczepiliśmy w nich my sami, to przecież są nasze „odpadki przemysłowe”. Jak to mawiał Krylenko? „Z naszego punktu widzenia każde przestępstwo jest owocem danego ustroju społecznego”⁶. A więc — waszego ustroju, towarzysze! Toć trzeba być wiernym stworzonym przez siebie zasadom!

Nie zapominajmy też, że wśród tych naszych rodaków, którzy zbrojnie nas zwalczali i gardłowali przeciw nam, byli również ludzie zupełnie bezinteresowni, którym nikt nie konfiskował mienia (najczęściej nie mieli go wcale), którzy ani sami nie siedzieli w obozach, ani nie stracili w nich nikogo z bliskich, którzy jednak dusili się w stworzonej przez nas atmosferze, których dławiło panujące u nas lekceważenie dla losów jednostki, dławił system prześladowania za poglądy, dławiła urągliwa piosenka:

gdzie powietrzem wolności oddychasz’*.,

6 Krylenko, Tych pięć lat, str. 337.

kością w gardle stały te czołobitne modły do Wodza, to ciągle podsuwanie ołówka żeby podpisać się czym prędzej na pożyczkę! i te burzliwe oklaski, dochodzące do owacji! Czy możemy więc założyć, że tym ludziom, całkiem normalnym ludziom, nasze cuchnące powietrze zapierało dech? (Ojciec Fiodor Floria doczekał się podczas śledztwa takiego zarzutu — że niby jak mógł sobie pozwolić na relacje o potwornościach ery stalinowskiej podczas rumuńskiej okupacji? Floria odparł: „A cóż innego miałem o was do powiedzenia? Com widział — tom opowiedział. Tylko o tym mówiłem, co się naprawdę zdarzyło”). A wedle naszych praw — trzeba było łgać, szargać własne sumienie, zginąć nawet — a wszystko dla naszej wygody. (A to już chyba niewiele ma wspólnego z materializmem, prawda?).

Tak się zdarzyło, że we wrześniu 1941 roku, tuż przed moim pójściem do wojska, mieszkaliśmy z żoną — a oboje byliśmy początkującymi nauczycielami — w osadzie Morozowsk, która za rok miała znaleźć się w niemieckim ręku. Sąsiadowaliśmy z pewnym bezdzietnym małżeństwem, zwali się Broniewiccy. Inżynier Mikołaj Gerasimowicz Broniewicki miał lat 60 i był inteligentem o rysach Czechowa, człowiekiem nader miłym, spokojnym i rozumnym. Gdy przywołuję teraz w wyobraźni jego pociągłą twarz, wciąż mi się zdaje, że zdobią je czechowowskie binokle, chociaż może wcale binokli nie nosił. Jego żona była jeszcze cichsza i łagodniejsza — wyblakła, o lnianych, gładko przczesanych włosach, młodsza od męża o 25 lat, ale bez młodzieńczej świeżości w ruchach. Miła nam była ta para, my też chyba zyskaliśmy ich sympatię, zwłaszcza w porównaniu z gospodarzami naszego domu, ludźmi pełnymi chciwości.

Wieczorami siadywaliśmy we czwórkę na stopniach ganku. Wieczory były ciepłe, ciche, jasne od księżycowego blasku, jeszcze nie szarpane rykiem samolotów i detonacjami bomb, ale już groza niemieckiego natarcia napierała na nas, jak niewidoczne, lecz ciężkie chmury, sunące po mlecznym nieboskłonie ku bezbronnemu, maleńkiemu miesięczkowi. Co dzień na przystanku zatrzymywały się nowe pociągi, jadące do Stalingradu. Uciekinierzy wytrząsali na rynek osady całe wory pogłosek, przeraźliwych wieści, szastali jakimiś niebywałymi setkami rubli i wyjeżdżali jeszcze dalej. Wymieniali nazwy miast, już oddanych nieprzyjacielowi, o których długo jeszcze głucho było w komunikatach Informbiura, nie ośmielającego się mówić ludziom prawdy. (O takich miastach Broniewicki mówił nie „oddane”, tylko „zdobyte”).

Siedzieliśmy więc na ganku i toczyliśmy rozmowy. My, dwoje młodych, pełni byliśmy życia i troski o nie, ale o samym owym życiu właściwie nie mieliśmy nic więcej do powiedzenia niż to, co czytaliśmy w gazetach. Dlatego też rozmawiało nam się z Broniewickimi bez wysiłku: mówiliśmy to,

co przychodziło nam na myśl i nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z różnicy naszych pojęć.

Oni zaś patrzyli na nas zapewne ze zdumieniem, jak na dwa okazowe przykłady cielejącej naiwności. Dopiero co minęły dla nas Lata Trzydzieste, a wyglądało na to, że nie było nas wcale w tym okresie w kraju. Nasi rozmówcy pytali nas, co zapadło nam w pamięć z wydarzeń 37.?, 38.?. A cóż by, jeśli nie biblioteka uniwersytecka,

egzaminy, wesołe parady sportowe, potańcówki, występy amatorskie, no i oczywiście miłość, bo też była to dla nas pora miłości. A czy nikt z waszych profesorów nie poszedł siedzieć w tych latach? A owszem, dwóch, zdaje się, zabrano. Zastąpili ich docenci. No, a ze studentów, nikogo nie zabrano? Przypomnieliśmy sobie, że ostatnio kilku starszych kolegów poszło siedzieć. No, a co wy na to?... — A nic, dalej chodziliśmy na tańce. — A z waszych bliskich nikogo nie ruszono? — Jakoś nie... To straszne, ale chcę teraz koniecznie jak najdokładniej zdać sprawę z ówczesnego mego stanu ducha. Tak to właśnie było, nie inaczej. I tym to straszniejsze, że nie należałem wcale do młodzieńców zajętych wyłącznie sportem i potańcówkami, ani do maniaków, nie widzących świata poza studiami i formułkami naukowymi. Interesowałem się polityką bardzo intensywnie od dziesiątego chyba roku życia; już w szczenięcych latach nie wierzyłem w to, o czym mówił Wyszyński, i potrafiłem należycie docenić reżyserowany charakter sławetnych procesów sądowych, ale nic jakoś nie kazało mi drążyć głębiej i szukać więzi między tymi drobniotkami moskiewskimi procesami (zdawało się wtedy, że to wydarzenia ogromne) a przetaczaniem się po całym kraju olbrzymiego walca drogowego (masa pomiażdżonych jego ofiar jakoś nie wpadała w oko). Całe dzieciństwo spędziłem w ogonkach — po chleb, po mleko, po kaszę (mięsa wtedyśmy w ogóle nie widywali), ale jakoś niezdolny byłem do skojarzeń, nie rozumiałem, że brak chleba jest dowodem ruiny wsi, nie pojmowałem przyczyn tego zjawiska. Dla nas istniała przecież inna formuła: „chwilowe trudności”. W naszym dużym mieście każdej nocy porywano ludzi i wożono do więzień, ale myśmy przecież nocami po ulicach nie chodzili. We dnie zaś krewni aresztowanych nie wywieszali czarnych chorągwi, woleli nic nie mówić o aresztowanych ojcach.

A sądząc z gazet, wszystko wyglądało tak pogodnie i rześko.

O, młodzi ludzie tak bardzo chcą wierzyć, że wszystko zmierza ku lepszemu!

Rozumiem teraz, jak niebezpieczne były dla Broniewickich szczere z nami rozmowy. Niemniej, ten stary inżynier, który znalazł się w polu ob-

20

strzału podczas jednej z najsroższych kampanii GPU, coś niecoś nam przecież powiedział. Stracił zdrowie za kratami, przeżył kilka aresztowań i przeszedł przez niejeden obóz, ale z prawdziwą pasją mówił tylko o Dżekaz-eanie, o początkach tego obozu, o wodzie zatrutej związkami miedzi, o trującym powietrzu, o mordowaniu ludzi, o bezowocnych skargach posyłanych do Moskwy! Już sam ten wyraz Dżekaz-gan był jak tarka drąca skórę; takie też były jego okrutne opowieści. (No i co? Czy cały ten Dżekaz-gan zmienił choć trochę nasz światopogląd? Ani trochę, rzecz jasna. Przecież to było daleko. To nie nas dotyczyło. I komu to opowiedzieć? Lepiej o tym nie myśleć. Najlepiej — zapomnieć o tym).

Właśnie tam, do Dżekazganu, gdy tylko Broniewickiemu pozwolono chodzić bez konwoju, przyjechała jego obecna żona; była jeszcze wtedy dziewczyną. Tam też wzięli ślub, w cieniu drutów kolczastych. A w chwili wybuchu wojny — cudem znaleźli się na wolności, w Morozowsku; rzecz jasna, z paszportami opatrzonymi w znaki szczególne i paragrafy. Broniewicki pracował w jakimś mizernym przedsiębiorstwie budowlanym, Broniewicka była księgową.

Wkrótce znalazłem się w szeregach. Żona moja wyjechała z Morozowska. Osada znalazła się pod okupacją. W końcu została odbita. I oto któregoś dnia dostałem na froncie list od żony: „Wyobraź sobie, podobno Broniewicki był w okupowanym

Morozowsku burmistrzem! Co za ohyda!". Ja również zdumiałem się i pomyślałem: „Co za podłość!".

Ale minęło jeszcze parę lat. Na ciemnej więziennej pryczy, grzebiąc w zakamarkach pamięci, przypomniałem sobie Broniewickiego. I już nie znalazłem w sobie tej szczenięcej łatwości, z jaką niegdyś potrafiłem go potępić. Pozbawiono go bezprawnie pracy, później zaprzęgnięto do robót poniżających i bezmyślnych, wsadzano za kraty, torturowano, bito, morzono głodem, pluto w twarz — więc co miał robić? Miał wierzyć, że to wszystko jest ceną postępu i że ani jego własne życie — cielesne i duchowe — ani życie jego bliskich, ani życie całego, trzymanego za gardło narodu, nie ma żadnego znaczenia?

Puszczono nam w oczy dymną zastłonę „kultu jednostki"; nakładały się jedna na drugą warstwy czasu, który nas przemienił przenikając przez te warstwy, i wszystko to sprawiło, że widzimy dziś i samych siebie, i całe lata 30., nie tak i nie takimi, jakimi naprawdę były. Kult Stalina i ślepa ufność — bez granic, bez wątpliwości — wcale nie były charakterystyczne dla całego społeczeństwa, a co najwyżej - dla partii, komсомоtu, dla uczniów szkół miejskich, dla neointeligencji (zajmującej miejsca zlikwidowanych i rozstrzelanych), a częściowo również dla nowego mieszczaństwa (czyli

21

klasy robotniczej)7. To byli ci, u których nie milkły w domach głośniki radiowe — od porannych kurantów z Wieży Spaskiej Kremla aż do „Międzynarodówki" o północy — ci, dla których głos speakera Lewitana stał się głosem sumienia. („Częściowo", bo przecież rządowe dekrety, dotyczące kar dyscyplinarnych w przemyśle, sławetne „dwadzieścia minut spóźnienia", a nadto przypisywanie siły roboczej do fabryk na stałe — wszystko to też nie przysparzało reżymowi zwolenników). Jednakże istniała mniejszość także wśród ludności miast — i to wcale nie tak mała, w każdym razie było kilka milionów ludzi, którzy ze wstrętem wyszarpywali z gniazdka wtyczkę głośnika publicznego, gdy tylko mogli; którzy na każdej kolumnie każdej z gazet widzieli tylko rozpanoszone łgarstwo; i dzień wyborów był dla tych milionów dniem cierpienia i poniżenia. Dla mniejszości tej istniejąca dyktatura nie była dyktaturą proletariatu ani dyktaturą ludu, ani też (jeśli ktoś pamiętał, jaki sens miał niegdyś ten termin) dyktaturą rad robotniczych i chłopskich, lecz jedynie dyktaturą, sprawowaną przez inną mniejszość, wcale nie będącą elitą duchową narodu.

Ludzie nie są prawie zdolni do poznania beznamiętnego, wypranego z elementów emocji. Jeśli jakąś rzecz człowiek uznał za złą, to nader trudno mu już zmusić się do zobaczenia w niej także jakichś dobrych stron. Nie wszystko przecież było w naszym życiu godne pogardy i nie każde słowo w gazecie było kłamstwem — ale dla tej zaszczutej, zgiętej w barani róg i osaczonej przez szpiclów mniejszości całe życie naszego kraju było wstrętne i wszystkie stronicie wszystkich gazet — pełne kłamstw. Uprzytomnijmy sobie, że Zachód nie nadawał jeszcze wtedy transmisji radiowych po rosyjsku (zresztą bardzo niewiele było w kraju odbiorników), a więc jedynym źródłem informacji były dla ludności nasze gazety i nasze radio, a właśnie to źródło Broniewiccy i im podobni znali z doświadczenia jako pełne po brzegi natrętnych, lepkich łgarstw albo tchórzliwych przemilczeń. I wszystko, co pisano u nas o zagranicy — o beznadziejnej klęsce zachodniej gospodarki w 1930 roku i o zdradzieckiej postawie zachodnich socjalistów, i o jednomyślnym porywie całej Hiszpanii przeciw generałowi Franco (zaś w 1942 roku — o zdradzieckich machinacjach Jawaharlala

Nehru, mających na celu uzyskanie przez Indie niepodległości, co wszak osłabiało sojusznika, imperium brytyjskie) — też okazało się kłamstwem. Ziejąca nienawiścią, zapamiętała agitacja na zasadzie „kto nie z nami, ten przeciw”
7 Właśnie w latach 30. klasa robotnicza zaczęła stawiać się kośćcem naszego mieszczaństwa, cała w końcu wtapiając się w nie.

22

nam” nie czyniła żadnych rozróżnień między Marią Spiridonową* a Mikołajem II, Leonem Blumem a Hitlerem, angielską Izbą Gmin a niemieckim Reichstagiem. Czemuż więc fantastyczne z pozoru opowieści o paleniu ksiąg na niemieckich placach i o wskrzeszeniu legendarnego teutoriskiego okrucieństwa (a nie zapominałmy, że na temat owego teutoriskiego okrucieństwa nieźle sobie natęgała również carska propaganda podczas pierwszej wojny światowej) Broniewicki miał brać za świętą prawdę, a hitleryzm (wyklinany przy użyciu niemal tych samych — to znaczy krańcowo ostrych — terminów, które przedtem stosowano wobec Piłsudskiego, Poincaré i angielskich konserwatystów) uznać za bestialstwo, równe temu, które już od ćwierćwiecza namacalnie i całkiem konkretnie dławiło, zatruwało i szarpało na strzępy zarówno jego samego i cały Archipelag, jak wszystkie rosyjskie miasta i sioła? A nadto — cały ten gazeciarski miszmasz na temat hitlerowców! Raz — relacje o przyjacielskich spotkaniach naszych pocziwych żołnierzyków, którzy strzegą wspólnej granicy, przecinającej tę wstrętną Polskę, i fala przelewającej się przez łamy gazet sympatii do tych dzielnych niemieckich wojaków walczących z anglo-francuskimi bankierami, i dosłowne przedruki przemówień Hitlera na bitą kolumnę „Prawdy”; to znowu (i to z dnia na dzień — mianowicie poczynając od drugiego dnia wojny) eksplozja nagłówek głoszących, że cała Europa jęczy boleśnie pod niemieckim butem. Otóż to wszystko było tylko dowodem przewrotnej obrotowości naszej kłamliwej prasy i w żaden sposób nie mogło przekonać Bronie wiekiego — że są na świecie oprawcy równi naszym, tych zaś znał aż nadto dobrze. I gdyby teraz podsuwano mu codziennie pod nos biuletyn informacyjny BBC, to co najwyżej dałby się może przekonać, że Hitler jest dla Rosji wrogiem numer dwa, ale póki Stalin żyje — na pewno nie numer jeden. BBC nie przysyłało mu wszelako swoich biuletynów, zaś sowieckie Informbiuro cieszyło się od dnia swoich narodzin nie większym kredytem niż stary TASS; a pogłoski, zwożone przez ewakuowanych, też nie były wiadomościami z pierwszej ręki (bo nie pochodziły z Niemiec czy z terenów okupowanych; ani jeden żywy świadek jeszcze stamtąd nie przybył); z pierwszej ręki był tylko obóz Dżezkazgariski i rok 37., i głodowy rok 32., i likwidacja kułaków i rujnowanie cerkwi. I oto w miarę jak zbliżali się Niemcy, Broniewicki (a także dziesiątki tysięcy podobnych mu ludzi) czuł, że zbliża się jego godzina, ta jedyna, niepowtarzalna chwila, na którą już od lat 20 czekano bez żadnej nadziei, chwila co raz tylko zdarza się w życiu

Przywódczyni lewicowych eserowców, aresztowana po zamachu Blumkina na posła niemieckiego Mirbacha w 1918 roku, zmarła w więzieniu w końcu lat 30. W 1938 roku spotkała ją tam jeszcze Jadwiga Siekierska, druga żona St. Bobińskiego, polska komunis-tka.

23

człowieka — tak krótkim w porównaniu z powolnym tokiem przemian dziejowych; chwila, w której człowiek może dać wyraz swojemu sprzeciwowi wobec tego, co

sam przeżył, co tu ponawyrabiano, co roztrwoniono, co zdeptano w naszym kraju — moment tedy, w którym — jeszcze całkiem nieznanym, niejasnym sposobem — będzie mógł przysłużyć się temu ginącemu krajowi, dopomóc w dziele odrodzenia jakiejś rosyjskiej społeczności. Tak jest, Broniewicki należał do tych, co wszystko zapamiętali i niczego nie wybaczyli. I żadną miarą nie mógł darzyć ciepłym uczuciem tej władzy, która połamana Rosji kości, doprowadziła ją do kołchozowej nędzy, do moralnego zwyrodnienia, a teraz — także do przerażającej klęski militarnej. I patrzył z osłupieniem na takich cielaków jak ja, jak my dwoje, nie będąc w stanie nas przekonać. Czekał też na kogokolwiek. Czekał, aby ktokolwiek przybył — byleby ów ktoś zrobił koniec ze stalinowską władzą! Znany to psychologom proces przeskoku z jednego bieguna na drugi: niech tam będzie co chce, byle nie to, co tak się już uprzykrzyło! Bo czyż mógł wyobrazić sobie, że jest na świecie ktoś gorszy od naszych? Nawiasem mówiąc, działo się to w okręgu dońskim, a połowa tamecznej ludności właśnie w takim nastroju czekała na przyjscie Niemców. Tak więc, przez całe życie stroniąc od polityki, Broniewicki u progu siedemdziesiątki zdecydował się na krok polityczny.

Zgodził się stanąć na czele lokalnej administracji w mieścinie Moro-zowsk...

Jak sądzę, rychło zrozumiał, że dał się nabrać; że dla nowych władców Rosja jest czymś jeszcze podlejszym i pośledniejszym niż dla starych, że nowe wilkołaki tylko krwi ruskiej łakną, a ciało, a cała reszta — niech tam ginie. Nowy burmistrz musiał stanąć nie na czele rosyjskiej społeczności, lecz — zgrai pomagierów niemieckiej policji. Jednakże — już osadzono go na osi i — chcąc nie chcąc — musiał się potoczyć. Wyrwał się spod władzy jednych oprawców po to tylko, by zostać pomocnikiem drugich. I raptem przekonał się, że ta idea patriotyczna, którą uważał za przeciwieństwo idei sowieckiej, nagle złąła się z tą ostatnią w jedną całość: niepojętym sposobem, od mniejszości, co jej strzegła, przeszła do serc większości jak przez rzeszoto. Ludzie zapomnieli, jak to za tę ideę rozstrzeliwano, jak się nad nią naigrawano, i oto stała się nagle rdzeniem cudzego pnia.

Chyba go (ich?) ogarnęła wtedy zgroza i beznadzieja. Przesmyk zawaliło i tylko dwa wyjścia zostały: śmierć albo katorga.

Rzecz jasna, nie sami Broniewiccy byli wśród tych ludzi. Jasne, że na tę krótką ucztę podczas dżumy zleciały się całe chmary kruków i wron, łaknących władzy i krwi. Ale gdzie i kiedy ich brakło?! Tacy właśnie doskonale odpowiadali standardom NKWD. Należał do nich i Mamułow, i An-

24

tonów z Dudina, i jakiś tam Poj-suj-szapka; czy można wyobrazić sobie podlejszych katów? A cieszyli się władzą przez całe dziesięciolecia i mrowie ofiar mają na sumieniu. Niezadługo już ja sam miałem zetknąć się z nadzorcą Tkaczem*, który zdążył przysłużyć się w ten sam sposób i jednym, i i drugim.

Skoro była mowa o miastach, nie wolno nam teraz pominąć wsi. Współcześni nasi liberałowie często zarzucają wiejskim ludziom tępotę i konserwatyzm. Ale przedwojenna wieś — cała, prawie bez wyjątku — odznaczała się trzeźwością myślenia w stopniu nierównie większym niż miasto. Wcale nie pałała chęcią udziału w aktach strzelistych ku czci ojczulka Stalina ani na cześć rewolucji światowej. Miała po prostu zwykły rozum w głowie i dobrze pamiętała, jak to obiecano jej ziemię i jak ją potem odebrano; jak żyła, jak jadła i jak się odziewała przed kołchozami, a jak po ich wprowadzeniu; jak jej zabierano z obejścia ciele, jagnię, a nawet kuraka;

jak bezczeszczono i rujnowano jej cerkwie. W tych latach radio nie dudniło jeszcze w każdej chacie i nie w każdej wsi znalazł się taki mądrala, co by czytał ludziom na głos gazety, więc w końcu te wszystkie Czang-tso-liny, MacDonaldy i Hitlerzy były dla rosyjskiej wsi jedynie kukłami, nikomu niepotrzebnymi, obcymi i zupełnie jednakowymi.

W pewnej wsi opodal Riazania 3 lipca 1941 roku chłopci zebrali się przy kuźni, gdzie nadawano przez głośnik przemówienie Stalina. I gdy twardy dotąd jak żelazo, i nieczuły na chłopskie łzy, ojczulek beknął łamiącym się głosem swoje słynne „Bracia i siostry!”, jeden z chłopów krzyknął w stronę czarnej, tekturowej gardzieli: — Aha, tak teraz śpiewasz, kurwa mać? A tego nie wolisz? — i ulubionym na Rusi, grubiańskim gestem ciachnął grzbietem dłoni drugą rękę w łokciu i pomachał zgiętym ramieniem w stronę głośnika.

Ogólny rechot był mu odpowiedzią.

Gdyby wypytać wszystkich świadków po wszystkich wsiach, mielibyśmy z dziesięć tysięcy takich relacji, często jeszcze wymowniejszych.

Oto jakie nastroje panowały na rosyjskiej wsi w pierwszych miesiącach wojny, a więc także wśród tych rezerwistów, którzy wypijali ostatnie pół litra na przystanku i ostatni raz puszczali się w tany z bliskimi. A ponadto zwała się ludziom na łeb nie-słychana w rosyjskich dziejach klęska i ogromne połacie wiejskiego kraju — aż po obie stolice, aż po Wołgę — z milionami chłopów i chłopek w okamgnieniu znalazły się poza zasięgiem kołchozowej władzy i — przestańmy wreszcie kłamać, dosyć retuszowania historii! — okazało się, że republiki związkowe marzą wyłącznie o nie-

za-

Patrz cz. III, rozdział 20.

25

wistości! wieś — wyłącznie o wyzwoleniu z jarzma kołchozów! — robotnicy — o wyzwoleniu spod władzy pańszczyźnianych Dekretów! I gdyby najeźdźcy nie byli tak beznadziejnie tępi i zadufani, gdyby — dla dobra Wielkiej Rzeszy — nie utrzymali przy życiu poręcznej, urzędowej administracji kołchozów, gdyby nie układali planów tak podłych, jak plan przekształcenia Rosji w kolonię, to idea narodowa nie wykwiłaby tam właśnie, gdzie od lat ją dławiono. I chyba nie mielibyśmy okazji świętowania dwu-dziestopięciolecia komunistycznej władzy w Rosji.

(O partyzantce też ktoś kiedyś będzie musiał napisać, jak to nie całkiem dobrowolnie szli do niej chłopci pod okupacją. Jak to z początku szykowali broń przeciw partyzantom, nie chcąc oddawać im chleba i bydła).

A kto pamięta dziś wielki exodus mieszkańców Północnego Kaukazu w styczniu 1943 roku i kto znajdzie analogiczny przykład w historii? Żeby ludność — zwłaszcza chłopci — uciekała masami, wycofując się wraz z rozbitym nieprzyjacielem, u boku obcych najeźdźców, byleby tylko nie powrócić w objęcia zwycięskich swojaków; tabory, tabory, a tu luty ziąb styczniowy i zadymka!

Na takim właśnie gruncie społecznym wyrosły te setki tysięcy ochotników, którzy — nie bacząc na potworności hitleryzmu — z całą desperacją przywdziali mundur wroga. Tu też trzeba nam wrócić do tematu własowców.

Czytelnik pierwszej części tej książki nie był chyba w stanie strawić całej

0 nich prawdy (zresztą ja sam całej nie znam, zapewne pojawią się kiedyś specjalne opracowania, dla mnie to temat uboczny). Tam, na wstępie, gdy czytelnik nie przeszedł jeszcze wraz z nami całej drogi krzyżowej przez

obozy, można było dać mu tylko sygnał ostrzegawczy, skłonić go do namysłu. Teraz zaś, po zwiedzeniu wszystkich etapów, zborniaków, leśnych robót i śmietników obozowych — może nasz czytelnik stanie się wyrozumialszy. W części pierwszej mówiłem o tych własowcach, którzy wzięli broń do ręki z rozpacz, z głodu panującego w obozach jenieckich, z poczucia, że nie ma innego wyjścia. (Zresztą, tu też warto byłoby zastanowić się chwilę: przecież Niemcy brali z początku jeńców sowieckich tylko do służby pozafrontowej, na tyłach własnych oddziałów, i było to chyba najłatwiejsze wyjście dla tych, co chcieli jedynie ratować się, czemu więc brali broń do ręki i szli łeb w łeb przeciw Armii Czerwonej?).

Ale teraz nie ma co dalej zwlekać, trzeba wreszcie powiedzieć coś o tych, którzy jeszcze przed 41. myśleli tylko o jednym: jak by tu zdobyć broń

1 zacząć b i ć tych czerwonych komisarzy, czekistów i działaczy od kolektywizacji. Pamiętacie może te słowa Lenina: „Uciemiężona klasa, która nie dąży do tego, by nauczyć się walki z bronią w rękę, nie szuka sposobu, aby

26

mieć tę broń — zasługuje jedynie na to, by potraktować ją jako zgraję niewolników” (wyd. rosyjskie IV, tom 23, str. 85). Tak więc — ku naszej chwale — wojna sowiecko-niemiecka wykazała, że nie takie z nas znowu raby, jakby to wynikało ze wszystkich, pełnych liberalnej pogardy, historycznych badań i opracowań. Nie rabska pokora kazała tym ludziom jąć się szabli, aby uciąć łeb Stalinowi-batiuszce. Również i z tej strony — nie po rabsku prostowały się grzbiety czerwonych żołnierzy w podszytych wiatrem szynelach; żaden socjolog nie mógł przewidzieć, że pęd do wolności znajdzie sobie na krótką chwilę tak zawile ujście.

Ci ludzie, którzy z własnego doświadczenia znali od 24 lat komunistyczny raj, już w 1941 roku wiedzieli to, czego nie wiedział jeszcze nikt na świecie — że na całym globie i w ciągu całych jego dziejów nie było jeszcze reżymu tak bezwzględного, krwawego, a zarazem przewrotnie obłudnego jak bolszewicki, bezprawnie nazywający sam siebie „radzieckim”. Że jeśli wziąć pod uwagę liczbę jego ofiar, jego zdolność do zakorzenionej, długoletniej stabilności, jego długodystansowe perspektywy, jego monolityczny, wszechobecny totalizm, to żaden inny reżym nie wytrzymuje z nim porównania. Żaden, nie wyłączając epigońskiego hitleryzmu, który podówczas zaćmił swoimi wyczynami wszystko w oczach Zachodu. I oto nadeszła odpowiednia chwila. Broń zaczęto tym ludziom wpychać do ręki. Czy mieli właśnie wtedy postąpić na przekór własnym pragnieniom, pozwolić, aby bolszewizm przetrwał, aby znów się umocnił, znów zabrał się do ciemienia ludzi — i dopiero wtedy decydować się na walkę z nim (walkę, której po dziś dzień nikt w świecie nie podjął)? Nie; wydawało im się oczywiste, że trzeba zastosować właśnie starą bolszewicką taktykę: podobnie jak bolszewizm wgryzł się w ciało Rosji, osłabionej pierwszą wojną światową, tak samo należało dobrać się do niego podczas drugiej wojny.

Zresztą, już podczas wojny sowiecko-fińskiej, w 1939 roku, doszedł do głosu swoisty defetyzm. Te podskórne nastroje próbował wykorzystać W.G. Bażanow, były sekretarz Politbiura i Biura Organizacyjnego WKP(b), pomocnik i bliski współpracownik Stalina. Pragnął on zgromadzić rosyjskich jeńców, oddać dowództwo nad nimi rosyjskim emigrantom-oficerom i posłać na front — nie dla walki z armią sowiecką,

tylko dla celów propagandowych. Niespodziewana kapitulacja Finlandii udaremniła te plany.

Kiedy zaczęła się wojna z Niemcami — 10 lat po katowskiej kolektywizacji rolnictwa, 8 lat po wielkim głodzie na Ukrainie (sześć milionów ofiar śmiertelnych, a u sąsiadów, w Europie, nikt nawet okiem nie mrugnął), 4 lata po rozpasanym, szatańskim balu, urządzonym przez NKWD, rok po wydaniu kajdaniarskich dekrety o dyscyplinie pracy (a

27

jednocześnie 15 milionów siedziało w obozach i całe starsze pokolenie dobrze pamiętało życie przed rewolucją) ludzie w sposób naturalny chcieli odetchnąć i wyzwolić się od zmyły. W sposób tak samo naturalny żywili wstręt do władz. I nie żadne „zaskoczenie” ani „przewaga ilościowa w dziedzinie lotnictwa i broni pancerniej” (nawiasem mówiąc właśnie Armia Czerwona miała przewagę ilościową we wszystkich dziedzinach) sprawiły, że tak łatwo zamykały się fatalne kotły, gdzie kapitulować musiało po 300.000 (Białystok, Smoleńsk) i po 650.000 tysięcy uzbrojonych, dorosłych mężczyzn (Briańsk, Kijów), że rozpadały się całe fronty i że armia cofała się tak szybko i daleko, jak nigdy jeszcze w całej tysiącletniej historii Rosji, jak nigdy chyba w dziejach wszystkich krajów i wojen. Wszystko to sprawił błyskawiczny paraliż naszej żałosnej władzy, od której poddani odstrychnęli się jak od trupa. (Rajkomy i miejskie komitety partii rozlatywały się w ciągu paru minut; i to dlatego Stalin załkał).

To trzęsienie ziemi mogło osiągnąć swój zenit już w 1941 roku (w grudniu sześćdziesiąt milionów ludności ZSSR — ze 150 — znalazło się już poza zasięgiem władzy Stalina). Nie bez powodu spitraszony został taki oto jego rozkaz (0019, 16 lipca 1941 roku): „Na wszystkich (!) frontach trafiają się w naszej armii liczne (!) elementy biegnące wręcz w objęcia wroga (!) i rzucające broń przy pierwszym z nim zetknięciu”. (W białostockim saku, w początkach lipca 1941 roku, na 340 tysięcy jeńców było 20 tysięcy dezertersów, którzy dobrowolnie przeszli na stronę nieprzyjaciela). Stalin był przekonany, że sytuacja jest tak rozpaczliwa, iż w październiku 1941 roku depeszował do Churchilla z prośbą o przysłanie 25-30 angielskich dywizji na teren ZSSR. Jakież komunistę dał się kiedykolwiek tak opanować panice?!

Oto próbka ówczesnych nastrojów: 22 sierpnia 1941 roku dowódca 436 pułku strzelców, major Kononow, oznajmił przed frontem swoich oddziałów, że przechodzi na stronę Niemców, aby wstąpić do szeregów armii wyzwolenczej i przyczynić się do obalenia Stalina. Zapytał też, kto poszedłby z nim na ochotnika. Nie dość, że nikt mu się nie przeciwstawił, ale cały pułk poszedł w jego ślady. Po trzech zaledwie tygodniach Kononow sformował po tamtej stronie ochotniczy pułk kozacki (był sam dońskim Kozakiem). Gdy przybył do obozu jeńców pod Mohylewem i rozpoczął werbunek — z 5 tysięcy zgromadzonych tam jeńców 4 tysiące od razu zgłosiły się na jego apel, ale nie był w stanie wziąć aż tylu. W obozie pod Tylżą tegoż roku połowa jeńców — 12 tysięcy ludzi — podpisała odezwę głoszącą, że czas już przekształcić tę wojnę w wojnę domową.

Nie zapominajmy o spontanicznym ruchu w okolicach Łoktia pod Bria-

28

ńskiem. Powstał tam autonomiczny, rosyjski samorząd jeszcze przed przyjściem Niemców i niezależnie od nich. Był to samoistny, kwitnący okręg, złożony z 8 powia-

tów, liczący ponad milion ludności. Żądania tej ludności były zupełnie wyraźne: rosyjski rząd narodowy, rosyjski samorząd we wszystkich okupowanych okręgach, uznanie niepodległości Rosji w granicach z 1938 roku, utworzenie armii wyzwolenczej pod rosyjskim dowództwem.

Chlebem i solą witały Niemców również dońskie stacje. Na pewno jeszcze nie zapomniano tam komunistycznej rzezi: jej ofiarą padli wszyscy mężczyźni od 16 do 65 roku życia.

W sierpniu 1941 roku leningradzki student medycyny, Martynowski, utworzył pod Ługą oddział partyzancki, w skład którego wchodził głównie sowieccy studenci; chcieli uwolnić się od komunizmu. We wrześniu 1941 uformował pod Porchowem taki sam antykomunistyczny oddział z lenin-gradzkich (przeważnie wywodzących się z Wyspy Wasiliewskiej) studentów i żołnierzy (z jednostek otoczonych przez Niemców) lejtnant Rutczenko, były aspirant wyższej uczelni. Ale Niemcy zrobili z tych ochotników jakichś posługaczy w swoich oddziałach. Ludności ZSSR w roku 1941 wydawało się rzeczą naturalną, że najazd cudzoziemski oznacza obalenie reżymu komunistycznego, i nikt u nas nie życzył sobie takiego najazdu z innych przyczyn. Oczekiwano na polityczną alternatywę. Na wyzwolenie od bolszewizmu. Czy łatwo nam było uwierzyć — poprzez głuche mury sowieckiej propagandy, poprzez całą grubość hitlerowskiego frontu — że alianci zachodni walczą w tej wojnie nie o wolność dla wszystkich, lecz jedynie w imię własnej, zachodnioeuropejskiej wolności, jedynie przeciw hitleryzmowi, że chcą jak najwszechstronniej wykorzystać siły armii sowieckiej i poprzestać na tym? Czy nie łatwiej nam było uwierzyć, że nasi sojusznicy wierni są samej zasadzie wolności i nie zostawią nas na żer najgorszej tyranii? Co prawda, byli to właśnie ci sami sojusznicy, za których ginęliśmy już podczas Pierwszej Światowej, którzy już wtedy zostawili na łasce losu naszą pobitą armię, aby czym prędzej zatroszczyć się o własną pomyślność. Ale doświadczenie jest to rzecz często zbyt sroga, aby serce zgodziło się mu zaufać. Mając słuszne powody, aby nie wierzyć sowieckiej propagandzie w żałosnym wypadku, uważaliśmy naturalnie za bajki to, co mówiono o hitlerowskich planach obrocenia Rosji w kolonię, a nas samych w niemieckich niewolników. Nie chcieliśmy wierzyć, że takie idiotyzmy mogą wykluć się w ludzkich łbach w dwudziestym wieku. Nie sposób było uwierzyć, zanim się tego nie doświadczyło na własnej skórze. Ale jeszcze w 1942

29

roku do rosyjskiego oddziału kadrowego w Osintorfie zgłaszało się więcej ochotników, niż mogło ich być wcielić dowództwo. Na Smolenszczyźnie i na Białorusi uformowała się ochotnicza stu tysięczna „milicja ludowa” — dla obrony przed partyzantami podporządkowanymi Moskwie. Ale Niemcy nastraszyli się i milicję rozwiąali. Jeszcze wiosną 1943 roku, podczas dwóch propagandowych podróży Własowa po Smolenszczyźnie i Pskowszczyźnie, witano go wszędzie z entuzjazmem. Jeszcze wówczas ludzie spodziewali się, że powstanie wreszcie rosyjski niezależny rząd i rosyjska niezależna armia. Mam w ręku dokument z powiatu pożerewickiego okręgu pskowskiego, świadczący z jaką serdecznością ludność tamiecznych wsi odnosiła się do stacjonującego w okolicy oddziału własowskiego: ci żołnierze nie zajmowali się grabieżą i hulankami, nosili dawne rosyjskie mundury, pomagali przy żniwach; uznawani byli powszechnie za rosyjską, niekołchozową władzę. Ochotnicy zgłaszali się gęsto do tego oddziału sami, ludzie z cywila (podobnie jak w Łoktiu

zgłaszali się do Woskobjnikowa) — i nad tym warto się zastanowić, boć nie z konieczności to robili, nie z obozu jeńców chcieli się wyrwać! Ale Niemcy zabronili własowcom takiej rekrutacji (niech się tam lepiej zapisują do policji!). Jeszcze w marcu 1943 roku w obozie jeńców pod Charkowem, gdzie dotarła ulotka o ruchu własowskim (rzekomym!) — 730 oficerów podpisało deklarację z prośbą

0 wcielenie do rosyjskiej armii wyzwolenczej (ROA) — i to po dwóch pełnych latach wojny i chlubnej służby, bo wielu z nich to byli bohaterowie bitwy stalingradzkiej; wśród nich — nawet dowódcy dywizji, komisarze pułków! A przy tym obóz był bardzo syty, nie głód więc pchnął tych ludzi do deklaracji. (Ale oto typowa niemiecka tępota: z tych 730, co się zgłosili, 722 aż do samego końca wojny nie doczekało się zwolnienia z obozu i prze niesienia do szeregów). Nawet w 1943 roku, w ślad za cofającą się niemiecką armią, ciągnęły dziesiątki tysięcy uciekinierów z okupowanych obszarów, byleby tylko nie znaleźć się znów pod władzą bolszewików.

Pozwolę sobie na takie stwierdzenie: funta kłaków niewart byłby nasz naród, stanowiący zgraję beznadziejnych rabów, gdyby podczas tej wojny nie zdobył się na to, aby — choćby z daleka — pogrozić karabinem stalinowskiej władzy, gdyby nie skorzystał z okazji, aby pokazać pięść i zwymyślać od ostatnich naszego Ojczulka rodzonego. Niemcy mieli swój spisek generałów. A my? Nasi generałowie byli (i zostali po dziś dzień) gromadą miernot, zdeprawowanych przez partyjną ideologię i chciwość. Nie zachował się w nich duch narodowy, jak to bywa w innych krajach.

1 tylko żołniersko-chłopsko-kozacki p-l-e-b-s podniósł pięść i wymierzył cios. Był to właśnie plebs. Niezmiernie nikły udział w tym ruchu mieli przedstawiciele dawnej szlachty, przebywający na emigracji, czy ludzie nie-
30

gdyś zamożni albo inteligenci. I gdyby ruchowi temu pozwolono na rozmach, jaki rokowały mu pierwsze tygodnie wojny, to mógłby stać się nowym buntem Pugaczowa. Przemawiał za tym wysoki współczynnik aktywnego udziału wielu warstw społecznych, sympatia ludności, na którą mógł liczyć, poparcie kozactwa, powszechna chęć porachowania się z wielmożnymi złoczyńcami, żywiołowy nacisk mas — przy równoczesnej słabości grupy kierowniczej. W każdym razie ruch ten był o wiele bardziej ludowym i plebejskim, niż cały inteligencki „ruch wyzwolenczy” od zarania XX wieku aż do lutego 1917 roku — z jego pseudoludowymi celami i z jego lutowo-październikowymi płodami. Ale nie był pisany temu ruchowi prawdziwy rozwój, sądzone mu było szczerząc z piętnem hańby: wszystko to było zdradą świętej naszej Ojczyzny!

Zniknęło u nas zamiłowanie do socjologicznej analizy wypadków, przyzwyczailiśmy się, że to zwykłe wywracanie kota do góry ogonem, jak komu i kiedy wygodnie. A pakt przyjaźni z Ribbentropem i Hitlerem? A buńczuczne mówki Mołotowa i Woroszyłowa o naszym bezpieczeństwie, tuż przed wojną? A potem — oślepiająca niedołężność, brak przygotowania, ignorancja i tchórzowska ucieczka rządu z Moskwy, i po pół miliona żołnierzy zostawionych na pastwę wroga w osaczeniu — czy to nie jest zdradą Ojczyzny? Czy nie groźniejsze to miało skutki? Czemu więc tych zdrajców tak troskliwie hołubimy w apartamentach przy ulicy Granowskiego?

Ooo, długa, długa, długachna jest ława oskarżonych, na której siedzieć by powinni wszyscy zdrajcy naszego narodu, gdyby posadzić ich tam jak należy, od A do Z...

Ale na nieprzyjemne pytania nikt u nas nie odpowiada. Milczenie milsze. Za to takie oto krzyki słyszymy często:

— Ale sama zasada! Sama zasada! Czy jakikolwiek Rosjanin ma prawo — dla osiągnięcia swoich celów politycznych, choćby najślusznieszych w jego pojęciu — korzystać z poparcia niemieckich imperialistów?! I to jeszcze podczas tak okrutnej z nim wojny?!

Istotnie, jest to problem kluczowy: czy wolno — dla celów nawet najszlachetniejszych w twoim pojęciu — korzystać z pomocy niemieckiego imperializmu, walczącego z Rosją?

Wszyscy zakrzykną dziś jednomyślnie: nie! nie! nie!

Ale skoro tak — to skąd się wziął niemiecki zaplombowany wagon, wiozący Lenina ze Szwajcarii do Szwecji, z postojem (jak to już dziś wiemy) w Berlinie? Cała prasa — od mienszewików do konstytucyjnych demokratów także wtedy krzyczała: nie! nie! — ale bolszewicy wyjaśnili, że owszem, że wolno było, że to śmieszna rzecz wysuwać podobne zarzuty.

31

Zresztą, nie tylko o ten jeden wagon chodziło. A latem 1918 roku — ileż to wagonów z żywnością i złotem wyekspediowali bolszewicy z Rosji, a wszystkie prosto do Wilhelma! Przekształcić tę wojnę w wojnę domową — sam Lenin powiedział to grubo wcześniej niż własowcy.

— Ale cele! O jakież cele wtedy chodziło!

A cóż to za cele? I gdzie są teraz te cele?

— Ale wtedy był Wilhelm! Kajzer! O! kajzer i tyle! To nie Hitler, żadna różnica! I czy w Rosji w ogóle był rząd? Jakiś tam tymczasowy....

Zaciekłość wojenna sprawiła, iż o kajzerze Wilhelmie też pisaliśmy wówczas nie inaczej jak „okrutny” i „krwiożerczy”, a o kajzerowskich żołnierzach krzyczeliśmy pochopnie, że pasjami lubią rozbijać niemowlętom głowy o kamienie. Ale mniejsza już o kajzera. A jak tam było z tym rządem tymczasowym? Nie miał Czeki, nie strzelał ludziom w kark, nikogo do obozów nie posyłał, do kołchozów chłopów nie zapędzał, nie dławiło w gardle na samą myśl o nim. Tymczasowy, ale też nie stalinowski.

Proporcja więc zachowana.

Nie żeby tam komuś drgnęło serce, że giną katorżnicze alfabety, tylko po prostu wojna się kończyła, już nie był potrzebny tak groźny straszak, nowych policajów Niemcy już nie werbowali, siła robocza była zaś potrzebna, a na katordzie kontyngenty wymierały bez żadnego pożytku. Już latem w 1945 roku katorżnicze baraki przestały być więziennymi celami, drzwi we dnie stały 'otworem, kible wyniesiono do latryny, skazańcy otrzymali prawo uczęszczania o własnych siłach do izby chorych, a do stołówki już ich goniono dziarskim kłusem. Pozabierano knajaków, którzy katorżników obżerali, i obsługę powierzono samym katorżnikom. Później pozwolono im nawet na pisanie listów, dwa razy do roku.

W latach 1946-47 różnice między katorgą a zwykłym obozem zaczęły się zacierać. Politycznie nieorientowane kierownictwo inżynierskie, mając na względzie tylko wykonanie planów produkcji, zaczęło (przynajmniej w Wor-kucie) przenosić do brych specjalistów — katorżników do zwykłych pod-obozów, gdzie z całej katorgi zostawał człowiekowi tylko numer. Jednocześnie szare bydelko robocze ze zwykłych obozów zaczęło przenosić do katorżniczych, żeby rachunek się zgadzał.

Tym sposobem bezmyślni inżynierkowie zupełnie by zawalili wielki stalinowski plan wskrzeszenia katorgi, gdyby w 1948 roku nie dojrzał do realizacji nowy pomysł Stalina: chodziło o to, aby przeprowadzić radykal-

32

ny podział wśród tubylców GUŁagu, oddzielić bliskich socjalnie knajaków i pospolitaków od socjalnie beznadziejnych facetów z Pięćdziesiątki Ósemki.

Wszystko to było jedynie częścią jeszcze wspanialszego, wielkiego planu Umocnienia Zaplecza (sama nazwa już wskazuje, że Stalin czynił przygotowania do bliskiej wojny). Utworzone zostały Obozy Specjalne⁸. Miały szczególny regulamin — nieco mniej surowy niż na katordze w okresie początkowym, lecz ostrzejszy niż w obozach zwykłych.

Aby lepiej zaznaczyć różnicę, dano tym obozom nazwy nie związane z miejscowościami, gdzie zostały rozłusowane, lecz fantastyczne i poetyckie. Utworzono więc: Gorłag (obóz górniczy) w Norylsku, Bierłag na Kołymie, Minłag (obóz mineralny) nad Intą, Rieczłag nad rzeką Pieczorą, Dubrowłag w Pot'mie, Oziertag w Tajszecie, Steplag, Pieszczanłag i Ługłag w Kazachstanie, Kamysłag w okręgu Kiemerowskim.

W obozach ITł krążyć poczęły ponure pogłoski, że Pięćdziesiątkę Ósemkę przeniosą do Specobozów tylko po to, by ją tam zlikwidować. (Ani zwierzchności, ani ofiarom nie przychodziło, rzecz jasna, do głowy, że ten sam efekt może mieć po prostu wrzepienie ludziom po byle jakim nowym wyroku).

Zakipiata robota w URCz⁹ i w oddziałach operacyjnych. Układano tajne spisy i wożono je gdzieś dla uzgodnienia. Następnie przyjeżdżały długie zestawy czerwonych wagonów, otaczały je dziarskie kompanie konwojentów z czerwonymi epoletami, automatami, psami i młotkami na długich styliskach — i oto już wrogowie ludu, wywoływani według listy, bez dyskusji i apelacji porzucać musieli swoje baraki, aby jechać na daleki etap.

Ale wywoływano nie wszystkich z artykułu 58. Później dopiero, porównując znane sobie osoby i wypadki, więźniowie zrozumieli, kogo zostawiono z pospolitakami na wyspach ITł. Został „czysty” artykuł 58/10, to znaczy skazani za zwykłą agitację antysowiecką. Zwykłą — to jest solową, nie kierowaną przeciw nikomu konkretnie, z nikim nie związaną, uprawianą jakby w malignie. (I chociaż nie sposób prawie wyobrazić sobie podobnych agitatorów, miliony ich zostały zarejestrowane i pozostawione na starych wyspach GUŁagu). Jeśli zaś agitatorzy działali we dwójkę lub w trójkę, jeśli mieli choćby cień skłonności do wzajemnych zwierzeń, do nawoływania się albo chóralnych produkcji, wówczas otrzymywali tzw. dodatek: 58-11, „punkt grupowy” — i jako drożdże antysowieckich or-

Porównaj — Specobozy z 1921 roku. URCz — dział ewidencji i dystrybucji robót.

33

ganizacji jechali teraz do Obozów Specjalnych. Rzecz jasna, jechali tam również zdrajcy (58-1 „a” i „b”), burżuazyjni nacjonaliści i separatyści (58-2), agenci burżuazji międzynarodowej (58-4), szpiegdy (58-6), dywersanci (58-7), terroryści (58-8), szkodnicy (58-9) i winni sabotażu gospodarczego (58-14). Łatwo było w tym tłumie znaleźć miejsce dla takich jeńców niemieckich (Minłag) i japońskich (Oziertag), których miano trzymać w niewoli również po 1948 roku.

W obozach ITŁ pozostali natomiast skazani za niezłożenie donosu (58-12) i ukarani za okazywanie pomocy nieprzyjacielowi (58-3). Skądinąd zaś katorżnicy, skazani właśnie za kolaborację z wrogiem, jechali teraz do Specobozów razem z innymi. Podział miał jeszcze głębsze podteksty, niż zdołaliśmy tutaj wyłuszczyć. Wedle niepojętych jakichś kryteriów pozostawiono w systemie ITŁ, na przykład, zdrajczynie z 25-letnimi wyrokami (Unżtag), a nawet gdzieś tam całe podobozy, pełne samej Pięćdziesiątki Ósemki z domieszką wła-sowców i niemieckich policajów — nie Specobozy, bo bez numerów, ale z ostrym reżymem (np. Krasnaja Glinka nad Wołgą, pod Samarą albo obóz Tuim w rejonie Szyryrskim w Chakassji czy też obóz południowosa-chaliński). Obozy te okazały się bardzo surowe. Życie w nich nie było łatwiejsze niż w Specobozach.

Aby zaś Wielka Segregacja Archipelagu nie została zmącona w przyszłości, w 1949 roku zadekretowano, aby każdy nowy tubylec przed przeniesieniem z Kontynentu otrzymywał razem z wyrokiem decyzję (okręgowego bezpieczeństwa i prokuratury), wpisaną do akt więziennych, a ustalającą raz na zawsze w jakich mianowicie obozach dany facet ma karę odsiadywać.

Tak oto, na wzór ziarna co umiera, aby dać życie nowej roślinie, ziarno stalinowskiej katorgi przedzierzgnęło się w bylinę Specobozów.

Czerwone pociągi przewiozły nowy kontyngent magistralami kraju i Archipelagu. A w obozie nad Intą po prostu przepędzono całe stado z jednej zagrody do drugiej.

Czechów utyskiwał, że brak u nas „prawniczej definicji, czym jest katorga i na co właściwie się zdała”.

Ale działało się to jeszcze w oświeconym wieku XIX! W połowie zaś jaskiniowego wieku XX już niepotrzebne nam były definicje. Ojczulek zdecydował, że ma być tak, i to starczyło za wszystkie prawnicze określenia.

My zaś tylko kiwamy głowami ze zrozumieniem.

II

PIERWSZY PODMUCH REWOLUCJI

Gdym zaczął odsiadywać mój wyrok, zgnębiony jego nieprzejrzaną długością i ogłuszony pierwszym zetknięciem ze światem Archipelagu — nie mogłem uwierzyć, że zdołam się kiedykolwiek ukradkiem rozprostować, że w miarę upływu lat, krok po kroku wspinając się na niewidzialny szczyt Archipelagu, niczym na hawajską Mauna-loa, potrafię z tej wyżyny spokojnym już spojrzeniem ogarnąć przestrzenie Archipelagu i że nawet zdraдлиwy ocean zacznie mnie pociągać swoim migośliwym blaskiem.

Środkowy okres kary spędziłem na złotej wysepce, gdzie więźniów karmiono i poiono do syta, gdzie było czysto i ciepło. W zamian za to wszystko wymagano jedynie, by człowiek siedział przy biurku dwanaście godzin i starał się dogodzić zwierchności.

Ale raptem przestało mnie bawić ciągłe dbanie o zachowanie tych przywilejów!... Już czułem całkiem nowy przedsmak więziennego życia. Przypominając sobie dobre rady, dawane mi niegdyś przez wędrownego specę z Krasnoj Presni „byle tylko nie być poślany na ogólne!, starać się o to za wszelką cenę!”. Cena, którą tu musieliśmy płacić, była niewspółmierna z tym, co dawano nam w zamian.

Więzienie pozwoliło rozwinąć się moim pisarskim skłonnościom, tej nowej namiętności poświęcałem teraz każdą chwilę, przestałem zaś przykładać się do zasadni-

czej mojej pracy. Możliwość rozprostowania grzbietu wydała mi się ważniejsza od śmietankowego masła i cukru.

I oto kilkorgu z nas dano możliwość owego „rozprostowania się”, wysyłając nas etapem do Specobozów.

Wieziono nas tam długo, przez trzy miesiące (konnym zaprzęgiem

35

w XIX wieku zdążyłby człowiek prędejj). Wieziono nas tak długo, że sama podróż stała się niejako osobnym etapem życia; sądzę, że w jej trakcie zmienił się mój charakter i zmieniły się moje poglądy.

Droga nasza zaczęła mi się od razu wydawać czymś obiecującym, odświeżającym i pełnym znaczeń. Twarze smagał nam rzeźwy i coraz to mocniejszy powiew katorgi i wolności. Zewsząd przybywali ludzie i nawijały się zdarzenia świadczące, że to my, my, my mamy rację, że prawda świadczy za nami, nie zaś za naszymi sędziami i strażnikami.

Znane od dawna Butyrki powitały nas rozdzierającym krzykiem kobiecym, dochodzącym zapewne z okna jakiejś izolatki: „Ratunku! Na pomoc! Morduj! Morduj!”; wrzask urwał się nagle, zdusiły go strażnicze łapy.

Na butyrskim „dworcu” przemieszczano nas z nowym narybkiem, który trafił do sieci w 49. roku. Ci ludzie mieli jakieś śmieszne wyroki — nie zwykłe dychy, tylko ć w i a r y. Kiedy podczas apelów, a było ich bez liku, musieli meldować datę końca odsiadki, brzmiało to jak złośliwy żart: „do października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego”, „do lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego!”. Zdawało się, że takich wyroków nikt nie potrafi odsiedzieć. I od razu musiało się myśleć o nożycach do cięcia drutu kolczastego.

Już same te dwudziestopięcioletnie wyroki powodowały zmiany w świecie więziennym. Władza wypaliła do nas ze wszystkich posiadanych luf. Teraz była kolej na nas, na odpowiedź więźniów — już swobodną, nieskrępowaną, nie muszącą już liczyć się z żadną nową groźbą, na tę właśnie odpowiedź, do której całe życie nie mieliśmy okazji i bez której tak trudno o jasność i jedność.

Już siedząc w stołypince na dworcu Kazańskim w Moskwie, dzięki stacyjnemu głośnikowi usłyszeliśmy wiadomość o wybuchu wojny koreańskiej. Koreańczycy z Północy twierdzili, że padli ofiarą agresji, choć pierwszego już dnia działań, jeszcze przed południem, zdążyli przerwać linię obrony przeciwnika i wdrzeć się na dziesięć kilometrów w głąb jego terytorium. Nawet największy kretyn, jeśli tylko był kiedyś na froncie, potrafił się zorientować, że napastnikiem jest ten, kto pierwszego już dnia posunął się naprzód.

Ta wojna w Korei też wzmogła nasze podniecenie. Buntownicy modlą się o burzę! Przecież bez burzy, bez burzy, bez jakiejś burzy, skazani bylibyśmy na powolne zdychanie!...

Gdy minęliśmy Riazari, wschodzące słońce z taką siłą uderzyło w zakratowane, ślepe okienka wagonu więziennego, że młody konwojent stojący w korytarzu na warcie musiał aż oczy przymrużyć. Konwój, jak to konwój: napchali ci nas po piętnastu na przedział, karmili śledziami, ale

36

przecież roznosili wodę i prowadzili do klozetu wieczorem i rano. Nie byłoby więc powodów do tarć, gdyby właśnie ten chłopak nie rzucił nieopatrnie, bez żadnej nawet złości, że jesteśmy wrogami ludu.

I tu się zaczęło! I z naszego przedziału, i z sąsiedniego, zaraz się posypało:

„Wrogowie ludu? My? A dlaczego w kołchozach die ma co żreć?”.

„Tyś sam chłopak wsiowy, z oczu ci to patrzy, a na pewno zostaniesz nadterminowo na tej psiej twojej służbie, bo wcale ci nie pilno do domu wracać, ziemię orać!?”.

„Skorośmy wrogowie, to dlaczego musieliście przemalować więzienne karetki? Wrogów lepiej wozić na pokaz!”.

„Ej, synku! Moich dwóch, takich jak ty, z wojny nie wróciło — a ja wróg, co?!”.

Niczego podobnego już od dawna nikt nie ośmielał się wołać przez kraty! Wszystko, cośmy wykrzykiwali, były to rzeczy najprostsze, zbyt oczywiste, aby można im było przeczyć.

Do speszzonego chłopaka przyłączył się sierżant z kadry, ale nikogo nie zabrał do karceru, nie zaczął zapisywać nazwisk, próbował tylko pomóc swojemu podkomendnemu przy użeraniu się z nami. Wydawało nam się, że to też oznaka jakichś zmian, jakichś nowych czasów. Chociaż jakie tam „nowe” czasy mogły być w 1950 roku! — nie, to były oznaki nowych stosunków w świecie więziennym, skutki wprowadzenia nowych kar i nowych obozów politycznych.

Nasz spór przybrał postać istnego turnieju argumentów. Chłopaki z eskorty patrzyli na nas nowym okiem i już nie ośmielali się wymyślać od wrogów ludu nikomu z naszych dwóch przedziałów. Usiłowali parować nasze okrzyki, cytując jakieś formułki z gazet czy z godzin szkolenia ideologicznego, ale sami czuli — chyba nie na rozum, na sam słuch — że te frazesy trącq fałszem.

— Patrzcie, chłopaki! Patrzcie przez okna! — powtarzaliśmy im. — Patrzcie, do czegoście Rosję doprowadzili!”.

A za oknami przesuwiał się kraj tak obszarpany, zgniłą słomą kryty, walący się, zabiedzony (jechałismy szlakiem na Ruzajew, gdzie cudzoziemców się nie puszcza), że gdyby Batu-Chan zobaczył ten brud i nędzę — pewno by wcale nie zechciał takiego kraju zdobywać.

Na cichym przystanku Torbiejewo zobaczyliśmy starca, człapiącego w łapciach przez peron. Stara chłopka zatrzymała się pod naszym oknem z opuszczoną klapą przez podwójną kratę — zewnętrzną i wewnętrzną długo, bez jednego ruchu, patrzyła na nas stłoczonych na górnej półce.

37

Wpatrywała się tym spojrzeniem, jakim z dawien dawna nasz lud patrzy na swoich „nieboraków”. Nierychliwe łzy ściekały jej po policzkach. Stała tak przygarbiona i tak patrzyła, jakby to jej syn leżał z nami na jednej półce. „Nie ma się co tu gapić, matulu” — powiedział do niej konwojent półgłosem. Nawet głowy nie obróciła. U jej boku stała dziewczynka, może dziesięcioletnia, z białymi wstążeczkami w warkoczykach. Dziewczynka przyglądała się nam z uwagą i frasobliwością, jakby nie-dziecinną, oczyma szeroko otwartymi, bez mrugnięcia; tak patrzyła, że —jak myślę— utrwaliła w sobie ten widok na całe życie. Pociąg ruszył bez szarpnięcia, starucha podniosła poczerwiałe palce i solennie, bez pośpiechu, przeżegnała nas.

Na innej znów stacji jakaś dziewczyna w sukience w groszki, wcale się nie krępując, bez żadnego lęku podeszła pod samo nasze okienko i z ożywieniem jęła nas wypy-

tywać z jakiego artykułu nas skazano i jakie mamy wyroki. „Ruszaj stąd!” — krzyknął na nią wartownik z platformy. „A co ty mi możesz zrobić? Jestem z tej samej paczki! Na, masz tu papierosy, daj tym chłopakom!” — i wyjęła z torebki pudełko (jużemy się domyślili: ta dziewczyna odsiedziała swoje. Ileż to takich dziewczuch, krążących po Rosji wśród wolniaków, przeszło już swój staż na Archipelagu!). „Ruszaj stąd! Bo też pójdziesz siedzieć!” — wyskoczył z wygonu pomocnik szefa konwoju. Zerknęła z pogardą na jego kaprałskie czółko. „A idźże ty na chuj, mendo!”. I jeszcze zawołała, żeby nam dodać odwagi: „Możecie mieć ich w dupie, chłopaki!”. Dopiero potem oddaliła się z godnością.

Taka to była nasza podróż i nie sądzę, aby nasi konwojenci uważali się za straż ludową. Jechaliśmy i coraz bardziej upewnialiśmy się, że z nami jest i racja, i cała Rosja — i że czas już zrobić koniec, koniec z tą całą zabawą.

W Kujbyszewskim więzieniu etapowym, gdzieśmy siedzieli ponad miesiąc, też nie mało cudów człowiek zobaczył. Z okien sąsiedniej celi nagle doszły nas histeryczne, rozpaczliwe kwiki knajaków (ich lamente też brzmiały jakoś wstrętne i piskliwie): „Ratunku! Ludzie, ratujcie! Faszyści tu nas leją, faszyści!”.

Coś niestychanego! „Faszyści” biją szemranych? Dawniej zawsze bywało odwrotnie.

Ale wkrótce dochodzi do przetasowania w celach i dowiadujemy się, że nie ma żadnych cudów, że to dopiero pierwsza jaskółka — Paweł Boro-niuk; piersi jak żarna, łapy jak konary, zawsze gotowe i do uścisku, i do ciosu — czarniawy, z orlim nosem, wyglądający raczej na Gruzina niż na Ukraińca. Paweł jest oficerem liniowym, operując swoim zenitowym ceka-emem wytrzymał pojedynek z trzema meserszmitami; miał już dostać tytuł bohatera ZSSR, ale specwydział odrzucił wniosek; posłany do karnej kom-

38

panii, wrócił stamtąd z orderem; teraz wlepili mu dychę, według nowych norm to „dziecinny wyrok”.

Kim są knajacy zrozumiał, gdy wiezono go tu z więzienia w Nowogrodzie Wołyńskim, już bił się z nimi. A teraz leżał sobie spokojnie na górnych pryczach grał w szachy. W celi siedziała wyłącznie Pięćdziesiątka Ósemka, ale administracja dokwaterowała dwóch fetniaków. Jeden z nich,

0 przezvisku „Fiksat”, niedbale paląc „białomora” i zmierzając do pryczy pod oknem, aby rozwalić się na miejscu przysługującym mu „prawnie”, tak sobie zażartował: „No, miałem przecucie, znów muszę siedzieć z bandytami!”. Naiwny Wielijew, nie mający jeszcze doświadczenia z knajakami, sprostował: „Nie bój się, my tu wszyscy z Pięćdziesiątego Ósmego! A ty?”.

— „A ja defraudant, człowiek kulturalny!”. Knajacy przepędzili jakichś dwóch politycznych, cisnęli swoje sidory na „przysługujące” im miejsca

1 rozpoczęli wizytację celi, bobrując w cudzych workach i szukając zaczepki. A Pięćdziesiątka Ósemka — nic! Wcale nie była jeszcze „nowa”, nikt nawet nie pisał. Sześćdziesięciu mężczyzn czekało pokornie na swoją kolej, na grabież ich ostatnich rzeczy. Jest coś paraliżującego w tej czelności knajackiej, jakiś fluid, wykluczający wszelki sprzeciw. A także pewność, że zwierzchnicy są po ich stronie.

Boroniuk dalej przestawiał sobie szachowe figury, ale już wiercił groźnie swoimi oczyskami i kalkulował w myśli, jak tu rozegrać bitkę. I kiedy jeden z knajaków za-

trzymał się przed jego pryczą, Paweł, pótleżąc ze zwieszonymi nogami, dał mu z rozmachu kopa w mordę ciężkim buciorem, zeskoczył z góry, złapał grubą, drewnianą pokrywę kibla i ryknął nią po łbie drugiego fetniaka. Grzał ich tak po kolei tą pokrywą, póki się nie rozleciała, a trzymała się na krzyżownicy z drążków trzycalowej grubości. Knajacy zaczęli lamentować, ale przyznać trzeba, że w ich żałosnych krzykach był też element humoru, z tego nie rezygnują: „Co ty wyprawiasz? Krzyżem ludzi lejesz?”. „Taki siłacz — i żeby człowieka krzywdzić”. Ale Boroniuk wiedział ile są warci, nie przestawał ich łupić, i wtedy właśnie jeden z knajaków rzucił się w stronę okna z kwikiem: „Ratunku, faszyści nas biją!”.

Szemrani nie zapomnieli tej wciry i jeszcze parę razy próbowali zastraszyć Pawła: „Jedzie od ciebie trupkiem! Jak do parku sztywnych — to tylko razem!”. Ale więcej już nie brali się do zaczepiek.

Z sukami też nasza cela wkrótce się pożarła. Wyprowadzono nas na spacer połączony z wizytą w latrynie i strażniczka przysłała jakiegoś ze-psiałego typka, żeby nas przepędził z klozetu. Typiek zabrał się do tej roboty rażno, ale jego chamstwo (w stosunku do „politycznych”!) tak oburzyło młodziutkiego, nerwowego, niedawno dopiero skazanego Wołodę Gerszuni, że zaczął s u l ę besztać. W odpowiedzi sukiny zbił chło-

39

paka jednym ciosem z nóg. Dawniej Pięćdziesiątka Ósemka przetknęłaby to gładko, ale teraz Maksym (Azerbejdżanin, który zatłukł przewodniczącego swojego kołchozu) rzucił w sukinsyna kamieniem, zaś Boroniuk dołożył mu pięścią po pysku. Ten ciachnął Boroniuka nożem (pomocnicy strażników chodzą z nożami, to u nas nikogo nie dziwi) i uciekł pod opiekę nadzorców. Boroniuk popędził za nim. Zaprowadzono nas niezwłocznie do celi i wkrótce zjawili się oficerowie straży, aby ustalić k t o i straszyć nas domiarem do wyroku za bandytyzm (enwudziści do swoich suk zawsze odnoszą się z serdeczną troską). Boroniuk cały spłoszował, wystąpił z szeregu i krzyknął: „Ja tych drani zawsze biłem i będę bić, póki sił starczy!”. Więzienny kum ostrzegł nas życzliwie, że my jako kontrrewolucjoniści nie mamy żadnego prawa unosić się pychą i że bezpieczniej dla nas będzie trzymać jęzor za zębami. Wołodzia Gerszuni, jeszcze prawie dzieciak, bo wzięty z pierwszego roku uniwersytetu, nie imiennik, lecz rodzony bratanek słynnego Gerszuni, szefa organizacji bojowej eserów — zapiał wtedy jak kogucik, prosto w nos kumowi: „Nie wściekajcie się nazywać nas kontrrewolucjonistami! Już nie te czasy! Teraz znów jesteśmy re-wo-lu-cjo-nis-tami! Tylko przeciw sowieckiej władzy!”.

Ale wesoło! Aleśmy się doczekali! A więzienny kum — tylko brwi marszczy i nadyma się, a wszystko łyka. Nikogo nie posyła się do karceru, oficerowie straży niestawnie się wycofują.

A więc tak też można żyć w więzieniu? — bić się? — odgryzać się? — mówić głośno to, co się myśli? A ileż lat znosiliśmy to w milczeniu, bez żadnego sensu. Kto płacze, tego łatwiej bić — głośni przysłówie. Płakaliśmy, więc też nas bito!

Teraz, w nowych, legendarnych już obozach — do których nas wiozą — gdzie człowiek staje się numerem, jak u hitlerowców, ale gdzie siedzieć mają nareszcie sami polityczni, bez kryminalnego namotu — może więc tam zacznie się takie właśnie życie? Czarnooki, małowato blady, wynędzniały Wołodzia Gerszuni mówi z nadzieją w głosie: „Przejdziemy do obozu i tam zaraz zorientujemy się, z kim mamy „trzymać”. Tak, jakby nam ten wybór był dany! Tak, jakby nie zostało to już zdecy-

dowane — za nas — przez tych, co dla każdej republiki związkowej planowali cyfry aresztowań i tych, co wyznaczali ludzi na etap.

W naszej długachnej celi — niegdyś była to stajnia, zamiast żłobów z obu stron stoją wzdłuż ścian dwupiętrowe prycze, w przejściu rząd krzywych słupków podpira zmurszały dach, grożący zawaleniem, a okienka też są typowo stajenne, tyle tylko z nich światła, żeby trafić widłami z sianem do żłobu (a teraz zasłonięto je jeszcze żelaznymi kagańcami) — otóż w naszej celi jest koło stu dwudziestu więźniów i to najrozmaitszego auto-

40

ramentu. Więcej niż połowa — to mieszkańcy krajów nadbałtyckich, ludzie niewykształceni, zwykli chłopi. W ich krajach ojczystych trwa już druga czystka. Pakują za kraty i deportują wszystkich, którzy nie chcą dobrowolnie iść do kołchozów albo sprawiają takie wrażenie. Następnie — jest tu sporo Ukraińców z dawnych polskich ziem, członków OUN¹, a także tych, którzy choć raz udzielili komuś z nich noclegu czy dali kawałek chleba, dalej — są rdzenni Rosjanie z RSFSR, ale niewielu wśród nich nowych, większość to recydywiści. No i, rzecz jasna, pewna liczba cudzoziemców.

Wszystkich nas wiozą do tego samego obozu (dowiadujemy się, że ma to być Steplag). Obserwuję tych, z którymi los mnie złączył i staram się ich poznać lepiej. Szczególnie mi są mili Estończycy i Litwini. Chociaż siedzę tu w tym samym charakterze co oni, wstyd mi przed nimi tak, jakbym ja ich tu wpakował. Niezepsuci, pracowici, rzetelni, powściągliwi — dlaczego oni też idą na przemiał, dlaczego trafili między te same przekłute żarna, za co im się to należy? Nie wadzili nikomu, żyli sobie spokojnie, więcej było u nich porządku niż u nas, sami są od nas porządniejsi — i oto skazano ich za to, że nam chce się żreć, że mieszkają pod naszym bokiem i odgradzają nas od morza.

„Wstyd teraz być Rosjaninem!” — zakrzyknął Herzen, kiedyśmy dusili Polskę. Po-dwójnie mi teraz wstyd przed tymi ludźmi, nieskornymi do bitki i bezbronnymi. Mój stosunek do Łotyszów jest nieco bardziej skomplikowany. W ich przypadku spełnia się jakieś fatum. Toć sami też to pole zasiewali.

A Ukraińcy? Już dawno nie używamy terminu „ukraińscy nacjonałiści”. Mówi się o nich teraz „banderowcy” i słowo to stało się takim wyzwiskiem, że nikt nawet nie stara się wnikać w jego treść. (Mówi się też prościej „bandyci”, wedle tej, powszechnie przyjętej, zasady, że wszyscy, którzy zabijają w naszym imieniu to „party-zanci”, wszyscy zaś, którzy zabijają nas — to „bandyci”, poczynając od tambowskich chłopców, co podnieśli bunt w 1921 roku).

A chodzi w istocie o to, że — chociaż niegdyś, w epoce Rusi Kijowskiej, stanowiliśmy jedną wspólnotę narodową, przecież w międzyczasie więzy się rozsprzęgły i przez całe wieki na rozmaitą modłę kształtował się nasz sposób bycia, kształtowały się nasze obyczaje, nasze języki. Tak zwane „zjednoczenie” było nadzwyczaj trudną — chociaż może i szczerą w czyichś

Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów.

41

intencjach — próbą nawrotu do dawnego braterstwa. Ale trzy stulecia, które od tej chwili minęły, poszły właściwie na marne. Brak było w Rosji działaczy, którzy potrafiliby zastanowić się skutecznie, jak tu z Ukraińców i Rosjan uczynić prawdziwą

rodzinę, jak sprawić, aby zniknęły dzielące ich szramy. A toż gdyby tych szram nie było, wiosną 1917 roku nie powstałyby na Ukrainie komitety narodowe, a później Centralna Rada. Podczas rewolucji lutowej domagali się oni zresztą tylko stworzenia federacji; nikt wtedy nie chciał się separować i ten ostry rozdźwięk powstał w miarę upływu lat pod znakiem komunizmu. Bolszewicy — przed zagarnięciem władzy — mieli do kwestii ukraińskiej podejście jednoznaczne. W «Prawdzie» z 7 czerwca 1917 roku Lenin pisał: „Traktujemy Ukrainę, podobnie jak inne obszary, nie zamieszkałe przez rdzenną ludność rosyjską, jako terytoria zaanektowane przez rosyjskich carów i kapitalistów”. Napisał to w momencie, gdy istniała już Centralna Rada, 2 zaś listopada 1917 roku uchwalona została „Deklaracja Praw Narodów Rosji”, przy czym — nie dla kawału przecież?, nie po to by ludzi mamić? — oznajmiono w niej, że narody Rosji mają prawo do samostanowienia — włącznie z możliwością wystąpienia ze wspólnoty. Minęło pół roku — i rząd sowiecki poprosił kajzerowskie Niemcy o pomoc w sprawie zawarcia z Ukrainą pokoju i wytyczenia granic. 14 lipca 1918 roku Lenin podpisał taki traktat pokojowy z hetmanem Skoropadskim. Uznał w ten sposób, że pogodził się z faktem oderwania Ukrainy od Rosji i nie dbał, że chodziło o Ukrainę monarchiczną!

Ale dziwna rzecz. Zaledwie tylko Niemcy skapitulowali przed Ententą (co nie mogło jednak mieć wpływu na stronę zasadniczą naszego stosunku do Ukrainy), ledwie tylko stracił — skutkiem tego — władzę pan hetman, ledwie tylko okazało się, że jesteśmy mocniejsi niż Petlura, natychmiast bolszewicy przekroczyli uznaną przez nich samych granicę i narzucili swoją władzę owym rodzonym braciom. Co prawda, jeszcze przez jakieś piętnaście, dwadzieścia lat po tym akcie usilnie i nawet demonstracyjnie bawili się w popieranie ukraińskiej mowy wmawiając braciom, że są całkiem niezawisli i że mogą oderwać się od ZSSR, kiedy tylko zechcą. Ale gdy tylko przyszła im na to chęć pod koniec wojny — oznajmili, że ci, co do tego dążą, to „banderowcy” i jeśli ich tropić, wytapywać, torturować, rozstrzeliwać i wysyłać do obozów. (A „banderowcy”, podobnie jak „petlurowcy”, to jedynie tacy Ukraińcy, którzy nie życzą sobie obcej władzy. Przekonawszy się, że Hitler wcale nie zamierza przyznać im obiecanej wolności, zaczęli walkę również z hitlerowcami i robili to aż do końca wojny, ale u nas ten fakt się przemilcza, bo to nam nie na rękę, podobnie jak Powstanie Warszawskie w 1944 roku).

Dlaczego tak drażni nas ukraiński nacjonalizm, ta chęć naszych braci,

42

aby mówić po ukraińsku, uczyć dzieci po ukraińsku i wypisywać na szyldach ukraińskie nazwy. Nawet Michał Bułhakow (w swojej Białej gwardii) nie ustrzegł się tu przed mylną interpretacją. Skoro nie doszło do pełnego zlania się w jedną całość etniczną, skoro są jednak różnice między nami a nimi (wystarczy, że odczuwają je oni, ci młodsii!) to trudno, to fakt, chociaż przykry! Ale skoro tak jest i skoro tyle okazji zmarnowano — a najwięcej w latach 30. i 40.; do największych zaognień doszło nie za cara, lecz za komuny — to dlaczego tak nas gniewa ich chęć oderwania się od nas? Tak żał nam plaż pod Odessą?, czerkaskich owoców?

Pisanie o tym wszystkim sprawia mi ból: składniki ukraińskie i rosyjskie przemieszały się w mojej krwi, w sercu i myślach. Ale długie i przyjazne współżycie z Ukraińcami w obozach pozwoliło mi zrozumieć, jak ich to wszystko boli, jakie to już nieznośne dla nich. Nasze pokolenie będzie musiało płacić za błędy poprzednich generacji.

Tupnąć nogą i krzyknąć „to moje” — najprostszy to sposób. O całe niebo trudniej jest powiedzieć: „niech każdy żyje, jak chce!”. Zadziwiające, ale wcale się nie sprawdziły przepowiednie Przodującej Doktryny, przewidujące zanik nacjonalizmu. Nie wiedzieć czemu, rozkwitł on właśnie w epoce atomu i cybernetyki. I nadchodzą czasy, w których to my, chcąc nie chcąc, będziemy musieli spłacić wszystkie weksle, opiewające na samostanowienie i niepodległość innych — my sami, nie czekając aż nas zaczną palić na stosach, topić w rzekach i ścinać nam łby. Że jesteśmy wielkim narodem — powinniśmy udowodnić nie ogromem podległych nam obszarów, nie ilością podporządkowanych nam narodów, ale wielkością naszych czynów. I głębokością orki na ziemiach, które zostaną nam po odejściu tych, co nie zechcą żyć razem z nami.

Bardzo bolesna będzie dla nas sprawa ukraińska. Ale trzeba zrozumieć, jaka już gorączka Ukraińców trawi. Jeśli zbratanie nie udało się w ciągu tylu stuleci — to teraz kolej na nas, aby dać przykład rozsądku. Powinniśmy pozostawić wybór im samym. Im, federalistom czy separatystom, niech tam między sobą zadecydują, kto z nich ma rację. Upierać się przy swoim, to i głupie, i okrutne. Im więcej przejawimy teraz ustępliwości, tolerancji i otwartości, tym większa jest nadzieja, że uda się nam w przyszłości odbudować naszą jedność.

Niech spróbują samodzielnego życia. Zapewne szybko zdadzą sobie sprawę, że separacja nie wszystkie problemy rozwiąże².

2 W różnych okręgach Ukrainy rozmaita jest liczba tych, co uważają się za Rosjan, tych co mają się za Ukraińców i takich, co nie mają na ten temat zdania. Wyniknie stąd mnóstwo komplikacji. Może się okazać, że w każdym okręgu trzeba będzie przeprowadzić osobny plebiscyt, aby później odnieść się ze szczególną troskliwością i uwagą do tych,

43

Dziwne to jednak, długo już siedzimy w tej stajennej, podłużnej celi — a jakoś nas nie wysyłają do Stepażu. Ale nas też nic nie pili: tu nam całkiem wesoło, a tam — może być tylko gorzej.

Co dzień — to nowina, bo też co dzień przynoszą nam do celi jakąś kartowaną gazetkę i to ja właśnie muszę czytać ją na głos. Czytam bardzo wyraziście, bo i wiadomości zasługują na to.

Akurat przypada dziesiąta rocznica wyzwolenia Estonii, Łotwy i Litwy. Ten i ów zna tu rosyjski, więc tłumaczy na chybcika pozostałym (robię odpowiednie pauzy w czytaniu), a ci wyją, no, po prostu wyją na wszystkich pryczach dolnych i górnych, słysząc, jaka to w ich krajach zapanowała wolność, jakiego to dobrobytu doczekali się wreszcie, po raz pierwszy w dziejach. Każdy z tych Bałtów (a stanowią przynajmniej trzecią część wszystkich mieszkańców zborniaka) zostawił za sobą zrujnowany dom, a jeśli miał szczęście — to również osamotnioną rodzinę, ale najczęściej - - rodziny też jadą na Sybir, tylko innym transportem.

Jednak największe podniecenie wśród moich towarzyszy niedoli budziły wieści z Korei, to oczywiste. Stalinowski blitzkrieg spalił tam na panewce. Już zjeżdżali się zewsząd ochotnicy do oddziałów ONZ. My zaś uważaliśmy Koreę za Hiszpanię trzeciej wojny światowej. (Zresztą, tak ją też widział Stalin, jako próbę generalną). Te oddziały ONZ budzą w nas podziw osobliwy: to jest dopiero sztandar! — kto by pod nim nie chciał stanąć? Wzór dla przyszłej wszechludzkiej wspólnoty!

Tak bardzo czuliśmy się przytłoczeni, że nie potrafiliśmy już podnieść oczu ponad horyzont naszego nieszczęścia. Nie mogliśmy zdobyć się na takie, dajmy na to, rozumowanie: dobrze, niech przyjdzie na nas zguba, byle tylko włos z głowy nie spadł tym, co z sytą obojętnością patrzą teraz, jak my giniemy. O nie, pragnęliśmy nawałnicy!

Ach, dziwi was to i oburza? Że cynizm, że desperacja? Że nie pomyśleliśmy nawet, ile nieszczęść zwałiłoby się na całą, ogromną resztę ludzi wolnych? — Ale ta reszta o n a s w ogóle się nie troszczyła! — Więc jak to, faktycznie życzyliście sobie trzeciej wojny światowej?! — Toć skazując w roku 1950 tych wszystkich ludzi na kary, kończące się dopiero

którzy zechcą zmienić miejsce zamieszkania. Nie cała Ukraina, w jej dzisiejszych sowieckich granicach, jest Ukrainą rzeczywistą. Niektóre okręgi Zadnieprza bezwzględnie ciągną ku Rosji. A już Krym przysobaczył Chruszczow do Ukrainy w ogóle bez cienia sensu. A Ruś Zakarpacka? To też będzie okazja do próby ognia: żądając dla siebie sprawiedliwości, czy zdobędą się Ukraińcy na taką samą sprawiedliwość wobec mieszkających w Karpatach Rosjan?

44

w połowie lat 70. — jakież jeszcze inny wybór im daliście, czegoż jeszcze mieli sobie życzyć, jeśli nie wojny światowej?

Dziś mnie samego przejmują zgroza na myśl o naszych ówczesnych nadziejach, równie zgubnych, co zwodniczych. Powszechne zniszczenie, śmierć atomowa — to nie jest żadne wyjście, to nikomu nic nie da. Zresztą, co tam wojna jądrowa; wszelka wojna jest na rękę przede wszystkim tyranii wewnętrznej, stanowi dla niej usprawiedliwienie, zwiększa jej ciężar. Ale ta moja historia uległaby skażeniu, gdybym nie powiedział z całą szczerością co czuliśmy tamtego lata.

Oczekiwanie na nową wojnę było zmorą, która zatruta młodość pokolenia Romain Rollanda, zmorą zaś naszego pokolenia było to, że wojna nie nadchodziła — i tylko zdając sobie z tego sprawę, będziecie znać całą prawdę o duchu panującym w specobozach politycznych. Do tego stopnia byliśmy zaszczuci. Wojna światowa mogła nam przynieść jedno z dwojga: albo szybką śmierć (mogli nas wystrzelać do nogi wartownicy z wieżyczek czy wytruć zakażonym chlebem, jak to praktykowali Niemcy), albo wolność mimo wszystko. W obu wypadkach — lepsze to, niż czekanie na koniec kary aż do 1975 roku.

Na to też liczył Pietia P-w. Ów Pietia był w naszej celi ostatnim przybyszem z Zachodu. Zaraz po wojnie wszystkie więzienia pełne były po brzegi tych Rosjan, wracających z Europy. Ale tamci dawno już gniją w obozach albo gryzą ziemię, reszta zaś — za Boga nie da się namówić do powrotu, więc ten skąd się tu wziął? Wrócił dobrowolnie w listopadzie 1949 roku, kiedy normalni ludzie już dawno nie wracali. Wojna zastała Pietię pod Charkowem, gdzie uczył się w szkole rzemieślniczej. Wzięto go do tej szkoły przymusowo, z mobilizacji. Tak samo z musu znalazł się w Niemczech. Niemcy wywieźli całą szkolną gromadkę. Aż do końca wojny był więc Ostarbeiterem w Niemczech, tam też uformowały się jego poglądy: grunt to łatwe życie, niech licho weźmie harówkę, do której namawiano człowieka od małego. Na Zachodzie, żerując na tamtejszej łatwowierności i słabej ochronie granic, Pietia przemycił kradzione francuskie auta do Włoch, a włoskie do Francji, aby sprzedawać je za pół ceny. Francuzi wysłedzili go jednak i aresztowali. I wtedy Pietia wystosował do sowieckiej ambasady list, wyrażając w nim gorącą chęć powrotu do

ukochanej ojczyzny. Tak to sobie wykalkulował: francuski wyrok trzeba będzie odsiedzieć co do jednego dnia, a mogli wlepić nawet 10 lat. W ZSSR za zdradę kraju dadzą wprawdzie 25, ale już trzecia wojna w powietrzu, Związek Sowiecki nie utrzyma się chyba dłużej niż trzy lata, w sumie więc lepiej iść za sowieckie kraty. Przyjaciele z ambasady zjawili się bez zwłoki i przytulili Pietię do łona.

45

Władze francuskie chętnie pozbyły się złodzieja 3. W ambasadzie zgromadzono już koło trzydziestu ptaszków tegoż (albo zbliżonego) autoramentu. Posłano ich z komfortem, statkiem pasażerskim do Murmańska, pozwolono powataśać się trochę po mieście — i w ciągu jednej doby wyłapano wszystkich po kolei.

W naszej celi Pietia zastępował nam zachodnią prasę (znał wszystkie szczegóły procesu Krawczenki), teatr (bo potrafił zręcznie wybrzdąkać na wargach niejednego zachodni przebój) i kino (opowiadał nam zachodnie filmy, ilustrując relację gestami).

Jak swobodnie czuliśmy się w tym kujbyszewskim zborniaku! Poszczególne cele spotykały się czasem na dziedzińcu i podczas spacerów. Spod okiennego kagańca można było przerzucić się paru słowy z przybyszami, gdy nowy etap pędzono przez dziedziniec. Idąc do latryny, można było nawet podejść do otwartych (to znaczy zakratowanych, ale bez blach) okien baraku rodzinnego, gdzie trzymano kobiety z dziećmi, przeważnie z krajów nadbałtyckich i z Ukrainy zachodniej. Między dwoma celami stajennymi była wąska szpara, zwana „telefonem”; od rana do wieczora tkwił ktoś przy niej, aby podzielić się wieściami z sąsiadem.

Wszystkie te luzy dodały nam jeszcze więcej wigoru, grunt pod naszymi nogami wydał nam się pewniejszy, pod nogami strażników — zdawał się już dymić. I podczas spacerów zadzieraliśmy głowy coraz wyżej, wpatrując się w niebo nad dziedzińcem, rozpalone do białości lipcowym upałem. Nie zdziwilibyśmy się ani nie przestraszyli wcale, gdyby klin obcych bombowców wypetził na to niebo. Tak żyć dalej nie mieliśmy już żadnej ochoty.

Nowo przybyli ze zborniaka Karabas przywieźli wieść, że już tam ponoć pojawiły się ulotki „Mamy tego dosyć!”. Podbijaliśmy sobie nawzajem bębenka takimi opowiastkami. W tym nastroju pewnej upalnej nocy w Omsku, kiedy nas — jak kawały duszonego we własnym pocie mięsa — wpychano i wgniatano do więziennej karetki, zaczęliśmy wrzeszczeć z jej wnętrza: „Poczekajcie, gady! Znajdzie się na was Truman! Spadnie warn na łby atomówka!”. Strażnicy milczeli tchórzliwie. Czuli dobrze, jak nasz nacisk rośnie, a my czuliśmy — jak rośnie w nas poczucie, że to my idziemy prawą drogą. I głód sprawiedliwości tak nas już zadręczył, że wcale nie byłoby nam szkoda życia, gdyby ta sama bomba spalić miała i nas, i naszych katów. Doszliśmy do kresu, do takiego stanu ducha, kiedy człowiek nie ma już nic do stracenia.

3 Podobno z francuskich danych statystycznych, dotyczących mniejszości narodowych, wynika, że między dwiema wojnami światowymi rosyjscy emigranci wyróżnili się wśród innych grup najniższą stopą przestępczości. Po drugiej zaś wojnie światowej — wśród cudzoziemców przebywających we Francji największą liczbę elementów przestępczych znaleźć można właśnie wśród Rosjan, byłych obywateli sowieckich.

46

Gdybym tego nie wyjawiał, nie znalibyście całej prawdy o Archipelagu lat 50. Omskie więzienie, to które poznał Dostojewski, nie jest byle jakim, sklepanym z tarcic gułagowskim zbórniakiem. To groźna turma z czasów Katarzyny, groźne zwłaszcza są jej lochy. Nie sposób wymyśleć lepszej scenerii do filmu niż cela w tych lochach. Kwadratowe okienko jest tylko wyziorem pochyłej studni, wychodzącej tam, w górę, na powierzchnię gruntu. Trzymetrowa głębokość tej studni daje pojęcie o grubości tutejszych murów. W celi nie ma powały, zwisają ciężko murowane stropy. Jedna ściana zawsze wilgotna: wody gruntowe ściekają aż na podłogę. Rano i wieczorem — zawsze tu ciemno, w samo południe — panuje półmrok. Szczurów nie widać, ale zdaje się człowiekowi, że zewsząd bije szczurzy zapach. I chociaż strop nawisł tak nisko, że można do niego gdzieś sięgnąć ręką, nawet tu wstawiono dwupiętrowe prycze, przy czym dolna półka jest już nad podłogą, pół stopy nad ziemią.

Zdawałoby się, że w tej turmie powinny by przygasnąć te mętne, buntownicze nastroje, które rozpanoszyły się wśród nas w kujbyszewskim, rozbałaganionym zbórniaku. Bynajmniej! Wieczorem, przy 15-watowej żarówce, dającej tyle światła co ogarek, staruszek Drozdów, łysy, o zaostrzonych rysach, psalmista odeskiego soboru katedralnego staje we wnęce pod okienną studnią i głosem słabym, w którym jednak wibruje świadomość, że życie gaśnie, śpiewa nam starą pieśń rewolucyjną: Jak zdrada, jak czarne tyrana sumienie

tej nocy jesiennej jest mrok, Lecz jeszcze mroczniejsze od nocy — więzienie co we mgle majaczy o krok.

Śpiewa tylko dla nas, ale choćby nawet krzyczał na głos i tak nikt nie usłyszy. Gdy śpiewa, ostre jabłko Adama rusza mu się rytmicznie pod suchym brązem skóry. Śpiewa, dygocąc cały, wspomina i emanuje z siebie kilka dziesięcioleci rosyjskiego życia i ten jego dreszcz udziela się nam, słuchającym:

Choć cicho tu w krąg, turma nie cmentarz. Więc się strzeż, wartownika, czuj duch'

Taka pieśń w takim więzieniu! Wszystko się zgadza. Wszystko rymuje się z tym, czego oczekuje nasza więźniarska generacja.

4 Szkoda że Szostakowicz, przed skomponowaniem swojej Jedenastej Symfonii, nie wysłuchał tej pieśni tutaj! Albo w ogóle by jej — w takim wypadku — nie napisał, albo postarałby się dać w niej wyraz treściom współczesnym, nie zaś dawno już martwym.

47

Kładziemy się wreszcie na pryczach w tym żółtawym półmroku, w chłodzie i wilgoci. No, a kto nam dziś zasunie romans?

A oto zabiera głos Iwan Aleksiejewicz Spasski — i jest tak, jakby wszyscy naraz bohaterowie Dostojewskiego przemówili wspólnym głosem. Głos to łamiący się, zacinający, niespokojny, wydaje się, że lada chwila przekształci się w płacz, w bolesny krzyk. Najbardziej prymitywna powieść Breszko-Breszkowskiego, typu Czerwonej madonny, brzmi jak pieśń o Ro-landzie, tyle w tym głosie wiary, męki i nienawiści. I mniejsza, czy to prawda, czy puste zmyślenie, ale w pamięć naszą wrzyna się jak epos historia o Wiktorze Woroninie, o tym jak przemaszzerował sto pięćdziesiąt kilometrów, aby znaleźć się w Toledo i jak przebił się do oblężonego Al-kazaru.

Życiorys Spasskiego sam przez się byłby materiałem do niezgorszej powieści. Jeszcze jako chłopak brał udział w kampaniach wojny domowej, od pierwszej do

ostatniej chwili. Wyemigrował do Włoch. Ukończył rosyjską szkołę baletową za granicą, zdaje się — u Karsawinej, a pod okiem pewnej rosyjskiej hrabiny uczył się sztuki snycerskiej (później, w obozie, wszystkich nas zadziwił: sam sobie zrobił miniaturowe narzędzia i wykonywał na zamówienie naczelników mebelki tak misterne, o tak wymyślnych kształtach, że ci tylko gęby z podziwu otwierali; co prawda, taki stoliczek robił dobry miesiąc). Wraz ze swoim zespołem baletowym występował w różnych krajach Europy. Był operatorem włoskiej kroniki filmowej podczas wojny domowej w Hiszpanii. W charakterze majora włoskiego korpusu ekspedycyjnego, pod nazwiskiem Giovanni Paschi (lekko więc retuszowanym), znalazł się latem 1942 roku znów nad Donem jako dowódca batalionu. Tu batalion jego został otoczony, chociaż w zasadzie sowieckie wojska były jeszcze w odwrocie. Spasski chciał bić się do upadłego, ale młodzi Włosi z jego oddziału uderzyli w płacz — chcieli żyć i tyle! Major Paschi zawahał się i w rezultacie wywiesił białą chorągiew. Mógł odebrać sobie życie, ale wielką miał ochotę, aby przyjrzeć się trochę sowieckim ludziom. Poszedłby do zwykłego obozu jeńców i po czterech latach byłby już we Włoszech, jednakże ruska dusza nie zdzierżyła, dała o sobie znać — wygadał się przed oficerami, którzy wzięli go do niewoli. Fatalna omyłka! Skoro człowiek ma nieszczęście być Rosjaninem — powinien to ukrywać jak brzydką chorobę, inaczej biada mu! Najprzód trzymano go przez rok w Łubiance. Następne trzy lata — w międzynarodowym obozie w Charkowie (dla Hiszpanów, Włochów, Japończyków — taki też istniał). I kiedy już odsiedział 4 lata, wlepiono mu jeszcze 25, nie zaliczając tych czterech wcale. Ale jakie tam 25! — w katorżniczym obozie pisany był mu rychły zgon.

Do więzienia w Omsku, a potem w Pawłodarze, trafiliśmy dlatego, że

48

w miastach tych — poważne to przeoczenie — nie było dotąd specjalnych zborniaków. W Pawłodarze — o hańbo! — nie było nawet karetek więziennych i dlatego pędzono nas długim szeregiem od dworca do więzienia, przez pół miasta, wcale nie krępując się przechodniów, zupełnie jak przed rewolucją albo w trakcie pierwszego dziesięciolecia po niej. Dzielnice, któreśmy mijali, pozbawione były jeszcze bruku i wodociągów, parterowe domki tonęły w burym piachu. Miasto co się zowie zaczynało się dopiero od więzienia, piętrowego, białego murowańca. Ale w XX wieku to więzienie nie budziło grozy, lecz dawało poczucie odprężenia, nie strach budziło, lecz śmiech. Przestronny, cichy dziedziniec gdzieś pokryty mizerną trawką i podzielony wcale nie groźnymi płótkami na działki do spacerów. Okna cel na piętrze zakratowane paru prętami na krzyż, bez blach i blińców; można stanąć sobie na parapecie i rozglądać się po okolicy. Pod oknami, między ścianą budynku więziennego a zewnętrznym murem ochronnym, biega sobie ogromne psisko na łańcuchu i czasem szczerkiem głośno ze dwa razy, jeśli coś je wytrąci z równowagi. Ale pies też wcale nie jest więzienny, niestraszy, to nie wilczur tresowany do łapania ludzi, tylko jakiś biało-żółty kudłacz, nieomal pies podwórzowy (jest w Kazachstanie taka rasa), chyba porządnie już stary. Przypomina tych dobroduszych dziadków, strażników obozowych, których swego czasu przeniesiono z armii czynnej i którzy wcale nie ukrywali jaka niemiła im ta psia służba. Dalej, od razu za murem — widać ulicę i kiosk z piwem i wszyscy, którzy tam się kręcą — albo przyszli do więzienia z paczką, albo czekają na zwrot tary. A jeszcze da-

lej widać całe dzielnice jednakowych, parterowych domków, zakole Irtysza i nawet dal stepową za rzeką.

Jakaś żwawa dziewczyna, która właśnie odbierała na wartowni pusty koszyk, podniosła głowę, dostrzegła w oknie nas i nasze powitalne machanie rękoma, ale udała, że nie widzi. Godnie i spokojnie krocząc, skręciła za kiosk, aby zejść z oczu wartownikom i tam dopiero wszystko się w niej migiem odmieniło, rzuciła swój kosz, macha do nas podniesionymi rękoma, uśmiecha się! Szybkim ruchem palca dzierga w powietrzu rząd niewidzialnych pętelek: „piszcie, piszcie listy!”, ruchem drugiej dłoni daje znak: „rzucajcie, rzucajcie je mnie!” — i szeroki gest w stronę miasta: „odniosę, przekażę!”. I rozwiera ramiona: „czego jeszcze wam trzeba? czym wam pomóc? Przyjaciele!”.

Wszystko to było tak szczere, tak bezpośrednie, tak niepodobne do naszej zatłamszonej wolności, do zachowania się naszych skołowaciatych obywateli! — co to takiego??? Czy jakieś inne czasy nastały? Czy to może w Kazachstanie takie obyczaje? Tu przecież połowa ludności - - to zesańcy...

3 Archipelag Gulag 49

Droga, dzielna dziewczyno! Jak prędko przyswoiłaś sobie, jak dobrze zrozumiałaś arkana podwiewiennej mądrości! Co za szczęście (czy to aby nie łzy czuję pod powieką?), że są jeszcze takie jak ty!... Przyjm nasz pokłon, bezimienna! Ach, gdyby cały nasz naród był z takiej gliny! — nikogo by nie pakowano za druty; zacięłyby się przeklęte tryby!

Rzecz jasna, mieliśmy w fufajkach kawałki grafitu. I strzępki papieru. I zawsze można było odłupać kawałek tynku, przywiązać nitką do kar-teluska i rzucić. Ale o co tu prosić w tym Pawłodarze? Więc tylko kłanialiśmy się jej i machaliśmy dłońmi.

Wieziono nas w głąb pustyni. Nawet niepozorny, wsiowy Pawłodar będzie nam się już wkrótce wydawał rozbłyśkaną stolicą.

Teraz jedziemy już pod eskortą ze Stepłagu (ale, na szczęście, nie z dżezkazgańskiej jego filii; przez całą drogę błagaliśmy los, aby nie posłano nas do kopalni miedzi). Przysłano po nas ciężarówki z wysokimi burtami i z kratą, oddzielającą przednią część nadwozia; ta kratka odgradza strażników z automatami od nas jak od dzikich bestii. Posadzono nas po turec-ku, stłoczonych na dnie ciężarówki, tyłem do kierunku jazdy i w fakiej pozycji musieliśmy trząść się na wybojach przez osiem godzin. Strażnicy z pepeszami siedzieli na dachu kabiny i przez całą drogę lufy ich automatów wycelowane były w nasze grzbiety.

W kabinach jechali lejtnanci, sierżanci, a w naszej — żona jakiegoś oficera z sześćioletnią córeczką. Dziewczynka wyskakiwała z kabiny na przystankach, biegła po stepowej trawie, zbierała kwiatki, głośnymi okrzykami porozumiewała się z mamą. Wcale jej nie peszyły ani automaty, ani psy, ani bezkształtne, oszpecone tły arestantów, widoczne nad burtami samochodów; nasz straszny świat nie rzucał cienia na jej łąki i kwiaty, nie spojrzała ani razu na nas, nawet z prostej ciekawości... Przypomniatem sobie wtedy sierżanckiego synka ze specwężenia w Zagorsku. Miał swoją ulubioną zabawę: rozkazywał dwóm chłopakom od sąsiada zakładać ręce do tyłu (niekiedy wiązał je im postronkami), sam zaś maszerował obok nich z patką na ramieniu, bawiąc się w konwojenta.

Czym żyje ojciec, tym syn się bawi...

Przecieliśmy Irtysz. Długo jechaliśmy przez podmokłe łąki, później przez step, gładki jak stół. Dech od rzeki, świeżość stepowego wieczoru, zapach piołunu — wszystko

to biło nam w nozdrza podczas krótkich przystanków, kiedy opadały tumany popielatego pyłu, wzbijającego się spod kół. Pokryci grubą warstwą tego pyłu, wybałuszaliśmy oczy (głowy nie wolno było odwracać) w milczeniu (bo rozmawiać też nie było wolno) i rozmyślaliśmy o obozie, do którego nas wieziono, noszącym dziwną jakąś, zawitą, niero-syjską nazwę. Czytaliśmy ją na naszych aktach, leżąc na górnej półce sto-

50

łypinki. Do góry nogami, ale odczytać się dało: EKIBASTUZ; nikt jakoś nie wiedział, gdzie to właściwie jest i tylko podpułkownik Oleg Iwanów przypominał sobie, że są tam jakieś kopalnie węgla. Komuś roіło się nawet, że niedaleko do chińskiej granicy (a ten i ów już się cieszył, bo jeszcze nie oswoił się z myślą, że w Chinach teraz jeszcze gorzej niż u nas). Komandor-podporucznik Burkowski (pierwszy raz za kratą i to z 25-letnim wyrokiem na karku) boczył się jeszcze i stronił od nas, bo przecież jest członkiem partii, wpakowano go tu omyłkowo, a dookoła sami wrogowie ludu; mnie tolerował tylko dlatego, że byłem sowieckim oficerem i nie siedziałem w niewoli u Niemców — otóż Burkowski przypomniat mi rzecz, która po studiach wypadła mi z pamięci: przed dniem jesiennego zrównania dnia z nocą nakreślmy na ziemi linię południkową, a 23 września odliczymy wysokość kulminacji słonecznej od dziewięćdziesięciu — i będziemy znać naszą szerokość geograficzną. Jest w tym jakaś pociecha, chociaż i tak długości geograficznej nie ustalimy.

Wiozą nas i wiozą. Zapadł zmrok. Na czarnym niebie zabłyśły duże gwiazdy i teraz można było się zorientować, że jedziemy na południo—zachód.

W blasku reflektorów jadących za nami aut wiją się strzępy chmury kurzu, wzbitego przez pędzące koła, ale widocznego tylko w świetle lamp. Dziwny to miraż: cały świat zatopiony w chybotliwym mroku i tylko te molekuly kurzu błyszczą, wirują, i kreślą przed nami złowróżbne obrazy przyszłości.

Na jakież to kraj świata, do jakiej to zatraczonej dziury tak nas wiozą, gdzież to wznieść mamy naszą rewolucję?

Podkurczone nogi tak zmartwiały, że już ich się wcale nie czuło. Dopiero koło północy przybyliśmy do obozu, otoczonego wysokim drewnianym płotem, jaskrawo oświetlonego lampami uśpionej, czarnej osady, latarniami przed wartownią i reflektorami wokół żony.

Jeszcze jeden apel — „do marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego!” — i przez wysokie, dwuskrzydłowe wierzeje wprowadzono nas tu na całe ćwierćwiecze.

Obóz spał, ale światło waliło z okien wszystkich baraków tak, jakby kipiało w nich życie. Skoro nie gaszą na noc — to znaczy, że reżym tu -więzienny. Wrota baraków pozamykane są od zewnątrz na ciężkie kłody. Na jasnych prostokątach okien czernieje kraty.

Wyszedł na dwór funkcjonariusz cały oblepiony łatami numerów.

A czytaliście w gazetach, że w faszystowskich obozach więźniowie nosili numery]

III

OKOWY, OKOWY

Ale nasze niecierpliwe, przedwczesne nadzieje rychło zostały zdeptane. Zefirek przemian czuło się tylko tam, gdzie wiały przeciągi — w zbor-niakach, na etapach.

Tu zaś, za wysokie płoty Specobozów, wcale nie dolatywał. I chociaż w tych obozach siedzieli sami polityczni, żadne buntownicze ulotki na słupach nie wisały. Podobno w Mińtagu kowale odmówili kucia krat do okien baraków. Chwała im, choć nie znamy ich jeszcze z imienia! To byli ludzie! Wtrącono ich do BUR-a. Kraty dla Mińtagu wykuto w Kotłasie. I nikt jakoś nie poparł tych kowali. Dzieje Specobozów zaczęły się pod znakiem tejże niemej, ba — skwapliwej pokory, którą wpajano w ludzi przez trzy dziesięciolecia historii ITŁ. Więźniowie przerzuceni etapem spod bieguna niewiele mieli radości z kazachstańskiego słońeczka. Na stacji Noworudnoje zeskakiwali z czerwonych wagonów na ziemię tegoż czerwonego koloru. Zawdzięczała to owej dżezkazgańskiej miedzi, której wyziewów nikt z kopaczy nie mógł wytrzymać dłużej niż przez cztery miesiące; później ginął. Tutaj również dziarscy nadzorcy od razu wypróbowali na pierwszych winowajcach pewien nowy przyrządek: kajdanki, nigdy nie stosowane w ITŁ — lśniące, niklowane kajdanki, których masową produkcję udało się w ZSSR zorganizować właśnie w trzydziestolecie Październikowej (robili je w jakiejś fabryce robotnicy o wąsach przysypanych siwizną — proletariaccy bohaterowie naszej literatury — bo przecież nie Stalin z Bież osobiście?). Kajdanki tym różniły się od zwykłych, że można je było zaciskać bardzo ciasno: zamek wyposażony był w kółko zębate i gdy ręce więźnia już były w kajdanach,

52

zamek dociskało się na kolanie strażnika tak, by jak najwięcej ząbków wlało i żeby bardziej bolało. Kajdanki przestawały więc być urządzeniem ochronnym, krępującym tylko ruchy aresztanta, stając się narzędziem tortury: ścisnęły napiętki, powodując stały i ostry ból w rękach — wykręconych, wytamanych do tyłu. Trwało to godzinami. Stosowano inny jeszcze chwyt: szczęki kajdan zaciskano na samych palcach obu dłoni więźnia, co powodowało ostry ból w stawach.

W obozie Biertag kajdany stosowano z osobiłą gorliwością: za byle co, za to że więzień nie zdjął czapki na widok strażnika. Zakładano kajdanki (wykręcając ręce do tyłu) i stawiano człowieka obok wartowni. Ręce puchły, drętwiały i dorośli mężczyźni szlochali: „Obywatelu naczelniku! Już więcej nie będę! Zdejmijcie tylko te kajdany!”. (Porządek w tym Biertagu panował wzorowy — nie tylko do stołówki maszerowało się na komendę, ale na komendę siadało się przy stole, na komendę brało się łyżki w garść, na komendę siorbało się sałamacz, na komendę wstawiało się i wychodziło na dwór).

Nie trudno było potem napisać zlecenie: „Zorganizować Specobozy! Zameldować się z projektem regulaminu takiego a takiego dnia!”. A przecież niejedynemu pracownikowi ciupolog (a zarazem — psycholog i znawca życia obozowego) musiał w tym celu punkt po punkcie przeanalizować — czym by tu jeszcze dopieć?, co jeszcze dorzucić do ciężaru ponad siły?, jak jeszcze bardziej zatruć życie tubylca-zeka i tak już gorzkie? Po przeniesieniu z ITŁ do Specobozów — to by było powinno przecież od razu odczuć, że tu o wiele surowiej i ciężiej — ale nasamprzód ktoś musi to punkt po punkcie obmyśleć!

No, rzecz jasna, wzmocnić trzeba pod każdym względem ochronę obozu. We wszystkich Specobozach żony zostały poprzegradzane pasami ziemi niczyjej, poprzedzielane dodatkowymi zasiekami z drutu kolczastego, a całe przedpole żony usiane zostało kolczastymi spiralami. Wzdłuż szlaków, którymi ciągnęły do pracy kolumny robocze — na każdym ważniejszym skrzyżowaniu i zakręcie — ustawione

były gniazda karabinów maszynowych, przy których warowali strzelcy, leżąc w pozycji bojowej.

W każdym podobozie było murowane więzienie — BUR1. Kto szedł do BUR-a — musiał najprzód oddawać swój waciak: tortura chłodu była ważnym punktem repertuaru tych instytucji. Zresztą, każdy barak był więzieniem, bo to i kraty w oknach, i zamykanie drzwi na noc, i kible w celach. A jeszcze w każdej żonie był jeden albo i dwa baraki karne ze wzmocnioną

1 Znać je będą po dawnemu BUR, jak zwano je u nas z przyzwyczajenia, ale nie chodziło o karcery w barakach, jak w obozach pracy poprawczej — to były w istocie więzienia wewnętrzne.

53

strażą, z własną malutką żonką wewnątrz żony; zamykano je na klucz zaraz po powrocie więźniów z pracy, jak w pierwszym okresie istnienia katongi. (To były BUR-y właściwe, ale u nas nosiły inną nazwę: reżymki).

Zupełnie otwarcie zapożyczony został od hitlerowców pomysł z numerowaniem więźniów: nazwisko więźnia, samo „ja” więźnia, jego osobowość, podlegało zamianie na numer; w rezultacie nie jakieś ludzkie cechy stanowiły o różnicy między ludźmi, lecz tylko niższy albo wyższy numer kolejny w szarym szeregu. Numerowanie samo przez się może stać się torturą, jeśli je stosować konsekwentnie, do ostatecznych granic. Próbowano zresztą tego. Każdy nowo przybyły naprzód musiał „zagrać na fortepianie” w Specwydziale obozu (to znaczy — zostawić tam swoje odciski palców, jak to robiono w więzieniach, czego natomiast w ITŁ nigdy nie bywało), po czym zawieszano mu na szyi sznurek z tabliczką. Na tabliczce wypisywano jego numer, na przykład SZCZ-262 (w Oziertagu doszli nawet do „Y”, toć alfabet jest krótki!) i z tą deszczułką na piersi uwieczniał go fotograf Specwydziału (wszystkie te zdjęcia gdzieś są jeszcze przechowywane! Jeszcze będziemy je kiedyś oglądać!).

Tabliczkę w końcu zdejmowano (toż to więzień, a nie żaden pies) dając w zamian człowiekowi cztery (w niektórych obozach tylko trzy) białe łaty

0 wymiarach 8 na 15 centymetrów. Łaty te musiał on sam sobie przyszyć w miejscach ustalonych, przepisy nie wszędzie były jednobrzmiące, ale przeważnie łaty naszywano na grzbiecie, na piersi, nad daszkiem czapki

1 na rękawie albo nogawicy2. Waciaki były zawczasu dziurawione w tych punktach — w warsztatach obozowych specjalni krawcy zajmowali się wyłącznie tym psuciem nowych sortów: w tkaninie waciaków wycinano kwadratowe dziury tak, aby wata wyłaziła. Robiono to po to, by zek nie mógł — w razie ucieczki — spruć numerów i udawać wolniaka. W niektórych obozach stosowano jeszcze prostszą metodę: numer wypalano chlorkiem wprost na odzieży.

Strażnikom kazano wywoływać zeków tylko według numerów, nie wymieniać zaś nigdy ich nazwisk, ba, nie znać ich nawet. Gdyby trzymali się tej zasady wytrwale — rzecz mogłaby stać się dość trudna do zniesienia. Ale nie potrafili się na to zdobyć (co Rosjanin, to nie Niemiec) i nim rok minął, już zaczęli się mylić, wołać tego czy owego po nazwisku. Powtarzało się to coraz częściej. Dla ułatwienia strażnikom ich trudnego zadania przybijano do „wagonetek” tabliczki z numerami śpiących tu zeków. Nie

2 Mam fotografie robione już później, na zestaniu, ale nosze na nich tę samą fufajkę i te same mam na niej numery, jakie dano mi w obozie. Przez cały czas spędzony w Ekibas-tuzie nosiłem numer SZCZ - 232, dopiero pod koniec tej odsiadki zmieniono mi go na SZCZ - 262. Numery te udało mi się potajemnie wywieźć z obozu, mam je po dziś dzień.

54

widząc więc nawet numeru wypalonego na odzieży śpiącego, strażnik mógł zawsze wywołać go, a pod jego nieobecność — wiedział od razu na jakiej przyczynie zaszło wykroczenie. Przed nadzorcami otwierało się też nowe pole dla nader owocnych akcji: mogli po cichu zdejmować kłódkę i wchodzić do baraku przed pobudką, zapisując numery tych, co wstali za wcześniej, albo też — wpadać natychmiast po pobudce i zapisywać tych, co nie zdążyli jeszcze zerwać się z prycz. W obu wypadkach wolno było posyłać ludzi do karceru, ale w Specobozach najczęściej wymagano od winowajców pisania usprawiedliwień — i to bez względu na zakaz posiadania piór i atramentu oraz przy prawie zupełnym braku papieru. System tych pisemnych wyjaśnień — marudny, żmudny, męczący — był to wynalazek niegłupi, tym bardziej, że zwierzchności nigdy nie zbywało na gorliwych nierobach — i na czasie do rozpatrywania ich meldunków. Tak więc nie karano cię po prostu, ale wymagano najprzód, abyś wyjaśnił na piśmie, dlaczego przyczyna źle zaślana; jak mogłeś pozwolić, aby tabliczka z twoim numerem przekrzywiła się na gwoździu; dlaczego numer w twojej fufajce zamazany jest błotem i dlaczegoś go zaraz nie oczyścił; jak mogłeś ośmielić się palić papierosa w sypialni; dlaczegoś nie zdjął czapki przed strażnikiem! Głębia myślowa tych pytań była taka, że trudniej było sformułować odpowiedź na piśmie komuś, kto pisać umiał, niż takiemu co był niepiśmienny. Ale odmowa pisania wyjaśnień powodowała obostrzenie kary. Pisano więc te cedułki jak najstaranniej, aby okazać tym należyty szacunek Stróżom Dyscypliny, i wręczano je nadzorcy baraku, by ten mógł zanieść je z kolei Zastępcy Szefa Wydziału Dyscyplinarnego albo nawet samemu Szefowi, który pisał na marginesie, jaka kara się należy.

Również w dokumentach sprawozdawczych brygad roboczych trzeba było wymienić numer przed nazwiskiem — czy zamiast nazwiska? — ale strach było z nazwisk całkiem zrezygnować! Bądź co bądź imię wlecze się za człowiekiem i ślad zostawia, imię własne jest jak zaczep, na którym trzyma się człowiek całe życie, numer zaś — to bagatelka, fiut — i już go nie ma. Gdybyż te numery wypalone były albo wytatuowane na samym ciele! — inna sprawa. Ale tego już nie zdążyli zatawić. A mogli byli, mogli jak pić dać, niewiele brakowało.

Pomysł z numerami o to jeszcze się rozbijał, że przecież nie siedzieliśmy w izolatkach i nie tylko ze strażą mieliśmy do czynienia, ale też z innymi więźniami. Więźniowie zaś — nie dość że nigdy nie używali między sobą numerów zamiast nazwisk, ale nawet ich nie widzieli (choć wydawało się,

J Publicysta przedrewolucyjny, Doroszewicz, zwiedzając Sachalin dziwił się, że więźniowie zdejmują czapki na widok dyrektora więzienia. My zaś musieliśmy zdejmować czapki z głów przed każdym ciurą.

55

że nie mogą ująć niczyjej uwagi te krzyczące białe łaty na czarnym tle; gdy zbierało się nas wielu do kupy — przy rannych zbiórkach czy apelach kontrolnych — nu-

mery pstrzyły się jak tablica logarytmów, ale dostrzec to mogło tylko jakieś nowe oko) — i to do tego stopnia, że nikt nigdy nie wiedział jaki numer nosi najbliższy przyjaciel, kolega z tej samej brygady. Pamiętało się tylko własny. (Wśród prydurowców zdarzali się gogusie, dbający by numer przyszyty był elegancko z kokieterijną starannością, z obrębką skrajów, drobnym ściegiem, no w ogóle jak najładniej. Wieczne służalstwo! My zaś — na odwrót, staraliśmy się, aby numery nasze miały wygląd jak najbardziej niechlujny).

Reżym Specobozów obliczony był na zupełną tajność całej imprezy, na to że żaden głos skargi stąd nie doleci, że nikt stąd nie wyjdzie na wolność, że nikt sam się nie wyrwie. (Ani Oświęcim, ani Katyń nie nauczyły niczego naszych gospodarzy). Dlatego pierwsze Specobozy — to obozy z pałkami. Najczęściej chodzili przy pałkach nie sami panowie nadzorcy (mieli przecież kajdanki) — tylko ich zausznicy spośród zeków: szefowie baraków, brygadziści. Ale bić mogli do woli i to z błogosławieństwa zwierzchności. W Dżezkazganie przed zbiórką do roboty, pod drzwiami baraków, stawało po dwóch dziesiętników z palami, krzycząc po staremu: „Wyłazić na wyścigi! ostatniego marny los!” (istotnie, kto wychodził ostatni, ten mógł pożegnać się z życiem⁴). Dlatego też zwierzchność mało się przejmowała, gdy 200 ludzi, wystanych pieszym etapem, zimową porą, z Karabaszu do Spasska, zamarzło po drodze. Ocaleli leżeli tłocznie we wszystkich salkach i korytarzach lazaretu, gnijąc żywcem i cuchnąc ohydnie, a doktor Kolesnikow dokonał amputacji dziesiątków rąk, nóg i nosów⁵. Specobozy wydawały się otoczone tak nieprzeniknioną tajemnicą, że słynny szef działu dyscyplinarnego w Spassku, kapitan Worobiow, mógł ze swoimi pachotami najprzód postać pewną węgierską tancerkę (zeczke) do karceru, następnie „skazać” ją na noszenie kajdan, by wreszcie dopuścić się na zakutej tak dziewczynie zbiorowego gwałtu.

Regulamin pomyślany był jako mechanizm nierychliwy, lecz drobiazgowy i wszechobecny. Na przykład — nie wolno było mieć żadnych fotografii. Nie tylko zdjęć własnych (ucieczka!), lecz również osób bliskich. Odbierano je i niszczone. Starościna baraku kobiecego w Spassku, kobieta

4 W Spassku w 1949 roku coś jednak trzasło. Brygadzystów zwołano do sztabu i kazano

im oddać pałki. Musieli rządzić odtąd bez tych narzędzi.

5 Ów doktor Kolesnikow należał do grona „biegłych”, którzy firmowali kłamliwe spra

wozдание Komisji Katyńskiej, głoszące że to nie my wymordowaliśmy tam polskich ofi

cerów. Za to też sprawiedliwym zarządzeniem Opatrzności dostał się sam do obozu. A dla

czego posłała go tam ziemską władza? Jasne, żeby się nie wygadał. Murzyn zrobił swoje, murzyn mógł więc odejść.

56

już niemłoda, nauczycielka, postawiła na swoim stoliczku fotografię Czajkowskiego. Nadzorca skonfiskował ją i wrzepił nauczycielce trzy doby ciemnicy. — „Przecież to portret Czajkowskiego”. — „Ja tam nie wiem czyj, ale babom nie wolno trzymać w baraku męskich fotografii”. W Kengirze wolno było dostawać krupę w paczkach od rodzin (czemu nie), ale gotować jej zabroniono i to w sposób sta-

nowczy. Jeśli zek warzył sobie gdzieś kaszę na dwóch ceglach, strażnik wywracał menażkę kopniakiem, a winowajcy rozkazywał gasić ogień gołymi rękoma. (Owszem, zbudowano później szopkę dla celów kuchennych, ale już po dwóch miesiącach rozwalono piec i zakwaterowano w szopie oficerskie wieprzki oraz konika opera Bielajewa).

Wprowadzając te regulaminowe wynalazki, gospodarze nie zapominali jednak o doświadczeniu przywiezionym z ITŁ. W Ozierteigu kapitan Mi-szyn, naczelnik podobozu, przywiązywał do sań tych, co odmawiali chodzenia do pracy, i tak włókł ich na miejsce robót.

Na ogół biorąc, reżym Specobozow okazał się tak dobrze pomyślany, że do niedysiejszych katorżników stosowano tutaj ogólne, obowiązujące teraz przepisy, trzymano ich też w tych samych żonach. Cała różnica sprowadzała się tylko do innych liter na numerowanych latach. (No, jeżeli gdzieś miejsc w barakach nie starczało, to — jak w Spassku — katorżników lokowano w szopach i stajniach).

W ten sposób Specobozy, choć oficjalnie miana katorżniczych nie nosiły, stały się ich prawnymi spadkobiercami i dziedzicami, złąły się z nimi.

Trzeba było wszelako podeprzeć regulamin odpowiednio dobranym wiktem i odpowiednią pracą, aby więźniowie dobrze przyswoili sobie jego zasady.

Więźniów ze Specobozow przydzielono do robót możliwie najcięższych w danej okolicy. Słusznie już Czechów podkreślał, że „w naszym społeczeństwie, a częściowo również w literaturze ustalił się pogląd, że najcięższa i najbardziej poniżająca katorga — to praca w kopalni. Gdyby bohater Kobiet rosyjskich Niekrasowa... łowił dla potrzeb więzienia ryby albo zajęty był przy trzebieniu lasu, wielu czytelników odczułoby brak satysfakcji”. (Nie ma zgody tylko co do tego trzebienia lasów — skąd to lekceważenie, panie Antoni? Wyrąb lasu — to niezła robotka, w sam raz). Pierwsze podobozy Steptagu powstały wyłącznie przy złożach miedzi (1. i 2. filia zwała się po prostu Rudnik, kopalnia; 3. — Kengir, 4. — Dżekazgan). Roboty wiertnicze i cała eksploatacja pokładów prowadzone były sposobem suchym, pył kamienny wżerał się w płuca, powodując pylicę i gruźlicę⁶. Kto się rozchorował, tego wysyłano do sławetnego Spasska (pod

⁶ Na mocy ustawy z 1886 roku nie wolno było więźniów kierować do prac szkodliwych dla zdrowia nawet na ich własne życzenie.

57

Karaganda), czyli do „wszechzwiązkowego domu inwalidów” Specobozów. Spassk zasługiwałby na specjalne omówienie.

Do Spasska przysyłano inwalidów. Inwalidów stuprocentowych, których już żaden obóz nie chciał widzieć przy robocie. Ale dziw nad dziwy! — ledwie ci ludzie wkraczali na życiodajne tereny tego zdrojowiska, zaraz przekształcali się z inwalidów w pełnosprawnych robotników. Filia spasska należała do najulubieńszych obiektów pułkownika Czeczewa, naczelnika całego Steptagu. Niedobry ten człowiek, barczysty i krępy, przylatywał tu z Karagandy samolotem, kazał glansować sobie oficerki na wartowni i wychodził na przechadzkę po żonie, wypatrując kto z jego poddanych nie jest jeszcze zajęty jakąś pracą. Mawiał często: „W całym Spassku mam tylko jednego inwalidę — faceta bez obu nóg. Ale on też pracuje, tyle że zajęcie ma lekkie — jest pościańcem”. Wszyscy jednonodzy pracowali na siedząco: kruszyli kamienie na żwir, sortowali odpadki drzewne. Ani szczudła, ani nawet brak ręki nie uprawniały w Spassku nikogo do zwolnienia z roboty. Oto jeden z wynalaz-

ków Czeczewa: czterech jednoręki (dwóch bez lewego ramienia, dwóch bez prawego) zaprzęgano do noszenia traga. Oto inny jego wynalazek: ręczny napęd obrabiarek w warsztatach mechanicznych, gdy przerywał się dopływ prądu. Czeczew miewał swoje ambicje — chciał mieć „własnego profesora”, pozwolił więc biofizykowi Czyżewskiemu na urządzenie w Spassku laboratorium (z pustymi stołami). Ale kiedy Czyżewski wykonał — z najgorszych odpadków — prototyp maski przeciwpylnej dla górników z Dżekazganu, Czeczew nie pozwolił na produkcję maski. Pracują bez masek — to i dobrze. Jakaś rotacja załogi jest przecież konieczna.

Pod koniec roku 1948 siedziało w Spassku około 15.000 zeków obojga płci. Była to żona ogromna, słupy jej ogrodzenia to wbiegały rzędem na wzgórze, to zbiegały w doliny i żadna z węglowych wieżyczek nie była widoczna z wysokości innych. Posuwały się stopniowo naprzód roboty wewnętrzne: rozgradzano obóz od środka, więźniowie budowali mury separujące poszczególne żony — kobiecą, roboczą, czysto inwalidzką (zmniejszało to możliwości kontaktów wewnętrznych i ułatwiało gospodarzom życie). Sześć tysięcy ludzi chodziło do budowy zapory wodnej, oddalonej o 12 kilometrów. Jako że byli to jednak inwalidzi, wlekli się tam ponad dwie godziny, tyleż czasu tracąc na powrót. Dodajmy do rachunku 11-godzinną dniówkę roboczą. (Mało kto wytrzymywał przy tej pracy dłużej niż dwa miesiące). Innym ważnym rodzajem robót były kamieniołomy, znajdujące

58

się na terenie żony (własne złoża surowca na wyspie!) — zarówno w jej części męskiej, jak kobiecej. W żonie męskiej wydobywano kamień z odkrywki na zboczu wzgórza. Po dokopaniu się do pokładów, wysadzano skałę w powietrze ładunkami ammonalu, a następnego dnia inwalidzi rozdrabniali głązy młotkami. W żonie żeńskiej ładunków wybuchowych nie stosowano, baby ryły grunt oskardami, a gdy dokopały się już do złoża., kruszyły skałę wielkimi młotami. Rzecz jasna, że młoty zrywały im się z trzonków, nowe trzonki łamały się często, a dla napraw odsyłało się narzędzia do innej żony. Niemniej — od każdej z tych kobiet wymagano wykonania przepisowej normy: 0,9 kubika na dniówkę. Ponieważ nie mogły w ten sposób dać sobie z normą rady, długi czas zadowalać się musiały karną racją chleba, wynoszącą 400 gramów. Dopiero koledzy z męskiej żony podpowiedzieli im, że wystarczy przed końcem dnia roboczego przerzucić kamienia ze starych stosów urobku do nowych. Przypomnijmy, że cała ta robota nie tylko prowadzona była przez inwalidów i to bez żadnych urządzeń mechanicznych, lecz także surową zimą stepową (30-35° mrozu, ciągłe wiatry), a nadto w letniej odzieży, ponieważ niepracujący (a inwalidzi należeli przecież do tej kategorii) nie mieli prawa do ciepłych sortów zimowych. Pani P-r do dziś wspomina, jak w takim zimnisku, prawie goła, biedziła się nad złomami skalnymi z ogromnym młotem w ręku.

Korzyść, jaką taka praca przynosiła Ojczyźnie, stanie się szczególnie oczywista, gdy dodamy, że kamień wydobyty w żeńskiej żonie okazał się — nie wiedzieć czemu — nieprzydatny dla celów budowlanych i pewnego pięknego dnia jakiś naczelnik zlecił, aby kobiety cały swój roczny urobek zasypały ziemią i zrobiły na tym miejscu park (oczywiście żaden park tam nie powstał). W żonie męskiej kamień był dobry, dostawiano go zaś na miejsce budowy w taki oto sposób: po zbiórce kontrolnej całą gromadę ludzką (z początku — koło ośmiu tysięcy zeków, później — wszystkich, którzy tego dnia jeszcze byli przy życiu) pędzono na szczyt wzgórza, zejść zaś

stamtąd wolno było tylko z głazem na barkach. W niedzielę taki spacer zdrowotny musieli inwalidzi odbywać dwukrotnie: rano i wieczorem.

Były inne jeszcze rodzaje robót: wznoszenie murów wewnętrznych; budowa osady dla nadzorców i konwojentów (domy mieszkalne, klub, łaźnia, szkoła); roboty polne i ogrodnicze.

Jarzyны z tych warzywników też były przeznaczone dla wolniaków, do kuchni zeków szła tylko boćwina: zwożono ją furmankami i ciężarówkami, zwalano na kupę koło kuchni, tam mokła ona i gniła, stamtąd też kuchciki brali ją na widły i wrzucali do kotłów. (Czy nie przypomina to trochę przygotowania karmy dla bydła?...). Z tej właśnie boćwiny gotowano śla-

59

wetną sałamachę, dodając po jednym czerpaku kaszy na dzień. Oto scenka ze spasskiego warzywnika: około 150 zeków zmawia się po cichu i rzuca się na grządki. Padają na brzuchy i tak leżąc żrą surowe jarzyny. Straż zbiega się, leje zeków pałkami, a ci dalej leżą i żwawo ruszają żuchwami.

Chleba dawano niepracującym inwalidom po 550 gramów, pracującym 650 gramów dziennie.

Nie znano też w Spassku żadnych lekarstw (skąd je wziąć dla takiej czeredy?! Tak czy owak muszą przecież powyzdychać...) ani żadnej pościeli. W niektórych barakach wagonetki ustawiano jedną przy drugiej i na dubeltowych dechach kładziono w poprzek już nie dwóch zeków, ale czterech ciasnym rządkiem.

Aha, jeszcze o jednej robocie zapomnieliśmy. Codziennie 110-120 ludzi posyłano do kopania grobów. Dwa Studebackery zwoziły trupy; nogi i ręce truposzy sterczały z oczek drucianej siatki, którą obciągnięte było nadwozie. Nawet w trakcie letnich, pogodnych miesięcy roku 1949 umierało po 60-70 zeków dziennie, zimą zaś — po stu (rachowali ich skrupulatni Estończycy, pracujący w trupiarni).

(W innych Specobozach śmiertelność była niższa, wikt też bywał obfitszy, ale za to praca była jeszcze cięższa — niech więc czytelnik sam tu sobie proporcje wyważy).

Wszystko to działo się w 1949 (słownie — tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku), trzydzieści dwa lata po Rewolucji Październikowej, cztery lata po wojnie, mającej przecież swoje surowe wymagania, trzy lata po zakończeniu procesu w Norymberdze, dzięki któremu cała ludzkość mogła dowiedzieć się prawdy o potwornościach obozów faszystowskich, by powiedzieć z westchnieniem ulgi: „To nie powtórzy się już nigdy!...”⁷.

Jeśli do tych wszystkich obostrzeń dodać, że z chwilą przybycia więźnia do Specobozu urywał się prawie całkowicie jego kontakt z resztą świata, z żoną, czekającą na niego i na jego listy, z dziećmi, dla których ojciec przeobrażał się w postać mistyczną (dwa listy rocznie, ale często zatrzymywano nawet te kartki, na które człowiek przelał wszystko, co w ciągu

7 Rozumiem zaniepokojenie czytelników i pragnę ich czym prędzej zapewnić, że wszyscy ci panowie — i Czeczew, i Miszyn, i Worobiow, i nadzorca Nowgorodow — żyją sobie spokojnie i bezpiecznie. Czeczew jest generałem w stanie spoczynku. Mieszka w Karagan-dzie. Nikt z nich nie był i nie będzie sądzony. Bo też za co stawiać ich przed sądem? Przecież ci ludzie po prostu wykonywali rozkazy. Toć nie wolno porównywać ich z hitlerowcami, którzy po prostu wykonywali rozkazy. Jeśli zaś robili coś jeszcze, czego rozkaz już nie wymagał, to jedynie z głębokiego, ide-

owego przekonania, szczerze albo przez nieświadomość, bo skąd mieli wiedzieć, że Beria, „wierny towarzysz broni wielkiego Stalina”, jest agentem zachodniego imperializmu?

60

miesiący nagromadziło mu się dobrego i ważnego w duszy. Któż ośmielał się kontrolować cenzorki, urzędniczki MGB? Często ułatwiały sobie robotę: rzucały do pieca część listów, aby mieć kontrolę z głowy. A że list nie dotarł do adresata, to zawsze mogło być winą poczty. W Spassku pewnego razu kazano więźniom odremontować piec w izbie cenzury, leżały w nim setki nie wysłanych a nie spalonych jeszcze listów, cenzorki zapomniały przytknąć do nich zapałkę. I oto macie próbkę atmosfery Specobozów: zdunowie bali się mówić o tym fakcie z przyjaciółmi, obawiając się zemsty emgiebistów... Czy te cenzorki z MGB — palące dla własnej wygody samą duszę więźnia — mogą być uważane za bardziej humanitarne od esesma-nek, kolekcjonujących skóry i włosy pomordowanych?). O widzeniach z bliskimi nikt się w Specobozach nawet nie zająknął — adres obozu był zaszyfrowany i nikomu nie dawano zezwolenia na przyjazd.

Dodajmy jeszcze, że stawianie sobie hemingwayowskiego pytania mieć czy nie mieć nie miało w Specobozach żadnego prawie sensu, jako że od dnia ich powstania kwestia była rozstrzygnięta: można było tylko nie mieć. Nie mieć pieniędzy ani żadnego zarobku (w ITŁ można było jeszcze zarobić jakieś grosze — tu zaś ani kopiejki). Nie mieć odzieży ani obuwia na zmianę, niczego do wdziania pod spód, niczego dla ciepła czy ochrony przed deszczem. Bielizna (i co to za bielizna była! — nędzarze z powieści Hemingwaya pewno by jej nawet nie tknęli) zmieniana była dwa razy na miesiąc, sorty odzieżowe i buty — dwa razy rocznie; kryształowa, arakczejewska* jasność. (Nie w początkowym okresie istnienia obozów, ale później utworzono bezterminowy magazyn depozytów — do dnia zwolnienia. Niezłożenie do depozytu jakiegokolwiek rzeczy osobistej zaliczane było do poważnych przestępstw; był to dowód, że więzień planuje ucieczkę. Rezultat — karcer i śledztwo). Nie mieć żadnych wiktuałów w szafce (a zatem — stać rano w kolejce do przechowalni żywności, aby zdeponować je tam, zaś wieczorem stać znowu — aby je odebrać. W ten prosty sposób marnowało się skutecznie wieczorne i ranne kwadransy, jeszcze nie zużyte, jeszcze dające myśli jakąś szansę). Nie mieć żadnych rękopisów, nie mieć atramentu, żadnych ołówków, zwykłych czy chemicznych, nie mieć czystego papieru, poza jednym jedynym zeszytem. Nie mieć w końcu nawet książek. (W Spassku odbierano więźniom książki już w chwili przybycia do obozu. U nas nasamprzód pozwalano mieć jedną-dwie, ale pewnego dnia wydano przemysłne rozporządzenie: zarejestrować wszystkie posiadane książki w Oddziale Kulturalno-Oświatowym, stawiając na stronie tytułowej stempel: „Stepłag. Podobóz Nr...”. Wszystkie książki nie ostemplowa-

* General Arakczejew, minister Aleksandra I, założył szereg osiedli wojskowych, w których wszystkie sprawy życia codziennego normował ścisły regulamin.

61

ne miały do tej chwili podlegać konfiskacie, książki zaś ze stemplem uznano za własność biblioteki, właściciel więc traci do nich prawo).

Przypomnijmy jeszcze, że w Specobozach rewizje przeprowadzane były staranniej i częściej niż w ITŁ (codziennie dwa drobiazgowe kipisze — przy wymarszu do roboty

i przy powrocie; planowe rewizje w barakach z podnoszeniem desek podłogi, wyłamywaniem rusztów w piecach, podważaniem belek progowych, następnie — ogólne rewizje osobiste typu więziennego, z rozbieraniem do naga, obmacywaniem, odpruwaniem podszewki i podeszew). Z czasem zaczęto też wypalać na całym terenie obozu trawę („żeby nie było gdzie ukryć broni”). Zaś wszystkie dni wolne od pracy obracano na roboty gospodarcze wewnątrz żony.

Gdy to wszystko sobie uprzytomnimy, stanie się jasne, że noszenie numerów nie było jeszcze najbardziej złośliwą i dotkliwą dla godności więźnia szykaną. Kiedy mój Iwan Denisowicz powiada „numer?, toż on wcale nie ciąży” — nie oznacza to bynajmniej, że utracił poczucie godności (jak to mu zarzucali namaszczeni krytycy, którzy sami numerów nigdy nie nosili i nigdy nie głodowali), nie, to po prostu głos zdrowego rozsądku. Przykrość, jaką nam noszenie numerów sprawiało, miała charakter nie psychologiczny ani moralny (na co liczyli gospodarze GUłagu) — lecz była tylko dolegliwością praktyczną: w obawie karceru trzeba było tracić chwile wypoczynku na przyszyście odprutego brzegu łąty, prosić malarzy o poprawienie zatartych cyfr, a łąty podarte przy pracy — zastępować nowymi, szukając jakichś białych szmatek.

Owszem, łąty były najbardziej diaboliczną z obozowych szykan, ale tylko dla fanatycznych członkiń niektórych sekt. Były takie w żeńskim pod-obozie obok stacji Susłowo (Kamysztąg) — w ogóle jedna trzecia uwięzionych siedziała tam „za religię”. Bo też sprawdzało się wszystko, co przepowiedział Apostoł w Apokalipsie:

XIII, 16: — / uczyni, aby wszyscy, mali i wielcy, bogaci i ubodzy, wolni i niewolnicy, mieli cechę na prawej ręce swojej albo na czo-lech swoich.

I te kobiety odmówiły noszenia numerów! — cechy diabelskiej! Nie chciały też podpisywać pokwitowań (toż to też cyrograf diabelski) za obozowe sorty. Administracja obozu (dyrektor zarządu — generał Grigoriew, naczelnik OŁP — major Bogusz) okazała należną surowość! Kazano rozebrać te kobiety do koszuli, zabrać im obuwie (strażniczki-komsomołki wszystko wykonały posłusznie) — tak, aby zima przekonała te bezmyślne fanatyczki, że trzeba przyjąć obozowe uniformy i ponaszywać numery. Ale te baby wołały chodzić po śniegu i mrozie boso i w samych koszulach — byle nie oddać duszy diabłu!

62

Taki je ożywił duch (rzecz jasna — reakcyjny, myśmy ludzie oświeceni — skąd do nas takie pomysły!), że skapitulowała przed nimi administracja, zwróciła sekciar-kom ich własną odzież — i kobiety nosiły ją bez żadnych numerów! (Helena Iwanowna Usowa całe 10 lat chodziła w tych swoich łaskach, suknia i bielizna zetlały całkiem, nie trzymały się już na ciele, ale księgowość nie mogła wydać jej ani szmatki bez pokwitowania!).

Numery miały dla nas tę jeszcze złą stronę, że były spore — więc wpadały w oko z daleka. Eskorta trzymała się od nas z dala, tak aby zawsze zdążyć zarepetować automat i wycelować dobrze; nikogo tu z nazwiska nie znała, to jasne, więc też nie sposób byłoby nas rozróżnić (bo ubrani byliśmy jednakowo), gdyby nie te numery. Teraz zaś konwojenci mogli zorientować się zaraz kto w kolumnie gada, zmienia szereg, kto nie trzyma rąk za plecami albo podnosi coś z ziemi — i wystarczył raport dowódcy eskorty, aby w obozie czekał już na winowajcę karcer.

Konwój był jedną z tych sił, które zaciskały mocną garścią nasze wróble życie. Ci żołnierze regularnej armii z czerwonymi epoletami na płaszcach, te chłopiska z

pepeszami — byli siłą ciemną, bezmyślną, nic o nas nie wiedzącą i nie przyjmującą do wiadomości żadnych wyjaśnień. Nic z naszej strony nie mogło przebić się do ich świadomości, do ich słuchu, z ich zaś strony dochodził nas tylko wrzask, psie ujadanie, szczęk zamków karabinowych i gwizd kul. I to oni zawsze mieli rację, my — nigdy.

W Ekibastuzie, przy umacnianiu nasypów kolejowych gdzie nie ma żony, a jest tylko łańcuch straży — pewien zek, nie przekraczając nawet dozwolonej linii, zrobił kilka kroków, aby wziąć kromkę chleba z własnej kurtki, rzuconej opodal na ziemię; konwojent podniósł broń do oka i zastrzelił go na miejscu. Musiał mieć rację, rzecz jasna, I ze strony zwierzchników mógł liczyć tylko na wdzięczność. I — ma się rozumieć — po dziś dzień nie ma wyrzutów sumienia. My zaś nie przejawiliśmy żadnego oburzenia. I — rzecz jasna — nie pisaliśmy o tym fakcie nikomu (zresztą — nikt by naszej skardze nie nadał biegu).

19 stycznia 1951 roku nasza kolumna licząca 500 ludzi znalazła się w pobliżu obiektu, gdzie pracowaliśmy. Z jednej strony była żona — i tam już żołnierzy nie było. Za chwilę miano otworzyć przed nami wejściowe wrota. Nagle więzień o przezwisku Mały (w istocie zaś — chłop rosty i barczysty) ni z tego, ni z owego wystąpił z szeregu i jakby w osłupieniu ruszył w stronę stojącego niedaleko dowódcy eskorty. Zdawało się, że nie jest przy zdrowych zmysłach, że sam nie rozumie co robi. Nie podniósł ręki, nie zrobił żadnego groźnego ruchu, po prostu szedł w tym odrętwieniu. Dowódca konwoju, fircykowaty, gładki oficer, przestraszył się i zaczął cofać się, ucie-

63

kając przed Małym, pokrzykując piskliwie i nie będąc nawet w stanie wyciągnąć pistoletu z kabury. Ruszył za to szybko w stronę Małego jakiś sierżant z pepeszą i z odległości paru kroków puścił mu serię w brzuch i piersi, też cofając się powoli. Mały zaś — nim padł — zrobił jeszcze ze dwa niespieszne kroki; na plecach powyłaziły mu z fufajki strzępy waty znacząc miejsca, przez które przeszły niewidzialne kule. Ale chociaż Mały nareszcie upadł, a cała kolumna — my wszyscy — nie drgnęliśmy nawet, przerażony naczelnik eskorty rzucił żołnierzom rozkaz i ze wszystkich stron zaterkotały automaty; pociski śmigały tuż nad naszymi głowami, zawarczała cekaem, ustawiony zawczasu na stanowisku ogniowym, i zewsząd doszły nas hysteryczne wrzaski: „Padnij! Padnij! Padnij!”. Kule poczęły kłaść się coraz niżej i niżej, chłoszcząc już druty żony. My zaś, pół tysiąca mężczyzn, nie rzuciliśmy się na strzelców, nie powaliliśmy ich, tylko padliśmy jak jeden mąż na brzuchy — i tak, z pyłkami wrażonymi w śnieg, w haniebnej pozycji, bezradni, leżeliśmy tego styczniowego, świątecznego ranka ponad kwadrans, jak te barany — a tamci mogli tymczasem wszystkich nas powystrzelać bez trudu i żadnych późniejszych kłopotów: toż to próba buntu!

Takie to z nas były raby, żałosne, zgięte w barani róg — w pierwszym i drugim roku istnienia Specobozów. Dość już o tym okresie mówiło się w Iwanie Denisowiczu.

Jak do tego doszło? Dlaczego mnogie tysiące tych potulnych bydląt z -

Pięćdziesiątki Ósemki — ale przecież już teraz politycznych, do licha!, przecież już teraz odseparowanych, wybranych, zebranych do kupy, już politycznych nareszcie! — zachowywały się tak żałośnie?, tak pokornie?

Dzieje tych obozów nie mogły rozpocząć się w inny sposób. I ciemieni i ciemienicy przybyli tu z obozów ITŁ, jedni i drudzy mieli za plecami całe dziesięciolecia tra-

dycji — pańskiej i poddańczej. Sposób bycia i sposób myślenia przekoczywał na nowe siedliska razem z żywymi ludźmi, a ludzie ci trzymali go w cieple i podtrzymywali w sobie wzajem, bo jechali tu grupami — po kilkuset z każdego starego obozu. Na nowy teren przywozili powszechnie panujące, wbite w głowy przeświadczenie, że w świecie obozowym człowiek człowiekowi jest szczurem i kanibalem i że inaczej być nie może. Wieźli wkorzone w duszę zainteresowanie dla własnego tylko losu i zupełną obojętność na los innych ludzi. Jechali, szykując się do bezlitosnej walki o godność brygadzysty, o ciepłe funkcje przy kuchni, krajalni chleba, magazynie, księgowości czy w Dziale KO.

Więzień samotny, jadąc do nowego obozu i marząc o urzędzeniu się tam, liczyć może tylko na los szczęścia i na swój zupełny brak skrupułów. Kiedy

64

zaś wiozą długim etapem, dwa, trzy, cztery tygodnie pod rząd — posyłając razem do łaźni w zborniakach i prowadząc w jednym szeregu ludzi, co już dość się wzajem natrykali łbami, co już dobrze potrafili w koledze rozpoznać i dziesiętniczą krzepę w łapie i talent do brania zwierzchności pod włos i zdolność do nagłych ukąszeń i umiejętność „wekslowania” ciężkiej roboty, jak najdalej od brygady — kiedy więc wiozą etapem zgraną już paczkę pryduków, jest naturalne, że ci ludzie nie oddają się wolnościowym urojeniom, lecz myślą tylko o tym, jak ponieść dalej sztafetę niewolnictwa, zmawiają się, jak zająć w nowym obozie wszystkie kluczowe pozycje i zepchnąć na bok konkurencję z innych obozów. Szara zaś brać robociarska, całkiem już pogodzona ze swoim pokracznym, ciemnym losem pogaduje, jak by tu w nowym obozie znaleźć się w jednej wspólnej brygadzie i trafić na znośnego brygadzystę.

Wszyscy ci ludzie bezpowrotnie zapomnieli nie tylko to, że każdy z nich jest człowiekiem i ma w sobie iskrę Bożą, że stworzony został dla innych przeznaczeń, lecz to nawet, że można by rozprostować grzbieć, że najzwyczajsza wolność tak samo należy się człowiekowi jak powietrze, że wszyscy oni należą do tak zwanych politycznych i że teraz nareszcie są wśród swoich.

Co prawda, garstka knajaków też by się wśród nich znalazła: nie mogąc w żaden sposób odzwyczaić swych faworytów od częstych ucieczek (82 artykuł KK przewidywał dla nich tylko 2 lata kary za ucieczkę, złodzieje zaś miewali na swoim koncie dziesiątki i setki takich dodatków do wyroku, czemuż więc nie uciekać, jeśli to nie wpływa na sumę ogólną?) — władza postanowiła wlepić im za ucieczkę 58-14, to znaczy — karać za sabotaż ekonomiczny.

Takich pasażerów było jednak bardzo niewiele w transportach do Spec-obozów, na każdy etap przypadała mała garstka — ale, stosownie do ich kodeksu, wystarczająco duża, by zachowywać się czelnie i zuchwale, przyjmować śmiało funkcje szefów baraku, chodzić z pałkami (jak ci dwaj Azerbejdżanie ze Spasska, co to ich później zarąbano) — i pomagać prydukom wysoko dzierżyć na nowych wyspach Archipelagu ich stary sztandar; zawsze tę samą, czarno-sraczkową chorągiew niewolniczych, podłych obozów pracy i zagłady.

Obóz w Ekibastuzie powstał rok przed naszym przybyciem, w 1949 roku, i wszystko tu było dokładnym odbiciem tegoż układu spraw i stosunków, jaki przynieśli ze sobą więźniowie i zwierzchnicy ze starych obozów. Byli więc porządkowi, ich pomocnicy i starostowie baraków, trzymający swoich podwładnych w posłuchu — jedni

pięścią, inni donosem. Był osobny barak pryduków, gdzie na wagonetkach, przy herbatce decydowały się

4 Archipelag Gulag 65

losy całych obiektów i brygad. Były (dzięki specjalnej konstrukcji fińskich budynków) osobne kabiny w każdym baraku, zajmowane — zgodnie z ich wysoką godnością — przez jednego lub dwóch prominentów. I dyspozytorzy bili po karku, brygadziści — po mordzie, a nadzorcy — kańczugami. I przy kotłach szarogęsili się bezczelnie, spasieni kucharze. I wszystkie klucze od magazynów i przechowalni znajdowały się w ręku miłujących wolność synów Kaukazu. A stanowiska kierowników robót objęła zgrana grupa kanciarzy, mieniących się inżynierami. A kapusie pracowicie i bezkarnie nosili swoje donosy do Wydziału Operacyjnego. I — jeszcze przed rokiem składający się z samych namiotów — obóz miał już własne murowane więzienie, tyle że jeszcze nie wykończone, więc panowała w nim ciasnota: na swoją kolejkę do karceru, z wyrokiem już wciągniętym do akt, musiał człowiek czekać miesiąc, a nawet więcej — gdzie sprawiedliwość, ha? — w kolejce, do karca! (mnie też wlepiono karcer, ale nie doczekałem się mojej kolejki).

Co prawda w ciągu tego roku przywarowali nieco knajacy (a ściślej — ligawi, suki, jako że nie stronili od funkcji obozowych). Już się jakoś dało odczuć, że tu nie starczy im rozmachu — nie ma młodego narybku, nikt niczego nie chce robić w podskokach. Porządkowy Magieran próbował jeszcze spozierać na nas wyzywająco i mrocznie, gdy szef działu dyscyplinarnego prezentował go na apelu ogólnym; ale już mu mina rzedła i wkrótce gwiazda jego przygasta.

Nasz transport, jak to zawsze bywało z nowo przybyłymi, wytrzymać musiał pierwsze natarcie już na samym wstępie, w łaźni. Łaziebnicy, fryzjerzy i dyspozytorzy stali już w pogotowiu i całą kupą rzucali się na każdego, kto ośmielał się bąknąć cokolwiek na temat podartej bielizny, zimnej wody albo sposobu dezynfekcji. Tylko czekali na takie pretensje i rzucali się całą sforą, jak psy, umyślnie wrzeszcząc: „Tu nie kujbyszewski zborniak, poczekajcie tylko!” i podsuwając nam pod sam nos grube pięści. (Z punktu widzenia psychologii — stosowali metodę właściwą. Człowiek nagi czuje się dziesięciokrotnie bardziej bezbronny niż ubrany. I jeśli nowemu etapowi dobrze zmyją głowę już podczas pierwszej wizyty w łaźni — to później, już w obozie, też będzie łatwiej poradzić sobie z nim).

Ten sam Wołodia Gerszuni, studencik, który roił sobie, jak to w obozie rozejrzy się wśród ludzi i zadecyduje „z kim mu po drodze” — już pierwszego dnia postany został do roboty przy umacnianiu struktury obozu: kazano mu kopać jamę dla słupa linii elektrycznej. Chłopak był osłabiony, nie dał rady, nie wykonał normy. Pomocnik naczelnika Baturin, kryminalista, ligawy, już trochę utemperowany, ale nie całkiem, skłął go, nazwał piratem i uderzył w twarz. Gerszuni cisnął łom i przestał kopać jamę. Udał

66

się do komendatury i oznajmił „możecie mnie posłać do karceru, a do roboty tak długo nie stanę, jak długo wasi piraci nie przestaną bić ludzi” (ten „pirat” szczególnie go dotknął; chłopak nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić). Życzeniu jego stało się zadość, odsiedział w karcerze 18 dni, w dwóch ratach (robi się to tak: najprzód wrzepia się człowiekowi 5 albo 10 dni, ale po ich odsiedzeniu wcale go się nie wypuszcza, czeka się spokojnie, aż więzień zacznie protestować i awanturować się, i

wtedy — w całym majestacie prawa — wrzepia mu się za to jeszcze jedną porcję karceru). Po odsiedzeniu tej kary, dodano mu jeszcze — za skłonność do awantur — dwa miesiące BUR-a. Znaczyło to, że ma siedzieć dalej w tej samej pacy, ale z prawem do ciepłego jedzenia, do „pajki” — w proporcji do wykonanej normy — i posłano do pracy przy wypalaniu wapna. Widząc, że zapada się coraz głębiej, Gerszuni próbował szukać pomocy w sanitariacie, ale nie znał jeszcze madame Dubiriskiej, odpowiedzialnej za służbę zdrowia w obozie. Wołodzia sądził, że gdy tylko pokaże swoje platfusy, zaraz dostanie zwolnienie i nie będzie musiał drałować kilometrami do roboty przy piecach wapiennych. Ale nie dotarł nawet do przychodni, regulamin BUR-a w Ekibastuzie nie przewidywał wizyt ambulatoryjnych. Gerszuni chciał tam jednak się dostać, a nasłuchiwał się już, jak trzeba protestować, został więc na narach w samych kałesonach, gdy inni spali już po pracy. Nadzorcy Połundra (były marynarz, z napadami złośliwego bzika) i Konienkow ścignęli go z pryczy za nogi i tak jak leżał, w gaciach, powlekli chłopca na zbiórkę. Ci go wloką, a ten próbuje utrzymać się rękoma za to co po drodze — więc za obciosane gałęzy, leżące tam i przygotowane do budowy. Gerszuni już gotów był iść po dobroci do pracy i krzychał tylko: „pozwólcie chociaż portki wdziać!”, ale tamci wlekli go dalej. Na wartowni, wstrzymując wymarsz całej czterotysięcznej gromady, ten słabowity chłopczyzna krzychał: „Gestapowcy” Faszysci!” i szamotał się ze strażnikami, nie pozwalając zakuć się w kajdany. Jednakże Połundra z Konienkowem przygięli mu łeb do ziemi, nałożyli okowy i jęli popychać go, aby szedł prędzej. Ani ich, ani lejtnanta Maczechowskiego, odpowiedzialnego za dyscyplinę, nic nie obchodziło, że Gerszuni będzie musiał maszerować przez całą osadę w samych gaciach, ale Wołodię to krępowało. Zaparł się więc i powiedział, że nie pójdzie! Stał opodal konwojent z psem, prosty chłopak, perkaty. Mruknął cicho do Wołodii — i Gerszuni dobrze to sobie zapamiętał: „No, po co się szarpiesz, idź do szeregu. Posiedzisz sobie przy ognisku — kto ci tam każe pracować...” I mocno trzymał na smyczy swojego wilczura, który rwał się Wołodii do gardła; też widział, że chłopczyzna zadarł z błękitnymi wyłogami! Wołodię zabrano precz, odprowadzono do baraku karnego. Ręce skute za plecami bolały coraz bardziej, a strażnik —

67

Kozak trzymał go za gardło i raz po raz dawał mu kolanem dziucha pod żebra. W BUR-ze rzucono go na ziemię, ktoś rzeczowym tonem wydał fachowe zlecenie: „Lejcie go tak, żeby się usrał!”. Zaczęto kopać go buciorami, nie szczędząc głowy, aż wreszcie stracił przytomność. Po dwóch dniach wezwano go do opera — i zaczęto wrabiać w sprawę o... zamiar uprawiania terroru — bo kiedy go wleczono, chwycił się kamieni! Niby po co?

Na innej zbiórce tak samo zapierał się niejaki Twierdochleb; rozpoczął nawet głodówkę, że nie będzie pracował diabłu na pożytek! W nosie mieli jego głodówki i strajki, jego też powlekli siłą, tyle że ze zwykłego baraku — więc Twierdochleb mógł dorwać się do okien i zaczął rozbijać szyby. Bite szkło dzwoniło, jak ponury akompaniament do apelu; staliśmy w długim szeregu, a strażnicy i nadzorcy prowadzili wyliczankę.

To był akompaniament do przeciągłego, monotonnego chorału naszych dni, miesięcy, lat.

I żadnego prześwitu, żadnej nadziei. Plany MWD nie przewidywały prześwitów, nie po to zakładano te obozy.

Tymczasem my, ćwierć setki nowo przybyłych, przeważnie Ukraińcy z okręgów zachodnich, weszliśmy do tej samej brygady i udało nam się namówić dyspozytorów, by brygadystą został jeden z nas, mianowicie tenże Paweł Boroniuk. Nasza brygada była spokojna, robotna (Ukraińców z Galicji, dopiero co oderwanych od ziemi, jeszcze nie znających kolektywizacji, nie trzeba było popędzać do roboty, ale raczej odrywać od niej!). Przez kilka dni pracowaliśmy w randze robociarzy bez kwalifikacji, ale wkrótce się okazało, że mamy wśród nas majstrów murarskich i że inni gotowi są poduczyć się rzemiosła, więc zrobiono z nas brygadę murarską. Murowanie poszło nam składnie. Kierownictwo" to zauważyło i przeniosło nas z budowy obiektu mieszkalnego — sześć domków dla pracowników z najmu; zostaliśmy teraz w obrębie żony. Brygadziście naszemu wskazano kupę kamieni obok BUR-a — tych właśnie, których czepiał się Gerszuni; przyobiecano stały dowóz surowca z kamieniołomów i wyjaśniono, że ten BUR, który tu już stoi, to dopiero połowa BUR-a, że trzeba dobudować teraz drugą połowę i że tym właśnie ma się zająć nasza brygada.

Tak oto, ku naszej hańbie, zabraliśmy się do budowy więzienia dla nas samych.

‘..

Była to pora jesieni długiej już i suchej; przez cały wrzesień i pół października nie spadła ani kropla dżdżu. Ranki były ciche, później zrywał się wiatr, wzrastał się koło południa, wieczorami znów przycichał. Niekiedy ustalał się, przechodził w długą dujawicę; wiał z przejmującym pogwizdem i wtedy z osobliwą, przejmującą udrętką czuło się bliskość tego gładkiego stepu, który widać było w całej rozległości nawet z rusztowań BUR-a

68

— bo ani przysiółek z pierwszymi budynkami fabrycznymi, ani wojskowa osada, gdzie mieszkali konwojenci, ani tym bardziej nasza odratowana żona, nie mogły załonić przed naszymi oczyma bezgranicznego bezmiaru, równinnej gładziny i zupełnej beznadziei tego stepu. Ledwie się na nim znaczył pierwszy, samotny rządek byle jak okorowanych słupów telefonicznych, biegnących na północny wschód, do Pawłodaru. Czasem znów wiatr tężał nagle i w ciągu godziny dążył nawiać nam za pazuchy syberyjskiego zimna, zmuszał do wdziwania waciaków i siekł nam długo twarze grubym piachem i drobnym żwirem, zmiecionym tu z głębi stepu.

Prościej będzie powtórzyć tu wiersz, który napisałem wtedy, przy budowie więzienia:

MURARZ

Ten wiersz pamiętacie?" Też jesieni murarzem.

Też staniam wiezienie — z kamieniu polnego.

Lecz wokół pustynia. I druty. I straż.

A w niebie — sęp czuwa i słońce się żarzy.

Step. Wiatr. Żywej duszy. Kto spytać się waży

— Budujesz? Dla kogo? Dla siebie samego?!

Nie dość im tych drutów, psów mało im wściekłych.

Chcą jeszcze w więzieniu zbudować więzienie.

Więc kielnia. Zaprawa. I cegła do cegły.

I coraz to sprawniej układam kamienie.

Dziś był tu pan major i kręci! już nosem.

Że mur pełen szczelin, że pion diabli wzięli.
Na pewno ktoś chodził do niego z donosem.
Bo przyrzekł, że pierwszych nas wsadzi do celi.
I mur pośród murów już rośnie — jak trzeba.
I pali się w rękę przekłeta robota.
A potem — papieros i marny — kęs chleba,
Nagroda, za którą oddamy pół nieba,
Zapłała za jamę, co każdy z nas grzebał,
By wkrótce już tam w niej dokonać żywota.
A cóż mają tamci? Ten jeden gościniec I drut, zawodzący pomiędzy słupami. Mój
Boże, jak bardzo jesteśmy bezsilni! Mój Boże, jakimi jesteśmy rabami!
Aluzja do wiersza Walerego Briusowa pod tym samym tytułem, napisanego w 1902
roku, niezmiernie popularnego w środowisku rewolucyjnym. Bohater tego utworu
również buduje wiezienie.

69

Niewolnicy! nawet nie dlatego, że pod wpływem gróźb majora Mak-symienko kła-
dliśmy kamieni suto i nie żałowaliśmy cementu, tak aby przyszłym mieszkańcom te-
go więziennego budynku niełatwo było rozwalić ten mur. Dlatego natomiast, że —
choć w istocie brygada nasza nie osiągała przy budowie więzienia stu procent
normy, jednak dostawała porcje dodatkowe — a my nie ciskaliśmy tego żarcia
majorowi w pysk, tylko zjadaliśmy je, aż miło. A nasz towarzysz, Wołodia Gerszuni,
siedział tymczasem w odbudowanym już skrzydle BUR-a. A Iwan Spasski, żadnych
nie mając na sumieniu wykroczeń, ot, za jakiś haczyk w aktach, już tkwił w „reżym-
ce”.

Wielu z nas było pisane siedzenie w tym BUR-ze, w tych samych celach, któreśmy
tak starannie, tak krzepko budowali. I oto — gdybyśmy pracowali z największym
ferworem, tak że kielnie z zaprawą i kamienie tylko śmigały nam w rękach — usły-
szeliśmy nagle z głębi stepu wystrzały. Wkrótce też pod wartownię obozu, niedale-
ko nas, nadjechała karetka więzienna (najnormalniejsza na świecie, miejska,
wchodząca w skład taboru eksorty — tylko że na jej bokach nie było napisów na
użytek dudków — „Pijcie sowieckiego szampana”). Z karetki wypchnięto czterech
ludzi — pobitych, pokrwawionych; dwóch szło kulejąc, jednego trzeba było wlec,
tylko pierwszy z nich. Iwan Worobiow, szedł krokiem dumnym i gniewnym.

Pod naszymi nogami, pod kładkami, na których staliśmy — zbiegów przeprowa-
dzono do prawego, już gotowego skrzydła BUR-a.

My zaś dalej ---- kamień do kamienia...

Ucieczka! Co za odwaga straceńcza! — bez odzieży cywilnej, bez zapasów, z pu-
stymi rękoma — przebiec żonę pod gradem kul, żeby uciec — w puste, bezwodne,
nieogarnione, gołe stepy! To nie żaden plan — to tylko wyzwanie, to rodzaj dum-
nego samobójstwa. Do takich tylko aktów oporu gotowi są najsilniejsi, najśmielsi z
nas.

A my — cegła do cegły...

I pogadujemy półgębkiem, że to już druga ucieczka w ciągu miesiąca. Pierwsza
też się nie udała, ale sam jej pomysł był głupawy. Wasyl Briuchin (przezywaliśmy go
„Bliicher”*), inżynier Mutianow i jeszcze jeden były oficer polskiej armii wykopali w
warsztatach mechanicznych, gdzie pracowali, jamę pojemności jednego metra
sześciennego, zaopatrzyli się w trochę jedzenia, wleźli tam, ułożyli nad głowami

deski, jakby nigdy nic. W swojej naiwności byli pewni, że wieczorem — jak zwykle — straż żony wróci do

Wybitny dowódca Czerwonej Armii, marszałek, zniknął pod sam koniec okresu Wielkiej Czystki; uprzednio był członkiem kolegium, które skazało na śmierć marszałka Tu-chaczewskiego.

70

koszar i że będą mogli wtedy wyjść i uciec. Ale przecież przy apelu trzech zabrakło — a druty dookoła obozu nigdzie nie były przecięte — więc posterunków postanowiono przez parę dni nie ściągać. Przychodzili przez ten czas strażnicy z psem — ale tu wystarczyło podsunąć do szczeliny watkę z benzyną — i pies węch tracił. Przez trzy doby siedzieli tak, nie mogąc nawet piknąć — bez ruchu, z rękoma i nogami splecionymi, powykręcanyimi, boć to troje ludzi, a tu jeden metr wszystkiego — wreszcie nie wytrzymali i wyszli sami.

Wchodzą do żony inne brygady i już wiemy, jak uciekła grupa Woro-biowa: przebiła się przez pasmo drutów ciężarówką.

Mija jeszcze tydzień. Murujemy dalej. I już całkiem jasno wyrysowuje się drugie skrzydło BUR-a — ale ci będą przytulne te karcery, te izolatki, te cele przejściowe! Już mnóstwo kamienia nagromadziliśmy na tej małej przestrzeni, a tu wciąż wiozą i wiozą budulec z kamieniołomów: surowiec darmowy, robotne ręce też za darmo, tylko cement państwowy.

Mija więc tydzień, cztery tysiące mieszkańców obozu ma dość czasu, aby pomyśleć, że ucieczka to szaleństwo — że to nic nie daje. I nagle, któregoś dnia, równie słonecznego — znów grzmoły wystrzałów w stepie — ucieczka!!! Ależ to jakaś epidemia: znów mknie karetka eskorty — i przywozi dwóch zbiegów (trzeciego zabito na miejscu). Tych dwóch — Batanowa i jakiegoś chmyza, całkiem jeszcze młodziutkiego, całych we krwi — znów prowadzą obok naszego stanowiska roboczego, pod naszymi kładkami, do gotowego skrzydła, żeby tam bić ich dalej, a potem cisnąć bez żadnego odzienia na kamienną podłogę i nie dawać nic do jedzenia ani do picia. Co czujesz, niewolniku, patrząc na nich, poranionych, ale dumnych? Czy tylko plugawą radość, że to nie ciebie złapano, nie ciebie pobito, nie ciebie skazano?

„Prędzej tam, prędzej, trzeba nareszcie skończyć to lewe skrzydło!” — pokrzykuje na nas brzuchaty major Maksymienko.

A my — cegła do cegły. Dostaniemy za to wieczorem dodatkową miskę kaszy. Zaprawę roznosi komandor-podporucznik Burkowski. Cokolwiek się buduje, to przecież wychodzi Ojczyźnie na użytek.

Wieczorem dowiadujemy się, że Batanow też wyrwał się za druty ciężarówką. Ale samochód dostał się pod celny ostrzał strażników.

Ale czy teraz my, niewolnicy, zrozumieliśmy już, że ucieczka to samobójstwo, że nikomu nie uda się oddalić więcej niż na kilometr od obozu, że nasz los to harówka aż do śmierci?

Minęło pięć dni bez żadnych strzałów i ucieczek — aż tu nagle niebo zmienia się w misę z metalu, w którą ktoś wali ogromnym łomem — co za nowina! Ucieczka! Znów ucieczka!!! I tym razem — udana.

71

Ucieczka, która miała miejsce 17 września, w niedzielę, zaplanowana była i wykonana tak bezbłędnie, że podczas wieczornego apelu wszystkie rachunki strażnikom się zgadzają. Dopiero rankiem 18 widać, że coś nie gra, zbiórka do pracy zostaje odwołana i zarządza się kontrolę ogólną. Kilka razy sprawdzają numery ludzi stojących w szeregu, później robią to samo w barakach, w brygadach, przechodzą do wywoływania więźniów według listy ewidencyjnej — bo liczyć potrafią te sukinsyny tylko pieniądze przy kasie. I za każdym razem wynik jest inny! Nie wiedzą nawet ii u w końcu uciekło?, kto właściwie?, kiedy?, dokąd?, w jaki sposób?

Już wieczór się zbliża, a nic nam jeść nie dają (bo kucharzy też oderwano od kół na apel — toć wszystkich trzeba policzyć!), ale to nas wcale nie boli, nam w to graj! Każda udana ucieczka to wielka radość dla więźniów! Choćby eskorta nie wiem jak się potem pastwiła — choćby nie wiem jakie obostrzenia wprowadzono — my o to nie dbamy, nam w to graj! Każda udana ucieczka to bicz na was, psie syny!

To nam, nam udało się uciec! (I patrząc naszym panom prosto w oczy, modlimy się po cichu: oby tamtych nigdy nie złapano!, żeby ich tylko nie złapali!).

A na dodatek do roboty tego dnia nie poszliśmy wcale i poniedziałek stał się dla nas drugą niedzielą. (Tak to miło, że chłopaki dali drapaką nie w sobotę! Nawet o tym pomyśleli, żeby nam niedzieli nie psuć!).

Ale kto uciekł? Kto taki?

W poniedziałek wieczorem rozchodzi się wieść, że to Gieorgij Tenno i Kolka Żdanok. Coraz wyższe są mury więzienia, które własnymi rękoma wznosimy. Już wmurowane są poprzeczki nad drzwiami, już zbudowane maleńkie otwory okienne, już porobione są gniazda dla krokwi.

Od ucieczki minęły trzy dni. Siedem. Dziesięć. Piętnaście.

Ani słychu!

Uciekli!

IV DLACZEGO SIĘ NIE BUNTOWALI?

Wśród moich czytelników jest również pewien bardzo wykształcony Historyk-Marksista. Gdy — siedząc w swoim wyściełanym foteliku — przeczytał jakeśmy budowali BUR, zdejmie okulary, plaśnie po stronicy czymś długim a płaskim, chyba linijką i tak powie:

Właśnie, właśnie. W to chętnie uwierzę, to nie jakieś bajędy o zefirku rewolucji, duperele! O żadnej rewolucji nie mogło u was być mowy, ponieważ rewolucja wybucha nie tak sobie, lecz tylko zgodnie z prawami historii. Proszę, zebrano tam u was do kupy kilka tysięcy tak zwanych „politycznych” — i cóż? Odarto was z godności, wolności, więzów rodzinnych, odzieży, jedzenia, nawet z cech ludzkich, no i cóż? Dlaczego nie podnieśliście buntu?

Myśmy pracowali na naszą porcję chleba. Przy budowie więzienia.

To właśnie dobrze. Powinniście byli budować! Bo to praca dla ludzi.

To było jedynie słuszne i prawidłowe rozwiązanie. Ale nie przypisujcie sobie miana rewolucjonistów, kochani! Aby mieć do tego prawo, trzeba być związanym z jedyną naprawdę przodującą klasą, klasą robotniczą...

Ale przecież my sami byliśmy wtedy robotnikami.

To... nie gra żadnej roli. To pseudoobiektywny wykręt. Czy w ogóle ma pan pojęcie, co to takiego prawi-wość historyczna, ha?

Chyba mam. Słowo daję, jakieś tam pojęcie mam. Wyobrażam sobie, że jeśli obozy dla milionów ludzi trwają niewzruszenie już od lat czterdziestu, to widocznie mamy do czynienia z jakąś historyczną prawidłowością. Za wiele tych milionów, zbyt wiele tu lat, aby można było wszystko sprowadzić do kaprysu Stalina, chytrłości Berii, łatwowierności i naiwności partii

73

rzządzącej, oświeconej niegasnącym blaskiem Przodującej Doktryny. Ale tą prawidłowością nie będę żgał mojego oponenta. Uśmiechnąłby się tylko mile i powiedziałby, że w danym wypadku mówimy o dwóch różnych rzeczach i że odbiegam od tematu.

Widząc więc moje zmieszanie, dochodzi do wniosku, że niezbyt jasno wyobrażam sobie prawidłowości i tak mi klaruje:

Rewolucjoniści sprzątnęli cara jednym machnięciem miotły. Całkiem po prostu. Niechby spróbował tylko car Nikołka tak przycisnąć swoich buntowników! Spróbowałby tylko ponawieszać na nich numery! Niechby tylko spróbował...

Racja. Nie próbował. Nie próbował nawet — i dlatego ocaleli ci, którzy spróbowali później, po jego upadku.

— Ależ nawet nie mógł próbować! Nie mógł!

Chyba i to racja: nie żeby nie chciał — nie mógł i tyle.

Zgodnie z rozpowszechnioną kadecką (nie mówiąc już o socjalistycznej) opinią, cała historia Rosji jest jednym łańcuchem okresów tyranii. Tyrania Tatarów. Tyrania książąt moskiewskich. Pięć stuleci rodzimego despotyzmu, opartego na wschodnich wzorach, pięć stuleci otwartego, dobrze wko-rzenionego niewolnictwa. (Jakby nie było ani Soborów Ziemskich, ani wspólnot gminnych na wsi, ani wolnej kozaczyzny, ani północnorosyjskiego chłopstwa). Czy Iwan Groźny, czy Aleksy Pokorny, czy Piotr Srogi, czy Katarzyna Aksamitna — aż do samej wojny krymskiej rosyjscy carowie nic, tylko tłamsili. Tłamsili swoich poddanych jak chrabąszcze czy gąsienice. Zestaniec, katorżnik? Wprost na ciele, na skórze stawiano mu szpilkową pieczęcią stempel „SK” i przykuwano do tacek. Ustrój zginał poddanym karki, był niezłomny i krzepki. Bunt i powstania niezmiennie były tłumione.

Ale, ale! Tłumione — ale z pewnym rabatem. Tłumione, ale bez naszej technicznej perfekcji. Po wojnach napoleońskich (od czasu powrotu naszych wojsk z Zachodu) społeczeństwo rosyjskie, musnęły pierwsze zaczątkowe powiewy — i już tego było dosyć, aby car musiał się z tym społeczeństwem liczyć. Weźmy na przykład szeregowców, stojących w czworoboku na Placu Senackim pod wodzą dekabrystów. Wszystkim co do jednego po 4 dniach darowano winę. (Przypomnijmy dla porównania naszych żołnierzy, rozstrzelanych nie za powstanie, lecz tylko za to, że nie chcieli strzelać do bezbronnego tłumu — w Berlinie w 1953 roku, w Budapeszcie w 1956, w Nowoczerkassku w 1962). Spośród oficerów-dekabrystów, którzy podnieśli bunt, tylko 5 weszło na szafot; czy można wyobrazić

Ssylno-katorinyj,

74

sobie coś podobnego w sowieckiej epoce? Czy choć jeden z nich ocalałby głowę w naszych czasach? Ani Puszkinowi, ani Lermontowowi nie można było po prostu dać dychy — i trzeba było szukać dróg okólnych. „Gdzie byłbyś 14 grudnia, gdy-

byś znalazł się w Petersburgu?" — zapytał Mikołaj I Puszkina, a Puszkina odparł szczerze: „Na Senackim”. I został za to... odesłany do domowych pieleszy! My natomiast, którzyśmy na własnej skórze poznali mechanizm systemu sądowego, a także druhowie nasi z prokuratury, doskonale rozumiemy, co oznaczała odpowiedź Puszkina: artykuł 58, punkt 2, powstanie zbrojne, w najlepszym wypadku — przy uwzględnieniu paragrafu 19 (udział zamierzony) — jeśli nie rozstrzelanie, to w żadnym wypadku nie mniej niż dycha. I nasi Puszkiniowie dostawali na talerzu swoje wyroki, jechali do obozów i umierali tam (a Mikołaj Gumilew nawet do obozu nie musiał się fatygować, załatwiony został od ręki, w lochu).

Wojna krymska — najfortunniejsza ze wszystkich wojen prowadzonych przez Rosję! — przyniosła nie tylko wyzwolenie chłopom i reformy Aleksandra II, lecz również narodziny opinii publicznej, najpotężniejszej z sił, działających w Rosji.

Pozornie — wciąż jeszcze ropiała i nawet rozlewała się syberyjska katorga, system więzień przesyłkowych został ulepszony, katorżnicy dalej wlekli się z etapu na etap, zasiadały kolegia sądowe. Ale — o dziwo! — sądy sądami, a Wiera Zasulicz, która strzelała do komendanta stołecznej poli-cji(!) — została uniewinniona!?

Łatwość z jaką wypuszczono na wolność Wierę Zasulicz równa była łatwości, z jaką na miejscu niegdysiejszego zamachu zbudowano później leningradzkie więzienie centralne, tzw. Wielki Dom. Nadto Wiera Zasulicz nie kupowała sama rewolweru, z którego strzelała do Trepowa, broń jej kupiono, a później zamieniono na kaliber większy, iście niedźwiedzi — i sąd w ogóle nie zaindagował jej: a kto tę broń kupił?, gdzie ten człowiek? Taki współnik, wedle ówczesnych rosyjskich praw, nie był uważany za przestępcę. (Wedle sowieckiego prawa natychmiast by mu dano czapę). Na Aleksandra II dokonano siedmiu zamachów: zamach Karakozowa¹, zamach Soiowiowa; zamach pod Aleksandrowskiem; zamach pod Kurskiem; bomba Cbal-turina; mina Tietjorki\ wreszcie udany zamach Hryniewieckie-go\ Aleksander II chodził ze strachem w oczach (nawiasem mówiąc, bez żadnej ochrony) po Petersburgu „jak szczute zwierzę” (wedle wyrażenia Lwa Tołstoja, który spotkał cara na schodach jakiegoś prywatnego do-

1 A propos — Karakozow miał brata. Brat człowieka, który strzelał do cara! — spróbujcie to zmierzyć naszym łokciem. Oto jaką ów brat poniósł karę: „Zostało mu nakazane, aby zmienił nazwisko i zwał się odtąd Władimirow”. Żadnego uszczerbku materialnego, żadnych ograniczeń statusu i prawa do swobodnego poruszania się.

75

mir). I cóż — czy rozpędził i deportował pół Petersburga, jak to się stało po zabójstwie Iłirowa? Skądże, ani mu to było w głowie. Czy wprowadził profilaktyczny terror masowy? Powszechny terror, jak w roku 1918? Czy brał zakładników! Nie było wówczas nawet takiego pojęcia. Czy wpakował do ciupy elementy podejrzane? Ależ jak to można?!... Czy posłał tysiące ludzi na szafot? Stracono wszystkiego pięciu ludzi. Skazano na różne kary w tym całym okresie niespełna trzystu. (A gdyby miał miejsce choćby jeden taki zamach na Stalina — to iloma milionami dusz musielibyśmy za to zapłacić?).

W roku 1891, jak pisze bolszewik Olmiński, był on jedynym więźniem politycznym w całym więzieniu Kresty. Gdy z Petersburga przeniesiono go do Moskwy, był znowu jedynym politycznym na Tagance. Dopiero w Bu-tyrkach, przed samą wysyłką na

etap, zebrali się ich kilku!... (Minęło ćwierć wieku i rewolucja lutowa zastała w odeskiej twierdzy 7 więźniów politycznych, a w Mohylowie — 3);

Postępy oświaty i swobodnie rozwijającej się literatury sprawiły, że z każdym rokiem wzrastało znaczenie opinii publicznej, tej siły niewidzialnej, lecz groźnej dla caratu; nie udawało się już carom utrzymać w garści cugli, czy bodaj grzywy i Mikołaj galopował czepiając się już tylko kłębów i ogona. Nie miał odwagi, aby działać. Ani on, ani jego dygnitarze nie mieli już serca do walki o zachowanie władzy. Już nie gnębili, uciskali tylko z lekka i prędko szli na ustępstwa. Wciąż oglądali się i wytyżali słuch: a co też powie na to opinia publiczna?

Mikołaj II zlikwidował agenturę informacyjną wewnątrz jednostek wojskowych uważając, że ta instytucja ubliża honorowi armii (i dlatego nasze władze pojęcia nie miały, jaka też cicha propaganda prowadzona jest w oddziałach). A do organizacji rewolucyjnych właśnie dlatego posyłano zakamuflowanych szpicliów i korzystano z ich mizernych meldunków, że rząd uważał, iż skrępowany jest przepisami prawa i nie może (jak to się czyni za sowieckich czasów) po prostu wyaresztować wszystkich podejrzanych, nie troszcząc się wcale o konkretne dowody winy.

Oto sławny Milukow, ten przywódca konstytucyjnych demokratów, który jeszcze 30 lat po rewolucji pysznił się, że to on właśnie dał sygnał, który miał rozpętać burzę, drukując 1 listopada 1916 roku swój apel „Głupota czy zdrada?”. W 1900 roku pozwolił sobie na zgoła niewinny wyskok: występując (a był profesorem) na studenckim wiecu (profesor na wiecu!) podzielił się z zebranymi poglądem (wśród zebranych był student Sawin-kow, późniejszy szef Organizacji Bojowej Partii Socjalrewolucjonistów), że skoro władze nie uwzględniają dynamiki rewolucyjnego ruchu i nie czynią

2 Lew Tołstoj we wspomnieniach jego współczesnych, 1955, t. 1, str. 180.

76

jej ustępstw, to dynamika ta musi nieuchronnie doprowadzić do terroru. Ale przecież to nie żadne podżeganie? i nie żadne intencje prowadzące do...’1. To tylko zwykła słabość radykalnych liberałów do terroru (dopóki nie skieruje się ona przeciwko nim samym). Milukow wsadzony zostaje do aresztu śledczego na Szpaliernej (a jeszcze zabierają mu przy rewizji projekt konstytucji). Do celi sympatycy naznosili mu od razu mnóstwo kwiatów, słodyczy i smakołyków. Ma, rzecz jasna, dostęp do całego księgozbioru Biblioteki Publicznej. Krótkie śledztwo. Właśnie w jego trakcie pewien student zabija ministra oświaty (minęły dwa miesiące od wiecu) — ale to żadną miarą nie wpływa obciążająco na sytuację podsądnego Milukowa. Czekać na wyrok będzie mógł na wolności, tylko nie w samym Petersburgu. Dokąd więc jedzie? A na stację Udielnaja, tuż za rogiem stolicy. Bywał w Petersburgu niemal każdego dnia — to w lokalu Funduszu Literackiego, to znów w redakcji pisma „Ruskoje Bogatstwo”. W oczekiwaniu na wyrok otrzymał zezwolenie na wyjazd... do Anglii. Wyrok w końcu zapadł: 6 miesięcy w więzieniu Kriesty. (Również tutaj nie brakowało mu nigdy narcyzów i książek z biblioteki publicznej), Ale odsiedział tylko 3 miesiące: dzięki wstawiennictwu historyka Kluczewskiego („potrzebny jest dla rozwoju nauki”) car puszcza go na wolność. (Tego właśnie cara Milukow nazwie później „starym despotą” i oskarży fałszywie o zdradę Rosji). A wkrótce znów będzie mógł udać się na objazd Europy i Ameryki, aby nastawiać tamtejszą opinię publiczną przeciw rosyjskiemu rządowi.

Jedna z ciemniejszych postaci rewolucji lutowej, Gimmer-Suchanow, „wyznany” został z Petersburga wiosną 1914 takim trybem, że pod własnym nazwiskiem mógł dalej pracować sobie w ministerstwie rolnictwa (nie mówiąc już o tym, że często nocował we własnym, stołecznym mieszkaniu).

W 1907 roku padł ofiarą zamachu dyrektor Głównego Zarządu Więziennictwa, Maksymowski. Jak do tego doszło? Zarząd mieścił się w kamienicy, obok prywatnych mieszkań i prawie w ogóle nie był strzeżony. Wieczorem, już po godzinach służbowych, Maksymowicz z całym zaufaniem przyjął w swoim gabinecie pewną petentkę, która go zabiła.

Kiedy dyrektor departamentu policji Łopuchin zdradził rewolucjonistom tajemnicę swego informatora Azefa (szefa organizacji bojowej partii S-R), to nie znaleziono w kodeksie karnym artykułu, który pozwoliłby go postawić przed sądem; reżym carski nie miał prawnej obrony przeciw rozpowszechnianiu tajemnic państwowych.

(Zdecydowano go się jednak oddać pod sąd na podstawie jakiegoś innego, zbliżonego paragrafu — i złote głosy adwokatów długo jeszcze później głośiły, że ta rozprawa to istna „hańba carskiego reżymu”. Zdaniem liberałów, Łopuchina nie było za co sądzić).

77

Właśnie tchórzliwa połowiczność władzy drażniła i rozjuszała jej przeciwników.

Bohaterowie tej epoki już tak bardzo nie liczyli się z żadnymi poważnymi represjami charakteru penitencjarnego, że Bogrow, który bez wahania zabił Stołypina, mózg Rosji i jej chwałę, krzyknął głośno: „to boli!” kiedy mu nałożono kajdanki.

Jak nieskuteczny był przy tym reżym więzienny, sądzić można z planu ucieczki kijowskiego anarchisty, Justyna Żuka (ucieczka nie udała się jedynie z winy donosu, którego autorem był zapewne Bogrow): w 1907 roku, w czasie przerwy w rozprawie (a sprawa była polityczna!) Żuk (terrorysta) miał wyjść na dziedziniec do toalety, gdzie konwojenci nie ośmielili się wchodzić, a nawet podchodzić blisko. Tam już czekać miał na niego tobołek z cywilnym ubraniem i cęgi do przecinania kajdanów (i wszystko to w obrębie gmachu sądowego!). Prześladowano rewolucjonistów, ale w tym tylko stopniu, by pozwolić im poznać się wzajemnie w celach więziennych, zahartować się w walce, roztoczyć aureole dookoła głów. My zaś, mając w ręku właściwą miarę, możemy dziś stwierdzić śmiało, że rząd carski nie tępił, lecz raczej hołubił rewolucjonistów sobie na pohybel. Brak stanowczości, połowiczność decyzji, słabość carskiego rządu — oczywiste są dla każdego, kto na własnej skórze poznał działanie naprawdę niezawodnego systemu sądowego. Przyjrzyjmy się chociażby biografii Lenina, ogólnie wszak znanej: wiosną 1887 roku jego rodzony brat stracony został za zamach na Aleksandra III³. Podobnie jak brat Karakozowa, Lenin był więc bratem carobójcy. I cóż? Jesienią tegoż roku Włodzimierz Uljanow wstępuje na Imperatorski Uniwersytet Kazański, przy tym — na wydział prawa! Czy to nie zadziwiające?

Co prawda, w trakcie owego pierwszego roku akademickiego Włodzimierz Uljanow zostaje usunięty z uniwersytetu. Ale represja ta dotyczy go za zorganizowanie tajnego, antyrządowego zebrania studenckiego. Brat carobójcy podżega zatem kolegów do nieposłuszeństwa wobec władzy. Co by mu się u nas za to należało? Ależ rozstrzelanie, bez żadnego gadania (współuczestnicy dostaliby po dwadzieścia pięć, w najlepszym wypadku —

3 W stadium śledztwa sądowego wyszło zresztą na jaw, że Anna Uljanowa otrzymała z Wilna szyfrowaną depezę: „siostra jest ciężko chora”, co znaczyć miało: broń została wysłana. Anna wcale się nie zdziwiła, chociaż nie miała w Wilnie żadnej siostry; i nie wiedzieć czemu — przekazała ten telegram Aleksandrowi. Jasne, że miała swój udział w zмовie i że u nas na pewno dostałaby za to dychę. Ale Anna nic została nawet pociągnięta do odpowiedzialności sądowej! Ustalono też w trakcie tego samego śledztwa, że inna Anna (Sierdiukowa), nauczycielka z Jekatierinodar, wiedziała dobrze o przygotowaniach do zamachu na cara i milczała. Co by ją czekało za to u nas? Rozstrzelanie! A jaki wyrok w końcu dostała? Dwa lata... 78

po dziesięć lat). Jego zaś wylewają z uniwersytetu. Okrucieństwo! Zaraz jedzie ponadto na zesłanie. Dokąd? Ha... Sachalin4? Ależ nie, do majątku rodzinnego Kokuszkino, gdzie zresztą zawsze spędzał ferie letnie. Chce pracować, więc pozwalają mu na... trzebieenie lasu w tajdze? Ależ nie! — na prowadzenie praktyki prawniczej w Samarze; jednocześnie uczestniczy w działalności kółek nielegalnych. Następnie może jako ekstern zdawać egzaminy na uniwersytecie Petersburskim. (A kwestionariusze? Oddział Specjalny spał sobie, czy co?).

1 oto po kilku latach ten sam młody rewolucjonista zostaje aresztowany za to, że utworzył w stolicy „Związek Walki o Wyzwolenie” — ni mniej, ni więcej! Że niejednokrotnie wygłaszał „podburzające” przemówienia do robotników, że pisał ulotki. Może znęcano się nad nim albo morzono głodem? Bynajmniej, zapewniono mu w więzieniu warunki dla wydajnej pracy umysłowej. W petersburskim więzieniu śledczym, gdzie przesiedział rok i dokąd przekazano mu dziesiątki dzieł naukowych, zdołał napisać większą część swojej książki Rozwój kapitalizmu w Rosji, a oprócz tego wysyłał — legalnie, przez prokuraturę! — Studia ekonomiczne do marksistowskiego pisma „Nowe Słowo”. Do celi przynoszono mu płatne obiady dietetyczne, mleko, wodę mineralną z apteki, trzy razy tygodniowo paczki żywnościowe od rodziny. (Podobnie Trocki w twierdzy Pietropawłowskiej mógł przelać na papier pierwszy zarys teorii permanentnej rewolucji).

Ale za to później poszedł pod mur z wyroku Trójki? Nie, nawet więzieniem go nie ukarano, pojechał od razu na zesłanie. Czy do Jakucji, na całe życie? Skądże znowu, do żyznego okręgu Minusińskiego, na całe trzy lata. Wiozą go tam jednak skutego? W wagonie dla więźniów? O, nie! Jedzie jak inni wolni ludzie — jeszcze trzy dni chodzi sobie bez przeszkód po Petersburgu, później także po Moskwie, musi przecież zostawić konspiratorom instrukcje, zatroszczyć się o kontakty i łączność, przeprowadzić naradę tych, co mają kontynuować działalność rewolucyjną. Pozwolono mu jechać na zesłanie na własny rachunek — to znaczy, w jednym przedziale z wolnymi pasażerami. Żadnych etapów, żadnego zbarniaka w drodze na Sybir — ani, tym bardziej, w drodze powrotnej — Lenin nie poznał nigdy. Później, w Krasnojarsku, musi jeszcze posiedzieć w bibliotece dwa miesiące, aby zakończyć swój Rozwój kapitalizmu; i dzieło to, napisane przez zesłańca, pojawia się w druku bez żadnych przeszkód ze strony cenzury (ano, przyłóżcie tu nasz łokieć!). Z jakich jednak środków utrzymuje się Lenin w dalekim siole, toć nie znajdzie tam pracy zarobkowej? Otóż poprosił o przyznanie mu dotacji skarbowej, państwo opłacało zawiązką wszyst-

4 Na Sachalin posyłano również więźniów politycznych. Ale dziwne, że nie trafił tam nikt z wybitniejszych bolszewików (a także mienszewików).

kie jego potrzeby (choć matka jego była dość zamożna i stała mu wszystko, czego mu było trzeba). Nie sposób wymyśleć sobie lepszych warunków dla deportowanego niż te, które miał Lenin podczas pierwszego i jedyne go swego zesłania. Jedzenie niezwykle tanie i zdrowe, wielka obfitość mięsa (co tydzień — cały baran), mleka, warzyw; uciech łowieckich — też bez liku (nie jest zadowolony z psa, więc całkiem serio chcą mu przysłać z Petersburga innego; kłósa go w kniei komary, więc zamawia sobie skórkowe rękawiczki); Lenin wyleczył się z choroby żołądka i innych przypadłości, na które w młodości cierpiał, szybko też utył. Nie ma żadnych obowiązków, żadnego zatrudnienia, żadnych powinności, jego kobiety też nie muszą się nadwierać. 15-letnia córka miejscowych chłopów wykonywała w ich rodzinie całą czarną robotę za 2 i pół rubla miesięcznie. Lenin nie musiał wcale zarabiać na życie piórem, odrzucał przychodzące z Petersburga oferty płatnej pracy literackiej — a publikował i pisał tylko to, co mogło mu zapewnić literackie nazwisko.

Doczekał się końca okresu deportacji (mógłby bez trudu „uciec”, ale nie zrobił tego, był przezorny). Czy zesłanie przedłużono mu automatycznie?, czy zamieniono je na bezterminowe? Nigdy w świecie, to byłoby sprzeczne z prawem. Pozwolono mu zamieszkać w Pskowie, z tym że nie miał prawa jeździć do niedalekiej stolicy. Jeździ za to do Smoleńska, do Rygi. Nikt tych jego ruchów nie śledzi. Wówczas postanawia przewieźć z pomocą bliskiego przyjaciela (Martowa) cały koszt nielegalnej literatury do stolicy — i wybiera drogę przez Carskie Sioło, gdzie kontrola jest szczególnie surowa (tu już obaj panowie przełajnowali). W Petersburgu zostaje zatrzymany. Co prawda, kosza już nie ma, znajdują za to przy nim list, pisany atramentem sympatycznym, a przeznaczony dla Plechanowa i zawierający cały plan organizacji czasopisma „Iskra” — ale żandarmi nie bawią się w chemię; aresztant trzy tygodnie spędza w celi, mają w ręku ów list — lecz list pozostaje w dziewiczym stanie aż do końca.

Czym też kończy się ten samowolny wyjazd z Pskowa? Dwadzieścia lat katorgi, jak u nas? Nie, te trzy tygodnie w areszcie — to wszystko! I wkrótce już wolno Leninowi poruszać się całkiem swobodnie — może pojeździć sobie po Rosji, przygotować punkty kolportażu „Iskry”, wreszcie ruszyć za granicę, aby zorganizować redakcję („policja nie widzi przeszkód”, aby wydać mu paszport zagraniczny!).

Nie dość na tym! Lenin już z emigracji wysyła do Rosji, do encyklopedii „Granat”, hasło o Marksie! i artykuł ten zostaje wydrukowany⁵. I nie tylko ten!

⁵ Wyobraźcie sobie tylko, że „Wielka Encyklopedia Sowiecka” zamawia u autora z emigracji hasło o Bierdiajewie — i zamieszcza je!

80

I wreszcie — kieruje działalnością wywrotową, osiedliwszy się w małym i miasteczku blisko austriacko-rosyjskiej granicy; a z Rosji nikt nie posyła przebranych zbirów, aby porwać go i przywieźć żywcem. A nie było to wcale trudne.

Takie same dowody słabości i niezdecydowania władz carskich znaleźć można, gdy przyjrzymy się biografii każdego wybitniejszego socjaldemokraty (szczególnie — w wypadku Stalina, ale tu otwiera się pole dla dodatkowych podejrzeń). Na przykład, podczas rewizji u Kamieniewa w Moskwie, w 1904 roku, znaleziono „kom-

promitujące listy". W czasie przesłuchania Kamieniew odmawia wyjaśnień. I na tym się kończy. I zostaje deportowany... do rodzinnego miasta, do rodziców.

Co prawda, eserów prześladowano znacznie surowiej. Ale co to znaczy w tym wypadku? Czy można uznać za błahe zarzuty wobec Gerszuni (aresztowanego w 1903 roku), czy Sawinkowa (w 1906)? Zorganizowali udane zamachy na najwyższych dygnitarzy cesarstwa. Ale nie zostali skazani na śmierć. Niedługo potem pozwolono uciec Marii Spiridonowej, która zastrzeliła generała Łużenowskiego, tłumiciela chłopskiego powstania na Ta-mbowszczyźnie. Też zresztą nie ośmielono się postać jej na szafot, lecz na katorgę⁶. A gdyby u nas, w 1921 roku, jakaś 17-letnia gimnazjalistka zastrzeliła dowódcę, który stłumił bunt chłopski w tym samym tambowskim okręgu* — ileż tysięcy gimnazjalistów i inteligentów poszłoby od razu pod mur, bez sądu, na fali czerwonego „kontrterroru”?

Za bunt w bazie floty wojennej w Sweaborgu, przy którego tłumieniu zginęło kilkuset żołnierzy — rozstrzelano 8 zbuntowanych, 800 skazano zaś na karę więzienia. Kilku z nich rewolucja lutowa uwolniła z za krat legendarnego, katorżniczego Zeren-tuju — gdzie znajdowało się wtedy raptem 22 politycznych katorżników.

Jak zaś karano studentów (za wielką demonstrację w Petersburgu w 1901 roku) wspomina Iwanów Razumnik. W więzieniu petersburskim — istny piknik studencki: śmiech, śpiew choralny, swobodne krążenie z celi do celi. Iwanów Razumnik z całą niefrasobliwą czelnością poprosił dyrektora więzienia o przepustkę na przedstawienie Teatru Artystycznego, występującego właśnie gościnnie w stolicy — toć bilet mógł przepaść! Skazano go później na „zesłanie” wedle jego wyboru — do Symferopola i mógł z plecakiem odbywać wycieczki po całym Krymie.

⁶ Wolność dała jej rewolucja Lutowa. Za to w 1917 roku Spiridonowa aresztowana była przez Czekę i trafiła do jej więzień jeszcze parokrotnie. Była kartą w długoletnim Wielkim Pasjansie socjalistów. Była na zesłaniu pod Samarkandą, Taszkientem, Ufą. Później — ślad jej ginie w jakimś politizolatorze, ponoć gdzieś ją w końcu rozstrzelano. Autor ma na myśli Tuchaczewskiego.

81

Ariadna Turkina tak pisze o tym samym okresie: „Byliśmy więźniami śledczymi i reżym nie był surowy”. Oficerowie żandarmerii proponowali im dostawę obiadów z najlepszej restauracji — od Dodona. Jak świadczy niezmordowany dłubacz Burcew, „więzienia petersburskie były o wiele bardziej humanitarne od zachodnioeuropejskich”.

Leonida Andriejewa za napisanie ulotki wzywającej robotników moskiewskich do zbrojnego (!) powstania, którego celem miało być obalenie (!) samodzierżawia... przetrzymano w areszcie całe 15 dni! (sam uznał, że to jakoś przymało, więc pisał we wspomnieniach, że siedział trzy tygodnie). Oto notatki z jego dziennika⁷:

„Izolatka! Nie szkodzi, nie jest aż tak źle. Rozścielam łóżko, przysuwam taboret, lampę, kładę sobie paczkę papierosów, gruszkę... czytam, gryzę tę gruszkę, całkiem jak w domu... I wesoło mi, właśnie że wesoło”. — „Szanowny panie! Ej, panie szanowny” — tak woła na niego nadzorca przez klapę w drzwiach. Dużo książek. Liściki z sąsiednich cel.

W sumie, jak stwierdzał Andriejew, jeśli chodzi o wyżywienie i warunki mieszkaniowe — lepiej mu się wiodło w celi niż na studenckiej stacji. W

W tym samym okresie Gorki napisał dramat Dzieci słońca, siedząc w Trubeckim bastionie. Gdy opadła fala rewolucji lat 1905-07, liczni jej aktywiści, jak na przykład

Diaczkow-Tarasow i Anna Rak, nie czekali aż ich zamkną, tylko wyjechali po prostu za granicę, by w charakterze bohaterów — wrócić po lutowej rewolucji i brać się za budowę nowego życia. Było wiele takich wypadków.

Przywódcy bolszewicy wydali publikację o charakterze dość bezwstydnego autoreklamy w postaci 41. tomu encyklopedii „Granat” — Czołowi działacze ZSRR podczas Rewolucji Październikowej — Autobiografie i życiorysy. Mierzona naszym łokciem, każda z tych elukubracji budzi zdumienie z uwagi na względną bezkarność, z jaką spotkała się rewolucyjna działalność autorów. Bardzo łagodne wydają się zwłaszcza warunki, w jakich odsiadywali swoje kary więzienia. Oto świadectwo dotyczące Krassina: „Pobyty w więzieniu na Tagance zawsze wspominał bardzo mile. Po pierwszych przesłuchaniach żandarmi dali mu spokój (a czemuż to? — A.S.) i Krassin całe te nieproszone wywczasy poświęcił wytężonej pracy: nauczył się niemieckiego, przeczytał w oryginale wszystkie utwory Schillera i Goethego, poznał dzieła Schopenhauera i Kanta, teorie psychologiczne Wundta...”. Jako miejsce zesłania Krassin obiera sobie Irkuck, tj. stolicę Syberii, jej największe centrum kulturalne.

Radek w więzieniu warszawskim w 1906 roku: „Wpakowano go na pół roku, spędził je w znakomity sposób, ucząc się rosyjskiego, czytając Le-

7 Według książki L. Andrejewa Dzieciństwo.

nina, Plechanowa, Marksa, napisał w więzieniu swój pierwszy szkic (o związkach zawodowych...) i szalenie był dumny, gdy doręczono mu (do celi) numer czasopisma Kautskiego”.

Skądinąd Siemaszko twierdzi: „Okres spędzony w więzieniu (Moskwa 1895 roku) był nadzwyczaj trudny”: po trzymiesięcznej odsiadce wysłano go na 3 lata... do ojczystego miasta Jelca!

Złą sławę „straszliwych rosyjskich Bastylii” szerzyli na Zachodzie ludzie, których więzienie załamało, tacy jak Parvus, autorzy napuszonych i sentymentalnych, retuszowanych wspomnień, pisanych z chęci odwetu i wymierzonych w cara jako całość.

Wszystkie te prawidłowości powtarzają się również tam, gdzie chodzi o drobniejsze płotki, znaleźć je można w tysiącach poszczególnych życiorysów.

Mam właśnie pod ręką encyklopedię — co prawda, niezupełnie związaną z tym tematem, bo literacką, a ponadto starą (z 1932 roku) z tak zwanymi „omyłkami”. Póki jeszcze tych „omyłek” raz na zawsze nie poprawiono, wybieram na chybił trafił literę „K”.

Karpenko-Karyj. Będąc sekretarzem policji miejskiej (!) w Jelizawietgradzie dostarczał rewolucjonistom paszportów. (Przetłumaczamy to na nasz język: urzędnik biura paszportowego zaopatrywał w paszporty organizację podziemną!). I cóż — został za to skazany na szubienicę? Ależ nie, zesłano go na... 5 (słownie — pięć) lat... do jego własnego futoru! To znaczy — na daczę. Został później pisarzem.

Kiryłow W. T. Brał udział w ruchu rewolucyjnym we flocie czarnomorskiej. Rozstrzelany? Zesłany dożywotnio na katorgę? Ależ nie, 3 lata zesłania do Ust' Sysolska. Został literatem.

Kasatkina I.M. Pisał opowiadania siedząc w więzieniu. Utwory te zamieszczała legalna prasa. (U nas nie może dochrapać się druku nawet taki, co już odsiedział swoje).

Karpow J., powróciwszy z drugiego już zestania, został kierownikiem cesarskiego teatru Aleksandryjskiego oraz teatru Suworina. (U nas — po pierwsze — nie dostałby prawa meldunku w stolicy, po drugie zaś spec-wydział nie pozwoliłby powierzyć mu nawet posadki suflera).

Krzyżanowski powrócił z zestania w okresie, gdy reakcja stołypinowska sięgała swego zenitu i (będąc dalej członkiem podziemnego KC) bez żadnych przeszkód przystąpił do swojej pracy jako inżynier. (U nas byłby szczęśliwy, gdyby pozwolono mu objąć posadę ślusarza w stacji maszyn rolniczych).

Chociaż Krylenko nie trafił do „Encyklopedii Literackiej”, należy mu się tu wzmianka, skoro już jesteśmy przy literze „K”. W trakcie całej swojej frenetycznej działalności rewolucyjnej trzykrotnie „uniknął szczęśliwie are-

83

szutowania⁸”, sześciokrotnie go nie uniknął, ale odsiedział wszystkiego 14 miesięcy. W 1907 roku (był to rok, gdy reakcja triumfowała) został oskarżony o prowadzenie agitacji w szeregach wojskowych i o uczestnictwo w tajnej organizacji paramilitarnej — ale Wojskowy Sąd Okręgowy (!) go uniewinnił! W roku 1915 „za uchylanie się od pełnienia służby wojskowej” (a Krylenko jest oficerem i wojna trwa!) ten przyszły dowódca naczelny (oraz zabójca innego naczelnego dowódcy) ukarany zostaje w ten sposób, że... wysyłają go na front — i to wcale nie do jakichś oddziałów karnych! (W ten oto sposób rząd carski chciał pokonać Niemców i jednocześnie stłumić ruch rewolucyjny...). I oto w cieniu niepodciętych, prokuratorskich skrzydeł tego człowieka przez 15 lat przeciągali długim szeregiem skazani w tylu procesach, ustawiając się w kolejce po swoją kulę w kark.

We wspomnianym już okresie „stołypińskiej reakcji” gubernator okręgu Kutaisi W.A. Starosielski, który osobiście zaopatrywał rewolucjonistów w paszporty i broń oraz udostępniał im plany akcji policyjnych i woj* kowych — wykręcił się omal czy nie dwoma tygodniami aresztu⁹.

Przetłumacz to na nasz język, człowiecze, jeśli ci starcza wyobraźni!

W tej samej epoce reakcji ukazuje się legalne bolszewickie czasopismo filozoficzne i spoJeczno-polityczne „Myśl”, a w „reakcyjnych” „Wiechach” wyczytać można takie określenia: „skostniałe ze starości samodzierżawie”, „przekleństwo despotyzmu i niewolnictwa” — co tam, piszcie co chcecie, kto by wam tego zabraniał! Surowość władz była iście monstrualna. Retuszer zakładu fotograficznego w Jałcie, W.K. Janowski, narysował scenę rozstrzelania marynarzy z krążownika „Oczaków” i wystawił obrazek w witrynie sklepu (no, wyobraźmy sobie, że ktoś u nas wystawia na Kuźnieckim Moście ilustracje mające za przedmiot bunt w Nowoczerkasu i jego stłumienie). Co też zrobił pan starosta z Jałty? Jako że niedaleko znajduje się Liwadia, gdzie car miał swoją rezydencję, postąpił nad wyraz okrutnie: po pierwsze, na-krzyczał na Janowskiego! po drugie, zniszczył... nie zakład fotograficzny Janowskiego, nawet nie sam rysunek sceny rozstrzelania, tylko kopię tego rysunku. (Ktoś powie — to dowód, że z Janowskiego był spryciarz. Ale zauważmy, że starosta miejski też nie kazał rozbijać szyby wystawowej w swojej obecności). Po trzecie, na Janowskiego spadła taka oto ciężka kara: wolno mu było dalej mieszkać w Jałcie, pod warunkiem, że nie będzie pojawiał się na jej ulicach w trakcie przejazdów rodziny carskiej.

Burcew, w piśmie wychodzącym na emigracji, szkalował nawet życie

8 Tu i na następnych stronicach korzystamy z jego autobiografii zamieszczonej w encyklopedii „Granat”, tom 41, część 1, strony 237-245. • Towarzysz gubernator — „Nowyj Mir”, 1966, nr 2.

84

intymne cara. Wrócił do Rosji (1914, poryw patriotyzmu) i co — może go rozstrzelali? Niecały rok więzienia i to z rabatem, bo dostawał książki i zajmował się pracą literacką.

Pozwalano więc, aby topór rąbał sobie spokojnie. A topór już się dorą-bie swego. Gdy z kolei Szlapnikow, przywódca „robotniczej opozycji”, fachowy metalowiec, został w 1929 zesłany (pierwszy i nie ostatni raz) do Astracha-nia, to wyrok zabraniał mu „wszelkiego kontaktu z robotnikami”; nie miał nawet prawa do pracy w swoim fachu, jak sobie tego życzył.

Mienszewik Zubarow, który podczas sesji Drugiej Dumy Państwowej w skandaliczny sposób szkalował rosyjską armię, nie był nawet wyproszony za drzwi. Za to syn jego, aresztowany w 1927 roku, nie wytknął już nosa z obozów sowieckich. Oto miernik dwóch e”pok.

Kiedy zaś „represjonowano” (jak to się dzisiaj ‘grzecznie mówi) Tuchaczewskiego, to nie tylko rozgromiono i wsadzono za kraty całą jego rodzinę (mniejsza o takie drobnostki, jak wyrzucenie córki z wyższej uczelni), ale aresztowano również dwóch jego braci z żonami, cztery siostry oraz ich mężów, a wszystkich bratanków i siostrzenice zapędzono do sierocińców, zmieniając im nazwisko na Tomaszewicz, Rostow itd. Żona Tuchaczewskiego została rozstrzelana w obozie, w Kazachstanie, matka zebrała na ulicach Astrachania aż do samej śmierci”. To samo można by powiedzieć o krewniakach setek innych rozstrzelanych dygnitarzy. To jest prześladowanie, co się zowie.

Głównym wyróżnikiem prześladowań (czy półprześladowań) za carskich czasów było chyba to, że krewni i powinowaci rewolucjonisty nic cierpieli za jego winy. Natalia Siedowa (żona Trockiego) W 1907 roku bez przeszkód wróciła do kraju, podczas gdy jej mąż miał wyrok sądowy na karku. Wszyscy członkowie rodziny Uljanowów (a prawie każdy z nich przeszedł przez więzienie) otrzymywali bez przeszkód paszporty i mogli wyjeżdżać za granicę. Gdy Lenin uznany był za „ściganego przez policję przestępcę”, ponieważ publikował wezwania do powstania zbrojnego, jego siostra Anna legalnie i regularnie przekazywała mu pieniądze na konto „Crédit Lyonnais”. Zarówno matka Lenina, jak i matka Krupskiej, aż do śmierci otrzymywały wysokie renty państwowe jako wdowy (jedna po radcy stanu, czy tzw. generale cywilnym, druga po wyższym oficerze). ! nie sposób było wyobrazić sobie nawet, aby ktokolwiek zechciał je szykanować.

” Ten przykład przytaczam ze względu na krewnych, niewinnych przecież ludzi. Sam Tuchaczewski staje się teraz u nas przedmiotem nowego kultu, którego nie zamierzam popierać. Zebrał co sam posiał, to on przecież stłumił powstania w Kronsztacie i na Tambowszczyźnie.

85

W takich to okolicznościach Tołstoj doszedł do przekonania, że ludziom wcale nie jest potrzebna wolność polityczna, lecz jedynie możliwość moralnego doskonalenia się.

A pewno, że wolność nie jest potrzebna tym, którzy ją już mają. Gotowiśmy się z tym zgodzić: ostatecznie nie o wolność polityczną chodzi, tak jest! Chodzi, rzecz jasna, o moralne zasady życia społecznego! Ale to jest ostatnie ogniwo, co jest zaś ogniwem pierwszym? Jakież to pierwszy krok trzeba zrobić? Jasna Polana była w tym czasie otwartym klubem, ogniskiem myśli. A gdyby ją tak otoczono łańcuchem posterunków, jak leningradzkie mieszkanie Achmatowej, legitymując każdego, kto ją odwiedzał, a gdyby tak zaciśnięto ów klub w cęgi, jak nas wszystkich za czasów Stalina, kiedy to ludzie bali się spotkań pod jednym dachem nawet we trójkę — o, wtedy nawet Tołstoj żądałby przede wszystkim politycznej wolności. W najstraszniejszym okresie terroru stołypińskiego liberalny dziennik „Ruś” na pierwszej kolumnie drukuje taki oto wielki tytuł: „Pięć wyroków śmierci!... Dwudziestu straconych w Chersoniu!”. Tołstoj łkał, powtarzał, że dalej tak żyć nie sposób, że nie można wyobrazić sobie niczego bardziej przeraźliwego „.

Przytoczmy jeszcze raz spis z czasopisma Minione lata: 950 straconych z wyroku sądowego w ciągu sześciu miesięcy¹².

Weźmy ten numer czasopisma do ręki. Zwróćmy uwagę, że opublikowany został (luty 1907) w samym zenicie ośmiomiesięcznej (19 sierpień 1906 — 19 kwiecień 1907) stołypińskiej epoki „sprawiedliwości polowej” — i że dane czerpał z oficjalnych biuletynów rosyjskich agencji telegraficznych. Wyobraźmy sobie, że w Moskwie w 1937 roku gazety publikują spisy rozstrzelanych, że ukazuje się nawet biuletyn zbiorczy z nazwiskami i cyframi — a NKWD przymyka oczy po wegetarianisku. Po drugie, ten ośmiomiesięczny okres, który zresztą nie miał w Rosji nowoczesnej precedensów i już się nie powtórzył, musiał się skończyć dlatego, że „pozbawiona znaczenia”, „potulna” Dumą Państwową nie zgadzała się na wymierzanie sprawiedliwości w ten sposób. (Stołypin nie ośmielił się nawet przedłożyć Dumie odpowiedniego wniosku).

Po trzecie, wprowadzenie sądów polowych uzasadniano tym, że w ciągu poprzedzającego ten krok półrocza miały miejsce „niezliczone wypadki mordów politycznych, których ofiarą padli policjanci”, liczne zamachy na urzędników i działaczy państwowych¹³, a także — eksplozja na Wyspie

„ Tołstoj we wspomnieniach swoich współczesnych, 1955, t. II, str. 232.

¹² Czasopismo „Byloje”, nr 2/14, luty 1907.

¹³ Fakty te znajdują potwierdzenie w tym samym artykule czasopisma „Byloje” na str. 45.

86

Aptekarskiej w Petersburgu; jeśli zaś „państwo nie sprzeciwia się czynnie aktom terroru, to ztraca się samo pojęcie państwa”. I oto ministerium stołypinowskie, zniecierpliwione i zirytowane — bo sądy przysięgłych rozpatrują sprawy bez pośpiechu, bo adwokatura ma w nich pozycję mocną i nic nie ogranicza jej przywilejów (to nie nasz sąd okręgowy, potulnie wsłuchany w telefon) — rząd dąży więc za wszelką cenę do okiełznania rewolucjonistów (a także — zwykłych bandytów strzelających do okien pociągów pasażerskich, mordujących spokojnych ludzi dla miłego grosza, dla paru rubli), uciekając się do małomównych sądów polowych. (Zresztą — pod rygorem ograniczeń: Sąd polowy można wprowadzić wyłącznie w miejscowości, gdzie obowiązuje już stan wojenny albo wyjątkowym zasada tylko w sprawach przestępstw świeżych, dopiero co — nie dalej niż 24

godziny temu — wykrytych i jedynie wtedy, gdy przestępczy charakter in kryminowanego czynu jest oczywisty).

Jeśli społeczeństwo ówczesne tak było tą innowacją wstrząśnięte i tak na nią obu- rzone, to widać była to rzecz w Rosji od dawna niesłychana!

Biorąc pod uwagę sytuację z lat 1906-1907 widzimy dziś, że winę za wprowadzenie „terroru stołypinowskiego” ponoszą — na równi z rządem

— także rewolucyoniści-terroryści.

W sto lat po narodzinach rosyjskiego stronnictwa terroru rewolucyjnego możemy bez żadnych wahań stwierdzić, że ten program terrorystyczny i wynikające zeń ak- cje były strasznym błędem rewolucjonistów, plagą dla Rosji, że nie dały jej nic prócz chaosu, nieszczęść i mnóstwa ofiar.

Przerzucmy jeszcze kilka stroniec tego czasopisma Minione lataH. Oto jedna z pro- klamacji, ogłoszonych w 1862 roku, kiedy się to wszystko zaczęło:

„Czego chcemy? — dobra i szczęścia Rosji. Ale zbudowanie zrębów nowego, lep- szego życia niemożliwe jest bez ofiar, ponieważ nie mamy czasu na zwłokę — po- trzeba nam reform szybko, niezwłocznie!”.

Jakież to fałszywe rozumowanie! Troszcząc się o dobro Rosji, nie mogli zwlekać i wskazali drogę: kosztem ofiar należy przyspieszyć nadejście epoki szczęścia po- wszechnego! Nie mieli czasu na żadną zwłokę — i oto my, ich prawnuki, po upły- wie 115 lat znajdujemy się nie w tym samym punkcie, co oni (mam na myśli mo- ment oswobodzenia chłopów od pańszczyzny i poddaństwa), lecz cofnęliśmy się znacznie na tej drodze.

Przyznajmy, że terroryści byli godnymi partnerami stołypinowskich sądów polowych. Z naszego punktu widzenia różnica między erą Stołypina a erą Stalina na tym po- lega, że za naszych czasów barbarzyństwo azjatyckie przybrało

14 „Byłoje” nr 2/14.

87

formy bardziej jednoznaczne: łby leciały z karków za jedno tylko westchnienie

• albo i za cień westchnienia¹⁵.

„Nie ma nic strasniejszego!” — zakrzyknął Tołstoj. A tymczasem — tak łatwo wy- obrazić sobie rzeczy strasniejsze. O wiele strasniej, kiedy egzekucje odbywają się nie od czasu do czasu w jakimś znanym wszystkim mieście, lecz co dzień i wszędzie — i nie po dwudziestu, ale po dwustu naraz, a gazety o tym — ani słowa, ani peti- tem, ani wołowymi literami; piszą natomiast, że „żyje się teraz lepiej, żyje się nam radośniej”.

Nabili chłopu pyski i prawią: takiś był od kołyski.

Nie, nie było tak! Daleko było do tego, chociaż państwo rosyjskie już w tamtym okresie uważane było powszechnie za największą despotię w Europie.

Dwudzieste i trzydzieste lata bieżącego wieku dały nowy i znacznie głębszy wymiar naszym wyobrażeniom o możliwych stopniach sprężenia. Ta materia ziemską, owa garść pyłu, która wydawała się naszym przodkom czymś ugniecionym i zbitym do granic ostatecznych — dziś przypomina fizykom raczej dziurawe rzeszoło. Okru- szynka, leżąca samotnie na stumetrowym boisku, oto model atomu. Wymyślono rzecz monstrualną — sposób, aby te okruszyny, owe jądra atomów zebrać ze wszystkich pustych stumetrowych boisk w jeden pakunek. Naparstek takiej materii waży tyle, ile nasz ziemski parowóz. Ale nawet taki gnieciuch nazbyt jeszcze przy- pomina kupę pierza: obecność protonów nie pozwala jąder atomowych ugnieść,

jak należy. Gdyby zaś udało się sprasować same neutrony, to znaczek pocztowy, z tej masy wykonany, ważyłby 5 milionów ton!

Do takich właśnie granic — i to nie korzystając wcale z osiągnięć fizyki — starano się nas ugnieść i stłamsić.

Przez usta Stalina kraj nasz został przywołany do porządku: trzeba raz na zawsze wypłenić beztroską dobroduszość! „Dobroduszością” zaś nazywa W. Dal w swoim słowniku „pocziwość, pobłażliwość, wyrozumiałość, skłonność do miłosierdzia, tolerancji, czułość na dobro innych”. Otóż tego wszystkiego kazano nam się wyrzec — a my skwapliwie wyzbyliśmy się wszelkich względów na dobro ogółu! Właśny żłób — to dla nas wszystko.

Rosyjska opinia publiczna w pierwszych latach dwudziestego wieku była zadziwiająco silną, to dzięki niej oddychać można było swobodnie. Czarot załamał się nie wtedy, kiedy Kołczak zmuszony został do panicznego odwrotu, ani też podczas lutowej burzy w Piotrogradzie — ale grubo wcześniej.

15 Twierdzą śmiało, że odbywające się bez sądu ekspedycje karne (stłumienie powstań chłopskich w 1918-19, Tambów — 1921, Kubań i Kazachstan — 1930), prześcignęły znacznie swoim rozmachem i techniką ekspedycje carskie.

88

niej! Był pokonany i skazany już wtedy, gdy w literaturze rosyjskiej przyjęto za pewnik, że opisanie żandarma albo nawet policjanta, z najmniejszą domieszką sympatii — jest dowodem czarnosecinnego lizusostwa. Kiedy za hańbę uważać zaczęto nie tylko podanie mu ręki, nie tylko uchylenie kapelusza, ale wręcz — przypadkowe otarcie się o niego rękawem na ulicy.

Oprawcy, przeniesieni w stan spoczynku albo nawet kierowani do tych zajęć specjalnie — opiekują się dziś u nas... literaturą piękną i kulturą. Każą samych siebie opiewać jako mitycznych herosów. Uchodzi to u nas — nie wiedzieć czemu — za miernik patriotyzmu.

Opinia publiczna! Nie wiem, jak interpretują to pojęcie socjologowie. Dla mnie jest jasne, że być ona może tylko sumą — zależnych od siebie wzajemnie, owszem — ale zupełnie osobistych, jednostkowych opinii, wyrażanych w sposób nieskrępowany i zupełnie niezawisłych od opinii organów państwowych czy partyjnych.

I dopóki nie mamy niezależnej opinii publicznej, dopóty nie ma żadnej gwarancji, że nie powtórzy się bezzasadna, masowa rzeź, że nie zacznie się którejkolwiek nocy, tej właśnie nocy, już najbliższej.

Przodująca Doktryna, jak widzieliśmy, nie ustrzegła nas przed tą zarazą.

Ale widzę, że mój oponent krzywi się, mruga do mnie, daje znaki, przeczy gestem: po pierwsze, wrogowie mogą usłyszeć] po drugie, po co tak generalizować? Przecież kwestia miała zakres o wiele węższy: nie — djacze-go nas wsadzano do ciupy? ani — dlaczego tolerowali tyle bezprawia ci, co zostali na wolność P. Bo wiadomo, że niczego się nawet nie domyślali, że po prostu ufali partii i zakładali, że skoro całe narody deportuje się na Sybir w ciągu 24 godzin, to widać te narody winne. Chodzi przecież o inny problem: dlaczego już w obozie, gdzie mogliśmy wszak dogadać się ze sobą, otóż — dlaczego tam głodowaliśmy, gięliśmy kark, znosiliśmy wszystkie szykany i nie walczyliśmy!

Zresztą, sam też mam chęć odpowiedzieć na to pytanie. Znosiliśmy cierpliwie to, co wyrabiano z nami w obozach dlatego właśnie, że na zewnątrz, na wolności nie istniała opinia publiczna.

Jakież w ogóle ma aresztant możliwości oporu wobec reżymu, któremu jest podporządkowany? Zapewne tylko te cztery:

protest,
głodówka,
ucieczka,
bunt.

16 Tak odpowiedział W. Jeremiłow Ilji Erenburgowi.

89

A zarazem jest jasne dla każdego, by zacytować ulubiony zwrot Nieboszczyka (bo jeśli nie jest jasne, to można wbić do głowy), że pierwsze dwa sposoby są skuteczne (i groźne dla gospodarzy więzień) tylko tam, gdzie istnieje opinia publiczna! Gdzie zaś jej nie ma, tam protesty i głodówki budzą tylko śmiech pusty.

Bardzo to efektowne: rozerwać na piersi koszulę w obecności więziennych dygnitarzy — jak to zrobił Dzierżyński — i już samym tym gestem wymusić uznanie swoich żądań. Ale to udać się może tylko tam, gdzie liczą się z głosem opinii. Jeśli zaś tego nie ma, to knebel ci w pysk i jeszcze za więzienną koszulę każą ci płacić!

Warto tu przypomnieć słynny niegdyś wypadek, jaki miał miejsce w ciężkim więzieniu Kara u schyłku zeszłego wieku. Więźniów politycznych zawiadomiono, że mają podlegać odłąd karom cielesnym. Nadieżda Segeda jako pierwsza miała być poddana chłóście (za to, że spoliczkowała komendanta... by zmusić do złożenia dymisji!). Zażyła trucizny — i skonała, byleby tylko nie iść pod różgi! W ślad za nią jeszcze trzy inne kobiety tykają truciznę — i umierają! W baraku męskim decyduje się na samobójstwo 14 ochotników, ale nie wszyscy z nich giną¹⁷. W rezultacie — k&fy cielesne zostają raz na zawsze skasowane! Polityczni liczyli na to, że zwierzchność więzienna przerazi się ich determinacji i ustąpi. Bo wieść o tragedii w Karze dojdzie przecież do wszystkich uszu w Rosji i w całym świecie.

Ale historia ta, przymierzona do naszych własnych dziejów, może wycisnąć z nas tylko łyż pogardy do nas samych. Dać w pysk komendantowi? A przy tym nie za własną krzywdę? I co w tym strasznego, że wrzepią ci w tyłek porcję różeg? Za to przecież zachowasz życie! A te koleżanki — czemuż też się otruły? I na dodatek — tych 14 mężczyzn? Dają ci jeść i pić — a ty rozstajesz się z życiem? A może tymczasem nadejdzie amnestia albo zaczną zaliczać ci podwójnie dni pracy?

Oto z jakich stoczyliśmy się wyżyn. Oto jak niskośmy upadli.

Ale też na jakie wyżyny wzlecieli nasi więzienni opiekunowie! O, to już nie te gamonie z Kary! Gdybyśmy nawet teraz podnieśli się na duchu i zdobyli na taki sam górny postępek, to zaraz by nas wszystkich — cztery baby i czternastu chłopa — rozstrzelano, jeszcze zanim zdołalibyśmy zna-

17 Dodajmy tu parę szczegółów — chyba nie bez znaczenia (patrz J. N. Kowalska: *Kobiety na katordze Biblioteka Historyczno-Rewolucyjna*, Gosizdat 1920, str. 8-9; G. F. Osmolowski *Karsku tragedia*, Moskwa, 1920): Segeda spoliczkowała i opluła oficera bez powodu, tylko dlatego, że wśród katorżników panowało „nerwowe, kliniczne podniecenie”. Po tym akcie oficer żandarmerii (Masjukow) prosił więźnia politycznego, katorzinika, (Osmolowskiego) by ten przeprowadził w tej sprawie dochodzenie. Naczelnik katorgi (Bob-rowski) umarł w skrusze, dręczony wyrzutami sumienia, odmawiając przyjęcia ostatniej komunii z rąk kapłana! (Ech, gdybyż to nasi strażnicy byli tacy!).

90

leżć truciznę (zresztą — skąd trucizna w sowieckim więzieniu?). A gdyby tam kto nawet zdążył się otruć, to ułatwiłby tylko zwierzchności robotę. Pozostali zaś już by dostali swoją porcję różeg za niezłożenie donosu. I — rzecz jasna wieść o całej tej historii nie mogłaby się przedostać za druty.

O to właśnie chodzi, to jest właśnie ich siła: wieść nie rozeszłaby się po świecie! A gdyby nawet — to niedaleko; byłaby głucha, żadna gazeta nie udzieliłaby jej miejsca, kapusie by ją wyniuchali, w sumie — tyle by jej było, co nic. I żadnego niepokoju publicznego! I czegoż tu się bać, w takim razie? I co tu dbać o jakieś tam protesty? Chcecie się truć? — proszę bardzo.

Beznadziejność naszych głodówek naświetlona została wyczerpująco w części pierwszej.

A ucieczka Pozostały w pisanych dziejach relacje o kilku poważnych ucieczkach z więzień carskich. Wszystkie te akcje — zaznaczmy — planowane były i realizowane poza więzieniem przez ludzi wolnych, innych rewolucjonistów, towarzyszy partyjnych tych, co siedzą za kratą. Liczni sympatycy również przyczyniali się do powodzenia tych czy innych etapów akcji. W samej więc organizacji uciezek i dalej — kryjówek i przerzutów zbiega — brało udział wiele osób. (Aha — łapie mnie za słowo Historyk-Marksista: „— To dlatego, że ludność była po stronie rewolucjonistów i że do nich należała przyszłość!”. — „A może i dlatego — odpowiem z całą skromnością — że to była wesoła zabawa, że można było bezkarnie machnąć chusteczką z okna, ofiarować zbiegowi własne łóżko, gdy nie miał gdzie przenocować, uszminkować go, aby zmienić rysy twarzy? Za to przecież sąd nie groził. Gdy Piotr Ławrow uciekł z zesłania, gubernator Wołogdy (Chomiński)... wystawił przepustkę jego nieślubnej żonie, aby mogła udać się w ślady ukochanego... Nawet za fabrykowanie fałszywych paszportów wysyłano sprawców do ich własnych majątków czy folwarków. (Ludzie nie czuli strachu — czy zna pan ten stan ducha z doświadczenia? A propos — jak to właściwie się stało, że pan nigdy nie siedział?”. — „Ach, wie pan, sprawa przypadku, to była przecież loteria...”).

Zresztą — są również inne świadectwa. Wszyscyśmy musieli czytać w szkole Matkę Gorkiego, więc może ktoś zapamiętał opis stosunków panujących w więzieniu w Niżnym Nowgorodzie: nadzorcy noszą zardzewiałe pistolety, używają ich do wbijania gwoździ, można bez trudności przystawić drabinę do muru więziennego i spokojniutko wyjść na wolność. A oto co pisze wyższy urzędnik departamentu policji, Ratajew: „Zesłanie istniało tylko na papierze. Więzienia tak dobrze, jak nie było. Obowiązujący wówczas reżym więzienny sprawiał, że rewolucjonista mógł w więzieniu kontynuować dawną swoją działalność... Kijowski komitet rewolucyj-

91

ny, który znalazł się w pełnym skłafzcie za Kratą miejscowego więzienia, kierował strajkiem w mieście i ogłaszał odezwy do ludności”¹⁸.

Nic mam teraz dostępu do danych, które pozwoliłyby mi na zorientowanie się, jak dozorowane były najważniejsze ośrodki carskiej katorgi — ale o takich desperackich ucieczkach, przy jednej szansie na sto tysięcy, jakie zdarzały się na naszej katordze —jakoś nie słyszałem. Zapewne dawnym katorżnikom nie bardzo opłacało się ryzykować: nie groziła im przedwczesna śmierć z wyczerpania przy ciężkich robotach, ani niezасłużona repeta wyroku; drugą połowę kary odbywali na zesłaniu i odkładali ucieczkę właśnie do tego czasu.

Z carskiego zaś zesłani;* nie uciekał tylko ten, kto za bardzo się lenił. Zresztą wizyty kontrolne na posterunku policji wyznaczano rzadko, nadzór był słaby, żadnych posterunków operacyjnych na szlaku; mieli pieniądze (albo im je przysyłano), miejsca zesłań nie były zbyt odległe od wielkich rzek i szos; nic takiego nie zagrażało tym, co pomagali uciekinierom, zresztą — samemi* zbiegowi też nie groziło zastrzelenie w razie wpadki ani pobicie, ani dwadzieścia lat ciężkich robót jak u nas. Schwytany bywał zwykle odsyłany na dawne miejsce zesłania i pierwotny wyrok nie ulegał zmianie. To było wszystko. W tej loterii nie było straconych stawek. Wyjazd Fastenki za granicę (p. cz. I, rozdział 5) jest przypadkiem typowym. Ale bywały przypadki jeszcze bardziej charakterystyczne — jak ucieczka z Krainy Turuchańskiej anarchisty A.P. Ułanowskiego. Wystarczyło, że po drodze, w Kijowie, wszedł do czytelni studenckiej i poprosił o książkę Michajłowskiego *Co to jest postęp?* — by studenci dali mu jeść, zapewnili nocleg i zebrali pieniądze na pociąg. Za granicę zaś wydostał się w ten sposób, że po prostu wszedł na pokład nierosyjskiego statku — toć nie "" *Czasopismo „Byloje”* Nr 2/24, 1917, list L. A. Ratajewa do N. P. Zujewa. Znajdujemy tamże następujące uwagi o sytuacji ogólnej w Rosji, na wolności: „Nigdzie (poza stolicami — A. S.) nie istniała tajna agentura ani sieć płatnych konfidentów, obserwacje prowadzili w skrajnych wypadkach poprzebierani członkowie korpusu podoficerskiego żandarmerii, którzy niekiedy zapominali zdjąć ostrogi, przywdziewając cywilne ubrania... W takich warunkach wystarczało, by rewolucjonista przeniósł się na prowincję, a już to, co robił, stawało się zupełną tajemnicą dla policji. W ten sposób powstały prawdziwe ośrodki rewolucyjne, wylęgarnie propagandystów i agitatorów...

Czytelnicy nasi bez trudu potrafią się zorientować, jak bardzo różnią się te warunki od naszych, sowieckich. Jegor Sazonow, przebrany za dorożkarza cały dzień przesiedział na koźle poA samą bramą departamentu policji (!!), trzymając bombę pod skórzanym fartuchem w oczekiwaniu na ministra Plehwe, którego miał zabić — i nikt nie zwrócił na niego uwagi, nikt go nie pytał o nic! Kalajew, zamachowiec jeszcze niedoświadczony, cały dzień stał w napięciu przed domem Plehwego na Fontance, pewien że zostanie aresztowany, ale nikt go nawet nie zaczepili... O, ba-jeczna epoko!... W t e n sposób robić rewolucje nie jest trudno.

92

pilnował go posterunek MWD! — i zaszył się w kotłowni. Ale nie na tym koniec z cudami: podczas wojny roku 14. Ułanowski dobrowolnie wrócił do Rosji, na swoje turuchariskie zesłanie! Szpieg? Rozstrzelać? Gadaj, gadzino, kto cię zwerbował!? Nic podobnego. Oto wyrok sędziego pokoju: za trzy lata spędzone nielegalnie za granicą — 3 ruble kary z zamianą na jeden dzień aresztu! Trzy ruble to sporo i Ułanowski wolał odsiedzieć ów jeden dzień.

Helfand-Parvus, autor wywrotowego Manifestu finansowego (grudzień 1905), faktyczny leader Petersburskiej Rady Robotniczych Deputatów w 1905 roku... czy był może ćwiartowany? Nie, skazano go na 3 (trzy) lata zesłania do Kraju Turucharskiego — i mógł uciec już z etapu w Krasno-jarsku (aresztantom pozwolono iść do miasta na „zakup wiktuałów”) Lew Deutsch — już wtedy uciekł. Parvus zaś przeoczył chwilę. Dojechał do Jenisejska, dopiero tam spił jedyne go swojego konwojenta i poszedł sobie precz. Musiał wracać wodnym szlakiem, Jenisejem w chłopskim przebraniu! Dręczył go brud, pchły i chłopskie towarzystwo. Potem zatrzymał się w Petersburgu i dopiero po jakimś czasie wyjechał za granicę.

Poczynając od ucieczek z Sołówek — wątlą łódeczką przez morze albo w okrętowej ładowni, pełnej drzewa — i kończąc na beznadziejnych, straceńczych, szalonych wypadach z obozów w końcu ery stalinowskiej (poświęcone im jest kilka dalszych rozdziałów) — nasze ucieczki były przedsięwzięciami godnymi gigantów, ale gigantów skazanych na zagładę. Tyle śmiałości, fantazji i woli nikt przed rewolucją w plan ucieczki nie wkładał, ale tamte ucieczki zwykle kończyły się sukcesem, nasze zaś — nigdy.

— A dlatego, że wasze ucieczki były w swojej klasowej istocie reakcyjne!...

Więc to objaw reakcji, kiedy człowiek nie chce być rabem i bydlęciem?

Nie udawały się zaś istotnie dlatego, że sukces ucieczki — w jej dalszych stadiach — zależy od nastrojów ludności. Nasza zaś ludność bała się pomagać albo nawet denuncjowała zbiegów — z chęci zysku lub z przekonania.

Znowu wraca problem opinii publicznej.

Co do buntów natomiast, ale takich porządných, z udziałem trzech, pięciu, ośmiu tysięcy więźniów — to cała historia naszych trzech rewolucji nie znała ich wcale.

My zaś — znaleźliśmy je dobrze.

Ale to samo przekłete fatum sprawiało, że największe wysiłki i ofiary paliły sromotnie na panewce.

Bo społeczeństwo nie dojrzało jeszcze. Bo bez poparcia opinii publicznej bunt, nawet w największym obozie, nie ma żadnych perspektyw.

93

Tak więc na pytanie: „Czemusicie się godzili na wszystko?” czas wreszcie dać odpowiedź: Wcaleśmy się nie godzili! Zaraz przeczytacie, jakieśmy się godzili.

W Specobozach rozwinęliśmy sztandar politycznych i staliśmy się nimi naprawdę!

POEZJA POD FAJERKĄ, PRAWDA POD KAMIENIEM

W zaraniu mojej wędrówki przez obozy bardzo chciałem zwolnić się z robót ogólnych, ale mi się to nie udawało. Gdy przyjechałem do obozu Ekibastuz w szóstym roku po aresztowaniu, postanowiłem zaprzestać tych usiłowań i za jednym zamachem odrzucić balast rozmaitych obozowych nastawień, stosunków i kombinacji, które nie pozwalają umysłowi więźnia zająć się żadną sprawą głębszą. Dlatego też, zamiast prowadzić dojutrkową wegetację wyrobnika — jak to czynią chcąc nie chcąc ludzie kulturalni, mający wciąż nadzieję, że z rąk łaskawego losu dostaną awans na prytlurka

postanowiłem, tu na katordze, nauczyć się fachu. W brygadzie Boro-niuka nawinęła się nam (to jest mnie i Olegowi Iwanowowi) taka szansa mogliśmy opanować fach murarski. Inny traf sprawił później, że do stałem zajęcie w odlewni, jako giser.

Z początku nękały mnie obawy, niepewność: czy dobrze robię? czy dam sobie radę? Mózgowcy, nie przystosowani do takiej roboty — więcej trudności mieliśmy niż inni koledzy z brygady, choć pracowaliśmy w tych samych warunkach. Ale właśnie od chwili, gdy świadomie opadłem aż na dno i poczułem je pod stopami, ów grunt twardy, skalisty, dla wszystkich wspólny — otóż dopiero wtedy zaczęły się najważniejsze lata mego życia, które dały ostateczny szlif memu charakterowi. Jakiegokolwiek by teraz wzloty i upadki czekały mnie w życiu, wierny już będę poglądom i nawykom, które wówczas rozwinęły się we mnie.

Wolna od szlamu głowa potrzebna mi zaś była dlatego, że już od dwóch lat układałem poemat. Był ten poemat ważnym dla mnie zadośćuczynieniem, pozwalał mi nie zwracać uwagi na to, co tymczasem wyrabiano z moją powłoką cielesną. Czasami — gdy maszerowałem w posępnym

0

95

szeregu popędzany wrzaskami zbrojnej w pepesze eskorty — czułem parcie takiego mnóstwa wierszy i obrazów, że niosło mnie, jakbym szybował nad wlokącą się kolumną, i chciałem już jak najprędzej znaleźć się tam, na obiekcie, żeby zaszyć się gdzieś w kącie i notować. Przenikało mnie w takich chwilach poczucie szczęścia i swobody¹.

Ale jak tu pisać w Specobozie? Korolenko wspomina, że pisał w carskim więzieniu — ale też co tam były za porządki! Pisał ołówkiem (a dlaczego mu go nie zabrali, dlaczego nie przełamywali przy rewizji szwów odzieży?), który udało mu się ukryć w kędzierzawej czuprynie (a dlaczego nie golili im łbów?), pisał wśród hałasu (Bogu by dziękował, że miał na czym siedzieć i mógł nogi rozprostować!). A na domiar wszystkiego — miał prawo do zachowania swoich rękopisów i mógł przysyłać je poza obręb więzienia (to jest właśnie rzecz najbardziej niepojęta dla naszych współczesnych).

U nas nikomu nie uda się tak pisać, nawet w obozie! (Bardzo niebezpieczne było choćby notowanie projektów nazwisk, jakie nosić mieli bohaterowie przyszłej powieści — spis członków organizacji? Zapisywałem tylko rdzeń etymologiczny imienia — i to w postaci rzeczownikowej albo przymiotnikowej). Pamięć to jedyna skrytka, w której człowiek może to, cdu napisać, przechować i przenieść przez wszystkie rewizje i etapy. Z początku nie bardzo wierzyłem w możliwości pamięci i dlatego postanowiłem pisać powieść wierszem. Był to, rzecz jasna, gwałt zadany zasadom gatunku literackiego. Przekonałem się później, że proza też nieźle da się upchnąć w tajne zakamarki naszych łbów. Uwolniona od balastu niepotrzebnych, miłątkich wiadomości, pamięć więźnia zadziwia swoją pojemnością i potrafi rozszerzać się nieomal bezgranicznie. Nie dowierzamy własnej pamięci, a szkoda!

Ale nim człowiek coś pamięci powierzy, najprzód chce to zapisać i doszlifować na papierze. Ołówek i papier do pisania mieć w obozie wolno, nie wolno tylko mieć żadnego rękopisu (chyba, że to poemat o Stalinie²).

1 Wszystko zależy od łokcia, jakim się mierzy! Piszą ci u nas o rewolucjonście, Wasyhi

Kuroczkinie, że 9 lat, które przeżył po zamknięciu czasopisma „Iskra”, były dla niego „latami istnej agonii”, bo pozbawiono go JEGO UKOCHANEGO PISMA! My zaś, nie ośmielający się nawet marzyć o WŁASNYM piśmie, ani rusz nie możemy zrozumieć: toż

miął własną izbę, ciszę, stół, atrament, papier, nikt go nie rewidował i nie odbierał tego, co

zdążył napisać — co to za „agonia”?

2 Wypadek takiej twórczości opisany został przez Diakowa: Dmitriewski i Czwieri-

kow przedstawiają kierownictwu temat i pian powieści, jaką chcą napisać, po czym do-

czekują się przychylniej opinii i zatwierdzenia. Sam oper dba, aby nikt nie posyłał ich na ogólne. Następnie — wyprowadzają ich ukradkiem z żony („żeby banderowcy ich nie rozszarpali”) i w ten sposób współautorzy mogą spokojnie kontynuować pracę literacką.

Też rodzaj „poezji pod fajerką”. Tylko gdzie ta powieść?

96

I jeśli nie jesteś prydurkiem w lazarecie, ani pieczeniarzem Działu KO, musisz rano i wieczorem przejść procedurę rewizji. Postanowiłem więc pisać małymi fragmentami — po 12-20 wierszy, doprowadzać je do stanu optymalnego, później — wykuwać na pamięć, a szkice palić. Raz na zawsze przyjąłem też zasadę: nie ograniczać się do zwykłego rwania kartki na strzępy.

W więzieniach cały proces układania i szlifowania wierszy musiał odbywać się w pamięci. Gdy już były gotowe, łąłem parę zapatek na cząstki i układałem je na papierośnicy w dwóch rzędach — dziesięć jednostek i dziesięć dziesiątek; recytowałem potem moje wiersze w milczeniu

— i po każdej odtworzonej w pamięci linijce przesuwalem jeden odtamek zapalki na bok. Przesunawszy tak dziesięć jednostek, przesuwalem zapalkę oznaczajacą dziesiątkę. (Ale nawet tę czynność wykonywać trzeba było ostrożnie: gdyby takiemu niewinnemu przesuwaniu zapatek towarzyszyły ruchy warg i mamrotanie, albo nawet szczególny wyraz twarzy, zaraz by jakiś kapuś mógł to zauważyć. Staralem się przesuwac moje zapalki jakby w roztargnieniu). Każdą pięćdziesiątą i setną linię notowalem w pamięci szczególnie uważnie — jako kontrolne. Raz na miesiac powtarzalem sobie zapamiętaną całość. Jeśli nie zgadzala się wtedy pięćdziesiąty czy setny wiersz, powtarzalem dopoty, dopoki nie chwycilem za ogon mojego zbiega.

W kujbyszewskim etapowym przyjrzałem się, jak katolicy (z Litwy) wyrabiają swoje więzienne różańce. Nasamprzód moczyli chleb, potem miesili papkę, barwili ją (na czarno — paloną gumą, na bialo — proszkiem do zębów, na czerwono — pigułkami streptocydu), jeszcze mokre kulki nizali na sznurek ze skręconych i namydlo-nych nici i wieszali na oknie, aby wyschły. Przytączyłem się do nich i oznajmiałem, że też chce się modlić, ale moja religia wymaga, aby różaniec miał dokładnie sto paciorków (dopiero później zrozumiałem, że wystarczy dwadzieścia, że to .pawet wygodniej

— i sam je sobie zrobilem z korka), przy tym každy dziesiąty musi być nie kulisty, lecz sześcienny, na kształt kostki, a ponadto — pięćdziesiąty i setny musi dać się rozróżnić dotykiem. Litwinów zadziwiła moja gorliwość w wierze (najpobożniejsi z nich nie mieli w różańcu więcej niż czterdzieści paciorków), ale z całą serdeczną życzliwością pomogli mi w robocie: setny koralik ulepili w kształcie ciemnoczerwonego serduszka. Z tym ich cudownym podarunkiem nigdy już się potem nie rozstawalem. Przesuwalem i przebierałem paciorki ukryte w szerokiej, zimowej łapawicy — na zbiorce, w trakcie marszu do roboty, podczas wszystkich długich czekan, można było to robić stojąc, mróz w tym nie przeszkadzał. Przez wszystkie rewizje też go tak samo przeniosłem — w watowanej rękawicy, w której strażnik

nie mógł się go domacać. Kilkakrotnie jednak strażnicy go znajdowali, ale domyślali się, że służy do modlitwy i zwracali mi różaniec. Aż do końca kary (kiedy miałem już w majątku 12.000 wierszy), a później jeszcze na zesłaniu, ten różaniec pomagał mi pisać i pamiętać.

Ale to wszystko jeszcze nie jest takie proste. Im więcej robiło się tego, com napisał, tym więcej dni musiałem co miesiąc poświęcać na powtórki. A powtórki dlatego są szkodliwe, że całość ci powszednieje, przestajesz odróżniać miejsca mocne od słabych. Pierwszy wariant — i tak już pośpiesznie zaakceptowany, bo to trzeba czym prędzej spalić — staje się w końcu jedynym. Nie można sobie pozwolić na luksus czekania, nie można odłożyć go na parę lat do szuflady, żeby zapomnieć, a potem — znów mu się przyjrzeć świeżym, krytycznym okiem. Dlatego nie można w ten sposób napisać niczego naprawdę wartościowego.

A z paleniem karteluszków nie można było zwlekać. Trzy razy byłem przez nie w poważnych opatach, a ratowało mnie tylko to, że najniebezpieczniejszych słów nie pisałem, tylko zastępowałem je na kartce krechami. Pewnego razu leżałem sobie na trawce, z dala od kolegów, ale blisko żony (żeby gwar nie przeszkadzał) i pisałem, chowając moją kartkę między stronicami książki. Starszy nadzorca, Tatar, podkraść się do mnie cichcem z tyłu i zdążył zauważyć, że nie czytam, lecz piszę.

— Dawaj no! — i wyciągnął rękę po papierek. Zerwałem się, czując zimne dreszcze, i podałem mu kartkę. Napisane było na niej:

Nasz los obróci się na nice, Co nasze będzie znowu naszym Pięć dni po grudzie, wśród śnieżycy Pieszko z Ostródy do Brodnicy Tatarski konwój gnał nas w jasyr.

Gdyby słowa „tatarski” i „konwój” napisane były litera po literze, mój Tatar wzięłby mnie za kark i odprowadził do opera, a temjuż by doszedł po nitce do kłębka. Ale kreski były nieme:

T k - gnał nas w j

Każdy myśli po swojemu. Ja drżałem o mój poemat, a konwojent podejrzewał, że rysuję sobie plan żony i szykuję się do ucieczki. Ale to, co znalazł, też czytał marszcząc brwi: „gnał nas” — też było dla niego jakąś poszlaką. Co zaś najbardziej go zastanowiło, to owe nieszczęsne „pięć dni”. Ani mi przyszło do głowy, z czym to mu się kojarzy. Pięć dni — to przecież był standardowy, obozowy zwrot, tej formułki używano posyłając więźnia do karceru.

— Kto dostał te pięć dni? O kim tu mowa?

Ze skrzypem udało mi się go przekonać (pomogły nazwy miejscowości

— Ostróda i Brodnica), że staram się jedynie odtworzyć czyjś frontowy wiersz, ale nie mogę przypomnieć sobie niektórych słów.

— A po co masz je w ogóle wspominać? Wspominać wam nie kazano!

— zganił mnie surowo. Jeszcze raz tak tu się rozciągniesz — to zobaczysz!

Gdy teraz o tym piszę, sprawa wydaje się błaha. Ale wówczas — dla mnie, nędznego niewolnika — było to wydarzenie największej wagi: zostałem pozbawiony prawa do ucieczki od hałasu, a gdybym raz jeszcze wpadł temuż Tata-

rowi w łapy z innym jakimś wierszem, zaraz mogliby zacząć nowe śledztwo przeciw mnie i wzmocnić nadzór.

Ale nie mogłem już wyrzec się mojego pisaniał...

Innym znów razem — wbrew moim zasadom — zanotowałem podczas pracy jakieś 60 wierszy z mojej sztuki 3 i nie potrafiłem ukryć karteczki tak, by nikomu nie wpadła w oko przy wejściu do obozu. Strażnik, prosty, szerokonosy chłopak, ze zdziwieniem oglądał swój łup:

— List? — zapytał.

(Przenoszenie listów pachniało tylko karczerem. Ale ładne skutki mógłby mieć ten „list”, gdyby dostał się do rąk opera!).

To tekst dla kółka teatralnego — powiedziałem z całą bezczelnością.

Spisuję z pamięci jedną taką sztuczkę. Jak będzie premiera, niech obywatel koniecznie przyjdzie.

Duży, a głupi!

I przedał moją kartkę na dwoje, na czworo, na ośmioro. Przestraszyłem się, że rzuci strzępy na ziemię — a były jeszcze spore i tu, przed wartownią mogły zwrócić uwagę jakiegoś czujniejszego nadzorcy — o! sam naczelnik Maczechowski stoi o kilka kroków od nas i obserwuje przebieg rewizji. Ale mieli chyba rozkaz, aby nie śmieć przed wartownią, <bo sami musieliby w końcu sprzątać, więc nadzorca potargane strzępki wetknął mi w półroz-wartą dłoń jak w urnę. Minąłem wrota i postarałem się wrzucić te papierki do pieca.

Za trzecim zaś razem miałem przy sobie porządną kawał mego poematu, — ale pracując przy rozbudowie BUR-a — nie mogłem się powstrzymać i zapisałem jeszcze Murarza. Nie wychodziłiśmy przecież poza żonę, nie bałem się więc codziennych rewizji osobistych. Chodziłem z tym Murarzem już trzeci dzień. W ciemnościach, przed wieczornym apelem, odszedłem na bok, żeby powtórzyć go sobie ostatni raz, a potem od razu spalić. Szukałem ciszy i samotności, dlatego udałem się na skraj żony, nie pamiętając o tym, że jestem blisko punktu, gdzie niedawno przelazł pod drutami Ten-

Uczta zwycięzców.

99

no. Widać strażnik czaił się tam w zasadzce, bo raptem ktoś chwycił mnie za kołnierz i po chwili już prowadzono mnie do BUR-a, w tych ciemnościach. Korzystając z nich, ostrożnie zmiąłem w kulkę mojego Murarza i rzuciłem go na chybił-trafił za plecami na ziemię. Było wietrzno i strażnik nie dosłyszał szelestu gnieczonego papieru.

Ale całkiem zapomniałem, że mam za pazuchą jeszcze fragment poematu. W BUR-ze znaleziono go podczas rewizji. Był to na szczęście fragment frontowy, nieomal całkiem niewinny (z Pruskich nocy).

Naczelnik zmiany, starszy sierżant, zupełnie nieźle podkuły, przeczytał tekst.

Co to takiego?

Twardowski! — oznajmiłem z przekonaniem. — Z poematu Wasyli Tiorkin*.

(Tak oto po raz pierwszy przecięły się nasze drogi: moja i Aleksandra Twardowskiego).

Twardowski? — sierżant był pełen szacunku. — A po co ci to?

Brak przecież książek. Wspominam co mogę, żeby mieć później co

czytać. j

Skonfiskowano mi broń — pół żyletki, poemat natomiast oddano i pewno pozwolono by mi odejść tak, że mógłbym pobiec na poszukiwanie papierka z Murarzem. Ale tymczasem apel się skończył i nie wolno już było chodzić po żonie — więc nadzorca sam odprowadził mnie do baraku i zamknął za mną drzwi.

Źle spałem tej nocy. Na dworze hulał istny huragan. Gdzież jest teraz ten świstek z moim Murarzem? Nie bacząc na wszystkie skreślenia, sens wiersza był całkiem jednoznaczny. I tekst pozwalał się domyśleć, że autor pracuje w brygadzie, budującej BUR. A wśród Ukraińców nie trudno było mnie zidentyfikować.

Tak więc, cała moja tyloletnia pisanina, i ta co już znalazła jakiś wyraz, i ta co dopiero telepała się w głowie — miotła się teraz po całej żonie albo już po stepie, w postaci bezradnej, papierowej kuleczki. Ja zaś — modliłem się. Bo gdy nam źle — nie wstydzimy się Boga. Wstydzimy się go tylko wtedy, gdy nam dobrze.

Rano, zaraz po pobudce, o piątej, dławiąc się wiatrem, pobiegłem na to miejsce. Wiatr podnosił nawet żwir, prał drobnymi kamyczkami po twarzy. Nie było co szukać! Wiatr dmuchał w stronę baraku komendy, i dalej w stronę karceru, i dalej — za żonę, gdzie rozciągała się osada strażników.

Najpopularniejszy utwór okresu wojny, długi poemat patriotyczny, utrzymany w stylu ludowej opowieści, rodzaj sagi o przypadkach prostego żołnierza.

100

Całą godzinę, aż do brzasku, wałęsałem się tam, półzgięty, szukając papierka bez żadnego skutku. Ale gdy się rozwidniło, zobaczyłem mój świstek

0 trzy kroki od miejsca, gdzie go wyrzucił! — wiatr zwał go na bok

1 papierek uwiązł między leżącymi tam deskami.

Po dziś dzień uważam to za cud.

W ten więc sposób pisałem. Zimą — w ogrzewalni, wiosną i latem — na rusztowaniach, na murze: w przerwie między jedną a drugą porcją zaprawy, którą nam przynoszono z dołu na fragach, kładłem kartkę na cegle i ogryzkiem ołówka (ukrywając się przed sąsiadami) zapisywałem linijki wiersza, które mi przyszły do głowy przed chwilą, gdy wybierał maź z dna koryta. Żyłem jak we śnie — siedziałem w stołówce nad miską świętej bałandy i nieraz nie wiedziałem co żłopiać, nie słyszałem, co mówią sąsiedzi

— wciąż wspinałem się po stopniach strof i nakładałem jedną na drugą jak cegły. Rewidowano, sprawdzano mój numer, pędzono w szeregu przez step; a ja widziałem tylko scenę, na której rozgrywała się moja sztuka, barwę kurtyny, teatralne meble, blask reflektorów, ruchy przyszłych aktorów.

Moi towarzysze rwali ciężarówkami kolczaste druty, przetazili pod nimi

— albo nad nimi, gdy śnieżna zawieja przywalała je zaspami — dla mnie zaś tych drutów jakby wcale nie było, już dawno uciekłem daleko, tyle że żadna straż na żadnym apelu tej ucieczki wykryć nie była w stanie.

Domyślałem się, że nie ja jeden tak czynię, że wchodzę oto w krąg Wielkiego Wtajemniczenia, że tajemnica owa dojrzewa skrycie na różnych wyspach Archipelagu, w głębi takich samych piersi jak moje, aby kiedyś, już po naszej zapewne śmierci, wyjść na jaw i stać się zaczynem przyszłej rosyjskiej literatury.

(W roku 1956 przeczytałem — bo samizdat już wtedy istniał — pierwszy zbiorek Warłama Szatałowa i zadrżałem, jakbym spotkał brata:

Ja przecież wiem, że to już nie są żarty. To pewna śmierć. Lecz nawet kosztem życia
Jak Archimedes — nie zniszczę tej karty i nie przestanę tych słów kreślić skrycie.
On też pisał w obozie! — w sekrecie przed wszystkimi, z takim samym wiecznym
krzykiem na ustach, rzucałym w głąb ciemności:

We wspólnym dole moich wspomnień Nic, tylko grób przy grobie. Też by już dawno
było po mnie, Lecz poprzysięgłem sobie,

101

Dośpiewać wszystko i dopłakać, Dośnić i dosnuć wątek. Tak, jakby żywot umarlaka
Miał jakiś swój początek...

Iluz nas takich było? Sądzę, że znacznie więcej, niż ujawniło się w trakcie ostatnich
lat. Nie wszystkim dane było doczekać. Ten i ów zakopał zapewne butelkę z tek-
stem, ale nikomu nie powiedział gdzie. Inny znów powierzył swój utwór rękóm nie-
dbałym albo zbyt ostrożnym. Kto inny znowu — nie zdążył swych myśli utrwalić na
piśmie.

A w Ekibastuzie, na naszej wysepce — czy byliśmy w stanie poznać się wzajem?,
dodać sobie odwagi?, podać pomocną dłoń? Kryliśmy się jak wilki jeden przed
drugim, nie wyłączając nam podobnych. Ale nawet w tych warunkach udało mi
się spotkać w Ekibastuzie kilku takich jak ja.

Baptyści pomogli mi zawrzeć znajomość z Anatolem Wasyliewiczem Si-linem, po-
etą uprawiającym tematykę religijną. Miał naówczas ponad czterdzieści lat. Twarz
jego nie odznaczała się niczym szczególnym. Całą jego ostrzyżoną i wygoloną
głowę porastała ryża szczecinka — brwi też były rudawe. Jego zachowanie ce-
chowała zawsze uступliwość i łagodność, ale potrafił dbać o dystans. Dopiero
gdyśmy się porządnie rozgadali, gdy zaczęliśmy już spędzać razem wolne niedzie-
le, godzinami spacerując po zonie, Silin jął recytować mi swoje — bardzo długie —
poematy religijnej treści (pisał je w obozie, tak samo jak ja) — i po raz nie wiadomo
który przekonałem się ze zdumieniem, jak często w niepozornym ciele mieszka nie-
powszednia dusza.

Był bezdomnym sierotą, wychował się w przytułku, uważał się za ateistę, ale w
niewoli u Niemców dostał do rąk książki religijne i cały w nich zatonął. Od tej chwili
stał się nie tylko człowiekiem wierzącym, ale i filozofem i teologiem! A jako że „od
tej chwili” siedział bez przerwy w więzieniu albo w obozie, cały ten szlak teologicz-
ny przebyć musiał samotnie, raz po raz odkrywając dla siebie rzeczy już dawno
odkryte, nie wiedząc czy nie błądzi — bo przecież „od tej chwili” nie miał pod ręką
ani książek, ani przewodników. Pracował teraz jako zwykły robociarz, przy łopacie,
usiłował sprostać niewykonalnym normom, wracał na miękkich nogach, z trzęsą-
cymi się rękoma — ale i we dnie i wieczorami kręciła mu się w głowie karuzela
jambów; wszystkie jego poematy pisane były czterostopowym jam-bem, rymowa-
ne nieregularnie i od początku do końca układane w pamięci. Sądzę, że miał już
wtedy w zapasie ze dwadzieścia tysięcy linijek. Również dla niego wiersz był środ-
kiem; chodziło o to, by łatwiej rzecz zapamiętać i przekazać innym.

102

Światopogląd jego opromieniała i zdobiła znaczna wrażliwość na uroki natury. Po-
chylając się nad samotnym źdźbłem trawy, ukradkiem wyrosłym na bezpłodnym
terenie naszej żony, Silin wołał:

Taka trawka, cóż to za piękna rzecz! Ale nawet ją dał Stwórca czło

wiekowi za podściółkę. O ileż piękniejsi zatem powinniśmy być my sami!

A przecież jest powiedziane: „Nie miłujcie zbytnio świata ani rzeczy świeckich”? (Członkowie sekty często powtarzali tę maksymę).

Uśmiechał się przepraszająco. Umiął tym uśmiechem godzić sprzeczności:

— Ależ nawet w cielesnej, ziemskiej miłości przejawia się nasze dążenie do Zjednoczenia z nadprzyrodzonym!

Swoją Teodyceję, to znaczy próbę wyjaśnienia, dlaczego zło musi istnieć, formułował on tak:

Dlatego Duch Doskonałości Niedoskonałość toleruje, Że bez cierpienia któż by odgadł, Co warta wieczność w błogostanie.

Srogie to prawo, sroga uzda, Lecz zbawion będzie, kto je uzna, By wieczne mieć odpoczywanie...

Tajemnicę męki Chrystusa, który przybrał ludzką postać, wyjaśniał Silin w sposób nader śmiały: Bóg pragnął nie tylko odkupić ludzkie grzechy, lecz także odczuć na własnej skórze wszystkie cierpienia z ziemskim istnieniem związane. Silin pozwalał sobie na takie twierdzenia:

— O tych cierpieniach Bóg zawsze wiedział, ale nigdy przedtem ich nie zaznał!

Podobnie mówił o Antychryście, który w duszy ludzkiej —

...wolnej, opromienionej łaską wieczne dążenie ku światłości obrócił ku doczesnym blaskom...

Silin potrafił znaleźć dlań świeże ludzkie tony:

Darem błogości i zbawienia Wzgardził archanioł ów natchniony, Skoro mu został odmówiony Ludzki dar bólu. Bo jałowa Była dlań miłość bez cierpienia.

103

Rozumując w sposób tak daleki od rygorów, Silin znajdował w swoim pojemnym sercu miejsce dla wszystkich odcieni wiary chrześcijańskiej:

...Ich sens polega na tym, że w myśl nauki chrystusowej jest każda dusza własnym światem...

W odpowiedzi na wątpliwości zapalczywych materialistów, pytających jakim sposobem duch mógł wyłonić z siebie materię, Silin tylko się uśmiechał:

— A nie chcę zastanawiać się nad tym, jak nikczemna materia mogła stać się źródłem Ducha? Czy w tej kolejności nie byłoby to jeszcze większym cudem?

Głowę miałem pełną własnych wierszy i tylko te okruchy poematów Silina mi w niej zostały. Starłem się je zapamiętać w obawie, że autorowi niczego nie uda się ocalić. W jednym z tych poematów ulubiony bohater Silina, noszący greckie imię (jakie — zapomniałem), wygłaszał przemówienie z trybuny Zgromadzenia Ogólnego ONZ, referując program odrodzenia duchowego całej ludzkości. Ten wynędzniały, skazany na śmierć z wyczerpania niewolnik, ten poeta obnoszący swoje cztery katorżnicze numery — miał więcej ludziom do powiedzenia niż cała sfora najemników, popisujących się w dziennikach, wydawnictwach, radiostacjach, ale nikomu, prócz siebie samych, niepotrzebnych.

Anatol Wasyliewicz ukończył przed wojną wydział literatury instytutu pedagogicznego. Miał teraz — podobnie jak ja — jeszcze trzy lata odsiadki przed „wyjściem na wolność”, tzn. na zesłanie. Jedynym fachem, jaki znał, było wykładanie dzieciom literatury, ale nie wydawało się prawdopodobne, aby nam, byłym więźniom, pozwolono pracować w szkole. No, ale gdyby jednak?

— Toż nie będę dzieciom kłamał! Powiem dzieciom prawdę o Bogu, o sprawach ducha.

Ależ wyrzucą cię po pierwszej lekcji!

Silin opuścił głowę i powiedział cicho:

A niech tam.

I widać było, że się nie zawaha. Że nie pokala swojej duszy kłamstwem, byle tylko dostać do rąk dziennik klasowy zamiast kilofa.

Ze współczuciem i zachwytem przyglądałem się temu niepozornemu rudzielcowi, który nie miał ani rodziców, ani nauczycieli, dla którego całe życie tak samo było trudne, jak kopanie łopatą kamienistego gruntu w Eki-bastuzie.

Z baptystami Silin jadał z jednej menażki, dzielił się chlebem i repetami

104

Rzecz jasna, bardzo mu było potrzebne kółko wiernych słuchaczy, z którymi mógłby czytać i komentować Ewangelię, a także przechowywać w ukryciu swój drogocenny tekst. Ale prawosławnych we właściwym sensie tego słowa jakoś nie szukał (obawiając się, że go odrzucą jako heretyka), czy może nie potrafił znaleźć: w naszym obozie, poza grupą Ukraińców, było ich niewielu albo też nie wyróżniali się szczególnym zapachem i konsekwencją w swoich praktykach religijnych. Baptyści" zaś — jak się zdaje — szanowali Silina, chętnie go słuchali, uważali nawet za członka ich grupy, jednakże im też nie przypadła do gustu heretycki posmak jego twierdzeń; mieli nadzieję, że z czasem przerobią go na swój ład. Silin blaknął, gdy rozmawiał ze mną w ich obecności, rozbłyskał dopiero, gdy byliśmy sami. Trudno mu było przyciosać swoje przekonania tak, by pasowały do ich wiary — chociaż była to wiara bardzo mocna, czysta, gorąca, która pomagała im przetrwać na katordze, ratując przed zwątpieniem i gniciem ducha. Wszyscy oni byli uczciwi, nie-skłonni do gniewu, pracowici, oddani służbie chrystusowej.

Właśnie dlatego tak usilnie ich się u nas zwalcza. W latach 1948-1950, jedynie za przynależność do ich gmin, wieluset baptystów posłano na 25 lat do Specobozów (przecież gmina — to organizacja!)⁴.

W obozie wszystko jest inne niż na wolności. Tam każdy lekkomyślnie usiłuje wyróżnić się wśród innych, wywnętrzyć się i popisać. Łatwiej też wychodzi na jaw, na czym komu w istocie zależy. Za drutami natomiast wszyscy są zniwelowani, pozbawieni cech własnych — bo jednakowo ostrzyżeni, nie goleni, poubierani w jednako-
we czapy i kaftany. Twarz, zwierciadło ducha, zarosła brudem, posieczona jest wiatrem, spalona słońcem, skażona ciężką robotą. Żeby przez tę plugawą skorupę dostrzec pełganie ognia wewnętrznego — trzeba wprawy.

Ale ogienek wewnętrzny przecież pełga i stara się przebić ku innym. Zachodzi proces bezwiednego przyciągania wzajemnego i skupiania się podobnych jednostek. Łatwiej i szybciej możesz zrozumieć, z kim masz do czynienia, jeśli znasz choć okrusz życiorysu tego człowieka. Niedaleko nas jakaś brygada przekopuje grunt. Zaczął padać gęsty, miękki śnieg. Wszyscy schronili się w ziemiance, bo też przerwa za pasem. Tylko jeden z kopaczy został na polu. Wsparty o łopatę stoi tak nad rowem, nieruchomy, jakby mu było w tej

⁴ Za czasów Chruszczowa wymierzano baptystom mniejsze kary, ale istota prześladowań nie uległa zmianie (patrz część VII).

105

pozycji wygodnie — całkiem jak figura z kamienia. I śnieg zasypuje mu głowę, barki, ramiona — właśnie jak kamiennej figurze. Czy mu wszystko jedno? Czy może nawet miło? Patrzy przez tę śnieżną kurzawę na żonę, na stęp, pociągnięty bielą. Ma grube kości, szerokie bary i szeroką twarz, porostłą jasną, szorstką szczecią. Jest powolny, solidny, bardzo spokojny. Stoi tak tylko po to, aby patrzeć na świat i rozmyślać. Wcale go tu z nami nie ma.

Nie znamy się, ale jego przyjaciel Riedkin już mi o nim opowiadał. Ten człowiek jest tołstojowcem. Wpojono mu w dzieciństwie staromodne przekonanie, że zabijać nie wolno (nawet w imię Przodującej Doktryny!) i dlatego nie należy brać broni do ręki. W 1941 roku został zmobilizowany. Rzucił broń i przeszedł afgańską granicę w okolicach Kuszki, gdzie miał pełnić służbę. Żadnych Niemców tam nie było, nikt ich też nie oczekiwał, mógł więc spokojnie przesłużyć całą wojnę, nigdy nie musząc strzelać do nikogo — ale już samo noszenie tego żelastwa na grzbiecie sprzeciwiało się jego przekonaniom. Miał nadzieję, że Afganie uszanują jego prawo do niezabijania i przepuszczą go dalej — do tolerancyjnych Indii. Ale rząd afgariski był taką samą tchórzliwą bandą jak inne rządy. Bojąc się gniewu wszechmocnego sąsiada, wziął zbiega w dyby. I tak właśnie, z nogami w dybach, bez możliwości ruchu, przetrzymano go trzy lata w afgańskim pierdlu, wypatrując kto zwycięży. Gdy okazało się, że Sowiety biorą górę — Afganie usłudze przekazali im dezentera. Dopiero od tej chwili zaczął się liczyć jego teraźniejszy wyrok.

I oto stoi teraz pod nawałą śniegu jak fragment tutejszej przyrody. Czy nasze państwo dało mu życie? Czemu więc państwo przypisuje sobie prawo do decydowania, jak ten człowiek ma żyć?

U nas nikt nie jest od tego, żeby uważać Lwa Tołstoja za swego rodaka. Lew Tołstoj — to firma, dobra marka. (Pocztową markę też na jego cześć można wydać). I żeby można było wozić cudzoziemców do Jasnej Polany. I każdy będzie ślinił się powtarzając po sto razy, jak to wielki pisarz walczył z caratem i jak cerkiew rzuciła na niego klątwę (tu głos nawet drgnie speakerowi). Ale jeśli ktoś, moi kochani, weźmie Tołstoja na serio, jeśli pojawi się u nas żywy tołstojowiec — o, wtedy biada mu!

Oważ byku — bo wpadniesz pod nasze gąsienice!

...Zdarzyło się raz, że chciałeś na budowie zmierzyć, ile właściwie muru przybyło. Biegniesz więc do dziesiętnika, też zeka — żeby poprosić o składaną miarkę. Miarki tej dziesiętnik pilnuje jak oka w głowie, a nie zna cię przecież z twarzy, brygad tu wiele. Ale jednak ten skarb ci ufnie powierza (jak na obóz — to po prostu idiotyzm!). A kiedy mu tę miarkę zwracasz, jeszcze ci pięknie podziękuje. Jak też takie dziwadło może być dziesięt-

106

nikiem w obozie? Mówi z akcentem. Ach, okazuje się, że to Polak, nazywa się Jerzy Węgierski. Jeszcze o nim usłyszymy.

...Innym razem maszeruje człowiek w szeregu i powinien by właściwie przebierać paciorki w rękawicy albo układać następne strofy — ale sąsiad trafił się bardzo interesujący; nowa twarz, bo na nasz obiekt przysłano dodatkową brygadę. Niemłody, inteligentny, sympatyczny Żyd o ironicznym i mądrym spojrzeniu. Nazywa się Mesamed, ukończył uniwersytet... Jaki, jaki? Bukaresztański, specjalizował się w biopsychologii. Jest poza tym fizjognomistą i grafologiem. A ponadto — zajmuje się jogą i gotów jest choćby jutro rozpocząć z tobą kurs Hatha-yogi. (Ale masz ci los!

Za małe dają nam kary jak na taki uniwersytet! Formalnie brak tchu! Czasu nie starcza, aby wszystkiemu podołać!).

Będę mógł przyrzeć mu się później w żonie roboczej i mieszkalnej. Jego ziomkowie proponowali mu robotę w biurze, ale się nie zgodził: chciał dowieść, że Żyd potrafi dobrze pracować także na ogólnych. Ma pięćdziesiąt lat, a wcale się nie boi kłopotu. Ale to fakt, że panuje nad swoim ciałem jak prawdziwy joga: przy dziesięciostopniowym mrozie zrzuca odzież i prosi kolegów, aby oblali go wodą z sikawki. Je też inaczej niż my, nie zapycha sobie pośpiesznie gęby kaszą, tylko żuje ją w skupieniu, dyskretnie odwracając głowę, drobnymi kęsami, używając specjalnej, małej łyżeczki⁵.

...Nieraz zdarza się więc poznać kogoś ciekawego podczas przemarszu. Ale na ogół w szeregu niewiele ma człowiek uciech: konwojenci wrzeszczą, sąsiedzi syczą gniewnie („przez was nam też wsypią!...”), do pracy idziemy apatycznie, a z roboty — zbyt spieszenie. Nawet wiatr — i to ci pysk zatyka. I nagle... No, ale to już wypadek całkiem NIETYPOWY, jak powiadają specjaliści. Niepowszedni.

W ostatnim szeregu kroczy niski człowiek z gęstą, czarną brodą (gdy aresztowano go ostatnim razem, już ją nosił, na zdjęciu urzędowym też więc była, a zatem w obozie już nie mógł jej zgolić). Kroczy sobie dziarsko, godnie i niesie pod pachą zwinięty rulon papieru kreślarskiego. Jest to jakiś jego projekt czy wniosek racjonalizatorski, nowy pomysł, z którego autor bardzo jest dumny. Kreślił go na obiekcie, zaniósł do obozu, żeby komuś pokazać, a teraz odnosi go znów na obiekt. Nagle złośliwy podmuch wiatru wyrwa mu rulon spod pachy i unosi daleko od maszerującej kolumny. Niewiele myśląc, raczej odruchowo, Arnold Rappoport (czytelnik już go zna) robi krok w stronę rulonu, potem drugi, trzeci — ale papier leci coraz

5 A zresztą — wkrótce już będzie musiał skonać jak zwykły śmiertelnik, na zwyczajny zawał serca.

107

dalej, przetoczył się między dwoma konwojentami — i jest już za łańcuchem eskorty! Tu już Rappoport powinien był się zatrzymać — toć „krok w lewo, krok w prawo... i bez ostrzeżenia!” — ale tam przecież rysunek, projekt!

Rappoport rzuca się za nim pochylony, wyciągając daremnie ramiona toć złośliwy traf gotów porwać mu świetny techniczny pomysł! — i Arnold wyciąga ręce, grabi powietrze palcami — barbarzyńco! nie tykaj moich rysunków!* Ludzie w szeregu spostrzegli co się dzieje, kolumna zatrzymała się sama. Pepesze podniosły swoje ryjki, szcęknięty zamki!... Dotąd wszystko miało przebieg typowy, ale tu zaczyna się coś zgoła nietypowego: nie znalazł się żaden chętny!, nikt nie strzelił! Barbarzyńcy zrozumieli, że to nie ucieczka! Nawet dla ich zaćmionych mózgów ten obraz był jasny: autor goni za swoim ulatującym dziełem. Rappoport wybiega o jakieś piętnaście kroków poza kordon eskorty, łapie swój rulon, prostuje się i wraca do szeregu, bardzo z siebie zadowolony. Wraca z tamtego świata...

Chociaż Rappoport zainkasował grubo ponad zwykłą obozową normę (po pierwszym, „dziecinnym” wyroku oberwał dychę, po niej — zesłanie, a teraz znowu dycha) — jest bardzo żywotny, ruchliwy, oczy mu błyszczą, oczy te zawsze pełne są wesołości, ale w istocie stworzone są po to, by odbijało się w nich cierpienie. To bardzo wyraziste oczy. Arnold jest dumny, że lata więzienia wcale go nie złamały — ani uczyniły starcem, zresztą jest inżynierem, otrzymuje więc zawsze funkcję w

dziale produkcji i może nie tracić wigoru. Ma aktywny stosunek do swojej pracy, ale ponadto coś jeszcze pisze dla ducha.

Jest to człowiek z rozmachem, chciałby doświadczyć i dokonać wszystkiego. Niegdyś zamierzał napisać taką książkę jak ta moja właśnie

— o obozach, ale jakoś do tego nie doszło. Inny jego utwór jest powodem naszych nieustannych żartów: Arnold już ileś tam lat kompiluje cierpliwie uniwersalne vademecum techniczne, które objąć ma wszystkie gałęzie współczesnej techniki i przyrodoznawstwa (od rodzajów lamp radiowych do średniego ciężaru słonia) i które ma mieć przy tym format... kieszonkowy. Te prześmiewki nauczyły Arnolda mieć się na baczności, dlatego też kolejne swoje dzieło pokazuje mi w sekrecie. W notesie oprawnym w czarnej ceratę ma traktat O miłości, nowy, bo ten pióra Stendhala uważa za zupełnie niewystarczający. Są to chwilowo tylko notatki szkicowe i nie powiązane wzajemnie. Ale ileż w tym czystości jak na człowieka, który pół życia spędził w obozach! Oto parę cytatów:

Aluzja do ostatnich słów Archimedesesa, gdy Rzymianie zdobyli Syrakuzy (212 p.n.e) podczas drugiej wojny punickiej — Noli tangere circulos mcos.

6 Minęło od tej chwili sporo lat. Rappoport zaniechał pisanego swego traktatu i udzielił mi zezwolenia na przytoczenie tych wyjątków.

108

Posiadanie kobiety nie kochanej — to pożatowania godny los ludzi ubogich ciałem i duchem. A przecież mężczyźni chlubią się tym jako sukcesem.

Posiadanie, którego nie poprzedza miłość, organicznie się rozwijająca przynosi nie radość, lecz wstyd i wstręt. Mężczyźni naszej epoki, całą swoją energię trwoniący na zdobywanie zarobku, stanowiska, władzy utracili gen miłości wyższego rzędu. Inaczej z kobietami — dla nieomylnego instynktu niewieściego zbliżenie erotyczne jest tylko pierwszym stopniem prawdziwego, intymnego powinowactwa. Dopiero po tym akcie kobieta uznaje mężczyznę za kogoś bliskiego i zaczyna mówić mu „ty”. Nawet po przypadkowym zbliżeniu kobietę ogarnia fala wdzięczności i czułości.

Zazdrość wyływa z urażonej miłości własnej. Prawdziwa miłość, nie znajdując echa, więdnie raczej i kostnieje, lecz nie przekształca się w zazdrość.

Nie tylko nauka, sztuka i religia, lecz również miłość jest sposobem poznania świata.

Mając tak różnorodne zainteresowania, Arnold Lwowicz Rappoport zna również mnóstwo bardzo rozmaitych ludzi. Przedstawia mi pewnego człowieka, którego inaczej nawet bym nie zauważył: na pierwszy rzut oka jest to po prostu beznadziejny dochodiaga, dystrofik; gdy rozeprnie obozową kurtkę, widać że obojczyki sterczą mu już pod skórą jak u trupa. Jest wysoki, więc jego chudość tym bardziej zdumiewa. Jest tak smagły, a pod kazachstańskim słońcem golona jego czaszka stała się całkiem brunatna. Ale jeszcze wlecze się poza żonę, jeszcze trzyma się trag, żeby nie upaść. Jest to Grek — i też poeta! jeszcze jeden! Tom jego wierszy, pisanych po nowogrecku, wydano w Atenach. Ale jako że siedzi w więzieniu nie

ateńskim, lecz sowieckim (a ponadto jest sowieckim obywatelem), więc nasze gazety nie tracą na niego łez.

Jest człowiekiem lat średnich, ale już bliskim końca swoich dni. Usiłuję odegnać od niego te myśli, robię to w sposób żałosny i niezdarny. Uśmiecha się wyrozumiale i odpowiada mi, z lekka kalecząc rosyjski, że w akcie umierania najstraszniejsza jest nie sama śmierć, tylko faza moralnego przygotowania się do niej. Już mu było i straszno, i gorzko, i żal, już opłakał utracone życie, już zżył się całkowicie z myślą o nieuchronności śmierci i już gotów jest na nią. Jedno tylko jeszcze zostało: trzeba, aby dopełniła się śmierć ciała.

Iluz jest na świecie poetów! Nie do wiary jak dużo! (Czasami aż mnie to zdumiewa). Ten Grek czeka na śmierć — a ci dwaj młodzieńcy doczekać się nie mogą końca kary i przyszłej swojej sławy literackiej. Są poetami

109

niejako jawnie, wcale się z tym nie kryją. Tę mają cechę wspólną, że obaj są jacyś czyści, pełni światła. Obydwaj nie zdążyli ukończyć studiów. Kola Borowików jest wielbicielem Pisariewa (a więc — wrogiem Puszkina), zatrudniony jest jako felczer w sanitariacie. Juroczka Kiriejew z Tweru wielbi Błoka i naśladuje go w tym, co sam pisze; pracuje poza żoną w biurze warsztatów kuśnierskich. Jego koledzy (i to jacy! — starsi o lat dwadzieścia, ojcowie rodzin) dworują sobie z niego, że w poprzednim obozie, w ITŁ, na Dalekiej Północy, jakaś Rumunka, niewiasta notorycznie łatwa, robiła mu awanse, on zaś nie rozumiał o co jej chodzi i pisał dla niej sonety. Nie-trudno w to uwierzyć, gdy patrzy się na jego czystą twarzyczkę. Przekleństwo młodzieńczej cnoty, którą trzeba nieść przez obozy!

...Przeglądasz się, człowieku, ludziom, a tymczasem inni obserwują ciebie. W ogromnym, nieporządnym baraku, gdzie mieszka, łązi i śpi czterystu chłopca, czytam po kolacji i w trakcie nudnego, wieczornego sprawdzania listy obecności — drugi tom słownika języka rosyjskiego Dala, jedyną książkę, którą udało mi się dowieźć do Ekibastuza; musiałem tu oszpecić ją stemplem „Stepłag. Dział KO”. Nigdy jej nie wertuję, bo w ciągu tego strzępka wieczoru nie zdążę przeczytać więcej niż pół stroniczki. Siedzę tak albo snuję się po kontroli, wetknąwszy nos w książkę i kontemplując jakieś jedno hasło. Już przyzwyczailem się do tego, że wszyscy pytają mnie co to za grube tomisko i dziwują się, po jakiego licha to czytam. — Bo to najbezpieczniejsza lektura, odpowiadam żartem. Nie naraża na nowy wyrok¹.

Ale dzięki tej książce zawieram też wiele interesujących znajomości. Oto podchodzi do mnie drobny człowieczek, przypominający z wyglądu kogutka — o wścibskim nosku i ostrym, drwiącym spojrzeniu; mówi ze śpiewnym, nadwołżańskim akcentem:

— Pozwoli pan zapytać, co to za książka?

Słowo po słowie, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, otwierał się przede mną w duszy tego człowieka mikroświat — w którym skoncentrowało się ostatnie półwiecze dziejów mego kraju. Wasyli Grigoriewicz Własow (ten sam, bohater kadyskiego procesu; odbył już 14 lat ze swojej dwudziestki) uważa się sam za ekonomistę i działacza, a nie zdaje sobie sprawy, że jest artystą słowa, słowa żywego, wyłącznie. Gdy mówi o sianokosach, o sklepie (był chłopakiem u kupca), o służbie w Armii

¹ Czy są w Specobozie bezpieczne lektury? Aleksander Stotik, ekonomista, czytywał w Dżezkazganie wieczorami, ukradkiem, skrócone wydanie Szerszenia Hellen

Woynicz po angielsku. Ktoś jednak złożył donos. Na rewizję przyszedł sam szef obozu ze sforą oficerów. „Czekasz na Amerykańców?”. Kazali mu czytać na głos po angielsku. „Ile lat masz jeszcze siedzieć?”. — „Dwa lata”. — „Posiedzisz teraz dwadzieścia!”. Znaleźli też u niego

110

Czerwonej, o starym dworku, o kacie z gubernialnej Komisji do Walki z Dezercją, czy o chciwej babie z przedmieścia — wszystko staje przede mną jak żywe i zapada w pamięć, jakbym sam to przeżył. Chciałby to człowiek od razu utrwalić na piśmie, ale jak! Gdybyż to dało się odtworzyć z pamięci za dziesięć lat! — ale pamięć ułomna!...

Widzę, że często zerka z ukosa na mnie i moją książkę, ale nie ośmiela się wszcząć rozmowy, jakiś chuderlawy, długonosy i wysoki młodzieniec, grzeczny, nawet nieśmiały, jakby go się nie imaty obozowe obyczaje. Z nim też zawierani znajomość. Mówi cicho, z widocznym skrępowaniem, rosyjskie zdania układa z trudem, popełnia przezabawne błędy, kwitując je zaraz uśmiechem. Okazuje się, że jest Węgrem, nazywa się Janos Rozsas. Pokazuję mu słownik Dala; Janos kiwa głową — a twarz ma już zapadłą, wynędzniał w obozie — i powiada: „Tak, tak, trzeba się oderwać, nie myśleć tylko o jedzeniu”. Ma dopiero dwadzieścia pięć lat, ale darmo szukać na jego policzkach młodzieńczego rumieńca; sucha, cienka skóra, osmalona wiatrem, przylega ściśle do podłużnych, cienkich kości czaszki. Bolą go stawy, wyżarzone reumatyzmem; nabawił się go przy robotach leśnych na północy.

Tu, w obozie, siedzi dwóch, trzech jego ziomków, ale myślą oni całe dni tylko o tym, jak tu wyżyć?, jak tu nażreć się do syta? Janos zaś zjada bez protestu to, co mu wypisze brygadzysta i — chociaż na poły głodny, nie rozgląda się za dodatkowymi porcjami. Przypatruje się za to, słucha, stara się zrozumieć. Co zrozumieć?... a nas chce zrozumieć, Rosjan!

— Mój własny los już mnie tak nie obchodzi, od czasu jak poznałem tutejszych ludzi. Bardzo mnie wszystko dziwi. Oni kochali swój naród

i za to poszli na katorgę. To chyba przez wojenny bałagan, co?

(Mówi to w 1951 roku!, jeśli wciąż trwa „wojenny bałagan”, to czy nie jest aby spadkiem po Pierwszej Światowej?...).

W 1944 roku, kiedy nasi zagarnęli go na Węgrzech, miał 18 lat (i nie służył w wojsku). „Jeszcze nie zdążyłem zrobić ludziom niczego — ani złego, ani dobrego — mówi z uśmiechem. — Ani pożytku, ani szkody nikt ze mnie nie miał”. Śledztwo miało taki przebieg: śledczy ani słowa nie umiał po węgiersku, Janos ani słowa po rosyjsku. Czasem zjawiał się jakiś bardzo marny tłumacz, Hucuł. Janos podpisał 16 stronik protokołu, wcale nie wiedząc co podpisuje. A kiedy mu jakiś nieznany oficer odcyfrował coś z papierka, Janos długo jeszcze nie miał zielonego pojęcia, że to był wyrok,

wiersze: „Ach, sentymenty? To cię bawi?... Urządźcie go tak, żeby nie tylko angielski, ale rosyjski też mu z głowy wyleciał!”. (Raby —pryduki syczały jeszcze na Stotika: „Nas też narażasz! Teraz nas wszystkich rozpędzą!”).

m

111

wydany przez OSO8. — I posłali go na Północ, na wyrąb lasu, gdzie do cna skapcianał i trafił do szpitala.

Do tej chwili znał Rosję z jednej tylko strony, z tej mianowicie, na której się siada; teraz poznał ją również z drugiej. W obozowym szpitaliku OŁP Symsk pod Solikamskiem pracowała pielęgniarka Dusia, lat czterdziestu i pięciu. Siedziała za przestępstwo pospolite: przepuściła kilka dni pracy. Dostała za to 5 lat. Sens swojej pielęgniarskiej pracy widziała nie w tym, aby ukraść co się da i jakoś doczekać się końca kary (jak to właśnie u nas się czyni, a czego Janos przez różowe swoje okulary nie widział) — ale w tym, aby ratować takich właśnie umierających i nikomu niepotrzebnych. Ale nie sposób było ratować ich tym, co dawał obozowy lazaret. Więc pielęgniarka Dusia swoje poranne 300 gramów chleba wymieniała w pobliskiej wsi na pół litra mleka i tym mlekiem odratowała Janosa (a przed nim, jeszcze jakichś innych⁹). Przez tę ciocię Dusię Janos polubił i nasz kraj, i nas wszystkich. I jął pilnie studiować w obozie mowę swoich strażników i konwojentów — wielki i potężny język rosyjski. Przesiedział 9 lat w naszych łagrach, tyle widział Rosji co przez kraty więziennych wagonów, na kartkach pocztowych i za drutami obozów. A poko-chał.

Janos należał do tych, których coraz mniej w naszych czasach: jedyną jego pasją w dzieciństwie było czytanie. Gdy dorósł, też tej pasji nie porzucił — nawet w obozie. Zarówno na Północy, jak teraz, w Ekibastuzie, nie przepuszczał żadnej okazji zdobycia jakiejś nowej książki. Gdy go poznał, Janos znał już i lubił Puszkina, Niekrasowa, Gogola, sam recytowałem i objaśniałem mu Gribojedowa, ale najbardziej, omal tak jak Petófięgo i Arny'ego, polubił Lermontowa, którego po raz pierwszy wziął do ręki tu, w niewoli¹⁰. Szczególnie bliski dla Janosa był Meyri — tak samo w niewoli, taki sam — młody i skazany na zagładę. Umiął na pamięć całe partie tego poematu; całe lata z dłońmi splecionymi z tyłu, maszerując wśród obcych, po obcej ziemi, Janos w obcym dla siebie języku mruczał pod nosem:

8 Gdy zaś po śmierci Stalina Janos został zrehabilitowany, ponoć korciło go by dostać kopię wyroku w tłumaczeniu na węgierski, aby dowiedzieć się wreszcie za co odsiedział 9 lat. Ale nie zdobył się na odwagę: „Pomyślą jeszcze — a na co mu to? A mnie rzeczywiście już to nie bardzo potrzebne...”. Nasz duch już nie był dla niego zagadką: a właściwie dlaczego ma facet wiedzieć, za co siedział?

‘ Niech mi kto powie — z jaką to ideologią zgadza się takie postępowanie? (porównajcie rozmówki w komunistycznym lazarecie u Diakowa: „Co, ząbki rozboleły, ty mordo banderowska?”).

10 Nieraz mówili mi cudzoziemcy, że Lermontowa cenią ze wszystkich poetów rosyjskich najbardziej. Puszkina — tak powiadali — potrafił jednak napisać wiersz Oszczyrcem Rosji. A Lermontow nigdy i w niczym nie chciał wystugiwać się samodzielnemu.

112

.../ w te dym też odgadnąć mógł Że wrócić na rodzinny próg Nigdy mi nie dozwoli Bóg...

Uprzejmy, miły w obejściu, o bezbronnych, bladobłękitnych oczach snuł się Janos Rozsas po naszym srogim obozie. Przysiadł na mojej wagonetce — lekko, na samym brzeżku, jakby mój siennik z opitkami można było jeszcze bardziej zabrudzić albo pognieść i mówił cichutko:

— Komu powiem, o czym marzę w głębi duszy?

I nigdy na nic się nie skarżył”.

Wśród więźniów obozu chodzi człowiek jak po zaminowanym polu, każdego trzeba przeświecić promieniami intuicji, żeby samemu nie wylecieć w powietrze. Ale nawet ta powszechna nieufność nie była przeszkodą; ileż liryki znalazłem w niejednej golonej czaszce, pod czarną fufajką zeka!

A iluż nie zaufało mi, nie zdobyło się na wyznanie, że piszą?

A ilu, ile tysięcy — nie udało mi się spotkać?

A ilu poetów zadusiłeś w ciągu tych dziesięcioleci ty, przeklęty Lewiata-nie?

Również w Ekibastuzie istniał oficjalny, choć bardzo niebezpieczny, ośrodek życia kulturalnego — Dział KO, gdzie czarnym tuszem stemplowano książki i odnawiano nasze zatarte numery.

Ważną i bardzo kolorową postacią w naszym KO był malarz, niegdyś archidiakon i omal czy nie prywatny sekretarz patriarchy, Włodzimierz

„Wszystkich Węgrów puszczono do domu po śmierci Stalina i Janos uniknął losu lermontowskiego Mcyri, a już był na to gotów.

Minęło 12 lat — a był wśród nich również rok 1956. Janos jest księgowym w miasteczku Nagykanizsa, gdzie nikt nie zna rosyjskiego i nie czyta rosyjskich książek. I cóż pisze mi teraz mój przyjaciel?

„Już po tych wszystkich wypadkach, szczerze wyznaję, nie oddałbym za nic mojej przeszłości. Poznałem to, czego inni nie znają; to było surowe doświadczenie...

Kiedy mnie puszczano na wolność, obiecałem tym co zostali, że nigdy nie zapomnę Rosjan — i nie dlatego, że razem cierpieliśmy, tylko za dobre serce... Dlaczego z takim zainteresowaniem szukam w gazetach wieści z mojej byłej 'ojczyzny'?... W mojej bibliotece stoi cały pułk rosyjskich klasyków — czterdzieści jeden tomów po rosyjsku, a po ukraińsku — cztery (Szewczenko)... Inni czytają rosyjskich pisarzy tak, jak angielskich czy niemieckich, ale ja inaczej. Dla mnie Tołstoj jest bliższy od Tomasa Manna, a Lermontow o wiele bliższy niż Goethe.

Nawet się nie domyślasz, jak ja tęsknię po cichu do wielu rzeczy. Czasem pytają mnie: coś ty za dziwak? Coś tam takiego dobrego widział? Dlaczego tak cię ciągnie do ruskich?...

6 Archipelag Gulag 113

Rudczuk. Istnieje w obozowym regulaminie dawny przepis, aby duchownym nie strzyć włosów. Oczywiście, przepis ten nie podlega publikacji i ci duchowni, którzy go nie znają — strzyżeni są tak jak inni. Ale Rudczuk znał swoje uprawnienia i dlatego nie utracił jasnych kędziorów, nieco dłuższych niż u osób świeckiego stanu.

Dbał o nie, dbał zresztą bardzo o swój wygląd. Był przystojny, wysoki, o zgrabnej figurze, głos miał niski i miły, nie trudno było sobie wyobrazić jak odprawia uroczyste nabożeństwo w ogromnej bazylice. Psalmista Drozdów, ten z mojego transportu, zaraz poznał archidiakona; widział go przy ołtarzu w odeskim soborze katedralnym.

Ale Rudczuk nie tylko wyglądem, lecz sposobem bycia różnił się od nas, obywateli więziennego świata. Należał do tych dwuznacznych figur, które wcisnęły się — albo zostały wcisnięte — do cerkwi prawosławnej, gdy tylko skończył się okres niełaski; to oni właśnie przyczynili się walcie do zbrukania cerkwi. Także cała sprawa uwięzienia Rudczuka była jakaś niejasna; nie wiedzieć czemu, pokazywał na prawo i lewo swoje zdjęcie (nie zarekwirowane, to dziwne) z metropolitą Anastazym, cudzoziemcem, na jednej z ulic Nowego Jorku. W obozie korzystał z osobnej kabinki. Po apelu, w czasie którego z odrazą domalowywał zatarte numery na na-

szych czapach, fufaj-kach i portkach, resztę dnia spędzał na nieróbstwie, pacykując czasem niezdarne kopie z banalnych obrazów. Miał u siebie — na co na ogół nie pozwalano — gruby tom reprodukcji z Galerii Tretiakowskiej. Wpadłem do niego właśnie po to, by je obejrzeć, może po raz ostatni w życiu. Przysyłano mu do obozu periodyk „Zwiastun patriarchii moskiewskiej” i Rudczuk wdawał się często z napuszoną miną w roztrząsania na temat żywotów świętych czy szczegółów liturgii — ale zawsze brzmiało to sztucznie, nieszczerze. Miał też gitarę; tylko wtedy bywał szczery, gdy grał na niej, nucąc z uczuciem:

Włóczęga przez Bajka! przepłynął...

i kiwając się do taktu, cały zgięty pod żałobnym brzemieniem katorżniczej melodii. Im lepiej się człowiek urządza w obozie, tym subtelniej potrafi cierpieć...

Byłem wówczas ostrożny do dwudziestej trzeciej potęgi, już więcej nie chodziłem do Rudczuka, a niczego mu o sobie przedtem nie powiedziałem. W ten sposób uniknąłem ostrego jego oka i zapisałem mu się w pamięci co

Jak im wyjaśnić, że cała moja młodość tam minęła, a życie to przecież ciągłe żegnanie mijających dni... Jak mogę odwrócić się tyłem niby obrażony dzieciak, jeżeli przez dziewięć lat łączyły nas te same losy? Jak im wyjaśnić, że serce mi się ścisnęło, kiedy usłyszę przez radio rosyjską piosenkę ludową? Sam czasem sobie zanu-
cę: ‘Woł mczytsja trojka udala-ja...’ — i taki ból zaraz czuję, że ani rusz nie mogę śpiewać dalej. A dzieci proszą, żebym uczył je rosyjskiego. Poczekajcie dzieci, czy nie dla was zbieram te rosyjskie książki?...”.

114

najwyżej jako bezbarwny, marny robak. Oko Rudczuka było zaś okiem MGB.

Zresztą, któż ze starych więźniów nie wie, że dział KO jest z reguły pełen szpicli i że mniej niż jakikolwiek inny nadaje się na miejsce spotkań i wymiany myśli? No, w obozach ogólnych, w ITŁ — ciągnęło nas do działu KO dlatego, że można tam było zetknąć się z kobietami. Ale po kiego licha chodzić tam na katorżę?

Okazało się jednak, że nawet katorżniczy, szpiclowski KO można wykorzystać, jeśli się szuka wolności. Nauczyli mnie tego — Gieorgij Tenno, Piotr Kiszkin i Żenią Niki-szyn.

Tenno poznałem właśnie w świetlicy KO; to spotkanie zapamiętałem sobie dobrze, bo sam Tenno wrył mi się w pamięć na zawsze. Był to chłop przystojny, wysoki, wysportowany. Z jakichś tam powodów zachował jeszcze swoją marynarską kurtkę i spodnie (ten i ów donaszał jeszcze swoją własną odzież). I chociaż zamiast epoletów kapitana-porucznika miał na odzieży swój numer SCH-520, gdyby tylko znalazł się na pokładzie, od razu wskoczyłby w skórę typowego oficera marynarki. Przy gwałtowniejszych ruchach na jego napięstkach pokrytych rudawymi włoskami widać było tatuaż, na jednym ramieniu — kotwicę okoloną napisem „Liberty”, na drugim — słowa — „Do or die”. Spojrzenie miał przenikliwe i pełne dumy, nie potrafił jej ukryć, tak samo jak uśmiechu, który raz po raz wykwitał na jego szerokich ustach. (Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że uśmiech ten znaczył, iż plan ucieczki już gotów!).

Obóz jest jak pole minowe. Zarówno Tenno, jak ja byliśmy tutaj i zarazem gdzie indziej: ja na drogach Prus Wschodnich, on na szlaku swojej przyszłej ucieczki. Obaj nosiliśmy w duszy potencjał tajnych zamiarów, ale nawet isierka nie śmiała przeskoczyć między naszymi dłońmi, gdyśmy je sobie podawali, między naszymi żrenicami, gdy wymienialiśmy jakieś błahe zwroty! Ograniczyliśmy się więc do słów, bez

znaczenia, ja wetknąłem nos w gazetę, on zaś jął mówić o teatrze z Tumarenko, katorżnikiem, który miał piętnastaka na karku, a mimo to kierował działem KO. Był to człowiek dość skomplikowany, wielowarstwowy; zdawało mi się, że go rozgryzę — ale nie miałem okazji, aby to sprawdzić.

To aż śmieszne — ale przy katorżniczym KO działało również kółko teatralne, właściwie dopiero się formowało. Kółko nie korzystało z żadnych ulg jak w ITŁ; nie mogło obiecać uczestnikom żadnych przywilejów, więc tylko zawodowi entuzjaści mogli chodzić tam na próby. Jednym z nich okazał się właśnie Tenno, chociaż wyglądał na mądrzejszego. Co

Wolność! — Dopnij swego lub giń!

115

więcej — od pierwszego dnia pobytu siedział w karcerze — i stamtąd właśnie zaczął wrywać się do KO! Przełożeni ujrzeni w tym pierwszą oznakę zaczynającej się poprawy — i pozwolili mu na chodzenie do świetlicy.

A Pietia Kiszkin wcale nie był aktywistą KO, mimo to stał się najpopularniejszą postacią w obozie. Znał go cały Ekibastuz. Obiekt, gdzie Kiszkin pracował, pysznił się tym — że nie było tam nudy. Kiszkin przypominał dawnych nawiedzonych, ale był też zupełnie od nich inny; udawał przygłupka, ale powiadano u nas: „Kiszkin jest mądrzejszy niż my wszyscy razem!”. Przygłupkiem był w tej samej mierze co trzeci, najmłodszy brat w chłopskich baśniach. Kiszkin należał do postaci czysto rosyjskich, naszych, tradycyjnych: tych, co to silnym i złym mówią głośno prawdę w oczy, a narodowi pokazują, jakim ów naród jest w istocie; wszystko zaś w formie nieszkodliwego wygłupu.

Jednym z ulubionych jego numerów było zbieranie ze stołów brudnych misek; wdziewał do tej roboty jakąś zieloną, błazeńską kamizelkę. Już samo to zbieranie było demonstracją: najpopularniejszy człowiek w obozie wylizuje miski, aby nie zdechnąć z głodu. Ale to mu było potrzebne jeszcze w innym celu: zbierał te miski, przytupując sobie i robiąc grymasy; cały czas był więc przedmiotem ogólnej uwagi, kręcił się wśród robociarzy i rozsiewał buntownicze myśli.

Capnie ci na przykład miskę z nie ruszoną kaszą, kiedy robociarz dopiero chłepce bałandę. Poszkodowany wzdryga się, wczepia się w miskę, a Kiszkin rozptywa się w uśmiechu (twarz miał jak księżyc, ale były w niej błyski okrucieństwa):

— Póki warn kto kaszy nie ruszy, można warn kotki na łbie ciosać!

I popłynął dalej ze stosem misek, bijąc hołubce.

Już na pewno będą dziś kolejny koncept Kiszkina powtarzać sobie w niejednej brygadzie.

Innym razem pochylił się nad stołem, wszystkie twarze podnoszą się ku niemu znad misek. Wiercąc oczyma jak nakręcany kot, udając zupełnego jołopa. Kiszkin pyta:

— Chłopak! Jeżeli tata — dureń, a mama — kurwa, to czy dzieci będą syte czy głodne?

I nie czekając na odpowiedź, zbyt tu łatwo, stuka wyciągniętym palcem po stole, ułanym rybimi ościami:

— A podzielcie siedem-osiem miliardów pudów* rocznie na dwieście milionów!

I zmyka. A jakaż w tym jasna myśl! — dlaczegośmy dotąd nie wykonali

Pud — 16 kilogramów. 116

tego prostego działania? Dawno już głosi się u nas oficjalnie, że zbiory dają w ZSSR 8 miliardów pudów ziarna rocznie, a więc pieczonego chleba powinno wypadać dziennie 2 kilogramy, nawet licząc niemowlęta. A my — dorosłe chłopcy, całe dni kopujemy ziemię — i gdzie te dwa kilo?

Kiszkin dba o urozmaicenia. Czasami ten sam wywód zaczyna z drugiego końca i wygłasza wykład o przypieku. W ogóle chętnie wygłasza przemówienia w chwilach, gdy kolumna staje przed wartownią, po roboczej szychcie albo przed wejściem na teren obiektu; można wtedy pofolgować językowi. Jedno z jego najulubieńszych hasła to: „Dbajcie o rozwój pyska!”. „Bo idę sobie tak po żonie, kochani, i widzę, że wszyscy macie takie niedorozwinięte pyski, tylko o perłowej kaszy myślicie, nic was więcej nie obchodzi”.

A to znów wrzaśnie znienacka i bez powodu, stojąc w tłumie: „Osioł dardaneński! Dzikus!”. Krzyknie raz i drugi — i nagle wszyscy już rozumieją, kto jest tym osiem dardaneńskim i takie się to wydaje zabawne i celne, że każdy widzi nawet wąsy złowieszcze na tym dardaneńskim obliczu.

Jakiś naczelnik próbuje wydrwić z kolei Kiszkiną i woła głośno koło wachty: „A co ty, Kiszkin, taki łysy, ha? Pewno ciągiem się branzlujesz?”. A Kiszkin z miejsca, bez chwili namysłu, paruje tak samo głośno: „Według pana to Lenin też się branzlował?”.

Albo innym razem: Kiszkin chodzi po stołówce i woła, że dziś po zwrocie misek będzie uczył dochodzących, jak tańczyć charlestona.

Rzadka niespodzianka — kino przyjechało! I wieczorem wyświetlają film — w tejże stołówce, bez ekranu, wprost na białej ścianie. Ludzi zeszła się wielka kupa, siedzą na ławach, na stołach, między ławkami i na cudzych kolanach. Ale jeszcze przed końcem pierwszego aktu — nagła przerwa. Jałowy, biały snop światła żga ścianę. Widać też o co chodzi: przyszło kilku nadzorców i rozglądają się, gdzie by tu siąść najwygodniej. Wybrali jedną z ławek i rozkazują siedzącym tam zekom, aby zwolnili miejsca. Ci nie chcą wstawać — toć nie widzieli kina już od lat, a taką mają chęć! Głosy nadzorców brzmią coraz donośniej i już słychać: „A no, zapisz ich numery!”. To już koniec, trzeba będzie ustąpić. I nagle w ciemnej sali rozlega się ostro koci, drwiący, wszystkim znany głos Kiszkiną:

— A pewno, chłopaki, panowie władza nie mają przecież innej okazji, żeby pójść do kina, chodźmy sobie!

Ogólny śmiech. O, śmiech to siła! Nadzorcy mają w ręku władzę, ale przecież wycofują się sromotnie, nie zdążywszy wcale spisać numerów.

— Gdzie Kiszkin? — krzyczą.

Ale Kiszkin już ani mru-mru. Nie ma Kiszkiną.

Następnego dnia Kiszkiną wzywają do naczelnika wydziału dyscyplinarnego.

No, wlepią mu z pięć dni karceru! Ale nie, wraca uśmiechnięty. Napisał takie oto wyjaśnienie: „W trakcie sporu nadzorców z więźniami co do miejsc w kinie, wezwałem więźniów, aby ustąpili zwierzchności i opuścili salę”. Za cóż go karać?

Kiszkin potrafi wyśmiać także tę bezmyślną żądzę widowisk, która każe zekom zapomnieć o godności, nieszczęściach i poniżeniu — w zamian za strzęp taśmy filmowej albo spektaklu, gdzie wszystko — jak na urągowisko — przedstawione będzie w różowym świetle. Przed takim koncertem albo pokazem filmowym, zawsze zbiera się pod drzwiami spora grupa miłośników atrakcji, ale drzwi długo nikt nie

otwiera, bo nie ma jeszcze starszego nadzorcy, który ma wpuszczać — według spisu — tylko najlepsze brygady. A ci czekają po rabsku i już pół godziny gniotą sobie w tłoku żebra. Kiszkin zaś za plecami tego tłumu zzuwa buty, z pomocą sąsiada wskakuje na barki czekających — i na skos, szybciutko biegnie po karkach, po karkach, po karkach całej ciżby — aż do samych utęsknionych drzwi! Puka w nie, wiercąc całym swoim krępyim ciałem Pataszona i pokazując jak go pili, żeby wejść do sali! — po czym tak samo szybko, po karkach, po karkach, biegnie z powrotem i zeskakuje na ziemię. — Tłum z początku się śmieje. Ale wkrótce górę bierze wstyd: rzeczywiście, stoimy jak barany. Dobra! Co tam patrzeć!

I rozchodzą się. Kiedy zjawia się nadzorca ze spisem, nie ma prawie nikogo, nikt się nie pcha; kijem ich poganiać, czy co?

Inny wypadek: Zaczyna się właśnie koncert w dużym baraku jadalni. Kiszkin wcale koncertu nie bojkotuje. Jest na miejscu w swojej zielonej kamizelce, wnosi i wynosi krzesła, pomaga kurtyniarzowi. Każde jego pojawienie się witane jest salwą oklasków. Przebiegnie ci przez proscenium, jakby go kto gonił, i wygrażając wzniesioną ręką wrzaśnie: „Osioł dar-danelski! Dzikus!”. Ryk śmiechu. Ale coś tam za kulisami nie gra: kurtyna już podniesiona, a scena pusta, nikt się na niej nie pojawia. Kiszkin natychmiast korzysta z okazji. Widząc go publiczność się śmieje, ale śmiech zaraz zamiera. Kiszkin wcale nie wygląda komicznie, ale jakby oszalał: oczy wytrzeszczone, aż strach patrzeć. Zaczyna recytować, dygocąc cały i wodząc zmętniałym spojrzeniem:

Jak hlanu — szczo meni zdajetsja? Żandarmy bjut' — i krów tam lietsja, I trupiw zhrudyłoś bahaćko 1 syn ubytj — tam de bat'ko!"

Gdy spojrzę — cóż to mi się roi! Żandarmy biją — krew tam płynie, i trupów leży już tam wiele, i syn zabity — obok ojca! (ukr.).

118

Mówi to do Ukraińców, których wśród publiczności jest dobra połowa! Niedawno ich tu przywieziono z Galicji, a on im tu sól sypie na świeże rany! Ukraińcy zawyli! I już biegnie nadzorca na scenę, po Kiszkina! Ale tragiczna twarz Kiszkina nagle przybiera błazeński wyraz. Krzyczy — już po rosyjsku:

— To taki wierszyk o 9 marca* cośmy się go uczyli, jak chodziłem do czwartej klasy! I uciekł ze sceny pocieszenie kuszący.

A Żenią Nikiszyn był miłym, prostym, bardzo towarzyskim chłopakiem o piegowatej, otwartej twarzyczce. (Takich chłopców sporo było na wsi przed jej ruiną. Teraz przeważają tam twarze o nie bardzo życzliwym wyrazie). Żenią miał niewielki, ale miły głos i w gronie przyjaciół chętnie śpiewał z towarzyszeniem gitary.

Zabrzmiąta prosta i smutna melodia. A Żenią przed pełną zeków, dużą salą zanucił niegłośno, dając wyraz całemu tłącemu się w nas, jeszcze nie do cna wyziębnemu, zdrożonemu ciepłu:

Żonko moja biedna

Tylko ty, ty jedna,

Tylko tobą żyje moja dusza!

Tylko ty, ty jedna! Znika sprzed oczu długi, toporny slogan o planie produkcji, zawieszony nad sceną. W sinawej mgle, spowijającej widownię, rozplływają się lata obozu — długie lata już przecierpiane, jeszcze dłuższe co nas dopiero czekają. Tylko ty, ty jedna! Nie rzekome nasze winy wobec władzy, nie żadne tam z władzą porachunki. I nie wilcze nasze troski... Tylko ty jedna!...

Któż prócz ciebie czeka?

Najbliższa, daleka.

Jesteś ze mną, gdziekolwiek się ruszę.

To była pieśń o bezkresnej rozłące. O braku wieści. O zagubieniu. Jak to nam było bliskie! Ale wprost o więzieniu — ani słowa. Wszystko to mogło odnosić się do długiej wojny.

Zawiodła mnie wtedy intuicja, mnie, tajnego, podziemnego poetę: nie zrozumiałem wtedy, że ze sceny dochodzą mnie wiersze jeszcze jednego z nas, poety podziemia (iluż tu ich jeszcze!) — tylko zręczniejszego ode mnie, lepiej umiającego się przystosować do wymogów jawności.

‘ 9 marca 1905 roku w Petersburgu policja powitała salwami demonstrację, która — pod wodzą popa Hapona — przyszła złożyć carowi wiernopoddaną petycję.

119

A któż mógł mieć do niego pretensję? Żądać w obozie nut, sprawdzać teksty Isakowskiego, muzykę Mokrousowa? Żenią na pewno powiedział, że zna wiersz na pamięć.

W sinych oparach siedzieli i stało ze dwa tysiące ludzi. Ani ruchu, ani westchnienia, jakby ich wcale nie było. Twardzi, okrutni, obrócenie w kamień — poczuli nagle, jak coś im serca ściska. Łzy, jak się okazało, były jeszcze w zapasie, jeszcze znajdowały ujście.

Żonko moja biedna!

Tylko ty, ty jedna,

Tylko ty zostałeś mi przy duszy!...

VI ZBIEG Z PRZEKONANIA

Ilekoć Gieorgij Pawłowicz Tenno wspomina niegdysiejsze ucieczki

— te, w których sam brał udział, te, które podejmowali jego koledzy i te, o których wie tylko ze słyszenia — jednej tylko pochwali używa mówiąc o największych uparciuchach i zawadiakach z tego grona — o Iwanie Worobiowie, Michale Hajdarowie, Grzegorzu Kudle, Hafizie Hafizowie: „To był zbieg z przekonania”.

Uciekinier z przekonania! — to taki, co nawet na chwilę nie wyrzeka się myśli, że człowiek za żadne skarby nie powinien godzić się na życie za kratami! — nawet za cenę najtłustszej funkcji, stanowiska w księgowości, w dziale KO, ba, nawet w kralni chleba! Taki, co — znalazłszy się za kratami — całe dni myśli o ucieczce, a całe noce śni o niej. Taki, który podpisał cyrograf, że nigdy nie ustąpi, który wszystkie swoje działania podporządkował jednej tylko myśli — uciec. Który nawet jednego dnia nie spędza w obozie, aby zbyć; bo albo szykuje ucieczkę, albo właśnie uciekł — albo już go złapano, poturbowano i wsadzono do obozowego więzienia.

Zbieg z przekonania! — to taki, który wie, czym ryzykuje. Który widział już trupy zastrzelonych zbiegów, rzucone na pokaz u wrót obozu. Który widział schwytanych żywcem — całych sinych, kaszlących krwią, oprowadzanych od baraku do baraku i krzyczących na rozkaz: „Więźniowie, patrzcie, jak wyglądam! To samo będzie z wami!”. Który wie, że zwłoki zbiega są zwykle zbyt ciężkie, by je nieść do obozu — i dlatego pogoń przynosi tylko głowę w worku albo (jak doradza przeznorny regulamin) jeszcze prawe ramię — odrąbane w łokciu, aby specwydział mógł sprawdzić odciski palców i spisać człowieka na straty.

Zbieg z przekonania! — to właśnie taki, przeciw któremu zakłada się kraty w oknach, opasuje się żonę dziesiątkami kilometrów drutu kolczastego, wznosi się wieże strażnicze, palisady, umocnienia, urządza zasadzki, nastawia potrzaski i karmi się bure psy szkarłatnym mięsem.

Zbieg z przekonania — to także człowiek, który odrzuca kapitulaniczne pretensje obozowych filistrów: „te ucieczki szkodzą wszystkim innym!, zaostrzy się reżym!”. To taki, co nie daje ucha podszeptom innych więźniów („... w obozie też można żyć, zwłaszcza jak przychodzą paczki”), ani nie chce słyszeć o protestach, o głodówkach — bo to nie walka, tylko mydlenie sobie oczu. Ze wszystkich sposobów walki zna tylko jeden, wierzy tylko w jeden i temu jednemu poświęca wszystkie siły — ucieczce!

Nie potrafi inaczej, całkiem po prostu. Już taki jest. Podobnie jak ptak nie potrafi oprzeć się potrzebie corocznego odlotu, tak zbieg z przekonania nie umie wyrzec się ucieczki.

Spokojni obywatele obozu nieraz pytali Gieorgija Tenno — w przerwach między dwoma nieudanymi ucieczkami: „Dlaczego nie możesz usiedzieć na tyłku? Dlaczego wciąż uciekasz? Czego szukasz, co cię tak ciągnie na tę wolność, tę obecną?”. — „Jak to — co?” — dziwił się Tenno. — „Czego szukam? Właśnie wolności! Choćby jedną dobę spędzić w tajdze, bez kaj-danów — to już wolność!”.

Takich jak on czy Worobiew — GUŁag i Organy nie znały w swojej szczytowej epoce — epoce potulnych królików. Takich więźniów spotykało się tylko w okresie początkowym, a później — dopiero po wojnie.

Tenno był właśnie z takiej gliny. Na początku pobytu w każdym nowym obozie (a przerywano go nader często) był przygnębiony i smutny dopóty, dopóki nie widział sposobu ucieczki. Gdy zaś mu tylko pomysł zaświtał — zaraz promieniał cały i odtąd uśmiech już go nie opuszczał.

Powiada teraz, że gdy zaczęła się powszechna rewizja akt i rehabilitacja skazanych, ogarnęło go uczucie zawodu: zrozumiał, że nadzieja na rehabilitację osłabia pęd do ucieczki.

Nie ma miejsca w tej książce na opis jego zawilej drogi życiowej. Dość, że od kołyski miał żylkę do ucieczek. Dzieckiem będąc uciekł z internatu w Briańsku „do Ameryki”, to znaczy łódką w dół Dżisny. Później — z sierocińca w Piatigorsku, zimą, w samej bieliźnie przelał przez żelazne wrota i umknął do babci. Osobliwe, że w całym jego życiu przeplata się linia morska z linią cyrkową. Ukończył szkołę morską, był majtkiem na lodo-łamaczu, bosmanem na trawlerze, szturmanem na statku handlowym.

Ukończył wojskowy instytut języków obcych, służył podczas wojny we Flocie Północnej, jako oficer łącznikowy żeglował na angielskich okrętach między Murmańskiem a Islandią i Anglią. Ale od dzieciństwa uprawiał także akrobację i występował w cyrku w okresie NEP-u, a także później, w przerwach między rejsami. Był trenerem drużyny sztangistów. Występował na estradzie jako mnemotechnik — pisywał się zapamiętywaniem mnóstwa słów i liczb, „odgadywaniem” myśli na odległość. W porcie i w cyrku otarł się o świat knajaków; przejął to i owo z ich języka, wzięcia, zawadiactwa i awanturnictwa. Siedząc później razem z szemranymi w nie-

zliczonych „reżymkach” jeszcze niejednego od nich się nauczył. Wszystko to miało się później przydać temu zbiegowi z przekonania.

Wszystkie doświadczenia życiowe odbijają się na charakterze jednostki, nasza osobowość jest ich sumą.

W roku 1948 nagle został zdemobilizowany. To był sygnał z Tamtej Strony (zna języki, żeglował na brytyjskim statku, na dobitkę — Estoń-czyk, chociaż tam i z Petersburga) — ale przecież zawsze łudzimy się nadzieją. Tegoż roku, w samą Wigilię, w Rydze, gdzie tak jeszcze potrafią świętować Boże Narodzenie — Tenno zostaje aresztowany. Pakują go do lochów przy ulicy Amatu, obok konserwatorium.

Wchodząc do swojej pierwszej celi Tenno nie mógł się powstrzymać i oznajmił obojętnemu, milkliwemu strażnikowi: „Właśnie dzisiaj mieliśmy iść z żoną na Hrabiego Monte-Christo, już miałem bilety. On rwał się na wolność, ja też będę walczył”.

Ale jeszcze nie czas było na walkę. Zawsze przecież zakładamy, że to tylko omyłka. Więzienia? — a za co? — niemożliwe! Na pewno się potapia! Przed wysyłką do

Moskwy jeszcze go specjalnie uspokojono (robi się to ze względu na bezpieczeństwo operacji transportowej); naczelnik kontrwywiadu, pułkownik Morszczynin odprowadził go nawet na dworzec, pożegnał uściskiem dłoni: „możecie być zupełnie spokojni, dobrej drogi!”. Było ich tylko czterech, licząc speckonwojentów, jechali więc w osobnym przedziale pierwszej klasy. Major i starszy lejtnant obgadali swoje widoki na wesołego Sylwestra w Moskwie (może właśnie dla wykorzystania takich okazji wysyła się speckonwoje?), potem położyli się na górnych półkach i zasnęli, przynajmniej z pozoru. Na drugiej z dolnych półek leżał starszy sierżant. Zrywał się, gdy tylko aresztant otwierał oczy. Pod sufitem paliła się niebieska lampka nocna. Pod głową miał Tenno pierwszą i ostatnią paczuszkę, wetkniętą mu w pośpiechu przez żonę: obcięty lok i tabliczkę czekolady. Leżał i rozmyślał. Wagon stukał pogodnie. Każdy może dopatrzeć się w tym stukocie dowolnego sensu czy przestrogi. Tenno słyszał w nim głos nadziei — „tak, tak, na pewno się potapia”. I dlatego nie myślał poważnie

123

0 ucieczce (nieraz jeszcze wspominać będzie tę noc, plując sobie w brodę z żalu. Nigdy już nie zdarzy mu się okazja do tak łatwej ucieczki, nigdy wolność nie będzie już tak bliska!).

Dwukrotnie chodził Tenno tej nocy do toalety. Nocny korytarz był pusty, sierżant szedł za nim. Pistolet zwisał mu na długich rapciach, jak to w marynarce. Wcisnął się do toalety razem z aresztowanym. Tenno znał chwyt judo i walki francuskiej, łatwo mógł obezwładnić konwojenta, zabrać mu pistolet, zmusić do milczenia i spokojnie wyjść samemu na jakimś przystanku.

Za drugim razem sierżant nie odważył się już wejść do ciasnej ubikacji, został za drzwiami. Ale drzwi były zamknięte i można było siedzieć w toalecie, jak długo się chciało. Można było wybić szybę i wyskoczyć na tory. Noc! Pociąg włókł się wolno — rok 48., przystanki też były częste. Zima, to fakt. Tenno był bez palta, w kieszeni miał tylko pięć rubli, ale jeszcze nie zabrano mu zegarka.

Luksusy specetapu skończyły się na dworcu w Moskwie. Trzeba było odczekać aż inni pasażerowie wyjdą, po czym wszedł sierżant z błękitnymi epoletami z załogi więziennej suki: „Gdzie go macie?”.

Procedura przyjęcia, bezsenność, boksy, boksy. Naiwne żądania — żeby prędzej być wezwanym na śledztwo. Nadzorca ziewa: „Jeszcze ci się zdąży uprzykrzyć”.

Pierwsze spotkanie ze śledczym. „No, zeznawaj o swojej działalności przestępczej”. — „Nic nie zawiniłem!”. — „Tylko papież Pius nic nie zawinił”.

W celi — sam na sam z kapusiem. Współwięzień wciąż stara się go podejść: jak tam było naprawdę? Kilka seansów śledztwa — i wszystko staje się jasne: nikt nie chce się „połapać”, o wyjściu na wolność nie ma mowy. A więc — trzeba uciekać!

Tenno wcale nie przejmuje się światowym rozgłosem więzienia Lefor-towo. Może dlatego, że jest jako nowicjusz na froncie, co to niczego jeszcze nie przeżył i niczego się nie boi. Plan ucieczki podpowiada mu sam śledczy — Anatol Lewszyn. Podpowiada, bo staje się coraz bardziej złośliwy i wrogi-

Każdy człowiek, każdy naród ma własną miarę rzeczy. Ileż milionów zniósło już plagi w takich murach i nawet nie uważało tego bicia za tortury. Ale dla Tenno — świadomość, że może być bezkarnie bity — była nie do zniesienia. Wolał umrzeć, niż pozwolić, żeby się nad nim ktoś pastwił.

1 kiedy Lewszyn — po słownych pogrózkach — po raz pierwszy wstaje zza stołu i podnosi na Tenno rękę — ten zrywa się i woła, dygocząc z wściekłości: „Uważaj, mnie i tak zguba czeka! Ale przedtem wydtubię ci przynaj-

124

mniej jedno oko albo obydwie! Na to zawsze mnie stać”. I śledczy wycofuje się. Własne zdrowe oko w zamian za nędzne życie więźnia? Nie, ta transakcja go nie urządza. Z kolei więc zadręcza Tenno karcerami, by wyzuć go z sił. Następnie wmawia w aresztanta, że kobieta, wyjąca z bólu w sąsiednim gabinecie, jest żoną Tenno i że będą ją dalej męczyć, jeśli mąż się nie przyzna.

Ale znów się pomylił! Tenno nie mógł znieść myśli o cierpieniach żony tak samo, jak myśli o biciu. Z coraz większą jasnością widzi, że tego śledczego trzeba będzie za-

bić. Ten zamiar łączył mu się z planem ucieczki! — major Lewszyn też nosił marynarski mundur, był tak samo rośłym blondynem. Wartownik budynku śledczego mógł zupełnie łatwo wziąć Tenno za Lewszyna. Co prawda, major miał twarz pyzatą i gładką, Tenno zaś porządnie wychudł. (Niełatwo jest więźniowi przejrzeć się w lustrze. Nawet jeśli po przesłuchaniu aresztant prosi o pozwolenie na pójście do ustępu, znajduje tam lustro, zasłonięte czarną szmatą. Jeżeli ma szczęście, może szybkim ruchem uchylić na chwilę zasłonki; — o, jaki jest zadręczo ny, jaki blady! Jak żał samego siebie!).

Tymczasem zniknął z celi bezużyteczny kapuś. Tenno bada jego pryczę. Poprzeczny pręt metalowy zardzewiał tam, gdzie przytwierdzony jest do ramy, rdza wżarła się w żelazo, nić ledwo się trzyma. Pręt ma jakieś siedemdziesiąt centymetrów długości. Jak tu go wyłamać?

Nasamprzód trzeba nauczyć się odmierzać w myśli sekundy. Później — obliczyć, ile mija sekund między jednym a drugim zerknięciem każdego ze strażników przez oczko judasza (ma się rozumieć, nie u wszystkich częstotliwość jest jednakowa; trzeba wyobrazić sobie, że to ty sam przechadzasz się szybciej lub wolniej po korytarzu). Odstęp między jednym zerknięciem a drugim wynosi od czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu pięciu sekund.

W trakcie takiej pauzy — jeden wysiłek i pręt trzasnął z jednego końca. Drugi koniec — trzyma się mocno, złamać go trudniej. Trzeba skoczyć nań obu nogami, ale

rażnie o podłogę, gdy się już złamie. Trzeba więc zdążyć w ciągu tych liczonych sekund: rzucić poduszkę na cementową podłogę, skoczyć, złamać, cisnąć poduszkę na miejsce, a pręt schować, chwilowo — choćby we własnej pościeli. Cały czas licząc sekundy.

Złamany. Gotowe!

Ale to jeszcze nic nie daje: wejdą, znajdą — i zgnijesz w karcerze. Dwadzieścia dni karcą to taka strata sił — że nie tylko nie starczy już na ucieczkę, ale nawet na opór w czasie śledztwa. Ale jest rada: nadpruć materac paznokciem. Wyszarpnąć trochę waty. Owinąć watą koniec pręta i wstawić pręt na dawne miejsce. Liczyć sekundy! Dobra, załatwione!

125

Ale to też nie na długo. Co dziesięć dni — łaźnia, a podczas gdy się myjesz rewizja w celi. Mogą połapać się, że złamane. Trzeba więc działać spiesznie. Jak wynieść pręt na śledztwo?... Przy wyjściu z więzienia rewizji nie ma; po powrocie z korpusu śledczego obmacują trochę człowieka, ale też — tylko klepną po bokach i piersi, tam gdzie kieszenie. Szukają ostrych przedmiotów, boją się samobójstw. Tenno ma pod marynarskim kitlem tradycyjną pasiastą koszulkę, co to grzeje i ciało, i duszę. „Im od brzegu dalej, tym trosk mniej!”. Poprosił o igłę (użyczają jej w określonych godzinach), rzekomo aby przyszyć ulepione z chleba guziki. Rozpiął kitel, rozpiął spodnie i na podołku swojej koszuli zaszył podłużną rynienkę, jakby wąską kieszeń (dla dolnego końca pręta). Już miał w zapasie troczki oderwane od kałesonów. Teraz, udając, że przyszywa guzik do kitla, przyszył tasiemkę do spodniej strony koszuli, na wysokości piersi — miała to być górna pętelka dla pręta. Teraz koszulę wdział tyłem do przodu i zaczął trenować dzień po dniu. Pręt wsuwa pod koszulę, na plecy: wtyka go w pętelkę i trafia dolnym końcem do kieszonki. Rączka pręta jest na poziomie karku, pod kołnierzem kitla. Trening polega na tym, aby między jednym zerknięciem strażnika, a drugim sięgnąć ręką za kołnierz — ująć w dłoń pręt, przegiąć tułów do tyłu wyprostować się ze skłonem do przodu, jak cięciwa łuku, wyszar-pując jednocześnie pręt — i z rozmachem trzepnąć śledczego w łeb. I znów wszystko na miejsce. Oko w judaszu. Aresztant spokojnie wertuje książkę.

Ruchy były coraz szybsze i szybsze, pręt świstał już w powietrzu. Jeśli nawet cios nie będzie morderczy — śledczy i tak padnie bez zmysłów. Ale jeśli żona też siedzi — to nikogo z was nie ma co żałować!

Robi sobie jeszcze dwa wałeczki z waty, wyskubanej z tego samego materaca. Można wsunąć je między dziąsła a policzki i w ten sposób nadać twarzy krągłość. Oczywiście, trzeba jeszcze tego dnia być ogolonym — a golą tu tępą brzytwą raz na tydzień. Dzień więc też nie jest obojętny.

A jak uzyskać rumieniec na twarzy? Trzeba natrzeć policzki odrobiną krwi. Jego krwi.

Zbieg nie może patrzeć i słuchać tak sobie, jak inni ludzie. Musi patrzeć i słuchać przymierzając wszystko do swoich szczególnych, uciekinierskich celów. I nie pomi-jać żadnego szczegółu, każdy brać pod uwagę. Prowadzą go na przesłuchanie, na spacer, do toalety — a jego nogi liczą kroki, liczą stopnie (nie wszystko się przy-da — ale liczyć trzeba), jego ciało zapamiętuje sobie każdy dostępny załom — przypatruje się wszystkim drzwiom — podwójne, pojedyncze, jakie klamki, jakie

zamki, w którą stronę się otwierają; głowa analizuje, dokąd jakie drzwi prowadzą, uszy słuchają i kojarzą: o, ten dźwięk słyszałem już w celi i znaczy to a to.

126

Słynny lefortowski korpus „K” — ażurowa klatka schodowa, widać wszystkie piętra, obwodowe galerie metalowe, ruch regulują dyżurni z chorągiewkami. Przesłuchują w coraz to innym gabinecie — tym lepiej! — można poznać usytuowanie wszystkich korytarzy i drzwi korpusu śledczego. Jak tu wchodzi funkcjonariusze śledczy z zewnątrz? O, przez te drzwi z kwadratowym okienkiem. Rzecz jasna, zasadniczą kontrolę ich dokumentów przeprowadza się nie tu, tylko na wartowni przy wejściu, ale tu też ktoś ich sprawdza, ktoś ich obserwuje. O, jeden z nich właśnie schodzi i woła do kogoś na górze: „No to jadę do ministerstwa!”. Doskonale, to zdanko przyda się zbiegowi.

Jaką drogą idą stąd dalej, do wartowni? Tu trzeba będzie zgadywać i wybrać dobrą drogę bez wahań. Ależ na pewno wydeptali w śniegu ścieżkę. Albo asfalt jest tu ciemniejszy i brudniejszy. A jak przechodzą przez wachtę? Pokazują legitymację? Czy może zostawiają ją przy wejściu wartownikowi, a teraz tylko mówią nazwisko i odbierają dokument? Albo może każdego znają tam z wyglądu i wymienianie nazwiska to błąd, wystarczy tylko wyciągnąć rękę?

Wiele wątpliwości można rozstrzygnąć, jeśli się nie wnika w treść bzdurnych pytań śledczego, a tylko obserwuje się każdy jego ruch. Chce zatem-perować ołówek i wyjmuje żyletkę z jakiejś swojej legitymacji, którą wyciągnął z wewnętrznej kieszeni. I zaraz tyle zagadnień:

— I to nie jest przepustka. Więc przepustka — na wartowni?

— dokument bardzo przypomina prawo jazdy. Więc przyjeżdża tu autem? Ma zatem klucz od stacyjki w kieszeni? Czy zostawia wóz przed bramą więzienia? Trzeba będzie od razu tutaj, przed wyjściem z gabinetu odnaleźć numer rejestracyjny w książce wozu, żeby tam się nie pomylić.

Szatni tu nie mają. Płaszcz marynarski i czapkę wiesza tu, w gabinecie. Tym lepiej. Nie zapomnieć, nie przegapić żadnej czynności i wszystko załatwić w ciągu 4—5 minut. Kiedy już tamten będzie leżał powalony, trzeba —

zrzucić własny kitel, wdziać jego, o wiele nowszy, z epoletami;

zabrać mu sznurowadła i zasznurować nimi własne, opadające buty

— sporo czasu na to ujdzie;

jego żyletkę wsunąć do specjalnie przygotowanej szpary w obcasie (jeśli jednak złapią, to od razu w pierwszej celi przeciąć nią sobie żyły);

przejrzeć jego dokumenty, wybrać te, co potrzebne;

zapamiętać numer auta, znaleźć klucz;

do jego wypchanej teczki włożyć akta własnej sprawy, zabrać teczkę;

zjąć z niego zegarek;

pokryć policzki krwawym rumieńcem;

127

9. zaciągnąć jego ciało za biurko albo za portierę tak, aby ktoś, kto tu

zajrzy, pomyślał, że major wyszedł i żeby nie wszczął alarmu;

ukręcić z waty wateczki i włożyć je między dziąsła a policzki;

wdziać jego czapkę i płaszcz;

oberwać przewód elektryczny przy kontakcie. Jeśli ktoś tu wejdzie

— zobaczy, że ciemno, przekręci kontakt — e, pewno żarówka się przepaliła, dlatego major poszedł do innego gabinetu. Ale nawet kiedy wkręca nową żarówkę — też nie od razu się połączy.

Oto więc dwanaście punktów, trzynasty — to sama ucieczka... Wszystko to trzeba zrobić podczas nocnego przesłuchania. Gorzej, jeśli okaże się, że legitymacja ~ to nie prawo jazdy. To znaczy, że major przyjeżdża i odjeżdża autobusem dla funkcjonariuszy śledczych (wożą ich specjalnie, bo też noc!) i kolegom jego wyda się dziwne, że Lewszyn, nie czekając na godzinę odjazdu, jeszcze przed 4 poszedł piechotą do domu.

Aha, przechodząc obok kwadratowego okienka trzeba podnieść do nosa chusteczkę, niby że katar: równocześnie spojrzeć na zegarek: dla uspokojenia sztyldwach krzyknąć w stronę górnego piętra: „Pietrow! (to jego przyjaciel) — Jadę do ministerstwa! Jutro pogadamy!”.

Oczywiście, szans niewiele, mniej więcej 3, najwyżej — 5 na 100, przynajmniej chwilowo. Nic nie wiadomo o wartowni przy wyjściu, sprawa niemal beznadziejna. Ale zdychać tu jak rab? Nie! I nie opaść z sił tak, żeby mogli kopać człowieka nogami! Żyłka już tam będzie w obcasie!

I na jedno z nocnych przesłuchań, zaraz po goleniu, Tenno przyszedł z żelaznym prętem na grzbiecie. Śledczy zadawał pytania, kłął, sypał pogroźkami, a Tenno tylko patrzył na niego i dziwił się: więc facet nie przeczuwa, że jego godziny są policzone?

Była jedenasta wieczór. Tenno spodziewał się, że posiedzi tu do drugiej. O tej porze niektórzy funkcjonariusze zaczynają już wychodzić, urządzają sobie „krótką noc”. Byłe złowić ten moment: albo kiedy śledczy poda karty protokołu do podpisu, jak to zawsze robi — i nagle udać zawrót głowy, opuścić protokół na ziemię, wtedy śledczy schyli się i... Albo bez żadnego protokołu

— wstać, zachwiać się, powiedzieć, że dziwna słabość, poprosić o trochę wody. Major przyniesie emaliowany kubek (szklankę ma tylko dla siebie), upić łyk i upuścić naczynie — zaraz potem podnieść rękę do karku, to ruch całkiem naturalny, skoro w głowie się kręci. Śledczy na pewno pochyli się, aby popatrzeć na kubek i wtedy...

Serce waliło. Była wigilia świąt. Albo wigilia kaźni.

128

Ale wszystko przybrało inny obrót. Około północy szybkim krokiem wszedł do gabinetu inny śledczy i zaczął coś szeptać Lewszynowi na ucho. Tego jeszcze nie bywało. Lewszyn zaczął się śpieszyć, zadzwonił na strażnika i kazał mu odprowadzić więźnia.

I to było wszystko. Tenno wrócił do celi, wstawił pręt na swoje miejsce.

Innym zaś razem śledczy wezwał go na przesłuchanie przed goleniem — i zabieranie ze sobą prętu nie miało sensu.

Albo znów — dzienne przesłuchanie. I dziwnie jakoś się potoczyło: śledczy nie wrzeszczał i nawet stropił go przepowiadając, że dostanie tylko 5 do 7 lat, więc nie ma co się martwić. I jakoś zabrakło złości, aby rozwalić mu łeb. Pod tym względem Tenno nie odznaczał się stałością.

Furor jakoś przygasał. Zaczęło mu się wydawać, że szansę są zbyt nikłe, któż tak gra? Zbieg częściej zmienia nastrój niż niejeden artysta.

Całe długie próby poszły na marne...

Ale uciekinier musi być na to przygotowany. Już po stokroć machnął prętem w powietrzu, już zabił setkę śledczych. Dziesięć razy przeżył już całą swoją ucieczkę. Szczegół po szczególe — naprzód gabinet, potem — obok kwadratowego okienka, droga do wartowni, teraz minąć wartownię! —już zmęczyła go ta ucieczka — a tu okazuje się, że jeszcze nie zaczęła.

W końcu Lewszyna zastąpił inny śledczy, Tenno został przewieziony na Łubiankę. Już tu nie szykował ucieczki (wydawało mu się, że przebieg śledztwa daje mu jakieś nadzieje i nie miał już tej determinacji, co dawniej), ale dalej prowadził niezmordowanie swoje obserwacje i trenował się w układaniu planów.

Ucieczka z Łubianki? Czy to w ogóle możliwe?... Jeśli dobrze się zastanowić, to może być łatwiejsza niż z Lefortowa. Wkrótce zaczął się orientować, jak biegną te długie, przedługie korytarze, którymi prowadzą cię na śledztwo. Czasem widać na korytarzach strzałki: „Do wyjścia nr 2”, „Do wyjścia nr 3”. (Żałujesz, żeś był tak lekkomyślny, zanim tu trafiłeś: toć można było zawczasu obejść Łubiankę z zewnątrz i przyjrzeć się, jakie tu wejścia i wyjścia). Ten gmach ma ten jeszcze plus, że to nie więzienie, tylko ministerstwo i tylu tu śledczych, a także innych urzędników, których wartownicy nie mogą znać z wyglądu. A więc wchodzi się i wychodzi za okazaniem przepustki, a przepustkę ma każdy funkcjonariusz w kieszeni. Skoro zaś nie każdego znają tu z wyglądu, to nie jest takie ważne, czyś zupełnie podobny do śledczego, wystarczy przypominać go z grubsza.

Nowy śledczy nosi mundur nie marynarski, tylko zwykły, khaki. Trzeba by więc przebrać się także w jego mundur. Mniejsza, że nie ma pręta, grunt

to zdecydowanie. W gabinecie śledczego dość jest rozmaitych przedmiotów — choćby marmurowy przycisk. Zresztą, nie trzeba go zaraz zabijać, wystarczy ogłuszyć na dziesięć minut, tyle, żeby wyjść z gmachu!

Ale mętne nadzieje na jakieś zmiłowanie czy na rozsądek władz osłabiają wolę Tenno. Dopiero w Butyrkach ciężar spada mu z serca: ze strzępka papieru odczytują mu wyrok OSO — 25 lat obozu. Podpisując, czuje jak mu od razu lżej, jak powraca zdolność do uśmiechu, jak żwawo niosą go nogi do celi 25-latków. Wyrok oznacza wolność od upokorzeń, kompromisów, potulności, zabiegów o względy, o te obiecane pięć-siedem lat odsiadki: dwadzieścia pięć, gnać waszą mac?! — no to nie ma co na was liczyć, to znaczy, trzeba wiać!

Albo — śmierć. Ale czy to śmierć gorsza od ćwierćwiekowej niewoli? I tylko strzyżenie do gołej skóry — zwykłe, rytualne strzyżenie po wyroku, komu to zaszkodziło? — Tenno ledwie jest w stanie je znieść; to dla niego najgorsza obraza, jakby mu kto napluł w pysk.

Teraz trzeba szukać sojuszników. I dobrze przyjrzeć się dziejom innych ucieczek. Tenno jest w tym świecie nowicjuszem. Czy to możliwe, żeby nigdy jeszcze nikomu nie udało się uciec?

— Ileż to razy w ślad za stażnikiem przekraczaliśmy progi tych żelaznych drzwi, przegradzających butyrskie korytarze: niektórzy z nas zauważyli to, co Tenno widzi od razu: przepierzenia te mają podwójne rygle, strażnik zaś otwiera kluczem tylko jeden z nich i to wystarcza, by wierzeje się otwały. Drugi zawór jest więc chwilowo nieczynny: składa się z trzech ruchomych czopów, które wysuwają się ze ściany i wchodzą we wpusty w żelaznych futrynach.

W celi każdy szuka czego innego. Tenno tylko jednego — relacji o ucieczkach i ludzi, którzy brali w nich udział. Znalazł nawet takiego, który wpadł właśnie przez te

trzy czopy w drzwiach. Nazywa się Manuel Garcia. Zdarzenie miało miejsce przed kilku miesiącami. Więźniowie jednej z cel wyszli do ustępu. Po drodze złapali strażnika (wbrew regulaminowi był sam, bo przecież całymi latami nic się tu nie dzieje, przyzwyczajono ich do pokory!), odarli go z munduru, skrępowali, zostawili w ustępie, a jeden z więźniów wdział jego uniform. Wzięli pęk kluczy i zabrali się do otwierania wszystkich po kolei cel tego skrzydła (a były tu także cele skazanych na śmierć, tym to dopiero było na rękę! Podniósł się krzyk, radosne wrzaski, nawoływano, aby pootwierać cele także w innych skrzydłach i opanować całe więzienie. Ostrożność poszła w kąt! Zamiast po cichu przygotować się w celach do ucieczki, a na korytarz wypuścić tylko tego, co się przebrał za strażnika, wszyscy znaleźli się na korytarzu — i dalej hałasować! Usłyszał tę wrzawę strażnik z sąsiedniego skrzydła, zajrzał

130 .

rzeż dwustronne oczko w żelaznym przepierzeniu i nacisnął guzik alarmowy. Samo naciśnięcie tego guzika już wystarcza, aby zatrzasnęły się wszystkie owe dodatkowe rygle żelaznych przegród - i nie sposób otworzyć żadnym z kluczy, które ma ze sobą strażnik. Zbuntowane skrzydło stało zatem odizolowane. Zwołano mnóstwo strażników: stanęli szpale-;m, buntowników przepuszczano gęsiego i młócono we dwa kije. Znale-ono podżegacza i zabrano dokądś. Już mieli na karku po ćwiartce.)odano im drugie tyle? Czy rozstrzelano?

Etapem do obozu. Znana więźniom „ciupka” na dworcu Kazańskim, czywiście — jak najdalej od ludzkich oczu. Tu przyjeżdżają karetki wię-enne, tu ładuje się ludzi do wagon-zaków, nim się je przyczepi do pociąg-u. Konwojenci — w ostrym pogotowiu z obu stron torów, rzędami. Rwą-e się do gardeł psy. Komenda: „Eskorta, gotuj broń!” — i morderczy

| rczek zamków karabinowych. Tu nie ma żartów. Psy towarzyszą też więźniom podczas marszu wzdłuż torów. Dać nogę? Pies na pewno dogoni.

(Ale zbieg z przekonania, wciąż przerzucany za ucieczki z więzienia do iężenia — jeszcze ma w perspektywie dużo takich dworców i marszów ‘zdłuż torów. Będą go może kiedyś prowadzić bez psiej eskorty.

Zaczniesz wtedy udawać, że utykasz, żeś chory, że ledwie się wleciesz, z ledwie możesz unieść s i d o r, i fufają: to działa na eskortę uspokajają-3. A jeżeli na torach stoi parę pociągów — to dopiero można zacząć grę ‘chowanego! Rzucić sidor precz, pochylić się — i jednym susem skoczyć od wagonu! Ale kiedyś się już schylił, możesz zobaczyć z drugiej strony ‘agonu buciory rezerwowego konwojenta, kroczącego wzdłuż drugiego eronu... Wszystko wzięli pod uwagę, psiekrwie... Możesz wtedy tylko dać, że zrobiło ci się słabo i dlatego porzuciłeś rzeczy. Ach, gdybyś to lieć szczęście — gdyby po sąsiednich torach przejeżdżał właśnie pociąg! idyby udało się przebiec przed samym parowozem — toć to żaden kon-ojent nie odważyłby się skoczyć za tobą! Ty ryzykujesz dla wolności, on? I nim pociąg cały się przetoczy — już po tobie nie ma śladu! Ale tu zęba mieć podwójne szczęście — żeby pociąg nadjechał na czas i żeby bła nóg ci nie obcięły).

W Kujbyszewie, ze zborniaka na dworzec wiozą zeków otwartymi cięża-jwkami — gromadzi się wielki czerwony transport. Jeszcze w zborniaku enno zawiera znajomość z miejscowym złodziejaszkiem, który „bardzo anuje takich, co chcą pryskać” i dostaje od niego dwa adresy, pod któ-/mi można szukać oparcia zaraz po

ucieczce. Znajduje dwóch jeszcze andydatów do ucieczki, dzieli się z nimi tymi adresami i umawia się, że ostarają się usiąść w głębi platformy, a kiedy auto zwolni na zakręcie (a

— Tenno, gdy jechał tu z dworca, własnymi bokami wymacał ten zakręt,

131

choć w karetkie było ciemno i oczyma nic nie widział) — spróbują razem, całą trójką zeskoczyć z ciężarówki, na prawo, na lewo, do tyłu! Obok konwojentów, niech tam nawet któryś zwali się na ziemię za nimi! Będą strzelać, ale wszystkich trzech przecież nie trafią. Zresztą — czy na pewno będą? Toć pełno ludzi na ulicy. Będą ich ścigać? Nie — przecież nie mogą zostawić ciężarówki bez ochrony. Tyle tylko, że pokrzyczą trochę i wystrzelą parę razy w powietrze. Może ich ktoś zatrzyma: jacyś przechodnie, nasi sowieccy, kochani przechodnie. Nic to, wystarczy podnieść rękę jak do dźgnięcia nożem! (A żadnego noża nie ma).

Cała trójka tak manewruje i marudzi podczas rewizji, żeby znaleźć się w ostatniej ciężarówce — i to możliwie już o zmroku. Nadjeżdża wreszcie ostatnia — ale nie jest to trzytonówka o niskich burtach jak wszystkie poprzednie, tylko Studebacker z wysokim oszalowaniem. Nawet Tenno

— gdy już tam siedzi — nie może wychylić głowy ponad krawędź burty.

Studebacker mknie. Zakręt! Tenno zerka na współników — a ci mają strach w oczach. Nie, nie zdecydują się na skok. Nie, to nie są zbiegowie z przekonania. (Ale czy on sam już stał się takim zbiegiem?...).

W ciemnościach, ciętych błyskami ręcznych lamp, przy akompaniamencie psiego ujadania, wrzasków eskorty, wyzwisk i brzęku łańcuchów — pakują ich do bydłych wagonów. I tu Tenno wbrew własnym zasadom

— zapomina przyrzeć się dobrze z zewnątrz wagonowi, którym ma jechać (a zbieg z przekonania powinien wszystko obejrzeć zawczasu i nie wolno mu niczego przegapić!).

Na przystankach straż opukuje wagony długimi młotkami. Bada w ten sposób każdą deskę. Widać boją się — ale czego? A tego, że deskę można przepiłować! To znaczy, że tego właśnie trzeba próbować.

Znalazł się (u któregoś ze złodziei) mały kawałek ostrej stali narzędziowej. Postanowili przeciąć nim poprzeczną belkę pod dolnymi narami. Kiedy pociąg zacznie zwalniać — dopiero ją wyłamać, skakać plackiem na tory i trzymać się podkładów, póki cały pociąg nie przejedzie. Co prawda, znawcy przedmiotu twierdzą, że do ostatniego wagonu więziennych transportów przyczepiona jest metalowa brona, że zęby tej żelaznej łapy wiszą nisko nad torami, że zgarniają ciało zbiega i wloką je po pokładach, aż zostaną zeń strzępy.

Przez całą noc, po kolei wpętając pod nary, piłują więc deskę ogryzkiem żelaza, trzymanym przez szmatkę. Ciężka to robota. W końcu jeden koniec poprzeczki jest przecięty. Decha zaczyna się ruszać. Odginają więc ją, ile tylko się da — a już świta — i widzą z tyłu wagonu białe tarcice. Dlaczego białe? A bo widać do wagonu dobudowano platformę dla konwojenta. Stoi więc na niej wartownik i obserwuje szparę między wagonami. Nie ma co piłować dalej, daremna robota.

132

Ucieczki z więzień — jak to wszelka działalność ludzka, mają swoją historię, mają też swoją teorię. Nieźle jest znać je, nim się człowiek sam do nich zabierze.

Historia — to dzieje dawnych ucieczek. Operczekiści nie publikują specjalnych broszur o ich technologii, wolą zdobyte doświadczenie obracać na własny użytek. Wiadomości historyczne zaczerpnąć za to możesz z opowieści innych zbiegów, już schwytanych. Drogo zapłacili za swoje doświadczenie — krwią, cierpieniem, życiem nieomal. Ale drążyć krok po kroku, brać na spytki jednego, drugiego, trzeciego uciekiniera — to wcale nie żarty, to zajęcie niebezpieczne. Niewiele mniej ryzykowne od wypytywania

— jak i z czyją tu pomocą wstąpić do organizacji podziemnej? Długie te rozmowy mogą być podsłuchane przez szpicli. A co gorsza — sami wasi rozmówcy, kiedy ich po złapaniu dręczono — i kiedy jeden tylko wybór mieli — śmierć albo życie — mogli przecież załamać się — dać się zwerbować i teraz służą za przynętę dla innych, nie mogą już być sprzymierzeńcami. Jednym z najważniejszych zadań kumów jest wykrycie zawczasu tych, którzy myślą o ucieczce, którzy interesują się ucieczkami, aby za znaczyć, co trzeba — w jego formularzu — i czym prędzej posłać go do brygady o zaostrzonym rygorze, skąd uciec jest o wiele trudniej.

Mimo to — Tenno wypytuje uciekinierów w każdym więzieniu, w każdym obozie. Sam próbuje uciekać, łapią go — i siedzi później w obozowych więzieniach właśnie z uciekinierami. Tu może ich wypytywać do woli. (Zdarzają mu się błędy. „Stiepan”, zbieg niestrudzony, wydaje go w Ken-girze operowi i ten powtarza wszystkie jego pytania, jakie ten „Stiepa-nowi” zadał).

Co zaś do teorii ucieczek, to jest ona bardzo prosta: jak kto potrafi. Jeśli cię złapano — to znaczy, że jeszcze jej nie znasz. Elementarne zaś zasady są następujące: uciekać można zarówno z „obiektów”, jak z żony mieszkalnej. Z obiektu uciec łatwiej, jest ich wiele, straż jest tam przygodna, zbieg może też zaopatrzyć się w niejedno narzędzie. Uciekać można w pojedynkę, to zadanie trudniejsze, za to nikt cię nie wyda. Można uciekać w towarzystwie — to łatwiejsze, ale wszystko zależy od tego — czyście się dobrze dobrali. Istnieje też zasada: geografię trzeba znać tak, żeby ci się mapa paliła przed oczyma. Ale w obozie o mapach nie ma mowy. (Nawiasem

— złodzieje wcale geografii nie znają, i są pewni, że północ jest tam, gdzie ostatnio w zborniaku było zimno). Jeszcze jedna zasada: trzeba znać lud, przez którego terytorium biegnie trasa ucieczki. Oto jeszcze jedna wskazówka metodyczna: ucieczkę trzeba przygotowywać według planu, ale należy być gotowym, aby próbować ucieczki przy pierwszej okazji.

Oto przykład, co to znaczy — przy pierwszej Okazji, przypadkowo. Pew-

nego dnia w Kengirze wszystkich ukaranych dyscyplinarnie wyprowadzono z obozowego więzienia do roboty: kazano im miesić samem, mieszankę gliny z sieczką, z której formuje się potem niepalone, azjatyckie cegły. Zerwał się nagle huragan z kurzawą, jak to często bywa w Kazachstanie, kiedy wszystko ciemnieje, słońce niknie z oczu, kurz i żwir garściami siepie prosto w oczy, że aż nie sposób ich otworzyć. Nikt nie był gotów do tak przypadkowej i raptownej ucieczki, ale Mikołaj Krykow podbiegł do drutów żony, przerzucił przez nie fufajkę, podrapał się całym, ale przełaził przez zasieki i zginął z oczu. Burza minęła. Fufajkę znaleziono na drutach i połapano się, że więzień uciekł. Wyślano w pogoń konny oddział, przy jeźdźcach biegły psy na długich smyczach. Ale zimny wichur zmiotł wszystkie ślady. Krykow

przeczekał niebezpieczeństwo w kupie śmiecia. Lecz następnego dnia trzeba było przecież ruszać dalej! I samochody, wystane w step, w końcu go znalazły.

Pierwszy obóz Tenno zwał się Noworudnoje, niedaleko Dżezkazganu. To ma być właśnie miejsce twojej zguby, stąd właśnie musisz uciekać, człowieku! Dokoła — pustynia, strome piachy i wydmy, tu i ówdzie przesypane darnią i krzakami cierniowymi, dobrymi tylko dla wielbłądów. Gdzieś tam koczują tu Kazachowie ze swoimi stadami — są też połacie zupełnie bezludne. Nie ma rzek, trafić na studnię jest tu rzeczą prawie niemożliwą. Najlepszy okres do ucieczki — to kwiecień, maj, bo miejscami trzymają się wtedy jeszcze kałuże stopniatego śniegu. Ale straż też o tym doskonale wie. Właśnie wtedy ulegają obostrzeniu rewizje przy wymarszu drużyn do pracy i nie pozwolą człowiekowi wynieść z żony ani kromki chleba na zapas, ani żadnej szmatki.

Jesienią tamtego właśnie — 1949 roku — trzech śmiatków - Słobodia-niuk, Bazychenko i Kożyn — zdecydowali się na skok na południe. Sądziли, że doliną rzeki Sary-Su zdołają przedrzeć się w stronę Kżył-Ordy. Ale rzeka wyschła na całej długości. Gdy ich schwytano — konali już z pragnienia.

Dlatego właśnie Tenno, postanowił nie próbować ucieczki jesienią. Stale bywa w Dziale KO — nie jest przecież zbiegiem ani buntownikiem, należy do tych rozsądnych więźniów, którzy rokują nadzieję na poprawę po odsiedzeniu swoich dwudziestu pięciu lat. Pomaga, czym i gdzie tylko może, obiecuje zaopiekować się twórczością amatorską, uczyć chętnych akrobacji, mnemotechniki, chwilowo zaś, wertując wszystko, co jest pod ręką w KO, znajduje mizerną mapkę Kazachstanu, przeoczoną przez kuma. Owszem. Istnieje stary szlak, którym karawany ciągnęły na Dżusały, trzysta pięćdziesiąt kilometrów — chyba można jeszcze na nim znaleźć studnie. I na północ, do Szymu jest czterysta kilometrów, są tam ponoć po drodze

134

pastwiska. Do jeziora Bałchasz jest zaś pięćset kilometrów zupełnej pustyni Beł-Pak-Dał. Za to w tym kierunku pewno pogoni nie poślą.

Takie więc są odległości. Taki jest wybór...

Jakie też pomysły przychodzą do głowy kandydatowi na zbiega, jeśli jest spostrzegawczy! Od czasu do czasu przyjeżdża do obozu samochód asenizacyjny — beczka z kichą. Otwór tej kichy jest szeroki, Tenno spokojnie mógłby wcisnąć się do środka, stanąć potem we wnętrzu cysterny, mocno pochylony — i niechby później szofer nabrał płynnych fekalii, byle nie do pełna. Człowiek cały się upačka, może po drodze zachłusnąć się, utonąć, udusić, ale wszystko to nie wydaje się Tenno takim obrzydlistwem, jak rabskie odsiadki swojej kary. Sam siebie sprawdza — czy jesteś na to gotów? Jestem gotów. No, a kierowca? To pospolitak z przepustką, krótkoterminową. Nie, to nie ten człowiek, co trzeba. Nie zaryzykuje swojej przepustki, żeby pomóc drugiemu. Ma psychologię rozpowszechnioną w obozach pracy poprawczej: kto pomaga drugiemu — ten dureń.

W ciągu tej zimy Tenno układa plan i dobiera sobie czterech towarzyszy. Ale podczas gdy ciągną się drobiazgowo i zgodne z tym planem przygotowania — Tenno zostaje któregoś dnia nagle postany na nowy obiekt — do kamieniołomów. Dopiero co otwarto je w pagórkowatej okolicy i z obozu ich nie widać. Nie ma tam jeszcze ani wież, ani żony: kilka pali, parę rzadków drutu kolczastego. W pewnym miejscu jest w drutach dziura — to ma być „brama”. Sześciu konwojentów pilnuje tej żonki z zewnątrz i to bez żadnych wieżyczek.

A dalej, hen — step kwietniowy, ruń jeszcze zielona, żarzą się w niej tulipany, tulipany! Serce zbiega nie może znieść tych tulipanów i tego słońca kwietniowego! Może to właśnie jest ta Okazja!... Pókiś jeszcze nie-podejrzany, póki cię nie wpakowano do reżymki — powinienesz właśnie wiać, wiać!

Tenno znalazł już w tym czasie wielu znajomych w obozie i teraz szybko dobrał sobie trzech do czwórki: Misza Hajdarow (służył w sowieckiej morskiej piechocie w Północnej Korei, miał sprawę w trybunale wojskowym, więc przekroczył 38 równoleżnik: ale Amerykanie, nie chcąc psuć tradycyjnych, dobrosąsiedzkich stosunków, odesłali go z powrotem, ć w i a r a); Jażdżik, kierowca, Polak z armii Andersa (gdy chce pokrótce opowiedzieć swój życiorys, pokazuje buty nie do pary i tak powiada: „jeden but mam od Hitlera, drugi od Stalina«); i jeszcze pewien kolejarz z Kujbyszewa, Sergiusz.

Ciężarówka przywiozła wreszcie partię prawdziwych słupów i drutu kolczastego dla ogrodzenia przyszłej żony — akurat przed samą przerwą na obiad. Drużyna Tenno — zakochana wprost w pracy katorżniczej, pragnąc

135

zwłaszcza ogrodzić żonę czym prędzej — zabrała się dobrowolnie do rozładowania ciężarówki w czasie przerwy. Wleźli do nadwozia. Ale że była to jednak pora obiadu — grzebali się tam dość niemrawo i rozglądali się pilnie. Kierowca poszedł sobie. Reszta więźniów wylegiwała się byle gdzie na słoneczku.

Uciekać, czy może nie? Nic ze sobą nie wzięli: ani noża, ani wyposażenia, ani zapasów, ani planu. Zresztą, jeśli jest samochód, to Tenno już wie, bo mapkę przestudiował: prosto do Dżeźdy, a stamtąd — w stronę Ułutau. Wiara wzięta na kieł: to jest okazja! Okazja!

W stronę „wrót”, gdzie stoi strażnik, droga biegnie zboczem w dół. Dalej — skręca za pagórek. Jeżeli ruszyć z kopyta, to nie zdążą wziąć na cel. I nie rzucą się w poгон, toż strażnicy nie opuszczą swoich posterunków!

Wyładowali już wszystko, a przerwa jeszcze trwa. Przy kierownicy siąść ma Jażdżik. Zeskoczył na ziemię, pokręcił się koło wozu, tamci trzej leniwi rozciągnęli się na dnies nadwozia, już ich nie widać, może nawet nie wszyscy strażnicy zauważyli, gdzie się właściwie podzieli. Jażdżik sprowadza kierowcę: rozładowaliśmy bez przestoju, to dajże teraz zapalić. Zakurzyli po skręcie. No, w drogę! Szofer wsiadł do kabinki, ale nie ma zapłonu, silnik nie chce zaskoczyć, jak na złość. Tych trzech w nadwoziu nie zna planu Jażdżika i myśli, że wszystko trzało). Jażdżik łapie korbę i zaczyna kręcić — ręczne zapalanie też nie pomaga. Jażdżik siedzi w kabinie. I silnik od razu w ryk! I samochód już toczy się po pochyłości wprost na strażnika u wrót! (Później Jażdżik opowie, że — dla szofera — zamykał kranik dopływu paliwa, dla siebie zdążył go odkręcić). Kierowca nie gonił auta, był przekonany, że Jażdżik zahamuje. Ale wóz wyjechał już za bramę całym pędem.

„Stój!” i znowu — „stój!”. Samochód rwie naprzód. Wystrzały — z początku strażnicy strzelają w powietrze, już za bardzo to wszystko wygląda na omyłkę. Zresztą, może strzelają też do samochodu, zbiegowie nie wiedzą, bo leżą za burtami. Zakręć. Już chroni ich pagórek, już strzały niestraszne. Tych trzech w nadwoziu jeszcze nie śmie podnieść głów. Wyboje, jazda na łeb, na szyję. I nagle — stop! i Jażdżik krzyczy z rozpaczą — to nie ta droga! — stoją przed bramą kopalni, przed nimi — ich własna żona, znane wieżyczki.

Wystrzały. Nadbiega eskorta. Zbiegowie zeskakują na ziemię, padają plackiem i zakrywają głowy rękoma. Konwojenci zaś tratują ich nogami, „starając się kopnąć właśnie w głowę, w ucho, w skroń albo przetrącić grzbiet. Ogólnoludzkie, zbawcze prawo: „nie bije się leżącego” - nie ma za-
136

stosowania na stalinowskiej katordze. U nas właśnie leżącego się bije. A do stojącego się strzela.

Ale w trakcie przesłuchania wyjaśnia się, że nie było żadnej próby ucieczki! A tak! Chłopaki zgodnie oznajmili, że drzemali w samochodzie, że samochód zaczął nagle toczyć się po zboczach, że usłyszeli strzały, ale za późno było na wyskakiwanie, toż wpadliby pod kule. A Jażdżik? Niedoświadczony, nie potrafi dać sobie rady z wozem. Ale przecież nie w głąb stepu pojechał, tylko do sąsiedniej kopalni. Skończyło się na pobiciu’.

Tymczasem szły dalej przygotowania do planowej ucieczki. Majstrują sobie kompas: stoik z przejrzystego plastiku, na denku rysują podziałkę. Na drewnianym pływaku osadzają kawałek namagnesowanego drutu. Nalewają do stoika wody. I już mają busolę. Wodę do picia trzymać będą w dętce samochodowej; w drodze można ją przewiesić przez ramię, jak zwinięty płaszcz. Wszystkie te rzeczy (zapasy i odzież) wynoszą stopniowo na teren tartaku, z którego będą uciekać: chowają je w jamie opodal piły mechanicznej. Pewien szofer — wolniak sprzedaje im dętkę. Leży w jamie, już pełna wody. Czasami pociągi z drzewem przyjeżdżają w nocy, dlatego też w żonie roboczej zostaje na noc brygada przeładunkowa. Właśnie wtedy trzeba próbować ucieczki. Jakiś wolny w zamian za wyniesione z żony mieszkalnej obozowe prześcieradło (taki to nasz handel, takie ceny!) przeciął już dwa dolne rzędy drutów zaraz obok pilni. Lada noc ma nadejść transport drzewa! A jednak znalazł się więzień, Kazach, który wypatrzył, gdzie chowają swoje zapasy i doniósł władzom.

Aresztowanie, bicie, przesłuchanie. Tenno ma już w ankiecie za wiele „przypadków”, dziwnie przypominających próby ucieczki. Odsyłają ich do więzienia w Kengirze. Tenno stoi twarzą do ściany, z rękoma skutymi za plecami, kapitan z Działu KO przechodzi właśnie przez salę, zatrzymuje się powiada:

— Ech, ty! Ech, ty-ty! I taki typ teatrem się parat! Amatorskim!

Najbardziej go dziwi, że zbiegostwem splamił się obozowy propagator kultury. W dniach występu dostawał przecież dodatkową porcję kaszy — a próbował ucieczki! Czego jeszcze mu tu było brak?...

9 maja 1950, w piątą rocznicę Zwycięstwa, Georgij Tenno, frontowiec,

1 Misza Hajdarow miał nieraz jeszcze brać udział w ucieczkach. Nawet za Chruszczowa, gdy reżym stał się o wiele łagodniejszy, a zbiegowie przycupnęli, oczekując legalnej amnestii, Misza z kilkoma przyjaciółmi, nie mającymi żadnej nadziei na darowanie win, spróbowali ucieczki z centralnego obozu karnego Andzioba-307: koledzy rzucili pod wieżyczki granaty własnego wyrobu, aby odwrócić uwagę od grupy zbiegów, która tymczasem ciachała toporami zasieki żony. Ale zatrzymano ich ogniem z automatów.

137

marynarz — wkroczył do celi sławetnego więzienia w Kengirze. W celi, zupełnie prawie mrocznej, z małym okienkiem pod sufitem, brak powietrza, za to wcale nie

brak pluskiew, całe ściany pokryte są krwawymi resztkami rozgniecionych insektów. Tego lata upał dochodzi do 40-50 stopni, wszyscy leżą nago. Nieco chłodniej jest tylko w dole, pod narami, ale któreś nocy dwóch więźniów wyskakuje stamtąd z krzykiem: obsiadły ich jadowite falangi.

W kengirskiej ciupie siedzi jednak dobrane towarzystwo, zwiezione tu ze wszystkich możliwych obozów. W każdej celi — sami doświadczeni zbiegowie, rzadka kolekcja orłów. Nareszcie Tenno znalazł się w towarzystwie zbiegów z przekonania!

Siedzi tu także kapitan Iwan Worobiow, Bohater Związku Radzieckiego. Był podczas wojny partyzantem, działał w okolicach Pskowa. Jest to człowiek stanowczy, o nieugiętym charakterze. Ma za sobą kupę nieudanych ucieczek i nieraz jeszcze będzie ich próbował. Na swoje nieszczęście — nie potrafi przybrać więziennych barw ochronnych — knajackiego fasonu, bardzo przydatnego przy ucieczce. Zachował frontową otwartość i prostotę, ma tu swojego szefa sztabu, rysują razem plany topograficzne i głośno naradzają się leżąc na narach. Worobiow nie potrafi nauczyć się obozowej skrytości i przebiegłości — dlatego zawsze staje się ofiarą donosicieli.

Zaświtał im w głowie taki plan: przy porannym rozdawaniu posiłków wciągnąć do celi strażnika, jeśli będzie sam. Jego kluczami otworzyć wszystkie inne cele. Przypuścić masowy atak do wrót więzienia, opanować wartownię. Wartowników wziąć w zakład i wyrwać się poza żonę — gdy zapadnie noc. Gdy zaczęto zaś wyprowadzać ich do roboty na budowę osiedla mieszkalnego — zaczęli planować ucieczkę przez sieć kanalizacyjną.

Ale żaden z tych planów nie doczekał się urzeczywistnienia. Tegoż lata całe to dobrane towarzystwo zakuto w kajdany i odstawiono — nie wiedzieć czemu — do Spasska. Tam wtrącono ich do osobnego, dobrze strzeżonego baraku. Już czwartej nocy nasi zbiegowie z przekonania wyłamali kraty w oknie, wyszli na dziedziniec gospodarczy, uchechłali psa i po dachu zaczęli już przechodzić do ogromnej żony ogólnej. Ale blaszany dach zaczął zgrzytać pod ich nogami i wśród nocnej ciszy zabrzmiało to, jak łoskot gromów. Straż uderzyła na alarm. Jednakże, kiedy wartownicy wpadli do ich baraku, cała kompania spała sobie spokojnie, a krata okienna była znów na swoim miejscu. Coś się widać strażnikom przyśniło.

Ale nie było im sądzone długo siedzieć w Spassku! Niestety, los wciąż gna coraz dalej w świat zbiega z przekonania, niczym latającego Holendra.

138

I jeżeli nie uciekł sam, to i tak zawsze go gdzieś daleko wywiozą. Teraz całą tę zgraną paczkę przerzucają w kajdanach do więzienia w Ekibastuzie. Tu sadzają ich razem z dwoma miejscowymi zbiegami, którzy też mieli pecha

— Briuchinem i Mutianowem.

Jako grzeszników, jako dyscyplinarnie karanych posyłają ich do robót w wapienniku. Niegaszone wapno muszą wyładowywać z ciężarówek i gasi się ono w ich oczach, w ustach, w krtaniach. Gdy pracują przy piecach wapiennych, biały pył wżera się w ich spocone, gołe ciała. To codzienne zatruwanie — wymyślone po to, by skłonić ich do poprawy każe im tylko przyspieszyć ucieczkę.

Plan sam się naprasza: wapno zwozi się samochodami, uciekać trzeba więc też samochodem. Trzeba tylko przebić się przez zasieki, są tu wciąż jeszcze prowizoryczne, z drutu. Wybrać trzeba wóz z możliwie największym zapasem benzyny.

Wśród zbiegów jest Kola Żdanok, szofer-as, który razem z Tenno uczestniczył w nieudanej próbie ucieczki z tartaku. Już się umówili, że to on poprowadzi samochód. Umówili się, ale Worobiow jest zbyt apodyktyczny, zbyt czynny, aby zaufać komukolwiek innemu. I kiedy odpowiedni samochód jest już przyskrzyniony (do szoferki wdziera się z dwóch stron dwóch zeków z nożami i pobladły kierowca musi chcąc nie chcąc brać udział w akcji, unieruchomiony między nimi) — funkcję kierowcy nagle obejmuje sam Worobiow.

Liczone minuty! Wszyscy powinni teraz wskoczyć do nadwozia i próbować przebić się przez druty. Tenno prosi: „Ustąp, Iwanie!”. Ale Iwan Worobiow nie umie ustępować. Nie wierząc, by potrafił dać sobie radę, Tenno i Żdanok nie wsiadają do wozu. Zbiegów jest teraz tylko trójka: Worobiow, Sałopajew i Martirosow. Nagle wyskakuje jak Filip z konopi niejaki Riedkin, matematyk, inteligent, dziwadło, żaden tam notoryczny zbieg, dostał się do „reżymki” za całkiem innej sprawki. Ale był akurat blisko, zobaczył, co się święci, poszedł po rozum do głowy, już wdrapuje się na wóz, piastując w ręku kawałek nie chleba nawet, tylko mydła:

— Na wolność? To ja też jadę!

(Jakby kto wskoczył do autobusu i zapytał: „Dojadę na Wólkę?”).

Na pierwszym biegu, od razu skręcając w bok, samochód ruszył tak, aby pierwsze druty zasieków zerwać kantem zderzaka, następne wpiją się w maskę, w szoferkę. W pierwszym paśmie wóz przechodzi między słupami, ale na głównej linii zasieków nie sposób słupów wyminąć, bo rozstawione są szachownicą. I wóz na pierwszym biegu zwala słup.

Konwojenci na wieżyczkach zdrętwieli: właśnie przed paru dniami na jednym z sąsiednich obiektów zdarzyło się, że pijany szofer obalił słup w żonie zasieków. Może ten też się upił? Strażnicy namyślają się tak przez

139

piętnaście sekund. Ale w tym czasie słup leży, wóz przechodzi na drugi bieg i nie dziurawiąc sobie opon przetacza się po zwojach kolczastego drutu.

Więc strzelać! Ale nie ma jak: dla ochrony ochraniaczy przed łutymi, ka-zachskimi wiatrami, wieżyczki obito od zewnątrz dechami. Można strzelać tylko w głąb żony i wzdłuż drutów. Już stracili z oczu samochód, który mknie w step, wzbijając kłęby kurzu. Z wieżeczek palą salwami Panu Bogu w okna.

Droga wolna na wsze strony, step — jak stół. Za pięć minut wóz Wo-robiowa byłby już za widnokreślgem, ale zupełny przypadek sprawił, że właśnie jechała do bazy na remont karetka więzienna dywizjonu eskorty. Kierowca szybko zabiera konwojentów, zawraca i pędzi za Worobiowem. I po 20 minutach ucieczka się kończy. Zbiegowie — poturbowani, wśród nich — Riedkin, ów matematyk, czujący teraz w rozłuczonych ustach ciepły i słony smak wolności — brną, staniając się, do więzienia obozowego².

Jednakże cały obóz powtarzał tylko jedno! — uciekli na medal, a złapano ich tylko przypadkiem. Mija jeszcze dziesięć dni — i oto Batanow, były elew szkoły lotniczej z dwoma przyjaciółmi powtarza ten sam manewr na innym obiekcie. Przebija się samochodem przez zasieki i gna! Ale gna nie tą drogą, co trzeba, myli się w pośpiechu i wpada pod obstrzał z wieżyczki wapiennika. Opona pęka, wóz staje. Konwojenci z automatami otaczają samochód. „Wyłazić!”. Wychodzić, czy lepiej czekać, aż cię wyciągną za kark? Jeden z tej trójki — Pasiecznik — posłuchał rozkazu, wyszedł z szoferki i natychmiast padł przeszyty wściekłą serią z automatu.

W ciągu jednego miesiąca — już trzykrotnie próbowano uciekać z Eki-bastuza, a Tenno ani, ani! Zadręcza się, zawistnie powtarza w wyobraźni wszystkie kroki uciekających. Z boku lepiej widać wszystkie błędy i zawsze wydaje się, że potrafiłbyś ich uniknąć. Na przykład — gdyby przy kierownicy wozu zasiadł Żdanok a nie Worobiov, myśli sobie Tenno, można by uciec nawet przed karetką. Ledwie ci złapano Worobiowa, a Tenno i Żdanok już siedli do narad, już zorganizowali nową ucieczkę.

Żdanok jest czarniawy, drobny, bardzo ruchliwy, tego i owego nauczył się od szemranych. Ma 26 lat, pochodzi z Białej Rusi, wywieziono go

2 W listopadzie 1951 roku Worobiov jeszcze raz spróbuje ucieczki z roboczej żony na wiatrołomach, w towarzystwie jeszcze pięciu więźniów. Po kilku dniach zostają złapani. Chodziły też wieści, że w 1953 roku Worobiov był jednym z głównych podżegaczy podczas powstania w Norylsku i że wtrącono go za to do Aleksandrowskiego więzienia centralnego.

Opis życia tego niezwykłego człowieka, biorący pod uwagę także jego przedwojenną młodość i partyzanckie koleje — wiele zapewne mógłby nam wyjaśnić w dziejach naszej epoki.

140

stamtąd do Niemiec, pracował tam jako szofer, skazany jest na 25 lat. Gdy się podnieci, to tak promienieje energią, że cały spala się w pracy, w bójce, w biegu, w byle jakim ferworze. Oczywiście brak mu cierpliwości, ale Ten-no ma jej za to dosyć.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują im, że uciekać trzeba z wapienników. Jeśli nie od razu samochodem — to postarać się o wóz tuż za żoną. Ale nim oper albo konwój zdoła wpaść na trop ich planów — bierze Tenno na stronę brygadzysty karnej grupy, Loszka Cygan (Nawruzow), suka, niepozorny, ale budzący powszechny strach, który zamordował w obozach dziesiątki ludzi (mógł bez trudu zabić człowieka dla zdobycia paczki żywnościowej, czy nawet pudełka papierosów) — i takiego oto udziela mu ostrzeżenia:

— Sam uciekałem i lubię takich, co uciekają. Popatrz, całe ciało mam posiekane kulami, to za ucieczkę do tajgi. Wiem, że też chciałeś nawiać z Worobiowem. Ale nie wiesz z żony roboczej: tu ja odpowiadam i mnie za to znów posadzą.

A więc — lubi takich, co uciekają, ale siebie jeszcze więcej. Loszka Cygan zadowolony jest ze swego suczego życia i nie pozwoli go tknąć. Oto knajackie „przywiązanie do wolności”.

A może ucieczki ekibastuzkie stają się naprawdę nieco monotonne? Wszyscy uciekają z żon roboczych, nikt — z mieszkalnej. A gdyby spróbować? Żona mieszkalna też tylko drutem opleciona, jeszcze nie ma żadnego płotu.

Któregoś dnia na wapienniku ktoś zepsuł przewody elektrycznego mieszadła do roztworu. Wezwano więc elektromontera — wolniaka. Tenno pomaga mu przy naprawie, Żdanok tymczasem kradnie mu z kieszeni cęgi do cięcia drutu. Monter spostrzega brak цапжкóв. Zameldować eskortie? Nie można, bo sam pójdziesz pod sąd za niedbalstwo. Prosi knajaków, by oddali narzędzie. Knajacy mówią, że nie mieli w ręku.

Tam też, na wapienniku, przyszli zbiegowie szykują sobie dwa noże: dłutami wycinają klingi z łopat, w kuźni ostrzą je i hartują, w glinianych foremkach odlewają cynowe rękojeści. Tenno ma nóż „turecki”, który nie tylko jest poręczny i przydatny,

ale nadto swoim błyszczącym ostrzem potrafi napędzić strachu, a o to chodzi. Przecież nie chcą mordować, tylko nastraszyć.

I cęgi, i noże przynieśli do żony mieszkalnej w nogawkach kalessonów, przymocowane troczkami do nóg w kostce. Ukryli je w podmurówce baraku.

Kluczową pozycję w planie ucieczki znów zajmuje świetlica KO. Podczas gdy trwają zabiegi koło wyrobu i przenosu broni, Tenno melduje władzom,

141

że razem ze Żdankiem chce uczestniczyć w koncercie amatorskim (a w Eki-bastuzie nie było jeszcze ani jednego — ten byłby pierwszy i zwierzchność niecierpliwie nań czeka: dobrze byłoby go odfajkować w spisie inicjatyw, które oderwać mają zeków od buntowniczych myśli, zresztą — dla nich też to będzie zabawa, kiedy więźniowie po piętnastu godzinach katorżniczej harówki zaczną jeszcze wygłupiać się na estradzie). I oto Tenno ze Żdankiem dostają zezwolenie na wychodzenie z baraku karnego wieczorem, już po zamknięciu, kiedy żona jeszcze dwie godziny czuwa i rusza się. Brodzą więc po całej nieznanej im jeszcze żonie, ustalają jak i kiedy zmieniają się posterunki na wieżach, gdzie najłatwiej można by przyczołgać się do drutów. W samej świetlicy Tenno uważnie czyta pawłodarską gazetkę okręgową, stara się zapamiętać nazwy rejonów, sowchozów, nazwiska przewodniczących, sekretarzy, najrozmaitszych przodowników pracy.

Oznajmia nareszcie, że ma być grany skecz i że potrzebne im są do tego cywilne ubrania z depozytu oraz jakaś teczka. (Teczka — to element oryginalny! Teczka nada zbiegowi wygląd یشie dyrektorski!). Dostaje pozwolenie! Tenno ma jeszcze na sobie marynarski kitel, teraz wdziewa swój islandzki garnitur, pamiątkę z okresu rejsów konwojowych. Żdanok bierze z walizki przyjaciela szary, belgijski garnitur, tak elegancki, że aż dziwnie patrzeć na coś takiego w obozie. Pewien Łotysz ma w depozycie teczkę. To także zdobywają. I — prawdziwe czapki, zamiast obozowych oprychówek.

Ale skecz wymaga tylu prób, że nie starcza czasu, nawet gdy się siedzi do ostatniego dzwonka. Dlatego też jedną noc, a później drugą, Tenno i Żdanok spędzają w baraku świetlicy. Wcale nie wracając na noc do swego baraku karnego — i starając się przyzwyczaić strażników do takiego stanu rzeczy. (Przecież trzeba w trakcie ucieczki mieć przewagę choćby jednej nocy!).

Kiedy uciekać najlepiej? Podczas apelu wieczornego. Kiedy pod barakami stoi kolejka, wszyscy strażnicy pochłonięci są kontrolą wchodzących, zresztą więźniowie też patrzą tylko na zbawcze drzwi! Ach, jak najprędzej iść spać! Nikt nie zwraca uwagi na resztę żony. Dni coraz krótsze, trzeba więc trafić na taki, kiedy apel wieczorny wypadnie po zachodzie słońca, o szarej godzinie, ale jeszcze przed wyprowadzeniem psów, strzegących żony od zewnątrz. Trzeba wykorzystać te pięćdziesiąt cennych minut, bo wyczłgać się pod nosem psów — to rzecz niemożliwa.

Wybrali w końcu niedzielę 17 września. Tak najlepiej — miała to być niedziela bez pracy, wieczorem człowiek będzie wypoczęty, będzie też czas na wszystkie przygotowania.

Ostatnia noc przed ucieczką! — Bo to człowiek uśnie? Tyle myśli... Czy jutro będą jeszcze żyli o tej porze?... Może i nie. No, a tutaj? — śmierć na

142

raty, śmierć dochodziagi na śmietniku?... Nie, byle nie przyzwyczaić do myśli — że jesteś niewolnikiem.

Oto naczelne pytanie: czy jesteś gotów zginąć? Jestem gotów. A więc — gotów jesteś również do ucieczki.

Słoneczna niedziela. Ze względu na sławetny skecz obu przyjaciół wypuszczono na cały dzień z karnego baraku. I nagle — w KO wręczają Tenno list od matki. Tak, właśnie tego dnia. Ileż takich dziwnych trafów przydarza się więźniom? List jest smutny, ale może właśnie utwierdzić zbiega w jego zamiarach: żona w więzieniu, nie dojechała jeszcze do obozu. A szwagierka żąda od brata, by zerwał ze zdrajcą ojczyzny.

Bardzo źle z zapasami: w karnym baraku siedzą, jak pod szkłem — gromadzenie chleba wywołać może podejrzenia. Ale liczą na skok szybki i daleki, chcą od razu w osadzie podobozowej poderwać samochód. Jednakże matka przysłała nie tylko list, lecz również paczkę, jest to jakby błogostawieństwo na drogę. Glukoza w tabletkach, makaron, płatki owsiane

— wszystko to do teczki, na drogę. Papierosy — wymienić na machorkę.

A jedno pudełko zanieść felczerowi, do ambulatorium. I już Żdanok figuruje w spisie zwolnionych na ten dzień od pracy. A to się przyda. Bo Tenno już biegnie do świetlicy z meldunkiem: mój Żdanok rozchorował się, dziś wieczór próby nie będzie, nie przyjdziemy. A w baraku powiada nadzorcy i Loszce Cyganowi: dziś wieczór znów mamy próbę, nie będzie nas w baraku. Tak więc, nie będą ich wyglądać ani tu, ani tam.

Trzeba jeszcze zdobyć „Katiuszę”* — krzesiwo z knotem w metalowej rurce, to lepsze w drodze od zapalek. Jeszcze wypada w ostatniej chwili odwiedzić Hafiza w jego baraku. Doświadczony zbieg, Tatar Hafiz miał początkowo uciekać razem z nimi. Ale później doszedł do wniosku, że za stary jest na tego rodzaju imprezę i że będzie im ciężarem. Teraz — jest jedynym w obozie człowiekiem, który zna ich zamiary. Podwinął nogi, siedzi na swojej wagonetce. Szepcze: „Dopomóż wam Bóg! Będę się za was modlił”. Coś tam jeszcze mruczy po tatarsku i wodzi dłońmi po twarzy.

W Ekibastuzie siedzi jeszcze stary kolega Tenno z celi na łubiance, Iwan Kowierczenko. Nic nie wie o planowanej ucieczce — ale to dobry kolega. Jest prydukiem, ma własną kabinę: to w niej zbiegowie przechowują wszystkie swoje rekwizyty do skeczu. Naturalnie — u niego właśnie wypada ugotować i z nim zjeść kaszę, którą mama przysłała w swojej biednej paczuszcze. Zaparza się również c z y f i r. Siedzą więc przy tej małej uczcie

— dwoje gości i gospodarz; ich rozbiera gorączka, jego — niedzielna błota. Tak nazywano w czasie wojny ruchome wyrzutnie rakiet bojowych, ustawione na ciężarówkach. Niemcy nazywali je „Stalinorgel”.

143

gość i nagle widzą, że za oknem przenoszą od wartowni do kostnicy ledwie ociosaną skrzynię trumienną.

To dla Pasiecznika, zastrzelonego przed paru dniami.

Xak; tak — wzdycha Kowierczenko — ucieczki nie mają sensu...

(Gdyby wiedział...).

Kowierczenko, jakby czymś tknięty, wstaje, bierze pod pachę ich wypakowaną teczkę, nadyma się, kroczy z partesu i powiada surowo:

— W śledztwie wszystko już wyszło na jaw! Szykujecie się do ucieczki!

To takie żarty. Zachciało mu się zabawić w śledczego...

Dobry kawał.

(A niewykluczone, że to właśnie aluzyjka: domyślam się wszystkiego, kochani. Ale — nie radzę!?).

Gdy Kowierczenko wychodzi z kabinki, zbiegowie wdziewają garnitury pod swoje obozowe szatki. Numery spruwają i przyczepiają na patataj, tak, żeby zerwać jednym ruchem. Czapki bez numerów — do teki.

Niedziela ma się ku końcowi. Żłociste słońce zachodzi. Rosły, powolny Tenno i mały, ruchliwy Żdanok narzucają jeszcze fufajki na ramiona, zabierają tekę (już nikogo w obozie nie dziwi ten ich cudacki wygląd) i udają się na swój punkt startowy — między barakami, na trawce, niedaleko zasieków, na wprost wieżyczki. Tylko ten strażnik ich widzi. Rozścielają fufajki, kładą się na nich i zaczynają grać w szachy, niech się wartownik przyzwyczai. Zmierzcha się. Sygnał na apel. Więźniowie ściągają pod baraki. Już nadciąga zmrok i strażnik na wieżyczce nie widzi chyba tych dwóch, co zostali w trawie. Niedługo kończy się jego wachta, rozgląda się już z mniejszą uwagą. Zawsze łatwiej uciekać, kiedy wartownik jest już znużony.

Postanowili ciąć drut nie byle gdzie, wzdłuż linii, tylko bezpośrednio pod samą wieżyczką. Na pewno strażnik bardziej na żonę się gapi, niż sobie pod nogi patrzy. Łby trzymają nisko, nad samą trawą, a jeszcze ten zmrok — nie widzą więc trasy, którą za chwilę mają się czołgać. Ale nieźle się jej przyjrzeni zawczasu: zaraz za drutami żony wykopany jest dół dla nowego słupa, można będzie w nim ukryć się na minutę; dalej leży parę kup szlaki; za nimi ciągnie się droga od osiedla eskorty do osady.

Zaplanowali sobie, żeby zaraz w osadzie zdobyć samochód. Zatrzymać jakikolwiek i zagabnąć szofera obcesowo: chcesz zarobić? Musimy ze starego Ekibastuza podrzucić tu dwie skrzynki wódki. Pokażcie mi szoferaka, co nie lubi wypić! Potargować się trochę: starczy pół litra?, litr? Dobra, jedź, tylko ani pary z gęby! A później, po drodze, już w szoferce — zając się nim bliżej, wywieźć w step i tam zostawić, związanego. Potem — całym

144

pędem nad Irtysz, tam zostawić wóz, przepłynąć Irtysz łodzią i dalej, na Omsk!

Mrok zgęstniał jeszcze trochę. Na wieżyczkach zapaliły się reflektory, wycelowane w głąb żony, nasi zbiegowie leżą zaś w ślepym polu, w cieniu. Teraz czas! Niedługo zmiana warty, zaraz wyprowadzą też psy.

W barakach zapłonęły żarówki, widać jak więźniowie wracają po apelu. Dobrze w baraku? A dobrze, ciepło, przytulnie... A tu zaraz rypną do człowieka z automatu i to jeszcze do leżącego, rozciągniętego w trawie.

Żeby tylko pod wieżyczką nie zakaszleć, nie kichnąć.

No, czuj duch, psy łańcuchowe! Pilnować — to rzecz wasza a uciekać — nasza!

A dalej niech sam Tenno opowiada.

Archipelag Gułag

VII BIAŁY KOTEK

(Opowieść Georgija Tenno)

„Jestem starszy od Koli, mam więc iść pierwszy. Nóż w pochwie u pasa, cęgi w ręku. — Kiedy przejdę pierwszą linię zasieków — staraj się mnie dogonić!

Czołgam się, jak zwiadowca. Człowiek chciałby wcisnąć się w grunt. Zerknąć na wartownika, czy lepiej nie? Jak zerknę — to spojrzę śmierci w oczy. Albo, co gorsza — przyciągnę jego wzrok. Tak chce się zerknąć! Lepiej nie patrzeć.

Wciąż bliżej wieżyczki. Bliżej śmierci. Oczekiwanie na serię z automatu. O, teraz zacznie pracować... A może świetnie mnie widzi, stoi sobie i pastwi się wzrokiem, pozwala, żebym jeszcze chwilę tu się grzebał?...

Oto już pierwsza linia. Obróciłem się na wznak, wzdłuż drutów. Przecinam pierwszy rząd, świsnął, jak zwolniona nagle cięciwa. Zaraz gruchnie seria... Nie. Może tylko ja słyszałem ten dźwięk. Ależ donośny! Tnę drugi rząd. Przecinam trzeci. Przerzucam na tamtą stronę jedną nogę, potem drugą. Nogawka zaczęła się o kolce leżącego drutu. Odczepiam ją.

Pełnę przez pas bronowanego gruntu. Słyszę z tyłu szurgot. To Kola, ale czemu tak głośno? Ach, to jego teka orze ziemię.

I już druty głównej linii. Przeplecione są na krzyż. Przecinam kilka po kolei. Teraz zasieki spiralne. Przecinam zwoje u góry i u dołu, przejście się otwiera. Teraz główne pasmo. Chyba wcale nie dyszymy. Tamten wciąż nie strzela. Czy myśli o domu? Albo dziś wybiera się na tańce?

Podrzut — i już jestem w żonie zewnętrznej. Jeszcze jeden zasiek spiralny. Wikłam się w drutach. Tnę. Byle nie zapomnieć: tu jeszcze muszą być zewnętrzne, pochyłe rzędy drutów. O, już są. Cięcie.

146

Teraz pełnę w stronę jamy. Jest tu, naprawdę. Staczam się na dno. Za mną — Kola. Ziajemy chwilę jak psy. Dalej stąd, duchem! — Zaraz zmiana warty! I wilczury! Wyłazimy z jamy, czołgamy się w stronę kup żużla. Nawet teraz nie możemy zdobyć się na spojrzenie wstecz. Kola rwie się naprzód, na czworakach. Łapię go za potęgę.

Przeczołgaliśmy się przez pierwszą kupę szlaki. Wtykam cążki pod kamień.

Nie strzelają.

Ruszyliśmy szerokim, kołyszającym się krokiem, bez pośpiechu — teraz musimy udawać zwolnionych spod konwoju, ich barak stoi niedaleko. Zrywamy numery z piersi, z kolan — i nagle z ciemności wyłania się jakichś dwóch, idących prosto na nas.

Idą z garnizonu do osady. To żołnierze. A na plecach mamy jeszcze nasze numery!! Powiadam głośno:

— Wania! A może uzbiera się na pół litra?

Kroczymy wolno, jeszcze nie drogą tylko obok. Wolno, wolniutko, idziemy, żeby to oni nas minęli, ale przecie — wprost na nich i twarzy nie chowamy. Przechodzą jakieś dwa metry od nas. Aby nie zobaczyli naszych pleców, omal się nie zatrzymujemy. Tamci idą, gadają o swoich sprawach — a my zrywamy sobie wzajem numery z grzbietów!

Nie zauważyli nas?!... Jesteśmy więc wolni?! Teraz — do osady po wóz.

Ale co to?? Nad obozem wzbija się rakietą! druga! trzecia!

Ucieczka wykryta! Zaraz zacznie się pogoń! Uciekać!!

Co tam nasze obserwacje, rozmyślanie, kalkulacje — cały nasz wspaniały plan nagle runął. Rzucamy się w głąb stepu — po prostu jak najdalej od obozu! Biegniemy bez tchu, potykamy się o każdą kępę, zrywamy się i biegniemy dalej — a tam śmigają i śmigają rakiety! Z dziejów poprzednich ucieczek już to wiemy: zaraz puszczą się w konny pościg, z psami na długich smyczach, we wsze strony, po ste-

pie. I całą bezcenną machorkę wysypujemy na nasze ślady — sadząc wielkimi skokami!

Teraz wypada wielkim łukiem ominąć osadę. Zabiera to wiele czasu i sił. Kola zaczyna mieć wątpliwość, czy aby dobrze prowadzi. To przykre.

I znów przypadek! Czysty przypadek, jak z tą karetką więzienną! Niemożliwy do przewidzenia przypadek! Na każdym kroku czyhają na nas przypadki, pomyślne i złośliwe. Ale dopiero w trakcie ucieczki, w szczytowym momencie ryzyka poznajemy ich pełny ciężar. Zupełnym więc przypadkiem, trzy, czy pięć minut po wyczerpaniu się Tenno i Żdan-ka, zgasło w żonie światło i tylko dlatego z wieżyczek zaczęto palić w powietrze rakietami świetlnymi, których wtedy sporo jeszcze było w Ekibastuzie. Gdyby nasi uciekinierzy wypętlili o te pięć minut później — zaalarmowani konwojenci mogliby zobaczyć ich i zastrzelić. Gdyby zaś zbiegowie potrafili pomiarkować się pod tym rozjarzonym nagle niebem, gdyby rozejrzeli się spokojnie, konstatując, że zgasty nagle lampy i reflektory w zo-

147

Ale oto już nasyp kolei do Pawłodaru. Ucieszyliśmy się. Z nasypu Ekibastuz zaskakuje ogromem, ilością rozsypanych świateł; nigdy nie wydawał nam się tak duży. Znaleźliśmy kij. Trzymając go za końce ruszyliśmy przed siebie krocząc po szynach. Gdy pociąg przejedzie — żaden pies śladów nie wyniucha.

Przeszliśmy tak ze trzysta metrów — i zaraz wielkimi susami w step.

I dopiero teraz odetchnęliśmy lżej, całkiem inaczej niż dotąd! Mieliliśmy ochotę śpiewać, krzyczeć! Padliśmy sobie w objęcia. Jesteśmy naprawdę wolni! I co za duma, że porwali się na ucieczkę, że zwiali, że wyprowadziliśmy w pole całą tę sforę.

I chociaż nasza wola poddana jest dopiero pierwszym próbom, wydaje się nam, że najgorsze mamy już z głowy.

Niebo — czyste. Jest ciemne i pełne gwiazd, w obozie tego nie widać, bo latarnie. Orientując się wedle Gwiazdy Polarnej idziemy na północny wschód. Później skręcimy trochę w prawo i znajdziemy się nad Irtyszem. Trzeba tej pierwszej nocy odsądzić się jak najdalej. Tym samym — poszerzy się do kwadratu ta żona, którą ścigający będą musieli promieniście spenetrować. Nucąc wesole piosenki w paru językach idziemy szybko, jakieś osiem kilometrów na godzinę. Ale dwumiesięczna poniewierka po więzieniach sprawiła, że nasze nogi odoczyły się chodzenia i teraz prędko się męczą. (Przewidzieliśmy to, dlatego planowaliśmy ucieczkę samochodem!). Raz po raz więc kładziemy się, zadzierając nogi i opierając je o stopy kolegi. Potem znów idziemy i znów się kładziemy.

Strasznie długo nie chce zgasnąć łuna Ekibastuza za naszymi plecami. Idziemy już kilka godzin, a łuna wciąż rozpiera się na niebie.

Ale oto kończy się noc, wschód błednie. Iść we dnie równym jak stół, otwartym stepem nie możemy. Nawet ukryć się tu teraz nie jest łatwo: ani krzaków, ani porządnej, wysokiej trawy, a szukać nas będą również samoloty, to wiadomo.

Tak więc — wykopujemy jamkę nożami (grunt twardy, kamienisty, trudne to kopanie) szeroką na pół metra, głęboką na jakieś trzydzieści centymetrów — kładziemy się w niej na waleta i rzucamy na wierzch suche żółte gałęzie krzaków cierniowych. Teraz dobrze by pospać, nabrać sił? Ale nie można tu zasnąć. To bezsilne wylegiwanie się przez ponad pół doby trudniejsze jest od nocnego marszu. Wrześniowe słońce ostro przypieka, prze-

nie, to poszliby dalej spokojnie, znaleźliby samochód i cała ich ucieczka miałaby zupełnie inny przebieg. Ale w ich sytuacji — dopiero co się urwali, a już cała żona grzmi i pała — nie mogło być nawet dwu zdań, że to właśnie z ich powodu, że to chodzi o ich głowy. Krótkie, bardzo krótkie spięcie — i już ich plany ucieczki wzięty w łeb, już sprawa przybrała inny obrót.

148

cięż nie mamy nic do picia i znikąd wody nie wydostaniemy. Wykroczyliśmy przeciw ważnej regule ucieczek w Kazachstanie: uciekać wiosną, nie jesienią. Aleśmy przecież myśleli — że samochodem... Męczymy się tak od piątej rano do ósmej wieczór! Ciało zdrętwiało — ale nie wolno nam zmieniać pozycji: wstanie człowiek, rozsunie gałęzie, to go konny zobaczy z daleka. Każdy z nas ma na sobie po dwa ubrania, upał dręczy. Trudno.

I dopiero z nadejściem zmroku zaczyna się życie dla zbiega. Wstajemy. A stać trudno, nogi bolą. Ruszamy powolutku, niech się rozchodzą. Sił też mało: przez cały dzień mieliśmy w gębie tylko po garści suchego makaronu i po jednej czy drugiej tabletkie glukozy. Pić!

Nawet w ciemnościach nocnych trzeba się dziś wystrzegać zasadzki: przecież na pewno wszędzie już dotarły radiogramy, we wsze strony rozjechały się samochody, a już najęściej w stronę Omska. Ciekawe: jak i kiedy znaleźli nasze fufajki, zostawione na trawie — i szachy? Zobaczą numery i od razu się zorientują, że to my, więc nie będą musieli robić apelu według listy2.

Robimy nie więcej niż 4 kilometry na godzinę. Bolą nogi. Często kładziemy się dla odpoczynku. Pić, pić! W ciągu tej nocy przeszliśmy nie więcej niż 20 kilometrów. I znów trzeba szukać kryjówki, żeby przypaść do ziemi na całodzienną udrękę.

Czy to nie budynek aby? Czołgamy się ostrożnie w jego stronę. A to tylko kupy głązów, rzecz w stepie dziwna. Czy nie znajdzie się trochę wody w jakiej niecce kamienniej? Ani-ani... Pod jednym z głązów jest szczelina. Może nora skalna. Trudno było tam się wcisnąć. A jeżeli na łeb się zwali? — zgniecie człowieka na placek i przy tym nie od razu. Nadciąga poranny chłód. Do świtu nikt z nas nie zasnął. Po wschodzie słońca — również. Zaczęliśmy toczyć noże o kamień, bo stępiły się przy kopaniu wczorajszej jamy.

Koło południa słysząc skrzyp kół. Niedobrze, jesteśmy za blisko drogi. Tuż obok nas przejeżdża jakiś Kazach, coś do siebie mamrocze. Wyskoczyć, dopędzić go, może ma trochę wody! Ale jak tu go dopaść, skorośmy się nie rozejrzeli po okolicy, może nas kto zobaczyć?

2 A było to tak: rano wiara znalazła nasze fufajki, zimne, więc oczywiście — leżące tu od wieczora. Chłopaki zdarli numery i buchnęli watówki; bo watówka to jest dobra rzecz! Nadzorcy nawet tego nie zauważyli. A przecięte druty zobaczyli dopiero w poniedziałek pod wieczór. I właśnie według listy sprawdzać musieli przez cały dzień, kto właściwie nawiał. Zbiegowie mogli więc jeszcze następnego ranka spokojnie iść i jechać przed siebie! Oto skutki tego, że nie domyślili się, co w istocie znacząły rakiety.

Gdy zaś w obozie stopniowo wyszły na jaw fakty, związane z niedzielną ucieczką, wszyscy przypomnieli sobie, że światło zgastało i nic, tylko powtarzali: „Ale spryciarze! Ale cwaniaki! Tylko jak im się udało wyłączyć prąd?”. I wszyscy długo byli przekonani, że wygaszenie świateł pomogło zbiegom.

149

Żeby tylko pościg nie wybrał tej samej drogi! Wyłazimy ostrożnie, rozglądamy się, przycupnięci. O jakieś sto metrów stoi zrujnowany budynek. Czołgamy się. Nie ma nikogo. Studnia!! Nie, dół zasypyany gruzem. W kącie stara słoma na sieczkę. Tu sobie przylgniemy? Kładziemy się. Ale zasnąć nie można. Oj-oj — pchły! Pchły! Rety, jakie wielkie, jak ich dużo! Jasnopopielaty, belgijski żakiet Koli poczerniał od pcheł. Wytrząsamy je, czyścimy się. Pełzniemy z powrotem, do skalnej nory. Czas mija, siły z nas uchodzą, a nie ruszamy się.

0 z mroku wstajemy. Jesteśmy już bardzo osłabieni. Pragnienie nas dręczy. Postanawiamy skrócić jeszcze bardziej na prawo, żeby prędzej dojść do Irtysza. Noc jasna, niebo czarne, wygwieżdzone. Konstelacje Pegaza i Perseusza układają mi się w kształt byka, rwącego przed siebie z pochylonym łbem, jakby nam chciał dać dobry przykład. Więc i my idziemy naprzód.

1 nagle, przed nami wzbijają się w górę rakiety! Na wprost nas! Drętujemy. Widzimy nasyp kolejowy. Tory. Nie widać już rakiet, ale wzdłuż torów biegnie poziomy słup światła z reflektora i przesuwa się to na prawo, to na lewo. To jedzie dreżyna, omiata step reflektorem. Jak nas teraz zauważą, to koniec... Co za głupia bezradność: leżeć w zasięgu światła i czekać póki cię nie wymacają.

Pojechaliśmy dalej, nie wpadliśmy im w oko. Zrywamy się na równe nogi. Nie jesteśmy w stanie biec, ale chcemy jak najszybciej oddalić się od nasypu. Niebo tymczasem zaciąga się chmurami i — klucząc po ciemku, tracimy w końcu orientację. Teraz brniemy prawie na chybił-trafił. I małośmy uszli i może cała ta droga — to niepotrzebne zygzaki.

Pusta noc!... Znów się rozwidnia. Znów łamiemy gałęzie cierniowe. Bie- rzemy się do kopania jamy — a tu nie ma już mojego tureckiego noża. Zgubiłem go, gdym leżał albo kiedyś rzucił się od nasypu precz. Nieszczęście! Jak tu być zbiegiem bez noża? Kopiemy jamkę nożem Koli.

Jedno tylko dobrze się składa: przepowiedziano mi, że zginę nim skończę trzydzieści osiem lat życia. Trudno by marynarz nie wierzył w przesady. Ale dziś, dwunastego września, są właśnie moje urodziny. Dziś kończę trzydzieści dziewięć lat. Przepowiednia już się do mnie nie odnosi. Będę żyć!

I znów leżymy w jamce — bez ruchu, bez wody... Gdybyśmy mogli chociaż zasnąć! Ale nie śpimy: gdyby też deszcz lunął!, ale pogoda tu stała. Niedobrze. To już prawie trzy doby jak uciekamy — a nie zdobyliśmy nawet kropli wody, żyjemy się zaś pięcioma tabletkami glukozy dziennie. I uszliśmy też niewiele — może tylko trzecią część drogi do Irtysza. A druż-kowie nasi w obozie cieszą się, że zielony prokurator dał nam wolność...

Zmierzch. Gwiazdy. Kurs na północny wschód. Brniemy z trudem. Na-
150

gle słyszymy z oddali krzyk: „Wa-wa-wa-wa!”. Ki diabeł? Doświadczony zbieg Kudła powiadał nam, że w ten sposób Kazachowie odpędzają wilki od owiec. Owca! Owca by się nam zdała! — to by nas uratowało. Na wolności nigdy by na myśl nie przyszło nam, aby pić krew. A tu — gdyby tylko ją dostać! Skradamy się. Pełzniemy. Zabudowania. Nie widać studni. Wchodzić do domu — to niebezpieczne. Spotkanie z ludźmi — to ślad. Skradamy się w stronę zagrody dla

bydła, ulepionej z samanu. Tak, to krzyczała Kazasz-ka, odpędzała wilki. Przewalamy się do środka, tam gdzie murek najniższy, nóż mam w zębach. Polujemy na owce czołgając się. Słyszę, jak dyszą tuż obok. Ale uciekają przed nami, uciekają! (Później, w swoim czasie, ktoś mi wyjaśni, na czym polega omyłka. Czołgaliśmy się — i owce wzięły nas za zwierzęta. Trzeba zaś było podchodzić do nich po gospodarsku, bez pochylania się — i owce same wpadłyby w ręce).

Kobieta czuje, że coś tu się dzieje, podchodzi bliżej, wpatruje się w mrok. Nie ma z sobą ognia, ale podnosi grudkę ziemi, trafia w Kolę. Idzie prosto na mnie, oj, bo zaraz nogą kopnie! Zobaczyła albo wyczuła, bo krzyknęła: „Szajtan, szajtan!” — i dalej w nogi, a my też, dalej przez murek, padamy na ziemię. Męskie głosy. Spokojnie. Mówią na pewno: przywidziało się babie.

Porażka. Cóż, wleczeni się dalej.

Sylwetka konia. Jaki piękny. Przydałby się. Podchodzimy bliżej. Stoi. Poklepaliliśmy go po szyi, zarzuciliśmy na nią pasek. Żdanka jakoś podsadziłem, ale sam nie mogę wleźć, tak osłabłem. Czepiam się rękoma, przypadam brzuchem do końskiego grzbietu, ale nie potrafię podrzucić nogi. Koń wierci się już. Wyrwał się wreszcie, poniósł Żdanka, zwałił go na ziemię. Dobrze, że chociaż pasek został mu w ręku, przynajmniej śladu nie zostawił, wszystkiemu będzie znowu szatan winien.

Ostatnie siły straciliśmy przy tym koniu. Jeszcze trudniej teraz iść. A tu zaczyna się orna jakaś ziemia, bruzdy. Nogi więzną, ledwie je wleczeni za sobą. Ale to ma też dobrą stronę: gdzie grunt orny, tam ludzie, tam woda.

Idziemy, brniemy, wleczeni się. Znów jakieś sylwetki. Znów padamy na ziemię, znów się czołgamy. Stóg siana! Dobra. Łąki? Już Irtyś blisko? (Jeszcze daleko, och, jak daleko...) Ostatkiem sił wdrapujemy się na stóg, zakopujemy się w sianie.

Wtedy to zasnęliśmy wreszcie i spaliliśmy całą dzień. Razem z bezsennością nocą przed ucieczką — mieliśmy już na karku pięć nocy bez snu.

Budzimy się pod koniec dnia, słyszymy turkot ciągnika. Ostrożnie roz-grzebujemy siano, rozglądamy się ledwie wychylając głowy. Podjechały dwa ciągniki. Chatka. Już się zmierzcha.

151

Jest pomysł! — Ciągnik ma wodę w chłodnicy! Traktorzyści pójdą spać, a my się napijemy.

Zapadł zmrok. Skończyła się czwarta doba naszej ucieczki. Czołgamy się w stronę ciągników.

Dobrze przynajmniej, że psów nie ma. Cicho otwieramy kurek, łykamy psiakrew, woda z naftą. Trzeba wypluć, tego nie da się pić.

Wszystko tu mają — wodę, jedzenie. A gdyby tak zapukać, poprosić w imię Boże: „Bracia! Ludzie! Pomóżcie! Toć my niewolnicy, myśmy z więzienia uciekli!”. Jak to bywało w wieku dziewiętnastym — na skraj leśnych duktów w tajdze wynoszono garnki z kaszą, jakieś stare ubrania, trochę miedziaków.

| .../ chłopaki pocziwie dawali mi chleb A wiejskie chłopaki — machorkę* Akurat! Nie te czasy. Zdradzają człowieka. Albo z przekonania, albo dla ratowania własnej skóry. Bo za współudział im też można wlepić ć w i a r ę. W minionym stuleciu nie doszli jeszcze do tego, by za chleb i wodę dawać polityczny paragraf. I wleczeni się dalej. Wleczeni się całą noc. Wyglądamy Irtyś, szukamy oznak bliskości ludzi. Ale ich nie widać. Popędzamy się wzajem bez litości. Nad ranem

znów trafiamy na stóg. Włazimy nań z jeszcze większą trudnością niż wczoraj. Ale zasypiamy. I to dobre.

Budzimy się pod wieczór. Ile właściwie człowiek może wytrzymać? To już piąta doba. Nieopodal stoi jurta, a obok niej szopa na żerdziach. Skradamy się cichutko. Pod szopą — rozsypane ziarno. Sypiemy je do teki, do pełna, próbujemy żuć, ale nie sposób, tak wyszło w gębie. Nagle — widzimy obok szopy wielki samowar, na dwa wiadra. Podpełzamy bliżej. Odkręcamy kurek — pustka, bierz to lichu. Gdyśmy go przechylili — starczyło jednak po dwa łyki na każdego.

Znów się wlecemy. Wlecemy się, wciąż padając na pysk. Na leżąc — łatwiej się dyszy. Już nie umiemy się podnieść z pozycji na wznak. Aby wstać, trzeba naprzód przekręcić się na brzuch. Później — na czworaki. I dopiero potem — stanąć na nierówne, chwiejące się nogi. I już tchu brak. Wychudliśmy tak, że brzuch omal nie przyrasta do krzyża. Do rana przeszliśmy jakieś dwieście metrów, nie więcej. I kładziemy się.

Tego ranka nie znaleźliśmy już stogu. Na stoku pagórka — nora wykopana przez jakieś zwierzę. Przeleżeliśmy w niej cały dzień, ale zasnąć nie

Ze słynnej pieśni Dymitra Dawydowa „Sławnoje morie, swiaszczennyj Bajkal...”
gdzie mowa o ucieczce więźnia z carskiej katorgi.

152

potrafiliśmy; tego dnia zrobiło się chłodniej, od ziemi też szedł już ziąb. A może krew już w nas stygnie? Próbujemy żuć makaron.

I nagle widzę, że zbliża się tyraliera! Czerwone pagony! Jesteśmy otoczeni! Żdanok mnie uspokaja — zdaje ci się, to tylko tabun koński.

A tak, przewidziało mi się. Znów leżymy. Dzień ciągnie się bez końca. Nagle pojawił się szakal — wracał do swojej nory. Położyliśmy mu trochę makafonu i odczołgaliśmy się na bok, żeby go przynęcić, zarznąć i zjeść. Ale nie dał się nabrać. Poszedł sobie.

Przed nami — stok pagórka, niżej — solniska po wyschłym jeziorze, na drugim jego brzegu — jurta, dymek z niej bije.

Minęła szósta doba. Już doszliśmy do granic wytrzymałości: zwidują się siepacze, język już skołtzał — mocz oddajemy rzadko, jest w nim krew. Nie! Tej nocy trzeba za wszelką cenę zdobyć wodę i żarcie! Pójdziemy do tej jurty. Jeśli odmówią — siłą weźmiemy. Przypomniało mi się: stary zbieg. Grzegorz Kudła, miał takie zawołanie: tnachmaderal (to znaczy — dość tego gadania, łap, co możesz!). Takeśmy się też z Kolą umówili: ja też zawołam „machmadera”!

W ciemnościach cicho podchodzimy do jurty. Jest studnia. Ale nie ma wiadra.

Niedaleko — pal, przy nim uwiązany koń pod siodłem. Zajrzeliśmy przez szczelinę w drzwiach. Pali się kaganek — przy nim — Kazach z żoną i dziećmi. Pukamy. Wchodzimy do środka. Powiadam: „Salam!”. A już mi wiruje w oczach, boję się, że upadnę. Wewnątrz jurty — kolisty, niski stół (jeszcze niższy od naszych stolików modernę) dla beszarmaku*. Pod ścianami ławki, kryte kilimami. Duży, okuty sepet. Kazach burknął coś w odpowiedzi i patrzy spode łba, wcale nam nierad. Aby dodać sobie powagi (zresztą — trzeba szczerdzić siły) usiadłem sobie, a tekę położyłem na stole. „Jestem naczelnikiem ekspedycji geologicznej, a to mój kierowca. Samochód stoi w stepie z całą załogą, jakieś pięć-siedem kilometrów stąd: chłodnica cieknie, nie ma wody. Nie jedliśmy już ze trzy doby, głodniśmy, jak lichu. Daj nam pić i jeść, aksakale**. I znasz może jaką radę?”

Ale Kazach tylko oczy mruży, nie kwapi się, by nas poczęstować. Pyta: „A jak się pan naczelnik nazywa?”.

Wszystko zawczasu sobie ułożyłem, ale głowa już trzeszczy i zapomniałem. Odpowiadam „Iwanów — (pewno, że głupio). — No, sprzedaj trochę jedzenia, aksakale!” — „Nie. Idź do sąsiada”. — „A daleko?”. — „Dwa kilometry”.

Potrawa środkowoazjatycka z duszonej baraniny, jarzyn i kaszy. Aksakal — starzec, zwrot używany dla okazania szacunku.

153

Ja siedzę sobie godnie, ale Kola tymczasem nie wytrzymał, porwał ze stołu podpłomyk, odgryzł kęs i zabrał się do żucia, ale widać, że mu ciężko idzie. I nagle Kazach — łaps za knut z krótką rączką, z długim, plecionym

rzemieniem — i podnosi go do Żdanka. Zrywam się zza stołu: „Ech, ludzie!

To ma być gościnność!?” Ale Kazach trzonkiem knuta żga Żdanka w plecy i wygania z jurty. Wołam więc: „Machmadera!”. Biorę nóż i rozkazuję Kazachowi: „Do kąta! Kłąć się!”. Kazach rzuca się w kąt, za zastonę. Ja za nim — może ma tam strzelbę, zaraz wystrzeli? A ten uwalit się na łóżko i wrzeszczy: „Bierz wszystko, nic nikomu nie powiem!”. Ach, ty sukinsynu! Na co mi twoje „wszystko”? Czemuś mi od razu nie dał tej odrobiny, o którą żem cię prosił?

Kazaszka wrzeszczy, dzieci płaczą. „Powiedz żonie, że nikogo nie tkniemy. Chce nam się jeść, to wszystko. Mięso jest?”. — „Jok!”, mówi i rozkłada ramiona, że niby nie ma. A Kola już myszkuje w jurcie i wyciąga ze spiżarni wędzonego barana.

„Czemuś łgał?!”. Kola wyciąga miednicę pełną baur-saków — słonych pączków z ciasta, smażonego w tłuszczu. Tu dopiero się skapowałem, że na stole stoi w czarkach kumys! Zaczęliśmy z Kolą pić. Z każdym łykiem wracało w nas życie! Co za napój! Uderzyło nam do głów, ale jakoś lekko się zrobiło, sił od razu przybyło. Kola nabrał apetytu. Pokazuje mi pieniądze. Okazało się, że znalazł dwadzieścia osiem rubli. Na pewno ma tu gdzieś dużo więcej. Ale pakujemy tylko barana do worka, do drugiego sypimy boursaki, podpłomyki, jakieś cukierki, brudne, słodkie poduszeczki. Kola znajduje jeszcze misę z baranami skwarkami. Nóż — o, to nam potrzebne. Staramy się niczego nie zapomnieć: drewniane łyżki, sól. Wynoszę z jurty worek. Wracam po wiadro z wodą. Zabieram koc, zapasową uzdę, knut (warknął gniewnie, nie podoba mu się to: toć chciał nas ścigać).

„Ucz się bracie — mówię do Kazacha — zapamiętaj sobie: gości trzeba lepiej traktować! Gdybyś nam dał wiadro wody i jakieś dziesięć baur-saków, to byśmy ci się nisko pokłonili. Porządnym ludziom nie robimy krzywdy. A teraz — nasze ostatnie żądanie: leż i nie śmiejesz się ruszyć! Nie jesteśmy tutaj sami!”.

Zostawiam Kolę pod drzwiami i wynoszę resztę zdobyczy tam, gdzie przytroczony jest koń. Trzeba się śpieszyć, ale staram się kalkulować spokojnie. Podprowadzam konia do studni, poję go. Koń będzie miał sporo roboty — ma cwałować całą noc, przy tym obładowany. Sam też piję ze studni, Kola tak samo. Zbliża się stadko gęsi. Kola ma słabość do drobiu. „Gąski też bierzemy? — powiada — ukręcić im łebki?”. — „Za dużo hałasu. Nie traćmy ani chwili”. Wydłużyłem strzemiona, podciągnąłem popręgi. Z tyłu, za siodłem Żdanok położył koc i wsiadł na konia, stając na ocembrowaniu studni. Wiadro z wodą trzymał w ręku. Przerzuciliśmy

154

koniowi przez kark dwa związane worki. Skoczyłem na siodło. Orientując się według gwiazd ruszyliśmy na wschód, żeby zbić pogoń z tropu.

Koń nie bardzo rad, że dźwiga dwóch jeźdźców, przy tym obcych, stara się zawrócić ku domowi, wciąż się ogląda. No, jakoś daliśmy sobie z nim rady. Poszedł szparoko. Gdzieś z boku widać ognie. Objeżdżamy je, Kola nuci mi do ucha:

Jak to dobrze mknąć przez świat

Gdzie wolności wieje wiatr

Byle tylko koń był rączy u kowboja!

„A widziałem jeszcze — powiada — jego paszport”. — „Czemuś nie wziął? Paszport zawsze się przyda, żeby chociaż okładkę pokazać z daleka”.

Po drodze, nie złącząc wcale z konia, często piliśmy wodę, jedliśmy do woli. Całkiem inny duch w nas wstąpił! Żeby tylko tej nocy jak najdalej się odsądzić!

Naraz słyszymy jazgot ptasi. Jezioro. Objeżdżać je? To przedłuży drogę, szkoda czasu. Kola zlął z konia i poprowadził go za cugle podmokłą ścieżką. Jakoś przebrnęliśmy. Ale tu spostrzegliśmy, że koca brak. Ześliznął się... Zostawiliśmy ślad...

To bardzo źle. Od jurty Kazacha — drogi prowadzą we wsze strony, ale jeśli teraz poprowadzić prostą od jurty do miejsca, gdzie leży koc — to zaraz będzie wiadomo, dokąd zmierzamy. Wracać, szukać? Nie ma na to czasu. Zresztą — tak, czy owak domyśla się, że idziemy na północ.

Rozbijamy biwak. Trzymam konia za uzdę. Jemy — pijemy, jemy — pijemy bez końca. Wody zostało tylko na dwie wiadra, aż dziwne.

Kurs — na północ. Cwałem koń już nie skoczy, ale szybkim truchtem zawsze robi osiem — dziesięć kilometrów na godzinę. Jeśli w ciągu sześciu nocy odwaliliśmy półtorej setki kilometrów, to tej nocy na pewno jeszcze ze siedemdziesiąt. Gdybyśmy nie musieli kluczyć — już byłibyśmy nad Irtyszem.

Świta. A nie ma gdzie się schronić. Jedziemy dalej, choć to już niebezpieczne. Widzimy głęboką rozpadlinę, coś w rodzaju dużego dołu. Schodzimy na jej dno razem z koniem, jeszcze tam jemy i pijemy. I nagle — słyszymy blisko warkot motocykla. To źle, to znaczy, że droga tuż-tuż. Trzeba szukać pewniejszej kryjówki. Wychylamy się z jamy, rozglądamy się. Nie tak daleko — martwy, opustoszały aut3. Tam też się kryjemy.

3 Nie mało jest w Kazachstanie takich autów, to pamiątka z lat 1930-1933. Z początku przeczesał ten kraj Budionny ze swoją armią konną (dotychczas w całym Kazachstanie nie znajdzie się ani jednego kołchozu jego imienia, ani jednego portretu), a później — głód.

155

Rozkładamy się na popas wśród trzech ścian zrujnowanego domostwa. Wiążę koniowi przednie nogi i puszczam go, aby się pasł.

Ale nie mogliśmy zasnąć tego dnia — Kazach i koc! Zostawiliśmy ślad.

Wieczór. Siódma doba. Koń pasie się dość daleko. Poszliśmy po niego — skacze, wyrывa się. Kola chwycił go za grzywę — koń szarpnął i Kola rąbnął o ziemię. Węzeł na przednich nogach rozplatał się • — i teraz już nikt konia nie złapie. Łaziliśmy za nim trzy godziny, zmordowaliśmy się, staraliśmy się zapędzić go w ruiny, zarzucaliśmy mu pętlę rzemienną, ale nie dał się złapać. Gryźliśmy wargi z żalu, ale trzeba było dać spokój. Ostała się nam tylko uzda i knut.

Jeszcześmy coś zjedli, dopiliśmy wody. Zadaliśmy sobie na plecy worki z żywnością, puste wiadro. Ruszyliśmy przed siebie. Sił mamy dziś dosyć.

Następny ranek zaskoczył nas obok drogi tak, że trzeba było szukać kryjówki w byle krzakach. Nie najlepszy punkt, znaleźć nas tu — to nic trudnego. Tego dnia też nie bardzo nam się spało.

Pod koniec ósmej doby poszliśmy dalej. Szliśmy jakiś czas — i nagle poczuliśmy pod nogami miękki grunt: znów orna ziemia. Idziemy dalej i widzimy światła reflektorów samochodowych: szosa. Ostrożnie!

Mleczny księżyc wśród chmur. Znowu wymarły, zrujnowany auł kazach-ski. A jeszcze dalej — jakieś sioło, ogienki, śpiew ukraiński donosi się z daleka:

Rozpryahajcie, chłopcy, koni...

Worki zwaliliśmy w ruinach, sami zaś z wiadrem i teką poszliśmy do wsi. Noże w kieszeniach. Oto już pierwszy dom — słychać kwik prosiaka. Gdyby spotkać takiego w stepie, ależ by było! Jedzie w naszą stronę chłopak na rowerze. „Słuchaj, bratku, jesteśmy samochodem, wieziemy ziarno, gdzie by tu nabrać wody do chłodnicy?”. Chłopak zlął z roweru, poprowadził nas, pokazał. Za opłotkami — koryto; pewno poi się w nim było. Zacerpnęliśmy do wiadra, niesiemy, nie pijemy. Dopiero jak rozeszliśmy się z chłopakiem w różne strony — dalej pić, a pić! Pół wiadra wypiliśmy duszkiem (pragnienie mieliśmy wyjątkowe, bo byliśmy najedzeni).

Ciągnie trochę wilgocią. I pod nogami najprawdziwsza trawa. Pewno rzeka blisko! Trzeba jej poszukać. Idziemy, szukamy. Trawa coraz wyższa, krzaki. Iwy! Zawsze rosną blisko wody! Trzciny! I woda!!... Na pewno to stare koryto Irtysza. No, teraz dopiero — umyć się, wypłuskać! Dwumetrowe trzciny! Kaczki zrywają się spod nóg. Swoboda! Tu już nie zginiemy!

I oto żółdek — po raz pierwszy od ośmiu dni — dał o sobie znać. Po ośmiu dniach bezczynności — to była męka. Nie mniejsza chyba od porodu...

156

A później — znów do tego spustoszonego aułu. Rozpaliliśmy tam ognisko pośród murów, gotowaliśmy wędzoną baraninę. Lepiej by skorzystać z takiej nocy, odważyć kawałek drogi, ale chce się jeść, a jeść, tacyśmy nienasyчени. Nażarliśmy się tak, że z trudem się ruszamy. Radzi z siebie, poszliśmy wreszcie na poszukiwanie Irtyszu. Ale tu zdarzyło się coś, czego przez osiem dni nie było nigdy — sprzeczka. Ja mówię, że w prawo, Żdanok — że w lewo. Ja tam czuję doskonale że trzeba w prawo, a ten nie chce nawet słyszeć! Kłótnia — oto jeszcze jedno niebezpieczeństwo grożące zbiegom. Ktoś musi mieć prawo do ostatniego słowa, do decyzji. | Bo inaczej — kłopot gotowy. Poszedłem w prawo, aby postawić na swoim. Przeszedłem ze sto metrów: nie słychać, żeby kto szedł za mną. Ciężar na sercu. Przecież nie wolno nam się rozstawać. Siadłem pod stogiem, oglądam się... Kola nadchodzi! Uściskałem go. Poszliśmy przed siebie, jakby nigdy nic.

Przybyło krzaków, a z nimi — chłodu. Zbliżamy się do urwiska. W dole pluska, szemrze i dyszy ku nam błogością Irtysz... Co za radość!

Znajdujemy stóg siana, gramolimy się nań. Gdzieżecie, psy?, gdzie nas szukacie? Hej! I zapadamy w kamienny sen.

Budzi nas wystrzał! i psie ujadanie!...

Jak to? To już koniec? Już naszą wolność diabli wzięli?

Przycupnęliśmy, ani pary z gęby. Ktoś przeszedł obok stogu. I pies za nim. Ależ to myśliwy!... Zasypiamy więc jeszcze mocniej — na cały dzień. I tak mija dziewiąta nasza doba.

O zmierzchu ruszyliśmy wzdłuż brzegu. Zostawiliśmy ślad przed trzema dniami. Teraz psiarnia szuka nas tylko nad Irtyszem. Zrozumieli, że idziemy w stronę rzeki. Jeśli więc pójdziemy wzdłuż brzegu — łatwo możemy się nadziać. Zresztą — nie bardzo nam się tak idzie: trzeba obchodzić zatoki, starorzecza, zarośla trzcinowe. Łódź nam potrzebna!

Widać ognik; jakiś dom stoi na brzegu. Plusk wiosła, potem cisza. Zaczailiśmy się i czekamy. Czekamy długo. Ogień zgaś. Skradamy się po cichutku. Łódka! I para wiosła. Dobra nasza! (A przecież właściciel mógł je zabrać ze sobą). „Dalej w morze, Bóg pomoże!”. Toć to mój żywioł! Z początku — cicho, bez hałasu. Gdy dopłynęliśmy do głównego nurtu — naległem na wiosła.

Płyniemy Irtyszem w dół — a na spotkanie wypływa zza zakrętu rozjarzony światłami parowiec. Ile tych światła! Wszystkie okna się świecą, cały statek dygoce w rytm muzyki tanecznej. Beztroscy, wolni pasażerowie, nie mając pojęcia o własnym szczęściu, nie rozumiejąc, co to znaczy być wolnym — przechadzają się po pokładzie, siedzą w restauracji. A jak przytulnie jest w ich kajutach!...

157

Płyniemy tak ponad dwadzieścia kilometrów. Prowizja nam się kończy. Dobrze by uzupełnić zapasy, póki jeszcze noc na dworze. Słychać pianie koguta. Dobijamy do brzegu i po cichu włączymy na skarpę. Chałupa. Nie ma psa. Obórka. Krowa z cielęciem. Kury. Żdanok lubi drób. Ale powiadam mu: bierzemy cielę! Odwiązujemy je. Żdanok prowadzi cielętko do łódki, a ja najdosłowniej w świetle zacieram ślady: inaczej nasza sfora potłapie się, że urządziliśmy sobie spływ Irtyszem.

Aż do brzegu cielę szło spokojnie, ale do łódki wleźć nie chciało, zaparło się. Z lewością wciągnęliśmy je wspólnymi siłami i zwałili na dno łódki. Żdanok siadł na nim, przyciska je własnym zadem, ja wiosłuję — byle kawałek odpłynąć, to je później zaszlachtujemy. Ale to był błąd — płynąć z żywym cielęciem. Cielę zaczęło się wyrwać, zrzuciło z siebie Żdanka i już przednimi kopytami wylazło za burtę.

Alarm! Żdanok trzyma cielę za ogon, ja trzymam Żdanka, łódź przechyliła się na bok i woda już wlewa się przez burtę. Tego tylko nam brakowało! Utonąć w Irtyszu! Jak coś udało się nam wciągnąć to cielę. Ale łódź nabrała sporo wody, trzeba się jej pozbyć. Tylko jeszcze przedtem trzeba zarżnąć cielę! Biorę nóż i chcę przeciąć mu takie ścięgno na karku, gdzieś tu powinno być. Cielę dygoce, wyrwa się, całe w nerwach — ja też. Staram się przerżnąć mu gardło — znów nic z tego. Beczy, wierzga, lada chwila wyskoczy z łódki — albo nas utopi. Chce żyć! — ale my też chcemy!!

Szlachtuję je i nie mogę dorżnąć. Cielak całą łódkę rozkołysał, mała bezmyślny, zaraz przez niego utoniemy! Za to więc, że taki głupi, że się tak opiera — bierze mnie na niego taka złość — nienawidzę tego bydlątka, jak najgorszego wroga i zaczynam go z tej złości dźgać nożem byle gdzie, byle jak! Krew z niego tryska prosto na nas. Cielak beczy głośno — wyrwa się, Żdanok zaciska mu pysk, łódka się kołysze, ja zaś furt dźgam i dźgam. A przecież dawniej nawet myszki mi było żal, nawet robaczka! Teraz nie ma czasu na żale: albo on, albo my4!

Zamarł nareszcie. Zabraliśmy się co rychlej do wylewania wody — czerpaliśmy puszkami, w czworo ręk. I — do wiosła.

Prąd zniósł nas w boczny nurt. Przed nami wyspa. Dobrze by tu było znaleźć schronienie, toć ranek blisko. Łódkę — w szuwały, jak najgłębiej. Wyciągnęliśmy na brzeg cielaka i wszystkie nasze skarby, łódź przyrzuciliśmy jeszcze z wierzchu sito-

wiem. Niełatwo było windować cielę na stromy brzeg. A tam — trawa po pas. I las. Bajka! Od kilku lat mieszkaliśmy na pustyni, zapomnieliśmy już co to las, trawa, rzeka...

4 Czy nie tak samo dzieje się z naszymi oprawcami? Gnębiąc nas — jeszcze nas za to nienawidzą!

158

Świta. Cielę ma pysk jakby pełen żalu. Ale dzięki niemu, dobrodziejowi naszemu, możemy pożyć sobie teraz na tej wyspie. Toczmy nóż odłamkiem pilnika z „Katiuszki”. Nigdy jeszcze bydlę nie skórował, ale wszystkiego trzeba się uczyć. Pruję podłużnie brzuch, podcinam brzegi skóry, wydłużę patrochy. Rozpalamy ognisko w głębi lasu i warzymy na nim cielęcinę z płatkami owsianymi. Pełne wiadro.

Uczta! A najważniejsze — że spokojnie na duszy. A to dlatego, że jesteśmy na wyspie. Wyspa to ochrona przed złymi ludźmi. Są wśród ludzi przyzwoici faceci — ale — nie wiedzieć czemu — zbiegowie nie ich spotykają, tylko przeważnie tych złych. Dzień jest słoneczny i upalny. Nie musimy spędzać go w szakalej norze. Trawa — gęsta i soczysta. Kto trątuje ją co dnia, ten nie wie, ile to warte — paść na trawę, poczuć ją pod pięścią, zanurzyć w niej twarz.

Wałęsamy się po wyspie. Wspominamy nasz niełatwy szlak i widzimy teraz sporo zdarzeń, nad którymi warto się pośmiać. Jak tam teraz czekają na premierę naszego skeczu. Jak też klną, jak tłumaczą się w zarządzie. Odgrywamy sobie te sceny. Ryczymy ze śmiechu!...

Zdzieramy korę z grubego pnia i wypalamy rozżarzone drutem: „W tym miejscu, w październiku 1950 roku szukali ratunku i wolności ludzie niewinnie skazani na dożywotnią katorgę”. Niech ten ślad zostanie. W takiej głuszy tropiciele nie będą mieć z niego pociechy, a ludzie już to sobie kiedyś przeczytają. Postanawiamy nigdzie się nie śpieszyć. Mamy tu właśnie to, co chcieliśmy zdobyć: wolność! (Gdy wreszcie dotrzemy do Omska albo do Moskwy, to chyba nie będziemy mieć jej więcej). Dni są jeszcze słoneczne i ciepłe, powietrze czyste, pełno zieleni, człowiek wypoczywa. I mięsa dość. Tylko chleba nie ma, brak go bardzo.

I tak oto żyjemy sobie na wyspie prawie tydzień: od dziesiątej doby do szesnastej. W mateczniku klecimy sobie suchy szałas. Chłodnawo w nim nocami, fakt, ale dośpiamy we dnie. Przez wszystkie te dni grzejemy się na słoneczku. Dużo pijemy, chcemy napić się na zapas, na wielbłądzą modłę. Siedzimy sobie bez trosk i patrzymy zza gałęzi na życie — hen, na brzegu rzeki. Jeżdżą tam samochody. Kosi się tam trawę — już chyba druga kośba. Nikt do nas nie zagląda.

I raptem - - pewnego dnia, gdy drzemaliśmy w trawie korzystając z ostatnich słonecznych chwil, usłyszeliśmy na wyspie stukot topora. Rozglądamy się, i cóż widzimy? Całkiem niedaleko jakiś człowiek okrzესuje drzewa z suchych gałęzi i stopniowo zbliża się do nas.

W ciągu tych dwóch tygodni zarosłem strasznie, okropna ruda szczecina, bo też nie ma się czym golić, no — typowy zbieg. Żdanok ma zaś gołą twarz, nic mu nie rośnie — jak u dziecka. Dlatego też udałem, że śpię,

159

a jego posłałem na spotkanie drwala, żeby nie czekać. Miał podejść, poprosić o szczyptę tytoniu, powiedzieć, że jesteśmy turystami z Omska, zapytać skąd ten człowiek. A gdyby co — to ja już czuwał.

Kola poszedł, pogadał z facetem. Zapalili po skręcie. Okazało się — że to Kazach z sąsiedniego kołchozu. Ale później widzimy, że poszedł ku brzegowi — wszedł do łódki i odpłynął, wcale nie zabierając swoich narą-banych gałęzi.

Co to ma znaczyć? Że śpieszy się, aby szybciej na nas donieść? (A może odwrotnie — to on się przestraszył, że doniesiemy na niego, a za samowolny wyrąb w państwowym lesie też przecież wyrok leci. Takie to nasze życie, że każdy każdego się boi). „A coś mu o nas powiedział?” — „Że jesteśmy alpiniści”. I śmiech, i grzech — zawsze ten Żdanok coś nabroi. — „Toż mówiłem, że turyści! Skąd tu alpiniści na gładkim stepie?!”.

Nie, nie wolno nam tu dłużej siedzieć! Koniec błotnego spokoju. Przenosimy wszystko do łódki i odbijamy. Chociaż to dzień, ale trzeba ruszać w drogę. Kola położył się na dnie łódki, nie widać go, wydaje się — że lo jeden jakiś płynie. Wiosłuję samym środkiem Irtysza.

Pierwszy problem — to zakup chleba. Drugi — że muszę koniecznie się ogolić — bo zaczynają się gęsto zaludnione okolice. Liczymy na to, że w Omsku uda się sprzedać jedno z naszych ubrań i wsiąść do pociągu parę przystanków za miastem.

Przed wieczorem docieramy do chaty dróżnika rzecznego: wychodzimy na brzeg. Jest w domu kobieta, zupełnie sama. Nastraszyła się, miota się w panice. „Zaraz zawołam męża!”. I poszła. Ruszam za nią, patrzę dokąd idzie. Nagle Żdanok z domku krzyczy niespokojnie: „Zora!” (Bierz cię lichy, ależ ozór! Umówiliśmy się, że zwać mnie Wiktor Aleksandrowicz). Wracam. Przyszło jakichś dwóch mężczyzn, jeden ma dubeltówkę. „Ktoście tacy?”. — „Turyści z Omska. Chcieliśmy kupić trochę prowizji. (I żeby rozproszyć ich podejrzliwość). Ależ wejdźmy do domu, coście wy tacy nabzdyczeni?”. I rzeczywiście, jakoś się udobruchali: „Kiedy nic nie mamy w zapasie. Może w sowchozie. Dwa kilometry z biegiem rzeki”.

Wracamy do łódki i robimy jeszcze dwadzieścia.

Noc jest księżycowa. Wspinamy się znów na wysoki brzeg. Domek. Nie widać światła. Pukamy. Wychodzi gospodarz, Kazach. Oto pierwszy człowiek, który sprzedaje pół bochenka chleba i ćwierć worka kartofli. Kupujemy również igłę z nitką (to chyba nieostrożność). Prosimy też o brzytwę — ale on się nie goli, broda mu nie rośnie. A jednak to pierwszy dobry człowiek. Nabieramy apetytu i pytamy, czy nie ma czasem ryb. Zjawia się żona, wynosi nam dwie ryby i powiada: „Besz dzieńga”. To już przekracza nasze oczekiwania — bez dzierigi — więc bez pieniędzy, za darmo! No,

160

rzeczywiście, co za dobrzy ludzie! Kładę ryby do worka, a ta mi je z worka wyciąga: „Besz dzieńga — to znaczy pięć rubli” — mówi gospodarz. Ach

— to o to chodzi! Nie, nie bierzemy ich, za drogo.

Płyniemy dalej przez resztę nocy. Następny, siedemnasty dzień naszej eskapady przesypiamy w sianie: łódkę ukrywamy w zaroślach. Tak samo — osiemnątą i dziewiętnątą dobę — starając się unikać ludzi. Mamy wszystko: ogień, mięso, kartofle, sól, wiadro. Na urwistym prawym brzegu

— lasy liściaste, na lewym — łąki, pełne siana. Za dnia palimy w krzakach ogniska, warzymy sobie polewkę, wysypiamy się.

Ale niedaleko już do Omska, trzeba w końcu wejść między ludzi, a więc koniecznie potrzebna jest brzytwa. Jestem zupełnie bezsilny, bez brzytwy i nożyc nie poradzi, nie sposób uwolnić się od tych kłaków. Wyrwać po włosku, czy jak?

Innej księżycowej nocy zobaczyliśmy wysoki kurhan nad Irtyszem. Co to takiego — strażnica? Może z czasów Jermaka? Wdrapaliśmy się na szczyt. I ujrzeliśmy w miesięcznym blasku tajemnicze martwe miasto, skupisko pustych domów z samanu. Też chyba pamiątka z pierwszych lat trzydziestych... Spalili to, co dało się spalić, poburzyli budowle, tego i owego przywiązali do końskich ogonów. Turystów tu nie przywożą...

W ciągu tych dwóch tygodni ani razu nie padał deszcz. Ale noce stały się już bardzo chłodne. Żeby było szybciej, przy wiośtach ja zwykle siadałem, a Żdanok siedział na rufie i marzył. I raptem dwudziestej nocy zaczął prosić, abyśmy rozpalili ognisko i popili trochę wrzątku. Oddałem mu wiośta, ale wciąż trzęsły nim dreszcze i wciąż mówił o tym ognisku.

Towarzysz ucieczki nie mógł mu odmówić, ale Kola powinien był sam zrozumieć i odstąpić od tego zamiaru. Ale Żdanok miał taki charakter, że nie potrafił walczyć ze swoimi zachciankami: tak było — gdy porwał podptomyk ze stołu w jurcie albo kiedy skusił się na drób.

Dygotał więc i prosił o rozpalenie ogniska. Ale przecież czatują tu na nas wzdłuż całego biegu Irtysza, to pewne. To zadziwiające, że dotąd ani razu nie spotkaliśmy strażników. Że w taką księżycową noc nie zauważyli nas nigdy na środku rzeki i nie zatrzymali.

Wtem widzimy ogienek na wysokim brzegu. Kola zaczął się napierać, aby podejść tam i pogrzać się — zamiast palić własne ognisko. To było jeszcze bardziej niebezpieczne. Nie wolno było na to się zgodzić. Tyle się nacierpieć, tyle przeżyć — i tak skończyć? Ale nie potrafiłem mu odmówić, mógł przecież być chory. A sam jakoś nie chciał zrezygnować.

Przy blasku kaganka spali na podłodze chaty Kazach z żoną. Zerwali się na równe nogi, przerażeni. Wyjaśniam: „Mój człowiek mi jakoś ślabuje. Jesteśmy na delegacji służbowej z przedsiębiorstwa skupu zboża. Przy wie-

161

ziono nas łódką z tamtej strony”. Kazach powiada: „Możecie się kłaść”. Kola położył się na jakiejś macie wojłkowej — ja też — ale tylko udaję, że śpię. Pierwszy raz od chwili ucieczki leżymy pod dachem, ale ten dach mi czaszkę tłoczy. Nie to, żeby zasnąć — wprost uleżeć nie mogę. Mam takie uczucie — jakbyśmy sami siebie zdradzili, sami wleźli w potrzask.

Stary wyszedł na dwór w białym (bo inaczej bym za nim poszedł) i jakoś długo nie wraca. Słyszę za kotarą jakieś szepty po kazachsku. To młodzi. Pytam więc: „Kim właściwie jesteście? Pilnujecie brodu, stawiacie boje?”. — „Nie, myśmy z sowchozu imienia Abaja, najlepszy sowchoz w całym Kazachstanie, hodujemy bydło”. Aleśmy sobie popas znaleźli — ładny kwiat! Gdzie sowchoz — tam zaraz władze i milicja. A jeszcze najlepszy w całym kraju. Widać starają się...

Ściskam Kolę za rękę: „Biegnę do łódki, dogoń mnie, teczki nie zapomnij”. A głośno powiadam „zostawiliśmy zapasy na brzegu, mogą zginąć”. Wychodzę do sieni.

Pchnąłem drzwi na dwór — a tu zamknięte. No, to wszystko jasne. Wracam — szarpie Kolę, na znak alarmu i znów do wyjścia. Marni to byli cieśle, co te drzwi zbijali, jedna deska u dołu jest krótsza, przesuwam pod nią ramię, wyciągam je ku górze, ku górze... — aha, jest skobelek, zamknięto nas z zewnątrz. Wybijam skobel.

Wychodzę na dwór. Prędejsz do brzegu. Łódka na miejscu. Stoję i czekam w pełnym blasku księżyca. A Koli nie widać. To ci los! Widać nie potrafi wstać. Chce jeszcze chwilę się pogrzać. Albo go już złapali. Trzeba wracać na pomoc.

Znów gramolę się na skarpę. Idzie ku mnie od domu jakichś czterech, Żdanok jest wśród nich. Idą kupą (może go trzymają?). Żdanok krzyczy: „Zora! (Znów ten „Zora”!). Chodź no tu! Chcą widzieć nasze dokumenty!”. A teki nie ma w ręku, choć mu kazałem.

Zbliżam się do nich. Jeden z nich, nowy, pyta z kazachskim akcentem: „Dokumenty?”. Staram się za wszelką cenę zachować spokój: „A kim jesteście?”. — „Jestem zarządzający”. — „No cóż, mówię protekcyjnym tonem — chodźmy. Dokumenty zawsze warto sprawdzić. Tam, w domu jest zresztą jaśniej”. Wchodzimy do chaty. Podnoszę powoli tekę z podłogi, podchodzę do kaganka, patrzę spod oka, jakby tu najlepiej wykaraskać się spośród nich i wyskoczyć na dwór, pogaduję tymczasem: „Dokumenty to zawsze, dlaczego nie. Trzeba sprawdzać dokumenty, co się należy, to się należy. Czujność nigdy nie zawadzi. U nas w biurze też raz się zdarzył taki wypadek...”. Już mam palec na zatrzasku, żeby otworzyć tekę. Tamci skupili się wokół mnie. A ja — jak ci pchnę zarządzającego łokciem w lewo — - ten leci na starego — obaj padają na ziemię. Młodego — pięścią w szczękę. Wrzask, krzyk! A ja

162

— „Machmadera!” i z teką w ręku - do drzwi, a potem do wyjścia. A Kola krzyczy do mnie z sieni: „Zora, nie puszczają mnie!”. Trzyma się framugi, a ci ciągną go do środka. Chwyciłem go za rękę, ale nie mogę wyciągnąć. Więc opieram się stopą o framugę, i tak szarpnąłem Kola, że ten przeleciał przeze mnie, a ja upadłem. Wtedy tych dwóch rzuciło się na mnie. Nie mogę sobie uzmysłwić jakim sposobem spod nich się wydobyłem. Nasza drogocenna teka została w chałupie. Lecę prosto do skarpy, susami! Z tyłu wrzeszczą po rosyjsku: „Toporem go, toporem!”. Pewno tylko straszą, bo inaczej krzyczeliby po kazachsku. Czuję już ich łapy na karku. Potykam się, zaraz upadnę! Kola już przy łodzi. Spycham łódź w wodę po kola na, dopiero potem włożę przez burtę. Kazachowie nie decydują się na kąpiel, biegają po brzegu szwargocząc: „Gyr-gyr-gyr!”. Krzyczę im więc: „A co, gady, macie za swoje?!”.

Dobrze, że nie mieli strzelby. Wiosłuję z prądem. Tamci wciąż biegną brzegiem, ale drogę im przecięła zatoczka. Ściągnąłem dwie pary moich portek — marynarskie i te z garnituru, wyżymam je, szczękam zębami. „No co Kola? Pogrzałeś się przy ogieńku?”. Milczy...

Jasne, że musimy teraz pożegnać się z Irtyszem. Przed świtem trzeba wyłazić na brzeg i przebijać się na Omsk autostopem. Zresztą — już niedaleko.

W tece została „Katiusza” i sól. A gdzie znaleźć brzytwę, nie mówiąc już o suszeniu odzieży? O, łódka przy brzegu, jakiś domek. Chyba dróżnik rzeczny. Wychodzimy na brzeg, pukamy. Nikt światła nie zapala. Niski. męski głos: „Kto tam?”. —

„Wpuśćcie nas, chcemy się ogrzać. Omal nie utonęliśmy, łódź się nam wywróciła”. Długa krzątanina, wreszcie drzwi się otwierają. W sieniach, obok drzwi stoi w półmroku rostry starzec, Rosjanin z toporem podniesionym oburącz nad głową. Pierwszego załucze, nic go nie powstrzyma! „Ależ nie bójcie się — mityguję go. — Jesteśmy z Omska. Byliśmy na delegacji w sowchozie Abaja. Chcieliśmy płynąć do powiatu w dół rzeki łódką, ale trochę powyżej nas rozstawiono sieci na noc, nie za-

uważyliśmy i była wywrotka". Patrzy jeszcze podejrzliwie, nie opuszczając topora. Gdzie go widziałem?, na jakim obrazie? Starzec jakby z prarus-kiej byliny — siwa grzywa, cały łeb siwy. Wreszcie się odezwał: „To znaczy niby, że płynęliście do Żelezianki?”. Bóg zapłać, teraz wiemy, gdzie jesteśmy. „No właśnie, do Żelezianki. Ale najgorsze, że teczka nam zatonała, a tam mieliśmy 150 rubli. Kupiliśmy w sowchozie mięsa, ale kto by tam teraz myślał o mięsie. Może kupicie go u nas?”. Żdanok poszedł po mięso. Stary wpuścił mnie do izby, paliła się w niej lampa naftowa, a na ścianie wisiła strzelba myśliwska. „Teraz pokażcie dokumenty”. Staram się mówić jak najbardziej dziarskim tonem: „Dokumenty to mamy zawsze

163

przy sobie — dobrze, że w górnej kieszeni, to nie zamokły. Jestem Wiktor Aleksandrowicz Stolarow, pełnomocnik obwodowego zarządu hodowli bydła”. Teraz należy co rychlej przejąć inicjatywę. „A wyście co za jeden?”. Strażnik wodny”. — „A jak nazwisko?”. Tu nadszedł Kola i stary już więcej nie wspomniał o dokumentach. Powiedział, że na mięso nie ma pieniędzy, ale że herbatą nas poczęstuje.

Przesiedzieliśmy u niego z godzinkę. Zagrzał nam herbaty na szczapkach, dał chleba i nawet ukroił kawałek słoniny. Mówiło się o tym, jak biegnie farwater na Irtyżu, za ileśmy kupili łódkę — gdzie ją mamy sprzedać. Przeważnie mówił on sam. Patrzył na nas współczującym, mądrym, starczym okiem, i wydawało mi się, że rozumie wszystko, prawdziwy człowiek. Miałem nawet chętkę, by mu się zwierzyć. Ale to by nam nie pomogło: brzytwy nie miał, rzecz jasna, bo broda rosła mu tak, jak wszystko w lesie. A dla niego bezpieczniej było nie wiedzieć, bo inaczej: „wiedział — a nie powiedział”.

Zostawiliśmy mu nieco naszej cieleciny, on dał nam zaś zapatek, odprowadził do łódki i objasnił jak trzymać się nurtu. Odbiliśmy i nalegliśmy na wiośła, żeby jak największy kawał drogi odwalić na ostatek. Chcieli nas złapać na prawym brzegu, więc teraz trzymajmy się raczej lewego. Księżyc świecił właśnie z lewej strony, ale niebo czyste i widzimy, że wzdłuż brzegu prawego, urwistego i pokrytego lasem, płynie z prądem jakaś łódź, tyle że my — szybciej.

Czy to aby nie opergrupa?... Płyniemy równoległym kursem. Zdecydowałem się na bezczelność, wziąłem się za wiośła, zbliżyłem się do czółna. „Przyjacielu! Dokąd droga prowadzi?”. „Do Omska”. — „A skąd?”. — „Z Pawłodaru”. — „Taki świat drogi?” — „A bo przenosimy się ze wszystkim na nowe mieszkanie”.

Jak na opera — ten chłopski jego akcent zbyt już był wyraźny, odpowiada też z ochotą, widać że cieszy się nawet ze spotkania. Żona śpi w czółnie, a on spędza nocne godziny przy wioślach. Przyglądam się uważniej — toć to nie łódź, tylko formalny skład, cały dobytek tu wiezie, wszystko zawalone tobotkami.

Szybko kalkuluję w myśli. Ostatnia noc, ostatnie chwile na rzece — i takie spotkanie! Jeśli przenoszą się na stałe, to muszą tu mieć i zapasy, i pieniądze, i paszporty, i odzież, a nawet brzytwę. I nikt się o nich nigdzie nie upomni. Jest sam, nas jest dwóch, żona się nie liczy. Ja mogę wykorzystać jego paszport. Kola w przebraniu doskonale ujdzie za babę: malutki, gęba goła, babskie kształty się dorobi. Na pewno mają też walizkę — to zaraz robi z nas typowych podróżnych. I każdy szoferak jeszcze dziś rano podrzuci nas do Omska.

164

Kiedyż to na rosyjskich rzekach nie rabowano podróżnych! Taki los, nie ma innego wyjścia. Od chwili, gdy wiedzą już, że płyniemy rzeką — jest to nasza ostatnia i jedyna szansa. Żal chłopca, szkoda wyzuwać go z dobytku — ale czy nas ktoś żałował? Kto się nad nami jutro zlituje?

Wszystko to przebiega błyskawicznie przez nasze głowy — moją i Żdan-ka. Pytam go tylko po cichu: „Hm?”. Odpowiada mi również szeptem: „Machmadera”.

Przysuwam się jeszcze bliżej i teraz już przyciskam ich czołno do wysokiego, lesistego brzegu; spieszę się, żeby zdążyć przed zakrętem, bo tam może nie być już lasu. Rozkazuję teraz władczym tonem:

— Uwaga! Tu grupa operacyjna ministerstwa spraw wewnętrznych.

Przybijać do brzegu! Kontrola dokumentów.

Przestał wioślować: albo ośłupiał — albo nawet się ucieszył — to nie rozbójnicy, tylko opergrupa.

— Bardzo proszę — powiada — możecie kontrolować nawet tu na wodzie.

— Powiedziałem — do brzegu, to do brzegu! Raz-dwa.

Przybiliśmy. Stanęliśmy burta w burtę. Wyskakujemy z naszej łodzi,

a tamten z trudem przetąży przez swoje toboły — widzimy, że utyka. Żona obudziła się — „Jeszcze daleko?”. Chłopina podaje swój paszport. — „A książeczka wojskowa?”. — „Jestem inwalidą, byłem ranny, to mnie wykreślili z ewidencji. O, tu jest zaświadczenie...”. Widzę, że na dziobie czołna błysnęło coś metalowego — siekiera. Daję znak Koli, żeby zabrał. Kola skoczył trochę zbyt żwawo i już toporek w ręku. Baba krzyknęła, przeczuła coś. A ja surowo: — „Co to za krzyki? Dostyc tego! Szukamy zbiegów. Przestępców. A topór to też broń”. Trochę się uspokoiła. Daję rozkaz Koli.

— Lejtnancie! Odmaszerować na posterunek. Powinien tam być kapitan Worobiow.

(I ranga i nazwisko same mi jakoś przysły do głowy, chyba dlatego, że nasz kolega, kapitan Worobiow, siedział dalej w BUR-ze, w Ekibastuzie).

Kola zjorgnął się w okamgnieniu: trzeba skoczyć na skarpę i rozejrzeć się, czy nie ma tam nikogo, czy możemy poczynić sobie śmiało. Skoczył więc na górę. Ja tymczasem wypytuję dalej i rozglądam się pilnie. Zatrzymany pokornie przyświeca mi swoimi zapalkami. Wertuję dowody osobiste i zaświadczenia. Wiek też się zgadza — inwalida nie ma jeszcze czterdziestki. Pracował jako strażnik wodny. Teraz sprzedał dom i krowę. (Wszystkie pieniądze ma, rzecz jasna, przy sobie). Jadą szukać szczęścia. Mało im dnia było, więc płyną nocą.

Okazja rzadka, okazja wyjątkowa — właśnie dlatego, że nigdzie ich

165

szukać nie będą. Ale o co nam chodzi? Czy potrzebne nam ich życie? Nie, ja ludzi nie zabijałem i zabijać nie będę. Śledczego albo opera, który może dręczy — to owszem, ale ręka mi się nie podnosi na prostego, pracującego człowieka. Zabrać im pieniądze? Najwyżej odrobinę. A ile? Na dwa bilety do Moskwy. I na wyżywienie. I jeszcze to i owo z tych ciuchów. To ich nie zrujnuje. A co, jeśli nie zabierzemy im dokumentów ani łódki — i zdołamy ich namówić, żeby nie donieśli? Trudno uwierzyć, aby się to udało. Zresztą, jak sobie poradzimy bez dokumentów?

Ale jeżeli zabierzemy im dokumenty — to nie pozostanie im nic innego, jak tylko donieść. Żeby zaś donieść nie mogli — trzeba ich unieruchomić. Tak ich związać żebyśmy mieli dwie trzy doby spokoju.

Skoro tak, to znaczy po prostu, że...

Kola wrócił i dał znak, że na górze spokój. Czeka teraz na moje „mach-madera”. Co tu robić?

Staje mi przed oczyma niewolniczy, katorżniczy Ekibastuz. Żeby tam wracać?... To my nie mamy prawa?...

I nagle — coś bardzo lekko musnęło mi nogę. Patrzę — a to jakieś malutkie, białe stworzonko. Schylam się i widzę, że to biały kotek. Wyskoczył z czółna, zadarł do góry ogonek, mruczy i ociera się o moje nogi.

Nie zna moich myśli.

I raptem poczułem, że to jedno muśnięcie złamało moją wolę. Determinacja — napięta od dwudziestu dni i nocy, od chwili gdyśmy przedzierali się przez druty — nagle jakby pękła. Poczułem, że — cokolwiek by Kola mi teraz powiedział — nie potrafię już nie tylko pozbawić ich życia, ale nawet tych ich krwawo zapracowanych groszy.

Zachowując surowość powiadam:

— No, zaczekajcie tu, zaraz wszystko będzie jasne!

Wchodzę ze Żdankiem na skarpę, mam w ręku ich dokumenty. Mówię Koli, co o tym myślę.

Kola milczy. Nie zgadza się ze mną, ale milczy.

Tak to już jest: o n i mogą każdego pozbawić wolności, nie dręczą ich wyrzuty sumienia. Jeśli zaś ktoś z nas zechce odzyskać tę wolność, wyrwać im ją z łap — to żądają od niego w zamian życia, jego własnego życia, i życia każdego, kogo on po drodze spotka.

Im wolno wszystko, a nam nic. Oto dlaczego są od nas silniejsi.

Nie umawiając się ruszamy obaj z powrotem na brzeg. Przy czółnie stoi ten kulawy.

— „Gdzie żona?”. — „Przestraszyła się, uciekła do lasu”.

Tu są wasze dokumenty. Możecie płynąć dalej.

Dziękuję nam. Krzyczy w stronę lasu:

Maa-aria! Wracaj! To porządni ludzie! Płyniemy!

166

Odbijamy od brzegu. Szybko macham wiosłami. Kulawy coś sobie przypomniał i krzyczy w ślad za nami:

Towarzyszu naczelniku! A bo wczoraj tośmy widzieli dwóch — ty powi bandyci! Gdybyśmy wiedzieli, to byśmy zatrzymali drani!

No co, zlitowałeś się? — pyta Kola.

Właśnie tej nocy — czy to w chwili, gdy poszliśmy się pogrzać, czy może przez tego białego kotka — cała nasza ucieczka wzięta w łeb. Coś się w nas stłukło — pewność siebie?, stanowczość?, dar orientacji?, zdolność do podejmowania zgodnych decyzji? Tu właśnie, przed samym Omskiem zaczęliśmy popełniać błąd za błędem i działać sobie na przekór. A tacy zbiegowie daleko już nie uciekną.

Nad ranem porzuciliśmy naszą łódkę. Cały dzień przespaliśmy w stogu, ale niespokojnie. Zrobiło się ciemno. Głód doskwiera. Dobrze by ugotować mięsa, aleśmy zgubili wiadro, kiedy nas gonili. Postanowiłem więc usmażyć. Znalazło się żelazne siodło od traktora — to będzie nasz ruszt. A kartofle można upiec.

Stał niedaleko wysoki szałas zbudowany na czas sianokosów. Z tego otępienia, które dziś mi łeb tłoczyło, wpadłem na pomysł, żeby rozpaść ognisko wewnątrz szałas, że niby nie widać będzie ognia. Kola nie chce żadnych kolacji: — „Idźmy dalej!”. Sprzeczką. Nie ma między nami zgody.

Rozpałem w końcu ogień w tym szałasie, ale za dużo chrustu położyłem. Cały szałas się zajął, ledwie zdążył wyskoczyć. Ogień zaś przeniósł się na stóg — ten sam stóg, w którym przespaliśmy dzień. Raptem żal mi się zrobiło tego siana — pachnącego, tak nam życzliwego. Jąłem je rozrzucać, tarzać się po ziemi, żeby zgasić ogień, żeby się nie szerzył. Kola stoi z boku naburmuszony, nic mi nie pomaga.

Ach, jaki trop zostawiłem! Co za płomienisko! — na wiele kilometrów. A ponadto — dywersja. Za ucieczkę dadzą nam taką samą ć w i a r ę, jaką już mieliśmy na karku. Ale za „dywersję”, za spalenie kołchoźnego siana mogą dać śmiało nawet czapę. A co najgorsze — z każdym błędem narasta prawdopodobieństwo nowych błędów, człowiek traci pewność siebie i zdolność do właściwej oceny sytuacji. Szałas spłonął, ale kartofle się upiekły. Popiół zamiast soli. Podjedliśmy sobie. Idziemy dalej, noc. Obchodzimy bokiem dużą wieś. Znaleźliśmy łopatę. Zabraliśmy ją na wszelki wypadek. Skręcamy w stronę Irtysza, żeby iść

167

wzdłuż rzeki. I od razu przegradza nam drogę starorzecze. Znowu je obchodzić? Kłopot. Rozejrzeliśmy się i znaleźliśmy łódź bez wiosł. Nie szkodzi, łopata wystarczy. Przepłynęliśmy wodę. Przywiązałem potem łopatę rzemieniem na grzbiecie, żeby stylisko sterczało w górę, jak lufa strzelby. W ciemnościach ujdziemy za myśliwych. Wkrótce też mijamy kogoś. „Piotrze!” — krzyczy tamten. — „Pomyłka, to nie Piotr!”. Maszerowaliśmy całą noc. Spaliśmy znowu w stogu. Obudziła nas syrena okrętowa. Wynurzamy łby z siana: niedaleko jest tu przystań. Zwożą na nią samochodami arbuzy: Omsk blisko, Omsk blisko, Omsk blisko. Czas już golić się, czas zdobyć pieniądze.

Kola wierci mi dziurę w brzuchu: „Teraz przyszła na nas kryśka. Po co była ta cała ucieczka, skoroś się nad nimi musiał ulitować? Tu cały nasz los się ważył — a tobie żal się ich zrobiło. I teraz to my zginiemy”.

Ma rację. Teraz to wydaje się takie bezsensowne: ani brzytwy, ani pieniędzy, a mieliśmy przecież to wszystko w ręku, tylkośmy nie wzięli. Trze-baż to było tyle lat śnić o ucieczce, tyle sprytu wykazać, przedzierać się pod drutami, czekając aż ci wlepią kulę w plecy, sześć dni nie widzieli kropli wody, dwa tygodnie brnąć przez pustynię — i nie wziąć tego, coś już miał w ręku! Jak tu wejść do Omska z takim zarostem? I za jakie ciacki pojedziemy z Omska jeszcze dalej?

Leżymy cały dzień w sianie. Oczywiście, ani mowy o śnie. O piątej przed wieczorem Żdanok powiada: „Chodźmy, rozejrzemy się póki jasno”. A ja — „Za nic na świecie!”. On: — „Toć niedługo już miesiąc będzie, jak zwialiśmy. Ale asekurant! Jak nie chcesz — to wyleżę sam i pójdę sobie”. — Więc mu grożę — „Uważaj, mam nóż!”. Ale go przecież nie kolnę, to jasne.

Ucichł, leży sobie. Nagle stoczył się ze stogu i poszedł sobie. Co robić? Tak to mamy się rozstać? Więc ja też zeskoczyłem i poszedłem za nim. Idziemy obaj brzegiem Irtysza, a tu jasno, dzień! Siadamy na innym stogu i naradzamy się: jak się nam teraz ktoś napatoczy, to już go nie wolno puszczać, żeby nie doniósł przed nocą. Kola nieopatrznie wybiegł na drogę, żeby sprawdzić, czy pusta — i tu za-

uważył go jakiś chłopak. Chcąc nie chcąc — trzeba go było zawołać: „Chodź no tu przyjacielu, zapalimy z tego żalu!...”. — „A co się stało?”. — „A bo zachciało się nam ze szwagrem urlopu na wodzie, ja jestem z Omska, a on z pawłodarskiej stoczni remontowej, no i w nocy łódka odpłynęła sobie, zostało nam tyle, co mieliśmy na brzegu. A tyś kto taki?”. — „Jestem tu za strażnika wodnego, boje stawiam”. — „Nigdzieś naszej łódki nie widział? Może w szuwarach?”. — „Nie”. — „A gdzie mieszkasz?”. — „A tu” — i wskazuje na pobliski

168

domek. — „No to wpadniemy do ciebie, trzeba trochę mięsa ugotować. No i ogolimy się chociaż”.

Idziemy. Okazuje się, że ten najbliższy, to domek innego strażnika, sąsiada, a nasz znajomy mieszka jeszcze trzysta metrów dalej. Znowu nie z jednym człowiekiem sprawa. Ledwieśmy przestąpili próg — a tu ten sąsiad jedzie rowerem, z fuzją na ramieniu, zerka podejrzliwie na moją szczecinę, wypytuje, jak tam życie w Omsku. Mnie, katorżnika, pytać o życie na wolności! Coś tam plotę na chybił-trafił, że tak, w ogóle, to trudności mieszkaniowe, kłopoty z żywnością, z towarami, to najpewniejszy sposób. Ten zaś krzywi się, jest innego zdania: okazuje się, że partyjny. Kola warzy rosół, musimy najeść się na zapas, może aż do Omska nie będzie okazji. Czas wlecze się nieznośnie, do zmierzchu daleko. Ani jednego, ani drugiego nie wolno nam spuszczać z oczu. A co, jeśli jeszcze ktoś trzeci nadejdzie? Ale już się obaj wybierają na rzekę, do zapalania świateł. Proponujemy im pomoc. Partyjny odmawia: „zapalę wszystkiego dwa ognie i zaraz jadę na wieś, muszę trochę chrustu podrzucić rodzinie. Zresztą wrócę tu jeszcze”. Daję znak Koli — nie spuszczać partyjnego z oka, jakby co, to zaraz w krzaki. Wskazuję mu miejsce ewentualnego spotkania. Sam zaś jadę z naszymi znajomymi. Z łodzi rozglądam się po okolicy, rozpytuję się, ile kilometrów do tego, czy owego miejsca. Wracamy równocześnie z sąsiadem. To mnie uspokaja: jeszcze nie zdążył nas zadenuncjować. Zaraz też podjechał z wozem pełnym chrustu, istotnie. Ale jakoś nie jedzie dalej, siadł przy stole, kosztuje rosółku ugotowanego przez Kolę. I nie wychodzi. No, co tu robić? Brać za kark obu? Jednego — do piwnicy, drugiego przywiązać do łóżka?... Obaj mają dokumenty, a ten przyjezdny — rower i dubeltówkę. Takie to życie zbiega — nie dość mu zwykłej gościnności, musi jeszcze brać siłą...

Nagle słychać skrzyp dulek. Widzę przez okno — że nadjeżdża jakichś trzech, to już będzie pięcioro na nas dwóch. Mój gospodarz wychodzi i zaraz wraca po bańki. Powiada: „Nasz szef przywiózł nafty. Dziwne, że sam przyjechał — toć to dziś niedziela”.

Niedziela! Dawno już straciliśmy rachubę dni tygodnia, dla nas inne były między nimi różnice. Zbiegliśmy z obozu w niedzielę wieczorem. A więc to już trzy tygodnie uciekamy! Co tam w obozie?... Psiarnia już chyba straciła nadzieję, że nas złapie. Gdybyśmy dorwali się do samochodu, to w ciągu trzech tygodni dawno już mogliśmy urządzić się gdzieś w Karelii, czy na Białej Rusi, zdobyć dowód osobisty, pracę... A przy odrobinie szczęścia — wydostać się gdzieś jeszcze bardziej na Zachód... I jakby to było przykro kapitulować teraz, po takich trzech tygodniach! — „No co Kola, napchaliśmy się, teraz wypada ulżyć sobie jak nale-

169

ży?". Idziemy w krzaki i widzimy stamtąd, że nasz gospodarz bierze naftę od tych z łódki i że podszedł tam także ten partyjny. Mówią o czymś, ale nie słysząc co. Tamci odpływają. Odsyłam Kola czym prędzej do domu, żeby strażnicy nie mogli gadać o nas bez świadków. Sam zaś po cichutku podchodzę do łódki gospodarza. Żeby łańcuch nie zadzwonił — wyciągam z wysiłkiem kotek cumowy. Kalkuluję: jeśli starszy strażnik odpłynął z donosem na nas — to ma siedem kilometrów do sioła, a więc — jakieś czterdzieści minut. Jeśli we wsi są błękitne wyłogi — to przyjadą tu samochodami — dodajmy więc jeszcze piętnaście minut.

Wracam do domu. Sąsiad furt nie odjeżdża, zawraca głowę pustym gadaniem. Bardzo dziwne. No, znaczy że trzeba zabierać się do obu naraz. — „No cóż Kola, pójdziemy umyć się przed snem?” (bo trzeba się dogadać). Ledwieśmy wyszli — słyszymy w ciszy tupot buciorów. Schylamy się i na tle szarzejącego nieba (księżyc jeszcze nie wzeszedł) widzimy, jak za krzakami biegną jeden za drugim jacyś ludzie, otaczając domek.

Szeptem rzucam Koli: „Do łodzi!”. Biegnę w stronę rzeki, staczam się ze skarpy, już jestem przy łódce. Liczone sekundy! A Koli nie ma! No, gdzie się podział, gdzie jest? A zostawić go nie mogę!

Wreszcie widzę — że wzdłuż brzegu ktoś biegnie prosto na mnie. „Kola, to ty?”. Płomień! Wystrzał z bliska! Cyrkowym skokiem (wyciągając ręce, głową naprzód) skaczę do łódki. Z urwiska — serie z automatów. Krzyki: „Jeden już załatwiony!”. Pochylają się nade mną: „Jesteś ranny?”. Jęczę. Wyciągają mnie z łodzi, prowadzą. Utykam na nogę. (Jeśli pokaleczony, to mniej biją). W ciemnościach rzucam ukradkiem w trawę moje dwa noże.

Na górze pytają, jak nazwisko. — „Stolarow”. — Może się jeszcze jakoś wykręcę. Tak mi się nie chce wymieniać mojego prawdziwego nazwiska! (Bo wtedy już koniec z wolnością). Biją mnie po twarzy: — „Nazwisko!”. — i „Stolarow”. — Wciągają mnie do chaty, rozbierają do pasa, ręce wiążą mi drutem za plecami, drut wrzyna się w ciało. Dźgają mnie bagnietami w brzuch. Strużka krwi cieknie już spod bagnetu. Milicjant, starszy lejtnant Sabotażnikow, który mnie złapał, żga mi twarz lufą nagana, widzę podniesiony kurek. — „Nazwisko!”. — No, dalszy opór nie ma sensu. Mówię więc jak się nazywam. — „A gdzie ten drugi?”. — Potrząsa naganem, bagnety wpijają się głębiej: — „Gdzie ten drugi?”. — Cieszę się, że nie wzięli Koli i powiadam: — „Byliśmy razem — pewno zabity”.

Wchodzi oper z błękitnymi wyłogami, Kazach. Rzucił mnie związanego na łóżko i zaczął metodycznie kuć po pysku — to prawą, to lewą — to prawą, to lewą, jakby pływał po kozacku. Od każdego ciosu walę łbem o ścianę. — „Gdzie broń?”.

„Co za broń?”. — „Mieście strzelbę,

170

w nocy was widziano”. — To ten nocny myśliwy, ten też doniósł... — „To była łopata, nie strzelba!”. — Nie wierzy, leje dalej. Nagle zrobiło mi się lekko — straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, słyszę: — „No, uważaj, jeżeli ktoś z naszych będzie ranny — to na miejscu cię wykończymy!”.

(Mieli dobre przeczucie — Kola rzeczywiście miał strzelbę! Później wszystko się wyjaśniło: kiedy rozkazałem Koli — „do łódki!”, Kola pobiegł w przeciwnym kierunku, ku zarośłom. Tłumaczył się, że nie zrozumiał... Gdzie tam, przez cały ten dzień szukał okazji, aby się oderwać ode mnie — no i oderwał się wreszcie. I zapamiętał sobie ten rower. Gdy rozległy się strzały, Kola rzucił się w bok, byle dalej od rzeki i odpetł

w tę stronę, z której przyszliśmy. Było już dość ciemno — i póki cała sfora zebrana była wokół mnie, Kola zerwał się z ziemi i pobiegł precz. Biegł i płakał — bo myślał, że zostałem zastrzelony. Dobiegł tak do drugiego domku. Wybił nogą okno i zaczął szukać strzelby. Znalazł ją po omacku na ścianie, znalazł też torbę z ładunkami. Załadował broń. Powiadał, że chodziła mu po głowie myśl o zemście, chciał wrócić i rąbnąć do nich z dwururki, za moją krew. Ale się rozmyślił. Znalazł rower i toporek. Wywalił nim drzwi od wewnątrz, nakładł do torby soli (to mu się wydało najważniejsze albo nie miał czasu na co innego) — i pojechał, naprzód ścieżką, potem — przez wieś, obok żołnierzy. Ci się zaś nie zorientowali, kto zaczął.

Mnie zaś spętanego załadowano na wóz, dwóch żołdatów siadło na mnie i zawieziono do sowchozu, dwa kilometry stąd. Tu był telefon, przez który leśniczy (siedział w łódce ze starszym strażnikiem wodnym) wezwał był strzelców: dlatego to przybyli tak prędko, nie wziąłem telefonu pod uwagę.

Z tym leśniczym miałem tu historię, o której trochę mi niesporo mówić, a rzecz jest bardzo charakterystyczna. Musiałem mianowicie wyjść za potrzebą, a przecież ktoś powinien był mi przy tym pomóc, chodziło przy tym o pomoc dość intymną, bo ręce miałem skrupowane z tyłu. Aby nie poniżyć strzelców — kazano leśniczemu wyjść ze mną. Poszliśmy w ciemnościach na stronę i mój towarzysz poprosił mnie, abym wybaczył mu zdradę: „Taką mam posadę. Nie mogłem inaczej”. Nic mu nie odpowiedziałem. Bo i kto tu może być sędzią? Zdradzali nas ludzie na stanowisku i bez. Zdradzili nas wszyscy, których napotkaliśmy — prócz tego sędziwego starca z białą grzywą.

Siedzę więc w chacie przy gościńcu, goły po pas, ze związanymi rękoma. Chce mi się bardzo pić, nie dają ani kropli. Strzelcy rozjuszeni, każdy szuka tylko okazji, żeby zdzielić mnie kolbą. Ale tu już mnie tak łatwo nie zabiją, zastrzelić mogą, kiedy ich mało — kiedy nie ma świadków. (Można się domyśleć, jacy są źli. Ile to już dni łazili bez odpoczynku, tyralierą przez bagna i szuwary, jedząc tylko zimne konserwy).

171

W chacie cała rodzina. Małe dzieci przyglądają mi się ciekawie, ale boją się podejść bliżej, aż drżą z przestachu. Lejtnant milicji siedzi przy stole, pije wódkę z gospodarzem, rad z sukcesu i nagrody, która go nie minie. — „A wiesz, co to za jeden?” — pyszni się przed gospodarzem. — „To pułkownik, znany szpieg amerykański, wielki bandyta. Uciekał do amerykańskiej ambasady. Oni po drodze zabijali ludzi i potem żarli”.

Może sam w to wierzy. MWD rozsiewało takie gadki o nas, żeby łatwiej móc nas złapać, żeby wszyscy donosili. Nie dość im przewagi, jaką daje władza, uzbrojenie, szybki transport — pomagają sobie jeszcze kalumniami.

(A w tym czasie gościńcem obok naszej chaty przejeżdża, jak gdyby nic, Kola na rowerze ze strzelbą na plecach. Widzi jasno oświetloną izbę, na ganku chaty — żołnierzy, palących papierosy, rozgadanych, za oknem — mnie, półgołego. I pedałuje sobie dalej — na Omsk. A tam, gdzie mnie złapano, wokół zarośli jeszcze przez całą noc będą leżeć strzelcy i rano raz jeszcze przeczeszą lasek. Nikt jeszcze nie wie, że z sąsiedniego domku zniknął rower i strzelba: właściciel też pewno skończył na wódkę, żeby pochwalić się sukcesem).

Nacieszywszy się swoją wiktoria, niestęchaną jak na tutejsze stosunki, lejtnant milicji wydaje rozkaz, aby odesłać mnie do wsi. Znów rzucają mnie na wóz i wiozą do aresztu — gdzie ich nie ma! są przy każdej radzie gromadzkiej. Dwaj strzelcy dyżuru-

ją w korytarzu, dwaj pod oknem! — pułkownik amerykańskiego wywiadu! Ręce mi związali, ale każą mi leżeć pośrodku podłogi, nie zbliżając się do żadnej ze ścian. Tak też — półnagi, na gołej ziemi spędzam tę październikową noc. Rano przychodzi kapitan, boruje mnie wprost oczyma. Rzuca mi mój kitel (resztę odzieży już przepili). Cichym głosem, oglądając się na drzwi, zadaje mi dziwne pytanie:

Skąd ty mnie znasz?

Wcale was nie znam.

Ale skądś wiedział, że poszukiwaniami kieruje kapitan Worobiow?

Czy rozumiesz, łajdaku, jak ja teraz wyglądam?

Więc to jest Worobiow! I kapitan! Wtedy, w nocy, kiedyśmy podali się za opergrupę, wymienilem nazwisko kapitana Worobiowa, a ten pracuś, nad którym się zliłowałem, starannie o wszystkim doniósł. I teraz pan kapitan ma nieprzyjemności!

Pewno, skoro szef grupy pościgowej związany jest ze zbiegiem, to co się dziwić, że go przez trzy tygodnie nikt nie może złapać!...

Przychodzi potem cała sfera oficerów, krzyczą na mnie, wypytują o Worobiowa. Mówię im, że to przypadek.

172

Znów skrępowali mi ręce drutem, wyciągnęli sznurowadła z butów i w biały dzień prowadzą przez wieś. Eskortuje mnie jakichś dwudziestu strzelców z automatami. Cała wieś wyszła na gościniec, baby kiwają głowami, dzieci biegną za mną i krzyczą:

— Bandyta! Na rozstrzelanie go prowadzą!

Drut rżnie mnie w ręce, przy każdym kroku spadają mi buty z nóg, ale idę z podniesioną głową i patrzę ludziom prosto w oczy, niech widzą, że to uczciwy człowiek idzie.

To wszystko przecież — na pokaz, żeby te baby i te dzieciaki pamiętały (jeszcze przez dwadzieścia lat będą tu legendy opowiadać). W końcu wsi wpychają mnie na pustą platformę ciężarówki ze starych desek, pełnych zadziurów. Pięciu strzelców siadło pod ścianką szoferki, aby nie spuszczać mnie z oka.

I oto wszystkie te kilometry, które nizaliśmy z taką radością, kilometry oddzielające nas od obozu, muszę teraz odwalić w odwrotnym kierunku. A będzie ich z pół tysiąca, bo też samochód jedzie drogami, nie na przełaj. Zakładają mi na ręce kajdany, zaciskając je aż do oporu. Ręce za plecami, więc nie mogę ośłaniać twarzy. Leżę nie jak człowiek, lecz jak kawał drewna. Tak nas właśnie lubią karać.

Droga też się popsuta: — pada i pada — a samochód skacze po wybojach. I przy każdym chybnieniu się wozu — moja głowa i twarz obijają się o dno nadwozia, zbierają drzazgi i szarpane są przez sęki. A ręce nie tylko nie mogą twarzy ośłonić, ale przy każdym wstrząsie mocniej wrzynają się w nie kajdany, całkiem jakby ktoś piłował mi nadgarstki. Usiłuję podpełznąć na kolanach do burty wozu i siąść, opierając się o nią grzbietem. Gdzie tam! — nie mam czym się podeprzeć: przy pierwszym silnym wstrząsie rzuca mną znów po całym pudle nadwozia i znów czołgam się bezradnie. Tak mną rzuca — tak tłucze mną o deski, że aż bebechy się we mnie przewracają. Na grzbiecie nie sposób: odrywa kście. Przewracam się na bok — nie można wytrzymać. Obracam się na brzuch — jeszcze gorzej. Staram się wygiąć szyję i trzymać głowę wysoko, aby uchronić ją od ciosów. Ale szyja prędko się męczy, głowa opada i znów tłukę pyskiem o deski.

A pięciu konwojentów spokojnie patrzy na moją udrękę.

Ta podróż to nowy etap ich edukacji.

Lejtnant Jakowlew, jadący w szoferce, na przystankach zagląda przez burtę i pyta z drwiną: „No, nie uciekłeś?”. Proszę o pozwolenie pójścia za potrzebą, ale Jakowlew tylko rechocze: „A załatwiasz się w portki, my ci nie przeszkadzamy”. Proszę o zdjęcie kajdan, a ten się śmieje: „Szczęście twoje, żeś nie trafił na tego chłopaka, coś to mu pod nosem przelazło za żonę. Już byś dawno nie żył”.

173

Poprzedniego dnia cieszyłem się, że mnie pobito, ale jakby słabiej, niż na to sobie „zasłużyłem”. Ale też po co ranić sobie pięści, skoro wszystko załatwią deski ciężarówki? Całe ciało mam obolałe, całą skórę poobdziera-ną, dłonie jak oderżnięte. Głowa pęka z bólu. Twarz rozkwaszona — cała w drzazgach, skóra wisi z niej strzępami⁵.

Jedziemy cały dzień i prawie całą noc.

Kiedy zaprzestałem walki z deskami i całkiem już bezradnie tłukłem się

0 nie łbem, jeden z konwojentów nie wytrzymał i podłożył mi pod głowę swój plecak, rozluźnił nieznacznie kajdany, pochylił się nade mną i powiedział szeptem: „Nie martw się, niedługo przyjedziemy, postaraj się wytrzymać”! (Skąd taki odruch u tego chłopaka? Kto go wychował? Na pewno nie Maksym Gorki i z pewnością nie politruk z jego kompanii).

Ekibastuz. Konwojenci otaczają samochód. „Wyłazić!”. Nie mogę się podnieść. (Zresztą, gdybym stanął na nogi, to dopiero daliby mi wycisk z radości!) Opuścili burtę, zwlekli mnie na ziemię. Zbiegli się też nadzorcy — chcą napatrzeć się i pośmiać do woli. „Uch, ale agresor!” — krzyknął któryś.

Powlekli mnie przez wartownię do więzienia. Wepchnęli nie do izolatki, tylko od razu do wspólnej celi — niech się tam amatorzy wolności napatrzą na mnie.

W celi koledzy podnieśli mnie ostrożnie z ziemi i położyli na górnych narach. Tylko chleba dla mnie nie mieli — aż do porannego przydziału.

Kola zaś tej nocy jechał dalej w stronę Omska. Widząc światła nadjeżdżających samochodów odskakiwał z rowerem w stęp i tam padał w bruzdy. Później, już na jakimś samotnym futorze wdarł się do kurnika: spełnił swoje marzenie — trzem kurem ukręcił łby i schował do worka. A kiedy reszta się rozgdakała — ruszył dalej. To poczucie niepewności, które poraziło nas na skutek paru grubych błędów, jakieśmy popełnili — teraz, gdy ja już byłem w ręku prześladowców, jeszcze mocniej zawładnęło Kolą. Wrażliwy, niezdecydowany kontynuował teraz ucieczkę raczej z desperacji, nie bardzo wiedząc, co dalej począć. Nie zdawał sobie sprawy z najprostszych rzeczy, na przykład, że zniknięcie roweru i fuzji dawno już zostało odkryte i że te przedmioty wcale go już nie maskują, że trzeba było z samego rana pozbyć się ich, bo zbyt rzucają się w oczy; do Omska zaś podejść trzeba nie z tego kierunku

1 nie szosą, tylko naprzód obejść miasto przez puste peryferie. Strzelbę ‘ Tenno cierpi ponadto na hemofilię. Zdecydował się na to całe ryzyko, a jedno skaleczenie mogło przyprawić go o utratę życia.

174

i rower można też było sprzedać, byle szybciej — i zaraz byłyby jakieś pieniądze. Kola przesiedział już w zaroślach nad Irtyszem pół dnia, ale znów nie wytrzymał do

wieczora i pojechał wzdłuż rzeki ścieżkami. Nie wykluczone, że miejscowe radio nadało już list gończy z jego rysopisem; na Syberii nie krępują się tak, jak w Rosji europejskiej.

Podjechał do jakiegoś domku, wszedł do środka. Znalazł tam staruchę z trzydziestoletnią córką. Było także radio. Dziwnym zbiegiem okoliczności nadawano właśnie piosenkę:

„Włóczęga uciekł z Sachalinu Zwierzęcy prowadził go trop...”.

Kola rozmiękł, łzy zakręciły mu się w oczach. „Co cię tak gnębi?” — zapytały kobiety. Ich współczucie całkiem go rozrzewniło. Zapłakał w głoś. Jęły go teraz pocieszać. Poskarżył się więc: — „Jestem zupełnie sam. Wszyscy o mnie zapomnieli”.

— „No to się żeń” — półżartem, półserio powiedziała ta stara moja córka też jest samotna”. Kola rozkrochmalił się i zaczął zerkać na młodą. Ta zaś podeszła do rzeczy praktycznie: — „Masz forse na wódkę?”.

Kola wysuptał ostatnie rubelki, okazało się, że przymało. — „Dobra, potem ci dodam”. — Wyszła. — „Aha! — przypomniał sobie Kola. — Nastrzelałem przecież kuropatw. Niech je mamusia weźmie, w sam raz na weselną ucztę”. Baba bierze i powiada: — „Toż to kury!”. — „No, widać pomyliłem się w ciemnościach, jakim strzelał”. — „A dlaczego łby ukręcone?”.

Kola prosi o coś do palenia, a starucha chce od narzeczonego pieniędzy za machorkę. Kola zdjął czapkę, a starucha się zlekła: — „A możesz ty więzień, masz golony łeb? Uciekaj, pókiś cały. Bo jak córka wróci, to musowo cię wydamy milicji!”. I cały czas chodzi Kola po głowie taka myśl: czemu to myśmy na Irtyżu ulitowali się nad tymi frajerami, a wolni wcale się nad nami nie litują? Zdjął ze ściany kurtkę „moskiewską” (na dworze już chłody, a on ma na sobie tylko garnitur), przymierzył — w sam raz. Babka krzyczy: — „Bo cię wydam milicji!”. — A Kola widzi przez okno, że córka wraca, a z nią ktoś jeszcze, na rowerze. Już wydała!

A więc — machmadera! Złapał strzelbę i rozkazuje babie: — „Do kąta! Kładź się na ziemi!”. — Skoczył pod ścianę, przepuścił tych dwoje, a gdy już byli w izbie zawołał: — „Kłaść się!”. — I do mężczyzny: — „A ty podarujesz mi buty na wesele! Zzuwaj duchem!”. - Pod groźbą lufy facet zzuł długie buty. Kola zrzucił obozowe trepy, wziął sobie tamte i zagroził, że jeśli ktoś za nim pójdzie, to będzie strzelał. I odjechał na rowerze. Mężczyzna popędził jednak za nim na swoim. Kola zeskończył z siodełka, przyłożył kolbę do ramienia: „Stój! Zostaw

175

rower! Odejdź na bok!”. — Odpędził go, połamał szprychy, gumy poprzecinał nożem i pojechał dalej.

Wkrótce wyjechał na szosę. Prosto na Omsk. Całkiem zwyczajnie — wziął i pojechał. Przystanek autobusowy. Na kartofliskach baby dłubią w ziemi. Z tyłu najeżdża jakiś motocykl z trzema typami w fufajkach, pewno robotnicy. Jedzie, jedzie, nagle najeżdża na Kolę i przewraca go przyczepą. Ci trzej zeskoczyli z motocykla, zwalili się na Żdanka i rąbnęli kolbą pistoletu w głowę.

Baby z warzywnika w krzyk: — „Za co go tak? Co on wam zrobił?!?”.

Rzeczywiście — co on im złego zrobił?...

Ale prości ludzie nie są w stanie zrozumieć, co kto komu zrobił — i co jeszcze robić będzie. Pod fufajkami wszyscy trzej mieli mundury (opergrupa dniami i nocami dyżurowała przy wjeździe do miasta). Baby otrzymały odpowiedź: — „To morderca”. — Najprostsze wyjście. I baby wierząc w prawo wróciły do kopania ziemniaków.

A opergrupa przede wszystkim zapytała wynędzniałego zbiega, czy ma pieniądze. Kola uczciwie odparł, że nie ma. Obszukali go i w którejś kieszeni jego nowej kurtki znaleźli 50 rubli. Wzięli je sobie, podjechali do jadłodajni, gdzie je przejedli i przepili. Zresztą — również Kolę nakarmili.

W ten więc sposób zawińaliśmy do ciupy na dłuższy czas, sąd odbył się dopiero w lipcu następnego roku. Dziewięć miesięcy odbębniliśmy w obozowej kozie, od czasu do czasu taszczyli nas na śledztwo. Prowadził je szef wydziału dyscyplinarnego Maczechowski i pełnomocnik operacyjny, lejtnant Wajnsztejn. Chodziło o dowieczenie się — kto z więźniów nam pomagał?, kto z wolnych „w zмовie” z nami wyłączył światło w chwili ucieczki? (Toż im nie wyjaśnialiśmy, że mieliśmy całkiem inne plany i że zgaśnięcie światła tylko nam przeszkodziło). Gdzie mieliśmy zameldować się w Omsku? Przez jaką granicę zamierzaliśmy dalej uciekać? (Nie mieściło im się w głowie, że ktoś chciałby zostać w kraju). — „Uciekaliśmy do Moskwy, żeby w KC opowiedzieć o aresztowaniach niewinnych ludzi, to wszystko!”. — Nie chcą nam wierzyć.

Nie mogąc wydobyć z nas niczego „interesującego”, uwili nam zwykły uciekinierski bukiet: 58-14 (sabotaż kontrewolucyjny); 59-3 (bandytyzm); Dekret „cztery-szóste”; artykuł „jeden-dwa” (kradzież dokonana przez szajkę złodziejską); ten sam dekret, artykuł „dwa-dwa” (rozbój powiązany z groźnym dla życia ofiary użyciem przemocy); artykuł 182 (wyrób i noszenie broni siecznej i tnącej).

Ale cały ten ponury ciąg artykułów nie groził nam zwiększeniem ciężaru okowów, jakie dźwigaliśmy dotychczas. Kara sądowa, której wymiar dawno przekroczył wszelkie rozsądne granice, przewidywała w tym wypadku

176

te same dwadzieścia pięć lat, które obrywał byle baptysta za swoje modlitwy — i które już mieliśmy na karku bez wszelkich prób ucieczki. Tyle, że teraz przy apelu mieliśmy powtarzać, że kara ma trwać nie do 1973 roku, lecz do 1975. Jak byśmy w ogóle w 1951 byli w stanie docenić tę różnicę!

Wszelako — jeden groźny moment przeżyliśmy w trakcie tego dochodzenia — gdy próbowano uznać nas za dywersantów gospodarczych. Niewinny ten termin był niebezpieczniejszy niż zużyte już „sabotażysta, bandyta, rozbójnik, złodziej”. Za dywersję gospodarczą groziła kara śmierci, wprowadzona właśnie przed jakimś roczkiem.

Dywersantami zaś byliśmy dlatego, że podkopywaliśmy gospodarkę państwa ludowego. Jak wyjaśnili nam panowie śledczy, na pościg za nami wydano 102.000 rubli; niektóre przedsiębiorstwa obozowe przez kilka dni były nieczynne (nie wyprawiano więźniów do roboty, bo konwój postany został w pogoń za nami); 23 ciężarówki ze strzelcami dzień i noc objeżdżały stepy, w ciągu trzech tygodni przekroczyły roczną normę zużycia benzyny; wysłano opergrupy po całym państwie, a wraz z nimi 400 fotografii moich i 400 Koli.

Z dumą wysłuchaliśmy tego wyliczenia...

Tak więc — dostaliśmy znów po dwadzieścia pięć.

Kiedy czytelnik weźmie do rąk tę książkę — pewno jeszcze będziemy te wyroki odsiadywać...”6.

Po ucieczce Tenno — na cały rok rozpędzono na cztery wiatry (za ten nieszczęsny skecz) kółko amatorskie przy dziale KO. Dlatego, że kultura — to dobra rzecz. Ale powinna służyć sprawie niewoli, a nie wolności.

6 Nim ta książka zdołała dotrzeć do czytelników — Georgij Pawłowicz Tenno, atleta, ba, teoretyk atletyki, umarł 22 października 1967 roku; niespodzianie zżarł go galopujący rak. Starczyło mu w pościeli sił jeszcze na tyle, by przeczytać te rozdziały i drętwiejącymi już palcami zrobić ich korektę. Nie tak sobie wyobrażał swoją śmierć, nie tak mówił o niej przyjaciółom! Podobnie jak niegdyś, gdy snuł plany ucieczki, zapalał się teraz do myśli, że zginie w walce. Powiadał, że nim umrze, zabierze ze sobą na tamten świat z dziesięciu katów, a na pierwszym miejscu Wiaczka Zębatego (Mołotowa) i — ale to koniecznie — Chwata (śledczego w sprawie prezesa Akademii Nauk Wawłowa). Nie byłoby to zabójstwo, ale wykonanie kary śmierci, skoro prawo państwowe bierze w obronę morderców. „Po pierwszych twoich wystrzałach — już drogo sprzedałeś swoje życie — mawia Tenno — i teraz już tylko z satysfakcją przekraczasz plan”. Ale choroba zmogła go nagle, nie mógł zdobyć broni i szybko utracił siły. Już ciężko chory, Tenno roznosił moje listy do Zjazdu Literatów na różne moskiewskie adresy. Prosił, by pochować go w Estonii. Pastor, który odprawiał egzekwie, też był starym więźniem: nasiedział się i w hitlerowskich i w stalinowskich obozach.

A Mołotow dalej spokojniutko wertuje stare gazety i pisze swoje pamiętniki kata. Chwat zaś — beztrząsco korzysta ze swojej renty w domu numer 41 przy ulicy Gorkiego.

X Archipelag Gułag

VIII

UCIECZKI Z MORAŁEM I UCIECZKI Z TECHNOLOGIĄ

Do ucieczek ze zwykłych obozów ITŁ — jeśli tylko nie kończyły się w Wiedniu albo po drugiej stronie cieśniny Beringa — szefowie GUłagu, zgodnie zresztą z instrukcją, odnosili się raczej pobłażliwie. Upatrywali w nich zjawisko żywiołowe, objaw niedociągnięć trudnych do uniknięcia w zbyt wielkim przedsiębiorstwie — takich, jak pomór bydła, zatonięcie części drewna przy spławie, występowanie stłuczki wśród cegieł.

Inaczej było w Specobozach. Aby zadośćuczynić specjalnemu życzeniu Ojca Narodów, obozy te znalazły się pod nadzorem wielokrotnie wzmocnionym; wyposażenie straży w środki bojowe osiągnęło poziom uzbrojenia nowoczesnej motopiechoty (tzn. tych kontyngentów, które nie podlegają redukcji, nawet gdyby doszło do powszechnego rozbrojenia). Do tych obozów nie posyłano już elementów socjalnie bliskich, których ucieczki nie powodowały większych szkód. Tu już nikt nie musiał szukać wykrętów — że żołnierzy za mało albo że broń mają przestarzałą. Przy zakładaniu Spec-obozów wydano instrukcję, zgodnie z którą nie może być w ogóle ucieczek z tych obozów, bowiem każda ucieczka jakiegoś tutejszego więźnia równa się przejściu granicy przez szpiega grubego kalibru, jest polityczną plamą na reputacji Zarządu i dowództwa wojsk eskorty.

Ale właśnie w tym okresie Pięćdziesiątka Ósemka zaczęła dostawać ryczałtem już nie d y c h y, ale ć w i a r y — to znaczy — sięgnęła pułapu KK. To bezmyślne i powszechne obostrzenie niosło w sobie zarodek własnej słabości: podobnie jak mordercy nie mieli już teraz żadnych skrupułów (każde nowe zabójstwo prowadziło tyl-

ko do pewnego przedłużenia tej samej „dziesięciolatki”) — tak samo politycznych żaden kodeks karny nie powstrzymywał już od ucieczek.

178

Nadto — do Specobozów zapędzono już nie ludzi głowiących się, jakby tu z pomocą Jedynej Naukowej Doktryny usprawiedliwić rozpasaną samowolę zwierzchności, lecz krzepkich i zdrowych chłopaków, co to całą wojnę spędzili w polu i których palce jeszcze się dobrze nie rozgięły po rzutach granatem. Georgij Tenno, Iwan Worobiow, Wasyl Briuchin, ich towarzysze i tylu im podobnych z innych obozów, nawet bez broni doskonale wytrzymywali konfrontację z nowymi, regularnymi oddziałami eskorty, wyposażonymi w środki techniczne motopiechoty.

I chociaż ucieczki ze Specobozów były w cyfrach absolutnych mniej liczne niż z ITk (ale Specobozy istniały dopiero od niedawna), lecz miały też charakter surowszy, cięższy, bardziej desperacki i beznadziejny; dlatego też było o nich znacznie głośniej.

Relacje o nich pomogą nam odpowiedzieć sobie na pytanie, czy naprawdę nasz lud tak był w tych latach cierpliwy, tak już pokorny.

Oto kilka takich historii.

Rok przed ucieczką Tenno miał miejsce wypadek, który posłużył mu za przykład.

We wrześniu 1949 z Pierwszej Filii Stepłagu (Rudnik, Dżezkaz-gan) uciekło dwóch katorżników — Grzegorz Kudła, przysadzisty, stateczny i rozsądny Ukrainiec, niemłody już (ale gdy mu kto dopiekl, zamieniał się w istnego Zaporozca, nawet szemrani go się bali) — i Iwan Duszeczkin, cichy Białorusin lat trzydziestu pięciu.

Pracowali w kopalni i znaleźli w starym, wyrąbanym chodniku przełaz zamknięty u wylotu kratą. Tę kratę podczas nocnych szycht Kudła i Duszeczkin zdołali rozchwierutać, a w międzyczasie znosili do przełazu suchary, noże, a nawet termofor, ukradziony w ambulatorium. Gdy nadeszła noc ucieczki, oznajmili brygadziście — każdy zrobił to z osobna — że czują się źle, nie mogą pracować i muszą poleżeć. Nocami pod ziemią nie ma nadzorców, brygadzysta reprezentuje całą władzę, ale używać musi jej ostrożnie, bo zawsze mogą go znaleźć na przodku z rozbitym łbem. Zbiegowie nabrali wody do termo-foru, zabrali swoje zapasy i zniknęli w przełazie. Wyłamali kratę i popęzli przed siebie. Wylot, jak się okazało, był niedaleko wieżyczek, ale już poza żoną. Nikt ich nie zauważył.

Z Dżezkazganu poszli przez pustynię na przełaj, na północny zachód. We dnie leżeli, nocami szli. Nie znajdowali nigdzie wody i po tygodniu Duszeczkin nie chciał już wstawać. Kudła skłonił go do wstania na nogi, twierdząc, że woda może być za pagórkami, które widzieli przed sobą. Dowlekli się tam, ale w rozpadlinach znaleźli nie wodę, lecz błoto. I Duszeczkin powiedział wtedy: — „Ja i tak już dalej nie pójdę. Załatw mnie tutaj i napij się mojej krwi!”.

Panowie moralści! Jak tu należało postąpić? Kudle też już dwoiło się

179

w oczach. Przecież Duszeczkin zginie i tak — dlaczego Kudła też ma ginąć?... Ale jeśli woda jest już niedaleko — to jak potem będzie całe życie wspominać Duszeczkiną?... Kudła podjął decyzję: pójdę jeszcze kawałek, jeśli do rana wrócę bez wody, to skrócę jego męki, niech tam dwóch naraz nie ginie. Kudła powłókł się w stronę najbliższego pagórka, zobaczył na drugim jego zboczu rozpadlinę i — jak w najfantastyczniejszej powieści — wodę w tej rozpadlinie! Kudła stoczył się na jej

brzeg, przypadł ustami i pił, pił! (dopiero nad ranem zobaczył w niej kijanki i wodorośty). Z pełnym termoforem wrócił do Duszeczkina: — „Przyniosłem ci wody, wody!”. — Duszeczkina nie chciał wierzyć, pił — i nie wierzył, że to woda (w ciągu tych nocnych godzin nieraz mu się zdawało, że pije...). Dowlekli się do tej rozpadliny i zostali przy niej, aby jeszcze pić.

Po pragnieniu zjawiał się głód. Ale następnej nocy przekroczyli jakąś przełęcz i zeszli w dolinę łąki błogosławioną: rzeka, trawa, krzewy, konie, życie. Gdy zapadł zmrok Kudła podkraść się do tabunu i zabił jednego z koni. Chłaptali jego krew prosto z ran. (Bojownicy o pokój! Tego roku zebraliście się na huczny kongres w Wiedniu czy Sztokholmie, gdzie piliście koktajle przez słomkę. Nie powstało warn chyba w głowie, że krajanie ry-motwórcy Tichonowa i publicyści Erenburga wysysają krew z końskiego ścierwa? Czy nie wyjaśnili warn, że to wchodzi w skład sowieckiego pojęcia pokoju?).

Piekli więc końskie mięso na ogniskach, długo jedli je i długo szli. Obeszli opłotkami Amangeldy na Turgaju, ale na jakimś gościńcu dogoniła ich ciężarówka i jadący nią Kazachowie zażądali od nich dokumentów, grożąc, że wydadzą w ręce milicji. W dalszej drodze spotykali często ruczaje i jeziora. Kudła złapał i zarznął barana. Już cały miesiąc tak uciekali! Doszli wreszcie do pierwszego lasu, znaleźli w nim ziemiankę i zamieszkali w niej: nie chciało im się porzucać żyznych okolic. Ten długi popas i fakt, że nie ciągnęło ich do ziemi ojczystej, że nie spodziewali się znaleźć tam spokoju — wszystko dowodzi jak desperacka i bezcelowa była ich ucieczka. Nocami robili wypadki na teren pobliskiego siola. To skradli tam saga-nek, to wytłamali zamek w komórcie i zabrali mąkę, sól, siekierę, garnki. (Zbieg — podobnie jak partyzant — krążąc wśród ludzi wegetujących w spokoju, musi wkrótce stać się złodziejem...). A pewnego razu uprowadzili nawet krowę i zarznął ją w lesie. Ale właśnie spadł pierwszy śnieg i — nie chcąc zostawić śladów — musieli siedzieć bez przerwy w ziemiance. Ledwie tylko Kudła wylał po trochę chrustu, zaraz zobaczył go leśnik i natychmiast zaczął strzelać. — „To wyście ci złodzieje? To wyście krowę ukradli?”. — Obok ziemianki były jeszcze ślady krwi na ziemi. Odprowa-

180

dzono ich do wioski, wzięto pod klucz. Ludzie krzyczeli: zabić ich na miejscu bez litości! Śledczy z powiatu miał przy sobie list gończy i oznajmił chłopom: — „Ale zuchy! Nie złodziei złapaliście, tylko groźnych politycznych bandytów!”.

I tu wszystko się odmieniło. Nikt już więcej nie krzychał. Właściciel krowy — okazało się, że to Czeczeniec, więc deportowany, przyniósł aresztantom chleba, baraniny, a nawet pieniędzy, co je Czećzericy zebrali. — „Ech — powiedział — czemuś nie przyszedł, nie powiedział, kim jesteś! Toć sam bym ci wszystko dał!...”. — (Można w to nie wątpić, to bardzo po czeczeńsku). Wtedy Kudła się rozpłakał. Po tylu latach zawziętości serce nie wytrzymało współczucia.

Aresztantów odstawiono do Kustanaja. Tam, w kolejowej pace nie tylko odebrano im (dla siebie) całą czeczeńską prowizję, ale w ogóle nie dawano jeść! (I Korniejczuk nic warn o tym nie powiedział na Kongresie Pokoju?). Na Kustanajskim peronie kazano im czekać na pociąg — na kolanach, z rękoma skutymi i wykręconymi do tyłu. Tak ich trzymano na pokaz.

Gdyby to było na peronie w Moskwie, w Leningradzie, w Kijowie, słowem — w którymkolwiek z uprzywilejowanych miast — to nikt by nie chciał zwrócić uwagi na tego siwego, rzuconego na kolana starca w kajdanach jak z obrazu Riepina; wszyscy

przechodziliby obok, nie widząc nic, nie odwracając głów — i współpracownicy wydawnictw literackich, i czołowi filmowcy, i lektorzy z humanistyki, i oficerowie, nie mówiąc już o działaczach związkowych i partyjnych. Także wszyscy szarzy, nie wyróżniający się niczym, nie piastujący żadnych stanowisk obywatele — też staraliby się przewinąć bez zwracania na siebie uwagi, żeby eskorta nie spytała, ktoś zacz i nie zapisała nazwiska — bo przecież masz, człowieku, moskiewski meldunek, w Moskwie są dobre sklepy, nie wolno ryzykować... (Można jeszcze zrozumieć podobne postępowanie w 1949 roku, ale czy w 1965 byłoby inaczej? Czy nasi młodzi a zdolni ujęliby się przed konwojem za siwowłosym starcem, klęczącym w kajdanach na peronie?)

Ale kustanajcy niewiele mieli do stracenia, mieszkali tam sami malkontenci albo z masłem na głowie, albo po prostu deportowani. Jeśli tedy gromadzić się koło aresztowanych, rzucać im machorkę, papierosy, chleb. Kudła miał dłonie skute za plecami, więc pochylił się, aby ugryźć chleb wprost z ziemi, ale konwojent czubkiem buta wybił mu chleb z ust. Kudła przewrócił się na bok i znów popętlął do chleba, ale konwojent kopnął kromkę chleba daleko w bok! (Panowie reżyserowie, tak lubiący w swoich filmach pokazywać pocziwych starców i staruszki! — może zechcecie zapamiętać ujęcie z tym starcem?). Tłum gęstniał, padały okrzyki: „Puście ich! Puście!”. Przybył patrol milicji. Patrol okazał się lepiej uzbrojony od tłumu i rozegnał go.

181

Nadszedł pociąg i zbiegowie odjechali nim w kierunku kengirskiego więzienia. Ucieczki kazachstańskie są monotonne jak tutejszy step. Ale może ta monotonia pozwala lepiej widzieć sedno sprawy?

Też z kopalni, też z Dżezgazganu, ale w roku 1951, starym przełazem trzech więźniów wyszło na powierzchnię. Była noc. Maszerowali tak jeszcze trzy noce. Pragnienie dało im się już wystarczająco we znaki — widząc więc kilka kazachskich jurty, dwu z nich postanowiło poprosić mieszkańców

0 wodę, trzeci zaś — Stiepan X. — wołał zostać na stoku pobliskiego pagórka. Widział, jak koledzy wchodzić do jurty i jak wkrótce wybiegają z niej. Gonił ich tłum Kazachów — i wkrótce dogonił. Stiepan — szczupły

1 drobny, uciekł klucząc jarami i kontynuował swoją wędrówkę w samotności, nie mając przy sobie nic, prócz noża. Starał się iść na północny zachód, ale wciąż zmieniał kierunek: unikał spotkań z ludźmi, wołał zwierzęta. Wyciął sobie kij i polował na susły i chomiki ciskając w nie tym kijem, gdy robiły stójkę koło norek. Ich krew starał się wysysać, a mięso piekł na ogniskach z chrustu.

Właśnie takie ognisko go zdradziło. Pewnego dnia Stiepan zobaczył jeźdźca w ogromnej, rudej czapie futrzanej; zbliżał się galopem i Stiepan ledwie zdążył przykryć swój szaszłyk gałęzmi, aby Kazach nie zorientował się, co też to za danie. Kazach podjechał blisko i jął wypytywać — kto zacz i skąd. Stiepan wyjaśnił — że pracował w kopalni manganu w Dżezdach (wolni też tam pracowali), a kieruje się do sowchozu, gdzie pracuje jego żona — jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Kazach zapytał, jak się ten sowchoz nazywa. Stiepan wybrał wersję najbardziej prawdopodobną: „imienia Stalina”.

Synu stepów! A popędziłbyś sobie dalej swoją drogą! Co ci złego zrobił ten mizerak? Nie! Kazach oznajmił groźnie: — „Twoja siedziła w turma. Idziemy!”. — Stie-

pan zaklął tylko i poszedł swoją drogą. Kazach jechał za nim i wciąż się domagał, aby Stiepan szedł za nim. Potem sadził w bok od drogi, wymachiwał czapą, wzywał swoich do pomocy. Ale step był pusty. Synu stepów! A zostawiłbyś go w spokoju, toć widzisz, że z gołą pałką w ręku idzie przez step, co ciągnie się na setki wiorst, idzie bez zapasów. I tak zginie! Czy ci tak potrzebne to kilo herbaty? Żyjąc już od tygodnia jak zwierzę, Stiepan nauczył się odróżniać każdy szmer i świst. Nagle usłyszał w powietrzu odgłos nowy — i nie widząc jeszcze o co chodzi, instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Odskokzył w bok. To go uratowało. Okazało się, że Kazach rzucił arkan, ale Stiepan wywinął się z pętli. Polowanie na dwunożne zwierzę! Człowiek — albo kilo herbaty! Kazach zaklął i zwinął arkan. Stiepan ruszył dalej mając się na baczności i starając

182

się nie tracić Kazacha z oczu. Ten podjechał bliżej, zwinął arkan i znów nim rzucił. Wtedy Stiepan podbiegł do niego i ciosem pałki po łbie zbił go z siodła. (Sił miał niewiele, ale to już była sprawa gardłowa). — „Masz swój kałym, babaj” — bez pardonu zaczął go lać ze wściekłości, jak zwierzę, co rwie kłami drugiego zwierza. Gdy jednak zobaczył krew, powstrzymał się. Zabrał Kazachowi arkan i knut, włożył na konia; u siodła przywiązany był jeszcze mieszek z zapasami. Eskapada jego trwała jeszcze długo — ze dwa tygodnie, ale odtąd Stiepan starannie unikał głównych wrogów — innych ludzi, rodaków. Już rozstał się z koniem, już przebył wpław jakąś rzekę (a nie umiał pływać! — tratwę z trzciny też sobie sklecił, nie wiedząc, jak to się robi!), już próbował polowania — musiał w ciemnościach uciekać przed jakimś dużym zwierzęciem, chyba niedźwiedziem. I oto pewnego dnia tak go zadręczyło pragnienie, głód, znużenie, zięb — że zdecydował się na wejście do samotnej jurty, aby wyżebrać tam cokolwiek bądź. Dziedzińczyk przed jurką otoczony był płotem z samanu i zbyt późno, bo dopiero podchodząc do ogrodzenia, Stiepan zobaczył tam dwa konie pod siodłem i młodego Kazacha w bluzie z orderami, idącego mu naprzeciw. Za późno było na ucieczkę, Stiepan zrozumiał, że to już koniec. A Kazach wyszedł za potrzebą. Był pijaniusieńki i ucieszył się na widok Stiepana, nie widząc jakby wcale, jak nieładnie ten człowiek jest obdarty. — „A chodźże, chodźże, witamy gościa!”. — W jurcie siedział stary ojciec i drugi młody Kazach z orderami na piersi. Byli to dwaj bracia, byli frontowcy, teraz — na wysokich stanowiskach w Ałma-Acie, którzy przyjechali do ojca z wizytą; konie wzięli w pobliskim kołchozie. Chłopcy ci wiedzieli, co to wojna i dlatego byli ludźmi, a ponadto byli bardzo pijani, więc pijacka beztroska aż ich rozpierała (ta sama dobroduszna beztroska, którą chciał z nas wykorzenić — ale niezupełnie mu się to udało — Wielki Stalin). Im też było miło, że w biesiadzie weźmie udział jeszcze jeden człowiek, choć to tylko prosty robociarz z kopalni, idący do Orska, gdzie jego żona lada chwila ma rodzić. Nie pytali go o dokumenty, tylko napoili, nakarmili i położyli spać. Tak też bywa... (Czy zawsze alkohol jest wrogiem człowieka? Czy niekiedy nie wyzwala w nim jakichś lepszych pierwiastków?). Stiepan zbudził się wcześniej niż jego gospodarze; mimo wszystko lękał się pułapki, więc wyszedł na dwór. Nie, oba konie stały sobie dalej i na jednym z nich mógłby zaraz odjechać precz. Ale nie chciał krzywdzić porządných ludzi — i poszedł piechotą.

Szedł tak jeszcze parę dni — i zaczął już spotykać samochody. Na ich widok zawsze krył się w polu. Doszedł wreszcie do torów kolejowych. Idąc wzdłuż nasypu tejże nocy dotarł do stacji Orsk. Wsiąść do pociągu! — Tyle

183

tylko zostało do zrobienia. Zwycięstwo! Udało mu się dokonać cudu — o kiju, z nożem własnej roboty, zupełnie sam, przebył od krańca do krańca ogromną pustynię — i oto był u celu.

Ale w świetle latarni zobaczył, że po torach stacyjnych snują się żołnierze. Wówczas pobrnął dalej wzdłuż torów aż do skrzyżowania z gościńcem. Teraz już nie chował się z nadejściem dnia: był już przecież w Rosji, na ziemi ojczystej! Zobaczył jadący mu na spotkanie samochód; ciągnął za sobą obłok kurzu. Pierwszy raz Stiepan nie uciekł w pole. Z tej pierwszej ojczystej maszyny wyskoczył rodak-milicjant: „Ktoś ty taki? Ano, pokaż dokumenty!”. Stiepan wyjaśnił, że jest traktorystą szukającym pracy. W samochodzie siedział akurat przewodniczący kołchozu: „Zostaw go, cholernie mi brak traktorzystów! Kto tam na wsi ma dokumenty!”. Cały dzień jeździli, coś tam targowali, pili i jedli, ale przed zmrokiem Stiepan nie wytrzymał i pobiegł w stronę lasu, do którego było jakieś dwieście metrów. Milicjant był zręczniejszy — wystrzał! jeszcze jeden! Trzeba było się zatrzymać. Kajdanki. Prawdopodobnie zgubiono jego ślady i uznano za zaginionego, a żołnierze w Orsku szukali całkiem kogoś innego, bo milicjant był nie od tego, by go puścić, a w rejonowej delegaturze MWD początkowo bardzo Stiepanowi świadczone — dano herbaty z kanapkami, papierosów „Kazbek”, przesłuchiwał go sam naczelnik (cholera ich wie, tych całych szpiegów, jutro pojedzie do Moskwy i tam zacznie się skarżyć) i mówiono z nim przez „wy”. — „A gdzie wasz radionadajnik? Która komórka jakiego wywiadu was tu przerzuciła?”. — „Komórka?” — dziwił się Stiepan. — „Ja nie w komórce pracowałem, tylko więcej w kopalni”.

Ale nie na kanapkach się skończyło, tylko znacznie gorzej. Żebyż tylko cielesną powłokę Stiepana dostali w łapy! Po powrocie do obozu bito go długo i bezlitośnie. Zadręczony i złamany Stiepan X. dał się strącić do poziomu, na jakim przed ucieczką jednak nie był: podpisał deklarację podsunętą przez kengirskiego opera Bielajewa, że będzie odtąd pomagać w wykrywaniu kandydatów do ucieczki. Stał się czymś w rodzaju kaczkę, puszczonej na wabia. Całą historię swojej ucieczki opowiadał on w kengirskim więzieniu ze szczegółami to jednemu, to drugiemu towarzyszowi z tej samej celi, czekając na jego reakcję. I jeśli słuchacz zdradzał chęć powtórzenia eksperymentu — Stiepan X. meldował o tym kumowi.

Rysy dzięki bezwzględności, które widoczne są w dziejach wszystkich trudnych ucieczek, ostro uwydatniły się w krwawej i niedorzecznej ucieczce z tegoż Dżezkazganu, tego samego lata 1951 roku.

Sześciu zbiegów — przed nocną zrywką z kopalni — uśmierciło siódme-

184

go, który miał u nich opinię kapusia. Następnie wyszli w stęp przez zapomniany chodnik. Tych sześciu było ludźmi bardzo różnego autoramentu, dlatego też — od samego początku nie chcieli trzymać się razem. Byłoby to słuszne, gdyby mieli rozsądny plan.

Jeden z nich poszedł z punktu do osiedla wolnych, tuż obok obozu i zapukał do okna pewnej swojej sympatii. Nie zamierzał szukać u niej kryjówki pod podłogą al-

bo na strychu (to byłoby wcale nie głupie), tylko chciał spędzić parę szczęśliwych chwil (od razu poznajemy w nim knajaka). Używał tak życia jedną noc i jeden dzień, a następnego wieczoru wdział garnitur jej byłego męża poszedł z nią razem do świetlicy na film. Obozowi nadzorcy, co też tam byli, rozpoznali go i natychmiast zaharapczyli.

Dwaj inni, Gruzini, lekkomyślni i zarozumiali, udali się prosto na dworzec i pojechali w stronę Karagandy. Ale z Dżekazganu — prócz szlaków pasterskich i ścieżynek, wydeptanych przez zbiegów, żadnymi innymi drogami nie sposób się wyrwać w świat — prócz jednej zaledwie kolei, prowadzącej tylko i wyłącznie w stronę Karagandy. Wzdłuż tej drogi leżą same obozy i na każdym przystanku urzędują posterunki operacyjne. Tak więc, nie dojeżdżając do Karagandy, obaj nasi Gruzini zostali zapeklowani.

Trzej pozostali ruszyli na południo-zachód, najtrudniejszym szlakiem. Nie ma tu ludzi, ale też nie ma wody. Niemłody Ukrainiec Prokopenko, były żołnierz frontowy, miał mapę, namówił tamtych do wyboru tej drogi i obiecał, że wodę znajdzie. Towarzyszyli mu w ucieczce — pewien krymski Tatar — półknajak i plugawy, zepsiały złodziejaszek. Bez wody i jedzenia szli tak przez cztery doby. Nie mogąc tego dłużej znieść, Tatar i złodziej oznajmili Prokopence: — „Musimy cię załatwić”. — Nie rozumiał i spytał: — „Jak to? Chcecie, żebyśmy się rozeszli?”. — „Nie, trzeba cię załatwić. Wszyscy, jak jesteśmy, nie dojdziemy”. — Prokopenko jął ich błagać. Rozpruł czapkę, wyjął z niej fotografię żony i dzieci, mając nadzieję, że tym ich wzruszy. — „Chłopaki! Przecież razem poszliśmy szukać wolności! Ja was stąd wyprowadzę! Zaraz tu będzie studnia! Woda będzie na pewno! Jeszcze trochę cierpliwości! Zmierzcie się!”.

Ale ci go zarżnęli, spodziewając się jego krwią ugasić pragnienie. Przecieli mu żyły — ale krew się nie pokazała. Zakrzepła...

Patrząc na siebie wilkiem, bo teraz ktoś z nich miał dać gardło, poszli tedy dalej — tam, gdzie bał'ko Prokopenko im kazał — i po dwóch godzinach znaleźli studnię... A następnego dnia zostali zauważeni z samolotu i wzięci w dyby.

Zeznali to wszystko w śledztwie, cały obóz o tym się dowiedział — i postanowiono uchechtać ich za Prokopenkę. Ale trzymano ich w oddzielnej celi i na sąd zawieziono do innego obozu.

185

Można by uwierzyć, że wszystko zależy od gwiazd, pod którymi się ucieczka zaczęła. Można jak najstaranniej opracować dalekie plany — ale w jakimś feralnym momencie gaśnie w żonie światło i już pali na panewce-projekt porwania samochodu. A tymczasem inna ucieczka zaczyna się od nagłego porywu — ale okoliczności zbiegają się, jak na zamówienie.

Latem 1948 roku w tej samej Dżekazgańskiej Pierwszej Filii (nie był to jeszcze wtedy Specobóz) któregoś ranka posłano samochód-wywrotkę po transport piasku z dalekiej kopalni do rozlewni zaprawy. Kopalnia piasku nie była zaliczana do obiektów — to znaczy, że nie miała stałej ochrony, więc wywrotka musiała zabrać również tragarzy — trzech więźniów z dychą i ćwiarami. Eskorta składała się z frajtra i dwóch strzelców, kierowca był to pospolitak zwolniony spod straży. Okazja! Ale okazję trzeba umieć wykorzystać z tą samą szybkością, z jaką się ona zjawia. Więźniowie powinni byli i podjąć decyzję, i wejść w zмовę pod okiem i w obecności konwojentów, stojących tuż obok, podczas gdy oni ładowali piasek. Wszyscy trzej

mieli te same życiorysy, typowe wtedy dla mnogich milionów: najprzód front, potem niemieckie obozy, ucieczki z nich, karne łagry koncentracyjne, wyzwolenie pod koniec wojny — i w nagrodę za to wszystko — ojczyście więzienie. I czemuż to teraz nie uciekać we własnym kraju, gdy nie bali się w Niemczech? Załadowali piach i frajter wszedł do szoferki. Dwaj strzelcy z automatami usiedli w przedniej części nadwozia, plecami do szoferki i wymierzili lufy w zeków, siedzących na piasku z tyłu pudła. Ledwie opuścili kopalnię, na dany znak więźniowie sypnęli konwojentom piasku w oczy i rzucili się na nich sami. Rozbroili żołnierzy i przez okna szoferki ogłuszyli kolbą dowódcę. Samochód stanął, szofer ledwie był żywy ze strachu. Powiedzieli mu wtedy: „Nie bój się, nie zrobimy ci krzywdy, tyś przecie nie pies! Wyszypuj!”. Poszedł w ruch silnik i piasek — drogocenny, droższy od złota, ten, któremu zawdzięczali wolność — zwałił się na ziemię.

I tu — jak podczas wszystkich niemal ucieczek — niech tego historia nie zapomni! — niewolnicy okazali się bardziej wspaniałomyślni niż ich panowie. Zbiegowie nie zabili konwojentów, ani ich nie pobili, kazali im tylko rozebrać się, zzuć buty i — bo so, w spodniej bieliźnie — kazali wracać do domu. — „A ty z kim, panie kierowco?”. — „A z wami, z kim by jeszcze” — zdecydował szofer.

Aby zbić z tropu rozzutych strażników (oto cena miłosierdzia!) najprzód pojechali na zachód (step gładki, jedź gdzie chcesz), potem jeden przebrał się za frajtra, a dwóch za żołnierzy i skręcili na północ. Wszyscy pod bronią, szofer z przepustką, żadnych podejrzeń! Mimo to, mijając linie telefoniczne — rwali druty, aby utrudnić łączność (ściągali druty zarzuca-

186

jąc na nie sznur z ciężarkiem, a potem szarpali hakiem). Tracili na to czas, ale zysk był większy. Cały dzień pędzili na pełnym gazie, aż licznik wskazał trzysta przejechanych kilometrów i strzałka paliwa zbliżała się do zera. Jęli przyglądać się mijanym samochodom. „Pobieda”! — zatrzymali ją. — „Towarzysze wybaczą, ale taka nasza służba — poprosimy dokumenty do kontroli”. Okazało się, że grube ryby!, partyjna góra z powiatu jedzie do swoich kotłochozów — coś sprawdzić czy podkręcić, a może po prostu na tłusty beszarmak. — „Wychodzić! Raz-dwa! Rozbierać się!”. — Panowie władza błagają, żeby ich nie rozstrzeliwać. Zostali wyprowadzeni daleko w step, w samej bieliźnie, związani; zbiegowie zabrali im dokumenty, pieniądze, garnitury i odjechali „Pobiedą”. (A strzelcy, rozebrani rano, dopiero wieczorem doszli do najbliższej kopalni. Krzyk z wieżyczki: — „Nie zbliżać się!”. — „My swoi!”. — „Jacy swoi, kiedy w samych gaciach!”).

Zbiornik „Pobiedy” nie był pełen. Przejechali ze dwieście kilometrów — i koniec, kanister też już pusty. Zaczęło się ściemniać. Zobaczyli pasący się tabun. Siedli na oklep i popędzili naprzód. Ale szofer spadł z konia i zwichnął nogę. Chcieli posadzić go na drugiego, ale odmówił: „Nie bójcie się, chłopaki, ja nie nakapię!”. Dali mu pieniędzy, prawko z „Pobiedy” i pojechali dalej. Szofer był ostatnim, który ich widział, od tej chwili — znikł wszelki ślad. Do obozu też nikt z nich nie wrócił. W ten sposób swoje ćwiary i czerwoność zostawili chłopaki w kasie specwywiadu nie żądając reszty. Zielony prokurator lubi śmiałków!

A kierowca rzeczywiście — nie nakapał. Urządził się w kotłochozie koło Piotropawłowska. I żył spokojnie przez cztery lata. Zgubiła go miłość do sztuki. Grał dobrze na harmonii, występował w miejscowej świetlicy, później pojechał na powiatowy festiwal twórczości amatorskiej, jeszcze później — na okręgowy. Już sam nie pamiętał

prawie o poprzednim swoim wcieleniu — ale wśród publiczności był ktoś z dżezkazgańskiego nadzoru — i wzięto go z punktu, zza kulis. Oberwał tym razem 25 lat z artykułu 58. Wrócił do Dżezkazganu.

Szczególny gatunek ucieczek — to te, które za podłoże mają nie desperacki zryw, lecz techniczną kalkulację i biegłość.

W Kengirze obmyślona została słynna próba ucieczki wagonem kolejowym. Na jeden z obiektów stale przysyłano składy towarowe z cementem i azbestem. Wewnątrz żony wagony opróżniano z ładunku i odsyłano — już puste. Pięciu zeków wpadło na taki pomysł: wykonali dokładną kopię

187

bocznej ścianki krytego wagonu towarowego w formie przepierzenia — i to składanego, na zawiasach, tak że gdy nieśli ją do wagonu, wyglądała jak szeroka schodnia dla taczek... Wypracowali sobie taki plan: przez cały czas rozładunku go-spodarzami wagonu są zeki; przez ten czas trzeba wciągnąć przepierzenie do wagonu i rozłożyć je na podłodze, przymocować jego dolny brzeg do podłogi klamrami z uszkiem; cała piątka staje teraz plecami do bocznej ściany i sznurami podnosi przepierzenie, zostając już za nim. Cały wagon w kurzu azbestowym, przepierzenie również. Różnice długości wagonu niełatwo ocenić gołym okiem. Ale największy kłopot z harmonogramem; trzeba opróżnić wagon szybko, póki więźniowie są jeszcze na obiekcie; nie można też wsiąść za wcześnie, trzeba być pewnym, że zaraz pociąg ruszy. Tak właśnie, w ostatniej chwili rzucili się do wagonu z zapasami i nożami — i raptem — jednemu z tej paczki uwięzła stopa w zwrotnicy i złamał nogę. To ich zatrzymało — i nie zdążyli dlatego dokończyć montażu swojej kryjówki przed kontrolą wagonów przez konwój. Zostali złapani. Był nawet proces w tej sprawie¹.

Ten sam pomysł, tylko w indywidualnym zakresie, zastosował kursant szkoły lotniczej Batanow. W dziale gospodarczym w Ekibastuzie wyrabiano futryny i drzwi, rozwołując je później na obiekty budowlane. Robota szła na trzy zmiany i wieżyczki strażnicze nigdy nie były puste. A na budowach warta stała tylko we dnie. Z pomocą przyjaciół Batanow znalazł się w obitej deskami ramie, ramę załadowano na samochód i wyładowano ją na jakiejś budowie. W Ekibastuzie poplątały się komuś rachunki i tego wieczoru jeszcze nikt go nie szukał — a na budowie zbieg wyłamał deski w skrzynce, wylażł — i poszedł sobie. Jednakże, tejże nocy złapany został na drodze do Pawłodaru. (Ta jego ucieczka miała miejsce rok po nieudanym porwaniu samochodu, kiedy to przestrelili im gumę).

Dzięki ucieczkom — doprowadzonym do skutku i udaremnionym już przy starcie; dzięki dojrzewającym wypadkom, od których już się ziemia w żonie paliła²; dzięki przemyślanym zabiegom operów; dzięki tym co odmawiali chodzenia do pracy — i wszelkim innym buntownikom — puchła w Ekibastuzie coraz bardziej Brygada Obostrzonego Regulaminu. Już się nie mogła pomieścić ani w obu kamiennych skrzydłach więzienia, ani w reżymce (barak nr 2, opodal sztabowego). Założono więc jeszcze jedną reżymkę (barak nr 8). Specjalnie dla banderowców.

¹ W taszkenckim szpitalu onkologicznym leżący ze mną w jednej sali konwojent —

Uzbek opowiadał mi o tej ucieczce jako uwieńczonej sukcesem: mówi! z mimowolnym zachwytem.

Po każdej nowej ucieczce czy przejawie buntu — więzienny reżym we wszystkich trzech reżymkach ulegał dalszemu zaostreniu. (Zanotujmy tu przyczynek do dziejów knajackiego świata: wśród s u k w BUR-ze podniósł się wrzask: „A to dranie! Dostyc tych ucieczek! Przez te wasze ucieczki zadręczą nas tu dyscypliną... Za takie sprawy w normalnym obozie bierze się po pysku”. A więc mówili właśnie to, czego chcieli władze).

Latem 1951 roku reżymka — barak nr 8 — postanowiła uciekać gromadą jak jeden mąż. Do drutów żony było z tego baraku tylko 30 metrów, zdecydowano się więc na podkop. Ale gadali o tym za głośno, sądząc, że banderowiec nie może być szpiclem. Tymczasem szpicle wśród nich byli. Zdążyli przekopać tylko parę metrów chodnika, gdy już ich nakryto.

W baraku nr 2 wodzireje reżymki bardzo byli nieradzi z całego tego hałasu — nie dlatego, by lękali się represji, jak suki — lecz dlatego, że także ich dzieliło tylko 30 metrów od żony — i że jeszcze przed Ukraińcami zaplanowali i rozpoczęli podkop wysokiej klasy. Teraz zaś bali się, że jeśli ten sam pomysł przyszedł do głowy pasażerom jednej i drugiej reżymki, to również psiarnia może wpaść na myśl — by skontrolować obie. Ale gospodarze Ekibastuza, nastraszeni bardziej ucieczkami „samochodowymi”, uznali za naczelne swoje zadanie otoczenie żony mieszkalnej i wszystkich obiektów fosami metrowej głębokości, w które musiałby wpaść każdy samochód. Jak w średniowieczu — nie dość było murów, jeszcze fosa okazała się potrzebna. Koparka krocząca gładko i sprawnie ryła teraz takie rowy dookoła obiektów, jeden za drugim.

Reżymka w baraku nr 2 była miniaturową żoną z- własnymi zasiekami wewnątrz wielkiej żony Ekibastuza. Wrota do niej zawsze były zamknięte na cztery spusty. Prócz czasu spędzanego przy robocie w wapienniku, więźniom reżymki wolno było spacerować — po malutkim podwórku obok baraku — nie dłużej niż 20 minut dziennie. Cały pozostały czas poranny byli w baraku, a do żony ogólnej wkraczali tylko na apel poranny i wieczorny. Do stołówki ogólnej nie mieli wstępu, kucharze przynosili im sała-machę w beczkach.

Robotę przy wapnie więźniowie traktowali jako możliwość pogrzenia się na słońcu i nawdychania się powietrza; reżymka nie bardzo się rwała do machania łopatą przy wapnie. A kiedy jeszcze w końcu sierpnia 1951 roku doszło do morderstwa na terenie obiektu (knajak Aspanow załutkł łomem Anikina — zbiega, który przeszedł podczas zamieci ponad drutami po śnieżnej zaspie, ale został schwytany w ciągu doby i posłany do reżymki. Patrz część III, rozdział 14) — zjednoczenie w ogóle odmówiło zatrudnienia takiej „siły roboczej” i przez cały wrzesień reżymki na dwór wcale nie wyprowadzano, zapanował w niej autentyczny reżym więzienny.

Siedziało tam wielu „zbiegów z przekonania”; latem zaczęła się tworzyć z nich zgrana grupa kandydatów do ucieczki — było ich dwunastu, chłop w chłopa (Mahomet Hadżijew, przywódca ekibastuzkich mahometan; Wa-syl Kustarnikow; Walenty Ryżkow; Mutianow! pewien oficer — Polak, amator podkopów — i jeszcze paru innych). Wszyscy tam byli równi, ale Stiepan Konowałow, kubański Kozak, cie-

szyl się największym mirem. Poprzysięgli sobie, że kto piśnie choćby słówko — temu kryska; albo musi sam się zabić, albo inni go zarzną!

W tym okresie żona Ekibastuzu już była ogrodzona czterometrowym ściśłym parkanem. Ciągnął się wokół niego pas bronowanego gruntu czterometrowej szerokości, dalej rozpościerało się piętnastometrowe pasmo ziemi niczyjej i wreszcie wzdłuż jego skraju owa metrowa fosa. Pod całą tą linią obronną miał być przeprowadzony podkop, ale w taki sposób, aby nikt i za żadne skarby go nie wykrył.

Pierwsze poszukiwania wykazały, że fundamenty baraku są za niskie, że całe podpiwniczenie budynku jest tak małe, iż nie będzie miejsca na wykopaną ziemię.

Wydawało się, że to przeszkoda nie do pokonania. A więc — nie uciekać?... I tu ktoś zaproponował: strych jest za to pojemny, można windować ziemię na strych! Wydawało się to niemożliwe. Wciągnąć dziesiątki metrów sześciennych gruntu na strych, przez dobrze widoczne i kontrolowane pomieszczenie mieszkalne, przenosić je w sposób niedostrzegalny, co dzień, co godzinę, nie rozsypując ani szczypty, nie zostawiając śladów!?

Ale kiedy znaleźli na to sposób — radość była ogólna i decyzja została podjęta ostatecznie. Rozwiązanie przyszło samo — wraz z wyborem sekcji, to jest izby. Ten fiński barak projektowany był dla wolnych, zmontowano go na terenie obozu omyłkowo, w całym obozie nie było takiego drugiego: składał się z małych izdebek, w których mieściło się nie po siedem wago-netek, jak wszędzie, ale tylko trzy — to znaczy na dwunastu ludzi. Wybrali więc sekcję, w której już kilku spiskowych mieszkało. Różnymi sposobami, przez dobrowolną zamianę albo żartem, na wesoło powypychali postronnych („chrapiasz, bracie, a ty pierdzisz za głośno”) do innych sekcji i przenieśli tu wszystkich swoich.

Im ściślej izolowano reżymkę od reszty żony, im srożej jej mieszkańców karano i uciśkano — tym bardziej rósł ich autorytet moralny w obozie. Jeśli ci z reżymki czegoś chcieli — ich zamówienie miało pierwszeństwo przed wszystkimi innymi; wszystko to, co było potrzebne, wykonywano gdzieś na obiektach, przenoszono, przemycano przez wartownie i kipisze, ryzykując własną skórą, następnie — z takim samym ryzykiem przerzucano to do reżymki — w bałandzie, razem z chlebem czy lekarstwami.

190

Zostały w ten sposób zamówione i przekazane noże i osetki. Następnie — gwoździe, śruby, kit, cement, wapno, przewody elektryczne, szpule. Nożami przepiłowali starannie szpunty trzech desek w podłodze, zdjęli listwę łączącą je z jednego końca, wyjęli gwoździe ze styku każdej deski ze ścianą i z tego jej skraju, który przylegał do trampu pośrodku izby. Wyjęte w ten sposób deski zbili od spodu w jedną tarczę poprzeczką, a główny gwóźdź wbity był w tę poprzeczkę od góry: szeroki łebek był pokryty kitem koloru podłogi i przypudrowany kurzem. Tarcza ta bardzo szczelnie dopasowana była do otworu w podłodze, nie miała od góry żadnych uchwytów i nigdy jej nie podważano siekierą. Podnoszono ową tarczę w taki sposób, że zdejmowano listewkę u styku ze ścianą, zakładano pętlę z drutu pod szeroki łebek gwoździa i ciągnięto całość w górę. Przy każdej zmianie kopaczy listewkę starannie zdejmowano i nakładano z powrotem. Codziennie „my to podłogę” — moczono deski wodą, aby nasiąkły i nie miały żadnych

szczelin. Ta robota koło wjazdu była jednym z głównych zadań zespołu. W ogóle — w „sekcji kopaczy” zawsze panowała czystość i wzorowy porządek. Nikt tu nie leżał w butach na wagonetce, nikt nie palił w izbie, rzeczy były zawsze poskładane, w szafce nocnej nie było paprochów. Przy kontroli nadzorca nie tracił tu czasu. „Kultura!” — mówili i szli dalej.

Dalej szła robota przy windowaniu ziemi na strych. Podobnie jak w każdej innej, również w tej sekcji był piec. Między piecem a ścianą było ciasne przejście, w którym człowiek ledwie się mieścił. Chodziło o to, by przestrzeń tę przekwalifikować — przenieść ją niejako z części mieszkalnej budynku i włączyć w skład podkopu... W jednej z pustych izb została więc rozebrana

— do ostatniej drzazgi — wagonetka. Deskami spiskowcy oszalowali prześrodek za piecem, obili deski łatami, otynkowali i pobielili na kolor pieca. Czy nadzorca mógł pamiętać, w której z dwudziestu feb baraku piec łączy się ze ścianą, a w której jest trochę od niej odsądzony? Zresztą — nie zauważyli też zniknięcia wagonetki. Tylko mokry tynk mogli strażnicy zauważyć w ciągu pierwszych dwóch-trzech dni, ale trzeba by w tym celu obejść piec i domacać się ściany za wagonetką, a po co to, skoro to wzorowa sekcja? Ale gdyby się nawet udało, podkop nie byłby jeszcze w niebezpieczeństwie, bo przecież sklecieli oszalowanie wyłącznie po to, by przyozdobić swoją sekcję; ten pusty zapiecek był tylko zbiorowiskiem kurzu i szpecił izbę!

Dopiero gdy tynk i wapno wyschły — wycięto nożami podłogę i sufit w zamkniętym teraz na głucho zapiecku, wbudowano do wnętrza drabinkę, zbitą z resztek rozebranej wagonetki i w ten sposób niskie podziemie połączone zostało ze strychowymi komnatami. Była to kopalnia, tajna kopalnia — i to pierwsza od wielu lat, w której ci młodzi mężczyźni chcieli trudzić się do siódmych potów!

191

Czy wyobrażacie sobie rodzaj pracy w obozie, która wydaje się spełnieniem marzeń, który wypełnia człowiekowi całą duszę i nie pozwala spać? Jedna jest tylko taka praca — przygotowania Bo ucieczki!

Następna robota to kopanie. Kopać trzeba nożami i trzeba je wciąż toczyć, to jasne. Ale mieli jeszcze wiele innych zadań. A więc — kalkulacja jak w projektach górniczych (inżynier Mutianow) — aby pójść w głąb tyle, ile trzeba dla bezpieczeństwa, lecz nie więcej; prowadzić podkop najkrótszą drogą; określić optymalną średnicę tunelu; wiedzieć zawsze w jakim punkcie się znajdujesz i ściśle oznaczyć miejsce wyjścia na powierzchnię. Dalej — była to również organizacja szczytów i zmian: kopać przez możliwie najdłuższą część doby, ale bez zbyt częstych zmian kopaczy — i tak, by bez żadnych wyjątków, w pełnym składzie być na wieczornym i porannym apelu. Dalej — problem odzieży roboczej i higieny osobistej; jest niedopuszczalne, by wychodzić na wierzch z gliną na rękach i odzieży. Dalej — oświetlenie; jak tu kopać 60-metrowy tunel w ciemnościach?! Przeciągnęli więc przewód do piwnicy i tunelu (a trzeba jeszcze umieć przyłączyć go do sieci tak, by śladu nie było!). Wreszcie — kwestia sygnalizacji: jak wezwać kopaczy z głębi długiego, głuchego tunelu, jeśli ktoś nagle wejdzie do baraku? Albo — jak mają kopacze zawiadomić kolegów, że muszą zaraz wychodzić — ale tak, by tamtych z kolei nie narazić? Sztywność więziennego regulaminu była równocześnie jego defektem. Strażnicy nie mogli podkraść się nieznacznie do baraku i wejść doń bez hałasu — musieli używać zawsze tej samej drogi między zwojami drutu kolczastego do furtki,

potem otwierać zamek kluczem, dalej — iść do baraku. Otwierać hataśliwie jego drzwi innym kluczem — i wszystko to łatwo można było obserwować przez okno, co prawda, nie z izby kopaczy, tylko z pustej „kabinki” przy wejściu; trzeba było tylko mieć tam obserwatora. Sygnalizacja na przodku była świetlna: dwa mrugnięcia — uwaga, przygotować się do wyjścia; częste miganie — zeks! alarm! wyłazić duchem!

Schodząc do tunelu kopacze rozbierali się do naga składając odzież pod poduszki i materace. Po zejściu do włazu przepychali się przez wąską szczelinę; trudno było zgadnąć, że za nią otwiera się spora kamera, gdzie stałe paliła się żarówka i leżały robocze kurtki oraz spodnie. W tym samym czasie poprzednia zmiana, czterech gołych brudasów, wyłaziła przez luk na górę i starannie myła się (głina przywierała grudkami do ciała, trzeba ją było dobrze rozmoczyć albo odrywać od skóry razem z włosami).

Wszystkie te prace były już w toku, gdy wykryty został lekkomyślnie prowadzony podkop w baraku nr 8. Łatwo zrozumieć stan ducha tych z baraku nr 2 — było to poczucie nie tylko przykrości, lecz również odrazy. Ale wszystko jakoś rozeszło się po kościach.

192

W początkach września, po prawie rocznym pobycie w celi, wrócili do tejże reżymki Tenno i Żdanok. Ledwie odsapnąwszy, Tenno zaczął wiercić się niespokojnie — toć trzeba szykować się do ucieczki! Ale nikt w reżym-ce, nawet najbardziej przekonani, notoryczni zbiegowie, ani jednym słowem nie reagowali na jego wymówki — że mija najlepsza pora do ucieczek, że nie wolno tak siedzieć z założonymi rękoma! (Sekcja składała się z trzech czteroosobowych grup, pracowali na trzy zmiany i żaden trzynasty nie był im potrzebny). Wówczas Tenno zaproponował im otwarcie robienia podkopu! — ale mu odrzekli, że już o tym myśleli, lecz fundamenty są za niskie. (To już było wręcz niemiłosierne: patrzeć doświadczonemu zbiegowi prosto w pełne ciekawości oczy i kiwać głowami z rezygnacją. To tak, jakby ktoś zabronił rasowemu psu myśliwskiemu węszyć za zwierzyną). Ale Tenno zbyt dobrze wiedział z kim ma do czynienia, aby wierzyć w ich obojętność. Toć wszyscy oni nie mogli tak dać się przerobić!

Poddał ich więc — do spółki ze Żdankiem — zawziętej i fachowej obserwacji i to takiej, do jakiej żaden strażnik nie byłby zdolny. Zauważył, że chodzą często na papierosa do jednej i tej samej „kabinki” i zawsze po jednym, nigdy kupą. Że we dnie drzwi ich izby zamknięte są na haczyk, a gdy się zapuka — to otwierają się nie od razu i zawsze kilku z nich mocno śpi, jakby nocy im było mało. To znów Waśka Briuchin wychodzi z klozetu cały mokry. „Co ci to?”. — „A nic, myłem się, nie wolno?”

Kopią, nic, tylko kopią! Ale gdzie?, dlaczego milczą?... Tenno podchodził to do jednego, to do drugiego i brał ich na fundusz: — „Nieostrożnie kopiecie, chłopaki, nieostrożnie! Dobrze, póki ja to widzę, ale gdyby jakiś szpicel?”.

Zebrali się wreszcie na naradę i postanowili przyjąć Tenno z jeszcze trzema podobnymi zuchami. Zaproponowali mu, aby spenetrował ich izbę i spróbował znaleźć ślady — i nic nie wykrył! — ku radości swojej własnej i wszystkich kopaczy. Po czym, drżąc z emocji wlaź pod ziemię i zaczął kopać na swój rachunek.

Na przodku robota szła tak: jeden dłubał ziemię na leżąc; drugi leżąc za nim, kładł wykopane grudki do specjalnie uszytych woreczków z płótna; trzeci na czwo-

rakach wyciągał pełne już woreczki (z pomocą parcianych szelek, przerzucanych przez barki) tunelem aż do dna szybu i zawieszał je pojedynczo na haku, zwisającym ze strychu; czwarty siedział na strychu. Zrzucał pustą tarę, wciągał woreczki na górę, roznosił je cichutko po całym strychu i rozsypywał ziemię nie kupkami, lecz płaską warstwą, a pod koniec zmiany — ten grunt zasypywał żużlem, którego na strychu było pełno. Wewnątrz grupy zmieniano się przy robocie, ale nie zawsze, bo nie każdy mógł się podjąć szybkiego i sprawnego wykonania najcięższych, wyczerpujących prac: kopania i transportu worków z ziemią.

9 Archipelag Gutag 193

Wyciągano z początku po dwa, potem — po cztery worki — w tym celu buchnęli też kucharzowi drewnianą tacę i ciągnęli ją szleją; na tacy leżały worki. Szleja zarzucana była na kark, potem przechodziła pod pachami. Szleja nacierała kark, łamała w kościach ramion, zdzieraty się kolana, po jednym takim rejsie człowiek był mokry, po całej zmianie można było odwalić kitę.

Kopało się w bardzo niewygodnej pozycji. Mieli tylko jedną łopatę z krótkim styliskiem, co dzień musieli ją toczyć. Łopatą przerzynało się w glebie pionowe bruzdy na głębokość ostrza, następnie zaś — wpółle-żąc — opierając się plecami o nakopaną ziemię, wydłubywało się nożem grudki ziemi między bruzdami i rzucało je w głąb tunelu. Grunt był kamienisty albo gliniasty. Największe kamienie trzeba było ominąć, zmieniając trasę tunelu. W ciągu ośmio-dziewięciogodzinnej szychty przekopywało się nie więcej niż dwa metry bieżące, czasem nawet mniej niż metr. Najgorszy był brak powietrza w tunelu. Kręciło się w głowie, niektórzy tracili przytomność, wymiotowali. Trzeba było rozwiązać jeszcze problem wentylacji. Otwory wentylacyjne można było borować tylko w górę, to znaczy w najbardziej niebezpiecznej, ciągle obserwowanej okolicy — obok drutów. Ale bez nich nie sposób było oddychać. Zamówili więc stalową płytkę w kształcie śmigła, umocowali w otworku kanciasty kijek, mieli w rezultacie coś w rodzaju kołowrotu — i z jego pomocą przewiercili pierwszy wąski otworek. Pojawił się przeciąg, teraz łatwiej było oddychać. (Kiedy kopali już na zewnątrz ogrodzenia, poza obozem — wywiercili drugi otwór).

Bezustannie dzielili się zdobytym doświadczeniem — jak i co należy robić, żeby było dobrze. Obliczali, ile już metrów ukopali.

Przełaz czyli tunel szedł w głąb pod skrajem fundamentu, następnie odchyłał się od prostej — omijając napotkane głazy albo przez usterki przy kopaniu. Szerokości miał pół metra, wysokości — dziewięćdziesiąt centymetrów. Sklepienie było półokrągłe. Powatę, jak to sobie wyliczyli, dzieliła od powierzchni warstwa ziemi grubości metr trzydzieści — metr czterdzieści. Boki tunelu szalowano deskami. Pod powatą biegł przewód, wciąż przedłużany, na którym wieszano coraz to więcej żarówek.

Jak spojrzeć wzdłuż tunelu — istne metro, obozowe metro!

Już miał długości kilkadziesiąt metrów, już kopali za obrębem żony. Nad głowami dudniły kroki rontów, słychać było wycie i skomlenie.

I raptem... raptem — któregoś ranka po apelu, kiedy dzienna zmiana jeszcze nie zeszła pod ziemię i (zgodnie z żelaznym prawem grupy) nic kompromitującego nie leżało w izbie — na drodze do baraku pokazała się cała sfera strażników z małym, surowym lejtnantem Maczechowskim, sze-

fem od dyscypliny na czele. Serca zbiegów ścisnęły się: wykryto podkop? Zdrada? Czy może przypadkowa kontrola?

— Zabierać rzeczy osobiste! Precz z baraku, co do jednego!

Rozkaz wykonano. Gromada zeków wylęga na spacer i siedzi na swoich s i d o r a c h. Wewnątrz baraku słyszą suchy trzask i łomot na rzędzi! Strażnicy przynoszą łomy i topory. Słyszą jakby skrzyp odrywanych desek podłogi. •

Oto los zbiega! Tyle pomyślunku, trudu, nadziei, pasji — a to wszystko na nic, gorzej nawet — bo teraz znów przyjdą karcery, bicie, śledztwo, nowe wyroki...

Ale jakoś ani Maczechowski, ani nikt ze straży nie wybiega na zewnątrz z radością, nikt rękoma z zachwytu nie wymachuje. Wychodzą spoceni, otrzepując się z kurzu i brudu, zasapani, niezadowoleni, że tyrali nadaremnie. „Pojedynczo do kontroli!”, pada rozkaz na odczepne. Zaczyna się kipisz rzeczy osobistych. Więźniowie wracają do baraku. Co za pogrom!, w paru miejscach (tam, gdzie widać było szpary albo sterczały gwoździe) zerwana jest podłoga. W izbach wszystko porzucane, nawet wagonetki przewracali ze złości. Jedynie w kulturalnej sekcji nie ruszyli do słownie nic.

Nie wtajemniczeni utyskują:

— Co ich napadło? Za czym te psy węszą?

Zbiegowie zaś widzą teraz, jak to mądrze, że nie sypali urobku pod podłogę: przez zerwane deski zaraz by zobaczono. A na strych nikt się nie pofatygował, ze strychu można co najwyżej ulecieć na skrzydełkach! Zresztą — nawet na strychu wszystko zasypane jest dokładnie żużlem.

Nie dorwała się sfora, nie dorwała! Co za radość! Jeśli pracować wytrwale i surowo przestrzegać zasad — wyniki muszą być. Teraz to już dokopiemy do końca! Zostało tylko sześć-osiem metrów do okrężnej fosy (ostatnie metry trzeba kopać szczególnie dokładnie, aby wylot trafił na dno fosy, ani wyżej, ani niżej).

A co dalej? Konowałów, Mutianów, Hadżijew i Tenno mieli już plan, zaakceptowany przez całą szesnastkę. Wyjść za druty mieli wieczorem, koło dziesiątej, kiedy skończy się apel w całym obozie, dozór rozejdzie się do swoich mieszkań albo pójdzie do baraku sztabowego, a zmiana warty na wieżyczkach będzie już przeprowadzona.

Do tunelu schodzą wszyscy, jeden po drugim. Ostatni obserwuje jeszcze żonę z „kabinki”. Następnie — razem z przedostatnim — przybija dobrze ruchomą część listwy do pokrywy włazu tak, że — gdy wychodząc opuszczą tę pokrywę, listwa znajdzie się na swoim miejscu. Gwóźdź z szeroką główką ma być wciągnięty do dołu jak najgłębiej. Ponadto przygotowane

195

są już zasuwki, którymi od spodu przymocuje się pokrywkę do reszty podłogi, ażeby nie sposób było oderwać jej od góry.

Jeszcze jedno: przed ucieczką przeciąć kraty w jednym z okien korytarza. Gdy na porannym apelu stwierdzi się brak szesnastu ludzi — nadzorcy nie od razu stwierdzą, że to podkop i ucieczka, a rzucą się z początku do poszukiwań na terenie żony, myśląc, że ci z reżymki wyszli cichcem, aby załatwić porachunki z kapusiami. Potem będą ich jeszcze szukać w sąsiednim podobozie — czy aby nie przeskoczyli

tam przez mur. Czysta robota! — podkopu nie znajdują, pod oknem — ani śladu, szesnastu facetów poszło do nieba anielskim szlakiem.

Wypełzać mieli do fosy okrężnej — a następnie — po jej dnie czołgać się jeden za drugim jak najdalej od wieżyczki (wyłaż był zbyt blisko niej), pojedynczo też mieli wychodzić na drogę; między czwórkami zachowywać przerwy, aby nie budzić podejrzeń i mieć czas na rozejrzenie się w sytuacji. (Ostatni z uciekających miał swoje specjalne zadanie: powinien był zamknąć wyłaż z zewnątrz zawczasu przygotowaną drewnianą pokrywą, wymazaną gliną, wcisnąć ją jak najgłębiej i przywalić ziemią!, tak aby rano nikt nie zauważył z fosy śladów podkopu).

Przez osadę mieli iść grupami, przerzucając się głośnymi, wesołymi okrzykami.

Gdyby ich kto zatrzymał — stawiać opór całą grupą, używając nawet noży.

Punkt zborny całej grupy wyznaczony był koło przejazdu kolejowego, gdzie łatwo było spotkać samochód. Przejazd wznosi się garbem nad torami, wszyscy kładą się na ziemi obok niego — i wcale ich nie widać. Przejazd jest prymitywny (szło się tamtędy do roboty, znają go), dechy leżą byle jak, ciężarówki z węglem i bez przetaczać się muszą tamtędy na pierwszym biegu. Dwóch z paczki ma podnieść ręce, zatrzymać wóz zaraz za przejazdem i podejść do szoferki z dwóch stron. Poproszą o podwiezienie. W nocy kierowca zwykle jest sam. Wyciągają noże, biorą szofera za hals, sadzają go pośrodku, Wałek Ryżkow siada przy kierownicy, reszta wskakuje na wóz i chodu do Pawłodaru! Sto trzydzieści - sto czterdzieści kilometrów na pewno się odwali w ciągu paru godzin. Nie dojeżdżając do przystani promu, skrócić wzdłuż brzegu w górę rzeki (gdy ich tu wieziono, to i owo wpadło im w oko), tam szofera związać, zostawić w krzakach, wóz też zostawić, przepłynąć Irtysz łodzią, rozbić się na grupy i — gdzie oczy poniosą! Kampania zwozu ziarna jest właśnie w toku, na wszystkich drogach pełno samochodów.

Roboty miały być zakończone 6 października. Dwa dni wcześniej, 4, zabrano na etap dwóch uczestników — Tenno i Wołodkę Kriwoszewina, złodzieja. Chcieli symulować chorobę, żeby zostać w obozie za wszelką cenę, ale oper obiecał, że odstawi ich w kajdanach, choćby nawet byli

196

w agonii. Doszli więc do wniosku, że przesadny opór wywoła podejrzania. Pogodzili się z losem, aby nie narażać towarzyszy.

W ten sposób Tenno nie miał żadnej korzyści ze swojej natarczywości, której zawdzięczał dopuszczenie go do sekretu. To nie on został trzynastym, ale jego protegowany — nieporadny, zahukany i rozdygotany Żda-nok. Nieszczęsna to była chwila, w której paczka Stiepana Konowałowa uległa namowom Tenno.

Zakończyli kopanie, wyjście było tam, gdzie należało. Ale spadł śnieg i woleli zaczekać, aż podeschnie.

9 października wieczorem zaczęło się wszystko tak, jak to sobie zaplanowali. Pierwsza czwórka wyszła bez kłopotów. Byli to — Konowałow, Ryżkow, Mutianow i ten Polak, co mu zawsze pomagał przy ucieczkach z użyciem techniki.

Następnie — wypełził do fosy malutki Kola Żdanok, pechowiec. Nie z jego winy, rzecz jasna, rozległy się nagle kroki na górze. Powinien był przeczekać, leżeć spokojnie, przywarować, a gdy kroki ucichną — czołgać się dalej. A ten — taki ci był żwawy — wysunął łeb. Zachciało mu się popatrzeć — kto to idzie?

Żwawa weszka zawsze pierwsza da się wyczesać. Ale ta głupia weszka doprowadziła do zguby całą grupę zbiegów, grupę wyjątkowo zgraną i zdolną do realizacji

pomysłowych planów — czternaście istnień ludzkich, których długie i zawile losy przecięły się w tym punkcie. Dla każdego z tych ludzi ucieczka miała ważne i osobliwe znaczenie, dając nowy sens całej ich przeszłości i przyszłości, od każdego z nich zależeli gdzieś inni ludzie, kobiety, dzieci — nie narodzone jeszcze istoty — a tu weszka podniosła łebek i wszystko poszło w diabły.

Szedł zaś — jak się okazało — pomocnik naczelnika działu karnego, zobaczył weszkę, krzyknął i wystrzelił. I strażnicy — niezdolni do rozwikłania zagadki — zostali nagle wielkimi bohaterami. I mój czytelnik, His-toryk-Marksista, plaskając liniałem po książce, karci mnie z wyższością:

— No taaak... Czemu nie uciekliście? Czemu nie buntowaliście się?

I wszyscy uciekinierzy, gotowi do wyjścia (krata w oknie już była wyłamana, listwa przybita do pokrywy włazu) — popełzli teraz rakiem, rakiem, rakiem!

Kto sięgnie dna tej rozpacz i wściekłości?, tej pogardy do siebie i swoich wysiłków?

Wrócili do baraków — wyłączyli światło w tunelu, wstawili kratę w korytarzu na swoje miejsce. Po niedługim czasie cała reżymka pełna była nadzorców. Zaczęła się kontrola według formularzy i dyslokacja wszystkich mieszkańców do kamiennego więzienia.

197

A podkopu nie znaleźli sami! (Jak długo by szukali, gdyby wszystko poszło tak, jak było zaplanowane?!). Obok miejsca, gdzie wpadł Żdanok, znaleziono półzasypaną dziurę. Ale nawet gdyby przeszli tunelem pod barak — j tak nie mogliby zrozumieć, skąd ludzie wzięli się w podkopie i gdzie podziata się ziemia.

Tyle, że w kulturalnej sekcji brak było czterech ludzi, a ośmiu pozostałych przepuszczono teraz przez wyżymaczkę bez żadnego miłosierdzia — najłatwiejszy dla tępa-ków sposób, by dowiedzieć się prawdy.

A bo warto ją było teraz ukrywać?

I oto wkrótce zaczęły się pielgrzymki całego garnizonu i dozoru do opuszczonego tunelu. Major Maksymienko, brzuchaty naczelnik obozu w Eki-bastuzie, pysznił się potem w Zarządzie przed innymi naczelnikami obozów:

— O, u mnie to był podkop — ho, ho! Ale my... dzięki naszej czujności...

A tu całej parady —jedna weszka...

Alarm nie pozwolił czwórce zbiegów dojść do przejazdu kolejowego. Plan się zawalił! Przeskoczyli płot pustej żony roboczej pod drugiej stronie drogi, przebiegli żonę, jeszcze jeden płot — i ruszyli w step. Nie ośmielili się iść do osady po samochód, bo już tam gęsto było od patroli.

Jak Tenno przed rokiem, od razu stracili rozpęd i szansę sukcesu.

Ruszyli na południowy wschód, w stronę Semipałatyńska. Na tę drogę nie mieli ani zapasów, ani sił — bo wszak już ostatnie dni pracowali ponad siły, na finiszu.

Piątego dnia wędrówki weszli do jurty i poprosili Kazachów o coś do jedzenia. Jak łatwo zgadnąć, doczekali się odmowy; do ludzi proszących

0 chleb gospodarze strzelali z fuzji. (Czy to taka tradycja tego stepowego, pasterskiego ludu? A jeśli nie tradycja — to skąd te obyczaje?...).

Stiepan Konowałow chwycił za nóż, ranił strzelającego, odebrał mu broń

1 zapasy, ruszyli dalej. Ale Kazachowie gonili ich konno, wysłedzili już nad samym Irtyszem i wezwali opergrupę.

Zostali otoczeni, pobici do żywego mięsa, a co dalej — to już dobrze, bardzo dobrze wiadomo...

Jeśli ktoś zechce teraz przytoczyć przykłady ucieczek rosyjskich rewolucjonistów z XIX lub XX wieku — tak najeżonych trudnościami, przy takim braku pomocy z zewnątrz, przy tak wrogim stosunku środowiska i pod groźbą tak bezprawnych kar dla złapanych — to niechże mi je tu wymieni!

I niech mi ktoś teraz powtórzy — że nie walczyliśmy.

198

IX CHŁOPAKI Z PEPESZAMI

Pilnowali ci w długich szynelach z czarną wypustką. Pilnowali ci z samoobrony. Pilnowali dziadkowie z rezerwy. W końcu zaś przyszli młodzi, krzepcy chłopcy, urodzeni w okresie pierwszej pięciolatki, którzy nie wǳchali podczas wojny prochu, wzięli do rąk nowiutkie pepesze i zaczęli nas pilnować.

Każdego dnia maszerujemy razem po dwie godziny, brniemy związani milczącą zmwą na śmierć i życie: każdy z nich ma prawo zabić każdgo z nas. Oni drogą, my — bezdrożem, tam gdzie nam wszystko nie po drodze. Co rano — niemrawo, wieczorem — szparko, my do naszej stajni, oni do swojej. I jako że prawdziwego domu nikt z nas nie ma — te stajnie muszą nam starczyć za dom.

Maszerujemy — i ani spojrzymy na ich półkożuszki, na ich automaty — co nam po nich. Oni zaś maszerują i cały czas bałuszą oczy na nasze czarne szeregi. Regulamin wymaga od nich, by tak patrzyli; tak im kazano i na tym ich służba polega.

Mają obowiązek wystrzątem przeciąć każdy nasz nieostrożny ruch, każdy krok. Jak też widzą oni nas — w tych czarnych kaftanach, w szarych czapkach wato- wanych, w naszych szpetnych, tylekroć łatanych, tylekroć żelowanych walonkach, z łatami numerów tu i tam? Czy tak mogą wyglądać prawdziwi ludzie?

Jak tu się dziwić, że nasz wygląd budzi obrzydzenie? Przecież po to nam taki wygląd nadano. Wolni mieszkańcy osady, zwłaszcza dzieci ze szkół i nauczycielki, ze strachem zerkają z trotuarów na nasze kolumny, prowadzone środkiem jezdni. Po- noć bardzo się boją, że my, pomiot faszystowski,

199

nagle rzucimy się kupą, wytłuczemy eskortę i zaczniemy grabić, gwałcić, podpa- lać, zabijać. Przecież to jasne, że tylko takie popędy mieć mogą istoty tak podob- ne do zwierząt. Kto broni mieszkańców osady przed tymi bestiami? Konwój. Sierżant z eskorty, zapraszając nauczycielkę do tańca, może spokojnie uważać się za ryce- rza.

Ci chłopcy ciągle nas więc obserwują — i krocząc obok nas, i stojąc na wieżycz- kach, ale nic o nas wiedzieć nie mają, a tylko mają prawo strzelać bez uprzedze- nia!

O, gdyby wieczorami wolno im było przychodzić do nas, do naszych baraków, przysiadać się do nas na wagonetki i pytać — za co siedzi ten dziadek, a za co tamten ojciec, opustoszałyby te wieżyczki i nie strzelałyby te pepesze.

Ale cała przewrotność i siła systemu polega na tym, że nasz ucisk śmiertelny zasa- dza się na nieświadomości. Za współczucie dla nas karani są jak za zdradę kraju, chęć pogwarzenia z nami oznacza złamanie uroczystej przysięgi. I po co tam ga- dać z nami, skoro o wyznaczonej godzinie przychodzi politruk i „trzyma” do nich mówkę o tym, jakie jest moralne i polityczne oblicze tych wrogów ludu, co tu sie-

dzą pod strażą. Szczegółowo, z licznymi powtórzeniami wyjaśnia im, jak bardzo te niemrawe chochoły są szkodliwe i jakim są ciężarem dla państwa (tym bardziej ku-
si, aby użyć ich w charakterze żywego celu). Przyniesie pod pachą jakieś teczki i
oznajmia, że w specwydziale obozu pożyczono mu na jeden dzień akta skaza-
nych. Wybierze pisane na maszynie papierki, w których mowa o zbrodniach, za ja-
kie wszystkie piece Oświęcimia — to jeszcze mało — i przypisze je, o! temu elektry-
kowi, który naprawiał właśnie latarnię na słupie, albo temu stolarzowi, u którego
tacy a tacy towarzysze, oczywiście szeregowi, chcieli zamówić stolik nocny.
Politruk nie przegada się ani nie wygada. Nigdy nie powie chłopakom, że ludzie
siedzą tu po prostu za wiarę w Boga i po prostu za szukanie prawdy, i po prostu za
przywiązanie do sprawiedliwości. Albo i za nic.

Cała siła systemu na tym polega, że człowiek nie może tu zwyczajnie pomówić z
człowiekiem, tylko za pośrednictwem oficera czy politruka.

Cała siła tych chłopaków bierze się z ich ignorancji.

Cała siła tych obozów skupiła się w tych chłopcach z czerwonymi pagonami. Co
mordują z wieżyczek i polują na zbiegów.

Oto jedna z takich pogadań politycznych, przytoczona we wspomnieniach by-
łego konwojenta z Nyroblagu: „Lejtnant Samutin — wysoki, o wąskich barkach i
wąskiej, podłużnej czaszce, przypomina węża. Płowowłosa, niemal bez brwi. Wie-
my, że osobiście rozstrzeliwał skazanych. Teraz zaś na szkoleniu politycznym duka:
'wrogowie ludu, których tu dozoruje-

200

cie, to po prostu faszyści, plugastwo. Jesteśmy siłą i karzącym mieczem naszej Oj-
czyzny, musimy być twardzi i nieustępliwi. Żadnych sentymentów, żadnej litości!\".

Tak właśnie kształtuje się mentalność chłopaków, którzy pojmanego i leżącego
zbiega starają się kopnąć właśnie w głowę. Którzy siwemu starcowi w kajdanach
wybijają nogą chleb z zębów. Ci, którzy obojętnie obserwują, jak skutą tłucze
bezzadnie łbem o szorstkie dechy ciężarówki — twarz ma we krwi, głowę rozbitą, a
ci patrzą, jakby nigdy nic. Są przecież karzącym mieczem ojczyzny.

Już po śmierci Stalina, już skazany tylko na dożywotnie zesłanie — leżałem w zwy-
kłej tashkienckiej klinice dla wolnych. Wtem słyszę, że mój sąsiad, młody Uzbek,
opowiada innym chorym o swojej służbie w armii. Ich oddział dozorował opraw-
ców, bestie ludzkie. Uzbek zwierzył się, że konwojenci też nie całkiem byli syci i
złość ich brała, iż więźniowie pracujący w kopalni dostają porcje (to za 120% nor-
my, jasna rzecz) niewiele tylko mniejsze od ich porcji, żołnierskich, uczciwych. I jesz-
cze to ich gniewało, że oni, konwojenci, muszą marznąć na wieżyczkach zimą (co
prawda — w kożuchach do pięt), a wrogowie ludu po wejściu do żony roboczej
ponoć cały dzień siedzą przy piecu (nawet z wieżyczki mógł widzieć, że tak nie
jest) i furt tylko śpią przy nim (był serio przekonany, że państwo jest dobroczyńcą
dla swoich wrogów).

Jaki ciekawy zbieg okoliczności! — popatrzeć na Specobóz oczyma konwojenta!
Jąłem go wypytywać, co to były za gady i czy rozmawiał z nimi bezpośrednio.
Odparł, że wszystkiego o nich dowiedział się od politru-ków, że nawet ich akta od-
czytywano im podczas szkolenia. I ta głucha jego złość — że więźniowie śpią cały
dzień, też zakorzeniła się w nim, to jasne, dlatego, że oficerowie kiwali potakująco
głowami, gdy ktoś takie zarzuty stawiał.

O, gorszyście maluczkich!... Lepiej, abyście nigdy się nie narodzili!...

Uzbek opowiedział nam jeszcze, że szeregowiec wojsk MWD dostaje 130 rubli miesięcznie (12 razy więcej niż w oddziałach liniowych! Skąd ta szczodrość? Czy służba jego też jest 12 razy trudniejsza?) a za Kołem Podbiegunowym — nawet 400 rubli; to w służbie czynnej, z wiktem i opierunkiem.

Wspomniał też o rozmaitych zdarzeniach. Na przykład — jak jego kolega eskortował kolumnę więźniów i przywidziało mu się, że któryś z nich zamierza wybiec w bok. Nacisnął spust i jedną serią zabił pięciu zeków. Jako że później wszyscy konwojenci zeznali, że kolumna szła spokojnie, żołnierz został ukarany nader surowo: za pięć trupów dostał piętnaście dni aresztu (na ciepłym odwachu, ma się rozumieć). Kto z tubylców Archipelagu nie zna, kto nie przytoczy podobnych wy-

201

padków!... Ileż ich znaleźliśmy już w ITŁ: na robotach, gdzie nie ma żony, a jest tylko niewidzialna linia graniczna — rozlega się nagle strzał i więzień pada trupem; przekroczy! linię, tłumaczą się później. Może wcale nie przekroczył, toż jest tylko wyobraźnia, ale nikt nie podejrze, nie sprawdzi, bo też go mogą zastrzelić. Komisja też nie przyjdzie, by stwierdzić, gdzie leżą nogi zabitego. A jak nawet przekroczył? — konwojent może sobie obserwować niewidzialne linie, a zek pracuje. Toteż taki zek częściej dostaje kulę, który rzetelniej i chętniej pracuje. Na stacji Nowoczunka (Ozier-tag) przy sianokosach zek widzi żęte siano o dwa-trzy kroki, gospodarskie serce każe mu jeszcze te trzy garście zgrabić na kopkę — i masz, kula! A żołnierz dostaje miesiąc urlopu!

A zdarza się jeszcze, że strzelec ma na pieńku z tym właśnie zekiem (nie wykonał zamówienia, czy jakiejś prośby) — i wtedy strzela z zemsty. Czasem stosuje podstęp: konwojent każe więźniowi przynieść coś spoza linii — i gdy ten ją przekracza, żołnierz strzela. Można też rzucić mu tam papierosa: na, popal sobie! Zek pobiegnie nawet za niedopałkiem, już taki z niego nędzny stwór.

Ale dlaczego strzelają? — nie zawsze można to zrozumieć. Dajmy na to — w Kengirze, w żonie mieszkalnej, we dnie, gdzie o żadnej ucieczce nie ma mowy, Lida, dziewczyna z Zachodniej Ukrainy, uprała sobie pończochy między jedną robotą a drugą i powiesiła je parę metrów od drutów, aby wyschły. Wartownik z wieżyczki podniósł broń do oka i zastrzelił ją na miejscu. (Chodziły później mętne gadki, że sam chciał się potem zabić).

Dlaczego?! Człowiek z karabinem! Niekontrolowane prawo jednego człowieka do rozporządzania życiem i śmiercią innego!

A wygodne to zajęcie. Zwierzchność zawsze jest po twojej stronie. Mord nie pociąga za sobą żadnej kary. Na odwrót, czeka cię jeszcze pochwała, nagroda — a im wcześniej go rąbnąłeś, choćby w połowie pierwszego kroku — tym lepszy dałeś dowód czujności, tym wyższa premia! Miesięczny żołd. Miesięczny urlop. (Zresztą — spójrzcie na to oczyma dowództwa: jeśli dywizjon nie ma na swoim koncie dowodów czujności, to co to za dywizjon?, kto nim dowodzi? Albo może więźniowie tak spokornieli, że można zredukować straż, co? System dozoru, raz wprowadzony w życie, żąda ofiar, trupów]).

Wśród strzelców rodzi się nawet duch współzawodnictwa: masz na rozkładzie faceta — i kupiłeś sobie śmietankowego masła. Więc ja też kogoś rąbnę — i też sobie kupię. Chce się skoczyć do domu, pomacać swoją dziewczuchę? — trzaśnij jednego z tych borych typów i już możesz jechać na miesiąc.

Wszystko to dobrze znaleźliśmy z ITŁ. Ale w Specobozach pojawiły się

nowinki: strzelanie do kolumny, w kupę, jak to zrobił kolega tego Uzbeka. Albo — jak w Oziertagu — z wartowni 8 września 1952 roku. Albo z wieżyczek, w głąb żony. To znaczy — że tak ich nauczono. To robota politruków.

W maju 1953 w Kengirze chłopaki z pepeszami przejechali się nagle i bez powodu serią z automatów po kolumnie, która wróciła z pracy i czekała na rewizję przy wejściu do żony. Było 16 rannych, ale żeby tylko — rannych! Strzelali kulami dum-dum, których użycia dawno już zabroniły wszystkie kapitalistyczne i socjalistyczne traktaty. Punkty wylotu przypominały krwawe leje, pociski szarpały wnętrzności, druzgotały szczęki, kruszyły kończyny.

Czemuż to właśnie w kule dum-dum zaopatrzona jest straż Specobozów? Kto ten rozkaz wydał i zatwierdził? Nigdy się tego nie dowiemy...

A jednak — jakież to oburzenie zawrzało w szeregach straży — gdy konwojenci dowiedzieli się z mojej noweli*, że więźniowie nazywają ich „papugami” i że teraz cały świat się o tej hańbie dowie! Nie, więźniowie powinni byli ich miłować i nadać im miano aniołów-stróż!

Ale jeden z tych chłopaków — co prawda, z tych lepszych — nie obraził się, tylko postanowił bronić swojej prawdy: Władilen Zadornyj, rocznik 1933, żołnierz oddziałów ochronnych MWD w Nyrobłagu od osiemnastego do dwudziestego roku życia. Napisał mi kilka listów:

„Chłopcy nie wybierali z własnej woli tych oddziałów, przysyłała ich komenda uzupełnień. Komenda przekazywała ich do MWD. Chłopców uczono strzelać i stać na warcie. Chłopcy marzli i płakali całymi nocami — na diabła im te wszystkie Nyrobłagi z całą ich zawartością! Tych chłopców nie trzeba winić — byli żołnierzami w służbie Ojczyzny i chociaż w tej bzdurnej i strasznej służbie nie wszystko było dla nich zrozumiałe (a co — było zrozumiałe? Albo wszystko, albo nic — A.S.) — ale przecież składali przysięgę i ta służba nie była wcale łatwa”.

Szczerze, uczciwie. To daje do myślenia. Ogrodzili tych chłopaków przysięgą jak ostrokołem! Służba dla Ojczyzny!, jesteś żołnierzem!

Ale widać słabe w nich były ogólnoludzkie fundamenta albo i żadnych nie było — skoro nie wytrzymały nacisku przysięg i szkolenia ideologicznego. Nie z każdego pokolenia i nie z każdego narodu da się ulepić takich chłopaczków.

Czy to nie główny problem XX wieku: — wolno czy nie wolno wykonywać każdy rozkaz, innym oddając w pacht własne sumienie? Czy wolno nie mieć własnych poglądów na to, co dobre, a co — złe i czerpać je z druko-

Jeden dzień Iwana Denisowicza.

wanych instrukcji oraz ustnych zleceń zwierzchności? Przysięga! Te solenne zakłęcia, wymawiane drżącym głosem po to, by okazać gotowość do obrony ludu przed łotrami! Jak łatwo obrócić je przeciw ludowi, a na pożytek łotrom!

Przypomnijmy, co chciał powiedzieć Wasyli Własow swemu dręczycielowi jeszcze w 1937 roku: ty, tylko ty jesteś winien, że morduje się ludzi! Moja śmierć ciebie jednego obciąża — i teraz żyj z tą myślą! Gdyby nie było katów — nie byłoby kaźni! Gdyby nie było oddziałów strażniczych — nie byłoby też obozów.

Oczywiście, ani współcześni, ani historia nie zignorują hierarchii win. Oczywiście, wszyscy rozumieją, że oficerowie tych oddziałów ponoszą większą winę; ich pełnomocnicy operacyjni — jeszcze większą; ci, co pisali instrukcje i rozkazy — znowu większą; a ci, co kazali je pisać — największą '.

Ale strzelali, ale dozorowali — ale trzymali wycelowane pepesze jednak nie tamci, tylko ci chłopaczkowie. Ale kopali leżących po głowie — jednak ci chłopcy!

A pisze mi jeszcze Władilen:

„Wbijano nam do głów i kazano nam wkuwać na blachę USO-4399 — regulamin oddziałów strażniczych z 43. roku, ściśle tajny, regulamin okrutny i groźny. I ta przysięga. I czujne oczy operów i zastępców dowódcy do spraw politycznych. Zausznictwo, donosy, teczki zakładane na każdego żołnierza. Rozdzieleni częstokołem i drutem kolczastym ludzie w fufajkach i ludzie w szynelach byli takimi samymi skazanymi — jedni na dwadzieścia pięć lat, drudzy na trzy lata”.

Mocno powiedziane — że strzelcy też byli skazańcami, tylko nie z wyroku trybunału wojskowego, lecz komendy uzupełnień. Ale nie takimi samymi, co to, to nie! — bo ludzie w szynelach spokojniutko pruli z automatów do ludzi w fufajkach, ba, nawet do tłumu, jak to wkrótce zobaczymy, y Władilen wyjaśnia:

„Chłopcy byli rozmaici. Byli wśród nich ograniczeni zupacy, nienawidzący ślepo zeków. Nawiasem — bardzo gorliwi byli rekruci wywodzący się z mniejszości riarodowych — Baszkirzy, Buriaci, Jakuci. Dalej szli ci, którym było wszystko jedno, tych była większość. Starali się odbębnić swoją służbę spokojnie i bez sprzeciwu. Najbardziej lubili kalendarz z odrywanymi kartkami i godzinę nadejścia poczty. I wreszcie — byli porządni

To nie znaczy, że pójdą pod sąd. Ale warto by sprawdzić, czy zadowoleni są ze swoich rent i dacz.

204

chłopcy, mający współczucie dla zeków jako ludzi, którym przytrafiło się nieszczęście. A większość rozumiała, że nasza służba nie budzi wśród ludzi sympatii. Gdy jechaliśmy na urlop — to bez munduru”.

Ale najlepiej poglądów Władilena broni jego własna biografia. Chociaż takich jak on były liczone jednostki.

Dostał się do oddziałów strażniczych przez niedopatrzenie leniwego specwydziału. Jego ojczym, stary działacz związkowy, został aresztowany w 1937 roku, matkę wyrzucono za to z partii. Ojciec zaś, kombryg Czeki, członek partii od 1917 roku postarał się czym prędzej odciąć się — tak od byłej żony, jak od syna (dzięki tej operacji zachował legitymację partyjną, ale romb2 NKWD przecież stracił³.

Matka zmywała plamę własną krwią: była podczas wojny krwiodawczynią. (Nie szkodzi, jej krew przydawała się i partyjnym, i bezpartyjnym). Chłopiec nienawidził od dziecka błękitnych kaszketów, a tu mu taki sam nasadzono na łeb... Zbyt mocno utrwaliła się w pamięci dziecka straszna noc, gdy ludzie w ojcowskich mundurach bezceremonialnie gmerali w dziecinnej pościeli.

„Nie byłem dobrym konwojentem: pozwalałem sobie na rozmowy z ze-kami, spełniałem ich prośby. Zostawiałem karabin przy ognisku i chodziłem do kiosku, by im coś kupić albo wrzucałem ich listy do skrzynki. Myślę, że w podobozach Promieżutocznaja, Mysakort, Parma długo wspominali strzelca Wołodię. Więziery-brygadzysta poradził mi kiedyś: ‘Przyjrzyj się ludziom, posłuchaj ich skarg, to dopiero zrozumiesz...’. A ja i tak w każdym politycznym widziałem własnego dziadka, wujka,

ciotkę... Swoich dowódców po prostu nie znośłem. Sarkałem, wściekałem się, mówiłem kolegom — 'to są prawdziwi wrogowie ludu!'. Właśnie za to, za otwarte nieposłuszeństwo ('sabotaż'), za kontakty z zekami — wszczęto przeciw mnie dochodzenie... Ten długosz Samutin... bił mnie po twarzy, walił przyciskiem po palcach — za to, że nie podpisałem zeznania o listach zeków. Leżałby martwym bykiem, bo jestem bokserem, mam drugą kategorię, umiałem przeżegnać się dwupudowym gwichtem — ale dwóch nadzorców trzymało mnie za ręce... Tylko że mieli większe kłopoty, niż robienie dochodzenia w mojej sprawie: w 53. roku w MWD rozpoczęła się taka hara-tanina! Nie zostałem skazany, tylko mi dali wilczy bilet — artykuł 47-g:

2 Dopiero podczas wojny wprowadzono epolety i gwiazdki. Przedtem noszono dysfunkcje wojskowe na kołnierzu: od dowódcy brygady wzwyż były to romby.

1 Chociaż dawno nic już nas nie dziwi, ale czasem człowiek się zastanawia: aresztowano drugiego męża porzuconej żony — a pierwszy mąż musi wyrzec się czteroletniego syna? I to jeszcze — kombryg NKWD?

205

'usunięty z organów MWD za rażący brak dyscypliny i poważne wykroczenia przeciw regulaminowi MWD'. I prosto z odwachu dywizjonu — a byłem pobity i przemarznięty — wyrzucili na stację, żebym wynosił się do domu... Brygadzysta Arsen, właśnie wypuszczony na wolność, opiekował się mną podczas drogi".

Wyobraźmy sobie teraz, że oficer konwoju zapragnąłby okazać więźniom pobłażliwość. Mógłby przecież zrobić to tylko w obecności szeregowych i za ich pośrednictwem. W tej naładowanej wrogością atmosferze nawet by tego nie mógł — byłoby mu jakoś niesporo.

Zresztą — zaraz by ktoś na niego zrobił donos.

Taki to system!

X

GRUNT SIĘ PALI POD NOGAMI

Nie, wcale nie temu trzeba się dziwić, że w obozach nie było buntów i powstań, lecz temu, że jednak się zdarzały.

Podobnie jak wszystkie niepożądane składniki naszych dziejów, to znaczy — ze trzy ćwierci tego, co naprawdę się działo, również te bunty tak dokładnie są wydrapane, załatane i zalizane, ich uczestnicy — tak starannie wytrzebieni, świadkowie — tak nastraszeni, raporty ich tłumicieli tak pracowicie spalone lub ukryte za dwudziestu pancernymi ścianami, że powstania te dzisiaj stały się mitem, chociaż minęło od ich czasu tylko piętnaście, a od niektórych — nawet dziesięć lat. (I dziwić się tu twierdzeniom, że ani Chrystusa nie było, ani Buddy, ani Mahometa. Tam minęły tysiąclecia...).

Gdy już to nikogo z żyjących nie wzruszy, historycy zostaną dopuszczeni do strzępków papierzyśk, archeolodzy pokopią trochę, w laboratoriach coś tam postawi się na ogniu — i wyjdą na jaw daty, miejsca i kontury tych powstań oraz nazwiska ich prowodyrów.

Odnajdą się wtedy ślady najwcześniejszych wybuchów — jak bunt Re-tiunina w styczniu 1942 w Osz-Kurii, opodal Ust'Usy. Podobno Retiunin był wolnym pracownikiem, omal czy nie szefem tej filii obozowej. Zwołał Pięćdziesiątkę Ósemkę i społecznie szkodliwych (art. 7-35), zebrał paruset ochotników, rozbroił konwój złożony z

pospolitaków przyjętych do samoobrony, zabrał konie i poszedł z ludźmi do lasu, na partyzancki chleb. Stopniowo zostali wybici do nogi. Jeszcze wiosną 1945 pakowano ludzi „za Retiunina”, nieraz zupełnie postronnych.

Może do tego czasu dowiemy się — nie, my już nigdy — o legendarnym powstaniu na budowie 501 w 1948 roku; była to budowa linii kolejowej

207

Siwa-Maska-Salechard. Legendarne jest ono dlatego, że we wszystkich obozach mówi się o nim na ucho, ale nikt dobrze nie wie, jak tam było. Legendarne także dlatego, że wybuchło nie w Specobozach, gdzie był odpowiedni grunt i także nastroje, lecz w obozie ITŁ, gdzie donosicielstwo ludzi dzieli, knajacy gnębią, gdzie oplute jest nawet prawo do miana politycznych, gdzie nikomu na myśl nie przyjdzie, że bunt więźniów jest możliwy.

Podobno wszystko urządzili eks-(świeżej daty!) wojskowi. Inaczej zresztą być nie mogło. Bez nich — Pięćdziesiątka Ósemka byłaby tylko trzodą wykrwawioną i pozbawioną woli. Ale ci ludzie (prawie nikt z nich nie przekroczył trzydziestki) oficerowie i żołnierze naszej bojowej armii albo tacy sami — tylko w skórze byłych jeńców — albo tacyż jeńcy, tylko mający jeszcze za sobą późniejszą służbę u Własowa, u Krasnowa czy w oddziałach narodowych; tam — walczący jeden przeciw drugiemu, a tu złączeni tym samym jarzmem; ta młodzież, która poznała wszystkie fronty wojny światowej, doskonale znająca taktykę współczesnej walki w polu, sztukę maskowania się i napadania na posterunki — otóż ta młodzież, tam gdzie nie uległa pełnemu rozproszeniu, zachowała jeszcze w 1948 roku cały impet wojenny i wiarę we własne siły. Nie mieściło jej się w głowie, żeby tacy chłopcy, całe bataliony, miały pokornie zdychać. Nawet ucieczka wydawała im się nędznym półśrodkiem, akcją godną dezertersów, którzy rejterują pojedynczo, zamiast całą kupą wydać bitwę.

Wszystko zostało zaplanowane i rozpoczęło się w jakiejś brygadzie. Powiadają, że na czele stanął eks-pułkownik Woronin (czy Woronow), jednooki. Wymienia się jeszcze starszego lejtnanta wojsk pancernych Sakurenko. Brygada zabiła swoich konwojentów (a konwojentami byli wtedy akurat nie prawdziwi żołnierze, tylko rezerwiści). Następnie ruszyli, by uwolnić drugą brygadę, za nią — trzecią. Napadli na osiedle straży i na własny obóz — z zewnątrz; zdjęli wartowników z wieżyczek i otwarli wrota żony. (Tu zaraz zaczęła się zwykła historia: brama stała otworem, ale większość zeków wcale nie kwapiła się do wyjścia. Byli wśród nich krótkoterminowi, którzy wcale nie zamierzali się buntować. Byli też ludzie z dziesięcioletnimi a nawet piętnastoletnimi wyrokami z dekretów „siedem-ósmych” i „cztery-szóste”, którym wcale nie zależało na nowym wyroku z artykułu 58. Była też Pięćdziesiątka Ósemka, ale taka, co to wołała wiernopoddariczko zdychać na kolanach, byle nie wstawać z klęczek. A ci, co wyskoczyli za wrota, wcale niekoniecznie szli na pomoc powstańcom: knajacy też chętnie uciekali poza żonę, aby grabić osiedla wolnych).

Zaopatrzywszy się w broń kosztem strażników (pochowanych później na cmentarzu w Koczmasie), powstańcy ruszyli teraz na sąsiedni podobóz

208

i zdobyli go. Wspólnymi siłami postanowili -wziąć z kolei miasto — Wor-kutę! — było do niej wszystkiego 60 kilometrów. Ale to im się nie udało. Desant spadochronowy

odciął ich od Workuty. Powstańców wystrzelały i rozproszyły samoloty szturmowe z lotu koszącego.

Później zaczęły się sądy i egzekucje; reszcie dano kary po 25 i 10 lat. (Przy okazji „odświeżono” wyroki niejednemu, co został w żonie, nie biorąc w akcji udziału). Z wojskowego punktu widzenia bezsensowność tej imprezy była oczywista. Ale kto powie, że więcej sensu miało powolne konanie?

Wkrótce potem utworzono Specobozy i większa część Pięćdziesiątki Ósemki znalazła się w tym niewodzie. No i cóż?

W 1949 roku w Berłagu, w podobozie Niżnij Aturiach zaczęło się mniej więcej tak samo: rozbroili konwojentów, zdobyli 6-8 automatów, napadli od zewnątrz na obóz, wybili strażników, przecięli druty telefoniczne, otwarli wrota obozu. Teraz w obozie byli już tylko ludzie z numerami, napiętnowani, strąceni na dno, bez żadnych szans.

I cóż?

Więźniowie nie wyszli przez otwartą bramę...

Ci zaś, którzy wszystko zaczęli i nie mieli już nic do stracenia, musieli przekształcić bunt w ucieczkę: całą grupą poszli w stronę Myłgi. Na El-genie-Toskanie przecięty im drogę oddziały wojska z tankietkami. (Operacją kierował generał Siemionow). Zginęli wszyscy co do jednego’.

Oto znana zagadka: co jest najszybsze na świecie? Oto odpowiedź: myśl!

Otóż to prawda — i zarazem nieprawda! Myśl bywa również opieszła, ach, jak opieszła! Z trudem i zbyt późno człowiek, społeczeństwo, ludzie uświadamiają sobie, co właściwie z nimi się stało, jaka jest ich sytuacja rzeczywista.

Zaganiając Pięćdziesiątkę Ósemkę do Specobozów Stalin niemal bawił się swoją potęgą. Nawet bez tego ci ludzie trzymani byli w aż zbyt solidnym zamknięciu — ale Wódz postanowił samego siebie prześcignąć i wymyślić coś jeszcze lepszego. Myślał, że tak będzie jeszcze straszniej. Tymczasem wszystko obróciło się na opak. Cały system represji za jego czasów oparty był na zasadzie rozwarstwienia niewolników; chodziło o to, by nie mogli spojrzeć sobie w oczy i policzyć — ilu ich jest; trzeba było wmówić zarówno im, jak wszystkim niezadowolonym, że żadnych niezadowolonych nie ma, że są tylko izolowani, rozjątrzeni, pojedynczy straceńcy z pustką w duszy.

‘ Nie twierdzę, że odtwarzam tu ściśle historię tych powstań. Wdzięczny będę każdemu, kto zwróci mi uwagę na pomyłki.

209

Ale w Specobozach spotkały się tysiączne tłumy niezadowolonych. I zdali sobie sprawę — ilu ich jest. I zorientowali się, że mają w duszach nie pustkę bynajmniej, lecz pojęcie o życiu — znacznie wyższej próby, niż wszyscy ich oprawcy, szpicle i teoretycy, tłumaczący dlaczego to oni powinni gnić w łągrze.

Z początku ta nowa cecha Specobozów nie rzuciła się w oczy prawie nikomu. Wydawało się, że to zwykła kontynuacja ITŁ. Tyle że szybko zmiękła rura szemranym, podporze reżymu obozowego, faworytom władzy. Ale mogło się też zdawać, że bezwzględność strażników i zwiększona pojemność BUR-ów zrównoważą tę stratę.

Jednakże — skoro tylko knajakom rura zmiękła, skończyły się kradzieże w obozach. Okazało się, że można w szafce zostawić porcję chleba. Na noc nie trzeba już kłaść butów pod głowę, można rzucić je na podłogę — i rano znaleźć je na miej-

scu. Można woreczek z machorką zostawić na noc w szafce, a nie trzeć jej w kieszeni pod boki.

Myślicie, że to głupstwo? Nie, to wielka rzecz! Skończyły się złodziejstwa i ludzie zaczęli patrzeć na swoich sąsiadów bez podejrzliwości, z sympatią. Słuchajcie, chłopaki, a może z nas rzeczywiście ci, jak tam...: polityczni?

Skoro zaś polityczni — to można trochę swobodniej pogadać — między dwiema wagonetkami, czy przy ogniku brygady. No, rozejrzeć się naprzód, kto stoi obok, to jasne. Ale w końcu — bierz go lichy, niech tam te buty szyją, ćwiarę już człowiek ma, co mi jeszcze mogą zrobić?

Zaczyna się uwiad całej dawnej psychologii obozowej: ty dziś zdychasz, ale ja jutro!; wszystko jedno, sprawiedliwości nigdy się nie doczekasz; tak zawsze było, tak zawsze będzie... A dlaczego — nie doczekasz się?... A dlaczego — tak zawsze ma być?...

Zaczynają się w brygadzie ciche pogaduszki, nie o pajce, nie o kaszy; mówi się o takich sprawach, że na wolności też nie usłyszysz — i coraz swobodniej!, coraz swobodniej!, coraz swobodniej! — i brygadzysta traci nagle poczucie wszechmocy swojej pięści. Jedni brygadziści w ogóle już tej pięści nie podnoszą, inni — coraz rzadziej. Brygadzysta już nosa nie zadziera, przysiada się, żeby posłuchać, pogadać. I członkowie brygady zaczynają patrzeć na niego, jak na towarzysza; to też w końcu jeden z naszych.

Brygadziści chodzą do wydziału produkcji, do księgowości w dziesiątkach drobnych spraw — komu obciąć przydział, komu nie, kogo gdzie postać — i p r y d u r k i też od nich nabierają smaku do tej nowej atmosfery, zaczynają dostrzegać tę mgiełkę powagi, odpowiedzialności, cień jakiegoś nowego sensu.

I prydurki — tymczasem tylko niektórzy — zaczynają się tym zarażać.

210

Jechali tu z gorącym pragnieniem zdobycia funkcji, zdobyli je — i dlaczego właśnie nie mieliby teraz żyć tu tak samo dostatnio jak w ITŁ; mieć swoją kabinę, smażyć kartofle na słońcu, zadawać się tylko ze swoimi, separując się od robotli? Otóż nie! Okazuje się, że to nie najważniejsze. Jak to, a co? Nie uchodzi tutaj pysnienie się pozycją pijawki, jak to było w ITŁ, nie wypada chełpić się, że żyjesz cudzym kosztem. I prydurki szukają sobie przyjaciół wśród robotli i rozpostarliszy na ziemi swoje nowiutkie watówki obok ich, lepkich od brudu, chętnie całe niedziele wylegują się razem z tamtymi i gadają o tym i owym.

I zasadnicze podziały wśród ludzi nie przebiegają tak schematycznie jak w ITŁ: prydurki — robole, pospolitacy — Pięćdziesiątka Ósemka, tylko o wiele zawężonej i ciekawiej: ziomkostwa, grupy religijne, ludzie bywali, fachowcy i uczeni.

Naczelnicy jeszcze długo niczego nie rozumieją i nie zauważają. Ale kierownicy robot już nie chodzą z pałami i nie wrzeszczą jak dawniej. Dają zlecenia brygadziście przyjaznym tonem: wiesz, Konow, czas już poprowadzić ich do roboty (nie żaden tam „duchowy przełom” — tylko że jest coś nowego i niepokojącego w powietrzu).

Ale to wszystko idzie opieszale. Miesiące, całe miesiące schodzą na te zmiany. Są to zmiany nie sezonowe, ale powolne. I chodzi nie o wszystkich brygadzystów, nie o wszystkich prydurków — lecz o tych jedynie, u których na dnie duszy, pod warstwą popiołu zostało jeszcze trochę sumienia i braterskich uczuć. A kto woli być draniem — ten dalej nim jest — i to z powodzeniem. Prawdziwego przełomu, wstrząsającego-

go, heroicznego — jeszcze nie widać. I obóz jest po dawnemu obozem, i dalej jesteśmy gnębieni, bezradni, a gdyby ktoś z nas przeczołgał się pod drutami i zaczął uciekać, to znów by go szczerzo psami i polewano ogniem z automatów.

I oto śmiała myśl, myśl desperacka, myśl — stopień ku wyzwoleniu: a gdyby tak postarać się, aby to oni uciekali przed nami, a nie my — przed nimi?

Dość zadać sobie takie pytanie, dosyć, by pewna liczba ludzi wpadła na tę myśl, dość by inni usłyszeli — i już skończyła się w obozie epoka ucieczek. A zaczęła — epoka buntów.

Ale jak tu zacząć? Od czego?! Toż jesteśmy skuci, opleceni mackami, pozbawieni swobody ruchów — od czego tu zacząć?

Najprostsze rzeczy w życiu — wcale nie są takie proste. Zdaje się, że już w ITŁ niektórzy wpadli na myśl — że szpiclów trzeba wytępić. Nawet tam potrafili tak się urządzić, że pieńek staczał się nagle ze stosu i kapuś wpadał do głębokiej wody. Zdawało się, że tu też nie trudno będzie odgad-

211

nąć, które macki nasamprzód trzeba odrąbać. Wszyscy niby to rozumieli. A w istocie — nikt nie rozumiał.

I nagle — samobójstwo. W reżymce — „barak dwa” znaleziono wisielca. (Uwaga! Wszystkie stadia procesu opisuję zaczynając od Ekibastuza. Ale NB! — w innych Specobozach proces przechodził przez te same etapy!). Władze nie bardzo się przejęły — odcięto go od sznura i zawieszono do trupiarni.

Ale w brygadzie ktoś bąknął, że to przecież był kapuś. Nie sam się powiesił. Powieszono go.

Przestroga.

Wielu w obozie jest łajdaków, ale najgrubszy, najbezczelniejszy i najbardziej nażarty z nich wszystkich — to szef stołówki Timofiej S...2. Ma własną gwardię z upasionych, sytych kucharzy, podkarmia jeszcze całą czeladź swoich pachotków i dyżurnych. I on sam i jego pachotki biją zeków pięściami i pałami. Któregoś dnia, zupełnie bez powodu uderzył małego, czarniawego chłopaka. A ten chłopak w naszej sytuacji, w Specobozie — to nie zwykły sobie smarkacz, tylko mahometanin. A mahometanin w obozie sporo. To nie jakaś knajacka szumowina, o nie. Przed zmierzchem można zobaczyć, jak w zachodniej części żony (w ITŁ tylko śmiech by wzbudzili, u nas — nie) modlą się oni zbiorowo, podnosząc w górę ręce i przyciskając do ziemi czoła. Mają swoich starszych, jakąś swoją radę. I oto ich decyzja — zemsta!

W niedzielę rano pobity chłopak w towarzystwie dorosłego Ingusza prześlizguje się do baraku prydurków, wylegujących się jeszcze pod kocami, wchodzi do izdebki S... i błyskawicznie zarzynają w dwa noże sześć-pudowego prominenta.

Ale ile w tym jeszcze amatorszczyzny! — nie próbują nawet ukryć swoich twarzy — ani uciec cichcem. Zaraz po tym mordzie, z okrwawionymi nożami w ręku, spokojni, bo w poczuciu spełnionego obowiązku, idą na odwach i oddają się w ręce nadzorców. Pójdą pod sąd.

Wszystko to są jeszcze próby po omacku. Wszystko to mogło jeszcze zdarzyć się w ITŁ. Ale myśl kolektywna pracuje dalej: a może to jest główne ogniwo? Czy nie w tym punkcie trzeba łańcuch rwać?

„Zabij szpicla!” — tak, to jest ogniwo główne! Nóż w serce szpiclowi! Robić noże i rżnąć szpicli — to jest to!

Dzisiaj, gdy piszę ten rozdział, rzędy humanitarnych książek z wysokości półek mojej biblioteki zerkają na mnie z wyrzutem: ich połyskujące matowo, starte grzbiety świecą jak gwiazdy przez zasłonę chmur: niczego

2 Nie ukrywam nazwiska, tylko go nie pamiętam.

212

w świecie nie wolno zdobywać przemocą! Kto wziął do rąk miecz, nóż, strzelbę — ten szybko zrówna się z własnymi oprawcami i ciemieżcami. I nigdy nie będzie temu kresu... •

Nie będzie kresu... Tu, przy stole, gdzie ciepło i czysto, całkowicie się z tym zgadzam.

Ale trzeba być skazanym na dwadzieścia pięć lat za bezdurno, mieć na sobie cztery numerowane łały, trzymać ręce zawsze za plecami, rano i wieczorem dawać się obmacywać przy rewizji, za byle donos trafiać do bunkra, czuć, że wdeptują cię coraz głębiej w ziemię — aby stamtąd, z dna tego dołu, usłyszeć we wskazaniach wielkich humanistów tylko czczą gadaninę sytych frajerów.

Nie będzie kresu!... — ale czy kiedykolwiek będzie początek? Czy doczekamy się w naszym życiu jakiegoś przebłytku?

Uciśnieni ludzie doszli do wniosku: dobrocią przeciw złości nie poradzi.

Szpicle — to też ludzie?... Nadzorcy chodzą od baraku do baraku i odczytują — aby nam strachu napędzić — rozporządzenie dowództwa obozu Piesczanyj: w jednym z żeńskich podobozów dziewczyny (z dat urodzenia widać, jak młodziutkie) prowadziły rozmowy antysowieckie. Trybunał w składzie... Rozstrzelać!

Na te dziewczyny, szepczące ze sobą na wagonetce, skazane już na dziesięć lat tego chomąta każda — też jakaś ścierwa musiała donieść! — „też więźniarka! I szpile — to też mają być ludzie?!

Nie było wątpliwości. A jednak pierwsze ciosy nie przyszły łatwo.

Nie wiem, jak gdzie indziej (bo rzeź szpicli rozpoczęła się we wszystkich Specobozach, nawet w inwalidzkim Spassku) ale u nas zaczęło się to od przyjazdu transportu z Dubowki — składającego się w zasadzie z Zachodnich Ukraińców, OUN-owców. Dla całego tego ruchu zrobili oni wszędzie bardzo dużo, to oni ruszyli wóz z miejsca. Etap z Dubowki przywiózł do nas bakcyła buntu.

Młodzi, silni chłopcy, wzięci prosto z partyzantki, rozejrzeli się po Dubowce, przejęła ich grozą ta śpiączka, to rabstwo — i chwycili za noże.

W Dubowce szybko skończyło się to buntem, pożarem i rozpędzeniem obozu na cztery wiatry. Ale gospodarze obozowi, w swoim ślepym zarozumiałstwie (przez trzydzieści lat nie spotykali się z żadnym oporem, odzwyczaili się od niego) — nie zatroszczyli się nawet o to, by przywiezionych buntowników trzymać z dala od nas. Rozesłano ich po całym obozie, poprzydzielano do różnych brygad. Był to sposób rodem z ITł: rozproszenie służyło tam do wyciszania protestów. Ale w naszym oczyszczającym się już środowisku, ten chwyt przyśpieszył tylko szerzenie się ognia. Nowo przybyli chodzili w składzie brygad do pracy, ale nawet się do niej

213

nie zabierali albo odwalali ją na lipę. Leżeli sobie na słoneczku (bo też było lato!) i gadali ze sobą po cichu. Patrząc na nich z boku można było pomyśleć, że to złodzieje z ferajny, tym bardziej, że też byli młodzi, dobrze odżywieni, barczyści.

To była ferajna: miała swoje prawa, ale nowe i nieznane wśród nas, na przykład takie: „kto ma nieczyste sumienie — musi zginąć tejże nocy!”.

Teraz zabójstwa zdarzały się częściej niż ucieczki za czasów największego ich rozkwitu. Dokonywano ich w sposób bezwzględny i anonimowy: nikt już nie szedł do władz z okrwawionym nożem: i siebie, i nóż woleli oszczędzić — do następnej okazji. O wybranej godzinie — o piątej rano, gdy samotni nadzorcy otwierali z klucza barak i szli do następnego, a prawie wszyscy więźniowie jeszcze spali — zamaskowani mściciele cicho wkradali się do z góry oznaczonej sekcji, podchodzili do określonej wagonetki i bez wahania zarzynali obudzonego już i dziko wrzeszczącego albo jeszcze śpiącego zdrajcę. Sprawdzali, czy aby umarł na dobre i wychodzili spokojnie.

Nosili rodzaj masek a numerów ich nie było widać — były sprute albo zasłonięte. Ale jeśli sąsiedzi zamordowanego rozpoznali nawet ich sylwetki, to nie spieszyli się wcale z przekazaniem tej informacji; nawet w czasie przesłuchań, nawet obsypywani przez kumów groźbami — nie ustępowali teraz i powtarzali: nie, nie, nie wiem nic, nie widziałem! I przyczyną nie była tym razem stara prawda, znana wszystkim uciśnionym „kto nie wie, ten śpi na poduchach, kto coś wie — tego wiedzą w łańcuchach” — tu chodziło o ratowanie własnego gardła! Dlatego, że ten, co poznał i wymienił — ginął nazajutrz o piątej rano i nic by mu nie pomogła łaska opera. I oto zabójstwa (choć, jak dotąd, nie było ich więcej niż dziesięć) stały się normą, powszednim zjawiskiem. Więźniowie w umywalni, przy pobieraniu dziennych porcji pytali — zabito dziś kogoś? W tym okrutnym sporcie uszy zeków słyszały głos podziemnego gongu sprawiedliwości.

Robione to było w zupełnej tajemnicy. Ktoś tam (uznany za autorytet) gdzieś tam komuś innemu wskazywał kogoś trzeciego: o, tego! Nie troszczył się, kto będzie wykonawcą wyroku, kiedy to się stanie, skąd wezmą nóż. A bojowcy, którzy właśnie o to się troszczyli, nie znali sędziego, którego wyrok właśnie mieli wykonać.

I przyznać trzeba — przy braku dokumentów, stwierdzających winę szpiclów! — że niekonstytucyjny, nielegalny i niewidzialny ten sąd sądził o wiele trafniej, z o wiele mniejszą liczbą omyłek, niż wszystkie znane nam trybunały, trójki, kolegia wojskowe i OSO.

S z a t k o w a n i e, bo tak to u nas nazywano, okazało się zajęciem tak trudnym do wykrycia, że zaczęto je uprawiać nawet we dnie; stało się niemal publiczne.

Pewnego malutkiego, piegowatego starostę baraku, by-

214

tego wybitnego enkawudzistę z Rostowa, znaną gnidę, zabito w niedzielę, za dnia, w barakowym wychodku. Obyczaje tak tu stały się już dzikie, że ludzie rzucili się tam tłumnie, aby przyrzyć się okrwawionemu trupowi.

A to znów — ścigając zdrajcę, który wydał podkop w baraku nr 8 (władze spostrzegły się i zapędziły tam prowodyrów z Dubowki, ale szatkowanie nawet bez nich szło już jak po maśle) — mściciele z nożami w biały dzień pobiegli środkiem żony, bo kapuś uciekał przed nimi do baraku sztabowego; wbiegł tam — a oni za nim; on — do gabinetu naczelnika podobozu, opastego majora Maksymienki, a oni za nim. A major siedział właśnie na swoim fotelu i obozowy balwierz golił mu brodę. Major — jak każe regulamin obozowy — był bez broni, do żony nie wolno jej wnosić, tak bezpieczniej. Widząc rezunów z nożami, przerażony major zerwał się spod brzytwy i jął błagać o litość, pewien że to jego chcą tu zarznąć. Z ulgą

stwierdził po chwili, że zarzynają na jego oczach szpicla. (Majora nikt nie chciał tknąć. Zasadą ruchu było, aby likwidować tylko szpiclów, nadzorcom zaś i naczelnikom nie robić żadnej krzywdy). Major mimo to wyskoczył przez okno, nie dogolony, w białym prześcieradle i ruszył w stronę wartowni, krzycząc rozpaczliwie: „Wieża, ognia! Wieża, ognia!”. Ale strażnik z wieżyczki nie strzelał...

Zdarzyło się raz, że pewnego szpicla nie dorżnięto i udało mu się uciec do szpitala. Tam operowano go i opatrzono mu rany. Ale jeśli sam major przestraszył się noży, to czy mógł szpital uratować donosiciela? Po dwóch czy trzech dniach został zabity w łóżku.

Na pięć tysięcy ludzi zabito w ten sposób jakiś tuzin, ale każdy cios noża sprawiał, że po kolei odpadały lepkie macki, które dotąd nas oplatały. Niezwykły wiatr tu powiał! Na oko — byliśmy dalej tymi samymi zekami zamkniętymi w odrutowanej żonie, ale w istocie staliśmy się ludźmi wolnymi — bo po raz pierwszy w całutkim naszym życiu zaczęliśmy na głos wypowiadać to wszystko, co nam do głowy przychodziło. Kto nie przeżył podobnej chwili, ten nie może sobie wyobrazić, co to znaczy!

A kapusie —już nie kapali...

Aż do tej chwili wydział operacyjny mógł kazać każdemu zostać w żonie i zmuszać do wielogodzinnych rozmówek — kolekcjonując donosy, próbując udzielać zleceń, wydobywając z ludzi nazwiska współwięźniów, wyróżniających się czymkolwiek, nic jeszcze nie mających na sumieniu, ale potencjalnie niebezpiecznych, podejrzewanych, że mogą stać się przywódcami przyszłych rebelii.

A wieczorem brygada wracała z roboty i brała kolegę na spytki: po coś był wzywany? Odpowiedź była zawsze ta sama, niezależnie czy więzień mówił prawdę, czy kłamał beczelnie: „A pokazywali mi fotografie...”.

Rzeczywiście, w okresie powojennym wielu więźniom pokazywano foto-

grafie osób, które mogli byli widzieć podczas wojny. Ale nie można było pokazywać ich wszystkim, nie było powodu. A tymczasem powoływali się na to wszyscy — i swoi, i zdrajcy. Nieufność zagnieździła się wśród nas rychło, każdy zamknął się w sobie. Teraz zaś atmosfera oczyściła się, znikły powody do podejrzeń. Jeśli teraz operczekiści kazali komuś wyjść z szeregu i zostać w żonie — ten nie wypełniał rozkazu! Nie do wiary! Rzecz niebywała w całej historii Czeka - GPU - MWD! — wezwany nie włókł się do urzędu z nierówno bijącym sercem, nie biegł truchcikiem z przypochlebnym uśmiechem, ale dumnie (przecież cała brygada patrzy!) odmawiał pójścia! Niewidzialne szale ważyły się w powietrzu nad placem apelowym. Na jednej szali leżały wszystkie znane koszmary: izby przesłuchań, ciosy pięści i pałek, stanie bez snu, wąskie boksy, zimne i mokre karcery, pluskwy i trybunały, drugie i trzecie wyroki. Ale to wszystko były sprawy przewlekłe, to był młyn do kruszenia kości, nie mogący jednak pochłonąć wszystkich naraz i przepuścić ich przez tryby jednego i tego samego dnia. I przecież ludzie, którzy poszli na przemiał, jednak zostawali przy życiu — wszyscy, co tu byli, przeszli przez te tryby.

A na drugiej szali leżał tylko nóż, nic więcej — ale ten nóż był! przeznaczony dla ciebie — jeślibyś załamał się i ustąpił. Przeznaczony był tylko dla ciebie, wymierzony był tylko w twoją pierś — i to nie kiedyś tam, ale już jutro o świcie, i wszystkie moce CzKGB nie były w stanie cię ocalić! Nie był nawet przesadnie długi, o! w sam raz, żeby dobrze wejść pod piątę żebro. Nawet rączki nie miał, jak należy — jakiś

kawałek taśmy izolacyjnej, którą owijało się trzonek klingi — ale to wystarczało, by się nie wysliznęła z ręki, tarcie było w sam raz.

I oto — okazywało się, że ta groźna, lecz ożywcza perspektywa bierze górę, że ta szala przeważa! Wszyscy słabi znajdowali nagle siły, by oderwać od ciała pijawki i wymaszerować razem z całą brygadą. (Mieli teraz dobre usprawiedliwienie: my byśmy zostali w żonie, obywatelu naczelniku, ale baliśmy się noża!... Wam nic nie grozi, wy sobie nawet nie możecie wyobrazić...).

Nie dość na tym. Ludzie nie tylko przestali chodzić na wypródkę do pełnomocników operacyjnych i innych obozowych władz, ale wystrzegali się nawet wrzucania listów i karteluszków do skrzynek pocztowych wiszących w żonie albo do skrzynek próśb i zażaleń do wysokich instancji. Nim decydowali się sami wrzucić list albo podanie, prosili kogoś z kolegów, „popatrz no, to nie donos. Chodźmy razem, wrzucimy do skrzynki”.

I teraz dopiero władze ogłuchły i oślepyły! Brzuchaty major i jego zastępcy, kapitan Prokofiew, też brzuchaty, wszyscy nadzorcy — dalej chodzili po żonie, gdzie nic im nie groziło, z taką samą swobodą, co dawniej, mijając nas, przyglądając się nam — i nic nie widząc! Bo bez donosicieli

216

nic nie może zobaczyć ani usłyszeć człowiek w mundurze: nim podejdzie bliżej, ludzie już milkną, odwracają się, chowają się, odchodzą na bok... Gdzieś obok wierni informatorzy dręczyli się pragnieniem sypnięcia towarzyszy — ale żaden z nich nie próbował nawet porozumieć się z władzą choćby umownym gestem.

Odmówił więc współpracy ten aparat informacyjny, na którym trzymała się i dzięki któremu całe dziesięciolecie rosła sława wszechmocnych i wszechwiedzących Organów.

Niby te same brygady chodziły na te same obiekty (zresztą — zmówiliśmy się, by eskortie też stawać okoniem — i udało się! Bo gdy znikli donosiciele, również chłopaki z pepeszami poczuli się mniej pewnie). Pracowaliśmy — żeby nie czepiano się wykonania planu. Wracaliśmy — i pozwalaliśmy nadzorcom obmacywać się, jak dawniej (a noży — nigdy nie znajdowano!). Ale w istocie rzeczy już całkiem inne grupy spontaniczne, przede wszystkim — narodowe, były teraz komórkami życia społecznego. Narodziły się i okrzepły ośrodki narodowe, dla szpiclów nieprzeniknione: ukraiński, ogólnomahometkański, estoński, litewski. Nikt tam przywódców nie wybierał, ale uformowały się one w sposób tak sprawiedliwy na zasadzie starszeństwa, mądrości, przeżytych cierpień, że nikt w kręgu ziomeków nie negował ich autorytetu. Przypuszczalnie istniał też jakiś nadrzędny organ, coś w rodzaju „Rady Narodowości”³.

Brygady dalej były brygadami, liczba ich też nie uległa zmianie, ale patrzcie no: w obozie zaczęło brakować kandydatów na brygadystów! — zjawisko w GUŁagu niespotykane. Z początku zmniejszenie się ich liczby miało naturalne przyczyny: jeden był w szpitalu, drugi poszedł do gospodarstwa pomocniczego, jeszcze inny doczekał się końca kary. Ale dotąd zawsze czekał na ich stanowiska rozżarty tłum poszukiwaczy szczęścia: za

³ Tu już koniecznie trzeba wyjaśnić, że nie wszystko szło tak składnie i gładko, jak by to mogło wynikać z zarysu głównych tendencji. Istniały współzawodniczące grupy „umiarkowanych” i „skrajnych”. Zakradły się też, rzecz jasna, osobiste sympatie i antypatie, odgrywały też swoją rolę samolubne ambicje aspirantów do „wodzow-

stwa". Młode byczki z grupy „rezunów” nie odznaczały się głębią świadomości politycznej; niektórzy z nich skłonni byli do żądania za swoją „robotę” lepszych przydziałów żywności i w tym celu potrafili grozić śmiercią kucharzowi lazaretu, to znaczy — domagać się, aby ich dokarmiał kosztem chorych, bo jak nie — to mogą go uchechtać, bez sankcji moralnej jakiegoś tam domorośłego sędziego; już są przyzwyczajeni, maski i noże mają w zanadrzu. Jednym słowem, w tym zdrowym świecie już się zaczynała pojawiać zgnilizna — jest to niezmienna, nie nowa, odwieczna cecha wszystkich ruchów rewolucyjnych.

A pewnego razu zaszła omyłka. Chytry kapuś namówił pocziwego robociarza do zamiany miejsc na narach — i rano robociarz już był zarżnięty.

Ale — nie bacząc na te odchylenia, kierunek ogólny był bardzo jasno wytyczony, trudno było zgubić drogę. I skutki społeczne były właśnie takie, jak należy.

217

kawał słoniny, za sweter można było kupić sobie funkcję brygadzysty. Teraz natomiast nie tylko że kandydaci zniknęli, ale byli nawet brygadziści, którzy codziennie wycierali ławki w administracji, prosząc o co rychlejsze zwolnienie ich ze stanowiska.

Takie czasy nastały, że stara metoda — wpychanie robociarza w drewniany kaftanik — zupełnie zawiodła, a nową mało kto potrafił wymyśleć. I wkrótce taki brak brygadzystów zapanował, że kierownik robót wpadał do izby, żeby zapalić skręta, pogawędzić — i kończyło się na otwartych prośbach: „Chłopak, no przecież to nie idzie tak bez brygadzysty, co za bałagan! No, wybierzcie sobie sami kogoś, my go zaraz zatwierdzimy!”.

Jęły się takie sceny powtarzać zwłaszcza wtedy, gdy brygadziści zaczęli uciekać do BUR-a — szukać schronienia w kamiennym więzieniu! Nie tylko oni, ale także majstrowie — krwiopijcy jak Adaskin; kapusie, którym groziło zdemaskowanie, przeczuwający już, że teraz ich kolej, nagle zadrżeli i rzucili się do ucieczki. Jeszcze poprzedniego dnia zadawali szyku, jeszcze wczoraj zachowywali się i przemawiali tak, jakby pochwalali wszystko, co teraz w obozie się działo (spróbowałbyś mówić dziś z zekami innym tonem!), jeszcze ubiegłej nocy spali w baraku ogólnym (spali czy może raczej czuwali w napięciu, gotowi do ostatniej walki, zaklinając się w duchu, że to ostatnia taka noc) — a dzisiaj już ich nie ma! I dyżurny dostaje zlecenie: rzeczy takiego a takiego odnieść do BUR-a.

Była to nowa, wesota i straszna epoka w życiu Specobozu! W końcu — to nie my daliśmy nogę — tylko oni uciekli, uwalniając nas od swego towarzystwa. Niebывały, nieznany dotąd światu czas: człowiek o nieczystym sumieniu nie może zasnąć spokojnie! Odwet przychodzi nie na tamtym świecie, nie sąd historii feruje wyrok, tylko widomy, konkretny odwet podnosi o brzasku nóż nad twoją głowę. To mogło się zdarzyć tylko w bajce: ziemia żony pod nogami ludzi uczciwych jest miękka i ciepła, pod nogami zdrajców — kole stopy i płonie! Można by życzyć tego samego wszystkim obszarom leżącym poza żoną, całemu naszemu wolnemu krajowi, gdzie nigdy nic podobnego się nie zdarzyło — i nic takiego może się nie zdarzyć. Mroczny, kamienny BUR, od dawna już rozbudowany, z małymi okienkami opatrzonymi w blince, wilgotny, zimny i ciemny, otoczony mocnym i ścisłym płótnem z czterocalowych belek — ten BUR, tak pieczołowicie przygotowany przez panów gospodarzy dla zbiegów, dla odmawiających pracy, dla uparciuchów, dla prote-

stujących, dla wszystkich śmiazków — nagle stał się schroniskiem dla szpicłów, pijawek i dzierzymordów!

Nie sposób odmówić bystrego dowcipu temu, kto pierwszy wpadł na pomysł, by w nagrodę za wierną i długą służbę zażądać od czekistów schronienia przed gniewem mas — w tym kamiennym worku. Żeby agenci

218

władzy sami prosili o zamknięcie ich w najlepiej strzeżonej celi, żeby nie z więzienia uciekali, ale do więzienia, żeby dobrowolnie rezygnowali z czystego powietrza i słonecznego nieba — nie, historia chyba nie zna takiego wypadku!

Naczelnicy i pełnomocnicy ulitowali się nad pierwszymi w kolejce, przytulili ich!, w końcu to swoi ludzie. Wydzielili dla nich najlepszą celę w BUR-ze (obozowi dowcipnisie przezwali ją przechowalnią), wyposażyli ją w materace, kazali lepiej palić w piecu, wyznaczili im godzinne spacer.

Ale śladem pierwszych spryciarzy poszli następni, nie tak dowcipni, ale tak samo gorąco pragnący żyć (niektórzy chcieli przy tym zachować twarz — a nuż się przyda, może jeszcze trzeba będzie wrócić i żyć w otoczeniu zeków? Archidiakon Rudczuk przemyślnie wyreżyserował swoją ucieczkę do BUR-a: po apelu przyszli do baraku nadzorcy, rozegrali scenę brutalnej rewizji z wytrząsaniem materaca włącznie, „aresztowali” Rudczuka i zabrali precz. Ale wkrótce cały obóz dowiedział się, że dumny archidiakon, miłośnik pędzla i gitary siedzi w tej samej, przepelnionej „przechowalni”! Już ich tam było dziesięciu, piętnastu, dwudziestu z górą! („Brygada Ma-czechowskiego” — tak ich nazwano, od nazwiska naczelnika wydziału dyscypliny). Już zabrano się do urządzania następnej celi, kosztem powierzchni użytkowej BUR-a.

Donosiciele są wszelako potrzebni i pożyteczni tylko tak długo, jak długo myszkują wśród więźniarskiej masy i nie są jeszcze zdemaskowani. Zdemaskowany zaś szpicel nic nie jest wart i w danym obozie nie ma już z niego żadnego pożytku. I jeszcze trzeba go karmić za darmo w BUR-ze, bo nie pracuje na obiekcie, nie zarabia na sobie. Nie, nawet filantropia musi mieć w MWD jakieś granice!

Dlatego zatamowano potok próśb o ratunek. Kto się spóźnił — musiał dalej nosić owczą skórę i czekać noża.

Donosiciel — jak przewoźnik: potrzebny na dwa pacierze, a później niech czart go bierze.

Władze zaś gorączkowo myślały o kontrataku, o tym, jak zahamować groźny ruch i jak go złamać. Pierwszą jednak rzeczą, za którą się z przyzwyczajenia wzięły — było pisanie rozporządzeń.

Czego panowie naszych ciał i dusz najbardziej nie chcieli uznać — to faktu, że ruch nasz był ruchem politycznym. W groźnych ich rozkazach (nadzorcy chodzili od baraku do baraku i odczytywali je nam na głos) wszystko, co się u nas zaczynało dziać, nazywane było bandytyzmem. Tak było prościej, zrozumiałej i jakoś bardziej od serca. Jeszcze niedawno przysyłano do nas bandytów jako „politycznych”. I oto teraz polityczni — po raz pierwszy uznani za takich! — stali się „bandytami”. W rozkazach tych mówiło się — bez wyraźnego przekonania — że bandyci ci będą ziden-

219

tyfikowani (chwilowo nie mieli ani jednego) i (z jeszcze mniejszą pewnością siebie) — że zostaną rozstrzelani. Ponadto rozkazy wzywały masy więźniarskie do potępienia owych bandytów i do walki z nimi!...

Więźniowie wysłuchiwali obwieszczeń i rozchodzili się, tłumiąc śmiech. To że oficerowie działu dyscypliny bali się nazywać zjawisko polityczne po imieniu (choć już od trzydziestu lat cały proceder śledczy polegał na wmawianiu ludziom politycznych motywów) — odczuwaliśmy jako ich słabość.

Bo też to była słabość! Nazywanie polityki bandytyzmem — był to ich wybieg: administracja obozu nie ponosiła w takim wypadku najcięższej odpowiedzialności — za dopuszczenie do pojawienia się wśród więźniów ruchu politycznego. Ten sam awantaż i ta sama konieczność odczuwane były także na wyższych stopniach organizacji: w obozowych i okręgowych delegaturach MWD, w GUŁagu, w samym ministerstwie. System lękający się informacji o faktach lubi oszukiwać sam siebie. Gdyby zabijano nadzorców i oficerów, wówczas trudno byłoby nie stosować artykułu 58-8, mówiącego o terroryzmie, co zresztą pozwalało na łatwą aplikację rozstrzelania jako kary. Teraz zaś władze postanowiły wykorzystać ponętną możliwość sprowadzenia ruchu w Specobozach do wspólnego mianownika tzw. suczej wojny, która w tym samym okresie szalała w ITŁ, a wybuchła i podsycana była za sprawą samego Kierownictwa GUŁagu⁴.

4 „Sucza wojna” godna byłaby osobnego omówienia w tej książce, ale wymagałoby to zebrania mnóstwa dodatkowego materiału. Odsyłamy czytelnika do studium Władłama Szałamowa Szkice z dziejów świata przestępczego, chociaż tam też nie wszystko jest powiedziane.

A więc pokrótce: „Sucza wojna” wybuchła gdzieś w 1949 roku (nie licząc sporadycznych, acz regularnie powtarzających się wypadków harataniny między złodziejami a „sukami”). W 1951 i 1952 roku ta wojna już szalała na dobre. Świat knajacki podzielił się na liczne frakcje: oprócz fetniaków i suk w ścisłym sensie, byli jeszcze „bespredielniki” (złodzieje absolutni), „machnowcy”; „uporowcy” (naciskacze); „piwowarowcy” (od nazwiska prowodyra Piwowarowa, a może — ci, co mogą nawarzyć piwa; „czerwone kapturki”; „fuli nam!” (a ch... nam do tego); „łomem podpasani” — i wiele jeszcze innych grup.

W tym okresie Kierownictwo GUŁagu przestało już wierzyć w nieomyślność teorii o możliwości wychowania knajaków i zapewne postanowiło uwolnić się od tego bałastu, prowokując wewnętrzne podziały, popierając to jedną, to drugą grupę i jej nożami eliminując inne. Rzeź miała charakter otwarty, masowy.

Potem szemrani mordercy udoskonalili swoje metody: starali się zabijać nie własnymi rękoma albo zmuszali innych, by brali na siebie winę. W ten sposób młodzi pospolitacy albo byli żołnierze i oficerowie musieli pod gardłem odpowiadać na cudze przestępstwa, obrywali 25 lat z bandyckiego artykułu 59-3 i siedzą dotychczas. A fetniacy — wodzowie „grup” — wyszli na wolność ponad śnieg bielsi w 1953, gdy ogłoszono amnestię „woro-szyłowską” (ale pociesmy się: od tego czasu nierzaz już znowu wpadli).

Kiedy w naszej prasie znów zaczęła się sentymentalna moda opowieści o cudownych metamorfozach knajaków, wychynęła na łamy gazet również garść informacji — oczywiście możliwie najbardziej bałamutnych i kłamliwych — o epidemii morderstw w obozach, przy czym celowo splątano (aby zbić z tropu historyków) „suczą wojnę” z naszym „szatkowaniem” w Specobozach; zresztą — w ogóle nie wiadomo było o jakie to nożownicze

W ten sposób starali się oni ocalić twarz. Ale pozbawiali się też prawa do rozstrzelania morderców obozowych, to znaczy — nie mieli do dyspozycji konkretnych środków zaradczych. I nie mogli przeciwdziałać rosnącemu ruchowi.

Rozkazy nie pomogły. Więziarskie masy nie zamierzały — na zew swoich władców — potępiać i zwalczać. Następnym krokiem było więc wprowadzenie w całym obozie karnego reżymu. Znaczyło to, że przez cały czas, prócz godzin spędzanych przy pracy, zarówno w tygodniu, jak w niedziele powinniśmy siedzieć pod kluczem, jak w celi, korzystać tylko z kibla i nawet żarcie pobierać we własnym zamkniętym baraku. Bałandę i kaszę zaczęto roznosić po barakach w wielkich beczkach, a stółwka opustoszała.

Ciężki to był reżym, ale nie utrzymał się długo. Na obiektach posadziliśmy robotę na żółwia i zjednoczenie węglowe podniosło krzyk. A co najważniejsze — na dozorców i strażników spadł poczwórny ciężar: musieli latać z kluczami z jednego krańca obozu na drugi, to wpuszczać, to wypuszczać dyżurnych z kiblami, to karmić ludzi, to znów konwojować całe grupy do ambulatorium i z powrotem.

Celem władzy było, aby nam te dolegliwości dokuczyły, nastawiły przeciw zabójcom i skłoniły do ich wydania. Ale my wszyscy gotowiśmy byli raczej cierpieć, iść na udry — bo też było warto! Chcieli także, aby każdy

historie chodzi. Temat obozów wszystkich interesuje, takie artykuły ludzie czytają chciwie, ale zrozumieć z nich niczego nie sposób (i po to właśnie są pisane). Na przykład — dziennikarz Galicz opublikował w 1959 roku w „Izwestiach” jakąś podejrzaną „dokumentalną” opowieść o niejakiem Kosych, który ponoć rozrzewnił cały Sowiet Najwyższy 80-stronicowym listem z łagru, pisanym na maszynie. (1. Czyja to maszyna? Pełnomocnika operacyjnego? 2. Kto by tam czytał 80 stronic, skoro w tej instytucji już po pierwszej ziewają?). Ten Kosych oberwał 25 lat, drugi wyrok, za wewnątrzobozową historię. Co to za historia, za co te 25 lat — w tym punkcie Galicz, co w ogóle jest typowe dla naszych dziennikarzy, od razu utracił zdolność do jasnego i zrozumiałego wyrażania się. Nie można się zorientować, czy Kosych popełnił zabójstwo „sucze”, czy też polityczne, to znaczy, czy zabił szpicla. Ale właśnie to jest charakterystyczne: z historycznej perspektywy wszystko ma wyglądać jednakowo i wszystko ma nosić miano bandytyzmu. Oto jak ten proces próbuje naukowo naświetlić centralne pismo: „Poplecznicy Berii (zwalaj jak na garbusa, jemu i tak wszystko jedno!) panoszyli się wtedy (a przedtem? A obecnie?) w obozach. Samowola poszczególnych jednostek zastąpiła surowy mechanizm praw (jak to? wbrew obowiązującym instrukcjom? A któż by się ośmielił?), choć właśnie te jednostki miały go strzec. Jednostki te na wszelki sposób podsycaly wrogie nastroje (podkreślenie moje. To akurat prawda — A. S.) między rozmaitymi grupami ze-ka. (Korzystanie z usług donosicieli też daje się objąć tym sformułowaniem...). Była to dzika, bezlitosna, sztucznie podsycana nienawiść”.

Nie udało się zahamować epidemii obozowych mordów wyrokami po 25 lat, jakie morderccy już mieli na koncie. I oto w 1961 roku wydany został dekret o karze śmierci przez rozstrzelanie za mord w obozie — również za zabicie szpicla, to jasne. Tylko tego chruszczowskiego dekretu brak było jeszcze stalinowskim Specobozom.

barak był zamknięty, co uniemożliwiałoby wejście mieszkańcom innych baraków, a miejscowych zawsze przecież łatwiej znaleźć. Ale znów zdarzyła się egzekucja szpicla — i znów jakoś nikogo nie złapano za rękę — znów nikt „nic nie widział” i „nikogo nie poznał”. A potem na obiekcie komuś łeb rozbito jak orzech — i tu już nic nie pomogło zamykanie baraków.

Odwołano więc karny reżym. Zamiast tego zaczęto budować „wielki mur chiński”. Był to mur grubości dwóch samanowycyfł bloków, czterometrowej wysokości, który ciągnął się środkiem obozu, mając dzielić go w poprzek. Chwilowo pozostawiono w nim przejście. (Pomysł ten zrealizowano we wszystkich Specobozach. Takie dzielenie wielkich zon na mniejsze pola zastosowano już we wielu innych łagrach). Ponieważ zjednoczenie opłacać tych robót nie mogło, w planie budowy też to nie było przewidziane, bo pozbawione sensu — więc cały ciężar tej nowej pracy: lepienie i strychowa-nie bloków z samanu, i obracanie ich przy suszeniu, i noszenie na plac budowy, i samo układanie — spadł na nas samych, kosztem naszych niedziel i wieczornych (letnich, jasnych) godzin po powrocie z właściwej roboty. Bardzo nam ten mur dopiekł, jasne było, że władze knują jakąś nową podłość, ale budować trzeba było. Wolności wywojowaliśmy sobie bardzo jeszcze niewiele — tyle co dla głów i języków, a ręce ciągle jeszcze więzły w blocku niewoli.

Wszystkie te akcje — groźne rozporządzenia, karny reżym, mur chiński — były brutalne, utrzymane w klasycznym więziennym stylu i duchu. Ale cóż to? Ni stąd, ni zowąd jedna, druga, trzecia brygada zostaje wezwana do izby fotografa — i tam fotografuje się ludzi po kolei, ale bardzo grzecznie, bez obroży z numerem na szyi, nie zmuszając do obracania głowy w specjalny sposób; nie — siadaj, jak ci najwygodniej, patrz tam, gdzie masz ochotę. I dzięki „nieostrożności” naczelnika działu KO robociarz dowiaduje się, że to „zdjęcia do dokumentów”.

Do jakich dokumentów? Jakie dokumenty może mieć więzień?... Wśród łatwowiernych rośnie podniecenie: a może szykują przepustki, żeby chodzić bez konwoju? A może... A może?...

A to znów nadzorca wrócił z* urlopu i głośno opowiada koledze (w obecności ze-ków!), że po drodze widział całe pociągi amnestionowanych

— umajone transparentami i zielenią. Że jadą do domu!

Boże, jak się serce tłucze! Toć już dawno 'najwyższy czas! Toć od tego właśnie trzeba było zacząć po wojnie! Rety, więc już się zaczęło?

Podobno ktoś dostał list z domu: jego ziomkowie już na wolności, już w domu!

I nagle jedną ze sfotografowanych brygad wzywają na komisję. Prosimy, pojedynczo, jeden po drugim. Przy stole pokrytym czerwonym płótnem,

222

pod portretem Stalina siedzi nasza góra obozowa, ale nie tylko oni: jeszcze jacyś dwaj nieznajomi, jeden Kazach, drugi Rosjanin, nikt ich nigdy u nas nie widział. Ich zachowanie cechuje rzeczowość, ale z iskierką pogody; wypełniają kwestionariusze: nazwisko, imię, imię ojca, rocznik, miejsce urodzenia, a dalej, zamiast zwykłych pytań o artykuł, wyrok, datę końca kary — pytają o sytuację rodzinną, szczegółowo, o żonę, rodziców, czy są dzieci, jakie duże, gdzie mieszkają — razem czy osobno. I wszystko to zostaje zapisane!... (To jeden, to drugi członek komisji upomina protokolanta: to też zapisz! i to też!).

Dziwne, bolesne i słodkie pytania! Najbardziej zatwardziały z nas, słysząc je czuje przyptyw ciepła, chce mu się nawet płakać! Całe lata słyszał tylko to urywane ujadanie: artykuł?, wyrok?, instancja? — i nagle widzi zupełnie nie zawziętych i złych, ale poważnych i ludzkich oficerów, którzy bez pośpiechu, ze współczuciem, tak jest, ze współczuciem, wypytują go

rzeczy ukrywane tak głęboko — że samemu nieraz strach ich dotknąć, czasem powie człowiek sąsiadowi z nar dwa słowa, ale najczęściej milczy...

ci oficerowie (już zapomniawszy albo wybaczasz nawet, że ten właśnie starszy lejtnant w zeszłym roku przed rocznicą rewolucji znalazł u ciebie, odebrał i podarł fotografię żony z dziećmi) — otóż ci oficerowie, słysząc, że twoja żona wyszła za innego, a ojciec bardzo słabuje i że nie spodziewa się już zobaczyć synka — tylko cmokają wargami ze smutkiem, patrzą na siebie wymownie i kiwają głowami.

Ależ oni w gruncie rzeczy dobrzy, też ludzie, tyle, że ta psia służba... I gdy już wszystko jest zapisane, zadają każdemu takie oto ostatnie pytanie:

No, a gdzie chciałbyś mieszkać?... Przy rodzinie, czy tam, gdzie ostatnio?

Jak? — zek bałuszy oczy. — Ja... mieszkam w siódmym baraku...

To wiemy! — śmieją się oficerowie. — My cię pytamy: gdzie chciałbyś mieszkać w ogóle, gdybyśmy mieli cię, powiedzmy wypuścić — to na jaką miejscowość wypisywać ci dokumenty?

I cały świat wiruje w oczach więźnia, drzazgi słoneczne, koła tęczowe... Rozumem dobrze pojmuję, że to tylko sen, bajka, że to nie może być prawda, że wyrok opiewa na dwadzieścia pięć albo dziesięć, że nic się nie zmieniło, że cały jest upačkany gliną i jutro znów będzie się w niej babrać — ale przecież ci oficerowie, dwóch nawet w randze majora! — siedzą przed nim i bez pośpiechu ze współczuciem wypytują go:

— Więc dokąd, dokąd chciałbyś jechać? Powiedz!

I z tłukącym się sercem czując, że oblewa go warem fala ciepła i wdzięczności, jak chłopiec, który cały w pąsach wypowiada imię ukochanej — tak nasz zek wydusza ze siebie najgłębszą tajemnicę i mówi, gdzie chciałby

223

spokojnie spędzić resztę swoich dni, gdyby nie był wyklętym katorżnikiem, napiętowanym czterema numerami.

A tamci — zapisują! I proszą, by wezwał następnego. Więc ten pierwszy, półprzytomny wybiega na korytarz i opowiada towarzyszom, co tam było.

Członkowie brygady wchodzą po kolei i odpowiadają na pytania życzliwie usposobionych oficerów. I na pół setki" więźniów jeden przypada, który powie z uśmiechem:

— Na Syberii wszystko mi się podoba, tylko klimat jakiś za gorący. Jak już, to może za Koło Podbiegunowe.

Albo:

— Zapiszcie, proszę: urodziłem się w obozie i w obozie odwalę kitę, bo to najlepsze miejsce.

Pogawędzili tak z dwoma, trzema brygadami (a w obozie jest ich dwieście). Przez kilka dni panowało w obozie miłe podniecenie, było

0 czym pogadać — chociaż połowa z nas od początku nie bardzo wierzyła,

minęły, minęły te czasy! Ale komisja jakoś więcej się nie zbierała. Foto grafowanie drogo ich nie kosztowało — pstrykali bez kliszy. Ale na takie siedzenia całą kupą i serdeczne rozmówki z tymi tajdakami — nie, na to nie starczyło im cierpliwości. No, a skoro nie starczyło, to cała bezwstydną komedia skończyła się swędem.

(Ale trzeba przyznać — że to był jednak sukces! W 1949 roku zostają zorganizowane — oczywiście na wieczne czasy — obozy z żelaznym reżymem. I już w 1951 roku ich gospodarze urządzić muszą to sentymentalne przedstawienie. Gdzie lepszy dowód naszej wygranej? Dlaczego w ITŁ nigdy nie musieli tak się zgrywać?).

I znów błysnęły noże.

I wtedy gospodarze postanowili — brać! Bez donosicieli nie wiedzieli dobrze kogo brać, ale jakieś tam swoje podejrzenia i kalkulacje mieli (a może ktoś zdołał potajemnie odbudować sieć i system łączności).

Przychodzą więc nadzorcy do baraku — po robocie, jakby nigdy nic

I powiadają: „Zbieraj się, pójdziesz z nami”.

A zek ogląda się na sąsiadów i mówi:

— A ja nie pójdę!

I rzeczywiście — w tym zwykłym, prostym akcie brania, aresztowania, któremu nikt z nas nigdy się nie sprzeciwił, które uznawaliśmy z przyzwyczajenia za wyrok losu, jest przecież założona alternatywa: a nie pójdę! Nasze wyzwolone głowy teraz to już rozumiały!

— Jak to — nie pójdziesz? — zjeżyli się nadzorcy.

- A tak to! Nie pójdę! — stanowczo odparł zek.—Tu też mi nie najgorzej.

224

— A dokąd go chcecie brać? A dlaczego? My go nie damy! Nie damy!... Wynoscie się! — zakrzyczeli więźniowie ze wszystkich stron.

Nadzorcy podreptali w miejscu i wyszli.

Spróbowali w sąsiednim baraku — i tak samo się nacięli.

I zrozumieli wilcy, że już z nas nie te same barany. Że brać nas teraz można tylko podstępem albo na wartowni, albo — całą hurmą na jednego. A z tłumu — nikt go się nie da wyrwać.

I my, oczyszczeni z plugastwa, wolni od ich podstuchu i podpatrywania, przyjrzelśmy się sobie i zobaczyliśmy, że — nas tysiące!, że jesteśmy — polityczni!, że możemy już stawiać opór!

Jak dobrze, jak trafnie wybrane zostało to ogniwo, za które należało uchwycić łańcuch, by go porwać — szpicle!, zausznicy i zdrajcy! To nasi bracia, towarzysze niewoli nie pozwalali nam żyć. Jak na starożytnym ołtarzu — ich krew musiała zostać przelana, aby całą resztę uwolnić od ciężaru przekleństwa.

Rewolucja narastała. Jej powiew, który już zdawał się ucichać, teraz wdarł się w nasze płuca z siłą huraganu!

Archipelag Gułag

XI RWIEMY WIĘZY PO OMACKU

Teraz, gdy od naszych strażników dzieliła nas już nie byle fosa, tylko głęboko zakłęśnięta rozpadlina — stanęliśmy na jej dwóch skarpach i zastanawialiśmy się: no i co dalej?

To tylko taki obraz, że „stanęliśmy”. Chodziliśmy dalej do pracy z naszymi nowymi brygadzystami (wybranymi w sekrecie i skłonny do poświęceń dla wspólnego dobra) albo nawet z tymi starymi, tylko zmienionymi nie do poznania, troskliwymi, życzliwymi, serdecznymi. Nie spóźnialiśmy się na apel, nie zwalaliśmy roboty na kolegów, osiągaliliśmy na obiektach niezłe wyniki — i zdawało się, że gospodarze obozu mogą być z nas zupełnie zadowoleni. My też mogliśmy być zadowoleni z nich: oduczili się wrzasków i pogroźek, nie posyłali już do karceru za byle głupstwo i nie chcieli widzieć, że czapek na ich widok już nie zdejmujemy. Major Maksymienko poranny apel i rozprowadzenie brygad zwykle przesypiał, ale za to wieczorem lubił witać powracające kolumny przed wartownią i — podczas gdy ciżba tłoczyła się u wrót — pozwalał sobie na dobrotliwe żarty. Patrzył na nas z sytą obojętnością, jak gospodarz futoru gdzieś, na południu Ukrainy patrzył na wracające z głębi stepów niezliczone swoje trzody. Nawet filmy zaczęto nam czasem wyświetlać przy niedzieli. I tylko budowę „wielkiego muru chińskiego” dokuczano nam jak dawniej.

A jednak — zarówno nas, jak ich cały czas dręczyła jedna i ta sama myśl: co dalej? Ten stan nie mógł trwać długo; nie zadowalał ani nas, ani ich. Ktoś musiał zadać pierwszy cios.

Ale — jakie właściwie mogliśmy wysunąć żądania? Mówiliśmy teraz głośno i bez żadnych obaw wszystko, co nam do głowy przyszło, o wszys-

226

tkim, co nas bolało od lat (cieszyć się wolnością słowa nawet tylko wśród drutów żony, nawet tak późno w życiu — jakże było słodko!). Ale czy mogliśmy mieć nadzieję, że tę wolność uda nam się zaprowadzić poza żoną, że zdołamy tam ją przerzucić? Pewno, że nie. Jakież jeszcze inne żądania polityczne mogliśmy wysunąć? Nawet wyobrazić ich sobie nie było można! Nie dość, że byłoby to bezcelowe, beznadziejne — ale było niewyobrażalne! W naszym obozie nie mogliśmy przecież żądać, by cały kraj się zmienił, ani

— by wyrzekł się obozów; zaraz by nas bombami z samolotów zasypało.

Naturalnym byłoby żądanie rewizji naszych spraw, anulowania niesprawiedliwych, niezawinionych kar. Ale to też wyglądało beznadziejnie. W gęstniejącym nad całym krajem smrodzie terroru większość naszych spraw i naszych wyroków wydawała się sędziom czymś bezwzględnie uzasadnionym — ba, wydaje się, że nas samych zdołali oni o tym przekonać! I wreszcie — rewizja spraw — to jakaś abstrakcja nieuchwytna dla nas, przy tym z okazji rewizji najłatwiej nas byłoby oszukać: obiecywać, zwłóczyć, przyjeżdżać na nowe dochodzenia, to można ciągnąć latami. A gdyby kogoś nagle uznano za uniewinnionego i zabrano z obozu — to skąd moglibyśmy wiedzieć, czy to nie na egzekucję, nie do innego więzienia, żeby tam odsiadział nowy wyrok?

Zresztą — czy komedia Wysokiej Komisji już nas nie nauczyła, jak to wszystko można zainscenizować? Toć bez żadnych superrewizji już — już chciano nas posłać do domu...

Ale co do jednego wszyscy byliśmy zgodni i tu nie było wątpliwości

— zlikwidować trzeba szyskany najbardziej poniżające: niech nas na noc nie zamyka się w barakach i niech z nich zabiorą sobie kible; niech już nie będzie numerów; nie chcemy harować zupełnie za bezdurno; niech nam

wolno będzie pisać 12 listów rocznie (ale to wszystko, to wszystko — i na wet nie 12, tylko 24 listy rocznie już mieliśmy w ITŁ — a czy tam można było żyć?).

A nawet co do tego, czy walczyć o 8-godzinny dzień pracy — nie było wśród nas zgody... Takeśmy odzwyczaili się od wolności, że nas do niej jakby wcale nie ciągnęło...

Rozważaliśmy też różne sposoby: jak wystąpić z tymi żądaniami? Co robić? Było jasne — że nasze gołe ręce nic nie znaczą przeciw nowoczesnej armii i dlatego naszym środkiem działania ma być nie powstanie zbrojne, lecz strajk. Podczas strajku można, dajmy na to, zerwać z siebie numery.

Ale krew płynęła w nas wciąż jeszcze niewolnicza, rabska. Jednomyślne sprucie psich numerów wydawało się czynem tak śmiałym, takim zuchwałym i nieodwracalnym, jak — powiedzmy — wyjście z cekaemami na ulice. A słowo „strajk” brzmiało w naszych uszach tak świętokradczo, że

227

szukaliśmy dlań oparcia w głodówce: jeśli strajk zacząć jednocześnie z głodówką, to zyskają na tym niejako nasze moralne prawa do samego strajku. Dogłódówki mamy jakby jakieś prawo — ale do strajku? Kilka pokoleń z rzędu wychowało się u nas w przekonaniu, że superniebezpieczne

i rzecz jasna — kontrrewolucyjne słowo „strajk” stoi w jednym szeregu ze słowami „Ententa, Denikin, kułak, sabotaż, Hitler”.

W ten sposób, godząc się na zupełnie zbędną głodówkę, zgadzaliśmy się z góry na dobrowolne osłabienie naszych fizycznych sił, niezbędnych do walki. (Na szczęście — nikt już później w innych obozach nie powtórzył tego ekibastuzkiego błędu).

Debatowaliśmy także nad szczegółami takiej ewentualnej strajko-głodówki. Zastosowany u nas niedawno ogólnoobozowy reżym karny nauczył nas, że w odwet za strajk zamkną nas w barakach. Jak wtedy mamy się ze sobą komunikować? Jak wymieniać między sobą decyzje dotyczące dalszych losów strajku? Ktoś musiał wymyśleć i uzgodnić z innymi system sygnałów i ustalić z jakiego okna baraku będą nadawane i w jakim innym oknie drugiego baraku — ma się je odbierać.

O tym wszystkim mówiło się to tu, to tam, w jednej grupie, potem w innej. Wydawało się, że chodzi o rzecz nieuniknioną i pożądaną — a zarazem niemożliwą, bo nigdy dotąd niebywałą. Nie sposób było wyobrazić sobie tego dnia, kiedy zbierzemy się wreszcie, dogadamy się, podejmiemy decyzję i...

Ale nasi dozorczy, ujęci w karby jawnej organizacji wojskowej, przyzwyczajeni do działania i nauczeni, że akcja jest mniejszym ryzykiem od bezczynności — otóż nasi dozorczy uderzyli pierwsi.

A dalszy ciąg przyszedł już sam...

Cichutko i błogo powitaliśmy na naszych wagonetkach i w składzie starych naszych brygad, w starych barakach, sekcjach i kątach nowy rok 1952. A w niedzielę 6 stycznia, w prawosławną Wilię, kiedy to Ukraińcy-Haliczanie sposobili się do uroczystego święta, gdy chcieli warzyć kutię, pościć aż do pierwszej gwiazdki i później śpiewać kolędy — otóż tego dnia rankiem po apelu zamknięto nas w barakach i już więcej ich nie odmykano.

Tego nikt się nie spodziewał! Przygotowane to było w sekrecie, bardzo sprytnie! Przez okna zobaczyliśmy, że z sąsiedniego baraku jakąś secinę zeków ze wszystkimi rzeczami prowadzą w stronę odwachu.

Etap?

A teraz idą po nas. Oficerowie z aktami. I wywołują według listy. Wychodzą z rzeczami! I z siennikami, jak leci, nabitymi słomą.

Ach, więc o to chodzi! Chcą nas przetasować! U przetazu w chińskim

228

murze stoi straż. Jutro przetaz zamurują. Nas zaś wyprowadzają przez wartownię z żony setkami i pędzą — z workami i siennikami, niby jakichś pogorzalców — dookoła obozu i przez drugą wartownię wprowadzają do drugiej części żony. A z tamtej żony — prowadzą innych zeków w odwrotnym kierunku.

Wszyscy kalkulują gorączkowo: kogo przenieśli?, kogo zostawili?, jaki jest sens tej translokacji? Dość prędko wyjaśnia się, o co chodziło gospodarzom: w jednej połowie (podobóz nr 2) zostali tylko mołojcy z Ukrainy, jakieś dwa tysiące ludzi. Tam zaś, gdzie nas przeniesiono będzie podobóz nr 1 na trzy tysiące pozostałych — dla Rosjan, Tatarów, Gruzinów, Ormian, górali z Kaukazu, Polaków, Mołdawian, Niemców i rozmaitych innych, zagarniętych na obszarach Europy i Azji. Jednym słowem — całe „jednolite i niepodzielne” Imperium. (Ciekawe. Myśl taktyczna MWD, której szlaki winien był wytyczać promień teorii socjalistycznej i ponadnarodowej — podreptała jednak starą ścieżką: grunt to porozdzielać ludzi według pochodzenia). Stare brygady rozkruszyły się, formuje się nowe; pójdą na nowe obiekty, zabawa w komórki do wynajęcia! — Będzie tego tasowania nie na jedną niedzielę, tylko na cały tydzień. Porwano mnóstwo nici, przemieszczano ludzi

— i strajk, już wiszący niemal w powietrzu, został udaremniony... Spryciarze!

W ukraińskim podobozie został cały sanitariat, stołówka i świetlica. U nas zaś jest BUR. Ukraińców, banderowców, najniebezpieczniejszych rebeliantów — postanowiono więc trzymać jak najdalej od BUR-a. Czemu to tak?

Wkrótce mamy już odpowiedź: obóz obiega bardzo godna wiary pogłoska (przenieśli ją tragarze, noszący do BUR-a beczki z sałamachą), że kapusie w swojej „przechowalni” znowu podnieśli łby: do ich celi pakują podejrzanych (wzięto dwóch-trzech to z tej, to z owej brygady) i że szpicle znęcają się nad nimi w tej celi, duszą, biją, zmuszają do zeznań, żądają nazwisk! Kto zarzyna?! Teraz dopiero jasno widać, gdzie jest sedno sprawy

— torturują! Torturuje nie sama psia sfera (zapewne nie mają urzędowej sankcji i mogliby napytać sobie kłopotów), poruczyli tę robotkę kapusiom: znajdźcie sami tych, co was mordują! Gorliwość nie trzeba ich uczyć.

I w ten sposób nie będą żreć chleba darmo, nygusy. A banderowców dla tego trzyma się z dala od BUR-a, żeby go nie zaatakowali. Na nas można przecież liczyć: ludzie z nas potulni, przy tym — różnych narodowości, o znowę trudniej. A buntownicy — zostali po drugiej stronie. I mur ma cztery metry.

Ileż to mądrych ksiąg napisali badacze historii, iluż tych badaczy było

229

— a żaden z nich nie nauczył nas przewidywać zawczasu, ba, nikt nie potrafił nawet objaśnić w następstwie — jak wybucha tajemniczy płomień w ludzkich duszach, jak zapala się pierwsza iskra społecznych wybuchów.

Czasem pcha się płonące pakuły pod polano, pcha się i pcha — a suche drewno zapalić się nie chce. Czasem zaś jedna iskra wyfrunie z komina

— i cała wieś pójdzie z dymem.

Te nasze trzy tysiące niczego właściwie nie knuły, do niczego nie były gotowe, ale gdy tego dnia ludzie przyszli z roboty — nagle w baraku, co sąsiadował z BUR-em, zaczęli rozbierać swoje wagonetki, brać się za dłużyce, za poprzeczki i w półmroku (ten kąt koło BUR-a zawsze był ciemny) biec, aby łomotać tymi dechami w mocny parkan ciągnący się wokół obozowego więzienia. Ani toporka, ani łomu nie miał nikt, bo w żonie ich nie znajdzie; no, może tam kto przyniósł jakie narzędzie z działu gospodarczego.

Łomot był taki, jakby ciesielska brygada zgodnie wzięta się do roboty. Pierwsze deski ustąpiły, zaczęto więc je oddzierać — i skrzyp czterocalo-wych gwoździ słysząc było w całej żonie. Zdawało się, że to nie pora na ciesiołkę, ale te odgłosy tak się ze zwykłą pracą kojarzyły, że nie zwrócili na nie z początku uwagi ani wartownicy na wieżyczkach, ani nadzorcy, ani robociarze z innych baraków. Wieczór obozowy toczył się zwykłym torem: jedne brygady szły do stołówki, inne z niej się wlokły, ten spieszył do lazaretu, ów do magazynu, inny jeszcze po odbiór paczki z domu.

Ale w końcu nadzorcy zaniepokoiłi się i poszli sprawdzić, co się dzieje koło BUR-a, co tam kipi od tej ciemnej strony. Sparzyli się — i uciekli w stronę baraku sztabowego. Ktoś tam rzucił się za nimi z kijem. Ktoś inny

— do kompletu, żeby już wszystko grało — zaczął kamieniami czy kijem tłuc szyby w baraku sztabu. Brzęk pękających szyb był dziwaczny, wesoły, groźny!

Czego chcieli w końcu? — nie żadnego powstania, nie chcieli nawet brać więzienia szturmem, to niełatwe. Cały zamiar do tego się sprowadzał, aby chlusnąć szpiclom benzyny przez okno, podrzucić ogień — niby, że czuwamy i żeby nie stawali się za bardzo. Jakiś tuzin z wiary przedarł się w końcu przez dziurę wyłamaną w parkanie. Zaczęli szastać się bez ładu, szukając która to cela, czy to właściwe okno, chcieli strącić z okna kaganiec, jeśli podsadzać się nawzajem, podawać z rąk do rąk wiadro — ale tu zagrały cekaemy z wieżyczek i do podpalenia nie doszło.

Nadzorcy, którzy uciekli poza żonę i naczelnik od dyscypliny Maczecho-wski' (gonił go już ktoś z nożem, ale Maczechowski uciekł przez dziedzi-

' Jego też w końcu zarębałi, ale nie nasi, tylko knajacy, którzy w 1954 roku przyszli na nasze miejsce do Ekibastuza. Był brutalny, ale nie można odmówić mu odwagi.

230

nieć gospodarczy w stronę narożnej wieżyczki krzycząc: „Wieża! Nie strzelać! Swoi!” i w końcu zwał przez druty i pas ochronny) — dali już znać do dywizjonu. A z dywizjonu (jak i gdzie dowiedzieć się teraz nazwisk tych dowódców?) przyszedł telefoniczny rozkaz, aby narożne wieżyczki otworzyły ogień z karabinów maszynowych do trzech tysięcy ludzi, nie mających pojęcia o tym, co się pod BUR-em dzieje. (Nasza brygada, na przykład — była w stołówce i tam usłyszeliśmy strzelaninę, nie wiedząc wcale

o co chodzi).

Ironia losu sprawiła, że działo się to 22 stycznia według nowego kalendarza; wedle starego zaś — był to 9 stycznia; data, która jeszcze tamtego roku widniała w kalendarzach jako krwawa niedziela, uroczysta rocznica rzezi na placu przed Pała-

cem Zimowym w 1905 roku. U nas zaś był to krwawy wtorek i oprawcy większe mieli pole do popisu, niż niegdyś w Petersburgu: nie plac, tylko step — i żadnych świadków, dziennikarzy, ani cudzoziemców².

W ciemnościach szli z cekaemów na oślep, po całej żonie. Co prawda, strzelali tylko chwilę, większa część pocisków poszła pewno górą, ale wystarczająco wiele poszło dołem, a czy wiele ołowiu na człowieka trzeba? Kule przebijały cienkie ściany baraków i poraniły, jak to zwykle, nie tych, co szturmowali więzienie, tylko zupełnie postronnych, a ci musieli teraz ukrywać swoje rany; nie mogli iść do lazaretu, niech tam goi się, jak na psie: kto był ranny, tego zaraz uznano by za uczestnika buntu — toż trzeba kogoś wyłować z tej ciżby! W 9 baraku zginął od kuli na własnej pryczy cichy starzec, który odsiedział niemal do końca swoją karę: za miesiąc miał wyjść z obozu; jego dorośli synowie służyli w tej samej armii, która prała do nas z cekaemów.

Ci, co napadli na więzienie, uciekli spod BUR-a i rozbiegli się do swoich baraków (musieli jeszcze prędko zbić do kupy swoje wagonetki, żeby nie było śladu). Wielu uznało strzelaninę za powód do siedzenia w baraku. Ale inni — wyszli właśnie na zewnątrz, kręcąc się w podnieceniu po żonie

1 próbując dowiedzieć się, co to było i dlaczego.

W tym momencie nie było już w żonie ani jednego nadzorcy. Barak sztabowy opustoszał, ponuro ziejąc wybitymi szybami. Wieżyczki milczały. Po żonie wąłesali się gapie i poszukiwacze prawdy.

1 wtedy otwały się na całą szerokość wrota naszego podobozu i pluton konwojentów w pełnym rynsztunku wkroczył do żony, siekąc na oślep z automatów. Szli wachlarzem, za nimi ciągnęli rozjuszeni nadzorcy, uzbrojeni w rury żelazne, pały, w co tylko mieli pod ręką.

2 Jakoś w tych właśnie latach znikła z kalendarzy „krwawa niedziela” — jako wydarze

nie w końcu banalne i niewarte wspomnienia.

231

Nacierali falami na wszystkie baraki, przeczesując żonę. Potem automaty milkły, strzelcy przystawali, a nadzorcy wybiegali naprzód, polowali na ukrywających się zeków — rannych czy jeszcze całych i bili ich niemiłosiernie.

To wszystko wyjaśniło się dopiero później, a tymczasem słyszeliśmy tylko gęstą palbę; w półmroku nie mogliśmy niczego zobaczyć ani się zorientować.

W drzwiach naszego baraku powstał morderczy tłok: wszyscy chcieli schronić się czym prędzej we wnętrzu i dlatego nikt nie mógł wejść (ściana z cienkich deszczułek nie była osłoną, ale kto był w środku, ten przestawał być buntownikiem). Ja też znalazłem się na ganku. Pamiętam dobrze mój ówczesny stan ducha: mdląca obojętność, niech się dzieje co chce, wszystko jedno, czy to ostatnia moja chwila, czy jeszcze nie ostatnia. Niech was ziemia pochłonie, przekłęci, czego jeszcze od nas chcecie? Dlaczego zawsze, aż do śmierci ma ciążyć na nas jakaś wina, dlaczego musieliśmy urodzić się na tej nieszczęsnej ziemi i wiecznie siedzieć w waszych więzieniach? Ohyda tej kategorii wypełniła mi pierś zimnym obrzydzeniem.

Opuściła mnie nawet obawa o los poematu i sztuki, które nosiłem w pamięci. W obliczu śmierci, która maszerowała ku nam w szynelach, wcale nie cisnąłem się ku drzwiom baraku. Oto był stan, do którego nas na tej katordze doprowadzono.

Tłok zelżał, weszliśmy do baraku jako ostatni. I zaraz huknęły strzały, zwielokrotnione przez echo w izbie. Trzy kule postali za nami, utkwily rządkiem we framudze. A czwarta zgórowała i zostawiła w górnej, oszklonej części drzwi krągły, mały otwór otoczony promienistym nimbem.

Prześadowcy nie wdarli się w ślad za nami do baraku. Zamknęli nas w nim na klucz. Wyłapywali i bili tych, którzy nie zdążyli schronić się w barakach. Rannych i zabitych było ze dwudziestu; część dała nura, ukrywając rany, inni zaś trafili chwilowo do lazaretu, by doczekać się później więzienia i śledztwa za udział w buncie.

Ale dowiedzieliśmy się tego później. Tej nocy baraki były zamknięte, a następnego ranka, 23 stycznia nie pozwolono nam spotkać się z innymi w stołówce i podzielić wiadomościami. Tak więc, niektóre zdeorientowane baraki — te, w których nie było ofiar i gdzie nic się nie wiedziało o zabitych — wyszły do roboty. Nasz barak był również w ich liczbie.

Wyszliśmy, ale w ślad za nami nikogo nie wyprowadzono z obozowej bramy: plac był pusty, żadnej odprawy brygad. Zostaliśmy oszukani!

Szpetnie czuliśmy się tego dnia przy robocie w naszych warsztatach mechanicznych. Wiara snuła się od maszyny do maszyny albo siedziała, roztrzaskując wczorajsze wydarzenia. Jak długo jeszcze będziemy tak tyrać i potulnie znosić to wszystko. A bo to można inaczej? — odpowiadali im starzy łagrowcy, raz na zawsze zgięci w barani róg. — A bo to znacie takiego, co

232

się nie dał? Wszystkim dadzą radę, zawsze tak było! (To była filozofia tych z 37. roku).

Gdy o zmroku wróciliśmy z roboty, żona naszego podobozu dalej była bezludna. Ale posłaliśmy gońców pod okna innych baraków. Okazało się, że Dziewiąty, w którym było dwóch zabitych i trzech rannych, a także sąsiadujące z nimi baraki już dziś do roboty nie poszły. Gospodarze stawiali im nas za przykład i mieli nadzieję, że nazajutrz tamci też pójdą do pracy. Ale teraz wszystko było jasne — my też jutrzejszego ranka do roboty nie idziemy.

Przerzuciliśmy przez mur kilka karteluszków, żeby Ukraińcy wiedzieli, co się stało, i żeby nas poparli.

Strajk głodowy, nie przygotowany należycie, nawet nie przemyślany do końca — zaczął się teraz znienacka, bez ośrodka kierowniczego, bez systemu sygnalizacji. Później, w innych obozach, zaczynano od zajęcia magazynów żywnościowych i sił na harówkę nie marnowano; było to na pewno mądrzejsze. U nas zaś — choć niemądrze, ale nader okazałe: trzy tysiące ludzi odrzuciło za jednym zamachem i chleb, i robotę.

Rano ani jedna brygada nie posłała ludzi do krajalni chleba. Ani jedna nie poszła też do stołówki, gdzie dymity już kotły z bałandą i z kaszą. Nadzorcy nic nie rozumieli: dziarskim krokiem wchodzili do baraków wołając nas raz, drugi i trzeci — później próbowali nas wypędzić pogroźkami, potem znów nas grzecznie zapraszali — i tylko do stołówki, a o robocie i odprawie mowy nie było.

Ale nikt się nie zbierał. Wszyscy leżeli — w butach i ubraniach — i milczeli. Tylko my, brygadziści (w tym właśnie gorącym okresie zostałem brygadzystą) musieliśmy ruszać głębią, bo nadzorcy zwracali się tylko do nas. Leżeliśmy, jak inni i rzucaliśmy półgębkiem z naszych legowisk:

— Nic się nie da zrobić, panie naczelniku...

I ten bierny, ale powszechny opór wobec władzy — tej władzy, która nigdy nikomu nie wybaczała, opór nieustępliwy, długotrwały — wydawał się czymś groźniejszym niż biegania i krzyki pod gradem kul.

W końcu namowom przyszedł kres i baraki zamknięto.

W ciągu najbliższych dni z baraków wychodzili tylko dyżurni: wynosili kible, wnosili wodę do picia i węgiel. Tylko tym, co leżeli w lazarecie wolno było nie brać udziału w głodówce, tak postanowił ogół. I tylko lekarze oraz sanitariusze mieli prawo pracować. Kuchnia nawarzyła sałamachy raz i drugi, musiała ją wylać i zaprzestała gotowania stawy. Prydurki pierwszego dnia ponoć zgłosili się do władz, aby wyjaśnić, że żadną miarą nie mogą się wyłamać — i poszli.

233

I już panowie gospodarze nie mogli ani nas zobaczyć, ani zajrzeć nam w dusze. Głęboki jar rozdzielił dozorców i niewolników.

Nikt, kto był temu przytomny, nie zapomni tych trzech dni i nocy naszego życia. Nie widzieliśmy naszych towarzyszy z innych baraków, nie widzieliśmy nie pogrzebanych zwłok, które tam leżały. Ale przez opustoszałą żonę obozową biegnęły stalowe nici, które nas łączyły.

Głodówkę proklamowali nie syci ludzie z warstwą tłuszczu pod skórą, tylko zgraja żyłastych, wyczerpanych istot, przez wiele lat z rzędu cierpiących głód, z trudem balansujących na krawędzi wycieńczenia i tracących ów cień równowagi fizycznej, gdy tylko odbierano im sto gramów z porcji. Strawa, której wyrzekliśmy się, ta strawa, która zawsze tak była dla nas skąpa

— dziś, w gorączkowych snach wydawała się godna najobfitszej uczt.

Głodówkę ogłosili ludzie przez całe lata uczeni wilczego prawa: „moja kolej jutro, ale ty zdychaj dziś!”. I oto — nastąpiła w nich odmiana, wydobyli się ze swojego cuchnącego buy mi, przekonani, że lepiej im wszystkim zginąć dziś, niż tak żyć jutro, jak dotąd żyli.

W izdebkach baraków ustaliły się między ludźmi stosunki solenne i serdeczne. Jeśli ktoś miał jeszcze jakieś kęsy, zwłaszcza ci, co dostawali paczki

— znosił teraz te okruszki na rozpostartą szmatkę; dzieliło się je — wedle postanowienia całej sekcji — na to, co można zjeść dzisiaj — i na zapas na jutro. (W przechowalni osobistych rzeczy posiadacze paczek mogli mieć jeszcze sporo zapasów, ale — po pierwsze — do składziku nie było przejścia przez żonę, a po drugie — nie każdy chciałby przynosić tu swoją żelazną porcję: przecież miał nadzieję, że to ona wróci mu siły po zakończeniu głodówki. Oto czemu głodówka była nierówną próbą, jak zresztą każde przejście więzienne. Prawdziwe męstwo okazali ci, którzy nie mieli żadnych zapasów i żadnej nadziei, że jeszcze zdołają się odkuć). Jeśli zaś kto miał trochę kaszy, to gotował ją w palenisku pieca i rozdawał po łyżce. Żeby podsycić ogień — odłamywano deski z wagonetek. Co tam żałować więziennej pryczy, skoro własnemu życiu jutro może nadejść kres.

Nikt nie mógł przewidzieć, jaki będzie następny krok gospodarzy. Obawiano się, że lada chwila znów zaczną palić z wieżyczek do naszych baraków. Nikt nie spodziewał się ustępstw. Nigdy, póki naszej pamięci, nikomu nie udało się niczego u nich wywojować — i nasz strajk miał gorzki smak beznadziei.

Ale ta beznadzieja miała też jakiś odcień satysfakcji. Nasze przedsięwzięcie jest desperackie, bezcelowe, to nie może dobrze się skończyć?, no i cóż, doskonale! Głód hulał nam w kałdunach, serca nam się ścisnęły — ale inne, wyższe dążenie już je drążyło. W ciągu tych długich, głodnych dni, wieczorów, nocy — trzy tysiące ludzi rozmyślało o sobie samych, 234

o trzech tysiącach swoich wyroków, o swoich trzech tysiącach rodzin albo o samotności, o tym, co z każdym się stało, i co się stanie — i chociaż w tej gromadzie serc rozmaite panować musiały uczucia, chociaż ten i ów czuł tylko żal albo rozpacz — to jednak większa część myślała tak samo: a niech tam!, a na złość!, jest źle? — to i dobrze, że źle!

Jest takie niezbadane prawo — prawo wspólnego wzlotu uczuciowego, ogarniającego całe masy wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Sam czułem powiew tego wzlotu. Został mi tylko rok do końca kary. Wyglądało na to, że powinienem pluć sobie w brodę i dręczyć się wewnątrz — że dałem się wpłatać w tę awanturę, z której trudno się będzie wykręcić bez nowego wyroku. A tymczasem — nic podobnego, niczego mi nie było żal. Pies wam mordy lizał, możecie mi nawet nowy wyrok wrzepić!...

Następnego dnia zobaczyliśmy przez okna, że grupa oficerów wchodzi do wszystkich po kolei baraków. Patrol nadzorców otworzył drzwi, przemaszerował korytarzem i zaglądając do naszych izdebek wzywał (ale nowym, łagodnym tonem, nie jak po dawnemu): „Brygadziści! Wychodzić!”.

Zaczęły się wśród nas narady. Decyzja należała nie do brygadystów, lecz do samych brygad. Chodziliśmy od sekcji do sekcji, zasięgaliśmy języka. Sytuacja nasza była dwuznaczna, kapusiów niby się pozbyliśmy, ale niektórych jeszcze mieliśmy w podejrzeniu, a co do paru — można było mieć pewność — przykładem Misza Gienierałów — śliski i czelny brygadzysta od remontu samochodów. Zresztą samo życie uczyło, że wielu dzisiejszych strajkowiczów — głodujących w imię wolności, jutro może pęknąć, skapitulować w imię spokojnego rabstwa. Dlatego przewodrzy strajku (byli tacy naturalnie) nie ujawniali się, nie wychodzili z konspiracji. Nie sięgali otwarcie po władzę, brygadziści zaś — otwarcie się swojej wyrzekli. Dlatego wydawało się, że strajk jest żywiołowy i pozbawiony kierownictwa.

Wreszcie gdzieś tam cichcem wykuła się decyzja. My, brygadziści, a było nas sześciu czy siedmiu — wyszliśmy do sieni, gdzie cierpliwie czekali na nas gospodarze (była to sień tego samego baraku nr 2, niedawnej reżymki, w którym wykopano owe „obozowe metro” i włącz do niego znajdował się o parę kroków od miejsca naszego spotkania). Podparliśmy ścianę, opuściliśmy oczy i zastygliśmy jak kamienie. Wbiliśmy wzrok w ziemię, aby nie patrzeć gospodarzom w oczy z przymilną uległością, patrzeć zaś z wyzwaniem — byłoby szczytem nierozsądku. Staliśmy tak, jak zajadłe łobu-ziaki, wezwane na radę pedagogiczną — w niedbałych pozach, z rękoma w kieszeniach, z głowami odwróconymi w bok — niepoprawni, beznadziejnie głusi.

Za to z obu korytarzy wypełzł w stronę sieni tłum zeków; chowając się 235

za plecami stojących z przodu, tylne szeregi wykrzykiwały wszystko, co chciały — nasze żądania i nasze odpowiedzi.

Oficerowie zaś z błękitnymi wyłogami (prócz znanych byli też nowi, nie znani nam dotąd) formalnie widzieli tylko brygadystów i tylko do nich się zwracali. Mówili z rezerwą, spokojnie. Już nie odgrażali się, ale nie traktowali nas jeszcze jak równych. Twierdzili, że przerwanie głodówki i strajku leży ponoć w naszym własnym interesie. Jeśli zgodzimy się — dostaniemy nie tylko nasz dzisiejszy przydział, ale rzecz w GUŁagu niebywała! — zaległy, wczorajszy. (Jak też przyzwyczaili się do myśli, że głodnego zawsze można kupić!). Nie było mowy ani o karach, ani o naszych nowych żądaniach, jakby ich w ogóle nie było.

Strażnicy stali z boków, trzymając prawe ręce w kieszeniach.

Z korytarzy dochodziły krzyki:

Sprawców strzelaniny pod sąd!

Zdjąć kłódki z baraków!

Zdjąć z nas numery!

W innych barakach żądano także rewizji wyroków OSO przez sądy publiczne.

A my staliśmy jak chuligani przed dyrektorem, czekając aż się wreszcie odczepi.

Gospodarze poszli sobie, barak znów zaryglowano.

Chociaż głód wielu już zmorzył, a w głowach czuliśmy zamęt i ciężar — ale w całym baraku nie znalazł się ani jeden zwolennik ustępstw. Nikt głośno nie żałował straconej okazji.

Spieraliśmy się — jak też wysoko zajdzie wieść o naszym buncie? W ministerstwie spraw wewnętrznych już wiedzą, to jasne, albo dziś się dowiedzą. Ale Wąsal? Przecież ten rzeźnik ani chwili się nie zawaha, może kazać rozstrzelać nas wszystkich, całe pięć tysięcy.

Pod wieczór usłyszeliśmy gdzieś niedaleko warkot samolotu, chociaż pogoda była niesprzyjająca — chmury stały nisko. Zapewne przyleciał ktoś ważny.

Bywały zek, nieodrodny syn GUŁagu, Mikołaj Chlebunow, zaprzyjaźniony z naszymi brygadami, a dziś, po dziewiętnastu latach odsiadki, zamelinowany gdzieś w kuchni, łąził tego dnia po żonie i zdołał z całą odwagą podrzucić nam przez okno półpudowy woreczek jaglanej kaszy. Rozdzieliliśmy ją na siedem brygad i uwarzyliśmy w nocy, żeby nadzorcy nie przytąpali.

Chlebunow przyniósł nam gorzką wiadomość: siedzący za chińskim murem Ukraińcy z drugiego podobozu nie poparli nas. I wczoraj, i dziś Ukraińcy wyszli do pracy, jakby nigdy nic. Nie ulegało wątpliwości, że dostali nasze grypsy, że słyszą od dwóch dni, jak cicho jest u nas, że z żurawia na

236

budowie widzą dwudniowe nasze bezludzie po nocnej strzelaninie, że nie spotykają w polu naszych kolumn. Niemniej — nie poparli nas!.... (Jak dowiedzieliśmy się później, ich przywódcy, młode chłopaki, politycznie nie bardzo jeszcze otrzaskani, orzekli, że Ukraina musi iść własną drogą, jak najdalej od Moskali. Zaczęli z fajerem, a teraz wypięli się na nas). Było nas zatem trzy tysiące a nie pięć.

Drugiej nocy, trzeciego ranka i trzeciego dnia głód rwał nam już trzewia pazurami. Ale gdy czekał, w jeszcze większej liczbie, trzeciego ranka znów wezwali brygadystów do sieni, a my znów podparliśmy ściany — niechętni, nieprzystępni, patrząc gdzieś w bok — nie było dwóch zdań, tylko jedno: nie ustępować! Już się w nas pojawiła inercja walki.

A gospodarze tylko dodawali nam sił. Nowo przybyły wyższy oficer tak nam powiedział:

— Kierownictwo obozu Pieszczański prosi więźniów o przerwanie głodówki. Kierownictwo przyjmie wszystkie zażalenia, rozpatrzy i usunie przyczyny konfliktu między administracją a więźniami.

Czy słuch nas nie myli? Proszę nas, abyśmy jedli! — a o pracy ani słowa. Szturmovaliśmy więzienie, tłukliśmy szyby i latarnie, z nożami w ręku uganialiśmy się za nadzorcami — ale to, jak się okazuje, wcale nie był bunt — tylko konflikt między! — między równymi stronami — administracją a więźniami!

Wystarczyło, że zapanowała wśród nas jedność zaledwie na dwa dni i dwie noce — a jak spuścili z tonu panowie naszych dusz! Nigdy w całym naszym życiu, nie tylko jako więźniowie, ale także na wolności, choćby jako członkowie związku zawodowego — nie słyszeliśmy od panów gospodarzy tak słodkich słówek!

Jednakże — rozeszliśmy się w milczeniu — bo przecież tutaj nikt nie mógł podjąć decyzji. Ani nawet obiecać, że jakaś decyzja w ogóle będzie. Brygadziści odeszli nie podnosząc głów, ani nie oglądając się za siebie, chociaż komendant obozu wołał za nami po nazwisku.

Taka była nasza odpowiedź.

I barak znów zaryglowano.

Z zewnątrz wydawało się gospodarzom, że dalej jest tak samo niemy i nieustępliwy. Ale wewnątrz zaczęły się burzliwe dysputy w każdej sekcji. Pokusa była zbyt silna! Łagodny ton uderzył niewymagających zeków mocniej niż wszelkie pogroźki. Rozległy się nawoływania do ustępstw. Bo i prawda — czy mogliśmy w ogóle osiągnąć więcej?...

Byliśmy wyczerpani! Chcieliśmy jeść! Ten dziwny poryw, który połączył nasze uczucia i niósł nas wzwyż — teraz zatrzepotał skrzydłami i jął opadać.

237

Ale otworzyły się także takie usta, które zatrzęsnięte były całymi dziesiątkami lat, które milczały całe życie — i milczałyby dalej aż do śmierci. Przysłuchiwali się im — rzecz jasna — także nie dobici szpicle. Te wezwania — odmiłkłych na kilka minut, odzyskujących dźwięczność głosów (w naszej izbie głos Dymitra Panina) miały później być okupione nowym wyrokiem albo strykiem, dławiącym gardło, co zadrzało w przeczuciu wolności. Co tam, te struny głosowe pierwszy raz użyte zostały w tym celu, dla jakiego zostały stworzone.

Teraz ustąpić? — to by znaczyło poddać się na słowo honoru. Czyje słowo honoru? — kluczników, obozowej sfory. Czy dotrzymali oni danego słowa chociaż raz od chwili powstania więzień i obozów?

Dawno opadły osad cierpień, krzywd, naigrawari, podniósł się teraz z dna naszych dusz. Po raz pierwszy weszliśmy na dobrą drogę — i mamy się poddać czym prędzej? Wesoły i gniewny wicherek owiewał nam głowy, przejmował dreszczem: dalej tak! dalej! Jeszcze grzeczniej będą z nami gadać, zobaczycie! Zmięknie im rura! (Ale kiedy będzie można im wierzyć i co ma być kamieniem probierczym? To dalej nie było jasne. Oto los uciśnionych: muszą kiedyś dać wiarę i ustąpić...).

I zdawało się, że znów orzeł machnął skrzydłami — ów orzeł naszego zbiorowego, dwustukrotnego porywu! I że znów poszybował.

Więc leżeliśmy na pryczach, aby zachować siły, starając się nie wykonywać zbędnych ruchów i nie gadać o byle czym. Dosyć zachodu mieliśmy z myśleniem.

Już dawno zjedliśmy ostatnie okruszki. Nikt już niczego nie gotował, nie dzielił. W ciszy i bezruchu słyszeć było tylko głosy młodych obserwatorów, tkwiących przy

oknach: mówili nam o każdym ruchu w żonie. Z radością patrzyliśmy na tę dwudziestoletnią młodzież, na jej żarliwość i czysty zapał, na jej determinację, by raczej umrzeć na progu nie zaczętego jeszcze życia, niż skapitulować! Z zawiścią i żalem myśleliśmy, że oto nasze głowy prawda nawiedziła tak późno i że zgięty kręgosłup już skostniał i rozprostować się nie da.

Myślę, że wolno mi już teraz wymienić Janka Baranowskiego, Wołodię Trofimowa i ślusarza Bogdana.

I nagle — u samego schyłku trzeciego dnia, kiedy na otartym z chmur niebie zachodu pokazało się niskie słońce — obserwatorzy krzyknęli z desperacją:

— Dziewiąty barak!... Dziewiąty się poddał... Dziewiąty idzie do stołówki!

Zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi. Ludzie przybiegli do nas z izb po drugiej stronie korytarza. Przez kraty, z dolnych i górnych nar, na czwo-

238

rakach i zza cudzych pleców patrzyliśmy ze zgrozą na ten żałosny orszak.

Dwieście pięćdziesiąt nieszczęsnych postaci — i tak już czarnych a jeszcze czarniejszych, gdy patrzyło się na nie pod słońce — wlokło się przez żonę długim, pokornym korowodem. Szli poniżeni, słońce migotało między nierównymi ogniwami tego łańcucha tak rozciągniętego, jakby ostatni z szeregu żałowali, że ci pierwsi poszli — i nie chcieli podążać za nimi. Niektórych, najbardziej osłabionych, towarzysze prowadzili pod ramię albo za rękę i — jako że wszyscy szli niepewnym krokiem — wyglądało to na pochód ślepców z przewodnikami. A jeszcze wielu trzymało w ręku menażki albo garnuszki — i te mizerne obozowe statki, niesione w nadziei na porcję strawy zbyt obfitej, by pomieścić ją mógł ściśnięty żołądek, te naczynia trzymane w wyciągniętej jak po jałmużnę dłoni, były dla nas szczególnie poniżającym symbolem rabstwa i szczególnie gorzkim powodem do współczucia.

Poczułem, że płaczę. Rozejrzałem się ocierając łzy i zobaczyłem, że inni też mają je w oczach.

Decyzja dziewiątego baraku była dla nas rozstrzygająca. To u nich już czwartą dobę, od wtorkowego wieczoru, leżeli zabici.

Dziewiątka szła do stołówki i wychodziło na to, że za chleb i kaszę postanowili przebaczyć mordercom.

Dziewiątka była barakiem zagłodzonym. Mieszkali tam wyłącznie robotnicy niefachowi i mało kto z nich dostawał paczki. Było tam wielu do-chodiagów. Może skapitulowali po to, aby trupów im nie przybyło?

Odeszliśmy od okien w milczeniu.

I tu zrozumiałem, co to jest polska duma — i na czym polegał sekret polskich powstań, tak pełnych zapamiętania. Polak, inżynier Jerzy Węgierski był teraz w naszej brygadzie. Odsiadywał ostatni, dziesiąty rok swojej kary. Nawet gdy był kierownikiem robót, nikt nie słyszał od niego ostrego słowa. Był zawsze cichy, uprzejmy, wyrozumiały.

A teraz — twarz mu się zmieniła. Z gniewem, pogardą i męką odwrócił oczy od tego żebraczego orszaku, wyprostował się i krzyknął ze złością, donośnie:

— Brygadzisto! Mnie proszę na kolację nie budzić! Ja nie pójdę!

Wdrapał się na górne nary, odwrócił się do ściany — i nie wstał. Myśmy w nocy poszli jeść — a ten nie wstał! Nie dostawał paczek, był zupełnie sam, nigdy nie był syty — a nie wstał. Para unosząca się nad gorącą kaszą nie mogła mu przesłonić obrazu bezcielesnej Wolności.

Następnego dnia, 27 stycznia, była niedziela. Nie posłano nas do pracy, żeby od-
rabiać zaległości (choć naczelnikom plan spać nie dawał) tylko karmiono, wy-
dawano chleb za dni poprzednie i pozwalano włóczyć się po żonie. Wszyscy też
chodzili po cudzych barakach, opowiadali, jak kto przeżył te dni, a nastrój pano-
wał świąteczny, jakbyśmy zwyciężyli, a nie — ponieśli porażkę. A uprzejmi gospoda-
rze jeszcze raz obiecali, że wszystkie zasadne prośby (tylko że kto wiedział i mógł
określić, co jest zasadne?...) zostaną uwzględnione.

A tymczasem zdarzył się wypadek drobny, ale fatalny: Wołodka Pono-mariow, su-
ka, który wśród nas spędził cały okres strajku, słyszał wiele i widział wiele — uciekł
na wartownię. To znaczy — uciekł, aby nas zdradzić i ratować się od noża poza
obrębem żony.

W tej ucieczce Ponomariowa wyraziła się dla mnie najistotniejsza cecha knajac-
kiego świata. Ich pozorna wielkoduszność sprowadza się do wewnętr-zno-kastowej
lojalności wobec kolegów po fachu. Ale znalazłszy się wśród wirów rewolucji —
zrobią świństwo jak dwa razy dwa. Bo nie uznają żadnych zasad — tylko siłę.

Można było się domyśleć, że gospodarze szykują się do wytąpywania prowodyrów
i podżegaczy. Ale oznajmiono nam, że nic podobnego, że właśnie przyjechały
komisje z Karagandy, z Ałma-Aty. z Moskwy i że będą rozpatrywać całą sprawę.
Istotnie, pewnego dnia, pod niebem skutym mrozem i sinym postawiono na placu
pośrodku obozu stół, siadły przy nim jakieś szarże w białych półkożuszkach i walon-
kach, po czym zaproponowano nam, byśmy zgłaszali skargi. Wielu podeszło i po-
wiedziało swoje.

A we wtorek, po fajrancie zwołano brygadzystów — „dla składania zażaleń”. W
istocie to zebranie było jeszcze jednym tajdackim wybiegiem, formą śledztwa:
wiedzieli, ile gniewu zebrało się w duszach zeków i pozwalali nam się wyładować,
aby potem tym pewniej przeprowadzać areszty.

Był to mój ostatni dzień w skórze brygadzysty: szybko rozrastał mi się zaniedbany
nowotwór, od dawna już odkładałem operację na chwilę „naj-sposobniejszą” z
obozowego punktu widzenia. W styczniu, a zwłaszcza w kluczowym momencie, w
dniach głodówki — nowotwór sam za mnie zadecydował, że trzeba właśnie teraz:
zaczął rósć z godziny na godzinę. Skoro tylko odryglowano baraki, zgłosiłem się do
lekarzy i od razu wyznaczono mi dzień operacji. Teraz powlokłem się na to ostatnie
zebranie.

Zwołano je w przedsionku łaźni, była to spora izba. Wzdłuż rzędu krzesel fryzjerskich
postawiono długi stół prezydialny. Siadł przy nim pułkownik MWD, kilku podpuł-
kowników, jakieś niższe szarże z centrali; nasi obozowi naczelnicy tkwili z tyłu — za
ich plecami. Tam też siedzieli pro-

tokolanci i przez cały czas zebrania notowali spiesźnie, a z pierwszego rzędu po-
wtarzano im na głos nazwiska mówców.

Wśród gości wyróżniał się pewien podpułkownik ze Specwydziału albo z Organów
— bardzo żwawy, inteligentny, zaczepny łotrzyk o wysokiej, wąskiej czaszce — z tą
swoją drapieżnością i pociągłą twarzą sprawiał wrażenie, że wcale nie należy do
tej tępej, czynowniczej zgrai.

Brygadziści zabierali głos niechętnie, trzeba ich było niemal na siłę wyciągać z tłumu. Ledwie zaczęli mówić o czymś, co im leżało na sercu

— już im tamci przerywali, wypytując: za co właściwie zarzyna się ludzi?, jakie cele miał strajk? I jeśli niefortunny brygadzysta próbował jakoś od powiedzieć na te pytania — za co się zarzyna i jakie były żądania — zaraz rzucali się na niego całą sforą: a skąd właściwie o tym wiecie?, jesteście więc związani z bandytami?, no to podajcie ich nazwiska!

Tak oto — szlachetnie i na zasadzie równości — wyjaśnili nam oni „zasadność” naszych żądań...

Zbijać z tropu naszych mówców starał się szczególnie ów wysokogłowy łotr — podpułkownik; był bardzo wyszczekany i tę miał wyższość nad nami, że żadna kara mu nie groziła. Gasił przemawiających swoimi ostrymi pytankami i atmosfera już była teraz taka, że to my musieliśmy się usprawiedliwiać i tylko o naszych winach była już mowa.

Już się we mnie gotowało, miałem coraz większą chęć, aby popsuć mu tę zabawę. Poprosiłem o głos, przedstawiłem się z nazwiska (jak echo powtórzyli je dla protokolantów). Podnosząc się z ławy zdawałem sobie sprawę, że tutaj nikt chyba prędzej ode mnie nie wydusi z siebie prawidłowego gramatycznie zdania. Jednego tylko nie wiedziałem jeszcze

o czym właściwie mam mówić? Przecież mówić z nimi o tym, co zapisane jest tu, na tych stronicach, co przeżyliśmy i przeżywamy w trakcie wszystkich lat katorgi i wszystkich dni głodówki — to tak, jakbyś przemawiał do orangutanów. Wciąż jeszcze zaliczali się do Rosjan i potrafili zrozumieć łatwiejsze rosyjskie zwroty, jak na przykład „czy mogę wejść?”, „melduję posłusznie”. Ale gdy tak siedzieli przy długim stole w jednym rzędzie, wystawiając na pokaz swoje jednakowe, bezmyślne, białe, spasione i zadowolone fizjonomie — stawało się oczywiste, że dawno już ulegli zwyrodnieniu i stali się przedstawicielami nowego gatunku biologicznego, a ostatnia możliwość porozumienia między nami, kontaktu z pomocą słów, beznadziejnie się urywa i jeden już tylko kontakt nawiązać możemy za pośrednictwem kul.

Tylko ten wysokogłowy nie stał się jeszcze orangutanem; wszystko słyszał i rozumiał doskonale. Spróbował zacukać mnie od razu na wstępie.

241

Podczas gdy reszta słuchała z napiętą uwagą, zaczął się fechtunek na błyskawiczne repliki:

— A gdzie pracujecie?

(Co za różnica, nie wszystko jedno, gdzie?).

W warsztatach mechanicznych! — rzucam mu przez ramię i staram się czym prędzej sformułować zasadniczą myśl.

Tam, gdzie robią noże — bije mnie sztychem.

Nie — tnę na odlew — tam gdzie remontują kroczące grobokoparki (sam nie wiem, skąd mi to tak szybko do łba strzeliło).

I mówię dalej, żeby nauczyli się przede wszystkim milczeć i słuchać. Ale ten chart przysiadł za stołem do skoku i jak na mnie nie wsiądzie:

Was tu delegowali bandyci?

Nie, to wyście mnie zaprosili! — rznę z rozmachu, czuję że dostał

i ciągnę dalej.

Jeszcze jakieś dwa razy usiłuję wyskoczyć i ostatecznie milknie pokonany. Zwyciężyłem.

Zwyciężyłem. Ale co z tego? Jeden rok! Jeden rok mi został i to dławi gardło. I język mój nie ośmiela się powiedzieć im tego, na co zasłużyli. Mógłbym tu dziś wygłosić nieśmiertelną mowę — ale jutro by mnie rozstrzelano. Wygłosiłbym ją i tak — ale gdybym wiedział, że transmitowana będzie na cały świat! Nie, audytorium tu zbyt małe.

Więc nie mówię im, że nasze obozy przypominają zupełnie faszystowskie, a w niejednym są od nich gorsze. Ograniczam się do tego, że przed ich psimi, wężącymi nosami przeciągam smugę nafty dla odwiatru. Dowiedziałem się, że siedzi tu komendant oddziałów konwoju — więc załamuję ręce nad niegodnym postępowaniem konwojentów, którzy tak bardzo oddalili się od ideału sowieckiego żołnierza, bo przykładają ręce do szabru na obiektach przemysłowych, a przy tym są grubianinami, a ponadto — zabójcami. Następnie opisuję nadzorców obozu jako szajkę chciwców, którzy skłaniają zeków, by kradli dla nich materiały budowlane (tak jest właśnie, tylko zacząć by trzeba od siedzących tu oficerów). I jakże demoralizujący ma to wpływ na więźniów, dążących do poprawy!

To przemówienie mnie samemu się nie podoba, pożytek z niego tylko ten, że zyskałszy na czasie.

W narzuconej im teraz ciszy wstaje z ławy brygadzysta T. i powoli, bełkocząc i zacinając się ze zdenerwowania, a może dlatego, że taki już się urodził — powiada:

— Dawniej to nie sprzeciwiałem się... kiedym słyszał, że inni więźnio wie... gadają, że żyjemy tu., jak te psy.

Brytan w prezydium zjeżył się. T. mnie czapkę w rękę — strzyżony

242

katorżnik, brzydki, o rysach zgrubiałych, surowych, niekształtnych; jak trudno znaleźć mu właściwe słowa...

...ale teraz widzę, że nie miałem racji.

Brytanowi twarz się rozjaśnia.

Żyjemy — wiele gorzej niż psy — z mocą i już bez stękania wyrzuca z siebie T. i wszyscy siedzący tu brygadziści zastygają w napięciu. — Pies ma jeden numer na obroży, a my cztery. Psa karmi się mięsem, a nas rybimi ośćmi. Psa do karceru się nie wsadza! Do psa z wieży się nie strzela! Psu nie można wlepić ć w i a r y !

Niech mu teraz przerywa, kto chce — on już najważniejsze powiedział.

Wstaje Czernogorow, przedstawia się jako były Bohater Związku Sowieckiego.

Wstaje jeszcze jakiś brygadzysta, mówi, powtarzają ich nazwiska.

Może to wszystko nam na pohybel, chłopaki... A może tylko od takiego walenia łbem runie ta przeklęta ściana.

Narada kończy się nierozegraną.

Kilka dni trwa cisza. Komisji nie widać, więcej i w naszym podobozie wszystko tak spokojnie się toczy, jakby nic się nie zdarzyło.

Idę pod konwojem do szpitala na terenie ukraińskiego podobozu. Jestem pierwszym — którego prowadzą tam po głódówce, przynoszę pierwsze wieści. Chirurg Janczenko, który ma mnie operować, wzywa mnie na badanie, ale jego pytania i moje odpowiedzi nie nowotworu dotyczą. Nie zważa na mój guz — a ja cieszę się,

że będę w rękach takiego właśnie lekarza. Jego pytaniom nie ma końca. Twarz mu pociemniała od naszych wspólnych przeżyć.

O, jak różny jest nasz stosunek do tej samej sprawy — zależnie od tego, co jest treścią naszego życia — i które to życie z kolei! Ot, ten guz, zapewne rak, cóż to za cios byłby na wolności, ile zgryzot, ile też wylaliby najbliżsi. A tu, kiedy głowy z taką łatwością spadają z karków — ten sam guz jest tylko powodem do pobytu w szpitalu, niewiele nawet o nim myślę.

Leżę w szpitalu wśród rannych i pokaleczonych tamtej krwawej nocy. Są tu ludzie zbici przez nadzorców na krwawą miazgę — nie mają na czym leżeć, skóra w strzępach. Szczególnie pastwił się pewien rosty nadzorca (pamięć, pamięć! — gdyby przypomnieć sobie to nazwisko!). Ktoś już umarł z ran.

A nowiny gonią jedna drugą: w „rosyjskiej” żonie podobno zaczęto już rozprawiać się z buntownikami. Aresztowano czterdzieści osób. Obawiając się nowego buntu, zrobiono to w taki sposób: do ostatniego dnia wszystko po dawnemu pławiło się w dobroduszości, można było sądzić, że gospodarze badają, kto z nich samych jest winien temu, co zaszło. Dopiero owego dnia, brygady idące do pracy przez wrota, zorientowały się, że czeka

243

na nie zdwojona i potrojona eskorta. Plan polegał na tym, żeby aresztować upatrzonych tak, by ani oni sami nie mogli sobie wzajem pomóc, ani żeby nie dały im ochrony ściany baraków czy budowanych obiektów.

Wyprowadziwszy brygady wstęp, rozciągnąwszy je w marszu, daleko jeszcze przed celem, naczelnicy konwoju zakomenderowali: „Stać! Gotuj broń! Ładuj broń! Więźniowie — siadł! Liczę do trzech, potem otwieram ogień! Siadać! Siadać wszyscy!”.

I znów, jak przed rokiem na Trzech Króli, bezradne i oszukane raby siedzą w śniegu, skuci. I wtedy oficer rozwija papier i wyczytuje nazwiska oraz numery tych, którzy mają wstać i wyjść z bezbronnego stada. Tę grupkę buntowników pod osobną eskortą odprowadzono z powrotem do obozu — albo przyjechała po nią więzienna karetka. A stado — uwolnione od siewców fermentu — podniosło się z ziemi i popędzono je dalej — do roboty.

Tak oto nasi wychowawcy wyjaśnili nam, czy można im kiedykolwiek i w czymkolwiek zaufać.

Zabierali ludzi do paki także z żony, gdy większość poszła już na obiekty. Także przez ten czterometrowy mur, którego nie mógł nasz strajk przesadzić, epidemia aresztowań przefrunęła z łatwością i zaczęła zbierać ofiary w ukraińskim podobozie. Akurat w przededniu mojej operacji aresztowano chirurga Janczenkę i także zabrano go do więzienia.

Aresztowania — albo selekcja przed etapem, to trudno było rozróżnić — były kontynuowane już bez pierwotnych środków ostrożności. Wysyłano dokądś malutkie etapy, po dwudziestu-trzydziestu ludzi. I nagle 19 lutego zaczęto kompletować ogromny transport — jakichś siedmuset ludzi. Zaaplikowano im reżym specjalny: przy wyjściu z obozu wszystkich siedmuset zakuto w kajdany. Zemsta losu! Ukraińców, co tak stronili od zbuntowanych Moskali, było w tym transporcie jeszcze więcej niż naszych.

Co prawda, przed swoim odjazdem, uczcili salwą honorową nasz rozbity strajk. W nowiutkich zakładach obróbki drzewa, lichy wie czemu — też całych drewnianych

(i to w Kazachstanie, gdzie brak drzewa, a kamienia mnóstwo!) z nieznanych przyczyn (wiedziałem dobrze, że zostały podpalone) — wybuchł pożar w kilku punktach naraz — i w ciągu kilku godzin spłonęły trzy miliony rubli. Dla tych, których wieziono na rozstrzelanie, to było jak pogrzeb wikinga; prาดawny obyczaj skandynawski kazał, aby razem z zabitym bohaterem szła na stos także jego łódź.

Leżę w dziale pooperacyjnym. Jestem w izbie sam: zamęt taki, że nikogo się nie kładzie, szpital zamarł. Tuż za moją salką, ostatnią w baraku, jest izdebka kostnicy i w niej, już któryś tam dzień, leży zabity doktor Korn-feld; nie ma nikogo, kto by zajął się jego pochówkiem, zresztą czasu brak.

244

(Rano i wieczorem nadzorca kończąc kontrolę, zatrzymuje się przed moją izbą i żeby uprościć rachunek, jednym ruchem ręki ogarnia kostnicę i mój pokój: „i tu też dwóch”. I zapisuje na tabliczce).

Paweł Boroniuk, też wzięty już do wielkiego transportu, przedziera się przez wszystkie kordony i przychodzi, by uściskać mnie na pożegnanie. Wydaje się nam, że burza szarpie i przewraca do góry dnem nie tylko nasz obóz, ale cały wszechświat. Tar-mosi nami ten wichur — i nie mieści się nam we łbach, że poza żoną — panuje za-s-tój i cisza, jak dawniej. Wydaje nam się że niesie nas wielka fala, że to co mamy pod nogami, lada chwila rozpadnie się i zniknie w odmętach i że jeśli kiedykolwiek jeszcze się zoba-

czyrriy — to w innym, odmienionym już kraju. A na wszelki wypadek — żegnaj, przyjacielu! Żegnajcie, druhowie!

Począł więc przed siebie ten dręczący, tępy rok — ostatni mój rok w Ekibastuzie i ostatni stalinowski rok na Archipelagu. Wrócili do żony tylko nieliczni z osadzonych w więzieniu — ci, przeciw którym nie znaleziono poszlak. A bardzo liczni, których w tych latach poznaliśmy i polubiliśmy, zostali wywiezieni: jedni na nowe śledztwo i pod sąd; inni — do izolatorów, z dożywotnim haczykiem w aktach (choćby więzień przemienił się tymczasem w istnego anioła); jeszcze inni — do dżekazgańskich rud; a był nawet etap „upośledzonych psychicznie” — wpakowali tam także kpiarza Kiszkina; dzięki lekarzom znalazł się w nim młodziutki Wołodia Gerszuni.

Na miejsce tych, co wyjechali, wypełzli teraz szpicle z „przechowalni”, jeden po drugim, z początku bojaźliwie, spoglądając na boki, później coraz bezczelniej. Wrócił do żony Wołodka Ponomariow, „suka sprzedajna”, z prostego tokarza awansował na kierownika paczkami. Doręczenie drogocennych okruszyn, zebranych przez nieszczęsne rodziny — stary czekista Maksymienko powierzył zdeklarowanemu złodziejowi!

Pełnomocnicy operacyjni znów wzywali do swoich gabinetów, kogo tylko chcieli. Duszna to była wiosna. Komu wyrosły za bardzo rogi albo nawet uszy, starał się schować je i giął kark tym bardziej. Już nie wróciłem na stanowisko brygadzysty (kandydatów znowu było dość), tylko zostałem pomocnikiem hutniczym w odlewaniu. Tego roku trzeba było pracować sporo, miało to swoje powody. Jako jedyne ustępstwo po ruinie wszystkich naszych nadziei, zlekceważeniu próśb, kierownictwo obozu dało nam rozrachunek własny, to znaczy taki system, przy którym nasz pot nie ściekał po prostu do nienasyconej paszczy GUłagu, ale podlegał wycenieniu i 45%

\ 245

ustalonej wartości tej pracy uważane było za nasz zarobek (reszta przypadła państwu). Z tego „zarobku” 70% zagarniał obóz na koszty utrzymania konwoju, psów, drutu kolczastego, BUR-a, operów, oficerów od dyscypliny, od cenzury i od pracy wychowawczej — tj. wszystkiego, co było nam wręcz niezbędne do życia; za to pozostała część — od 30 do 10%, wpisywana była na rachunek osobisty więźnia. Nie całość, ale przynajmniej część tych pieniędzy (jeśli facet niczym nie zgrzeszył, nie spóźniał się do pracy, zachowywał się grzecznie i nie zawiódł oczekiwań zwierzchności) można było — raz na miesiąc składając odpowiednie podanie — wymieniać na nową walutę obozową, czyli bony — i bony te wydawać. Rzeczą była zorganizowana w ten sposób, że im więcej człowiek przelewał potu i krwi, tym bardziej zbliżał się do pułapu 30%, jeśli zaś harował z niewystarczającą gorliwością, to cała jego praca szła na rachunek obozu, a facet dostawał figę.

I większość — o, ta większość naszych dziejów, zwłaszcza gdy uprzednia selekcja odpowiednio ją ukształtuje! — większość była niebotycznie uszczęśliwiona tym ustępstwem gospodarzy i teraz traciła zdrowie przy robocie, byleby kupić w kiosku mleka skondensowanego, margaryny, nędznych cukierków albo w „komercyjnej” stołówce dokupić sobie drugie danie. A jako że „rozliczenie” dotyczyło nie jednostek, lecz brygad, przeto ten, co nie chciał oddawać zdrowia za margarynę, też musiał je tracić, żeby towarzysze mogli sobie zarobić.

Znacznie częściej zaczęto teraz przywozić do żony filmy. I jak to zawsze w obozach, na wsi, w głuchych osadach — za nic sobie mając widzów, nie podawano im za wczasu do wiadomości tytułu; świni też się przecież nie mówi, co znajdzie w korycie. Mimo to, więźniowie — czy nie ci sami, którzy zimą tak heroicznie głodowali?! — tłoczyli się teraz pod drzwiami, zdobywając szturmem miejsca godzinę przed załonięciem okien, ani dbając, czy film jest tego wart.

Chleba i widowisk!... Takie to stare, że aż wstyd powtarzać...

Nie wolno było mieć za złe ludziom, że po tylu latach głodu chcą teraz się nasycić. Ale — podczas gdy myśmy tutaj szukali sytości, tych naszych towarzyszy, którzy pierwsi pomyśleli o walce, albo tych, co w styczniu krzyczeli w barakach, „nie podajmy się!”, czy nawet takich co wcale nie byli zamieszani — teraz gdzieś sądzą, rozstrzelują, czy wożą na nowe lata do głuchych izolatorów, zadręczają nowymi i nowymi dochodzeniami, pakują dla przestrogi do celi, gdzie ściany upstrzone są krzyżami skazanych na śmierć — i jakiś major — bazyli szek, wchodząc do takiej celi mówi z obiecującym uśmiechem: „A, Panin! Pamiętam, pamiętam! Figurujecie w tej sprawie, figurujecie! Postaramy się was załatwić!”.

246

Doskonałe słowo — załatwić! Załatwić można wyrok śmierci i dobę karceru; wydanie pary starych portek też można załatwić. Ale drzwi celi już się zatrzasnęły, bazyli szek wyszedł z zagadkowym uśmieszkiem, a ty zgaduj, nie śpij przez miesiąc, wal cały miesiąc łbem o ścianę — jak mianowicie chcą cię załatwić?...

Pisać o tym nietrudno, ale tylko pisać.

I nagle zebrano w Ekibastuzie nieduży transporcik, jakieś dwadzieścia osób. Dziwny jakiś transporcik. Zbierano ich bez pośpiechu, bez szykan, bez izolacji, niemal tak, jak się zbiera tych, co mają być wypuszczeni na wolność. Ale żaden z nich nie kończył jeszcze kary. I nie było wśród nich żadnego zaprzysięgłego zeka, takiego, co to go gospodarze dręczą karcera i reżymkami, nie — to byli sami porządni więźniowie, dobrze widziani przez panów naczelników: tenże śliski i pewny siebie

brygadzysta od remontu samochodów, Misza Gienierałow, i brygadzysta narzędziowców, chłó-pek-roztropek Bietousow, i inżynier-technolog Gultiajew i bardzo solidny moskiewski konstruktor Leonid Rojkow, o prezencji działacza państwowego, postać nader pozytywna, i arcysympatyczny „chłopak w dechę”, tokarz, Żeńka Milukow, z gębusią tak gładką, jak pączek; i jeszcze jeden tokarz, Gruzin Kokki Koczera, wielki prawdziwie, walczący zawsze

0 sprawiedliwość, ilekroć miał słuchaczy.

Dokąd ich wiozł? Ze składu grupy widać, że na pewno nie do jeszcze gorszego obozu. „Na pewno do jakiegoś fajnego miejsca! Na pewno zwolnią was spod konwoju!” — mówili im wszyscy. Ale żaden z nich nie miał wesołej miny. Kiwali tylko głowami z rezygnacją, zbierali rzeczy bez zapału, nieomal jakby gotowi byli zostać je tu. Wygląd mieli przegrany, całkiem parszywy. Czyżby tak pokochali niespokojny Ekibastuz? Żegnali się odrętwiałymi wargami, ton tych pożegnań był sztuczny.

Zabrano ich.

Ale nie pozwolono nam o nich zapomnieć. Minęły ledwie trzy tygodnie

1 rozeszła się plotka, że przywieziono ich z powrotem. Z powrotem? Tak jest. — Wszystkich? Owszem... Tylko że siedzą w baraku sztabowym i wcale nie chcą wracać na swoje stare prycze.

Tylko tego sztychu brakowało, aby uzupełnić dzieje strajku trzech tysięcy więźniów Ekibastuza. Brak było jeszcze tylko strajku szpiclów! Sypiąc naszych przyjaciół w gabinetach śledczych i podpisując odpowiednie protokoły, spodziewali się oni, że wszystko utonie w klasztornej ciszy. Przecież ta tradycja od dziesięcioleci jest u nas święta: donos polityczny uważany jest za dokument nie podlegający dyskusji i z gęby donosiciela nigdy nie zrywa się maski. Ale coś było w mechanizmie naszego strajku — może chodziło o konieczność usprawiedliwienia się przed wyższymi władzami?

247

co zmusiło naszych gospodarzy do przeprowadzenia w Karagandzie wielkiego procesu sądowego. Więc tych właśnie wezwano pewnego dnia — i spojrzawszy sobie głęboko w rozbiegane oczy, dowiedzieli się o sobie samych i o innych, że jadą na ten proces jako świadkowie oskarżenia. Ale mniejsza nawet o proces; znali przecież zasadę, wprowadzoną po wojnie w całym GUŁagu: więzień, wezwany na jakiś czas dokądkolwiek, musi wrócić do swojego rodzinnego obozu. Owszem, obiecano im, że w drodze wyjątku zostaną w Karagandzie. Owszem, jakieś dyspozycje wpisano im do dokumentów przejazdowych, ale nie tak jak należy, nie patataj — i Karaganda odmówiła przyjęcia.

W rezultacie — podróżowali przez trzy tygodnie. Przepędzano ich ze stołypinek do zborniaków, z więzień etapowych do stołypinek, komenderowano: „Na ziemię siad!”, rewidowano ich, odbierano im rzeczy, prowadzono do łaźni, karmiono śledziami i nie dawano pić — tak właśnie, jak maltretuje się zeków zwykłych, nie zaś wiernopoddanych. Później — pod konwojem wprowadzono ich na salę sądową i jeszcze musieli spojrzeć w oczy tym, na których donieśli; wbili tam ostatni gwóźdź do ich trumien, zawiesili kłody na ich celach-pojedynekach, domotali jeszcze kilometry lat do ich szpul — i znów przez wszystkie zborniaki wrócili tą samą drogą, by znaleźć się na śmietniku w dawnym obozie, zdemaskowani i niepotrzebni.

Bo nie są więcej potrzebni. Donosiciel — to tak, jak przewoźnik...

No i jakże — czy obóz nie jest spacyfikowany? Czy nie wywieziono stąd prawie tysiąca ludzi? Czy im ktoś teraz przeszkodzi, gdy zechcą skoczyć do kuma na rozmówkę? A tymczasem — ani stąpią nogą za próg sztabowego baraku! Zastraj kowali — i nie chcą do żony! Jeden tylko Koczerawa decyduje się z całą bezczelnością nie wypadać z roli dawnego prawdziwego; idzie do swojej brygady i oznajmia: — Nie wiem po co mnie wozili! Wozili, wozili i w końcu odwieźli z powrotem...

Ale starcza mu tej czelności tylko na jedną noc i na jeden świt. Rano jest już znowu w sztabie, wśród swoich.

Ee, a więc nie na darmo było to, co było i nie na próżno padli albo siedzą teraz nasi towarzysze! Obozowe powietrze nie da się już sprężyć tak, by po dawnemu zapierało dech. Przeprowadzono restaurację podłogi, ale w sposób bardzo nie-trwały. O polityce, gada się w barakach zupełnie bez skrpułów. I ani jeden kierownik robót, ani brygadzysta nie ośmieli się kopnąć zeka, czy podnieść na niego ręki. Przecież teraz wszyscy dowiedzieli się, jak łatwo robi się noże i jak łatwo wbić nóż pod żebro.

Nasza wysepka zadrżała w posadach — i oderwała się od Archipelagu...

248

Ale to czuło się w Ekibastuzie. W Karagandzie — już ledwo, ledwo. A w Moskwie — ani, ani. Zaczął się rozkład systemu Specobozów — w jednym, drugim, trzecim punkcie — Ojciec zaś i Nauczyciel nie miał o tym pojęcia, nikt mu o tym, rzecz jasna, nie meldował (zresztą — nie potrafił się wyrzec niczego, katorgi też by się nie wyrzekł, póki fotel pod nim nie zaczęłby się tlić). Wręcz przeciwnie, zaplanował — chyba szykując się do nowej wojny — na 1953 rok nową, wielką falę aresztowań i dlatego to w 1952 roku rozszerzył sieć Specobozów. Obóz w Ekibastuzie — z filii Stepłagu czy Pies-czanłagu — postanowiono awansować do rangi centrali nowego, wielkiego Specobozu, leżącego w dorzeczu Irtyżu i noszącego tymczasową nazwę Dal-łagu. I oto — prócz starych naszych plantatorów — zjawił się w Ekibastuzie nowy kontyngent pasibrzuchów w postaci szarż całego nowego Zjednoczenia obozów; wszystkich ich mieliśmy utrzymywać naszą pracą.

Ponoć niedługo też mieliśmy czekać na nowe kontyngenty więźniów.

A zaraza wolności tymczasem szerzyła się — jak można było wykorzenić ją z gruntu Archipelagu? Niegdyś przywieźli ją mołojcy z Dubowki do nas, teraz nasi zawlekli ją dalej. Tej wiosny we wszystkich wychodkach kazachstańskich więzień etapowych wypisano, wyskrobano, wyrżnięto na ścianach: „Pozdrawiamy bojowników Ekibastuza!”.

Koło czterdziestu ludzi, wziętych w charakterze „czołowych wichrzycieli” przy pierwszej selekcji, oraz dwustu pięćdziesięciu „najzacieklejszych” z wielkiego lutowego etapu, zawieziono do Kengiru (osada zwała się Ken-gir, ale stacja — Dżezkazgan) — czyli 3. filii Stepłagu, a znajdował się tam zarząd Stepłagu i miał swoje miejsce postoju sam brzuchaty pułkownik Czeczew. Pozostałych ukaranych z Ekibastuza rozmieszczono po równo w 1. i 2. filii Stepłagu (Rudnik).

W celu zastraszenia ośmiu tysięcy kengirskich zeków oznajmiono, że przywiezieni zostali bandyci. Od samej stacji do nowego gmachu kengirskiego więzienia prowadzono ich w kajdanach. Jako żywa, lecz zakuta w żelaza legenda przeniknęła nasz ruch do pogrążonego jeszcze w rabstwie Kengiru, aby go rozbudzić. Podobnie jak w Ekibastuzie przed rokiem, panowały tu jeszcze — pięść i donos.

Aż do kwietnia tych dwustu pięćdziesięciu naszych siedziało w więzieniu; wreszcie naczelnik kengirskiej filii obozu, podpułkownik Fiedotow doszedł do wniosku, że skruszeli już wystarczająco i że czas prowadzić ich do roboty. Z centrali dostarczono swego czasu 125 par nowiutkich niklowanych kajdan ostatniego faszystowskiego modelu. Skuwając ludzi parami

249

można było obsłużyć akurat 250 ludzi (ten szczegół techniczny zdecydował chyba o liczebności przyjętego przez Kengir kontyngentu).

Jedna ręka wolna! No, to można jeszcze żyć! W kolumnie było sporo ludzi z więziennym doświadczeniem, zdobyłym już w obozowych bunkrach, byli też kuci na cztery nogi zbiegowie (także Tenno, dołączony do przybyłego etapu), a więc znający wszystkie techniczne cechy szczególnie kajdan — i oni to wyjaśnili sąsiadom z kolumny, że mając jedną rękę wolną można bez trudu zdjąć kajdany — z pomocą igły albo nawet bez niej.

Gdy podeszli do miejsca pracy, nadzorcy zaczęli zdejmować więźniom kajdany w kilku naraz miejscach kolumny, aby mogli zabrać się do pracy bez zwłoki. Właśnie w tym momencie nasi majsterkowie zaczęli zręcznie zrywać kajdany i zdejmować je z kolegów, chowając je pod połą: „A nam już zdjął inny strażnik!”. Dozorowi nie wpadło nawet na myśl, aby policzyć kajdany przed wypuszczeniem kolumny na obiekt, a przy tej okazji nigdy więźniów już się nie rewiduje.

W ten sposób, już pierwszego ranka, nasi chłopcy zwędzili 23 pary kajdanków z owych 125 par! Tu, w żonie roboczej, zabrali się do rozbijania ich kamieniami i młotkami, ale wkrótce znaleźli coś lepszego: jęli zawijać je w przetłuszczony papier, aby na dłużej się zachowały — i wmurowali w ściany i fundamenty domów, budowanych tego dnia (Osiedle mieszkalne Nr 20, naprzeciw Pałacu Kultury w Kengirze), dodając do tego bardzo niedojrzałe ideologiczne notki: „Potomkowie! Te domy budowali sowieccy niewolnicy! Oto kajdany, jakie nosili!”.

Dozór klął na czym świat stoi, wyzywał od bandytów, a na drogę powrotną przyniósł partię starych, zardzewiałych. Ale mimo wszystkich środków ostrożności — przy wyjściu z żony chłopaki rąbnęły jeszcze sześć par. W ciągu dwóch następnych dni — jeszcze kilka. A każda para kosztowała 93 ruble.

I w końcu kengirscy gospodarze zrezygnowali z prowadzenia do robót więźniów w kajdankach.

...A walka jedynie zapewni ci prawa!

W maju zaczęto nowo przybyłych przenosić stopniowo z więzienia do żony ogólnej. Teraz nadszedł czas, aby to i owo odpowiedzieć miejscowym towarzyszom niedoli. Na początek przeprowadzili akcję pokazową: pewien prydu-rek, wykorzystując swoje prawa, chciał coś kupić w kiosku bez kolejki, więc omal nie został załamszony. Wystarczyło, by hyr poszedł po obozie: zaczyna się coś nowego!, przyjechali faceci z ikrą, nie tacy jak my! (Nie można powiedzieć, aby w ośrodku Dżezkazgańskim nikt dotąd szpicłów

250

nie tępił, ale nie był to jeszcze kierunek natarcia. W 1951 roku w więzieniu obozu Rudnik wyrwano któregoś dnia klucze strażnikowi, otwarto celę i zarżnięto w niej niejakiego Kozlauskasa).

Teraz powstawały również w Kengirze podziemne Ośrodki — ukraiński i ogólnorosyjski. Przygotowane zostały noże oraz maski do „szatkowania”

— i cała historia zaczęła się od początku.

„Powiesił się” w celi na kratkach Wojniłowicz. Zabity został brygadzysta Biełokopyt i prawomyślny kapuś Lifszyc, niegdyś — w czasie wojny domowej członek Rewwojensowietu armii walczącej z Dutowem. (Lifszyc prosperował jako bibliotekarz KO w obozie Rudnik, ale prawdziwa jego rola znana była tak szeroko, że zarżnięty został pierwszego dnia po przybyciu do Kengiru). Intendent — Węgier zarqbaný został toporami obok łaźni. A potem, inaugurując tym samym szlak do „przechowalni”, schronił się tam jako pierwszy Sauer, były minister sowieckiej Estonii.

Ale gospodarze obozu też już wiedzieli, co robić. Mury między czterema podobozami wzniesiono tu już dawno. Teraz zaś zaczęli otaczać murem każdy barak i osiem tysięcy ludzi jęto temu zajęciu poświęcać wolne od pracy chwile. Każdy zaś barak podzielono na cztery izolowane sekcje. Wszystkie te małe żonki i każda sekcja ryglowana była na noc. W ideale należałoby jednak cały świat podzielić na pojedyncze cele!

Starszy sierżant, szef więzienia kengirskiego, był zawodowym bokserem. Więźniowie służyli mu za gruszki bokserskie do zaprawy. To w jego ansz-talcie wynaleziono sposób bicia młotem przez dyktę, żeby nie zostawić śladów. (Praktycy w MWD dobrze wiedzieli, że bez bicia i mordowania ich praca wychowawcza nie ma perspektyw: i każdy praktyczny prokurator był tego samego zdania. Ale mógł przecież zważyć się na głowę jakiś teoretyk!

— właśnie na wszelki, choć mało prawdopodobny wypadek, trzeba było podkładać tę dyktę. Pewien Ukrainiec spod Lwowa, zadręczony torturami, powiesił się w obawie, że w końcu wyda towarzyszy. Inni zachowali się gorzej. I oba ośrodki uległy likwidacji).

Ponadto — pośród „bojowców” znaleźli się chciwi nicponie, myślący nie tyle o przyszłości ruchu, co o prywatnym zysku. Zażądali, aby kuchnia wydawała im dodatkowe porcje i domagali się jeszcze procentu od paczek³. Także to przyczyniło się do oczernienia i stłumienia całego ruchu.

³ Jest to chyba zjawisko nieuniknione wśród tych, którzy wybrali przemoc. Myślę, że banda Karno, przekazując — zdobyte przy napadach na tyfliskie banki — pieniądze do bolszewickiej kasy partyjnej, coś niecoś zostawiała we własnych kieszeniach. I żeby ich naczelny szef Koba nie miał mieć pieniędzy na wino? Toż gdy w okresie komunizmu wojennego w całej sowieckiej Rosji wprowadzono prohibicję, tenże Stalin miał na Kremlu swoją piwniczkę i wcale się tego nie wstydził.

251

No i chyba udało go się stłumić. Ale szpicle też przysiedli na zadach po pierwszym ostrzeżeniu. Atmosfera w Kengirze jednak się oczyściła.

To był siew. Jednakże ozimina wzeszła nie od razu — i w inny sposób, niż się spodziewano.

Chociaż wciąż nam tłumaczą, że jednostka żadnej roli w historii nie gra, zwłaszcza jeśli działa na przekór postępowi, niemniej — przez ćwierć wreku taka jednostka zginęła nas wedle woli w barani róg, a myśmy nawet pisać nie śmieli. Teraz nam powiadają: nikt nic nie wiedział i nie rozumiał, ani awangarda, ani ariergarda; tylko stara gwardia wiedziała, co się święci, ale wołała truć się w kąciku, strzelać so-

bie w łeb w sypialni, wegetować na rencie — byle nie wykrzyczeć nam wszystkiego — z trybuny.

I dlatego taki los wypadł nam, że tylko my, robaczki nędzne, mieliśmy bawić się w wyzwolicieli. W takim Ekibastuzie — podparliśmy w pięć tysięcy ramion sklepienie lochu — i jednak mała szczelinka powstała. Mała, ledwie widoczna, owszem; sami większą szkodę ponieśliśmy — też racja

— ale dzięki takim szczelinom zapadają się pieczary.

Bunty były nie tylko u nas, nie tylko w Specobozach, ale cała ta krwawa przeszłość tak jest zakłajstrowana, zalizana, zapucowana gałganami, że nie miałem możliwości sporządzenia najskromniejszej choćby listy obozowych rozruchów. Oł, przypadkiem dowiedziałem się, że w 1951 roku w obozie ITŁ Wachruszewo na Sachalinie miała miejsce 5-dniowa głodówka pięciuset więźniów, przy akompaniamencie ogólnego wzburzenia; spowodowało je zadzganie bagnętami na wartowni trzech schwytanych zbiegów. Konsekwencją głodówki były liczne aresztowania. Znany jest fakt rozruchów w Ozierłagu, gdy wartownik przy odwachu zabił więźnia stojącego w szeregu; miało to miejsce 8 września 1952 roku.

Przypuszczalnie na początku lat 50. zaczął się kryzys całego stalinowskiego systemu łagrów i* - i było to szczególnie dobrze widoczne w Specobozach. Jeszcze za życia Wszechmocnego, tubylcy Archipelagu zaczęli rwać krępujące ich więzy.

Trudno przewidzieć, co by się stało, gdyby pożył dłużej. Ale raptem

— nie dbając o prawa ekonomii ani rozwoju społecznego — zatrzymała się stara, opieszata, brudna krew w żyłach tej przysadzistej, dziobatej jedno stki.

I chociaż — zgodnie z Przodującą Doktryną — absolutnie nic nie powinno było z tego powodu ulec zmianie, chociaż wcale zmian nie obawiały się błękitne kaszkiety, mimo że trzy lata na posterunkach 5 marca, chociaż nie

252

śmiały żywić żadnych nadziei czarne fufaje, mimo że brzdąkały na bałatajkach, gdy dowiedziały się (poza żonę ich tego dnia nie wypuszczono), że nadają przez radio marsze żałobne i że opuszczono flagi do pół masztu — a jednak coś tam zaczęto się pod ziemią ruszać i przewalać.

Co prawda, amnestia z końca marca 1953, przezwana w obozach „worożyłowską” była z ducha zupełnie w guście nieboszczyka: grunt to hołubić złodziei, a tępić politycznych. Szukając popularności wśród szumowin, twórcy tej amnestii rozpuścili szcurze nasienie po całym kraju, narażając uczciwych ludzi na cierpienia, każąc im opatrywać wolne okna w kraty, milicji zaś — uganiać się za dopiero co wypuszczonymi i pakować ich znów do więzień. Pięćdziesiątka Ósemka skorzystała zaś z amnestii w zwykłej proporcji: w drugim podobozie Kengiru na trzy tysiące ludzi wypuszczono... trzech.

Taka amnestia mogła wbić katorżnikom do głów tylko jedno: śmierć Stalina nic nie zmienia. Nie mogli liczyć na litość — i nie będą mogli dalej. Jeśli więc chcą jeszcze żyć, to muszą walczyć!

W roku 1953 rozruchy w obozach powtarzały się w rozmaitych miejscowościach — miały miejsce drobne zamieszki, np. w 12. podobozie Karłagu; ale również spore powstanie w Gorłagu (Norylsk), któremu trzeba by tu poświęcić osobny rozdział, gdybyśmy mieli jakiegokolwiek materiały. Ale nie mamy w ręku nic.

Jednakże śmierć tyrana miała swoje skutki. Nie wiadomo jak i czemu, ale w głębi trwały dalej skryte ruchy tektoniczne — i nagle z blaszanym łaskotem, jak pusty kubek, zleciała jeszcze jedna jednostka — z samego szczytu drabiny aż na dno gnojówki.

I teraz — zarówno awangarda, jak ariergarda, ba, nawet nędzni tubylcy Archipelagu zrozumieli, że nadeszły inne czasy.

Tu, na Archipelagu, upadek Berii odezwał się najbardziej gromkim echem: to przecież był najwyższy Patron i Namiestnik! Oficerowie MWD byli zaskoczeni, zakłopotani, zbici z pantafelku. Gdy już wieść nadana została przez radio, gdy nie sposób było wepchnąć go z powrotem głośnikom do gardła, gdy trzeba było zdecydować się na zdjęcie portretów tego najmiłszego i łaskawego Protektora ze ścian zarządu Stepłagu — pułkownik Czeczew wyszeptał drżącymi wargami: „Wszystko skończone”. Ale mylił się. Myślał chyba, że już jutro wszystkich ich posła na ławę oskarżonych⁴. Dezorientacja i konfuzja wśród oficerów i nadzorców natychmiast zostały zauważone przez zeków. Naczelnik wydziału dyscypliny 3. kengirskiego

⁴ Jak to zauważył Kluczewski na drugi dzień po zniesieniu poddaństwa szlachty (ukaz o przyznaniu swobód, 18.11.1762 roku) zniesiono poddaństwo chłopów (19.11. 1862) — tyle że po upływie 99 lat!

253

podobozu, od którego więźniowie nie usłyszeli nigdy dobrego słowa, nagle przyszedł na teren robót brygady karnej, siadł wśród zeków i poczęstował ich papierosami. (Musiał przecież zorientować się, jakie to iskry przebiegają w głębi tego mętnego żywiołu i jakich niebezpieczeństw winien się strzec). „No cóż — padło drwiące pytanie — wasz szef okazał się wrogiem ludu?”. — „A tak, jakoś tak wyszło” — wyznał z żalem oficer. — „Ależ był prawą ręką Stalina!” — kpili rozmówcy — „to znaczy, że Stalin się pomylił?”. — „Zdarza się” — bąknął oficer i dodał życzliwym tonem: — „No cóż, chłopaki, może zacznę was wypuszczać, poczekajcie trochę...”.

Beria odwalił kitę i wiernym Organom zostawił w spadku plamę b e -riowszczyzny. Jeśli do tej chwili nikt z więźniów i żaden wolny nie śmiał pod gardłem nawet w myśli podać w wątpliwość kryształowej czystości jakiegokolwiek oficera MWD, to teraz dość było okrzyknąć gada „beriowcem” — a już był bezbronny!

W Rieczłagu (Workuta) w czerwcu 1953 roku zbiegły się dwa wydarzenia: poruszenie wywołane upadkiem Berii i przyjazd do Karagandy i Taj-szetu eszelonów z buntownikami (po większej części — Ukraińcami z zachodnich okręgów). W tym okresie Workuta była jeszcze pogrążona w rabskiej pokorze i nowo przybyli więźniowie imponowali miejscowym swoją nieustępliwością i zadziorną śmiałością.

I cała ta droga, którą przebyliśmy krok po kroku w ciągu długich miesięcy — tu wymagała tylko jednego miesiąca. 22 lipca zastrajkowała cementownia, budowa TEC-2, kopalnie: 7, 29, 6. Z jednego obiektu widać było, jak na innych ustaje praca i ruch, jak przestają kręcić się koła nad kopalnianymi szybami: tu już nie powtórzo naszego błędu, — nikt nie głodował. Dozór z zon uciekł w komplecie, z punktu, jednak — oddaj naszą pajkę, panie komendantuniu! — co dzień przywożono żywność i zwalano ją z wozów we wrotach. (Myślę, że to sprawił szok po upadku Berii, bo inaczej staraliby się ich zamorzyć głodem). W żonach powstały komitety strajkowe, zaprowadzono „rewolucyjny porządek”, personel stołówki od razu przestał kraść i — przy tych samych przydziałach — wikt poprawił się znacznie. W 7. kopalni

wywieszono czerwony sztandar, w 29., od strony torów kolejowych... portrety członków Politbiura. A co mieli wywiesić?... Czego żądać?... Żądali usunięcia krat, numerów, rygli — ale sami ich nie usunęli, nie zerwali. Żądali też prawa korespondencji, widzeń, rewizji wyroków.

Gadano ze strajkującymi tylko pierwszego dnia. Później przez cały tydzień nikt się nie zjawił, ale na wieżach ustawiono cekaemy i strajkujące żony otoczono kordonem straży. Przypuszczalnie szarże cyrkulowały przez ten czas między Workutą a Moskwą, bo w danej sytuacji niełatwo było

254

ustalić co trzeba robić, a czego nie trzeba. Po tygodniu odwiedził wszystkie po kolei żony generał Masliennikow, naczelnik Riecztagu — generał Die-riewianko, generalny prokurator Rudienko w towarzystwie całej hurmy (koło czterdziestu) oficerów. Na spotkanie z tą świetną świtą zwoływano na plac apelowy cały obóz.

Więźniowie siedzieli na ziemi, generałowie stali i besztali ich za sabotaż i „burdy”. Ale dodawali zarazem, że niektóre żądania mają pewne podstawy” („numery możecie zdjąć”, co do krat „wydano już rozporządzenie”), ale — musicie natychmiast wrócić do pracy: „krajowi potrzebny jest węgiel!”. W 7. kopalni ktoś z tylnych rzędów krzyknął: „a nam potrzebna jest wolność, idźże ty na ch..!” — więźniowie zaczęli podnosić się z ziemi, rozeszli się i generalicja została sama na placu⁵.

Zaraz zerwali z siebie numery i zabrali się do wyłamywania krat. Wszelako — już tutaj zaznaczył się rozłam i bojowy nastrój znikł: może dosyć tego dobrego? Toć więcej nie wywojujemy. — Nocna zmiana już częściowo wyszła z pracy, poranna *- w całości. Zawirowały koła wyciągów nad szybami — i oglądając się na sąsiadów obiekty wznowiły pracę.

A 29. kopalnia jest za górą i nie widać stamtąd innych. Obwieszczono im — że wszyscy inni wrócili już do pracy, ale 29. nie dała wiary i strajkowała nadal. Naturalnie — można było jej delegatów zawieźć na inne obiekty, nic łatwiejszego. Ale to byłoby poniżające: cackać się tam z zeka-mi? Zresztą, generałowie łaknęli krwi: co to za zwycięstwo bez krwi?, co to za nauczka dla tych bękartów?

1 sierpnia 11 ciężarówek ze strzelcami zajęchało przed wrota 29. kopalni. Więźniów zwołano na plac przed wrotami. Z drugiej ich strony czarno było od żołnierzy: „Wychodzić do roboty — albo zastosowane zostaną surowe sankcje!”.

Nie powiedziano im — jakie to sankcje. Spójrzcie tylko na pepesze. Milczenie. Ruch ludzkich molekuł w tłumie. Po co ginąć? Zwłaszcza, jak ma się mały wyrok... Komu został rok-dwa ten pcha się do przodu. Ale jeszcze bardziej stanowczo przepychają się inni — i oto w przednim rzędzie staje dobrowolna straż, spleta ręce i nie puszcza łamistrajków. Tłum faluje, miotany sprzecznymi emocjami. Jakiś oficer próbuje przełamać łańcuch, zostaje uderzony żelaznym prętem. Generał Dieriewianko odchodzi na bok i komenderuje: „Ognia!”. W tłum.

Trzy salwy poparte seriami z cekaemów. Zabito 66 ludzi. (Kim byli zabici? — ci z pierwszych rzędów: najodważniejsi i najbardziej chwiejni. Ta

5 Według innej relacji wywiesili gdzieś taki transparent: „Nam — wolność, krajowi — węgiel!”. Bo wszak hasło „chcemy wolności!” — to już bunt, więc szybko trzeba dodać, że za to dadzą krajowi węgla.

255

prawidłowość występuje powszechnie, nawet przysłowia o tym świadczą). Pozostali salwują się ucieczką. Straż z pałkami i prętami rzuca się za nimi, bije zeków i wygania ich z żony.

Trzy dni (1-3 sierpnia) — trwają aresztowania we wszystkich strajkujących podobozach. Ale co z tymi ludźmi robić? Skapcianiły Organy po śmierci swego Dobroczyńcy, nie stać ich na rozmach śledczy. Więc znów

— eszelony, znów ich dokądś wiozą, zaraza rozprzestrzenia się. Archipelag staje się za ciasny.

Dla tych, co zostali — karny reżym.

Na dachach baraków 29. kopalni pojawiło się sporo łat z deszczułek

— to załatano dziury od pocisków, wystrzelonych ponad głowami tłumu.

Bezimienni żołnierze, którzy nie chcieli stać się mordercami...

Ale wystarczyło takich, co strzelali jak do tarczy.

Obok hałdy 29. kopalni za czasów Chruszczowa postawił ktoś nad bracką mogiłą krzyż, wysoki, jak słup telegraficzny. Krzyż ten parę razy obalano. Ale ktoś znów go stawiał.

Nie wiem czy dotąd tam stoi. Chyba nie.

XII CZTERDZIEŚCI DNI KENGIRU

Ale upadek Berii brzemienny był dla Specobozów w inne jeszcze skutki: dał katorżnikom nadzieję i tym samym zbił ich z tropu, zdezorientował i osłabił. Zazieleniły się owe nadzieje na bliskie przemiany i jakoś przywiedła wśród katorżników chęć do uganiania się za szpiclami, siedzenia za to po więzieniach, strajkowania i buntowania się. Złość minęła. Zdawało się, że wszystko i tak zmierza ku lepszemu i trzeba tylko trochę poczekać.

Sprawa miała jeszcze jeden aspekt: epolety z błękitną wypustką (ale bez lotniczego ptaszka) do tej chwili najbardziej czczone, najbardziej godne zaufania w całych siłach zbrojnych — raptem naznaczone zostały niejako piętnem grzechu i to nie tylko w oczach więźniów albo ich rodzin (a pies ich trącał) — ale omal czy, nie w oczach rządu?

Tego fatalnego 1953 roku oficerowie MWD zostali pozbawieni drugiej gaży („za gwiazdki”), to znaczy, że wypłacano im odtąd tylko jedną pensję — oczywiście z dodatkami za wysługę lat, za służbę na Dalekiej Północy i ze wszystkimi premiami. Był to znaczny cios dla ich kieszeni, ale jeszcze . silniejszy z punktu widzenia perspektyw na przyszłość: a więc zaczynamy być niepotrzebni?

Właśnie dlatego, że Beria został utracony, policyjne ministerstwo musiało jak najszybciej i jak najbardziej ostentacyjnie wykazać swoje oddanie i niezbędnosć. Ale jak 'to zrobić?

Te bunty, które dotąd faceci z defensywy uważali za tak niebezpieczne, teraz załśniły im nagle jak jutrenka zbawienia: oby jak najwięcej było rozruchów i zamieszek, bo to pozwoli stosować sankcje. I nie dojdzie do redukcji etatów ani gaż.

Archipelag Gułag

W ciągu niespełna roku konwojenci w Kengirze kilkakrotnie strzelali do Bogu ducha winnych ludzi. Działo się tak raz za razem: nie mogło to być robione bez premedytacji.

Zastrzelona została dziewczyna — Lida z mieszalni zaprawy murarskiej — co to powiesiła przed drutami żony pończochy do suszenia.

Postrzelony został stary Chińczyk — w Kengirze nie znano jego nazwiska, nie umiał prawie po rosyjsku, ale wszyscy znali jego kaczę chód, jego fajkę i jego twarz starego skrzata leśnego. Konwojent zawołał go pod wieżyczkę, rzucił mu paczkę marchorki pod same druty, a kiedy Chińczyk schylił się, żeby ją podnieść — strzelił i zranił go.

Innym razem konwojent rzucił z wieżyczki garść naboju, kazał je zebrać więźniowi i zastrzelił go.

Dodajmy znany wypadek strzelania kulami dum-dum do kolumny, wracającej z zakładu wzbogacania rudy, kiedy to wniesiono do obozu 16 rannych. (A jeszcze ze dwudziestu ukryło swoje cięższe rany bojąc się rejestracji i możliwych kar).

Tego już więźniowie nie znieśli w milczeniu. Powtórzyła się ta sama historia, co w Ekibastuzie: trzeci podobóz kengirski przez trzy dni nie chodził do pracy (nie uciekając się jednak do głodówki) i żądał sądu nad winowajcami.

Przyjechała komisja i obiecała, że winni pójdą pod sąd (tak, jakby ktoś mógł zaprosić zeków na świadków i dać wiarę ich zeznaniom!...). Podjęli więc pracę na nowo. Ale w lutym 1954 roku w tartaku zastrzelony został jeszcze jeden — „e-wangelista”, jak zwał go i pamiętał cały Kengir (zdaje się, że nazywał się Aleksander Sysojew). Człowiek ten odsiedział ze swoich dziesięciu lat już 9 lat i 9 miesięcy. Zadaniem jego było smarowanie elektrod do spawania. Robił to w budce stojącej niedaleko drutów. Wyszedł z budki za potrzebą i został natychmiast zastrzelony z wieżyczki. Z odwachu przybiegli duchem konwojenci i zaczęli ciągnąć zabitego bliżej do drutów, aby się wydawało, że przekroczył linię ochronną. Więźniowie nie wytrzymali, chwycili za rydle i łopaty — i odpędzili morderców od zabitego. (Przecież cały ten czas obok żony tartacznej stał osiodłany koń opera Bielajewa — „Brodawki” — zwanego tak, bo miał brodawkę na lewym policzku. Kapitan Bielajew należał do sadystów energicznych i reżyseria tego mordu była zupełnie w jego stylu).

Wzburzenie ogarnęło całą żonę tartaczną. Więźniowie oznajmili, że zabitego zaniosą do obozu na barkach. Oficerowie nie pozwolili im na to.

‘ Wolno sądzić, że takie samo sztuczne przyspieszanie biegu zdarzeń zastosowało kierownictwo obozów również w innych punktach, na przykład w Norylsku.

258

„Za coście go zabili?” — krzyczano. Gospodarze mieli już w zanadrzu objaśnienie: zabity sam był winien — pierwszy zaczął rzucać kamieniami w wieżyczkę. (Czy przynajmniej zdążyli przeczytać kartę rejestracyjną zabitego? — że zostały mu tylko trzy miesiące i że był głosicielem ewangelii?...).

Powrót do żony był posępny; stało się jasne, że to nie żarty.

To tu, to tam leżeli w śniegu strzelcy z cekaemami gotowymi do strzału (kengirskim zekom wiadomo już było, że gotowymi — aż nadto...). Ceka-emy ustawione były również na dachach osady konwojentów.

Wszystko to zdarzyło się znów w tym samym trzecim podobozie, gdzie poraniono 16 ludzi za jednym zamachem. I chociaż tym razem zginął tylko jeden człowiek, ale spotęgowało się uczucie bezbronności, bezwyjściowości, nieuchronności zagłady:

już prawie rok minął od śmierci Stalina, a jego psy wcale się nie zmieniły. I nic się w ogóle nie zmieniło.

Po wieczornym posiłku, w każdej sekcji na dany znak wyłączano światło, ktoś niewidzialny stawał w otwartych drzwiach i tak mówił: „Bracia! Jak długo jeszcze będziemy harować na budowie i dostawać kułe w nagrodę? Jutro nie idziemy do roboty!”. Sekcja za sekcją, barak za barakiem.

Przerzucono przez mur gryps do drugiego podobozu. Doświadczenie już mieli, nie raz już dawniej o tym myślano, więc również tam potrafili wszystkich zawiadomić. W drugim podobozie siedzieli ludzie różnych narodowości, przeważały wyroki dziesięcioletnie i wielu tam odsiadywało ostatnie miesiące kary, jednakże przyłączyli się wszyscy.

Rano męskie podobozy — trzeci i drugi — nie wyszły do pracy.

Zasada: strajkować, ale wcale się nie wyrzekać obozowej bałandy i chleba — znajdowała coraz większe uznanie wśród aresztantów i coraz mniejsze wśród gospodarzy. Wymyślili taką metodę: nadzorcy i konwojenci weszli bez broni na teren strajkujących podobozów, wkroczyli do baraków i biorąc się po dwóch za jednego zeka wypychali go, wyrzucali z baraku. (Metoda ta jest zbyt humanitarna, tak wolno cackać się ze złodziejami a nie z wrogami ludu. Ale gdy już Beria zapłacił głowę, nikt z generałów i pułkowników nie ośmielił się wydać komendy, by zaczęto ostrzeliwać żonę z karabinów maszynowych). Wysilek ten nie przyniósł jednak oczekiwanych rezultatów. Wyrzuceni więźniowie szli sobie do wychodka i snuli się po żonie, byleby tylko nie iść do pracy.

Trzymali się tak dwa dni.

Prosta myśl — aby ukarać tego konwojenta, który zabił ewangelistę, wcale nie wydawała się ani prostą, ani słuszną. Zamiast tego — nocą z drugiego na trzeci dzień strajku chodził po barakach — pewien swojego bezpieczeństwa, bezceremonialnie budzący wszystkich — pułkownik z Ka-ragandy w otoczeniu sporej świty, wołając: „długo jeszcze chcecie mącić

259

wodę?2”. I na chybił trafił, bo nikogo tu nie znał, wyciągał wskazujący palec: „Ej, ty! — wychodzić!... Ty — też wyjdź!... Ty — też wyjdź!”. Tych przypadkowych ludzi ów dzielny i dynamiczny rozkazodawca kazał pakować do więzienia, widząc w tym najlepszy sposób na „mąciwodów”. Will Rozen-berg — Łotysz, widząc to bezmyślne naigrzanie się, oznajmił: „Ja też pójdę!”. — „A idź!” — chętnie zgodził się pułkownik. Nie zrozumiał chyba nawet, że to był protest, bo przeciw czemu tu można było protestować?

Tejże nocy obwieszczono więźniom, że nadszedł kres tej całej demokracji z dokarmianiem i że kto nie pójdzie do roboty, ten dostanie tylko karną pajkę. Drugi podobóz rano poszedł do pracy, trzeci strajkował również trzeciego ranka. Zastosowano więc wobec nich tę samą taktykę wypychania, ale już zwiększonymi siłami: zmobilizowani zostali wszyscy oficerowie, którzy służyli w Kengirze albo przyjechali tam na pomoc i w składzie różnych komisji. Oficerowie całą hurmą wchodzili do danego baraku oślepiając aresztantów wspaniałością swoich papach i blaskiem epoletów, przeciskali się zgięci w kabłąk między wagonetkami i — wcale się nie brzydząc — siadali czystymi swoimi zadkami na brudnych, więźniarskich poduszkach wiórowych: „Ano posuń się, posuń, nie widzisz, że jestem podpułkownikiem!”. W ten sposób, robiąc łokciami i przesiadając się, wypychali zeka do przejścia, tam

chwyłali go za rękaw nadzorcy, ciągnęli na plac apelowy, a tych, którzy tu jeszcze próbowali się opierać — do więzienia (ograniczona pojemność obu kengirskich więzień ogromnie krępowała dowódców — w więzieniach było miejsce jedynie na pięciuset ludzi).

Tak oto strajk został złamany dzięki poświęceniu oficerów, którzy nie szczędzili ani swego honoru, ani przywilejów. Chwila była nader dwuznaczna i dlatego wymagała takich ofiar. Nie wiadomo było, co właściwie trzeba robić — a omyłki mogły mieć groźne następstwa. Kto przesadził w gorliwości i kazał strzelać do tłumu, mógł łatwo być uznany za pachotkę Berii. Kto jednak za mało się starał i z całą energią nie zmusił ludzi do pracy — ten również mógł okazać się jego pachotkiem³.

2 Wyrażenie „mącić wodę” zrobiło karierę w oficjalnym języku po berlińskich rozru

chach, w czerwcu 1953 roku. Jeśli prości ludzie, powiedzmy w Belgii, domagają się pod

wyższenia zarobków — to mamy do czynienia ze „słusznym gniewem ludu”. Jeśli zaś

prości ludzie u nas domagają się czarnego chleba — jest to „mącenie wody”.

3 Na przykład pułkownik Czeczew nie dal sobie rady z tą łamigłówką. Po wydarzeniach

lutowych wziął sobie urlop i dalej ślad jego ginie. Ginie aż do chwili, gdy udaje się nam

odnaleźć go w Karagandzie w charakterze zasłużonego rencisty. — Nie wiemy kiedy po

szedł z Ozierlagu na rentę jego komendant, pułkownik Jewstigniew. „Znakomity organi

zator... pełen skromności towarzysz” został zastępcą dyrektora bratskiej hydroelek-

trowni. (Jewtuszenko nie znalazł w swoim poemacie o tej wielkiej socjalistycznej budowie słów, by

opisać jego przeszłość).

260

Ponadto — przez liczny i masowy swój udział w tłumieniu strajku oficerowie MWD wykazali w sposób dotąd niespotykany - - i niezbędność swoich gwiazdek dla obrony świętego porządku, i konieczność uznania etatów za nietykalne, i osobistą odwagę.

Zastosowano również wszystkie wypróbowane poprzednio sposoby. W marcu i kwietniu wysłano kilka transportów do innych obozów. (Zaraza rozpełzła się jeszcze szerzej!). Koło 70 ludzi (wśród nich był również Tenno) wysłano później do zamkniętych zakładów karnych z klasycznym wiatykiem: „wszystkie nadzieje na poprawę zawiodły, wpływa demoralizująco na innych więźniów, nie nadaje się do trzymania w obozie”. Spisy wysyłanych do tych więzień wywieszone zostały na postrach w obozie. A po to, aby rozrachunek własny, niczym obozowy NEP, prędzej uznany został przez więźniów za ersatz wolności i sprawiedliwości — do kiosków, dotąd słabo zaopatrzonych, zwieziono szeroki asortyment towarów.. I nawet — aż nie chce się wierzyć! — wydano więźniom zaliczkę, aby mogli te towary kupować. (GUŁag udzielił tubylcom kredytu, coś niebywałego!).

Tak oto po raz drugi, to, co nabrzmięwało w Kengirze, rozeszło się po kościach, nim zdążyło dojrzeć.

Ale tu właśnie gospodarze przesolili. Sięgnęli po najcięższą swoją pałę przeciw Pięćdziesiątce Ósemce — odwołali się do knajaków! (No bo faktycznie! po co paćkać sobie ręce i epolety, kiedy są socjalne pociotki?).

Sami przekreślili więc własną doktrynę Specobozów, sami przyznali, że niemożliwą jest rzeczą trzymanie politycznych osobno i pozwalanie, aby domyślili się, kim są — i tuż przed świętem pierwszomajowym panowie gospodarze przywieźli do trzeciego, buntowniczego podobozu i rozmieścili w nim 650 złodziei, częściowo także pospolitaków (w tej liczbie wielu małoletnich). „Przyjeżdża tu zdrowy kontyngent” ze złośliwą satysfakcją oznajmili Pięćdziesiątce Ósemce. „Teraz nie będziecie mogli nawet piknąć”. A zwiezionym tu złodziejom powiedzieli: „To wy tu zrobicie porządek!”. Gospodarze bardzo dobrze rozumieli od czego trzeba zacząć, aby mieć ów porządek: żeby rozpoczęły się kradzieże, żeby jeden żył kosztem drugiego, żeby ludzi podzielić i skrócić. I uśmiechali się panowie naczelnicy dobrotnie, tak jak potrafią uśmiechać się tylko do złodziei, gdy ci ostatni, dowiedziawszy się, że tuż obok jest także kobiecy podobóz, zaczęli się napraszać ze zwykłą swoją poufałością: „Pokaż no nam te babki, komen-dantuniu kochany!”.

Ale ludzkie emocje i ruchy społeczne rozwijają się w sposób nieprzewidywany — i tu jeszcze raz to się potwierdziło! Po zastrzyknięciu końskiej dozy tego wypróbowanego, trupiego jadu w organizm trzeciego kengirs-

261

kiego podobozu — gospodarze doczekali się nie uspokojenia, lecz największego powstania w historii Archipelagu!

Choćby wysepki Archipelagu nie wiem jak były izolowane i pozornie odległe jedna od drugiej — dzięki więzieniom etapowym krążą w nich te same soki i oddycha się tym samym powietrzem. Dlatego też rzeź szpiclów, głodówki, strajki i rozruchy w Specobozach nie były dla złodziei rzeczą nieznaną. I oto gdzieś koło 1954 roku w zborniakach dało się ponoć zauważyć, że złodzieje zaczęli szanować katorżników. Skoro to prawda — to cóż przeszkadzało nam wcześniej, aby zyskać wśród złodziei ten „mir”? Przez wszystkie dwudzieste, trzydzieste i czterdzieste lata my, Kopry Pomidorowicze i Fan Fanyce, tak trzęsący się nad własną zagrożoną, a niezbędną dla świata wartością, i nad zawartością własnego sidora, i nad swoimi — nie ukradzionymi jeszcze trzewikami czy spodniami — otóż myśmy zachowywali się w stosunku do złodziei jak postacie z komedii: gdy złodzieje ograbiali naszych sąsiadów, takich samych intelektualistów światowej sławy — patrzyliśmy wstydliwie w bok i kuliliśmy się w swoim kątku; a kiedy ci podludzie przechodzili z kolei do porachunków z nami — ma się rozumieć, że nie oczekiwaliśmy od sąsiadów pomocy, tylko usługę oddawaliśmy tym szkaradom wszystko, byleby tylko nie odgryźli nam łebków. Ależ tak, przecież nasze umysły nie tym były zaprzątnięte i nasze serca nie na to były nastawione! Nie spodziewaliśmy się spotkania z tym okrutnym i nędznym wrogiem! Nękały nas wiry i załamania rosyjskiej historii, a jeżeli śmierć — to niechże będzie publiczna, piękna, żeby cały świat widział — i tylko dla ratowania całej ludzkości. A może zamiast tych wszystkich mądrości dość było podejść do sprawy jak najprościej? Być może już przy pierwszych krokach w pierwszej celi pierwszego zborniaka powinniśmy byli przygotować się na wszystko to, co nas tu miało spotkać, dostać nożem między żebra i paść w zapłutym kącie, na ziemię pokrytą ma-

zią z kibla, po nędznej bójce z tym szczerzym nasieniem, któremu Błękitni rzucili nas na pożarcie? Może wtedy cała nasza warstwa poniosłaby o wiele mniej strat i szybciej stanęłaby na nogi, wyżej podniosłaby głowę — i może nawet z tymi złodziejami do kupy rozwalita na drzazgi stalinowskie obozy? Bo istotnie — za co ci złodzieje mieli nas szanować?...

A więc sprowadzeni do Kengiru złodzieje już słyszeli to i owo, już domyślali się, że na katordze panuje duch bojowy. I zanim jeszcze zdążyli skumać się i zwąchać się ze zwierzchnością — odwiedzili ich pachanów

262

powściągliwi, barczyści chłopcy, przysiedli się, żeby pogwarzyć o życiu i powiedzieli im co następuje: „my jesteśmy delegaci. Jakie tu w Specobozach idzie szatowanie, toście chyba słyszeli, a jak nie słyszeliście — to warn opowiemy. Potrafimy już teraz robić noże nie gorzej niż wy. Jest was sześciuset, a nas dwa tysiące sześciuset. Możecie pomyśleć chwilę i wybierać. Jeśli będziecie nas przypierać — to was wyrzniemy”.

To był właśnie rozsądny krok — i to dawno potrzebny! — pokazać knajakom kły!, uznać ich za głównych wrogów!

Naturalnie błękitni chcieli, żeby zaczęła się właśnie taka haratanina. Ale złodzieje prędko sobie wy kalkulowali, że nie warto zadzierać z tą rozzuchwaloną Pięćdziesiątką Ósemką przy stosunku sił jeden do czterech. Protektorzy są jednak poza żoną, zresztą — co tam tacy protektorzy! Bo to złodzieje ich kiedykolwiek naprawdę szanowali? A sojusz, który proponowali im ukraińscy chłopcy — był niebywałą i zabawną awanturą, a ponadto, zdawał się otwierać drogę do żony kobiecej za murem.

Złodzieje dali zatem taką odpowiedź: „Nie, myśmy też zmądrzeli. Będziemy trzymać sztamę z kmiotkami!”.

Oficjalna historia nie wspomina o tej konferencji, imiona jej uczestników nie zostały uwiecznione w protokołach. A szkoda. Były to niegłupie chłopaki.

Jeszcze w czasie kwarantanny, w pierwszych swoich barakach zdrowy kontyngent uczcił dzień przybycia do obozu w ten sposób, że z szafek i wagonetek zrobił stos i rozpałił ognisko na cementowej podłodze; kłęby dymu waliły przez okna. Swoje veto zaś przeciw zamykaniu na noc baraków knajacy wyrazili przez zabijanie dziurek w zamkach kołkami.

Przez dwa tygodnie złodzieje zachowywali się jak na uzdrowisku: nie wychodzili do roboty, ale spędzali czas na opalaniu się, ani myśląc o pracy. Zwierzchność z kolei wcale nie myślała o karnej pajce, ale — nawet spodziewając się spełnienia wszystkich pokładanych w nich nadziei — też nie było z czego wypłacać im zarobków. Niemniej — w rękach złodziei pojawiły się bony, chodzili też do kantyny na zakupy. Ucieszyło to zwierzchność, przekonaną, że zdrowy element zaczął jednak kraść. Ale zwierzchność myliła się, brak jej było ścisłych informacji: polityczni przeprowadzili zbiórkę na rzecz złodziei (to też zapewne przewidziane było w konwencji, inaczej złodzieje nie widzieliby żadnej korzyści) i stąd te bony! Była to kombinacja zbyt niepowszednia, aby gospodarze mogli ją przewidzieć.

Zapewne niezwykły i nowy charakter całej zabawy był swoistą atrakcją dla knajaków, zwłaszcza małoletnich: ni stąd, ni zowąd odnosić się grzecznie do „faszystów”, nie wchodzić bez pozwolenia do ich sekcji, nie siadać bez zaproszenia na wagonetkach.

Ponieważ w Paryżu w minionym wieku gwardia miejska — garde mobile składała się w znacznej mierze z szemranych (jak się zdaje — mieli ich niemało), więc ówczesnych knajaków nazywano często mobilami. Bardzo trafna nazwa! Jest to element tak mobilny, że rozsadza tkankę codziennego, ospałego życia i za żadne skarby nie potrafi w nią spokojnie wrosnąć. Ustalono było, że się nie kradnie, nie było rzeczą etyczną zwalać na innych roboty — ale coś przecież trzeba było robić. Złodziejskie latoroślą zabawiały się w ten sposób, że zrywały nadzorcom czapki z głów, podczas wieczornych apeli hasały po dachach baraków albo przeskakiwały wysoki mur między trzecim a drugim podobozem, plątały rachunki, gwizdały i pohukiwały, strasząc nocami wartowników na wieżyczkach. Przebiliby się w ten sposób dalej, aż do kobiecego podobozu, ale po drodze był dobrze strzeżony teren działu gospodarczego.

Kiedy oficerowie z wydziału dyscypliny albo wychowawcy, albo pełnomocnicy operacyjni wpadali na przyjacielską pogawędkę do baraku knajaków, małoletnie złodziejzki, raniąc ich najczystsze uczucia, wyciągały im z kieszeni notatniki, portmonetki albo — leżąc na górnych narach

— raptem przekręcały kumowi czapkę daszkiem do tyłu. Zachowanie się zupełnie niestychane jak na GUłag!, ale też stosunki były teraz bez prece densu! Złodzieje dawniej też uważali swoich gułagowskich ojcaszków za durniów i tym bardziej nimi gardzili, im więcej te indory wierzyły w sukcesy swojej pracy wychowawczej. Ryczeli wewnątrz ze śmiechu, gdy kazano im wychodzić na trybunę albo przez mikrofon opowiadać o przemianie, o nowym życiu z tacyką w ręku. Ale aż do tej chwili — nie warto było zadzierać. Teraz zaś umowa, zawarta z politycznymi, pozwoliła knajakom skierować całą niewyżytą energię przeciw gospodarzom.

Tak oto — kierując się przyziemnym, administracyjnym rozsądkiem

— a w pogardzie mając wyższe racje ludzkie — władze GUłagu same doprowadziły do kengirskiego wybuchu. Najprzód przez bezmyślne strzelanie do ludzi, a później przez dodanie złodziejskiej oliwy do tłącego się ognia.

Bieg wypadków był nieodwracalny. Polityczni musieli zaproponować złodziejom wybór: albo wojna, albo sojusz. Knajacy nie mogli odrzucić sojuszu. A zawarty już sojusz nie mógł zasklepić się w bierności — bo zaczęłby się rozpad i wewnętrzna walka.

Trzeba było zaczynać byle co, ale trzeba było zacząć! A ponieważ inspiratorów i podżegaczy — jeśli są z Pięćdziesiątki Ósemki — wieszają się potem na konopnym stryku, jeśli zaś są złodziejami — tylko beszta trochę przy szkoleniu ideologicznym, więc złodzieje proponowali: my zrobimy początek, a wy nas poprzecie! Za-uważmy, że cały obóz kengirski miał

kształt wielkiego prostokąta otoczonego wspólną żoną zewnętrzną. Prostokąt podzielony był na żony wewnętrzne murami prostopadłymi do dłuższego boku: pierwsza — był to podobóz 1., kobiecy, dalej — teren działu gospodarczego (o jego przemysłowym znaczeniu już mówiliśmy) dalej — podobóz 2., za nim 3. i wreszcie — żona więzienna, gdzie mieściły się dwa więzienia, stare i nowe; pako-

wano do nich nie tylko więźniów z obozu, lecz również wolnych mieszkańców osady.

Z natury rzeczy należało przede wszystkim opanować teren działu gospodarczego, gdzie znajdowały się także wszystkie magazyny żywnościowe obozu. Operację rozpoczęto we dniu — była to niedziela 16 maja 1954 roku. Najprzód wszyscy mobile powłazili na dachy swoich baraków i obsiedli mur między trzecim a drugim podobozem. Następnie — na komendę swoich pachanów, którzy zostali na dachach — cała wiara z pałkami w ręku zeskoczyła na teren drugiego podobozu, tam ustawiła się szeregiem i tak właśnie, całą kolumną ruszyła główną drogą. Główna zaś droga biegła środkiem drugiego podobozu aż do żelaznych wrót gospodarstwa.

Wszystkie te zupełnie jawne działania trwały jakiś czas — i czas ten został przez nadzorców wykorzystany dla przegrupowania i otrzymania instrukcji. I oto — punkt nader interesujący! Nadzorcy zaczęli biegać od baraku do baraku Pięćdziesiątki Ósemki, apelując do tych właśnie ludzi, tępionych od 35 lat jak robactwo: „chłopa, patrzcie tylko! Złodzieje chcą się włamać do żony kobiecej!, chcą gwałcić wasze żony i córki!, chodźcie na pomoc!, trzeba ich odeprzeć!”. Ale umowa była umową i jeśli ktoś poderwał się, nic nie wiedząc o niej, został przez innych zatrzymany i pouczony. Chociaż wcale nie było wykluczone, że na widok kotletów koty zapomną o konwencji — dozór nie znalazł sojuszników wśród Pięćdziesiątki Ósemki. Nie wiadomo, jak by tam dozór bronił kobiecej żony przed swoimi faworytami, ale przede wszystkim musiał bronić przed nimi magazynów w żonie gospodarczej. Żelazne wrota rozwarły się więc i na spotkanie nacierających wyszedł pluton żołnierzy bez broni. Trzymając się z tyłu — dowodził nimi Brodawka-Bielajew, który znalazł się tej niedzieli w żonie już to z nadmiaru gorliwości, już to że miał dyżur. Żołnierze zabrali się do wypychania mobili, przełamując ich front. Nie puszczając w ruch swoich drągów, złodzieje wycofali się w stronę trzeciego podobozu i zaczęli gramolić się na mur, podczas gdy ich oddział rezerwowy ciskał w żołnierzy kamieniami i samanowymi cegłami, ubezpieczając w ten sposób cofające się siły.

Ma się rozumieć, że żadnych aresztowań wśród złodziei potem nie było. Wciąż jeszcze widząc w tym jedynie niewinny przejaw swawoli, zwierzch-

265

ność pozwoliła, aby obozowa niedziela spokojnie toczyła się dalej aż do wieczornego apelu. Obeszło się bez niespodzianek przy rozdawaniu obiadu, zaś po zmierzchu obok stołówki drugiego podobozu zaczęto, zupełnie jak w letnim kinoteatrze, projekcję filmu „Rimskij Korsakow”.

Ale nim jeszcze dzielny kompozytor zdołał wyrwać się z kazamatów konserwatorium protestując przeciw brakowi wolności — już prysnęły latarnie żony pod gradem kamieni: mobile walili do nich z proc i żona pogrążyła się w mroku. Wylegli rojem między baraki drugiego podobozu i rozbójnicze ich, przenikliwe gwizdy cięły powietrze, wdarli się tam i z kolei wybili szyną przejście do żony kobiecej (było wśród nich również trochę młodzieży z Pięćdziesiątki Ósemki).

W blasku rakiet bojowych wystrzelonych z wieżyczek, tenże oper — kapitan Bielajew wdarł się do żony gospodarczej z zewnątrz, przez wartownię, z całym plutonem fizylierów i — po raz pierwszy w historii GUŁagu otworzył ogień do socjalnych pociotków! Byli zabici i kilkudziesięciu rannych. Z tyłu zaś biegli strzelcy z bagnetami na karabinach,, aby rannych dobijać. W ariergardzie, jak to przewidział podział

pracy, wypróbowany w Ekibastuzie, w Norylsku i na Workucie, szli nadzorcy z żelaznymi łomami w rękę, aby nimi wykańczać rannych, jeszcze pozostałych przy życiu (tej nocy w szpitalu 2. podobozu zapłonęły lampy w sali operacyjnej i chi-rurg-zek, Hiszpan nazwiskiem Fuster, zabrał się do operowania ofiar).

Żona gospodarcza opanowana była teraz całkowicie przez strzelców, ustawiono w niej karabiny maszynowe. Drugi zaś podobóz (mobile odegrali już swoją uwerturę, teraz przystąpili do walki politycznej) wybudował barykadę naprzeciw żelaznych wrót. W murze między drugim a trzecim podobozem wybito dziurę, oba podobozy się połączyły i nie było już w nich ani jednego nadzorcy, nie było śladu władzy MWD.

Ale co stało się z tymi, którzy zdołali wdrzeć się na teren obozu kobiecego i zostali odcięci? Wypadki zadały kłam tej chutliwej pogardzie, z którą knajacy odnoszą się do bab. Gdy w żonie gospodarczej zabrzmiały wystrzały — ci, którzy wdarli się tutaj, do kobiet, z pożądliwych zdobywców przekształcili się od razu w towarzyszy niedoli. Kobiety ich poukrywały. Aby ich szukać — przyszli żołnierze — nasamprzód bez broni, później uzbrojeni. Kobiety przeszkadzały w tym polowaniu skacząc im wręcz do oczu. Żołnierze bili kobiety pięściami i kolbami, ciągnęli je do więzienia (w żonie kobiecej urządzono przezornie BUR), a do niektórych mężczyzn strzelali. W obawie, że sił własnych może im nie starczyć, dowództwo wprowadziło do żony kobiecej „czarne pagony” — żołnierzy batalionu roboczego (strojbat) stacjonującego w Kengirze. Jednakże żołnierze strojbatu odmówili wykonania nieżołnierskiej roboty! i trzeba było ich wycofać z obozu.

266

Skądinąd właśnie tu, w żonie kobiecej, dowództwo obozu mogło znaleźć element niezbędny dla wytłumaczenia się przed wyższymi władzami, gdyby zaszła taka potrzeba. Nie byli wcale tacy głupi: wyczytali to gdzieś albo sami ten chwyt wymyślili, dość że w poniedziałek wpuścili do żony kobiecej fotografów i dwóch-trzech drabów przebranych za więźniów. Nasłane draby zabrały się do kobiet, a fotografowie jęli robić zdjęcia. Oto dlaczego kapitan Bielajew zmuszony był do otwarcia ognia — chodziło o ratowanie słabych kobiet przed przemocą.

W poniedziałek rano wzrosło napięcie między barykadą a wytłamanymi wrotami żony gospodarczej. W żonie walały się nie pochowane trupy. Strzelcy leżeli przy zamkach karabinów maszynowych mierząc w rozwarte wrota. W wolnych teraz męskich żonach ludzie rozbierali wagonetki na deski i pały, klecili tarcze z dech i z materaców. Krzyczeli na kątów poprzez barykadę, tamci im odpowiadali. Coś musiało się stać, sytuacja była zbyt chwiejna. Więźniowie na barykadzie gotowi już byli sami iść do ataku. Kilku chudzielców zerwało koszule z grzbietów, stanęli na barykadzie i pokazując cekaemistom swoje wpadłe piersi i wystające żebra krzyczeli: „No, strzelajcie! Strzelajcie do swoich ojców!, dobijajcie!”. I nagle do oficera dowodzącego w żonie gospodarczej podbiegł łącznik z karteluszką. Oficer wydał rozkaz zabrania zwłok i czerwone pagony wycofały się z żony gospodarczej, unosząc ze sobą zabitych zeków.

Przez jakieś pięć minut barykada milczała nie wierząc własnym oczom. Potem pierwsi śmiatkarze ostrożnie weszli przez żelazne wrota. Żona gospodarcza była pusta. Tylko tam i sam walały się czarne obozowe mycki zabitych z naszytymi łatami numerów.

(Dowiedzieli się później, że rozkaz wycofania się z żony wydał minister spraw wewnętrznych Kazachstanu, który dopiero co przyleciał z Ałma-Aty. Zwłoki zabitych więźniów odwieziono w step i zakopano, aby ewentualna ekspertyza nie miała czego szukać).

Rozległo się „hurra!... hurraa...” i już wdarli się do żony gospodarczej i dalej — do kobiecej. Poszerzyli przejście w murze. Rozbili zamki kobiecego więzienia — i teraz wszyscy byli razem! Cała główna żona wolna — z wyjątkiem czwartego podobozu, który dalej był więzieniem.

Na każdej wieżyczce stało po czterech strzelców z czerwonymi naramiennikami — mieli więc komu przemówić do słuchu! Pod wieżyczkami zebrali się tłumnie krzycząc (a kobiety — rzecz jasna — najgłośniej): „Jesteście gorsi od faszystów!... Krwio pijcy!... Mordercy!...”.

Znalazł się naturalnie w obozie duchowny i to nie jeden; już zaczęło się w kostnicy nabożeństwo żałobne za dusze zabitych i zmarłych z ran.

Jak opisać uczucia, które kipią w piersiach ośmiu tysięcy ludzi — przez

267

całe życie i dawniej, i dziś — będących tylko cierpiącymi w samotności rabami — a oto teraz zjednoczonych i wolnych, może nie w pełnym sensie tego słowa, ale choćby tylko wśród tych murów prostokątnych, w obliczu tych sterczących czwórkami konwojentów?! Nasze czuwanie o głodzie na barakowych pryczach w Ekibastuzie — już dało nam przedsmak wolności! A tu — toż to wprost rewolucja lutowa! Tu doszło do głosu ludzkie braterstwo, choć tyle lat je deptali! I teraz kochamy knajaków! A knajacy nas kochają! (Nic nie poradzi, przelana krew łączy! Toć oni przecież swojego knajackiego prawa się zarzekli!). A jeszcze bardziej, to jasne, kochamy kobiety, które znów są teraz z nami, jak to powinno być wśród normalnych ludzi, bo to są nasze siostry i wspólny jest nasz los!

W stołówce wisi transparent: „Każda broń jest dobra, uderz pierwszy na wojsko!”. Na skrawkach gazet (innego papieru nie ma) czarnymi albo kolorowymi literami najbardziej zapalczywi wypisali już pośpiesznie swoje hasła: „Chłopczy, bijcie czekistów!”, „Śmierć szpiclom, fagasom czekistów!”. W jednym-drugim-trzecim punkcie obozu (i bądź tu mądry, żeby wszędzie nadążyć) — wiece, przemówienia! I każdy wykłada własne propozycje! Pomyśl — bo wolno ci teraz myśleć — z kim właściwie trzymasz? Jakie wysunąć żądania? Czego chcemy? Bielajewa pod sąd — to jasne! Morderców pod sąd? — to też jasne. A co dalej?... Nie zamykać baraków, zlikwidować numery! no, a co dalej?...

A dalej — najstraszniejsze pytanie: po cośmy to wszystko zaczęli i czego właściwie chcemy? Chcemy, oczywiście, wolności, wolności i nic więcej!, ale któż ją nam podaruje? Te sądy, co nas skazały — są w Moskwie. I póki mamy na pieńku ze Steplągiem albo Karaganda, jeszcze się z nami rozmawia. Ale jeżeli powiemy, że mamy pretensje do Moskwy... to nas wszystkich w tym stepie pochowają.

A skoro tak — to czego chcemy? Rozbijać mury? Rozbiec się po pustyni?...

Godziny wolności! Całe pudry oków spadają z naszych rąk i ramion! Nie, wszystko jedno, żałować nie ma czego! — ten jeden dzień jest wszystkiego wart!

A w poniedziałek pod wieczór do kipiącego podnieceniem obozu przychodzi delegacja dowództwa. Delegacja nastawiona jest nader życzliwie, nie patrzą wilkiem, przyszli bez pepesz, bo też trzeba pamiętać, że to nie żadne pachotki krwawego Berii. Dowiadujemy się, że z Moskwy przylecieli generałowie — Boczków z

GUŁagu oraz zastępca prokuratora generalnego Wawiłow. (Służyli również za czasów Berii, ale po co rozdrapywać stare rany?). Otóż generałowie są zdania, że nasze żądania są całkowicie uzasadnione! (Nie posiadamy się sami ze zdziwienia: jak to — uzasadnione?)

268

Więc nie jesteśmy już buntownikami? Ależ nie, nie, zupełnie uzasadnione!). „Ci, którzy wydali rozkaz strzelania, będą pociągnięci do odpowiedzialności!”. — „A za co poturbowano kobiety?”. — „Poturbowano kobiety?”

— dziwi się z kolei delegacja. — „To niemożliwe”. Ania Michalewicz sprowadza całą gromadę pobitych kobiet. Komisja jest bardzo wzruszona: „Rozpatrzmy tę sprawę, rozpatrzmy!”. — „Bestie!” — krzyczy Luba Berszadzka generałowi prosto w oczy. Słychać jeszcze okrzyki: „Nie zamykać baraków!”. — „Nie będziemy już zamykać”. — „Zdjąć z nas numery!”. — „Bezwarunkowo będą zdjęte” — zapewnia generał, którego nikt z nas dotąd nie widział na oczy (i nigdy już nie zobaczy). — „Przejścia między żonami mają zostać otwarte” — stajemy się już bezczelni. — „Musimy komunikować się ze sobą!”. — „Zgoda, komunikujcie się” — odpowiada generał. — „Przejścia mogą zostać”. Kochani, to czego nam jeszcze trzeba? Toć to zwycięstwo!! Jeden dzień pobrykaliśmy, nacieszyliśmy się, wyszumialiśmy się — i już zwycięstwo! I chociaż niektórzy z nas kiwają głowami i mówią — fałsz, oszustwo! — my wierzymy!, wierzymy naszemu w końcu całkiem nie najgorszemu — dowództwu! Wierzymy dlatego, że to jest najłatwiejsze wyjście z sytuacji... A cóż pozostaje uciśnionym, jeśli nie wiara? Dać się oszukać — i znowu wierzyć. I znów dać się oszukać i jeszcze raz dać wiarę.

I we wtorek 18 maja wszystkie kengirskie podobozы wyszły do pracy kładąc krzyżyk na swoich zabitych.

I jeszcze tego ranka wszystko mogło rozejść się po kościach! Ale wysokie szarże, które zjechały do Kengiru uznałyby taki koniec zabawy za swoją porażkę. Nie mogli przecież serio przyznać racji więźniom! Nie mogli przecież serio zabrać się do karania swoich ludzi z MWD! Ich przyziemny rozsądek kazał im tylko jeden wyciągnąć wniosek z całej tej historii: mury między żonami były nie dość dobrze umocnione! Trzeba tam pozakładać zapory ogniowe!

I tego dnia gorliwe dowództwo zaprzęgåło do roboty tych, którzy przez całe lata i dziesięciolecia od niej się odzwyczajali: oficerowie i nadzorcy przywdziali fartuchy; kto wiedział, co z tym fantem robić — brał się za kielnię; żołnierze nie pełniący służby na wieżyczkach pchali taczki, dźwigali nosze, inwalidzi, którzy zostali w żonach znosili i podawali samanowe cegły. I gdy nadszedł wieczór przejścia w ścianach były zamurowane, rozbite latarnie znów się paliły, wzdłuż ścian wewnętrznych wytyczono pasy ochronne i na krańcach murów wewnętrznych stali wartownicy. Wydano im rozkaz, aby w razie czego otwarli natychmiast ogień! A gdy wieczorem kolumny zeków, którzy cały dzień trudzili się dla państwa, wchodziły znów do obozu, zaraz kierowane były na wieczorny posiłek do stołówki — kłu-

269

sem, żeby nie mieli czasu się rozejrzeć, żeby czym prędzej móc ich zamknąć. Generałowie zadysponowali, że trzeba wygrać ten pierwszy wieczór — zanim wyjdzie

na jaw oszustwo zbyt oczywiste w stosunku do wczorajszych obietnic. Jeśli dziś wygra się na czasie, to później jakoś się przyzwyczają i wejdą w koleinę.

Ale jeszcze przed zapadnięciem zmroku rozległy się te same przeciągłe, rozbójnicze gwizdy, które słyszeć było w niedzielę; to przerzucała się nimi trzecia i druga żona jak na wielkiej, chuligańskiej zabawie (te gwizdy były jeszcze jednym cennym wkładem knajaków we wspólne przedsięwzięcie). Nadzorcy nie dotrzymali placu, nie skończyli swojej roboty i uciekli z zon. Jeden tylko oficer miał pecha (starszy lejtnant z intendenty, Miedwie-diew), miał jakieś swoje sprawy, za długo marudził, wzięty został do niewoli i aż do rana był jeńcem.

Obóz był w rękach zeków, ale dalej byli rozdzieleni murami. Gdy kto do murów podchodził — z wieżyczek zaczynały palić karabiny maszynowe. Kilku więźniów padło trupem, kilku innych odniosło rany. Proce znów poszły w ruch i latarnie zostały rozbite co do jednej, ale z wieżyczek oświetlono teren rakietami. Tu właśnie przydał się drugiej żonie wzięty do niewoli oficer-indendent: przywiązano go do końca stołu tak jak stał, z jednym oderwanym pagonem, stół wysunięto w stronę drutów i oficer krzyczał do swoich: „Nie strzelać! Jestem tutaj! Jestem tu — nie strzelajcie!”.

Długimi stołami więźniowie starali się przebić zasieki i walili nimi w dopiero co wkopane słupy pasów ochronnych, ale pod ogniem nie sposób było ani rozwalić muru, ani przeleźć przezeń — a więc trzeba było budować podkopy. Jak zwykle w żonie nie było innych łopat prócz pożarniczych. Poszły więc w ruch kuchenne noże i miski. W ciągu tej jednej nocy z 18 na 19 maja podkopali się pod wszystkie mury i znów połączyli w jedną całość wszystkie podobozы oraz żonę gospodarczą. Teraz zaprzestano strzelania z wieżyczek, a w dziale gospodarczym znalazło się dość narzędzi. Całodzienna praca murarzy z pagonami poszła na marne. W nocnych ciemnościach pocięto druty pasów ochronnych wzdłuż wewnętrznych murów, rozbito je i rozszerzono przejścia tak, aby nie stały się pułapką (w ciągu następnych dni poszerzono je do dwudziestu metrów).

Tejże nocy przebito się przez mur na teren czwartego podobozу, więziennego. Pilnujący więzienia nadzorcy pouciekali — jedni w stronę wartowni, inni w stronę wieżyczek, spuszczano im stamtąd drabiny. Więźniowie wdarli się do gabinetów śledczych i rozbijali w nich, co mogli. Zostali teraz wypuszczeni z więzienia na wolność ci, którzy mieli stanąć jutro na czele powstania: eks-pułkownik Armii Czerwonej, Kapitan Kuzniecowa (absolwent akademii imienia Frunzego, już niemłody; po wojnie dowodził puł-

270

kiem w Niemczech i ktoś z jego podwładnych uciekł na Zachód, za to też wtrącono go do obozu; w obozowym więzieniu siedział zaś za „szkalowanie obozowej rzeczywistości” — w listach, które usiłował przesyłać z pomocą wolniaków); eks-starszy lejtnant Armii Czerwonej Gleb Słuczenkow (był w niemieckiej niewoli, a jak twierdzą — również u Własowa).

W „nowym” więzieniu siedzieli mieszkańcy osady Kengir, skazani za przestępstwa pospolite. Z początku byli przekonani, że w kraju wybuchła rewolucja i z entuzjazmem przyjęli ofiarowaną im, a całkiem niespodziewaną wolność. Ale zorientowawszy się szybko, że rewolucja ta ma charakter nieco zbyt lokalny, pospolitacy lojalnie wrócili do swojego kamiennego worka i bez żadnej straży siedzieli tam rze-

telnie przez cały okres powstania, wychodząc tylko po jedzenie do stołówki zbuntowanych zeków.

Zbuntowanych zeków! — którzy już po trzykroć starali się odsunąć od siebie i ten bunt, i wolność jaką przynosił. Nie wiedzieli co robić z tymi darami i bardziej ich się bali, niż pragnęli. Ale z uporem morskiego przy-boju coś pchało ich i pchało do tego buntu.

Cóż im zostało? Wierzyć obietnicom? Znowu ich oszukają, właściciele niewolników doskonale wykazali to wczoraj, a także wcześniej i to po wielokroć. Więc paść na klęczki? Ale przez wiele lat żyli na kolanach i nie wymodlili sobie zmiłowania. Prosić o wymierzenie kary dzisiaj, od razu? — ale czy spadnie na nich kara dziś, czy po miesiącu wolnego życia — to wszystko jedno, będzie jednako surowa, sędziowie pracują mechanicznie: jeśli po ćwiartce — to wszystkim po ćwiartce, bez różnic. Przecież zbiegowie uciekają, żeby przez jeden dzień choćby nacieszyć się wolnym życiem. Tak też tych osiem tysięcy ludzi nie tyle podniosło bunt, co uciekło w wolność, bodaj tylko na krótko! Osem tysięcy ludzi nagle z niewolników stało się wolnymi ludźmi i dane im było żyć. Zacięte zazwyczaj twarze rozjaśnił nagłe ciepły uśmiech⁴. Kobiety zobaczyły z bliska mężczyzn i mężczyźni wzięli je za ręce. Ci, którzy korespondowali ze sobą skomplikowanymi sposobami i nigdy nie widzieli się nawzajem — teraz mogli się poznać! Te Litwinki, którym księża przez mur udzielali sakramentu małżeństwa — teraz zobaczyły swoich wybranych, zaślubionych w majestacie religii — ich małżeństwo zeszło z nieba na ziemię! Członkom sekt i wierzącym pierwszy raz w ciągu całego życia nikt nie przeszkadzał zbierać się i odprawiać modłów. Rozproszeni po różnych żonach samotni cudzoziemcy teraz odnaleźli się i mówili w swoim języku o tej dziwnej azjatyckiej rewolucji. Wszystkie zapasy żywnościowe obozu znalazły się w rękach więźniów. Nikt nie pędził ich na apel ani do 11-godzinnej harówki.

Zauważy! to nawet niechętny więźniom Makiejew.

271

Nad bezsennym, rozgorączkowanym obozem, który zerwał z siebie psie numery wstało słońce 18 maja. Na drutach wisały porozbijane lampy. Więźniowie spokojnie przechodzili z żony do żony okopami albo i obok nich. Wielu przywdziało swoją cywilną odzież, odebraną z magazynu. Niektórzy chłopcy nałożyli swoje papachy i kubanki (wkrótce pojawią się także wyszywane koszule, Azjaci — wdzieją kolorowe chałaty i turbany, szaro-czarny obóz rozkwitnie).

Od baraku do baraku chodzili porządkowi i zwoływali ludzi do dużej stołówki na wybory Komisji — komisji dla rozmów z dowództwem i dla spraw samorządu (tak skromnie, tak bojaźliwie sama się nazwała).

Wybierali ją sądząc może, że to tylko na kilka godzin, ale przez czterdzieści dni miała ona być rządem obozu kengirskiego.

Gdyby to wszystko zdarzyło się dwa lata wcześniej, to z samej tylko obawy — aby On się o tym nie dowiedział, gospodarze Stepłagu nie pozwoliliby sobie na zwłokę; padłaby znana komenda — „Nie żałować nabojów!” i z wieżyczek wystrzelano by do nogi ten cały kłębiący się wśród murów tłum. I czy musiano by położyć pokotem całe osiem tysięcy, czy tylko cztery tysiące — nic by to ich nie wzruszało, byli to bowiem właśnie ludzie niewzruszeni.

Ale sytuacja w roku 1954 tak była zawiała, że musieli się zawahać. Wa-wiłow i Boczków wyczuli w Moskwie jakieś nowe powiewy. Zresztą dość się już tu nastrzelano i

teraz trzeba było się zastanowić, jak nadać legalny charakter temu, co zostało zrobione. W ten sposób powstały warunki dla zwłoki, a to znaczy, że buntownicy mieli czas, aby rozpocząć swoje nowe, niezawiste życie.

Trzeba było z punktu dać się wyklarować linii politycznej powstania. To było bowiem — być albo nie być. Czy powstanie powinno być pójsć jedynie po linii tych szczerych odręcznie pisanych na szpaltach gazet sloganów: „Chłopczy, bijcie czekistów”?

Ledwie wypuszczony z więzienia — i od razu (zmuszony do tego przez okoliczności czy na mocy odruchu starego dowódcy, może kierując się radami przyjaciół albo odpowiadając na jakiś zew wewnętrzny) stanąwszy na czele buntowników, Kapi-tan Iwanowicz Kuzniecowa natychmiast, jak się zdaje, przyjął punkt widzenia nielicznych ortodoksów siedzących w Ke-ngirze: „Przeciwstawić się tym bzduram (sloga-ny), przeciwstawić się an-tysowieckim kontrrewolucyjnym tendencjom tych, którzy chcą wykorzystać nasze ciężkie przejścia!”. (Te formuły cytuję według notatek in-nego

272

członka komisji A. F. Makiejewa, który zreferował rozmowy prowadzone przez szczupłe grono wtajemniczonych w magazynie odzieżowym u Piotra Akojewa. Or-todoksi dawali Kuzniecowa wyrażnie do zrozumienia, co następuje: „Ależ za ta-kie slogany nam wszystkim mogą wsypać nowe wyroki”).

Już od pierwszego momentu, jeszcze w nocy, gdy obchodził barak ‘po baraku i przemawiał aż do zachrypnięcia, a także później, na porannym wiecu w stołówce, a potem jeszcze nieraz — pułkownik Kuzniecowa spotykając ludzi o tendencjach bardzo skrajnych, ludzi w których złość się zapiekła, ludzi tak sponiewieranych, że zdawało się, iż nic już nie mają do stracenia, powtarzał bez ustanku:

„Linia antysowiecka — to byłby nasz koniec. Jeśli wysuniemy teraz antysowieckie hasła — to natychmiast nas zgniotą. Przecież tylko czekają na pretekst, aby nas rozdeptać. Takie ulotki i slogany posłużą im tylko jako usprawiedliwienie, jeśli ze-chcą nas wszystkich powyszczać. Jedyny nasz ratunek — to lojalność. Powinniśmy rozmawiać z przedstawicielami Moskwy tak, jak przystało na prawdziwych sowiec-kich obywateli!”.

A potem —jeszcze głośniej: „Nie pozwolimy, aby pewne jednostki narzucały nam tu ten prowokacyjny sposób działania!”. (Zresztą, w czasie tych jego przemówień w najlepsze całowano się na wagonetkach. Nie bardzo zważano na sens nawoły-wań).

Gdyby pociąg powiózł nas nie tam, dokąd chcemy i gdybyśmy zdecydowali się wyskoczyć z niego — musielibyśmy skakać w kierunku ruchu, a nie przeciw ruchowi. Na tym polega też inercja wypadków historycznych. Bynajmniej nie wszyscy tak myśleli, ale rozsądny charakter tego programu został przez wszystkich od razu za-uważony i ta linia zwyciężyła. Wkrótce w całym obozie wisały już wielkie transpa-renty, dobrze widoczne ze strony wieżyczek i posterunków wartowniczych:

„Niech żyje Sowiecka Konstytucja!”.

„Niech żyje Prezydium KC!”.

„Niech żyje władza sowiecka!”.

„Domagamy się przyjazdu przedstawiciela KC i rewizji naszych wyroków!”.

„Precz z mordercami — beriovcami!”.

„Żony oficerów Steptagu! Czy wam nie wstyd mieć morderców za mężów?”.

Chociaż większość rebeliantów z Kengiru doskonale wiedziała, że te liczone na miliony mordy i gwałty, dawne i niedawne, dalekie i bliskie dokonane zostały pod bagiennym słońcem tej właśnie konstytucji i że zostały zaaprobowane przez Biuro Polityczne w tym właśnie składzie, jednak-

Archipelag Gulag

273

że nic innego im nie pozostawało, jak pisanie haseł na cześć tej konstytucji i tego Politbiura. Ale też czytając sobie te hasła — zbuntowani więźniowie dotknęli nogą twardego gruntu prawa i poczuli się nieco spokojniej: ich ruch nie jest całkiem beznadziejny.

Nad stołówką zaś, gdzie dopiero co odbyły się wybory, pojawiła się flaga, dobrze widoczna aż hen, w osadzie. Wisiała potem długo: białe pole z czarnym obrzeżem i czerwonym, sanitarnym krzyżem pośrodku. W międzynarodowym kodzie morskim flaga ta znaczyła:

„Jesteśmy w niebezpieczeństwie! — Na pokładzie są kobiety i dzieci!”.

Do komisji wybrano 12 ludzi i Kuzniecowa na czele. Od razu rozdzielono funkcje i stworzono następujące wydziały:

agitacji i propagandy (stanął na jego czele Litwin Knopkus, przeniesiony karnie z Norylska po stłumieniu tam powstania),

spraw gospodarczych i bytowych,
zaopatrzenia,

—: bezpieczeństwa wewnętrznego (Gleb Słuczenkow),
wojskowy i

techniczny, zapewne najbardziej oryginalny w tym obozowym rzędzie.

Byłemu majorowi Michejewowi powierzono utrzymywanie kontaktów z dowództwem obozu. W skład komisji wchodził jeden z knajackich pa-chanów, kierował nawet jakimś wydziałem. Były także kobiety (jak się zdaje: Szachnowskaja, ekonomistka, partyjna, już siwa; Suprun, stara nauczycielka z Podkarpacia; Luba Bersadzka).

Czy w skład komisji weszli prawdziwi i najważniejsi inspiratorzy powstania? Zapewne nie. Ośrodki, zwłaszcza ukraiński (w całym obozie Rosjanie stanowili zaledwie czwartą część więźniów) jak się zdaje, trzymały się na uboczu. Michał Keller, ukraiński partyzant od 1941 roku walczący to z Niemcami, to z oddziałami sowieckimi, ten sam Keller, który w Kengirze publicznie zarębał szpicla, bywał na posiedzeniach komisji wyłącznie w charakterze milczącego obserwatora z ramienia tamtego sztabu.

Komisja całkiem jawnie zasiadła w kancelarii kobiecego podobozu, ale wydział wojskowy przeniósł swój punkt dowodzenia (sztab polowy) do łaźni drugiego podobozu. Wydziały zabrały się do roboty. Pierwsze dni były szczególnie gorące: wszystko trzeba było obmyśleć i ustalić od nowa.

Przed wszystkim należało zbudować umocnienia. (Michejew, przekonany, że interwencja wojska jest nieunikniona, był przeciwnikiem planowania jakiegokolwiek obrony. Przeważało zdanie Słuczenkowa i Knopkusa). Do dyspozycji było sporo

samanowych cegieł — po przebiciu szerokich przejść w murach wewnętrznych. Z tego samego samanu wystawiono barykady

274

naprzeciw wszystkich wartowni, to jest wyjść i wejść do obozu, które zostały w ręku strażników; w każdej chwili mogły przejść przez nie oddziały pacyfikatorów. W żonie gospodarczej pod dostatkiem było drutu kolczastego. Z drutu tego robiono i ustawiano na drodze ewentualnego ataku zapory spiralne. Nie zapomniano też o tym, aby gdzieś w gruncie tabliczki z napisem: „Ostrożnie! Miny!”.

Był to jeden z pierwszych konceptów wydziału technicznego. Cała jego praca odbywała się w wielkim sekrecie. W zdobytej żonie gospodarczej oddział techniczny stworzył sobie sieć tajnych pomieszczeń. Na ich drzwiach widniała trupia czaszka, skrzyżowane piszczele i napis: „Napięcie 100.000 Volt”. Wejść tam mogli tylko nieliczni, bezpośrednio zatrudnieni. Nawet więźniowie nie zdawali więc sobie sprawy czym w istocie wydział techniczny się trudni. Bardzo szybko zaczęto powtarzać, że pracuje się tam nad konstrukcją tajnej broni chemicznej. Ponieważ i więźniowie, i gospodarze doskonale wiedzieli, ilu siedzi w obozie świetnych inżynierów, łatwo więc wytworzyło się zabobonne przekonanie, że potrafią oni wszystko, a więc zdolni są również do wynalezienia takiej broni, jakiej nawet w Moskwie nikt nie wymyślił. A już co do wyrobu jakichś mizernych min — bo przecież w żonie gospodarczej były przeróżne chemikalia — nikt nie miał wątpliwości. Dlatego też deszczutki z napisem: „Miny” brane były całkiem na serio.

Trzymano w pogotowiu jeszcze inny rodzaj broni: skrzynie z tłuczonym szkłem przed wejściem do każdego baraku (aby sypać nim w oczy strzelcom z pepesami). Brygady zachowano, ale otrzymały one nazwę plutonów, baraki zaś — oddziałów. Wyznaczono dowódców tych oddziałów, którzy podlegali wydziałowi wojskowemu. Michał Keller został dowódcą służby wartowniczej. Posterunki, czyli pikiety zajmowały stanowiska według ściśle opracowanego planu; w nocy ich skład był wzmocniony. Biorąc pod uwagę ten rys psychologii męskiej, który sprawia, że w obecności kobiety mężczyzna nie chce okazać się tchórzem i w ogóle zachowuje się odważniej, pikietom nadano charakter mieszany. Okazało się też, że w Kengirze dużo jest kobiet nie tylko wyszczekanych, lecz również śmiałych, zwłaszcza — wśród młodych Ukrainek, których w kobiecym podobozie było najwięcej.

Nie czekając już teraz na pańską łaskę, więźniowie sami pozrywali kraty z okien baraków. Przez pierwsze dwa dni, kiedy jeszcze gospodarze nie wpadli na pomysł, aby wyłączyć w obozie prąd, pracowały warsztaty w żonie gospodarczej i z dawnych krat zrobiono mnóstwo pik, szlifując końce prętów. W ogóle kuźnia i warsztaty mechaniczne przez te pierwsze dni bez chwili przerwy wyrabiały broń: noże, siekiery-halabardy oraz szable, któ-

275

rych noszenie szczególnie sobie upodobali knajacy (przy gardach wieszali kutasy z kolorowych rzemyków). Niektórzy mieli też czekany i kiścienie.

Z pikami na ramieniu warty obejmowały swoje nocne posterunki. Również plutony kobiece, kierując się na noc do męskiej żony, aby w razie alarmu też jej bronić (istniało naiwne przekonanie, że oprawcy zawahają się widząc kobiety i nie zechcą do nich strzelać), szły do wyznaczonych im sekcji z takimi samymi pikami na ramieniu.

Wszystko to byłoby nierealne i nietrwałe, rozsypałoby się zaraz pod gradem szyderstw albo rozsadzone przez rozpustę, gdyby nie było owiane surowym i czystym powietrzem buntu. Piki i szable były bronią jak na nasz wiek dziecinną, śmieszną, ale wcale nie śmieszną rzeczą były dla tych ludzi więzienia: te, w których siedzieli i te, w których mieli jeszcze posiedzieć. Piki były śmieszne, ale dzięki niech będą losowi, że je powstał — było to pierwsze narzędzie obrony własnej wolności. W purytańskiej atmosferze początków rewolucji, kiedy obecność kobiety na barykadzie pomnaża niejako środki obronne — mężczyźni i kobiety zachowywali się odpowiednio i z godnością nosili swoje piki na ramieniu.

Jeśli w trakcie tych dni ktoś tam rejestrował nieuniknione wybuchy zmysłowości, to chyba — gospodarze z błękitnymi wyłogami, tam, za żoną. Liczyli na to, że, pozostawieni samym sobie na cały tydzień więźniowie, zatoną w tak zwanych odmętach lubieży. Tak właśnie wyobrażali sobie i tak to tłumaczyli mieszkańcom miasteczka wojskowego — że więźniowie zbuntowali się wyłącznie dla rozpusty. (No pewno, bo czego jeszcze brakowało więźniom przy ich dostatnim i spokojnym życiu5?!).

Głównie zaś liczyli panowie dowódcy na to, że knajacy zabiorą się do gwałcenia kobiet, polityczni wystąpią w ich obronie i w rezultacie rozpocznie się wzajemna rzeź. Ale również tu psychologowie z MWD pomylili się! — i to też zasługuje na podziw z naszej strony. Wszyscy świadczą zgodnie, że złodzieje zachowywali się jak ludzie, ale nie w tradycyjnym, używanym przez nich, znaczeniu tego słowa, tylko tak, jak my to rozumiemy. Z kolei — także polityczni i same kobiety odnosili się do nich z wyraźną życzliwością, okazywali im zaufanie. Co tam było pod spodem — to już nie nasza sprawa. Być może złodzieje przez cały czas nie tracili z oczu krwawych ofiar, jakie ponieśli pierwszej niedzieli.

Jeśli kengirskie powstanie miało w sobie jakąś siłę, była to siła jedności.

Złodzieje nie czynili również prób rabowania magazynów żywności-

5 Po stłumieniu powstania panowie gospodarze wcale się nie powstydzili i poddali wszystkie kobiety badaniom ginekologicznym. Gdy wykryto wśród nich wiele... dziewcząt, nie mogli wyjść z podziwu; jak to, na co czekałaś! Tyle dni razem?... Przykładali do wypadków własną miarę.

276

wych, co nie mniejsze powinno budzić zdziwienie wśród doświadczonych ludzi. Chociaż w magazynie były zapasy na wiele miesięcy, komisja uradziła, że należy zachować w mocy wszystkie dawne normy przydziału chleba oraz innych artykułów. Wiernopoddaricza obawa, by nie zjeść za dużo przydziałowych ochłapów i nie odpowiadać później za manko! Tak, jakby państwo nic nie było dłużne więźniom za tyle lat głodu! Wręcz przeciwnie (mówi o tym Michejew) — poza żoną brak było jakichś produktów i zaopatrzeniowcy z zarządu prosili, aby wydano im je z magazynów obozu. Były tam owoce, wchodzące w skład lepszych racji (dla wolnych) i więźniowie zgodzili się na ich wydanie.

Księgowość obozowa wypisywała całą żywność według poprzednio ustalonych norm, kuchnia ją pobierała, gotowała, ale w nowej, rewolucyjnej atmosferze kradzieże ustały i nie przychodzili powstańcy od grup knajackich z żądaniami dodatkowych porcji dla ludzi, a prydukiem też nie wlewano dodatkowej chochli. I wtedy okazało się raptem, że przy tych samych normach —jedzenia zrobiło się wyraźnie więcej!

Chociaż knajacy handlowali rzeczami (to znaczy sprzedawali to, co gdzie indziej ukradli), ale zerwali już ze starym obyczajem, aby natychmiast odbierać je temu, co kupił. „Inne czasy nastały” — powiadali.

Nawet kioski, wystawione swego czasu przez terenowy wydział handlu, dalej prowadziły swą działalność w żonach. Sztab zagwarantował bezpieczeństwo wolnej inkasentce. Bez eskorty nadzorców, jedynie w towarzystwie dwóch dziewcząt z obozu, chodziła od kiosku do kiosku i odbierała od sprzedawców dzienny utarg, oczywiście w postaci bonów. Ale bony wkrótce się skończyły, a gospodarze nie pozwalali wwozić do żony nowych towarów.

W rękach gospodarzy pozostał również dopływ prądu, wody i lekarstw. Dopływ świeżego powietrza, jak wiadomo, nie od nich zależał. Co zaś do lekarstw — to w ciągu 40 dni nie dostarczyli ani jednego proszka, ani kropli jodyny. Elektryczność odcięli po dwóch trzech dniach. Wodociągów nie ruszali.

Wydział techniczny rozpoczął batalię o światło. Z początku zarzucali cienki drut z haczykiem na końcu na przewody linii wysokiego napięcia biegnącej za murem obozu i w ten sposób przez kilka dni kradli sobie energię elektryczną, ale wkrótce druty zostały wykryte i odcięte. W ciągu tego czasu wydział techniczny zdołał zbudować wiatrak, ale zrezygnował z tego źródła energii i zabrał się w żonie gospodarczej (w miejscu niewidocznym ani z wieżyczek, ani z latających nisko samolotów patrolowych typu U-2) do montowania elektrowni wodnej, napędzanej... wodą z kranu. Silnik, znaleziony w tejże żonie, przekształcono w generator i dzięki temu

277

zaczęła funkcjonować wewnętrzna sieć telefoniczna, zapaliło się światło w sztabie i można było puścić w ruch... nadajnik radiowy! W barakach zaś płonęły łuczywa... Ta jedyna w swoim rodzaju elektrownia wodna funkcjonowała do ostatniego dnia powstania.

W pierwszych dniach buntu generałowie przychodzili do żony, jakby tu byli gospodarzami. Co prawda Kuzniecow też znalazł się godnie: na pierwszą naradę rozkazał wynieść z kostnicy zabitych i głośno zakomenderował: „Czapki zdjąć!”. Więźniowie zdjęli swoje mycki z głów — i generałowie także musieli zdjąć kaszkiety przed swoimi ofiarami. Ale w końcu inicjatywę przejął generał z GUŁagu Boczków, uznawszy wybranie komisji za fakt pozytywny („nie można przecież gadać ze wszystkimi naraz”) i zażądał, aby deputaci, zabierając głos na naradach, nasamprzód referowali, za co zostali skazani (i Kuzniecow zaczął obszernie — i zapewne z satysfakcją — mówić o swojej sprawie); jak również, aby więźniowie przemawiali na stojąco. Kiedy ktoś oznajmił: „Więźniowie żądają...” Boczków przerwał mu z naciskiem i przejęciem: „Ależ więźniowie mogą tylko prosić, a nie żądać!”. I ta formuła — „Więźniowie proszą” — już się przyjęła na stałe. W odpowiedzi na prośby więźniów Boczków wygłosił wykład o budowie socjalizmu, o niebywałym rozwoju gospodarki narodowej i o sukcesach rewolucji chińskiej. Zaczęło się tokowanie, wkręcanie krzywej śruby w mózg, to wszystko, co tak nam odbiera siły i mowę... Przyszedł do żony właściwie po to, aby wyjaśnić dlaczego użycie broni było uzasadnione (wkrótce ci faceci oświadczą, że w ogóle żadnego strzelania w żonie nie było, że to wymysł bandytów, ba, że żadnego bicia też nie było). Zdziwił się niewymownie, że ktoś w ogóle może proponować mu pogwałcenie „instrukcji o separa-

cji więźniów według płci" (tak mówił o swoich instrukcjach, jakby to były prawa odwieczne albo i przedwieczne).

Wkrótce przylecieli Douglasami jeszcze inni i jeszcze ważniejsi generałowie: Dołgich (podobno sam ówczesny szef GUłagu) i Jegorow (wiceminister MWD ZSSR). Zwołano zebranie w stołówce, przyszły ze dwa tysiące więźniów. Kuzniecow zaś zakomenderował: „Uwaga! Wszyscy wstać! Baczność!” i z całym szacunkiem zaprosił generałów do prezydium, sam zaś służbiście stanął z boku. (Inaczej zachował się Słuczenkow. Gdy komuś z generałów wyrwało się słówko na temat siedzących w obozie wrogów, Słuczenkow krzyknął im z punktu: „A kto z was nie okazał się w końcu wrogiem? Jagoda — wróg, Jeżów — wróg, Abakumow — wróg, Beria — wróg. Skąd mamy wiedzieć, czy Krugłow jest lepszy?”).

Makiejew, jak świadczą jego notatki, sporządził projekt umowy, która przewidywała, że władze obiecują nikogo nie wysyłać na etap, nie represjonować i otworzyć śledztwo w sprawie zajść — więźniowie zaś obowiązują

278

się za to natychmiast przystąpić do pracy. Jednakże — gdy Makiejew ze swoimi stronnikami zaczął odwiedzać baraki prosząc o poparcie projektu, zeki jęli wymyślać im od tysiąch komsomolców, „pełnomocników od skupu” i „czekistowskich fałasów”, szczególnie wrogo potraktowano ich w kobiecej żonie. Najbardziej niechętnie odnosili się teraz ludzie do możliwości ponownego rozdzielania żony męskiej i żeńskiej. Rozsierdzony Makiejew odszczekiwał się swoim oponentom: „A ty pottrzymałeś Kasin cycek i już myślisz, że przyszła kryska na sowiecką władzę? Sowiecka władza swojego nie popuści, wszystko jedno!”.

Dni mijały. Nie spuszczając żony z oka — każąc ją wciąż obserwować z wieżyczek i żołnierzom i nadzorcom (bo nadzorcy, znający zeków osobiście, powinni byli zgodnie z rozkazem identyfikować ich i notować, co kto robi), a także z samolotów (robiono może nawet zdjęcia lotnicze)

— generałowie musieli z przykrością dojść do wniosku, że w żonie nie ma ani wewnętrznych walk i rzezi, ani pogromów, ani gwałtów, że obóz sam przez się ani myśli się rozkładać i że nie ma powodu, aby wprowadzać tam wojsko w celu pacyfikacji.

Obóz trzymał się i rozmowy dwustronne zmieniły charakter. Panowie ze złotymi epoletami dalej przychodzili w rozmaitym składzie do żony, tocząc rozmowy i ćwicząc się w sztuce perswazji. Wpuszczano ich wszystkich, ale musieli za każdym razem brać do ręki białą flagę i poddawać się rewizji między wartownią żony gospodarczej (gdzie było teraz główne wejście do obozu) a barykadą. Jakaś tam ukraińska diwczyna w fufajce obmacywała generalskie kieszenie — czy nie ma w nich pistoletu albo granatów. Za to sztab buntowników gwarantował im osobiście bezpieczeństwo!...

Generałów prowadzali wszędzie tam, gdzie było można (oczywiście nie wpuszczając ich do tajnej części żony gospodarczej), pozwalali im rozmawiać z zekami i zwoływali dla nich wielkie wiece w poszczególnych żonach. Błyskając epoletami gospodarze także tu zasiadali w prezydium — jak dawniej, jakby nigdy nic.

Więźniowie wysuwali swoich oratorów. Ale jak trudno było im mówić!

— nie tylko dlatego, że każdy prokurował sobie tym przemówieniem nowy wyrok, lecz także dlatego, że nazbyt szeroko już były otwarte nożyce po glądów na życie i na prawdę tych szarych z jednej — i tych błękitnych

z drugiej strony. Bo też już prawie niczym nie sposób było wstrząsnąć i oświecić tych dorodnych, nażartych ciał i tych lśniących od tłuszczu, rozdętych jak tykwy głów. Jak się zdaje, doprowadził ich do wielkiego gniewu stary leningradzki robotnik, komunista, uczestnik rewolucji. Pytał ich — co to będzie za komunizm, jeśli oficerowie nabiją sobie kałduny na rachunek obozowego gospodarstwa, jeżeli z ołowiu, kradzionego w zakła-

279

dzie wzbogacania rudy, każą odlewać sobie loftki dla kłusowniczych polowań, jeżeli warzywniki przekopują im więźniowie, jeżeli w łaźni rozściela się dywany i grać musi orkiestra — kiedy kąpie się tam komendant obozu.

Aby położyć kres takiemu bezsensownemu krzykactwu, narady te przybrały również formę bezpośrednich rokowań wedle najlepszych dyplomatycznych wzorów; któregoś czerwcowego dnia postawiono w kobiecej żonie długi stół kuchenny. Z jednej jego strony rozsiedli się na ławie panowie ze złotymi pagonami; za ich plecami stanęli strzelcy z pepeszami, dopuszczeni z tej okazji do narady. Z drugiej strony stołu zasiedli członkowie komisji — również w towarzystwie ochrony: nader poważnie stała ona za ławą ze swoimi szablami, pikami i procami. Dopiero z tyłu tłoczyli się więźniowie — chcąc posłuchać tej gadaniny i coś tam krzyknąć od czasu do czasu. (I stół nie był pusty! — z cieplarni znajdującej się w żonie gospodarczej, przyniesiono świeże ogórki, a z kuchni — kwas. Żółte pagony gryzły ogórki wcale się nie krępując...).

Żądania-prośby powstańców uchwalone były już w trakcie pierwszych dwóch dni, a teraz wielokrotnie je powtarzano:

ukarać mordercę ewangelisty;

ukarać wszystkich sprawców morderstw dokonanych nocą z niedzieli na poniedziałek w żonie gospodarczej;

ukarać tych, co bili kobiety;

niech wrócą do obozu ci towarzysze, którzy za udział w strajku bezprawnie zostali posłani do więzień;

skasować noszenie numerów, nie zakładać krat w barakach, nie za mykać baraków;

nie odbudowywać wewnętrznych murów między podobpami;

ośmiogodzinny dzień roboczy jak u wolnych;

podwyżka płac (tu już nie było mowy o zrównaniu zeków z wolnymi);

wolność korespondencji z rodziną i od czasu do czasu — widzenia;

rewizja procesów i wyroków.

I chociaż ani jedno żądanie nie groziło podkopaniem zrębów i nie było w sprzeczności z konstytucją (a niejedno z nich było tylko prośbą o przywrócenie dawnych przepisów) — jednakże gospodarze nie mogli zaakceptować najskromniejszej choćby z tych prośb, ponieważ te podgolone, tłuste karki, te łysiny i kaszkiety dawno już oduczyły się sztuki uznawania własnych omyłek czy win i nie potrafili rozpoznać prawdy albo odwracali się od niej ze wstrętem, jeśli głośiły ją nie tajne instrukcje wyższych instancji, lecz prosty, czarny lud.

Skądinąd jednak owo przedłużające się oblężenie ośmiu tysięcy więźniów

280

plamiło reputację generałów, mogło wpłynąć ujemnie na ich sytuację służbową — i dlatego udzielili obietnic. Owiadczyli, że żądania te są prawie wszystkie do przyjęcia, tylko że (aby wyglądało prawdopodobniej) trudno będzie skończyć z izolacją żony kobiecej, że tego nie ma w przepisach (tak, jakby w obozach ITŁ przez dwadzieścia lat tego nie było, ale że można będzie wykombinować, jakby tu urządzić dni spotkań. A co do rozpoczęcia w żonie prac komisji śledczej (w sprawie strzelaniny) — generałowie raptem udzielili zgody. (Ale Słiczenkow wywęchał piśmo nosem i zażądał gwarancji, aby nie doszło czasem do takiej sytuacji, w której pod pozorem składania zeznań szpicle będą mogli kapać na wszystko, co dzieje się w żonie). Rewizja wyroków? Cóż — będą zrewidowane, rzecz jasna, tylko trzeba trochę poczekać. Ale jest rzecz, która nie cierpi zwłoki: trzeba wychodzić do pracy! do pracy! do pracy!

A to już więźniowie znali: rozdzielią ich na kolumny, każą paść na ziemię pod groźbą użycia broni, wyaresztują inicjatorów.

Nie — krzyczeli przez szerokość stołu i z trybuny. Nie! — ryczał tłum. Dowództwo Stepłagu zachowało się prowokacyjnie! Nie wierzymy dowódcom Stepłagu! Nie wierzymy MWD!

— Nawet do MWD nie macie zaufania? — dziwił się zastępca ministra, wycierając czoło; to ci dopiero bunt! — Ależ kto wpoił wam tyle nienawiści do MWD?

Zagadka.

Niech przyjdzie ktoś z prezydium KC! Ktoś z prezydium KC! Wtedy uwierzemy! — krzyczał tłum zeków.

Uważajcie! — grozili generałowie. — Bo będzie gorzej!

Ale wtedy Kuzniecowa podnosił się z ławy. Mówił dorzecznie, ze swadą i zachowywał się bardzo godnie.

— Jeśli wejdziecie do żony z bronią, — ostrzegał — nie zapominajcie, że połowa tych ludzi — to zdobywcy Berlina. Potrafią obrócić przeciw wam waszą własną broń!

Kapitan Kuzniecowa! Dopiero jakiś przyszły historyk kengirskiego powstania wyjaśni nam sprawę tego człowieka. Jak widział on i jak przeżył swoje aresztowanie? Jaki miał pogląd na charakter swojej sprawy sądowej? Kiedy złożył podanie o rewizję procesu, jeżeli właśnie w trakcie powstania nadeszła z Moskwy decyzja o jego ułaskawieniu (bodajże z rehabilitacją)? Czy jego duma, że taki porządek zdołał zaprowadzić w zbuntowanym obozie, była jedynie dumą zawodowego oficera? Czy stanął na czele ruchu dlatego, że ruch ten go porwał? (Odrzucam to przypuszczenie). Czy raczej — znając swoje talenty dowódcze — po to, aby utrzymać go w ryzach, uregulować jego bieg i okiełznany już nurt skierować dowództwu pod bu-

281

ty? (Tak myślę). Podczas spotkań, rokowań i przez cichych pośredników Kuzniecowa miał możliwość przekazać poskromicielom wszystko, co chciał i dowiedzieć się o ich wymaganiach. Na przykład zdarzyło się w czerwcu, że wysłano poza żonę spryciarza Markosjana z poruczeniami Komisji. Czy Kuzniecowa korzystał z takich okazji? Założmy, że nie. Duma kazała mu zapewne działać samodzielnie.

Dwóch przybocznych gwardzistów — dwóch ukraińskich chłopców olbrzymiego wzrostu ani na chwilę nie odstępowało Kuzniecowa. Mieli zawsze noże za pasem.

Aby go bronić? Czy aby zemścić się, gdyby skrewił?

(Makiejew twierdzi, że podczas powstania Kuzniecowa miał nawet tymczasową żonę — również Ukrainkę od Bandery).

Gleb Słuczenkow miał trzydzieści lat. Znaczy to, że w niemieckiej niewoli znalazł się, gdy miał lat dziewiętnaście. Teraz, podobnie jak Kuzniecowa, nosił swój dawny, wojskowy mundur, wzięty z magazynu, akcentując i podkreślając na każdym kroku wojskową postawę. Utykał trochę na nogę, ale znaczna ruchliwość wynagradzała ten brak.

W czasie rokowań zajmował stanowisko bardzo określone i bardzo skrajne. Dowództwo wpadło na pomysł, aby wywabić z żony „byłych małoletnich” — aresztowanych przed osiągnięciem 18 roku życia (dziś niektórzy mieli 20, 21 lat), ponoć po to, aby wypuścić ich na wolność. Nie było to chyba oszustwo, właśnie w tym czasie najmłodszych wszędzie wypuszczano albo skracano im terminy kary. Słuczenkow odpowiedział: „A pytaliście tych ludzi — czy chcą przejść z jednej żony do drugiej i porzucić towarzyszy w ciężkiej chwili?”. (A na posiedzeniu Komisji powtarzał: „Małolatki

to nasza gwardia, nie możemy ich oddać!”). Ale także o to chodziło generałom, gdy chcieli wypuścić tych młodych ludzi właśnie w czasie powstania w Kengirze. Nie wiemy zresztą, czy nie powpychaliby ich do karcerów zaraz po zabraniu z żony?). Lojalny wobec prawa Makiejew zaczął jednakże zbierać wszystkich małoletnich, by mogli pojechać na „rozprawę ułaskawienia” i oto jego świadectwo: z czterechset dziewięciu, mogących liczyć na zwolnienie, udało mu się zebrać zaledwie trzynastu kandydatów do opuszczenia obozu. Biorąc pod uwagę sympatie Makiejewa dla władzy i jego niechęć do powstania, nie możemy oprzeć się podziwowi na wieść, że czterystu młodych chłopców, stojących u progu życia, w większości nawet niepolitycznych — wyrzekło się nie tylko wolności, lecz nawet szansy ratunku! i zostało, aby brać udział w skazanym na zagładę powstaniu...

Słyszając groźby, że wojsko zdławi powstanie, Słuczenkow tak odpowiadał generałom: „A przysyłajcie!, przysyłajcie do żony jak najwięcej facetów

282

z pepeszami!, zasypimy im oczy tłuczonym szkłem!, odbierzemy im pepesze!, rozpieprzymy wasz kengirski garnizon!, będziemy gnać waszych krzywonogich oficerów aż do Karagandy i na ich karkach wjedziemy do miasta!, a tam — pełno takich jak my!”.

Można jednak dać wiarę również innym opowieściom o Słuczenkowie. „Kto będzie uciekał — tego prosto w serce!” — i błyskał w powietrzu fińskim nożem. W którymś baraku oznajmił: „Kto nie stanie do obrony — ten posmakuje noża!”. Nieunikniona konsekwencja wszelkiej władzy wojskowej i stanu wojennego...

Nowo narodzony rząd obozowy, jak zresztą każdy rząd, nie mógł istnieć bez służby bezpieczeństwa i Słuczenkow stanął na jej czele. (Zajął gabinet opera w kobiecej żonie). Ponieważ o zwycięstwie nad oblegającymi nie mogło być mowy — Słuczenkow dobrze wiedział, że objęcie tej funkcji oznaczało dla niego nieuchronną kaźń. W trakcie buntu zwierzył się komuś w obozie, że dostał od gospodarzy tajną propozycję — aby sprowokować w obozie walkę między poszczególnymi narodo-

wościami (złote pagony bardzo na to liczyły) i tym samym łatwy pretekst dla interwencji wojskowej. Gospodarze mieli za to obiecać mu życie. Słuczenkow odrzucił tę propozycję (a komu i co proponowali ponadto? Zwierzeń na ten temat nie było). Co więcej, kiedy obóz obiegła pogłoska, że przygotowuje się pogrom Żydów, Słuczenkow uprzedził, że plotkarzy podda publicznej chłości. Pogłoska zamarła. Starcie Słuczenkowa z prawowiernymi było rzeczą nieuchronną. W końcu do tego starcia doszło. Trzeba podkreślić, że w ciągu całego tego okresu we wszystkich obozach katorżniczych nasi ortodoksi — nawet się nie zmagając — potępiali jednomyślnie akcję likwidowania szpiclów i w ogóle wszelką walkę więźniów o własne prawa. Nie trzeba sądzić, że działo się to z niskich pobudek (choć wielu ortodoksów współpracowało z kumami), wystarczająco tłumaczą to ich poglądy teoretyczne. Aprobowali wszelkie formy ucisku i likwidacji, również gdy chodziło o likwidację masową — ale tylko, gdy inicjatywa przychodziła z góry, w trybie sprawowania dyktatury proletariatu. Takie same akcje — a jeszcze spontaniczne, bezplanowe, nadto inicjowane z dołu — były dla nich bandytyzmem, na dobitkę „bänderów-skim” (wśród prawomyślnych nie było nigdy ani jednego, który by uznawał prawo Ukrainy do oderwania się od Związku, bo to byłby przecież burżuazyjny nacjonalizm). Gdy katorżnicy odmówili niewolniczej pracy, gdy zbuntowali się przeciw kratom i strzelaniu do nich jak do kaczek

— bardzo to zgnębiło i przstraszyło potulnych obozowych komunistów.

Również w Kengirze cała grupa prawomyślnych (Genkin, Apfelzweig,

Tałałajewski, być może również — Akojew, innych nazwisk nie znamy;

283

następnie — pewien symulant, który całymi latami leżał w szpitalu utrzymując, że dokucza mu „wędrująca noga” — taki inteligentny sposób walki prawomyślni aprobowali; w samej komisji — i to zupełnie jawnie Makiejew) — od samego początku powtarzała, że „nie trzeba było zaczynać”; a gdy przejścia w murze zostały zamurowane — że „nie trzeba było robić podkopów”; że to wszystko jest dziełem „bänderowskich szumowin” i że teraz trzeba jak najszybciej iść na ustępstwa. (Tych szesnastu zabitych — to byli ludzie nie z ich podobozu, a żałować jakiegoś ewangelisty — to w ogóle śmieszna rzecz). W notatkach Makiejewa znalazło odbicie całe ich sek-ciarskie, zręczliwe rozdrażnienie. Wszystko wokół idzie na opak, wszyscy dranie i ze wszystkich stron pełno niebezpieczeństw: od zwierzchności można dostać nowy wyrok, od bänderowców — nóż w plecy. „Chcą wszystkich sterroryzować majchrami i zmusić, żeby z nimi poginęli”. Kengirskie powstanie Makiejew ze złością nazywa „krwawą zabawą”, „fałszywą kartą”, „amatorskim teatrem bänderowców”, a najczęściej „psim weseliskiem”. Utrzymuje, że przywódcom buntu chodziło o rozpustę, o wykręcenie się od pracy i odroczenie dnia zapłaty za grzechy. (Ową wyczekiwaną „zapłatę” uważa za zupełnie usprawiedliwioną).

W tych poglądach znajduje bardzo ściśle odbicie ogólny stosunek prawomyślnych do całego ruchu wyzwolenczego w obozach w latach pięćdziesiątych. Ale Makiejew był bardzo ostrożny, wchodził nawet w skład kierowniczej grupy powstania — natomiast Tałałajewski te zarzuty powtarzał na prawo i lewo — i służba bezpieczeństwa Słuczenkowa wpakowała go do celi kengirskiego więzienia za antypowstańczą agitację.

Tak jest, tak właśnie było. Zbuntowani aresztanci po wyłamaniu bram więzienia zakładali teraz własną turmę. Odwieczna ironia losu. Co prawda, wpakowano z róż-

nych powodów (kontakty z gospodarzami) wszystkiego czterech ludzi i żaden z nich nie został rozstrzelany (na odwrót — w oczach Kierownictwa otrzymał najlepsze alibi).

W ogóle zaś więzienie, zwłaszcza t5 stare, ponure, zbudowane w latach trzydziestych, pokazywano chętnie i szeroko: jego cele-pojedynki bez okien z małym otworem wentylacyjnym w suficie; prycze bez nóżek, to znaczy zwyczajne drewniane płyty rzucone na cementową podłogę, gdzie jeszcze zimniej jest i wilgotniej, niż w całej nie opalanej celi; obok pryczy, także na podłodze, prymitywna gliniana miska jak dla psa.

Wydział agitacji organizował wycieczki do więzienia dla kolegów, którzy nie mieli w nim jeszcze okazji siedzieć i może już nie będą jej mieli. Prowadzono tam także wizytujących obóz generałów (ten widok, jak się zdaje, nie bardzo ich dziwił). Poprosili, aby przysłano również wycieczkę wolnych mieszkańców osady — bo przecież bez więźniów i tak robota na obiektach

284

stoi. Istotnie, generałowie przystali taką grupę wycieczkową — oczywiście nie ze zwykłych robotników złożoną, lecz z dobranego personelu; warunki więzienne nie zgorszyły bynajmniej wycieczkowiczów.

Na zasadzie wzajemności gospodarze zaproponowali zawieszenie wycieczki więźniów do Rudnika (pierwsza i druga filia Steptagu), gdzie — jak mówiono w obozie — również wybuchnął bunt (nawiasem mówiąc, tego słowa bunt albo jeszcze gorszego — powstanie unikali zarówno niewolnicy, jak plantatorzy, każdy z innych powodów, zastępując je wstydliwym eufemizmem sabantuj, czyli awantura, rozróżba). Delegaci pojechali i przekonali się, że wszystko tam idzie po staremu, że chodzą do pracy.

Wiele nadziei wiązano z szerzeniem się podobnych strajków! Teraz wycieczka delegatów przywiozła z podróży ziarno przygnębienia.

(A zawieźli ich w odpowiedniej chwili! W Rudniku, naturalnie, panowało podniecenie, nasłuchali się od wolnych rozmaitych rzeczy o kengirskim buncie i akurat w ciągu czerwca wielu więźniów naraz otrzymało tam odmowy na złożone dawno prośby o rewizję wyroku. A ponadto jakiś nie całkiem normalny chłopak został postrzelony na terenie pasa ochronnego. I też zaczął się tam strajk, wyłamano wrota między podobozami i kupa więźniów wyszła na plac apelowy. Na wieżyczkach zjawily się karabiny maszynowe. Ktoś wywiesił plakat z hasłami antysowieckimi i wielkim napisem: „Wolność albo śmierć”. Ale szybko go zdjęto, zastąpiono plakatem z legalnymi żądaniami, dodając zobowiązanie, że straty powstałe na skutek przestoju zostaną w całości odpracowane, gdy tylko dowództwo uczyni zadość żądaniom więźniów. Gdy przyjechały ciężarówki po mąkę ze składu — więźniowie jej nie wydali. Strajk trwał koło tygodnia, ale nie mamy o nim żadnych danych, słyszało się o nim tylko z trzecich ust i wieści są zapewne przesadzone).

Były w ogóle całe tygodnie, w czasie których ta wojna sprowadzała się tylko do agitacji. Rządowe radio nie milkło ani na chwilę: kilka megafonów ustawionych dookoła obozu nadawało na przemian apele do więźniów, audycje informujące i dezinformujące oraz jedną czy dwie piosenki z płyt, zgranych, uprzykrzonych i szarpących już nerwy.

Tam po polu dziewczę kroczy, Kocham sploty jej warkoczy.

(A przecież — aby zasłużyć sobie na ten niewielki honor — mowa o muzyce z płyt — trzeba było aż powstania! Póki staliśmy na kolanach, to nawet tego śmiecia nam nie grano). Te płyty miały także inną funkcję, zgodną z duchem czasu — służyły do zagłuszania audycji nadawanych z obozu i przeznaczonych dla uszu żołnierzy z konwoju.

285

Rządowe radio obrzucało błotem cały ruch, utrzymując, że bunt zaczęto tylko po to, aby gwałcić kobiety i narabować się do syta (w samym obozie więźniowie śmieli się z tego, ale przecież megafony postawiono także po to, aby słuchali ich wolni mieszkańcy osady. Zresztą żadnego innego wyjaśnienia plantatorzy nie potrafiliby nawet wymyśleć — ich koncept nie wznosił się aż do takich wyżyn, by pojąć i przyznać, że ta czerń może szukać sprawiedliwości!). To znów starali się rozpowszechnić jakąś podłą plotkę o członkach Komisji (nawet o pewnym opachanie: że niby w czasie morskiego etapu z Kołymy otworzył on kingstony na dnie krypy, przez co utonęło trzystu więźniów razem z całą łajbą. Starali się przy tym wmówić, że utopił właśnie biednych więźniów i to omal że nie samą Pięćdziesiątkę ósemkę, nie zaś konwojentów; niejasne było tylko, jak sam się przy tym uratował). To znów szarpali nerwy Kuzniecowski, że dostał już ułaskawienie, ale teraz mu je cofnięto. I znowu apele: pracować! pracować!, dlaczego Ojczyzna ma was właściwie karmić i poić? Nie chodząc do roboty narażacie państwo na ogromne straty! (Ten zarzut powinien być przeszyć bólem serca ludzi skazanych na wieczną katorgę!). Całe pociągi z węglem czekają, kto je rozładuje?! (A niech czekają! — śmiali się więźniowie — prędzej warn rura zmięknie! Ale nawet zekom nie przychodziło do głowy, że złote pagony mogłyby same zabrać się do rozładowywania, skoro panów generałów tak bardzo serce o to boli).

Jednakże wydział techniczny nie został im dłużny. W żonie gospodarczej znalazły się dwie przenośne aparaty kinowe w komplecie. Wzmacniaczy użyto więc dla konstrukcji megafonów, oczywiście o wiele słabszych niż rządowe. Prąd do wzmacniaczy pobierano z tajnej hydroelektrowni! (Bardzo to dziwiło i niepokoiło gospodarzy, że buntownicy mają swój własny prąd i radio. Obawiali się, by powstańcy nie wprowadzili do akcji radiostacji i nie zaczęli nadawać za granicę wiadomości o powstaniu. Ktoś rozpuszczał już takie pogłoski w obozie).

Obóz miał swoich własnych speakerów (znana była zwłaszcza Sława Jarimowska). Nadawano ostatnie wiadomości, radiogazetę (istniała prócz tego codzienna gazetka ścienna z karykaturami). „Krokodyle łyż” był to tytuł audycji satyrycznej o strażnikach, którzy dziś załamują ręce nad losem kobiet, jakie sami przedtem pobili. Były specjalne audycje dla konwojentów. Prócz tego nocami więźniowie podchodzili pod same wieżyczki i przez tuby kładli w uszy wartownikom, co należało.

Ale moc radiostacji nie była wystarczająca, aby komunikaty powstańców dotarły do jedynych w Kengirze możliwych sympatyków ruchu — wolnych mieszkańców osady — najczęściej będących zesańcami. A właśnie ich, już nie przez radio, tylko gdzieś tam, bezpośrednio, w sposób dla

286

zeków nieosiągalny, władze miejscowe faszerowały bajkami, że w obozie rej wodzą krwiożerczy bandyci i rozpustne prostytutki (ten wariant znajdował szczególny

postłuch u kobiet⁶); że w obozie pastwią się nad niewinnymi i żywcem palą ich w piecach (nie sposób zrozumieć dlaczego Kierownictwo nie interweniuje!).

I jak tu krzyknąć im przez mury, tak żeby było słychać o kilometr, dwa, trzy!: „Bracia, chcemy tylko sprawiedliwości! Nas mordowano za byle co, traktowano nas gorzej niż psy! Oto nasze żądania...” —

Pomysłowość wydziału technicznego, nie mając możliwości wykorzystania osiągnięć współczesnej nauki, odwołała się do osiągnięć naukowych minionych wieków. Z bibułki do papierosów (w żonie gospodarczej było mnóstwo najrozmaitszych rzeczy, pisaliśmy już o tym⁷ i przez wiele lat tutejsze przedsiębiorstwa zastępowały dżekazgańskim oficerom zarówno stołeczne szwalnie, jak wszelkie rodzaje warsztatów rzemieślniczych), sklejoną ogromny balon, idąc śladem braci Montgolfier. Przyczepiono do niego paczkę ulotek i zawieszono pod nim otwarte naczynie z żarzącym się węglem. Struga gorącego powietrza napełniała balon przez otwór w jego dolnej części. Ku ogromnej ucieście zgromadzonych tłumnie więźniów (więźniowie jeśli już się z czegoś cieszą, to cieszą się jak dzieci) ten niezwykły przyrząd latający wzbił się w górę i poleciał. Ale niestety! — szybkość wiatru była tak duża, że nim balon nabrał wysokości — patelnia z żarem zawadziła o druty, pozbawiony dopływu ciepłego powietrza balon spadł na ziemię i spłonął razem z ulotkami. Po tym niepowodzeniu zaczęto napełniać balony dymem. Balony te, jeśli wiatr był pomyślny, latały nawet całkiem zgrabnie i cała osada mogła podziwiać wielkie napisy na nich:

Ratujcie kobiety i starców przed masakrą!

Żądamy przyjazdu członka Prezydium KC!

Strażnicy zaczęli zestrzeliwać te balony.

I wtedy zgłosili się do wydziału technicznego więźniowie-Czeczeńcy i zaproponowali, żeby robić latawce (znają się na ich wyrobie). Zaczęto je więc robić i puszczać daleko aż nad osadę. Do latawca przyczepiony był nieduży detonator. Gdy latawiec znajdował się w odpowiedniej pozycji, detonator wybuchnął i paczka ulotek rozsypywała się w powietrzu. Ci od latawców

6 Kiedy już wszystko się skończyło i gdy kolumnę więźniarek poprowadzono przez

osadę do roboty, zamężne ruskie baby stanęły wzdłuż drogi i tak krzyczały do przecho-

dzących: „Kurwy! Zdziry! Zachciało warn się...!?” i nawet jeszcze dobitniej. Drugiego dnia

powtórzyło się to, ale zeczki wyszły z żony z kamieniami w zanadrzu i obrzuciły nimi krzyczące baby. Konwój śmiał się.

7 Część III, rozdz. 22.

287

siedzieli na dachu baraku i obserwowali, co też dalej się stanie. Jeśli ulotki spadały niedaleko od obozu, to w pogoń za nimi puszczali się piesi nadzorcy. Jeśli daleko — to pędzili w tę stronę motocykliści i jeźdźcy na koniach. W każdym wypadku starano się jednak, aby wolni obywatele nie mieli możliwości dowiedzenia się prawdy (każda ulotka kończyła się prośbą, aby ten, kto ją znajdzie, przesłał ją do KC). Do latawców także strzelali, ale nie były one tak wrażliwe na strzały, jak balony. Przeciwnik wkrótce doszedł do wniosku, że zamiast puszczać w pogoń całą sforę

nadzorców, taniej będzie kleić samemu kontrlatawce, starać się z ich pomocą plątać sznurki i ściągać na ziemię wrogie komunikaty.

Wojna latawców w drugiej połowie XX wieku! — i wszystko z powodu paru słów prawdy...

(Może warto dla wygody czytelników zestawić i przypomnieć, co działo się w świecie w czasie kengirskiego buntu? Obradowała genewska konferencja do sprawy Indochin. Pierre Cot otrzymał stalinowską nagrodę pokoju. Inny postępowy Francuz — - pisarz Sartre — przybył do Moskwy, aby włączyć się w nurt naszego postępowego życia. Szumnie i okazale świętowano 300-lecie zjednoczenia Ukrainy i Rosji. 31 maja miała miejsce świetna defilada na Placu Czerwonym. Republika Ukraińska i Rosyjska Republika Federacyjna odznaczone zostały orderami Lenina. 6 czerwca odświeżono w Moskwie pomnik Jurija Dołgorukowa. 8 czerwca rozpoczął się zjazd Związków Zawodowych, ale o Kengirze nic na nim nie mówiono. 10 czerwca rozpisano nową pożyczkę. 20 — było Święto Lotnictwa i odbyła się piękna defilada w Tuszynie. Te miesiące były też okresem mocnego natarcia na, jak to u nas mówią, literackim froncie: Surkow, Koczetow i Jermitow opublikowali artykuły, w których surowo przywoływali pisarzy do porządku. Koczetow zadał nawet pytanie: „A cóż to za takie czasy nastały?”. I nikt mu nie odpowiedział: „Czasy powstań w obozach!”. Wiele niestusznych sztuk i książek poddano w tym okresie ostrej krytyce. A w Gwatemali imperialistyczne Stany Zjednoczone dostały dobrze po łapach).

W osadzie mieszkali Czeczeńscy zesańcy, ale tamte latawce chyba nie były ich dziełem. Nikt nie może zarzucić Czeczericom, by kiedykolwiek służyli ciemieżycielom. Sens buntu kengirskiego zrozumieli oni doskonale i pewnego dnia przywieźli pod mur żony całą ciężarówkę chleba ze świeżego wypieku. Rzecz jasna, wojsko ich odpędziło.

(Spójrzcie tylko na tych Czeczericów! Sąsiadom trudno z nimi wytrzymać, przynajmniej w Kazachstanie, bywają brutalni i zuchwali, Rosjan nie

8 Kengirscy Ukraińcy uznali tę datę za dzień żałoby.

288

znoszą i wcale tego nie ukrywają. Ale gdy tylko ludzie z Kengiru wykazali się męstwem i niezależnością — od razu pozyskali sympatię Czeczeńców! Gdy nam się wydaje, że ludzie za mało nas szanują, sprawdźmy przede wszystkim, czy sami zachowujemy się, jak należy).

Tymczasem wydział techniczny pracował nad sławetną tajną bronią. Był to taki pomysł: aluminiowe, puste wewnątrz krawężniki do poidel dla krów, znalezione wśród starych remanentów, napełniano fosforem zapalczanym z domieszką węgla wapnia (wszystkie skrzynki z zapalnikami zgromadzone zostały za drzwiami z napisem „100.000 volt”). Wystarczyło podpalić fosfor i rzucić taki krawężnik, a z sykiem wybuchnął, rozrywając się na kawałki. Ale nie ci nieszczęśni wynalazcy i nie sztab polowy, urzędujący w łaźni, miał wybrać godzinę, miejsce i formę natarcia. Po upływie jakichś dwóch tygodni od początku buntu, którejs — ciemnej, choć oko wykol — nocy rozległy się głucho uderzenia w zewnętrzny mur obozu i to we wielu miejscach naraz. Jednakże tym razem to nie zbiegowie ani buntownicy rąbali mur — burzyły go same oddziały konwoju! W obozie zaczęła się bieganina z pikami i szablami w ręku, nikt nie mógł zrozumieć, co się dzieje, wszyscy spodziewali się ataku. Ale wojsko nie uderzyło na obóz.

Rano okazało się, że w różnych punktach muru, niezależnie od istniejących już i zabarykadowanych wrót, przeciwnik wybił koło dziewięciu przejść. (Z tamtej strony wyłomów stały gniazda karabinów maszynowych, aby więźniowie nie mogli się wyrwać⁹). Było to przygotowanie terenu do zbliżającego się ataku i w obozowym mrowisku zawrzało; rozpoczęto prace obronne. Sztab powstania podjął decyzję: rozebrać mury wewnętrzne, rozbierać różne przybudówki z samanu i budować własną, drugą ścianę okrężną, wzmocnić ją specjalnie nasypami z samanu tam, gdzie w zewnętrznym murze były wyłomy — aby dawała ochronę przed ogniem cekaemów.

Co za przemiana! — konwojenci rozbijają mury, a więźniowie odbudowują je; złodzieje biorą w tej pracy udział z czystym sumieniem, bo to nie przeczy ich prawu. Teraz trzeba było postawić dodatkowe posterunki naprzeciw wyłomów; każdemu plutonowi wyznaczono też wyłom, do którego powinien być biec w nocy, gdy tylko rozlegnie się sygnał alarmowy. Ustalono, że sygnałem alarmu będzie bicie w bufor od wagonu kolejowego i knajackie przeciągłe gwizdy.

Więźniowie wcale nie na żarty szykowali się do walki na piki — przeciw

⁹ Podobno zastosowano tu doświadczenie, zdobyte przy tłumieniu powstania w Noryl-sku: tam też przebito wyłomy w murze, aby mogli przez nie uciec ci, co stchórzyli. Wyłomy służyły też naszczutym fetniakom, którzy wtargnęli do obozu, a następnie wprowadzono przez nie wojsko pod pretekstem przywrócenia porządku.

289

karabinom maszynowym. Kto nie był na to gotów — musiał przyzwyczać się do tej myśli.

Kto powiedział A, ten musi powiedzieć B.

Zdarzyło się również natarcie we dnie. Przez jeden z wyłomów — akurat naprzeciw balkonu zarządu Steptagu, na którym to balkonie tłumnie stanęły szarże ze złotymi pagonami — szerokimi, jakie nosiło się w służbie liniowej i prokuratorskimi, wąskimi, z aparatami filmowymi i fotograficznymi w ręku — otóż przez ten wyłom weszli strzelcy z pepeszami. Wcale nie wbiegli, weszli spokojnie i tylko na taką głębokość, aby oblężeni podnieśli alarm. W stronę wyłomu zbiegły się wyznaczone plutony, potrząsając pikami i trzymając w rękach kamienie i cegły. Zajęły stanowiska na barykadzie — i wtedy na balkonie zaterkotały kamery i rozległ się trzask migawek — ale wszystko tak, aby nie objąć obiektywami stojących na dole żołnierzy. Oficerowie, prokuratorzy i komisarze polityczni, wszyscy którzy tam byli, wszyscy należący do partii — to naturalne — ryczeli ze śmiechu na widok tych dzikusów z pikami, ogarniętych świętym zapachem. Syci, wyrzuci ze wstydu, ze swoich niebotycznych wyżyn, z tego balkonu — natrzęsali się i szydzili ze swoich głodnych, oszukanych współobywateli i w ogóle było im bardzo wesoło¹⁰.

Do wyłomów podkradali się także nadzorcy i — zupełnie jakby mieli do czynienia z dzikimi zwierzętami albo Yeti — próbowali zarzucać lassa z hakami na końcu, by w ten sposób złowić języka.

Ale raczej już liczyli teraz na odstępców, na takich, co sami przyjdą, bo zwątpili. Ich radio ryczało: „Opamiętajcie się! Wychodźcie z żony przez wyłomy! W tych punktach nie otwieramy ognia! Kto teraz przyjdzie, tego nie będziemy sądzić za bunt!”. Przez radio obozowe Komisja odpowiedziała tak: kto chce się ratować — niech zwiewa choćby przez główną wartownię — nikogo nie zatrzymujemy siłą!

Tak właśnie postąpił... członek tejże Komisji, były major Makiejew. Poszedł do wartowni jakby mając tam coś do załatwienia. (Jakby — nie dlatego, że inaczej by go ktoś zatrzymał albo że obawiał się kuli w plecy — tylko dlatego, że prawie niemożliwością było okazać się zdrajcą w przytomności towarzyszy, co nie cierpieli tchórzów". Przez trzy tygodnie musiał

10 Te fotografie są przecież na pewno wklejone teraz do sprawozdań z akcji represyjnej. I być może ktoś nie będzie miał tyle rozumu, aby zniszczyć je, nim potomni zobaczą...

„ Nawet po upływie dziesięciu lat tak mu wstyd, że w swoich wspomnieniach, które zaczął pisać zapewne po to, by się usprawiedliwić, Makiejew pisze, że tylko przypadkiem wyrzucił przez wartownię za mur, ale tam — żołnierze od razu rzucili się na niego i skrępowali mu ręce...

290

udawać — i dopiero teraz mógł dać ujście swojej woli klęski i swojej złości — a zły był na zbuntowanych za to, że chcą oni tej wolności, której on, major Makiejew, wcale nie chce. Teraz, starając się okupić swoje grzechy wobec gospodarzy, namawiał przez radio powstańców do kapitulacji i szkalował tych, którzy twierdzili, że trzeba dalej stawiać opór. Oto cytaty z jego własnego, pisemnego streszczenia tej audycji: „Ktoś doszedł do wniosku, że wolność można sobie wywalczyć szabelkami i pikami... chcą oddać na pastwę kul tych, którzy tego żelastwa nie biorą do rąk... A nam obiecują wszak rewizję wyroków. Generałowie cierpliwie rokują z nami, zaś Słuczenkow widzi w tym dowód ich słabości. Komisja jest tylko parawanem dla bandyckiego rozpasania... Prowadźcie rokowania w sposób godny więźniów politycznych, a nie (!!) szykujcie się do bezsensownej obrony".

Wyłomy stały otworem długo, przez większą część okresu powstania. I przez wszystkie te długie tygodnie uciekło poza żonę zaledwie koło tuzina zeków. Dlaczego? Czyżby wierzyli w zwycięstwo? Nie. A może nie gnębiła ich myśl o grożących im karach? Owszem, gnębiła. Czy ci ludzie nie chcieli dla siebie ratunku choćby ze względu na rodziny? Bardzo chcieli. Być może tysiące myślały w udręce o tej możliwości. A „byłych małoletnich” rzeczywiście miano zamierzać wypuścić i to na podstawie obowiązującego rozporządzenia. Ale na tym skrawku ziemi temperatura społeczna podniosła się do takich granic, że jeśli nawet dusze ludzkie się nie przemieniły, to przynajmniej — oczyściły się w tym ogniu i owe przyziemne prawa, wedle których „żyje się tylko raz” i „być określa świadomość”, i „tchórzostwo to rzecz brzydka — ale pożyteczna” nie miały zastosowania w ciągu tego krótkiego czasu i na tej ograniczonej przestrzeni. Prawo przetrwania i rozsądku kazało ludziom poddać się razem albo uciekać na wsze strony, a tymczasem ci ludzie nie poddawali się i nie uciekali! Wzniesli się na tę wyżynę moralną, z której można już powiedzieć katom:

— A róbcie, co chcecie, niech was ziemia pochłonie! Żyrcie nas, bestie! Kąsajcie! I tak pięknie pomyślana operacja, oparta na założeniu, że więźniowie puciekają przez wyłomy jak szczury i że zostaną najbardziej zawzięci, których trzeba i można będzie zmiażdżyć — otóż operacja ta nie udała się dlatego, że obmyślili ją tchórzliwi łajdacy.

W ściennej gazetce powstańców obok rysunku kobiety pokazującej dziecku kajdany leżące pod szklanym kloszem i mówiącej: „Patrz, twojego ojca trzymali w ta-

kich okowach" — pojawiła się karykatura: „Ostatni renegat" (czarny kot, uciekający przez wyłom).

291

Ale karykatury są śmieszne, natomiast ludzie w żonie nie mieli szczególnych powodów do wesołości... Mijał drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty... To, co wedle praw GUŁagu nie powinno trwać nawet godzin istniało i ciągnęło się nieprawdopodobnie długo aż do męki: od połowy maja, przez cały prawie czerwiec. Z początku ludzie byli jak pijani — zwycięstwem, wolnością, możliwością spotkań i mnóstwem nowych pomysłów. Później wierzyli, że zaczęło się powstanie w Rudniku — może zaraz zbuntuje się Czurbaj-Nura, Spassk, cały Stepłag! A za nim, tylko patrzeć, Karaganda! a potem cały Archipelag wybuchnie i rzuca się na cztery wiatry! Ale Rudnik — z rękoma założonymi na plecach i opuszczoną głową — chodził jak dawniej do roboty, aby przez jedenaście godzin zarabiać na pylicę i nic go nie obchodził ani los Kengiru, ani nawet własny.

Nikt nie poparł sprawy kengirskiej wyspy. Już nie można było wyrwać się na pustynię: wojska przybyło, biwakowało na stepie, w namiotach. Cały obóz otoczony był z zewnątrz podwójnym kręgiem zasieków z drutu kolczastego. Jeden był tylko jaśniejszy punkt: przyjedzie jaśnie pan (spodziewali się Malenkowa) i ten nas rozsądzi. Przyjedzie dobry, zacny, jęknie ze zgrozy i załamie ręce: ależ jak oni tu mogli żyć? Jak wyście ich tutaj traktowali? Morderców pod sąd! Zaraz mi tu rozstrzelać Czezczewa i Bielajewa! Reszta — won ze stanowisk... Ale był to tylko jeden punkcik, a nadto — zbyt już różowy.

Na łaskę nie było co czekać. Trzeba było nacieszyć się ostatnimi dzionkami wolności i czekać, aż się zarząd Stepłagu MWD z ludźmi rozprawi.

Zawsze są dusze, które wytrzymać nie mogą napięcia; ktoś tam już poddał się wewnętrznie i tylko to go dręczyło, że nieuniknione represje tak długo każą na siebie czekać. A ktoś inny — po cichu sobie kalkulował, że przecież właściwie w nic się nie dał dotąd wplątać i jeżeli dalej zachowa ostrożność — to aż do końca tak będzie. A ktoś tam jeszcze był młodożencem (i to nawet po prawdziwym religijnym ślubie; przecież Ukrainka z Zachodu też inaczej za mąż nie wyjdzie, a dzięki staraniom GUŁagu byli tu duchowni wszystkich wyznań). Dla tych młodożeńców gorycz i słodycz nawarstwiły tu się w taki sposób, jakiego nie znają inni ludzie, unoszeni prądem opieszających wydarzeń. Co rano mówili sobie, że to już ostatni dzień i — jako że odwet kazał na siebie czekać — każdy nowy ranek był dla nich darem niebios.

A wierzący — modlili się i powierzyszy Panu Bogu troskę o wynik kengirskich tumultów, jak zawsze zachowywali się najspokojniej. W wielkiej stołówce odbywały się w ściśle przestrzeganej kolejności nabożeństwa wszystkich obrządków. Świadkowie Jehowy pozostali wierni swoim zasadom i odmówili wzięcia do rąk broni, kopania umocnień i stania na warcie.

292

Siedzieli godzinami z pochylonymi głowami, w milczeniu (kazano im myć naczynia). Łaził po obozie jakiś prorok (szczerze przekonany, czy może szalbierz); rysował krzyże na wagonetkach i przepowiadał koniec świata. Dodał mu autorytetu nagły ziąb, jaki zdarza się w Kazachstanie niekiedy nawet latem. Otaczające go staruszki,

przyodziały byle jak, siedzieli na zimnej ziemi, dygotały i wyciągały ręce do nieba. A skąd jeszcze miały wyglądać pomocy!...

A byli też tacy, co wiedzieli, że wplątani są już bezpowrotnie i że żyć będzie można tylko dopóty, dopóki wojska nie wejdą. Tymczasem trzeba coś robić i myśleć, jak tu utrzymać się najdłużej. I nie ci ludzie byli jeszcze najnieszczęśliwsi. (Najnieszczęśliwsi byli ci, którzy nie byli wplątani i modlili się o szybki koniec).

Ale kiedy wszyscy ci ludzie przychodzili na wiec, aby zdecydować czy poddać się, czy też trzymać się dalej — znów ogarniała ich wspólna gorączka, w której ich osobiste opinie topiły się jak wosk, przestawały istnieć nawet dla nich samych. Albo też bali się drwin — bardziej niż grożącej im śmierci.

— Towarzysze! — postawny Kuznieców mówił z taką pewnością siebie, jakby znał wiele tajemnic i wszystkie te tajemnice wspierały sprawę więźniów. — Mamy przecież do obrony własne środki ogniowe i przeciwnik poniesie straty równe co najmniej połowie naszych strat! I tak jeszcze mówił:

— Nawet nasza zagłada nie okaże się bezcelowa! (I tu miał zupełną rację. Na niego też działała ta wspólna gorączka).

I gdy głosowali — czy stawiać opór dalej? — większość głosowała za. A Słuczenkow dodawał znacząco:

— No, teraz uważajcie! Kto pozostaje w naszych szeregach i zechce się potem poddać, z tym się załatwimy pięć minut przed kapitulacją!

Pewnego dnia rządowe radio nadało „Rozkaz dla GUŁagu”: za odmowę pójścia do pracy, za sabotaż, za... za... za... kengirska filia Steplagu zostaje zlikwidowana, a siedzący w niej więźniowie mają być przeniesieni do Magadanu na Kołymie. (GUŁagowi wyraźnie brak już było miejsca na planecie. A ci, których bez żadnych buntów posłano do Magadanu — za co tych tak trzepnęli?). Ostatni termin wyjścia do roboty...

Ale minął już również ten ostatni termin i nic się nie zmieniło.

Nic się nie zmieniło i cała fantastyczna niepowszedniość, cały widmowy charakter tego nierealnego, niebywałego, zawieszonego w próżni życia ośmiu tysięcy ludzi jeszcze bardziej uderzał na tle uregulowanego bytu codziennego obozu: jedzenie trzy razy dziennie; systematyczne chodzenie do łaźni; pralnia, zmiana bielizny; fryzjer; warsztat krawiecki i szewski.

293

Nawet sądy rozjemcze dla rozstrzygnięcia sporów i nawet... możliwość wyjścia na wolność! Owszem. Przez radio rządowe wzywano czasem ludzi, którym kończyła się kara. Byli to — już to cudzoziemcy, obywatele takiego kraju, który zasłużył sobie na łaskę i mógł ściągnąć do ojczyzny rodaków, już to tacy więźniowie, którym kara kończyła się (a może nie kończyła się wcale?...). Być może w ten sposób Zarząd brał „języka” — i to bez nadzorczego lasa z hakiem? Komisja obradowała, ale nie mogła sprawdzić każdego i dlatego wszystkim dawała zezwolenia.

Dlaczego to wszystko tak długo trwało? Na co liczyli gospodarze? Że skończą się zapasy? Ale wiedzieli przecież, że jest ich dość, więc bunt potrwa długo. Liczyli się może ze zdaniem ludzi z osady? Nie mieli wcale potrzeby. Opracowywali plan zmiażdżenia buntu? Można było zrobić to szybciej. (Co prawda później ludzie się dowiedzieli, że w tym okresie wezwano spod Kujbyszewa pułk do „zadań specjalnych”, to jest — przeznaczony do akcji represyjnych. Przecież nie każdy to potrafi).

Uzgadniali może z wyższymi władzami tryb zdruzgotania buntu? Jeśli tak — to jak wysoko trzeba było sięgnąć? Nie dowiemy się jakiego dnia i jaka mianowicie instancja podjęła tę decyzję.

Cały zwiad obrońców obozu — byli to obserwatorzy na dachach baraków. I podstawą do przewidywań było tylko to, co można było zobaczyć z takiego dachu przez płot.

W połowie czerwca pojawiło się w osadzie mnóstwo ciągników. Pracowały, czy może coś przeciągały tuż obok żony. Turkotały nawet nocami. Ta nocna praca traktorów była rzeczą zupełnie niezrozumiałą. Na wszelki wypadek zaczęto kopać jeszcze dodatkowe doły między wyłomami w murze a barykadami. (Zresztą U-2 wszystko to sfotografował albo naszkicował).

Ten złowróżbny turkot sprawił, że ciemności bardziej jeszcze zgęstniały.

I oto nagle — sceptycy musieli uznać ze wstydem, że się mylili!, to samo — zdesperowani!, a również wszyscy, którzy mówili, że nie będzie pardonu i że nie ma o co prosić. Tylko ortodoksi mogli teraz tryumfować. 22 czerwca rządowe radio nadało komunikat: dezyderaty więźniów zostały przyjęte! Do Kengiru zjechać ma członek Prezydium KC!

Różowy punkcik przekształcił się w różowe słońce. Całe niebo zaróżowiło! A więc można coś uzyskać! A więc jest w naszym kraju sprawiedliwość. W jakichś kwestiach ustąpią oni, w jakichś innych — my. Koniec końców można pochodzić jeszcze z tymi numerami, i kraty na oknach właściwie nie przeszkadzają, przecież nikt przez okna nie wchodzi! Że oszukają nas znów? Ależ nie żądają, abyśmy przedtem poszli do pracy!

Podobnie jak dotknięcie metalowego pręcika rozładowuje elektroskop,
294

a pod jego wpływem z ulgą opadają w dół dwa napięte listki, tak samo ów komunikat rządowego radia rozładował ciężki nastrój panujący w ciągu ostatniego tygodnia.

I nawet te wstrętne traktory, popracowawszy trochę wieczorem 24 czerwca — teraz zamilkły.

Spokojnie spało się ludziom czterdziestej nocy powstania. Na pewno jutro przyjedzie On, może już przyjechał! 2! Ach, te krótkie czerwcowe noce, kiedy człowiek nie zdąży się wyspać, kiedy śpi się tak mocno o świcie! Jak trzynaście lat temu.

O wczesnym brzasku 25 czerwca, w piątek, zabłyśły w niebie rakiety na spadochronach, rakiety wzbily się również z wieżyczek — i obserwatorzy na dachach baraków nie zdążyli nawet piknąć, trafieni kulami strzelców wyborowych. Huknęły armaty! Samoloty przeleciały nad obozem lotem koszącym, siejąc panikę. Okryte sławą czołgi T-34, które zajęły pozycje wyjściowe niepostrzeżenie, bo turkot traktorów zagłuszał ich ruchy — ruszyły teraz ze wszech stron przez wyłomy w murze.

(Któryś z nich jednak utkwiał w rowie). Niektóre z tych czołgów ciągnęły długie zwoje drutu kolczastego na kołach, aby od razu rozgrodzić żonę. Za innymi biegły śladem oddziały szturmowe w hełmach i z pepeszami. (I strzelcy, i czołgiści dostali przedtem wódki. Chociaż były to specoddziały, a jednak miażdżyć bezbronnych jakoś łatwiej po pijanemu). Wśród nacierających tyralierą strzelców byli również radiowcy z nadajnikami polowymi. Generałowie stali na wieżyczkach i stamtąd (a rakiety oświeślały teren a giornó) wydawali komendy: „Brać taki a taki barak!... Kuzniecowa jest tam a tam!...”. Nie chowali się wcale, jak to zwykle bywa na punkcie

obserwacyjnym, bo żadne kule im nie groziły¹³. Niemniej, jedną z wieżyczek podpálili więźniowie swoimi krawężnikami; płonęła jasno.

Obóz zerwał się ze snu — i oszalał. Jedni nie wychodzili z baraków, kładli się na podłodze, myśląc, że tak się uratują i że nie ma co się bronić. Inni nawoływali ich do wyjścia, do walki. Jeszcze inni wybiegali pod kule — żeby bić się albo może szukać prędkiej śmierci.

Walczył Trzeci podobóz — ten sam, który zaczął powstanie (składał się ze skazanych na dwadzieścia pięć lat, w większości — banderowców). Rzu-

12 A może naprawdę przyjechał? Może to właśnie on wydał ten rozkaz?

13 Tylko przed okiem historii zdołali się ukryć. Kim byli ci przemysłni dowódcy? Dla czego cały kraj nie uczcił salwą honorową ich wspaniałego, kengirskiego zwycięstwa?

Z wielkim trudem dowiadujemy się teraz nazwisk i to wcale nie najważniejszych, ale też

nie najmniej ważnych: naczelnik oddziału operacyjnego Steplagu, pułkownik Riazanow;

naczelnik oddziału politycznego Steplagu — Siomuszkina... Hej! Niech tam kto pomoże!

Spis wymaga uzupełnienia!

295

cali... kamieniami w strzelców i nadzorców, a może i sławetnymi krawężnikami w pancerne wozy... O tłuczonym szkłem jakoś nikt nie pamiętał. Jakiś barak dwa razy szedł do kontrataku z krzykiem „Hurra”... Czołgi miażdżyły wszystkich, którzy się napatoczyli (kijowiance, Alle Presman, czołg przejechał gąsienicą po brzuchu). Czołgi wjeżdżały na ganki baraków i gnioty stojących tam ludzi (tak zginęły Estonki — Ingrid Kiwi i Mach-lapa¹⁴). Czołgi najeżdżały na ściany baraków, starając się rozgnieść tych, co czepiali się belek, szukając ratunku przed gąsienicami. Siemion Rak, we wspólnym uścisku ze swoją dziewczyną, rzucił się pod czołg — oboje zginęli. Czołgi najeżdżały na drewniane ściany baraków i waliły nawet do wnętrza z dział załadowanych ślepymi pociskami. Opowiada Fina Epsz-tein: cały -węgieł baraku zniknął jak we śnie i na ukos, po żywych ciałach leżących w kącie, przejechał czołg; kobiety uciekały, miały się; za czołgiem jechała ciężarówka, na którą wrzucano półnagie dziewczyny.

Z armat strzelano ślepymi nabojami, ale z pepesz — ostrymi i bagnety też były ostre. Kobiety własnymi ciałami osłaniały mężczyzn — otóż również te kobiety dźgano bagnetami! Oper Bielajew tego ranka własnoręcznie zastrzelił koło dwudziestu ludzi. Widziano, jak już po walce wkładał zabitym do ręki noże; fotograf robił zdjęcia zabitych bandytów. Członkini Komisji, babcia Suprun, skończyła od postrzału w płuca. Niektórzy szukali ratunku w wychodkach i tam serie z pepesz dziurawiły ich jak rzeszoła¹⁵.

Kuzniecowa został aresztowany w łazni, na swoim punkcie dowodzenia i rzucony na kolana. Słuczenkowa ze skrępowanymi rękoma rzucono do góry — i o ziemię (stary knajacki sposób).

Wreszcie palba ucichła. Zaczęły się wrzaski: „Wychodzić z baraków! Nie będziemy strzelać!”. I rzeczywiście — teraz już tylko bili kolbami.

Każdą kolejną grupę jeńców wyprowadzano przez wyłomy w murze, przez kordon zewnętrzny żołnierzy konwoju, rewidowano — i daleko, w stepie kazano kłaść się

na wznak z rękoma wyciągniętymi nad głową. Między rzędami leżących przechodzili się lotnicy z MWD i nadzorcy, wybierając tych, których przedtem zauważyli z samolotów albo z wieżyczek.

(Przy takiej masie roboty nikt nie miał chyba czasu, aby zajrzeć do „Prawdy” z tego dnia. A cały numer poświęcony był jednej sprawie: miał za temat — dzień powszedni naszej Ojczyzny. Sukcesy metalowców. Nadać rozmach mechanizacji robotów żniwnych! Historykowi nie trudno będzie

14 W jednym % czołgów siedziała pijana Nagibina, lekarka obozowa. Nie po to, aby nieść pomoc, lecz tylko, żeby popatrzeć, bo ciekawe.

15 Ahoj, szanowni panowie z „Trybunału przestępstw wojennych” Jean Paul Sartre’a!

Hej, filozofie! Spójrzcie, co za material! Czemu nie zwołujecie waszej sesji?... Jakoś nie słychać...

296

stwierdzić, jakie było oblicze naszej Ojczyzny, jaka była jej panorama tego dnia). Oficerowie mogli teraz zaspokoić swoją ciekawość i zbadać tajemnice żony gospodarczej: skąd brał się prąd i co to była za „tajna broń”.

Zwycięscy generałowie zeszli wreszcie i poszli na śniadanko. Nie znając żadnego z nich twierdził jednak z całym przekonaniem, że apetyt tego czerwcowego ranka im dopisywał i że nieźle sobie podpili. Wypity trunek nie mącił jednak zupełnej ideologicznej harmonii w ich głowach. A o tym, co mieli w sercu — mówiły orderzy na piersiach.

Zabitych i rannych naliczono: wedle ustnych przekazów — około sześciuset, zgodnie zaś z danymi działu planowania i produkcji kengirskiej filii Stepłagu, przedstawionymi po upływie kilku miesięcy — ponad siedmiuset¹. Ranni zapełnili lazaret obozowy i trzeba ich było wozić również do miejskiego szpitala. (Wolnym zaś wyjaśniono, że wojsko strzelało tylko ślepymi nabojami, a więźniowie sami pozabijali się nawzajem).

Aż się prosiło, aby zmusić pozostałych przy życiu do kopania grobów dla zabitych, ale w końcu zrobiło to wojsko, by rzecz zachować w tajemnicy: trzystu zabitych zakopano w kącie żony, pozostałych zaś hen, w stepie.

Przez cały dzień 25 czerwca więźniowie leżeli na płask pod stepowym słońcem (upał w tych dniach był bezlitosny), a w obozie przez ten czas wszystko rewidowano, rozbijano i przewracano do góry dnem. Dopiero pod wieczór przywieziono leżącym w polu wody i chleba. Oficerowie mieli już w ręku spisy. Wywoływali ludzi po nazwisku. Stawiali ptaszka, że ten a ten — żyje, wydawali pajkę i dzielili ludzi według listy na grupy.

Członkowie Komisji oraz inni podejrzani osadzeni zostali w obozowym więzieniu, które w ten sposób przestało być celem wycieczek. Ponad tysiąc ludzi włączono do transportu; jednych czekały więzienia, innych — Koły-ma. (Jak zwykle, spisy te były zestawione przynajmniej w połowie na ślepo i znalazło się w nich wielu, którzy w niczym udziału nie brali).

Niechaj ten opis poskromienia buntu napełni spokojem dusze tych, którym poprzednie rozdziały zagrały na nerwach. A kysz!, a kysz! — nikt już nie będzie musiał

szukać schronienia w „przechowalni”, a pogromcom buntu żaden odwet nie zagrozi!

26 czerwca przez cały dzień więźniowie musieli rozbierać barykady i zakładać cegłami wyłomy.

16 9 stycznia 1905 roku padło pod kulami carskiej policji około 100 ofiar. W 1912 roku w czasie słynnych rozruchów w kopalniach nad Leną, w rezultacie represji, które wstrząsnęły całą Rosją, zastrzelono 270 ludzi, a rannych było — 250.

297

27 czerwca wyprowadzono ich do roboty. Nareszcie znużone przestojem transporty kolejowe doczekały się roboczych rąk.

Czołgi, które zmiażdżyły Kengir, pojechały pod Rudnik i tam pokręciły się po stepie przed oczyma zeków. Niech sobie zakonotują...

Prowodyrów sądzono jesienią 1955 roku, rzecz jasna, przy drzwiach zamkniętych i nawet na ten temat nie mamy żadnych dokładnych danych... Podobno Kuzniecowa przejawiał dużą pewność siebie; utrzymywał, że zachował się bez zarzutu i że w danych warunkach jego linia postępowania była najślusniejsza. Nie wiemy, jakie wyroki zapadły. Słuczenkow, Michał Keller i Knopkus zostali prawdopodobnie rozstrzelani. To znaczy — rozstrzelano by ich na pewno, gdyby nie to, że mieliśmy już rok 1955 i może to wpłynęło na złagodzenie wyroku.

A w Kengirze znów zawrzało pracowite, uczciwe życie. Nie zaniedbano utworzenia szturmowych brygad z niedawnych buntowników. Rozkwitał system rozrachunku własnego. Funkcjonowały kioski, pokazywano filmowe śmiecie. Nadzorcy i oficerowie znów stali się bywalcami żony gospodarczej, aby zamawiać tam rozmaite drobiazgi dla swoich ognisk domowych

szkatułki, spinningi, zameczki do torebek damskich. Buntowniczy majsterkowicie, szewcy i krawcy (Litwini i Ukraińcy spod Lwowa) szyli im

lekkie, obciste buty i wykańczali suknie dla ich żon. I tak jak dawniej

zmuszali zeków z zakładów wzbogacania rudy do zdzierania z kabli

warstwy ołowiu i wnoszenia go do obozu, gdzie podlegał przeróbce na śrut, aby towarzysze oficerowie mogli polować na suhaki.

Zamęt, jaki zapanował na całym Archipelagu dotarł jednak w tym okresie również do Kengiru. Przestano zakładać kraty w oknach i zamykać baraki na noc. Wprowadzono warunkowe zwolnienia przedterminowe po odbyciu dwóch-trzecich kary i nawet — rzecz dotychczas niesłychana

— zaczęto spisywać na straty Pięćdziesiątkę Ósemkę — to znaczy, że półmartwych puszczano już na wolność.

Na grobach zielona trawka rośnie bujnie i gęsto.

A w 1956 roku cała ta żona uległa likwidacji; wówczas to mieszkańcy tych okolic — byli zesańcy, którzy już tam woleli zostać — dowiedzieli się jednak, gdzie zostali pochowani tamci — i naznosili im stepowych tulipanów.

Buntów zwycięskich nie ma, nigdy ich nie widziano, Bo jeśli bunt zwycięży — przybiera inne miano.

(Robert Burns)

298

Ileć pręchodźć będziecie w Moskwie obok posągu Dołgorukiego przypomnijcie sobie: został odstąnietý podczas powstania kengirskiego i dlatego jest jakby pomnikiem ku jego czci wzniesionym.
Koniec części piątej

CZĘŚĆ SZÓSTA ZESŁANIE

I

ZESŁANIE W PIERWSZYCH DNIACH WOLNOŚCI

Ludzie z pewnością wcześniej wymyślili zesłanie niż więzienie. Wszak wygnanie z obozowiska szczepowego też już było zesłaniem. Wcześniej zorientowano się, jak trudno przetrwać jest człowiekowi wyrwanemu ze zwykłego środowiska i zmuszonemu do życia w innej okolicy. Wszystko jest obce, wszystko idzie na opak, wszystko jest tymczasowe i nieautentyczne

— nawet, jeśli ma się wokół zieleń, nie zaś wieczne lody.

W imperium rosyjskim kwestią zesań zajęto się bez szczególnej zwłoki: w ramy prawne ujęta została już za czasów Aleksego Michajłowicza (So-bornoje Ułożenie z 1648 roku). Ale już wcześniej, w końcu XVI wieku deportowano ludzi bez żadnych ustaw i Soborów: dotkniętych niełaską mieszkańców Kargopola; dalej — obywateli Uglicza, świadków zamordowania carewicza Dymitra. Obszar państwa na to pozwalał — Syberia była już nasza. W 1645 roku było już w sumie półtora tysiąca zesłańców. A Piotr zsyłał ludzi mnogimi setkami. Już wspominaliśmy, że Elżbieta Piotrowna zamiast kary śmierci wprowadziła dożywotnie zesłanie na Syberię. Ale tu nastąpiło jakieś przesunięcie semantyczne i termin „zesłanie” zaczął oznaczać nie tylko przesiedlenie bez więziennych rygorów, lecz również katorgę, roboty przymusowe, a to już nie zesłanie. Ustawa o zesłaniach cara Aleksandra I w 1822 roku usankcjonowała tę zmianę. Dlatego należy chyba zakładać, że cyfry, odnoszące się do ilości zesłanych w XIX wieku obejmują również skazanych na ciężkie roboty. W początkach wieku XIX rokrocznie szło na zesłanie od 2 do 6 tysięcy ludzi. Poczynając od 1820 zaczęto deportować również włóczęgów (po naszymu

— pasożytów) i w ten sposób osiągnano niekiedy cyfrę 10.000 rocznie.

303

W 1863 roku zaszczycono życzliwą uwagą i przysposobiono do tych celów izolowaną od kontynentu i pustynną wyspę Sachalin, dzięki czemu możliwości jeszcze się zwiększyły. W ciągu całego XIX wieku zesłano pół miliona osób, a w końcu stulecia zesłańców było razem 300.000'.

U schyłku XIX wieku pojęcie zesłania uległo detalizacji i zróżnicowaniu. Pojawiły się lżejsze jego rodzaje: „wysłanie do trzeciej guberni”, a nawet „wysiedlenie za granicę”² (nie było to uważane za karę tak bezlitosną, jak u nas po Październiku). Coraz częściej stosowane było też zesłanie w trybie administracyjnym, jako bardzo praktyczne uzupełnienie zesań z wyroku sądu. Wszelako — terminy zesłania oznaczane były w sposób jasny i ścisły, cyframi — i nawet zesłanie dożywotnie naprawdę dożywotnim nie było. Czechów pisze w swoim Sachalinie, że po 10 latach zesłania (a jeśli „zachowywał się w sposób zupełnie godny uznania” — kryterium dowolne, ale

jak świadczy sam Czechów interpretowane bardzo szeroko — to nawet po upływie 6 lat) zesłaniec zaliczany był urzędowo do stanu włościańskiego i mógł jechać, gdzie chciał, z wyjątkiem miejsca ostatniego swego zamieszkania.

Milcząco zakładaną, dla wszystkich wtedy — zupełnie naturalną, a dziś, dla nas — najbardziej zadziwiającą cechą zesłania- w ostatnim carskim stuleciu był jego charakter indywidualny: czy z wyroku sądowego, czy na rozkaz administracji — każdy skazywany był na zesłanie osobno, indywidualnie, nigdy zaś dlatego, że należał do jakiejś grupy ludności.

Z dziesięciolecia na dziesięciolecie zmieniały się warunki zesłania, stopień dolegliwości z nim związanych — i rozmaite generacje zesłańców zostawiły nam rozmaite świadectwa. Ciężkie były etapy, którymi maszerowali na Syberię partie zesłańców, jednakże dowiadujemy się od P.F. Jakubowicza² i od Lwa Tołstoja, że polityczni transportowani byli w warunkach całkiem znośnych. Feliks Kon dodaje, że — gdy polityczni stanowili większość etapu — wtedy konwojenci nawet kryminalistów traktowali lepiej, dzięki czemu kryminaliści bardzo sobie cenili towarzystwo politycznych. Przez wiele dziesięcioleci rdzenni Sybiracy wrogo odnosili się do zesłańców: wydzielano im najgorsze grunta pod uprawę, proponowano im prace najcięższe i najgorzej płatne, chłopci nie wydawali za nich swoich córek. Wysadzeni

1 Wszystkie te dane wzięte są z XVI tomu (Syberia Zachodnia) znanego dzieła Rosja

Siemionowa Tian-Szańskiego. Nie tylko sam ten znakomity geograf, lecz również jego

bracia byli przekonanymi i ofiarnymi działaczami liberalnymi i bardzo się przyczynili do

rozpowszechnienia i rektyfikacji idei wolnościowych w naszym kraju. Podczas rewolucji

cała ta rodzina została rozgromiona, jednego z braci rozstrzelano w ich zacisznym mają-

teczku nad rzeką Ranową, majątek spalono, poszedł pod topór duży sad owocowy, aleje

lipowe i topolowe.

2 P.F. Jakubowicz — W świecie wydziedziczonych.

304

z siodła, obdarci, napiętnowani, głodni — tworzyli szajki, zajmowali się rabunkiem, co sprawiało, że ludność miejscowa odnosiła się jednakże do politycznych, których liczba zaczęła się zwiększać poczynając od lat 70. Tenże Feliks Kon pisze, że Jakuci witali politycznych z radością, z nadzieją — jako swoich lekarzy, nauczycieli i doradców prawnych, jako obrońców przed samowolą władzy. Polityczni mieli na zesłaniu w każdym razie takie warunki, że z ich to grona wyszło wielu badaczy (którzy stali się ludźmi nauki dopiero na zesłaniu!) — krajoznawców, etnografów, językoznawców³, przyrodników, a także publicystów i beletrystów. Czechów na Sachalinie nie spotkał politycznych i nie opisał ich nam⁴, ale np. F. Kon, zesłany do Irkucka, otrzymał pracę w redakcji postępowego pisma „Wo-stocznoje Obozrenije”, z którym współpracowali narodnicy, narodowolcy i marksiści (Krasin). Irkuck nie był zwykłym syberyjskim miasteczkiem, tylko siedzibą generałgubernatora i zgodnie ze Statutem nie wolno tam było w ogóle dopuszczać politycznych — a jednak pracowali tam oni w bankach, przedsiębiorstwach handlowych, uczyli w szkołach i

bywali na „żur-fiksach” w kręgu miejscowej inteligencji. A w omskim piśmie „Stieponoj Kraj” zesłańcy przemycali takie artykuły, których w Rosji europejskiej żadna cenzura by nie tolerowała. Ba, gdy w Złatoúście na Uralu wybuchł słynny strajk, wysyłali robotnikom swoją gazetę. Dzięki zesłańcom także Krasnojarsk stał się radykalnym ośrodkiem. A w Minusińsku, wokół muzeum Martianowa, zgromadziła się grupa deportowanych działaczy, ciesząca się takim szacunkiem i natykająca się na tak nikłe przeszkody administracyjne, że była w stanie bez trudu zorganizować wszechrosyjską sieć kryjówek i schronisk dla zbiegów (zresztą — pisaliśmy już, jak łatwo było wówczas uciekać), a nawet kierowała po cichu działalnością oficjalnego komitetu „wittowskiego” w Minusińsku⁵. I jeśli o sachalińskim reżymie dla osiedleńców kryminalnych Czechów pisze z oburzeniem, że sprowadzał się on „w sposób najbardziej wulgarny do pańszczyzny i poddaństwa”, to nie można tego powiedzieć o rosyjskim zesłaniu dla politycznych i to od najdawniejszych czasów aż do przedostatnich. W początkach XX wieku zesłanie administracyjne dla politycznych stało się w Rosji już nie karą, ale formalnym, pustym „przestarzałym zabiegiem, którego nieprzydatność jest oczywista” (Guczkow). Stołypin w 1906 roku projektował zupełne zniesienie kary zesłania.

3 Tan-Bogoraz, W.I. Jochelson, L.J. Szternberg.

4 Czechów jednak jadąc na Sachalin nie miał żadnej delegacji służbowej, a mimo to dopuszczono go do archiwów więziennych. Spróbujcie pojechać do obozu NKWD bez skierowania!

5 Feliks Kon: Pięćdziesiąt lat — tom 2 — Na osiedleniu.

Archipelag Ciutag

305

A na czym polegało zesłanie Radiszczewa? W osadzie Ust -Ilimskij Ostrów kupił on piętrowy dom (nota-bene — za 10 rubli) i zamieszkał w nim z młodszymi swoimi dziećmi i szwagierką, która zastąpiła mu żonę. Do pracy nikt nie zamierzał nawet go zmuszać, żył sobie, jak uważał za stosowne, i miał prawo swobodnego poruszania się po całym okręgu Ilimskim. Czym było zesłanie Puszkina do majątku Michajłowskoje — dziś już wie każdy, kto był tam z wycieczką. Podobnie wyglądało zesłanie wielu innych pisarzy i działaczy: Turgieniewa — do majątku Spasskoje-Łutowino, Ak-sakowa — do majątku Warwarino (wedle jego wyboru). Z Trubeckim jeszcze w celi na nerczyńskiej katordze — mieszkała żona (urodził im się synek), gdy zaś po kilku latach przesiedlono go na zesłanie pod Irkuck mieli tam dużą willę, własny powóz, lokajów, francuskich guwernerów dla dzieci (ówczesna myśl prawnicza nie dojrzała jeszcze do pojęć — „wróg ludu” i „konfiskata całego dobytku”). Zesłany zaś do Nowgorodu Herzen, dzięki stanowisku zajmowanemu w urzędzie gubernialnym, przyjmował raporty od policmajstra.

Tak łagodne zesłanie było przywilejem nie tylko bogatych i wybitnych ludzi. Przekonali się o tym w XX wieku liczni rewolucjoniści i opozycjoniści, zwłaszcza — bolszewicy; ich zresztą nie obawiano się zbytnio. Stalin, mając już na koncie 4 ucieczki, został po raz 5 zesłany na pobyt aż do... Wołogdy. Wadim Podbielski za ostre, an-

typaństwowo wystąpienia w prasie wysiedlony został z Tambowa... do Saratowa! Co za surowość! Rozumie się też, że nikt go nie zmuszał do niewolniczej pracy⁶. Ale nawet takie zesłanie, według naszych dzisiejszych pojęć — łagodne przesiedlenie bez groźby śmierci głodowej, było dla wielu zesłańców doświadczeniem bardzo ciężkim. Iluż rewolucjonistów podkreśla we wspomnieniach, jak bolesny był dla nich przeskok z więzienia — w którym mieli chleb, opał, dach nad głową, czas na zajęcia akademickie i potajanki partyjne — na zesłanie, gdzie trzeba było — często w samotności — szukać sobie chleba i przytułku. A gdy nie trzeba ich było szukać, to — jak piszą (F. Kon) — bywało jeszcze gorzej: „tortura bezczynności... Najstraszniej-sze jest to, że ludzie skazani są na bezczynność” — i oto niektórzy grzęzną w książkach, inni — w handlu, w zabiegach koło zysku, a niejeden wpada z desperacji w pijaństwo.

Ale — dlaczego właściwie „bezczytność”? Przecież miejscowa ludność nie skarży się na brak zajęć, ludzie ci pod wieczór z trudem prostują znużone grzbiety. Jeśli spojrzeć głębiej — to przyczyną desperacji jest zmiana

6 Ten rewolucjonista, którego imię noszą byłe ulice Pocztowe wielu rosyjskich miast, widocznie tak mało przyzwyczajony był do pracy, że podczas pierwszego leninowskiego „subotnika” obtarł sobie rękę — i od tego w końcu... umarł.

306

gleby, wytrącenie ze starej koleiny, odcięcie od korzeni, utrata kontaktów z ludźmi. Zaledwie dwóch lat zesłania wystarczyło, aby publicysta Mikołaj Nadie-żdin zapomniał o wolnościowych ciągotach i zmienił się w wiernego słuźkę tronu. Popędliwy i rozpasany Mienszykow, zesłany w 1727 roku do Bie-riozowa, wybudował tam cerkiew, rozprawiał z miejscowymi prostytutkami

0 marności świata tego, zapuścił brodę, chadzał w siermiędze i po dwóch latach oddał ducha. Czym tak dokuczyło, dlaczego tak było niezdolne, zapytajmy, owo wygodne zesłanie dla Radiszczewa? — a jednak, gdy po powrocie zaczęła mu grozić ponowna deportacja, Radiszczew tak się jej przeraził, że popełnił samobójstwo. A Puszkina — z sioła Michajłowskoje, z tego raju na ziemi, gdzie ponoć żyłby człowiek, a żył, gdyby tylko Bóg pozwolić raczył — w październiku 1824 roku pisał do Żukowskiego: „Ratuj mnie, lepsza już twierdza, a choćby klasztor Sołowiecki!”. I nie był to frazes, bo także do gubernatora pisał z prośbą o zmianę zesłania na twierdzę.

Nas, wiedzących już, czym były Solówki, dzisiaj to aż zdumiewa: jakaż to furia, jaka desperacja i zaślepienie zmusiły zaszczutego poetę, by wzgardził Michajłowskiem i błagał o Sołowieckie Wyspy?...

W tym właśnie jest potęga zesłania — owego zwykłego przesiedlenia

1 zostawienia na miejscu ze spętanymi nogami — którą odkryli już starożytni władcy, której doświadczył na sobie jeszcze Owidiusz.

Pustka. Zagubienie. Życie do życia niepodobne...

W spisie narzędzi ucisku, które raz na zawsze miała odrzucić promienna nasza rewolucja, na jakimś czwartym miejscu figurowało, oczywiście, zesłanie.

Zaledwie jednak rewolucja zrobiła pierwszych parę kroków swoimi koślawiejącymi nóżętami, nim jeszcze zmęźniała jak należy — już zrozumiała: bez zesłania ani rusz! Może tam nie było w Rosji zesłań przez jakiś rok, no, najwyżej trzy lata. I zaraz znów zaczęły się deportacje — tj. wywózki elementów niepożądanych. Oto własne wyznanie bohatera ludowego, a później marszałka, o wydarzeniach, które miały

miejsce w 1921 roku w tam-bowskiej guberni: „Postanowiono zorganizować szeroką deportację bandyckich (czytaj — „partyzanckich” — A.S.) rodzin. Zostały zorganizowane rozległe obozy koncentracyjne, w których te rodziny tymczasowo trzymane były pod strażą⁷ (kursywa moja — A.S.).

Tuchaczewski: Walka z kontrrewolucją i powstaniem — czasopismo „Wojna i rewolucja”, 1926 r., Nr 7/8, str. 10.

307

Tylko fakt, że o wiele wygodniej było rozstrzeliwać na miejscu zamiast wieźć dokądś tam, a w drodze pilnować i żywić, a potem lokować ich gdzieś i znowu pilnować — otóż tylko ten fakt przeszkodził we wprowadzeniu zesłania jako regularnego zabiegu jeszcze przed końcem epoki komunizmu wojennego. Ale już 16 października 1922 roku przy NKWD utworzono stałą „Komisję ds. deportacji elementów społecznie groźnych i działaczy partii antysowieckich”, to znaczy wszystkich, prócz bolszewickiej; średni okres deportacji określony został na 3 lata⁸. W ten sposób — już na samym początku lat dwudziestych deportacja była stosowana jako norma i reguła.

Co prawda, nie deportowano już kryminalistów, jak to było dawniej: zostały wszak wprowadzone obozy pracy poprawczej, one to wchłonęły ten kontyngent. Ale za to zesłanie polityczne stało się instytucją łatwiejszą w zastosowaniu niż kiedykolwiek przedtem: wobec braku gazet opozycyjnych zesłanie odbywało się w ciszy, bez echa, a tym, którzy stali obok, którzy znali zesłanych z bliska, po egzekucjach okresu komunizmu wojennego ta łagodna, niespieszna, trzyletnia deportacja wydawała się lirycznym zabiegiem wychowawczym.

Jednakże — z tego pocziwego sanitarnego zesłania ludzie nie wracali w rodzinne strony, jeśli zaś zdążyli powrócić, to wkrótce znów ich zabierano. Usidlani — zaczęli swoje krążenie po Archipelagu i ostatni, niepełny łuk tej krętej drogi prowadził niezmiennie do jamy.

Powszechna niefrasobliwość sprawiła, że zamiary władzy nieprędko stały się jasne dla wszystkich: po prostu władza nie okrzepła jeszcze tak, by pozwolić sobie na wytrzebienie wszystkich niepożądanych elementów za jednym zamachem. I dlatego upatrzonych usuwano tymczasem nie z grona żyjących, tylko z pola widzenia i z pamięci bliźnich.

Tym łatwiej było zrekonstruować cały system deportacji, że nie zarosły jeszcze, nie zapadły gościńce, którymi szły etapy, a same okolice Syberia, ziemia archangielska czy wołogodska — wszak się nie zmieniły i nicze: mu nie dziwiły. (Notabene myśl państwowa nie zatrzyma się na tym, . czyjś palec powędruje jeszcze po mapie jednej szóstej wszystkich lądów — i rozległy Kazachstan, dopiero co przyłączony do Związku Republik, zaofiaruje sprawie zesłania swoje przestrzenie, a w samej Syberii ileż to nowych miejsc odkryją w głuszy!).

Ale tradycja zesłani zobowiązywała również do przestrzegania pewnego przykrego obyczaju; chodziło mianowicie o pasożytnicze przeświadczenie zesłańców, że państwo powinno ich żywić. Carski rząd nie śmiał

⁸ Zbiór ustaw RSFSR, 1922, Nr 65, str. 844.

308

zmuszać zesłanych do pomnażania produktu narodowego. I zawodowi rewolucjoniści uważali, że praca byłaby dla nich hańbą. W Jakucji zesłaniec-osiedleńiec

miął prawo do 15 dziesięcin ziemi (65 razy więcej niż dzisiejszy kołchoźnik). Rewolucjoniści nie tak bardzo znów palili się do uprawiania tej ziemi — za to Jakutom bardzo na niej zależało. Płacili więc rewolucjonistom „odstępne” czy dzierżawę, uiszczając należność w naturze — żywnością, końmi. Przyjeżdżając z gołymi rękoma, rewolucjonista od razu stawał się wierzyicielem miejscowych⁹. Ponadto — rząd carski płacił pieniądze swoim przeciwnikom politycznym: 12 rubli miesięcznie strawnego i 22 ruble rocznie — na odzież. Lepieszynski pisze¹⁰, że również Lenin na zesłaniu w Szuszenskoje otrzymywał i przyjmował te 12 rubli, sam Lepieszynski zaś 16, bo nie był zwykłym zesłańcem, lecz zesłanym czynownikiem. F. Kon twierdził później, że to było bardzo mało. Wiadomo jednak, że syberyjskie ceny były 2-3 razy niższe od rosyjskich i dlatego zesłaniec, utrzymywany przez państwo, miał aż nadto tego, co do życia jest niezbędne. Na przykład Lenin — dzięki tej dotacji miał możliwość przez całe trzy lata bez żadnych trosk materialnych studiować teorię rewolucji, nie zwracając sobie głowy — skąd wziąć na utrzymanie. Martow zaś pisze, że 5 rubli miesięcznie płacił gospodarzowi za mieszkanie z pełnym utrzymaniem, pozostałe zaś pieniądze wydawał na książki i odkładał na ucieczkę. Anarchista A.P. Ułanowski powiada, że dopiero na zesłaniu (w kraju Turuchańskim, gdzie przebywał razem ze Stalinem) po raz pierwszy w życiu miał pieniądze do dyspozycji; posyłał je pewnej wolnej dziewczce i mógł wreszcie kupić sobie kakao, którego nigdy przedtem nie kosztował. Jeleninę i sterlety kupić tam można było za grosze, dobry, solidny dom kosztował 12 rubli (miesięczna zapomoga!). Nikt z politycznych nie cierpiał niedostatku, subwencję pieniężną otrzymywali wszyscy zesłani w trybie administracyjnym. I odziani byli też niezgorzej (zresztą — już tak tu przyjeżdżali). Co prawda, zesłani na dożywotnie osiedlenie za przestępstwa popolite (po naszymu — „pospolitacy”) nie dostawali pieniędzy do ręki, ale otrzymywali bezpłatnie od władz zimowe szuby, całą odzież i obuwie. Na Sa-chalinie zaś, jak świadczy Czechów, wszyscy zesłani mężczyźni przez 2-3 lata, kobiety zaś — przez cały okres zesłania otrzymywały państwową dotację w naturze: w jej skład wchodziło 40 złotych (a więc 200 gramów) mięsa dziennie, chleba zaś — 3 funty (tj. „kilo dwieście”, tyle właśnie, ile wynosiła premiowa porcja stachanowska w naszych workujących kopalniach za 150% normy). Co prawda, Czechów twierdzi, że chleb ten był nie dopieczony i z pośledniej mąki — ale przecież w obozach też

9 F. Kon, op. cit.

10 Lepieszynski, Na przelomie,

nie lepszy! Rokrocznie dostawali półkożuszki, kaftan i kilka par obuwia. Stosowano też taki sposób: carski urząd płacił zesłańcom specjalnie wysokie ceny za ich wyroby, aby zachęcić ich do produkcji. (Czechów doszedł do wniosku, że nie Sachalin, więc kolonia, daje Rosji korzyści, tylko że Rosja utrzymuje tę kolonię).

Rozumie się, że nasze, sowieckie, polityczne deportacje nie mogły być oparte na tak niezdrowych podstawach. W 1928 roku Wszechrosyjski Zjazd Pracowników Administracji uznał obowiązujący system wysiedlania za niezadowolający i wniósł o „organizację zesłania w taki sposób, by tworzyć kolonie w odległych, odciętych od świata miejscowościach wprowadzając jednocześnie system kar o nieokreślonym pułapie¹¹ (tzn. bezterminowych). Od 1929 roku zaczęto pracować nad połączeniem kary zesłania z robotami przymusowymi¹².

„Kto nie pracuje, ten nie je” — oto zasada przyjęta przez socjalizm. I tylko tą zasadą mogło rządzić się sowieckie zestanie. Ale właśnie socjaliści przyzwyczaili się do bezpłatnego utrzymania na zestaniu! Nie ośmielając się od razu pogwałcić tej tradycji, również sowiecki skarb zaczął płacić strawne swoim zestańcom politycznym — ale nie wszystkim, naturalnie! Z pewnością nie kaerom, lecz tylko politom, wprowadzając tu także zróżnicowanie: na przykład w Czymkencie w 1927 roku eserowcom i esdekomp wypłacano po 6 rubli miesięcznie, a trockistom — po 30 (mimo wszystko — to swoi, bolszewicy). Tyle, że były to już nie carskie ruble, za najskromniejszą izdebkę trzeba było płacić 10 rubli miesięcznie, a za 20 kopiejek dziennie bardzo trudno było wyżyć. Im dalej — tym srożej. W 1933 roku „politom” wypłacano 6 rubli 25 kopiejek miesięcznie. A w roku tym, sam to doskonale pamiętam, kilogram żytniego, nawilgłego „komercyjnego” (tj. bezkartkowego) chleba kosztował 3 ruble. Tak więc, nie mogli już socjaliści uczyć się języków i pisać rozpraw teoretycznych, socjaliści musieli urabiać sobie ręce po łokcie. Kto zaś podejmował się pracy zarobkowej, temu GPU natychmiast odbierało nędzną zapomogę.

Wszelako — nawet gdy zestaniec chciał pracować — wcale nie było mu łatwo znaleźć posadę! Wszak wiadomo, że w końcu lat 20. bezrobocie u nas osiągnęło znaczne rozmiary i otrzymanie pracy było przywilejem ludzi z nienaganną ankietą oraz członków związków zawodowych. Zestańcy nie byli w stanie z nimi konkurować, nawet gdy mogli pochwalić się swoim wykształceniem i doświadczeniem. Ponadto — bez zezwolenia komendantury żadne przedsiębiorstwo nie ośmieliłoby się przyjąć do pracy

„Centralne Archiwum Państwowe Rewolucji Październikowej — zbiór 4042, fascyкул 38, teka 8, arkusz 34-35.

12 Op. cit. — zbiór 393, fascyкул 84, teka 4, arkusz 97.

310

zestańca. (Nawet były zestaniec niewielkie miał szansę na dobrą pracę: na przeszkodzie stał specjalny stempel w paszporcie).

W 1934 roku, w Kazaniu, jak wspomina P.S-wa, grupa zdesperowanych zestańców-inteligentów wynajęła się do brukowania ulic. W komendanturze robiono im wymówki: po co te demonstracje? Ale innej pracy nie było i Grzegorz B. wygarnął operowi: „A nie szykujecie czasem jakiegoś proce-siku! Bo ostatecznie możemy zgodzić się za wynajętych świadków!”.

Trzeba było trząść się nad każdą kruszyną.

Tak nisko upadło rosyjskie polityczne zestanie! Nie starczało już czasu na spory i pisanie protokołów przeciw cudzym „credo”. I już nie turbowali się, co to począć ze zmorą bezczynności. Mieli inną troskę — jak nie zdechnąć z głodu. I żeby nie stończyć się do roli szpicla.

W pierwszych od razu latach, w kraju, wyzwolonym wreszcie z odwiecznej niewoli, honor i niezawistość, które cechowały zawsze polityczne zestanie, sflaczały jak przekłuty balon. Wyszło na jaw, jak iluzoryczna była ta siła, która kazała dawnej władzy tak się lękać politycznych zestańców. Okazało się”, że źródłem i fundamentem tej siły była jedynie opinia publiczna. Zaledwie jednak owa opinia publiczna zastąpiona została przez opinię zorganizowaną — zestańcy — ze wszystkimi swoimi prawami i uroczystymi protestami — stali się bezbronnym łupem tępych, zaplutyh czekistów i bezlitosnych instrukcji tajnych (do pierwszych takich instrukcji zdążył przyłożyć rękę i talent komisarz spraw wewnętrznych Dzierżyński). Krzyknąć

coś o sobie, żeby na wolności usłyszano, żeby choć jeden jęk ochrypty tam dotarł — nie, teraz to było niemożliwe. Gdy zesłany robotnik posyłał list do fabryki, gdzie pracował, to inny robotnik, który ten list odczytał kolegom (Leningrad, Wasyli Kiriłłowicz Jeroszyn) sam jechał natychmiast na zesłanie. Zesłańcy utracili nie tylko zapomogi i środki materialne, lecz w ogóle wszelkie prawa: aresztowanie zesłańca, wtrącenie do więzienia, wysłanie na etap — wszystko to było dla GPU jeszcze łatwiejsze niż wtedy, gdy ci ludzie uważani byli za wolnych; nic teraz organów ścigania nie krępowało, jakby chodziło o manekiny z gutaperki, a nie o ludzi¹³. Bez trudu mogli im tak dać po łbie, jak np. w Czymkencie: nagle obwieszczono tam, że miasto — i to w ciągu jednej doby — traci status miejsca przymusowego osiedlenia. W ciągu doby trzeba było więc: przekazać nie załatwione sprawy w miejscu pracy, opuścić mieszkanie, sprzedać meble

13 Ci zachodni specjaliści, jak Dawid Meyer, którzy dopiero w 1967 roku doszli do wniosku, że to „wstyd być socjalistami, gdy ZSSR również mieni się państwem socjalistycznym”, mogli byli chyba dojść do tego wniosku jakieś 40-45 lat wcześniej. Przecież rosyjscy komuniści już wtedy wycinali w pień rosyjskich socjalistów. Ale najłżejsza choroba — to wrzód w cudzym uchu.

311

i statki, spakować się — i ruszyć wyznaczoną marszrutą. Niewiele się to różni od wyruszenia z więzienia na etap! I przyszłość dla zesłańca nie bardziej jest pewna!

Ale tu grało rolę nie tylko milczenie społeczeństwa i nacisk GPU; kim byli sami zesłańcy?, ci rzekomi członkowie nie istniejących partii? Nie mówimy o konstytucyjnych demokratkach — kadetów już nie było, wytrzebiono ich ze szczętem — ale co to znaczyło, że ktoś w 1927 albo 1930 roku był uważany za eserowca albo mieniszewika? Nigdzie, w całym kraju nie było już ani jednej czynnej grupy, której profil odpowiadałby tej nazwie. Dawno już, od czasów rewolucji, w ciągu wszystkich tych burzliwych lat ich programy polityczne nie ulegały renowacji i zmianom; nawet, gdyby te partie raptem zmartwychwstały — nie wiadomo byłoby, jaki mają mieć stosunek do bieżących wydarzeń i co właściwie mają do zaproponowania? Cała prasa pisała o nich — i to od dawna — tylko w czasie przeszłym — a ocalili ich członkowie żyli sobie po maleriku ze swoimi rodzinami, pracowali zawodowo i już całkiem zapomnieli o swoich partiach. Ale co raz zapisano na kamiennych tablicach GPU, tego nic nie zmaże. I znieńacka — na dany którejś nocy znak — brano te rozłargnione króliki za uszy i szlakiem więziennych etapów przerzucano, dajmy na to, do Bucharu.

Przyjechał tam w 1930 roku I.W. Stolarow i spotkał ściągniętych ze wszystkich krańców kraju, siwiejących już esdeków i eserowców. Wybici z powszedniej swojej koleiny, cóż innego robić mogli, jeśli nie znów zacząć spory, bawić się w oceny sytuacji politycznej, wysuwać swoje kontrpropozycje — i wróżyć z fusów, jak też potoczyłyby się wypadki, gdyby... gdy-by...

W ten właśnie sposób robiono z tej gromadki — już nie partię, tylko tarczę do przyszłego strzelania.

Do liczniejszych grup należeli na zesłaniu gruzińscy socjaldemokraci i ormiańscy dasznacy (partia „Dasznakeutiuri”), deportowani masowo po zagarnięciu ich republik przez sowieckich komunistów.

Zesłańcy z lat 20. twierdzą, że żywą i bojową partią była w tych czasach żydowska partia syjonistów-socjalistów* ze swoją energiczną przybudówką młodzieżową „Ha-

szomer Hacair" i legalna organizacja „Hechaluc”, która utworzyła żydowskie komuny rolnicze na Krymie. W 1926 roku wyaresztowano całe KC Poale-Syjon, a w 1927 roku niczym nie zrażonych chłopców i dziewczyny 15-16-letnich — zgarnięto z Krymu na zesłanie. Wyekspediowano ich do Turtkula i do innych bardzo niemiłych okolic. To była rzeczywiście partia, co się zowie: solidarna, wytrzymała, przekonana o słu-

Poalej-Syjon Lewica.

,312

szności swoich celów. Tyle, że walczyła ona nie o cele ogólne, tylko swoje, partykularne; żeby żyć, jak żyją inne narody, żyć swoją Palestyną. Jasne, że partia Komunistyczna, dobrowolnie odrzucając ideę ojczyzny, nie mogła u innych tolerować wąskiego nacjonalizmu¹⁴...

Aż po pierwsze lata trzydzieste zachowała się jeszcze wśród zesłańców instytucja pomocy wzajemnej (tak na przykład — eserowcy, esdecy i anarchiści, zesłani do Czymkentu, gdzie o pracę było łatwo, stworzyli tajną kasę samopomocową dla swoich — ale tylko swoich — bezrobotnych towarzyszy zesłanych na północ). Tu i ówdzie organizowano też wspólne gotowanie obiadów czy opiekę nad dziećmi, co naturalnie było powodem do spotkań i wzajemnych odwiedzin. Zesłańcy obchodzili też wspólnie święto 1 maja (demonstracyjnie ignorując rocznicę Października). Ożywiła się też walka o „status politwięźnia” (przez cały okres sowiecki socjaliści jakoś nie mogli zrozumieć, że nie godzi się walczyć o prawa tylko dla siebie i dla swoich — nie zaś dla całego więźniarskiego ludu). Ale w zenicie lat 30. to wszystko też się skończy — nad każdą grupą zesłańców zamruga sępie oko Sektora Operacyjnego. Zesłańcy będą teraz unikać się wzajemnie, aby NKWD nie posądziło ich o zbrodnię „organizacji” i nie zaczęło wrabiać ich na nowo. (A właśnie ten los i tak ich wszystkich czeka). Tak oto — wewnątrz murów zesłania przymusowego — opaszą się oni jeszcze jednym murem dobrowolnego zesłania, skazując się na samotność. (A Stalinowi chwilowo tylko tego od nich trzeba).

Ludność miejscowa też trzymała się z dala, co bardzo osłabiało pozycję zesłańców: każdy kontakt z zesłańcem był pretekstem do prześladowań. Kto utrzymywał z zesłańcami stosunki, sam szedł na zesłanie, a młodzież wyrzucano z komsomołu. Innym źródłem słabości były nieprzyjazne stosunki między poszczególnymi partiami; ustaliły się te stosunki już po rewolucji i szczególnie zaostrzyły się w połowie lat 20., gdy wśród zesłańców pojawili się w znacznej liczbie trockiści: nikogo poza sobą nie uważali oni za politycznych.

No, ale przecież nie tylko socjaliści szli na zesłanie w latach 20., przeciwnie, większość (i to z każdym rokiem liczniejsza) to wcale nie byli socjaliści.

¹⁴ Zdawało się, że — tak naturalne i szlachetne dążenie syjonistów do odbudowania ojczyzny swoich przodków, odrodzenia wiary i powrotu na swoją ziemię z trzecztyśiącletniej diaspory, powinno było doczekać się zgodnego poparcia i pomocy przynajmniej ze strony narodów Europy. Co prawda — Krym zamiast Palestyny — to nie całkiem było zgodne z czystą ideą syjonizmu, ale czy Stalin nie nagrał się, proponując temu śródziemnomorskiemu ludowi, by szukał sobie drugiej Palestyny w tajgach Birobidżanu? A może ten wytrawny znawca sztuki wieloletniego ukrywania swoich zamiarów — swoją dobrotliwą propozycją traktował jako pierwszą przymiarkę masowej deportacji Żydów, zaplanowanej na rok 1953?

313

Napływali zwykli bezpartyjni inteligenci — ci duchowo niezależni ludzie, którzy przeskadzali w okrzepnięciu nowego reżymu.

I byli ludzie, niedorżnięci w czasie wojny domowej.

I nawet — młodzi chłopcy „za fokstroty”. I spirytyści. I okultyści. I duchowni, zachowujący jeszcze w pierwszych latach prawo do odprawiania nabożeństw. I po prostu ludzie wierzący, zwyczajni chrześcijanie, czyli krestianie, jak wiele wieków temu zaczęto na Rusi zwać gmin wiejski.

I wszystkich miał odtąd na oku tenże Opersektor, wszyscy sta wali. się łupem izolacji i skostnienia.

Obezwładnieni obojętnością społeczeństwa zesańcy stracili również ochotę do ucieczek. W czasach caratu ucieczki były dla zesańców wesołym sportem: pięć razy uciekał Stalin, sześć razy Nogin, a groziła im za to nie kula, nie katorga, tylko zwyczajny powrót ciupasem do miejsca zesłania po zajmującej podróży. Ale gnuszące, nieruchawe GPU w połowie lat 20. obarczyło zesańców ciężarem partyjnej odpowiedzialności zbiorowej: wszyscy członkowie danej grupy partyjnej odpowiadają za zbiegłego towarzysza! I tak już brak było tchu, już taki dławiący był ucisk, że socjaliści, niegdyś honorowi i nieustępliwi, udzielili teraz tej poręki! Teraz sami, na mocy własnej uchwały partyjnej zabraniali samym sobie ucieczek]

Zresztą — dokąd uciekać? Do kogo? Gdzie ten 1 u d, który przy-wołubi zbiega?...

Kuci fachowcy od teoretycznych uzasadnień szybko znaleźli formułę: nie czas na ucieczki, lepiej poczekać. I w ogóle nie czas na walkę, też lepiej poczekać. Nadzieja Mandelsztam już w pierwszych latach 30. obserwuje wśród czerdyrskich zesańców — socjalistów, objawy zupełnej rezygnacji z wszelkiego oporu. Więcej — są przeświadczeni, że zagłada jest nieunikniona. I na jedno tylko mają nadzieję: że gdy wlepią im nowy wyrok, to obejdzie się przynajmniej bez nowego aresztowania, że pozwolą im podpisać orzeczenie tu, na miejscu, że nie zrukuje to tych skromnych warunków bytowych, jakie udało im się stworzyć. I jedno tylko zadanie moralne sobie stawiają: zachować aż do końca ludzką godność.

Nam, po naszej katordze, gdzie z rozproszonych i rozdeptanych na płask jednostek staliśmy się zwartą całością — dziwne się to wydaje, że socjaliści — z istniejącej już całości, która dowiodła swojej spójności w akcji, przekształcili się w zbiór bezsilnych jednostek. Ale w naszej dzisiejszej epoce życie społeczne wzbiera, dąży do pełni (wdech), podczas gdy za tamtych czasów kurczyło się. podlegało zaciskowi (wydech).

Nie przystoi więc naszej epoce sądzić tamtej.

A ponadto — istniały różne zesłania, co również było źródłem słabości 314

i rozwarstwienia zesańców. Obowiązywały rozmaite terminy obowiązkowej wymiany dowodów osobistych (dla niektórych — co miesiąc i to z męczącymi procedurami). Starając się nie spaść do niższej kategorii, każdy przestrzegał gorliwie przepisów.

Aż do początku lat 30. zachowała się najłagodniejsza forma: nie zesłanie, lecz minus. Represjonowanemu nie wyznaczano w takim wypadku określonego miejsca pobytu, mógł wybrać sobie, jakie chciał — minus takie to a takie miasta. Ale skoro raz wybrał, już musiał mieszkać tam przez trzy lata. Minusowiec nie musiał meldować się regularnie w GPU, ale wyjeżdżać z miejsca pobytu — też nie miał prawa. W okresie bezrobocia „gietda pracy” nie dawała „minusowcowi” żadnego zaję-

cia; jeśli zaś wykombinował sobie jakąś posadę, wywierano nacisk na administrację, by go wydalita.

Minus był rodzajem szpilki: przygważdżało się nią szkodliwe insekty, aby czekały pokornie póki przyjdzie kolej na prawdziwe aresztowanie.

A ponadto — bytowała jeszcze wśród tych ludzi wiara w ten postępowy ustrój, który nie może i nie będzie wiecznie uciekać się do zesłania! Wiara w amnestię, zwłaszcza — w związku ze zbliżającą się promienną, 10 rocznicą Października!

I amnestia nadeszła, amnestia przyszła z hukiem. Czwartą część kary (z trzech lat — 9 miesięcy) darowano zesłańcom, ale też nie wszystkim. Ale jako że dalej rozkładano Wielki Pasjans i że po trzech latach zesłania posyłano facetów na dalsze trzy lata do politizatorów, a później — szły znowu trzy lata zesłania, więc przyspieszenie tego procesu o 9 miesięcy wcale nie dodawało życiu uroku.

I wreszcie — znowu szło się pod sąd. Anarchista Dymitr Wenediktow, gdy skończyło się jego trzyletnie tobolskie zesłanie (w 1937 roku) aresztowany został na podstawie nie podlegającego dyskusji i bardzo określonego oskarżenia o „rozpowszechnianie pogłosek, że rozpisana będzie nowa pożyczka” (cóż to za pogłoski, skoro nowa pożyczka zjawia się rokrocznie z regularnością majowych bzów?!...) — „i niezadowolonia z władzy sowieckiej” (przecież zesłaniec powinien być bardzo zadowolony ze swego losu!). I jak kara spotkała go za tak ohydne przestępstwa? Rozstrzelanie w terminie 72 godzin, przy czym wyrok nie podlegał apelacji! (Jego osierocona córka, Halina, już przewinęła się przez stronicę tej książki).

Tak wyglądała instytucja zesłania w pierwszych dniach odzyskanej wolności i takie były perspektywy zupełnego skasowania tego rodzaju kary.

Zesłanie było zabiegiem wstępnym: zganiano w ten sposób owce, które miały iść pod nóż. Zesłańcy w pierwszych dziesięcioleciach sowieckiej his-

315

torii nie byli obywatelami, tylko petentami, czekającymi na wezwanie — właśnie tam.

(Zdarzali się mądrale — z kategorii byłych ludzi, ale również zwykli chłopi, którzy już w latach 20. przewidzieli wszystko, co później miało się stać. I po odbyciu pierwszej, trzyletniej kary zesłania — woleli na wszelki wypadek zostać na miejscu, na przykład w Archangielsku Czasem udawało im się w ten sposób uniknąć przyszłych obłąkaw).

Oto w co się dla nas obróciło zaciszne szuszeńskie zesłanie a także turuchanskie, to z picciem kakao.

Oto czym doprawiono u nas owidiuszową gorycz.

II

M UŻYCKI POMÓR

W tym rozdziale będzie mowa o drobnostce. O piętnastu milionach dusz.

O piętnastu milionach istnień.

Oczywiście, chodzi o ludzi niewykształconych. Nie umiejących grać na skrzypcach. Nie mających pojęcia, kim był Meyerhold. nie wiedzących, jak interesujące jest studiowanie fizyki jądrowej.

W ciągu całej pierwszej wojny światowej straciliśmy trzy miliony ludzi. W rezultacie całej drugiej wojny — dwadzieścia milionów. (Jeśli wierzyć Chruszczowowi. Bo Stalin naliczył tylko siedem milionów. Czy to Nikita był taki szczodry? Czy może Józef

nie wiedział, ile mu zostało w kieszeni?). Jakież to ody napisano! Ile obelisków, zniczków! Powieści i poematów! — toć od ćwierćwiecza cała rosyjska literatura wciąż tylko tą krwią się poi.

A o tej milczącej, podstępnej zarazie, która skosiła nam piętnaście milionów muzyków i to biorąc pod uwagę tylko dane minimalne pochodzące sprzed 1932 roku!* — i to nie bez wyboru, tylko sam kwiat, sam trzon rosyjskiego ludu o tym Powietrzu Morowym, żadnych księżek nie ma. A o 6 milionach zamorzonych wówczas na śmierć — na skutek sztucznie wywołanego przez bolszewików głodu — o tym głucho i w naszej ojczyźnie,

1 w tak bliskiej przecież Europie. Na żyznej Połtawszczyźnie, w siołach, na drogach i na polach poniewierały się nie pogrzebane trupy. Zarośli obok. Jest to cyfra pomniejszona, sądząc z mowy Stalina na I Zjeździe Przodujących Kołchoźników. Wykalkulował on, że na każde 100 chłopskich zagród 4—5 były to gospodarstwa kułackie, a 8—10 należało do wiejskich bogaczy. Sumując te cyfry przekonamy się, że na zniszczenie skazano 12—15% gospodarstw. W 1929 zagród chłopskich w ogóle było jakieś 26 milionów, chłopska zaś rodzina miała wtedy średnio 5 członków, co bogatsza zaś liczyła 6 dusz.

317

stacji kolejowych nie sposób było rozchylić, by nie zemdlilo człowieka od woni rozkładających się zwłok, a były wśród nich także niemowlęta. „Puchlina bezproteinowa” — taką diagnozę stawiano tym, którym udało się skonać na progu szpitala. Na Kubaniu było może nawet gorzej. W niejednej białoruskiej miejscowości zmarłych musiały zbierać specjalne kolumny ruchome, bo nie było już we wsi sąsiadów. I żadne fanfary nie grają, abyśmy je z drżeniem wspomnieli. I na rozstajach traktów, tam gdzie skrzypiały tabory, co wiozły ich ku zagładzie — nikt nawet trzech kamieni na pamiątkę nie rzuci. I nasi najznakomitsi humaniści, tak czuli dzisiaj na wszelką niesprawiedliwość, w tamtych latach kiwali tylko głowami z aprobatą: bardzo słusznie!, dobrze im tak!

I działa się to wszystko tak skrycie, i tak to wyskrobano do czysta, i tak dobrze każdy szept zagłuszono, że teraz ja sam, bronić się już musząc przed nawałem relacji od kolegów z obozu: „już dosyć, kochani, już mam całe sterty tych opowieści, już się przelewa!” — o tym chłopskim wygnaniu ani słowa znikąd nie mogę wydobyć. Bo też i kto mógłby nam dziś o tym opowiedzieć?

Tak, wiem ja dobrze, że tu nie jednego rozdziału potrzeba, ani jakiejś tam książki przez jednego człowieka napisanej. A tymczasem tego jednego rozdziału nie mogę opracować tak, jakby to się należało.

Ale zaczynam, mimo wszystko. Stawiam te litery jak pierwszy karb, odwalam jak pierwszą skibę, rzucam jak te pierwsze kamienie — żeby tylko oznaczyć miejsce, na którym będzie przecież kiedyś odbudowana nowa świątynia Zbawiciela.

Od czego to wszystko się zaczęło? Czy na początku był dogmat, wedle którego chłopstwo — to drobnomieszczaństwo! (A któż u nich nie należy do „drobnomieszczaństwa”? Wedle ich schematu, tak wspaniale przejrzystego, prócz robotników fabrycznych, też zresztą — tylko niewykwalifikowanych oraz prócz wielkich przedsiębiorstw — wszyscy pozostali, cały właściwie naród, bo i chłopci, i urzędnicy, i artyści, i lotnicy, i profesorowie, i studenci, i lekarze, słowem wszyscy należą właśnie do „drobnomieszczaństwa”). Czy może u źródła była rozbójnicza rachuba władzy: jednych ograbić, a innych zastraszyć? Z ostatnich listów Korolenki do Gor-

kiego z 1921 roku, kiedy to ten pierwszy jeszcze wegetował, a ten drugi jeszcze nie wyemigrował, dowiadujemy się, że ta bandycka operacja wymierzona w chłopstwo zaczęła się już wtedy i realizowana była w ten sam prawie sposób co w 1930 roku. (Z biegiem lat coraz więcej o tym wiemy).

Ale jeszcze wtedy ręce były za krótkie — i trzeba było cofnąć się, ustąpić.

Jednakże plan zawsze tkwił w pamięci i przez całe lata dwudzieste roz-

318

legały się szyderstwa, wyrzuty i wyzwiska: kułak! kułak! kułak! Mieszkańcy miast przyzwyczaili się do myśli, że nie sposób żyć z „kułakiem” w jednym kraju.

Morderczy pomór chłopski, istna dżuma, zaczął się, jeśli wolno sądzić, w listopadzie 1928 roku. Sekretarz północnokaukaskiego krajkomu, And-rejew wygłosił referat, po którym KC WKP(b) zakazał kołchozom przyjmowania bogatych chłopów („kułaków”) — i w ten sposób zostali oni już odseparowani i wytypowani do likwidacji. Decyzja ta potwierdzona została uchwałą z lipca 1929 roku. Już wtedy sporządzono śmiertelne listy, rozpoczęły się konfiskaty i wysiedlenia. Ale dopiero na początku 1930 roku, to co już się działo (i co przeszło przez stadium prób oraz docierania) zostało usankcjonowane publicznie — mowa o uchwale KC WKP(b) z 5 stycznia (partia ma „wszelkie podstawy do przejścia w swojej działalności praktycznej od polityki hamowania i ograniczania eksploatorskich tendencji kułactwa — do polityki likwidacji kułactwa jako klasy”. I od razu też zakazano przyjmowania kułaków do kołchozów. Kto dziś potrafi wyjaśnić logicznie — dlaczego właściwie?).

Nie pozostał w tyle za KC również posłuszny i zawsze zgodliwy CIK oraz Sownarkom — i 1 lutego 1930 roku wola partii stała się formalnie obowiązującym prawem. Obwodowym i okręgowym komitetom wykonawczym zlecono „wprowadzenie w życie wszystkich niezbędnych sankcji dla walki z kułactwem, aż do (a tylko to maksimum wchodziło w grę) całkowitej konfiskaty dobytku kułaków oraz wysiedlenia ich poza obszar danego rejonu czy okręgu”.

Dopiero w ostatnich słowach tej formułki widać, że naszemu Rzeźnikowi coś w rodzaju wstydu nie pozwalało wyrażać się zbyt jasno. Z jakich obszarów — to powiedział. Ale nie powiedział — do jakich. Jakiś naiwniak mógłby pomyśleć, że wysiedlić ich mają o trzydzieści wiorst, do sąsiedniego powiatu...

W Przodującej Doktrynie nie było jakoś mowy o tak zwanych podkułaczach. Ale z samego rozmachu kosa widać było, że nie obejdzie się bez wprowadzenia tej postaci. Już mówiliśmy — czym to słowo pachniało. Kiedy na przykład ogłaszano „zbiórkę tary” i smarkaci pionierzy chodzili od jednej chłopskiej chaty do drugiej, aby zbierać worki na potrzeby ubogiego naszego państwa, a ktoś nie oddał, bo żał się zrobiło ostatniego wora (w sklepie ich przecież nie ma) — od razu ów ktoś zostawał podkułaczem. I jazda na zesłanie.

I rozeszły się echem te przezwiska po całej Sowieckiej Rusi, której nozdrza nie ostygły jeszcze od krwawych oparów wojny domowej! Spuszczono ze smyczy te słowa, które nic nie wyjaśniały — ale były zrozumiałe, dawały

319

rzeczom miano tak proste, że już wcale nie trzeba było się zastanawiać. Znów nabrało mocy dzięki (a moim zdaniem wcale nawet nie rosyjskie: bo i gdzie przykłady w rosyjskiej historii?) prawo wojny domowej: dziesięciu za jednego!, stu za jednego!

Za jednego zabitego w obronie własnej aktywistę (przy tym najczęściej — nieroba, pyskacza. A.J. Oleniew, zresztą nie on jeden, stwierdza we wspomnieniach: akcji odkułaczania przewodzili złodzieje i pijacy) spotykała zagłada setki najbardziej pracowitych, gospodarnych, roztropnych chłopów, tych właśnie, którzy byli ostoją rosyjskiego narodu.

Co? Co znowu?! — słyszę krzyki. A wiejscy bogacze? Lichwiarze i wyzyskiwacze własnych sąsiadów? „Masz tu pożyczkę, a jak nie oddasz, to siódmą skórę zedrę”?! Owszem pewną drobną część tej masy stanowili również tacy chłopci (czy aby wszyscy?). Zapytajmy tylko: czy byli wyzyskiwaczami z urodzenia, z natury? Czy taka i tylko taka była ich istotą? Czy raczej dlatego, że jest w naturze wszelkiego bogactwa (i wszelkiej władzy), że naturę ludzką psuje? O, gdyby tak prostą rzeczą było czyszczenie z brudu ludzkości albo jakiejś jej warstwy! Ale skoro żelaznym, gęstym grzebieniem tak dokładnie oczyszczono chłopstwo z tych bogaczy bez serca, nie żałując całych piętnastu milionów, to skąd w naszej współczesnej wsi ci wszyscy niedobrzy, brzuchaci faceci o czerwonych pyskach, sprawujący w niej (i w komitetach rejonowych) władzę? Ci niemiłosierni ciemężyciele samotnych staruch i wszystkich w ogóle, którzy nie mają poparcia? Jak to się stało, że przy „rozkułaczaniu” nie wykarczowano chciwych korzeni tych ziółtek? Rety, czy aby nie jest to potomstwo owych „aktywistów”?...

Ten, kto miał za sobą szkołę grabienia banków, nie mógł myśleć o chłopach tak, jak myśli brat czy gospodarz. Dał tylko znak zbójcekim gwizdem — i jego ludzie zapędzili w tajgę i tundry miliony strudzonych chleborobów, o zgrubiałych od pracy rękach, tych, którzy ustanowili władzę sowiecką po to właśnie, aby dostać ziemię, a gdy ją dostali — szybko chcieli wrosnąć w nią obiema nogami („Ziemia należy do tych, którzy na niej pracują”).

Jak można mleć ozorem o jakichś „bogaczach wiejskich” jeśli stаницe kubańskie, na przykład — Urupieńską — wysiedlono całuteńką bez wyjątku, od starców do noworodków (osiedlając na jej terenach zdemobilizowanych żołnierzy)? Tu widać dopiero „zasadę klasową” w całej okazałości, prawda? (Przypomnijmy, że właśnie Kubań prawie wcale nie poparł białych podczas wojny domowej, że pierwszy rozpoczął dywersję na tyłach Denikina, szukając porozumienia z czerwonymi.* I nagle — „kubański

Trzon Pierwszej Konnej Armii Siemiona Budionnego, opisanej przez Babla, stanowili właśnie Kubańscy Kozacy.

320

sabotaż”?). A znane, jak Archipeląg długi i szeroki, sióło Dolinka, kwitnący ośrodek rolniczy, skąd się wzięło? W 1929 roku wszyscy jego mieszkańcy (Niemcy) zostali „rozkułaczeni” i wywiezieni. Kto tam kogo eksploatował — nikt nie potrafi zrozumieć.

„Odkułaczenie” jako zasada nabiera szczególnej wyrazistości, jeśli przyjrzeć się, jak wpływa na losy dziecka. Przykładem Szurka Dmitrijew ze wsi Maslieno (Seliszczęńskie Kasarnie pod Wołchowem). W 1925 roku, po śmierci swojego ojca Fiodora, został sam jeden na gospodarstwie. Miał 13 lat, reszta rodzeństwa to były dziewczynki. Któż miał podjąć się gospodarowania, jeśli nie on? Więc się podjął. I siostrzyczki, i matka uznały go za głowę rodziny. Teraz, jako pracujący chłop, witał się na ulicy z dorosłymi jak równy z równymi. Dał sobie radę i poszedł śladem ojca tak, że w

1929 roku miał sęsieki pełne ziarna. No i uznano go za kułaka! Całą rodzinę deportowano!...

Adamowa-Sliozberg przytacza wzruszającą opowieść o swoim spotkaniu z dziewczynką imieniem Motia, którą wpakowano w 1935 roku do więzienia za to, że bez pozwolenia przemaszerowała piechotką dwa tysiące kilometrów] — toż za to należy się medal olimpijski! — z miejsca zstania na Uralu do swojej wsi rodzinnej Swiełtowodowo, pod Tarską. Chodziła jeszcze do szkoły powszechnej, gdy w 1929 roku zstano ją razem z rodzicami, co na zawsze odebrało jej możliwości dalszej nauki. Nauczycielka pieśczołliwie nazywała ją Motia-Edisonik: dziewczynka nie tylko doskonale się uczyła, lecz nadto miała zdolności wynalazcze, sporządziła jakąś turbinkę nad strumyczkiem i wymyśliła wiele innych przyrządów do gabinetu szkolnego. Po siedmiu latach zstania poczuła przemożną chęć, aby zerknąć choćby na drewniane ściany tej niedościgłej szkoły — i dali jej za to więzienie i obóz.

Pokażcie mi w XIX wieku przykład takich losów dziecka!

Ofiarą odkułaczenia stawał się obowiązkowo każdy młynarz — a kim byli młynarze i kowale, jeśli nie głównymi technikami rosyjskiej wsi? Oł, weźmy młynarza Prokopa Iwanowicza Łaktiunkina z Pieńków pod Riazanem. Ledwie tylko został „rozkułaczony” — gdy w jego starym młynie nowi rządcy zacisnęli za mocno żarna i młyn spłonął. Po wojnie, gdy już mu jego grzechy darowano, wrócił on do wsi rodzinnej i w żaden sposób nie mógł pogodzić się z brakiem młyna. Łaktiunkin po długich prośbach uzyskał zgodę, sam odlat żarna i na tym samym (koniecznie na tym samym!) miejscu zbudował młyn — wcale nie dla jakichś swoich korzyści, tylko dla kołchozu, a może bardziej jeszcze — po to, aby rodzinną wieś przyozdobić.

A tu mamy wiejskiego kowala, zaraz zobaczymy co to za kułak. Albo

321

lepiej nasamprzód parę słów o jego ojcu, jak to lubią robić w oddziale kadr Ojciec jego, Gordiej Wasiliewicz, 25 lat służył w warszawskiej cytadeli i wystużył sobie, jak powiadają, tylko tyle srebra, ile na guzikach: żołnierz, który szedł do szeregów na ćwierć wieku tracił prawo do swojej części ojcowskiego gruntu. W czasie służby pojął za żonę żołnierską córkę, po przejściu do cywila przyjechał zatem do żoninej wsi rodzinnej, Barsuki, w powiecie Kraśnieńskim. Przy powitaniu nowi sąsiedzi go spili i połową swoich sołdackich oszczędności zapłacił on za całą wieś zaległe podatki. Za drugą połowę wziął w dzierżawę młyn u dziedzica, ale szybko stracił na tej transakcji również pozostałe pieniądze. I całą długą starość spędził jako pastuch i stróż nocny. Miał sześć córek i wszystkie powydawał za biednych chłopaków. Miał też jedyne go syna imieniem Trifon (a po nazwisku wołali go Twardowski). Chłopiec oddany został do terminu, usługiwał w sklepie galanterijnym, ale uciekł do Barsuków i zgodził się do kowalów Mołcza-nowów — na rok za bezpłatnego parobka, a na cztery lata za terminatora. Po tych czterech latach został majstrem i postawił sobie chatę we wsi Zagorie, gdzie też się ożenił. Miał siedmioro dzieci (wśród nich — poetę Aleksandra), ale kuźnia majątku nie daje. Pomagał ojcu starszy syn, Konstanty. Od świtu do nocy kuli i topili żelazo — i potrafili dziennie wykuć pięć znakomitych toporów, ale kowale z Rosławla mieli prasy, najemnych robotników i psuli im ceny. Kuźnia Twardowskich była więc do samego 1929 roku drewniana, konia mieli jednego, czasem stała w oborze krowa z cieliczką, czasem — ani krowy, ani cieliczki, a jeszcze mieli osiem jabłonek. Tacy z nich byli bogacze wiejscy i krwio pijcy. Bank Ziemiński sprzedawał chłopom na raty zastawione grunta.

Trifon Twardowski kupił jedenaście dziesięcin nieużytków, całych zarostych kierzem i tę właśnie jałową ziemię karczowali oni własnymi siłami aż do samego roku Pomoru. Pięć dziesięcin zdążyli wykarczować, resztę zostawili — całą jeszcze w zaroślach. Przy odkułaczeniu padł wybór na nich — w całej wsi piętnaście gospodarstw — a kogoś przecież trzeba! Wymierzono im niestychany domiar przez tę kuźnię, obłożono podatkami ponad siły, a gdy nie dali rady zapłacić w terminie — to ruszaj w drogę, precz stąd kułackie nasienie!

Kto miał dom murowany, kiedy dokoła stały drewniane, albo piętrowy wśród parterowych — ten zaraz był kułakiem. Zbieraj się, łajdaku, masz godzinę czasu! Na rosyjskiej wsi nie powinno być murowanych domów, nie trzeba nam piętrowych! Z powrotem do jaskini! Do kurnej chaty! To nasza wspaniała koncepcja przemiany, niczego podobnego jeszcze nie było w całych dziejach.

Ale najważniejsza tajemnica jeszcze nie na tym polega. Czasem nawet ten, co był od innych bogatszy, mógł zostać, jeśli szybko zdołał wstąpić do

322

kołchozu, ale uparty mizerota, który nie złożył podania — podlegał deportacji.

To bardzo ważne, to właśnie najważniejsze! Nie chodziło o żadne „od-kułaczenie”, tylko o wypychanie ludzi przemocą do kołchozów. Nie sposób było inaczej, niż pod presją śmiertelnego strachu wyrwać chłopom ziemię, którą dała im rewolucja — i przypisać ich do tej samej ziemi jako pańszczyźnianych.

To była druga wojna domowa — tym razem przeciw chłopom. To był Wielki Przełom, tylko nikt nie mówi — co przełamano?

Przełamano Rosji kręgosłup. Przetrącono go.

Nie, oczerniliśmy niestusznie literaturę socrealizmu, zgrzeszyliśmy wobec niej — opisane jest w niej odkułaczenie, oj, opisane, bardzo gładko opisane — i z wielką sympatią, jako polowanie na wilki o wyszczerzonych kłach.

Tylko nikt tam nie opisuje długiej wsi — ulicówki, w której wszystkie okna po kolei zabite są deskami. Albo — jak idziesz przez wieś i widzisz na ganku martwą kobietę z martwym dzieckiem na kolanach. Albo siedzącego pod płótem starca, co prosi o kawałek chleba, a gdy wracasz tą samą drogą, widzisz, że leży już martwy.

I takiego obrazka też w tych książkach nie znajdziemy: przewodniczący rady wiejskiej z nauczycielką, co ma być za świadka, wchodzi do chaty, gdzie na zapiecku leży starzec ze staruszką (ten stary podawał dawniej podróżnym herbatę z samowara — no, czy to nie krwio pijca?, bo i komu potrzebna gorąca herbata?) i potrząsa naganem: „Złazić mi tu zaraz, ty wilku tambowski!”. Starucha w płacz, więc przewodniczący, żeby popamiętali, strzela w powałę (jak w chacie, to huk bywa spory). W drodze oboje tych starych umarło.

Tym bardziej nie znajdziemy opisu takiego oto sposobu odkułaczenia: wszystkich Kozaków (w stanicie nad Donem) zwoływano „na zebranie”, gdy przychodzili — otaczano ich (cekaemy były w pogotowiu), wszystkich zabierano i wysyłano precz. A z wysiedlaniem bab — już później żadnego zachodu nie było.

Chętnie nam opiszą i nawet w kinie pokażą całe spichrze albo doły pełne ziarna, ukrytego przez wiejskich krwio pijców. Nie pokażą nam tylko tej garści dobytku, tego co własne i bliższe ciału niż koszula — bydełka, podwórka, kuchennych statków — wszystkiego, co kazano zostawić płaczącej babie*. (Gdy ktoś z rodziny ocaleje i uda mu się wszcząć starania, i Mos-

Jedyny taki opis dał Izaak Babel w opowiadaniu Kołtywuszka z 1931 roku, patrz: Utwory odnalezione, Czytelnik, Warszawa 1971. (przyp. tłum.).

323

kwa w końcu „uzna” rodzinę za średniacką — to już po powrocie nie znajdą oni tego swojego średniackiego dobytku: wszystko już rozkradzione przez aktywistów i aktywne ich baby).

Nie pokażą nam tylko tych mizeryjnych tobołków, z którymi pozwalają rodzinie wleźć na wóz, co go przysłały władze. Nie dowiemy się, że w domu Twardowskich w tej ciężkiej chwili nie było ani kawałka słoniny, ani nawet chleba i że uratował ich sąsiad, Kuźnia, też niebogaty, też obarczony liczną rodziną — co im przyniósł parę kęsów na drogę.

Kto zdążył — ten uciekł przed pomorem do miasta. Czasem nawet z koniem — ale nie sposób było znaleźć wtedy kupca na konia: również ten konik chłopski stał się jak zaraza — typowym kułackim znamieniem. Więc w końcu na końskim rynku gospodarz przywiązywał szkapę, klepał po chrapach ostatni raz — i odchodził szybko, póki kto nie zauważył.

Uważa się powszechnie, że to Morowe Powietrze przypadło na lata 1929-1930. Ale trupi cuch długo jeszcze unosił się nad wsią. Na Kubaniu w 1932 roku wymłócone ziarno — aż do ostatniej szczypty, natychmiast spod cepów odwożono do państwowych spichrzy, a kołchoźnicy żywieni byli tylko tak długo, jak długo trwały żniwa i młocka. Gdy młocka się skończyła — przestano im dowozić gorącą strawę w pole, a za dniówki nie dawano ani ziarenka. Gdy baby podniosły krzyk — jaki był na nie najlepszy sposób? — Kogośmy tu jeszcze przeoczyli? Kto tu kułaki Kogo tu jeszcze zesać? (Jaka była sytuacja uwolnionej od kułaków wsi, gdy kołchozy stawały pierwsze kroki — dowiadujemy się od Skrypnikowej: w roku 1930, w jej przytomności niektóre chłopki posyłały z Wysp Solawieckich paczki żywnościowe z czarnymi sucharami do swojej wsi rodzinnej!).

Oto historia Timofieja Pawłowicza Owczynnikowa. urodzonego w 1886 roku we wsi Kiszino, okręgu Michniewskiego (ręką podać do Górek Leninowskich, przy tym samym gościńcu). Wojował przez całą wojnę niemiecką, wojował podczas domowej. Wojna się skończyła, wrócił na wieś, dostał ziemię z dekretu, ożenił się. Zmyślny, piśmienny, bywały, złote ręce. Znał się trochę na weterynarii, bo samouk, znany z uczynności w całej okolicy. Pracując bez ustanku pobudował sobie przyzwoity dom, założył ogród, wyhodował od źrebięcia pięknego konia. Ale NEP zawrócił mu w głowie, coś go skusiło, żeby uwierzyć w ten NEP, jak uwierzył był w dekret o ziemi — i do spółki z jeszcze jednym chłopem założył malutką, chatupniczą wytwórnię tanich kiełbas. (Teraz, kiedy wieś czterdzieści już lat nie widziała kiełbasy, człowiek tylko w głowę się drapie: i co w tym było złego?). Wyrabiali te kiszki sami, bez żadnych parobków, co więcej, sprzedawali je też przez sieć spółdzielczą. Pracowali tak całej parady dwa lata,

324

od 1925 do 1927 roku. Tu zaczęły się nieznośne domiary, obliczane według rzekomych szalonych zarobków (cyfry brali z sufitu inspektorzy z wydziału finansowego, taka to służba, ale jeszcze pełne uszy podpowiadali im wiejscy zawistnicy, nygusy na nic niezdatne, chyba na to żeby zostać aktywistami. Więc nasi współnicy zamknęli swoją kiełbasiarnię. W 1929 roku Timofiej wstąpił jako jeden z pierwszych do

kołchozu, przyprowadził tam swojego dobrego konia, swoją krowę, oddał cały inwentarz. Całą duszą oddany pracy dla kołchozu, zdołał jeszcze wyhodować dwa rozplodowe byczki dla wspólnego gospodarstwa. Kołchoz jednak rozlatywał się i wielu kołchoźników już z niego pouciekało — ale Timofiej miał pięcioro dzieci, nie tak . łatwo ruszyć się z miejsca. W pamiętliwym wydziale finansowym wciąż jednak zapisany był jako bogacz wiejski (również za tę pomoc, którą ludziom świadczył jako konował), więc choć był już kołchoźnikiem, wciąż go gnębili nieznośnymi podatkami. Nie miał czym płacić, tedy zajęli mu wszystko, co miał w domu; trzy ostatnie owieczki jedenastoletni synek zdołał któregoś razu cichcem wyprowadzić komornikowi sprzed nosa, ale następnym razem zabrano je także. Gdy przyszli, żeby zrobić ostatnie zajęcie — niczego już nie było w podupadłym domu, więc bezwstydni inspektorzy zajęli fikusy w doniczkach. Tego Timofiej nie mógł już znieść — więc zrząbał te fikusy siekierką w obecności komorników. Aha, tu cię mamy, patrzaj, cóżeś zrobił: 1) zniszczyłeś dobytek należący już nie do ciebie, ale do państwa; 2) uprawiałeś tą siekierką agitację przeciw władzy sowieckiej; 3) dyskredytowałeś system kołchozów.

A system kołchozów we wsi Kiskino już cały trzeszczał, nikt już nie chciał pracować, nie wierzył, że to coś da, połowa ludzi uciekła, więc koniecznie trzeba było kogoś przykładnie ukarać! Zaciekły nepman, Timofiej Owczynnikow, który wtrynił się do kołchozu tylko po to, by go rozsadzić, został teraz nareszcie rozkułaczony decyzją przewodniczącego rady wiejskiej Szokołowa. Był już rok 1932, deportacje masowe już się skończyły, więc żony z sześciorgiem dzieci (jedno przy piersi) nie zesłano, lecz tylko wyrzucono na ulicę ze skonfiskowanego domu. (Na własny już rachunek cały rok wędrowali do ojca, do Archangielska'. W rodzinie Owczynnikow-1 Może to nie temat, ale rzuci trochę światła na epokę: po jakimś czasie również w Archangielsku Timofiej dostał pracę w specjalnej wytwórni kiełbas. Też tam pracowało się we dwójkę, ale nad głową mieli pana kierownika. Własną kiełbasiarnię Timofieja zamknięto — jako przynoszącą szkodę ludowi pracującemu. Drzwi zaś tej kiełbasiarni były zamknięte dla ludu pracującego, żeby się kto nie dowiedział, że wyrabiają tam drogie gatunki kiełbas na stoły wielkorządców tego północnego kraju. Nieraz Timofiej sam odnosił wyroby do willi — otoczonej wysokim parkanem — sekretarza komitetu okręgowego, towarzysza Austrina (róg Liebknechta i Czumbarowa-Łuczynskiego) oraz do mieszkania naczelnika delegatury okręgowej NKWD, towarzysza Szejrona.

325

wów wszyscy żyli po osiemdziesiąt lat, ale Timofiej po takim życiu wyciągnął nogi, gdy mu stuknęło 53. rok).

Jeszcze w 1935 roku podczas Wielkiejnocy po zrujnowanej wsi chodzi pijana góra kołchozowa i żąda pieniędzy na wódkę od indywidualnych gospodarzy. „A jak nie dasz — to na zesłanie pojedziesz!”. I pojedziesz! Siedzisz przecież na swoim, nie w kołchozie. Na tym polega Wielki Przetom.

A samej drogi, owej drogi krzyżowej — tego już socrealiści w ogóle nie opisują. Załadowali, krzyż na drogę — i koniec pieśni, i trzy gwiazdki na zakończenie epizodu. A ładowano ich tak: dobrze, jeśli pora była letnia, to na furi, a jak nie — to na sanie w trzaskające mrozy — z niemowlętami przy piersi, z całym drobiazgiem i niedorośliwymi dziećmi. Przez wieś Koczeniewo (okręg nowosybirski) w lutym 1931 roku, kiedy mrozy i śnieżne zawieje ani na chwilę nie ustępowały — ciągnęły, ciągnęły i

ciągnęły te nieskończone tabory w otoczeniu zbrojnego konwoju, wynurzając się ze śnieżycy i ginąc w śnieżnej dali. Żeby wejść do chaty i ogrzać się — na to trzeba było zezwolenia konwojentów, dawano je tylko na krótką chwilę, aby nie zatrzymywać karawany. (Ci konwojenci z GPU — przecież żyją dotąd, przecież są na rencie! Przecież mają czas na wspominki! A może nic nie pamiętają...).

Ciągnęli wszyscy w stronę narymskich bagien — i w bezdennych tych bagnach wszyscy zostali. Ale przedtem, jeszcze w czasie tej strasznej drogi, wymierały dzieci. Na tym polegało całe zamierzenie, żeby to mużyckie nasienie wyginęło razem z dorosłymi. Gdy nie stało już Heroda — dopiero Przodująca Doktryna potrafiła nam pokazać, jak to się robi, żeby wytrzebić wszystkich, aż do noworodków włącznie. Hitler był tylko terminatorem w tym rzemiośle, ale miał szczęście: jego komory gazowe zostały tak opisane, że zna je cały świat, nasze zaś — niczyjej ciekawości nie budzą.

Chłopi wiedzieli co ich czeka. I jeśli taki fart im się zdarzył, że wieziono ich eszelonami przez okolice zamieszkane, to swoje małe dzieci, ale już umiejące chodzić, wyrzucali przez okienka na przystankach: idźcie w świat o zebranych chlebie! Proście jałmużny — bylebyście razem z nami nie wyginęły.

(W Archangielsku w głodowych latach 1932-33 cierpiącym nędzę dzieciom specprzesiedlericów nie wydawano bezpłatnych szkolnych śniadań ani talonów na odzież, podczas gdy inni byli dożywiani).

W tym eszelonie znad Donu, którym jechały kobiety oddzielone od Kozaków wziętych „na zebraniu”, pewna baba urodziła w drodze dziecko.

326

Dawano im po szklance wody dziennie i po trzysta gramów chleba, ale to już nie każdego dnia. Felczer? — ani mowy. Matce zabrakło mleka i dziecko umarło w drodze. Gdzież tu je pochować? Dwaj konwojenci wsiedli do tego wagonu między jednym przystankiem a drugim i wyrzucili trupka.

(Ten transport przywieziono na Wielką Budowę, do Magnitogorska. Mężów też tam przywieźli; kop ziemiankę. Kozacze! Poczynając od Magnitogorska nasi bardowie już zabrali się do odzwierciedlania).

Rodzinę Twardowskich wieziono podwodami tylko do Jelni. Na szczęście był już kwiecień. Tam załadowano ich do wagonów towarowych. Wagony zaryglowano, a kubłów do chodzenia za potrzebą nie-dano i żadnych dziur w podłodze nie było. Ryzykując karę albo nawet wyrok za próbę ucieczki, Konstanty Trifonowicz wyciął kuchennym nożem otwór w podłodze — w czasie biegu pociągu, żeby hałas nie zwrócił uwagi. Raz na trzy dni, na stacjach węzłowych przynoszono zupę w wiadrach; to było wszystko, co im dawano do jedzenia. Co prawda wieziono ich (do stacji Lala na północnym Uralu) wszystkiego dziesięć dni. A tam — zima była jeszcze na dworze; na spotkanie eszelonu przyjechały setki sań i po zamarłej rzece zawiozły ich w głąb lasu. Stał tam barak dla flisaków na jakichś dwadzieśtu ludzi. Przywieziono zaś ponad pół tysiąca i wieczór już zapadł. Po śniegu uwijał się komendant, komsomolec z Permu, Sorokin i pokazywał, gdzie wbijać kołki: o, tu będzie ulica, tu zbuduje się domy. Tak założono osadę Parcza.

Aż trudno uwierzyć w takie okrucieństwo: żeby zimowym wieczorem powiedziano ludziom zwiezionym do tajgi: tu macie żyć! Jak może człowiek zrobić coś podobnego? Ale przecież wieźli ci ich przez cały dzień, no to przyjechali pod wieczór — i tyle. Setki i setki tysięcy właśnie tak zwożono i zostawiano na łasce losu — ze star-

cami, kobietami i dziećmi włącznie. A na półwyspie Kola (Apatyty) przez całą zimową noc polarną, wiele miesięcy ludzie gnieździli się w zwyczajnych namiotach przysypanych śniegiem. Ale czy bardziej miłosiernie postąpiono przywożąc Niemców znad Wołgi latem 1931 roku (31., nie 41., to nie omyłka!) kolejowymi eszelonami w samo serce bezwodnego stepu za Karaganda — każąc im kopać ziemię i budować domy, a wodę wydając po garnuszku? Zresztą, tam też w końcu nadeszła zima. (Na wiosnę 1932 roku starcy i dzieci z tego transportu już wymarły — biegunka, dystrofia). W samej Karagandzie, jak w Magnitogorsku — budowano długie, niskie ziemianki na hotele robotnicze — podobne do magazynów na ogrodowiznę. Nad Kanałem Biało-morskim kazano mieszkającym osiedleńcom w opustoszałych już barakach obozowych. A na budowę kanału Wołga-Moskwa — tuż obok stolicy, w Chirnkach! zwożono ich jeszcze przed założeniem obozu, zaledwie tylko

327

skończono pomiary hydrograficzne. Wyrzucano ich z wagonów na gołą ziemię, kazano kuć grunt oskardami i wozić taczki (w gazetach czytaliśmy: „Na budowę kanału przywieziono maszyny”). Chleba nie było; kopać dla siebie ziemianki mieszkalne wolno było tylko po fajrancie. (Teraz mieszkańcy Moskwy jeżdżą tam na wycieczki spacerowymi statkami. Kości na dnie, kości — w ziemi, kości — w betonie).

Gdy nadeszła Mużycka Dżuma w 1929 roku, w Archangielsku zamknięto wszystkie cerkwie: bo też i tak miano je zamknąć, a tu okazało się, że jest realna przyczyna: trzeba gdzieś ulokować „rozkułaczonych”. Zestane chłopstwo płynęło przez Archangielsk wielkimi falami i na jakiś czas całe miasto stało się niejako jednym ogromnym zborniakiem. W cerkwiach wybudowano wielopiętrowe nary, tylko nie było żadnego ogrzewania. Na dworcu opróżniano jeden bydlęcy eszelon po drugim i wśród psiego ujadania szły zastępy posępnych muzyków w tykowych łapciach na te swoje cerkiewne postania. (Chłopiec Sz. zapamiętał sobie pewnego muzyka, który szedł z chomątem na karku: w pośpiechu, przed nagłym odjazdem, zabrał to, co mu się wydawało najważniejsze. Ktoś inny niósł gramofon z tubą. Operatorzy filmowi — to jest temat!...). W cerkwi Wniebowstąpienia ośmiopiętrowe nary nie umocowane do ścian runęły w nocy pod ciężarem ciał i wiele było ofiar wśród leżących tam rodzin. Gdy rozległy się krzyki bólu i strachu — ściągnięto pod cerkiew wojsko.

Tak oto żyli oni tej zimy pomoru. Nie myli się. Ciała ropiały. Zaczął się dur plamisty. Marli gromadnie. Ale obywatelom Archangielska rozkazano surowo: nie wolno okazywać pomocy specprzesiedleńcom, bo tak nazywano oficjalnie zestanych! Ledwie żywi chłopcy snuli się po mieście, ale nie wolno było wpuścić do domu żadnego z nich ani nakarmić, ani nawet wynieść mu przed bramę szklanki herbaty: za takie wykroczenia zabierała miejscowych obywateli milicja i odbierała im paszporty. Kuśtyka głodny chłop przez ulicę, potknął się, upadł — i już nie żyje. Ale nawet takich nie wolno było podnosić (smyrgali po mieście agenci wypatrując, kto zestanym okazuje litość). W tym samym czasie podmiejskich ogrodników i hodowców także wysyłano spod Archangielska całymi wsiami, jak zgrzebłem wyczesać (znów zapytajmy: kto tam kogo wyzyskiwał?) i obywatele miejscy drżeli już, aby ich też nie zestano. Bali się nawet zatrzymać i pochylić nad trupem (jeden leżał obok GPU, więc nikt go nie zabrał). Bo chowano ich w sposób zorganizowany, robiło to przed-

siębiorstwo miejskie. Rzecz jasna, chowani byli bez trumien, w grobach masowych, obok starego cmentarza miejskiego na ulicy Wołogodzkiej — już w otwartym polu. I żadnych nagrobków tam nie postawiono.

A wszystko to było dla naszych rolników dopiero etapem.

328

Za wsią Tałagi był jeszcze dla nich wielki obóz i niektórych brano stam-, tąd do ładowania drewna. Aż któryś wpadł na pomysł, aby napisać na belce list za granicę (no i ucz tu chłopów pisanial!) — więc już ich do tej roboty nie brali. Szlak ich prowadził znacznie dalej — na Onegę, na Pinieję i w górę rzeki Dźwiny Północnej. Żartowaliśmy sobie w obozie, że dalej niż na słońce nie poślą. Jednakże tych chłopów posyłano jeszcze dalej, tam gdzie długo nie będzie nawet dachu, pod którym można by zapalić łuczywo.

Od wszystkich poprzednich i wszystkich następnych sowieckich deportacji masowe zesłanie chłopów tym się różniło, że wysyłano ich nie do żadnego miejsca zamieszkanego, a choćby odwiedzanego przez ludzi — tylko między dzikie zwierzęta, w puszcę, tam gdzie trzeba było wracać do warunków prehistorycznych. Nawet gorzej. W okresie pierwotnym nasi przodkowie wybierali sobie miejsca na osadę przynajmniej jak najbliżej wody. Jak długo ludzkość istnieje — nikt jeszcze nie budował inaczej. Ale dla specosiedli czekistki wybierali miejsca (a sami chłopci nie mieli prawa wyboru!) położone na kamiennych zboczach (na przykład nad rzeką Pinie-gą, sto metrów nad lustrem wody, gdzie nie można dokopać się do żadnych źródeł i nic na tej glebie wyrosnąć nie może). Trzy-cztery kilometry stamtąd było dobre miejsce z ujęciem wody — ale skąd, instrukcje nie pozwalały zakładać tu osady! Łąki dla sianokosów wyznaczano o dziesiątki kilometrów od osady i siano trzeba było przywozić czółnami. Czasami zabraniali siał zboże, dosłownie. (Profil gospodarstwa też określany był z góry przez czekistów!). My, mieszcuchy, jeszcze jednej rzeczy nie rozumiemy: co to znaczy żyć od wieków w towarzystwie własnej trzody; dla chłopca nie ma życia bez bydełka — i oto przez wiele lat ci ludzie nie mieli słyszeć ani rżenia, ani ryku, ani beku; nie mieli siodłać, ani doić, ani zadawać paszy. Nad rzeką Czutym na Syberii specosadę kubańskich Kozaków otoczyli po prostu zasiekami z drutu kolczastego i wystawili wieżyczki jak w obozie.

Zdaje się, że wszystko uczyniono, aby to znienawidzone, mrówcze plemię wymarło jak najszybciej, uwalniając nasz kraj i od swojej obecności i od nadmiaru chleba. I rzeczywiście — wiele takich specosiedli wymarło do nogi. I teraz na tych terenach jacyś przypadkowi włóczędzy stopniowo puszczają z dymem resztki baraków, trącając nogą zetłate czerepy.

Żaden Dżyngis-chan nie wytrzebił tylu ruskich chłopów, co przestawne nasze Organy pod kierownictwem Partii.

Oto — Tragedia Wasjugańska. W 1930 roku dziesięć tysięcy rodzin (a więc sześćdziesiąt-siedemdziesiąt tysięcy ludzi wedle ówczesnych proporcji) przeciągnęło przez Tomsk. Dalej popędzono ich na piechotę, a była zima: z początku w dół rzeki Tom, potem — wzdłuż Obu, następnie — w górę

329

Wasjuganu — i to wszystko po białej stopie. (Mieszkańców przydrożnych wsi zmuszano potem do zbierania zostawionych na szlaku zwłok dorosłych i dzieci). W górnym biegu rzeki, na dziale wodnym Wasjuganu i Tary porzucono ich samych wśród

bagien usianych kępami. Nie zostawiono im ani zapasów, ani narzędzi pracy. Przyszła odwilż i odcięta cały ten obszar od świata zewnętrznego. Zostały tylko dwie ścieżki: jedna — na Tobolsk i druga — w stronę Obu. Na obu tych szlakach wystawiono czaty z karabinami maszynowymi; czaty nikogo nie przepuszczały. Zaczął się pomór. Chłopi podchodzili w desperacji pod same czaty — błagali, aby ich wypuścić witano ich kulami. Poniewczasie, gdy znikła już kra na rzekach, tomski Integrawsojuz (Związek Spółdzielni Spożywców) otrzymał zlecenie wystania im mąki i soli, ale ładowne kropy nie mogły dotrzeć w górę rzeki; Wasjugan jest bystry. (Prowadził tę wyprawę pełnomocnik Integrawsojuz Stanisławow i dzięki niemu stało się to wiadome).

Wymarli wszyscy.

Podobno wszczęto jednak śledztwo w tej sprawie i ponoć nawet jakiegoś tam jednego rozstrzelano. Nie bardzo w to wierzę. Ale jeśli nawet tak było — to proporcja jest bardzo piękna!, proporcja znana z czasów wojny domowej: za jednego naszego — tysiąc waszych! Za 60.000 waszych — jednego naszego!

Bo przecież bez tego nie da się zbudować Nowego Społeczeństwa.

A mimo wszystko — zesańcy żyli! Gdy się zna warunki tego życia — nie sposób w to uwierzyć. A jednak żyli.

W osiedlu Parcza dzień zaczynał się od pałki dziesiętnika. Dziesiętnikami byli miejscowi Komi-Zyranie. Przez całe swoje życie nasi chłopi zaczynali dzień sami, teraz zaś pędzono ich pałkami na wyrąb lasu i do spławu drzewa. Przez całe miesiące nie pozwalając im wysuszyć odzieży, redukując normę mąki, wymagano od nich wykonania planu. Później, wieczorkiem, można było zabierać się również do budowania własnej chaty. Cała ich odzież poszła w strzępy, więc baby nosiły spodnice z worków i szyły z nich chłopom portki. Gdyby wszyscy zaraz powymierali, nie byłoby dziś wielu naszych miast—choćby nawet takiej Igarki nad Oceanem Lodowatym. Przecież Igarkę budował od 1929 roku i zbudował w końcu — kto? Może Polarny Trust Drzewny osobiście? A czy aby nie rozkułaczeni chłopi? Mieszkali w namiotach przy 50-stopniowym mrozie, ale już w roku 30. wypłynął z Igarki pierwszy transport eksportowego drewna.

W swoich specosadach mieszkali rozkułaczeni tak, jak więźniowie w obo-
330

zach o zaostrowym reżymie. Chociaż nie było żony i zasieków, ale zwykle w osadzie stał na kwaterze żołnierz — i był gospodarzem, od którego zależały wszystkie zakazy i zezwolenia. Miał też prawo bez żadnych dyskusji zastrzelić kogo chciał za byle objaw nieposłuszeństwa.

Ale to był lud krzepki; temu i owemu udawało się uciec z tych posiołków. Halina Osipowna Riabokoń spod Kupiańska — wyprowadziła z takiej osady w rejonie Wołogdy garstkę chłopów (szła na przedzie nucąc piosenki, że niby wyszła na jago-dy). Przyjechała do Charkowa, do kuzynki, która tam była służącą. Dobrzy państwo naraili ją jakiemuś dygnitarzowi: może wam potrzebna dobra niańka? Pryn-cypał załatwił jej dokumenty, przyjął pod swój dach, wszyscy byli zadowoleni i dziewczyna żyła sobie jak u Pana Boga za piecem. Ale w 1937 aresztowano także tę rodzinę. Halina nie mogła się powstrzymać i uciekła do rodzinnej wsi, co gorsza, w chromowych bucikach i wełnianej chusteczce, żeby przynajmniej zadać szyku. Rzecz jasna, zaraz ją przyskrzynili i zesłali drugi raz. Ale uciekła również z drugiego zesłania!

Ranga społeczna specosiedli i pokrewieństwo ich z naszym Archipelagiem znajdują wy tłumaczenie w prawie naczyń połączonych: gdy na Wor-kucie dawał się odczuć brak rąk do pracy, przerzucano tam (bez żadnych nowych spraw sądowych!, nie zmieniając też ich prawnego statusu!) spec-przesiedleńców z ich osad — wprost do zon obozowych. I najspokojniej w świecie musieli żyć w żonach, chodzić do pracy w żonie i jeść obozową sałamaczę, tyle że płacili za nią (jak również za miejsce w baraku i straż) ze swojej pensji. I nikt się niczemu nie dziwił.

Również z osady do osady — nie dbając o więzy rodzinne — przesyłano specmuzyków — podobnie jak zeków przesyła się z jednego obozu do drugiego.

Nader chwiejne są czasem kroki naszego prawa: 3 lipca 1931 roku CIK ZSSR wydał zarządzenie, na mocy którego wolno było przywracać roz-kułaczonym chłopom prawa obywatelskie po upływie pięciu lat „jeśli przez ten czas zajmowali się (w kar-nym osiedlu!) pracą społecznie pożyteczną i wykazali się lojalnością wobec władzy sowieckiej”. (No powiedzmy — jeśli pomagali strażnikowi, komendantowi albo operowi). Jednakże było to bałamuctwo, chwilowy kaprys. Zresztą — owe sakramentalne pięciolecie kończyło się właśnie w latach, gdy Archipelag zaczął krzepnąć na kamień.

Bo zaczęły się takie lata, że mowy przecież nie było, aby złagodzić reżym: a to zabicie Kirowa; a to — rok 37. i 38.; a to znów w 39. zaczęła się wojna na Zachodzie, u nas zaś — w 41. To już lepiej było zrobić całkiem co innego: poczynając od 37. roku zaczęto wielu tychże nieszczęsnych kułaków oraz ich synów wyciągać ze specosiedli, wlepiać im artykuł Pięćdziesiąt Osiem i — posyłać do obozów.

331

Co prawda, podczas wojny, gdy frontowi zaczęło brakować już zamaszystej, ruskiej siły, odwołano się również do kułaków: powinno było przecież w nich odezwać się rosyjskie sumienie i zagłuszyć kułacki charakter. To tu to ówdzie proponowano im, aby ze swoich karnych specosiedli albo z obozów szli na front — bronić ojczyzny. I cóż, szli...

A jednak — nie zawsze. N. Ch-owi, synowi „kułaka” (jego biografię we wcześniej napisanej książce wykorzystałem dla życiorysu Tiurina*, a później — nie mogłem się zdecydować, aby ją w całości opowiedzieć) — zaproponowano w obozie to, czego odmawiano trockistom i byłym komunistom, choćby nie wiem jak prosili: żeby poszedł bronić ojczyzny. Ch-w ani chwili się nie wahał i z punktu wygarnął w obozowej komendzie: „Waszej ojczyzny sami sobie brońcie — gównojady! A proletariat nie ma ojczyzny\”r.

Wydaje się, że było to całkiem zgodne z Marksem — i faktycznie — każdy łagrowiec jest jeszcze biedniejszy, gorzej traktowany i bardziej wyzuty z praw niż klasyczny proletariusz — ale obozowe kolegium orzekające nie wzięło tego wcale pod uwagę i skazało Ch-wa na rozstrzelanie. Ze dwa tygodnie przesiedział sobie z tą czapą i wcale nie prosił o łaskę, taki był na nich zły. Ale sami przynieśli mu w zębach zmianę wyroku na drugą dychę.

Zdawało się czasem, że wywożono muzyków do tajgi albo w tundry, tam ich puszczano — i już o nich zapominano: wieziono ich przecież na pewną śmierć, po cholere więc rachować? Nie zostawiano przy nich nawet żołnierza — bo i po co w takiej głuszy, w takiej dali? I nareszcie — puszczane samopas, bez nadzoru mądrego naszego kierownictwa — ale też bez konia i bez pług, bez sieci rybackich i bez fuzji — to pracowite, uparte plemię, mając tam może parę siekier i łopat, zaczyna-

to beznadziejną walkę o byt w warunkach niewiele łżejszych niż w erze kamienia łupanego. I na przekór ekonomicznym prawom socjalizmu, osiedla te nie tylko żyły dalej, ale potrafiły okrzepnąć i dorobić się.

W takiej właśnie osadzie, gdzieś nad Obem, ale nie nad głównym nurtem, gdzie statki płyną, tylko nad boczną odnogą, wyrósł Burow; znalazł się tam jeszcze jako dziecko. Opowiada, że pewnego dnia przed samą wojną, przepływała tamtędy łódź motorowa i na widok ich sióła przybiła do brzegu. Jak się okazało — jechała łodzią cała góra powiatowa. Jęli się wypytywać — skąd ta wieś, co za ludzie, od jakiego czasu? Zdumiała się Zwierzchność widząc taki dobrobyt i dostatek, jakiego nie znała w swoich

Patrz Jeden dzień Iwana Denisowicza.

332

kołchozach. Łódź ruszyła dalej. A po kilku dniach przyjechali pełnomocnicy NKWD z oddziałem strzelców i znów, jak w roku Zarazy, kazano im w ciągu jednej godziny porzucić wszystko, czego się dorobili, całe ich przytulne sióło i prawie gołych, z tobołkami wyprawiono dalej w głąb tundry.

Czy nie dosyć tej jednej opowieści, aby zrozumieć sens takich pojęć jak „kułak” i „odkułaczenie”?

Czego można by dokonać z takim ludem, gdyby pozwolić mu tylko żyć spokojnie i dać mu się swobodnie rozwijać!!!

Starowiercy! — wiecznie prześladowani, wieczni zesańcy! Oto kto — już przed trzema wiekami — odgadł, na czym polega przeklęty sekret naszej Władzy! W roku 1950 jakiś samolot przelatywał nad ogromnymi pustociami w dorzeczu Podkamiennej Tunguski. Po wojnie zaś sztuka latania bardzo się u nas udoskonaliła i sumienny lotnik dostrzegł to, czego nikt w ciągu dwudziestu lat nie widział: jakiś zamieszany punkt w głuchej tajdze. Zaznaczył to na swojej mapie. Zameldował. Było to w głuszy, daleko, ale dla MWD nie ma rzeczy niemożliwych - i po upływie sześciu zaledwie miesięcy dotarli również tam. Okazało się, że to starowiercy z okolic Jarujewa. Kiedy zaczęła się wielka i wytęskniona Zaraza, to jest — kolektywizacja, starowiercy zawczasu uciekli sami w głąb tajgi, jak najdalej od tych błogostawieństw. I mieszkali tam sobie nie wysuwając nosa z puszczy; tylko swojego starostę posyłali do Jarujewa po sól, po metalowe wichajstry, potrzebne rybakom i myśliwym, po wyroby żelazne i narzędzia, wszystko zaś pozostałe robili sami. Zamiast pieniędzy starosta zabierał zapewne ze sobą zwierzęce skóry. Po załatwieniu zakupów — znikał z rynku, rozglądając się na boki jak tropiony zbój. I w ten sposób starowiercy z Jarujewa wygrali dwadzieścia lat życia. Dwadzieścia lat wolnego i ludzkiego życia wśród dzikich zwierząt, zamiast dwudziestu lat udręki w kołchozie. Wszyscy nosili szatki z samodziału i ciżmy własnej roboty, wszyscy też byli silni i słusznego wzrostu.

Tych ohydnych dezterów z frontu kolektywizacji natychmiast wzięto do paki i wlepiono im artykuł... no, jak myślicie, który?... Kontakty z międzynarodową burżazją?, szkodnictwo?, nie, 58-10 — za antysowiecką agitację (!?!?) oraz 58-11 — za działanie w zorganizowanej grupie. (Wielu z nich trafiło później do dżezkazgańskiej filii Steptagu i stąd o nich wiemy).

A w 1946 roku innych jeszcze starowierców z jakiegoś zapomnianego w głuszy klasztoru dzielne nasze wojska wybiły szturmem (z użyciem miotaczy min, bo trzeba jednak wykorzystać doświadczenia Wojny Narodowej). Potem wieziono ich tratwa-

mi w dół Jeniseju. Niepokorni jeńcy — którzy nic się nie zmienili od Piotra do Stalina — skakali z tratw w nurty Jeniseju i nasi chłopcy z pepeszami tam ich dostrzeliwali. Żołnierze Armii Sowieckiej! — dbajcie o wasze wyszkolenie Bojowe!

333

Nie, nie dało się wytrzebić tego skazanego na zagładę plemienia! A na zesłaniu rodziły im się jednak dzieci — i bywały przypisywane dziedzicznie do gleby tego samego specosiedla. („Syn nie odpowiada za czyny ojca”, pamiętacie?). Jeśli jakaś dziewczyna z innej okolicy i środowiska wychodziła za mąż za specosadnika — to stawała się członkinią tego pańszczyźnianego stanu, traciła swoje prawa obywatelskie. Jeśli zaś chłopak żenił się z jedną z takich, to sam stawał się zesańcem. Jeśli córka przyjeżdżała do zesłanego ojca w odwiedzinach — ją też włączano do spisu specprzesiedlerców, aby naprawić przeoczenie. Dzięki tym wszystkim uzupełnieniom, znajdowali się następcy dla tych, których przeniesiono do obozów. W Karagandzie i okolicy wszędzie było pełno specprzesiedleńców; przysłano ich tu mnóstwo. Podobnie jak ich przodkowie pracujący w manufakturach na Uralu i Ałtaju — byli oni na wieczne czasy przypisani do fabryk Karagandy. Gospodarz kopalni bez żadnej krępacji mógł sam decydować ile mają pracować, a ile zarabiać. Podobno bardzo zazdrościli oni więźniom, zatrudnionym w rolniczych filiach miejscowych obozów.

Aż do lat 50., a gdzieniegdzie aż do śmierci Stalina specprzesiedlercy nie mieli paszportów. Dopiero podczas wojny zaczęto przesiedleńcom w Igarce wypłacać „podbiegunowy” dodatek do pensji.

No, ale teraz — ci, co przeżyli dwadzieścia lat zesańczej zarazy, wolni już od nadzoru komendantury, obdarzeni wreszcie pięknymi naszymi paszportami — kim są teraz oni wewnętrznie i zewnętrznie? Ba — toć to typowi nasi obywatele! Są tacy sami, jak ci, co obok nich w tym samym czasie ukształtowali się w robotniczych osiedlach, na zebraniach związkowych, ci, których urobiła służba w armii sowieckiej. Tak samo wyładowują remanenty swojego zawadiactwa przy grze w domino, waląc w blat kostkami. Taką samą aprobatą kwitują każdy błysk w telewizorze. W odpowiedniej chwili z takim samym gniewem piętnują południowoafrykańskich rasistów i wysupłują swoje grosze na pomoc dla Kuby.

Skłonmy się więc w pokorze przed Wielkim Rzeźnikiem, pochylmy głowy, zegnijmy karki przed otchłanią zagadki tego intelektu: a więc miał rację On — znawca serc, gdy rozczynił tę krwawą bryłę i potem mieszał ją rok po roku?

W aspekcie moralnym — miał rację: bo kto dziś ma mu co za złe! Jak głosi ludowe porzekadło: „Za Stalina człek był syty, bardziej niżli za Niki-ty”; bo przecież na prima aprilis, właśnie 1 kwietnia, papierosy taniały o kopiejkę, a wyroby galenteryjne o całe 10 kopiejek. Aż do samej śmierci słyszał pochwały i hymny na swoją cześć i jeszcze dziś nie wolno nam ferować przeciw niemu zarzutów; nie tylko każdy cenzor zatrzyma w roz-

334

pędzie nasze pióro, ale byle sąsiad z ogonka w sklepie czy pasażer w kolejce podmiejskiej zamknie nam oszczercze usta.

Bo przecież my szanujemy Wielkich Zbrodniarzy. Bo czcimy Wielkich Morderców. I tym bardziej miał rację — w aspekcie państwowym: tą krwią zdołał zespawać postulsze kołchozy. Mniejsza, że później w ciągu ćwierćwiecza wieś zubożeje do

ostatka i że naród zwyrodnienie duchowo. Za to rakiety będą latać w głąb kosmosu i płaszczyć się będzie przed naszą potęgą państwową postępowy, oświecony Zachód.

III

ROBI SIĘ TŁOCZNO

Z taką srogością, do okolic takich dzikich — i z tak jawnym zamiarem wygubienia ofiar do szczytu, jak to uczyniono z chłopami — nikogo już nie deportowano ani przedtem, ani potem. Ale swoją drogą robił się tak czy owak tłok na zeszaniu: deportowało się więcej ludzi, ich siedlisk stawało się coraz więcej i rygory na zeszaniu były coraz ostrzejsze.

Można by z grubsza wprowadzić taką periodyzację. W latach 20. zeszanie było niejako stanem przejściowym, etapem wstępnym przed osadzeniem w obozie: bardzo rzadko sprawa kończyła się tylko zeszaniem, wszystkich prawie wsadzono później do obozu.

Poczynając jednak od połowy lat 30., zwłaszcza od czasów Berii — być może dlatego, że tak wielkie masy już deportowano (iluż to wysłano z samego tylko Leningradu!) — zeszanie zyskało całkowicie samodzielne znaczenie jako zupełnie wystarczający rodzaj izolacji i represji. W latach wojny i w okresie powojennym coraz bardziej poszerzał się zakres tej restrykcji i zyskiwała na znaczeniu jej pozycja — idąc już w paragon z rolą obozów: nie trzeba było w tym wypadku tracić ani grosza na budowę baraków i zon, ani na straż, a jednocześnie tym zabiegiem karnym objąć można było bardzo znaczne kontyngenty, zwłaszcza — jeśli chodzi o kobiety i dzieci. (We wszystkich większych więzieniach etapowych wydzielone były stałe cele dla deportowanych kobiet z dziećmi — i nigdy nie bywały one puste').

1 Jeśli mężowie tych kobiet podlegali deportacji, to nigdy nie jechali razem z rodziną: istniała instrukcja, aby członków represjonowanych rodzin wysyłać do rozmaitych miejscowości. Tak na przykład, gdy kiszyniowski adwokat I.Ch. Górnik został zesłany za syjonizm do Kraju Krasnojarskiego — rodzinę jego posłano do Salechardu.

336

Zeszanie pozwalało na oczyszczenie z niepożądanych elementów każdego ważnego regionu centralnej części państwa w sposób zupełnie pewny i nieodwracalny, a przy tym w terminie bardzo krótkim. Instytucja zezwania rozrosła się do tego stopnia, że poczynając od 1948 roku zyskała jeszcze jedną, nową funkcję o znaczeniu ogólnoparzystwowym — stała się w y s y-piskiem śmieci albo rezerwuarem, do którego wyrzucano odpadki z Archipelagu, aby nigdy już więcej nie mogły zanieczyścić metropolii. Wiosną 1948 wystosowano do obozów następującą instrukcję: Pięćdziesiątkę Ósemkę po upływie terminu kary wypuszczać, z obozów jedynie na zeszanie. To znaczy — nie pozwalać lekkomyślnie tym osobnikom szwendać się po kraju, do którego żadnych praw nie mają, tylko każdego z nich pod konwojem ekspediować — od wartowni obozowej aż do komendantury w miejscu osiedlenia, czyli od jednego okólnika do drugiego. A jako że ludzi deportowało się do ściśle wyznaczonych regionów — więc wszystkie one razem składały się na jakiś osobny (choć rozrzucony po całym Związku) kraj buforowy leżący między ZSSR a Archipelagiem, nie tyle czyścić, ile raczej śmietnisko, z którego można było przekoczować na Archipelag, ale nie do metropolii.

Lata 1944-45 przyczyniły się do nadzwyczajnego zwiększenia gęstości zaludnienia na terenie tego śmietniska kosztem terenów wyzwolonych i okupowanych, a lata 1947-49 — kosztem ludności zachodnich republik. I wszystkie te fale razem wzięte, nawet nie licząc deportacji chłopów, dawały cyfrę wiele, wiele, wiele razy większą, niż owe pół miliona zesańców, jakich deportowała w ciągu całego wieku XIX Rosja carska, więzienie narodów.

Za jakież to przestępstwa obywatel naszego kraju w latach 30. i 40. narażał się na karę zesłania albo wysiedlenia? (ze szczególnym upodobaniem do administracyjnych subtelności ta różnica w nomenklaturze przez wszystkie owe lata jeśli nawet nie była przestrzegana, to przynajmniej — często wspomniana. Prześladowany za uprawianie praktyk religijnych M.I. Bordowski wyraził zdziwienie, że został deportowany bez żadnego sądu; podpułkownik Iwanów wyjaśnił mu bardzo uprzejmie: „Sądu nie było dlatego, że to wcale nie zesłanie tylko wysiedlenie. Nie uważamy pana wcale za sądownie karanego; nie został pan nawet pozbawiony praw wyborczych”. To znaczy — najważniejszego składnika swobód obywatelskich!...).

Oto najczęściej inkryminowane czyny; wymienić je bardzo łatwo: 1) przynależność do przestępczej grupy narodowej (mowa o tym w następnym rozdziale);

14 Archipelag Ostał 337

odcierpiana już kara obozu;

przebywanie w środowisku przestępczym (buntowniczy Leningrad; jakiś rejon, gdzie ruch partyzancki przybrał duże rozmiary — jak na przykład Zachodnia Ukraina albo kraje nadbałtyckie).

A zatem — wiele z tych fal czy potoków, które wyliczyliśmy na samym początku książki, spływało nie tylko do obozów, lecz również na zesłanie, jakaś ich część przez cały czas tam przeciekała. Kto do tej części należał? Na ogół biorąc i najczęściej — rodziny tych, których skazano na obóz. Ale wcale nie zawsze zsyłano rodziny i wcale nie tylko krewni podlegali deportacji. Podobnie, jak badanie i objaśnienie ruchów ciał płynnych wymaga dobrej znajomości hydrodynamiki — bo inaczej trzeba zrezygnować z badań i tylko obserwować bezmyślnie ryczącą, wirującą ciecz, tak samo i tutaj: nie możemy zbadać i opisać tych wszystkich nader zróżnicowanych przyczyn, które sprawiły, że w rozmaitych latach rozmaici ludzie nagle kierowani byli nie do obozu, lecz na zesłanie. Możemy tylko obserwować jak pstra była ta mieszanina: przesiedleńcy z Mandżurii, jacyś pojedynczy cudzoziemcy, którym nawet na zesłaniu sowieckie prawo nie pozwalało żenić się z żadną deportowaną, ale przecież sowiecką poddaną; jacyś zesańcy z Kaukazu i z Azji Środkowej, którym za pójście do niewoli niemieckiej wlepiono nie po 10 lat obozu, lecz tylko po 6 lat wysiedlenia; i nawet byli jeńcy — Sybiracy, którym pozwolono wrócić do ojczystego powiatu; mieszkali tam jako wolni ludzie, nie musieli nawet meldować się w komendanturze, jednakże nie mieli prawa wyjeżdżać ze swojego rejonu.

Nie jesteśmy tu w stanie zbadać i opisać wszystkich etapów i wypadków zesłania, ponieważ to, co o tym wiemy, pochodzi jedynie z przypadkowo zebranych opowiadań albo listów. Gdyby A.M. Ar-w nie napisał swego listu, nigdy by czytelnik nie usłyszał takiej oto opowieści. W 1943 roku do pewnej wioski pod Wiatką nadeszła wieść, że członek ich kołchozu, Kożu-rina, szeregowca piechoty, ponoć posłano do karnej kompanii — czy może nawet w ogóle rozstrzelano. I natychmiast żonę jego z sześciorgiem dzieci (najstarsza dziewczynka miała 10 lat, najmłodszy synek

— 6 miesięcy, a nadto mieszkali z nią jeszcze dwie siostry, stare panny pod pięćdziesiątkę) — odwiedzili wykonawcy (czytelnik rozumie już co znaczy to słowo, że to eufemistyczna forma słowa k a t). Nie dając czasu na odsprzedanie czegokolwiek (chata, krowa, siano, drzewo — wszystko trzeba było zostawić złodziejom na łup) — rzucono ich z byle tobołkami na sanie, wszystkich dziewięcioro i zawieziono a mróz był siarczysty — do miasta Wiatka (Kirów) odległego o 60 kilometrów. Bóg raczy wiedzieć, jak nie zamarзли wszyscy w drodze. Półtora miesiąca trzymano ich w kirowskim więzieniu etapowym, a później zestano do pracy w garncami pod Uch-
tą.

338

Tam obie stare panny zaczęły grzebać w śmietnikach, obie oszalały i obie umarły. Matka zaś z dziećmi utrzymywała się przy życiu tylko dzięki pomocy (bezideowej, niepatriotycznej, chyba nawet anysowieckiej) jakichś tamecznych ludzi. Gdy synowie podrośli, poszli do wojska i — jak to się powiada — „byli przodownikami wyszkolenia wojskowego i politycznego”. W 1960 roku matka wróciła do wsi rodzinnej — i nie znalazła ani jednej drzazgi, ani jednego kafelka tam, gdzie stała niegdyś jej chata.

Czy taki temacik nie dałby się pięknie wpleść do wianuszka Wielkiego Zwycięstwa? Nikt go jednak nie podejmie, nietypowy.

A do jakiego wieńca wpleść, do jakiego typu represji zaliczyć zestanie kalek, inwalidów naszej Wielkiej Wojny Narodowej? Nie udało się nam zebrać danych na ten temat (zresztą, mało kto wie o tym). Ale przypomnijcie sobie tylko — ileż tych kalek, przy tym nawet niestarych, kręciło się pod koniec wojny po naszych rynkach koło herbaciarni, a także w kolejkach dojazdowych? I jak to szybko, jak niepostrzeżenie liczba ich zmalała. To także była fala, też była to kampania. Zestano ich na jakąś wyspę na Dalekiej Północy, a za to zestano, że dla dobra ojczyzny i ku jej chwale pozwolili okaleczyć się i oszpecić na wojnie. A po to ich zestano, by odkazić naród, tyle tryumfów odnoszący we wszystkich rodzajach zawodów atletycznych i gier sportowych. Tam, na bezimiennej wyspie trzyma się tych pechowych bohaterów wojny — rzecz jasna — bez prawa korespondencji z Wielką Ziemią. (Czasem jakiś list się przebije, stąd wiadomo). I — natu-Kalnie — na marnym wikcie, nie mogą bowiem swoją pracę uzasadnić przydziałów obfitszych racji.

Zdaje się, że po dziś dzień tam wegetują.

Na terenie Wielkiego śmietniska, kraju zestania, leżącego między Archipelagiem a ZSSR, leżą i wielkie miasta, i miasteczka, i obszary zupełnej pustki. Zesłańcy starali się o skierowanie do miast, słusznie przypuszczając, że tam jednak o wszystko łatwiej, zwłaszcza o pracę. I że w ogóle — życie tam bardziej zbliżone jest do normalnego żywota.

Nieomal stolicą, a w każdym razie jedną z pereł kraju zesłańców była Karaganda. Ujrzałem ją przed samym końcem zestania, w 1955 roku (komendantura pozwalała mi na krótkoterminowe wyjazdy z miejsca osiedlenia: miałem wtedy zamiar żenić się; moja wybranka też była deportowaną). Było to wtedy miasto zagłodzone. Tramwaj nie podjeżdżał blisko do zapluskwionego baraku dworca kolejowego, aby nie zapaść się pod ziemię: tuż pod powierzchnią gruntu przebiegały chodniki kopalniane. Przy pętli tramwajowej stał symboliczny dom, składający się tylko z frontowej ściany ceglanej, podpartej drewnianymi palami, aby nie runęła. W samym cent-

rum Nowego Miasta wykuty był na kamiennym murze napis: „Węgiel — to chleb” (dla przemysłu). I rzeczywiście, czarny chleb codziennie sprzedawany był w sklepach — i na tym polegała główna zaleta miejskiego zestania. Czarna robota — zresztą, nie tylko czarna, też tu zawsze czekała na ludzi. Ale poza tym — sklepy spożywcze były pustawe. Rynkowe zaś stragany zupełnie niedostępne z powodu szalonych cen. Jeśli nie trzy czwarte, to przynajmniej dwie trzecie mieszkańców nie miało dowodów osobistych i musiało meldować się regularnie w komendanturach; na ulicy co i rusz ktoś mnie poznawał i wołał: znów były zek, najczęściej z Ekibastuza. I cóż to za życie było na tym zestawieniu? W miejscu pracy — sytuacja upokarzająca, pensja też obniżona, bo nie każdy może po katastrofie aresztu — więzienia obozu dowieść, że ma odpowiednie wykształcenie, a wykazać się stażem tym bardziej mu trudno. Albo po prostu — traktują jak murzyna, nie płacą tyle co białemu i już; najwyżej może się nie najmować. Za to bardzo źle z mieszkaniami; zestawcy gnieździł się kątem w cudzych korytarzach, w ciemnych komórkach, w szopach — i za to wszystko jeszcze musieli płacić w dwójnasób, bo tylko prywatnie. Niemłode już kobiety, zniszczone przez obóz, z metalowymi zębami, śniły nocami o jednej „niedzielnej” bluzce z krepdeszyny, o jednej parze „niedzielnych” pantofli.

A nadto Karanganda jest rozległa, wielu ludzi ma bardzo daleko z mieszkania do pracy. Tramwaj od centrum do robotniczego przedmieścia zgrzytał po szynach bitą godzinę. W tramwaju naprzeciw mnie siedziała młoda kobieta w brudnej sukni, w podartych sandałach na bosą nogę. Trzymała na ręku dziecko w bardzo brudnych powijakach, cały czas sen ją morzył i dziecko z osłabłych ramion wciąż osuwało jej się na kolana; gdy już spadało, ktoś krzyczał: „uważaj!”, kobieta w ostatniej chwili zdążyła je zawsze złapać, ale wkrótce znów zasypiała. Pracowała w stacji wodociągów na nocnej zmianie: cały dzień spędziła na rozjazdach po mieście, by kupić parę butów — i nie znalazła ich nigdzie.

Tak oto żyło się na zestawieniu w Karagandzie.

O ile wiem, znacznie lepiej było w mieście Dżambuł: żyzne południe Kazachstanu, żywność bardzo tania. Ale im mniejsze miasto, tym trudniej było o pracę.

Na przykład — miasto Jenisejsk. W 1948 roku G.S. Mitrowicz jechał etapem z krasnojarskiego zborniaka do tego miasta. Dziarski lejtnant z konwoju tak odpowiadał na pytania zestawnych: — „A robotę dostaniemy?”. — „Dostaniecie!”. — „A mieszkanie?”. — „Dostaniecie!”. — Od-meldował się w komendanturze, zostawił podopiecznych i odmaszerował z ulgą. A nowo przybyli musieli spać na brzegu rzeki pod łodziami, przewróconymi do góry dnem, albo pod okapami straganów na bazarze. Nie

mogli kupić chleba: sprzedawano go tylko według listy lokatorów poszczególnych domów, a nie byli nigdzie zameldowani. Żeby mieć dach nad głową, trzeba wynajmować prywatną kwaterę. Mitrowicz, inwalida, prosił o pracę w swoim zawodzie: był zootechnikiem. Komendant poszedł po rozum do głowy i zadzwonił do wydziału rolnictwa: — „Słuchaj no, jak masz dla mnie pół litra — to dam ci zootechnika”.

Było to takie zesłanie, że z pogroźki: „za sabotaż wlepimy ci 58-14, pójdiesz z powrotem do łagru!” — nikt tu sobie nic nie robił. Mam relację z 1952 roku odnoszącą się do tegoż Jenisejska. Stawiwszy się do kolejnej kontroli w komendanturze, zrozpaczeni zesłańcy zażądali, aby aresztowano ich wreszcie i odesłano z powrotem do obozu. Dorośli mężczyźni — a nie mogli tu zdobyć sobie chleba! Komendant ich przepędził: „MWD to nie urząd pośrednictwa2!”.

Albo jeszcze dalej w las — oto osada Taszejewo w Kraju Krasnojarskim, 250 km od Kańska. Przesiedlano tam Niemców, Czeczeno-Inguszków i byłych zeków. Jest to osiedle nienowe, nie z kaprysu powstałe, niedaleko stamtąd do wsi Chandały, gdzie niegdyś przekuwano kajdany* ciągnącym w głąb Syberii skazańcom. Ale nową rzeczą jest tu całe miasto składające się z ziemianek, z klepiskami zamiast podłóg. W 1949 roku przywieziono tu grupę repelentów. Przybyli pod wieczór, ulokowano ich w szkole. Późną nocą zebrała się komisja ds. dystrybucji siły roboczej: naczelnik rejonowej delegatury MWD, przedstawiciel przedsiębiorstwa robót leśnych, przewodniczący kołchozów. Przed obliczem komisji stanęli w kolejce chorzy, starcy, weterani obozowych dych, a przy tym w większości — kobiety; oto kogo przemądra władza pousuwała z wielkich miast i posyłała w teren, do tych surowych okolic, dla zagospodarowania tajgi. Nikt nie życzył sobie takiej „siły roboczej”, ale MWD żadnych sprzeciwów nie uznawało. Najbardziej niedołącznych do chodiągów wtrynili warzelni soli. Warzelnia znajduje się w siole Troickoje nad rzeką Usołką (to też dawne miejsce zesłań, jeszcze za cara Aleksego Michajłowicza wysyłano tu starowierów). W połowie XX wieku stosowano tu taką technologię: z pomocą kieratu konnego pompowało się roztwór soli do płytkich kadzi, aby potem podgrzewać je aż do wyparowania wody. Palono drzewem. Do jego wyrębu w lesie skierowano stare kobiety. Pewien wybitny i znany budowniczy okrętów znalazł się również w tej partii; dano mu pracę możliwie najbardziej odpowiadającą jego kwalifikacjom: pakował sól do skrzynek.

Przecież jego to nie obowiązuje, a więźniowie nie mogą znać praw obowiązujących w kraju Sowietów; weźmy choćby kodeks karny, jego punkt 35: „zesłańcy powinni otrzymać przydział gruntu do uprawy albo też należy zapewnić im płatną pracę”. * Po rosyjsku — „kandały”.

341

Do Taszejewa trafił też 60-letni robotnik z Kołomny Kniazjew. Nie mógł już pracować i stał się nędzarzem. Czasem pozwolił mu ktoś przenocować pod dachem, czasem spał na ulicy. W domu inwalidów nie znalazło się miejsca dla niego, a w szpitalu nie mogli go za długo trzymać. Pewnego zimowego wieczoru poszukał schronienia na ganku rejkomu partii, partii klasy robotniczej — i tam zamarzł w nocy.

Przenosząc się z obozu na zesłanie w tajdze (a przenosiny to były takie: mróz 20-stopniowy, otwarte ciężarówki, odzież — nędzna, taka w jakiej ich wypuszczono, buty ze sztucznej skóry ostatniego sortu, konwojenci zaś

— w półkożuszkach i filcowych walonkach) więźniowie nie bardzo mogli sobie zdać sprawę — na czym właściwie polega ta wolność. W obozie były przynajmniej opalane baraki — a tu ziemianka dla drwali, nie zamieszkała od zeszłej zimy, wyziębiona. Tam ryczały piły mechaniczne — tu też zaryczką. I tylko tą piłą można było zarobić i tu i tam na kromkę wilgotnego chleba.

Dlatego ci nowi zesłańcy często się mylili. Gdy (w 1953 roku) przyjechał (Kuznejewo, rejon Suchobuzimski nad Jenisejem) wicedyrektor przedsiębiorstwa robót leśnych Lejbowicz, przystojny, czyściutki - patrząc na jego skórzane palto, na sytą, białą twarz i nisko się kłaniając, zesłańcy witali go grzecznie:

— Dzień dobry, obywatelu naćzelniku\

A Lejbowicz kiwał głową z wyrzutem i mówił:

— Ależ nie, jaki tam znowu „obywatel”! Mówicie mi „towarzyszu”, już nie jesteście przecież więźniami!

Zwołano zebranie do dużej ziemianki i przy migotliwym, niepewnym świetle naftowego kaganka towarzysz wicedyrektor prawił im tak, jakby gwoździe wbijał do trumny: — Nie myślcie, że przyjechaliście tu tymczasowo. Będziecie naprawdę musieli żyć tu już zawsze. Dlatego więc

— bierzcie się czym prędzej do roboty! Jeśli macie rodzinę — postarajcie się ją tu ściągnąć, jeśli nie — to żeńcie się między sobą i to nie czekając długo. Budujcie sobie domy. Zadbajcie o dzieci. Na dom i na krowę do staniecie pożyczkę. Do pracy, do pracy, towarzysze! Kraj czeka na drewno! I „towarzysz” odjechał pięknym autem.

I to dobre, że pozwalali się żenić. W ubogich osadach na Kołymie, na przykład — pod Jagodnem (relacja Retca) były również kobiety, których nie puszczono na Wielką Ziemię, ale MWD zabraniało ożenków: bo jak jest rodzina, to trzeba dawać mieszkanie.

Że nie dawali się ludziom żenić — to jednak też mogło być ulgą, bo w Północnym Kazachstanie w latach 1950-52 niektóre komendantury (aby zesłańca mocniej przykuć do miejsca) stawiały mu warunek: masz się oże-

342

nić w ciągu dwóch tygodni — a jak nie, to ześlemy cię do najgorszego zadupia, w puszcę.

Charakterystyczne, że w wielu miejscach zesłania zupełnie bez żenady i na serio stosowano typowy termin obozowy — „roboty ogólne”. Bo też nie różniły się niczym od tamtych: były to te same nieznośne, najcięższe roboty, wysysające wszystkie siły i nie zapewniające żadnego minimum. I jeśli nawet, jako wolni już ludzie — zesłańcy mogli teraz pracować krócej — to dwie godziny marszu do pracy (do kopalni albo do lasu) i dwie godziny drogi do domu sprawiały, że dzień roboczy zbliżał się do normy obozowej.

Stary robotnik Bieriezowski, w latach 20. przywódca związkowy, w 1938 roku zesłany na 10 lat, a w 1949 skazany na 10 lat obozów, w mojej obecności całował z rozrzewnieniem obozową kromkę chleba, mówiąc z radością, że tu, w obozie — już nie zginie, że tu ma chleb zapewniony. Na zesłaniu zaś możesz do sklepu przyjść nawet z pieniędzmi w kieszeni, zobaczyć bochenek na półce i usłyszeć, jak ci bezczelnie mówią prosto w oczy, że chleba nie ma! I sprzedają go zaraz jakiemuś miejscowemu. To samo z opałem.

Prawie to samo mówił również stary robotnik z Pitra, Cywilko, (też niezbyt delikatnego charakteru). Powiadał (1951 rok), że po zesłaniu czuje się w katorżniczym specobozie jak człowiek: od bębnił przy robocie swoje dwanaście godzin — i spokojnie wraca do żony. A na zesłaniu byle wolniaczek mógł go zmusić (pracował jako księgowy) do bezpłatnej nadprogramowej roboty — i wieczorem, i w niedzielę, na cudzy rachunek, a zesłaniec nie śmiał się wymówić, bo ryzykował, że jutro

wyrzuca go z pracy. Niewesołe było życie zesańca, nawet gdy udało mu się zostać „pryduur-kiem” na zesłaniu. Przeniesiony do miejscowości Kok-Terek, w okręgu Dżambulskim, Mitrowicz otrzymał stanowisko zootechnika w rejonowym wydziale rolnictwa (jego pobyt tutaj zaczął się zresztą tak, że przydzielono mu ośłą stajnię, aby w niej zamieszkał z jeszcze jednym zesańcem. Stajenka nie miała okien i pełna była nawozu. Odgarnęli nawóz od ściany, podestali suchego piovunu i położyli się spać). Na nowym stanowisku próbował rzetelnie pracować — i od razu stał się solą w oku miejscowego kierownictwa partyjnego. Z trzody należącej do kołchozów miejscowi drobni wodzireje zabierali do swoich obór młode cielne krowy, zastępując je swoimi jałówkami — i żądali, aby Mitrowicz wpisywał do ewidencji krowy dwuletnie jako czteroletnie. Po starannej kontroli Mitrowicz stwierdził, że całe stada pasą się na polach kołchozowych i obsługiwane są przez kołchoźników, ale wcale do kołchozów nie należą. Okazało się, że stada te były osobistą własnością pierwszego sekretarza rejonu, przewodniczącego re-

343

jonowego komitetu wykonawczego, naczelnika finansowego i komendanta milicji. (Takim to zmyślnym sposobem wkroczył Kazachstan w epokę socjalizmu!). „Masz tego nie zapisywać!” — tak mu kazano. Ale zapisał. Z dziwnym u eks-więźnia i zesańca przywiązaniem do sowieckiej legalności Mitrowicz ośmielił się jeszcze protestować, gdy przewodniczący komitetu wykonawczego zabrał sobie siwego karakułowego baranka — po czym został wyrzucony z pracy. (I to był dopiero początek wojny).

Ale centrum rejonowe — to jeszcze nie najgorsze miejsce dla zesańca. Najgorsze strony zesłania poznać można tam, gdzie nie ma nawet cienia wolnego osiedla, nawet śladu cywilizacji.

Wspomniany już A. Cywilko opowiada o kołchozie „Żana Turmys” („Nowe Życie”) w okręgu Zachodniokazachstańskim, gdzie był na zesłaniu poczynając od 1937 roku. Jeszcze przed przyjazdem zesańców wydział polityczny Ośrodka Maszyn Rolniczych zmobilizował się i oświecił miejscową ludność: „Przywiozł tu trockistów, kontrewolucjonistów”. Nastraszeni kołchoźnicy nie chcieli pożyczyć nowo przybyłym nawet szczypty soli, obawiając się oskarżenia o kontakty z wrogami ludu! Podczas wojny zesańcy nie dostawali tam kartek na chleb. W kuźni kołchozu Cywilko przepracował osiem miesięcy i dostał za to pud prosa... Proso to trzeba było samemu zemleć na żarnach zrobionych z rozpiłowanego na kawałki starego kazachskiego nagrobka. Więc zesańcy poszli do NKWD: albo wsadźcie nas do więzienia, albo pozwólcie przenieść się do rejonowego miasteczka! (Ktoś zapyta może: a jak radzili sobie miejscowi? A tak jakoś... przyzwyczaili się... no i — jak się ma jedną czy drugą owieczkę, kozę, krowę, jurtę, statki — to jakoś łatwiej).

Los zesańca w kołchozie jest wszędzie taki sam — ani państwowych sortów, ani obozowej pajki. Kołchoz — to najgorsze miejsce zesłania. Takie zesłanie — to swisty klucz do zagadki: gdzie właściwie jest ciężiej: w obozie — czy w kołchozie?

Oto scena wyprzedaży nowych zesańców (pośród nich — jest również S.A. Lifszyc) w krasnojarskim zborniaku. Kupcy żądają cieśli, dyrekcja zborniaka odpowiada: jak weźmiecie sobie jeszcze prawnika i chemika (właśnie Lifszyc), to warn damy również cieślę. Przy transakcjach wiązanych dają na dokładkę stare, chore kobiety. Następnie — przy niedużym, bo 25-stopniowym mrozie, otwartymi ciężarówkami wiozł ich do zupełnej głuszy, wiosieczki, gdzie jest nie więcej niż 30 zagród. Co tu

ma do roboty prawnik i chemik? Chwilowo dostaje zaliczkę: worek kartofli, cebulę i mąkę (to bardzo dobra zaliczka!). A pieniądze dostaniecie w przyszłym roku, jeżeli je zarobicie! Tymczasem macie robotę — zbieranie konopi przywalonych śniegiem. Nie ma nawet worka, żeby nabić sobie siennik słomą. Pier-
344

wszy odruch — to błaganie, żeby puścili cię z tego kołchozu. Ale gdzie tam, nie da rady: za każdą głowę kołchoz zapłacił zarządowi więziennictwa po 120 rubli (rok 1952).

Jak by tu znowu wrócić do łagru?...

Ale pobłądzi czytelnik, który sobie wyobrazi, że zesańcom w sowchozie lepiej jest niż w kołchozie. Weźmy na przykład sowchoz w rejonie Sucho-buzimskim (wieś Minderła). Stoją baraki, co prawda — nie ma żony, wygląda to na obóz dla zwolnionych spod straży. Chociaż to sowchoz, ale pieniędzy nie jest tu w użyciu, nie ma pieniędzy w obiegu. Wypisują tylko cyferki: 9 rubli (stalinowskich, sprzed wymiany) za dzień pracy. I jeszcze piszą — ile dany człowiek zjadł kaszy, ile mu się odlicza za fufajkę i za dach nad głową. Wszystko odlicza się, odlicza — i patrzcie tylko — gdy dochodzi do rozrachunku, okazuje się, że zesłaniec nic nie zarobił i że nawet jest dłużnikiem sowchozu. W tym właśnie sowchozie, według świadectwa A. Stotika, dwóch zesańców powiesiło się z desperacji.

(Ów Stotik, człowiek o żywej wyobraźni, zupełnie nie wziął sobie do serca niefortunnego doświadczenia z nauką języka angielskiego w Stepta-gu³. Po przybyciu na zesłanie rozejrzał się trochę i doszedł do wniosku, że warto starać się o wykorzystanie konstytucyjnego prawa obywatela ZSSR do... wykształcenia. Złożył więc podanie z prośbą o zezwolenie na wyjazd do Krasnojarska — na uczelnię! Na bezczelnym tym podaniu, bez precedensu może w dziejach instytucji zesłania, dyrektor sowchozu (były sekretarz rejkomu partii) własną ręką napisał decyzję nie po prostu odmowną, lecz wręcz deklaratywną: „Nikt i nigdy nie pozwoli Stotikowi na naukę!”.

Dopomógł jednak przypadek: krasnojarski zborniak szukał w terenie cieśli-zesańców. Stotik, wcale nie cieśla, zgłosił się i pojechał, w Krasnojarsku mieszkał w hotelu robotniczym wśród pijaków i złodziei, ucząc się jednocześnie do egzaminu konkursowego na medycynę. Zdał ów egzamin z bardzo wysoką notą. Aż do posiedzenia komisji przyjąć nikt nie przyjrzał się uważniej jego dokumentom. Dialog na posiedzeniu komisji: „Byłem na froncie... później wróciłem do domu...” — i zaszczo w gardle. „No a później?” — „A później... mnie... aresztowano...” — wymamrotał Stotik i cała komisja nagle zeszytniała. — „Ale odsiedziałem już karę! Wypuszczono mnie na wolność! Zdałem na celująco!” — upierał się Stotik. Nic nie pomogło. A był to już rok upadku Berii!).

Im dalej w teren — tym gorzej, im dalej — tym bezprawniej. A.F. Makiejew, w cytowanych już wspomnieniach z Kengiru, przytacza opowieść „turgajskiego niewolnika” Aleksandra Władimirowicza Polakowa o pobycie na
Patrz część V, rozdział 5.

345

zesłaniu między dwoma odsiadkami w obozie. Zesłany został na pustynię Turgajską, na teren letnich wypasów bydła. Cała władza znajdowała się tam w rękach

przewodniczącego kotchozu — Kazacha. Nie zaglądał tam nawet nikt z komendantury. Polaków zamieszkać musiał w chlewiku z owcami, spał razem z nimi na słomie. Jego obowiązki sprowadzały się do tego, że został niewolnikiem czterech żon przewodniczącego, używanym do posług w domu i do wynoszenia nocników. I co miał robić? Wyjechać, aby się poskarżyć? Nie dość, że nie miał czym, ale to by oznaczało próbę ucieczki — czyli 20 lat katorgi. Żadnego zaś Rosjanina na tych wypasach nie było. Minęło kilka miesięcy, nim przyjechał inspektor podatkowy, Rosjanin. Nie mógł wyjść ze zdumienia słuchając opowieści Polakowa i podjął się przekazania jego skargi władzom rejonowym. Za tę właśnie skargę — jako za ohydny potwarz rzuconą na władzę sowiecką — Polaków znowu dostał się do obozu i w latach 50. spokojnie odsiadywał karę w Ken-girze. Miał tam wrażenie, że rozkoszuje się wolnością...

I wcale nie jesteśmy pewni, czy „turgajski rab” był najniezwyklejszym z zesańców. Twierdzić, że zesłanie jest lepsze od obozu, bo człowiek ma na nim jednak pewność jutra, poczucie pewnego zadomowienia (gorzej ci, czy lepiej — ale w końcu żyjesz sobie tutaj i będziesz tu żyć i nie boisz się żadnych etapów) — też nie można bez szeregu zastrzeżeń. Etap to etap, ale zawsze może wpaść do głowy komendantowi, aby przerzucić zesańca gdzie indziej, a osada, czy cały rejon mogą nagle utracić status miejsc zesłania. Zdarzały się takie wypadki w różnych okresach i okolicach. Szczególnie podczas wojny — sprawa czujności! — wszyscy zesańcy z rejonu Tajpak otrzymali rozkaz wyjazdu w ciągu 12 godzin i — hajda do Dżambetinu! I cały twój nieszczęsny byt codzienny i dobytek — żałosny, a tak przecież potrzebny, i ten dach dziurawy, a może nawet już załatany — wszystko musisz porzucić, zostawić i marsz w drogę, hołoto bosa! Jak cię diabli nie wezmą — to znowu się dorobisz!...

I w ogóle, nie bacząc na pozory nadzwyczajnej swobody na zesłaniu (nie chodzi się w szeregu, tylko każdy w swoją stronę, nie ma apelów przed pójściem do pracy, nie każdemu trzeba czapkować, nie zamyka się ludzi na noc od zewnątrz) — zesłanie ma swoje rygory. Tu — łagodniejsze, ówdzie — surowsze, ale istniały one zawsze i dawały się odczuć przed 1953 rokiem, w którym wszędzie zaczęło się robić luźniej.

Na przykład — w niejednej miejscowości zesańcy pozbawieni byli prawa składania skarg do różnych sowieckich urzędów — chyba, że robili to za pośrednictwem komendantury. Tylko komendantura decydowała, czy skardze należy nadać bieg, czy też schować ją pod sukno na miejscu.

346

Zesłaniec musiał natychmiast zjawiać się na każde wezwanie oficera komendantury, choćby miał najpilniejszą robotę do wykonania. Kto zna życie, ten sam sobie odpowie, czy zesłaniec mógł nie spełnić jakiegokolwiek osobistej (także — nie bezinteresownej) prośby takiego oficera.

Oficerowie komendantury chyba nic nie mieli do pozazdrosczenia szarżom obozowym, jeśli chodzi o prawa i pozycję. Skądinąd zaś — mieli

0 wiele mniej kłopotów: ani żony, ani rontów, ani pogoni za zbiegami, ani wyprowadzania zeków do roboty, ani kwestii związanych z żywieniem

1 ubieraniem tej hałasty. Wystarczało dwa razy na miesiąc odfajkować na liście, że facet się zjawił i czasami, zgodnie z Prawem, otwierać akta nowej sprawy, jeśli facet coś przekrobał. Były to leniwe, spanoszone, spasionie

(młodszy lejtnant z komendantury dostawał 2 000 rubli miesięcznie), a dla tego — przeważnie bardzo złe istoty.

Ucieczek w ścisłym sensie niewiele było: przeliczony na sumę swobód obywatelskich — zysk był niewielki, nawet jeżeli ucieczka się udała. Bo przecież dookoła miejsca zesłania wolni żyli prawie w tych samych warunkach, co zesłaniec, i z niewiele większych praw korzystali. Nie były to przy tym carskie czasy, kiedy ucieczka z zesłania w bardzo prosty sposób przekształciła się w emigrację. Kara zaś za ucieczkę groziła poważna. Organem sprawiedliwości było w tym wypadku OSO. Przed 1937 rokiem dawało za ucieczkę maksymalną swoją cyfrę, to jest 5 lat obozu, po 37. — 10. Po wojnie natomiast, choć nigdzie to nie było opublikowane — wszyscy wiedzieli, że nieodmiennie stosuje się tu nowe prawo: za ucieczkę z miejsca zesłania — 20 lat katorgil Surowość, zdawałoby się, nieproporcjonalna.

Miejscowa komendantura sama decydowała, co należy uważać za ucieczkę, a co nie wchodzi w zakres tego pojęcia, gdzie znajduje się owa linia graniczna, której zesłaniec nie może przekroczyć — i czy wolno mu udać się do lasu po drzewo albo na grzyby. Na przykład w Chakassji, w osadzie kopalnianej „Ordżonikidzewski” istniała taka zasada: pójście w góry — to tylko wykroczenie przeciw regulaminowi, czyli 5 lat obozu, gdy kto jednak pójdzie samowolnie w drugą stronę, w stronę linii kolejowej — jest to już ucieczka, czyli 20 lat katorgi. I do tego stopnia rozpanoszyła się już tam karygodna wada pobłażliwości, że gdy grupa zesłanych Ormian, doprowadzona do desperacji samowolą zarządu kopalni poszła ze skargą do centrum rejonowego — a zezwolenia komendantury na tę wycieczkę naturalnie nie mieli — to dostali za tę ucieczkę jedynie po 6 lat obozu.

Takie to nieporozumienia najczęściej kwalifikowano jako ucieczki, tak samo jakieś naiwne postęпки starych ludzi, którzy w żaden sposób nie potrafili zrozumieć i wziąć pod uwagę ludożerczych cech naszego systemu.

347

Pewna Greczynka, już ponad 80-letnia, zesłana była podczas wojny z Symferopola na Ural. Gdy wojna się skończyła i jej syn powrócił do Symferopola, staruszka — oczywiście przyjechała do niego i po cichu zamieszkała w swoim domu. W roku 1949, mając już 87 lat (!) została schwytana, skazana na 20 lat ciężkich robót ($87 + 20 = ?$) i posłana ciupasem do Ozier-łagu. W okręgu Dżambulskim dobrze znano przypadek innej starej Greczynki. Kiedy Greków deportowano z Kubania, została ona zabrana razem z dwiema dorosłymi córkami, trzecia zaś córka — jako że miała męża Rosjanina — została na Kubaniu. Starucha spędziła sobie parę lat na zesłaniu i w końcu postanowiła wrócić do córki na Kubań, aby tam dokonać żywota. „Ucieczka”, katorga, 20 lat! — W Kok-Tereku mieszkał wśród nas fizjolog Aleksy Iwanowicz Bogostowski. Zastosowano w jego przypadku „adanaue-rowską” amnestię (w 1955 roku), ale nie w pełni: zamiast wypuścić go na wolność, przeniesiono go z obozu na zesłanie. Zaczął więc pisać skargi i podania, ale wszystko to długo trwało, a tymczasem w Permie czekała na niego matka. Traciła już wzrok, nie widziała go przez 14 lat, przez cały ten czas, gdy walczył na froncie i siedział w niewoli — i chciała go jeszcze zobaczyć, póki w ogóle widziała cokolwiek. Ryzykując katorgę Bogostowski postanowił wymknąć się na tydzień, aby pojechać do matki i wrócić. Skombinował sobie delegację służbową na odległe wypasy bydła w pustyni, sam zaś pojechał pociągami do Nowosybirsk. W Kok-Tereku nie zauważono nawet, że go nie ma, ale w Nowosybirsku czujny taksówkarz zwrócił na niego uwagę enka-

wudystom, ci podeszli, aby skontrolować dokumenty. Bogosłowski ich nie miał, więc musiał powiedzieć prawdę. Przywieziono go do naszego glinianego więzienia i zaczęło się śledztwo. Nagle nadeszło wyjaśnienie, że Bogosłowski w ogóle nie podlega karze zesłania. Gdy go wypuszczono — natychmiast pojechał do matki. Ale już było za późno.

Bardzo zubożylibyśmy panoramę ogólną sowieckiego zesłania, gdybyśmy nie podkreślili, że w każdym rejonie zesańców czuwał niestrudzony OPER-CZEKWYDZIAŁ, który wzywał do siebie zesańców na rozmówki, prowadził werbunek konfidentów, kolekcjonował donosy i wykorzystywał je dla preparowania nowych spraw i wyroków. Należało przecież od czasu do czasu urozmaicić bezruch i monotonię zesłania, zastępując je żwawą ruchliwością zatłoczonego obozu. Drugi magiel — nowe śledztwo i nowy wyrok, były dla wielu naturalnym finałem zesłania.

Trzebaż było, aby Piotr Wiksne w 1922 roku zdezerutował z reakcyjnej, burżuazyjnej łotewskiej armii, uciekł do wolnego kraju Sowietów, tu w 1934 roku za korespondencyjne kontakty z pozostałą rodziną (a rodzina na Łotwie bynajmniej za to nie ucierpiała) — zesłany został do Kazachstanu, aby tu też nie upadł na duchu, lecz jako niestrudzony, choć repres-

348

jonowany maszynista w parowozowni Ajaguza został stachanowcem! 3 grudnia 1937 roku zawisł w parowozowni wielki transparent: „Bierzcie przykład z towarzysza Wiksne!”. Zaś już 4 grudnia towarzysza Wiksne zabrano do drugiego magla — z którego nigdy już nie miał wrócić.

Repety na zesłaniu, podobnie jak w obozach, dawano ludziom stale, aby pokazać górze, jak czujni są operczekiści. Jak wszędzie, stosowano tu również metody naciśku, dzięki którym aresztant szybciej pojmował sens swojego losu i łatwiej rezygnował z oporu (przypadek Cywilki w Uralsku, w 1937 roku: 32 doby karceru i sześć wybitych zębów). Ale zdarzały się również okresy, jak na przykład rok 1948 — kiedy zarzucano gęsty włók i wyławiano dla potrzeb obozów wszystkich zesańców pod rząd, jak na Workucie („Workuta staje się ważnym centrum przemysłu, towarzysze Stalin polecił więc ją oczyścić”), albo przynajmniej wszystkich mężczyzn, jak to było w innych okolicach.

Ale również dla tych, którzy nie szli do magla po raz wtóry, koniec zesłania był nader mglisty. Tak więc — na Kołymie, gdzie „zwolnienie” z obozu sprowadzało się tylko do przechadzki od wartowni do speckomen-dantury — właściwie zesłanie wcale się nie kończyło, bo z Kołymy nie sposób było wyjechać. A jeśli komuś udało się nawet wyrwać na „Wielką Ziemię” z tej pseudowyspy, co zdarzało się w czasie krótkich okresów pewnego luzu — ten chyba nieraz jeszcze przeklinał swój los: bo wszyscy zwolnieni oberwali na „Wielkiej Ziemi” nowe kary obozu.

Cień wydziału operacyjnego wciąż zasnuwał niebo zesłania, na którym i tak nie brakowało chmur. Pod okiem opera, na łasce donosicieli, zapracowani, wciąż zatroskani o chleb dla dzieci — zesańcy żyli w ciągłym strachu, odizolowani, odseparowani od siebie nawzajem. Nie było na zesłaniu długich więziennie-oboazowych rozmów, zwierzeń i wspominków.

Dlatego trudno zebrać relację o zesłaniczym życiu.

Trudno też o fotografię; jeśli fotograf był, to robił jedynie zdjęcia do dokumentów dla wydziałów kadr i specoddziałów. Załóżmy, że grupa zesańców chciała by sobie zrobić zdjęcie pamiątkowe. Co by to było, co by znaczyło? Zaraz poszedłby

donos do bezpieki: proszę, tu jest ta cała podziemna, antysowiecka organizacja, tu ją macie. I na podstawie zdjęcia wszystkich wybrali by jak raki z saka. Nie, nikt u nas nie przywiózł z zesłania tych grupowych i dość pogodnych zdjęć, które przecież znacie: trzeci z lewej to Uljanow, drugi z prawej — Krzyżanowski. A wszyscy syści, przyzwocie ubrani, nie widać śladów ciężkiej pracy i niedostatku, jeśli bródka — to pięknie przystrzyżona, jeśli czapka — to z dobrego futra. Bardzo ponure to były czasy, drogie dzieci...

IV WYWÓZKA NARODÓW

Może jakiś historyk nas skoryguje, ale w zwykłej ludzkiej pamięci nie utrwalił się żaden przykład masowej, przymusowej deportacji całych narodów ani w dziejach wieku XIX, ani XVIII, ani nawet XVII. Było wiele wypadków ujarznienia i zaboru typu kolonialnego na dalekich wyspach, w Afryce, w Azji, na Kaukazie, zwycięzcy usurpowali sobie władzę nad ludnością rdzenną, ale jakoś nie przychodziło owym kolonizatorom do zacończonych głów, aby odrywać całą tę ludność od jej ziemi i wypędzać z domów, co je pradziadowie budowali. Być może tylko wywózki Murzynów z Afryki do Ameryki na plantacje — są jakimś precedensem, ale tam nie działał jeszcze dojrzały system na miarę państwową: byli tam tylko poszczególni chrześcijanie zajmujący się handlem niewolnikami; w piersi owych chrześcijan świętym ogniem zapłonęła nagle chęć zysku i każdy z nich na własną rękę rzucił się, aby chwytać w dyby, oszukiwać i kupować Murzynów — pojedynczo i grupami.

Dopiero gdy nadszedł wiek XX, w którym miały się spełnić nadzieje cywilizowanej ludzkości, dopiero gdy na podstawie Jedynej Słusznej Teorii i z najwyższego natchnienia Kwestia Narodowa dojrzała i zyskała właściwą interpretację — otóż dopiero wówczas najwybitniejszy specjalista od tej kwestii opatentował najlepszy sposób kompletnej likwidacji całych narodów drogą ich wywózki w ciągu 48 czy 24 godzin — a nawet w przeciągu półtorej godziny.

Rzecz oczywista, nawet dla Niego Samego ta kwestia nie od początku była zupełnie jasna. Pewnego razu napisał nawet nieostrożnie: „Nie zdarzało się i nie może nigdy się zdarzyć, aby ktokolwiek w ZSSR był przed-

350

miotem prześladowań z powodu swojego pochodzenia narodowego”¹. W latach 20. nadzwyczaj popierano rozwój wszelkich języków narodowych, a co do Krymu — to tak często bębnilo, iż jest on tatarski, tatarski, że nawet wprowadzono tam alfabet arabski i wszystkie napisy były w języku tatarskim.

Ale okazało się, że to była omyłka...

Nawet po przeprowadzeniu wielkiej wywózki chłopów, nie zaraz potrafił docenić Wielki Sternik łatwość, z jaką ten zabieg da się zastosować do całych narodów. Doświadczenia mocarnego braciszka — Hitlera z likwidacją Żydów i Cyganów przeprowadzone były później już po rozpoczęciu drugiej wojny światowej. Ojczulek Stalin ważył w myśli ten problem już znacznie wcześniej.

Wyjąwszy tylko Mużycki Pomór — aż do samej ery wywózki narodów — nasze sowieckie deportacje, chociaż przedmiotem ich były całe setki tysięcy, nie szły jednak w paragon z obozami, nie były tak masywne i głośnie, aby zaważyć mogły na biegu dziejów. Byli zesłańcy-przesiedleńcy (skazani przez sąd), byli również zesłani administracyjnie (to znaczy — bez sądu), ale i ci, i tamci stanowili masę jednostek, z których każda miała rodzinę, urodziła się w określonym roku, opatrzona była w ak-

cie oskarżenia odpowiednim paragrafem, zdjęta en face i z profilu — i jedynie mądre, cierpliwe, nie wiedzące co to wstręt Organy potrafiły z tych ziarenek piasku ukręcić bicz, a z tych porozbijanych rodzin stworzyć całe monolity zestariczonych regionów.

Jakiegoż jednak znaczenia i rozpędu nabrał proces zestania, od kiedy zabrano się do wywózki specprzesiedleńców! Dwie wyżej wspomniane kategorie otrzymały swoje nazwy jeszcze od carów, ten ostatni termin jest już sowiecki, wyłącznie nasz. Czy od tego przedrostka spec nie zaczynają się nasze najulubierisze, najintymniejsze wyrazy (specwydział, speczadanie, specłączność, secprzydział, specsanatorium)? W roku Wielkiego Przełomu ochrzczono nazwą specprzesiedleńców wszystkich „rozkułaczonych” — i była to nazwa o wiele właściwsza, elastyczniejsza, tu nie było się czego czepiać, dlatego że procesowi „rozkułaczenia” podlegali wcale nie tylko kułacy, a do terminu „specprzesiedlenie” nikt nic mieć nie może.

I oto rozkazał Wielki Ojciec zastosować ten termin do deportowanych narodów. Nawet On nie od razu wpadł na ten pomysł. Pierwsza próba była nader nieśmiała: w 1937 roku ileś tam dziesiątków tysięcy bardzo podejrzanych Koreańczyków — bo też jak można ufać tym skośnookim czarnuchom, Stalin, Dzięk, Moskwa, 1951, t. XIII, str. 258.

351

gdy za chwilę ma zacząć się bitwa nad Chałchyn-Gołem i gdy japoński imperializm grozi agresją? — przetrzucono z Dalekiego Wschodu do Kazachstanu, a wszystko po cichu i szybko, bez wyjątku — od trzęsących się starców do rozbezczanych niemowląt, pozwalając zabrać im część nędznego dobytku. Tak szybko to przeprowadzono, że pierwszą zimę mieszkać musieli w samanowych lepiankach bez okien (bo i skąd tu wziąć tyle szyb!) i tak po cichu to się odbyło, że nikt, oprócz nowych sąsiadów — Kazachów, nie dowiedział się o tyrrprzesiedleniu, nikt w całym kraju o tym się nie zająknął i żaden korespondent zagraniczny — nawet nie pisał. (Oto dlaczego cała prasa powinna być w ręku proletariatu).

Spodobało mu się to. Zapamiętał to sobie. I w roku 1940 ten sam zabieg przeprowadzono w okolicach Leningradu, kolebki rewolucji. Tym razem zestańców wypędzano nie w nocy i nie pod bagnietami, nazywało się, że to „uroczyste fetowanie odjeżdżających” do Karelo-Fińskiej (dopiero co zdobytej zbrojnie) Republiki. W samo południe, wśród trzepotu czerwonych sztandarów i ryku miedzianych trąb, wysłano na nowe ojczyste obszary Finów i Estończyków mieszkających dotąd pod Leningradem. Gdy odwieziono ich już nieco dalej, gdzie ludzi było już nieco mniej (o losach partii złożonej z 600 ludzi opowiadał mi W. A. M.) odebrano wszystkim paszporty, otoczono transport tyralierą wojska i powieziono dalej — na-samprzód czerwonymi, bydlęcymi wagonami, a następnie — na kryptach. Z końcowej przystani w głębi Karelii zaczęto ich rozsyłać „dla zasilenia kadry kołchozowej” i uroczyste fetowani przy wyjeździe a zupełnie wolni obywatele, podporządkowali się. Jedynie 26 buntowników, wśród których był autor relacji, odmówili dalszej jazdy, a nawet gorzej, bo nie oddali paszportów! „Ktoś tu dzisiaj zginie!” — uprzedził ich przedstawiciel władzy sowieckiej — mianowicie Sownarkomu Karelo-Fińskiej Republiki. „Puśćcie w ruch karabiny maszynowe?” — krzyknęli tamci. Ale głupi, na diabła tu zaraz karabiny maszynowe? Siedzieli przecież małą gromadką, zewsząd otoczeni, więc tu starczyłoby jakiejś jednej lufy i nikt by o tych dwudziestu sześciu Finach poematów nie napisał*. Ale dziwna jakaś tolerancja, opieszałość i brak operatyno-

ści przeszkodziły w zastosowaniu tej rozsądnej sankcji. Próbowano ich rozdzielić, wzywano pojedynczo do opera, ale tych 26 chodziło wszędzie razem. I ten ich upór, ta bezmyślna odwaga — wzięta górę! Zostawiono im paszporty i ściągnięto posterunki, które ich pilnowały. W ten sposób nie spadli oni do poziomu Aluzja do 26 bolszewickich komisarzy z Baku, którzy zostali w czasie wojny domowej wywiezieni przez interwentów i rozstrzelani w Turkiestanie. Poemat o nich napisał — między innymi — Sergiusz Jesienin.

352

kołchoźników albo zesańców, ale był to wypadek wyjątkowy. Olbrzymia większość paszporty oddała.

Wszystko to były jedynie próby. Dopiero w lipcu 1941 roku można było zastosować tę metodę na większą skalę: trzeba było całą autonomiczną — i naturalnie przeniawierczą — republikę Niemców Nadwołżańskich (z oboma jej stolicami — Engels i Marxstadt) wygarnąć i przerzucić w ciągu kilku dni na Wschód, możliwie jak najdalej. Tutaj po raz pierwszy dynamiczny system wywózki całych narodów zastosowany był w czystej swojej postaci. O ileż łatwiejsze, bardziej celowe i owocne okazało się stosowanie jednego tylko klucza — kryterium pochodzenia narodowego — od prowadzenia wszystkich tych spraw śledczych i ferowania oddzielnych wyroków. I gdy łapano któregoś z tych Niemców w innych okolicach Rosji (a postarano się wyłapać ich wszystkich), to nie trzeba było miejscowemu NKWD żadnych studiów wyższych, aby zorientować się czy to wróg, czy nie wróg. Wystarczyło, że miał nazwisko niemieckie i już wiadomo było, że trzeba go brać.

System przeszedł kolaudację, został należycie podkreślony i odtąd już miał w sposób zupełnie niezawodny brać w obroty każdy wybrany z góry, wyznaczony i skazany na zagładę za zdradzieckie swoje postępowanie naród — przy tym za każdym razem owe obroty były coraz żwawsze. W ten sposób dobrano się do Czeńczyków; Inguszków; Karaczajewców; Bałkarców; Kałmuków; Kurdów; Tatarów krymskich; a wreszcie — kaukaskich Greków. System ten ma tę dynamiczną zaletę, że decyzja Ojca Narodów komunikowana jest tu delikwentom nie w trybie rozpaplanego procesu sądowego, lecz w postaci operacji bojowej jednostek nowoczesnej piechoty zmotoryzowanej: należycie wyekwipowane dywizje wkraczą nocą na terytorium zamieszkane przez oznaczoną grupę narodową i zajmują kluczowe pozycje. Występna grupa narodowa budzi się rano i widzi dokoła każdego osiedla pierścień karabinów maszynowych i automatów. Daje się więc 12 godzin czasu (ale to było zbyt wiele, bo środki zmotoryzowane rejestrują z tej przyczyny przestój — i na Krymie dawano już tylko dwie, a nawet półtorej godziny) aby każdy mógł wziąć to, co potrafi unieść w ręku. Każdy potem siada, całkiem jak aresztant, po turecku, w pudle ciężarówki (staruszki, karmiące matki: — Siadać, słyszałaś rozkaz!) i ciężarówka te z odpowiednią obstawą udają się na stację kolejową. Stamtąd — bydlęcymi wagonami aż do oznaczonego punktu. A zdarza się, że trzeba jechać jeszcze dalej (krymscy Tatarzy musieli płynąć po rzece Unży, akurat dla nich te północne moczary!), na przykład — ciągnąć jak burłacy tratwy pod prąd 150-200 kilometrów przez dziewicze lasy (od Kołogrywu w górę), podczas gdy na tratwach leżą nieruchomo siwobrodzi starcy.

15 Archipelag Gulag 353

Na pewno z samolotu albo z wysokich gór wyglądało to bardzo majestatycznie: zagrały jednocześnie silniki jak długi i szeroki cały półwysep Krymski (dopiero co wyzwolony - kwiecień 1944 roku) — i setki samochodowych kolumn popęły jak węże po jego krętych i prostych drogach. Przekwitwały właśnie drzewa owocowe. Tatarki wynosiły z cieplarni na ogrodowe grządki rozsadę słodkiej cebuli. Zaczynało się sadzenie tytoniu. (I tu się skończyło. I na wiele lat zniknął tytoń z Krymu). Zmotoryzowane kolumny nie podjeżdżały do samych wsi, zatrzymywały się na skrzyżowaniach dróg, auta otaczane zaś były przez piechotę ze specoddziałów. Rozkaz głosił, że mieszkańcom daje się półtorej godziny na spakowanie rzeczy, ale instruktorzy skracali ten termin nawet do 40 minut — żeby się wykazać, żeby nie spóźnić się na punkt zborny — i żeby w aule więcej zostało dobytku dla zonderkomanda, wydzielonego ze specoddziału. Szczególnie zatwardziałe auta, na przykład Ozenbasz nad jeziorem Bijuk, trzeba było palić do fundamentów. Kolumny samochodów wiozły Tatarów na stacje kolejowe i tam, już w wagonach, musieli czekać jeszcze całymi dobami, lamentując i śpiewając żałosne pieśni pożegnalne².

Prostota, przejrzystość, jednolitość! — oto prerogatywy systemu wywózki całych narodów! Żadnych wypadków szczególnych! Żadnych wyjątków i protestów poszczególnych jednostek. Wszyscy jadą posłusznie, bo jadą wszyscy — i ty, i on, i ja. Jadą nie tylko ludzie każdego wieku i płci obojga, jadą również ci, którzy są jeszcze w łonie matki — też już są zesańcami na mocy tego Dekretu, jadą również jeszcze niepoczęci: poczęci bowiem będą pod skrzydłem tegoż Dekretu i od samych narodzin, w sprzeczności z przestarzałym, uprzykrzonym artykułem 35 KK („Karą zesłania nie mogą być dotknięte osoby, które nie osiągnęły jeszcze 16 roku życia”) ledwie tylko wytkną nos na świat boży — już będą specprzesiedleńcami, już będą dożywno zesańcami. A ich pełnoletność, owe sakramentalne szesnaste urodziny, uczczone będą tylko w ten sposób, że odtąd będą musieli regularnie meldować się w komendanturze.

A to, co tam zostało — otwarte na oścież, nie ostygłe jeszcze domy i rozbebeszone sprzęty, całe gospodarstwo, owoce pracy dziesięciu i dwudziestu pokoleń — również w sposób z góry ustalony znajdzie się w ręku pracowników operacyjnych naszych organów ścigania, część przypadnie państwu, a część sąsiadom — członkom szczęśliwszych grup narodowych — i nikt nie będzie pisał skarg w sprawie jakiejś krowy, mebli czy statków.

2 W 60. latach XIX wieku ziemianie i administracja guberni Taurydzkiej wnieśli petycję o wysiedlenie wszystkich krymskich Tatarów do Turcji. Aleksander II odmówił. W 1943 roku taki sam wniosek złożył gauleiter Krymu; Hitler odmówił.

354

Jednolity i przejrzysty charakter zabiegu spotęgowany był i podkreślony jeszcze przez to, że tajny Dekret nie szczędził nawet członków partii komunistycznej, wywodzących się z tych niecných narodów. A więc nie trzeba już sprawdzać nawet legitymacji partyjnych, jeszcze jedno ułatwienie. A od tych członków partii można potem na zesłaniu wymagać, żeby tyrali dwa razy pilniej niż inni — i dopiero wszystko będzie w porządku³.

Pewna szczelina w tym jednolitym systemie zaznaczała się tylko z winy mieszanych małżeństw (nie daremnie nasze socjalistyczne państwo zawsze odnosiło się do nich z niechęcią). Przy wywózce Niemców, a później Greków takim małżeństwom oszczędzono deportacji. Ale wprowadzało to porządne zamieszanie i w okolicach

już szczęśliwie oczyszczonych zostawiało ogniska zarazy. (Przypomnijcie sobie choćby te stare Greczynki, które wracały do dzieci, aby umrzeć w swoim domu). Dokąd wywożono te narody? Najchętniej i najczęściej do Kazachstanu tak, iż tutaj, razem ze zwykłymi zesańcami, stanowią teraz dobrą połowę ludności tej republiki, która mogłaby z powodzeniem zmienić nazwę na KaZEKstan. Ale nie pokrzywdzono również Azji Środkowej ani Syberii (masa Kałmuków wymarła na wygnaniu nad Jenisejem), ani Północnego Uralu i całej Północy Rosji europejskiej.

Czy można zaliczyć do wywózki narodów deportacje z krajów nadbałtyckich? Warunków formalnych ten rodzaj wywózek nie spełniał: deportowano nie wszystkich jak leci, a narody te mieszkają dalej tam, gdzie mieszkaly (trochę za blisko Zachodu, a szkoda, bo tak swędzi ręka!). Wygląda na to, że zostały na miejscu, ale przetrzebiono je na medal.

Wyczesywać naszym zgrzebłem zaczęto je bardzo wcześnie: jeszcze w 1940 roku, natychmiast po wkroczeniu naszych wojsk, zanim jeszcze te uszczęśliwione narody jednomyślnie przegłosowały rezolucję o przystąpieniu do Związku Sowieckiego Republik. Selekcja zaczęła się od oficerów. Trzeba zrozumieć, czym było dla tych młodych organizmów państwowych ich pierwsze (i ostatnie) pokolenie własnych oficerów: byli to nie pyszałkowaci paniczyskowie, tylko wcielona powaga, odpowiedzialność i energia

3 Nawet Wielki Sternik nie mógł przewidzieć wszystkich komplikacji. W 1929 roku wygnano z Krymu tatarskich książąt i starszyznę'. Postępowano przy tym oględniej niż w Rosji: nie podlegali oni aresztowaniu, tylko sami przenosili się do Azji Środkowej. Tutaj, w otoczeniu pobratymczej ludności muzułmańskiej, stopniowo zdołali zdobyć sobie pozycję i wrosli w teren. I oto — po upływie 15 lat — na ten sam teren przywieziono wszystkich Tatarów z warstw pracujących, co do jednego! Starzy znajomi znów się spotkali. Tylko teraz członkowie warstw pracujących byli zdrajcami i zesańcami, zaś eks-arystokraci zajmowali przyzwoite stanowiska w aparacie administracyjnym, a wielu — nawet w partii.

355

narodu. Jeszcze jako gimnazjaliści w śniegach nad Narwą uczyli się bronić nieokrzepłej ojczyzny własną, nieokrzepłą piersią. Teraz ten koncentrat doświadczenia i energii ścięto jednym machnięciem kosi i na tym polegał najważniejszy manewr przygotowawczy przed plebiscytem. Była to recepta wypróbowana — czy nie tak samo postąpiono niegdyś w samym naszym Związku? Po cichu i szybko likwiduje się tych, którzy mogą stanąć na czele ruchu oporu, a także tych, którzy mogą podżegać innych swoimi myślami, przemówieniami, książkami — i proszę, wygląda na to, że naród jest dalej tam, gdzie był, a tymczasem — nie ma już narodu. Martwy ząb przez czas jakiś przypomina z pozoru ząb żywy.

Ale to, co w 1940 roku zaszło w krajach nadbałtyckich — to nie były deportacje, tylko fala aresztowań do obozów, a dla wielu — rozstrzelanie na kamiennym więziennym podwórku. Również w 1941 roku, w czasie odwrotu Japana, ilu tylko było można ludzi zamożnych, wybitnych, znanych — i wywożono, zagarniano ich ze sobą, jak cenną zdobycz, aby potem wyrzucić jak nawóz na stężącą ziemię Archipelagu (zabierano ich tylko w nocy, 100 kilogramów bagażu na całą rodzinę, a głowy tych rodzin już przy załadunku lokowano osobno, aby później zlikwidować bądź wtrącić do więzień). Następnie przez całą wojnę leningradzkie radio nadawało dla krajów nadbałtyckich audycje pełne pogroźek, zapowiadając surową zemstę.

W roku 1944, gdy wrócili tu nasi, pogroźki te wprowadzili w życie, pakowano ludzi do więzień gęsto, masami. Ale nawet to nie mogło być jeszcze uznane za wywózkę całego narodu.

Największa wywózka miała miejsce w 1948 roku (niepokorni Litwini), w 1949 (ze wszystkich trzech krajów) i w 1951 (jeszcze raz Litwini). W tych samych latach, równolegle zgrzeblono także Zachodnią Ukrainę i ostatnia wywózka masowa odbyła się tam w 1951 roku.

Kogóż to chciał Generalissimus wywieźć w 1953 roku? Czy Żydów? Czy jeszcze kogoś oprócz nich? A może całą Ukrainę Prawobrzeżną? Nigdy już nie poznamy tego wielkiego planu. Co do mnie, podejrzewam na przykład, że Stalin miał niezwałczoną chęć zesłania całej Finlandii na pustynne tereny graniczące z Chinami, ale nie udało mu się to ani w 40., ani w 47. (próba przewrotu Leino). Znalazłby na pewno miejsce za Uralem także dla Serbów albo i dla Greków z Peloponezu. Gdyby ta Czwarta Kolumna Przodującej Teorii powstała jeszcze jakieś 10 lat — nie poznalibyśmy etnicznej mapy Eurazji, doszłoby do wielkiej Wędrówki Ludów w odwrotnym kierunku.

356

Ile tych narodów wywieziono — tyle też kiedyś powstanie poematów epickich — o rozłące z ziemią ojczystą i o sybirskiej zagładzie. Tylko oni sami zdołają zgłębić uczuciem wszystko to, co przeszli, i nie naszą jest rzeczą mówić im o tym, ani zabiegać im drogę.

Ale po to, by czytelnik mógł sobie uświadomić, że chodzi tu wciąż o ten sam kraj zesłania, który już poznał, o to samo śmietnisko u brzegów tegoż Archipelagu — przyjrzyjmy się przez chwilę dziejom wywózki Bałtów.

Wywożono Bałtów nie gwałcąc wcale woli ludu, przeciwnie — jedynie i wyłącznie w zupełnej z nią zgodzie. W każdej z trzech republik nadbałtyckich miejscowa Rada Ministrów powzięła w sposób zupełnie spontaniczny uchwałę (w Estonii — 25 listopada 1948 roku) przewidującą zesłanie określonych kategorii swoich rodaków na daleką, obcą Syberię, a przy tym na wieczne czasy, tak aby nigdy nie powrócili już na ziemię ojczystą. (W tym geście znajduje wyraz i zupełna niezależność nadbałtyckich rządów, i skrajny stopień rozdrażnienia, do jakiego rządy te zostały doprowadzone przez nikczemnych i nędznych swoich rodaków). Oto te kategorie: a) rodziny osób już skazanych (nie dość, że ojcowie wydają ostatnie tchnienie w obozach, należało również wypalić żywym ogniem całe ich nasienie); b) bogaci chłopci (ten zabieg bardzo przyspieszał kolektywizację, której potrzeba w krajach nadbałtyckich już dojrzała) i wszyscy członkowie ich rodzin (studentów w Rydze zgarbiano tej samej nocy, której rodzice ich zabierani byli z ojczystego futoru); c) wybitniejsi działacze zajmujący niezależną pozycję, którzy zdołali jednak przemknąć się przez oka sieci w 1940, 41. albo 44. roku; d) osoby (wraz z rodzinami) po prostu nastawione wrogo, które nie zdążyły uciec do Skandynawii, albo takie, którym miejscowi aktywiści mieli coś do zarzucenia.

Aby godność naszej wspólnej Wielkiej Ojczyzny nie poniosła uszczerbku, a także po to, aby nie dać żeru wrogom z Zachodu — uchwały tej nie opublikowano w gazetach, nie podano jej do wiadomości publicznej i nie zakomunikowano nawet samym zesłanym w momencie wywózki. Dowiedzieli się o niej dopiero na miejscu, w syberyjskich komendanturach.

Organizacja samej wywózki tak bardzo się udoskonaliła od czasów operacji koreańskiej, czy nawet krymsko-tatarskiej, cenne doświadczenie zostało już tak upowszechnione i przyswojone — że jednostkami rachuby czasu były teraz nie doby czy godziny, ale minuty. Ustalono i wykazano praktycznie, że nie musi minąć więcej niż 20-30 minut od pierwszego, nocnego pukania do drzwi aż do wyjścia ostatniego z członków rodzin z progów domostwa w głąb nocy na czekającą ciężarówkę. W ciągu tych 20-30 minut wyrwana ze snu rodzina zdążyła ubrać się, uświadomić sobie, że wywożą ją na wieczne czasy, podpisać papier ze zobowiązaniem do

357

wyrzeczenia się wszelkich roszczeń materialnych, zebrać swoje staruchy i dzieci oraz tobołki i na rozkaz opuścić dom. (Co do pozostawionych rzeczy — nie było z nimi żadnego kłopotu. Po wyjściu konwoju przychodzili przedstawiciele urzędu finansowego dla sporządzenia spisu przedmiotów skonfiskowanych. Sprzedawano je później w sklepach komisowych na rzecz skarbu państwa. Nie mamy prawa zarzucać inspektorom, że przy okazji chowali sobie coś za pazuchę albo wywozili to i owo „na lewo”. Nie bardzo to było potrzebne, bo wystarczało wypisanie jeszcze jednego po kwitowania — tym razem z komis — i każdy z przedstawicieli władzy ludowej mógł kupioną za bezcen rzecz zabrać sobie legalnie do domu). Co tu było począć w ciągu 20-30 minut? Jak wybrać to, co najważniejsze? Lejtnant kierujący wywózką pewnej rodziny (babka — 75-letnia, matka 50-letnia, córka lat 18, i syn lat 20) poradził: „Koniecznie zabierzcie maszynę do szycia!”. Kto mógł się domyśleć? Tymczasem ta maszyna do szycia była potem jedyną żywicielką całej rodziny⁴.

Zresztą szybkość tej całej operacji czasami wychodziła samym skazańcom na korzyść. Wicher przeleciał — i już go nie ma. Nawet najlepsza miotła zawsze trochę śmiecia zostawi. Jeżeli jakaś kobieta potrafiła przeczekać ze trzy doby nie nocując w domu — mogła przyjść do wydziału finansowego, poprosić o zdjęcie pieczęci z mieszkania i, wyobraźcie sobie, pieczęcie zdejmowano. Bierz cię diabli, mieszkaj sobie do następnego Dekretu.

Do tych małych, bydlęcych wagonów towarowych, do których zwykle ładuje się 8 koni albo 32 żołnierzy, albo 40 więźniów — pakowano po pięćdziesięciu a nawet więcej deportowanych mieszkańców Tallina. W pośpiechu nie zdążono niczego w wagonach zainstalować i nie od razu pozwolono pasażerom wyrąbać odpowiednie dziury. Kibel — stare wiadro — wkrótce wypełnił się po brzegi, zawartość przelewała się chlapała na rzeczy. Już w pierwszym momencie zmuszono tych dwunogich ssaków do zapomnienia, że kobieta i mężczyzna należą do różnych płci. Przez półtora dnia byli zamknięci bez kropli wody i bez jedzenia. Jakieś dziecko umarło. (A przecież o tym wszystkim niedawno czytaliśmy, prawda? Dwa rozdziały wstecz, 20 lat minęło — a wciąż to samo...). Długo stali na stacji Julemiste, a po peronach biegali ludzie, pukali w dechy wagonów, pytali o nazwiska, daremnie starając się dać na drogę żywność i rzeczy. Zostali odpędzeni. A ludzie w wagonach byli głodni. Nie mieli odzieży, a czekała ich Syberia.

⁴ Czy ci konwojenci rozumieli co robią i jak to rozumieli? Gdy deportowano Marię Sumberg, wśród konwojentów był między innymi Sybirak znad rzeki Czutym. Wkrótce poszedł do cywila, przyjechał do domu, tam spotkał zestaną i powitał ją radosnym, szczerym uśmiechem: „Paniusiu! — czy paniusia mnie pamięta?...”

W drodze zaczęto wydawać im chleb, a na niektórych stacjach — zupeł. Wszystkich wywiezionych czekała daleka droga: do okręgu nowosybirskiego, do irkuckiego, do Kraju Krasnojarskiego. Do samego tylko Bara-biriska przywieziono 52 wagony Estończyków. Do Achyńska — transport jechał 14 dni i nocy.

Co podtrzymuje ludzi na duchu w czasie tak strasznej drogi? Dodać im ducha może tylko nadzieja, która nie bierze się z wiary, lecz z nienawiści: „Niedługo ich szlak trafi! Już w tym roku będzie wojna i jesienią wrócimy do domu”.

Nikt z ludzi żyjących w normalnych warunkach na Zachodzie, czy na Wschodzie nie potrafi dziś zrozumieć, uznać za słuszne, ani nawet wybaczyć ówczesnych nastrojów, jakim ulegaliśmy za kratami. Pisałem już, że takie właśnie nadzieje i pragnienia wypełniały nam dusze w 49. czy w 50. roku. Właśnie w tych latach nieprawość i nikczemność tego systemu, tych wszystkich 25-letnich wyroków, tych powtórnych zesań na Archipelag — tak już wezbrała, że doszła do stanu wybuchowego, już otwarcie nieznośnego, takiego, że żadna ochrona nie mogła gwarantować jego dalszego trwania. (Pozwólmy sobie zresztą na pewne stwierdzenie ogólne: jeśli reżym jest niemoralny — poddani wolni są od wszelkich zobowiązań wobec niego). Jak potworne muszą być warunki życia, aby tysiące tysięcy ludzi w celach, w karetkach więziennych i w bydlęcych wagonach modliły się

0 niszczycielską wojnę atomową, widząc w niej jedyne wyjście?!...

Ale nikt nie płakał. Nienawiść osusza łzy.

Estończycy w czasie tej drogi myśleli również o innej rzeczy: zastanawiali się, jak powitają ich mieszkańcy Syberii? Wiedzieli, że w 40. roku Sybiracy obdzierali zesańnych Bałtów, wyzuwali ich z przywiezionego dobytku, za futro dawali pół wiadra kartofli. (Takeśmy wtedy sami byli goli, że Bałtowie rzeczywiście prezentowali się przy nas jak burzuje).

Teraz, w 49. roku nagadano Sybirakom, że wiozą do nich zatwardziały kłaków. Ale ci kłacy wychodzili z wagonów zupełnie już zadręczeni

1 obdarci. Przy kontroli sanitarnej rosyjskie pielęgniarki dziwowały się, jakie te kobiety chude i obdarte, jak brak im nawet czystej szmatki dla dziecka. Przybyłych posłano do wyludnionych kołchozów i tam, w tajemnicy przed władzą, syberyjskie kołchożnice przynosiły im to, co same w domu miały: pół litra mleka czy trochę podptomyków z buraka albo z bardzo marnej maki.

I dopiero teraz — Estonki zapłakały.

Ale był jeszcze przecież aktyw komsomolski!, Ci właśnie uwierzyli chętnie, że przyjechał tu faszystowski pomiot („Kamień na szyję i do wody! Tak by z wami trzeba!” — wrzeszczeli), co to jeszcze pracować nie chce

dla dobra kraju, który wyzwolił tych łotrów z burżuazyjnej niewoli. Ci komsomolcy zostali nadzorcami zesańców, poganiając ich do roboty. Uprzedzono ich też, że na pierwszy dany znak mają organizować obławy.

Na stacji Aczyrisk zdarzyła się zabawna pomyłka: władze rejonu birilus-skiego kupiły od konwoju dziesięć wagonów zesańców, 500 ludzi do swoich kołchozów nad rzeką Czułym i zdołały sprytnie chyłkiem przerzucić te wagony 150 kilometrów na północ od Aczyriska. Tymczasem powinny one być (ale zesańcy o tym przecież

nie wiedzieli) pojechać do Chakassji, do dyspozycji zarządu kopalń w Saralińsku. Czekali tam na ten kontyngent; tymczasem kontyngent znalazł się w kołchozach, które wypłacały poprzedniego roku po 200 gramów ziarna na dzień. Tej wiosny nie miały już ani ziarna, ani kartofli i krowy ryk unosił się nad siołami: głodne krowy rzucały się jak dzikie na półzgniłą słomę. Nowo przybyłym kołchoz wydawał po kilogramie mąki tygodniowo na głowę — i nie był to wcale dowód wrogości ani surowości — była to zupełnie przyzwoita zaliczka, dorównująca niemal całej przyszłej tygodniówce! Estoriczycy tylko za głowę się wzięli — przypomnieli sobie warunki w swoim kraju... (Co prawda, w miejscowości Polewoj, całkiem niedaleko od nich, stały wielkie spichrze pełne ziarna: przybywało go z roku na rok, ponieważ władze nie dawały sobie rady z wywózką. Ale to ziarno należało już do państwa i kołchoz nie mógł nim rozporządzać. Dookoła ludzie zdychali z głodu, ale nie dawano im ani ziarenka z tych spichrzy — było państwowe. Przewodniczący kołchozu Paszkow pewnego razu wydał z własnej inicjatywy po pięć kilo ziarna na każdego jeszcze żywego kołchoźnika — i poszedł za to do obozu. Państwo miało swój chleb — a kołchoz swoje kłopoty i nie to jest tematem tej książki).

Estończycy biedowali nad tą rzeką Czutyń przez trzy miesiące, ze zdumieniem obserwując działanie nowego dla nich prawa — jak nie chcesz zdechnąć — to kradnij! I już myśleli, że zostaną tu na wieczne czasy, aż nagle wygarnęli ich wszystkich i zawieźli do rejonu Saralirskiego w Chakassji (bo gospodarze nareszcie znaleźli swój kontyngent). Chakasów jakoś wcale tam nie było widać, każda osada pełna była zesańców i w każdej była komendantura. Dookoła — kopalnie złota, a więc wiercenie, a więc pylica. (Wielkie te przestrzenie nosiły tylko nazwę Chakassji czy Kraju Krasnojarskiego, były to raczej włości przedsiębiorstw Chakzołoto albo Jenisejstroj i władzę na nich sprawowały nie rady rejonowe i nawet nie rejkomy partii, tylko generałowie wojsk MWD, sekretarze rejkomów kłaniali się zaś w pas rejonowym komendantom). Pół biedy, jeśli kogoś posłali prosto do kopalni. Najgorzej było tym, których skierowano do artelu poszukiwaczy złota. Poszukiwacz złota! Jakże ponętnie to brzmi, samo to

360

słowo mieni się jak złoty piasek. Jednakże w naszym kraju potrafią wypaczyć sens każdego ludzkiego pojęcia. Do „arielów” tych zapędzano spec-przesiedleńców tylko dlatego, że nikt z nich nie odważyłby się na sprzeciw. Kazano im eksploatować kopalnie uznane przez państwo za niewydajne i dlatego już zamknięte. W kopalniach takich nie było żadnych urządzeń zabezpieczających i woda lała się strugami. Nie sposób było w tych warunkach wykonać normy i zapracować na chleb; półżywych ludzi posyłano tam jedynie po to, aby wylizać resztki złota, bo nawet resztek państwu było szkoda. Artele podlegały „sekcji poszukiwań” zarządu kopalni, a zarząd wiedział tylko o jednym: wyznaczać plan i żądać jego wykonania, żadnych innych obowiązków nie miał. Artele były „wolne” — ale nie w stosunku do państwa, lecz jedynie — wobec prawa o ochronie pracy: członkom artelu nie należał się płatny urlop, pracowali nieraz w niedziele (jak normalni więźniowie), a mogli nagle dowiedzieć się, że w najbliższym miesiącu żadnych niedziel nie będzie, bo to miesiąc „stachanowski”. Ale państwo dalej czuwało: za jedną bumelkę — szło się pod sąd. Dwa razy miesięcznie zjeżdżał się sąd na sesję i bardzo wielu skazywał na 25% potrącenia z pensji; powody zawsze się znalazły. Zarabiali ci „poszukiwacze” miesięcznie 3-4 „złote” ruble — 150-200 rubli sprzed wymiany).

W niektórych kopalniach pod Kopiewem zesańcy dostawali pensję nie gotówką, lecz bonami: bo i rzeczywiście — na co im normalne pieniądze, skoro i tak nie wolno im ruszać się z miejsca, a w kopalnianej kantynie przyjmują również bony. W tej książce próbowałem już porównać szczegółowo los więźniów z losem chłopów pańszczyźnianych. Zważmy jednak, że — jak z historii Rosji wiadomo — najcięższy był nie los pańszczyźnianych chłopów, lecz robotników pańszczyźnianych manufaktur. Te bony nadające się do zakupów tylko w kantynie przywodzą natychmiast na pamięć warunki życia w altaj-skich fabrykach i kopalniach. Przypisani do nich robotnicy w XVIII i XIX wieku dopuszczali się celowo przestępstw tylko po to, aby znaleźć się na katordze, gdzie życie było trochę łżejsze. W kopalniach złota na Altaju, nawet w końcu zeszłego wieku, „robotnicy nie mieli prawa wymówić się od pracy nawet w niedzielę (!), płacili kary (porównaj z naszymi potrąceniami), a ponadto były tam sklepiki, które sprzedawały produkty najgorszego gatunku, a robotników spijano w nich i oszukiwano. „Właśnie te sklepiki, nie zaś źle zorganizowane wydobywanie złota, były głównym źródłem dochodów” właścicieli złotodajnych terenów³ czyli po naszymu — trustu.

5 Siemionow Tiań-Szański, Rossija, Tom XVI.

361

A cóż to takiego! to już nie ma nic oryginalnego na naszym Archipelagu?

W 1952 roku drobniutka i krucha Ch. S. w czasie silnych mrozów nie poszła do pracy, ponieważ nie miała walonek. Za tę zbrodnię kierownik artelu obróbki drzewa postawił ją na trzy miesiące na wyrąb lasu — oczywiście — bez walonek. — Ta sama kobieta parę miesięcy przed porodem prosiła o skierowanie do łżejszej pracy, gdzie nie musiałaby przynajmniej dźwigać pni, ale w odpowiedzi usłyszała tylko: jak ci się nie podoba — to spróbuj dostać zwolnienie. Lekarka-ignorantka zbadała ją i pomyliła się o cały miesiąc w prognozie połogu; w rezultacie dała jej ustawowe zwolnienie dopiero na dwa czy trzy dni przed porodem. Tam, we włościach MWD, w głębi tajgi, nie ma miejsca na dyskusję.

Ale wszystko to jeszcze nie było prawdziwą katastrofą życiową. Co to jest katastrofa życiowa, dowiadawali się jedynie ci przesiedleńcy, których postawiono do kołchozów. Wciąż jeszcze trwają spory (i nie bez przyczyny): czy biorąc ogólnie — w kołchozie łżej jest niż w obozie? A co by dopiero było, gdyby dokonać skrzyżowania kołchozu z obozem? Otóż w takiej właśnie sytuacji znaleźli się specprzesiedleńcy w kołchozach. Z jednej strony podobnie jak w kołchozie — nie wydawano im pajki; tylko w czasie kampanii siewnej przydzielano 700 gramów chleba dziennie, zresztą — ze zgniłego na połę ziarna, koloru ziemi, piaszczystego (zamiatano widać podłogi w spichrzach). Z drugiej strony — podobnie jak w obozie, pakują człowieka do bunkra: wystarczy, że brygadzysta poskarży się w zarządzie na swojego pracownika-zesłańca, że z zarządu zadzwonią do komendantury, a już komendant pakuje człowieka do kozy. Co zaś do zarobków, to w ogóle nie można się zorientować, na jakiej zasadzie je obliczano: w ciągu pierwszego roku pracy w kołchozie Maria Sumberg otrzymała za każdą dniówkę 20 gramów ziarna (byle ptaszyna boża więcej sobie nadziobie na wiejskiej drodze!) i 15 stalinowskich kopiejek (czyli 1,5 kopiejki chruszczowskiej). Całoroczny zarobek wystarczył jej na kupno... aluminiowej miski.

Jak więc utrzymywali się przy życiu?! A dzięki paczkom żywnościowym z kraju. Przecież nie cały ich naród został zesłany.

A kto posyłał paczki Kałmukom? A krymskim Tatarom?... Przejdźcie się po cmentarzu, zapytajcie.

Z Łaski ojczystej, nadbałtyckiej Rady Ministrów albo dzięki miejscowej już, syberyjskiej konsekwencji w postępowaniu — do bałtyckich specprzesiedlerców aż po sam rok 1953, póki Ojciec żył jeszcze — stosowano zasadę: zaprzęgać wyłącznie do najcięższych robót! Kilof, łopata i piła, nic więcej! „Tu macie się nauczyć, jak być ludźmi!”. I jeśli przedsiębiorstwo kogoś z nich awansowało, komendantura wtrącała się i sama przenosiła faceta na ogólne. Nie pozwalano specprzesiedleńcom nawet na przekopy-

362

wanie ziemi w ogrodzie przy domu wczasowym zarządu kopalni — aby nie ubliżyć tym stachanowcom, którzy w owym domu odpoczywali. Komendant nie pozwolił Marii Sumberg pracować nawet w oborze przy cielętach: „Nie przystano was tu na letnisko, idźcie do grabienia siana!”. Z trudem udało się przewodniczącemu ją wybronić. (Maria uratowała mu cielęta od brucellozy. Polubiła syberyjskie bydło, twierdziła, że jest łagodniejsze od estońskiego; nie przyzwyczajone do ludzkiej dobroci krowy lizały jej ręce).

Trzeba było któregoś dnia szybko załadować ziarno na krypę — i specprzesiedleńcy bezpłatnie i bez słowa podziękowania pracować musieli przez 36 godzin z rzędu (działo się to nad rzeką Czutym). W ciągu całego tego czasu mieli dwie przerwy na jedzenie po 20 minut i jedną trzygodzinną przerwę na wypoczynek. „Jak się wam nie podoba — to pošlemy was jeszcze dalej na północ!”. Gdy jakiś starzec upadł pod ciężarem worka — nadzorcy-komsorriolcy skopali go nogami.

Co tydzień trzeba chodzić do komendantury. Że kilka kilometrów?, że starucha ma już 80 lat?, to znajdźcie konia i przywieźcie ją! — Za każdym razem komendant przypomina: za ucieczkę — 20 lat ciężkich robót.

Tuż obok — gabinet pełnomocnika operacyjnego. Tam też ludzi wzywają. Proponują lepszą pracę — na przynętę. I zagrozą przy okazji, że jedyną córkę pošlą za koło podbiegunowe, daleko od matki i ojca.

A czy to nie jest w ich mocy? Czy odruch sumienia powstrzymał kiedykolwiek ich rękę?...

A oto poruczenia: śledzić takiego a takiego. Zbierać materiały obciążające przeciw takiemu to a takiemu.

Gdy do poczekalni wejdzie byle sierżant, wszyscy specprzesiedleńcy, nawet stare kobiety, powinni wstać; bez pozwolenia siadać im nie wolno.

A może czytelnik doszedł do wniosku, że specprzesiedleńcy pozbawieni zostali praw obywatelskich?

Ależ nie, bynajmniej! Swoje prawa obywatelskie zachowywali w całej pełni! Nie odbierano im paszportów. Nie pozbawiono ich prawa do udziału w powszechnym, równym, tajnym i bezpośrednim głosowaniu. Nikt nie odebrał im tego najwyższego, wzniostego przywileju — aby z kilkusobowej listy kandydatów wykreślić wszystkie nazwiska prócz jednego, prócz imienia ich wybrańca. Do tego dalej mieli święte prawo. I nikt nie zabraniał im w dalszym ciągu subskrybować państwowych pożyczek (przypomnijmy sobie tylko męki komunisty Diakowa w obozie!); podczas gdy wolni kołchoźnicy z gderaniem i ze skrzypem dawali na pożyczkę po 50 rubli, z Es-

tończyków wyciskano po 400: „Toć jesteście bogaci. A jak kto się nie podpisze — nie pozwolimy mu przysyłać paczek i ześlemy jeszcze dalej na północ”.

A ześlą — dlaczego nie?...

363

O, co za udręka! Znowu i znowu to samo! Toć wydawało się, że tę część książki zaczęliśmy jakby z innej beczki: nie obozy już, tylko zesłanie. Także ten rozdział miał mieć, zdawało się, jakiś inny temat: nie zesłańcy, tylko specprzesiedleńcy.

A sprowadza się wszystko do tego samego.

I czy w ogóle to ważne — i długoż to mamy jeszcze, i jeszcze, i jeszcze mówić o takich i owakich, i jeszcze jakichś innych zesłańczych sprawach i krajach? O innych by okolicach, nie o tych. O innych latach. I nie o tych narodach.

A o jakich niby?...

Przemieszane, przetasowane, wystawione innym na pokaz — zesłane narodowości chcąc nie chcąc ujawniły teraz swoje cechy charakterystyczne. Łatwiej można było przyrzeć się ich sposobowi bycia, ich tradycyjnym zamiłowaniom i skłonnościom.

Największą pracowitością wyróżniali się Niemcy. Odcięli swoje dawne życie jak toporem, bez szemrania godząc się z losem jeszcze prędzej niż inni (bo też czy były ich ojczyzną te obszary nad Wołgą albo nad Manyczem?). Jak niegdyś w te żyzne ziemie, hojnie nadane im przez Katarzynę — wrosli dzisiaj w nowy grunt — bezpłodny, surowy, nadany przez Stalina. I ofiarowali samych siebie tej ziemi, jako ostatniej już przystani. Jeśli się zagospodarowywać — nie do pierwszej amnestii, nie do pierwszej carskiej łaski, tylko na zawsze. Zesłani w 1941 roku, z pustymi rękoma, ale zapamiętali w pracy, niestrudzeni — nie upadli na duchu, tylko wzięli się również tutaj do roboty metodycznie i rozumnie. Czy jest na ziemi taka pustynia, której Niemcy nie potrafiliby przekształcić w kwitnący kraj? Niedaremnie powiadano w dawnej Rosji: Niemiec — jak ta wierzba — gdzie go wetkniesz, tam zapuści korzenie. W kopalniach, w ośrodkach maszyn rolniczych, w sowchozach — naczelnicy nie mogli się wprost Niemców nachwalić, bo też lepszych pracowników nie miewali. Na początku lat 50. mieli już Niemcy — w porównaniu z innymi zesłańcami, a często nawet z miejscowymi — najsolidniejsze, największe i najczystsze domy; najlepiej upasione tuczniki; najbardziej mleczne krowy. Narzeczone z niemieckich domów były najbardziej rozchwytywane, nie tylko z uwagi na zamożność rodziców, lecz dla swojej czystości i surowości obyczajów, tak niezwyklej w tym rozbestwionym świecie przyobozowym.

Również Grecy zakasali rękawy po łokcie. Co prawda, nie porzucili rojeń o powrocie na Kubań, ale tu też nie szczędzili sił. Mieszkali w więk-

364

szej ciasnocie niż Niemcy, ale ich ogrody i krowy wcale nie były gorsze. Na bazarach Kazachstanu najlepszy twaróg, masło i warzywa można było dostać u Greków.

W Kazachstanie najlepiej chyba powodziło się Koreańczykom — ale byli, też zesłani wcześniej, a w latach 50. już niemal całkiem zwolnieni z poddaństwa. Nie musieli się już meldować w komendanturze, bez przeszkód przejeżdżali z okręgu do okręgu i nie wolno im było jeszcze tylko opuszczać granic Kazachstanu. Darzyło im się; ale nie stan ich domów i gospodarstw był tego miernikiem (domy ich były nieprzytulne

i nawet prymitywne, a zmieniło się to dopiero wtedy, gdy młodzież zaczęła żyć po europejsku). Rzecz w tym, iż okazali się narodem nadzwyczaj zdolnym i szkoły oraz zakłady naukowe Kazachstanu wypełniły się szybko Koreańczykami (już w latach wojny nikt im w tym nie czynił przeszkód), którzy też stali się zwornikiem miejscowej inteligencji fachowej.

Inne grupy narodowe, marząc w głębi ducha o powrocie, niepewne własnych dążeń, trawiły życie w rozterce. Na ogół jednak biernie aprobowały swoją sytuację i nie sprawiały większych kłopotów komendanturom.

Kałmucy nie potrafili temu życiu stawić czoła. Wymierali w posępnej ciszy. (Zresztą — nie miałem z nimi kontaktu).

Był jednak pewien naród, który nie uznawał żadnych ustępstw wobec psychologii pokory. Chodzi przy tym nie o buntownicze jednostki, mowa o całym narodzie. Byli to Czeczeńcy.

Widzieliśmy już jaki był ich stosunek do zbiegów z obozu. Oni też jedni spośród zesłańców mieszkających pod Dżezkazganem usiłovali nieść pomoc kengirskim powstańcom. Powiedziałbym, że wśród wszystkich spec-przesiedleńców jedynie Czeczeńcy byli zekami z ducha. W nic już nie chcieli wierzyć od chwili, gdy ich zdradziecko wypędzono z ich własnego kraju. Pobudowali sobie saki — niskie, ciemne, nędzne; zdawało się, że można je rozwalić jednym kopniakiem. Takie same też były całe ich gospodarstwa. Wszystko jakby na jeden dzień, na miesiąc, najwyżej na rok, zupełnie prowizoryczne, bez zapasów, planów, dalszych projektów. Tyle że jedli i pili, a młodzi jeszcze starali się trochę przyodziać. Mijały lata i wciąż tak samo niewiele mieli w dobytku, jak na początku. Żaden Czeczeniec nigdy nie starał się panom gospodarzom — ich stosunek do zwierzchności cechowała natomiast wyniosłość i otwarta wrogość. Nic sobie nie robiąc z obowiązku szkolnego i wszelkich szkolnych mądrości, nie puszczali swoich dziewczynek do powszechniaka, żeby ich tam nie zepsuto. Zresztą, chłopców też nie zawsze. Swoim kobietom nie pozwalali należeć do kołchozu. Sami też nie tyrali na spółdzielczych polach. Najchętniej brali się za szoferkę: praca przy silniku nie poniża, a jeżdżenie namiętności tych dży-

365

gitów znajdowały ujście w czasie stałych rozjazdów. Zawód kierowcy dawał również szerokie pole do popisu ich złodziejskim namiętnościom. A zresztą, tę ostatnią namiętność potrafili zaspokajać również bezpośrednio. To oni przynieśli do spokojnego, pogrążonego w drzemce i uczciwego Kazachstanu takie pojęcia, jak „zwędzić”, „ograbić do ostatniej nitki”. Potrafili uprowadzić bydło, okraść dom, a czasem po prostu odebrać siłą, co chcieli. Tym samym łokciem mierzyli zarówno rdzennych mieszkańców, jak tych zesłańców, którzy pokornie słuchali władz. Szanowali tylko buntowników.

I — dziw nad dziwy — wszyscy ich się bali. Nikt nie potrafił wpłynąć na zmianę ich sposobu bycia. I władza, która już od lat trzydziestu sprawowała rządy w tym kraju, w żaden sposób nie mogła ich zmusić do szacunku dla pisanych praw.

Jak to być mogło?

Oto przypadek, który, jak sądzę, potrafi wyjaśnić istotę sprawy.

Gdy byłem nauczycielem w Kok-Tereku, w 9 klasie tej samej szkoły uczył się młody Czeczeniec Abduł Chudajew. Nie budził w nikim sympatii i wcale nie starał jej się budzić, tak jakby go poniżało staranie się o czyjeś względy. Był zawsze ostentacyjnie powściągliwy, bardzo wyniosły, a zdradzał też skłonność do okrucieństwa. Ale

równocześnie trudno było nie docenić jego zdolności: był to umysł jasny i bystry. Miał wiele więcej wiadomości z dziedziny matematyki i fizyki niż jego rówieśnicy; starał się zgłębić omawiane problemy, a pytania, które zadawał, świadczyły o nieustrudzonym dążeniu do poznania prawdziwej istoty każdej rzeczy. Podobnie jak wszystkie dzieci przesiedleńców, Abduł również został wciągnięty — było to nieuchronne — do tak zwanej w szkole pracy społecznej. W zakres owej działalności wchodziły zabiegi organizacji pionierskiej, później komsomolskiej, rozmaite komitety uczniowskie, gazetki ściennie, lekcje wychowania obywatelskiego, pogadanki — wszystko to było haraczem duchowym za prawo do nauki, który Czeczeńcy płacili tak niechętnie.

Abduł mieszkał z matką staruszką. Nikt z ich bliskich krewnych nie ocalał, prócz starszego brata. Był to osobnik dawno sknajaczony, nie pierwszy już raz siedział w obozie za kradzież i morderstwo, ale zawsze wychodził stamtąd przedterminowo — dzięki amestii albo podwójnemu zaliczaniu dni roboczych. Pewnego razu zjawił się w Kok-Tereku, pił bez przerwy dwa dni i nocę, posprzeczał się z jakimś miejscowym Czecericem, porwał nóż i rzucił się na niego. Zagroziła mu drogę jakaś obca, stara Czeczenka: rozkrzyżowała ręce, chcąc go zatrzymać. Gdyby Chudajew pamiętał o czeczeriskich prawach, rzuciłby natychmiast nóż i zrezygnował z dalszej pogoni. Ale więcej już w nim było ze złodzieja niż z Czeczeńca —

366

więc podniósł nóż i zadźgał niewinną staruchę. Tu dopiero zaświtało mu w pijanym łbie, co go za to zgodnie z czeczeriską tradycją czeka. Pobiegnął jak oparzony do MWD, przyznał się do zabójstwa i zaraz otwarły się przed nim gościnne bramy więzienia.

Starszy brat znalazł kryjówkę, ale został przecież jeszcze Abduł, jego matka i pewien stary Czeczeniec z ich rodu. Wieść o morderstwie obiegła natychmiast wszystkie czeczeriskie zagrody w Kok-Tereku i wszyscy troje ostatni członkowie rodu Chudajewów zebrali się w domu Abduła, porobili zapasy żywności i wody, zatrzasnęli okiennice, zabili gwoździami drzwi od środka i zamknęli się jak w twierdzy. Czeczeńcy z rodziny zabitej staruszki musieli teraz koniecznie wziąć odwet na kimś z rodu Chudajewów. Dopóki krew Chudajewów się nie przeleje — nikt ich nie będzie uważał za godnych miana człowieka.

Zaczęło się więc oblężenie zagrody. Abduł nie chodził do szkoły, a cały Kok-Terek i cała szkoła wiedziały dlaczego. Uczniowi przedostatniej klasy naszej szkoły, komsomolcowi, przodownikowi nauki — w każdej chwili groziły nóż i śmierć, może właśnie teraz, gdy wszyscy po dzwonku siadają w ławkach, albo teraz, kiedy wykładowca literatury mówi o humanizmie socjalistycznym. Wszyscy to wiedzieli, pamiętali o tym wszyscy, na pauzach tylko o tym rozmawiali — i wszyscy udawali ślepych. Ani partyjna, ani komsomolska organizacja szkoły, ani wychowawcy, ani dyrektor, ani wydział oświaty — nikt nie poszedł, by ratować Chudajewa. Nikt nie zbliżał się nawet do jego oblężonego domu w całej tej czeczeńskiej okolicy, huczącej głucho jak ul. Gdybyż tylko oni! Ale czując dech krwawej zemsty, tak samo tchórzliwie stuliły uszy groźne dla nas dotąd instytucje — rejkom partii, rada narodowa, MWD z komendanturą i milicją, chowając się za swoje gliniane mury. Barbarzyńskie, dzikie, prastare prawo dało znać o sobie jednym tylko tchnieniem — i od razu okazało się, że nie ma w Kok-Tereku żadnej władzy sowieckiej i jej opiekuńcza dłoń nie bardzo potrafiła sięgnąć aż tu, z okręgowego centrum, z Dżambułu, bowiem minęły

już trzy dni, a nie przyleciał stamtąd żaden samolot z wojskiem i nie przybyła żadna zbawcza instrukcja — nie licząc rozkazu, by bronić więzienia siłami miejscowego posterunku.

W ten sposób zarówno dla Czeceńców, jak dla wszystkich innych stało się zupełnie jasne, co na tym świecie jest siłą, a co tylko jej pozorem.

I tylko czeczeriską starszyna przejawiała rozsądek! Starcy z Kaukazu zjawili się w MWD z prośbą o wydanie im starszego Chudajewa, by móc się z nim rozprawić. MWD ograniczyło się do lękliwej odmowy. Przyszli zatem do MWD po raz wtóry z prośbą, aby sądzić publicznie Chudajewa i rozstrzelać go w ich obecności. Jeśli tak się stanie, to poniechają wobec

367

rodu Chudajewów dalszej zemsty. Tak obiecali. Trudno o rozsądniejszy kompromis. Ale jak to — żeby sąd publiczny? I żeby z góry obiecywać egzekucję, też publiczną? Przecież to nie polityczny, to złodziej, to bliski socjalnie element! Można deptać prawa Pięćdziesiątki Ósemki, ale nie — wielokrotnego mordercy. Zwrócono się jednak do okręgu — i ten odmówił. „No, to za godzinę młodszy Chudajew zginie” — oświadczyli starcy. Szarże w MWD wzruszyły tylko ramionami — to ich już nie obchodziło. Nie mogli brać pod uwagę przestępstwa, które jeszcze nie zostało popełnione.

Ale mimo wszystko jakieś tchnienie dwudziestego wieku musnęło... nie MWD!, skąd znowu! — ale stare, twarde czeczeńskie serca! Mimo wszystko — mściciele nie dostali rozkazu, by dokonać zemsty niezwłocznie. Cze-czeńscy posłali telegram do Ałma-Aty. Przyjechali stamtąd bardzo prędko jacyś inni jeszcze starcy, pewno najbardziej przez cały naród szanowani. Zwołano naradę starszyny. Starszego Chudajewa obłożono klątwą i skazano na śmierć: czeczeński nóż miał dosięgnąć go wszędzie, gdziekolwiek by się skrył. Resztę Chudajewów wezwano przed oblicze starców i oznajmiono im: „Życie sobie. Nikt wam krzywdy nie robi”.

Abduł wziął swoje książki i przyszedł do szkoły. Partorg i komsorg powitali go tam z fałszywymi uśmiechami na gębach. Na lekcjach i pogadankach znów usłyszał pienia o świadomości komunistycznej, a nikt nawet nie wspomniał o przykrym incydencie. Ani jeden muskuł nie drgnął na pociemniałej twarzy Abduła. Zrozumiał, że największą siłą na świecie jest prawo krwawej zemsty, prawo odwetu.

My, Europejczycy, w naszych szkołach i w naszych książkach znajdujemy i powtarzamy jedynie słowa pogardy, potępiając z wysoka to dzikie prawo, tę bezmyślną i okrutną rzeź wzajemną. Ale to straszliwe wyrzynanie się nie jest może aż tak bezmyślne: nie zdołało ono wytrzebić narodów górskich, przeciwnie, jakoś je umacnia. Nie tak wiele w końcu ofiar pociąga za sobą krwawa zemsta, ale jakim strachem mrozi całe otoczenie! Jakież góral — pamiętając o tym prawie — ośmieli się zelżyć innego ot, tak sobie, tak jak my lżymy jeden drugiego — po pijanemu, ze swawoli, z kaprysu? A tym bardziej — jaki n i e-Czeczeniec ośmieli się zaczepić Czeczerica — powiedzieć mu, że jest złodziejem albo grubianinem, albo że pcha się bez kolejki? Przecież w odpowiedzi nie jakiś wyraz może usłyszeć, nie przekleństwo — tylko dostać nożem w bok! I nawet, jeśli sam chwycisz za nóż (ale przecież nie nosisz go przy sobie, jesteś człowiekiem cywilizowanym) — to nie odpowiesz ciosem na cios, bo potem cała twoja rodzina stanie się ofiarą noża! Czeczericy snują się więc po kazachskiej ziemi, czel-

368

nie patrząc ludziom w oczy, rozpychając się łokciami, a „gospodarze kraju” i nie-gospodarze, wszyscy zresztą — rozstępują się przed nimi z szacunkiem. Krwawa zemsta wytwarza dookoła siebie pole strachu — i w ten sposób daje siłę przetrwania małeńkiemu, górskiemu narodowi.

„Bij swoich, to się obcy będą bali!”. Przodkowie tych górali w pradawnej przeszłości nie mogli znaleźć doskonalszej wspólnej więzi.

A co zaofiarowało im w zamian socjalistyczne państwo?

V PO ODSIADCE

W ciągu całych ośmiu lat spędzonych w więzieniach i obozach — nie usłyszałem od ludzi, którzy byli już na zesłaniu, ani jednego dobrego słowa o tym rodzaju represji. A tymczasem — już w pierwszych celkach więzień śledczych i etapowych — bo trudno znieść nacisk tych sześciu kamiennych płaszczyzn, co cię osaczają — zapala ci się w duszy nieśmiała myśl o zesłaniu, miraż mieniący się drżącym blaskiem — i słyszeć jak na ciemnych narach wychudłe aresztanckie piersi dygocą od westchnień:

— Ach, zesłanie! Gdybyż to skazano mnie na zesłanie!

Mnie też ten los nie ominął, ba, marzenie o zesłaniu owładnęło mną szczególnie mocno. W Nowym Jerusolimie, na gliniankach, przysłuchiwałem się pianiu kogutów w sąsiedniej wsi — i marzyłem o zesłaniu. Patrząc na zwartą masę domów i ulic obcej mi stolicy z dachu budowy na rogatce Kałuskiej — zaklinałem przeznaczenie: jak najdalej stąd, niech mnie ześlą na kraj świata! Poślałem nawet naiwne podanie do Rady Najwyższej, prosząc by 8 lat obozu zamieniono mi na dożywotnie zesłanie w największej głuszy (nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że dożywotnie zesłanie nigdzie mi nie ucieknie, że przypadkiem nie zamiast obozu, lecz po nim). W 1952 roku z „rosyjskiego” podobozu w Ekibastuzie, gdzie nas siedziało trzy tysiące, „wypuszczono” dziesięciu więźniów. Bardzo to dziwnie wtedy wyglądało: Pięćdziesiątka Ósemka — a jednak wyjść mają z obozu! Trzy lata istniał już Ekibastuz, a nie wypuszczono stamtąd nikogo, zresztą zdawało się, że nikomu nie kończy się jeszcze kara. A tymczasem dobiegały właśnie końca pierwsze wojenne dychy i owych dziesięciu należało do niedobitków tej grupy skazanych.

370

Z niecierpliwością czekaliśmy na listy od nich. Kilka listów nadeszło bezpośrednio albo przez trzecie ręce. I dowiedzieliśmy się, że prawie wszystkich odwieziono wprost z obozu na zesłanie, chociaż w sentencjach ich wyroków o żadnym zesłaniu nie było mowy. Ale nikogo to nie zdziwiło! I dla naszych dozorców, i dla nas jasne było, że nie chodzi wcale o prawo, sentencję czy jakieś papierki — rzecz natomiast w tym — że skoro raz uznano nas za wrogów — władza będzie nas prawem silniejszego deptać, dławić i dusić aż do samej naszej śmierci. I tylko taki porządek rzeczy wydawał się normalny zarówno władzy, jak nam, bo już przyzwyczailiśmy się, już się z tym żyliśmy.

W ostatnich latach stalinowskiej ery obawy budził nie los zesłanych, tylko rzekomo zwolnionych z obozu: tych, których wypuszczono za wrota bez eskorty, tych, którzy — jak się mogło zdawać — wychodzili na świat boży spod opiekuńczego, szarego skrzydła MWD. Zesłanie zaś, które nie-domyślna władza uważała za dodatkową karę, było tylko dalszym ciągiem biernej, obojętnej wegetacji, do której człowiek

już się wdrożył, potwierdzeniem tego fatalizmu, który daje więźniowi siłę przetrwania. Fakt zesłania uwalniał nas od obowiązku samodzielnego wyboru miejsca zamieszkania, a więc — od wszystkich ciężkich wahań i błędów. Tylko to miejsce było pewne, do którego nas zsyłano. Tylko w tym jednym punkcie całego Związku nikt nie mógł dźgnąć nas pytaniem — po coście tu w ogóle przyjechali? Tylko tu mieliśmy bezwarunkowe i niezbywalne prawo do naszych trzech łokci kwadratowych ziemi. A jeżeli ktoś wychodził z obozu samotny, jak ja, jeżeli nikt i nigdzie na niego nie czekał — to zdawało się, że tylko na zesłaniu mógł znaleźć jakąś bratnią duszę. Do aresztowań bardzo u nas są skorzy, ze zwolnieniem się nie spieszą. Gdyby jakiegoś nieszczęsnego demokratę greckiego albo tureckiego socjalistę władze zatrzymały za kratami o jeden dzień dłużej — to dzienniki

0 światowym zasięgu zachłysnęłyby się oburzeniem. Ja zaś rad byłem już z tego, że po zakończeniu kary zatrzymano mnie w obozie wszystkiego kilka dni, a potem... puszczono na wolność? Gdzie tam, posłano na etap.

1 jeszcze cały miesiąc wożono — już na mój własny rachunek. Mimo wszystko, wychodząc z obozu pod konwojem, staraliśmy się być wiernymi więziennym zabobonom: za nic w świecie nie spojrzeć wstecz na ostatnie więzienie (bo inaczej wróci się do niego), załatwić jak należy sprawę łyżki. Ale jak właściwie należy? — jedni radzili wziąć ją ze sobą, żeby po nią nie wracać; inni — cisnąć ją więzieniu w pysk, żeby więzienie jej u ciebie już nie szukało. (Moją łyżkę sam sobie zmajstrowałem w odlewni, więc ją zabrałem ze sobą).

371

I znów zaczęły migać zborniaki — Pawłodar, Omsk, Nowosybirsk. Chociaż już odsiedzieliśmy swoje, dalej nas rewidowano, konfiskowano nam rzeczy, upychano w ciasnych celach, w karetkach, w stołypinkach, zaszczycano towarzystwem knajpek — i tak samo czekały na nas psy policyjne, i tak samo wrzeszczeli strażnicy: „Czego się oglądasz?!“.

Ale w omskim więzieniu etapowym dobroduszny stary klucznik wywołując według listy zapytał nas, piątkę z Ekibastuza: „Jacy bogowie modlili się za was?“. — „A bo co?, a dokąd?“ — od razu nastawiliśmy uszu, domyślając się, że widać kierują nas do jakiegoś dobrego miejsca. — „A bo jedziecie na południe“ — powiedział ze zdumieniem.

I rzeczywiście, od Nowosybirska skręciliśmy na południe. Jedziemy do ciepłych krajów! Tam, gdzie ryż, gdzie jabłka rosną! Co się dzieje? Czyżby towarzysz Beria nie mógł znaleźć dla nas gorszego kąta w całym Związku Sowieckim? Czy to w ogóle jest na świecie takie zesłanie? (Już się wewnątrznie nastawiłem na cały cykl wierszy pod tytułem Wiersze o cud-zesłaniu').

Na stacji Dżambuł wyprowadzono nas ze stołypinki z tymi samymi rygorami, co zawsze: do ciężarówki szło się przez żywy korytarz konwojentów; kazano nam usiąść na dechach tak, jakbyśmy mogli myśleć o ucieczce właśnie teraz, po odsiedzeniu kary. Noc głęboka, księżyc w kwadrze i tylko on oświecił słabym blaskiem ciemną aleję, którą nas wieziono — ale to była właśnie aleja, topolowa aleja! To jest dopiero zesłanie! Czyśmy to aby nie na Krymie? Koniec lutego, u nas, nad Irtyszem ziąb — a tu wiosenny, lekki wietrzyk wieje!

Przywieźli nas do więzienia, przyjęli nas od razu, bez powitalnej rewizji i bez wizytki w łaźni. Zmalały jakby te przeklęte mury! Z workami i walizkami wmeldowaliśmy się

więc do celi. Rankiem oddziałowy otworzył drzwi i westchnął: „Wyłażcie ze wszystkich manelami”.

Rozwierały się czarcie pazury...

Wiosenny, szkarłatny brzask zastał nas na dziedzińcu. Ceglane ściany więzienia pocieplały od blasku jutrzeńki. Na środku dziedzińca stała ciężarówka i w jej pudle siedziało już dwóch zeków, których dołączono do naszej grupy. Na dobrą sprawę — trzeba by teraz tylko wdychać to powietrze, rozglądać się, napawać się niepowtarzalnością chwili — ale nie wolno było przepuścić okazji: nowi znajomi! Jeden z tych nowych — szczupłutki, siwy staruszek o łzawiących się, jasnych oczach, siedział na swoich zmiętych szmatkach wyprostowany tak dumnie jak car, który za chwilę ma przyjąć obcych gości. Można było pomyśleć, że to głuchy albo może jakiś cudzoziemiec i że trudno będzie znaleźć z nim wspólny język. Ledwie się Aluzja do cyklu Aleksandra Bloka Stichi o priekrasnoj damie.

372

wgramolił, spróbowałem jednak zacząć z nim rozmowę, a ten w odpowiedzi — głosem wcale nie drżącym, a przy tym czysto po rosyjsku — przedstawił się:

— Włodzimierz Aleksandrowicz Wasiliew.

I od razu — jakby iskra intymnego porozumienia przeskoczyła między nami! Można odróżnić sercem duszę przyjazną od wrogiej. A to — na pewno przyjaciel. W więzieniu trzeba szybko zawierać znajomości, bo nie wiadomo, czy za chwilę was nie rozdzielią. No tak, nie jesteśmy już niby w więzieniu, ale wszystko jedno... I przekrzykując warkot silnika, zaczynam go indagować, nie wiedząc nawet, że wóz toczy się już nie po więziennym asfalcie, tylko po miejskim bruku, zapominając z punktu, że nie wolno oglądać się wstecz, na ostatnie więzienie (ileż ich jeszcze będzie, tych ostatnich!), nie patrząc nawet na mały kawałek wolności, który mijamy pędem, i oto już znowu jesteśmy na szerokim wewnętrznym dziedzińcu delegatury MWD, skąd dalej nie wolno nam wychodzić do miasta.

Wasiliewowi można było w pierwszej chwili dać dziewięćdziesiąt lat, patrząc na te oczy — już bez wieku, na ostre rysy twarzy i na siwiutki czub na głowie. A miał tymczasem — siedemdziesiąt trzy. Okazało się, że był starym rosyjskim inżynierem, jednym z najwybitniejszych hydrotechników i hydrografów w Stowarzyszeniu Inżynierów Rosyjskich (a co to takiego? Słyszę pierwszy raz o tej organizacji. Była to zaś mocna ostoja naszej myśli technicznej jedna z tych społecznych odskoczni do rzutu w przyszłość, skoku o cały wiek, których kilka udało się Rosji dokonać w latach 10. i 20.; wszystkie one zostały stłamszone) — otóż w tym stowarzyszeniu Wasiliew był jednym z czołowych działaczy; dotąd jeszcze z niezmienną satysfakcją mówi o tych czasach i sprawach: „Nie chcieliśmy uczestniczyć w stwarzaniu pozorów, że daktyle można hodować na suchych pałkach”.

Właśnie za to zostali rozpedzeni, to jasne.

Cały ten kraj, Siedmiorzecze, do którego przyjechaliśmy teraz, Wasiliew przemierzył wzdłuż i wszerz pieszo i konno już przed półwieczem. Jeszcze przed pierwszą wojną sporządził projekty techniczne — irygacji doliny Czujskiej, zużytkowania wodospadu Naryńskiego, tunelu przez łańcuch górski Czu-lli i zabrał się do ich realizacji nim tamta wojna wybuchła. Sześć koparek elektrycznych (wszystkie sześć przeżyły rewolucję i w latach 30. pokazywano je na budowie zapory Czyrczyk jako sowiecką nowość), które sprowadził jeszcze w roku 1912, już tu pracowało. Teraz zaś, po odsiedzeniu 15 lat za „szkodnictwo” (z czego trzy ostatnie spędził w Gór-nouralskim

„izolatorze”), wyżebrał sobie tylko jedną łaskę — aby pozwolono mu pojechać na zesłanie do Siedmiorzecza i umrzeć tu, gdzie był niegdyś inicjatorem wielkich zmian. (Ale nawet tej łaski nigdy by się nie

373

doczekał, gdyby nie fakt, że Beria go pamiętał: w latach 20. inżynier Wasiliew dzielił wody trzech republik zakaukaskich).

Oto dlaczego siedział tak zadumany w sfinksowej pozie na swoim worku, na platformie ciężarówki: był to dla niego nie tylko pierwszy dzień wolności, lecz również — powrotu do kraju młodości, kraju natchnień. Nie ludzkie życie nie tak już jest krótkie, jeśli na jego szlaku człowiek buduje obeliski.

Całkiem niedawno córka Włodzimierza Aleksandrowicza zatrzymała się na Arbacie przed witryną gazety „Trud”. Autor tromtadrackiego reportażu, nie żałując dobrze opłacanych słów, dziarskim tonem opisywał swoją podróż po Czujskiej dolinie, gdzie dzięki wysiłkom mas i bolszewickiej energii naszych specjalistów pojawiła się woda i życie; pisał też o wodospadzie Narynskim, o cudach hydrotechniki, o szczęśliwych kotchożnikach. I nagle — ktoś mu to podpowiedział? — tak zakończył: „ale niewielu tylko wie, że wszystkie te wielkie przemiany są spełnieniem rojeń wybitnego rosyjskiego inżyniera Wasiliewa, którego projekty nie znalazły poparcia w przedrewolucyjnej, biurokratycznej Rosji¹. Jaka szkoda, że młody entuzjasta nie dożył do dnia tryumfu swoich szlachetnych idei!”. Linijki korespondencji zasnuła nagle jakaś mgła, córka Wasiliewa zerwała gazetę, przycisnęła arkusz do piersi i uciekła, bo już rozległ się milicyjny gwizdek.

Młody entuzjasta siedział zaś właśnie w wilgotnej celi Górnouralskiego izolatora. Reumatyzm — czy też jakaś choroba kostna — skrzywił starcowi kręgosłup, tak że nie mógł się rozgiąć. Dobrze, że siedział w tej samej celi pewien Szwed, który wyleczył go masażem.

Szwedzi nie są zbyt częstymi gośćmi sowieckich więzień. Przypominam sobie, że ja też siedziałem z pewnym Szwedem. Zwał się Eryk...

— ...Arwid Andersen? — pyta z ożywieniem Wasiliew (ma w ogóle bardzo żywe ruchy i mówi z wigorem).

Co za przypadek! Więc to Arwid wyleczył go masażem! Ależ jestem ciasny! — zdaje się mówić nam Archipelag na pożegnanie. A zatem Arwida wieziono przed dwoma laty do uralskiego izolatora! I nie bardzo ujął się za nim papcio-miliarder i cały Pakt Atlantycki².

¹ Pod koniec 1917 roku Wasiliew stanął de facto na czele departamentu melioracji.

² Paweł Wiesiół (Sztokholm) badający obecnie sprawę porywania szwedzkich obywateli przez sowieckie organy, przeanalizował to, co E.A. Andersen opowiedział na swój temat i wysunął następującą hipotezę: wygląd zewnętrzny i nazwisko E.A. świadczą, że to raczej Norweg, który z jakichś tam powodów wolął podać się za Szweda. Norwegowie, którzy uciekli spod niemieckiej okupacji po 1940 roku, służyli w angielskiej armii nieporównanie częściej niż Szwedzi; ci byli bardzo nieliczni (bo Szwecja zachowała neutralność). E.A. mógł wśród swoich krewnych — Anglików — mieć jakiegoś Robertsona, ale pokrewieństwo z generałem Robertsonem mógł zmyślić, aby dodać sobie blasku

374

A tymczasem zaczęto nas jednego po drugim wzywać do Komendantury Okręgowej — zaraz obok, w podwórku okręgowego MWD; jest tam pułkownik, major i mnóstwo lejtnantów, a wszyscy do kupy rządzą zesańcami dżambulskiego okręgu. Do pułkownika nas zresztą nie dopuszczają, major przesuwając tylko wzrokiem po naszych twarzach, jak po nagłówkach gazet, natomiast załatwiają nas lejtnanci, bardzo mocni w kaligrafii.

Obozowe doświadczenie zaraz daje mi sółkę w bok: uważaj! w ciągu tych paru krótkich minut rozstrzyga się cały twój przyszły los! Nie trać czasu! Żądaj, nalegaj, protestuj! Zwijaj się, wytęż się, wymyśl coś, żeby im wmówić, że koniecznie powinien zostać w mieście okręgowym albo przynajmniej w jakimś najbliższym, najbardziej atrakcyjnym rejonie! (A mam nawet powód, tylko sam go jeszcze nie znam: już drugi rok rosną we mnie przerzuty raka po nie zakończonej, obozowej operacji). Ale nie, już nie jestem ten sam... Nie jestem już tym człowiekiem, który zaczynał od siadki. Spłynęła na mnie z wysoka jakaś obojętność — i miło mi pławić się w niej. Nie chcę wcale korzystać z mego obozowego doświadczenia — i to właśnie daje mi satysfakcję. Wzdragam się przed zmyślaniem jakichś żalosnych wybiegów. Nikt przecież nie wie, co go jutro czeka. Najgorsze nieszczęście spotkać może człowieka w miejscu najbardziej łakomym, a fortuna odnaleźć go może w zakazanym kącie. Nie zdążyłem przy tym dowiedzieć się i wypytać, które tu rejony i okręgi są dobre, a które złe — bo zaabsorbowany byłem historią starego inżyniera.

Na jego aktach ktoś napisał widać jakąś ochronną rezolucję, bo pozwalają mu samemu wyjść pieszo do miasta, aż do Wydziału Gospodarki Wodnej i zapytać, jakie tam budowy prowadzą. A wszyscy pozostali otrzymują takie samo skierowanie — do rejonu Kok-Terek. Jest to kawał pustyni na północy okręgu, gdzie zaczyna się bezludny i jałowy obszar Bet-Pat-Data, zajmujący całe centrum Kazachstanu. No i masz ci winogrona!...

Nazwisko każdego z nas kaligraficznie wypisują na chropowatym, rudym blankiecie, datują go i każą podpisać.

Gdzie już miałem do czynienia z czymś podobnym? Ach, kiedy wręczano mi decyzję OSO. Wtedy też wymagano ode mnie tylko wzięcia pióra i podwózków MWD. Niewykluczone, że w Zachodnim Berlinie po wojnie służył on w alianckim wywiadzie wojskowym, czym MWD mogło się zainteresować. Zapewne przyjeżdżał do Moskwy w składzie angielskiej albo norweskiej, a nie szwedzkiej delegacji (zdaje się, że taka nie przyjeżdżała), ale był w niej figurą trzeciorzędną. Być może MGB zaproponowało mu przystąpienie do współpracy w charakterze podwójnego agenta — i oberwał swoje 20 lat za odmowę. Ojciec Eryka mógł być przemysłowcem, ale nie na taką skalę. Eryk mógł przesadzać nawet na temat znajomości swego ojca z Gromyką (dlatego gebiści pokazywali go Gromyce) w celu zainteresowania MGB możliwością wykupu, co pozwoliłoby mu równocześnie zawiadomić Zachód o swoim istnieniu i losie.

375

pisania się. Tylko że wtedy papier był moskiewski, gładki. Pióro i atrament nie zmieniły się zresztą, takie same nędzne.

Cóż więc komunikuje mi się „dnia dzisiejszego”? Że taki a taki zesłany zostaje na zawsze do takiego to a takiego rejonu pod nadzór jawny (stara, carska terminologia) rejonowego MGB i w wypadku samowolnego oddalenia się poza obszar rejo-

nu sądzony będzie w myśl przepisów Dekretu Prezydium Rady Najwyższej, przewidującego karę 20 (dwudziestu) lat ciężkich robót.

No cóż, wszystko zgodnie z prawem. Nic nas nie dziwi. Podpisujemy więc chętnie³. W mojej głowie kłuje się epigramat, co prawda trochę przydługi:

Pogrzebać mnie chcą pod tym świstkiem:

Zostałem zesłany na wieki,

Oddany na zawsze, ze wszystkim

Pod nadzór miejscowej bezpieki.

Kwituję ten wyrok spokojnie,

Ba, dumę poczułem od razu,

Bo mam już wieczności rękojmię

Na mocy groźnego rozkazu.

Już tak nieśmiertelny się czuję,

Jak skala czy gwiazda daleka.

Lecz któż mi dziś zagwarantuje,

Że wieczna jest również безпеka?

Włodzimierz Aleksandrowicz wraca z miasta, recytuję mu epigramat

— śmiejemy się obaj jak dzieci, jak prawdziwi więźniowie, jak ludzie bez grzeszni. Wasiliew śmieje się niefrasobliwie, tak śmiał się K.I. Strachowicz.

Jest między nimi jakieś głębokie podobieństwo: obaj tak są zaabsorbowani

3 Wiele lat później miałem wreszcie zdobyć kodeks karny RSFSR. Z satysfakcją przeczytałem tam art. 35: kara zesłania wymierzona jest na okres trzech do dziesięciu lat, jeśli zaś jest dodatkiem do wymierzonej już kary więzienia, to nie może przekraczać lat pięciu. (Jest przedmiotem dumy prawników sowieckich, że — poczynając od postanowień KK z 1922 roku, sowieckie prawo nie przewiduje kar bezterminowych i w ogóle — bezterminowych represji, wyjąwszy najsurowszą z nich — dożywotnie wygnanie z granic ZSSR. I na tym polega „ważna i pryncypialna różnica między prawem sowieckim a burżuazyjnym” (Dzieło zbiorowe — Od więzień...). Tak jest istotnie, owszem, ale zasada racjonalizacji pracy obowiązuje również w MWD: prościej przecież jest napisać z punktu

— na zawsze — niż zawracać sobie głowę wypisywaniem nowej sentencji po upływie poprzedniej kary.

Artykuł 35 stwierdza również, że kara zesłania wymierzona może być tylko przez sąd. No, powiedzmy, także przez OSO. Ale tu nawet nie OSO, tylko dyżurny lejtnant wypisał nam skierowanie na dożywotnie zesłanie.

376

pracą własnego intelektu, że cierpienia cielesne nie potrafią naruszyć ich równowagi duchowej.

Skądinąd zaś — Wasiliew niewiele ma powodów do radości. Zesłano go, jasna rzecz, nie tam gdzie trzeba; pomylili się, co jest zresztą naturalne. Tylko we Frunze, stolicy sąsiedniej Kirgizji, mogli mu dać skierowanie do Czujskiej doliny, gdzie niegdyś pracował. Tutaj zaś wydział gospodarki wodnej zajmuje się tylko arykami*. Zarozumiały ćwierćinteligent, Kazach, naczelnik wydziału, pozwolił twórcy Systemu Czujskiego postać trochę na progu gabinetu, zadzwonił do komitetu partii i zgodził się przyjąć go na stanowisko młodszego hydrotechnika — jak dziewczynkę po technikum. A Frunze? Nie wolno, bo to już inna republika.

Jak streścić w jednym zdaniu całe rosyjskie dzieje? Kraj zatłamszonych możliwości. Ale mimo wszystko staruszek zaciera ręce: specjaliści go znają, może go ściągną. Też zostawia pokwitowanie, że zestany jest na zawsze i że w razie samowolnego wyjazdu — pójdzie na katorgę aż do 93 roku życia. Niosę jego rzeczy aż do wrót, dalej iść mi nie wolno. Wasiliew chce teraz wynająć sobie kąt u jakichś porządnym ludzi i myśli nawet o wezwaniu swojej żony-staruszki z Moskwy. Dzieci?... Dzieci nie przyjadą. Bo nie mogą przecież porzucić swoich moskiewskich mieszkań. Czy ma jeszcze innych krewnych? Ma brata. Ale bratu przypadł iście okrutny los: jest historykiem, nie zrozumiał znaczenia rewolucji Październikowej, opuścił kraj i teraz, biedak, jest kierownikiem katedry dziejów Bizancjum na uniwersytecie Columbia. Znowu się śmiejemy, żal nam tego brata — i obejmujemy się na pożegnanie. Jeszcze jeden niezwykle człowiek mignął mi przed oczyma i na zawsze z nich zginął. A nas, pozostałych trzymają jeszcze przez całe doby w kozie, gdzie musimy spać pokotem, w ciasnocie, na pełnej szczelin podłodze, ledwie mogąc wyciągnąć nogi. Przypomina mi to karcer, od którego zacząłem przed ośmiu laty moją odsiadkę. Nas, już zwolnionych z więzienia, zamyka się na noc na zamek, dając łaskawie kibel do dyspozycji. Od więzienia różni się to siedzenie tym tylko, że już nie dają nam bezpłatnie jeść; za nasze własne pieniądze przynoszą nam coś tam z bazaru.

Trzeciego dnia przychodzi najprawdziwszy konwój z karabinami, każą nam podpisać papierek, że dostajemy pieniądze na bilety i strawne, pieniądze te natychmiast zabiera nam konwój (rzekomo — na zakup biletów, a w istocie — nastraszą konduktora, pojadą z nami bezpłatnie i pieniądze sobie zabiorą — to ich zysk, ustawiają nas dwuszergiem i z rzeczami na

Kanaliki nawadniające pola uprawne i ogrody.

377

ramieniu prowadzą na dworzec, tą samą topolową aleją. Śpiewają ptaki, wiosna aż szumi — a to dopiero przecież drugi marca? Mamy na sobie waciaki, gorąc, ale szczęśliwi jesteśmy, że to południe. Komu jak komu, ale więźniowi najbardziej daje się we znaki mróz.

Cały dzień wlecemy się powolnym pociągami tą samą drogą, którą tu przybyliśmy, -tylko w odwrotnym kierunku, później — od stacji Czudzieście kilometrów na piechotę. Dobrze pocimy się pod ciężarem naszych tobołków i walizek, idziemy zgięci wzdłuż. Potykamy się, ale dźwigamy uparcie: każda szmatka przeniesiona przez obozowe wartownie, przyda się jeszcze nieraz naszemu wynędzniałemu ciału. A ja mam nadto na grzbiecie dwie fufajki (bo jedną udało mi się ukryć przy inwentaryzacji), a z wierzchu mój wysłużony szynel wojskowy, dobrze uszargany i na froncie, i w obozie. Jakże go teraz porzucić, choć tak porudziła i uwałała się!

Nadchodzi wieczór — a jeszcześmy nie dojechali. To znaczy — że znów musimy nocować w więzieniu, w Nowotroickim. Już tak dawno nas wypuszczono, a tu wciąż więzienia, więzienia, więzienia! Cela, goła podłoga, judasz, do wychodka, ręce do tyłu, wrzątek — i tylko chleba już dla nas nie ma, bośmy wolni.

Rano sprowadzają ciężarówkę, przychodzi po nas ten sam konwój; nocowali na kwaterach. Jeszcze 60 km w głąb stepu. Wóz więźniów w kałużach, zeskakujemy (dawniej, jako więźniom, nie pozwolono by nam na to) i pchamy, wyciągamy z

błota, żeby czym prędzej skończyły się te rozrywki i wojaże, żeby już prędzej zaczęło się dożywotnie zesiłanie. A konwój stoi półkolem i pilnuje nas.

Migają stepowe kilometry. Jak okiem sięgnąć, z lewa i z prawa — ostra, szara trawa, niejadalna nawet dla bydła. Rzadko, bardzo rzadko widać kazachski ubogi aul, z kępą drzew. I wreszcie przed nami, zza grzbietu stepowego pagórka wyłaniają się wierzchołki nielicznych topoli. (Kok-Te-rek — „zielona topola”).

Przyjechaliśmy! Ciężarówka pędzi między dwoma rzędami czeczeriskich i kazachskich lepierek z samanu, wlecze za sobą chmurę pyłu — a za nią stado psów, głośno wyrażających swoje oburzenie. Ustępują jej z drogi miłe osiołki zaprzężone do małych bryczek, z jakiegoś podwórcy wychyla głowę wielbłąd i odwraca ją powoli, z pogardą. Są również ludzie, ale widzimy wśród nich tylko kobiety, te istoty niezwykle i już zapomniane. O, na progu stoi jakaś czarnulka i patrzy w ślad za naszym samochodem spod daszka dłoni. O, jeszcze jakieś trzy idą, noszą jaskrawe, czerwone suknie. Żadna z nich nie jest Rosjanką. „Fajno, znajdują się jeszcze narzeczone dla nas!” — huknął mi dziarsko na ucho 40-letni kapitan dalekomorskiej żeg-

378

lugi W.I. Wasilenko, który w Ekibastuzie prosperował sobie gładko jako szef pralni, a teraz jedzie na wolność, aby rozwinąć skrzydła i szuka odpowiedniego dla siebie okrętu.

Mijamy duży sklep, herbaciarnię, ambulatorium, pocztę, radę rejonową, dom rejonu partii kryty łupkową dachówką, dom kultury z trzcinowym poszyciem — i wreszcie — nasz wóz zatrzymuje się koło budynku MWD-MGB. Jesteśmy cali zakurzeni. Zeskakujemy, wchodzimy na oparkaniony dziedziniec i — wcale nie krępując się, że obok biegnie centralna ulica, myjemy się do pasa.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw MGB stoi parterowy, ale wysoki budynek nader dziwnego kształtu: cztery kolumny doryckie całkiem serio zwieńczone są fałszywym architrawem, u ich stóp — dwa szerokie stopnie licowane kamieniem, a wszystko to nakryte jest z wierzchu strzechą z pociemniałej słomy. Czuję, że serce mimowolnie bije mi — to szkoła, dziesięć-ciolatka. Uspokój się głupie serce: ten dom nie dla ciebie.

Właśnie przecina główną ulicę i wchodzi w te wymarzone szkolne wrota dziewczyna z loczkami na głowie, czyściutka, w żakiecie, ściągnięta w talii jak osa. Idzie — czy też szybuje nad ziemią ledwie muskając ją stopkami? To nauczycielka! Jest tak młodziutka, że nie mogła jeszcze skończyć instytutu pedagogicznego. To znaczy, że ma za sobą powszechniak i nauczycielskie seminarium. Jak jej zazdroszczę! Jaka przepaść leży między nią a mną, czarnoroboczym! Należymy do różnych stanów i nigdy nie ośmieliłbym się przejść z nią pod rękę ulicą.

A tymczasem zaczęto wzywać nowo przybyłych po kolei do pewnego cichego gabinetu, w którym urzęduje... a kóżby? oczywiście, że kum, pełnomocnik operacyjny! Na zesiłaniu też jest kum i to on gra tu pierwsze skrzypce!

Pierwsze spotkanie jest bardzo ważne: przecież z nim to mamy grać w kotka i myszkę nie przez miesiąc, ale po wieczne czasy. Zaraz ja też przekroczę próg jego pokoju i będziemy przyglądać się sobie spod oka. Jest to całkiem młody Kazach; przybrał minę powściągliwą i grzeczną, ja udaję chamowatego prostaczka. Oboje zaś rozumiemy, że nasze obojętne bąknięcia, na przykład — „proszę, tu jest papier”, „czy mogę wziąć to pióro?” — to już pojedynek. Ale najważniejsze dla mnie — to przekonać go, że nawet się tego nie domyślał. Już taki widać jestem — szczerzy,

otwarty, niezdolny do podstępów. Nuże, bożku brązowy, zakonotuj sobie: ten facet nie wymaga specjalnie czujnego nadzoru, przyjechał tu żeby pożyczyć sobie spokój, więzienie wyszło mu na zdrowie.

Co tu mam wypełnić? Ankietę personalną, to jasne, i napisać życiorys własny. W ten sposób zainaugurowana zostanie moja nowa teczka, o, już ją przygotował na biurku. Później znajdą się w niej donosy na mnie i cha-

379

rakterystyki pisane przez moją zwierzchność. I gdy tylko zaznaczą się kontury mojej nowej sprawy a z centrum nadejdzie sygnał, żeby znów ludzi pakować, zostanie wpakowany (na tylnym podwórzu jest tu już więzienie z bloków samanowych) i wlepią mi nową dychę.

Wręczam mu zatem te pierwsze papierki, oper czyta je i wkłada do skoroszytu.

A czy mogę wiedzieć, gdzie tutaj rejonowy wydział oświaty? — pytam grzecznie i od niechcenia.

Wyjaśnia równie uprzejmie. Nie podnosi brwi ze zdziwieniem. Wyciągam stąd wniosek, że mogę próbować szczęścia, MGB nie zgłasza sprzeciwu. Oczywiście, jak przystało na starego zeka, nie zblamowałem się, nie zapytałem go wprost: czy wolno mi starać się o pracę w resorcie oświaty?

— Przepraszam, a kiedy będę mógł pójść tam bez konwoju?

Wzrusza ramionami.

— W ogóle to dzisiaj, póki ja was tu... nie powinniście raczej opuszczać budynku, ale w sprawie służbowej — możecie ostatecznie iść.

I oto i dę. Czy rozumiecie wszyscy to wspaniałe, tętniące wolnością słowo? Idę, sam idę! Ani z boków, ani z tyłu nie dżgają mnie pepesze. Oglądam się wstecz — nie ma za mną nikogo! Jeśli zechcę — pójdę sobie prawą stroną, wzdłuż płotu szkolnego, gdzie tała się w kałuży ogromna świnka. Jeśli zechcę zaś — to pójdę lewą stroną, gdzie łażą kury i grzebią w piasku przed samym budynkiem wydziału oświaty.

Na przestrzeni tych 200 metrów drogi do wydziału oświaty mój wiecznie zgięty grzbiet już się zdążył odrobinę rozprostować, a maniery stały się ociupinkę swobodniejsze. Nim przeszedłem owe 200 metrów — już awansowałem do innej warstwy społecznej.

Wchodzę więc w mojej starej wełnianej bluzie frontowej, w starych, prastarych moich bryczesach z diagonalu. A buty mam na nogach obozowe, ze świńskiej skóry i wyglądają z nich sterczące uszy onuc.

Za biurkami siedzi dwóch tęgich Kazachów. Zgodnie z tabliczką na drzwiach — są to inspektorzy wydziału oświaty.

— Chciałbym zaangażować się do pracy w szkole — powiadam ze wzrastającą pewnością siebie, a nawet niefrasobliwością, zupełnie jakbym pytał, gdzie tu stoi u nich karafka z wodą.

Zesztywnieli. Mimo wszystko nie co każde pół godziny przychodzi tu nowy nauczyciel, aby prosić o pracę w pustynnym aule. I chociaż rejon Kok-Terek jest większy od Belgii, jednakże wszystkich facetów ze średnim wykształceniem każdy zna tu osobiście.

— A do jakiej szkoły chodziliście? — pytają mnie. Ich ruszczyzna jest dość czysta.

380

— Skończyłem uniwersytet, wydział fizyczno-matematyczny.

Aż się wzdrygnęli. Wymienili spojrzenia. Przerzucili się kilkoma szybkimi zdaniami po kazachsku.

— A... Skąd właściwie wzięliście się tutaj?

Jakby to samo przez się nie było jasne, jakbym musiał sam im wszystko na stół wykładać. Jaki bałwan przyszedłby tutaj prosić o pracę, a przy tym w marcu?

— Przed godziną przyjechałem na zesłanie.

Robią znaczące miny i znikają jeden po drugim w gabinecie kierownika. Gdy wyszli — czuję na sobie spojrzenie maszynistki. Ma koło 50, jest Rosjanką. Wystarczy jedno zerknięcie, jak iskra — i już wiem, że jesteśmy z tej samej parafii: też z Archipelagu! Skąd, za co, ile lat? Jest to Nadieżda Nikołajewna Grekowa, pochodzi z kozackiej rodziny, spod Nowoczerkas-ka, została aresztowana w 37., była zwykłą maszynistką i Organy z pomocą całego arsenału swoich środków dowiodły jej, że należała do jakiejś fantastycznej organizacji terrorystycznej. 10 lat, a potem drugi wyrok i dożywotnie zesłanie.

Zniżając głos i oglądając się na przymknięte drzwi gabinetu dyrekcji informuje mnie rzeczowo: dwie dziesięcioletki, kilka siedmiolatek, brak w rejonie matematyków, potrzeba ich na gwałt, ani jednego z wyższym wykształceniem, a żywego fizyka nigdy tu nie widziano. Dzwonek z gabinetu. Nie bacząc na pewną tuszę, maszynistka zrywa się, biegnie żwawo i służbiście, wraca i woła mnie do gabinetu oficjalnym tonem.

Stół pokryty czerwonym obrusem. Kanapa — siedzą na niej bardzo wygodnie dwaj opasli inspektorzy. W wielkim fotelu pod portretem Stalina

— kierowniczką: drobnutka, zgrabna, pociągająca Kazaszka, o manierach kotki i żmii. Stalin uśmiecha się do mnie z portretu złowroźnie.

Każą mi usiąść pod drzwiami, z daleka, jakby to znowu było śledztwo. Zaczyna się pusta, nużąca rozmowa, bardzo długa już dlatego, że po każdym kilku zdaniach jakie zamieniają ze mną po rosyjsku — przez dziesięć minut gadają między sobą po kazachsku, a ja siedzę jak na tureckim kazaniu. Wypytyują mnie szczegółowo, gdzie i kiedy pracowałem w szkole. Nie ukrywają wątpliwości, czy aby nie zapomniałem swego przedmiotu albo metodyki. Następnie, po długiej serii dwuznacznych min, pauz i westchnień na temat notorycznego braku miejsc i że szkoły w rejonie pełne są matematyków i fizyków, i że trudno w rejonie wykroić nawet pół etatu, i że wychowanie młodzieży godne naszej epoki — to zadanie odpowiedzialne

— przechodzą w końcu do najważniejszej sprawy: za co siedziałem?, co to była za zbrodnia? Koto-żmija mruży chytrze ślepkę, jakby szkarłatna łuna mojego przestępstwa już parzyła jej partyjną buźkę — a ja patrzę nad jej

381

głową na złowieszczy portret szatana, który zrujnował mi życie. Co mogę opowiedzieć im o naszych wzajemnych stosunkach?

Postanawiam nastraszyć trochę tych rycerzy oświecenia przy pomocy starego chwytu aresztanckiego: rzeczy, o które mnie pytają są tajemnicą państwową, opowiadać o nich nie mam prawa. A mówiąc krótko — chcę wiedzieć, czy przyjmą mnie do pracy, czy też nie.

I znów zaczynają trąkotać między sobą po kazachsku. Któż jest tak odważny, aby na własną odpowiedzialność przyjąć do pracy zbrodniarza stanu? Ale mają wyj-

ście; każą mi pisać życiorys, a potem wypełnić kwestionariusz w dwóch egzemplarzach. Dobrze to znam. Papier jest cierpliwy. Czy przed godziną nie robiłem tego samego. Wypełniam więc jeszcze raz ankietę i wracam do MGB.

Z dużym zainteresowaniem zwiedzam dziedziniec tej instytucji, obchodzę ich wewnętrzne więzienie domowej roboty. Udając dorosłych, ci też bez wszelkiej potrzeby przebili w glinianym ogrodzeniu okienko, przez które podaje się więźniom paczki, chociaż ogrodzenie jest tak niskie, że można koszyk podać górą. Bo co to za MGB bez okienka? Pałętam się po dziedzińcu i dochodzę do wniosku, że jakoś mi się tutaj lżej oddycha niż w zatęchłym wydziale oświaty: z perspektywy wydziału MGB wydaje się instytucją zagadkową i na samą myśl o nim inspektorów przebiega zimny dreszcz. A tymczasem — to przecież nasze rodzone ministerstwo. Oto trzy łebki w gabinecie komendanta (dwaj — to oficerowie) — ich najzupełniej oczywistym zadaniem jest pilnowanie nas, przecież my — to ich chleb. I żadnych zagadek. Okazuje się, że z komendantami można się dogadać, pozwalają nam spędzić noc nie w zamkniętej izbie — tylko na dziedzińcu, na sianie. Noc pod gołym niebem! Zapomnieliśmy już co to znaczy!... Zawsze zamki, zawsze kraty, zawsze ściany i sufit. Kto by tam spał! Chodzę, chodzę i chodzę po dziedzińcu zalanym miękką poświatą księżycową. Furmanka, studnia, koryto dla koni, kupka siana, czarne cienie końskie pod szopą — wszystko to takie jest ciche i swojskie, jakby od wieków już trwało, jakby nie nosiło na sobie surowej pieczęci MWD. 3 marca — noc, a wcale nie zrobiło się chłodniej, w powietrzu czuje się lato, prawie tak samo jak we dnie. Z odległych peryferii Kok-Tereku dochodzi ryk osłów, długi, namiętny, raz po raz donoszą oślicom o swojej miłości, o nadmiarze nowych, wiosennych sił — i zapewne oślice odpowiadają im tym samym tonem. Nie bardzo rozróżniam te głosy, o, ten niski, potężny ryk — to może wielbłąd? Wydaje mi się, że gdybym był przy głosie, to też bym zawył teraz do księżycy: będę tu oddychał tym powietrzem!, będę chodził po tych ulicach!

382

To niemożliwe, aby nie udało mi się przebić tej papierowej kurtyny ankiet! Tej pełnej ryku nocy czuję jasno, że jestem mocniejszy od tchórzliwych urzędników. Uczyć w szkole! znów poczuć, że jest się człowiekiem!, wejść szybkim krokiem do klasy i gorącym spojrzeniem ogarnąć dziecięce twarze!, wskazać palcem na wykres — i wszystkie oddechy zamarły!, wyjaśnić zagadkę dwumianu Newtona — i wszyscy odetchną z ulgą.

Nie mogę spać! Łażę, łożę, łożę w blasku księżycy. Śpiewają iszaki, śpiewają wielbłądy i we mnie wszystko śpiewa: wolny! wolny!

Padam wreszcie na siano w szopie obok moich towarzyszy. O dwa kroki od nas konie stoją przy swoich żłobach i przez całą noc spokojnie żują siano. I wydaje się, że trudno znaleźć w całym wszechświecie odgłos, który piękniej by akompaniował naszej pierwszej, półwolnej nocy.

Żujcie, pocziwiny! Żujcie, koniki!...

Następnego dnia pozwalają nam wyjść, aby szukać mieszkania. Stosownie do moich środków, znajduję sobie domek — kurnik z jednym ślepa-wym okienkiem, a tak niski, że nawet tam, gdzie dach jest najwyższy — też nie mogę się wyprostować. „Niechby najniższa nawet chatka...” — tak pisałem kiedyś w więzieniu, marząc o zesłaniu. A jednak — nie bardzo to miłe, że nie mogę podnieść głowy. Za to budynek stoi zupełnie osobno! Nie ma podłogi, więc rzucam na ziemię obozową

wałówkę i już mam pościel! Ale pewien inżynier-zestaniec, wykładowca instytutu im. Bauman, Aleksander Klimentiewicz Zdaniukiewicz pożycza mi kilka drewnianych skrzynek — i mam komfort. Nie mam za to jeszcze lampy naftowej (bo nic nie mam! — każdą potrzebną rzecz trzeba będzie znaleźć i kupić zupełnie tak, jakbym pierwszy raz znalazł się na tej planecie) — ale właściwie nie żałuję braku tej lampy. W ciągu wszystkich minionych lat, w celach i w barakach ostre światło żgało duszę człowiekowi, więc teraz napawam się ciemnością. Nawet ciemność może stać się składnikiem wolności! W ciemności i w ciszy (mogłoby mi dokuczać radio, bo jest megafon na placu, ale już trzeci dzień milczy jakoś) leżę sobie po prostu na moich skrzynkach — i rozkoszuję się tym!

Czego jeszcze można wymagać?...

Jednakże to, co stało się rankiem 6 marca przeszło wszelkie możliwe oczekiwania! Moja gospodyni, babcia Czadowa, wywieziona z Nowgoro-du, powiada mi szeptem, jakby nie śmiejąc mówić głośno:

— Idź no, posłuchaj radia. Powiedzieli mi ludzie coś takiego, że aż się boję powtórzyć.

383

Rzeczywiście, radio odzyskało mowę. Idę na plac centralny. Jakichś dwustu ludzi, spory tłum jak na Kok-Terek, stłoczyło się pod chmurnym niebem dookoła słupa, na którym wisi megafon. W tłumie — sporo Kazachów, przeważnie starych. Po-zdejmowali z łysych głów wspaniałe rude czapy z piżmowców i trzymają je w rękę. Są bardzo markotni. Młodzi

me okazują takiego wzruszenia. Dwaj-trzej traktorzyści nie zdjęli nawet swoich cyklistówek... Oczywiście, ja też nfe zdejmę. Nie pojąłem jeszcze dobrze słów speakera (głos mu się łamie, mówi z dramatyczną emfazą) — ale już mnie tknęło przecucie.

To ta chwila, której nadejścia wyglądaliśmy z przyjaciółmi jeszcze za studenckich czasów! Chwila, o którą modlą się wszyscy więźniowie GUŁa-gu (prócz ortodoksów)! Umarł azjatycki dyktator! Wyzionął ducha, niegodziwiec! O, co za radość teraz u nas w specobozie! A dookoła stoją nauczycielki, rosyjskie dziewczęta i łkają głośno: „Co teraz z nami będzie?...”. Straciły ojca rodzzonego... Krzyknęłyby im teraz człowiek na cały plac: „Co będzie? Nie rozstrzelają warn rodziców! Nie wsadzą za kraty narzeczonych! I nie będziecie zestane!”.

Ma się chęć wrzeszczeć na cały głos pod tym megafonem, ba, zatańczyć, jak barbarzyńca! Ale cóż, rzeki historii leniwie płyną. I moja twarz, co przeszła już nielichą zaprawę, przybiera minę bolesnego napięcia. Chwilowo — trzeba udawać dalej, udawać jak dawniej.

A jednak pod szczęśliwą gwiazdą zaczęło się moje zestanie!

Cały ten dzień zbiega mi na pisanie wiersza pod tytułem Piąty marca.

Upływa jeszcze dziesięć dni i w walce o teki, a także bojąc się jeden drugiego — królewęża postanawiają skasować zupełnie MGB! A więc miałem rację, gdym pytał, czy MGB istnieć będzie wiecznie4?

Bo i cóż na ziemi jest wiecznego, prócz niesprawiedliwości, nierówności i niewoli?...

4 Co prawda, nim pół roku minie — wróci w postaci KGB, kadra została ta sama.

VI WYGNANIE DO RAJU

Śprychy rowerowe — \ kilo

But — 5 i \ pary
Pszczera — 2 sztuki
Ślanki — 10 sztuk
Piurnik uczniowski — 1 sztuka
Glopus — 1 sztuka
, 7. Draski — 50 paczek
Lampa Niedopyrz — 2 sztuki
Paszczka do zembów — 8 tupek

Piernik — 34 kilo
Wutka — 156 pułiterków.

Był to protokół inwentaryzacji i przeceny wszystkich towarów w aule Ajdarły. Inspektorzy i towaroznawcy rejonowego wydziału handlu w Kok-Tereku sporządzili ten protokół, ja zaś teraz kręciłem rączką arytmometru i obniżałem ceny. Jedne towary miały kosztować o 7,5 % mniej, inne

o 1,5. Ceny spadały katastroficznie i można było mieć nadzieję, że z początkiem roku szkolnego zarówno piurnik, jak glopus zostaną jednak sprzedane, a śprychy znajdą sobie miejsce w kołach .rowerów i tylko wielki zapas pierników, zapewne jeszcze przedwojennego chowu, zdradzał wyraźny zamiar przejścia do kategorii bubli. Wódka zaś, gdyby nawet zdrożała, i tak nie zostanie na półkach dłużej niż do 1 maja.

Obniżka cen, która — obyczajem ustalonym za Stalina — ogłoszona została 1 kwietnia i która dała masom pracującym tyle a tyle milionów zysku (zysk ten był zawczasu wyliczony i opublikowany) — była dla mnie sporym ciosem.

16 Archipelag Gułag 385

Już cały miesiąc przejadałem na moim zeszaniu pieniądze, jakie dzięki „rozrachunkowi własnemu” zarobiłem w obozowej odlewni — żyć na wolności z obozowych zarobków! — i wciąż chodziłem do wydziału oświaty, dopytując się, kiedy wreszcie dostanę pracę. Ale żmijowata kierowniczką przestała udzielać mi audiencji, dwóch spasionych inspektorów nigdy nie miało czasu, aby coś mi burknąć, a pod koniec miesiąca pokazano mi rezolucję obwodowego wydziału oświaty, z której wynikało, że wszystkie szkoły rejonu Kok-Terek roją się od matematyków i że znalezienie dla mnie jakiegokolwiek pracy jest niemożliwe.

Tymczasem jednak pisałem sztukę (Diekabrysty bez diekabria) nie musząc codziennie poddawać się porannym i wieczornym rewizjom. Dlatego też uciekałem się do niszczenia napisanych już stronic nie tak często jak dawniej. Nie miałem żadnych innych zajęć i po obozie ten tryb życia bardzo mi odpowiadał. Raz na dzień chodziłem do herbaciarni i tam za dwa ruble brałem sobie talerz gorącej polewki — takiej samej, jaką w tejże instytucji posyłano w kubie do więzienia, dla aresztantów. A czarny chleb można było kupić w sklepie bez przeszkód. Kupiłem też sobie kartofli, a nawet — kawał słoniny. Sam przywiozłem na iszaku trochę chrustu, mogłem palić w piecu. Była to już niemal pełnia szczęścia — i tak sobie myślałem: nie dają mi pracy? — to i dobrze, póki mam jeszcze parę groszy — będę sobie pisać sztukę, kiedyż to miałem tyle swobody!

Aż tu pewnego dnia jeden z komendantów spotkał mnie na ulicy i przywołał kiwnięciem palca. Zaprowadził mnie do wydziału handlu, do gabinetu naczelnika, Kazacha objętości bomby lotniczej i powiedział znaczącym tonem:

— Matematyk.

Cud nad cudami!, nikt mnie nie pytał, za co siedziałem, nikt nie kazał wypełniać ankiety i pisać życiorysów — sekretarka, deportowana Greczyn-ka, dziewczeczka o urodzie gwiazdy filmowej, wystukała natychmiast jednym palcem na maszynie nominację na stanowisko planisty-ekonomisty z pensją 450 rubli miesięcznie. Tego samego dnia, z tą samą łatwością, bez żadnych ankiet dostali pracę za pośrednictwem tego samego wydziału dwaj inni bezrobotni zesańcy: kapitan oceanicznej żeglugi Wasilenko i pewien bardzo tajemniczy, nie znany mi bliżej jegomość — Grigorij Samojłowicz M-z. Wasilenko hołubił już projekt pogłębiania rzeki Czu (latem krowy przechodziły ją w bród), aby uczynić ją spławną i puścić po niej parostatki transportowe; złożył już do komendantury wnioski o wydanie mu delegacji służbowej celem zbadania koryta tej rzeki na całej jego długości. Jego

Dekabryści bez grudnia.

386

kolega ze szkoły morskiej, z którym pływał razem na brygu żaglowym „Towariszcz”, kapitan Mann, właśnie w tych dniach ekwipował statek „Ob” przed podróżą na Antarktydę — Wasilenkę zaś wetknął wydział handlu do jakiegoś składu w charakterze magazyniera.

Ale nie pozwolono nam pracować ani w składzie, ani przy układaniu planu, ani w księgowości — ogłoszono alarm i całą naszą trójkę wezwano na pokład, do akcji przeceny towarów. Co roku w nocy z 31 marca na 1 kwietnia zaczynała się agonia wydziału handlu i nigdy nie starczało — bo też nie mogło starczyć — ludzi, aby go uratować. Trzeba było zinwentaryzować wszystkie towary, a przy okazji wykryć sprzedawców-złodziei (lecz bynajmniej nie po to, aby oddać ich pod sąd) i dokonać przeceny

żeby następnego ranka sprzedawać owe towary już po nowych cenach, nadzwyczaj dogodnych dla mas pracujących. Sieć dróg żelaznych i bitych na całej ogromnej pustyni naszego rejonu miała długości 0,0 kilometrów. W terenowych sklepach owe nadzwyczaj dogodne dla mas pracujących ceny można było wprowadzić nie wcześniej niż 1 maja; przez cały miesiąc sklepy te w ogóle nie prowadziły sprzedaży czekając, aż w rejonowym wydziale handlu zakończy się sprawdzanie i zatwierdzanie protokołów i aż się je dostarczy wielbłądzią trakcją. Ale przynajmniej w samej stolicy rejonu trzeba było przecież otworzyć sklepy i nie zawalić planów sprzedaży przed świętem 1-majowym.

Nim zjawiliśmy się w wydziale handlu, już tam dulczyło jakichś piętnastu ludzi — etatowych i specjalnie do przeceny zaangażowanych. Płachty rozliczeń naskrobanych na marnym papierze leżały na wszystkich biurkach i słychać było jedynie postukiwanie liczydeł, na których doświadczeni księgowi potrafili również mnożyć i dzielić, oraz robocze połajanki. Z miejsca zaprzągnięto nas do roboty. Dzielenie i mnożenie na papierku szybko mi się znudziło, więc poprosiłem o arytmometr. W wydziale handlu nie było ani jednego, zresztą nikt nie potrafił posługiwać się nim, ale ktoś przypomniał sobie, że widział w szafie rejonowego urzędu statystycznego jakąś maszynkę z cyferkami, tylko że tam również nikt z niej nie korzystał. Zadzwonili, posłali kogoś i przynieśli maszynę. Pokręciłem korbką i zaczęły sypać się kolumny cyfr, a główni księgowi jęli patrzeć na mnie wilkiem: konkurent się zjawiał?

Kręcąc korbką myślałem sobie: jak szybko zek hardziej albo — wyrażając się po literacku — jak szybko rosną potrzeby ludzkie! Już mi się nie podoba, że oderwano mnie od sztuki, którą piszę w mojej ciemnej norze; już mi się nie podoba, że nie przyjęto mnie do pracy w szkole, nie podoba mi się, że mi kazano... Co?: kuć oskardem ścięty mrozem grunt? miesić nogami saman w lodowatej wodzie? Nie, posadzono mnie przemocą przy

387

czystym stole i rozkazano kręcić rączką maszyny rachunkowej oraz wypisywać kolumny cyfr. Ależ gdyby na początku obozowej mojej odsiadki kazano mi ślęczyć bezpłatnie przy tej rajskiej robocie po dwanaście godzin dziennie, aż po sam kres mojej kary — nie posiadałbym się ze szczęścia! Tu płacą mi za tę pracę 450 rubli, będę sobie teraz mógł dokupywać litr mleka dziennie, a ja kręcę nosem! Wszystkiego mi za mało!

Na cały tydzień wydział handlu ugrzązł w akcji przeceny (trzeba było tu dokładnie oznaczyć dla każdego artykułu współczynnik obniżki, a jednocześnie — wyliczyć koeficjent narzutu dla sprzedaży w sklepach wiejskich) — i ani jeden sklep w żaden sposób nie mógł tymczasem otworzyć podwoi. Wtedy to kierownik-bomba, sam — nierób nad nierobami — zwołał nas wszystkich do swojego wspaniałego gabinetu i tak zagaił:

— Ja wam powiem jedną rzecz. Ostatni zdobycz medycyna: człowiek wcale niepotrzebny sen osiem godzin, absolutnie dosyć cztery! Dlatego tu jest rozkaz! Początek pracy — siódma rano, koniec — druga w nocy, przerwa na obiad — godzina, i na kolację — godzina.

Jak się zdaje nikt z nas nie znalazł w tej ogłaszającej tyradzie nic śmiesznego, przeciwnie. Wszyscy milczeli w ponurym napięciu i w końcu ktoś ośmielił się wszcząć dyskusję na temat początku owej godzinnej przerwy na kolację.

Tak, to jest los zesłanych, już o tym wiedziałem; ten los utkany jest z takich rozporządzeń. Wszyscy tu obecni są zesańcami i drżą o swoją posadę. Jeśli ją stracą — to długo nie znajdą sobie w Kok-Tereku żadnej innej. I w końcu — robić się to będzie nie dla pana dyrektora, tylko dla kraju, to przecież konieczne. I ostatnia zdobycz medycyny wydaje im się ostatecznie czymś znośnym.

Ach, wstać by teraz i wyśmiać tego zadufanego knura! Chociaż raz dać sobie folgę! Ale to natychmiast byłoby zakwalifikowane jako „agitacja antysowiecka” — jako podżeganie do sabotażu nadzwyczaj ważnego zarządzenia. Oto całe twoje życie — jesteś po kolei uczniem, studentem, obywatelem, żołnierzem, więźniem, zesańcem — a zawsze siła jest w ręku zwierzchności, ty zaś musisz zgjąć kark i milczeć.

Gdyby powiedział — do dziesiątej wieczór — to siedziałbym z innymi. Ale zaproponował nam rozstrzelanie na raty; dla mnie osobiście to znaczyło: zaprzestać pisania właśnie tu, kiedy jestem już na wolności! O nie! Szlak niech cię trafi i tę całą zniżkę cen razem z tobą. Obóz podpowiedział mi sposób postępowania: nie sprzeciwiać się głośno, tylko w milczeniu — za to czynnie. Wraz z innymi wysłuchałem pokornie rozkazu, ale o piątej wieczór podniosłem się z mego krzesła i wyszedłem. Wróciłem dopiero o dziesiątej rano. Moi koledzy wszyscy już byli na miejscu, rachując albo

388

udając, że rachują. M-z aprobował w głębi ducha moje postępowanie, ale sam się nie zdecydował na nic podobnego; szepnął mi, że wczoraj wieczorem dyrektor stanął przy moim pustym biurku i zaczął krzyczeć, iż zapędzi mnie w głąb pustyni, o sto kilometrów stąd.

Przyznam, że strach mnie obleciał: oczywiście, MWD mogło zrobić ze mną wszystko, co chciało. I posłaliby mnie na pustynię! I z odległości 100 kilometrów figę bym widział, a nie rejonowe miasto. Ale miałem szczęście: trafiłem na Archipelag już po zakończeniu wojny, czyli że nie zaznałem na nim już najgorszego; a na zstanie przyjechałem już po śmierci Stalina. W ciągu miesiąca coś zdążyło się przesądzić nawet tutaj — aż do naszej komendantury.

Niepostrzeżenie zaczynała się nowa epoka — trzy lata największego odprężenia w dziejach Archipelagu.

Dyrektor nie wezwał mnie do siebie i nie przyszedł gromić mnie osobiście. Przepracowałem cały dzień, jedyny trzeźwy wśród tłumu zamroczonych snem — i znów zdecydowałem się na wyjście o piątej po południu. Niech będzie co chce, byle prędeej.

Który to już raz zdałem sobie sprawę, że poświęcić można wiele, ale nie to co najważniejsze. Nie chciałem rezygnować z pisania tej stuki, którą układałem w pamięci jeszcze w katorżniczym specobozie — i wygrałem. Wszyscy pracowali nocami przez cały tydzień — i przyzwyczaili się, że moje biurko jest puste. A dyrektor, mijając mnie na korytarzu, odwracał głowę.

Ale nie było mi pisane uporządkowanie rachunkowości wiejskiego handlu w Ka-ZEKstanie. Do naszego wydziału wpadł któregoś dnia niespodziewanie młody Kazach, wicedyrektor szkoły. Aż do mego przyjazdu był w Kok-Tereku jedynym absolwentem uniwersytetu i bardzo tym się chlubił. Moje pojawienie się nie wzbudziło w nim jednak zawiści. Szkoła była nowa, w tym roku mieli ją opuścić pierwsi absolwenci i może zależało mu na tym, aby wzmocnić skład ciała pedagogicznego. Może też chciał dosłoić zmijowatej kierowniczce wydziału oświaty, dość, że kazał mi szybko przynieść z domu dyplom. Pobiegłem jak uczeń i przyniosłem dyplom natychmiast. Schował go do kieszeni i pojechał do Dżambułu na konferencję związków zawodowych. Po trzech dniach odwiedził nas znowu i położył mi na biurku wyciąg z rozporządzenia obwodowego wydziału oświaty. Na rozporządzeniu widniał ten sam bezwstydnny podpis, który znalazłem w marcu na papierku stwierdzającym, że w ani jednej szkole całego rejonu nie ma wolnego miejsca dla matematyka — teraz zaś otrzymałem nominację na wykładowcę i matematyki, i fizyki w obu równoległych ostatnich klasach szkoły — i to na trzy tygodnie przed egzaminami końcowymi! (Dla

389

wicedyrektora to jednak było ryzyko. Nie tyle nawet polityczne; po prostu miał podstawy do obaw, czy aby nie zapomniałem w obozie całej mojej matematyki. W dniu egzaminów piśmiennych z geometrii i trygonometrii nie pozwolił mi otworzyć koperty z tematami w klasie, lecz zaprowadził do gabinetu dyrektora i tam, w obecności wszystkich kolegów-nauczycieli musiałem najprzód sam rozwiązać zadanie; przez cały czas stał za moimi plecami. Gdy okazało się, że rozwiązanie jest właściwe — świąteczny nastrój ogarnął wszystkich matematyków, a zwłaszcza mego wicedyrektora. Jak łatwo było tu zdobyć sławę Kartezjusza! Jeszcze nie wiedziałem wtedy, że co roku podczas egzaminów końcowych w siódmych kla-

sach — szkoły terenowe wciąż telefonują do rejonu: zadanie nie wychodzi, temat podano nam błędnie! Bo też ci nauczyciele sami ukończyli nie więcej niż siedem klas...).

Jak opisać tę chwilę szczęścia — gdy wszedłem do klasy i wziąłem kredę do ręki? To był dopiero mój pierwszy dzień wolności, tego dnia odzyskałem prawa obywatelskie. Inne elementy zesańczego losu już od tej chwili uchodziły mojej uwagi. Gdy byłem w Ekibastuzie kolumnę naszą często prowadzono drogą, przy której stała szkoła. Jak na raj niedościgły patrzyłem na bieganie dzieci za płotem, na jasne suknie nauczycielek, a dochodzący z ganku terkot dzwonka ranił mnie. Tak zadreżyły mnie te więzienne, beznadziejne lata, te obozowe roboty ogólne! Takim szczęściem niebotycznym, rozpierającym serce wydawało się — móc w tej samej jałowej dziurze, w tym Ekibastuzie mieszkać na zesłaniu, na dźwięk tego samego dzwonka wchodzić z dziennikiem do klasy i z tajemniczą miną rozpoczynać lekcje tak, jakbym miał za chwilę odstąpić przed dziećmi najbardziej niezwykle zagadki. (W tym pragnieniu przejawiało się zapewne moje wrodzone nauczycielskie powołanie, ale było też sporo zarozumiałstwa i zadufania — prawem kontrastu po tylu aktach rabskich upokorzeń i marnotrawienia zdolności).

Ale — zapatrzony w losy Archipelagu i naszego państwa — przeoczyłem rzecz najprostszą, elementarną: że w ciągu lat wojny i później nasza szkoła — umarła, że nie ma już jej, że została tylko powłoczka, cymbał brząkający. Szkoła umarła — i w stolicach, i w stanicach. Kiedy marazm duchowy rozpełza się po całym kraju, jak trujący gaz, któż ma się pierwszy zatchnąć, jeśli nie dzieci, jeśli nie szkoła?

Dowiedziałem się o tym jednak dopiero po kilku latach, gdy wróciłem z kraju zesańczego do Rosji centralnej. A w Kok-Terek nie mogłem się tego domyśleć: mordercze było całe to parcie ku ciemnocie, mordercza jej ofensywa, ale jeszcze żyły, jeszcze nie zatchnęły się dzieci zesłańców!

Były to dzieci osobliwe. Rosły świadome swej sytuacji, wiedząc, że należą

390

do upośledzonych. Na radzie pedagogicznej, czy na innych drętwych zebraniach mówiło się o nich i do nich, że są dziećmi sowieckimi, że rosną dla komunizmu i że tylko chwilowo ograniczone jest ich prawo przenoszenia się z miejsca na miejsce. To wszystko. Ale te dzieci, każde z nich — czuło obrożę na karku i to od wczesnego dzieciństwa, dokąd tylko sięgało pamięć. Cały ciekawy, bogaty, tętniący życiem świat (znały go z pism ilustrowanych, z filmów) był dla nich niedostępny i nawet chłopcy w wieku poborowym nie mieli szans, aby go poznać. Bardzo niewielkie i bardzo rzadkie były szanse otrzymania od komendantury przepustki na wyjazd do miasta, gdzie można by stanąć do egzaminu — a jeszcze trzeba było go zdać, być przyjętym na wyższą uczelnię, a potem móc zakończyć ją bez przeszkód. Tak więc wszystko, czego mogli dowiedzieć się o wiecznym, nieogarnionym świecie, sprowadzało się do tego, co byli w stanie otrzymać na miejscu; ta szkoła długie lata jeszcze miała być dla nich pierwszym i ostatnim źródłem wykształcenia. Ponadto na tej jałowej pustyni nie mieli wcale w nadmiarze rozrywek i zabaw, które tak psują młodzież wielkich miast w XX wieku, od Londynu do Ałma-Aty. Tam, w metropoliach dzieci już odzwyczaiły się od nauki, straciły do niej chęć, uczyły się tylko z obowiązku, żeby robić coś, póki nie osiągną odpowiedniego wieku.

Dla naszych zaś zesańczych dzieci — jeśli ktoś uczył je z oddaniem — nauka była najważniejszą sprawą w życiu, była wszystkim. Uczyły się zachłannie, czując, że w

ten sposób wyrrywają się z kręgu obywateli drugiej klasy i dorównują — przynajmniej na tym polu — dzieciom klasy pierwszej. Jedynie szkolna nauka zaspokajała ich życiowe ambicje.

(Nie, te ambicje miały inne jeszcze ujście: wybieralne funkcje w szkole; komsomoł; a od 16 roku życia — również udział w wyborach powszechnych. Tak pragnęli, biedacy, mieć chociaż iluzję równouprawnienia! Niejeden z tych młodych chlubił się szczerze tym, że wstąpił do komsomołu, ze świętym przekonaniem zabierając głos na pięciominutowych zebraniach politycznych przed lekcjami. Pewną młodzieńką Niemeczkę, Wiktorię Nuss, której udało się wstąpić na dwuletnie kursy nauczycielskie, usiłowałem przekonać, że być zesańcem — to powód do dumy, że to nie hańba. Gdzie tam! Spojrzała na mnie jak na szalonego. Owszem, byli tacy, co do komsomołu wcale się nie pchali — więc tych koledzy wciągali niemal siłą: jest pozwolenie, a ty nie chcesz wstąpić? Dlaczego właściwie? A w Kok-Tereku niektóre dziewczynki, Niemki, członkinie potajemnej sekty religijnej, musiały zapisywać się do komsomołu, żeby rodziny nie zesłano jeszcze dalej na pustynię. O, gorszyście maluczkich! — lepiej by wam kamień młyński na szyi powiesić...).

391

Wszystko, co tu pisałem, dotyczy „rosyjskich” klas szkoły w Kok-Tere-ku (w istocie rzeczy nie było tam prawie Rosjan, tylko Niemcy, Grecy, Koreańczycy, trochę Kurdów i Czeczericów, poza tym Ukraińcy, których dziadowie zostali tu przesiedleni w pierwszych latach tego stulecia, a ponadto Kazachowie, dzieci wyższych urzędników i działaczy partyjnych, którzy chcieli, aby ich łatoroślą uczyły się po rosyjsku). Większość zaś dzieci kazachskich chodziła do „kazachskich klas”. Były to prawdziwe dzikusy. W większości (chyba że zepsuła je wiernopoddaricza atmosfera domowa) — chłopcy bardzo szczerzy, prawdomówni, dobrze wiedzący co złe, a co dobre — przynajmniej dopóty, dopóki nie zdołano tego zmienić — podsycające w nich pychę — wychowanie. Prawie zaś cała nauka szkolna prowadzona po kazachsku dla tych kazachskich dzieci była jedynie szerzeniem ignorancji: z początku starano się wszelkimi sposobami dociągnąć do dyplomu pierwsze pokolenie. Później te niedouki rozjeżdżały się, aby z wielkim zadęciem uczyć młodszych od siebie; dziewczyny-Kazaszki otrzymywały stopnie dostateczne, a później dyplomy szkół oraz seminariów nauczycielskich nawet, jeśli kompletnie nic nie umiały. Ale kiedy ci młodzi barbarzyńcy trafili nagle na normalną, dobrze przygotowaną lekcję, wchłaniali naukę nie tylko uszami i oczyma, ale ustami.

Mając do czynienia z takim stosunkiem dzieci do nauki szkolnej, oddałem się w Kok-Tereku całej tej sprawie i przez trzy lata (a mogło tych lat być zapewne więcej) już samo belfrowanie czyniło mnie szczęśliwym. Za mało mi było godzin lekcyjnych, aby naprawić i uzupełnić to, czego wcześniej tych dzieci nie nauczono, wyznaczałem im więc wieczorne zajęcia, organizując obserwacje astronomiczne; uczęszczały na nie gromadnie, a z takim zapałem, z jakim nie chodziły do kina. Zostałem także gospodarzem klasy, przy tym czysto kazachskiej, ale nawet to zajęcie niemalże mi się podobało.

Wszelako — wszystko, co w tym było miłego, kończyło się za drzwiami klasy, po dzwonku. W pokoju zaś nauczycielskim, u dyrektora i w moim rejonowym wydziale oświaty zaczynała się zwykła nasza wszechzwiązkowa mitręga, tym jeszcze obostrzona, że kraj to był zesańczy. Wśród nauczycieli bywali tu już Niemcy i zesłani administracyjnie. Znajdowaliśmy się wszyscy w sytuacji upokarzającej: każda okazja

była dobra, aby nam przypomnieć, że tylko z łaski dopuszczono nas do uczenia dzieci i że w każdej chwili możemy ten przywilej utracić. Nauczyciele-zesłańcy jeszcze bardziej niż inni (też zresztą zależni od byle kaprysu) drżeli, by nie rozsierdzić miejscowych notabli zbyt niską oceną postępów ich latorośli. Lękali się też gniewu dyrekcji w wypadku, gdyby średnia postępów całej klasy okazała się zbyt niska — i sztucznie podwyższali oceny; ta praktyka sprzyjała pro-

392

cesowi poszerzonej produkcji ignorantów typowej dla całego Kazachstanu. Prócz tego nauczyciele-zesłańcy (a także młodzi nauczyciele-Kazachowie) dźwigać musieli ciężar rozmaitych danin i potrąceń: co miesiąc potrącano im z poborów koło dwudziestu pięciu rubli, nie wiadomo na czyją rzecz; dyrektor (Berdenow) potrafił nagle obwieścić, że jego córeczka ma urodzinki i nauczyciele musieli wysupłać po 50 rubli na upominek; prócz tego — to jeden, to drugi wzywany był do dyrektora albo do kierowniczkę wydziału oświaty, gdzie naciągano go na „pożyczkę” w wysokości 300-500 rubli. (Zresztą — były to cechy całego tamecznego stylu życia, czy systemu. Uczniów-Kazachów też zmuszano, aby składali się po baranie albo po pół barana, gdy zbliżał się bal na zakończenie roku szkolnego; tylko w ten sposób pewni mogli być dobrej cenzurki, nawet, jeśli nic a nic nie umieli; bal ów kończył się gigantyczną pijatyką rejonowego partaktywu). A ponadto — wszyscy notable rejonowi studiowali na jakichś wydziałach zaocznych; do odrabiania ich kontrolnych zadań też zaprzęgano nauczycieli z naszej szkoły; robione to było w feudalnym stylu, przez dyrektora, a nauczyciele — murzyni nie mogli dostąpić zaszczytu poznania „swojego” podopiecznego.

Nie wiem, czy moja nieustępliwość, biorąca się z poczucia, że jestem „niezastąpiony” (taka opinia utrwaliła się szybko), czy też zbliżająca się stopniowo odwilż, czy może oba te czynniki naraz — pomogły mi nie wsuwać łba w te chomąta. Gdybym stawiał oceny niesprawiedliwe — dzieci zaraz przestałyby uczyć się u mnie dobrze; stawiałem więc sprawiedliwe stopnie, wcale nie licząc się z sekretarzami rejkomu. Nie płaćtem także danin i nie udzielaćem zwierzchnikom „pożyczek” (żmijowała kierowniczka z całą czelnością poprosiła mnie o pożyczkę!) wystarczyło, że co roku w maju zbiedniałe państwo zdierało z nas całomiesięczne pobory (był to przywilej wolnych do subskrybowania na pożyczki państwowe, przywilej którego pozbawiono nas w obozie, a udzielono znów na zesłaniu). Ale na tym kończyła się moja wierność zasadom.

W moim bezpośrednim sąsiedztwie nauczyciel biologii i chemii, Gieorgij Stiepanowicz Mitrowicz, który odsiedział na Kołymie swojego dziesiątaka, Serb, już niemłody i schorowany, toczył nieustanne boje o sprawiedliwość w Kok-Tereku. Wyrzucony z rejonowego wydziału rolnictwa, ale przyjęty do pracy w szkole, przeniósł się na ten nowy teren razem ze wszystkimi swoimi pasjami. Bo też w Kok-Tereku na każdym kroku spotykało się bezprawie, któremu towarzyszyły jeszcze ignorancja, barbarzyńskie zarozumialstwo i pozbawiony wszelkich skrupułów nepotyzm. Bezprawie i samowola były tu jak mur gliniany — głuchy, miękki, nie do przebicia; więzły w nim ręce. Ale Mitrowicz ofiarnie i bezinteresownie walczył z tym bez-

393

prawiem (co prawda — z Leninem na ustach), demaskował je na radzie pedagogicznej, na rejonowych zlotach nauczycieli, ścinał na egzaminach eksternów-

hieuków na stanowiskach i absolwentów „za barana”, stał skargi do urzędów obwodowych, do Ałma-Aty i depesze na ręce Chruszczowa (petycję w obrobie Mitrowicza podpisało 70 rodziców, ale nadać ją trzeba było z innego rejonu, u nas poczta by ją zatrzymała). Domagał się kontroli, przyjazdu inspektorów — ci przybywali i z miejsca zawierali sojusz z jego wrogami, więc znów pisał; rozpracowywali go na zebraniach specjalnych rady pedagogicznej, oskarżali o propagandę anty sowiecką wśród dzieci (to już — włos od aresztowania!) i — z taką samą powagą — o brutalny stosunek do kóz, niszczących grządki, uprawiane przez pionierów w szkolnym ogródku, wyrzucali go, znów go przyjmowali do pracy, Mitrowicz żądał z kolei zapłaty za niezawinioną absencję w szkole, przenieśli go do innej szkoły, nie pojechał tam wcale, znów go próbowali wylać — słowem wojował dzielnie! I gdybym okazał mu pomoc — to razem dalibyśmy im niezłą wcirc. Ale sęk w tym, że mu nie pomogłem. Zachowałem milczenie. Uchylałem się od udziału w decydujących głosowaniach (żeby nie być zmuszonym do udziału w nagonce), wymykałem się na jakieś zebranie mego kółka, na konsultacje. Partyjnym eksternistom nie przeszkadzałem w kolekcjonowaniu trójek: należą sami do władz, niech więc sobie oszukują swoją władzę. Ukrywałem prawdziwe moje cele i zadania: wciąż pisałem, a pisałem. Szczędziłem się dla innej, późniejszej walki. Ale problem trzeba rozpatrzyć w szerszym aspekcie! Czy walka Mitrowicza była potrzebna?... czy była walką o słuszną sprawę?

Była to walka z góry skazana na przegraną; szkoda tę mąkę miesić, z niej i tak chleba nie będzie. Ale nawet gdyby Mitrowicz swoje boje wygrał, to i tak nie mogła poprawić ustroju, całego tego systemu. Jasna plamka przez chwilę błyszczałaby wątle i zaraz znów by ją zalało bure błocko. Całe jego ewentualne zwycięstwo nie równoważyło nowego aresztowania, jakie kroilo mu sie w odwet (jedynie dojście do władzy Chruszczowa uratowało Mitrowicza). Walka była beznadziejna, jednakże głęboko ludzki był jego gniew i bunt przeciw niesprawiedliwości, który wszczynał, ryzykując własną głowę. Była to walka z góry skazana na porażkę — ale nie sposób nazwać jej bezcelową, bezużyteczną — gdybyśmy nie wszyscy byli tak bardzo rozważni, gdybyśmy nie skomleli sobie nawzajem na ucho: „I tak nic nie pomoże, nie ma siły!” — całkiem inny byłby nasz kraj! Mitrowicz nie był pełnoprawnym obywatelem, lecz zesłańcem, a mimo to rejonowe władze bały się błyску jego okularów.

Bać to się bały, jednakże gdy następował promienny dzień wyborów

394

— wyborów do organów naszej ukochanej władzy — w jednym szeregu stawał nieustrudzony rycerz prawdy Mitrowicz (i cóż warta była zatem jego walka?) ze mną, uchylającym się od współudziału i z jeszcze bardziej zamkniętym, a z pozoru najbardziej z nas potulnym GS. M-z: bo — ukrywając bolesciwą naszą odrazę — wszyscyśmy szli sobie razem, aby wziąć udział w tym uroczystym błazeństwie. Prawie wszyscy zesańcy otrzymywali prawo do brania udziału w wyborach, tak niewiele one znaczyły — i nawet pozbawieni praw obywatelskich ze zdziwieniem odnajdywali swoje nazwiska w spisach, ba, jeszcze ich popędzano. U nas, w Kok-Terek, nie było nawet kabin do głosowania, gdzieś z boczku stała jakaś budka z rozsuniętymi sztorkami, ale nikomu tam nie było po drodze, nie bardzo nawet można było obracać się w jej stronę. Procedura wyborcza polegała na tym, że brało się drukowaną kartkę i szybkim krokiem zmierzało się do urny, aby ją tam jak naj-

prędzej wrzucić. Jeśli ktoś zatrzymywał się i uważniej przyglądał wypisanym na kartce nazwiskom kandydatów — już to budziło podejrzenia: czy to partyjne organy nie widzą kogo wysunąć, co ten facet sprawdza?... Po głosowaniu każdy miał swoje rzymskie prawo wypić kielicha, bowiem pobory albo zaliczkę zawsze wypłacono przed wyborami. Przyodziani w najlepsze swoje szatki, wszyscy (również ze-
stańcy), z całą powagą kłaniając się sobie na ulicach, składali znajomym życzenia z okazji święta...

Ileż to razy człowiek z rzewnością wspominał obóz, gdzie nie było żadnych wyborów!

Pewnego razu Kok-Terek wybrał sobie sędziego ludowego, Kazacha; wybrano go jednogłośnie, rzecz jasna. Jak zwykle, ludzie składali sobie życzenia z okazji święta. Ale już po kilku miesiącach dowiedziano się, że toczy się przeciw niemu dochodzenie karne w powiecie, gdzie przedtem sądził ludzi (i gdzie też był jednogłośnie wybrany). Wyjaśniło się przy okazji, że już u nas też zdążył chapnąć niemało łapówek od prywatnych petentów. Trzeba go było niestety odwołać i wyznaczyć w Kok-Tereku nowe wybory uzupełniające. Kandydatem był znów nie znany nikomu, zamiejskowy Kazach. I w niedzielę znowu wszyscy wdziali najlepsze garnitury, już z rana oddali jednogłośnie swoje głosy, a potem — na spacerze te same, bardzo szczęśliwe, lecz pozbawione poczucia humoru osoby składały sobie wzajem powinszowania z okazji... święta]

W katorżniczym obozie śmieliśmy się przynajmniej z całego tego cyrku otwarcie, ale na zestaniu nie z każdym i nie bardzo szczerze można mówić: życie jest tu prawie takie jak u wolnych; zapożyczono od nich przede wszystkim najgorsze z ich przyzwyczajęń — skrytość. M-z był jednym z nielicznych, z którymi mogłem takie temaciki poruszać.

395

Przysłano go tu z Dżekazganu, przy tym — bez jednej kopiejki, jego pieniądze utknęły gdzieś po drodze. Komendantury jednak wcale to nie obeszło — po prostu skreślono go z listy więziennego zaopatrzenia i wypuszczono na ulicę Kok-Tereku: możesz umierać, nam wszystko jedno. Właśnie wtedy pożyczyłem mu 10 rubli i zasłużyłem sobie tym na jego dozgonną wdzięczność; długo mi przypominał, jak to mu pomogłem. Pamiętał ludziom ich dobre uczynki — był to stały rys jego charakteru. Ale krzywdy pamiętał również. (Tak na przykład nie mógł wybaczyć pewnej podłości Chudajewowi — temu czeczeńskiemu chłopcu, który omal nie stał się ofiarą zemsty rodowej. Wszystko na tym świecie wywraca się na opak! — uratowany od śmierci Chudajew nagle — z całą nienawiścią, bez żadnej racji i bardzo okrutnie — rozprawił się z synkiem M-z).

Był zestańcem i nie miał żadnego określonego zawodu. W tych warunkach trudno mu było znaleźć w Kok-Tereku przyzwoitą pracę. Został w końcu laborantem szkolnym, była to jeszcze najlepsza z możliwych posad i M-z bardzo ją sobie cenił. Aby to stanowisko zachować musiał jednak wystugiwać się wszystkim, nikogo nie drażnić i w ogóle nie stawiać się. Więc się nie stawiał, zachowywał się grzecznie, ale wewnątrz był bardzo zamknięty i nikt nie wiedział o nim tak prostych rzeczy jak — dlaczego właściwie, mając już 50 lat, nie zdobył żadnego zawodu? My zaś zbliżyliśmy się z nim stopniowo; nigdy żadnych tarć, często jakaś pomoc, a ponadto jeszcze — te same obozowe odruchy, ten sam słownik. Długo brał na zapartkę, ale w końcu poznałem jego myśli i jego dzieje. Sądzę, że są pouczające.

Przed wojną był sekretarzem rejkomu partii w Ż. Gdy wojna wybuchła został naczelnikiem oddziału szyfrów w sztabie dywizji. Należał zawsze do elity, był ważną osobą, mało co wiedział o powszednich ludzkich nieszczęściach i troskach. Ale w 1942 roku zdarzyło się tak, że z winy oddziału szyfrów jeden z pułków dywizji nie otrzymał na czas rozkazu wycofania się. Trzeba to było naprawić, ale wszyscy podwładni M-z gdzieś się podzieli albo już zginęli, więc generał posłał samego M-z tam, na pierwszą linię, gdzie Niemcy już brali w cęgi osamotniony pułk. Trzeba dać im rozkaz odwrotu! Uratować ich! M-z pojechał konno niechętnie, z lękiem, i wkrótce znalazł się w takich opatach, że postanowił nie jechać dalej, nie wiedząc nawet, czy w ogóle uniesie głowę. Zatrzymał się więc zupełnie świadomie i tym samym wydał cały pułk na zgubę; zlaź z konia, objął drzewo rękoma (a może schował się za nim przed odłamkami) i... poprzysiągł Jehowie, że jeśli tylko uratuje się, to będzie już odtąd nabożnie i święcie przestrzegać wszystkich praw swojej religii. Skończyło się wszystko pomyślnie: pułk wyginął albo wzięty został do niewoli, a M-z uratował się;

396

dostał 10 lat obozu z art. 58, odsiedział karę — i oto był teraz razem ze mną w Kok-Terek. Przysięgi swojej dotrzymywał święcie! — w jego głowie i w jego sercu nie zostało nawet śladu dawnej partyjności. Tylko podstępem mogła żona dać mu do zjedzenia coś trefnego, na przykład rybę bez łuski. Nie mógł opuszczać pracy w sobotę, ale starał się nic tego dnia nie robić. W domu zaś surowo trzymał się wszystkich przepisów religijnych i modlił się — z konieczności po kryjomu.

Zrozumiałe, że historię tę opowiedział bardzo, ale to bardzo nielicznym.

A dla mnie ta historia wcale nie jest taka prosta. Proste jest w niej tylko jedno — właśnie to, z czym najtrudniej u nas ludzie się godzą: że prawdziwym rdzeniem naszej duszy — jest świadomość religijna, a wcale nie — partyjno-ideologiczna.

Jakież sądy wydać o tym człowieku? W świetle wszystkich zasad prawnych, przepisów wojskowych i praw honoru, patriotyzmu czy komunizmu — ten człowiek zasłużył na śmierć albo na pogardę: przecież cały pułk skazał na zgubę, aby ratować własne życie, nie mówiąc już, że nie starczyło mu nawet nienawiści do tego najstraszliwszego w dziejach wroga Żydów, którego miał właśnie przed sobą.

Ale — zgodnie z jakimiś jeszcze świętszymi prawami — M-z mógł przecież zawołać: a czy wszystkie wasze wojny nie są spowodowane przez głupotę waszych polityków? Czy Hitler wtargnął do Rosji nie przez głupotę swoją własną i Stalina, i Chamberlaina? A teraz posyłacie na śmierć mnie?, czy to wy daliście mi życie?

Usłyszałby w odpowiedzi: powinien być (ale powinni byli to zrobić również wszyscy żołnierze owego nieszczęsnego pułku) złożyć takie oświadczenie jeszcze w komendzie uzupełnień, faszując elegancki mundur, a nie tam — obejmując to drzewo! A zresztą nie mógłbym podjąć się obrony tego człowieka na gruncie logiki; logika kazałaby mi nienawidzić go albo gardzić nim, czuć odrazę przy każdym podaniu mu ręki.

Ale sęk w tym, że nic podobnego nie czułem! Może dlatego, że nie służyłem w tym pułku i nie znałem całej sprawy z własnego doświadczenia? A może dlatego, iż domyślałem się, że los tego pułku musiał zależeć jeszcze od setki innych czynników, albo dlatego, że nigdy nie widziałem M-z w glorii i chwale, lecz w poniżeniu? Codziennie wymienialiśmy szczery i mocny uścisk dłoni — i ani razu nie miałem wrażenia, że to rzecz sromotna i naganna.

Jak bardzo potrafi się zmienić człowiek w ciągu jednego życia! Jak innym, nowym, staje się zarówno dla siebie, jak dla otoczenia! I oto jednego z tych zupełnie różnych ludzi gotowi jesteśmy — na rozkaz, na mocy prawa, nagłego impulsu, czy w zaślepieniu — ukamienować z miłą chęcią.

397

Ale jeśli kamień wypadnie ci z ręki?... ale jeśli sam przeżyjesz głębokie nieszczęście — czy nie zmienią się wtedy twoje poglądy? Na problem winy, na winowajców. Na każdego z nich — i na siebie samego.

Na stronicach tej grubej książki znaleźliście już wiele słów przebaczenia. I oto słyszę głosy sprzeciwu, głosy pełne zdziwienia i oburzenia: musi być jakaś granica! nie wszystkim przecież wolno wybacząć!

A ja też nie wszystkim przebaczam. Tylko tym — co leżą w prochu. Dopóty, dopóki stoi jak bożyszcze na szczytach i marszcząc władczo brwi z całą obojętnością i butą łamie tysiącom ludzi życie — dajcie mi, proszę, kamień i to jak najcięższy! A no, weźmy się razem całą kupą za taran i strąćmy go z piedestału! — ale gdy tylko runął, gdy upadł i od zetknięcia z twardą ziemią pierwsza szczelinka otworzyła się w jego zakrzepłej świadomości — precz z kamieniami!

On sam już wraca do ludzkiej gromady.

Nie zagradzajcie mu tej ścieżki, sam Bóg ją wytyczył.

Po tym wszystkim, co wyżej pisało się o zesłaniach, nasz pobyt w Kok-Tereku (jak zresztą — pobyt innych zesłańców w całym południowym Kazachstanie i Kirgizji) uznać należy za zesłanie na ulgowych warunkach. Osiedlano tu zesłańców w miejscowościach już zamieszkanymi, a więc niedaleko wody i na gruntach nie takich znów jałowych (w dolinie Czu w rejonie kurdajskim — ziemia była nawet bardzo żyzna i szczodra) wielu z nich znalazło się w miastach Dżambuł, Czymkent, Tałas (a nawet Alma-Ata czy Frunze) i sytuacja owych pozbawionych praw ludzi nie bardzo się różniła od sytuacji pozostałych, pełnoprawnych obywateli. W tych miastach żywność była niedroga i łatwo było o pracę — zwłaszcza w osadach przemysłowych — bo też miejscowa ludność nie zdradzała zapału do pracy w przemyśle, do rzemiosł i zawodów wolnych. Ale nawet ci, którzy znaleźli się na wsi nie bywali zapędzani do kołchozów zbyt surowo, całą masą, bez wyjątku. W naszym Kok-Tereku mieszkały 4 tysiące ludzi, większość — byli to zesłańcy, ale w kołchozie pracowali tylko mieszkańcy kazachskiej dzielnicy. Wszystkim pozostałym udało się jakoś znaleźć pracę przy stacji maszyn rolniczych albo jakąkolwiek posadkę, choćby najgorzej płatną — bo środki do życia mieli dzięki 25 metrom kwadratowym warzywnika, dzięki krówce, świnkom, owieczkom. Charakterystyczne, że grupa Ukraińców z obwodów zachodnich (byli zesłani administracyjnie po pięcioletnim pobycie w obozach), ciężko pracujących w miejscowym przedsiębiorstwie budowlanym przy konstrukcji samanowych lepiarek — doszła do

398

wniosku, że życie na tutejszej gliniastej, wymagającej stałego nawadniania, ale za to niekołchozowej ziemi, o tyle jest swobodniejsze, mniej poddane rygorom od życia w kołchozie na ukochanej, kwitnącej Ukrainie, że gdy skończyła im się wreszcie kara zesłania, wszyscy zostali tu na zawsze.

Również oddział operacyjny odznaczał się w Kok-Tereku nerucha-wością — był to zbawczy dla nas przejaw miejscowy ogólnokazachskiego lenistwa. Byli wśród nas chyba jacyś szpicle, jednakże nie czuliśmy ich obecności i nikt jakoś nie ucierpiał. Główną jednak przyczyną ich niemrawości i postępujących luzów — było nadejście epoki Chruszczowa. Jej impet, osłabiony przez liczne pośrednie bufory i kolejne wahnięcia — dawał się już odczuć nawet u nas.

Zaczął się od zmiany pozornej — od iluzorycznej „woroszyłowskiej” amnestii (tak nazywano ją na Archipelagu, chociaż zdecydowała o niej pospółtu regencyjna rada bojarska). Wszyscy zapomnieli już o stalinowskiej kpinie z politycznych, 7 lipca 1945 roku, gdy również ogłoszono amnestię. Podobnie jak w obozach, także na zesłaniu wciąż powtarzano szeptem gadki o amnestii. Ludzie mają niestęchaną skłonność do aktów ślepej wiary! Na przykład N. N. Grekowa po 15 latach poniewierki, repetentka, na glinianej ścianie swojej izdebki powiesiła portret jasnookiego Woroszyłowa i wierzyła, że to on sprawi cud. No i cóż, cud się zdarzył! — istotnie, podpis Woroszyłowa widniał pod kolejnym rządowym dowcipem z 27 marca 1953 roku.

Właściwie nie sposób było wyjaśnić z pomocą logicznych domysłów, dlaczego w marcu 1953 roku, gdy kraj był w żałobie, jego tonący w nieutulonym żalu władcy musieli wypuścić na wolność autentycznych przestępców — chyba tylko z poczucia znikomości spraw świata tego? Ale — jak świadczy Kotoszychin — na dawnej Rusi istniał również zwyczaj nakazujący, aby w dniu pogrzebu cara wypuszczać na wolność zbrodniarzy, co dawało z reguły początek rozbojowi i rabunkom („a ludkowie moskiewscy Boga się nie boją, odzierają tedy z szat i mężów, i niewiasty pośród ulicy, do śmierci ich przywodząc¹”). Nie inaczej zdarzyło się teraz. Bojarzy pochowali Stalina i zaczęli szukać popularności. Zresztą, postarali się rzecz wytłumaczyć i to „w związku z zanikiem zjawiska przestępczości w naszym kraju” (ale któż wtedy siedzi?, to znaczy, że nie ma kogo puszczać na wolność). Wszelako, chodząc wciąż w stalinowskiej upręży i trzymając się dalej tych samych zasad postępowania — dali amnestię bandytom i rzezimieszkom, co zaś do Pięćdziesiątki Ósemki, to jedynie „skazanym na okres

1 P. Plechanow, Historia rosyjskiej myśli społecznej, Moskwa, 1919, tom I, część 2, rozdział 9.

399

pozbawienia wolności do 5 lat włącznie”. Ktoś obcy, myślący kategoriami obowiązującymi w normalnym państwie, mógłby sądzić, że jeśli „do lat pięciu” — to trzy czwarte politycznych pójdzie teraz do domu. W istocie zaś tylko 1-2% tej kategorii miało tak dziecinne wyroki (za to złodzieje rzucili się jak szarańcza na spokojną ludność i dopiero po dłuższym czasie i ze skrzypem milicja wyłapała amnestionowanych bandytów).

U nas, na zesłaniu, amnestia miała echa dość interesujące. Właśnie tutaj — i to od dawna — znajdowali się tacy, którzy zdążyli już swego czasu odbębnić swój pięcioletni, dziecinny wyrok, ale nie byli puszczeni do domów, lecz bez żadnego sądu wywiezieni na zesłanie. W Kok-Tereku były takie samotne babki i dziadkowie z Ukrainy czy spod Nowgorodu — ludzie spokojni i bardzo nieszczęśliwi. Amnestia obudziła w nich wielkie nadzieje, wciąż czekali, że zostaną odesłani do domu. Ale po jakichś dwóch miesiącach nadeszło wyjaśnienie, jak to zwykle — najbardziej bezwzględne z możliwych: ponieważ skazani zostali na zesłanie (dodatkowe i bez są-

du) nie na pięć lat, tylko dożywotnio, to ich poprzedni, opiewający na pięć lat wyrok, choć leżał u źródła całej sprawy, nie gra w niej jednak żadnej roli i dlatego amnestia tych ludzi wcale nie dotyczy... A Tonią Kazaczuk w ogóle nie była represjonowana, tylko przyjechała z Ukrainy dobrowolnie, do męża-zesłańca i tu wpisana została na listę zesłanych — po prostu dla porządku. Po dekreście o amnestii pobiegła do komendantury, ale tam otrzymała bardzo rozsądną odpowiedź: przecież nikt cię nie skazał na pięć lat, jak męża, więc amnestia ciebie nie dotyczy. Szlak by trafił Drakona, Solona i Justyniana ze wszystkimi ich kodeksami!...

W ten sposób nikt na amnestii nic nie zyskał. Ale w miarę upływu czasu, zwłaszcza — po upadku Berii, niepostrzeżenie, po cichu, ukradkiem zaczynały pojawiać się w krainie zesłania objawy istotnych zmian na lepsze. Więc puszczono do domu tych — co odsiedzieli pięć lat. I pozwolono dzieciom zesłańców wstępować na wyższe uczelnie w pobliskich miastach. I w miejscach pracy przestano zwracać się do zesłańców per „ty”. Luzy były coraz większe. Zesłańców zaczęto wysuwać na bardziej odpowiedzialne stanowiska.

Również w komendanturze zrobiło się jakoś puściej. „A gdzie się podział ten komendant?”. — „A już tu teraz nie pracuje”. Zaczęła się silna kompresja etatów! Stosunek do petentów też był lepszy. Święty meldunek przestał już być taki święty. „Kto przed obiadem nie zdążył się stawić, dobra, następnym razem!”. To jednej, to drugiej grupie narodowej przywracano teraz jakieś tam prawa. Można już było bez przeszkód rozjeżdżać po rejonie, łatwiejszy stawał się wyjazd do innego okręgu.

Goraz częściej powta-

400

w

Pętaki-SSSSi dano rad, i zaczęły * dwa lata mego Cud-

Zes im tylko tym zaćmionego, tylko tej ofiary wymagającego -

Zesłania ty ko y bowiem takiej kobiety, której

męczyć nie nudziła. I każdego dnia zostawała mi godzinka na pisanie -Z wykorzystać tę godzinkę nie musiałem wprawiać stę w żaden specjalny na tró 1 dwie siadłem, już słowa wyrwały mi się spod piorą same. A w nieLlę jeśli tylko nie posyłano nas do kopania buraków w koł-lzie pisa m bez przerwy przez cały dzień! Zacząłem tam ptsac pow.esc na ktoś w a"ze potożyły rękę Po dziesięciu latach) i czułem w sobie doje (energrdoluglchPjeszczeyiat takiego pisania. A drukować i tak mnie będą

'TbTariTochę pieniędzy - i kup.łem sobie własna leżankę, zamó-Wlfem mocny stół do pisania, a spałem wciąż tak samo na pustych skrzyn-Tach NabyL jeszcze odbiornik krótkofalowy, wieczorami zasłaniałem okna' przykładalem ucho do samego głośnika i poprzez szum wodospadów Lglusz ma wyław,ałem niedozwolone u nas, a tak pożądane informacje,

401

kojarząc ze sobą te strzępki i uzupełniając domysłem to, czegom nie dosłyszał. Znużyła nas, zadręczyła lawina kłamstw, powtarzanych przez całe dziesięciolecia, stęskniliśmy się za każdym strzępem prawdy, za każdym jej okrucieństwem! — jednak, wydawało się, że to co słyszę, niewarte jest tego wysiłku i czasu: infantylny Zachód nie mógł przysporzyć nam, wychowańcom Archipelagu ani mądrości, ani siły wytrwania.

Mój domek znajdował się na samym skraju osiedla, od wschodniej strony. Za furtką płynął aryk, zaczynał się step i co ranka mogłem oglądać wschód słońca. Wystarczyło, że powiał wietrzyk stepowy — a już rozpierało mi płuca. O zmierzchu i czarnymi księżycowymi nocami wychodziłem na samotne przechadzki i wchłaniałem stepowe powietrze do zawrotu głowy. W promieniu stu metrów nie było żadnych zabudowań, ani z lewa, ani z prawa, ani z tyłu.

Pogodziłem się już całkowicie z myślą, że będę tu mieszkał — jeżeli nie do zgonu, to co najmniej jakieś dwadzieścia lat (nie wierzyłem, by wcześniej nastąpić mogła era powszechnej wolności — i myliłem się nie tak znów bardzo): Już mnie na dobrą sprawę nigdzie nie ciągnęło (choć serce mi zamierało nad mapą Rosji środkowej). Świat nie był już zbiorem rzeczy i zdarzeń istniejących poza mną, nieznanym jeszcze, wabiącym mnie ku sobie, świat był już tylko we mnie, składał się ze spraw już poznanych i jedno mi tylko pozostało — mianowicie opisać je.

Czułem się nasycony przeżyciami.

Kutuzow, przyjaciel zesańca Radiszczewa, taki oto list mu posłał: „Gorzko mi to rzec, przyjacielu, ale... sytuacja twoja ma swoje dobre strony. Oderwany siłą od wszystkich istot ludzkich, odarty z tych wszystkich przedmiotów, które blaskiem swoim wzrok nam mącą — z tym większym powodzeniem przedsięwziąć możesz wędrówkę... w głąb własnego jestestwa; możesz beznamietnie przyjrzeć się sobie i dzięki temu — zyska na bezstronności twój sąd o sprawach, na które dawniej spozierałeś przez bielmo pychy i światowej złudy. Być może wiele rzeczy ujrzysz teraz w całkiem nowym świetle”.

Tak jest właśnie. I ceniąc sobie nowe, wiele czystsze moje spojrzenie, całkiem świadomie i bardzo wysoko ceniłem sobie moje zesłanie.

A tymczasem kraj zesańczy pełen był coraz większego ruchu i niepokoju. Komendantura stała się po prostu akademią dworskich manier i etaty w niej podlegały jeszcze większej redukcji. Za ucieczkę należało się już teraz zaledwie 5 lat obozu — i nawet tego nie dawano. Jedna, druga, a potem trzecia grupa narodowa zwalniana była z obowiązku meldowania się w komendanturze, a potem otrzymywała prawo do wyjazdu. Dreszcze radości i nadziei wstrząsały naszym zesańczym, monotonnym życiem.

402

I nagle, zupełnie znienacka, nadeszła jeszcze jedna amnestia — „adenauerowska” we wrześniu 1955 roku. Adenauer przyjechał był do Moskwy i otrzymał od Chruszczowa zgodę na zwolnienie wszystkich Niemców. Ni-kita kazał ich wypuścić, ale dopiero wtedy ktoś tam się spostrzegł, że doprowadziło to do nonsensownej sytuacji: Niemców wypuszczono, a ich rosyjskich pomocników dalej trzyma się, kładąc im odsiadywać 25-letnie wyroki. Ale ponieważ byli to sami policaje, burmistrze i własowcy, to trąbić publicznie o tej amnestii też jakoś było niesporo. A zresztą działało zasadnicze prawo naszej informacji: wielkim głosem mówić o głupstwach, a ważne sprawy zbywać półszeptem. I oto wiadomość o najbardziej masowej ze wszystkich politycznych amnestii po Październiku ukazała się „byle jakiego” dnia 9 września, bez związku z jakimkolwiek świętem, przy tym

— w jednej tylko gazecie, w „Izwestiach” i to na wewnętrznej kolumnie, bez żadnych komentarzy i artykułów wyjaśniających.

Jak tu pozostać obojętnym? Czytam w gazecie: „O amnestii dla osób współpracujących z Niemcami”. No dobrze, a gdzie amnestia dla mnie? Trzeba sądzić, że

wiadomość do mnie się nie odnosi: służyłem przecież cały czas w Czerwonej Armii. No i bierz was licho, może tak i lepiej. A tu mój przyjaciel, Lew Kopielew, też mi napisał z Moskwy: wymachując gazetą i powołując się na tę amnestię, wydębił w moskiewskiej milicji zezwolenie na czasowe prawo pobytu. Ale szybko wezwano go znowu: „Co wy nam tu chcecie wmówić? Przecież nie współpracowaliście z Niemcami?”.

„Nie współpracowałem”. — „Więc służyliście w sowieckiej armii?”.

„Tak jest”. — „No to żeby w ciągu 24 godzin śladu waszego w Moskwie nie było!”. Kopielew, rzecz jasna, został, ale pisał w liście: „Och strach mnie oblatuje po dziesiątej wieczór, przy każdym dzwonku do drzwi myślę, że to już idą po mnie!”.

Więc cieszyłem się, że mi tu tak dobrze! Chowałem rękopis (co wieczór ukrywałem go z nawyku) — i spałem sobie jak aniołek. Z mojej czystej pustyni widziałem oczyma duszy rojną, pełną pustej krzątaniny i pychy stolicę; nie, wcale mnie tam nie ciągnęło.

Ale moi moskiewscy przyjaciele nie zaprzestali nalegań: „Co ty sobie myślisz, chcesz tam dalej siedzieć?... Żądam rewizji sprawy! Teraz to już robią!”.

No i po co?... Tu mogłem sobie patrzeć godzinami, jak mrówki najprzód drążą sobie dziurkę w glinianych fundamentach mojego domu, a potem — bez brygadystów, bez nadzorców, bez komendantów obozu — dźwigają szeregiem swoją zdobycz — łupinki słonecznikowe — bo przygotowują zapasy na zimę. Któregoś dnia — nie zjawily się jednak, chociaż natuskałem im przed progiem łupin. Okazuje się, że domyśliły się zawczasu, ba

403

wiedzą to dobrze, że dziś będzie deszcz, chociaż pogodne, słoneczne niebo wcale tego nie zwiastuje. A po deszczu — pełno tu jeszcze gęstych i czarnych chmur, ale mrówki już wyłazą i biorą się do pracy — wiedzą na pewno, że deszczu nie będzie. Tu, w mojej zesańczej ciszy wyrysował mi się z przedziwną jasnością prawdziwy szlak życiowy Puszkina: pierwszy uśmiech fortuny, to zesłanie na południe, drugi, najważniejszy — to zesłanie do majątku Michajłowskoje. Tam właśnie powinien być zostać, tam żyć, a żyć i nie wrywać się stamtąd nigdzie. Jakie fatum pchnęło go do Petersburga?, jakie fatum kazało mu się żenić?...

Niełatwo jednak ludzkiemu sercu słuchać zakazów rozsądku. Trudno, aby drzazga nie płynęła tam, dokąd wszystkie wody płyną.

Rozpoczął się XX Zjazd. O przemówieniu Chruszczowa długo nic nie wiedzieli. Gdy puszczono je w obieg w Kok-Terek, to też w tajemnicy przed zesłańcami. My zaś dowiedzieliśmy się o nim z BBC. Ale nawet tego wystarczyło, com wyczytał ze słów Mikołajana w zwykłej gazecie: „to jest pierwszy leninowski zjazd” po iluś tam latach. Zrozumiałem, że mój wróg Stalin został powalony, a to znaczyło, że ja teraz mam stanąć na nogi.

Napisałem więc podanie o ponowne rozpatrzenie sprawy.

A tej wiosny całej Pięćdziesiątce Ósemce anulowano karę zesłania.

Człowiek jest słaby; porzuciłem niezmqcone moje zesłanie. I ruszyłem w mętny świat.

To, co czuje były zek, jadąc ze wschodu na zachód przez Wołgę, a później cały dzień stukoczącym wagonem przez rosyjskie przylaski — nie jest przedmiotem opisu w tym rozdziale.

Latem, już w Moskwie, zadzwoniłem do prokuratury — co tam z moją skargą. Poprosili, abym zatelefonował jeszcze raz — i życzliwy, bezpretensjonalny głos, należący do funkcjonariusza śledczego, zaprosił mnie na pogawędkę do Łubianki. W sławetnym biurze przepustek na Kuznieckim Moście kazano mi czekać. Zakładając, że czyjeś oczy już mi się przypatrują, już studiują moją twarz — choć wewnętrzne napięcie we mnie rośnie, przybrałem dobroduszną, znużoną minę i udawałem, że przyglądam się dziecku, które całkiem niewesoło bawiło się pośrodku poczekalni. Tak jest! — mój nowy śledczy w cywilu stał już z boku i obserwował mnie! Przekonawszy się widocznie, że nie wyglądam na zawziętego wroga, zbliżył się i nader uprzejmie zaprowadził mnie do gmachu Wielkiej Łubianki. Już po drodze dawał wyraz głębokiemu żalowi, że tak zrujnowano (kto???) mi życie, że pozbawiono mnie żony, dzieci. Ale w korytarzach Łubianki pa-

404

nował ten sam elektryczny upał, były one tak samo duszne, wyglądały tak samo, jak w tych czasach gdy wodzono mnie po nich z goloną głową, głodnego, pozbawionego snu, z rękoma do tyłu, bez sznurowadeł i guzików. — „Jak to się stało, że trafiliście na takiego okropnego faceta, jak śledczy Jezepow? Przypominam sobie, rzeczywiście, był tu taki, ale go teraz wydaloną”. (Na pewno siedzi w sąsiednim pokoju i tak samo wydziwia na mego rozmówcę...). „Ja na przykład służyłem w morskim kontrwywiadzie SMIER SZ, u nas to takich nie było!”. (Z waszych szeregów wyszedł Riu-min. To u was służył Lewszyn, Libin). Ale potakuję prostodusznie: a pewno, pewno. On nawet śmieje się z moich dowcipów o Stalinie, tych z 44. roku: „Aleście to świetnie uchwycili!”. Chwali moje opowiadania frontowe, wszyte do akt jako materiał obciążający: „Przecież nie ma w nich nic an ty sowieckiego. Jeśli chcecie, możecie je sobie wziąć, spróbujcie opublikować”. Ale odmawiam głosem zbolą łym, godnym umierającego: „Co też mówicie, dawno już zapomniałem o literaturze! Jeżeli uda mi się jeszcze przeżyć parę lat — to poświęcę je fizyce”. (Duch czasu! Tylko tak będziemy teraz grać z wami, panowie). Niech nie płacze bity, niech płacze ten, kogo nie bito jeszcze! Coś nam przecież dało to więzienie: wiemy przynajmniej, jak gadać z CzKGB.

VII ZEKI NA SWOBODZIE

Był już w tej książce rozdział „Aresztowanie”. Czy potrzebny jest teraz rozdział „Wyjście na wolność”?

Przecież z tych, na których kiedyś spadła klęska (mówić tu będziemy tylko o Pięćdziesiątce Ósemce) za ledwie piąta część, ba, może tylko ósma, doczekała się tego „wyjścia na wolność”.

No i w ogóle — wolność! Kto nie zna tych opisów? Tyle razy o tym była mowa w literaturze, tyle razy pokazywano to w kinie: rozwierają się kraty! słoneczny dzień szalejące z radości tłumy, bohater tonie w objęciach swoich bliskich.

Ale pod szarym niebem Archipelagu nawet wyjście na swobodę staje się przekleństwem i otwierające się nad tobą niebiosy wyzwolenia mroczniej jeszcze bardziej. Od błyskawicy aresztowania wyjście na wolność różni się jedynie powolnością, marnym charakterem procedury (bo też prawo już się nie spieszy), i długością rzędu liter, składających się na sentencję. A poza tym — zwolnienie zupełnie przypomina aresztowanie, jest to jedynie przejście z jednego stanu udręki do drugiego, przejście łamiące ci żebra, całe życie i cały system pojęć.

Jeśli aresztowanie przypomina nagłe stanięcie lodów, to zwolnienie jest zaledwie chwilowym przejawem odwilży między dwoma przymrozkami.

Między dwoma aresztowaniami.

Bo w tym kraju po każdym zwolnieniu powinno kiedyś nadejść nowe więzienie.

Pauza między dwoma pobytami w więzieniu — oto czym była wolność byłego zeka przez całe czterdzieści lat przed erą Chruszczowa.

406

Koło ratunkowe między dwiema wyspami — ot, popluskaj się trochę między jedną żoną a drugą, człowiecze!...

Od dzwonka do dzwonka — to jest wyrok. Od żony do żony — to jest całe wyjście na wolność.

Twój brudnooliwkowy paszport, którego tak kazał innym z a-z d r o ś c i ć poeta — upačkany jest czarnym tuszem 39. paragrafu ustawy o dowodach tożsamości. Kto ma taki stempel, tego nie zameldują w żadnym miasteczku, nie przyjmą na żadną porządną posadę. W obozie dawali za to pajkę, a tu — nie.

A jednocześnie ma się tę złudną swobodę ruchów...

To nie zwolnieni — tylko odwołani z zesłania, oto kim są ci nieszczęśnicy. Pozbawieni fatalnych, ale też dobroczynnych prerogatyw zesłania, nie potrafią zmusić się do wyjazdu w głąb krasnojarskiej tajgi albo kazachskiej pustyni, gdzie tylu mieliby wokół swoich towarzyszy, byłych zeków! Nie, muszą jechać w samo jądro zatłamszonej wolności, gdzie inni odsuwają się od nich ze strachem i gdzie stają się z góry wytypowanymi kandydatami do nowej odsiadki.

Natalia Iwanowna Stołarowa zwolniona została z Karłagu 27 kwietnia 1945 roku. Nie sposób wyjechać do razu — trzeba wyrabiać sobie dowód osobisty, kartki na chleb, starać się o jakieś mieszkanie, a jedyna praca jaką jej proponowano — to rąbanie drzewa. Gdy przejadła już kilka rubli, jakie przyjaciele z obozu dali jej na drogę — Stołarowa wróciła pod bramę obozu, zełgała strażnikom, że idzie po swoje rzeczy (stosunki panowały tam wręcz patriarchalne) i — dalejże do swego baraku! Ile było uciechy! Przyjaciółki ją otoczyły, przyniosły z kuchni bałandy (ale smaczna!), śmieją się i słuchają opowieści o tułaczkiej doli „na wolności”; nie, dajcie spokój, to już u nas lżej! Apel. O jedną za dużo!... Dyżurny wyrzknął jej reprimendę, ale pozwolił aż do rana (a nazajutrz przypadał 1 maja) zostać w żonie, tylko żeby rano — śladu nie było!

Stołarowa w obozie cały czas tyrała jak wół (przyjechała z Paryża jako młodziotka dziewczyna, prawie zaraz ją wsadzono i właściwie bardzo chciała czym pręcej wyjść na wolność, aby rozejrzeć się po ojczystym kraju!). Za wydajną pracę — dostała zwolnienie typu iście wyjątkowego: bez ścisłego określenia miejsca zamieszkania. Ci, którzy mieli wyraźne skierowanie potrafili się jeszcze jakoś urządzić: milicja nie mogła już ich przepędzić z danej miejscowości. Ale Stołarowa ze swoim zaświadczeniem o „czystym” zwolnieniu, znalazła się w sytuacji bezdomnego psa. W Moskwie, w domach najlepszych przyjaciół, częstowano ją herbatą, ale nikt nie zapraszał jej na noc. Nocowała zatem na dworcach. (I nie o to nawet

407

chodzi, że budzą tam człowieka, spać nie dają, że przed świtem — wszystkich wypędza się na ulicę, żeby sprzątnąć salę; ale kto z byłych zeków, którzy znaleźli się w drodze z obozu na dużym dworcu, nie pamięta, jak serce mu zamierało na widok

każdego milicjanta! Co za surowy wzrok! Bo czuje w tobie byłego zeka! Na pewno zaraz powie: „Poproszę o dokumenty!”. Zabierze ci zaświadczenie o zwolnieniu z obozu — i znowu będziesz zekiem. Nieważne u nas są prawa, nieważne zasady, nieważni ludzie — ważny jest tylko dokument! Zabierze ci to zaświadczenie — i skończone... Tak to właśnie odczuwamy...). W Łudzę Stolarowa próbowała dostać pracę w warsztacie, gdzie robiono rękawiczki — nawet nie dla ludności, tylko dla jeńców niemieckich! Mało, że jej nie przyjęto, ale kierownik zawstydził ją przy wszystkich: „Chciała wśliznąć się do naszej instytucji! Znamy ich sposobiaki! Czytaliśmy Szejnina!”. (Że też ten spaśny Szejnin nie udławi się własną pisaniną!).

Błędne koło: do pracy nie przyjmą bez meldunku, nie zameldują jeśli nie masz pracy. A jeśli nie masz pracy — to kartek na chleb też nie dadzą. Eks-więźniowie nie znali przepisu, który zobowiązuje MWD do zapewnienia pracy zwolnionym. A jeśli który znał — to bał się żądać: jeszcze człowieka wsadzą...

Wyjdź tylko spoza krat, a już cię czeka bał.

Za moich studenckich czasów na uniwersytecie rostowskim wyłkładał profesor N.A. Trifonow, dziwak: przygarbiony, głowa jakby wciśnięta w barki, zawsze napięty, bojaźliwy, nie daj Boże zawołać go, gdy przechodził przez korytarz. Dopiero po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że już siedział — i gdy ktoś na niego wołał, zdawało mu się, że to znów oper-czekiści.

W rostowskim zaś instytucie medycznym po wojnie popełnił samobójstwo pewien lekarz, który odsiedział już swoje; przekonany był, że groziło mu ponowne uwięzienie. Kto spróbował już, jak smakuje obóz, kto go już zna — może taką decyzję podjąć łatwo; nie wiadomo co straszniejsze.

Biada tym, którzy wyszli na wolność za wcześnie! Awenir Borysow, doświadczył tego w 1946 roku. Przyjechał nie do jakiegoś dużego miasta, tylko do rodzinnej osady. Wszyscy jego starzy towarzysze, koledzy z wojska — unikali go jak ognia, nie zatrzymując się nawet, gdy spotkali go na ulicy (a byli to przecież niedawni frontowcy, nieustraszeni żołnierze!) jeśli zaś w żaden sposób nie mogli uniknąć rozmowy — po kilku wymijających słowach starali się szybko odejść. Nikt, ale to nikt nie spytał go, jak przeżył te wszystkie lata (choć wiemy — jak się zdaje — o Archipelagu mniej niż o Afryce Centralnej! Czy potomni potrafią kiedykolwiek pojąć, jak

408

wytresowani byli nasi wolni obywatele?). Ale oto pewnien stary szkolny kolega zaprosił go jednak na herbatkę — wieczorem, kiedy już zapadła ciemność. Jakie to miłe! Ile w tym ciepła! A przecież trzeba trochę cichego ciepła, aby roztajał lód w duszy! Awenir poprosił o stare fotografie z ich wspólnej młodości. Przyjaciel wydobyl albumy. Widać sam zapomniał — i dlatego zdziwił się, gdy Awenir nagle zerwał się i wyszedł, nie czekając na samowar. A co miał zrobić, skoro na wszystkich zdjęciach jego twarz zasmarowana była atramentem! ?!

Awenir stanął później na nogi — został dyrektorem domu dziecka. Wychowywały się w nim sieroty po żołnierzach, którzy zginęli na froncie. Płakały w poczuciu krzywdy, gdy dzieci wpływowych rodziców wyśmiewały ich dyrektora, bo siedział w więzieniu.

A Kartel w 1943 roku, chociaż skazany z artykułu 58, spisany został z obozu na straty, ponieważ miał gruźlicę płuc. Dano mu wilczy paszport, w żadnym mieście nie mógł nawet marzyć o meldunku ani o pracy — więc tylko śmierć powolna i znikąd pomocy. I raptem — komisja poborowa: pracują w pośpiechu, potrzebne są uzu-

pełnienia. Kartel miał otwartą formę gruźlicy, ale oświadczył, że jest zdrow: jak ginąć, to bez zwłoki — i jak równy wśród równych! I walczył niemal do samego końca wojny. Dopiero gdy leżał ranny w szpitalu, oko Trzeciego Oddziału wyszperało, że ten dzielny żołnierz — to wróg ludu. W 1949 już był na liście wyznaczonych na r e p e t e, ale pomogli mu porządni chłopcy z komendy uzupełnień.

Za czasów Stalina za najlepszy sposób uchodziło — wyjście po zwolnieniu za wrota obozu — ale nie nazbyt daleko, parę kroków. Tych już znano w okolicznych przedsiębiorstwach — i przyjmowano do pracy. A enkawudziści, spotykając starego znajomka na ulicy, widzieli w nim kogoś, kto już przeszedł należną kontrolę.

No, nie zawsze tak było. W 1938 roku Prochorow-Pustowier został wypuszczony na wolność i zaangażował się do pracy z najmu, jako inżynier w tym samym Bamłagu. Naczelnik operoddziału Rozenblił oznajmił mu: „Jesteście na wolności, ale pamiętajcie, że chodziecie po linie. Najmniejszy błąd — i znów zostaniecie zekiem. W tym wypadku nie będzie nawet po trzeba żaden sąd. Tak więc — uważajcie i nie wyobrażajcie sobie, że jesteście wolnym obywatelem!”.

‘ Minęło 5 lat i przyjaciel zwalił wszystko na żonę: to ona zamazała. Minęło jeszcze dziesięć (1961 rok) i żona sama przyszła do Awenira, do komitetu związkowego, by prosić go o skierowanie na wczasy do Soczi. Dal jej, oczywiście. Ona zaś nic — tylko trajkotała o dawnej ich przyjaźni.

409

Takich rozsądnych zeków, którzy dobrowolnie wybrali sobie więzienie jako odmianę wolności —jeszcze dzisiaj są setki tysięcy w głuchych kątach, w jakichś norylskich czy narymskich rejonach. Lżej im jakoś drugi raz iść za kratę, jakby co — to wszystko pod bokiem.

A na Kołymie nie bardzo było w czym wybierać — bo tam ludzi trzymali. Przy zwolnieniu zek podpisywał dobrowolne zobowiązanie do dalszej pracy w Dalstroju (przepustkę na „wielką ziemię” jeszcze trudniej było dostać na Kołymie niż zwolnienie). Oto przypadek N. W. Surow-cewej. Na swoje nieszczęście — doczekała się końca kary. Jeszcze wczoraj pracowała w żłobku — było jej ciepło i miała co jeść. Dziś już zapędzono ją do robót ziemnych, bo innych tu nie ma. Jeszcze wczoraj miała zagwarantowaną prycę w baraku i pajkę — dziś nie ma ani pajki, ani dachu nad głową i musi gnieździć się w zrujnowanym domku z przegniłymi podłogami (na Kołymie!). Poczciwe przyjaciółki z przedszkola długo jeszcze podrzucają jej pajkę z obozu. „Ciężar przymusowej wolności” — oto jak nazwała ona swoje nowe jarzmo duchowe. Z czasem udaje jej się stopniowo stanąć na nogi i w końcu Surowcewa zostaje dumną właścicielką domu! — to znaczy chatynki, w której nie każdy pies zgodziłby się mieszkać.

Aby czytelnik nie sądził, że tak bywało tylko na przeklętej Kołymie, dodajmy, że na Workucie nie lepiej wyglądały typowe baraki, tak zwane TBC (Tymczasowe Budownictwo Cywilne), w których mieszkać muszą wolniacy, gdy im się powiedzie — oczywiście ci, którzy byli zekami.

W świetle tych faktów nie najgorszy jeszcze los przypadł M. P. Jakubo-wiczowi: pod Karaganda było więzienie, w którym siedział; przebudowano je, zamieniono na dom inwalidów (tzw. Dom Tichonowski) — i oto „po wyjściu na wolność” musiał w tym domu mieszkać pod nadzorem i bez prawa wyjazdu.

Rudkowski, nie mogąc nigdzie znaleźć pracy („przeżyłem nie mniej niż w obozach”) pojechał pod Kustanaj, na ziemię dziewicze („można tam było spotkać dosłownie wszystkich”). — I. W. Szwed ogłuchł, bo musiał przetaczać w Norylsku wagony w trakcie najgorszych zamieci; później pracował jako palacz po 12 godzin na dobę. Ale żadnych zaświadczeń mu nie wydano! W opiece społecznej wzruszają tylko ramionami: „Przyprowadźcie świadków”. Znajdziesz świadka jak rak świnie... — I. S. Kar-punicz odbębnił 20 lat na Kołymie, jest chory i wycieńczony. Ma 60 lat, ale nie doliczono się u niego sakramentalnych „25 lat pracy najemnej” — więc również emerytury nie ma. Im dłużej siedział człowiek w obozie, tym więcej ma chorób — a jednocześnie tym mniej zalicza mu się do stażu, więc nadzieje na rentę są proporcjonalnie mniejsze.

410

Nie ma przecież u nas, jak na przykład w Anglii „Towarzystwa opieki nad byłymi więźniami”. Aż strach wyobrazić sobie możliwość takiej herezji².

Piszą mi w listach tak: „w obozie był jeden dzień Iwana Denisowicza, a na wolności — drugi”.

Ale przepraszam! Przecież, jeśli się nie mylę, tymczasem zajaśniało nam słońce wolności? A ku pokrzywdzonym wyciągnęła się wszak czyjaś dłoń: „To się już nigdy nie powtórzy!”. A nawet — zdaje się że łyż kapaty na zjazdowe trybuny?

Żuków (z Kowrowa): „Podniosłem się — nie na nogi wprowadzie, tylko na kolana, ale i to dobre”. A przecież: „Nosimy na sobie znamię łagrowca i przy pierwszej redukcji — nas właśnie zwalniają z pracy”. P. G. Tichonow: „Jestem zrehabilitowany, pracuję w instytucie naukowo-badawczym, a mimo to wciąż mi się zdaje, że obóz dalej trwa. Te same matały, które komenderowały nami w obozach” — dalej mają nad nim władzę. G. F. Popów: „Nie bacząc na wszystko, co się mówi i co się pisze, wystarczy, aby moi koledzy dowiedzieli się, iż siedziałem, a już niby niechcący, pokazują mi plecy”.

Nie, twarde diabeł ma rogi! Bo już taka jest nasza ojczyzna: żeby na cały sążeń pchnąć ją ku tyranii — dość brwi zmarszczyć albo kaszlnąć. Żeby na jeden cal zaś pociągnąć ją ku swobodzie — trzeba sto wołów zaprząć i każdego osobnym biczyskiem poganiać: „A gdzie zawracasz, a zasię! a ciągnijże równo!”.

No, a forma rehabilitacji? Staruszka Cz-na dostała groźnie brzmiące wezwanie: „Zjawić się w milicji jutro, nie później niż o 10.00 rano”. I nic ponadto. Jej córka pobiegła z wezwaniem w rękę (wieczorem tegoż dnia) do urzędu: „Boję się o jej zdrowie. O co chodzi? Jak ją mam przygotować?”. — „Nic się nie bójcie, to mila nowina, chodzi o rehabilitację nieboszczyka męża”. (A przecież można było domyślać się jakiejś — jeszcze gorszej — porcji piołunu? Dobroczyncom to nawet do głowy nie przyszło).

Jeśli tak wygląda nasze miłosierdzie to łatwo się domyśleć, jaka jest nasza surowość!

Jakież rozmiary przybrała lawina rehabilitacji! — ale nawet ona nie nadwerżyła kamiennej czachy naszego bezgrzesznego społeczeństwa! —

2 Również przestępców pospolitych spotka dzisiaj ten sam los. A. I. Burłaka doczekał się w ananiewskim Komitecie rejonowym partii takiej odpowiedzi: „Tu nie oddział kadr”, a w prokuraturze: „To nie nasza sprawa”, w radzie miejskiej: „Musicie zaczekać”. Chodził bez pracy 5 miesięcy (1964 rok). T. K. Jegorowowi kazano w Noworosyjsku (1965) z miejsca podpisać zobowiązanie do wyjazdu w ciągu 24 go-

dzin. Okazał w zarządzie miejskim dyplom otrzymany w obozie „za wydajną pracę” — wyśmiano go tylko. Sekretarz miejskiego komitetu partii po prostu wyrzucił go za drzwi. Poszedł więc, dał łapówkę, i został w Noworosyjsku.

411

przecież ta lawina nie tam spadła, gdzie wystarczy zmarszczyć łeb, lecz tam, gdzie tysiąc wołów trzeba zaprząć.

Rehabilitacja — to pic i lipa!” — mówią otwarcie partyjni bonzowie. „Za dużo już tych zrehabilitowanych!”.

Waldemar Zarin (Rostów nad Donem) odsiedział 15 lat i później jeszcze przez 8 lat potulnie milczał. Ale w 1960 zdecydował się opowiedzieć kolegom z pracy, jak źle było w obozie. Wytoczono mu śledztwo i pewien major KGB powiedział do Zarina: „Zrehabilitowany — to jeszcze nie znaczy niewinny, znaczy tylko tyle, że przestępstwo nie było zbyt groźne. Ale coś tam jest na rzeczy i to już zostanie na zawsze!”.

A w Rydze, w tym samym roku 1960 zgrany kolektyw pracowników pewnego przedsiębiorstwa przez trzy miesiące pod rząd prowadził nagonkę przeciw Pietropawłowskiemu za to, że zataił, iż jego ojciec został rozstrzelany... w 1937 roku!

A mój korespondent Komogor ani rusz nie może zrozumieć: kto dziś jest bezgrzeszny, a na kim ciąży wina? Gdzie chować oczy, kiedy jakaś chamska mordą zaczyna mówić o równości i braterstwie?

Markiełow po rehabilitacji został wybrany na niezbyt eksponowane stanowisko przewodniczącego komitetu miejscowego spółdzielni. I oto przewodniczący spółdzielni nie pozwala temu delegatowi mas ani przez chwilę zostać samemu w gabinecie! Sekretarz zaś biura partyjnego, Bajew, jednocześnie — szef kadr spółdzielni — na wszelki wypadek każe skierować na swoje ręce całą korespondencję służbową przeznaczoną dla Markiełowa. „Czy przypadkiem nie do was trafił list w sprawie wyborów do komitetu miejscowego?”. — „Zdaje się, że przyszło coś takiego przed miesiącem”.

„Przecież to mi jest potrzebne!”. — „No, dobra, macie tu, czytajcie, tylko szybciej, bo dzień się już kończy!”. — „Ale przecież list jest do mnie! Dajcie, odniosę wam jutro rano!”. — „A nie, przepraszam, to dokument”.

Spróbujcie sobie wyobrazić, że jesteście w skórze takiego Markiełowa, bądźcie zależni od takiego buca, jak Bajew i to tak, żeby całe wasze pobory i wasze prawo pobytu również od niego zależały — i wdychajcie sobie później pełną piersią powietrze ery wolności!

Nauczycielka Diejewa otrzymała zwolnienie z pracy „za rozkład moralny”: wystawiła bowiem na szwank prestiż zawodu wychodząc za mąż za... eks-więźnia (którego nauczycielką była na kursach w obozie)!

To już nie za Stalina, tylko — za Chruszczowa.

I jeden tylko namacalny konkretny został po wszystkich minionych przeżyciach — ZAŚWIADCZENIE. Czwartka papieru, o rozmiarach 12 na 18 centymetrów. Dla żywych — o rehabilitacji. Dla umarłych — o śmierci. Data zgonu — tego nie da się sprawdzić. Miejsce zgonu — przekreślone

412

wielką literą Zet. Diagnoza — możesz przewertować sto takich zaświadczeń i wszędzie znajdziesz to samo, jednakowe rozpoznanie³. Czasami — nazwiska świadków wzięte z sufitu.

Naoczni zaś świadkowie — wciąż milczą.

To znaczy, że — my milczymy.

I skąd przyszłe pokolenia dowiedzą się czegokolwiek? Wszystko ukryte, zabite na głucho, wyskrobane do czysta.

„Również młodzież — skarży się Wierbowski — patrzy na rehabilitowanych podejrzliwie i z pogardą”.

No — co do młodzieży — to nie cała jednak. Większa część młodzieży ma po prostu w nosie czy nas zrehabilitowano, czy nie, czy siedzi dziś jeszcze 12 milionów, czy już nie siedzi; co ich to obchodzi, to dla nich nieważne. Byleby sami mogli pałętać się bez przeszkód razem ze swoimi magnetofonami i kudłatymi dziewczętami.

Ryba nie zwalcza przecież rybołówstwa, stara się tylko prześliznąć przez oczka sieci. Podobnie, jak ta sama nagminna choroba ma rozmaity przebieg u rozmaitych ludzi — również akt wyjścia na wolność, jeśli przyrzeć mu się z bliska, ma rozmaity wpływ na każdego z nas.

Więc nasamprzód — w aspekcie fizycznym. Jedni z nas zbyt wiele wysiłku włożyli, aby przetrzymać jakoś pobyt w obozie. Przeżyli ten okres w takim napięciu jakby z żelaza ich zrobiono: przez dziesięć lat nie mogli dać swemu ciału nawet małej części tego, co jest mu potrzebne, tyrali i harowali; potrafili kuć kamień na mrozie, półnady — i nawet nie przeziębili się nigdy. Ale oto nadszedł koniec kary, znikło gdzieś owe nieludzkie ciśnienie wewnętrzne i w rezultacie osłabło także wewnętrzne napięcie. Tych właśnie ludzi gubi taka nagła zmiana ciśnienia. Olbrzym Czulpieniew, który ani razu nie miał kataru w ciągu 7 lat pracy przy wyrębie lasu — po wyjściu z obozu zapadł na kilka chorób naraz. — G. A. Sorokin pisze: „Po rehabilitacji zaczęło w przyspieszonym tempie opuszczać mnie to zdrowie duchowe, którego zazdrościli mi obozowi koledzy, zaczęły się neurozy, psychozy...”. Igor Kamiłow: „Na wolności osłabłem i oklapłem, i mam nawet wrażenie, że wszystko na wolności ciężiej mi przychodzi”.

3 Córka Cz-na poprosiła niezbyt sprytną biuralistkę o pokazanie jej wszystkich czterdziestu zaświadczeń z pliku. Na wszystkich czterdziestu tym samym charakterem pisma wypisane było rozpoznanie tej samej choroby wątroby! A czasem bywa i tak: „Wasz małżonek (Aleksander Pietrowicz Malawko-Wysocki) zmarł przed rozprawą sądową i początkiem dochodzeń, dlatego też nie może zostać zrehabilitowany”.

413

Jak to dawniej u nas powiadano: w dzień powszednj walić góry dla mnie fraszka, a w niedzielę to mnie zwali jedna flaszką. Temu wszystkie zęby wypadły w ciągu roku. Tamten — od razu się postarzał. Ten znów — ledwie wrócił do domu, już osłabł, gorączka go zżarła i umarł.

Za to inni — dopiero na swobodzie odzyskali siły. Dopiero tu odmłodnieli i rozprostowali się. (Ja na przykład, nawet teraz jeszcze wyglądam młodziej, niż na pierwszej fotografii z zesłania). Nagle człowiek widzi: jakież wszystko lekkie jest tu, na wolności! Tam, na Archipelagu, działa zupełnie inne siła ciężkości, tam — czujesz, że nogi masz słoniowe, a tu

— przebierasz nimi jak wróbelek. To, co dla wolniaka jest zadaniem ponad siły, my gotowiśmy wykonać w mig, jak z bicia trząśł. Mamy przecież taką swoją miarę rzeczy: „Już było gorzej!”. Było gorzej, to znaczy, że teraz już jest całkiem łatwo. I jakoś wcale nam się nie nudzi wciąż powtarzać: by

wało już gorzej! bywało już gorzej!

Ale jeszcze mocniej odbija się na dalszych, nowych losach człowieka ów duchowy przełom, który zachodzi w nim przy wyjściu na wolność. Bardzo różny bywa charakter tego przełomu. Dopiero na progu wartowni obozowej zaczynasz rozumieć, że zostawiasz za sobą swoją prawdziwą ojczyznę, -tę właśnie katorgę. Tu ukształtowałeś się duchowo i najbardziej własna część twojej duszy już tu na zawsze zostanie — podczas gdy nogi niosą cię gdzieś w milczące, bezechowe przestrzenie wolnego świata.

W obozie ujawniają się prawdziwe cechy, ludzkiego charakteru, ale przy wyjściu na swobodę ujawniają się również! Oto jak żegnała się ze specobozem w 1950 roku Wiera Aleksiejewna Korniejewa, z którą spotykaliśmy się już na stronicach tej książki: „Zatrzasnęły się za mną pięciometrowe wrota i sama sobie nie wierząc poczułam, że płaczę wychodząc na wolność. Co opłakiwałam właściwie?... A miałam takie uczucie, jakbym oddzierała od siebie coś, co mi było najbardziej drogie i miłe, jakbym odcinała się od towarzyszy niedoli. Wrota zatrzasnęły się — i wszystko się skończyło. Nigdy już nie zobaczę tych ludzi, żadna wieść od nich do mnie nie dotrze. Zupełnie jakbym szła na tamten świat...”.

Na tamten świat!... Wolność jako odmiana śmierci. A bo to wyszliśmy na wolność? — nie, raczej umarliśmy, aby rozpocząć inne, całkiem nowe życie

— pozagrobowe. Życie widmowe nieco. Życie, w którym po omacku i ostrożnie dotykamy różnych przedmiotów, starając się poznać je w ten sposób.

Bo nasze wyjście na wolność, ów powrót na obszary tego świata wyobrażaliśmy sobie przecież zupełnie inaczej, a mianowicie widzieliśmy je, jako realizację puszki-nowskiej wizji: „I bracia wam oddadzą miecz*”.

Ostatnie słowa z wiersza do zesłanych dekabrystów W głębinie syberyjskich rud (1827), w tłumaczeniu Juliana Tuwima.

414

Ale takie szczęście jest udziałem tylko nielicznych generacji więźniów.

To było wyzwolenie kradzione, nie zaś autentyczne. I kto to zrozumiał — ten ze strzępkiem tej kradzionej wolności starał się jak najszybciej uciec w samotność.

Jeszcze w obozie „prawie każdy z nas — przynajmniej najbliżsi moi towarzysze i ja sam — myślał, że jeśli Bóg pozwoli dożyć nam chwili wyjścia na wolność — to zamieszkamy potem nie w mieście, nawet nie na wsi, tylko gdzieś w głębi lasu. Znajdziemy sobie tam pracę, będziemy leśnikami, gajowymi, pastuchami wreszcie, byle jak najdalej od ludzi, od polityki, od wszystkich marności tego świata” (W. W. Połowiec). Na swobodzie przez pierwszy okres Awenir Borysow unikał ludzi i szukał pociechy w kontakcie z naturą. „Gotów byłem ścisnąć i całować każdą brzoškę, każdą topolę. Szelest opadłych liści (wyszedłem z obozu jesienią) wydawał mi się muzyką, która wyciskała mi łzy z oczu. Było mi wszystko jedno, że dostawałem tylko 500 gramów chleba, skoro mogłem godzinami słuchać ciszy, a do tego jeszcze czytać książki. Każda praca wydawała mi się teraz łatwa, prosta, doby mijały jak godziny, czułem nienasyconą wolę życia. Jeśli na świecie istnieje w ogóle szczęście, to na pewno czuje je każdy zek przez pierwszy rok swego życia na wolności!”. Ludzie tacy niczego nie chcą mieć na własność: dobrze pamiętają, że dobytek traci się tak łatwo, jakby go pożar pochłonął. Niemal zabobonnie unikają kupowania nowych rzeczy, starają się donosić stare, nie wyrzucają połamanych krzesel. Pewien mój przyjaciel ma takie meble, że wręcz nie ma na czym siąść, ani o co się

oprzeć, bo wszystko się rozlatuje. „Cóż, tak żyjemy — śmieje się — od żony, do żony”. Jego żona — też siedziała w więzieniu.

Lew Kopielew wrócił w 1955 roku do Moskwy i musiał stwierdzić: „Trudno wytrzymać z facetami, którym się powodzi! Widuję tylko tych z dawnych przyjaciół, którym się jakoś nie powiodło”.

Bo też — patrząc na rzeczy po ludzku — tylko ci są naprawdę interesujący, którzy zrezygnowali z robienia kariery. A kto ją robi, z tym strasznie nudno.

Ale ludzie nie są jednakowi. I dla wielu wyjście na wolność oznaczało zupełnie coś innego (zwłaszcza w okresie, gdy zdawało się, że CzKGB przymknęło oko na to i owo): hurra! jestem wolny! Teraz jedno jest tylko ważne: teraz nigdy więcej nie dać się złapać! teraz — grunt to odkuć się!

Jedni odkuwają się na urzędach, innym bardziej zależy na tytułach (akademickich i wojskowych), innym znów — na zarobkach i książeczkce oszczędnościowej (mówienie o tym jest u nas w złym tonie, ale liczenie po cichu — bynajmniej). Niektórzy starają się mieć jak najwięcej dzieci. Inni

415

odrabiają inne zaległości... na przykład Walenty M. zaklinał się w więzieniu, gdzie siedzieliśmy razem, że na wolności odbije sobie wszystko, co tu stracił w dziedzinie męsko-damskiej. I rzeczywiście: kilka lat z rzędu co dzień chodził do pracy, wieczory zaś, nawet w dni powszednie — spędzał w towarzystwie dam, wciąż je przy tym zmieniając; spał po cztery-pięć godzin, posunął się, postarzał. Jeszcze inni wetują sobie stracone okazje jedząc ile wlezie, kupując meble i odzież (zapomnieli już jak obcinano im guziki, jak w łazniach przy dezynfekcji marnowały się najlepsze rzeczy). Zakupy znów się stają najmiłą rozrywką.

Jak tu mieć do nich pretensje, skoro tyle w życiu stracili, skoro tyle im z życia — amputowano?

Każdemu z tych dwóch sposobów pojmowania wolności odpowiadał pewien szczególny stosunek do przeszłości.

Przeżyłeś oto bardzo straszne lata. Nie jesteś chyba okrutnym mordercą ani brudnym oszustem — dlatego więc powinienesz czynić wisłki, by zapomnieć więzienie i obóz? Czego właściwie się wstydzisz! Nie lepiej ci to myśleć, że pobyt w nich wzbogacił się? Czy nie słuszniejsza to rzecz — być dumnym z nich?

Ale iluż to jest takich (i to wcale nie głupich, wcale nie słabych, lecz takich, po których wcale się tego nie spodziewasz!) co starają się zapomnieć! Zapomnieć jak najprędzej! Zapomnieć wszystko! Zapomnieć tak, jakby to było tylko przywidzenie!

J. G. Wendelsztejn: „Zwykle człowiek stara się nawet tego nie wspominać; rodzaj reakcji obronnej”. Pronman: „Powiem szczerze: unikałem spotkań z byłymi łagiernikami, żeby pozbyć się wspomnień”. S. A. Lesowik: „Po powrocie z obozu starałam się zapomnieć o przeszłości. I proszę, prawie mi się to udało!” — (nim przeczytała nowelę Jeden dzień...). S. A. Bondarin (wiem od dawna, że w 1945 roku siedział w tej samej łubiariskiej celi co ja, tylko wcześniej; podejmuję się wymienić mu z nazwiska nie tylko naszych towarzyszy z tej samej celi, lecz także tych z którymi siedział, zanim go do niej przenieśli, ludzi, których nigdy nie znałem — piszę mu o tym i oto jak mi odpisuje): „Ja zaś postarałem się wyrzucić z pamięci wszystkich, z którymi tam siedziałem”. (Po tym liście, rzecz jasna, przerwałem korespondencję).

Rozumiem, że ortodoksi unikają swoich starych znajomych z obozu: uprzykrzyło im się to stałe odgryzanie się stu naraz przeciwnikom, zbyt ciężkie to dla nich wspomnienia. A zresztą — co ich łączy z tą nieczystą, bezideową zgrają? Ponadto — jacyż byliby z nich prawowierni, gdyby nie

416

chcieli zapomnieć, wybaczyć i szybko wrócić do dawnej skóry? Przecież po to właśnie cztery razy do roku wysyłali swoje czołobitne prośby: dajcie mi wrócić! dajcie mi wrócić! przecież byłem grzeczny i będę grzeczny⁴! Na czym polegał dla nich powrót? Na tym przede wszystkim, że odzyskiwali swoją legitymację partyjną, swoje formularze, swój staż i swoje zasługi.

...I znów ciepło członkostwa owionie Głowę, której nikt już nie winuje...

A przeżycia obozowe, to zaraza, której trzeba czym prędzej się pozbyć. Czy w całym tym doświadczeniu obozowym, jeśli nawet przesiać je i przemyć — znajdzie się jeden choćby okrucich szlachetnego kruszcu?

Oto stary leningradzki bolszewik, Wasiliew. Odsiedział dwa razy po dziesiątaku (za każdym razem dostając na dokładkę jeszcze pięć lat kagańca). Dostał za to rządową rentę personalną. „Nic mi nie brakuje. Sławię moją partię i mój naród”. To wspaniałe! Przecież tylko biblijny Hiob potrafił tak sławić swojego Boga: za wrzody, za mór, za głód, za śmierć, za upokorzenia — chwała Ci, chwała Ci!). Ale ten Wasiliew nie jest nierobem, nie zalicza się do biernych konsumentów: „Jestem członkiem komisji do walki z pasożytnictwem”. To znaczy, że w miarę starczych swoich sił przykłada łapkę do jednego z największych bezprawii naszej doby! Oto przykład prawdziwej prawomyślności!...

Zrozumiałe, dlaczego również kapusie nie życzą sobie żadnych wspomnień ani spotkań: boją się pretensji i niemiłych rewelacji.

No, ale wszyscy pozostali? Czy to aby nie znamie rabskiej mentalności? Albo dobrowolny ślub, uczyniony po to, aby odwrócić możliwość ponownego uwięzienia? „Zapomnieć, jak zły sen, zapomnieć, zapomnieć wszystkie widma z przeklętej, lagrowej przeszłości” — ścisła głowę piąstkami Nastia B., którą wzięto do więzienia nie byle jak, tylko z raną postrzałową. Dlaczego filolog klasyczny A.D., którego zawód nauczył poddawać krytycznej ocenie dzieje starożytne — czemu również on samemu sobie każe „wszystko zapomnieć”? Cóż zrozumie on w ten sposób z całych ludzkich dziejów?

Eugenia D., która w 1965 roku opowiadała mi jak w 1921, jeszcze przed zamążpójściem, zabrali ją na Łubiankę, dodała: „A nieboszczykowi mężowi nigdy o tym nie mówiłam, bo zapomniałam już”. Zapomniała?? Najbliższemu człowiekowi, z którym przeżyła pół życia? To za mało nas jeszcze do więzień pakują!!

4 Taki był sens licznych ich deklaracji w 1956 roku: jakby kto zatęchły kufer otworzył; przynieśli z sobą atmosferę lat 30., chcąc kontynuować to wszystko, od czego odebrało ich aresztowanie.

17 Archipelag Gulag 417

A może wcale nie trzeba ludzi tak surowo sądzić? Być może — jest to rys charakterystyczny bardzo ludzkiej przeciętności? Przecież ktoś był modelem dla takich przysłów:

Godzinę pożyłeś w wygodzie — już zapomniawsz o głodzie.

Krzywdą trawą — ciało sadłem porasta.

Ciało, co sadłem obrasta — oto czym jest człowiek!

Mój przyjaciel i współoskarżony Mikołaj Witkiewicz, z którym poszliśmy za kraty, wspólnym, nieco jeszcze dzieciennym wysiłkiem — uznał wszystko co przeżył za przekłątą fatalność, za haniebną porażkę głupiego pechowca. I pogrążył się w studiach, jako że nauka jest najbezpieczniejszym terenem do życiowej wspinaczki. W 1959 roku, gdy jeszcze żył Borys Pasternak, ale już go szczerwacz obiegli — jałem opowiadać mu o tym poecie. Nie chciał nawet słuchać: „po co gadać o tych starych kapciach? Posłuchaj lepiej jaką walką ja muszę toczyć na naszej katedrze!” (Wciąż z kimś walczy, aby otrzymać awans). A przecież trybunał dał mu 10 lat obozu. Więc tych batów nie wystarczyło?...

Również Grigorij M-z dostał prawo powrotu z zesłania, unieważniono jego wyrok sądowy, zrehabilitowano, oddano legitymację partyjną (nie pytają przecież przy tej okazji, czyś nie uwierzył tymczasem w Jehowę albo Mahometę? Przecież nie zastanawiają się, czy cokolwiek z twego dawnego światopoglądu ocalało). Wracając z Kazachstanu do swego Ż. przejeżdża przez moje miasto, więc idę na dworzec. Co mu też chodzi teraz po głowie,

0 czym myśli? Ejże, czy nie zamierza czasem wrócić do dawnych swoich urzędów Tajnych, czy Specjalnych? Nasza rozmowa jakoś się nie klei.

1 więcej już nie pisze mi on ani słowa...

A oto F. Retc. Jest dziś dyrektorem komunalnego biura remontów, a nadto należy do drużyn ochotniczych*. Z wielką powagą prawi o swoim obecnym życiu. I chociaż dawnych swoich przejść nie zapomniat — bo i jak tu zapomnieć 18 lat na Kołymie? — mówi o tej Kołymie jakby z rezerwą, z wewnętrznym zdumieniem: czy to naprawdę się zdarzyło? jak to było możliwe?... Przeszłość spłynęła po nim: jest dziś gładki i ze wszystkiego zadowolony.

Podobnie jak złodziej, który — za zgodą swoich sitwesów — zrywa ze światem przestępczym, tak samo ersatz-polityczny zapomina. Dla tych, którym się to udało, świat staje się znów wygodny, przytulny, nic ich już nie kole ani nie ciśnie. Jak dawniej wydawało się im, że wszyscy siedzą, tak dziś im się zdaje, że nikt nie siedzi. Zaczynają nagle znów rozumieć miły sens takich świąt jak 1 Maja i rocznica Października — bo nie są już

Rodzaj ORMO.

418

to te surowe dni, gdy nas szczególnie złośliwie rewidowano na mrozie i gdy szczególnie pełne stawały się cele naszego obozowego więzienia. Zresztą, po co sięgać aż w te regiony? Jeśli głowa rodziny otrzyma we dnie, w biurze pochwałę od towarzysza dyrektora, to w domu przy obiedzie panuje świąteczna atmosfera i cała rodzina składa gratulacje.

Jedynie w gronie rodzinnym były męczennik pozwala sobie na utyskiwania. Tylko tutaj czasami przypomina je sobie — i to w tym celu, aby go bliscy jeszcze bardziej hołubili i cenili. A wychodząc za próg — już zapomina.

Nie bądźmy jednak tak wymagający i surowi. Przecież to ludzkie: po strasznych przejściach wrócić do swojego dawnego „ja”, do swoich dawnych (niechby nawet nie najlepszych) przyzwyczajęń i właściwości. Na tym trzyma się nasza osobowość, to wpływ naszych genów. Być może człowiek nie mógłby inaczej być człowiekiem. Taras Szewczenko, którego pełne rozpacz wiersze już tu były cytowane5 po upływie 10 lat pisze z radością: „Ani jeden rys mojej wewnętrznej istoty nie uległ

zmianie. Z całej duszy składam dzięki mojemu wszechmocnemu Stwórcy, że nie pozwolił On, aby straszliwe doświadczenie zostawiło ślady swoich żelaznych pazurów na moich przekonaniach".

Ale jak to się dzieje, że ludzie zapominają? Gdzie by się tego nauczyć?...

„Nie! — pisze M. I. Kalinina — niczego nie sposób zapomnieć i nic w życiu nie układa się gładko. Sama nie jestem rada, że taki mam charakter. Można mieć uznanie i sukcesy w pracy i w codziennym życiu też wszystko niby dobrze się składa — ale ćmi i ćmi w sercu, i wciąż czuje człowiek niezmierne znużenie. Mam nadzieję, iż nie napisze pan o ludziach, którzy wyszli z więzienia, że zdążyli wszystko zapomnieć i że są szczęśliwi?"

Raisa Łazukina: „Lepiej nie wspominać tego co złe? A jeśli nic dobrego człowiek sobie przypomnieć nie może?"

Tamara Prytkowa: „Przesiedziałam 12 lat, jestem już na wolności od lat jedenastu (!), a wciąż jeszcze nie wiem — po co właściwie żyję? I nie wiem, gdzie sprawiedliwość?"

Od dwóch wieków toczą się w Europie rozmowy o równości — a jacyż jesteśmy różni! Co tu mówić o równości, gdy w tak różny sposób życie potrafi ryc bruzdy na naszych duszach! — jeden przez jedenaście lat nie potrafi niczego zapomnieć — drugi zaś potrafi wszystko zapomnieć już następnego dnia...

Iwan Dobriak: „Wszystko niby ta»u pozostało, a jednak — nie wszystko.
s Część II, rozdział 19.

419

Jestem zrehabilitowany, ale nie mam dalej spokoju. Rzadko mija tydzień, aby znów mi się żona nie przyśniła. Zrywa się człowiek z łóżka cały we łzach albo budzą cię bliscy, przerażeni twoim krzykiem".

Ans Bernstein nawet po jedenastu latach od wyjścia z obozu dalej miewał tylko obozowe sny. Ja również przez 5 lat z rzędu widziałem siebie samego we śnie tylko jako więźnia, nigdy — jako wolnego. Lew Kopielew rozchorował się 14 lat po zwolnieniu z obozu — i w majaczeniach mówił tylko o więzieniu. A język nasz dotychczas nie chce znać takich słów jak „kajuta" czy „pokój" — zawsze mówimy zamiast tego „cela".

Szawirin: „Na psa-owczarka po dziś dzień nie mogę spokojnie patrzeć".

Czulpieniew idzie sobie przez las; ale już nie potrafi zwyczajnie cieszyć się świeżym powietrzem ani zwyczajnie patrzeć: „Zerkam na sosny — owszem, nadaje się: sęków mało, jak się zrabie, to niewiele trzasek trzeba będzie spalić, wszystko pójdzie na kopalniak..."

Jak tu zapomnieć, jeśli człowiek zamieszka w takiej wsi Milcewo, a tam —omalże połowa sąsiadów odsiedziała swoje w obozie, co prawda, po większej części — za złodziejskie sprawy. Idzie człowiek na dworzec w Riazaniu i widzi trzy wyłamane pręty w stacyjnym parkanie. Nikt tego nigdy nie naprawia, zupełnie, jakby tak być musiało. A musi, bo właśnie na wprost tej dziury zatrzymują się stołypinki — dziś też, dziś też się zatrzymują! — a pod dziurę podjeżdża tyłem karetka więzienna i w ten sposób zeków prosto z wagonu ładuje się do niej, unikając prowadzenia przez ludne perony. — Wszechzwiązkowe Towarzystwo Niewiedzy Powszechniej wypisuje ci zlecenia na odczyt (1957 rok) i okazuje się, że skierowano cię do ITK-2 — do kobiecej kolonii pracy przy więzieniu. Przychodzisz na wartownię i przez okienko wysuwa się znajomy kaszkiecik. Idziesz sobie potem z obywatelem wychowawcą przez wię-

zienny dziedziniec i zasępione kobiety w lichej odzieży witają się z wami przypochlebnie, na wypródkę. Siedzisz sobie potem w gabinecie naczelnika działu politycznego i podczas gdy on tu sobie z tobą gawędzi, abyś się nie nudził — wiesz dobrze, że tam wypędzają je z cel, budzą przemocą te, które usnęły, że w Jcuchence wyrywają im z rąk menażki — dosyć tego, prędej na odczyt, zwijać się! Już je spędzono do sali, już w niej pełno. W sali wilgoć, korytarze też wilgotne, a w celach na pewno całkiem mokro — i te nieszczęsne, zapracowane kobiety przez cały czas mojego odczytu krztuszą się zastarzałym, głębokim, huczącym albo suchym i rozdzierającym kaszlem. Poubierane są nie jak kobiety, tylko jakieś karykatury, młodsze z nich — są kościste, o kanciastych, starczych figurach, wszystkie są zadęcone i nie mogą doczekać się końca mojego odczytu. Czuję wstyd. Miałbym chęć zamienić się w dym i rozwiać w powietrzu. Zamiast prawić im tu o „Osiąg-

420

nięciach nauki i techniki" tak bym chciał krzyknąć: „Powiedzcie, czy długo jeszcze ma trwać to wszystko?...”. Od razu spostrzegam w tłumie kilka lepiej wyglądających, lepiej ubranych, niektóre noszą nawet sweterki. To pyrdurki. Gdyby patrzeć tylko na nie i nie słuchać tego kaszlu, to można by zupełnie gładko wygłosić cały odczyt. Nie odrywają ode mnie oczu, słuchają, że aż ha!... Ale wiem dobrze, że nie słyszą moich słów, że nie kosmos je interesuje — tylko że tak rzadko widują mężczyzn, więc chcą się chociaż napatrzeć... I nagle opada mnie koszmar: zabiorą mi przepustkę i już tu zostanę. I te mury, dzielące mnie od znanej mi ulicy, co biegnie tuż-tuż, od przystanku trolejbusowego, odległego o kilka zaledwie metrów znowu przegrodzą całe moje życie, staną się nie murami, tylko kamieniami latami... Nie, nie za chwilę stąd wyjdę! Pojadę trolejbusem za 40 kopiejek do swojego domu, gdzie czeka na mnie smaczny obiad. Ale nie wolno mi zapomnieć: one tu wszystkie zostaną. I będą tak samo kaszleć, całymi latami.

W każdą rocznicę mojego aresztowania urządzam sobie „dzień zeka”: odcinam rano 650 gramów chleba, wydzielam sobie dwie kostki cukru, nalewam wrzątku bez esencji, a na obiad — proszę, żeby ugotowano mi sałamachę i chochelkę rzadkiej kaszy. Jak szybko włożę w tę dawną skórę: pod koniec dnia zgarniam już ze stołu okruszyny i wylizuję miskę. Prędko budzą się we mnie te odczucia i odruchy!

Udało mi się też wywieźć moje stare łaty z numerami, przechowuję je. Czy ja jeden? W niejednym domu pokażą ci je jak relikwie.

Któregoś dnia idę sobie po Nowosłobodzkiej — a otóż i więzienie Butyrskie! „Przymówienie paczek”. Wchodzę do poczekalni — pełno kobiet, są również mężczyźni. Jedni oddają paczki, inni rozmawiają. Więc to tutaj składano przesyłki dla nas! Bardzo to ciekawe. Z najniewinniejszą miną podchodzę to tablicy, na której wywieszono regulamin. Ale już mnie dostrzegł orlim wzrokiem, już zmierza szybko w moją stronę sierżant o ponurej gębie. „Czego tu szukacie, obywatelu?”. Wyczuł, psiwia-
ra, że nie o paczkę mi chodzi. Widać trącę dalej zekiem!

A odwiedzanie umarłych? Tych z twojej braci, co leżą tam, gdzie i ty powinienieś leżeć, przebity bagnetem dla kontroli. A.J. Oleniew, człowiek już sędziwy, pojechał w 1965 roku z plecakiem na grzbiecie i laseczką w rękę; dobrnął do dawnego laza-

retu, a później na górkę (obok wioski Kierki), gdzie chowano więźniów. Górka pełna jest kości i czaszek, a mieszkańcy dziś nazywają ją po prostu Kościaną Górką. W dalekim mieście na północy, gdzie noc trwa pół roku i dzień — pół roku, mieszka Gala B. Nie ma nikogo bliskiego na całym świecie, a to co nazywa domem jest szpetnym, gwarnym kątem. Oto jak spędza chwile

421

wypoczynku: idzie z książką do restauracji, zamawia wino, upije trochę, popali, potęskni chwilę „do Rosji”. Jej jedynymi i najmilszymi przyjaciółmi są kelnerzy i portierzy. „Bardzo wielu, wracających stamtąd, ukrywa swoją przeszłość, a ja jestem dumna z mojego życiorysu”.

To tu, to tam zbierają się raz do roku grupy byłych zeków, żeby trącić się kieliszkiem i podzielić wspomnieniami. „I dziwna rzecz — powiada W.P. Golicyn — że obrazy przeszłości w tych wspomnieniach mają nie tylko koloryt ciemny i ponury, przeciwnie, wiele rzeczy wspominamy ciepło i mile”.

To też bardzo ludzka właściwość — i wcale nie najgorsza.

„Na moich obozowych łatach wypisana była litera „Y” — pisze mi z werwą W.L. Ginzburg — a paszport, jaki dostałem, ma serię „ZK”!

Przeczytasz parę takich listów — i od razu ciepło się robi. Nie, daję słowo — jak bardzo różnią się listy byłych zeków od wszystkich innych pism! Co za niezwykła żywotność! Jaka świadomość celu i jaki wigor! W naszych czasach — jeśli już trafi do twoich rąk list bez śladu melancholii i lamentów, naprawdę optymistyczny — to z pewnością wysłany został przez byłego zeka. Poznali to, co bywa w świecie najgorszego, więc teraz ich już już byle co nie załamie.

Dumny jestem, że należę do tego potężnego szczepu! Nie byliśmy szczepem — to inni z nas szczep uczynili! Stworzono z nas całość tak zwartą, jakiej nigdy nie zdołaliśmy wykuć w naszym mroku, zdezorientowani i pozbawieni woli, a przy tym — obawiający się siebie wzajemnie. Tu, na wolności ortodoksi i szpicle jakoś automatycznie zostali wyłączeni z naszego grona. Nie musimy się zmawiać, aby okazywać sobie nawzajem pomoc. Nie musimy już wystawiać się na żadne próby. Wystarczy spotkać się, popatrzeć sobie w oczy, zamienić dwa słowa — i co tu więcej gadać? Zawsze gotowi jesteśmy nieść pomoc naszym towarzyszom. Wszędzie nas pełno — i są nas miliony.

Pobyt za kratą nauczył nas mierzyć nowym łokciem każdego człowieka. Z naszych oczu spadło bielmo, które zwykle przesłania wzrok tych, co jeszcze wstrząsu nie przeżyli. Jakie niezwykłe dzięki temu możemy wyciągać wnioski z naszych obserwacji!

N. Stolarowa, która dobrowolnie przyjechała w 1934 roku z Paryża — wprost do portrasku, co wyrwał jej najlepsze lata życia, nie tylko nie robi sobie wyrzutów i nie przeklina chwili swego przyjazdu, ale powiada: „Miałam rację, kiedy wbrew całemu mojemu środowisku i wbrew rozsądkowi pojechałam do Rosji! Zupełnie Rosji nie znając, intuicyjnie wyczuwałam prawdę o niej”.

I.S. Karpunicz-Brawen, kombryg z czasów wojny domowej, człowiek

422

pełen ognia, popędliwy, faworyt fortuny niegdyś nie czytał nawet dokładnie spisów przynoszących mu przez naczelnika jego Specwydziału — i nie u góry arkusza, tylko u dołu, niedużymi literami, tylko niedbale, jednym pociągnięciem tępego

ołówka, jakby to była błahostka, zapominając nawet o kropkach, pisał dwie literki: k s (znaczyło to — Kara Śmierci! dla wszystkich). Potem były generalskie romby, a potem dwadzieścia i pół roku Kołymy. I oto Karpunicz mieszka sobie pośród lasu, na samotnym futorze, podlewa swój ogródek, karmi kury, majstruje przy stolarskim warsztaciku, nie składa próśb o rehabilitację, klnie w żywy kamień Woroszyłowa i gniewnym piórem pisze w zeszytach swoje komentarze, komentarze, komentarze do każdej audycji radiowej i każdego artykułu w gazetach. Ale minie jeszcze parę lat — i filozof z futoru przepisze sobie taki aforyzm z pewnej książki: „Nie dość kochać ludzkość — trzeba umieć jeszcze znieść towarzystwo ludzi”.

A przed śmiercią — napisze własnymi słowami, ale takimi, że czytający zadrży — czy to nie mistyka? czy to nie stary Tołstoj się odezwał? —

„Żyłem i sądziłem innych podług siebie. Ale teraz jestem już innym człowiekiem i już innych podług siebie nie sądzę”.

W.P. Tarnowski, człowiek zadziwiający, został na Kołymie po odsiedzeniu kary. Pisze wiersze, których nikomu nie posyła. Taki wniosek wyciągnął ze swoich rozmyślań: Ta mi oto przypadła kraina I chce Bóg bym w milczeniu tu żył Za ten grzech, że widziałem Kaina Ale zabić nie miałem go siłą.

Szkoda tylko, że stopniowo umrzemy wszyscy, nie dążąc niczego ważnego dokończyć.

Byłych zeków oczekują jeszcze na wolno'ci — spotkania. Spotkania ojców — z synami, mężów — z żonami. Nieczęsto te spotkania dobrze się kończą. Chowając się bez nas przez 10, przez 15 lat — nie mogli synowie wyrosnąć na istoty nam bliskie: czasem po prostu stają się obcymi ludźmi, niekiedy — zamieniają się w naszych wrogów. I tylko niewiele kobiet do-

6 Muszę później dodać gwoli sprawiedliwości: opuści! Kołymę, ożenił się nieszczęśliwie — i bardzo podupadł duchowo, a przy tym nie wie jak wyrwać się z tej obro-

ży.

423

czekuje się nagrody za dochowanie mężom wiary: zbyt długo żyło się osobno, człowiek zmienił się zupełnie, tyle że nosi to samo nazwisko. Nazbyt odmienne były ich doświadczenia — i niemożliwą jest rzeczą, aby zaczęli wspólne życie od nowa. Tu starczy materiału na wiele filmów i powieści, niech się kto inny tym bawi, w tej książce na to miejsca nie ma.

Przytoczę tylko jedną opowieść; są to zwierzenia Marii Kadackiej:

„W ciągu pierwszych dziesięciu lat mąż napisał mi 600 listów. W ciągu następnych dziesięciu — dostałam tylko jeden, i to taki, że żyć się odechciało. Po dziewiętnastu latach pojechał na swój pierwszy urlop nie do nas, tylko do swoich krewnych; do mnie i do syna wpadł tylko na cztery dni, przejazdem. Pociąg, którym miał przyjechać, tego dnia wypadł z rozkładu. Po bezsennej nocy, spędzonej na czekaniu, położyłam się na chwilę. Wtem ktoś dzwoni. Słyszę nieznamy głos: 'Chciałbym mówić z Marią Wenediktowną'. Otwieram drzwi. Wchodzi niemłody, tęgi mężczyzna w płaszczu i kapeluszu. Nic nie mówiąc — robi śmiało kilka kroków. Oczadziła jeszcze ze snu — zapomniałam jakby, że czekam na męża. Stoimy więc. 'Nie poznajesz?'. — 'Nie'. I myślę sobie — czy to aby nie ktoś z krewnych, a mam ich wielu i też ich wiele lat nie widziałam. Później spojrzałam na jego zaciskające się wargi — uprzytomniłam sobie, że czekam przecież na męża! — i straciłam przytomność. — Tu wszedł syn, akurat był chory. I tak we trójkę, nie wychodząc wcale z pokoju sie-

dzieliśmy przez cztery dni z rzędu. I syn, i on mówili ze sobą niewiele, bardzo powściągliwie, ja też mało z nim się nagadałam, nie wykraczaliśmy w tej rozmowie poza ogólne tematy. Opowiadał o swoich przeżyciach i wcale się nie zainteresował, jak nam tu było bez niego. Jechał znowu na Syberię, a gdy się żegnał, nie patrzył mi w oczy. Powiedziałam mu, że miałam drugiego męża, ale zginął w Alpach (był we Włoszech, wyzwolili go alianci)".

Ale bywają też inne spotkania, weselsze.

Można na przykład spotkać swojego nadzorcę albo komendanta obozu. Jesteś na przykład w uzdrowisku Teberda, w domu turysty i widzisz, że instruktor sportowy Sławek — to nikt inny, tylko twój norylski klawisz. Albo taki Misza Bakst — stoi sobie w Leningradzie, w sklepie „Gastronom” i nagle Widzi jakąś znajomą twarz! tamten też go zauważył. Kapitan Gusak, komendant podobozu, teraz już w cywilu. „Słuchaj no, zaraz-za-raz! Gdzieś ty u mnie siedział? A, pamiętam, wstrzymaliśmy ci paczki, boś się wymigiwał od roboty!”. (Przecież pamięta! I wciąż im się zdaje, że rządzić nami mają po wieczne czasy — a teraz mamy tylko krótką przerwę!).

424

Można też spotkać (Bielski) swojego dowódcę z wojska, pułkownika Rudyko, który szybciotko udzielił zgody na twoje aresztowanie, byleby tylko samemu nie mieć przykrości. Też chodzi w cywilu i w bojarskiej czapeczce, wygląda na uczzonego męża, od razu budzi szacunek!

Można również spotkać śledczego — tego właśnie, który cię łał albo posyłał do zapluskwionego karceru. Jest teraz na pięknej rencie, jak na przykład Chwał, śledczy i morderca wielkiego Wawitowa; mieszka sobie na ulicy Gorkiego. Niech pan Bóg broni przed takimi spotkaniami, przecież to tobie serce się ściśnie, nie jemu.

A można też spotkać tego, co na ciebie doniósł; wsadził cię do więzienia i dobrze mu się wie dzie. I żaden piorun z nieba go nie strzeli! Ci, którzy wracają do rodzinnych miast, już na pewno muszą spotkać „swoich” donosicieli. „Słuchajże — namawiają ich co zapalczywsi przyjaciele. — Zaskarż go do sądu! Przynajmniej dla nauczki, żeby ludzie wiedzieli!”. (Już nikt nie żąda więcej, już wszyscy wiedzą, że i tak...). „Lepiej nie... już niech tam...” — odpowiadają zrehabilitowani.

A to dlatego, że prawdy do tego sądu nawet wołami nie zaciągniesz.

„Niech ich samo życie ukarze!” — powiada Awenir Borysow.

Nic innego nie pozostaje.

Kompozytor Ch. powiedział do Szostakowicza: „O, ta właśnie dama, pani L., członkini naszego związku, była sprawczynią mojego uwięzienia”. — „Napiszcie natychmiast podanie — oświadczył Szostakowicz w chwilowym zapale — wyrzucimy ją ze związku?” (Akurat!). Ale Ch. zamachał tylko rękoma: „O nie, dziękuję, za tę brodę włóczyli mnie po ziemi, ani myślę’ drugi raz próbować!”.

Czy zresztą chodzi tu o zemstę? G. Polew tak się skarży: „Ten łajdak, przez którego wtedy mnie aresztowano, na pewno znów by na mnie doniósł po moim powrocie z obozu. Zrobiłby to jak pić dać, gdybym nie uciekł z rodzinnego miasta, zostawiając rodzinę na łasce losu”.

O, to jest w naszym stylu! to brzmi po sowiecku!

I co tu jest senną marą, co jest ognikiem błotnym — czy dzień wczorajszy, czy może dzisiejszy?...

W 1955 roku badacz Efroimson zgłosił się do zastępcy naczelnego prokuratora ZSSR, Salina, i przyniósł mu cały tom niezbitych dowodów demaskujących prze-

stępstwa Trofima Łysenki. Salin oznajmił mu: „Nie jesteśmy w tej sprawie kompetentni, zwróćcie się do KC”.

Od kiedyż to uważają się za niekompetentnych? A jeśli już, to dlaczego trzydzieści lat temu nie uważali się za takich?

Doskonale się powodzi obu fałszywym świadkom, Łozowskiemu i SierioGINowi, przez których Czulpieniew wtrącony został do mongolskiej ja-
425

my. W towarzystwie wspólnego znajomego z tej samej jednostki Czulpie-niew odwiedził Sieriogina, pracującego w biurze usług komunalnych przy moskiewskiej radzie miejskiej: „Pozwólcie wam przedstawić kolegę: towarzysz broni znad Chałchyn-Gołu, przypominacie go sobie?”. — „Nie, nie pamiętam”. — „A nazwisko Czulpieniew nic wam nie mówi?”. — „Nie pamiętam, ta wojna ludzi tak rozsiała po świecie...”. — „A wiecie może, jaki los go spotkał?”. — „Nie mam pojęcia”. — „No i patrzaj, co za łajdak z ciebie!”.

I co tu więcej gadać? W rejkomie partii, gdzie SierioGIN jest na liście aktywu: „Nie może być! To taki sumienny pracownik”.

Sumienny pracownik!...

Wszystko na swoim miejscu i wszyscy na tych samych, swoich miejscach. Zagrmiało, ale burza przeszła bokiem. Z wielkiej chmury mały deszcz.

Wszystko zostało po dawnemu do tego stopnia, że gdy J.A. Krejnowicz, znawca języków narodów Północy⁷ wrócił z zesłania — to w swoim instytucie, w tym samym zakładzie badawczym zastał tych wszystkich, którzy niegdyś go sypnęli, którzy nakapali na niego i dalej go nienawidzą. I oto musi wieszać palto na tym samym wieszaku, co ci faceci, i zasiadać dalej w ich gronie.

To trochę tak, jakby ofiary Oświęcimia, razem z byłymi esesowcami z tegoż obozu założyli do spółki firmę galanterijną.

Również w świecie literackim są opergruppenszpicle. Iluż ludzi przywiódł do zguby J. Elsberg? Albo Lesiuczewski? Wszyscy ich znają — i nikt nie śmie tknąć ich nawet. Próbowali przepędzić ich ze związku literatów — daremny trud! A tym bardziej — wyrzucić z pracy. A już z partii — to nie ma co mówić.

Kiedy układano nasz kodeks (1926) uznano, że gdy narzędziem mordu jest oszczerstwo — to mamy do czynienia z przestępstwem pięciokrotnie lżejszym i bardziej wybaczalnym, niż wtedy gdy morderca użyje noża. (Zresztą nie sposób było przewidzieć, że w ustroju dyktatury proletariatu ktokolwiek będzie uciekał się do metod tak burżuazyjnych, jak kalumnia!). Zgodnie z artykułem 95 — świadomie fałszywe doniesienie czy zeznanie, połączone z — a) oskarżeniem o ciężkie przestępstwo; b) działaniem z chęci zysku; c) fałszowaniem i preparowaniem dowodów — winny podlega karze pozbawienia wolności na okres nie przekraczający... dwóch lat. Albo nawet sześciu miesięcy.

⁷ Ktoś powiedział o nim celnie: jeśli narodowolcy niegdyś zostawali znakomitymi językoznawcami dzięki pobytowi na zesłaniu, to Krejnowicz pozostał językoznawcą, mimo pobytu w stalinowskim obozie: nawet na Kołymie starał się prowadzić badania nad językiem Jukagirów.

426

Artykuł ten jest dziełem albo zupełnych kretyńców, albo osobników nader przewidujących.

Sądzę, że raczej tych drugich.

I od tego czasu nigdy nie zapominali włączyć tego artykułiku do spisu paragrafów objętych każdorazową amnestią (stalinowską w 45., „worozyłowską” — w 53.); troszczyli się o swój aktyw.

Jest też jeszcze problem przedawnienia. Jeśli zostałeś fałszywie oskarżony (z art. 58), to przedawnienie cię nie dotyczy. Jeśli zaś ty oskarżyłeś kogoś fałszywie — to oczywiście twój czyn podlega przedawnieniu, nie damy ci zrobić krzywdy. Cała sprawa rodziny Anny Czebotar-Tkacz oparta była na steku fałszywych zeznań. W 1944 roku i ona, i jej ojciec, i dwaj bracia zostali aresztowani za — rzekome — zabójstwo szwagierki; zabójstwo — rzekomo politycznego charakteru. Wszystkich trzech mężczyzn załuczono w więzieniu (bo nie chcieli się przyznać), Anna zaś odsiedziała 10 lat. Szwagierka natomiast okazała się w ogóle żywa i cała! Ale jeszcze dziesięć lat Anna straciła na daremne starania o rehabilitację. Nawet w 1964 roku prokuratura odpowiedziała jej: „zostaliście skazani zgodnie z prawem i nie ma żadnych podstaw do rewizji wyroku”. Gdy zaś ją w końcu zrehabilitowano niezmordowana Skrypnikowa napisała w imieniu Anny zażalenie, do magając się pociągnięcia fałszywych świadków do odpowiedzialności. Prokurator ZSSR, G. Terechow⁸ udzielił odpowiedzi: „Rzecz niewykonalna, bowiem czyn podlega przedawnieniu”.

W latach dwudziestych odszukano, pociągnięto do odpowiedzialności i rozstrzelano ciemnych chłopów, którzy czterdzieści lat przedtem brali udział w egzekucji narodowolców, zarządzonej przez sąd carski. Ale ci chłopci — to nie byli nasi ludzie. A ci donosiciele — są nasi z krwi i kości.

Oto ta wolność, na którą wyszli byli więźniowie. Czy w całych dziejach można znaleźć okres, w którym tylu powszechnie znanych łotrów cieszyłoby się bezkarnością? I czegoż tu dobrego można oczekiwać? Co wyrosnąć może w tym smrodzie?

Jak sowicie się opłacił zbójcecki koncept Archipelagu!

Koniec części szóstej

⁸ Ten sam, który już wkrótce miał być oskarżycielem na procesie Galanskowa i Ginz-burga.

CZĘŚĆ SIÓDMA STALINA NIE STAŁO

„... i nie pokutowali za mężobójstwa swoje,
ani za czary swoje, ani za poróbstwa swe,
ani za złodziejstwa swoje.”

Objawienie św. Jana Apostoła (9, 21).

GDY NA TO SPOJRZEĆ PRZEZ RAMIĘ

To jasne — nie traciliśmy nadziei, że w końcu ktoś o nas opowie: przecież prawda o tym, co zdarzyło się w dziejach, wcześniej czy później wychodzi na jaw. Ale wydawało się, że nie prędko do tego dojdzie — dopiero po śmierci większości z nas. I w zupełnie odmiennych warunkach. Sam siebie uważałem za dziejopisa Archipela-

gu, pisałem o wszystkim; pisałem — a nie spodziewałem się, że ukaże się to za mojego życia.

Bieg historii jest zawsze zaskakujący, nawet dla najbardziej dalekowzrocznych. Nie byliśmy w stanie przewidzieć, że to się tak potoczy: że bez żadnej widocznej, po-naglającej przyczyny wszystko zatrząsie się i ruszy z miejsca, i że na krótko, na tro-chę — otchłanie życia jakby się rozemknę i dwa, trzy ptaki prawdy zdążą wylecieć, zanim znów na długo zatrzaśnie się prześwit.

Iluz moich poprzedników nie dopisało kartki, nie uchroniło jej, nie do-petzło, nie dogramoliło się! — a mnie to szczęście przypadło w udziale, aby przez szczelinę żelaznych wrót rzucić pierwszą garść prawdy.

I jak materia w otoczce antymaterii — ta prawda natychmiast eksplodowała. Eksplodowała i pociągnęła za sobą lawinę listów — ale tego należało się spodzie-wać. A także zalew artykułów gazetowych — i pochwał, aż do młodości urzędo-wych, wygłaszanych ze zgrzytaniem zębów, z nienawiścią i niechęcią.

Kiedy eks-zecy dowiedzieli się z grzmiących enuncjacji całego tego gaze-ciarskiego chóru, iż ukazała się jakaś powieść o łagrach i że żurnaliści chwalą ją na wyścigi — orzekli jednomyślnie: „jeszcze jedna brechta! nawet to udało im się prze-kręcić”. O tym, żeby nasze gazety ze swoim zwykłym

431

nieumiarkowaniem nagle stały się skłonne do wychwalania prawdy
przecież tego, mimo wszystko, nie można sobie było wyobrazić! Nie
którzy nie chcieli wziąć nawet do ręki mojego opowiadania.

Ale gdy zaczęli czytać — rozległ się jakby jeden wspólny jęk, jęk radości — i zara-zem jęk bólu. I popłynęły listy.

Przechowuję je.

Nasi rodacy zbyt rzadko mogą wypowiadać się na tematy życia publicznego, a już tym bardziej — byli więźniowie. Już tyle razy tracili wiarę, już tyle razy oszukano ich — a tu uwierzyli, że nadeszła epoka prawdy, że można teraz śmiało mówić i pisać! I pomylili się oczywiście, po raz nie wiadomo który...

„Prawda zatryumfowała, szkoda że tak późno!” — pisali oni.

Późno? —jeszcze o wiele później, bo wcale dotąd nie zatryumfowała...

No cóż, znaleźli się także roztropni, którzy nie podpisywali swoich listów („miłe mi zdrowie i chcę spokojnie spędzić resztę mojego życia”), albo pytali wprost, właśnie gdy dziennikarskie zachwyty sięgały szczytów: „Dziwię się, jak Wołkowej pozwolił na druk twojej powieści? Odpowiedz mi, bo się boję, że już siedzisz w BUR-ze...”, al-bo „Jak to jest, że jeszcze was z Twardowskim nie zamknęli?”.

A to dlatego, że ich potrzask zaciął się, przestał działać. I cóż mieli począć Wołko-woj i kompania? Też musieli chwycić za pióro! Też zaczęli pisać listy. I sprostowania do gazet. Okazuje się, że też są całkiem piśmienni.

Z tej drugiej fali listów dowiadujemy się również, jak ich właściwie zwać, to znaczy, jak oni sami siebie nazywają. Ciągłe szukaliśmy właściwego słowa — gospodarze, oboźni — otóż nie: praktycy, o! to jest właściwe słowo! „Czekiści” to już nie ściśle, no więc są po prostu praktykami, takie sobie miano obrali.

Piszq zatem:

„Iwan Denisowicz — to lizus”.

(W. W. Olejnik, Aktiubińsk).

„Szuchow nie wzbudza ani współczucia, ani szacunku”.

(J. Matwiejew, Moskwa).

„Szuchowa słusznie сказано... A co zek ma do roboty na wolności?”.

(W. I. Silin, Swierdłowski).

„Tych osobników o nędznych duszyczkach sądzono jeszcze zbyt łagodnie. Wcale mi nie żal ciemnych typów z okresu wojny”.

(E.A. Ignatowicz, miasto Kimowsk).

432

„Szuchow to — „wykwalifikowany, obrotny i bezlitosny szakal. Skończony egoista, myślący tylko o swoim kałdunie”.

(W.D. Uspieńskij, Moskwa)1.

„Zamiast tego aby dać obraz zagłady najbardziej oddanych sprawie ludzi 1937 roku, autor wybrał rok 1941, gdy do obozu trafiali przede wszystkim egoistyczni nikczemnicy2. W 37. nie było Szuchowów3, a ludzie szli na śmierć w posępnym milczeniu, z jedną tylko myślą: komu to właściwie potrzebne?”.

(P.A. Pankow, Kramatorsk).

O obozowych porządkach:

„A czemuż to dawać dużo jedzenia komuś, kto nie pracuje? Jego siły nie są przecież wykorzystane... Ze światem przestępczym jeszcze zbyt łagodnie się obcho-
dzą”.

(S.I. Gołowin, Akmolinsk).

„A co do norm wyżywienia, to warto sobie przypomnieć, że ci ludzie nie są w uzdrowiskach. Winni odkupić winy wyłącznie uczciwą pracą”.

(starszy sierżant Bazunow z Ojmiakonu, 55 lat, zestarzał się na służbie w obozie).

„W obozie jest mniej nadużyć, niż w jakiegokolwiek innej sowieckiej instytucji (!!).

Stwierdzam, że obecnie w obozach są jeszcze surowsze porządki”.

(W. Karachanow, okręg moskiewski).

„Opowieść ta ubliża żołnierzom, podoficerom i oficerom wojsk wewnętrznych. Lud jest twórcą historii, ale jak pokazany jest ten lud...? — w postaci „papug”, „cymbałów” i „durni”.

(Bazunow).

1 Czy ten emeryt nie jest przypadkiem owym Uspieńskim, który swojego ojca, duchownego, zabił — i zrobił obozową karierę?

2 No tak, zwykli bezpartyjni i jeńcy wojenni.

1 Jeszcze ilu!... Więcej, niż takich, jak wy!

4 Cóż to za głębia intelektu! Nawiasem mówiąc nie w takim już milczeniu: z bezustannymi aktami skrucy i wołaniami o litość.

433

„My wykonawcy — też jesteśmy ludźmi, my także umieliśmy być bohaterami; nie zawsze dobijało się padających i tym samym narażało się na | szwank własną karierę”.

(Grig. Trofimowicz Żeleźniak5).

„W noweli opis dnia wypełniony jest przykładami karygodnego zachowania się więźniów, bez pokazania roli administracji... Ale traktowanie więźniów w obozie nie przyczyniło się do okresu kultu jednostki, tylko jest konsekwencją wyroku sądowego”.

(A. I. Grigoriew).

„Ochrona nie wiedziała, kto za co siedzi”.

(Karachanow).

„Sołżenicyn tak opisuje całą robotę w obozie, jakby tam żadnego partyjnego kierownictwa nie było. A tymczasem i dawniej, i dziś istniały partyjne organizacje i kierowały całą działalnością zgodnie z sumieniem.

(Praktycy) „wypełniali tylko to, czego od nich wymagały ustawy, instrukcje, rozkazy. Przecież ci sami ludzie, którzy pracowali wtedy, pracują i dziś (!!)\ być może doszło jakieś 10%, a niejednokrotnie otrzymywali jednak dowody uznania za swoją wydajną pracę i bardzo są cenieni jako siły fachowe”.

„Wszyscy pracownicy wojsk wewnętrznych pełni są gorącego i szczerego oburzenia... Aż dziw bierze skąd tyle żółci w tym utworze... On celowo szczuje naród na MWDL..I czemuż to nasze organy pozwalają na takie poniewieranie pracowników wojsk wewnętrznych?... To niegodne!”.

(Anna Filipowna Zacharowa, Okręg Irkucki, w MWD od 1950, w partii od 1956 roku).
Słuchajcie, słuchajcie! To niegodne! — oto krzyk duszy! 45 lat gnębili tubylców — i to było godne, uczciwe. A jedno opowiadanie wydrukowano — i już „to niegodne”!

„Takiego świństwa nikt jeszcze nam nigdy nie kazał przetknąć. ...To nie tylko moje zdanie, jest nas wielu, a imię nasze — Legion8”.

5 Żeleźniak mnie osobiście też pamięta: „przybył z etapem kajdaniarzy, wyróżniał się

kłótliwym charakterem; później odesłano go do Dżezkazganu, gdzie stał razem z Kuz-

niecowem na czele powstania”.

6 My? — my „tylko spełnialiśmy rozkazy”, „myśmy nie wiedzieli”.

7 Bardzo ważne świadectwo.

8 Słusznie, co legion — to legion, słusznie. Tylko w pośpiechu nie sprawdzili cytatu

z Ewangelii. Mowa tam jest o legionie BIESÓW.

434

Albo jeszcze krócej: „Opowieść Sołżenicyna powinna być niezwłocznie usunięta ze wszystkich bibliotek i czytelní”.

(A. Kuźmin, Orzeł).

Tak też i uczyniono. Tylko stopniowo.*

„Książki tej nie należało drukować, a materiały powinno się było przestać do Organów KGB”.

(Anonim9 rówieśnik Października).

Rzecz przybrała obrót niemal taki, jak to przewidział nasz rówieśniczek.

A oto jeszcze jeden Anonim, tym razem poeta; Czy słyszysz nas, Rosjo? Na naszym sumieniu Najmniejszej nie znajdziesz plamki!

I znów to „przekłète incognito"! Dobrze byłoby się dowiedzieć, czy sam rozstrzeliwał, czy tylko posyłał pod mur, czy może to zwykły wyznawca partyjnej ortodoksji — ale masz ci los, anonim! Anonim bez najmniejszej plamki...

I wreszcie — szerokie filozoficzne spojrzenie:

„Historia nigdy nie miała potrzeby gmerania w przeszłości (!!)

a już tym bardziej nie musi w niej gmerać historia socjalistycznej kultury”.

(A. Kuźmin).

Historia może się obyć bez gmerania w przeszłości! — oto do czego doszli nasi Prawomyślni. A w czym ma gmerać? — może w przyszłości?... I tacy ludzie piszą historię!...

I cóż można teraz przeciwstawić wszystkim im, całej zjednoczonej potędze ciemno-ty? Jak im teraz otworzyć oczy?...

Przecież prawda jest wstydliva, milknie gdy kłamstwo zbyt bezczelnie się panoszy. Długi brak swobodnej wymiany informacji wewnątrz kraju żłobi przepaść niezrozumienia między całymi grupami ludności, między milionami — a milionami.

Tajne rozporządzenie Głównego Zarządu Ochrony Tajemnicy Państwowej i Prasy z 14.11.1972 nakazało usunięcie z obiegu i zniszczenie wszystkich egzemplarzy Iwana De-nisowicza, Zagrody Matriony i innych opublikowanych legalnie opowiadań (podpisał je Romanów).

9 Ten też się ukrywa, na wszelki wypadek: diabli wiedzą, skąd tu jeszcze wiatr po-wieje!...

435

Całkiem po prostu przestajemy być jednym narodem, mówimy bowiem istotnie różnymi językami.'

Wyłom — mimo wszystko — został dokonany! Tak była niewzruszona, tak niezawodna ściana kłamstwa, zdawało się, że przetrwa wieki — i wystarczyło szczelinki, by wiadomości przeciekły. Jeszcze wczoraj nie było u nas żadnych obozów, żadnego Archipelagu — a dziś cały naród i cały świat je zobaczył: obozy! i to faszy-stowskie!

Co teraz począć?? Mistrzowie w sztuce wywracania na nice! Pionierzy Chwalby! Czy zdołacie to ścierpieć? Bylibyście zdolni do strachu? Wy — i kapitulacja?!

Ależ oczywiście, że nie! Mistrzowie przekręcania i wywracania na nice pierwsi rzucili się ku wyłomowi, jakby tylko na to czekali od lat, aby zastąpić ów wyłom własnymi szaroskrzydłymi ciałami i radosnym — a jakże — radosnym trzepotaniem skrzydeł starali się odwrócić od Archipelagu uwagę zdumionych widzów.

Ich pierwszym zawołaniem, natychmiast ukutym, instynktownym — było: to się już więcej nie powtórzy! Chwała Partii! — to się nie powtórzy!

Ach, spryciarze, ach co za mistrzowie klajstrowania! Przecież jeśli „już się nigdy nie powtórzy”, to znaczy, że już dziś tego nie ma! W przyszłości

— już się nie powtórzy, a dziś — już nie istnieje — to oczywiste!

Tak zręcznie łopotali skrzydłami uwijając się przed wyrwą, że ledwie mający zarys Archipelagu już stał się przywidzeniem: nie ma go, nie będzie, co najwyżej — był tam kiedyś... I kto tu winien — jeśli nie kult jednostki! (Nieżyły ten „kult jednostki”!

— wymówiłeś to słówko — i już wszystko jest wyjaśnione). A co istnieje rzeczywiście, co zostało, co wypełnia wyrwę i co trwać będzie po wiek wieków — to „Chwała Partii!”. Z początku chwała jakby za to, że „już się nigdy nie powtórzy”, a potem

— wychodzi na to, że chwała jakby również za sam Archipelag, bo to się łączy i trudno to wszak rozdzielić. Jeszcze nie mieli w ręku czasopisma

z moją nowelą, a już zewsząd się niesie: „Chwała Partii!”. Nie doczytali jeszcze do tego miejsca, gdzie leją nahajką, a już krzyczą wszyscy wokół:

„Chwała Partii!”.

W ten sposób aniołowie stróże kłamstwa, strażnicy Muru — znakomicie wybrnęli z pierwszych kłopotów.

Tylko, że wyrwa istniała nadal. I dlatego nie mogli zaprzestać swoich skrzydlatych wysiłków.

Dlatego ich druga praca herkulesowa polegała na magicznej zamianie.

436

Jak sztukmistrz — niemal bez pomocy chusteczki — przemienia kurę w pomarańczę, tak samo oni chcieli podmienić cały Archipelag i zamiast tego, jaki został w powieści przedstawiony — ukazać publiczności już zupełnie inny, znacznie szlachetniejszy. Z początku próby te wykonywano ostrożnie (przypuszczając, że autor stoi blisko tronu), wobec czego operację zamiany trzeba było prowadzić — wynosząc równocześnie nowelę pod niebiosy. Ale I. Czyczerow¹⁰ poradził sobie z trudnym zadaniem i z miejsca wytyczył główny kierunek natarcia. Gdyż już nachwalił się do syta, przeszedł w recenzji do relacji o Archipelagu z punktu widzenia „nawochnych świadków” — snując opowieść o komunistach w obozie, którzy co prawda —

„... nie zbierali partyjnych składek, ale nocami przeprowadzali tajne partyjne zebrania (?), omawiając na nich aktualne problemy polityczne... Za odśpiewanie szeptem „Międzynarodówki” gnili w karcerach, wydani przez donosicieli... Banderowcy i własowcy znęcali się nad prawdziwymi komunistami i do spółki (!) z obozowym kierownictwem niejednego z nich doprowadzili do kalectwa. Ale tego wszystkiego Sołżenicyn nam nie pokazał. Niektórych spraw nie zdołał jednak dostrzec w tym strasznym świecie”.

A Czyczerow nie był nawet w obozie, ale — dostrzegł! To jest zręczność, co? Okazuje się, że obozy nie były dziełem władzy sowieckiej, ani dziełem partii! (I sądy też pewnie nie były sowieckie). W obozach panoszyli się własowcy i banderowcy do spółki z kierownictwem. (Masz ci los! A myśmy uwierzyli Zacharowej, że komendanci obozów zawsze, a zawsze mieli partyjną legitymację w kieszeni!).

Ale nie każdy drukuje się w moskiewskich gazetach. Nasz riazariski luminarz, literat N. Szundik zaproponował w wywiadzie dla agencji Associated Press, przeznaczonym dla prasy zachodniej (tylko że go nie wydrukowali. Może również ta agencja do spółki...?) jeszcze taki wariant oceny Archipelagu:

„Przekleństwo międzynarodowemu imperializmowi, który sprowokował powstanie wszystkich tych obozów”!

To jest mądre! To jest świetnie powiedziane! Tylko, że nie poszło do druku...

Bo i w ogóle obozy były jakieś takie cudzoziemskie, obcego pochodzenia, nie z naszej parafii, ni to beriowskie, ni to własowskie, ni to niemieckie, diabli je wiedzą, a nasi ludzie — siedzieli tam tylko i męczyli się, zresztą ci „nasi” to też nie sami nasi; żeby wszystkich „naszych” wymienić, to by wszystkich gazet razem nie starczyło, nasi — to wyłącznie komuniści!

Czy czytelnik, który razem ze mną przedzierał się przez cały gąszcz Ar-
„„Moskowskaja Prawda”, 8.XII.1962.

437

chipelagu, może mi teraz wymienić takie miejsce i taką chwilę, kiedy byłby czas na odśpiewanie „Międzynarodówki” szeptem? Wlokąc się z leśnej poręby — nie bardzo chce się człowiekowi śpiewać, prawda? Chyba więc tylko wtedy, gdy cały dzień przesiedziało się w przytulnym składziku... A jakim był temat i cel tych nocnych zebrań partyjnych (odbywać też się mogły chyba tylko w składziku albo w lazare-

cie, a skoro tak, to już we dnie, bo i po co w nocy?...)? Wyrażenie votum nieufności Komitetowi Centralnemu? Sfiksowaliście, czy co! A więc — Berii? Ale w żadnym wypadku — toż to członek Biura Politycznego! To może naszemu KGB? Nie uchodzi — stworzył je sam Dzierżyński! Chcieli więc dać wyraz nieufności do naszych sowieckich sądów? Ależ to równa się nieufności wobec Partii, aż strach o tym mówić. (Przecież omyłka zaszła tylko w stosunku do ciebie jednego, więc towarzyszy też powinieneś ostrożniej sobie dobierać, bo przecież tamci skazani zostali zupełnie słusznie!).

Prosty szofer A.G. Zagorujko, którego trzepot tych skrzydełek widać nie przekonał, tak pisze do mnie:

„Nie wszyscy byli tacy jak Iwan Denisowicz? A jacy więc byli? Niepokorni, czy jak? Może w obozach działały 'grupy ruchu oporu' z komunistami na czele? No to z kim walczyły? Z Partią i rządem?”.

A cóż to za buntownicze myśli! O jakich w ogóle „grupach ruchu oporu” mowa?... Ale skoro tak — to co było tematem tych zebrań? Sprawa zaległości w płaceniu składek członkowskich? Cóż, kiedy ich nie zbierali... Aktualna sytuacja polityczna? Czy do tego konieczne są zebrania? Zejdzie się jeden wierny z drugim wiernym (trzeba się jeszcze zastanowić, kto tu naprawdę wierny!) i — poszepczą sobie w kącie... Na dobrą sprawę tylko jeden mógł być temat zebrań partyjnych w obozach: jakby tu zapewnić naszym ludziom wszystkie funkcje pryduków i ocaleć samemu, a nie-na-szych, niekomunistów zepchnąć w mroźne płomienisko leśnych wyrębów, niech tam zgorzeją, albo niech się duszą w gazowej komorze kopalni miedzi! I nic innego się nie wymyśli, to była jedyna praktyczna kwestia, o której mogli gadać. Tak oto już w 1962 roku, gdy nowela nie zdążyła jeszcze dotrzeć do czytelników — wytyczona została linia dalszego postępowania z podmianą Archipelagu. A w miarę jak upewniali się, że autor nie stoi wcale blisko tropu, że nikt go nie broni, że jest może tylko marą — mistrzowie od wywracania prawdy na nice nabierali kurażu.

Wzięli jeszcze raz opowieść do ręki — i czegośmy się tutaj tak zlekli? Co nam kazało pisać te peany? (lokajski nawyk). „Postaci ludzkie (u Sołżeni-cyna) są nieudane... W głębi duszy człowieka... bał się jednak zajrzeć”.

„„Kazachstanskaja Prawda”, 6.X.1964. List dyplomaty A. Gudzenko.

438

Przyjrzeni się bohaterowi — toż to „idealny antybohater!”. Szuchow jest „odosobniony”, „obcy narodowi”, ten nędzny facet żyje tylko, aby jeść i nie walczyć! Oto co ich wszystkich najbardziej oburzyło! — dlaczego Szuchow nie walczy? Ma może brać się do obalenia reżymu obozowego, albo chwycić za broń — o tym nie piszą, tylko powtarzają: dlaczego nie walczyć?? (A miałem już gotowy scenariusz o kengirskim powstaniu, ale nie ośmieliłem się pokazać nawet rąbka rękopisu...).

Sami nie zdobyli się na choćby jeden erg walki, od nas zaś żądali tono-kilometrów! I tak zawsze. Gdy skończony bój, odważnych jest rój.

„Prawdę mówiąc Szuchow ma bardzo przyziemne zainteresowania, a najstraszniejsza tragedia okresu kultu jednostki polegała na tym, że za drutami kolczastymi znaleźli się najlepsi ludzie sowieccy w całym tego słowa znaczeniu, przodujące jednostki, sól naszej ziemi, prawdziwi bohaterowie naszych czasów”, którzy „też mieli by może chęć, by zaharapczyć dodatkową porcyjkę sałamachy... ale dostawali ją

nie uciekając się do fa-gasowania¹²". (A w jaki sposób? Jak? — to dopiero ciekawe).

„Sołżenicyn wyakcentował niezmiernie ciężkie warunki życia codziennego w obozie. I dlatego rozminął się z surową prawdą życia". A prawda polegała na tym, że byli tam przecież „zahartowani w ogniu walki" ludzie, „wypiaastowani przez leninowską partię", którzy... no co? walczyli? gdzie tam, „głęboko wierzyli, że kiedyś skończy się mroczna epoka samowoli".

„Niektórzy autorzy bardzo przekonywająco opisali mękę głodu. Ale kto śmie zaprzeczyć, iż męka myśli po stokroć być może gorszą od męki głodu¹³?" (Szczególnie jeśliś tego, bracie, nie zaznał). A oto jakie to były męki, jakie cierpienia duszne: co to z nami będzie? jak nam tu będzie? kiedy nas ułaskawią? kiedy nas znów powołają na kierownicze stanowiska?

Przecież cały XXII Zjazd był temu poświęcony: komu chciano wznieść pomnik? Rozstrzelanym komunistom! Czy rozstrzelanym Iwanom, po prostu? Nie. O tym nie było mowy, Iwanów wcale nie żał. (To był właśnie ukryty ładunek wybuchowy Iwana Denisowicza: podsunęto im zwykłego Iwana).

Tak oto trzepocząc skrzydełkami polatywali koło tej szczeliny już drugi roczek z rzędu.

A kto potrafił rzecz osnuć pajęczynką legendy, ten próbował. Na przykład takie „Izwestia"¹⁴ zabrały się do pouczenia nas w jaki sposób nale-

¹² „Kazachstanskaja Prawda", 27.VII.1964.

¹³ „Krasnojarskij Raboczyj", 27.IX.1964.

¹⁴ Z dnia 25.IV.1964.

439

żało walczyć: okazuje się, że trzeba było z obozu uciekać! Nasi zbiegowie nie znali adresu autora artykułu, N. Jermołowicza! Ten by im zapewnił schronienie!... (Ale tak w ogóle, to rada perfidna: toż ucieczka podkopuje autorytet MWD!). No dobra: uciekać — ale co potem?

Niejaki Aleksy, jak to powiadają nam „Izwestia" (szkoda tylko, że nazwiska nie podają) uciekł ponoć wiosną 1944 roku z rybińskiego obozu na front — gdzie od razu wcielony został do szeregów i to z otwartymi ramionami przez pewnego majora od spraw politycznych („potrząsnął ostro głową odganiając wątpliwości"). Nazwiska majora też zresztą nie podano. I wcielono go nie byle gdzie, tylko do plutonu zwiadu pułkowego! I od razu posłano z zadaniem bojowym na tyły przeciwnika! (No, niech mi powie ten z was, kto był na froncie — to temu majorowi nie zależało na pagonach, na legitymacji partyjnej? W 41. jeszcze można było tak zaryzykować, ale w 44., kiedy sprawozdawczość już była tip-top, a SMIERSZ czuwał?). Bohaterski Aleksy dostał order Czerwonego Sztandaru (jak to załatwiono formalnie?), a po wojnie „postarał się szybko przejść do rezerwy".

Drugiego bohatera wymieniają już z imienia i nazwiska: niemiecki komunista Ksawery Schwartzmiiller uciekł od Hitlera do nas w 1933 roku, aresztowany został w 1941 jako Niemiec (to wszystko brzmi jeszcze prawdopodobnie). No, zaraz się dowiemy, jak powinien walczyć w obozie prawdziwy komunista. Oficjalne zaświadczenie głosi: zmarł w Czystopolu, 4.VI.1942 roku (zawinął się od razu, na samym początku pobytu w obozie, to bardzo prawdopodobne, zwłaszcza, że chodzi o cudzoziemca), pośmiertnie został zrehabilitowany w 1956 roku. No a gdzie ta walka? A otóż gdzie: wieść niesie, że w 1962 ktoś (jakaś baba) miała go widzieć w Ry-

dze. A więc to dowód, że uciekł! Sprawdzono pośpiesznie „obozowe świadectwo zgonu” (nierówno oddarty świstek) — i wyobraźcie sobie — brak na nim fotografii! Słyszycie, coś niebywałego: nagle okazuje się, że zmarłemu zapomniano zrobić w obozie zdjęcie! Niebywałe rzeczy! No, teraz już wszystko jasne: uciekł i przez cały ten czas walczył! A jak walczył? Tajemnica. Z kim walczył? Tajemnica. A teraz czemu się nie ujawnia? Też nie wiadomo.

Takie bajędy prawi nam centralny organ prasowy rządu!

Taką pajęczynką legend chcą zasnuć przed naszym wzrokiem Archipelag, który na chwilę wyłonił się z mgieł!

Przytoczmy jeszcze jedną legendę z tych samych „Izwestii”: właśnie ostatnio pewien syn dowiedział się o pośmiertnej rehabilitacji swego ojca. Jaka była jego reakcja? Pewnie wściekłość, że mu ojca uchechłali bez żadnego powodu? Nie — radość, uczucie ulgi: cóż to za szczęście dowiedzieć się, że ojciec nic nie zawinił Partii!

Każdy wyciskał z siebie taką pajęczynkę, na jaką go było stać. Jedna

440

niteczka na drugą, jedna na drugą — i już cię to światło jakoś mniej razi, już nie tak dobrze ten Archipelag widać.

A podczas gdy tamci tak snuli i tkali swoje nici, podczas gdy trzepotali gorliwie skrzydełkami u tej szczeliny — z tyłu, po tamtej stronie muru wspinali się i windowali rusztowania naczelnicy murarze tej całej budowy. Bo trzeba wszak, aby to byli jednak pisarze, a ponieważ również — ofiary prześladowań, tacy, co to sami w obozie posiedzieli, bo inaczej to przecież żaden dureń nie uwierzy. Wspinali się tam Borys Diaków, Georgij Szelest, Galina Sieriebriakowa i Ałdan-Siemionow.

Nie brak im było zapału; mieli oni na oku tę wyrwę od samego początku, rwali się do niej z dołu, z własnej chęci, choć rusztowania jeszcze wtedy nie było, chlapali ci tą zaprawą, ale nie mogli dosięgnąć.

Sieriebriakowa — przyniosła nawet całą gotową płytę marmurową, by zatkać prześwit, zatkać go nawet z naddatkiem; przyniosła powieść o torturowaniu komunistów podczas śledztwa — jak im oczy wyrywano, jak ich kopano. Ale jej wyjaśniono, że tu o inny typ kamienia chodzi, że ta płyta nie przystaje, że z tego tylko nowa dziura będzie.

Szelest natomiast, były kombryg WCzK, jeszcze wcześniej proponował „Izwestiom” swoją nowelę Samorodek, ale dopóki temat był na indeksie — po cholerę go było tykać? Teraz zaś, na 12 dni przed zarysowaniem się Muru, wiedząc już gdzie szczelina powstanie, przyłożyły „Izwestia” szeles-towski plaster. Ale nie wstrzymał lawiny, przeszła jak przez bibułę.

Jeszcze kurzyło się w wyrwie — gdy podskoczył Diaków, żeby zasypać ją swoimi Notatkami prydurka. Ale cegła recenzji Łakszyna zwała mu się na głowę; wykazano, że w obozie ratował tylko własną skórę, nic więcej.

Nie, tak to się nie uda. Trzeba jakoś gruntowniej. Zaczęli więc stawiać rusztowania. Zeszło na to półtora roku. Do tego czasu przebiegowali jakoś, konten-tując się artykułami w gazetach i trzepotaniem błoniastych skrzydeł. A gdy już na rusztowania rzucono deski i podstawiono żurawia — budowa ruszyła na całym froncie: w lipcu 1964 roku — To, cośmy przeżyli — Diako-wa; Płaskorzeźba na skale Ałdana-Siemionowa, we wrześniu — Notatki kolymskie. W tym też roku, w Magadanie, pojawiła się książeczka Wiat-kina¹⁵.

I to wszystko. I замуrowali. A na fasadzie, tam gdzie łąta — wymalowali zupełnie co innego: palmy, daktyle, tubylcy w kąpielowych kostiumach. Archipelag? Coś jakby Archipelag. Tylko już nie ten sam? Pewno, że nie ten sam.

15 W. Wiatkin, Człowiek rodzi się dwa razy.

441

O tych wszystkich książkach już napomykałem mówiąc o prawomyślnych¹⁶ i gdyby różnica zdań między nami ograniczała się tylko do spraw literackich, to nie miałbym powodu o nich tu mówić. Ale ponieważ podjęli się załatwianie całej sprawy Archipelagu, więc obowiązkiem moim jest wyjaśnienie, gdzie robią oni z niego dekorację. Chociaż czytelnik, który przebrnął przez całą tę moją księgę, sam się zapewne łatwo zorientuje.

Pierwsze i podstawowe ich kłamstwo na tym polega, że na ich Archipelagu nie siedzą prości ludzie, nasze lwany. Mniejsza, jak doszli do tego odkrycia — pojedynczo, czy pospół, ale kłamią zgodnie, dzieląc więźniów na: 1) uczciwych komunistów (z osobną podgrupą obejmującą bezpartyjnych, płomiennych bolszewików) i 2) białogwardzistów — własowców — policajów — banderowców (wszystkich do jednego worka).

A tymczasem wszyscy wymienieni, razem więźni, nie stanowili więcej niż 10—15%. A cała reszta — 85% — to byli chłopci, inteligencja i robotnicy. Masa ta składała się właściwie tylko z Pięćdziesiątki Ósemki oraz wszystkich niezliczonych, nieszczęsnych ofiar „dekretów”, siedzących za szpulkę nici i za garść kłosek, uniesionych w podółku. I właśnie o tych wcale nie ma mowy. Zapodziali się gdzieś. A dlatego się zapodziali, że autorzy tych książek rzeczywiście nie dostrzegali swojego cierpiącego ludu — i była to postawa zupełnie szczerą! To było dla nich w ogóle nie istnieje, skoro wracając z leśnych robót nie śpiewa szeptem „Międzynarodówki”. Szelest przebąkuje coś głucho o sekciarkach (nawet nie o sekciarzach — w męskim obozie ich nie zauważył!). Gdzieś tam przewija się u niego jakiś drobny szkodnik (przedstawiony właśnie jako szkodnik) i jeden mizerny pospolitytak. To wszystko. Zniknęły też z ich książek wszelkie narodowości mieszkające na peryferiach kraju. Taki Diaków mógł zauważyć podczas swojej odsiadki przynajmniej Bałtów? Ale nie, ani śladu! (Ukryliby, gdyby mogli, nawet istnienie Zachodnich Ukraińców, tylko że ci zachowywali się już zbyt aktywnie).

Z całego widma świetlnego, na jakie składają się wszystkie grupy ludności tubylczej Archipelagu — zostały u tych pisarzy tylko dwie skrajne barwy! Ale przecież to właśnie potrzebne jest do schematu, bez tego schematu kupy się nie trzyma! A kto w brygadzie opisanej przez Ałdana-Siemionowa okazuje się jedynie sprzedajną duszą? — jedyny w powieści chłop — Die-wiatkin. U Szelesta w Samorodku — kto występuje w roli przygłupiego prostaczka — jedyny w opowieści chłop, Gołubow. Taki jest ich stosunek do ludu.

„ Część trzecia, rozdział jedenasty.

442

Drugie ich kłamstwo na tym polega, że obozowej pracy albo wcale u nich nie ma (ich bohaterowie to zwykle pryduki, zwolnieni od codziennej harówki i spędzający swoje dni bądź w magazynach, bądź za urzędniczym blatem, bądź w szpitalikach.

U Sieriebriakowej — 12 osób naraz leży w szpitalnej izbie, zwanej „komunistyczną”. A kto ich tam zgrupował? I czemuż to — sami komuniści? czy aby nie za protekcją umieszczono ich tam na odpoczynek?... — albo też praca jest jakimś wcale nie-strasznym, nie wyczerpującym, nie dobijającym człowieka papierowym zajęciem. A przecież dziesięcio- dwunastogodzinna harówka — to największy krwio pijca obozu. To ona jest główną treścią każdego dnia, wszystkich dni na Archipelagu. Trzecie ich łgarstwo polega na tym, że w ich obozie n i e szczerzy zębów głód. Że nie zagryza każdego dnia całych dziesiątków ludzi chorych na pelagrę i dystrofię. Nikt nie grzebie w śmietnikach. Nikt właściwie nie musi zastanawiać się, jak tu nie zdechnąć przed końcem dnia. („ITŁ — to obóz o złagodzonej formie” — niedbale rzuca Diaków. Posiedziałyś, bratku, w tym złagodzonej formie!). Tych trzech łgarstw starczyło, aby zwichnąć wszystkie proporcje Archipelagu — już śladu nie ma z rzeczywistej rzeczywistości, już zniknęła prawdziwa, trójwymiarowa przestrzeń. I teraz — zgodnie z ogólnym światopoglądem autora i z własną jego fantazją można już swobodnie tworzyć, układając klocki, rysując, wyszywając i plectąc, co się żywnie podoba — bo w tym zmyślonym świecie wszystko jest dozwolone. Teraz można poświęcić długie stronicie opisom wzniosłych rozmyślań bohaterów (kiedy skończy się ta samowola? kiedy pozwolą nam znowu rządzić?) — i rozważaniom o tym, jak oddani oni są Partii i jak Partia z czasem wszystko naprawi. Można opisać powszechną radość przy zakupie obligacji nowej pożyczki (co równe jest wyrzeczeniu się pieniędzy na zakupy w obozowej kantynie). Można wiecznie milczące więzienie wypełnić gwarem rozmów (łubiański fryzjer pyta z miejsca, czy Diaków aby jest komunistą... Chore majaczenia!). Można wstawiać do więziennych pukanych rozmów pytania, jakich od wieków nikt tu nie zadawał („Czy jesteś członkiem partii?... Jakie stanowisko zajmowałeś?...”). Można wymyślać anegdoty, które już nie śmiech budzą, ale ból brzucha: zek zgłasza zażalenie sekretarzowi partii, wolnia-kowi, że pewien wolny obszczekał jego, zeka, członka partii!”. — W jakie ośle uszy chcecie to nakłąć?... (Diaków). Albo taki obrazek: zek z konwojowanej kolumny więźniów (szlachetny Pietrakov, towarzysz broni Kirowa) zmusza do skręcenia w kierunku pomnika Lenina i do zdjęcia czapek całą kolumnę, w tej liczbie również konwojentów (a jak celowali z automatów?! (Ałdan-Siemionow). U Wiatkina złodziejskie tałatajstwo na Ko-

443

łymie ochoczo ściąga czapki, składając tym hołd Leninowi podczas apelu. Absolutna brednia. (Gdyby to nawet była prawda — niewielki byłby dla Lenina zaszczyt).

Cały Samorodek Szelesta to tylko anegdota, od początku do końca. Oddać władzom obozowym znaleziony złoty samorodek? — Żeby w ogóle zastanawiać się nad tym potrzebna jest straceńcza odwaga: bo jak cię przy-łapią — rozstrzelanie! (już za samo zadanie takiego pytania — też rozstrzelanie!)... Ale oddali — generał zaś uznał za stosowne zarządzić w ich drużynie rewizję. A co by było, gdyby nie oddali?... Sam autor wzmiankuje

0 sąsiadującej z nimi „drużynie Łotysza”, którą rewidowano także w miejscu pracy i w baraku. Tak więc problem polegał nie na tym, czy wspomóc Ojczyznę, czy też nie — ale na tym, czy dla tych czterech ludzi kawałek złota wart był ich własnego życia? Cała ta sytuacja jest wymyślona tylko po to, aby mogła przejawiać się komunistyczna i patriotyczna postawa bo

haterów. (Co innego — zwolnieni spod konwoju. U Ałdana-Siemionowa kradnie samorodki nawet major milicji i zastępca komisarza przemysłu naftowego).

Ale Szelest tak czy inaczej nie nadąża za potrzebami chwili: zbyt ostro, prawie z nienawiścią mówi o kierownictwie obozu, co prawdziwemu ortodoksie nie uchodzi. Ałdan-Siemionow, o zdeklarowanym łotrze — naczelniku kopalni, tak pisze: „był on bardzo dorzecznym organizatorem” (!). Zresztą cała jego moralność jest taka: jeśli naczelnik jest sprawny — to

1 w obozie pracuje się różnie, i żyje się nieomal jak na swobodzie¹⁷.

Podobnie u Wiatkina: w jego powieści kat Kołymy, dyrektor Dalstaju, Karp Pawłow, już to „nic nie wiedział” o bestialstwach, których sam był sprawcą, już to „nie zdawał sobie sprawy”, już to — w ogóle do gruntu się zmienił.

A w tak naszkicowaną dekorację musieli teraz autorzy wpisać — dla większego prawdopodobieństwa — również autentyczne detale. U Ałdana-Siemionowa: konwojent przywłaszcza sobie wydobyte złoto; jeśli ktoś odmawia pracy — znęcają się nad nim, gwiżdżąc sobie na normy prawne; pracuje się tam przy 53 stopniach mrozu; złodziejom powodzi się świetnie w obozie; penicylina zarezerwowana jest wyłącznie dla dowództwa obozu. — U Diakowa: konwojenci są brutalni; scena w Tajszece, przy pociągu: z zeków nie zdążono zerwać numerów i pasażerowie rzucają więźniom

17 Wydaje się, że Aldan-Siemionow zna stosunki panujące wśród dowódców — i że bywał u nich, ale życie za drutami zna nieco gorzej; stąd pełno u niego rażących pomyłek: baptyści to „obiboki”; konwojent-Tatar daje kawał chleba zekowi-Tatarowi i dlatego więźniowie uznają go za donosiciela! W istocie nie mogli tak pomyśleć, bowiem konwój co dzień się zmienia i nie ma własnych donosicieli...

444

machorkę i jedzenie, które konwojenci zabierają dla siebie; opis przedświątecznej rewizji. Te scenki wykorzystują autorzy tylko dla nadania wiarygodności całej reszcie.

A oto, co jest solą ich książek (zacytujmy recenzje):

„W Jednym dniu Iwana Denisowicza straż obozu — to nieomal bestie. Diaków wykazuje, że wśród strażników było wielu takich, którzy bili się z myślami¹⁸” (no i co też wymyślili?).

„Diaków ocalił gorzką prawdę życia... Dla niego bezprawie w obozach to... tło (!), a istotą zagadnienia jest to, iż sowiecki człowiek nie ugiął się przed samowolą... Diaków dostrzega także uczciwych czekistów, którzy zdolni byli do bohaterstwa, tak jest, do bohaterstwa¹⁹!”.

(To bohaterstwo sprowadzało się do zapewniania komunistom dobrych funkcji. Zresztą elementy bohaterstwa dostrzegają oni również u więźnia-komunisty Konołtina, który „dotknięty do żywego haniebnym oskarżeniem... pozbawiony wolności... nie porzucił pracy”... laboranta! A więc na tym polega to męstwo, że udało mu się uniknąć przeniesienia ze szpitalnego laboratorium na roboty ogólne²⁰).

A jakież jest koronny wniosek Diakowa? „Wszystko co złe — minęło” (o tych, co zginęli, Diaków nie wspomina). „Wszystko co dobre — wróciło”. „Nic nie poszło na marne”.

A u Ałdana-Siemionowa: „Nie bacząc na to wszystko — nie czujemy żalu”. Chwała Partii — to ona zniósła obozy! (z wierszowanego epilogu).

Czy istotnie zniósła je?... Czy nic nie zostało?... A poza tym — kto obozy stworzył?... O tym milczą.

A co tu teraz odpowiedzieć zekowi A.K. K-wowi, który pyta: „Czy za Berii władza była sowiecka, czy może jakaś inna? Dlaczego mu pozwolono na to wszystko?...”. Albo jaką dać odpowiedź P.R. M-owi: „Jak to się dzieje: władza u nas należy do ludu i to lud sam siebie tak tyranizuje?”.

Nasi autorzy nie zabiegali przecież o pajkę, nie harowali, przez cały czas snuli tylko te swoje wzniosłe rozmyślenia — niechże teraz odpowiedzą!

Milczą. Cisza²¹...

18 „Tiumenskaja Prawda”, 13.VIII. 1964.

„Wolgin, Soldaty riewolucji, „Krasnojarskij Raboczij”, 27.IX.1964.

20 M. Czarnyj, Komunisty ostajutsia kommunistami „Litieraturnaja Gazieta”,

15.IX.1964.

21 Jeśli chodzi o ton osobisty tych wspomnień, to Szelest zachowuje największy

umiar — bo jednak otarł się o prawdziwe dno (choć niewykluczone, że przez większą część

odsiadki migał się, jak jego bohater Zaborski). W jego opowiadaniach odnaleźć można

autentyczne rysy życia obozowego. — Najbardziej antypatyczny ton ma utwór Diakowa.

I nie chodzi tu tylko o fokową, okrągłą czapkę (w Specobozie!), i wodę kolońską, i skargi,

445

O! i tyle. Dziurka już zacerowana i zamalowana (generał Gorbatow dał jeszcze ostatni sztych). I żadnej wyrwy w murze nie było! A sam Archipelag, jeśli nawet był — to jakiś taki widmowy, nierzeczywisty, maleńki, nie wart chwili uwagi.

Co by to dodać? Na wszelki wypadek machną jeszcze pędzlem dziennikarze. Taki Michał Bieriestinskij na zamówienie niestrudzonej „Litieratur-nej Gaziety” (nic nie ujdzie jej uwagi — oprócz literatury) odwiedził zakład karny na stacji Jercewo. Sam też siedział, jak się okazuje. Ale jakże wzruszyło go spotkanie z nowymi gospodarzami wysp: „Nie można sobie nawet wyobrazić w dzisiejszych zakładach poprawczych, czy w miejscach odosobnienia ludzi, którzy czymkolwiek przypominiliby Wołkowego²²... Dziś są to autentyczni komuniści. Surowi, ale dobrzy i sprawiedliwi ludzie. Nie należy sądzić, że to jakieś anioły bez skrzydeł... (jak widać kursuje również taki pogląd — A. S.). Ogródzenia z kolczastego drutu, wieżyczki strażnicze, wszystko to, niestety, jest jeszcze chwilowo potrzebne, ale oficerowie z radością opowiadają, że „kontyngenty” wciąż maleją²³. (I z czego to oni tacy zadowoleni — że do renty nie dociągną? że przyjdzie im zmieniać fach?).

Malusieńki ten Archipelazek, kieszonkowy! Bardzo potrzebny, ale jak cukierek lodowy.

Robota skończona. Ale wciąż jeszcze pchali się chyba na te rusztowania różni ochotnicy z kielniami, z pędzlami, z wiaderkami pełnymi zaprawy.

Krzyknięto tedy na nich:

— Cył! W tył zwrot! Zapomnieć raz na zawsze! Żadnego Archipelagu nie było — ani dobrego, ani złego! I w ogóle — milczeć! Zapomnieć!

Tak więc pierwszą reakcją było — konwulsyjne trzepotanie.

Drugą — gruntowne zasklepienie wyrwy.

Trzecią — puszczenie w niepamięć.

Prawa wolnych obywateli do informacji o Archipelagu zostały sprowadzone do stanu sprzed 1953 roku. Sprawa wróciła do punktu wyjścia.

że było mu — uważacie — zimno w przechowalni osobistych rzeczy — ale o wykrętne próby ukrycia oczywistego faktu, że w obozie powodziło mu się dobrze („w obozie funkcji się nie rozdaje, przydział funkcji zależy od artykułu i wysokości kary” — ba, ale przede wszystkim od kuma!); przerabiając swoje „notatki” dla nowego wydania — przekręca motywy, które skłoniły go do starań o pracę w sanitariacie; a posteriori przypisuje sobie niewiarygodną śmiałość, przejawianą rzekomo w rozmowach z nadzorcami, operami, ba, nawet szefa działu pracy i ewidencji obezwalał ponoć od kłamców — a mimo to był konferansjerem już na najbliższym wieczorku artystycznym — (może wybłagał to sobie na klęczkach?).

22 Przypomnijmy A. Zacharową: wszyscy oni zostali na swoich miejscach!

„ „Litieraturnaja Gazieta”, 5.IX.1964.

446

I znowu każdy pisarz może spokojnie wypisywać dyrdymałki o nawracaniu knajaków. Może kręcić filmy o tym, jak policyjne psy z rozkoszą rozszarpują ludzi. Może zachowywać się tak, jakby nic się nie zdarzyło, jakby żadnego wyłomu w Murze nie było.

A młodość, znużona tą bieganiem raz w przód, raz w tył, macha w końcu ręką: żadnego „kultu” też pewnie nie było i żadnych potworności; jeszcze raz nas skołowano. I mknie na potańcówkę.

Bo słusznie powiedziano: póki biją, poty krzycz, bo jak wrzaśniesz potem — to nikt już nie uwierzy.

Gdy Chruszczow, ocierając łzę, dawał zezwolenie na wydanie Iwana Dcni-sowicza, był przecież zupełnie pewien, że to książka o stalinowskich obozach i że w jego gospodarstwie niczego takiego już nie ma.

I Twardowski, gdy zabiegał o zezwolenie najwyższych władz, też szczerze wierzył, że to przeszłość, że to — już nie wróci. Ale Twardowskiemu trzeba wybaczyć, całe otaczające go stołeczne towarzystwo żyło tym, że nastąpi odwilż, że ustały areszty, że oto odbyły się dwa oczyszczające zjazdy i właśnie wracają ludzie z niebytu, a tak ich wielu! Za piękną, różową mgiełką rehabilitacji zniknął Archipelag, stał się zupełnie niewidoczny.

Ale ja — ja! — a jednak i ja się temu poddałem, mnie zaś tego już wybaczyć nie można. A przecież nie okłamywałem Twardowskiego! Ja także wierzyłem gorąco, że przyniosłem mu opowieść — o przeszłości! Czyżby mój język zapomniał smaku bałandy? — a przysięgałem, że nigdy go nie zapomnę. Czym to ja nie poznał na wylot tych hodowców psów policyjnych? Czyż sposobiąc się do roli kronikarza Archipelagu nie wiedziałem, że jest on rówieśny naszemu państwu — i jak bardzo mu jest potrzebny? Mogłem ręczyć za siebie jak za nikogo innego i byłem pewien, że to prawo nade mną władzy nie ma: Krzywda — trawą, ciało — sadłem obrasta. Ale — obrośłem w sadło. Ale — ugrzązłem... Ale zaufałem... Zaufałem stołecznej beztrosce. Pomyślności jakiej zaznałem w moim nowym życiu. I opowieściom nowych przyjaciół dopiero co przybyłych stamtąd: zrobiło się całkiem znośnie; reżym zelżał!, wypuszczają, wypuszczają!, całe żony likwidują!, enkawudzystów zwalniają...

Tak — nędznym prochem jesteśmy. I te same prawa nami rządzą, co garścią prochu. I najgorsze doświadczenia własne nie uczą nas jeszcze rozumienia nieszcześćia powszechnego. I dopóki nie wzniesiemy się ponad to, co jest w nas prochem — nie będzie na ziemi sprawiedliwych ustrojów ani demokratycznych, ani autokratycznych.

I dlatego tak mnie zaskoczył trzeci nurt listów, listów od zeków d z i -

447

si ej szych. Chociaż był to nurt najbardziej naturalny i chociaż tych właśnie listów powinienem być przede wszystkim oczekiwać.

Na wymiętych karteluszkach, słabo widocznym pismem, w przypadkowych kopertach, nierzadko adresowanych przez wolnych, a więc wysyłanych nielegalnie, na lewo — dzisiejszy Archipelag dawał mi znać o swoim sprzeciwie i o swoim gniewie. Te listy były także jednym wspólnym wołaniem. Był to krzyk: „A my!!??”.

Cały gazetowy hałas wokół mojej opowieści sterowany był tak, aby wolnych i zagranicę skłonić do jednej tylko konkluzji: „to wszystko — było, ale nigdy się już nie powtórzy”.

I podniósł się ryk zza krat: jakże to — nie powtórzy się, skoro my teraz siedzimy, i to w tych samych warunkach?!

„Od czasów Iwana Denisowicza nic się nie zmieniło” — zgodnie pisali mi z rozmaitych stron.

„Zek przeczyta waszą książkę i robi mu się gorzko i ciężko, bo wszystko jak było, tak i jest dalej”.

„Cóż się zmieniło, skoro utrzymały się w mocy wszystkie wydane za Stalina prawa, przewidujące 25-letnie wyroki?”.

„Jakiej to jednostki kult teraz panuje, że dalej siedzimy Bóg wie za co?”.

„Czarna mgła nas przestoniła — i nikt nas nie widzi”.

„Dlaczego dalej chodzą bezkarnie tacy faceci, jak Wołkowej? Także dzisiaj są oni naszymi wychowawcami”.

„Poczynając od byle nadzorcy i kończąc na szefie zarządu — wszyscy do spółki zainteresowani są w utrzymaniu przy życiu obozów. Nadzorcy za każde głupstwo piszą na człowieka raporty, pełnomocnicy operacyjni skrobią pracowicie w teczkach personalnych. My — skazani na dwadzieścia pięć lat — jesteśmy dla nich jak buteczka z masłem — i żywią się nią te niecnoty, które powołano do wpajania w nas cnót. Czy nie w ten sam sposób kolonizatorzy opisywali Indian i Murzynów jako istoty niepełno-wartościowe? Zmobilizować przeciwko nam opinię publiczną to pestka, wystarczy napisać artykuł Człowiek za kratą²⁴... i już jutro na masowych 24 Kasjukow i Monczanskaja, Człowiek za kratą „Sowieckaja Rossija”, 27.VIII. 1960. Artykuł inspirowany przez kota rządowe, który położył kres krótkiej (1955-1960) odwilży na Archipelagu. Autorzy są zdania, że w obozach istnieją „warunki takie, jak w instytucjach filantropijnych”, że w nich „zapomina się o karze”; że „więźniowie nie chcą słyszeć o swoich obowiązkach”, a „administracja ma o wiele mniej praw, niż uwięzieni”(?). Zapewniają, że obóz, to „bezpłatny pensjonat” (nie wiadomo czemu nie pobiera się od więźniów opłat za zmianę bielizny, za strzyżenie, za izby widzeń). Oburzeni są tym, że w obozach obowiązuje tylko 40-godzinny tydzień roboczy i że ponoć „praca nie jest dla więźniów obowiązkowa” (??). Nawołuje się do stworzenia „surowych i trudnych

448

zebraniach uchwalone będą rezolucje domagające się, aby nas spalono w piecach".

Słusznie. Przecież to wszystko prawda.

— „Jesteście już w tej chwili w ariergardzie!” — zaskoczył mnie Wania Aleksiejew. I po tych wszystkich listach ujrzałem nagle siebie wcale nie w roli bohatera, jak to sobie wyobrażałem, tylko winowajcy: bo w ciągu dziesięciu lat zatraciłem wyczuć tego, co się naprawdę na Archipelagu dzieje.

Dla nich, dla dzisiejszych zeków moja książka i moja prawda straciłyby wszelką wartość, gdyby nie było dalszego ciągu, gdyby nie znalazło się tam miejsca również dla nich. Żeby opisane zostało wszystko — i żeby to się zmieniło! Jeśli słowo nie rzecz ma na względzie i rzeczywistych zmian nie powoduje — to co jest warte? Ty-le, co nocne ujadanie wsiowych psów, nie więcej.

(Chciałbym to rozumowanie zadedykować naszym modernistom: do takiego oto pojmowania literatury przyzwyczaił się nasz lud. I nie prędko się odzwyczai. I — czy odzwyczajając się powinien?).

Ocknąłem się. Poprzez różowe, wonne opary rehabilitacji dojrzałem znany mi skalny masyw Archipelagu, jego szary kontur zwieńczony rzędem wież wartowniczych. Stan naszego społeczeństwa nieźle da się objaśnić przez analogię z polem fizycznym. Wszystkie linie sił tego pola społecznego biegną od wolności — ku tyranii. Linie te odznaczają się wielką trwałością i odpornością na zmiany, werżnięty się w pole, okrzepły, nieomal niemożliwością jest zmienić kierunek i bieg, skorygować je lub przesunąć. Wszelki ładunek lub masa, wprowadzone na teren owego pola, łatwo ześlizgują się w stronę tyranii, nie mogą natomiast przebić się ku wolności.

Chyba, żeby zaprząć dziesięć tysięcy wołów.

Teraz, gdy książka moja uznana została otwarcie za szkodliwą, gdy jej druk poczytuje się za błąd („skutki woluntaryzmu w dziedzinie literatury”), gdy wycofuje się ją nawet z bibliotek publicznych — cytowanie imienia Iwana Denisowicza albo mojego stało się na Archipelagu niewybaczalnym aktem rebelii. Ale wtedy! — wtedy gdy Chruszczow ścisnął mi dłoń i przy wtórze oklasków prezentował mnie tym trzem setkom osób, które uważały się za elitę artystyczną, gdy w Moskwie robiono mi „dobrą prasę”,

warunków” tak, by przestępca bał się więzienia (ciężka praca, twarde prycze bez materaców, zakaz noszenia własnej odzieży, „żadnych kiosków z cukierkami”, itd.) oraz do skasowania praktyki zwolnień przedterminowych („a jeśli popełnisz wykroczenie przeciw dyscyplinie — to siedź dalej!”). A także, by „więzień nie liczył na miłosierdzie po odsiedzeniu kary”.

18 Archipelag Gulag 449

a korespondenci czekali tłumnie pod drzwiami mego pokoju hotelowego, kiedy oświadczono wszem wobec, że partia i rząd popierają takie publikacje, kiedy Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego chlubiło się tym, iż zostałem zrehabilitowany (tak jak dziś zapewne tego żałuje), a pułkownicy służby sprawiedliwości głosili z trybuny, że książka ta powinna być czytana w obozach — wtedy to już owe nieme, ciche, bezimienne siły naszego pola społecznego oparły się cichcem — i wstrzymały rozpowszechnienie książki!!! Już wtedy wstrzymały! Do niewielu tylko obozów trafiła legalną drogą tak, by można ją było wypożyczać z biblioteki działu KO. Wycofano ją z bibliotek. Konfiskowano ją, jeśli nadeszła w paczce adresowanej do

jakiegoś więźnia. Ukradkiem, pod potą, przynosili ją wolniacy, brali od zeków po 5 rubli, albo nawet i po 20, jak słyszałem (to już nowe ruble! i to od zeków je brali!, ale wiem jaka podła pazerność panuje w otoczeniu obozów, więc się nie dziwię). Więźniowie mimo wszelkich rewizji przemycali ją do obozu jak nóż; za dnia ją ukrywali, a czytali w nocy. W jakimś obozie na Północnym Uralu dano jej oprawę z metalowych płytek, żeby się tak prędko nie zniszczyła.

Co tu gadać o zekach, skoro na całe otoczenie obozów rozciągnął się już ten niemy, lecz wszystkich obowiązujący zakaz! Na stacji Wis (Północna Kolej Żelazna) wolna obywatelka Maria Asiejewa napisała do „Literaturnej Gaziety” list z pozytywną oceną mojej opowieści. Zdążyła go już wrzucić do skrzynki pocztowej, czy może zostawiła nieopatrznie na stole — dość, że po pięciu zaledwie godzinach sekretarz organizacji partyjnej W. G. Szy-szkin oskarżył ją o prowokację polityczną (jakich to słów zaraz używają!) — po czym aresztowano ją natychmiast²⁵.

W tyraspolskiej Kolonii Karno-Poprawczej Nr 2 rzeźbiarz, zek G. Niedow, ulepił z plasteliny w swojej pracowni (był na funkcji) figurkę więźnia. Naczelnik działu dyscyplinarnego kapitan Sołodiankin zobaczył ją i zawołał: „To ty więźnia lepisz? Kto ci pozwolił? To kontrrewolucja!”. Schwycił figurkę za nogi, rozdarł ją na pół i cisnął na podłogę: „Naczytał się jakichś Iwanowów Denisowiczów!”. (Ale nie rozdeptał, więc Niedow mógł połówki schować). Na żądanie Sołodiankina Niedow został wezwany do komendanta obozu Bakiejewa, ale zdążył tymczasem zdobyć w świetlicy parę gazet. — „Oddamy cię pod sąd! Podjudzasz ludzi przeciw władzy sowieckiej!” — zagrmiał Bakiejew. (A rozumiem, rozumiem jakie wrażenie robi wizerunek zeka!...). — „Przepraszam, obywatelu naczelniku, ale spójrzcie, co mówi towarzysz Chruszczow... Albo towarzysz Iljiczew...”. — „Ależ on tu z nami gada jak równy z równym!” — powiedział Bakiejew ze zgrozą.

*** Dotąd nie wiem, czym się ta historia skończyła.

450

Musiało minąć pół roku, by Niedow ośmielił się znów wydostać te swoje połówki, posklejać je, odlać w babbicie i przestać figurkę poza żonę przez znajomego wolniaka.

Zaczęto szukać książki po całej kolonii. W żonie mieszkalnej urządzono kipsisz generalny. Nic nie znaleziono. Niedow postanowił spłatać im nawet figla. Z książeczką Tewekeliana Granitu nie da się stopić wlaź na prycę, zastonił ją od reszty sypialni (w obecności kapusiów poprosił przyjaciół, aby mu pomogli), ale tak, że przez okno wszystko było widać. Nakapano na niego natychmiast. Wbiegło trzech nadzorców (a czwarty stał na zewnątrz i patrzył w okno, komu też Niedow przekazał tomik). Wyrwali książeczkę! Odwieźli na odwach, schowali do kasy pancерnej. Nadzorca Czyżyk wziął się pod boki, trzymając w prawicy ogromny pęk kluczy: — „Książkę już mamy! A jutro tobie włożymy manele!”. Ale rano oficer przejrzał książkę: — „Ech, durnie!... Możecie mu to oddać”.

Tak czytać musieli więźniowie książkę „popieraną przez partię i rząd”.

W deklaracji rządu sowieckiego z grudnia 1964 roku czytamy: „W żadnym wypadku i w żadnych okolicznościach sprawcy potwornych zbrodni nie powinni ująć zasłużonej kary... Bestialstwa faszystowskich morderców, którzy dążyli do wytrzebienia całych narodów, nie mają sobie równych w całych dziejach”.

Napisane to było po to, by nie pozwolić na zastosowanie w Republice Federalnej Niemiec zasady przedawnienia po upływie dwudziestu lat od chwili dokonania przestępstwa.

Jedynie samych siebie jakoś nie bardzo chce się pod sąd oddawać, chociaż „dążyli do wytrzebiecia całych narodów”.

Wiele u nas publikuje się artykułów o tym, jak ważną jest rzeczą, by zachodnioniemieckich zbrodniarzy spotkała kara. Istnieją nawet specjaliści od takich artykułów: jakąż to zaprawę moralną musieli przejść hitlerowcy, aby morderstwa masowe im samym zaczęły się wydawać rzeczą naturalną i etyczną? Teraz zaś ich prawodawcy bronią się twierdząc, że to przecież nie oni byli wykonawcami wyroków! Wykonawcy zaś utrzymują, że przecież to nie oni wydawali prawa!

Jak dobrze to znamy... Dopiero co przeczytaliśmy w listach naszych Praktyków: „Traktowanie więźniów w obozie jest tylko następstwem wyroku sądowego... Straż nie wiedziała, za co kto siedzi”.

To trzeba było się dowiedzieć, jeśli jesteście ludźmi! Dlatego właśnie jesteście łajdakami, że nie mieliście ani ludzkiego, ani obywatelskiego sto-

451

sunku do ludzi, których dozorowaliście! Czy to hitlerowcy nie mieli swoich instrukcji! Czy hitlerowcy nie byli przekonani, że ratują w ten sposób rasę aryjską?

Ale nasi panowie śledczy nie omieszkają (już to robią) odpowiedzieć bez zajknięcia: a czemu to więźniowie sami się oskarżali o najgorsze zbrodnie? Trzeba było, uważacie, opierać się dzielniej, kiedyśmy ich torturowali! A dlaczego szpicle składali nam fałszywe donosy? Przecież opieraliśmy się na nich, jako na zeznaniach świadków!

Była taka krótka chwila, gdy ogarnął ich niepokój. Wspomniany tu już W.N. Iljin (były generał lejtnant MGB) tak się wyraził, gdy generał Gor-batow w swoich wspomnieniach napomknął o śledczym Stołbunowskim, który go badał: „Ajaj, jak to nieładnie! Przecież teraz Stołbunowski będzie miał przykrości. A jest na takiej przyzwolonej rencie!”. — Właśnie dlatego chwyciła za pióro A. F. Zacharowa — przełękała się, że wkrótce im wszystkim dobiórą się do skóry; i oto co napisała z gorącą sympatią o kapitanie Lichoszerstowie, którego „oczernił” Diaków: „dalej jest kapitanem, sekretarzem organizacji partyjnej (!) pracuje gorliwie w państwowym gospodarstwie rolnym. I wyobraźcie sobie z jak ciężkim sercem przystępuje teraz do pracy, kiedy takie rzeczy o nim się pisze! Chodzą wieści, że wypadek Lichoszerstowa ma być rozpatrywany, a jego samego — omal czy nie chcą pociągnąć do odpowiedzialności²⁶. Ależ za co?! Pół biedy jeśli to tylko plotki, ale przecież nie wykluczone, że komuś przyjdzie to do głowy na serio. To już wywoła prawdziwe oburzenie wśród pracowników sił bezpieczeństwa. Pociągnąć do odpowiedzialności za to, że człowiek wykonywał wszystkie zlecenia zwierzchników? A teraz ma świecić oczyma za tych, którzy mu te zlecenia dawali? A to dobre! Zwrotniczy winien!”.

Ale panice szybko położono kres. Nie, nikt nie będzie odpowiadał. Nie będzie się rozpatrywać niczego.

Może jeszcze gdzieś tam trochę obetną etaty, ale wystarczy przeczekać — i to też wróci do normy! A chwilowo — gebiści, co jeszcze muszą poczekać na rentę, albo ci, co lubią dorobić sobie na boku — poczuli wolę Bożą: jęli bawić się w pisarzy, dziennikarzy, lektorów (tematy antyreligij-ne), działaczy frontu ideologicznego albo

i w dyrektorów rozmaitych przedsiębiorstw. Zmienili rękawiczki, ale dalej chcą nami powozić. To ludzie pewni. (A kto chce przejść na rentę — niech se używa! Na przykład taki podpułkownik w st.sp. Churdenko. Podpułkownik, to jest dopiero szarża! — pewno dowodził co najmniej batalionem? Gdzie tam, w 1938

26 Nie dopuszcza nawet myśli, żeby mieli go „sądzić” — to słowo nie przejdzie jej przez gardło.

452

zaczynał jako zwykły klucznik, trzymał gumową rurę przy sztucznym odżywianiu więźniów).

A tymczasem w archiwach przegląda się bez pośpiechu i niszczy wszystkie niemiłe, a zbędne dokumenty: spisy skazanych na rozstrzelanie, zlecenia na osadzanie w SZIZO i BUR-ach, materiały obozowych dochodzeń wewnętrznych, donosy konfidentów, niektóre dane o Praktykach i konwojentach. Zresztą — nawet w lazarecie czy w księgowości znajdują się takie niepotrzebne papierki, takie ślady.

... Do tej uczty razem z wami zasiądziemy — Ci, co byli solą w oku warn za życia. Dziś już każdy z nas jest martwy, cichy, niemy — Ale martwych jeszcze więcej się boicie.

(Wiktoria G. z Kołymy).

Spytajmy nieśmiało: a prawda to, że wszyscy byli tylko i wyłącznie zwrotniczymi? A jak tam ze Służbą Ruchu? A wyżej, nad tymi wszystkimi klucznikami, praktykami i śledczymi? Ci, co to tylko wskazującym paluszkiem ruszali? Albo parę słów rzucali z trybuny?...

A no, jak to tam było? — „sprawy potwornych zbrodni... w żadnych okolicznościach... zasłużonej kary... nie mają sobie równych w całych dziejach... którzy dążyli do wytrzebień całych narodów...”.

Cyt! cyt! Bo przecież w sierpniu 1965 roku z trybuny Narady Ideologicznej (była to zamknięta sesja w sprawie Rządu Dusz) właśnie dlatego rzucona została taka myśl: „Już czas przywrócić do praw pożyteczny i pełen słuszności termin—wrogi luduF\

II

WŁADCY ZMIENIAJĄ SIĘ, ARCHIPELAG TRWA

Wolno sądzić, że Specobozy należały do tych późnych płodów jego geniuszu, z których Stalin najbardziej był dumny. Po tylu eksperymentach w dziedzinie wychowania i represji wykuł się wreszcie ów twór dojrzały i doskonały: ta ujednolicona, ponumerowana, posegregowana i obwarowana oschłymi rygorami organizacja, psychologicznie już odseparowana od ciała macierzy, posiadająca wejście, ale nie dająca żadnych możliwości wyjścia, pochłaniająca tylko wrogów, a wydzielająca jedynie owoce procesów wytwórczych i trupy. Trudno sobie nawet wyobrazić ten ból zawiedzionego twórcy, jakiego doznałby Jasnowidzący nasz Budowniczy, gdyby stał się świadkiem bankructwa również tego swojego wspaniałego dzieła. Już za jego życia zatrząsł się ów system, pootwierały się w nim zionące ogniem szczeliny — ale zapewne nikt mu o tym z ostrożności nie meldował. System Specobozów — z początku niewzruszony, nieruchawy, wszechstronnie zabezpieczony — przeszedł w stan lawy wulkanicznej. Gdyby Koryfeusz pożył sobie jeszcze roczek-dwa nie można by zataić przed nim tych eksplozji i jego znużony, starczy umysł musiałby dźwigać ciężar jeszcze jednego wyboru: wyrzec się ulubionego konceptu i

znowu przemieszać obozy, albo też przeciwnie — doprowadzić rzecz do końca przez systematyczne wystrzelanie wszystkich numerowanych tysięcy.

Ale Myśliciel zmarł przedwcześnie, żegnany chóralnym łkaniem. Umierając zaś, pociągnął za sobą ostygłą już ręką swego rumianego, pełnego jeszcze sił i woli towarzysza walki — ministra owych najważniejszych, zawitych, nierozwikłanych spraw wewnętrznych.

454

Upadek Szefa Archipelagu dramatycznie przyspieszył rozkład Specobozów. (Był to błąd historyczny nie do naprawienia! Jak można było tak wypatroszyć ministra spraw intymnych? Jak można było tak ochlapać dziegiem błękitne wyłogi?!). Największe odkrycie ciupologii XX wieku — numerowane łaty — zostały pośpiesznie odprute, wyrzucone i zapomniane! Już to jedno sprawiło, że Specobozy utraciły swoją surową jednolitość. Ale nie dość na tym, kraty z okien i kłódki z drzwi do baraków też zdjęto, przez co Specobozy zatraciły owe sympatyczne cechy więzienne, które różniły je od zwykłych ITŁ. (Co do krat — to na pewno zdjęto je zbyt pochopnie! — ale też nie sposób było czekać; takie czasy, trzeba było czym prędzej się odciąć!). Kamienny BUR w Ekibastuzie, który oparł się atakom buntowników — teraz rozwalono zupełnie oficjalnie. A szkoda!... Ba, ni stąd, ni zowąd puszczono wolno ze Specobozów wszystkich Austriaków, Węgrów, Polaków, Rumunów, bez względu na ich ponure zbrodnie i 15- czy 25- letnie wyroki — podkopując w ten sposób w oczach więźniów powagę samej instytucji kary. Skasowane zostały ograniczenia korespondencji, jedynie dzięki którym mieszkańcy Specobozów czuli się jak istoty naprawdę żywym pogrzebane. I zezwolono nawet na widzenia! — aż strach to słowo wymówić: widzenia!... (I nawet w buntowniczym Kengirze zaczęto budować dla widzeń i wizyt małe domki). Pozbawiony już wszelkich skrępułów liberalizm tak zamulił niedawne Obozy Specjalne, że więźniom przestano golić łby (i aluminiowe miski zaczęły znikać z kuchni, bo wyrabiano z nich grzebyki). A tubylcom — zamiast papierowych kont w księgowości i bonów — pozwolili trzymać w ręku ogólnoparistwowe pieniądze i płacić nimi, jakby byli ludźmi spoza żony.

Lekkomyślnie i głupio rujnowali więc system, który im samym dawał papu — system, który tkali, dziergali i wzmacniali węzłami przez całe dziesięciolecie!

A czy ci zatwardziali przestępcy choć trochę zmienili się na lepsze, widząc tyle przykładów łagodności? Bynajmniej! Wręcz przeciwnie! Dając tym dowód swojego zapsucia i niewdzięczności nauczyli się powtarzać ar-cyniestusze, krzywdzące i bezmyślne słowo „beriowcy” — i teraz, ledwo im coś nie przypadło do smaku, wykrzykiwali je pod adresem sumiennych konwojentów, cierpliwych nadzorców i troskliwych swoich opiekunów

naczelników obozu. Nie dość, że raniło to serca Praktykom, ale ponadto zaraz po upadku Berii, było to nawet niebezpieczne, bo mogło być przez kogoś wykorzystane jako punkt wyjścia dla dochodzeń i oskarżeń.

- ' Bo odebrano nam możliwość otwarcia tam muzeum.

455

Dlatego to komendant jednego z podobozów kengirskich (już oczyszczonego z rebeliantów i goszczącego dziś zeków, przeniesionych z Ekibas-tuza) musiał z trybuny

zwrócić się do zeków z takim apelem: „Chłopaki! (uznano za dopuszczalne, by na czas krótki — od 54. do 56. roku wszedł w użycie ten sposób zwracania się do więźniów) — ubliżacie nadzorcom i konwojentom wykrzykując to przezwisko — „berriowcy”! Proszę, abyście tego zaprzestali”. Maleńki W.G. Własow tak mu odparł: „Wy tu macie pretensję o tę parę miesięcy. A ja od waszych strażników już od 18 lat jedno tylko słyszę: „faszysta”. Myślicie, że dla nas to nie obraza?”. Więc major obiecał zakazać wymyślania więźniom od faszystów. Figur za figur.

Po wszystkich tych destrukcyjnych i fatalnych w skutki reformach — można uważać historię Specobozów za rozdział zamknięty (w 1954 roku) i potem nie czynić już różnicy między nimi a obozami ITŁ.

Na całym obszarze rozbebeszonego Archipelagu w latach 1954—1956 wiały łagodne wiatry; była to era nieznanych dotąd aktów tolerancji, okres największej może swobody w dziejach tej instytucji, jeśli nie liczyć „dom-zaków”*, istniejących w połowie lat 20.

Jedna instrukcja po drugiej, jeden inspektor po drugim! A wszystko to ze skóry wyłazi, żeby jeszcze bardziej rozplenić w obozach liberalizm. Wycofano kobiety z robót przy wyrębie lasu! — tak jest, uznano, że te roboty są rzekomo za ciężkie dla bab (choć przez trzydzieści długich lat nazbierało się dość dowodów, że wcale nie są za ciężkie). — Przywrócono zasadę zwolnienia przedterminowego dla tych, co odsiedzieli już dwie trzecie kary. — We wszystkich obozach zaczęto wypłacać więźniom zarobki i wiara ruszyła całą hurmą do kantyn, a nie wprowadzono tu żadnych rozumnych ograniczeń dyscyplinarnych, bo też co za dyscyplina może być, jeśli tylu jest zwolnionych spod straży i każdy jeden może sobie kupić w osiedlu? — Zainstalowano głośniki radiowe we wszystkich barakach, zawalono je gazetami, gazetkami ściennymi, wyznaczono agitatorów dla każdej brygady. Przyjeżdżali towarzysze lektorzy (pułkownicy!) i mieli dla zeków odczyty na różne tematy — nawet o wypaczaniu historycznej prawdy w powieściach Aleksego Tołstoja, ale nie tak łatwo było kierownictwu zapewnić frekwencję: pałkami zaganiać nie wolno, trzeba stosować określone metody perswazji. A jak już się zebrali, to gadali o swoich sprawach i nie słuchali, co mówi lektor. — Pozwolili więźniom na subskrypcję pożyczki państwowej, ale nikt, prócz prawowiernych, jakoś się tym nie wzruszył i wychowawcy musieli po prostu ciągnąć za rękaw faceta do wyłożonej

Dostłownie: dom więźnia, otwarte zakłady wychowawczo-karne dla przestępców pospolitych.

456

listy, żeby wycisnąć z niego jakiegoś dziesiątaka (teraz to jeden rubel). — Przy niedzieli zaczęto urządzać przedstawienia dla obu zon naraz: męskiej i kobiecej; tu już walili drzwiami i oknami, nawet krawaty kupowali sobie w kantynie.

Ze skarbca nagromadzonych niegdyś na Archipelagu doświadczeń wydobyło teraz niejedno — na przykład twórczość amatorską i ten duch zapału, który panował za czasów wielkich Kanałów. Ot, powołane zostały Rady Aktywu z sektorami: oświaty zawodowej, kultury, spraw bytowych (całkiem jak w miejscowych komitetach przedsiębiorstw); miały one przede wszystkim walczyć o wydajność pracy i o dyscyplinę. Znowu powstały sądy koleżeńskie, które miały prawo do dawania nagan i składania wniosków o zaostreżenie reżymu oraz o nieudzielanie przedterminowego zwolnienia.

Te metody bardzo się niegdyś przydawały Kierownictwu — ale to było w obozach, które nie przeszły jeszcze speczaprawy, nie wiedziały nic o szatkowaniu i o buntach. A teraz — proszę bardzo: pierwszego przewodniczącego takiej rady (w Kengirze) z punktu zarżnięto, drugiego pobito — i nikt nie chciał już należeć do Rady Aktywu. (Komandor-pod-porucznik Burkowski brał udział w pracach Rady Aktywu i to świadomie, dla zasady — ale w sposób bardzo ostrożny: wciąż grożono mu, że posmakuje noża; chodził on na zebrania banderowskiej brygady, by wysłuchać krytyki swojego postępowania).

A bezlitosne ciosy liberalizmu wciąż podcinały i podcinały system obozów. Zorganizowane zostały „podobozy o reżymie złagodzone” (również w Kengirze było coś takiego!): właściwie w żonie tylko się spało, bo do pracy chodziło się bez konwoju, dowolną trasą i o dowolnej porze (każdy starał się wyjść jak najwcześniej i wrócić jak najpóźniej). W niedzielę zaś jedna trzecia zeków brała przepustki do miasta przed obiadem, druga — po obiedzie i tylko trzecia część pozbawiona była spaceru².

Niech więc czytelnik wyobrazi sobie, że jest w sytuacji kogoś z zarządu obozu i niech sam powie: czy można w takich warunkach pracować! i czy można liczyć na jakiegokolwiek efekty pracy?

Pewien oficer MWD, mój towarzysz podróży koleją przez Syberię w 1962 roku takimi słowami scharakteryzował epokę, która w życiu obozów zaczęła się w 1954 roku: „Kompletne rozpanoszenie! Kto nie chciał ten mógł sobie wcale nie chodzić do pracy. Kupowali sobie telewizory za swoje

2 Nie znaczy to, że wszędzie było tak dobrze. Istniały dalej karne obozy, jak na przykład „wszechzwiązkowy karniak” Andzioba pod Bratskiem — gdzie dalej działał krwawy kapitan Miszyn z Oziertagu. Latem 1955 roku siedziało tam karne 400 zeków (w ich liczbie Tenno). Ale tam również gospodarzami żony stali się nie nadzorcy, lecz więźniowie.

457

pieniądze³”. Bardzo ponure wspomnienia zostały mu z tych lat, na szczęście krótkich.

Bo przecież nie może być dobrze, jeżeli wychowawca musi stać przed więźniem jak jakiś petent, nie mając na swoje poparcie ani nahajki, ani BUR-a, ani skali głodowych porcji!

Ale jakby jeszcze mało było tego wszystkiego — dano Archipelagowi potężnego dubla taranem tzw. systemu ekstrazonowego: aresztanci mogli w ogóle mieszkać poza żoną, mogli zakładać sobie rodziny i wynajmować mieszkania, pobory płacono im jak wolnym, to jest bez potrąceń (na żonę, na konwój, na administrację obozu) a ich kontakt z obozem do tego się sprowadzał, że raz na dwa tygodnie musieli się w nim meldować.

To już był koniec!... Koniec świata albo koniec Archipelagu, a może ich obu razem! — a pisma prawnicze wychwalały jeszcze ten system jako najbardziej humanitarną i postępową zdobycz ustroju komunistycznego⁴.

Po tylu ciosach, zdawało się, że nic innego nie pozostaje, jak tylko rozpuścić wszystkie obozy — i tyle. Zrzućnować wielki Archipelag, zrzućnować, rozproszyć, zbić do reszty z pantałyku setki tysięcy praktyków z ich żonami, dziećmi i chudobą, przekreślić ich wieloletnie zasługi, ich doświadczenie, ich nienaganną służbę!

I na dobrą sprawę — już to się zaczęło: zaczęły przyjeżdżać jakieś „Komisje Rady Najwyższej”, aby rozładować obozy i wyłączając z gry kadrę kierowniczą zasiadały w baraku sztabowym wypisując nakazy zwolnień z taką samą łatwością i dezynwolturą, jakby to były nakazy aresztowania.

Nad całą korporacją Praktyków zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Trzeba było działać! Trzeba było walczyć!

W ZSSR istnieją tylko dwa warianty interpretacji każdego ważnego wydarzenia publicznego: może być ono albo przemilczane, albo przedstawione opinii w sposób kłamliwy. Nie potrafię wymienić ani jednego poważniejszego wydarzenia, któremu oszczędzono by tego losu.

Dotyczy to również Archipelagu, samego faktu jego istnienia: przeważnie bywał on przemilczany, gdy zaś cokolwiek o nim już pisano — ucieka-

J Skoro nie pracowali — to skąd te pieniądze? Jeśli to było na Północy, a nadto w 55. roku, to skąd telewizory? No, ale nie dyskutowałem z nim, rad byłem posłuchać do końca.

4 Przypomnijmy, że było to już opisane (razem z odliczaniem od kary — w podwójnym wymiarze — dniówek roboczych, oraz z „przedterminowym zwolnieniem warunkowym”) jeszcze przez Czechowa w Sachalinie: katorżnicy okazujący chęć poprawy mieli prawo do budowania domów i zawierania małżeństw.

458

no się do łgarstw. Na przykład w okresie budowy wielkich Kanatów. Dotyczy to również Komisji, które w 1956 roku przyjechały, by obozy rozładować.

Ale co do tych komisji, to nawet bez gazeciarskich zmyśleń i bez przymusu my sami przykładaliśmy rękę do tych sentymentalnych kłamstewek. Bo też — czy mogliśmy nie poddać się rozczuleniu? Toć przyzwyczailiśmy się do tego, że nawet adwokat nas atakuje, a tu prokurator przyjechał, aby nas bronić! Stęskniliśmy się za wolnością, czujemy że tam, na swobodzie, zaczyna się jakieś nowe życie — poznać to nawet po zmianach w samym obozie — i nagle cudotwórcza, obdarzona pełnią władzy komisja, po pięć-cio- dziesięciominutowej rozmowie z więźniem wręcza mu bilet kolejowy i dowód osobisty (niektórym nawet z prawem pobytu w Moskwie i odpowiednią pieczęcią)! A cóż prócz hymnów dziękczynnych może wyrwać się z naszej zapadłej, wiecznie przeziębionej, ochryplej więźniarskiej piersi?

Ale jeśli na chwilę wznieść się ponad nasz radosny dygot, z jakim biegniemy, by szybko wepchnąć kupkę naszych łachów do plecaka — to czy taki powinien być finał całego stalinowskiego łajdactwa? Czy nie powinna była ta komisja stanąć przed więźniami, na placu, zdjąć czapki i powiedzieć:

— Bracia, przysłała nas tu Rada Najwyższa, aby prosić was o przebaczenie. Przez całe lata i dziesięciolecia cierpieście tu niezawinione katusze, my zaś zbieraliśmy się we wspaniałych salach pod kryształowymi żyrandolami i nie wspomnieliśmy was ani razu. Potulnie sankcjonowaliśmy wszystkie okrutne rozkazy Ludożercy, jesteście współodpowiedzialni więc za jego zbrodnie. Jeśli możecie — przyjmijcie te słowa spóźnionej skruchy. Wrota są otwarte i jesteście wolni. Patrzcie, tam lądują samoloty z lekarstwami, żywnością i ciepłą odzieżą dla was. Przylecieli też lekarze.

I tu i tam chodzi o wyjście na swobodę, ale różnie ono wygląda i różny w obu wypadkach jest jego sens. Komisja — to jedynie sumienny stróż, który kroczy z miotłą w rękę i starannie zamiata stalinowskie rzygowiny, oto wszystko. Nie ma tu mowy o żadnym zakładaniu nowych fundamentów moralnych życia społecznego.

Przytaczam tu dalej relację A. Skrypnikowej, z którą zupełnie się zgadzam. Więźniowie pojedynczo (więc znowu w rozproszeniu) wzywani są do gabinetu przed oblicze komisji. Kilka pytań dotyczących powodów aresztowania i samej sprawy sądowej. Pytania zadawane są życzliwym tonem, bardzo uprzejmie, ale ich tendencją jest, aby więzień uznał swoją winę (nie Najwyższy Sowiet, tylko znów nieszczęsny więzień!). Spodziewają się po nim, że pomilczy chwilę ze spuszczoną głową, że zachowa się jak ten, komu się wybacza, a nie ktoś, kto przebaczył innym! A więc w istocie, kusząc go

459

wolnością, chcą z niego wydobyć teraz to, czego nie mogli niegdyś wyrwać nawet torturami. Po co im to? A to jednak ważne: powinien wrócić na wolność jako istota potulna! A jednocześnie — Historia taki wniosek wyciągnie z protokołów komisji, że siedzieli w zasadzie ludzie naprawdę winni, że trudno w tych warunkach mówić o jakimś szczególnym okrucieństwie i bezprawiu, że to przesada. (Być może była w tym również pewna kalkulacja handlowa: nie będzie rehabilitacji — to nie będzie też odszkodowania⁵). Taka interpretacja problemu zwalniania więźniów nie naruszała samej zasady istnienia obozów i nie przeszkadzała dopływowi nowych kontyngentów (dopływ ten nie ustawał nawet w latach 1956-1957), a nadto nie zobowiązywała władz do stosowania takiej samej polityki zwolnień w przyszłości. No, a ci, którym niepojęta duma kazała odmówić przyznania się do winy? Ci siedzieli dalej. Nie było ich wcale tak mało. (Kobiety, które w 1956 roku, w Dubrowiaгу nie okazały przed komisją skruchy, wysłane zostały do obozu w Kemerowie). Skrypnikowa opowiada o takim wypadku: pewna Ukrainka spod Lwowa dostała 10 lat za męża — banderowca; zażądano od niej teraz, aby przyznała, że siedzi przez męża — bandytę. — Ni, ne skażu. — Ależ powiedz, wyjdiesz na swobodę! — Ni, ne skażu. Win ne bandyt, win OUNi-weć. — „No, jak nie chcesz, to siedź dalej!”. (Przewodniczący komisji nazywał się Sołowiow).

Minęło zaledwie kilka dni i przyjechał do niej na widzenie mąż, wracający z Północy. Wyrok jego opiewał na 25 lat, przed komisją z łatwością zgodził się na tytuł bandyty i został ułaskawiony. Wcale nie docenił postawy swojej żony i zasypał ją wyrzutami: — Toć mogłaś powiedzieć nawet, że jestem diabłem, że mam ogon, szczo kopyta u mene baczyła! Jak sobie teraz dam radę z gospodarstwem i z dziećmi?!

Przypomnijmy, że Skrypnikowa nie chciała uznać się za winną i została w obozie jeszcze na trzy lata.

Tak więc — nawet era wolności zawitała na Archipelag w prokuratorskiej toczce. A jednak przestrach jaki ogarnął naszych Praktyków nie był bezpodstawny: niebywała konstelacja dobrych gwiazd zapaliła się na niebie Ar-

5 Mówiąc nawiasem, w początkach 1955 roku wysunięto projekt wypłaty odszkodowań za wszystkie odsiedziane lata. Byłoby to zupełnie naturalne i w krajach Europy Wschodniej tę zasadę stosowano. Ale nie przy takiej ilości ludzi i takiej ilości odsiedzianych lat! Podsumowali rachunek, złapali się za głowę — „zrujnujemy państwo!” i skończyło się na dwumiesięcznym odszkodowaniu.

460

chipelagu w latach 1955-56. Były to lata feralne dla tego systemu i mogły stać się jego latami ostatnimi.

Gdyby ludzie mający w ręku pełnię władzy i dysponujący pełnią informacji o swoim kraju przejęli się ponadto — no, choćby tylko zasadami własnej Teorii i wniknęli w nie głębiej, ale bezkompromisowo, bezinteresownie, nie zostawiając żadnego marginesu dla własnych ambicji — to kiedyż, jeśli nie w tych właśnie latach powinni byli rozejrzeć się dookoła, poczuć zgrozę i zapłakać z żalu? Bo któż ich wpuści do „królestwa komunizmu” z tym krwawym worem na grzbiecie? Przecież sączy się z niego, przecież już całe plecy w szkarłatnych plamach! Politycznych wypuszczono

— a miliony pospolitaków kto rozplenił, skąd się wzięły? Czy nie wpłynęły na to określone stosunki produkcji? Czy aby nie środowisko? Czy nie my sami? A może i wy?

Skoro tak, to trzeba było do stu diabłów postać program kosmiczny! Nie troszczyć się chwilowo o flotę Soekarno i gwardię Kwame Nkrumaha. Siąść by już raczej i zacząć skrobać się w kark: co mamy ze sobą począć? Czemu to nasze najlepsze w świecie prawa odrzucane są przez miliony naszych współobywateli? Co każe im pchać kark pod to mordercze jarzmo za te druty? — a im to jarzmo cięższe, tym tłumniej się pchają? Co zrobić, aby ten potok wysechł? A może nam innych praw trzeba? (A tu zaraz trzeba by sobie przypomnieć i naszą szkołę zadreńczoną, i wieś naszą zaniedbaną, i wiele takich spraw, które mają wspólne imię: niesprawiedliwość, bez żadnych klasowych kategorii). A jak tu przywrócić krajowi tych, co już trafili za druty? — nie szerokim, a tanim gestem woroszyłowskiej amnestii, ale pochylając się z troską serdeczną nad każdym z tych powalonych, nad jego sprawą i nad własnym jego losem.

No, a czy skończyć z Archipelagiem trzeba, czy nie trzeba? Czy może ma już tak trwać po wiek wieków? Czterdzieści lat gnił w naszym ciele — może dosyć tego? Okazuje się, że nie! Nie dosyć tego! Jakoś się nie chce wysilić zwojów mózgowych, a w duszy też całkiem głucho. Niech tam Archipelag zostanie sobie na dalsze czterdzieści lat, a my zajmijmy się tamą Assuańską i dziełem zjednoczenia Arabów! Za 10-letniego panowania Nikity Chruszczowa przestały niejako działać pewne prawa fizyczne, do których już przyzwyczailiśmy się, a ciała cudownym sposobem jęły poruszać się wbrew siłom pola i wbrew sile ciężenia; otóż historycy, którzy tym okresem się zajmą, na pewno zdumieją się, widząc ile możliwości zbiegło się na krótki czas w tych rękach i jak szansę te wykorzystywane były jakby tylko dla zabawy — dla kawału, a potem

— beztrosko rzucane na łaskę losu. Rozporządzając największą po Stalinie

461

siłą w naszych dziejach — już osłabioną, lecz wciąż ogromną — używał jej jak ów niedźwiedź Miszka z baśni Kryłowa, co to na leśnej polanie przetaczał kloc bez żadnego celu. Było mu dane trzykroć, pięciokroć śmieiej i dalej pchnąć naprzód dzieło wyzwolenia w naszym kraju — on zaś porzucił je w połowie, nie rozumiejąc własnych zadań, porzucił dla kosmosu, dla kukurydzy, dla kubańskich rakiet, berlińskich ultimatów, dla nagonki na cerkiew, dla podziału komitetów partyjnych, dla walki z abstrakcjami.

Niczego i nigdy nie doprowadził do końca, przede wszystkim zaś — akcji poszerzenia obszaru wolności. Ktoś chciał poszczuć go na inteligencję? — nic prostszego. Trzeba było jego rękoma, tymi samymi rękoma, które zburzyły stalinowskie obozy — obozy te znów umocnić? — załatwiono to bez trudu! I to kiedy?

W roku 1956, roku XX Zjazdu — już wydane były pierwsze zarządzenia zmierzające do zaostrzenia reżymu w obozach! Dalszy ciąg nastąpił w 1957 roku, gdy Chruszczow skupił w swoim ręku całą władzę, nie dzieląc jej z nikim.

Ale korporacja Praktyków nie była zadowolona. Przeczuwając bliskie zwycięstwo, kontratakowała: tak dalej być nie może! System obozów jest opoką, na której cała władza sowiecka się trzyma, a oto go rujnują!

Najważniejsze naciski wywierane były dyskretnie i po cichu — przy stole bankietowym, w salonie samolotu i w trakcie przejażdżki łódką na daczę, ale niekiedy manifestowały się publicznie — na przykład w przemówieniu B.I. Samsonowa na Sesji Sowietu Najwyższego (grudzień 1958 roku): więźniom dzieje się za dobrze, są zadowoleni (!) z wiktów (a powinni jednak być wciąż niezadowoleni...), obchodzą się z nimi zbyt łagodnie. (I w tym parlamencie, który nie poczuł skruchy za dawne swoje winy, nikt z Samsonowem nie polemizował, to jasne). Albo w artykule o Człowieku za kratą (1960 rok).

I oto — poddając się tym naciskom, nie wnikając w nie głębiej; nie zastanawiając się, że przecież w ciągu tych 5 lat przestępczość nie wzrosła (a gdyby wzrosła, to przyczyn szukać trzeba w wadach ustroju); nie widząc rozdziwku między tymi nowymi sankcjami a własną szczerą wiarą w bliskie i tryumfalne nadejście komunizmu; nie znając szczegółów sprawy, bo jej się własnym okiem nie przyjrzał — ten car-wędrowniczek lekką ręką podpisał zlecenie na zakup gwoździ, z pomocą których zbito szafot, przywracając mu dawną formę i świetność.

I wszystko to zdarzyło się w roku 1961 — właśnie wtedy, gdy Nikita po raz ostatni próbował poderwać do podniebnego lotu wóz swobodny, co ugrzązł w piachu. Właśnie w 1961 roku — roku XXII Zjazdu! — wydany został dekret przewidujący karę śmierci w obozach „za terror wobec współ-

462

więźniów, którzy okazali chęć poprawy (to znaczy — kapusiów) i wobec personelu nadzorującego” (nigdy tego nie było!) — a plenum Sądu Najwyższego (czerwiec 1961 rok) dało sankcję na wprowadzenie czterech stopni reżymu w obozach — teraz już nie stalinowskich, tylko chruszczowowskich.

W chwili gdy Nikita wchodził na trybunę Zjazdu, by znów zaatakować stalinowską, więzienną tyranię — jego własny system był już — z jego pochopnego błogostawieństwa — wyposażony we wcale nie gorsze mechanizmy. I wydawało mu się, że to wszystko da się pogodzić ze sobą, że mieści się w jego koncepcji!

Dzisiejsze obozy — to właśnie te obozy, które partia zaaprobowała przed XXII Zjazdem. Nic się nie zmieniły.

Od obozów stalinowskich różnił się nie reżymem lecz składem społecznym: nie ma już wielomilionowej warstwy skazanych z artykułu 58. Ale dalej siedzą miliony bezradnych ofiar niesprawiedliwości sądowej: zapędzono je tu tylko po to, by dać żer systemowi, by się on nie zachwiał.

Władcy się zmieniają, Archipelag trwa dalej.

Dlatego trwa dalej, że ten system państwowy nie mógłby istnieć bez niego. Gdyby skasował Archipelag, to sam nie mógłby dalej trwać.

Nie ma historii, które można by opowiadać bez końca; zawsze trzeba gdzieś postawić kropkę. W miarę naszych niewystarczających sił i na skromnej podstawie informacji, jakie mieliśmy do rozporządzenia — zbadaliśmy historię Archipelagu od szkarłatnych salw towarzyszących jego narodzinom, aż do różowych oparów rehabilitacji. Opis okresu sławetnych ulg i zamętu w przededniu nowego zaostrożenia reżymu i przed wprowadzeniem w życie nowego kodeksu — jest na dobrą sprawę zamknięciem tej naszej kroniki. Znajdą się inni kronikarze — ci, którzy, na swoje nieszczęście, lepiej od nas znają obozy z czasów Chruszczowa i z okresu późniejszego. Ba, już się znaleźli: są to S. Karawański⁶ i Anatol Marczenko⁷. I pojawi się ich jeszcze całe mnóstwo, bowiem prędko, bardzo prędko nadejdzie w Rosji epoka jawności! Przy lekturze książki Marczenki nawet zahartowane serce starego zeka ściska się z bólu i uczucia zgrozy. Opisane jest w niej więzienie jeszcze Doskonałszego Typu, nie idzie z nim w paragon to, które opisywali moi

6 S. Karawański, Chodałajstwo, Samizdat, 1966.

7 A. Marczenko, Moi pokazania, Samizdat, 1967.

463

korrespondenci. Dowiadujemy się, że Róg, ów drugi Groń więziennych wideł (patrz część I, rozdział 12) jeszcze się zaostriżył, jeszcze boleśniej wbija się w aresztancki kark. Porównując dwa budynki więzienia centralnego we Włodzimierzu — gmach carski i gmach sowiecki — Marczenko bardzo konkretnie nam pokazuje, gdzie kończą się wszelkie analogie z carskim okresem dziejów rosyjskich: carski budynek jest suchy i ciepły, sowiecki

wilgotny i zimny w celi marzną uszy i nikt nie zdejmuje wierzchniej

kurtki, carskie okna zamurowane są sowieckimi cegłami tak, że tylko czwarta część z nich została — a nie zapominajcie jeszcze o blincach.

Jednakże Marczenko opisuje tylko Dubrowlag, gdzie skonsygnowani są dzisiaj wszyscy polityczni z całego kraju. Do moich rąk dotarły zaś materiały z różnych obozów, gdzie siedzą skazani za wykroczenia pospolite. Jestem dłużnikiem tych, którzy mi te listy pisali i nie powinienem ich treści przemilczeć. W ogóle zaciągnąłem dług moralny u tej kategorii więźniów: niewiele miejsca i uwagi poświęciłem im na całej przestrzeni tej książki.

Tak więc postaram się wyłuszczyć tutaj najważniejsze z tych rzeczy, których dowiedziałem się o stosunkach panujących dzisiaj w obozach.

Ale o jakich „obozach” tu mowa? Obozów już nie ma, oto na czym polega wielka nowość, wprowadzona za czasów Chruszczowa. Pozbyliśmy się wreszcie tego koszmarnego spadku po epoce kultu jednostki! Przewalili wilka baranem i zamiast obozów mamy już teraz... kolonie (tu metropolia — tam kolonia, tubylcy mieszkają przecież w koloniach, tak właśnie powinno być, prawda?). Przy tym już nie ma żadnego GUłagu tylko GUITK (ale uważny czytelnik zapamiętał przecież, że tak już się kiedyś nazywał, wszystko już kiedyś było). Jeśli dodać, że również MWD zniknęło i zamiast niego mamy jedynie MOOP, to trzeba też przyznać, że istnieją wreszcie wszystkie elementy praworządności a zatem nie ma o co się spierać⁸.

Otóż latem 1961 wprowadzono następującą gradację obozowego reżymu: ogólny — obostrzony — surowy — specjalny (bez „specjalnego” u nas ani rusz od 1922 roku...). Jaki reżym wyznaczyć skazanemu — decyduje właściwy sąd „w zależności od charakteru i ciężaru przestępstwa, jak również (rzekomo) charakteru samego

przestępcy". Ale prościej i krócej: sądy najwyższe odpowiednich republik ułożyły listy artykułów kodeksu karne-

8 Ciekawe, że instytucja ta, tak często wychwalana publicznie — na mocy jakiegoś wewnętrznego impulsu nie może długo wytrzymać w skórze tej samej nazwy, ciągle ją coś kusi, aby zmienić tę skórę. W ten sposób mamy w ZSSR MOOP (= Ministerstwo Ochrony Obszczestwiennego Porządku, czyli ministerstwo ochrony porządku publicznego). Wydaje się, że to coś nowego, brzmi jakoś świeżo, prawda? Ale perfidny nasz język wyprowadził projektodawców w pole. Wyszło na to, że to ministerstwo ochrony, czyn' dawna ochranka! Co za fatum!

464

go, z których to list od razu widać kogo dokąd posłać. Dotyczy to tych, którzy mieli być dopiero skazani. A co zrobiono z tymi, których przedzjazdowa reforma zastała na Archipelagu, którzy korzystali z systemu „ekstrazonowe-go”, którzy chodzili sobie bez konwoju i podlegali przepisom o złagodzonej formie? Zajęły się nimi miejscowe sądy ludowe, posługując się wspomnianymi listami (no, może jeszcze opierając się na opiniach miejscowych operów) — i porozysłały ich do obozów wspomnianych czterech kategorii*.

Jak miło i* wesoło przeżywać takie kotłusy na górnym pokładzie — ster — 10 rumbów w lewo! ster — 10 rumbów w prawo! Ale jak znoszą to ludzie w niemej i ciemnej ładowni? Trzy-cztery lata przed tym faktem powiedziano im: zakładajcie rodziny, budujcie domy, postarajcie się o dzieci i w ogóle życie sobie — wszak czujecie już ciepłe promienie wschodzącego nad nami słońca komunizmu! Od tej chwili nic złego człowiek nie zrobił i nagle — ujadanie psów, posępny dwuszereg konwojentów, apel — i już rodzina została w nie dokończonym domu, a faceta zapędzają za jakieś nowe druty.

„Obywatelu naczelniku — a dobre zachowanie się?... Obywatelu naczelniku — a sumienna praca?...”. A pies trącał wasze dobre zachowanie, pies was trącał z waszą sumienną pracą!...

Jaka, no jaka choć trochę odpowiedzialna administracja pozwoli sobie na takie skoki i piruety? Może tylko w jakichś całkiem nowych afrykańskich państwach!...

Jaka myśl przyświecała reformie z 1961 roku — serio, a nie na pokaz? (Bo na pokaz było, że chodzi o „stworzenie lepszych warunków dla procesu poprawy”). Wydaje mi się, że taka: pozbawić więźnia wszelkich śladów materialnej i osobistej niezależności, której Praktycy wszak tolerować nie mogą, postawić go w sytuacji, w której każdy ruch palca Praktyka miałby wpływ na stan jego żołądka — to znaczy sprawić, by zek dał sobą kierować bez oporu i z całą potulnością. W tym celu należało: skończyć z masowym zwalnianiem spod straży (pionierzy, ludzie, którzy muszą dziewicze i nie zamieszkane ziemie zamieniać w uprawne grunty — zwykle robili to bez konwoju, nieprawdaż?), wszystkich zapędzić z powrotem do żony, zredukować wikt podstawowy tak, aby znów stał się niewystarczający i przeciąć wszelkie możliwości dożywiania się: zarobki pieniężne i paczki żywnościowe.

A paczka w obozie — to nie tylko dodatkowa żywność, to zastrzyk otuchy, to radość taka, że ręce się trzęsą: nie zapomniano o tobie, nie jesteś

9 A jak mógł być przy tym brany pod uwagę stopień „poprawy” danego przestępcy? A w żaden sposób. Czyśmy to komputery, czy co? Nie można wszystkiego brać pod uwagę!

465

sam, ktoś o tobie myśli! W naszych katorżniczych specobozach mieliśmy prawo do nieograniczonej liczby paczek (ograniczenie ciężaru do 8 kilogramów dotyczyło w ogóle wszelkich przesyłek pocztowych na terenie kraju). Chociaż wcale nie wszyscy i wcale nieregularnie otrzymywali je, ale podwyższało to nieuchronnie stopę życiową w całym obozie, nie było już takiej morderczej walki o kęs chleba. Teraz zaś wprowadzono również ograniczenie wagi paczek do 5 kilogramów i bardzo surową gradację — nie więcej niż 6, 4, 3, 2 paczki rocznie — w zależności od reżymu: to znaczy, że przy największych luzach w obozie o reżymie ogólnym człowiek mógł raz na dwa miesiące dostać pięciokilogramową paczkę (licząc już tarę i może jakąś sztukę odzieży), to znaczy mniej niż dwa kilogramy miesięcznie i to wszelkich artykułów żywnościowych łącznie. W obozach o reżymie specjalnym było to zaledwie 600 gramów miesięcznie.

Ale gdyby chociaż na to pozwalali!... Te nędzne paczki otrzymywać mieli prawo tylko ci, którzy odsiedzieli już więcej niż pół terminu kary — a nie wolno było mieć żadnych nagan (czyli, że facet musiał przypaść do gustu operowi, wychowawcy, nadzorcy i prosięciu pani nadzorczy! no i koniecznie — żeby wykonywał 100% planu! i żeby obowiązkowo uczestniczył w „życiu kulturalnym kolonii” (w tych mizernych koncertach, o których pisze Marczenko, w tych przymusowych spartakiadach, gdzie zawodnicy padają na nos z osłabienia; albo gorzej — w imprezach politycznych, wymyślanych przez panów nadzorców).

Taką paczką można się udławić! Za te rzeczy uciętane przez twoich bliskich — żądają od ciebie duszy!

Czytelniku, to nie sen! To już nie historia, nasza kronika jest skończona. To dzieje się dziś, kiedy nasze sklepy żywnościowe pełne już są towarów (przynajmniej w stolicy), kiedy z całym przekonaniem mówisz cudzoziemcom, że nasz naród jest już prawie syty. A naszych ziomków, którzy zbłądzili (a częstokroć są całkiem niewinni, toć mogliśmy się wreszcie przekonać jak nieomylny jest nasz aparat sprawiedliwości) starają się nawrócić na drogę cnoty za pomocą głodu. Niech śni im się chleb!

Dodajemy, że samowola gospodarzy obozu nie ma żadnych granic, że nie są oni poddani żadnej kontroli. Naiwni krewniacy przysyłają więźniowi otwartą przesyłkę z gazetami albo lekarstwami — i nawet takie przesyłki zaliczane są do paczek żywnościowych. (Wiele jest takich wypadków, mam relacje z rozmaitych miejscowości. Naczelnik działu dyscypliny występuje w roli robota z fotokomórką: cyk — i jedna sztuka zaliczona. A następna paczka jest już odsyłana z powrotem).

Pilnie się też baczy, aby ani jeden kęs nie został przekazany więźniowi

466

w trakcie widzenia. Nadzorcy uważają za swój punkt honoru, by do tego nie dopuścić. Dlatego też wolne kobiety, przybywające do krewnych, są przed widzeniem rewidowane i obmacywane. (Przecież Konstytucja tego nie zabrania. A jak nie zgadza się, to niech wraca bez widzenia).

Jeszcze staranniej ogranicza się przyływ przekazów pieniężnych do obozu. Jakąkolwiek sumę krewni by przysłali, wszystko to odkładane jest na konto, jakie więzień ma w księgowości obozu — do dnia wyjścia na wolność (to znaczy, że państwo bierze od zeków bezprocentowe pożyczki na 10-25 lat). Zek nie zobaczy też wcześniej swoich zarobków — niezależnie od ich sumy.

Rozrachunek własny polega na tym, że pobory więźnia wynoszą 70% poborów przewidzianych w tym wypadku dla wolnego pracownika (a dlaczego?, czy owoce pracy więźnia pachną inaczej? Gdyby działa się tak na Zachodzie — nazwano by to u nas eksploatacją i dyskryminacją). Połowa tej sumy zostaje potrącona na rzecz kolonii karnej (na utrzymanie żony, Praktyków i psów). Z pozostałej części odlicza się jeszcze więźniowi za wikt i ubiór więzienny (można wyobrazić sobie, ile kosztuje bałanda na rybich łebkach). I wreszcie — resztkę zapisuje się na rachunek więźnia „po wyjściu na wolność”. Prze trwonić zaś w obozowej kantynie więzień może — zależnie od kategorii reżymu — 10-7-5-3 — ruble. (Ale z kolonii Kalikatki w obwodzie riazanskim skarżą się, że po wszystkich potrąceniach nawet 5 rubli nie zostało ludziom w kieszeni — i na kantynę nie starczyło). A oto dane wzięte z rządowej gazety „Izwiestia” (to jeszcze dobre czasy, marzec 1960 roku, a ruble jeszcze stare i dęte, stalinowskie): dziewczyna z Leningradu Irena Papin, karczując pnie aż do wrzodów na palcach, przenosząc głazy, rozładowując wagony, rąbiąc drwa — zarabiała... 10 rubli miesięcznie.

Dalej trzeba wspomnieć o „reżymowej” dyscyplinie sprzedaży w kantynach, skrzyżowanej z bezduszością sprzedawców. Reżym kolonialny (tak przecież należałoby teraz mówić — zamiast „obozowy”, prawda? Językoznawcy, co tu robić, skoro obozy przedzierzgnęły się w kolonie?) ma to do siebie, że wszystko w nim zamienia się w swoje przeciwieństwo! W rezultacie kantyna-dobrodziejstwo stała się narzędziem kary. Jest to ten słaby punkt, w który zeka teraz najłatwiej uderzyć. Czytam prawie w każdym liście z syberyjskich czy archangielskich kolonii: kantyna stosowana jest jako środek represji: za najmniejsze wykroczenie grozi zamknięcie dostępu do kantyny. Za trzuminutowe spóźnienie do pracy pozbawili jakiegoś zeka prawa do zakupów na trzy miesiące (więźniowie nazywają to „biciem po brzuchu”). Inny — nie zdążył dopisać listu przed wieczornym obchodem — i na cały miesiąc zamknięto mu dostęp do kantyny. Jeszcze inny

467

został ukarany tak samo za to, że „ma ozór za bardzo obrotny”. A z Ust'Wymskiej kolonii o surowym reżymie tak mi piszą: „Prawie co dzień ogłasza się nową listę pozbawionych prawa do zakupów — na miesiąc, drugi, trzeci. Co czwarty zek oskarżony jest o jakieś wykroczenia. A to znów księgowość nie zdążyła ludziom obliczyć zarobków za bieżący miesiąc — więc kantyna przepadła”. (Karcer — to co innego, jeśli od razu cię nie wsadzili, nie znaczy to, że jeszcze nie wsadzą; to nie przepadnie).

Starego zeka to nie dziwi. Zwykłe oznaki bezprawia.

Albo inny list: „Jeśli ktoś może pochwalić się sukcesami w pracy — to ustawowo należą mu się dwa dodatkowe ruble na bieżące zakupy. Ale żeby dostać je do ręki, trzeba zdobyć się na coś istic heroicznego”.

Pomyślcie tylko, jak wysoko ceni się pracę w naszym kraju: za wyjątkowe sukcesy w pracy — dwa ruble miesięcznie!

Przypomniano mi również historię, która zdarzyła się w Norylsku — co prawda jeszcze w 1957 roku, za błogostawionych czasów odwilży: jacyś bliżej niezidentyfikowani więźniowie zjedli psa, który był faworytem płatniczego Woronina; za karę cały obóz przez siedem miesięcy (!) „chodził bez poborów”.

To bardzo realistyczna opowieść, bardzo w stylu Archipelagu.

Tu wtrąci się Historyk-Marksista: ależ to wypadek anegdotyczny, po co pisać takie rzeczy? I sam pan przecież powiedział, że tylko co czwarty oskarżony jest o jakieś wykroczenia. Wystarczy więc zachowywać się przykładowie — a nawet w surowym obozie dadzą ci do ręki trzy ruble miesięcznie — toć to niemal równowartość kilograma masła śmietankowego.

Akurat! Udało się temu Historykowi z całą jego „teorią loterii”, że nie znalazł się w obozie (bo też pisał artykułiki zawsze pełne słuszności). Dobrze by było, gdyby w kantynie był chleb, tanie cukierki i margaryna. Bo na ogół to chleb jest dwa-trzy razy na miesiąc. A cukierki — tylko drogie. Co tam gadać o maśle śmietankowym, czy o cukrze! — jeśli nawet kierownik sklepu się postara (ale się nie postara), to jest przecież Władza, aby mu podpowiedzieć, co ma mieć na składzie. Proszek do zębów, szuwaks, szczotki, mydło, koperty (i to zresztą nie wszędzie, a co do papieru listowego — to nie ma go nigdzie, przecież można na nim pisać skargi!), drogie papierosy — oto asortyment kantyny. Proszę przy tym nie zapominać, że to nie jest normalny sklepik, który każdego ranka musi być otwarty i w którym możesz kupić dzisiaj za 20 kopiejek i jutro znowu za 20. U nas inaczej: kantyna bywa otwarta dwa dni w miesiącu, musisz postać w kolejce trzy godziny, a gdy już wejdiesz, popędzany przez stojących za tobą, musisz od razu kupować za wszystkie swoje wydzielone ruble — bo nie masz ich właściwie w ręku, tylko wypisane jest na liście, za ile masz prawo

468

kupić. Bierz więc dziesięć paczek papierosów na raz, bierz cztery tubki pasty. Cóż zatem zostaje biednemu zekowi? W zasadzie tylko norma —jego tubylcza, kolonialna norma (tyle, że te kolonie leżą za Kołem Podbiegunowym): chleba — 700 gramów, cukru — 13 gramów, tłuszczu — 19 gramów, mięsa — 50 gramów, ryby — 85 gramów (ale to tylko cyfry! — dostarcza się tu takich gatunków mięsa i ryb, że połowę od razu trzeba odciąć i wyrzucić). To są cyfry, ale nie docierają one do miski, nie bywa ich tam. Więźniowie z Ust’Nery tak opisują swoją bałandę: „Ciecz, którą nie każde bydle w kołchozie zeżre”. Albo w Norylsku: „Poślad i sieczka królują tu po dzień dzisiejszy”. A jest także specjalna dieta dla ukaranych: 400 gramów chleba i raz na dzień coś gorącego.

Co prawda na Dalekiej Północy dla więźniów „wykonujących szczególnie ciężkie prace” przewidziane są porcje dodatkowe. Ale znając dobrze nasze wyspy, wiemy jaką drogą trafia się do takiego spisu (nie każda ciężka praca zalicza się do „szczególnie trudnych zajęć”), i że „duża pajka człowieka gubi”... Taki Piczugin „póki był zdrow, potrafił wypłukać po czterdzieści kilogramów złota w ciągu sezonu i przenosił dziennie na plecach po 700-800 podkładów kolejowych — ale po 12 latach odsiadki stał się inwalidą i wobec tego zaliczono go do niższej kategorii żywionej według o wiele niższych norm”. Powstaje pytanie, czy istotnie zmniejszył mu się żołądek?

Ale zapytajmy raczej: ilu sowieckich dyplomatów utrzymywał ten jeden Piczugin ze swoimi czterdziestoma kilogramami złota? Że np. całą naszą ambasadę w Nepalu, to pewne! A czy tam u nich też obowiązują obniżone normy?

Zewsząd piszą, że panuje głód, że wszyscy niedojadają. „Wielu cierpi na wrzody żołądka, na gruźlicę”. (Obwód Irkucki): „Nawet młodzi chorują na suchoty, na rany żołądka”. (Obwód riazański): „Liczni więźniowie cierpią na TBC”.

Już w ogóle nie wolno gotować albo smażyć własnych potraw, chociaż wolno to było robić nawet w Specobozach. Zresztą — z czego tu warzyć?...

Oto najstarszy środek: Głód. Dzięki niemu tubylcy znów dają sobą kierować.

A prócz tego wszystkiego — praca i normy jej wykonania' są o wiele wyższe, niż na swobodzie: bo przecież ostatnio wydajność (ludzkich mięśni) bardzo u nas wzrosła. Co prawda, dzień pracy jest ośmiogodzinny. Dalej istnieją brygady: zek zeka pogania. Ale na przykład w miejscowości Ust' Nera roboty nie starcza: „Dwudziestu ludzi chodzi na budowę do kołchozu „Przyjaźń” i kują tam kilofami zmarzły grunt, a pozostałych 280

469

siedzi z założonymi rękoma”. W Kalikatkach — zupełnie na odwrót: namówiono inwalidów drugiej grupy, aby wzięli się do pracy, obiecując im za to zwolnienie po odsiedzeniu dwóch trzecich kary. Ludzie bez ręki czy bez nogi rzucili się więc, aby zająć miejsce inwalidów trzeciej grupy, tych zaś postano na ogólne.

Ale jeśli nie dla wszystkich pracy starcza, jeśli dniówka jest taka krótka, jeśli — i Ty nie grzmisz, Boże! — w niedzielę się nie pracuje, jeśli praca

— cudotwórczym nie daje sobie rady z nawróceniem tych wyrzutek społeczeństwa, to mamy przecież pod ręką innego Cudotwórcę — reżym!

Według relacji z Ojmiakonu i z Norylska, a więc z obozów o reżymie specjalnym i reżymie obostrzonym — konfiskowane są wszystkie własne swetry, podkoszulki, ciepłe czapki, có dopiero futra! (Chodzi o rok 1963! 46 lat po Październiku!). „Nie wydają ciepłej bielizny i nie pozwalają wdziać niczego ciepłego. Grozi za to karcer” — (Kraśtag - Reszoty). „Odebrali wszystko, prócz zwykłej bielizny, wydali: bawełniany kitelek, fufajkę, kurtkę, czapkę z nausznikami bez podbicia. I to w miejscowości Indigirka, w Ojmiakońskim rejonie, gdzie do roboty się nie idzie dopiero, gdy mróz osiągnie 51°”.

Bo też prawda: czym — prócz głodu — najłatwiej jest ująć w karby wszelką żywą istotę? A chłodem, chłodem oczywiście.

Szczególne wartości wychowawcze ma reżym specjalny. Przede wszystkim nosi się tam odzież w pasy: czapka-furażerka, spodenki i wdzianko

— wszystko to uszyte jest z materiału w białe i granatowe pasy*, używane go do wyrobu materaców. Ten pomysł przyszedł do głowy naszym ciupologom, jurystom Nowego Społeczeństwa — w piątym dziesięcioleciu po rewolucji Październikowej! W drugiej połowie XX wieku! Na progu komunizmu! Postanowili przebrać w błazeńskie szaty swoich zaszczytnych więźniów. (Ze wszystkich listów wynika, że nie głód, chłód, czy inne rygo ry, lecz właśnie te pasiaki najbardziej dokuczyły dzisiejszym katorżnikom, najbardziej ich upokorzyły).

Ponadto — w obozach o reżymie specjalnym takie się rzeczy dzieją: baraki są za-kratowane, drzwi zamyka się na noc od zewnątrz; baraki but-więją, za to istnieją murowane, przestronne BUR-y (choć prócz picia c z y f i r u — nie ma prawie wykroczeń: ani awantur, ani bójek, ani nawet kart). Po żonie wolno chodzić tylko w szeregu, ale równiutko, bo inaczej nie sposób nigdzie wejść ani znikąd wyjść. Jeżeli nadzorca zobaczy w szeregu kogoś z papierosem — rzuca się na niego całym ciężarem, przewraca na ziemię, wyrywa niedopałek i prowadzi zbrodniarza do karceru. Jeśli

Przypomnijmy, że pasiaki podobnych kolorów nosili więźniowie w Auschwitz.

tego dnia nie ma pracy — ani się ważyć odpocząć na pryczy: na własne legowisko wolno patrzeć jak na eksponat i aż do dzwonka nie wolno go tknąć. W czerwcu 1963 roku rozkazano wykosić trawę dookoła baraków, aby nikt nie mógł się na niej wylegiwać. Gdzie zaś trawa została — sterczą tabliczki z napisami: zabrania się leżenia (obwód irkucki).

Boże, jak dobrze to znamy! Gdzie to już czytaliśmy? Toż całkiem niedawno słyszeliśmy o podobnych obozach? Czy to nie beriowskie specobozy? Tu spec i tam spec...

Reżym specjalny w obozie pod Solikamskiem: „Najmniejszy szmer i zza klapy w drzwiach baraku wysuwają się lufy automatów”.

Rzecz jasna — wszędzie panuje bezkarna samowola, za byle co posyła się więźniów do SZIZO. Więzień I.N. otrzymał zlecenie ładowania na samochód płyt betonowych (każda ma 128 kg wagi) w pojedynkę, bez pomocy. Odmówił — i dostał 7 dni bunkra.

W mordowskim obozie w 1964 roku pewien młody zek dowiedział się, że podobno w Genewie w 1955 roku podpisana została międzynarodowa konwencja zakazująca pracy przymusowej w miejscach odosobnienia — i odmówił chodzenia do pracy! Za ten swój wybryk poszedł na 6 miesięcy do celi-izolatki.

Wszystko to nosi cechy ludobójstwa — pisze Karawariski.

Ale może lewicowi labourzyści mają dla tych praktyk inną nazwę? (Boże drogi, nie zaczepiajcie, kolego, lewicowych labourzystów! Przecież jeśli im się narazimy, to koniec z naszą reputacją!...).

Ale dość już tych ponurych szczegółów! Dla równowagi oddajmy głos młodemu Praktykowi, absolwentowi szkoły MWD w Tawdzie (1962): „Dawniej (przed 61. rokiem) dziesięciu nadzorców musiało ich pilnować na pogadankach — i też nie mogło dać sobie rady. Teraz zaś jak makiem zasiał, jeden drugiego pilnuje. Bo się boją, żeby im nie wlepiono surowego reżymu. Pracuje się teraz lżej, zwłaszcza po Dekrecie (o rozstrzelaniu). Już go do kilku z nich zastosowano. Bo zdarzało się dawniej, że przychodzi taki na odwach z nożem i powiada: tu mnie macie, zabiłem gada... Jak w takich warunkach pracować?”.

To fakt, atmosfera się oczyściła. Potwierdza to również nauczycielka szkoły kolonijnej: „za chichoty podczas pogadanek politycznych — traci się prawo do przedterminowego zwolnienia. Wystarczy jednak, że należysz do aktywu, to możesz być nawet chamem nad chamami; jeśli innym zwracasz uwagę, żeby nie rzucać niedopałków, nie siedzieć w czapce — to zaraz masz i lżejszą pracę, i lepszą charakterystykę, i pomogą ci później przy staraniach o prawo pobytu”.

Rada Kolektywu, Sekcja Wewnętrzznego Porządku (dowiadujemy się od

Marczenki: Suka Wyszła Posusiać) — są to jakby „drużynnicy”; noszą czerwoną opaskę: bacz na wykroczenia! pomagaj nadzorcom! A Rada może składać wnioski o ukaranie! Kto siedzi z takiego artykułu, który zezwala na przedterminowe zwolnienie — musi koniecznie współpracować z Sekcją, bo inaczej pozbawią go tej szansy. Kto siedzi z innych artykułów — nie współpracuje, nie musi. I. A. Aleksiejew pisze: „większość woli powolną śmierć, niż pchanie się do tych rad i sekcji”.

A już się czuje nową atmosferę, prawda? Aktywność społeczna w obozie! Do jakich pięknych uczynków popycha ona ludzi (luzosostwo, donosiciels-two, utracanie kolegi) — oto marmurowe schody, prowadzące do nieba poprawy! Ale jakież one śliskie!

W liście z tyraspolskiej kolonii Nr 2 skarży się Ołuchow (członek partii, dyrektor sklepu, siedzi za nadużycia): przemawiał na zlocie przodowników pracy, wytknął coś z trybuny pewnemu więźniowi, „nawoływałem tych zbłąkanych Synów Ojczyzny do sumiennej pracy”, sala zareagowała gromkimi oklaskami. A gdy wrócił na swoje miejsce — podszedł do niego jakiś zek i powiedział: „Gdybyś ty, ścierwo, przemawiał tak 10 lat temu — zarżnąłbym cię, zanim zdążyłbyś zleźć z trybuny. Ale teraz kodeks nie pozwala, bo za ciebie, psi synu, pod mur mnie poślą”.

Czy widzi czytelnik, jak to wszystko łączy się ze sobą, jedność przeciwieństw, związki dialektyczne? — Z jednej strony — praca społeczna kwitnie, a z drugiej — wspiera się na Dekrecie o rozstrzelaniu? (A długość kary — chyba czytelnik zauważył? „10 lat temu” — a facet wciąż siedzi. Epoki mijają, jak z knuta trząsł — a ten wciąż siedzi...).

Tenże Ołuchow opowiada o więźniu Isajewie byłym majorze (Mołdawia, kolonia Nr 4). Isajew „był nieprzejednany w stosunku do sprawców wykroczeń. Na zebraniu Rady Kolektywu wymienił konkretnych winowajców”, żądając by zostali ukarani i pozbawieni ulg. I cóż? „Następnej nocy zginął mu juchtowy but wojskowy, jeden od pary. Wzwał więc trzewiki, ale nazajutrz rano nie znalazł również jednego z nich”. Oto jakie nikczemne formy walki stosuje w naszych czasach przyparty do muru wróg klasowy!...

Oczywiście, ta cała praca społeczna — to zajęcie hazardowe i trzeba umieć nim kierować. Zdarzają się wypadki, które zupełnie więźniów demoralizują, na przykład historia z Wanią Aleksiejewem. — Pierwsze w obozie zebranie ogólne wyznaczono na godzinę 20.00. Ale nawet o 22.00 grała tylko orkiestra, a zebranie ani myślało się zacząć chociaż oficerowie siedzieli na scenie. Aleksiejew poprosił orkiestrę, aby sobie „odpoczęła” i zwrócił się do oficerów z pytaniem, kiedy zacznie się zebranie. Odpowiedziano mu, że wcale się nie zacznie. Aleksiejew: w takim razie my, więźniowie sami poprowadzimy zebranie na temat — O Życiu W Ogóle i Chwili All

Obecnej W Szczegółności. Więźniowie okrzykami wyrazili zgodę, oficerowie uciekli ze sceny. Aleksiejew z notatnikiem w ręku wszedł na trybunę i zaczął od kultu jednostki. Ale nadbiegło kilku oficerów. Usunięto go z trybuny, wykręcono żarówki i zrzucano ze sceny paru więźniów, którzy zdążyli tam wleźć. Nadzorcom kazano Aleksiejewa aresztować, ale ten zwrócił się do nich z taką przemową: „Obywatele nadzorcy, jesteście przecież komsomolcami. Słyszeliście dobrze, że mówiłem tu prawdę. Na kogo więc podnosicie rękę? Na sumienie idei leninowskiej?”. Aresztowano jednak w końcu także owo sumienie idei, ale zeki z Kaukazu zabrali Aleksiejewa do swojego baraku i na jedną noc uratowali przed aresztem. Później jednak trafił do karceru, a po karcerze wpisano mu do akt całą historię jako antysowiecki wybryk. Rada Kolektywna zwróciła się do administracji z wnioskiem o izolowanie Aleksiejewa za agitację antysowiecką. W oparciu

0 ten wniosek administracja zwróciła się do sądu i Aleksiejew dostał trzy lata więzienia.

W całokształcie pracy wychowawczej bardzo ważną rolę odgrywają w dzisiejszych koloniach cotygodniowe seanse szkolenia ideologicznego. Wpływają one dobroczynnie na światopogląd więźniów. Szkolenie prowadzą naczelnicy oddziałów (oddział liczy 200-250 ludzi), oficerowie. Za każdym razem wybiera się określony temat, powiedzmy: humanizm naszego ustroju, wyższość naszego systemu, sukcesy socjalistycznej Kuby, przebudzenie się kolonii afrykańskich. Kwestie te wprost pasjonują tubylców, pomagając im lepiej rozumieć własny reżym kolonialny i wydajniej pracować. (Oczywiście — nie wszyscy jeszcze należycie to pojęli. List z Irkucka: „W obozie, gdzie panuje głód, mówią nam o wielkiej obfitości produktów żywnościowych w naszym kraju. Mówią o powszechnej mechanizacji pracy, a tymczasem u nas widzimy tylko kilof, łopatę, tragi, i wszystko nosimy na własnym grzbiecie!”). 10 Jeszcze przed wzmiankowanym wyżej zebraniem, Wania Aleksiejew taki kawał zrobił na jednym z seansów szkolenia. Poprosił o głos i oświadczył: „I wy, oficerowie MWD,

I my, więźniowie jesteśmy przestępcami, których do naszych zbrodni pchnął kult jednostki.

I my i wy — jesteśmy wrogami ludu i powinniśmy teraz ofiarną pracą zasłużyć sobie, aby sowiecki lud wybaczył nam winy. I proponuję wam z całą powagą, obywatelu majorze, abyście wzięli kurs na komunizm!”. Wpisano mu do akt: „niezdrowe, antysowieckie na stroje”.

List, który dostałem od Aleksiejewa z Ust'-Wym'-lugu jest długi, papier jest wytarty, pismo wyblakłe, sześć godzin ślęczałem, aby je odcyfrować. Czegóż tam tylko nie ma! Jest na przykład taka uwaga ogólna: „Kto dzisiaj siedzi w koloniach — tych gettach niewolników? Wypchnięta za nawias społeczeństwa, najbardziej ekspansywna i buntownicza warstwa ludu... Blok biurokratów wysadził z siodła tę pełną rozmachu młodzież; było rzeczą niebezpieczną dawać jej do ręki taką broń, jak teoria społecznej sprawiedliwości. Zeki — to wydziedziczone dzieci proletariatu, oddane ITL na własność”.

473

Nader ważną rolę gra też radio, jeśli tylko jest właściwie wykorzystywane (żadnej muzyki, żadnych miłosnych pień, same tylko pogadanki wychowawcze). Tak jak wszystko — również radio jest dozowane proporcjonalnie do reżymu — od dwóch-trzech godzin dla reżymu specjalnego

— aż do programu całogodzinnego w obozach o reżymie ogólnym”.

Bywają również szkoły (a jakże! Chodzi przecież o przysposobienie więźniów do powrotu na łono społeczeństwa!). Tylko że „wszystko jest tylko formalnością, to mydlenie oczu i tyle... chłopaki chodzą do szkoły jedynie z musu, całą chęć do nauki odbiera nam BUR”; a ponadto „wstydzą się wolnych nauczycielek, bo są poubierani w szmaty”.

A spotkanie z żywą kobietą — jest zbyt ważnym wydarzeniem dla więźnia.

Nie wymaga też podkreślenia, że prawidłowe wychowanie, mające na celu poprawę — zwłaszcza gdy chodzi o ludzi dorosłych i szczególnie, gdy ten proces trwać musi całe dziesięciolecia — prowadzić można wyłącznie na gruncie stalinowsko-beriowskiej, konsekwentnej separacji płci. Jest to na Archipelagu zasada

niewzruszona. Kontakty między mężczyznami a kobietami, które wszędzie indziej uznane są za źródło impulsów uszlachetniających i wpływających dodatnio na rozwój ludzkiej jaźni — nie mogą mieć miejsca na Archipelagu, bowiem w takim wypadku życie tubylców stałoby się „podobne do życia w sanatorium”. Im więcej zaś światła nam rzuca zorza komunizmu, od której już się pół nieba rumieni, z tym większą stanowczością należy separować przestępców od przestępczyń, jedynie bowiem taka izolacja sprawi im należne męki i przyczyni się do ich poprawy¹².

Jak to wszędzie w naszej nie znoszącej bezprawia i przemilczeń epoce — cały ów harmonijny system kolonialnej korekcji przestępców nadzorowany jest bacznie przez opinię publiczną. Mam nadzieję, że czytelnik nie zapomni o komisjach obserwacyjnych? Bo nikt ich nie kasował.

Ich skład ustalany jest przez „miejscowe organy władzy”. Ale praktycznie w tej dzikiej głuszy, w tych wolniackich osadach — któż, oprócz żon urzędników obozowych zechce brać udział w pracach takich komisji? Są to po prostu babskie komitety, robiące to, co mężowie każą.

11 To już lepiej uciec do tamtych pasiaków!...

12 Sam minister Ochrony Tikunow opisał mi (niezadługo znajdziecie relację o naszym spotkaniu) taki wypadek: w trakcie widzenia indywidualnego, to znaczy w osobnym do

mku (3 dni) matka, która odwiedziła syna, zastąpiła mu żonę. Temat antyczny —

córka, karmiąca ojca własną piersią, jest jednym z częstych tematów mitologicznych. Ale

pan minister, mówiący o tych dzikusach z grymasem obrzydzenia, nie pomyślał chyba, co

przeżywa miody chłopak, któremu nie wolno widzieć kobiety przez 25 lat.

474

Jednakże w dużych miastach system ten czasami może dać nieoczekiwane rezultaty. Członkini partii, Galina Pietrowna Filipowa, otrzymała z rej-komu nakaz wejścia w skład komisji obserwacyjnej odeskigo więzienia. Broniła się wprawdzie, że nie chce mieć nic do czynienia z przestępcami, ale zmuszono ją do tego w trybie dyscypliny partyjnej. I ta praca od razu ją wciągnęła. Zobaczyła wśród więźniów — ludzi, przekonała się, ilu wśród nich jest niewinnych, ilu takich, którzy czują szczerą skruchę. Z punktu wprowadziła zasadę rozmów z więźniami na osobności, bez nadzoru (mimo ostrych sprzeciwów administracji). Niektórzy więźniowie całymi miesiącami patrzyli na nią złym okiem, ale w końcu przekonali się do niej. Zaczęła odwiedzać więzienie dwa, trzy, cztery razy w tygodniu, zostając w nim do wieczornego dzwonka. Zrzekła się nawet urlopu — i już ci, którzy ją tu przystali, pluli sobie w brodę. Zaczęła interweniować w instancjach w sprawie skazanych na 25 lat (kodeks nie przewiduje już takiej kary, a niegdyś skazani — odsiadują ją dalej), w sprawie zatrudnienia wypuszczonych na wolność oraz zestańców. Dotarła bardzo wysoko i spotkała się tam albo z zupełną nieznajomością problemu (dyrektor Departamentu Więziennictwa RSFSR, generał zapewniał ją w 1963 roku, że w ogóle nie ma w całym kraju ani jednego człowieka skazanego na 25 lat — i co najśmieszniejsze: chyba naprawdę nic o tym nie wiedział!), albo z doskonałą jego

znajomością — i wówczas natrafiała na zaciekły opór. Zaczęto ją tępić i prześladować zarówno w MWD Ukrainy, jak w partii. Rozpędzono na cztery wiatry całą komisję za składane na piśmie wnioski i zażalenia. A niech nie przeszkadzają gospodarzom Archipelagu! Niech nie pętają się Praktykom pod nogami! Przypomnijcie sobie tylko: dopiero co od nich samych dowiedzieliśmy się, że ci sami ludzie którzy pracowali w tamtych czasach — pracują po dziś dzień, „nowych sil jest nie więcej jak 10%”.

Ale, ale, nie wykluczone wszak, że wszyscy oni przeżyli przełom duchowy? Mogli wszak umiłować swoich podopiecznych? Owszem, wszystkie gazety i wszystkie piśma twierdzą, że umiłowali ich z całej duszy. Nie wybierałem tych głosów specjalnie, ale przecież czytaliśmy już (w rozdziale pierwszym tej części) reportaż w „Literaturnej Gaziecie” o pełnych troski nowych gospodarzach kolonii na stacji Jercewo. I znów w tym samym piśmie” znajdujemy wypowiedź komendanta kolonii:

„Wychowawców wyklinać łatwo — o wiele trudniej im pomóc, a jeszcze trudniej ich znaleźć: ludzi bystrych, wykształconych, inteligentnych (koniecznie inteligentnych), zainteresowanych tą pracą i utalentowanych... Trze-

13 Z dnia 3 marca 1964.

475

ba stworzyć im odpowiednie warunki, aby mogli tu żyć i wydajnie pracować... Wiem, jak skromne są ich zarobki, jak nieskończenie długi jest ich dzień roboczy...”. I jak pięknie by to było, gdybyśmy tym akcentem mogli rzecz zakończyć, tu postawić kropkę! Żyłby człowiek znacznie spokojniej, mógłby bez reszty poświęcić się sztuce, albo — co jeszcze lepsze — nauce, gdyby nie te listy przekłete, wygniecione, zatarte, wysyłane „na lewo” z obozów! I cóż piszą ci niewdzięcznicy o ludziach, którzy tyle serca im okazują w czasie bezkresnego roboczego dnia?

L-n: „Mówisz z wychowawcą o swoich najcięższych troskach i widzisz, że słowa odbijają się rykoszetem od szarego sukna jego szynela. Aż korci, żeby go zapytać raczej: ‘przepraszam, jak zdrowie waszej krówki?’, bo w obórcie spędza więcej czasu niż wśród swoich wychowanków”. (Kraśtag, Reszoty).

L-n: „Ci sami tępi nadzorcy, szef działu dyscyplinarnego — typowy Wołkowskiej. Z nadzorcą nie wolno dyskutować, od razu karcer”.

K-n: „Dowódcy oddziałów w rozmowach z nami’ używają tylko żargonu, wciąż człowiek słyszy takie słowa, jak — ścierwo, suka, bydlę”. (Stacja Jercewo, co za zbieg okoliczności!).

K-j: „Szef działu dyscyplinarnego — rodzony brat tego Wołkowskiego, leje wprawdzie nie nahajką, tylko pięścią, ale patrzy spode łba, jak wilk... Naczelnik oddziału — były oper, który tym zastąpił, że miał swojego donosiciela-złodzieja i za każdy donos płacił mu narkotykami... Wszyscy ci, co bili, torturowali, zadreńczali więźniów — zostali po prostu przeniesieni z jednego obozu do drugiego i zajmują nieco inne stanowiska”. (Obwód irkucki).

I.G.P-w: „Każdy komendant kolonii ma po sześciu zastępców i pomocników. Wszystkie budowy starają się pozbyć darmożjadów, więc ci szukają sobie pracy tutaj... Wszystkie obozowe tępaki... pracują po dziś dzień, aby odwalić łatka dzielące ich od emerytury; więźniów nie uważali i dalej nie uważają za ludzi”.

W.I.D-w: „W Norylsku (skrytka pocztowa 288) nie ma ani jednego „nowego” — wciąż ci sami beriovcy. Jeśli któryś idzie na emeryturę, to na jego miejsce wraca taki, co go usunięto z pracy w 1956 roku... Liczą im się podwójnie lata do renty,

otrzymują podwyższone pobory, mają dłuższe urlopy i wysokie przydziały żywnościowe. Dzięki temu podwójnemu zaliczeniu lat pracy mogą przejść na rentę, gdy im stuknie 35 roczek...".

P-n: „Na naszym odcinku służy 12-13 tęgich chłopów, noszących kożuchy do pięt, futrzane czapy i wojskowe filcaki. Czemu by nie mieli iść do kopalni czy na ugory i tam szukać szczęścia, ustępując miejsca starszym?

476

Nie, nawet na kotwicznym łańcuchu ich się tam nie zaciągnie. To na pewno te trutnie utrzymują zwierzchność w przekonaniu, że więźniowie są niepoprawni — przecież jeżeli zeków zrobi się mniej, to również ich etaty ulegną redukcji".

I tak jak dawniej zeki sadzą kartofle w ogródkach panów naczelników, podlewają warzywa, chodzą koło bydła, robią meble do ich domów.

Ale kto wobec tego mówi prawdę? Komu tu wierzyć? — pyta skonfundowany czytelnik.

Pewno że gazetom! Wierzyć trzeba — gazetom. Wiercie we wszystko, co piszą nasze gazety.

Enkawudyści to siła. I nigdy nie ustąpią dobrowolnie. Jeśli przetrzymali rok 1956, to wytrzymają jeszcze wiele.

Tu nie chodzi tylko o aparat więziennictwa i obozów. I nie tylko o Ministerstwo Ochrony. Widzieliśmy już, jak chętnie popierają ich i gazety, i deputaci.

Dlatego, że to z nich składa się kościec. Kościec niejednego organizmu.

Ale mają nie tylko siłę — mają również na podporządku arsenał swoich argumentów. Nie tak łatwo jest toczyć z nimi spory.

Próbowałem to robić.

Właściwie — nie miałem wcale tego zamiaru. Ale pchnęły mnie do tego listy, te właśnie listy, których wcale się nie spodziewałem — słane mi przez dzisiejszych więźniów. Tubylcy prosili, abym o nich mówił, abym wziął ich w obronę, abym sprawił, by warunki ich życia stały się bardziej ludzkie. Pokładali we mnie nadzieje. Więc komuż będę mówił? Pomijając już — że nikt słuchać mnie nie zechce... Gdyby istniała wolna prasa, opublikowałbym po prostu to wszystko — i proszę bardzo, możemy o tym pogadać!

Teraz zaś (jest styczeń 1964) snuję się po korytarzach instytucji w charakterze nieoficjalnego i nieśmiałego petenta, pochylam się przed okienkami w biurach przepustek, czując na sobie pełen dezaprobaty i podejrzliwości wzrok mundurowych dyżurnych. Jak o zaszczyt i o łaskę zabiegać musi pisarz-publicysta, aby bardzo zajęci działacze państwowi raczyli udzielić mu półgodzinnego posłuchania!

Ale nie na tym polega główny szkopuł. Najtrudniejszą dla mnie rzeczą jest — jak to już niegdyś było na zebraniu w Ekibastuzie — odpowiedzieć sobie: o czym mam z nimi mówić? Jakim językiem?

Powiedzieć to wszystko co myślę, przy tym tak, jak w tej książce opisa-

477

}em — nie tylko byłoby niebezpieczne, lecz nadto zupełnie bezskuteczne. Oznaczałoby to oddanie głowy pod topór w bezechowej ciszy gabinetu i to tak, że ani społeczeństwo niczego by się ode mnie nie dowiedziało, ani spragnieni pomocy nic by z tego nie mieli, ani ich sprawy nie ruszyłyby z miejsca. Skoro tak — to jak tu z nimi gadać? Wchodząc w ich marmurowe, błyszczące jak zwierciadła progi, kro-

cząc po ich miękkich dywanach, sam muszę nałożyć na siebie uprząż, nie, raczej jedwabne struny, którymi na-samprzód trzeba przebić mój język, uszy, powieki, aby później przyszyć wszystko do ramion i skóry na plecach i brzuchu. A już co najmniej muszę zgodzić się na następujące założenia:

Chwała partii za całą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość! (A to znaczy, że nie wolno poddawać w wątpliwość ogólnej polityki kar. Tak samo — jak nie wolno mi poddawać w wątpliwość niezbędności Archipelagu jako takiego. I nie mogę twierdzić, że większość siedzi bez powodu i potrzeby).

Wysokie szarże i mężowie stanu, z którymi będę rozmawiać — są przecież oddani sprawie i troszczą się o więźniów. Nie wolno oskarżać ich zatem o nieszczerłość, obojętność i brak orientacji (bo nie mogą przecież być niekompetentni w dziedzinach, którym tyle czasu i serca poświęcają).

O wiele bardziej podejrzane wydają się przecież motywy moich interwencji: co ja tu mam do roboty? Dlaczego się wtrącam, skoro nie jestem do tego służbowo powołany? Czy nie chodzi mi czasem o jakieś brudne cele, o prywatę?... Po co tu węszyć, skoro Partia i tak wszystko widzi bez mojej pomocy i postąpi jak można naj-słuszniej?

Żeby wyglądać w ich oczach nieco korzystniej, wybieram miesiąc, w którym — jak już wiem — mają wysunąć moją kandydaturę do nagrody leninowskiej. Teraz poruszam się jak pionek, o którym nie wiadomo czy przypadkiem nie zostanie wieżą.

Sowieci Najwyższy ZSSR. Komisja Projektów Ustaw. Jak się okazuje nie pierwszy już rok komisja ta zajęta jest redagowaniem nowego Kodeksu Pracy Poprawczej, to znaczy składu zasad całego przyszłego życia Archipelagu — który zastąpić ma kodeks z 1933 roku, co to istniał, bo tak był traktowany, jakby go nigdy nie publikowano. I oto zostaje zorganizowane spotkanie, na którym ja, wychowanek Archipelagu zająć mam w otchłanie ich mądrości i błysnąć przed nimi szczerem moich propozycji.

Jest ich ośmiu. Czterech — zadziwia swoją młodością: dobrze, jeśli ci młodzieńcy zdążyli zakończyć studia, a nie wygląda na to. Tak szybko wchodzi do aparatu władzy! Tak swobodnie zachowują się w tym pałacu pełnym marmurów i parkietów, do którego wpuszczono mnie z taką nieuf-

478

nością. Przewodniczącym komisji — jest Iwan Andrejewicz Baduchin, człowiek już niemłody i odznaczający się niezmierną dobrocią, co widać na pierwszy rzut oka. Wydaje się, że gdyby to zależało od niego — już jutro otwarto by wszystkie wrota Archipelagu. Ale od razu też widać, jaką gra tu rolę: przez cały czas naszego spotkania siedzi z boczku i milczy. Dwaj zaś najbardziej tu zawzięci — to staruszkowie! — dwaj staruszkowie z komedii Gribojedowa, ci sami, co to pamiętają czasy Potrzeby oczakowskiej oraz podboju Krymu,

wykapani! Nie chcą znać nic ponad to, czym niegdyś przesiąkli i gotów jestem ręczyć, że od 5 marca 1953 roku nawet po gazetę nie sięgnęli — bo przecież nie mogło się zdarzyć nic takiego, co wpłynęłoby na ich poglądy! Jeden z nich nosi granatowy żakiet, a mnie się wydaje, że to dworski, błękitny surdut frakowy z czasów Katarzyny i widzę nawet na jego piersi ślad po srebrnej gwiazdce, nadanej przez carycę. Obaj starcy absolutnie i a l i m i n e nie aprobują ani mnie, ani mojej wizyty, ale postanowili popisać się tolerancją.

Wtedy właśnie najciężiej jest mówić, gdy zbyt wiele ma się do powiedzenia. A tu jeszcze te struny, czuję szwy przy każdym ruchu. Ale w końcu przygotowałem sobie zasadniczą tyradę i myślę, że w jej trakcie nie powinienem poczuć żadnego szarpnięcia. Więc im powiadam: nie wiadomo skąd wzięło się przeświadczenie (jak najdalej jestem od przypuszczenia, że to oni tak sądzą) że obozom grozi niebezpieczeństwo przedzierzgnięcia się w SANATORIA i że jeśli w obozach nie będzie panował głód i chłód, to już staną się one oazami pomyślności. Proszę ich, aby nie bacząc na brak bezpośrednich doświadczeń, wyobrazili sobie częstokół tych wyrzeczeń i dolegliwości, który składa się na pobyt w więzieniu sam przez się: człowiek oderwany jest od swego rodzinnego miasta czy wsi; mieszka razem z ludźmi, których nie chciałby wcale mieć za sąsiadów; nie mieszka za to z tymi, kogo chciałby mieć w pobliżu (rodzina, przyjaciele); nie widzi swoich dorastających dzieci, nie bierze udziału w procesie ich wychowania; oderwany jest od swojego otoczenia, własnego domu; nie ma swoich rzeczy, nawet zegarka na ręce; utracił dobre imię, okryte jest teraz hańbą; pozbawiony jest swobody ruchów; zwykle nie może pracować w swoim zawodzie; poddany jest rozmaitym naciskom ze strony obcych, a częstokroć wrogo do niego nastawionych ludzi — innych więźniów, mających całkiem inne doświadczenie życiowe, inne poglądy i obyczaje; pozbawiony jest towarzystwa osobników drugiej płci, niezbędnego wszak dla złagodzenia obyczajów (nie mówiąc już o fizjologii); nawet opieka lekarska, z jakiej korzysta, jest znacznie gorsza od normalnej. Czy to są warunki uzdrowskowe? Dlaczego tak boją się owego wymyślanego „sanatorium”?

‘ 479

Nie, ten przewód myślowy jakoś ich nie uderza. Nie widać, żeby zadrżeli. Ujmijmy więc rzecz nieco szerzej: czy chcemy, aby ci ludzie wrócili na łono społeczeństwa? Skoro tak, to dlaczego zmuszamy ich do życia w potępieńczych warunkach? Dlaczego sens całej skali reżymów na tym polega, aby systematycznie więźniów upokarzać i doprowadzać ich do fizycznego wycieńczenia? Jaką korzyść odnosi państwo z tego, że stają się inwalidami?

I teraz leżę jak długi. Moi rozmówcy wyjaśniają na czym polega mój błąd: nie bardzo wiem mianowicie, z kogo składa się dzisiejszy kontyngent, oceniam sytuację według dawnych moich obserwacji, dziś nieaktualnych, życie nie stoi w miejscu. (To istotnie mój słaby punkt: rzeczywiście nie widzę już tych, którzy tam dzisiaj siedzą). Dla tych zaś recydywistów

— izolowanych i jakże nielicznych — wszystko to, co wyliczyłem, wcale nie jest dolegliwością ani wyrzeczeniem. Obecnie stosowane rygory mogą ich tylko skłonić do opamiętania. (Szwy, szwy, już je czuję — tu są na pewno w swoim żywiole, bo przecież lepiej wiedzą, kto dziś siedzi). A co do powrotu na łono społeczeństwa?... Tak, tak, oczywiście — drewnianym głosem mówią starcy, ja zaś słyszę: nie, nie, oczywiście, niech tam już zdychają, tak lepiej i dla nas, i chyba dla pana.

No a — reżymy? Odpowiada mi jeden z oczakowskich starców, prokurator, ten w błękitnym fraku z gwiazdą na piersi, z rzadkimi siwymi kędziorkami na głowie, ba, nawet Suworowa trochę przypomina:

— Już zaczęliśmy rejestrować efekty wprowadzenia surowych rygorów. Zamiast dwóch tysięcy morderstw rocznie {tutaj można wymienić tę cyfrę}

— mamy tylko kilkadziesiąt.

Ważna cyfra, zapisuję ją sobie ukradkiem. Zdaje się, że to będzie najważniejszy profit z tej mojej wizyty.

Kto dziś siedzi!? Rzecz jasna, aby dyskutować o rygorach i reżymach, trzeba wiedzieć, kto siedzi. Trzeba w tym celu dziesiątków psychologów i prawników, trzeba, by pojechali do obozów i aby tam mogli rozmawiać z zekami bez przeszkód; podyskutować można by dopiero później. Moi zaś obozowi korespondenci nigdy nie piszą mi właśnie o tym za co siedzą i za co wpakowano ich towarzyszy¹⁴.

Ogólna część rozmowy jest zakończona. Przechodzimy do szczegółów.

14 Ale wyobraźmy sobie tych rozmaitych recydywistów! Na przykład w kolonii Tawda siedzi 87-letni były oficer carski, który zapewne później był białogwardzistą. W 1962 roku odsiadywał 18 rok swojego drugiego dwudziestaka. Nosi rozłożystą brodę, jest rachmistrzem w warsztacie rękawicarskim. Wolno spytać: może czterdzieści lat odsiadki to trochę za dużo za przekonania, jakich się człowiek trzymał w młodości? — Ileż to takich losów niepowszednich! A trzeba znać każdy, aby decydować w sprawie reżymu, jaki ma obowiązywać wszystkich.

480

Ale tu komisja już wszystko ustaliła, wszystko widzi na wskroś bez mojej pomocy, nie jestem im wcale potrzebny, a po prostu to dla nich ciekawy widok.

Paczki? Tylko po 5 kilogramów i tylko według tej skali, która właśnie obowiązuje. Proponuję, aby chociaż ową skalę podwoić i zezwolić na wysyłanie paczek do 8 kilogramów wagi (przecież oni głodują! Kto dziś stosuje głód jako środek wychowawczy?!).

„Jak to — głodują?” — jednogłośnie zakrzyknęli panowie z komisji — „Byliśmy tam sami i widzieliśmy na własne oczy, że resztki chleba wywozi się z obozu ciężarówkami!”. (Bo przecież świniaki panów nadzorców też muszą żreć, nieprawdaż?...). I co mam teraz zrobić? Krzyknąć: „łżecie! to niemożliwe!” — ale zaraz aż mnie zakłuło w język, przszyty przez ramię do tyłka. Nie wolno mi łamać warunków umowy: ci tutaj są dobrze poinformowani, szczerzy i przejęci troską. Pokazać im listy moich zeków? To dla nich chińszczyzna, a te przetarte i zmięte karteluski śmiesznie i nędznie będą wyglądać, jeśli je rozłożę tu na aksamitnym obrusie.

Ależ przecież państwo nic nie straci, jeśli paczek będzie więcej!

Ale kto skorzysta z tego prawa? — odpowiadają mi. — Przede wszystkim bogate rodziny (używają tu tego terminu — bogate, potrzebne im to, aby ich państwowotwórcze rozważania miały realną podstawę). Albo ci, co się nakradli i zdolali to ukryć przed pójściem do więzienia. I w rezultacie — zwiększając wagę paczek sprawimy, że właśnie rodziny należące do warstwy pracującej znajdą się w gorszej sytuacji!

Ależ mnie rwą, ależ różną te struny! To jest punkt nietykalny: obrona interesów warstw pracujących — nade wszystko. Oni tu wszyscy zasiadają wyłącznie w interesie warstw pracujących.

Okazuje się, że wcale nie jestem zręcznym dysputantem. Nie wiem, co im odpowiedzieć. Jeśli powiem: „nie, wcale mnie panowie nie przekonali!”, nic ich to nie obejdzie, bo czy jestem ich zwierzchnikiem?

Kantyna! — atakuję dalej. — Gdzie tu socjalistyczna zasada sprawie dliwej zapłaty? Skoro człowiek zarobi — niech mu to będzie wolno wydać!

A z czym wyjdzie na wolność?! — odparowują cios. — Toć inaczej po zwolnieniu państwo będzie musiało go utrzymywać.

Interesy państwa — są poza dyskusją, tu trzyma mnie gruba nitka i nie mogę podskakiwać. Nie mogę przecież żądać, aby zarobki zeków podwyższone zostały z kasy państwa.

Ale niech przynajmniej niedziela będzie dniem absolutnie zawarowanym dla wypoczynku.

To już przewidziane i tak już jest.

19 Archipelag Gulag 481

Ale istnieją dziesiątki sposobów na zepsucie więźniowi niedzieli we wnętrzu żony. Trzeba wyraźnie tego zabronić!

— Przepisów kodeksu nie można tak detalizować.

Dzień roboczy ma 8 godzin — coś tam nieśmiało mamrocze na temat dnia 7-godzinnego — ale wewnątrznie sam to uważam za bezczelność: już przecież nie 12, nie 10, czego jeszcze można sobie życzyć?

— Korespondencja — łączy więźnia ze społeczeństwem socjalistycznym (patrzcie jak nauczyłem się argumentować!), nie trzeba jej ograniczać.

Ale nie mogą zmieniać ustaleń. Zatwierdzono już skalę i to nie tak surową jak w naszych obozach... Pokazują mi też skalę widzeń, w tym również — „osobistych” trzydniowych — a myśmy całymi latami nie mieli żadnych, więc to sytuacja znośna. Wydaje mi się, że ta ich skala jest dość humanitarna, ledwie się powstrzymuję, aby jej nie pochwalić.

Czuję zmęczenie. Wszystko ściągnięte nićmi, ani ruchu zrobić nie można. Nic tu po mnie. Trzeba stąd iść.

I w ogóle z tego jasnego, wytwornego salonu, z tych foteli, przy wtórze ich płynnych wyjaśnień — obozy już wcale nie wydają się takie straszne, ba, zaczynają się wydawać czymś zgoła rozsądnym. Na przykład, ten chleb, co go samochodami wywożą... No nie można przecież zostawiać społeczeństwa sam na sam z tymi strasznymi facetami; przypominam sobie mordy knajackich pachanów... nie siedząc już od lat dziesięciu — trudno zgadnąć kto tam teraz siedzi? Polityczni — jakby już na wolności. Różne grupy narodowe — też...

Jeden z odpychających staruszków (ten bez gwiazdy) pragnie wiedzieć, co myślę o głodówkach: nie potępiam chyba sztucznego odżywiania jeżeli jego skład kaloryczny jest lepszy niż w bałandzie¹⁵?

Ale tu stoję dęba i ryczę im o prawie zeka nie tylko do głodówki — tego jedyne go środka obrony własnego „ja”, lecz również do śmierci z głodu.

Moje wywody sprawiają na nich wrażenie dziwaczne go wybryku. A we mnie wszystko jest przyszyte: nie mogę przecież mówić z nimi o tym, co łączy problem głodówek z problemem opinii publicznej.

Wychodzę znużony i rozbity: zachwiałem się nawet trochę w moich przekonaniach, oni zaś — bynajmniej. Wszystko i tak zrobią jak sobie zamierzili, a Najwyższy Sowiet zatwierdzi projekt jednogłośnie.

Minister Ochrony Porządku Publicznego, Wadim Stiepanowicz Tikunow. Czy to sen, czy mara? Ja, nędzny katorżnik SZCZ-232 mam uczyć ministra spraw wewnętrznych, jak powinien rządzić Archipelagiem?!...

¹⁵ Dopiero od Marczenki dowiadujemy się o nowym sposobie: wlewają przez rurę wrzątek, aby wywołać ciężkie oparzenie przełyka.

Jeszcze na przedpolu gabinetu ministra — mnóstwo pułkowników; są krągłogłowi, czyści i zadbani, a zarazem nadzwyczaj ruchliwi. W gabinecie osobistego sekretarza ministra nie widać żadnego przejścia do dalszych komnat. Stoi tam za to olbrzymia kryształowa szafa z marszczonymi jedwabnymi zasłonkami wewnątrz; może się w niej zmieścić dwóch konnych. Okazuje się, że to jest właśnie tambur, coś w rodzaju przedsionka, z którego wchodzi się do gabinetu ministra. W samym gabinecie zmieści się doskonale 200 osób.

Minister jest chorobliwie otyły, szczeka masywna, twarz trapezowata, rozszerzająca się ku dołowi. Przez cały czas rozmowy zachowuje ton ściśle oficjalny, wysłuchuje mnie bez wszelkiego zainteresowania, ot, z obowiązku.

Ja zaś wygłaszam przed nim tę samą moją tyradę o „sanatorium”. I stawiam znów te same, retoryczne pytania: czy jest naszym (to znaczy moim i jego) wspólnym zadaniem praca nad reedukacją zeków? (Co myślę o tej „reedukacji”, napisałem w części IV). I na co zdały się zmiany wprowadzone w 1961 roku? Po co te cztery stopnie reżymu? I powtarzam te nudne rzeczy, o których była mowa w tym rozdziale — o wyżywieniu, o kantynie, o paczkach, o odzieży, o samowoli, o wyczynach Praktyków. (Listów nawet nie przyniosłem, obawiając się, że mi je tu capną — tylko wypisałem cytaty, nie podając nazwisk autorów). Przemawiam tak jakieś 40 minut albo nawet godzinę, bardzo jakoś długo i sam się dziwię, że wciąż mnie słucha. Przerywa mi od czasu do czasu ale tylko po to, aby od razu wyrazić zgodę albo z punktu odrzucić mój argument. Jego odpowiedzi nie są jednak miażdżące. Spodziewałem się wyniosłego muru, tymczasem Tikunow jest bardziej uступliwy, niż sądziłem. Z wieloma moimi wywodami zgadza się! Zgadza się, że należy zwiększyć sumę przeznaczoną na wydatki w kantynie i że paczek powinno być więcej, i że nie należy reglamentować z góry składu tych paczek jak to czyni Komisja Projektów Ustaw (ale to nie od niego zależy, decydować o tym będzie nie minister, tylko nowy Kodeks Pracy Poprawczej); zgadza się, ażeby więźniowie mogli gotować i smażyć ze swoich zapasów (tylko gdzie te zapasy); żeby korespondencja i druki mogły przychodzić w nieograniczonej ilości (tylko że to ogromny wysiłek dla cenzury obozowej); jest przeciwnikiem przesady — na przykład z chodzeniem tylko w szeregu, jak za czasów Arakczejewa (ale nie bardzo wypada mu wtrącać się do tego: dyscyplinę łatwo rozchwiać, a trudno ją zaprowadzić); zgadza się, że trawy w żonie nie należy wypalać (ale skądinąd w Dubrowłagu, tuż koło warsztatów mechanicznych więźniowie założyli, wyobraźcie sobie, grządki i spędzali przy nich wolne chwile, a każdy

483

miał po dwa-trzy metry kwadratowe, na których hodował ogórki czy pomidory; otóż minister kazał wszystko to zlikwidować i był z tego dumny! Powiedziałem mu: „związek z ziemią ma na człowieka wpływ umoralniający”, a ten mi odparł: „indywidualne ogródki sprzyjają rozbudzeniu się w człowieku prywaciarskich instynktów”). Minister aż się wzdryga: tak, to było straszne, kiedy ludzi przeniesionych już poza żonę zmuszano znów do powrotu poza druty. (Niesporo mi jakoś zapytać, kim był w tym okresie i jak starał się temu zarządzeniu przeciwdziałać). Ba, minister przyznaje, że traktowanie zeków jest teraz surowsze niż za czasów Iwana Denisowicza!

Wobec tego nie mam go o czym przekonywać! W ogóle nie mam o czym z nim gadać. (On zaś nie ma powodu, aby notować propozycje człowieka nie zajmującego żadnego stanowiska).

A cóż tu proponować? — zwolnić cały Archipelag spod straży, znieść konwój? — nie przechodzi mi to przez gardło — utopia! Zresztą żaden poważny problem nie zależy od pojedynczego człowieka, wije się jak wąż między rozmaitymi instytucjami, nie będąc w wyłącznej gestii żadnego z nich.

Minister zaś z całym przekonaniem twierdzi, że pasiaki dla recydywistów są konieczne („gdybyście wiedzieli, co to za ludzie”). Natomiast moje zarzuty dotyczące zachowania się nadzorców i konwojentów wydają się dotyczyć go osobiście: „coś się warn poplątało albo to wasze indywidualne podejście, będące skutkiem waszych kolei życiowych”. Zapewnia mnie, że nikt nie chce pracować jako nadzorca, ponieważ skończyły się dla nich ulgi. („Ależ w tym, że nie pchają się tam — widać wpływ zdrowego ludowego instynktu” — chciałbym krzyknąć, ale nici ostrzegawcze szarpią mnie za uszy, za powieki, za język. Zapominam zresztą powiedzieć, że brak kandydatów tylko na sierżantów i frajtrów, natomiast na stanowiska oficerskie jest ich aż nadto). Trzeba kierować więc rekrutów. Dalej minister utrzymuje, że po chamsku zachowują się jedynie więźniowie, nadzorcy zaś rozmawiają z nimi wyjątkowo grzecznie.

Gdy taka jest różnica między listami nędznych zeków a słowami ministra, to komu tu wierzyć? Jasne, że więźniowie kłamią.

Minister powołuje się również na własne obserwacje — bywa przecież w obozach, ja natomiast nie. Czy nie chciałbym pojechać? — Kriukowo, Dubrowlag? (Już skwapliwość, z jaką wymienił te dwie nazwy, świadczy, że chodzi o instytucje potiomkinowskie. I j a k o kto mam tam jechać? Jako kontroler z ministerstwa? Nie będę mógł przecież zekom w oczy spojrzeć... Odmawiam więc).

Minister zaś powiada mi, że więźniowie obojętnie odnoszą się do wszystkich wysiłków administracji, mających na celu ich dobro. Przyjeżdżasz na

484

przykład do kolonii w Magnitogorsku i pytasz: „Czy są jakieś skargi w sprawie traktowania?” — i chociaż komendant obozu stoi tuż obok, krzyczą chórem: „Nie ma skarg!”.

A oto jakie minister znalazł dowody, że wychowanie w obozie przynosi skutki: widział robotnika dumnego z pochwały, jaką go wyróżnił komendant obozu;

widział zeków dumnych z tego, że wyrabiane przez nich przedmioty (chodziło o sterylizatory) posłane zostaną na heroiczną Kubę;

dowodem było również sprawozdanie i wybory nowych członków do obozowej „Sekcji Wewnętrzznego Porządku (Suka Wyszła Posusiać); a także wielka obfitość kwiatów (sadzonych na rozkaz) w Dubrowlagu.

Uważa, że najważniejszym zadaniem jest stworzenie własnej bazy przemysłowej we wszystkich obozach. Minister sądzi, że atrakcyjna praca jest najlepszym antidotum przeciw ucieczkom¹⁶. (Gdy odpowiadam mu argumentem o „ludzkiej tęsknocie do wolności” — nie rozumie nawet o czym mówię).

Wychodzę znużony rozmową ze smutnym przekonaniem, że nie dojdę do żadnego kłębka. Że nie udało mi się niczego zmienić, że dookoła Wojtek. Wyszedłem zgnę-

biony przepaścią, jaka dzieli ludzkie poglądy na te same sprawy. Ani zek nie potrafi zrozumieć ministra, póki nie zasiądzie przy jego biurku, ani minister nie może zrozumieć zeka, póki sam nie znajdzie się za drutami, nie strącają mu grządek i zamiast wolności nie zaproponują sterczenia w obozie przy maszynie.

Instytut badań nad źródłami przestępczości. Bardzo interesująca była ta konwersacja z dwoma inteligentnymi zastępcami dyrektora i kilkoma pracownikami naukowymi. Żywi ludzie; każdy broni własnych opinii, dyskutują ze sobą. Później jeden z wicedyrektorów, W.N. Kudriawcew, odprowadzając mnie do wyjścia, powiedział na korytarzu z pewnym wyrzutem: „Nie, nie bierzcie jednak pod uwagę wszystkich punktów widzenia, a Tołstoj na pewno by to zrobił...”. I nagle skrzyknął podstępem w stronę jakichś drzwi: „Wpadnijmy na chwilkę, przedstawię wam naszego dyrektora, Igora Iwanowicza Karpieca”.

Tej wizyty nie było w planie! Wszystkośmy już obgadali, po co to? Ale mniejsza, wszedłem tylko, aby się przywitać. Akurat! Witac się? z tobą? Aż

„Tym bardziej, że jak wiemy teraz od Marczenki — zbiegów już nie łapie się żywcem, tylko zabija na miejscu.

485

się nie chce wierzyć, że ci mili kłótnicy i szefowie sektorów pracują pod berłem tego dyrektora, że to on kieruje całą pracą naukową. (Najważniejszej rzeczy jeszcze wtedy nie wiedziałem: Karpiec jest wiceprezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawników-Demokratów!).

Podniósł się na mój widok zza biurka z miną nieprzyjazną i wzgardliwą (zdaje pę — że cała nasza pięciominutowa rozmowa odbyła się na stojąco) — tak, jakbym długo starał się być o audiencję i wreszcie z trudem ją dostał; mniejsza. Ma na twarzy napisane, że jest syty i dobrze usytuowany, twardy i nieustępliwy, a także pełen odrazy (to już — do mnie). Na piersi, bez żadnej litości dla sukna eleganckiej marynarki, przykręcony ma znaczek wielkości orderu: pionowy miecz pod którym coś się wiję, a w otoku napis — MWD. (Jest to jakiś nader ważny znaczek. Jest oznaką, że posiadacz szczególnie już dawno ma „czyste ręce, gorące serce i chłodną głowę”).

— Więc o co, o co właściwie chodzi? — mówi z niechętnym grymasem. Nic mi po nim, ale skoro już tu jestem, grzeczność każe to i owo po wtóżyć.

— A-a — coś dotarło wreszcie do uszu prawnika-demokraty — liberałizacja? Cackać się z zekami?

I tu nieoczekiwanie otrzymuję wyczerpujące odpowiedzi, których daremnie szukałem wśród marmurów i kryształów:

Polepszyć byt więźniów? Nie wolno! Bo wtedy wolni, mieszkający wokół obozów, żyć będą na niższym poziomie niż więźniowie — to niedopuszczalne.

Zwiększyć ilość i wagę paczek? Nie wolno! Bo wywrze to fatalne i szkodliwe wrażenie na nadzorcach, którzy nie otrzymują żywności ze stolicy.

Wychowywać nadzorców, wytykać im błędy? Nie wolno! Wszystko u nas na nich się opiera! Nikt nie chce brać się do tej roboty, a płacić im wiele nie możemy, pozbawiono ich już różnych ułatwień.

Nie stosujemy do więźniów socjalistycznej zasady sprawiedliwej opłaty za pracę? Oni sami wykreślili się ze społeczeństwa socjalistycznego!

Ale przecież chcemy, aby przywrócić ich życiu?!

Przywrócić???... — kawaler mieczowy jest zdumiony. — Obóz nie po to istnieje.

Obóz to kara!

Kara! — huczy w całym gabinecie. — Kara!!

Karra!!!

Sterczący pionowo miecz — wbija się, wrzyna, ani go wyrwać!

Ka-ra!!

Archipelag istniał, Archipelag trwa, Archipelag wszystko przetrwa!

Bo inaczej — kto by płacił za omyłki Przodującej Teorii? — za to, że ludzie nie rodzą się takimi, jakimi ich zaplanowano?

486

III

PRAWO DNIA DZISIEJSZEGO

Jak już o tym mógł czytelnik tej książki się przekonać, w kraju naszym, poczynając od pierwszych dni stalinowskiej ery, nie było żadnych więźniów politycznych.

Wszystkie te wielomilionowe tłumy, które tu przepędzono, hej, precz przed naszymi oczyma, wszystkie mnogie miliony Pięćdziesiątki Ósemki — składały się ze zwyczajnych kryminalistów.

A już gadatliwy, jowialny Nikita Siergiejewicz na wszystkich trybunach powtarzał z tym większym przekonaniem: polityczni? Nie!! U nas n i e ma takich!

I spójrzcie tylko, co znaczy owa zdolność krzywdy do rozchodzenia się po kościach, zdolność walca do wyrównania nawet całej góry, skłonność skóry do obrastania sadłem: bośmy w to niemal wierzyli! Nawet starzy więźniowie. Toć na naszych oczach puszczano do domów miliony zeków — więc mogło się wydawać, że żadnych politycznych już tam nie zostało, bo jakże inaczej? Przecież myśmy — wrócili, do nas też wrócili, i w ogóle wrócili nasi. Krąg naszych znajomych, miejskich inteligentów też jakby wypełnił się i zamknął. Budzi się człowiek rano, po dobrze przespanej nocy, patrzeć — a nikogo z domu nie zabrano, znajomi telefonują jak zwykle, nikogo nie brak. Nie żebyśmy tak do końca uwierzyli, ale przyjęliśmy do wiadomości, że co do politycznych, to w zasadzie nikt teraz za to nie siedzi. No, powiedzmy że kilkuset Bałtów nawet dzisiaj (1968) jakoś nie dostaje pozwolenia na powrót do swoich republik. No i jeszcze z Tatarów krymskich wciąż nie zdjęto klątwy — ale to tylko sprawa czasu... Na oko wszystko było jak zawsze, podobnie jak za Stalina — gładkie, czyste i zupełnie nie budzące podejrzeń.

487

A Nikita nie schodził wprost z trybuny: „Do takich zjawisk i faktów, nie ma powrotu — ani w naszej partii, ani w kraju”. (22 maja 1959 roku, jeszcze przed Nowoczerkaskiem). „Teraz w naszym kraju lżej się oddycha... jesteśmy spokojni i p dzień dzisiejszy i o jutrzejszy”. (8 marca 1963 roku, już po Nowoczerkassku).

Nowoczerkassk! Jedno z tych miast Rosji, w których jej fatum się spełnia. Jakby nie dość mu było blizn po wojnie domowej — jeszcze raz nadstawił karku pod szablę. Nowoczerkassk! Całe miasto, całe powstanie w mieście tak zaklajstro-wać, tak ukryć dokładnie! Mgła powszechnej dezinformacji nawet za Chruszczowa była wciąż tak gęsta, że nie tylko za granicą o Nowoczerkassku nic nie wiadano (bo i radio zagraniczne nic nam o nim nie mówiło), ale nawet wszelkie miejscowe pogłoski zdeptane zostały od razu, blisko ognia, wieść się nie rozeszła i większość na-

szych współobywateli nic nie wie o tym fakcie, o tej dacie: Nowoczerkassk, 2 czerwca 1962 roku.

Powtórzmy więc tu to wszystko, czego sami zdołaliśmy się dowiedzieć.

Można rzec bez przesady, że zadzierzgnął się wtedy ważny węzeł najnowszych dziejów rosyjskich. Wyjąwszy bardzo poważny (ale zakończony w sposób pokojowy) strajk tkaczy z Iwanowa na przełomie lat 20. i 30. — nowoczerkaska eksplozja była pierwszym od 41 lat (od Kronsztatu, Tambowa i Syberii Zachodniej) ludowym buntem — przez nikogo nie przygotowanym, nie dowodzonym, niesztucznym, była krzykiem duszy, że dalej tak żyć nie sposób.

W piątek 1 czerwca opublikowano na terenie całego kraju jedno z hołubionych dawno, ulubionych chruszczowowskich rozporządzeń o podwyżce cen wyrobów mięsnych i masła. A tymczasem — w trybie wykonania planu ekonomicznego, wcale z pierwszym nie związanego, tego samego dnia w dużych nowoczerkaskich zakładach budowy elektrowozów (NEWZ) obniżono robotnikom normy płac o 30%. Rano robotnicy z dwóch oddziałów fabrycznych (kuźni — i gorącej obróbki metalu) nie bacząc na tradycyjne posłuszeństwo, przyzwyczajenie i kierat produkcyjny — nie mogli zdecydować się na przystąpienie do pracy: za bardzo ich już z obu stron przypiekło! Głośnie niespokojne rozmowy przemieniły się stopniowo w żywiołowy wiec. Wydarzenie zupełnie powszednie na Zachodzie, u nas zupełnie niebywałe. Ani inżynierowie, ani inżynier naczelny nie potrafili robotników uspokoić. Zjawił się dyrektor fabryki Kuroczkin. Na pytanie robotników: „Skąd teraz weźmiemy na życie?” — ten syty pasibrzuch odparł: „Żarliście paszteciki z mięsem — teraz będziecie żreć z powidłami!”. Omal nie rozszarpało Kuroczkina i jego świty, ledwie zdążyli uciec. (Może gdyby znalazł inną odpowiedź — jakoś by się wszystko uspokoiło).

488

Koło południa strajk objął już cały ogromny NEWZ. Poślano łączników do innych fabryk, robotnicy tam wahali się, ale w końcu strajku nie poparli. Niedaleko zakładów biegnie linia kolejowa Moskwa — Rostów. Już to dlatego, by w Moskwie jak najprędzej dowiedziano się

0 wypadkach, już to — aby utrudnić dowóz wojska i czołgów — mnóstwo kobiet usiadło na torach, chcąc zatrzymać przejeżdżające pociągi. Rozmach strajku — był nietuzinkowy, zresztą na miarę tradycji rosyjskiego ruchu robotniczego. Na budynku zakładów pojawiły się transparenty: „Precz z Chruszczowem!”, „Chruszczowa na kielbasę!”. W stronę zakładów (wraz z otaczającą je osadą położone są one za rzeką Tuzłow, w odległości 3-4 kilometrów od miasta) natychmiast zaczęto ściągać oddziały wojska i milicji. Na moście przez rzekę Tuzłow stanęły czołgi.

Wprowadzono godzinę policyjną: od wieczora do rana wzbroniony był wszelki ruch w mieście i na moście.

Osada fabryczna nie ucichła nawet w nocy. Nocy tej aresztowano i odwieziono do gmachu miejskiej milicji około trzydziestu robotników — „podżegaczy”.

Rankiem 2 czerwca przyłączyły się do strajku również inne przedsiębiorstwa w Nowoczerkassku (wcale jednak nie wszystkie). Na NEWZ-ie — zaczął się zwykły żywiołowy wiec, na którym postanowiono urządzić demonstrację, iść do miasta i zażądać tam zwolnienia aresztowanych robotników. Pochód (początkowo szło zresztą nie więcej niż 300 ludzi, przecież strach!) z kobietami i dziećmi, z portretami Lenina i

spokojnymi w tonie transparentami, przeszedł obok czołgów stojących na moście i — nie zatrzymywany przez nikogo — ruszył w górę miasta. Tu szybko zaczął się powiększać, bo przyłączali się do demonstrantów i gapie, i niektórzy robotnicy z innych fabryk, i wszędobylscy chłopcy. Tu i ówdzie manifestanci zatrzymywali ciężarówki i z ich wysokości wygłaszali przemówienia. Całe miasto wrzało. Pochód z NEWZ-u przemaszerował główną ulicą (Moskiewską)

1 tu część demonstrantów zaczęła szturmować zamknięte wrota miejskiej komendy milicji, sądząc że tam siedzą aresztowani towarzysze. Odpowiedziano im salwami z pistoletów. Ulica prowadziła dalej do placyku z pomnikiem Lenina¹, później rozdwajała się, obejmując skwer dwoma wąskimi alejami i zbiegała się przed komitetem miejskim partii (mieścił się w dawnym pałacu atamana, tym samym, w którym zginął generał Kaledin). Wszystkie ulice pełne były ludzi, a tu, na placu przed komitetem — było już czarno. Mnóstwo chłopaków wdrapało się na drzewa, aby lepiej widzieć.

‘ Stanął na miejscu posianej na złom rzeźby Kłodta, przedstawiającej atamana Płatowa.

489

Komitet miejski¹ był pusty — miejskie władze uciekły do Rostowa². Wewnątrz gmachu — pełno tłuczonego szkła i papierów na podłogach, całkiem jak przy odwróceniu za czasów wojny domowej. Koło dwudziestu robotników przebiegło puste sale pałacowe; wyszli potem na balkon i zwrócili się do tłumu z improwizowanymi przemówieniami.

Było koło 11 rano. Milicja zniknęła z miasta, wojska było za to coraz więcej. (Jest to fakt znamieny: już w pierwszej chwili strachu władze cywilne schowały się za plecami armii). Żołnierze obsadzili urząd pocztowy, radiostację, bank. W tym momencie cały Nowoczerkassk już był otoczony pierścieniem wojska, przecięty był dostęp do miasta i uniemożliwione wyjście z niego. (Pierścień zewnętrzny sformowany był również z elewów rostkowskich szkół oficerskich; część zostawiono w Rostowie dla służby patrolowej). W górę ulicy Moskiewskiej, szlakiem demonstracji, w stronę komitetu miejskiego powoli popęzła kolumna czołgów. Chłopcy włązili na ich pancerze i zatykali szmatami wyziory. Czołgi kilkakrotnie wystrzeliły ślepymi nabojami z dział, brzęknęły szyby wybite wstrząsem z okien i witryn, chłopcy rozbiegli się, czołgi popęzły dalej.

A studenci? Przecież Nowoczerkassk to studenckie miasto! Gdzie są studenci?...

Studenci Politechniki, innych szkół wyższych i kilku technicznych siedzieli od samego rana pod kluczem w swoich bursach akademickich i gmachach uczelni. Zmyślni ci rektorzy! Ale dodajmy też: ci studenci nie bardzo się popisali obywatelską żylką. Zapewne radzi byli z takiego usprawiedliwienia. Innych studentów, z krajów na zachód od Rosji leżących (albo naszych dawnych, przedrewolucyjnych) żadna kłódka na drzwiach chyba by nie zatrzymała.

Wewnątrz komitetu miejskiego zaczęła się jakaś przepychanka mówców jednego po drugim wciągano do środka, na balkonie zamiast nich zaczęli się pojawiać wojskowi i robiło ich się coraz więcej (czy nie tak samo wychodzili oficerowie na balkon zarządu Stepłagu, aby przyrzeć się kengirskiemu buntowi?). Obrawszy sobie za punkt wyjścia maleńki placyk pod samym pałacem, tyraliera strzelców z pepeszami jęta odpychać tłum w stronę parkanu otaczającego skwer. (Świadkowie

twierdzą jednogłośnie, że ci żołnierze nie byli Rosjanami. Byli to chłopcy z Kaukazu, dopiero co przywiezieni z drugiego krańca okręgu wojskowego. Przyszli na miejsce stoją-

2 Pierwszy sekretarz rostowskiego obkomu — Basów (którego imię, obok imienia generała Plijewa, dowódcy Północnokaukaskiego Okręgu Wojskowego znajdzie się przecież kiedyś na tablicy uwieczniającej miejsce i fakt masowej rzezi) w ciągu tego ranka zdążył przyjechać do Nowoczerkasska, ale szybko z niego uciekł bardzo wystraszony (podobno zeskoczył nawet z balkonu drugiego piętra) — i wrócił do Rostowa. Od razu po wypadkach nowoczerkasskich postany został w misji na bohaterską Kubę.

490

cego tu przedtem oddziału, należącego do tutejszego garnizonu. Ale dalsze zeznania są sprzeczne: nie wiadomo czy prawdą jest, że oddział który stał tu przedtem, otrzymał rozkaz strzelania — ale rozkazu nie wykonano dlatego, że kapitan dowodzący pierwszym oddziałem nie zakomenderował — „ognia”, tylko zastrzelił się przed szeregiem³. Publiczne samobójstwo oficera zdaje się nie budzić wątpliwości, ale niezbyt jasne są relacje o jego okolicznościach, nikt przy tym nie potrafi wymienić nazwiska tej bohaterskiej ofiary własnego sumienia. Tłum cofał się powoli, jednakże nikt nie oczekiwał nieszczęścia. Nie wiadomo, kto tym razem wydał komendę⁴ — ale ci żołnierze podnieśli automaty i oddali pierwszą salwę w powietrze, ponad głowami.

Być może generał P1 i j e w nie miał z początku zamiaru strzelania do tłumu, ale wypadki potoczyły się własnym torem: pociski, które miały przejść ponad głowami, przeszły korony drzew na skwerze i z gałęzi posypali się siedzący tam chłopcy. Tłum zaniósł się rykiem — i wtedy żołnierze — na rozkaz, czy może ogarnięci krwawym szaleństwem albo strachem — zaczęli szyc gęsto w kłębiącą się masę ludzką, co gorsza — kulami dum-dum⁵ (pamiętacie Kengir? i tych szesnastu przed odwachem?).

Tłum ogarnęła panika, ludzie rzucili się do ucieczki, tłocząc się w alejkach otaczających skwer — ale wojsko strzelało dalej w plecy uciekających. Żołnierze strzelali dopóty, dopóki nie opustoszał cały wielki plac za skwerem, za pomnikiem Lenina, ciągnący się między byłym prospektem Płatowa a ulicą Moskiewską (pewien świadek naoczny opowiadał mi, iż zdawało się, że wszystko zawałone jest formalnie trupami. Ale rannych też tam było wielu, to jasne). Dane pochodzące z wielu źródeł świadczą zgodnie, że zabito wtedy 70-80 ludzi⁶. Żołnierze zaczęli zatrzymywać samochody i autobusy, ładowali do nich zabitych i rannych i odsyłali je do wojskowego szpitala, otoczonego wysokim murem (jeszcze przez kilka dni autobusy te kursowały z okrwawionymi siedzeniami).

Podobnie jak w Kengirze robiono tego dnia zdjęcia fotograficzne i filmowe buntowników na ulicach miasta.

Gdy strzelanina skończyła się i pierwszy strach minął — tłum znowu

3 Według tej wersji żołnierze, którzy odmówili strzelania do tłumu, zesłani zostali do Jakucji.

4 Mogli wiedzieć tylko ci, którzy stali blisko, ale wszyscy oni albo zostali zabici, albo wyaresztowani.

5 Według wiarygodnych relacji — wśród zabitych 47 osób padło ofiarą samych tylko kul dum-dum.

6 Nieco mniej niż przed Pałacem Zimowym; rocznice 9 stycznia obchodziła cała rozgniewana Rosja, a kiedyż zaczniemy obchodzić rocznicę 2 czerwca?
491

wrócił na plac i wojsko znowu strzelało do ludzi. Wszystko to działo się między dwunastą w południe a pierwszą.

Oto zaś co zobaczył pewien uważny obserwator o godzinie drugiej:

„Na placu przed komitetem miejskim partii stoi osiem czołgów rozmaitych typów. Przed nimi — rozciągnięty szereg żołnierzy. Plac jest prawie pusty, widać na nim tylko małe grupy, składające się z młodzieży i wykrzykujące coś pod adresem wojskowych. Na placu, tam gdzie w asfalcie są wyboje — kałuże krwi. Wcale nie przesadzam, nie przypuszczałem dotąd, że można zobaczyć tyle krwi naraz. Ławki na skwerze splamione są krwią, widać krwawe plamy na wysypanych piaskiem ścieżkach, na bielonych wapnem pniach drzew ogrodowych. Cały plac porznięty był śladami gąsienic. O mur komitetu partyjnego oparty był czerwony sztandar, który nieśli demonstranci. Na górnym końcu drzewca wisała szara cyklistówka zbryzgana burą krwią. Na fasadzie komitetu widniał zaś czerwony transparent, dawno już tam wiszący, z napisem: „Naród z Partią, Partia z Narodem!”.

Ludzie podchodzą do żołnierzy nie szczędząc im wyrzutów i wyzwisk: „Jak mogliście to zrobić?”, „Do kogoście strzelali? Do prostych ludzi?!”.

Żołnierze starają się odeprzeć zarzuty: „To wcale nie my! Nas dopiero co tu przywieźli i postawili. Należymy o tym wszystkim nie wiedzieli”.

Nie sposób naszym mordercom odmówić przemyślności (a powiadają o nich, że to nieruchawi biurokraci): tamtych żołnierzy zdążyli już usunąć z placu i przystali tu zaskoczonych rosyjskich chłopców. Generał Plijew zna się na rzeczy...

Stopniowo, gdzieś koło piątej, szóstej po południu plac znów wypełnia się ludźmi. (Dzielni nowoczerkasscy! Miejskie radio nadaje przez cały czas: „Obywatele nie idźcie na lep prowokacji! Rozejdźcie się do domów!”.

Wszędzie żołnierze z automatami, krew jeszcze nie zmyta, a ci wciąż swoje). Zaczynają się krzyki, jest ich coraz więcej i znów żywiołowy wiec. Wiadomo już, że do miasta przyleciało (a może już tu byli przed pierwszą strzelaniną?) sześć grubych ryb z KC — a wśród nich rzecz jasna, Mikojan (specjalista od budapesztarskich rozwiązań), Susłow i Froł Kozłów (co do pozostałych — informacje nie są tak ścisłe). Zatrzymali się jak w wartowni w gmachu byłego korpusu kadetów. Delegacja młodych robotników z NEWZ-u poszła, aby opowiedzieć im o przebiegu wydarzeń. W tłumie słychać krzyki: „Niech tu Mikojan przyjdzie! Niech sam popatrzy na tę krew!”. Nie, Mikojan tu nie przyjdzie. Ale helikopter oblatuje nisko cały plac, widać z niego wszystko. Odleciał.

492

Delegacja robotnicza wraca. Jak ustalono wcześniej, żołnierze rozstępują się przed delegatami i ci — w towarzystwie oficerów — wychodzą na balkon komitetu. Ciszsza. Delegaci zawiadamiają zebranych, że byli u członków KC, że opowiedzieli im o tej „krwawej sobocie” i że Kozłów płakał, gdy usłyszał, jak po pierwszej salwie posypały się dzieci z drzew. (Kto nie zna Froła Kozłowa — przywódcy leningradz-

kich złodziei partyjnych, zawziętego stalinowca? — otóż płakał!...). Członkowie KC obiecali, że przeprowadzone będzie dochodzenie w sprawie tych wypadków, a winni zostaną surowo ukarani (a jakże, w specobozach też nam to obiecano), teraz natomiast trzeba, aby wszyscy rozeszli się do domów i żeby w mieście zapanaował spokój.

Ale więc wcale się nie skończył! Pod wieczór ludzi zebrano się jeszcze więcej. Co za dzielni ludzie w tym Nowoczerkassku! (Powiadali niektórzy, że brygada biura politycznego tego wieczoru podjęła uchwałę o wysiedleniu całej ludności miasta! A wierzę, nic by tu nie było dziwnego po wywózce całych narodów. Czy nie ten sam Mikojan stał wtedy u boku Stalina?).

Koło dziewiątej wieczór próbowali odpędzić tłum od pałacu puszczając czołgi w ruch. Ale gdy tylko czołgiści uruchomili silniki ludzie oblepili formalnie pancerze, pozastaniali włązy i wyziory. Silniki umilkły. Strzelcy z automatami stali opodal nie idąc wcale na pomoc pancernym.

Po jakiejś godzinie czołgi i transportery pancerne pojawiły się z drugiej strony placu. Zmontowane miały na pancerzach specjalne osłony desantowe dla strzelców.

(Ma się to doświadczenie frontowe! To myśmy przecież pobili faszystów!). Jadąc z dużą szybkością (przy gwizdach młodzieży, stojącej na trotuarach; studenci wyszli wieczorem z zamkniętych burs) zdołali oczyścić jezdnię ulicy Moskiewskiej i byłego prospektu Płatowa.

Dopiero koło północy strzelcy zaczęli walić z automatów pociskami świetlnymi w powietrze i tłum powoli jął się rozchodzić.

(Jaką potęgę mają ludowe rozruchy! Jak szybko zmienia się dzięki nim sytuacja w państwie! Poprzedniego wieczoru — godzina policyjna, wszędzie panuje lęk — a dziś całe miasto na ulicach i wszyscy gwizdzą sobie na wojsko. Czyżby skorupa tego półwiecza tak była cienka, czyżby ukrywał się pod nią całkiem inny naród i krążyło całkiem inne powietrze?).

3 czerwca radio miejskie nadało przemówienia Mikojana i Kozłowa. Kozłów nie płakał. Nie obiecywali też, że szukać będą winnych (na górze). Powiedziane zostało natomiast, że zajścia sprowokowane zostały przez wrogów i wrogowie zostaną surowo ukarani. (Przecież ludzie już się rozeszli, plac był pusty). Mikojan dodał jeszcze, że kule dum-dum nie wchodzą w skład środków bojowych sowieckiej armii — a zatem użyte zostały przez wrogów.

493

(Ale co to za wrogowie?... Na jakich spadochronach ich tu przyniosło? I gdzie się podzieli? — zobaczyć by chociaż jednego! O, jakeśmy się już przyzwyczaili do robienia z nas durniów — „wrogowie” i od razu wszystko wydaje się zrozumiałe... Jak diabły w średniowieczu7...).

W sklepach z punktu pojawiło się mnóstwo śmietankowego masła, kiełbasy, których nigdy tu nie było, bo widuje się je tylko w stolicach.

Wszyscy ranni zaginęli bez wieści, nikt do miasta nie wrócił. Natomiast rodziny rannych i zabitych (ci ludzie szukali przecież swoich bliskich) zostały zesłane na Syberię. Ten sam los spotkał tych, których zauważono na miejscu zająć, czy sfotografowano; Miała miejsce cała seria niejawnych procesów sądowych wytoczonych uczestnikom demonstracji. Odbyły się też dwa procesy „przy drzwiach otwartych”. Bilety wstępu rozdano sekretarzom fabrycznych organizacji partyjnych i pracowni-

kom miejskiego aparatu partyjnego. Na jednym z tych procesów dziewięciu mężczyzn skazano na rozstrzelanie i dwie kobiety na 15 lat obozu.

Skład komitetu miejskiego nie uległ żadnym zmianom.

Następnej soboty — po tej „krwawej” — radio nadało komunikat:

„Robotnicy zakładów budowy elektrowozów podjęli zobowiązanie wykonania planu siedmioletniego przedterminowo”.

... Gdyby ostatni car nie był słabeuszem, to zapewne rozkazałby, aby również 9 stycznia łapano w Petersburgu na ulicach robotników z fere-tronami i stawiano ich przed sądem za bandytyzm. I nie byłoby mowy o żadnym „ruchu rewolucyjnym”. W mieście Aleksandrów, w roku 1961, rok przed wypadkami w Nowo-czerkassku, milicja zastrzeliła na śmierć aresztowanego i później nie pozwoliła nieść go na cmentarz tą ulicą, na której stał komisariat. Tłum wpadł we wściekłość i komisariat spalił. Nastąpiły aresztowania. (Nie tak dawno coś podobnego zdarzyło się również w Muromie). Jak teraz kwalifikować aresztowanych? Za Stalina artykuł 58 wlepiano nawet krawczykowi, który wetknął igłę w gazetę. A teraz poszli po rozum do głowy: rozgromienia komisariatu milicji nie należy uważać za akt polityczny. Jest to wyłącznie chuligaństwo, bandytyzm. Taka właśnie instrukcja przysłała z góry: „Roz-7 Nauczycielka z Nowoczerkasska (!) w 1968 roku z całą pewnością siebie tak rzecz klaruje współpasażerom w przedziale kolejowym: „Żołnierze nie strzelali, raz tylko wystrzelili w powietrze dla ostrzeżenia. A strzelali dywersanci, i to kulami dum-dum. Skąd je wzięli? Dywersant ma wszystko co tylko zechce. Strzelali i do żołnierzy i do robotników... A robotnicy całkiem zgłupieli, rzucili się na żołnierzy, bili ich — jakby ci byli winni? A później Mikojan chodził po mieście, wstępował do mieszkań, żeby zobaczyć, jak ludzie żyją. Kobiety częstowały go truskawkami...”. Chwilowo tylko to zostaje na kartach historii.

494

ruchów masowych” — nie należy uważać za akty polityczne. (A cóż wtedy jest aktem politycznym?).

W ten sposób — więźniowie polityczni zniknęli.

A wciąż płynie przecież ten potok, który nigdy w ZSSR nie wysychał. Mowa o tych przestępcach, którzy nie doświadczyli „błogosławionych skutków owej fali, jaką powołała do życia...” itd. Potok płynący przez te wszystkie dziesięciolecia — zarówno wtedy, kiedy „wypaczano” leninowskie normy, jak wtedy, gdy ich przestrzegano. Za Chruszczowa ów potok wezbrał na nowo.

Chodzi mi tu o wierzących. O tych, którzy opierali się nowej, sztormowej fali, zatapiającej cerkwie. Zakonnicy, których wyrzucano z klasztorów (wiele takich faktów przytoczył Krasnow-Lewitin). Uparci członkowie sekt, zwłaszcza ci, którzy odmawiali pełnienia służby wojskowej (no, przepraszam — tu już nie możecie mieć pretensji, to już jest okazywanie bezpośredniej pomocy imperializmowi). Ale ponieważ przyszły teraz czasy tolerancji, więc masz tu bracie pięć lat, na początek.

No, ale ci — to już na pewno nie polityczni, to po prostu „religianci”, których trzeba poddać zabiegom wychowawczym: wyrzucać z pracy tylko za to, że są wierzący; posyłać komsomolców, aby wybijali im szyby; zmuszać ich administracyjnie do uczęszczania na odczyty antyreligijne; palnikami acetylenowymi przecinać wrota cerkiewne, zwalać kopuły, ściągając je z dzwonnicy łańcuchami, do których wprzęga się traktory; rozpędzać modlące się staruchy, polewając je wodą z hydrantów. (Czy na tym ma polegać dialog, towarzysze komuniści francuscy?).

Jak to oznajmiono zakonnikom z Poczajewa w Sowiecie Deputatów? — „Gdybyśmy mieli przestrzegać wszystkich sowieckich praw, to komunizm kazałby na siebie długo czekać”.

I jedynie w skrajnych wypadkach, gdy zabiegi wychowawcze nie pomagają — trzeba uciekać się do pomocy prawa.

Ale tu właśnie możemy pochwalić się diamentowym blaskiem naszego dzisiejszego Prawa: nie sądzimy ich już przy drzwiach zamkniętych, jak przy Stalinie, nie sądzimy zaocznie — lecz w najgorszym wypadku półpublicznie (to znaczy — z udziałem półpubliczności).

Mam tu w ręku pisaną relację: proces nad baptystami w miasteczku Nikitowka (zagłębie Donieckie, styczeń 1964).

Odbyło się to mniej więcej tak. Baptysty, którzy przyjechali specjalnie na proces, wpakowani zostali na trzy doby do kozy pod pretekstem sprawdzenia ich dowodów tożsamości (tymczasem proces się skończy, a strach zostanie). Pewien wolny obywatel, który podsądnym rzucił bukiet kwiatów — obrywa dziesięć dni aresztu. Tak samo ukarano pewnego baptystę,

495

który stenografował przebieg procesu (stenogram zabrano, ale zachowała się kopia). Grupę wybranych komsomolców wpuszczono przez boczne drzwi jeszcze przed otwarciem sali, aby mogli zająć pierwsze rzędy. W trakcie procesu rozlegały się przeto okrzyki wśród publiczności: „Wszystkich ich oblać by naftą i podpalić!”. Sąd puszcza mimo uszu te oznaki słusznego oburzenia. Charakterystyczne cechy procedury sądowej: zeznania zawistnych sąsiadów; zeznania nastraszonej małolatki; sąd przesłuchuje nawet dziewięcio- i jedenastoletnie dziewczynki (byleby tylko mieć odpowiedni materiał procesowy, a co dalej będzie z tymi dziewczynkami, to wszystko jedno). Ich zeznania z tekstami modlitw figurują jako dowody rzeczowe. Jednym z podsądnym jest górnik Bazbej, ojciec dziewięciorga dzieci, który nigdy jednak nie otrzymał żadnej pomocy od kopalnianej organizacji związkowej, właśnie dlatego, że jest baptystą. Ale jego córkę, Ninę, uczennicę 8 klasy zdołano zastraszyć i przekupić (komitet dał jej 50 rubli), obiecując pomoc jej później w dostaniu się na uczelnię, więc w czasie śledztwa złożyła przeciw ojcu fantastyczne zeznania: że chciał otruć ją skwaśnią lemoniadą; że gdy wierzący szli na wspólne, tajne nabożeństwa do lasu (w osadzie szykanowano ich za to) — chodzili tam po to, by uruchomić „nadajnik radiowy w postaci wysokiego drzewa oplecionego drutem”. Skrucha, którą Nina poczuła po złożeniu fałszywych zeznań tak ją zadrepczyła, że dziewczynka zapadła na chorobę umysłową i umieszczona została w oddziale dla furii miejscowego szpitala psychiatrycznego. Mimo to ściągnięto ją na proces, spodziewając się, że złoży właściwe zeznania. Ale dziewczyna wypiera się teraz wszystkiego! „Śledczy sam dyktował mi, co mam zeznawać”. Nie szkodzi, bezwstydnym sędziom ociera gębę i uznaje ostatecznie zeznania Niny za nieważne, za ważne zaś — jedynie te, które złożyła w śledztwie. W ogóle, kiedy zeznania idące na rękę oskarżeniu nie trzymają się kupy — sąd stosuje zwykle chwyt nader charakterystyczny: macha ręką na wyniki dochodzenia sądowego, opierając się wyłącznie na dętych wynikach dochodzenia wstępnego: „No jak tak można?... A w śledztwie zeznawaliście przecież... A tu w protokole śledztwa jest napisane... Nie macie prawa teraz tego zmieniać!... Za to też idzie się pod sąd!”.

Sędzia nie wnika w sedno sprawy, nie obchodzi go, gdzie jest prawda. Ci baptyści oskarżeni są o to, że nie uznają kaznodziejów, wyznaczonych przez ateistę-pełnomocnika państwowego, chcą zaś mieć swoich własnych (według reguły baptystów kaznodzieją może być każdy z braci). Obwodowy komitet partii zalecił, aby facetów skazać, odbierając im dzieci. I tak się stanie, chociaż dopiero co Prezydium Sowietu Najwyższego lewą ręką podpisało (2 lipca 1962) międzynarodową konwencję „o walce z dyskrymi-

496

nacją w dziedzinie wykształcenia”⁸. Jest tam taki punkt: „Rodzice powinni mieć możliwość zapewnienia dzieciom takiego religijnego i moralnego wykształcenia, które byłoby zgodne z ich własnymi przekonaniem”. Ale właśnie na to nie możemy przecież pozwolić! Każdy, kto chce na tym procesie mówić o meritum sprawy, wyjaśniając, o co w niej właściwie chodzi — natychmiast traci głos albo też sędzia zbija go z tropu, stara się go zaplątać. Oto poziom sędziowskich argumentów: „Kiedyż to ma być koniec świata, skoro myśmy już zaplanowali budowę komunizmu?”.

Fragment ostatniego słowa młodziutkiej dziewczyny, Żeni Chłoponin: „Zamiast chodzić do kina albo na tańce — czytałam Pismo Święte i modliłam się, a wy tylko za to pozbawiacie mnie wolności. Owszem, przebywać na swobodzie — to wielkie szczęście, ale być wolnym od grzechu —jeszcze większe. Lenin powiedział: jedynie w Turcji i w Rosji zachowały się tak haniebne zjawiska, jak prześladowanie ludzi za ich przekonania religijne. W Turcji nie bywałam, więc nie wiem, a w Rosji — jak widzicie”. Tu jej przerywają.

Wyrok: dwóch dostaje po 5 lat obozu, dwóch — po cztery, wielodzietny Bazbej — 3. Podsądni przyjmują wyrok z radością i modlą się. „Delegaci z miejsca pracy” wrzeszczą: „Za mało, dodać im jeszcze!” (Oblać naftą...).

Cierpliwi baptyści wzięli wszystko pod uwagę i stworzyli swoją „Radę rodzin uwięzionych”, która zaczęła wydawać rękopiśmienne informacje

o wszystkich prześladowaniach. Z biuletynu tego dowiadujemy się, że od 1961 do czerwca 1964 roku skazano 197 baptystów wśród nich 15 kobiet

(wszyscy wymienieni są z nazwiska. Wyliczeni są również członkowie rodzin więźniów, którzy zostali teraz bez środków do życia: jest ich 442,

wśród nich 341 dzieci w wieku przedszkolnym). Większość dostaje 5 lat zesłania, ale niektórzy — 5 lat obozu o surowym reżymie (jeszcze krok

1 musieliby nosić pasiaki!), a na dodatek jeszcze trzy do pięciu lat zesłania.

B.M. Zdorowiec z Olszan w obwodzie charkowskim dostał za praktyki religijne 7 lat surowego reżymu. Poślano za kraty 76-letniego J. W. Arenda,

to samo stało się z całą rodziną Łozowów (ojciec, matka, syn). Eugeniusz

M. Sirochin, inwalida, który zupełnie stracił wzrok na ostatniej wojnie, skazany został we wiosce Sokołowo (zmijowski rejon obwodu charkowskiego) na trzy lata obozu za to, że wychowywał w duchu chrześcijańskim

swoje córki Lube, Nadię i Raję; zostały mu odebrane na mocy decyzji sądowej.

Sąd, który rozpatrywał sprawę baptysty M.I. Brodowskiego (miasto Ni-

8 No owszem — podpisaliśmy, bo chodzi o tych tam Murzynów amerykańskich. Bo inaczej — na co by się zdało?!

20 Archipelag Gulag 497

kołajew, 6.X.1966) nie zawahał się ani chwili i włączył w charakterze dowodów niezręcznie sfałszowane dokumenty. Podał: „To nieuczciwość”. W odpowiedzi słyszy warknięcie: „Nasze prawo zmiecie was z drogi, rozdepcze i zlikwiduje!”⁹. Prawo to już nie „represja pozasądowa” z tych lat, kiedy jeszcze u nas „przestrzegano norm”.

Niedawno trafiło do rąk czytelników mrozące duszę „Podanie” („Cho-datajstwo”) S. Karawanskiego, przemycone z obozu. Autor skazany został swego czasu na 25 lat. Odsiedział 16 (1944-1960), został wypuszczony (zapewne po odsiedzeniu „dwóch-trzecich”), ożenił się, wstąpił na uniwersytet, ale nic w 1965 roku przyszli po niego znów: zbieraj się! Nie dosie-działeś 9 lat.

Gdzie to jeszcze możliwe, w jakim jeszcze Prawodawstwie na całym świecie, prócz naszego? Nakładali ludziom na karki chomąta 25-letnich wyroków, których termin miał ubiegać w latach 70. Nagle — wchodzi w życie nowy kodeks (1961), jako najwyższą karę przewidujący lat 15. Każdy student pierwszego roku prawa zrozumie, że tym samym anulowane są i zredukowane owe 25-letnie kary! Ale u nas — bynajmniej. Możesz wrzeszczeć do zachrypnięcia, walić głową o ścianę — obowiązują dalej. U nas — proszę z nami, raczy pan dosiedzieć swoje!

I takich ludzi jest wielu. Ci, których ominęła epidemia zwolnień za Chru-szczowa — nasi porzuceni w obozach towarzysze z brygad, koledzy z cel, sąsiedzi ze zborników. Dawnośmy o nich zapomnieli w naszym zaczętym od zera życiu, oni zaś z taką samą desperacją, tak samo posępnie i tępo snują się po tej samej piędzy wydeptanej ziemi, między tymi samymi wieżyczkami, wśród tych samych zasieków. Zmieniają się portrety w gazetach, zmienia się treść oracji wygłaszanych z trybun, to walczą z kultem, to przestają z nim walczyć —• a te dwudziestopięciolatki, chrześniacy nieboszczyka Stalina — wciąż jeszcze siedzą...

Mrozące krew w żyłach więzienne biografie niektórych z nich przytacza Karawanski w swojej książce.

Kochankowie wolności, „lewicowi” myśliciele Zachodu! O, radykalni labourzyści! O, postępowi amerykańscy, niemieccy, francuscy studenci! Waszym zdaniem — tego wszystkiego jeszcze za mało. Także cała ta moja książka nic dla was nie znaczy. Dopiero wtedy zrozumiecie wszystko — i to z punktu — kiedy („ręce do tyłu!”) sami poczapiecie na nasz Archipelag.

‘ A propos — 100 lat temu odbył się proces narodowolców, znany jako „sprawa 193’ Ileż to hałasu było. Boże mój! Piszą o nim w podręcznikach.

498

Ale istotnie — politycznych jest teraz nierównie mniej niż za Stalina; już nie na miliony i nie na setki tysięcy trzeba ich liczyć.

Czy dlatego prawo zmieniło się na lepsze?

Nie, zmienił się tylko (przynajmniej chwilowo) kurs okrętu. Wciąż tak samo wybuchają epidemie prawne, upraszczając znacznie procesy myślowe w głowach prawników. Nawet gazety służą tu sugestiami ludziom uczonym w piśmie: zaczęto pisać o chuligaństwie — to dowód, że modny jest artykuł traktujący o chuligaństwie i że odbywają się z tego tytułu masowe aresztowania. Piszą o trwonieniu państwowych środków — więc można być pewnym, że masa ludzi idzie pod klucz za przywłaszczenie mienia państwowego.

Dzisiejsi więźniowie piszą z kolonii zrezygnowanym tonem:

„Szukanie sprawiedliwości nie ma żadnego celu. W gazetach pisze się jedno, a w życiu widzi się coś zupełnie innego”.

(W.I.D.)

„Sprzykrzyło mi się być banitą, wypędzonym z szeregów społeczeństwa i narodu. Ale gdzie można znaleźć sprawiedliwość? Śledczemu bardziej się ufa niż tobie. A co może wiedzieć i rozumieć taka 23-letnia smarkula, która prowadzi dochodzenie? Czy może sobie wyobrazić na jaki los skazuje człowieka?”.

(W.K.)

„Właśnie dlatego nie życzą sobie rewizji starych spraw, bo wtedy wielu z nich musiałoby pójść na grzybki”.

(L-n)

„Stalinowskie metody śledztwa i wymiaru sprawiedliwości po prostu przeniesione zostały z dziedziny politycznej do kryminalnej, to wszystko”.

(G.S.)

Wypunktujmy zatem to, co powiedzieli mi ci zadręczeni ludzie:

Rewizja spraw jest niemożliwa (bo to godzi w cały stan prawniczy);

Podobnie jak dawniej haratano ludzi artykułem 58, tak teraz harata

się ich artykułami mówiącymi o przestępstwach kryminalnych (bo inaczej — skąd wezmą papu? i co wtedy stałoby się z Archipelagiem?).

Jednym słowem: powiedzmy, że jakiś obywatel chciałby pozbyć się innego obywatela, bo mu przeszkadza (oczywiście, nie chodzi o pozbycie się przy pomocy noża, nie, ma to być zrobione w majestacie prawa). Jak to zrobić na pewniaka?

Dawnymi czasy trzeba było pisać donos na temat przewidziany w artykule 58-10.

Dzisiaj zaś — należy tylko naradzić się

499

zawczasu z pracownikami (aparatu śledczego, milicji, sądownictwa) — a już taki obywatel właśnie takich przyjaciół zwykle miewa: co jest tego roku en voguel Na jaki „towar” zarzucono sieci? Jaka procedura sądowa przewidziana jest w danym wypadku? I już potem możesz dźgać bez żadnego noża.

Przez długi czas grasował na przykład artykuł dotyczący gwałtu: Ni-kita z rozpędu kazał któregoś dnia nie wlepiac mniej niż 12 lat. I tysiące młotków w całym kraju zaczęły sztancować te dwunastki, każdy kowal miał huk roboty! A jest to artykuł delikatny, intymny, zauważcie, że przypomina poniekąd sławetny paragraf 58-10: I tu i tam rzecz odbywa się w cztery oczy! i tam trudno sprawdzić i tu trudno sprawdzić, świadków na ogół się unika — a dla sądu właśnie to jest potrzebne.

Wzywają na przykład na posterunek milicji dwie niewiasty z Leningradu (sprawa Smiełowa). — Czy byłyście na prywatce w towarzystwie męskim? — Byłyśmy. — Czy doszło do stosunków płciowych? (A to już ściśle ustalone, donos był). — D-doszło. — Wobec tego jedno z dwojga: alboście te stosunki miały dobrowolnie, albo też niedobrowolnie? Jeżeli dobrowolnie, to mamy was od tej chwili za prostytutki, dawać tu dowody z lenin-gradzkim meldunkiem i w 48 godzin won z Leningradu! Jeżeli niedobrowolnie — no to piszcie podania jako poszkodowane i wytaczamy sprawę o gwałt! Niewiasty wcale nie chcą wyjeżdżać z Leningradu. Partnerzy ich dostają zatem po 12 latek.

A oto historia M.J. Potapowa, mojego kolegi ze szkoły, nauczyciela. Wszystko zaczęło się od zwykłej rozróbki mieszkaniowej — sąsiedzi chcieli powiększyć trochę swoją powierzchnię mieszkalną, wobec czego żona Potapowa, członkini partii, zło-

żyła donos na sąsiada, że bezprawnie i pobiera rentę. A więc zemsta! Latem 1962 roku Potapow, człowiek spokojny i nie spodziewający się żadnych przykrych niespodzianek, wezwany został nagle do śledczego Wasiury i z wizyty tej już nie powrócił. (Czytelniku, ważna to nauka! W tak praworządnym państwie, jak nasze, może się to zdarzyć również z wami, i to każdego dnia, słowo!). Śledztwo było znacznie uproszczone dzięki temu, że Potapow już odsiedział 9 lat z artykułu 58 (a ponadto jeszcze w 40. latach nie zgodził się na złożenie fałszywych zeznań przeciwko towarzyszowi z ławy oskarżonych, co z punktu widzenia śledczego, czyni z niego postać szczególnie odrażającą). Wasiura mówi mu zupełnie otwarcie: Takich jak wy wpakowałem tylu, ile mam włosów na głowie, szkoda, że stare prawa nie są już w mocy". Przyleciała żona, próbuje męża wyciągnąć, a Wasiura powiada: „pluję na to z pierwszego piętra, że jesteś partyjna! Jak mi się spodoba, to ciebie też wsadzę!". (Jak to powiada zastępca prokuratora generalnego ZSSR, 500

N. Żogin¹⁰: „W niektórych artykułach i reportażach próbuje się pomniejszyć znaczenie pracy śledczego, zerwać z niego romantyczną aureolę. Dlaczego właściwie?”). W listopadzie 1962 roku Potapow staje przed sądem. Oskarżony jest o zgwałcenie 14-letniej Cyganki Nadii, mieszkającej na tym samym podwórzu i zdeprawowanie 5-letniej Oli, które w tym celu zapraszał na telewizję. W protokołach dochodzeń — na podstawie zeznań 6-letniego Wowy, który nigdy w życiu nie widział aktu płciowego — opisany jest szczegółowo ze znajomością rzeczy stosunek płciowy jaki „Wujcio Misza” miał z Nadią, a co rzeczony Wowka obserwował ponoć przez okno — zbyt wysokie, jak na jego wzrost, pokryte grubym szronem, zasłonięte choinką i opatrzone firankami. (A za to dyktando demoralizujące dziecko — kto pójdzie pod sąd?). „Zgwałcona” Nadia — w szóstym miesiącu ciąży — milczała o całej sprawie, ale gdy wujcio Wasiura poprosił, zeznała jak należy. Na rozprawie zjawiają się nauczyciele z naszej szkoły — ale nie zostają wpuszczeni na salę. Dzięki temu jednak są świadkami lekcji, jakich w korytarzu sądowym udzielają rodzice swoim dzieciom, które za chwilę mają występować w roli świadków! Nauczyciele składają list zbiorowy na ręce sądu, ale ma to tylko ten skutek, że wzywają ich teraz pojedynczo do rejkomu partii i grożą wyrzuceniem z pracy za brak zaufania do sowieckiego sądu (a jakże inaczej? Podobne protesty należy przecinać w samym zarodku! Bo cóż to za życie dla naszego wymiaru sprawiedliwości, jeżeli opinia społeczna ośmieli się wyrażać swoje zdanie o nim). Tymczasem — zapada wyrok: 12 lat surowego reżymu. I to wszystko. A kto zna stosunki prowincjonalne ten wie, czy można tu wierzyć? Nie można. Jesteśmy bezsilni. Bo nas też wyrzucą z pracy. Niech tam niewinny ginie. Sąd ma zawsze rację i rejkom zawsze ma rację (i łączy ich kabel telefoniczny).

I na tym by się skończyło. Bo właśnie na tym zwykle się kończy.

Ale zbieg okoliczności sprawił, że właśnie w tym okresie pojawia się w druku moja opowieść o dawno minionych, nieprawdopodobnych przygodach Iwana Denisowicza — i rejkom przestaje być dla mnie groźbą; wtrącam swoje trzy grosze, piszę zażalenie do Sądu Najwyższego Republiki, a co najważniejsze — włączam do sprawy korespondentkę „Izwestii” O. Czajkowską. I zaczyna się wałka, która trwać ma trzy lata.

Tępe i głuche Ciało Orzekające, owa ciężka machina śledczosądowa, na tym się tylko trzyma, że jest nieomylna. Ta machina stąd czerpie swoją siłę i pewność siebie, że nigdy nie rewiduje swoich decyzji, że każdy podsędek może ciąć na prawo i na lewo — i nic; nikt go nie skoryguje. Istnieje w tym

10 „Izwestia” z dnia 18 września 1964.

21 Archipelag Gulag 501

celu cicha zmowa: każde zażalenie, choćby adresowane było do nie wiedzieć jakich superurzędów, zawsze odsyłane jest stamtąd do rozpatrzenia na ręce tej właśnie instancji, na której działalność petent się skarży. I niech nikt nie śmie wytknąć komuś z pracowników sądownictwa (prokuratury, organów śledczych, itp.), że popełnił nadużycie, dał się ponieść nerwom, załatwiał osobiste porachunki, albo omylił się, czy postąpił niezgodnie z przepisami — bo zawsze go wybronimy! staniemy przy nim murem! Właśnie po to jesteśmy Prawem.

Jak to możliwe — żeby rozpocząć śledztwo, a potem nie sformułować oskarżenia?! Więc cała robota śledczego była zbędna? Jak to możliwe — żeby sąd wszczynał proces — i żeby nie zapadł wyrok skazujący?! To by znaczyło, że śledczy daremnie się trudił a sąd słomę młócił? Jak to możliwe — żeby sąd okręgowy rozpatrywał ponownie werdykt niższej instancji?! — przecież to oznacza zwiększenie odsetka braków produkcyjnych — i to we własnym okręgu! I wreszcie — po co robić przykrości kolegom z własnego resortu? A zatem — śledztwo raz zaczęte — powiedzmy, na podstawie donosu, musi koniecznie zakończyć się wyrokiem skazującym, od którego nie może być odwołania. A skoro tak — to już mur-beton: jeden drugiemu nie może robić kawałów. To samo dotyczy rejkomu partii: rób, co ci mówią. Za to oni też nie zostawią cię na lodzie.

Nowoczesna procedura sądowa ma jeszcze jedną ważną cechę. Nie żaden magnetofon ani stenotypista, tylko nierychliwa sekretarka z szybkością zeszło wiecznej pensjonarki pisze coś na arkuszach protokołów. Otóż protokół ten nie jest odczytywany na sesji sądowej i nikt nie ma prawa zajrzeć doń, dopóki nie przeczyta go i nie zatwierdzi sędzia. I tylko to, co zatwierdzi — jest treścią rozprawy, miało na niej miejsce. A to, co słyszeliśmy na własne uszy — jest tylko dymem, wcale tego nie było!

Wcielona Prawda, pokryta czarnym lakierem stoi cały czas przed oczyma duszy naszego sędziego: to aparat telefoniczny w sali narad. Ta wyrocznia nie wystawi cię na sztych, ale musisz postępować zgodnie z jej orzeczeniami.

My jednak zdołaliśmy doprowadzić do apelacji; wypadek całkiem niebywały. Mi-nęły 2 lata, nieszczęsne dzieci podrosły, chcą uwolnić się od brudu fałszywych zeznań, zapomnieć o nich — ale gdzie tam, znów musztrują je rodzice i nowy śledczy: masz mówić tak a tak, bo inaczej mamusia będzie miała kłopoty: jeżeli wujcio Mi-sza nie zostanie skazany, to mamusia pójdzie pod sąd.

I oto siedzimy w sali rozpraw rizańskiego sądu okręgowego. Obrońca wyzuty jest z wszelkich praw, jak to zawsze. Sędzia może oddalić każdy

502

jego protest i decyzja ta nie podlega żadnej kontroli. Znów są na tapecie zeznania zawistnych sąsiadów. Znów to niegodziwe wykorzystywanie zeznań małoletnich (porównajcie tylko ze sprawą Bazbeja). Sąd nie pyta: „Powiedz jak to było?”, nie prosi: „Powiedz całą prawdę”, tylko żąda: „Powtórz to, co mówiłaś podczas śledz-

twal!". Świadców obrony starają się zbić z tropu i zastraszyć pogroźkami: „Przecież podczas śledztwa mówiliście co innego... Jakim prawem odwołujecie tamte zeznania?!".

Sędzia Awdiejewa tłamsi swoich ławników jak lwica parę jagniąt. (A propos — gdzież ci siwobrodzi, czcigodni sędziowie? Pełno teraz przebiegłych i szczerwanych bab na stanowiskach sędziów). Ma na głowie grzywę, mówi męskim tonem, głos jej wibruje metalicznie i drży, gdy sama się upaja wzniosłością własnych formuł. Skoro tylko rozprawa przybiera obrót niezamierzony — Awdiejewa wpada w gniew, bije ogonem, pąsowieje, odbiera głos niepożądanym świadkom, próbuje zbić z pantałyku składających zeznania nauczycieli: „Więc ośmielacie się wątpić w rzetelność sowieckiego sądu?". „Jak mogło wam przyjść do głowy, że ktoś instruował dzieci? Widocznie sami uczycie dzieci kłamstwa?", „A kto właściwie był inicjatorem listu zbiorowego do wyższej instancji?". (W kraju socjalizmu niedopuszczalna jest sama idea akcji zbiorowych, kolektywnych działań! — kto? kto? kto?). Prokurator nie ma żadnego pola do popisu przy takim agresywnym sędzi. Podczas przewodu sądowego wszystkie zarzuty rozsypały się w proch: Wowa nie mógł nic zobaczyć przez okno, Ola cofa wszystkie poprzednie zeznania, nikt jej nie chciał „zdeprawować"; przez cały ten okres, w którym przestępstwo mogło być popełnione, w jedynym pokoju Potapowów leżała w łóżku chora żona nauczyciela, mąż nie gwałcił chyba w jej obecności sąsiadki-Cyganki; i Cyganeczka ta już przedtem coś ukradła; i w domu też nie nocowała, włóczyła się pod wszystkimi płotami już od dawna, nie bacząc na swoje 14 lat; — ale nie mógł przecież mylić się sowiecki śledczy!, nie mógł popełnić omyłki sowiecki sąd! Wyrok — 10 lat! Niech tryumfują sowieccy juryści! Niech śledztwo toczy się dalej tym samym torem! Znęcajcie się nad ludźmi bez żadnych obaw i skrupułów!

A działo się to w obecności korespondenta „Izwestii"! I po interwencji Sądu Najwyższego RSFSR! A co z takimi podsądnymi, za którymi nikt się nie wstawił?

Rok bez mała ciągną się jeszcze kazuistyczne utarczki i wreszcie Sąd Najwyższy orzeka, że: Potapow jest absolutnie niewinny, ma być zrehabilitowany i wypuszczony na wolność! (Trzy lata już odsiedział...). No, a co z tymi, którzy deprawowali dzieci, ucząc je fałszywych zeznań? A nic, nie udało się im, to wszystko. A czy jedna chociaż plamka została na lwiej

503

piersi Awdiejewej? A skądże — dalej jest ogólnie szanowaną rzeczniką ludowej sprawiedliwości! A co zrobiono ze stalinowskim hyclem Wasiurą? Spokojna głowa, jest dalej na tym samym stanowisku — nikt mu pazurów nie obciął.

Niech żyje i rozkwita nasz aparat wymiaru sprawiedliwości! Nie on dla nas, lecz to my istniejemy dla niego, jego potrzebom służymy! Niechaj sprawiedliwość ściele mu się pod nogi, jak puszysty dywan! Grunt, aby to jemu było dobrze!

Dawno już wykazano, że na drodze do społeczeństwa bezklasowego również proces sądowy stanie się zjawiskiem bezkonfliktowym (w czym znajdzie wyraz wewnętrzna bezkonfliktowość systemu społecznego): będzie to proces, w którym cały skład sądu, prokurator, obrona i nawet sam oskarżony wspólnymi siłami dążyć będą do wspólnego celu.

Ta wypróbowana stałość zasad, cechująca nasz wymiar sprawiedliwości, ogromnie ułatwia milicji życie i pracę: pozwala bez żadnego kłopotu stosować w praktyce chwyt, noszący nazwę „przyczepy" albo „wspólnego worka". Chodzi o to, że

na skutek niedbalstwa, niedopatrzania, niechłujstwa miejscowej milicji jeden, drugi, czy trzeci sprawca przestępstwa nie zostaje wykryty i schwytany. Ale sprawozdawczość ma swoje wymagania; wszystkie zbrodnie muszą być wykryte. Trzeba więc czekać na odpowiednią okazję. Wreszcie doprowadzony zostaje na komisariat jakiś facet zahukany, nierozgarnięty, podatny na perswazję. Na niego to więc zwała się wszystkie nie wykryte do końca przestępstwa. To on je popełnił w trakcie bieżącego roku sprawozdawczego — oto ów nieuchwytny zbrodzień! Pięścią i głodem zmusza się go potem, by do wszystkich tych zbrodni się przyznał i podpisał protokół dochodzenia. Potem wlepia mu się duży wyrok za wszystko razem — i rejon znów jest czysty jak łąka.

W miejscowości Artasztat pod Erewaniem ktoś kogoś zabił. W 1953 roku złapano faceta, który się nawinął, obstawiono go fałszywymi świadkami, bito i wlepiono w końcu 25 lat. A w 1962 znalazł się prawdziwy morderca...

Życie społeczne nabiera zdrowych rumieńców dzięki temu, że wszelki grzech zostaje ukarany. A funkcjonariusze milicji inkasują premie.

Wywabić ze swojego rewiru takie plamy można również na odwyrtek: postarać się, żeby w ogóle nie było mowy o żadnym przestępstwie. Stary eks-zek, Iwan Jemieliannowicz Bryksin, 69-letni, który dawno już odbębnił swoją dychę (był moim kolegą w szarażce Marfino), w lipcu 1978 roku został straszliwie pobity i ograbiony przez dwóch młodych chuliganów. Było to wieczorem, gdy mało kto chodzi po ulicach, w letniskowej miejscowości Turist. Dwie godziny Iwan leży na przystanku autobusowym, nikt się do niego nie kwapi. W końcu przywożą go do najbliższego szpitala w miasteczku Diedieniewo. Lekarka — internistka, Sawieliewa, nie okazuje

504

mu żadnej pomocy i nie odsyła go do szpitala urazowego. Chociaż Bryksin wymienia swoje nazwisko, imię, wiek — lekarka nie zawiadamia o niczym ani kolegów lekarzy, ani nawet milicji. Trzy doby ofiara napadu z hematomą, wylewem krwi w mózgu, wybitymi zębami, zalanymi krwią oczami, leży tak, nie tylko bez pomocy lekarskiej, ale nawet bez opieki pielęgniarskiej (siostrzyczka się urznęła), na kawałku ceraty, po pachy w moczu. Przez te trzy doby jego krewni szukają go w popłochu wszędzie, w tejże osadzie, w miejscowościach wzdłuż szosy — ale przecież lekarka nic nikomu nie mówiła. Wreszcie znajdują go i własnym wysiłkiem (szpital dalej nic nie robił) sprowadzają z Moskwy ambulans reanimacyjny, który zawozi chorego do neurochirurga. Specjalista robi trepanację, ale nic już nie może poradzić na wylewy wewnętrzne. Po dziewięciodniowych męczarniach chory umiera.

Miejscowa milicja z Ikszy otrzymała wyniki ekspertyzy sądowo-lekarskiej, ale wcale nie spieszy się ze wszczęciem śledztwa i ani myśli oglądać w szpitalu odzież zabitego, wcale na niej śladów nie szuka. Chodzi o to, że zabójców w Diedieniewie wszyscy dobrze znają i — wszyscy ich się boją. Pani doktor Sawieliewa, wciąż ta sama, pomaga prowadzącej dochodzenie tow. Gierasimowej (w trakcie przesłuchania żony zabitego grzmiała w jej gabinecie muzyka estradowa) dojść w trzecim miesiącu śledztwa do takiego wniosku: Bryksin miał udar mózgowy, upadł i stąd ślady obrażeń. W ten sposób nie trzeba nikogo aresztować, zbrodnia nie miała miejsca i powiat ma czystą kartę.

Pokój twojej duszy, Iwanie!

Społeczeństwu jeszcze więcej zdrowia przybyło, a wymiar sprawiedliwości jeszcze bardziej okrzepł, gdy rzucone zostało hasło ścigania, sądzenia i wysiedlania paso-

żyków. Również ten dekret zastąpił w pewnym stopniu nieodżałowany, a tak elastyczny artykuł 58-10; zarzut pasożytnictwa także okazał się wystarczająco śliski i niekonkretny, a zarazem — nie do odparcia. (Udało się przecież zastosować go do poety J. Brodzkiego!).

Sens słóweczka — pasożyt — został bardzo zrećtnie przekręcony zaraz na wstępie. Pasożyty co się zowie — świetnie wynagradzane nieroby — zasiedli na sędziowskich albo administracyjnych fotelach i zaczęli bombardować wyrokami biednych chałupników i majsterklepków kołaczących się jeszcze po dniu roboczym w pogoni za dodatkowym zarobkiem. Z jakąż nienawiścią — typową nienawiścią sytych do głodnych! — rzucili się na tych „obiboków”! Dwóch pismaków o miedzianych czołach, dwóch dziennikarzy z organu Adżubeja” napisało bez cienia wstydu: pasożytów wysiedla się do miejscowości leżących zbyt blisko stolicy!, pozwala im się na otrzymywanie paczek i przekazów pieniężnych od krewnych!, traktuje się

11 „Izwestia” z dnia 23 czerwca 1964.

505

ich nie dość surowo!, „nie każe im się pracować od świtu do nocy!” — dosłownie tak — od świtu do nocy! A cóż to za świt komunizmu, a cóż to za konstytucja nam przyświeca, że taka pańszczyzna jest ludziom narzucana?

Pominęliśmy tu kilka ważnych potoków, które stale zasilają odmęty Archipelagu, podczas gdy nigdy nie wysycha jezioro wewnętrzne urzędowego złodziejstwa.

A przecież całkiem nie bez celu krążą po ulicach, przesiadują w swoich sztabach i wybijają zęby zatrzymanym członkowie „ludowych drużyn”, ci — koncesjonowani przez milicję — grasanci albo szturmowcy, nie wymienieni w konstytucji i nieodpowiedzialni wobec prawa.

Na Archipelag przybywają nowe kontyngenty. I chociaż społeczeństwo nasze od dawna już jest bezklasowe, a łuna komunizmu już na pół nieba płonie, ale zdołaliśmy się jakoś przyzwyczaić, że przestępczość nie zanika, nie maleje — i że już nam tego nawet nikt nie obiecuje. To prawda, w latach trzydziestych słyszeliśmy za-pewnienia: trochę cierpliwości, jeszcze tylko kilka lat! A teraz nawet obietnic nie słychać.

Prawo nasze jest tak wszechmocne i giętkie, że aż niepodobne do niczego, co na świecie nosi miano prawa.

Ograniczeni Rzymianie wymyślili formułkę: „prawo nie działa wstecz”. A u nas — działa! Stare, reakcyjne przysłowie głosi: „Prawo nie chodzi rakiem”. A u nas — chodzi! Jeśli wyszła nowa Ustawa, a Prawo świerzbi ręka, aby zastosować ją do tych, co już dawno w kozie siedzą — to dlaczego nie, prosimy bardzo! Tak się stało z waluciarzami i łapownikami: posłano z terenu (np. z Kijowa) ich spisy do Moskwy z prośbą, by zaznaczyć na liście do kogo z wymienionych zastosować wolno ustawę a posteriori (tzn. zwiększyć szpulę albo zamienić na dziewięć gramów). I stosowano ją.

Ponadto nasze prawo bywa jasnowidzące. Można by sądzić, że przed rozprawą sądową nie wiadomo — jaki będzie przebieg procesu i jaki zapadnie wyrok. A tu raptem czasopismo „Socjalistическая Законность” napisze ci o tym wszystkim zanim jeszcze proces się zaczął. Jak im się to udało? Spróbuj zapytać¹²...

¹² „Socjalistическая Законность” (Organ Prokuratury ZSSR), styczeń 1962, Nr 1. Podpisano do druku 27.12.1961. Na str. 73-74 opublikowany jest artykuł Grigoriewa (Gruzda) — „Faszystowskie oprawy”. Zawiera on sprawozdanie z procesu estoń-

skich przestępców wojennych, który odbył się w mieście Tartu (Dorpat). Korespondent opisuje zeznania świadków; dowody rzeczowe leżące na stole sędziowskim; przesłuchanie podsądnego („...cynicznie odparł morderca”); reakcje publiczności; przemówienie oskarżyciela. Kończy wiadomością o wyroku śmierci. I wszystko rzeczywiście tak się odbyło — ale dopiero 16 stycznia 1962 roku. (p. „Prawda” z 17.1.1962), gdy czasopismo już dawno było wydrukowane. (Proces został przesunięty, ale pisma o tym nie uprzedzono. Reporter oberwał rok pracy przymusowej).

506

A jeszcze na dodatek nasze Prawo nie chce nie wiedzieć o grzechu fałszywego świadectwa — w ogóle go za przestępstwo nie uważa! Legiony fałszywych świadków żyją sobie pomyślnie w naszym środowisku, kroczą spokojnie ku czcigodnej starości, grzeją się w ciepłe złotej jesieni swego żywota..W całym świecie i na całej przestrzeni dziejów — jedynie nasza ojczyzna tak hołubi swoich fałszywych świadków!

A do tego wszystkiego — nasze Prawo nie przewiduje żadnej kary dla sędziów-morderców i prokuratorów-morderców. Wciąż zajmują oni swoje poczesne stanowiska, zajmują je od dawna i długo jeszcze zajmować będą, aby oddać się później szlachetnym uciechom starości.

A wreszcie — nie sposób odmówić Prawu skłonności do twórczych wahań i natchnionych porywów. To raptem w jedną stronę się rzuci: żeby mi w ciągu roku przestępczość spadła! mniej aresztów! mniej procesów! skazanych nie więzić, brać na porękę! To znów — na odwrotną: Za dużo tych złodziei! Dostyc zabawy w „poręczenia”! Ostrzejsze rygory! Surowsze wyroki! Kara śmierci!

Nie bacząc na wszystkie burze, korab naszego Prawa płynie majestatycznie i szpalko. Sędziowie i Prokuratorzy Generalni — mają doświadczenie i te wahania ich nie dziwią. Będą zwoływać swoje Sesje Plenarne, roześlą swoje Instrukcje — i w rezultacie każdy nowy, niesamowity kurs zaprezentowany będzie podwładnym jako rzecz od dawna oczekiwana, jako konsekwencja rozwoju historycznego i naturalny wniosek z Jedynej Słusznej Teorii.

Korab naszego Prawa gotów jest stawić czoła każdej nawałnicy. I jeżeli jutro znów rozkażą uwięzić miliony ludzi za nieprzepisowe poglądy albo wywieźć na zesłanie całe narody (te same albo inne jeszcze) czy buntownicze miasta, albo znów nakładać na ludzi cztery numerowane łaty — potężny kadłub Prawa nawet nie drgnie, a kil tak samo będzie pruć fale.

Cóż więc zostaje? Chyba tylko pogłos owych słów Dzierżawina, które zapaść mogą w samo serce jedynie temu, kto rzecz zna z własnego doświadczenia:

Gorszy niż rozbój jest sąd stronny Gdzie prawo śpi — tam kąty sędzie...

Otóż nic się tu nie zmieniło. Pod tym względem wszystko toczy się tym samym trybem, co za Stalina, jak toczyło się przez wszystkie lata w tej książce opisane. Wiele wydano przez ten czas Ustaw, Dekretów, Praw — i sprzecznych wzajemnie, i pięknie współbrzmiających — ale kraj nie wedle nich żyje, nie na ich podstawie aresztuje się i sądzi ludzi, nie one są bazą ekspertyz i orzeczeń. Jedynie w tych nielicznych (15%?) wypadkach gdy wykroczenie, będące przedmiotem dochodzeń i przewodu sądowego,

507

nie koliduje w żaden sposób z interesami państwa i panującej ideologii ani z prywatnym interesem lub spokojem jakiegoś dygnitarza, otóż wtedy pracownicy aparatu sprawiedliwości mogą pozwolić sobie na ten zbytek, by nigdzie nie telefonować, od nikogo nie pobierać wskazówek, tylko sądzić zgodnie z meritem sprawy i rzetelnie. We wszystkich zaś pozostałych wypadkach, to znaczy w ogromnej ich większości — wszystko jedno, czy chodzi o sprawy karne, czy cywilne — muszą wszak wchodzić w grę ważne interesy przewodniczącego kołchozu, czy rady wiejskiej, kierownika oddziału w fabryce, jej dyrektora, szefa urzędu kwaterunkowego, dzielnicowego, pełnomocnika bezpieczeństwa, albo komendanta milicji, lekarza na czelnego, głównego księgowego, dyrektorów zarządów i urzędów, kierowników specwydziałów i działów osobowych, sekretarzy komitetów rejonowych i obwodowych partii i wyżej, wyżej! — a we wszystkich tych wypadkach dzwoni telefon w cichym gabinecie — a z innych, podobnych gabinetów dochodzą przez druty spokojne głowy, które bez pośpiechu, życzliwym tonem doradzają, wskazują, sugerują — jak mianowicie rozstrzygnąć należy sprawę sądową małego człowieczka, nad głową którego krzyżują się nie znane mu, niezrozumiałe zamierzenia istot stojących na niedosiężnych dlań szczytach. I oto ufny czytelnik gazet, mały człowiek, przekracza z bijącym sercem próg sali sądowej, z przekonaniem że słuszność jest po jego stronie, ze wszystkimi argumentami w zanadrzu i z przejęciem je wysypuje przed senne oczy sędziów, nie wiedząc wcale, że wyrok już zapadł i że nie ma odwołania, że nie ma ani czasu, ani sposobu, by zmienić złowrogi, tendencyjny werdykt, który przepali mu pierś węglem krzywdy.

Rozdział ten nosi tytuł — „Prawo dnia dzisiejszego”. A trzeba by zatytułować go: Prawa nie ma.

Jest tylko — mur. I spoiwem cegieł tego muru jest kłamstwo.

Wciąż ta sama przewrotna skrytość, ta sama mglista zawiesina niesprawiedliwości rozproszona jest w naszym powietrzu, osnuwa nasze miasta oparem gęstszym, niż dym z kominów fabrycznych.

Już drugie półwiecze sterczy wyniosłe ogrom naszego państwa, ściągnięty stalowymi obręczami i oto obręcz — są, a prawa — nie ma.

Koniec części siódmej

POSŁOWIE

Nie sam powinienem był tę książkę pisać; trzeba było rozdać poszczególne rozdziały ludziom doświadczonym, a później, na radzie redakcyjnej, poprawiać wszystko, wzajemnie sobie pomagając.

Ale nie przyszedł jeszcze po temu czas. I ci, którym poszczególne rozdziały proponowałem — nie chcieli się tego podjąć, woląc ograniczyć się do relacji ustnej czy pisemnej, którą dawali mi do dyspozycji. Prosiłem Władysława Szalamowa, abyśmy tę książkę pisali razem — ale też się wymówił.

A potrzebne tu było całe biuro. A także apele w gazetach, przez radio („odezwijcie się ludzie!”), cała korespondencja — jak to było z obrońcami twierdzy brzeskiej, gdy zbierano materiały o jej oblężeniu.

Nie dość, że nie mogłem zdobyć się na taki rozmach — ale cały swój zamysł, a także listy i materiały musiałem ukrywać, dzielić na części i robić to wszystko w głębokiej tajemnicy. A nawet udawać, że czas, który spędzałem nad tą robotą — w istocie poświęcony był innym zajęciom.

Ileż to razy zaczynałem pisać tę książkę, ile razy przerywałem robotę! Nie mogłem dać sobie rady z dręczącą wątpliwością: czy to dobrze, że ja sam taką rzecz piszę? I czy podołam? Ale gdy — niezależnie od zebranych już materiałów — sypać się na mnie zaczęły jeszcze listy więźniów z całego kraju — zrozumiałem, że skoro to wszystko właśnie mnie powierzono — to widzieć muszę.

Trzeba wyjaśnić, że ani razu cała ta książka — to znaczy wszystkie jej części razem — nie leżała na jednym stole. Gdy praca nad „Archipelagiem” była właśnie w pełnym toku, we wrześniu 1965 roku — archiwum moje

509

zostało rozgromione, a powieść, którą też wtedy pisałem — zatrzymana. Wówczas to napisane już części „Archipelagu” i materiały do innych części rozleciały się w różne strony i nigdy więcej nie znalazły się już razem: „bałem się ryzyka, zwłaszcza, że pełno tam było imion i nazwisk. Wciąż notowałem sobie — gdzie trzeba jeszcze coś sprawdzić, gdzie zaś

— skreślić; objuczony tymi notkami jeździłem z jednego miejsca na drugie.

Co począć, książki nasze są nie wykończone, pisane kurczowo — to właśnie jest wyróżnikiem naszej prześladowanej literatury. Również tę książkę musicie przyjąć w szkicowym kształcie.

Nie dlatego postawiłem kropkę, bym uważał tę pracę za zakończoną, lecz dlatego, że nie zostało mi już na nią niezbędnych lat życia.

Nie tylko więc proszę o wyrozumiałość, lecz pragnę krzyknąć: gdy nadejdzie wreszcie czas po temu, gdy stanie się to już możliwe — zbierzcie się, ocaleli przyjaciele, znawcy przedmiotu — i napiszcie komentarz do tej książki; poprawcie, co należy, dodajcie to, czego w niej brak (tylko nie szafujcie zbytnio materiałem, nie trzeba powtórzeń). Wtedy dopiero stworzycie ostateczną wersję tej książki — i niech wam Bóg w tym pomoże.

Sam wyjść nie mogę z podziwu, że nawet rzecz tak niedoskonałą zdołałem jakoś doprowadzić do końca; wiele razy już byłem pewien, że mi w tym przeszkodzi, że nie dadzą.

Kończę ją w roku niezwykłym, roku podwójnego jubileuszu (a nadto — oba jubileusze coś łączy): 50-lecia rewolucji, której dziełem jest Archipelag — i 100-lecia wynalazku drutu kolczastego (1867).

Druga z tych rocznic nie doczeka się obchodów, ani chybi...

27.IV.58-22.II.67 Riazan — Kryjówka.

I JESZCZE PO ROKU

Bardzo mnie wtedy piliła, bom się obawiał, że po wybuchu sprawy mego listu do Zjazdu Pisarzy — jeśli nawet nie spotka mnie zguba, to na pewno utracę możliwość pisanie i dostęp do moich manuskryptów. Ale historia z listem taki wzięta obrót, że nie tylko nie capnięto mnie, ale umocniłem się tak, jakbym na granicie stanął.

Wtedy to zrozumiałem, że moim obowiązkiem jest tekst ten uzupełnić i poprawić.

Mogło ją wreszcie przeczytać kilku wybranych przyjaciół. Dzięki nim zdałem sobie sprawę z ważnych błędów i braków. Nie ośmielałem się poddać jej próbie szerszej lektury, a jeśli kiedy przyjdzie na to czas — dla mnie już będzie za późno.

W ciągu tego roku zrobiłem co mogłem, wprowadziłem sporo poprawek. Niechże jednak nikt nie zarzuca mi, że książka jest niekompletna: nie sposób wyobrazić sobie wszystkich możliwych uzupełnień i każdy, kto z tematem miał cokolwiek do czynienia, albo rozmyślał o tych dziejach, zawsze mógłby coś dodać, nieraz perłę. Ale istnieją prawa objętości. Objętość tej książki i tak już przekracza miarę; spróbuj dodać nawet garstkę najlepszego ziarna — a kietki całą skatę rozsadzą.

A że nieraz wyrażałem się nietrafnie, że powtarzałem się, albo że luźnym szwem łączyłem fragmenty tej kroniki — za to proszę o przebaczenie. Przecież aż do końca nie zdarzyło mi się przeżyć spokojnie nawet roku, a w ciągu ostatnich miesięcy znów paliła się ziemia — i mój stół. I nawet w trakcie tej ostatniej roboty redakcyjnej nigdy nie widziałem całej tej książki naraz, nie miałem jej przed sobą na jednym biurku.

Wciąż jeszcze nie nadszedł czas, abym powierzyć mógł papierowi pełny

511

wykaz przyjaciół, bez których tej książki nie sposób było napisać, przerobić, przechować. Wiedzą to oni sami. Nisko im się kłaniam.

Różdiestwo - na - Istie maj 1968.

I JESZCZE DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

Dziś, na wygnaniu, mogłem w końcu zająć się w spokoju uzupełnieniami do tej książki, choć tam i poniewczasie, bo przecież już świat ją poznał. Jeszcze ze 20 nowych świadków, byłych zeków, zechciało poprawić, czy wzbogacić to, com napisał.

Tu, na Zachodzie, miałem też nieporównanie większe możliwości korzystania z drukowanych już publikacji i nowych ilustracji. Ale ta książka wzdraga się przed wchłonięciem w siebie tego wszystkiego. Poczęta w mrokach ZSSR, powstała z naporu i błysków pamięci zeków, powinna trzymać się tego podłoża, na którym wyrosła.

1979, Vermont.

513